

KRONIKI

# WARDSTONE



**Joseph Delaney**

**Kroniki Wardstone**

Przełożyła: Paulina Braiter

**TOM 1**

Zemsta Czarownicy

The Spook's Apprentice

Dla Marie

NAJWYŻSZY PUNKT HRABSTWA KRYJE W SOBIE TAJEMNICĘ.  
POWIADAJĄ, ŻE ZGINĄŁ TAM CZŁOWIEK, GDY PODCZAS SROGIEJ BURZY  
PRÓBOWAŁ UJARZMIĆ ZŁO, ZAGRAŻAJĄCE CAŁEMU ŚWIATU. POTEM  
POWRÓCIŁY LODY, A KIEDY SIĘ COFNĘŁY, NAWET KSZTAŁT WZGÓRZ I NAZWY  
MIAST W DOLINACH ULEGŁY ZMIANIE.  
DZIŚ W OWYM MIEJSCU NA NAJWYŻSZYM ZE WZGÓRZ NIE POZOSTAŁ ŻADEN  
ŚLAD PO TYM, CO ZASZŁO DAWNO, DAWNO TEMU.  
LECZ JEGO NAZWA PRZETRWAŁA.  
NAZYWAJĄ JE...  
KAMIENIEM STRAŻNICZYM



# Rozdział 1

## Siódmy syn

Kiedy zjawił się stracharz, na dworze zapadał już mrok. Miałem za sobą długi, ciężki dzień i nie mogłem się doczekać kolacji.

– Czy to na pewno siódmy syn? – spytał.

Patrzył na mnie, z powątpiewaniem kręcąc głową.

Ojciec przytaknął.

– I ty też byłeś siódmym synem?

Ojciec ponownie skinął głową i zaczął tupać niecierpliwie, obryzgując moje nogawice drobinkami brązowego błota i łajna. Z jego czapki kapał deszcz. Niemal cały miesiąc padało. Na drzewach pojawiły się już nowe liście, lecz wiosenna pogoda wciąż jeszcze nie nastąpiła.

Mój ojciec był farmerem, podobnie jak jego ojciec, a pierwsza zasada farmera brzmi: utrzymać gospodarstwo w całości. Nie można go dzielić między dzieci, bo wówczas z każdym pokoleniem stawałoby się coraz mniejsze i mniejsze, aż w końcu nic by z niego nie zostało. Toteż ojciec zapisuje gospodarzkę najstarszemu synowi, a potem znajduje pracę pozostałym i jeśli to możliwe, usiłuje oddać ich do terminu.

Musi przy tym często powoływać się na dawne długi wdzięczności. Sporo możliwości daje miejscowy kowal, zwłaszcza jeśli farma jest duża i zapewnia mu regularne zlecenia. Wówczas istnieje szansa, że kowal zgodzi się przyjąć chłopaka do terminu. Lecz nadal to tylko jeden syn.

Ja byłem siódmym i kiedy nadeszła moja kolej, długi wdzięczności już się wyczerpały. Ojciec był tak bardzo zdesperowany, że postanowił oddać mnie do terminu stracharzowi – a przynajmniej tak wówczas sądziłem. Powinienem był zgadnąć,

że za wszystkim stała mama.

Stała zresztą za wieloma rzeczami. Na długo przed moim narodzeniem to za jej pieniądze ojciec kupił farmę. Jak inaczej byłoby na nią stać siódmego syna? Mama nie pochodziła z Hrabstwa, przybyła z kraju za morzem. Większość ludzi nie miała o tym pojęcia, ale czasami, jeśli słuchało się bardzo uważnie, dawało się wychwycić lekkie różnice w wymowie pewnych słów.

Nie myślcie jednak, że rodzice sprzedawali mnie w niewolę czy coś takiego. Okropnie nudziła mnie praca na roli, a to, co nazywaliśmy miastem, w istocie było jedynie zwykłą osadą, dziurą zabitą deskami. Zdecydowanie nie miałem ochoty spędzić tam reszty życia, toteż w pewnym sensie spodobał mi się pomysł zostania stracharzem. Było to znacznie ciekawsze niż dojenie krów i rozrzucanie gnoju.

Obawiałem się jednak, bo to straszna praca. Miałem się nauczyć chronić gospodarstwa i wioski przed istotami krążącymi w ciemności. Co dzień czekały mnie starcia z ghulami, upiorami i najróżniejszymi nikkzemnymi bestiami. Tym właśnie zajmował się stracharz, a ja miałem zostać jego uczniem.

– Ile ma lat? – spytał stracharz.

– W sierpniu skończy trzynaście.

– Drobnym, jak na swój wiek. Umie czytać i pisać?

– Tak – odparł tato – jedno i drugie. Zna też grekę, nauczyła go matka. Umiał mówić po grecku, nim jeszcze na dobre nauczył się chodzić.

Stracharz pokiwał głową, spojrział ponad błotnistą ścieżką, poprzez bramę w stronę domu, jakby czegoś słuchał. Po chwili wzruszył ramionami.

– To ciężkie życie dla mężczyzny, a co dopiero dla chłopca. Myślisz, że sobie poradzi?

– Jest silny, a gdy dorośnie, będzie równie wysoki, jak ja. – Tato wyprostował się i uniósł głowę. Teraz jej czubek dosięgnął niemal podbródka rozmówcy.

Nagle stracharz uśmiechnął się; była to ostatnia rzecz, jakiej

oczekiwałem. Jego wielka twarz wyglądała jak wyciosana z kamienia i do tej pory wydawał mi się dość groźny. W długim, czarnym płaszczu i kapturze wyglądał jak ksiądz, kiedy jednak patrzył na mnie, ponura mina sprawiała, że bardziej przypominał kata szacującego ciężar skazańca, nim go powiesi.

Włosy wystające spod rąbka kaptura pasowały do szarej brody, lecz brwi miał czarne i krzaczaste. W nozdrzach rosły mu gęste, czarne włosy, a oczy miał zielone, podobnie jak ja.

I wtedy zauważyłem coś jeszcze. Miał ze sobą długi kij – oczywiście zauważyłem go, gdy tylko ujrzałem przybysza, ale do tej chwili nie uświadamiałem sobie, że trzyma kij w lewej dłoni.

Czyżby oznaczało to, że jest leworęczny jak ja?

Ów fakt stanowił dla mnie źródło niezliczonych kłopotów w wioskowej szkole. Wezwano nawet miejscowego księdza, by mnie obejrzał – cały czas kręcił głową i powtarzał, że muszę z tym walczyć, nim będzie za późno. Nie wiedziałem, o co mu chodzi. Żaden z moich braci nie był leworęczny, podobnie ojciec, natomiast mama owszem i jakoś nigdy jej to nie przeszkadzało. Kiedy nauczyciel zagroził, że wybije to ze mnie różgą i przywiązał mi pióro do prawej dłoni, zabrała mnie ze szkoły i od tygodnia uczyła w domu.

– Ile chciałbyś za przyjęcie chłopaka do terminu? – spytał ojciec, wyrrywając mnie z zamyślenia. Widziałem, że poważnie podchodzi do sprawy.

– Dwie gwinee za miesięczny okres próbny. Jeśli sobie poradzi, wrócę na jesieni i będziesz mi winien jeszcze dziesięć. Jeżeli nie, odeślę go, a ty zapłacisz dodatkową gwineę, by wynagrodzić mi stratę czasu.

Tato raz jeszcze pokiwał głową, dobijając targu. Poszliśmy do stodoły i monety zmieniły właściciela, ale nie uścisnęli sobie rąk – nikt nie chciał dotykać stracharza. Ojciec i tak wykazał się wielką odwagą, stojąc trzy kroki od niego.

– Mam pewną sprawę niedaleko – oznajmił stracharz. – Wrócę po chłopaka o świcie. Dopilnujcie, by był gotowy. Nie lubię, gdy

każe mi się czekać.

Kiedy odszedł, ojciec poklepał mnie po ramieniu.

– Zaczynasz nowe życie, synu – rzekł. – Idź, umyj się. Skończyłeś z pracą w polu.

\*

Gdy wszedłem do kuchni, zastałem tam mojego brata, Jacka. Obejmował ramieniem żonę, Ellie, która uśmiechała się do niego.

Bardzo lubię Ellie, jest ciepła i przyjazna w sposób sprawiający, iż człowiek ma wrażenie, że naprawdę jej na nim zależy. Mama mówi, że małżeństwo z Ellie posłużyło Jackowi, bo dzięki niej trochę się uspokoił.

Jack jest najstarszy i największy z nas wszystkich i, jak czasami żartuje tato, najprzystojniejszy z paskudnej gromadki. Faktycznie, wzrostu i siły mu nie brakuje, lecz mimo błękitnych oczu i zdrowych, rumianych policzków, jego czarne brwi niemal zrastają się w jedną linię, więc osobiście nie uważam, żeby był przystojny. Nie da się natomiast zaprzeczyć, że zdołał znaleźć sobie miłą i śliczną żonę. Ellie ma włosy koloru najlepszej słomy trzy dni po żniwach, a jej skóra dosłownie jaśnieje w blasku świec.

– Jutro rano wyjeżdżam – wypaliłem. – O świcie przyjdzie po mnie stracharz.

Twarz Ellie pojaśniała.

– Chcesz powiedzieć, że zgodził się ciebie przyjąć?

Przytaknąłem.

– Daje mi miesiąc próby.

– Świetnie, Tom. Bardzo się cieszę – rzuciła.

– Niewiarygodne! – parsknął Jack. – Chcesz terminować u stracharza? Jak sobie z tym poradzisz, skoro wciąż sypiasz przy zapalanej świeczce?

Zaśmiałem się z tego żartu, ale zrozumiałem, że w słowach brata kryje się głębszy sens. Czasami widywałem w ciemności różne stwory. Potrzebowałem świeczki, by je przegnać i móc spać w spokoju.

Jack podszedł do mnie i z radosnym okrzykiem złapał w objęcia,

po czym zaczął ciągnąć dookoła kuchennego stołu. Uważał to za świetny dowcip. Opierałem się chwilę, by się nie obraził, aż wreszcie po paru sekundach wypuścił mnie i poklepał po plecach.

– Dobra robota, Tom, zarobisz w tej pracy majątek. Jest tylko jeden problem.

– Jaki? – spytałem.

– Będziesz bardzo potrzebował każdego zarobionego pensa. A wiesz dlaczego?

Wzruszyłem ramionami.

– Bo będziesz mógł liczyć tylko na takich przyjaciół, których sobie kupisz!

Próbowałem się uśmiechnąć, ale w tym, co mówił, kryło się sporo prawdy. Stracharz pracuje i żyje sam.

– Och, Jack! Nie bądź okrutny! – upomniała go Ellie.

– To tylko żarcik – Jack wyraźnie nie rozumiał, o co chodzi żonie.

Lecz Ellie patrzyła na mnie, nie na niego i zobaczyłem, jak mina jej rzednie.

– Och, Tom – mruknęła. – To znaczy, że nie będzie cię tutaj, kiedy urodzi się dziecko...

Wyglądała na szczerze zawiedzioną i poczułem smutek na myśl, że nie będę mógł powitać w domu małej bratanicy. Mama twierdzi, że dziecko Ellie będzie dziewczynką, a ona nigdy się nie myli w takich sprawach.

– Wrócę i odwiedzę was, gdy tylko będę mógł – obiecałem.

Ellie spróbowała się uśmiechnąć, Jack podszedł i objął mnie ramieniem.

– Zawsze będziesz miał swoją rodzinę – oznajmił. – Gdybyś nas potrzebował, będziemy tutaj.

\*

Godzinę później zasiadłem do kolacji ze świadomością, że rano już mnie tu nie będzie. Jak każdego wieczoru, tato odmówił modlitwę i wymamrotaliśmy: amen – wszyscy prócz mamy, która jak zwykle ze spuszczoną głową wpatrywała się w swój talerz,

czekając uprzejmie, aż skończymy. Po modlitwie posłała mi lekki uśmiech. Był to ciepły, wyjątkowy uśmiech; nie sądzę, by ktokolwiek inny go zauważył. Od razu poczułem się lepiej.

Ogień wciąż płonął w palenisku, promieniując ciepłem na całą kuchnię. Pośrodku wielkiego drewnianego stołu stał mosiężny świecznik, wypolerowany tak bardzo, że można się było w nim przejrzeć. Woskowa świeca kosztowała sporo grosza, lecz mama nie pozwalała używać w kuchni łożowych z powodu ich zapachu. Większość decyzji na farmie podejmował tato, ale w pewnych sprawach mama zawsze stawiała na swoim.

Gdy zaczęliśmy pałaszować gorący gulasz, uderzyło mnie nagle, jak staro wyglądał dziś ojciec – wydawał się zmęczony, osowiały, a od czasu do czasu na jego twarzy pojawiał się osobliwy wyraz smutku i tęsknoty. Gdy jednak zaczęli z Jackiem dyskutować na temat cen wieprzowiny, wyraźnie się ożywił. Nie zgadzali się, czy już czas wezwać rzeźnika.

– Lepiej zaczekać jeszcze miesiąc – twierdził tato. – Cena z pewnością wzrośnie.

Jack pokręcił głową i zaczęli się spierać. Toczyli przyjacielską dyskusję, jak to często w rodzinie i widziałem, że ojciec świetnie się bawi. Ja jednak nie dołączyłem do nich – dla mnie nie miało to już znaczenia. Jak powiedział tato, skończyłem z pracą na roli.

Mama i Ellie śmiały się z czegoś cicho. Wytężyłem słuch, ciekaw, co mówią, ale Jack zdążył się już rozkręcić i jego głos rozbrzmiewał coraz głośniejsze i głośniejsze. Mama zerknęła na niego wymownie, a ja widziałem, że ma dosyć hałasu.

Nieświadom znaczących spojrzeń mamy, rozgadany Jack sięgnął po solniczkę i niechcący ją wywrócił. Na blat wysypał się kopczyk soli. Jack natychmiast wziął szczyptę i odrzucił za lewe ramię. To stary przesąd z Hrabstwa, w ten sposób podobno przeganiamy pecha, którego przynosi rozsypanie soli.

– Jack, i tak przecież nie potrzebujesz soli – upomniała go mama. – Psuje tylko smak dobrego gulaszu. To obraza dla kucharki!

– Przepraszam, mamó, masz rację. Gulasz jest doskonały.

Obdarzyła go uśmiechem, po czym skinęła na mnie głową.

– Poza tym nikt nie zwraca uwagi na Toma. Nie tak powinniśmy go traktować ostatniego dnia w domu.

– Nie szkodzi, mamó – powiedziałem. – Wystarczy mi, że mogę tu siedzieć i słuchać.

Mama przytaknęła.

– Ja jednak mam ci do powiedzenia parę rzeczy. Po kolacji zostań w kuchni, pogawędzimy.

\*

Kiedy zatem Jack, Ellie i tato poszli na górę spać, usiadłem w fotelu przy kominku, czekając cierpliwie na to, co ma mi do powiedzenia mama.

Nie należała do kobiet, które robią wokół siebie dużo zamieszania. Z początku zaczęła wyliczać, co dla mnie pakuje: parę zapasowych spodni, trzy koszule i dwie pary porządnych skarpetek, tylko raz cerowanych.

Wpatrywałem się w żar na palenisku, postukując lekko nogą o kamienną posadzkę. Mama przysunęła swój bujany fotel i ustawiła go tak, by siedzieć dokładnie naprzeciw mnie. W jej czarnych włosach połyskiwało kilka pasemek siwizny, poza tym jednak wyglądała zupełnie tak samo jak wtedy, gdy byłem jeszcze malcem ledwie sięgającym jej kolan. Jej oczy nadal błyszczały jasno i gdyby nie blada cera, wydawałaby się uosobieniem zdrowia.

– Minie sporo czasu, nim znów będziemy mogli porozmawiać w cztery oczy – zaczęła. – Opuszczenie domu i rozpoczęcie samodzielnego życia to wielki krok. Jeśli zatem jest coś, co chciałbyś powiedzieć, o co pragnąłbyś zapytać, zrób to teraz.

Nic nie przychodziło mi do głowy, jakbym w ogóle nie był w stanie myśleć. Jej słowa sprawiły, że zapiekły mnie oczy. Zamrugalem, przeganiając łzy.

Cisza przeciągała się coraz bardziej, słyszałem tylko lekkie uderzenia własnych stóp na kamiennej płycie. W końcu mama westchnęła.



– Co się stało? – spytała. – Odjęło ci mowę? Wzruszyłem ramionami.

– Przestań się wiercić, Tomie, i skup na tym, co mówię – ostrzegła. – Po pierwsze, czy cieszysz się, że jutro zaczniesz nową pracę?

– Sam nie wiem, mam – przypomniałem sobie dowcip Jacka o tym, że będę musiał kupować przyjaciół. – Nikt nie chce zbliżyć się do stracharza. Nie będę miał przyjaciół. Cały czas będę żył samotnie.

– Nie będzie aż tak źle, jak myślisz – pocieszyła mnie mama. – Zawsze możesz porozmawiać ze swoim mistrzem: będzie twoim nauczycielem i bez wątpienia z czasem zostanie też przyjacielem. Z pewnością też nie zabraknie ci zajęć i nauki. Nie będziesz miał czasu, by odczuć samotność. Nie uważasz, że to nowa, podniecająca perspektywa?

– Owszem, jest podniecająca, lecz praca mnie przeraża. Chcę to robić, ale nie wiem, czy dam radę. Jakaś część mnie pragnie podróżować i oglądać nowe miejsca, trudno jednak będzie już tu nie mieszkać. Będę tęsknił za wami wszystkimi. I za domem.

– Nie możesz tu zostać – oznajmiła mama. – Twój tato starzeje się, nie ma siły pracować. Następnej zimy odda gospodarstwo Jackowi. Ellie wkrótce urodzi dziecko, bez wątpienia pierwsze z wielu i w końcu zabraknie dla ciebie miejsca. Nie, lepiej pogódź się z tą myślą, nim do tego dojdzie. Nie możesz wrócić do domu.

Jej głos brzmiał chłodno i surowo, a jego ton i wypowiedziane słowa sprawiły, że serce i gardło zacisnęły mi się boleśnie. Ledwie mogłem oddychać.

Chciałem już tylko pójść do łóżka, ale ona miała jeszcze dużo do powiedzenia. Rzadko słyszałem, by przemawiała tak długo.

– Masz teraz nowe obowiązki i będziesz je wypełniał – oznajmiła stanowczo. – I co więcej, wypełniał należycie. Poślubiłam twojego ojca, bo był siódmym synem i urodziłam mu sześciu synów po to, by mieć ciebie. Siedem razy siedem. Jesteś siódmym z siódmego i masz dar. Twojemu nowemu mistrzowi wciąż nie brak

sił, lecz najlepsze czasy ma już za sobą i zbliża się jego koniec. Prawie sześćdziesiąt lat wędrował po gościńcach Hrabstwa, czyniąc swoją powinność, robiąc to, co zrobić trzeba. Wkrótce nadejdzie twoja kolej i jeśli ty tego nie zrobisz, to kto? Kto zajmie się zwykłymi ludźmi? Kto ich ochroni? Kto zapewni bezpieczeństwo farmom, wioskom i miasteczkom, by kobiety i dzieci mogły bez lęku spacerować ulicami?

Nie wiedziałem, co powiedzieć i nie mogłem jej spojrzeć w oczy. Ze wszystkich sił starałem się nie rozplakać.

– Kocham wszystkich w tym domu – podjęła; jej głos złagodniał. – Ale w całym wielkim Hrabstwie tylko ty jesteś podobny do mnie. Wciąż jeszcze musisz dorosnąć i dojrzeć, ale przyszedłeś na świat jako siódmy syn siódmego syna. Masz dar i siłę potrzebną, by robić to, co konieczne. Wiem, że będę z ciebie dumna. No cóż – wstała z fotela. – Cieszę się, że to ustaliliśmy. A teraz zmykaj do łóżka. Jutro czeka cię wielki dzień i musisz przed nim wypocząć.

Uściskała mnie i obdarzyła ciepłym uśmiechem, a ja próbowałem udawać wesołość i także się uśmiechać. Gdy jednak dotarłem do swego pokoju, usiadłem na skraju łóżka, patrząc tępo przed siebie i rozmyślając o tym, co mi powiedziała.

Moja mama cieszy się w sąsiedztwie dużym szacunkiem. O roślinach i lekach wie więcej niż miejscowy medyk, a kiedy podczas porodu następują komplikacje, położna zawsze po nią posyła. Mama jest specjalistką od, jak to nazywa, porodów pośladowych. Czasami dziecko próbuje przyjść na świat stopami do przodu i wtedy trzeba obrócić je jeszcze w łonie matki. Dziesiątki kobiet w Hrabstwie zawdzięczają jej życie.

Tak przynajmniej twierdzi mój tato, lecz mama, jak zawsze skromna, nigdy nie wspominała o podobnych rzeczach. Po prostu robiła to co trzeba i wiedziałem, że tego samego oczekuje ode mnie. Chciałem zatem, by była ze mnie dumna. Ale czy naprawdę mówiła poważnie, że poślubiła mojego tatę i urodziła sześciu braci tylko po to, by móc urodzić mnie? Nie wydawało się to prawdopodobne.

Po dłuższym czasie wstałem z łóżka i usiadłem w starym

wiklinowym fotelu przy wychodzącym na północ oknie. Spojrzałem w dal.

Na niebie świecił księżyc, zalewając świat srebrzystym blaskiem. Widziałem dziedziniec, dwie duże łąki i północne pastwisko, aż do granicy naszej farmy, kończącej się w połowie zbocza Wzgórza Wisielców. Lubiłem ten widok, lubiłem oglądać z daleka Wzgórze Wisielców. Cieszyłem się, że to najodleglejsza rzecz, jaką widzę.

Od lat robiłem to samo przed snem: wpatrywałem się we wzgórze i wyobrażałem sobie, co kryje się po drugiej stronie. Wiedziałem, że tak naprawdę są tam tylko kolejne pola, a za nimi, dwie mile dalej, osada nazywana miejscowym miasteczkiem – pół tuzina domów, mały kościół i jeszcze mniejsza szkoła – lecz moja wyobraźnia przywoływała inne obrazy. Czasami widziałem w myślach wysokie skały i ocean, czy może las albo wielkie miasto o wysokich wieżach, połyskujące światłami.

Teraz jednak, patrząc w dal, przypomniałem sobie także moje lęki. Owszem, wzgórze wyglądało pięknie z daleka, ale nie należało do miejsc, do których chciałem się zbliżyć. Wzgórze Wisielców, jak pewnie zgadujecie, nie zostało tak nazwane bez powodu.

Trzy pokolenia wcześniej w całym kraju wybuchła wojna i mężczyźni z Hrabstwa odegrali w niej swoją rolę. Była to najgorsza ze wszystkich wojen, zacięta wojna domowa dzieląca rodziny. Czasami brat walczył w niej z bratem.

Ostatniej wojennej zimy doszło do wielkiej bitwy, jakąś milę na północ od nas, niedaleko wioski. A kiedy dobiegła końca, zwycięska armia przyprowadziła jeńców na to wzgórze i powiesiła ich na drzewach porastających północne zbocze. Powiesili także część swoich żołnierzy za, jak twierdzili, tchórzostwo w obliczu wroga. Istniała jednak także inna wersja historii. Według niej część mężczyzn odmówiła walki z ludźmi, których uważali za swych sąsiadów.

Nawet Jack nie lubił pracować blisko granicznego płotu, a psy nie zbliżały się do lasu. Co do mnie, ponieważ wyczuwałem rzeczy,

których inni nie widzą, nie mogłem pracować nawet na północnym pastwisku. Bo widzicie, stamtąd już ich słyszałem. Słyszałem jęk sznurów i trzeszczenie gałęzi, uginających się pod ciężarem ciała. Słyszałem zmarłych, dławiących się i krztuszących po drugiej stronie wzgórza.

Mama mówiła, że jesteśmy tacy sami. Pod jednym względem z pewnością: wiedziałem, że ona także widzi rzeczy, których inni nie dostrzegają. Pewnej zimy, gdy byłem bardzo mały i wszyscy moi bracia mieszkali jeszcze w domu, dźwięki dobiegające ze wzgórza stały się nocą tak głośne, że docierały nawet do mojego pokoju. Moi bracia nie słyszeli niczego, ale ja nie mogłem spać. Za każdym razem gdy wołałem, mama przychodziła do mnie, choć musiała wstawać o świcie, bo miała mnóstwo pracy.

W końcu oznajmiła, że to załatwi i pewnej nocy samotnie wspięła się na Wzgórze Wisielców, między drzewa. Kiedy wróciła, nie słyszałem niczego i cisza ta trwała przez wiele miesięcy.

Zatem pod jednym względem jednak się różniliśmy.

Mama była znacznie odważniejsza ode mnie.

## **ROZDZIAŁ 2**

### **W DRODZE**

Wstałem godzinę przed świtem, lecz mama krzątała się już w kuchni, szykując moje ulubione śniadanie, jajka na bekonie.

Wycierałem właśnie talerz ostatnią kromką chleba, gdy na dół zszedł tato. Kiedy się zegnaliśmy, wyciągnął coś z kieszeni i wcisnął mi do ręki. Była to niewielka hubka i krzesiwo, kiedyś należały do jego własnego taty, a wcześniej do dziadka. Ulubiony przedmiot ojca.

– Chcę, żebyś to wziął, synu – oznajmił. – Może przyda ci się w nowej pracy. I wróc do nas niedługo. Owszem, opuszczasz dom, ale nie znaczy to, że nie możesz złożyć nam wizyty.

– Czas ruszać, synu – mama podeszła i uścisnęła mnie po raz ostatni. – Twój mistrz stoi przy bramie. Nie każ mu czekać.

Nie należeliśmy do rodzin, które lubią wszystko przeciągać, zwłaszcza pożegnania, toteż sam wyszedłem na dwór.

Stracharz czekał po drugiej stronie bramy – ciemna postać na tle szarzejącego, porannego nieba. Na głowę naciągnął kaptur, stał wyprostowany, wysoki, z laską w lewej dłoni. Ruszyłem ku niemu, dźwigając zawiniątko ze swym dobytkiem. Bardzo się denerwowałem.

Ku memu zdumieniu, stracharz otworzył bramę i wszedł na podwórze.

– No dalej, chłopcze – rzucił. – Chodź ze mną! Skoro mamy razem podróżować, równie dobrze możemy już ruszać.

Zamiast skierować się w stronę gościńca, poprowadził mnie na północ, prosto na Wzgórze Wisielców. Wkrótce przekroczyliśmy północne pastwisko. Serce coraz mocniej waliło mi w piersi. Kiedy dotarliśmy do ogrodzenia, stracharz wspiał się na nie z lekkością młodzika, ja jednak zamarłem. Stojąc z dłońmi na przecie ogrodzenia, słyszałem już skrzypienie drzew, których gałęzie wyginały się pod ciężarem wiszących na nich ludzi.

– Co się stało, chłopcze? – Stracharz obrócił się i spojrzał na mnie. – Jeśli boisz się czegoś na swym własnym progu, na niewiele mi się przydasz.

Odetchnąłem głęboko i wdrapałem się na płot. Ruszyliśmy w górę i wkrótce znaleźliśmy się w mroku między drzewami. Im wyżej się wspinaliśmy, tym robiło się zimniej i wkrótce zacząłem dygotać. Był to ten rodzaj chłodu, który wywołuje gęsią skórę i od którego jeżą się włosy na karku na znak, że coś jest nie w porządku. Czułem się już tak wcześniej, kiedy w pobliżu pojawiało się coś nie należącego do tego świata.

Gdy dotarliśmy na szczyt wzgórza, zobaczyłem ich poniżej. Musiała ich być co najmniej setka, czasami wisiało po dwóch, trzech na tym samym drzewie, ubranych w wojskowe mundury, z szerokimi, skórzanymi pasami i wysokimi butami. Ręce mieli

związane za plecami i każdy zachowywał się inaczej. Niektórzy szarpali się rozpaczliwie, aż gałąź nad ich głowami podskakiwała i jęczała. Inni obracali się powoli na końcu sznura, wskazując to w jedną, to w drugą stronę.

I kiedy tak patrzyłem, poczułem nagle na twarzy silny wiatr – wiatr na tyle zimny i ostry, że nie mógł być naturalny. Drzewa pochyliły się nisko, ich liście uschły i zaczęły spadać. Wystarczyła chwila i gałęzie pozostały nagie. Gdy wielki wiatr ucichł, stracharz położył mi dłoń na ramieniu i poprowadził bliżej wisielców. Zatrzymaliśmy się zaledwie krok od najbliższego.

– Przyjrzyj mu się – polecił stracharz. – Co widzisz?

– Martwego żołnierza – odparłem lekko łamiącym się głosem.

– Według ciebie ile ma lat?

– Najwyżej siedemnaście.

– Świetnie. Dobra robota, chłopcze. A teraz powiedz, dalej się boisz?

– Trochę. Nie podoba mi się, że jestem tak blisko.

– Czemu? Nie ma się czego bać, tu nic nie może cię skrzywdzić. Pomyśl, co on musiał przeżyć. Skup się na nim, nie na sobie. Co czuł, co było najgorsze?

Usiłowałem postawić się na miejscu żołnierza i wyobrazić sobie, jak to jest umrzeć w taki sposób. Ból i walka o każdy oddech musiały być okropne, ale mógł czuć coś jeszcze gorszego...

– Wiedział, że umiera i że nigdy już nie wróci do domu. Ze nigdy więcej nie zobaczy swej rodziny – powiedziałem.

I gdy to rzekłem, ogarnął mnie nagły smutek. Wisielcy powoli zaczęli znikać, aż w końcu zostaliśmy sami na wzgórzu, a na drzewach znów pojawiły się liście.

– Jak się teraz czujesz? Nadal się boisz?

Pokręciłem głową.

– Nie – odparłem. – Po prostu mi smutno.

– Dobra robota, chłopcze. Uczysz się. My, siódmi synowie siódmych synów, mamy dar dostrzegania rzeczy, których nie widzą inni. Lecz ten dar bywa czasem przekleństwem. Nie możemy się

bać, bo istnieją rzeczy, które karmią się naszym strachem. Strach wszystko pogarsza. Trzeba skupić się na tym, co widzisz i przestać myśleć o sobie. To zawsze działa. Owszem, widok był przerażający, chłopcze, ale to tylko widma – ciągnął stracharz. – Niewiele możemy z nimi zrobić; w swoim czasie same znikają. Za jakieś sto lat nic tu już nie pozostanie.

Miałem ochotę mu powiedzieć, że mama raz coś z nimi zrobiła, ale milczałem. Wolałem się nie wychylać, zwłaszcza na początku.

– Gdyby to były duchy, sprawy wyglądałyby inaczej – wyjaśniał. – Z duchami można rozmawiać i mówić im, co jest co. Należy uświadomić im, że nie żyją, to ważny krok pozwalający im odejść. Duch to zazwyczaj oszołomiona dusza uwięziona na tej ziemi, nieświadoma tego, co się z nią stało. Bardzo często cierpią męki. Oczywiście, istnieją też inni, mający przed sobą wyraźny cel. Ci mogą powiedzieć ci różne rzeczy. Lecz widmo to tylko fragment duszy, która odeszła do lepszych krain. Tym właśnie są, chłopcze, widmami. Widziałeś, jak zmieniły się drzewa?

– Liście opadły i nastąpiła zima.

– Teraz jednak wróciły. Oglądałeś tylko obrazy z przeszłości, wspomnienie zła, które czasem dzieje się na tej ziemi. Zwykle, jeśli masz dość odwagi, widma cię nie widzą i niczego nie czują. Są jak odbicia w stawie, pozostające na wodzie, choć ich właściciel już odszedł. Rozumiesz, co mówię?

Przytaknąłem.

– Świetnie, w takim razie załatwione. Od czasu do czasu będziemy mieć do czynienia ze zmarłymi, warto zatem, byś do nich przywykł. A teraz ruszajmy! Czeka nas daleka droga. Trzymaj, od tej pory ty będziesz to niósł.

Stracharz wręczył mi swą wielką skórzaną torbę i nie oglądając się za siebie, zaczął wspinać się z powrotem. Podążyłem za nim na wierzchołek i przez las w stronę gościńca, odległej, szarej linii, ciągnącej się na południe między zielonymi i brązowymi polami.

– Dużo podróżowałeś, chłopcze? – zawołał przez ramię stracharz. – Jaką część Hrabstwa zwiedziłeś?



Odparłem, że nigdy nie oddaliłem się dalej niż sześć mil od gospodarstwa ojca. Moją najdalszą podróżą była wizyta na miejscowym targu.

Stracharz wymamrotał coś pod nosem i pokręcił głową. Widziałem, że nie spodobała mu się moja odpowiedź.

– No cóż, od dziś zaczną się twoje podróże – zapowiedział. – Idziemy na północ, do wioski zwanej Horshaw. To piętnaście mil lotem ptaka, powinniśmy dotrzeć tam przed zmierzchem.

Słyszałem o Horshaw; była to górnicza wioska, największa siedziba handlarzy węglem w Hrabstwie. Sprzedawali tam węgiel wydobywany z dziesiątek otaczających ją kopalni. Nigdy nie sądziłem, że się tak daleko wybiorę i zastanawiałem się, czego stracharz może szukać w podobnym miejscu.

Maszerowałem w szaleńczym tempie, stawiając długie, lekkie kroki. Wkrótce zacząłem zostawać w tyle. Nie tylko dźwigałem własne zawiniątko z ubraniami i resztą dobytku, ale także jego torbę, która z każdą minutą wydawała mi się coraz cięższa. A potem, jakby jeszcze było mało, zaczęło padać.

Jakąś godzinę przed południem stracharz zatrzymał się nagle, odwrócił i spojrzał na mnie uważnie. Wlokłem się jakieś dziesięć kroków za nim, bolały mnie stopy i lekko kuśtykałem. Droga była w istocie szerszą ścieżką, szybko zmieniającą się w błoto. W chwili gdy zrównałem się z moim przewodnikiem, natrafiłem palcem na kamień, pośliznąłem się i o mało nie straciłem równowagi. Zaczekał.

– Słabo ci, chłopcze? Masz problemy z równowagą? – spytał.

Pokręciłem głową. Bardzo chciałem dać odpocząć rękom, ale odstawienie torby w błoto nie wydało mi się stosowne.

– To dobrze – stracharz uśmiechnął się lekko. Ściekający z kaptura deszcz kapał mu na brodę. – Nigdy nie ufaj ludziom, którym kręci się w głowie. Warto to zapamiętać.

– Wcale mi się nie kręci – zaprotestowałem.

– Nie? – Stracharz uniósł krzaczaste brwi. – Jest to więc pewnie kwestia twoich butów. Na niewiele zdadzą ci się w tej

pracy.

Nosiłem buty identyczne jak mój tato i Jack, solidne, nadające się do stąpania w błocie i gnoju farmy, ale też należały do tych butów, do których trzeba przywyknąć. Nim rozchodziło się nową parę, co najmniej dwa tygodnie miało się stopy pełne pęcherzy.

Przyjrzałem się butom stracharza. Uszyto je z mocnej, porządnej skóry, miały wyjątkowo grube podeszwy, musiały kosztować majątek. Przypuszczam jednak, że dla kogoś, kto dużo chodzi, były warte każdego grosza. Kiedy szedł, uginały się lekko i wiedziałem, że były wygodne od chwili, gdy je naciągnął.

– Dobre buty to podstawa w tym fachu – oznajmił stracharz. – Nie zawieramy człowiekowi ni zwierzęciu, sami idziemy tam, gdzie nas potrzebują. Polegaj na swych własnych nogach, one nigdy cię nie zawiodą. Jeżeli zatem zdecyduję się przyjąć cię do terminu, kupię ci buty takie jak moje. Do tego czasu będziesz musiał jakoś sobie radzić.

W południe zrobiliśmy krótki popas, ukryci przed deszczem w opuszczonej bydłczej szopie. Stracharz wyjął z kieszeni kawałek materiału i rozpakował, odsłaniając bryłę żółtego sera.

Odłamał kawałek i wręczył mi. Jadałem już lepsze rzeczy, ale że byłem głodny, pochłonałem go szybko. Sam stracharz zjadł jedynie odrobinę, resztę zapakował i schował do kieszeni.

Ukryty przed deszczem, ściągnął kaptur i po raz pierwszy mogłem dokładnie mu się przyjrzeć. Oprócz gęstej brody i zapadniętych oczu, najbardziej charakterystyczną cechą twarzy stracharza był nos, ponury, ostry i zakrzywiony, tak że kojarzył się z ptasim dziobem. Kiedy zamykał usta, zarost zasłaniał je niemal całkowicie. Sama broda z początku wydawała się szara, gdy jednak przyjrzałem się bliżej, starając się czynić to ukradkiem, by nie zauważył, przekonałem się, że widać w niej większość kolorów tęczy. Dostrzegłem odcienie czerwieni, czerni, brązu i oczywiście mnóstwo szarości, lecz jak sobie później uświadomiłem, wszystko zależało od padającego na brodę światła.

„Słaba szczęka, słaby charakter” – mawiał często mój ojciec;

uważał też, że niektórzy mężczyźni noszą brody tylko po to, by ukryć ten smutny fakt. Jednak patrząc na stracharza, stwierdziłem, że pod gęstą brodą ma potężną szczękę, a kiedy otworzył usta, ujrzałem żółte zęby, bardzo ostre, bardziej nadające się do szarpania czerwonego mięsa niż skubania sera. Z nagłym dreszczem uświadomiłem sobie, że przypomina mi wilka. I nie sprawiał tego wyłącznie jego wygląd. Stracharz był drapieżcą polującym w ciemności. Żywiąc się odrobinami sera, nieustannie pozostawał głodny i zły. Jeśli ukończę termin, stanę się taki jak on.

– Wciąż jesteś głodny, chłopcze? – Szare oczy wwierciły się w moje z taką mocą, że zakręciło mi się w głowie.

Byłem przemoknięty do suchej nitki i bolały mnie stopy, ale przede wszystkim czułem głód. Przytaknąłem zatem, myśląc, że poczęstuje mnie czymś jeszcze. On jednak pokręcił tylko głową i wymamrotał coś do siebie, a potem znów spojrzał na mnie ostro.

– Głód to coś, do czego będziesz musiał przywyknąć – oznajmił.  
– W czasie pracy niewiele jadamy, a jeśli zadanie jest bardzo trudne, w ogóle nie jemy niczego, póki go nie skończymy. Posty są najbezpieczniejsze, bo czynią nas mniej podatnymi na mrok. Dodają nam sił. Równie dobrze zatem możesz zacząć trenować od razu, bo gdy dotrzemy do Horshaw, zamierzam poddać cię próbie. Spędzisz noc w nawiedzonym domu. I zrobisz to sam. Dzięki temu przekonam się, z jakiej jesteś ulepiiony gliny.

## **ROZDZIAŁ 3**

### **ZAUŁEK WODNY NR 13**

Dotarliśmy do Horshaw, akurat gdy w oddali odezwał się dzwon kościelny. Była siódma wieczór, na dworze robiło się już ciemno. Gęsta mżawka niesiona wiatrem atakowała nasze twarze, lecz pozostało jeszcze dość światła, bym stwierdził, że nie jest to miejsce, w którym chciałbym zamieszkać i chętnie uniknąłbym

nawet krótkiej wizyty.

Horshaw było czarną plamą na tle zielonych pól, ponurą, brzydką wsią złożoną z dwóch tuzinów uliczek zabudowanych posepnymi, przylegającymi do siebie kamienicami, skupionymi na południowym zboczu mokrego, szarego wzgórza. W całej okolicy roilo się od kopalni, a Horshaw leżało w samym ich centrum. Wysoko nad wsią wznosił się wielki stos żużlu, oznaczający wejście do kopalni. Za nim rozciągały się targowiska i magazyny przechowujące dość paliwa, by ogrzać największe miasta Hrabstwa przez całą, nawet najdłuższą zimę.

Wkrótce maszerowaliśmy wąskimi, brukowanymi ulicami, trzymając się blisko brudnych ścian, by przepuścić wozy wyładowane czarnymi bryłami węgla, mokrymi i połyskującymi w deszczu. Zaprzężone do nich wielkie konie zmagaly się z ciężarem; ich kopyta ślizgały się na lśniących kocich łbach.

Nie spotkaliśmy zbyt wielu ludzi, lecz gdy przechodziliśmy, firanki w oknach kołysały się wyraźnie, a raz minęliśmy grupkę ponurych górników maszerujących na wzgórze, by rozpocząć nocną zmianę. Rozmawiali bardzo głośno, ale na nasz widok zamilkli nagle i ustawili się gęsiego, by nas przepuścić, trzymając się drugiej strony ulicy. Jeden z nich nawet się przeżegnał.

– Przywyknij do tego, chłopcze – warknął stracharz. – Ludzie nas potrzebują, ale rzadko witają przychylnie, a niektóre miejsca są gorsze niż inne.

W końcu skręciliśmy za róg, w najwęższą i najbrzydszą ulicę. Nikt tu nie mieszkał – widać to było na pierwszy rzut oka. Część okien była powybijana, inne zabito deskami. A choć zapadł już wieczór, nie dostrzegłem żadnych świateł. Na końcu ulicy ujrzałem opuszczony magazyn ziarna; dwoje wielkich, drewnianych odrzwi kołysało się na zardzewiałych zawiasach.

Stracharz zatrzymał się przed ostatnim domem, stojącym na rogu najbliższej magazynu. Na całej ulicy tylko on miał własny numer, wykuty z metalu i przybity do drzwi. To była trzynastka, najgorszy i najbardziej pechowy ze wszystkich numerów. A

dokładnie nad nim, wysoko na ścianie, zawieszony na pojedynczym, zardzewiałym haku, wisiał drogowskaz wskazujący niemal pionowo w dół. Napis na nim głosił: Zaulek Wodny.

W tym domu okna pozostały całe, lecz firanki pożółkły i pokryły je pajęczyny. To musiał być nawiedzony dom, o którym wspominał mój mistrz.

Stracharz wyciągnął z kieszeni klucz, otworzył drzwi i poprowadził mnie w zalegający wewnątrz mrok. Z początku ucieszyłem się, że mamy schronienie przed deszczem. Kiedy jednak zapalił świeczkę i ustawił ją na podłodze pośrodku niewielkiego frontowego pomieszczenia, pojąłem, że lepiej bym się czuł w opuszczonej szopie dla krów. Wokół nie dostrzegłem nawet jednego mebla, tylko nagą, kamienną posadzkę i stos brudnej słomy pod oknem. W pokoju także panowała wilgoć, powietrze było zimne i ciężkie, i w migotliwym świetle świecy widziałem ulatującą z moich ust parę.

To, co zobaczyłem, wcale mnie nie zachwyciło, lecz słowa stracharza zabrzmiały jeszcze gorzej.

– No cóż, chłopcze, mam do załatwienia pewną sprawę, toteż wychodzę i wrócę później. Wiesz, co masz robić?

– Nie, panie – odparłem wpatrując się w migoczący płomyk świecy z obawą, że lada moment zgaśnie.

– Mówiłem ci przecież wcześniej. Nie słuchałeś? Musisz stale zachowywać czujność, nie śnić na jawie. To nic trudnego – wyjaśnił, drapiąc się po brodzie, jakby coś w niej pełzało. – Masz tylko spędzić tu samotnie noc. Wszystkich moich nowych uczniów przyprowadzam do tego starego domu w ich pierwszą noc, by sprawdzić, z jakiej są ulepieni gliny. I jeszcze jedno, o czym nie wspomniałem. O północy masz zejść do piwnicy i stawić czoło temu, co się tam kryje. Jeśli sobie z tym poradzisz, istnieje duża szansa, że przyjmę cię na stałe. Pytania?

Miałem mnóstwo pytań, ale za bardzo bałem się możliwych odpowiedzi, toteż jedynie pokręciłem głową i zacisnąłem wargi, by nie drżały.

– Skąd będziesz wiedział, że dochodzi północ? – spytał.

Wzruszyłem ramionami. Całkiem nieźle radziłem sobie ze zgadywaniem godziny z położenia słońca bądź gwiazd; nawet kiedy budziłem się w środku nocy, niemal zawsze wiedziałem dokładnie, która jest godzina. Ale tu nie byłem taki pewien. W niektórych miejscach czas zdawał się płynąć wolniej i podejrzewałem, iż ten stary dom do nich należy.

Nagle przypomniałem sobie kościelny zegar.

– Właśnie minęła siódma – odparłem. – Będę czekał na dwanaście uderzeń.

– Przynajmniej teraz nie śpisz. – Stracharz uśmiechnął się lekko. – Kiedy zegar wybije północ, weź ogarek i przyświecając sobie, znajdź drogę do piwnicy. Do tego czasu możesz spać, jeśli uda ci się zasnąć. A teraz słuchaj uważnie, bo musisz zapamiętać trzy ważne rzeczy. Nikomu nie otwieraj drzwi, nieważne, jak głośno by stukał. I nie spóźnij się z zejściem do piwnicy

Postąpił krok w stronę wyjścia.

– A trzecia rzecz? – zawołałem w ostatniej chwili.

– Świeczka, chłopcze. Cokolwiek zrobisz, nie pozwól, by zgasła...

A potem zniknął, zamykając za sobą drzwi i zostałem sam. Ostrożnie podniosłem świeczkę, podszedłem do kuchennych drzwi i zajrzałem do środka. Pomieszczenie było puste, pozostał w nim tylko kamienny zlew. Za zamkniętymi tylnymi drzwiami zawodził wiatr. Po prawej ujrzałem jeszcze dwoje drzwi. Jedne, otwarte, prowadziły na nagie, drewniane schody wiodące do sypialni na górze. Drugie, najbliższe mnie, były zamknięte.

Z niewiadomych przyczyn owe zamknięte drzwi budziły we mnie niepokój. Mimo wszystko jednak postanowiłem sprawdzić. Nerwowo chwyciłem klamkę i szarpnąłem. Drzwi stawiały opór i przez moment miałem upiorne wrażenie, że ktoś po drugiej stronie je przytrzymuje. Kiedy pociągnąłem mocniej, otworzyły się nagle, tak szybko, że straciłem równowagę. Poleciałem chwiejnie parę kroków do tyłu i o mało nie upuściłem świecy.

Kamienne stopnie znikwały w ciemności, czarne od węglowego pyłu. Zakręcały w lewo, toteż nie mogłem zajrzeć wprost do piwnicy, poczułem jednak zimny powiew, tak silny, że płomyk świeczki zatańczył i przygasł. Szybko zatrzasnąłem drzwi i wróciłem do pokoju frontowego, zamykając za sobą kuchnię.

Starannie ustawiłem świeczkę w kącie najdalszym od drzwi i okna. Upewniwszy się, że się nie przewróci, zacząłem szukać na podłodze miejsca do spania. Niewielki miałem wybór. Z całą pewnością nie zamierzałem spać na wilgotnej słomie, toteż ułożyłem się pośrodku pomieszczenia.

Kamienne płyty były zimne i twarde, zamknąłem jednak oczy. Gdy zasnę, znajdę się daleko od ponurego starego domu, a byłem niemal pewien, że obudzę się tuż przed północą.

Zazwyczaj szybko zasypiam, tym razem jednak było inaczej. Dygotałem z zimna, a wiatr potrząsał starymi oknami. Z wnętrza ścian dobiegały szelesty i stukoty. To tylko myszy, powtarzałem sobie w duchu, przywykliśmy do ich obecności na farmie. Potem jednak usłyszałem nowy, niepokojący dźwięk, dobiegający z dołu, z głębi ciemnej piwnicy.

Z początku był bardzo słaby i musiałem wyteżać uszy, stopniowo jednak narastał i w końcu zrozumiałem, bez cienia wątpliwości, co słyszę. W piwnicy działo się coś, co nie powinno się dziać. Ktoś kopał rytmicznie, przerzucając ciężką ziemię ostrym metalowym szpadłem. Najpierw słyszałem zgrzyt metalowej krawędzi uderzającej w twardą powierzchnię, a po nim miękkie młaśnięcia, odgłosy ssania, gdy łopata wnikała głębiej w ciężką glinę i odrywała jej bryły.

Trwało to kilkanaście minut, a potem dźwięk ucichł, równie nagle, jak się pojawił. Zapadła cisza, nawet myszy przestały tupotać – zupełnie jakby dom i wszystko, co się w nim kryło, wstrzymywał oddech. Ja z pewnością go wstrzymywałem. Ciszę zakłócił donośny łoskot, a potem cała seria, w wyraźnym rytmie. Łoskoty stawały się coraz głośniejsze. I głośniejsze. I bliższe.

Ktoś wchodził po piwnicznych schodach. Chwyciłem świecę i



skuliłem się w najdalszym kącie. Łup, łup, coraz bliżej i bliżej tupały ciężkie buty. Kto mógł tak kopać w ciemności? Kto wspinał się teraz po schodach?

Ale może pytanie nie powinno brzmieć: kto? Może powinienem spytać: co?

Usłyszałem skrzypnięcie otwieranych piwnicznych drzwi i kroki w kuchni. Przywarłem do ściany, próbując stać się bardzo mały. Czekałem, aż otworzą się drzwi kuchenne.

I faktycznie, otwarły się, bardzo powoli, z głośnym skrzypieniem. Coś weszło do pokoju. I wtedy poczułem chłód, prawdziwy, przejmujący chłód, świadczący o tym, że w pobliżu jest coś, co nie powinno przebywać na tej ziemi. Przypominał zimno, panujące na Wzgórzu Wisielców, tyle że był znacznie, znacznie gorszy.

Uniosłem świecę; migotliwy płomyk rzucał niesamowite cienie, tańczące na ścianach i suficie.

– Kto tam? – zawołałem. – Kto tu jest? – głos drżał mi jeszcze mocniej niż dłoń dzierżąca świecę.

Nikt nie odpowiedział. Nawet wiatr na dworze ucichł.

– Kto tu jest? – zawołałem ponownie.

Ów ktoś nadal nie odpowiadał, lecz niewidzialne buty ruszyły w moją stronę. Zbliżały się coraz bardziej i słyszałem już oddech, coś wielkiego dyszało ciężko. Brzmiało jak koń pociągowy, który zawlókł właśnie ciężki ładunek na szczyt stromego wzgórza.

W ostatniej chwili kroki skrzyły i zatrzymały się przy oknie. Wstrzymywałem oddech, a stwór przy oknie zdawał się oddychać za nas obu, wciągając w płuca wielkie hausty powietrza, zupełnie jakby ciągle nie miał dosyć.

W chwili gdy poczułem, że dłużej nie wytrzymam, stwór westchnął ciężko, ze smutkiem i znużeniem.

Niewidzialne buty znów zazgrzytały na kamiennych płytach posadzki, oddalając się od okna w stronę drzwi. Gdy zaczęły tupać na schodach, w końcu zdołałem odetchnąć.

Stopniowo moje rozszalałe serce zaczęło się uspokajać, ręce

przestały się trząść, największe napięcie ustąpiło. Musiałem pozbierać się do kupy. Bałem się, lecz jeśli, miało to być najgorsze, co spotka mnie tej nocy, wiedziałem, że wytrzymam. Zaliczę pierwszą próbę. Miałem zostać uczniem stracharza, powinienem zatem przywyknąć do miejsc takich jak nawiedzony dom. To w końcu część pracy.

Po jakichś pięciu minutach poczułem się lepiej, pomyślałem nawet, że może znów spróbuję zasnąć. Lecz jak mawia czasami mój tato, zło nigdy nie spoczywa. Nie wiem co prawda, co złego zrobiłem, ale nagle usłyszałem nowy, niepokojący dźwięk.

Z początku był słaby i odległy – ktoś pukał do drzwi. Po chwili ciszy pukanie się powtórzyło, trzy wyraźne stuknięcia, tym razem nieco bliższe. Kolejna przerwa i trzy kolejne.

Wkrótce domyśliłem się, co to oznacza. Ktoś walił mocno do każdych drzwi na ulicy, zbliżając się coraz bardziej do numeru trzynaście. Gdy w końcu dotarł do nawiedzonego domu, trzy uderzenia zabrzmiały dość głośno, by obudzić umarłych. Czy stwór z piwnicy wdrapie się po schodach i odpowie? Czułem się uwieczony między dwiema siłami – czymś na zewnątrz, pragnącym dostać się do środka i czymś w dole, chcącym się uwolnić.

A potem nagle strach minął, bo z drugiej strony drzwi zawołał do mnie głos, głos, który natychmiast rozpoznałem.

– Tom! Tom! Otwórz drzwi! Wpuść mnie.

To była mama. Tak bardzo się ucieszyłem, że bez namysłu pobiegłem do drzwi frontowych. Na dworze padał deszcz, z pewnością strasznie zmokła.

– Szybko, Tom, szybko! – wołała mama. – Nie każ mi czekać.

Podnosiłem już skobel, gdy przypomniałem sobie ostrzeżenie strycharza: „Nikommu nie otwieraj drzwi, nieważne, jak głośno by stukał”.

Ale jak miałem zostawić mamę samą pośród nocy?

– No dalej, Tom! Wpuść mnie – przemówił głos.

Przypomniałem sobie słowa stracharza. Odetchnąłem głęboko, próbując myśleć. Rozsądek podpowiadał mi, że to nie może być ona.

Po co miałyby iść za mną? Skąd wiedziałyby, dokąd się wybieramy? Poza tym mama nie podróżowała sama, towarzyszyłby jej mój ojciec bądź Jack.

Nie, to coś innego czekało na zewnątrz. Coś pozbawionego dłoni, a jednak wciąż stukającego do drzwi. Coś bez nóg, a przecież stojące na chodniku.

Pukanie stało się głośniejsze.

– Proszę, wpuść mnie, Tom! – błagał głos. – Jak możesz być taki okrutny? Jestem zmarznięta, przemoczona i zmęczona.

W końcu głos zaczął płakać i wtedy wiedziałem już z całą pewnością, że to nie może być mama. Mama była silna. Mama nigdy nie płakała, nieważne, co ją spotkało.

Po kilku chwilach dźwięki stały się słabsze i w końcu ucichły. Położyłem się na podłodze, znów próbując zasnąć. Cały czas obracałem się z boku na bok, najpierw w jedną, potem w drugą stronę. Lecz mimo wszelkich wysiłków sen nie przychodził. Wiatr zaczął jeszcze głośniej potrząsać oknami, a co pół godziny odzywał się kościelny zegar. Nieubłaganie nadciągała północ.

Im bardziej zbliżała się pora zejścia po schodach do piwnicy, tym bardziej się denerwowałem. Bardzo chciałem przejść próbę stracharza, ale okropnie tęskniłem za powrotem do domu i własnym, bezpiecznym, wygodnym, ciepłym łóżkiem.

A potem, gdy zabrzmiał pojedynczy dzwon oznaczający wpół do dwunastej, kopanie znów się zaczęło...

Ponownie usłyszałem powolne łup, łup ciężkich butów wspinających się po stopniach piwnicy. Ponownie drzwi się otwały i niewidoczne buty wkroczyły do frontowego pokoju. Trwałem bez ruchu, w całym moim ciele poruszało się tylko serce, walące tak mocno, iż miałem wrażenie, że lada moment połamię mi żebra. Lecz tym razem buty nie skręciły w stronę okna, maszerowały natomiast – Łup! Łup! Łup! – wprost na mnie.

Poczułem, jak coś podnosi mnie szorstko za włosy i skórę na karku, niczym kotka przenosząca kocięta. Potem niewidzialna ręka objęła mnie, przyciskając mi ręce do boków. Próbowałem

wciągnąć oddech, ale nie zdołałem. Coś miażdżyło mi klatkę piersiową.

Istota niosła mnie w stronę drzwi piwnicy. Nie widziałem, czym jest, lecz słyszałem jej rżący oddech i szamotałem się w panice, bo wiedziałem dokładnie, co mnie czeka. W jakiś sposób rozumiałem, czemu z dołu dobiegały odgłosy kopania. Stwór znieś mnie po piwnicznych schodach w ciemność, gdzie czeka już na mnie grób. Zostanę pogrzebany żywcem.

Przerażony, usiłowałem krzyknąć, lecz nie byłem w stanie; coś, co miażdżyło mi żebra, było gorsze niż zwykły mocarny uścisk. Sparaliżowany, nie mogłem poruszyć żadnym mięśniem.

I nagle runąłem...

Odkryłem, że stoję na czworakach, wpatrując się w otwarte drzwi piwnicy, zaledwie parę cali od pierwszego stopnia. W panice, z sercem bijącym tak szybko, że nie dałem rady zliczyć pulsu, zerwałem się na równe nogi i zatrzęsnałem drzwi. Wciąż rozdygotany, wróciłem do frontowego pokoju i stwierdziłem, że jedna z trzech wyznaczonych przez stracharza zasad została złamana.

Świeca zgasła...

Podszedłem do okna. Nagły rozbłysk oświetlił pokój, tuż po nim nastąpił grzmot, dobiegający niemal dokładnie znad mojej głowy. Fala deszczu zaatakowała dom, bębniąc o szyby. Drzwi frontowe zaskrzypiały i zajęczały, jakby coś próbowało dostać się do środka.

Parę minut patrzyłem przed siebie, nieszczęśliwy, obserwując kolejne błyskawice. To była paskudna noc, lecz choć bałem się burzy, dałbym wszystko, by stać teraz na dworze, byleby tylko nie musieć schodzić do piwnicy.

W dali zadźwięczał kościelny dzwon, zacząłem liczyć uderzenia. Dwanaście. Teraz musiałem stawić czoło piwnicy.

I wtedy, gdy błyskawica znów rozświetliła pokój, zauważyłem wielkie ślady stóp na podłodze. Z początku sądziłem, że zostawił je stracharz, były jednak czarne, jak po butach umazanych węglowym pyłem, Prowadziły od kuchennych drzwi niemal do

okna, po czym zawracały tam, skąd przyszły: z powrotem do piwnicy. W ciemność, gdzie musiałem teraz zejść!

Zmuszając się do działania, zacząłem macać dookoła w poszukiwaniu ogarka, a potem mojego tobołka. W samym środku tkwiła hubka i krzesiwo, prezent od taty.

Po omacku wysypałem na podłogę stosik hubki i za pomocą kamienia i krzesiwa wykrzesalem iskry. Podpaliłem stosik i gdy tylko pojawił się płomyk, zapaliłem świecę. Tato nie mógł przewidzieć, jak szybko przyda mi się jego dar.

Gdy otwarłem drzwi piwnicy, na dworze znów błysnęło, ogłuszający grzmot wstrząsnął całym domem. Zszedłem do piwnicy, unosząc przed sobą w drżącej dłoni świecę; rozkołysany płomyk rzucał na ściany wirujące plamy światła.

Nie chciałem tam iść, ale gdybym nie sprostał próbie stracharza, zapewne o świcie wróciłbym do domu. Wyobraziłem sobie, z jakim wstydem musiałbym wyznać mamie, co się stało.

Po ośmiu stopniach skręciłem i ujrzałem piwnicę. Nie była wielka, lecz w kątach zalegały gęste cienie, bo światło nie sięgało tak daleko, a z powały zwisały zwiewne, zakurzone zasłony pajęczyn. Na podłodze z ubitej ziemi ujrzałem bryłki węgla i duże drewniane skrzynie. Obok beczki po piwie stał stary, drewniany stół. Okrążywszy beczkę, zauważyłem coś w najdalszym kącie. Coś ukrytego za skrzyniami, co przeraziło mnie tak bardzo, że o mało nie upuściłem świecy.

Był to ciemny kształt przypominający pęk szmat. Tyle że wydawał z siebie dźwięk. Słaby, rytmiczny odgłos podobny do oddychania.

Postąpiłem krok w stronę szmat, potem kolejny. Potrzebowałem całej siły woli, by się do niego zmusić. I wtedy, gdy zbliżyłem się tak bardzo, że mogłem go dotknąć, kształt nagle urósł. Wzniósł się z cienia na podłodze i po sekundzie stał się trzy, cztery razy większy.

O mało nie uciekłem. Przed sobą miałem wysoką, ciemną, zakapturzoną postać o błyszczących, zielonych oczach. I dopiero

wtedy zauważyłem laskę w jej lewej dłoni.

– Co cię zatrzymało? – spytał głośno stracharz. – Spóźniłeś się prawie pięć minut!

## ROZDZIAŁ 4

### LIST

– Mieszkałem w tym domu w dzieciństwie – oznajmił – i widywałem rzeczy, od których zrobiłoby ci się słabo, ale tylko ja je widziałem i ojciec bił mnie, twierdząc, że kłamię. Coś wychodziło z piwnicy. Być może doświadczyłeś tego samego. Mam rację?

Przytaknąłem.

– Nie masz się czego obawiać, to tylko kolejne widmo, fragment udręczonej duszy, która odeszła w lepsze miejsce. Gdyby ów duch nie pozostawił tu swej gorszej części, utkwiłby w domu na zawsze.

– Co zrobił? – mój głos odbił się echem od powały.

Stracharz ze smutkiem pokręcił głową.

– Był górnikiem, choroba przeżarła mu płuca tak bardzo, że nie mógł już pracować. Całymi dniami i nocami kasłał i z trudem chwycił oddech, a jego biedna żona utrzymywała ich oboje. Pracowała w piekarni, lecz na nieszczęście dla nich była bardzo piękna. Niewielu kobietom można zaufać, a piękne są zwykle najgorsze. Co jeszcze gorsze, górnik był człowiekiem zazdrosnym, a choroba sprawiła, że stał się zgorzkniały. Pewnego wieczoru żona do późna została w pracy, a on co chwila podchodził do okna, krążąc tam i z powrotem i wpadając w coraz większą złość, bo sądził, że jest z innym mężczyzną. Kiedy w końcu przyszła, ogarnęła go taka furia, że roztrzaskał jej głowę ciężką bryłą węgla. Potem zostawił ją tu, umierającą na posadzce i zszedł do piwnicy wykopać grób. Kiedy wrócił, wciąż żyła, nie mogła się jednak poruszyć ani nawet krzyknąć. To właśnie groza, która do nas powraca. To czuła, kiedy ją podniósł i zaniósł w dół, w ciemność.

Słyszała, jak kopie. Wiedziała, co zamierza zrobić. Później, tej samej nocy, mężczyzna się zabił. To smutna historia. Lecz choć teraz oboje spoczywają w pokoju, jego widmo wciąż tu tkwi, podobnie jej ostatnie wspomnienia, dość silne, by zadręczać ludzi takich jak my. Widzimy rzeczy, których inni nie dostrzegają; to błogosławieństwo i przekleństwo zarazem. Ale bardzo przydaje się w naszym fachu.

Zadrzałem. Okrutnie żałowałem nieszczęsnej zamordowanej żony, a także górnika, który ją zabił. Żałowałem nawet stracharza – nie mogłem sobie wyobrazić spędzenia w tym domu całego dzieciństwa.

Spojrzałem na świeczkę, którą ustawiłem pośrodku stołu. Niemal już się wypaliła i płomyk pełgał słabo tuż przed zgaśnięciem, ale stracharz wyraźnie nie zamierzał wracać na górę. Nie podobały mi się cienie na jego twarzy. Wyglądała, jakby ulegała stopniowej zmianie, przekształcała się w zwierzęcy pysk.

– Wiesz, jak pokonałem swój strach? – spytał.

– Nie, panie.

– Pewnej nocy tak bardzo się przeraziłem, że nim zdołałem się powstrzymać, krzyknąłem. Obudziłem wszystkich i mój rozgniewany ojciec podniósł mnie za skórę na karku i zniósł po schodach do tej piwnicy. Potem chwycił młotek i zabił drzwi gwoździami. Byłem wtedy małym chłopcem, miałem najwyżej siedem lat. Wbiegłem po schodach i wrzeszcząc ile sił w płucach, drapałem i waliłem w drzwi. Lecz mój ojciec, człek surowy, zostawił mnie samego, w ciemności, i musiałem spędzić tu wiele godzin, aż do rana. Po jakimś czasie uspokoilem się. I wiesz, co wtedy zrobiłem?

Pokręciłem głową, starając się nie patrzeć mu w twarz. Oczy stracharza błyszczały jasno, bardziej niż kiedykolwiek przypominał wilka.

– Wróciłem na dół i usiadłem. A potem trzy razy odetchnąłem głęboko i stawiłem czoło mojemu strachowi. Stawiłem czoło ciemności, a ona jest najstraszniejsza, zwłaszcza dla ludzi takich



jak my, bo w mroku przychodzą do nas różne stwory. Szukają nas, szepczą do nas, przybierając postaci, które widzą tylko nasze oczy. Zrobiłem to jednak i gdy wyszedłem z piwnicy najgorsze minęło.

W tym momencie świeca zamigotała i zgasła, pogrążając nas w nieprzeniknionym mroku.

– Nadszedł czas, chłopcze – rzekł stracharz. – Jesteśmy tu tylko ty, ja i ciemność. Czy zdołasz to znieść? Czy nadajesz się na mojego ucznia?

Jego głos brzmiał inaczej, głęboko, obco. Wyobraziłem go sobie na czworakach, z twarzą porośniętą wilczą sierścią, z długimi, drapieżnymi zębami. Trząsałem się cały i nie zdołałem odpowiedzieć, póki nie odetchnąłem trzy razy. Dopiero wtedy udzieliłem odpowiedzi, powtarzając coś, co zawsze mówił mój tato, gdy czekał go szczególnie trudny bądź nieprzyjemny obowiązek.

– Ktoś musi to robić – oznajmiłem. – Więc równie dobrze mogę ja.

Stracharz najwyraźniej uznał odpowiedź za bardzo zabawne, bo jego śmiech wypełnił całą piwnicę i wzleciał w górę schodów na spotkanie kolejnego grzmotu.

– Niecałe trzysta lat temu – oznajmił – dostarczono mi zapieczętowany list. Był krótki, do rzeczy i napisany po grecku. Wysłała go twoja matka. Wiesz, co mi napisała?

– Nie – odparłem cicho, zastanawiając się, co jeszcze mnie czeka.

– „Właśnie urodziłam chłopca”, napisała. „To siódmy syn siódmego syna, nazywa się Thomas J. Ward i jest moim darem dla Hrabstwa. Gdy będzie dość duży, pošlemy ci wiadomość. Wyszukaj go dobrze, bo będzie najlepszym uczniem, jakiego miałeś i twoim ostatnim”.

Nie posługujemy się magią, chłopcze – głos stracharza w ciemności rozbrzmiewał niewiele głośniej od szeptu. – Podstawowe narzędzia naszego fachu to zwykły rozsądek, odwaga i prowadzenie dokładnych dzienników, abyśmy mogli czerpać wiedzę z przeszłości. Przede wszystkim nie wierzymy w proroctwa, nie

wierzmy, że przyszłość jest ustalona. Jeśli zatem słowa twej matki się spełnią, to dlatego, że my to sprawimy. Rozumiesz?

W jego głosie dzwięczała nuta gniewu, wiedziałem jednak, że nie złości się na mnie, toteż jedynie skinąłem głową w ciemności.

– A co do bycia darem twej matki dla Hrabstwa, każdy z moich uczniów był siódmym synem siódmego syna. Nie sądź zatem, że w jakiś sposób różnisz się od reszty. Czekają cię wiele nauki i ciężkiej pracy.

Rodziny bywają prawdziwym utrapieniem – podjął po chwili ciszy, jego głos rozbrzmiewał łagodniej, dzwięczący w nim gniew zniknął. – Zostało mi już tylko dwóch braci. Jeden to ślusarz i świetnie się dogadujemy. Ale drugi nie odezwał się do mnie od czterdziestu lat, choć wciąż mieszka tu, w Horshaw.

\*

Gdy opuściliśmy dom, burza już minęła, na niebie świecił księżyc. Kiedy stracharz zamknął frontowe drzwi, po raz pierwszy zauważyłem znaki wyryte w drewnie.

~X Gregory

Wskazał mi je skinieniem głowy.

– Używam podobnych symboli, by ostrzec innych, którzy potrafią je odczytać, albo pobudzić własną pamięć. Z pewnością poznajesz grecką literę gamma. Oznacza ona ducha bądź widmo. Ukośny krzyżyk na dole po prawej to rzymska cyfra dziesięć, najniższy możliwy stopień. Wszystko poniżej szóstki to zwykle widma. W domu tym nie ma nic, co mogłoby zrobić ci krzywdę, jeśli nie stracisz odwagi. Pamiętaj, ciemność karmi się naszym strachem. Bądź odważny a widmo nie zdoła ci nic uczynić.

Gdybym tylko wiedział o tym od początku!

– Głowa do góry, chłopcze. Nie spuszczaaj nosa, bo wpadniesz na własne buty. Może to cię pocieszy – wyciągnął z kieszeni bryłkę żółtego sera, odłamał niewielki kawałek i podał mi. – Pożuj trochę, nie połykaj wszystkiego od razu.

Podążyłem za nim brukowaną kamieniami ulicą. Powietrze wciąż było wilgotne, ale przynajmniej nie padało, a chmury na zachodzie przypominały owcze runo na tle nieba i zaczynały już rozpadać się na postrzępione pasma.

Opuściliśmy wioskę, maszerując na południe. Na samym skraju Horshaw, w miejscu, gdzie brukowana droga zamieniała się w błotnistą ścieżkę, stał niewielki kościółek. Wyglądał na zaniedbany – na dachu brakowało dachówek, farba obłaziła płatami z drzwi. Od wyjścia z nawiedzonego domu nie widzieliśmy nikogo, lecz w progu kościoła stał stary mężczyzna. Włosy miał siwe, potargane i przetłuszczone.

Ciemny strój wskazywał, że to ksiądz, lecz gdy się zbliżyliśmy, moją uwagę przyciągnął wyraz jego twarzy. Mężczyzna przyglądał nam się gniewnie, z ponurym grymasem. A potem dramatycznie nakreślił w powietrzu wielki znak krzyża, wspinając się na palce i wyciągając palec wskazujący prawej dłoni jak najwyżej w niebo. Widywałem już wcześniej księży, czyniących znak krzyża, ale nigdy w tak przesadny sposób, z taką złością. Złością najwyraźniej skierowaną ku nam.

Podejrzywałem, że ksiądz ma pretensje do stracharza albo może po prostu nie aprobuje naszego fachu. Wiedziałem, że u większości ludzi budzimy niepokój, ale nigdy dotąd nie spotkałem się z podobną reakcją.

– Co jest z nim nie tak? – spytałem, gdy minęliśmy mężczyznę i znaleźliśmy się poza zasięgiem jego słuchu.

– Księża – warknął stracharz; w jego głosie dzwięczał gniew. – Wiedzą wszystko, ale niczego nie widzą! A ten jest najgorszy ze wszystkich. To mój starszy brat.

Chętnie usłyszałbym więcej, ale miałem dość rozsądku, by nie zadawać dalszych pytań. Czułem, że mam jeszcze wiele do odkrycia o samym stracharzu i jego przeszłości, podejrzewałem jednak, że tylko on może mi opowiedzieć prawdę, gdy uzna, że nadszedł czas.

Maszerowałem zatem na południe, dźwigając jego ciężką torbę i rozmyślając o tym, co napisała w liście mama. Nie należała do osób przechwalających się nadaremnie. Mama mówiła tylko to, co trzeba i nie żartowała. Zwykle radziła sobie ze wszystkim i robiła to, co konieczne. Stracharz powiedział mi wcześniej, że niewiele można zdziałać z widmami, lecz ona ucieszyła kiedyś te ze Wzgórza Wisielców.

Fakt, iż byłem siódmym synem siódmego syna niewiele znaczył w tym fachu – stracharz nie przyjmował innych uczniów. Wiedziałem jednak, że jest jeszcze coś, co wyróżnia mnie spośród nich.

Byłem synem swojej matki.

## ROZDZIAŁ 5

## BOGINY I WIEDZMY

Zmierzaliśmy do, jak go nazwał stracharz, „domu zimowego”.

Pozostałości porannych chmur rozplynęły się i nagle dostrzegłem coś nowego, jeśli chodzi o słońce. Nawet w Hrabstwie czasami pojawia się ono zimą na niebie i widok ten cieszy ludzi, bo zazwyczaj oznacza, że przynajmniej w tym momencie nie pada deszcz; lecz z każdym nowym rokiem przychodzi chwila, gdy nagle po raz pierwszy zauważamy wysyłane przez słońce ciepło. Przypomina to nieco powrót starego Przyjaciela.

Stracharz zapewne myślał dokładnie o tym samym, bo nagle zatrzymał się w marszu, spojrzął na mnie z ukosa i obdarzył jednym ze swych rzadkich uśmiechów.

– Dziś mamy pierwszy dzień wiosny, chłopcze – oznajmił. – Toteż pójdziemy do Chipenden.

Uznałem, że to trochę dziwne. Czy zawsze odwiedzał Chipenden pierwszego dnia wiosny? A jeśli tak, to dlaczego? – spytałem go.

– Letnia kwatera. Zimujemy na skraju moczarów Anglezarke, lato spędzamy w Chipenden.

– Nigdy nie słyszałem o Anglezarke. Gdzie to jest? – zainteresowałem się.

– W dalekiej, północnej części Hrabstwa, chłopcze. Tam właśnie przyszedłem na świat. Mieszkaliśmy tam, póki ojciec nie przeniósł nas do Horshaw.

O Chipenden przynajmniej słyszałem i świadomość ta dodała mi otuchy. Pomyślałem, że jako uczeń stracharza będę wiele podróżował, toteż muszę nauczyć się orientować.

Bez dalszej zwłoki zmieniliśmy kierunek marszu, zmierzając na północny-wschód, w stronę odległych wysokich wzgórz. Nie zadawałem więcej pytań, lecz tej nocy, gdy znów schroniliśmy się w zimnej stodole, jedząc na kolację kilka kęsów żółtego sera, mój żołądek zaczął uważać, że podejrzięto mi gardło. Nigdy w życiu nie byłem taki głodny.

Zastanawiałem się, gdzie się zatrzymamy w Chipenden i czy dostaniemy tam coś porządnego do jedzenia. Nie znałem nikogo, kto odwiedziłby tę okolicę, ale spodziewałem się ujrzeć dalekie, niegościnne miejsce pośród wzgórz – szarych i fioletowych wierzchołków ledwie widocznych z farmy mego ojca. Zawsze myślałem o nich jak o wielkich, uśpionych bestiach – zawinił tu jeden z wujów, który zwykł opowiadać mi podobne historie. Mówił, że nocami zaczynają się poruszać i czasami o świcie ludzie odkrywają, że z powierzchni ziemi zniknęły całe wsie, zmiażdżone w pył pod ich ciężarem.

\*

Następnego ranka słońce znów skryło się za gęstymi, ciemnoszarymi chmurami. Wyglądało na to, że będziemy musieli jeszcze trochę poczekać na drugi dzień wiosny. Zerwał się wiatr, szarpiąc nasze ubrania, gdy cały czas wędrowaliśmy w górę, i ciskając Ptakami po niebie. Chmury ścigały się, skrywając szczyty wzgórz.

Maszerowaliśmy wolno i cieszyłem się z tego, bo na obu piętach wyskoczyły mi paskudne pęcherze. Zatem nim dotarliśmy do Chipenden, dzień zdążył już minąć i zaczynało zmierzchać.

Choć wiatr nie ustawał, chmury odpłynęły i na tle nieba widziałem wyraźnie ostre, fioletowe zarysy skał. Stracharz rzadko odzywał się w drodze, teraz jednak, gdy wykrzykiwał nazwy kolejnych wzgórz, w jego głosie słyszałem niemal podniecenie. Najbliżej Chipenden wznosiła się Pika Parlicka, a za nią inne – niektóre widoczne, inne ukryte w dali – Pagórek Mellora, Siodlaste Wzgórze i Wilcze Wzgórze.

Kiedy spytałem mojego mistrza, czy na Wilczym Wzgórzu mieszkają wilki, uśmiechnął się ponuro.

– W tej okolicy wszystko wciąż się zmienia, chłopcze – odparł. – I zawsze musimy zachowywać czujność.

Kiedy w oddali pokazały się pierwsze dachy wioski, stracharz wskazał wąską ścieżkę, odchodzącą od głównej drogi i biegnącą w górę, brzegiem niedużego, bulgoczącego strumienia.

– Mój dom leży tam – oznajmił. – To nieco dłuższa droga, ale pozwala nam ominąć wioskę. Wolę utrzymywać dystans do mieszkających tu ludzi. Oni też to wolą.

Przypomniałem sobie, co Jack mówił o stracharzach i ścisnęło mi się serce. Miał rację. To było bardzo samotne życie. Stracharz zawsze pracował sam.

Na obu brzegach rośło kilka karłowatych drzew, desperacko przywierających do zbocza chłostanego powiewami wiatru. Potem ujrzałem przed sobą las sykomor i wiązów, i gdy weszliśmy między nie, wichura ustała, słyszałem tylko jej dalekie, słabe westchnienia. Z początku sądziłem, że to tylko duży zagajnik, kilkaset drzew chroniących przed wiatrem. Lecz po paru chwilach uświadomiłem sobie, że jest czymś większym.

Już wcześniej od czasu do czasu zauważałem, że niektóre drzewa bywają hałaśliwe, zawsze poskrzypują gałęziami bądź szeszczą liśćmi, podczas gdy inne niemal nie wydają żadnych odgłosów. Daleko w górze słyszałem odległe poświsty wiatru, lecz w samym lesie ciszę zakłócał tylko stukot naszych butów. Wszystko trwało nieruchomo – cały zagajnik pełen drzew, tak cichych, że po plecach przebiegł mi dreszcz. Miałem wrażenie, że nas słuchają.

A potem znaleźliśmy się na polanie i zobaczyłem dom. Otaczał go wysoki głogowy żywopłot, z za którego wystawało tylko górne piętro i dach. Z komina ulatywała smużka białego dymu, wznosząca się pionowo w powietrze. Dopiero nad drzewami wiatr porывał ją na wschód. Zauważyłem, że dom i ogród przysiadły w zagłębieniu w zboczu wzgórza. Wyglądało ono tak, jakby uprzejmy olbrzym rozgarnął ziemię własną ręką.

Podążyłem za stracharzem wzdłuż żywopłotu do metalowej furtki; była niewielka, sięgała mi do pasa. Pomalowano ją jasnozieloną farbą tak niedawno, iż zastanawiałem się, czy zdążyła już wyschnąć i czy farba nie zostanie na dłoni stracharza, który sięgał już w stronę haczyka.

I wtedy zdarzyło się coś, na widok czego zachłysnąłem się

głośno. Nim stracharz dotknął haczyka, ten uniósł się sam i furтка otwarała się powoli, jakby poruszona niewidzialną ręką.

– Dziękuję – powiedział stracharz.

Drzwi frontowe nie poruszyły się, bo najpierw trzeba je było otworzyć wielkim kluczem, który wyjął z kieszeni. Klucz wyglądał zupełnie jak tamten, otwierający drzwi domu przy Zaułku Wodnym.

– Czy to ten sam klucz, którego użyłeś w Horshaw?

– Zgadza się, chłopcze – zmierzył mnie wzrokiem, otwierając pchnięciem drzwi. – Podarował mi go mój brat ślusarz. Otwiera większość zamków, o ile nie są zbyt skomplikowane. Coś takiego przydaje się w naszym fachu.

Drzwi ustąpiły z głośnym skrzypieniem i przeciągłym jękiem i wraz ze stracharzem znalazłem się w małej, ciemnej sieni. Po prawej ujrzałem strome schody, po lewej wąskie przejście wyłożone kamiennymi płytami.

– Zostaw wszystko u stóp schodów – polecił stracharz. – No, chodź, chłopcze, nie ociągaj się, nie traćmy czasu. Lubię bardzo gorące jedzenie!

Zostawiwszy jego torbę i mój tobołek tam, gdzie kazał, pospieszyłem za nim korytarzem do kuchni, z której dolatywała apetyczna woń posiłku. Przekroczywszy próg, nie poczułem zawodu. Pomieszczenie skojarzyło mi się z kuchnią mojej mamy. W dużych doniczkach na szerokim parapecie rosły zioła i promienie zachodzącego słońca przenikały do wnętrza przez ich liście. W przeciwległym kącie na wielkim palenisku płonął ogień, napędzając kuchnię ciepłem. A pośrodku, na kamiennej posadzce stał duży, dębowy stół z dwoma olbrzymimi, pustymi talerzami i pięcioma półmiskami pełnymi jedzenia, obok dzbanka, wypełnionego po brzegi gorącym, parującym sosem.

– Siadaj i zajadaj, chłopcze – rzucił stracharz.

Nie musiał tego powtarzać.

Nałożyłem sobie duże plastry kurczęcia i wołowiny, nie zostawiając na talerzu wiele miejsca na pieczone ziemniaki i

jarzyny. Wszystko poląłem sosem tak smacznym, że tylko mama umiała przyrządzić lepszy.

Zastanawiałem się, kto ugotował posiłek i skąd kucharka wiedziała, że zjawimy się o tej porze, by wzmocnić się gorącym jadłem. Miałem mnóstwo pytań, ale byłem też zmęczony, toteż zachowałem energię na jedzenie. Gdy wreszcie przełknąłem ostatni kęs, stracharz zdążył już skończyć.

– Smakowało? – spytał.

Skinąłem głową, zbyt pełny, by mówić. Ogarnęła mnie senność.

– Po dłuższej diecie złożonej z sera dobrze jest wrócić do domu na gorący posiłek – rzekł. – Tu jadamy smacznie, wynagradzamy sobie czas, poświęcony pracy.

Znów przytaknąłem i znów zacząłem ziewać.

– Jutro czeka cię ciężki dzień. Idź do łóżka. Mieszkasz w pokoju z zielonymi drzwiami, na pierwszym piętrze – poinformował mnie stracharz. – Śpij dobrze, ale zostań w pokoju i nie włóż się po domu w nocy. Rano usłyszysz dzwonek, wzywający na śniadanie. Zejdź wtedy natychmiast – kiedy ktoś gotuje solidny posiłek, złości się, jeśli jedzenie stygnie. Ale nie schodź zbyt wcześnie, bo to też niemile widziane.

Przytaknąłem, podziękowałem za posiłek i ruszyłem korytarzem na front domu. Torba stracharza i mój tobołek zniknęły. Wdrapałem się po schodach, zastanawiając się, kto mógł je zabrać.

Mój nowy pokój okazał się znacznie większy niż sypialnia na farmie, którą kiedyś dzieliłem z dwoma braćmi. Mieściło się tu łóżko, stolik ze świecą, krzesło i komódka, i wciąż pozostawało sporo miejsca do chodzenia. A na komódce czekały już moje rzeczy.

Naprzeciwko drzwi ujrzałem duże, podnoszone okno, podzielone na osiem części, o szybach tak grubych i nierównych, że widziałem przez nie jedynie zawirowania i plamy barw z zewnątrz. Wyglądało, jakby nie otwierano go od lat. Pod nim, przy ścianie, stało łóżko. Zrzuciłem szybko buty, ukląknąłem na kapie i spróbowałem podnieść okno. Okazało się to łatwiejsze, niż



przypuszczałem. Pociągając za sznur, zdołałem unieść dolną połowę serią szarpnięć, dostatecznie wysoko, by wystawić głowę na zewnątrz i rozejrzeć się.

W dole zobaczyłem szeroki trawnik, przedzielony na pół ścieżką, wysypaną białymi kamykami i niknącą wśród drzew. Nad ich wierzchołkami, po prawej, sterczały wzgórza, pierwsze z nich tak blisko, iż miałem wrażenie, że wystarczy wyciągnąć rękę, by go dotknąć. Odetchnąłem głęboko chłodnym, świeżym powietrzem pachnącym trawą i cofnąłem głowę, by rozpakować swój skromny dobytek. Z łatwością pomieścił się w górnej szufladzie komódki. Zamykając ją, zauważyłem nagle napisy na przeciwległej ścianie, wśród cieni.

Pokrywały ją nazwiska, nabazgrane czarnym inkaustem na gołym tynku. Niektóre były większe od innych, jakby ci, którzy je zapisali, uważali się za lepszych. Wiele wyblakło z czasem i pomyślałem, że to nazwiska moich poprzedników, którzy sypiali w tym pokoju. Czy powinienem dopisać własne, czy też zaczekać do końca pierwszego miesiąca, kiedy być może zostanę przyjęty do terminu? Nie miałem pióra ani inkaustu, toteż uznałem, że zastanowię się później. Obejrzałem jednak uważnie ścianę, próbując ustalić, które nazwisko jest najnowsze.

Uznałem, że to BILLY BRADLEY – napis wydawał się najwyraźniejszy, wciśnięty w niewielką przestrzeń na zapisanej ścianie. Przez parę chwil rozmyślałem o tym, co może teraz robić Billy, byłem jednak zmęczony i bardzo śpiący.

Czysta pościel i łóżko zachęcały do snu, toteż nie marnując więcej czasu, rozebrałem się. W chwili gdy moja głowa dotknęła poduszki, odpłynąłem.

\*

Kiedy otworzyłem oczy, przez okno do pokoju wlewały się promienie słońca. Śniłem i obudził mnie nagły hałas; uznałem, że to pewnie dzwonek na śniadanie.

Nagle ogarnęła mnie niepewność. Czy to naprawdę dzwonek wzywał mnie na dół na śniadanie, czy też jedynie mi się przyśnił?

Skąd mam mieć pewność? Co powinienem zrobić? Wyglądało na to, że tak czy inaczej narażę się kucharce, nieważne, czy zejdę za wcześnie, czy za późno. Uznawszy zatem, że chyba jednak usłyszałem dzwonek, ubrałem się i zbiegłem po schodach. Po drodze usłyszałem dobiegający z kuchni brzęk rondli i garnków. Lecz w chwili gdy otworzyłem drzwi, wewnątrz zapadła śmiertelna cisza.

I wówczas popełniłem błąd. Powinienem być od razu wrócić na górę, bo wyraźnie widziałem, że śniadanie nie jest gotowe. Uprzątnięto już talerze po wczorajszej kolacji, ale stół nadal był pusty, a palenisko Pełne zimnego popiołu. W istocie w całej kuchni panował chłód. Co gorsza, z każdą sekundą robiło się jeszcze zimniej.

Mój błąd polegał na tym, że postąpiłem krok w stronę stołu. Gdy tylko to zrobiłem, usłyszałem dobiegający z bliska dźwięk. Dźwięczał w nim gniew, co do tego nie miałem wątpliwości. Przepęlniony złością syk zabrzmiał bardzo blisko mojego lewego ucha. Tak blisko, że poczułem też oddech.

Stracharz uprzedzał mnie żeby nie schodził za wcześnie do kuchni i nagle uwierzyłem, że grozi mi prawdziwe niebezpieczeństwo.

Gdy tylko o tym pomyślałem, coś uderzyło mnie bardzo mocno w tył głowy. Zachwiałem się i cofnąłem w stronę drzwi, o mało nie tracąc równowagi.

Nie potrzebowałem drugiego ostrzeżenia. Wybiegłem z kuchni i dalej po schodach, po czym w połowie drogi zamarłem. Na górze ktoś stał. Ktoś wysoki i groźny, ciemna sylwetka na tle plamy światła jaśniejącej w drzwiach mojego pokoju.

Czekałem, niepewny co dalej, wtedy jednak usłyszałem znajomy głos. To był stracharz.

Pierwszy raz widziałem go bez długiego, czarnego płaszcza. Miał na sobie czarną tunikę i szare nogawice i odkryłem, że choć jest człkiem wysokim, o szerokich barach, reszta jego ciała pozostała chuda, pewnie dlatego, że przez wiele dni żywił się tylko

kawałkami sera. Przypominał najlepszych robotników rolnych, gdy się zestarzeją. Niektórzy, oczywiście, jedynie tyją, lecz większość – jak ci, których mój ojciec zatrudnia czasami do żniw, odkąd prawie wszyscy bracia opuścili dom – jest chuda, silna i żylasta. Chudszy to zdrowszy, powtarza często tato i teraz, patrząc na stracharza, zrozumiałem, jak udaje mu się maszerować w tak morderczym tempie i tak długo bez odpoczynku.

– Ostrzegałem, żebyś nie schodził za wcześnie – rzekł cicho. – Pewnie dostałeś po uszach. Niech to będzie dla ciebie nauką, chłopcze. Następnym razem może cię spotkać coś gorszego.

– Zdawało mi się, że słyszałem dzwonek – wyjaśniłem. – Ale pewnie po prostu mi się przyśnił.

Stracharz zaśmiał się cicho.

– To jedna z pierwszych i najważniejszych lekcji, którą musi opanować uczeń. Różnica między jawą i snem. Niektórzy nigdy nie potrafią się tego nauczyć.

Pokręcił głową, postąpił krok ku mnie i poklepał mnie po ramieniu.

– Chodź, oprowadzę cię po ogrodzie. Musimy od czegoś zacząć, a mamy trochę czasu do śniadania.

\*

Kiedy stracharz wyprowadził mnie z domu tylnymi drzwiami, przekonałem się, że ogród jest wielki, znacznie większy, niż wydawał się z tamtej strony żywopłotu.

Ruszyliśmy na wschód, mrużąc oczy w blasku porannego słońca. W końcu dotarliśmy do szerokiego trawnika. Poprzedniego wieczoru zdawało mi się, że żywopłot okala cały ogród. Teraz jednak zrozumiałem, że się myliłem. Otwierało się w nim wiele luk, przez jedną z nich, dokładnie przed sobą, widziałem las. Wysypana białymi kamykami ścieżka rozdzielała trawnik na dwoje i znikła wśród drzew.

– Tak naprawdę jest tu więcej niż jeden ogród – oznajmił stracharz. – Ściślej mówiąc, trzy i do każdego można dotrzeć podobną ścieżką. Najpierw zwiedzimy wschodni. Gdy świeci słońce,

jest tam bezpiecznie, ale nigdy nie chodź tą ścieżką po zmroku. No, chyba że będziesz miał bardzo dobry powód, ale z całą pewnością nie idź do tego ogrodu sam.

Nerwowo podążyłem za stracharzem w stronę drzew. Na skraju trawnika trawa była dłuższa, wśród niej dostrzegłem dzwonki. Lubię je, bo kwitną wiosną i zawsze przypominają mi, że już wkrótce nadejdą długie, upalne letnie dni. Teraz jednak nie zwróciłem na nie szczególnej uwagi. Drzewa przesłoniły poranne słońce, wokół zrobiło się nagle znacznie zimniej. Przypomniałem sobie wizytę w kuchni. Ta część lasu miała w sobie coś dziwnego, niebezpiecznego. Miałem wrażenie, że im dalej się w nią zagłębiamy, tym robi się chłodniej.

Wysoko wśród drzew gniazdowały gawrony i ich ostre, gniewne krakanie budziło we mnie dreszcze, jeszcze gorsze niż chłód. Ich talent muzyczny można porównać z talentem mojego taty, który zwykle zaczynał śpiewać, gdy kończyliśmy doić krowy. A kiedy mleko kwaśniało, mama zawsze go o to winiła.

Stracharz zatrzymał się, wskazując ziemię pięć kroków przed nami.

– Co to jest? – spytał niewiele głośniej od szeptu.

Kawałek ziemi oczyszczono z trawy, pośrodku wznosił się kamień nagrobny, pionowy, lecz lekko przechylony w lewo. Przed nim, sześć stóp ziemi obłożono mniejszymi kamieniami. Zwykle tego nie robiono, lecz natychmiast zauważyłem coś jeszcze dziwniejszego. W poprzek spłachetka, przykręcone śrubami do zewnętrznych kamieni, leżało trzynaście grubych, żelaznych prętów.

Przeliczyłem je dwukrotnie, by się upewnić.

– No dalej, chłopcze, zadałem ci pytanie. Co to jest?

W ustach zaschło mi tak bardzo, że ledwie mogłem mówić, ale zdołałem wyjąkać dwa słowa.

– To grób...

– Brawo, chłopcze, od razu się domyśliłeś. Zauważyłeś coś niezwykłego?

Ponieważ nie mogłem już mówić, pokiwałem głową.

Uśmiechnął się i poklepał mnie po ramieniu.

– Nie ma się czego bać, to tylko martwa czarownica i to bardzo słaba. Pogrzebali ją w niepoświęconej ziemi za kościołem, niewiele mil stąd, ale wciąż się wykopywała. Nieźle jej nagadałem, lecz nie chciała słuchać, toteż sprowadziłem ją tutaj. Dzięki temu ludzie czują się lepiej, mogą spokojnie żyć dalej, nie muszą myśleć o podobnych rzeczach. To nasza praca.

Ponownie przytaknąłem i nagle uświadomiłem sobie, że nie oddycham, toteż wciągnąłem w płuca głęboki haust powietrza. Serce waliło mi w piersi jak młotem, miałem wrażenie, że lada moment wyrwie się z niej na swobodę. Cały drżałem, od stóp do głów.

– Teraz niewiele już może zrobić – ciągnął stracharz – Czasami, przy pełni, słyhać, jak się wierci, ale brak jej sił, by dotrzeć na powierzchnię. A zresztą, żelazne pręty i tak by ją zatrzymały. Lecz dalej, wśród drzew znajdziesz gorsze rzeczy – dodał, wskazując na wschód kościstym palcem. – Jakies dwadzieścia kroków stąd.

Gorsze? Co mogłoby być gorsze?, zastanawiałem się, ale wiedziałem, że i tak za chwilę wszystkiego się dowiem.

– Są tu jeszcze dwie czarownice, jedna martwa i jedna żywa. Martwa została pochowana na stojąco, głową w dół, i mimo to raz czy dwa w roku musimy prostować pręty na jej grobie. Nie zbliżaj się do niej po ciemku.

– Czemu pogrzebałeś ją głową w dół? – spytałem.

– To dobre pytanie, chłopcze. Widzisz, duchy martwych wiedźm są zwykle, jak to nazywamy, przywiązane do kości. Tkwią uwięzione w ich kościach, a niektóre nie wiedzą nawet, że nie żyją. Najpierw grzebiemy je głową do góry i w większości przypadków to wystarczy. Każda czarownica jest inna, ale niektóre wyróżniają się uporem. Taka uparta wiedźma, wciąż uwięziona w kościach, z całych sił próbuje powrócić do tego świata, zupełnie jakby znów chciała się narodzić. Musimy więc jej to utrudnić i pogrzebać głową w dół. Wyjście stopami do góry nie jest łatwe, ludzkie dzieci mają

czasem ten sam problem. Ale nadal pozostaje niebezpieczna, więc trzymaj się z daleka.

Pamiętaj też, by omijać szerokim łukiem dół z żywą wiedźmą. Ta po śmierci byłaby jeszcze niebezpieczniejsza, bo czarownica tak potężna bez problemu powróciłaby na ten świat. Dlatego trzymamy ją w dole. Nazywa się Mateczka Malkin i wciąż gada do siebie. No, tak naprawdę szepcze. Jest zła do szpiku kości, ale od bardzo dawna przebywa w dole i większość jej mocy spłynęła w ziemię. Z radością dopadłaby chłopca takiego jak ty, toteż trzymaj się z daleka. Obiecuj mi, że nie zbliżysz się do niej. Przysrzeknij, niech to usłyszę.

– Przysrzekam, że się nie zbliżę – wyszeptałem, choć w głębi ducha czułem wątpliwości. Uwięzienie jakiegokolwiek żywej istoty – nawet wiedźmy – w ziemi, wydało mi się strasznie okrutne i nie przypuszczałem, by mojej mamie spodobał się ten pomysł.

– Grzeczny chłopak, niepotrzebne nam incydenty takie jak ten dziś rano. Istnieją gorsze rzeczy, niż oberwanie po uszach. Znacznie gorsze.

Wierzyłem mu, ale nie chciałem o tym słuchać. Miał jednak jeszcze inne rzeczy do pokazania, toteż oszczędził mi przerażających opowieści. Wyprowadził mnie z lasu i pomaszerował w stronę kolejnego trawnika.

– To południowy ogród – oznajmił stracharz. – Tu też nie przychodzić po zmierzchu.

Słońce zniknęło szybko za gąszczem gałęzi i powietrze robiło się coraz zimniejsze, toteż wiedziałem, że zbliżamy się do czegoś złego. Mój przewodnik zatrzymał się dziesięć kroków przed wielkim kamieniem, leżącym płasko na ziemi, obok korzeni dębu. Przykrywał kawałek nieco większy niż grób, a sądząc z części wystającej na ziemię, był bardzo gruby.

– Jak myślisz, co tu leży? – spytał stracharz.

Starąłem się nie tracić rezonu.

– Jeszcze jedna czarownica?

– Nie – odparł. – Do czarownicy nie trzeba tyle kamienia,

zwykle wystarczy żelazo. Ale stwór, który leży tutaj, prześliznąłby się przez żelazne pręty w mgnieniu oka. Przyjrzyj się kamieniowi. Widzisz wyryty znak?

âI Gregory

Przytaknąłem. Literę rozpoznałem, ale nie wiedziałem, co oznacza.

– To grecka litera beta – oświadczył stracharz. – Symbol oznaczający bogina. Ukośna linia znaczy, że został sztucznie uwięziony pod kamieniem, a imię poniżej informuje, kto tego dokonał. Na dole po prawej widnieje rzymska cyfra jeden. Oznacza ona, że to bogin pierwszego rzędu, bardzo niebezpieczny. Jak wspomniałem, używamy stopni od jednego do dziesięciu. Pamiętaj o tym – któregoś dnia może ci to ocalić życie. Stopień dziesiąty jest tak słaby, że większość ludzi nawet nie zauważa jego nieobecności, stopień pierwszy z łatwością mógłby cię zabić. Sprowadzenie tego kamienia kosztowało mnie majątek, ale okazał się wart każdego grosza. Bogin został uwięziony, sztucznie uwięziony, i pozostanie tu do czasu, gdy Archanioł Gabriel zadmie w swą trąbę. Musisz się wiele nauczyć o boginach, chłopcze. Szkolenie zaczniemy tuż po śniadaniu, ale na razie zapamiętaj, że istnieje jedna ważna różnica pomiędzy uwięzionymi i swobodnymi. Swobodny bogin często potrafi zapuszczać się wiele mil od swego domu i, jeśli ma ochotę, płać niezliczone psoty. Jeżeli bogin okaże się wyjątkowo niespokojny i nie chce słuchać głosu rozsądku, naszym zadaniem jest go uwięzić. Zrób to dobrze, a sztucznie uwięziony, w ogóle nie może się poruszać. Oczywiście łatwiej powiedzieć, niż zrobić.

Nagle stracharz zmarszczył brwi, jakby przypomniał sobie coś nieprzyjemnego.

– Jeden z moich uczniów wpadł w poważne tarapaty, próbując uwięzić bogina – ze smutkiem pokręcił głową. – Ale ponieważ to twój pierwszy dzień, nie będziemy o tym rozmawiać.

W tym momencie od strony domu dobiegł nas dźwięk dzwonka, stracharz uśmiechnął się.

– Jesteśmy przytomni, czy śnimy? – spytał.

– Przytomni.

– Na pewno?

Przytaknąłem.

– W takim razie chodźmy coś zjeść – rzekł. – Kiedy już napełnimy brzuchy, pokażę ci trzeci ogród.

## ROZDZIAŁ 6

### DZIEWCZYNA W SZPICZASTYCH TRZEWIKACH

Kuchnia bardzo się zmieniła od mojej ostatniej wizyty. Na palenisku płonął niewielki ogień, na stole czekały dwa talerze z jajkami na bekonie. Był tam też bochen świeżo upieczonego chleba i duży kawał masła.

– Zajadaj, chłopcze, bo wystygnie – zachęcił mnie stracharz.

Natychmiast zabrałem się do jedzenia i wkrótce opróżniliśmy oba talerze i zjedliśmy pół bochenka. Wtedy stracharz odchylił się na krzesło, pociągnął za brodę i zadał mi ważne pytanie:

„ Nie uważasz – rzekł, patrząc mi prosto w oczy – że było to najlepsze jajko na bekonie, jakie kiedykolwiek jadłeś?

Nie zgadzałem się. Śniadanie było naprawdę smaczne, bez dwóch zdań, smaczniejsze niż ser, ale jadałem już lepsze – co dzień, gdy mieszkałem w domu. Moja mama była znacznie lepszą kucharką. Lecz z niewiadomych przyczyn wydało mi się, że nie takiej odpowiedzi oczekuje mój mistrz. Zdecydowałem się zatem na drobne, niewinne kłamstewko, z rodzaju tych, które nikomu nie robią krzywdy, a bardzo cieszą ludzi.

– Tak – odparłem. – To było najlepsze śniadanie, jakie kiedykolwiek jadłem. I przepraszam, że zszedłem za wcześnie. Obiecuję, że to się więcej nie powtórzy.

Słyszając to, stracharz uśmiechnął się tak szeroko, iż miałem wrażenie, że jego twarz rozpadnie się na pół. Potem poklepał mnie po plecach i znów wyprowadził do ogrodu.

Dopiero gdy znaleźliśmy się na dworze, uśmiech zniknął z jego twarzy.

– Dobra robota, chłopcze. Istnieją dwa stworzenia uwielbiające pochlebstwa. Jedno to kobieta, a drugie, bogin. To nigdy nie zawodzi.



W kuchni nie dostrzegłem ani śladu kobiety, toteż jego słowa potwierdziły to, co już wcześniej podejrzewałem: nasze posiłki gotował bogin. Delikatnie mówiąc, trochę mnie to zaskoczyło. Wszyscy uważają, że stracharz zabija boginy albo przynajmniej unieszkodliwia je tak, by nie mogły więcej psocić. Kto by przypuszczał, że jeden z nich gotuje u niego i sprząta?

– To jest zachodni ogród – poinformował mnie stracharz, maszerując trzecią ścieżką, białe kamyczki chrzęściły nam pod stopami. – Miejsce bezpieczne za dnia i nocą. Często sam tu przychodzę, gdy mam problem i muszę go przemyśleć.

Przeszliśmy przez kolejną lukę w żywopłocie i wkrótce znaleźliśmy się między drzewami. Natychmiast wyczułem różnicę. Tutaj śpiewały ptaki, a gałęzie kołysały się lekko w powiewach porannego wietrzyku. Było to szczęśliwe miejsce. Szliśmy dalej, aż w końcu wyłoniliśmy się spomiędzy drzew i znaleźliśmy na zboczu, z którego roztaczał się widok na skały po prawej. Niebo było tak czyste, że widziałem kamienne murki, dzielące niższe zbocza na pola i oznaczające tereny poszczególnych farmerów. Sięgałem stąd wzrokiem do szczytów najbliższych wzgórz.

Stracharz gestem wskazał drewnianą ławkę po naszej prawej.

– Usiądź, chłopcze.

Posłuchałem i usiadłem. Przez kilka minut mistrz wpatrywał się we mnie swymi zielonymi oczami. Potem zaczął przechadzać się tam i z powrotem przed ławką. Milczał. Nie patrzył już na mnie, lecz spoglądał w przestrzeń z nieobecny wyrazem twarzy. Odrzucił w tył swój długi, czarny płaszcz i wsunął dłonie do kieszeni. Po czym raptownie usiadł obok mnie i zaczął zadawać pytania.

– Jak myślisz, ile rodzajów boginów istnieje?

Nie miałem pojęcia.

– Dwa już znam – odparłem. – Swobodne i uwięzione. Co do pozostałych, nie mam pojęcia.

– Podwójnie dobra odpowiedź, chłopcze. Zapamiętałeś to, co ci powiedziałem i pokazałeś, że nie należysz do ludzi zgadujących na

oślepi. Bo widzisz, istnieje tyle odmian boginów, ile ludzi. Każdy z nich ma własny charakter i osobowość. Niemniej jednak można rozpoznać wśród nich i nazwać kilka typów. Czasami wyróżniają je przyjmowane kształty, czasami zachowanie i płatane psoty.

Sięgnął do prawej kieszeni i wyciągnął zgrabną, niewielką książeczkę, oprawną w czarną skórę. Wręczył mi ją.

– Proszę, teraz należy do ciebie. Dobrze jej pilnuj i cokolwiek się stanie, nie zgub.

Skóra pachniała mocno, a książeczka sprawiała wrażenie zupełnie nowej. Otworzyłem ją i z lekkim zawodem odkryłem, że jest pełna pustych kartek. Chyba sądziłem, że znajdę w środku tajemnice fachu stracharza – ale nie, najwyraźniej to ja miałem je zapisać, bo mój mistrz podał mi pióro i niewielką flaszeczkę inkaustu.

– Przygotuj się do robienia notatek – polecił, po czym wstał i znów zaczął przechadzać się tam i z powrotem. – I uważaj, by nie rozlać inkaustu, chłopcze. Nie wypływa z krowich wymion.

Zdołałem odkorkować flaszeczkę, po czym bardzo ostrożnie zanurzyłem w niej koniuszek pióra i otworzyłem notatnik na pierwszej stronie.

Stracharz rozpoczął już lekcję, mówił bardzo szybko.

– Po pierwsze, mamy włochate boginy, przyjmujące postać zwierząt. Większość to psy, ale istnieje niemal równie wiele kotów, a od czasu do czasu także kozy. I nie zapomnij uwzględnić koni – bywają bardzo kłopotliwe. Niezależnie od swej postaci, włochate boginy dzielimy na trzy grupy: wrogich, przyjaznych i tych pomiędzy. Następnie idą stukacze, które czasem przekształcają się w rzucacze. Te, sprowokowane, potrafią naprawdę wpaść w złość. Ale jedną z najpaskudniejszych odmian są rozpruwacze; lubią nie tylko krew zwierzęcą ale też ludzką. Nie myśl sobie jednak czasem, że my, stracharze, zajmujemy się wyłącznie boginami. Gdzieś w pobliżu zawsze znajdzie się niespokojny nieboszczyk. A co gorsze, w Hrabstwie mamy prawdziwy problem z czarownicami. W tej chwili w pobliżu nie mieszka żadna, ale na wschodzie, w

okolicach Wzgórza Pendle stanowią prawdziwe zagrożenie. I pamiętaj, nie wszystkie czarownice są takie same. Można je podzielić na cztery kategorie – bezecne, zacne, fałszywie pomówione i nieświadome.

Jak pewnie zgadliście, miałem z tym, co mówił, nie lada kłopoty. Po pierwsze, wypowiadał słowa tak szybko, że nie zdołałem zapisać nawet jednego. Po drugie, w ogóle nie znałem części użytych przez niego wyrazów. Na szczęście, w tym momencie zawiesił głos i chyba zauważył moją oszołomioną minę.

– W czym rzecz, chłopcze? – spytał. – No dalej, wyduś to z siebie, nie bój się zadawać pytań.

– Nie zrozumiałem tego, co powiedziałaś o czarownicach – odparłem. – Nie wiem, co oznacza „bezecna”. Ani „zacna”.

– Bezecna oznacza zła – wyjaśnił. – Zacna – dobra. A nieświadoma to czarownica, która nie wie, że jest wiedźmą. Ponieważ zaś jest kobietą, staje się kłopotliwa po dwakroć. Nigdy nie ufaj kobiecie – dodał stracharz.

– Moja matka jest kobietą – nagle ogarnęła mnie złość. – Jej ufam.

– Matki zwykle są kobietami – zgodził się stracharz. – I zazwyczaj można im zaufać, o ile jest się ich synem. W przeciwnym razie uważaj! Kiedyś ja sam miałem matkę i ufałem jej, więc dobrze pamiętam to uczucie. Lubisz dziewczęta? – spytał nagle.

– Tak naprawdę nie znam żadnych dziewcząt – przyznałem. – Nie mam sióstr.

– W takim razie z łatwością możesz paść ofiarą ich sztuczek. Uważaj na wiejskie dziewczęta. Zwłaszcza te w szpiczastych trzewikach. Zapisz to. Równie dobrze możesz zacząć od tego.

Zastanawiałem się, co jest tak strasznego w szpiczastych trzewikach. Wiedziałem, że mojej mamie nie spodobałoby się to, co właśnie powiedział stracharz. Uważała, że zawsze trzeba samemu oceniać ludzi, nie polegać na cudzej opinii. Ale jaki miałem wybór? Toteż na samej górze pierwszej stronicy zapisałem „Wiejskie

Dziewczęta w Szpiczastych Trzewikach".

Patrzył, jak piszę, po czym poprosił o książkę i pióro.

– Posłuchaj – rzekł. – Będziesz musiał nauczyć się notować szybciej. Czeka cię wiele nauki, wkrótce zapełnisz dziesiątki takich notesów, ale na razie na początek wystarczą trzy, cztery nagłówki.

A potem napisał „Włochate boginy” na górze drugiej strony, „Stukacze” na stronie trzeciej i wreszcie Czarownice” na stronie czwartej.

– Proszę, to już coś. Wszystko, czego się dziś dowiesz, zanotujesz pod jednym z tych nagłówków. Ale teraz zajmiemy się czymś pilniejszym. Potrzebne nam zapasy. Idź zatem do wioski, inaczej jutro będziemy głodować. Nawet najlepsza kucharka nie przygotowuje niczego bez zapasów. Pamiętaj, że wszystko ma trafić do mojego worka. Ma go rzeźnik, idź więc tam najpierw i poproś o zamówienie pana Gregory'ego.

Wręczył mi drobną srebrną monetę, ostrzegając, bym nie zgubił reszty, i posłał w dół zbocza, najszybszą drogą do wioski.

Wkrótce znów wędrowałem między drzewami, aż w końcu dotarłem do przełazu prowadzącego na strona, wąską dróżkę. Jakieś sto kroków dalej skręciłem i ujrzałem przed sobą szare dachówki Chipenden.

Wioska okazała się większa, niż przypuszczałem. Liczyła co najmniej sto domów, a także gospodę, szkołę i wielki kościół z dzwonnicy. Nigdzie nie dostrzegłem targu, lecz na głównej, brukowanej ulicy, opadającej stromo w dół, roilo się od krążących między sklepami kobiet z wypełnionymi po brzegi koszykami. Po obu stronach ulicy czekały konie i wozy, toteż zrozumiałem od razu, że tu właśnie przyjeżdżają po zakupy żony miejscowych farmerów, a także bez wątpienia mieszkańcy pobliskich wiosek.

Bez problemu znalazłem kram rzeźnika i dołączyłem do kolejki rozgadanych kobiet, nawołujących co i rusz właściciela, pogodnego, rosłego mężczyznę o rumianej twarzy i rudej brodzie. Wyglądało na to, że zna imię każdej z nich, a one śmiały się głośno z jego dowcipów, padających często i szybko. Większości nie rozumiałem

– w odróżnieniu od kobiet, które zdecydowanie dobrze się bawiły.

Nikt nie zwracał na mnie najmniejszej uwagi, w końcu jednak dotarłem do lady i nadeszła moja kolej.

– Przyszedłem po zamówienie pana Gregory'ego – poinformowałem rzeźnika.

Gdy tylko się odezwałem, w sklepie zapadła cisza. Śmiechy umilkły. Rzeźnik sięgnął za ladę i wyciągnął duży worek. Słyszałem za sobą szepty, lecz mimo iż wyteżałem uszy, nie rozumiałem ani słowa. Kiedy się obejrzałem, stwierdziłem, że kobiety patrzą wszędzie, byle nie na mnie. Niektóre nawet wbijały wzrok w podłogę.

Podąłem rzeźnikowi srebrną monetę, starannie przeliczyłem resztę, podziękowałem mu i wyniosłem worek ze sklepu. Już na ulicy zarzuciłem go na ramię. Wizyta w kramie warzywnym nie zabrała mi wiele czasu, zamówienie już czekało zapakowane. Włożyłem zatem paczkę do worka, który zaczynał robić się ciężki.

Do tej pory wszystko szło świetnie. Ale gdy dotarłem do piekarni, ujrzałem bandę chłopaków.

Było ich siedmiu czy ośmiu, siedzieli na ogrodowym murku. Nic w tym dziwnego, tyle że w ogóle ze sobą nie rozmawiali – wpatrywali się na mnie wygłodniałym wzrokiem, niczym stado wilków, obserwując każdy mój krok, gdy zbliżałem się do piekarni.

Kiedy opuściłem sklep, wciąż tam byli i ruszyli za mną w górę zbocza. A choć wątpiłem, by był to zbieg okoliczności i by akurat zachciało im się wspinać na to samo wzgórze, niespecjalnie się martwiłem. Sześciu braci zapewniło mi niezłą praktykę w bójkach.

Ich kroki zbliżały się, doganiali mnie szybko, może dlatego, że szedłem coraz wolniej. Bo widzicie, nie chciałem, by uznali, że się boję. A poza tym worek raj ciążył, a wzgórze było bardzo strome.

Dogonili mnie kilkanaście kroków przed przełazem, w miejscu, gdzie dróżka zagłębiała się w niewielki zagajnik. Drzewa po obu stronach przesłaniały poranne słońce.

– Otwórz worek i pokaż, co w nim masz – polecił ktoś za mną.

Przemawiał donośnym, głębokim głosem przywykłym do

wydawania poleceń. Dźwięczała w nim niebezpieczna nuta, świadcząca o tym, że właściciel lubi zadawać ból i wciąż szuka kolejnych ofiar.

Obróciłem się do niego, jeszcze mocniej zaciskając rękę na worku i utrzymując go na ramieniu. Ten, który przemówił, przewodził całej bandzie, nie wątpiłem w to ani przez chwilę. Reszta miała chude, skrzywione twarze, jakby od dawna nic nie jedli, lecz przywódca wyglądał, jakby posilał się za nich wszystkich. Był co najmniej o głowę wyższy ode mnie, miał szerokie bary i byczy kark. Twarz też miał szeroką, policzki rumiane, lecz jego oczy były bardzo małe i w ogóle nie mrugały.

Przypuszczam, że gdyby nie jego obecność i próba zastraszenia, mógłbym ustąpić, bo część chłopaków wyglądała na przymierających z głodu, a w worku było całkiem sporo jabłek i placków. Z drugiej strony nie należały do mnie, nie mogłem nimi rozporządzać.

– To nie moja własność – odparłem. – Wszystko to należy do pana Gregory'ego.

– Jego ostatniemu uczniowi wcale to nie przeszkadzało – odparł przywódca, przysuwając do mnie swą wielką gębę. – Otwierał nam worek. Jeśli masz choć krztynę rozsądku, zrobisz tak samo. Możemy to załatwić szybko albo powoli, ale to drugie ci się nie spodoba i w rezultacie skończy się tak samo.

Banda zaczęła się zbliżać, poczułem, jak ktoś z tyłu szarpie za worek. Nawet wtedy jednak go nie wypuściłem. Spoglądałem wprost w świńskie oczka przywódcy, starając się nie mrugać.

W tym momencie zdarzyło się coś, co zaskoczyło nas wszystkich. Wśród drzew, gdzieś po prawej, coś się poruszyło. Obróciliśmy głowy.

Pośród cieni zamajaczyła ciemna sylwetka. Gdy moje oczy przywykły do półmroku, przekonałem się, że to dziewczyna. Szła ku nam powoli, tak cicho, że można było usłyszeć spadającą szpilkę i tak miękko, że zdawała się unosić nad ziemią, a nie stąpać po niej. Na skraju zacienionego lasu zatrzymała się, jakby nie miała

ochoty wychodzić na słońce.

– Może zostawicie go w spokoju – rzuciła. Brzmiało to jak pytanie, lecz ton głosu sugerował raczej polecenie.

– A ciebie co to obchodzi? – przywódca gangu wysunął naprzód podbródek i zacisnął pięści.

– To nie mną musicie się przejmować – odparła z cienia. – Lizzie wróciła i jeśli mnie nie posłuchacie, odpowiecie przed nią.

– Lizzie? – spytał chłopak, cofając się o krok.

– Koścista Lizzie. To moja ciotka. Nie mów mi, że o niej nie słyszałeś.

Czy kiedykolwiek mieliście wrażenie, jakby czas zwolnił bieg tak bardzo, że o mało nie stanął w miejscu? Wsłuchiwaście się w tykanie zegara, zdumieni, że kolejne tyknięcie następuje po całych wiekach? Dokładnie tak wyglądała ta chwila, póki dziewczyna nie syknęła głośno przez zaciśnięte zęby i znów przemówiła.

– No, dalej, znikajcie stąd! Zmykajcie i to szybko, bo zginiecie!

Banda zareagowała natychmiast. Dostrzegłem wyraz twarzy kilku chłopaków i przekonałem się, że nie tylko się bali. Byli przerażeni, bliscy paniki. Ich przywódca zawrócił na pięcie i popędził w dół zbocza. Reszta ruszyła za nim.

Nie wiedziałem, czemu tak bardzo się boją, ale też miałem ochotę uciec. Dziewczyna wpatrywała się we mnie wielkimi oczami i miałem wrażenie, że nie panuję nad własnym ciałem. Czułem się jak mysz, sparaliżowana przez gronostaja, który czai się, by się na nią rzucić.

Zmusiłem się w końcu, by poruszyć lewą stopą i powoli obróciłem ciało w stronę drzew, podążając za kierunkiem swojego spojrzenia. Nadal jednak ścisnąłem w dłoni worek stracharza. Nieważne, kim była, nie zamierzałem jej go oddać.

– A ty co, nie uciekniesz? – spytała.

Pokręciłem głową, lecz w ustach zaschło mi okrutnie i nie ufałem własnemu głosowi. Wiedziałem, że powiem coś nie tak.

Była mniej więcej w moim wieku – może nawet odrobinę młodsza. Twarz miała miłą – duże, piwne oczy, wydatne kości

policzkowe i długie, czarne włosy. Ubrana była w czarną sukienkę, przewiazaną ciasno w pasie kawałkiem białego sznurka. I przyglądając jej się, zauważyłem nagle coś, co mnie zaniepokoiło.

Dziewczyna miała na nogach szpiczaste trzewiki. Natychmiast przypomniałem sobie przestrożę stracharza. Nie ustąpiłem jednak, zdecydowany wytrwać i nie uciec, jak pozostali.

– Nie podziękujesz mi? – spytała. – Miło byłoby usłyszeć wyrazy wdzięczności.

– Dzięki – odparłem niezgrabnie, z trudem zdoławszy wymówić choćby słowo.

– To już coś – rzekła. – Ale żeby podziękować mi jak należy, powinienes coś mi dać. Prawda? Na razie wystarczy placek i jabłko. To w końcu niewiele, w worku masz ich mnóstwo, a stary Gregory niczego by nie zauważył. A gdyby nawet, nie powiedziałyby ani słowa.

Wstrząsnął mną fakt, że nazwała stracharza starym Gregorym. Wiedziałem, że to by mu się nie spodobało, ponieważ świadczyło o dwóch rzeczach: po pierwsze, dziewczyna nie darzyła go szacunkiem, a po drugie, w ogóle się go nie bała. Tam, skąd pochodzę, większość ludzi drżała na samą myśl, że stracharz mógłby znaleźć się w okolicy.

– Przykro mi – odparłem – ale nie mogę tego zrobić. Nie należą do mnie.

Posłała mi gniewne spojrzenie i długą chwilę milczała. W tym momencie wydało mi się, że zaraz syknie na mnie przez zęby. Patrzyłem na nią, starając się nie mrugać, aż w końcu jej twarz rozświetlił lekki uśmiech i znów się odezwała.

– W takim razie będę musiała zadowolić się obietnicą.

– Obietnicą? – powtórzyłem, zastanawiając się, co ma na myśli.

– Obietnicą, że pomożesz mi, tak jak ja pomogłam tobie. W tej chwili nie potrzeba mi pomocy, ale może kiedyś to się zmieni.

– Doskonale – odparłem. – Gdybyś w przyszłości potrzebowała jakiejś pomocy, wystarczy poprosić.

– Jak się nazywasz? – spytała uśmiechając się szeroko.



– Tom Ward.

– Ja mam na imię Alice i mieszkam tamoj – wskazała ręką drzewa. – Jestem ulubioną siostrzenicą Kościstej Lizzie.

Pomyślałem, że Koścista Lizzie to osobliwe imię, ale nie wspomniałem o tym, uznając, że byłoby to niegrzeczne. Kimkolwiek była, samo jej imię wystarczyło, by przepłoszyć chłopców z wioski.

Na tym zakończyła się nasza rozmowa. Oboje odwróciliśmy się, żeby pójść w swoją stronę, ale po paru krokach Alice zawołała do mnie przez ramię:

– Uważaj na siebie! Nie chciałbyś skończyć jak ostatni uczeń starego Gregory'ego.

– Co się z nim stało?! – odkrzyknąłem.

– Lepiej zapytaj starego Gregory'ego! – zawołała znikając wśród drzew.

\*

Kiedy wróciłem do domu, stracharz starannie sprawdził zawartość worka, odhaczając kolejne pozycje z listy.

– Miałeś jakieś kłopoty w wiosce? – spytał, gdy skończył.

– Kilku chłopaków poszło za mną na wzgórze i kazało mi otworzyć worek. Ale odmówiłem.

– To bardzo odważne z twojej strony. Następnym razem nie zaszkodzi, jeśli dasz im parę jabłek i placków. Życie tu nie jest najłatwiejsze, a część z nich pochodzi z bardzo biednych rodzin. Zawsze zamawiam kilka drobiazgów więcej na wypadek, gdyby poprosili.

Nagle ogarnęła mnie irytacja. Czemu nie powiedział mi o tym wcześniej?!

– Nie chciałem tego robić bez pytania – wyjaśniłem.

Stracharz uniósł brwi.

– Miałeś ochotę dać im parę jabłek i placków?

– Nie lubię, kiedy się mnie straszy – odparłem. – Lecz kilku z nich wyglądało na bardzo głodnych.

– W takim razie następnym razem zaufaj swojemu instynktowi

i inicjatywie – polecił stracharz. – Wsłuchaj się w głos wewnątrz siebie, on rzadko się myli. Stracharz często musi na nim polegać; czasami tylko on pozwala mu uniknąć śmierci. To kolejna rzecz, której musimy się o tobie dowiedzieć: czy można polegać na twoim instynkcie.

Urwał, przyglądając mi się uważnie, zielone oczy wwiercały mi się w twarz.

– Jakieś kłopoty z dziewczętami? – spytał nagle.

Ponieważ wciąż byłem poirytowany, nie udzieliłem mu odpowiedzi wprost.

– Żadnych – odparłem.

Nie było to kłamstwo, bo Alice mi pomogła, a to przeciwieństwo kłopotów. Wiedziałem jednak, że tak naprawdę chodziło mu o to, czy spotkałem jakieś dziewczyny. Wiedziałem też, że powinienem o niej powiedzieć. Zwłaszcza że miała na nogach szpiczaste trzewiki.

Popełniłem wiele błędów jako uczeń, a to był mój drugi – niewyznanie stracharzowi całej prawdy.

Pierwszy, znacznie poważniejszy, stanowiła obietnica, złożona Alice.

## **ROZDZIAŁ 7**

### **KTOŚ MUSI TO ROBIĆ**

Przez następne tygodnie nie brakowało mi zajęć. Stracharz uczył mnie szybko i kazał pisać tak dużo, aż czułem ból w przegubie, a oczy piekły boleśnie.

Pewnego popołudnia zabrał mnie na koniec wioski, za ostatni kamienny dom, do niewielkiego kręgu wierzb, które w Hrabstwie nazywamy łożynami. W ich cieniu z jednej gałęzi zwisał sznur. Uniosłem wzrok i ujrzałem duży, mosiężny dzwon.

– Kiedy ktoś potrzebuje pomocy – oznajmił stracharz – nie przychodzi do domu. Nikt tam nie przychodzi, jeśli nie zostaje

zaproszony. Zawsze tego przestrzegam. Przybywają tutaj i uderzają w dzwon. Wówczas my do nich schodzimy.

Problem polegał na tym, że choć mijały tygodnie, nie zjawił się nikt, kto uderzyłby w dzwon, a ja zapuszczałem się poza zachodni ogród tylko wtedy, gdy nadchodził czas, by odebrać z wioski cotygodniowe zakupy. Czułem się też samotny, bardzo tęskniłem za rodziną. Dobrze zatem, że stracharz zawsze wynajdował mi kolejne zajęcia – dzięki temu nie miałem czasu rozmyślać. Co wieczór kładłem się zmordowany i zasypiałem, gdy tylko głowa opadła mi na poduszkę.

Lekcje stanowiły najciekawszą część każdego dnia, ale niewiele nauczyłem się o duchach, widmach i czarownicach. Stracharz poinformował mnie, że podstawowy temat pierwszego roku nauki stanowią boginy oraz takie przedmioty jak na przykład botanika, czyli nauka o roślinach, z których niektóre okazały się bardzo użytecznymi lekami, a inne w razie potrzeby można było zjeść. Lecz moje lekcje nie ograniczały się do pisania. Z częścią z nich wiązała się praca fizyczna, równie ciężka, jak kiedyś na farmie.

Zaczęło się pewnego ciepłego, słonecznego ranka, kiedy stracharz kazał mi odłożyć notatnik i poprowadził do południowego ogrodu. Dał mi do niesienia dwie rzeczy – szpadel i długi pręt mierniczy.

– Swobodne boginy podróżują wzdłuż linii mocy – wyjaśnił. – Ale czasami coś idzie nie tak. Może to sprawić burza albo nawet trzęsienie ziemi. W Hrabstwie nawet najstarsi nie pamiętają poważnego trzęsienia ziemi. Ale to nie ma znaczenia, bo linie mocy są ze sobą połączone i coś, co poruszy jedną z nich nawet o tysiąc mil stąd, zakłóca wszystkie inne. Wówczas boginy mogą utknać w tym samym miejscu na całe lata. Nazywamy je naturalnie uwięzionymi. Często nie mogą oddalać się o więcej niż kilkanaście kroków. Niewiele wówczas zdołają napsocić, chyba że ktoś się do nich zbliży. Czasami jednak zostają uwięzione w niedogodnych miejscach, blisko czyjś domu albo nawet wewnątrz niego. Wtedy trzeba zabrać stamtąd bogina i sztucznie uwięzić gdzie

indziej.

– Co to jest linia mocy? – spytałem.

– Nie wszyscy zgadzają się co do tego, chłopcze – rzekł. – Niektórzy uważają, że to pradawne ścieżki przecinające ziemię. Ścieżki, którymi nasi praojcowie wędrowali w starożytnych czasach, kiedy mężowie byli prawdziwymi mężami, a ciemność znała swoje miejsce. Ludzie byli zdrowsi, żyli dłużej, byli szczęśliwi i zadowoleni. – I co się stało? Z północy zsunęły się lody i ziemia zamarzała na tysiące lat – wyjaśnił stracharz. – Życie stało się tak trudne, że ludzie zapomnieli o wszystkim, czego się nauczyli. Stara wiedza straciła znaczenie, liczyło się tylko utrzymanie ciepła i zdobycie jada. Gdy lód w końcu się cofnął, pozostawił po sobie myśliwych odzianych w zwierzęce skóry. Zapomnieli, jak uprawiać rolę i hodować zwierzęta. Ciemność zawładnęła wszystkim. Teraz jest już lepiej, choć wciąż mamy przed sobą daleką drogę. Z tamtych czasów pozostały tylko linie mocy. Prawda jednak jest taka, że to coś więcej niż zwykłe ścieżki. Tak naprawdę przepływa nimi moc, głęboko pod ziemią. To tajemne, niewidoczne drogi, którymi swobodne boginy mogą poruszać się z wielką szybkością. I właśnie swobodne boginy potrafią narobić najwięcej zamieszania. Często osiedlają się w nowej okolicy, w której nie są mile widziane. A to wielce je złości. Zaczynają płać psoty – czasami niebezpieczne psoty – i tu wkraczamy my. Wówczas trzeba je sztucznie uwięzić w dole, takim jak ten, który zaraz wykopiesz.

To dobre miejsce – rzekł, wskazując ziemię pod wielkim, starym dębem. – Między korzeniami znajdziesz dość czystej ziemi.

Stracharz wręczył mi pręt, bym mógł dokładnie obmierzyć dół, który miał mieć sześć stóp długości, sześć stóp głębokości i trzy stopy szerokości. Nawet w cieniu było za gorąco, by kopać, a musiałem pracować całymi godzinami, bo stracharz okazał się perfekcjonistą.

Po wykopaniu dołu kazał mi przygotować cuchnącą miksturę z soli, opiłków żelaza i specjalnego kleju zrobionego z kości.

– Sól parzy bogina – tłumaczył stracharz. – Żelazo natomiast

uziemia wszystko – tak jak błyskawica, spływając w ziemię, traci swą moc, żelazo czasami wysącza siłę i esencję z istot żyjących w ciemności, Może położyć kres harcom niesfornych boginów. Połączone ze sobą sól i żelazo tworzą barierę, której bogin nie jest w stanie przekroczyć. W istocie sól i żelazo przydają się w wielu sytuacjach.

Wymieszawszy miksturę w wielkim metalowym wiadrze, za pomocą pędzla rozprowadziłem ją po dnie dołu. Czynność ta przypominała malowanie, tyle że była cięższa, a warstwa musiała być idealna, by powstrzymać nawet najzręczniejszego bogina.

– Przyłóż się, chłopcze – nakazał stracharz. – Bogiń potrafi uciec przez dziurkę nie większą od łebka szpilki.

Oczywiście, gdy tylko stracharz uznał, że dobrze wykonałem swoje zadanie, musiałem zakopać dół i zacząć od nowa. Kazał mi przygotowywać dwa doły ćwiczebne na tydzień. Była to ciężka, mordercza robota i zajmowała mi wiele czasu. W dodatku trochę się bałem, bo kopałem w pobliżu dołów z prawdziwymi boginami i nawet w świetle dnia nie było to najprzyjemniejsze miejsce. Zauważyłem jednak, że stracharz nigdy nie oddala się za bardzo. Cały czas obserwował mnie czujnie i powtarzał, że nigdy nie można ryzykować z boginami, nawet jeśli są uwięzione.

Stracharz powiedział też, że będę musiał poznać każdy cal Hrabstwa – wszystkie miasteczka i wioski – oraz najszybsze drogi łączące dwa dowolne punkty. Problem w tym, że choć mój mistrz zgromadził w bibliotece na górze wiele map, ja zawsze musiałem robić wszystko sam, toteż kazał mi przygotować własną.

Środek mapy stanowił jego dom i ogrody. Miała obejmować wioskę i najbliższe wzgórza. Chciał, bym powiększał ją stopniowo, tak aby uwzględniała coraz większą część okolicy. Lecz rysunek nie należał do moich mocnych stron, a jak mówiłem, stracharz był perfekcjonistą, toteż mapa rodziła się w bólach. Dopiero gdy urosła, zaczął mi pokazywać swoje własne mapy, lecz więcej czasu spędzałem na starannym ich składaniu, niż na studiowaniu szczegółów.

Zacząłem także prowadzić dziennik. Stracharz dał mi w tym celu kolejny notatnik, powtarzając po raz enty, że muszę zapisywać przeszłość, by móc czerpać z niej wiedzę. Nie opisywałem jednak każdego dnia; czasami byłem zbyt zmęczony, a czasami od notatek za bardzo bolał mnie przegub, gdy podczas lekcji usiłowałem zapisać wszystko, co mówił mój mistrz.

Wreszcie pewnego dnia przy śniadaniu, gdy od mojego przybycia minął miesiąc, stracharz odezwał się nagle:

– No i co ty na to, chłopcze?

Zastanawiałem się, czy chodzi mu o posiłek. Może czeka nas drugie danie, zastępujące bekon, który tego ranka okazał się lekko przypalony? Wzruszyłem więc tylko ramionami. Nie chciałem urazić bogina, który najpewniej słuchał.

– To trudna praca i nie miałbym pretensji, gdybyś teraz zrezygnował – podjął. – Po upływie pierwszego miesiąca zawsze daję nowemu uczniowi możliwość powrotu do domu i dokładnego przemyślenia, czy pranie ciągnąć dalej naukę. Chciałbyś tak zrobić?

Ze wszystkich sił starałem się nie okazać entuzjazmu, ale nie potrafiłem powstrzymać uśmiechu. Problem w tym, że im szerzej się uśmiechałem, tym bardziej nieszczęśliwy wydawał się stracharz. Miałem wrażenie, że wolałby, bym został, ale osobiście nie mogłem się już doczekać wyruszenia w drogę. Myśl o tym, że znów zobaczę rodzinę i skosztuję posiłków mamy, wydawała się spełnieniem snów.

Po godzinie byłem gotów do wymarszu.

– Odważny z ciebie chłopak i umysł masz bystry – rzekł do mnie stracharz przy furtce. – Zaliczyłeś próbny miesiąc i możesz powiedzieć tacie, że jeśli zechcesz kontynuować naukę, odwiedzę go na jesieni, by odebrać dziesięć gwinei. Możesz zostać bardzo dobrym czeladnikiem, ale wszystko zależy od ciebie, chłopcze. Jeśli nie wrócisz, będę wiedział, że zdecydowałeś inaczej. W przeciwnym razie oczekuję cię do końca tygodnia. Przed tobą pięć lat nauki, po której staniesz się niemal równie dobry w tym fachu, jak ja sam.

Wyruszyłem do domu z lekkim sercem. Bo widzicie, nie chciałem mówić stracharzowi, ale w chwili, gdy dał mi szansę powrotu do domu i przerwania nauki, postanowiłem, że dokładnie tak postąpię. To była okropna praca – z tego, co mówił stracharz, nie tylko samotna, ale też niebezpieczna i przerażająca. Nikogo nie obchodziło, czy przeżyjemy, czy umrzemy. Chcieli jedynie pozbyć się tego, co ich dręczyło, nie zastanawiając się, ile to może nas kosztować.

Stracharz opisał, jak kiedyś o mało nie zabił go pewien bogin. W mgnieniu oka ze stukacza zamienił się w rzucacza i prawie roztrzaskał mu czaszkę kamieniem wielkości kowalskiej pięści. W dodatku mistrz wciąż nie dostał zapłaty, lecz spodziewał się ją otrzymać wiosną przyszłego roku. Ale od wiosny dzieliło nas jeszcze mnóstwo czasu. Co komu po obietnicach? Maszerując do domu pomyślałem, że lepiej mi będzie pracować na farmie.

\*

Kłopot w tym, że do domu miałem niemal dwa dni marszu, co oznaczało mnóstwo czasu do namysłu. Przypomniałem sobie, jak bardzo nudziłem się na farmie. Naprawdę mógłbym tak pracować przez resztę życia?

Potem zacząłem myśleć o tym, co powie mama. Bardzo zależało jej, żebym został uczniem stracharza i gdybym przerwał naukę, zawiódłbym ją. Najgorsze zatem będzie wyjaśnienie jej mojej decyzji i patrzenie na jej reakcję.

O zmierzchu pierwszego dnia podróży zjadłem już cały ser, który dał mi na drogę stracharz, toteż następnego ranka zatrzymałem się tylko raz, by zanurzyć stopy w strumieniu i dotarłem do domu tuż przed wieczornym udojem.

Gdy otworzyłem bramę, ujrzałem tatę, idącego w stronę obory. Na mój widok jego twarz rozjaśnił szeroki uśmiech. Zaproponowałem, że pomogę mu doić, żebyśmy mogli porozmawiać, ale kazał mi od razu iść do środka i pomówić z mamą.

– Tęskniła za tobą, chłopcze. Na pewno ucieszy się na twój

widok.

Poklepał mnie po plecach i zniknął w oborze. Nim jednak zdążyłem przejść parę kroków, ze stodoły wyłonił się Jack i ruszył wprost ku mnie.

– Co cię sprowadza tak szybko? – spytał.

Jego głos zabrzmiał chłodno, szczerze mówiąc, wręcz lodowato. Twarz miała dziwny wyraz, jakby próbował jednocześnie skrzywić się i uśmiechnąć.

– Stracharz przysłał mnie do domu na parę dni. Mam zdecydować, czy ciągnąć dalej naukę.

– I co zrobisz?

– Porozmawiam o tym z mamą.

– Bez wątpienia postawisz na swoim, jak zawsze.

Teraz Jack wyraźnie się krzywił. Miałem wrażenie że podczas mojej nieobecności coś się wydarzyło. Czemu zachowywał się tak wrogo? Czyżby nie chciał, żebym wrócił do domu?

– I nie wierzę, że zabrałeś hubkę taty – dodał.

– Dał mi ją – wyjaśniłem. – Chciał, żebym ją wziął.

– Zaproponował ci, owszem, ale to nie znaczy, że miałeś ją zabrać. Problem z tobą jest taki, że myślisz tylko o sobie. Pomyśl o biednym tacie. Uwielbiał tę hubkę.

Nie odpowiedziałem, bo nie chciałem wdawać się w kłótnie. Wiedziałem, że Jack się myli: tato chciał, żebym zabrał hubkę, byłem tego pewien.

– Skoro już tu jestem, to będę mógł pomóc – rzuciłem, próbując zmienić temat.

– Skoro naprawdę chcesz zarobić na swe utrzymanie, nakarm świnie – zawołał i odszedł.

Żaden z nas nie lubił tego robić. Świnie były wielkie, śmierdzące, włochate i zawsze takie głodne, że lepiej było nie odwracać się do nich plecami.

Mimo reakcji Jacka, wciąż cieszyłem się, że jestem w domu. Przechodząc przez podwórko, zerknąłem na dom. Pnące róże mamy porastały większą część tylnej ściany i świetnie się



rozwijały, choć wychodziła na północ Teraz dopiero się zieleniły, lecz w połowie czerwca zaroi się na nich od czerwonych kwiatów.

Tylne drzwi zawsze się zacinały, bo kiedyś w dom uderzył piorun. Drzwi zapaliły się i zostały wymienione, lecz futryna pozostała lekko spaczona i musiałem pchnąć bardzo mocno. Warto było, bo pierwszą rzeczą jaką ujrzałem, była uśmiechnięta twarz mamy.

Mama siedziała w swym starym bujanym fotelu w kącie kuchni, w miejscu, do którego nie docierały promienie zachodzącego słońca. Zbyt jasne światło raziło jej oczy. Mama wolała zimę od lata i noc od dnia.

Faktycznie, zdecydowanie ucieszyła się na mój widok i próbowałem odłożyć na później wyjaśnienia, że wróciłem na dobre. Zrobiłem zatem dobrą minę do złej gry, udając zadowolenie. Ale ona natychmiast mnie przejrzała – nigdy nie potrafiłem niczego przed nią ukryć.

– Co się stało? – spytała.

Wzruszyłem ramionami i spróbowałem się uśmiechnąć, lecz ukrywanie własnych uczuć wyszło mi jeszcze gorzej niż mojemu bratu.

– No, mów – nalegała. – Nie ma sensu dusić tego w sobie.

Przez długi czas nie odpowiadałem, szukając właściwych słów. Rozkołysany fotel mamy stopniowo zwalniał, aż w końcu zupełnie zamarł. Wiedziałem że to zły znak.

– Ukończyłem pierwszy próbny miesiąc i pan Gregory mówi, że tylko ode mnie zależy, czy zechcę kontynuować naukę. Ale jestem okropnie samotny, mam – wyznałem w końcu. – Jest tak źle, jak przypuszczałem, nie mam przyjaciół, nikogo w moim wieku, z kim mógłbym porozmawiać. Czuję się strasznie sam. Chciałbym wrócić i pracować tutaj.

Mogłem powiedzieć coś jeszcze, przypomnieć, jacy szczęśliwi byliśmy na farmie, gdy wszyscy moi bracia mieszkali w domu. Nie zrobiłem tego jednak – wiedziałem, że ona też za nimi tęskni. Sądziłem, że choćby dlatego okaże mi współczucie, ale myliłem się.

Długą chwilę w kuchni panowała cisza. Słyszałem, jak Ellie zamiata sąsiednią izbę, nucąc cicho pod nosem.

– Samotny? – spytała w końcu mama; w jej głosie zamiast współczucia usłyszałem gniew. – Jak możesz być samotny? Masz przecież siebie. Jeżeli kiedyś zatracisz samego siebie, wówczas naprawdę będziesz samotny. A tymczasem przestań narzekać. Jesteś już prawie mężczyzną, a mężczyzna musi pracować. Od początku świata mężczyźni wykonują prace, których nie lubią. Czemu z tobą miałyby być inaczej? Jesteś siódmym synem siódmego syna. To fach, do którego się urodziłeś.

– Ale przecież pan Gregory miał innych uczniów – wypaliłem. – Jeden z nich mógłby wrócić i zaopiekować się Hrabstwem. Czemu to muszę być ja?

– Szkolił wielu, lecz tylko nieliczni ukończyli naukę – odparła mama. – A z nich żaden mu nie dorównuje. Są niegodni, słabi, tchórzliwi. Wędrują pokręconą ścieżką, przyjmując pieniądze i niewiele dając w zamian. Zostałeś tylko ty, synu. Ty jesteś ostatnią szansą. Ostatnią nadzieją. Ktoś musi to robić. Ktoś musi stawić czoło ciemności. I tylko ty możesz tego dokonać.

Fotel znów zaczął się kołysać, powoli nabierając tempa.

– Cóż, cieszę się, że to załatwiliśmy. Chcesz poczekać na kolację, czy już teraz dać ci jakąś przekąskę?

– Cały dzień nic nie jadłem, mam. Nawet śniadania.

– Mam tu potrawkę z królika. Powinna cię trochę pocieszyć.

Usiadłem przy kuchennym stole. Jeszcze nigdy w życiu nie czułem się tak smutny i nieszczęśliwy. Tymczasem mama krzątała się przy piecu. Potrawka z królika pachniała cudownie, do ust napłynęła mi ślinka. Nikt nie gotował lepiej od mojej mamy. Warto było wrócić do domu, choćby na jeden posiłek.

Z uśmiechem postawiła przede mną wielki talerz pełen parującej potrawki.

– Pójdę i przygotuję twój pokój – oznajmiła. – Skoro już wróciłeś, możesz zostać parę dni.

Wymamrotałem kilka słów podziękowania i rzuciłem się

najedzenie. Gdy tylko mama zniknęła na górze, w kuchni zjawiała się Ellie.

– Miło znów cię widzieć, Tom. – Uśmiechnęła się, spojrzała na mój talerz. – Chciałbyś może do tego chleba?

– Tak, proszę – odparłem.

Ellie nasmarowała masłem trzy grube kromki i usiadła naprzeciw mnie. Jadłem dalej, nie przerywając ani na moment. W końcu wytarłem dokładnie talerz ostatnią wielką kromką świeżo upieczonego chleba.

– Lepiej ci?

Pokiwałem głową i spróbowałem się uśmiechnąć. Wiedziałem jednak, że mi nie wyszło, bo na twarzy Ellie odbiła się troska.

– Przypadkiem usłyszałam twoją rozmowę z mamą – powiedziała. – Na pewno nie jest aż tak źle. Czujesz się tak dlatego, bo to nowa, nieznana praca. Wkrótce jednak do niej przywykniesz. Poza tym nie musisz wracać od razu, po paru dniach w domu poczujesz się lepiej i zawsze będziesz tu mile widziany, nawet kiedy farma przypadnie Jackowi.

– Nie wydaje mi się, by Jack ucieszył się na mój widok.

– Czemu tak uważasz? – zdziwiła się Ellie.

– Po prostu nie przyjął mnie zbyt przyjaźnie. Chyba nie chce mnie tutaj.

– Nie przejmuj się swoim starszym, wrednym bratem. Łatwo to naprawię.

Wówczas uśmiechnąłem się szczerze, bo faktycznie tak było. Jak zauważyła kiedyś mama, Ellie potrafiła owinać sobie Jacka wokół najmniejszego palca.

– Tak naprawdę denerwuje się z tego powodu – Ellie pogładziła dłonią brzuch. – Siostra mojej matki zmarła w połogu, w rodzinie wciąż się o tym mówi. Dlatego Jack się denerwuje. Ale ja się nie martwię, bo nie mogłam trafić w lepsze miejsce. Twoja mama się mną zajmie – urwała. – Ale jest coś jeszcze. Martwi go twoja nowa praca.

– Nim odszedłem, sprawiał wrażenie zadowolonego.

– Zachowywał się tak dlatego, że jesteś jego bratem i cię kocha. Lecz fach stracharza przeraża ludzi. Budzi w nich niepokój. Gdybyście od razu odeszli, nic by się nie stało. Lecz Jack twierdzi, że tamtego dnia poszliście wprost na wzgórze w lesie i od tego czasu psy wciąż się niepokoją. Teraz nie chcą się nawet zbliżyć do północnego pastwiska. Jack uważa, że coś obudziliście. Myślę, że w sumie wszystko sprowadza się do tego – Ellie delikatnie poklepała brzuch. – Po prostu chce nas chronić. Myśli o swojej rodzinie. Ale nie martw się, w końcu wszystko się ułoży.

\*

Ostatecznie zostałem w domu trzy dni. Starłem się udawać, że nic się nie stało, ale w końcu wyczułem, że już czas odejść. Mama była ostatnią osobą, z którą rozmawiałem. Zostaliśmy sami w kuchni. Ucisnęła moje ramię i powiedziała, że jest ze mnie dumna.

– Jesteś czymś więcej niż siódmym synem siódmego syna – oznajmiła z ciepłym uśmiechem. – Jesteś też moim dzieckiem i masz dość sił, by zrobić to, co trzeba.

Przytaknąłem, bo chciałem zrobić jej przyjemność, ale gdy tylko wyszedłem za bramę, uśmiech zniknął z mojej twarzy. Bez cienia entuzjazmu wlokłem się do domu stracharza, zawiedziony i zraniony tym, że mama nie chciała przyjąć mnie z powrotem.

Przez całą drogę do Chipenden padało i gdy dotarłem na miejsce, byłem zmarznięty, przemoczony i nieszczęśliwy. Zdumiałem się, kiedy stanąłem przed bramą, bo rygiel uniósł się sam i furka rozwarła się, choć jej nie dotykałem. Stanowiło to zachętę, zapraszający gest, powitanie, które, jak sądziłem, było zarezerwowane wyłącznie dla stracharza. Chyba powinno mnie było ucieszyć, ale tak się nie stało. Wydało mi się upiorne.

Trzy razy zastukałem do drzwi, nim wreszcie zauważyłem, że w zamku tkwi klucz. Ponieważ nikt nie zareagował na pukanie, przekręciłem go w zamku i otworzyłem drzwi.

Sprawdziłem wszystkie pomieszczenia na parterze, prócz jednego, a potem uniosłem głowę i zawołałem. Nikt nie odpowiedział, toteż zaryzykowałem wizytę w kuchni.

Na palenisku płonął ogień, na stole czekał posiłek dla jednej osoby: duży garniec parującego gulaszu. Byłem tak głodny, że poczęstowałem się i opróżniłem go prawie zupełnie, nim zauważyłem liścik wetknięty pod solniczkę.

„Udałem się na wschód, do Pendle. Mają problem z czarownicą, więc zabawię tam jakiś czas. Rozgość się, ale nie zapomnij odebrać zakupów ze wsi. Jak zwykle, mój worek ma rzeźnik, więc najpierw idź do niego.”

Pendle było wielkim wzgórzem, niemal górą, we wschodniej części Hrabstwa. W okolicy roilo się od wiedźm i niebezpiecznie było wybierać się tam, a już zwłaszcza samotnie. Nagle znów uświadomiłem sobie, jak niebezpieczna jest praca stracharza.

Jednocześnie jednak nie zdołałem opanować lekkiej irytacji. Tyle czasu czekałem, aż coś się stanie, a gdy tylko zniknąłem, stracharz wyruszył beze mnie!

\*

Tej nocy spałem dobrze, lecz nie aż tak mocno, by nie usłyszeć dzwonka, wzywającego na śniadanie. Punktualnie zszedłem na dół i zastałem najlepsze jajko na bekonie, jakie jadłem w domu stracharza. Tak bardzo się ucieszyłem, że wstając od stołu przemówiłem głośno, cytując słowa mojego ojca wypowiedane w każdą niedzielę po drugim śniadaniu.

– To było naprawdę pyszne – oznajmiłem. – Gratulacje dla kucharki.

Gdy tylko to powiedziałem, ogień na ognisku rozbłysnął i zaczął mruczeć kot. Nie widziałem go, ale mruczał tak głośno, iż przysiągłbym, że okna zaczęły wibrować. Najwyraźniej dobrze postąpiłem.

Zadowolony z siebie, ruszyłem do wioski po zakupy. Na błękitnym, bezchmurnym niebie świeciło słońce, ptaki śpiewały, a po wczorajszym deszczu cały świat wydawał się czysty, błyszczący i nowiutki.

Zajrzałem do rzeźnika, odebrałem worek stracharza, przeszedłem do kramu warzywnego i w końcu do piekarni. Przy

pobliskim murze stało kilku chłopaków z wioski, nie tak wielu jak poprzednio. Nigdzie też nie dostrzegłem ich przywódcy o byczym karku.

Pamiętając słowa stracharza, podszedłem wprost do nich.

– Przepraszam za tamto – oznajmiłem – ale jestem nowy i nie do końca rozumiałem zasady. Pan Gregory mówi, że każdy z was może poczęstować się jabłkiem i plackiem. – To rzekłszy, otworzyłem worek i poczęstowałem ich kolejno. Wybałuszyli oczy tak mocno, że o mało nie wyskoczyły im z orbit i podziękowali niezgrabnie.

Na końcu dróżki ktoś na mnie czekał. To była dziewczyna, Alice; znów stała w cieniu drzew, jakby nie lubiła słońca.

– Możesz się poczęstować jabłkiem i plackiem – powiedziałem.

Ku memu zdumieniu, pokręciła głową.

– W tej chwili nie jestem głodna – rzekła. – Ale jest coś, czego od ciebie chcę. Musisz spełnić obietnicę. Potrzebuję pomocy.

Wzruszyłem ramionami. Obietnica to obietnica, pamiętałem, jak ją złożyłem. Co zatem miałem robić? Musiałem dotrzymać słowa.

– Powiedz, czego chcesz, a dołożę wszelkich starań, by to wykonać.

I znów jej twarz rozjaśnił szeroki uśmiech. Miała na sobie czarną sukienkę i szpiczaste trzewiki, lecz ów uśmiech sprawił, że na chwilę o tym zapomniałem. Ale jej następne słowa wzbudziły mój niepokój i zupełnie popsuły resztę dnia.

– Teraz ci nie powiem – rzekła. – Dowiesz się wieczorem, o tak, gdy tylko zajdzie słońce. Przyjdź do mnie, kiedy usłyszysz dzwon starego Gregory'ego.

\*

Tuż przed zachodem słońca usłyszałem dzwon i z ciężkim sercem zszedłem ze wzgórza w stronę kręgu wierzb na rozstajach. Wszystko to wydawało mi się niewłaściwe. Nie powinna uderzać w dzwon. Chyba że miała zajęcie dla stracharza, ale poważnie w to wątpiłem.

Wysoko nad moją głową wierzchołki wzgórz połyskiwały słabym, pomarańczowym blaskiem w ostatnich promieniach słońca. Lecz tu, w dole, pośród łożyny zalegały szare cienie. Kiedy ujrzałem dziewczynę, zadrżałem, bo pociągała sznur jedną ręką, lecz serce dużego dzwonu tańczyło szaleńczo. Mimo szczupłych ramion i wąskiej talii musiała być bardzo silna.

Gdy tylko się zjawiłem, przestała dzwonić i podparła się pod boki. Tymczasem gałęzie wciąż trzęsły się i tańczyły nad naszymi głowami. Przyglądaliśmy się sobie całe wieki, aż w końcu mój wzrok przyciągnął koszyk, stojący u jej stóp. W środku tkwiło coś przykrytego kawałkiem czarnej tkaniny.

Alice uniosła kosz i wyciągnęła do mnie rękę.

– Co to? – spytałem.

– To dla ciebie, żebyś mógł dotrzymać obietnicy.

Wziąłem kosz, ale nie czułem się zbyt szczęśliwy

Zaciekawiony, sięgnąłem do środka, by podnieść czarny materiał.

– Nie, zostaw go tak jak jest – warknęła Alice, a w jej głosie zadźwięczała ostra nuta. – Nie dopuszczaj do nich powietrza, bo się zepsują.

– Co to takiego? – spytałem. Z każdą chwilą robiło się ciemniej i zaczynałem mocno się denerwować.

– To tylko placki.

– Dziękuję bardzo.

– Nie są dla ciebie – w kącikach jej ust zatańczył uśmieszek. – Te placki są dla Mateczki Malkin.

W ustach mi zaschło, po plecach przebiegł dreszcz. Mateczka Malkin, żywa czarownica, którą stracharz trzymał uwięzioną w dole w ogrodzie.

– Nie wydaje mi się, żeby panu Gregory'emu się to spodobało – odparłem. – Kazał mi trzymać się od niej z daleka.

– Stary Gregory to okrutny człek – odparła Alice. – Biedna Mateczka Malkin siedzi w tej wilgotnej, ciemnej dziurze już prawie trzysta lat. Kto to widział tak źle traktować starą kobietę.

Wzruszyłem ramionami. Osobiście też mi się to nie podobało. Trudno było bronić tego co zrobił, ale mówił, że miał powody.

– Posłuchaj – podjęła. – Nie będziesz miał kłopotów, bo stary Gregory nie musi się o tym dowiedzieć. To tylko przysmak na pociechę, ulubione placki, upieczone przez rodzinę. Nie ma w tym nic złego. Dodadzą jej sił. W takim dole zimno wnika prosto w kości.

I znów wzruszyłem ramionami. Najwyraźniej miała ma podorzędziu wszystkie najlepsze argumenty.

– Każdej nocy dawaj jej jeden placek. Trzy placki na trzy noce. Lepiej zrób to o północy, bo wtedy ma największy apetyt. Pierwszy zanieś jej dzisiaj.

Alice odwróciła się, ale nagle przystanęła i posłała mi uśmiech.

– Moglibyśmy zostać przyjaciółmi, ty i ja – rzuciła ze śmiechem.

A potem zniknęła wśród gęstniejących cieni.

## **ROZDZIAŁ 8**

### **MATECZKA MALKIN**

Po powrocie do domu stracharza znów zacząłem się martwić. Ale im dłużej o tym myślałem, tym bardziej czułem się zagubiony. Wiedziałem, co powiedziałby stracharz. Wyrzuciłby placki i wygłosił długi wykład na temat czarownic i problemów z dziewczętami noszącymi szpiczaste trzewiki.

Nie było go jednak, toteż nic takiego się nie stało. Dwie rzeczy sprawiły, że w końcu zdecydowałem się odwiedzić pogrążony w mroku wschodni ogród, gdzie trzymał wiedźmy. Pierwszą – była obietnica złożona Alice.

Nigdy nie obiecuj czegoś, czego nie byłbyś gotów dotrzymać, powtarzał często tato. Nie miałem zatem wyboru. Ojciec nauczył mnie postępować właściwie i to, że zostałem uczniem stracharza, nie oznaczało, iż zasady uległy zmianie.



Po drugie, nie podobało mi się uwięzienie staruszki w dziurze w ziemi. Owszem, można tak postępować z martwą wiedźmą. Ale z żywą? Pamiętam, że zastanawiałem się, jak straszliwą zbrodnię popełniła, by zasłużyć sobie na podobny los.

Co może się stać, jeśli dam jej trzy placki? To przecież tylko drobiazg, smakołyk od rodziny, pozwalający lepiej znieść chłód i wilgoć. Nic więcej. Stracharz kazał mi ufać instynktowi i rozważywszy wszystkie za i przeciw, uznałem, że postępuję słusznie.

Niestety, musiałem zanieść jej placki sam o północy. A o tej porze robi się bardzo ciemno, zwłaszcza jeśli na niebie nie świeci księżyc.

\*

Ruszyłem w stronę wschodniego ogrodu, dźwigając kosz. Było ciemno, ale nie aż tak, jak sądziłem. Po pierwsze, zawsze nieźle widziałem w ciemności. Moja mama dobrze widzi po ciemku i chyba odziedziczyłem to po niej. A po drugie noc była bezchmurną i księżyc pomógł mi odnaleźć drogę.

Kiedy wkroczyłem między drzewa, nagle zrobiło się zimniej, zadrzałem. Dotarłszy do pierwszego grobu tego z kamieniami i trzynastoma prętami, poczułem jeszcze większy chłód. Tu właśnie leżała pochowana pierwsza czarownica. Była słaba, nie miała już sił. Tak przynajmniej twierdził stracharz. Nie ma się czego bać, powiedziałem sobie w duchu, ze wszystkich sił próbując w to uwierzyć.

Łatwo było podjąć za dnia decyzję o przekazaniu Mateczce Malkin placków. Lecz teraz, w ogrodzie, przed północą, nic już nie było proste. Stracharz kazał mi nie zbliżać się do czarownic po zmierzchu. Ostrzegał kilkakrotnie, zatem musiała to być ważna zasada, a ja właśnie ją łamałem.

Wokół siebie słyszałem najróżniejsze słabe odgłosy. Szelesty i potraskiwania to pewnie nic ważnego: ot, małe stworzenia, które spłoszyłem i które teraz umykały mi spod nóg. Przypominały jednak, że nie mam prawa tu być.

Stracharz mówił, że pozostałe dwie czarownice dzieli od pierwszej około dwudziestu kroków, toteż odliczałem je starannie. W końcu dotarłem do drugiego grobu. Wyglądał tak samo jak pierwszy. Zbliżyłem się, by się upewnić i ujrzałem pręty, a pod nimi grunt, ubitą ziemię, z której nie wyrastało nawet źdźbło trawy. Ta czarownica była martwa, lecz wciąż niebezpieczna. To ją musieli pogrzebać nogami do góry. Oznaczało to, że jej stopy tkwią tuż pod powierzchnią.

Gdy tak wpatrywałem się w grób, wydało mi się, że coś się porusza. Coś drgnęło – pewnie tylko moja wyobraźnia, czy może jakieś małe stworzenie, mysz albo ryjówka. Pośpiesznie ruszyłem naprzód. A jeśli to był palec?

Po kolejnych trzech krokach znalazłem się w miejscu, którego szukałem – dostrzegłem je od razu, bez cienia wątpliwości. Znów na ziemi leżały kamienie, a między nimi trzynaście prętów. Zauważyłem jednak trzy różnice. Po pierwsze, kamienie ułożono nie w kształt prostokąta, lecz kwadratu. Po drugie, był on większy, liczył sobie jakieś cztery kroki na cztery. Po trzecie, pod prętami nie dostrzegłem ubitej ziemi, lecz bardzo czarną dziurę.

Zatrzymałem się, wytyżając słuch. Jak dotąd, nie słyszałem żadnych głośnych dźwięków, jedynie leciutkie szmery nocnych stworzeń i delikatny wietrzyk, tak słaby, że zauważyłem go dopiero, gdy się zatrzymałem. Nagle wokół zrobiło się bardzo cicho, nienaturalnie spokojnie.

Zrozumiałem, że wcześniej nasłuchiwałem odgłosów wydawanych przez czarownicę, a teraz wyczułem, że ona słucha mnie.

Cisza zdawała się trwać i trwać, bez końca. Aż wreszcie nagle uświadomiłem sobie, że słyszę dobiegający z dołu cichy oddech i ów dźwięk pozwolił mi się poruszyć. Postąpiłem parę kroków naprzód i zatrzymałem się bardzo blisko krawędzi. Czubek mojego buta dotykał kamiennej granicy.

W tym momencie przypomniałem sobie coś, co stracharz powiedział na temat Mateczki Malkin: „Od bardzo dawna

przebywa w dziurze i większość jej mocy spłynęła w ziemię. Z radością dopadłaby chłopca takiego jak ty..."

Cofnąłem się zatem – niezbyt daleko, ale słowa stracharza pobudziły mój umysł do pracy. Co by było, gdyby z dołu wyłoniła się ręka i chwyciła mnie za kostkę?

Chciałem załatwić to jak najszybciej, toteż zawołałem cicho w mrok.

– Mateczko Malkin? Przyniosłem ci coś. To prezent od twojej rodziny. Jesteś tam? Słuchasz mnie?

Nikt nie odpowiedział, lecz rytm oddechu w dole lekko przyspieszył. Nie tracąc zatem czasu, rozpaczliwie pragnąc wrócić do ciepłego domu stracharza, sięgnąłem do kosza i zacząłem macać pod tkaniną. Moje palce zacisnęły się na jednym z placków. W dotyku był miękki, wilgotny i nieco lepki. Wyciągnąłem go i uniosłem nad prętami.

– To tylko placek – powiedziałem. – Mam nadzieję, że dzięki niemu poczujesz się lepiej. Jutro w nocy przyniosę ci następny.

To rzekłszy, wypuściłem placek, pozwalając, by poleciał w ciemność.

Powinienem był natychmiast wrócić do domu, zostałem jednak parę sekund, nasłuchując. Nie wiem, czego oczekiwałem, ale natychmiast zrozumiałem, że to był błąd.

W dole coś się poruszyło, coś wlokło się po ziemi. A potem czarownica zaczęła jeść placek. Kiedyś sądziłem, że moi bracia wydają z siebie nieprzystojne odgłosy przy stole. Ale to było znacznie gorsze, brzmiało nawet gorzej niż nasze wielkie, włochate świnie zanurzające ryje w wiadrze z pomyjami – odgłosy prychnania, ciamkania, żucia i szybki, głośny oddech. Nie wiedziałem, czy placek smakuje jej, czy nie, ale hałasowała przeraźliwie.

\*

Tej nocy nie mogłem zasnąć. Przed oczami wciąż widziałem czarną dziurę i myślałem z niepokojem, że jutro znów będę musiał ją odwiedzić.

Ledwie zdążyłem na śniadanie. Bekon był przypalony, chleb nieco czerstwy. Nie rozumiałem, dlaczego – kupiłem świeżutki u piekarza zaledwie dzień wcześniej. Co gorsza, mleko skwaśniało. Czyżby bogin był na mnie zły? Może wiedział, co zrobiłem, a zepsute śniadanie miało stanowić ostrzeżenie?

Praca na roli jest ciężka i od dziecka do niej przywykłem. Natomiast stracharz nie zostawił mi nic do roboty, nie wiedziałem, co począć z całym dniem. Poszedłem do biblioteki, myśląc, że nie miałyby nic przeciw temu, żebym znalazł sobie coś użytecznego do czytania. Lecz, ku mojemu zawodowi, drzwi okazały się zamknięte.

Co zatem mi pozostało prócz spaceru? Postanowiłem zwiedzić wzgórze. Najpierw wdrapałem się na Pikę Parlicka. Na szczycie usiadłem na stercie kamieni, podziwiając widok.

Był jasny, pogodny dzień, z góry dobrze widziałem rozciągnięte u podnóża góry Hrabstwo. Daleko na północnym zachodzie zapraszająco połyskiwało błękitne morze. Wzgórze zdawały się ciągnąć bez końca,

Ogromne wzniesienia takie jak Wzgórze Caldera i Palikowe – były tak wielkie, iż miałem wrażenie, iż ich obejście zajęłoby całe życie.

W pobliżu leżało Wilcze Wzgórze, i gdy je ujrzałem, zacząłem się zastanawiać, czy w okolicy naprawdę mieszkają wilki. Wilki bywają niebezpieczne, słyszałem, że w zimie podczas mrozów czasami polują stadami. Teraz jednak była wiosna i nie dostrzegłem ani śladu zwierząt. Nie oznaczało to jednak, iż ich nie ma. Ta myśl uświadomiła mi, że pobyt na wzgórzach po zmroku byłby naprawdę straszny.

Ale nie tak straszny jak nakarmienie Mateczki Malkin kolejnym plackiem, uznałem. Zdecydowanie za szybko jak na mój gust słońce zaczęło zniżać się ku zachodowi i musiałem wrócić do domu nieopodal Chipenden.

Dźwigając kosz, znów przemierzałem pogrążony w mroku ogród. Tym razem postanowiłem załatwić sprawę szybko. Nie

tracąc czasu, wypuściłem z palców lepki placek wprost w szczelinę między prętami.

Dopiero gdy było już za późno, gdy poleciał w dół, zauważyłem coś, co zmroziło mi serce.

Pręty nad dołem zostały wygięte. Zeszłej nocy były idealnie proste, trzynaście równoległych, stalowych sztab. Teraz środkowe wygięto tak mocno, że prawie mieściła się między nimi głowa.

Mógł to zrobić ktoś z zewnątrz, z góry, ale poważnie w to wątpiłem. Stracharz wspominał, że ogród i dom są nieustannie strzeżone i nikt nie zdołałby się do nich dostać. Nie mówił, jak i przez kogo, ale domyślałem się, że to robota jakiegoś bogina. Może tego samego, który przyrządzał posiłki.

Czyli musiała to zrobić sama czarownica. Najwyraźniej wdrapała się jakoś po ścianie dołu i zabrała za rozginanie prętów. Nagle dotarło do mnie prawdziwe znaczenie tego, co się dzieje.

Byłem taki głupi! Placki dodawały jej sił.

Usłyszałem ją w dole, w ciemności, gdy zaczęła zajadać drugi placek, przy wtórze tych samych upiornych odgłosów zucia, parskania i mlaskania. Szybko wybiegłem z lasu i wróciłem prosto do domu. Nie byłem pewien, czy potrzebny jej będzie trzeci.

\*

Po kolejnej bezsennej nocy podjąłem decyzję. Postanowiłem zobaczyć się z Alice, oddać jej ostatni placek i wyjaśnić, dlaczego nie mogę dotrzymać obietnicy.

Najpierw jednak musiałem ją znaleźć. Natychmiast po śniadaniu wróciłem do lasu, w którym spotkaliśmy po raz pierwszy i przemierzyłem go aż do krańca. Alice mówiła, że mieszka „tam”, nigdzie jednak nie dostrzegłem żadnych budynków, tylko niskie pagórki i kolejne lasy w dali.

Uznawszy, że szybciej będzie poprosić o wskazówki, poszedłem do wioski. Ujrzałem zaskakująco mało ludzi, ale tak jak przypuszczałem, część chłopaków znów kręciła się w pobliżu sklepu piekarza. Najwyraźniej było to ich ulubione miejsce. Może lubili zapach piekarni, ja na pewno. Świeżo upieczony chleb pachnie

najpiękniej na świecie.

Nie przyjęli mnie zbyt przyjaźnie, mimo że podczas ostatniego spotkania poczęstowałem ich plackami i jabłkami. Pewnie sprawił to fakt, że tym razem towarzyszył im wielki chłopak o świńskich oczkach. Wysłuchali jednak tego, co miałem im do powiedzenia. Nie wchodziłem w szczegóły – oznajmiłem tylko, że muszę znaleźć dziewczynę, którą spotkaliśmy na skraju lasu.

– Wiem, gdzie może być – powiedział ich przywódca, krzywiąc się groźnie. – Ale tylko dureń by tam poszedł.

– Dlaczego?

– Nie słyszałeś, co mówiła? – uniósł brwi. – Twierdziła, że jej ciotką jest Koścista Lizzie.

– Kto to jest Koścista Lizzie?

Chłopcy popatrzyli po sobie i kręcili głowami, jakbym oszalał. Dlaczego najwyraźniej słyszeli o niej wszyscy oprócz mnie?

– Lizzie i jej babka spędziły tu całą zimę, nim Gregory je załatwił. Mój tato wciąż o nich opowiada. To najstraszniejsze czarownice, jakie widziano w okolicy. Mieszkały z czymś równie strasznym. Ten stwór wyglądał jak człowiek, ale był wielki i miał zbyt wiele zębów, aż nie mieściły mu się w ustach. Tak mówił mój tato. Twierdził, że w tamtym czasie, podczas długiej zimy, ludzie nie wychodzili z domów po zmierzchu. Jaki z ciebie stracharz, skoro nie słyszałeś nigdy o Kościstej Lizzie?

Historia ta zupełnie mi się nie spodobała, zrozumiałem, jaki byłem głupi. Gdybym tylko powiedział stracharzowi o rozmowie z Alice, zorientowałby się, że Lizzie wróciła i coś by z tym zrobił.

Według ojca najwyższego chłopaka Koścista Lizzie mieszkała na farmie, trzy mile na południowy wschód od domu stracharza. Farma owa od lat stała opuszczona, nikt tam nie zaglądał. Zapewne zatem teraz znowu się zatrzymała w tym samym miejscu. Pomyślałem, że to logiczne i pasowało do kierunku, w którym wskazywała Alice.

W tym momencie z kościoła wyłoniła się grupka wieśniaków o ponurych minach. Idąc gęsiego skręcili za róg i pomaszerowali w

górze zbiega, w stronę wzgórz. Na czele stąpał wioskowy ksiądz. Mieli na sobie ciepłe ubranie, a wielu z nich dzierżyło w dłoniach laski.

– Co się stało? – spytałem.

– Zeszłej nocy zaginęło dziecko – odparł jeden z chłopaków, spluwając na kamienie. – Trzylatek. Sądzą, że tam poszedł. I musisz wiedzieć, że nie był pierwszy. Dwa dni temu z farmy za Długą Przełęczą zniknęło niemowlę. Było małe, nie umiało chodzić, więc ktoś musiał je porwać. Sądzą, że to mogły być wilki. Zima była ciężka, czasami po takiej zimie wracają.

\*

Wskazówki, które usłyszałem, okazały się całkiem dobre i choć wpadłem jeszcze po koszyk Alice, nim minęła godzina ujrzałem przed sobą dom Lizzie.

Pomyślałem, że w jasnym słońcu obejrzę zawartość kosza, podniosłem więc tkaninę i ujrzałem ostatni z trzech placków. Cuchnął brzydko, a wyglądał jeszcze gorzej. Najwyraźniej zrobiono go z małych kawałeczków mięsa i chleba oraz innych rzeczy, których nie potrafiłem zidentyfikować. Był mokry, bardzo lepki i niemal zupełnie czarny. Żadnego ze składników nie upieczono, zostały zmieszane i ściśnięte na surowo. A potem zauważyłem coś jeszcze straszniejszego. Po powierzchni placka pełzały małe, białe stworzenia, wyglądające jak larwy much.

Zadrzałem, nakryłem ciasto ścierką i zszedłem ze wzgórz w stronę bardzo zaniedbanej farmy. Za połamanym płotem stała stodoła, której brakowało pół dachu. Nie zauważyłem też śladu żadnych zwierząt.

Dostrzegłem za to coś innego, bardzo niepokojącego. Z komina wypływało pasmo dymu. Oznaczało to, że ktoś jest w domu, i pomyślałem z lękiem o istocie o zbyt wielu zębach, niemieszczących się w ustach.

Czego właściwie się spodziewałem? Wiedziałem, że będzie trudno. A poza tym, jak zdołam porozmawiać z Alice, unikając reszty jej rodziny?

Gdy zatrzymałem się na zboczu, próbując wymyślić, co teraz zrobić, mój problem rozwiązał się sam.

Z tylnych drzwi domu wyłoniła się smukła ciemna postać i zaczęła wspinać się prosto ku mnie. To była Alice – ale skąd wiedziała, że tu jestem? Między domem a mną rosły drzewa, a okna wychodziły na przeciwną stronę.

Niewątpliwie jednak nie zjawiała się przypadkiem. Zdecydowanym krokiem maszerowała w moim kierunku. Nagle zatrzymała się pięć kroków przede mną.

– Czego chcesz? – syknęła. – Jesteś głupi, że tu przychodzisz. Na twoje szczęście, ci w środku śpią.

– Nie mogę zrobić tego, o co prosiłaś – uniosłem ku niej koszyk.

Alice splotła ręce na piersi i zmarszczyła brwi.

– Czemu nie? – spytała ostro. – Przecież obiecałaś.

– Nie uprzedziłaś mnie, co się stanie. Zjadła już dwa placki, które dodały jej tyle sił, że wygięła pręty ponad dołem. Jeszcze jeden i będzie wolna. Myślę, że o tym wiesz. Czy nie o to chodziło od początku? – rzuciłem oskarży cielsko. Poczulem, że ogarnia mnie gniew. – Oszukałaś mnie, więc obietnica się nie liczy.

Postąpiła krok w moją stronę, lecz jej własny gniew zniknął, zastąpiony czymś innym. Teraz wyglądała, jakby ogarnął ją strach.

– To nie był mój pomysł, zmusili mnie – oznajmiła, wskazując gestem dom na farmie. – Jeśli nie dotrzymasz słowa, oberwie się nam obojgu. Przecież to nic złego. Mateczka Malkin zapłaciła już za wszystko. Czas ją wypuścić. No, dalej, daj jej placek, zniknie jeszcze dziś w nocy i więcej nie będzie się wam naprzykrzać.

– Myślę, że pan Gregory musiał mieć bardzo dobry powód, by uwięzić ją w dole – odparłem powoli. – Jestem tylko nowym uczniem, nie wiem wszystkiego. Kiedy wróci, opowiem mu dokładnie, co się stało.

Alice uśmiechnęła się lekko, jak ktoś, kto wie o czymś, o czym my nie mamy pojęcia.

– On nie wróci – oświadczyła. – Lizzie pomyślała o wszystkim. Ma dobrych przyjaciół pod Pendle, zrobią dla niej wszystko, o tak.



Oszukali starego Gregory'ego. Miał tam wyruszyć i dostać to, na co zasłużył. Do tej pory pewnie już nie żyje i leży sześć stóp pod ziemią. Zaczekaj, a przekonasz się, czy mam rację. Wkrótce nie będziesz bezpieczny nawet w jego domu. Którejś nocy przyjdą po ciebie. Chyba że zgodzisz się pomóc. Wtedy być może zostawią cię w spokoju.

Gdy tylko to powiedziała, odwróciłem się do niej plecami i wdrapałem na wzgórze, zostawiając ją samą. Wołała za mną kilkanaście razy, ale ja nie słuchałem. W głowie wciąż szumiało mi od tego, co powiedziała o stracharzu.

Dopiero później zorientowałem się, że wciąż taszcze kosz, więc wrzuciłem go do rzeki wraz z ostatnim plackiem. Po powrocie do domu stracharza nie potrzebowałem wiele czasu, by zrozumieć, co się stało i postanowić, co dalej pocznę.

Wszystko zostało zaplanowane od początku. Czarownice wywabiły stracharza. Wiedziały, że jako nowy uczeń wciąż jestem żółtodziobem i łatwo mnie oszukać.

Nie wierzyłem jednak, że stracharz tak łatwo da się zabić, inaczej nie przetrwałby tylu lat. Nie mogłem wszakże liczyć na to, że wróci na czas, by mi pomóc. W jakiś sposób musiałem powstrzymać Mateczkę Malkin przed wyjściem z dziury.

Rozpaczliwie potrzebowałem pomocy. Zastanawiałem się, czy nie zejść do wioski. Ale wiedziałem, że pod ręką mam lepszego pomocnika. Poszedłem zatem do kuchni i usiadłem za stołem.

Spodziewałem się, że lada chwila oberwę po uszach, toteż zacząłem mówić bardzo szybko. Opisałem wszystko co, się stało, niczego nie opuszczając. Potem dodałem, że to moja wina i czy mógłbym prosić o pomoc.

Nie wiem, czego się spodziewałem. Nie czułem się głupio mówiąc w pustej kuchni, bo byłem bardzo poruszony i przerażony. Lecz gdy odpowiedziała mi tylko cisza, zrozumiałem, że tracę czas. Czemu bogin miałyby mi pomóc? Nie wiedziałem nawet, czy sam nie jest więźniem, przetrzymywanym w domu i ogrodzie przez stracharza. Może to niewolnik, rozpaczliwie łaknący swobody?

Może nawet ucieszyły go moje kłopoty?

Już miałem poddać się i wyjść, kiedy przypomniałem sobie coś, co często powtarzał mój tata przed wyjazdem na miejscowy targ: „Każdy ma swoją cenę. Cała sztuka w tym, by złożyć propozycję, która jego zadowoli, ale ciebie nie będzie kosztowała zbyt wiele”.

Złożyłem zatem boginowi propozycję...

– Jeśli pomożesz mi teraz, nigdy ci tego nie zapomnę – oznajmiłem. – A kiedy zostanę następnym stracharzem, dam ci wolne we wszystkie niedziele. Tego dnia sam będę przyrządzał sobie posiłki, a ty będziesz mógł odpocząć i robić, co tylko zechcesz.

Nagle poczułem, jak coś ociera mi się o nogi pod stołem. Towarzyszyło temu ciche mruczenie. Ujrzałem wielkiego, rudego kota, który wynurzył się spod stołu i skierował w stronę drzwi.

Cały czas musiał siedzieć pod stołem – tak przynajmniej podpowiadał mi rozsądek. Wiedziałem jednak, że to nieprawda, toteż podążyłem za kotem do sieni i na górę schodami. W końcu zatrzymał się przed zamkniętymi drzwiami biblioteki. Potem otarł się o nie, tak jak to mają w zwyczaju koty, znakując stołowe nogi. Drzwi uchyliły się powoli, odsłaniając więcej książek, niż ktokolwiek zdołałby przeczytać za życia. Ustawiono je w równe rzędy na kilkunastu regałach. Wszedłem do środka, zastanawiając się, od czego zacząć. A gdy się odwróciłem, wielki rudy kot zniknął.

Na okładce każdej książki widniał czytelny tytuł. Wiele z nich napisano po łacinie, całkiem sporo po grecku. Nie dostrzegłem śladu kurzu ani pajęczyn: biblioteka była równie czysta i zadbana, jak kuchnia.

Ruszyłem wzdłuż pierwszego rzędu i nagle coś przyciągnęło mój wzrok. Obok okna ustawiono trzy bardzo długie półki, pełne oprawnych w skórę notatników, takich jak ten, który dostałem od stracharza. Lecz na najwyższej półce stały większe księgi z datami na okładkach. W każdej z nich opisano okres pięciu lat, sięgnąłem zatem po tę na końcu i otworzyłem ostrożnie.

Od razu rozpoznałem pismo stracharza. Przewracając kolejne kartki, zrozumiałem, że to coś w rodzaju dziennika. Zapisywał w

nim każde wykonane zadanie, to, ile trwała podróż i ile mu zapłacono. A co najważniejsze, wyjaśniał, jak rozprawił się z każdym boginem, duchem i czarownicą.

Odłożyłem książkę z powrotem na półkę i powiodłem wzrokiem po kolejnych grzbietach. Dzienniki kończyły się prawie na dniu obecnym, ale sięgały w przeszłość setki lat. Albo stracharz był znacznie starszy, niż się wydawał, albo też wcześniejsze napisali inni stracharze, którzy mieszkali tu dawno temu. Nagle przyszło mi do głowy, że nawet jeśli Alice ma rację i stracharz już nie wróci, może zdołam nauczyć się wszystkiego, czego potrzebuję, studiując te dzienniki. Co lepsze, gdzieś wśród tych tysięcy stron z pewnością kryła się informacja, która pomoże mi teraz.

Ale jak ją znaleźć? Wiedziałem, że to potrwa, lecz czarownica siedziała w dziurze prawie trzysta lat. Musiała istnieć relacja, opowiadająca o tym, jak stracharz ją tam uwięził. I nagle na niższej półce dostrzegłem coś jeszcze lepszego.

Stały tam dużo większe księgi, każda poświęcona jednemu tematowi. Jedna z nich nosiła tytuł *Smoki i gady*. A że ustawiono je w kolejności alfabetycznej, bardzo szybko znalazłem to, czego szukałem.

*Wiedźmy i czarownice.*

Otworzyłem książkę drżącymi rękami i przekonałem się, że dzieli się na cztery znajome części: *Bezeczne, Zaczne, Fałszywie pomówione i Nieświadome*.

Szybko zacząłem przeglądać pierwszą część, zapisaną starannym pismem stracharza i znów ułożoną w porządku alfabetycznym. Wystarczyło parę sekund, bym odnalazł kartkę zatytułowaną *Mateczka Malkin*.

Było gorzej, niż się spodziewałem. Mateczka Malkin należała do najgorszych wiedźm pod słońcem. Mieszkała w różnych miejscach i wszędzie, gdzie się zatrzymała, zdarzało się coś strasznego. Do najgorszego doszło na torfowisku, na zachód od Hrabstwa.

Mieszkała tam na farmie, przyjmując pod swój dach młode kobiety, spodziewające się dzieci i pozbawione mężów, którzy mogliby je utrzymać. Stąd właśnie wziął się jej przydomek, Mateczka. Trwało to wiele lat i części młodych kobiet nigdy już nie widziano.

Towarzyszył jej wówczas jej własny syn, młody mężczyzna obdarzony niewiarygodną siłą, nazywany Kłem. Miał wielkie zęby i tak bardzo przerażał ludzi że nikt nie zbliżał się nawet do ich domu. W końcu jednak miejscowi zaczęli się burzyć i Mateczka Malkin

musiała uciec do Pendle. Kiedy zniknęła, znaleźli pierwszy grób. Było tam całe pole kości i gnijącego mięsa, głównie szczątków dzieci, które zamordowała by zaspokoić swoją żądzę krwi. Niektóre ciała należały do kobiet, wszystkie bez wyjątku zostały zmiażdżone tak, że popękały im żebra.

Chłopcy z wioski wspominali o stworze z tak wieloma zębami, że nie mieściły się w ustach. Czy to mógł być Kieł, syn Mateczki Malkin? Syn, który prawdopodobnie zabił te kobiety, wyciskając z nich życie?

Na tę myśl ręce zaczęły trząść mi się tak mocno, że o mało nie wypuściłem z nich książki. Czytałem dalej. Niektóre czarownice praktykowały „magię kości”, były nekromantkami czerpiącymi moc z przywoływania zmarłych. Lecz Mateczka Malkin okazała się jeszcze gorsza. Mateczka Malkin wołała „magię krwi”. Swą moc czerpała z ludzkiej krwi, a zwłaszcza z krwi dzieci.

Przypomniałem sobie czarne, lepkie placki i zadrzałem. Na Długiej Przełęczy zniknęło dziecko. Dziecko, które jeszcze nie umiało chodzić. Czyżby porwała je Koścista Lizzie? Czy z jego krwi przyrządzono owe placki? A co z drugim dzieckiem, tym, którego szukali wieśniacy? Co, jeśli Koścista Lizzie porwała je takie, czekając, aż Mateczka Malkin ucieknie z dziura by mogła znów posłużyć się swoją magią? To dziecko mogło być teraz w domu Lizzie!

Zmusiłem się, by czytać dalej.

Trzydzieści lat temu, wczesną zimą, Mateczka Malkin przybyła do Chipenden, wraz ze swą wnuczką, Kościstą Lizzie. Kiedy stracharz wrócił z zimowego domu w Anglezarke, natychmiast się z nimi rozprawił. Przegnawszy Kościstą Lizzie, skrępował Mateczkę Malkin srebrnym łańcuchem i zaniósł ją do dołu w ogrodzie. Tu stracharz najwyraźniej spierał się ze swym sumieniem. Wyraźnie nie podobała mu się myśl o pogrzebaniu jej żywcem. Wyjaśnił jednak, dlaczego trzeba to zrobić. Wierzył, że jej zabicie byłoby zbyt niebezpieczne – po śmierci miała dość sił, by powrócić jeszcze silniejsza i groźniejsza niż wcześniej.

Pytanie brzmiało: Czy teraz zdoła uciec? Po jednym placku wygięła pręty. Choć nie dostanie trzeciego, dwa mogły wystarczyć. O północy może wydostać się z dołu. Co miałem robić?

Skoro można skrępować czarownicę srebrnym łańcuchem, warto spróbować przewiązać podobnym wygięte pręty, by powstrzymać ją przed ucieczką. Problem w tym, że srebrny łańcuch stracharza tkwił w torbie, którą zawsze zabierał ze sobą.

Wychodząc z biblioteki, zauważyłem coś jeszcze. Leżało obok drzwi, toteż nie

dostrzegłem tego, wchodząc. Długi spis nazwisk na pożółkłym papierze. Dokładnie trzydzieści, wszystkie nakreślone ręką stracharza. Moje nazwisko, Thomas J. Ward, widniało na samym dole. Tuż nad nim inne, William Bradley, przekreślone poziomą linią. Obok widniały litery Rip.

Ogarnął mnie nagły chłód, bo wiedziałem, że litery te oznaczają *requiescat in pace*, czyli spoczywaj w pokoju i że Billy Bradley nie żyje. Ponad dwie trzecie nazwisk na liście zostało przekreślonych. Spośród nich dziewięciu uczniów nie żyło.

Przypuszczam, że wielu stracharz skreślił wyłącznie dlatego, że nie poradzi sobie z terminem, może nawet nie wytrzymali do końca pierwszego miesiąca. Bardziej niepokoił mnie ci, którzy umarli. Zastanawiałem się, co się stało z Billym Bradleyem i przypomniałem sobie słowa Alice: „Nie chciałbyś skończyć jak ostatni uczeń starego Gregory'ego”.

Skąd Alice wiedziała, co spotkało Billy'ego? Pewnie to kolejna rzecz, o której wiedzą wszyscy miejscowi, ja jednak byłem tu obcy. A może jej rodzina miała z tym coś wspólnego? Miałem nadzieję, że nie, ale stanowiło to kolejny powód do zmartwienia.

Nie tracąc więcej czasu, ruszyłem do wioski. Rzeźnik wydawał się pozostawać w kontakcie ze stracharzem, bo skąd brał worek, do którego chował mięso? postanowiłem zatem podzielić się z nim moimi podejrzeniami i przekonać, by sprawdził dom Lizzie w poszukiwaniu zaginionego dziecka.

Kiedy późnym popołudniem dotarłem do sklepu, zastałem zamknięte drzwi. Zastukałem do pięciu domów, nim ktoś odpowiedział i potwierdził to, co już podejrzewałem: rzeźnik wraz z resztą mężczyzn wyruszył na wzgórza. Mieli wrócić najwcześniej w południe następnego dnia. Po sprawdzeniu najbliższych wzgórz zamierzali przejść przez dolinę, do domku u stóp Długiej Przełęczy, gdzie zniknęło pierwsze dziecko. Tam mieli przenocować i zorganizować nowe poszukiwania.

Musiałem pogodzić się z faktami. Byłem sam.

Wkrótce, zasmucony i przerażony, znów maszerowałem ścieżką w stronę domu stracharza. Wiedziałem, że jeśli Mateczka Malkin wydostanie się z grobu do rana dziecko zginie.

Wiedziałem też, że jestem jedyną osobą, która może spróbować temu zaradzić.

## ROZDZIAŁ 9

### NA BRZEGU RZEKI

Po powrocie do domu natychmiast udałem się do pokoju, w którym stracharz przechowywał swoje stroje podróżne. Wybrałem jeden z jego starych płaszczy. Oczywiście, okazał się za duży, sięgał mi niemal do kostek, a kaptur opadał na oczy. Niemniej jednak chronił przed chłodem. Pożyczyłem też jeden z kijów, nadający się dla mnie na laskę: krótszy niż pozostałe i nieco grubszy z jednego końca.

Gdy wreszcie wyszedłem z domu, dochodziła północ. Niebo było jasne, znad czubków drzew wyłonił się księżyc w pełni. Czułem jednak w powietrzu woń deszczu, a z zachodu wiał coraz silniejszy wiatr.

Wyszedłem do ogrodu i skierowałem się wprost do dołu Mateczki Malkin. Bałem się, ale ktoś musiał coś zrobić. Kto inny niż ja? W końcu to przecież wyłącznie moja wina. Gdybym tylko wspomniał stracharzowi o spotkaniu z Alice i o tym, jak powiedziała chłopakom o powrocie Lizzie! Od razu by się nimi zajął. Nie dałby się zwabić do Pendle.

Im dłużej o tym myślałem, tym gorzej się czułem. Dziecko z Długiej Przełęczy nie musiało zginąć. Czułem się winny, tak bardzo winny, i nie mogłem znieść myśli, że może zginąć kolejne dziecko i to też będzie moja wina.

Minąłem drugi grób, w którym leżała pochowana do góry nogami martwa wiedźma i bardzo powoli, na paluszkach zbliżyłem się do dołu.

Promień księżycyca przeniknął między drzewami oświetlając to miejsce, toteż od razu zobaczyłem, co się stało.

Spóźniłem się.

Pręty zostały rozgięte jeszcze szerzej, niemal na kształt koła. Nawet rzeźnik zdołałby precyzyjnie przecisnąć swoje potężne bary przez szczelinę.

Zajrzałem do dziury, próbując przeniknąć wzrokiem ciemność, ale niczego nie zobaczyłem. Chyba żywiłem płonną nadzieję, że rozginanie prętów zmęczyło wiedźmę i nie pozostało jej już dość sił, by się wydostać.

Akurat. W tym momencie chmura przesłoniła księżyc i wokół zrobiło się ciemniej, lecz mimo to zauważyłem obok dołu zgniecione paprocie. Wiedziałem, w którą stronę poszła. Pozostało dość światła, bym mógł podążyć jej śladem.

Ruszyłem zatem za nią w mrok. Nie spieszyłem się i stąpałem bardzo, bardzo ostrożnie. Co, jeśli ukryła się w pobliżu i czeka tam na mnie? Wiedziałem też, że raczej nie zaszła zbyt daleko. Po pierwsze, od północy minęło zaledwie pięć minut. Cokolwiek kryło się w zjedzonych przez nią plackach, ta mroczna magia pomogła jej odzyskać siły. A ten typ magii działał najsilniej w ciemności – zwłaszcza o północy. Czarownica zjadła tylko dwa placki, nie trzy i fakt ten działał na moją korzyść. Pomyślałem jednak, jak straszliwej siły wymagało wygięcie żelaznych prętów.

Po wyjściu z lasu z łatwością tropiłem ją wśród traw. Kierowała się w dół, ale w kierunku oddalającym ją od domku Kościstej Lizzie. Z początku nie mogłem tego zrozumieć, potem jednak przypomniałem sobie o płynącej w parowie rzece. Bezecna wiedźma nie mogła przekroczyć bieżącej wody – stracharz mnie tego nauczył – będzie zatem musiała iść wzdłuż brzegu, aż do miejsca, gdzie rzeka skręcała.

Gdy ujrzałem przed sobą pasmo wody, przystanąłem na zboczu, przeczesując wzrokiem teren w dole. Księżyc wyłonił się zza chmury, lecz z początku nawet z jego pomocą niewiele widziałem, bo oba brzegi porastały drzewa, rzucające czarne cienie.

A potem nagle zauważyłem coś bardzo dziwnego. Na bliższym brzegu lśnił srebrzysty szlak, widoczny jedynie w miejscach, gdzie padało na niego światło księżyca. Przypominał błyszczący ślad pozostawiony przez ślimaka. W kilka sekund później ujrzałem ciemną, mroczną postać, skuloną i przygarbioną, przesuwaną się wzdłuż brzegu.

Szybko pobiegłem w dół. Zamierzałem wyprzedzić ją, nim dotrze do zakrętu rzeki i będzie mogła skierować się wprost do domu Kościstej Lizzie. Udało mi się – gdy przystanąłem, rzekę miałem po prawej. Wiedziałem, że teraz czeka mnie

najtrudniejsze. Oto musiałem stawić czoło wiedźmie.

Trząsałem się i dygotałem, tak zdyszany, iż można by pomyśleć, że przez godzinę biegałem po wzgórzach. Sprawilo to połączenie strachu i zdenerwowania. Kolana uginały się pode mną, miałem wrażenie, że lada moment upadnę. Tylko dzięki lasce strachała zdołałem utrzymać się na nogach.

Rzeka nie zaliczała się do zbyt szerokich, była jednak głęboka, wezbrana po wiosennych deszczach, tak że niemal rozlewała się poza koryto. Woda bardzo szybko rwała naprzód, mijając mnie i znikając w ciemności pod drzewami, gdzie kryła się czarownica. Wyteżałem wzrok, lecz i tak potrzebowałem kilku chwil, by ją odnaleźć.

Mateczka Malkin zbliżała się do mnie. Była cieniem ciemniejszym niż cienie drzew, czernią, w którą można runąć, ciemnością, która pochłania człowieka na zawsze. I wtedy ją usłyszałem, mimo głośnego szumu rzeki – nie tylko odgłos bosych stóp ślizgających się po długiej trawie nad strumieniem, ale też inne dźwięki, które wydawała ustami i być może nosem, te same, które słyszałem, gdy zaniosłem jej placki. Owe parsknięcia i mlaski znów skojarzyły mi się z włochatymi świniami, chlepczącymi pomyje z wiadra. A potem dołączył do nich jeszcze jeden odgłos – odgłos ssania.

Kiedy wyłoniła się spod drzew na otwartą przestrzeń, padły na nią promienie księżyca i po raz pierwszy ujrzałem ją wyraźnie. Głowę pochylała nisko i splątany gąszcz białych i szarych włosów ukrywał jej twarz, toteż wyglądała, jakby wbijała wzrok we własne stopy, ledwie widoczne pod ciemną suknią sięgającą kostek. Miała na sobie także czarny płaszcz albo od początku zbyt długi, albo też lata spędzone w wilgotnej ziemi sprawiły, że ona się skurczyła. Ciągnął się za nią i właśnie on zdawał się pozostawiać na trawie ów srebrzysty ślad.

Suknię miała podartą i poplamioną, co mnie specjalnie nie zaskoczyło. Lecz część plam sprawiała wrażenie świeżych – były ciemne i wilgotne. Coś z boku kapalo na trawę. Źródło owych



kropel stanowiło coś, co ścisnęła mocno w lewej ręce.

To był szczur. Jadła szczura. Na surowo.

Jak dotąd jeszcze mnie nie zauważyła. Była już bardzo blisko i gdyby szła tak dalej, wpadłaby prosto na mnie. Nagle zakasłałem. Nie zamierzałem ostrzegać czarownicy, to było nerwowe kasznięcie, nie chciałem tego.

Wtedy spojrzała na mnie, unosząc ku światłu twarz rodem z nocnego koszmaru, niepasującą do żywej kobiety. Ale ona żyła, bez dwóch zdań, świadczyły o tym odgłosy, które wydawała z siebie, pożerając szczura.

I coś jeszcze przeraziło mnie tak bardzo, że o mało nie zemdlałem. To były jej oczy. Przypominały dwa rozżarzone węgle, płonące w oczodołach. Dwa czerwone, ogniste punkciki.

A potem odezwała się do mnie głosem pomiędzy szeptem i skrzekiem, brzmiącym jak suche liście, szeleszczące na późnojesiennym wietrze.

– To chłopiec – rzekła. – Lubię chłopców. Chodź tu, chłopcze.

Oczywiście, nie poruszyłem się, po prostu stałem tam jak przykuty do ziemi. Zakreśliło mi się w głowie.

Wciąż się zbliżała, jej oczy zdawały się coraz większe. Nie tylko oczy: całe ciało czarownicy jakby rosło, rozszerzała się w wielką chmurę ciemności, która za moment na zawsze przesłoni mi wzrok.

Bez zastanowienia uniosłem kij stracharza. Uczyniły to moje dłonie i ręce, nie ja.

– Cóż to takiego, chłopcze, różdżka? – zaskrzeczała Mateczka Malkin. Potem zachichotała i upuściła martwego szczura, wyciągając ku mnie ręce.

To mnie chciała. Pragnęła mojej krwi. Moje ciało w ataku absolutnej grozy zaczęło kołysać się z boku na bok, niczym młode drzewko szarpane powiewami wiatru, pierwszego zwiastuna mrocznej zimy, która nigdy się nie skończy.

Mogłem wtedy zginąć, tam na brzegu rzeki. Nie było komu mi pomóc, a ja nie potrafiłem pomóc samemu sobie.

Ale nagle coś się stało...

Kij stracharza nie był różdżką, najwyraźniej jednak przepelniony był jakimś rodzajem magii. Moje ręce przywołały coś niezwykłego, poruszając się szybciej niż zdołałem pomyśleć.

Uniosły kij i zamachnęły się mocno, ze straszliwą siłą trafiając wiedźmę w bok głowy.

Czarownica sapnęła i wleciała do rzeki. Z wielkim pluskiem zniknęła pod wodą, lecz wynurzyła się bardzo blisko brzegu, jakieś pięć-sześć kroków dalej. Z początku myślałem, że to jej koniec, lecz ku mojej zgrozie wyciągnęła nad wodę lewą rękę i chwyciła kępę trawy. Potem złapała się prawą i zaczęła wypelzać z wody.

Wiedziałem, że muszę coś zrobić, nim będzie za późno. Przywołując zatem całą swą siłę woli zmusiłem się, by postąpić krok ku niej.

Gdy dotarłem dość blisko, zrobiłem coś, co po dziś dzień pamiętam bardzo wyraźnie. Wciąż śni mi się to po nocach. Ale jaki miałem wybór? Wiedziałem, że jedno z nas musi zginąć. Ona albo ja.

Dźgnąłem czarownicę końcem kija. Szturchnąłem ją mocno i szturchałem dalej, aż w końcu jej uchwyt osłabł i prąd uniósł ciało w ciemność.

Lecz wciąż jeszcze nie oznaczało to jej końca. Co, jeśli zdoła wyczołgać się z wody nieco dalej? Wciąż mogłaby dotrzeć do domu Kościstej Lizzie. Musiałem się upewnić, że do tego nie dojdzie. Wiedziałem, że nie należy jej zabijać i że pewnego dnia zapewne powróci, silniejsza niż kiedykolwiek, ale nie miałem srebrnego łańcucha i nie mogłem jej związać. Liczyła się chwila obecna, nie przyszłość. Toteż mimo strachu pojąłem, że muszę pójść wzdłuż rzeki, między drzewa.

Bardzo powoli ruszyłem naprzód, przystając co parę kroków i nasłuchując. Słyszałem tylko wiatr, szepczący wśród gałęzi w górze. Było bardzo ciemno, od czasu do czasu wątki promień księżyca przenikał przez liściaste sklepienie i niczym długa, srebrna włócznia wbijał się w ziemię.

To się stało podczas trzeciego postoju. Bez żadnego ostrzeżenia, bez najsłabszego szelestu, po prostu to poczułem. Po moim bucie przesunęła się dłoń i nim zdążyłem odskoczyć, mocno chwyciła mnie za lewą kostkę.

W uchwycie tym kryła się potężna siła, był jak imadło miażdżące mi nogę. Spojrzawszy w dół, ujrzałem tylko parę czerwonych oczu, żarzących się w ciemności. Przerażony, zamachnąłem się na oślep, próbując trafić niewidoczną rękę, która mnie uwięziła.

Spóźniłem się, mocne szarpnięcie posłało mnie na ziemię, a upadek pozbawił tchu. Co gorsza, kij wyleciał mi z dłoni. Byłem bezbronny.

Leżałem tak parę chwil, próbując chwycić oddech. Nagle poczułem, że coś ciągnie mnie po ziemi. Usłyszałem plusk i zrozumiałem. Mateczka Malkin z moją pomocą próbowała wyczołgać się z wody. Machała na oślep nogami i wiedziałem, że za chwilę albo zdoła się wydostać, albo ja wyląduję w rzece obok niej.

W rozpaczy przeturlałem się w lewo, obracając nogę. Nie zwolniła uchwytu, toteż powtórzyłem to i zatrzymałem się z twarzą przyciśniętą do wilgotnej ziemi. Wówczas ujrzałem kij, jego grubszy koniec jaśniał w promieniu księżyca. Był poza moim zasięgiem, jakieś trzy, cztery kroki dalej.

Zacząłem turlać się w jego stronę, raz po raz wbijając palce w miękką ziemię i przekręcając ciało niczym korkociąg. Mateczka Malkin ścisnęła mocno moją kostkę, lecz nic poza tym. Dolna połowa jej ciała wciąż tkwiła w wodzie, toteż mimo wielkiej siły nie mogła mnie powstrzymać.

Wreszcie dotarłem do kija i zamachnąłem się mocno, uderzając wiedźmę. Lecz jej druga dłoń wystrzeliła ku niemu i w świetle księżyca chwyciła koniec kija.

Wtedy pomyślałem, że wszystko jest stracone, że już zginąłem. Ale ku memu zdumieniu, Mateczka Malkin wrzasnęła nagle, jej całe ciało zesztyniało, przewróciła oczami. Potem westchnęła długo, przeciągle i znieruchomiała.

Przez długi czas oboje leżeliśmy na brzegu rzeki. Tylko moja pierś unosiła się i opadała, gdy chwytałem powietrze. Mateczka Malkin w ogóle się nie poruszała. A kiedy w końcu to zrobiła, nie złapała oddechu. Jedną jej dłoń wypuściła moją kostkę, a drugą kij. Czarownica zsunęła się po brzegu, z głośnym pluskiem znikając w wodzie. Nie wiedziałem, co się stało, ale nie żyła – tego byłem pewien.

Patrzyłem, jak prąd unosi ciało na środek rzeki. W promieniach księżyca jej głowa zniknęła pod powierzchnią. Odeszła. Była martwa.

## **ROZDZIAŁ 10**

### **BIEDNY BILLY**

Po wszystkim ogarnęło mnie takie zmęczenie, że upadłem na kolana i pochorowałem się jak nigdy dotąd. Wciąż targały mną mdłości, mimo, że od dłuższego czasu z ust wylatywała mi już tylko żółć. Miałem wrażenie, że wnętrzności wywracają mi się na nice.

W końcu atak ustąpił i zdołałem wstać. Nawet wtedy potrzebowałem wiele czasu, nim mój oddech zwolnił, a ciało przestało dygotać. Chciałem jedynie wrócić do domu stracharza. Z pewnością zrobiłem dosyć, jak na jedną noc?

Ale nie mogłem – dziecko wciąż było w domu Lizzie. Tak przynajmniej podpowiadał mi instynkt. Dziecko pozostawało więźniem czarownicy zdolnej do morderstwa. Nie miałem wyboru. Nie było nikogo prócz mnie. I jeśli ja nie pomogę, to kto? Musiałem ruszać do domu Kościstej Lizzie.

\*

Z zachodu nadciągała burza, czarna, poszarpana linia chmur pochłaniających gwiazdy. Wkrótce miało zacząć padać, lecz gdy wyruszyłem w dół zbocza w stronę domu, wciąż świecił księżyc w

pełni – księżyc o tarczy, która zdawała mi się większa niż kiedykolwiek wcześniej.

W jego świetle widziałem podążający przede mną własny cień. Patrzyłem, jak rośnie. Im bardziej zbliżałem się do domu, tym stawał się większy. Na głowie miałem kaptur, w lewej dłoni trzymałem kij stracharza, toteż cień zdawał się nie należeć już do mnie. Wędrował przodem, aż w końcu padł na dom Kościstej Lizzie.

Wówczas obejrzałem się z nadzieją, że stracharz stoi tuż za mną. Ale nie, to było tylko złudzenie. Poszedłem zatem dalej i minawszy otwartą bramę, znalazłem się na podwórzu.

Przystanąłem przed frontowymi drzwiami, by się zastanowić. Co, jeśli się spóźniłem i dziecko już nie żyje? A może jego zniknięcie nie miało nic wspólnego z Lizzie i na próżno narażam życie? Mój umysł pracował dalej, lecz, podobnie jak na brzegu rzeki, ciało wiedziało, co robić. Nim zdołałem je powstrzymać, lewa dłoń trzy razy zastukała mocno kijem w drewno.

Przez kilka chwil w domu panowała cisza. Potem usłyszałem kroki i szczelina pod drzwiami pojaśniała.

Gdy otwały się powoli, cofnąłem się o krok. Ku swej uldze, ujrzałem Alice. Na wysokości głowy trzymała lampę, tak że na połowę jej twarzy padało światło, a drugą połowę skrywał mrok.

– Czego chcesz? – spytała, a w jej głosie dźwięczał gniew.

– Wiesz, czego chcę – odparłem. – Przyszedłem po dziecko. Po dziecko, które porwałyście.

– Nie bądź głupcem – syknęła. – Odejdź stąd, nim będzie za późno. Wyszli na spotkanie Mateczki Malkin, w każdej chwili mogą wrócić.

Nagle gdzieś w głębi domu zapłakało dziecko, zawodząc piskliwie. Przecisnąłem się zatem obok Alice i wszedłem do środka.

W wąskim korytarzu płonęła samotna świeca, w pokojach zalegała ciemność. Sama świeca była niezwykła, nigdy wcześniej nie widziałem świeczki z czarnego wosku, ale i tak chwyciłem ją i pozwoliłem uszom poprowadzić się do właściwego pomieszczenia.

Ostrożnie otworzyłem drzwi. W pokoju nie było mebli. Na podłodze, na stosie słomy i szmat, leżało dziecko.

– Jak się nazywasz? – spytałem próbując się uśmiechnąć. Oparłem kij o ścianę i podszedłem bliżej.

Chłopczyk przestał płakać i podniósł się z ziemi, patrząc na mnie wielkimi oczami.

– Nie bój się, nie ma się czego bać – starałem się dodać mu otuchy. – Zabiorę cię do domu, do mamy.

Postawiłem świecę na podłodze i podniosłem dziecko. Cuchnęło podobnie jak sam pokój, w dotyku było zimne i mokre. Objąłem je prawym ramieniem i opatuliłem płaszczem.

Nagle chłopczyk odezwał się.

– Jestem Tommy – rzekł. – Tommy.

– Cóż, Tommy – odparłem – nosimy to samo imię. Ja też nazywam się Tommy. I teraz jesteś już bezpieczny. Wracasz do domu.

Zabrałem kij i pomaszerowałem korytarzem do wciąż otwartych drzwi. Alice stała na podwórku obok bramy. Lampa zgasła, lecz księżyc wciąż świecił i gdy ruszyłem w jej stronę, rzucił na boczna ścianę stodoły mój cień, olbrzymi, dziesięć razy większy ode mnie.

Próbowałem ją wyminąć, lecz zagroziła mi drogę i musiałem się zatrzymać.

– Nie mieszaj się – warknęła, jej zęby, białe i ostre, zaślniły w świetle księżyca. – To nie twoja sprawa.

Nie byłem w nastroju do jałowych dyskusji i gdy ruszyłem w jej stronę, Alice nie próbowała mnie zatrzymać. Odsunęła się i zawołała za mną.

– Jesteś głupcem! Oddaj je, nim będzie za późno. Pójdą za tobą. Nie zdołasz im uciec.

Nie odpowiedziałem, nawet nie obejrzałem się za siebie. Przeszedłem przez bramę, zostawiając za sobą dom.

W tym momencie zaczął padać deszcz, ciężki, ulewny, prosto w moją twarz. Ojciec nazywał taką ulewę „mokrym deszczem”. Oczywiście każdy deszcz jest mokry, lecz czasami potrafi szybciej i

dokładniej przemoczyć człowieka. Ten był najmokrzejszy ze wszystkich i ile sił w nogach maszerowałem w stronę domu stracharza.

Nie miałem pewności, czy nawet tam będę bezpieczny. A jeśli stracharz rzeczywiście nie żył? Czy bogin wciąż będzie strzegł domu i ogrodu?

Wkrótce jednak znalazłem pilniejsze powody do zmartwienia. Miałem wrażenie, że ktoś idzie za mną. Kiedy poczułem to po raz pierwszy, zatrzymałem się, nasłuchując, lecz moje uszy wychwyciły jedynie zawodzenie wiatru, szum deszczu pośród liści i bębnienie kropel o ziemię. Niewiele też widziałem, bo zrobiło się bardzo ciemno.

Szedłem zatem dalej, stawiając jeszcze dłuższe kroki z nadzieją, że podążam we właściwym kierunku. W pewnej chwili natknąłem się na gęsty i wysoki głogowy żywopłot i musiałem nadłożyć sporo drogi, by znaleźć bramę. Cały czas czułem, że niebezpieczeństwo zbliża się coraz bardziej. Dopiero przechodząc przez niewielki lasek zyskałem pewność, że ktoś tam jest. Podczas wspinaczki zatrzymałem się niedaleko szczytu wzgórza, by chwilę odetchnąć. Deszcz na moment złagodniał i gdy się obejrzałem, próbując przeniknąć wzrokiem ciemność, usłyszałem między drzewami trzask gałązki. Ktoś maszerował bardzo szybko przez las w moją stronę, nie przejmując się, gdzie stawia stopy.

Na szczycie wzgórza znów się obejrzałem. Pierwsza błyskawica rozświetliła niebo i ziemię w dole, i ujrzałem dwie postaci, wyłaniające się spomiędzy drzew i rozpoczynające wspinaczkę. Jedną była kobieta, druga miała kształty mężczyzny, rosłego i barczystego.

Po kolejnym grzmocie Tommy się rozplakał.

– Nie lubię, jak grzmi – zawodził. – Nie lubię.

– Burza nic ci nie robi, Tommy – zapewniłem wiedząc, że to nieprawda. Ja też bałem się piorunów. Jeden z moich wujów został rażony gromem, gdy próbował zagnać bydło z pastwiska. Niedługo potem umarł. Niebezpiecznie było przebywać na dworze w taką

pogodę. Lecz choć burza mnie przerażała, miała też swoje zalety. Błyskawice oświetlały drogę, każdy rozbłysk pokazywał, w którą stronę iść, by trafić do domu stracharza.

Wkrótce i z mojego gardła zaczęło dobywać się szlochanie. Z trudem wciągałem powietrze, przerażony i wyczerpany, zmuszając się do coraz szybszego marszu, gnany nadzieją, że kiedy znajdziemy się w ogrodzie stracharza, będziemy bezpieczni. Nikomu nie wolno było przekraczać granicy majątku stracharza bez zaproszenia – powtarzałem to sobie raz po raz, bo była to nasza jedyna szansa. Jeśli zdążymy dotrzeć na miejsce pierwsi, bogin nas obroni.

Widziałem już drzewa, ławeczkę pod nimi i czekający dalej ogród, gdy pośliznąłem się na mokrej trawie. Nie upadłem zbyt ciężko, ale Tommy zapłakał jeszcze głośniej. Kiedy zdołałem go podnieść, usłyszałem za sobą tupot biegnących stóp, uderzających głośno o ziemię.

Obejrzałem się, z trudem chwytając oddech. To był błąd. Mój prześladowca wyprzedził Lizzie o kilka kroków i doganiał mnie szybko. W świetle kolejnej błyskawicy ujrzałem dolną część jego twarzy. Wyglądała, jakby z kącików ust wyrastały mu rogi, a gdy biegł, poruszał głową z boku na bok. Przypomniałem sobie to, co czytałem w bibliotece stracharza, o znalezionych trupach kobiet ze zmiażdżonymi żebrami. Jeśli Kieł mnie dogoni, czeka mnie to samo.

Przez chwilę trwałem w miejscu jak sparaliżowany, kiedy jednak ryknął jak rozjuszony byk, odzyskałem władzę w nogach. Prawie już biegłem. Gdybym mógł, puściłbym się pędem, ale niosłem Tommy'ego i byłem zbyt zmęczony, ciążyły mi nogi, poruszające się niezdarnie, oddech świszczwał w gardle. W każdej chwili spodziewałem się, że Kieł mnie złapie, ale zdołałem minąć ławkę, na której stracharz często udzielał mi lekcji i w końcu znalazłem się pod pierwszymi drzewami ogrodu.

Ale czy byłem bezpieczny? Jeśli nie, nic nie zdołałoby nas uratować, bo w żaden sposób nie dotarłbym pierwszy do domu.



Przestałem biec, pokonałem jeszcze parę kroków, a potem zatrzymałem się, próbując złapać dech.

W tym momencie coś otarło mi się o nogi. Spojrzałem w dół, było jednak zbyt ciemno, by cokolwiek dostrzec. Najpierw poczułem nacisk, potem usłyszałem mruczenie, głęboki, wibrujący dźwięk, od którego zadrżała ziemia pod moimi stopami. Wyczułem, że to coś przesuwają się dalej, w stronę najdalszych drzew i ustawia się między nami i tymi, którzy nas ścigali. Nie słyszałem odgłosów pościgu, ale usłyszałem coś innego.

Wyobraźcie sobie wściekły wrzask kocura wzmocniony stukotem, coś pomiędzy przeszywającym warkotem i krzykiem, dźwięczące w powietrzu i rzucające wyzwanie, dźwięk słyszany na całej milie. Nigdy w życiu nie słyszałem niczego groźniejszego i zrozumiałem, czemu wieśniacy jak ognia unikali domu stracharza. W tym krzyku dźwięczała śmierć.

Przekrocz tę granicę – mówił – a wydrę ci serce z piersi. Przekrocz tę granicę, a zetrę ci kości na miazgę i pył. Przekrocz tę granicę, a pożałujesz, że w ogóle się urodziłeś.

Teraz więc byliśmy bezpieczni. Do tej pory Koścista Lizzie i Kieł z pewnością uciekali już w dół zbocza, nikt nie był dość głupi, by zadrzeć z boginem stracharza. Nic dziwnego, że potrzebowali mnie, by nakarmić Mateczkę Malkin plackami z krwią.

\*

W kuchni czekała na nas gorąca zupa i ogień na palenisku. Opatuliłem Tommy'ego w ciepły koc i nakarmiłem zupą. Później przyniosłem mu parę poduszek i przygotowałem pośłanie obok kominka. Spał jak kamień, a ja słuchałem wiatru zawodzącego na dworze i deszczu bębniącego o szyby.

Noc ciągnęła się i ciągnęła, było mi jednak ciepło i wygodnie. Dobrze się czułem w domu stracharza, jednym z najbezpieczniejszych miejsc na całym szerokim świecie. Wiedziałem teraz, że nic nieproszonego nie może wkroczyć do ogrodu, nie mówiąc już o przekroczeniu progu. Dom był bezpieczniejszy niż zamek o wysokich blankach i szerokiej fosie.

Zaczynałem też myśleć o boginie jak o swym przyjacielu i to bardzo potężnym.

Tuż przed południem zniosłem Tommy'ego do wioski. Mężczyźni zdążyli już wrócić z Długiej Przełęczy i kiedy wszedłem do domu rzeźnika, w chwili gdy ujrzał dziecko, jego znużona, zatroskana twarz rozpromieniła się w szerokim uśmiechu. Wyjaśniłem krótko, co się stało, podając tylko niezbędne szczegóły.

Kiedy skończyłem, znów zmarszczył brwi.

– Trzeba to załatwić raz a dobrze – rzekł.

Nie zostałem długo. Kiedy Tommy trafił już do matki, a ona podziękowała mi po raz piętnasty, zorientowałem się, co się święci. Do tej pory na ulicy zebrało się już około trzydziestu mężczyzn ze wsi. Niektórzy przynieśli ze sobą pałki i grube kije, i mamrotali gniewnie o kamienowaniu i paleniu na stosie.

Wiedziałem, że coś trzeba zrobić, ale nie chciałem w tym uczestniczyć. Mimo wszystkiego co się stało, nie mogłem znieść myśli o tym, że Alice miałyby ucierpieć, toteż przez godzinę spacerowałem po wzgórzach, by uspokoić myśli. Dopiero później powoli skierowałem się do domu stracharza. Postanowiłem posiedzieć trochę na ławeczce, radując się popołudniowym słońcem. Ale ktoś już tam czekał.

To był stracharz. A zatem nic mu się nie stało! Do tej pory starałem się nie myśleć o tym, co zrobię dalej. Jak długo miałbym mieszkać w jego domu, zanim doszedłbym do wniosku, że już nie wróci? Teraz promem sam się rozwiązał, bo stracharz siedział tam, patrząc nad drzewami na pióropusz brązowego dymu, wznoszący się w niebo. Wieśniacy spalili dom Kościstej Lizzie.

Kiedy się zbliżyłem, zauważyłem wielki fioletowy siniak nad jego lewym okiem. Zobaczył, że mu się przyglądam i uśmiechnął się ze znużeniem.

– W tym fachu robimy sobie wielu wrogów – rzekł. – I czasami trzeba mieć oczy z tyłu głowy. Mimo wszystko jednak nie było tak źle, bo mamy teraz o jednego wroga mniej w okolicy Pendle. Siadaj – poleciał i poklepał ławkę obok siebie. – Co porabiałeś? Opowiedz,

co się tu działo. Zaczynij od początku i mów do końca, niczego nie pomijając.

Tak też zrobiłem. Opowiedziałem mu wszystko. Kiedy skończyłem, wstał i spojrzał na mnie z góry, jego zielone oczy wwiercały się w moje.

– Szkoda, że nie wiedziałem, że Lizzie wróciła. Kiedy uwięziłem Mateczkę Malkin w dole, Lizzie uciekła w pośpiechu i nie przypuszczałem, że kiedykolwiek zdobędzie się na odwagę, by znów się tu pokazać. Powinieneś mi być powiedzieć o spotkaniu z dziewczyną. W ten sposób oszczędziłbyś wszystkim mnóstwo kłopotów.

Spuściłem wzrok, niezdolny spojrzeć mu w oczy.

– Co było najgorsze? – spytał.

Natychmiast powróciło do mnie wyraźne, ostre wspomnienie starej czarownicy, chwytającej mnie za but i próbującej wyczołgać się z wody. Pamiętałem jej krzyk, gdy chwyciła koniec kija stracharza.

Kiedy mu o tym opowiedziałem, westchnął głęboko i przeciągle.

– Jesteś pewien, że nie żyje? – spytał.

Wzruszyłem ramionami.

– Nie oddychała, a potem prąd uniósł jej ciało na środek rzeki, gdzie zniknęło.

– Niedobra to rzecz – odparł – i jej wspomnienie pozostanie z tobą do końca twoich dni, ale będziesz musiał z tym żyć. Miałeś szczęście, że zabrałeś najmniejszy z moich kijów. W ostatecznym rozrachunku to ocaliło ci życie. Jest zrobiony z jarzębiny, drewna, które najmocniej działa na czarownice. W zwykłych okolicznościach nie zaszkodziłoby wiedźmie tak starej i tak silnej, ale wrzuciłeś ją do bieżącej wody. Miałeś zatem szczęście, lecz dobrze się spisałeś jak na nowego ucznia. Wykazałeś się odwagą, prawdziwą odwagą i uratowałeś życie dziecka. Ale popełniłeś jeszcze dwa bardzo poważne błędy.

Spuściłem głowę. Pomyślałem, że zapewne było ich więcej niż dwa, ale zamierzałem się spierać.

– Najpoważniejszym błędem było zabicie czarownicy – oznajmił stracharz. – Należało sprowadzić ją tu z powrotem. Mateczka Malkin jest tak silna, że może nawet uwolnić się ze swych kości. To bardzo rzadkie, ale się zdarza. Jej duch może z powrotem przyjść na świat, ze wszystkimi wspomnieniami. Wówczas przyjdzie po ciebie, chłopcze, będzie się chciała zemścić.

– Ale to potrwa chyba całe lata? – spytałem. – Noworodek niewiele może zdziałać. Najpierw będzie musiała dorosnąć.

– To jest właśnie najgorsze – odrzekł stracharz. – Może do tego dojść szybciej, niż przypuszczasz. Jej duch jest zdolny przechwycić cudze ciało i użyć go jak własnego. Nazywamy to „opętaniem”. To kiepska sprawa dla wszystkich zainteresowanych, bo nigdy nie wiadomo kiedy i z której strony pojawi się zagrożenie. Wiedźma może opętać ciało młodej kobiety, dziewczęcia o promiennym uśmiechu, które podbija twoje serce, a potem odbierze ci życie. Może też wykorzystać urodę, naginając do swej woli silnego męża, rycerza bądź sędziego, który każe wrzucić cię do lochu, gdzie będziesz zdany na jej łaskę. Z drugiej strony czas będzie działał na jej korzyść. Może zaatakować gdy nie będę już mógł ci pomóc – za wiele lat, kiedy wkroczysz w jesień życia, osłabnie ci wzrok, a stawy zaczną trzeszczeć.

Istnieje jednak jeszcze inny typ opętania – bardziej prawdopodobny w tym przypadku. Znacznie bardziej. Bo widzisz, chłopcze, więzienie żywej czarownicy w dole, zwłaszcza czarownicy tak potężnej, która przez całe długie życie praktykowała magię krwi wiąże się z pewnymi problemami. Uwięziona zjadała robaki i inne oślizgłe stwory, a wilgoć nieustannie wsączała się w jej ciało. I tak samo jak drzewo może powoli skamienieć i zamienić się w skałę, tak i jej ciało zaczęło się odmieniać. Kiedy chwyciła kij z jarzębiny, stanęło jej serce, przekroczyła barierę śmierci. A porwanie przez rzekę mogło jeszcze przyspieszyć proces.

W tym przypadku będzie uwięziona w swych kościach, tak jak większość bezecnych czarownic. Lecz dzięki swej olbrzymiej sile da radę poruszać martwym ciałem. Stanie się czymś, co nazywamy

zwawiakiem. To stare miejscowe słowo. Nazywają tak kołtuny, w których roi się od żwawych robaków. Tak samo w martwym ciele obecnie zagnieździł się zły duch wiedźmy. Ciało będzie poruszać się niczym rojące się robactwo, a wiedźma będzie mogła pełznąć, prześlizgiwać się i czołgać w stronę wybranej ofiary. Ciało czarownicy nie będzie twarde jak skamieniałe drzewo, lecz miękkie, przelewające się, zdolne się wcisnąć w najwęższą szczelinę. Zdolne wniknąć przez czyjeś nozdrze bądź ucho i opętać tę osobę.

Istnieją tylko dwie pewne metody uniemożliwienia powrotu czarownicy tak potężnej, jak Mateczka Malkin. Pierwsza to spalenie. Ale nikt nie powinien cierpieć takiego bólu. Druga metoda jest zbyt straszna, by nawet o niej myśleć. Niewielu o niej słyszało, bo zwyczaj ten praktykowano dawno temu, w odległej krainie za morzem. Według tamtejszych pradawnych ksiąg, jeśli zje się serce czarownicy, ta nie zdoła już powrócić. Ale trzeba je zjeść na surowo.

Gdybyśmy stosowali podobne metody, nie bylibyśmy lepsi od czarownicy, którą zabijamy – ciągnął stracharz. – To barbarzyństwo. Jediną alternatywę stanowi dół. To także okrutne wyjście, ale czynimy tak, by chronić niewinnych, czyli przyszłe ofiary wiedźmy. Lecz tak czy inaczej, chłopcze, Mateczka Malkin jest wolna. Z pewnością czekają nas kłopoty, ale chwilowo niewiele możemy zrobić. Po prostu będziemy musieli zachować czujność.

– Nic mi nie będzie – rzekłem. – Jakoś sobie poradzę.

– Lepiej zacznij od nauki obchodzenia się z boginami – stracharz ze smutkiem pokręcił głową. – To był twój drugi poważny błąd. Cała niedziela wolna? W dodatku co tydzień? To stanowczo przesadna hojność! Powiedz jednak, co zrobimy z tym – gestem wskazał wąską smugę dymu, wciąż widoczną na południowym wschodzie.

Wzruszyłem ramionami.

– Do tej pory pewnie już skończyli. Zebrało się wielu rozgniewanych wieśniaków, wspominali o kamienowaniu.

– Skończyli? Nie wierz w to, chłopcze. Czarownica taka jak Lizzie ma węch lepszy niż pies myśliwski. Potrafi wywęszyć rzeczy, nim się wydarzą i zdążyła uciec, zanim ktokolwiek się zbliżył. Pewnie umknęła do Pendle, gdzie mieszka większość tego pomiotu. Powinniśmy pójść za nią, ale od kilku dni jestem w drodze, zmęczenie i ból dają mi się we znaki i muszę zebrać siły. Nie możemy jednak zbyt długo zostawić Lizzie na swobodzie, bo znów zacznie knuć. Wyruszę za nią przed końcem tygodnia, a ty pójdziesz ze mną. To nie będzie łatwe, ale musisz zacząć przywykać do tej myśli. Ale najpierw chodź...

Idąc, zauważyłem, że stracharz kuśtyka lekko, szedł też wolniej niż zwykle. Cokolwiek się stało w Pendle, sporo go kosztowało. Poprowadził mnie do domu, na górę i do biblioteki, przystając obok najdalszych regałów, tych przy oknie.

– Wolę trzymać książki w bibliotece – oznajmił. – I wolę, by moja biblioteka rosła, nie malała. Ale z powodu tego, co się stało, tym razem uczynię wyjątek.

Sięgnął na najwyższą półkę i zdjął z niej książkę. Wręczył mi ją.

– Potrzebujesz jej bardziej niż ja. Znacznie bardziej.

Jak na książkę nie była zbyt gruba, mniejsza nawet od mojego dziennika. Podobnie jak większość ksiąg stracharza, miała skórzaną oprawę z tytułem wydrukowanym na okładce i grzbiecie. Brzmiał on Opętanie: potępienie, oszołomienie, desperacja.

– Co znaczy ten tytuł? – spytałem.

– To, co widać, chłopcze, dokładnie to, co widać. Przeczytaj książkę, a sam zobaczysz.

Kiedy otworzyłem książkę, przeżyłem zawód. Kartki zadrukowano łacińskimi słowami. Nie znałem tego języka.

– Przystudiuj ją uważnie i zawsze noś przy sobie – polecił stracharz. – To fundamentalne dzieło. – Musiał zauważyć moją minę, bo uśmiechnął się i trącił książkę palcem. – Fundamentalne oznacza, że jak dotąd nie powstała lepsza książka na temat opętań. Ale to bardzo trudny temat, a napisał ją młody człowiek, który

musiał się jeszcze wiele nauczyć. Nie rozstrzyga zatem wszystkiego do końca, można jeszcze sporo odkryć. Zajrzyj na koniec.

Posłuchałem i przekonałem się, że ostatnich kilkanaście stron jest pustych.

– Jeśli dowiesz się czegoś nowego, zapisz to tutaj. Każdy szczegół może pomóc. I nie przejmuj się faktem, że jest po łacinie. Gdy tylko zjemy, rozpoczniesz naukę.

Poszliśmy na popołudniowy posiłek, ugotowany idealnie. Gdy przełknąłem ostatni kęs, coś pod stołem poruszyło się i otarło o moje nogi. Nagle znów usłyszałem mruczenie, coraz głośniejsze i głośniejsze, aż w końcu wszystkie talerze i półmiski na stole zaczęły grzechotać.

– Nic dziwnego, że się tak cieszysz – stracharz pokręcił głową. – Jeden wolny dzień w roku w zupełności by wystarczył! Ale nie ma się co przejmować, życie płynie dalej. Zabierz ze sobą notatnik, mamy dziś wiele do omówienia.

Poszedłem za stracharzem ścieżką na ławkę, odkorkowałem flaszeczkę z inkaustem, zanurzyłem pióro i czekałem, gotów notować.

– Po przejściu próby w Horshaw – stracharz zaczął kuśtykać, jak zwykle przechadzając się tam i z powrotem – zwykle staram się jak najdelikatniej wprowadzać uczniów w tajniki fachu. Teraz jednak, gdy stanąłeś oko w oko z czarownicą, wiesz, jaka to trudna i niebezpieczna praca, i jesteś gotów dowiedzieć się, co spotkało mojego ostatniego ucznia. Wiąże się to z boginami, tematem, który studiowaliśmy, niechaj więc stanie się dla ciebie nauką. Znajdź czystą kartkę i zacznij od nagłówka...

Posłuchałem i zanotowałem. „Jak uwięzić bogina”. A potem, w miarę jak stracharz opowiadał swoją historię, zapisywałem jak najwięcej, jak zwykle z trudem za nim nadążając.

Uwięzienie bogina wymagało ciężkiej pracy, którą stracharz nazwał preparacjami. Najpierw trzeba było wykopać dół jak najbliżej korzeni dużego, dojrzałego drzewa. Po ciężkim kopaniu,

do którego zmuszał mnie mistrz, ze zdumieniem dowiedziałem się, iż stracharz rzadko własnoręcznie kopie w ziemi. Robi się to tylko w wypadkach najwyższej konieczności, zazwyczaj zajmują się tym wynajęci robotnicy.

Następnie trzeba zatrudnić kamieniarza, by wyciął grubą, kamienną płytę, pasującą do dołu niczym nagrobek. Bardzo ważne, aby dokładnie ją wymierzyć, żeby zakryła cały dół. Kiedy już powlecze się dolną powierzchnię płyty i wewnątrz dołu mieszaniną żelaza, soli i mocnego kleju, czas zwabić do środka bogina.

Nie jest to trudne zadanie. Krew, mleko bądź ich mieszanina sprawdzają się za każdym razem. Najtrudniejsze jest osadzenie kamienia na miejscu, gdy bogin się posila. Powodzenie zależy od sprawności wynajętych pomocników.

Najlepiej jest mieć pod ręką kamieniarza i paru robotników, używających łańcuchów zawieszonych na drewnianym rusztowaniu nad dołem, tak by dało się opuścić kamień szybko i bezpiecznie.

Tu właśnie popełnił błąd Billy Bradley. Działo się to późną zimą, podczas paskudnej pogody i Billy nie mógł się już doczekać chwili, gdy położy się w ciepłym łóżku. Toteż zaniedbał szczegóły.

Zatrudnił miejscowych robotników, którzy nigdy wcześniej nie mieli do czynienia z podobnym zadaniem. Kamieniarz poszedł na kolację obiecując, że wróci w ciągu godziny. Lecz Billy niecierpliwił się j nie chciał czekać. Zwabił bogina do dołu bez żadnych kłopotów, ale z kamienną płytą nie poszło tak łatwo. Noc była mokra i płyta ześliznęła się, przyciskając mu krawędzią lewą dłoń.

Łańcuch się zaciął i nie mogli podnieść kamienia. Podczas gdy robotnicy zmagali się z płytą, a jeden z nich pobiegł po kamieniarza, bogin, rozwścieczony swym uwięzieniem pod kamieniem, zaatakował palce Billy'ego. Bo widzicie, był to jeden z najniebezpieczniejszych typów boginów. Nazywają je rozpruwaczami, zwykle karmią się bydłem, lecz ten zasmakował już wcześniej ludzkiej krwi.

Gdy wreszcie podniesiono kamień, minęło niemal pół godziny i



było już za późno. Bogiń odgryzł palce Billy'ego aż do kostek i łapczywie wysysał krew z jego ciała. Billy najpierw krzyczał z bólu, potem tylko jęczał. A kiedy uwolnili mu dłoń, pozostał na niej jedynie kciuk. Wkrótce potem zmarł w wyniku wstrząsu i utraty krwi.

– To smutna historia – rzekł stracharz. – Teraz leży pogrzebany pod żywoplotem, niedaleko kościoła w Layton. Kości naszych kolegów po fachu nie spoczywają w poświęconej ziemi. Stało się to nieco ponad rok temu i gdyby Billy przeżył, nie rozmawialibyśmy teraz, bo wciąż byłby moim uczniem. Biedny Billy, dobry był z niego chłopak i nie zasłużył sobie na taką śmierć. Ale to niebezpieczna praca i jeżeli popełni się błąd...

Stracharz spojrział na mnie ze smutkiem, po czym wzruszył ramionami.

– Niech to będzie dla ciebie nauką, chłopcze. Potrzebujemy odwagi i cierpliwości, ale przede wszystkim nigdy się nie śpieszymy. Posługujemy się rozumem, uważnie wszystko rozważamy, a potem robimy to, co należy. Zazwyczaj nigdy nie wysyłam ucznia samego przed ukończeniem pierwszego roku nauki. Chyba że – dodał z lekkim uśmiechem – bierze sprawy we własne ręce. Muszę mieć pewność, że jest gotów. Ale teraz zajmijmy się ważniejszymi rzeczami – dodał. – Czas na pierwszą lekcję łaciny...

## **ROZDZIAŁ 11**

### **W DOLE**

Zdarzyło się to trzy dni później... Stracharz posłał mnie do wioski po cotygodniowe zakupy. Było późne popołudnie i gdy wyszedłem z domu z pustym workiem, cienie zaczynały się już wydłużać.

Przy przełazie zauważyłem kogoś stojącego między drzewami

na szczycie wąskiej dróżki. Gdy uświadomiłem sobie, że to Alice, serce zabiło mi mocniej. Co tu robiła? Czemu nie uciekła do Pendle? A skoro była tutaj, to co z Lizzie?

Zwolniłem, ale musiałem przejść obok niej, by dotrzeć do wioski. Mogłem zawrócić, wybierając okrężną drogę, ale nie chciałem dać jej satysfakcji: niech nie myśli, że się jej przestraszyłem. Mimo wszystko jednak, pokonawszy przełaz, trzymałem się lewej strony dróżki, blisko wysokiego głógowego żywopłotu, na skraju rowu.

Alice stała w półmroku, promienie słońca oświetlały jedynie szpice jej trzewików. Wezwała mnie gestem, ale zachowałem dystans, trzymając się trzy kroki dalej. Po wszystkim co się stało, ani trochę jej nie ufałem, choć ucieszyłem się, że nie spłonęła na stosie ani nie została ukamienowana.

– Przyszłam się pożegnać – oznajmiła Alice. – I ostrzec, żebyś nigdy nie zbliżał się do Pendle. Tam właśnie się udajemy. Lizzie ma tam rodzinę.

– Cieszę się, że zdołałaś uciec – zatrzymałem się i odwróciłem ku niej. – Widziałem dym, kiedy palili wasz dom.

– Lizzie wiedziała, że po nas idą – wyjaśniła Alice – i spokojnie zdążyliśmy uciec. Ale ciebie nie wywęszyła, prawda? Wie, co zrobiłaś z Mateczką Malkin, lecz odkryła to dopiero po fakcie. Nie wywęszyła cię i to ją martwi. I mówi, że twój cień zabawnie pachnie.

Na te słowa roześmiałem się głośno. Przecież to wariactwo. Jak cień miałby pachnieć?

– To nie jest śmieszne – rzuciła oskarżycielsko Alice. – Nie ma się z czego śmiać. Wywęszyła twój cień tylko w miejscu, gdzie padł na stodołę. Widziałam go, wyglądał jakoś nie tak. Księżyc pokazał twoje prawdziwe oblicze.

Nagle zbliżyła się o dwa kroki, stając w słońcu. Pochyliła się i zaczęła węszyć.

– Naprawdę zabawnie pachniesz – zmarszczyła nos. Cofnęła się szybko, nagle, jakby ogarnął ją strach.

Uśmiechnąłem się i przywołałem przyjazny ton głosu.

– Posłuchaj, nie idź do Pendle. Lepiej ci będzie bez nich. To złe towarzystwo.

– Złe towarzystwo nie ma już znaczenia. Nic mnie nie zmieni, prawda? Już jestem zła. Zła od środka. Nie uwierzyłybyś, co widziałam i robiłam. Przykro mi – dodała – znów byłam zła. Mam za mało sił, by odmówić...

Nagle, zbyt późno, zrozumiałem prawdziwy powód strachu na twarzy Alice. To nie mnie się bała, tylko tego, co stało tuż za mną.

Niczego nie widziałem i niczego nie usłyszałem. Kiedy się zorientowałem, było już za późno. Bez ostrzeżenia ktoś wyrwał mi z ręki pusty worek i zarzucił na głowę i ramiona. Świat pociemniał. Chwyciły mnie silne ręce, przyciskając mi dłonie do boków. Szarpałem się chwilę, ale nic to nie dało. Ktoś podniósł mnie i poniósł, równie łatwo jak parobek worek kartofli. Usłyszałem też głosy – Alice, a następnie innej kobiety, zapewne Kościstej Lizzie. Osoba, która mnie niosła, odpowiedziała głuchym pomrukiem. To był Kieł.

Alice zwabiła mnie w pułapkę. Wszystko starannie zaplanowali. Musieli ukrywać się w rowie, gdy zszedłem ze wzgórza.

Bałem się bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Zabiłem przecież Mateczkę Malkin, babkę Lizzie. Co ze mną zrobią?

\*

Po jakiejś godzinie rzucono mnie na ziemię tak mocno, że z płuc uleciało mi całe powietrze.

Gdy tylko znów zdołałem odetchnąć, spróbowałem uwolnić się z worka, lecz ktoś rąbnął mnie dwukrotnie w plecy – tak mocno, że zastygłem bez ruchu. Zrobiłbym wszystko, byle uniknąć podobnego ciosu, toteż leżałem tam, ledwie odważając się oddychać, a ostre pieczenie stopniowo przeradzało się w tępy ból.

Związali mnie sznurem, okręcając go wokół worka, moich rąk i głowy, i wiążąc ciasno. A potem Lizzie posiedziała coś, co zmroziło mnie do szpiku kości.

– No proszę, już się nie ruszy. Teraz możesz zacząć kopać.

Przybliżyła do mnie swą twarz tak bardzo, że nawet przez worek poczułem jej cuchnący oddech. Przypominał oddech psa bądź kota.

– I co, chłopcze? – rzekła. – Jakie to uczucie wiedzieć, że nigdy już nie ujrzysz światła dnia?

Słyszając odgłos nieodległego kopania, zacząłem dygotać ze zgrozy. Przypomniałem sobie opowieść stracharza o żonie górnik, a zwłaszcza najgorszy fragment, gdy leżała sparaliżowana, niezdolna krzyknąć, a mąż kopał jej grób. Teraz miało to spotkać mnie. Za chwilę zostanę pogrzebany żywcem i zrobiłbym wszystko, byle choć na moment ujrzeć jeszcze światło dzienne.

Z początku, kiedy rozcięli więzy i zdjęli ze mnie worek, ogarnęła mnie ulga. Do tej pory słońce zdążyło już zająć, lecz kiedy uniosłem głowę, ujrzałem gwiazdy. Malejący księżyc wisiał nisko nad drzewami. Na twarzy poczułem wiatr i wydał mi się wspanialszy niż kiedykolwiek. Ulga jednak trwała zaledwie chwilę, bo zacząłem się zastanawiać, co dokładnie dla mnie szykują. Nie przychodziło mi do głowy nic gorszego od pogrzebania żywcem, ale Koścista Lizzie z pewnością mogła wymyślić coś jeszcze bardziej przerażającego.

Szczerze mówiąc, kiedy po raz pierwszy zobaczyłem Kła z bliska, nie wyglądał tak strasznie, jak oczekiwałem. W sumie tamtej nocy, gdy mnie ścigał, wydał mi się gorszy. Nie był tak stary jak stracharz, lecz twarz miał pomarszczoną i ogorzałą, a głowę porastał mu gąszcz tłustych, siwych włosów. Zęby miał rzeczywiście zbyt wielkie, by pomieścić się w ustach, co oznaczało, że nigdy nie mógł ich do końca zamknąć. Dwa zakrzywiały się w górę niczym żółte kły, stercząc po obu stronach nosa. Był też rośli i bardzo włochaty, miał potężne, umięśnione ręce. Poznałem już ich uścisk i wydał mi się bolesny, wiedziałem jednak, że w owych ramionach kryje się dość sił, by ścisnąć mnie tak mocno, że z ciała uleci powietrze, a żebra połamią się w drzazgi.

Kieł nosił u pasa wielki zakrzywiony nóż o bardzo ostrej klindze. Lecz najgorsze były oczy, mętne, pozbawione jakiegokolwiek

iskierki. Zupełnie jakby w jego głowie nic się nie kryło, jakby był tylko stworem wykonującym bez namysłu każde polecenie Kościstej Lizzie. Wiedziałem, że zrobi wszystko, co ona mu każe, bez chwili wahania, nieważne, jak strasznego czynu zażąda.

Co do Kościstej Lizzie, to wcale nie była chuda; z lektury książek w bibliotece stracharza wiedziałem, że prawdopodobnie nazwano ją tak, bo stosowała magię kości. Czułem już jej oddech, lecz na pierwszy rzut oka nigdy nie wzięlibyście jej za wiedźmę. Nie przypominała Mateczki Malkin, skurczonej i pomarszczonej ze starości, wyglądającej jakby już nie żyła. Nie, Koścista Lizzie stanowiła starszą wersję Alice. Na oko liczyła sobie najwyżej trzydzieści pięć lat, miała piękne brązowe oczy i włosy równie czarne, jak włosy jej siostrzenicy. Nosła zielony szal i czarną suknię, przewiązaną ciasno w smukłej talii wąskim skórzanym paskiem. Dostrzegłem też pewne rodzinne podobieństwo. Usta miały jednak całkiem inne. Nie chodziło nawet o ich kształt, lecz o to, jak wiedźma nimi poruszała, jak wykrzywiały się w złośliwym grymasie, kiedy się odezwała. Zauważyłem jeszcze jedno: ani razu nie spojrzała mi prosto w oczy.

Alice była inna: miała śliczne usta, wciąż skłonne do uśmiechu. Zrozumiałem jednak, że w przyszłości stanie się taka sama jak Koścista Lizzie.

Oszukała mnie. To przez nią byłem tutaj, zamiast siedzieć bezpiecznie w domu stracharza i zajadać kolację.

Na znak Kościstej Lizzie, Kieł złapał mnie i związał mi ręce za plecami. Następnie chwycił mnie za ramię i powlókł w stronę drzew. Najpierw ujrzałem pryzmę ciemnej ziemi, a potem ziejący obok głęboki dół. Nozdrza wypełniła mi wilgotna, gliniasta woń świeżo poruszonej gleby. Pachniała jednocześnie świeżością i śmiercią, istotami z głębi ziemi wyciągniętymi na powierzchnię.

Dół liczył sobie na oko ponad siedem stóp głębokości, lecz w odróżnieniu od tego, w którym stracharz trzymał Mateczkę Malkin, miał nieregularny kształt: zwykła, wielka dziura o stromych ścianach. Pamiętam, że pomyślałem, iż po przebytych

szkoleniu sam wykopałbym dużo lepszy.

W tym momencie księżyc ukazał mi coś jeszcze – coś, czego wolałbym nie widzieć. Trzy kroki dalej, po lewej stronie dołu, widniał prostokąt świeżo poruszonej ziemi. Wyglądał zupełnie jak dopiero co zasypany grób.

Nie miałem jednak czasu martwić się tym, bo Kieł zawlókł mnie na skraj dziury i odchylił mi głowę. Kątem oka dostrzegłem twarz Kościstej Lizzie. Nagle któreś z nich wepchnęło mi w usta coś twardego i w głąb gardła spłynął mi zimny, gorzki płyn. Smakował ohydnie i wypełnił mi usta po wręby, ściekając po brodzie, a nawet wypryskując nosem. Zacząłem się dusić, rozpaczliwie próbowałem złapać oddech. Usiłowałem wypluć płyn, lecz Koścista Lizzie zacisnęła mi palcami nos i by odetchnąć musiałem najpierw przełknąć wstrętny napój.

Wówczas Kieł wypuścił moją głowę i z powrotem chwycił lewe ramię. Zobaczyłem, co mi podali – Koścista Lizzie pokazała mi małą butelkę z ciemnego szkła o długiej, wąskiej szyjce. Obróciła ją do góry nogami, na ziemię poleciało kilka kropel, reszta tkwiła już w moim żołądku.

Co ja wypilem? Czyżby mnie otruła?

– To nie pozwoli ci zmrużyć oka, chłopcze – oznajmiła z szyderczym grymasem. – Nie chcielibyśmy, żebyś zasnął. Nie chcemy, byś cokolwiek stracił.

Kieł bez ostrzeżenia uniósł mnie i cisnął do dziury; żołądek podszedł mi niemal do gardła gdy poleciałem w mrok. Wylądowałem ciężko, lecz ziemia na dnie była miękka, i choć od upadku zabrakło mi tchu, nic mi się nie stało. Obróciłem się zatem, aby spojrzeć na gwiazdy, myśląc, że może jednak zostaną pogrzebany żywcem. Lecz zamiast lecącej ku mnie łopaty ziemi ujrzałem zarys głowy i ramion Kościstej Lizzie. Patrzyła na mnie, jej sylwetka malowała się ciemną plamą na tle gwiazd. Zaczęła nucić coś osobliwym, gardłowym szeptem, nie dosłyszałem jednak słów.

Następnie wyciągnęła ręce nad dołem, a ja ujrzałem, że w

każdej z nich coś trzyma. Z dziwacznym okrzykiem rozchyliła palce i dwa białe przedmioty poleciały ku mnie, lądując w błocie obok moich kolan.

W blasku księżyca zobaczyłem je wyraźnie. Zdawały się niemal lśnić. Wrzuciła do dołu dwie kości. Kości kciuków – wciąż widziałem stawy.

– Ciesz się ostatnią nocą na tej ziemi, chłopcze! – zawołała do mnie. – Ale nie martw się, nie będziesz samotny, zostawię cię w dobrym towarzystwie. Martwy Billy przyjdzie po swoje kości. Leży tuż obok, więc nie musi wędrować daleko. Wkrótce do ciebie dołączy, a macie wiele wspólnych tematów. Był ostatnim uczniem starego Gregory'ego i nie spodoba mu się, że zająłeś jego miejsce. Potem, tuż przed świtem, złożymy ci ostatnią wizytę. Przyjdziemy po twoje kości. Są wyjątkowe, o tak, jeszcze lepsze niż kości Billy'ego, a świeżo zebrane przydadzą mi się bardziej niż cokolwiek od bardzo dawna.

Jej twarz zniknęła i usłyszałem oddalające się kroki.

A zatem to mnie czekało. Skoro Lizzie pragnęła moich kości, oznaczało to, że mnie zabije. Przypomniałem sobie wielki, zakrzywiony nóż u pasa Kła i zacząłem drżeć.

Wcześniej jednak musiałem stawić czoło martwemu Billy'emu. Mówiąc, czarownica „tuż obok”, musiała mieć na myśli świeży grób opodal mojego dołu. Ale stracharz twierdził, że Billy Bradley został pochowany niedaleko kościoła w Layton. Lizzie musiała wykopać jego ciało, odciąć kciuki i pogrzebać resztę tutaj, między drzewami. Teraz Billy miał przyjść po swoje kości.

Czy mój poprzednik zechce mnie skrzywdzić? Nigdy nic mu nie zrobiłem, ale pewnie podobało mu się życie ucznia stracharza. Może niecierpliwie czekał, aż zakończy naukę i zajmie miejsce swojego mistrza? Tymczasem ja odebrałem mu wszystko. A co z zaklęciem Kościstej Lizzie? Może uzna, że to ja odciąłem mu kciuki i wrzuciłem je do dołu...

Zdołałem uklęknąć, następnych kilka minut rozpaczliwie próbowałem rozwiązać ręce. Okazało się to jednak beznadziejne,

moje zmagania jeszcze mocniej zaciągały węzły.

Czułem się też dziwnie – w ustach mi zaschło w głowie buzowało. Gdy uniosłem wzrok ku gwiazdom, wydały mi się bardzo jasne i każda z nich miała bliźniaczkę. Kiedy mocno się skupiłem, potrafiłem sprawić, że podwójne gwiazdy zlewały się w jedność. Lecz gdy tylko się rozluźniłem, znów się rozłączały. Gardło mnie piekło, a serce waliło trzy razy szybciej niż zwykle.

Wciąż rozmyślałem o tym, co powiedziała Koścista Lizzie. Martwy Billy przyjdzie po swoje kości. Kości, które leżały w błocie niecałe dwa kroki od miejsca, gdzie klęczałem. Gdybym miał wolne ręce, wyrzuciłbym je z dołu.

Nagle dostrzegłem lekkie poruszenie po lewej stronie. Gdybym wstał, znalazłoby się na wysokości mojej głowy. Uniosłem wzrok i patrzyłem, jak ze ściany wylania się długa, obrzmiała, biała głowa robaka, znacznie, znacznie większego niż jakikolwiek robak, którego wcześniej widziałem. Jego ślepy, rozdęty łeb, poruszając się, kreślił w powietrzu powolne koło. Z ziemi wylaniała się reszta ciała. Co to takiego? Czyżby był jadowity? Czy mógł mnie ugryźć?

I wtedy zrozumiałem. To był robak trumienny! Musiał mieszkać w trumnie Billy'ego Bradleya, tucząc się jego mięsem. Biały stwór, który nigdy dotąd nie oglądał słonecznego światła.

Zadrzałem, gdy trumienny robak wysunął się z ciemnej ziemi i wylądował w błocie u moich stóp. Straciłem go z oczu, bo natychmiast zagrzebał się głębiej.

Z powodu swych rozmiarów robak pozostawił za sobą dziurę, wąski tunel. Obserwowałem go z przerażeniem i fascynacją, bo wewnątrz pojawiło się coś jeszcze. Coś poruszało ziemię, która sypała się z dziury, tworząc rosnący kopczyk na dnie dołu.

Nie wiedząc, co to takiego, jeszcze bardziej się bałem. Postanowiłem więc sprawdzić, co tam tkwi, i z trudem dźwignąłem się na nogi. Zachwiałem się, znów zakręciło mi się w głowie, gwiazdy w górze zawirowały. O mało nie upadłem, ale zdołałem postąpić jeden krok naprzód i znalazłem się obok wąskiego tunelu, ziejącego na wysokości mojej głowy.



Kiedy zjrzałem do środka, pożałowałem, że to zrobiłem.

Ujrzałem kości. Ludzkie kości. Kości połączone ze sobą. Kości, które się poruszały. Dwie dłonie bez kciuków, jedną w ogóle bez palców. Kości babrzące w błocie, przeciskające się ku mnie przez miękką ziemię. Uśmiechniętą czaszkę o wyszczerzonych zębach.

To był martwy Billy, lecz zamiast oczu spojrzały na mnie czarne oczodoły, ciemne i puste. Kiedy promień księżycyca padł na białą, bezcielesną rękę, która chwiejąc się, sięgnęła ku mnie, cofnąłem się i o mało nie upadłem, płacząc ze strachu.

W tym momencie, gdy już sądziłem, że lada moment oszaleję z przerażenia, w dole zapanował nagle dziwny chłód i wyczułem coś po prawej. Coś jeszcze dołączyło do mnie. Ktoś, kto stał w miejscu, gdzie nie można stać. Widziałem połowę jego ciała; reszta kryła się w ścianie dołu.

To był chłopak, niewiele starszy ode mnie; widziałem go tylko z lewej strony, bo reszta tkwiła gdzieś nadal w ziemi. Z łatwością, jakby otwierał drzwi, obrócił się w prawo ku mnie i zobaczyłem go całego. Uśmiechnął się do mnie – ciepło, przyjaźnie.

– Różnica pomiędzy snem a jawą – rzekł. – To jedna z najtrudniejszych lekcji, które musimy opanować. Opanuj ją teraz, Tom, opanuj, nim będzie za późno...

Nagle zauważyłem jego buty. Wyglądały na bardzo drogie, uszyte z najlepszej skóry. Zupełnie jak buty stracharza.

Wówczas uniósł ręce, tak, że dłonie znalazły się po obu stronach głowy dłońmi naprzód. Każdej z nich brakowało kciuka, prawa dłoń w ogóle nie miała palców.

To był duch Billy'ego Bradleya.

Splótł ręce na piersi i uśmiechnął się ponownie. Znikając, sprawiał wrażenie szczęśliwego i spokojnego.

Zrozumiałem dokładnie, co mi powiedział. Nie, nie spałem, ale w pewnym sensie śniłem. Śniłem mroczne sny pochodzące z butelki, której zawartość Lizzie wlała mi do gardła.

Kiedy z powrotem obróciłem głowę, by zająrzeć do dziury, ta zniknęła. Nie było żadnego szkieletu pełzającego ku mnie. Żadnego

trumiennego robaka.

Owa mikstura musiała być czymś w rodzaju trucizny: czymś utrudniającym odróżnienie jawy od snu. To właśnie podała mi Lizzie, przez to serce biło mi szybciej i nie mogłem zasnąć. Oczy miałem otwarte, lecz widziałem rzeczy, których naprawdę nie było.

\*

Wkrótce potem gwiazdy zniknęły i zaczął padać deszcz. Przez całą długą, ciężką, zimną noc rozmyślałem o tym, co spotka mnie przed świtem. Im był bliżej, tym gorzej się czułem.

Jakąś godzinę przed wschodem słońca deszcz osłabł, zmieniając się w lekką mżawkę, aż w końcu ustał zupełnie. Ponownie ujrzałem gwiazdy, do tego czasu już przestały się rozdzwajać. Byłem przemarznięty i przemoczony, ale gardło już mnie nie piekło.

Kiedy w górze pojawiła się twarz, zerkająca w głąb dziury, serce znów zerwało mi się do biegu, bo myślałem, że to Lizzie przychodzi po moje kości. Lecz ku swej uldze stwierdziłem, że widzę Alice.

– Lizzie mnie przysłała, żebym sprawdziła, co u ciebie – zawołała cicho. – Billy już się pojawił?

– Pojawił się i odszedł – odparłem gniewnie.

– Nie chciałam, by tak się stało, Tom. Gdybyś tylko się nie mieszał, wszystko byłoby dobrze.

– Dobrze? – powtórzyłem. – Do tej pory nie żyłoby kolejne dziecko i stracharz także, gdyby wszystko poszło zgodnie z waszym planem. A te placki zrobiono z krwi niemowlęcia. Uważasz, że to w porządku? Pochodzisz z rodziny morderców i sama jesteś morderczynią.

– Nieprawda! – zaprotestowała Alice. – Nie było żadnego niemowlęcia. Ja tylko dałam ci placki.

– Ale wiedziałas – upierałem się – co zrobią potem. I pozwoliłaś na to.

– Nie jestem taka silna, Tom. Jak miałam do tego nie dopuścić? Jakim sposobem miałam powstrzymać Lizzie?

– Ja wybrałem już swoją drogę – oznajmiłem. – Ale co ty wybierzesz, Alice? Magię kości czy magię krwi? Którą z nich? Którą?

– Ani jedną, ani drugą. Nie chcę być taka jak one. Ucieknę. Gdy tylko nadarzy się okazja, zniknę.

– Jeśli naprawdę chcesz to zrobić, pomóż mi teraz. Pomóż mi wydostać się z dołu, możemy uciec razem.

– Teraz to zbyt niebezpieczne – powiedziała Alice. – Ucieknę później. Może za kilka tygodni, gdy nie będą się niczego spodziewać.

– Chcesz powiedzieć, kiedy już zginę, gdy będziesz miała na rękach jeszcze więcej krwi.

Alice nie odpowiedziała. Usłyszałem, jak płacze cicho, ale gdy już sądziłem, że może zmienić zdanie i mi pomoże, odeszła.

Siedziałem w dole, z przerażeniem myśląc o tym, co mnie czeka. Przypomniałem sobie wisielców; teraz wiedziałem dokładnie, co czuli przed śmiercią. Wiedziałem, że nigdy już nie wrócę do domu. Nigdy nie zobaczę rodziny. Praktycznie straciłem już nadzieję, kiedy z góry dobiegły mnie kroki. Wstałem przerażony, ale to znów była Alice.

– Och, Tom, tak mi przykro – rzekła. – Ostrząż już noże.

Zbliżało się najgorsze i wiedziałem, że mam tylko jedną szansę. Moją jedyną nadzieją pozostawała Alice.

– Jeżeli naprawdę ci przykro, to mi pomóż – powiedziałem cicho.

– Nic nie mogę zrobić – wyszlochała. – Lizzie mogłaby zwrócić się przeciw mnie. Nie ufa mi. Uważa, że jestem zbyt łagodna.

– Idź po pana Gregory'ego – poprosiłem. – Sprowadź go tutaj.

– Już na to za późno, o, tak – wychlipała Alice, kręcąc głową. – Kości pobrane za dnia na nic się Lizzie nie przydadzą. Zupełnie na nic. Najlepsze są kości zebrane tuż przed świtem. Za parę minut przyjdą po ciebie. Tylko tyle czasu ci zostało.

– W takim razie przynieś mi nóż – rzuciłem.

– Na nic ci się nie zda. Są zbyt silni, nie dasz rady z nimi

walczyć.

– Nie – wyjaśniłem. – Chcę przeciąć nim sznur, spróbuję uciec.

Nagle Alice zniknęła. Czy poszła po nóż, czy też za bardzo bała się Lizzie? Parę minut czekałem spokojnie, ale gdy nie wróciła, ogarnęła mnie rozpacz. Zacząłem się szarpać, próbując uwolnić ręce, rozerwać więzy. Na próżno.

Kiedy z góry spojrzała na mnie twarz, serce zamarło mi ze zgrozy. Ale to znów była Alice, trzymała coś nad dołem. Upuściła to i upadło, połyskując metalicznie w świetle księżyca.

Nie zawiodła mnie. To był nóż. Gdybym tylko rozciął sznur, byłbym wolny...

Z początku nie wątpiłem, że nawet ze związanymi z tyłu rękami dam sobie radę. Owszem, mogłem się trochę pokaleczyć, ale to przecież drobiazg w porównaniu z tym, co mi zrobią przed wschodem słońca. Szybko chwyciłem nóż, z pewnym trudem przyłożyłem go do sznura i spróbowałem poruszyć. Okazało się to bardzo trudne. Gdy upuściłem go po raz drugi, zacząłem wpadać w panikę. Wiedziałem, że zjawią się najwyżej za minutę.

– Będziesz musiała mi pomóc! – zawołałem do Alice. – Chodź tu, wskakuj do dołu.

Nie sądziłem, że posłucha, lecz ku mojemu zdumieniu, zrobiła to. Nie zeskoczyła, ale opuściła się stopami na dół, zwisając na rękach. Jej ciało wyciągnęło się i zeskoczyła, pokonując ostatni kawałek.

Szybko rozcięła mi więzy. Ręce miałem wolne, musieliśmy tylko wydostać się z dołu.

– Pozwól, że stanę ci na ramionach – rzekłem. – Potem cię wyciągnę.

Alice nie protestowała i za drugim razem zdołałem wspiąć się jej na ramiona i wciągnąć na mokrą trawę. Potem nadeszło najtrudniejsze – wyciągnięcie Alice z dziury.

Sięgnąłem ku niej lewą ręką, chwyciła ją mocno, prawą objęła mój przegub dla większej pewności. Wówczas spróbowałem ją dźwignąć.

Pierwszy problem stanowiła mokra, śliska trawa. Z trudem uniknąłem zsunięcia się z powrotem. Potem uświadomiłem sobie, że nie jestem dość silny. Popełniłem wielki błąd. Fakt, że Alice jest dziewczyną, nie oznaczał, że ma mniej sił ode mnie. Zbyt późno przypomniałem sobie, jak szarpała sznur, sprawiając, że dzwonnica stracharza podskakiwała. Zrobiła to niemal bez wysiłku. Powinienem być pozwolić, by stanęła mi na ramionach i pierwsza wyszła z dołu. Alice bez problemów wyciągnęłaby mnie na górę.

I wtedy usłyszałem głosy. Koścista Lizzie i Kieł szli między drzewami. Zmierzali wprost ku nam.

W dole zobaczyłem, jak Alice rozpaczliwie skrobie stopami ścianę dziury, próbując się wydostać. Strach dodał mi sił, szarpnąłem gwałtownie i wyłoniła się z ziemi, padając na trawę obok mnie.

Zdążyliśmy w ostatniej chwili. Puściliśmy się biegiem, słysząc za sobą tupot stóp. Z początku tamci zostali daleko w tyle, ale stopniowo zaczęli zbliżać się coraz bardziej.

Nie wiem, jak długo biegliśmy, miałem wrażenie, że upłynęły całe wieki. Biegłem, aż w końcu nogi zaciążyły mi jak ołów, a oddech palił gardło. Zmierzaliśmy z powrotem w stronę Chipenden – mogłem to stwierdzić, bo od czasu do czasu między drzewami dostrzegałem wzgórze. Biegliśmy na wschód, w stronę świtu. Niebo już szarzało, z każdą chwilą robiło się coraz jaśniejsze, i kiedy poczułem, że nie zdołam już postąpić nawet kroku dalej, wierzchołki wzgórz rozbłysły jasnym pomarańczem. Wzeszło słońce i pomyślałem, że nawet jeśli teraz nas złapią, przynajmniej nastął już dzień i moje kości na nic się Lizzie nie zdadzą.

Kiedy wynurzyliśmy się spomiędzy drzew i zaczęliśmy biec w górę trawiastego zbocza, nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Zmieniały się w galaretę i Alice zaczęła się oddalać. Obejrzała się na mnie z twarzą wykrzywioną przerażeniem. Spomiędzy drzew wciąż dobiegały odgłosy pościgu.

Nagle zatrzymałem się gwałtownie i ostatecznie. Przystanąłem dlatego, że chciałem się zatrzymać. Dlatego, że nie musiałem dalej

biec.

Na wzgórzu przed nami stała wysoka postać, odziana w czerń, z długim kijem w dłoni. To był stracharz, lecz wyglądał jakoś inaczej. Odrzucił w tył kaptur i jego włosy oświetlone promieniami wschodzącego słońca zdawały się opływać głowę niczym pomarańczowe jęzory płomieni.

Kieł na jego widok ryknął i popędził w górę zbocza, wymachując nożem. Koścista Lizzie biegła tuż za nim. Chwilowo nie zawracali sobie nami głowy; wiedzieli, kto jest ich głównym wrogiem. Nami mogli zająć się później.

Do tej pory Alice też zdążyła się już zatrzymać, przeszedłem zatem chwiejnie parę kroków i zrównałem się z nią. Oboje patrzyliśmy, jak Kieł rzuca się do ataku, unosząc zakrzywione ostrze i wrzeszcząc wściekle.

Stracharz stał dotąd nieruchomo jak posąg, lecz teraz postąpił dwa długie kroki w dół zbocza i uniósł wysoko swój kij. Celując nim niczym włócznią, uderzył mocno w głowę Kła. Tuż przed zetknięciem z czołem usłyszeliśmy szczęk i z koniuszka kija wystrzelił czerwony płomień. Laska z łoskotem trafiła w cel. Zakrzywiony nóż wyleciał w powietrze, a ciało Kła runęło na ziemię niczym wór kartofli. Wiedziałem, że nie żyje, nim jeszcze upadł.

Następnie stracharz odrzucił na bok kij i sięgnął za pazuchę. Gdy znów ujrzelśmy jego lewą dłoń, ścisnął w niej coś, co trzasnęło w powietrzu jak bat i rozbłysło w słońcu. Zrozumiałem, że to srebrny łańcuch.

Koścista Lizzie odwróciła się, próbując uciec. Było jednak za późno: drugi raz strzelił łańcuchem, zaraz potem rozległ się wysoki, piskliwy, metaliczny dźwięk. Łańcuch zaczął opadać, zmieniając się w ognistą spiralę, która oplotła ciasno Kościstą Lizzie. Czarownica wrzasnęła boleśnie i runęła na ziemię.

Ruszyłem z Alice na szczyt wzgórza. Tam przekonaliśmy się, że srebrny łańcuch owinał ciasno wiedźmę od stóp do głów. Zacisnął się nawet na jej otwartych ustach, napierając na zęby. Wywróciła

oczami, całe jej ciało szarpało się lekko z wysiłku, ale nie mogła krzyknąć.

Zerknąłem na Kła: leżał na wznak z szeroko otwartymi oczami, martwy jak kamień, pośrodku czoła ziała czerwona rana. Spojrzałem przelotnie na kij, zastanawiając się nad płomieniem, który ujrzałem na jego czubku.

Mój mistrz wydawał się spięty, zmęczony i nagle bardzo stary. Wciąż kręcił głową, jakby znużyło go samo życie. W cieniu zbocza jego włosy znów przybrały dawną szarą barwę i pojąłem, czemu zdawały się opływać głowę: były mokre od potu, a on odgarniał je dłonią za uszy. Znów to zrobił, z brwi ściekały mu krople potu i dyszał bardzo ciężko. Zrozumiałem, że biegł.

– Jak nas znalazłeś? – spytałem.

Minęła chwila, nim odpowiedział, w końcu jednak jego oddech zaczął zwalniać i zdołał wykrztusić:

– Istnieją pewne znaki, chłopcze, ślady, którymi można podążać, jeśli wie się, jak. To kolejna rzecz, której będziesz się musiał nauczyć.

Odwrócił się i spojrzał na Alice.

– Dwoje mamy już z głowy, ale co poczniemy z tobą? – spytał, wbijając w nią wzrok.

– Pomogła mi uciec – rzekłem.

– Czyżby? Ale co jeszcze zrobiła?

Popatrzył na mnie uważnie, a ja próbowałem nie odwrócić wzroku. Kiedy spuściłem głowę, zacmokał. Nie mogłem go okłamać i wiedziałem, że odgadł, iż odegrała jakąś rolę w tym, co mnie spotkało.

Znów spojrzał na Alice.

– Otwórz usta, dziewczyno – polecił szorstko, w jego głosie dzwięczał gniew. – Chcę zobaczyć twoje zęby.

Alice posłuchała i stracharz sięgnął nagle naprzód, chwytając ją za szczękę. Przysunął twarz bardzo blisko jej otwartych ust i pociągnął głośno nosem.

Kiedy odwrócił się do mnie, jakby złagodniał. Westchnął

głęboko.

– Oddech ma dość słodki – rzekł. – Czujesz oddech tamtej? – spytał, wypuszczając szczękę Alice i wskazując palcem Kościstą Lizzie.

Przytaknąłem.

– To z powodu tego, czym się żywi – wyjaśnił. – Od razu widać, czym się zajmowała. Ci, którzy praktykują magię krwi bądź kości, karmią się krwią i surowym mięsem. Lecz dziewczyna wydaje się w porządku.

Potem znów przysunął twarz do Alice.

– Spójrz mi w oczy, dziewczyno – rozkazał. – Patrz tak długo, jak tylko możesz.

Alice posłuchała, ale nie mogła patrzeć na niego zbyt długo, choć wargi zdrząły jej z wysiłku. Spuściła wzrok i rozplakała się cicho.

Stracharz przyjrzał się jej szpiczastym trzewikom i ze smutkiem pokręcił głową.

– Sam nie wiem – rzekł, znów zwracając się do mnie. – Po prostu nie wiem, co zrobić. Nie chodzi tylko o nią. Musimy też myśleć o innych. O niewinnych ofiarach, które mogą ucierpieć w przyszłości. Zbyt wiele widziała i za dużo wie, to niezdrowe. Stoi na rozstajach i nie wiem, czy mogę bezpiecznie ją wypuścić. Jeśli uda się na wschód i dołączy do pomiotu w Pendle, będzie stracona na zawsze i stanie się częścią mroku.

– Nie mogłabyś pójść gdzie indziej? – spytałem łagodnie Alice. – Nie masz innych krewnych?

– Jest taka wioska na wybrzeżu, nazywa się Staumin. Mieszka tam moja druga ciotka. Może mnie przyjmie...

– Czy jest taka jak pozostałe? – Stracharz znów spojrzał na Alice.

– Nic podobnego – odparła. – Ale to długa droga i nigdy wcześniej tam nie byłam; może potrwać trzy dni bądź dłużej.

– Mógłbym posłać z tobą chłopaka – głos strachała zabrzmiał znacznie łagodniej. – Dobrze się przyjrzał moim mapom i powinien



bez trudu odnaleźć drogę. Kiedy wróci, nauczy się porządnie je składać, dobrze zatem, podjąłem decyzję. Dam ci szansę, dziewczyno. Od ciebie zależy, czy z niej skorzystasz. Jeśli nie, pewnego dnia znów się spotkamy i wtedy nie będziesz miała tyle szczęścia.

Wyciągnął z kieszeni znajomą szmatkę, wewnątrz tkwił kawał sera na drogę.

– To, żebyście nie zgłodnieli – oznajmił. – Ale nie zjedzcie wszystkiego od razu.

Miałem nadzieję, że w drodze znajdziemy coś lepszego, wymamrotałem jednak słowa podziękui.

– Nie idź prosto do Staumin – stracharz patrzył na mnie bez mrugnięcia. – Najpierw chcę, żebyś poszedł do domu. Zabierz ze sobą dziewczynę, poproś matkę, by z nią pomówiła. Mam przecucie, że zdoła pomóc. Spodziewam się, że wrócisz w ciągu dwóch tygodni.

Na te słowa uśmiechnąłem się szeroko. Po wszystkim, co się stało, szansa wizyty w domu wydawała mi się ziszczeniem wszystkich snów. Lecz jedna rzecz mnie zdziwiła, bo pamiętałem list, który moja mama wysłała do stracharza. Nie był zachwycony niektórymi rzeczami, jakie napisała. Czemu zatem sądził, że mama mogłaby pomóc Alice? Nic nie powiedziałem bo nie chciałem ryzykować, że stracharz zmieni zdanie. Cieszyłem się, że mogę odejść.

Przed rozstaniem opowiedziałem mu o Billym. Przytaknął ze smutkiem i rzekł, żebym się nie martwił, zrobi to, co konieczne.

Gdy wyruszyliśmy, obejrzałem się i ujrzałem stracharza dźwigającego na lewym ramieniu Kościstą Lizzie i maszerującego w stronę Chipenden. Z tyłu wydawał się o trzydzieści lat młodszy.

## **ROZDZIAŁ 12**

### **DESPERACJA I OSZOŁOMIENIE**

Schodziliśmy ze zbocza w stronę farmy, czując na twarzach ciepłą mżawkę. Gdzieś w dali dwukrotnie zaszczekał pies, lecz poza tym dookoła panowała cisza i spokój.

Było późne popołudnie i wiedziałem, że mój tato i Jack jeszcze nie zeszli z pola. Miałem szansę porozmawiać z mamą w cztery oczy. Łatwo było stracharzowi powiedzieć, żebym zabrał Alice ze sobą do domu, lecz podczas marszu dużo rozmyślałem i nie wiedziałem, jak przyjmie to mama. Wątpiłem, by ucieszyła się z wizyty kogoś takiego jak Alice, zwłaszcza gdy opowiem jej, co się działo. A co do Jacka, potrafiłem przewidzieć jego reakcję. Z tego, co ostatnim razem mówiła mi Ellie o jego stosunku do mojego nowego fachu, przyjęcie pod swym dachem siostrzenicy wiedźmy było chyba ostatnią rzeczą, jakiej pragnął.

Gdy znaleźliśmy się na podwórzu, wskazałem stodołę.

– Lepiej schowaj się tam – rzekłem. – Ja pójdę wszystko wyjaśnić.

Gdy tylko się odezwałem, od strony domu dobiegł nas głośny płacz głodnego niemowlęcia. Alice na moment spojrzała mi w oczy, po czym spuściła wzrok i przypomniałem sobie, kiedy ostatni raz słyszeliśmy razem płacz dziecka.

Bez słowa odwróciła się i weszła do stodoły. Jej milczenie wcale mnie nie zdziwiło. Myślicie pewnie, że po tym, co się stało, mieliśmy sobie w drodze wiele do powiedzenia, lecz w istocie prawie się do siebie nie odzywaliśmy. Chyba wstrząsnął nią sposób, w jaki stracharz otworzył jej usta i powąchał oddech. Może przypomniał jej występki z przeszłości. Tak czy inaczej, przez całą drogę sprawiała wrażenie zatopionej w myślach i bardzo smutnej.

Może i mógłbym dołożyć większych starań, ale byłem zbyt zmęczony i niespokojny, toteż maszerowaliśmy w milczeniu i w końcu weszło nam to w nawyk. To był błąd: powinienem był spróbować lepiej poznać Alice. Oszczędziłoby mi to później wielu kłopotów.

Gdy otworzyłem drzwi, płacz ucichł i usłyszałem coś jeszcze. Dodające otuchy skrzypienie fotela na biegunach.

Fotel stał przy oknie, a między niezaciągniętymi zasłonami ujrzałem maminią twarz, wyglądającą na zewnątrz. Widziała, jak wchodzimy na podwórze i gdy wkroczyłem do domu, zaczęła kołysać się szybciej i mocniej, wbijając we mnie wzrok bez mrugnienia. Połowę jej twarzy skrywała ciemność, drugą oświetlał płomyk dużej świecy, migoczącej w mosiężnym lichtarzu pośrodku stołu.

– Kiedy przyprowadzasz gościa, dobre wychowanie nakazuje zaprosić go do domu – w jej głosie usłyszałem zaskoczenie i irytację. – Zdawało mi się, że cię tego nauczyłam.

– Pan Gregory kazał mi ją tu przyprowadzić – wyjaśniłem. – Nazywa się Alice i żyła w złym towarzystwie. Chce, żebyś z nią pomówiła, ale uznałem, że lepiej będzie, jeśli najpierw opowiem ci, co się działo, na wypadek gdybyś nie chciała jej zapraszać.

Przysunąłem sobie zatem krzesło i opowiedziałem mamie wszystko, do ostatniego szczegółu. Kiedy skończyłem, westchnęła głęboko, po czym jej twarz rozjaśnił łagodny uśmiech.

– Dobrze się spisałeś, synu – rzekła. – Jesteś młody i nowy w tym fachu, można więc ci wybaczyć popełnione błędy. Idź, przyprowadź tę biedaczkę, a potem zostaw nas same. Może zechcesz pójść na górę i przywitać się ze swoją nową bratanicą? Ellie z pewnością ucieszy się na twój widok.

Przyprowadziłem zatem Alice, zostawiłem ją z mamą i wszedłem po schodach.

Ellie zastałem w największej sypialni. Kiedyś należała do mamy i taty, ale oddali ją Ellie i Jackowi, bo było tam miejsce na jeszcze dwa łóżka i kołyskę, przydatne, gdy rodzina się powiększy.

Zastukałem lekko do uchylonych drzwi, ale zajrzałem do środka, dopiero kiedy Ellie mnie zaprosiła. Siedziała na skraju wielkiego łóża, karmiąc niemowlę z główką ukrytą w fałdach różowego szala. Na mój widok na jej ustach zagościł szeroki uśmiech i poczułem się naprawdę mile widziany. Ellie sprawiała wrażenie zmęczonej, a jej włosy zwisały w tłustych strąkach. Choć szybko odwróciłem wzrok, była bystra i wiedziałem, że zauważyła,

jak na nią patrzę. Odczytała zakłopotanie w moich oczach i szybko odgarnęła włosy z twarzy.

– Przepraszam, Tom – rzekła. – Muszę okropnie wyglądać, całą noc nie spałam. Dopiero co zdrzemnąłam się godzinę. Gdy ma się takie małe, ciągle głodne dziecko, trzeba korzystać z każdej chwili. Często płacze, zwłaszcza w nocy.

– Ile już ma? – spytałem.

– Dziś w nocy skończy sześć dni. Urodziła się niedługo po północy, w zeszłą sobotę.

Wtedy właśnie zabiłem Mateczkę Malkin. Przez moment wspomnienie powróciło i po plecach przebiegł mi dreszcz.

– No, skończyła już jeść – Ellie uśmiechnęła się. – Chciałbyś ją potrzymać?

Zdecydowanie nie miałem na to ochoty – dziecko było tak małe i delikatne, że bałem się, iż ścisnę je za mocno albo upuszczę. Nie podobało mi się też, jak opadała mu bezwładnie główka. Nie mogłem jednak odmówić, bo zraniłbym Ellie, a zresztą nie musiałem trzymać małej długo. W chwili gdy znalazła się w moich ramionach, jej twarzyczka poczerwieniała i dziecko zaczęło płakać.

– Chyba nie przypadłem mu do gustu – powiedziałem.

– To ona, nie ono – upomniała mnie Ellie z surową miną. – Nie martw się, nie chodzi o ciebie, Tom – dodała łagodniej. – Chyba po prostu wciąż jest głodna.

Dziecko przestało płakać w chwili, gdy wzięła je Ellie, a ja nie zostałem długo. Kiedy schodziłem na dół, usłyszałem dobiegający z kuchni nieoczekiwany dźwięk.

To był śmiech, głośny, serdeczny śmiech dwóch kobiet, które świetnie się dogadują. Kiedy otworzyłem drzwi i przekroczyłem próg, twarz Alice natychmiast spoważniała, ale mama śmiała się dalej jeszcze parę chwil, a nawet gdy przestała, jej twarz wciąż rozjaśniała radość. Rozbawił jej jakiś wyborny żart, ale wolałem nie pytać, jaki, a one mi nie powiedziały. Wyraz ich oczu świadczył, że to prywatna sprawa.

Tato powiedział mi kiedyś, że kobiety wiedzą rzeczy nieznane

mężczyznom i że czasami w ich oczach pojawia się osobliwy wyraz. Lecz kiedy go widzisz, nie powinienes pytać, o czym myślą, bo jeżeli to zrobisz, mogą powiedzieć ci coś, czego wolałbyś nie słyszeć. Z czegokolwiek się śmiały, z pewnością je to zbliżyło, bo od tej chwili wyglądały, jakby znały się od lat. Stracharz miał rację. Jeśli ktokolwiek zdoła zrozumieć Alice, to właśnie mama.

Zauważyłem jednak coś jeszcze. Mama dała Alice pokój naprzeciwko sypialni rodziców, przy podeście na piętrze. Miała bardzo czuły słuch i oznaczało to, że jeśli Alice choćby przewróci się z boku na bok we śnie, mama to usłyszy.

Zatem mimo śmiechu, nadal pilnowała Alice.

\*

Po powrocie z pola Jack spojrzał na mnie ponuro i wymamrotał coś pod nosem. Sprawiał wrażenie rozgniewanego. Tato natomiast ucieszył się na mój widok i ku memu zdumieniu, uścisnął mi dłoń. Zawsze ścisnął dłonie moich braci, którzy odeszli z domu, ale mnie spotkało to po raz pierwszy. Poczułem jednocześnie smutek i dumę – traktował mnie jak mężczyznę, który sam radzi sobie w świecie.

W pewnej chwili Jack podszedł do mnie i warknął cicho, by nikt go nie usłyszał:

– Na dwór. Chcę z tobą porozmawiać.

Wyszliśmy na podwórze i brat poprowadził mnie na drugą stronę stodoły, do miejsca obok chlewików, niewidocznego z domu.

– Co to za dziewczyna, którą ze sobą przyprowadziłeś?

– Nazywa się Alice. Potrzebuje pomocy, to wszystko – wyjaśniłem. – Stracharz kazał mi zabrać ją do domu, żeby mama mogła z nią pomówić.

– Co to znaczy potrzebuje pomocy?

– Przebywała w złym towarzystwie i tyle.

– Jakim złym towarzystwie?

Wiedziałem, że to mu się nie spodoba, ale nie miałem wyboru. Musiałem mu powiedzieć, w przeciwnym razie zapytałby mamę.

– Jej ciotka to czarownica, ale nie martw się, stracharz już się nią zajął. A zresztą, zostaniemy tylko parę dni.

Jack wybuchnął. Nigdy nie widziałem, by był tak wściekły.

– Nie masz za grosz rozumu? – krzyknął. – Nie zastanowiłeś się przez chwilę, nie pomyślałeś o dziecku? W tym domu mieszka niewinne niemowlę, a ty sprowadzasz tu kogoś z takiej rodziny! To niewiarygodne!

Uniósł pięść i wydało mi się, że zaraz mnie uderzy. Zamiast tego rąbnął nią bokiem w ścianę stodoły; łoskot spłoszył świnie, które oszalały z paniki.

– Mama uważa, że wszystko jest w porządku – zaprotestowałem.

– Jasne, mama uważa – choć zniżył głos, nadal dźwięczał w nim gniew. – Jak mogłaby odmówić czegokolwiek swojemu ulubionemu synkowi! Poza tym ma za dobre serce i dobrze o tym wiesz. Dlatego właśnie nie powinienes jej wykorzystywać. Posłuchaj, jeśli cokolwiek się stanie, będziesz miał do czynienia ze mną. Nie podoba mi się ta dziewczyna, wygląda, jakby coś knuła. Będę ją obserwował i jeśli zrobi cokolwiek nie tak, nim zdążysz mrugnąć, oboje stąd wylecicie. A póki tu jesteście, macie pracować. Ona może pomóc w domu mamie, a ty zajmiesz się robotą na farmie. – Jack odwrócił się i odszedł parę kroków, miał jednak jeszcze coś do powiedzenia. – Ponieważ jesteś tak zaprzątnięty ważniejszymi sprawami – jego głos ociekał sarkazmem – pewnie nie zauważyłeś, jaki zmęczony jest tato. Coraz trudniej mu się pracuje.

– Oczywiście, że pomogę – zawołałem za nim. – Tak samo Alice.

\*

Przy kolacji, oprócz mamy, wszyscy byli dziwnie milczący. Zapewne sprawiała to obecność obcej osoby. Choć dobre wychowanie Jacka nie pozwoliło mu zaprotestować głośno, krzywił się na widok Alice niemal tak bardzo, jak na mój. Dobrze zatem, że mama zachowała dobry humor, poprawiając nastrój przy stole.

Ellie musiała wstać dwa razy, by zająć się dzieckiem, którego płacz aż wznosił się pod niebiosa. Za drugim razem zniosła je na dół.

– Nigdy nie widziałam, żeby niemowlę tak często płakało –

rzekła mama z uśmiechem. – Przynajmniej ma zdrowe, silne płuca.

Mała miała twarzyczkę czerwoną jak burak i wykrzywioną w płaczu. Oczywiście, nie powiedziałbym tego Ellie, ale nie była najładniejszym dzieckiem pod słońcem. Jej twarz przypominała mi rozzłoszczoną staruszkę. W jednej chwili wrzeszczała ile sił w płucach, a potem nagle milkła. Szeroko otwartymi oczami patrzyła w stronę środka stołu, gdzie obok mosiężnego lichtarza siedziała Alice. Z początku nie zwróciło to mojej uwagi, uznałem, że wzrok dziecka Ellie przyciąga płomień świecy. Później jednak Alice pomogła mamie sprzątnąć ze stołu i za każdym razem, gdy mijała małą, ta podążała za nią spojrzeniem błękitnych oczu. Nagle, choć w kuchni było bardzo ciepło, zadrzałem.

Później poszedłem do swego starego pokoju i kiedy usiadłem w wiklinowym fotelu przy oknie, wyglądając na dwór, poczułem się, jakbym nigdy nie opuścił domu.

Patrząc na północ, w stronę Wzgórza Wisielców, zastanawiałem się, czemu dziecko tak bardzo interesuje się Alice. Przypomniałem sobie wcześniejsze słowa Ellie i znów zadrzałem. Jej dziecko przyszło na świat po północy, podczas pełni. To nie mógł być przypadek. W chwili, gdy mała przychodziła na świat, rzeka unosiła w dal Mateczkę Malkin. Stracharz ostrzegwał mnie, że czarownica powróci. A co, jeśli wróciła wcześniej, niż przypuszczał? Sądził, że stanie się zwawiakiem. Ale może się mylił? Może uwolniła się od swych kości i jej duch opętał dziecko Ellie w chwili narodzin?

\*

Tej nocy nie zmrużyłem oka. O tym, co mnie dręczyło, mogłem pomówić tylko z jedną osobą: z mamą. Problem w tym, że trudno było zastać ją samą, nie zwracając niczyjej uwagi.

Mama gotowała i zajmowała się domem, cały czas była zajęta i bez kłopotu dałoby się porozmawiać z nią w kuchni, jako że pracowałem w pobliżu. Jack przydzielił mi za zadanie naprawę ściany stodoły i przed zachodem słońca musiałem wbić w deski setki błyszczących nowych gwoździ.

Problem stanowiła Alice: mama cały czas trzymała ją przy sobie. Dziewczyna naprawdę ciężko pracowała, widziałem pot na jej czole i zmarszczone brwi, ale mimo to ani razu się nie poskarżyła.

Dopiero po kolacji, kiedy skończyły zmywać i wycierać naczynia, w końcu nadarzyła się okazja. Tego ranka tato wyjechał na wielki wiosenny jarmark w Topley. Nie tylko prowadził tam interesy, ale też mógł – co rzadkie – spotkać się z kilkoma starymi przyjaciółmi, zamierzał zatem zabawić poza domem dwa, trzy dni. Jack miał rację, ojciec faktycznie wyglądał na zmęczonego; wyjazd pozwoli mu odpocząć od farmy.

Mama odesłała Alice do pokoju, żeby odetchnęła. Jack uwaliał się na łóżku we frontowym pokoju, a Ellie była na górze i próbowała zdrzemnąć się choć pół godzinki przed kolejnym karmieniem małej. Nie tracąc zatem czasu, zacząłem mówić mamie, co mnie martwi. Kołysała się jak zwykle w fotelu, nim jednak zdążyłem wykrztusić pierwsze zdanie, fotel zamarł. Mama słuchała uważnie opowieści o moich obawach i powodach, dla których podejrzewałem dziecko, lecz twarz miała tak spokojną i nieruchomą, że nie wiedziałem, co sobie myśli. Kiedy wykrztusiłem ostatnie słowa, wstała.

– Zaczekaj tutaj – poleciła. – Musimy to rozstrzygnąć raz na zawsze.

Wyszła z kuchni i powędrowała na górę. Kiedy wróciła, w ramionach niosła dziecko opatulone w szal Ellie.

– Zabierz świecę – rzekła, kierując się do drzwi.

Wyszliśmy na podwórze. Mama maszerowała szybko, jakby wiedziała dokładnie, dokąd zmierza i co tam zrobi. Wkrótce stanęliśmy po drugiej stronie niewielkiego pastwiska, w błocie na brzegu stawu, dość głębokiego i dużego, by zapewnić krowom wodę nawet podczas najsuchszych letnich miesięcy. | – Unieś świecę, żebyśmy dobrze widzieli – rozkazała mama. – Nie życzę sobie żadnych wątpliwości.

A potem, ku mojej zgrozie, wyciągnęła ręce z dzieckiem nad czarną, nieruchomą wodą.



– Jeśli będzie pływać, czarownica jest wewnątrz niej – rzekła. – Jeżeli utonie, jest niewinna. Przekonajmy się...

– Nie! – krzyknąłem. Moje usta otwarły się same słowa wysypały się z nich szybciej niż byłem w stanie pomyśleć. – Nie rób tego, proszę! To dziecko Ellie!

Przez moment sądziłem, że i tak upuści niemowlę. Potem uśmiechnęła się, przytuliła je i delikatnie ucałowała w czółko.

– Oczywiście, że to dziecko Ellie, synku. Nie potrafisz tego stwierdzić, patrząc na nie? Poza tym, pławienie to próba wymyślona przez głupców i niczego nie dowodzi. Zazwyczaj przywiązują ręce biedaczki do jej stóp i wrzucają do głębokiej, stojącej wody. Lecz to, czy zatonie, czy będzie pływać, zależy wyłącznie od szczęścia i budowy jej ciała. Nie ma nic wspólnego z czarami.

– Ale dlaczego dziecko cały czas wpatrywało się w Alice? – spytałem.

Mama uśmiechnęła się i pokręciła głową.

– Czy noworodka nie potrafią jeszcze się skupić – wyjaśniła. – Pewnie to światło świecy przyciągnęło jej uwagę. Pamiętaj, Alice siedziała tuż obok. Później, za każdym razem gdy Alice przechodziła, wzrok dziecka przyciągała zmiana oświetlenia. To nic takiego, nie ma się czym przejmować.

– Ale co, jeśli dziecko Ellie mimo wszystko jest opętane? – naciskałem. – Jeśli tkwi w nim coś, czego nie widzimy?

– Posłuchaj, synu. Przyjmowałam na ten świat zarówno dobro, jak i zło, i potrafię rozpoznać to drugie. To dobre dziecko, nie ma w nim nic, czym mielibyśmy się martwić. Absolutnie nic.

– Ale czy to nie dziwne, że dziecko Ellie urodziło się dokładnie wtedy, kiedy zmarła Mateczka Malkin?

– Nie – odparła mama – tak już działa ten świat. Czasami, kiedy opuszcza go coś złego, coś dobrego zajmuje jego miejsce. Widywałam to już wcześniej.

W tym momencie zrozumiałem, że mama ani przez moment nie miała zamiaru upuścić dziecka i chciała tylko mną wstrząsnąć,

przywołać mnie do rozsądku. Lecz kiedy szliśmy z powrotem przez podwórze, kolana nadal uginały się pode mną na samo wspomnienie sceny nad stawem. Dopiero w kuchennych drzwiach coś sobie przypomniałem.

– Pan Gregory dał mi książeczkę na temat opętania. Kazał przeczytać ją uważnie. Ale kłopot w tym, że jest napisana po łacinie, a jak dotąd miałem zaledwie trzy lekcje.

– Nie jest to mój ulubiony język – mama przystanęła w progu. – Zobaczę, co da się zrobić, ale będziesz musiał poczekać do mojego powrotu – spodziewam się wezwania jeszcze dziś w nocy. Tymczasem, czemu nie poprosisz Alice? Może ona zdoła ci pomóc.

\*

Mama miała rację co do wezwania – tuż po północy przyjechał po nią wóz zaprzężony w parę spienionych koni. Żona jednego z farmerów przechodziła ciężki poród, rodziła już cały dzień i noc. W dodatku mieszkała daleko, niemal dwadzieścia mil na południe. Oznaczało to, że mamy nie będzie w domu przez kilka dni.

Szczerze mówiąc, nie miałem ochoty prosić Alice o pomoc z łaciną. Bo widzicie, wiedziałem, że stracharzowi by się to nie spodobało. Ostatecznie książka należała do jego biblioteki i nie byłby zachwycony myślą, że Alice jej dotykała. Jaki jednak miałem wybór? Od powrotu do domu coraz częściej myślałem o Mateczce Malkin i nie potrafiłem uwolnić się od tych myśli. Był to instynkt, przeczucie, obawiałem się, że wiedźma czai się gdzieś w mroku i zbliża do nas z każdą mijającą nocą.

Toteż następnego wieczoru, kiedy Jack i Ellie już się położyli, zastukałem cicho do drzwi pokoju Alice. Nie mogłem poprosić jej o pomoc za dnia, bo krzątała się bez ustanku, a gdyby Ellie bądź Jack usłyszeli o opętaniu, nie spodobałoby się im to – zwłaszcza biorąc pod uwagę niechęć, jaką Jack żywił wobec pracy stracharza.

Musiałem zastukać dwukrotnie, nim otworzyła drzwi. Martwiłem się, że może leży już w łóżku i śpi, ale nawet się nie rozebrała i nie mogłem się powstrzymać przed zerknięciem na jej szpiczaste trzewiki. Na stoliku tuż obok lustra stała świeca, Alice

dopiero co ją zdmuchnęła – knot wciąż jeszcze dymił.

– Mogę wejść? – spytałem, unosząc wysoko własną świecę, by światło padło na jej twarz z góry – Chciałbym cię o coś prosić.

Alice skinieniem głowy zaprosiła mnie do środka i zamknęła drzwi.

– Mam książkę, którą muszę przeczytać, ale napisano ją po łacinie. Mama mówiła, że może zdołasz mi pomóc.

– Gdzie ona jest? – spytała Alice.

– W mojej kieszeni, to mała książeczka. Komuś, kto zna łacinę, jej lektura nie powinna zabrać dużo czasu.

Alice westchnęła głęboko, ze znużeniem.

– I tak mam mnóstwo zajęć – poskarżyła się. – O czym jest ta książka?

– O opętaniach. Pan Gregory uważa, że Mateczka Malkin może wrócić i zemścić się na mnie, i wykorzysta w tym celu opętanie.

– Zobaczmy zatem – wyciągnęła rękę.

Postawiłem płonąca świecę obok zgaszonej, sięgnąłem do kieszeni nogawic i wyciągnąłem małą książeczkę. Dziewczyna bez słowa zaczęła przewracać kartki.

– Możesz to przeczytać? – spytałem.

– Czemu nie? Lizzie mnie uczyła, a ona знаła łacinę na wrywki.

– I pomożesz mi?

Nie odpowiedziała. Zamiast tego przysunęła książkę bardzo blisko twarzy i powąchała głośno.

– Jesteś pewien, że na coś się przyda? – spytała. – Napisał ją ksiądz, a oni zwykle nie wiedzą zbyt wiele.

– Pan Gregory nazwał ją dziełem fundamentalnym – odparłem.

– Co oznacza, że to najlepsza książka na ten temat.

Nagle Alice oderwała wzrok od stronic i ku mojemu zdumieniu jej oczy zalśniły gniewnie.

– Wiem, co oznacza fundamentalna. Uważasz, że jestem głupia czy co? Uczyłam się całymimi latami, a ty dopiero zaczynasz. Lizzie miała mnóstwo książek, ale wszystkie spłonęły. Wszystkie się

spaliły.

Wymamrotałem przeprosiny a wtedy ona obdarzyła mnie uśmiechem.

– Rzecz w tym – Alice głos nagle złagodniał – że lektura wymaga czasu, a jestem zbyt zmęczona, by zacząć teraz. Jutro twoja mama jeszcze nie wróci i będę bardzo zajęta. Twoja szwagierka obiecała pomoc, ale będzie mieć mnóstwo pracy przy dziecku, więc gotowanie i sprzątanie zabierze mi większość dnia. Gdybyś jednak pomógł...

Nie wiedziałem, co rzec. Miałem pomagać Jackowi, więc nie zostanie mi za wiele wolnego czasu. Poza tym, że mężczyźni nigdy nie sprząтали ani nie gotowali, nie tylko na naszej farmie. Tak samo było wszędzie, w całym Hrabstwie. Mężczyźni pracowali na roli, na dworze, nie bacząc na pogodę. A kiedy wracali, kobiety stawiały przed nimi gorący posiłek. Pomagaliśmy w kuchni tylko w Boże Narodzenie, kiedy w prezencie dla mamy zmywaliśmy naczynia.

Alice jakby czytała w moich myślach, bo jej uśmiech stał się szerszy.

– To chyba nie będzie dla ciebie zbyt trudne? Kobiety karmią kury i pomagają przy żniwach. Czemu więc mężczyźni nie mogliby pomóc w kuchni? Zajmij się zmywaniem, to wszystko. Trzeba też wyszorować rondle, nim zacznę gotować.

Zgodziłem się zrobić, co chciała. Jaki miałem wybór? Modliłem się w duchu, by Jack mnie na tym nie przyłapał. Nigdy by nie zrozumiał.

\*

Następnego dnia wstałem wcześniej niż zwykle i zdążyłem wyszorować rondle, nim Jack zszedł na dół. Potem usiadłem do śniadania, jedząc bardzo powoli, wbrew starym przyzwyczajeniom. Jadłem tak wolno, że Jack co najmniej raz spojrzał na mnie podejrzliwie. Kiedy wyszedł w pole, jak najszybciej pozmywałem i zacząłem wycierać naczynia. Nie mogłem zgadnąć, co się stanie, Jack nigdy nie wyróżniał się nadmiarem cierpliwości.

Wrócił na podwórko, klnąc pod nosem i gdy zobaczył mnie przez

okno, twarz wykrzywił mu grymas niedowierzania. Potem splunął na ziemię i mocnym szarpnięciem otworzył kuchenne drzwi.

– Kiedy skończysz – rzekł sarkastycznie – czeka na ciebie męska robota. Możesz zacząć od przejrzenia i naprawienia chlewików. Jutro przyjeżdża Ryj, ma zarznąć pięć świń i nie chcemy cały dzień uganiać się za uciekinierkami.

Ryjem przeżywalismy rzeźnika i Jack miał rację. Kiedy brał się do roboty, świny czasami wpadały w panikę, i jeśli ogrodzenie było gdzieś osłabione, bez trudu znajdowały to miejsce.

Jack odwrócił się, by odejść i nagle zaklął w głos. Podeszedłem do drzwi, sprawdzić, co się stało. Przypadkiem nadepnął na wielką, tłustą ropuchę i zgniótł ją na miazgę. Zabicie żaby bądź ropuchy podobno przynosiło pecha. Jack znowu zaklął, marszcząc gęste, czarne brwi tak mocno, że spotkały się tuż nad nosem, kopniakiem odrzucił martwą ropuchę pod rynnę i odszedł kręcąc głową. Nie wiedziałem, co w niego wstąpiło, wcześniej nigdy nie był tak skłonny do irytacji.

Zostałem w domu i wytarłem wszystkie naczynia – skoro Jack już mnie przyłapał na babskiej krzątaninie, mogłem spokojnie zrobić wszystko, jak należy. Poza tym świny cuchnęły i chciałem jak najdłużej odwlec pracę, którą mi wyznaczył.

– Nie zapomnij o książce – przypomniałem Alice, otwierając drzwi.

Ona jednak uśmiechnęła się tylko dziwnie w odpowiedzi.

Dopiero późnym wieczorem, gdy Jack i Ellie poszli już spać, udało mi się porozmawiać z Alice w cztery oczy. Sądziłem, że będę musiał znów odwiedzić ją w pokoju, ale zeszła do kuchni z książką i zasiadła w bujanym fotelu mamy, obok wciąż żarzącego się paleniska.

– Dobrze się spisałeś z rondlami. Musi ci bardzo zależeć na odkryciu, co tu jest – postukała palcem w grzbiet książki.

– Jeżeli ona wróci, chcę być gotów. Muszę wiedzieć, co mam zrobić. Stracharz mówił, że pewnie będzie żwawiakiem. Wiesz coś o tym? – Oczy Alice rozszerzyły się, przytaknęła. – Powinienem

być gotów. Jeśli w tej książce jest cokolwiek, co mogłoby mi pomóc, muszę o tym wiedzieć.

– Ten książd nie przypomina innych – Alice uniosła ku mnie książkę. – Najczęściej wie, o czym pisze. O tak, Lizzie ucieszyłaby się z niej bardziej niż z kości niemowląt.

Wsunąłem książkę do kieszeni nogawic i postawiłem stółek po drugiej stronie paleniska, spoglądając w żarzące się drwa. Potem zacząłem wypytywać Alice. Z początku nie szło mi najlepiej, dziewczyna niechętnie odzywała się niepytana, a to, co zdołałem z niej wyciągnąć, tylko pogorszyło mój nastrój.

Zacząłem od dziwnego tytułu książki: *Potępienie, oszołomienie, desperacja*. Co to znaczyło, skąd taki tytuł?

– Pierwsze słowo to zwykła księża gadanina – Alice skrzywiła się z dezaprobatą. – To coś, co według nich spotka ludzi, którzy postępują inaczej niż oni. Ludzi jak twoja mama, którzy nie chodzą do kościoła i nie odmawiają właściwych modłów. Ludzi odmiennych od reszty. Na przykład leworęcznych – dodała uśmiechając się znacząco. – Drugie słowo bardziej nam się przyda – podjęła. – Świeżo opętane ciało ma kłopoty z równowagą. Wciąż się przewraca. Bo widzisz, trzeba czasu, by opętujący, który wprowadził się do ciała, zadomowił się w nim na dobre. To coś jak rozchodzenie nowej pary butów. Dodatkowo opętanych okropnie to złości. Ktoś spokojny i swobodny może nagle zaatakować bez ostrzeżenia. To kolejny znak, którego należy wypatrywać. Co do trzeciego słowa, jest najłatwiejsze. Czarownica mająca kiedyś zdrowe, ludzkie ciało jest zdesperowana, koniecznie chce zdobyć następne. A gdy jej się uda, z desperacją się go trzyma, nie ustąpi bez walki. Zrobi wszystko. Absolutnie wszystko. Dlatego właśnie opętani są tak niebezpieczni.

– Gdyby tu przyszła, kim by się stała? – spytałem. – Gdyby była żwawiakiem, kogo spróbowałaby opętać? Mnie? Czy próbowałaby zranić mnie w ten sposób?

– Owszem, gdyby mogła – odparła Alice. – Ale to niełatwe u kogoś takiego jak ty. Chętnie wykorzystałaby też mnie, ale nie dam jej szansy. Nie, wybierze najslabszą osobę. Najłatwiejszą.

– Dziecko Ellie?

– Nie, ono na nic się jej nie zda, musiałyby poczekać, aż dorośnie. Mateczce Malkin zawsze brakowało cierpliwości, a uwięzienie w dole u starego Gregory'ego z pewnością podgrzało jej temperament. Skoro chce zaszkodzić tobie, najpierw musi znaleźć silne,

zdrowe ciało.

– No to Ellie? Wybierze Ellie!

– Czy ty nic nie wiesz? – Alice z niedowierzaniem pokręciła głową. – Ellie jest silna. Trudno byłoby ją opętać. Nie, mężczyźni są znacznie łatwiejsi, zwłaszcza tacy, których głową rządzi serce. Tacy, którzy bez namysłu potrafią wpaść w gniew.

– Jack?

– To będzie Jack, bez dwóch zdań. Pomyśl, co by się stało, gdyby zaatakował cię rosły, silny Jack? Ale książka ma rację co do jednego, ze świeżo opętanym ciałem łatwiej sobie poradzić. Owszem, jest zdesperowane, ale też oszołomione.

Wyciągnąłem notatnik i zapisałem wszystko, co wydało mi się ważne. Alice nie mówiła tak szybko jak stracharz, ale wkrótce odnalazła rytm i niedługo poczułem znajomy ból ręki. Kiedy dotarliśmy do najważniejszego – tego, jak rozprawić się z opętanym – książka co i rusz przypominała, że wewnątrz ciała wciąż tkwi uwięziona dusza właściciela, i jeśli zrani się ciało, zrani się też niewinną duszę. Zatem zwyczajne zabicie ciała, by pozbyć się opętanego, równało się morderstwu.

W istocie ta część książki okazała się bardzo rozczarowująca: wyglądało na to, że niewiele można zdziałać. Autor, będący księdzem, uważał, że najlepszą metodą przegnania opętującego i uwolnienia ofiary są egzorcyzmy z wykorzystaniem świec i wody święconej. Przyznał jednak, że nie każdy ksiądz umie je przeprowadzić, a tylko niewielu radzi z tym sobie naprawdę dobrze. Pomyślałem, że księża, którzy to potrafią, to najprawdopodobniej siódmi synowie siódmych synów i tylko to ma znaczenie.

Wreszcie Alice oznajmiła, że bardzo się zmęczyła i poszła do łóżka. Ja też poczułem senność. Zapomniałem, jak ciężka jest praca na farmie i wszystko mnie bolało, od stóp do głów. Już w pokoju z wdzięcznością padłem na łóżko, nie mogąc się doczekać snu. Ale wtedy na podwórzu rozszczękały się psy.

Pomyślawszy, że coś musiało je zaniepokoić, otworzyłem okno i wyjrzałem w stronę Wzgórza Wisielców, wciągając głęboko w płuca nocne powietrze, by oczyścić umysł. Stopniowo psy zaczęły cichnąć i w końcu zupełnie umilkły.

Już miałem zamknąć okno, kiedy zza chmury wyłonił się księżyc. Światło księżycy może ukazać prawdziwą naturę rzeczy – Alice mi to wyjaśniła – tak jak mój wielki cień powiedział Kościstej Lizzie, że coś odróżnia mnie od innych ludzi. Ten księżyc, nawet nie w pełni, lecz malejący, zwykły sierp, ukazał mi coś nowego. Coś, czego bez niego bym nie zobaczył. W jego blasku dostrzegłem słaby, srebrzysty ślad schodzący ze Wzgórza Wisielców. Ślad przenikał pod ogrodzeniem i przecinał północne pastwisko, a potem

wschodnią łąkę, by wreszcie zniknąć mi z oczu gdzieś za stodołą. I wtedy przypomniałem sobie Mateczkę Malkin. Widziałem już taki srebrny cień, w noc, gdy wrzuciłem ją do rzeki. Teraz pojawił się identyczny j wyraźnie mnie odnalazł.

Z sercem walącym w piersi, na palcach zszedłem na dół i wyslizgnąłem się na dwór tylnymi drzwiami, zamykając je starannie za sobą. Księżyc schował się za chmurą, kiedy więc okrążyłem stodołę, srebrny szlak zniknął. Lecz wciąż widziałem wyraźne ślady, wskazujące, że coś zeszło ze wzgórza na naszą farmę, pozostawiając zgniecioną trawę, jakby prześliznął się po niej olbrzymi ślimak.

Czekałem, aż księżyc znów się pojawi, by sprawdzić wybrukowany placyk za stodołą. W kilka chwil później chmura odpłynęła i ujrzałem coś, co naprawdę mnie przeraziło. Srebrzysty szlak połyskiwał w promieniach księżyca i wyraźnie widziałem, w którą stronę się kierował. Wyminął chlewiki i szerokim łukiem okrążył stodołę z drugiej strony, docierając w najdalszy kąt podwórka. Następnie skręcił ku domowi, dokładnie pod okno Alice, gdzie stara drewniana kłapa zakrywała schody wiodące do piwnicy.

Parę pokoleń wcześniej właściciel naszej farmy warzył piwo, które dostarczał miejscowym, a nawet paru karczmarzom. Z tego powodu sąsiedzi wciąż nazywali ją Farmą Piwowara, choć dla nas była po prostu domem. Schody służyły do wnoszenia i wynoszenia beczek bez konieczności przechodzenia przez dom.

Kłapa wciąż je zakrywała, wielka, zardzewiała kłódka wisiała nietknięta, lecz między skrzydłami ziała wąska szczelina, bo deski spaczyły się i niedokładnie schodziły. Szczelina była nie szersza niż mój kciuk, lecz srebrny ślad kończył się dokładnie tam i wiedziałem, że cokolwiek dotarło w to miejsce, w jakiś sposób prześliznęło się przez szparę. Mateczka Malkin wróciła, była żwawiakiem o ciele dość miękkim i elastycznym, by przeniknąć przez najwęższy nawet otwór. Dostała się do piwnicy.

Obecnie jej nie używaliśmy, ale doskonale pamiętałem to pomieszczenie o zimnej podłodze, pełne starych beczek. Dom miał ściany grube i puste w środku, co oznaczało, że wkrótce czarownica może do nich przeniknąć i dotrzeć, gdzie tylko zapragnie. Uniosłem wzrok i ujrzałem migotliwy promyk świecy w oknie pokoju Alice. Jeszcze nie spała. Wróciłem do środka i parę minut później stałem przed jej drzwiami. Teraz musiałem zastukać dość głośno, by dać jej znać, że przyszedłem, ale dostatecznie cicho, żeby nie obudzić nikogo innego. Kiedy jednak przysunąłem dłoń do drzwi, gotów zapukać, usłyszałem dobiegający ze środka dźwięk.

To był głos Alice. Brzmiał, jakby z kimś rozmawiała.

Nie spodobało mi się to, co słyszę, ale i tak zapukałem. Odczekałem chwilę, kiedy



jednak Alice nie podeszła, przyłożyłem ucho do drzwi. Z kim mogła rozmawiać w swej sypialni? Wiedziałem, że Ellie i Jack już śpią, a poza tym słyszałem tylko jeden głos, należący do Alice. Brzmiał dziwnie, skojarzył mi się z czymś, co słyszałem wcześniej, a kiedy nagle przypomniałem sobie, z czym, odsunąłem gwałtownie ucho jak oparzony i cofnąłem się o krok.

Jej głos wznosił się i opadał, zupełnie jak głos Kościstej Lizzie, gdy stała nad dołem, trzymając w dłoniach małe białe kostki kciuków.

Nim w ogóle zorientowałem się, co robię, złapałem gałkę, przekręciłem i otwarłem drzwi na oścież.

Alice nuciała coś do lustra, jej usta otwierały się i zamykały. Siedziała na brzeжку krzesła z oparciem, wpatrując się ponad płomykiem świecy w lustro na toaletce. Odetchnąłem głęboko, a potem podkradłem się bliżej, żeby się przyjrzeć.

Wiosenne noce w Hrabstwie są zwykle zimne i w pokoju panował chłód, lecz mimo to na czoło Alice wystąpiły wielkie krople potu. I gdy tak patrzyłem, dwie krople złączyły się i spłynęły przez jej lewe oko po policzku, niczym łza. Wpatrywała się w lustro szeroko otwartymi oczami, lecz gdy zawołałem jej imię, nawet nie mrugnęła.

Przeszedłem za krzesło i ujrzałem w lustrzanej tafli odbicie mosiężnego świecznika, lecz ku memu przerażeniu odkryłem, że twarz nad płomieniem nie należy do Alice.

Było to stare oblicze, pomarszczone i zasuszone; na naciągnięte policzki opadały zasłony splątanych, szarych i białych włosów. Oblicze to należało do kogoś, kto spędził dużo czasu w wilgotnej ziemi.

I wtedy oczy poruszyły się, przesunęły w lewo, by spojrzeć wprost na mnie. Płonęły czerwonym ogniem, a choć usta wygięły się w uśmiechu, w oczach jarzyła się złość i nienawiść.

Nie było żadnych wątpliwości. Twarz należała do Mateczki Malkin.

Co się działo? Czy Alice była już opętana? A może w jakiś sposób używała lustra, by porozmawiać z Mateczką Malkin?

Bez zastanowienia chwyciłem świecznik i rąbnąłem ciężką podstawą w tafle, która rozprysnęła się z głośnym trzaskiem, po którym nastąpił melodyjny brzęk opadających błyszczących odłamków szkła. W chwili gdy lustro pękło, Alice krzyknęła głośno, przenikliwie.

Był to najgorszy krzyk, jaki można sobie wyobrazić, przepełniony udręką; skojarzył mi się z wrzaskiem zarzynanej świni. Nie żałowałem jednak Alice, choć zaczęła płakać i szarpać sobie włosy, rozglądając się z przerażeniem i oszołomieniem.

Z wnętrza domu dobiegły mnie całe serie dźwięków. Najpierw płacz dziecka Ellie, potem niski, męski głos, przeklinający głośno, wreszcie tupot ciężkich buciorów.

Jack wpadł z furią do pokoju, raz jeden spojrzął na stłuczone lustro, po czym ruszył ku mnie, unosząc pięść. Pewnie uznał, że to wszystko moja wina, bo Alice wciąż krzyczała, ja trzymałem świecznik, a kostki miałem pokaleczone przez szklane odłamki.

W ostatniej chwili do sypialni wbiegła Ellie. Prawą ręką tuliła do siebie niemowlę, które wciąż płakało jak oszalałe. Lecz wolną dłonią złapała Jacka i zaczęła go szarpać, aż w końcu rozluźnił i opuścił pięść.

– Nie, Jack – błagała. – Co to da?

– Nie wierzę, że to zrobiłeś! – Jack spojrzął na mnie wściekle. – Wiesz, ile lat miało to lustro? Jak sądzisz, co teraz powie tato? Jak się poczuje, gdy to zobaczy?

Nic dziwnego, że wpadł w furię. Nie dość, że wszystkich obudziłem, to jeszcze to. Toaletka należała do mamy ojca. Teraz, gdy oddał mi hubkę, pozostała jedyną pamiątką po jego rodzinie.

Jack postąpił dwa kroki ku mnie. Kiedy stłukłem lustro, świeca nie zgasła, teraz jednak od jego krzyku zaczęła migotać.

– Dlaczego to zrobiłeś? Co w ciebie wstąpiło, do diaska?

Cóż miałem rzec? Wzruszyłem tylko ramionami i spuściłem wzrok, wbijając go w podłogę.

– Co ty w ogóle robisz w tym pokoju? – naciskał Jack.

Nie odpowiedziałem. Wszystko, co mogłem rzec, tylko pogorszyłoby sprawę.

– Od tej pory siedź w swojej sypialni! – huknął mój brat. – Mam wielką ochotę od razu wyprawić was w drogę.

Zerknąłem na Alice: wciąż siedziała na krześle, ukrywając twarz w dłoniach. Przestała już płakać, ale cała się trzęsła.

Gdy z powrotem odwróciłem się do Jacka, jego gniew ustąpił miejsca zaniepokojeniu. Wpatrywał się w Ellie, która nagle się zachwiała. Nim zdążył zareagować, straciła równowagę i poleciała do tyłu na ścianę. Jack na chwilę zapomniał o lustrze, krzątając się przy żonie.

– Nie wiem, co mi się stało – wyjaśniła zdenerwowana. – Nagle zakręciło mi się w głowie. Och, Jack! Jack! O mało nie upuściłam dziecka!

– Ale tego nie robiłaś, jest bezpieczne. Nie martw się, daj, wezmę ją...

Kiedy Jack przytulił do siebie dziecko, uspokoił się natychmiast.

– Na razie posprzątaj ten bałagan – polecił mi. – Porozmawiamy o tym rano.

Ellie podeszła do łóżka i położyła dłoń na ramieniu Alice.

– Alice, zejź na dół, daj Tomowi posprzątać – powiedziała. – Zrobię nam wszystkim coś do picia.

W chwilę później poszli do kuchni, pozostawiając mnie samego z odłamkami szkła. Po jakichś dziesięciu minutach ruszyłem w ich ślady, po zmiotkę i szufelkę. Siedzieli przy kuchennym stole, sącząc ziołową herbatę, niemowlę spało w ramionach Ellie. Nie rozmawiali, nikt mnie nie poczęstował, nikt nawet nie patrzył w moją stronę.

Wróciłem na górę i posprzątałem najlepiej, jak umiałem, po czym, już we własnej sypialni, usiadłem na łóżku, wyglądając przez okno, samotny i przerażony. Czy Alice była już opętana? W końcu to twarz Mateczki Malkin wyglądała z lustra. Jeśli tak, dziecku i wszystkim innym groziło prawdziwe niebezpieczeństwo.

Na razie niczego nie spróbowała, lecz w porównaniu z Jackiem Alice była raczej drobna i Mateczka Malkin musiała zadziałać podstępnie. Zaczeka, aż wszyscy zasną. Ja będę głównym celem. Albo może dziecko, krew dziecka dodałaby jej sił.

A może stłukłem lustro na czas? Może złamałem zakęcie w chwili, gdy czarownica miała opętać Alice? Możliwe też, że Alice po prostu rozmawiała z wiedźmą za pomocą lustra. Ale to też nie wyglądało najlepiej, bo oznaczało, że mam w domu nie jednego, lecz dwóch wrogów.

Musiałem coś zrobić. Tylko co? I gdy tak siedziałem i próbowałem uporządkować wirujące w głowie myśli, ktoś zastukał do moich drzwi. Myślałem, że to Alice, więc nie wstałem. Wtedy jednak znajomy głos wymówił cicho moje imię. To była Ellie, toteż otworzyłem.

– Możemy porozmawiać w środku? – poprosiła. – Nie chciałabym obudzić małej, dopiero co znów ją uśpiłam.

Skinąłem głową, Ellie weszła i starannie zamknęła za sobą drzwi.

– Dobrze się czujesz? – w jej głosie dźwięczała troska.

Z nieszczęśliwą miną przytaknąłem, ale nie mogłem jej spojrzeć w oczy.

– Zechcesz opowiedzieć mi, o co w tym wszystkim chodzi? Rozsądny z ciebie chłopak, Tom. Musiałeś mieć bardzo dobry powód, by zrobić to, co zrobiłeś. Rozmowa może sprawić, że poczujesz się lepiej.

Jak mogłem wyznać jej prawdę? Ellie miała dziecko, musiała się nim opiekować. Nie miałem sumienia powiedzieć jej, że gdzieś w domu ukrywa się czarownica zlakniona krwi niemowląt. Nagle zrozumiałem, że dla dobra dziecka powinienem jej wszystko wyznać. Musiała wiedzieć, jak źle sprawy stoją, musiała opuścić dom.

– Coś się stało, Ellie, ale nie wiem, jak ci to powiedzieć.

Ellie uśmiechnęła się.

– Najlepiej byłoby zacząć od początku.

– Coś przyszło tu za mną – spojrzałem jej prosto w oczy. – Coś złego, co chce mnie skrzywdzić. Dlatego właśnie stłukłem lustro. Alice z tym czymś rozmawiała i...

W oczach Ellie zapłonął nagły gniew.

– Powiedz to Jackowi, a z pewnością poczujesz jego pięść! Chcesz powiedzieć, że coś tu sprowadziłeś? Kiedy mam pod opieką małe dziecko? Jak mogłeś? Jak mogłeś to zrobić?

– Nie wiedziałem, że tak będzie! – zaprotestowałem. – Dowiedziałem się dopiero dziś wieczór, dlatego właśnie mówię ci o tym teraz. Musisz opuścić dom i zabrać ze sobą małą. Odejdź, nim będzie za późno.

– Co? Teraz? W środku nocy?

Przytaknąłem.

Ellie stanowczo pokręciła głową.

– Jack nie pójdzie, nie da się wygnać z własnego domu w środku nocy. Nie ucieknie. Nie, zaczekam, zostanę tutaj i będę się modlić. Matka mnie tego nauczyła. Mówiła, że jeśli modlisz się bardzo mocno, nic z mroku nie może cię skrzywdzić. I naprawdę w to wierzę. Poza tym możesz się mylić, Tom – dodała. – Jesteś młody, dopiero zaczynasz się uczyć swego fachu. Może nie jest tak źle, jak myślisz. A lada moment wróci twoja mama. Jeśli nie dziś, na pewno jutro wieczór. Będzie wiedziała, co zrobić. Tymczasem trzymaj się z daleka od sypialni dziewczyny, coś jest z nią nie tak.

Gdy otworzyłem usta, by zaprotestować i jeszcze raz spróbować ją przekonać do wyjazdu, na twarzy Ellie odbił się nagły niepokój. Potknęła się i oparła o ścianę, by utrzymać równowagę.

– Zobacz, co zrobiłeś. Słabo mi się robi na myśl o tym, co się tu dzieje.

Usiadła na moim łóżku i na chwilę pochyliła głowę, ukrywając twarz w dłoniach. Ja tymczasem przyglądałem jej się z nieszczęśliwą miną, nie wiedząc, co zrobić i powiedzieć.

Po kilku chwilach Ellie wstała.

– Gdy tylko twoja mama wróci, musimy z nią porozmawiać. Ale nie zapomnij, do tego czasu trzymaj się z dala od Alice. Obiecujesz?

Obiecałem i Ellie ze smutnym uśmiechem wróciła do siebie.

Dopiero gdy odeszła, uderzyła mnie pewna myśl...

Ellie potknęła się po raz drugi, mówiąc, że kręci jej się w głowie. Jedno potknięcie to

mógł być przypadek, zmęczenie. Ale dwa? Była oszołomiona, a oszołomienie to pierwsza oznaka opętania!

Zacząłem krążyć tam i z powrotem. Z pewnością się myliłem. Nie Ellie! To nie mogła być Ellie. Może po prostu sprawiło to zmęczenie, ostatecznie przez dziecko bardzo mało sypiała. Ale była silna i zdrowa, wychowana na farmie, nie dawała się pokonać byle drobnostce. I cała ta rozmowa o modlitwach. Może w ten sposób chciała odwrócić od siebie moje podejrzania?

Ale czy Alice nie mówiła, że Ellie trudno byłoby opętać? Mówiła też, że zapewne ofiarą padnie Jack. On jednak nie zdradzał żadnych oznak oszołomienia, choć nie da się zaprzeczyć, że z każdą chwilą okazywał coraz większą złość i agresję. Gdyby Ellie go nie powstrzymała, stłukłby mnie na kwaśne jabłko.

Lecz oczywiście jeśli Alice pomagała Mateczce Malkin, wszystko, co powiedziała, miało zbić mnie z tropu. Nie mogłem nawet ufać jej tłumaczeniu książki stracharza! Od początku mogła mnie okłamywać – nie znałem łaciny i w żaden sposób nie byłem w stanie sprawdzić tego, co mi powiedziała.

Pojąłem, że to może być każde z nich. W każdej chwili mógł nastąpić atak, a ja nie miałem pojęcia, z której strony!

Jeśli dopisze mi szczęście, mama wróci przed świtem. Będzie wiedziała, co zrobić. Lecz do świtu pozostało dużo czasu i nie mogłem sobie pozwolić na sen. Będę musiał czuwać całą noc. Jeśli Jack bądź Ellie zostali opętani, nic nie mogłem zrobić. Nie wejść do ich sypialni. Pozostało mi zatem mieć oko na Alice.

Wyszedłem na korytarz i usiadłem na schodach między drzwiami pokoju Ellie i Jacka i mojego własnego. Z tego miejsca widziałem dolny podest i sypialnię Alice. Gdyby z niej wyszła, przynajmniej zdołałbym ostrzec innych.

Postanowiłem, że jeśli mama nie wróci, odejdę o świcie. Prócz niej tylko jedna osoba mogła nam pomóc.

\*

Noc ciągnęła się i ciągnęła w nieskończoność. Z początku podskakiwałem na każdy najlżejszy dźwięk – skrzypienie schodów, lekkie poruszenie desek w którymś pokoju. Stopniowo jednak uspokajałem się. Dom był stary, od dawna przywykłem do podobnych odgłosów, wydawanych przez stygnącą po ciepłym dniu i osiadającą stopniowo konstrukcję. Jednak gdy zbliżał się świt, znów ogarnął mnie strach.

Zacząłem słyszeć słabe skrobanie, dobiegające z wnętrza ścian. Brzmiało to jak paznokcie, przesuwające się po kamieniu i nie dochodziło cały czas z tego samego

miejsca. Czasami rozbrzmiewało dalej, na górze po lewej, czasami niżej, w pobliżu sypialni Alice. Dźwięk był tak słaby, że nie umiałem stwierdzić, czy przypadkiem go sobie nie wyobraziłem. Ale zrobiło mi się zimno, bardzo zimno, co świadczyło o tym, że niebezpieczeństwo jest blisko.

Nagle rozszczękały się psy. Po paru minutach pozostałe zwierzęta także oszalały: włochate świnie kwiczały tak głośno, jakby już zjawił się rzeźnik. Jakby tego było mało, dziecko znów zaczęło płakać.

Było mi tak zimno, że cały trząsałem się i dygotałem. Musiałem coś zrobić.

Na brzegu rzeki, naprzeciw wiedzmy moje ręce wiedziały, co zrobić. Tym razem zadziały moje nogi, szybciej, niż zdołałem cokolwiek pomyśleć. Wstałem i uciekłem. Przerazony, z walącym sercem zbiegłem ze schodów, tupiąc głośno. Musiałem wydostać się z domu, byle dalej od czarownicy, nic innego nie miało znaczenia. Cała moja odwaga ulotniła się jak kamfora.

## **ROZDZIAŁ 13**

### **WŁOCHATE ŚWINIE**

Wybiegłem z domu i popędziłem na północ, w stronę Wzgórza Wisielców, gnany paniką. Zwolniłem dopiero na północnym pastwisku. Potrzebowałem pomocy, i to szybko. Musiałem wrócić do Chipenden. Tylko stracharz zdoła coś poradzić.

Kiedy dobiegłem do ogrodzenia, zwierzęta nagle umilkły. Odwróciłem się i obejrzałem w stronę farmy. Za nią, w dali widziałem drogę, ciemną wstęgę pośród szachownicy szarych pól.

Nagle na drodze rozbłysło światelko, w stronę farmy jechał wóz. Może to mama? Przez chwilę patrzyłem z nadzieją. Gdy jednak wóz zbliżył się do bramy usłyszałem głośny, gulgoczący kaszel, odgłos flegmy zbierającej się w gardle i donośne splunięcie. To był Ryj, rzeźnik, który miał zarżnąć pięć największych, włochatych świń. Już po śmierci każdą z nich trzeba było dokładnie oskrobać ze szczeciny, toteż najwyraźniej postanowił zacząć wcześniej.

Nigdy nie zrobił mi nic złego, ale zawsze cieszyłem się, kiedy

kończył pracę i wyjeżdżał. Mama też za nim nie przepadała, nie podobało jej się to, jak zbierał w ustach gęsty śluz i wypluwał na ziemię.

Był roslym mężczyzną, wyższym nawet od Jacka, ręce miał potężne i umięśnione, ale też jego praca wymagała mięśni. Niektóre świnie ważyły więcej niż człowiek i walczyły jak oszalałe, by uniknąć noża. Lecz jedna część jego ciała pozostała zaniedbana: koszule zawsze miał za krótkie, dwa ostatnie guziki rozpięte i ponad brązowym, skórzanym fartuchem, chroniącym spodnie przed zaplamieniem krwią, zwieszał się tłusty, biały, owłosiony brzuch. Nie mógł mieć więcej niż trzydzieści parę lat, lecz czupryna już mu rzedniała.

Zawiedziony, że to nie mama, patrzyłem, jak Ryj odczepia latarnię od wozu i zaczyna wyładowywać narzędzia. Rozłożył się przed stodołą, tuż obok zagrody dla świń.

Zmarnowałem już dość czasu. Zacząłem przełazić przez ogrodzenie, dzielące pastwisko od lasu, gdy kątem oka dostrzegłem poruszenie na zboczu w dole. Jakiś cień zbliżał się ku mnie, dotarł już blisko drugiego końca północnego pastwiska.

To była Alice. Nie chciałem, żeby szła za mną, lecz I uznałem, że lepiej rozmówię się z nią od razu. Toteż usiadłem na płocie, czekając, aż się ze mną zrówna. Nie trwało to długo, bo całą drogę biegła.

Zatrzymała się jakieś dziesięć kroków ode mnie, podparta pod boki, próbując złapać oddech. Zmierzyłem ją wzrokiem. Ponownie ujrzałem znajomą czarną sukienkę i szpiczaste trzewiki. Pewnie zbudziłem I ją, zbiegając po schodach; by dotrzeć tu tak szybko I musiała ubrać się błyskawicznie i od razu pobiec za mną.

– Nie chcę z tobą rozmawiać! – zawołałem, głos załamywał mi się ze zdenerwowania, brzmiąc bardziej piskliwie niż zazwyczaj. – I nie trać czasu, idąc za mną. Miałaś szansę i zmarnowałaś ją. Od tej pory lepiej nie zbliżaj się do Chipenden.

– Jeśli wiesz, co dla ciebie dobre, to lepiej ze mną pomów – odparła Alice. – Wkrótce będzie za późno i musisz coś usłyszeć.

Mateczka Malkin już tu jest.

– Wiem – odparłem. – Widziałem ją.

– Ale nie tylko w lustrze. Nie tylko. Jest tutaj, gdzieś wewnątrz domu – Alice wskazała ręką za siebie.

– Mówiłem już, wiem – odparłem gniewnie. – Księżyc pokazał mi jej ślad, a gdy poszedłem na górę, by cię uprzedzić, co zastałem? Już z nią rozmawiałaś, i pewnie nie po raz pierwszy.

Przypomniałem sobie poprzednią noc, kiedy odwiedziłem Alice w sypialni i dałem jej książkę. Kiedy wszedłem do środka, świeca wciążył kopciła naprzeciw lustra.

– To pewnie ty ją tu sprowadziłaś – rzuciłem oskarżycielsko. – Powiedziałaś jej, gdzie jestem.

– Nieprawda, o nie! – w głosie Alice zadźwięczał gniew, dorównujący mojemu własnemu. Zbliżyła się do mnie kilka kroków. – Wywęszyłam ją, o tak, i użyłam lustra, by sprawdzić, gdzie jest. Nie miałam pojęcia, że dotarła tak blisko. Była dla mnie za silna i nie mogłam się uwolnić. Na szczęście, przyszedłeś na czas. Na szczęście dla mnie zbiłeś lustro.

Chciałem uwierzyć Alice, dlaczego miałbym jej zaufać? Gdy przeszła kolejnych parę kroków, obróciłem się, gotów zeskoczyć na trawę po drugiej stronie płotu.

– Wracam do Chipenden, po pana Gregory'ego – poinformowałem ją. – On będzie wiedział, co zrobić.

– Nie ma na to czasu – zaprotestowała Alice. – Nim wrócisz, będzie za późno. Musisz myśleć o dziecku. Mateczka Malkin chce ci zrobić krzywdę, ale będzie też złańniona ludzkiej krwi. A młodą krew lubi szczególnie, to ona najbardziej ją wzmacnia.

Strach sprawił, że zapomniałem o dziecku Ellie. Alice miała rację. Czarownica nie zechce go opętać, ale z pewnością zapagnie jego krwi. Nim sprowadzę stracharza, może być za późno.

– Ale co mam robić? – spytałem. – Jaką mam szansę w walce z Mateczką Malkin?

Alice wzruszyła ramionami i wydeła usta.

– To twoja sprawa. Z pewnością stary Gregory nauczył cię



czegoś użytecznego. Jeśli nawet nie zapisałeś tego w swoim notesie, może zostało gdzieś w twojej głowie. Musisz tylko sobie przypomnieć, to wszystko.

– Niewiele mówił o czarownicach – poczułem nagłą irytację na stracharza. Jak dotąd większość mojego szkolenia skupiała się na boginach, wiedziałem także trochę o duchach i widmach. A tymczasem miałem problemy wyłącznie z czarownicami.

Wciąż nie ufałem Alice, lecz teraz, po tym, co powiedziała, nie mogłem wyruszyć do Chipenden. Nigdy nie zdążę na czas sprowadzić stracharza. Ostrzeżenie, dotyczące zagrożenia dla dziecka Ellie wydało mi się szczere. Ale jeśli Alice została opętana albo pomagała Mateczce Malkin, tymi samymi słowami pozbawiła mnie wyboru. Musiałem wrócić na farmę. Nie mogłem ostrzec stracharza i musiałem zostać tu, gdzie czarownica może dopaść mnie, kiedy tylko zapragnie.

W drodze powrotnej utrzymywałem dystans wobec Alice. Kiedy jednak weszliśmy na podwórze i zbliżyliśmy się do stodoły, maszerowała u mego boku.

Ryj ostrzył właśnie noże. Na mój widok uniósł wzrok i pozdrowił mnie skinieniem głowy. Odpowiedziałem tym samym, a on bez słowa spojrział na Alice, dwukrotnie mierząc ją wzrokiem. Potem zaś, nim przekroczyliśmy próg kuchni, zagwizdał głośno i przeciągle. Z twarzy Ryj bardziej przypominał świnię niż wilka, lecz ów gwizd zabrzmiał drwiąco i drapieżnie.

Alice udała, że nie słyszy. Przed śniadaniem musiała zrobić coś jeszcze: poszła wprost do kuchni i zaczęła szykować kurczaka, którego mieliśmy zjeść na obiad. Wisiał na haku przy drzwiach, z obciętą głową, już wypatroszony. Zabrała się do roboty, przemywając kurę w wodzie z solą, całkowicie skupiona, uważając, by jej palce nie pominęły ani kawałeczka skóry.

I wtedy, gdy na nią patrzyłem, przypomniałem sobie coś, co mogłoby zadziałać na opętane ciało.

Sól i żelazo!

Nie miałem pewności, ale warto było spróbować. Stracharz

używał tej mikstury, by uwięzić bogina w dole. Może zadziała też na czarownicę? Jeśli cisnę ją w twarz opętanego, być może uda mi się wygnać z jego ciała Mateczkę Malkin.

Nie ufałem Alice i nie chciałem, by widziała, że biorę sól, toteż zczekałem, aż skończyła czyścić kurczaka i wyszła z kuchni. Wcześniej złożyłem wizytę w warsztacie taty.

Szybko znalazłem to, czego potrzebowałem. Z bogatej kolekcji pilników leżących na półce nad stołem roboczym wybrałem największy i najostrzejszy. Tato nazywał go sukinkotem. Gdy byłem młodszy, tylko mówiąc o pilniku mogłem użyć tego słowa i nie dostać w ucho. Zabrałem się do spiłowywania krawędzi starego żelaznego wiadra. Od dźwięku pilnika zabołały mnie zęby, lecz wkrótce w pobliżu rozległ się jeszcze gorszy dźwięk.

Był to kwik zarzynanej świni, pierwszej z pięciu.

Wiedziałem, że Mateczka Malkin może ukrywać się gdziekolwiek. Jeśli dotąd nikogo nie opętała, może wybrać ofiarę w każdej chwili. Musiałem zatem cały czas być skupiony i uważać na wszystko. Lecz przynajmniej teraz miałem coś, czym mogłem się bronić.

Jack chciał, żebym pomógł Ryjowi, ale zawsze miałem na podorędziu jakąś wymówkę, twierdząc, że kończę to czy tamto. Gdybym utknął przy Ryju, nie mógłbym pilnować wszystkich innych. A ponieważ byłem jego bratem, który na kilka dni odwiedził dom, nie wynajętym pomocnikiem, Jack nie mógł mi kazać, choć parę razy powstrzymał się w ostatniej chwili.

W końcu po lunchu, z twarzą jak gradowa chmura, musiał sam pomóc Ryjowi. Dokładnie tego chciałem. Póki pracował przed stodołą, mogłem z daleka mieć na niego oko. Co chwila szukałem pretekstu, by zajrzeć do Alice i Ellie. Każde z nich mogło zostać opętane. Ale gdyby padło na Ellie, nie miałbym większych szans uratować dziecka: przez większość czasu leżało w jej ramionach albo spało w kołyszce obok.

Zdobyłem sól i żelazo, nie miałem jednak pewności, czy to wystarczy. Najlepszy byłby srebrny łańcuch, choćby i najkrótszy.

Gdy byłem mały, podsłuchałem kiedyś, jak tato i mama rozmawiali o srebrnym łańcuszku, który do niej należał. Nigdy nie widziałem, by go nosiła, lecz wciąż mógł być gdzieś w domu – może w schowku pod schodami na strych, który mama zawsze zamykała na klucz.

Ale ich sypialnia nie była zamknięta. W zwykłych okolicznościach nigdy nie przekroczyłbym jej progu bez pozwolenia, kierowała mną jednak rozpacz. Przeszukałem pudełko z biżuterią mamy, znalazłem broszki i pierścionki, ale ani śladu srebrnego łańcuszka. Sprawdziłem cały pokój. Zaglądając do szuflad, czułem okropne wyrzuty sumienia, ale i tak to zrobiłem. Myślałem, że może trzyma gdzieś klucz do schowka, lecz go nie znalazłem.

Nagle usłyszałem ciężkie kroki Jacka na schodach. Zamarłem, ledwie wążąc się oddychać. On jednak zajrzał tylko na chwilę do siebie i znów zszedł na dół. Szybko skończyłem przeszukiwać pokój i nie znalazłem niczego, więc poszedłem sprawdzić, co u wszystkich.

Tego dnia powietrze było ciepłe i nieruchome, lecz gdy minąłem stajnię, zerwał się wietrzyk. Słońce zniżało się nad horyzontem, zalewając wszystko kaskadami ciepłego czerwonego światła i zapowiadając piękną pogodę na następny dzień. Na ścianie stodoły z wielkich haków zwisały trzy martwe świny, różowe, świeżo wyszorowane. Z ostatniej wciąż jeszcze ściekała do wiadra krew. Ryj na kolanach zmagał się z czwartą, która wyrывała się ze wszystkich sił – trudno orzec, które z nich sapało głośniej.

Jack, w koszuli przemoczonej krwią, spojrzał na mnie gniewnie, ja jednak jedynie uśmiechnąłem się i pozdrowiłem go. Nieźle sobie radzili, ale zostało im mnóstwo pracy i wiedziałem, że nie skończą do późna. Wciąż nie widziałem śladu oszołomienia ani niczego, co sugerowałoby, że ktoś został opętany.

Po godzinie zapadła ciemność. Jack i Ryj wciąż pracowali w świetle ognia, w migoczących płomieniach ich cienie tańczyły na ziemi.

Groza zaczęła się, gdy poszedłem do szopy na końcu stodoły po worek ziemniaków.

Usłyszałem krzyk przepelniony przerażeniem – krzyk kobiety, stojącej wobec najgorszej rzeczy, jaka mogłaby ją spotkać.

Upuściłem worek ziemniaków i pobiegłem przed stodołę. Tam zatrzymałem się nagle, nie wierząc własnym oczom.

Ellie stała dwadzieścia kroków dalej. Wyciągała przed siebie ręce, krzycząc i krzycząc jak torturowana. U jej stóp leżał Jack z twarzą zalaną krwią. Sądziłem, że Ellie krzyczy z jego powodu – ale nie, patrzyła na Ryja.

Stał obrócony ku mnie, jakby czekał na moje przybycie. W lewej dłoni trzymał ulubiony, długi, ostry nóż, którym zawsze podrzynał świńskie gardła. Zamarłem ze zgrozy, bo zrozumiałem, co usłyszałem w krzyku Ellie. Prawą ręką przyciskał do siebie jej dziecko. Jego buty lepiły się od gęstej świńskiej krwi, wciąż ściekającej z fartucha. Przysunął ostrze do niemowlęcia.

– Chodź tu, chłopcze! – zawołał w moją stronę. – Chodź do mnie.

A potem się roześmiał.

Jego usta otwierały się i zamykały, gdy mówił, lecz nie jego głos dobiegał z gardła. Był to głos Mateczki Malkin. Śmiech także nie przypominał zwykłego, gromkiego, rubasznego śmiechu. To był chichot czarownicy.

Postąpiłem krok w stronę Ryja. Potem kolejny. Chciałem zbliżyć się do niego. Chciałem uratować dziecko Ellie. Próbowałem poruszać się szybciej. Ale nie mogłem. Stopy ciążyły mi jak ołów, zupełnie jakbym rozpaczliwie próbował biec w koszmarze sennym. Moje nogi poruszały się, jak gdyby do mnie nie należały.

Nagle uświadomiłem sobie coś, co sprawiło, że oblałem się zimnym potem. Nie szedłem w stronę Ryja dlatego, że chciałem, tylko dlatego, że wzywała mnie Mateczka Malkin. Przyciągała mnie ku sobie w tempie, jakie jej odpowiadało, coraz bliżej czekającego noża. Nie szedłem na pomoc dziecku, tylko na śmierć. Rzuciła na mnie zaklęcie. Zaklęcie obezwładniające.

Coś podobnego czułem wtedy, nad rzeką, ale w ostatniej chwili moja lewa dłoń i ręka zadziały same i wepchnęły Mateczkę

Malkin do wody. Teraz kończyny miałem równie bezsilne, jak umysł.

Coraz bardziej zbliżałem się do Ryja, do czekającego w jego dłoni noża. Oczy rzeźnika były oczami Mateczki Malkin, twarz wydymała się upiornie, zupełnie jakby tkwiąca wewnątrz czarownica zniekształcała ją, wypychała policzki do granicy pęknięcia. Wybałuszała oczy, które o mało nie wyszły z orbit, napierała na czoło tak, że brwi przypominały skały, sterczące w powietrzu. Pod nimi płonęły okrągłe, wybałuszone oczy o ognistych źrenicach, rzucające przed siebie czerwony, gniewny blask.

Zrobiłem kolejny krok i serce uderzyło mi gwałtownie w piersi. Następnym krokiem i znowu. Byłem już znacznie bliżej Ryja. Łup, łup, serce waliło mi do wtóru kolejnych kroków.

Gdy od noża dzieliło mnie ich najwyżej pięć, usłyszałem biegnącą ku nam Alice. Wykrzykiwała moje imię. Dostrzegłem ją kątem oka – wyłoniła się z ciemności w krąg światła. Pędziła wprost w stronę Ryja, czarne włosy tańczyły jej wokół głowy jak unoszone huraganem.

Nie zwalniając ani na moment, z całych sił kopnęła Ryja, trafiając w miejsce tuż nad skórzonym fartuchem. Patrzyłem, jak czubek jej szpiczastego trzewika zniknął głęboko w fałdach tłuszczu, tak że pozostała tylko pięta.

Ryj sapnął, zgiął się gwałtownie i upuścił dziecko. Lecz Alice, zręczna niczym kotka, padła na kolana i złapała niemowlę, nim uderzyło o ziemię. Potem obróciła się i pobiegła w stronę Ellie. W chwili gdy szpiczasty trzewik Alice dotknął brzucha Ryja, zaklęcie zostało przełamane. Znowu byłem wolny. Mogłem poruszać rękami i nogami. Mogłem uciec. Albo zaatakować.

Ryj zgiął się w pół, powoli jednak prostował się. A choć upuścił dziecko, wciąż trzymał w dłoni nóż. Patrzyłem, jak rusza ku mnie. Szedł chwiejnie – może oszołomiony, a może po prostu osłabiony po zetknięciu ze szpiczastym trzewikiem Alice.

Po zdjęciu zaklęcia wezbrała we mnie cała gama uczuć – smutek z powodu tego, co spotkało Jacka, zgroza na myśl o

niebezpieczeństwie, które groziło dziecku Ellie i gniew, że coś takiego mogło się przydarzyć mojej rodzinie. I w tym momencie zrozumiałem, że urodziłem się, by zostać stracharzem. Najlepszym stracharzem, jaki kiedykolwiek żył. Wiedziałem, że mama będzie ze mnie dumna.

Bo widzicie, zamiast strachu przepełniał mnie lód i ogień. Gdzieś w głębi szalałem z wściekłości, gorącej furii, która groziła wybuchem. Lecz na zewnątrz pozostałem zimny jak lód, umysł miałem ostry i czysty, oddychałem powoli.

Wepchnąłem ręce do kieszeni, a potem wyszarpnąłem je szybko, pełne tego, co znalazły w środku, po czym cisnąłem ich zawartość prosto w głowę Ryja – coś białego z prawej dłoni i ciemnego z lewej. Połączyły się, biała z czarną chmurą i omiotły mu twarz i ramiona.

Sól i żelazo – mikstura skutecznie działająca na boginy. Żelazo, żeby wysączyć z niego siłę, sól, by poparzyć. Żelazne opiłki ze starego wiadra i sól ze spiżarni mamy. Miałem nadzieję, że tak samo zadziałają na czarownicę.

Przypuszczam, że rzucenie w oczy podobnej mieszanki nikomu nie sprawiłoby przyjemności – w najlepszym wypadku ofiara nieźle by się rozkaszlała – lecz Ryj zareagował znacznie gorzej. Najpierw rozprostował palce, upuszczając nóż. Potem wywrócił oczami i powoli osunął się na kolana. Wreszcie poleciał do przodu, bardzo mocno uderzając czołem o ziemię. Głowa przekręciła mu się na bok.

Coś gęstego i oślizłego zaczęło wypływać z lewego nozdrza rzeźnika. Stałem tam i niezdolny do jakiegokolwiek ruchu, patrzyłem, jak Mateczka Malkin powoli wylewa się i wysuwa z jego nozdrza, przybierając postać, którą pamiętałem. Owszem, to była ona i częściowo pozostała taka sama. Jednocześnie jednak bardzo się zmieniła. Po pierwsze zmianie uległa jej wielkość. Była ponad trzy razy mniejsza niż wtedy, kiedy widziałem ją po raz ostatni. Teraz jej ramiona ledwie sięgały mi do kolan, nadal jednak miała na sobie długi płaszcz, który włókł się po ziemi, a szarobiałe spleśniałe włosy wciąż opadały na zgarbione plecy, niczym spleśniała

zasłona. Najbardziej jednak zmieniła się jej skóra – była błyszcząca, dziwaczna, poskręcana i naciągnięta. Natomiast czerwone oczy wyglądały tak samo. Raz jeszcze spojrzały na mnie gniewnie, a potem czarownica odwróciła się i ruszyła w stronę narożnika stodoły. Starła się maleć jeszcze bardziej. Zastanawiałem się, czy to wciąż efekt działania soli i żelaza. Nie wiedziałem, co jeszcze mógłbym uczynić, stałem więc, patrząc jak odchodzi, zbyt wyczerpany, by się ruszyć. Ale Alice nie zamierzała na to pozwolić. Zdążyła już oddać dziecko Ellie i popędziła biegiem w stronę ogniska. Zabrała z niego płonącą szczapę i pobiegła za Mateczką Malkin, unosząc przed sobą żagiew. Wiedziałem, co chce zrobić – wystarczyłoby jedno dotknięcie i czarownica stanęłaby w płomieniach. Coś wewnątrz mnie nie mogło pozwolić, by spotkał ją taki straszliwy koniec, złapałem więc Alice za rękę, gdy przebiegała obok i zakręciłem nią parę razy tak, że upuściła szczapę.

Alice odwróciła się do mnie, wyraźnie rozwścieczona i bałem się, że zaraz poczuję szpiczasty trzewik. Zamiast tego chwyciła mnie za przedramię tak mocno, że jej paznokcie wbiły mi się głęboko w ciało.

– Musisz być twardszy albo nie przeżyjesz – syknęła mi prosto w twarz. – Robienie tego, co każe stary Gregory, nie wystarczy! Zginiesz jak inni! – Puściła mnie; zerknąwszy, stwierdziłem, że w miejscach gdzie jej paznokcie skaleczyły skórę, pojawiły się kropelki krwi. – Musisz spalić czarownicę – gniew dźwięczący w głosie Alice złagodniał – by upewnić się, że nie wróci. Pogrzebanie w ziemi nic nie da. Tylko opóźni sprawę. Stary Gregory to wie, ale jest zbyt miękki, by posłużyć się ogniem. Teraz już na to za późno...

Mateczka Malkin zniknęła za stodołą, wślizgując się w ciemność, wciąż malejąca z każdym krokiem. Czarny płaszcz ciągnął się za nią po ziemi.

I wtedy uświadomiłem sobie, że wiedźma popełniła poważny błąd. Wybrała złą drogę, przez środek największej zagrody dla

świń. Do tej pory była już tak mała, że idealnie zmieściła się pod najniższą deską ogrodzenia.

Świnie miały za sobą bardzo ciężki dzień. Ryj zarznął pięć z ich grona, towarzyszył temu przerażający kwik, który zapewne mocno je przeraził. Delikatnie, mówiąc nie były zachwycone i nie należało raczej składać wizyty w ich zagrodzie. Wielkie włochate świnie jedzą wszystko, absolutnie wszystko. Wkrótce Mateczka Malkin zaczęła krzyczeć i krzyczała długo.

– To może zadziałać równie dobrze, jak ogień – zauważyła Alice, gdy dźwięk w końcu ucichł.

Dostrzegłem ulgę, malującą się na jej twarzy. Czułem to samo. Oboje cieszyliśmy się, że nastąpił już koniec. Byłem zmęczony, toteż jedynie wzruszyłem ramionami, nie wiedząc, co myśleć. Obejrzałem się na Ellie i nie spodobało mi się to, co ujrzałem.

Ellie była przerażona i wstrząśnięta. Patrzyła na nas, jakby nie mogła uwierzyć w to, co się stało i co zrobiliśmy. Zupełnie jakby po raz pierwszy naprawdę mnie zobaczyła, jakby nagle zrozumiała, kim jestem.

Ja także coś zrozumiałem. Po raz pierwszy naprawdę poczułem, jak to jest być uczniem stracharza. Widziałem ludzi przechodzących na drugą stronę drogi, by się do nas nie zbliżyć. Patrzyłem, jak się trzęsą albo żegnają tylko dlatego, że odwiedziliśmy ich wioskę. Nie traktowałem jednak tego osobiście.

Zawsze uważałem, że to reakcja na stracharza, nie na mnie.

Ale nie mogłem zignorować tego, co ujrzałem, ani odepchnąć od siebie tej myśli. Bo teraz to samo działo się ze mną, w moim własnym domu.

Nagle poczułem się bardziej samotny niż kiedykolwiek wcześniej.

## **ROZDZIAŁ 14**

### **RADA STRACHARZA**



Nie wszystko potoczyło się źle. Jack nie zginął. Wolałem nie zadawać zbyt wielu pytań, bo wszyscy się denerwowali, lecz wyglądało na to, że w jednej chwili Ryj zabierał się do oczyszczania brzucha piątej świni wraz z Jackiem, a w następnej wpadł w szal i go zaatakował.

Krew na twarzy Jacka należała do świni. Rzeźnik ogłuszył go kawałkiem drewna, a potem poszedł do domu i porwał dziecko. Chciał go użyć jako przynęty, by mnie zwabić i potraktować nożem.

Oczywiście, nie do końca było tak, jak mówię. To nie Ryj popełniał te wszystkie straszne czyny. Mateczka Malkin opętała go i użyła jego ciała. Po paru godzinach rzeźnik doszedł do siebie i wrócił do domu otumaniony, trzymając się za obolały brzuch. Nie pamiętał niczego i żadne z nas nie miało ochoty go uświadamiać.

Tej nocy niewiele spaliśmy. Ellie dorzuciła do ognia w kuchni i została tam do rana, nie spuszczać z oka dziecka. Jack poszedł do łóżka z bolącą głową, ale co jakiś czas budził się i wybiegał na dwór, by wymiotować na podwórzu.

Jakąś godzinę przed świtem wróciła mama. Ona także nie wyglądała na uradowaną. Zupełnie jakby coś poszło źle.

Zabrałem jej torbę i zaniósłem do domu.

– Dobrze się czujesz, mamó? – spytałem. – Wyglądasz na zmęczoną.

– Mniejsza o mnie, synu. Co się tu stało? Wystarczy spojrzeć ci w twarz, by dostrzec, że coś się wydarzyło.

– To długa historia – odparłem. – Lepiej najpierw wróćmy do domu.

Kiedy weszliśmy do kuchni, Ellie przyjęła powrót mamy z tak wielką ulgą, że rozplakała się i dziecko też zaczęło płakać. Jack zszedł na dół i wszyscy zaczęli mówić jednocześnie, próbując opowiedzieć swą wersję historii. Po paru sekundach poddałem się, bo Jack zaczął swą zwyczajową tyradę.

Mama uciszyła go bardzo szybko.

– Zniź głos, Jack – poleciła. – To wciąż mój dom i nie będę w

nim tolerować krzyków.

Jack nie był zachwycony, że skarciła go na oczach Ellie, ale miał dość rozsądku, by się nie spierać.

Mama kazała każdemu z nas opowiedzieć dokładnie, co się stało, począwszy od Jacka. Ja byłem ostatni i gdy nadeszła moja kolej, odesłała Ellie i Jacka do łóżek, abyśmy mogli porozmawiać w cztery oczy. W sumie nie odzywała się zbyt często, słuchała tylko cicho i uścisnęła mi rękę.

Wreszcie poszła na górę do pokoju Alice i długi czas rozmawiała z nią bez świadków.

\*

Niecałą godzinę od świtu na farmie pojawił się stracharz. Nie wiem czemu, ale spodziewałem się, że przybędzie. Czekał przy bramie. Wyszedłem do niego i powtórzyłem swą opowieść. On tymczasem słuchał, wsparty na kiju. Kiedy skończyłem, pokręcił głową.

– Czułem, że coś jest nie tak, chłopcze, ale przybyłem za późno. Przyznaję jednak, dobrze się spisałeś. Posłużyłeś się własną inicjatywą i zdołałeś przypomnieć sobie część z tego, czego cię uczyłem. Gdy wszystko zawiedzie, zawsze możesz polegać na soli i żelazie.

– Czy powinienem był pozwolić Alice spalić Mateczkę Malkin?

Westchnął i podrapał się po brodzie.

– Jak już mówiłem, dla czarownicy spalenie to okrutna śmierć i osobiście nie jestem jej zwolennikiem.

– Czyli za jakiś czas znów będę musiał stawić jej czoła?

Stracharz uśmiechnął się.

– Nie, chłopcze, możesz spać spokojnie, bo ona nie wróci już na ten świat. Nie po tym, co stało się na końcu. Pamiętasz, co ci mówiłem o zjedzeniu serca wiedzmy? No cóż, wasze świnię to właśnie zrobiły.

– Nie tylko serce, zjadły wszyścusięńko – odparłem. – Czyli jestem bezpieczny? Naprawdę bezpieczny? Ona nie może wrócić?

– Owszem, jesteś bezpieczny od Mateczki Malkin. Istnieją

jednak inne zagrożenia, ale na razie jesteś bezpieczny.

Ogarnęła mnie gwałtowna ulga, jakby ktoś zdjął mi z barków ciężkie brzemie. Przez ostatnie dni przeżywałem koszmar, teraz, po zniknięciu Mateczki Malkin, świat wydał mi się znacznie piękniejszym, szczęśliwszym miejscem. Walka z czarownicą dobiegła końca, znów mogłem niecierpliwie wyczekiwać tego, co przyniesie przyszłość.

– Cóż, jesteś bezpieczny do czasu, aż popełnisz kolejny głupi błąd – dodał stracharz. – I nie mów, że tego nie zrobisz. Nie błądzi ten, kto nic nie robi. To nieodłączna część nauki fachu. I co teraz poczniemy? – spytał, mrużąc oczy w promieniach wschodzącego słońca.

– Z czym? – spytałem, zastanawiając się, co ma na myśli.

– Z dziewczyną, chłopcze – rzekł. – Wygląda na to, że czeka ją dół. Nie widzę, jak moglibyśmy tego uniknąć.

– Ale przecież pod koniec uratowała dziecko Ellie – zaprotestowałem. – Mnie też ocaliła życie.

– Użyła lustra, chłopcze, to zły znak. Lizzie dużo ją nauczyła. Za dużo. A ona pokazała nam, że jest gotowa wykorzystać tę wiedzę. Co zrobi dalej?

– Ale miała dobre intencje. Użyła go, by odszukać Mateczkę Malkin.

– Możliwe. Ale zbyt wiele wie i jest bystra. Teraz to tylko dziewczyna, lecz pewnego dnia stanie się kobietą, a mądre kobiety są niebezpieczne.

– Moja mama jest mądra – rzuciłem z nagłą irytacją. – Ale jest też dobra, wszystko co robi, robi dla innych. Używa rozumu, by pomagać ludziom. Pewnego razu, gdy byłem bardzo mały, widma na Wzgórzu Wisielców tak bardzo mnie przerażyły, że nie mogłem zasnąć. Mama poszła tam po zmroku i uciszyła je. Milczały potem kilka miesięcy.

Mogłem dodać, że podczas naszego pierwszego spotkania stracharz powiedział mi, iż niewiele da się zrobić z widmami, i że mama dowiodła, że się mylił. Ale nie zrobiłem tego. I tak już za

dużo powiedziałem i wolałem trzymać gębę na kłódkę.

Stracharz nie odpowiedział, patrzył w stronę domu.

– Spytaj moją mamę, co myśli o Alice – zaproponowałem. – Wygląda, że dobrze się dogadują.

– Spytam. I tak zamierzałem to zrobić – oznajmił stracharz. – Już czas, żebyśmy ucieli sobie pogawędkę. Ty zaczekaj tu, aż skończymy.

Patrzyłem, jak maszeruje przez podwórze. Nim dotarł do drzwi kuchennych, te otwały się, mama powitała go za progiem.

Później domyśliłem się części rzeczy, które sobie wówczas powiedzieli, ale rozmawiali niemal pół godziny i nigdy nie usłyszałem, czy poruszyli temat widm. Kiedy stracharz wyszedł w końcu na słońce, mama została w drzwiach. Wówczas zrobił coś niezwykłego – coś, czego nigdy wcześniej u niego nie widziałem. Z początku sądziłem, że jedynie skinął mamie głową na pożegnanie. Kryło się w tym jednak coś więcej. Jego ramiona także się poruszyły, lekko, ale zdecydowanie, bez cienia wątpliwości. Żegnając się z mamą, stracharz złożył jej lekki ukłon.

Kiedy przeszedł przez podwórze i dołączył do mnie, wydawał się uśmiechać pod nosem.

– Wracam do Chipenden, chłopcze – oznajmił. – Ale myślę, że twoja matka pozwoli ci pobyc tu jeszcze dzień czy dwa. Zostawiam tę sprawę tobie – dodał. – Albo przyprowadź dziewczynę i uwięzimy ją w dole, albo zabierz ją do ciotki w Staumin. Wybór należy do ciebie. Zaufaj własnemu instynktowi. On najlepiej podpowie ci, co począć. Będziesz wiedział.

A potem odszedł. Oszołomiony, odprowadziłem go wzrokiem. Wiedziałem, co chciałbym zrobić z Alice, ale musiałem postąpić, jak należy.

\*

Mogłem zatem zjeść jeszcze jedną kolację mamy.

Do tej pory tato już wrócił. Lecz choć mama ucieszyła się na jego widok, coś wciąż było nie tak – atmosfera, niczym niewidzialna chmura, wisząca nad stołem. Posiłek nie przypominał

świętecznej, radosnej uczyty i nikt prawie się nie odzywał.

Ale jedzenie było pyszne – jeden z wyjątkowych gulaszy mamy – i nie przeszkadzał mi brak rozmów, bo byłem zbyt zajęty napełnianiem brzucha i proszeniem o dokładkę, nim Jack zdąży do cna opróżnić garnek.

Odzyskał już apetyt, ale podobnie jak wszyscy, był raczej wyciszony. Wiele przeżył i jako dowód pozostał mu na czole wyraźny guz. Co do Alice, nie wspomniałem jej o tym, co powiedział stracharz, ale miałem wrażenie, że i tak wie. Podczas kolacji nie odezwała się ani słowem. Lecz najcichszą osobą była Ellie. Mimo radości z odzyskania dziecka, to, co ujrzała, boleśnie nią wstrząsnęło i wiedziałem, że pogodzenie się z tym wymaga czasu.

Kiedy pozostali poszli na górę, mama poprosiła, żebym został. Usiadłem przy kuchennym palenisku, tak jak wieczorem przed moim odejściem i rozpoczęciem nauki. Coś w jej twarzy świadczyło, że ta rozmowa będzie zupełnie inna. Wcześniej traktowała mnie surowo, ale z nadzieją. Teraz była smutna i niepewna.

– Od niemal dwudziestu pięciu lat pomagam przychodzić na świat dzieciom w Hrabstwie – mama usiadła w swym ukochanym fotelu na biegunach – i kilkoro straciłam. Choć to bardzo smutne dla matki i ojca, czasem się zdarza. Podobnie u zwierząt na farmie, Tom, sam widziałeś.

Przytaknąłem. Co rok kilka jagniąt rodziło się martwych, mogliśmy tego oczekiwać.

– Tym razem było gorzej – podjęła mama. – Tym razem umarło nie tylko dziecko, ale i matka. Coś takiego nie przytrafiło mi się nigdy wcześniej. Znam właściwe zioła i wiem, jak je łączyć. Wiem, jak postąpić w przypadku gwałtownego krwotoku. Wiem, co robić. A ta matka była młoda i silna, nie powinna była umrzeć, ale nie zdołałam jej ocalić. Zrobiłam wszystko, co w mojej mocy, lecz nie udało mi się jej uratować. I świadomość ta boli, o tu, w sercu.

Z cichym szlochem przycisnęła dłoń do piersi. Przez jedną straszną chwilę zdawało mi się, że się rozplacze. Potem jednak

odetchnęła głęboko i na jej twarz powróciła siła.

– Ale przecież owce umierają podczas porodu, mamó. Czasami też krowy – przypomniałem. – W końcu któraś matka musiała umrzeć. To cud, że tak długo udało ci się tego uniknąć.

– Staralam się, jak mogłam – mama pozostawała niepokieszona. Bardzo źle przyjęła to, co się stało. We wszystkim szukała złych stron. – Robi się ciemniej, synu – rzekła. – Mrok nadciąga wcześniej, niż przypuszczałam. Miałam nadzieję, że zdążysz dorosnąć, zdobyć wiele lat doświadczenia. Musisz zatem słuchać uważnie wszystkiego, co ci powie twój mistrz, liczy się każdy drobiazg. Musisz przygotować się jak najszybciej i przyłożyć się mocno do lekcji łaciny – zawiesiła głos i wyciągnęła rękę. – Pokaż mi książkę – gdy jej ją wręczyłem, zaczęła przerzucać strony, od czasu do czasu odczytując parę linijek. – Pomogła ci? – spytała.

– Niewiele – przyznałem.

– Twój mistrz sam ją napisał. Mówił ci o tym?

Pokręciłem głową.

– Alice mówiła, że napisał ją ksiądz.

Mama uśmiechnęła się.

– Twój mistrz był kiedyś księdzem, od tego zaczynał. Nie wątpię, że pewnego dnia sam ci o tym opowie. Ale nie pytaj. Pozwól, by on sam wybrał stosowną chwilę.

– O czym rozmawialiście z panem Gregorym?

– O tym i owym, lecz głównie o Alice. Spytał, co według mnie powinno ją spotkać. Poradziłam, żeby zostawił to tobie. Podjąłeś już decyzję?

Wzruszyłem ramionami.

– Nadal nie jestem pewien, ale pan Gregory twierdzi, że mam zaufać swemu instynktowi.

– To dobra rada, synu – przytaknęła mama.

– Ale co ty myślisz, mamó? – spytałem. – Co powiedziałaś panu Gregory'emu o Alice? Czy Alice jest czarownicą? Powiedz mi choć tyle.

– Nie – odparła powoli mama, starannie ważąc każde słowo. –

Nie jest czarownicą, ale pewnego dnia się nią stanie. Przyszła na świat z sercem czarownicy i nie ma wyboru, musi podążać tą ścieżką.

– W takim razie powinna trafić do dołu w Chipenden – ze smutkiem zwiesiłem głowę.

– Przypomnij sobie swoje lekcje – upomniała surowo mama. – Przypomnij sobie, czego uczył cię mistrz. Istnieje więcej rodzajów czarownic.

– „Zacne”? Chcesz powiedzieć, że Alice może stać się dobrą czarownicą, pomagającą ludziom?

– Możliwe. A może nie. Wiesz, co naprawdę myślę? Może nie chcesz tego usłyszeć?

– Chcę.

– Alice może nie stać się ani dobrą, ani złą czarownicą, lecz pozostać gdzieś pośrodku. To może uczynić znajomość z nią bardzo niebezpieczną. Ta dziewczyna może stać się utrapieniem twojego życia, klątwą, trucizną, niszczącą wszystko, co zrobisz. Albo też może okazać się najlepszym, najsilniejszym przyjacielem, jakiego kiedykolwiek poznasz. Kimś, kto pomoże ci jak nikt inny. Nie wiem, jak się sprawy potoczą. Nie widzę, choć bardzo się staram.

– Jak w ogóle możesz to widzieć, mamó? – zdziwiłem się. – Pan Gregory mówił, że nie wierzy w prorocтва. Ze przyszłość nie jest ustalona.

Mama położyła mi dłoń na ramieniu i uściśnęła lekko, dodając otuchy.

– Każdy z nas musi dokonywać wyborów – oznajmiła. – Lecz ten w sprawie Alice być może okaże się jedną z najważniejszych decyzji w twoim życiu. Idź teraz do łóżka i wyśpij się, jeśli zdołasz. Jutro, kiedy wzejdzie słońce, zdecyduj.

Nie spytałem mamy, jak zdołała uciszyć widma na Wzgórzu Wisielców. Znów zadziałał mój instynkt – po prostu wiedziałem, że to coś, o czym wolałaby nie mówić. W rodzinach nie zadaje się pewnych pytań. Wiemy, że kiedy nadejdzie pora, poznamy prawdę.

\*

Niedługo po świcie wyruszyliśmy w drogę. Serce ciążyło mi jak głaz.

Ellie poszła za mną do bramy. Zatrzymałem się tam, lecz gestem poleciłem Alice iść dalej, toteż zaczęła wspinać się na wzgórze, kołysząc ramionami i nie oglądając się za siebie.

– Muszę ci coś powiedzieć, Tom – oznajmiła Ellie. – To boli, ale trzeba to zrobić.

Z jej głosu poznałem, że nie będzie to przyjemna wiadomość. Przytaknąłem z nieszczęśliwą miną i zmusiłem się, by spojrzeć jej w oczy. Wstrząsnęło mną odkrycie, że spływają z nich rzęsiste łzy.

– Wciąż jesteś tu mile widziany, Tom – Ellie odgarnęła włosy z czoła i spróbowała się uśmiechnąć. – To się nie zmieniło. Ale musimy myśleć o naszym dziecku, toteż chętnie cię będziemy gościć, ale nie po zmroku. Bo widzisz, dlatego właśnie Jack ostatnio zachowywał się tak nerwowo. Nie chciałam ci o tym wspominać, ale teraz muszę. Nie podoba mu się twoja praca. Ani trochę. Budzi w nim lęk. W dodatku obawia się o dziecko. Widzisz, my strasznie się boimy. Boimy się, że jeśli kiedyś zjawisz się tu po zmroku, możesz przyciągnąć znów jakieś zmory, a nam nie wolno ryzykować, by coś podobnego spotkało naszą rodzinę. Odwiedzaj nas za dnia, Tom, odwiedzaj, kiedy świeci słońce i śpiewają ptaki.

Uścisnęła mnie i ów uścisk sprawił, że poczułem się jeszcze gorzej. Wiedziałem, że coś stanęło między nami i że wszystko zmieniło się na zawsze. Miałem ochotę się rozplakać, ale zdołałem powstrzymać łzy. Nie wiem, jak mi się to udało. Gardło ścisnęło mi się mocno, nie byłem w stanie mówić.

Patrzyłem, jak Ellie wraca do domu, a potem znów skupiłem myśli na czekającej mnie decyzji.

Co powinienem zrobić z Alice?

Obudziłem się pewny, że obowiązek każe mi zaprowadzić ją z powrotem do Chipenden. Uznałem, że to najlepszy wybór. Najbezpieczniejszy. Mój obowiązek. Kiedy dałem Mateczce Malkin placki, pozwoliłem, by pokierowało mną miękkie serce, i proszę, do czego mnie to doprowadziło. Chyba zatem najlepiej rozwiązać



problem Alice teraz, nim będzie za późno. Jak mówił stracharz, musimy myśleć o niewinnych, którzy w przyszłości mogliby ucierpieć.

Pierwszego dnia podróży niewiele ze sobą rozmawialiśmy. Oznajmiłem tylko, że wracamy do Chipenden, żeby zobaczyć się ze stracharzem. Jeśli nawet Alice wiedziała, co ją czeka, nie skarżyła się. Potem, drugiego dnia, gdy zbliżyliśmy się do wioski i dotarliśmy na niższe zbocza wzgórz, zaledwie milę od domu stracharza, powiedziałem jej to, co tkwiło głęboko wewnątrz mnie, co dręczyło mnie od chwili, gdy uświadomiłem sobie, z czego zrobiono placki.

Siedzieliśmy na trawiastym poboczu drogi. Słońce już zaszło, niebo zaczynało ciemnieć.

– Alice, czy zdarza ci się mówić kłamstwa? – spytałem.

– Od czasu do czasu wszyscy kłamią – odparła. – Gdyby tego nie robili, nie byłiby ludźmi. Ale zazwyczaj mówię prawdę.

– A tamtej nocy, gdy siedziałem uwięziony w dole? Kiedy spytałem cię o placki? Mówiłaś, że w domu Lizzie nie było innego dziecka. To prawda?

– Żadnego nie widziałam.

– Pierwsze zaginione było zaledwie niemowlęciem, nie mogło odejść samo. Jesteś pewna?

Alice przytaknęła, po czym skłoniła głowę, wbijając wzrok w trawę.

– Może porwały je wilki? – mruknąłem. – Tak uważali chłopcy z wioski.

– Lizzie mówiła, że widziała wilki w okolicy, to możliwe – przytaknęła Alice.

– Co zatem z plackami, Alice? Co w nich było?

– Głównie łój i kawałki wieprzowiny. A także bułka tarta.

– A krew? Krew zwierzęca na nic by się zdała Mateczce Malkin. Musiała odzyskać siły, tak by móc rozgiąć pręty nad dołem. Skąd zatem wzięła się krew, Alice – krew w plackach?

Alice rozpląkała się. Czekałem cierpliwie, aż skończy i znów

zadałem pytanie.

– No to skąd się wzięła?

– Lizzie mówiła, że wciąż jestem dzieckiem – wyjaśniła Alice. – Często używała mojej krwi, więc jeszcze jeden raz niewiele zmieniał. Nawet tak bardzo nie bolało, w końcu można przywyknąć. A zresztą, w jaki sposób miałam powstrzymać Lizzie?

Powoli podciągnęła rękaw i pokazała mi swoje ramię. Nadal było dość jasno, bym dostrzegł blizny. Było ich mnóstwo – niektóre stare, inne względnie nowe. Najnowsza jeszcze nie zdążyła się zagoić, wciąż coś się z niej sączyło.

– Mam takich więcej. Znacznie więcej. Ale nie mogę ci pokazać – dodała Alice.

Nie wiedziałem, co rzec, toteż milczałem, ale podjąłem już decyzję i wkrótce ruszyliśmy w ciemność, zostawiając za sobą Chipenden.

Postanowiłem zabrać Alice prosto do Staumin, gdzie mieszkała jej ciotka. Nie mogłem znieść myśli, że trafi do dołu w ogrodzie stracharza. Była to zbyt straszna wizja. A poza tym pamiętałem inny dół. Pamiętałem, jak Alice pomogła mi wydostać się z dziury wykopanej przez Kłā, tuż przed tym, jak Koścista Lizzie przysłała po moje kości. Lecz przede wszystkim na moją decyzję wpłynęło to, co mi właśnie powiedziała. Kiedyś ona także była niewinna. Alice także była ofiarą.

Wspięliśmy się na Pikę Parlicka i ruszyliśmy na północ, w stronę Wzgórza Blindhurst, cały czas trzymając się wyżyn.

Podobała mi się myśl o wyprawie do Staumin. Wieś leżała niedaleko wybrzeża, a ja nigdy wcześniej nie widziałem morza, jedynie z daleka, ze szczytów wzgórz. Wybrany przeze mnie szlak nie należał do najkrótszych, lubiłem jednak poznawać nowe tereny i wędrować bliżej słońca. Alice w każdym razie nie uskarżała się.

To była przyjemna podróż. Dobrze się czułem w towarzystwie Alice i po raz pierwszy naprawdę zaczęliśmy rozmawiać. Dużo mnie nauczyła – znała więcej nazw gwiazd niż ja i potrafiła świetnie łapać króliki.

Co do roślin, była specjalistką od rzeczy, o których stracharz dotąd nawet nie wspominał, takich jak wilcza jagoda i mandragora. Nie wierzyłem we wszystko, co mówiła, ale i tak zapisywałem każde słowo, bo uczyła ją sama Lizzie i pomyślałem, że dobrze będzie dowiedzieć się, w co wierzą czarownice. Alice umiała też doskonale rozpoznawać grzyby i odróżniać je od trujących muchomorów, z których niektóre były tak niebezpieczne, że wystarczył jeden kęs, by zatrzymać czyjeś serce albo wpędzić człowieka w obłąd. Miałem ze sobą notes i pod nagłówkiem „Botanika” zapełniłem użytecznymi informacjami trzy strony.

Pewnej nocy, gdy od celu dzielił nas niecały dzień marszu, zatrzymaliśmy się na polanie w lesie. Właśnie upiekliśmy w żarze dwa króliki. Były tak pyszne, że niemal rozplływały się w ustach. Po posiłku Alice zrobiła coś bardzo dziwnego. Odwróciła się do mnie, wyciągnęła rękę i ujęła moją dłoń.

Siedzieliśmy tak bardzo długo. Wpatrywała się w żar, a ja spoglądałem w gwiazdy. Nie chciałem zakłócać tej chwili, ale sam nie wiedziałem, czego pragnę. Obejmowałem jej lewą dłoń moją lewą dłonią i czułem wyrzuty sumienia. Miałem wrażenie, że trzymam za rękę ciemność i wiedziałem, że stracharzowi by się to nie spodobało.

Nie mogłem się oszukiwać, pewnego dnia Alice zostanie czarownicą. I właśnie wtedy zrozumiałem, że mama miała rację. Nie miało to nic wspólnego z prorocstwem, widziałem to w oczach dziewczyny. Zawsze pozostanie gdzieś pomiędzy, ani całkiem dobra, ani całkiem zła. Ale czy tego samego nie można rzec o nas wszystkich? Nikt z nas nie jest doskonały.

Nie cofnąłem zatem ręki, siedziałem tam i jakaś część mnie cieszyła się jej dotykiem, dodającym otuchy po wszystkim, co się stało, podczas gdy drugą część zadręczały wyrzuty sumienia.

W końcu to Alice przerwała milczenie. Cofnęła rękę i dotknęła mojego ramienia w miejscu, gdzie wbiła w ciało paznokcie tamtej nocy, gdy unicestwiliśmy Mateczkę Malkin. W blasku dogasającego ogniska na skórze wyraźnie rysowały się blizny.

– Zostawiłam na tobie moje piętno – oznajmiła z uśmiechem. – Ten znak nigdy nie zniknie.

Pomyślałem, że to dziwna uwaga. Nie do końca byłem pewny, co miała na myśli. W domu znakowaliśmy piętnem bydło, by pokazać do kogo należy i nie dopuścić do mieszania stad z sąsiadami. Ale jak mogłem należeć do Alice?

\*

Następnego dnia zeszliśmy na wielką, płaską równinę – torfowiska wśród grząskich moczarów. Jakoś udało nam się odnaleźć drogę do Staumin. Nie poznałem ciotki Alice, bo nie chciała wyjść i ze mną porozmawiać. Zgodziła się jednak przyjąć dziewczynę, więc nie mogłem narzekać.

W pobliżu płynęła szeroka, bystra rzeka i nim odszedłem do Chipenden, przeszliśmy się jej brzegiem aż do morza. Nie spodobało mi się. Był szary, wietrzny dzień, woda miała ten sam kolor co niebo i falowała gniewnie.

– Będzie ci tu dobrze – powiedziałem, starając się, by zabrzmiało to pogodnie. – Kiedy słońce świeci, musi być bardzo przyjemnie.

– Nie będzie tak źle – odparła Alice. – A na pewno nie gorzej niż w Pendle.

Nagle znów jej pożałowałem. Czasami czułem się samotny, ale przynajmniej mogłem porozmawiać ze stracharzem; Alice nie знаła nawet dobrze swojej ciotki, a wzburzone morze sprawiało, że wszystko wokół wydawało się ponure i zimne.

– Posłuchaj, Alice. Nie sądzę, żebyśmy się jeszcze kiedyś spotkali, ale gdybyś potrzebowała pomocy, spróbuj przesłać mi wiadomość – zaproponowałem.

Przypuszczam, że powiedziałem tak, ponieważ Alice stała mi się osobą bliską, niemal przyjaciółką. Nie była to już lekkomyślna obietnica, jak poprzednia. Nie zobowiązałem się, że zrobię każdą rzecz, o jaką poprosi. Następnym razem najpierw poradzę się stracharza.

Ku memu zdumieniu, Alice uśmiechnęła się i w jej oczach

pojawiło się coś dziwnego. Przypomniało mi się, co mówił kiedyś tato: „Kobiety czasami wiedzą rzeczy nieznanne mężczyznom. A kiedy to podejrzewamy, nie powinniśmy nigdy pytać, o czym myślą”.

– Och, spotkamy się – oznajmiła. – Nie ma co do tego cienia wątpliwości.

– Muszę już iść – odwróciłem się, gotów do drogi.

– Będę za tobą tęsknić, Tom – powiedziała. – Bez ciebie nie będzie już tak samo.

– Ja też będę za tobą tęsknił, Alice – odparłem z uśmiechem.

Gdy wypowiedziałem te słowa, sądziłem, że mówię wyłącznie z grzeczności. Ale wystarczyło dziesięć minut marszu, bym zrozumiał, że się myliłem.

Mówiłem szczerze i już czułem się bardzo samotny.

Większość tej historii opisałem z pamięci, lecz jej fragmenty można znaleźć w moim notatniku i dzienniku. Wróciłem już do Chipenden. Stracharz jest ze mnie zadowolony. Uważa, że czynię spore postępy.

Koścista Lizzie siedzi uwięziona w dole, w którym wcześniej stracharz trzymał Mateczkę Malkin. Pręty zostały wyprostowane, a ona z pewnością nie dostanie ode mnie żadnych placków o północy. Co do Kła, leży pogrzebany w grobie, który wykopał dla mnie.

Biedny Billy Bradley spoczął z powrotem pod kościołem w Leyton, przynajmniej jednak odzyskał swoje kciuki. Wszystko to nie brzmi może przyjemnie, ale taki jest ten fach. Podoba się albo zmykaj, jak mawia mój tato.

Powinienem wspomnieć o czymś jeszcze. Stracharz zgadza się z moją mamą: uważa, że zimy są coraz dłuższe, a ciemność rośnie w siłę. Jest pewien, że nasza praca staje się coraz trudniejsza.

Pamiętając o tym zatem, będę się uczył dalej – jak powiedziała kiedyś mama „nigdy nie wiadomo, do czego jesteście zdolni, póki nie spróbujemy”. Zamierzam zatem spróbować. Zamierzam dołożyć wszystkich sił, bo chcę, by była ze mnie dumna.

Teraz jestem zwykłym uczniem, ale pewnego dnia ja też  
zostanę stracharzem.

Thomas J. Ward

## **TOM 2**

Klątwa z przeszłości

The Spook's Curse

# ROZDZIAŁ 1

## ROZPRUWACZ Z HORSHAW

Kiedy usłyszałem pierwszy krzyk, odwróciłem się i zatkałem dłońmi uszy, naciskając tak mocno, że rozboleła mnie głowa. Na razie w żaden sposób nie mogłem pomóc. Wciąż słyszałem krzyki cierpiącego księdza; minęło dużo czasu, nim w końcu ucichły

Czekałem, dygocząc w ciemnej stodole, słuchając bębnienia deszczu o dach i próbując zebrać się na odwagę. To była paskudna noc, wkrótce zaś miała stać się jeszcze gorsza.

W dziesięć minut później, kiedy zjawili się kopacz z pomocnikiem, wybiegłem im na spotkanie. W drzwiach stanęło dwóch rosłych mężczyzn, którym sięgałem najwyżej do ramienia.

– I co, chłopcze, gdzie pan Gregory? – spytał kopacz, w jego głosie dosłyszałem nutkę zniecierpliwienia. Uniósł trzymaną w dłoni lampę i rozejrzał się podejrzliwie. Oczy miał bystre i inteligentne, zresztą obaj sprawiali wrażenie ludzi trzeźwych i rozsądnych.

– Nie najlepiej z nim – odparłem, starając się opanować zdenerwowanie, od którego głos trząsał mi się i załamywał. – Tydzień temu zmogła go gorączka, toteż przysłał mnie w zastępstwie. Jestem Tom Ward. Jego uczeń.

Kopacz zmierzył mnie szybko wzrokiem, niczym grabarz oceniający potencjalnego nieboszczyka. Potem uniósł jedną brew, tak wysoko, że zniknęła pod rąbkiem czapki, z której wciąż ściekały krople deszczu.

– Cóż, panie Ward – jego głos przesiąknięty był sarkazmem. – Czekamy zatem na twe instrukcje.

Wsunąłem lewą dłoń do kieszeni portek i wyciągnąłem szkic, wykonany przez kamieniarza. Kopacz odstawił lampę na ubitą ziemię, pokręcił głową ze znudzoną miną i zerknąwszy na swego

towarzysza, odebrał ode mnie rysunek.

Kamieniarz opisał dokładnie wymiary dołu, który należało wykopać, a także kamienia, który miał go przykryć.

Po kilku chwilach kopacz ponownie pokręcił głową i ukląkł obok lampy, przysuwając do niej kartkę. Kiedy znów się podniósł, marszczył brwi.

– Dół powinien mieć dziewięć stóp głębokości – rzekł. – Tu jest napisane sześć.

Faktycznie znał się na robocie. Standardowy dół bogina ma sześć stóp głębokości, lecz w przypadku rozpruwacza, najniebezpieczniejszego ze wszystkich, dziewięć stóp to norma. Z całą pewnością mieliśmy tu do czynienia z rozpruwaczem – dowodziły tego krzyki księdza – brakowało jednak czasu na głębsze kopanie.

– Będzie musiało wystarczyć – oznajmiłem. – Trzeba to zrobić do rana, inaczej nie zdążymy i ksiądz umrze.

Do tej chwili widziałem przed sobą dwóch potężnych mężczyzn w ciężkich buciorach, promieniujących pewnością siebie. Teraz nagle zrzędy im miny. Z mojego listu, wzywającego ich do stodoły, znali całą sytuację. Podpisałem się nazwiskiem stracharza, by mieć pewność, że przybędą bez zwłoki.

– Na pewno wiesz, co robisz, chłopcze? – spytał kopacz. – Dasz sobie radę?

Spojrzałem mu prosto w oczy, starając się nie mrugnąć.

– Na razie nieźle sobie radzę – oznajmiłem. – Zatrudniłem najlepszego kopacza i pomocnika w całym Hrabstwie.

Najwyraźniej powiedziałem to, co trzeba, bo twarz kopacza rozjaśnił szeroki uśmiech.

– Kiedy dostarczą kamień? – spytał.

– Jeszcze przed świtem, kamieniarz przywiezie go osobiście. Musimy być gotowi.

Kopacz przytaknął.

– W takim razie niech pan prowadzi, panie Ward. Proszę pokazać, gdzie mamy kopać.



Tym razem w jego głosie nie dosłyszałem sarkazmu. Przemawiał spokojnie, rzeczowo. Chciał jak najszybciej załatwić całą sprawę. Wszyscy pragnęliśmy tego samego i nie mieliśmy zbyt wiele czasu, toteż naciągnąłem kaptur i trzymając w lewej dłoni kij stracharza poprowadziłem ich na dwór. Siąpiła zimna, gęsta mżawka.

Na zewnątrz czekał dwukołowy wóz, ze sprzętem ukrytym pod nieprzemakalną płachtą. Cierpliwy koń stał spokojnie między dyszlami, parując w deszczu.

Przeszliśmy przez błotniste pole i dalej, do miejsca, gdzie tarninowy żywopłot rósł rzadziej pod gałęziami starego dębu, na granicy cmentarza. Dół miał powstać blisko poświęconej ziemi, ale nie nazbyt blisko. Od najbliższych nagrobków dzieliło nas zaledwie dwadzieścia kroków.

– Wykopcie dół, jak najbliżej zdołacie – wskazałem ręką pień drzewa.

Wcześniej wiele razy ćwiczyłem kopanie dołów pod czujnym okiem stracharza i w razie konieczności sam mogłem to zrobić. Ci mężczyźni jednak byli fachowcami i pracowali szybko.

Kopacz i jego pomocnik wrócili po narzędzia, a ja tymczasem precyzyjnie przeszedłem przez żywopłot i wymijając nagrobki ruszyłem w stronę starego kościoła. Nie był najlepiej utrzymany – dostrzegłem liczne braki wśród dachówek, a ścian nie malowano od lat. Pchnięciem otworzyłem boczne drzwi, które ustąpiły z jękiem i skrzypieniem.

Stary ksiądz wciąż leżał w tej samej pozycji, na wznak, obok ołtarza. Zapłakana kobieta klęczała na podłodze, tuż przy jego głowie. Jediną różnicę stanowił fakt, że obecnie wewnątrz kościoła jaśniało od świateł. Kobieta zabrała z zakrystii cały zapas świec i zapaliła je wszystkie. Było ich co najmniej sto, ustawionych w grupkach po pięć czy sześć. Rozmieściła je na ławkach, na podłodze i parapetach, lecz większość płonęła na ołtarzu.

Gdy zamykałem drzwi, do środka wtargnął wiatr i wszystkie płomyki zamrugały jednocześnie. Kobieta uniosła głowę, twarz

miała mokrą od łez.

– On umiera – w jej głębokim głosie dźwięczał ból. – Dlaczego to trwało tak długo?

Dotarłem do kościoła dopiero w dwa dni po tym, jak otrzymaliśmy w Chipenden wiadomość. Od Horshaw dzieliło nas trzydzieści mil, a poza tym nie wyruszyłem od razu. Z początku stracharz, wciąż zbyt chory, by wstać z łóżka, nie chciał się zgodzić, bym poszedł tam sam.

Nigdy nie posyłał do pracy uczniów, których nie szkolił co najmniej rok, ja natomiast dopiero co skończyłem trzynaście lat i zostałem jego uczniem niecałe pół roku wcześniej. Fach stracharza jest trudny i niebezpieczny. Często wiąże się z kontaktami z, jak to nazywamy, „mrokiem”. Od pół roku uczyłem się, jak sobie radzić z wiedźmami, duchami, boginami i stworami nocy. Ale czy byłem gotów?

Był tu bogin, którego należało uwięzić. Zazwyczaj to dość proste zadanie. Dwa razy przyglądałem się, jak robi to stracharz. Za każdym razem wynajmował fachowców i wszystko szło jak należy. Ale tym razem sytuacja wyglądała nieco inaczej. Istniały pewne komplikacje.

Bo widzicie, ksiądz był rodzonym bratem stracharza. Spotkałem go już wcześniej, gdy wiosną odwiedziliśmy Horshaw. Patrzył na nas gniewnie i ze wściekłą miną zakreślił w powietrzu wielki znak krzyża. Stracharz nie zerknął nawet w jego stronę. Niewiele ich łączyło, nie rozmawiali ze sobą od ponad czterdziestu lat. Ale rodzina to jednak rodzina i dlatego w końcu posłał mnie do Horshaw.

– Księża! – parsknął gniewnie. – Czemu nie trzymają się rzeczy, na których się znają? Dlaczego zawsze muszą się wtrącać? Co on sobie myślał, próbując poskromić rozpruwacza? Chcę tylko robić swoje i wolałbym, by inni postępowali tak samo.

W końcu uspokoił się i przez kilka godzin instruował mnie dokładnie, wyjaśniając, co mam zrobić. Podał mi nazwiska, a także adresy kopacza i kamieniarza, których powinienem zatrudnić.

Wymienił także doktora, upierając się, że tylko jemu mogę zaufać. Kolejna trudność: doktor mieszkał dość daleko. Musiałem posłać mu wiadomość i mogłem tylko mieć nadzieję, że natychmiast wyruszy w drogę.

Spojrzałem na kobietę, delikatnie ocierającą szmatką czoło księdza. Jego związane z tyłu tłuste, siwe włosy odsłaniały twarz. Oczy poruszały się niezdolnie, płonęła w nich gorączka. Nie miał pojęcia, że kobieta zamierza wezwać na pomoc stracharza. Gdyby wiedział, z pewnością by zaprotestował, toteż uznałem, iż lepiej, że mnie nie widzi.

Po policzkach kobiety spływały łzy, migocząc w blasku świateł. Była jego gospodynią, nie należała nawet do rodziny i pamiętam, że pomyślałem, iż musiał naprawdę dobrze ją traktować, skoro tak bardzo to nią wstrząsnęło.

– Medyk wkrótce się zjawi – powiedziałem – i poda mu coś, co złagodzi ból.

– Całe życie przeżył w bólu – odparła. – Ja też źle mu się przysłużyłam, sprawiłam, że boi się śmierci. To grzesznik i wie, dokąd trafi.

Kimkolwiek był i cokolwiek zrobił, stary ksiądz nie zasłużył sobie na taki los. Nikt na niego nie zasługiwał. Niewątpliwie był odważnym człowiekiem – albo może bardzo głupim. Gdy bogin zaczął szaleć, ksiądz próbował rozprawić się z nim, posługując się narzędziami swego fachu: dzwonkiem, świecą i księgą. To jednak nic nie daje w starciu z mrokiem. W zwykłych okolicznościach nie miałyby to znaczenia, bo bogin po prostu zlekceważyłby księdza i jego egzorcyzmy i w końcu sam się wyniósł. Wówczas, jak to często bywa, kapłan przypisałby sobie całą zasługę.

Jednak trafił na najniebezpieczniejszy rodzaj bogina, z jakim mamy do czynienia. Zwykle nazywamy je rozpruwaczami bydła z powodu tego, czym się żywią. Kiedy jednak ksiądz się wtrącił, sam stał się ofiarą bogina. Teraz bogin stał się prawdziwym rozpruwaczem, rozsmakowanym w ludzkiej krwi. Ksiądz będzie miał szczęście, jeśli zdoła ująć z życiem.

W kamiennej posadzce ziało pęknięcie, zygzakowata szczelina biegnąca od stóp ołtarza do miejsca trzy kroki za księdzem. W najszerszym miejscu liczyła sobie niemal pół piędzi szerokości. Strzaskawszy posadzkę, bogin złapał starego księdza za stopę i aż po kolano wciągnął jego nogę pod ziemię. Teraz, ukryty w ciemności, wysysał jego krew, powolutku wysączając z niego życie. Był niczym wielka, tłusta pijawka, jak najdłużej utrzymująca przy życiu ofiarę, by przedłużyć własną rozkosz.

Wiedziałem, że niezależnie od tego, co zrobię, ksiądz nie ma zbyt dużych szans. Tak czy inaczej musiałem uwięzić bogina. Teraz, gdy napił się ludzkiej krwi, nie zadowoli go rozszarpywanie krów.

– Uratuj go, jeśli zdołasz – powiedział stracharz, gdy szykowałem się do drogi. – Ale cokolwiek się stanie, przede wszystkim rozpraw się z boginem. To twój najważniejszy obowiązek.

\*

Sam także zacząłem się szykować.

Pozostawiając pomocnikowi kopanie, wraz z kopaczem wróciliśmy do stodoły. Dobrze wiedział, co robić: najpierw nalał wody do dużego cebrzyka, który przynieśli ze sobą. Oto zaleta pracy z doświadczonymi ludźmi – sami dostarczają ciężki sprzęt. To był solidny cebrzyk zrobiony z drewna złączonego metalowymi obręczami, wystarczająco duży nawet na dwunastostopowy dół.

Napełniwszy cebrzyk wodą do połowy, kopacz zaczął sypać do środka brązowy proszek z dużego worka, który przywiózł na swym wózku. Robił to powoli, cały czas mieszając tęgim kijem.

Wkrótce mieszanie stało się ciężką pracą, bo mikstura w cebrzyku zamieniała się stopniowo w ciemną, coraz gęściejszą maź. W dodatku cuchnęła jak coś martwego od tygodni – i nie dziwota, główny składnik proszku stanowiła mączka kostna.

W efekcie powstawał bardzo mocny klej. Im dłużej kopacz go mieszał, tym bardziej dyszał i się pocił. Stracharz zawsze sam mieszał klej i mnie także kazał pilnie ćwiczyć, teraz jednak

mieliśmy mało czasu, a kopacz dysponował niezbędnymi mięśniami. Wiedząc to, niepytany wziął się do roboty.

Kiedy klej był gotowy, zacząłem dodawać do niego opiłki żelaza i sól ze znacznie mniejszych worków, które przyniosłem ze sobą. Mieszałem powoli, tak by dokładnie rozprowadzić je w miksturze. Żelazo jest niebezpieczne dla bogina, bo potrafi wysączyć z niego siłę, natomiast sól go parzy. Gdy bogin raz znajdzie się w dole, już w nim pozostanie, bo spodnią część kamienia i ściany wykopu pokrywa gruba warstwa mikstury. Przez to stwór musi stać się mały i zostać tam na zawsze. Oczywiście pozostaje jeszcze problem zwabienia bogina do dołu.

Na razie jednak nie myślałem o tym. W końcu obaj zrobiliśmy, co trzeba. Klej był gotowy.

\*

Ponieważ pomocnik kopacza jeszcze nie skończył, nie miałem nic do roboty. Mogłem tylko czekać na medyka na wąskiej, krętej drodze, prowadzącej do Horshaw.

Deszcz przestał padać, powietrze trwało w bezruchu. Był późny wrzesień i pogoda zaczynała się już pogarszać. Wkrótce czekał nas nie tylko deszcz, dochodzące z zachodu pierwsze pomruki burzy zaniepokoiły mnie na dobre. Po jakichś dwudziestu minutach usłyszałem odległy tętent kopyt. Zza zakrętu wyłonił się doktor, pędzący, jakby ścigały go wszystkie ogary piekieł. Galopował ku mnie, a płaszcz łopotał mu za plecami.

Trzymałem w ręce laskę stracharza, toteż nie musiałem się przedstawiać, a poza tym doktor jechał tak szybko, że przez dobrą chwilę nie mogłem złapać tchu. Pozdrowiłem go zatem skinieniem dłoni, a on pozostawił spienionego konia, skubiącego długą trawę przed kościołem i ruszył za mną do bocznych drzwi. Otworzyłem je przed nim na znak szacunku, przepuszczając go pierwszego.

Tato nauczył mnie okazywać szacunek wszystkim, bo dzięki temu oni także będą mnie szanować. Nie znałem tego doktora, lecz stracharz upierał się przy nim, więc wiedziałem, że musi być dobry. Nazywał się Sherdley, w ręku trzymał czarną, skórzaną

torbę. Sprawiała wrażenie niemal równie ciężkiej, jak torba stracharza, którą przyniosłem z Chipenden i zostawiłem w stodole. Postawił ją na ziemi jakieś sześć stóp od pacjenta i nie zwracając uwagi na gospodynię, wciąż szlochającą cicho, zaczął go badać.

Stałem tuż za nim, nieco z boku, by jak najlepiej wszystko widzieć. Doktor ostrożnie podciągnął czarną sutannę księdza, odsłaniając nogi.

Prawa była chuda, biała i niemal bezwłosa. Lecz lewa, ta, którą złapał bogin, napuchła i poczerwieniała. Wyraźnie widziałem spęczniałe fioletowe żyły, stopniowo ciemniejące, im bliżej szerokiej szczeliny w podłodze.

Doktor pokręcił głową i powoli wypuścił powietrze. Potem przemówił do gospodyni tak cicho, że ledwie go usłyszałem.

– Trzeba ją będzie odciąć. To jego jedyna szansa.

Na te słowa po policzkach kobiety znów popłynęły łzy. Doktor spojrział na mnie, wskazując ręką drzwi. Gdy znaleźliśmy się na dworze, oparł się o mur i westchnął.

– Ile jeszcze czasu potrzebujesz? – spytał.

– Mniej niż godzinę, doktorze – odparłem. – Ale to zależy od kamieniarza. Osobiście przywiezie mi kamień.

– Jeśli to potrwa dłużej, stracimy go. Po prawdzie i tak ma niewielkie szanse. Nie mogę nawet podać mu niczego na ból, bo jego ciało nie zniesie dwóch dawek, a będę musiał znieczulić go przed samą amputacją. Nawet wtedy wstrząs może go zabić. A fakt, iż natychmiast po zabiegu trzeba go przenieść, jeszcze pogarsza sprawę.

Wzruszyłem ramionami. Wolałem o tym nie myśleć.

– Wiesz dokładnie, co trzeba zrobić? – Doktor uważnie patrzył mi w oczy.

– Pan Gregory wszystko mi wyjaśnił – starałem się mówić pewnym siebie tonem. W istocie stracharz dokładnie tłumaczył mi co i jak ze dwadzieścia razy. Potem kazał mi wszystko powtarzać, raz po raz, aż w końcu upewnił się, że pamiętam każdy szczegół.

– Jakies piętnaście lat temu mieliśmy do czynienia z podobnym

przypadkiem – oznajmił medyk. – Robiliśmy, co w naszej mocy, ale tamten człowiek i tak umarł, a był młodym farmerem, silnym jak pies rzeźnika, zdrowym i rześkim. Trzymajmy kciuki. Czasami starsi okazują się znacznie twardsi niż podejrzewamy.

Po tych słowach zapadła długa cisza. W końcu przerwałem ją, by zadać pytanie, które nie dawało mi spokoju.

– Wie pan zatem, że będę potrzebował trochę jego krwi?

– Nie ucz ojca dzieci robić – warknął doktor, po czym uśmiechnął się ze znużeniem i wskazał ręką dróżkę, wiodącą do Horshaw. – Kamieniarz już jedzie. Lepiej bierz się do roboty. Resztę możesz zostawić mnie.

Wyteżyłem słuch i usłyszałem odległy turkot kół. Przebiegłem szybko między nagrobkami, żeby sprawdzić, jak idzie kopaczom.

Dół był gotowy, a mężczyźni zdążyli już zmontować pod drzewem drewnianą platformę. Pomocnik kopacza wspiał się na pień i mocował właśnie bloczek do solidnej gałęzi. Ze zrobionego z żelaza urządzenia, wielkości pięści dorosłego mężczyzny, zwiślały łańcuchy i wielki hak. Będzie nam potrzebny, by dźwignąć kamień i dokładnie go ustawić.

– Kamieniarz już jest – oznajmiłem.

Obaj mężczyźni natychmiast rzucili wszystko i poszli za mną w stronę kościoła.

Teraz na ulicy czekał już kolejny koń, zaprzężony do wózka, na którym leżał kamień. Jak dotąd wszystko szło dobrze, lecz kamieniarz minę miał nietęgą i unikał mojego wzroku. Nie tracąc czasu, poprowadziliśmy wózek okrężną drogą do bramy, wiodącej na pole.

Gdy dotarliśmy pod drzewo, kamieniarz wsunął hak w pierścień pośrodku kamienia i razem dźwignęliśmy go z wózka. Przyszłość miała pokazać, czy będzie pasował do dołu. Z całą pewnością pierścień zamocowano jak należy, bo kamień wisiał poziomo na łańcuchu, idealnie wyważony.

Opuściliśmy go powoli dwa kroki od krawędzi dołu. I wtedy kamieniarz przekazał mi złe wieści.

Jego najmłodsza córka ciężko zachorowała na gorączkę, tę samą, która przetoczyła się przez całe Hrabstwo i przykuła stracharza do łóżka. Żona czuwała przy niej i kamieniarz musiał natychmiast wracać.

– Przykro mi – rzekł, po raz pierwszy patrząc mi prosto w oczy.  
– Ale zrobiłem wszystko jak należy i nie będziesz miał problemów z kamieniem. Daję słowo.

Uwierzyłem mu. Zrobił, co mógł, rzucił wszystko, by ociosać kamień, choć przecież wolałby zostać przy córce. Zapłaciłem mu zatem i wyprawilem w drogę, dziękując w imieniu stracharza i swoim własnym, a także życząc wiele zdrowia córce.

Potem zająłem się własną robotą. Kamieniarze to fachowcy nie tylko w ciosaniu kamieni, ale też w ich układaniu, wolałbym więc, by został, na wypadek gdyby coś poszło nie tak. Jednak kopacz i jego pomocnik świetnie znali się na swej pracy. Musiałem tylko zachować spokój i uważać, by nie popełnić jakiegoś głupiego błędu.

Najpierw należało pokryć szybko klejem ściany dołu i spodnią część kamienia, tuż przed tym, nim opuścimy go na miejsce.

Wskoczyłem do dołu i za pomocą pędzla, w blasku lampy, którą przyświecał mi pomocnik kopacza, wziąłem się do pracy. Musiałem bardzo uważać – nie mogłem sobie pozwolić na pominięcie choćby najmniejszego skrawka dołu, bo to wystarczyłoby, żeby bogin uciekł. Fakt zaś, iż dół miał zaledwie sześć stóp miast zwyczajowych dziewięciu sprawił, iż musiałem zachować wyjątkową ostrożność.

Mikstura natychmiast łączyła się z ziemią – i dobrze, bo oznaczało to, że nie popęka i nie odpadnie, gdy latem gleba zacznie wysychać. Miało to jednak także wadę: trudno było ocenić, ile nałożyć, by na ścianie pozostała dość gruba warstwa. Stracharz mówił, że to umiejętność, która przychodzi z czasem. Do tej pory zawsze sam sprawdzał moją pracę i w razie potrzeby dokonywał ostatecznych poprawek. Teraz musiałem zrobić wszystko sam. Po raz pierwszy.

Po dłuższym czasie dźwignąłem się z dziury i zająłem jej



krawędziami. Ostatnie trzynaście cali – tyle właśnie liczył sobie kamień – było większe i szersze niż sam dół, tworząc półkę. Miała na niej spocząć pokrywa, nie pozostawiając nawet najdrobniejszej szczeliny, przez którą mógłby prześliznąć się bogin. Musiałem szczególnie się przyłożyć, bo właśnie tu kamień miał połączyć się z ziemią.

Kiedy skończyłem, niebo przecięła błyskawica, po paru sekundach zagrzmiało. Burza dotarła już niemal nad nasze głowy.

Wróciłem do stodoły, by wyjąć z torby coś ważnego. Stracharz nazywał to zanęczaczem. Zrobiona z metalu miska została specjalnie przystosowana do swego zadania. Tuż przy krawędzi, w równych odstępach, wywiercono w niej trzy niewielkie otworki. Zabrałem ją, wypolerowałem rękawem i pobiegłem do kościoła powiedzieć doktorowi, że jesteśmy gotowi.

Gdy otworzyłem drzwi, nozdrza wypełniła mi ostra woń smoły. Po lewej stronie ołtarza płonął niewielki ogień. Nad nim, na metalowym trójnogu wisiał kociołek z bulgoczącą głośno zawartością. Doktor Sherdley zamierzał użyć smoły, by powstrzymać krwawienie, pokrycie nią kikuta miało także zapobiec późniejszemu gniciu rany.

Uśmiechnąłem się do siebie, widząc, skąd wziął drewno. Na dworze było mokro, toteż sięgnął po jedyną dostępną suchą podpałkę: porąbał jedną z kościelnych ławek. Bez wątpienia ksiądz się nie ucieszy, ale być może uratuje mu to życie. A zresztą leżał teraz nieprzytomny, oddychając bardzo głęboko i miał pozostać w tym stanie przez kilkanaście godzin, zanim przestanie działać podana mu mikstura.

Ze szczeliny w posadzce dobiegały odgłosy posilającego się bogina. Paskudnie mlaszcząc i cmokając, wysysał krew z nogi, zbyt zajęty, by się zorientować, że jesteśmy tuż obok i zamierzamy zakończyć jego posiłek.

Nie odzywaliśmy się. Skinąłem tylko głową, a doktor odpowiedział tym samym. Wręczyłem mu głęboką metalową misę, by zebrał w nią potrzebną mi krew, on zaś wyjął ze swej torby

małą piłę i przyłożył jej zimne, błyszczące zęby do kości tuż pod kolanem księdza.

Gospodyni wciąż klęczała w tej samej pozycji, teraz jednak mocno zaciskała powieki i mamrotała coś do siebie. Zapewne modliła się i widać było wyraźnie, że na nic się nie przyda, toteż z dreszczem ukląkłem obok doktora. Pokręcił przecząco głową.

– Nie ma potrzeby, żebyś to oglądał. Bez wątpienia w przyszłości zobaczysz znacznie gorsze rzeczy, ale nie musi to być teraz. Idź, chłopcze, wracaj do swojej pracy. Sam się tym zajmę. Przyślij tylko tamtych dwóch, by pomogli mi wsadzić go na wóz, kiedy skończę.

Choć zaciskałem zęby, gotów znieść najgorsze, nie musiał powtarzać mi dwa razy. Przepelniony ulgą wróciłem do dołu. Nim jeszcze do niego dotarłem, powietrze przeszył głośny krzyk, po którym nastąpił rozpaczliwy płacz. Lecz to nie ksiądz płakał, on był nieprzytomny. Głos należał do gospodyni.

Kopacz i jego pomocnik zdążyli już z powrotem unieść kamień i krzatali się przy nim, czyszcząc go z błota. Kiedy wrócili do kościoła, by pomóc lekarzowi, zanurzyłem pędzel w resztkach mikstury i dokładnie pokryłem nią spodnią część kamienia.

Nie zdążyłem nawet przyjrzeć się swojej pracy, bo pomocnik wrócił biegiem. Za nim, znacznie wolniej, maszerował kopacz. W rękach, bardzo ostrożnie, niósł pełną krwi misę. Zanęczacz stanowił niezwykle istotny element wyposażenia. Stracharz miał w Chipenden spory zapas podobnych misek, wykonanych dokładnie według jego instrukcji.

Wyjąłem z torby długi łańcuch. Do pierścienia na jednym końcu zamocowano trzy krótkie łańcuszki, każdy zakończony małym, metalowym haczykiem. Wcisnąłem haczyki do trzech otworów na obrzeżach miski.

Kiedy uniosłem łańcuch, zanęczacz zawisł w powietrzu, idealnie wyważony. Nie trzeba było szczególnych umiejętności, by opuścić go na dno dołu i bardzo ostrożnie postawić pośrodku.

Nie, umiejętności wymagało uwolnienie trzech haczyków.

Trzeba było bardzo ostrożnie poluzować łańcuszki, tak by haczyki wysunęły się z dziurek, nie przewracając miski i nie rozlewając krwi.

Ćwiczyłem tę czynność w domu całymi godzinami i mimo mocnego zdenerwowania zdołałem uwolnić je za pierwszym podejściem.

Teraz pozostawało już tylko czekać.

\*

Jak już wspominałem, rozpruwacze to najniebezpieczniejsze z boginów, ponieważ żywią się krwią. Zwykle wykazują się bystrością i wielką przebiegłością. Lecz kiedy się posilają, myślą bardzo wolno i potrzebują dużo czasu, by zorientować się w sytuacji.

Amputowana noga wciąż tkwiła w szczelinie w kościelnej posadzce i bogin z zacięciem wysysał z niej krew. Czynił to jednak bardzo powoli, by starczyło na długo. Tak właśnie postępuje rozpruwacz – cmokta i ssie, nie myśląc o niczym innym, póki w końcu nie zaczyna dostrzegać, że do jego paszczy dociera coraz mniej i mniej krwi. Pragnie jej więcej, lecz krew miewa różne smaki i zapachy, a jemu odpowiada smak tego, co właśnie pił. Bardzo mu odpowiada.

Bogin chciał zatem dostać więcej i kiedy już dostrzegł, że resztę ciała odłączono od nogi, wyruszył w pościg. Dlatego właśnie kopacze musieli wsadzić księdza na wóz. Do tej pory doktor dotarł już do Horshaw i każde uderzenie kopyt niosło ich coraz dalej od rozwścieczonego bogina, łaknącego księżej krwi.

Rozpruwacz jest jak ogar – doskonale orientuje się, dokąd zabrano jego ofiarę, a także, że z każdą chwilą oddala się ona coraz bardziej i bardziej. A potem czuje coś jeszcze. Ze gdzieś w pobliżu może znaleźć dokładnie to, czego potrzebuje.

Dlatego właśnie postawiłem miskę na dnie dołu. Dlatego właśnie nazywamy ją zanęczaczem. To przynęta, mająca zwabić rozpruwacza w pułapkę. Gdy się tam znajdzie i zacznie pić, będziemy musieli działać szybko. Nie stać nas na najmniejszy

nawet błąd.

Uniosłem wzrok. Pomocnik czuwał na platformie z ręką na krótkim łańcuchu, gotów do opuszczenia kamienia. Kopacz stanął naprzeciwko mnie, z ręką na kamieniu, gotowy, by go ustawić. Żaden z nich nie sprawiał wrażenia wystraszonego, nie byli nawet zdenerwowani i nagle ich obecność przepełniła mnie otuchą. Oto ludzie, którzy dobrze wiedzą, co robią. Każdy z nas odgrywał swoją rolę, każdy z nas robił to, co trzeba i to jak najszybciej. Świadomość ta sprawiła, że poczułem się lepiej. Poczułem się częścią czegoś większego.

W milczeniu czekaliśmy na bogina.

\*

Po kilku minutach usłyszałem, jak nadchodzi. Z początku brzmiał jak wiatr świszczący wśród drzew.

Ale to nie był wiatr, bo powietrze wciąż trwało w bezruchu. Księżyc świecący w wąskiej szczelinie pomiędzy krawędzią burzowych chmur i horyzontem rzucał blade światło, które wzmacniało jeszcze blask naszych lamp.

Oczywiście kopacz i jego pomocnik niczego nie słyszeli, nie byli przecież siódmymi synami siódmych synów, jak ja. Musiałem zatem ich ostrzec.

– Już tu zmierza – oznajmiłem. – Powiem wam, jak będzie.

Odgłosy zbliżającego się bogina stawały się głośniejsze, przenikliwe, bliskie krzyku. Słyszałem też coś jeszcze: coś w rodzaju niskiego, głębokiego pomruku. Szybko przesunął się ponad cmentarzem, zmierzając wprost w stronę pełnej krwi miski na dnie dołu.

W odróżnieniu od zwykłego bogina rozpruwacz jest czymś więcej niż duchem, zwłaszcza gdy właśnie się pożywi. Mimo to większość ludzi nadal go nie dostrzega, choć jeśli pochwyci ich ciało czują go, bez dwóch zdań.

Nawet ja niewiele widziałem – bezkształtną, różowawoczerwoną plamę. Poczułem ruch w powietrzu blisko twarzy i bogin znalazł się w dole.

– Teraz – powiedziałem do kopacza, który z kolei skinął głową na swojego pomocnika. Ten zacisnął palce na krótkim łańcuchu. Nim jeszcze pociągnął, z dołu dobiegły nowe odgłosy. Tym razem słyszeliśmy je wszyscy. Zerknąłem szybko na moich towarzyszy i dostrzegłem, jak ich oczy otwierają się szeroko, a usta zaciskają ze strachu przed tym, co znalazło się u naszych stóp.

Dźwięki, które słyszeliśmy, wydawał bogin, pijący z miski. Przypominały łakome mlaskanie potwornego języka połączone z drapieżnym parskaniem i cmokaniem wielkiego, drapieżnego zwierzęcia. Mieliśmy niecałą minutę. Za chwilę bogin skończy i wyczuje naszą krew. Raz już skosztował ludzkiej krwi i każdy z nas mógł stać się jego kolejnym posiłkiem.

Pomocnik zaczął poluzowywać łańcuch, kamień opuszczał się powoli. Ja ustawiałem go z jednej strony, kopacz z drugiej. Jeśli dobrze wykopali dziurę, a kamień jest dokładnie takiej wielkości i kształtu jak ten na rysunku, nie powinno być problemów. Tak przynajmniej powtarzałem sobie w duchu. Wciąż jednak myślałem o ostatnim uczniu stracharza, biednym Billym Bradleyu, który zginął, próbując uwięzić podobnego bogina. Kamień zaklinował się wówczas, przyciskając mu palce. Nim zdołali go dźwignąć, bogin wgryzł się w nie i wyssał mu krew. Później Billy zmarł od wstrząsu. I choć bardzo się starałem, nie potrafiłem uwolnić się od myśli o nim.

Najważniejsze to od razu nakryć dół kamieniem – i oczywiście nie przytrzasnąć sobie palców.

Kopacz kierował wszystkim, wykonując robotę kamieniarza. Na jego sygnał łańcuch z kamieniem wiszącym ułamek cala nad dołem zatrzymał się. Mężczyzna spojrzał na mnie z surową miną i uniósł prawą brew. Zerknąłem w dół i odrobinę przesunąłem swój koniec kamienia, tak by znalazł się w idealnej pozycji. Raz jeszcze sprawdziłem, upewniając się, czy wszystko jest w porządku, po czym skinąłem głową. Kopacz dał znak swemu pomocnikowi.

Kilka obrotów błoćka i kamień za pierwszym razem opadł na miejsce, więżąc bogina w dole. Stwór wrzasnął gniewnie i wszyscy

usłyszeliśmy jego krzyk. Nie miało to jednak znaczenia; tkwił już w pułapce i nie musieliśmy się go obawiać.

– Dobra robota! – krzyknął pomocnik. Zeskoczył z platformy, uśmiechnięty od ucha do ucha. – Pasuje idealnie.

– Ano – kopacz zazartował sobie cierpko. – Zupełnie jak zrobiony na zamówienie.

Poczułem ogromną ulgę. Cieszyłem się, że już po wszystkim. I wtedy, gdy grzmot wstrząsnął ziemią, a nad naszymi głowami rozbłysła błyskawica i oświetliła kamień, po raz pierwszy zobaczyłem, co wrył w nim kamieniarz. Nagle ogarnęła mnie duma.

âI Ward

Duża grecka litera beta przecięta ukośną linią oznaczała, że pod kamieniem spoczywa bogin. Pod nią, po prawej, rzymska cyfra jeden informowała, że to niebezpieczny bogin pierwszego rzędu. W sumie istniało dziesięć rzędów, istoty od pierwszego do czwartego mogły zabić człowieka.

Poniżej widniało moje nazwisko – Ward – świadczące o tym, co zrobiłem.

Właśnie uwięziłem mojego pierwszego bogina. I w dodatku rozpruwacza!

## **ROZDZIAŁ 2**

### **PRZESZŁOŚĆ STRACHARZA**

Dwa dni później, już w Chipenden, stracharz kazał mi opowiedzieć o wszystkim, co zaszło. Kiedy skończyłem, polecił, bym wszystko powtórzył. Potem podrapał się po brodzie i westchnął głęboko.

– Co mówił doktor o moim głupkowskim bracie? Spodziewa się, że wyzdrowieje?

– Mówił, że najgorsze już chyba minęło, ale było jeszcze zbyt wcześnie, by cokolwiek stwierdzić.

Stracharz z namysłem pokiwał głową.

– Cóż, chłopcze, dobrze się spisałeś – rzekł. – Nie widzę niczego, co mogłeś zrobić lepiej. Do końca dnia masz wolne, ale nie pozwól, by duma uderzyła ci do głowy. Jutro wracamy do normalnych zajęć. Po takiej podniecie musisz znów przywyknąć do zwyczajnej pracy.

Następnego dnia od rana wziął mnie w obroty. Lekcje zaczęły się wkrótce po świcie i obejmowały coś, co nazywał „zajęciami praktycznymi”. Choć uwięziłem już prawdziwego bogina, nadal kazał mi szykować ćwiczebne doły.

– Naprawdę muszę wykopać jeszcze jeden dół? – spytałem ze znużeniem.

Stracharz posłał mi miażdżące spojrzenie. Zakłopotany, spuściłem wzrok.

– Uważasz, że jesteś już ponad to, chłopcze? No cóż, nie jesteś, więc nie wbijaj się w dumę. Wciąż musisz się wiele nauczyć. Owszem, uwięziłeś swojego pierwszego bogina, ale miałeś dobrych pomocników. Któregoś dnia być może sam będziesz musiał wykopać dół i zrobić to szybko, by ocalić komuś skórę.

Kiedy dół był już gotowy i pokryty miksturą z solą i żelazem, musiałem ćwiczyć opuszczanie zanęcacza bez rozlania choćby kropli krwi. Oczywiście, podczas ćwiczeń zamiast niej używaliśmy wody, lecz stracharz traktował to zajęcie bardzo poważnie i zazwyczaj irytował się, jeśli nie udało mi się za pierwszym razem. Tego dnia jednak nie miał okazji. W Horshaw mi się udało i równie dobrze spisałem się na ćwiczeniach – dziesięć razy pod rząd. Mimo to stracharz nawet mnie nie pochwalił i zaczynałem odczuwać lekką irytację.

Następnie przyszła kolej na ćwiczenie, które naprawdę lubiłem – posługiwanie się srebrnym łańcuchem stracharza. W zachodnim ogrodzie z ziemi sterczał sześciostopowy słupek; chodziło o to, by zarzucić na niego łańcuch. Stracharz kazał mi stawać w różnej odległości i ćwiczyć ponad godzinę. Cały czas przypominał, że kiedyś stanę naprzeciw prawdziwej czarownicy i jeśli chybię, nie

będę miał drugiej szansy. Istniał specjalny sposób posługiwania się łańcuchem. Należało nawinąć go na lewą dłoń i cisnąć szybkim ruchem, odginając rękę w przegubie tak, by łańcuch kręcił się w lewo, tworząc spiralę, która oplatała słupek i zaciskała się na nim. Z odległości ośmiu stóp trafiałem już dziewięć razy na dziesięć, lecz jak zwykle stracharz skąpił mi jakichkolwiek pochwał.

– Nawet nieźle – mruknął w końcu. – Ale nie nadymaj się, chłopcze. Prawdziwa wiedźma nie będzie tak uprzejma, by stać nieruchomo, gdy ciśniesz łańcuch. Spodziewam się, że do końca roku będziesz trafiał dziesięć razy na dziesięć, bez wyjątków!

Słyszając to, poczułem jeszcze większą irytację. Ciężko pracowałem i czyniłem duże postępy. Co więcej, właśnie uwięziłem swojego pierwszego bogina i zrobiłem to bez pomocy stracharza. Zacząłem się zastanawiać, czy on sam podczas swojego terminu spisał się lepiej!

Po południu stracharz wpuszczał mnie do biblioteki, gdzie mogłem pracować w pojedynkę, czytać i robić notatki. Pozwalał mi jednak korzystać tylko z niektórych książek i bardzo tego pilnował. Mój pierwszy rok nauki jeszcze się nie skończył, toteż głównie zajmowałem się boginami. Czasami jednak, kiedy mój mistrz gdzieś wychodził, nie mogłem się powstrzymać i zerkąłem także na inne tomy.

Tego dnia, naczytawszy się o boginach, podszedłem do trzech długich półek przy oknie i wybrałem jeden z wielkich, oprawnych w skórę notesów z najwyższej z nich. Były to dzienniki, które napisali stracharze przed kilkuset laty. Każdy obejmował okres około pięciu lat.

Tym razem wiedziałem dokładnie, czego szukam. Wybrałem jeden z najwcześniejszych dzienników stracharza. Byłem ciekaw, jak radził sobie z tą pracą jako młodzieniec i czy szło mu lepiej niż mnie. Oczywiście, nim został stracharzem, uczył się na księdza, toteż był dość stary jak na czeladnika.

Wybrałem losowo kilka stron i zacząłem czytać. Rozpoznałem jego pismo, lecz ktoś obcy, kto natknąłby się po raz pierwszy na



fragment dzienników, nie zgadłby, że należały do stracharza. Kiedy mówi, przypomina zwykłego mieszkańca Hrabstwa – rozsądnego, trzeźwo myślącego, bez śladu tego, co mój ojciec nazywa tonami. Pisze natomiast zupełnie inaczej, jakby wszystkie książki, które przeczytał, odmieniły mu głos. Ja natomiast piszę tak, jak mówię. Gdyby mój tato przeczytał kiedyś moje notatki, byłby ze mnie dumny i wiedziałby, że pozostałem jego synem.

Z początku notatki nie różniły się od nowszych zapisków stracharza, może poza tym, że popełniał więcej błędów. Jak zawsze był bardzo szczery i za każdym razem wyjaśniał dokładnie, co zrobił nie tak. W rozmowach ze mną podkreślał nieustannie, że należy wszystko notować, by móc uczyć się na swoich i cudzych błędach.

Opisał, jak pewnego tygodnia całymi godzinami ćwiczył opuszczanie zanęcacza i jego mistrz wpadł w złość, bo nie udało mu się uzyskać lepszej średniej niż osiem na dziesięć! To sprawiło, że poczułem się znacznie lepiej. A potem natknąłem się na coś, co jeszcze bardziej mnie uradowało. Stracharz uwięził swego pierwszego bogina dopiero gdy przez niemal półtora roku pobierał nauki. Co więcej, był to zwykły, kudłaty bogin, nie niebezpieczny rozpruwacz!

Była to najciekawsza informacja, na jaką natrafiłem. Stracharz okazał się porządnym, pracowitym uczniem. Kolejne zapiski były tak nudne, że je omijałem, szybko przewracając kartki, aż w końcu dotarłem do momentu, gdy mój mistrz został stracharzem i zaczął pracować samodzielnie. Wiedziałem już wszystko, czego potrzebowałem. Właśnie zamierzałem zamknąć notes, gdy coś przyciągnęło moją uwagę. Wróciłem na początek wpisu i oto co znalazłem – nie do końca słowo w słowo, ale pamięć mam dobrą, a kiedy już to przeczytałem, wiedziałem, że nigdy nie zapomnę.

\*

Późną jesienią wyprawilem się daleko na północ Hrabstwa, wezwany tam w sprawie podczłeka, stwora, który zbyt długo siał grozę w okolicy. Wiele miejscowych rodzin ucierpiało z jego

okrutnych rąk, wielu ludzi zginęło, inni zostali okaleczeni.

O zmierzchu zagłębiłem się w las. Wszystkie liście już spadły – gnijące i zbrązowiałe zaścięłały ziemię. Wieża wyglądała niczym czarny palec demona celujący w niebo. Ludzie widywali w jej oknie dziewczynę, rozpaczliwie machającą ręką i wzywającą pomocy. Stwór porwał ją i uwięził jako swą zabawkę, zamkniętą w wilgotnych, kamiennych ścianach.

Najpierw rozpałem ognisko. Siedziałem, wpatrując się w płomień i zbierając się na odwagę. Wyjąwszy z torby osełkę naostrzyłem klingę tak, że przy najlżejszym dotknięciu rozcinała palec do krwi. Wreszcie o północy poszedłem do wieży i waląc laską o drzwi rzuciłem stworowi wyzwanie.

Wpadł ze środka, rycząc gniewnie i wymachując ciężką pałką. Był ohydny, odziany w skóry zwierząt. Cuchnął krwią i zwierzęcym łojem i zaatakował mnie ze straszliwą furją.

Z początku cofałem się, czekając na okazję. Gdy jednak następnym razem rzucił się na mnie, uwolniłem ostrze ukryte na czubku laski i z całych sił wbiłem je głęboko w czaszkę stwora. Runął martwy do mych stóp. Ja jednak nie żałowałem, że odebrałem mu życie. Gdybym bowiem tego nie uczynił, wciąż by zabijał, nigdy nie zaspokoiwszy żądzy krwi.

I wtedy zawołała mnie dziewczyna. Zastłuchany w jej syreni głos wbiegłem po kamiennych stopniach i w najwyższej komnacie wieży ujrzałem ją na słomianym sienniku, związaną mocno długim, srebrnym łańcuchem. Skórę miała jak mleko, włosy długie i jasne, i była najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek oglądałem. Na imię miała Meg. Błagała, bym uwolnił ją z łańcucha, a głos miała tak cudowny, iż odszedł mnie rozsądek i świat zawirował wokół mnie.

Gdy tylko wyplątałem ją ze zwojów łańcucha, przycisnęła usta do mych ust i całowała tak słodko, że omal nie omdlałem w jej ramionach.

Ocknąłem się, czując na twarzy wpadające przez okno promienie słońca i w ich blasku ujrzałem ją wyraźnie po raz

pierwszy. Była czarownicą, lamią. Dostrzegłem na niej znak węża. Choć twarz miała piękną, wzdłuż kręgosłupa biegł pas żółtych i zielonych łusek.

Rozwścieczony tym, jak mnie zwiodła, raz jeszcze związałem ją łańcuchem i zaniósłem do dołu w Chipenden. Gdy ją puściłem, zaczęła szarpać się tak mocno, że z trudem jeno ją okiełznałem i musiałem ciągnąć za długie włosy wśród drzew, a ona tymczasem skarżyła się i wrzeszczała tak głośno, że jej krzyk mógł zbudzić umarłych. Padał deszcz i ślizgała się na mokrej trawie, ja jednak nadal wlokłem ją po ziemi, choć ciernie kaleczyły jej nagie ręce i nogi. Było to okrutne, ale musiałem tak uczynić.

Kiedy jednak zacząłem wypychać ją do dołu, chwyciła mnie za nogi i zaczęła żałośnie szlochać. Stałem tam długi czas, przepelniony bólem, chwiejąc się na krawędzi, aż w końcu podjąłem decyzję, której być może kiedyś pożałuję.

Pomogłem jej wstać, wziąłem w ramiona i oboje zapłakaliśmy. Jak mogłem uwięzić ją w dole, skoro pojąłem, że kocham ją mocniej niżli własną duszę?

Błagałem ją o wybaczenie, a potem odwróciliśmy się razem i trzymając się za ręce odeszliśmy od dołu.

Z tego spotkania wyniosłem srebrny łańcuch, cenne narzędzie, na które w przeciwnym razie musiałbym pracować wiele długich miesięcy. O tym, co straciłem, czy jeszcze mogę stracić, nie śmiem nawet myśleć. Piękno to rzecz straszna; krępuje męczyznę mocniej niż srebrny łańcuch wiedźmę.

\*

Nie wierzyłem własnym oczom! Stracharz wiele razy ostrzegał mnie przed ładnymi kobietami, a jednak sam złamał swoją zasadę. Meg była wiedźmą, a on nie uwięził jej w dole!

Szybko przerzuciłem resztę notesu, szukając dalszych wzmianek o niej. Niczego jednak nie znalazłem – absolutnie niczego! Zupełnie jakby przestała istnieć.

Całkiem sporo wiedziałem o wiedźmach, ale nigdy wcześniej nie natknąłem się na słowo lamia. Odłożyłem zatem notes i zacząłem

szukać na następnej półce, gdzie książki ustawiono w porządku alfabetycznym. Otworzyłem księgę zatytułowaną „Wiedzmy”, nie znalazłem jednak żadnej wzmianki o Meg. Dlaczego stracharz o niej nie napisał? Co się z nią stało? Czy wciąż żyje? Wciąż mieszka gdzieś w Hrabstwie?

Przepelniony ciekawością, wpadłem na inny pomysł. Z najniższej półki wyciągnąłem opasłe tomiszczce. Nosiło tytuł „Bestiariusz” i zawierało alfabetyczny spis najróżniejszych stworzeń, w tym wiedźm. W końcu znalazłem to czego szukałem: lamie.

Dowiedziałem się, iż lamie nie pochodzą z Hrabstwa, lecz przybywają z krain za morzem. Unikają światła słonecznego, lecz nocą mają mężczyzn i wypijają ich krew. Są zmiennokształtne i dzielą się na dwie grupy: dzikie i udomowione.

Dzika lamia to wiedźma w jej naturalnym stanie, niebezpieczna, nieprzewidywalna i niezbyt przypominająca istotę ludzką. Wszystkie mają łuski miast skóry i szpony zamiast paznokci. Niektóre biegają po ziemi na czworakach, inne mają skrzydła i tułów porośnięty piórami i potrafią przelatywać krótkie dystanse.

Lecz dzika lamia, zbliżywszy się do ludzi, może stać się lamia udomowioną. Bardzo stopniowo przybiera postać kobiety i zaczyna wyglądać jak człowiek, prócz wąskiego pasma żółtych i zielonych łusek na plecach, biegnącego wzdłuż kręgosłupa. Zdarza się nawet, że udomowione lamie zaczynają podzielać wiarę ludzi. Często z bezecnych stają się zacne i pomagają innym.

Czy zatem Meg stała się w końcu zacna? Czy stracharz miał rację, nie wtrącając jej do dołu?

Nagle uświadomiłem sobie, jak jest późno i wybiegłem z biblioteki na lekcje. W głowie wciąż wirowało mi od niespokojnych myśli. W parę minut później wraz z mistrzem znaleźliśmy się na skraju zachodniego ogrodu pod drzewami. Roztaczał się stąd widok na wzgórze. Jesienne słońce zniżało się na niebie. Jak zwykle usiadłem na ławce, notując z zacięciem. Tymczasem stracharz

krażył tam i z powrotem, dyktując. Nie mogłem się jednak skupić.

Zaczęliśmy od lekcji łaciny. Miałem specjalny notes z zapiskami gramatyki i nowego słownictwa, które wpajał mi stracharz. Było tego całe mnóstwo i notes niemal już się skończył.

Chciałem rzucić stracharzowi w twarz to, czego właśnie się dowiedziałem, ale jak? Sam także złamałem zasady, nie trzymając się książek, które mi wyznaczył. Nie powinienem był czytać jego dzienników i teraz żałowałem, że to zrobiłem. Wiedziałem, że gdybym o tym wspomniał, wpadłby w złość.

Przeczytane słowa sprawiały, że z coraz większym trudem koncentrowałem się na tym, co mówił. W dodatku byłem głodny i nie mogłem się już doczekać kolacji. Zazwyczaj wieczory należały do mnie, mogłem robić, co tylko chciałem, lecz dziś kazał mi pracować wyjątkowo ciężko. Wiedziałem jednak, że pozostała zaledwie godzina; potem słońce zajdzie i najgorsze się skończy.

I wtedy usłyszałem dźwięk, który sprawił, że jęknąłem w duchu.

To był głos dzwonu. Nie kościelnego, nie, ten dźwięk był wyższy, bardziej przenikliwy. Bicie znacznie mniejszego dzwonu – tego, z którego korzystali nasi goście. Nikomu nie wolno odwiedzać domu stracharza, toteż ludzie przychodzili na rozstaje i uderzali w dzwon, dając mistrzowi znać, że potrzebują jego pomocy.

– Idź, zajmij się tym, chłopcze – polecił stracharz, kiwając głową w stronę, z której dobiegał dźwięk. Zwykle chodziliśmy we dwóch, ale mistrz wciąż czuł się słabo po chorobie.

Nie śpieszyłem się. Gdy tylko straciłem z oczu dom i ogród, zwolniłem kroku i dalej szedłem spacerkiem. Było zbyt późno, by cokolwiek robić, zwłaszcza że stracharz nie odzyskał jeszcze pełni sił, toteż i tak cokolwiek się stało, musiało zaczekać do rana. Wysłucham relacji o nieszczęściu i powtórzę stracharzowi szczegóły podczas kolacji. Im później wrócę, tym mniej będę musiał pisać. Dość już zrobiłem, jak na jeden dzień, i bolała mnie ręka w przegubie. Rozstaje, otoczone kręgiem wierzb, które w Hrabstwie nazywamy łożinami, to miejsce ponure nawet w południe, zawsze

czuję tam niepokój. Po pierwsze, nigdy nie wiadomo, kto czeka. Po drugie, ludzie niemal zawsze przynoszą złe wieści, bo przecież dlatego właśnie przychodzą. Potrzebują pomocy stracharza.

Tym razem był to młody chłopak. Miał ciężkie, górnicze buciory i brudne paznokcie. Jeszcze bardziej zdenerwowany niż ja, zaczął mówić tak szybko, że moje uszy nie nadążały i musiałem poprosić, by powtórzył swoją historię. Kiedy odszedł, ruszyłem z powrotem do domu.

Tym razem jednak nie szedłem, tylko biegłem.

Stracharz stał obok ławki ze spuszczoną głową. Gdy się zbliżyłem, uniósł wzrok; twarz miał smutną. W jakiś sposób domyśliłem się, iż wie, co mam mu do powiedzenia, ale i tak musiałem rzec to głośno.

– Złe wieści z Horshaw – oznajmiłem, próbując złapać oddech. – Przykro mi, ale chodzi o twojego brata. Doktor nie zdołał go uratować. Zmarł wczoraj rano, tuż przed świtem. Pogrzebią go w piątek rano.

Stracharz westchnął długo, głęboko. Przez kilka minut milczał. Nie wiedziałem, co powiedzieć, toteż także się nie odzywałem. Trudno było zgadnąć, co czuje. Skoro nie rozmawiali od ponad czterdziestu lat, nie mogli być ze sobą blisko, ale ksiądz nadal pozostawał jego bratem i stracharz musiał mieć jakieś związane z nim radosne wspomnienia – może z czasów, nim jeszcze się pokłócili, kiedy byli dziećmi.

W końcu westchnął raz jeszcze.

– Chodź, chłopcze – rzekł. – Możemy zjeść wcześniejszą kolację.

\*

Posilaliśmy się w milczeniu. Stracharz dziobał jedzenie łyżką. Zastanawiałem się, czy to z powodu złych wieści o bracie, czy też dlatego, że wciąż jeszcze nie odzyskał apetytu po ciężkiej chorobie. Zwykle odzywał się czasem, choćby tylko po to, by spytać, jak mi smakowało. Stanowiło to niemal rytuał – musieliśmy wychwalać należącego do stracharza bogina, który szykował wszystkie posiłki. Inaczej zaczynał się dąsać. Pochwały przy kolacji były bardzo

ważne, w przeciwnym razie rankiem czekał nas przypalony bekon.

– Gulasz jest naprawdę pyszny – oznajmiłem w końcu. – Nie pamiętam, kiedy ostatnio jadłem równie dobry.

Bogin zazwyczaj pozostawał niewidzialny, czasami jednak przyjmował postać wielkiego, rudego kota. Gdy był wyjątkowo zadowolony, ocierał mi się o nogi pod kuchennym stołem. Tym razem nie usłyszałem nawet najcichszego pomruku. Albo moje słowa nie zabrzmiały przekonująco, albo też siedział cicho z powodu złych wieści.

Nagle stracharz odsunął talerz i podrapał się lewą ręką po brodzie.

– Idziemy do Priestown – oznajmił niespodziewanie. – Wyruszamy jutro o świcie.

Priestown? Nie mogłem uwierzyć własnym uszom. Stracharz unikał tego miejsca jak najgorszej zarazy. Kiedyś wspomniał mi, że nigdy nie postawi nogi w tym mieście. Nie wyjaśniał, dlaczego, a ja nie pytałem, bo dobrze wiedziałem, kiedy nie miał ochoty mi czegoś tłumaczyć. Gdy jednak znaleźliśmy się w pobliżu wybrzeża i musieliśmy się przeprawić przez rzekę Ribble, nienawisć, jaką darzył to miasto, stała naprawdę kłopotliwa. Zamiast skorzystać z mostu w Priestown, musieliśmy podróżować wiele mil w głąb ładu do następnego, byle tylko ominąć miasto.

– Dlaczego? – spytałem niewiele głośniejszym głosem, zastanawiając się, czy moje słowa mogą go rozzłościć. – Myślałem, że pójdziemy do Horshaw na pogrzeb.

– Idziemy na pogrzeb, chłopcze. – Stracharz przemawiał cierpliwie i spokojnie. – Mój głupkowaty brat jedynie pracował w Horshaw. Był jednak księdzem. Kiedy w Hrabstwie umiera ksiądz, zabierają jego ciało do Priestown i urządzają pogrzeb w wielkiej katedrze, po czym składają kości na miejscowym cmentarzu. Pójdziemy zatem złożyć wyrazy uszanowania, ale to nie jedyny powód. Mam w tym przeklętym mieście niedokończoną sprawę. Weź notes, chłopcze, otwórz na czystej stronie i napisz tytuł...

Nie skończyłem jeszcze gulaszu, natychmiast jednak zrobiłem,

co kazał. Kiedy wspomniał o niedokończonych sprawach, wiedziałem, że chodzi o sprawy stracharskie, toteż wyciągnąłem z kieszeni kałamarz i postawiłem na stole obok talerza.

Coś zaskoczyło mi w głowie.

– Chodzi ci o rozpruwacza, którego uwięziłem? Myślisz, że uciekł? Nie mieliśmy czasu kopać na dziewięć stóp. Sądzisz, że umknął do Priestown?

– Nie, chłopcze, świetnie się spisałeś. Chodzi o coś znacznie gorszego. To miasto jest przeklęte! Nawiedza je coś, z czym ostatnio miałem do czynienia ponad dwadzieścia długich lat temu. Wówczas mnie pokonało i niemal na pół roku posłało do łóżka. Prawdę mówiąc, o mało nie zginąłem. Od tego czasu już tam nie wracałem. Skoro jednak i tak muszę odwiedzić to miejsce, równie dobrze możemy załatwić niedokończoną sprawę. Nie, to nie zwykły rozpruwacz nawiedza to przeklęte miasto. To pradawny zły duch zwany Morem, jedyny w swoim rodzaju. Staje się coraz silniejszy. Trzeba coś zrobić i nie mogę dłużej tego odkładać.

Na górze nowej kartki zapisałem słowo „Mór”. Potem jednak, ku memu zawodowi, stracharz nagle pokręcił głową i ziewnął przeciągle.

– Po namyśle stwierdzam, że to może poczekać do jutra, chłopcze. Lepiej dokończ kolację. Ruszamy wcześniej rano i powinieneś iść już do łóżka.

## **ROZDZIAŁ 3**

### **MÓR**

Wyruszyliśmy tuż po świcie. Jak zwykle dźwigałem ciężką torbę stracharza. Po godzinie zrozumiałem, że podróż zajmie nam co najmniej dwa dni. Zazwyczaj stracharz maszerował w niesamowitym tempie, tak że z trudem dotrzymywałem mu kroku, teraz jednak wciąż był słaby, szybko tracił oddech i zatrzymywał



się często na krótki popas.

Dzień był piękny i słoneczny, w powietrzu czułem lekki jesienny chłód. Na niebieskim niebie śpiewały ptaki, lecz nie miało to większego znaczenia. Nie mogłem przestać myśleć o Morze.

Najbardziej martwił mnie fakt, iż stracharz raz o mało nie zginął, próbując go uwięzić. Teraz był słabszy i jeśli wkrótce nie odzyska pełni sił, jak może liczyć na to, że poradzi sobie z tym stworem?

A zatem w południe, gdy zatrzymaliśmy się na dłuższy odpoczynek, postanowiłem wypytać go o owego straszliwego ducha. Nie zrobiłem tego od razu, bo ku memu zdumieniu, gdy usiedliśmy razem na pniu zwalonego drzewa, stracharz wyciągnął z torby bochen chleba i wielki kawał szynki i odkroił nam bardzo hojne porcje. Zazwyczaj, gdy czekała nas praca, musieliśmy się zadowolić niewielkim kawałkiem sera, bo przed starciem z mrokiem należy pościć.

Byłem jednak głodny, toteż nie protestowałem. Domyśliłem się, że post czeka nas po pogrzebie. A teraz stracharz musi jeść, by odzyskać siły.

Wreszcie kiedy skończyłem, odetchnąłem głęboko, wyjąłem notes i spytałem go o Mora. Mistrz kazał mi schować notatnik.

– Zapiszesz to wszystko później, kiedy będziemy wracać – rzekł.  
– Poza tym sam także muszę się jeszcze wiele dowiedzieć o Morze, nie ma zatem sensu zapisywać czegoś, co później będziemy musieli zmieniać.

Na te słowa opadła mi szczęka. Zawsze sądziłem, że stracharz wie o mroku niemal wszystko.

– Nie patrz na mnie z takim zdumieniem, chłopcze powiedział.  
– Jak wiesz, sam także prowadzę notatnik i ty też będziesz to robił, gdy dożyjesz mojego wieku. W tym fachu nigdy nie przestajemy się uczyć, a pierwszy krok ku mądrości to uznanie własnej niewiedzy. Jak wspominałem wcześniej, Mór to pradawny zły duch, który, co wstyd przyznać, jak dotąd ze mną wygrywał. Mam jednak nadzieję, że tym razem będzie inaczej. Pierwszy

problem to odnalezienie go – ciągnął stracharz. – Mór żyje w katakumbach pod katedrą w Priestown. Tamtejsze tunele ciągną się na wiele mil.

– Do czego służą katakumby? – spytałem, zastanawiając się, kto mógłby zbudować tak wiele tuneli.

– Są w nich krypty, chłopcze, podziemne komory grobowe, w których złożono starożytne kości. Tunele te istniały na długo przed wzniesieniem katedry. Gdy pierwsi księża przyплыли tu statkami z zachodu, wzgórze to od dawna było już świętym miejscem.

– Kto zatem zbudował katakumby?

– Niektórzy nazywali ich budowniczych „Małym Ludem” z powodu ich wzrostu. Lecz tak naprawdę nazywali się Segantii. Niewiele o nich wiadomo prócz tego, że Mór był kiedyś ich bogiem.

– To bóg?

– Owszem, zawsze był bardzo potężny i pierwsze pokolenia Małego Ludu dostrzegły jego siłę, oddając mu cześć. Przypuszczam, że Mór bardzo chciałby znów zostać bogiem. Bo widzisz, kiedyś krążył swobodnie po całym Hrabstwie. W miarę upływu stuleci stawał się coraz bardziej zepsuty i zły i prześladował Mały Lud dniami i nocami, zwracając brata przeciw bratu, niszcząc zbiory, paląc domy, mordując niewinnych. Cieszył się, patrząc, jak ludzie żyją w strachu i nędzy, poskromieni i upokorzeni tak, że ich życie traciło wszelką wartość. To były mroczne, straszne czasy dla Segantiich. Lecz Mór nękał nie tylko biedny lud. Segantiimi rządził król Heys. Dobry był z niego człowiek, pokonał wszystkich wrogów w bitwie i próbował zapewnić swym podwładnym siłę i dostatek. Istniał jednak jeden wróg, któremu nie dawali rady: Mór. Nagle zażądał corocznej daniny od króla Heysa. Biedak miał złożyć mu w ofierze swoich siedmiu synów, poczynając od najstarszego, i dalej co roku, aż w końcu mieli zginąć wszyscy. Było to więcej, niż mógłby znieść jakikolwiek ojciec. Lecz Naze, ostatni z synów, w jakiś sposób zdołał uwięzić Mora w katakumbach. Nie mam pojęcia, jak to zrobił – gdybym wiedział, być może łatwiej pokonałbym owego stwora. Wiem tylko, że drogę zamknęła mu

brama ze srebra: podobnie jak wiele istot mroku, Mór jest wrażliwy na srebro.

– I po tylu latach wciąż tam tkwi?

– Tak, chłopcze, jest uwięziony, dopóki ktoś nie otworzy bramy i go nie uwolni. To fakt, wiedzą o tym wszyscy księża. Przekazują sobie tę wiedzę z pokolenia na pokolenie.

– Ale czy nie ma stamtąd innego wyjścia? Jakim cudem Srebrna Brama może go zatrzymać? – spytałem.

– Nie wiem, chłopcze. Wiem tylko, że Mór tkwi uwięziony w katakumbach i może się z nich wydostać wyłącznie przez bramę.

Bardzo chciałem spytać czemu, skoro jest uwięziony, nie możemy po prostu go tam zostawić. Nim jednak zdążyłem sformułować pytanie, stracharz mi wszystko wyjaśnił. Do tego czasu zdążył już dobrze mnie poznać i niezłe szło mu odgadywanie moich myśli.

– Niestety, chłopcze, nie możemy zostawić wszystkiego takim, jakim je zastaliśmy. Bo widzisz, Mór znów rośnie w siłę. Nie zawsze był tylko duchem; to się stało, gdy został uwięziony. Wcześniej, kiedy był bardzo potężny, miał postać fizyczną.

– Jak wyglądał? – zaciekałem się.

– Dowiesz się jutro. Nim wejdiesz do katedry na uroczystość pogrzebową, spójrz w górę, na kamienną rzeźbę dokładnie nad głównym wejściem. Nigdzie nie znajdziesz lepszego wizerunku owego stwora.

– A ty widziałeś jego prawdziwą postać?

– Nie, chłopcze. Dwadzieścia lat temu, gdy pierwszy raz próbowałem zabić Mora, wciąż był tylko duchem. Krążą jednak plotki, iż tak bardzo wzrósł w siłę, że zaczyna się upodabniać do innych stworzeń.

– To znaczy?

– To znaczy, że zaczął odmieniać swe kształty. Wkrótce będzie już dość silny, by przybrać swą pierwotną, prawdziwą postać. Wówczas będzie mógł zmusić każdego, do czego zechce. Prawdziwe niebezpieczeństwo tkwi w tym, że mógłby zmusić kogoś do

otwarcia Srebrnej Bramy. To najbardziej niepokojąca perspektywa.

– Ale skąd bierze tę siłę? – chciałem wiedzieć.

– Głównie z krwi.

– Krwi?

– Tak, krwi zwierząt – i ludzi. Dręczy go straszliwe pragnienie.

Na szczęście jednak, w odróżnieniu od rozpruwacza, nie może wypić ludzkiej krwi, o ile ofiara nie da mu jej z własnej woli.

– Dlaczego ktoś miałby dać mu swoją krew? – zdumiał mnie ten pomysł.

– Bo Mór potrafi wnikać do ludzkich umysłów. Kusi ich pieniędzmi, pozycją i władzą – wszystkim, czego pragną. A jeśli nie może zdobyć tego, czego chce, po dobroci, zaczyna zastraszać ofiary. Czasami zwabia je na dół do katakumb i grozi im czymś, co nazywamy „prasą”.

– Prasą? – powtórzyłem.

– Tak, chłopcze. Mór potrafi stać się tak ciężki, że ludzie znajdują jego ofiary spłaszczone i zmiażdżone, z połamanymi kośćmi i ciałami wbitymi w ziemię – trzeba je z niej skrobać, by pogrzebać nieszczęśników. Zostają sprasowani. Nie jest to przyjemny widok. Mór nie może wbrew własnej woli pozbawić nas krwi, lecz pamiętaj, że wciąż może nas sprasować.

– Nie rozumiem. Jak potrafi zmuszać ludzi do takich rzeczy, skoro tkwi uwięziony w katakumbach?

– Umie czytać w myślach, kształtować sny, osłabiać i wypaczać umysły wszystkich żyjących na górze. Czasami nawet widzi ich oczami. Jego wpływy obejmują katedrę i prezbiterium; gnębi wszystkich księży. Od lat rozszerza swe wpływy w Priestown.

– Wśród księży?

– Tak, zwłaszcza tych o słabych umysłach. Gdy tylko może, namawia ich do szerzenia zła. Mój brat Andrew pracuje w Priestown jako ślusarz. Wiele razy przysyłał mi ostrzeżenia, opisując, co się dzieje. Mór pozbawia ich ducha i siły woli. Zmusza ludzi do robienia tego, co im każe, uciszając głosy dobra i rozumu. Stają się zachłanni i okrutni, nadużywają swej władzy, okradają

biednych i chorych. Obecnie w Priestown dziesięcinę pobiera się dwukrotnie w ciągu roku.

Wiedziałem, co to dziesięcina. My także musieliśmy oddawać w podatku dziesiątą część zysków z naszej farmy miejscowemu kościołowi. Tak kazało prawo.

– Płacenie jej raz jest już dostatecznie ciężkie – ciągnął stracharz – po dwóch razach trudno walczyć z biedą. Mór wpędza ludzi w strach i nędzę, tak jak to czynił z Segantii. To jedno z najczystszych i najgorszych ucieleśnień mroku, jakie kiedykolwiek spotkałem. Obecna sytuacja nie może trwać długo. Muszę powstrzymać go raz na zawsze, nim będzie za późno.

– Jak to zrobimy? – spytałem.

– Po prawdzie sam jeszcze nie wiem. Mór to wróg sprytny i bardzo niebezpieczny. Mógłby odczytać nasze myśli, a wtedy wiedziałby, co dokładnie planujemy, nim jeszcze sami byśmy się zorientowali. Prócz srebra ma jeszcze jedną poważną słabość – kobiety. Budzą w nim wielki niepokój, stara się unikać ich towarzystwa, nie może znieść ich obecności. Świetnie to rozumiem, muszę się jednak zastanowić, jak wykorzystać tę słabość na naszą korzyść.

Stracharz często ostrzegał mnie przed dziewczętami, a zwłaszcza, z niewiadomych przyczyn, tymi w szpiczastych trzewikach. Przywykłem zatem do podobnych uwag. Teraz jednak, odkąd dowiedziałem się o nim i o Meg, zastanawiałem się, czy ta historia również na niego wpłynęła.

Cóż, mój mistrz z całą pewnością dał mi wiele do myślenia. Nie mogłem też się powstrzymać przed cisnącymi się do głowy pytaniami. Wszystkie te kościoły w Priestown, księża i kongregacje, wierzący w Boga. Czy mogli się mylić? Skoro ich Bóg jest tak potężny, dlaczego nie zrobił czegoś z Morem? Czemu pozwalał mu sprowadzać księży na złą drogę i szerzyć zło w całym mieście? Mój tato wierzył, choć nigdy nie chodził do kościoła. Nikt z naszej rodziny tam nie chodził, bo praca na roli nie kończy się w niedzielę i zawsze byliśmy zbyt zajęci dojeniem krów i innymi

obowiązkami. Nagle jednak zacząłem się zastanawiać, w co właściwie wierzy stracharz, zwłaszcza biorąc pod uwagę to, co powiedziała mi mama – że mój mistrz sam był kiedyś księdzem.

– Czy ty wierzysz w Boga? – spytałem.

– Kiedyś wierzyłem – odparł z zamysloną miną. – Gdy byłem dzieckiem, nigdy, nawet na moment nie wątpiłem w istnienie Boga. Potem jednak się zmieniłem. Bo widzisz, chłopcze, gdy żyjesz tak długo jak ja, pojawiają się rzeczy, które rodzą wątpliwości. Teraz zatem nie jestem pewien, nadal mam jednak otwarty umysł. Ale powiem ci jedno – ciągnął. – Dwa czy trzy razy w życiu znalazłem się w opałach tak ciężkich, iż nigdy nie sądziłem, że ujędę z nich żywy. Stawiałem czoło mrokowi i prawie, choć nie do końca, pogodziłem się ze śmiercią. I wtedy, gdy wszystko wydawało się stracone, napływała we mnie nowa siła. Mogę tylko zgadywać, skąd się wzięła, ale siłę tej towarzyszyło nowe uczucie. Że ktoś bądź coś stoi u mego boku, że nie jestem już sam.

Stracharz urwał i westchnął głęboko.

– Nie wierzę w Boga, o którym mówią w kościele – oznajmił. – Nie wierzę w starca z siwą brodą. Istnieje jednak coś, co czuwa nad tym, co robimy, i jeśli żyjesz, jak należy, w godzinie największej potrzeby stanie u twego boku i użyje ci własnych sił. Oto, w co wierzę. No chodź, chłopcze, dość długo zwlekaliśmy. Musimy już ruszać w drogę.

Podniosłem torbę i ruszyłem za nim. Wkrótce zeszedliśmy z gościńca i przecięliśmy niewielki lasek, a potem szeroką łąkę. Było bardzo przyjemnie, lecz zatrzymaliśmy się na długo przed zachodem słońca, bo stracharz zanadto się zmęczył, by iść dalej. Tak naprawdę wciąż powinien siedzieć w Chipenden i odzyskiwać siły po chorobie.

Miałem złe przeczucie co do tego, co nas czeka. Wyczuwałem niebezpieczeństwo.

## **ROZDZIAŁ 4**

## PRIESTOWN

Priestown, wzniesione na brzegach rzeki Ribble, było największym miastem, jakie dotąd odwiedziłem. Gdy zeszedliśmy ze wzgórza, w promieniach zachodzącego słońca ujrzałem rzekę połyskującą pomarańczowym blaskiem niczym wielki wąż.

To było miasto kościołów, pełne dzwonnicy i wież wznoszących się ponad rzędami małych, szeregowych domów. Na szczycie wzgórza, w centrum miasta, stała katedra. W jej wnętrzu z łatwością zmieściłyby się trzy największe znane mi kościoły, a wieża zapierała dech w piersiach. Zbudowana z wapienia, była niemal biała i tak wysoka, iż zgadywałem, że w deszczowy dzień krzyż na jej szczycie kryje się w chmurach.

– Czy to najwyższa wieża na świecie? – z podnieceniem pokazałem palcem.

– Nie, chłopcze – stracharz uśmiechnął się, co nie zdarzało się zbyt często. – Ale w Hrabstwie owszem. Jak przystało na miasto, które szczyli się tak wielką liczbą księży. Osobiście wolałbym, by było ich mniej, ale trudno, musimy zaryzykować.

Nagle z jego twarzy zniknął uśmiech.

– O wilku mowa – warknął, zaciskając zęby i szybko wciągnął mnie przez dziurę w żywopłocie na sąsiednie pole. Następnie przyłożył palec do ust, nakazując milczenie i gestem polecił mi przykucnąć obok. Razem nasłuchiwaaliśmy zbliżających się kroków.

Na gęstym głogowym żywopłocie wciąż pozostała większość listków, lecz między nimi zdołałem dostrzec czarną sutannę i buty. Ksiądz!

Pozostaliśmy w swej kryjówce długą chwilę po tym, jak kroki ucichły w oddali. Dopiero wtedy stracharz wyprowadził nas na ścieżkę. Nie potrafiłem zrozumieć, o co tyle szumu. Podczas naszych podróży spotykaliśmy wielu księży. Owszem, nie zachowywali się zbyt przyjaźnie, ale nigdy wcześniej nie próbowaliśmy się chować.

– Musimy bardzo uważać, chłopcze – wyjaśnił stracharz. – Księża to zawsze problem, ale w tym mieście stanowią prawdziwe zagrożenie. Bo widzisz, biskup z Priestown jest wujem Najwyższego Kwizytora. Bez wątpienia o nim słyszałeś.

Przytaknałem.

– Poluje na czarownice, prawda?

– Zgadza się, chłopcze. A kiedy schwyta kogoś, kogo uważa za wiedźmę bądź czarownika, zakłada czarny kapelusz i staje się sędzią na jego procesie – procesie, który zazwyczaj kończy się bardzo szybko. Następnego dnia przywdziewa inny kapelusz i jako kat organizuje spalenie na stosie. Słynie z tego, że świetnie mu to idzie, toteż zwykle wokół zbiera się tłum gapiów. Mówią, że starannie dogląda układania stosu, tak by nieszczęśnik umierał bardzo długo. Ból ma sprawić, że wiedźma pożałuje tego, co zrobiła, będzie błagała Boga o wybaczenie i po śmierci jej dusza zostanie zbawiona. Ale to tylko pretekst. Kwizytorowi brak wiedzy, którą dysponuje stracharz; nie poznałby prawdziwej wiedźmy, nawet gdyby wyciągnęła rękę z grobu i chwyciła go za kostkę! Nie, to po prostu okrutnik, który lubi zadawać ból. Uwielbia swoją pracę i wzbogacił się pieniędzmi zarobionymi na sprzedaży domów i majątków skazańców.

To doprowadza mnie do naszego problemu. Widzisz, Kwizytor uważa stracharza za czarownika. Kościół nie życzy sobie, by ktokolwiek zadawał się z mrokiem, nawet jeśli z nim walczy. Pozwalają na to tylko księżom. Kwizytor ma prawo aresztować każdego, dysponuje przy tym zbrojną eskortą kościelnej straży, spełniającą jego rozkazy. Ale rozchmurz się, chłopcze, bo to koniec złych wieści.

Dobre wieści są takie, że Kwizytor mieszka w wielkim mieście, daleko na południu, poza granicami Hrabstwa, i rzadko zapuszcza się na północ. Jeśli zatem ktoś nas zauważy i go wezwie, będzie potrzebował tygodnia, by tu przybyć, nawet konno. A poza tym nikt się mnie tutaj nie spodziewa; ostatnią rzeczą, jaką podejrzewają, jest to, że zjawię się na pogrzebie brata, z którym



nie rozmawiałem od czterdziestu lat.

Słowa mistrza dodały mi otuchy. Kiedy schodziliśmy ze zbocza, drżałem na wspomnienie tego, co mówił. Wejście do miasta uznałem za przesadnie niebezpieczne. W swym płaszczu, z laską w dłoni, już na pierwszy rzut oka wyglądał na stracharza. Miałem to właśnie powiedzieć, kiedy kciukiem wskazał w lewo i zeszliśmy z traktu do niewielkiego lasku. Po trzydziestu krokach mój mistrz zatrzymał się.

– No dobra, chłopcze – rzekł. – Zdejmij płaszcz i oddaj mi go.

Nie protestowałem; ton jego głosu świadczył, że nie żartuje. Zastanawiałem się jednak, co zamierza. Sam także zdjął płaszcz z doczepionym kapturem i położył na ziemi laskę.

– Dobrze – mruknął. – Teraz poszukaj cienkich gałązek i chrustu.

W kilka minut zrobiłem to, co kazał i patrzyłem, jak ukrywa laskę między gałązkami, po czym owija całość naszymi płaszczami. Domyśliłem się już, co planuje. Z obu stron tobołka sterczały gałązki; wyglądało to jakbyśmy zbierali chrust. To było przebranie.

– W pobliżu katedry roi się od niewielkich gospód. – Stracharz rzucił mi srebrną monetę. – Bezpieczniej dla ciebie będzie, jeśli nie zatrzymamy się w tej samej, bo gdyby po mnie przyszli, ciebie także aresztują. Lepiej też, żebyś nie wiedział, gdzie się zatrzymam. Kwizytor torturuje ludzi. Jeśli złapie jednego z nas, wkrótce znajdzie też drugiego. Ja pójdę pierwszy. Daj mi dziesięć minut i idź za mną. Wybierz gospodę, której nazwa nie ma nic wspólnego z kościołem, byśmy przypadkiem nie wylądowali w tej samej, nie jedz też kolacji, bo jutro będziemy pracować. Pogrzeb odbędzie się o dziewiątej rano, lecz postaraj się przyjść wcześniej i usiądź z tyłu; jeśli już tam będę, nie zbliżaj się.

„Praca” oznaczała zadanie stracharza i zastanawiałem się, czy zejdziemy do katakumb stawić czoło Morowi. Zupełnie nie podobał mi się ten pomysł.

– Ach, i jeszcze jedno – dodał stracharz, zbierając się do drogi. – Zostawię ci moją torbę. O czym zatem musisz pamiętać, gdy

zabierzesz ją do Priestown?

– Żeby nieść ją w prawej ręce – odparłem.

Przytaknął, po czym dźwignął tobolek z chrustem na prawe ramię i zostawił mnie samego w lasku.

Obaj byliśmy leworęczni i księży tego nie aprobowali. Uważali, że leworęczni są podatni na diabelskie pokusy albo nawet służą diabłu.

Odczekałem ponad dziesięć minut, tak by zdążył dostatecznie się oddalić. A potem, dźwigając ciężką torbę, ruszyłem w dół zbocza, w stronę katedry. Już w mieście skierowałem się w górę i gdy znalazłem się blisko olbrzymiego kościoła, zacząłem szukać gospody.

Faktycznie, znalazłem ich mnóstwo. Na niemal każdej brukowanej ulicy mieściła się co najmniej jedna. Problem w tym, że wszystkie wydawały się w jakiś sposób powiązane z kościołami. Był tam Biskup i Pasterał, Pod Dzwonnicą, Wesoły Mnich, Mitra oraz Księga i Świeca, a także wiele innych. Ta ostatnia przypomniała mi o powodzie, dla którego przybyliśmy do Priestown. Jak przekonał się na własnej skórze brat stracharza, książki i świece zazwyczaj nie działają na istoty z mroku. Nawet kiedy użyć dodatkowo dzwonka.

Wkrótce zrozumiałem, że stracharz ułatwił poszukiwania sobie, ale bardzo utrudnił je mnie. Długi czas krążyłem po labiryncie wąskich uliczek i łączących je szerokich traktów Priestown. Przeszedłem Drogą z Fylde i szeroką ulicą, zwaną Mnisią Bramą, gdzie nie dostrzegłem ani śladu bramy. Na brukowanych ulicach roilo się od ludzi, większość z nich dokądś śpieszyła. Wielki targ na końcu Mnisiej Bramy już się zamykał, lecz paru miejscowych wciąż targowało się z kramarzami o najlepszą cenę. W powietrzu wisiał ciężki smród ryb, w górze skrzeczało stado wygłodniałych mew.

Od czasu do czasu dostrzegałem postać odzianą w czarną sutannę. Wówczas skręcałem szybko albo przechodziłem na drugą stronę. Z trudem mogłem uwierzyć, że w jednym mieście może żyć tak wielu księży.

Zszedłem w dół Wzgórza Rybaków i ujrzałem w oddali rzekę. Potem zawróciłem i znów ruszyłem w górę. W końcu znalazłem się w punkcie wyjścia, nadal bez powodzenia szukając gospody. Nie mogłem po prostu poprosić, by ktoś wskazał mi zajazd o nazwie nie mającej nic wspólnego z kościołem. Z pewnością uznano by mnie za szaleńca. A poza tym nie chciałem zwracać na siebie uwagi. Dźwigana w prawej ręce ciężka torba z czarnej skóry i tak przyciągała wiele ciekawskich spojrzeń.

Wreszcie, gdy już zmierzchało, znalazłem coś nieopodal katedry, w pobliżu miejsca, w którym rozpocząłem poszukiwania: niewielką gospodę zwaną Pod Czarnym Bykiem.

Nim zostałem uczniem stracharza, nigdy nie zatrzymywałem się w gospodzie, bo nie miałem powodu oddalać się od farmy ojca. Później odwiedziłem może z pół tuzina. Powinno ich być znacznie więcej, bo często ruszaliśmy w drogę, czasami spędzając w podróży kilkanaście dni, lecz stracharz wolał oszczędzać pieniądze i jeśli tylko sprzyjała pogoda, uważał, że drzewo bądź stara stodoła są dostatecznie dobrym schronieniem. Teraz jednak pierwszy raz sam miałem nocować w gospodzie i przekraczając próg, poczułem lekki niepokój.

Wąskie wejście wiodło do wielkiego, ciemnego pomieszczenia, oświetlonego płomieniem samotnej lampy. Pełno w nim było pustych stołów i krzeseł. Po przeciwległej stronie ciągnęła się długa, drewniana lada. Cuchnęła mocno octem, szybko jednak zorientowałem się, że to zapach stęchłego piwa, które wsiąkło głęboko w drewno. Po prawej stronie lady, na sznurze, wisiał mały dzwonek. Zadzwoń.

Drzwi za ladą otwarły się i ze środka wyszedł łysy mężczyzna, wycierający mięsiste dłonie w wielki, brudny fartuch.

– Chciałbym wynająć pokój na noc – powiedziałem i dodałem szybko: – Być może zatrzymam się na dłużej.

Spojrzał na mnie jak na coś, co przylepiło mu się do buta. Kiedy jednak wyciągnąłem srebrną monetę i rzuciłem na ladę, jego twarz wyraźnie pojaśniała.

– Chciałbyś kolację, młody panie? – spytał.

Pokręciłem głową. I tak zamierzałem pościć, lecz jedno spojrzenie na poplamiony fartuch sprawiło, że straciłem apetyt.

W pięć minut później byłem już w swoim pokoju, za zamkniętymi drzwiami. Łóżko z brudną pościelą nie wyglądało zachęcająco. Wiem, że stracharzowi by się nie spodobało, ja jednak chciałem tylko spać, a nawet ta gospoda była znacznie lepsza niż pełna przeciągów stodoła. Kiedy jednak wyjrzałem przez okno, zatęskniłem za Chipenden.

Miał białej ścieżki biegnącej przez zielony trawnik do zachodniego ogrodu i wznoszących się w dali wzgórz z Piką Parlicka, widziałem tylko rzędy brudnych domów, z kominami wypluwającymi w głąb ulic kłęby czarnego dymu.

Położyłem się zatem na łóżku i wciąż ściskając rączkę torby stracharza, szybko zasnąłem.

\*

Następnego ranka, tuż po ósmej, zmierzałem w stronę katedry. Torbę zostawiłem zamkniętą w moim pokoju, bo wyglądałbym dziwnie, zabierając ją na pogrzeb. Niepokoiłem się trochę, lecz torba miała zamek, podobnie jak drzwi, a oba klucze tkwiły bezpiecznie w mojej kieszeni. Miałem w niej takie trzeci klucz.

Stracharz dał mi go, gdy wyruszyłem do Horshaw, by zająć się rozpruwaczem. Zrobił go jego drugi brat, ślusarz Andrew. Klucz otwierał większość mniej skomplikowanych zamków. Powinienem był go oddać, wiedziałem jednak, że stracharz ma więcej takich przyrządów, a że nie spytał, zatrzymałem go. Uznałem, że to rzecz bardzo przydatna, podobnie jak niewielka hubka i krzesiwo, które podarował mi tato, gdy rozpocząłem termin. Także miałem je zawsze w kieszeni. Kiedyś należały do jego ojca i były pamiątką rodzinną, ale mogły się przydać komuś wykonującemu zawód stracharza.

Wkrótce wspiałem się już na wzgórze, wieże katedry zostały po lewej. Ranek był mokry, z nieba padała gęsta mżawka i przekonałem się, że miałem rację co do dzwonnicy. Co najmniej

trzecia jej część kryła się w ciemnoszarych chmurach, napływających z południowego zachodu. W powietrzu unosił się też ciężki odór kanałów, a dym z palenisk domów spływał na ulice.

Miałem wrażenie, że mnóstwo ludzi kieruje się na szczyt wzgórza. Jakaś kobieta minęła mnie niemal biegiem, ciągnąc za sobą dwójkę dzieci szybciej niż dawały radę dreptać na swych krótkich nóżkach.

– No dalej! Pospieszcie się! – upominała je. – Bo się spóźnimy!

Przez chwilę zastanawiałem się, czy też wybierają się na pogrzeb, uznałem to jednak za mało prawdopodobne, bo ich twarze zdradzały radosne podniecenie. W końcu dotarłem na spłaszczony szczyt wzgórza i zwróciłem się w lewo, w stronę katedry. Na obu trotuarach zebrał się podniecony tłum, zupełnie jakby na coś czekał. Ponieważ blokowali chodnik, starałem się jak najostrożniej przecisnąć między ludźmi, przepaszając na prawo i lewo i rozpaczliwie pilnując, by nie nadepnąć nikomu na nogę. W końcu jednak tłum zgęstniał do tego stopnia, że mogłem tylko się zatrzymać i zaczekać wraz z nim.

Nie musiałem czekać długo. Nagle z prawej strony usłyszałem oklaski i głośnie wiwaty. Towarzyszył im stukot kopyt. W stronę katedry posuwała się długa procesja. Pierwsi dwaj jeźdźcy mieli na sobie czarne płaszcze i kapelusze, u ich boków wisiały miecze. Za nimi podążali następni, zbrojni w sztylety i ciężkie pałki – dziesięciu, dwudziestu, pięćdziesięciu. Aż w końcu pojawił się jeden człowiek, dosiadający olbrzymiego siwego ogiera.

On także nosił czarny płaszcz, lecz wokół szyi i nadgarstków dostrzegłem kosztowną kolczugę, a miecz u jego pasa miał rękojeść wysadzaną rubinami. Buty uszyto z najlepszej skóry. Zapewne kosztowały więcej niż parobek na farmie zarabiał w ciągu roku.

Strój i postawa jeźdźca świadczyły o tym, że dowodzi orszakiem, lecz nawet gdyby okrywały go łachmany, nie byłoby co do tego wątpliwości. Miał bardzo jasne włosy, wysypujące się spod czerwonego kapelusza o szerokim rondzie i oczy tak błękitne, że zawstydzaly letnie niebo. Zafascynowała mnie jego twarz, niemal

zbyt piękna, by należeć do mężczyzny, lecz jednocześnie mocna, z wystającym podbródkiem i srogim czołem. A potem raz jeszcze spojrzałem w owe niebieskie oczy i dostrzegłem płonące w nich okrucieństwo.

Przypominał mi rycerza, który przejeżdżał kiedyś obok naszej farmy, gdy byłem bardzo młody. Nawet nie spojrzał w naszą stronę. Dla niego nie istnieliśmy, a przynajmniej tak powiedział mój ojciec. Mówił też, że to szlachcic, że pochodzi z rodziny, która potrafi wymienić swych przodków sprzed wielu pokoleń, i wszyscy z nich byli bogaci i potężni.

Na słowo szlachcic ojciec splunął w błoto i oznajmił iż mam szczęście, że jestem chłopakiem z farmy i zarabiam na życie uczciwą pracą.

Człowiek jadący przez Priestown także niewątpliwie był szlachcicem. Na twarzy miał wypisaną arogancję i władzę. Wstrząśnięty i przerażony, uświadomiłem sobie, że to musi być Kwizytor, za nim bowiem toczył się wielki otwarty wóz, zaprzężony w dwa robocze konie, wozie stali ludzie, skuci razem łańcuchami.

Były tam głównie kobiety, dostrzegłem też jednak paru mężczyzn. Większość wyglądała, jakby głodowała od dawna. Ich skórę pokrywały siniaki, lewe oko jednej z nieszczęśnic przypominało przejrzałego pomidora. Część kobiet zawodziła beznadziejnie. Po ich policzkach spływały łzy. Jedna wrzeszczała raz po raz ze wszystkich sił, że jest niewinna, ale nikt nie reagował. Oto więźniowie czekający na proces i spalenie.

Nagle z tłumu wypadła młoda kobieta i skoczyła w stronę wozu, sięgając ku jednemu z mężczyzn i rozpaczliwie próbując podać mu jabłko. Może była jego krewną – córką?

Ku mojej zgrozie Kwizytor zawrócił konia i po prostu stratował. W jednej chwili unosiła jabłko, w następnej leżała na bruku, wyjąc z bólu. Dostrzegłem okrutny wyraz jego twarzy. Zadanie bólu kobiecie sprawiło mu przyjemność. Wóz jechał dalej, a za nim kolejna eskorta zbrojnych. Tymczasem wiwaty tłumu

zmieniły się w grad wyzwisk i okrzyki „Spalić ich wszystkich!”.

Właśnie wtedy dostrzegłem dziewczynę przykutą do innych więźniów. Była w moim wieku, oczy miała okrągłe i przerażone. Czarne włosy lepiły się jej do czoła mokrego od deszczu, który ściekał też po nosie i podbródku niczym łzy. Spojrzałem na jej czarną sukienkę i szpiczaste trzewiki, nie wierząc własnym oczom.

To była Alice. Wpadła w ręce Kwizytora.

## ROZDZIAŁ 5

### POGRZEB

Od nadmiaru wrażeń zakręciło mi się w głowie. Minęło kilka miesięcy, odkąd ostatni raz widziałem Alice. Jej ciotka, Koścista Lizzie, była wiedźmą, z którą rozprawiliśmy się ze stracharzem. Lecz Alice, w odróżnieniu od reszty rodziny, tak naprawdę nie była zła. W istocie, jeśli przyjąć, że w ogóle kiedykolwiek miałem przyjaciela, to właśnie Alice, i to dzięki niej kilka miesięcy temu zdołałem zniszczyć Mateczkę Malkin – najgorszą czarownicę w Hrabstwie.

Nie, Alice nie była zła, jedynie wychowywała się w złym towarzystwie. Nie mogłem pozwolić, by spłonęła na stosie jako wiedźma, musiałem coś wymyślić. W tym momencie jednak nie miałem pojęcia, jak uratować dziewczynę. Postanowiłem, że gdy tylko pogrzeb dobiegnie końca, spróbuję namówić stracharza, aby jej pomógł.

No i był jeszcze Kwizytor. Co za straszliwy pech, że nasza wizyta w Priestown zbiegła się z jego przybyciem. Stracharzowi i mnie groziło śmiertelne niebezpieczeństwo. Z pewnością teraz mój mistrz nie zechce zostać w mieście po pogrzebie. W głębi duszy miałem nadzieję, że zdecyduje się odejść natychmiast i nie stawać do walki z Morem. Ale nie mogłem porzucić Alice na pewną śmierć.

Kiedy wóz przejechał, tłum wezbrał i podążył za procesją

Kwizytora. Wciśnięty w ciżbę, nie miałem wyboru, musiałem iść wraz z nimi. Wóz minął katedrę i zatrzymał się przed wielkim trzypiętrowym domem o wysokich, dzielonych oknach. Domyśliłem się, że to kanonia – dom księży – i że tam właśnie odbędzie się proces więźniów. Sprowadzono ich z wozu i zawleczono do środka, byłem jednak zbyt daleko, by widzieć, co dzieje się z Alice. Na razie nic więcej nie mogłem zrobić. Musiałem szybko coś wymyślić, by zdążyć przed spaleniem na stosie, do którego z pewnością miało niebawem dojść.

Ze smutkiem zawróciłem i zacząłem przepychać się przez tłum, aż do katedry, gdzie odbywał się pogrzeb brata mojego mistrza. Budowla miała potężne mury i wielkie, wysklepione, witrażowe okna. Nagle przypomniałem sobie słowa stracharza i spojrzałem w górę, na przycupniętego nad głównym wejściem kamiennego gargulca. Oto wizerunek pierwotnej postaci Mora, tej, do której powoli próbował powrócić, zbierając siły w katakumbach. Pokryte łuskami ciało przeżyło potężne, węzlaste mięśnie, długimi szponami obejmowało kamienną belkę. Potwór sprawiał wrażenie gotowego do skoku.

Widziałem w swym życiu wiele przerażających rzeczy, ale nie spotkałem niczego brzydszego od owej wielkiej głowy. Wydłużony podbródek zakrzywiał się w górę, niemal dotykając długiego nosa, a złośliwe oczy zdawały się mnie obserwować, gdy się zbliżałem. Sterczące uszy bardziej pasowałyby do wielkiego psa czy nawet wilka. Z całą pewnością nie było to coś, czemu chciałbym stawić czoło w ciemności katakumb! Nim wszedłem do wnętrza, raz jeszcze obejrzałem się z rozpaczą w stronę kanonii, zastanawiając się, czy istnieje nadzieja na ocalenie Alice.

Katedra była niemal pusta. Znalazłem sobie miejsce z tyłu. W pobliżu parę klęczących staruszek pochyła głowy w modlitwie, a ministrant zapalał świece.

Miałem mnóstwo czasu, by się rozejrzeć. Wysokie sklepienie i potężne drewniane belki sprawiały, że wewnątrz katedra wydawała się jeszcze większa; nawet najśłabsze kaszlnięcie



odbijało się od jej murów dziesiątkami ech. Miała trzy nawy – główna, wiodąca wprost do stopni ołtarza, była dość szeroka, by dało się nią poprowadzić konia z wozem. Wnętrze urządzone z przepychem: wszystkie posągi lśniły pozłotą, nawet ściany wyłożono marmurem. Jakże się różniła od małego kościółka w Horshaw, gdzie mieszkał brat stracharza! Z przodu nawy głównej stała otwarta trumna ojca Gregory'ego, w każdym narożniku płonęła świeca. Nigdy w życiu nie widziałem podobnych świec – osadzone w wielkich, mosiężnych lichtarzach były wyższe od rosnącego mężczyzny.

Powoli do świątyni zaczęli napływać ludzie. Wchodzili samotnie bądź parami i jak ja wybierali ławki z tyłu. Cały czas wypatrywałem stracharza, ale dotąd go nie dostrzegłem.

Nie mogłem się powstrzymać od szukania wzrokiem dowodów na istnienie Mora. Nie wyczuwałem jego obecności, możliwe jednak, iż stwór tak potężny zdołał wyczuć moją. Co, jeśli pogłoski były prawdziwe? Jeśli Mór miał dość sił, by przybrać fizyczną postać i siedzi tu, pośród wiernych? Rozejrzałem się nerwowo, ale potem uspokoiłem, bo przypomniałem sobie opowieść stracharza. Mór tkwił uwięziony w katakumbach, głęboko pod ziemią. Byłem bezpieczny przynajmniej na razie.

Ale czy na pewno? Mój mistrz wspominał, że Mór ma potężny umysł i potrafi sięgać myślami nawet do kanonii i wpływać na zachowanie księży. Może właśnie w tym momencie próbuje dostać się do mojej głowy! Przerażony, uniosłem wzrok i spojrzałem wprost w oczy kobiety wracającej na miejsce po ostatnim pożegnaniu z ojcem Gregorym. Poznałem ją natychmiast – to była zapłakana gospodyni. Ona także mnie poznała. Zatrzymała się przy mojej ławce.

– Czemu przyszedłeś tak późno? – spytała głośnym szeptem. – Gdybyś zjawił się natychmiast, kiedy tylko po ciebie posłałam, wciąż by żył.

– Starałem się, jak mogłem – odparłem, próbując nie zwracać na nas niczyjej uwagi.

– Czasami wasze starania na nic się zdają – powiedziała gorzko.  
– Kwizytor ma rację co do was. Przynosicie tylko kłopoty i zasługujecie na wszystko, co was spotka.

Na wzmiankę o Kwizytorze wzdrygnąłem się. Tymczasem jednak katedra zaczęła wypełniać się ludźmi bez wyjątku odzianymi w czarne sutanny i płaszcze Księża – całe dziesiątki! Nigdy nie sądziłem, że ujrzę ich tak wielu w jednym miejscu. Zupełnie jakby na pogrzebie starego ojca Gregory'ego zjawili się wszyscy duchowni z całego świata. Wiedziałem jednak, że to nieprawda i że przybyli tylko ci, którzy mieszkają w Priestown – oraz może kilku z okolicznych wiosek i miasteczek. Gospodyni, nie mówiąc nic więcej, pospiesznie wróciła na miejsce.

Teraz naprawdę się bałem. Siedziałem przecież w katedrze, dokładnie nad katakumbami kryjącymi w sobie najgroźniejszą istotę w Hrabstwie, w czasie gdy miasto odwiedził Kwizytor – i zostałem rozpoznany. Rozpaczliwie pragnąłem uciec stąd jak najdalej. Rozglądałem się nerwowo w poszukiwaniu mojego mistrza, nie dostrzegłem go jednak. Właśnie podjąłem decyzję, że powinienem wyjść, gdy nagle wielkie drzwi kościoła otworzyły się i do środka wmaszerowała długa procesja. Znalazłem się w pułapce.

Z początku sądziłem, że mężczyzna na czele to Kwizytor, przypominał go bowiem z twarzy. Był jednak starszy i pamiętając wzmiankę stracharza o tym, że Kwizytor ma wuja, biskupa Priestown, zrozumiałem, że to musi być on.

Rozpoczęła się ceremonia. Rozbrzmiewały kolejne pieśni, bez końca wstawaliśmy, siadaliśmy i klękaliśmy – gdy tylko zmieniliśmy pozycję, znów musieliśmy się ruszyć. Gdyby uroczystości odbywały się po grecku, może zrozumiałbym więcej, bo mama nauczyła mnie tego języka, kiedy byłem mały. Lecz pogrzeb ojca Gregory'ego niemal w całości prowadzono po łacinie. Tu i ówdzie wychwytywałem znajome zdanie, lecz wkrótce zorientowałem się, że będę musiał bardziej przyłożyć się do lekcji.

Biskup mówił o tym, że ojciec Gregory trafił do nieba i że zasłużył na to ciężką pracą dla dobra innych. Zdziwiło mnie nieco,

że nie wspomniał o tym, jak zginął, przypuszczam jednak, iż księża woleli nie rozgłaszać całej historii. Zapewne nie mieli ochoty przyznawać, że egzorcyzmy zawiodły.

W końcu, po niemal godzinie, ceremonia dobiegła końca i procesja opuściła kościół. Tym razem sześciu księży dźwigało trumnę. Trudniejsze zadanie przypadło czterem kolejnym, dzierżącym świece, bo mimo iż księża nie zaliczali się do ułomków, uginali się ciężarem. Dopiero gdy ostatni maszerujący za trumną minął mnie w drodze do wyjścia, zauważyłem trójkątną podstawę wielkiego, mosiężnego lichtarza.

Z każdej z trzech stron wyrzeźbiono podobiznę ohydneho gargulca, którego widziałem nad drzwiami katedry. A choć zapewne sprawiło to migotanie płomienia, raz jeszcze jego oczy zdawały się mnie obserwować, gdy ksiądz niosący świecę oddalał się powoli,

Wszyscy księża wstali z ław, dołączając do konduktu. Większość ludzi ruszyła za nimi, ja jednak zostałem w kościele. Wolałem uniknąć kolejnego spotkania z gospodynią.

Zastanawiałem się, co zrobić. Nie dostrzegłem stracharza i nie miałem pojęcia, gdzie się zatrzymał ani jak znów mam się z nim spotkać. Musiałem go ostrzec przed Kwizytorem – a także przed gospodynią.

Na zewnątrz deszcz przestał padać, dziedziniec przed katedrą był pusty. Obejrawszy się w prawo, ujrzałem koniec konduktu, znikający za katedrą, gdzie, jak zgadywałem, musiał mieścić się cmentarz.

Postanowiłem pójść w przeciwnym kierunku, przez bramę. Czekał mnie jednak wstrząs. Po drugiej stronie ulicy dwaj zawzięci mężczyźni prowadzili ostrą dyskusję. Ściślej biorąc, słowem zawzięty można kreślić jednego z nich, rozgniewanego księdza o czerwonej twarzy i zabandażowanej dłoni. Drugim mężczyzną był stracharz.

Obaj zauważyli mnie w tym samym momencie. Stracharz machnął kciukiem, każąc mi gestem odejść natychmiast.

Posłuchałem i mój mistrz ruszył za mną, trzymając się drugiej strony ulicy.

– Pomyśl o tym, John – zawołał za nim ksiądz – nim będzie za późno!

Zaryzykowałem szybkie spojrzenie przez ramię i przekonałem się, że ksiądz nie poszedł za nami, lecz zdawał się mnie obserwować. Nie miałem pewności, ale odniosłem wrażenie, iż wzbudziłem w nim znacznie większe zainteresowanie niż stracharz.

Przez kilkanaście minut maszerowaliśmy w dół. W końcu dotarliśmy do stóp wzgórza. Z początku wokół nie kręciło się zbyt wielu ludzi, wkrótce jednak ulice stały się węższe i bardziej zatłoczone. Kilka razy skręciliśmy i wreszcie znaleźliśmy się na brukowanym rynku: wielkim, ruchliwym placu pełnym kramów, osłoniętych drewnianymi rusztowaniami, na których rozpięto szare, nieprzemakalne płachty. Podążyłem za stracharzem między ludzi. Chwilami musiałem podchodzić bardzo blisko niego. Co innego mogłem zrobić? W takim miejscu łatwo mógłbym go zgubić.

Po północnej stronie targowiska stała duża tawerna, przed którą wystawiono puste ławki. Stracharz skierował się wprost ku niej. Z początku sądziłem, że zamierza wejść i zastanawiałem się, czy może zjemy drugie śniadanie. Jeśli postanowił odejść z powodu Kwizytora, nie musieliśmy dłużej pościć. Zamiast tego jednak skręcił w wąską, brukowaną, ślepą uliczkę. Poprowadził mnie do niskiego, kamiennego murku i wytarł jego fragment rękawem. Pozbywszy się większości kropel wody, usiadł, gestem polecając mi zrobić to samo.

Przysiadłem i rozejrzałem się wokół. Uliczka była pusta, z trzech stron napierały na nas ściany magazynów. Dostrzegłem tylko kilka okien, popękanych i pokrytych grubą warstwą brudu. Przynajmniej znaleźliśmy się z dala od wścibskich oczu.

Stracharz nie mógł złapać tchu po szybkim marszu. Dzięki temu mogłem odezwać się pierwszy.

– Kwizytor tu jest – oznajmiłem.

Pokiwał głową.

– Zgadza się, chłopcze. Jest tu, nie da się zaprzeczyć. Stałem po drugiej stronie ulicy, ale byłeś zbyt zajęty wgapianiem się w wóz, żeby mnie zauważyć.

– To znaczy, że jej nie widziałeś? Na tym wozie była Alice.

– Alice? Jaka Alice?

– Siostrzenica Kościstej Lizzie. Musimy jej pomóc.

Jak już wspominałem, Koścista Lizzie była wiedźmą, z którą rozprawiliśmy się wiosną. Teraz stracharz trzymał ją uwięzioną w dole, w ogrodzie w Chipenden.

– A, ta Alice. Cóż, lepiej o niej zapomnij, chłopcze, bo nic się nie da zrobić. Kwizytor ma przy sobie co najmniej pięćdziesięciu zbrojnych.

– Ale to przecież niesprawiedliwe! – nie mogłem uwierzyć, że mówi tak spokojnie. – Alice nie jest czarownicą.

– Życie rzadko bywa sprawiedliwe – odparł stracharz. – Po prawdzie wśród nich nie ma żadnej czarownicy. Jak dobrze wiesz, prawdziwa wiedźma wywęszyłaby Kwizytora z odległości wielu mil.

– Ale Alice to moja przyjaciółka! Nie mogę zostawić jej na pewną śmierć! – zaprotestowałem, czując wzbierający gniew.

– To nie pora na sentymenty. Naszym zadaniem jest chronić ludzi przed mrokiem, a nie zajmować się pięknymi dziewczętami.

Byłem wściekły – zwłaszcza, że wiedziałem, iż stracharza też kiedyś zauroczyła piękna dziewczyna, i to prawdziwa wiedźma.

– Pamiętaj, że Alice pomogła ocalić moją rodzinę przed Mateczką Malkin!

– A jaki sposób Mateczka Malkin wy dostała się na wolność? Powiedz mi, chłopcze.

Zawstydzony, zwiesiłem głowę.

– Ponieważ zadałeś się z tą dziewczyną – podjął. – I nie chcę, by to się powtórzyło, zwłaszcza tutaj, w Priestown, kiedy Kwizytor depta nam po piętach. Naraziłbyś swoje życie – i moje. Poza tym mów ciszej, nie chcemy zwrócić niczyjej uwagi.

Rozejrzałem się szybko. Prócz nas w alejce nie było nikogo. Dostrzegłem kilka osób mijających jej wylot, dzieliła nas jednak od nich spora odległość i nikt nawet nie zerkał w naszą stronę. Za nimi widziałem dachy po drugiej stronie targowiska i wyżej nad ich kominami wieżę katedry. Gdy jednak znów się odezwałem, posłusznie zniżyłem głos.

– Co w ogóle robi tu Kwizytor? Mówiłeś przecież, że działa na południu i przybywa na północ, tylko kiedy się go wezwie.

– Najczęściej tak właśnie jest. Czasem jednak urządza wyprawę na północ, do Hrabstwa, a nawet dalej. Okazuje się, że przez ostatnich kilka tygodni przeczesywał wybrzeże, zbierając nieszczęsne szumowiny, które widziałeś na wozie.

Rozzłościło mnie, że nazwał Alice szumowiną, bo wiedziałem, że to nieprawda. Uznałem jednak, że to nie najlepsza pora na kłótnie, toteż milczałem.

– Lecz w Chipenden będziemy bezpieczni – ciągnął stracharz. – Jak dotąd ani razu nie zapuścił się w okolice wzgórz.

– To znaczy, że wracamy do domu?

– Nie, chłopcze, jeszcze nie. Już ci mówiłem, mam w tym mieście niedokończoną sprawę.

Serce ścisnęło mi się niespokojnie; znów zerknąłem w stronę wylotu uliczki. Ludzie wciąż przemykali obok, zajęci własnymi sprawami, słyszałem też kramarzy wykrzykujących ceny towarów. Wśród hałasu i krzątania nikt nie zwracał na nas uwagi. Mimo wszystko nadal czułem niepokój. Mieliśmy trzymać się z dala od siebie. Ksiądz sprzed katedry znał stracharza, gospodyni znała mnie. Co by się stało, gdyby ktoś jeszcze skręcił w uliczkę, poznał nas i wezwął strażę? Miasto odwiedzało wielu księży z parafii w Hrabstwie, i wszyscy znali stracharza z widzenia. Na całe szczęście chwilowo zapewne wciąż jeszcze przebywali na cmentarzu.

– Ten ksiądz, z którym rozmawiałeś – kto to był? Wyglądał, jakby cię znał. Nie powie Kwizytorowi, że tu jesteś? – spytałem, zastanawiając się, czy gdziekolwiek w mieście możemy czuć się bezpiecznie. Kto wie, może rumiany ksiądz sprzed katedry wskaże

Kwizytorowi drogę do Chipenden? – A, i jeszcze jedno. Na pogrzebie rozpoznała mnie gospodyni twojego brata. Była naprawdę wściekła. Mogła powiedzieć komuś, że tu jesteśmy.

Uważałem, że zostając dłużej w Priestown podczas wizyty Kwizytora poważnie ryzykujemy.

– Uspokój się, chłopcze. Gospodyni nikomu nie powie. Wraz z moim bratem także nie byli bez grzechu. A co do tego księdza – stracharz uśmiechnął się lekko – to ojciec Cairns. Należy do rodziny, to mój kuzyn. Kuzyn, który wtyka nos w nie swoje sprawy i czasem nadmiernie się ekscytuje, ale ma dobre chęci. Zawsze próbuje ocalić mnie przed samym sobą i wskazać mi ścieżkę „prawości”. Ale traci tylko czas. Wybrałem już swoją ścieżkę – i słuszna czy nie – nadal nią podążam.

W tym momencie usłyszałem kroki i serce podeszło mi do gardła. Ktoś skręcił w uliczkę i maszerował wprost ku nam.

– A skoro już mowa o rodzinie – podjął stracharz bez cienia niepokoju – oto kolejny jej członek. Poznaj mojego brata, Andrew.

Po bruku szedł ku nam wysoki mężczyzna o chudym ciele i smutnej, kościstej twarzy. Wydawał się jeszcze starszy niż stracharz i skojarzył mi się z dobrze ubranym strachem na wróble. Choć bowiem miał na sobie solidne drogie buty i czyste ubranie, strój łopotał mu na wietrze. Wydawało się, że jeszcze bardziej niż mnie przyda mu się porządne śniadanie.

Nie zwracając sobie głowy wycieraniem murku, usiadł na nim po drugiej stronie stracharza.

– Tak sądziłem, że cię tu znajdę. Smutna historia, bracie – rzekł ponuro.

– Owszem – odparł stracharz. – Teraz zostało nas tylko dwóch. Pięciu braci nie żyje.

– John, muszę ci powiedzieć, Kwiz.

– Tak, wiem – w głosie stracharza zadźwięczało zniecierpliwienie.

– Więc wiesz, że musicie już iść. Tu nie jest dla bezpiecznie. – Jego brat pozdrowił mnie skinieniem głowy.

– Nie, Andrew, nigdzie się nie wybieramy, póki nie zrobię tego co trzeba. Chciałbym zatem, żebyś znów przygotował mi specjalny klucz. Do bramy.

Andrew wzdrygnął się.

– John, nie bądź głupcem – pokręcił głową. – Nie przyszedłbym tutaj, gdybym wiedział, że tego właśnie chcesz. Zapomniałeś o klątwie?

– Cichaj – odparł stracharz. – Nie przy chłopcu. Zachowaj dla siebie swoje niemądre przesady.

– Klątwie? – spytałem z nagłym zainteresowaniem,

– Widzisz, co zrobiłeś? – syknął gniewnie mój mistrz. – To nic takiego – dodał, zwracając się ku mnie. – Nie wierzę w podobne bzdury i ty też nie powinienes.

– Dziś pochowałem już jednego brata – oznajmił Andrew. – Wracajcie do domu, nim będę musiał pochować drugiego. Kwizytor byłby zachwycony, gdyby mógł dostać w swe ręce stracharza z Hrabstwa. Wracaj do Chipenden, póki możesz.

– Nigdzie nie idę, Andrew. Podjąłem już decyzję. Kwizytor czy nie, mam tu do wykonania zadanie – oświadczył stanowczo stracharz. – Pomożesz mi?

– Nie w tym rzecz i doskonale o tym wiesz! – upierał się Andrew. – Zawsze ci pomagałem, przyznasz chyba. Czy kiedykolwiek cię zawiodłem? Ale to szaleństwo. Pozostając tutaj, ryzykujesz spalenie na stosie. To nie czas na kolejne starcie z tym stworem – machnął ręką w stronę wylotu alejki i uniósł wzrok ku wieży. – No i pomyśl o chłopcu. Nie możesz go w to wciągać. Nie teraz. Wróć na wiosnę, kiedy Kwizytor wyjedzie, wtedy porozmawiamy. Byłbyś głupcem, gdybyś spróbował czegoś w tym momencie. Nie poradzisz sobie z Morem i Kwizytorem. Nie jesteś już młodzikem, a sądząc z wyglądu, zdrowie też niezbyt ci dopisuje.

Podczas gdy rozmawiali, uniosłem wzrok ku wieży. Podejrzywałem, że widać ją z każdego miejsca w mieście, a z jej szczytu z kolei można obejrzeć całą okolicę. Na samej górze, tuż



pod krzyżem, dostrzegłem cztery okienka. Rozciągał się z nich widok na wszystkie dachy w Priestown, większość ulic i mnóstwo ludzi – w tym na nas.

Stracharz powiedział mi, że Mór wykorzystuje ludzi, wnika do ich umysłów i patrzy na świat ich oczami. Zadrzałem, zastanawiając się, czy jeden z księży nie siedzi właśnie na wieży i czy Mór za jego pośrednictwem nie obserwuje nas z mroku.

Lecz stracharz upierał się przy swoim.

– Daj spokój, Andrew. Pomyśl tylko! Ile razy mówiłeś, że mrok w tym mieście rośnie w siłę? Że wśród księży szerzy się zepsucie, że ludzie się boją? Pomyśl też o podwójnej dziesięcinie, o Kwizytorze kradnącym ziemię i palącym niewinne kobiety i dziewczęta. Co skaziło księży, zwróciło ich przeciw ludziom? Jaka straszliwa siła sprawia, że dobrzy ludzie popełniają podobne potworności albo też przyglądają się im beczynnienie? Choćby dziś. Chłopak patrzył, jak jego przyjaciółkę wiozą na pewną śmierć. Owszem, to wina Mora i trzeba go powstrzymać już teraz. Naprawdę myślisz, że mogę pozwolić, żeby trwało to kolejne pół roku? Ilu jeszcze niewinnych ludzi spłonie do tego czasu? Ilu pomrze zimą z powodu nędzy, głodu i zimna, jeśli czegoś nie zrobimy? W mieście krążą plotki o stworach widzianych w katakumbach. Jeżeli to prawda, to Mór rośnie w siłę i z ducha zamienia się w istotę z krwi i ciała. Wkrótce powróci do swej prawdziwej postaci upiora, który nękał Mały Lud. A wtedy co z nami będzie? Z łatwością przerazi bądź zwiedzie jakiegoś nieszczęśnika, by otworzył mu bramę. Nie, to jasne i wyraźne jak nos na twojej twarzy. Muszę działać, muszę uwolnić Priestown od mroku, zanim moc Mora wzrośnie. Pytam zatem raz jeszcze. Zrobisz dla mnie klucz?

Przez chwilę brat stracharza ukrywał twarz w dłoniach, jak jedna ze staruszek odmawiających modły w kościele. W końcu uniósł głowę i przytaknął.

– Wciąż mam formę, od zeszłego razu. Klucz będzie gotowy jutro wczesnym rankiem. Muszę być głupszy od ciebie – dodał.

– Dobry z ciebie człek – odparł stracharz. – Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć. Zgłoszę się po niego o brzasku.

– Tym razem mam nadzieję, że wiesz, co zamierzasz począć, kiedy tam zejdziesz.

Twarz stracharza poczerwieniała od gniewu.

– Ty rób swoje, bracie, a ja zrobię swoje! – odparł.

Na te słowa Andrew wstał, westchnął ze znużeniem i odszedł, nie oglądając się za siebie.

– No dobrze, chłopcze – rzekł stracharz. – Pójdiesz pierwszy. Wracaj do swojego pokoju i zostań tam do jutra. Warsztat Andrew mieści się przy Mnisiej Bramie. Dwadzieścia minut po świcie odbiorę klucz i będę na ciebie czekał. O tej porze nie spotkamy zbyt wielu ludzi. Pamiętasz, gdzie stałeś dziś rano, kiedy do miasta wjechał Kwizytor?

Przytaknąłem.

– Bądź na najbliższym rogu, chłopcze. Nie spóźnij się. I pamiętaj, nadal musimy pościć. A, i jeszcze jedno: nie zapomnij mojej torby. Możemy jej potrzebować.

\*

W drodze powrotnej do gospody myśli wirowały mi w głowie. Czego powinienem bać się najbardziej? Po tęznego człowieka, który z chęcią schwytałby mnie i spalił na stosie? Czy też groźnego stwora, który pokonał mojego mistrza, gdy ten był w sile wieku i być może nawet w tej chwili obserwuje mnie z okna na wieży oczami księdza?

Gdy uniosłem wzrok, kątem oka dostrzegłem czarną księżą sutannę. Odwróciłem spojrzenie, zdążyłem jednak zauważyć postać. Był to ojciec Cairns. Na szczęście na chodniku panował tłok, a on patrzył wprost przed siebie i nawet nie zerknął w moją stronę. Poczuję ulgę, bo gdyby dostrzegł mnie tutaj, tak blisko gospody, bez trudu odgadłby, gdzie mogłem się zatrzymać. Stracharz twierdził, że jest niegroźny, ja jednak nie mogłem uwolnić się od myśli, że im mniej ludzi wie, kim jesteśmy i gdzie mieszkamy, tym lepiej. Moja ulga trwała jednak krótko. Gdy

bowiem wróciłem do pokoju, znalazłem przypięty do drzwi list.

Thomasie,

jeśli chcesz ocalić życie swojego mistrza, przyjdź dziś wieczór o siódmej do mojego konfesjonału. Potem będzie za późno.

Ojciec Cairns.

Ze strachu zrobiło mi się słabo. Skąd ojciec Cairns wiedział, gdzie się zatrzymałem? Czy ktoś mnie śledził? Gospodyni ojca Gregory'ego? Czy może karczmarz? Od początku mi się nie podobał. Czy wysłał wiadomość do katedry? A może to Mór? Czy ten stwór znał każdy mój krok? Czy powiedział ojcu Cairnsowi, gdzie mnie znaleźć? Nieważne jednak skąd i jak, księża wiedzieli, gdzie mnie szukać, i jeśli donieśli Kwizytorowi, mógł się tu zjawić w każdej chwili.

Pospiesznie otworzyłem drzwi pokoju i zamknąłem je za sobą na klucz. Potem zatrzasnąłem okiennice, rozpaczliwie pragnąc ukryć się przed wścibskimi oczami Priestown. Sprawdziłem, czy torba stracharza leży tam, gdzie ją zostawiłem, a potem usiadłem na łóżku nie wiedząc, co robić dalej. Stracharz kazał mi czekać do rana w pokoju; wiedziałem, że nie chciałby, bym spotykał się dalej z jego kuzynem. Mówił, że to ksiądz, który wtrąca się w nie swoje sprawy. Czy znów zamierzał się wtrącić? Z drugiej strony zaznaczył, że ojciec Cairns ma dobre chęci. Ale co, jeśli ksiądz naprawdę wie o czymś, co zagraża stracharzowi? Jeśli zostanę mój mistrz może trafić w ręce Kwizytora. Ale jeżeli pójdę do katedry, wejść wprost do jaskini Kwizytora i Mora! Już pogrzeb był wystarczająco niebezpieczny. Czy naprawdę mam ryzykować jeszcze raz?

Tak naprawdę powinienem poinformować stracharza o liście. Ale nie mogłem. Po pierwsze, nie powiedział mi, gdzie nocuje.

Ufaj swojemu instynktowi – powtarzał mi zawsze. W końcu podjąłem decyzję. Postanowiłem pomówić z ojcem Cairnsem.

## **ROZDZIAŁ 6**

## PAKT Z PIEKŁEM

Dając sobie sporo czasu, szedłem powoli mokrymi, brukowanymi ulicami. Dłonie pociły mi się nerwowo, stopy niechętnie niosły mnie w stronę katedry. Praktycznie zmuszałem je do każdego kroku, zupełnie jakby były mądrzejsze ode mnie. Wraz z wieczorem nadszedł chłód i na szczęście na ulicach nie spotkałem wielu ludzi. Nie minąłem ani jednego księdza.

Do katedry dotarłem jakieś dziesięć minut przed siódmą. Wchodząc przez bramę na rozległy, brukowany dziedziniec, nie mogłem się powstrzymać od spojrzenia na gargulca, czuwającego nad głównym wejściem. Paskudna głowa teraz wydawała się jeszcze większa; oczy, wciąż pełne życia, obserwowały mnie gdy zbliżałem się do drzwi. Długa broda zakrzywiała się w górę tak bardzo, że niemal stykała się z nosem sprawiając, iż stwór nie przypominał żadnej istoty, jaką znałem. Prócz psich uszu i długiego języka wystającego z gęby, gargulec miał także dwa krótkie, zakrzywione rogi wyrastające z czaszki. Nagle skojarzył mi się z kozłem.

Odwróciłem wzrok i wszedłem do katedry, drżąc na myśl o niezwykłości tego stwora. Kiedy znalazłem się w środku, potrzebowałem paru chwil, by moje oczy przywykły do półmroku. Z ulgą odkryłem, że katedra jest niemal zupełnie pusta.

Czułem lęk z dwóch powodów. Po pierwsze, nie podobała mi się sama myśl o byciu w katedrze, gdzie w każdej chwili mogli się zjawić księża. Jeśli ojciec Cairns mnie oszukał, to właśnie wszedłem prosto w pułapkę. Po drugie, znalazłem się teraz na terenie Mora. Wkrótce dzień zgaśnie, a kiedy słońce zajdzie, Mór, podobnie jak inne stwory z mroku, stanie się najniebezpieczniejszy. Być może wówczas jego umysł zdoła sięgnąć ku mnie z katakumb. Musiałem załatwić sprawę jak najszybciej.

Gdzie był konfesjonał? Z tyłu katedry dostrzegłem zaledwie parę staruszek. Z przodu zauważyłem startego mężczyznę. Klęczał

przy drzwiach drewnianej skrzyni, ustawionej pod kamienną ścianą.

Wiedziałem już wszystko, co chciałem wiedzieć; nieco dalej ujrzałem kilka identycznych skrzyń. Konfesjonały Nad każdym sterczała świeca, osłonięta błękitnym szkłem, lecz tylko jedna, obok klęczącego staruszka, była zapalona.

Przeszedłem prawą nawą i ukląknęłem w ławce za plecami spowiadającego się mężczyzny. Po paru chwilach drzwi konfesjonału otworzyły się i ze środka wyszła kobieta w czarnym welonie. Wyminęła nas i uklękła w ławie z tyłu. Tymczasem mężczyzna wszedł do środka.

Po chwili usłyszałem mamrotanie. Nigdy w życiu nie byłem u spowiedzi, ale wiedziałem, jak to wygląda. Jeden z braci taty przed śmiercią stał się bardzo religijny. Tato zawsze nazywał go „świętym Józkiem”, choć naprawdę miał na imię Matthew. Dwa razy w tygodniu chodził do spowiedzi, po wysłuchaniu jego grzechów ksiądz wyznaczał mu surową pokutę. Oznaczało to, że musiał odmówić mnóstwo modlitw, powtarzając je raz po raz. Odgadłem, że staruszek wyznaje księdzu swoje grzechy.

Miałem wrażenie, że minęło ze sto lat, a drzwi wciąż pozostawały zamknięte. Zaczynałem się niecierpliwić. Nagle uderzyła mnie kolejna myśl. A jeśli wewnątrz siedzi nie ojciec Cairns, tylko jakiś inny ksiądz? Wówczas naprawdę będę musiał się wypowiadać, inaczej uznają to za podejrzenie. Próbowałem wymyślić parę grzechów, które zabrzmiałyby przekonująco. Czy chciwość to grzech? A może to się nazywa łakomstwo? Owszem, lubiłem dobrze zjeść, ale cały dzień pościłem i na samą myśl o jedzeniu zaburczało mi w brzuchu. Nagle pomyślałem, że popełniam szaleństwo; w każdej chwili groziło mi uwięzienie.

W panice wstałem, zamierzając wyjść. Dopiero wtedy zauważyłem z ulgą niewielki kawałek papieru, wsunięty w uchwyt na drzwiach. Wypisano na nim nazwisko: OJCIEC CAIRNS.

W tym momencie drzwi się otworzyły i staruszek wszedł, toteż zająłem jego miejsce w konfesjonale. Wewnątrz było ciasno i

ciemno, a kiedy ukląknęłam, moja twarz znalazła się tuż przy metalowej kratce. Za nią dostrzegłam brązową zasłonę, gdzieś w głębi płonąła świeca. Przez kratę nie widziałem twarzy, jedynie niewyraźny zarys głowy.

– Chciałbyś, żebym wysłuchał twojej spowiedzi? – w głosie księdza dźwięczał wyraźny akcent z Hrabstwa. Kapłan oddychał ciężko.

Wzruszyłem ramionami, potem jednak przypomniałem sobie, że on także mnie nie widzi przez gęstą kratę.

– Nie, ojcie – odparłem. – Ale dziękuję za propozycję. Jestem Tom, uczeń pana Gregory'ego. Chciałeś się ze mną widzieć.

Po krótkiej chwili ojciec Cairns przemówił.

– Ach, Thomas. Cieszę się, że przyszedłeś. Wezwałem cię tutaj, bo muszę z tobą porozmawiać, muszę ci powiedzieć coś bardzo ważnego i chcę, żebyś tu został, póki nie skończę. Przyrzekniesz mi, że nie odejdziesz, dopóki nie powiem tego, co mam do powiedzenia?

– Chętnie posłucham – odparłem z powątpiewaniem. Bardzo uważałem na obietnice, odkąd wiosną przyrzekłem coś Alice i wpadłem w poważne tarapaty.

– Grzeczny chłopiec – rzekł. – To dobry początek bardzo ważnego zadania. Chcesz wiedzieć, co to za zadanie?

Zastanawiałem się, czy mówi o Morze, uznałem jednak iż lepiej nie wspominać o tym stworze tak blisko katakumb.

– Może – mruknąłem jedynie.

– Widzisz, Thomasie, musimy razem przygotować plan. Musimy ustalić, jak ocalić twoją nieśmiertelną duszę. Lecz wiesz, od czego powinieneś zacząć? Musisz odejść od Johna Gregory'ego. Musisz przestać uprawiać ten obmierzły fach. Zrobisz to dla mnie?

– Sądziłem, iż wezwałeś mnie w sprawie pomocy panu Gregory'emu – ogarnął mnie gniew. – Myślałem, że grozi mu niebezpieczeństwo.

– Bo grozi, Thomasie. Jesteśmy tu po to, by pomóc Johnowi Gregory'emu, ale musimy zacząć od pomożenia tobie. Zrobisz to, o

co cię proszę?

– Nie mogę. Mój tato zapłacił ładną sumkę za przyjęcie mnie do terminu, a mama byłaby bardzo zawiedziona. Mówi, że mam dar i muszę go użyć do pomocy ludziom. To właśnie robią stracharze. Pomagamy ludziom, gdy grożą im istoty przybywające z mroku.

Odpowiedziała mi długa cisza, słyszałem tylko oddech księdza. Nagle przyszło mi do głowy coś jeszcze.

– Wiesz, że pomogłem ojcu Gregory'emu? – wypaliłem. – Owszem, potem umarł, ale ocaliłem go przed gorszą śmiercią. Przynajmniej zmarł w łóżku, w ciepłe. Próbował pozbyć się bogina – wyjaśniłem, nieco podnosząc głos. – Od tego właśnie zaczęło się nieszczęście. Pan Gregory mógł to zrobić. Potrafi rzeczy, których nie umieją księża. Księża nie potrafią pozbyć się boginów, bo nie wiedzą jak. Do tego potrzeba czegoś więcej, niż kilku modlitw.

Wiedziałem, że nie powinienem był mówić tego o modlitwach, spodziewałem się, że wpadnie w gniew. Ale nie. Wciąż był spokojny i w jakiś sposób wydawało się to jeszcze gorsze.

O tak, potrzeba więcej, znacznie więcej – odparł ojciec Cairns niewiele głośniej od szeptu. – Znacznie, znacznie więcej. Wiesz, jaki jest sekret Johna Gregory'ego, Thomasie? Znasz źródło jego mocy?

– Tak – w moim własnym głosie zadźwięczał nagły spokój. – Uczył się wiele lat, całe życie, odkąd zajął się tą pracą. Ma bibliotekę pełną książek, terminował też, podobnie jak ja, i słuchał uważnie słów swego mistrza, zapisując je w notatnikach, tak samo jak ja teraz.

– Myślisz, że nie robimy tego samego? Trzeba wielu, wielu lat nauki, by wyszkolić księdza. Duchowni to mądry ludzie, których uczą jeszcze mądrzejsi ludzie. Jak zatem udało ci się coś, czego nie zdołał dokonać ojciec Gregory, mimo że czytał świętą bożą księgę? Jak wyjaśnisz fakt, że twój mistrz co dzień robi rzeczy, których nie potrafił jego brat?

– To dlatego, że księża przechodzą niewłaściwe szkolenie – wyjaśniłem. – I ponieważ mój mistrz i ja jesteśmy siódmymi

synami siódmych synów.

Książd za kratą wydał z siebie dziwny dźwięk. Z początku sądziłem, że się dławi. Potem uświadomiłem sobie, iż słyszę śmiech. Śmiał się ze mnie.

Pomyślałem, że to bardzo niegrzeczne. Mój tato zawsze powtarzał, że należy szanować opinie innych, nawet gdy czasami wydają nam się niemądre.

– To tylko przesąd, Thomasie – rzekł w końcu ojciec Cairns. – Bycie synem siódmego syna nic nie znaczy, to zwykle bajki. Prawdziwe wyjaśnienie mocy Johna Gregory'ego jest tak straszne, że drzę na samą myśl o nim. Bo widzisz, John Gregory zawarł pakt z piekłem. Sprzedał swą duszę Diabłu.

Nie mogłem uwierzyć własnym uszom. Gdy otworzyłem usta, nie wydostał się z nich żaden dźwięk. Cały czas kręciłem przecząco głową.

– To prawda, Thomasie, cała jego moc pochodzi od Diabła. To, co ty i inni mieszkańcy Hrabstwa nazywacie boginami, to jedynie pomniejsze diabły, które poddały się wam, gdyż ich władca im każe. A Diabeł czyni tak, bo w zamian pewnego dnia dostanie duszę Johna Gregory'ego. Dusza to cenna rzecz w oczach Boga, cudowna i jaśniejąca. Diabeł zrobi wszystko, tylko zbrukać ją grzechem i wciągnąć w wieczne płomienie piekieł.

– A co ze mną? – znów poczułem złość. – Nie sprzedałem swojej duszy. A jednak uratowałem ojca Gregory'ego.

– To proste, Thomasie. Służysz stracharzowi, jak go nazywasz, a on z kolei służy Diabłu, toteż podczas tej służby dysponujesz mocą pośrednią. Oczywiście jednak, gdybyś dokończył nauki zła i przygotował się do praktykowania tego obmierzłego fachu jako mistrz, nie czeladnik, nadeszłaby i twoja kolej. Ty także musiałbyś oddać swą duszę. John Gregory nie powiedział ci o tym jeszcze, bo jesteś za młody, ale niewątpliwie pewnego dnia by to uczynił. A kiedy ten dzień nadejdzie, nie zaskoczy cię, bo wspomnisz moje słowa. John Gregory popełnił w swym życiu wiele poważnych błędów i upadł bardzo, bardzo nisko. Wiedziałeś, że był kiedyś



księdzem?

Przytaknąłem.

– Słyszałem już o tym.

– A wiesz, że porzucił swe powołanie świeżo po wyświęceniu? Słyszałeś o jego hańbie?

Nie odpowiedziałem. Byłem pewien, że ojciec Cairns i tak mi powie o wszystkim.

– Niektórzy teolodzy twierdzą, że kobieta nie ma duszy. Ta debata wciąż trwa, lecz co do jednego nie ma wątpliwości – ksiądz nie może pojąć żony, bo odciągnęłaby go od służby Bogu. Upadek Johna Gregory'ego był podwójny: nie tylko zawróciła mu w głowie kobieta, lecz kobieta ta oddała wcześniej swoją rękę innemu, jednemu z jego braci. To zniszczyło całą rodzinę. Brat zwrócił się przeciw bratu z powodu kobiety, Emily Burns.

Do tej pory straciłem już resztki sympatii do ojca Cairnsa. Wiedziałem, że gdyby powiedział mojej mamie o tym, iż kobiety nie mają duszy, niemiłosiernie wychłostałaby go swym ostrym językiem. Byłem jednak ciekaw przeszłości stracharza. Najpierw dowiedziałem się o Meg, a teraz usłyszałem, że jeszcze wcześniej związał się z tą Emily Burns. Zdumiało mnie to; chciałem usłyszeć więcej.

– Czy pan Gregory poślubił Emily Burns? – wyrzuciłem z siebie.

– Nie w oczach Boga – odparł ksiądz. – Pochodziła z Blackrod, gdzie ma korzenie nasza rodzina, część z nas żyje tam po dziś dzień. Niektórzy mówią, że się posprzecjali, lecz tak czy inaczej, John Gregory pojął w końcu inną niewiastę, którą poznał przy północnej granicy Hrabstwa i sprowadził na południe. Nazywała się Margery Skelton i była znaną wiedźmą. Miejscowi wołali ją Meg. Z czasem zaczęła budzić strach i nienawiść na całych mokradłach Anglezarke, a także w miastach i wioskach na południu Hrabstwa.

Milczałem. Wiedziałem, iż spodziewa się, że będę wstrząśnięty, i owszem, wstrząsnęła mną jego opowieść, lecz lektura dziennika stracharza w Chipenden przygotowała mnie na najgorsze.

Ojciec Cairns ponownie westchnął głęboko i odchrząknął w głębi

gardła.

– Wiesz, którego ze swych sześciu braci John Gregory skrzywdził?

Już to zgadłem.

– Ojca Gregory'ego – odparłem.

– W pobożnych rodzinach, takich jak Gregory'owie, tradycja każe, by jeden z synów przyjął święcenia. Gdy John odrzucił powołanie, inny brat zajął jego miejsce i zaczął pobierać nauki. Tak, Thomasie, to był ojciec Gregory, brat, którego pogrzebaliśmy dzisiaj. Stracił swą narzeczoną i swego brata. Gdzie indziej miał się zwrócić, jeśli nie do Boga?

Gdy wszedłem do katedry, w kościele było niemal pusto, lecz w czasie naszej rozmowy coraz wyraźniej słyszałem dźwięki dobiegające zza drzwi konfesjonału, kroki i narastający szum głosów. Nagle zaśpiewał chór. Postanowiłem znaleźć jakąś wymówkę i odejść, gdy jednak otworzyłem usta, usłyszałem, że ojciec Cairns wstaje.

– Chodź ze mną, Thomasie – polecił. – Chcę ci coś pokazać.

Usłyszałem, jak otwiera drzwi konfesjonału i wychodzi. Podążyłem za nim.

Gestem wskazał mi ołtarz, gdzie na stopniach, kierowany przez innego księdza, stał w trzech rzędach chór ministrantów. Każdy z nich miał na sobie czarną sutannę i białą komżę.

Ojciec Cairns zatrzymał się i położył zabandażowaną dłoń na moim prawym ramieniu.

– Posłuchaj ich, Thomasie. Czy nie brzmią jak święci aniołowie?

Nigdy nie słyszałem śpiewającego anioła, toteż nie potrafiłem powiedzieć. Z całą pewnością jednak szło im lepiej niż mojemu tacie, który lubił śpiewać sobie pod koniec dojenia. Głos miał tak okropny, że kwaśniało od niego mleko.

– Mogłeś być członkiem tego chóru, Thomasie. Ale zbyt długo to odkładałeś. Twój głos robi się już niski i straciłeś szansę na służbę.

Co do tego miał rację: większość chłopców była młodsza ode mnie, a ich głosy przypominały głosy dziewcząt. Poza tym

śpiewałem nie lepiej od mojego ojca.

– Istnieją jednak inne rzeczy, które mógłbyś zrobić, pozwól, że ci pokażę.

Poprowadził mnie obok ołtarza i dalej, drzwiami na korytarz. Po chwili znaleźliśmy się w ogrodzie na tyłach katedry. Rozmiarami bardziej przypominał pole i zamiast kwiatów i róż rosły w nim warzywa.

Zaczynało się już ściemniać, wciąż jednak pozostało dość światła, bym ujrzał w dali głogowy żywopłot, zza którego sterczały nagrobki. Bliżej nas klęczał ksiądz, wykopujący chwasty łopatką. Ogród był wielki, a łopatka bardzo mała.

– Pochodzisz z farmerskiej rodziny, Thomasie. To dobra, uczciwa praca. Czułbyś się tu jak w domu – ręką wskazał klęczącego mężczyznę.

Pokręciłem głową.

– Nie chcę być księdzem – odparłem stanowczo.

– Och, nigdy nie mógłbyś zostać księdzem! – W słowach ojca Cairnsa odbił się wstrząs i oburzenie. – Zanadto zbliżyłeś się do Diable. Przez resztę twego życia trzeba cię będzie uważnie obserwować, sprawdzając, czy doń nie wrócisz. Nie, ten człowiek to brat.

– Brat? – zdziwiłem się. – Czyżby należał do rodziny?

Ksiądz uśmiechnął się.

– W wielkiej katedrze, takiej jak nasza, księża mają pomocników. Nazywamy ich braćmi, bo choć nie mogą udzielać sakramentów, wykonują inne ważne zadania i należą do wielkiej kościelnej rodziny. Brat Peter to nasz ogrodnik i świetnie się spisuje. Co powiesz, Thomasie? Chciałbyś zostać bratem?

Wiedziałem dokładnie, jak to jest być bratem. Jako najmłodszemu z siedmiu przypadały mi zadania, których nikt inny nie chciał wykonać. Wyglądało na to, że tu jest podobnie. Poza tym miałem już pracę i nie wierzyłem w to, co powiedział mi ojciec Cairns o stracharzu i Diablu. No, może odrobinę zwątpiłem, lecz w głębi ducha wiedziałem, że to nieprawda. Pan Gregory był dobrym

człowiekiem.

Z każdą chwilą robiło się ciemniej i zimniej, uznałem zatem, że czas już iść.

– Dziękuję za rozmowę, ojcze – rzekłem. – Ale proszę, czy zechciałbyś teraz powiedzieć mi o niebezpieczeństwie grożącym panu Gregory'emu?

– Wszystko w swoim czasie, Thomasie – uśmiechnął się lekko.

Coś w tym uśmiechu mówiło mi, że zostałem oszukany. Że od początku nie miał zamiaru pomóc stracharzowi.

– Pomyślę o tym, co mi powiedziałaś, ale teraz muszę już wracać, inaczej nie zdążę na wieczerzę. – Uznałem, że to niezła wymówka. Nie mógł wiedzieć, że poszczę, bo szykuję się do rozprawy z Morem.

– Mamy tu dla ciebie wieczerzę, Thomasie – odparł ojciec Cairns. – W istocie chcielibyśmy, żebyś przenocował.

Z bocznych drzwi wyszło jeszcze dwóch księży. Ruszyli ku nam. Byli rośli i silni, i nie podobał mi się wyraz ich twarzy.

Przez chwilę zapewne mogłem jeszcze uciec, ale wydało mi się niemądre biec, skoro nie wiedziałem, co się stanie.

A potem było już za późno, bo księża stanęli po bokach i złapali mnie mocno za ręce i ramiona. Nie szarpałem się, bo i tak nic bym nie zdziałał. Czuję na sobie wielkie, ciężkie łapska i miałem wrażenie, że jeszcze chwila, a zacznę zapadać się w ziemię. Poprowadzili mnie z powrotem do zakrystii.

– To dla twojego dobra, Thomasie. – Ojciec Cairns podążył za nami. – Kwizytor jeszcze dziś w nocy aresztuje Johna Gregory'ego. Oczywiście czeka go proces, ale werdykt nie pozostawia wątpliwości. Winny konszachtów z Diabłem, spłonie na stosie. Dlatego właśnie nie mogę ci pozwolić wrócić do niego, ty bowiem wciąż jeszcze masz szansę. Jesteś tylko chłopcem, można ocalić twą duszę przed ogniem piekielnym. Gdybyś jednak był z nim podczas aresztowania, spotkałoby cię to samo co jego. Zatem to dla twojego dobra.

– Ale przecież to twój kuzyn! – wypaliłem. – Należy do rodziny.

Jak możesz to zrobić? Pozwól mi go ostrzec.

– Ostrzec? – powtórzył ojciec Cairns. – Myślisz, że nie próbowałem go ostrzec? Robię to niemal całe jego życie. Nie, teraz muszę myśleć o jego duszy, nie o ciele. Ogień go oczyści, poprzez ból jego dusza zostanie zbawiona. Nie rozumiesz? Zrobiłem to, żeby mu pomóc, Thomasie. Istnieją ważniejsze rzeczy, niż nasze krótkie życie na tym świecie.

– Zdradziłeś go! Twoje własne ciało i krew! Powiedziałeś Kwizytorowi, że tu jesteśmy!

– Nie wy, tylko John. Dołącz do nas, Thomasie. Poprzez modlitwę oczyścisz duszę i twemu życiu nic już nie zagrozi. Co powiesz?

Nie było sensu sprzeczać się z kimś, kto święcie wierzył że ma rację, toteż nie marnowałem sił. Słyszałem tylko echo naszych kroków i brzęk kluczy, gdy prowadzili mnie coraz głębiej i głębiej w mrok katedry.

## **ROZDZIAŁ 7**

### **UCIECZKA I ARESZT**

Zamknęli mnie w małej, wilgotnej komnacie bez okna i nie przynieśli wieczerzy, o której wspominali. Za łóżko służył niewielki stos słomy. Kiedy drzwi się zamknęły, pozostałem w ciemności, słuchając zgrzytu klucza w zamku i kroków oddalających się korytarzem.

Było tak ciemno, że nie widziałem uniesionej tuż przed twarzą ręki, ale się nie bałem. Po sześciu miesiącach nauk u stracharza stałem się dużo odważniejszy. Jako siódmy syn siódmego syna zawsze widywałem rzeczy, których inni nie dostrzegali. Lecz stracharz nauczył mnie, że większość z nich nie może nikogo skrzywdzić. Katedra była stara, za ogrodem rozciągał się wielki cmentarz. Oznaczało to, iż w pobliżu krążą różne istoty –

niespokojne duchy i widma. Ale się ich nie bałem.

Niepokoili mnie natomiast obecność Mora w katakumbach. Myśl o tym, że mógłby wniknąć w głąb mojego umysłu, przerażała mnie. Zdecydowanie tego nie chciałem, a jeśli Mór był tak silny, jak podejrzewał stracharz, wiedział dokładnie, co się dzieje. W istocie zapewne to on zwiódł ojca Cairnsa, zwracając go przeciw własnemu kuzynowi. Mógł szerzyć zło wśród księży i słuchać ich rozmów. Wkrótce dowie się, kim i gdzie jestem i, delikatnie mówiąc, nie przyjmie mnie przyjaźnie.

Oczywiście, nie zamierzałem spędzać w zamknięciu całej nocy. Bo widzicie, wciąż miałem w kieszeni trzy klucze. Zamierzałem użyć specjalnego, zrobionego przez Andrew. Nie tylko ojciec Cairns miał w zanadrzu parę sztuczek.

Klucz nie pozwoli mi przejść przez Srebrną Bramę, do otwarcia tego zamka potrzebowalibyśmy czegoś znacznie subtelniejszego i skomplikowanego, wiedziałem jednak, że zdołam wydostać się na korytarz i pokonać dowolne drzwi w katedrze. Musiałem tylko trochę zaczekać, aż wszyscy zasną, wówczas się wymknę. Gdybym wyszedł zbyt wcześnie, pewnie by mnie złapali. Z drugiej strony, jeśli zanadto odwlekę ucieczkę, nie zdążę ostrzec stracharza. Może też odwiedzi mnie Mór. Nie mogłem sobie pozwolić na najmniejszy błąd.

\*

Gdy zapadła ciemność, a głosy dobiegające z zewnątrz ucichły, postanowiłem zaryzykować. Klucz bez najmniejszego oporu obrócił się w zamku, jednak w momencie, kiedy miałem otworzyć drzwi, usłyszałem kroki. Zamarłem, wstrzymując oddech. Stopniowo oddaliły się i na korytarzu znów zapadła cisza.

Czekałem bardzo długo, wyęzając słuch. W końcu odetchnąłem powoli i uchyliłem drzwi; na szczęście otworzyły się bez skrzypnięcia. Przekroczyłem próg i przystanąłem, znów nasłuchując. Nie wiedziałem na pewno, czy w katedrze i sąsiednich budynkach pozostał ktokolwiek. Może wszyscy wrócili do wielkiego domu księży? Ale nie wierzyłem, by nie pozostawili nikogo na

straży. Ruszyłem zatem na palcach w głąb ciemnego korytarza, starając się nie czynić nawet najlżejszego hałasu.

Kiedy dotarłem do bocznych drzwi zakrystii, przeżyłem szok. Nie potrzebowałem klucza. Były otwarte.

Na bezchmurnym niebie świecił księżyc, zalewając ścieżkę srebrzystym blaskiem. Wyszedłem na dwór, poruszając się ostrożnie, i dopiero wtedy wyczułem kogoś za plecami – kogoś stojącego obok drzwi, ukrytego w cieniu jednego z masywnych kamiennych wsporników, podtrzymujących mury katedry.

Na moment zamarłem. Potem z sercem walącym tak głośno, że je słyszałem, obróciłem się powoli. Mroczna postać wystąpiła naprzód i natychmiast ją poznałem. Nie był to ksiądz, lecz brat wcześniej pracujący na klęczkach w ogrodzie. Brat Peter miał wychudzoną twarz i niemal całkowicie łysą czaszkę, za uszami pozostało tylko wąskie pasmo siwych włosów.

– Ostrzeż swojego mistrza, Thomasie – powiedział nagle. – A teraz idź szybko! Uciekajcie z tego miasta, póki jeszcze możecie!

Nie odpowiedziałem, po prostu odwróciłem się i pobiegłem ścieżką ile sił w nogach. Przestałem biec, dopiero kiedy dotarłem na ulicę. Zwolniłem kroku, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Zastanawiałem się, czemu brat Peter nie próbował mnie zatrzymać. Czy nie na tym polegała jego praca? Czy to nie on pełnił straż? Nie miałem jednak czasu na rozmyślenia, musiałem uprzedzić stracharza o zdradzie kuzyna, nim będzie za późno. Nie wiedziałem, w której gospoda się zatrzymał, ale być może jego brat mi powie. To był już jakiś początek, bo umiałem znaleźć Mnisia Bramę: była to jedna z ulic, na które trafiłem, szukając gospody. Bez trudu powinienem odszukać warsztat Andrew. Pospieszyłem brukowanymi uliczkami, świadom, że nie mam zbyt wiele czasu. Kwizytor i jego ludzie zapewne już wyruszyli.

Mnisia Brama była szeroką ulicą między dwoma rzędami domów. Z łatwością znalazłem ślusarza. Szydł nad warsztatem głośił ANDREW GREGORY, lecz wewnątrz było ciemno. Musiałem zastukać trzy razy, nim w pokoju na górze zajaśniało światło.

Andrew otworzył drzwi i uniósł świecę, oświetlając mi twarz. Miał na sobie długą nocną koszulę, na jego twarzy kolejno odbiło się zdumienie, gniew i znużenie.

– Twojemu bratu grozi niebezpieczeństwo – starałem się mówić jak najciszej. – Ostrzegłbym go sam, ale nie wiem, gdzie nocuje.

Bez słowa wezwał mnie gestem i poprowadził do warsztatu o ścianach obwieszonych dziesiątkami kluczy i zamków najróżniejszych kształtów i rozmiarów. Jeden klucz był długi jak moje przedramię, zastanawiałem się jak wielki zamek musi otwierać. Szybko wyjaśniłem, co się stało.

– Mówiłem mu, że jest głupcem, zostając tutaj! – wykrzyknął, tłukąc z całych sił pięścią w stół. – I niech diabli porwą naszego zdradliwego, dwulicowego kuzyna! Od początku wiedziałem, że nie wolno mu ufać. Mór musiał w końcu do niego dotrzeć, odmienić mu umysł tak, by pozbyć się Johna – jedynej osoby w całym Hrabstwie, która wciąż mogła mu zagrozić!

Poszedł na górę i bardzo szybko wrócił ubrany. Wkrótce maszerowaliśmy pustymi ulicami, zmierzając z powrotem w stronę katedry.

– Zatrzymał się Pod Księgą i Świecą – wymamrotał Andrew Gregory, kręcąc głową. – Czemu u licha ci tego nie powiedział? Mogłeś oszczędzić czasu, idąc prosto tam. Miejmy nadzieję, że się nie spóźnimy.

Ale spóźniliśmy się. Usłyszeliśmy ich kilka ulic dalej – męskie głosy, podniesione w gniewie. Ktoś dobijał się do drzwi dość głośno, by pobudzić umarłych.

Obserwowaliśmy wszystko zza rogu, uważając, by nikt nas nie dostrzegł. Teraz nic już nie mogliśmy zrobić. Był tam Kwizytor na wielkim ogierze, w towarzystwie około dwudziestu zbrojnych. Trzymali w rękach pałki, część dobyte też mieczy, jakby spodziewali się oporu. Jeden z nich ponownie zaczął tłuc w drzwi rękojęścią broni.

– Otwierać! Otwierać, i to szybko! – krzyknął. – Albo wyważymy drzwi!



Rozległ się szcęk odsuwanych zasuw i na progu stanął karczmarz w nocnej koszuli, unoszący w dłoni lampę. Sprawiał wrażenie oszołomionego, wyrwanego z głębokiego snu. Dostrzegł jedynie dwóch najbliższych zbrojnych, nie Kwizytora i może dlatego popełnił wielki błąd: zaczął protestować i grozić.

– Co się dzieje?! – krzyknął. – Czy człowiek nie może się już przespać po ciężkim dniu pracy? Kto zakłóca nasz spokój o tej porze? Znam swoje prawa; przepisy zabraniają takich wybryków.

– Głupcze! – ozwał się gniewnie Kwizytor, podjeżdżając pod drzwi. – Ja jestem prawem! W tych ścianach śpi czarownik, sługa Diabła! Udzielanie schronienia znanemu wrogowi kościoła jest zagrożone surową karą. Odstąp albo zapłacisz życiem.

– Wybacz, panie, wybacz – wyjęczał karczmarz, błagalnie unosząc rękę. Jego twarz wykrzywił grymas zgrozy.

W odpowiedzi Kwizytor jedynie skinął na swych ludzi którzy brutalnie chwycili mężczyznę. Bezceremonialnie wyciągnięto go na ulicę i rzucono na ziemię.

I wtedy, z rozmysłem i okrucieństwem wypisanym na twarzy, Kwizytor skierował swego siwego wierzchowca wprost na karczmarza. Kopyto opadło ciężko na nogę mężczyzny, wyraźnie usłyszałem trzask miażdżonej kości. Krew zastygła mi w żyłach. Nieszczęśnik leżał na ziemi, wrzeszcząc wniebogłosy. Tymczasem czterech strażników wpadło do domu, ich buciory zatupały na drewnianych schodach.

Gdy wywlekli na dwór stracharza, wyglądał staro i krucho. Może także trochę się bał, lecz byłem zbyt daleko, by stwierdzić na pewno.

– I co, Johnie Gregory, w końcu jesteś mój! – zagrzemiał Kwizytor donośnym, aroganckim głosem. – Twoje stare, suche kości powinny palić się świetnie.

Stracharz nie odpowiedział. Patrzyłem, jak wiążą mu ręce za plecami i odprowadzają w głąb ulicy.

– Tyle lat pracy i coś takiego – wymamrotał Andrew. – Zawsze starał się czynić dobro. Nie zasłużył na stos.

Nie mogłem uwierzyć, że wszystko to dzieje się naprawdę. Gardło ścisnęło mi się tak mocno, że dopóki stracharz nie zniknął mi z oczu za zakrętem, nie mogłem się nawet odezwać.

– Musimy coś zrobić – rzekłem wreszcie.

Andrew ze znużeniem pokręcił głową.

– W takim razie, chłopcze, zastanów się, a potem mi powiedz, co właściwie powinniśmy zrobić. Bo ja nie mam pojęcia. Lepiej wróć do mnie i o świcie uciekaj stąd jak najdalej.

## **ROZDZIAŁ 8**

### **OPOWIEŚĆ BRATA PETERA**

Kuchnia mieściła się na tyłach domu, jej okno wychodziło na małe brukowane podwórkó. Zaczynało już świtać. Andrew poczęstował mnie skromnym śniadaniem, jajkiem i kawałkiem grzanki, ja jednak musiałem odmówić, bo wciąż pościłem. Gdybym teraz zjadł, znaczyłoby to, iż pogodziłem się z myślą, że stracharz jest stracony i nie staniemy razem do walki z Morem. Poza tym w ogóle nie byłem głodny.

Zrobiłem to, co sugerował Andrew – od aresztowania stracharza każdą chwilę poświęcałem rozmyśleniom nad tym, jak moglibyśmy go ocalić. Myślałem też o Alice. Jeśli czegoś nie zrobię, oboje spłoną na stosie.

– Torba pana Gregory'ego wciąż jest w moim pokoju Pod Czarnym Bykiem – przypomniałem sobie nagle i odwróciłem się do ślusarza. – A on musiał zostawić w gospodzie swoją laskę i nasze płaszcze. Jak je odzyskamy?

– W tym przynajmniej mogę ci pomóc – odparł Andrew. – Dla nas to zbyt ryzykowne, ale znam kogoś, kto mógłby zabrać rzeczy. Zajmę się tym później.

Kiedy patrzyłem, jak Andrew je, gdzieś w dali odezwał się dzwon. Dzwieczyła głucho, niemiło, uderzenia dzieliły od siebie

długie przerwy. Brzmiało to żałobnie, niczym dzwon pogrzebowy.

– Czy to z katedry? – spytałem.

Andrew przytaknął i nadal powoli przeżuwał jedzenie. Wyglądał, jakby również stracił apetyt.

Zastanawiałem się, czy dzwon wzywa ludzi na poranną mszę. Nim jednak zdążyłem cokolwiek powiedzieć, Andrew przełknął kawałek grzanki.

– To oznacza kolejną śmierć w katedrze, bądź innym kościele w mieście. Albo też gdzieś w Hrabstwie zmarł ksiądz i właśnie dotarły tu wieści. W dzisiejszych czasach często go słyszymy. Obawiam się, że każdego księdza, który kwestionowałby mrok i zepsucie panujące w naszym mieście, czeka szybki koniec.

Zadrzałem.

– Czy wszyscy w Priestown wiedzą, że to Mór jest źródłem mroku? – spytałem. – Czy tylko księży?

– O Morze wie większość ludzi. Mieszkańcy dzielnic najbliższych katedry zamurują drzwi do piwnic, a wszędzie szerzą się przesady i strach. Jak zresztą można winić o to zwykłych ludzi, skoro nie mogą polegać na swych własnych księżach? Nic dziwnego, że wiernych jest coraz mniej – Andrew ze smutkiem pokręcił głową.

– Zrobiłeś już klucz? – spytałem.

– Owszem – odparł. – Ale teraz biedny John nie będzie go już potrzebował.

– Moglibyśmy go użyć – zacząłem mówić szybko, żeby skończyć, nim mi przerwie. – Katakumby ciągną się pod samą kanonią, z pewnością prowadzi do nich jakieś przejście. Moglibyśmy zaczekać do nocy i kiedy wszyscy zasną, dostać się do księżego domu.

– To szaleństwo – Andrew potrząsnął głową. – Kanonia jest wielka, ma wiele pokoi nad i pod ziemią, nie wiemy, w którym trzymają więźniów. Co więcej pilnują ich zbrojni strażnicy. Chcesz także spłonąć na stosie? Bo ja nie!

– Warto spróbować – nalegałem. – Nie będą się spodziewać, że ktoś mógłby wtargnąć do domu z podziemi, gdzie krąży Mór.

Zdołamy ich zaskoczyć. Może strażnicy też zasną.

– Nie – Andrew stanowczo pokręcił głową. – To obłąd, niewart życia jeszcze dwóch ludzi.

– W takim razie daj mi klucz i pójdę sam.

– Beze mnie nigdy nie znajdziesz drogi. Katakumby tworzą prawdziwy labirynt.

– A zatem znasz drogę? Byłeś tam już?

– Owszem, dotarłem aż do Srebrnej Bramy, dalej nigdy nie odważyłbym się zapuścić. I minęło dwadzieścia lat, odkąd wybrałem się tam z Johnem. Ten stwór o mało go wówczas nie zabił. Nas też mógłby zabić. Słyszałeś Johna: Mór zmienia się, nie jest już duchem. Odmienia swe kształty, Bóg wie, czym się staje, możemy spotkać tam wszystko. Ludzie wspominali o wściekłych, czarnych psach z potężnymi, wyszczerzonymi zębiskami i o jadowitych węzach. Pamiętaj, że Mór potrafi czytać w myślach, przybierając postać z najgorszych koszmarów. Nie, to zbyt niebezpieczne. Nie wiem, jaka śmierć byłaby gorsza – stos Kwizytora czy śmiertelna prasa Mora. Nie jest to wybór, przed którym powinien stawać młodzian taki jak ty.

– Tym się nie martw – odparłem. – Ty zajmij się zamkami, a ja zrobię resztę.

– Skoro mój brat sobie nie poradził, jakie ty masz szanse? Wówczas był w kwiecie wieku, ty jesteś jeszcze chłopcem.

– Nie jestem tak głupi, by spróbować zniszczyć Mora – odparłem. – Chcę tylko uwolnić stracharza.

Andrew pokręcił głową.

– Od dawna jesteś u niego?

– Prawie pół roku – odparłem.

– Cóż – odrzekł Andrew. – To mówi wszystko, prawda? Wiem, że chęci masz dobre, ale możesz tylko pogorszyć sprawę.

– Stracharz powiedział mi, że spalenie to straszliwa śmierć. Najgorsza ze wszystkich. Dlatego właśnie sam nie pali czarownic. Pozwolisz, by tak cierpiał? Proszę, musisz mi pomóc. To jego jedyna szansa.

Tym razem Andrew nie odpowiedział. Długi czas siedział zatopiony w myślach. Gdy w końcu wstał z krzesła, rzekł tylko, że nie powinienem nikomu się pokazywać.

Uznałem to za dobry znak. Przynajmniej mnie nie odprawił.

\*

Siedziałem na tyłach domu, machając nogami, ranek powoli zamieniał się w dzień. W ogóle nie spałem tej nocy i byłem zmęczony, lecz po ostatnich wydarzeniach zupełnie nie miałem ochoty na sen.

Andrew pracował; przez większość czasu słyszałem go w warsztacie, lecz czasami dźwięczał dzwonek i do sklepu wchodził jakiś klient.

Dochodziło południe, gdy znów zjawił się w kuchni. Jego twarz wyglądała jakoś inaczej. Przyglądał mi się z namysłem. A tuż za nim do środka wszedł ktoś jeszcze!

Zerwałem się na równe nogi, gotów do ucieczki, lecz tylne drzwi były zamknięte, a dwaj mężczyźni stali między mną i jedynym wyjściem. Potem jednak rozpoznałem przybysza i odprężyłem się. To był brat Peter; w rękach niósł torbę stracharza, jego laskę i nasze płaszcze!

– W porządku, chłopcze – Andrew zbliżył się i dodającym otuchy gestem położył mi dłoń na ramieniu. – Przestań wybałuszać ze strachu oczy i usiądź. Brat Peter to przyjaciel. Zobacz, przyniósł rzeczy Johna.

Peter uśmiechnął się i wręczył mi torbę, kij i płaszcze. Podziękowałem mu skinieniem głowy i nim usiadłem odłożyłem rzeczy do kąta. Obaj mężczyźni przysunęli sobie krzesła i usiedli naprzeciwko mnie.

Brat Peter większość życia spędził na świeżym powietrzu. Skóra na jego głowie zbrązowiała od wiatru i słońca. Wzrostem dorównywał Andrew, lecz nie trzymał się równie prosto, plecy i ramiona miał przygarbione – być może sprawiło to wiele lat machania szpadem i motyką. Pierwszą rzeczą, jaką dostrzegąło się na jego twarzy, był nos, zakrzywiony niczym dziób kruka.

Rozstawione szeroko oczy błyszczały przyjaźnie. Instynkt podpowiadał mi, że to dobry człowiek.

– Cóż – rzekł – miałeś szczęście, że wczoraj to ja wybrałem się na obchód, a nie ktoś inny, inaczej z powrotem wylądowałbyś w celi. Ojciec Cairns wezwał mnie dziś tuż po świcie i musiałem odpowiedzieć na kilka niewygodnych pytań. Nie był zadowolony i nie wiem, czy na tym poprzestanie.

– Przepraszam – szepnąłem.

Brat Peter uśmiechnął się.

– Nie martw się, chłopcze. Jestem tylko ogrodnikiem, znanym z kiepskiego słuchu; nie będzie długo zaprzętał sobie mną głowy. Nie teraz, kiedy Kwizytor ma tylu więźniów czekających na stos.

– Dlaczego pozwoliłeś mi uciec? – spytałem.

Brat Peter uniósł brwi.

– Nie wszyscy księża dali się opanować Morowi Wiem, że to twój kuzyn – dodał zwracając się do Andrew – ale nie ufam ojcu Cairnsowi. Myślę, że Mór nim kieruje.

– Też tak uważam – odparł Andrew. – Johna zdradzono, jestem pewien, że krył się za tym Mór. Wie, że John może mu zagrozić, toteż zawładnął naszym słabym kuzynem, by się go pozbyć.

– Chyba masz rację. Zauważyłeś jego rękę? Twierdzi, że ją zabandażował, bo oparzył się o świecę. Lecz ojciec Hendle miał ranę w tym samym miejscu, kiedy opanował go Mór. Myślę, że Cairns oddał stworowi swoją krew.

Musiałem wyglądać na przerażonego, bo brat Peter podszedł do mnie i objął mnie ramieniem.

– Nie martw się, synu, w katedrze wciąż pozostało sporo dobrych ludzi. Może jestem prostym braciszkiem, ale zaliczam się do ich grona i kiedy tylko mogę, staram się służyć Panu. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, by pomóc tobie i twojemu mistrzowi. Mrok jeszcze nie zwyciężył! Przejdźmy zatem do rzeczy. Andrew mówi mi, że masz dość odwagi, by zejść do katakumb. To prawda?  
– Z namysłem potarł palcem czubek nosa.

– Ktoś musi to zrobić i jestem gotów spróbować – oznajmiłem.

– A co, jeśli staniesz twarzą w twarz z...

Nie dokończył, zupełnie jakby nie potrafił się zmusić do wymówienia słowa Mór.

– Czy ktoś mówił ci, z czym możesz mieć do czynienia? O zmianie postaci, czytaniu w myślach i... – znów się zawahał, obejrzał przez ramię, po czym wyszeptał – prasie?

– Tak, słyszałem – odparłem z dużo większą pewnością siebie, niż odczuwałem w istocie. – Ale są rzeczy, które mogę zrobić. On nie lubi srebra. – Otworzyłem kluczem torbę stracharza, sięgnąłem do środka i pokazałem im srebrny łańcuch. – Mógłbym go nim skrepować.

Spojrzałem wprost w oczy brata Petera, starając się nie mrugnąć.

Dwaj mężczyźni popatrzyli po sobie. Andrew się uśmiechnął.

– Dużo ćwicyłeś, co?

– Całymi godzinami – odparłem. – W ogrodzie pana Gregory'ego jest słupek. Potrafię zarzucić na niego łańcuch z odległości ośmiu stóp. Udaje mi się dziewięć razy na dziesięć.

– Cóż, jeśli zdołasz przemknąć obok tego stworu i dotrzeć do kanonii, będzie to twoje pierwsze zwycięstwo. Z całą pewnością będzie tam spokojniej niż zwykle – oznajmił brat Peter. – Wczorajsza śmierć miała miejsce w katedrze, toteż ciało już tu jest, nie trzeba przywozić go do miasta. Dziś w nocy niemal wszyscy księża zjawią się na czuwaniu.

Domyśliłem się, że chodzi o jakiś kościelny zwyczaj, nie miałem jednak pojęcia, z czym się wiąże.

– Odmawiają modły i czuwają nad ciałem zmarłego – Andrew uśmiechnął się, widząc moją zdumioną minę. – Kto właściwie umarł, Peterze?

– Nieszczęsny ojciec Roberts. Odebrał sobie życie. Rzucił się z dachu. To już piąte samobójstwo w tym roku – Peter zerknął na Andrew, po czym spojrzał wprost na mnie. – Bo widzisz, Mór wnika w ich umysły, każe im robić rzeczy przeciwne Bogu i ich sumieniu. To trudna rzecz dla księdza, który złożył święte śluby i

przysiągł służyć Bogu. Kiedy zatem nie może go dłużej znieść, czasem odbiera sobie życie. A to także straszna rzecz. Samobójstwo to grzech śmiertelny księza wiedzą, że nigdy nie trafią do nieba, nie zjednoczą się z Bogiem. Pomyśl, jak muszą cierpieć, by zdobyć się na coś takiego! Obyśmy tylko zdołali pozbyć się tego straszliwego zła, póki w mieście jest jeszcze resztką nieskazona przez Mora.

Zapadła krótka cisza. Sądziłem, że każdy z nas pograżył się w swych myślach, potem jednak dostrzegłem ruch warg brata Petera i zrozumiałem, że modli się za duszę biednego martwego księdza. Upewniłem się co do tego, gdy się przeżegnał. Mężczyźni spojrzeli po sobie i pokiwali głowami, bez słowa dochodząc do porozumienia.

– Pójdę z tobą aż do Srebrnej Bramy – oznajmił Andrew. – Dalej może zdoła ci pomóc brat Peter.

A zatem brat Peter miał nam towarzyszyć? Musiał odczytać to pytanie z mojej twarzy, bo uniósł obie ręce, uśmiechnął się i pokręcił głową.

– O nie, Tom, brak mi odwagi, by zbliżyć się do katakumb. Nie, Andrew chodzi o to, że mogę pomóc w inny sposób: udzielając ci wskazówek. Widzisz, istnieje mapa tuneli: oprawiona w ramy wisi tuż obok wejścia do kanonii, tego prowadzącego wprost do ogrodu. Nie umiem zliczyć, ile godzin spędziłem, czekając tam, aż któryś z księży zejdzie do mnie i przekaże mi plan zajęć na najbliższy dzień. Przez lata nauczyłem się na pamięć każdego szczegółu. Chcesz to zapisać czy zapamiętasz?

– Mam dobrą pamięć – odparłem.

– W takim razie przerwij mi, gdybym miał coś powtórzyć. Andrew doprowadzi cię do Srebrnej Bramy. Kiedy przez nią przejdiesz, idź dalej prosto, aż do rozwidlenia tuneli. Skręć w lewo i idź do stopni; prowadzą do drzwi wiodących do wielkiej piwnicy na wino w kanonii. Drzwi będą zamknięte, ale to żaden problem, jeśli ma się przyjaciela takiego jak Andrew. W piwnicy znajdziesz tylko jedne drzwi, na najdalszej ścianie w prawym kącie.

– Ale czy Mór nie przejdzie za mną przez piwnicę i nie ucieknie?



– spytałem.

– Nie, może opuścić katakumby tylko przez Srebrną Bramę. Kiedy zatem przekroczysz próg piwnicy, będziesz bezpieczny. Nim ją opuścisz, musisz zrobić coś jeszcze. W suficie po lewej stronie drzwi zobaczysz klapę. Wychodzi na ścieżkę biegnącą wzdłuż północnego muru katedry – korzystają z niej dostawcy przywożący piwo i wino. Nim pójdziesz dalej, otwórz zamek klapy. Będziecie mogli przez nią uciec szybciej, niż z powrotem przez bramę. Zapamiętałeś wszystko?

– Nie byłoby znacznie łatwiej od razu zejść przez klapę? – spytałem. – W ten sposób mógłbym uniknąć Srebrnej Bramy i Mora.

– Chciałbym, żeby to było takie łatwe – odparł brat Peter. – Ale to zbyt niebezpieczne. Klapę widać z ulicy i z kanonii. Ktoś mógłby cię zobaczyć.

Przytaknąłem z namysłem.

– Choć nie możesz przez nią wejść, istnieje jeszcze jeden dobry powód, by uciec właśnie tamtędy – wtrącił Andrew. – Nie chcę, by John znów ryzykował spotkanie z Morem. Bo widzisz, podejrzewam, że gdzieś w głębi duszy się boi – tak bardzo boi, że nie zdoła z nim wygrać.

– Boi? – powtórzyłem z oburzeniem. – Pan Gregory nie boi się niczego, co należy do mroku!

– Na pewno się do tego nie przyzna – rzekł Andrew. – Tu masz rację. Pewnie nawet nie przyznaje się przed samym sobą. Ale dawno temu został przeklęty i...

– Pan Gregory nie wierzy w klątwy – znów mu przerwałem. – Sam ci to powiedział.

– Jeśli pozwolisz mi skończyć, wyjaśnię – upierał się Andrew. – To była wyjątkowo niebezpieczna i potężna klątwa, silniejszej nie znajdziesz. Rzuciły ją razem trzy różne kręgi czarownic z Pendle. John zbyt często wtrącał się w ich sprawy, odłożyły zatem na bok własne spory i zaszłości i go przeklęły. Złożyły ofiarę krwi, zabijając niewinnych. Wszystko zdarzyło się w noc Walpurgii, w przeddzień

pierwszego maja dwadzieścia lat temu. Po wszystkim przysłały mu tekst klątwy na kawałku zbryzganego krwią pergaminu. Kiedyś zdradził mi, co na nim zapisano:

Umrzesz w mrocznym miejscu, głęboko pod ziemią, bez przyjaciela u boku.

– Katakumby – szepnąłem cicho. Gdyby sam stanął w nich naprzeciw Mora, warunki klątwy zostałyby spełnione.

– Zgadza się, katakumby – odrzekł Andrew. – Jak już mówiłem, wyprowadź go przez klapę. Bracie Peterze, przepraszam, że przeszkodziłem.

Peter uśmiechnął się ponuro.

– Kiedy otworzysz klapę, wyjdź drzwiami na korytarz. To najniebezpieczniejszy moment. Na drugim końcu korytarza mieści się cela, w której trzymają więźniów, znajdziesz tam swego mistrza. Jednak aby do niej dotrzeć, będziesz musiał minąć pokój straży. To trudne, lecz w podziemiach jest zimno i wilgotno, rozpalają zatem ogień i, jeśli Bóg zechce, zamkną drzwi, by chronić się przed chłodem. To wszystko! Uwolnij pana Gregory'ego, wyprowadź go przez klapę i uciekajcie z miasta. Będzie musiał wrócić tu i rozprawić się z potworem innym razem, kiedy Kwizytor wyjedzie.

– Nie – zaprotestował Andrew. – Po tym wszystkim nie zgodzę się, by znów tu wrócił.

– Ale jeśli nie stanie do walki z Morem, to kto to zrobi? – spytał brat Peter. – Ja też nie wierzę w klątwy. Z Bożą pomocą John pokona złego ducha. Wiesz, że jest coraz gorzej. Nie wątpię, że ja będę następny.

– Nie ty, bracie Peterze – odrzekł Andrew. – Niewielu znam ludzi o równie silnych umysłach.

– Staram się, jak mogę – Peter zadrzał. – Kiedy słyszę, że szepcze w mojej głowie, modlę się jeszcze mocniej. Bóg daje nam siłę, której potrzebujemy – jeśli mamy dosyć rozumu, by o nią poprosić. Ale trzeba coś zrobić. Nie wiem, jak się to wszystko zakończy.

– Zakończy się, kiedy mieszczanie będą mieli dosyć – oznajmił Andrew. – Nie da się bez końca uciskać ludzi. Dziwię się, że tak długo znoszą wybryki Kwizytora. Niektórzy z więźniów mają tu krewnych i przyjaciół.

– Może tak, może nie – rzekł brat Peter. – Mnóstwo ludzi uwielbia oglądać palenie czarownic. Możemy się tylko modlić.

## **ROZDZIAŁ 9**

### **KATAKUMBY**

Brat Peter wrócił do swych obowiązków w katedrze, a my czekaliśmy na zachód słońca. Andrew twierdził, że najlepiej dostać się do katakumb przez piwnicę pustego domu w pobliżu katedry; po zmroku istniała większa szansa, że dotrzemy tam niezauważeni.

W miarę upływu godzin denerwowałem się coraz bardziej. Podczas rozmowy z Andrew i bratem Peterem udawałem pewność siebie, lecz tak naprawdę Mór mnie przerażał. Cały czas grzebałem w torbie stracharza, szukając czegokolwiek, co mogłoby pomóc.

Wziąłem srebrny łańcuch, którym krępował wiedźmy, i okręciłem go sobie wokół pasa, ukrywając pod koszulą. Wiedziałem jednak, że okręcenie łańcuchem drewnianego słupka to jedno, a zrobienie tego samego z Morem – coś zupełnie innego. Następnie przyszła kolej na sól i żelazo. Przełożyłem hubkę do kieszonki kurtki i napełniłem kieszenie portek: prawą – solą, lewą – żelazem. Ich połączenie działało przeciw, ko większości stworów wędrujących w mroku. Tak właśnie rozprawiłem się w końcu ze starą czarownicą, Mateczką Malkin.

Nie podejrzewałem, żeby sól i żelazo wystarczyły do zabicia czegoś tak potężnego jak Mór; gdyby tak było, stracharz dawno pozbyłby się go raz na zawsze. Byłem jednak wystarczająco zdesperowany, by próbować czegokolwiek, a ciężar soli, żelaza i srebra dodawał mi otuchy. Nie zamierzałem tym razem zniszczyć

Mora, jedynie odpędzić go na dostatecznie długo, by zdążyć uratować mistrza.

W końcu, trzymając w lewej dłoni laskę stracharza, a w prawej torbę i płaszcz, ruszyłem za Andrew ciemniejszymi ulicami w stronę katedry. Niebo nad naszymi głowami zasnuły ciężkie chmury, w powietrzu czułem woń nadchodzącego deszczu. Powoli zaczynałem nienawidzić Priestown, jego wąskich, brukowanych uliczek i podwórek-studni. Tęskniłem za wzgórzami i rozległymi przestrzeniami. Gdybym tylko był teraz w Chipenden i jak zwykle pobierał lekcje u stracharza! Nie mogłem uwierzyć, że moje tamtejsze życie może wkrótce dobiec końca.

Gdy dotarliśmy w pobliże katedry, Andrew poprowadził nas wąskim przejściem na tyłach szeregowych domów. Zatrzymał się przy bramie, powoli uniósł skobel i skinieniem głowy wskazał małe podwórko. Zamknąwszy starannie bramę, podszedł do tylnych drzwi domu, które spowijała ciemność.

Wystarczyła chwila, by przekręcił klucz w zamku, wpuszczając nas do środka. Zamknął za nami drzwi, zapalił dwie świece i wręczył mi jedną.

– Ten dom stoi pusty od ponad dwudziestu lat – oznajmił – i zapewne takim pozostanie, bo jak się już zorientowałaś, koledzy po fachu mojego brata nie są tu mile widziani. To miejsce nawiedza coś paskudnego. Większość ludzi trzyma się z daleka i nawet psy go unikają.

Miał rację co do tego, że w domu kryje się coś niedobrego. Na wewnętrznej stronie drzwi stracharz wyrzył następujący symbol:

ǎI

Była to grecka litera gamma oznaczająca ducha bądź zjawę. Numer po prawej, jedynka, informował, że to duch pierwszego rzędu, wystarczająco niebezpieczny, by pchnąć niektórych w otchłań szaleństwa.

– Nazywał się Matty Barnes – oznajmił Andrew – i zamordował w tym mieście siedem osób, może więcej. Miał wielkie dłonie, właśnie nimi dusił na śmierć swoje ofiary. Zwykle

młode kobiety. Podobno przyprowadzał je tutaj i w tym pokoju wyciskał z nich życie. W końcu jedna z kobiet zaczęła walczyć i wbiła mu w oko szpilę do kapelusza. Umierał długo na zatrucie krwi. John zamierzał przekonać jego ducha, by opuścił to miejsce, ale zmienił zdanie. Zawsze planował, że pewnego dnia tu wróci i rozprawi się z Morem. Chciał mieć pewność, że wciąż będzie miał dostęp do wejścia do katakumb, dobrze wiedząc, że nikt nie kupi nawiedzonego domu.

Nagle powietrze obok nas ochłodziło się gwałtownie, płomienie świec zamigotały. Coś było blisko i zbliżało się z każdą sekundą. Nim zdążyłem odetchnąć, dotarło do nas, a choć nic nie widziałem, wyczuwałem przyczajoną obecność wśród cieni po drugiej stronie kuchni. Coś przyglądało mi się z uwagą.

Fakt, że go nie widziałem, jeszcze pogarszał sprawę. Najpotężniejsze duchy mogą wybierać, czy ukazać się ludziom, czy pozostać niewidzialne. Duch Matty'ego Barnes'a demonstrował mi swoją siłę, ukrywając się przed moimi oczami, lecz dając mi znać, że patrzy. Co więcej, wyczuwałem promieniujące z niego zło. Źle nam życzył i czułem, że im szybciej wyniesiemy się z tego domu, tym lepiej.

– Czy to moja wyobraźnia, czy nagle zrobiło się bardzo zimno? – spytał Andrew.

– Faktycznie jest zimno – odparłem, nie wspominając o obecności ducha. Nie było potrzeby straszyć mojego towarzysza jeszcze bardziej.

– A zatem ruszajmy – Andrew poprowadził mnie w stronę schodów do piwnicy.

Dom był typowym budynkiem z Hrabstwa: dwa pomieszczenia na górze, dwa na dole i poddasze. Drzwi do piwnicy mieściły się w kuchni, dokładnie w tym samym miejscu, co tamte w Horshaw, w domu, do którego zabrał mnie stracharz pierwszej nocy po tym jak zostałem jego uczniem. Tamten dom także był nawiedzony i aby sprawdzić, czy nadaję się do terminu, stracharz kazał mi o północy zejść do piwnicy. Nie ma mowy, żebym kiedykolwiek zapomniał tę noc; nawet dziś na jej wspomnienie przechodzi mnie dreszcz.

Zeszliśmy z Andrew do piwnicy. Na kamiennej podłodze leżał jedynie stos starych szmat i dywanów. Pomieszczenie zdawało się suche, lecz unosił się w nim odór stęchlizny. Andrew oddał mi swoją świecę, a potem szybko odciągnął szmaty, odsłaniając drewnianą klapę.

– Do katakumb wiedzie wiele wejść – rzekł. – To jednak jest najłatwiejsze i najmniej niebezpieczne. Raczej nie spotkasz tu nikogo, kto chciałby powęszyć.

Uniósł klapę i ujrzałem kamienne stopnie wiodące w ciemność. Wciągnąłem w nozdrza zapach wilgotnej ziemi i zgnilizny. Andrew zabrał mi świecę i ruszył pierwszy, uprzedzając, bym zaczekał chwilę.

– Schodź – zawołał w końcu – ale klapę zostaw otwartą. Możliwe, że będziemy musieli uciekać stąd w pośpiechu.

Zostawiłem w piwnicy torbę stracharza oraz płaszcze i ruszyłem za Andrew, nadal ściskając w dłoni kij mistrza. Dotarłszy na dół, ku memu zdumieniu, zamiast spodziewanego błota poczułem pod nogami kocie łby. Katakumby były równie starannie wybrukowane, jak ulice nad nimi. Czy zbudowali je ludzie, którzy tu mieszkali przed powstaniem miasta, ci, którzy oddawali boską cześć Morowi? Jeśli tak, brukowane ulice Priestown stanowiły jedynie kopię podziemnych tuneli.

Andrew pomaszerował naprzód bez słowa. Miałem wrażenie, że chce załatwić sprawę jak najszybciej. Nie dziwiłem mu się, ja też tego chciałem.

Z początku tunel był dość szeroki, by dwóch ludzi mogło wędrować nim obok siebie. Lecz wykładane kamieniami sklepienie zwisało nisko i Andrew musiał pochylić głowę. Nic dziwnego, że stracharz używał określenia „Mały Lud”. Budowniczo wie katakumb byli niewątpliwie dużo niżsi niż obecni mieszkańcy Hrabstwa.

Wkrótce jednak tunel zaczął się zwężać. Miejscami wydawał się zniekształcony, jakby przygnieciony ciężarem katedry i innych budynków. Część kamieni, którymi wyłożono ściany i sufit, poodpadała, pozwalając przesiąknąć błotu i brudnej wodzie. W dali słyszałem kapanie oraz echo naszych kroków na kamiennym bruku.

Stopniowo korytarz zwężał się coraz bardziej; teraz musiałem iść za Andrew. Nasza ścieżka rozwidliła się na dwa jeszcze mniejsze tunele. Skręciwszy w lewo dotarliśmy do zagłębienia w ścianie. Andrew przystanął i unióś świecę tak, że jej blask padł na ciasną niszę. Patrzyłem ze zgrozą na rzędy półek wypełnionych kośćmi. Były wśród nich: czaszki o pustych oczodołach, golenie, piszczele, kości palców, a także inne, których nie poznałem, różnych rozmiarów, pomieszane. A wszystkie należały do ludzi!

– W katakumbach roi się od podobnych krypt – wyjaśnił Andrew. – Nie chciałbyś zabłądzić tu po ciemku.

Niektóre kości były nieduże, jakby należały do dzieci. Zdałem sobie sprawę, że widzę szczątki Małego Ludu.

Ruszyliśmy dalej i wkrótce usłyszałem szum płynącej szybko wody. Skręciliśmy i zobaczyłem ją przed sobą: raczej niewielką rzekę niż strumień.

– Rzeka ta przepływa pod główną ulicą przed katedrą. – Andrew wskazał ciemną wodę. – A my przeprawimy się tutaj.

W poprzek koryta ułożono dziewięć dużych kamieni. Gładkie i płaskie, wystawały niewiele ponad powierzchnię wody.

Raz jeszcze Andrew ruszył przodem, bez trudu przestępując z kamienia na kamień. Po drugiej stronie przystanął i odwrócił się, patrząc jak podążam w jego ślady.

– Dziś jest łatwo – oznajmił. – Lecz po obfitych deszczach poziom wody podnosi się ponad kamienie. Wówczas istnieje realne niebezpieczeństwo, że przepływających się przez rzekę może porwać woda.

Poszliśmy dalej, zostawiając za sobą intensywny szum rzeki.

Andrew zatrzymał się nagle i ponad jego ramieniem ujrzałem, że dotarliśmy do bramy. Lecz co to była za brama! Nigdy nie widziałem podobnej. Sięgająca od ziemi do sklepienia i od ściany do ściany metalowa krata całkowicie przegradzała tunel, połyskując w świetle świecy. Metal wyglądał na stop, bardzo bogaty w srebro i wykuty przez niezwykle uzdolnionego kowala. Każdy pręt składał się nie z jednego kawałka metalu, lecz z kilku znacznie cieńszych prętów, skręconych razem i tworzących spirale. Ich układ był bardzo skomplikowany – dostrzegałem jakieś kształty i wzory, lecz im dłużej się wpatrywałem, tym bardziej zdawały się zmieniać.

Andrew odwrócił się i położył mi dłoń na ramieniu.

– Jesteśmy na miejscu. Oto Srebrna Brama. Posłuchaj – rzekł – to bardzo ważne. Wyczuwasz coś w pobliżu? Cokolwiek z mroku?

– Nie wydaje mi się – rzekłem.

– To nie wystarczy – warknął ostro Andrew. – ty musisz być pewien! Jeśli wypuścimy tego stwora, groza zawładnie całym Hrabstwem, nie tylko księżmi.

Nie czułem zimna, które zwykle ostrzega, że w pobliżu czai się istota z mroku. Oznaczało to, iż powinniśmy być bezpieczni. Lecz stracharz zawsze mi powtarzał, że mam ufać instynktowi, więc by się upewnić odetchnąłem głęboko i skupiłem się.

Nic. Nie wyczuwałem niczego.

– W porządku – potwierdziłem Andrew.

– Jesteś pewien? Naprawdę pewien?

– Jestem pewien.

Andrew gwałtownym ruchem opadł na kolana i sięgnął do kieszeni nogawic. W kracie zamontowano niewielkie zakrzywione drzwiczki, ich mały zamek znajdował się nisko nad ziemią – dlatego właśnie Andrew tak mocno się schylił. Bardzo ostrożnie wsunął w zamek najmniejszy z kluczy. Przypomniałem sobie olbrzymi klucz wiszący na ścianie warsztatu. Można by sądzić, że im większy klucz, tym ważniejszy, tu jednak prawda wyglądała dokładnie odwrotnie. Co mogło być ważniejszego niż maleńki kluczyk, który Andrew trzymał teraz w dłoni? Oto przedmiot, chroniący całe Hrabstwo przed Morem.

Długą chwilę majstrował, raz po raz przekładając klucz, który w końcu się obrócił. Andrew otworzył bramę i wstał.

– Nadal chcesz to zrobić? – spytał.

Przytaknąłem, po czym ukląknęłam, przepchnąłem łaskę przez otwór i podążyłem za nią, pełznąca na czworakach. Andrew natychmiast zamknął za mną bramę i podał mi klucz przez kratę. Schowałem go do lewej kieszeni, głęboko pomiędzy opiłkami żelaza.

– Powodzenia – rzekł Andrew. – Teraz pójdę do piwnicy i zaczekam godzinę, na wypadek gdybyś z jakiejś przyczyny chciał tędy wrócić. Jeśli się nie zjawisz, pójdę do domu. Szkoda, że nie mogę bardziej pomóc. Odważny z ciebie chłopak, Tom. Chciałbym mieć dość odwagi, by móc ci towarzyszyć.

Podziękowałem, odwróciłem się i niosąc w lewej dłoni łaskę, a w prawej świecę, samotnie ruszyłem w mrok. Po paru chwilach dotarła do mnie pełna groza zadania, którego się podjąłem. Czy zupełnie oszalałem? Byłem teraz w jaskini Mora, który mógł zjawić się w każdej chwili. Co ja sobie myślałem? Możliwe, iż wiedział już, że tu jestem.

Odetchnąłem jednak głęboko i dodałem sobie otuchy myślą, że skoro nie rzucił się na Srebrną Bramę w chwili, gdy Andrew ją otworzył, nie mógł być wszechwiedzący. A jeśli katakumby ciągną się tak daleko, jak twierdzą ludzie, w tym momencie Mór mógł przebywać wiele mil ode mnie. Poza tym cóż innego mi pozostało? Mogłem tylko iść naprzód. Od tego, co zrobię, zależało życie stracharza i Alice.

Po jakiejś minucie dotarłem do rozwidlenia. Pamiętając słowa brata Petera, skrzyłem w lewo. Powietrze wokół mnie zrobiło się zimne i poczułem, że nie jestem już sam. W dali, poza kręgiem światła świecy, dostrzegłem trzepoczące niczym nietoperze niewielkie, niewyraźne, połyskujące kształty, wyglądające z krypt w ścianach. Gdy się zbliżałem, znikaly. Nie podchodziły dość blisko, lecz byłem pewien, że to duchy Małego Ludu. Nie bałem się ich; to myśl o Morze nie dawała mi spokoju.

Dotarłem do zakrętu i gdy skrzyłem w lewo, poczułem coś pod nogą i o mało się nie wywróciłem. Nadepnąłem na coś miękkiego i lepkiego.

Cofnąłem się i uniosłem świecę, żeby przyjrzeć się bliżej. To, co ujrzałem, sprawiło, że zatrzęsły mi się kolana, a świeca zachybotała w drżącej dłoni. Martwy kot. Lecz nie fakt jego śmierci tak mnie poruszył, tylko to, jak umarł.

Bez wątpienia zapuścił się do katakumb w poszukiwaniu myszy bądź szczurów i spotkał go tu straszliwy koniec. Leżał na brzuchu z wybaluszonymi oczami. Nieszczęsne zwierzę zostało spłaszczone tak mocno, że w żadnym miejscu jego ciało nie było grubsze niż cal. Leżało wbite w kamienie, lecz wystający z pyska język wciąż połyskiwał, zatem



nie mogło zginąć zbyt dawno. Zadrzałem ze zgrozy. Kot został sprasowany. Jeśli Mór mnie znajdzie, czeka mnie podobny los.

Szybko ruszyłem dalej, ciesząc się, że zostawiam za sobą upiorne znalezisko i w końcu dotarłem do stóp kamiennych schodów, wiodących do drewnianych drzwi. Jeśli brat Peter miał rację, za nimi czekała piwnica na wino w domu księży.

Wspiąłem się na górę i skorzystałem z klucza stracharza. W chwilę później otwierałem już drzwi. Znalazłszy się w piwnicy, zamknąłem je za sobą, ale nie na klucz.

Pomieszczenie było olbrzymie; stały w nim wielkie beczki piwa i całe rzędy zakurzonych stojaków z winem, pełnych butelek. Niektóre, osnute pajęczynami, wyraźnie leżały tu od dawna. Wokół zalegała martwa cisza i o ile ktoś nie ukrywał się w kącie i mnie nie obserwował, nikogo tu nie było. Oczywiście płomyk oświetlał tylko niewielki krąg wokół mnie, a za najbliższymi beczkami zalegała ciemność, która mogła ukryć wszystko.

Przed wyjściem od Andrew brat Peter powiedział mi, że księża schodzą do piwnicy tylko raz w tygodniu po potrzebne im wino i większości z nich nawet nie śni się zapuszczać do katakumb z powodu Mora. Nie mógł jednak obiecać, że ludzie Kwizytora zachowają się podobnie: nie pochodzili stąd i nie wiedzieli dość, by się bać. Co więcej, chętnie częstowali się piwem i nie zadowoliliby się jedną baryłką.

Ostrożnie przeszedłem przez piwnicę, przystając co dziesięć kroków i nasłuchując. W końcu ujrzałem drzwi prowadzące na korytarz. Obok nich, w suficie po lewej, tuż przy ścianie zobaczyłem wielki, drewniany właz. Mieliśmy podobny w domu. Nasza farma nosiła kiedyś nazwę Piwowarska, bo dostarczała piwo sąsiednim karczmom i farmerom. Jak wyjaśnił brat Peter, kłapa służyła dostawcom – mogli przywozić i zabierać beczki i skrzynie bez konieczności odwiedzania kanonii. Miał też rację twierdząc, iż to najprostsza droga ucieczki. Owszem, gdybym z niej skorzystał, z pewnością ktoś by mnie zauważył. Ale powrót do Srebrnej Bramy mógł oznaczać spotkanie z Morem, a uwolniony z więzienia stracharz nie będzie miał dość sił, by się z nim rozprawić. No i musiałem też pamiętać o klątwie, rzuconej na strycharza, nieważne, czy w nią wierzył, czy nie, nie było sensu kusić losu.

W tym kącie piwnicy, tuż pod włazem stały wielkie beczki piwa. Zostawiłem na jednej świecę, oparłem z boku łaskę, po czym wdrapałem się na drugą beczkę, sięgając zasuwki osadzonej w drewnie tak, by dawało się ją otwierać i zamykać z obu stron. Zamek okazał się prosty, klucz stracharza znów zadziałał. Na razie jednak pozostawiłem właz zamknięty na wypadek, gdyby ktoś wypatrzył go z góry.

Z równą łatwością otworzyłem drzwi na korytarz, bardzo wolno przekręcając klucz, tak by nie narobić hałasu. Wreszcie doceniłem, jak wielkie szczęście miał stracharz, że jeden z jego braci został ślusarzem.

Powoli uchyliłem drzwi i przekroczywszy próg, znalazłem się w długim, wąskim korytarzu, wyłożonym kamiennymi płytami. Był pusty, lecz jakieś dwadzieścia kroków dalej, po prawej dostrzegłem pochodnię migoczącą w uchwycie na ścianie nad zamkniętymi drzwiami. To musiała być wartownia, przed którą ostrzegął mnie brat Peter. Dalej, w głębi, zobaczyłem drugie drzwi, a za nimi kamienne stopnie, prowadzące bez wątpienia do pomieszczeń na górze.

Ruszyłem powoli w stronę pierwszych drzwi, stąpając niemal na palcach i kryjąc się w cieniu. Gdy dotarłem blisko wartowni, usłyszałem dobiegające ze środka głosy. Ktoś zakasłał, ktoś inny się zaśmiał, towarzyszył temu pomruk rozmów. Nagle serce zerwało mi się do biegu – usłyszałem niski głos tuż przy wyjściu i nim zdołałem się schować, drzwi otwarły się gwałtownie, o mało mnie nie ogłuszając. Cofnąłem się szybko za framugę i przywarłem do szorstkiej, kamiennej ściany. Ktoś wyszedł na korytarz, tupiąc głośno.

– Muszę wracać do pracy – oznajmił. Poznałem ten głos: należał do Kwizytora, który mówił do kogoś stojącego tuż za progiem. – Poślij po brata Petera – polecił. – I każ go do mnie sprowadzić, kiedy skończę z tamtym. Ojciec Cairns może i stracił więźnia, ale przynajmniej wiedział, czyja to wina i miał dość rozumu, żeby zgłosić się do mnie. Skrępuj mocno ręce braciszкови za plecami i nie traktuj go łagodnie. Niech sznur wrzyna się w ciało, by dokładnie wiedział co go czeka. I z pewnością nie będzie to tylko kilka surowych słów. Rozpalone żelazo wkrótce rozwiąże mu język.

Odpowiedział mu wybuch głośnego, okrutnego śmiechu strażników. A potem długi, czarny płaszcz Kwizytora załopotał za nim, uniesiony przeciągiem, gdy mężczyzna zamknął drzwi i pomaszerował szybko w stronę schodów na końcu korytarza.

Gdyby się odwrócił, od razu by mnie zobaczył. Przez moment sądziłem, że zatrzyma się przy celi więźniów, lecz ku mojej uldze, nie zwalniając kroku, wspiął się po stopniach i zniknął.

Biedny brat Peter! Czekало go przesłuchanie, lecz w żaden sposób nie mogłem go ostrzec. Pojąłem też, że to ja jestem więźniem, o którym wspominał Kwizytor. Zamierzali poddać Petera torturom, bo mnie wypuścił! A to nie wszystko. Ojciec Cairns opowiedział o mnie Kwizytorowi. Teraz, kiedy schwytał już stracharza, Kwizytor zapewne przybędzie po mnie. Musiałem uratować mistrza, nim stanie się za późno dla nas obu.

I wtedy o mało nie popełniłem wielkiego błędu i nie ruszyłem dalej w stronę celi; w ostatniej chwili jednak pojąłem, że rozkazy Kwizytora zostaną spełnione natychmiast. Istotnie, drzwi wartowni otwarły się ponownie i ze środka wymaszerowało dwóch mężczyzn. Wymachując pałkami, ruszyli szybko ku schodom.

Gdy drzwi znów się zamknęły, znalazłem się na widoku, ale szczęście nadal mi dopisywało i strażnicy nie rozglądali się zanadto. Kiedy zniknęli na górze odczekałem parę chwil, aż echo ich kroków umilknie, a moje serce przestanie walić jak oszalałe. Wtedy usłyszałem inne głosy, dochodzące z celi. Ktoś płakał, ktoś inny nucił modlitwę. Pośpieszyłem ku owym dźwiękom i dotarłem do ciężkich, metalowych drzwi. Jedną trzecią część od góry tworzyły pionowe, metalowe pręty.

Przysunąłem bliżej świecę i zajrzałem do środka. W migotliwym świetle cela wyglądała strasznie, a cuchnęła jeszcze gorzej. W niewielkim pomieszczeniu tłoczyło się około dwudziestu osób. Niektórzy leżeli na podłodze i wyglądali jak pogrążeni we śnie. Inni siedzieli oparci plecami o ściany, jakaś kobieta stała tuż przy drzwiach. To właśnie jej głos słyszałem. Wcześniej sądziłem, że się modli, lecz teraz odkryłem, iż bełkocze bez sensu, przewracając oczami, jakby to, przez co przeszła, wpędziło ją w obłąd.

Nie dostrzegłem stracharza ani Alice, ale nie znaczyło to, iż ich tam nie ma. To byli więźniowie, bez dwóch zdań. Więźniowie Kwizytora, czekający na stos.

Nie tracąc więcej czasu, odłożyłem laskę, przekręciłem klucz w zamku i powoli uchyliłem drzwi. Chciałem wejść do środka i poszukać stracharza oraz Alice, lecz nim jeszcze drzwi się otwarły, nucąca kobieta ruszyła naprzód, zastępując mi drogę.

Krzyknęła coś, wypluwając mi słowa prosto w twarz. Nie rozumiałem, lecz zabrzmiały tak głośno, że odruchowo obejrzałem się w stronę wartowni. Po paru sekundach inni natarli na nią i pchnęli naprzód, na korytarz. Po lewej stronie kobiety ujrzałem dziewczynę, najwyżej o rok starszą od Alice. Miała wielkie, piwne oczy i miłą twarz, toteż zwróciłem się do niej.

– Szukam kogoś – rzekłem niewiele głośniejszym głosem.

Nim zdążyłem dodać coś jeszcze, otworzyła szeroko usta, jakby chciała odpowiedzieć, i ujrzałem dwa rzędy zębów, częściowo połamanych, częściowo czarnych i spróchniałych. Zamiast słów z jej gardła wyrwał się donośny, szaleńczy śmiech. Pozostali więźniowie zaczęli mówić jeden przez drugiego. Tych ludzi torturowano, od wielu dni czy może nawet tygodni żyli z wiszącą im nad głowami groźbą śmierci. Nie było sensu odwoływać się do ich rozsądku czy prosić, by ucichli. Tręcali mnie palcami, a wielki, chudy mężczyzna o długich nogach oraz rękach i szalonych oczach chwycił mnie mocno za lewą

dłoń i zaczął ścisnąć ją z wdzięcznością.

– Dziękuję, dziękuję! – krzyczał. Jego uchwyt stał się tak mocny, iż bałem się, że zmiążdży mi kości. W końcu zdołałem mu się wyrwać; zabrałem laskę i cofnąłem się kilka kroków. Lada moment strażnicy usłyszą poruszenie i wyjrzą na korytarz, sprawdzić, co się dzieje. A jeśli stracharza i Alice nie było w celi? Jeśli trzymali ich gdzie indziej?

Było już jednak za późno, bo uniesiony i brutalnie popychany znalazłem się poza wartownią. Po kilku kolejnych sekundach dotarłem do drzwi piwnicy na wino. Obejrzałem się i ujrzałem podążający za mną wąż ludzi. Teraz przynajmniej nikt nie krzyczał, lecz wciąż robili stanowczo zbyt wiele hałasu jak na mój gust. Pozostawało mieć nadzieję, że strażnicy sporo wypili. Pewnie przywykli do krzyków więźniów; nie spodziewali się ucieczki.

W piwnicy wdrapałem się na beczkę i, z trudem utrzymując równowagę, uniosłem klapę. W szczelinie dostrzegłem kamienny wspornik zewnętrznego muru katedry; twarz omiótł mi chłodny, wilgotny wiatr.

Inni ludzie także gramolili się na beczki. Mężczyzna który mi podziękował, szturchnął mnie mocno i zaczął przeciskać się przez klapę. Chwilę później znalazł się na zewnątrz, wyciągnął do mnie rękę, proponując pomoc.

– Chodź! – syknął.

Zawahałem się – chciałem sprawdzić, czy stracharz i Alice wydostali się z celi. A potem było już za późno, bo na beczkę obok mnie wdrapała się kobieta i wyciągnęła ręce do mężczyzny, który bez sekundy wahania chwycił ją za przeguby i wyciągnął przez otwarty właz. Potem nie miałem już szansy. Więźniowie przepychali się i niemal bili, z desperacją próbując się wydostać. Ale nie wszyscy zachowywali się tak samo. Inny mężczyzna przewrócił beczkę na bok i podturlał do pierwszej, tworząc stopień ułatwiający wdrapanie się. Pomógł wejść starszej kobiecie i przytrzymał jej nogi, podczas gdy więzień z góry złapał ją za ręce i powoli dźwignął.

Ludzie kolejno wydostawali się przez klapę, lecz inni wciąż napływali przez drzwi piwnicy, a ja zerkaj ku nim z nadzieją, że któryś z przybyłych okaże stracharzem bądź Alice.

Nagle uderzyła mnie pewna myśl. A jeśli byli zbyt słabi bądź chorzy, by opuścić celę?

Nie miałem wyboru. Musiałem wrócić i sprawdzić. Zeskoczyłem z beczki, niestety było już za późno. Usłyszałem krzyk, a potem gniewne głosy i tupot butów na korytarzu. Do piwnicy wpadł rosły strażnik wymachujący pałką. Rozejrzał się wokół, po czym z okrzykiem wściekłości rzucił się wprost ku mnie.

## ROZDZIAŁ 10

### DZIEWCZYŃSKA ŚLINA

Bez sekundy wahania chwyciłem laskę i zdmuchnąłem świecę, pogrążając piwnicę w ciemnościach. Pospiesznie ruszyłem w stronę drzwi, wiodących w dół, do katakumb.

Za moimi plecami wybuchł straszliwy harmider – krzyki, wrzaski, odgłosy walki. Obejrząwszy się, ujrzałem następnych strażników. Przyniesli ze sobą pochodnie, toteż wśliznąłem się za stojaki z winem, ukrywając się za nimi i nadal zmierzając w stronę drugich drzwi.

Czułem się strasznie, porzucając stracharza i Alice. I pomyśleć, że dotarłem tak daleko, a wciąż nie zdołałem ich uwolnić! Miałem tylko nadzieję, że jakimś cudem w tym zamęcie uda im się wydostać. Oboje doskonale widzieli w ciemności i skoro ja potrafiłem znaleźć drzwi do katakumb, to im także powinno się udać. Wyczułem, że paru więźniów idzie wraz ze mną, oddalając się od strażników w mroczne zakamarki piwnicy. Kilku zdawało się maszerować przodem; może wśród nich znaleźli się mój mistrz i Alice. Nie mogłem jednak ryzykować i krzyknąć, bo zdradziłbym nasze położenie strażnikom. Kiedy tak przeciskałem się między stojakami, wydało mi się, że widzę, jak drzwi do katakumb otwierają się i szybko zamykają. Było jednak zbyt ciemno, bym mógł stwierdzić to z całą pewnością.

W kilka minut później byłem przy wyjściu. Gdy tylko zamknąłem za sobą drzwi, ogarnęła mnie ciemność tak głęboka, że przez parę sekund nie widziałem nawet własnej uniesionej dłoni. Stałem tam, na szczycie schodów, rozpaczliwie czekając, aż moje oczy przywykną do mroku.

Pomału zacząłem odróżniać stopnie schodów, ostrożnie zszedłem na dół i pomaszerowałem tunelem ile sił w nogach,

świadom, że ktoś w końcu sprawdzi drzwi; nie zamknąłem ich na klucz, na wypadek gdyby stracharz i Alice podążali za mną.

Zazwyczaj dobrze się orientuję w ciemnościach, lecz w tych katakumbach miałem wrażenie, że z każdym krokiem robi się coraz ciemniej. Zatrzymałem się zatem i wyciągnąłem z kieszeni kurtki hubkę i krzesiwo. Ukląknęłam, za pomocą kamienia i metalu skrzesałem iskrę i w ciągu paru sekund zdołałem zapalić świecę.

Przyświecając sobie, poruszałem się szybciej, lecz powietrze wokół mnie z każdym krokiem stawało się coraz zimniejsze. Niedaleko przed sobą dostrzegłem upiorne migotanie na ścianie. Znowu pojawiły się białe, lśniąca kształty, wyglądające z ciemnych krypt, miałem jednak wrażenie, że jest ich znacznie więcej niż poprzednio. Zmarli zbierali się. Moja poprzednia wizyta w katakumbach musiała ich zaniepokoić.

Zatrzymałem się. Co to było? Gdzieś w dali usłyszałem wycie psa. Zamarłem z walącym głośno sercem. Czy to prawdziwy pies, czy może Mór? Andrew wspominał o wielkim czarnym psie o ogromnych zębiskach, wielkim psie, w istocie będącym Morem. Próbowałem wmówić sobie, że słyszę prawdziwego psa, zwierzę, które w jakiś sposób dostało się do tuneli. Ostatecznie skoro mógł się tu znaleźć kot, to czemu nie pies?

Wycie zabrzmiało ponownie; długi czas wisiało w powietrzu, odbijając się wibrującym echem od ścian tuneli. Czy dobiegało z przodu, czy może z tyłu? Z tego tunelu czy z sąsiedniego? Nie potrafiłem stwierdzić. Ale świadom obecności Kwizytora i jego ludzi nie miałem wyboru: musiałem dalej iść w stronę bramy.

Ruszyłem zatem szybko, dygocząc z zimna i omijając sprasowanego kota, aż w końcu dotarłem do miejsca, w którym łączyły się rozwidlone tunele. Wreszcie pokonałem ostatni zakręt i ujrzałem przed sobą Srebrną Bramę. Tam zatrzymałem się, kolana ugięły się pode mną, umysł przepełnił strach, bo w ciemności poza płomieniem świecy ktoś na mnie czekał. Ciemna postać siedziała na podłodze przy bramie, oparta plecami o mur, z pochyloną głową. Czy mógł to być jeden z więźniów? Ktoś, kto przede mną wyostał

się drzwiami?

Nie mogłem się cofnąć, toteż postąpiłem parę kroków w stronę bramy i uniosłem wyżej świecę. Spojrzała na mnie brodata twarz.

– Co cię zatrzymało? – zawołał znajomy głos. – Czekam tu już co najmniej pięć minut!

To był stracharz, cały i zdrowy! Pobieglem naprzód, przepełniony ulgą, że zdołał uciec. Nad lewym okiem miał paskudny siniak, stłuczone wargi napuchły. Wyraźnie go pobito.

– Nic ci nie jest? – spytałem.

– Nic, chłopcze. Daj mi jeszcze parę chwil, bym mógł zebrać siły, a będę rześki jak skowronek. Otwórz tylko tę bramę i ruszamy w drogę.

– Była z tobą Alice? Siedzieliście w tej samej celi?

– Nie, chłopcze. Lepiej o niej zapomnij, nic z niej dobrego. Przynosi tylko kłopoty. A zresztą i tak w żaden sposób nie zdołamy jej pomóc – jego głos zabrzmiał surowo, okrutnie. – Zasłużyła na to, co ją spotka.

– Na stos? – spytałem. – Nigdy wcześniej nie zgadzałeś się na palenie wiedźm, a co dopiero młodych dziewczyn. I sam przecież powiedziałeś Andrew, że jest niewinna.

Jego słowa mną wstrząsnęły. Owszem, nigdy nie ufał Alice, ale z bólem słuchałem, jak mówi o niej w ten sposób, zwłaszcza że jemu samemu groził podobny los. No i co z Meg? Nie zawsze był taki zimny i bezduszny.

– Do licha, chłopcze, czy ty śpisz na jawie? – w głosie stracharza dźwięczała irytacja i zniecierpliwienie. – No dalej, otrząśnij się! Weź klucz i otwórz bramę.

Kiedy się zawałałem, wyciągnął do mnie rękę.

– Oddaj mi moją laskę, chłopcze. Zbyt długo siedziałem w wilgotnej celi i bolą mnie stare kości.

Sięgnąłem ku niemu. Gdy jednak zaczął obejmować kij palcami, nagle cofnąłem się przerażony.

Nie sprawił tego tylko niespodziewany gorący cuchnący oddech na mojej twarzy. Mój rozmówca wyciągnął ku mnie prawą rękę!

Prawą, nie lewą!

To nie był stracharz! To nie był mój mistrz!

\*

Gdy tak patrzyłem bez ruchu, jak sparaliżowany jego dłoń opadła, po czym jak wąż zaczęła pełznąć ku mnie po kamieniach. Nim zdołałem się ruszyć, wijąca się ręka rozciągnęła się na swą dwukrotną długość i chwyciła mnie za kostkę, ściskając ją boleśnie. Pierwszy odruch kazał mi próbować uwolnić się z owego straszliwego uchwytu, wiedziałem jednak, że to nic nie da. Nadal trwałem w bezruchu.

Próbowałem się skupić. Ściskając kij, walczyłem ze strachem, powtarzając sobie, że muszę oddychać. Byłem przerażony, lecz choć moje ciało się nie poruszało, umysł pracował gorączkowo. Istniało tylko jedno wyjaśnienie, które sprawiło, że zadrzałem ze zgrozy: miałem przed sobą Mora!

Z trudem skupiając myśli, uważnie przyglądałem się stworowi, szukając wzrokiem czegoś, co mogłoby choć odrobinę mi pomóc. Wyglądał zupełnie jak stracharz, mówił jak on. Gdyby nie węzowa ręka, w żaden sposób nie dałoby się ich rozróżnić.

Po kilku sekundach poczułem się nieco lepiej. Stracharz nauczył mnie tej sztuczki: kiedy stajemy oko w oko z naszym największym lękiem, powinniśmy skoncentrować się z całych sił, pozostawiając za sobą uczucia.

– To zawsze działa, chłopcze – powiedział mi kiedyś. – Mrok karmi się naszym strachem. Kiedy masz spokojny umysł i pusty brzuch, bitwa jest w połowie wygrana, nim jeszcze się zacznie.

To rzeczywiście działało – moje ciało przestało się trząść, czułem się spokojniejszy, niemal odprężony.

Mór wypuścił moją kostkę i ręka cofnęła się szybko. Stwór wstał; zbliżył się o krok. I gdy to zrobił, usłyszałem osobliwy dźwięk: nie tupot butów, którego oczekiwałem, lecz coś, co bardziej przypominało skrobanie olbrzymich pazurów o kamień. Wstając poruszył także powietrze i płomyk świecy zamigotał, zniekształcając cień stracharza padający na Srebrną Bramę.



Szybko ukląknęłam i położyłam świeczkę wraz z laską na ziemi między nami. W sekundę później stałem już na równych nogach, z rękami w kieszeniach portek, chwytając garść soli i żelaza.

– Tracisz tylko czas i tyle – teraz głos Mora zupełnie nie przypominał już stracharza. Ochrypli i niski odbijał się od kamieni katakumb, wzbudzając wibracje, które przenikały przez moje buty i sprawiły, że zacisnąłem zęby. – Stare sztuczki nic mi nie zrobią, za długo jestem na tym świecie, by dać się im zranić! Twój mistrz, Stara Kość, próbował kiedyś i na nic mu się to nie zdało. Zupełnie na nic.

Zawahałem się, lecz tylko przez moment. Możliwe że kłamał – i tak warto było spróbować. Wówczas jednak moja dłoń natrafiła na coś twardego między opiłkami: mały klucz otwierający Srebrną Bramę. Nie mogłem ryzykować, że go stracę.

– Achchch. Masz coś, czego potrzebuję – Mór uśmiechnął się przebiegle.

Odczytał to w moich myślach? A może po prostu z wyrazu twarzy albo zgadywał? Tak czy inaczej, wiedział za dużo.

– Posłuchaj – rzekł z chytrą miną. – Skoro Stara Kość nie zdołał się ze mną rozprawić, jakie szanse masz ty? Najmniejszych, ot co! Wkrótce zejdą tu i zaczną cię szukać. Nie słyszysz straży? Spłoniesz, o tak! Spłoniesz wraz z resztą! Jest stąd tylko jedno wyjście, wiedzie przez tę bramę. Tylko jedno, pojmujesz? Użyj zatem klucza, nim będzie za późno!

Mór stał z boku, zwrócony plecami do ściany tunelu. Wiedziałem dokładnie, czego chce: przejść przez bramę, wydostać się na wolność i móc znów szerzyć zło w całym Hrabstwie. Wiedziałem, co powiedziałby stracharz, czego po mnie oczekiwał. Miałem obowiązek dopilnować, by Mór pozostał uwięziony w katakumbach. Było to ważniejsze nawet niż moje życie.

– Nie bądź głupcem – syknął Mór głośniejszym i ostrzejszym głosem, niż kiedykolwiek przemawiał do mnie stracharz. – Posłuchaj mnie, a wolnym będziesz! I dostaniesz nagrodę. Wielką nagrodę! Tę samą, którą proponowałem Starej Kości wiele lat temu, ale on nie

słuchał. I widzisz, dokąd go to zawiodło? Sam powiedz! Jutro stanie przed sądem i zostanie skazany. Pojutrze spalą go na stosie.

– Nie! – rzuciłem. – Nie mogę tego zrobić.

Na te słowa twarz Mora wykrzywiła się w gniewie. Wciąż przypominała stracharza, lecz doskonale znane mi rysy wydawały się zniekształcone, wykrzywione złem. Stwór postąpił kolejny krok ku mnie, unosząc pięść do ciosu. Może sprawił to płomień świecy, lecz Mór wydawał się rosnąć. Nagle poczułem niewidzialny ciężar, przygniatający moją głowę i ramiona. Osuwając się na kolana, pomyślałem o kocie wsmarowanym w kamienie i zrozumiałem, że czeka mnie ten sam los. Usiłowałem chwycić oddech, ale nie mogłem. Zacząłem panikować: nie mogłem oddychać! To był koniec.

Światło świecy zniknęło w nagłej ciemności, która zasnuła mi oczy. Rozpaczliwie próbowałem coś powiedzieć, błagać o litość. Wiedziałem jednak, że o litości nie ma mowy, jeśli nie otworzę Srebrnej Bramy. Co ja sobie myślałem? Jakim byłem głupcem, wierząc, że po paru miesiącach nauki zdołam przepłoszyć istotę tak złą i potężną jak Mór? Umierałem – byłem tego pewien. Sam w katakumbach. A najgorsze było to, że poniosłem klęskę. Nie zdołałem uratować mojego mistrza ani Alice.

I wtedy usłyszałem coś w oddali: szurnięcie buta na kamieniu. Powiadają, że gdy się umiera, ostatnim utraconym zmysłem jest zmysł słuchu. Przez moment sądziłem, że owo szurnięcie to ostatnia rzecz, jaką zapamiętam z tego życia. Wtedy jednak niewidzialny ciężar miazdzący moje ciało powoli zelżał. Rozjaśniło mi się przed oczami, znów mogłem oddychać. Patrzyłem, jak Mór obraca głowę i ogląda się stroną zakrętu. On też to usłyszał!

Dźwięk zabrzmiał ponownie, i tym razem nie było cienia wątpliwości. Kroki! Ktoś się zbliżał!

Spojrzałem na Mora i przekonałem się, że się zmienia. Nie wyobraziłem sobie tego wcześniej, naprawdę rósł. Teraz głową sięgał już niemal sklepienia tunelu, jego ciało pochyliło się naprzód, rysy falowały, aż w końcu przestały przypominać stracharza.

Broda wydłużała się i zakrzywiała naprzód i w górę, tworząc zaczątki haka. Nos opadał jej na spotkanie. Czyżby przybierał swą prawdziwą postać – postać kamiennego gargulca nad głównym wejściem katedry? Czy odzyskał pełnię sił?

Słuchałem zbliżających się kroków. Miałem ochotę zdmuchnąć świecę, tyle że wówczas zostałbym sam w mroku z Morem. Wyglądało na to, że zmierza ku nam tylko jedna osoba, a nie cały oddział ludzi Kwizytora. Nie obchodziło mnie, kto to, chwilowo ocalił rai życie.

Najpierw ujrzałem stopy, gdy ktoś wyszedł zza rogu i znalazł się w kręgu światła. Szpiczaste trzewiki. Nad nimi szczupła dziewczyna w czarnej sukience. Wyłoniła się zza zakrętu, zarzucając biodrami.

To była Alice!

Zatrzymała się, zerknęła ku mnie szybko i jej oczy rozszerzyły się gwałtownie. Gdy spojrzała na Mora na jej twarzy nie dostrzegłem strachu, lecz złość.

Obejrzałem się i przez moment spojrzałem Morowi prosto w oczy. Oprócz płonącej w nich furii, zauważyłem też coś jeszcze. Nim jednak zdążyłem pojąć co, Alice podbiegła do Mora, sycząc jak kotka. A potem ku memu zdumieniu, splunęła mu w twarz.

To, co się stało potem, zdarzyło się zbyt szybko bym zdołał cokolwiek zobaczyć. Zerwał się nagły wiatr. Mór zniknął.

Oboje staliśmy bez ruchu. Miałem wrażenie, że upłynęły wieki. W końcu Alice odwróciła się do mnie.

– Nie spodobała mu się dziewczyńska ślina, co? – mruknęła z lekkim uśmiechem. – Widzę, że zjawiałam się w samą porę.

Nie odpowiedziałem. Nie mogłem uwierzyć, że Mór tak łatwo umknął, ale klęczałem już przy Srebrnej Bramie, zmagając się z kluczem i zamkiem. Trzęsły mi się ręce, a zadanie okazało się dokładnie tak trudne, na jakie wyglądało, gdy robił to Andrew.

W końcu zdołałem ustawić klucz we właściwej pozycji i obrócić. Pchnięciem otworzyłem bramę, chwyciłem klucz i laskę i przeczołgałem się przez ciasny otwór-

– Zabierz świecę! – zawołałem do Alice. Gdy tylko znalazła się bezpiecznie obok mnie, wsunąłem klucz w zamek z drugiej strony i zacząłem się z nim zмагаć. Tym razem trwało to i trwało. Bałem się, że lada moment wróci Mór.

– Nie możesz się pospieszyć? – spytała Alice.

– Nie jest to takie łatwe, jak się wydaje – odparłem.

W końcu zdołałem zamknąć bramę i westchnąłem z ulgą. I wtedy przypomniałem sobie o stracharzu.

– Czy pan Gregory był z tobą w celi?

Alice pokręciła głową.

– Nie wtedy, kiedy nas wypuściłeś. Zabrali go na przesłuchanie jakąś godzinę przed tym, nim się zjawiłeś.

Miałem szczęście, że uniknąłem schwytania. Szczęście również pozwoliło mi uwolnić więźniów. Ale szczęście wcześniej czy później zawsze się wyrównuje. Spóźniłem się zaledwie o godzinę. Alice była wolna, lecz stracharz pozostawał więźniem i jeśli czegoś nie zrobię, zginie na stosie.

Nie tracąc więcej czasu, poprowadziłem Alice tunelem. Wkrótce dotarliśmy do rwącej rzeki.

Przeprawiłem się szybko. Kiedy jednak spojrzałem przez ramię, Alice wciąż stała na drugim brzegu, wbijając wzrok w wodę.

– Jest głęboka, Tom! – zawołała. – Za głęboka a kamienie są śliskie!

Wróciłem do niej i chwyciwszy ją za rękę, przeprowadziłem po dziewięciu płaskich kamieniach. Wkrótce dotarliśmy do otwartej klapy prowadzącej do pustego domu. Kiedy znaleźliśmy się w piwnicy, zamknąłem za nami właz. Ku memu zawodowi, Andrew już odszedł. Musiałem z nim pomówić: poinformować, że stracharza nie było w celi, ostrzec, że bratu Peterowi grozi niebezpieczeństwo i że pogłoski są prawdziwe – Mór odzyskał pełnię sił.

– Lepiej zostańmy tu jakiś czas. Kiedy Kwizytor zorientuje się, że tak wielu więźniów uciekło, zacznie przetrząsać miasto. Ten dom jest nawiedzony; piwnica to ostatnie miejsce, do którego

ktokolwiek by zajrzał.

Alice przytaknęła i po raz pierwszy od wiosny przyjrzałem jej się dokładniej. Dorównywała mi wzrostem, co oznaczało, że ona także urosła co najmniej o cal. Nadal jednak była ubrana tak samo jak wtedy, gdy widziałem ją po raz ostatni, w Staumin, u ciotki. Jeśli nie była to ta sama czarna sukienka, to jej siostra bliźniaczka, twarz miała równie ładną, jak kiedyś, lecz chudsza i starsza, jakby w tym czasie widziała rzeczy, które sprawiły, że szybko dorosła; rzeczy, których nikt nie powinien oglądać. Jej czarne włosy były potargane i matowe, na twarzy dostrzegłem smugi brudu. Alice wyglądała, jakby nie myła się co najmniej od miesiąca.

– Dobrze cię znów widzieć – powiedziałem. – Kiedy ujrzałem cię na wozie Kwizytora, sądziłem, że to już koniec.

Nie odpowiedziała. Chwyciła mnie tylko za rękę i ścisnęła ją mocno.

– Konam z głodu, Tom. Masz może coś do jedzenia?

Pokręciłem głową.

– Nawet kawałka starego, spleśniałego sera?

– Żałuję – odparłem. – Nic mi nie zostało.

Alice odwróciła się i pociągnęła rąbek starego dywanu, leżącego na górze stosu.

– Pomóż mi, Tom – poprosiła. – Muszę usiąść, a nie mam ochoty dotykać zimnych kamieni.

Odłożyłem świecę i laskę, i razem ściągnęliśmy dywan. Poczulem w nozdrzach mocniejszą woń stęchlizny i pleśni. Patrzyłem, jak odsłonięte chrząszcze i stonogi umykają po piwnicznej podłodze.

Alice, nie zwracając na nie uwagi, usiadła na dywanie i podciągnęła kolana pod brodę.

– Któregoś dnia wyrównam rachunki – oznajmiła – Nikt nie zasługuje na takie traktowanie.

Usiadłem obok i położyłem rękę na jej dłoni.

– Co się stało? – spytałem.

Jakiś czas zastanawiała się i kiedy uznałem już, że nie odpowie, przemówiła nagle.

– Kiedy już mnie poznała, moja stara ciotka była dla mnie dobra. Owszem, kazała mi ciężko pracować, ale zawsze porządnie karmiła. Właśnie przyzwyczajałam się do życia w Staumin, kiedy zjawił się Kwizytor. Zupełnie nas zaskoczył, wyważył drzwi. Lecz moja ciotka nie była Kościstą Lizzie. Nie była wiedźmą.

Splawili ją w stawie o północy, na oczach roześmianego, szydzącego tłumu. Naprawdę się wtedy bałam, sądziłam, że zaraz nadejdzie moja kolej. Przywiązali jej ręce do nóg i wrzucili do wody. Poszła na dno jak kamień, o tak. Ale noc była ciemna i wietrzna. W chwili, gdy ciotka wpadła do wody, nagły podmuch zdmuchnął większość świec. Potrzebowali dużo czasu, by ją znaleźć i wyciągnąć.

Alice ukryła twarz w dłoniach i zaszlochała. Czekałem cierpliwie, aż podejmie swoją opowieść. Gdy odsłoniła twarz, oczy miała suche, lecz wargi jej drżały.

– Gdy ją wyciągnęli, już nie żyła. To niesprawiedliwe Tom. Nie pływała, tonęła, więc musiała być niewinna. Ale oni i tak ją zabili! Potem zostawili mnie w spokoju, jedynie wsadzili na wóz z innymi.

– Mama mówiła mi, że pławienie czarownic i tak nie działa – rzekłem. – Tylko głupcy postępują w ten sposób.

– Nie, Tom, Kwizytor nie jest głupcem. Istnieje powód wszystkiego, co robi, możesz być tego pewien. To chciwiec, pożąda pieniędzy. Sprzedał domek mojej starej ciotki i zatrzymał złoto. Widzieliśmy, jak je liczył. Tak właśnie postępuje – nazywa kobiety wiedźmami, pozbywa się ich i odbiera im domy, ziemię i majątek. Co więcej, lubi to, co robi. Ma w sobie mrok. Twierdzi, że uwalnia Hrabstwo od czarownic, ale jest okrutniejszy od wszystkich czarownic, jakie widziałam: a znałam ich sporo. Była taka dziewczyna, Maggie, niewiele starsza ode mnie, o tak. Nawet jej nie pławił; poddał ją innej próbie, a my wszyscy musieliśmy patrzeć. Kwizytor użył długiej, ostrej szpilki. Wbijał ją jej w ciało raz po raz. Trzeba było słyszeć jej krzyki, biedaczka o mało

oszałała z bólu. Wciąż mdlała, a oni trzymali obok stołu wiadro wody i cucili ją. Aż w końcu znaleźli to, czego szukali: znak diabła. Wiesz, co to, Tom?

Przytaknąłem. Stracharz wyjaśnił mi, że znak jest jedną z rzeczy, których szukają łowcy czarownic, i że to kolejne kłamstwo. Nie istnieje coś takiego, jak znak diabła. Wiedzą o tym wszyscy naprawdę znający się na mroku.

– To okrutne i niesprawiedliwe – podjęła Alice. – Po jakimś czasie ból staje się nieznośny i ciało go wyłącza, i kiedy wbijają szpilkę, nic nie czujesz. Wówczas mówią, że to miejsce, w którym dotknął cię diabeł. Jesteś winien i musisz spłonąć na stosie. Najgorszy był wyraz twarzy Kwizytora. Był taki zadowolony z siebie. Wyrównam z nim rachunki, o tak, zapłacę mu za to. Maggie nie zasłużyła na stos.

– Stracharz też nie zasługuje na stos – odparłem z goryczą. – Całe życie ciężko pracował, walcząc z mrokiem.

– To mężczyzna i czeka go łatwiejsza śmierć niż innych – odparła Alice. – Kwizytor znacznie bardziej znęca się nad kobietami. Pilnuje, by płonęły bardzo długo. Twierdzi, że trudniej ocalić duszę kobiety niż mężczyzny. Że trzeba dużo bólu, by w końcu pożałowały za grzechy.

To mi przypomniało słowa stracharza o tym, że Mór nie znosi towarzystwa kobiet. Że budzą w nim niepokój.

– Stwór, którego oplułaś, to Mór – poinformowałem Alice. – Słyszałaś o nim? Jak zdołałaś tak łatwo go spłoszyć?

Wzruszyła ramionami.

– Nietrudno stwierdzić, kiedy ktoś nie czuje się dobrze w twojej obecności. Niektórzy mężczyźni są tacy: zawsze wiem, kiedy nie jestem mile widziana. Czułam to w obecności starego Gregory'ego i to samo poczułam tutaj. A ślina przepłasza większość stworzeń. Spluń trzy razy na ropuchę, a nic o zimnej, mokrej skórze nie będzie cię niepokoić miesiąc albo dłużej. Lizzie przysięgała, że to prawda, ale nie wiem, czy tak samo zadziała na Mora. Słyszałam o tym stworze i jeśli może już odmieniać swą postać, wszystkich nas

czekają poważne kłopoty. Zaskoczyłam go, to wszystko. Następnym razem będzie gotów, toteż nie zamierzam tam wracać.

Przez jakiś czas oboje milczeliśmy. Wbijałem wzrok w stary, cuchnący stęchlizną dywan, gdy nagle usłyszałem, jak oddech Alice się wydłuża. Zerknąłem na nią. Oczy miała zamknięte. Zasnęła w tej samej pozycji, z brodą na kolanach.

Nie miałem ochoty zdmuchiwać świecy, ale nie wiedziałem, jak długo będziemy musieli zostać w piwnicy i uznałem, że lepiej zachować trochę światła na później.

Kiedy zgasła, także próbowałem zasnąć, okazało się to jednak niełatwe. Po pierwsze, było mi zimno i wstrząsały mną dreszcze. Po drugie, nie mogłem się uwolnić od myśli o stracharzu. Nie udało nam się go wydostać i Kwizytor będzie wściekły z powodu tego co zaszło. Już niedługo zaczną palić ludzi.

W końcu musiałem odpłynąć, bo nagle obudził mnie głos Alice, dźwięczący tuż obok mojego lewego ucha.

– Tom – mruknęła niewiele głośniejsze od szeptu. – Tu coś jest. Siedzi w kącie piwnicy. Gapi się na mnie i wcale mi się to nie podoba.

Alice miała rację, wyczuwałem czyjaś obecność w kącie, czułem też chłód. Włoski na karku jeżyły mi się powoli. Pewnie to znów tylko dusiciel Matty Burnes.

– Nie przejmuj się, Alice – powiedziałem. – To tylko duch. Postaraj się o nim zapomnieć. Póki się nie boisz, nie może cię skrzywdzić.

– Nie boję się. Przynajmniej nie teraz – na chwilę urwała. – Ale bałam się w tamtej celi. Nie zmrużyłam nawet oka przez te wszystkie krzyki i hałasy. Niedługo znów będę mogła spać. Wolałabym tylko, żeby sobie poszedł, nie przystoi tak się gapić.

– Nie wiem, co teraz począc – oznajmiłem, myśląc o stracharzu.

Alice nie odpowiedziała, jej oddech znów się wydłużył. Spała. Ja także musiałem zasnąć, bo nagle obudził mnie hałas.

Słyszałem tupot ciężkich butów. Ktoś był w kuchni nad nami.



# ROZDZIAŁ 11

## PROCES STRACHARZA

Drzwi uchylły się ze skrzypnięciem i pomieszczenie zalał blask świecy. Ku mojej uldze, stwierdziłem, że to tylko Andrew.

– Tak myślałem, że cię tu znajdę – rzekł. W ręce trzymał niewielką paczkę. Położył ją na ziemi i ustawił świecę obok mojej, po czym skinieniem głowy wskazał Alice, wciąż pogrążoną w głębokim śnie, lecz teraz leżącą na boku, plecami do nas, z głową oparta na dłoniach. – A to kto? – spytał.

– Kiedyś mieszkała w pobliżu Chipenden – odparłem. – Nazywa się Alice. Pana Gregory'ego tam nie było, zabrali go na górę na przesłuchanie.

Andrew ze smutkiem pokręcił głową.

– Brat Peter mówił to samo. Doprawdy miałeś pecha. Pół godziny później i John wróciłby do celi, do pozostałych. A tymczasem uciekło jedenastu, lecz pięcioro złapano wkrótce potem. I to nie koniec złych wieści. Ludzie Kwizytora aresztowali brata Petera na środku ulicy, tuż po tym, jak wyszedł z mojego warsztatu. Widziałem wszystko z okna na piętrze. To moje ostatnie chwile w tym mieście. Teraz pewnie przyjdą po mnie, ale nie zamierzam czekać, by odpowiadać na ich pytania. Zamknąłem już kram, narzędzia mam w wozie. Jadę na południe, z powrotem do Adlington, gdzie kiedyś pracowałem.

– Przykro mi, Andrew.

– Niesłusznie. Któż nie zechciałby pomóc rodzonemu bratu? Poza tym nie jest tak źle: tylko wynajmowałem tutejszy warsztat, a fach mam w rękach. Zawsze znajdę pracę. Masz – otworzył paczkę. – Przyniosłem ci coś do jedzenia.

– Która to godzina? – spytałem.

– Parę godzin przed świtem. Zaryzykowałem przywiodząc tutaj,

po ostatnich wypadkach połowa miasta nie śpi. Mnóstwo ludzi zebrało się w wielkiej sali przy Rybackiej Bramie. Kwizytor urządził tam szybki sąd nad więźniami, którzy mu jeszcze pozostali.

– Czemu nie zaczekał do rana? – zdziwiłem się.

– Wówczas zjawiliby się jeszcze więcej ludzi – wyjaśnił Andrew.

– Chce to załatwić, nim pojawi się poważniejsza opozycja. Część mieszczan jest przeciwna temu, co robi Kwizytor. A co do stosów, zapłoną dziś wieczór, po zmroku, na Wzgórzu Wici w Wortham, na południowym brzegu rzeki. Kwizytor będzie miał ze sobą mnóstwo zbrojnych na wypadek kłopotów. Jeśli zatem masz choć trochę rozumu, zostaniesz tu do zmięczenia, po czym wyruszysz w drogę.

Nim jeszcze zdążył odpakować paczkę, Alice przekręciła się i usiadła. Może wyczuła zapach jedzenia albo od początku słuchała, udając tylko, że śpi. W zawiniątku znalazły się plastry szynki, świeży chleb i dwa duże pomidory. Bez słowa podziękowania Alice zaczęła zajadać, po krótkim wahaniu dołączyłem do niej. Byłem bardzo głodny, a wyglądało, że nie ma już sensu pościć.

– No, ruszam w drogę – oznajmił Andrew. – Biedny John, ale nic już nie możemy poradzić.

– Czy nie warto jeszcze raz spróbować go ocalić? – spytałem.

– Nie, dość już zrobiłeś. Pojawienie się na sali byłoby zbyt niebezpieczne, a wkrótce biedny John wraz z resztą nieszczęśników pod zbrojną strażą ruszy do Wortham, gdzie spłonie żywcem.

– A co z klątwą? – spytałem. – Sam mówiłeś, że jest przeklęty i ma umrzeć sam pod ziemią, nie na wzgórzu.

– A, klątwa. Nie wierzę w nią bardziej niż John. Po prostu rozpaczliwie starałem się go powstrzymać przed walką z Morem w czasie, gdy w mieście przebywa Kwizytor. Nie, obawiam się, że los mojego brata jest już przesądzony. Musisz stąd uciekać. John wspomniał mi kiedyś, że w pobliżu Caster mieszka stracharz. Ma na oku północne granice Hrabstwa. Wspomnij mu nazwisko Johna, a może przyjmie cię do terminu. Był kiedyś jednym z jego uczniów.

Andrew skinął głową i odwrócił się do wyjścia.

– Zostawię wam świecę – rzekł. – Powodzenia w drodze. A gdybyś kiedyś potrzebował dobrego ślusarza, wiesz, gdzie się zgłosić.

To rzekłszy zniknął. Słuchałem, jak wspina się na schody i zamyka tylne drzwi. W parę minut później Alice zlizywała sok z pomidora z palców. Zjedliśmy czystko, co do okruszka.

– Alice – zagadnąłem. – Chcę pójść na proces. Może nadarzy się szansa, by pomóc stracharzowi. Idziesz ze mną?

Jej oczy rozszerzyły się.

– Pomóc? Tom, słyszałeś, co Andrew mówił, nic się nie da zrobić. Co poczniesz wobec zbrojnych strażników? Nie. Bądź rozsądny, nie warto ryzykować. Poza tym, czemu miałabym mu pomagać? Stary Gregory nie zrobiłby tego dla mnie, pozostawiłby mnie na śmierć. To fakt.

Nie wiedziałem, co na to rzec. W istocie jej słowa odpowiadały prawdzie. Prosiłem stracharza, żeby pomógł Alice, ale on odmówił. Toteż z westchnieniem wstałem z podłogi.

– I tak pójdę – oświadczyłem.

– Nie, Tom, nie zostawiaj mnie tutaj. Nie z duchem.

– Zdawało mi się, że się nie boisz?

– Bo się nie boję, lecz kiedy ostatnio zasnąłam, poczułam, jak ściska moją szyję. Jeśli cię tu nie będzie, może zrobić coś gorszego.

– W takim razie chodź ze mną. Wciąż jeszcze jest ciemno, nic nam nie grozi, a wielki tłum to najlepsza z możliwych kryjówek. No chodź, proszę. Co powiesz?

– Masz jakiś plan? – spytała. – Coś, o czym mi nie mówisz?

Pokręciłem głową.

– Tak też sądziłam – mruknęła.

– Posłuchaj, Alice. Chcę po prostu pójść i zobaczyć, jeśli nie zdołam pomóc, odejdziemy. Ale nigdy bym sobie nie wybaczył, gdybym nie spróbował.

Alice wstała niechętnie.

– Pójdę i zorientuję się, jak to wygląda. Ale musisz mi przyrzec,

że jeśli okaże się zbyt niebezpiecznie, natychmiast zawrócimy. Znam Kwizytora lepiej niż ty, wierz mi. Nie warto mu się narażać.

– Przyrzekam – odparłem.

Zostawiłem torbę i laskę stracharza w piwnicy. Razem ruszyliśmy w stronę Rybackiej Bramy, gdzie odbywał się proces.

\*

Andrew mówił, że połowa miasta nie śpi. Okazało się to przesadą, ale jak na tak wczesną porę za zasłonami płonęło mnóstwo świec i całkiem sporo ludzi spieszyło ciemnymi ulicami w tym samym kierunku co my.

Obawiałem się, że nie zdołamy się dostać w pobliże budynku. Sądziłem, że na ulicach rozstawiono strażę, lecz ku memu zdumieniu, nie dostrzegłem nigdzie ani śladu ludzi Kwizytora. Wielkie drewniane drzwi stały otworem, wypełniał je tłum, wylewając się na zewnątrz, jakby w środku zabrakło dla wszystkie miejsca.

Szedłem ostrożnie, ciesząc się z panującej ciemności. Gdy dotarłem do tłumu, uświadomiłem sobie, że nie jest tak ciasno stłoczony, jak się z początku wydawało. Wewnątrz budynku unosił się słodkawy, mdlący zapach. Znalazłem się w wielkiej sali o podłodze wykładanej kamiennymi płytami, na których nierównomiernie rozsypano trociny. Niezbyt dobrze widziałem ponad głowami tłumu, bo większość zebranych była wyższa ode mnie. Lecz w głębi sali dostrzegłem spory kawałek, którego wszyscy unikali. Chwyciłem Alice za rękę i zacząłem przeciskać się między ludźmi, ciągnąc ją za sobą.

Z tyłu sali zalegał cień, lecz przód oświetlały dwie wielkie pochodnie, osadzone w rogach drewnianej platformy. Na niej, tuż przy krawędzi stał Kwizytor i patrzył w dół. Mówił coś, lecz nie zdołałem rozróżnić słów.

Rozejrzałem się wokół i na twarzach ludzi dostrzegłem całą gamę emocji: gniew, smutek, gorycz, rezygnację. Niektórzy patrzyli z nieskrywaną wrogością. Zapewne tłum ten składał się w większości z przeciwników metod Kwizytora. Niektórzy być może

byli nawet krewnymi i przyjaciółmi oskarżonych. Przez moment myśl ta wzbudziła we mnie nadzieję, że może dojść do próby ratunku.

Potem jednak nadzieja zniknęła: zrozumiałem, czemu nikt nie wystąpił naprzód. Pod platformą stało pięć długich ław, pełnych księży, zwróconych do nas plecami. Lecz za nimi, naprzeciw nas, czuwał podwójny szereg zbrojnych o ponurych twarzach. Część splotła ręce na piersiach, inni wsparli dłonie na rękojeściach mieczy, jakby nie mogli się doczekać pretekstu, pozwalającego dobyć broni z pochew. Nikt nie chciał się do nich zbliżyć.

Zerknąłem w górę i przekonałem się, że wysoko wzdłuż ścian sali ciągnie się balkon; patrzyły z niego twarze, białe plamy, które z dołu wyglądały identycznie. Uznałem, że to najbezpieczniejsze dla nas miejsce, a i widok byłby stamtąd najlepszy. Po lewej stronie dostrzegłem schody; pociągnąłem Alice ku nim. W chwilę później przeciskaliśmy się już wzdłuż szerokiego balkonu.

Nie był jeszcze pełny i wkrótce znaleźliśmy sobie miejsce przy poręczy, mniej więcej w połowie drogi między drzwiami i platformą. Wciąż czułem tę samą słodkomdłą woń, znacznie mocniejszą, niż kiedy stałem na dole. Nagle uświadomiłem sobie, co to. W sali niemal na pewno odbywały się także targowiska mięsa. Czułem zapach krwi.

Kwizytor nie był jedyną osobą na platformie. Z tyłu, wśród cieni, pierścień strażników otaczał więźniów czekających na proces, a tuż za Kwizytorem dwaj zbrojni trzymali za ręce zapłakaną dziewczynę o długich, ciemnych włosach. Na sobie miała podartą sukienkę, nie dostrzegłem butów.

– To Maggie! – syknęła mi do ucha Alice. – Ta, w którą wbijali szpilki. Biedna Maggie, to niesprawiedliwe, myślałam, że uciekła.

Tu, w górze, dźwięki rozchodziły się lepiej i słyszałem każde słowo Kwizytora.

– Kobieta tę pogrąża świadectwo jej własnych ust! – wykrzyknął głośno i arogancko. – Wyznała swe winy, a na jej ciele znaleziono diabelski znak. Skazuję ją na spalenie żywcem na

stosie. Niech Bóg zlituje się nad jej duszą.

Maggie zaczęła płakać jeszcze głośniej, lecz jeden z mężczyzn chwycił ją za włosy i powlókł w stronę drzwi z tyłu platformy. Gdy tylko zniknęła, strażnicy pchnęli w krąg światła kolejnego więźnia, ubranego w czarną sutannę, z rękami związanymi z tyłu. Przez moment nie wierzyłem własnym oczom, ale potem wątpliwości znikły.

To był brat Peter – poznałem po wąskim wianuszkowi siwych włosów otaczającym łysą czaszkę i po zgarbionych plecach i ramionach. Twarz jednak miał tak mocno pobitą i zlaną krwią, że niemal nie dawało się jej rozpoznać. Oprawcy złamali mu nos, spuchnięte oko przypominało obrzmiałą, czerwoną szczelinę.

Na ten widok poczułem się okropnie. Znalazł się tam przeze mnie. Po pierwsze, pomógł mi uciec; potem powiedział, jak mogę się dostać do celi, by uratować stracharza i Alice. Na torturach musiał wyznać im wszystko. To była moja wina i ogarnęły mnie gwałtowne wyrzuty sumienia.

– Kiedyś był to brat, wierny sługa kościoła! – zagrzemiał Kwizytor. – Lecz spójrzcie na niego teraz! Spójrzcie na tego zdrajcę! Oto człowiek, który pomógł naszym wrogom i sprzymierzył się z mocami ciemności. Mamy jego zeznanie, napisane własną ręką. Oto ono! – huknął, unosząc wysoko kartkę papieru.

Nikt nie mógł nic przeczytać – na kartce mogło być wszystko. Nawet jeśli faktycznie zawierała wyznanie, wystarczyło spojrzeć na twarz nieszczęsnego brata Petera, by pojąć, że wymuszono je biciem. To nie uczciwe. Ten proces nie miał nic wspólnego ze sprawiedliwością. W ogóle nie był procesem. Stracha powiedział mi kiedyś, że kiedy ludzie stają przed sadem w zamku Caster, odbywa się prawdziwa rozprawa – jest sędzia, oskarżyciel i ktoś, kto ich broni. A jednak Kwizytor załatwiał wszystko sam.

– Jest winny, winny bez cienia wątpliwości – ciągnął. – Skazuję go zatem na zabranie do katakumb i pozostawienie tam. I niech Bóg zmiłuje się nad jego duszą.

Zebrani jęknęli ze zgrozą, a najgłośniej księża siedzący na przedzie. Wszyscy dokładnie wiedzieli, co czeka brata Petera. Mór sprasuje go na śmierć.

Brat Peter próbował coś powiedzieć, lecz miał zbyt spuchnięte wargi. Jeden ze strażników uderzył go w głowę. Kwizytor patrzył z okrutnym uśmiechem. Pociągnęli go w stronę drzwi z tyłu platformy i gdy tylko zniknął za nimi, z mroku wyprowadzono kolejnego więźnia. Serce ścisnęło mi się w piersi. To był stracharz.

Na pierwszy rzut oka, poza kilkoma siniakami na twarzy, wyglądał całkiem nieźle, zwłaszcza w porównaniu z bratem Peterem. Potem jednak zauważyłem co zmroziło mi krew w żyłach. Mrużył oczy w świetle pochodni i sprawiał wrażenie oszołomionego. W jego zielonych oczach dostrzegłem pustkę. Wyglądał na zagubionego, zupełnie jakby stracił pamięć i nie wiedział nawet, gdzie jest. Zacząłem się zastanawiać, jak mocno go pobili.

– Oto przed wami stoi John Gregory! – zawołał Kwizytor; jego głos odbił się echem pośród ścian. – Sługa diabła, ni mniej, ni więcej, który przez wiele lat uprawiał w całym Hrabstwie swój ohydny fach, wyłudzać pieniądze od łatwowiernych biedaków. Ale czy się pokajał? Czy wyznał swoje grzechy i błagał o przebaczenie? Nie, jest uparty i nie chce się przyznać. Tylko ogień może go oczyścić i dać mu nadzieję zbawienia. Co więcej jednak, nie zadowolili się tylko złem, które czynił sam, ale też szkolił innych i nadal to robi. Ojcze Cairns, wzywam cię, abyś dał świadectwo.

Jeden z księży podniósł się z pierwszego rzędu ławek i wystąpił w krąg światła, tuż przy platformie. Stał do mnie plecami, toteż nie widziałem jego twarzy. Dostrzegłem jednak zabandażowaną dłoń, a gdy się odezwał, usłyszałem ten sam głos, który przemawiał do mnie w konfesjonale.

– Mości Kwizytorze, John Gregory przybył do miasta wraz z uczniem, którego duszę zdołał już skazić. To niejaki Thomas Ward.

Alice sapnęła cicho, a pode mną ugięły się kolana Nagle uświadomiłem sobie wyraźnie, jak niebezpiecznie jest dla mnie w tej sali, tak blisko Kwizytora i jego strażników.

– Z łaski bożej chłopak trafił w moje ręce – ciągnął ojciec Cairns – i gdyby nie interwencja brata Petera, który pomógł mu umknąć przed sprawiedliwością dostarczyłbym ci go na przesłuchanie. Sam jednak wypytałem go, panie, i przekonałem się, iż mimo młodego wieku to zatwardziały grzesznik, odporny na wszelkie argumenty. Mimo mych najlepszych wysiłków nie dostrzegł swych błędów. Wina za to spada na Johna Gregory'ego, człeka, który nie tylko uprawia swój obmierzły fach, ale też zwodzi na manowce młodych ludzi. Wedle mojej wiedzy przez jego ręce przeszedł ponad tuzin uczniów, część z nich czyni teraz to samo i także przyjmuje czeladników. Takim to sposobem zło szerzy się niczym plaga w całym Hrabstwie.

– Dziękuję, ojcze. Możesz usiąść. Samo twoje świadectwo wystarczy, by skazać Johna Gregory'ego.

Gdy ojciec Cairns zajął swoje miejsce, Alice chwyciła mnie za łokieć.

, Chodź – szepnęła mi do ucha. – Tu jest zbyt niebezpiecznie.

– Nie, proszę – wyszeptalem. – Jeszcze chwilę.

Wzmianka o mojej osobie przeraziła mnie, ale chciałem zostać jeszcze parę minut i sprawdzić, co się stanie z moim mistrzem.

– Johnie Gregory, dla ciebie istnieje tylko jedna kara! – ryknął Kwizytor. – Zostaniesz spętany i żywcem spalony na stosie. Będę się za ciebie modlił. Będę się modlił, by ból pokazał ci twoje grzechy. Będę się modlił, by Bóg ci wybaczył i po spaleniu ciała ocalił twoją duszę.

Podczas tej przemowy Kwizytor cały czas wpatrywał się w stracharza, równie dobrze jednak mógł krzyczeć do kamiennej ściany. W oczach mojego mistrza nie dostrzegłem nawet cienia zrozumienia. Miało to też dobrą stronę – przynajmniej nie wiedział, co się dzieje. Ale jednocześnie pojąłem, że nawet jeśli jakimś cudem zdołam go uwolnić, może już nigdy nie będzie taki sam jak przedtem.

Ścisnęło mi się gardło. Dom stracharza stał się moim domem. Doskonale pamiętałem lekcje, rozmowy z mistrzem, a nawet



straszne chwile, gdy mieliśmy do czynienia z mrokiem. Wiedziałem, że będę za tym tęsknić, a na myśl o stracharzu płonącym żywcem do oczu napłynęły mi łzy.

Moja mama miała rację. Z początku wątpiłem, czy powinienem zostać uczniem stracharza. Obawiałem się samotności. Powiedziała mi jednak, że mogę przecież rozmawiać z moim mistrzem, że choć jest moim nauczycielem, w końcu zostaniemy także przyjaciółmi. Nie wiem, czy już tak się stało, bo często traktował mnie surowo, ale wiedziałem, że z całą pewnością będę za nim tęsknić.

Kiedy strażnicy pociągnęli go w stronę drzwi, skinąłem na Alice i ze spuszczoną głową, nie patrząc na nikogo, zacząłem przepychać się przez tłum na balkonie i schodach. Na zewnątrz niebo zaczynało już jaśnieć; wkrótce osłona ciemności zniknie i ktoś może nas poznać. Ulice zapełniały się ludźmi, a tłum przed salą urósł dwukrotnie od chwili gdy weszliśmy do środka. Przecisnąłem się przez niego, by móc zajrzeć za budynek, tam gdzie wychodziły drzwi, którymi wyprowadzano więźniów.

Jedno spojrzenie wystarczyło, by stwierdzić, że sytuacja jest beznadziejna. Nie widziałem więźniów i nic dziwnego, bo drzwi musiało strzec co najmniej dwudziestu strażników. Jaką miałem szansę w starciu z tyloma mężczyznami? Ponury i zniechęcony odwróciłem się do Alice.

– Wracajmy – rzekłem. – Nic tu nie zdziałamy.

Nagle zatęskniłem za bezpiecznym schronieniem piwnicy. Przyspieszyłem kroku. Alice podążała za mną bez słowa.

## **ROZDZIAŁ 12**

### **SREBRNA BRAMA**

– To niesprawiedliwe, Tom. Biedna Maggie, nie zasłużyła na stos. Nikt z nich nie zasłużył. Trzeba coś z tym zrobić.

Wzruszyłem ramionami, patrząc w przestrzeń, umysł miałem

odrętwiały. Po jakimś czasie Alice położyła się i zasnęła. Próbowałem zrobić to samo, ale znów zacząłem rozmyślać o stracharzu. Choć wydawało się to beznadziejne, czy powinienem pójść na miejsce kaźni i sprawdzić, czy zdołam jakoś pomóc? Jakiś czas przetrawiałem to pytanie i w końcu uznałem, że o zmroku opuszczę Priestown i pójdę do domu porozmawiać z mamą.

Ona będzie wiedziała, co powinienem zrobić. Sam czułem się kompletnie zagubiony; potrzebowałem pomocy. Czekał mnie całonocny marsz bez chwili snu, uznałem zatem, że powinienem przespać się choćby kilkanaście minut. Minęło trochę czasu, nim zasnąłem. Kiedy jednak tak się stało, niemal natychmiast zacząłem śnić i nim się obejrzałem, znalazłem się z powrotem w katakumbach.

Zwykle kiedy śnimy, nie wiemy o tym. Ale gdy się zorientujemy, dzieje się jedno z dwojga: albo budzimy się natychmiast, albo też pozostajemy we śnie i robimy, co zechcemy. Tak przynajmniej było zawsze ze mną.

Lecz ten sen okazał się inny. Zupełnie jakby coś kontrolowało wszystkie moje poruszenia. Wędrowałem ciemnym korytarzem z ogarkiem świecy w lewej dłoni i zbliżałem się do ciemnego wejścia jednej z krypt, kryjących w sobie kości Małego Ludu. Nie chciałem się do niej zbliżać, lecz stopy niosły mnie same.

Zatrzymałem się w otwartych drzwiach, migotliwy blask świecy padł na kości. Większość leżała na półkach w głębi krypty, lecz kilka strzaskanych rozsypało się na wykładanej kamieniami posadzce i utworzyło stosik w kącie. Nie chciałem tam wchodzić, naprawdę nie chciałem. Wyglądało jednak na to, że nie mam wyboru. Przekroczyłem próg, słysząc pod nogami trzask pękających odłamków kości. Nagle ogarnął mnie przejmujący chłód.

Pewnej zimy, kiedy byłem mały, mój brat James dogonił mnie i natarł mi uszy śniegiem. Próbowałem walczyć, był jednak zaledwie o rok młodszy od najstarszego brata, Jacka, i równie rosły i silny, tak bardzo, że tato posłał go w końcu do terminu u kowala. Miał

też podobne do Jacka poczucie humoru. Śnieg w uszach stanowił według niego świetny dowcip, tak naprawdę jednak sprawiał mi ból, cała twarz mi zdrętwiała i piekła jeszcze niemal godzinę. We śnie czułem się podobnie. Było mi niewiarygodnie zimno. Oznaczało to, że zbliża się coś z mroku. Zimno miało początek w mojej głowie i po chwili wydawała się już zamarznięta i odrętwiała, zupełnie jakby nie należała do mnie.

Coś przemówiło w mroku za moimi plecami, coś stojącego blisko, między mną a wyjściem. Głos był ochrypły i niski, nie musiałem pytać, kto mówi. Choć go nie widziałem, czułem znajomy, cuchnący oddech.

– Tkwią tu w pułapce – oznajmił Mór. – Jestem więziony. To wszystko, co mam.

Nie odpowiedziałem, zapadła długa cisza. Wiedziałem, że to koszmar i próbowałem się obudzić. Naprawdę się starałem, jednak bez skutku.

– To całkiem miła komnata – podjął Mór. – Jedno z moich ulubionych miejsc. Pełna starych kości. Lecz to świeżej krwi łaknę, a krew młodych jest najlepsza. Jeśli jednak nie mogę dostać krwi, wystarczą mi kości nowsze, tym lepsze, świeżusieńkie, słodkie, pełne szpiku. To właśnie lubię. Uwielbiam rozszczepiać młode kości i wysysać szpik. Lecz stare kości wciąż są lepsze niż nic. Stare kości, jak te. To lepsze, niż głód trawiący mi wątpia. Głód, który tak bardzo boli. Bo widzisz, w starych kościach nie ma szpiku, lecz nadal kryją w sobie wspomnienia. Głódzę stare kości, o tak, powoli, by zdradziły mi wszystkie swoje sekrety. Widzę ciało, które niegdyś je powlekało, nadzieje i ambicje, których koniec tkwi w martwej, kruchej powłoce. One też dodają mi sił. Łagodzą głód.

Mór był bardzo blisko mego lewego ucha. Teraz przemawiał niewiele głośniejszy od szeptu. Nagle zapragnąłem się odwrócić i spojrzeć na niego, musiał jednak odczytać to w moich myślach.

– Nie obracaj się, chłopcze – ostrzegł. – Nie spodoba ci się to, co zobaczysz. Odpowiedz mi tylko na pytanie.

Znów zapadła cisza, słyszałem serce tłukące mi się w piersi. W

końcu Mór zapytał:

– Co się dzieje po śmierci?

Nie znałem odpowiedzi; stracharz nigdy nie mówił o podobnych sprawach. Wiedziałem tylko, że istnieją duchy, które wciąż potrafią myśleć i mówić, a także ich fragmenty zwane widmami, pozostawione, gdy dusza przeszła dalej. Ale dokąd? Nie wiedziałem. Tylko Bóg wiedział. Jeśli w ogóle istniał jakiś bóg.

Pokręciłem głową. Nie odezwałem się i zanadto się bałem, by się obejrzeć. Za sobą wyczuwałem coś wielkiego i przerażającego.

– Po śmierci nie ma nic! Nic! Zupełnie nic! – zagrzemiał Mór tuż przy moim uchu. – Jedynie czerń i pustka. Żadnych myśli. Żadnych uczuć. Tylko nicość. To wszystko, co czeka na ciebie po drugiej stronie śmierci. Zrób jednak, co ci każę, chłopcze, a obdarzę cię długim, bardzo długim życiem. Trzykroć dwadzieścia i dziesięć lat to najlepsze, na co może liczyć większość słabych ludzkich stworzeń. Ja jednak mogę dać ci dziesięć, dwadzieścia razy więcej! Wystarczy tylko, byś otworzył bramę i mnie wypuścił. Otwórz tylko bramę, a ja zrobię resztę. Twój mistrz też może odejść wolno. Wiem, że tego właśnie pragniesz. Moglibyście obaj wrócić do swego dawnego życia.

Jakaś część mnie pragnęła powiedzieć tak. Po śmierci stracharza na stosie czekała mnie samotna podróż na północ, do Caster, bez cienia pewności, że będę mógł kontynuować naukę. Gdyby tylko wszystko znów było takie jak przedtem! Lecz choć odczułem pokusę, wiedziałem, że to niemożliwe. Nawet gdyby Mór dotrzymał słowa, nie mogłem pozwolić, by krążył swobodnie po Hrabstwie i szerzył swoje zło. Wiedziałem, że stracharz prędzej by umarł, niż na to pozwolił.

Otworzyłem usta, żeby powiedzieć nie, nim jednak zdołałem to zrobić, Mór znów przemówił.

– Z dziewczyną byłoby łatwo – rzekł. – Pragnie tytko ciepłego ognia. Domu, w którym mogłaby mieszkać. Czystych ubrań. Pomyśl jednak, co oferuję tobie! A chcę tylko twojej krwi, i to niewiele. Nie będzie bardzo bolało. Tylko tyle, ile trzeba, nic więcej.

A potem zawrzemy pakt. Pozwól mi tylko ssać swą krew, żebym mógł odzyskać siły. Przepuść mnie przez bramę i zwróć mi wolność. Potem trzy razy spełnię twe życzenie i będziesz żył długo, bardzo długo. Krew dziewczyny jest lepsza niż nic, ale naprawdę potrzebuję twojej. Siódmy z siódmego, oto kim jesteś. Wcześniej tylko raz skosztowałem równie słodkiej krwi i wciąż dobrze pamiętam jej smak. Słodka krew siódmego z siódmego. Och, ileż dałaby mi sił, jak wielka byłaby twoja nagroda. Czyż to nie lepsze niż nicość śmierci? O tak, śmierć i tak kiedyś nadejdzie. Nadejdzie mimo wszystkiego, co zrobię, skradając się ku tobie niczym mgła nad rzeką w zimną, wilgotną noc. Ale mogę odwlec tę chwilę, odwlekać ją przez wiele lat. Minie wiele czasu, nim będziesz musiał stawić czoło ciemności. Czerni. Pustce! Co powiesz, chłopcze? Tkwią w pułapce, jestem uwięziony, ale ty możesz mi pomóc.

Bardzo się bałem i znów próbowałem się obudzić. Nagle jednak z ust wylał mi się potok słów, zupełnie jakby wypowiadał je ktoś inny.

– Nie wierzę, że po śmierci nic nie ma – oznajmiłem. – Mam duszę i jeśli dobrze przeżyję życie, przetrwam i śmierć. Musi istnieć coś jeszcze. Nie wierzę w nicość, nie wierzę!

– Nie! Nie! – ryknął Mór. – Nie wiesz tego, co ja! Nie widzisz tego, co ja widzę! Spoglądam poza śmierć, widzę pustkę, nicość. Ja wiem! Widzę, jak straszne jest być niczym, zupełnie niczym! Niczym!

Moje serce zwolniło biegu i nagle ogarnął mnie głęboki spokój. Mór wciąż stał za mną, lecz w krypcie robiło się cieplej. Teraz zrozumiałem. Poznałem ból Mora, wiedziałem, dlaczego musi karmić się ludźmi, ich krwią, nadziejami i marzeniami.

– Mam duszę i będę żył dalej – powiedziałem, nie podnosząc głosu. – Oto różnica między nami. Ja mam duszę, a ty nie! Dla ciebie po śmierci nie ma niczego, zupełnie niczego!

Nagle coś pchnęło mą głowę mocno na ścianę krypty. Za plecami usłyszałem gniewny syk. Syk, który zmienił się w ryk wściekłości.

– Głupcze! – huknął Mór, jego grzmiący głos wypełnił całą kryptę, odbijając się echem w długich, ciemnych tunelach katakumb. Gwałtownie odtrącił mnie na bok; skaleczyłem czoło o zimny, szorstki kamień. Kątem lewego oka ujrzałem olbrzymią rękę ściskającą moją głowę. Zamiast paznokci palce kończyły się wielkimi, żółtymi szponami. – Miałeś szansę, ale teraz straciłeś ją na zawsze! – ryknął Mór. – Jest jednak jeszcze ktoś, kto może mi pomóc. Jeśli zatem nie mogę mieć ciebie, wystarczy mi ona.

Pchnięty, poleciałem w stronę stosu kości w kącie i poczułem, że przez nie przelatuję, spadam coraz niżej i niżej, w bezdenną otchłań. Świeca zgasła, lecz kości zdawały się świecić w mroku: wyszczerzone czaszki, zebra, kości rąk i nóg, fragmenty dłoni, palców i kciuków. Moją twarz spowiła chmura suchego pyłu śmierci, wnikała mi do nosa, do ust, do gardła. Zacząłem się dławić. Nie mogłem oddychać.

– Oto, jak smakuje śmierć! – krzyknął Mór. – Oto, jak wygląda śmierć!

Kości zniknęły mi z oczu, nie widziałem już nic, zupełnie nic. Spadałem w czerń. W ciemność. Przerażony, pomyślałem, że może Mór w jakiś sposób zabił mnie we śnie. Cały czas jednak próbowałem się obudzić. W jakiś sposób przemawiał do mnie, gdy spałem i wiedziałem, kogo teraz próbuje przekonać, skoro ja odmówiłem.

Alice!

\*

W końcu zdołałem się obudzić, ale było już za późno. Obok mnie płonęła świeca, lecz pozostał tylko ogarek. Spałem wiele godzin. Druga świeca zniknęła, a wraz z nią Alice!

Sięgnąłem do kieszeni, lecz to, co znalazłem, potwierdziło tylko moje przypuszczenia. Alice zabrała klucz do Srebrnej Bramy.

Kiedy zerwałem się na równe nogi, zakręciło mi się w głowie. Poczulem ostry ból. Dotknąłem czoła grzbietem dłoni i poczułem mokrą krew. W jakiś sposób Mór zrobił mi to we śnie. Umiał też czytać w myślach. Jak można pokonać stwora, który wie, co

zamierzasz, nim jeszcze zdołasz cokolwiek zrobić czy nawet przemówić? Stracharz miał rację – był to najgroźniejszy przeciwnik, z jakim kiedykolwiek mieliśmy do czynienia.

Alice zostawiła otwarty właz. Chwyciłem świecę i nie tracąc czasu zbiegłem po schodach do katakumb. W parę minut później dotarłem do rzeki, która sprawiała wrażenie nieco głębszej niż wcześniej. Rwąca woda przykryła trzy z dziewięciu kamieni, te pośrodku. Czulem prąd szarpiący mnie za nogi.

Przeprawilem się szybko, wciąż jeszcze gnany nadzieją, że zdążę na czas. Gdy jednak pokonałem zakręt, ujrzałem Alice. Siedziała oparta plecami o ścianę, lewą rękę położyła na kamieniach. Palce miała splamione krwią.

A Srebrna Brama stała otworem!

## ROZDZIAŁ 13

### STOS

– Alice! – krzyknąłem, wpatrując się z niedowierzaniem w otwartą bramę. – Coś ty zrobiła?

Spojrzała na mnie oczami lśniącymi od łez.

Klucz wciąż tkwił w zamku. Chwyciłem go gniewnie i schowałem z powrotem do kieszeni, głęboko pomiędzy opłki żelaza.

– Chodź! – warknąłem, ledwie panując nad swoim głosem. – Musimy stąd uciekać.

Wyciągnąłem lewą rękę, ona jednak jej nie ujęła. Zamiast tego uniosła swoją, tę umazaną krwią. Przycisnęła ją do piersi i obejrzała, krzywiąc się z bólu.

– Co się stało z twoją dłonią? – spytałem.

, Nic takiego – odparła. – Do wesela się zagoi. Teraz już wszystko będzie dobrze.

– Nie, Alice – odparłem. – Nie będzie. Przez ciebie całemu

Hrabstwu grozi niebezpieczeństwo.

Pociągnąłem ją łagodnie za zdrową rękę i poprowadziłem tunelem aż do rzeki. Na skraju wody Alice wyrwała mi się. Nie zwróciłem na to specjalnej uwagi, po prostu przeprawiłem się szybko. Dopiero gdy dotarłem na drugą stronę, obejrzałem się i ujrzałem ją, wciąż stojącą na brzegu i wpatrzoną w wodę.

– No chodź! – krzyknąłem. – Pospiesz się!

– Nie mogę, Tom! – odkrzyknęła Alice. – Nie mogę przejść!

Odstawiłem świecę i wróciłem po dziewczynę. Wzdrygnęła się, ale złapałem ją mocno. Gdyby się szamotała, nie miałbym szans, lecz w chwili gdy moje ręce jej dotknęły, ciało Alice oklapło i osunęła się na mnie. Nie tracąc czasu, ugiąłem kolana i zarzuciłem ją sobie na ramię jak stracharz, gdy niósł czarownicę.

Bo widzicie, nie miałem wątpliwości. Skoro Alice nie mogła przejść przez bieżącą wodę, stało się to, Czego od początku obawiał się stracharz. Knowania z Morem w końcu pchnęły ją w objęcia mroku.

Jakaś część mnie chciała ją zostawić. Wiedziałem że tak właśnie postąpiłby stracharz. Ale nie mogłem. Choć nie zgodziłby się ze mną, nie miałem wyboru To wciąż była Alice i wiele razem przeżyliśmy.

Choć nie ważyła wiele, przeprawa z ciężarem na ramieniu okazała się niełatwa, z trudem utrzymywałem równowagę na kamieniach. Dodatkowo sytuację pogarszał fakt, iż gdy tylko ruszyłem naprzód, Alice zaczęła zawodzić, jakby cierpiała katusze.

Kiedy w końcu dotarliśmy na drugi brzeg, opuściłem ją na nogi i podniosłem świecę.

– Chodź – rzuciłem, lecz ona stała rozdygotana. Musiałem znów złapać ją za rękę i pociągnąć za sobą aż do schodów.

Gdy tylko znaleźliśmy się z powrotem w piwnicy, odstawiłem świecę i usiadłem na skraju starego dywanu. Tym razem Alice nie siadła, splotła jedynie ręce na piersi i oparła się o ścianę. Żadne z nas się nie odzywało – nie mieliśmy sobie nic do powiedzenia, a ja byłem zbyt zaprzątnięty własnymi myślami.



Spałem bardzo długo, zarówno przed tym, jak nawiedził mnie sen, jak i potem. Poszedłem wyrzucić za drzwi na szczycie schodów i przekonałem się, że słońce zaczyna już zachodzić. Uznałem, że odczekam jeszcze pół godziny, a potem ruszę w drogę. Rozpaczliwie chciałem pomóc stracharzowi, ale czułem się kompletnie bezsilny. Nawet myśl o tym, co go czeka, sprawiała mi ból. Lecz co mogłem poradzić w starciu z dziesiątkami zbrojnych? Nie zamierzałem też udać się na szczyt wzgórza tylko po to, by beczynn timer przyglądać się, jak go palą. Nie zniósłbym tego. Nie, uznałem, że pójdę do domu, do mamy. Ona będzie wiedzieć, co mam dalej robić.

Być może moje życie jako ucznia stracharza dobiegło końca. A może mama proponuje, żebym udał się na północ, do Caster, i poszukał sobie nowego mistrza. Nigdy nie umiałem odgadnąć z góry, co mi poradzi.

Gdy oceniłem, że nadszedł czas, odwiązałem ukryty pod koszulą srebrny łańcuch i schowałem go z powrotem do torby stracharza wraz z jego płaszczem. Jak często powtarza mój tata, kto nie marnuje, ten nie potrzebuje. Przesypałem zatem sól i żelazo z powrotem do pojemników w torbie – a przynajmniej tyle, ile zdołałem wyciągnąć z kieszeni.

– Chodź – powiedziałem do Alice. – Wypuszczę cię.

I tak okryty płaszczem, dźwigając w dłoniach torbę i laskę, wspiałem się po schodach, po czym drugim kluczem otworzyłem tylne drzwi. Gdy znaleźliśmy się na podwórzu, zamknąłem je za nami.

– Żegnaj, Alice – rzuciłem, odwracając się na pięcie.

– Co? Nie idziesz ze mną, Tom? – zdziwiła się Alice.

– Dokąd?

– Oczywiście na miejsce kaźni, żeby znaleźć Kwizytora. Musi dostać to, na co zasłużył. Każę mu zapłacić za to, co zrobił z moją biedną starą ciotką i z Maggie.

– A jak zamierzasz to zrobić?

– Widzisz, oddałam Morowi krew – Alice patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami. – Wsunęłam palce za kratę, a on

wyssał ją spod moich paznokci. Owszem, nie lubi dziewczyn, ale ich krew jak najbardziej. Wziął, czego chciał, pakt został zawarty. Teraz musi robić to, co mu każe. Musi mi być posłuszny.

Paznokcie lewej dłoni Alice poczerniały od zaschniętej krwi. Wstrząśnięty, odwróciłem się i otworzywszy furtkę wyszedłem na zewnątrz.

– Dokąd idziesz, Tom? Nie możesz teraz odejść! – krzyknęła Alice.

– Wracam do domu porozmawiać z mamą – odparłem, nawet się nie oglądając.

– W takim razie idź sobie do domu, do mamy. Jesteś zwykłym pupilkiem mamusi, maminsynkiem! I zawsze nim będziesz!

Postawiłem zaledwie dziesięć kroków, gdy mnie dogoniła-

– Nie idź, Tom! Proszę, nie idź – jęknęła.

Szedłem dalej, nie odwracając głowy.

Kiedy Alice znów zaczęła krzyczeć, w jej głosie usłyszałem prawdziwy gniew, ale i coś więcej: desperację.

– Nie możesz odejść, Tom! Nie pozwolę ci. Jesteś mój! Należysz do mnie!

Znów puściła się za mną biegiem. Odwróciłem się, stawiając jej czoło.

– Nie, Alice. Nie należę do ciebie. Należę do światła, a ty oddałaś się mrokowi! – Alice wyciągnęła rękę i bardzo mocno chwyciła mnie za lewe przedramię. Poczulem paznokcie wbijające się w ciało. Skrzywiłem się z bólu, nadal jednak spokojnie patrzyłem jej w oczy. – Nie wiesz nawet, co zrobiłaś – powiedziałem.

– O tak, Tom, wiem. Wiem dokładnie, co zrobiłam i pewnego dnia mi za to podziękujesz. Tak bardzo martwisz się Morem, ale wierz mi, nie jest wcale gorszy od Kwizytora. – Alice puściła moją rękę. – To, co zrobiłam, zrobiłam dla nas wszystkich. Dla ciebie, dla siebie, nawet dla starego Gregory'ego.

– Mór go zabije. To pierwsza rzecz, jaką zrobi po uwolnieniu.

– Nie, mylisz się, Tom! To nie Mór chce zabić starego

Gregory'ego, tylko Kwizytor. W tej chwili jedynie Mór może go uratować. I to dzięki mnie.

Nie zrozumiałem.

– Posłuchaj, Tom. Chodź ze mną, a ja ci pokażę.

Pokręciłem głową.

– Cóż, nieważne czy pójdziesz, czy nie – oświadczyła. – I tak to zrobię.

– Ale co?

– Uratuję więźniów Kwizytora. Wszystkich! I pokażę mu, co znaczy ogień.

Ponownie wbiłem wzrok w Alice, ona nie odwróciła oczu. Płonął w nich gniew i w tej chwili miałem wrażenie, że zdołałaby spojrzeć w oczy nawet stracharzowi, choć zwykle nie była do tego zdolna. Mówiła poważnie, możliwe, że Mór faktycznie posłucha jej i pomoże. Ostatecznie zawarli jakiś pakt.

Jeśli istniała jakakolwiek szansa ocalenia stracharza, musiałem być na miejscu, by mu pomóc. Nie czułem się dobrze, polegając na istocie tak złej, jak Mór. Ale jaki miałem wybór? Alice ruszyła w stronę Wzgórza Wici, a ja powoli pomaszerowałem za nią.

\*

Szliśmy szybko na południe opustoszałymi ulicami.

– Lepiej pozbędę się kija – uznałem. – Mógłby nas zdradzić.

Skinęła głową i wskazała starą, zrujnowaną szopę.

– Postaw go za nią – zaproponowała. – Zabierzemy go w drodze powrotnej.

Na zachodzie wciąż pozostała słaba luna, odbijająca się w rzece płynącej u stóp wzgórz Wortham. Mój wzrok przyciągnęło onieśmielająco wysokie wzgórze. Na dole jego zbocza porastały drzewa, obecnie gubiące już liście, wyżej jednak rosły tylko niskie krzaki i trawa.

Zostawiliśmy za sobą ostatnie domy i dołączyliśmy do grupy ludzi, przeprawiających się wąskim, kamiennym mostem przez rzekę i maszerujących powoli w nieruchomym, przesiąkniętym wilgocią powietrzu. Na brzeg wypełzała biała mgła. Wkrótce

jednak znaleźliśmy się ponad nią, wędrując między drzewami po stosach mokrych gnijących liści. Wreszcie dotarliśmy w pobliże szczytu. Zebrał się tam już spory tłum i z każdą chwilą przybywało gapiów. Na ziemi ułożono trzy wielkie stosy konarów i gałęzi, gotowe do podpałki: jeden wyższy, pośrodku, i dwa nieco niższe. Ze stosów sterczały grube, drewniane pale do których miały być przywiązane ofiary.

Wysoko, na wzgórzu, z którego widać było rozciągające się w dole światła miasta, powietrze wydawało się świeższe. Teren oświetlały pochodnie umocowane do wysokich, smukłych, drewnianych tyczek, kołyszących się lekko w słabym, zachodnim wietrze. Pomiedzy plamami światła pozostały jednak pasma ciemności, gdzie twarze tłumu spowijały cienie. Podążyłem za Alice w głąb jednego z nich. Stąd mogliśmy oglądać to, co się dzieje, sami nie będąc widziani.

Miejsca kaźni strzegł tuzin roślących mężczyzn w czarnych kapturach z wąskimi szczelinami, odsłaniającymi oczy i usta. Stali zwrócenii plecami do stosów, trzymając w rękach pałki, i wyraźnie mieli ochotę ich użyć. Byli to pomocnicy kata, asystujący Kwizytorowi, którzy w razie konieczności mieli za zadanie powstrzymać wzburzony tłum.

Nie byłem pewien, jak zachowają się zebrani. Czy warto liczyć, że mogliby coś zrobić? Krewni i przyjaciele skazanych mogą zechcieć ich uratować. Ale czy znajdzie się ich dość wielu, by podjąć jakąś próbę? Oczywiście też, jak mówił brat Peter, mnóstwo ludzi uwielbia oglądać palenie na stosach. Inni przybyli tu w poszukiwaniu rozrywki.

Gdy tylko w mojej głowie pojawiła się ta myśl, w dali usłyszałem miarowy werbel bębnów.

Spalić! Spalić! Spalić więdźmy! – zdawały się huczeć.

Na ten dźwięk wśród tłumu rozeszła się fala pomruków, wzbierających w ryk, który w końcu eksplodował głośnymi okrzykami i sykami. Zbliżał się Kwizytor, wyniosły, na siwym wierzchołcu, za nim toczył się otwarty wóz z więźniami. Po

bokach i z tyłu podążali inni jeźdźcy, z mieczami u pasów. Za nimi pieszo maszerował tuzin doboszy. Szli kołyszącym się krokiem, teatralnie unosząc i opuszczając ręce, wystukując rytm.

Spalić! Spalić! Spalić więdźmy! Na stos!

Nagle sytuacja wydała mi się beznadziejna. Parę osób z pierwszych rzędów zaczęło ciskać zgniłymi owocami w więźniów, lecz strażnicy, zapewne w obawie, że mogliby dostać przy okazji, dobyli mieczy i ruszyli wprost ku nim, przeganiając ich w głąb tłumu. Masa ludzi cofnęła się szybko.

Wóz zbliżył się i zatrzymał, i po raz pierwszy zobaczyłem stracharza. Część więźniów klęczała, zatopiona w modłach, inni zawodzili bądź wyrywali włosy. Lecz mój mistrz stał wyprostowany, z uniesioną głową. Twarz miał zmęczoną i starą, w jego oczach dostrzegłem ten sam dziwny wyraz, jakby wciąż nie pojmował, co się z nim dzieje. Na czole, nad lewym okiem miał nowy siniak, rozcięta dolna warga napuchła – najwyraźniej znów go pobito.

Jakiś ksiądz wystąpił naprzód, ze zwojem w prawej dłoni i rytm bębnów zmienił się – niski pomruk, unoszący się i narastający w crescendo umilkł nagle. Ksiądz zaczął czytać.

– Mieszkańcy Priestown, słuchajcie! Zebraliśmy się tutaj, by być świadkami sprawiedliwej egzekucji na stosach dwunastu czarownic i jednego czarownika, nieszczęsnych grzeszników, których widzicie przed sobą. Módlcie się za ich dusze! Módlcie się, żeby ból ich wyzwolił, by pojęli swe błędy, błagali Boga o przebaczenie i w ten sposób zbawili swoje nieśmiertelne dusze.

Bębny znów zagrzmiały. Ksiądz jeszcze nie skończył i gdy zapadła cisza, podjął lekturę.

– Nasz pan i obrońca, najwyższy Kwizytor chce, by dzisiejsza egzekucja stała się lekcją dla innych, którzy mogliby zbłądzić na ścieżkę mroku. Patrzcie, jak płoną grzesznicy – patrzcie, jak ich kości pękają, a tłuszcz topi się niczym łój świecy. Słuchajcie ich krzyków i cały czas pamiętajcie, że to nic! To nic w porównaniu z wiecznością mąk czekających każdego, kto nie szuka zbawienia.

Na te słowa tłum ucichł. Być może sprawił to lęk przed piekłem, o którym wspomniał ksiądz. Najpewniej jednak powód był inny. Czulem to samo: bałem się, że będę stał i patrzył na rozgrywającą się przed moimi oczami grozę i widział, jak żywe ciało i krew trawia płomienie, zadające niewyobrażalny ból.

Dwóch zakapturzonych mężczyzn wystąpiło naprzód i brutalnie ściągnęło z wozu pierwszego więźnia – kobietę o długich, siwych włosach, opadających gęstą kaskadą na ramiona i sięgających niemal do pasa. Gdy powlekli ją w stronę najbliższego stosu, zaczęła przeklinać i pluć, walcząc rozpaczliwie i próbując się uwolnić. Część tłumu ze śmiechem obsypywała ją wyzwiskami. Lecz choć z niej drwili, kobieta o dziwo zdołała się uwolnić i puściła się pędem naprzód w ciemność.

Nim strażnicy zdążyli zareagować, Kwizytor pogalopował obok nich; spod kopyt jego konia bryzgało błoto. Chwycił kobietę za włosy, obracając rękę i zaciskając pięść. Potem szarpnął ją w górę tak gwałtownie, że wygięła plecy i o mało nie uniosła się z ziemi. Kobieta krzyknęła słabo, piskliwie, gdy Kwizytor włókł ją z powrotem w stronę strażników, którzy raz jeszcze ją chwycili i szybko przywiązali do jednego z pali na skraju największego stosu. Jej los był przypieczętowany.

Ścisnęło mi się serce na widok stracharza, którego ściągnęli z wozu jako następnego. Ludzie Kwizytora poprowadzili go na największy stos i przywiązali do środkowego pala. On jednak nie stawiał oporu, nadal sprawiał wrażenie oszołomionego. Raz jeszcze przypomniałem sobie jego słowa: mówił, że spalenie to jedna z najboleśniejszych śmierci i nigdy nie skazałby na nie więdźmy. Nie mogłem znieść widoku mojego mistrza czekającego na śmierć. Część ludzi Kwizytora miała w rękach pochodnie. Wyobraziłem sobie, jak podpalają stosy, jak płomienie strzelają ku stracharzowi. Wizja ta była zbyt straszna; po policzkach popłynęły mi łzy.

Próbowałem przypomnieć sobie, co powiedział mi mistrz o tym, że ktoś bądź coś czuwa nad nami. Że jeśli właściwie przeżyliśmy życie, w godzinie największej potrzeby to coś stanie u naszego boku

i użyczy nam siły. Cóż, stracharz przeżył swoje życie jak należy, robił wszystko, co uważał za najlepsze. Zasłużył więc chyba na jakąś pomoc. Prawda?

Gdybym należał do rodziny, która uczęszczała do kościoła i częściej się modliła, zacząłbym się modlić. Nie wpojono mi jednak tego nawyku i nie wiedziałem, jak to zrobić. Nieświadom tego co czynię, wyszeptalem coś do siebie. To nie miała być modlitwa, lecz przypuszczam, że w istocie nią była.

– Pomóż mu, proszę – szeptałem. – Proszę, pomóż mu.

Nagle włosy na karku zaczęły mi się jeżyć i poczułem głębokie, przejmujące zimno. Zbliżało się coś z mroku. Coś silnego i bardzo niebezpiecznego. Usłyszałem, jak Alice sapnęła i jęknęła głucho i świat pociemniał mi przed oczami, gdy więc odwróciłem się i sięgnąłem ku niej, nie widziałem nawet własnej ręki. Pomruki tłumy zdawały się dobiegać z daleka, wszystko stało się ciche i nieruchome. Czuję się odcięty od świata, samotny w ciemności.

Wiedziałem, że zjawił się Mór. Niczego nie widziałem, ale wyczuwałem jego obecność: olbrzymiego, mrocznego ducha, potężnego ciężaru, który mógł mnie zmiażdżyć, pozbawić życia. Okropnie się bałem o siebie i o wszystkich niewinnych ludzi, zebranych na wzgórzu. Nic jednak nie mogłem zrobić, tylko czekać w ciemności na koniec.

Kiedy wzrok mi się przejaśnił, zobaczyłem, jak Alice rusza naprzód. Nim zdołałem ją powstrzymać, wyszła z cienia i skierowała się wprost w stronę stracharza i dwóch katów przy środkowym stosie. Kwizytor był tuż obok i patrzył. Gdy się zbliżyła, zobaczyłem jak zwraca ku niej wierzchowca i spina do biegu. Przez moment sądziłem, że zamierza ją stratować, ale zatrzymał konia tak blisko, że Alice mogła wyciągnąć rękę i poklepać go po nozdrzach.

Usta Kwizytora wygięły się w okrutnym uśmiechu. Wiedziałem, że rozpoznał w niej swoją więźniarkę. Do końca życia będę pamiętał, co wtedy zrobiła.

W nagłej ciszy, która zapadła, Alice uniosła ręce ku

Kwizytorowi, celując w niego oboma palcami wskazującymi, a potem wybuchnęła głośnym śmiechem i dźwięk ów odbił się echem po wzgórzu, sprawiając, że znów zjeżyły mi się włosy. Dźwięczał w nim tryumf i wyzwanie, i pomyślałem: jakie to dziwne, że Kwizytor szykuje się do spalenia tylu fałszywie oskarżonych ludzi, podczas gdy naprzeciw niego stoi prawdziwa wiedźma, dysponująca prawdziwą mocą.

Następnie Alice obróciła się na piętach i zaczęła wirować, wyciągając poziomo ręce. Na pysku i głowie sinego wierzchowca Kwizytora zaczęły pojawiać się ciemne plamki. Z początku zdziwiło mnie to, nie rozumiałem, co się dzieje. Kiedy jednak koń zadrżał ze strachu i wspiął się na tylne nogi, ujrzałem, że z lewej dłoni Alice ulatują krople krwi. Krwi z miejsca, z którego niedawno posilał się Mór.

Nagle zerwał się potężny wiatr, niebo rozdarła oślepiająca błyskawica. Zagrzmiało tak głośno, że zaboląły mnie uszy. Odkryłem, że klęczę na ziemi, wokół słyszałem krzyki i wrzaski ludzi. Obejrzałem się na Alice i stwierdziłem, że wciąż się obraca, coraz szybciej i szybciej. Biały koń znów wierzgnął, tym razem zrzucając Kwizytora, który poleciał na plecy na stos.

Kolejna błyskawica i nagle stos z boku zaczął płonąć. Płomienie z trzaskiem wznosiły się coraz wyżej, Kwizytor klęczał, otoczony wieńcem ognia. Zobaczyłem, jak kilku strażników rzuca się mu na pomoc, lecz tłum także przesuwał się naprzód, strącając jednego z nich z konia. Po chwili wybuchł chaos, ze wszystkich stron ludzie przepychali się i walczyli, inni uciekali biegiem. Powietrze wypełniły krzyki.

Upuściłem torbę i pobiegłem do mojego mistrza, bo płomienie strzelały coraz wyżej i w każdej chwili mogły go ogarnąć. Bez zastanowienia wpadłem wprost na stos i poczułem gorąco ognia, zaczynającego pożerać większe kawałki drewna.

Zacząłem walczyć z więzami stracharza. Po mojej lewej jakiś mężczyzna próbował uwolnić siwowłosą kobietę, którą przywiązali jako pierwszą. Przerażony stwierdziłem, że nie daję rady. Węzłów



było zbyt wiele! Zaciągnięto je za ciasno i z każdą chwilą robiło się coraz bardziej gorąco.

Nagle z lewej strony dobiegł mnie okrzyk tryumfu. Mężczyzna uwolnił kobietę. Jedno spojrzenie wystarczyło, by stwierdzić jak: w ręce trzymał nóż, z łatwością przeciął sznury. Zaczynał już sprowadzać ją na dół, gdy zerknął ku mnie. Powietrze było pełne krzyków, wrzasków i trzasku płomieni. Nawet gdybym zawołał, nie usłyszałyby mnie, toteż jedynie wyciągnąłem ku niemu lewą rękę. Przez chwilę jakby się wahał, wpatrując się w nią, ale potem rzucił mi nóż.

Rzut okazał się za krótki i nóż wpadł w ogień. Bez namysłu wepchnąłem rękę głęboko pomiędzy płonące drwa i podniosłem go. Wystarczyło parę sekund, żeby przeciąć więzy.

Gdy uwolniłem stracharza, tak bliskiego śmierci w ogniu, poczułem ogromną ulgę. Lecz moja radość trwała krótko, bo wciąż przecież nie byliśmy bezpieczni. Otaczali nas ludzie Kwizytora i istniało spore prawdopodobieństwo, że zauważą nas i złapią. Tym razem spłonęlibyśmy obaj!

Musiałem zabrać mojego mistrza dalej od stosu, w zalegającą wokół ciemność; gdzieś, gdzie nikt nas nie zobaczy. Miałem wrażenie, że trwa to całe wieki. Opierał się o mnie ciężko i stawiał drobne, chwiejne kroki. Przypomniałem sobie o torbie, skręciliśmy zatem w stronę miejsca, gdzie ją upuściłem. Jedynie ślepe szczęście sprawiło, że uniknęliśmy ludzi Kwizytora. Po ich przywódcy nie dostrzegłem nawet śladu, w dali jednak widziałem jeźdźców, siekących mieczami wszystkich wokół. W każdej chwili któryś z nich mógł ruszyć w naszą stronę. Z coraz większym trudem przesuwaliliśmy się naprzód; stracharz zdawał się coraz mocniej naciskać na moje ramię, a w prawej ręce dźwigałem jego torbę. Potem jednak ktoś inny złapał go za drugą rękę i ruszyliśmy w stronę bezpiecznej ciemności pod drzewami.

To była Alice.

– Zrobiłam to, Tom! Zrobiłam! – krzyknęła podniecona.

Nie byłem pewien, co odpowiedzieć. Oczywiście, cieszyłem się,

ale nie aprobowałem jej metod.

– Gdzie jest teraz Mór? – spytałem.

– Nie martw się o niego, Tom. Potrafię stwierdzić, kiedy jest w pobliżu, a teraz go nie wyczuwam. To co uczynił, musiało go kosztować sporo sił, zgaduję więc, że powrócił w mrok, by je odzyskać.

Wizja ta wcale mi się nie spodobała.

– A Kwizytor? Nie widziałem, co się z nim stało. Nie żyje?

Alice pokręciła głową.

– Poparzył sobie ręce, kiedy upadł, to wszystko. Ale teraz wie, co znaczy ogień.

Gdy to powiedziała, po raz pierwszy poczułem ból w lewej ręce, w tej, którą podtrzymywałem stracharza. Spojrzałem na nią i przekonałem się, że grzbiet dłoni jest czerwony i pokryty pęcherzami. Ból zdawał się narastać z każdym kolejnym krokiem.

Wraz z tłumem przerażonych ludzi przeprawiliśmy się przez most. Wszyscy spieszyli na północ, byle dalej od miejsca kaźni i tego, co miało nastąpić. Wkrótce ludzie Kwizytora zewrą szeregi i ruszą na poszukiwanie zbiegłych więźniów, gotowi ukarać każdego, kto odegrał jakąś rolę w ucieczce. Kto stanie im na drodze, ucierpi.

Na długo przed świtem zostawiliśmy za sobą Priestown i pierwszych kilka godzin dnia spędziliśmy w starej szopie dla bydła. Obawiałem się, że w pobliżu kręcą się ludzie Kwizytora, szukający zbiegów.

Stracharz nie odzywał się ani słowem, nie reagował, gdy do niego mówiłem, ani nawet gdy znalazłem pozostawioną wcześniej laskę i oddałem mu ją. Oczy wciąż miał puste, patrzył w dal, jakby jego umysł przebywał w zupełnie innym miejscu. Zaczynałem się martwić, czy uderzenie w głowę nie okaże się poważniejsze, niż sądziłem. Nie miałem wyboru.

– Musimy go zabrać na naszą farmę – poinformowałem Alice. – Moja mama będzie umiała mu pomóc.

– Ale mój widok raczej jej nie ucieszy, prawda? – spytała Alice.

– Nie, kiedy się dowie, co zrobiłam. Podobnie zresztą ten twój brat.

Przytaknąłem i skrzywiłem się, bo znów zaboląła mnie ręka. Alice miała rację. Byłoby lepiej, gdyby ze mną nie szła, ale potrzebowałem jej do pomocy przy stracharzu, ledwo trzymającym się na nogach.

– Coś się stało, Tom? – spytała. Zauważyła m · dłoń i podeszła ją obejrzeć. – Zaraz opatrzę – oznajmiła. – To nie potrwa długo.

– Nie, Alice, to zbyt niebezpieczne!

Nim jednak zdołałem ją powstrzymać, wymknęła się z szopy. W dziesięć minut później wróciła, niosąc kilka małych kawałków kory i liście rośliny, której nie rozpoznałem. Zaczęła przeżuwać korę, póki ta nie zmieniła się w dziesiątki małych, włóknistych kawałków.

– Wyciągnij rękę! – poleciła.

– Co to? – spytałem z powątpiewaniem, lecz dłoń naprawdę mnie bolała, toteż zrobiłem, co kazała Alice.

Dziewczyna delikatnie ułożyła kawałki kory na oparzeniu i zawinęła moją dłoń w liście. Potem wyskubała z sukienki czarną nitkę i obwiązała je mocno.

– Lizzie mnie tego nauczyła – oświadczyła. – Opatrunek zaraz złagodzi ból.

Już miałem zaprotestować, lecz niemal natychmiast ból zaczął znikać. Oto lek, którego nauczyła Alice wiedźma. I lek ów zadziałał. Dziwnie toczy się ten świat. Zło może rodzić dobro. I nie chodziło tylko o moją dłoń. Dzięki Alice i paktowi, który zawarła z Morem, stracharz nie zginął.

## **ROZDZIAŁ 14**

### **OPOWIEŚĆ TATY**

Godzinę przed zmierzchem ujrzeliśmy przed sobą farmę. Wiedziałem, że tato i Jack zaczynają właśnie dojenie, toteż pora

była doskonała. Musiałem pomówić z mamą sam na sam.

Nie odwiedzałem domu od wiosny, kiedy to stara czarownica Mateczka Malkin złożyła wizytę mojej rodzinie. Dzięki odwadze Alice zdołaliśmy ją zniszczyć, lecz incydent ów bardzo wystraszył Jacka i jego żonę Ellie, więc wiedziałem, że nie ucieszy ich moje przybycie po zmroku. Praca stracharza ich przerażała, martwili się, że coś złego może spotkać ich dziecko. Chciałem zatem tylko pomóc stracharzowi i jak najszybciej znów ruszyć w drogę.

Zdawałem sobie także sprawę, że sprowadzając mojego mistrza i Alice na farmę, narażam życie wszystkich. Jeśli ludzie Kwizytora dotrą tu za nami, nie będą mieli litości dla tych, którzy zapewnili schronienie wiedźmie i stracharzowi. Nie chciałem jeszcze bardziej narażać rodziny, postanowiłem zatem zostawić moich towarzyszy poza granicą farmy. Tuż obok stała stara owcza chata, należąca do naszego najbliższego sąsiada. Ponieważ sąsiedzi hodowali teraz bydło, nie korzystali z niej od lat. Pomogłem Alice wprowadzić do środka stracharza i kazałem jej zaczekać, po czym szybko pomaszerowałem przez pole, zmierzając wprost ku płotowi, otaczającemu nasze ziemie.

Gdy otworzyłem kuchenne drzwi, mama siedziała na swym ulubionym miejscu, w bujanym fotelu w kącie obok paleniska. Patrzyła na mnie spokojnie. Zaciągnęła już zasłony i zapaliła świecę osadzoną w mosiężnym lichtarzu.

– Usiądź, synu – poprosiła cichym, miękkim głosem. – Przysuń sobie krzesło i opowiedz mi o wszystkim.

Mój widok zupełnie jej nie zaskoczył.

Nie zdziwiło mnie to – mamę wzywano często, gdy położne nie mogły sobie poradzić z trudnymi porodami, i w jakiś niesamowity sposób zawsze na długo przed dotarciem posłańca wiedziała, że ktoś potrzebuje jej pomocy. Wyczuwała takie rzeczy, tak samo wyczuła moje nadejście. Mama miała w sobie coś niezwykłego, zdolności, które ktoś taki, jak Kwizytor, wolałby zniszczyć.

– Zdarzyło się coś złego, prawda? – spytała. – I co się stało z twoją ręką?

– To nic takiego, mamó. Zwykle oparzenie. Alice je opatrzyła, już wcale nie boli.

Na wzmiankę o Alice mama uniosła brwi.

– Opowiedz mi o wszystkim, synu.

Skinąłem głową, czując, jak ściska mi się gardło. Dopiero po trzech próbach zdołałem wymówić pierwsze zdanie. Ale kiedy się już udało, słowa popłynęły niczym rwący strumień.

– O mało nie spalili pana Gregory'ego na stosie, mamó. Kwizytor schwycił go w Priestown. Uciekliśmy, ale będą nas ścigać, a stracharz nie jest zdrow. Potrzebuje pomocy, wszyscy potrzebujemy pomocy.

Po policzkach pociekły mi łzy, gdy po raz pierwszy Przyznałem przed samym sobą, co dręczyło mnie najbardziej. Tak naprawdę nie chciałem udać się Wzgórze Wici dlatego, że się bałem. Bałem się, że mnie złapią i ja też umrę na stosie.

– Co u licha robiliście w Priestown? – zdziwiła się mama.

– Umarł brat pana Gregory'ego i tam go pogrzebano. Musieliśmy pójść.

– Nie mówisz mi wszystkiego. Jak zdołaliście uciec Kwizytorowi?

Nie chciałem wspominać o tym, co zrobiła Alice. Bo widzicie, mama próbowała kiedyś pomóc Alice. Wolałem, by nie wiedziała, co się z nią stało i że w końcu przeszła na stronę mroku, zgodnie z obawami stracharza.

Ale nie miałem wyboru i opowiedziałem wszystko. Kiedy skończyłem, mama westchnęła ciężko.

– Jest źle, bardzo źle – rzekła. – Mór na swobodzie nie oznacza niczego dobrego dla Hrabstwa, a młoda wiedźma posłuszna jego woli również. Cóż, lękam się o nas. Ale będziemy musieli jakoś to rozwiązać. To wszystko, co możemy zrobić. Wezmę tylko torbę i zobaczę, czy zdołam pomóc biednemu panu Gregory'emu.

– Dzięki, mamó – nagle uświadomiłem sobie, że rozmawialiśmy wyłącznie o moich kłopotach. – Ale powiedz, co u was słychać? Jak się miewa dziecko Ellie?

Mama uśmiechnęła się, lecz w jej oczach dostrzegłem cień smutku.

– Och, z dzieckiem wszystko dobrze, a Ellie i Jack są szczęśliwsi niż kiedykolwiek. Ale synu – delikatnie dotknęła mojego ramienia – ja także mam dla ciebie złe wieści. Chodzi o twojego tatę. Był bardzo chory.

Wstałem, nie mogąc uwierzyć w to, co słyszę. Wyraz jej twarzy świadczył, że sprawa jest poważna.

– Usiądź, synu – poleciła – i słuchaj uważnie, nim zaczniesz się denerwować. Jest źle, ale mogłoby być znacznie gorzej. Zaczęło się od ciężkiego przeziębienia, weszło mu w pierś i rozwinęło się w zapalenie płuc. O mało go nie straciliśmy. Teraz już zdrowieje, taką przynajmniej mam nadzieję, ale tę zimę będzie musiał spędzić w ciepłe. Obawiam się, że nie da rady dłużej pracować na farmie. Jack będzie musiał radzić sobie bez niego.

– Ja mógłbym pomóc, mamo.

– Nie, synu, masz swoją własną pracę. Teraz, gdy Mór jest wolny, a twój mistrz stracił siły, Hrabstwo potrzebuje cię bardziej niż kiedykolwiek. Posłuchaj, zajrzę na górę i uprzedzę twojego ojca, że tu jesteś. Nie wspomnę nic o kłopotach, w jakie się wplątaliście. Nie chcemy go niepokoić złymi wieściami. Zatrzymamy to dla siebie.

Zaczekałem w kuchni. Parę minut później mama wróciła na dół z torbą w dłoni.

– Teraz idź, zobacz się z tatą, a ja pójde pomóc twojemu mistrzowi. Ojciec ucieszył się, że wróciłeś, ale nie siedź u niego zbyt długo. Wciąż jest bardzo słaby

\*

Tato siedział na łóżku, wsparty plecami o stos poduszek. Kiedy stanąłem w drzwiach, uśmiechnął się słabo. Twarz miał zmęczoną i wychudzoną, brodę pokrywała siwa szczecina. Wydawał się bardzo stary.

– Cóż za cudowna niespodzianka. Usiądź, Tom – skinieniem głowy wskazał mi stojące przy łóżku krzesło.

– Przepraszam – odparłem. – Gdybym wiedział, że chorujesz, zajrzałbym tu wcześniej.

Tato uniósł dłoń, jakby chciał powiedzieć, że to nie ma znaczenia. A potem rozkasłał się gwałtownie. Podobno zaczynał już zdrowieć – wolałbym go nie słyszeć, kiedy był naprawdę chory. W pokoju pachniało chorobą, czymś, czego nigdy nie czuje się na dworze, czymś, co zalega wyłącznie w izbach chorych.

– Jak tam twoja praca? – spytał, gdy w końcu przestał się krztusić.

– Nieźle. Powoli do niej przywykam i wolę od roboty na farmie – odparłem, odpychając od siebie myśli o ostatnich wydarzeniach.

– Uważasz, że praca na farmie jest dla ciebie za nudna? – tato uśmiechnął się lekko. – Pamiętaj, że ja także nie zawsze byłem farmerem.

Przytaknąłem. W młodości tato był marynarzem, często opowiadał nam o miejscach, które odwiedził. Były to porywające historie, barwne i ekscytujące. Gdy wspominał tamte czasy, w jego oczach zawsze pojawiał się dziwny, odległy wyraz. Chciałem znów dostrzec w nich ową iskrę życia.

– Właśnie, tato, opowiedz mi jedną ze swoich historii. Tę o olbrzymim wielorybie.

Przez moment milczał, po czym złapał mnie za rękę i przyciągnął bliżej.

– Myślę, że jest jedna historia, którą muszę ci opowiedzieć, synu. Nim będzie za późno.

– Nie gadaj głupstw – mruknąłem, wstrząśnięty obrotem, jaki przybrała nasza rozmowa.

– Nie, Tom. Mam nadzieję zobaczyć jeszcze kolejną wiosnę i lato, ale wątpię, by zostało mi wiele czasu. Ostatnio dużo rozmyślałem i uznałem, że czas już powiedzieć ci to, co wiem. Nie spodziewałem się zobaczyć cię tak szybko, ale skoro już tu jesteś i nie wiem kiedy znów cię zobaczę... – na moment zawiesił głos – Chodzi o twoją matkę. O to, jak się poznaliśmy i dalej.

– Obejrzyj jeszcze wiele wiosen, tato – zaprotestowałem, lecz

jego słowa mnie zaskoczyły. Choć bowiem tato opowiadał nam wiele cudownych historii, jednego tematu nie poruszał. Nigdy nie mówił, jak poznał mamę. Widzieliśmy wyraźnie, że woli o tym nie mówić. Gdy go pytaliśmy, zmieniał temat albo kazał nam iść i ją spytać. Lecz my nigdy tego nie zrobiliśmy. Kiedy jest się dzieckiem, istnieją rzeczy, których nie rozumiemy, ale nigdy o nie nie pytamy, bo wiemy, że tato i mama nie chcą o nich mówić. Dziś jednak było inaczej.

Tato ze znużeniem pokręcił głową, po czym pochylił ją nisko, jakby czuł na ramionach wielki ciężar. Gdy znów się wyprostował, na jego wargi powrócił słaby uśmiech.

– Wiedz jednak, że nie jestem pewien, czy mi za to podziękuje, toteż niech to zostanie między nami. Twoim braciom nie opowiem tej historii i ciebie, synu, poproszę o to samo. Uważam jednak, że biorąc pod uwagę twój fach i to, że jesteś siódmym synem siódmego syna, cóż.

Znów urwał i zamknął oczy. Przyglądając mu się, z nagłym smutkiem odkryłem, jak staro i słabo wygląda. Uniósł powieki i zaczął mówić cicho:

– Wpłynęliśmy do niewielkiej przystani, uzupełnić zapasy wody – zaczął bez żadnych wstępów, jakby postanowił załatwić to szybko, zanim zmieni zdanie. – Było to samotne miejsce u stóp wysokich, skalistych wzgórz – ot, dom zarządcy i kilka mniejszych domków rybackich z białego kamienia. Od wielu tygodni nie zawijaliśmy do portu i kapitan, porządny człek, uznał, że zasłużyliśmy sobie na przepustkę. Pozwolił nam zatem zejść na ląd, najpierw jednej połowie załogi, potem drugiej. Ja byłem w tej drugiej. Zmrok zapadł dawno.

Było nas koło tuzina i gdy w końcu dotarliśmy do najbliższej tawerny, stojącej na skraju wioski, niemal w połowie górskiego zbocza, karczmarz właśnie zamykał. Wypiliśmy zatem szybko, wlewając sobie w gardła mocne trunki, jakby świat miał się skończyć, a potem kupiliśmy po dzbanku czerwonego wina, by popijać w powrotnej drodze na statek.



Musiałem wypić za dużo, bo obudziłem się sam, leżąc obok owczej ścieżki wiodącej do portu. Zbliżał się wschód słońca. Nie zmartwiłem się, bo kotwicę mieliśmy podnieść dopiero w południe. Dźwignąłem się z ziemi i otrzepałem. I wtedy usłyszałem dobiegający z daleka płacz.

Niemal minutę wyteżałem słuch, aż w końcu podjąłem decyzję. Brzmiało to jak płacz kobiety, ale skąd mogłem mieć pewność? Ludzie opowiadają różne rzeczy o stworach, zwodzących podróżnych na manowce. Byłem sam i przyznam, że nieźle się bałem. Gdybym jednak nie poszedł sprawdzić, kto płacze, nigdy nie poznałbym twojej mamy i dziś by cię tu nie było.

Wspiąłem się na strome wzgórze przy ścieżce i szybko zszedłem po przeciwnym zboczu, aż na skraj urwiska. Było wysokie, w dole na skałach rozbijały się fale. Widziałem statek kotwiczący w zatoczce – wydawał się tak mały, że z łatwością zmieściłbym go na dłoni.

Z urwiska sterczała wąska skała, podobna do szczurzego zęba. Obok niej siedziała młoda kobieta, zwrócona twarzą do morza. Przywiązano ją do skały łańcuchem. Co więcej, była nagusienka, jak w dniu, gdy przyszła na świat.

Tato zarumienił się tak mocno, że jego twarz przydała niemal barwę hrabiowskiej czerwieni.

– Zaczęła coś mówić, tłumaczyć mi, opowiadać o czymś, czego się bała. Czymś znacznie gorszym niż przywiązanie do tej skały. Mówiła jednak w swoim własnym języku, a ja nie rozumiałem z niego ani słowa – wciąż zresztą nie rozumiem, ale ciebie go nauczyła. I wiesz, że tylko z tobą zadała sobie tyle trudu? Dobra z niej matka, ale żaden z twoich braci nie słyszał nawet słowa po grecku.

Przytaknąłem. Część z braci nie była z tego zadowolona, zwłaszcza Jack. I czasem boleśnie dawali mi to odczuć.

– Nie, nie potrafiła wyjaśnić słowami, o co chodzi, ale wyraźnie przerażała ją coś nad morzem. Nie miałem pojęcia, co to może być, wtedy jednak zza horyzontu wyłonił się skrawek słońca, a ona

krzyknęła.

Patrzyłem na nią i nie wierzyłem własnym oczom: na jej skórze pojawiły się małe pęcherzyki i po niecałej minucie pokryły ją rany. To słońca się bała. Jak pewnie zauważyłeś, po dziś dzień nie wychodzi na słońce nawet u nas, w Hrabstwie. Lecz w tamtym kraju słońce było znacznie gorętsze i bez pomocy – umarłaby.

Urwał, chwytając oddech, a ja pomyślałem o mamie. Zawsze wiedziałem, że unika słońca, ale traktowałem to jako coś oczywistego i naturalnego.

– Co miałem robić? – podjął opowieść tato. – Musiałem myśleć szybko. Zdjąłem zatem koszulę i okryłem ją. Nie była dość duża, nie miałem więc wyjścia i musiałem dołożyć też spodnie. A potem przykucnąłem obok, zwrócony plecami do słońca, tak by padł na nią mój cień, chroniąc ją przed ostrym światłem.

Siedziałem tak bardzo długo. Południe minęło i słońce w końcu zniknęło za wzgórzem. Do tego czasu mój statek odpłynął beze mnie, a plecy miałem czerwone i poparzone. Lecz twoja mama żyła, a jej pęcherze zaczęły już znikać. Zacząłem siłować się z łańcuchem. Ktokolwiek go zawiązał, wiedział o węzłach więcej ode mnie, a przecież byłem marynarzem. Dopiero gdy w końcu zdołałem go z niej zdjąć, zauważyłem coś tak okrutnego, że nie potrafiłem w to uwierzyć. Twoja mama to przecież dobra kobieta – jak ktoś mógł zrobić coś takiego, i to młodej dziewczynie?

Tato umilkł. Zerknął na własne ręce i przekonałem się, że drżą na wspomnienie tego, co widział. Czekałem niemal minutę, po czym odezwałem się cicho.

– Co to było, tato? Co jej zrobili?

Kiedy uniósł głowę, oczy miał pełne łez.

– Przybili jej lewą dłoń do skały – rzekł. – Grubym gwoździem o szerokiej główce. Nie miałem pojęcia, jak zdołam ją uwolnić, nie raniąc jeszcze bardziej. Ale ona tylko się uśmiechnęła i oderwała rękę, pozostawiając gwóźdź w kamieniu. Na ziemię u jej stóp kapłała krew, ona jednak wstała i podeszła do mnie, jak gdyby nigdy nic.

Cofnąłem się o krok i o mało nie spadłem z urwiska. Lecz wtedy położyła mi prawą dłoń na ramieniu i pocałowaliśmy się. Pamiętaj, byłem marynarzem, co rok odwiedzałem dziesiątki portów i wcześniej nieraz całowałem kobiety. Zazwyczaj jednak działo się to, gdy wlałem w siebie co najmniej bukłak piwa i byłem odrętwiały, niemal nieprzytomny. Nigdy nie całowałem kobiety na trzeźwo i z całą pewnością nie w świetle dnia. Nie potrafię tego wyjaśnić, ale natychmiast zrozumiałem, że to ona jest tą jedyną. Kobietą, z którą spędzę resztę życia.

Rozkaszał się; tym razem atak trwał bardzo długo. Kiedy skończył, zabrakło mu tchu. Minęło kolejnych kilka minut, nim znów się odezwał. Powinienem być pozwolić mu odpocząć, ale wiedziałem, że mogę nie mieć kolejnej okazji. Myśli wirowały mi w głowie. Niektóre fragmenty opowieści taty przypominały mi o tym, co stracharz napisał o Meg. Ją także związano łańcuchem. Po uwolnieniu pocałowała strycharza, tak jak mama tatę. Zastanawiałem się, czy łańcuch zrobiono ze srebra, ale nie mogłem spytać. Jakaś część mnie wolała nie znać odpowiedzi. Zresztą gdyby tato chciałby mi o tym powiedzieć, zrobiłby to.

– Co się stało dalej, tato? Jak wróciłeś do domu?

– Twoja matka miała pieniądze, synu. Mieszkała sama w wielkim domu z ogrodem, otoczonym wysokim murem, niecałą milę od miejsca, w którym ją znalazłem. Wróciliśmy tam i zostałem z nią. Ręka zagoiła się szybko, nie pozostała nawet najmniejsza blizna. A ja nauczyłem ją naszego języka. Czy też, uczciwie mówiąc, to ona nauczyła mnie, jak ją nauczyć. Wskazywałem przedmioty i głośno wymawiałem ich nazwy. Gdy je powtarzała, kiwałem głową na znak, że zrobiła to jak należy. Jeden raz wystarczył. Twoja mama jest bystra, synu. Bardzo bystra. To mądra kobieta, nigdy niczego nie zapomina.

Tak czy inaczej, mieszkałem w tym domu wiele tygodni i byłem bardzo szczęśliwy, no, może prócz wieczorów, gdy odwiedzały ją siostry. Było ich dwie, wysokie kobiety o srogich twarzach. Rozpalały ognisko za domem i siedziały przy nim do świtu,

rozmawiając twoją mamą. Czasami tańczyły we trzy wokół ognia, czasami grały w kości. Lecz za każdym razem dochodziło do kłótni, które stopniowo stawały się coraz gorsze.

Wiedziałem, że chodzi im o mnie, bo jej siostry zerkały na mnie przez okno, w ich oczach widziałem złość, a twoja mama odprawiała mnie gestem do pokoju. Nie, zdecydowanie mnie nie lubiły. To chyba był główny powód, dla którego porzuciliśmy dom i wróciliśmy do Hrabstwa.

Opuszczałem ojczyste strony jako zwykły majtek, najemny marynarz. Wróciłem jak prawdziwy dżentelmen. Twoja mama zapłaciła kapitanowi, mieliśmy nawet własną kabinę. Potem kupiła tę farmę i wzięliśmy ślub w małym kościółku w Mellor, gdzie leżą pogrzebani moi rodzice. Twoja matka nie wierzy w to co my, ale zrobiła to dla mnie, żeby sąsiedzi nie gadali. Przed końcem roku urodził się twój brat Jack. Miałem dobre życie, synu. A najlepsza jego część zaczęła się w dniu, gdy spotkałem twoją mamę. Ale mówię ci to, bo chcę, żebyś coś zrozumiał. Pojmujesz chyba, że w dniu gdy odejdę, twoja mama wróci do domu, tam gdzie jej miejsce?

Ze zdumienia opadła mi szczeka.

– A co z jej rodziną? – spytałem. – Z pewnością nie zostawiłaby wnuków.

Tato ze smutkiem pokręcił głową.

– Nie wydaje mi się, żeby miała wybór, synu. Kiedyś powiedziała mi, że w domu pozostawiła, jak to nazwała, niedokończone sprawy. Nie wiem, o co chodzi a ona nigdy nie wyjaśniła, dlaczego przywiązano ją do skały i zostawiono, by umarła. Ma swój własny świat i własne życie i gdy nadejdzie czas, wróci do niego. Nie utrudniaj jej. Spójrz na mnie, chłopcze. Co widzisz?

Nie wiedziałem, co rzec.

– Widzisz przed sobą starego człowieka, któremu niewiele już życia zostało. Za każdym razem, gdy przeglądam się w lustrze, dostrzegam prawdę. Nie próbuj mi wmawiać, że się mylę. Co do

twojej mamy, wciąż jest pełna życia. Może nie jest już dziewczyną, którą kiedyś była, lecz przed nią wiele długich lat. Gdyby nie to, co zrobiłem tamtego dnia, nawet by na mnie nie spojrzała. Zasługuje na swą wolność i pozwól jej odejść z uśmiechem. Zrobisz to, synu?

Przytaknąłem i zostałem przy nim do czasu, aż się uspokoił i zasnął.

## ROZDZIAŁ 15

### SREBRNY ŁAŃCUCH

Kiedy zszedłem na dół, mama zdążyła już wrócić. Chciałem spytać, jak się czuje stracharz i co z nim zrobiła, nie zdążyłem jednak. Przez kuchenne okno wypatrzyłem Jacka: siedł przez podwórze z Ellie, trzymającą w ramionach dziecko.

– Zrobiłam dla twojego mistrza, co mogłam, synu – wyszeptała mama tuż przedtem, nim Jack otworzył drzwi. – Porozmawiamy po kolacji.

Na mój widok Jack zastygł w drzwiach, na jego twarzy odbijały się kolejne emocje. W końcu uśmiechnął się, ruszył naprzód i objął mnie ramieniem.

– Dobrze cię widzieć, Tom.

– Wpadłem tu w drodze do Chipenden – wyjaśniłem. – Pomyślałem, że zajrzę i zobaczę, jak się miewacie. Gdybym wiedział, że tato zachorował, zjawiłbym się wcześniej.

– Dochodzi już do siebie – odparł Jack. – To najważniejsze.

– O tak, Tom, czuje się znacznie lepiej – zawtórowała mu Ellie.

– Za parę tygodni będzie zdrów jak ryba.

Smutek na twarzy mamy mówił co innego. Prawda była taka, że tato będzie miał szczęście, jeśli dożyje wiosny. Ona to wiedziała i ja także.

Podczas kolacji wszyscy wydawali się zgaszeni, nawet mama. Nie potrafiłem stwierdzić, czy sprawiła to moja obecność, czy też

choroba taty. Lecz w czasie posiłku Jack nawet na mnie nie patrzył. A gdy już się odezwał, to po to, by rzucić kąśliwą uwagę.

– Wyglądasz blado, Tom. Pewnie przez skradanie się w ciemności. To nie może być zdrowe.

– Nie bądź okrutny, Jack – upomniała go Ellie. – Tom, powiedz lepiej, co myślisz o naszej Mary? Ochrzciliśmy ją miesiąc temu. Nieźle urosła, odkąd widziałeś ją ostatnio, prawda?

Uśmiechnąłem się i przytaknąłem. Zdumiało mnie odkrycie, jak bardzo urosło dziecko. Zamiast małej istotki o czerwonej, pomarszczonej buzi, ujrzałem pulchne, krągłe niemowlę o mocnych rączkach i nóżkach i czujnym wyrazie twarzy. Wyglądała, jakby lada moment miała zsunąć się z kolana Ellie i zacząć raczkować na podłodze w kuchni.

Wcale nie czułem głodu, lecz w chwili, gdy mama nałożyła mi na talerz hojną porcję gulaszu, zacząłem pałaszować.

Gdy tylko skończyliśmy, uśmiechnęła się do Jacka i Ellie.

– Muszę pomówić o czymś z Tomem – oznajmiła. – Może więc pójdziecie na górę i choć raz położycie się wcześniej? I nie przejmuj się naczyniami, Ellie, sama pozmywam.

W misce pozostało jeszcze trochę gulaszu i dostrzegłem, jak Jack zerka na niego i z powrotem na mamę. Ellie jednak wstała i mój brat powoli poszedł w jej ślady. Wiedziałem, że nie jest zachwycony.

– Myślę, że najpierw wezmę psy i przejdę się wzdłuż płotu – oznajmił. – Wczoraj w nocy kręcił się tu lis.

Gdy tylko wyszli z kuchni, wyrzuciłem z siebie dręczące mnie pytanie.

– Co z nim, mamó? Czy pan Gregory wyzdrowieje?

– Zrobiłam, co tylko mogłam – odparła mama. Lecz z ranami głowy nigdy nie wiadomo do końca Czas pokaże. Myślę, że im szybciej doprowadzisz go do Chipenden, tym lepiej. Byłby tu mile widziany, ale muszę szanować życzenia Jacka i Ellie.

Pokiwałem głową i ze smutkiem wbiłem wzrok w stół.

– Masz może ochotę na dokładkę, Tom? – spytała mama.

Nie musiała powtarzać. Z uśmiechem patrzyła, jak zajadam.

– Zjrzę na chwilę na górę, zobaczę co z twoim tatą.

Wkrótce wróciła.

– Wszystko w porządku – oznajmiła. – Właśnie znów zasnął.

Usiadła naprzeciwko i z poważną miną patrzyła, jak jem.

– Widziałam rany na palcach Alice. Czy to stamtąd Mór wyssał jej krew?

Przytaknąłem.

– Ufasz jej teraz, po wszystkim, co się zdarzyło?

Wzruszyłem ramionami.

– Sam nie wiem. Przeszła na stronę mroku, ale bez niej stracharz i mnóstwo innych niewinnych ludzi już by nie żyło.

Mama westchnęła.

– To paskudna sprawa i nie wiem jeszcze, co o tym sądzić. Chciałabym móc pójść z tobą i pomóc ci odprowadzić mistrza do Chipenden, bo nie będzie to łatwa podróż. Ale nie mogę zostawić twojego taty. Bez starannej opieki choroba mogłaby się odnowić. Nie mogę ryzykować.

Wytarłem talerz kawałkiem chleba i odsunąłem krzesło.

– Chyba już pójdę, mamó. Im dłużej tu jestem, tym bardziej was narażam. Nie ma mowy, by Kwizytor zrezygnował z pościgu. A teraz, kiedy Mór jest wolny i pożywił się krwią Alice, nie mogę doprowadzić go tutaj.

– Nie śpiesz się tak – odparła mama. – Najpierw ukroję ci na drogę chleba i szynki.

– Dzięki, mamó.

Zaczęła kroić chleb, a ja obserwowałem ją, żałując, że nie mogę zostać dłużej. Dobrze byłoby móc wrócić do domu, choćby na jedną noc.

– Tom, czy na lekcjach na temat wiedźm pan Gregory wspominał ci o tych posługujących się pobratymcami?

Przytaknąłem. Różne rodzaje wiedźm czerpią swą moc z różnych źródeł. Niektóre używają magii kości, inne magii krwi; niedawno stracharz wspomniał mi o trzecim, jeszcze

niebezpieczniejszym odłamie. Korzystały one z tak zwanej „magii pobratymczej”. Oddawały swą krew jakiejś istocie – to mógł być kot, ropucha czy nawet nietoperz. W zamian stwór ów stawał się ich oczami, uszami i posłusznym narzędziem. Czasami tak bardzo rósł w siłę, że zaczynał całkowicie panować nad wiedźmą, której nie pozostawała nawet cząstka własnej woli.

– Wydaje się, że Alice właśnie to robi. Używa magii pobratymczej. Zawarła pakt z ową istotą i wykorzystuje ją do zdobycia tego, czego pragnie. Ale to niebezpieczna gra, synu. Jeśli nie będzie ostrożna, stanie się własnością Mora i nigdy już nie będziesz jej mógł zaufać, a przynajmniej dopóki Mór żyje.

– Pan Gregory mówił, że robi się coraz silniejszy, mamó. Że wkrótce będzie mógł oblec się w ciało, przybrać pierwotną postać. Widziałem go w katakumbach – przeistoczył się w stracharza i próbował mnie oszukać. Czyli wyraźnie rośnie w siłę.

– Istotnie, lecz ostatnie wydarzenia musiały go osłabić. Bo widzisz, Mór zużył mnóstwo energii, gdy umknął z miejsca, w którym tak długo tkwił uwięziony. Teraz jest oszołomiony i zagubiony, prawdopodobnie znów pozostaje duchem, bo brak mu sił, by przyjąć postać cielesną. Zapewne nie zdoła odzyskać pełni mocy, póki nie wypełni paktu z Alice.

– Czy widzi jej oczami? – spytałem.

Myśl ta przeraziła mnie. Miałem właśnie wyruszyć z Alice w ciemną noc. Pamiętałem ciężar Mora na głowie i ramionach, świadomość, że zaraz mnie sprasuje i że nadeszła moja ostatnia chwila. Może byłoby bezpieczniej poczekać do rana.

– Nie, jeszcze nie, synu. Dała mu swą krew i zwróciła wolność. W zamian przyrzekł trzykrotnie spełnić jej życzenie. Lecz za każdym razem zażąda więcej krwi. Drugi raz nakarmiła go w Wortham i z pewnością ją to osłabiło. Coraz trudniej przychodzi jej się opierać. Jeśli nakarmi go jeszcze raz, będzie mógł oglądać świat jej oczami. Wreszcie, po ostatnim karmieniu Alice będzie należeć do niego, a on odzyska siły, pozwalające mu przybrać prawdziwą postać. Wówczas nikt już nie zdoła jej ocalić – oznajmiła mama.



– Zatem gdziekolwiek jest teraz, będzie szukał Alice?

– Owszem, synu. Ale przez krótki czas, o ile Alice go nie wezwie, szanse, że ją odnajdzie, są bardzo małe, zwłaszcza póki będzie się przemieszczała z miejsca na miejsce. Jeśli pozostanie gdzieś na dłużej, Mór może ją odnaleźć. Z każdą nocą zyska nieco więcej sił, zwłaszcza jeśli natknie się na inną ofiarę. Każda krew może mu pomóc, ludzka czy zwierzęca. Kogoś samotnego w ciemności łatwo przerazić, nagiąć do swej woli. A potem odnajdzie Alice i pozostanie w pobliżu, prócz godzin dziennych, kiedy najpewniej ukryje się pod ziemią. Stwory mroku rzadko zapuszczają się na świat za dnia. Póki jednak Mór pozostaje na swobodzie i zbiera siły, każdy mieszkaniec Hrabstwa winien się bać, gdy zapadnie zmrok.

– Jak to się wszystko zaczęło, mamu? Pan Gregory mówił mi, że król Heys z Małego Ludu musiał złożyć w ofierze Morowi swoich synów i ostatni z nich w jakiś sposób zdołał go uwięzić.

– To smutna i straszna historia – powiedziała mama. – Wolę nie myśleć o tym, co spotkało królewskich synów. Myślę jednak, że powinienes ją poznać, byś lepiej pojął, z czym masz do czynienia. Mór mieszkał pośród długich kurhanów w Heysham, między kośćmi. Najpierw zabrał tam najstarszego syna. Igrał z nim jak z zabawką, czerpiąc z jego umysłu myśli i marzenia, aż w końcu pozostał tylko smutek i najgłębsza rozpacz. To samo działo się z następnymi synami. Pomyśl, co musiał czuć ich ojciec! Był królem, a jednak nie mógł im pomóc.

Mama westchnęła ze smutkiem.

– Żaden z synów Heysa nie wytrzymał podobnych męczarni dłużej niż miesiąc. Trzech rzuciło się z pobliskiego urwiska i roztrzaskało na skałach w dole. Dwóch odmówiło jedzenia i zagłodziło się na śmierć. Szósty wypłynął daleko w morze, aż w końcu zabrakło mu sił i utonął – wiosenne przypływy wyrzuciły ciało na brzeg. Cała szóstka leży pogrzebana w grobowcach wyciętych w żywej skale. Pobliski grób kryje ciało ich ojca, który zmarł wkrótce po sześciu synach, bo pękło mu serce. Przeżył go

jedynie Naze, ostatni z dzieci, siódmy syn.

Król także był siódmym synem, toteż Naze przypominał ciebie i również miał dar. Był drobny nawet wedle miary jego ludu, a w jego żyłach płynęła stara krew. W jakiś sposób zdołał uwięzić Mora, nikt jednak nie wie jak, nawet twój mistrz. Potem stwór zabił Naze'a na miejscu, sprasowując go na kamieniach. W wiele lat później, ponieważ jego kości przypominały Morowi o tym, jak został oszukany, połamał je na kawałeczki i wyrzucił poza Srebrną Bramę. Dzięki temu lud Naze'a mógł w końcu urządzić mu prawdziwe pogrzeb. Jego szczątki spoczywają wraz z pozostałymi w kamiennych grobowcach w Heysham, nazwanym imieniem pradawnego króla.

Przez kilka chwil oboje milczeliśmy. Istotnie była to straszna historia.

– W takim razie jak mamy go powstrzymać? Znowu przecież jest wolny – spytałem, przełamując ciszę. – Jak można go zabić?

– Zostaw to panu Gregory'emu, Tom. Po prostu pomóż mu wrócić do Chipenden i odzyskać siły. Sam wymyśli, co dalej zrobić. Najłatwiej byłoby znowu uwięzić Mora, lecz nawet z zamknięcia nadal mógłby czynić zło, tak jak to robił w ostatnich latach. Jeśli już wcześniej w katakumbach zdołał przybrać cielesną postać, znowu to uczyni i wkrótce, gdy jego moc wzrośnie, odzyska naturalne kształty, a jego niszczyielski wpływ ogarnie ludzi w całym Hrabstwie. Choć zatem bylibyśmy bezpieczniejsi, nie jest to ostateczne rozwiązanie. Twój mistrz musi się dowiedzieć, jak go zabić. Dla dobra nas wszystkich.

– A jeśli nie wyzdrowieje?

– Miejmy nadzieję, że odzyska siły. Ma bowiem wiele do zrobienia, dla ciebie byłoby to za duże brzemię. Bo widzisz, synu, gdziekolwiek pójdzie Alice, Mór wykorzysta ją, by krzywdzić innych. Zatem twój mistrz może nie mieć wyboru, będzie musiał uwięzić ją w dole.

Mama wyglądała, jakby dręczyła ją ta myśl. Nagle umilkła, przyciskając dłoń do czoła i zamykając oczy. Wyglądała, jakby

bardzo rozbolała ją głowa.

– Dobrze się czujesz, mamó? – spytałem niespokojnie.

Przytaknęła i uśmiechnęła się słabo.

– Posłuchaj, synu. Posiedź tu chwilkę. Muszę napisać pewien list i chcę, żebyś go zabrał.

– List? Do kogo?

– Porozmawiamy, kiedy skończę.

Usiadłem na krześle przy ogniu, wpatrując się w żar. Mama tymczasem pochyliła się nad stołem. Zastanawiałem się, co pisze. Kiedy skończyła, usiadła w fotelu na biegunach i wręczyła mi kopertę. Była zapieczętowana, widniały na niej następujące słowa:

Do mego najmłodszego syna, Thomasa J. Warda.

Zdziwiłem się. Sądziłem, że to pewnie list do stracharza, do odczytania, gdy poczuje się lepiej.

– Po co do mnie piszesz, mamó? Dlaczego po prostu nie powiesz mi tego, co masz do powiedzenia?

– Bo wszystko, co robimy, odmienia świat, synu – mama położyła mi lekko dłoń na lewym przedramieniu. – Widzenie przyszłości to niebezpieczna sprawa a przekazywanie innym tego, co się widziało, jest podwójnie niebezpieczne. Twój mistrz musi podążać własną ścieżką, musi znaleźć swoją drogę. Każde z nas obdarzono wolną wolą, czeka nas jednak mrok i muszę uczynić wszystko, co w mej mocy, by nie dopuścić do najgorszego. Otwórz ten list jedynie w godzinie największej próby, gdy przyszłość wyda ci się beznadziejna. Zaufaj swojemu instynktowi, będziesz wiedział, kiedy nadejdzie ta chwila – choć modłę się aby, dla dobra nas wszystkich, nie nastąpiła nigdy. Do tej pory przechowuj go w bezpiecznym miejscu.

Posłusznie ukryłem kopertę za pazuchą.

– A teraz chodź za mną – poleciła mama. – Mam dla ciebie coś jeszcze.

Z tonu jej głosu i dziwnego zachowania odgadłem, dokąd zmierzamy. I miałem rację. Trzymając w dłoni mosiężny lichtarz, poprowadziła mnie na górę do prywatnego składziku, zamkniętego

pokoju tuż pod strychem. Ostatnio nikt go nie odwiedzał prócz mamy, nawet tato. W dzieciństwie byłem tam parę razy, choć praktycznie niczego już nie pamiętam.

Wyjąwszy z kieszeni klucz, mama otworzyła drzwi. Ruszyłem za nią do środka. Pokój wypełniały pudła i skrzynie. Choć wiedziałem, że odwiedza go raz w miesiącu, nie miałem pojęcia, co tam robi.

Mama przekroczyła próg i zatrzymała się przed wielką skrzynią, stojącą najbliżej okna. Wbiła we mnie wzrok i po chwili poczułem niepokój. Była moją mamą i ją kochałem, ale z całą pewnością nie chciałem być jej wrogiem.

– Od prawie sześciu miesięcy pobierasz nauki u pana Gregory'ego, miałeś zatem dość czasu, by sam się przekonać, jak się rzeczy mają – oznajmiła. – Mrok także już cię dostrzegł i zacznie na ciebie polować. Grozi ci niebezpieczeństwo, synu i przez jakiś czas niebezpieczeństwo to będzie rosło. Ale zapamiętaj jedno, ty także rośniesz i to szybko. Z każdym oddechem, z każdym uderzeniem serca stajesz się silniejszy, odważniejszy, lepszy. John Gregory od lat zmaga się z mrokiem, przecierając ci drogę. Bo widzisz, synu, kiedy staniesz się mężczyzną, to mrok będzie się bał, bo wówczas ze zwierzyny zmienisz się w myśliwego. Dlatego właśnie dałam ci życie.

Uśmiechnęła się do mnie po raz pierwszy od wejścia do pokoju, był to jednak uśmiech przepełniony smutkiem. Uniosła wieko skrzyni i świecę, demonstrując, co kryje się w środku.

W blasku świecy rozbrłysł jasno długi, srebrny łańcuch o drobnych ogniwach.

– Podnieś go – poleciła mama. – Ja nie mogę go dotknąć.

Słyszając jej słowa zadrzałem, bo coś mi mówiło, że to ten sam łańcuch, którym przywiązano mamę do skały. Tato nie wspomniał, że był srebrny – istotne przeoczenie, biorąc pod uwagę fakt, iż srebrnymi łańcuchami krępuje się czarownice. To bardzo ważne narzędzie dla stracharza. Czyżby oznaczało to, że mama była wiedźmą? Może lamią, jak Meg? Srebrny łańcuch, to, jak

pocałowała mojego tatę, wszystko brzmiało bardzo znajomo.

Uniosłem łańcuch i zważyłem w dłoniach. Był lekki i mocny, lepszej roboty niż ten stracharza, ze stopu zawierającego znacznie więcej srebra.

– Wiem, że tato opowiedział ci o tym, jak się poznaliśmy – powiedziała mama, jakby czytała w moich myślach. – Ale zawsze pamiętaj o jednym, mój synu: nikt z nas nie jest całkiem dobry ani całkiem zły. Każdy mieści się gdzieś pomiędzy, ale w naszym życiu wcześniej czy później zawsze nadchodzi taka chwila, gdy musimy postawić ważny krok, albo w stronę światła, albo też mroku. Czasami to decyzja, którą podejmujemy sami, czasem sprawia to ktoś wyjątkowy, kogo spotykamy. Dzięki temu, co zrobił twój ojciec, skierowałam się we właściwą stronę i dlatego jestem tu dzisiaj. Ten łańcuch należy teraz do ciebie. Schowaj go zatem i przechowuj w bezpiecznym miejscu, aż do chwili, gdy będziesz go potrzebował.

Nawinałem łańcuch na dłoń i schowałem do wewnętrznej kieszeni, obok listu. Patrzyłem, jak mama zamyka skrzynię. Potem ruszyłem za nią na korytarz i zaczekałem, aż przekręci klucz w zamku.

Na dole zabrałem paczkę z kanapkami, szykując się do drogi.

– Zanim pójdziesz, daj, obejrzę twoją rękę.

Wyciągnąłem ją. Mama ostrożnie rozwiązała nici i zsunęła liście. Oparzenie zaczynało się już goić.

– Ta dziewczyna wie, co robi – mruknęła. – Muszę jej to przyznać. Nie zawijaj teraz ręki, za parę dni zagoi się bez śladu.

Mama uścisnęła mnie. Podziękowawszy raz jeszcze, otworzyłem tylne drzwi i wyszedłem w noc. Byłem w połowie pola, kierując się w stronę płotu, gdy usłyszałem szczeknięcie psa i dostrzegłem postać zmierzającą ku mnie w ciemności.

To był Jack. Gdy się zbliżył, w świetle gwiazd odkryłem, że jego twarz wykrzywia grymas gniewu.

– Myślisz, że jestem głupi?! – krzyknął. – Tak? Wystarczyło pięć minut, żeby psy ich znalazły.

Spojrzałem na psy, oba kulily się za nogami Jacka. To były silne, wiejskie kundle, nie tchórzliwe psiaki. Znały mnie i spodziewałem się jakiegoś powitania. Coś bardzo je wystraszyło.

– Patrz sobie, patrz – rzucił Jack. – Ta dziewczyna syknęła, splunęła na nie, a one uciekły, jakby sam diabeł ciągnął je za ogony. Kiedy kazałem jej się wynosić, miała czelność powiedzieć, że jest na cudzej ziemi i nie mam tu nic do gadania.

– Pan Gregory jest chory, Jack. Nie miałem wyboru, musiałem poprosić mamę o pomoc. Zostawiłem go i Alice poza granicą farmy. Wiem, co o tym myślisz, toteż starałem się postąpić jak należy.

– Tak, jasne. Jestem dorosłym mężczyzną, lecz mama kazała mi iść do łóżka jak małemu chłopcu. Jak myślisz, co wtedy poczułem? I to przy mojej własnej żonie. Czasami zastanawiam się, czy farma kiedykolwiek naprawdę będzie moja.

Do tej pory mnie także ogarnęła złość. Miałem ochotę mu powiedzieć, że owszem, będzie, i to znacznie szybciej niż sądzi. Kiedy tato umrze, a mama wróci do swojej ojczyzny, wszystko przypadnie jemu. Ale zagryzłem wargę i milczałem.

– Przykro mi, Jack, muszę już iść – powiedziałem w końcu, ruszając w stronę chaty, gdzie zostawiłem Alice i stracharza. Po paru krokach obejrzałem się, lecz Jack odwrócił się już do mnie plecami i maszerował do domu.

\*

Bez słowa ruszyliśmy w drogę. Miałem dużo do przemyślenia i Alice chyba o tym wiedziała. Stracharz patrzył w dal, ale szedł jakby łatwiej i wkrótce przestał się na nas wspierać.

Jakąś godzinę przed wschodem słońca pierwszy przerwałem ciszę.

– Jesteś głodna? – spytałem. – Mama zrobiła nam śniadanie.

Alice przytaknęła. Usiedliśmy na trawie, zabierając się do jedzenia. Podsunąłem kanapkę stracharzowi, ale on odepchnął szorstko moją rękę. Po kilku chwilach odszedł parę kroków dalej i usiadł na przełazie, jakby nie chciał mieć z nami nic wspólnego. Albo przynajmniej z Alice.

– Sprawia wrażenie silniejszego. Co zrobiła mama? – spytałem.

– Obmyła mu czoło i długą chwilę zaglądała w oczy. Potem podała mu do picia jakąś miksturę. Trzymałam się z boku, nawet nie spojrzała w moją stronę.

– To dlatego, że wie, co zrobiłaś. Musiałem jej powiedzieć. Nie potrafię okłamywać mamy.

– Zrobiłam to, co uznałam za najlepsze. Przynajmniej mu odpłaciłam i uratowałam tych wszystkich ludzi. Zrobiłam to też dla ciebie, Tom. Żebyś mógł odzyskać starego Gregory'ego i dalej się uczyć. Bo tego przecież pragniesz. Czy nie postąpiłam słusznie?

Nie odpowiedziałem. Alice powstrzymała Kwizytora przed spaleniem niewinnych ludzi. Uratowała ich życie, także życie stracharza. Trudno to nazwać czymś złym. Nie, nie chodziło o to co zrobiła, ale jak. Chciałem jej pomóc, lecz nie wiedziałem, w jaki sposób.

Teraz Alice należała już do mroku i kiedy stracharz odzyska siły, z pewnością uwięzi ją w dole. Wiedziała o tym. Ja także.

## **ROZDZIAŁ 16**

### **DÓŁ DLA ALICE**

W końcu, gdy słońce znów zaczęło chylić się ku zachodowi, przed nami wyrosły wzgórza i wkrótce wspinaliśmy się już między drzewami w stronę domu stracharza, ścieżką omijającą wioskę Chipenden.

Zatrzymałem się nieopodal bramy. Stracharz szedł jakieś dwadzieścia kroków za mną. Wpatrywał się w dom, jakby widział go pierwszy raz w życiu.

Odwróciłem się do Alice.

– Lepiej już idź.

Alice przytaknęła. Musieliśmy pamiętać o oswojonym boginie stracharza, strzegącym domu i całego dobytku. Jeden krok za

bramę, a Alice znajdzie się w wielkim niebezpieczeństwie.

– Gdzie się zatrzymasz? – spytałem.

– Nie martw się o mnie i nie myśl sobie, że już należę do Mora. Nie jestem głupia. Muszę go wezwać jeszcze dwa razy, nim to się stanie, prawda? Na razie nie jest zbyt zimno. Parę dni pokręcę się w pobliżu. Może zamieszkać w starym domu Lizzie. A potem zapewne pójdę na wschód, do Pendle. Gdzie indziej mogłabym się podziąć?

Alice wciąż miała rodzinę w Pendle, ale były to wyłącznie wiedźmy. Choć twierdziła inaczej, należała już do mroku, tam właśnie poczuje się najlepiej.

Nie mówiąc nic więcej, odwróciła się i odeszła w ciemność. Patrzyłem za nią ze smutkiem, aż w końcu zniknęła mi z oczu. Potem odwróciłem się i pchnąłem bramę.

Otworzyłem frontowe drzwi, stracharz wszedł za mną do środka. Poprowadziłem go do kuchni, gdzie na palenisku płonął ogień, a na stole czekały dwa talerze. Bogin wyraźnie się nas spodziewał. Kolacja była lekka: dwie miski zupy groszkowej i grube pajdy chleba. Po długim marszu byłem głodny, toteż spałaszowałem wszystko do czysta.

Przez długą chwilę stracharz siedział bez ruchu, wpatrując się w miskę parującej, gorącej zupy. Potem sięgnął po kromkę i zanurzył ją w talerzu.

– Ciężko było, chłopcze – rzekł. – I dobrze jest wrócić do domu.

Tak bardzo zaskoczył mnie dźwięk jego głosu, że o mało nie spadłem z krzesła.

– Czujesz się lepiej? – spytałem.

– O tak, chłopcze, znacznie lepiej. Wyśpię się jeszcze porządnie i będę zdrów jak ryba. Twoja mama to dobra kobieta, nikt w całym Hrabstwie nie zna się lepiej na miksturach.

– Nie sądziłem, że będziesz cokolwiek pamiętać – przyznałem. – Wydawałeś się odległy, zupełnie jakbyś śnił na jawie.

– Tak to właśnie wyglądało, chłopcze. Wszystko widziałem i słyszałem, ale nie wydawało mi się rzeczywiste. Zupełnie jakbym



znalazł się w sennym koszmarze. Nie mogłem mówić, nie potrafiłem znaleźć słów. Dopiero gdy stanąłem przed bramą i spojrzałem na dom, odnalazłem siebie. Czy nadal masz klucz do Srebrnej Bramy?

Zaskoczony sięgnąłem do lewej kieszeni portek i wyciągnąłem klucz. Podałem go stracharzowi.

– Wiele spowodował kłopotów – rzekł, obracając go w dłoni. – Ale ogólnie rzecz biorąc, dobrze się spisałeś

Uśmiechnąłem się i po raz pierwszy od wielu dni poczułem się szczęśliwy. Kiedy jednak mój mistrz znów przemówił, jego głos zabrzmiał szorstko.

– Gdzie jest dziewczyna? – warknął.

– Pewnie niedaleko – przyznałem.

– Zajmiemy się nią później.

Przez całą kolację rozmyślałem o Alice. Co będzie jadła? W sumie potrafiła całkiem dobrze łapać króliki, więc nie umrze z głodu. Przynajmniej jedno z głowy. Lecz wiosną, po tym jak Koścista Lizzie porwała dziecko, mężczyźni z wioski spalili jej dom i ruina nie będzie raczej dobrym schronieniem, zwłaszcza w jesienną noc. Choć sama Alice mówiła, że nie nadeszły jeszcze chłody. Nie, zdecydowanie najbardziej zagrażał jej stracharz.

\*

Jak się okazało, była to ostatnia ciepła noc roku. Następnego ranka w powietrzu czuło się wyraźny chłód. Usiedliśmy ze stracharzem na ławce, patrząc w stronę wzgórz. Zerwał się wiatr, z drzew spadały liście. Lato dobiegło końca.

Wyciągnąłem już notatnik, ale stracharzowi nie śpieszyło się z rozpoczęciem lekcji. Nie doszedł jeszcze do siebie po spotkaniu z Kwizytorem. Podczas śniadania prawie się nie odzywał, przez większość czasu patrzył w przestrzeń, pogrążony w myślach.

W końcu to ja odezwałem się pierwszy.

– Czego chce teraz Mór, skoro odzyskał wolność? Co robi z Hrabstwem?

– Łatwo na to odpowiedzieć – rzekł stracharz. – Przede

wszystkim chce stać się większy i potężniejszy. Wówczas będzie mógł siać prawdziwą grozę, rzuci zły cień na całe Hrabstwo i żadna żywa istota nie zdoła się przed nim ukryć. Będzie spijał krew i czytał w myślach, póki nie odzyska pełni mocy. Za dnia, gdy sam ukryje się w mroku pod ziemią, będzie patrzył na świat oczami ludzi. Wcześniej opanował tylko księży z katedry, rozszerzając swe wpływy na całe Priestown. Teraz nikt w całym Hrabstwie nie będzie bezpieczny. Jako następne zapewne ucierpi Caster. Najpierw jednak Mór może wybrać jedną z wiosek i sprasować wszystkich na śmierć. To będzie ostrzeżenie, pokazujące, do czego jest zdolny! Właśnie w ten sposób panował nad Heysem i królami, którzy rządzą przed nim. Nieposłuszeństwo oznaczało śmierć wielu ludzi.

– Mama mi mówiła, że będzie szukał Alice – powiedziałem nieszczęśliwym tonem.

– Zgadza się, chłopcze! Twojej niemądrej przyjaciółki Alice. Potrzebuje jej, żeby odzyskać siły. Dwakroć oddała mu krew i póki pozostaje wolna, grozi jej że znajdzie się całkowicie w jego mocy. Jeśli nic go nie powstrzyma, Alice stanie się częścią Mora i na zawsze utraci własną wolę. Będzie nią kierował, posługiwał się nią równie łatwo, jak ja zginam mały palec. Mór o tym wie i uczyni wszystko, byle tylko znów pożywić się jej krwią. Będzie jej szukał.

– Ale ona jest silna – zaprotestowałem. – A poza tym zdawało mi się, że Mór boi się kobiet. Oboje spotkaliśmy go w katakumbach, kiedy próbowałem cię uratować. Przybrał twoją postać, żeby mnie oszukać.

– A zatem pogłoski są prawdziwe. Nauczył się już przybierać fizyczną postać.

– Tak, ale kiedy Alice na niego splunęła, uciekł. Może po prostu znów to zrobi?

– Owszem, Morowi trudniej jest zapanować nad kobietą niż nad mężczyzną. Kobiety go niepokoją, bo to kapryśne, często nieprzewidywalne istoty. Kiedy jednak raz napije się krwi niewiasty, wszystko się zmienia. Teraz będzie ścigał Alice i nie da

jej spokoju, przeniknie do jej snów i pokaże rzeczy, które mogłaby mieć – co tylko zechce, wystarczy poprosić – aż w końcu Alice uzna, że musi znów go przywołać. Bez wątpienia mojego kuzyna owładnął Mór; inaczej nigdy by mnie nie zdradził. – Stracharz podrapał się po brodzie. – O tak, Mór będzie rósł i rósł, i nic nie zdoła go powstrzymać przed szerzeniem zła, aż w końcu całe Hrabstwo zacznie podupadać. To właśnie stało się z Małym Ludem, póki nie uciekli się do desperackich środków. Musimy dowiedzieć się dokładnie, jak został uwięziony lub jeszcze lepiej, jak go zabić. Dlatego musimy się udać do Heysham. Jest tam wielki kurhan, kopiec, a w pobliskich kamiennych grobowcach spoczywają ciała Heysa i jego synów. Gdy tylko odzyskam siły, tam właśnie pójdziemy. Jak wiesz, ci, którzy zginęli gwałtowną śmiercią, czasami nie potrafią odejść z tego świata. Odwiedzimy zatem ich groby. Jeśli nam się poszczęści, może wciąż znajdziemy tam ducha czy dwa. Może nawet ducha Naze'a, który uwięził Mora. To może być nasza jedyna nadzieja. Bo szczerze mówiąc, chłopcze, w tej chwili nie mam pojęcia, jak zakończyć tę sprawę.

To rzekłszy, stracharz zwiesił głowę, sprawiał wrażenie naprawdę strapionego. Nigdy nie widziałem go w tak ponurym nastroju.

– Byłeś tam już kiedy? – spytałem zastanawiając się, dlaczego nie porozmawiał z duchami i nie poprosił, by odeszły.

– Owszem, chłopcze, tylko raz. Poszedłem tam jako uczeń. Mój mistrz musiał się rozprawić z niebezpiecznym morskim upiorem, który nawiedzał wybrzeże. W drodze powrotnej na skałach ponad urwiskiem minęliśmy groby i poczułem, że coś tam jest, bo ciepła, letnia noc stała się nagle bardzo zimna. Gdy mój mistrz nie zwolnił kroku, spytałem go, czemu się nie zatrzymał się i czegoś nie zrobił. „Zostaw je w spokoju – powiedział. – Nikomu nie wadzą. Poza tym niektóre duchy pozostają na tej ziemi, bo mają do spełnienia zadanie. Lepiej zatem im nie przeszkadzać.” Nie wiedziałem wówczas, co chce przez to rzec, ale jak zwykle miał rację.

Próbowałem sobie wyobrazić stracharza jako ucznia Był

znacznie starszy ode mnie, bo najpierw uczył się na księdza. Zastanawiałem się, jaki był jego mistrz, człek, który przyjął do terminu kogoś tak starego.

– W każdym razie – rzekł stracharz – wkrótce wyruszamy do Heysham, ale najpierw musimy załatwić coś jeszcze. Wiesz co?

Zadrzałem. Wiedziałem, co zaraz powie.

– Musimy rozprawić się z tą dziewczyną, a do tego jest nam niezbędna wiedza, gdzie się ukrywa. Przypuszczam, że w ruinach domu Lizzie. A ty jak sądzisz?

Zamierzałem mu powiedzieć, że się nie zgadzam, lecz wbijał we mnie wzrok, aż w końcu spuściłem głowę. Nie umiałem go okłamać.

– Pewnie tam właśnie się zatrzymała – przyznałem.

– Cóż, chłopcze, nie może tam zostać zbyt długo. Zagroza wszystkim. Musi trafić do dołu i to im szybciej, tym lepiej. Zaczynj zatem kopać.

Spojrzałem na niego, nie wierząc własnym uszom.

– Posłuchaj, chłopcze. To trudne, ale trzeba to zrobić. Mamy obowiązek strzec bezpieczeństwa Hrabstwa, a ta dziewczyna zawsze będzie stanowić zagrożenie.

– Ale to niesprawiedliwe! – rzuciłem. – Uratowała ci życie! A wiosną ocaliła też moje. Wszystko, co zrobiła, w ostatecznym rozrachunku wyszło na dobre. Ma dobre chęci.

Stracharz uniósł dłoń, uciszając mnie.

– Nie marnuj śliny – polecił z surową miną. Wiem, że nie dopuściła do spalenia ludzi, wiem, że uratowała wiele osób, w tym także mnie. Ale uwolniła Mora, a wolałbym zginąć, niż pozwolić, by ten ohydny stwór krążył swobodnie, szerząc zło. Chodź zatem za mną i załatwmy to raz na zawsze.

– Ale jeśli zabijemy Mora, Alice będzie wolna. Będzie miała jeszcze jedną szansę.

Twarz stracharza poczerwieniała z gniewu. Kiedy przemówił, w jego głosie zabrzmiała ostra, groźna nuta.

– Wiedzma, która posługuje się magią pobratymczą, zawsze

pozostaje niebezpieczna; z czasem, gdy dojrzeje, stanie się niebezpieczniejsza niż te używające krwi bądź kości. Zazwyczaj czarownice sięgają po nietoperze bądź ropuchy – coś małego i słabego, co powoli rośnie w siłę. Pomyśl jednak, co zrobiła ta dziewczyna! Ze wszystkich istot wybrała Mora! I uważa, że jest posłuszny jej woli. Jest sprytna i nieostrożna, nie ma niczego, na co by się nie poważyła. I pamiętaj o jej arogancji! Nawet po śmierci Mora to się nie skończy. Jeśli pozwolimy jej wyrosnąć na kobietę, stanie się najniebezpieczniejszą wiedźmą, jaką kiedykolwiek oglądało Hrabstwo. Musimy rozprawić się z nią teraz, nim będzie za późno. Ja jestem mistrzem, a ty uczniem. Chodź za mną i rób, co każę.

To rzekłszy, obrócił się i ruszył naprzód w szaleńczym tempie. Podążyłem za nim ze ściśniętym sercem – najpierw do domu, po szpadel i pręt mierniczy, potem do wschodniego ogrodu. Tam, niecałe pięćdziesiąt kroków od ciemnego dołu, w którym tkwiła Koścista Lizzie, zacząłem kopać nową dziurę, głęboką na osiem stóp, szeroką i długą na cztery.

Zaszło już słońce, nim stracharz uznał moją robotę za zadowalającą. Wygramoliłem się z dołu. Dręczyła mnie myśl, że Koścista Lizzie siedzi niedaleko.

– Na razie wystarczy – oznajmił stracharz. – Jutro rano pójdziesz do wioski i sprowadzisz miejscowego murarza.

Murarz wzmocni krawędzie dołu podmurówką z kamieni, w której zostanie osadzonych trzynaście mocnych, żelaznych prętów, zamykających drogę ucieczki. Stracharz będzie musiał przy nim czuwać, by nie dopuścić do niego swojego bogina.

Gdy podreptałem w stronę domu, mój mistrz na moment położył mi dłoń na ramieniu.

– Spełniłeś swój obowiązek, chłopcze. Tylko tego wymagam. I chcę ci powiedzieć, że jak dotąd z nawiązką spełniłeś wszystkie zapowiedzi swojej matki.

Spojrzałem na niego zdumiony. Moja mama napisała do niego kiedyś list zapowiadający, że będę najlepszym uczniem, jakiego

kiedykolwiek miał. Ale stracharzowi wcale się to nie spodobało.

– Postępuj tak dalej – ciągnął – a gdy nadejdzie dzień, bym skończył z pracą, będę pewien, że zostawię Hrabstwo w bardzo dobrych rękach. Mam nadzieję, że dzięki temu poczujesz się nieco lepiej.

Stracharz zawsze skąpił mi pochwał i podobne słowa w jego ustach były czymś naprawdę wyjątkowym. Pewnie po prostu próbował mnie pocieszyć. Ale nie mogłem uwolnić się od myśli o dole i Alice. Jego pochwały wcale mi nie pomogły.

\*

Tej nocy nie mogłem zasnąć, toteż wciąż nie spałem, gdy to się stało.

Z początku sądziłem, że nagle rozpętała się burza: usłyszałem ryk i świst i cały dom zadygotał, jakby uderzył w niego potężny huragan. Coś z ogromną siłą rąbnęło o moje okno i wyraźnie usłyszałem trzask pękającego szkła. Zaniepokojony, ukląknę na łóżku i odsunąłem zasłonę.

Duże, przesuwne okno dzieliło się na osiem grubych, nierównych szybek. Nawet w najlepszych warunkach nie widziałem przez nie zbyt wiele. Teraz jednak na niebie świecił półksiężyc i dostrzegłem jedynie czubki drzew pochylających się i kołyszących, jakby ich pniami trzęsła armia rozwścieczonych olbrzymów. Trzy z moich grubych szybek pękły. Przez moment miałem ochotę pociągnąć za sznur i podnieść okno, żeby sprawdzić, co się dzieje. Potem jednak zmądrzałem. Świecił księżyc, zatem raczej nie była to naturalna burza. Coś nas atakowało. Czy to mógł być Mór? Czyżby nas znalazł?

Po chwili usłyszałem głośny łoskot i trzask, dobiegający dokładnie znad mojej głowy. Brzmiało to, jakby coś waliło z całych sił w dach, tłukąc weń ciężkimi pięściami. Usłyszałem grzechot spadających dachówek, które rozbijały się z hukiem na kamieniach, otaczających zachodni trawnik.

Ubrałem się szybko i zbiegłem na dół, przeskakując po dwa stopnie. Tylne drzwi stały otworem. Wybiegłem na trawnik,

zderzając się z wiatrem tak potężnym, że z trudem mogłem oddychać, nie mówiąc już o marszu naprzód. Zmusiłem się jednak, brnąć powoli, krok za krokiem. Smagający twarz wiatr sprawiał, że z najwyższym trudem unosiłem powieki.

W świetle księżyca ujrzałem stracharza, stojącego w połowie drogi między drzewami i domem. Jego czarny płaszcz łopotał na wietrze. Mój mistrz unosił wysoko przed sobą laskę, zupełnie jakby gotował się do odparcia napaści. Miałem wrażenie, iż minęły całe wieki, nim do niego dotarłem.

– Co to jest? Co to? – krzyknąłem, gdy w końcu znalazłem się u jego boku.

Odpowiedź padła niemal natychmiast, lecz nie udzielił jej stracharz. Powietrze wypełnił straszliwy złowieszczy dźwięk; coś pomiędzy wściekłym krzykiem i pulsującym warkotem, który dało się słyszeć z odległości wielu mil. To był bogin stracharza. Słyszałem już wcześniej coś podobnego, wiosną, kiedy nie wpuścił goniącej mnie Kościstej Lizzie do zachodniego ogrodu, wiedziałem zatem, że gdzieś w ciemności między drzewami stanął twarzą w twarz z czymś, co zagrażało domowi i ogrodowi.

Cóż innego mogło to być, jeśli nie Mór?

Stałem tam, dygocząc z zimna i strachu, szcękając zębami, a ciało bolało mnie od wietrznej chłosty. Lecz po chwili huragan osłabł i powoli wokół zapadła cisza.

– Wracaj do domu – polecił stracharz. – Do rana nic się nie da zrobić.

Kiedy dotarliśmy do drzwi, przystanąłem, wpatrując się w kawałki dachówek, zaścielające kamienne płyty.

– Czy to był Mór? – spytałem.

Stracharz przytaknął.

– Nie potrzebował wiele czasu, by nas znaleźć – pokręcił głową.

– Bez wątplenia to вина dziewczyny. Ją odnalazł pierwszą. Albo może sama go wezwała.

– Nie zrobiłaby tego – jeszcze raz próbowałem bronić Alice. – Czy bogin nas ocalił? – zmieniłem temat.

– Na pewien czas owszem, a rano dowiemy się, jaką zapłacił cenę. Tak czy owak nie zakładałbym się, czy drugi raz znów mu się uda. Zostanę na straży – oznajmił stracharz. – Ty wracaj do siebie i prześpij się. Jutro wiele się może zdarzyć. Lepiej, żebyś był wypoczęty.

## ROZDZIAŁ 17

### PRZYBYWA KWIZYTOR

Tuż przed świtem znów zszedłem na dół. Czyste niebo zasnuły chmury, powietrze trwało bez ruchu, a trawniki pokrywał pierwszy prawdziwy jesienny szron.

Stracharz czuwał w pobliżu tylnych drzwi. Miałem wrażenie, że cały czas trwał w tej samej pozycji. Wyglądał na zmęczonego, twarz miał równie ponurą i szarą, jak niebo.

– No dobrze, chłopcze – rzekł ze znużeniem. – Chodźmy obejrzyć wyrządzone szkody.

Sądziłem, że chodzi mu o dom, lecz zamiast tego skierował się w stronę drzew w zachodnim ogrodzie. Istotnie, znaleźliśmy trochę zniszczeń, ale znacznie mniej, niż sądziłem w nocy. Na ziemi leżały wielkie konary, gałązki zasypały trawnik, coś przewróciło ławkę. Stracharz skinął na mnie; pomogłem mu ją podnieść i ustawić na miejscu.

– Nie jest tak źle – mruknąłem, próbując go pocieszyć, bo wyglądał naprawdę posępnie.

– Jest dostatecznie źle – odparł. – Wiedziałem, że Mór odzyska siły, ale nie przypuszczałem, że stanie się to tak szybko, znacznie szybciej, niż się spodziewałem. Nie powinien móc tego zrobić tak prędko. Nie zostało nam wiele czasu.

Stracharz poprowadził mnie z powrotem do domu. Widzieliśmy dziury po zerwanych dachówkach, jeden z kominów wywrócił się.

– Będzie musiał zaczekać, aż znajdziemy dość czasu, by go



naprawić – rzekł mój mistrz.

W tym momencie w kuchni odezwał się dzwonek i po raz pierwszy tego ranka stracharz uśmiechnął się lekko. Wyglądał, jakby mu ulżyło.

– Nie byłem pewien, czy dostaniemy dziś śniadanie. Może nie jest aż tak źle, jak sądziłem.

Gdy weszliśmy do kuchni, pierwszą rzeczą, jaką zauważyłem, były plamy krwi na kamiennych płytach posadzki między stołem i paleniskiem. Wewnątrz było bardzo zimno i natychmiast zrozumiałem, dlaczego. Od prawie pół roku terminowałem u stracharza lecz teraz po raz pierwszy wszedłem rankiem do kuchni i nie zastałem ognia, płonącego w palenisku a na stole nie czekały jajka ani bekon, jedynie po cienkim plasterku grzanki. Stracharz dotknął ostrzegawczo mojego ramienia.

– Nic nie mów, chłopcze. Zjedz i bądź wdzięczny, że dostałeś cokolwiek.

Zrobiłem, jak kazał. Gdy jednak przełknąłem ostatni kęs grzanki, w brzuchu wciąż mi burczało. Stracharz wstał ze swego miejsca.

– To było wspaniałe śniadanie – powiedział, zwracając się w pustkę. – I dziękuję za wszystko, co zrobiłeś zeszłej nocy. Obaj jesteśmy bardzo wdzięczni.

Zwykle bogin pozostawał niewidzialny, ale teraz ponownie przybrał postać wielkiego, rudego kota. Usłyszałem słabiotkie mruczenie, przez moment pokazał się tuż obok paleniska. Lecz nigdy dotąd nie widziałem go w takim stanie. Lewe ucho miał rozszarpane, kapiała z niego krew, zlepiająca także futro na karku. Najgorsze jednak było to, co się stało z jego pyskiem. Stracił lewe oko. W jego miejscu ziała jedynie pionowa rana.

– Nigdy już nie będzie taki jak kiedyś – powiedział ze smutkiem stracharz, gdy obaj wyszliśmy na dwór. – Cieszymy się, że Mór wciąż nie odzyskał pełni mocy, inaczej zginęlibyśmy wczoraj. Bogin ofiarował nam trochę czasu; musimy go wykorzystać, nim będzie za późno.

Nie skończył jeszcze mówić, gdy na rozstajach zadźwięczał dzwon. Praca dla stracharza.

Biorąc pod uwagę wszystko, co się stało, i grożące nam niebezpieczeństwo ze strony Mora, sądziłem, że mistrz go zignoruje. Ale pomyliłem się.

– No, chłopcze – rzekł. – Biegnij i dowiedz się, czego od nas chcą.

Dzwon przestał dzwonić tuż przed tym, nim dotarłem na miejsce, lecz sznur wciąż się kołysał. Pomiedzy łozinami jak zwykle zalegał mrok, potrzebowałem jednak zaledwie sekundy, by stwierdzić, że nie było to wezwanie w sprawie pracy dla stracharza. Czekala na mnie dziewczyna w czarnej sukience.

Alice.

– Bardzo ryzykujesz! – pokręciłem głową. – Masz szczęście, że pan Gregory nie przyszedł tu ze mną.

Alice uśmiechnęła się.

– Stary Gregory nie zdołałby mnie złapać, nie w tym stanie. Została z niego połowa dawnego człowieka.

– Nie bądź tego taka pewna! – rzuciłem gniewnie – Kazał mi wykopać dół. Dół dla ciebie. I tam właśnie trafisz, jeśli nie będziesz ostrożna.

– Stary Gregory nie ma już sił. Nic dziwnego, że kazał kopać tobie – zadrwiła Alice.

– Nie – odparłem. – Kazał mi kopać po to, bym pogodził się ze świadomością tego, co musimy zrobić. Uwięzienie ciebie w dole to mój obowiązek.

W głosie Alice pojawił się nagły smutek.

– Naprawdę byś mi to zrobił, Tom? Po wszystkim, co razem przeszliśmy? Uratowałam cię z dołu. Nie pamiętasz? To wtedy Koścista Lizzie chciała zabrać twoje kości. Wtedy ostrzyła swój nóż.

Pamiętałem doskonale. Gdyby nie pomoc Alice, zginąłbym tamtego dnia.

– Posłuchaj, Alice, idź do Pendle, teraz, nim będzie za późno –

rzekłem. – Uciekaj jak najdalej stąd.

– Mór nie zgadza się z tobą. Uważa, że powinnam zostać jeszcze trochę w pobliżu.

– Zeszłej nocy Mór zaatakował dom stracharza. Mógł nas zabić. To ty go wysłałaś?

Alice stanowczo pokręciła głową.

– To nie ma nic wspólnego ze mną, Tom. Przysięgam. Rozmawialiśmy, to wszystko. I powiedział mi różne rzeczy.

– Zdawało mi się, że nie chcesz mieć z nim więcej do czynienia! – nie mogłem uwierzyć w jej słowa.

– Staralam się, Tom, i to bardzo. Ale przychodzi i szepcze do mnie, przybywa w mroku, kiedy próbuję zasnąć. Przemawia do mnie w snach, obiecuje różne rzeczy.

– Jakie rzeczy?

– To niełatwe, Tom. Robi się zimno, coraz zimniej, pogoda się pogarsza. Mór mówi, że mogłabym mieć dom z wielkim paleniskiem i mnóstwem węgla i drewna, i nigdy niczego by mi nie brakowało. Mówi, że mogłabym mieć też piękne ubrania, by ludzie nie patrzyli na mnie z góry, jak teraz, jak by widzieli coś, co właśnie wypełzło z żywopłotu.

– Nie słuchaj go, Alice. Musisz postarać się bardziej!

– Ciesz się, że czasami go słucham – na ustach Alice zatańczył osobliwy uśmiešek. – Inaczej byłoby z wami źle. Bo widzisz, czegoś się dowiedziałam. Czegoś, co może ocalić życie nie tylko tobie, ale i staremu Gregory'emu.

– Mów! – rzuciłem.

– Nie wiem, czy powinnam. Knujesz przecież przeciwko mnie. Chcesz, bym spędziła resztę moich dni w dole!

– To niesprawiedliwe, Alice.

– Pomogę ci jeszcze raz, owszem. Ale ciekawe, czy zrobiłbyś dla mnie to samo. – Obdarzyła mnie smutnym uśmiechem. – Widzisz, Kwizytor jedzie tu, do Chipenden. Poparzył wtedy w ogniu ręce, nic więcej. Teraz łaknie zemsty. Wie, że stary Gregory mieszka gdzieś w okolicy. Przybywa w towarzystwie zbrojnych z psami,

wielkimi ogarami o ostrych zębach. Dotrze tu najdalej w południe. Idź, powtórz staremu Gregory'emu, co ci powiedziałam. Ale nie spodziewaj się, że mi podziękuje.

– Pójdę mu powiedzieć – odparłem i puściłem się biegiem po zboczu w stronę domu. Już biegnąc, uświadomiłem sobie, że nie podziękowałem Alice. Ale jak mogłem to zrobić, skoro wykorzystwała mrok, by nam pomóc?

Stracharz czekał tuż za drzwiami.

– No, chłopcze – rzekł. – Najpierw złap oddech. Widzę po twojej twarzy, że przynosisz złe wieści.

– Kwizytor tu jedzie – odparłem. – Dowiedział się, że mieszkamy opodal Chipenden.

– A któż ci to powiedział? – stracharz podrapał się po brodzie.

– Alice. Mówiła, że będzie tu przed południem. Mór ją uprzedził.

Stracharz westchnął ciężko.

– W takim razie lepiej zbierajmy się jak najszybciej. Najpierw idź do wioski i powiadom rzeźnika, że wyruszamy na północ, przez wzgórze do Caster i jakiś czas nie wrócimy. To samo powtórz sklepikarzowi, przekaż też, że w przyszłym tygodniu nie odbierzemy zakupów.

\*

Pobiegłem do wioski i zrobiłem dokładnie to, co mi kazał. Kiedy wróciłem, stracharz czekał już przy drzwiach, gotów do drogi. Wręczył mi swoją torbę.

– Idziemy na południe? – spytałem.

Stracharz pokręcił głową.

– Nie, chłopcze. Ruszamy na północ, jak mówiłem. Musimy się dostać do Heysham i jeśli nam się poszczęści, pomówić z duchem Naze'a.

– Ale przecież poinformowaliśmy wszystkich, że tam właśnie zmierzamy. Czemu nie udałem, że idziemy na południe?

– Bo mam nadzieję, że Kwizytor po drodze tutaj wstąpi do wioski. Wówczas, zamiast przeszukać ten dom, skieruje się na północ i jego psy pochwycą nasz trop. Musimy go odciągnąć od

domu, części książek w bibliotece nie da się zastąpić. Gdyby tu przyszedł jego ludzie splądrowaliby to miejsce, a może nawet je spalili. Nie mogę ryzykować, by ktokolwiek zniszczył moje książki.

– A bogin? Przecież pilnuje domu i ogrodów. Jak mogliby tu wejść, nie ryzykując, że rozszarpie ich na strzępy? Czy może jest teraz zbyt słaby?

Stracharz westchnął i wbił wzrok w czubki butów.

– Nie, wciąż ma dość siły, by rozprawić się z Kwizytorem i jego ludźmi. Ale nie chcę mieć na sumieniu niepotrzebnych śmierci. A zresztą nawet gdyby zabił tych, którzy by tu weszli, część mogłaby uciec. Czy potrzebowaliby dalszych dowodów, że zasłużyłem na stos? Wróciliby z całą armią, nigdy by się to nie skończyło. Do końca życia nie zaznałbym spokoju, musiałbym uciec z Hrabstwa.

– Ale czy i tak nas nie złapią?

– Nie, chłopcze. Nie, jeśli pójdziemy przez wzgórze. Nie będą mogli wjechać tam konno, a my wyprzedzimy ich o kilka godzin. Mamy przewagę, dobrze znamy Hrabstwo, a ludzie Kwizytora to obcy. Tak czy inaczej, ruszajmy. Zmarnowaliśmy już dość czasu!

Stracharz pomaszerował w stronę wzgórz, narzucając bardzo szybkie tempo. Podążyłem za nim, jak najszybciej umiałem, dźwigając ciężką torbę.

– Czy część jego ludzi nie pojedzie okreśną drogą i nie zaczeka na nas w Caster? – spytałem.

– Bez wątplenia, chłopcze. I gdybyśmy wybierali się do Caster, to mógłby być problem. Nie, wyminimy miasto od strony wschodniej, potem pójdziemy na południowy wschód, tak jak mówiłem, do Heysham, odwiedzić kamienne grobowce. Czekają nas rozprawa z Morem, a czasu jest coraz mniej. Rozmowa z duchem Naze'a to nasza ostatnia nadzieja, może w ten sposób dowiemy się, jak to zrobić.

– A potem? Dokąd pójdziemy? Czy kiedyś będziemy mogli tu wrócić?

– Nie widzę powodu, żeby nie – z czasem. W końcu zgubimy Kwizytora. Istnieją sposoby, pozwalające zmylić pogonę. Och, nie

wątpię, że jakiś czas nie ustąpi i wciąż będzie szukał. Lecz wkrótce wróci tam, skąd przybył; nie będzie chciał marznąć podczas nadchodzącej zimy.

Przytaknąłem, ale nie do końca zadowolili mnie słowa mistrza. Dostrzegalem w planie stracharza mnóstwo dziur. Po pierwsze, może i ruszył szybko ale wciąż nie był w pełni sprawny, a przeprawa przez wzgórza to nie przelewki. Ludzie Kwizytora mogli nas doścignąć, nim dotrzemy do Heysham. Poza tym mogą też mimo wszystko przeszukać dom stracharza i spalić go, z czystej złośliwości, zwłaszcza jeśli zgubią nasz trop. No i pozostawała kwestia przyszłego roku. Wiosną Kwizytor znów przybędzie na północ. Wyglądał na człowieka, który nigdy się nie poddaje. Nie wiedziałem, jak nasze życie mogłoby wrócić do normy. I wtedy uderzyła mnie jeszcze jedna myśl.

Co by było, gdyby mnie schwytali? Kwizytor torturował ludzi, zmuszając, by odpowiadali na pytania. A co, gdyby wyciągnęli ze mnie, gdzie kiedyś mieszkałem? Konfiskowali bądź palili domy wieśniaków i czarowników. Pomyślałem o tacie, Jacku i Ellie, pozbawionych dachu nad głową. I o tym, co zrobiliby jego ludzie, gdyby zobaczyli mamę. Nie mogła przecież wyjść na słońce. Często pomagała miejscowym położnym przy trudniejszych porodach i miała w domu bogaty zbiór ziół i innych roślin. Mamie groziłoby prawdziwe niebezpieczeństwo.

Nie wspominałem o tym wszystkim stracharzowi, bo widziałem, że zmęczyły go już moje pytania.

\*

Po godzinie znaleźliśmy się wysoko na wzgórzach. Było pogodnie i zapowiadał się ładny dzień.

Gdybym tylko umiał zapomnieć o powodach, dla których się tu znaleźliśmy, świetnie bym się bawił, bo warunki idealnie sprzyjały marszowi. Towarzyszyły nam tylko kuliki i króliki. Daleko, na północnym zachodzie, widziałem morze, migoczące w promieniach słońca.

Z początku stracharz energicznie maszerował naprzód,

wskazując drogę. Lecz na długo przed południem zaczął zwalniać, i gdy zatrzymaliśmy się i usiedliśmy obok stosu kamieni, wyglądał na kompletnie wyczerpanego. Gdy rozwijał ser, zauważyłem, że trzęsą mu się ręce.

– Proszę, chłopcze – wręczył mi mały kawałek. – Nie zjedz wszystkiego od razu.

Posłuszny jego radzie, zacząłem powoli skubać ser.

– Wiesz, że dziewczyna idzie za nami? – spytał stracharz.

Spojrzałem na niego ze zdumieniem i pokręciłem głową.

– Jest jakąś milę stąd – wskazał gestem na południe. – Teraz, gdy się zatrzymaliśmy, ona także przystanęła. Jak myślisz, czego chce?

– Przypuszczam, że nie ma dokąd pójść. Chyba że na wschód, do Pendle. A tak naprawdę wcale tego nie chce. Zresztą nie miała wyboru, musiała opuścić Chipenden. Po przybyciu Kwizytora i jego ludzi groziłoby jej niebezpieczeństwo.

– Owszem. A może też zadurzyła się w tobie i chce pozostać blisko ciebie. Żałuję, że nie miałem czasu się z nią rozprawić przed opuszczeniem Chipenden. Jest groźna, bo gdziekolwiek się uda, Mór będzie niedaleko. Na razie ukrywa się pod ziemią, lecz gdy zapadnie ciemność, dziewczyna przyciągnie go do siebie jak płomień świecy ćmę, i bez wątpienia będzie kręcił się w okolicy. Jeżeli znów go nakarmi, stanie się silniejszy i zacznie widzieć jej oczami. Wcześniej może się natknąć na inne ofiary – ludzi lub zwierzęta. Efekty będą takie same. Napęczniały krwią nabierze mocy i wkrótce znów zdoła oblec się w ciało i kości. Wczorajsza noc to dopiero początek.

– Gdyby nie Alice, w ogóle nie opuścilibyśmy Chipenden – przypomniałem. – Bylibyśmy więźniami Kwizytora.

Lecz stracharz zignorował moją uwagę.

– No dobrze – rzekł. – Lepiej już ruszajmy. Kiedy tak siedzę, wcale nie robię się młodszy.

Lecz po kolejnej godzinie znów musieliśmy odpocząć, tym razem dłużej. W końcu zmusił się do dźwignięcia z miejsca. I tak to

trwało cały dzień, tyle że okresy odpoczynku wydłużały się, a czas marszu skracał. Pod wieczór pogoda zaczęła się zmieniać, w powietrzu czułem wyraźną woń deszczu. Wkrótce zaczęło siąpić.

Gdy zapadła ciemność, schodziliśmy już ze zboczy w stronę mozaiki pól, otoczonych kamiennymi murkami. Zbocze było strome, a trawa śliska, co chwila traciliśmy równowagę. Co więcej, deszcz padał coraz mocniej, a z zachodu zaczynał wiać wiatr.

– Odpocznijmy, muszę złapać oddech – oznajmił stracharz.

Poprowadził mnie do najbliższego murku. Wspięliśmy się na niego i skuliliśmy po wschodniej stronie szukając choćby częściowej osłony przed deszczem

– Gdy jesteś w moim wieku, wilgoć wnika ci w kości – oznajmił stracharz. – Oto, co robi z tobą całe życie w Hrabstwie z jego kapryśną pogodą. W końcu dopadnie każdego, atakując płuca albo kości.

Z nieszczęśliwymi minami kuliliśmy się pod murkiem. Byłem zmęczony i wyczerpany, i choć przebywaliśmy na dworze w deszczową noc, z trudem zwalczałem senność. Wkrótce poddałem się i zacząłem śnić. Był to jeden z owych długich snów, które zdają się trwać całą noc, a pod koniec zamienił się w koszmar.

## **ROZDZIAŁ 18**

### **KOSZMAR NA WZGÓRZU**

Był to zdecydowanie najgorszy koszmar, jaki kiedykolwiek mnie nawiedził. A w moim fachu często zdarzają się złe sny. Błąkałem się, próbując znaleźć drogę do domu. Powinno to być łatwe, bo wszystko zalewało światło księżyca w pełni, lecz za każdym razem, kiedy skręcałem i zdawało mi się, że rozpoznaję jakieś miejsce, wkrótce odkrywałem, że się mylę. Wreszcie dotarłem na szczyt Wzgórza Wisielców i ujrzałem w dole naszą farmę. Kiedy schodziłem ze stoku, ogarniał mnie coraz większy



niepokój. Choć była noc, wszystko wydawało się zbyt ciche i spokojne, w dole nic się nie poruszało. Płoty pilnie wymagały naprawy – tato i Jack nigdy by ich tak nie zaniedbali – a drzwi stodoły wisiały na jednym zawiasie.

Dom sprawiał wrażenie opuszczonego, w części okien brakowało szyb, z dachu odpadły gonty. Przez chwilę siłowałem się z tylnymi drzwiami. Gdy w końcu ustąpiły z nagłym szarpnięciem, wszedłem do kuchni, wyglądającej jakby od lat nikt jej nie odwiedzał. Wszędzie zalegał kurz, z sufitu zwisały pajęczyny. Bujany fotel mamy stał pośrodku pomieszczenia, na siedzisku leżała złożona kartka papieru. Zabrałem ją i wyniosłem na dwór, by odczytać w świetle księżyca.

*Groby twojego taty, Jacka, Ellie i Mary są na Wzgórzu Wisielców. Swoją matkę znajdziesz w stodole.*

Z sercem pękającym z bólu wybiegłem na podwórze. Zatrzymałem się przed stodołą, wytężając słuch. Wokół panowała cisza, nie słyszałem nawet szmeru wiatru. Nerwowo wkroczyłem w mrok, nie wiedząc, czego się spodziewać. Czy znajdę tam grób? Grób mamy?

W dachu, niemal dokładnie nad moją głową, ziała dziura i w smudze srebrnego światła dostrzegłem głowę mamy. Patrzyła wprost na mnie. Jej ciało skrywają ciemność, lecz z pozycji twarzy wnioskowałem, że klęczy na ziemi.

Czemu to robiła? I dlaczego miała tak nieszczęśliwą minę? Czy nie ucieszył jej mój widok?

Nagle mama krzyknęła.

– Nie patrz na mnie, Tom! Nie patrz na mnie! Odwróć się, szybko! – w jej głosie dźwięczał ból.

W chwili, gdy odwracałem wzrok, mama podniosła się z podłogi i kątem oka dostrzegłem coś, co sprawiło, że kości zmieniły mi się w galaretę. Od szyi w dół mama wyglądała inaczej. Ujrzałem skrzydła i łuski, a także zarys ostrych szponów, gdy pofrunęła w górę i przebiła się przez dach stodoły, unosząc za sobą połowę pokrycia. Uniosłem głowę, osłaniając twarz przed sypiącymi się z gór kawałkami drewna i zobaczyłem mamę, czarną sylwetkę na tle srebrnego kręgu księżyca. Leciała w niebo, zostawiając za sobą zrujnowany dach stodoły.

– Nie! Nie! To nieprawda, to się nie dzieje naprawdę!

W odpowiedzi wewnątrz mojej głowy przemówił cichy syczący głos Mora. Księżyc ukazuje prawdziwy obraz rzeczy, chłopcze.

Już to wiesz. Wszystko, co widziałeś już się stało, bądź dopiero stanie. Trzeba tylko czasu.

\*

Ktoś potrząsał mnie za ramię. Obudziłem się, zlany zimnym potem. Stracharz pochylał się nade mną

– Obudź się, chłopcze! Obudź się! – wołał. – To tylko zły sen. To Mór usiłuje wniknąć w twój umysł. Próbuje nas osłabić.

Przytaknąłem, ale nie opowiedziałem stracharzowi, co się zdarzyło we śnie – sama myśl o tym sprawiała mi zbyt wielki ból. Zerknąłem w niebo: deszcz ciągle padał, lecz chmury już się rozplýwały i między nimi migotało kilka gwiazd. Wciąż było ciemno, ale zbliżał się świt.

– Przespaliśmy całą noc?

– Owszem – odparł stracharz. – Choć tego nie planowałem.

Wstał sztywno.

– Lepiej ruszajmy, póki jeszcze możemy – rzekł niespokojnie. – Słyszysz?

Wytężyłem słuch i w końcu ponad szumem wiatru i deszczu usłyszałem odległe ujadanie psów.

– O tak, są już niedaleko – rzekł stracharz. – Możemy tylko mieć nadzieję, że zgubią nasz trop. Do tego jednak potrzebujemy wody, dość płytkiej, byśmy mogli w niej brodzić. Oczywiście w pewnym momencie będziemy musieli zejść na suchy ląd, lecz będą uganiać się po obu brzegach, nim znów wyczują nasz ślad. A gdyby w pobliżu znalazł się drugi strumień, ułatwiłby nam zadanie.

Wgramoliliśmy się na murek i ruszyliśmy w dół stromego zbocza, maszerując jak najszybciej po śliskiej, mokrej trawie. W dole widzieliśmy domek owczarza, niewyraźny zarys na tle nieba. Obok niego rósł stary, ogromny krzak tarniny, pochylony pod naporem wiatrów. Nagie gałęzie przypominały szpony, chwytające dach. Kilka chwil maszerowaliśmy w stronę chaty po czym nagle zatrzymaliśmy się gwałtownie.

Przed nami, po lewej stronie, rozciągała się drewniana zagroda. Gwiazdy rzucały akurat dość światła, byśmy mogli stwierdzić, że mieszkało w niej stadko owiec, około dwudziestu sztuk. I wszystkie nie żyły.

– Nie podoba mi się to, chłopcze.

Mnie też się to nie spodobało. Wtedy jednak zrozumiałem, że stracharzowi nie

chodziło o martwe owce. Wpatrywał się w domek.

– Pewnie przybywamy za późno – powiedział niewiele głośniejszym głosem od szeptu. – Ale to nasz obowiązek; musimy wejść i sprawdzić.

To rzekłszy, ruszył w stronę domu, ściskając w dłoni kij. Podążyłem za nim, dźwigając torbę. Mijając zagrodę, zerknąłem w bok na najbliższą martwą owcę. Białe runo pokrywały smugi krwi. Jeśli to dzieło Mora, to dobrze się pożywił. Jak wiele sił odzyskał?

Frontowe drzwi stały otworem, toteż bez ceregieli weszliśmy do środka. Stracharz szedł przodem. Postąpił zaledwie krok za próg, gdy zatrzymał się i głośno wciągnął powietrze. Patrzył w lewo. Gdzieś w izbie płonęła świeca i w jej migotliwym blasku dostrzegłem coś, co na pierwszy rzut oka wziąłem za cień owczarza. Był jednak zbyt masywny jak na cień. Stał oparty plecami o ścianę, wznosząc nad głowę zakrzywiony kij, jakby nam groził. Potrzebowałem chwili, by zrozumieć, co właściwie widzę. Kolana ugięły się przede mną, a serce zatrzepotało w piersi.

Jego twarz wykrzywił grymas gniewu i grozy. Widziałem zęby, częściowo połamane, i umazane krwią usta. Choć pozostawał w pionie, nie stał o własnych siłach. Został splaszczony, wprasowany w ścianę, rozmazany na kamieniach. Sprawił to Mór.

Stracharz przeszedł krok dalej, i kolejny. Dreptałem tuż za nim, aż w końcu ujrzałem w pełni cały czekający na nas koszmar. W kącie stała kołyska, lecz Mór strzaskał ją o ścianę, wśród odłamków dostrzegłem kocyki i małe prześcieradło poplamione krwią, po dziecku nie został nawet ślad. Mój mistrz podszedł i ostrożnie uniósł kocyk. To, co zobaczył, wyraźnie nim wstrząsnęło. Gestem polecił mi nie patrzeć, z westchnieniem wypuścił kołdrę.

Do tej pory wypatrzyłem już matkę niemowlęcia. Ciało kobiety leżało na podłodze, częściowo ukryte za bujanym fotelem. Cieszyłem się, że nie widzę jej twarzy. W prawej ręce ścisnęła drut do robótek, kłębek włóczki poturlał się aż do paleniska, obok dogasającego wśród popiołów żaru.

Drzwi do kuchni były otwarte i nagle ogarnęła mnie groza. Byłem pewien, że coś się tam czai. Gdy tylko myśl ta pojawiła się w mojej głowie, temperatura w izbie spadła. Mór wciąż tu był, czułem go w kościach. Przerazony, o mało nie uciekłem z domku, lecz stracharz nie cofnął się. A skoro on został, jak mogłem odejść?

W tym momencie świeca nagle zgasła, jakby naciśnięta niewidzialną ręką, pogrążając nas w mroku. Z zalegającej w kuchni nieprzeniknionej ciemności przemówił niski głos. Głos odbijający się echem w powietrzu i wibrujący w kamiennej podłodze domku tak, że

czułem go w stopach.

– Witaj, Stara Kości. W końcu znów się spotykamy. Szukałem cię, wiedziałem, że jesteś gdzieś w pobliżu,

– Owszem, a teraz mnie znalazłeś – odparł ze znużeniem stracharz, opierając łaskę o podłogę i wspierając się na niej całym ciężarem.

– Zawsze lubiłeś się wtrącać, nieprawdaż, Stara Kości? Ale teraz wtrąciłeś się o jeden raz za dużo. Najpierw zabiję chłopca, a ty będziesz na to patrzył. Potem nadejdzie twoja kolej.

Niewidzialna ręka uniosła mnie i pchnęła na ścianę tak mocno, że z całego ciała uleciało mi powietrze. A potem zaczął się nacisk, miarowy napór tak silny, iż miałem wrażenie, że zaraz popękają mi żebra. Najgorszy był straszliwy ciężar naciskający czoło. Przypomniałem sobie twarz owczarza, spłaszczoną i wbitą w kamienie. Byłem przerażony, niezdolny się ruszyć czy nawet odetchnąć, oczy zasnuła mi ciemność. Ostatnią rzeczą, jaką pamiętam, było wrażenie, że stracharz rzucił się w stronę kuchennych drzwi unosząc łaskę.

\*

Ktoś potrząsał mną łagodnie. Otworzyłem oczy i ujrzałem pochylającego się nade mną stracharza. Leżałem na podłodze chaty.

– Nic ci nie jest, chłopcze? – spytał niespokojnie, przytaknąłem. Bolały mnie żebra, czułem je z każdym oddechem. Ale oddychałem. Wciąż żyłem.

– Chodź, zobaczmy, czy dasz radę się podnieść. Wsparty o stracharza, zdołałem wstać.

– Możesz chodzić?

Skinąłem głową i postąpiłem krok naprzód. Nie czułem się zbyt pewnie, ale byłem w stanie iść.

– Dobry chłopak.

– Dzięki, że mnie uratowałeś.

Stracharz pokręcił głową.

– Ja nic nie zrobiłem, chłopcze. Mór po prostu zniknął nagle, jakby ktoś go przywołał. Widziałem, jak mknie w górę zbocza; wyglądał jak czarna chmura, przesłaniająca ostatnie gwiazdy. Stało się tu coś straszego – dodał, zerkając na otaczającą nas grozę. – Ale teraz musimy stąd zniknąć jak najszybciej. Przede wszystkim musimy ratować siebie. Może zdołamy uciec Kwizytorowi, lecz póki dziewczyna wędruje za nami, Mór zawsze będzie w pobliżu, z każdą chwilą wzrastając w siłę. Musimy dotrzeć do Heysham i dowiedzieć się, jak się rozprawić z tą ohydą, raz a dobrze

Bez słowa wyszliśmy z chaty i ruszyliśmy dalej w dół zbocza. Stracharz maszerował pierwszy. Pokonaliśmy dwa kolejne murki i w końcu usłyszałem szum płynącej wody. Mój mistrz poruszał się znacznie szybciej, niemal tak szybko jak wtedy, gdy wyruszyliśmy z Chipenden, przypuszczam zatem, że sen dodał mu sił. Mnie natomiast bolało wszystko, z trudem dotrzymywałem mu kroku, a torba ciążyła mi w dłoni.

Natknęliśmy się na stromą, wąską ścieżkę obok strumienia, szerokiej strugi wody pędzącej w dół po kamieniach.

– Jakąś milę dalej strumień wpada do stawu – rzekł stracharz. – Wypływają z niego dwie kolejne rzeczki i dalej płyną już po płaskim. Tego właśnie szukaliśmy.

Szedłem za nim ile sił w nogach. Deszcz padał mocniej niż kiedykolwiek, a ziemia pod stopami była zdradziecko śliska. Wystarczył jeden błędny krok, żeby wylądować w wodzie. Zastanawiałem się, czy Alice trzyma się blisko nas i czy będzie w stanie pójść ścieżką tuż obok bieżącej wody. Jej także groziło niebezpieczeństwo, psy mogły wpaść na jej trop.

Mimo szumu strumienia i wiatru słyszałem ujadanie ogarów; zdawały się zbliżać z każdą chwilą. Nagle usłyszałem coś jeszcze, coś, co sprawiło, że zachłysnąłem się gwałtownie.

To był krzyk!

Alice! Odwróciłem się i spojrzałem za siebie, lecz stracharz chwycił mnie za rękę i pociągnął mocno.

– Nic nie możemy zrobić, chłopcze! – krzyknął. – Zupełnie nic. Idź dalej!

Zrobiłem, jak kazał, próbując nie słuchać dźwięków, dobiegających ze wzgórze za nami: krzyków, nawoływań i przerażających wrzasków. W końcu wszystko ucichło i znów słyszałem jedynie szum rwącej wody. Niebo zdążyło już pojaśnieć, a pod nami w pierwszym brzasku dnia widziałem jasną tafelę stawu, migoczącą wśród drzew.

Czułem w sercu ukłucie na myśl o tym, co mogło spotkać Alice. Nie zasłużyła na to.

– Idź dalej, chłopcze – powtórzył stracharz. I wtedy usłyszeliśmy coś nowego na ścieżce za nami. Dźwięki zbliżały się coraz bardziej. Brzmiało to jak pędzące ku nam zwierzę. Wielki pies.

Jakie to niesprawiedliwe, pomyślałem. Byliśmy tak blisko stawu i dwóch strumieni. Jeszcze dziesięć minut i zdołalibyśmy zgubić ogary. Lecz ku memu zdumieniu, stracharz nie przyspieszył kroku. Przeciwnie zdawał się zwalniać. W końcu zatrzymał się zupełnie i pociągnął mnie na pobocze ścieżki; zastanawiałem się, czy może zabrakło mu sił. Jeśli tak, oznaczało to że nadszedł nasz koniec.

Spojrzałem na stracharza z nadzieją, że wyciągnie z torby coś, co nas uratuje. Ale nie. Pies biegł ku nam w pełnym pędzie, lecz gdy się zbliżył, zauważyłem coś dziwnego. Po pierwsze, nie ujadał ze złością, lecz skowyczał, a wzrok wbijał przed siebie, nie patrzył na nas. Minał nas tak blisko, że mogłem wyciągnąć rękę i go dotknąć.

– Jeśli się nie mylę, jest śmiertelnie przerażony – orzekł stracharz. – Uważaj! Biegnie następny!

Kolejny pies przemknął obok, skowycząc, podobnie jak pierwszy, z podwiniętym ogonem. Potem szybko pojawiły się jeszcze dwa, a tuż za nimi piąty. Żaden z nich nie zwrócił na nas najmniejszej uwagi, wszystkie biegły naprzód błotnistą ścieżką w stronę stawu.

– Co się stało? – spytałem.

– Bez wątpienia wkrótce się dowiemy – odparł stracharz. – Po prostu idźmy dalej.

Po chwili deszcz przestał padać i dotarliśmy do stawu. Był duży i niemal zupełnie spokojny – prócz jednego miejsca, w którym tuż obok nas rwący strumień olewał się do niego z głośnym pluskiem, spływając ze stromego stoku w kłębach piany. Staliśmy, wpatrując się w spadającą wodę, zgarniającą do stawu gałązki, liście i od czasu do czasu kłody.

Nagle z ogłuszającym pluskiem do stawu wpadło coś większego. Siła upadku wepchnęła owo coś głęboko pod powierzchnię, potem jednak pojawiło się jakieś trzydzieści kroków dalej i zaczynało dryfować w stronę zachodniego brzegu. Wyglądało jak ludzkie zwłoki.

Rzuciłem się na skraj wody. A jeśli to Alice? Nim jednak zdążyłem wbiec do środka, stracharz położył mi dłoń na ramieniu i zacisnął mocno.

– To nie Alice – rzekł miękko. – Trup jest zbyt duży. Poza tym myślę, że to ona wezwała Mora. Inaczej dlaczego zniknąłby tak nagle? Z Morem u boku mogłaby wygrać każdy spór. Lepiej przejdźmy na drugi brzeg i przyjrzyjmy się bliżej.

Podążyliśmy wzdłuż zakrzywiającego się brzegu i po kilku minutach staliśmy już po zachodniej stronie, pod konarami rozłożystego jaworu, po kostki w zeschniętych liściach. Od rzeczy pływającej w wodzie dzielił nas jeszcze spory kawałek, lecz zbliżał się z każdą chwilą. Miałem nadzieję, że stracharz się nie myli, że ciało będzie naprawdę zbyt duże jak na Alice. Ale wciąż jeszcze było ciemno. Poza tym jeśli to nie ona, to do kogo należy trup?

Znów zaczynałem się bać. Tym razem jednak nic nie mogłem zrobić, czekałem. Niebo jaśniało, a trup podpływał coraz bliżej nas.

Powoli chmury rozstąpiły się i wkrótce niebo jaśniało już z taką mocą, że bez cienia wątpliwości zidentyfikowaliśmy zwłoki.

Należały do Kwizytora.

Przyjrzałem się pływającemu ciału. Leżało na plecach, z wody wynurzała się jedynie jego twarz. Usta miał otwarte, podobnie oczy. Błada, martwa twarz zastygła w grymasie zgrozy. Wyglądał, jakby w całym jego ciele nie pozostała nawet kropla krwi.

– W swoim czasie spławił wielu niewinnych nieszczęśników – oznajmił stracharz. – Biednych, starych, samotnych ludzi, którzy ciężko pracowali całe życie i zasłużyli sobie na odrobinę spokoju na starość. A także nieco szacunku. Teraz nadeszła jego kolej. Dostał dokładnie to, na co zasłużył.

Wiedziałem, że spławianie wiedźm to wyłącznie przesąd i bzdura. Nie potrafiłem jednak uwolnić się myśli, że Kwizytor unosił się w wodzie. Niewinni tonęli, winni pływali. Niewinni, jak ciotka Alice, która zmarła w szoku.

– Alice to zrobiła, prawda? – spytałem.

Stracharz przytaknął.

– Owszem, chłopcze. Niektórzy powiedzieliby, że to ona, lecz tak naprawdę uczynił to Mór. Dwakroć wezwała go do siebie, jego władza nad nią rośnie. Teraz Mór widzi to co ona.

– Nie powinniśmy iść dalej? – spytałem nerwowo, zerkając ponad stawem na miejsce, w którym wpadał do niego strumień. – Czy jego ludzie tu nie przyjadą?

– W końcu pewnie tak, chłopcze. To znaczy jeśli wciąż jeszcze pozostał im w piersiach dech. Mam jednak przeczucie, że jakiś czas nie będą w stanie zdziałać zbyt wiele. Nie, spodziewam się kogoś innego i jeśli się nie mylę, oto ona.

Podążyłem za wzrokiem stracharza w stronę strumienia. Na ścieżce pojawiła się drobna postać i przystanęła, wpatrując się w spadającą wodę. Potem wzrok Alice powędrował ku nam. Ruszyła brzegiem w naszą stronę.

– Pamiętaj – ostrzegł stracharz. – Mór widzi teraz jej oczami, wciąż zbiera siły i moc, poznając nasze słabości, dlatego bardzo uważaj na to, co mówisz.

Jakaś część mnie chciała krzyknąć i ostrzec Alice by uciekła, póki jeszcze może. Nie miałem pojęcia, co stracharz z nią zrobi. Inna część mnie poczuła rozpaczliwy strach przed nią. Co jednak mogłem uczynić? W głębi ducha wiedziałem, że stracharz jest jej jedyną nadzieją. Któż inny zdołałby teraz uwolnić ją od Mora?

Alice podeszła na sam brzeg, cały czas manewrując tak, bym oddzielał ją od stracharza. Wpatrywała się w trupa Kwizytora, na jej twarzy dostrzegłem mieszaninę

triumfu i grozy.

– Przyjrzyj się dobrze, dziewczyno – rzekł stracharz. – Obejrzyj z bliska swoje dzieło.

Czy było warto?

Alice przytaknęła.

– Dostał to, na co zasłużył – rzekła stanowczo.

– Owszem, ale za jaką cenę? – spytał stracharz. – Coraz bardziej należysz do mroku.

Wezwij Mora raz jeszcze, a będziesz stracona na zawsze.

Alice nie odpowiedziała. Staliśmy tam bardzo długo w milczeniu, wbijając wzrok w wodę.

– Cóż, chłopcze – rzekł stracharz. – Lepiej już ruszajmy. Ktoś inny będzie musiał zająć się ciałem, bo my mamy swoje zadanie. Co do ciebie, dziewczyno, jeśli wiesz, co dla ciebie dobre, pójdiesz z nami. A teraz posłuchaj mnie i to bardzo uważnie, bo to, co ci proponuję, to twoja jedyna nadzieja. Jedyna szansa uwolnienia się od tego stwora.

Alice uniosła głowę i spojrzała na niego okrągłymi oczami.

– Wiesz, w jakim znalazłaś się niebezpieczeństwie? Chcesz znów być wolna? – spytał.

Przytaknęła.

– Zatem podejdź tutaj! – polecił surowo.

Alice posłusznie podeszła do niego.

– Gdziekolwiek jesteś, Mór czyha niedaleko. Na razie zatem lepiej chodź ze mną i z chłopakiem. Wolę wiedzieć mniej więcej, gdzie jest ta bestia, niż pozwolić, by krążyła swobodnie po Hrabstwie, siejąc grozę wśród uczciwych ludzi. Posłuchaj mnie zatem bardzo uważnie. Na razie ważne jest, żebyś niczego nie widziała i nie słyszała – dzięki temu Mór niczego się od ciebie nie dowie. Ale wiedz, że musisz uczynić to sama, z własnej woli. Jeśli oszukasz choćby odrobinę, skończy się to źle dla nas wszystkich.

Otworzył torbę i zaczął grzebać w środku.

– To jest przepaska – oznajmił, unosząc szeroki pasek czarnego materiału i demonstrując go Alice. – założysz ją?

Alice skinęła głową i stracharz uniósł ku niej lewą rękę dłonią do góry.

– Widzisz? To woskowe zatyczki do uszu.

W każdej z nich tkwił mały srebrny ćwiek, ułatwiający wyciągnięcie wosku.

Alice przyjrzała im się z powątpiewaniem, potem jednak posłusznie przekrzywiła głowę, pozwalając, by stracharz ostrożnie wsunął pierwszy woskowy korek. Potem zrobił to samo z drugim i mocno obwiązał przepaską jej oczy.

Ruszyliśmy w drogę, kierując się na północny wschód. Stracharz prowadził Alice za



łokieć. Miałem nadzieję, że nie minimy nikogo. Co by sobie pomyśleli? Z pewnością przyciągnęlibyśmy wiele niechcianych spojrzeń.

## ROZDZIAŁ 19

### KAMIENNE GROBOWCE

Był dzień, toteż Mór na razie nam nie zagrażał, bo podobnie jak większość stworów mroku, ukrywał się pod ziemią. A ponieważ zasłoniliśmy oczy Alice i zatkaliśmy jej uszy, nie mógł dłużej patrzeć na świat jej oczami i słuchać tego, co mówimy. Nie wiedział nawet, gdzie jesteśmy.

Spodziewałem się kolejnego dnia forsownego marszu i zastanawiałem się, czy zdołamy dotrzeć do Heysham przed zmrokiem, lecz ku mojemu zdumieniu, stracharz poprowadził nas ścieżką do dużej farmy. Czekaliśmy przy bramie, słuchając ujadania psów, które mogłyby zbudzić umarłych. Stary farmer kuśtykał ku nam wsparty na lasce z troską malującą się na twarzy.

– Przepraszam – wychrypiał. – Bardzo mi przykro ale nic się nie zmieniło. Gdybym miał cokolwiek spłaciłbym dług.

Okazało się, że pięć lat wcześniej stracharz uwolnił farmę owego mężczyzny od niesforne bogina i wciąż nie otrzymał zapłaty. Teraz jej zażądał, ale nie chodziło mu o pieniądze.

Po pół godzinie siedzieliśmy już na wozie, zaprzężonym w jednego z największych roboczych koni, jakiego kiedykolwiek widziałem. Powoził syn farmera. Nim jeszcze ruszyliśmy, ze zdumieniem spojrział na Alice z przepaską na oczach.

– Przestań się gapić na dziewczynę i skup się na własnych sprawach – warknął stracharz i chłopak szybko odwrócił wzrok.

Wiózł nas z wyraźnym entuzjazmem, rad, że przez kilka godzin może odpocząć od swych obowiązków, i wkrótce przemierzaliśmy już boczne drogi na wschód od Caster. Stracharz kazał Alice

położyć się na wozie i przykrył ją słomą, by nie przyciągała wzroku innych podróżnych.

Bez wątpienia koń przywykł do większych ciężarów, bo mając na wozie tylko naszą trójkę, szybko cwałował naprzód. W dali widzieliśmy miasto Caster i zamek, gdzie wiele czarownic zginęło po długich procesach. Mieszczanie ich nie palili, tylko wieszali, toteż, jak mawiał mój ojciec, wspominając marynarskie czasy, zmieniliśmy kurs i okrążyliśmy miasto szerokim łukiem. Wkrótce zostało z tyłu, a my przejechaliśmy przez most nad rzeką Lune, a potem skręciliśmy na południowy zachód w stronę Heysham.

Stracharz kazał synowi farmera zatrzymać się na końcu drogi, nieopodal wioski.

– Wrócimy o świcie – oznajmił. – Nie martw się, nie pożałujesz, że zaczekałeś.

Wąską ścieżką wspięliśmy się na wzgórze; po prawej widziałem stary kościół i cmentarz. Tu, po zawietrznej stronie, panowały cisza i spokój, a wysokie, stare drzewa rzucały cień na nagrobki. Kiedy jednak wdrapaliśmy się na sam szczyt, poczuliśmy na twarzach silny wiatr, a w ustach słony smak morza. Przed nami widniały ruiny niewielkiej, kamiennej kaplicy, z której pozostały zaledwie trzy ściany. Znajdowaliśmy się dość wysoko: widziałem zatoczkę w dole, piaszczystą plażę i omywające ją fale przyływu, a także grzywacze, rozbijające się o skały niewielkiego przylądka w dali.

– Wybrzeża w tych okolicach są zazwyczaj płaskie – powiedział stracharz. – Nigdzie w Hrabstwie nie ma wyższych klifów. Powiadają, że tu właśnie zeszli na ląd pierwsi ludzie, którzy przybyli do Hrabstwa. Przyłynęli z kraju na zachodzie, ich łódź osiadła na skałach. Ich potomkowie zbudowali tę kaplicę.

Wskazał ręką. Tuż za ruinami dostrzegłem kamienne grobowce.

– W całym Hrabstwie nie znajdziesz niczego podobnego – rzekł stracharz.

W wielkiej kamiennej płycie na szczycie stromego wzgórza wykuto rząd sześciu trumien, wyrzeźbionych na podobieństwo

ludzkich postaci, z kamiennymi wiekami osadzonymi w zagłębieniach. Były różnych rozmiarów i kształtów, lecz wszystkie zdawały się niewielkie, jakby przeznaczone dla dzieci, choć w istocie należały do członków Małego Ludu. Sześciu synów króla Heysa.

Stracharz ukląkł przy najbliższym grobowcu. Ponad głową każdego sarkofagu w skale wycięto kwadratowy otwór; przesunął po nim palcem. Potem rozcapierzył palce lewej dłoni. Otwór liczył sobie niemal piędź szerokości.

– Do czego mogły służyć? – mruknął do siebie.

– Jak duzi byli mężczyźni z Małego Ludu? – spytałem.

Groby różniły się rozmiarami. Teraz, gdy się im przyjrzałem odkryłem, że nie są wcale tak małe, jak sądziłem.

Zamiast odpowiedzi stracharz otworzył torbę i wyjął złożony pręt mierniczy. Rozprostował go i zmierzył grób.

– Ma około pięciu stóp i pięciu cali długości – oznajmił. – I trzynaście i pół cala w najszerszym miejscu. Ale Mały Lud wraz ze zmarłymi grzebał też część ich dobytku, by służyła im w innym świecie. Niewielu wyrosło ponad pięć stóp wzrostu, większość miała znacznie mniej. Z latami każde pokolenie stawało się nieco wyższe, bo często wiązali się z przybyszami zza morza. W istocie tak naprawdę nie wymarli, ich krew wciąż płynie w naszych żyłach.

Stracharz odwrócił się do Alice i ku mojemu zdumieniu rozwiązał jej przepaskę. Następnie wyciągnął zatyczki z uszu i schował je bezpiecznie do torby. Alice zamrugła i rozejrzała się szybko. Nie wyglądała na uszczęśliwioną.

– Nie podoba mi się tutaj – poskarżyła się. – Coś jest nie tak, to złe miejsce.

– Czyżby, dziewczyno? – spytał stracharz. – To chyba najciekawsza rzecz, jaką dziś powiedziałaś. Dziwne bo osobiście uważam to miejsce za bardzo przyjemne. Nie ma jak łyk rześkiego, morskiego powietrza!

Mnie osobiście nie wydawało się wcale rześkie. Wiatr ucichł,

znad morza sięgały ku nam macki mgły robiło się coraz zimniej. Za godzinę zapadnie zmrok. Doskonale rozumiałem Alice. Było to miejsce, którego lepiej unikać po zmierzchu. Wyczuwałem tu coś, co nie wydawało mi się zbyt przyjazne.

– Coś jest w pobliżu – poinformowałem stracharza.

– Usiądźmy i pozwólmy mu do nas przywyknąć – odparł. – Nie chcielibyśmy go spłoszyć.

– Czy to duch Naze'a?

– Mam nadzieję, chłopcze! Mam szczerą nadzieję. Ale wkrótce sami się dowiemy. Cierpliwości.

Usiedliśmy na trawie nieopodal. Niebo szarzało powoli, a ja coraz bardziej się niepokoiłem.

– Co będzie, kiedy zrobi się ciemno? – spytałem stracharza. – Czy Mór się nie zjawi? Teraz, kiedy zdjąłeś Alice przepaskę, będzie wiedział, gdzie jesteśmy!

– Myślę, że nic nam tu nie grozi, chłopcze – odrzekł stracharz. – To zapewne jedyne miejsce w całym hrabstwie, którego musi unikać. Coś się tu wydarzyło i, jeśli się nie mylę, Mór nie będzie mógł się zbliżyć na więcej niż milę. I choć wie, gdzie jesteśmy, niewiele może zrobić. Mam rację, dziewczyno?

Alice zadrżała i przytaknęła.

– Próbuje do mnie przemawiać, o tak. Ale jego głos jest bardzo słaby i odległy. Nie może nawet wnikać mi do głowy.

– Na to właśnie liczyłem – oświadczył stracharz. – To znaczy, że nasza podróż nie poszła na marne.

– Chce, żebym stąd odeszła i to już. Żebym poszła do niego.

– A czy ty też tego pragniesz?

Alice pokręciła głową, zadrżała.

– Cieszę się, że to słyszę, dziewczyno. Bo, jak ci mówiłem, po następnym razie nikt już nie zdoła ci pomóc. Gdzie jest teraz?

– Głęboko pod ziemią, w ciemnej, wilgotnej jaskini. Znalazł sobie kości, ale jest głodny i mu nie wystarczą.

– Jasne. Czas brać się do roboty – powiedział stracharz. – Wy dwoje ułóżcie się pod osłoną murów – wskazał ręką ruiny kaplicy. –

Spróbujcie się przespać Ja tymczasem będę czuwał przy grobach.

Bez słowa protestu ułożyliśmy się na trawie w ruinach. Dzięki brakującej ścianie wciąż widzieliśmy stracharza i grobowce. Sądziłem, że usiądzie, ale on stał z lewą ręką wspartą na lasce.

Byłem zmęczony i wkrótce zasnąłem. Potem jednak obudziłem się nagle – Alice potrząsała mnie za ramię.

– Co się stało? – spytałem.

– Marnuje tam czas – pokazała stracharza przykucniętego obok grobów. – W pobliżu coś jest, ale z tyłu, obok żywopłotu.

– Jesteś pewna?

Przytaknęła.

– Ale to ty musisz mu powiedzieć. Nie ucieszysz się, słysząc to ode mnie.

Podszedłem do stracharza.

– Panie Gregory! – zawołałem.

Nawet nie drgnął i zacząłem się zastanawiać, czy przypadkiem nie zasnął. Potem jednak wstał powoli i odwrócił ku mnie głowę i ramiona, nie przesuwając stóp.

Pomiędzy gęstymi chmurami świeciło kilka gwiazd, lecz ich promienie nie wystarczyły, bym ujrział twarz stracharza. Kryła się w czarnym cieniu pod kapturem.

– Alice mówi, że wyczuwa coś obok żywopłotu – poinformowałem go.

– Naprawdę? – mruknął stracharz. – Zatem lepiej chodźmy to sprawdzić.

Ruszyliśmy razem w tamtą stronę. Gdy się zbliżyliśmy, zrobiło się jeszcze zimniej i zrozumiałem, że Alice miała rację. Nieopodal czaił się jakiś duch.

Stracharz wskazał palcem w dół, a potem nagle padł na kolana i zaczął rozgarniać długą trawę. Ja też ukląknęłam i pomogłam mu. Wkrótce odsłoniliśmy jeszcze dwa kamienne grobowce. Jeden miał około pięciu stóp długości, lecz drugi był dwa razy krótszy, najmniejszy ze wszystkich.

– Pogrzebano tu kogoś, w kogo żyłach płynęła czysta stara krew

– oznajmił stracharz. – Krew ta niosła ze sobą mądrość. Oto miejsce, którego szukamy. To z pewnością duch Naze'a! A teraz odejdź stąd, chłopcze i nie zbliżaj się.

– Nie mógłbym posłuchać? – poprosiłem. Stracharz pokręcił głową.

– Nie ufasz mi?

– A ty ufasz sobie? – odparł. – Zadaj sobie to pytanie! Po pierwsze, duch chętniej się pojawi, gdy pozostanie tu tylko jeden z nas. Poza tym lepiej, byś niczego nie słyszał. Pamiętaj, że Mór umie czytać w ludzkich myślach. Czy masz dość sił, by go przed tym powstrzymać? Nie możemy pozwolić, aby dowiedział się, co zamierzamy, nie może odkryć, że mamy plan, znamy jego słabości. Kiedy znajdzie się w twoich snach i zacznie grzebać w umyśle w poszukiwaniu i wskazówek, jesteś pewien, że potrafisz niczego nie zdradzić?

Nie byłem pewien.

– Odważny z ciebie chłopak, najodważniejszy z moich uczniów. Ale tym właśnie jesteś: uczniem i nie możemy o tym zapominać. Zmykaj stąd zatem – odprawił mnie gestem.

Zrobiłem, jak kazał i podreptałem z powrotem do ruin kaplicy. Alice już spała. Parę chwil siedziałem obok niej, ale nie mogłem się uspokoić. Bardzo chciałem wiedzieć, co ma do powiedzenia duch Naze'a, a co do ostrzeżenia, że Mór mógłby grzebać mi w umyśle, gdy zasnę, niespecjalnie się przejąłem. Tu byliśmy bezpieczni, a jeśli stracharz dowie się tego, czego potrzebuje, do jutrzejszej nocy rozprawimy się już z Morem.

Opuściłem zatem ruiny i zacząłem skradać się wzdłuż muru w stronę stracharza. Nie pierwszy raz nie posłuchałem mojego mistrza, lecz po raz pierwszy stawka była tak wysoka. Usiadłem oparty o mur i czekałem. Nie trwało to długo. Nawet z tej odległości poczułem przejmujący chłód, wstrząsnęły mną dreszcze. Zbliżał się któryś z umarłych, ale czy będzie to duch Naze'a?

Ponad mniejszym z dwóch grobów rozblęskło słabe światełko. Swym kształtem nie przypominało człowieka, jedynie świetlistą

kolumnę ledwie sięgającą kolan stracharza. Natychmiast usłyszałem, jak mój mistrz zaczyna ją wypytywać. Powietrze trwało bez ruchu i choć stracharz zniżał głos, dobiegało mnie każde słowo.

– Mów – polecił. – Mów, rozkazuję ci.

– Zostaw mnie. Daj mi odpocząć! – odparł duch.

Choć Naze zginął jako młody mężczyzna w kwiecie wieku, duch przemawiał głosem bardzo starego człowieka, chrapliwym, łamiącym się, przepełnionym dogłębnym znużeniem. Nie musiało jednak to oznaczać, że nie jest duchem młodzieńca. Stracharz wyjaśnił mi, że głosy duchów nie przypominają brzmienia głosu za życia. Duchy przemawiały wprost do umysłu, dlatego mogliśmy zrozumieć nawet te żyjące bardzo dawno temu i być może posługujące się zupełnie innym językiem.

– Nazywam się John Gregory, jestem siódmym synem siódmego syna – stracharz podniósł głos. – przychodzę tu, by zrobić to, co powinno zostać zrobione dawno temu, zakończyć zło, jakim jest Mór i w końcu przynieść ci spokój. Są jednak rzeczy, których muszę się dowiedzieć. Po pierwsze, podaj mi swe imię.

Zapadła długa cisza. Sądziłem już, że duch nie odpowie, w końcu jednak odezwał się.

– Jestem Naze, siódmy syn Heysa. Cóż takiego chciałbyś wiedzieć?

– Czas zakończyć wszystko raz na zawsze – oznajmił stracharz.

– Mór jest wolny. Wkrótce odzyska pełnię sił i zagrozi całej krainie. Trzeba go zniszczyć. Przybywam zatem prosić, byś podzielił się swą wiedzą. Jak uwięziłeś go w katakumbach? Jak można go zabić? Powiesz mi?

– Czy jesteś silny? – wychrypiał głos Naze'a. – Czy umiesz zamknąć swój umysł i nie pozwolić Morowi odczytać myśli?

– Owszem, umiem – odparł stracharz.

– Zatem może jest jeszcze nadzieja. Powiem ci wszystko, co wiem, i jak uwięziłem Mora. Najpierw zawarłem z nim pakt i pozwoliłem pić swoją krew. Jeszcze trzy razy mógł ją wypić, a w

zamian trzykroć musiał słuchać mych rozkazów. W najgłębszym miejscu katakumb w Priestown leży komora grobowa, w której stoją urny z prochami naszych pradawnych zmarłych, praojców naszego ludu. Właśnie do tej komory przywołałem Mora i podałem mu swą krew. W zamian okazałem się trudnym przeciwnikiem. Za pierwszym razem zażądałem, by Mór nigdy więcej nie powracał na kurhany i trzymał się z dala od miejsca, w którym leżą pogrzebani mój ojciec i bracia, bo chciałem, by mogli spoczywać w spokoju. Mór jęczał z rozpacz, bo kurhany były jego ulubioną siedzibą: spędzał tam całe dnie, tuląc do siebie kości zmarłych i wysysając zawarte w nich ostatnie wspomnienia. Lecz pakt to pakt, nie miał wyjścia, musiał posłuchać. Gdy przywołałem go po raz drugi, posłałem go z wyprawą na krańce ziemi w poszukiwaniu wiedzy. Nie było go miesiąc i dzień, co dało mi dość czasu.

Wtedy bowiem zaprząłem moich ludzi do pracy. Razem wykuli i złożyli Srebrną Bramę. Lecz nawet po powrocie Mór nic o tym nie wiedział, bo mój umysł był silny i ukrywałem swe myśli.

Gdy po raz ostatni dałem swą krew Morowi, powiedziałem mu, czego żądam, wykrzykując głośno cenę, którą musiał zapłacić.

Jesteś uwięziony w tym miejscu!, oznajmiłem, zamknięty w trzewiach katakumb. Ponieważ jednak nie potrafię skazać żadnej istoty, nawet tak obmierzłej jak ty na trwanie bez cienia nadziei, zbudowałem Srebrną Bramę. Jeśli ktokolwiek okaże się dość głupi, by otworzyć ją w twojej obecności, będziesz mógł przejść na wolność. Jednak jeśli potem kiedykolwiek wrócisz w to miejsce, zostaniesz tu uwięziony na wieczność.

I tak miękkość mego serca pokierowała mną, sprawiając, iż uwięzienie okazało się nie aż tak ostateczne, jak być mogło. Przez całe życie przepełniało mnie współczucie dla innych. Niektórzy uważali to za mą słabość w tej materii mieli rację. Nawet Mora nie potrafiłem bowiem skazać na wieczne uwięzienie, nie dając mu choćby cienia szansy na ucieczkę.

– Dość zrobiłeś – odparł stracharz. – A teraz ja dokończę twoje dzieło. Jeśli tylko zdołamy go tam zwabić, zostanie uwięziony na



zawsze. To początek. Ale jak można go zabić? Powiesz mi to? Ten stwór jest teraz tak zły, że sama izolacja już nie wystarczy. Muszę go zniszczyć.

– Najpierw musi przyoblec się w ciało. Po drugie, musi się znaleźć głęboko w katakumbach. Po trzecie, trzeba przebić mu serce srebrem. Jedynie po spełnieniu tych trzech warunków może zginąć. Lecz temu, kto podejmie próbę, grozi wielkie niebezpieczeństwo. W śmiertelnych drgawkach Mór uwolni tak wiele energii, że jego zabójca niemal na pewno zginie.

Stracharz westchnął głęboko.

– Dziękuję ci za tę wiedzę – rzekł do ducha. – Będzie trudno, ale trzeba to zrobić, bez względu na koszty. Twoje zadanie zostało spełnione. Odejdź w pokoju, przejdź na drugą stronę.

W odpowiedzi duch Naze'a jęknął tak przeciągle, że włosy zjeżyły mi się na karku. Był to jęk przepelniony cierpieniem.

– Nie będzie dla mnie spokoju – wyjęczał ze znużeniem. – Spocznię dopiero, gdy Mór w końcu zginie.

Po tych słowach niewielka kolumna światła zgasła. Nie tracąc czasu, wycofałem się wzdłuż ściany, aż do ruin. W kilka chwil później zjawił się stracharz, położył się na trawie i zamknął oczy.

– Mam wiele rzeczy do przemyślenia – wyszeptał.

Nie odpowiedziałem. Nagle ogarnęły mnie wyrzuty sumienia. Nie powinienem był słuchać jego rozmowy z duchem Naze'a. Teraz wiedziałem zbyt wiele i bałem się, że jeśli wspomnę o tym mistrzowi, odprawi mnie i sam stanie naprzeciw Mora.

– Wyjaśnię wszystko o świcie – wyszeptał. – Ale na razie prześpij się. Niebezpiecznie byłoby opuścić to miejsce przed wschodem słońca!

\*

Ku swemu zdumieniu, spałem całkiem dobrze. Tuż przed świtem obudził mnie dziwny zgrzyt. Stracharz ostrzył osełką klingę wyskakującą z końca laski. Pracował metodycznie, od czasu do czasu sprawdzając ostrze palcem. W końcu zadowolili go efekty pracy i klinga ukryła się ze szcękaniem.

Dźwignąłem się z ziemi i przez chwilę prostowałem nogi. Tymczasem stracharz otworzył torbę i zaczął w niej grzebać.

– Wiem już dokładnie, co robić – rzekł. – Możemy pokonać Mora, da się tego dokonać. Będzie to jednak najtrudniejsze zadanie, jakiego podjąłem się w życiu. Jeśli mi się nie uda, ucierpimy wszyscy.

– Co trzeba zrobić? – spytałem. Czułem się źle, bo przecież już wiedziałem.

Stracharz nie odpowiedział. Minął mnie i podszedł do Alice, która siedziała na ziemi, obejmując rękami kolana.

Założył jej przepaskę na oczy i wsunął pierwszą woskową zatyczkę.

– Zaraz dołożę drugą, ale najpierw posłuchaj mnie dobrze, dziewczyno, bo to ważne – rzekł. – Kiedy dziś wieczór wyjmę zatyczki z twoich uszu, przemówię do ciebie, a ty musisz zrobić, co każę, natychmiast, bez żadnych pytań. Zrozumiałaś?

Alice przytaknęła i stracharz wsunął drugą zatyczkę. Znów niczego nie widziała i nie słyszała, i Mór nie dowie się, co planujemy ani dokąd się udamy, chyba że w jakiś sposób zdoła odczytać moje myśli. Coraz bardziej denerwowałem się własnym postępkami. Za dużo wiedziałem.

– Teraz – stracharz odwrócił się do mnie – powiem coś, co ci się nie spodoba. Musimy wrócić do Priestown. Do katakumb.

Następnie odwrócił się na pięcie, chwycił Alice za lewy łokieć i poprowadził ją do wozu. Syn farmera wciąż czekał.

– Musimy jak najszybciej dotrzeć do Priestown. Nie oszczędzaj konia – nakazał stracharz.

– No nie wiem – odparł chłopak. – Mój staruszek spodziewa się mnie przed południem. Mamy mnóstwo pracy.

Stracharz wyciągnął srebrną monetę.

– Masz, weź ją. Dowieź nas tam przed zmierzchem a dostaniesz jeszcze jedną. Nie sądzę, by twój tato protestował. Zanadto lubi pieniądze.

Stracharz ułożył Alice na wozie, przykrywając ją słomą, tak by

nikt jej nie zauważył, i wkrótce ruszyliśmy w drogę. Jak poprzednio, ominęliśmy Caster, lecz potem, zamiast skierować się w stronę wzgórz, pojechaliśmy głównym traktem, wiodącym wprost do Priestown.

– Czy powrót za dnia nie będzie niebezpieczny? – spytałem nerwowo. Na drodze panował spory ruch, co chwila mijaliśmy inne wozy i pieszych. – Co, jeśli zauważą nas ludzie Kwizytora?

– Nie twierdzę, że nie ryzykujemy – odparł stracharz. – Ale ci, którzy nas szukają, zapewne teraz znoszą jego zwłoki ze wzgórz. Bez wątpienia zabiorą go do Priestown na pogrzeb, ale dotrą tam dopiero jutro. Do tego czasu skończymy już swoją robotę i wyruszymy w drogę. Oczywiście, musimy też pamiętać o burzy. Wszyscy rozsądni ludzie schowają się w domach przed deszczem.

Zerknąłem w niebo. Na południu zbierały się chmury, ale według mnie nie wyglądały aż tak źle. Kiedy powiedziałem to głośno, stracharz się uśmiechnął.

– Wciąż jeszcze musisz się wiele nauczyć, chłopcze. To będzie jedna z największych burz, jakie kiedykolwiek oglądałeś.

– Po ostatnich deszczach sądziłem, że czeka nas kilka pogodnych dni – poskarżyłem się.

– Bez wątpienia, chłopcze, bez wątpienia. Ale to nie jest naturalna burza. O ile się nie mylę, przywołał ją Mór, tak jak wcześniej wezwał wiatr, by zaatakował mój dom. To kolejny znak tego, jak wielką mocą dysponuje. W ten sposób wyrazi swój gniew, że nie może wykorzystać Alice. Dla nas to dobrze. Póki się skupia na dziewczynie, nie będzie myślał o mnie ani o tobie. No i pomoże nam bez problemów dostać się do miasta.

– Dlaczego musimy zejść do katakumb, by zabić Mora? – miałem nadzieję, że powie mi to, co już wiedziałem. Wówczas nie musiałbym dłużej udawać.

– Na wypadek gdybym nie zdołał go zniszczyć, chłopcze. Kiedy tam wróci, za zamkniętą Srebrną Bramę, znów znajdzie się w pułapce. Tym razem na dobre. To właśnie powiedział mi duch Naze'a. Wówczas, nawet jeśli nie uda mi się go zniszczyć,

przynajmniej przywrócić poprzedni stan rzeczy. A teraz dość już pytań. Potrzebuję spokoju.

Jechaliśmy w milczeniu aż na przedmieścia Priestown. W tym czasie niebo przybrało barwę smoły Rozdzierały je wielkie zygzaki błyskawic, nad naszymi głowami huczały gromy. Lał deszcz, wsiąkając w nasze ubrania. Było mi mokro i niewygodnie. Pożałowałem Alice, bo wciąż leżała na dnie wozu, na którym obecnie zebrał się niemal cał wody. Musiało jej być ciężko – nic nie widzieć, nie słyszeć i nie wiedzieć, dokąd zmierza, ani jak zakończy się jej podróż.

Moja własna podróż dobiegła końca znacznie wcześniej, niż przypuszczałem. Na przedmieściach Priestown, gdy dotarliśmy do ostatnich rozstajów, stracharz polecił synowi farmera zatrzymać wóz.

– Tutaj wysiadasz – rzekł, patrząc na mnie surowo.

Spojrzałem ze zdumieniem. Deszcz ściekał mu z końca nosa i spływał po brodzie, ale mój mistrz nawet nie mrugnął, wpatrując się we mnie z groźną miną.

– Chcę, żebyś wrócił do Chipenden – wskazał ręką wąską dróżkę, wiodącą mniej więcej na północny wschód. – Pójdiesz do kuchni i powiesz mojemu boginowi, że być może nie wrócę. Powtórz mu, że jeśli tak się stanie, ma chronić dom do czasu, aż będziesz gotów; pilnować go, póki nie zakończysz nauki i przejmiesz moje obowiązki. Gdy już to zrobisz, idź na północ do Caster i poszukaj Billa Arkwrighta, miejscowego stracharza. Jest trochę powolny, ale to porządny człowiek, będzie cię uczył przez najbliższe cztery lata. Potem wrócisz do Chipenden i sam podejmiesz naukę. Musisz naprawdę się przyłożyć, bo mnie już nie będzie i nie będę cię mógł szkolić.

– Dlaczego? Co się stało? Czemu nie wrócisz? – spytałem. Było to kolejne pytanie, na które znałem już odpowiedź.

Stracharz ze smutkiem pokręcił głową.

– Bo istnieje tylko jeden pewny sposób rozprawienia się z Morem i zapewne zapłacę za to życiem. Dziewczyna także, jeśli się

nie myślę. To trudne, chłopcze, ale trzeba to zrobić. Może któregoś dnia, za wiele, wiele lat, ty także staniesz przed podobnym wyborem. Mam nadzieję, że nie, ale czasami tak się zdarza. Mój własny mistrz zginął, czyniąc coś podobnego, a teraz nadeszła moja kolej. Historia czasem się powtarza i gdy to robi, musimy być gotowi złożyć w ofierze własne życie. Ofiara nierozzerwalnie wiąże się z naszym fachem, więc lepiej przywyknij do tej myśli.

Zastanawiałem się, czy stracharz myśli o klątwie. Czyżby to przez nią spodziewał się, że zginie? Gdyby umarł w podziemiach, już nikt nie zdołałby ochronić Alice, zdanej na łaskę Mora.

– Ale co z Alice? – zaprotestowałem. – Nie uprzedziłeś jej, co się stanie! Oszukałeś ją!

– Trzeba to zrobić. Zresztą dziewczyny zapewne nie da się już ocalić. Tak będzie najlepiej. Przynajmniej jej duch odejdzie wolno. To lepsze niż wieczne uwięzienie do tego ohydneho stwora.

– Proszę – błagałem. – Pozwól mi jechać z tobą. Pozwól mi pomóc.

– Najlepiej pomożesz, robiąc to, co każe – odparł niecierpliwie stracharz, po czym chwycił mnie za rękę i zepchnął brutalnie z wozu. Wylądowałem niezgrabnie i upadłem na kolana. Kiedy dźwignąłem się z ziemi, wóz już odjechał. Stracharz nie obejrzał się ani razu.

## **ROZDZIAŁ 20**

### **LIST OD MAMY**

Zaczekałem, póki niemal nie zniknął mi z oczu, a potem ruszyłem za nim biegiem, głośno chwytając oddech. Nie wiedziałem, co chcę zrobić, ale nie mogłem znieść myśli o nadchodzącym. Stracharz pogodził się z myślą o swej śmierci, a biedna Alice nie wiedziała nawet, co ją czeka.

W normalnych okolicznościach ryzyko, że mnie zauważy, nie

byłoby zbyt duże – z nieba lał deszcz, a czarne chmury sprawiały, że na dworze było ciemno jak w środku nocy. Lecz stracharz miał niezwykle czułe zmysły i gdybym zanadto się zbliżył, natychmiast by się zorientował. Biegłem zatem i maszerowałem na przemian, utrzymując dystans, lecz wciąż od czasu do czasu dostrzegając jadący przed sobą wóz. Ulice Priestown były puste i mimo deszczu nawet gdy wóz jechał daleko przede mną, wciąż słyszałem odległy stukot kopyt i zgrzyt kół na kamieniach.

Wkrótce nad dachami zajaśniała biała wapienna wieża, potwierdzając cel jazdy stracharza. Tak jak przypuszczałem, kierował się do nawiedzonego domu z piwnicą połączoną z katakumbami.

W tym momencie poczułem coś bardzo dziwnego. Nie było to zwykłe, mrozące krew w żyłach zimno, zwiastujące nadejście czegoś z mroku. Nie, przypominało raczej nagłe ukłucie lodu wewnątrz głowy. Nigdy dotąd nie przeżyłem niczego podobnego, ale ostrzeżenie było dostatecznie czytelne. Domyśliłem się, co się święci i zdołałem oczyścić umysł tuż przed tym, nim odezwał się Mór.

Znalazłem cię w końcu, o tak!

Instynktownie zatrzymałem się i zamknąłem oczy. Nawet gdy uświadomiłem sobie, że nie będzie mógł przez nie wyjrzeć, nadal nie unosiłem powiek. Stracharz mówił mi, że Mór nie postrzega świata tak jak my. Nawet gdy znajdował człowieka, tak jak pająk połączony ze swą ofiarą jedwabistą nicią, wciąż nie wiedział dokładnie, gdzie jest. Musiałem zatem dopilnować, by tak pozostało. Wszystko, co ujrzałyby moje oczy, przeniknęłoby do myśli, a Mór lada moment zacznie w nich grzebać. Może natrafi na wskazówki sugerujące, że wróciłem do Priestown.

Gdzie jesteś, chłopcze? Równie dobrze możesz mi powiedzieć. Wcześniej czy później i tak to zrobisz. Może to być dla ciebie łatwe lub bardzo trudne, sam wybieraj.

Lodowa igła przesywająca mój mózg zaczęła rosnąć, odrętwienie ogarniało całą głowę. Znów pomyślałem o mym bracie

Jamesie i o farmie, o tym, jak gonił za mną w zimie i natarł mi uszy śniegiem.

– Jestem w drodze do domu – skłamałem. – Mam tam odpocząć.

Mówiąc, wyobraziłem sobie, że wchodzę na farmę i widzę w mroku sterczące nad horyzontem Wzgórze Wisielców. Psy zaczynały szczekać, a ja zbliżałem się do tylnych drzwi, brodząc w kałużach. Deszcz chłostał mi twarz.

A gdzie Stara Kość? Powiedz mi, gdzie poszedł z dziewczyną?

– Z powrotem do Chipenden – odparłem. – Chce wtrącić Alice do dołu. Próbowałem go przekonać aby tego nie robił, ale nie posłuchał. Zawsze tak postępuje z wiedźmami.

Wyobraziłem sobie, jak szarpnięciem otwieram tylne drzwi i wchodzę do kuchni. Zasłony były zaciągnięte, te, na stole płonęła woskowa świeca w mosiężnym lichtarzu. Mama siedziała w fotelu na biegunach; kiedy wszedłem, uniosła głowę i powitała mnie uśmiechem.

I nagle Mór zniknął, a chłód zaczął ustępować. Nie powstrzymałem go przed czytaniem w myślach, ale go oszukałem. Udało mi się! W parę sekund później moja radość przygasła. Co będzie, jeśli znów złoży mi wizytę? Czy też, co jeszcze gorsze, odwiedzi moją rodzinę?

Otworzyłem oczy i zacząłem biec ile sił w nogach w stronę nawiedzonego domu. Po paru minutach znów usłyszałem turkot wozu i ponownie zacząłem na zmianę iść i biec.

W końcu wóz się zatrzymał, lecz niemal natychmiast ruszył dalej. Uskoczyłem w alejkę, widząc, jak toczy się ku mnie. Syn farmera siedział przygarbiony; poluzował lejce, a wielki koń, tłukąc kopytami o kocie łby, pędził szybko naprzód. Śpieszyło mu się do domu i wcale się temu nie dziwiłem.

Odczekałem pięć minut, pozwalając Alice i stracharzowi wejść do środka. Potem przebiegłem ulicą, uniosłem haczyk furtki. Zgodnie z moimi oczekiwaniami stracharz zamknął tylne drzwi, ale wciąż miałem przy sobie klucz Andrew i chwilę później stałem już w kuchni. Wyjąłem z kieszeni ogarek, zapaliłem go i zszedłem

do katakumb.

Gdzieś z przodu dobiegł mnie krzyk. Domyśliłem się, co się dzieje: stracharz prznosił Alice przez rzekę. Nawet w przepasce i z zatkanymi uszami wyczuła płynącą wodę.

Wkrótce ja sam także przebiegłem po kamieniach i akurat na czas dotarłem do Srebrnej Bramy. Alice i stracharz byli już po drugiej stronie. Mój mistrz klęczał, zamierzając zamknąć bramę.

Kiedy pobiegłem ku niemu, gniewnie uniósł głowę.

– Mogłem się domyślić! – krzyknął, w jego głosie dźwięczała wściekłość. – Czy mama nie nauczyła cię posłuszeństwa?

Kiedy dziś wspominam ten dzień, pojmuję, że stracharz miał rację, gdy chciał tylko odesłać mnie w bezpieczne miejsce. Ale wówczas pobiegłem naprzód, chwyciłem bramę i zacząłem ją otwierać. Stracharz chwilę stawiał opór, potem po prostu puścił kratę i przeszedł na moją stronę, dźwigając w dłoni kij.

Nie wiedziałem, co powiedzieć, nie myślałem jasno. Nie miałem pojęcia, na co liczyłem, biegnąc za nimi. Ale nagle przypomniałem sobie o klątwie.

– Chcę pomóc – rzekłem. – Andrew opowiedział mi o klątwie, o tym, że umrzesz sam w mroku, bez przyjaciela. Alice nie jest twoją przyjaciółką, ale ja owszem. Jeśli tu będę, klątwa się nie spełni.

Mistrz uniósł kij nad głowę, jakby zamierzał mnie uderzyć. Wydawał się rosnąć, górując nade mną. Nigdy nie widziałem go tak wściekłego. A potem, ku memu zdumieniu i zgrozie, opuścił kij, postąpił krok ku mnie i uderzył mnie w twarz. Zachwiałem się i cofnąłem, nie wierząc, że to się dzieje naprawdę.

Nie był to mocny cios, lecz do oczu napłynęły mi łzy i zaczęły kapać na policzki. Tato nigdy w życiu mnie nie spoliczkował. Nie mogłem uwierzyć, że stracharz to zrobił. Gdzieś w środku poczułem ból, większy niż jakikolwiek fizyczny.

Jeszcze parę chwil stracharz wpatrywał się we mnie, po czym pokręcił głową, jakbym ogromnie go zawiódł. Wrócił do bramy i zamknął ją za sobą na klucz.

– Rób, jak każę – polecił. – Przyszedłeś na ten świat nie bez



powodu. Nie marnuj życia dla czegoś, czego nie możesz zmienić. Jeśli nie dla mnie, zrób to dla twojej mamy. Wracaj do Chipenden, stamtąd idź do Caster i zrób, jak kazałem. Ona też by tego chciała. Nie przynieś jej wstydu.

To rzekłszy, odwrócił się na pięcie i prowadząc Alice za lewy łokieć, pomaszerował korytarzem. Patrzyłem za nimi, póki nie zniknęli mi z oczu.

\*

Musiałem tak czekać z pół godziny, w odrętwieniu gapiąc się na zamkniętą bramę.

W końcu, straciwszy wszelką nadzieję, odwróciłem się i ruszyłem z powrotem. Nie wiedziałem, co teraz zrobić. Pewnie posłucham poleceń stracharza. Wrócę do Chipenden i udam się do Caster. Jaki inny miałem wybór? Ale nie mogłem uwolnić się od myśli, że stracharz mnie spoliczkował. Była to zapewne nasza ostatnia rozmowa i rozstaliśmy się w gniewie.

Przeszedłem przez rzekę, ruszyłem kamienną ścieżką i wdrapałem się do piwnicy. Już na górze usiadłem na starym, spleśniałym dywanie, próbując podjąć decyzję. Nagle przypomniałem sobie inną drogę do katakumb, prowadzącą za Srebrną Bramę, włącz wiodący do piwnicy na wino, przez który uciekli więźniowie.

Czy zdołałbym dostać się tam niewidziany? To możliwe, jeśli wszyscy będą akurat w katedrze.

Ale nawet gdybym zszedł do katakumb, nie miałem pojęcia, jak mógłbym pomóc. Czy powinienem ponownie sprzeciwić się stracharzowi? Czy zmarnuję życie, choć moim obowiązkiem jest iść do Caster i nadal pobierać nauki? Czy stracharz ma rację? Czy mama zgodziłaby się, że to słuszne wyjście? Myśli wirowały mi w głowie ale nie dostrzegałem żadnej jasnej odpowiedzi.

Niczego nie byłem pewien, lecz stracharz zawsze mi powtarzał, że mam ufać instynktowi. A on mówił, bym spróbował jakoś pomóc. Nagle przypomniałem sobie o liście mamy, bo dokładnie to mi powiedziała.

Otwórz jedynie w godzinie największej próby. Zaufaj swojemu instynktowi.

Godzina wielkiej próby nadeszła, toteż nerwowo wyciągnąłem z kieszeni kurtki kopertę. Przez chwilę wpatrywałem się w nią, po czym rozdarłem ją i wyjąłem list. Przysunąłem go do świecy i zacząłem czytać.

*Kochany Tomie,*

*stoisz w obliczu ogromnego niebezpieczeństwa. Nie przewidywałam, że podobny kryzys nastąpi tak szybko i teraz mogę jedynie przygotować cię do niego, mówiąc ci, z czym masz czynienia i uprzedzając o skutkach decyzji, którą musisz podjąć.*

*Wielu rzeczy nie widzę, ale jedno jest pewne. Twój mistrz zejdzie do komory grobowej w najgłębszym miejscu katakumb i tam stawia czoło Morowi w walce na śmierć i życie. Z konieczności wykorzysta Alice, by zwabić tam Mora. Nie ma wyboru. Ale ty masz. Możesz zejść do komory grobowej i spróbować pomóc. Wtedy jednak z trojga, którzy staną naprzeciw Mora, tylko dwie osoby wyjdą z katakumb żywe.*

*Jeśli jednak teraz zawrócisz, dwójka w katakumbach z pewnością zginie. I to zginie na próżno.*

*Czasami w tym życiu trzeba się poświęcić dla dobra innych. Chciałabym dać ci pociechę, ale nie mogę. Bądź silny, zrób to, co ci nakazuje sumienie. Cokolwiek wybierzesz, zawsze będę z ciebie dumna.*

*Mama*

Przypomniałem sobie coś, co powiedział mi kiedyś stracharz wkrótce po tym, jak zostałem jego uczniem. Przemawiał z tak głębokim przekonaniem, że zapamiętałem słowo w słowo.

*Przede wszystkim nie wierzymy w proroctwa. Nie wierzymy, że przyszłość jest ustalona.*

Bardzo chciałem teraz uwierzyć w jego słowa, bo jeśli mama miała rację, jedno z nas – stracharz, Alice bądź ja – zginie w ciemnościach pod ziemią. Lecz list w dłoni świadczył bez cienia wątpliwości, że proroctwa są możliwe. Skąd inaczej mama wiedziałaby, że stracharz i Alice zejdą do komory grobowej, by stanąć do walki z Morem? I jakim cudem przeczytałem jej list akurat w tej chwili?

Instynkt? Czy wystarczy, by wszystko wyjaśnić? Zadrzałem, ogarnięty większym strachem niż kiedykolwiek, odkąd zacząłem pracować u stracharza. Miałem wrażenie, że znalazłem się w sennym koszmarze, w którym wszystko zostało ustalone z góry, a ja nie

mam żadnego wyboru. Jakież to wybór, skoro pozostawienie Alice ze stracharzem i odejście oznaczało skazanie ich na śmierć?

Istniał też jeszcze jeden powód, dla którego musiałem zejść znów do katakumb. Klątwa. Czy to dlatego stracharz mnie spoliczkował? Czy wpadł w złość, bo w głębi ducha w nią wierzył i się bał? To kolejny powód, by mu pomóc. Mama mówiła mi kiedyś, że stracharz będzie moim nauczycielem i w końcu zostanie też przyjacielem. Nie wiedziałem, czy czas ten już nadszedł, ale z całą pewnością byłem dla niego bardziej przyjacielem niż Alice i mój mistrz mnie potrzebował!

\*

Kiedy wyszedłem z podwórka w uliczkę, wciąż padał deszcz, lecz niebo już się uspokoiło. Czułem jednak, że wkrótce znów usłyszę grzmoty. Znaleźliśmy się w, jak to nazywał tato, oku burzy. I właśnie wtedy we względnej ciszy usłyszałem dzwon katedry. Nie przypominał żałobnego dźwięku, który usłyszałem w domu Andrew, głoszącego wszem i wobec samobójczą śmierć księdza. Był to radosny, pełen nadziei dzwon, wzywający wiernych na wieczorne nabożeństwo.

Zaczekałem zatem w alejce, przyciśnięty do muru, by uniknąć najgorszej ulewy. Nie wiem, czemu w ogóle się tym przejmowałem; i tak przemokłem już wcześniej do suchej nitki. W końcu dzwon przestał dzwonić. Miałem nadzieję, iż oznacza to, że wszyscy zebrali się już w katedrze i zniknęli z ulic, więc ja także ruszyłem w jej stronę.

Skręciłem za róg i pomaszerowałem w kierunku bramy. Robiło się już ciemno, niebo wciąż przesłaniały czarne chmury. A potem rozświetliła je nagła błyskawica i przekonałem się, że plac przed katedrą jest zupełnie pusty. Widziałem ciemny zarys budynku, potężne wsporniki, wysokie, sklepienie okna. Witraże rozświetlały świece. W oknie po lewej stronie drzwi widniał wizerunek świętego Jerzego, odzianego w zbroję, unoszącego miecz i tarczę z czerwonym krzyżem. Po prawej święty Piotr stał przed łodzią rybacką. A pośrodku, nad drzwiami, tkwiła złowieszcza rzeźba Mora, głowa gargulca, patrząca na mnie gniewnie.

Nie znalazłem świętego, którego imieniem mnie nazwano. Tomasz Wątpiący. Niewierny Tomasz. Nie wiedziałem, czy to mama, czy tato wybrali to imię, lecz dokonali słusznego wyboru. Nie wierzyłem w to, w co kościół; pewnego dnia zostanę pogrzebany poza cmentarzem, nie na nim. Kiedy zostanę stracharzem, moje kości nie będą mogły spocząć w poświęconej ziemi. Ale zupełnie mi to nie przeszkadzało. Jak często powtarzał stracharz, księża nie mieli o niczym pojęcia.

Słyszałem dochodzące z katedry śpiewy. Pewnie to chór, który ćwiczył, gdy

odwiedziłem ojca Cairnsa w jego konfesjonale. Przez moment pozazdrościłem im ich religii. Szczęśliwi ludzie: mieli coś, w co mogli wierzyć razem. Łatwiej byłoby siedzieć teraz w katedrze z całym tłumem, niż schodzić samotnie do zimnych mokrych katakumb.

Przeszedłem po kamieniach na szeroką zwirową ścieżkę, biegnącą równolegle do północnego muru kościoła. W chwili gdy miałem skręcić za róg, serce podskoczyło mi do gardła. Naprzeciwko wjazdu ktoś siedział, oparty plecami o ścianę, osłonięty przed deszczem. U boku miał tęgą drewnianą pałkę. To był jeden z kościelnych.

O mało nie jęknąłem w głos, powinienem był to przewidzieć. Po ucieczce więźniów z pewnością martwili się o bezpieczeństwo – a także o swoją piwnicę, pełną piw i win.

Ogarnęła mnie rozpacz i o mało się nie poddałem. Gdy jednak zawróciłem i już miałem odejść na paluszkach, usłyszałem pewien dźwięk. Wytężyłem słuch, póki nie upewniłem się ostatecznie. To był odgłos chrapania. Kościelny spał! Jakim cudem mógł przespać taką burzę?

Nie wierząc we własne szczęście bardzo, bardzo powoli ruszyłem w stronę wjazdu, starając się stąpać po żwirze jak najciszej, w obawie że strażnik mógłby obudzić się w każdej chwili. Wówczas musiałbym uciec.

Kiedy się zbliżyłem, poczułem się znacznie lepiej. Obok mężczyzny na ziemi leżały dwie puste butelki po winie. Pewnie się upił i jeszcze jakiś czas nie odzyska przytomności. Nadal jednak wolałem nie ryzykować. Ukląknęłam i bardzo ostrożnie wsunąłem w zamek klucz Andrew. W chwilę później uniosłem klapę i zsunąłem się na beczki, po czym delikatnie opuściłem ją z powrotem.

Wciąż miałem w kieszeni hubkę, krzesiwo i ogarek które zawsze noszę przy sobie. Szybko zapaliłem knot. Teraz już widziałem – ale wciąż nie miałem pojęcia, jak znaleźć komorę grobową.

## **ROZDZIAŁ 21**

### **OFLARA**

Ostrożnie wymijałem beczki i stojaki z winem, aż w końcu dotarłem do drzwi wiodących do katakumb. Wedle mojej oceny do zachodu słońca pozostał najwyżej kwadrans. Nie miałem zbyt wiele czasu. Wiedziałem, że gdy tylko słońce zajdzie, mój mistrz każe

Alice po raz ostatni przywołać Mora.

Stracharz spróbuje wbić mu w serce klingę, będzie miał jednak tylko jedną szansę. Jeśli mu się uda, uwolniona energia prawdopodobnie go zabije. Postąpił bardzo odważnie, nie wahając się przed złożeniem w ofierze swego życia. Jeśli jednak chybi, Alice także ucierpi. Mór, odkrywszy, że został oszukany i na zawsze uwięziony za Srebrną Bramą, wpadnie we wściekłość; oboje, Alice i mój mistrz, z pewnością zapłacą życiem. Jeśli stracharz nie zniszczy go bardzo szybko, stwór wprasuje ich ciała w kamień.

Na dole schodów przystanąłem. W którą stronę powinienem pójść? Natychmiast znalazłem odpowiedź, bo pamięć podsunęła mi jedno z ulubionych powiedzonek taty.

Zawsze zaczynaj marsz od lepszej nogi.

Cóż, moją lepszą nogą była lewa, toteż zamiast wybrać korytarz przed sobą, ten wiodący do Srebrnej Bramy i podziemnej rzeki, skręciłem w lewo. Ten tunel był wąski, mieściła się w nim zaledwie jedna osoba. Skręcał i opadał stromo w dół. Miałem wrażenie, że poruszam się po spirali.

Im głębiej schodziłem, tym zimniej się robiło i wiedziałem, że zmarli się zbierają. Co chwila dostrzegałem ich kątem oka: duchy Małego Ludu, niewielkie kształty migoczące słabym blaskiem, wypływające i znikające w ścianach tunelu. Podejrzewałem też, że za moimi plecami jest ich więcej niż z przodu – że podążają za mną i że wszyscy zmierzamy w to samo miejsce.

W końcu ujrzałem przed sobą błysk światła i znalazłem się w komnacie grobowej. Okazała się mniejsza, niż oczekiwałem: okrągłe pomieszczenie, liczące obie najwyżej dwadzieścia kroków średnicy. Wysoko w ścianie wyłobiono półkę, na której stały wielkie, kamienne urny, mieszczące w sobie starożytne prochy. Pośrodku powały ział okrągły otwór, przypominający komin, ciemna dziura, w której głąb nie sięgał płomień świecy. Z dziury zwisały łańcuchy i hak.

Z kamiennego sufitu ściekała woda, ściany pokrywał zielony śluz. W powietrzu wisiał ostry smród: smród zastałej wody i

zgnilizny.

Wzdłuż ścian ustawiono kamienną ławę; stracharz siedział na niej z rękami wspartymi na lasce. Po jego prawej ujrzałem Alice, nadal w przepasce i z zatkanymi uszami.

Gdy się zbliżyłem, spojrzał na mnie. Na jego twarzy nie dostrzegłem złości, jedynie przejmujący smutek.

– Jesteś jeszcze głupszy, niż sądziłem – rzekł cicho, gdy stanąłem przed nim. – Wracaj, póki jeszcze możesz. Za parę chwil będzie za późno.

Pokręciłem głową.

– Proszę, pozwól mi zostać. Chcę pomóc.

Stracharz westchnął przeciągle.

– Możesz jeszcze pogorszyć sprawę – rzekł. – jeśli Mór zorientuje się, co się święci, nie zbliży się nawet do tego miejsca. Dziewczyna nie wie, gdzie jest, a ja potrafię zamknąć przed nim umysł. Czy ty umiesz to samo? A jeśli odczyta twoje myśli?

– Już tego próbował jakiś czas temu. Chciał wiedzieć, gdzie jesteś. Gdzie ja jestem. Ale oparłem mu się i nie zdołał tego zrobić – oznajmiłem.

– Jak go zatrzymałeś? – nagle jego głos zabrzmiał szorstko.

– Okłamałem go. Udałem, że wracam do domu. Powiedziałem, że ty jesteś w drodze do Chipenden.

– I on ci uwierzył?

– Na to wyglądało – nagle ogarnęły mnie wątpliwości.

– No cóż, wkrótce się dowiemy, kiedy dziewczyna go przywoła. Cofnij się kawałek w głąb tunelu – polecił stracharz łagodniejszym tonem. – Będiesz mógł stamtąd patrzeć. Jeśli coś pójdzie nie tak, może nawet uda ci się uciec. Idź chłopcze, nie wahaj się. Już niemal czas.

Zrobiłem, jak kazał – cofnąłem się spory kawałek w głąb tunelu. Wiedziałem, że do tej pory słońce zniknęło już za horyzontem i zapadł zmierzch. Mór opuścił podziemną kryjówkę. W bezcielesnej postaci potrafił latać w powietrzu i przenikać litą skałę. Przywołany, pomknął wprost ku Alice, szybciej niż jastrząb

o złożonych skrzydłach, opadający jak kamień w stronę ofiary. Jeśli plan stracharza się powiedzie, Mór nie zorientuje się, gdzie czeka na niego Alice, a gdy już się tu znajdzie, będzie za późno. Lecz my także tu pozostaniemy, sami z rozwścieczonym duchem, który wykryje, iż został oszukany i uwięziony.

Patrzyłem, jak stracharz podnosi się z ławy i staje naprzeciw Alice. Pochylił głowę, długą chwilę trwał w bezruchu. Gdyby był księdzem, pomyślałbym, że się modli. W końcu sięgnął ku dziewczynie i ujrzałem, jak wyciąga woskową zatyczkę z jej lewego ucha. – Przywołaj Mora! – krzyknął głosem tak donośnym, że wypełnił całą komnatę i odbił się echem głębi tunelu. – Zrób to, dziewczyno, nie zwlekaj!

Alice nie odezwała się, nawet nie drgnęła. Nie musiała, bo wezwała Mora w głębi umysłu, życząc sobie, by się zjawił.

Przybył bez ostrzeżenia. W jednej chwili czekaliśmy w ciszy, w następnej powiało morderczym chłodem i w komnacie pojawił się Mór. Od szyi w górę wyglądał jak replika gargulca znad drzwi katedry: szeroko rozstawione ostre zęby, długi język, wielkie psie uszy i złowieszcze rogi. Od szyi w dół był wielką czarną, bezkształtną, przelewającą się chmurą.

Odzyskał dość sił, by przybrać pierwotną postać! Jakie szanse miał teraz stracharz?

Przez krótką chwilę Mór stał bez ruchu, rozglądając się na wszystkie strony oczami o ciemnozielonych, pionowych źrenicach. Źrenicach przypominających kozie.

A potem, pojawiwszy, gdzie jest, wydał z siebie jęk rozpaczony i bólu, tak potężny, że zagrzemiał w korytarzach, a ja poczułem wibracje przechodzące przez podeszwy butów i wnikające w głąb kości.

– Uwięziony! Znowu uwięziony! Jestem uwięziony! – krzyknął syczącym, ochrypłym, zimnym głosem, który przeszył mnie jak lód.

– Owszem – przytaknął stracharz. – Jesteś tu teraz i już pozostaniesz, uwięziony na wieki w tym przeklętym miejscu.

– Ciesz się tym, co zrobiłeś! Wciągnij w płuca ostatni dech,

Stara Kości. Oszukałeś mnie, o tak, ale po co? Co zyskasz prócz mroku śmierci? Będiesz niczym, a mnie wciąż pozostaną ludzie z góry. Nadal będą spełniać mą wolę. Przyślą mi świeżą krew! Wszystko robisz, spełźnie na niczym!

Głowa Mora zaczęła rosnąć, twarz stała się jeszcze ohydniejsza, broda wydłużyła i zakrzywiła w górę, chodząc na spotkanie haczykowatego nosa. Ciemna chmura spływała w dół, tworząc ciało. Widziałem ż szyję i zaczątki barczystych, potężnych, umięśnionych ramion, tyle że zamiast skóry pokrywała je szorstka, zielona łuska. Wiedziałem, na co czeka stracharz. W chwili, gdy ujrzy wyraźnie pierś, zada cios prosto w serce. Na moich oczach rozedrgana chmura osunęła się, tworząc ciało do pasa. Myliłem się jednak! Stracharz nie posłużył się klingą. Nagle, jakby znikąd, w jego lewej dłoni pojawił się srebrny łańcuch. Mój mistrz uniósł rękę i cisnął łańcuchem w Mora.

Już wcześniej widziałem, jak to robi, patrzyłem, jak ciskał łańcuchem w wiedźmę, Kościstą Lizzie. Łańcuch utworzył wówczas idealną spiralę i opadł na nią, przywiązując jej ręce do boków. Runęła na ziemię i mogła jedynie leżeć tam i warczeć, owinięta łańcuchem ciasno aż po zęby. Nie wątpię, że to samo zdarzyłoby się tutaj i tym razem Mór padłby bezradnie na ziemię. Lecz dokładnie w chwili, gdy stracharz szykował się do rzucenia łańcucha, Alice zerwała się z ziemi i zdarła z twarzy opaskę

Wiem, że nie zrobiła tego specjalnie, lecz w jakiś sposób znalazła się pomiędzy stracharzem i jego celem i zepsuła mu rzut. Zamiast wylądować na głowie Mora, łańcuch spadł mu na ramię. Gdy go dotknął, stwór wrzasnął z bólu i łańcuch poleciał na ziemię.

Nie był to jednak jeszcze koniec. Stracharz chwycił swój kij i gdy uniósł go w górę, szykując się do wymierzenia ciosu Morowi, usłyszałem głośny szcęk i z końca wyskoczyło ukryte ostrze, zrobione ze stopu zawierającego srebro. Metal lśnił w blasku świecy. Tę właśnie klingę stracharz ostrzył w Heysham. Widziałem już kiedyś, jak się nią posłużył, podczas ataku Kła, syna starej wiedźmy, Mateczki Malkin.



Teraz stracharz dźgnął laską szybko i mocno, prosto w Mora, celując w serce. Stwór próbował zrobić unik, ale spóźnił się i nie mógł całkowicie uniknąć ciosu. Ostrze przebiło mu lewe ramię i Mór wrzasnął w agonii. Alice cofnęła się z twarzą wykrzywioną w grymasie grozy. Tymczasem stracharz cofnął laskę, z ponurą zdeterminowaną miną gotując się do drugiego pchnięcia.

Nagle jednak obie świece zgasły, pogrążając komorę i tunel w ciemności. Gorączkowo sięgnąłem po hubkę, by znów zapalić swój ogarek. Kiedy jednak płomyk się zatlił, odkryłem, że stracharz stoi sam w komorze. Mór po prostu zniknął! Podobnie Alice!

– Gdzie ona jest? – krzyknąłem, podbiegając do stracharza, który jedynie ze smutkiem pokręcił głową.

– Nie ruszaj się – polecił. – Jeszcze nie skończyłem.

Patrzył w górę, gdzie w ciemnej dziurze w sklepieniu zniknęły łańcuchy. Ujrzałem pętlę, a obok niej drugi, pojedynczy łańcuch. Na jego końcu, niemal dotykając podłogi, wisiał wielki hak. Przypominało to bloczek i kołowrót używany przez kopaczy do opuszczania boginowych kamieni.

Stracharz wyraźnie nasłuchiwał.

– Jest gdzieś tam – wyszeptał.

– Czy to komin? – spytałem.

– Owszem, chłopcze. Coś w tym guście. Przynajmniej czasami służył temu celowi. Na długo po uwięzieniu Mora, gdy Mały Lud wymarł, słabi, niemądry ludzie w tym właśnie miejscu składali stworowi ofiary. Kominem dym przepływał do jego nory w górze. Za pomocą łańcucha wysyłali mu całopalne ofiary. Część z darczyńców w nagrodę została sprasowana!

Coś zaczynało się dziać. Poczulem przeciąg z komina, znów zrobiło się zimno. Spojrzawszy w górę, zobaczyłem coś podobnego do dymu, spływającego powoli i rozlewającego się pod sufitem komory, zupełnie jakby Mór oddawał z nawiązką wszystkie złożone mu tu całopalne ofiary! Lecz to coś było znacznie gęściejsze od dymu – wyglądało jak woda, czarny wir nad naszymi głowami. Po paru sekundach wir znieruchomiał; teraz widziałem spokojną,

nieruchomą tafłę, podobną do błyszczącej powierzchni ciemnego zwierciadła. Dostrzegłem w nim nawet nasze odbicia: stałem obok stracharza, unoszącego w gotowości kij z ostrzem wycelowanym w sufit, gotowym do pchnięcia.

To, co się wtedy stało, zdarzyło się zbyt szybko, by zdołało to zarejestrować ludzkie oko. Powierzchnia dymnego lustra ruszyła się ku nam, coś przebiło się przez nią tak szybko i mocno, że uderzony stracharz poleciał w tył. Runął ciężko na ziemię, laska wyleciała mu z ręki i z ostrym trzaskiem pękła na dwa nierówne kawałki.

Z początku stałem oszołomiony, nie mogąc myśleć ani poruszyć choćby jednym mięśniem. W końcu jednak, rozdygotany, poszedłem sprawdzić, czy stracharzowi nic się nie stało.

Leżał na plecach z zamkniętymi oczami, z nosa do otwartych ust ściekała wąska strużka krwi. Oddychał arowo i głęboko, potrząsnąłem nim zatem delikatnie, próbując go obudzić. Nie odpowiedział. Podeszedłem do złamanej laski i podniosłem mniejszy z dwóch kawałków, ten z doczepionym ostrzem, długi jak moje przedramię. Wsadziłem go sobie za pas. Stałem obok łańcucha, patrząc w górę.

Ktoś musiał pomóc Alice zniszczyć tego stwora raz na zawsze i tylko ja mogłem to zrobić. Nie mógłbym zostawić jej na pastwę Mora. Najpierw zatem spróbowałem oczyścić umysł. Stracharz pewnie ćwiczył od kilku dni, ja musiałem przygotować się natychmiast.

Wsunąłem do ust koniec świeczki, wbijając w nią zęby, po czym chwyciłem mocno oburącz pojedynczy łańcuch, starając się utrzymać go w bezruchu. Uniosłem stopy nad hak i ścisnąłem łańcuch między kolanami. Świetnie umiałem wspinać się po linach, łańcuch nie mógł aż tak się różnić. Zacząłem dość szybko przesuwać się w górę. Od zimnych ogniw piekły mnie ręce. Dotarwszy do gęstego dymu, wciągnąłem głęboko powietrze, wstrzymałem oddech i wepchnąłem głowę w mrok. Niczego nie widziałem, a choć nie oddychałem, dym wciskał mi się przez nos do

otwartych ust. Gdzieś w gardle poczułem gorzki, ostry smak, który skojarzył mi się ze spalonymi kiełbaskami.

Nagle moja głowa wynurzyła się z dymu. Podciągnąłem się wyżej, uwalniając z niego ramiona i pierś. Byłem w okrągłej komorze, niemal identycznej jak ta w dole, tyle że zamiast komina w górze tu ział szyb w podłodze, a dym wypełniał dolną połowę pomieszczenia.

W przeciwległej ścianie ujrzałem wylot tunelu wiodącego w ciemność, a także jeszcze jedną kamienną ławę, na której siedziała Alice. Dym sięgał jej niemal do kolan. Wyciągała lewą rękę w stronę Mora. Obmierzły stwór klęczał w dymie, pochylając się nad nią; zgarbione nagie plecy skojarzyły mi się z wielką zieloną ropuchą. Na moich oczach wsunął jej dłoń do swej wielkiej paszczy. Usłyszałem, jak Alice krzyczy z bólu, gdy zaczął wysysać jej krew spod paznokci. Trzeci raz posilał się krwią Alice, odkąd go uwolniła. Kiedy skończy, będzie należała do niego!

Czułem zimno, zimno lodu. Umysł miałem pusty, nie myślałem o niczym. Podciągnąłem się wyżej i zszedłem z łańcucha na kamienną posadzkę górnej komnaty. Mór był zbyt zajęty tym, co robił, by zauważyć moją obecność. Przynajmniej pod tym względem przypominał rozpruwacza z Horshaw: kiedy się posilał, nie liczyło się nic innego.

Podszedłem bliżej i wyciągnąłem zza pasa kawałek laski stracharza. Uniosłem go i przytrzymałem nad głową, celując ostrzem w porośnięty łuskami zielony grzbiet Mora. Wystarczyło tylko opuścić ręce i wbić klingę, przebijając serce. Mór przybrał postać cielesną, taki cios oznaczał jego koniec. Śmierć. Lecz w chwili, gdy napinałem mięśnie, nagle się przestraszyłem.

Wiedziałem, co mnie spotka. Uwolni się tak wiele energii, że ja także zginę. Będę duchem jak biedny Billy Bradley, który zmarł po tym, jak bogin odgryzł mu palce. Kiedyś był szczęśliwy jako uczeń stracharza, teraz leżał pogrzebany obok cmentarza w Layton. Nie mogłem znieść tej myśli.

Śmiertelnie się bałem – bałem się śmierci – i znów zacząłem się

trząść. Zaczęło się od kolan, potem dreszcze ogarnęły resztę ciała, aż w końcu zatrzęsła się nawet ręka trzymająca klingę.

Mór w jakiś sposób musiał wyczuć mój strach, bo nagle odwrócił głowę, wciąż trzymając w ustach palce Alice. Po długiej, zakrzywionej brodzie ściekała krew. I wówczas, gdy było już niemal zbyt późno, mój strach nagle zniknął, i natychmiast pojąłem, czemu tam jestem, stojąc naprzeciw Mora. Przypomniałem sobie, co napisała w liście mama.

Czasami w tym życiu trzeba się poświęcić dla dobra innych.

Ostrzegła mnie, że z trójki, która stanie do walki z Morem, tylko dwie osoby opuszczą katakumby żywe. Do tej pory nie wiedzieć czemu myślałem, że zginie stracharz bądź Alice. Teraz jednak pojąłem, iż chodziło o mnie! Nigdy nie dokończę terminu, nie zostanę stracharzem. Lecz oddając w ofierze moje życie, uratuję ich oboje. Byłem bardzo spokojny, po prostu pogodziłem się z tym, co trzeba zrobić.

Nie wątpię, że w owej ostatniej chwili Mór zorientował się, jak zamierzam postąpić. Zamiast jednak sprasować mnie na miejscu, odwrócił głowę w stronę Alice, która obdarzyła go dziwnym, tajemniczym uśmiechem.

Uderzyłem szybko, z całych sił dźgając ostrzem w serce. Nie poczułem, jak się zagłębia, lecz przed moimi oczami rozlała się dygocząca ciemność; moje ciało zatrzęsło się od stóp do głów, nie panowałem nad własnymi mięśniami. Świeca wypadła mi z ust i poczułem jak lecę. Nie trafiłem w serce!

Przez moment zdawało mi się, że umarłem. Wokół panowała ciemność, lecz przynajmniej wyglądało na to, że Mór zniknął. Zacząłem macać po podłodze w poszukiwaniu świeczki i znów ją zapaliłem. Zacząłem nasłuchiwać, gestem każąc Alice, by milczała, i usłyszałem dobiegający z tunelu dźwięk. Stąpanie dużego psa.

Wsunąłem z powrotem za pas kawałek laski z ostrzem, po czym wyciągnąłem z kieszeni kurtki srebrny łańcuch mamy i owinałem go wokół lewej dłoni i przegubu, szykując się do rzutu. W drugiej dłoni uniosłem świecę i bez dalszej zwłoki ruszyłem w ślad za

Morem.

– Nie, Tom, Nie! Zostaw go! – zawołała z tyłu Alice. – To już koniec! Możesz wracać do Chipenden!

Podbiegła do mnie, ja jednak odepchnąłem ją mocno. Zachwiała się i o mało nie upadła. Kiedy ponownie ruszyła ku mnie, uniosłem lewą dłoń tak, by ujrzała srebro.

– Cofnij się! Teraz należysz do Mora. Nie zbliżaj się, albo ciebie także zwiążę!

Mór po raz ostatni posilił się jej krwią, teraz nie mogłem już zaufać żadnemu słowu Alice. Będzie wolna dopiero, gdy stwór zginie.

Odwróciłem się do niej plecami i odszedłem szybko. Przed sobą wciąż słyszałem Mora, za plecami tupot szpiczastych trzewików Alice, biegnącej za mną w głąb tunelu. Nagle z przodu zapadła cisza.

Czy Mór po prostu zniknął i przeniósł się do innej części katakumb? Zatrzymałem się, nasłuchując, po czym z większą ostrożnością ruszyłem naprzód. I wtedy coś zobaczyłem. Coś na podłodze korytarza. Zatrzymałem się bliżej i żołądek ścisnął mi się gwałtownie, o mało nie wymiotowałem.

Brat Peter leżał na wznak. Został sprasowany. Głowę wciąż miał nietkniętą; w szeroko otwartych, wybałuszonych oczach ujrzałem grozę, którą musiał czuć w chwili śmierci. Lecz od szyi w dół jego ciało leżało płasko na kamieniach.

Widok ten mnie przeraził. Przez pierwszych kilka miesięcy terminowania widziałem wiele strasznych rzeczy i sam byłem bliski śmierci i martwych istot więcej razy, niż wolałbym pamiętać. Lecz teraz po raz pierwszy zetknąłem się ze śmiercią kogoś, kogo lubiłem – i to śmiercią straszliwą.

Stałem tak, poruszony widokiem brata Petera i Mór wybrał sobie ów właśnie moment, by wybiec ku mnie z ciemności. Przez sekundę zatrzymał się, patrząc na mnie; zielone, pionowe źrenice świeciły w mroku. Jego ciężkie, umięśnione ciało porastały szorstkie, czarne włosy, szerokie szczęki odsłaniały rzędy ostrych

żółtych zębów. Coś ściekało z długiego języka, wystającego z pyska. Zamiast śliny była to krew!

Nagle Mór zaatakował, skacząc ku mnie. Lekko poderwałem łańcuch, za moimi plecami Alice krzyknęła. W ostatniej chwili zorientowałem się, że Mór zmienił kierunek ataku. Nie ja byłem celem, lecz Alice!

Zdumiało mnie to. Przecież to ja zagrażałem Morowi, nie ona. Czemu zatem wybrał ją?

Instynktownie uwzględniłem poprawkę. W ogrodzie stracharza dziewięć razy na dziesięć trafiałem w słupek, ale tu nie było tak łatwo. Mór poruszał się szybko, zrywał się właśnie do skoku. Zamachnąłem się i cisnąłem łańcuch w stronę stwora, patrząc, jak otwiera się niczym sieć i opada na kształt spirali. Wiele godzin ćwiczeń opłaciło się – łańcuch spadł na Mora i oplótł się ciasno wokół niego. Stwór przeturlał się z przeszywającym skowyt, wciąż próbując uciec.

Teoretycznie nie powinien móc się uwolnić ani też zniknąć czy zmienić postać, ale nie zamierzałem ryzykować. Musiałem przebić mu serce i to szybko, doprowadzić wszystko do końca. Pobiegłem zatem, wyciągając zza pasa klingę i szykując się do zadania ciosu prosto w pierś. Gdy uniosłem dłoń do pchnięcia, spojrzały na mnie jego oczy. Przepelniała je nienawiść. Lecz dostrzegłem w nich także strach: absolutny strach przed śmiercią, grozę wobec nicości, która go czekała. Usłyszałem w głowie jego głos, rozpaczliwie błagający o życie.

Litości! Litości! – krzyczał. – Nic dla nas nie ma, nic! Tylko mrok. Czy tego właśnie chcesz, chłopcze? Ty też umrzesz!

– Nie, Tom, nie! Nie rób tego – zawołała Alice, dołączając do Mora. Ale ja nie słuchałem żadnego z nich. Nie dbałem o cenę, którą przyjdzie mi zapłacić. Mór musiał zginąć. Zwijał się w pętach łańcucha i musiałem pchnąć dwukrotnie, nim znalazłem jego serce.

Za trzecim razem, gdy wbiłem ostrze, Mór po prostu zniknął. Usłyszałem jednak głośny krzyk. Nigdy się nie dowiem, czy był to Mór, Alice czy może ja sam. Możliwe, że cała nasza trójka.

Poczułem potworny cios w pierś, a po nim dziwną lekkość. Wszystko ucichło i runąłem w ciemność.

\*

Nagle zorientowałem się, że stoję na brzegu wielkiej wody.

Mimo rozmiarów, bardziej przypominała jezioro niż morze, bo choć ku brzegowi wiał miły wietrzyk, woda pozostawała spokojna, gładka jak lustro. Odbijał się w niej idealny błękit nieba.

Od złocistej, piaszczystej plaży odpływały małe łódki, niedaleko za nimi widziałem wyspę. Zielona od drzew i łąk wydała mi się najcudowniejszym miejscem, jakie oglądałem w życiu. Wśród drzew na szczycie wzgórza stał budynek podobny do zamku, który widzieliśmy z podnóża wzgórz, gdy omijaliśmy Caster, lecz zamiast zimnego, szarego kamienia, ten zdawał się wzniesiony ze smug tęczy. Migotał i lśnił, a jego promienie ogrzewały mi czoło niczym przepyszne słońce.

Nie oddychałem, byłem jednak spokojny i szczęśliwy. Pomyślałem sobie, że jeśli to śmierć, to miło jest być martwym. Musiałem się dostać do tego zamku, toteż pobiegłem w stronę najbliższej łodzi, desperacko pragnąc dostać się na pokład. Gdy się zbliżyłem, ludzie spychający ją z brzegu zamarli i zwrócili ku mnie twarze. W tym momencie zrozumiałem, kim są. Byli mali, bardzo mali, mieli ciemne włosy i piwne oczy. To był Mały Lud! Sengatii!

Na mój widok uśmiechnęli się, wybiegli mi na powitanie i zaczęli mnie ciągnąć w stronę łodzi. Nigdy w życiu nie czułem się szczęśliwszy. Przyjęli mnie, chcieli, bym do nich dołączył, akceptowali. Czasy samotności dobiegły końca. Lecz w chwili, gdy miałem wejść na pokład, poczułem zimną dłoń, ściskającą lewą rękę.

Gdy się odwróciłem, nie zobaczyłem nikogo, lecz nacisk na rękę wzrastał, aż w końcu zaczęło boleć. Czułem paznokcie wbijające się w skórę. Próbowałem się uwolnić i wsiąść do łodzi, a Mały Lud starał się mi pomóc. Lecz nacisk na rękę wciąż rósł, paląc nieznośnie. Krzyknąłem i wciągnąłem w płuca bolesny haust powietrza, które uwięzło mi w gardle. W całym ciele poczułem

mrowienie, stopniowo przeradzające się w ciepło, gorąco, zupełnie jakbym płonął od środka.

\*

Leżałem na wznak w ciemnościach. Padał ulewny deszcz, czułem krople bębniące o powieki i czoło, a nawet wpadające do otwartych ust. Byłem zbyt zmęczony, by otworzyć oczy, usłyszałem jednak dobiegający z bliska głos stracharza.

– Zostaw go! – mówił. – Daj mu spokój, dziewczyno. Na razie tylko tyle możemy zrobić.

Uniosłem powieki i zobaczyłem pochylającą się nade mną Alice. Za jej plecami widziałem ciemną ścianę katedry. Alice mocno ścisnęła moje lewe przedramię, ostre paznokcie wbijały się w skórę. Schyliła się jeszcze niżej i wyszeptała mi do ucha:

– Nie zdołasz uciec tak łatwo, Tom. Już wróciłeś. Tu, gdzie twoje miejsce!

Odetchnąłem głęboko. Stracharz podszedł ku nam, nie kryjąc zdumienia. Gdy ukląkł u mego boku, Alice wstała i cofnęła się.

– Jak się czujesz, chłopcze? – spytał łagodnie, pomagając mi usiąść. – Sądziłem, że nie żyjesz. Kiedy niosłem cię z katakumb, przysięgłbym, że w twoim ciele nie pozostała nawet iskra życia.

– Co z Morem? – spytałem. – Nie żyje?

– Zgadza się, chłopcze. Załatwiłeś go i przy okazji sam o mało nie zginąłeś. Dasz radę iść? Musimy stąd zniknąć.

Za plecami stracharza widziałem strażnika z dwiema pustymi butelkami. Wciąż siedział pogrążony w pijackim śnie, lecz w każdej chwili mógł się ocknąć.

Z pomocą stracharza zdołałem podnieść się z ziemi. We trójkę zostawiliśmy za sobą katedrę, maszerując pustymi ulicami.

\*

Z początku byłem słaby i roztrzęsiony, lecz kiedy wyszliśmy pomiędzy rzędów szeregowych domów na wiejskie drogi, poczułem się lepiej. Po jakimś czasie odwróciłem się i spojrzałem w stronę leżącego w dole Priestown. Chmury odpłynęły, na niebie świecił księżyc, wieża katedry zdawała się błyszczeć w mroku.



– Już wygląda lepiej – mruknąłem, zatrzymując się na chwilę. Stracharz przystanął obok mnie i także spojrział w tamtą stronę.

– Większość rzeczy z daleka wygląda lepiej – rzekł. – I dotyczy to także większości ludzi.

Uznałem, że żartuje, toteż uśmiechnąłem się.

– Cóż – dodał z westchnieniem. – Od tej pory będzie to lepsze miejsce. Lecz mimo wszystko nieprędkiem tam wrócimy.

Po jakiejś godzinie marszu znaleźliśmy starą, opuszczoną stodołę, w której mogliśmy się schronić. Wewnątrz szalały przeciągi, przynajmniej jednak było sucho, a stracharzowi pozostał jeszcze kawałek żółtego sera. Alice niemal natychmiast zasnęła, ja jednak siedziałem bardzo długo, rozmyślając o tym, co się zdarzyło. Stracharz także nie wyglądał na zmęczonego. Siedział w milczeniu, obejmując rękami kolana. W końcu przemówił pierwszy.

– Skąd wiedziałeś, jak zabić Mora?

– Obserwowałem cię – odparłem. – Widziałem, jak mierzysz w jego serce. – Nagle jednak nie mogłem dłużej znieść własnych kłamstw i zawstydzony zwiesiłem głowę. – Nie, przepraszam – rzekłem. – To nieprawda. Podkradłem się, kiedy rozmawiałeś z duchem Naze'a. Słyszałem każde słowo.

– Faktycznie, masz za co przepraszać, chłopcze. Wiele ryzykowałeś. Gdyby Mór zdołał odczytać twe myśli.

– Naprawdę mi przykro.

– I nie wspomniałeś mi, że masz srebrny łańcuch – dodał.

– Mama mi dała – wyjaśniłem.

– I dobrze się stało. Na razie leży bezpiecznie w mojej torbie, do czasu gdy znów będziesz go potrzebował – dodał złowieszczo.

Znów zapadła cisza. Stracharz sprawiał wrażenie zamyślnego.

– Kiedy wyniosłem cię z katakumb, wydawałeś się zimny i martwy – powiedział w końcu. – Zbyt wiele razy oglądałem śmierć, by się pomylić. A potem dziewczyna złapała cię za rękę i wróciłeś. Nie wiem, co o tym sądzić.

– Byłem z Małym Ludem – rzekłem.

Stracharz pokiwał głową.

– No tak, teraz, gdy Mór nie żyje, wreszcie zaznają spokoju. Także Naze. Ale co z tobą, chłopcze? Jak to wyglądało? Bałeś się?

Pokręciłem głową.

– Bardziej się bałem, kiedy przeczytałem list mamy – odparłem.

– Wiedziała, co się stanie. Czułem, że nie mam wyboru. Ze wszystko już się zdecydowało. Ale jeśli wszystko jest z góry ustalone, to jaki sens ma życie?

Stracharz zmarszczył brwi i wyciągnął rękę.

– Daj mi ten list – zażądał.

Wyjąłem go z kieszeni i podałem mu. Przez długi czas pochylał się nad nim, ale w końcu mi go oddał. Jakiś czas czekałem w milczeniu.

– Twoja matka to przebiegła i inteligentna kobieta – powiedział w końcu stracharz. – To wyjaśnia wiele z tego, co tu napisała. Domyśliła się dokładnie, co zamierzam zrobić, pamiętaj jednak, że ma stosowną wiedzę. To nie proroctwo. Życie i tak jest dość ciężkie bez wiary w przepowiednie. Sam zdecydowałeś się zejść do katakumb. Miałeś jednak wybór: mogłeś odejść i wtedy wszystko wyglądałoby inaczej.

– Ale gdy już zdecydowałem, miała rację. We trójkę stawiliśmy czoło Morowi i tylko dwoje przeżyło. Byłem martwy, wyniosłeś mnie na powierzchnię. Jak zdołamy to wyjaśnić?

Stracharz nie odpowiedział i stopniowo cisza stawała się coraz głębsza i dłuższa. Wkrótce potem położyłem się i zasnąłem. Nie śniłem o niczym. Nie wspomniałem też o klątwie. Wiedziałem, że wolałby o tym nie rozmawiać.

## **ROZDZIAŁ 22**

### **UMOWA TO UMOWA**

Dochodziła już północ i rogaty księżyc wznosił się ponad

drzewa. Zamiast podejść do domu najbliższą drogą, stracharz poprowadził nas od wschodu. Pomyślałem o wschodnim ogrodzie i dole czekającym na Alice. Dole, który sam wykopałem.

Z pewnością nie zamierzał jej teraz tam uwięzić. Nie po tym, co zrobiła, by wszystko naprawić. Pozwoliła mu zasłonić sobie oczy i zatkać uszy woskiem. Siedziała też całymi godzinami w ciszy i ciemności, nie skarżąc się ni razu. Potem jednak ujrzałem strumień i ogarnęła mnie nowa nadzieja. Był wąski, lecz bystry, woda migotała srebrzyście w promieniach księżyca, a pośrodku koryta dostrzegłem samotny płaski kamień. Stracharz zamierzał poddać Alice próbie.

– No dobrze, dziewczyno – rzekł z surową miną. – Pójdiesz pierwsza, prowadź.

Gdy spojrzałem na Alice, zamarło mi serce. Wyglądała na przerażoną i przypomniałem sobie, jak musiałem ją przenieść przez rzekę nieopodal Srebrnej Bramy. Mór już nie żył, jego władza nad Alice zniknęła, ale wcześniej poczynił przecież szkody. Czy nie da się ich już odwrócić? Czy Alice zanadto zbliżyła się do mroku? Czy już nigdy nie będzie wolna? Nigdy nie zdoła przeprowić się przez bieżącą wodę? Czy stała się prawdziwą bezecną wiedźmą?

Alice zawahała się na brzegu i zaczęła dygotać. Dwakroć uniosła stopę, by postawić krok na kamień pośrodku strumienia i dwakroć ją opuściła. Na czoło wystąpiły jej krople potu, zaczęły spływać ku oczom i nosowi.

– No dalej, Alice, dasz radę! – zawołałem, próbując dodać jej otuchy.

W nagrodę stracharz posłał mi mordercze spojrzenie.

Z nagłym, straszliwym wysiłkiem Alice weszła na kamień i niemal natychmiast uniosła lewą nogę, przeskakując na drugi brzeg. Gdy już się tam znalazła, usiadła na ziemi i ukryła twarz w dłoniach.

Stracharz zacmokał językiem, przeprowił się przez strumień i ruszył szybko w górę zbocza, ku drzewom na skraju ogrodu. Zaczekałem z tyłu, aż Alice wstanie, potem razem poszliśmy w

miejsce, gdzie na nas czekał, z rękami splecionymi na piersi.

Gdy się z nim zrównaliśmy, stracharz niespodziewanie wystąpił naprzód i chwycił Alice. Trzymając ją za nogi zarzucił sobie na ramię. Zaczęła się szamotać i zawodzić, on jednak bez słowa złapał ją mocniej, po czym odwrócił się i pomaszerował w głąb ogrodu.

Zrozpaczony poszedłem za nim. Zmierzał wprost do wschodniego ogrodu, w miejsce gdzie spoczywały uwięzione wiedźmy i czekał pusty dół. To przecież niesprawiedliwe! Alice przeszła próbę!

– Pomóż mi, Tom! Pomóż, proszę! – krzyczała.

– Czy nie mógłbyś dać jej jeszcze jednej szansy? – błagałem. – Tylko jednej? Przeszła przez wodę. Nie jest wiedźmą.

– Tym razem upiekło jej się o włos – warknął stracharz przez ramię. – Ale ma w sobie zło, czekające tylko, by się ujawnić.

– Jak możesz tak mówić? Po wszystkim, co zrobiła.

– Tak jest najbezpieczniej. To najlepsze dla wszystkich.

I wtedy pojąłem, że nadeszła, jak mawiał mój tato, chwila prawdy. Musiałem mu powiedzieć, co wiem o Meg, choć być może znienawidzi mnie za to i nie zechce, bym dłużej pobierał u niego nauki. Możliwe jednak, iż wspomnienie przeszłości sprawi, że stracharz zmieni zdanie. Nie mogłem znieść myśli o Alice w dole. A fakt, że sam go wykopałem, po stokroć pogarszał sprawę.

Stracharz dotarł na miejsce i zatrzymał się na skraju dołu.

– Z Meg tego nie zrobiłeś! – wykrzyknąłem w chwili, gdy miał opuścić Alice w ciemność.

Odwrócił się ku mnie, na jego twarzy ujrzałem całkowite zdumienie.

– Nie uwięziłeś Meg w dole, prawda? A przecież była wiedźmą! Nie zrobiłeś tego, bo za bardzo ci na niej zależało! Proszę więc, nie rób tego Alice! To niesprawiedliwe.

Na twarzy stracharza zdumienie ustąpiło miejsca furii. Stał tam, chwiejąc się na skraju dołu. Przez moment nie wiedziałem, czy zamierza wrzucić do niego Alice, czy też wskoczyć sam. Czekałem bardzo długo, aż w końcu ku mojej uldze jego furia

minęła. Odwrócił się i odszedł, nadal dźwigając Alice.

Wyminął nowy, pusty dół, przeszedł obok dziury, w której siedziała Koścista Lizzie, zostawił za sobą groby dwóch martwych wieźm i wkroczył na ścieżkę z białych kamieni, wiodącą do domu.

Mimo niedawnej choroby, wszystkiego, co ostatnio przeszedł i ciężaru Alice na ramieniu, stracharz maszerował tak szybko, że z trudem dotrzymywałem mu kroku. Z lewej kieszeni spodni wyciągnął klucz, otworzył tylne drzwi i wszedł do środka, nim moja noga dotknęła pierwszego stopnia.

Skierował się wprost do kuchni i zatrzymał obok paleniska, na którym płomienie posyłały w głąb komina snopy iskier. W kuchni było ciepło, płonęły świece, a na stole czekały talerze i sztućce dla dwóch osób.

Powoli stracharz zsunął Alice z ramienia i postawił ją na ziemi. W chwili, gdy szpiczaste trzewiki dotknęły kamiennych płyt, ogień zgasł, świece zamigotały i o mało także nie zgasły, a w powietrzu poczułem wyraźny chłód.

W następnej chwili usłyszeliśmy gniewny warkot, od którego zabrzęczały naczynia i zawibrowała podłoga. To był bogin stracharza. Gdyby Alice weszła do ogrodu, nawet w towarzystwie mojego mistrza, rozszarpałby ją na strzępy. Ponieważ jednak stracharz ją przyniósł, bogin wyczuł jej obecność dopiero, gdy stopami dotknęła ziemi. I wyraźnie nie był zachwycony.

Stracharz położył lewą dłoń na czubku głowy Alice. Lewą stopą trzy razy tupnął mocno.

Powietrze znieruchomiało, on zaś wykrzyknął donośnym głosem:

– Usłysz mnie! Słuchaj dobrze tego, co mam ci do powiedzenia.

Odpowiedź nie padła, lecz na palenisku pojawiły się pierwsze nieśmiałe płomyki, a ziąb w powietrzu złagodniał.

– Dopóki to dziecko przebywa w moim domu, nie może jej spaść włos z głowy! – rozkazał stracharz. – Obserwuj jednak każdy jej krok i dopilnuj, by robiła tylko to co, jej każę.

To rzekłszy, ponownie tupnął trzykrotnie o kamienną posadzkę.

W odpowiedzi ogień rozgorzał na nowo, a w kuchni znów zrobiło się ciepło i przytulnie.

– A teraz przygotuj wieczerzę dla trojga – polecił stracharz. Wezwał nas gestem i ruszyliśmy za nim schodami na górę. Zatrzymał się przy zamkniętych drzwiach biblioteki.

– Dopóki tu będziesz, dziewczyno, musisz zarabiać na swoje utrzymanie – warknął. – W tym pokoju są książki, których nie da się zastąpić. Nie wpuszczę cię do środka, ale będę ci dawał po jednej, a ty możesz je skopiować. Zrozumiałaś?

Alice przytaknęła.

– Masz też drugie zadanie. Opowiesz chłopakowi wszystko, czego nauczyła cię Koścista Lizzie. I kiedy mówię wszystko, to właśnie mam na myśli. On to zapisze. Oczywiście, w większości będą to same bzdury, ale tak czy inaczej wzbogacą naszą wiedzę. Czy jesteś gotowa to zrobić?

I znów Alice przytaknęła z bardzo poważną miną.

– W takim razie ustalone – rzekł stracharz. – Będziesz spała w pokoju nad sypialnią Toma, na samej górze. A teraz przemyśl dobrze to, co ci powiem. Bogin z kuchni wie, czym jesteś i czym o mało się nie stałaś. Nie próbuj zatem niczego, bo będzie cię obserwował i najchętniej by cię rozszarpał na strzępy. – Stracharz westchnął przeciągle. – Lepiej o tym nie myśleć – uciął. – Nie dawaj mu zatem okazji. Zrobisz, co każę, dziewczyno? Czy mogę ci zaufać?

Alice przytaknęła i jej usta wygięły się w szerokim uśmiechu.

\*

Podczas kolacji stracharz nie odzywał się. Nie było to do niego podobne i przypominało ciszę przed burzą. My także milczeliśmy, lecz Alice cały czas rozglądała się wokół, raz po raz powracając wzrokiem do wielkiego, huczącego ognia, napełniającego kuchnię ciepłem.

W końcu mój mistrz odsunął talerz i westchnął.

– No dobrze, dziewczyno – rzekł. – Uciekaj do łóżka. Muszę pomówić z chłopakiem o paru rzeczach.

Kiedy Alice odeszła, stracharz odepchnął krzesło i podszedł do ognia. Pochylił się, ogrzewając dłonie nad płomieniami, a potem odwrócił się ku mnie.

– No, chłopcze – warknął. – Wyrzuć to z siebie. Jak się dowiedziałeś o Meg?

– Przeczytałem o niej w jednym z twoich dzienników – odparłem nieśmiało, pochylając głowę.

– Tak też przypuszczałem. Czyż cię nie ostrzegałem? Znów mnie nie posłuchałeś! W mojej bibliotece są rzeczy, których nie powinienesz jeszcze czytać – oświadczył surowo stracharz. – Rzeczy, na które nie jesteś gotów. Ja osądzę, co się nadaje dla ciebie, a co nie. Czy to jasne?

– Tak, proszę pana – odparłem zwracając się tak do niego po raz pierwszy od miesiący. – Ale i tak dowiedziałbym się o Meg, bo ojciec Cairns o niej wspomniał. Mówił też o Emily Burns i o tym, jak odebrałeś ją bratu, co doprowadziło do rozłamu w rodzinie.

– Niewiele się przed tobą ukryje, co?

Wzruszyłem ramionami. Ulżyło mi, że w końcu mogłem to z siebie wyrzucić.

– Cóż – stracharz z powrotem podszedł do stołu. – Dożyłem pięknego wieku i nie jestem dumny ze wszystkiego, co zrobiłem w życiu. Ale każdy medal ma dwie strony. Nikt z nas nie jest doskonały, chłopcze. Pewnego dnia dowiesz się wszystkiego, co musisz wiedzieć, a wtedy sam wyrobisz sobie o mnie zdanie. Nie ma sensu teraz grzebać się w przeszłości. Lecz co do Meg, poznasz ją, kiedy dotrzemy do Anglezarke. Będzie to wcześniej, niż myślisz, bo zależnie od pogody za jakiś miesiąc ruszymy do domu zimowego. Co jeszcze mówił ci ojciec Cairns?

– Powiedział, że sprzedałeś duszę diabłu.

Stracharz uśmiechnął się.

– Księża. Co oni wiedzą? Nie, chłopcze, moja dusza wciąż należy do mnie. Walczyłem przez wiele długich lat, by ją zachować i wbrew wszystkiemu wciąż pozostaje moja. A co do diabła... cóż, kiedyś myślałem, że zło kryje się w każdym z nas, jak drobina

hubki czekająca na iskrę, by zapłonąć. Ale ostatnio zacząłem się zastanawiać, czy może jednak za wszystkim, z czym mamy do czynienia, nie stoi coś jeszcze, ukrytego głęboko w mroku. Coś, co wzrasta w siły wraz z mrokiem. Coś, co księża nazwaliby diabłem. – Przyjrzał mi się uważnie, zielone oczy wwiercały się w moje. – A gdyby istniało coś takiego jak diabeł, chłopcze? Co byśmy wówczas zrobili?

Zastanowiłem się przez chwilę.

– Musielibyśmy wykopać naprawdę duży dół – odparłem. – Większy niż jakikolwiek wykopany dotąd przez stracharza. Potem potrzebowalibyśmy wielu worków soli i żelaza i ogromnego kamienia.

Stracharz uśmiechnął się.

– Zgadza się, chłopcze. Mielibyśmy wówczas dość pracy dla połowy kamieniarzy, kopaczy i pomocników w całym Hrabstwie. A teraz zmykaj już do łóżka. Jutro znów zacznasz lekcje i powinieneś się wyspać.

\*

Gdy otworzyłem drzwi pokoju, z cieni na schodach wyłoniła się Alice.

– Naprawdę mi się tu podoba, Tom – oznajmiła z szerokim uśmiechem. – To piękny, ciepły dom. Dobrze w nim być, zwłaszcza teraz, gdy nadchodzi zima.

Uśmiechnąłem się w odpowiedzi. Mógłbym wyjaśnić, że wkrótce wyruszymy do Anglezarke do zimowego domu stracharza, ale była taka szczęśliwa. Nie chciałem psuć jej pierwszej nocy.

– Pewnego dnia ten dom będzie nasz, Tom. Nie czujesz tego? – spytała.

Wzruszyłem ramionami.

– Nikt nie wie, co stanie się w przyszłości – odparłem, odpychając myśl o liście mamy.

– Stary Gregory ci to powiedział, prawda? Jest wiele rzeczy, których on nie wie. Będiesz lepszym stracharzem niż on, to pewne!



Alice odwróciła się i ruszyła na górę, kołysząc biodrami. Nagle obejrzała się przez ramię.

– Mór rozpaczliwie pragnął mojej krwi, o tak – rzekła. – Zawarłam z nim zatem umowę, nim jeszcze się jej napił. Chciałam jedynie wszystko naprawić. Poprosiłam, żebyście mogli odejść wolno, ty i stary Gregory. Mór się zgodził. Umowa to umowa, nie mógł więc zabić starego Gregory'ego i nie mógł skrzywdzić ciebie. Ty zabiłeś Mora, ale ja to umożliwiłam. Dlatego właśnie pod koniec to mnie zaatakował, bo ciebie nie mógł tknąć. Ale nie mów staremu Gregory'emu, on by nie zrozumiał.

To rzekłszy, zostawiła mnie samego na schodach, pozwalając, by powoli dotarło do mnie w pełni, co takiego zrobiła. W pewnym sensie ona także się poświęciła. Mór zabiłby ją, tak jak zabił Naze'a. Uratowała mnie i stracharza, ocaliła nam życie. I nigdy o tym nie zapomnę.

Oszołomiony tym, co usłyszałem, wszedłem do pokoju i zamknąłem drzwi. Potrzebowałem dużo czasu, by zasnąć.

\*

Raz jeszcze większość wydarzeń opisałem z pamięci, tylko w razie konieczności sięgając do notesu.

Alice sprawuje się znakomicie i stracharz jest naprawdę zadowolony z jej pracy. Píše bardzo szybko, lecz starannie i czytelnie. Zgodnie z obietnicą opowiada mi też o wszystkim, czego nauczyła ją Koścista Lizzie, tak bym mógł to zapisać.

Oczywiście, choć Alice o tym nie wie, nie zostanie z nami zbyt długo. Stracharz uprzedził mnie, że wkrótce za bardzo by mnie rozpraszała i nie mógłbym się skupić na nauce. Nie podoba mu się mieszkanie pod jednym dachem z dziewczyną w szpiczastych trzewikach. Zwłaszcza z dziewczyną, która tak bardzo zbliżyła się do mroku.

Mamy koniec października, wkrótce wyruszymy do zimowego domu stracharza na moczarach Anglezarke. W pobliżu jest farma, kierują nią ludzie, którym stracharz ufa. Sądzi, że pozwolą Alice zamieszkać z nimi. Kazał mi obiecać, że nic jej nie powiem. Będzie

mi smutno, gdy odejdzie.

I oczywiście poznam też Meg, wiedźmę lamie. Może spotkam też drugą kobietę stracharza. Blackrod leży blisko bagien, a tam właśnie ponoć wciąż mieszka Emily Burns. Mam przeczucie, że przeszłość stracharza kryje w sobie mnóstwo faktów, o których wciąż jeszcze nie wiem.

Wolałbym zostać tu, w Chipenden. Ale to on jest stracharzem, a ja jedynie uczniem i zdążyłem już pojąć, że zwykle ma dobry powód, by robić to, co robi.

Thomas J. Ward

## **TOM 3**

Tajemnica Starego Mistrza

The Spook's Secret

# ROZDZIAŁ 1

## NIESPODZIEWANY GOŚĆ

Był zimny, ciemny listopadowy wieczór. Siedzieliśmy z Alice przy kuchennym palenisku z moim mistrzem, stracharzem. Dni robiły się coraz chłodniejsze i wiedziałem, że już niedługo stracharz uzna, że czas ruszać do „zimowego domu” na ponurych moczarach Anglezarke.

Mnie jednak wcale się nie spieszyło. Byłem uczniem zaledwie od wiosny i nigdy jeszcze nie widziałem domu w Anglezarke, ale też jakoś nie czułem szczególnej ciekawości. Tu, w Chipenden, było mi ciepło i wygodnie, i tu właśnie wolałbym spędzić zimę.

Uniosłem wzrok znad książki z łacińskimi czasownikami, których próbowałem się nauczyć, a Alice złowiła moje spojrzenie. Siedziała na niskim stołku tuż obok paleniska, jej twarz oświetlał ciepły blask ognia. Uśmiechnęła się, a ja odpowiedziałem uśmiechem. Alice stanowiła drugi powód, dla którego nie chciałem opuszczać Chipenden. Była moją jedyną przyjaciółką i w ciągu ostatnich kilku miesięcy parę razy ocaliła mi życie. Bardzo się cieszyłem, że zamieszkała z nami: dzięki niej łatwiej znosiłem samotność, towarzyszącą życiu stracharza. Lecz mój mistrz wyznał mi w sekrecie, że Alice wkrótce nas opuści. Nigdy do końca jej nie zaufałem, bo wywodziła się z rodziny czarownic. Uważał też, że wkrótce zacznie odciągać mnie od lekcji. Kiedy zatem wyruszymy do Anglezarke, ona nie pójdzie z nami. Biedna Alice nie wiedziała o tym, a ja nie miałem serca jej powiedzieć, toteż na razie cieszyłem się kolejnym cennym wieczorem, spędzonym razem w Chipenden.

Jak się jednak okazało, miał to być ostatni taki wieczór tego roku. Gdy siedzieliśmy z Alice, czytając w blasku ognia, a stracharz drzemał w swym fotelu, nagle nasz spokój zakłóciło bicie dzwonu przyzwania. Na ów dźwięk serce ścisnęło mi się i dreszcz

przeszedł przez całe ciało. Bicie dzwonu oznaczało bowiem jedno: wezwanie dla stracharza.

Bo widzicie, nikt nigdy nie odwiedza domu stracharza, choćby dlatego, że oswojony bogin, strzegący domostwa i ogrodu, rozszarpałby na strzępy każdego gościa. Toteż mimo ciemniejącego nieba i zimnego wiatru musiałem pójść do dzwonu w wierzbowym kręgu i sprawdzić, kto potrzebuje pomocy.

Po wczesnej kolacji było mi ciepło i wygodnie, i stracharz zapewne wyczuł mą niechęć do wyjścia. Pokręcił głową, jakby zawiedziony, a jego zielone oczy rozbłyły groźnie.

– Zabieraj się, chłopcze – warknął. – To zła noc. Ktokolwiek tam jest, nie ma ochoty czekać.

Kiedy wstałem i sięgnąłem po płaszcz, Alice posłała mi współczujący uśmiech. Żałowała mnie, ale widziałem też, że cieszy się, iż może siedzieć i grzać ręce, podczas gdy ja muszę wyjść na mroźny wiatr.

Zamknąłem za sobą mocno tylne drzwi i, niosąc w lewej dłoni latarnię, pomaszerowałem przez zachodni ogród i dalej w dół zbocza. Wiatr tymczasem starał się usilnie zerwać mi płaszcz z pleców. W końcu dotarłem do łożyn na rozstajach. Było ciemno, lampa rzucała niepokojące cienie, gałęzie i pnie skręcały się niczym groźne łapy, szpony i pyski goblinów. Nad moją głową nagie konary tańczyły i dygotały, a wiatr jęczał i zawodził jak banshee, upiórzyca, ostrzegająca przed nadchodzącą śmiercią.

Lecz te rzeczy niespecjalnie mnie trapiły. Bywałem tu już wcześniej po zmroku, a podczas podróży ze stracharzem spotkałem stwory, od widoku których włosy zjeżyłyby się wam na głowach. Nie przejmowałem się zatem paroma cieniami; spodziewałem się spotkać kogoś znacznie bardziej zaniepokojonego ode mnie. Pewnie to jakiś syn farmera, którego ojciec przysłał i który teraz, dręczony przez duchy, rozpaczliwie złakniony pomocy, umiera ze strachu, bo zbliżył się na pół mili do domu stracharza.

Lecz to nie chłopak czekał między łożynami. Zatrzymałem się zdumiony. Tam bowiem, tuż pod sznurem od dzwonu, stała wysoka

postać, odziana w czarny płaszcz i kaptur, z laską w lewej ręce. To był inny stracharz!

Mężczyzna nawet nie drgnął, toteż ruszyłem ku niemu i zatrzymałem się w odległości kilku kroków. Miał szerokie bary, był nieco wyższy od mojego mistrza, nie widziałem jednak jego twarzy, bo kaptur rzucał na nią cień. Przemówił, nim zdołałem się przedstawić.

– Bez wątpienia grzeje się przy ogniu, a ciebie wysyła na ziąb. – Głos nieznanomego ociekał sarkazmem. – Nic się nie zmienia.

– Czy to pan Arkwright? – spytałem. – Jestem Tom Ward, uczeń pana Gregory'ego.

Był to logiczny domysł. Znałem tylko jednego stracharza, mojego mistrza Johna Gregory'ego, wiedziałem jednak, że istnieją też inni. Najbliżej mieszkał Bill Arkwright, wykonujący swój fach po drugiej stronie Caster i dbający o graniczne tereny Hrabstwa na północy. Istniało zatem duże prawdopodobieństwo, że to właśnie on – choć nie potrafiłem zgadnąć, po co przyszedł.

Nieznajomy odciągnął kaptur i odsłonił czarną brodę, przetykaną siwymi nitkami i potarganą szopę czarnych włosów, siwiejących na skroniach. Uśmiechnął się ustami, lecz jego oczy pozostały zimne i twarde.

– Nie twoja sprawa, kim jestem, chłopcze. Lecz twój mistrz dobrze mnie zna.

To rzekłszy, sięgnął za pazuchę, wyciągnął kopertę i wręczył mi. Obróciłem ją w palcach, oglądając szybko. Zapieczętowano ją woskiem i zaadresowano:

*Do Johna Gregory'ego.*

– Teraz już zmykaj, chłopcze. Przekaż mój list i ostrzeż swego mistrza, że wkrótce znów się spotkamy. Będę na niego czekał w Anglezarke!

Zrobiłem, jak kazał, chowając kopertę do kieszeni nogawic, niezwykle rad, że mogę odejść, bo nie czułem się dobrze w obecności owego przybysza. Gdy jednak przeszedłem parę kroków, ciekawość kazała mi się obejrzeć. Ku memu zdumieniu, nie dostrzegłem ani śladu nieznanomego. Choć nie miał czasu przejść więcej niż kilka kroków, zniknął już między drzewami.

Zdumiony, ruszyłem szybko naprzód, nie mogąc się już doczekać powrotu do domu i schronienia przed zimnymi ukąszeniami wiatru. Zastanawiałem się, co kryje w sobie list. W głosie nieznajomego dźwięczała groźna nuta, a z tego, co mówił, wynikało, iż jego spotkanie z moim mistrzem nie będzie należeć do przyjacielskich.

Z kłębiącymi się w głowie myślami minąłem ławkę, na której w cieplejsze dni stracharz udzielał mi lekcji, i dotarłem do pierwszych drzew zachodniego ogrodu. Potem jednak usłyszałem coś, co sprawiło, że zachłysnąłem się ze strachu.

Z ciemności pod drzewami dobiegł rozdzierający ryk gniewu, tak gwałtowny i przerażający, że zamarłem jak sparalizowany. Ów pulsujący dźwięk słychać było w promieniu kilku mil. Znałem go już. Wiedziałem, że oswojony bogin stracharza zamierza bronić ogrodu. Ale przed czym? Czyżby ktoś przyszedł moim śladem?

Odwrociłem się i uniosłem latarnię, patrząc niespokojnie w ciemność. Może nieznajomy szedł za mną?! Niczego nie zauważyłem, toteż wyteżyłem uszy, nasłuchując nawet najlżejszych dźwięków. Słyszałem jednak tylko wiatr wzdychający wśród drzew i odległe ujadanie farmerskiego psa. W końcu, uznawszy że nikt mnie nie śledzi, ruszyłem dalej.

Ledwie postąpiłem krok naprzód, gniewny ryk rozległ się ponownie, tym razem znacznie bliżej. Włosy zjeżyły mi się na karku, poczułem jeszcze większy strach, pojmując, iż to ja jestem obiektem furii bogina. Ale dlaczego miałyby być na mnie wściekły? Nie zrobiłem nic złego.

Stałem bez ruchu, nie ważąc się pójść dalej. Bałem się, że nawet najlżejsze poruszenie może wywołać atak. Noc była zimna, lecz na czole zaperlił mi się pot. Czułem, że grozi mi prawdziwe niebezpieczeństwo.

– To tylko Tom! – zawołałem w końcu między drzewa. – Nie ma się czego bać. Przynoszę list dla mojego pana...

Odpowiedział mi warkot, tym razem cichszy i dalszy, toteż po paru niepewnych krokach znów ruszyłem szybko przed siebie. Gdy dotarłem do domu, stracharz czekał w tylnych drzwiach z laską w ręce. Usłyszał bogina i wyszedł sprawdzić, co się stało.

– W porządku, chłopcze? – zawołał.

– Tak! – odkrzyknąłem. – Bogin był zły, ale nie wiem czemu. Już się uspokoił.

Stracharz skinął głową i wrócił do domu, zostawiając kij za drzwiami.

Gdy dotarłem do kuchni, siedział już zwrócony plecami do ognia, grzejąc nogi. Wyciągnąłem z kieszeni kopertę.

– Na rozstajach czekał nieznajomy, ubrany jak stracharz. – Podałem mu list. – Nie

chciał zdradzić swojego imienia, ale prosił, żebym dał ci to...

Mój mistrz ruszył naprzód i wyrwał mi list z dłoni. Świeca na stole natychmiast zaczęła migotać, ogień na palenisku przygasł i kuchnię wypełnił nagły chłód. Alice, zaniepokojona, uniosła wzrok i o mało nie spadła ze stołka. Lecz stracharz z coraz większym zdumieniem otworzył kopertę, wydobyl z niej list i zaczął czytać.

Kiedy skończył, uniósł brwi, z irytacją marszcząc czoło. Mamrocząc coś pod nosem, cisnął pismo w ogień.

Papier natychmiast stanął w płomieniach, zwinął się i poczerniał, a potem rozsypał się w popiół. Ze zdumieniem przyglądałem się mistrzowi: jego twarz wykrzywiała furia, zdawało się, że drży od stóp do głów.

– Jutro wczesnym rankiem, nim pogoda jeszcze się nie pogorszy, ruszamy do mego domu w Anglezarke – warknął, patrząc wprost na Alice. – Ale ty będziesz nam towarzyszyć tylko przez część drogi, dziewczyno. Zostawię cię w pobliżu Adlington.

– Adlington? – powtórzyłem. – To tam przeniósł się twój brat, Andrew, prawda?

– Zgadza się, chłopcze. Ale ona tam nie zamieszka. Na końcu wioski żyje małżeństwo farmerów, którzy są mi winni parę przysług. Mieli wielu synów, lecz niestety tylko jeden przeżył. Co gorsza, ich córka utonęła. Chłopak obecnie pracuje poza domem, a że zdrowie matki zaczyna podupadać, przyda jej się pomoc. To będzie twój nowy dom.

Alice patrzyła na stracharza oczami okrągłymi ze zdumienia.

– Mój nowy dom? To niesprawiedliwe! – wykrzyknęła. – Czemu nie mogę zostać z wami? Czy nie robiłam wszystkiego, co chciałeś?

Od jesieni, gdy mistrz pozwolił zamieszkać Alice w Chipenden, nie postawiła nawet jednego fałszywego kroku. Zarabiała na utrzymanie, sporządzając kopie ksiąg z biblioteki stracharza. Opowiedziała mi też wiele rzeczy, których nauczyła ją ciotka, czarownica Koścista Lizzie, żebym mógł je zapisać i wzbogacić moją wiedzę na temat wiedźm.

– Owszem, dziewczyno, robiłaś to, o co prosiłem, nie mogę narzekać – rzekł mój mistrz. – Ale nie o to chodzi. Nauka fachu stracharza to ciężka praca. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebuje Tom, jest dziewczyna, rozpraszająca jego uwagę. W życiu stracharza nie ma miejsca dla kobiet. W istocie to jedyne, co łączy nas z księżmi.

– Ale skąd ta nagła decyzja? Pomagałam Tomowi, nie odciągałam od nauki – zaprotestowała Alice. – I nie mogłabym pracować ciężiej. Czy ktoś napisał coś innego? – spytała ostro, wskazując gestem palenisko, na którym spłonął list.

– Co? – Stracharz zdumiony uniósł brwi, natychmiast jednak zorientował się, o co jej chodzi. – Nie, oczywiście, że nie. Lecz moja prywatna korespondencja nie powinna cię

interesować. Poza tym już zdecydowałem. – Przygwoździł ją ostrym spojrzeniem. – Nie będziemy o tym dłużej dyskutować. Będziesz mogła zacząć wszystko od początku. To szansa, byś odnalazła swoje miejsce na tym świecie, dziewczyno. I pamiętaj, ostatnia szansa.

Bez słowa, nie patrząc nawet na mnie, Alice odwróciła się i pomaszerowała gniewnie na górę. Wstałem, żeby pójść za nią i choć trochę pocieszyć, ale stracharz mnie zawołał.

– Zaczekaj tu, chłopcze! Zanim wejdiesz na górę, musimy porozmawiać, więc siadaj.

Zrobiłem, jak kazał, usiadłem przy ogniu.

– Nic, co powiesz, nie przekona mnie do zmiany zdania. Pogódź się z tym, a będzie ci łatwiej – zaczął.

– Może i tak – odparłem. – Ale istniały lepsze sposoby powiedzenia jej o tym. Z pewnością mogłeś przekazać jej to łagodniej.

– Mam ważniejsze zmartwienia niż uczucia dziewczyny – oznajmił stracharz.

Kiedy był w takim nastroju, nie dopuszczał żadnych argumentów, toteż nawet nie strzępiłem języka. Nie byłem rad, ale i tak nic nie mogłem zrobić. Wiedziałem, że mój mistrz podjął decyzję kilka tygodni wcześniej i jej nie zmieni. Osobiście nie rozumiałem, dlaczego musimy w ogóle ruszać do Anglezarke. I czemu teraz, tak nagle? Zapewne miało to coś wspólnego z nieznanym i tym, co napisał w liście. Bogin też zareagował dziwnie. Może wiedział, że mam przy sobie list?

– Nieznajomy powiedział, że spotka się z tobą w Anglezarke – wypaliłem. – Nie sprawiał zbyt miłego wrażenia. Kto to był?

Stracharz spojrział na mnie z irytacją; przez chwilę sądziłem, że nie odpowie. W końcu raz jeszcze pokręcił głową i wymamrotał coś pod nosem, po czym przemówił:

– Nazywa się Morgan, kiedyś był moim uczniem. Dodam, że uczniem, który nie sprostał wymogom, choć pobierał nauki niemal trzy lata. Jak wiesz, nie wszyscy moi uczniowie zostają stracharzami. Nie nadawał się do tej pracy i żywi do mnie urazę, to wszystko. Najpewniej w Anglezarke w ogóle go nie spotkasz. Ale gdyby się tak zdarzyło, nie zbliżaj się do niego. Zwiastuje wyłącznie kłopoty, chłopcze. A teraz zabieraj się na górę. Jak mówiłem, wyruszamy jutro rano.

– Czemu musimy przenieść się do Anglezarke na zimę? – spytałem. – Nie moglibyśmy zostać tutaj? Czy w tym domu nie byłoby nam wygodniej? – Według mnie to po prostu nie miało sensu.

– Dość już pytań zadałeś jak na jeden dzień. – W głosie stracharza dźwięczała irytacja. – Ale odpowiem ci. Nie zawsze robimy coś dlatego, że tego chcemy. A jeśli pragniesz



wygód, to nie fach dla ciebie. Czy ci się to podoba, czy nie, tamtejsi ludzie nas potrzebują – zwłaszcza gdy noce stają się dłuższe. Jesteśmy potrzebni, toteż tam idziemy. A teraz uciekaj do łóżka i ani słowa więcej!

Nie była to odpowiedź, na którą liczyłem, ale stracharz miał zawsze dobry powód, by postępować, jak postępował, a ja jako uczeń jeszcze wiele musiałem się nauczyć. Toteż posłusznie skinąłem głową i poszedłem do siebie.

## ROZDZIAŁ 2

### POŻEGNANIE Z CHIPENDEN

Alice siedziała na schodach przed moim pokojem. Czekwała na mnie. Stojąca obok świeczka rzucała na drzwi roztańczone cienie.

– Nie chcę stąd odchodzić, Tom – rzekła, podnosząc się. – Byłam tu szczęśliwa, o tak. Jego zimowy dom też nie byłby zły. Stary Gregory nie jest dla mnie sprawiedliwy!

– Przykro mi, Alice. Zgadzam się, ale podjął już decyzję. Nic nie mogę zrobić.

Widziałem, że płakała, ale nie miałem pojęcia, co jeszcze mógłbym rzec. Nagle chwyciła mnie za lewą rękę i ścisnęła mocno.

– Dlaczego zawsze jest taki? – spytała. – Czemu tak bardzo nienawidzi kobiet i dziewcząt?

– Myślę, że w przeszłości ktoś go zranił – odparłem łagodnie. Niedawno dowiedziałem się kilku rzeczy o moim mistrzu, lecz jak dotąd zachowałem je dla siebie. – Posłuchaj, powiem ci coś teraz, Alice, ale musisz przyrzec, że nie powtórzysz nikomu i nigdy nie zdradzisz stracharzowi, że usłyszałaś o tym ode mnie.

– Przyrzekam – wyszeptała, patrząc na mnie wielkimi oczami.

– Pamiętasz, jak o mało nie wtrącił cię do dołu po powrocie z Priestown?

Alice przytaknęła. Mój mistrz rozprawiał się z bezecnymi czarownicami, więżąc je w dołach. Jakiś czas temu zamierzał postąpić podobnie z Alice, choć tak naprawdę na to nie zasłużyła.

– Pamiętasz, co wtedy zawołałem?

– Niedokładnie słyszałam, Tom. Szarpałam się, byłam przerażona. Lecz cokolwiek powiedziałeś, zadziałało, bo zmienił zdanie. Zawsze będę ci za to wdzięczna.

– Przypomniałem mu tylko, że Meg nie uwięził w dole, więc nie powinien tego robić z tobą.

– Meg? – przerwała mu Alice. – Kto to? Nigdy wcześniej o niej nie słyszałam.

– Meg to czarownica, czytałem o niej w jednym z dzienników stracharza. Jako młodzieniec zakochał się w niej i chyba złamała mu serce. A co więcej, wciąż mieszka gdzieś w Anglezarce.

– Jaka Meg?

– Skelton.

– Nie, to nie może być prawda. Meg Skelton pochodziła z obcego kraju. Wróciła do domu wiele lat temu, wszyscy o tym wiedzą. Była lamią i tęskniła do swoich.

Sporo dowiedziałem się na temat lamii z książki w bibliotece stracharza. Większość z nich pochodziła z Grecji, gdzie kiedyś żyła moja mama. Dzikie lamie żywiły się ludzką krwią.

– Cóż, Alice, masz rację, że nie urodziła się w Hrabstwie, ale stracharz mówi, że wciąż tu jest i poznam ją tej zimy. Może nawet mieszka w jego domu...

– Nie bądź durniem, Tom. To raczej mało prawdopodobne. Jaka kobieta o zdrowych zmysłach zechciałaby z nim zamieszkać?

– Nie jest taki zły, Alice – przypomniałem jej. – Żyjemy w tym samym domu od tygodni i byliśmy tu szczęśliwi.

– Jeśli Meg mieszka tam u niego – twarz Alice rozjaśnił złośliwy uśmiech – nie zdziw się, jeżeli uwięził ją w dole.

Odpowiedziałem uśmiechem.

– Przekonamy się, kiedy tam dotrzemy.

– Nie, Tom. Ty się przekonasz. Ja będę mieszkać gdzie indziej. Pamiętasz? Ale nie jest tak źle, bo Adlington leży blisko Anglezarke – dodała. – To niedaleko, więc będziesz mnie mógł odwiedzać, Tom. Prawda? Zrobisz to? Dzięki temu nie będę taka

samotna...

Choć nie byłem pewien, czy stracharz pozwoli mi złożyć jej wizytę, chciałem, by poczuła się lepiej. Nagle przypomniałem sobie Andrew.

– A co z Andrew? – spytałem. – To jedyny żyjący brat stracharza, teraz mieszka i pracuje w Adlington. Mój mistrz z pewnością zechce się z nim widywać, skoro będą tak blisko siebie. I pewnie zabierze mnie ze sobą. Założę się, że często będziemy zaglądać do wioski, toteż będę cię mógł odwiedzać.

Wówczas Alice uśmiechnęła się i wypuściła moją dłoń.

– W takim razie dopilnuj tego, Tom. Będę cię oczekiwać, nie zawieź mnie. I dziękuję, że opowiedziałeś mi to wszystko o starym Gregorym. Zakochany w wiedźmie, co? Kto by pomyślał, że ma to w sobie.

To rzekłszy, chwyciła świeczkę i wspięła się po schodach. Wiedziałem, że będę za nią tęsknił, ale znalezienie pretekstu do złożenia wizyty mogło okazać się trudniejsze, niż mówiłem. Stracharz z pewnością nie będzie zachwycony: nie przepadał za dziewczętami i po wielokroć powtarzał mi, bym się ich strzegł. Opowiedziałem Alice o moim mistrzu dość, może nawet za dużo. Ale w przeszłości stracharza kryła się nie tylko Meg, był też związany z inną kobietą, Emily Burns, zaręczoną już z jednym z jego braci. Brat ów teraz nie żył, lecz skandal podzielił rodzinę, powodując wiele kłopotów. Emily ponoć także mieszkała gdzieś w pobliżu Anglezarke. Każda historia ma dwie strony i nie zamierzałem oceniać stracharza, póki nie dowiem się więcej; mimo wszystko jednak oznaczało to dwakroć tyle kobiet, co w życiu większości mężczyzn z Hrabstwa. Stracharz z pewnością wiele przeżył!

Wróciłem do siebie i postawiłem świecę na stoliku obok łóżka. Na ścianie u jego stóp widniało wiele nazwisk, wyskrobanych tam przez poprzednich uczniów. Niektórzy z powodzeniem zakończyli nauki: nazwisko Billa Arkwrighta też tam było, w lewym górnym rogu. Wielu się nie udało i musieli przerwać termin. Niektórzy

nawet zginęli. W drugim kącie widziałem nazwisko Billy'ego Bradleya. Był uczniem przede mną, ale popełnił błąd i bogin odgryzł mu palce. Billy zmarł z powodu wstrząsu i wykrwawienia.

Tej nocy starannie obejrzałem ścianę. Z tego, co wiedziałem, każdy, kto mieszkał w tym pokoju, zapisał na niej swe imię, łącznie ze mną. Zrobiłem to małymi literkami, bo nie zostało wiele miejsca, ale jednak tam było. Lecz jednego imienia brakowało. Jeszcze raz uważnie przebiegłem wzrokiem ścianę, by się upewnić, ale miałem rację: nie dostrzegłem na niej żadnego „Morgana”. Ale czemu? Stracharz mówił, że był jego uczniem. Dlaczego zatem nie dodał swojego nazwiska?

Czym Morgan różnił się od innych?

\*

Następnego ranka, po szybkim śniadaniu, spakowaliśmy się i przygotowaliśmy do drogi. Tuż przed wyjściem zakradłem się do kuchni, by się pożegnać z oswojonym boginem stracharza.

– Dziękuję za wszystkie posiłki, które przyrzadziłeś – powiedziałem w pustkę.

Nie byłem pewien, czy stracharz z zadowoleniem przyjąłby moją wizytę w kuchni i podziękowania: stale powtarzał, że nie należy zbyt bratać się ze „służbą”.

Wiedziałem jednak, iż bogina ucieszyły podziękowania, bo gdy tylko przemówiłem, spod kuchennego stołu dobiegło mnie mruczenie tak głośne, że zagrzechotały rondle i patelnie. Bogin zazwyczaj pozostawał niewidzialny, lecz od czasu do czasu przybierał postać wielkiego, rudego kota.

Zawahałem się, przywołując całą swą odwagę. Nie byłem pewien, jak bogin zareaguje na moje słowa.

– Przykro mi, że wczoraj w nocy tak cię rozżościłem. Wykonywałem tylko swoją pracę. Czy to list tak cię zaniepokoił?

Bogin nie mówił, wiedziałem zatem, że nie odpowie słowami. To instynkt kazał mi zadać to pytanie, przeczucie, że tak należało postąpić.

Nagle w kominie świsnęło, poczułem lekką woń sadzy. Z

paleniska wyleciał skrawek papieru i wylądował na dywanie. Schyliłem się i podniosłem go; był przypalony na krawędziach, a jego część skruszyła mi się w palcach, pojąłem jednak, że to wszystko, co zostało z dostarczonego przeze mnie listu Morgana.

Na spalonym kawałku papieru widniało kilka słów. Wpatrywałem się w nie długą chwilę, nim zrozumiałem, co znaczą.

*Daj mi to, co do mnie należy albo pożałujesz, że kiedykolwiek się urodziłeś. Możesz zacząć od*

To wszystko, wystarczyło jednak, by mi powiedzieć, że Morgan grozi mojemu mistrzowi. O co w tym chodziło? Czy stracharz coś mu odebrał? Coś, co z prawa mu się należało? Nie mogłem sobie wyobrazić stracharza, który cokolwiek kradnie, po prostu taki nie był. Te słowa w ogóle nie miały sensu.

Z zamyślenia wyrwał mnie krzyk mistrza, stojącego przy drzwiach frontowych.

– No chodź, chłopcze! Co ty kombinujesz? Nie guzdraj się, nie mamy całego dnia!

Zgniotłem papierek i wrzuciłem z powrotem do paleniska, po czym zabrałem kij i pobiegłem do drzwi. Alice stała już na zewnątrz, lecz stracharz czekał w progu i przyglądał mi się podejrzliwie. U jego stóp leżały dwie torby. Niewiele rzeczy spakowaliśmy, ale i tak musiałem dźwigać obie.

Teraz stracharz dał mi już moją własną torbę, choć jak dotąd nie miałem zbyt wiele dobytku, który mógłbym do niej schować. Zawierała jedynie srebrny łańcuch, podarowany przez mamę, krzesiwo i hubkę, pożegnalny prezent od taty, moje notesy i parę ubrań. Niektóre skarpetki cerowałem tyle razy, że były niemal w całości udziergane z nowych nici. Stracharz kupił mi na zimę bardzo ciepły barani kożuch; założyłem go pod płaszcz. Miałem też własny kij – nowiutki, mistrz sam go wyciął z jarzębiny, świetnie działającej na większość czarownic.

Stracharz, mimo niechęci, jaką darzył Alice, ją także hojnie obdarował. Miała nowy zimowy płaszcz z czarnej wełny, sięgający niemal kostek, z kapturem chroniącym uszy przed mrozem.

Chłód zdawał się niespecjalnie wadzić stracharzowi, który zimą nosił ten sam płaszcz i kaptur co wiosną i latem. Przez ostatnich kilka miesięcy chorował, teraz jednak wydawało się, że odzyskał siły i był równie zdrowy, jak kiedyś.

Zamknął za nami frontowe drzwi, mrużąc oczy, spojrzął w zimowe słońce i ruszył naprzód zdecydowanym krokiem. Dźwignąłem obie torby i podążyłem za nim najszybciej, jak umiałem. Alice dreptała za mną.

– A przy okazji, chłopcze – zawołał przez ramię stracharz. – W drodze na południe zatrzymamy się na farmie twojego ojca. Wciąż jest mi winien dziesięć gwinei, ostatnią część zapłaty za szkolenie!

Żałowałem, że muszę opuścić Chipenden, bo polubiłem dom i ogrody i było mi przykro, że musimy rozstać się z Alice. Ale przynajmniej będę miał okazję znów zobaczyć mamę i tatę. Serce zabiło mi mocniej ze szczęścia, pomaszerowałem naprzód z nowym zapałem. Zmierzałem do domu!

## **ROZDZIAŁ 3**

### **W DOMU**

Podczas marszu na południe co chwila oglądałem się na wzgórze. Spędziłem tak wiele czasu, spacerując tam pod chmurami, że niektóre wydawały mi się starymi przyjaciami, zwłaszcza Pika Parlicka, szczyt najbliższy domu stracharza. Lecz pod koniec drugiego dnia marszu te wielkie, znajome wzgórza stały się jedynie niską, fioletową linią na horyzoncie. Byłem bardzo rad z nowego kozucha. Pierwszą noc spędziliśmy, marznąc w pozbawionej dachu stodole. A choć wiatr osłabł, a na niebie świeciło blade słońce, z każdą godziną robiło się coraz zimniej.

W końcu zbliżyliśmy się do domu. Mój zapal i niecierpliwość rosły z każdym krokiem. Rozpaczliwie pragnąłem zobaczyć się z tatą. Podczas ostatniej wizyty właśnie dochodził do siebie po poważnej chorobie i raczej nie miał szans na odzyskanie pełni sił. I tak już wcześniej zamierzał się wycofać i na początku zimy przekazać farmę memu starszemu bratu, Jackowi, choroba jednak wszystko przyspieszyła. Stracharz nazywał dom farmą mego ojca, ale tak naprawdę już nią nie była.

Wreszcie zobaczyłem w oddali stodołę i znajomy budynek z pióropuszem dymu, wznoszącym się z komina. Otaczające go pola i nagie drzewa wyglądały ponuro i zimowo, i nagle zapragnąłem ogrzać dłonie przy kuchennym ogniu.

\*

Mój mistrz zatrzymał się na końcu drogi.

– No, chłopcze, nie sądzę, by twój brat i jego żona ucieszyli się na nasz widok. Fach stracharza budzi lęk u większości ludzi, nie powinniśmy zatem mieć im tego za złe. Ruszaj i przynieś pieniądze, my z dziewczyną zaczekamy tutaj. Bez wątpienia nie możesz się już doczekać spotkania z rodziną, ale nie zwlekaj dłużej niż godzinę. Gdy ty będziesz siedział przy ciepłym ogniu, my będziemy marzli tutaj!

Miał rację. Mój brat Jack i jego żona nie przepadali za fachem stracharza i ostrzegli mnie w przeszłości, bym nie sprowadzał pracy za ich próg. Zostawiłem zatem Alice z mistrzem i pobiegłem dróżką na farmę. Gdy otworzyłem bramę, rozszczękały się psy i Jack wyłonił się zza rogu. Odkąd zostałem uczniem stracharza, niezbyt dobrze się dogadywaliśmy, lecz teraz wyraźnie ucieszył się na mój widok. Jego twarz rozjaśnił szeroki uśmiech.

– Dobrze cię znów widzieć, Tom – rzekł, obejmując mnie ramieniem.

– Ciebie też, Jack. Ale powiedz, jak się miewa tato?

Uśmiech zniknął z twarzy mego brata równie szybko, jak się pojawił.

– Po prawdzie, Tom, nie sądzę, by czuł się dużo lepiej niż wtedy, gdy byłeś tu ostatnio. Niektóre dni są lepsze, lecz rankiem kaszle i odpluwa tak mocno, że ledwie dycha. Boli mnie, gdy to słyszę. Chcemy mu pomóc, ale nic nie możemy zrobić.

Ze smutkiem pokręciłem głową.

– Biedny tato. Jestem w drodze na południe, gdzie spędzę zimę, i wpadłem po resztę pieniędzy, które ojciec jest winien stracharzowi. Bardzo chciałbym zostać, ale nie mogę. Mój mistrz czeka na końcu drogi, mamy wyruszyć za godzinę.

Nie wspomniałem o Alice. Jack wiedział, że jest siostrzenicą czarownicy i bardzo jej nie lubił. Raz już skrzyżowali klingi, nie chciałem oglądać powtórek.

Mój brat obejrzał się w stronę drogi, po czym zmierzył mnie

ważnym spojrzeniem.

– Ubierasz się już jak stracharz – rzekł z uśmiechem.

Miał rację. Zostawiłem torby pod opieką Alice, ale miałem na sobie czarny płaszcz i z kijem w dłoni wyglądałem jak mniejsza wersja mojego mistrza.

– Jak ci się podoba kozuch? – spytałem, odrzucając płaszcz na ramiona i demonstrując nowy nabytek.

– Wygląda na ciepły.

– Pan Gregory mi go kupił; mówi, że mi się przyda. Ma dom na moczarach Anglezarke, niedaleko Adlington. Tam właśnie spędzimy zimę, a w tamtych okolicach panują potężne mrozy.

– O tak, będzie tam zimno, bez dwóch zdań. Cóż, lepiej, żebyś ty marzył, niż ja. A teraz muszę wracać do pracy – dodał. – No, nie każ mamie czekać. Dziś rano była radosna i pogodna, musiała czuć, że się zjawisz.

To rzekłszy, Jack ruszył z powrotem przez podwórze, w drzwiach stodoły zatrzymał się i pomachał mi. Odpowiedziałem, unosząc rękę, po czym podszedłem do kuchennych drzwi. Całkiem prawdopodobne, iż mama wiedziała, że przychodzę. Umiała przewidzieć podobne rzeczy. Jako uzdrowicielka i akuszerka często wiedziała wcześniej, że ktoś przybędzie po pomoc.

Otworzywszy tylne drzwi, ujrzałem ją siedzącą w bujanym fotelu przy kominku. Zaciągnęła zasłony, bo nie lubi słonecznego światła. Gdy wszedłem do kuchni, uśmiechnęła się promiennie.

– Dobrze cię widzieć, synu. Chodź tu i uściśnij mnie, a potem opowiedz, co u ciebie.

Podszedłem, a ona objęła mnie mocno. Potem przysunąłem sobie krzesło. Wiele się wydarzyło od naszego ostatniego spotkania jesienią, ale wysłałem jej długi list, opisujący wszystkie niebezpieczne przygody, które przeżyliśmy z mistrzem, gdy kończyliśmy nasze zadanie w Priestown.

– Dostałaś mój list, mamu?

– Tak, Tom, dostałam i bardzo mi przykro, że nie odpisałam. Ale byłam okrutnie zajęta, a wiedziałam, że zajrzysz tu w drodze



na południe. Jak się miewa Alice?

– W końcu okazała się dobra, mamó. I była szczęśliwa, mieszkając z nami w Chipenden. Problem w tym, że stracharz wciąż jej nie ufa. Idziemy do jego domu zimowego, ale Alice zamieszka na farmie z ludźmi, których nigdy nie spotkała.

– Wydaje się to surowe – odparła mama – lecz jestem pewna, że pan Gregory wie, co robi. Wszystko będzie dobrze. Co do Angleszarke, uważaj tam na siebie, synu. To ponure moczary. Alice ma więcej szczęścia, niż myślisz.

– Jack powiedział mi o tacie. Jest tak źle, jak przypuszczałaś, mamó? – spytałem.

Gdy widziałem ją ostatnio, skrywała przed Jackiem swe największe obawy, lecz mnie zasugerowała, że życie taty dobiega końca.

– Miałam nadzieję, że odzyska choć część sił. Trzeba będzie uważnej opieki, by przetrzymał zimę, a podejrzewam, że będzie ona gorsza niż wszystkie, które do tej pory oglądałam w Hrabstwie. Jest na górze i śpi, za kilka minut zabiorę cię do niego.

– Jack natomiast wydaje się pogodniejszy – zauważyłem, próbując polepszyć nastrój. – Może pogodził się z myślą o posiadaniu stracharza w rodzinie.

Mama uśmiechnęła się szeroko.

– I powinien. Podejrzewam jednak, że ma to więcej wspólnego z faktem, iż Ellie znów spodziewa się dziecka i tym razem będzie to chłopak, jestem pewna. Jack zawsze pragnął mieć syna, kogoś, kto pewnego dnia odziedziczyłby farmę.

Ucieszyłem się z powodu nowego bratanka. Mama nigdy nie myliła się w takich sprawach. Nagle uświadomiłem sobie, że w domu panuje cisza, zbyt wielka cisza.

– Gdzie właściwie jest Ellie? – spytałem.

– Przykro mi, Tom, ale wybrałeś zły dzień na wizytę. Zwykle we środy odwiedza swoją mamę i tatę i zabiera ze sobą małą Mary. Szkoda, że nie możesz zobaczyć dziecka. Jak na osiem miesięcy to duża dziewczynka i raczkuje tak szybko, że trzeba mieć oczy z tyłu

głowy. Ale wiem, że twój mistrz na ciebie czeka, a na dworze jest zimno. Chodź na górę, zobaczyć ojca.

\*

Tato smacznie spał, ale że opierał się na czterech poduszkach, wyglądał, jakby niemal siedział.

– W tej pozycji łatwiej mu oddychać – wyjaśniła mama. – Wciąż ma częściowo zatkane płuca.

Tato oddychał głośno, twarz miał szarą, na czole dostrzegłem krople potu. Po prawdzie wyglądał na ciężko chorego – zaledwie cień silnego, zdrowego mężczyzny, który kiedyś sam kierował farmą i jednocześnie wychowywał siedmiu synów.

– Posłuchaj, Tom. Wiem, że chciałbyś zamienić z nim parę słów, ale zeszłej nocy nie mógł zasnąć. Lepiej go teraz nie budzić. Co ty na to?

– Oczywiście, mamó – zgodziłem się, pożałowałem jednak, że nie będę mógł porozmawiać z tatą. Był taki chory, iż wiedziałem, że może więcej już go nie zobaczyć.

– Pocałuj go więc, synu i zostawimy go samego...

Spojrzałem na mamę ze zdumieniem. Nie pamiętałem, kiedy ostatni raz całowałem tatę; wystarczył nam szybki uścisk dłoni bądź klepnięcie w ramię.

– No dalej, Tom, pocałuj go w czoło – nalegała mama. – I życz mu zdrowia. Może i śpi, ale jakaś część jego cię usłyszy. Dzięki temu poczuje się lepiej.

Spojrzałem na mamę i nasze oczy się spotkały. W jej wzroku dostrzegłem stal i poczułem siłę jej woli. Zrobiłem zatem dokładnie tak, jak kazała, nachyliłem się nad łóżkiem i ucałowałem tatę lekko w ciepłe, wilgotne czoło. Nozdrza wypełniła mi osobliwa woń, której nie potrafiłem rozpoznać, zapach kwiatów. Kwiatów, których nie umiałem nazwać.

– Wracaj do zdrowia, tato – wyszeptałem bardzo cicho. – Zjawię się wiosną i przyjdę cię odwiedzić.

Nagle zaschło mi w ustach. Gdy oblizawałem wargi, poczułem sól z jego czoła. Mama uśmiechnęła się ze smutkiem, wskazując drzwi

sypialni.

Właśnie wychodziłem, kiedy tato rozkasłał się i zakrztusił. Odwróciłem się z troską i w tej samej chwili otworzył oczy, patrząc wprost na mnie.

– Tom! Tom! Czy to ty? – zawołał, po czym wstrząsnął nim kolejny atak kaszlu.

Mama przecisnęła się obok mnie i niespokojnie pochyliła nad tatą, gładząc jego czoło, aż w końcu kaszel ustał.

– Tom jest tutaj – rzekła. – Ale proszę, nie męcz się zbyt długą rozmową.

– I jak, chłopcze, ciężko pracujesz? Twój mistrz jest z ciebie zadowolony? – spytał tato głosem tak słabym i ochrypłym, jakby coś utknęło mu w gardle.

– Tak, tato, wszystko idzie świetnie. W istocie to jeden z powodów, dla których przychodzę – podszedłem do łóżka. – Mój mistrz zdecydowanie chce mnie zatrzymać i prosi o ostatnich dziesięć gwinei, które jesteś mu winien za mój termin.

– To dobre wieści, synu, bardzo się cieszę. I jak, podoba ci się praca w Chipenden?

– Owszem, tato – odparłem z uśmiechem. – Ale teraz, na zimę, wyruszamy do domu na moczarach Anglezarke.

Nagle na twarzy taty dostrzegłem niepokój.

– Och, wolałbym, żebyś tam nie szedł, synu – zerknął na mamę. – O tym miejscu krążą dziwne opowieści, a żadna z nich dobra. Będziesz musiał mieć tam oczy dookoła głowy. Uważaj, by zawsze być blisko mistrza i słuchać każdego jego słowa.

– Poradzę sobie, tato, nie martw się. Z każdym dniem wiem co raz więcej.

– Jestem tego pewien, synu. Muszę przyznać, że miałem wątpliwości przed oddaniem cię do terminu u stracharza, ale twoja mama miała rację. To trudna praca, lecz ktoś musi ją wykonywać. Opowiedziała mi o wszystkim, co już osiągnąłeś, i jestem naprawdę dumny z tak dzielnego syna. Nie znaczy to, że mam jakichś ulubieńców. Siódemka moich synów to sami dobrzy chłopcy.

Kocham ich wszystkich i jestem z nich dumny. Mam jednak przecucie, że ty okażesz się najlepszy.

Uśmiechnąłem się tylko, nie wiedząc, co rzec. Tato odpowiedział uśmiechem, po czym przymknął oczy i po chwili rytm jego oddechu zmienił się, a on sam z powrotem osunął się w sen. Mama wezwała mnie gestem do drzwi, razem opuściliśmy pokój.

\*

Gdy wróciliśmy do kuchni, spytałem ją o dziwny zapach.

– Skoro pytasz, nie będę tego ukrywać, Tom. Oprócz bycia siódmym synem siódmego syna odziedziczyłeś coś po mnie. Oboje jesteśmy wrażliwi na, jak to nazywamy, „zwiastuny śmierci”. To, co czujesz, to zapach nadchodzącej śmierci.

Coś ścisnęło mnie w gardle, pod powiekami zakłuły łzy. Mama natychmiast podeszła i objęła mnie ramieniem.

– Och, Tom, postaraj się nie martwić. To nie znaczy, że twój tato umrze za tydzień, miesiąc czy nawet za rok. Lecz im silniejsza woń, tym bliższa śmierć. Jeśli ktoś wyzdrowieje, zapach znika. Tak samo jest z twoim tatą. Czasami zapach ledwie da się wyczuć. Staram się, jak mogę, i wciąż istnieje nadzieja. Tak czy inaczej, oto tajemnica zapachu. Dziś nauczyłeś się czegoś nowego.

– Dzięki, mam – odparłem ze smutkiem, szykując się do drogi.

– Nie odchodź w tym stanie. – Głos mamy zabrzmiał miękko i łagodnie. – Usiądź przy ogniu, a ja naszykuję ci kanapki na drogę.

Zrobiłem, jak kazała. Patrzyłem, jak szybko zawija paczuszkę z kanapkami z szynką i kurczakiem dla całej naszej trójki.

– Nie zapomniałeś o czymś? – spytała, wręczając mi paczkę.

– Pieniądze pana Gregory'ego! – odparłem. – Na śmierć zapomniałem.

– Zaczekaj tu, Tom – poleciła. – Pójdę do siebie i przyniosę je.

Mówiąc „do siebie” nie miała na myśli sypialni, którą dzieliła z tatą, lecz zamknięty pokój na samej górze, gdzie przechowywała swoje rzeczy. Byłem tam tylko raz od czasów dzieciństwa, wówczas to podarowała mi swój srebrny łańcuch. Nikt inny nie wchodził do tego pokoju. Nawet tato.

W środku stało mnóstwo pudeł i skrzyń, nie miałem jednak pojęcia, co zawierają. Z tego, co właśnie powiedziała mama, wynikało, że są tam również pieniądze. To za jej pieniądze tato kupił farmę. Przywiozła je ze sobą ze swej ojczyzny, Grecji.

Nim odszedłem, wręczyła mi paczuszkę z kanapkami i odliczyła do ręki dziesięć gwinei. Gdy spojrzała mi w oczy, dostrzegłem w nich troskę.

– To będzie długa, ciężka, okrutna zima, synu. Wszystkie znaki na to wskazują. Jaskółki odleciały na południe niemal miesiąc wcześniej niż zazwyczaj, a pierwszy szron nadszedł, gdy jeszcze kwitły moje róże. Nigdy wcześniej nie widziałam czegoś podobnego. Będzie ciężko i wątpię, by ktokolwiek z nas przetrwał ją niezmienny. A nie ma gorszego miejsca na spędzenie zimy niż Angleszarke. Twój tato martwił się o ciebie i ja też się martwię, synu. I miał rację, nie będę zatem owijać słów w bawełnę. Nie ma wątpiwości, że mrok rośnie w siłę, a na tych moczarach ma wyjątkowo złowrogie wpływy. Tam właśnie dawno temu oddawano cześć niektórym ze Starszych Bogów i zimą poruszają się oni, choć są pogrążeni we śnie. Najgorszym z nich był Golgoth, którego niektórzy zowią Władcą Zimy. Trzymaj się zatem blisko mistrza. To jedyny prawdziwy przyjaciel, jakiego masz, musicie sobie pomagać.

– A co z Alice?

Mama pokręciła głową.

– Może nic jej nie zmieni, a może tak. Bo widzisz, na tych zimnych moczarach jest się bliżej mroku niż gdzie indziej w Hrabstwie. I bliskość ta znów podda ją próbie. Mam nadzieję, że dziewczyna przejdzie ją cała, ale nie widzę tego na pewno. Rób tak, jak mówię, pracuj ze swym mistrzem. Tylko to się liczy.

Jeszcze raz uścisnęliśmy się mocno, a potem pożegnałem się i znów ruszyłem w drogę.

## **ROZDZIAŁ 4**

## DOM ZIMOWY

Im bliżej byliśmy Anglezarke, tym pogoda stawała się gorsza.

Zaczął padać deszcz, a zimny wiatr z południowego wschodu wiał coraz mocniej, chłuszcząc nam twarze. Ciężkie jak ołów szare chmury wisiały nisko, tuż nad naszymi głowami. Później wiatr jeszcze przybrał na sile, a deszcz zamienił się w marznącą mżawkę i grad. Ziemia pod stopami rozmiękła, tak więc poruszaliśmy się bardzo wolno, brodząc w błocie po kostki. Co gorsze, wciąż natykaliśmy się na połacie mchu i fragmenty zdradliwie grząskiego bagna, i tylko wiedzy stracharza zawdzięczamy bezpieczną przeprawę.

Lecz rankiem trzeciego dnia deszcz ustał, a chmury się rozplynęły. Wówczas ujrzeliśmy przed sobą ponurą linię wzgórz.

– To tam! – Stracharz wskazał laską horyzont. – Moczary Anglezarke. A dalej, jakieś cztery mile na południe – tu mistrz wykonał kolejny gest – Blackrod.

Byliśmy zbyt daleko, by zobaczyć wioskę. Wydało mi się, że dostrzegam parę smug dymu, ale mogła to być tylko jedna z chmur.

– Jak wygląda Blackrod? – spytałem.

Mistrz wspominał od czasu do czasu o tym miejscu, wyobrażałem sobie zatem, że stamtąd właśnie będę odbierał cotygodniowe zakupy.

– Nie jest tak przyjazne jak Chipenden, lepiej zatem go omijać – wyjaśnił stracharz. – Mieszkają tam nieokrzesani ludzie, większość z nich to jedna rodzina. Urodziłem się w Blackrod, więc wiem najlepiej. Nie, Adlington to znacznie miłsza osada i mamy już do niej niedaleko. Jakąś milę na północ od wioski jest dom, w którym cię zostawimy, dziewczyno – zwrócił się do Alice. – Farma Przy Moczarach, tak go nazywają. Zamieszkaś z państwem Hurst, do których należy.

W godzinę później dotarliśmy do samotnego domu nieopodal

wielkiego jeziora. Stracharz ruszył naprzód, nie zważając na ujadanie psa. Wkrótce stal już na podwórzu i rozmawiał ze starym farmerem, którego wyraźnie widok przybysza nie zachwyił. Po pięciu minutach dołączyła do nich żona farmera. Żadne z trójki ani razu się nie uśmiechnęło.

– Nie będę tu mile widziana, to na pewno. – Kąciki ust Alice opadły smutno.

– Może nie będzie tak źle – próbowałem ją pocieszyć. – Nie zapominaj, że stracili córkę. Niektórzy ludzie nigdy nie dochodzą do siebie po podobnej tragedii.

Gdy tak czekaliśmy, uważnie przyjrzałem się farmie. Nie sprawiała wrażenia zbyt bogatej, większość budynków popadała w ruinę, stodoła pochylała się i wyglądała, jakby następna burza miała ją doszczętnie zniszczyć. Wszystko w zasięgu wzroku robiło równie złe wrażenie. I zastanawiało mnie też jezioro – ponura tafla szarej wody, przylegająca po drugiej stronie do moczarów. Na brzegu rosło zaledwie kilka karłowatych wierzb. Czy to tam utonęła ich córka? Jeśli tak, to za każdym razem, gdy Hurstowie wyglądają przez okna, ów widok musi im przypominać koszmar sprzed lat.

Po paru minutach stracharz odwrócił się i wezwał nas gestem. Podreptaliśmy ku niemu, brnąc przez potworne błoto.

– To jest mój uczeń, Tom – przedstawił mnie staremu farmerowi i jego żonie.

Uśmiechnąłem się i przywitałem. Oboje skinęli głowami, ale nie odpowiedzieli uśmiechem.

– A to jest młoda Alice – podjął stracharz. – Umie ciężko pracować i z pewnością pomoże wam w gospodarstwie. Bądźcie stanowczy, lecz łagodni, a nie sprawi wam kłopotu.

Farmerzy zmierzyli Alice uważnym wzrokiem, ale nie odpowiedzieli. Dziewczyna jedynie skłoniła głowę i uśmiechnęła się przelotnie, po czym wbiła wzrok w czubki szpiczastych trzewików. Widziałem, że nie jest szczęśliwa. Jej pobyt u Hurstów nie zaczynał się zbyt pomyślnie. Rozumiałem ją zresztą doskonale:

oboje wyglądali na nieszczęśliwych i załamanych, jakby życie zbyt ciężko ich doświadczyło. Twarz i czoło pana Hursta przecinały głębokie zmarszczki, sugerujące, że częściej zdarza mu się skrzywić niż roześmiać.

– Widywaliście może ostatnio Morgana? – spytał stracharz.

Słyszając to imię, uniosłem szybko wzrok i przekonałem się, że lewa powieka pana Hursta zatrzepotała nerwowo. Wydawał się niespokojny, może nawet przerażony. Czyżby chodziło o tego samego Morgana, który przekazał list dla stracharza?

– Prawie wcale – odparła ponuro pani Hurst, nie patrząc stracharzowi w oczy. – Od czasu do czasu zatrzymuje się na noc, ale poza tym przychodzi i odchodzi, kiedy zechce. Ostatnimi czasy zwykle trzyma się z daleka.

– Kiedy tu był ostatnio?

– Dwa tygodnie temu, może więcej...

– Cóż, gdy znów złoży wam wizytę, przekażcie, że chciałbym zamienić z nim parę słów. Powiedzcie, żeby mnie odwiedził.

– Dobrze, powtórzmy – zgodził się farmer.

– Bardzo proszę. A teraz ruszamy w drogę. Stracharz odwrócił się. Zabrałem swój kij oraz dwie torby i pomaszerowałem za nim. Alice podbiegła do mnie, złapała za rękę i przytrzymała ją z niespodziewaną siłą.

– Nie zapomnij o obietnicy – wyszeptała do mego lewego ucha. – Odwiedź mnie i to nie później, niż za tydzień. Liczę na ciebie!

– Przyjdę cię odwiedzić, nie martw się – uśmiechnąłem się do niej.

Uspokojona, wróciła do Hurstów; widziałem, jak cała trójka znika w domu. Naprawdę było mi żal Alice, ale nic nie mogłem uczynić.

Gdy zostawiliśmy za sobą Farmę Przy Moczarach, wyznałem stracharzowi, co mnie trapi.

– Nie wyglądali na ucieszonych z przybycia Alice.

Spodziewałem się, że stracharz zaprzeczy. Lecz on, ku mojemu wstrząsowi i zdumieniu, przytaknął.



– Owszem, to prawda, nie byli tym zachwyceni. Ale nie mieli zbyt wiele do gadania. Bo widzisz, Hurstowie są mi winni całkiem znaczną sumkę. Dwakroć uwolniłem ich farmę od niesfornych boginów i do dziś nie dostałem za to ani grosza. Zgodziłem się darować im dług, jeśli przyjmą dziewczynę pod swój dach.

Nie mogłem uwierzyć własnym uszom.

– Ale to niesprawiedliwe w stosunku do Alice! Mogą ją źle traktować.

– Ta dziewczyna umie o siebie zadbać, sam dobrze o tym wiesz.

– Stracharz uśmiechnął się ponuro. – Poza tym bez wątpienia nie zdołasz się powstrzymać i będziesz tam zaglądał od czasu do czasu, żeby sprawdzić, co u niej.

Otworzyłem usta, chcąc zaprotestować, lecz uśmiech stracharza stał się jeszcze szerszy. Mój mistrz wyglądał teraz jak głodny wilk, wyszczerzający zęby, by odgryźć głowę ofierze.

– Mam rację? – spytał.

Przytaknąłem.

– Tak też sądziłem, chłopcze. Nieźle cię już poznałem. Nie martw się za bardzo o dziewczynę, martw się o siebie. Zapowiada się zima, która podda nas ciężkim próbom, do granic wytrzymałości. Anglezarke nie jest miejscem dla ludzi słabych i tchórzliwych.

Coś jeszcze nie dawało mi spokoju, postanowiłem zatem zrzucić to z siebie.

– Słyszałem, jak pytałeś Hurstów o jakiegoś Morgana. Czy to ten sam Morgan, który przysłał ci list?

– Mam szczerą nadzieję, że nie ma ich dwóch, chłopcze. Już z jednym mam dość kłopotów.

– To znaczy, że czasami zatrzymuje się u Hurstów?

– Owszem, chłopcze. I nic dziwnego, skoro to ich syn.

– Kazałeś Alice zamieszkać z rodzicami Morgana? – wykrzyknąłem ze zdumieniem.

– Zgadza się. I wiem, co robię, wystarczy zatem pytań na dziś. Ruszajmy w drogę. Musimy tam dotrzeć przed zmierzchem.

\*

Wzgórza otaczające Chipenden polubiłem od pierwszego wejrzenia. Lecz nie wiedzieć czemu, z moczarami w Anglezarke było inaczej. Nie potrafiłem określić powodu, ale im bardziej się zbliżaliśmy, tym gorzej się czułem.

Może sprawiał to fakt, iż poznałem je w ostatnich, ponurych miesiącach roku, tuż przed nadejściem zimy. A może same ciemne moczary, wyrastające przede mną niczym olbrzymia, uśpiona bestia, od góry opatulona chmurami. Najpewniej jednak zadziałały ostrzeżenia najbliższych i zapowiedzi, jak surowa będzie zima. Niezależnie od przyczyn, na widok domu stracharza poczułem się jeszcze gorzej. Myśl, że spędzimy w tym mrocznym miejscu kilka najbliższych miesięcy, była dość przygnębiająca.

Podeszliśmy brzegiem strumienia, kierując się w stronę jego źródła i wspinając w głąb, jak to nazywał stracharz, parowu, czyli jaru na moczarach, wąskiej głębokiej doliny o stromych zboczach. Z początku pokrywało je tylko żwirowisko, lecz wkrótce kamienie ustąpiły miejsca kępom trawy i nagiej skale. Wysokie brzegi urwiska zdawały się zaciskać wokół nas.

Po jakichś dwudziestu minutach parów skręcił w lewo i nagle, dokładnie na wprost, ujrzelśmy dom stracharza, przytulony do skały. Tato zawsze powtarzał, że pierwsze wrażenie zwykle bywa właściwe, toteż poczułem, jak krew uderza mi do głowy. Było późne popołudnie, niebo zaczynało już ciemnieć, co dodatkowo wzmocniło przykry efekt. Dom był większy i bardziej imponujący niż ten w Chipenden, ale zbudowany ze znacznie ciemniejszego kamienia, dzięki czemu wyglądał złowieszczo. Małe okna, w połączeniu z faktem, iż wzniesiono go na dnie parowu, z pewnością znaczyły, że w pokojach brakowało jasnego światła. Był to jeden z najmniej przyjaznych domów, jakie zdarzyło mi się oglądać.

Najgorszy jednak był brak ogrodu. Jak już mówiłem, dom wzniesiono tuż przy stromej skale. Od frontu, zaledwie pięć, sześć kroków od progu, płynął strumień, niezbyt szeroki, ale głęboki i bardzo zimny. Po kolejnych trzydziestu krokach na chrzęszczących

kamykach nasza stopa uderzała o drugą skalną ścianę – oczywiście jeśli zdołało się przejść po śliskich kamieniach i nie wpaść do wody.

Z komina nie wznosił się dym, co sugerowało, że wewnątrz nie zastaniemy ciepłego ognia. W Chipenden oswojony bogin stracharza zawsze wiedział, że wracamy i nie tylko ogrzewał dom, ale też zostawiał kuchenny stół świeżutkim, gorący posiłkiem.

Wysoko w górze ściany parowu zdawały się niemal zbiegać i dostrzegłem tylko wąskie pasmo nieba. Zadrzałem: tu w dole było zimniej niż niżej, na moczarach i pojałem, iż nawet latem w tym miejscu słońce widać nie dłużej niż przez godzinę. Nagle zatęskniłem za wszystkim, co zostało w Chipenden: lasem, polami, wysokimi wzgórzami i szerokim niebem. Tam patrzyliśmy na świat z góry, tu tkwiliśmy uwięzieni w długiej, wąskiej, głębokiej dziurze.

Zerknąłem nerwowo na czarne krawędzie skał, stykające się z niebem. Ktoś mógł się tam przyczaić i obserwować nas, a my nie mieliśmy o tym pojęcia.

– No cóż, chłopcze, jesteśmy na miejscu. Oto mój zimowy dom. Mamy wiele do zrobienia. Wiem, że jesteś zmęczony, ale musimy zaczynać.

Zamiast podejść do drzwi frontowych, stracharz poprowadził mnie na niewielki brukowany placik za domem. Trzy kroki od tylnych drzwi wyrastała skała, ociekająca wodą i najeżona lodowymi stalaktytami. Wyglądały jak smocze zęby z bajek, które opowiadał mi jeden z wujów.

Oczywiście, w gorącej paszczy smoka podobne zęby w sekundę zamieniłyby się w parę. Tu, w mroźnym miejscu za domem, trwały niemal cały rok, a gdy spadną pierwsze śniegi, zapewne nie da się ich pozbyć aż do późnej wiosny.

– Tu zawsze korzystamy z tylnego wejścia, chłopcze – wyjaśnił stracharz, wyjmując z kieszeni klucz, który wykuł dla niego jego brat Andrew, ślusarz. Klucz ów otwierał każde drzwi, o ile nie wyposażono ich w zbyt skomplikowany zamek. Ja sam miałem podobny i już kilka razy bardzo mi się przydał.

Klucz obrócił się sztywno w zamku i drzwi otworzyły się niechętnie. Już w środku z ponurą miną stwierdziłem, że pokój skrywa mrok. Stracharz jednak oparł tylko kij o ścianę, wyciągnął z torby świeczkę i zapalił.

– Połóż tu torby – polecił, wskazując niską półkę przy drzwiach.

Zrobiłem, jak kazał, następnie ustawiłem moją laskę w kącie obok kija stracharza i podążyłem w głąb domu.

Bałagan, panujący w kuchni, wstrząsnąłby moją mamą. Byłem niemal pewien, że tu żaden bogin nie pomaga w pracach domowych. Bez wątpienia nikt nie opiekował się domem od czasu, gdy stracharz opuścił go pod koniec poprzedniej zimy. Wszystkie powierzchnie pokrywała gruba warstwa kurzu, z sufitu zwisały pajęczyny. W zlewie piętrzyły się brudne garnki, a na stole pozostało pół bochenka chleba, zielonego i spleśniałego. W powietrzu unosiła się też słaba, słodka, nieprzyjemna woń, jakby coś gniło powoli w ciemnym kącie. Obok paleniska stał fotel bujany, podobny do fotela mamy na farmie. Na jego oparcie ktoś zarzucił brązowy szal; wyraźnie przydałoby mu się pranie. Zastanawiałem się, do kogo należy.

– No, chłopcze – rzucił stracharz – lepiej bierzmy się do pracy. Zaczniemy od nagrzania tego domu, potem zajmiemy się sprzątniem.

Z boku domu stała wielka drewniana szopa pełna węgla. Wolałem nie myśleć, jakim cudem go tu przywieziono. W Chipenden odbierałem cotygodniowe zakupy, miałem jednak nadzieję, że taszczenie worków pełnych węgla nie stanie się moim zadaniem.

W szopie stały też dwie duże węglarki. Napęlniliśmy je i zanieśliśmy do kuchni.

– Umiesz napalić w piecu węglem? – spytał stracharz.

Przytaknąłem. Zimą w domu na farmie moim pierwszym zadaniem każdego ranka było rozpalenie ognia w kuchennym palenisku.

– Dobrze zatem – rzekł mój mistrz. – Zajmij się tym, a ja

napalę w salonie. W tym starym domu jest trzynaście kominków, lecz na razie wystarczy sześć by ogrzać powietrze.

Po jakiejś godzinie zdołaliśmy rozpalić w sześciu paleniskach: w kuchni, salonie, pokoju, który stracharz nazywał swoim „gabinetem”, mieszczącym się na parterze i w trzech sypialniach na pierwszym piętrze. W domu było jeszcze siedem sypialni, a także strych, ale nie zawracaliśmy sobie nimi głowy.

– No dobrze, chłopcze, nieźle jak na początek. Teraz chodźmy po wodę.

Wzięliśmy po wielkim dzbanie i wyszliśmy tylnymi drzwiami. Stracharz poprowadził mnie na front domu do strumienia. Woda okazała się tak głęboka, na jaką wyglądała, toteż łatwo przyszło nam napełnić dzbany. Była też czysta, zimna i tak przejrzysta, że widziałem kamienie na dnie. Strumień płynął spokojnie, szemrząc cicho w swym korycie.

Lecz gdy kończyłem napełniać dzban, wyczułem ruch wysoko w górze. Niczego nie widziałem, zaalarmowało mnie bardziej wrażenie, że ktoś na mnie patrzy. Kiedy zerknąłem w miejsce, gdzie ciemna krawędź skały stykała się z szarym niebem, niczego nie zauważyłem.

– Nie patrz na górę, chłopcze – warknął stracharz, w jego głosie usłyszałem irytację. – Nie dawaj mu satysfakcji. Udawaj, że nie nic zauważyłeś.

– Kto to? – spytałem bardzo nerwowo, drepcząc za stracharzem do domu.

– Trudno rzec. Nie patrzę w górę, więc nie mam pewności. – Stracharz zatrzymał się nagle i odstawił swój dzban. Potem szybko zmienił temat. – I co myślisz o tym domu? – spytał.

Tato uczył mnie mówić prawdę, kiedy to tylko możliwe, a wiedziałem, że uczucia stracharza niełatwo urazić.

– Wolałbym mieszkać na szczycie wzgórza niż jak mrówka w głębokiej szczelinie między kamieniami – odparłem. – Jak dotąd wolę twój dom w Chipenden.

– Ja też, chłopcze – odrzekł stracharz. – Ja też. Przychodzimy

tu tylko dlatego, że tak trzeba. Jesteśmy na samym skraju, skraju mroku. W zimie to bardzo złe miejsce. Na moczarach kryją się rzeczy, o których lepiej nie myśleć. Lecz jeśli my nie stawimy im czoła, to kto?

– Jakie rzeczy? – spytałem, przypominając sobie słowa mamy. Byłem bardzo ciekaw, co powie stracharz.

– Są tu boginy, czarownice, mnóstwo duchów i widm, a także inne stwory, jeszcze od nich gorsze...

– Na przykład Golgoth? – podsunąłem.

– Właśnie, Golgoth. Bez wątpienia mama opowiedziała ci o nim. Mam rację?

– Wspomniała, gdy ją poinformowałem, że idziemy do Anglezarke. Ale nie mówiła zbyt wiele, tylko tyle, że czasami porusza się we śnie.

– Istotnie, chłopcze. I w bardziej stosownej chwili wzbogacę twoją wiedzę. A teraz spójrz tutaj – wskazał ręką wielki komin, do którego ulatywał z dwóch rzędów cylindrycznych garnców gęsty, brązowy dym. – Przybywamy tu, by podnieść flagę, chłopcze.

Rozejrzałem się w poszukiwaniu flagi. Widziałem tylko dym.

– Chodzi mi o to, że poprzez nasze przybycie mówimy: Te ziemie należą do nas, nie do mroku – wyjaśnił stracharz. – Stawienie czoła mrokowi, zwłaszcza tu, w Anglezarke, to trudne zadanie. Ale mamy taki obowiązek i dobrze nam za niego płacą. Teraz zaś – podniósł dzban – chodźmy do środka i bierzmy się za sprzątanie.

Następne cztery godziny byłem bardzo zajęty szorowaniem, zmiotaniem, polerowaniem i trzepaniem kolejnych zakurzonych dywanów. W końcu stracharz, który umył i wytarł wszystkie brudne naczynia, kazał mi zasłać łóżka w trzech sypialniach na piętrze.

– Trzy łóżka? – powtórzyłem, zastanawiając się, czy źle usłyszałem.

– Zgadza się, trzy. A kiedy skończysz, lepiej idź umyj uszy. No już! Nie stój tu i nie gap się, nie mamy całego dnia.

Wzruszywszy ramionami, zrobiłem, jak kazał. Pościel była wilgotna, odwróciłem jednak prześcieradła, by ogień je wysuszył. Potem, morderczo zmęczony, zszedłem na dół. Kiedy miałem schody do piwnicy, usłyszałem coś, od czego zjeżyły mi się włosy na karku.

Z dołu dobiegało długie, bolesne westchnienie i następujący tuż po nim słaby krzyk. Czekałem na szczycie schodów, na granicy ciemności, wytężając słuch, ale dźwięki się nie powtórzyły. Czyżbym je sobie wyobraził?

W kuchni stracharz mył ręce w zlewie.

– Słyszałem, jak coś krzyczy w piwnicy – poinformowałem go. – Czy to duch?

– Nie, chłopcze, w tym domu nie ma już duchów. Rozprawiłem się z nimi wiele lat temu. Nie, to pewnie Meg. Zapewne właśnie się obudziła.

Zastanawiałem się, czy się nie przesłyszałem. Powiedział mi, że poznam Meg. Wiedziałem też, że to lamia, czarownica mieszkająca gdzieś w Anglezarce. Spodziewałem się nawet, że może mieszkać w domu stracharza, ale widok opuszczonych, zimnych pomieszczeń przegnał tę myśl z mojej głowy. Czemu miałyby sypiać w lodowatej piwnicy? Byłem ciekaw, wiedziałem jednak, że to nie pora na zadawanie pytań.

Czasami stracharz był w nastroju do udzielania odpowiedzi. Wówczas sadzał mnie, kazał wyciągnąć notes, napełnić pióro inkaustem i szykować się do pisania. Przy innych okazjach chciał jedynie załatwić bieżące sprawy. Teraz dostrzegłem zdecydowany błysk w jego zielonych oczach, toteż milczałem, podczas gdy zapalał świecę.

Poszedłem za nim po schodach do piwnicy. Niespecjalnie się bałem, bo mistrz mój wiedział, co robi, ale przyznam, iż czułem niepokój. Nigdy jeszcze nie zetknąłem się z lamią i choć trochę o nich czytałem, nie wiedziałem, czego się spodziewać. Jak zdołała przeżyć w zimnej, ciemnej norze przez całą wiosnę, lato i jesień? Czym się żywiła? Ślimakami, robakami i owadami, jak więdźmy

uwięzione przez stracharza w dołach?

Gdy schody skręciły, ujrzałem przegradzającą nam drogę bramę z żelaznej kraty. Za nią stopnie stawały się nagle znacznie szersze, tak że mogłoby po nich schodzić razem czterech ludzi. Nigdy jeszcze nie widziałem podobnie szerokich schodów do piwnicy. Niedaleko za bramą dostrzegłem drzwi w ścianie; zastanawiałem się, co się za nimi mieści. Stracharz wyjął z kieszeni klucz i wsunął go w dziurkę. Nie był to jego zwykły klucz.

– Czy to skomplikowany zamek? – spytałem.

– W rzeczy samej, chłopcze – rzekł. – Bardziej skomplikowany niż większość. Gdybyś kiedykolwiek potrzebował klucza, zazwyczaj trzymam go w gabinecie na górze biblioteczki, tej najbliższej drzwi.

Otworzył bramę, która brzęknęła tak głośno, iż ów dźwięk zdawał się przenikać przez kamień, w górę i w dół. Cały dom wibrował niczym olbrzymi dzwon.

– Żelazo powstrzymałoby większość z nich przed dotarciem wyżej, ale nawet jeśli nie, usłyszelibyśmy na górze, co się święci. Te drzwi są lepsze niż pies łańcuchowy.

– Większość? Kogo? I czemu stopnie są takie szerokie? – spytałem.

– Na razie zajmijmy się ważniejszymi sprawami – warknął stracharz. – Pytania i odpowiedzi mogą poczekać. Teraz musimy się zająć Meg.

Maszerując po schodach, zacząłem słyszeć słabe dźwięki, dobiegające z dołu. Najpierw jęk, a potem coś przypominającego słabe skrobanie. Mój niepokój jeszcze się zwiększył. Wkrótce zorientowałem się, że dom musi ciągnąć się niemal równie głęboko, jak wysoko. Po każdym zakręcie schodów widziałem drewniane drzwi w ścianie. Pokonawszy trzeci zakręt znaleźliśmy się na niewielkim podeście z trojgiem drzwi.

Stracharz stanął przed środkowymi i odwrócił się do mnie.

– Zaczekaj tu, chłopcze – polecił. – Meg tuż po przebudzeniu zawsze jest trochę nerwowa. Musimy dać jej czas, żeby do ciebie



przywykła.

To rzekłszy, oddał mi świecę, przekręcił klucz w zamku i zniknął w ciemności, zamykając za sobą drzwi.

Czekałem na niego jakieś dziesięć minut i przyznam szczerze, że na schodach było dość strasznie. Po pierwsze, im niżej schodziliśmy, tym robiło się zimniej. Po drugie, teraz słyszałem więcej niepokojących dźwięków dobiegających z dołu, zza następnego zakrętu. W większości były to bardzo słabe szepty, lecz raz wydało mi się, że słyszę odległy jęk, przepełniony cierpieniem.

Z pomieszczenia, w którym zniknął stracharz, także dobiegały stłumione głosy. Mój mistrz zdawał się mówić cicho, lecz stanowczo. W pewnej chwili usłyszałem płacz kobiety. Nie trwało to jednak długo, zabrzmiały szepty, jakby żadne z nich nie chciało, abym słyszał, o czym rozmawiają.

W końcu drzwi otwarły się, skrzypiąc. Staął w nich stracharz, a po nim na podest wyszedł ktoś jeszcze.

– To jest Meg – oznajmił mój mistrz, odsuwając się, bym mógł zobaczyć ją wyraźniej. – Polubisz ją, chłopcze. To bodaj najlepsza kucharka w całym Hrabstwie.

Meg z niepewną miną zmierzyła mnie wzrokiem, ja sam wpatrywałem się w nią oszołomiony. Bo widzicie, była chyba najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek zdarzyło mi się oglądać, a na nogach miała szpiczaste trzewiki. Gdy tylko przybyłem do Chipenden, podczas pierwszej lekcji, stracharz ostrzegł mnie przed niebezpieczeństwem rozmów z dziewczętami w szpiczastych trzewikach. Mówił, iż często bywają one czarownicami, choć niektóre same nie zdają sobie z tego sprawy.

Wówczas nie przejąłem się ostrzeżeniami i podjąłem rozmowę z Alice, przez którą wpadłem w poważne tarapaty, by w końcu z jej pomocą się z nich wydostać. A teraz okazało się, że mój mistrz puszcza mimo uszu własne rady! Tyle że Meg nie była dziewczyną, lecz kobietą o tak doskonałej twarzy, iż nie dało się na nią nie patrzeć. Miała idealne oczy, wysokie kości policzkowe, nieskazitelną cerę.

Tylko włosy ją zdradzały: miały barwę srebra, koloru, który widuje się u znacznie starszych ludzi. Meg nie była wyższa ode mnie, a stracharzowi sięgała do ramienia. Przyjrząwszy się jej bliżej, dostrzegłem oznaki wielomiesięcznego snu w zimnie i wilgoci: we włosach miała strzępy pajęczyn, a na wyblakłej fioletowej sukni wyrosły plamy pleśni.

Istnieje kilka różnych rodzajów wiedźm i zapisałem całe strony w notatniku naukami stracharza na ich temat. Lecz o lamiach dowiedziałem się ukradkiem, zaglądając w bibliotecę do książek, z których nie powinienem jeszcze korzystać.

Lamie pochodziły z za morza, w swojej ojczyźnie żywiły się krwią mężczyzn. W naturalnym „dzikim” stanie w ogóle nie przypominają ludzi: ich ciała porasta łuska, palce kończą się długimi, mocnymi szponami. Mają jednak dar powolnej przemiany postaci i im częściej kontaktują się z ludźmi, tym bardziej po ludzku wyglądają. Po jakimś czasie zamieniają się w lamie udomowione, wyglądające jak zwykłe kobiety tyle że z linią zielonożółtych łusek, biegnących wzdłuż kręgosłupa. Niektóre nawet stają się zacne, nie bezecne. Czy zatem Meg była teraz dobra? Może dlatego stracharz nie rozprawił się z nią i nie umieścił w dole, jak Kościstą Lizzie?

– Cóż, Meg – zagadnął. – To jest Tom, mój uczeń. To dobry chłopak, powinniście świetnie się dogadać.

Meg wyciągnęła do mnie rękę. Sądziłem, że chce uścisnąć moją dłoń, lecz tuż przed tym, nim nasze palce się zetknęły, opuściła ją gwałtownie jak oparzona. W jej oczach dostrzegłem niepokój.

– Gdzie jest Billy? – spytała głosem gładkim jak jedwab, lecz zabarwionym niepewnością. – Lubiłam Billy'ego.

Wiedziałem, że mówi o Billym Bradleyu, poprzednim, nieżyjącym uczniu stracharza.

– Billy'ego już nie ma, Meg – wyjaśnił łagodnie stracharz. – Mówiłem ci o tym. Nie martw się, życie płynie dalej. Teraz będziesz musiała przywyknąć do Toma.

– Ale to kolejne imię, które muszę zapamiętać – poskarżyła się

ze smutkiem Meg. – Czy w ogóle warto się wysilać, skoro żaden z nich nie przetrwał dość długo?

\*

Meg nie od razu zabrała się za przyrządzanie kolacji.

Najpierw posłała mnie po wodę do strumienia. Potrzebowałem tuzina wypraw, nim w końcu uznała, że wystarczy. Potem zaczęła ją grzać na dwóch paleniskach, lecz ku mojemu zawodowi, uświadomiłem sobie, że nie robi tego do celów kulinarnych.

Pomogłem stracharzowi zaciągnąć do kuchni wielką, żelazną wannę i napełnić ją gorącą wodą. Była dla Meg.

– Przejdziemy do salonu – oznajmił stracharz – by Meg mogła wykąpać się w spokoju. Siedziała w piwnicy wiele miesięcy i chce się odświeżyć.

Wymamrotałem bezdźwięcznie pod nosem, że gdyby mój mistrz jej nie zamknął, mogłaby sprzątnąć w domu i przygotować go na zimowy powrót stracharza. Oczywiście prowadziło to do kolejnego pytania – dlaczego stracharz nie zabrał Meg ze sobą do letniego domu w Chipenden?

– To jest salon – mój mistrz otworzył drzwi i zaprosił mnie do środka. – Tu zwykle rozmawiamy, tutaj też spotykamy się z ludźmi, oczekującymi naszej pomocy.

Posiadanie salonu to stara tradycja w Hrabstwie. Zazwyczaj to najlepszy pokój, urządzony najeleganciej jak się da, i rzadko używany, bo zawsze czeka na przyjęcie gości. W Chipenden stracharz nie miał salonu, bo nie zapraszał nikogo do siebie. Dlatego ludzie korzystali z rozstajów wśród łożyn i wiszącego tam dzwonu. Najwyraźniej tu panowały inne zwyczaje.

W domu na farmie też nie zawracaliśmy sobie głowy salonem, bo siedmiu braci to duża rodzina i potrzebowaliśmy wszystkich dostępnych pomieszczeń. Poza tym mama, nieurodzona w Hrabstwie, uważała, że urządzenie salonu to straszna głupota.

– Po co komu najlepszy pokój, z którego prawie się nie korzysta? – powtarzała często. – Niech ludzie przyjmują nas takimi, jakimi jesteśmy.

Salon stracharza nie był zbyt elegancki, lecz sfatygowana stara sofa okazała się równie wygodna, jak dwa fotele. Powietrze w pokoju już się rozgrzało i gdy tylko usiadłem, zachciało mi się spać. To był długi dzień, pokonaliśmy wiele mil.

Zdusiłem ziewnięcie, lecz stracharza nie zdołałem oszukać.

– Zamierzałem udzielić ci lekcji łaciny, ale do tego musisz mieć jasny umysł – rzekł. – Zaraz po kolacji pójdziesz do łóżka, lecz rano wstań i przejrzyj czasowniki.

Skinąłem głową.

– I jeszcze jedno – mój mistrz otworzył szafę obok kominka, wyciągnął z niej wielką butlę z brązowego szkła i podniósł wysoko. – Wiesz, co to jest? – Uniósł brwi.

Wzruszyłem ramionami, potem jednak zobaczyłem etykietę i odczytałem napis na głos.

– Herbata ziołowa.

– Nigdy nie ufaj etykietom na butelkach – upomniał stracharz. – Chcę, żebyś każdego ranka nalewał pół cala tej mikstury do filiżanki, dopełniał ją bardzo gorącą wodą, mieszał dokładnie i podawał Meg. Potem masz poczekać, aż skończy pić, do ostatniej kropli. To może trochę potrwać, bo lubi ją sączyć. To twoje najważniejsze zadanie każdego dnia. Zawsze jej powtarzaj, że to codzienna filiżanka herbaty ziołowej, która rozgrzewa stawy i wzmacnia kości. To ją ucieszy.

– A co to jest? – spytałem.

Przez chwilę stracharz nie odpowiadał.

– Jak wiesz, Meg to lamia, czarownica – rzekł w końcu. – Lecz napój sprawia, że zapomina, kim jest Zapomnieć, kim jesteś naprawdę, to rzecz bolesna i niebezpieczna. Miej nadzieję, że nigdy cię to nie spotka, chłopcze. Znacznie niebezpieczniejsze byłoby jednak, gdyby Meg przypomniała sobie, kim jest i co potrafi.

– To dlatego trzymasz ją w piwnicy, z dala od Chipenden?

– Zgadza się, dla bezpieczeństwa. Nie chcę też, by ludzie wiedzieli, że tu jest. Nikt by nie zrozumiał. W okolicy zostało parę osób pamiętających, do czego jest zdolna – choć ona sama już tego

nie pomni.

– Jak udało jej się przeżyć całe lato bez jedzenia?

– W dzikim stanie lamie potrafią nie jeść całymi latami, pod warunkiem, że od czasu do czasu uda im się złapać owada, larwę czy szczura. Nawet gdy się udomowią, jak Meg, głodowanie przez parę miesięcy to nie problem. Zaś duża dawka tej mikstury nie tylko ją usypia, ale też odżywia, toteż Meg nic nie jest. Tak czy inaczej, chłopcze, jestem pewien, że ją polubisz. Wspaniała z niej kucharka, o czym wkrótce się przekonasz – dodał stracharz. – A także osoba bardzo metodyczna i porządna. Jej garnki i rondle zawsze lśnią czystością, ustawia je w szafkach dokładnie tak jak lubi. Podobnie sztućce. Zawsze leżą porządnie w szufladzie, noże po lewej, widelce po prawej.

Zastanawiałem się, co by pomyślała o bałaganie, który zastaliśmy. Może dlatego właśnie stracharzowi tak zależało, by wszystko szybko uprzątnąć.

– No dobrze, chłopcze, dość już rozmawialiśmy. Zobaczmy, co u niej słychać.

\*

Po kąpieli wymyta twarz Meg poróżowiała i jaśniała zdrowiem, tak że jej właścicielka wydawała się młodsza i jeszcze ładniejsza niż przedtem. Mimo siwych włosów można by ją wziąć za dwakroć młodszą od stracharza. Teraz miała na sobie czystą suknię, brązową jak jej oczy, zapiętą z tyłu na białe guziczki. Nie miałem pewności, lecz wyglądały jak wyrzeźbione z kości! Wolałem o tym nie myśleć. Jeśli istotnie była to kość, do kogo należała? Ku memu zawodowi, Meg nie przyrządziła kolacji, bo niby z czego. W domu nie było nic do jedzenia prócz połowy zapleśniałego bochenka chleba.

Musieliśmy się posilić resztką sera, który zabrał na drogę stracharz. I choć ser należał do najlepszych w Hrabstwie, kruchy i jasnożółty, było go stanowczo za mało, by nasycić trzy osoby.

Siedzieliśmy przy kuchennym stole, powoli skubiąc nasze porcje, żeby wystarczyły na dłużej. Niewiele rozmawialiśmy, cały

czas myślałem tylko o śniadaniu.

– Gdy tylko zrobi się jasno, pójdę po tygodniowe zapasy – zaproponowałem stracharzowi. – Mam iść do Adlington czy Blackrod?

– Trzymaj się z dala od obu wsi, chłopcze – odparł stracharz. – Zwłaszcza od Blackrod. Podczas naszego pobytu nie będziesz musiał przynosić zakupów. Nie martw się. A tymczasem powinieś się przespać, idź więc już do łóżka. Twój pokój to ten od frontu. Idź i odpocznij; my z Meg mamy trochę do pomówienia.

Zrobiłem, jak kazał, i pomaszerowałem prosto do łóżka. Pokój okazał się znacznie większy niż ten w Chipenden. Stało w nim jednak tylko łóżko, krzesło i bardzo mała komódka. Gdyby wychodził na tyły domu, za oknem widziałbym jedynie skalną ścianę. Na szczęście dostałem sypialnię od frontu i w chwili gdy uniosłem okno, usłyszałem cichy pomruk strumienia w dole i zawodzenie wiatru w parowie. Chmury rozplynęły się, na niebie świecił księżyc w pełni zalewający srebrzystym blaskiem wąską dolinę i odbijający się w strumieniu. Zapowiadała się długa mroźna noc.

Wystawiłem głowę przez okno, by się rozejrzeć. Księżyc wisiał dokładnie przede mną, nad skałą. Wydawał się niewiarygodnie wielki. Na jego tle ujrzałem sylwetkę klęczącego człowieka, zwróconego twarzą do przepaści i patrzącego w dół. W mgnieniu oka postać zniknęła, zdążyłem jednak zauważyć, że miała na głowie kaptur!

Przez chwilę wpatrywałem się w urwisko, lecz tajemniczy człowiek nie wrócił. Do pokoju wpływało zimne powietrze, zamknąłem zatem okno. Czy to był Morgan? A jeśli tak, dlaczego nas szpiegował? Czy to również on obserwował nas, gdy czerpaliśmy wodę ze strumienia?

Rozebrałem się i wśliznąłem do łóżka. Byłem zmęczony, ale sen nie przychodził. Stary dom nieustannie trzeszczał i jęczał, w pewnym momencie usłyszałem tupot u stóp łóżka. Zapewne były to tylko myszy pod podłogą, ale jako siódmy syn siódmego syna

mogłem też słyszeć zupełnie inne rzeczy.

Mimo wszystko w końcu zdołałem zasnąć – tylko po to, by obudzić się nagle w środku nocy. Leżałem ogarnięty niepokojem, zastanawiając się, czemu ocknąłem się tak nagle. Było zupełnie ciemno, niczego nie widziałem, ale czułem, że coś jest nie tak. Obudził mnie jakiś hałas. Byłem tego pewien.

Nie musiałem czekać długo, nim znów to usłyszałem. Dwa różne dźwięki, stopniowo coraz głośniejsze i głośniejsze. Jednym był piskliwy pomruk, drugim znacznie niższy, głęboki grzmot, jakby ktoś spuszczał wielkie głazy z kamienistego zbocza.

Tyle że oba dźwięki dochodziły gdzieś spod domu i były tak donośne, że trzęsły się od nich szyby w oknach i nawet ściany wydawały się wibrować. Zacząłem się bać, że jeśli jeszcze się pogorszą, zawali się cały dom. Nie wiedziałem, co się dzieje, lecz do głowy przyszła mi pewna myśl. Może trzęsienie ziemi wstrząsa ścianami parowu?

## **ROZDZIAŁ 5**

### **POD ZIEMIĄ**

Trzęsienia ziemi choć niezwykle rzadko, zdarzają się w Hrabstwie. Nawet najstarsi nie pamiętali poważniejszego wstrząsu, a jednak dom dygotał tak bardzo, że naprawdę się przestraszyłem. Ubrałem się zatem szybko, naciągnąłem buty i zbiegłem na dół.

Pierwszą rzeczą, jaką zauważyłem, były otwarte drzwi do piwnicy. Z dołu dobiegały słabe dźwięki, toteż, zaciekawiony, zszedłem parę stopni w dół. Z tego miejsca grzmot wydawał się jeszcze gorszy, wyraźnie też usłyszałem przenikliwy krzyk, bardziej zwierzęcy niż ludzki.

Natychmiast po nim moich uszu dobiegło coś jeszcze: brzęk bramy i zgrzyt klucza w zamku. W ciemności w dole zamigotała

świeca, usłyszałem zbliżające się kroki. Przez sekundę ogarnął mnie lęk, zastanawiałem się, kto to. Wkrótce jednak odkryłem, że to stracharz.

– Co się stało? – spytałem, myśląc, że może musiał rozprawić się z czymś w dole.

Stracharz spojrział na mnie zaskoczony.

– Co ty tu robisz o tej godzinie? – spytał ostro. – Zmykaj stąd, natychmiast wracaj do łóżka!

– Zdawało mi się, że słyszę czyjś krzyk – wyjaśniłem. – I skąd te wszystkie hałasy? Czy to trzęsienie ziemi?

– Nie, chłopcze, to nie trzęsienie i nic, czym musiałbyś się przejmować. Mam w tej chwili na głowie ważniejsze rzeczy niż odpowiadanie na twoje pytania. Za kilka chwil wszystko minie. Zabieraj się do sypialni, a ja wyjaśnię ci wszystko rankiem. – Gestem kazał mi wrócić na górę i starannie zamknął za sobą drzwi.

Ton jego głosu świadczył wyraźnie, że nie ma co z nim się spierać. Wróciłem zatem do siebie, wciąż zaniepokojony dygotaniem i wibrowaniem domu.

\*

Cóż, dom się nie zawalił i, zgodnie z obietnicą stracharza, hałasy szybko ucichły. Zdołałem znów zasnąć, lecz ocknąłem się godzinę przed świtem i zszedłem do kuchni. Meg spała w fotelu na biegunach. Nie wiedziałem, czy przesiedziała tam całą noc, czy też wykradła się ze swej sypialni, gdy zaczęły się hałasy, I choć nie chrapała, każdemu jej wydechowi towarzyszył cichy świst.

Starając się poruszać jak najciszej, by jej nie obudzić, dorzuciłem węgla do ognia, który wkrótce zapłonął jasno. Potem usiadłem na stołku przy kominku i zacząłem powtarzać czasowniki łacińskie. Miałem ze sobą dwa notesy, w jednym zapisywałem wszystko, czego uczył mnie mój mistrz o boginach i innych przedmiotach zainteresowania stracharzy. Drugi służył do lekcji łaciny.

Mama nauczyła mnie greki, dzięki czemu nie musiałem



studiować też tego języka, ale wciąż miałem kłopoty z łaciną. Najwięcej problemów sprawiały mi właśnie czasowniki. Wiele ksiąg stracharza napisano po łacinie, toteż musiałem dołożyć wszelkich starań, by ją poznać.

Zacząłem od początku, pierwszego czasownika, który wpoił mi stracharz. Pokazał mi, jak uczyć się czasowników łacińskich w określonym porządku. To ważne, bo końcówka każdego słowa zmienia się w zależności od tego, co próbujesz rzec. Najlepiej recytować je na głos, bo, jak wyjaśnił stracharz, to pomaga zapisać wszystko w pamięci. Nie chciałem obudzić Meg, toteż zniżyłem głos do szeptu.

– Amo, amas, amat – rzekłem, nie zaglądając do notatnika i recytując trzy słowa oznaczające Kocham, Kochasz, on, ona, ono kocha.

– Kiedyś kogoś kochałam – odparł głos z fotela. – Ale teraz nie pamiętam nawet kogo.

Tak bardzo mnie zaskoczyła, że o mało nie upuściłem notesu i nie spadłem ze stołka. Meg nie patrzyła na mnie, lecz w ogień; jej twarz miała dziwny wyraz, coś pomiędzy zdumieniem i smutkiem.

– Dzień dobry, Meg – z trudem zdołałem się uśmiechnąć. – Mam nadzieję, że dobrze spałaś?

– Miło, że pytasz, Billy – odparła Meg. – Ale prawie wcale nie spałam. Słyszałam hałasy i całą noc próbowałam coś sobie przypomnieć, ale wciąż tylko kręciło mi się w głowie. To coś bardzo śliskiego i szybkiego, nie potrafię tego zatrzymać. Ale niełatwo się poddaję. Będę tu siedzieć przy ogniu, póki wspomnienie nie wróci.

Słuchałem jej z lękiem. Co, jeśli Meg przypomni sobie, kim jest? Jeżeli uświadomi sobie, że jest czarownicą, lamią? Musiałem coś zrobić, i to szybko, nim będzie za późno.

– Nie martw się o nic, Meg – odłożyłem notes i zerwałem się ze stołka. – Zrobię ci gorącej herbatki.

Szybko napełniłem wodą miedziany czajnik i powiesiłem go na haku w kominie, by, jak mawiał tato, ogień ogrzał mu dno. Zabrałem czystą filizankę i zaniósłem do salonu. Z szafki wyjąłem

brązową butelkę i nalałem do filiżanki pół cala mikstury. Następnie wróciłem do kuchni, czekałem, aż woda zawrze, i dopełniłem filiżankę, mieszając dokładnie, zgodnie z instrukcjami stracharza.

– Proszę, Meg, to twoja herbata ziołowa. Rozgrzeje ci stawy i wzmocni kości.

– Dziękuję, Billy – odparła z uśmiechem. Wzięła filiżankę i zaczęła na nią dmuchać, a potem sączyć powoli, wciąż zapatrzona w ogień. – Przepyszna – rzekła po jakimś czasie. – Naprawdę miły z ciebie chłopiec. Właśnie tego mi trzeba, by rozruszać rankiem moje stare kości.

Gdy to rzekła, poczułem smutek; jakaś część mnie nie była rada temu, co zrobiłem. Meg nie spała niemal całą noc, próbując coś sobie przypomnieć, a teraz napój jeszcze osłabi jej pamięć. A kiedy tak popijała, pochylona, przeszedłem za nią, by lepiej przyjrzeć się czemuś, co zaniepokoiło mnie poprzedniego wieczoru.

Wbiłem wzrok w trzynaście białych guziczków, zapinających suknię od szyi aż po rąbek spódnicy. Oczywiście, nie miałem absolutnej pewności, ale miałem wrażenie, że się nie mylę.

Każdy z nich wyrzeźbiono z kości. Meg nie była wiedźmą praktykującą magię kości, tylko lamią, pochodzącą spoza Hrabstwa. Lecz guziki zastanowiły mnie. Czy pochodziły od ofiar zabitych w przeszłości? Wiedziałem też, że pod nimi i pod suknią, jak u każdej udomowionej lami, wzdłuż jej kręgosłupa biegnie rząddek żółtozielonych łusek.

\*

Wkrótce potem usłyszałem pukanie do tylnych drzwi. Poszedłem otworzyć, bo mój mistrz wciąż spał po niespokojnej nocy.

Na zewnątrz stał mężczyzna w dziwnej skórzanej czapie z klapkami zasłaniającymi uszy. W prawej dłoni trzymał lampę, lewą prowadził niewielkiego kucyka obładowanego tak wieloma brązowymi workami iż tylko cud sprawiał, że zwierzę trzymało się na nogach.

– Witaj, młodzieńcze. Przywiozłem zamówienie pana Gregory'ego – uśmiechnął się do mnie krzywo. .. Ty musisz być nowym uczniem. Miły był chłopak z Billy'ego, przykro mi z powodu tego, co zaszło.

– Na imię mam Tom – przedstawiłem się.

– Jak się miewasz, Tomie? Ja nazywam się Shanks. Zechcesz powtórzyć mistrzowi, że przyniosłem dodatkowe zapasy i że będę je uzupełniał co tydzień, póki pogoda się nie pogorszy? Zima zapowiada się mroźnie, a kiedy spadną śniegi, może minąć wiele czasu, nim znów tu dotrę.

Skinąłem głową z uśmiechem, po czym uniosłem wzrok. Nadal było ciemno, lecz niebo zaczynało jaśnieć; dostrzegłem na nim szare chmury, napływające z zachodu. W tym momencie Meg dołączyła do mnie w drzwiach, przez chwilę stała tuż za moimi plecami. Shanks niewątpliwie ją zauważył, bo oczy o mało nie wyszły mu z orbit. Cofnął się szybko o dwa kroki, niemal wpadając na kucyka.

Widziałem, że go przestraszyła, lecz kiedy Meg odwróciła się i zniknęła w głębi domu, uspokoił się nieco a ja pomogłem mu rozładować worki. Wciąż to robiliśmy kiedy zjawił się stracharz i mu zapłacił.

Kiedy Shanks ruszył w drogę, stracharz pomaszerował za nim. Przeszli razem jakieś trzydzieści kroków. Zaczęli rozmawiać, byli jednak tak daleko, że nie słyszałem o czym. Nie wątpiłem jednak, iż chodzi o Meg, bo dwa razy moich uszu dobiegło jej imię.

Wyraźnie usłyszałem, jak Shanks mówi:

– Powiedziałeś nam, że się z nią rozprawieś!

Na co stracharz odparł:

– Trzymam ją bezpiecznie, w zamknięciu. Nie martw się, znam się na mojej pracy i lepiej się do niej nie wtrącaj. A jeśli wiesz, co dla ciebie dobre, zachowasz to wszystko dla siebie.

Gdy mistrz znów stanął obok mnie, nie wyglądał na uszczęśliwionego.

– Podajeś Meg herbatę? – spytał podejrzliwie.

– Zrobiłem, jak kazałeś – rzekłem. – Gdy tylko się ocknęła.

– Wyszła na zewnątrz?

– Nie, ale podeszła do drzwi i stanęła za mną. Shanks ją zobaczył i chyba się wystraszył.

– Szkoda, że w ogóle ją widział – mruknął stracharz. – Zazwyczaj nie pokazuje się ludziom, a przynajmniej nie w ostatnich latach. Może powinniśmy zwiększyć dawkę. Jak ci wczoraj mówiłem, Meg wywołała sporo kłopotów w Hrabstwie, ludzie bali się jej i wciąż się boją. A do tej pory miejscowi nie mieli pojęcia, że przebywa u mnie na swobodzie. Gdyby to się rozeszło, nie daliby mi spokoju. Tutejsi bywają bardzo uparci. Gdy raz czegoś się uczepią, niechętnie puszczają. Ale Shanks będzie trzymał język za zębami. Dobrze mu płacę.

– To kramarz? – spytałem.

– Nie, chłopcze. Miejscowy cieśla i grabarz, jedyny człowiek w Adlington dość odważny, by się tu zapuszczać. Płacę mu za zakupy i dostawę.

Razem zanieśliśmy worki do domu. Stracharz otworzył największy i dał Meg wszystko, czego potrzebowała, by przygotować śniadanie.

Boczek okazał się przyrządzony lepiej, niż nawet w najlepszy ranek u stracharza. Meg usmażyła też placuszki ziemniaczane i jajecznicę z serem: stracharz nie przesadził, mówiąc, że świetna z niej kucharka. Pochłaniając śniadanie, spytałem go o dziwne hałasy w nocy.

– Nie ma się czym przejmować – rzekł, przelitykając spory kęs placuszka. – Ten dom wzniesiono na linii mocy, toteż od czasu do czasu zdarzają się pewne problemy. Czasem trzęsienie ziemi tysiące mil stąd wywołuje zakłócenia w całej sieci linii. Boginy muszą opuszczać miejsca, w których tkwiły bezpiecznie latami. Zeszłej nocy przemknął pod nami bogin. Musiałem zejść do piwnicy i sprawdzić, czy wszystko wciąż jest bezpieczne.

Stracharz opowiedział mi o liniach jeszcze w Chipenden. Leżały pod ziemią niczym drogi, po których pewne typy boginów mogły

przenosić się bardzo szybko z miejsca na miejsce.

– Zważ jednak, iż czasami zwiastuje to nadejście kłopotów – podjął. – Osiadając w nowym miejscu, często zaczynają od swoich sztuczek, bywa, że niebezpiecznych. A to oznacza pracę dla nas. Zapamiętaj moje słowa, chłopcze. Przed upływem tygodnia możemy mieć do czynienia z boginem.

Po śniadaniu poszliśmy do gabinetu stracharza na lekcję łaciny. W niewielkim pokoju ustawiono parę drewnianych krzeseł z prostymi oparciami, duży stół i samotny drewniany stołek na trzech nogach. Na gołych deskach podłogi stało też sporo wysokich, bejcowanych na ciemno regałów. W pokoju panował chłód, po wczorajszym ogniu pozostał tylko szary popiół.

– Usiądź, chłopcze. Krzesła są twarde, ale podczas nauki lepiej nie siedzieć zbyt wygodnie. Nie chciałbyś przecież zasnąć. – Stracharz spojrzał na mnie surowo

Zerknąłem na regały. Pokój oświetlał jedynie szary blask zza okna i parę świeczek, toteż do tej chwili nie zauważyłem, że półki są puste.

– Gdzie są wszystkie książki? – spytałem.

– W Chipenden, a jak myślałeś, chłopcze? Nie ma sensu trzymać tu książek w zimnie i wilgoci, książki źle znoszą takie warunki. Będziemy musieli radzić sobie z tym, co przywieźliśmy ze sobą. Niewykluczone, że napiszemy coś swojego. Nie możesz cały czas czytać książek, pozostawiając ich pisanie innym.

Wiedziałem, że stracharz zabrał ze sobą sporo tomów, bo pamiętałem ciężar jego torby. Ja natomiast wziąłem tylko notatniki. Przez następną godzinę zmagalem się z czasownikami łacińskimi. Była to trudna praca i ucieszyłem się, gdy stracharz zaproponował chwilę odpoczynku. Nie uradowało mnie natomiast to, co zrobił potem.

Podciągnął stołek do regału najbliższego drzwi, wspiął się na niego i zaczął macać na górnej półce.

– No, chłopcze – rzekł z ponurą miną, unosząc klucz. – Nie możemy tego dłużej odkładać. Chodźmy na dół obejrzeć piwnicę.

Najpierw jednak sprawdzimy, co z Meg. Nie chcę, by wiedziała, że tam idziemy, to mogłoby ją zdenerwować. Nie lubi myśleć o tych schodach.

Słowa te jednocześnie podnieciły mnie i przerażyły. Kipiałem z ciekawości, nie mogłem się doczekać chwili, gdy odkryję, co leży głębiej w piwnicy. Jednocześnie jednak wiedziałem, że zejście tam z pewnością nie będzie przyjemne.

Meg zastaliśmy w kuchni. Zdążyła już pozmywać i drzemała przy ogniu.

– Na razie jest bezpieczna i zadowolona – mruknął stracharz. – Mikstura nie tylko wpływa na jej umysł, ale też sprawia, że dużo śpi.

\*

Wzięliśmy po świecy i ruszyliśmy w dół kamiennych stopni. Stracharz szedł pierwszy. Tym razem większą uwagę zwracałem na otoczenie, próbując dobrze zapamiętać podziemną część domu. Byłem w swym życiu w kilku piwnicach, ale miałem przecucie, że ta okaże się najniezwyklesza i najstraszniejsza.

Stracharz otworzył żelazną bramę. Odwrócił się i poklepał mnie po ramieniu.

– Meg rzadko odwiedza mój gabinet – rzekł. – Lecz cokolwiek się stanie, nie pozwól, by kiedykolwiek dostała w swe ręce ten klucz.

Przytaknąłem, patrząc, jak zamyka za nami bramę. Spojrzałem w dół.

– Czemu stopnie tutaj są takie szerokie? – zapytałem ponownie.

– Muszą być, chłopcze. Znosi się po nich różne rzeczy. Robotnicy muszą mieć dostęp.

– Robotnicy?

– Oczywiście, kowale i kamieniarze, ci, na których polegamy w naszym fachu.

I gdy tak schodziliśmy – stracharz stąpał na przodzie, a moja świeca oświetlała na ścianie jego długi cień – mimo echa naszych butów na kamiennych stopniach, usłyszałem pierwsze słabe

dźwięki z dołu: przeciągłe westchnienie i wyraźne odgłosy dławienia. Bez wątpienia ktoś lub coś tam było!

Podziemia ciągnęły się cztery poziomy w dół. Na pierwszych dwóch były tylko jedne drzwi, osadzone w kamieniu, ale potem dotarliśmy do trzeciego, z trojgiem drzwi, które oglądałem dzień wcześniej.

– Środkowe to, jak wiesz, pomieszczenie, w którym zwykle sypia Meg podczas mojej nieobecności – wyjaśnił stracharz.

Teraz dostała sypialnię na górze, pewnie obok jego własnej, by mógł mieć na nią oko – choć wydarzenia wczorajszej nocy wskazywały, że wolała spać w fotelu bujanym przy kominku.

– Pozostałe zwykle stoją puste – ciągnął stracharz. – Ale przydają się do zamknięcia czarownicy na czas czynienia przygotowań.

– Chcesz powiedzieć kopania dołu?

– Owszem, chłopcze. Jak zauważyłeś, to miejsce różni się od Chipenden. Nie mam tu luksusu ogrodu, muszę zatem korzystać z piwnicy...

Czwartym i najniższym poziomem okazała się rzecz jasna sama piwnica. Nim jeszcze skręciliśmy po raz ostatni i ujrzałem ją, usłyszałem dźwięki, które sprawiły, że świeca zadrżała mi w dłoni, a cień mego mistrza zatańczył szaleńczo na ścianie.

W piwnicy rozlegały się szepty, jęki i, co najgorsze, ciche drapanie. Jako siódmy syn siódmego syna słyszę rzeczy niedostępne większości ludzi, ale nigdy do tego nie przywykłem. Bywają dni, kiedy jestem odważniejszy, to wszystko. Stracharz sprawiał wrażenie spokojnego, ale przecież obcował ze złem przez całe życie.

Piwnica była wielka, większa nawet, niż oczekiwałem, tak wielka, że musiała przewyższać rozmiarami piętro domu. Z jednej ze ścian ściekała woda, a niskie sklepienie nad nią połyskiwało wilgocią. Zastanawiałem się, czy leży obok strumienia, czy też dokładnie pod nim.

Suchą część piwnicy zasnuwały pajęczyny tak gęste i splątane,

że musiała je stworzyć cała armia pajaków. Jeśli stanowiły dzieło zaledwie jednego czy dwóch wolałbym ich nie spotkać.

Długą chwilę wpatrywałem się w sufit i ściany, bo chciałem jak najbardziej opóźnić moment, gdy będę musiał spojrzeć na dół. Lecz po paru sekundach poczułem na sobie wzrok stracharza i, nie mając wyboru, zmusiłem się do zerknięcia na ziemię.

Wiedziałem, co stracharz przechowuje w ogrodach w Chipenden. Tu było podobnie, lecz tamtejsze groby i doły leżały rozrzucone między drzewami, a słońce od czasu do czasu przenikało przez gałęzie, rzucając na nie plamy światła. Tu natomiast dołów było więcej, a ja czułem się uwieczony, zamknięty w czterech ścianach, pod niskim, obwieszonym pajęczynami sufitem.

W sumie naliczyłem dziewięć grobów czarownic. Nad każdym stał nagrobek, przed którym widniało sześć stóp ziemi okolonej mniejszymi kamieniami. Do kamieni przykręcono śrubami trzynaście grubych, żelaznych prętów. Umieszczono je tu, by nie pozwolić martwym czarownicom wykopać się z ziemi na powierzchnię.

Pod jedną ze ścian piwnicy ujrzałem znacznie cięższe, większe kamienie. Były ich trzy, każdy z nich został oznakowany przez kamieniarza w dokładnie ten sam sposób:

âI Gregory

Grecka litera beta informowała każdego, kto umiał odczytać znak, że pod kamieniem spoczywa bezpiecznie uwieczony bogin, a rzymska cyfra jeden w dolnym, prawym rogu oznaczała, iż należał on do pierwszego rzędu, był śmiercionośną istotą, zdolną zabić człowieka w mgnieniu oka. Nic nowego, pomyślałem A że stracharz był świetny w swym fachu, nie musiałem się obawiać uwieczonych w ziemi boginów.

– Są tu także dwie żywe wiedźmy – oznajmił stracharz. – Oto pierwsza. – Wskazał ciemną, kwadratową dziurę, okoloną niewielkimi kamieniami z trzynastoma żelaznymi prętami przegradzającymi wylot. – Spójrz na kamień narożny – polecił.

Zobaczyłem tam coś, czego nie dostrzegłem wcześniej w Chipenden. Mistrz przysunął



bliżej świecę, był mógł przyjrzeć się lepiej. Widniał tam znak, znacznie mniejszy niż ten na kamieniach z boginami, a pod nim imię i nazwisko wiedźmy.

ó *Gregory Bessy Hill*

– Znak ten to grecka litera sigma, bo wszystkie wiedźmy i czarownice zaliczamy pod S, do „szamanek”. Jest ich wiele odmian, i, jak to u kobiet, często różnice pomiędzy nimi bywają subtelne, tak że trudno dokładnie rozdzielić kategorie – wyjaśnił stracharz. – Wiedźma jeszcze bardziej niż bogin ma własny charakter, zmieniający się z czasem. Trzeba zatem odwoływać się do ich historii. Pełne dzieje każdej z nich, tak uwięzionej, jak wolnej, znajdziesz w bibliotece w Chipenden.

Wiedziałem, że nie dotyczy to Meg – niewiele informacji o niej znalazłem w bibliotece stracharza – ale nic nie powiedziałem. Nagle usłyszałem lekkie poruszenie w ciemności i cofnąłem się o krok.

– Czy Betsy to czarownica pierwszego rzędu? – spytałem stracharza nerwowo, bo należały one do najniebezpieczniejszych i zabijały ludzi. – Nie ma tego na kamieniu...

– Wszystkie wiedźmy i boginy w tej jaskini są pierwszego rzędu – odparł stracharz. – A że sam je uwięziłem, nie było sensu zawracać głowy kamieniarzowi napisami. Nie masz się jednak czego lękać; stara Betsy tkwi tu bardzo długo. Wyczuła naszą obecność i przewraca się we śnie, to wszystko. A teraz chodź tu i popatrz.

Był to kolejny wiedźmi dół, identyczny jak poprzedni, lecz nagle zadygotałem z zimna. Coś mi mówiło, że istota uwięziona w tej jamie jest znacznie groźniejsza od Betsy, śpiącej i próbującej ułożyć się wygodniej na zimnej, mokrej ziemi.

– Lepiej przyjrzyj się bliżej, chłopcze – rzucił stracharz – byś wiedział, z czym mamy do czynienia, Unieś świecę i spójrz w dół, ale uważaj na stopy.

Nie chciałem tego zrobić, lecz głos mistrza zabrzmiał stanowczo. To było polecenie. Spojrzenie w głąb jamy stanowiło część mego szkolenia, nie miałem zatem wyboru.

Pochyliłem się naprzód, pilnując, by stopy pozostały z dala od prętów i uniosłem wysoko świecę, tak że rzuciła w głąb dołu migotliwy, żółty blask. W tym samym momencie usłyszałem dziwny dźwięk: coś wielkiego przebiegło po dnie jamy i ukryło się wśród mrocznych cieni w kącie. Wydawało się pełne życia, zupełnie jakby miało wspiąć się po ścianie szybciej, niż zdołałbym nawet mrugnąć.

– Przysuń świecę do prętów i przyjrzyj się uważniej – polecił stracharz.

Posłuchałem, wyciągając rękę jak najdalej. Z początku widziałem tylko dwoje wielkich, okrutnych oczu, dwa ogniste punkciki, odbijające płomień świecy. Gdy jeżyłem wzrok, zobaczyłem wielką, wychudzoną twarz, okoloną czupryną gęstych, tłustych

włosów, a pod nią przysadziste, pokryte łuskami ciało. Cztery kończyny zakończone wydłużonymi dłońmi o długich, ostrych szponach bardziej przypominały ręce niż nogi.

Zadrzałem. Ręka trzęsła mi się tak bardzo, że o mało nie upuściłem świecy. Cofnąłem się zbyt szybko i o mało nie przewróciłem, lecz stracharz złapał mnie za ramię.

– Niezbyt to piękny widok, chłopcze – wymamrotał, kręcąc głową. – To, co tu widzisz, to lamia. Gdy ponad dwadzieścia lat temu schwytałem ją i uwięziłem, wyglądała jak człowiek. Teraz znów zdziczała. Dzieje się tak, gdy umieścisz lamię w dole. Pozbawiona ludzkiego towarzystwa, powoli traci postać. Nawet po tylu latach wciąż jest bardzo silna, dlatego zamontowałem na schodach bramę. Gdyby zdołała się wydostać, krata powinna ją spowolnić. A to nie wszystko, chłopcze. Widzisz, normalny wieźmi dół jej nie wystarczy. W ścianach i dnie tej jamy tkwią wkopane żelazne pręty. Tak naprawdę lamia siedzi w klatce. Pod prętami rozsypałem warstwę soli i żelaza. Dzięki czterem szponiastym rękom lamia potrafi kopać bardzo szybko. Tylko w ten sposób uniemożliwiamy jej ucieczkę. A wiesz, kto to?

Uznałem, że to dziwne pytanie. Spojrzałem na kamień i odczytałem nazwisko.

ó *Gregory Marcia Skelton*

Stracharz musiał dostrzec moją oszołomioną minę, bo uśmiechnął się ponuro.

– Zgadza się, chłopcze, to siostra Meg.

– Czy Meg wie, że ona jest tutaj?

– Kiedyś wiedziała, chłopcze, ale już nie pamięta. I lepiej, by tak pozostało. A teraz podejdź tutaj, mam ci jeszcze coś do pokazania.

Poprowadził mnie między kamieniami na drugi koniec, sprawiający wrażenie najsuchszego miejsca w piwnicy. Na suficie nie dostrzegłem niemal żadnych pajęczyn. Był to otwarty dół, gotowy do użycia, obok niego leżała pokrywa, także gotowa.

Po raz pierwszy mogłem obejrzeć, jak dokładnie zrobiona jest pokrywa wieźmięgo dołu. Zewnętrzne kamienie połączono razem cementem w kwadrat, długie pręty przebijały je na wylot, bezpiecznie mocując w miejscu. Trzynaście poprzecznych żelaznych prętów miało na końcu śruby, zabezpieczone nakrętkami osadzonymi w kamieniach. Solidna robota i pracujący nad nią kamieniarz i kowal musieli mieć sporo wprawy, by zrobić coś podobnego.

Nagle szczęka opadła mi i pozostała w tej pozycji tak długo, że stracharz zauważył. Tym razem na kamieniu nie widniał żaden znak, wryto w nim już jednak nazwisko.

*Meg Skelton*

– Jak myślisz, co jest lepsze, chłopcze? – spytał mój mistrz. – Herbata ziołowa czy to?

Bo musisz wybrać, jedno albo drugie.

– Herbata – rzekłem niewiele głośniej od szeptu.

– Właśnie. Teraz więc już wiesz, czemu nigdy nie możesz zapomnieć podać ją Meg. Jeśli ci się to zdarzy Meg zacznie sobie przypominać, kim jest, a nie chciałbym jej tu uwięzić.

Wówczas przyszło mi do głowy pytanie, nie zadałem go jednak, bo wiedziałem, że stracharzowi by się nie spodobało. Chciałem wiedzieć, dlaczego to, co dobre dla jednej czarownicy, nie jest dobre dla wszystkich. Zdawałem sobie jednak sprawę, że nie powinienem narzekać: nigdy nie zapomnę, jak bardzo zbliżyła się do mroku Alice. W istocie była tak blisko, że stracharz chciał ją także uwięzić w dole. Ustąpił tylko dlatego, że przypomniałem mu o tym, iż darował Meg.

\*

Tej nocy nie mogłem zasnąć. W głowie kręciło mi się od wszystkiego, co widziałem i świadomości tego, gdzie mieszkam. Oglądałem już w życiu wiele strasznych rzeczy, ale pobyt w domu z grobami czarownic, uwięzionymi boginami i żywymi wiedźmami w piwnicy nie dawał mi spać. W końcu postanowiłem zejść cicho na dół. Zostawiłem notesy w kuchni, a potrzebowałem tego z łaciną. Wiedziałem, że pół godziny opatrywania się w nudne listy rzeczowników i czasowników z pewnością mnie uspi.

Nim jeszcze dotarłem do stóp schodów, usłyszałem dźwięki, których nie oczekiwałem. Ktoś płakał cicho w kuchni, a stracharz przemawiał niskim głosem. Dotarłem do drzwi, ale nie wszedłem. Były lekko uchylone i zobaczyłem w szparze coś, co sprawiło, że zastygłem w miejscu.

Meg siedziała w swoim fotelu blisko ognia. Twarz ukrywała w dłoniach, ramiona unosiły jej się spazmatycznie. Mój mistrz pochylał się nad nią, mówiąc cicho i gładząc ją po włosach. Jego twarz oświetlona blaskiem świecy, częściowo zwrócona do mnie, miała wyraz, jakiego nigdy wcześniej nie widziałem. Przypominało to sposób, w jaki wielkie, kanciaste oblicze mego brata Jacka łagodnieje czasami, gdy patrzy na żonę, Ellie.

I wtedy, ku memu zdumieniu, ujrzałem jak z lewego oka mistrza wypływa łza i zbiega po policzku aż do ust.

Wiedziałem, że nie powinienem dalej patrzeć, wróciłem zatem do łóżka.

## ROZDZIAŁ 6

## PASKUDNY TYP

Wkrótce moim życiem owładnęła rutyna. Rankiem musiałem rozpalić ogień na dole i przynieść świeżą wodę ze strumienia. Co drugi dzień paliłem też we wszystkich kominkach w domu, by przegonić wilgoć. Kiedy paliłem w sypialniach, mistrz kazał mi na dziesięć minut otworzyć każde okno, by przewietrzyć pokój. Najpierw musiałem wyczyścić paleniska i tyle razy biegałem tam i z powrotem po schodach, że bardzo się cieszyłem, kiedy porządki dobiegały końca. Oczywiście, najgorzej było na strychu; zawsze załatwiałem go na samym początku, nim rozboleły mnie nogi.

Strych był w istocie jednym wielkim pomieszczeniem, największym w całym domu. Miał tylko jedno okno, duży świetlik w dachu. Stało w nim wyłącznie duże, mahoniowe biurko, zamknięte na klucz. Na mosiężnej płytce wokół zamka widniał wygrawerowany pentagram, pięcioramienna gwiazda z trzema koncentrycznymi kręgami. Wiedziałem, że pentagramy chronią czarodziejów wzywających demony i zaciekało mnie, skąd ten symbol wziął się na zamku.

Biurko wyglądało na bardzo kosztowne. Zastanawiałem się, co jest w środku i dlaczego stracharz nie zabierze mebla do gabinetu, gdzie zdecydowanie bardziej by pasował. Chciałem go spytać, ale nigdy się nie złożyło. A kiedy w końcu o tym porozmawialiśmy, było już za późno.

Po przewietrzeniu strychu ruszałem w dół, piętro za piętro. Trzy sypialnie tuż poniżej nie były umeblowane. Dwie mieściły się od frontu, a jedna na tyłach. Ta z tyłu była najgorszym i najciemniejszym pokojem w całym domu; miała tylko jedno okno wychodzące na urwisko. Gdy przesunąłem szybę i wyjrzałem, wilgotna skała znalazła się tak blisko, że niemal mogłem dotknąć jej dłonią. Na urwisku dostrzegłem biegnącą w górę ścieżkę. Wyglądało na to, że można by wyjść z domu przez okno wprost na ową skalną półkę. Nie zamierzałem jednak próbować nie byłem

taki głupi. Wystarczyłoby jedno pośliżnięcie, żebym roztrzaskał sobie czaszkę na kamieniach, w dole.

Kiedy już napaliłem, podawałem Meg herbatę a potem do śniadania ćwiczyłem czasowniki łacińskie. Pierwszy posiłek zjadaliśmy znacznie później niż w Chipenden. Potem czekał mnie cały dzień lekcji, lecz późnym popołudniem zwykle chodziłem na krótki spacer ze stracharzem, dwadzieścia minut do wylotu parowu, skąd roztaczał się widok na niższe zbocza moczarów. Mimo ciężkiej pracy z kominkami, w Chipenden wysilałem się znacznie bardziej i zaczynała roznosić mnie energia. Każdego ranka powietrze zdawało się coraz zimniejsze i stracharz uprzedził, że wkrótce spadnie pierwszy śnieg.

Pewnego ranka mój mistrz wyruszył do Adlington spotkać się z bratem Andrew, ślusarzem. Spytałem, czy nie mógłbym pójść z nim, lecz odmówił.

– Nie, chłopcze, ktoś musi mieć czujne oko na Meg. Poza tym są rzeczy, o których muszę porozmawiać z Andrew. Sprawy rodzinne, prywatne. Muszę go też poinformować o wszystkim, co zaszło...

Ze słów tych odgadłem, że stracharz zamierza opowiedzieć bratu pełną historię tego, co spotkało nas Priestown, gdzie Kwizytor o mało nie spalił mojego mistrza na stosie. Po powrocie do Chipenden stracharz wysłał list do Adlington, informując brata, że jest cały i zdrowy, a teraz zapewne chciał uzupełnić szczegóły.

Byłem bardzo rozczarowany, pozostając w domu – rozpaczliwie chciałem się dowiedzieć, co u Alice. Ale nie miałem wyboru, a Meg, mimo jej herbatki, rzeczywiście wymagała dozoru. Stracharz szczególnie obawiał się, że mogłaby wyjść z domu i gdzieś zabłądzić. Musiałem zatem pilnować, by drzwi frontowe i tylne pozostawały zamknięte. Okazało się jednak, że zrobiła coś zupełnie nieoczekiwanego...

Późnym popołudniem siedziałem w gabinecie stracharza, zapisując lekcje w notatniku. Co jakiś kwadrans sprawdzałem, co z Meg. Zazwyczaj zastawałem ją drzemiącą przy kominku albo szykującą jarzyny na kolację. Tym razem jednak, gdy zajrzałem do

kuchni, odkryłem, że jej nie ma.

Najpierw, na wszelki wypadek, pobiegłem do drzwi. Okazały się jednak zamknięte. Sprawdziwszy w salonie ruszyłem na górę. Sądziłem, że wróciła do siebie, gdy jednak, zapukawszy i nie usłyszawszy odpowiedzi, nacisnąłem klamkę, pokój okazał się pusty.

Im wyżej się wspinałem, tym większe czułem obawy. Kiedy strych także okazał się pusty, zacząłem wpadać w panikę. Odetchnąłem jednak głęboko. Myśl, rzekłem do siebie. Gdzie jeszcze mogła podziać się Meg?

Istniało jeszcze tylko jedno miejsce: schody wiodące do piwnicy. Nie wydawało się zbyt prawdopodobne bo stracharz wspominał, że sama myśl o schodach budzi u Meg lęk. Najpierw sprawdziłem w gabinecie. Wdrapałem się na stołek i sięgnąłem na górną półkę, w żaden sposób nie zdołałaby zabrać klucza bez mojej wiedzy, ale wolałem to potwierdzić. Nadal tam leżał. Z westchnieniem ulgi zapaliłem świecę i ruszyłem na dół.

Usłyszałem bramę na długo przedtem, nim do niej dotarłem. Dźwięczała głośno i ów brzęk wstrząsał całym domem. Gdyby nie to, iż spodziewałem się zastać tam Meg, uznałbym, że coś uwolniło się z piwnicy i próbuje wyjść na górę.

Ale istotnie to była Meg. Ścisnęła mocno pręty, po jej twarzy płynęły strumienie łez. W blasku świecy ujrzałem, jak szarpie bramę. Robiła to z mocą najlepiej świadczącą o tym, że wciąż jest bardzo silna.

– Chodź, Meg – rzekłem łagodnie. – Wracajmy na górę. Zimno tu i ciągnie. Jeśli nie będziesz uważać, zaziębisz się.

„Ale na dole ktoś jest, Billy. Ktoś potrzebuje pomocy-

– Tam nie ma nikogo – rzekłem świadom, iż kłamię. Na dole w jamie tkwiła uwieczona jej siostra, parcia, dzika lamia. Czyżby Meg zaczynała sobie przypominać?

– Ale ja jestem pewna, Billy. Nie pamiętam jej imienia, ale jest tam i mnie potrzebuje. Proszę, otwórz bramę i pomóż mi. Pozwól mi zejść na dół. A może pójdiesz ze mną i poświecisz?

– Nie mogę, Meg. Bo widzisz, nie mam klucza do tej bramy. Chodź, proszę, wracajmy do kuchni...

– Czy John będzie wiedział, gdzie jest klucz?

– Pewnie tak. Może go spytamy, kiedy wróci?

– Tak, Billy, to świetny pomysł. Zrobmy tak!

Meg uśmiechnęła się do mnie przez łyżę i ruszyła na górę. Zaprowadziłem ją do kuchni i posadziłem w fotelu przy ogniu.

– Posiedź tu i rozgrzej się, Meg, ja zrobię ci jeszcze herbaty. Przyda ci się po tych zimnych, wilgotnych schodach.

Meg wypila już swoją dzienną dawkę i nie chciałem ryzykować, toteż nalałem zaledwie odrobinę mikstury i zmieszałem z gorącą wodą. Podziękowała i szybko opróżniła filiżankę. Nim stracharz wrócił, smacznie zasnęła.

Kiedy opowiedziałem mu, co się stało, pokręcił głową.

– To mi się nie podoba, chłopcze. Od tej pory będziesz podawał jej rano trzy czwarte cala. Nie chcę tego robić, ale nie mam wyboru.

Sprawiał wrażenie szczerze przygnębionego; rzadko widywałem go w takim nastroju. Lecz wkrótce odkryłem, że nie chodzi jedynie o Meg.

– Doszły do mnie złe wieści, chłopcze – rzekł, opadając ciężko na krzesło przy kominku. – Emily Burns zmarła. Od ponad miesiąca leży w zimnym grobie.

Nie wiedziałem, co rzec. Minęły długie lata, odkąd był z Emily. Od tego czasu jego kobietą była Meg. Czemu tak się zasmucił?

– Przykro mi – rzekłem niezręcznie.

– Ale nawet nie w połowie tak jak mnie – odrzekł szorstko stracharz. – To była dobra kobieta. Miała ciężkie życie, ale zawsze starała się, jak mogła. Teraz, kiedy odeszła, świat będzie gorszym miejscem. Kiedy coś dobrego umiera, czasami uwalnia dotąd skrępowane zło!

Chciałem go spytać, co miały znaczyć owe tajemnicze słowa, w tym momencie jednak Meg poruszyła się i otworzyła oczy, toteż umilkliśmy. Więcej nie wspomniał o Emily.

\*

Po śniadaniu ósmego dnia stracharz odsunął talerz, pogratulował Meg świetnego posiłku i odwrócił się do mnie.

– No, chłopcze, sądzę, że już czas, żebyś poszedł sprawdzić, co słychać u dziewczyny. Myślisz, że trafisz tam sam?

Przytaknąłem, starając się nie uśmiechać zbyt szeroko i po dziesięciu minutach maszerowałem już w dół parowu w stronę zbocza pod otwartym niebem. Kierowałem się na północ od Adlington, na Farmę Przy Moczarach, gdzie mieszkała Alice.

Kiedy stracharz postanowił wyruszyć do zimowego domu, zakładałem, że pogoda wkrótce się zmieni, i istotnie, robiło się coraz zimniej. Tego dnia jednak jakby się poprawiła. Choć ranek był zimny i mroźny, na niebie świeciło słońce, powietrze było czyste i widziałem wszystko w promieniu wielu mil. Takiego ranka człowiek cieszy się, że żyje.

Alice musiała zobaczyć, jak schodzę ze wzgórza, bo wyszła na podwórze i ruszyła mi na spotkanie. Tuż obok farmy rósł niewielki lasek; czekała tam na mnie w cieniu drzew. Minę miała nietęgą i jeszcze nim się odezwała, pojąłem, że nie jest szczęśliwa w swym nowym domu.

– To niesprawiedliwe, Tom. Stary Gregory nie mógł mi znaleźć gorszego miejsca. Mieszkanie u Hurstów to nie bajka.

– Naprawdę jest aż tak źle, Alice? – spytałem.

– Lepiej by mi było w Pendle, a to wiele znaczy.

W Pendle mieszkała niemal cała rodzina czarownic, z której wywodziła się Alice. Alice nienawidziła tego miejsca, bo bardzo źle ją tam traktowali.

– Są dla ciebie okrutni? – spytałem niespokojnie.

Pokręciła głową.

– Jak dotąd nikt mnie nie tknął, ale też prawie się do mnie nie odzywają. I szybko zgadłam, czemu są tacy smutni i milczący. To przez ich syna, tego Morgana, o którego pytał stary Gregory. To złośnik i okrutnik, paskudny typ. Co za syn uderzyłby własnego ojca i wrzaskiem doprowadził matkę do łez? Nie mówi do nich



nawet mamó i tato, najlepsze, co od niego słyszą, to stary i stara. Boją się go, o tak. I okłamali starego Gregory'ego, bo Morgan często ich odwiedza, a oni śmiertelnie się boją owych wizyt. Mnie to nie dotyczy, ale nie wiem, jak długo tu wytrzymam. Jeśli będzie trzeba, załatwię go w taki czy inny sposób.

– Na razie nic nie ró b – uprzedziłem. – Daj mi pomó wic ze stracharzem.

– Nie sá dzę, by pospieszył mi z pomocá. Myślę, że stary Gregory zrobił to specjalnie. Ten ich syn jest taki jak on, nosi płaszcz z kapturem i laskę. Pewnie kazał mu mieć na mnie oko.

– On nie jest stracharzem, Alice.

– A kim innym?

– To jeden z nieudanych uczniów stracharza. Nie sá przyjació lmi. Pamiętasz tamten wieczór w Chipenden, kiedy przyniosłem list i mój mistrz wpadł w złość? Nie miałem ci okazji powiedzieć, ale ten list napisał Morgan. Groził stracharzowi. Mówił, że mój mistrz ma coś, co należy do niego.

– To naprawdę paskudny typ – powtórzyła Alice. – Nie tylko odwiedza dom, lecz czasami nocami schodzi ze wzgó rza nad jezioro. Obserwowałem go wczoraj. Staje na samym brzegu i wpatruje się w wodę. Czasem porusza ustami, jakby z kimś rozmawiał. Jego siostra utonęła w tym jeziorze, prawda? Pewnie rozmawia z jej duchem. Nie zdziwiłabym się, gdyby sam ją utopił!

– I bije swego tatę? – spytałem. To właśnie wstrząsnęło mną najbardziej. Pomyślałem o moim ojcu i na to wspomnienie ścisnęło mnie w gardle. Jak ktokolwiek mó głby podnieść rękę na swego rodzica?

Alice przytaknęła.

– Od mojego przybycia kłócili się dwa razy. Okrutnie. Za pierwszym razem stary pan Hurst próbował wypchnąć go z domu i zaczęli walczyć. Morgan jest znacznie młodsz y i silniejszy, zgadujesz więc, kto wygrał. Za drugim razem zawłó kł ojca na górę i zamknął w sypialni. Staruszek zaczął płakać. Nie podobało mi się to. Przypomniało mi, jak wyglądało życie z moją rodziną w Pendle.

Może jeśli powiesz staremu Gregory'emu, jak mi tu źle, pozwoli mi zamieszkać z wami.

– Wątpię, żeby spodobało ci się w Anglezarce. W piwnicy jest pełno jam, trzyma tam też dwie żywe wiedźmy. Jedna z nich to siostra Meg, dzika lamia. Widziałem, jak kręci się w swojej jamie, to naprawdę straszny widok. Ale najbardziej żal mi samej Meg. Miałaś rację co do niej, faktycznie mieszka w domu stracharza, ale on odurza ją miksturą, by nie pamiętała, kim jest. Ponad pół roku spędza w zamknięciu, w pokoju tuż nad piwnicą. Bardzo to smutny widok. Ale stracharz nie ma wyboru. Inaczej musiałby uwieść ją w dole, jak siostrę.

– Nie powinno się trzymać czarownic w dole, nigdy mi się to nie podobało. Ale nadal wolałabym tam być z tobą, niż musieć wciąż oglądać Morgana. Jestem tu samotna, Tom. Tęsknię za tobą.

– Ja za tobą też, Alice, ale na razie nic nie mogę zrobić. Powtórzę stracharzowi, co powiedziałaś i poproszę jeszcze raz. Dołożę wszelkich starań, obiecuję. Czy Morgan jest tam teraz? – skinąłem w stronę farmy.

Alice pokręciła głową.

– Nie widziałam go od wczoraj, lecz bez wątpienia wkrótce wróci.

Nie rozmawialiśmy dłużej, bo pani Hurst, żona farmera, stanęła w kuchennych drzwiach i zaczęła wykrzykiwać imię Alice, która musiała wracać.

Skrzywiła się, wymownie wywracając oczami.

– Na pewno znów cię odwiedzę – obiecałem, gdy już się odwróciła.

– Zrób tak, Tom. I błagam, poproś starego Gregory'ego.

Nie wróciłem jednak od razu do domu stracharza. Wdrapałem się na moczary, w miejsce, gdzie wiatr mógł przegnać mrok z mojej głowy. Z początku miałem wrażenie, że jest tam dość płasko, widoki też nie dorównywały tym ze wzgórz z Chipenden, podobnie samo otoczenie.

Na południu i wschodzie wyrastały jednak wysokie wzgórza, a

za Anglezarke ciągnęły się kolejne moczary. Dokładnie na południu widziałem Zimowe Wzgórze i Rivington, dalej Wzgórze Kowalskie, a na wschód moczary Turton i Darwen. Znałem te nazwy, bo przed opuszczeniem domu ślęczałem nad mapami stracharza, potem starannie je składając. Całkiem nieźle orientowałem się w okolicy. Było w niej wiele do zwiedzania i postanowiłem spytać mistrza, czy zechciałby dać mi wolny dzień, bym mógł to zrobić, nim pogoda się popsuje. Podejrzywałem, że się zgodzi: znajomość geografii Hrabstwa to część pracy stracharza. Musimy przecież przenosić się szybko z miejsca na miejsce i docierać do celu, gdy ktoś prosi o pomoc.

Ruszyłem dalej i w oddali ujrzałem niewielkie sklepione wzgórze na moczarach. Wyglądało na sztuczne; domyśliłem się, że to kurhan, grobowiec starożytnego wodza. Już miałem zawrócić, gdy na jego szczycie pojawiła się postać. Człowiek ów w lewej dłoni trzymał kij, a na sobie miał płaszcz z kapturem. To musiał być Morgan!

Zjawił się na kurhanie tak nagle, iż niemal miałem wrażenie, jakby zmaterializował się tam znikąd. Rozsądek jednak podpowiadał, że po prostu wdrapał się od drugiej strony.

Ale co tam robił? Nie potrafiłem zgadnąć. Wyglądało to na jakiś taniec! Rzucił się na boki i wymachiwał rękami w powietrzu. Potem niespodziewanie ryknął z furją i cisnął kij na ziemię. Był naprawdę wściekły. Ale na co?

Chwilę później ze wschodu napłynęła mgła i przysłoniła go, toteż odszedłem. Nie miałem ochoty spotykać się z nim twarzą w twarz, zwłaszcza biorąc pod uwagę, w jakim był nastroju.

Potem nie włożyłem się już długo po moczarach. Uznałem zresztą, że jeśli wrócę wcześniej, stracharz chętniej pozwoli mi znów spotkać się z Alice. A bardzo chciałem do niej wrócić i opowiedzieć, co widziałem.

\*

Po popołudniowym posiłku opisałem mojemu mistrzowi dziwne zachowanie Morgana na moczarach i powtórzyłem wszystko, co

mówiła Alice.

Stracharz podrapał się po brodzie i westchnął.

– Dziewczyna ma rację, Morgan to paskudny typ bez dwóch zdań. Ubiera się jak stracharz i nabiera w ten sposób łatwowiernych ludzi. Lecz brakowało mu dyscypliny niezbędnej w naszym fachu. Był zbyt leniwy i zanadto lubił ułatwiać sobie pracę. Minęło już prawie osiemnaście lat, odkąd mnie opuścił, od tego czasu nie robił nic dobrego. Uważa się za maga i bierze pieniądze od porządnych, uczciwych ludzi, gdy znajdą się w tarapatach. Próbowałem go powstrzymać przed zejściem na złą drogę, lecz niektórzy ludzie nie przyjmują niczyjej pomocy.

– Maga? – powtórzyłem, niepewny znaczenia tego słowa.

– To inne określenie czarodzieja, chłopcze. Kogoś, kto praktykuje tak zwaną magię. Zajmuje się trochę uzdrawianiem, lecz jego specjalność to nekromancja.

– Nekromancja? A co to? – spytałem. Tego słowa też nigdy nie słyszałem i zrozumiałem, że po dzisiejszej rozmowie będę miał sporo do zapisania.

– Zastanów się, chłopcze. Słowo to pochodzi z greki. Powinieneś sam odgadnąć jego znaczenie.

– No cóż, nekros znaczy trup – rzekłem po chwili zastanowienia. – Zatem ma chyba coś wspólnego z...umarłymi?

– Brawo, chłopcze. To mag, który wykorzystuje umarłych. Pomagają mu i dają moc.

– Jak? – spytałem.

– Jak wiesz, duchy i widma to część naszej pracy. Ale my rozmawiamy z nimi i posyłamy w dalszą drogę. Natomiast on postępuje odwrotnie. Wykorzystuje umarłych, używa ich jako swych szpiegów, zachęca do pozostania na ziemi, służenia jego celom i napełniania kieszeni. Czasami oszukuje przy tym nieszczęsnych, oplakujących stratę ludzi.

– Czyli jest oszustem?

– Nie, naprawdę rozmawia ze zmarłymi. Zapamiętaj zatem i to dobrze: Morgan to niebezpieczny człowiek, a kontakty z mrokiem

obdarzyły go rzeczywistą i bardzo groźną mocą, której winniśmy się lękać. Nie ma też litości i zraniłby każdego stojącego mu na drodze. Trzymaj się odeń z daleka, chłopcze.

– Czemu wcześniej go nie powstrzymałeś? – spytałem. – Nie powinienesz rozprawić się z nim wiele lat temu?

– To długa historia – odparł mój mistrz. – Owszem, powinienem, ale wówczas chwila nie była właściwa. Wkrótce się nim zajmiemy. Póki jednak nie będziemy gotowi, staraj się do niego nie zbliżać. I przestań mi mówić, co mam robić!

Zwiesiłem głowę, a mistrz poklepał mnie lekko po ramieniu.

– No już, chłopcze, nic się nie stało. W końcu miałeś rację. Cieszę się, że znów myślisz głową. A dziewczyna dobrze się spisała, podglądając, jak rozmawiał z duchem siostry. Dlatego właśnie ją tam umieściłem, by miała oko na podobne rzeczy.

– Ale to niesprawiedliwe! – zaprotestowałem. – Wiedziałeś, że Alice będzie tam bardzo ciężko.

– Wiedziałem, że jej życie nie będzie usłane różami. Lecz Alice musi odpokutować za to, co zrobiła w przeszłości, a sama potrafi o siebie zadbać. Kiedy już rozprawimy się z Morganem, jego rodzice będą szczęśliwsi. Ale najpierw musimy go znaleźć.

– Alice mówi, że Hurstowie skłamacli. Morgan bardzo często odwiedza farmę.

– Czyżby!

– Mówiła, że na razie go tam nie ma, ale może wrócić w każdej chwili.

– Może zatem tam właśnie powinniśmy rozpocząć jutro poszukiwania – rzekł z namysłem stracharz.

Gdy cisza zaczęła się przedłużać, uznałem, że muszę dotrzymać złożonej Alice obietnicy, choć wiedziałem, że to strata czasu.

– Czy Alice nie mogłaby znów zamieszkać z nami? Jest jej tam naprawdę źle. To okrutne zostawiać ją tam, choć w domu jest tyle miejsca.

– Po co zadajesz pytanie, skoro z góry znasz odpowiedź? – stracharz zmierzył mnie gniewnym spojrzeniem. – Nie ustępuj.

Jeśli pozwolisz, by serce zawładnęło twoją głową, mrok zawsze cię pokona. Pamiętaj o tym, chłopcze; któregoś dnia to ci może ocalić życie. A w tym domu mieszka już dość czarownic.

I na tym skończyła się nasza rozmowa. Następnego dnia jednak nie odwiedziliśmy farmy Hurstów, zdarzyło się bowiem coś, co wszystko zmieniło.

## ROZDZIAŁ 7

### RZUCACZ

Tuż po śniadaniu do tylnych drzwi zaczął dobijać się pięściami rośli chłopak z farmy.

– Co ty wyprawiasz, ofermo? – zawołał stracharz, otwierając drzwi na oścież. – Chcesz rozwalić to cholerstwo?

Chłopak przestał walić w drzwi i jego twarz oblała się jaskrawą purpurą.

– Pytałem o pana w wiosce – rzekł, wskazując w kierunku Adlington. – Cieśla wyszedł z podwórka i pokazał mi drogę. Kazał głośno zastukać do tylnych drzwi.

– Owszem, ale zastukać, nie rąbać jak w drzewo – rzekł gniewnie stracharz. – Co cię tu w ogóle sprowadza?

– Przysłała mnie tato, prosi, żeby pan przyszedł jak najszybciej. Paskudna sprawa. Człowiek nie żyje.

– Kim jest twój tato?

– To Henry Luddock. Mieszkamy na Kamiennej Farmie, przy parowie Owshaw.

– Znam twojego tatę, już dla niego pracowałem, przypadkiem nie jesteś William?

– Zgadza się...

– Cóż, Williamie, kiedy ostatnio odwiedziłem Kamienną Farmę, byłeś ledwie niemowlęciem. Widzę, że jesteś strapiony, więc wejdź do środka i zrzuć z siebie ciężące ci brzemię. Odetchnij głęboko,

uspokój się i zacznij od początku. Chcę poznać wszystkie szczegóły, niczego nie opuszczaj – polecił stracharz.

Przechodząc przez kuchnię, w drodze do salonu nie dostrzegłem ani śladu Meg. Zazwyczaj, gdy nie pracowała, siedziała w swym bujanym fotelu, grzejąc dłonie nad kuchennym ogniem. Zastanawiałem się, czy gdy zjawiają się goście, specjalnie trzyma się na uboczu. Podobnie powinna była postąpić, kiedy Shanks dostarczył sprawunki.

W salonie William rozpoczął opowieść o wydarzeniach, które zaczęły się źle, a potem jeszcze pogorszyły. Najwyraźniej bogin, pewnie ten sam, którego słyszeliśmy z mistrzem, gdy przemieszczał się pod domem wzdłuż linii mocy, umościł się na Kamiennej Farmie i zaczął psocić. Najpierw hałasował w nocy grzechotał rondlami i garnkami w kuchni, trząskając frontowymi drzwiami, kilka razy uderzył o ściany. To wystarczyło, bym natychmiast zidentyfikował go z moich notatek.

To był stukacz. Domyśliłem się zatem, w jakim kierunku rozwinie się historia Williama. Następnego ranka bogin zaczął rzucać kamieniami. Z początku były to małe kamyczki – grzechotały o okna, turlały się po dachu i wpadały do komina. Stopniowo kamienie stawały się coraz większe i większe.

Stracharz uczył mnie, że stukacze czasami zmieniają się w rzucacze, boginy złośliwe i bardzo niebezpieczne. Tym razem ofiarą padł pasterz, zatrudniony przez Henry'ego Luddocka. Jego ciało znaleziono w dole zbocza.

– Miał strzaskaną czaszkę – poinformował William. – Kamień, który to zrobił, był większy od jego głowy.

– Czy to na pewno nie był wypadek? – spytał stracharz. – Mógł się potknąć, upaść i sam uderzyć.

– Na pewno nie: leżał na plecach, a na nim spoczywał kamień. A kiedy zabraliśmy ciało, wokół nas posypały się inne kamienie. To było straszne, myślałem już, że zaraz zginę. Przyjdzie pan nam pomóc? Proszę. Tato szaleje ze zmartwienia. Mamy mnóstwo pracy, ale nie możemy bezpiecznie wychodzić na dwór.

– Owszem, wracaj do domu i uprzedź ojca, że już do was idę. A co do pracy, wydojcie krowy i zróbcie tylko to, co niezbędne. Owce same sobie poradzą, przynajmniej do pierwszych śniegów trzymajcie się z dala od wzgórza.

Kiedy William wyszedł, stracharz odwrócił się do mnie i z powagą pokręcił głową.

– Niedobre to wieści, chłopcze – rzekł. – Rzucacze lubią psocić, ale rzadko zabijają. Ten to wyjątek i może zrobić tak ponownie. Rozprowałem się już z paroma podobnymi i zwykle wszystko kończyło się co najmniej bólem głowy. A choć to nie rozpruwacz, może być równie niebezpieczny. Zdarzało się już, że rzucacze zabijały stracharzy.

Jesienią sam uwięziłem rozpruwacza. Mój mistrz był chory i musiałem poradzić sobie bez niego, przy udziale jedynie kamieniarza i jego pomocnika. Było to dość straszne przeżycie, bo rozpruwacze zabijają swoje ofiary. Teraz też się bałem, ale inaczej, trudno bowiem obronić się przed kamieniami spadającymi z nieba.

– Cóż, ktoś musi to zrobić – rzekłem z uśmiechem przybierając odważną minę.

Stracharz przytaknął z powagą.

– Bez wątpienia, chłopcze. Więc bierzmy się do roboty.

Przed odejściem musieliśmy załatwić coś jeszcze. Stracharz zaprowadził mnie z powrotem do salonu i kazał zdjąć brązową butlę z napisem HERBATA ZIOŁOWA.

– Przygotuj Meg dodatkową porcję, chłopcze – polecił. – Tyle że tym razem mocniejszą; nalej kilka porządnych cali. To powinno wystarczyć, bo wrócimy w ciągu tygodnia.

Zrobiłem, jak kazał, zużywając co najmniej dwa cale ciemnej mikstury. Następnie zagotowałem wodę i dopełniłem filiżankę aż po brzeg.

– Wypij to, Meg – powiedział stracharz, gdy wręczyłem jej parującą filiżankę. – Przyda ci się, bo robi się coraz zimniej i mogą cię boleć kości.

Meg uśmiechnęła się do niego, w ciągu dziesięciu minut



opróżniła filiżankę i głowa zaczęła opadać jej na piersi. Stracharz wręczył mi klucz do bramy na chodach i kazał pójść przodem. Potem podniósł Meg niczym dziecko i podążył za mną.

Otworzyłem bramę, zszedłem po schodach i czekałem przy środkowych drzwiach. Mój mistrz zaniósł Meg do ciemnego pomieszczenia. Zostawił drzwi otwarte, więc słyszałem każde jego słowo:

– Dobranoc, ukochana – rzekł. – Śnij o naszym ogrodzie.

Jestem pewien, że nie powinienem był tego słyszeć, ale usłyszałem i zawstydzilem się, słysząc mistrza mówiącego w taki sposób.

Jaki właściwie ogród miał na myśli? Ogrody w Chipenden? Jeśli tak, miałem nadzieję, że chodziło o zachodni, z widokiem na wzgórze. O pozostałych dwóch, z dołami boginów i grobami czarownic, wolałem nie myśleć.

Meg nie odpowiedziała, lecz stracharz, wychodząc i zamykając za sobą drzwi, musiał ją obudzić, bo nagle rozplakała się jak dziecko, bojące się ciemności. Słyszając to stracharz zastygł. Bardzo długo czekaliśmy za drzwiami, aż w końcu płacz umilkł i zastąpił go inny cichy dźwięk. Słyszałem oddech, ulatujący ze świstem przez zęby Meg.

– Już dobrze – powiedziałem cicho do mojego mistrza. – Ona śpi, słyszę, jak chrapie.

– Nie, chłopcze – stracharz posłał mi miazdzące spojrzenie. – To nie brzmi jak chrapanie, tylko śpiew.

Według mnie z pokoju dobiegało chrapanie i pomyślałem, że stracharz nie znosi nawet najmniejszej krytyki Meg. Bez dalszych uwag wróciliśmy na górę, zamknęliśmy za sobą bramę i spakowaliśmy się na drogę.

\*

Ruszyliśmy na wschód, zagłębiając się w parów, aż w końcu stał się tak wąski, że prawie maszerowaliśmy środkiem strumienia, nad głowami mając jedynie wąską smugę szarego nieba. I wtedy, ku memu zdumieniu, dotarliśmy do stopni wyciętych w skale.

Były to wąskie, strome schody, śliskie i oblodzone. Dźwigałem ciężką torbę stracharza, co oznaczało, że gdybym się pośliznął, miałem tylko jedną rękę, by móc się uratować.

Maszerując w ślad za mistrzem, zdołałem dotrzeć na górę w jednym kawałku. Tam uznałem, że warto się było pomęczyć, bo znów otoczyło mnie świeże powietrze i szerokie otwarte przestrzenie. Wiatr dmuchał tak silnie, iż miałem wrażenie, że lada moment zwieje nas z moczarów. Ciemne groźne chmury pędziły po niebie tak nisko nad naszymi głowami, iż zdawało się, że mógłbym wyciągnąć rękę i ich dotknąć.

Jak już mówiłem, tereny Anglezarke, jak na moczary, leżały bardzo wysoko, były jednak znacznie bardziej płaskie niż wzgórza wokół Chipenden. Dostrzegłem jednak nieliczne pagórki i doliny, część z nich o bardzo dziwnych kształtach. Wyróżniał się zwłaszcza jeden: niewielki kopiec, zbyt okrągły i gładki, by mogła go stworzyć natura. Gdy znaleźliśmy się bliżej, poznałem nagle: to był kurhan, na którym widziałem syna Hurstów.

– Tu właśnie zobaczyłem Morgana – poinformowałem stracharza. – Stał na samej górze.

– Bez wątpienia, chłopcze. Zawsze fascynował go ten kurhan, nie potrafił trzymać się z daleka. Miejscowi nazywają go Okrągłym Bochnem z powodu kształtu. – Stracharz wsparł się na lasce. – Usypali go w pradawnych czasach pierwsi ludzie, którzy przybyli do Hrabstwa z zachodu. Jak wiesz, wylądowali w Heysham.

– Do czego służył?

– Niewielu wie na pewno, ale znalazło się sporo głupców, którzy próbowali zgadnąć. Większość uważa, że to kopiec, w którym spoczywa starożytny król wraz ze swą zbroją i złotem. Chciwi ludzie kopali tu głębokie doły, lecz mimo ciężkiej pracy niczego nie znaleźli. Wiesz, co oznacza słowo Anglezarke, chłopcze?

Pokręciłem głową, dygocząc z zimna.

– Znaczy ono „pogańska świątynia”. Całe moczary były kiedyś olbrzymim kościołem pod otwartym niebem. Tu starożytni oddawali cześć Starym Bogom, a jak ci wspominała mama,

najpotężniejszym z owych bogów był Golgoth, które to imię oznacza Władcę Zimy. Niektórzy powiadają, że ten właśnie kopiec to jego ołtarz. Z początku Golgoth był jedynie potężną siłą natury, duchem przyrody, uwielbiającym zimno. Ponieważ jednak tak długo i wytrwale oddawano mu cześć, zyskał świadomość i stał się złośliwy. Czasami pozostawał na długo poza wyznaczoną mu porą, grożąc całym rokiem lodów i śniegu. Niektórzy sądzą nawet, że to moc Golgotha sprowadziła na ziemię ostatnią epokę lodowcową. Kto jednak zna prawdę? Tak czy inaczej, podczas najgłębszej zimy, w dniu przesilenia, lękając się, że mrozy nigdy nie ustąpią, a wiosna nie powróci, ludzie składali mu ofiary. Krwawe ofiary, bo ludzie zawsze byli prymitywni i okrutni.

– Ze zwierząt? – spytałem.

– Z ludzi, chłopcze. Czynili tak, by nasycony krwią ofiar Golgoth pogrążył się w głębokim śnie, pozwalając wiosnie powrócić. Kości biedaków złożonych w ofierze wciąż tu są; jeśli zaczniesz kopać w promieniu mili od tego miejsca, bardzo szybko na nie natrafisz. Ten kurhan to kolejna rzecz, która niepokoiła mnie u Morgana. Nie potrafił się uwolnić od tego miejsca. I zawsze interesował go Golgoth, zdecydowanie za bardzo, jak na mój gust. Pewnie wciąż tak jest. Bo widzisz, niektórzy sądzą, iż Golgoth może być kluczem do osiągnięcia mistrzostwa w magii. Gdyby mag taki jak Morgan zdołał zaczerpnąć mocy Golgotha, mrok opanowałby Hrabstwo.

– I sądzisz, że Golgoth wciąż tu jest, gdzieś na tych moczarach?

– Owszem. Ponoć śpi mocno pod nimi. Dlatego właśnie zainteresowanie Morgana jest takie niebezpieczne. Bo widzisz chłopcze, Starzy Bogowie zyskują moc, gdy niemądrzy ludzie oddają im cześć. Potęga Golgotha osłabła, kiedy stracił wyznawców. Wówczas właśnie zapadł w głęboki sen. Sen, z którego nie chcemy go obudzić.

– Ale czemu ludzie przestali oddawać mu cześć? Myślałem, iż się bali, że zima nigdy się nie skończy.

– Owszem, chłopcze, to prawda. Czasami jednak ważniejsze

okazują się inne względy. Być może silniejsze plemię zawładnęło moczarami, przynosząc ze sobą swego boga. Albo może pola wyjałowiały i ludzie musieli się przenieść w żyzniejsze okolice. Prawdziwy powód przepadł w pomroce dziejów, lecz teraz Golgoth śpi, i chciałbym, by tak właśnie zostało. Trzymaj się zatem z dala od tego miejsca, chłopcze, dobrze ci radzę. I spróbujmy nie dopuszczać też do niego Morgana. A teraz chodź, dnia nie zostało już wiele, więc lepiej ruszajmy w drogę.

To rzekłszy stracharz poprowadził i w jakąś godzinę później zeszliśmy z moczarów na północ. Do Kamiennej Farmy dotarliśmy przed zmierzchem. William, syn farmera, czekał na nas na końcu drogi. Razem wspięliśmy się na wzgórze pod ciemniejącym niebem. Lecz przed odwiedzeniem farmy stracharz uparł się, by najpierw odwiedzić miejsce, gdzie znaleziono ciało.

Ścieżka spod tylnej bramy wiodła wprost na moczary, ciemne i groźne pod szarym niebem. Wiatr ucichł i chmury wędrowały leniwie po niebie, ciężarne śniegiem.

Po jakichś dwustu krokach znaleźliśmy się w parowie, znacznie mniejszym niż ten, w którym stał dom stracharza, ale równie ponurym i niegościnnym. Był to wąski jar, pełen błota i kamieni, rozdzielony na dwoje rwącym, płytkim strumieniem.

Nie widziałem niczego ciekawego, ale nie czułem się tu pewnie, podobnie William. Cały czas rozglądał się nerwowo i co chwila obracał gwałtownie na pięcie, jakby przypuszczał, że coś może podkradać się do niego od tyłu. Zabawnie się na to patrzyło, ale byłem zbyt wystraszony, by choćby się uśmiechnąć.

– A zatem wszystko stało się w tym miejscu? – spytał stracharz, gdy William się zatrzymał.

William przytaknął, wskazując kilka zgniecionych kęp trawy.

– Oto kamień, który dźwignęliśmy z jego głowy – dodał, demonstrując wielką bryłę szarej skały. – Trzeba było dwóch ludzi, by go podnieść.

Kamień był wielki. Przyglądałem mu się ponuro, przerażony, że coś takiego mogłoby spaść na mnie z nieba. W tym momencie

ostatecznie pojąłem, jak niebezpieczny może być rzucacz.

I wtedy znienacka zaczęły sypać się kamienie. Najpierw mały, który spadł tak cicho, że pośród szumu strumyka ledwie usłyszałem odgłos uderzenia. Spojrzałem w górę akurat w chwili, gdy drugi, znacznie większy, przeleciał o włos od mojej głowy. Po chwili z nieba leciały już na nas kamienie wszelkich rozmiarów, niektóre dość duże, by poważnie zranić.

Stracharz wskazał kijem w stronę farmy i ku memu zdumieniu poprowadził nas w dół parowu. Poruszaliśmy się szybko, z trudem dotrzymywałem mu kroku, torba ciążyła mi coraz bardziej, a stopy ślizgały się w błocie. Zatrzymaliśmy się zdyszani, dopiero gdy dotarliśmy na farmę.

Kamienie przestały spadać, lecz jeden zdołał trafić w cel. Na czole stracharza ujrzałem krwawiące skaleczenie. Nie była to poważna rana, nie zagrażała jego zdrowiu, lecz widok ранnego mistrza zaniepokoił mnie.

Rzucacz zabił już człowieka i mój mistrz – nie będący w pełni sił – miał się z nim rozprawić. Wiedziałem, że jutro będzie potrzebował swego ucznia. I wiedziałem, że czeka nas straszny dzień.

\*

Henry Luddock bardzo serdecznie przywitał nas na swej farmie. Wkrótce siedzieliśmy już w jego kuchni przed huczącym ogniem. Gospodarz, rosły, jowialny mężczyzna o rumianych policzkach, nie dał się opanować strachowi przed boginem. Zasmuciła go śmierć wynajętego pasterza, przyjął nas jednak serdecznie i ciepło i zaproponował obfitą kolację.

– Dziękuję za propozycję, Henry – stracharz odmówił uprzejmie. – To bardzo miłe z twojej strony, ale nigdy nie pracujemy z pełnym brzuchem. To jakbyśmy prosili się o kłopoty. Wy jednak jedzcie do woli, nie przejmujcie się nami.

Ku mej konsternacji, rodzina Luddocków dokładnie tak postąpiła. Usiedli, zajadając wielkie porcje pieczeni cielecej, podczas gdy stracharz pozwolił mi posilić się tylko żalonymi

kawałkami jasnożółtego sera, popitymi szklanką wody.

Siedziałem zatem, skubiąc ser i rozmyślając o Alice, tkwiącej w domu, w którym była taka nieszczęśliwa. Gdyby nie ten bogin, stracharz może rozprawiłby się już z Morganem i poczułaby się lepiej. Ale w obliczu rzucacza trudno stwierdzić, kiedy zdoła się wziąć za następne zadanie.

Luddockowie nie mieli wolnych sypialni, spędziliśmy więc ze stracharzem niewygodną noc, leżąc opatuleni w koce na kuchennej podłodze, blisko paleniska. Zmarznięci i sztywni, wstaliśmy długo przed świtem i wyruszyliśmy do najbliższej wioski, zwanej Belmont. Leżała daleko w dole, co bardzo ułatwiało marsz, wiedziałem jednak, że wkrótce będziemy musieli wrócić tą samą drogą, wspinając się pod górę, by znów dotrzeć na farmę.

Belmont okazało się niezbyt duże – rozstaje, pół tuzina domów i kuźnia, do której przyszliśmy. Kowala nie bardzo ucieszył nasz widok, zapewne dlatego, że wyciągnęliśmy go z łóżka. Był rostry i muskularny, jak większość kowali, chłop na schwał, lecz gdy spojrzał na stracharza, w jego wzroku dostrzegłem lęk. Dobrze wiedział, czym zajmuje się mój mistrz.

– Potrzebny mi nowy topór – oznajmił stracharz.

Kowal wskazał ścianę za kuźnią, na której wystawiał kilka różnych głowic, czekających na wykończenie.

Stracharz wybrał szybko, wskazując największą, z potężnym podwójnym ostrzem. Kowal zmierzył ukradkiem wzrokiem mojego mistrza, jakby próbował osądzić, czy starczy mu sił, by unieść podobne narzędzie.

Potem bez dalszych ceregieli skinął głową, mruknął i wziął się do pracy. Zostałem obok, patrząc, jak rozgrzewa, kuje i kształtuje metal na kowadle, od czasu do czasu do wtóru syków i w obłokach pary wsuwając go do zbiornika z wodą.

Najpierw połączył głowicę z długim drewnianym styliskiem. Dopiero potem zaczął ostrzyć topór na kamieniu w snopach iskier. Potrzebował niemal godziny, nim w końcu z zadowoleniem wręczył mistrzowi owoc swej pracy.

– Będę też potrzebował dużej tarczy – oznajmił stracharz. – Musi być dość wielka, by osłonić nas obu, ale i dość lekka, by chłopak utrzymał ją nad głową.

Kowal spojrział na niego ze zdumieniem, na moment zniknął w warsztacie i powrócił z wielką, okrągłą tarczą. Zrobiono ją z drewna okutego metalem, pośrodku tkwił żelazny guz z kolcem, toteż kowal zaczął od usunięcia go i zastąpienia drewnem, by zmniejszyć ciężar. Następnie pokrył zewnętrzną część tarczy blachą.

Teraz, ściskając zewnętrzną krawędź, byłem w stanie unieść tarczę nad głowę i wyprostować ręce. Stracharz jednak orzekł, że to nie wystarczy, bo moje palce mogłyby uciepnieć, a wówczas upuściłbym osłonę. Kowal zatem zastąpił zwykły, skórzany pas dwoma drewnianymi uchwytami po wewnętrznej stronie.

– No dobrze, zobaczymy, jak sobie radzisz – rzekł stracharz.

Kazał mi przytrzymywać tarczę w różnych pozycjach, pod różnymi kątami. W końcu, zadowolony, zapłacił i ruszyliśmy z powrotem na Kamienną Farmę. Od razu udaliśmy się do parowu. Stracharz musiał zostawić kij, bo miał pełne ręce – niósł przecież topór i swą własną torbę. Ja zmagalem się z ciężką tarczą, zadowolony, że nie kazał mi wziąć też torby. Wkrótce dotarliśmy do miejsca, gdzie zginął pasterz. Tam stracharz przystanął i spojrział mi głęboko w oczy.

– Teraz musisz być dzielny, chłopcze. Bardzo dzielny. Trzeba działać szybko – oznajmił. – Bogin mieszka pod korzeniami starego głogu, niedaleko stąd. Musimy ściąć i spalić krzak, żeby go przegnać.

– Skąd o tym wiesz? – spytałem. – Czy rzucacze zwykle mieszkają pod korzeniami drzew?

– Mieszkają, gdzie im się spodoba, ale boginy zwykle lubią parowy, a zwłaszcza miejsca pod korzeniami głogu. Pasterz zginął u wylotu tutejszego parowu. Wiem też, że niedaleko rośnie stary głóg, bo tam dokładnie rozprawiłem się z poprzednim boginem, niemal dziewiętnaście lat temu, gdy młody John wciąż był

dzieciatkiem, a Morgan moim uczniem. Mamy jednak pewien kłopot. O ile tamten bogin wysłuchał przyjacielskiej perswazji i wyniósł się na moją prośbę, ten jest groźnym rzucaczem, który już zabił. Słowa na nic się tu nie zdadzą.

Ruszyliśmy wprost na północ i znaleźliśmy się na zachodnim końcu parowu. Stracharz narzucił szybuje tempo, wkrótce obaj dyszeliliśmy ciężko. Błoto stopniowo ustępowało miejsca luźnym kamieniom, utrudniającym marsz.

Z początku trzymaliśmy się blisko krawędzi, potem jednak stracharz poprowadził nas po żwirze na brzeg strumienia. Płytką i wąską struga rwała po kamieniach w dół z taką siłą, że trudno by się było przez nią przeprowadzić. Maszerowaliśmy nadal w górę, brzegi po obu stronach wznosiły się stromo, aż w końcu nad naszymi głowami pozostało tylko wąskie pasmo nieba. I wtedy, mimo szumu strugi, usłyszałem plusk pierwszego kamienia wpadającego do wody.

Spodziewałem się tego, a wkrótce do pierwszego kamienia dołączyły następne. Zdjąłem szybko tarczę z pleców i spróbowałem unieść ją ponad naszymi głowami. Stracharz był wyższy ode mnie, toteż musiałem wyciągać ręce i wkrótce poczułem ból w ramionach. Choć starałem się, jak mogłem, mistrz musiał się zgarbić i nie szło nam się najwygodniej.

Po pewnym czasie ujrzelśmy krzak głogu. Nie był zbyt wielki, lecz bardzo stary, czarny, poskręcany z węzlastymi korzeniami przypominającymi szpony. Stał tam wyzywająco, przetrwawszy najgorszą pogodę przez co najmniej sto lat. Było to świetne miejsce dla bogina, zwłaszcza rzucacza, który unika ludzkiego towarzystwa i lubi samotność.

Spadające kamienie z każdą minutą stawały się coraz większe. Gdy dotarliśmy do głogu, odłamek skalny większy od mej pięści odbił się od tarczy, o mało mnie nie ogłuszając.

– Trzymaj mocno, chłopcze! – krzyknął stracharz.

I wtedy kamienie przestały spadać.

– Tutaj... – mój mistrz wskazał ręką i w ciemności pod



gałęziami drzewa ujrzałem nabierającego kształtów bogina.

Stracharz mówił, że boginy tego typu to duchy pozbawione ciała, krwi i kości. Czasami jednak, próbując przerazić ludzi, okrywają się czymś, by stać się widzialnymi. Tym razem bogin użył kamieni i błota spod drzewa, które wzniosły się w wielkiej wirującej, mokrej chmurze i przywarły do niego, ukazując nam jego kształty.

Nie był to piękny widok. Bogin miał sześć potężnych rąk, przydatnych przy rzucaniu kamieniami. Nic dziwnego, że potrafił ciskać je tak szybko. Głowę także miał olbrzymią, a twarz pokrywały błoto, śluz i kamyki, poruszające się, gdy spojrzał na nas z wściekłym grymasem, zupełnie jakby pod nimi trzęsła się ziemia. W miejscu ust ujrzałem czarną szczelinę, w miejscu oczu dwie duże, czarne dziury.

Nie zważając na bogina i nie tracąc czasu, kamienie bowiem znów powróciły, stracharz ruszył prosto pod drzewo, już w drodze zamachując się toporem. Stare, węzłaste drewno było twarde i mistrz potrzebował kilkunastu ciosów, by odrąbać gałęzie. Straciłem z oczu bogina, bo byłem zbyt zajęty unoszeniem tarczy i osłanianiem mego towarzysza przed najgorszymi pociskami. Tarcza z każdą chwilą zdawała się coraz cięższa, ręce dygotały mi coraz mocniej.

Stracharz zaatakował pień, rąbiąc z furją, i wtedy pojąłem, czemu wybrał topór o dwóch ostrzach, zamachiwał się bowiem w prawo i w lewo, jak robotnik, kosą. Nie czułem się zbyt bezpiecznie. Patrząc na niego, trudno by zgadnąć, że ma aż tyle sił. Jego młodość dawno minęła, lecz w tym momencie, gdy ostrze topora wbiło się głęboko w drewno, pojąłem, że mimo wieku i niedawnej choroby, mistrz wciąż jest co najmniej tak silny jak kowal i bez kłopotu rozprawiłby się z moim tatą.

Stracharz nie zrąbał drzewa; rozszczepił pień, po czym odłożył siekiere i sięgnął do czarnej, skórzanej torby. Nie widziałem dokładnie, co robi, bo kamienie sypały się jeszcze gęściej. Zerknąwszy w bok przekonałem się, że bogin zaczął falować i

rosnąć, jego ciało pokrywały wielkie napęczniałe mięśnie, niczym wezbrane wrzody. Przyciągając do siebie kolejne porcje błota i kamyków, urósł niemal dwukrotnie.

A potem, bardzo szybko, zdarzyły się dwie rzeczy.

Po pierwsze, z nieba po naszej prawej spadł olbrzymi głaz, wbijając się do połowy w ziemię. Gdyby na nas wylądował, tarcza na nic by się zdała, zmiażdżyłby nas obu. Po drugie, drzewo nagle stanęło w płomieniach. Jak mówiłem, nie miałem szansy sprawdzić, jak stracharz tego dokonał, lecz efekt był niezwykle widowiskowy. Drzewo zapłonęło z donośnym szszszu! i płomienie rozświetliły niebo. Wokół posypał się deszcz iskier.

Kiedy spojrzałem w lewo, bogin zniknął, toteż drżącymi rękami opuściłem tarczę, opierając jej krawędź o ziemię. Gdy tylko to zrobiłem, stracharz podniósł swą torbę, oparł topór o ramię i bez słowa, nie oglądając się za siebie, ruszył w dół parowu.

– No chodź, chłopcze! – zawołał. – Nie ociągaj się.

Podniosłem zatem tarczę i podążyłem za nim, nie oglądając się za siebie.

Po jakimś czasie stracharz zwolnił; wtedy go dogoniłem.

– To wszystko? – spytałem. – Już koniec?

– Nie bądź durniem – pokręcił głową. – To dopiero początek, pierwszy krok. Farma Henry'ego Luddocka jest bezpieczna, ale bogin wkrótce znów zaatakuje. Czekają nas jeszcze gorsze starcia!

Poczułem zawód, bo sądziłem już, że niebezpieczeństwo minęło i zakończyliśmy zadanie. Nie mogłem się doczekać gorącego, pysznego posiłku, lecz stracharz odebrał mi nadzieję, bo wiedziałem, że musimy pościć dalej.

Gdy tylko dotarliśmy na miejsce, mistrz poinformował Henry'ego Luddocka, że pozbył się bogina. Farmer podziękował mu i obiecał zapłacić najbliższej jesieni, tuż po żniwach. W pięć minut później maszerowaliśmy już do zimowego domu stracharza.

\*

– Jesteś pewien, że bogin wróci? Naprawdę sądziłem, że to już załatwione – rzekłem, gdy wędrowaliśmy przez moczary, czując na

plecach uderzenia wiatru.

– Po prawdzie połowa zadania za nami, chłopcze, ale ta łatwiejsza. Tak jak wiewiórka, zagrzebująca żołądzie, bogin przechowuje, tam gdzie żyje, zapasy mocy. Na szczęście już je stracił, spłonęły wraz z drzewem. Zwyciężyliśmy w pierwszej wielkiej bitwie, lecz po paru dniach zbierania sił bogin zacznie zadręczać kogoś innego.

– To znaczy, że uwięzimy go w dole?

– Nie, chłopcze. Gdy rzucacz zaczyna zabijać, trzeba go załatwić na dobre!

– Skąd weźmie nową siłę? – dopytywałem się.

– Ze strachu, chłopcze, tak właśnie to robi. Rzecacz karmi się strachem tych, których zadręcza. Jakąś nieszczęsną rodzinę w okolicy czeka straszliwa noc. Nie wiem, dokąd pójdzie i kogo wybierze, toteż nic nie mogę zrobić, nikogo ostrzec. Musimy się z tym pogodzić. Tak jak ze zniszczeniem biednego, starego głogu. Nie chciałem tego robić, ale nie miałem wyboru. Bogin będzie się prznosił, zbierał siły, lecz po paru dniach znajdzie sobie nową stałą siedzibę. I wtedy ktoś do nas przyjdzie, prosząc o pomoc.

– Dlaczego właściwie bogin stał się zły? – spytałem. – Czemu zaczął zabijać?

– A czemu ludzie zabijają? – odpowiedział pytaniem stracharz.

– Niektórzy to robią, inni nie. Niektórzy zaczynają dobrze, a źle kończą. Przypuszczam, że temu rzucaczowi znudziło się bycie stukaczem, krycie się w domach i płoszenie ludzi nocnymi hukami i stukami. Zapragnął więcej, chciał mieć dla siebie całe wzgórze. Zamierzał wygnać biednego starego Henry'ego Luddocka i jego rodzinę z farmy. Teraz jednak zniszczyliśmy mu dom i będzie potrzebował nowego, toteż przeniesie się dalej wzdłuż linii mocy.

Przytaknąłem.

– Cóż, może to cię pocieszy – wyciągnął z kieszeni kawałek żółtego sera, odłamał niewielką część i wręczył mi. – Pożuj sobie – polecił – ale nie połykaj wszystkiego naraz.

\*

Po powrocie do domu stracharza wypuściliśmy Meg z piwnicy i powróciłem do codziennej rutyny obowiązków i lekcji. Istniała jednak jedna poważna różnica. Ponieważ spodziewaliśmy się kłopotów z boginem, pościliśmy dalej. Cierpiałem katusze patrząc jak Meg przyrządza sobie posiłki, podczas gdy my głodowaliśmy. Po trzech dniach mój żołądek miał chyba wrażenie, że o nim zapomniałem, ale w końcu około południa czwartego dnia usłyszeliśmy głośnie pukanie do tylnych drzwi.

– No, chłopcze, zobacz, kto to – polecił stracharz. – Bez wątpienia przynosi wieści, na które czekamy.

Zrobiłem, jak kazał, gdy jednak otworzyłem drzwi, ku swemu zdumieniu ujrzałem czekającą Alice.

– Przysłała mnie stary pan Hurst – oznajmiła. – Na Farmie Przy Moczarach mają kłopoty z boginem. I co, nie zaprosisz mnie do środka?

## **ROZDZIAŁ 8**

### **POWRÓT RZUCACZA**

Stracharz miał rację w swych przewidywaniach, ale kiedy wprowadziłem do kuchni naszego gościa, zdumiał się niemal tak jak ja.

– Bogin zjawił się na farmie Hurstów – oznajmiłem. – Pan Hurst prosi o pomoc.

– Chodź do salonu, dziewczyno, tam porozmawiamy. – Ruszył pierwszy, wskazując nam drogę.

Alice uśmiechnęła się, wcześniej jednak zerknęła na Meg, która siedząc do nas tyłem, ogrzewała dłonie nad ogniem.

– Usiądź – polecił Alice mój mistrz, zamykając drzwi salonu. – A teraz opowiedz wszystko. Zaczynij od początku, nie śpiesz się.

– Niewiele jest do gadania – zaczęła Alice. – Tom opowiedział mi dość o boginach, bym miała pewność że to rzucacz. Od paru dni

ciska kamieniami w farmę, nie można bezpiecznie wyjść na dwór. Ryzykowałam życiem, przychodząc tu po was. Podwórze jest pełne głązów, w domu nie ocalała niemal żadna szyba, stracił też trzy rondle z kraty w kominie. Dziw, że nikomu nic się nie stało.

– Czy Morgan nie próbował czegoś z tym zrobić? – spytał stracharz. – Nauczyłem go dosyć o boginach.

– Nie widziałam go od kilku dni, i dobrze. Im dłużej, tym lepiej!

– Chyba na to czekaliśmy – zauważyłem.

– Tak też wygląda. Lepiej przygotuj ziołową herbatę, równie mocną, jak poprzednio.

Wstałem i otworzyłem szafkę obok paleniska, wydając dużą butlę z brązowego szkła. Gdy się obróciłem, dostrzegłem dezaprobatę na twarzy Alice. Stracharz też ją zauważył.

– Nie wątpię, iż jak zwykle chłopak opowiedział ci o moich prywatnych sprawach. Wiesz zatem, co ma zrobić i czemu to konieczne. Bez takich min, proszę!

Alice nie odpowiedziała. Poszła za mną do kuchni i patrzyła, jak przyrządzam herbatę. Tymczasem stracharz zniknął w gabinecie, by uzupełnić dziennik. Gdy skończyłem, Meg drzemała w fotelu. Musiałem ją obudzić, delikatnie potrząsając za ramię.

– Proszę, Meg – rzekłem, gdy uniosła powieki. – To twoja herbata. Wypij powoli, żeby się nie poparzyć.

Meg przyjęła filiżankę i przez chwilę wpatrywała się w nią z namysłem.

– Czy nie dostałam już dziś herbaty, Billy?

– Przyda ci się dodatkowa porcja, Meg. Z każdym dniem robi się coraz zimniej.

– Ach! Kim jest twoja przyjaciółka, Billy? Co za śliczna dziewczyna! Jakie ma piękne piwne oczy.

Alice uśmiechnęła się, słysząc, jak Meg nazywa mnie Billym, i przedstawiła się sama.

– Jestem Alice. Kiedyś mieszkałam w Chipenden, teraz na farmie w pobliżu.

– Przychodź i odwiedzaj nas, kiedy tylko zechcesz – zaprosiła

Meg. – Ostatnio rzadko miewam kobiece towarzystwo. Chętnie cię znów zobaczę.

– Wypij herbatę, Meg – przerwałem. – Teraz, póki gorąca. Taka jest najlepsza.

Meg zaczęła sączyć miksturę, wkrótce opróżniła filiżankę i zasnęła.

– Teraz łatwiej wam będzie zabrać ją na dół do zimnej, wilgotnej piwnicy – głos Alice ociekał goryczą.

Nie zdążyłem odpowiedzieć, bo stracharz wyłonił się z gabinetu i dźwignął Meg z fotela. Wziąłem świecę i otworzyłem bramę, a on sam zaniósł ją do pokoju na dole. Alice została w kuchni. W pięć minut po naszym powrocie wyruszyliśmy w drogę.

\*

Farma Przy Moczarach mocno ucierpiała. Tak jak mówiła Alice, podwórze było zasłane kamieniami, które wybiły też niemal wszystkie szyby. Ocalało tylko kuchenne okno. Frontowe drzwi były zamknięte, lecz stracharz wyjął klucz i otworzył je w parę sekund. Zaczęliśmy szukać Hurstów; znaleźliśmy ich ukrytych w piwnicy. Po boginie nie było nawet śladu.

Stracharz nie tracił czasu.

– Musicie stąd odejść, natychmiast – poinformował starego farmera i jego żonę. – Obawiam się, że nic tu więcej nie zdziałacie. Spakujcie najpotrzebniejsze rzeczy i ruszajcie. Resztę zostawcie mnie.

– Ale dokąd mamy pójść? – pani Hurst wyglądała, jakby lada moment miała wybuchnąć płaczem.

– Jeśli zostanieie, nie gwarantuję, że przeżyjecie to starcie – oświadczył brutalnie stracharz. – Macie krewnych w Adlington. Będą musieli was przyjąć.

– Kiedy będziemy mogli wrócić? – Pan Hurst wyraźnie martwił się o swój dobytek.

– Najpóźniej za trzy dni – odparł stracharz. – Ale nie martwcie się o farmę, mój chłopak robi, co trzeba.

Gdy się pakowali, mistrz polecił mi zająć się pracą na farmie.

Wokół panował spokój, nie widziałem żadnych kamieni, najwyraźniej bogin odpoczywał. Wykorzystując zatem okazję, zacząłem od dojenia krów. Nim skończyłem, prawie już zmierzchało. Kiedy wróciłem do kuchni, stracharz siedział samotnie przy stole.

– Gdzie Alice? – spytałem.

– Poszła z Hurstami, a gdzieżby? Nie może kręcić nam się pod nogami, kiedy musimy rozprawić się z boginem.

Byłem okropnie zmęczony, toteż nie spierałem się z nim. Miałem po prostu nadzieję, że pozwoli Alice zostać.

– Usiądź i przestań krzywić się ponuro, chłopcze. Od takiej miny może skwaśnieć mleko. Musimy być gotowi.

– Gdzie jest teraz bogin? – spytałem.

Stracharz wzruszył ramionami.

– Pewnie odpoczywa pod drzewem bądź wielkim głazem. Teraz, gdy zapadł zmrok, wkrótce się zjawi. Boginy bywają aktywne za dnia i, jak przekonaliśmy się na własnej skórze, prowokowane, umieją się bronić. Ale noc to ich ulubiona pora; wtedy są najsilniejsze. Jeśli to ten sam bogin, którego spotkaliśmy na Kamiennej Farmie, może zrobić się gorąco. Po pierwsze gdy tylko się zbliży, rozpozna nas i zechce się zemścić. Rozbijanie okien i strącanie garnków mu nie wystarczy, spróbuje zdruzgotać cały dom, z nami w środku. Czeka nas ostra walka. No, chłopcze, uśmiechnij się – dodał, dostrzegając moją zatroskaną minę. – To stary dom, ale wzniesiony z porządnego kamienia z Hrabstwa, na bardzo mocnych fundamentach. Większość boginów jest głupsza, nawet niż się zdaje. Jeszcze nie zginęliśmy, musimy tylko bardziej go osłabić. Wystawię mu się na cel. Kiedy wyczerpie na mnie siły, ty zakończysz sprawę solą i żelazem. Napełnij zatem kieszenie, chłopcze, i bądź gotów.

Już wcześniej używałem soli i żelaza w starciu ze starą wiedźmą, Mateczką Malkin. W połączeniu te dwie substancje działały zabójczo na stwory z mroku. Sól poparzy bogina, żelazo pozbawi go mocy.

Posłuchałem zatem polecenia mistrza i napełniłem kieszenie, czerpiąc obficie z woreczków z solą i opiłkami żelaza z jego torby.

\*

Tuż przed północą bogin zaatakował. Od paru godzin zbierało się na burzę i po pierwszych odległych grzmotach niebo pojaśniało od błyskawic. Towarzyszył im huk piorunów. Obaj siedzieliśmy w kuchni przy stole, gdy to się stało.

– Nadchodzi – mruknął stracharz tak cicho, iż zdawał się mówić bardziej do siebie niż do mnie.

Miał rację: w parę sekund później bogin wypadł z parowu i popędził w stronę farmy. Brzmiało to, jakby rzeka wylała z brzegów i rwała ku nam.

Kuchenne okno eksplodowało, sypiąc wokół odłamkami szkła. Tylne drzwi wygięły się w zawiasach, jakby napał na nie wielki ciężar. A potem cały dom zadygotał niczym drzewo podczas wichury, pochylając się najpierw w jedną, potem w drugą stronę. Wiem, że brzmi to niewiarygodnie, ale przysięgam, tak właśnie się stało.

Nagle znad głów doleciał nas odgłos rozdzierania któremu zawtórowały głośnie, głuche trzaski. Dachówki posypały się na podwórze. Na parę sekund zapadła cisza, jakby bogin odpoczywał bądź zastanawiał się, co dalej.

– Czas to załatwić, chłopcze – rzekł stracharz. – Ty zostań tu i patrz przez okno. Bez wątpienia będzie paskudnie.

Zdawało mi się, że już jest paskudnie, ale milczałem.

– Za żadne skarby, niezależnie od tego, co się stanie – podjął mistrz – nie wychodź na dwór. Użyj soli i żelaza dopiero, gdy bogin zjawi się w kuchni. Jeśli sięgniesz po nie na dworze przy takiej pogodzie, nie zadziałają z pełną mocą. Ja zwabię bogina do środka. Bądź gotów.

Stracharz otworzył drzwi i z laską w dłoni wyszedł na podwórze. Był najdzielniejszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkałem. Ja z całą pewnością nie chciałbym nocą stawić czoła boginowi.



Na dworze panowała absolutna ciemność, a w kuchni przeciąg zdmuchnął wszystkie świece. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnąłem, było pograżenie w mroku, lecz na szczęście wciąż mieliśmy lampę. Przysunąłem ją do okna, ale światło nie docierało w głąb podwórza.

Stracharz stał kawałek dalej. Nie widziałem, co się z nim dzieje, i musiałem polegać na rozbłyskach na niebie.

Usłyszałem, jak trzy razy stuka kijem w kamienne płyty I wtedy bogin z wyciem rzucił się na niego, przelatując przez podwórze z lewej na prawą. Potem usłyszałem krzyk bólu i dźwięk, przypominający trzask łamanej gałęzi. Kiedy znów błysnęło, ujrzałem stracharza na kolanach; unosił przez sobą ręce, próbując osłonić głowę. Jego laska leżała na ziemi kawałek dalej, przełamana na troje.

W ciemności usłyszałem łoskot kamieni, sypiących się na płyty obok stracharza; z dachu poleciały kolejne dachówki. Dwa czy trzy razy mistrz krzyknął z bólu, i mimo iż kazał mi patrzeć i czekać na przybycie bogina, zastanawiałem się, czy nie powinienem wyjść i mu pomóc. Mój mistrz mocno ucierpiał i nie wyglądało to najlepiej.

Wbijałem wzrok w ciemność, próbując dojrzeć, co się dzieje. Miałem nadzieję, że kolejna błyskawica rozświetli podwórze. W ogóle nie widziałem stracharza. Potem jednak tylne drzwi zaskrzypiały, otwierając się bardzo powoli. Przerażony, odsunąłem się od nich, aż w końcu dotknąłem plecami ściany. Czy bogin przyszedł teraz po mnie? Postawiłem lampę na stole, gotując się do sięgnięcia do kieszeni po sól i żelazo. Ciemna postać powoli przekroczyła próg. Zamarłem, jak skamieniały, potem jednak odetchnąłem z ulgą, widząc stracharza pełznącego na czworakach. Skradał się do drzwi w cieniu ściany, dlatego wcześniej go nie zauważyłem.

Pobiegłem naprzód, zatrzasnąłem drzwi i pomogłem mu dojść do stołu. Niełatwo mi to przyszło, bo całe ciało mistrza dygotało i prawie nie miał już siły w nogach. Był w strasznym stanie, bogin poważnie go zranił. Twarz stracharza zalewała krew, na czole miał guza wielkości kurzego jaja. Oparł obie ręce o skraj stołu, usiłując

nie upaść. Kiedy otworzył usta, przekonałem się, że brakuje mu przedniego zęba. Wyglądał strasznie.

– Nie martw się, chłopcze – wychrypiał. – Nieźle go osaczyliśmy. Nie zostało mu zbyt wiele sił i czas to zakończyć. Przyszykuj sól i żelazo, i cokolwiek się stanie, nie spudłuj!

Mówiąc „osaczyliśmy”, stracharz chciał powiedzieć, że odsłonił się przed boginem jako cel, by tamten zużył większość energii, próbując go zniszczyć, i sam się osłabił. Ale jak bardzo? Wciąż był bardzo niebezpieczny.

Dokładnie w tym momencie drzwi otwarły się z hukiem i tym razem bogin wszedł do środka. Błysnęło. Ujrzałem okrągłą głowę i sześć rąk oblepionych błotem. Zauważyłem też jednak pewną różnicę: teraz wydawał się znacznie mniejszy. Stracił część mocy; stracharz nie cierpiał na próżno.

Serce waliło mi w piersi, na miękkich nogach ruszyłem naprzód, by stawić czoło okrutnej bestii. Sięgnąłem do kieszeni, wyciągnąłem dwie garście i cisnąłem wprost w bogina. Sól z prawej dłoni, żelazo z lewej.

Mimo wysokiej ceny, jaką zapłacił, stracharz zrobił wszystko jak należy. Najpierw spalił drzewo bogina, pozbawiając go zapasów energii. Potem sam stał się dla niego celem, zmuszając do dalszego wyczerpania sił. Ja jednak musiałem dokończyć zadanie. Nie mogłem sobie pozwolić na jeden fałszywy krok.

Powietrzem poruszał jedynie przeciąg z okna do drzwi. Wycelowałem dobrze, obłok soli i żelaza trafił prosto w bogina. Rozległ się krzyk, tak głośny i przenikliwy, że zabolały mnie zęby i o mało nie pękły bębunki w uszach. Sól paliła stwora, żelazo pozbawiało go resztek mocy. W następnej chwili bogin zniknął.

Odszedł. Odszedł na zawsze. Zabiłem go!

Lecz moja ulga nie trwała długo. Zobaczyłem, jak stracharz chwieje się na nogach i pojąłem, że zaraz upadnie. Próbowałem go złapać, naprawdę próbowałem, ale nie zdążyłem. Kolana ugięły się pod nim, ręce osłabły i poleciał do tyłu, bardzo mocno uderzając głową o kamienną posadzkę. Usiłowałem go podnieść, ale ciążył mi

jak martwy, i z rosnącym przerażeniem odkryłem, że z nosa leci mu struga krwi.

Wpadłem w panikę. Z początku nie słyszałem jego oddechu. W końcu jednak dobiegł mnie cichy szmer. Stracharz był ciężko ranny. Pilnie potrzebował medyka.

## **ROZDZIAŁ 9**

### **ZWIASTUNY ŚMIERCI**

Przebiegłem całą drogę ze wzgórza do wioski, nie bacząc na ulewny deszcz, rozdzierające niebo pioruny i oślepiające błyskawice.

Nie miałem pojęcia, gdzie mieszka medyk, toteż w rozpaczy zastukałem do pierwszych napotkanych drzwi. Nikt nie odpowiedział, zacząłem zatem dobijać się pięściami do następnych. Kiedy znów nikt nie zareagował, przypomniałem sobie, że brat stracharza, Andrew, ma warsztat gdzieś w wiosce. Popędziłem zatem w stronę centrum, potykając się na kocich łbach i ślizgając w strumieniach wody, spływających ze zbocza.

Minęło dużo czasu, nim znalazłem kram Andrew. Był mniejszy niż ten w Priestown, ale świetnie położony, w zaułku Babilońskim, tuż za rogiem od głównej uliczki ze sklepami. Błyskawica oświetliła szyld nad oknem.

**ANDREW GREGORY  
MISTRZ ŚLUSARSKI**

Załomotałem głośno do drzwi pięścią, a kiedy nikt nie odpowiedział, chwyciłem kołatkę i zacząłem tłuc z całych sił. Nadal nic. Zastanawiałem się, czy Andrew nie został wezwany przez kogoś. Może nocuje w innej wiosce? W końcu jednak usłyszałem skrzypienie okna sypialni nad sąsiednim sklepem i w mroku zabrzmiał gniewny męski głos.

– Zmykaj stąd! Zmykaj natychmiast! Co za hałasy w środku

nocy, gdy porządni ludzie smacznie śpią?

– Potrzebny mi medyk! – zawołałem w stronę ciemnego prostokąta okna. – To pilne, człowiek umiera.

– Tracisz tu czas, chłopcze. To warsztat ślusarza.

– Pracuję dla brata Andrew Gregory'ego! Mieszka w domu w głębi parowu, na skraju moczarów. Jestem jego uczniem.

Znów błysnęło i w jasnym świetle ujrzałem twarz w oknie i odcisnięty na niej strach. Zapewne cała wieś wiedziała, że brat Andrew to stracharz.

– Medyk mieszka przy ulicy Bolton, jakieś sto jardów na południe.

– Gdzie znajdę tę ulicę? – spytałem.

– Idź w dół do skrzyżowania i skręć w lewo. To właśnie ulica Bolton. A potem idź dalej do ostatniego domu w rzędzie.

Okno trzasnęło głośno, ale nie przejąłem się, bo zdobyłem niezbędne informacje. Popędziłem zatem w dół zbocza, skręciłem w lewo i biegłem dalej, dysząc ciężko. Wkrótce stukałem już do drzwi ostatniego domu.

Medycy są przyzwyczajeni do budzenia w środku nocy w pilnych wypadkach, szybko zatem drzwi się otwarły i ujrzałem drobnego mężczyznę o gęstym, czarnym wąsie i włosach siwiejących na skroniach. W ręce trzymał świecę. Skinął głową, gdy zacząłem mówić, bardzo spokojny i opanowany. Poinformowałem go, że mam rannego na Farmie Przy Moczarach. Kiedy jednak wyjaśniłem, kto potrzebuje pomocy i dlaczego, medyk zmienił się na twarzy. Świeca zatrzęsała mu się w dłoni.

– Wracaj do niego. Przyjdę, jak najszybciej zdołam – rzekł, zamykając mi drzwi przed nosem.

Pobiegłem z powrotem w stronę moczarów, martwiłem się jednak. Medyka wyraźnie przestraszyła perspektywa opieki nad stracharzem. Czy dotrzyma obietnicy? Czy naprawdę przyjdzie za mną na farmę? Jeśli nie, stracharz może umrzeć. Możliwe nawet, że już nie żyje. Z ciężkim sercem wspinałem się, ile sił w nogach. Do tego czasu najgorsza burza już minęła, słyszałem tylko

dobiegające z dali głucho grzmoty. Od czasu do czasu niebo nad moczarami rozświetlała błyskawica.

\*

Nie musiałem się martwić medykiem. Dotrzymał słowa i dotarł na farmę zaledwie kwadrans po mnie.

Lecz nie zabawił długo. Kiedy badał mistrza, ręce trzęsły mu się tak bardzo, że nie potrzebowałem patrzeć mu w pobladłą twarz, by wiedzieć, że jest przerażony. Nikt nie lubi przebywać blisko stracharza. Poza tym opowiedziałem mu, co się stało na podwórzu i w kuchni, co tylko pogorszyło sprawę. Cały czas rozglądał się nerwowo, jakby w obawie, że bogin podkradnie się do niego. Byłoby to nawet zabawne, gdybym tak bardzo nie martwił się o swojego mistrza.

Medyk pomógł mi zanieść stracharza na górę i położyć w łóżku. Potem przytknął ucho do jego piersi, nasłuchując uważnie. Kiedy się wyprostował, pokręcił głową-

– Do płuc wkradła się gorączka – rzekł w końcu. – Nic nie mogę zrobić.

– On jest silny – zaprotestowałem. – Wydobrzeje.

Medyk spojrział na mnie z miną, którą widywałem już u doktorów. Wyrażała zawodowe współczucie i spokój zakładany jak maska, gdy muszą przekazać krewnym ciężko chorego pacjenta złe wieści.

– Obawiam się, że prognozy są bardzo złe, chłopcze – poklepał mnie lekko po ramieniu. – Twój mistrz umiera, wątpliwe, by przeżył tę noc. Ale śmierć w końcu przychodzi po nas wszystkich i lękam się, że musimy się z tym pogodzić. Jesteś tu sam?

Przytaknąłem.

– Poradzisz sobie?

Znów skinąłem głową.

– Rankiem przyślę kogoś – oznajmił, zbierając torbę i szykując się do odejścia. – Trzeba go będzie umyć – dodał złowieszczo.

Wiedziałem, co ma na myśli. Tradycja w Hrabstwie nakazywała obmycie zwłok przed pogrzebem. Osobiście zawsze uważałem to za

niemądry pomysł. Po co myć kogoś, kto wyląduje w trumnie w ziemi? Czułem złość i o mało nie powiedziałem tego głośno. Zdołałem jednak się opanować i usiadłem przy łóżku, słuchając jak stracharz ciężko chwyta oddech.

Nie mógł umrzeć! Nie mogłem w to uwierzyć. Jaj, mógłby umrzeć po wszystkim, przez co przeszliśmy? Nie byłem gotów się z tym pogodzić. Z pewnością medyk się mylił. Lecz nieważne, jak bardzo starałem się sobie wmawiać, że to pomyłka, czułem rosnącą rozpacz. Bo widzicie, przypomniałem sobie słowa mamy o zwiastunach śmierci. Pamiętałem zapach w pokoju taty, słodką woń kwiatów i to, jak mama wyjaśniła, iż to oznaka nadchodzącej śmierci. Odziedziczyłem jej dar i teraz też to czułem. Zapach dochodził od strony stracharza; z każdą minutą stawał się coraz mocniejszy.

\*

Gdy jednak nastał świt, mój mistrz wciąż żył i kobieta przysłana przez medyka do obmycia ciała nie potrafiła ukryć zawodu.

– Mogę zostać najwyżej do południa, potem muszę się zająć jeszcze jednym – warknęła.

Później jednak kazała mi wziąć czyste prześcieradło i podrzeć je na siedem kawałków, a potem przynieść miskę z zimną wodą.

Gdy to zrobiłem, wzięła pas tkaniny, złożyła do wielkości dłoni i zanurzyła w wodzie. Zaczęła obmywać czoło i brodę stracharza. Choć nie wiedziałem, czy postępuje tak, by poczuł się lepiej, czy też by oszczędzić sobie trudu, gdy przyjdzie jej umyć zwłoki.

Potem usiadła obok łóżka i zaczęła robić na drutach coś, co wyglądało jak dziecięce ubranka. Okazała się bardzo rozmowna, opowiedziała mi historię swojego życia, przechwalając się dwiema pracami. Oprócz mycia zmarłych i szykowania ich do pogrzebów, była też miejscową akuszerką. Mocno zaziębiona, kasłała nad głową stracharza, wydmuchując czerwony nos w wielką, poplamioną chustkę.

Tuż przed południem zaczęła pakować swoje rzeczy.

– Wrócę jutro rano, żeby go przygotować – oznajmiła. – Nie przeżyje drugiej nocy.

– Nie ma dla niego nadziei? – spytałem, świadom faktu, że stracharz od chwili upadku nie otworzył oczu.

– Posłuchaj, jak oddycha – rzekła.

Wytężyłem słuch. Oddech stracharza brzmiał ochryple, dosłyszałem w nim lekki grzechot, zupełnie jakby coś zaciskało mu tchawicę.

– To grzechot śmierci – oznajmiła. – Jego czas na tym świecie dobiega końca.

W tym momencie usłyszałem stukanie do frontowych drzwi i poszedłem sprawdzić kto to. Gdy otworzyłem, Alice stała tuż przy progu, opatulona w wełniany płaszcz, z naciągniętym na głowę kapturem.

– Alice! – naprawdę ucieszyłem się na jej widok. – Stracharz został ranny w walce z boginem! Uderzył się w tył głowy i medyk myśli, że umrze.

– Daj mi zobaczyć – Alice przecisnęła się obok mnie. – Może nie jest tak źle, jak sądzi. Medycy czasem się mylą. Na górze?

Przytaknąłem i ruszyłem za Alice do frontowej sypialni. Podeszła wprost do łóżka, położyła dłoń na czole stracharza. Potem uniosła mu kciukiem lewą powiekę i przyjrzała się oku.

– Stan nie jest beznadziejny – stwierdziła. – Może zdołam mu pomóc...

Kobieta dźwignęła torbę i ruszyła w stronę wyjścia. Jej czoło zmarszczyło się gniewnie.

– Teraz widziałam już wszystko! – wykrzyknęła wpatrując się w szpiczaste trzewiki Alice. – Mała czarownica pomagająca stracharzowi!

Alice uniosła głowę, w jej oczach płonął gniew. Otworzyła szeroko usta, odsłaniając zęby. Potem syknęła na kobietę, która cofnęła się pospiesznie.

– Nie spodziewaj się, że ci pomoże – ostrzegła mnie, wychodząc tyłem z sypialni i zbiegając po schodach.

– Nie mam zbyt wiele przy sobie – oznajmiła Alice, gdy tamta zniknęła. Rozpięła płaszcz i z wewnętrznej kieszeni wyjęła małą, skórzaną sakiewkę, przewiazaną sznurkiem. Rozsupłała go i wysypała na dłoń kilka suchych liści. – Na razie przygotuję szybki napar – oznajmiła.

Gdy zeszła do kuchni, usiadłem przy łóżku stracharza, starając się mu pomóc. Jego ciało trawiła gorączka, toteż ocierałem mu czoło mokrą szmatką, próbując ją obniżyć. Z nosa wciąż płynęły krew i śluz, wsiąkające w wąsy, toteż nieźle się natrudziłem, by utrzymać twarz mistrza w czystości. Przez cały czas jego pierś unosiła się ciężko, moje nozdrza wypełniana zaś coraz mocniejsza woń kwiatów. Zacząłem się obawiać, że mimo słów Alice akuszerka miała rację i mój mistrz nie pożyje długo.

Po pewnym czasie Alice wróciła na górę z kubkiem wypełnionym do połowy jasnożółtym płynem. Uniosłem głowę stracharza, podczas gdy ona wlała mu trochę naparu do ust. Pożałowałem, że nie ma tu mamy, wiedziałem jednak, że Alice jest niemal równie dobra; mama sama mi kiedyś powiedziała, że świetnie zna się na miksturach.

Stracharz zachłysnął się i zakrztusił, ale zdołaliśmy wlać w niego większość naparu.

– To kiepska pora roku, ale może zdołam na zewnątrz znaleźć coś lepszego – oznajmiła Alice. – Warto poszukać. Choć nie zasłużył: pomyśl, jak mnie traktował!

Podziękowałem Alice i odprowadziłem ją do drzwi. Deszcz już nie padał, lecz w wilgotnym powietrzu czuło się chłód. Nagie drzewa wyglądały ponuro i odpychająco.

– Jest zima, Alice. Co możesz znaleźć, skoro nic nie rośnie?

– Nawet zimą można zebrać korzenie i korę – Alice zapięła starannie płaszcz. – Oczywiście, jeśli wiesz, czego szukasz. Zaraz wracam.

Poszedłem z powrotem do sypialni i usiadłem przy stracharzu, smutny i zagubiony. Wiem, że zabrzmi to samolubnie, ale nie mogłem się powstrzymać od rozmyślań nad własnym losem. Bez



stracharza nie dokończyłbym terminu; musiałbym udać się na północ, za Caster, w miejsce, gdzie praktykował Arkwright i poprosić, by mnie przyjął. Ponieważ on sam był kiedyś uczniem stracharza i mieszkał w Chipenden jak ja, może by się zgodził, ale nie miałem gwarancji. Mógł już mieć ucznia. Ta myśl sprawiła, że poczułem się jeszcze gorzej i ogarnęły mnie wyrzuty sumienia. Myślałem przecież o sobie, nie o moim mistrzu.

Nagle, po jakiejś godzinie, stracharz otworzył oczy. Patrzący dziko, błyszcząc od gorączki i z początku wątpię, by zorientował się, kim jestem. Nadal jednak umiał wydawać polecenia i zaczął wykrzykiwać pełnym głosem, jakby miał mnie za głuchego.

– Pomóż mi się podnieść! Podnieś mnie! W górę! Już! Zrób to! – krzyknął, gdy usiłowałem dźwignąć go do pozycji siedzącej i podeprzeć poduszkami. Zaczął jęczeć bardzo głośno, wywrócił oczami i przez chwilę widziałem tylko białka. – Pić! – zawołał. – Muszę się napić.

Na stoliku przy łóżku stał dzban z zimną wodą. Nalałem pół kubka i uniosłem ostrożnie do ust mistrza.

– Tylko powoli – poradziłem, lecz stracharz pociągnął potężny łyk i wypluł wszystko na pościel.

– Co to za świństwo? Czy tylko na to zasłużyłem – ryknął. Znow ujrzałem jego źrenice, patrzył na mnie z szaleńczym gniewem. – Przynieś mi wina. I to czerwonego! Tego właśnie mi trzeba!

Nie sądziłem, żeby to był dobry pomysł, biorąc pod uwagę jego stan, ale nalegał. Chciał wina i to koniecznie czerwonego.

– Przykro mi, ale nie ma wina – wyjaśniłem spokojnym głosem, by jeszcze bardziej go nie pobudzić.

– Oczywiście, że nie ma go tutaj, to sypialnia! – huknął. – Zejdź do kuchni, tam je znajdziesz. Jeśli nie, sprawdź w piwnicy. Idź i poszukaj. I pospiesz się! Nie każ mi czekać!

W kuchni znalazłem pół tuzina flaszek wina, samego czerwonego. Problem w tym, że nie dostrzegłem korkociągu, choć przyznam, że niespecjalnie szukałem. Zabrałem butelkę do

sypialni, z nadzieją, że to załatwi sprawę.

Myliłem się. Gdy tylko podszedłem do łóżka, mój mistrz wyrwał mi butelkę, uniósł do ust i wyciągnął korek pozostałym mu zdrowym zębem. Przez moment sądziłem, że go połknął, nagle jednak wypluł z taką siłą, że korek odbił się od przeciwległej ściany.

A potem stracharz zaczął pić, a pijąc mówił. Nigdy wcześniej nie widziałem, by pił alkohol, lecz teraz nie nadążał z połykaniem. Podniecał się przy tym coraz bardziej i zwykłe gadanie ustąpiło miejsca głośnemu bredzeniu. Nie rozumiałem go, bo bełkotał z pijaństwa i gorączki, najczęściej po łacinie, a wciąż nie opanowałem tego języka. W pewnym momencie zaczął kreślić prawą ręką znak krzyża, jak to czynią księża.

U nas na farmie wino pijało się bardzo rzadko. Mama robi własne z czarnego bzu; jest naprawdę dobre. Podaje je jednak przy wyjątkowych okazjach. Kiedy mieszkałem w domu, miałem szczęście, wypijając pół małego kieliszka dwa razy do roku. Stracharz w niecały kwadrans opróżnił całą butelkę i wkrótce się pochorował – tak bardzo, że o mało nie zadławił się na śmierć. Oczywiście potem musiałem wszystko uprzątnąć; zużyłem do tego resztki podartego prześcieradła.

Wkrótce potem Alice wróciła i przyrządziła kolejną miksturę z zebranych korzonków. Działając wspólnie, zdołaliśmy wlać ją stracharzowi w gardło i po paru chwilach zasnął.

Alice parę razy pociągnęła nosem i skrzywiła się Mimo zmiany pościeli, w pokoju wciąż cuchnęło, nie czułem zatem woni kwiatów. A przynajmniej sądziłem, że taki jest powód. Nie zdawałem sobie sprawy że stracharz zaczyna zdrowieć.

I tak medyk i akuszerka się pomylili: po kilku godzinach gorączka spadła, a mój mistrz zaczął wykasływać z płuc gęstą flegmę, napęlniając kolejne chusteczki; ledwo nadążałem z ich podawaniem, aż w końcu musiałem podrzeć jeszcze jedno prześcieradło. Wkroczył na powolną ścieżkę wiodącą do zdrowia – i znów zawdzięczaliśmy to Alice.

# ROZDZIAŁ 10

## ZŁE WIEŚCI

Hurstowie wrócili następnego dnia, sprawiali jednak wrażenie oszołomionych i zagubionych, jakby nie wiedzieli, od czego zacząć. Stracharz przez większość czasu spał, nie mogliśmy jednak zostawić go w pokoju, w którym hulał wiatr, wpadający przez stłuczone okno. Wziąłem zatem z jego torby trochę grosza i wręczyłem panu Hurstowi, by opłacił naprawy.

Wkrótce przybyli robotnicy z wioski: szklarz wstawił nowe szyby w oknach sypialni i kuchni, a Shanks zabił resztę deskami, by nie wpuszczać do środka śniegu i wiatru. Ja sam także byłem zajęty: paliłem w kominkach w sypialniach i na dole, w kuchni, oraz pomagałem na farmie, zwłaszcza przy dojeniu, Hurst trochę pracował, lecz widziałem, że nie ma do tego serca. Zupełnie jakby nic go już nie cieszyło, jakby by stracił wolę życia.

– O jejku, jejku – mamrotał pod nosem. Raz zaś widziałem, jak spojrział w górę na dach stodoły z twarzą przepełnioną cierpieniem. – Co ja takiego zrobiłem? Czym sobie na to zasłużyłem?

Tego wieczoru właśnie skończyliśmy kolację, gdy ktoś zapukał głośno trzy razy do frontowych drzwi. Biedny pan Hurst zerwał się z miejsca tak nagle, że o mało nie upadł wraz z krzesłem.

– Ja pójdę – pani Hurst położyła czule dłoń na ramieniu męża. – Ty zostań tutaj, kochany. Spróbuj zachować spokój, nie denerwuj się.

Z ich reakcji odgadłem, że za drzwiami stoi ich syn, a w owych trzech stuknięciach było coś, co zmroziło mnie do kości. Moje podejrzenia potwierdziły się, gdy Alice spojrzała na mnie, wyginając kąciki ust i szepcząc bezgłośnie jedno słowo: „Morgan”.

Morgan wmaszerował do środka, wyprzedzając matkę. W rękach trzymał kij i torbę, w płaszczu z kapturem wyglądał

zupełnie jak stracharz.

– Ależ tu przytulnie. I czy to nie młody uczeń we własnej osobie? – odwrócił się do mnie. – Paniczu Ward, już raz się spotkaliśmy.

Skinąłem głową bez słowa.

– Co się tu działo, stary? – rzucił drwiąco Morgan, patrząc na pana Hursta. – Farma popada w ruinę. Nie wstyd ci? Zapuściłeś wszystko.

– Nie jego wina. Głupiś czy co? – warknęła Alice głosem ociekającym wrogością. – Każdy głupiec widzi, że to robota bogina!

Morgan skrzywił się gniewnie, patrząc na nią ze złością i unosząc kij. Lecz Alice uśmiechnęła się tylko szyderczo.

– A zatem stracharz przysłał ucznia, by się z nim rozprawił? – Morgan spojrział na matkę. – To dopiero wdzięczność, co, stara? Wy przyjmujecie jego małą wiedźmę, a on nie raczy nawet się zjawić i uwięzić bogina. Zawsze był zimnym draniem.

W mgnieniu oka zerwałem się z miejsca.

– Pan Gregory przyszedł, o tak. Jest na górze, bo w walce z boginem został ciężko ranny!

Natychmiast pojąłem, że powiedziałem za dużo i poczułem obawę o życie mistrza. Morgan groził mu już w przeszłości, a teraz stracharz był słaby i bezbronny.

– A, zatem umiesz mówić – rzucił drwiąco Morgan – Jeśli chcesz znać moje zdanie, twój mistrz wyraźnie się starzeje. Ranny w starciu z boginem? Wielkie nieba, załatwić bogina to najłatwiejsza sztuczka pod słońcem Ale tak to już bywa na starość. Najwyraźniej stary dureń traci siły. Lepiej pójdę na górę i pomówię z nim.

To rzekłszy, przeciął kuchnię i zaczął się wspinać po drewnianych schodach do sypialni. Pochyliłem się i szepnąłem do Alice, by została na miejscu, a potem ruszyłem w jego ślady. Z początku sądziłem, że pani Hurst poprosi, bym został, ona jednak ukryła tylko twarz w dłoniach.

Zacząłem skradać się po schodach, były jednak bardzo

rozklekotane. Pokonałem zatem zaledwie trzy stopnie i przystanąłem, słuchając donośnego śmiechu Morgana. Potem usłyszałem kaszel stracharza. Schody za mną zaskrzypiały i odwróciwszy się, ujrzałem Alice, przyciskającą palec do ust.

Nagle z sypialni dobiegł głos mistrza.

– Wciąż rozkopujesz stary kurhan? Kiedyś się doigrasz. Bądź rozsądny, trzymaj się z dala od tego miejsca, póki jeszcze dychasz.

– Mógłbyś mi to ułatwić – odparł Morgan. – Oddaj mi to, co należy do mnie. To wszystko, o co proszę.

– Jeśli to zrobię, wywołasz katastrofę. O ile przeżyjesz. Czemu musi tak być? Przestań zadawać się z mrokiem, chłopcze, poukładaj swoje życie. Pamiętaj obietnicę złożoną matce. Nie jest jeszcze za późno, by zacząć żyć godnie.

– Nie udawaj, że cię obchodzę – warknął Morgan. – I nie waz się mówić o mojej matce! Nigdy nie dbałeś o żadne z nas, taka jest prawda. Obchodziła cię tylko wiedźma. Kiedy zjawiała się Meg Skelton, moja biedna matka nie miała szans. I co ci to dało? I jej, skazanej na życie w smutku i biedzie.

– Nie, chłopcze. Obchodziłeś mnie i ty, i twoja matka. Dobrze wiesz, że kiedyś ją kochałem i całe życie starałem się jej pomagać, jak tylko mogłem. Dla niej próbowałem też pomóc tobie, mimo wszystkiego, co zrobiłeś.

Stracharz znów się rozkasłał. Usłyszałem, jak Morgan klnie i rusza do drzwi.

– Teraz sprawy wyglądają inaczej, starcze. Dostanę to, co mi się należy – rzekł. – Jeśli mi nie dasz, znajdę inny sposób.

Odwróciliśmy się z Alice i ruszyliśmy z powrotem. Nim postawił pierwszy krok na schodach, byliśmy już w kuchni.

Po powrocie jednak Morgan nawet na nas nie spojrzał. Zachmurzony i wściekły, nie zwracając uwagi mamę i tatę, przemaszerował przez kuchnię do holu. Słuchaliśmy w ciszy, jak odciąga rygiel, otwiera drzwi i zaczyna kręcić się w pokoju za nimi. Po paru chwilach znów wyszedł, zamknął i zarygłował wejście. A potem opuścił dom, trzaskając głośno drzwiami.

Przy stole nikt się nie odezwał. Nie zdołałem jednak powstrzymać zerknięcia na panią Hurst. A zatem stracharz i ją kiedyś kochał. To oznaczało, że był związany z trzema kobietami! I między innymi przez to Morgan żywił do niego urazę.

– Chodź, połóż się, kochany – powiedziała do męża pani Hurst czułym, miękkim głosem. – Porządny sen dobrze ci zrobi. Rankiem poczujesz się jak nowo narodzony.

Oboje wstali od stołu. Biedny pan Hurst szedł, szurając nogami, ze zwieszoną głową. Było mi ich bardzo żal. Nikt nie zasłużył sobie na syna takiego jak Morgan. Żona pana Hursta przystanęła w progu i obejrzała się na nas.

– Nie siedźcie do późna – upomniała.

Oboje uprzejmie pokiwaliśmy głowami i słuchaliśmy, jak wchodzi na górę.

– No – mruknęła Alice. – Czyli zostaliśmy sami. Może zatem zajrzemy do pokoju Morgana? Kto wie, co tam znajdziemy?

„Tego, w którym był?”

Alice przytaknęła.

– Czasami dochodzą stamtąd dziwne hałasy. Chciałbym sprawdzić, co kryje się w środku.

Wyjęła świeczkę z lichtarza na stole i poprowadziła mnie przez kuchnię i salon do holu.

Wiodły stamtąd drzwi do dwóch pomieszczeń. Stojąc plecami do frontowych drzwi, widziało się przed sobą salon i po lewej drugie drzwi, pomalowane na czarno. Na zewnątrz miały rygiel.

– To tutaj – wyszeptała Alice, muskając je czubkiem lewego szpiczastego trzewika i odsuwając rygiel. – Gdyby ich nie zamykał, już bym tam powęszyła. Ale teraz to nie problem, bo twój klucz wkrótce je otworzy, Tom – wskazała zamek.

Istotnie, mój klucz zadziałał. Ostrożnie otworzyłem drzwi. Pokój za nimi był dość spory, dłuższy niż szerszy, z jednym zabitym deskami oknem na końcu, zasłoniętym ciężkimi, czarnymi kotarami. Podłogę, podobnie jak wszędzie na parterze, ułożono z kamiennych płyt, nie okrywał jej jednak żaden dywan.

W pomieszczeniu stały tylko trzy meble: długi drewniany stół i ustawione przy jego końcach dwa krzesła o prostych oparciach.

Alice pierwsza przekroczyła próg.

– Niewiele tu do oglądania – mruknąłem. – Czego się spodziewałaś?

– Sama nie wiem, ale myślałam, że będzie coś więcej – zaczęła Alice. – Czasami słyszę tu dźwięk dzwonka najczęściej małego, który można trzymać w dłoni. Ale raz brzmiał jak dzwon pogrzebowy, tak wielki, że musiał wisieć na dzwonnicy. Często słyszę też kapiącą wodę i płacz dziewczyny. To pewnie jego nieżyjąca siostra.

– Słyszysz te dźwięki, kiedy Morgan tu jest?

– Najczęściej. Ale nawet gdy nie ma go w domu, czasami z drugiej strony dobiega szczekanie i warczenie psa, a także węszenie, jakby kręcił się przy drzwiach i próbował uwolnić. Dlatego Hurstowie założyli rygiel. Chyba boją się, że coś paskudnego mogłoby stąd wyjść.

– W tej chwili niczego tu nie czuję – poinformowałem Alice. Nie wyczuwałem zimna, ostrzegającego o obecności istot z mroku. – Stracharz mówi, że Morgan to nekromanta, wykorzystujący zmarłych. Rozmawia z nimi i każe spełniać swe żądania.

– Ale skąd bierze moc? Nie z magii kości ani krwi, jak czarownica. – Alice zmarszczyła nos. – Nie ma też pobratymca. Gdyby miał, z pewnością bym go wywęszyła. Zatem skąd, Tom?

Wzruszyłem ramionami.

– Może od Golgotha, jednego ze Starych Bogów. Słyszałaś, co mówił stracharz, o tym, że Morgan rozkopuje kurhan i że źle się to dla niego skończy? Mowa o kopcu zwanym Okrągłym Bochnem, wysoko na moczarach. Może próbuje przywołać Golgotha, jak to czynili starożytni? Może Golgoth chce zostać przywołany i pomaga mu w jakiś sposób? Ale Morgan niczego nie zdołała, bo stracharz ma coś, czego chłopak potrzebuje, coś, co wszystko by ułatwiło.

Alice przytaknęła z namysłem.

– To całkiem możliwe, Tom. Ale część z rzeczy, które mówił,

brzmiała dziwnie. Nie wyobrażam sobie starego Gregory'ego z panią Hurst. Trudno mi uwierzyć, by byli parą.

Mnie też trudno było w to uwierzyć. Bardzo trudno. A że nie mieliśmy już nic do oglądania, wyszliśmy z pokoju, zamykając go i ryglując za sobą. Wszędzie natykałem się na tajemnice – sekrety z przeszłości mego Mistrza – i moja ciekawość rosła z każdym dniem.

\*

Morgan nie zjawił się więcej na Farmie Przy Moczarach, minął jednak tydzień, nim mogliśmy wrócić do domu stracharza. Pan Hurst posłał po Shanksa i ruszyliśmy w drogę. Stracharz dosiadał kucyka, a my z Alice maszerowaliśmy za nim.

Shanks odmówił przekroczenia progu i wrócił prosto do Adlington, pozostawiając z nami stracharza. Opowiedziałem już mistrzowi o tym, że mikstury Alice zapewne uratowały mu życie. Nie rzekł nic w odpowiedzi, ale nie zaprotestował, gdy oboje pomogliśmy mu wejść do sypialni. Wciąż nie był sobą i potrzebował czasu, by odzyskać pełnię sił. Podróż powrotna mocno go zmęczyła, chwiał się na nogach i parę dni nie wychodził z pokoju.

Bardzo mnie zaskoczyło, że z początku nawet nie wspomniał o Meg. Nie przypominałem mu o niej jednak: wcale nie miałem ochoty schodzić samotnie do piwnicy. No i w końcu przespiała tam całe lato, więc kilka dni nie robiło różnicy. Musiałem zatem zajmować się domem. Alice trochę pomagała, ale nie aż tak bardzo, jak się spodziewałem.

– Fakt, że jestem dziewczyną, nie oznacza, że wciąż muszę gotować – warknęła, kiedy zasugerowałem, że poradzi sobie lepiej niż ja.

– Ale ja nie umiem gotować, Alice – odparłem. – W domu robiła to mama, w Chipenden bogin strachała, a tutaj Meg.

– No to teraz masz szansę się nauczyć. – Alice uśmiechnęła się. – A co do Meg, założę się, że nie rwałaby się do gotowania bez ziołowej herbaty!

Wreszcie rankiem trzeciego dnia stracharz zszedł ciężko na dół



i usiadł przy stole. Ja tymczasem starałem się przyszykować śniadanie. Gotowanie okazało się znacznie trudniejsze, niż się zdawało, lecz nie aż tak trudne, jak pogryzienie usmażonego przeze mnie bekonu.

Jedliśmy w ciszy. Po paru minutach stracharz odsunął talerz.

– Dobrze, że nie mam apetytu, chłopcze – pokręcił głową. – Bo głód zmusiłby mnie do zjedzenia tego wszystkiego, a nie wiem, czy bym to przeżył.

Alice ryknęła śmiechem, a ja uśmiechnąłem się, wzruszając ramionami. Z radością pomyślałem, że mistrzowi wyraźnie wracają siły. Jadałem już lepsze kanapki z bekonem, ale byłem dość głodny, by pochłonąć wszystko. Podobnie Alice. Cieszyłem się, bo wyglądała na to, że stracharz pozwoli jej zostać.

Następnego ranka mistrz uznał w końcu, że obudzić Meg. Wciąż niezbyt pewnie trzymał się na nogach, toteż poszedłem z nim na dół i pomogłem przynieść Meg do kuchni. Tymczasem Alice nagrzała wody. Wysilek okazał się dla niego zbyt ciężki i ręce trzęsły mu się tak bardzo, że musiał wrócić do łóżka.

Pomogłem Alice przygotować kąpiel dla Meg.

– Dziękuję, Billy – rzekła, gdy zaczęliśmy napełniać wannę gorącą wodą. – Jaki troskliwy z ciebie chłopiec. A twoja śliczna przyjaciółeczka też bardzo pomaga. Jak się nazywasz, moja droga?

– Mówią mi Alice – odparła z uśmiechem Alice.

– Powiedz, Alice, masz w okolicy rodzinę? Dobrze jest mieszkać w pobliżu rodziny. Niestety, moja jest bardzo daleko i wielce nad tym ubolewam.

– Nie widuję się już z moją rodziną. Złe to towarzystwo, lepiej mi bez nich – wyjaśniła Alice.

– Z pewnością nie! – wykrzyknęła Meg. – Cóż takiego złego zrobili, moja droga?

– To czarownice – Alice uśmiechnęła się i zerknęła na mnie złośliwie.

Naprawdę mnie zirytowała. Taka gadanina mogła pobudzić pamięć Meg, Alice robiła to specjalnie.

– Kiedyś znalazłam jedną czarownicę. – Oczy Meg przybrały rozmarzony wyraz. – Ale to było bardzo dawno temu.

– Twoja kąpiel jest już gotowa, Meg – przerwałam, chwytając Alice za rękę i odciągając na bok. – Pójdziemy do gabinetu, żebyś mogła umyć się w spokoju.

W pokoju stracharza odwróciłam się gniewnie do Alice.

– Dlaczego to powiedziałaś? Może sobie przypomnieć, że sama jest czarownicą!

– A czy to takie złe? – spytała Alice. – To, jak traktuje ją stracharz, nie jest sprawiedliwe. Lepiej by jej było nie żyć. Już raz jej mnie przedstawiałaś, ale zdążyła zapomnieć.

– Lepiej nie żyć? Raczej trafiłaby do dołu – odparowałam ze złością.

– To może zaczniesz jej podawać trochę mniej ziołowej herbaty, by lepiej jej się żyło i o wszystkim nie zapominała? Wystarczy ustalić właściwą dawkę, a nie przypomni sobie wszystkiego, lecz będzie jej lepiej. Pozwól mi to zrobić, Tom, to nie takie trudne. Zacznę jej dawać odrobinę mniej co dzień, aż w końcu wyczuję...

– Nie, Alice! Nie waż się! – ostrzegłam. – Gdyby stracharz się dowiedział, w mgnieniu oka odesłałby cię do Hurstów. Poza tym nie warto ryzykować. Coś mogłoby pójść nie tak.

Alice pokręciła głową.

– Ale to nieludzkie, Tom. Trzeba coś będzie zrobić wcześniej czy później.

– W takim razie lepiej później niż wcześniej. Nic nie zrobisz z herbatą ziołową, prawda? Przyrzeknij mi.

Alice uśmiechnęła się.

– Przyrzekam, ale uważam, że powinieneś porozmawiać o tym ze starym Gregorym. Zrobisz to?

– Póki jest chory, to nieodpowiednia pora, ale zrobię to we właściwej chwili. Tyle że on nie posłucha. To trwa już latami. Czemu miałby teraz cokolwiek zmieniać?

– Po prostu z nim pomów. Tylko o to proszę.

Zgodziłam się zatem, choć wiedziałam, że stracę tylko czas i na

próżno rozzłoszczę stracharza. Lecz Alice zaczynała mnie niepokoić. Chciałem jej ufać, ale los Meg wyraźnie ją trapił.

Stracharz zszedł na dół późnym popołudniem i zdołał zjeść trochę bulionu. Wieczór spędził opatulony w koc przy kominku. Gdy poszedłem do łóżka, wciąż tam był. Alice pomogła Meg zmyć naczynia i naszykować je do śniadania.

\*

Następnego ranka, we wtorek, stracharz udzielił mi krótkiej lekcji łaciny. Nie wyglądał zbyt dobrze: szybko się męczył i wrócił do łóżka. Przez resztę dnia uczyłem się sam.

Potem, późnym popołudniem, ktoś zastukał do tylnych drzwi. Poszedłem otworzyć i ujrzałem Shanksa, dostawcę stracharza. Jego twarz miała niespokojny wyraz, jakby spodziewał się, że lada chwila ktoś pojawi się za moimi plecami.

– Przyniosłem zamówienie pana Gregory'ego. – Skinieniem głowy wskazał kucyka, obładowanego brązowymi workami. – Mam też list do ciebie. Dostarczono go pod zły adres, a mieszkańców akurat nie było. Właśnie wrócili, musiał czekać ponad tydzień.

Spojrzałem na niego ze zdumieniem. Kto mógłby przysłać mi list? Sięgnął do kieszeni kurtki, wyciągał zgniecioną kopertę i wręczył mi. Zaniepokoiłem się, bo natychmiast rozpoznałem pismo mojego brata, Jacka. A wiedziałem, że wysłanie listu dyliżansem pocztowym kosztuje majątek. Musiało chodzić o coś ważnego; z pewnością były to złe wieści. Rozdarłem kopertę i rozłożyłem Ust, krótki i treściwy

*Kochany Tomie*

*Stan taty znów się pogorszył, gaśnie bardzo szybko. Wszyscy jego synowie prócz ciebie są tutaj. Więc lepiej natychmiast zbieraj się do domu.*

*Jack*

Jack nigdy nie owijał niczego w bawełnę i gdy przeczytałem jego słowa, serce ścisnęło mi się w piersi. Nie mogłem uwierzyć, że tato umiera, nie potrafiłem sobie tego wyobrazić. Bez niego świat nie będzie już taki sam. A jeśli list Jacka leżał w wiosce tydzień, czekając na przeczytanie, mogło już być za późno. Podczas gdy Shanks wyładowywał zakupy, pobiegłem do środka, do sypialni stracharza, i roztrzęsiony

pokazałem mu list. Odczytał go i westchnął przeciągle.

– Przykro mi, że dostałeś złe wieści. Lepiej natychmiast ruszaj do domu. W takiej chwili mama będzie cię potrzebować.

– Ale co z tobą, mistrzu? – spytałem. – Poradzisz sobie?

– O mnie się nie martw, nic mi nie będzie. No, ruszaj póki jest jeszcze jasno. Lepiej zejść z moczarów przed zmrokiem.

Kiedy wróciłem do kuchni, Alice i Meg szeptały między sobą. Meg uśmiechnęła się na mój widok.

– Dziś przygotuję wam wyjątkową kolację – obiecała.

– Nie będzie mnie na kolacji, Meg – powiedziałem. – Mój tato jest chory i na kilka dni muszę wracać do domu.

– Przykro mi to słyszeć, Billy. Zbliża się śnieżycy, więc lepiej ubierz się ciepło. Od odmrożeń można stracić palce.

– Bardzo jest źle, Tom? – spytała Alice z zatroskaną miną.

Podaliśmy jej więc list, przeczytała go szybko.

– Och, Tom, tak mi przykro. – Podeszła i uściśniła mnie mocno. – Może nie będzie aż tak źle...

Ale gdy spojrzała mi w oczy, zrozumiałem, że mówi tak tylko, żeby mnie pocieszyć. Oboje obawialiśmy się najgorszego.

\*

Szybko przygotowałem się do drogi. Nie zwracałem sobie głowy torbą – zostawiłem ją w gabinecie wziąłem jednak kij. W kieszeni, oprócz dużego kawałka kruchego żółtego sera na drogę, miałem hubkę z krzysiwem i ogarek. Nigdy nie wiadomo, kiedy mogą się przydać.

Pożegnawszy się ze stracharzem, ruszyłem do tylnych drzwi z Alice. Ku memu zdumieniu, zamiast się pożegnać, zdjęła z wieszaka płaszczy i naciągnęła szybko.

– Pójdę z tobą do końca parowu – oznajmiła, uśmiechając się smutno.

Ruszyliśmy zatem razem. Nie rozmawialiśmy, bałem się i czułem się odrętwiały. Alice sprawiała wrażenie wyciszonej. Gdy dotarliśmy do końca parowu i odwróciłem się, by ją pożegnać, ku memu zdumieniu odkryłem, że ma łzy w oczach.

– Co się stało, Alice?

– Kiedy wrócisz, mnie już tu nie będzie. Stary Gregory mnie odprawił. Znowu zamieszkać na Farmie Przy Moczarach.

– Tak mi przykro, Alice. Nic mi o tym nie mówił, sądziłem, że wszystko jest dobrze.

– Powiedział mi wczoraj wieczorem. Mówi, że za bardzo zbliżyłam się z Meg.

– Zbliżyłaś?

– To pewnie dlatego, że widział, jak gawędzimy. Kto wie, co dzieje się w głowie starego Gregory'ego? Pomyślałam tylko, że ci powiem, żebyś wiedział, gdzie mnie znaleźć po powrocie.

– Gdy tylko wrócę, przyjdę cię odwiedzić – obiecałem. – Jeszcze zanim pójde do stracharza.

– Dzięki, Tom – Alice uścisnęła mi czule lewą dłoń.

Znów ruszyłem w dół zbocza. Raz jeden przystanąłem, oglądając się za siebie. Wciąż tam była, patrzyła na mnie, toteż pomachałem. Alice nie próbowała mnie więcej pocieszać, nie wspominała o moim tacie. Oboje wiedzieliśmy, że nie ma o czym mówić, i z przerażeniem zastanawiałem się, co zastanę w domu.

\*

Zmierzch zapadł szybko, pomógł w tym wał ciężkich, ciemnych chmur z północy. Gdy schodziłem ze wzgórz, robiło się ciemno. Jakimś cudem zdołałem zabłądzić i przeoczyć ścieżkę, w którą chciałem skręcić.

W dole dostrzegłem zagajnik i niski, kamienny mur, za którym stał niewielki budynek – pewnie domek pomocnika farmera, co oznaczało, że najprawdopodobniej znajdę tam dróżkę bądź trakt, wiodący w dół zbocza. Wgramoliłem się na mur, lecz zawahałem przed zeskoczeniem. Po pierwsze, miał ponad sześć stóp wysokości. Po drugie, ujrzałem za nim duży cmentarz. Budynek w dali okazał się nie domkiem lecz kaplicą.

Wzruszyłem ramionami i zeskoczyłem między nagrobki. Owszem, było dość niesamowicie, ale jako uczeń stracharza przywykłem do podobnych miejsc nawet po ciemku. Ruszyłem dalej między grobami nadal zmierzając w dół i wkrótce pod stopami zachrzęścił mi żwir ścieżki, wiodącej do kaplicy.

To nie powinno być trudne – ścieżka wiodła w dół, mijając kaplicę i wijąc się między nagrobkami, docierała do dwóch wielkich cisów, tworzących łuk nad bramą. Powinienem był iść dalej, lecz w małym witrażowym oknie kaplicy dostrzegłem błysk światła, dowodzący obecności świecy. A mijając drzwi zauważyłem, że są uchylone. Ze środka dobiegł czyjś głos.

Głos, który wykrzyknął jedno, jedyne słowo:

– Tom!

Był to niski głos, męski, przywykły do wydawania poleceń. Nie rozpoznałem go.

Choć to mało prawdopodobne, miałem wrażenie, że ktoś mnie woła. Ale kto mógł

czekać w kaplicy i znać moje imię? A także wiedzieć, że będę przechodził tędy akurat w tej chwili? O tej porze w kaplicy nie powinno być nikogo. Używano jej od czasu do czasu, na krótkie nabożeństwa przed pogrzebami.

Nim zorientowałem się, co robię, podszedłem do drzwi kapliczki, otworzyłem je i wmaszerowałem do środka. Ku memu zdumieniu, w środku nie było nikogo, natychmiast jednak zauważyłem coś dziwnego. Miast rzędów ławek naprzeciw ołtarza z przejściem pośrodku, ławki ustawiono w czterech długich rzędach pod ścianą. Przed nimi stał samotny konfesjonał, oparty o ścianę po mej prawej. Po obu jego stronach pełniły wartę dwie wysokie świece.

Sam konfesjonał, jak zwykle, miał dwa wejścia, jedno dla księdza, jedno dla penitenta. Tak naprawdę składał się z dwóch pomieszczeń oddzielonych kratą. Choć ksiądz słyszy spowiedź, nie widzi twarzy rozmówcy. Tu jednak coś było nie tak. Ktoś zdjął drzwi. Widziałem przed sobą dwa prostokąty absolutnej czerni.

I gdy tak z coraz większym niepokojem wpatrywałem się w miejsce po drzwiach, ktoś wyłonił się z ciemności od strony księdza po lewej i ruszył ku mnie. Miał na sobie płaszcz i kaptur, jak stracharz.

To był Morgan, choć głos, który mnie zawołał, nie należał do niego. Czyżby w kaplicy był ktoś jeszcze. Gdy się zbliżył, ogarnął mnie nagły, przejmujący chłód. Nie zwykły chłód, zwiastujący bliskość czegoś z mroku. Nie, ten wydawał się inny, przypominał mi chłód, którego doświadczyłem w obliczu złego ducha Mora w Priesttown.

– I znów się spotykamy, Tomie – Morgan uśmiechnął się drwiąco. – Przykro mi z powodu twojego ojca, ale miał dobre życie. W końcu każdego z nas czeka śmierć.

Serce szarpnęło mi się w piersi, wstrzymałem oddech. Skąd wiedział o chorobie taty?

– Ale śmierć to nie koniec, Tomie – podjął, stawiając kolejny krok. – I przez jakiś czas wciąż możemy rozmawiać z tymi, których kochamy. Chciałbyś pomówić z ojcem? Mógłbym go teraz przywołać, jeśli chcesz.

Nie odpowiedziałem. Znaczenie jego słów dopiero zaczynało do mnie docierać. Ogarnęło mnie odrętwienie.

– Och, przykro mi, Tomie. Oczywiście ty nie wiedziałeś, prawda? – podjął Morgan. – Twój ojciec zmarł w zeszłym tygodniu.

## **ROZDZIAŁ 11**

### **POKÓJ MAMY**

Morgan znów się uśmiechnął, ja jednak poczułem, że serce podchodzi mi do gardła i ogarnęła mnie panika. Świat zawirował. Bez namysłu obróciłem się i puściłem w stronę drzwi. Gdy za nie wypadłem, biegłem dalej ścieżką, moje stopy z chrzęstem uderzały o żwir. Dotarwszy do bramy, obróciłem się i obejrzałem. Stał w otwartych drzwiach kaplicy, jego twarz skrywały ciemności, toteż nie widziałem miny. Uniósł jednak lewą rękę i pomachał do mnie gestem, jakim zwykle żegna się przyjaciół.

Nie odpowiedziałem. Otworzyłem bramę i ruszyłem dalej, w dół. W głowie kłębiło mi się od obrazów i wizji. Wstrząsnęła mną myśl, że tato mógł już nie żyć. Czy Morgan miał rację? Był nekromantą. Czyżby więc przywołał ducha, który mu o tym powiedział? Nie mogłem w to uwierzyć.

I właściwie dlaczego uciekłem? Powinienem być zostać i wygarnąć Morganowi, co o nim myślę, lecz zółć podeszła mi do gardła, a nogi poniosły za drzwi, nim zdążyłem się zastanowić. Nie bałem się go, choć słuchanie takich rzeczy, zwłaszcza w kaplicy w blasku migoczących świec, było naprawdę niesamowitym przeżyciem. Po prostu nie chciałem stawić czoła podobnym wieściom.

\*

Niewiele pamiętam z reszty podróży, poza faktem, że z każdą chwilą robiło się coraz zimniej i bardziej wietrznie. Wieczorem drugiego dnia wiatr skręcił na północny zachód, a niebo zasnuły chmury, zwiastujące śnieżycę.

Śnieg zaczął padać, kiedy znalazłem się pół godziny drogi od domu. Zmierzchało, znałem jednak drogę jak własną kieszeń i ciemność wcale mi nie przeszkadzała. Gdy otworzyłem furtkę, wiodącą na podwórze, wszystko wokół pokrywała biała pierzyna, a ja przemarzłem już na kość. Śnieg zawsze sprawia, że świat wydaje się cichszy, lecz tego wieczoru na farmie panowała wyjątkowa cisza. Kiedy przekroczyłem furtkę, zakłóciło ją szczekanie psów.

Nie widziałem nikogo, choć w jednym z okien sypialni na tyłach

błyskało światło. Czyżbym się spóźnił? Serce zaciążyło mi nieznośnie. Obawiałem się najgorszego.

I wtedy ujrzałem Jacka – maszerował przez podwórze w moją stronę. Krzywił się, marszcząc groźnie krzaczaste brwi.

– Co cię zatrzymało? – spytał gniewnie. – Nie potrzeba tygodnia, żeby tu dotrzeć. Nasi bracia zdążyli już wyjechać, a James mieszka pół Hrabstwa dalej! Tylko ty się nie zjawieś...

– Twój list trafił pod zły adres, dostałem go o tydzień później – wyjaśniłem. – Ale jak on się czuje? Spóźniłem się? – Wstrzymałem oddech, lecz widziałem prawdę na twarzy Jacka.

Mój brat westchnął i pochylił głowę, jakby nie mógł znieść mojego wzroku. Gdy znów ją uniósł, w oczach błyszczały mu łzy.

– On odszedł, Tom – rzekł miękko. Gniew i surowość zniknęły z jego głosu. – Zmarł spokojnie we śnie. Wczoraj minął tydzień.

Nim się zorientowałem, obejmował mnie i płakaliśmy obaj. Pojąłem, że nigdy już nie zobaczę taty, nie usłyszę jego głosu, starych opowieści i mądrych powiedzonek. Nigdy nie uścisknę mu dłoni, nie poproszę o radę – i nie mogłem znieść tej myśli. Kiedy jednak tam stałem, przypomniałem sobie o kimś, kto z pewnością odczuwa stratę jeszcze boleśniej.

– Biedna mama – rzekłem, gdy w końcu powrócił mi głos. – Jak ona się czuje?

– Źle, Tom. Naprawdę źle – Jack ze smutkiem pokręcił głową. – Wcześniej nie widziałem, by płakała, teraz szlochała całymi dniami, i uwierz mi, że było to straszne. Nic nie jadła i w ogóle nie spała, a następnego dnia po pogrzebie spakowała torbę i odeszła mówiąc, że jakiś czas musi pobyć sama.

– Odeszła? Dokąd?

Jack pokręcił głową z nieszczęśliwą miną.

– Chciałbym to wiedzieć.

Nie powiedziałem Jackowi, przypomniałem sobie jednak, co kiedyś mówił tato: że mama ma własne życie i gdy on sam spocznie w ziemi, zapewne wróci do swojego kraju. Mówił też, że kiedy nadejdzie ów dzień, powinienem być dzielny i z uśmiechem



pozwolić jej odejść. Miałem tylko nadzieję, że jeszcze tego nie zrobiła. Czyżby odeszła, nie żegnając się ze mną? Oby nie. Musiałem zobaczyć ją jeszcze raz, choćby miał być on ostatni.

\*

Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek w życiu czuł się gorzej podczas kolacji w domu.

Strasznie smutno było nie widzieć mamy i taty przy stole. Co i rusz zerkalem na puste krzesło ojca. Mała spała już w kołysce, toteż pozostało nas tylko troje, Jack, Ellie i ja. Siedzieliśmy razem, powoli skubiąc jedzenie.

Kiedy spojrzałem na Ellie, ta uśmiechnęła się ze smutkiem, ale milczała. Miałem wrażenie, że chce mi coś powiedzieć, lecz czeka na stosowną chwilę.

– To naprawdę dobry gulasz, Ellie – rzekłem. – Przykro mi, że się zmarnuje, ale już nie mogę. Po prostu nie jestem głodny.

– Nie martw się, Tom – odparła łagodnie. – Rozumiem. Nikt z nas nie ma apetytu. Zjedz, ile możesz. W takich chwilach musisz zachować siły.

– Pewnie to nie najlepszy moment, ale chciałbym pogratulować wam obojgu. Kiedy byłem tu ostatnio, mama mówiła, że znów spodziewacie się dziecka i że to będzie chłopczyk.

Jack uśmiechnął się ze smutkiem.

– Dziękuję, Tom – rzekł cicho. – Gdyby tylko tato dożył narodzin wnuka... – odchrząknął, jakby zamierzał powiedzieć coś ważnego. – Posłuchaj – zaczął. Może zostaniesz z nami parę dni, póki pogoda się nie poprawi? Nie musisz wracać jutro, prawda? Przyznam, że przydałaby mi się pomoc na farmie. James został parę dni, ale musiał wracać do pracy.

James był moim, drugim z kolei, starszym bratem i kowalem. Wątpiłem, by został po pogrzebie dlatego, że Jack naprawdę potrzebował pomocy. Zima to nie wiosenne zasiewy ani jesienne żniwa, gdy trzeba wielu rąk do pracy. Nie, Jack chciał, żebym został z tego samego powodu, dla którego pragnął zatrzymać Jamesa. Mimo iż nienawidził stracharskiego fachu i zazwyczaj nie

cieszył go mój widok, teraz mnie potrzebował, bym zapełnił pustkę, przegnał samotność z życia bez taty i mamy.

– Chętnie zostanę kilka dni – odparłem z uśmiechem.

– To naprawdę miłe z twojej strony, Tom. Dziękuję – odsunął talerz, choć opróżnił zaledwie jedną trzecią. – Pójdę już do łóżka.

– Ja przyjdę później, kochany – wtrąciła Ellie. – Pozwolisz, że posiedzę tu trochę i dotrzymam Tomowi towarzystwa?

– Oczywiście – rzekł.

Kiedy odszedł, Ellie obdarzyła mnie ciepłym uśmiechem. Była śliczna jak zawsze, sprawiała jednak wrażenie smutnej i zmęczonej. Napięcie ostatniego tygodnia odcisnęło na niej swoje piętno.

– Dziękuję, że zgodziłeś się zostać, Tom. Jack musi pogadać o dawnych czasach z jednym ze swych braci. Tak właśnie oplakuje tatę, rozmawiając o nim bez końca. Ale też myślę, że potrzebuje cię, bo wierzy, że jeśli tu będziesz, mama wróci...

O tym nie pomyślałem. Mama potrafiła wyczuć różne rzeczy. Z pewnością zorientuje się, że jestem na farmie. Może istotnie wróci zobaczyć się ze mną.

– Taką mam nadzieję.

– Ja też, Tom. Ale posłuchaj, chcę, żebyś był bardzo wyrozumiały dla Jacka. Widzisz, jest coś, o czym ci nie wspomniał. W testamencie twojego taty znalazł coś niespodziewanego, coś, czego nie oczekiwał...

Zmarszczyłem brwi. Niespodziewanego? Co to mogło być? Cała rodzina wiedziała, że po śmierci taty Jack jako najstarszy syn odziedziczy farmę. Nie było sensu dzielić ją między nas siedmiu, bo wówczas z czasem stawałaby się coraz mniejsza i mniejsza. Tradycja Hrabstwa nakazywała, by majątek zawsze trafiał do najstarszego syna – pod warunkiem że wdowa będzie tam mogła mieszkać do końca życia.

– To przyjemna niespodzianka? – spytałem niepewnie, nie wiedząc, co o tym myśleć.

– Nie, a przynajmniej nie według Jacka. Ale nie chcę, żebyś

niewłaściwie to zrozumiał, Tom. Jack myśli tylko o mnie, o małej Mary i oczywiście o nienarodzonym synu. – Poglądziła dłonią brzuch. – Bo widzisz, nie odziedziczył całego domu. Jeden pokój przypadł tobie.

– Pokój mamy? – spytałem, domyślając się odpowiedzi. Było to miejsce, gdzie mama trzymała swoje rzeczy osobiste, między innymi srebrny łańcuch, który podarowała mi jesienią.

– Tak, Tom – odparła Ellie. – Zamknięty pokój tuż pod strychem. Pokój i całą jego zawartość. Choć do Jacka należy dom i ziemia, ty zawsze masz mieć wstęp do tego pokoju i możesz tam zostać, jak długo zechcesz. Gdy odczytano testament, Jack zbladł. Znaczy on bowiem, że gdybyś miał ochotę, mógłbyś tu nawet zamieszkać.

Wiedziałem, że Jack nie życzył sobie mojej dłuższej obecności; obawiał się, że sprowadzę coś ze sobą, coś z mroku. Nie mogłem nawet protestować, bo już raz tak się stało. Zeszłej wiosny stara wiedźma, Mateczka Malkin, trafiła za mną do naszej piwnicy. Jackowi, Ellie i ich córeczce, Mary, groziło wówczas śmiertelne niebezpieczeństwo.

– Czy mama mówiła coś na temat tego zapisu? – spytałem.

– Ani słowa. Jack był zbyt poruszony, by o tym wspominać, a następnego dnia odeszła.

Nie mogłem powstrzymać myśli, iż pozostawienie mi jej pokoju oznaczało, że mama wkrótce zniknie na dobre. Wróci do własnego kraju i rozstaniemy się na zawsze. Oczywiście, jeśli już tego nie zrobiła.

\*

Następnego ranka wstałem bardzo wcześnie, lecz Ellie znalazła się w kuchni przede mną. To zapach smażonych kiełbasek ściągnął mnie na dół. Mimo wszystkiego, co się stało, zaczął mi wracać apetyt.

– Dobrze spałeś, Tom? – spytała, uśmiechając się szeroko.

Przytaknąłem, nie było to jednak prawdą. Bardzo długo trwało, nim w końcu zasnąłem i budziłem się co chwila. Za każdym razem,

gdy otwierałem oczy, ból powracał – jakbym po raz pierwszy pojmował, że tato nie żyje.

– Gdzie jest mała? – spytałem

– Na górze, z Jackiem. Lubi spędzać z nią trochę czasu każdego ranka. To mu daje pretekst, by później zacząć pracę. Zresztą dziś i tak wiele nie zrobicie – wskazała okno.

W powietrzu wirowały wielkie płatki, a w samej kuchni było jaśniej niż w letni słoneczny dzień, bo światło odbijało się od śniegu, zalegającego podwórze.

Wkrótce pałaszowałem już jajka i kiełbaski. Jack zszedł na dół i dołączył do mnie przy stole. Skinął głową i zajął się własnym śniadaniem. Ellie poszła do pokoju, zostawiając nas samych. Jack grzebał w talerzu, żując powoli i zacząłem czuć wyrzuty sumienia, boja sam zjadałem ze smakiem.

– Ellie powiedziała mi, że wiesz już o testamencie – rzekł w końcu.

Przytaknąłem bez słowa.

– Posłuchaj, Tom. Jako najstarszy syn jestem wykonawcą woli taty. Mam obowiązek dopilnować wypełnienia jego życzeń. Zastanawiam się jednak, czy nie moglibyśmy dojść do porozumienia. A gdybym tak kupił od ciebie pokój? Gdybym zdołał zebrać pieniądze, sprzedałbyś mi go? Co do rzeczy mamy, pan Gregory z pewnością pozwoliłby ci przechować je w Chipenden.

– Potrzebuję czasu do namysłu, Jack – odparłem. – To wszystko za bardzo mną wstrząsnęło, zbyt wiele rzeczy wydarzyło się zbyt szybko. Nie martw się, nie zamierzam wciąż tu wracać. Będę zajęty.

Jack sięgnął do kieszeni nogawic i wyciągnął pęk kluczy. Położył je przede mną na stole. Był tam jeden duży i trzy mniejsze – pierwszy do drzwi pokoju, pozostałe do pudeł i skrzyń wewnątrz.

– Proszę. Bez wątplenia zechcesz pójść na górę i obejrzeć swój spadek.

Wyciągnąłem rękę i odepchnąłem klucze ku niemu.

– Nie, Jack – rzekłem. – Na razie je zatrzymaj. Nie wejdę do

tego pokoju, póki nie porozmawiam z mamą.

Spojrzał na mnie ze zdumieniem.

– Na pewno?

Przytaknąłem. Jack schował klucze z powrotem i więcej o tym nie wspominaliśmy.

To, co powiedział, brzmiało rozsądnie, ale nie chciałem jego pieniędzy. By mnie wykupić, musiałyby zaciągnąć pożyczkę, a teraz, kiedy sam ma prowadzić całą farmę, i tak nie będzie mu łatwo. Jeśli o mnie chodziło, mógł sobie wziąć ten pokój. Byłem też pewien, że stracharz pozwoliłby mi przechować skrzynie i pudła mamy w Chipenden. Podejrzywałem jednak, iż to właśnie mama życzyła sobie, by pokój przypadł mnie i tylko ta myśl powstrzymała mnie przed natychmiastową zgodą na propozycję Jacka. Owszem, życzenie pojawiło się w testamencie taty, ale przypuszczałem, że to ona podjęła decyzję. Mama zawsze miała powody by postępować, jak postępowała. Dlatego właśnie nie mogłem sam podjąć decyzji, póki nie porozmawiam z nią w cztery oczy.

\*

Tego popołudnia poszedłem odwiedzić grób taty. Jack zamierzał mi towarzyszyć, ale zdołałem go odwieść od tego pomysłu. Chciałem być sam, przez jakąś godzinę pomyśleć i poopłakiwać tatę w spokoju. I musiałem sprawdzić coś jeszcze, coś, czego nie mógłbym zrobić, gdyby poszedł ze mną Jack. Nie zrozumiałby, a w każdym razie byłby okropnie poruszony.

Odczekałem, tak by zjawić się o zachodzie słońca, gdy na niebie pozostało jeszcze dość światła, by odnaleźć grób. Cmentarz był ponury, pokryty śniegiem; leżał pół mili od kościoła. Pierwszy, przykościelny, już się zapełnił, toteż księża wyświęcili dodatkowe miejsce: niewielkie pole, otoczone głogowym żywopłotem. Od zachodniej strony ocieniało je kilka platanów. Z łatwością znalazłem grób taty, w pierwszym rzędzie nowych parcel. Z każdym miesiącem liczba grobów rosła. Nie wystawiono jeszcze nagrobka, na razie tkwił tam tylko prosty krzyż z wyrytym głęboko w drewnie napisem:

JOHN WARD

R.I.P.

Jakiś czas stałem przy krzyżu, rozmyślając o wszystkich szczęśliwych chwilach naszej rodziny. Wspominałem dzieciństwo, mamę i tatę, krzątających się radośnie na farmie, wszystkich braci, mieszkających jeszcze w domu. Przypomniałem sobie ostatnią rozmowę z tatą i to, jak mi powiedział, że jest dumny z tak dzielnego syna, i że choć nie ma wśród swych dzieci ulubieńców, wciąż uważa, że będę z nich najlepszy.

Do oczu napłynęły mi łzy. Rozpłakałem się głośno stojąc przy grobie. Gdy jednak zrobiło się ciemno odetchnąłem głęboko i uspokoiłem się. Wiedziałem co muszę zrobić. To była stracharska robota.

– Tato! Tato! – zawołałem w mrok. – Jesteś tu? Słyszysz mnie?

Trzy razy wykrzyknąłem dokładnie to samo, lecz za każdym razem w odpowiedzi słyszałem tylko szelest wiatru w żywopłocie i dobiegające z dali ujadanie samotnego psa. Westchnąłem z ulgą: taty tu nie było, jego duch nie pozostał przy grobie. Miałem nadzieję, że odszedł do lepszego świata.

Wciąż nie wiedziałem, co myśleć o Bogu. Może istniał, może nie. Jeśli tak, czy zechciałby mnie wysłuchać? Zazwyczaj się nie modliłem, ale tu chodziło o tatę, więc uczyniłem wyjątek.

– Proszę, Boże, obdarz go spokojem – rzekłem cicho. – Zasłużył na to. Był dobrym, ciężko pracującym człowiekiem, a ja go kochałem.

Potem odwróciłem się i z głębokim smutkiem ruszyłem w stronę domu.

\*

Zostałem na farmie prawie tydzień. Gdy nadszedł dzień rozstania, zaczął lać deszcz, śnieg na podwórku zmieniał się w mokrą breję.

Mama nie wróciła. Zastanawiałem się, czy kiedykolwiek się zjawi. Ja jednak musiałem iść już do Anglezarke i zobaczyć, co u stracharza. Miałem nadzieję, że nadal zdrowieje. Uprzedziłem

Jacka i Ellie, że odwiedzę ich wiosną i wówczas porozmawiamy o pokoju.

Ruszyłem w długą drogę na południe, rozmyślając o tacie i o tym, jak wszystko się zmieniło. Jeszcze niedawno żyłem szczęśliwie w domu z rodzicami i szóstką braci, a tato był silny i zdrowy. Teraz wszystko wyglądało inaczej. Wszystko się rozpadało.

W pewnym sensie nigdy już nie będę mógł wrócić do domu, bo dom nie istniał. Teraz wszystko było zupełnie inne. Budynki pozostaną takie same, podobnie widok na Wzgórze Wisielców z okna mej dawnej sypialni. Ale bez mamy i taty to już nie będzie mój dom.

Wiedziałem, że utraciłem coś na zawsze.

## **ROZDZIAŁ 12**

### **NEKROMANCJA**

Im dalej wędrowałem na południe, tym robiło się zimniej; deszcz stopniowo z powrotem zamieniał się w śnieg. Byłem zmęczony, pragnąłem wrócić wprost do domu stracharza, lecz obiecałem Alice, że ją odwiedzę i zamierzałem dotrzymać słowa.

Gdy dochodziłem do Farmy Przy Moczarach, zapadł już zmrok. Wiatr ucichł, niebo było czyste, świecił księżyc, a śnieg sprawiał, że noc stała się jaśniejsza niż zwykle. Za domem ujrzałem ciemne zwierciadło jeziora, w którym odbijały się gwiazdy.

Samą farmę także spowijała ciemność. Zimą większość mieszkańców Hrabstwa kładzie się wcześniej, toteż wcale mnie to nie zdziwiło. Miałem nadzieję, że Alice wyczuje moją obecność i zdoła wyslizgnąć się i wyjść mi na spotkanie. Wdrapałem się na płot i ruszyłem przez pole w stronę grupki popadających w ruinę budynków. Przed sobą widziałem oborę i słysząc nietypowy dźwięk, zatrzymałem się tuż przy otwartych drzwiach. Wewnątrz ktoś

płakał.

Przekroczyłem próg i zwierzęta cofnęły się nerwowo. W nozdrza natychmiast uderzył mnie smród. Nie była to zwykła ciepła woń zwierząt i kilkunastu zdrowych krowich placków, lecz odór biegunki, choroby trawiennej, która często dręczy bydło i świnie. Da się ją wyleczyć, lecz te krowy były chore i wynędzniałe. Od mojej ostatniej wizyty wszystko wyglądało znacznie gorzej.

I wtedy uświadomiłem sobie, że ktoś na mnie patrzy. Po mojej lewej ręce, w blasku księżyca ujrzałem pana Hursta. Siedział zgarbiony na stołku do dojenia. Po policzkach starego mężczyzny spływały łzy, wpatrywał się we mnie z nieszczęśliwą miną. Cofnąłem się o krok, gdy wstał nagle.

– Wynoś się stąd! Zostaw mnie! – krzyknął, grożąc mi pięścią i dygocząc od stóp do głów.

Ten wybuch mną wstrząsnął. Pan Hurst zawsze zachowywał się cicho i spokojnie, nigdy nawet nie podniósł głosu na mnie czy na Alice. Teraz wyglądał h zrozpaczonego, zdesperowanego. Odszedłem, zwieszając głowę. Bardzo go żałowałem; Morgan musiał mu nieźle dopiec. Bez wątpienia dlatego właśnie pan Hurst tak bardzo się zdenerwował i zawstydził. Nie wiedziałem, co robić. Uznałem, że lepiej pomówię o tym z Alice.

Szedłem dalej, aż w końcu dotarłem na podwórze. Dom wciąż spowijała ciemność, nie byłem pewien, co robić dalej. Alice musiała naprawdę mocno spać, skoro nie wyczuła, że jestem blisko. Oczekałem chwilę, mój oddech parował w mroźnym powietrzu.

Podszedłem do tylnych drzwi i zastukałem dwa razy. Nie musiałem pukać ponownie. Po paru chwilach otworzyły się powoli, skrzypiąc na zawiasach. Pani Hurst wyjrzała, mrugając w blasku księżyca.

– Muszę pomówić z Alice – oznajmiłem.

– Wejdz, wejdz – zaprosiła; jej głos zabrzmiał słabo, ochryple.

Tuż za drzwiami leżała wycieraczka. Wszedłem do niewielkiej sieni i uśmiechając się uprzejmie, jak najdokładniej otrzepałem buty ze śniegu. Przed sobą widziałem dwoje drzwi. Te po prawej



były zamknięte, lecz drzwi pokoju Morgana stały uchylone. Dostrzegłem migoczącą wewnątrz świecę.

– Tam – pani Hurst pokazała ręką.

Przez chwilę wahałem się, zastanawiając się, co Alice robi w pokoju Morgana. Ale w końcu i tak poszedłem. W powietrzu wisiał ciężki smród łożu. Z jakiejś przyczyny pierwszą rzeczą, jaką zauważyłem, była gruba świeca, zrobiona z czarnego wosku i osaczona w wielkim mosiężnym lichtarzu. Stała na samym środku długiego, drewnianego stołu, z krzesłami po obu stronach.

Spodziewałem się zobaczyć Alice, ale się pomyliłem. Przy bliższym krańcu stołu, zwrócona do mnie plecami, siedziała postać w kapturze. Mężczyzna odwrócił się i ujrzałem brodę oraz szyderczy uśmiech. To był Morgan.

Raz jeszcze instynkt kazał mi uciekać, lecz zza pleców dobiegły mnie dwa dźwięki – po pierwsze, stukot zamykanych drzwi, po drugie, szcęk ciężkiego rygla. Przed sobą miałem okno ukryte za ciężką, czarną zasłoną. Poza tym żadnego wyjścia. Byłem zamknięty z Morganem.

Rozejrzałem się, zerkając na nagie kamienie posadzki i czekające puste krzesło. W pokoju było zimno, zadrzałem. Kominek wypełniał jedynie szary popiół.

– Usiądź, Tom – powiedział Morgan. – Mamy wiele do omówienia.

Nie zareagowałem, toteż gestem wskazałem krzesło naprzeciwko.

– Przyszedłem do Alice – poinformowałem go.

– Alice nie ma – rzekł Morgan. – Odeszła trzy dni temu.

– Odeszła? Dokąd?

– Nie powiedziała. Nie była zbyt gadatliwa ta twoja Alice. Nie wspomniała nawet, że odchodzi. Kiedy ostatnio przekroczyłeś ten próg, Tom, przybyłeś nieproszony jak złodziej, nocą, z dziewczyną u boku. Ale zapomnimy o tym, bo teraz jesteś tu mile widziany. Toteż powtórzę, usiądź.

Przepełniony strachem, posłuchałem, nie wypuszczałem jednak z lewej dłoni laski, ściskając ją mocno. Skąd wiedział, że

zaglądaliśmy do jego pokoju? I naprawdę martwiłem się o Alice. Dokąd mogła pójść? Z pewnością nie z powrotem do Pendle! Uniosłem głowę i poczułem na twarzy spojrzenie Morgana. Nagle z uśmiechem odrzucił kaptur, odsłaniając potarganą szopę włosów. Dostrzegłem wśród nich znacznie więcej siwych, niż poprzednio. W blasku świecy jego twarz wydawała się kanciasta, a przecinające ją bruzdy znacznie się pogłębiły.

– Poczestowałbym cię winem – rzekł. – Ale nie piję, gdy pracuję.

– Ja zwykle nie pijam wina – odparłem.

– Lecz bez wątpienia jadasz ser – uśmiechnął się drwiąco.

Nie odpowiedziałem, jego twarz spoważniała. Nagle pochylił się naprzód, ściągnął wargi i dmuchnął. Świeca zamigotała i zgasła, pograżając pokój w absolutnej, nieprzeniknionej ciemności.

– Teraz jesteśmy tu tylko ty, ja i ciemność – rzekł Morgan. – Czy zdołasz to znieść? Czy nadajesz się na mojego ucznia?

To samo dokładnie powiedział stracharz w piwnicy nawiedzonego domu w Horshaw, dokąd zabrał mnie pierwszego dnia terminu. Zrobił to, by sprawdzić, czy jestem ulepiony z właściwej gliny, by zostać stracharzem. Powiedział to w chwili, gdy świeca zgasła.

– Idę o zakład, że kiedy zszedłś do piwnicy, siedział w kącie i wstał w chwili, gdy się zbliżyłś – podjął Morgan. – Nic się nie zmienia. Ty, ja i dwa tuziny innych. Jakież to przewidywalne. Stary głupiec! Nic dziwnego, że nikt z nim długo nie wytrzymuje.

– Ty zostałeś trzy lata – powiedziałem miękko w ciemności.

– Ach, zatem nie zapomniałś języka w Tom? To dobrze. Widzę, że opowiadał ci o mnie. Miał do powiedzenia coś dobrego?

– Raczej nie.

– To mnie nie dziwi. A czy mówił, czemu zrezygnowałem z nauki na stracharza?

Do tej pory moje oczy przywykły do ciemności i dostrzegałem zarys jego głowy po drugiej stronie stołu. Mógłbym mu powiedzieć, iż stracharz twierdził, że brakowało mu dyscypliny i nie nadawał

się. Lecz zamiast tego postanowiłem sam zadać parę pytań.

– Czego ode mnie chcesz? I dlaczego drzwi są zamknięte?

– Żebyś nie mógł znów uciec – wyjaśnił Morgan. – Byś nie miał wyboru, musiał tu zostać i zobaczyć to, co chcę ci pokazać. Słyszałem, że świetny z ciebie uczeń. Obaj wiemy, że twój mistrz nie jest temu rad. Oto zatem pierwsza lekcja nowego terminu. Miewałeś już do czynienia ze zmarłymi, lecz teraz wzbogacę twoją wiedzę. I to bardzo.

– Po co miałbyś to robić? – rzuciłem wyzywająco. – Pan Gregory uczy mnie wszystkiego, co muszę wiedzieć.

– Wszystko w swoim czasie, Tom – odparł Morgan.

– Najpierw porozmawiajmy o duchach. Co o nich wiesz?

Postanowiłem mu się nie sprzeciwiać. Może, jeśli dam mu się wygadać, wypuści mnie i będę mógł wrócić do domu stracharza.

– Większość duchów pozostaje uwięziona w pobliżu swych kości. Inne w miejscu, gdzie za życia cierpiały bądź popełniły straszliwą zbrodnię. Nie mogą swobodnie wędrować.

– Brawo, Tom. – W głosie Morgana znów zadźwięczała szydercza nuta. – I założę się, że zapisałeś to wszystko w notesie, jak przystało na grzecznego ucznia. Oto jednak coś, czego stary głupiec cię nie nauczył. Nie wspomniałby o tym, bo sam nie lubi o tym myśleć. Bardzo ważne pytanie. Dokąd idą zmarli po śmierci? I nie chodzi mi o uwięzione duchy i widma, lecz innych zmarłych. Przeważającą większość. O ludzi takich jak twój ojciec.

Na wzmiankę o tacie wyprostowałem się, wbijając wzrok w Morgana.

– Co wiesz o moim tacie? – spytałem gniewnie. – Skąd wiedziałeś, że umarł?

– Wszystko w swoim czasie, Tom. Wszystko w swoim czasie. Dysponuję mocami, o jakich twojemu mistrzowi się nie śniło. Ale nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Dokąd idą po śmierci zmarli?

– Kościół mówi, że do nieba, piekła, czyśćca bądź limbo – wyjaśniłem. – Ja sam nie jestem tego pewien a pan Gregory nigdy o tym nie wspomina. Ale wierzę że dusza przeżywa śmierć.

Czyściec był miejscem, w którym dusze doznawały oczyszczenia, cierpiąc, póki nie będą godne przejścia przez bramy raju. Limbo pozostawało bardziej tajemnicze. Księża mówili, że trafiają tam ci, których nie ochrzczono. Ponoć przeznaczono je dla dusz, które za życia nie były naprawdę złe, ale nie z własnej winy nie mogły pójść do nieba.

– A co kościół może wiedzieć? – zadrwił Morgan. – To jedyna rzecz, co do której zgadzamy się ze starym Gregorym. Bo widzisz, Tom, z czterech miejsc, które właśnie wymieniłeś, dla kogoś takiego jak ja limbo jest najbardziej użyteczne. Jego nazwa pochodzi z łacińskiego limbus, czyli krawędź bądź skraj. Widzisz, nieważne dokąd zmierzają dusze, większość z nich najpierw musi przejść przez limbo, leżące na skraju tego świata, a części bardzo trudno przychodzi się przez nią przeprowadzić. Część słabszych, zalęknionych i dręczonych poczuciem winy cofa się, powracając na nasz świat jako duchy i dołączając do tych już uwiecznionych na ziemi. Nad nimi właśnie najłatwiej zapanować. Lecz nawet silni i dobrzy muszą się zmagać, by przejść przez limbo. Trzeba na to czasu i póki tam moja moc pozwala mi dosięgnąć dowolnej, wybranej duszy. Mogę ją tam zatrzymać. Mogę zmusić, by robiła, co zechcę. Jeśli trzeba, mogę sprawić, by cierpiała. Martwi przeżyli już swoje życie. Dobiegło końca. Ale my wciąż żyjemy i możemy ich wykorzystać. Możemy na nich zarobić. Chcę dostać to, co jest mi winien Gregory. Chcę jego domu w Chipenden z wielką biblioteką książek, kryjących w sobie tak wiele wiedzy. I jest coś jeszcze. Coś jeszcze ważniejszego. Coś, co mi ukradł. Ma grimoire, księgę zaklęć i rytuałów, a ty pomożesz mi ją odzyskać. W zamian będziesz mógł kontynuować naukę u mnie, a ja pokażę ci rzeczy, o których Gregory'emu nawet się nie śniło. Ofiaruję ci prawdziwą moc.

– Nie chcę, żebyś mnie uczył – warknąłem gniewnie. – Jestem szczęśliwy tam, gdzie jestem!

– A czemu sądzisz, że masz jakikolwiek wybór? – Głos Morgana zabrzmiał zimno, złowieszczo. – Chyba już czas pokazać ci, co

potrafię. Dla własnego bezpieczeństwa siedź teraz bez najmniejszego ruchu i słuchaj uważnie. Cokolwiek się stanie, nie próbuj wstawać z krzesła!

W pokoju zapadła cisza. Zrobiłem, jak kazał – cóż innego mi pozostało? Drzwi były zamknięte, a on przewyższał mnie wzrostem i siłą. Mógłbym użyć kija, ale nie miałem gwarancji, że mi się uda. Lepiej na razie zgadzać się na wszystko. Potem ucieknę i wrócę do stracharza.

Z ciemności dobiegł mnie słaby dźwięk, coś między szelestem i lekkim tupotem, jak odgłos myszy, biegających pod deskami podłogi. Ale tej podłogi nie zrobiono z desek, lecz z ciężkich kamiennych płyt. Czułem też, że w pokoju robi się coraz zimniej. Zazwyczaj zwiastowało to nadejście czegoś, nienależącego do tego świata. Lecz to zimno było inne, tak jak wtedy, gdy rozmawialiśmy w kaplicy.

Nagle w powietrzu, wysoko nad naszymi głowami, zadźwięczał dzwon, głęboki i ponury, jakby wzywał żałobników na pogrzeb i tak donośny, że zawibrował stół. Dzwon zabrzmiał dziewięć razy, za każdym razem ciszej. Tuż potem usłyszałem trzy głośne stuknięcia w blat. Widziałem w mroku Morgana; nie poruszał się. Stukanie znów zabrzmiało, jeszcze głośniejsze. Ciężki, mosiężny lichtarz wywrócił się, przeturlał po stole i runął na ziemię.

W ciemnym pokoju cisza, która zapadła, wydawała się niemal bolesna. Miałem wrażenie, że zaraz pękną mi uszy. Wstrzymywałem oddech, słyszałem tylko łomot w głowie, szybkie bicie serca. Dziwne zimno jeszcze się wzmogło – a potem Morgan przemówił w ciemności.

– Siostrze ma, milcz i słuchaj uważnie – polecił.

Nagle usłyszałem kapanie wody. Brzmiało to, jakby w suficie otwarła się dziura, z której deszczówka ściekała na środek blatu, dokładnie tam, gdzie wcześniej stała świeca.

I wtedy usłyszałem głos. Zdawał się dobiegać z ust Morgana – widziałem zarys jego głowy i przysięgłbym, że poruszał szczęką, lecz głos należał do dziewczyny. Dorosły mężczyzna w żaden

sposób nie zdołałby go naśladować.

– Zostaw mnie! Daj mi spocząć! – wykrzyknął głos.

Dźwięk kapiącej wody stał się głośniejszy, usłyszałem też słaby plusk, jakby na stole utworzyła się kałuża.

– Bądź posłuszna, a pozwolę ci spocząć! – zawołał Morgan. – To z innym chcę pomówić. Sprowadź go tutaj i będziesz mogła wrócić tam, skąd przysłaś. W pokoju jest ze mną chłopak. Widzisz go?

– Tak, widzę – odparł głos dziewczyny. – Właśnie kogoś stracił. Czuję jego smutek.

– Chłopak nazywa się Thomas Ward – podjął Morgan. – Oplakuje ojca. Sprowadź do nas duszę jego ojca!

Zimno osłabło, woda przestała kapać. Nie wierzyłem własnym uszom. Czy Morgan naprawdę zamierzał przywołać ducha taty? Ogarnęło mnie oburzenie

– Czyż nie cieszysz się, że jeszcze raz będziesz mógł pomówić z ojcem? – spytał ostro. – Rozmawiałem z nim już. Mówił, że wszyscy twoi bracia odwiedzili go na łożu śmierci, by się pożegnać. Tylko ty się nie zjawiłeś, nie przybyłeś nawet na pogrzeb. Czuł z tego powodu smutek. Wielki smutek. Teraz będziecie mogli wszystko naprawić.

Jego słowa mnie oszołomiły. Skąd Morgan mógł wiedzieć, co się stało? Chyba że naprawdę nawiązał kontakt z duszą taty...

– To nie moja wina! – rzuciłem poruszony i zły. – Wiadomość nie dotarła na czas.

– Teraz będziesz mógł sam mu o tym powiedzieć... Znów poczułem chłód i ponad stołem przemówił do mnie głos. Szczeka Morgana znów się poruszała, lecz ku mojej zgrozie z jego ust dobył się głos taty. Nie ciałem wątpliwości, nikt nie zdołałby naśladować kogoś tak dokładnie. Zupełnie jakby tato siedział naprzeciwko mnie.

– Jest ciemno! – zawołał. – Nie widzę nawet ręki przed twarzą. Proszę, niech ktoś zapali mi świecę. Zapalcie świecę, bym mógł zostać zbawiony!

To było straszne, myśleć o tacie samotnym i przerażonym w

mroku. Próbowałem się odezwać, pocieszyć go, ale Morgan przemówił pierwszy.

– Jak możesz zostać zbawiony? – Jego głos brzmiał nisko, potężnie, władczo. – Jak grzesznik taki jak ty może ujrzeć światło? Grzesznik, który zawsze pracował w dzień pański?

– Och, przebac mi! Przebac mi, Panie! – zawołał tato. – Byłem farmerem, miałem wiele pracy. Harowałem jak wół, ale nigdy nie starczało mi czasu. Miałem dużą rodzinę, musiałem ją utrzymać. Ale zawsze płaciłem dziesięcinę, nie zatrzymałem niczego, co należało do kościoła. Zawsze wierzyłem szczerze i głęboko i nauczyłem swych synów odróżniać dobro od zła. Zrobiłem wszystko, co powinien zrobić ojciec.

– Jeden z twoich synów jest tu ze mną – rzekł Morgan. – Chciałbyś pomówić z nim po raz ostatni?

– Proszę. Proszę. Tak. Daj mi z nim pomówić. Czy to Jack? Za życia powinienem był powiedzieć mu parę rzeczy. Rzeczy, które mógłbym wyjaśnić teraz.

– Nie – odparł Morgan. – Jacka tu nie ma. To twój najmłodszy syn, Tom.

– Tom! Tom! Jesteś tam? To naprawdę ty?

– To ja, tato, to ja! – krzyknąłem. Ścisnęło mnie za gardło. Nie mogłem znieść myśli, że tato musi cierpieć w ciemności. Cóż takiego zrobił, by na to zasłużyć? – Przykro mi, że nie wróciłem na czas do domu. Przykro mi, że nie było mnie na twoim pogrzebie. List dotarł zbyt późno. Jeśli masz coś do powiedzenia Jackowi, powiedz mnie, przekażę mu wiadomość. – Pod powiekami zapiekły mnie łzy.

– Powiedz Jackowi, że przykro mi z powodu farmy, synu. Żałuję, że nie zostawiłem mu jej całej. To mój najstarszy, należała mu się z prawa, ale posłuchałem twojej mamy. Powiedz mu, że żałuję, iż zostawiłem ci jej pokój.

Po policzkach płynęły mi łzy. Wstrząsnęła mną nowina, że mama i tato nie zgadzali się w sprawie pokoju. Chciałem przyrzec tacie, że wszystko naprawię i oddam go Jackowi, ale nie mogłem,

bo musiałem mieć na względzie życzenie mamy. Najpierw musiałem pomówić z nią. Spróbowałem jednak pocieszyć tatę, przynajmniej tyle mogłem zrobić.

– Nie martw się, tato, wszystko będzie dobrze. Porozmawiam o tym z Jackiem, nie wywołam niesnasek w rodzinie. Wierz mi, nie martw się, wszystko będzie dobrze.

– Porządny z ciebie chłopak, Tom – w głosie taty usłyszałem wdzięczność.

– Porządny chłopak? – przerwał Morgan. – Wręcz przeciwnie, to syn, którego oddałeś stracharzowi! Siedmiu synów miałeś i żadnego nie ofiarowałeś kościołowi!

– Och! Tak mi przykro, tak żałuję! – wykrzyknął boleśnie tato. – Ale żaden z chłopców nie miał powołania. Żaden nie chciał zostać księdzem. Staralem się każdemu znaleźć dobry fach i gdy przyszło do ostatniego, jego mama zażyczyła sobie, żeby oddać go do terminu u stracharza. Byłem temu przeciwny i spieraliśmy się o to bardziej niż o cokolwiek innego. Ale m końcu ustąpiłem, bo ją kochałem i nie mogłem odmówić jej tego, czego tak pragnęła. Wybacz mi! Byłem słaby i przedłożyłem ziemską miłość ponad obowiązek wobec Boga!

– Tak właśnie zrobiłeś! – huknął głośno Morgan. – Dla takich jak ty nie ma wybaczenia! Teraz musisz cierpieć piekielne męki. Czy czujesz płomienie, liżące twoje ciało? Czujesz narastające gorąco?

– Nie, Panie! Błagam! Błagam! Ból jest nie do zniesienia! Proszę, oszczędź mnie, zrobię wszystka Wszystko!

Zerwałem się z miejsca, przepełniony gniewem. To Morgan dręczył tatę, sprawiał iż wierzył, że jest w piekle, zadawał mu straszliwy ból. Nie mogłem pozwolić, by to dłużej trwało.

– Nie słuchaj go, tato! – zawołałem. – Nie ma żadnych płomieni. Nie ma bólu. Odejdź w pokoju, odejdź! Idź w stronę światła! Do światła!

Postawiłem cztery szybkie kroki i z całych sił zamachnąłem się laską, celując w zakapturzoną postać. Trafiłem, wymierzając



straszliwy cios. Bez najmniejszego dźwięku Morgan poleciał w prawo; usłyszałem trzask padającego krzesła.

Szybko wyciągnąłem z kieszeni krzesiwo, hubkę i ogarek. Po chwili zapaliłem świecę, uniosłem ją i rozejrzałem się. Krzesło leżało przewrócone na bok, okrywał je czarny płaszcz. Lecz po Morganie nie został żaden ślad! Trąciłem płaszcz laską, był jednak pusty, tak jak wyglądał. Morgan rozpląnął się w powietrzu!

Na stole zauważyłem coś jeszcze. Drewno było suche jak kość, nie pozostał nawet ślad wody, która zdawała się ściekać i zbierać w kałużę. Lecz w miejscu, gdzie wcześniej stał mosiężny lichtarz, teraz leżała czarna koperta.

Postawiłem świecę na skraju blatu i podniosłem list. Był zapieczętowany, lecz widniały na nim słowa.

*Do mego nowego ucznia, Toma Warda.*

Rozdarłem kopertę i rozwinąłem tkwiącą wewnątrz kartkę.

*Cóż, teraz widziałeś już, co potrafisz. To, co zrobiłem, mogę powtórzyć. Uwięziłem twego ojca w limbo i teraz mogę doń sięgnąć, kiedy tylko zechcę, i sprawić, że uwierzy, w co zechcę. Ból, który mogę mu zadać, nie ma granic.*

*Jeśli zapragniesz go ocalić, bądź mi posłuszny. Po pierwsze, potrzebuję czegoś z domu Gregory'ego. Na strychu, zamknięte w jego biurku, leży drewniane pudełko. W środku kryje się grimoire, księga potężnych zaklęć i rywalów, oprawna w zieloną skórę z wytłoczonym na okładce srebrnym pentagramem – trzema koncentrycznymi kręgami z pięcioramienną gwiazdą. Należy do mnie. Przynieś mi ją.*

*Po drugie, nikomu nie wspominaj o tym, co tu widziałeś. Po trzecie, musisz pogodzić się z tym, że jesteś teraz moim uczniem i to mnie służysz przez pięć lat od dziś dnia. W przeciwnym razie twój ojciec będzie cierpiał. By wyrazić zgodę, zastukaj trzy razy w stół. Drzwi są otwarte; niezależnie od decyzji możesz odejść wolno. Wybór należy do ciebie.*

*Morgan G.*

Nie mogłem znieść myśli o umęczonej duszy taty ale z drugiej strony nie chciałem zostać uczniem Morgana. Wahałem się, czy zastukać. Uznałem jednak, że dzięki temu zyskam więcej czasu. Morgan uzna, że zgodziłem się na jego żądania. To oszczędzi tacie cierpienie, podczas gdy ja poproszę o radę stracharza. On będzie wiedział, jak postąpić.

Odetchnąłem głęboko i trzykroć uderzyłem w stół. Wstrzymałem oddech, wytężając słuch, nikt jednak nie odpowiedział. W pokoju zalegała cisza. Sprawdziłem drzwi;

otworzyły się. Nie słyszałem, kiedy niewidzialna ręka odsunęła rygiel. Wróciłem do stołu, zabrałem hubkę, krzesiwo, zdmuchnąłem świeczkę i schowałem do kieszeni. A potem, ściskając w dłoni laskę, wyszedłem z pokoju i otworzyłem drzwi frontowe.

O mało nie upadłem ze zdumienia. Był jasny dzień! Promienie słońca odbijały się od śniegu. Od świtu minęły co najmniej dwie godziny! Miałem wrażenie, że w pokoju Morgana spędziłem najwyżej piętnaście minut, a upłynęło tyle czasu!

W żaden sposób nie umiałbym tego wyjaśnić. Stracharz uprzedził mnie, że Morgan to niebezpieczny człowiek, który zadaje się z mrokiem, lecz nie mówił, że jest zdolny do podobnych wyczynów. Morgan był potężnym magiem, dysponującym prawdziwą mocą. Zadrzałem na myśl o tym, że znów miałbym się z nim spotkać. Po paru chwilach brodziłem już w głębokim śniegu ile sił w nogach, zmierzając pod górę, do domu stracharza.

## **ROZDZIAŁ 13**

### **KŁAMSTWO I ZDRADA**

Wkrótce ujrzałem przed sobą dom. Z komina wznosił się brązowy dym i wiedziałem, że wewnątrz czeka ciepły ogień.

Zastukałem do tylnych drzwi. Mój klucz otwierał większość zamków, nie użyłem go jednak. Nie było mnie jakiś czas, uznałem zatem, że uprzejmie będzie zaczekać na zaproszenie. Zapukałem trzy razy, nim drzwi w końcu się otwarły i ujrzałem Meg. Uśmiechnęła się i cofnęła, wpuszczając mnie do środka.

– Zejdź z tego śniegu, Tom! – zawołała. – Dobrze cię znów widzieć.

Już wewnątrz zdjąłem płaszcz i kozuch, postawiłem laskę w kącie i otrzepałem buty.

– Usiądź, usiądź. – Meg poprowadziła mnie do kominka. – Cały drżysz z zimna. Na razie zrobię ci ciepłej zupy, żebyś się rozgrzał. Potem ugotuję porządny posiłek.

Bardziej niż z zimna drżałem, poruszony tym, co się zdarzyło w domu Morgana. Stopniowo jednak zacząłem się uspokajać.

Zrobiłem, jak kazała, i ogrzałem dłonie przy kominku; moje buty zaczęły parować.

– Szczęście, że wciąż masz wszystkie palce! – mruknęła Meg.

Uśmiechnąłem się.

– Gdzie jest pan Gregory? – spytałem, ciekaw, czy nie wezwały go obowiązki stracharza. Miałem nadzieję, że tak, bo oznaczałoby to, że odzyskał zdrowie.

– Nadal w łóżku. Potrzebuje jak najwięcej odpoczynku.

– Zatem jeszcze nie wydobrzał?

– Powoli wracają mu siły – wyjaśniła Meg. – Ale trzeba czasu, nie można tego przyspieszać. Postaraj się nie niepokoić go zbyt i nie obciążać; potrzebuje jak najwięcej snu i odpoczynku.

Podawała mi kubek parującego rosółu. Podziękowałem i zacząłem sączyć powoli; czułem, jak rozgrzewam się od środka.

– Jak tam twój biedny tato? – spytała nagle, sadowiąc się w bujanym fotelu. – Lepiej z nim?

Zdumiało mnie, że pamiętała i na jej pytanie do oczu znów napłynęły mi łzy.

– On umarł, Meg – powiedziałem. – Był bardzo bardzo chory.

– To smutne, Tom, tak mi przykro. Wiem, jak to jest stracić rodzinę...

Ból i tęsknota za tatą ścisnęły mi żołądek, a świadomość tego, jak postąpił z jego duszą Morgan, jeszcze wszystko pogarszała. Tato nie zasłużył sobie na takie traktowanie. Nie mogłem pozwolić, by to się powtórzyło. Musiałem coś zrobić.

Meg umilkła, zapatrzona w płomienie. Po jakimś czasie zamknęła oczy i zaczęła nucić cicho pod nosem. Kiedy skończyłem zupę, wstałem i odstawiłem kubek na stół.

– Dziękuję, Meg, rosół był naprawdę pyszny.

Nie odpowiedziała; wyglądała jakby spała. Często jej się to zdarzało – zasypiała w swoim fotelu przy kominku.

Nie wiedziałem, co teraz począć. Miałem nadzieję, że pomówię z mistrzem o Morganie, ale wyraźnie nie czuł się jeszcze dość dobrze, by go tym kłopotać. Nie chciałem pogorszyć jego stanu. Może póki

śpi, zajrzę do grimoire'u, sprawdzę, czy jest tam, gdzie mówił Morgan? Może coś w nim pomoże mi zdecydować, co dalej zrobić. Jedno było pewne: choroba mojego mistrza i odejście Alice sprawiły, że zostałem sam i sam musiałem pomóc tacie. Tylko on się liczył i w jakiś sposób musiałem zakończyć jego cierpienia z rąk Morgana. Zacznę od znalezienia grimoire'u.

Stracharz spał na górze. Uznałem, że lepsza okazja się nie nadarzy. Jakaś część mnie czuła się źle z myślą, że mógłbym nie wspomnieć o niczym mistrzowi. Lecz będzie jeszcze czas na wyjaśnienia, na razie liczył się tylko tato. Nie mogłem znieść myśli o tym, że Morgan znów miałby poddawać go torturom.

Kiedy jednak ruszyłem do wyjścia, Meg otworzyła nagle oczy i pochyliła się naprzód, trącając pogrzebaczem ogień.

– Szedłem tylko do pana Gregory'ego – wyjaśniłem.

– Nie, Tom, na razie nie chcemy mu przeszkadzać – rzekła. – Posiedź przy ogniu i ogrzej się po długim marszu na mrozie.

– Najpierw wezmę z gabinetu mój notes – odparłem.

Zamiast do gabinetu poszedłem jednak do salonu. Skoro stracharz wciąż leżał w łóżku, Meg nie dostała jeszcze swojej ziołowej herbaty. Chciałem, żeby trochę pospała – wówczas mógłbym, spokojnie poszukać grimoire'u, a herbata ziołowa stanowiła najprostsze wyjście. Wyjąłem zatem z kredensu wielki brązowy i nalałem do filiżanki trzy czwarte cala mikstury. Potem wróciłem do kuchni i zacząłem grzać wodę.

– Co to? – spytała Meg z uśmiechem, gdy podałem jej naczynie.

– Herbata ziołowa, Meg. Wypij ją, rozgrzeje ci kości.

Jedynym ostrzeżeniem było nagłe zniknięcie uśmiechu z jej twarzy. Meg wytrąciła mi z ręki filiżankę, która roztrzaskała się na kawałki na kuchennej podłodze. Zerwała się na nogi, chwyciła mnie za przegub i przyciągnęła do siebie. Próbowałem się wyrwać, lecz okazała się zbyt silna. Miałem wrażenie, że bez trudu złamałaby mi rękę.

– Kłamca! Kłamca! – krzyknęła; jej twarz dzieliło od mojej zaledwie kilka cali. – Miałam nadzieję, że okażesz się lepszy, ale

nie, jesteś taki sam jak John Gregory! Nie mów, że nie dałam ci szansy. Dowiodłeś, że niczym od niego się nie różnisz. Ty także chciałbyś odebrać mi wspomnienia, chłopcze? Ale teraz pamiętam wszystko. Wiem, czym byłam i czym jestem!

Pochylając się jeszcze bliżej, głośno pociągnęła nosem.

– Wiem też, czym ty jesteś – rzekła niewiele głośniej od szeptu.  
– Wiem, o czym myślisz, znam twe najmroczniejsze, tajemne myśli, te, których nie zdradziłbyś nawet własnej matce.

Patrzyła mi prosto w oczy. Jej własne nie wyglądały jak dwa punkciki ognia, jak u Mateczki Malkin, gdy stanęliśmy wiosną twarzą w twarz. Zdawały się jednak rosnać. Była lamią, ciało miała silniejsze od mojego. A teraz jej umysł także zaczął nade mną panować.

– Wiem, czym możesz stać się pewnego dnia, Tomie Wardzie – wyszeptała. – Lecz dzień ten to jeszcze daleka przyszłość. Jesteś tylko chłopcem, a ja krążyłam po tej ziemi dłużej, niż mogę spamiętać. Nie próbuj zatem żadnych sztuczek Johna Gregory'ego, bo znam je wszystkie. Co do jednej!

Obróciła mnie do siebie tyłem i puściła moją rękę, błyskawicznie chwytając za kark.

– Proszę, Meg! Nie chciałem zrobić niczego złego – błagałem. – Pragnąłem ci pomóc, rozmawiałem o tym z Alice. Ona też chciała pomóc...

– Teraz łatwo ci to mówić. Czy podawanie mi ohydnej mikstury to właśnie pomoc? Nie sądzę. Skończ z kłamstwami, bo jeszcze pogorszysz sprawę.

– Ale to nie są kłamstwa, Meg. Pamiętasz? Alice pochodzi z rodziny czarownic, rozumiała cię i na prawdę żałowała tego, co się dzieje. Zamierzałem porozmawiać z panem Gregorem o tobie i...

– Jasne, chłopcze. Dość już mam twoich wymówek – warknęła Meg. – Zabieraj się do piwnicy! Zobaczymy, jak ci się tam spodoba w ciemności, tylko na to zasłużyłeś. Chcę, żebyś wiedział, przez co przesłam. Bo widzisz, nie cały czas spałam, ciągle się budziłam i długimi godzinami rozmyślałam w ciemności, zbyt słaba, by się

poruszyć, podnieść z łóżka, rozpaczliwie próbując przypomnieć sobie wszystko, co chcieliście z Johnem Gregorym wymazać z mojej pamięci. Nadal jednak mogłam myśleć i czuć i wiedziałam, że miną długie, mordercze, samotne miesiące, nim ktoś się zjawi, by mnie wypuścić...

Z początku się szarpałem, próbując stawiać opór, ale nic to nie dało: była zbyt silna. Wciąż ściskając mnie za kark, sprowadziła po schodach, niemal unosząc w powietrzu. W końcu dotarliśmy do żelaznej bramy; Meg miała klucz i po chwili ruszyliśmy dalej.

Nie zawracała sobie głowy świeczką, a choć widzę w ciemności lepiej niż większość ludzi, po każdym zakręcie robiło się coraz mroczniej i z trudem dostrzegałem otoczenie. Myśl o piwnicy mnie przerażała. Przypomniałem sobie jej siostrę, dziką lamię, nadal uwięzioną w jamie. Nie chciałem znaleźć się w jej pobliżu. Lecz ku mej uldze po trzecim zakręcie Meg zatrzymała się przy trzech drzwiach.

Kolejnym kluczem otworzyła te po lewej, wepchnęła mnie do środka i zamknęła zamek. Potem usłyszałem, jak otwiera sąsiednią celę i wchodzi do środka. Nie została długo. Wkrótce drzwi trzasnęły i Meg rozpoczęła wspinaczkę. Po paru chwilach brzęknęła zamykana żelazna brama, rozległy się kolejne kroki, coraz słabsze i w końcu zapadła cisza.

Odczekałem parę chwil, na wypadek, gdyby z jakiejś przyczyny wróciła, i zacząłem grzebać w kieszeniach w poszukiwaniu hubki i krzesiwa. W parę sekund później świeczka już płonęła i rozejrzałem się po celi. Była mała, osiem kroków na cztery, w kącie leżała kupa słomy, służąca za posłanie. Ściany zbudowano z kamiennych bloków, drzwi z solidnego, dębowego drewna, z kwadratowym okienkiem przegrodzonym czterema pionowymi żelaznymi prętami.

Usiadłem na kamiennej posadzce w kącie, by myśleć sytuację. Co się stało podczas mojej nieobecności? Byłem pewien, że stracharz siedzi teraz w celi obok, w tej, w której Meg spędzała letnie miesiące. Po co innego wchodziłaby do niej? Ale jak znalazł

się w mocy lamii? Gdy wyruszałem do domu, nie czułem się dobrze. Może zapomniał podać Meg jej herbatę i odzyskała pamięć? Może przyprawiła czymś jego jadło i napoje – najpewniej tym, czym latami utrzymywał ją w ryzach.

Ale było w tym coś jeszcze – wpływ Alice. Gawędziła z Meg, opowiadała o swojej rodzinie czarownic. Czasami szeptały między sobą. O czym dyskutowały? Gdybym posłuchał Alice, zmniejszyłbym dawkę ziołowej herbaty Meg. Nie winięm jej za to, co zaszło, ale jej obecność w domu stracharza z pewnością nie pomogła.

Kiedy wróciłem, Meg udawała tylko oszołomienie; od początku bawiła się ze mną. Czy naprawdę chciała dać mi, jak to nazwała, „szansę”? Gdybym nie spróbował podać jej herbaty ziołowej, czy potraktowałaby mnie inaczej? I wtedy to do mnie dotarło. Kiedy wróciłem do Anglezarke, byłem tak pochłonięty rozmyślaniami o Morganie i tacie, że zupełnie nie dostrzegłem pchających się przed oczy dowodów – znaków, które dopiero teraz ujrzałem wyraźnie. Meg po raz pierwszy zwróciła się do mnie Tom, nie Billy. I pamiętała o moim tacie. Czemu wówczas tego nie zauważyłem? Powinienem był zachować czujność. Pozwoliłem, by moje serce zapanowało nad głową i teraz całemu Hrabstwu groziło niebezpieczeństwo. Wiedźma lamia odzyskała swobodę i nie było stracharza ani jego ucznia, który mógłby ją powstrzymać. Co się stało, to się nie odstanie, ale w jakiś sposób musiałem wszystko naprawić.

Na szczęście nie wszystko wyglądało tak czarno. Meg wywęszyła mnie, korzystając ze swej wiedźmiej mocy, wiele o mnie wiedziała, ale nie zadała sobie trudu, by mnie przeszukać. Inaczej znalazłaby hubkę i świecę, a także klucz – klucz otwierający większość niezbyt skomplikowanych zamków. To już coś. Mogłem wydostać się i otworzyć drzwi celi stracharza.

Niestety klucz nie nadawał się do przedostania się przez bramę. W przeciwnym razie stracharz nie trzymałby specjalnego klucza na regale w bibliotece. A teraz miała go Meg. Nawet gdybym

uwolnił nas obu, wciąż pozostalibyśmy uwięzieni w piwnicy. Na razie zatem musiałem zrobić jedno. Musiałem pomówić ze stracharzem. Mój mistrz będzie wiedział, co czynić.

Otworzyłem zatem kluczem drzwi mojej celi. Staralem się nie hałasować, lecz drzwi się zacięły i mimo moich wysiłków, gdy w końcu się otwarły to nagle z odgłosem odbijającym się echem na schodach. Miałem nadzieję, że Meg siedzi na górze, w kuchni przy kominku i niczego nie słyszy. Zabrałem świecę i na paluszkach wyszedłem na korytarz. Uniosłem ją do kraty w okienku w drzwiach celi mistrza. Zajrzałem do środka, niewiele jednak zobaczyłem. W kącie stało łóżko, a na nim leżała ciemna sylwetka. Czy to był stracharz?

– Panie Gregory! Panie Gregory! – zawołałem przez pręty napiętym głosem, wciąż starając się zachowywać cicho.

Od strony postaci dobiegł mnie niski dźwięk, poruszyła się powoli. Faktycznie jej głos zabrzmiał jak u stracharza. Właśnie zamierzałem znów zawołać, gdy usłyszałem nagły dźwięk z dołu. Odwróciłem się, wyteżając uszy. Przez chwilę panowała cisza, a potem znowu pojawił się dźwięk. Coś wspinało się po schodach w moją stronę.

Szczur? Nie, brzmiało jak coś znacznie większego. Nagle zatrzymało się. Czyżbym się mylił? Czy wyobraziłem sobie ów dźwięk? Strach potrafi igrać z ludzkim umysłem. Jak często powtarza stracharz, należy nauczyć się rozróżniać jawę od snu.

Nie zdając sobie z tego sprawy, wstrzymywałem oddech. Teraz, gdy wypuściłem powietrze, poruszenie na schodach znów się zaczęło. Nie mogłem przenikać wzrokiem za róg, toteż pozostawały mi wyłącznie odgłosy. Nie brzmiało to jak pełzanie po stopniach, zatem nie mogła to być martwa wiedźma, która zdołała się uwolnić. Nie słyszałem tupotu, czyli to nie duch ani widmo, ani nawet człowiek, z jakichś przyczyn czający się na dole. Nigdy wcześniej nie słyszałem podobnego dźwięku.

Coś poruszało się i zatrzymywało, znów ruszało i zamierało błyskawicznie. Coś wspinającego się na więcej niż dwóch nogach!



To musiała być dzika lamia, bo cóż innego! Po latach w dole opanowała ją nieposkromiona żądza ludzkiej krwi i szła po mnie!

W panice bez namysłu pobiegłem z powrotem do celi, zamknąłem drzwi i szybko przekręciłem klucz w zamku. Zdmuchnąłem świeczkę, by nie przyciągnęło jej światło. Ale czy byłem bezpieczny w zamkniętej celi? Jeśli czarownica zdołała uciec z dołu, musiała rozgiąć pręty. Potem jednak uświadomiłem sobie, że Meg mogła wypuścić uwięzioną siostrę i przez chwilę poczułem się lepiej. Nie miałem jednak czasu, by odetchnąć z ulgą. Bo widzicie, przypomniałem sobie coś, co stracharz mówił o bramie.

– Żelazo powstrzymałoby większość z nich przed tarciami wyżej...

Lamia była najniebezpieczniejszą istotą w piwnicy. Gdyby zatem zapragnęła uciec, może nawet żelazna krata nie zdołała jej zatrzymać. Wolałem nawet nie myśleć o prętach w drzwiach mojej celi. Pozostawało mi liczyć na to, że czarownica wciąż jest osłabiona po długim uwięzieniu.

Siedziałem bez ruchu, nasłuchując, i starałem się oddychać jak najciszej. Słyszałem, jak się zbliża, przemyka po kamieniach i zatrzymuje, coraz bliżej i bliżej. Wcisnąłem się w kąt i wstrzymałem oddech.

Coś lekko dotknęło drzwi. Następny kontakt z drewnem był już mocniejszy, towarzyszyło mu drapanie, jakby ostre szpony wbijały się w drzwi, próbując je chwycić. Jakby coś wspinało się do okienka. Wcześniej bez namysłu umknąłem do własnej celi, teraz jednak pożałowałem, że nie zamknąłem się w sąsiedniej, ze stracharzem. Może zdołałbym go obudzić i spytać, co dalej robić.

Było ciemno. Bardzo ciemno. Tak ciemno, że wewnątrz celi nie potrafiłem określić, gdzie kończą się drzwi, a zaczynają ściany po obydwu stronach. Lecz okienko, przecięte czterema pionowymi prętami, pozostało nieco jaśniejsze od otoczenia, co oznaczało, że na schodach musi palić się jakieś światło, rzucające blask na ścianę.

W okienku poruszył się jakiś kształt – tylko sylwetka, zobaczyłem jednak dosyć, by wiedzieć, że musiała to być ręka.

Usłyszałem jak chwyta pręty, lecz odgłos nie przypominał zetknięcia ciała i mięśni z metalem. Moich uszu dobiegł zgrzyt, jakby pilnika, a następnie ogłuszający syk wściekłości i bólu. Lamia dotknęła żelaza i poczuła palący ból. Tylko siła woli utrzymywała ją w miejscu. Potem przed okienkiem pojawiło się coś wielkiego, niczym krąg cienia, przesłaniający jasną tarczę księżycą. To musiała być głowa wiedźmy. Patrzyła na mnie przez pręty. Było jednak za ciemno, bym ujrzał jej oczy!

Rozległ się kolejny zgrzyt, drzwi zajęczały i zazgrzytały. Dygotałem ze strachu. Wiedziałem, co się dzieje. Lamia próbowała wygiąć pręty albo wyrwać je z okienka.

Gdybym miał przy sobie laskę z jarzębinowego drzewa, dźgnąłbym ją przez kratę i może przepędził. Ale nie dysponowałem niczym. Mój srebrny łańcuch został w torbie, lecz i tak by mi się nie przydał. Nie miałem niczego, czym mógłbym się bronić.

Drzwi znów zajęczały, gdy wzrósł napierający na nie ciężar. Usłyszałem, jak trzeszczą głośno i zaczynają ustępować. Wiedźma znów syknęła i zaczęła węszyć głośno, chrapliwie. Nie mogła się już doczekać chwili, gdy wtargnie do środka i wypije moją krew.

Lecz ku mojej uldze w górze nagle zadźwięczał metal. Lamia puściła pręty i zniknęła. Usłyszałem echo zbliżających się kroków, na ścianie za prętami zamigotała świeca.

– Sio, sio! – zawołała Meg za drzwiami. Tuż potem usłyszałem tupot dzikiej lamii, zbiegającej po schodach.

Świeca zamigotała, szpiczaste trzewiki podążyły w ślad za stworem. Zostałem w miejscu, skulony w kącie. Po jakimś czasie kroki znów się zbliżyły. Usłyszałem brzęk stawianego wiadra. W zamku celi szcęknął klucz.

W ostatniej chwili, nim Meg otworzyła drzwi, ukryłem w kieszeni ogarek i krzesiwo. Teraz ucieszyłem się, że nie zamknąłem się w celi stracharza, bo zorientowałyby się, że mam klucz.

Meg stała w drzwiach, unosząc świecę, drugą dłonią wezwała mnie do siebie. Nie poruszyłem się. Za bardzo się bałem.

– Chodź tu, chłopcze – zachichotała pod nosem. – Nie martw się, nie ugryzę.

Uniosłem się na kolana, lecz nogi za bardzo mi się trzęsły, bym mógł wstać.

– Przyjdiesz do mnie, chłopcze? Czy będę musiała przyjść do ciebie? – spytała Meg. – To pierwsze jest znacznie łatwiejsze i mniej bolesne.

Tym razem groza pomogła mi się podnieść. Meg może i była udomowiona, ale nadal pozostawała lamią, zapewne wciąż łaknącą krwi. Herbata ziołowa sprawiała, że o tym zapomniała, teraz jednak wiedziała dokładnie, czym jest i czego pragnie. Jej głos wpływał na mnie, dźwięczała w nim moc, pozbawiająca mnie woli i sprawiająca, że podszedłem do otwartych drzwi.

– Masz szczęście, że postanowiłam akurat nakarmić Marcię – rzekła, wskazując wiadro.

Spojrzałem w dół, było puste. Nie wiem, co w nim przyniosła, ale na dnie pozostała warstewka krwi.

– O mało nie odłożyłam tego na później, lecz przypomniałam sobie, jak bardzo będzie chciała do ciebie dotrzeć. Jesteś taki młody. John Gregory nie pociąga jej nawet w połowie tak mocno – uśmiechnęła się lekko, okrutnie, skinieniem głowy wskazując sąsiednią celę i potwierdzając, że stracharz rzeczywiście tam siedzi.

– Naprawdę mu na tobie zależy – rzekłem z desperacją. – I zawsze zależało. Proszę, nie traktuj go tak! On cię kocha, naprawdę cię kocha! – powtórzyłem. – Zapisał to nawet w jednym ze swoich notesów. Nie miałem tego znaleźć, ale znalazłem i przeczytałem. To prawda.

Pamiętałem co do słowa tamten zapis...

– Jak mogłem uwieźć ją w dole, skoro pojąłem, że kocham ją mocniej niżli własną duszę?

– Miłość – prychnęła Meg. – Co taki człowiek może wiedzieć o miłości?

– Jednak wiedział, kiedy się poznaliście i kiedy miał cię wtrącić do dołu, bo tak nakazywał mu obowiązek. Nie mógł tego zrobić,

Meg! Nie mógł, bo za bardzo cię kochał. Jego postępowanie sprzeciwiało się wszystkiemu, czego go nauczono, wszystkiemu, w co wierzył, ale ocalił cię przed dołem. Podawał ci tę herbatę, bo nie miał wyboru. Dół albo herbata. Wybrał to, co uznał za najlepsze, bo tak bardzo mu na tobie zależy

Meg syknęła gniewnie i zajrzała do wiadra, jakby miała ochotę je wylizać.

– To było bardzo dawno temu, a poza tym w zabawny sposób okazuje swoje uczucia – rzekła. – Może teraz zrozumie, jak to jest, tkwić tu w zamknięciu przez pół roku. Bo nie ma pośpiechu: zamierzam bardzo długo zastanawiać się, co z nim zrobić. A co do ciebie, jesteś zwykłym chłopcem i nie winię cię zanadto. Słuchałeś go, bo tak cię wyuczył. To ciężkie życie. Trudny fach.

– Wypuściłabym cię – podjęła. – Ale nie mógłbyś stąd odejść, prawda? Tak cię wychowano, taki jesteś. Poszedłbyś po pomoc, chciałbyś go uratować. Tutejsi ludzie nie przepadają za mną. Może w przeszłości dałam im powody, lecz większość zasłużyła na swój los. Przybyliby tu całą bandą, zbyt wielu, bym sobie poradziła. Nie, gdybym cię wypuściła, oznaczałoby to mój koniec. Ale przyrzekam ci jedno, nie oddam cię siostrze, nie zasługujesz na to!

To rzekłszy, gestem poleciła mi wrócić do środka, po czym starannie zamknęła drzwi.

– Później przyniosę ci coś do jedzenia – zapowiedziała przez kraty. – Może do tej pory wymyślę, co z tobą począć.

\*

Minęło wiele godzin, nim powróciła, i w tym czasie zdołałem obmyślić plan.

Słuchałem bardzo uważnie i usłyszałem pierwsze kroki Meg na schodach. Na zewnątrz powinno zmiemzchać; przypuszczałem, że przynosi mi wczesną wieczerzę. Miałem nadzieję, że nie ostatnią. Usłyszałem, jak otwiera bramę, która brzęknęła głośno. Wówczas skupiłem się bardzo mocno, licząc czas mijający między drugim brzękiem bramy i cichym tupotem szpiczastych trzewików.

Miałem dwa plany. Drugi był bardzo niebezpieczny, toteż

miałem nadzieję, że pierwszy się powiedzie.

Dostrzegłem blask świecy za kratami. Meg postawiła coś przed moją celą, otworzyła drzwi kluczem. To była taca z dwiema miskami parującej zupy i dwiema łyżkami.

– Coś wymyśliłem, Meg – powiedziałem posłuszny pierwszemu planowi, który zakładał przekonanie jej słowami. – Coś, co mogłoby ułatwić życie nam obojgu. Może pozwolisz mi swobodnie poruszać się po domu. Mógłbym rozpalać ogień i przynosić wodę, naprawdę sporo pomóc. Co zrobisz, kiedy Shanks dostarczy sprawunki? Jeśli otworzysz drzwi, będzie wiedział, że jesteś wolna. Ale jeżeli ja to zrobię, nigdy się nie domyśli. A jeśli zjawi się ktoś ze sprawą dla stracharza, mógłbym wyjaśnić, że nadal choruje. Gdybym to ja otwierał drzwi, minęłoby dużo czasu, nim ktokolwiek zorientowałby się, że jesteś wolna. Mogłabyś spokojnie przemyśleć, co zrobić z panem Gregorym.

Meg uśmiechnęła się.

– Weź swoją zupę, chłopcze.

Schyliłem się, zabrałem miskę z tacy i sięgnąłem po jedną z łyżek. Kiedy się wyprostowałem, Meg odprawiła mnie gestem i zaczęła zamykać drzwi.

– Niezła próba, chłopcze – rzekła. – Ale ile trzeba by czasu, nim spróbowałbyś uwolnić swojego mistrza? Założę się, że niewiele!

Zamknęła drzwi. Mój pierwszy plan się nie powiódł. Nie miałem wyboru, musiałem spróbować drugiego. Odstawiłem miskę na podłogę i wyciągnąłem z kieszeni klucz. Słyszałem, jak Meg obraca swój w zamku celi stracharza. Odczekałem, ryzykując, wiedziony nikłą nadzieją.

Miałem rację! Weszła prosto do celi mojego mistrza. Domyślałem się, że mógł być zbyt słaby bądź oszołomiony, by wstać i podejść do drzwi. Może nawet sama Musiała go karmić. Nie tracąc zatem czasu, otworzyłem własne drzwi, popchnąłem je ostrożnie i wyszedłem na zewnątrz. Na szczęście tym razem nie zacięły się i nie hałasowały.

Przemyślałem wszystko dokładnie, rozważając w myślach

ryzyko. Mogłem pójść wprost do celi stracharza i spróbować rozprawić się z Meg. W zwykłych okolicznościach razem z mistrzem dalibyśmy jej radę ale podejrzewałem, że stracharz jest zbyt słaby, by walczyć. Nie mieliśmy też niczego do pomocy, ani laski, ani łańcucha.

Postanowiłem zatem pobiec na górę, zabrać łańcuch z mojej torby w gabinecie i spróbować skrępować Meg. Liczyłem na dwie rzeczy. Po pierwsze, na to, że dzika lamia nie wespnie się na górę i mnie nie złapie, zanim przejdę przez żelazną bramę. Po drugie, że Meg nie zamknie bramy za sobą. Dlatego właśnie tak bardzo się skupiałem. Brama brzęknęła i obcasy niemal natychmiast zastukały na stopniach. Nie miała czasu jej zamknąć, a przynajmniej tak sądziłem.

Z początku wspinałem się na palcach, stopień za stopniem, cały czas oglądając się przez ramię: na celę, sprawdzając, czy Meg nie wychodzi i na róg, czy przypadkiem nie ściga mnie dzika Marcia. Miałem nadzieję, że wciąż jest ociążała po porannym posiłku, albo że nie podejździe do celi, póki przebywa tam Meg. Może bała się siostry? Z całą pewnością uciekła na jej rozkaz.

W końcu dotarłem do bramy i chwyciłem zimne, żelazne pręty. Czy była zamknięta? Ku mojej uldze ustąpiła i otworzyłem ją, próbując uczynić to możliwe najdelikatniej. Lecz stracharz wiedział, co robi, montując ją na schodach. Rozległ się brzęk, cały dom nad moją głową zawibrował niczym dzwon.

Meg natychmiast wypadła z celi stracharza i popędziła ku mnie schodami, unosząc ręce i wyginając palce niczym szpony. Na moment zastygłem; nie mogłem uwierzyć, jak szybko się porusza. Jeszcze parę sekund i byłoby za późno. Lecz ja także pobiegłem. Pędziłem, nie oglądając się za siebie, na samą górę, potem przez dom do kuchni, świadom, że Meg podąża tuż za mną. Słyszałem jej kroki, spodziewałem się w każdej chwili poczuć wbijające się w skórę paznokcie. Nie miałem czasu zaglądać do gabinetu po moją torbę – nigdy nie zdążyłbym jej rozpiąć i wyciągnąć srebrnego łańcucha. Przy drzwiach chwyciłem płaszcz, kozuch i laskę,

otworzyłem zamek i wybiegłem na mróz.

Miałem rację: zmierzchało, lecz wciąż pozostało dość światła. Wciąż oglądałem się za siebie, nie dostrzegłem jednak żadnych oznak pościgu. Jak najszybciej zbiegałem w dół parowu, ale nie szło mi najłatwiej – śnieg zalegający na ziemi zaczynał zamarzać, a było go całe mnóstwo.

Gdy dotarłem na dół, zatrzymałem się i znów obejrzałem. Meg nie wybiegła za mną. Było okropnie zimno, z północy wiał silny wiatr. Naciągnąłem zatem kozuch i narzuciłem płaszcz. Potem przystanąłem, by się namyśleć; mój oddech parował w mroźnym powietrzu.

Czułem się jak tchórz, zostawiając stracharza na łasce Meg. Musiałem to jakoś naprawić, w jakiś sposób musiałem uwolnić mistrza z jej szponów. Ale potrzebowałem pomocy. Lecz pomoc była niedaleko: w Adlington mieszkał i pracował brat stracharza, Andrew, który już raz wspomógł mnie w Priestown. Był ślusarzem, sam wykuł klucz do srebrnej bramy, za którą uwięziony był Mór. W porównaniu z tym zrobienie klucza do żelaznej bramy w piwnicy stracharza powinno okazać się łatwizną. A tego właśnie potrzebowałem.

Zamierzałem zakraść się z powrotem do zimowego domu, przedostać przez bramę i wypuścić stracharza z celi. Łatwo powiedzieć. W końcu w piwnicy czaiła się dzika lamia, nie mówiąc już o Meg.

Starając się nie myśleć o czekających mnie trudnościach, maszerowałem w śniegu w stronę Adlington. Cały czas szedłem w dół, ale wiedziałem, że wkrótce będę musiał wrócić.

## **ROZDZIAŁ 14**

### **W ŚNIEGU**

Brukowane ulice wioski Adlington pokrywało ponad sześć cali

śniegu. Zapadał zmierzch i rozradowane dzieci uganiały się wokół, śmiejąc się, wrzeszcząc i krzycząc, ślizgając i obrzucając śnieżkami. Inni ludzie mniej się cieszyli. Minęło mnie parę kobiet opatulonych w szale – dreptały nerwowo po zaśnieżonym chodniku ze spuszczonej głowami, obserwując własne stopy. Ścisnęły w dłoniach puste kosze i kierowały się w stronę zaułku Babilońskiego na ostatnie zakupy. Ruszyłem za nimi i dotarłem do warsztatu Andrew.

Gdy uniosłem rygiel i pchnięciem otworzyłem drzwi, zadźwięczał dzwonek. Sklep był pusty, usłyszałem jednak, jak ktoś porusza się na zapleczu. Zastukały szpiczaste trzewiki i ku memu zdumieniu do lady podeszła Alice. Jej twarz rozjaśniał szeroki uśmiech.

– Dobrze cię widzieć, Tom! Zastanawiałam się, jak szybko mnie znajdziesz...

– Co ty tu robisz? – spytałem ze zdumieniem.

– Pracuję dla Andrew, rzecz jasna. Dał mi pracę i dach nad głową – odparła z uśmiechem. – Doglądałam sklepu, by mógł więcej czasu spędzać w warsztacie. Gotuję też i sprzątam. Andrew to porządny człek.

Przez moment milczałem. Alice musiała odczytać wyraz mojej twarzy, bo uśmiech zniknął z jej ust. Spojrzała na mnie z troską.

– Twój tato... – zaczęła.

– Kiedy tam dotarłem, już nie żył. Spóźniłem się, Alice.

Nie mogłem powiedzieć nic więcej, bo zawiódł mnie głos, gardło ścisnęło się gwałtownie. W mgnieniu oka Alice sięgnęła ku mnie i położyła mi dłoń na ramieniu.

– Och, Tom, tak mi przykro – rzekła. – Chodź na zaplecze, ogrzej się przy ogniu.

Salon Andrew okazał się bardzo przytulny. Stała tam mała sofa, wygodne fotele, a na kominku płonęły węgle.

– Lubię porządny ogień – rzekła radośnie Alice. Andrew oszczędza go bardziej niż ja, ale ciągle pracuje i wróci dopiero po zmroku. Kiedy kota nie ma...



Postawiłem łaskę w kącie i opadłem na sofę, stojącą naprzeciw paleniska. Zamiast usiąść obok mnie, Alice uklękła przy ogniu na dywaniku, zwrócona do mnie lewym profilem.

– Czemu odeszłaś od Hurstów? – spytałem.

– Musiałam – skrzywiła się mocno. – Morgan nie dawał mi spokoju. Chciał, żebym mu jakoś pomogła, ale nie mówił jak. Jest pełen pretensji, ma jakiś plan; chce się zemścić na starym Gregorym.

Zdawało mi się, że wiem, o co chodzi, ale wolałem jej nie mówić. Obiecałem Morganowi, że nie wspomnę nikomu o jego planach. Był nekromantą, duchy szpiegowały dla niego, nie mogłem ryzykować. Nie mogłem powiedzieć Alice; bałem się, że dowiedziałaby się o tym i znów torturował tatę.

– Nie dawał mi spokoju – podjęła Alice. – Dlatego odeszłam. Nie mogłam ani chwili dłużej znieść jego widoku, pomyślałam zatem o Andrew. Ale dość o mnie, Tom. Przykro mi z powodu twojego taty, chciałbyś o tym porozmawiać?

– Było ciężko, Alice; spóźniłem się nawet na jego pogrzeb. A mama odeszła gdzieś i nikt nie wie, gdzie jest. Mogła wrócić do swojej ojczyzny, a wtedy nigdy już jej nie zobaczę. Czuję się taki samotny...

– Przez większość mojego życia byłam samotna, Tom. Wiem, jakie to uczucie. Ale mamy przecież siebie, prawda? – Ujęła mnie za rękę. – Zawsze będziemy razem, nawet stary Gregory tego nie zmieni.

– W tej chwili stracharz nic nie może zrobić – rzekłem. – Kiedy wróciłem, Meg pociągała za sznurki. Teraz to on siedzi w zamknięciu. Chcę prosić Andrew, by zrobił mi klucz, żebym mógł uwolnić mistrza. Potrzebuję twojej pomocy. Ty i Andrew jesteście jedynymi ludźmi, do których mogę się zwrócić.

– Według mnie dostał w końcu to, co mu się należało. – Alice cofnęła rękę, jej wargi wygięły się w lekkim uśmiechu. – Poczęstowała go jego własnym lekarstwem.

– Nie mogę go tam zostawić – rzekłem. – A co z drugą lamią?

Tą dziką? Siostrą Meg? Nie siedzi już w dole, swobodnie biega po schodach za bramą. A gdyby wydostała się z domu? Mogłaby przyjść tu, do wioski, wtedy zaś nikt nie byłby bezpieczny a mieszka tu mnóstwo dzieci.

– Ale co z Meg? – odparowała Alice. – To nie takie proste, prawda? Nie zasługuje, żeby trafić do dołu nie zasługuje na to, by spędzić resztę życia, sącząc ziołową herbatę. Tak czy inaczej, to musi się skończyć.

– Czyli mi nie pomożesz?

– Tego nie powiedziałam, Tom. Po prostu trzeba przemyśleć każdy krok, to wszystko.

\*

Niedługo po zmroku wrócił Andrew; czekałem na niego w sklepie.

– O co chodzi, Tom? – spytał, otrzepując buty ze śniegu i zacierając zmarznięte dłonie, by przywrócić krążenie krwi. – Czego znów chce ten mój brat?

Andrew zawsze wyglądał jak dobrze ubrany strach na wróble, wysoki i chudy. Był jednak miłym, spokojnym człowiekiem i świetnym rzemieślnikiem.

– Ponownie ma kłopoty – odparłem. – Chciałbym, żebyś zrobił klucz, bym mógł go od nich uwolnić. To bardzo pilne.

– Klucz? Klucz do czego?

– Do bramy na schodach w piwnicy. Meg uwięziła go na dole.

Andrew pokręcił głową i zacmokał.

– Nie mogę powiedzieć, że mnie to zdziwiło. Coś takiego musiało się wydarzyć. Zdumiewające, że trwało tak długo. Zawsze sądziłem, że Meg w końcu go załatwi; za bardzo mu na niej zależy i zawsze zależało. Musiał przestać się pilnować.

– Czyli pomożesz?

– Oczywiście, że tak, to w końcu mój brat. Ale prawie cały dzień przebywałem na mrozie. Niewiele zdziałam, jeśli nie ogrzeję się i nie zjem czegoś ciepłego. Przy posiłku możesz opowiedzieć mi o wszystkim.

Nie kosztowałem dotąd potraw Alice, prócz królików pieczonych w żarze ogniska, lecz sądząc z apetycznego zapachu gulaszu, czekała mnie prawdziwa uczta.

Nie zawiodłem się.

– To pyszne, Alice – rzekłem, zajadając z apetytem.

Alice uśmiechnęła się.

– O tak, lepsze niż tamta breja, którą karmiłeś mnie w Anglezarce.

Roześmieliśmy się, po czym jedliśmy w milczeniu, póki po posiłku nie pozostał nawet ślad. To Andrew przemówił pierwszy.

– Nie mam klucza do tej bramy – rzekł. – Zamek i klucz wykuł ślusarz z Blackrod ponad czterdzieści lat temu. Już nie żyje, lecz słynął jako mistrz naszego fachu, mamy więc do czynienia z bardzo skomplikowanym mechanizmem. Musiałbym wejść do domu i obejrzeć go. Najłatwiej byłoby, gdybym spróbował otworzyć zamek i cię przepuścić.

– Moglibyśmy pójść jeszcze dzisiaj? – spytałem.

– Im wcześniej, tym lepiej – rzekł. – Ale chciałbym wiedzieć, z czym dokładnie mamy do czynienia. Jak sądzisz, gdzie najpewniej będzie Meg?

– Zwykle sypia w bujanym fotelu przy ogniu w kuchni. Ale nawet jeśli bezpiecznie przejdziemy obok niej i przedostaniemy się przez bramę, pozostaje jeszcze jeden problem.

Opowiedziałem mu o dzikiej lamii, krążącej swobodnie w piwnicy. Cały czas kręcił głową, jakby nie mógł uwierzyć w powagę sytuacji.

– Jak się z nią rozprawimy? Użyjemy srebrnego łańcucha?

– Nie mam go – przyznałem. – Jest w mojej torbie, a torba pewnie wciąż leży w gabinecie stracharza. Mam jednak laskę, mistrz zrobił ją z jarzębinowego drzewa. Jeśli mi się poszczęści, odpędzi lamię.

Andrew pokręcił głową, nie sprawiając wrażenia uszczęśliwionego.

– To mizerny plan, Tom, stanowczo zbyt niebezpieczny Nie

mogę otworzyć zamka, gdy ty będziesz walczył z dwiema czarownicami. Istnieje jednak inny sposób – dodał. – Moglibyśmy ściągnąć z wioski parę tuzinów mężczyzn. Poszliby z nami i raz na zawsze rozprawili się z Meg.

– Nie – ucięła stanowczo Alice. – To nie jest wyjście. To zbyt okrutne.

Wiedziałem, że wspomina dzień, gdy tłum z Chipenden zaatakował dom, w którym mieszkała ze swą ciotką, Kościstą Lizzie. Alice i jej ciotka wywęszyły ich i zdążyły uciec na czas, ale dom spłonął i straciły cały dobytek.

– Pan Gregory z pewnością by sobie tego nie życzył – dodałem.

– To prawda – przyznał Andrew. – John nigdy by mi nie wybaczył. No dobrze, czyli wracamy do pierwszego planu.

– Jest jeszcze coś, o czym nie pomyślałeś – wtrąciła Alice. – Wiedźma taka jak Meg nie zdoła wywęszyć cię z daleka, Tom. To nie działa na siódmego syna siódmego syna. Najpewniej mnie też nie wyczuje – jeśli oczywiście zdecyduję się pójść z tobą. Ale Andrew to inna sprawa. Gdy się zbliży do domu, wywęszy go i będzie gotowa.

– Jeżeli będzie spała, może nam się udać – rzekłem, lecz nie brzmiało to przekonująco.

– Nawet gdyby spała, to zbyt niebezpieczne – upierała się Alice. – Powinniśmy pójść we dwójkę, tylko ty i ja Tom. Może znajdziemy klucz i nie będziemy musieli majstrować przy zamku. Gdzie trzyma go stracharz?

– Zazwyczaj na najwyższej półce regału, ale Meg może go mieć przy sobie.

– Jeśli go tam nie będzie, zabierzemy z gabinetu twoją torbę i skrępujemy Meg srebrnym łańcuchem, a potem odbierzemy klucz. Tak czy inaczej, nie będziemy cię potrzebowali, Andrew. Poradzimy sobie sami z Tomem.

Andrew uśmiechnął się.

– To by mi pasowało – przyznał. – Wolę nie zbliżać się do tego domu i piwnicy, ale nie mogę pozwolić wam pójść bez pomocy.

Może zatem dam wam trochę czasu i zacznę działać później? Jeśli w ciągu pół godziny nie wyjdziecie za próg, wrócę do Adlington i ściągnę tuzin roślących chłopaków z wioski. John będzie musiał się z tym pogodzić.

– Zgoda – rzekłem. – Ale im dłużej się zastanawiam, tym bardziej się obawiam powrotu tylnymi drzwiami. Jak mówiłem, nocami Meg sypia w kuchni, w fotelu przy oknie. Z pewnością nas usłyszy, a musielibyśmy przejść obok niej, żeby dostać się do gabinetu. Drzwi frontowe byłyby lepsze, lecz nadal pozostaje spore ryzyko. Nie, istnieje znacznie lepszy sposób. Moglibyśmy przedostać się przez jedno z okien sypialni na tyłach. Najlepiej przez to na piętrze, dokładnie pod strychem. W tym miejscu skalna ściana jest najbliżej parapetu. Zatrzaski okien w sypialniach są pordzewiałe i połamane, chyba zdołam sięgnąć, podnieść je i wejść do środka.

– To obłąd! – zaprotestował Andrew. – Byłem w tej sypialni i widziałem odległość między skałą i parapetem. Jest za duża. Poza tym, jeśli martwisz się dźwiękiem klucza przekręcanego w zamku tylnych drzwi, wyobraź sobie, ile hałasu narobi otwarcie okna siłą.

Alice uśmiechnęła się szeroko, jakbym powiedział coś bardzo głupiego. Wkrótce jednak przegnałem z jej twarzy uśmiech.

– Meg nas nie usłyszy, jeśli w chwili, gdy otworzę okno, ktoś zacznie stukać głośno do tylnych drzwi – rzekłem.

Widziałem, jak Andrew otwiera usta, gdy powoli dotarło do niego znaczenie moich słów.

– Nie – rzekł. – Nie myślisz chyba...

– Czemu nie, Andrew? – spytałem. – Ostatecznie jesteś bratem pana Gregory'ego. Masz dość powodów by go odwiedzić.

– O tak, i mogę trafić do piwnicy, uwięziony jak on.

– Nie przypuszczam. Podejrzewam, że Meg w ogóle nie otworzy. Nie chce, by ktokolwiek z wioski wiedział, że jest wolna, bo wówczas z pewnością zjawiłby się tłum. Mógłbyś zapukać do drzwi cztery czy pięć razy, a potem odejść. To da mi dość czasu, by wejść przez okno.

– To mogłoby się udać – mruknęła Alice.

Andrew odepchnął talerz. Długi czas milczał.

– Jeszcze jedno nie daje mi spokoju – rzekł w końcu. – Odległość pomiędzy skałą i parapetem. Nie wydaje mi się, żebyś dał sobie radę. W dodatku będzie ślisko.

– Warto spróbować – rzekłem. – Ale jeśli nie dam rady, możemy wrócić później i zaryzykować wejście przez tylne drzwi.

– Może moglibyście użyć deski? – podsunął Andrew. – Mam na tyłach warsztatu taką, która akurat się nada. Alice przyciśnie ją do skały, a ty przeczołgasz się pod okno. Nie będzie to łatwe, ale mam też mały łom, który powinien dać radę zatrzaszkom.

– Czyli warto spróbować – starałem się robić dobrą minę do złej gry.

Zgodziliśmy się, Alice także wyglądała na skłoną do pomocy. Andrew przyniósł deskę z podwórza, gdy jednak otworzyliśmy drzwi frontowe, odkryliśmy, że na dworze szaleje śnieżycą. Nasz gospodarz pokręcił głową.

– Wyjście teraz byłoby szaleństwem – orzekł. – Taka zamieć jest godna samego Golgotha. Zasy na moczarach to niebezpieczna rzecz, można zabłądzić między nimi i zamarznąć. Nie, lepiej poczekać do jutra rana. Nie martw się – dodał, klepiąc mnie w ramię – mój brat zawsze jakoś daje sobie radę, sam zresztą o tym wiesz. W przeciwnym razie nie przeżyłby tak długo w swoim fachu.

\*

Nad sklepem mieściły się tylko dwie sypialnie – jedną zajmował Andrew, drugą Alice. Położyłem się zatem na sofie w salonie, opatulony w koc. Ogień wkrótce zgasł i w pokoju najpierw zrobiło się chłodno, potem bardzo zimno. Sam nie wiem, ile razy obudziłem się tej nocy, bo szybko straciłem rachubę. Za ostatnim razem zza zasłon przeświecało pierwsze światło dnia, postanowiłem zatem wstać.

Ziewnąłem, przeciągnąłem się i przeszedłem tam i z powrotem, by rozruszać zeszywniałe stawy. I wtedy usłyszałem hałas od

frontu; brzmiało to, jakby ktoś zastukał trzykrotnie do okna sklepu.

Kiedy tam wszedłem, w środku było jasno jak w dzień: to światło odbijało się od śniegu. Po nocnej śnieżycy pozostały zasy sięgające parapetu, a na oknie oparta o szybę czekała czarna koperta. Ustawiono ją tak, bym natychmiast zobaczył, co na niej napisano. Zaadresowano ją do mnie! Musiała pochodzić od Morgana.

Jakaś część mnie chciała ją tam zostawić. Potem jednak uświadomiłem sobie, że wkrótce na ulicach pojawią się ludzie. Każdy z nich mógłby tu podejść i zobaczyć list. Mógłby też go podnieść i przeczytać, a nie chciałem, aby obcy poznali moje sprawy.

Wiatr naniósł tyle śniegu pod drzwi od frontu, że nie mogłem ich otworzyć. Musiałem użyć tylnego wejścia, przejść przez podwórze i bramę. Dopiero gdy szykowałem się do przeprawy przez zaspę, uświadomiłem sobie coś bardzo dziwnego. Nie widziałem przed sobą śladów stóp, jedynie stertę śniegu o nienaruszonej powierzchni. W jaki sposób list trafił na okno?

Zabrałem go, wybijając przy okazji głęboką wyrwę w śniegu. Wróciłem na tyły, wszedłem do kuchni, rozdarłem kopertę i wyciągnąłem list.

*Będę pod kościołem Świętego Jerzego na zachód od wioski. Jeśli chcesz tego, co najlepsze dla twego taty i dawnego mistrza, nie każ mi czekać. Nie zmuszaj mnie, żebym przyszedł do ciebie; to ci się nie spodoba.*

*Morgan G.*

Przy poprzednim liście nie zwróciłem uwagi na podpis, ale teraz przykuł mój wzrok. Czyżby zmienił nazwisko? Jego inicjał to przecież H., czyli Hurst.

Zdziwiony, złożyłem list i wepchnąłem go do kieszeni. Zastanawiałem się, czy nie obudzić Alice i nie pokazać jej wiadomości. Może powinienem zabrać dziewczynę ze sobą? Ale Morgan był ostatnią osobą, jaką miała ochotę oglądać. Wyjaśniła już, dlaczego opuściła farmę przy moczarach: nie mogła dłużej wytrzymać jego obecności. Wiedziałem też, że tak naprawdę nie mógłbym jej powiedzieć: bałem się Morgana i tego, co zrobiłby mojemu tacie. Szczerze mówiąc, bałem się też, co mógłby zrobić mnie. Dysponował wielką

mocą i był naprawdę niebezpieczny, nie należał do ludzi, z którymi warto zadzierać. Narzuciłem zatem płaszcz, zabrałem laskę i wyszedłem, maszerując wprost w stronę kościoła.

Był bardzo stary, niemal niewidoczny za szpalerem olbrzymich cisów. Na niektórych nagrobkach widniały daty sprzed stuleci. Zobaczyłem Morgana już z daleka, czarną sylwetkę na tle szarego nieba. Wspierał się na kiju, kaptur chronił mu twarz przed mrozem. Wybrał najnowszą część cmentarza, gdzie spoczywali niedawno zmarli.

Z początku jakby mnie nie dostrzegał. Pochylał głowę nad jednym z grobów. Z zamkniętymi oczami wyglądał, jakby się modlił. Spojrzałem w dół, zaskoczony. Po wczorajszej wichurze cmentarz pokrywała gruba warstwa śniegu, lecz na tym grobie nie zauważyłem ani śladu, jedynie prostokąt mokrej ziemi, zupełnie jakby dopiero co go wykopano. Rozejrzałem się, nie zauważyłem jednak ani śladu łopaty czy innego narzędzia, którym można by odgarnąć śnieg.

– Przeczytaj napis na nagrobku – polecił Morgan, po raz pierwszy patrząc na mnie.

Zrobiłem, jak kazał. W tym samym grobie pogrzebano cztery ciała, ułożone jedno na drugim, zgodnie ze zwyczajem panującym w Hrabstwie. Dzięki temu oszczędzało się miejsca na cmentarzach i sprawiało, że krewni pozostawali razem po śmierci. Trzy ciała należały do dzieci, które zmarły ponad pięćdziesiąt lat wcześniej, w wieku dwóch, jednego i trzech lat. Matka umarła niedawno. Nazywała się Emily Burns. Była to kobieta, z którą kiedyś związał się stracharz. Kobieta, którą odebrał jednemu z własnych braci, ojcu Gregory'emu.

– Ciężkie miała życie – rzekł Morgan. – Większą część z niego spędziła w Blackrod. Gdy jednak pojęła, że umiera, przybyła tu pomieszkać z siostrą. Utrata trójki dzieci złamała jej serce i mimo upływu lat nigdy nie doszła do siebie. Czterech synów przeżyło, dwaj pracują w Horwich i mają własne rodziny. Najstarszy opuścił Hrabstwo dziesięć lat temu, więcej o nim nie słyszałem. Ja byłem siódmy i ostatni...

Potrzebowałem kilku chwil, nim wszystkie elementy układanki trafiły na miejsce. Przypomniałem sobie, co mówił do niego stracharz w sypialni Hurstów.

– Obchodziłeś mnie i ty, i twoja matka. Dobrze Wiesz, że kiedyś ją kochałem...

Przypomniałem sobie także podpis Morgana i inicjał G.

– Tak – rzekł. – Wkrótce po moim urodzeniu ojciec po raz ostatni opuścił dom rodzinny. Nigdy nie poślubił mojej matki. Nie przekazał nam swojego nazwiska. Ale i tak je przyjąłem.

Patrzyłem na niego oszołomiony.



– Tak – rzekł z ponurym uśmiechem. – Emily Burns była moją prawdziwą matką. Jestem synem Johna Gregory'ego.

\*

Morgan mówił dalej, zapatrzony w dal.

– Opuścił nas, porzucił swoje dzieci. Nie tak powinien postąpić ojciec, prawda?

Chciałem bronić stracharza, ale nie wiedziałem, co rzec. Milczałem zatem.

– Ale muszę przyznać, że płacił na nasze utrzymanie – ciągnął Morgan. – Jakiś czas sobie radziliśmy, potem jednak matka się załamała i nie mogła się pozbierać. Każde z nas trafiło do innej rodziny. Ja wyciągnąłem najkrótszą słomkę i przeniosłem się do Hurstów. Gdy jednak miałem siedemnaście lat, przyszedł po mnie ojciec i przyjął na czeladnika. Przez jakiś czas byłem najszczęśliwszym z ludzi, tak bardzo pragnąłem mieć ojca i teraz w końcu miałem rozpaczliwie zatem starałem się go zadowolić, naprawdę próbowałem. Ale nie mogłem zapomnieć, co zrobił mojej matce, i stopniowo zacząłem widzieć go takim, jakim naprawdę jest. Po trzech latach zaczynał się powtarzać. Wiedziałem już wszystko, co on i jeszcze więcej. Wiedziałem, że mogę być od niego lepszy i silniejszy. Jestem siódmym synem siódmego syna siódmego syna. Po trzykroć siedem.

W jego głosie usłyszałem nutę arogancji, która mnie zirytowała.

– To dlatego nie zapisałeś swojego nazwiska na ścianie sypialni w Chipenden, jak pozostali uczniowie? – wypaliłem. – Bo uważasz się za lepszego od nas wszystkich? Lepszego od stracharza?

Morgan uśmiechnął się wyniośle.

– Nie przeczę. Dlatego odszedłem, by podążać własną ścieżką. W większości sam się uczyłem i wciąż to robię. Potrafię czynić rzeczy, o których staremu głupcowi nawet się nie śniło. Rzeczy, których boi się spróbować. Pomyśl tylko! Podobna wiedza i moc – i świadomość, że twój ojciec spoczywa w pokoju. To właśnie ci proponuję w zamian za odrobinę pomocy...

Opowieść Morgana wstrząsnęła mną. Jeśli mówił prawdę, jego historia ukazywała stracharza w bardzo złym świetle. Wiedziałem już, że opuścił Emily Burns, bo pokochał Meg. Teraz jednak odkryłem, że był ojcem, który miał z nią siedmiu synów i porzucił ich wszystkich. Czułem ogromny ból i zawód. Wciąż myślałem o moim tacie. On został z rodziną i całe życie ciężko pracował. A teraz Morgan mógł do woli zadawać mu ból. Byłem poruszony i zły. Cmentarz nagle zakołysał się i o mało nie upadłem.

– I co, mój młody uczniu, przyniosłeś mi go?

Moja twarz musiała wyglądać wyjątkowo głupio.

– Grimoire, rzecz jasna. Prosiłem, żebyś mi go przyniósł. Mam nadzieję, że posłuchałeś, inaczej twój biedny ojciec będzie naprawdę cierpiał.

– Nie zdołałem go zdobyć. Pan Gregory ma oczy z tyłu głowy – rzekłem, wbijając wzrok w ziemię.

Z całą pewnością nie zamierzałem mówić Morganowi, że mój mistrz znalazł się na łasce Meg. Dowiedziawszy się, że stracharza nie ma, mógłby sam pójść po grimoire. Owszem, mój mistrz miał swoje mroczne sekrety, ale nadal pozostawałem jego uczniem i go szanowałem. Potrzebowałem więcej czasu. Czasu, by ocalić stracharza i opowiedzieć mu o Morganie. Razem pokonaliśmy rzucacza, z pewnością razem powstrzymamy nekromantę.

– Potrzebuję więcej czasu – rzekłem. – Mogę to zrobić, ale muszę poczekać na sposobność.

– Nie zwlekaj zbyt długo. Przynies mi książkę w przyszły wtorek, po zachodzie słońca. Pamiętasz kaplicę na cmentarzu?

Przytaknąłem.

– Tam właśnie będę czekał.

– Nie wiem, czy uda mi się tak szybko...

– Znajdź jakiś sposób... – warknął. – I zrób to tak, by Gregory nie zorientował się, że księga zniknęła.

– Co z nią zrobisz? – spytałem.

– Cóż, Tomie, przekonasz się, kiedy ją przyniesiesz, prawda? Nie zawiedz mnie! Jeśli zaczniesz się wahać, pomyśl o swym nieszczęsnym ojcu i o tym, jak mógłby cierpieć.

Wiedziałem, że Morgan potrafi być okrutny. Widziałem, jak doprowadził do łez nieszczęsnego pana Hursta. Słyszałem historię Alice o tym, jak zawłókł starca do sypialni i zamknął go w środku. Jeśli tylko będzie mógł skrzywdzić mego ojca, z pewnością to zrobi. Nie wątpiłem w to ani przez chwilę.

I wtedy, gdy tak stałem drżący, usłyszałem w głowie raz jeszcze udręczony głos ojca. Wokół mnie wietrze zadrzało i poruszyło się.

– Proszę synu, błagam, zrób, co każe. Inaczej będę cierpiał męki przez całą wieczność. Proszę synu, przynies mu to.

Głos umilkł. Morgan uśmiechnął się ponuro.

– Słyszałeś, co miał do powiedzenia twój ojciec. Lepiej bądź posłusznym synem.

To rzekłszy, odwrócił się na pięcie i wyszedł z cmentarza.

Wiedziałem, że kradzież grimoire'u dla Morgana to zły pomysł. Jednak

odprowadzając go wzrokiem, pojąłem, że nie mam wyboru. W jakiś sposób będę musiał zdobyć księgę, gdy będziemy ratowali stracharza.

## ROZDZIAŁ 15

### DO PIWNICY

Kiedy wróciłem do domu Andrew, Alice kręciła się już w kuchni i szykowała śniadanie. Smażyła jajka na szynce; pachniały cudownie.

– Wczynie dziś wyszedłeś, Tom – zauważyła.

– Wszystko mnie bolało po nocy na kanapie – skłamałem. – Musiałem rozprostować kości.

– Po śniadaniu poczujesz się znacznie lepiej.

– Nie mogę, Alice. Przed walką z mrokiem muszę pościć.

– Nie wierzę, by parę kęsów mogło ci zaszkodzić! – zaprotestowała.

Nawet się nie spierałem. Pewne rzeczy, które mi opowiadała o czarownicach, przyjmowałem ze szczyptą wątpliwości. Inne, które stracharz uważał za świętą prawdę, wywoływały u niej pogardliwy uśmiech. Umilkłem zatem, patrząc, jak jedzą z Andrew i przełykałem napływającą do ust ślinę.

Po śniadaniu ruszyliśmy wprost do domu stracharza. Nie minęło jeszcze południe, lecz na dworze robiło się ciemno, niebo zasnuły czarne chmury. Wyglądało na to, że nadciąga śnieżyca.

Zostawiliśmy Andrew u stóp parowu – miał zaczekać dziesięć minut, abyśmy wspięli się na moczary ponad domem. Potem zastuka kilka razy do drzwi i odejdzie, wypatrując z daleka, aż pojawimy się z tarczą.

– Powodzenia. I nie każcie mi czekać zbyt długo! – rzucił. – Bo zamarnę na kość!

Pomachałem mu na pożegnanie, po czym dźwigając deskę i kij, a także niewielki łom w kieszeni kurtki, ruszyłem na górę. Gdy

tak maszerowaliśmy, ja pierwszy, Alice tuż za mną, zamierzający śnieg coraz głośniej chrząścił nam pod stopami. Zacząłem się obawiać zejścia do domu: skały będą śliskie i niebezpieczne.

Wkrótce znaleźliśmy się na ścieżce wiodącej w głąb parowu. Po jakimś czasie ścieżka zamieniła się w skalną półkę. Po lewej mieliśmy skałę, po prawej przepaść.

– Uwaga na nogi, Alice – ostrzegłem. – Jeden fałszywy krok, a trzeba nas będzie zeszkrobywać z kamieni szpadlem.

W parę chwil później ujrzelśmy dom i zatrzymaliśmy się. Zgodnie z umową mieliśmy zaczekać na nadejście Andrew od frontu.

Minęło pięć minut, nim usłyszeliśmy kroki na zamarzniętym śniegu. Bardzo niespokojny Andrew okrążał budynek, zmierzając do tylnych drzwi. Wstałem szybko i nie wypuszczając z rąk deski, ruszyłem w stronę domu. Gdy dotarliśmy naprzeciw tylnego okna, ukląknęliśmy, próbując ustawić deskę. Już za pierwszym razem zdołałem oprzeć drugi koniec o parapet. Martwił mnie jednak fakt, że skalna półka nie była zbyt szeroka; bałem się, że gdy zacznę się przeprawiać, deska ześlizgnie się z miejsca, a ja runę na podwórze. Wszystko zależało od Alice. Musiała ją mocno przytrzymać.

– Postaw tu nogę – wyszeptalem, wskazując bliższy koniec deski.

Alice zrobiła, jak kazałem, miałem nadzieję, że to pomoże. Wręczyłem jej laskę i ukląknęliśmy na desce, po czym zacząłem czołgać się ponad przepaścią. Odległość nie była znaczna, ale bardzo się denerwowałem i z początku członki odmówiły mi posłuszeństwa. Pod sobą, daleko w dole widziałem ośnieżone kamienie podwórka. W końcu ruszyłem dalej, próbując nie patrzeć w przepaść, i po chwili klęczałem już przy oknie. Wyciągnąłem z kieszeni łom i wcisnąłem pod dolną futrynę. Dokładnie w tym momencie Andrew zastukał głośno do tylnych drzwi, niemal idealnie pode mną.

Trzy donośne stuknięcia odbiły się echem w parowie. Przy każdym naciskałem łom, próbując dźwignąć okno; w ciszy między uderzeniami nieruchomiałem.

Stuk! Stuk! Stuk!

I znów nacisnąłem, bez powodzenia. Zacząłem się zastanawiać, ile razy zapuka Andrew, nim zawiodą go nerwy. Może zatrzask był mocniejszy, niż przypuszczałem? Ile jeszcze razy będę mógł spróbować? Może wiedźma jednak otworzy drzwi? Wówczas nie chciałbym być w skórze Andrew.

Stuk! Stuk! Stuk!

Tym razem się udało. Uniosłem okno, a gdy szczelina się powiększyła, wcisnąłem w nią obie dłonie.

Stuk, stuk, stuk, doleciało z dołu. Gdybym spojrział, zobaczyłbym Andrew. Ja jednak skupiałem wzrok na parapecie. Precisnąłem się przez szczelinę i dalej do pokoju. Szybko schowałem do kieszeni łom. Alice pochyliła się i podała mi kij, po czym szybciej niż ja przeszła po desce. Kiedy już oboje znaleźliśmy się w pokoju, zabraliśmy deskę, na wypadek gdyby Meg wyszła na podwórko i spojrzała w górę. Potem zamknęliśmy okno.

Zrobiwszy to wszystko, usiedliśmy na podłodze w półmroku, nasłuchując uważnie. Naszych uszu nie dobiegły dalsze stuki, nie słyszałem, by drzwi się otwierały, miałem zatem nadzieję, że Andrew odszedł bez przeszkód. Teraz najbardziej obawiałem się kroków Meg na schodach. Czy usłyszała, jak otwierałem siłą okno?

Już wcześniej ustaliłem z Alice, że jeśli bezpiecznie dostaniemy się do środka, odczekamy jakiś kwadrans, nim zaczniemy działać. Najpierw musieliśmy zabrać moją torbę z gabinetu stracharza. Gdy będę miał w rękach srebrny łańcuch, nasze szanse powodzenia znacznie wzrosną.

Nie powiedziałem jednak Alice, czego chciał ode mnie Morgan. Nie wspomniałem jej o grimoirze, bo wiedziałem, że uznałaby mnie za głupca. Ale ona mogła sobie tak mówić; to nie jej tato miał uciepią gdybym odmówił. Wciąż dręczyło mnie echo głosu ojca, błagającego w ciemności. Nie mogłem tego znieść. Jeśli zdołam uratować stracharza i w jakiś sposób związać Meg, wrócę na strych. Musiałem tak postąpić. Owszem, w ten sposób zdradzałem mojego mistrza ale nie mogłem pozwolić, by tato dalej cierpiał.

Czekaliśmy zatem i czekali, nasłuchując nerwowo każdego skrzypnięcia starego domu.

\*

Gdy minęło już jakieś piętnaście minut, lekko klepnąłem Alice w ramię, wstałem ostrożnie, zabrałem laskę i skierowałem kroki w stronę drzwi.

Nie były zamknięte na klucz. Uchyliłem je i wyszedłem na podest. Na schodach panował jeszcze większy mrok, a w dole rozpościerała się plama ciemności. Ruszyłem po schodach, stopień za stopniem, między każdym kolejnym nasłuchując uważnie. Wkrótce wpadłem w rytm. Stopień, przerwa, nasłuchiwanie. Stopień, przerwa, nasłuchiwanie. W pewnym momencie jeden ze schodków zaskrzypiał mi pod nogą. Oboje zamarliśmy. Czekaliśmy co najmniej pięć minut, sądząc, że dźwięk ów mógł obudzić czarownicę; a gdy stopa Alice nacisnęła ten sam schodek, powtórzyliśmy cały proces! Trwało to bardzo długo, w końcu jednak dotarliśmy na parter.

W chwilę później byliśmy już w gabinecie stracharza. Do środka przenikało więcej światła i ujrzałem moją torbę: nadal leżała w kącie, gdzie ją zostawiłem, po torbie stracharza natomiast nie pozostał nawet ślad. Wyciągnąłem srebrny łańcuch i owinałem wokół lewej dłoni i przegubu, gotów do rzutu. Posługiwałem się właśnie tą ręką, ćwicząc w ogrodzie stracharza, i potrafiłem zarzucić łańcuch na słupek stojący osiem stóp dalej dziewięć razy na dziesięć. Dzięki temu w starciu z dziką lamią bądź Meg miałem jakieś szanse na powodzenie. Gorzej, gdyby zaatakowały obie naraz. Wolałem nawet nie myśleć o takiej ewentualności.

Pochyliłem się i przysunąłem usta do ucha Alice.

– Sprawdź, czy na górze regału leży klucz – wyszeptałem, wskazując właściwe miejsce.

Istniała możliwość, że Meg nosi klucz przy sobie, ale przypomniałem sobie, co kiedyś powiedział o niej stracharz: że jest metodyczna i zawsze trzyma rzeczy na ich miejscu. Mówił co prawda o rondlach, garnkach, nożach i widelcach. Czy to samo

zrobiła z kluczem? Warto było spróbować.

Gdy zatem Alice przyniosła krzesło i ustawiła obok regału, ja stanąłem na straży przy otwartych drzwiach, unosząc w dłoni łańcuch. Alice wdrapała się na krzesło i zaczęła macać ostrożnie na najwyższej półce, po czym z uśmiechem pokazała mi klucz.

Miałem rację! Mieliśmy klucz do bramy! Wciąż ściskając w palcach łańcuch, zabrałem laskę i ostrożnie wyszedłem z gabinetu w kierunku schodów do piwnicy. Spodziewałem się, że Meg będzie czuwać, jednak z kuchni dobiegał mnie jej oddech, świst powietrza ulatującego z ust. Smacznie spała. Jak dotąd mieliśmy aż nadto szczęścia.

Teraz jednak musiałem dokonać wyboru. Mogłem pójść prosto do kuchni i związać śpiącą Meg łańcuchem. Potrzebowałem go jednak, by móc stawić czoło dzikiej lamii w piwnicy. Schodziliśmy bardzo wolno, teraz Alice szła przodem. Po chwili dotarliśmy do bramy. To był najniebezpieczniejszy moment. Już wcześniej wyjaśniłem mojej towarzyszce, że brzęk bramy rozchodzi się echem po całym domu. Lecz Alice bardzo ostrożnie wsunęła klucz do zamka i obróciła go bez najmniejszego dźwięku. Zdołała zrobić to samo z bramą, którą zostawiliśmy otwartą, na wypadek gdybyśmy musieli szybko uciekać.

Na dole było bardzo ciemno. Poklepałem lekko Alice po ramieniu, sygnalizując, by się zatrzymała. Schowałem łańcuch do kieszeni, ostrożnie oparłem laskę o ścianę, po czym używając hubki i krzesiwa, zapaliłem ogarek świecy. Wręczyłem go mojej towarzyszce i znów ruszyłem krok za nią, trzymając kij i łańcuch w gotowości. Świeczka stanowiła pewne ryzyko, bo choć stopnie opadały w dół spiralą, błysk światła mógł dotrzeć do piwnicy i zwrócić uwagę lamii. Lecz potrzebowaliśmy światła, żeby zająć się stracharzem i wyprowadzić go z celi. Jak się okazało, podjęliśmy słuszną decyzję.

Nagle Alice sapnęła i zatrzymała się, wskazując w dół. Z piwnicy wiało chłodem, płomyk świeczki zatańczył na końcu knota, i w jego blasku dostrzegłem czarną postać, wspinającą się szybko

na schodach. Przez moment z walącym sercem sądziłem, że to dzika lamia. Stałem obok Alice i uniosłem lewą rękę, szykując się do rzutu.

Gdy jednak powiew ustał, płomyk uspokoił się i odkryłem, że szybkie ruchy ciemnej postaci były jedynie złudzeniem, wywołanym migotaniem świecy. Coś istotnie przemieszczało się po schodach, ale pełzło po nich, wciągało się tak niewiarygodnie wolno, że potrzebowałyby mnóstwo czasu, żeby dotrzeć do bramy.

To była Bessy Hill, druga żywa wiedźma – wcześniej siedząca w jamie obok dzikiej lamii. W długich siwych, przetłuszczonych włosach roiło się od małych, czarnych owadów. Wystrzępioną suknię pokrywały plamy pleśni i śluzu. Powoli pełzła po stopniach. Choć zdołała wyzwolić się z grobu, lata żywienia się ślimakami, dżdżownicami i innymi paskudztwami oznaczały, że nie zostało jej zbyt wiele mocy. Oczywiście, gdybyśmy wpadli na nią w ciemności, sprawy mogłyby potoczyć się inaczej.

Zatrzymaliśmy się. Gdyby udało jej się złapać któreś z nas za kostkę, trudno byłoby się uwolnić. Rozpaczliwie łaknęła krwi i wbiłaby zęby w każde ciepłe ciało, którego zdołałaby sięgnąć. Jeden łyk krwi przywróciłby jej siły, tak że stałaby się dużo niebezpieczniejsza. Choć było to straszne, musieliśmy ją ominąć.

Na nowo ruszyłem na dół, pokazując gestem Alice, że powinna pójść za mną. Schody były szerokie, więc udało nam się ominąć czarownicę łukiem. Zastanawiałem się, jak zdołała uciec z jamy. Możliwe, że dzika lamia rozgięła jej pręty. A może Meg ją uwolniła? Przechodząc, zerknąłem na nią ukradkiem. Głowę zwróciła ku nam, lecz oczy miała zamknięte, otworzyła natomiast usta – długi, fioletowy język wystarał aż na stopień, jakby zlizywał coś z wilgotnego kamienia. Zaczęła węszyć, poruszyła się, przekręciła głowę w górę i spróbowała unieść rękę. Gdy w końcu ujrzałem jej oczy, przypominały punkciki ognia płonące w ciemności.

Poruszaliśmy się bardzo szybko i wkrótce zostawiliśmy ją za sobą. Gdy dotarliśmy na podest z trojgiem drzwi, oddałem laskę



Alice. Przyjęła ją, krzywiąc się, nie lubiła dotykać jarzębiny. Ja jednak wyciągałem już z kieszeni własny klucz i potrzebowałem tylko chwili, by otworzyć drzwi celi stracharza.

Do tej pory martwiłem się, że może nie znajdę go w środku. Obawiałem się, że Meg mogła przenieść go gdzie indziej, a nawet uwięzić w jamie w piwnicy. Lecz był tam, siedział na łóżku z głową ukrytą w dłoniach. Kiedy w celi zajaśniała migotliwa świeca, spojrział na nas, lecz jego twarz zdradzała wyłącznie otępienie. Wyrzależem na schody, nasłuchując chwilę i sprawdzając, czy nie zbliża się lamia, po czym wszedłem do celi z Alice i pomogliśmy stracharzowi wstać. Nie stawiał oporu, gdy pociągnęliśmy go do drzwi. Nie rozpoznał nas i domyśliłem się, że Meg niedawno poczęstowała go dużą dawką oszalamiającej mikstury.

Mój łańcuch znów tkwił w kieszeni – może nie było to najlepsze miejsce w razie ataku lamii, ale nie miałem wyboru. Wspinaczka szła nam bardzo wolno, stracharz szurał nogami, my z Alice trzymaliśmy go za łokcie. Co i rusz oglądałem się nerwowo, lecz z dołu nie dobiegał żaden niepokojący odgłos. Kiedy zrównaliśmy się z czarownicą, ta spała, chrapała głośno przez otwarte usta, oczy miała zamknięte. Dotychczasowa wspinaczka ją wyczerpała.

Wkrótce dotarliśmy do bramy. Po przejściu Alice zamknęła ją starannie i cicho, a ja odebrałem jej klucz i schowałem do kieszeni. Szliśmy dalej, aż na parter. Dobiegające z kuchni oddechy Meg upewniły mnie, że ona też śpi. Teraz musiałem podjąć bardzo ważną decyzję. Albo pomogę Alice wyprowadzić stracharza z domu, albo też wejdem do kuchni i skrepuję Meg srebrnym łańcuchem.

Gdyby mi się udało, to byłby koniec, dom znalazłby się w naszych rękach. Ale próba wiązała się z ryzykiem. Meg mogła obudzić się nagle – a dziewięć na dziesięć to jednak nie dziesięć na dziesięć. Mógłbym chybić, a czarownica była niewiarygodnie silna. Stracharz nie zdołałby mi pomóc i znaleźlibyśmy się we trójkę na jej łasce. Wskazałem zatem korytarz, wiodący do drzwi.

Minutę później otworzyłem je i pomogłem Alice wyprowadzić stracharza. Odebrałem, jej świeczkę i niemal przycisnąłem do

siebie, by uchronić płomyk.

– Muszę wrócić po coś do domu – oznajmiłem. – To nie potrwa długo, ale zabierz stąd pana Gregory'ego. Andrew powinien czekać w parowie...

– Nie bądź durniem, Tom! – wykrzyknęła Alice z zatroskaną miną. – Co może być tak ważnego, żebyś chciał tam wrócić?

– Zaufaj mi, Alice, trzeba to zrobić. Spotkamy się w domu Andrew.

– Jest coś, czego mi nie mówisz – poskarżyła się Alice. – Dlaczego? Nie ufasz mi już?

– Idź, Alice, proszę. Zrób to, co mówię. Resztę wyjaśnię ci później.

Alice z wahaniem ruszyła w dół zbocza, prowadząc stracharza pod ramię. Nie obejrzała się. Wiedziałem, że jest na mnie naprawdę wściekła.

## **ROZDZIAŁ 16**

### **NA STRYCH**

Wróciłem do domu, zamknąłem cicho drzwi i rozpocząłem wspinaczkę po schodach. W prawej dłoni trzymałem świecę, w lewej jarzębinową laskę, srebrny łańcuch nadal tkwił w lewej kieszeni baraniego kozucha. Szło mi szybciej niż wcześniejsze schodzenie, ale nadal bardzo uważałem – nie chciałem obudzić Meg. Martwiłem się czymś jeszcze. Mój klucz był za duży, aby otworzyć biurko mistrza: będę musiał wyważyć zamek łomem, a to z pewnością narobi hałasu.

Z każdym krokiem czułem coraz większy niepokój. Meg nadal spała, ale w każdej chwili mogła się ocknąć. Gdyby ruszyła za mną po schodach, zawsze mógłbym użyć deski i uciec przez okno sypialni na tyłach. Ale czy usłyszę na czas, jak się zbliża? Alice miała rację, że powrót do domu to głupota. Nadal jednak myślałem

o tacie, toteż zmusiłem nogi, by pokonywały kolejne stopnie.

Wkrótce znalazłem się przy drzwiach na strych. Właśnie miałem je otworzyć, gdy usłyszałem coś cichego. Brzmiało jak drapanie...

Słuchałem nerwowo, przyciskając lewe ucho do drzwi. Znów usłyszałem skrobanie. Co mogło tak hałasować? Nie miałem wyboru, musiałem zlekceważyć ów dźwięk i spróbować zdobyć to, czego pragnął Morgan. Zacząłem naciskać klamkę. Dopiero gdy wśliznąłem się do pokoju, zrozumiałem, że powinienem był uciec z Alice i stracharzem, póki jeszcze miałem szansę. Powinienem był opowiedzieć mistrzowi o wszystkim i posłuchać jego rady. Stracharz wiedziałby, jak najlepiej pomóc tacie.

Instynkt kazał mi uciekać, zupełnie jakby w mojej głowie czyjś głos krzyczał wniebogłosy: niebezpieczeństwo! niebezpieczeństwo! – raz po raz, bez końca. Gdy znalazłem się w środku, o mało nie zamknąłem za sobą drzwi. Miałem straszną ochotę, ale zdołałem się jej oprzeć. Było ciemno, toteż uniosłem świecę nad głowę, by lepiej zobaczyć otoczenie. Wówczas jednak nagły powiew zgasił płomyk.

W górze widziałem błądzący kształt świetlika; był szeroko otwarty i moją twarz omiótł kolejny podmuch wiatru. Na skraju świetlika przycupnęło sześć małych ptaków. Milczały, jakby czekały na coś cierpliwie. A pod nimi ujrzałem grozę.

Podłogę zaścielały obryzgane krwią pióra, wśród których walały się szczątki martwych ptaków. Zupełnie jakby lis dobrał się do kurnika. Widziałem skrzydła, nóżki, głowy i setki, tysiące piór. Pióra fruwały w powietrzu, wirowały mi nad głową, uniesione chłodnym powiewem ze świetlika. Kiedy ujrzałem coś znacznie większego, nie zdziwiłem się nawet, lecz widok ów i tak zmroził mnie do kości. W kącie, tuż obok biurka, przycupnęła dzika lamia. Oczy miała zamknięte. Jej ciało wydawało się dziwnie małe, natomiast twarz znacznie większa niż wtedy, gdy widziałem ją ostatnio. Nie była już wychudzona, lecz blada i nabrzmiała, policzki zamieniły się w dwa wypchane worki. Na moich oczach

usta otwarły się lekko i po brodzie spłynęła strużka krwi, która zaczęła ściekać na deski. Lamia oblizwała wargi, otworzyła oczy i spojrzała na mnie, jakby miała do dyspozycji cały czas tego świata.

Jadła. Karmiła się ptakami. To ona otworzyła świetlik i przywołała ptaki w swe szponiaste, zachłanne ręce nakazując im zlatywać się wprost ku niej. A potem kolejno wypijała ich krew, przytrzymując przy sobie pozostałe zaklęciem. Wciąż miały skrzydła, ale straciły wolę lotu.

Ja nie miałem skrzydeł, zostały mi jednak nogi. Tyle że nie chciały mnie słuchać. Stałem jak wmurowany, sparaliżowany strachem. Ruszyła ku mnie, bardzo wolno, może dlatego, że była ociężała, opita krwią. Może uznała, że nie musi się śpieszyć.

Gdyby pomknęła ku mnie, moja historia dobiegłaby końca. Nigdy nie wyszedłbym żywy ze strychu. Ona jednak poruszała się wolno, bardzo wolno, i groza jej podejścia wystarczyła, by przełamać zaklęcie. Nagle poczułem, że jestem wolny. Mogłem się ruszać. I to szybciej niż kiedykolwiek wcześniej.

Nie pomyślałem nawet o użyciu laski ani łańcucha – moje nogi zadziałały szybciej niż głowa. Na widok pełzającej po deskach lamii odwróciłem się i pobiegłem. Za sobą usłyszałem trzepot skrzydeł: moja ucieczka wyzwoliła z zaklęcia czekające ptaki. Przerażony z walącym sercem pędziłem po schodach, hałasując tak, że mógłbym pobudzić umarłych. Nie obchodziło mnie to jednak – musiałem się stamtąd wydostać, uciec od lamii. Nic innego nie miało znaczenia. Straciłem całą odwagę.

Lecz ktoś czekał na mnie w cieniu u stóp schodów.

Meg.

\*

Czemu nie skręciłem do sypialni na górze? Powinienem był się skupić. Myśleć rozważnie. Zamiast tego wpadłem w panikę i straciłem szansę ucieczki. Dzika lamia była zbyt opita krwią, by poruszać się szybko, więc zdążyłbym otworzyć okno ułożyć deskę i uciec w bezpieczne miejsce. A teraz mój tupot na stopniach obudził Meg!

Stała tam, pomiędzy mną i frontowymi drzwiami. Za sobą miałem dziką lamie. Meg spojrzała na mnie i jej śliczne usta wygięły się w uśmiechu. Było jeszcze dość jasno, bym stwierdził, że nie jest to przyjazny uśmiech. Nagle pochyliła się ku mnie i trzy razy głośno pociągnęła nosem.

– Obiecałam kiedyś, że nie oddam cię mojej siostrze „, rzekła. – Ale zmieniłam zdanie. Wiem, co zrobiłeś, musisz za to zapłacić. Własną krwią!

Nie odpowiedziałem, bo cofałem się już powoli. Wciąż trzymałem w dłoni ogarek; wcisnąłem go do kieszeni spodni, po czym przełożyłem kij do prawej dłoni, a lewą wyciągnąłem z kieszeni kozucha srebrny łańcuch.

Meg musiała go zobaczyć bądź wyczuć, bo nagle pomknęła po schodach wprost ku mnie, wyciągając przed siebie ręce, jakby chciała wydrapać mi oczy. Wpadłem w panikę, i w ułamku sekundy cisnąłem w nią łańcuch. Nie celowałem i nie udało mi się trafić w głowę, jednak na szczęście łańcuch spadł na jej lewe ramię i bok. Czując dotknięcie srebra, wrzasnęła z bólu i zatoczyła się na ścianę.

Dostrzegając szansę, pobiegłem, mijając Meg, i obróciłem się dopiero u stóp schodów. Teraz przynajmniej nie miałem za plecami jej siostry. Łańcuch leżał na stopniach nade mną, dysponowałem wyłącznie laską z jarzębiny. Było to drewno najsilniej działające na czarownice. Ale Meg nie pochodziła z Hrabstwa, to lamia z obcych krain. Czy jarzębina poskutkuje?

Meg odzyskała równowagę i odwróciła się ku mnie.

– Dotknięcie srebra sprawia mi straszliwy ból chłopcze. – Jej twarz wykrzywił grymas furii. Chciałbyś poczuć podobny?

Postąpiła krok w dół i z rozmysłem przesunęła grzbietem lewej dłoni po ścianie. Na moich oczach jej paznokcie wbiły się w tynk, żłobiąc głębokie szramy. Tynk był stary i bardzo twardy – pokazywała mi, co może zrobić z moim ciałem. Gdy pokonała kolejny stopień, przygotowałem kij, gotów dźgnąć ją w głowę i ramiona.

Ale teraz już myślałem. Skupiłem się. I kiedy za atakowała, pędząc ku mnie, szybko opuściłem laskę celując w jej stopy. Oczy Meg rozszerzyły się, gdy zrozumiała, co próbuję zrobić, ale była zanadto rozpędzona. Nogi zaplątały jej się w laskę i poleciała w dół wyrывая mi kij z rąk. Teraz mogłem jednak odzyskać mój łańcuch. Przeskoczyłem nad nią i pobiegłem po schodach.

Podniosłem łańcuch, okręciłem wokół lewego przegubu, szykując się do kolejnego ataku. Tym razem nie mogłem chybić.

Uśmiechnęła się do mnie złośliwie, szydęrczo.

– Już raz nie trafiłeś. To nie tak łatwe, jak rzucanie na słupek w ogrodzie Gregory'ego, prawda? Czy pocą ci się dłonie, chłopcze? Zaczynają się trząść? Masz ostatnią szansę, a potem będziesz mój...

Wiedziałem, że próbuje zburzyć moją pewność siebie i zwiększyć możliwość chybienia. Odetchnąłem zatem głęboko, przypominając sobie szkolenie. Trafiałem w słupek dziewięć razy na dziesięć i nigdy nie chybiłem dwa razy pod rząd. Tylko strach mógł mi teraz przeszkodzić. Tylko wątpliwości. Odetchnąłem zatem raz jeszcze i skupiłem się. Gdy Meg się podniosła, wycelowałem starannie.

Trzasnąłem łańcuchem w powietrzu niczym batem i cisnąłem go prosto w wiedźmę. Poleciał ku niej, kreśląc w powietrzu idealną spiralę i oplatając głowę i ciało Meg. Wrzasnęła i ucichła nagle, gdy srebrny łańcuch zacisnął jej się na ustach. Runęła ciężko na podłogę. Ostrożnie zszedłem na dół i przyjrzałem się z bliska lamii. Ku mojej uldze odkryłem, że jest idealnie skrępowana. W jej oczach dostrzegłem ból. Lecz choć łańcuch zadawał jej męki, nadal spoglądała wyzywająco i dzielnie. Nagle wyraz jej twarzy zmienił się i pojąłem, że patrzy ponad moim ramieniem, na schody. Usłyszałem szuranie. Obróciwszy się zobaczyłem Marcie, dziką lamię, zbliżającą się ku mnie.

I znów ocalił mnie fakt, że już wcześniej opita krwią i nadal była rozdęta i ociężała. W przeciwnym razie zaatakowałyby, nim zdążyłbym mrugnąć okiem. Chwyciłem jarzębinowy kij i ruszyłem

jej na spotka nie. W oczach lamii płonęła nienawiść, cztery cienkie kończyny napięły się, gotowe do skoku. Z początku nie miałem czasu się bać – dźgnąłem kijem w opuchniętą twarz. Lamia nie mogła znieść dotyku jarzębiny. Jęknęła z bólu, gdy trzeci cios trafił ją pod lewe oko. Z gniewnym sykiem zaczęła się cofać. Długie tłuste, czarne włosy opadały na schody po obu stronach, pozostawiając wilgotny, oślizgły ślad.

Nie wiem, jak długo z nią walczyłem; czas zdawał się tkwić w miejscu. Z czoła spływał mi pot, kapiąc do oczu. Dyszałem ciężko, serce tłukło mi się w piersi z wysiłku i przerażenia. Wiedziałem, że w każdej chwili może mnie przechytrzyć albo że ja mogę się potknąć. Rzuciłaby się na mnie wówczas w mgnieniu oka, wbijając mi w nogi ostre zęby. W końcu jednak zdołałem zapędzić ją pod drzwi na strych i dźgając rozpaczliwie, zagnać do środka. Zatrzasnąłem mocno drzwi i zamknąłem kluczem. Wiedziałem, że nie powstrzymają jej zbyt długo; zbiegając po schodach, słyszałem już ogłuszające drapanie i jęk rozdzieranego drewna. Najwyższa pora na ucieczkę. Pójdę za pozostałymi do warsztatu Andrew. Gdy stracharz dojdzie do siebie, wróci i załatwi resztę.

Lecz kiedy otworzyłem drzwi, odkryłem, że na zewnątrz szaleje śnieżycyca. Wiatr wiał mi prosto w twarz. Może zdołałbym odnaleźć drogę na skraj parowu, ale wędrówka dalej byłaby czystym szaleństwem. Nawet gdybym bezpiecznie zszedł z moczarów, mógłbym zamarznąć na śmierć, próbując znaleźć Adlington. Szybko zamknąłem drzwi. Pozostało mi tylko jedno wyjście.

Meg nie była większa ode mnie i niezbyt ciężka. Postanowiłem zatem zabrać ją do piwnicy i uwięzić w jamie. Potem mógłbym zamknąć się razem z nią za bramą i we względnym bezpieczeństwie czekać na przybycie pomocy. Przynajmniej na jakiś czas. Nawet brama nie zatrzymałaby na zawsze Marcii.

Pozostawał jednak problem drugiej czarownicy, Bessy Hill. Zostawiłem zatem Meg na górze schodów i zacząłem szybko szukać torby stracharza. Znalazłem ją w końcu w kuchni i zaczerpnąłem hojną porcję żelaza i soli. Następnie zarzuciłem sobie Meg na ramię

i przytrzymując jej nogi ruszyłem do piwnicy. W lewej ręce niosłem laskę i świecę. Dotarcie na dół zabrało mi sporo czasu; pamiętałem, żeby zamknąć za sobą bramę. Raz jeszcze szerokim łukiem ominąłem Bessy Hill, która wciąż chrapała na stopniach.

Po wszystkim, co się stało, miałem ochotę powlec Meg za nogi, tak by jej głowa uderzała o każdy stopień. Nie zrobiłem tego jednak: pewnie i tak już cierpiała katusze, bo srebrny łańcuch krępował ją bardzo mocno, a poza tym mimo wszystko stracharz chciał, by, żebym potraktował ją możliwie dobrze. Bardzo zatem uważałem.

Kiedy jednak zsunąłem ją do jamy, nie zdołałem się powstrzymać.

– Śnij teraz o swoim ogrodzie! – powiedziałem z największą złośliwością, na jaką zdołałem się zdobyć.

Potem zostawiłem ją i ściskając w dłoni świeczkę, wróciłem na górę. Czas załatwić sprawę drugiej wiedźmy, Bessy Hill. Odgłosy mojego przejścia musiały ją obudzić, bo węsząc i plując, znów podjęła wędrówkę w stronę bramy. Sięgnąłem do kieszeni nogawic, wyciągnąłem garść soli i garść żelaza. Nie rzuciłem w nią jednak, lecz trzy stopnie nad nią usypałem z soli linię sięgającą od ściany do ściany, po czym doprawiłem ją żelazem. Następnie bardzo starannie zmieszałem je, tworząc barierę, której wiedźma nie powinna przekroczyć.

W końcu podszedłem do bramy i usiadłem trzy stopnie pod nią, na wypadek gdyby zjawiała się dzika lamia i próbowała schwytać mnie przez pręty.

Siedziałem tam i patrzyłem, jak świeca wypala się coraz bardziej i bardziej. Na długo przed tym, nim zgasła, zacząłem żałować tego, co powiedziałem Meg. Mojemu tacie nie podobałaby się podobna złośliwość. Lepiej mnie wychował. Meg nie mogła być całkiem zła – przecież stracharz ją kochał i ona też kiedyś go kochała. Co powie mój mistrz, gdy odkryje, że wrzuciłem ją do jamy, że zrobiłem coś, na co on sam nie potrafił się zdobyć?

Po jakimś czasie płomyk w końcu zgasł i pozostałem w



ciemności. Z piwnicy w dole dobiegały słabe szepty i odgłosy drapania, to martwe wiedźmy wierciły się w grobach. Od czasu do czasu słyszałem też słabą żywą czarownicę, węszącą i sapiącą z frustracji, niezdolną pokonać bariery z soli i żelaza.

O mało nie przysnąłem, gdy nagle zjawiała się dzika lamia, która przebiła się w końcu przez drzwi strychu. Całkiem nieźle widzę w ciemności, lecz na schodach piwnicy panował absolutny mrok. Usłyszałem tylko tupot i brzęk, gdy ciemna postać rzuciła się na bramę i zaczęła szarpać metal. Serce podeszło mi do gardła. Wyglądało na to, że lamia znów jest głodna. Podniosłem zatem laskę i rozpaczliwie zacząłem dźgać ją poprzez pręty.

Z początku, oszalała, nie zwracała na to uwagi. Słyszałem jęk kraty, gdy metal wyginał się i ustępował. Potem jednak poszczęściło mi się: musiałem ją trafić we wrażliwe miejsce, pewnie oko, bo wrzasnęła rozdzierająco i odskoczyła, z jękiem umykając na górę.

Kiedy śnieżycy ustanie, a stracharz odzyska siły, wróci do domu, by wszystko naprawić – byłem tego pewien. Nie wiedziałem tylko, kiedy. Czekają mnie długie popołudnie i jeszcze dłuższa noc. Może nawet spędzę na schodach kilka dni. Nie byłem pewien, ile razy Marcia przypuści atak na bramę.

Dwukroć jeszcze się pojawiła i dopiero gdy przegnałem ją po raz trzeci, wycofała się na górę. Zastanawiałem się, czy wróciła do domu. Może poszła zapolować na myszy i szczury? Po jakimś czasie musiałem walczyć z sennością. Nie mogłem pozwolić sobie na sen – brama była osłabiona i jeśli nie zacznę natychmiast odpierać kolejnego ataku, lamia zdoła się przebić.

Miałem poważne kłopoty. Gdybym tylko nie wracał po grimoire! Byłbym teraz bezpieczny ze stracharzem i Alice w domu Andrew.

## **ROZDZIAŁ 17**

### **CHWILA PRAWDY**

Na schodach było niewygodnie i bardzo zimno. Płynął czas; według moich obliczeń noc znów zamieniła się w dzień. Byłem głodny, w ustach zaschło mi z pragnienia.

Ile czasu będę tu musiał spędzić? Jak szybko zjawi się stracharz? A jeśli mój mistrz nie odzyska sił i nie zdoła przyjść? Potem zacząłem się martwić o Alice. Co będzie, jeśli wróci do domu i zacznie mnie szukać? Pewnie sądzi, że lamia wciąż tkwi uwięziona w piwnicy. Nie ma pojęcia, że była na strychu, a teraz biega swobodnie po domu.

W końcu gdzieś z góry dobiegły mnie jakieś dźwięki. Nie był to szybki tupot nóg, lecz jakże miły uszom pomruk ludzkich głosów i kroki ciężkich butów na schodach, którym towarzyszył odgłos czegoś ciężkiego, ciągniętego po stopniach. Zza zakrętu zabłysła świeca. Dźwignąłem się z ziemi.

– No, Andrew! Wygląda na to, że nie będziesz jednak potrzebny – natychmiast poznałem ten głos.

Stracharz podszedł do bramy. Za sobą wlokł dziką lamie, owiniętą ciasno srebrnym łańcuchem. U jego boku maszerował Andrew, który przybył otworzyć zamek.

– No, chłopcze, nie gap się – rzucił mój mistrz. – Otwórz bramę i wpuść nas do środka!

Szybko posłuchałem. Chciałem uprzedzić stracharza, co zrobiłem z Meg, gdy jednak otwarłem usta, pokręcił głową i położył mi dłoń na ramieniu.

– Wszystko w swoim czasie, chłopcze – powiedział ciepłym, wyrozumiałym tonem, jakby wiedział dokładnie, co uczyniłem. – Wszystkim nam było trudno i musimy poważnie porozmawiać. Ale na to przyjdzie czas później. Najpierw praca.

To rzekłszy, z Andrew idącym na przedzie i unoszącym świecę, ruszyliśmy na dół. Gdy zbliżyliśmy się do żywej wiedzy, brat stracharza zatrzymał się, świeca zadrżała mu w dłoni.

– Andrew, oddaj świeczkę chłopakowi – polecił stracharz. – Lepiej wróć na górę i zaczekaj przy drzwiach na kamieniarza i kowala. Uprzedź ich, że tu jesteśmy

Z westchnieniem ulgi Andrew wręczył mi świecę i skinąwszy głową w stronę brata, zawrócił. My maszerowaliśmy dalej i w końcu dotarliśmy do piwnicy. Pod niską powalą falowały gęste pajęczyny Stracharz skierował się wprost do jamy dzikiej lamii. Pręty zostały szeroko wygięte, pozostawiając mnóstwo miejsca, przez które mogliśmy ją wrzucić w ciemność – i mój mistrz nie tracił czasu, szykując się do tego.

– Przygotuj kij, chłopcze – polecił.

Podszedłem do niego zatem, z oświetlającą lamię i jej jamę świecą w prawej dłoni i kijem w lewej, opuszczonym tak, by móc dźgać w dół.

Stracharz uniósł lamię nad dziurę w prętach i nagłym szarpnięciem pociągnął koniec srebrnego łańcucha, obracając go w prawo. Łańcuch rozwinął się, a lamia z przeraźliwym krzykiem poleciała w mrok. Mój mistrz natychmiast ukląkł obok jamy i zaczął przewiązywać szczelinę między prętami srebrnym łańcuchem, tworząc tymczasową barierę, której lamia nie mogła przekroczyć. Z cieni w dole dobiegł nas wściekły syk, lecz wiedźma nie próbowała się uwolnić; po kilku chwilach stracharz wstał.

– Proszę, to powinno ją zatrzymać aż do przybycia kamieniarza i kowala – rzekł, podnosząc się z ziemi. – A teraz zobaczmy, co z Meg.

Podszedł do jej jamy. Dreptałem tuż za nim, wciąż niosąc świecę. Stracharz spojrzał w dół i ze smutkiem pokręcił głową. Meg leżała na wznak. Patrzyła na nas gniewnymi, szeroko otwartymi oczami, lecz łańcuch wciąż ją krępował i nie mogła nic powiedzieć.

– Przykro mi – powiedziałem. – Naprawdę przykro. Ja tylko...

Stracharz uniósł dłoń, uciszając mnie.

– Oszczędź słów na później, chłopcze. Ten widok jest dla mnie naprawdę bolesny...

Słyszałem niemal, jak ściska mu się gardło, na jego twarzy dostrzegłem grymas smutku. Szybko odwróciłem wzrok. Zapadła długa, krępująca cisza. W końcu mój mistrz westchnął głęboko.

– Co się stało, to się nie odstanie – mruknął ze smutkiem. – Ale nigdy nie sądziłem, że do tego dojdzie. Nie po tych wszystkich latach. A teraz chodźmy, zajmijmy się drugą.

Wróciliśmy na górę, do żywej czarownicy, Bessy

– A przy okazji, dobrze pomyślane, chłopcze – wykrzyknął stracharz, wskazując linię soli i żelaza – Świetnie, że wykazujesz inicjatywę.

Bessy Hill obróciła powoli głowę w lewo. Wyglądała, jakby próbowała coś powiedzieć. Stracharz ze smutkiem pokręcił głową i wskazał jej stopy.

– Tutaj, chłopcze. Weź prawą nogę, ja wezmę lewą i powoli ściągniemy ją do piwnicy. Tylko ostrożnie! Nie chcemy rozbić jej głowy...

Tak też uczyniliśmy i nie nazwę tego przyjemnym: prawa stopa Bessy w dotyku była zimna, wilgotna i oślizgła, a gdy wlekleśmy ją na dół, wiedźma znów zaczęła płuć i mamrotać. Szybko się jednak uwinęliśmy i wkrótce znalazła się z powrotem w jamie. Teraz trzeba już było tylko wymienić rozgięte pręty, by na długo pozostała niegroźna.

Jakiś czas milczeliśmy. Domyśliłem się, że stracharz myśli o Meg. Wówczas jednak z oddali dobiegły nas męskie głosy i tupot ciężkich buciorów.

– No dobrze, chłopcze, to pewnie kowal i kamieniarz. Miałem ochotę poprosić cię, byś sam zajął się Meg, lecz to moja powinność i nie cofnę się tym, co trzeba zrobić. Wracaj zatem po schodach na górę i napal porządnie we wszystkich pokojach na parterze. Dobrze się spisałeś. Porozmawiamy później.

Po drodze spotkałem kowala i kamieniarza.

– Pan Gregory jest na dole – poinformowałem, przytaknęli i ruszyli dalej; żaden z nich nie wyglądał na uszczęśliwionego. Ponura praca, ale ktoś musiał ją wykonać.

Później, gdy wróciłem do piwnicy poinformować mistrza, że rozpałem na kominkach, Meg nadal siedziała w jamie, lecz stracharz miał mój srebrny łańcuch i wręczył mi go bez słowa.

Robotnicy zawlekli na miejsce kamienną pokrywę z prętami i przymocowali metalowymi szpikulcami, wbijając je głęboko w ziemię.

Teraz Meg tkwiła uwięziona w jamie, jak inne czarownice. Stracharz musiał czuć wielki smutek, ale i tak to zrobił. Potrzebował niemal całego życia, by w końcu uwięzić Meg.

\*

Nim prace dobiegły końca i kamieniarz z kowalem Poszli sobie wreszcie, minął niemal cały dzień. Stracharz odwrócił się do mnie, zamykając za nimi drzwi i podrapał się po brodzie.

– Nim zjemy, zostało jeszcze jedno do zrobienia, chłopcze. Zabieraj się na górę i posprzątaj na strychu.

Mimo wszystkiego, co się stało, nie zapomniałem o grimoirze. Nie zapomniałem, co Morgan mógłby zrobić tacie. I oto nadarzała się okazja! Toteż rękami trzęsącymi się na myśl o tym, że zdradzę stracharza kradnąc księgę, zaniósłem na górę miotłę i wiadro z wodą. Zamknąwszy świetlik, zacząłem pospiesznie myć podłogę. Kiedy skończę, wyłamie zamek biurka i ukryję grimoire w mojej sypialni. Stracharz nigdy nie zagląda na strych, mogę zatem oddać Morganowi księgę, a on nawet się nie zorientuje.

Uprzątnąwszy krew i pióra, skupiłem uwagę na biurczku. Choć świetnej roboty, ozdobne i solidne, widziałem, że nie wytrzyma długo. Wyciągnąłem z kieszeni kurtki mały łom i wsunąłem w szczelinę między drzwiczkami.

W tym momencie usłyszałem za plecami kroki i podskoczyłem przerażony. Stracharz stał w drzwiach, patrzył na mnie z gniewem i niedowierzaniem.

– I co, chłopcze, co my tu mamy?

– Nic – skłamałem. – Po prostu czyściłem to stare biurko.

„ Nie kłam, chłopcze. Na tym świecie nie ma nic gorszego od kłamstwa. Dlatego zatem wróciłeś do domu. Dziewczyna nie rozumiała...

– Morgan kazał mi zabrać grimoire z biurka na strychu! – wybuchnąłem i zwiesiłem ze wstydu głowę. – Mam mu go zanieść

we wtorek wieczorem do kaplicy na cmentarzu. Przykro mi, tak bardzo przykro. Nigdy nie chciałem cię zdradzić, ale nie mogłem znieść myśli o tym, co zrobiłby tacie, gdybym odmówił.

– Twojemu tacie? – Stracharz zmarszczył brwi. – Jak Morgan mógłby skrzywdzić twojego tatę?

– Mój tato umarł, panie Gregory.

– Tak, dziewczyna powiedziała mi wczoraj. Przykro mi to słyszeć.

– Morgan wezwał ducha taty i go przeraził...

Stracharz uniósł dłoń.

– Uspokój się, chłopcze. Przestań paplać, mów wolno i wyraźnie. Gdzie to się stało?

– W jego pokoju na farmie. Najpierw przywołał swoją siostrę, a ona sprowadziła tatę. To był jego głos, a Morgan wmówił mu, że jest w piekle. Zrobił to ponownie w Adlington – z całą pewnością słyszałem w głowie głos taty – i powiedział, że będzie to robił dalej, jeśli go nie posłucham. Wróciłem po grimoire, ale gdy wszedłem na strych, zastałem dziką lamie. Karmiła się ptakami. W panice zbiegłem na dół, Meg już na mnie czekała. Kiedy pierwszy rzut chybił, myślałem, że ze mną koniec.

– Tak, to cię mogło kosztować życie. – Mój mistrz z dezaprobatą pokręcił głową.

– Byłem zrozpaczony – przyznałem.

– To mnie nie obchodzi, chłopcze. – Stracharz podrapał się po brodzie. – Czy nie kazałem ci go unikać? Powinieneś być powiedzieć mi wszystko, nie zakradać się, by kraść księgę na rozkaz tego głupca, Morgana.

Słowo „kraść” bardzo mnie uraziło. Nie da się zaprzeczyć, że byłaby to kradzież, ale wypowiedziane przez mojego mistrza okropnie zabolalo.

– Nie mogłem. Meg cię uwięziła. Poza tym ty też nie powiedziałaś mi wszystkiego – rzuciłem gniewnie. – Czemu nie uprzedziłaś, że Morgan to twój syn? Jak mam wiedzieć, komu ufać, skoro ukrywasz przede mną takie rzeczy? Mówiłaś, że Morgan to

syn państwa Hurstów – ale nie, on jest twój, siódme dziecko twoje i Emily Burns. Zrobiłem to, co zrobiłem, bo kocham mojego ojca. Lecz twój syn nie zrobiłby dla ciebie nic. On cię nienawidzi, chce cię zniszczyć. Nazywa cię starym głupcem!

Wiedziałem, że posunąłem się za daleko, lecz stracharz jedynie uśmiechnął się ponuro i pokręcił głową.

– Owszem, wiem, że nie ma głupca nad starego głupca i czasami z pewnością się tak czuję, lecz co do reszty... – przygwoździł mnie wzrokiem, jego zielone oczy zabłysły groźnie. – Morgan nie jest moim synem! – Nagle huknął pięścią w biurko, jego twarz pokraśniała z gniewu. – To kłamca! Był nim, jest i zawsze będzie. Próbuje namieszać ci w głowie i manipulować. Nie mam dzieci: czasami tego żałowałem. Ale gdybym miał, sądzisz, że bym się ich wyparł? Czy twój ojciec wyparłby się kogoś z was?

Pokręciłem głową.

– Chciałbyś usłyszeć całą historię, skoro tak wiele dla ciebie znaczy?

Przytaknąłem.

– Nie zaprzeczę, że odebrałem Emily Burns mojemu własnemu bratu, i że bardzo zraniłem naszą rodzinę, zwłaszcza brata. Nigdy temu nie zaprzeczałem i niewiele mam na swoją obronę, poza tym, że byłem młody. Pragnąłem jej, chłopcze i musiałem ją zdobyć. Pewnego dnia przekonasz się, o czym mówię. Lecz wina tylko częściowo leżała po mojej stronie. Emily była silną kobietą, ona też mnie pragnęła. Bardzo szybko jednak znudziła się mną, tak jak wcześniej moim bratem. Znalazła sobie innego. Nazywał się Edwin Furner, i choć był siódmym synem siódmego syna, pracował jako garbarz. Nie każdy, kto nadaje się do naszego fachu, faktycznie się mu poświęca. Przez pierwsze dwa lata byli szczęśliwi. Lecz tuż po tym, jak na świat przyszło drugie dziecko, Furner zniknął na niemal rok, zostawiając ją samą z dwójką maleństw.

Byłoby lepiej, gdyby nie wracał, ale pojawiał się jak zły szeląg. Za każdym razem, gdy wyjeżdżał, ona znów spodziewała się dziecka. W sumie było ich siedmioro. Morgan to siódmy syn

Furnera. Potem jego ojciec już nigdy nie wrócił.

Stracharz ze znużeniem pokręcił głową.

– Emily miała ciężkie życie, chłopcze i pozostaliśmy przyjaciółmi, pomagałem jej zatem, jak tylko mogłem: czasami pieniędzmi, czasami znajdując pracę dla dorastających chłopców. Nie mieli przecież ojca. Cóż innego mogłem zrobić? Gdy Morgan skończył szesnaście lat, znalazłem mu pracę na Farmie Przy Moczarach. Hurstowie tak bardzo go polubili, że w końcu zaadoptowali. Nie mieli własnego syna i farma przypadłaby mu w spadku. Nie miał jednak serca do pracy na farmie i wszystko zaczęło się psuć. Trwało to niecały rok.

Jak już ci wspominałem, Hurstowie mieli córkę, mniej więcej w tym wieku co on. Nazywała się Eveline. Morgan i Eveline byli młodzi, zakochali się w sobie. Jej rodzice nie chcieli o tym słyszeć, bo pragnęli, by pozostali bratem i siostrą, toteż dotkliwie zbili oboje i uprzykrzali im życie. W końcu nie mogąc dłużej wytrzymać, Eveline utopiła się w jeziorze. Po tym Emily błagała, bym zabrał stamtąd Morgana i przyjął go do terminu. Uznałem, że to rozsądny pomysł, miałem jednak wątpliwości i okazało się, że słusznie. Wytrwał trzy lata, w końcu jednak wrócił do Emily, ale nie umiał trzymać się z dala od Farmy Przy Moczarach. Nadal czasami tam mieszka – przynajmniej gdy nie oddaje się złu.

Duch jego siostry pozostał na tym świecie, nie mogąc przejść na drugą stronę. Przez to znalazła się w jego mocy. Morgan bez wątpienia rośnie w siłę. Wygląda na to, że ma nad tobą władzę. Lepiej opowiedz mi dokładnie, co się działo.

Zrobiłem tak zatem, a gdy mówiłem, stracharz dopytywał się o szczegóły. Zacząłem od spotkania z Morganem w kaplicy na cmentarzu na skraju wrzosowiska, a zakończyłem na rozmowie nad grobem Emily Burns.

– Już rozumiem – rzekł stracharz, gdy skończyłem – Teraz to jasne. Jak mówiłem, Morgana zawsze fascynował starożytny kurhan na moczarach. Jeśli zaczniesz tam kopać, w końcu do czegoś się dokopiesz. Gdy jeszcze był moim uczniem, znalazł w



ziemi zapieczętowaną skrzynię z grimoirem. Grimoire zaś kryje w sobie rytuał, jedyny sposób przywołania Golgotha. To właśnie próbował zrobić Morgan. Na szczęście zdążyłem powstrzymać go na czas.

– Co by się stało, gdyby mu się powiodło? – spytałem.

– Lepiej o tym nie myśleć, chłopcze. Wystarczyłby drobny błąd w rytuale, żeby Morgan zginął. Lepsze to jednak niż bezpieczne odprawienie obrzędu. Bo widzisz, Morgan dokładnie wypełnił instrukcje. Na podłodze pokoju na Farmie Przy Moczarach nakreślił pentagram, pięcioramienną gwiazdę wewnątrz trzech koncentrycznych kręgów. Gdyby zatem wykonał wszystko jak należy, byłby w nim bezpieczny. Lecz Golgoth zmaterializowałby się poza kręgiem i mógłby spokojnie krążyć po Hrabstwie. Nie na próżno nazywają go Władcą Zimy. Minęłyby lata, nim znów nastalaby wiosna. Nas wszystkich czekałby głód i lodowa śmierć. Morgan złożył w ofierze psa i farmy. Golgoth nawet go nie tknął, lecz nieszczęsne zwierzę skonało ze strachu.

Jak już wspomniałem, powstrzymałem go w ostatniej chwili, zakończyłem jego termin i odebrałem mu grimoire. Potem wraz z matką kazaliśmy mu przysiąc, że zostawi Golgotha w spokoju i nie spróbuje znów go przywołać. Emily wierzyła w słowa syna i przez wzgląd na nią dałem mu szansę, licząc na to, że jej wiara w niego będzie uzasadniona. Ponieważ jednak powstrzymałem go w trakcie rytuału, część mocy Golgotha już się ocknęła i złączyła z Morganem. Twoja matka miała rację – nastanie ciężka zima. Jestem pewien, że ma to coś wspólnego z Golgothem i Morganem. Po tym, jak ode mnie odszedł, zwrócił się ku mrokowi i odtąd jego moc stale rośnie. Uważa też, że grimoire zapewni mu ostateczną władzę.

Już teraz umie robić rzeczy, których człowiek robić nie powinien. Część to zwykłe sztuczki – ot, zmiana temperatury w pokoju, by zaimponować maluczkiemu. Wygląda jednak na to, że nauczył się też poddawać swym rozkazom zmarłych – nie tylko duchy, ale też dusze tkwiące w limbo, pomiędzy tym życiem a

drugim. Z bólem przyznaję, że wygląda to bardzo źle. Naprawdę lękam się, że Morgan mógłby skrzywdzić duszę twego biednego taty...

Stracharz spojrział na świetlik i znów na biurko, po czym ze smutkiem pokręcił głową.

– Cóż, chłopcze, ruszaj na dół. Musimy porozmawiać.

\*

W kwadrans później mój mistrz siedział spokojnie w bujanym fotelu Meg, a w rondlu parowała zupa groszkowa.

– Jak twój apetyt, chłopcze? – spytał.

– Od wczoraj niczego nie jadłem – przyznałem.

Słyszając to, uśmiechnął się szeroko, ukazując szparę w miejscu, gdzie bogin wybił mu przedni ząb. Wstał, postawił na stole dwie miski i chochlą nalał zupy. Po chwili zanurzałem już kromkę chleba w cudownie gorącym daniu. Sam stracharz nie jadł chleba, opróżnił jednak talerz.

– Naprawdę mi przykro, że twój tato umarł – rzekł, odsuwając od siebie naczynie. – Nie powinien niczego się lękać po śmierci. Niestety, Morgan użył mocy Golgotha, by go zranić i ciebie poprzez niego. Nie martw się jednak, chłopcze, zakończymy to, gdy tylko zdołamy. A co do reszty bzdur, Morgan nie jest moim synem i nigdy nim nie był. – Znów spojrział mi prosto w oczy. – I co, wierzysz mi?

Przytaknąłem, lecz chyba nie zrobiłem tego dość przekonująco, bo stracharz westchnął i pokręcił głową.

– No cóż, chłopcze, albo on jest kłamcą, albo ja. Lepiej zdecyduj, któremu z nas uwierzysz. Jeśli nie będziemy sobie ufać, nie ma sensu, byś dalej pozostawał mym uczniem. Ale jedno jest pewne: nie pozwolę ci z nim odejść. Prędzej złapię cię za kark, oddam matce i zaczekam, aż wbije ci do tępego łba trochę rozumu.

Przemawiał szorstko i po tym, co się stało, jego słowa naprawdę mną wstrząsnęły.

– Nie mógłbyś mnie zabrać do matki – odparłem z goryczą. – Spóźniłem się na pogrzeb i w ogóle się z nią nie widziałem. Zaraz

po pogrzebie gdzieś odeszła – może do swojej ojczyzny. Nie sądzę, by jeszcze wróciła.

– Daj jej trochę czasu, chłopcze. Właśnie straciła męża, musi opłakać go w spokoju. Lecz jestem pewien, że zobaczysz ją jeszcze i to wkrótce. To nie proroctwo, lecz zwykły rozsądek. Jeżeli ma odejść, odejdzie, ale najpierw pożegna się jak należy ze wszystkimi synami. To, co zrobił Morgan, jest straszne, lecz nie martw się, znajdę go i powstrzymam, raz na zawsze.

Byłem zbyt zmęczony, by cokolwiek rzec, toteż skinąłem jedynie głową. Miałem nadzieję, że mój mistrz się nie myli.

## **ROZDZIAŁ 18**

### **KAPLICA UMARŁYCH**

Mimo obietnic stracharza, nie dało się od razu rozprawić z Morganem. Przez następne dwa tygodnie pogoda tak bardzo się pogorszyła, że praktycznie nie wychodziliśmy na dwór. Kolejne śnieżyce szalały w parowie, wiatr uderzał śniegiem o szyby i zakopywał w zaspach front domu niemal do poziomu pierwszego piętra. Zaczynałem już sądzić, że Golgoth faktycznie się ocknął. Jakże się cieszyłem, iż Shanks okazał się dość przewidujący, by dostarczyć dodatkowe zapasy. Kiedy nadszedł wtorek, dzień wyznaczony przez Morgana na nasze spotkanie, poczułem niepokój i niemal spodziewałem się, że zjawi się w domu stracharza. Lecz podczas szalejącej śnieżycy nikt nie zdołałby przejść przez moczary. Każda godzina uwięzienia w domu ciągnęła się jak tortura. Rozpaczliwie pragnąłem wyjść, znaleźć Morgana i położyć kres cierpieniom taty.

Mój mistrz znów narzucił nam zwykłą rutynę: sen jedzenie i lekcje podczas śnieżycy. Dołączył do niej jednak nowy element – każdego popołudnia schodził do piwnicy porozmawiać z Meg i zanieść jej coś do jedzenia. Zazwyczaj było to tylko parę ciastek,

lecz czasami zabierał resztki naszego posiłku. Zastanawiałem się, o czym tam rozmawiają, wiedziałem jednak, że nie warto pytać. Zgodziliśmy się nie mieć przed sobą sekretów, lecz stracharz wciąż potrzebował prywatności.

Pozostałe dwie wiedźmy musiały radzić sobie najlepiej, jak umiały, żywiąc się robakami, ślimakami i wszystkim, co zdołały wyłapać z wilgotnej ziemi. Lecz Meg nadal pozostawała przypadkiem wyjątkowym. Zastanawiałem się, czy któregoś dnia stracharz nie poda jej znów ziołowej herbaty i nie wyprowadzi z piwnicy. Owszem, była znacznie lepszą kucharką od nas, ale po wszystkim, co się stało, czułem się bezpieczniej, wiedząc, że siedzi w jamie. Martwiłem się o stracharza. Czyżby zmiękł? Tyle razy ostrzegał mnie, bym nie ufał kobietom, a oto znów złamał wszystkie swoje zasady. Miałem ochotę mu to wypomnieć, ale jak? Wiedziałem przecież, że bardzo martwił się uwięzieniem Meg.

Wciąż nie jadł jak należy, a któregoś ranka oczy miał czerwone i spuchnięte, jakby je zatarł. Zastanawiałem się, czy przypadkiem nie płakał. Jak ja sam zachowałbym się w podobnej sytuacji? A gdybym to ja był stracharzem, a Alice siedziała w jamie? Czy nie zachowałbym się podobnie? Zastanawiałem się też, jak radzi sobie Alice. Postanowiłem, że jeśli pogoda kiedykolwiek się poprawi, spytam mistrza, czy mógłbym złożyć wizytę w warsztacie Andrew i znów ją odwiedzić.

I wtedy, niespodziewanie, pewnego ranka pogoda faktycznie się zmieniła. Wciąż rozmyślałem o tym, co groziło tacie. Miałem nadzieję, że gdy tylko nadarzy się okazja, wyruszymy na poszukiwanie Morgana. Niestety jednak, stało się inaczej. Wraz ze słońcem przyszło zadanie dla stracharza. Wezwano nas z mistrzem na wschód, na farmę Plattów. Problemy z boginem – tak to przynajmniej wyglądało.

Minęła godzina, nim ruszyliśmy w drogę, najpierw bowiem stracharz musiał wyciąć sobie nowy kij z jarzębinowego drewna. Gdy w końcu, po dwugodzinnej mozolnej wędrówce przez głęboki śnieg dotarliśmy na miejsce, nie znaleźliśmy żadnych śladów

bogina. Farmer przeprosił nas wylewnie za swój błąd, winiąc za wszystko żonę, często chodzącą we śnie. Mówił, że przestawiała rzeczy w kuchni, brzęczała garnkami i rondlami, przeszkadzając rodzinie, a następnego ranka budziła się, nie pamiętając, co zrobiła. Wyglądał na zawstydzonego, że wezwał nas bez powodu i nad wyraz chętnie zapłacił stracharzowi za fatygę.

Byłem wściekły, że straciliśmy cenny czas, i powiedziałem o tym mistrzowi w drodze powrotnej. Zgodził się.

– Coś mi tu śmierdzi – rzekł. – O ile się nie mylę, chłopcze, ktoś nam spletał psikusa. Widziałeś kiedyś, by farmer równie chętnie z własnej woli sięgał do kieszeni?

Pokręciłem głową. Przyspieszyliśmy kroku; stracharz maszerował na przedzie, chcąc jak najszybciej dotrzeć do domu. Na miejscu zastaliśmy otwarte tylne drzwi. Zamek został wyłamany. Sprawdziwszy najpierw drzwi piwnicy oraz kratę i stwierdziwszy, że są nietknięte, stracharz kazał mi poczekać w kuchni i ruszył na górę. W pięć minut później wrócił, gniewie kręcąc głową.

– Grimoire zniknął! – rzucił. – Cóż, chłopcze, bez wątpienia wiemy, kogo musimy szukać! Kogóż innego, jak nie Morgana? Panuje już nad Golgothem do tego stopnia, by móc powstrzymać śnieżyce. Dokładnie zaplanował całą kradzież.

Wydało mi się dziwne, że Morgan wcześniej nie próbował wykraść grimoire'u. Łatwo byłoby to zrobić latem, gdy Meg siedziała zamknięta w piwnicy, a sam dom stał pusty. Potem jednak przypomniałem sobie słowa stracharza – obietnicę, którą Morgan złożył matce, że nie będzie próbował przywołać Golgotha. Może dotrzymał słowa aż do dnia jej śmierci, a teraz, gdy już ją oplakał, uznał, że może robić, co zechce?

– Dziś wiele już nie zdziałamy, ale ruszajmy do Adlington i poprośmy mojego brata, by naprawił drzwi – zdecydował stracharz.  
– Nie wspominaj jednak o grimoirze; opowiem mu o nim w stosownym czasie. A po drodze złożymy wizytę na Farmie Przy Moczarach. Wątpię, abyśmy zastali tam Morgana, ale muszę zadać Hurstom kilka pytań.

Zdziwiłem się, czemu nie chce wspomnieć Andrew o księdze, widziałem jednak, że nie jest w nastroju do podobnych pytań.

Natychmiast ruszyliśmy na Farmę Przy Moczarach. Gdy dotarliśmy na miejsce, stracharz sam wszedł do środka, by pomówić z Hurstami. Mnie kazał poczekać na podwórzu. Nigdzie nie widziałem ani śladu Morgana. Mój mistrz spędził nieco czasu na farmie i wyszedł, marszcząc czoło. Z zaciśniętymi zębami poprowadził mnie do warsztatu Andrew.

Stracharz zachowywał się, jakby była to zwykła, braterska wizyta. Znów się zastanawiałem, czemu nie wspomniał o tym, co się stało. Dobrze było jednak ponownie zobaczyć Alice. Przyrządziła nam późną kolację i rozgrzaliśmy się przy wielkim kominku w salonie. A potem zasiedliśmy do stołu. Gdy już zjedliśmy, stracharz zwrócił się do niej:

– To była świetna kolacja, dziewczyno – rzeki, obdarzając ją słabym uśmiechem. – Ale teraz muszę omówić pewne sprawy na osobności z moim bratem i Tomem. Lepiej zatem idź już do łóżka.

– Czemu to ja mam iść do łóżka? – Alice najeżyła się gniewnie.  
– Ja tu mieszkam, nie ty.

– Proszę, Alice, zrób, jak mówi John – wtrącił łagodnie Andrew.  
– Z pewnością ma bardzo ważne pogody, niepozwalające, byś usłyszała, co chce mi rzec.

Alice posłała mu mordercze spojrzenie, dom jednak należał do niego, toteż posłuchała, o mało nie trzaskając drzwiami i tupiąc ciężko na schodach.

– Im mniej będzie wiedzieć, tym lepiej – rzekł mistrz. – Właśnie widziałem się z Hurstami, rozmawiałem z żoną o powodach odejścia młodej Alice. Wygląda na to, że pokłóciła się z Morganem i wyniosła się w złości, lecz parę dni wcześniej byli z sobą blisko i spędzali razem mnóstwo czasu w jego pokoju. Może to nic. Może po prostu próbował pozyskać ją sobie, tak jak później chłopaka – wskazał mnie skinieniem głowy. – Próbował i nie zdołał. Ale na wszelki wypadek lepiej, by nie słyszała, co mam do powiedzenia. Dziś rano Morgan włamał się do mojego domu i ukradł grimoire.

Andrew z zatroskaną miną otworzył usta, by coś powiedzieć, ale ja byłem pierwszy.

– To niesprawiedliwe! – rzuciłem. – Alice nienawidzi Morgana, sama mi powiedziała. Dlaczego niby odeszła? Nie ma mowy, żeby mu pomogła.

Stracharz gniewnie pokręcił głową.

– Niektóre lekcje trudniej wbić ci do tępego łba niż mnie! – warknął. – Po tylu miesiącach wciąż jeszcze nie nauczyłeś się, że nie możesz w pełni ufać dziewczynie. Zawsze musisz ją obserwować. Dlatego właśnie dopilnowałem, by była w pobliżu; w przeciwnym razie nie dopuściłbym jej do ciebie na dziesięć mil.

– Zaczekajcie chwilkę – wtrącił Andrew. – Mówisz że Morgan zdobył grimoire. Jak mogłeś być tak niemądry, John? Powinieneś był spalić tę piekielną książkę, kiedy miałeś okazję! Jeśli znów spróbuje odprawić rytuał, nie wiadomo, co się stanie. Miałem nadzieję obejrzeć jeszcze przed śmiercią kilka wiosen. Trzeba ją było zniszczyć. Nie pojmuję, po co trzymałeś ją u siebie!

– Posłuchaj, Andrew, to moja sprawa. Po prostu mi zaufaj. Powiedzmy, że miałem powody.

– Emily, co?

Stracharz puścił to mimo uszu.

– Co się stało, to się nie odstanie. Żałuję, że Morgan zdobył grimoire i że nie leży on bezpiecznie pod kluczem.

– Ja też – odparł podniesionym głosem Andrew; z każdą chwilą ogarniała go coraz większa wściekłość. – Masz obowiązki wobec Hrabstwa, często to powtarzałeś. To, co zrobiłeś, zatrzymując księgę i nie niszcząc jej, równa się zaniedbaniu owych obowiązków.

– Cóż, bracie, dziękuję ci za gościnność, lecz nie za je szorstkie słowa. – W głosie stracharza także zadźwięczała gniewna nuta. – Nie wtrącam się w twoje sprawy, a ty powinieneś mi ufać i wierzyć, że staram się, jak umiem. Przyszedłem tu poinformować cię o wszystkim, lecz był to długi i ciężki dzień. Czas, byśmy się położyli, nim powiemy coś, czego naprawdę pożałujemy.

Szybko pożegnaliśmy się z Andrew. Maszerując ulicą,

przypomniałem sobie, po co w ogóle do niego poszliśmy.

– Nie poprosiliśmy Andrew, żeby naprawił zamek – mruknąłem. – Mam wrócić i mu powiedzieć?

– Nie, chłopcze – warknął mistrz ze złością. – Nawet gdyby był ostatnim ślusarzem w Hrabstwie! Wolę naprawić go sam.

– Skoro pogoda już się poprawiła, nie moglibyśmy jutro zacząć szukać Morgana? – rzekłem. – Bardzo się martwię o tatę.

– Zostaw to mnie, chłopcze – powiedział łagodnie stracharz. – Znam parę miejsc, w których Morgan mógł się ukryć. Najlepiej będzie, jeśli wyruszę jutro, na długo przed świtem.

– Mogę pójść z tobą?

– Nie, chłopcze, jeśli pójde sam, mam większą szansę go zaskoczyć. Zaufaj mi. Tak będzie najlepiej!

Ufałem stracharzowi, choć jednak dostrzegąłem sens w jego słowach, nadal pragnąłem z nim pójść. Raz jeszcze spróbowałem go przekonać, pojąłem jednak, iż na darmo strzępię język. Kiedy mój mistrz raz podjął decyzję, pozostawało pogodzić się z nią i nie protestować.

\*

Kiedy następnego ranka zszedłem do kuchni, nie zastałem w niej stracharza. Jego płaszcz i kij zniknęły. Tak jak zapowiadał, na długo przed świtem wyszedł z domu szukać Morgana. Gdy skończyłem śniadanie, mój mistrz jeszcze nie wrócił i pojąłem, iż jego nieobecność to okazja, z której grzech nie skorzystać. Byłem ciekaw, co u Meg i postanowiłem złożyć krótką wizytę w piwnicy, by sprawdzić, jak się miewa.

Zabrałem zatem klucz z biblioteczki, zapaliłem świecę i ruszyłem na dół. Przeszedłem przez bramę, zamykając ją za sobą, i pomaszerowałem dalej w stronę piwnicy. Gdy jednak dotarłem na podest z trojgiem drzwi, ze środkowej celi odezwał się głos.

– John! John? Czy to ty? Zorganizowałaś już przeprawę?

Zatrzymałem się gwałtownie. Głos należał do Meg. Stracharz uwolnił ją z jamy i zamknął w celi, gdzie było wygodniej. A zatem faktycznie zmiękł. Bez wątplenia minie kilka dni i Meg wróci do



kuchni. Co jednak miała na myśli, mówiąc: „zorganizowałeś przeprawę”? Czyżby wybierała się w podróż? Czy stracharz miał gdzieś z nią pojechać?

Nagle usłyszałem, jak trzy razy pociąga głośno nosem.

– No, chłopcze, co ty tu robisz? Podejdz do drzwi, niech ci się przyjrzę.

Wywęszyła mnie, toteż skradanie się po schodach nie miało już sensu. Bez wątpienia i tak powie stracharzowi, że ją odwiedziłem. Podeszedłem zatem do drzwi celi i zajrzałem do środka, pamiętając, by zanedto się nie zbliżyć.

Śliczna twarz Meg uśmiechała się do mnie zza prętów. Nie był to ponury uśmiech, który widziałem podczas walki. Ku memu zdumieniu wyglądał całkiem przyjaźnie.

– Jak się miewasz, Meg? – spytałem uprzejmie.

– Bywało lepiej i bywało gorzej – odparła Meg. – Nie dzięki tobie. Ale co się stało, to się nie odstanie, i nie winię cię za to. Jesteś, kim jesteś. Ty i John macie ze sobą wiele wspólnego. Ale udzię ci rady: jeśli zechcesz jej wysłuchać.

– Oczywiście, że wysłucham.

– W takim razie zapamiętaj sobie moje słowa Traktuj dobrze dziewczynę, Alice na tobie zależy Traktuj ją lepiej, niż John traktował mnie, a nie pożałujesz. To się nie musi tak skończyć.

– Bardzo lubię Alice. Postaram się jak najlepiej.

– Pamiętaj o tym.

– Słyszałem, jak pytałaś o zorganizowanie przeprawy – rzekłem, odwracając się do wyjścia. – Co to znaczy?

– Nie twoja sprawa, chłopcze – odparła Meg. – Mógłbyś spytać Johna, ale wątpię, byś zechciał, bo usłyszałbyś tę samą odpowiedź. Nie przypuszczam też, by ucieszył się na wieść, że wałasasz się tu bez jego pozwolenia.

Słyszając to, wymamrotałem „do widzenia” i wróciłem na górę, starannie zamykając za sobą bramę. Najwyraźniej stracharz wciąż miał przede mną tajemnice. Podejrzewałem, że zawsze tak będzie. Gdy tylko odłożyłem klucz na właściwe miejsce, usłyszałem jego

kroki.

– Znalazłeś Morgana? – spytałem zawiedziony, bo znałem już odpowiedź. Gdyby mistrz go znalazł, przyprowadziłby Morgana ze sobą, skrupowanego i uwięzionego.

– Przykro mi, chłopcze, ale nie. Sądziłem, że może znajdę go przyczajonego w opuszczonej wieży w Rivington – oznajmił stracharz. – I rzeczywiście, był tam niedawno, bez wątpienia coś knuł. Wygląda jednak na to, że nigdzie nie zabawia długo. Nie zamartwiaj się jednak, jutro rano znów zacznę szukać. A tymczasem możesz coś dla mnie zrobić? Dziś po południu przejdź się do Adlington i spytaj mojego brata, czy zechciałby zjawić się tu i naprawić drzwi. Powiedz mu też, iż przykro mi, że padły między nami nieprzyjazne słowa. Pewnego dnia zrozumie, że zrobiłem to, co należało zrobić.

\*

Popołudniowe lekcje ciągnęły się dłużej niż zwykle i do zmierzchu zostały niecałe dwie godziny, kiedy z jarzębinową laską w dłoni ruszyłem w końcu do Adlington.

Andrew powitał mnie ciepło, a gdy przekazałem przeprosiny stracharza, jego twarz rozjaśnił uśmiech. Zgodził się naprawić zamek w ciągu paru najbliższych dni. Później jakiś kwadrans rozmawiałem z Alice, choć sprawiała wrażenie nieco chłodnej. Pewnie dlatego, że poprzedniego wieczoru mistrz odesłał ją do łóżka. Pożegnawszy się, ruszyłem w stronę domu stracharza. Bardzo chciałem zdążyć przed zmrokiem Szedłem najwyżej parę minut, gdy za plecami usłyszałem słaby dźwięk. Odwróciłem się i ujrzałem, że ktoś podąża za mną w górę zbocza. To była Alice. Zaczekałem, aż mnie dogoni. Miała na sobie wełniany płaszcz; gdy się zbliżyła, dostrzegłem zgrabne ślady, pozostawione w śniegu przez szpiczaste trzewiki.

– Coś kombinujesz, o tak – rzekła z uśmiechem. – Co chcieli ukryć przede mną wczoraj wieczorem? Możesz mi powiedzieć, prawda, Tom? Nie mamy przed sobą tajemnic. Zbyt wiele razem przeszliśmy, prawda?

Słońce już zaszło i robiło się ciemno.

– To bardzo skomplikowane – rzekłem niecierpliwie. – Nie mam zbyt wiele czasu.

Alice pochyliła się i chwyciła mnie za ramię.

– No dalej, Tom, możesz mi powiedzieć!

– Pan Gregory ci nie ufa – oznajmiłem. – Uważa, że za bardzo zbliżyłaś się do Morgana. Pani Hurst powiedziała mi, że spędzaliście mnóstwo czasu w jego pokoju na dole.

– To, że stary Gregory mi nie ufa, to nie nowina – wykrzyknęła wzgardliwie Alice. – Morgan planował coś wielkiego. Mówił o rytuale, dzięki któremu zyska bogactwa i władzę, chciał, żebym mu pomogła. Marudził i marudził, aż w końcu nie mogłam znieść jego widoku. To wszystko. No dalej, Tom, co się dzieje? Możesz mi powiedzieć.

W końcu uświadomiwszy sobie, że nie zdołam przekonać Alice, poddałem się. Szła u mego boku, a ja niechętnie wyjaśniałem, co się działo. Opowiedziałem jej o grimoirze i o tym, jak Morgan zażądał, żebym go ukradł i jak torturował duszę taty. Potem dodałem, że ktoś się do nas włamał i teraz szukamy Morgana.

Alice, nie była zachwycona tym, co usłyszała.

– Chcesz powiedzieć, że poszedłeś ze mną do domu starego Gregory'ego, nie wspominając o swoich planach? Ani słowem! Zamierzałeś pójść na strych i nic mi o tym nie powiedziałaś. To nieuczciwe, Tom! Ryzykowałam własnym życiem i zasłużyłam sobie na lepsze traktowanie. Znacznie lepsze!

– Przepraszam, Alice, naprawdę mi przykro, ale nie byłem w stanie myśleć o niczym innym, niż o tym, co Morgan zrobi mojemu tacie. Nie myślałem logicznie. Wiem, że powinienem był ci zaufać.

– Trochę już na to za późno. Chyba jednak wiem, gdzie mógłbyś dziś znaleźć Morgana.

Spojrzałem na nią ze zdumieniem.

– Mamy wtorek – oznajmiła Alice. – A we wtorkowe wieczory Morgan od lat zawsze robi to samo. Na wzgórzu jest kaplica, zbudowana na cmentarzu. Ludzie schodzą się tam z daleka, a on

bierze od nich pieniądze. Raz z nim poszłam; każe przemawiać zmarłym. Nie jest księdzem, ale ma kongregację większą niż wiele kościołów.

Przypomniałem sobie dzień, gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy, kiedy otrzymałem wieści o tacie i ruszyłem do domu. Wtedy także był wtorek. Poszedłem na skróty przez cmentarz i zastałem Morgana w kaplicy. Musiał tam czekać na swoich wiernych. Grimoire także kazał przynieść sobie we wtorek, tuż po zachodzie słońca. Miałem ochotę sam się kopnąć. Czemu nie potrafiłem dodać dwóch do dwóch?

– Nie wierzysz mi? – spytała Alice.

– Oczywiście, że ci wierzę. Wiem, gdzie jest kaplica, już tam byłem.

– Może zatem zajrzysz do niej w drodze do domu – podsunęła Alice. – Jeśli mam rację i on tam jest, możesz uprzedzić starego Gregory'ego. Może zdąży go złapać! Ale nie zapomnij mu wspomnieć, że to ja ci powiedziałam. Oby dzięki temu pomyślał o mnie lepiej, choć niespecjalnie na to liczę.

– Chodź ze mną – zaproponowałem. – Zostaniesz na straży, a ja pójdę po stracharza. W ten sposób, jeśli nie wrócimy na czas, dowiemy się, dokąd zmierza.

Alice pokręciła głową.

– Nie, Tom. Czemu miałabym iść po tym, co się stało? Nie lubię, gdy mi się nie ufa. To niemiłe. Poza tym ty masz swoją pracę, a ja swoją. W sklepie był duży ruch, cały dzień ciężko pracowałam, a teraz zamierzam ogrzać się przy kominku, a nie dygotać na dworze z zimna. Rób to, co musisz, pozwól, by stary Gregory rozprawił się z Morganem. Ale mnie do tego nie mieszaj. – To rzekłszy, obróciła się na pięcie i ruszyła w dół zbocza. Byłem zawiedziony i nieco zasmucony, ale nie mogłem jej winić. Skoro ukrywałem przed nią prawdę, czemu miałyby mi pomagać?

Zmierzchało już na dobre, na niebie rozbłyskiwały gwiazdy. Nie tracąc czasu, wybrałem szlak wiodący na moczary i prowadzący pod kamienny mur, dokładnie w miejscu, gdzie w ów wtorek

wdrapałem się pośród drzew, zmierzając do domu. Przechyliłem się przez niski murek, patrząc w stronę kaplicy. W witrażowych oknach migotały świece. Potem zauważyłem coś daleko za cmentarzem – na zboczu lśniły małe światełka, zbliżające się z każdą chwilą.

Lampy! Zbliżali się wierni Morgana. Przypuszczałem, że on sam pewnie jest już w środku i czeka na ich przybycie.

Odwróciłem się zatem i ruszyłem między drzewa, zmierzając wprost do domu stracharza. Musiałem powiadomić mistrza i sprowadzić go tu, nim Morgan zniknie. Zdążyłem jednak postąpić zaledwie tuzin kroków, gdy z cienia przede mną wyłoniła się zakapturzona postać w ciemnym płaszczu. Zatrzymałem się, widząc, jak zmierza ku mnie. To był Morgan.

– Zawiodłeś mnie, Tom – rzekł okrutnym, twardym tonem. – Prosiłem, byś coś mi przyniósł, ale ty nie posłuchałeś i sam musiałem po to pójść. A przecież nie żądałem wiele, zwłaszcza biorąc pod uwagę stawkę.

Nie odpowiedziałem, a on postąpił krok naprzód. Odwróciłem się, by uciec, nim jednak zdążyłem się ruszyć, złapał mnie za ramię. Przez chwilę się szarpałem, próbowałem unieść kij do ciosu. Nagle jednak poczułem mocne uderzenie w prawą skroń. Wszystko pociemniało. Runąłem na ziemię.

\*

Gdy otwarłem oczy, odkryłem, że jestem w kaplicy, bolała mnie głowa, zbierało mi się na wymioty. Siedziałem w tylnym rzędzie ławek, oparty plecami o zimną, kamienną ścianę, patrząc wprost na konfesjonał. Po obu jego stronach płonęły wysokie świece.

Morgan stał przed nim, zwrócony ku mnie.

– No, Tom, najpierw mam do załatwienia pewne sprawy. Ale potem porozmawiamy o tobie.

– Muszę wracać – z trudem formułowałem słowa. – Jeśli nie wrócę, pan Gregory będzie się zastanawiał, gdzie się podziałem.

– A niech się zastanawia. Jakie to ma znaczenie? Nigdy już do niego nie wrócisz... Teraz jesteś moim uczniem i mam dziś dla

ciebie pracę.

Z tryumfalnym uśmiechem Morgan wszedł do konfesjonału drzwiczkami przeznaczonymi dla księdza. Już go nie widziałem. Świece rzucały blask w głąb kaplicy, lecz dwoje drzwi pozostawało prostokątami nieprzeniknionej ciemności.

Spróbowałem wstać i uciec, czułem się jednak zbyt słabo, a nogi odmówiły współpracy. W mojej głowie pulsował ból, po uderzeniu wciąż jeszcze ćmiło mi się przed oczami. Mogłem zatem jedynie czekać, próbując pozbierać myśli i licząc na to, że się nie pochoruję.

Po paru chwilach zjawili się pierwsi członkowie kongregacji Morgana. Dwie kobiety przekroczyły próg. Usłyszałem brzęk metalu o metal. Wcześniej tego nie zauważyłem, lecz po lewej stronie drzwi stała miedziana taca. Każda z kobiet przed zajęciem miejsca rzucała na nią monetę. Potem, nie oglądając się nawet w moją stronę, z pochylonymi głowami usiadły w jednej z pierwszych ławek.

Wkrótce ławki zaczęły się zapełniać. Zauważyłem jednak, że wszyscy przybysze zostawiali swoje lampy na zewnątrz. Większość stanowiły kobiety – nieliczni mężczyźni byli względnie starzy. Nikt się nie odzywał. Czekali w ciszy, zakłócanej jedynie brzękiem monet i grzechotaniem tacy. W końcu, gdy większość miejsc została zajęta, drzwi zamknęły się same. Albo może ktoś pchnął je od zewnątrz.

Teraz jedynym źródłem światła pozostały świece po obu stronach konfesjonału. Usłyszałem kilka kaszlnięć, ktoś z przodu odchrząknął. A potem zapadła pełna wyczekiwania cisza, w której dałoby się usłyszeć nawet spadającą szpilkę. Zupełnie jakbym znów znalazł się w ciemnym pokoju na Farmie Przy Moczarach. Miałem wrażenie, że zaraz pękną mi bębenki. Nagle zadrzałem; z konfesjonału wypływały fale zimna. Morgan sięgał po moc, którą zdobył, próbując przywołać Golgotha. W ciszy jego głos zabrzmiał nagle bardzo donośnie.

– Siostro ma! Siostro ma, jesteś tutaj?

W odpowiedzi ktoś trzy razy zastukał w posadzkę kaplicy, tak

mocno, że cały budynek jakby zadrżał. Potem nastąpiło przeciągłe, rozedrgane westchnienie, dobiegające z ciemności po stronie penitenta.

– Zostaw mnie! Daj mi spocząć! – błagał zbolący dziewczęcy głos. Przemawiał niewiele głośniejszy od szeptu, dźwięczało w nim cierpienie, a dochodził z ciemnych drzwi konfesjonału. Siostra Morgana była duchem, pozostającym w jego władaniu. Wcale nie chciała tu przebywać.

Morgan zadawał jej ból, lecz kongregacja nie miała o tym pojęcia. Wyczuwałem nerwowe podniecenie i niecierpliwość otaczających mnie ludzi, czekających, aż Morgan przywoła przyjaciół i członków rodzin, których odebrała im śmierć.

– Najpierw mnie słuchaj. Potem będziesz mogła spocząć – zagrział głos Morgana.

W odpowiedzi na te słowa biała postać wypłynęła z mroku i zatrzymała się w drzwiach penitenta. Choć Eveline utopiła się, mając szesnaście lat, duch nie wyglądał na starszego od Alice. Jej twarz, nogi i odsłonięte ramiona były równie białe jak noszona sukienka. Lepiła się do ciała jak przemoczona, mokre włosy zwisały ciężko. Zebrani sapnęli ze zdumienia. Mój wzrok przyciągnęły jednak jej oczy: były wielkie, błyszczące i przejmująco smutne. Nigdy nie oglądałem twarzy równie przepełnionej rozpaczą, jak oblicze ducha Eveline.

– Jestem tu. Czego chcesz?

– Czy są z tobą inni? Inni, którzy chcieliby pomówić z członkami tego zgromadzenia?

– Owszem, są. W pobliżu jest duch dziecka, nosi imię Maureen. Chciałaby pomówić z Matildą, jej najdroższą matką.

Słyszając to, kobieta z pierwszej ławki zerwała się na równe nogi, wyciągając błagalnie ręce. Wyraźnie chciała coś powiedzieć, lecz jej ciało dygotało z emocji i z ust uleciał jedynie jęk. Postać Eveline rozplynęła się w ciemności, coś innego wystąpiło naprzód.

– Matko, matko! – zawołał nowy głos z konfesjonału, tym razem należał do bardzo małego dziecka. – Chodź do mnie, matko,

proszę, proszę! Tak bardzo za tobą tęsknię...

Kobieta wyszła naprzód i potykając się, ruszyła w stronę konfesjonału, z wyciągniętymi przed siebie ramionami. Zebrani zachłysnęli się głośno i natychmiast ujrzałem dlaczego. W ciemności prawych drzwi pojawił się jasny kształt. Wyglądał jak mała dziewczynka, najwyżej cztero-pięcioletnia, o długich włosach, opadających na ramiona.

– Weź mnie za rękę, matko! Proszę, weź mnie za rękę! – zawołało dziecko i z ciemnych drzwi wyłoniła się drobna, biała dłoń. Sięgnęła ku kobiecie, która padła na kolana i chwyciła ją, przyciągając z zapalem do ust.

– Och, twoja rączka jest taka zimna, tak strasznie zimna! – kobieta wybuchnęła płaczem; wkrótce zbolące szlochy i jęki wypełniły już całą kaplicę. Trwało to kilka długich minut, aż w końcu ręka cofnęła się i matka powróciła chwiejnie na miejsce.

Potem nastąpiły kolejne smutne sceny, czasami dzieci, czasami dorośli materializowali się w ciemności wejścia penitenta. Dostrzegałem widmowe kształty, blade twarze i od czasu do czasu dłonie, wyłaniające się z mroku. I niemal zawsze wywoływało to silną reakcję emocjonalną krewnego bądź przyjaciela, nawiązującego kontakt.

Po jakimś czasie zaczęło robić mi się niedobrze. Marzyłem, by spektakl dobiegł końca. Morgan był przebiegłym, niebezpiecznym człowiekiem, wykorzystywał moc Golgota, zmuszając duchy do posłuszeństwa swej woli. I gdy tak oglądałem ból żywych i męki umarłych, w głowie wciąż słyszałem brzęk monet, padających na miedzianą tacę.

\*

W końcu spotkanie dobiegło końca i członkowie zgromadzenia opuścili kaplicę. Drzwi zatrzasnęły się za nimi jak pociągnięte niewidzialną ręką.

Morgan nie od razu wyszedł z konfesjonału, stopniowo jednak zimno zaczynało słabnąć. Gdy się wyłonił i podszedł do mnie, na jego czole dostrzegłem krople potu.



– Jak się miewa mój ojciec po misji głupca, w którą go posłałem? – spytał ze złośliwym uśmieszkiem. – Czy stary dureń dobrze się bawił podczas wędrówki na farmę Platta?

– Pan Gregory nie jest twoim ojcem – odparłem spokojnie, podnosząc się chwiejnie na nogi. – Twój prawdziwy ojciec nazywał się Edwin Furner, był miejscowym garbarzem. Wszyscy znają prawdę, ale ty nie możesz się z nią pogodzić i wciąż opowiadasz kolejne kłamstwa. Chodźmy do Adlington i spytajmy paru osób. Spytajmy siostrę twojej matki – wciąż tam mieszka. Jeśli wszyscy potwierdzą swoją wersję, może ci uwierzę. Ale wątpię. Ty też jesteś ojcem – ojcem kłamstw. Opowiedziałeś ich tak wiele, że sam zaczynasz w nie wierzyć!

Kipiąc wściekłością, Morgan zamachnął się w moją stronę. Próbowałem uskoczyć, wciąż jednak byłem oszołomiony i zareagowałem stanowczo zbyt wolno. Znow trafił mnie pięścią w skroń, niemal w to samo miejsce co przedtem. Upadłem, tłukąc głową o kamienne płyty.

Tym razem nie straciłem przytomności, on jednak dźwignął mnie z ziemi i uniósł ku swej twarzy. W ustach czułem smak krwi, jedno z oczu tak zapuchło, że niemal się nie otwierało, prawie nic przez nie nie widziałem. Lecz doskonale odczytałem wyraz twarzy Morgana i zupełnie mi się nie spodobał, jego usta wykrzywiały się, oczy płonęły dzikim blaskiem. Bardziej przypominało to oblicze drapieżnego zwierzęcia niż człowieka.

## **ROZDZIAŁ 19**

### **OKRĄGLY BOCHEN**

– Miałeś swą szansę i straciłeś ją. Wciąż jednak mogę cię wykorzystać, tyle że teraz to ci się nie spodoba. Masz, zabierz to – warknął Morgan, wyciągając coś ku mnie.

To była łopata. Gdy tylko ją chwyciłem, wręczył mi napęczniały

worek, tak ciężki, że musiał mi pomóc zarzucić go na ramię. Potem pchnął mnie w stronę drzwi kaplicy i dalej, na mróz. Stałem dygocząc, chwiejąc się pod ciężarem worka, zbyt słaby i obolały, by uciec. Zresztą nawet gdybym spróbował, byłem pewien, że dogoniłby mnie w ciągu paru sekund i znów pobił. Z północnego wschodu zerwał się wiatr, chmury zasnuwały gwiazdy. Wyglądało na to, że wkrótce znów spadnie śnieg.

Morgan ponownie pchnął mnie naprzód i ruszył za mną, niosąc w dłoni latarnię. Wkrótce byliśmy już wysoko na ponurych, ośnieżonych moczarach i pozostawiliśmy daleko za sobą ostatnie drzewa. Nie miałem wyboru, musiałem maszerować naprzód, brnąc w śniegu. Gdy zwolniłem kroku, Morgan szturchał mnie w plecy. Raz pośliznąłem się i runąłem na twarz, wypuszczając worek. Za karę walnął mnie pięścią w żebra, tak mocno, że o mało znów się nie pośliznąłem.

Kazał mi podnieść worek i ruszyliśmy dalej, aż w końcu straciłem poczucie czasu. Wreszcie wysoko na moczarach Morgan zatrzymał mnie. Przed nami wznosiło się wzgórze, zbyt gładkie i okrągłe, by mogło być naturalne. Pokrywająca je kopała śniegu połyskiwała bielą w przygasającym blasku gwiazd. Nagle poznałem je – to był Okrągły Bochen, kurhan, który pokazał mi stracharz, gdy szliśmy rozprawić się z boginem w parowie Owshaw; sztuczny pagórek, z którego Morgan wykopał grimoire.

Mój prześladowca wskazał na wschód i znów mnie popchnął. Po jakichś dwustu krokach dotarliśmy do niewielkiego głazu. Gdy się tam znaleźliśmy, Morgan szybko odmierzył dziesięć kroków na południe, ja tymczasem zastanawiałem się, jakie mam szanse uderzyć go łopata i uciec. Nadal jednak czułem się słabo, a on był większy i znacznie silniejszy ode mnie.

– Kop tutaj – rozkazał, wskazując miejsce w śniegu.

Posłuchałem. Wkrótce przebiłem się przez biały puch i dotarłem do ciemnej ziemi. Była twarda i zamarznięta, toteż czyniłem wolne postępy. Zastanawiałem się, czy kopię własny grób. Ale po zaledwie stopie szpadel nagle uderzył o kamień.

– Głupcy wielokroć rozkopywali ten kurhan – Morgan wskazał w stronę Okrągłego Bochna. – Ale nikt nie znalazł tego co ja. Głęboko pod nim kryje się komora, lecz wejście do niej leży znacznie dalej, niż można by podejrzewać. Ostatnio byłem tam w noc po śmierci matki i od tej pory próbowałem odzyskać moją księgę. A teraz oczyścić kamień z ziemi: czeka nas mnóstwo pracy!

Byłem przerażony, podejrzewałem, że Morgan jeszcze tej nocy spróbuje przywołać Golgotha. Zrobiłem jednak, jak kazał, a kiedy skończyłem, wziął ode mnie szpadel i używając go jako dźwigni, uniósł kamień i przewrócił na bok. Trwało to bardzo długo i śnieg znów się rozpadał. Wiatr wzdychający nad moczarami, stawał się coraz silniejszy. Nadciągała kolejna śnieżycą.

Morgan uniósł latarnię nad dziurą; w jej blasku ujrzałem stopnie wiodące w dół, w ciemność.

– No już, do środka – polecił, groźnie unosząc pięść.

Wzdrygnąłem się i posłuchałem. On przyświecał, a ja schodziłem ostrożnie, z trudem utrzymując równowagę pod ciężarem worka. W sumie stopni było dziesięć, u ich stóp otwierało się wąskie przejście. Tymczasem na górze Morgan odstawił latarnię i znów zaczął zmagać się z kamieniem. Z początku sądziłem, że sobie nie poradzi, ale wreszcie osadził go na miejscu z głuchym łoskotem, zamykając nas w środku, jak nieboszczyków pod kamieniem nagrobnym. Potem dołączył do mnie, niosąc latarnię i łopatę, i kazał mi iść przodem. Tak też zrobiłem.

Morgan unosił wysoko lampę; widziałem przed sobą mój cień, sięgający w głąb tunelu, który biegł prosto jak strzała. Ściany, podłogę i sklepienie tworzyła ubita ziemia. Co kilka stóp strop podtrzymywały belki. W jednym miejscu zawalił się, niemal kompletnie zagradzając drogę, i musiałem ściągnąć z pleców worek, przecisnąć się przez wąską szczelinę i przewlec go za sobą. Zacząłem poważnie się niepokoić stanem tunelu. Gdyby znów się zapadł, zostalibyśmy pogrzebani żywcem bądź na zawsze uwięzieni pod kurhanem. Nagle poczułem na ramionach potężny ciężar piętrzącej się nad nami ziemi.

W końcu korytarz doprowadził nas do dużej, owalnej komory. Była olbrzymia, dorównywała rozmiarami solidnemu kościołowi, a jej ściany i sklepienie zbudowano z kamienia. Lecz najbardziej zdumiewająca była posadzka. Z początku sądziłem, że wyłożono ją zwyczajnymi kamiennymi płytkami, potem jednak uświadomiłem sobie, że to misterna mozaika, przedstawiająca najróżniejsze potworne stwory, na które składały się starannie rozmieszczone tysiące tysięcy małych, kolorowych kamyków. O niektórych bajecznych istotach czytałem w bestiariuszu stracharza, inne oglądałem tylko w koszmarnych snach: groteskowe hybrydy, takie jak minotaur, pół-człowiek, pół-byk; olbrzymie gady o długich węzowych ciałach i drapieżnych szczękach; a także bazyliszek, wąż z nogami, grzebieniastą głową i morderczymi, przeszywającymi oczami. Każdy z nich sam w sobie przyciągał moją uwagę. Ale było tam coś jeszcze, coś znacznie gorszego.

Na samym środku podłogi czarne kamienie układały się w trzy koncentryczne kręgi i zamkniętą w nich pięcioramienną gwiazdę. Natychmiast zorientowałem się, co to, i tym samym pojąłem, że oto spełniają się moje najgorsze obawy.

To był pentagram, magiczny krąg, z którego mag rzuca zaklęcia bądź przywołuje z mroku demony. Ten jednak stworzyli pierwsi ludzie, którzy przybyli do Anglezarke po to, by przywołać Golgotha, najpotężniejszego z dawnych bogów. A teraz Morgan zamierzał z niego skorzystać.

\*

Wyglądało na to, że wie dokładnie, co chce zrobić i wkrótce zagonił mnie do pracy. Kazał wyczyścić posadzkę do połysku, zwłaszcza środkową część mozaiki z pentagramem.

– Nigdzie nie może zostać nawet drobinka kurzu. Inaczej wszystko pójdzie nie tak – rzekł.

Nie pytałem nawet, co, bo sam się domyśliłem. Zamierzał odprawić najgroźniejszy rytuał z grimoire'u. Chciał przywołać Golgotha, sam pozostając bezpiecznie w kręgu. Czystość stanowiła klucz, bo brud mógł pozwolić stworowi przekroczyć pentagram.

Po drugiej stronie komnaty stało kilka dużych zbiorników; jeden z nich wypełniała sól. W worku, który przyniosłem, prócz innych rzeczy, w tym księgi, tkwiła także duża butla wody i kilka ścierek. Musiałem zmoczyć ścierkę, wyszorować mozaikę solą, a potem zmywać tak długo, póki Morgan nie będzie zadowolony.

Miałem wrażenie, że trwa to godzinami. Od czasu do czasu rozglądałem się, sprawdzając, czy w komorze nie znajdę czegoś, co mogłoby mi pomóc obezwładnić Morgana i uciec. Musiał zostawić szpadel w tunelu, bo nigdzie go nie widziałem – ani też niczego innego, co mogłoby posłużyć za broń. Zauważyłem wielki, żelazny pierścień, osadzony w ścianie nad podłogą i zastanawiałem się, do czego może służyć. Wyglądał, jakby uwiązywano do niego zwierzęta.

Kiedy skończyłem z podłogą, ku mej zgrozie Morgan chwycił mnie nagle, powlókł pod ścianę, skrępował ciasno ręce za plecami i przywiązał resztą liny do pierścienia. Potem rozpoczął prawdziwe przygotowania. Śmiertelnie przerażony, pojąłem nagle, co się tu stanie. Morgan zajmie miejsce w kręgu, chroniony przed wszystkim, co pojawi się w komorze. Ja tymczasem pozostanę uwiązany do pierścienia, bez żadnej możliwości obrony. Czy miałem stać się ofiarą?

Czy do tego właśnie pierwotnie służył pierścień? Potem przypomniałem sobie słowa stracharza o psie z farmy. Kiedy Morgan próbował odprawić rytuał w swoim pokoju, zwierzę zdechło ze strachu...

Z worka wyciągnął pięć grubych, czarnych świec i ustawił je w wierzchołkach gwiazdy. Następnie otworzył grimoire i zapalając każdą świecę, odczytywał krótką inkantację z księgi. Kiedy skończył, krzyżując nogi, usiadł pośrodku pentagramu i trzymając w dłoniach otwarty tom, spojrział ku mnie.

– Wiesz, jaki mamy dzień? – spytał.

– Wtorek – odparłem.

– A data?

Nie odpowiedziałem; sam to zrobił.

– Jest dwudziesty pierwszy grudnia. Zimowe przesilenie. Sam środek zimy, po nim dni znów zaczynają się wydłużać. To będzie bardzo długa noc, najdłuższa w całym roku. A kiedy dobiegnie końca, tylko jeden z nas wyjdzie z tej komory. Zamierzam przywołać Golgotha, najpotężniejszego z dawnych bogów i zrobię to tu, gdzie czynili to starożytni. Ten kurhan usypano w miejscu o wielkiej mocy, gdzie zbiegają się linie. Ich pięć krzyżuje się dokładnie pośrodku pentagramu, w którym teraz siedzę.

– Czy obudzenie Golgotha nie będzie niebezpieczne? – spytałem.  
– Zima może potrwać całe lata.

– I co z tego? – rzucił Morgan. – Zima to mój czas.

– Ale zboże nie wyrośnie. Ludzie umrą z głodu!

– I co z tego? Słabi zawsze umierają. To silni odziedziczą ziemię. Rytuał przywołania nie pozostawi Golgothowi wyboru: będzie musiał mnie słuchać. I pozostanie uwięziony tu, w tej komorze, póki go nie uwolnię. Uwięziony, dopóki nie da mi tego, co chcę.

– A czego chcesz? – naciskałem. – Co może być warte skrzywdzenia tak wielu ludzi?

– Chcę mocy! Co innego liczy się w życiu? Mocy, którą obdarzy mnie Golgoth, umiejętności zamrażania krwi w ludzkich żyłach, zabijania jednym spojrzeniem. Wszyscy będą się mnie lękać. A gdy zabiję kogoś w głębi długiej ciemnej zimy, nikt nie dostrzeże, że odebrałem życie. Kto zdołałby tego dowieść? John Gregory umrze jako drugi, lecz nie ostatni. A ty zginiesz przed nim – Morgan zaśmiał się cicho. – Jesteś przynętą. Pomożesz mi zwabić tu Golgotha. Ostatnio musiałem zadowolić się psem, lecz istota ludzka będzie znacznie lepsza. Golgoth wysie z twego ciała życiową siłę i dołączy do własnej. A także twoją duszę. Twoje ciało i dusza zgasną w jednej chwili.

– Jesteś pewien, że pentagram cię ochroni? – spytałem, starając się nie myśleć o tym, co właśnie powiedział, próbując zasiać w nim wątpliwości. – Rytuały muszą być bardzo dokładne. Jeśli cokolwiek pominiesz albo źle wymówisz choćby jedno słowo, wszystko może

pójść nie tak. W takim przypadku żaden z nas nie opuści nigdy tej komory. Obaj zostaniemy unicestwieni.

– Kto ci to powiedział? Stary dureń Gregory? – zadrwił Morgan.  
– To do niego podobne. A wiesz dlaczego? Bo brak mu odwagi, by spróbować czegoś naprawdę ambitnego. Potrafi tylko kazać naiwnym uczniom kopać bezużyteczne jamy i zasypywać je. Przez wiele lat usiłował mnie powstrzymać przed tym, co chcę zrobić. Kazał mi nawet przysiąc matce, że nigdy nie spróbuję odprawić rytuału. Miłość do niej sprawiła, że dotrzymałem obietnicy, póki jej śmierć w końcu mnie nie uwolniła i nie pozwoliła zabrać tego, co moje! Stary Gregory to mój wróg.

– Dlaczego tak bardzo go nienawidzisz? Co takiego ci zrobił? Starał się zawsze czynić tylko dobro i jest od ciebie nieskończenie lepszy oraz niezwykle szczodry. Pomagał twojej matce, gdy twój prawdziwy ojciec odszedł. Przyjął cię na ucznia, a nawet gdy zwróciłeś się w stronę mroku, oszczędził ci tego, na co naprawdę zasłużyłeś. Bezecna wiedźma nie jest gorsza od ciebie, a tkwi uwięziona żywcem w jamie!

– To prawda, mógł mi to zrobić – głos Morgana brzmiał cicho i niebezpiecznie. – Ale jest już za późno. Masz rację. Naprawdę go nienawidzę. Urodziłem się z ziarnem ciemności w duszy. Ziarno to rosło i rosło, aż w końcu stałem się tym, kogo dziś widzisz. Stary Gregory to sługa światła, ja bez reszty należę do mroku. Z tej przyczyny to mój naturalny wróg. Mrok nienawidzi światła. Zawsze tak było!

– Nie! – krzyknąłem. – Wcale nie musi tak być. Masz wybór. Możesz stać się, kim zechcesz. Kochałeś swoją matkę. Jesteś zdolny do miłości. Nie rozumiesz? Nie musisz należeć do mroku. Nigdy nie jest za późno na zmianę!

– Oszczędź oddechu i zamilcz! – warknął gniewnie Morgan. – Za długo już rozmawialiśmy. Czas rozpocząć rytuał...

\*

Jakiś czas w komnacie panowała cisza, słyszałem jedynie bicie własnego serca. W końcu Morgan zaczął nucić słowa z książki, jego

głos wznosił się i opadał w rytmicznych melodyjnych kadencjach, które skojarzyły mi się z modlitwami księży przed zgromadzeniem parafian. Większość słów pochodziła z łaciny, od czasu do czasu jednak padały też wyrazy z innego języka, którego nie poznawałem. Trwało to i trwało, nic się nie działo. Zaczynałem mieć nadzieję, że rytuał nie zadziała albo że Morgan się pomylił i Golgoth nie przybędzie. Wkrótce jednak wyczułem pewną zmianę.

W komorze zrobiło się nieco zimniej. Działo się to stopniowo i bardzo powoli, jakby coś olbrzymiego nadciągało z wielkiej odległości. Był to ów szczególny chłód, który już wcześniej wyczuwałem wokół Morgana. Moc, którą czerpał od Golgotha.

Zacząłem się zastanawiać, czy mam jakąś szansę na ratunek. Wkrótce pojąłem, że mizerną. Nikt nie wiedział, jak znaleźć wejście do tunelu. Choć rozkopałem ziemię i odkryłem kamień, pogoda pogarszała się i wkrótce śnieżycą wszystko zasypie. Oczywiście stracharz zauważy moją nieobecność, ale czy zmartwi się dostatecznie, by wyruszyć z domu w taką pogodę? Gdyby udał się do sklepu Andrew, Alice może wyjaśniłaby mu, gdzie poszedłem. Lecz nawet gdyby dotarł do kaplicy, jaką miał szansę na znalezienie mego kija? Został w zagajniku za murem, do tej pory z pewnością zasypał go śnieg.

Odkryłem, że mogę odrobinę poruszyć rękami. Może zdołam rozluźnić sznury na tyle, by się uwolnić? Spróbowałem, łącząc ręce i rozsuwając, przekręcając przeguby i palce. Miałem przynajmniej pewność, że Morgan nie zauważy, co kombinuję; był zbyt zajęty wyśpiewywaniem słów rytuału i nie przerywał, nawet obracając kartki grimoire'u. A potem, patrząc na niego, zauważyłem coś jeszcze. W komnacie pojawiły się nowe cienie. Cienie, których nie dało się wyjaśnić pozycją pięciu świec. A większość z nich się poruszała, niektóre przypominały czarny dym, inne szarą bądź białą mgłę, zwijającą się na skraju pentagramu, jakby próbowały weń wnikać.

Czym były? Czy to duchy, przypadkowo uchwycone w moc rytuału i sprowadzone w to miejsce wbrew swej woli? A może



dusze ludzi pogrzebanych w kurhanie i okolicy? Jedno i drugie wydawało się całkiem prawdopodobne, był to bowiem rytuał przymusu. Co będzie, jeśli mnie zauważą? Morgana nie mogły dosięgnąć, był chroniony. Ale jeśli wyczują moją obecność? Gdy tylko myśl ta przyszła mi do głowy, zacząłem słyszeć dobiegające zewsząd słabe szepty. Większości nie rozumiałem, lecz od czasu do czasu padało wyraźniejsze słowo. Dwa razy usłyszałem „krew”, a także „kość”, po czym bardzo wyraźnie moje własne nazwisko, „Ward”.

Zacząłem dygotać niepowstrzymanie. Bałem się, lecz walczyłem z ogarniającą mnie grozą. Stracharz wiele razy powtarzał, że mrok żywi się przerażeniem: pierwszy krok do pokonania go, to stawić mu czoło i pokonać własny strach. Próbowałem zatem, naprawdę próbowałem, ale było mi trudno, bo nie stawiałem czoła mrokowi, uzbrojony w wyuczone zdolności. Nie stałem mocno na nogach, nie dzierżyłem w dłoni jarzębinowego kija, nie miałem żelaza i soli. Byłem więźniem, związanym, absolutnie bezradnym. A tymczasem Morgan odprawiał być może najniebezpieczniejszy rytuał, po jaki kiedykolwiek sięgnął mag. A ja stanowiłem jego część, iskrę życia ofiarowaną Golgothowi, mającą zwabić go w to miejsce. Według Morgana, w chwili gdy się pojawi, pozbawi mnie nie tylko życia, ale także duszy. Zawsze wierzyłem, że będę żyć po śmierci. Czy Golgoth mógł mi to odebrać? Czy coś mogło zabić ludzką duszę?

Potem jednak szepty stopniowo ucichły, cienie rozplynęły się, a wokół zrobiło się nieco cieplej. Moje dreszcze ustały, odetchnąłem z ulgą. Lecz Morgan nucił dalej i obracał kolejne kartki. Zacząłem już myśleć, że gdzieś po drodze popełnił błąd i mu się nie uda; wkrótce okazało się, że się myliłem.

Chłód bowiem powrócił, a wraz z nim dymne upiory, zwijające się i skręcające na granicach pentagramu. Tym razem było jeszcze gorzej, rozpoznałem jednego z duchów. Miał postać Eveline i jej wielkie, przepełnione smutkiem oczy.

Szepty wzmożyły się, przepełniała je nienawiść tak potężna, że omal czułem jej smak; niewidzialne istoty wirowały wokół mojej

głowy, przechodząc na tyle blisko, że czułem na twarzy chłodny powiew unoszący mi czuprynę. Wkrótce groza jeszcze się nasiliła. Niewidoczne palce szarpały mnie za włosy, szczypały skórę na twarzy i szyi. Zimny, cuchnący oddech omiatał mi czoło, nos i usta.

I znów wokół zapadła cisza, nie trwała jednak długo. Raz jeszcze chłód wzmógł się i upiory powróciły. I tak to trwało, minuta za minutą, godzina za godziną, przez całą najdłuższą noc roku. Lecz okresy ciszy i spokoju stawały się coraz krótsze, okresy strachu zaś coraz dłuższe. Wydarzenia miały swój rytm, potęga rytuału narastała. Przypominało to fale nadciągającego przyływu, rozbijające się na kamiennej plaży. Każda kolejna była dziksza i potężniejsza od swej poprzedniczki. Każda sięgała coraz wyżej i wyżej. I za każdym razem zamęt stawał się coraz większy, głosy krzyczały mi do uszu. Wokół pentagramu, pod sklepieniem komnaty krążyły kule złowieszczonego fioletowego ognia. Aż wreszcie, po – jak się zdawało – godzinach nucenia zaklęć z grimoire'u, Morgan osiągnął w końcu to, czego pragnął.

Golgoth posłuchał wezwania.

## **ROZDZIAŁ 20**

### **GOLGOTH**

Przez wiele długich, przerażających minut czułem, że Golgoth zbliża się nieuchronnie. Ziemia pod nami zaczęła dygotać, komnatę wypełnił hałas, jakby rozwścieczony olbrzym wydobywał się z trzewi ziemi – olbrzym o gigantycznych szponach, rozdzierających litą skałę, niecierpliwie pracy wprost do komory.

Na miejscu Morgana umierałbym ze strachu, sparaliżowany grozą, nie zdołałbym wykrztusić nawet słowa albo też przerwałbym rytuał, bo jego ciągnięcie było obłędem. Ale nie. Morgan czytał dalej z grimoire'u. Całkowicie poddał się mrokowi, czyniąc wszystko, byle tylko zdobyć moc, której łaknął, niezależnie

od ceny.

Mimo groźnych łoskotów z dołu, powietrzem nie ruszał nawet najślabszy powiew. Nagle jednak pięć czarnych świec zamigotało i omal nie zgasło. Zastanawiałem się, jak ważne są dla rytuału. Czy stanowiły istotny element obrony kręgu? Wydawało się to bardzo prawdopodobne. Gdyby zgasły, Morgan nie byłby bezpieczniejszy ode mnie. Świece znów zamigotały, lecz na jego twarzy nie dostrzegłem nawet śladu strachu. Rytuał zaabsorbował go całkowicie i Morgan nadal nucił tajemne formuły, nie zważając na niebezpieczeństwo.

Ziemia zatrzęsała się jeszcze gwałtowniej, daleko z dołu dobiegły kolejne głośnie, niepokojące dźwięki. Do tej pory wokół pentagramu zgromadziło się tak wiele upiórów, że zaczęły zlewać się w jedną wirującą, szarobiałą mgłę; nie mogłem już rozróżnić poszczególnych postaci. Wir energii napierał na niewidzialną barierę, oznaczającą granicę pentagramu. W każdej chwili mógł ją przełamać.

Jeszcze parę minut i uczyniłby to – byłem tego pewien. Lecz wówczas zdarzyło się coś, co przegnało upiory z komory, prawdopodobnie prosto tam, skąd przyszły. Ze sklepienia posypały się małe kamienie, moje uszy wypełnił ryk, zgrzytliwa, ogłuszająca kakofonia dźwięków. Spojrzałem w prawo, w stronę tunelu, i ujrzałem lawinę ziemi. To zawalił się strop korytarza, zamykając nas w środku i wzbijając w powietrze obłok kamyków i pyłu. Ku mej zgrozie tunel był teraz zablokowany na dobre. Cokolwiek się stanie, pozostanę tu uwięziony na wieki.

W tym momencie niemal ucieszyłaby mnie perspektywa śmierci: przynajmniej wówczas przetrwałaby moja dusza. Wiedziałem bowiem, że wkrótce zjawi się Golgoth i moja dusza wraz z ciałem umrą jednocześnie. Zostanę unicestwiony. Strach, który wówczas poczułem, sprawił, że zatrzęsłem się cały.

Nagle jednak coś się zmieniło. Morgan bez ostrzeżenia przestał nucić i zerwał się na równe nogi. Jego oczy rozszerzyły się ze zgrozy, upuścił księgę. Skierował się w stronę granicy pentagramu.

Postąpił krok ku mnie i otworzył szeroko usta, jego oczy przepełniał strach.

Z początku sądziłem, że próbuje coś powiedzieć bądź krzyknąć. Teraz jednak wiem lepiej. Zważywszy na to, co się z nim stało, rozumiem, że po prostu próbował oddychać.

W jego płucach utworzyły się już kryształki lodu i ów krok był jego ostatnim. Otwarcie ust stanowiło ostatni świadomy ruch, jaki kiedykolwiek wykonał. Zamarzł na moich oczach – i to dosłownie, od stóp do głów pokryty białym szronem. A potem przewrócił się naprzód, i w chwili, gdy jego ręce i ramiona uderzyły o ziemię, roztrzaskał się niczym sopel lodu. Wyglądał jak bryła kruchego szkła, rozpadająca się na drobne kawałki. Morgan zamienił się w lodowy pył, lecz nie popłynęła krew, bowiem zamarzł aż do szpiku kości. Nie żył. Całkowicie i nieodwracalnie.

Odgadłem, że popełnił kosztowny błąd w rytuale i Golgoth zmaterializował się wewnątrz pentagramu, zabijając nekromantę na miejscu. Teraz bowiem pośrodku trzech koncentrycznych kół pojawiła się nowa obecność. Mimo pięciu migoczących świec niczego nie widziałem, wiedziałem jednak, że tam jest i czułem na sobie spojrzenie zimnych, wrogich oczu.

Wyczułem desperackie pragnienie ucieczki Golgotha. Gdyby wyrwał się z kręgu, mógłby swobodnie gnębić Hrabstwo, pogrążyć je w trwającej dziesięciolecia mroźnej zimie. Płomienie świec znów zatańczyły, jakby poruszył je niewidzialny oddech. Ja jednak nic nie mogłem zrobić. Byłem przerażony. Co mogę począć, by uratować Hrabstwo? Zupełnie nic: tkwiłem uwiązany do żelaznego pierścienia, czekając na własną śmierć.

W tym momencie Golgoth przemówił do mnie z pentagramu.

– Głupiec leży przede mną martwy. Czy ty też jesteś głupcem?

Jego głos wypełnił komorę, odbijając się echem z każdego kąta. Brzmiał niczym porywisty wiatr, chłoszczący śniegiem ponure wyżyny Anglezarke.

Nie odpowiedziałem. Jego głos znów zazgrzytał, tym razem niżej i ostrzej, jak szorstki pilnik na metalowym kubie.

– Masz język, śmiertelniku ? Przemów albo zamrozę cię i strzaskam tak jak tamtego głupca.

– Nie jestem głupcem – odparłem, szcękając zębami ze strachu i zimna.

– Cieszę mnie twoje słowa. Bo jeśli istotnie zostałeś pobłogosławiony mądrością, nim jeszcze minie ta noc, wyniosę cię wysoko, ponad najwyższych w tej krainie.

– Dobrze mi tu, gdzie jestem – odparłem.

– Bez mojej pomocy zginiesz. Czy to śmierci łakniesz? Czy ona cię uszczęśliwi?

Nie odpowiedziałem.

– Wystarczy tylko usunąć świecę z kręgu. Tylko jedną świecę. Zrób to, a będę wolny, ty zaś przeżyjesz.

Uwiązany do pierścienia, siedziałem kilka stóp od najbliższej świecy, nie wiem zatem, jak niby chciał, bym jej sięgnął. Ale nawet gdyby to było możliwe, nie mógłbym tego zrobić. Nie mógłbym ocalić własnego życia kosztem tysięcy ludzi, którzy zginęliby w Hrabstwie.

– Nie! – rzuciłem. – Nie zrobię tego.

– Choć uwięziony w granicach kręgu, wciąż mogę cię dosięgnąć. Pozwól, że ci pokażę...

Z pentagramu zaczęło promieniować zimno, mozaika pobieliała od szronu. Utworzył się na niej wzór lodowych kryształków i po chwili poczułem chłód wnikający w ciało z podłogi i docierający do kości. Przypomniałem sobie ostrzeżenie Meg, gdy wyruszałem do domu. „Zbliży się śnieżycy, więc lepiej ubierz się ciepło. Od odmrożeń można stracić palce.”

Największe zimno czułem na plecach, w pobliżu rąk, w miejscu, gdzie Morgan przywiązał je do pierścienia. I gdy mróz wgrzył się w moje ciało, wyobraziłem sobie własne zamarznęte palce, w których nie krąży już krew, poczerniałe i kruche, gotowe odpaść jak martwe gałązki od schnącego konara. Moje usta otworzyły się do krzyku; zimne powietrze parzyło mi gardło. Pomyślałem o mamie. Teraz już nigdy jej nie zobaczę. Lecz nagle upadłem na bok, wolny

od żelaznego pierścienia. Obejrzałem się i przekonałem, że pokruszony leży pod ścianą. Golgoth zamroził i roztrzaskał go po to, by mnie uwolnić. Zrobił to, bym mógł spełnić jego rozkaz. Znów przemówił z pentagramu, lecz tym razem jego głos zabrzmiał słabiej.

– Usuń świecę. Zrób to teraz, albo odbiorę ci więcej niż życie. Zniszczę także twoją duszę...

Słowa te wzbudziły we mnie mocniejszy dreszcz niż mróz, który strzaskał żelazny pierścień. Morgan miał rację. Stawką była moja dusza. By ją ocalić, wystarczyło tylko posłuchać. Ręce wciąż miałem związane za plecami i bez czucia, ale mógłbym wstać, podejść do najbliższej świecy i wywrócić ją kopniakiem. Pomyślałem jednak o wszystkich, którzy cierpieliby z powodu mojego czynu. Surowy mróz najpierw zabiłby starych i najmłodszych. Niemowlęta marłyby w kołyskach. Lecz z czasem zagrożenie stałoby się jeszcze większe. Nie wyrosłyby plony, w następnym roku nie byłoby żniw. A ile lat to by trwało? Ludzie nie mieliby czym karmić bydła. Zapanowałby głód, zginęłyby tysiące i byłoby to moją winą.

Przewróciwszy świecę, ocaliłbym własne życie. Uratowałbym też duszę. Lecz nade wszystko miałem obowiązek bronić Hrabstwa. Może już nigdy nie zobaczę mamy, ale gdybym uwolnił Golgotha, jak mógłbym spojrzeć jej w oczy. Wstydziłaby się mnie, a ja bym tego nie zniósł. Niezależnie od ceny, musiałem zrobić to, co trzeba. Lepsze już unicestwienie, od życia w takiej hańbie!

– Nie zrobię tego – poinformowałem Golgotha. – Wolę tu umrzeć, niż cię uwolnić.

– A zatem giń, głupcze! – rzucił Golgoth i natychmiast zimno zaczęło narastać. Zamknąłem oczy, czekając na koniec, moje ciało ogarniało odrętwienie. Co dziwne, już się nie bałem. Przepelniała mnie rezygnacja. Pogodziłem się z tym, co się stanie.

\*

Mróz musiał odebrać mi przytomność, bo następne co pamiętam, to otwarcie oczu.

W komnacie panowała cisza i spokój, powietrze było znacznie cieplejsze. Ku mojej uldze, Golgoth zniknął, nie wyczuwałem już jego obecności. Ale dlaczego nie spełnił groźby?

Pentagram pozostał nietknięty, pięć świec nadal płonęło. Wewnątrz ujrzałem postać leżącą twarzą do dołu. Po płaszczu poznałem Morgana. Szybko odwróciłem wzrok. Biel zniknęła, zastąpiona czerwienią. Fragmenty jego ciała zaczynały rozmarzać.

Ku memu zdumieniu, wciąż żyłem. Ale jak długo? Tkwiłem w pułapce. Wkrótce świece wypalą się i zgasną, i na zawsze pozostaną w ciemności.

Pragnąłem żyć i nagle zacząłem rozpaczliwie szarpać się z liną. Nie byłem już przywiązany do żelaznego pierścienia, lecz ręce wciąż miałem skrępowane za plecami. Czułem w nich ostre mrowienie, ale krążenie krwi powracało. Gdybym tylko zdołał je uwolnić, mógłbym zdmuchnąć pozostałe świece – to dałoby mi wiele godzin światła. Zwalony strop zablokował tunel, ale mógłbym kopać gołymi rękami. Warto było spróbować. Ziemia była miękka i może nie cały korytarz się zawalił. Może w pewnym momencie znajdę nawet łopatę!

Przez parę chwil przepełniała mnie nadzieja. Sznur jednak nie ustąpił, a moje próby uwolnienia się jedynie bardziej zaciskały węzeł. Przypomniałem sobie, jak wiele miesięcy temu, wiosną, kiedy zostałem uczniem stracharza, Koścista Lizzie uwięziła mnie w jamie i zamierzała zabić, by użyć mych kości do swej czarnej magii. Zmagalem się wtedy z więzami, ale nie zdołałem uciec. To Alice mnie ocaliła, nożem rozcinając sznury. Jakże żałowałem, że teraz nie mojej zawołać! Ale nie mogłem. Byłem sam, nikt nie wiedział, gdzie mnie szukać.

Po jakimś czasie przestałem się szamotać. Położyłem się na plecach i zamknąłem oczy, próbując zebrać do ostatniego wysiłku. I wtedy, gdy tak leżałem w absolutnym bezruchu, oddychając już niemal normalnie, pomyślałem nagle o świecach z pentagramu. Mógłbym przepalić sznur płomieniem jednej z nich! Czemu wcześniej na to nie wpadłem? Usiadłem szybko – wreszcie miałem

prawdziwą szansę uwolnienia rąk. I właśnie w tym momencie usłyszałem hałas, dobiegający od strony zaszypanego tunelu.

Co to mogło być? Czyżby stracharz dowiedział się, co się stało i przybywał mi na pomoc? Ale to nie brzmiało jak łopata, bardziej przypominało drapanie, jakby coś kopało w ziemi. Może to szczur? Odgłos stawał się coraz głośniejszy. Czyżby więcej niż jeden? Stado szczurów, żyjących głęboko pod kurhanem? Słyszałem, że szczury jedzą wszystko. Ludzie opowiadali nawet historie o tym, jak porywały z kołysek noworodki. Co, jeśli wyczuły zapach człowieka? Czy zechcą pożreć ciało Morgana? A potem? Czy zaatakują i mnie? Zaatakują, gdy wciąż będę żył?

Hałas stał się głośniejszy. Coś przekopywało się przez zawałony tunel, zmierzając w stronę komory. Coś rozdzierało pazurami ziemię. Ale co? Patrzyłem zafascynowany i przerażony. W połowie wysokości między sufitem a podłogą w ścianie pojawiła się niewielka dziura, na mozaikę posypała się ziemia. Nagły przeciąg sprawił, że świece zamigotały. Z otworu wyłoniły się dwie ręce, ale nie ludzkie. Ujrzałem długie palce i dziesięć zakrzywionych szponów w miejscu paznokci. To właśnie te szpony rozkopywały ziemię. Nim jeszcze pojawiła się głowa, wiedziałem dokładnie, z kim mam do czynienia.

W jakiś sposób dzika lamia uciekła z piwnicy stracharza i wywęszyła mnie. Marcia Skelton przybyła po moją krew.

## **ROZDZIAŁ 21**

### **ZASADZKA**

Dzika lamia wyśliznęła się z dziury i pomknęła po mozaikowej posadzce. Usłyszałem, jak dwa razy węszy głośno, nie patrzyła jednak na mnie. Pełznąąc na czworakach, z pochyloną głową i zamiatając posadzkę długimi, tłustymi, czarnymi włosami ruszyła w kierunku pentagramu. Jej szpony głośno drapały marmur.



Zatrzymała się i znów zaczęła węszyć, patrząc na to, co pozostało z Morgana.

Leżałem bez ruchu, nie mogąc uwierzyć, że jeszcze mnie nie zaatakowała. Morgan zginął bardzo niedawno, sądziłem jednak, że lamia woli świeżą krew, żywego człowieka. I wtedy z tunelu dobiegł mnie kolejny dźwięk. Zbliżało się coś jeszcze...

Ponownie pojawiła się para rąk, te jednak miały ludzkie palce i paznokcie, nie ostre szpony. Gdy wynurzyła się głowa, jedno zerknięcie wystarczyło, bym ją rozpoznał. Ujrzałem wysokie kości policzkowe, piękne jasne oczy i srebrzystopopielate włosy. To była Meg.

Wygramoliła się z dziury, otrzepała i pomaszerowała wprost ku mnie. Musiała zostawić na górze szpiczaste trzewiki, lecz cichy tupot jej bosych stóp i tak mnie przerażał. Nic dziwnego, że dzika lamia trzymała się z daleka. Meg sama chciała mnie dostać. Po tym, co się stało, nie mogłem oczekiwać litości.

Uklękła tuż obok i jej wargi wygięły się w ponurym uśmiechu.

– Jesteś o włos od śmierci – rzekła, nachylając się bliżej i otwierając szeroko usta. Ujrzałem białe zęby, gotowe mnie ugryźć, na twarzy i szyi poczułem jej oddech i zacząłem dygotać. Ona jednak pochyliła się nisko i ku mojemu zdumieniu przegryzła sznur, krępujący mi dłonie. – Niewielu ludzi znalazło się tak blisko lamii i przeżyło – dodała i podniosła się z ziemi. – Możesz się uważać za szczęściarza!

Siedziałem tam bez ruchu, gapiąc się na nią z otwartymi ustami. Czułem się zbyt słaby, by się ruszyć.

– Wstawaj, chłopcze! – poleciła. – Nie mamy całej nocy. John Gregory na ciebie czeka, będzie się chciał dowiedzieć, co tu zaszło.

Chwiejnie podniosłem się na nogi i przez parę minut stałem tam, walcząc z mdłościami. Bałem się, że lada moment znów upadnę. Dlaczego mi pomogła? Co się wydarzyło pomiędzy stracharzem i Meg? Zanosił jej jedzenie, prowadzili długie rozmowy. Czy zrobiła to, bo stracharz ją poprosił? Czy znów byli przyjaciółmi?

– Idź, zabierz grimoire – Meg wskazała pentagram. – Ja nie mogę przekroczyć kręgu, podobnie Marcia...

Postąpiłem krok w stronę pentagramu, lecz zatrzymałem się na widok książki. Leżała w kałuży krwi. Nie mogłem znieść myśli o tym, że miałbym ją dotknąć. Poza tym i tak była zniszczona. Potem dostrzegłem szczątki Morgana i żołądek podszedł mi do gardła. Pochyliłem głowę, próbując wymazać z umysłu ów obraz. Nie chciałem oglądać go ponownie w koszmarnych snach.

– Rób, co mówię, zabierz grimoire! – rozkazała Meg, lekko podnosząc głos. – John Gregory ci nie podziękuje, jeśli go tu zostawisz dla następnego ciekawskiego.

Zrobiłem, jak kazała: wkroczyłem w magiczny krąg, pochyliłem się i podniosłem książkę. Była mokra i lepka od krwi. Czułem jej woń i żołądek ścisnął mi się gwałtownie, z trudem zwalczyłem mdłości. Wyszedłem z pentagramu, podnosząc najbliższą świecę. Nie podobał mi się pomysł wędrówki ciemnym tunelem w towarzystwie dwóch lamii.

Usunięcie świecy najpewniej pozbawiło pentagram mocy i sądziłem, że Marcia wejdzie do środka, by się posilić. Ona jednak, powęszywszy chwilę, odwróciła się. Meg ruszyła pierwsza, za nią ja i Marcia na końcu. Miałem nadzieję, że nie będzie mi deptać po piętach.

Gdy wynurzyliśmy się z ziemi, na zewnątrz niebo jaśniało pierwszym światłem przedświt. Burza ucichła, lecz z nieba nadal prószył lekki śnieżek. Stracharz czekał przy wejściu, pochylił się, podając mi rękę. Upuściłem czarną świecę w śnieg i chwyciłem jego lewą dłoń, a on podciągnął mnie na nogi. Tuż za mną na zewnątrz wygramoliła się dzika lamia.

Otworzyłem usta, lecz mój mistrz przyłożył palec do warg, nakazując mi ciszę.

– Wszystko w swoim czasie. Opowiesz mi później – rzekł. – Czy Morgan nie żyje?

Przytaknąłem, skłaniając głowę.

– To może być jego grobowiec – mruknął stracharz. To rzekłszy

chwycił krawędź kamienia, manewrując nim tak, by ustawić go nad dziurą. W końcu, zadowolony, opuścił płytę na miejsce. Następnie ukląkł i gołymi rękami zaczął zgarniać na kamień luźną ziemię i śnieg. Wreszcie, usatysfakcjonowany, podniósł się.

– Daj mi książkę, chłopcze.

Podąłem mu ją, rad, że mogę się jej pozbyć. Stracharz uniósł grimoire i zerknął na okładkę. Gdy przełożył księgę do drugiej ręki, na palcach pozostały mu plamy krwi. Pokręcił głową ze smutkiem i znużeniem i poprowadził nas z wyżyn moczarów w stronę swego zimowego domu. Za każdym razem, gdy oglądałem się przez ramię, widziałem maszerujące tuż za nami lamie.

\*

Już w domu stracharz zaprowadził mnie do kuchni, dosypał węgla do ognia i gdy płomienie strzeliły wysoko, zaczął przyrządzać śniadanie. W pewnym momencie zaproponowałem, że pomogę, ale odesłał mnie gestem na krzesło.

– Zbieraj siły, chłopcze – rzucił. – Wiele przeszedłeś.

Kiedy nozdrza wypełnił mi zapach smażonych jajek i pieczonego chleba, od razu poczułem się lepiej. Meg i jej siostra zniknęły w piwnicy; nie chciałem o nich wspominać. Lepiej, by stracharz sam, kiedy zechce opowiedział mi o wszystkim. Wkrótce obaj siedzieliśmy przy stole, zajadając jajecznicę i grzanki. Wreszcie, nasycony, wytarłem kawałkiem chleba talerz i rozsiadłem się wygodnie.

– I co, chłopcze, czujesz się na siłach, by porozmawiać? Czy lepiej zostawić wyjaśnienia na później?

– Chciałbym to z siebie zrzucić – odparłem. Wiedziałem, że kiedy opowiem mu o wszystkim, poczuję się znacznie lepiej. To będzie pierwszy krok, pozwalający zapomnieć o tym okropnym wydarzeniu.

– W takim razie zacznij od samego początku i niczego nie pomijaj – polecił mój mistrz.

Zrobiłem dokładnie, jak kazał, poczynając od rozmowy z Alice na wzgórzu, gdy powiedziała mi, gdzie znaleźć Morgana, i kończąc

na zwieńczeniu rytuału – przybyciu Golgotha i tym, jak groził mi po śmierci Morgana.

– Morgan musiał popełnić błąd – zakończyłem. – Golgoth pojawił się wewnątrz pentagramu...

– Nie, chłopcze – stracharz ze smutkiem pokręcił głową. – Przeciwnie, musiał wyrecytować rytuał słowo w słowo. Widzisz, to moja wina. To ja mam na rękach krew Morgana.

– Nie rozumiem. Co to znaczy?

– Powinienem był rozprawić się z nim już wiele lat temu, wtedy, gdy próbował wywołać Golgotha – oznajmił mistrz. – Morgan był bardzo niebezpieczny i już wówczas nie dało mu się pomóc. Wiedziałem o tym i powinienem był uwięzić go w jamie. Ale jego matka, Emily, błagała, bym tego nie czynił. Łaknął mocy, był zgorzkniały i wypaczony gniewem, wierzyła jednak, iż dzieje się tak dlatego, że życie potraktowało go po macoszemu i że zabrakło mu ojca, który by go wspierał. Żał mi było chłopaka i bardzo lubiłem jego matkę, toteż pozwoliłem sercu zapanować nad rozumem. Lecz gdzieś w głębi ducha wiedziałem, że to nie ojca mu brak. Obaj z panem Hurstem staraliśmy się go zastąpić. Nie, tak naprawdę do zostania stracharzem brakowało mu dyscypliny, odwagi i wytrwałości, zdolności poświęcenia całego życia fachowi, który nie zapewnia wielu ziemskich bogactw. Zamiast jednak ukarać go za próbę przywołania Golgota, po prostu odprawiłem go z terminu i kazałem przysiąc mnie i matce, że nie będzie więcej szukał Golgotha – ani grimoire'u. Wgnany i pozbawiony fachu, Morgan poszukiwał mocy i bogactw poprzez nekromancję i zwrócił się ku mrokowi. Wiedziałem, że każdej zimy pokusa sięgnięcia po moc Golgotha będzie rosła, aż w końcu stanie się dla niego zbyt silna. Zastawiłem zatem pułapkę która zadziałałaby, tylko gdyby istotnie spróbował przywołać Władcę Zimy.

– Pułapkę? Jaką pułapkę? Nie rozumiem.

– Morgan nigdy nie przykładał się zbyt do nauki. – Mistrz z namysłem podrapał się po brodzie. – Jego słaby punkt stanowiły zwłaszcza języki. Nie opanował w pełni łacińskich słówek, a w

innych językach był jeszcze gorszy. Podczas trzeciego roku terminu zaczął uczyć się Dawnej Mowy. To język, którym porozumiewali się pierwsi ludzie, którzy przybyli do Hrabstwa, ci, którzy usypali Okrągły Bochen i oddawali cześć Golgothowi. Ci, którzy napisali grimoire. Morgan nie posunął się w nauce zbyt daleko. Wiedział, jak wymawiać słowa, jak czytać na głos Dawną Mowę, ale poza tym jego wiedza miała mnóstwo luk. Bo widzisz, chłopcze, nie mogłem ryzykować. Bezpieczeństwo Hrabstwa pozostaje naszym najważniejszym obowiązkiem. Toteż wiele lat temu kazałem przepisać grimoire. Oryginalny tekst został zniszczony, a nowa wersja oprawiona w dawną okładkę. Wcześniej jednak zmieniłem w księdze kilka słów, tak by rytuały stały się bezużyteczne. Lecz w rytuale Golgotha wprowadziłem tylko jedną zmianę. Słowo wioutan, oznaczające „poza” lub „na zewnątrz”, zastąpiłem wioinnan, znaczącym „wewnątrz”...

– To dlatego Golgoth pojawił się w środku pentagramu! – wykrzyknąłem, zadziwiony podstępem stracharza. I pomyśleć, że przez tyle lat utrzymywał swój czyn w tajemnicy.

– Nie ufałem Morganowi, toteż na wszelki wypadek zastawiłem nań sidła. Zadałem sobie wiele trudu, przepisując i zmieniając grimoire, lecz jak mówiłem, naszym obowiązkiem jest chronienie Hrabstwa. Emily wiedziała, co zrobiłem, ale pokładała w Morganie znacznie więcej wiary niż ja. Sądziła, że się zmienił i nigdy już nie spróbuje wywołać Golgotha. Przysiągł jej to, a ja byłem świadkiem owej przysięgi. Nigdy nie ukrywałem, gdzie przechowuję księgę, biurko zawsze stało na widoku i Morgan wiedział, gdzie jej szukać. W końcu dowiódł, że miałem rację. Wykradłby ją wiele lat temu, lecz wiązała go przysięga złożona matce. Gdy tylko usłyszałem o śmierci Emily, zacząłem się obawiać najgorszego i pojąłem, czemu Morgan skontaktował się ze mną w Chipenden.

Zapadła długa cisza. Stracharz znów podrapał się po brodzie, pogrążony w rozmyślaniach.

– Co się stało na końcu? – spytałem. – Dlaczego Golgoth mnie nie zabił? Czemu po prostu odszedł?

– Po przywołaniu miał niewiele czasu w kręgu. Z każdą chwilą pozostawania wewnątrz pentagramu stawał się coraz słabszy. W końcu musiał odejść. Nie miał wyboru. Oczywiście gdybyś go wypuścił, wszystko wyglądałoby inaczej. Wówczas mógłby swobodnie krążyć po Hrabstwie, które jęczałoby w okowach niekończącej się zimy. Zatem dobrze się spisałeś, chłopcze. Spełniłeś swój obowiązek, a nikt nie może domagać się od ciebie więcej.

– Jak mnie znalazłeś?

– Za to musisz podziękować przede wszystkim dziewczynie. Gdy nie wróciłeś do pózna, poszedłem pomówić z Andrew i sprawdzić, o której wyszedłeś ze sklepu. To twoja przyjaciółka Alice powiedziała mi, dokąd się udałeś. Chciała pomóc cię szukać, ale nie zgodziłem się. Lepiej pracuję sam i nie potrzebuję dziewczyny kręcącej się pod nogami. O mało nie musieliśmy przywiązać jej do krzesła, żeby ją powstrzymać. Gdy dotarłem na miejsce, z północnego wschodu nadeszła śnieżycą, a kaplica świeciła pustką. Jakiś czas rozglądałem się po cmentarzu, ale nie zostałem długo. Pozostała tylko jedna osoba, do której mogłem się zwrócić, jedyna, która mogła cię znaleźć w takich warunkach.

Meg wkrótce cię wywęszyła. Znalazła twój kij w zagajniku na wzgórzu i wytropiła cię aż do kurhanu. Po krótkim czasie odnalazła wejście. Kiedy jednak uniosłem kamień, odkryłem, że tunel się zawalił. Dopiero Marcia cię wykopała. Ta trójka zasługuje na twoją wdzięczność.

– Trzy czarownice – zauważyłem.

Stracharz puścił me słowa mimo uszu.

– Alice, jak pewnie zgadujesz, zostanie u Andrew. Co do Meg i jej siostry, od tej pory będą mieszkać w piwnicy za bramą – ale nie zamkniętą.

– Czyli znów zostaliście z Meg przyjaciółmi?

– Nie, nie jest już między nami tak jak kiedyś. Bardzo bym chciał cofnąć czas, ale to niemożliwe. Widzisz, chłopcze, doszliśmy do porozumienia. Sytuacja nie może trwać dalej – ale o tym

opowiem ci więcej, kiedy odpoczniesz.

– A co z tatą? – spytałem. – Czy teraz nic mu nie będzie?

– Był dobrym człowiekiem i po śmierci Morgana, gdy jego moc zniknęła, twój tato nie ma się czego lękać. Absolutnie niczego. Nikt nie wie dokładnie, co się dzieje z nami po śmierci – mistrz westchnął ciężko. Gdybyśmy wiedzieli, nie istniałoby tak wiele religii mówiących różne rzeczy i uważających, że tylko one mają rację. Według mnie to, którą z nich wyznajesz nie ma znaczenia. Możesz nawet wędrować samotnie i sam odnaleźć własną ścieżkę w życiu. Jeśli tylko przeżyjesz je jak należy, szanując przekonania innych, tak jak nauczył cię tato, nie zboczysz z właściwej drogi. On także trafi do światła, nie masz się co martwić. A teraz dość już rozmów. To była długa i ciężka noc. Zabieraj się do łóżka, choćby na parę godzin.

\*

Lecz zostałem w łóżku znacznie dłużej niż kilka godzin. Zapadłem na ciężką gorączkę, medyk z Adlington odwiedzał mnie trzykrotnie, nim w końcu uznał, że zaczynam zdrowieć. W istocie minął niemal tydzień, zanim odzyskałem dość sił, by znów zejść na dół. Większość dnia spędziłem opatulony w koc przy kominku w gabinecie mistrza.

Stracharz nie zamęczał mnie zbyt nauką i dopiero po kolejnym tygodniu wróciłem do siebie na tyle, by pójść do Adlington i zobaczyć się z Alice. Sama pilnowała sklepu, a ponieważ nie zjawiał się żaden klient, mieliśmy czas na długą rozmowę. Gawędziliśmy, oparci o drewnianą ladę.

Podczas mojej choroby stracharz złożył im już wizytę i Alice wiedziała, co mnie spotkało. Musiałem jedynie uzupełnić szczegóły i raz jeszcze przeprosić za to, że miałem przed nią sekrety.

– W każdym razie, Alice, dzięki, że powiedziałaś stracharzowi, iż poszedłem do kaplicy. W przeciwnym razie nigdy by mnie nie znalazł – rzekłem na koniec mej długiej opowieści.

– Wciąż żałuję, że nie do końca mi zaufałeś, Tom. Powinieneś był mi powiedzieć znacznie wcześniej o tym, co Morgan robi

twojemu tacie.

– Przepraszam. W przyszłości niczego już przed tobą nie ukryję.

– W odróżnieniu od starego Gregory'ego, co? On mi nie ufa za grosz!

– Myśli o tobie znacznie lepiej niż kiedyś – zaprotestowałem. – Daj mu więcej czasu.

– Ale wiosną, kiedy wy wrócicie do Chipenden, ja będę musiała zostać tutaj. Tak bym chciała pójść z wami...

– Sądziłem, że lubisz pracę u Andrew?

– Mogło być gorzej – mruknęła Alice. – Ale Chipenden jest znacznie lepsze. Lubię mieszkać w tym wielkim domu z ogrodem. I będę za tobą tęsknić, Tom.

– Ja też będę tęsknić, Alice. Ale przynajmniej nie jesteś w Pendle. Poza tym zimą znów wrócimy i będę odwiedzał cię częściej.

– Byłoby miło – rzekła.

Po jakimś czasie nieco poweselała i w końcu, gdy miałem już iść, poprosiła mnie o coś.

– Czy w dniu, kiedy ruszycie do Chipenden, poprosisz starego Gregory'ego, żeby i mnie zabrał?

– Poproszę. Ale nie sądzę, żeby to coś dało, Alice.

– Ale go poprosisz? Nie odgryzie ci przecież głowy, prawda?

– Dobrze. Poproszę.

– Przyrzekasz?

– Przyrzekam – odparłem z uśmiechem. Obietnice składane Alice w przeszłości wpędziły mnie już w kłopoty, lecz ta nie mogła zbyt szkodliwie. W najgorszym razie stracharz po prostu odmówi.

## **ROZDZIAŁ 22**

### **NAJLEPSZE WYJŚCIE**

Choć zima była mroźna, trzy tygodnie po śmierci Morgana



pogoda się poprawiła i nadeszły roztopy. To umożliwiło Shanksowi przywiezienie pierwszych od dawna sprawunków. Jak zwykle pomogłem rozładować. Gdy jednak ruszył w drogę powrotną, stracharz towarzyszył mu spory kawałek w głąb parowu i odbyli długą rozmowę.

W kilka dni później, tuż po śniadaniu, Shanks dostarczył nam pod drzwi trumnę. Jego mały kucyk o mało nie padł pod jej ciężarem. Kiedy pomogłem mu odwiązać ładunek, dźwignęliśmy go ostrożnie.

Nie była tak ciężka, na jaką wyglądała, ale raczej spora, i nigdy nie widziałem lepiej wykonanej. Po bokach miała dwa mosiężne uchwyty, a zrobiono ją z ciemnego, polerowanego drewna. Nie wnieśliśmy jej do domu, lecz zostawiliśmy przy tylnym wejściu.

– Po co nam trumna? – spytałem stracharza, gdy Shanks zniknął w dali.

– Ja wiem, a ty wkrótce się dowiesz – odparł mistrz, postukując palcem w skrzydełko nosa. – Zastanów się i przyjdź do mnie, kiedy coś wymyślisz.

Dopiero w porze lunchu moje podejrzenia się potwierdziły.

– Nie będzie mnie przez parę dni, chłopcze. Myślisz, że poradzisz sobie sam?

Usta miałem pełne, toteż pokiwałem głową i dalej zajadałem potrawkę z jagnięciny.

– Nie spytasz, dokąd się wybieram?

– W sprawach stracharza? – podsunąłem.

– Nie, chłopcze, to sprawy rodzinne. Meg i jej siostra wracają do domu. Odpłyną z Sunderland Point, a ja odwiozę je tam bezpiecznie.

Sunderland Point mieścił się na południe od Heysham; był to największy port w Hrabstwie, łodzie z całego świata wpływały w głąb rzeki Lune i rzucały tam kotwice. Zrozumiałem, że moje domysły co do trumny były słuszne.

– I Marcia pojedzie w skrzyni?

– Zgadłeś od razu, chłopcze – stracharz uśmiechnął się. – A

wyjątkowo duża dawka herbaty ziołowej powinna ją uspokoić. W normalnym stanie nie mogłaby wejść na pokład, pasażerowie by protestowali. Jeśli chodzi o zarządcę portu, dowie się tylko, że siostra Meg zmarła, a ona zabiera ją do domu na pogrzeb. Jak już mówiłem, pojedę z nimi aż do portu i odprowadzę na pokład. Oczywiście, będziemy podróżować nocą; bez wątpienia zatrzymamy się w gospodzie i Meg spędzi cały dzień pod dachem. Smutno mi będzie ją pożegnać, ale to najlepsze wyjście.

– Słyszałem kiedyś przypadkiem, jak mówiłeś jej o ogrodzie, w którym bywaliście razem. Czy to twój ogród w Chipenden? – spytałem.

– Owszem, chłopcze, zachodni, jak się pewnie domyśliłeś. Spędziliśmy wiele szczęśliwych godzin, siedząc na tej samej ławce, na której często udzielam ci lekcji.

– Co więc się stało? Dlaczego sprowadziłeś Meg do Anglezarke i zamknąłeś w piwnicy? Czemu musiałeś ją stale ogłupiać ziołową herbatą?

– To, co się działo między mną i Meg, to nasza prywatna sprawa – warknął stracharz, patrząc na mnie przenikliwie. Przez chwilę wyglądał na naprawdę rozzłoszczonego i uświadomiłem sobie, że ciekawość pchnęła mnie za daleko. Potem jednak westchnął i ze znużeniem pokręcił głową. – Jak wiesz, Meg jest wciąż bardzo przystojną kobietą. Lecz w młodości była aż nadto piękna i zawracała w głowach wielu mężom. Szalałem z zazdrości i kłóciliśmy się zbyt wiele razy, bym zdołał to zliczyć. Ale to nie wszystko. Była też złośliwa i narobiła sobie mnóstwo wrogów w Hrabstwie. Ci, którzy jej się narazili, szybko nauczyli się jej lękać, a ludzie zbyt długo żyjący w strachu robią się niebezpieczni. W końcu oskarżono ją o czary i wieści dotarły do najwyższego szeryfa w Caster. Sprawa zrobiła się poważna; szeryf wysłał konstabla, by ją aresztował.

– Ale przecież w twoim domu w Chipenden była chyba bezpieczna? Bogin nie pozwoliłby konstablowi zbliżyć się do niej.

– Istotnie, chłopcze, prędzej by go zabił. Ale konstabl robił

tylko, co do niego należało. A choć kochałem Meg, nie chciałem mieć na sumieniu życia młodego człowieka. Musiałem zatem sprawić, by Meg zniknęła. Poszedłem do wioski, spotkałem się z nim tam i z pomocą kowala jako świadka, zdołałem go przekonać, że uciekła z Hrabstwa.

W efekcie sprowadziłem ją tutaj i odtąd spędzała lata zamknięta w pokoju w piwnicy, a zimy w czterech ścianach domu. Inaczej zawisłaby na stryczku – jak ci wiadomo, w Caster wiesza się czarownice. W pewnym momencie, wiele lat później, wyszła i przeraziła kilku miejscowych. By ich uciszyć, musiałem przyrzec, że uwięzę ją w jamie w piwnicy. Dlatego właśnie Shanks tak bardzo się zdenerwował, gdy zobaczył ją owego ranka. Teraz jednak Meg wraca wreszcie do domu. To coś, co powinienem był zrobić lata temu, ale nie potrafiłem się z nią rozstać.

– A ona chce tam wrócić?

– Chyba wie, że to najlepsze wyjście. Poza tym Meg nie czuje już do mnie tego, co ja wciąż czuję do niej – dodał i przez chwilę wyglądał starzej i smutniej, niż kiedykolwiek dotąd. – Będę za nią tęsknił, chłopcze i to bardzo. Życie bez niej nie będzie już takie samo. Była jedyną istotą, która pozwalała mi znieść spędzane tu zimy.

\*

O zachodzie słońca patrzyłem, jak stracharz zamyka siostrę Meg, Marcję, w trumnie. Potem, gdy dokręcił ostatnią mosiężną śrubę, pomogłem mu znieść ładunek w dół parowu. Trumna była ciężka, chwialiśmy się nieco pod jej ciężarem i z trudem utrzymywaliśmy równowagę na rozmięklej, błotnistej ziemi. Meg maszerowała za nami, dźwigając własne torby. Powolna wędrówka w ponurej ciszy coraz dalej w głąb mrocznego parowu skojarzyła mi się z prawdziwym pogrzebem.

Stracharz wynajął powóz, który czekał na nas na drodze. Gdy się zbliżyliśmy, cztery konie parsknęły, spłoszone; ich chrapy rozszerzyły się, oddech parował w promieniach księżyca. Woźnica z trudem nad nimi zapanował. Kiedy uspokoił zaprzęg, zeskokczył z

kozła, sam także wielce podenerwowany, podszedł do stracharza i z szacunkiem uniósł dłoń do czapki. Obwisłe policzki drżały mu i wyglądał, jakby miał lada moment wyskoczyć ze skóry.

– Nie ma się czego bać i zapłacę dobrze, zgodnie z przyrzeczeniem. A teraz pomóż mi to podnieść – stracharz postukał palcem w trumnę Marcii. Dźwignęli ją na kozioł z tyłu powozu. Stracharz pilnował woźnicy, który zamocował trumnę sznurem.

Tymczasem Meg podeszła do mnie i uśmiechnęła się ponuro.

– Niebezpieczny z ciebie chłopak, Tomie Wardzie. Bardzo niebezpieczny – pochyliła się ku mnie. – Uważaj, by nie narobić sobie zbyt wielu wrogów.

Nie byłem pewien, co odpowiedzieć.

– Zrobisz dla mnie jedną rzecz, chłopcze? – wyszeptała mi do ucha.

Niespokojnie skinąłem głową.

– On nie jest tak zimny, jak chciałby wszystkim wmówić – wskazała gestem mojego mistrza. – Opiekuj się nim. Dla mnie.

Uśmiechnąłem się i pokiwałem głową.

\*

Kiedy stracharz do nas dołączył, Meg obdarzyła go ciepłym, przyjaznym uśmiechem. Na jego widok pomyślałem, że może gdzieś w głębi wciąż jeszcze coś do niego czuje. Potem ujęła jego dłoń i ścisnęła. Mistrz otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, lecz nie odezwał się nawet słowem. W jego oczach błyszczały łzy, wyglądał na przygniecionego emocjami.

Zakłopotany, odwróciłem się do nich plecami i odszedłem parę kroków. Kilka chwil szeptali coś między sobą, a potem razem ruszyli do powozu. Woźnica otworzył drzwi i ukłonił się Meg, a stracharz pomógł jej wsiąść. Potem wrócił do mnie.

– No dobrze, chłopcze, ruszamy w drogę. Ty zabieraj się do domu – polecił.

– Czy pomogłoby, gdybym pojechał z wami?

– Nie, chłopcze, ale i tak dzięki. Są rzeczy, które muszę załatwić sam. Pewnego dnia, gdy będziesz starszy, chyba

zrozumiesz. Mam jednak nadzieję, że nie będziesz nigdy musiał przechodzić przez coś podobnego.

Ale ja już rozumiałem: przypomniałem sobie, jak widziałem go z Meg w kuchni, pamiętałem łzy na jego policzkach. Wiedziałem, co czuł. Poza tym wyobraziłem sobie siebie na miejscu stracharza, jak muszę na zawsze pożegnać się z Alice. Czy tak właśnie wszystko się między nami skończy?

W kilka chwil później stracharz znalazł się w powozie. I gdy tylko zajął miejsce obok Meg, woźnica strzelił z bata nad grzbietami czterech koni. Powóz ruszył i stopniowo nabierał pędu. Zmierzali na północ, do Sunderland Points, ja tymczasem powoli rozpocząłem wspinaczkę parowem do domu.

Po powrocie odgrzałem na kolację zupę groszkową i usiadłem przy ogniu. Wiatr na zewnątrz ucichł i słyszałem każde skrzypnięcie i jęk starego domu. Deski w podłodze osiadały, stopień zaskrzypiał, za ścianą zatupała mysz. Wyobraziłem też sobie, że słyszę, jak nisko w piwnicy, daleko za metalową bramą, szepczą do siebie umarli i prawie umarli w jamach.

Wtedy właśnie zrozumiałem, jak daleko zaszedłem. Oto siedziałem sam w wielkim domu z piwnicą pełną uwięzionych boginów i czarownic i w ogóle się nie bałem. Byłem uczniem stracharza, wiosną ukończę pierwszy rok szkolenia. Kolejne cztery i sam zostanę stracharzem!

## **ROZDZIAŁ 23**

### **Z POWROTEM W CHIPENDEN**

Wczesnym rankiem pod koniec kwietnia, gdy poszedłem po wodę do strumienia, stracharz wyszedł za mną. Słońce wstało właśnie ponad krawędź parowu. Uśmiechnął się, unosząc twarz ku jego ciepłym promieniom. Na urwisku za domem sople lodu topniały szybko, woda skapywała na kamienie.

– Mamy pierwszy dzień wiosny, chłopcze – rzekł. – Toteż wracamy do Chipenden!

Od tygodni czekałem na te słowa. Od powrotu bez Meg stracharz był bardzo cichy, zamknięty w sobie, a dom wydawał się jeszcze bardziej ponury i mroczny niż przedtem. Rozpaczliwie pragnąłem się stamtąd wyrwać.

Przez następną godzinę uganiałem się jak szalony, robiąc wszystko co trzeba: czyszcząc kominki, myjąc garnki, talerze i kubki, by ułatwić nam życie po powrocie zimą. W końcu stracharz zamknął za nami tylne drzwi i szybkim krokiem ruszył w głąb parowu. Ja maszerowałem za nim, uszczęśliwiony, jak zwykle dźwigając dwie torby oraz własny jarzębinowy kij.

Pamiętałem o złożonej Alice obietnicy – miałem spytać, czy będzie mogła pójść z nami do Chipenden – czekałem jednak na właściwy moment, gdy uświadomiłem sobie, że miast wybrać najkrótszy szlak na północ, skierowaliśmy się prosto do Adlington. Uznałem, że choć stracharz odwiedził Andrew poprzedniego dnia, zamierza pożegnać się z bratem. Wciąż odwlekałem wzmiankę o Alice, gdy ujrzelśmy jego sklep.

Ku memu zdumieniu na brukowanej ulicy czekali na nas Andrew i dziewczyna. Alice trzymała w dłoni niewielkie zawiniątko i sprawiała wrażenie gotowej do drogi. Uśmiechała się z podnieceniem.

– Niech to będzie dobre i zyskowne lato, Andrew! – zawołał pogodnie stracharz. – Do zobaczenia w listopadzie!

– I tobie także, bracie – Andrew pomachał ręką.

A potem, ku memu absolutnemu zdumieniu, stracharz obrócił się i ruszył w dalszą drogę, kiedy zaś poszedłem w jego ślady, dołączyła do mnie Alice. Uśmiechała się od ucha do ucha.

– Och, zapomniałem ci powiedzieć, chłopcze – rzucił przez ramię stracharz. – Alice zamieszka z nami w Chipenden, na tych samych warunkach jak poprzednio. Uzgodniłem to wczoraj z Andrew. Musi zamieszkać tam, gdzie będę mógł mieć na nią czujne oko.

– To ci niespodzianka, prawda, Tom? Cieszysz się, że mnie widzisz?

– Oczywiście, że się cieszę. I jestem bardzo rad, że wracasz z nami do Chipenden. To ostatnia, rzecz jakiej się spodziewałem; pan Gregory nie wspomniał nawet słowem.

– Och, czyżby? – Alice się roześmiała. – Teraz już wiesz, jakie to uczucie, kiedy ludzie mają przed tobą sekrety i nie mówią ci wszystkiego, co powinieneś usłyszeć. Dobrze ci tak!

Ja także się zaśmiałem. Nie przeszkadzały mi drwiny Alice, zasłużyłem na nie. Powinienem był jej powiedzieć o moich planach wykradzenia grimoire'u.

Gdybym to zrobił, może wbiłaby mi do głowy choć trochę rozumu. Ale to już przeszłość. Teraz szliśmy radośnie razem, z powrotem do Chipenden.

\*

Następnego dnia czekała mnie kolejna niespodzianka. Droga do Chipenden wiodła cztery mile od naszej farmy. Zamierzałem spytać, czy mógłbym złożyć tam wizytę, lecz stracharz mnie ubiegł.

– Uważam, że powinieneś zajrzeć do domu, chłopcze. Może odkryjesz, że twoja matka wróciła. Jeśli tak, z pewnością się ciebie spodziewa. Ja pójdę dalej, bo po drodze muszę odwiedzić chirurga.

– Chirurga? Nie chorujesz chyba? – zaniepokoiłem się.

– Nie, chłopcze, człek, o którego mi chodzi, dorabia jako dentysta. Ma wielkie zapasy zębów nieboszczyków. Z pewnością znajdzie coś co będzie pasowało – uśmiechnął się szeroko, demonstrując szczerbę w miejscu, gdzie bogin wybił mu przedni ząb.

– A skąd je bierze? – spytałem ze zgrozą. – Kupuje od rabusiów grobów?

– Większość pochodzi ze starych pól bitew – stracharz pokręcił głową. – Zrobi mi mostek i będę jak nowy. Produkuje też guziki. Meg sama szyła sobie stroje i była jedną z jego najlepszych klientek – dodał ze smutkiem.

Słowa te bardzo mnie ucieszyły: przynajmniej jej guziki nie pochodziły od dawnych ofiar, co z początku podejrzewałem.

– No dobra, idź już, idź – polecił stracharz – i zabierz ze sobą dziewczynę. Dotrzyma ci towarzystwa w drodze powrotnej.

Chętnie posłuchałem. Bez wątpienia stracharz nie chciał, by Alice mu towarzyszyła. To jednak stworzyło kolejny znajomy problem: Jack nie pozwoli jej choćby przekroczyć granicy farmy, a ponieważ teraz majątek należał do niego, nie chciałem się sprzeciwiać jego życzeniom.

Jakąś godzinę później, gdy widzieliśmy już z Alice farmę, zauważyłem coś bardzo niezwykłego. Na północy, tuż za jej granicą, ze szczytu Wzgórza Wisielców unosił się w górę pióropusz czarnego dymu. Ktoś rozpałił ognisko wśród drzew. Któż to mógł być? Nikt tam nigdy nie chadzał, bo wzgórze nawiedzały widma ludzi powieszonych w tym miejscu podczas wojny domowej szalejącej w Hrabstwie wiele pokoleń wcześniej. Nawet psy z farmy trzymały się z daleka.

Instynktownie pojąłem, że to mama. Nie miałem pojęcia, po co się tam udała, ale kto inny by się odważył? Ominęliśmy z Alice farmę od strony wschodniej i ruszyliśmy na górę. Nie dostrzegłem ani śladu widm; Wzgórze Wisielców trwało ciche i nieruchome, nagie gałęzie połyskiwały w późnopopołudniowym słońcu. Pąki na nich nabrzmiały, wiedziałem jednak, że minie jeszcze tydzień, nim się rozwiną. W tym roku wiosna nadeszła bardzo późno.

Gdy tylko dotarliśmy na szczyt, stwierdziłem, że miałem rację. Mama siedziała przy ognisku, zapatrzona w płomienie. Ukrywała się pod stosem konarów, gałązek i suchych liści osłaniających ją przed słońcem. Włosy miała brudne i splątane, wyglądała jakby od dawna się nie myła. Bardzo też schudła – jej wynędzniała twarz nosiła ślady smutku i znużenia, być może samym życiem.

– Mamo! Mamo! – usiadłem obok niej na wilgotnej ziemi. – Nic ci nie jest? Dobrze się czujesz?

Nie odpowiedziała, jej oczy wpatrywały się w dal. Z początku sądziłem, że mnie nie usłyszała. Potem jednak, nadal patrząc w



ogień, wyciągnęła lewą rękę i położyła mi na ramieniu.

– Cieszę się, że wróciłeś – powiedziała w końcu. – Czekałam tu wiele dni.

– Gdzie się podziewałaś, mamó?

Milczała. Po długiej chwili ciszy uniosła głowę i popatrzyła mi w oczy.

– Wkrótce wyruszam w drogę. Ale najpierw, zanim wyjadę, musimy porozmawiać.

– Nie, mamó, nie masz dość sił, by gdziekolwiek wyjeżdżać. Może zejdziesz na farmę i posilisz się? Powinnaś też wyspać się porządnie. Czy Jack wie, że tu jesteś?

– Wie, synu. Jack przychodzi do mnie co dzień i błaga, bym zrobiła to, co właśnie opisałeś. Ale teraz, gdy twego taty nie ma w domu, powrót tam byłby dla mnie zbyt bolesny. Bardzo mną to wstrząsnęło, Tom, mam złamane serce. Skoro jednak wróciłeś, zmuszę się do zejścia na farmę jeszcze jeden raz, nim na zawsze opuszczę Hrabstwo.

– Nie odchodź, mamó! Proszę, nie zostawiaj nas! – błagałem.

Mama nie odpowiedziała, zapatrzona w płomienie.

– Pomyśl o swoim pierwszym wnuku, mamó! – ciągnąłem z desperacją. – Nie chcesz być przy jego narodzinach? Nie chcesz widzieć, jak mała Mary dorasta? A co ze mną? Potrzebuję cię! Nie chcesz, żebym ukończył termin i został stracharzem? W przeszłości mnie uratowałaś i przed zakończeniem nauki mogę znów potrzebować twojej pomocy...

Mama nadal nie odpowiedziała. Alice nagle usiadła naprzeciwko niej po drugiej stronie ognia.

– Nie jesteś pewna, prawda? – Jej oczy błyszczały w blasku płomieni. – Tak naprawdę nie wiesz, co robić.

Mama uniosła wzrok, w jej oczach lśniły łzy.

– Ile masz lat, dziewczyno? Trzynaście, tak? Jesteś jeszcze dzieckiem. Co możesz wiedzieć o moich sprawach?

– Może i mam tylko trzynaście lat – odparowała wyzywająco Alice – ale znam się na różnych rzeczach lepiej niż niektórzy

starcy, którzy przeżyli już całe życie. Części z tych rzeczy mnie nauczono, inne po prostu wiem. Może przyszłam na świat z tą wiedzą? Nie mam pojęcia. Tak po prostu jest i tyle. I wiem o tobie: nie wszystko, ale dosyć. Wiem, że jesteś rozdarta pomiędzy chęć odejścia i zostania. Nieprawda? Nie mam racji?

Mama skłoniła głowę, po czym ku mojemu zdumieniu przytaknęła.

– Mrok wzrasta w siłę, widać to wyraźnie i mówiłam już o tym Tomowi – znów zwróciła się ku mnie, jej oczy błyszczały groźniej niż u jakiegokolwiek znanej mi wiedźmy. – Ale widzicie, tym razem ogarnia cały świat, nie tylko Hrabstwo. Muszę z nim walczyć w mojej ojczyźnie. Jeśli tam wrócę, może zdołam coś poradzić, nim będzie za późno. Są też inne sprawy, które pozostawiłam niedokończone.

– Jakie sprawy, mamó?

– Wkrótce się dowiesz. Teraz nie pytaj.

– Ale będziesz zupełnie sama, mamó. Co tam zdziałasz?

– Nie, Tom, nie będę sama. Są inni, którzy mi pomogą – choć muszę przyznać, że bardzo nieliczni.

– Zostań tu, mamó. Zostań, i niech mrok przyjdzie do nas – błagałam. – Razem stawmy mu czoła, w mojej ojczyźnie, nie twojej...

Mama uśmiechnęła się ze smutkiem.

– To twoja kraina, prawda?

– Owszem, mamó. To Hrabstwo, w którym przyszedłem na świat, kraj, którego mam bronić przed mrokiem. Po to się urodziłem. Sama mi to mówiłaś. Mówiłaś, że będę ostatnim uczniem stracharza i że potem sam będę musiał zapewnić wszystkim bezpieczeństwo.

– Owszem to prawda, nie zaprzeczę – mama ze znużeniem patrzyła w ogień.

– Zatem zostań i walczy z nim razem. Stracharz mnie uczy; może ty też zaczniesz mnie uczyć? Umiesz robić rzeczy, których nawet on nie potrafi. Na przykład to, jak kiedyś uciszyłaś widma

na Wzgórzu Wisielców. Mistrz mówił, że nic się nie da z nimi zrobić, że w swoim czasie odejdą same. Ale ty to zrobiłaś. Milczały wiele miesięcy! Odziedziczyłem też po tobie inne rzeczy, choćby „zwiastuny śmierci”, jak je nazwałaś. Poznałem niedawno, że stracharz był bliski śmierci i gdy się zastanowić, zorientowałem się też, kiedy zaczął zdrowieć. Następnym razem rozpoznam chwilę, kiedy ktoś wstąpi na ścieżkę wiodącą do ozdrowienia. Nie odchodź, proszę. Zostań i ucz mnie!

– Nie, Tom – mama podniosła się z ziemi. – Przykro mi, ale podjęłam już decyzję. Zostanę tu jeszcze jedną noc, ale jutro ruszam w drogę.

Wiedziałem, że dość już powiedziałem, ciągnięcie tej rozmowy byłoby wyrazem samolubstwa. Przyrzekłem tacie, że gdy nadejdzie właściwa chwila, pozwolę jej odejść – a chwila ta właśnie nadeszła. Alice miała rację, mama się wahała, ale nie ja miałem podjąć za nią decyzję. Mama odwróciła się do Alice.

– Przebyłaś długą drogę, dziewczyno; dłuższą, niż mogłam liczyć. W przyszłości jednak czekają cię jeszcze większe próby. Oboje będziecie potrzebowali waszych połączonych sił. Gwiazda Johna Gregory'ego zaczyna przygasać, wy dwoje jesteście przyszłością i nadzieją Hrabstwa. Będzie was potrzebował u swego boku, obojga.

Mama spojrzała na mnie, wymawiając ostatnie słowa. Przez chwilę wbijałem wzrok w płomienie, zadrzałem.

– Ogień dogasa, mamó – uśmiechnąłem się do niej.

– Masz rację – rzekła. – Chodźmy na farmę. Cała nasza trójka.

– Jack nie zechce przyjąć Alice – przypomniałem.

– Będzie musiał jakoś to znieść – odparła mama tonem, który świadczył wyraźnie, że nie ma zamiaru przejmować się kapryсами Jacka.

I prawdę mówiąc, brat mój tak bardzo ucieszył się na widok mamy, że ledwie zauważył obecność Alice.

\*

Po kąpieli i zmianie ubrania, mimo błagań Ellie, żeby odpoczęła,

mama uparła się przyrządzić gulasz. Zostałem z nią w kuchni, kiedy gotowała i opowiedziałem jej większość tego, co się zdarzyło w Anglezarce. Pomiąłem tylko to, jak Morgan znęcał się nad duszą taty. Znając mamę, nie zdziwiłbym się, gdyby już o tym wiedziała, ale nawet jeśli, nadal byłoby to dla niej zbyt bolesne, toteż w ogóle o tym nie wspomniałem. Dość już wycierpiała.

Gdy skończyłem, przytuliła mnie do siebie i oznajmiła, że jest ze mnie dumna. Dobrze było wrócić do domu. Mała Mary spała spokojnie na górze, woskowa świeca tkwiła w mosiężnym lichtarzu pośrodku blatu, ciepły ogień płonął na kominku, a na stole stała kolacja mamy.

Lecz pod powierzchnią wszystko się zmieniło i nadal zmieniało. I wszyscy o tym wiedzieliśmy.

Mama zasiadła u szczytu stołu, w miejscu niegdyś należącym do taty. Wyglądała niemal jak kiedyś. Alice i ja usiedliśmy naprzeciw Jacka i Ellie. Oczywiście do tej pory Jack zdążył już pozbiierać myśli i widać było, że nie czuje się zbyt pewnie w towarzystwie Alice. Ale nic nie mógł poradzić.

Tego wieczoru przy stole mało rozmawialiśmy, kiedy jednak skończyliśmy gulasz, mama odsunęła talerz i podniosła się z krzesła. Kolejno przyjrzała się każdemu z nas i w końcu przemówiła.

– To może być ostatnia wieczerza, jaką zjemy razem. Jutro wieczorem opuszczę Hrabstwo i może już nigdy nie wrócę.

– Nie, mammo! Nie mów tak – błagał Jack, ona jednak uniosła lewą dłoń, uciszając go.

– Teraz sami będziecie musieli o siebie zadbać – podjęła ze smutkiem. – Tego właśnie życzyliśmy sobie z waszym tatą. Muszę ci jednak coś powiedzieć Jack, posłuchaj zatem uważnie. Zapisy testamentu taty nie mogą zostać zmienione, bo wyrażają także moje życzenia. Pokój pod strychem musi należeć do Toma do końca jego dni. Nawet gdybyś miał umrzeć i twój syn odziedziczyć farmę, to nie może się zmienić. Nie mogę ci wyjaśnić powodów, które mną kierują, Jack, bo nie spodobałyby ci się moje słowa. Ale chodzi o coś

znacznie ważniejszego, niż twoje zranione uczucia. Moim ostatnim życzeniem, nim odejdę, jest, byś w pełni pogodził się z tym, co musi się wydarzyć. I co, synu, pogodzisz się?

Jack przytaknął, skłaniając głowę. Ellie słuchała z przerażoną miną; pożałowałem jej nagle.

– Dobrze, Jack, cieszę się, że to załatwiliśmy. A teraz przynieś mi klucze do mojego pokoju.

Mój brat wyszedł z kuchni i niemal natychmiast wrócił. W sumie kluczy było cztery, trzy mniejsze do skrzyń, czwarty większy do drzwi. Jack położył je na stole przed mamą, która podniosła pęk lewą ręką.

– Tomie i Alice – poleciła. – Chodźcie ze mną.

To rzekłszy odwróciła się na pięcie, wyszła z kuchni i pomaszerowała na górę. Skierowała się wprost do swojego pokoju, tego, który zawsze zostawiała zamknięty.

Otworzyła drzwi kluczem i wszedłem za nią do środka. Jej pokój wyglądał tak, jak go zapamiętałem, pełen skrzyń, pudeł i kufrów. Jesienią zabrała mnie tutaj i podarowała wyciągnięty z największej, stojącej najbliżej okna skrzyni srebrny łańcuch. Bez łańcucha byłbym teraz więźniem Meg albo, co gorsza, posiłkiem dla jej siostry. Co jeszcze mogłem znaleźć w trzech wielkich kufrach? Zaczynała mnie ogarniać szczerą ciekawość.

W tym momencie obejrzałem się za siebie. Alice wciąż stała przed drzwiami, jej twarz przybrała nerwowy, zalekany wyraz. Wpatrywała się w próg.

– Wejdz do środka i zamknij za sobą drzwi, Alice – poleciła cicho mama.

Kiedy Alice znalazła się w pokoju, mama uśmiechnęła się do niej szeroko i wręczyła mi klucze.

– Proszę, Tom, teraz należą do ciebie. Nie oddawaj ich nikomu, nawet Jackowi. Zawsze noś je przy sobie. Ten pokój należy teraz do ciebie.

Alice rozejrzała się wielkimi, okrągłymi oczami. Wiedziałem, że z rozkoszą zaczęłyby grzebać w pudłach i odkrywać wszystkie ich

sekrety. Muszę przyznać, że czułem to samo.

– Czy mogę teraz zajrzeć do skrzyń, mamó? – spytałem.

– Wewnątrz znajdziesz odpowiedzi na wiele pytań, które nie dawały ci spokoju. Dowiesz się o mnie rzeczy, o których nie wspomniałam nawet waszemu tacie. Pudła te kryją w sobie moją przeszłość i przyszłość. Ale żeby wszystko dostrzec, będziesz potrzebował spokojnej głowy i jasnego umysłu. Ostatnio dużo przeszedłeś, jesteś zmęczony i znużony. Najlepiej zatem będzie, jeśli zaczekasz do mojego odjazdu, Tom. Wróć tu późną wiosną i zrób to, gdy będziesz czuł nadzieję, a dni staną się dłuższe. Tak będzie najlepiej.

Byłem zawiedziony, ale uśmiechnąłem się i przytaknąłem.

– Jak sobie życzysz, mamó.

– Jest jeszcze jedno, co musisz usłyszeć. Ten pokój to coś więcej niż suma jego zawartości. Po zamknięciu drzwi nic złego nie może tu wejść. Jeśli jesteś człowiekiem odważnym, masz czystą i dobrą duszę, pokój ten stanie się bastionem, fortecą przeciw mrokowi, i ochroni cię lepiej nawet niż dom twego mistrza w Chipenden. Skorzystaj z niego, tylko jeśli będzie cię ścigać coś tak strasznego, że zagrozi nie tylko twemu życiu, ale i duszy. To twoje ostatnie schronienie.

– Tylko moje, mamó?

Mama spojrzała na Alice i z powrotem na mnie.

– Alice też tu jest, toteż owszem, będzie mogła zostać. Dlatego właśnie przyprowadziłam ją tu, by mieć pewność. Lecz nigdy nie zabieraj nikogo innego. Ani Jacka, ani Ellie, ani nawet twojego mistrza.

– Czemu, mamó? – spytałem. – Dlaczego pan Gregory nie może skorzystać z pokoju?

Nie mogłem uwierzyć, że stracharz nie mógłby się tu ukryć w chwili największej potrzeby.

– Ponieważ za korzystanie z niego trzeba zapłacić cenę. Oboje jesteście młodzi i silni, wasza moc rośnie. Przeżyjecie. Lecz jak mówiłam, moc Johna Gregory'ego słabnie, przypomina dogasającą

świecę. Gdyby schronił się tutaj, wysiłek pozbawiłby go resztek sił. Jeśli zatem pojawi się potrzeba, musisz mu to powtórzyć, słowo w słowo. I dodaj, że to ja powiedziałam.

\*

Przytaknąłem; więcej nie rozmawialiśmy. Dostaliśmy z Alice łóżka, lecz po wschodzie słońca i solidnym śniadaniu mama odesłała nas do Chipenden. Jack miał zamówić wóz, który odbierze ją o zmroku i zawiezie do Sunderland Point, skąd mogła pożeglować do swojej ojczyzny, śladem Meg i jej siostry.

Mama pożegnała się z Alice, poprosiła, by poszła przodem i zaczękała na mnie przy bramie. Alice z uśmiechem pomachała jej i odeszła.

Gdy uścisnęliśmy się, być może po raz ostatni, mama próbowała coś powiedzieć, ale słowa ugrzęzły jej w gardle. Po policzku spłynęła łza.

– O co chodzi, mamo? – spytałem łagodnie.

– Przykro mi, synu – rzekła. – Próbuję być silna, ale to takie trudne i ledwie się trzymam. Nie chcę powiedzieć niczego, co mogłoby utrudnić ci życie.

– Proszę, powiedz, cokolwiek musisz – błagałem. Teraz ja także miałem łzy w oczach.

– Chodzi o to, że czas płynie tak szybko, a ja byłam tu bardzo szczęśliwa. Zostałabym, gdybym mogła, naprawdę. Ale obowiązek nakazuje mi odejść. Byłam taka szczęśliwa z twoim tatą. Na całym świecie nie znajdziesz uczciwszego, prawszego i czulszego męża. A kiedy przyszlście na świat, ty i twoi bracia, moje szczęście się dopełniło. Nie zaznam już nigdy podobnej radości. Lecz było, minęło. Muszę zapomnieć o przeszłości. Wszystko minęło tak szybko, że teraz przypomina jedynie krótki, szczęśliwy sen.

– Czemu musi tak być? – spytałem z goryczą. – Dlaczego życie musi być takie krótkie? Czemu wszystko co dobre szybko mija? Czy w ogóle warto żyć?

Mama spojrzała na mnie ze smutkiem.

– Jeśli osiągniesz wszystko, na co liczę, inni ocenią, czy twoje

życie miało sens, nawet jeśli ty sam tego nie uczynisz. Urodziłeś się, aby służyć Hrabstwu i to właśnie musisz zrobić.

Raz jeszcze objęliśmy się mocno; miałem wrażenie, że serce pęknie mi w piersi.

– Żegnaj, mój synu – wyszeptała i musnęła mi wargami policzek.

Nie mogłem znieść tego dłużej i natychmiast ruszyłem w drogę. Lecz po kilku krokach odwróciłem się i zobaczyłem, jak mama macha mi z cienia w drzwiach. Kiedy po chwili znów się obejrzałem, wróciła już do kuchni.

I tak z ciężkim sercem pomaszerowałem z Alice do Chipenden. Wciąż czułem na policzku ostatni pocałunek matki. Miałem zaledwie trzynaście lat, wiedziałem jednak, że moje dzieciństwo dobiegło końca.

\*

Teraz jesteśmy z powrotem w Chipenden. Dzwonki już rozkwitły, ptaki śpiewają, a słońce z każdym dniem staje się coraz cieplejsze.

Alice nigdy nie była szczęśliwsza, trawi ją jednak ciekawość tego, co znajdziemy w skrzyniach w pokoju mamy. Nie mogę zabrać jej ze sobą na farmę, za bardzo zdenerwowałbym tym Jacka i Ellie. Sam jednak wybieram się w przyszłym miesiącu i obiecałem opowiedzieć jej o wszystkim, co znajdę.

Stracharz w pełni odzyskał zdrowie; co dzień godzinami spaceruje po wzgórzach, by nabrać więcej sił. Nigdy nie widziałem go chudszy i mocniejszy, ale coś w jego głowie się zmieniło. Czasami podczas lekcji milknie na długo, jakby zapomniał o mojej obecności. Często też wpatruje się w przestrzeń, a na jego twarzy maluje się znużenie. Mimo tego, iż wydaje się silniejszy niż kiedykolwiek, mówił mi, że czuje, iż jego czas na tej ziemi dobiega końca.

Istnieją rzeczy, które chce zrobić przed śmiercią; rzeczy, które odkładał całymi latami. Przede wszystkim mówi o wyprawie na wschód do Pendle i rozprawieniu się z trzema rodzinami



tamtejszych czarownic. To w sumie trzydzieści dziewięć wiedźm. Brzmi to bardzo niebezpiecznie i nie mam pojęcia, jak mógłby tego dokonać. Ale nie mam wyboru, pójdę za moim mistrzem, gdziekolwiek się skieruje. Wciąż jestem tylko uczniem, a on stracharzem.

Thomas J. Ward

## **TOM 4**

Wiedźmi spisak

The Spook's Battle

## **ROZDZIAŁ 1**

### **GOŚĆ Z PENDLE**

Czarownica ścigała mnie przez ciemny las. Dzielący nas dystans zmniejszał się z każdą sekundą.

Biegłem zakosami, ile sił w nogach, rozpaczliwie próbując uciec. Co chwila skręcałem desperacko, niepomny chłoszczących mnie w twarz gałęzi i kolczastych pędów, czepiających się zmęczonych nóg. Oddech ulatywał mi ze świstem z gardła, gdy przywołując ostatek sił, pędziłem między drzewami w stronę skraju lasu. Za nim ciągnęło się zbocze, wiodące do zachodniego ogrodu stracharza. Jeśli tylko zdołam dotrzeć do tego schronienia, będę bezpieczny!

Nie byłem całkiem bezbronny. W prawej dłoni ścisnąłem laskę z jarzębinowego drewna, wyjątkowo skutecznego w walce z czarownicami; w lewej – owinięty wokół przegubu i gotowy do

rzutu – tkwił srebrny łańcuch. Ale czy w ogóle znajdę okazję, by się nimi posłużyć? Aby użyć łańcucha, potrzebowałem przestrzeni, a czarownica była tuż, tuż.

Nagle kroki za moimi plecami ucichły. Czyżby zrezygnowała? Biegłem dalej, przez liściaste sklepienie nad moją głową zaczął już przeświecać wąski sierp księżyca, rzucając plamy srebrnego światła na ziemię pod moimi stopami. Drzewa rosły coraz rzadziej. Niemal dotarłem na skraj lasu.

I nagle, w chwili, gdy mijałem ostatnie drzewo, pojawiła się jakby znikąd. Mknęła ku mnie z lewej strony; jej zęby błyskały w blasku księżyca, wyciągnięte palce zdawały się sięgać ku mej twarzy, gotowe wydrapać oczy. Nadal biegnąc, skręciłem ostro, machnąłem lewą ręką i posłałem łańcuch w jej stronę. Przez moment sądziłem, że ją złapałem, wiedźma uskoczyła jednak gwałtownie i łańcuch, nie czyniąc jej szkody, wylądował w trawie. W chwilę potem wpadła na mnie, wytrącając mi z ręki kij.

Runąłem na ziemię tak ciężko, że z płuc uleciały mi resztki powietrza. W mgnieniu oka siadła na mnie, przygniatając swoim ciężarem. Przez chwilę szamotałem się, byłem jednak zdyszany i zmęczony, a ona bardzo silna. Siedząc mi na piersi przyszpiliła moje ręce nad głową do ziemi. Potem pochyliła się naprzód tak, że nasze twarze niemal się zetknęły; jej włosy, niczym czarny całun, muskały mi policzki i przesłaniały gwiazdy. Oddech omiatał mi twarz, nie cuchnął jednak jak u wiedźmy kości bądź krwi. Był słodki niczym wiosenne kwiaty.

– Mam cię, Tom, o, tak! – wykrzyknęła tryumfalnie Alice. – To nie wystarczy. W Pendle będziesz musiał sprawić się lepiej!

Roześmiała się i sturlała ze mnie, a ja usiadłem, wciąż z trudem chwytając powietrze. Po paru chwilach zebrałem dość sił, by wstać i podnieść z ziemi laskę oraz srebrny łańcuch. Choć Alice przyszła na świat jako siostrzenica czarownicy, była moją przyjaciółką i w ciągu ostatniego roku nie raz uratowała mi życie. Dziś ćwiczyłem umiejętności przetrwania, a Alice odgrywała rolę czarownicy, dybiącej na moje życie. Powinienem być jej wdzięczny, czułem

jednak irytację. Już trzecią kolejną noc mnie łąpała.

Gdy ruszyłem z boczem w stronę domu stracharza, Alice podbiegła i zrównała się ze mną.

– Nie musisz się dąsać, Tom! – powiedziała miękko. – Mamy pogodną, ciepłą letnią noc. Korzystajmy z niej, póki możemy. Wkrótce znów wyruszamy w drogę i oboje będziemy marzyć, by tu powrócić.

Miała rację. Na początku sierpnia kończyłem czternaście lat i od ponad roku pobierałem nauki u stracharza. Choć stawialiśmy razem czoło wielu niebezpieczeństwom, zbliżało się coś jeszcze gorszego. Od pewnego czasu do stracharza dobiegały wieści o narastającym zagrożeniu ze strony czarownic w Pendle; poinformował mnie, że wkrótce wyruszymy w drogę, by spróbować się z nimi rozprawić. W tamtej okolicy jednak żyły dziesiątki czarownic i setki ich sprzymierzeńców, toteż nie miałem pojęcia, jak zdołamy pokonać przeciwnika dysponującego taką przewagą. Ostatecznie nas było tylko troje: stracharz, Alice i ja.

– Nie dąsam się – odparłem.

– Owszem, dąsas. Brodą niemal dotykasz trawy.

Szliśmy w milczeniu i po chwili znaleźliśmy się w ogrodzie. Między drzewami pojawił się dom stracharza.

– Nie mówił jeszcze, kiedy ruszamy do Pendle, prawda? – spytała Alice.

– Ani słowa.

– A pytałeś? Bez pytania niczego się nie dowiesz!

– Oczywiście, że pytałem – wyjaśniłem. – Ale on tylko stuka palcem w swój nos i mówi, że dowiem się w swoim czasie. Podejrzewam, że na coś czeka, ale nie mam pojęcia na co.

– Chciałabym, żeby już dłużej nie zwlekał. Przez to czekanie robię się niespokojna.

– Naprawdę? – zdziwiłem się. – Mnie wcale nie spieszy się do wyjazdu i nie przypuszczałem, że kiedykolwiek zechcesz wrócić do Pendle.

– Bo nie chcę. To złe miejsce i bardzo, bardzo duże – cały okręg

z wioskami, osadami i wielkim paskudnym wzgórzem Pendle, stojącym w samym środku. Mam tam mnóstwo rodziny, choć o wszystkich wolałabym zapomnieć. Skoro jednak musimy wyruszyć, wolałabym, żeby to się już stało. Ledwie sypiam nocami, zamartwiając się, co przyniesie przyszłość.

Kiedy weszliśmy do kuchni, stracharz siedział przy stole, zapisując coś w notesie w blasku migoczącej świeczki. Zerknął na nas, ale nie odezwał się, skupiony na swym zajęciu. Usiedliśmy na stołkach, które przysunęliśmy do ognia. Jako że wciąż mieliśmy lato, ogień nie był wielki, lecz poczuliśmy na twarzach dodające otuchy przyjemne ciepło.

W końcu mój mistrz zatrzaskał notes i uniósł wzrok.

– Kto dziś wygrał? – spytał.

– Alice – zwiesiłem głowę.

– Już trzy noce pod rząd pokonała cię dziewczyna, chłopcze. Musisz się bardziej postarać. O wiele bardziej. Jutro rano przed śniadaniem zgłoś się do zachodniego ogrodu. Czekają cię dodatkowe ćwiczenia.

Jęknąłem w duchu. W ogrodzie stał drewniany słupek, zazwyczaj stanowiący cel moich rzutów. Jeśli ćwiczenia nie pójdą dobrze, mistrz zatrzyma mnie w ogrodzie tak długo, że spóźnię się na śniadanie.

\*

Ruszyłem do ogrodu tuż po świcie, lecz stracharz już tam na mnie czekał.

– Co cię zatrzymało, chłopcze? – upomniał. – Zmycie z oczu resztek snu nie trwa aż tak długo!

Wciąż czułem się zmęczony, ale mimo wszystko postarałem się uśmiechnąć i wyglądać pogodnie. Owinąwszy srebrny łańcuch wokół lewej dłoni, wycelowałem starannie w słupek.

Wkrótce poczułem się lepiej. Po raz setny machnąłem ręką, łańcuch strzelił ostro w powietrzu, rozwijając się, szybując i migocząc w promieniach porannego słońca, po to, by idealną spiralą opleść ćwiczebny słupek.

Zaledwie tydzień wcześniej, na każde dziesięć prób, z odległości ośmiu stóp udawało mi się najwyżej dziewięć. Teraz jednak długie miesiące ćwiczeń przyniosły oczekiwany efekt. Łańcuch po raz setny owinał się wokół słupka. Tego ranka nie chybiłem ani razu! Próbowałem ukryć uśmiech, naprawdę się starałem, lecz kąciki moich ust zaczęły unosić się mimo woli i po chwili wyszczerzyłem radośnie zęby. Zobaczyłem, jak stracharz kręci głową, ale nie zdołałem opanować własnej twarzy.

– Nie wbijaj się w nadmierną dumę, chłopcze – ostrzegł, maszerując ku mnie poprzez wysoką trawę. – Mam nadzieję, że nie robisz się zbyt pewny siebie. Duma wiedzie do upadku, przekonało się o tym już wielu, płacąc wysoką cenę. I jak ci często mówiłem, czarownica nie będzie stała w miejscu, gdy w nią rzucisz! Z tego, co mówiła mi wczoraj dziewczyna, czeka cię jeszcze długa, długa droga. A teraz spróbujmy rzutów w biegu.

Przez następną godzinę musiałem zarzucać łańcuch na słupek, będąc w ruchu – czasem pędziłem ile sił w nogach, czasem truchtałem lekko, zmierzając ku niemu, to znów oddalając się albo rzucałem w bok, naprzeciw, bądź w tył, przez ramię. Posłusznie ćwiczyłem, dokładając wszelkich starań, lecz z każdą chwilą robiłem się coraz bardziej głodny. Wiele razy chybiałem, ale kilkakrotnie popisałem się doskonałymi rzutami. W końcu moje wysiłki zadowoliły stracharza i przeszliśmy do czegoś, o czym wspomniał po raz pierwszy zaledwie parę tygodni wcześniej.

Wręczył mi łaskę i poprowadził do martwego drzewa, służącego nam za cel. Nacisnąłem dźwigienkę, uwalniającą ukryte w lasce ostrze i przez następnych piętnaście minut traktowałem spróchniały pień jak wroga, dybiącego na moje życie. Raz po raz wbijałem w niego klingę, aż w końcu ręce mi zaciążyły, a ciało ogarnęło zmęczenie. Niedawno mistrz nauczył mnie nowego triku. Miałem trzymać łaskę od niechcienia w prawej dłoni, po czym szybko przerzucić do silniejszej lewej i dźgnąć mocno w drzewo. Krył się w tym pewien rytm. W odpowiedniej chwili trzeba było wypuścić i złapać łaskę.

Widząc moje zmęczenie, stracharz zacmokał z dezaprobatą.

– No dalej, chłopcze, zrób to jeszcze raz. Pewnego dnia właśnie to może ocalić ci życie!

Tym razem wykonałem ćwiczenie niemal idealnie: stracharz pokiwał głową i poprowadził nas między drzewami na zasłużony posiłek.

W dziesięć minut później dołączyła do nas Alice. Razem usiedliśmy w kuchni przy wielkim dębowym stole, zajadając po chwili obfite śniadanie złożone z jajek na szynce. Przygotował je oswojony bogin stracharza. Bogin miał mnóstwo zajęć w domu w Chipenden: gotował, rozpalał ogień w kominkach, zmywał statki, a także strzegł domu i ogrodów. W kuchni radził sobie całkiem nieźle, ale czasami żywo reagował na to, co działo się w domu. Jeśli był zły, należało oczekiwać nieciekawego posiłku. Cóż, tego ranka bogin był zdecydowanie w świetnym nastroju. Pomyślałem, że to jedno z najlepszych śniadań, jakie nam zaserwował.

Jedliśmy w milczeniu. Kiedy zgarniałem z talerza resztki żółtka sporym kawałkiem chleba z masłem, stracharz odsunął swe krzesło i wstał. Zaczął przemierzać tam i z powrotem kamienną posadzkę przed paleniskiem, w końcu zatrzymał się naprzeciw stołu, patrząc prosto na mnie.

– Niedługo spodziewam się gościa, chłopcze – oznajmił. – Mamy wiele do omówienia. Gdy zatem się zjawi i go poznasz, muszę rozmówić się z nim sam na sam. Czas już, byś wybrał się do domu, na farmę brata i odebrał pozostawione ci przez mamę skrzynie. Najlepiej będzie, jeśli przywieziesz je tu, do Chipenden, i w spokoju obejrzysz ich zawartość. Może znajdziemy tam coś, co przyda nam się w czasie wyprawy do Pendle. Będziemy potrzebowali wszelkiej możliwej pomocy.

Mój tato zmarł zeszłej zimy, pozostawiając farmę w spadku Jackowi, najstarszemu z synów. Lecz po śmierci taty odkryliśmy w jego testamencie coś niezwykłego.

Mama miała swój specjalny pokój na naszej rodzinnej farmie. Mieścił się pod strychem i zawsze zamykała go na klucz. Ten

właśnie pokój odziedziczyłem, a także stojące w nim skrzynie i pudła. Testament głosił, że mogę tam wracać, kiedy tylko zapragnę. Zapis ten nie spodobał się bratu i jego żonie Ellie. Martwiła ich moja nauka u stracharza. Obawiali się, że mogę sprowadzić do domu jakąś istotę z mroku. Nie winiłem ich, bo tak właśnie się stało poprzedniej wiosny, kiedy to wszystkim zagroziło śmiertelne niebezpieczeństwo.

Mama jednak życzyła sobie, żebym odziedziczył pokój i jego zawartość, i nim odeszła, dopilnowała, by Ellie i Jack pogodzili się z tym faktem. Wróciła do swojej ojczyzny, Grecji, aby walczyć tam z rosnącym w siłę mrokiem. Ze smutkiem myślałem, że może nigdy jej już nie zobaczę i chyba dlatego wciąż zwlekałem z obejrzeniem zawartości skrzyń. Choć ciekawiło mnie, co w sobie kryją, nie wyobrażałem sobie wizyty na farmie, na której brak mamy i taty.

– Dobrze, tak zrobię – powiedziałem do mistrza. – Ale kim jest twój gość?

– To przyjaciel – odparł stracharz. – Od lat mieszka w Pendle i bardzo nam pomoże w tym, co musimy zrobić.

Słowa te mnie zdumiały. Mistrz trzymał się z dala od ludzi, a ponieważ w swej pracy miał do czynienia z duchami, widmami, boginami i czarownicami, ludzie także starannie go unikali. Nigdy nie podejrzewałem, że zna kogoś, kogo uważa za „przyjaciela”!

– Zamknij buzię, chłopcze, albo wleczą ci do niej muchy! – rzucił. – A, i zabierzesz ze sobą młodą Alice. Mam wiele spraw do przedyskutowania i wolę, byście nie pałętali mi się pod nogami.

– Ale Jack nie ucieszy się z wizyty Alice – zaprotestowałem.

Nie żebym nie chciał, by mi towarzyszyła. Przeciwnie, bardzo uradowałaby mnie jej obecność. Po prostu Jack i Alice nie najlepiej się dogadywali. Wiedział, że jest siostrzenicą wiedźmy i nie życzył sobie, by zbliżała się do jego rodziny.

– Rusz głową, chłopcze. Kiedy wynajmiesz konia i wóz, dziewczyna będzie mogła poczekać na załadunek skrzyń poza granicami farmy. I spodziewam się, że wrócicie jak najszybciej. Nie mamy zbyt wiele czasu. Dziś mogę poświęcić na lekcje najwyżej pół

godziny, toteż zaczynamy.

Ruszyłem za stracharzem do zachodniego ogrodu i wkrótce siedziałem już na ławce z otwartym notatnikiem i gotowym piórem. Poranek był ciepły i pogodny. W oddali beczały owce, a słońce zalewało swym blaskiem wzgórze przed nami. Niewielkie cienie obłoczków ścigały się po ziemi, umykając na wschód.

Przez pierwszy rok terminu zajmowałem się głównie boginami; tematem drugiego roku były czarownice.

– No dobrze, chłopcze. – Stracharz zaczął jak zwykle przechadzać się tam i z powrotem. – Jak wiesz, czarownica nie może nas wywęszyć, bo obaj jesteśmy siódmymi synami siódmych synów. Dotyczy to jednak tylko tak zwanego „dalekiego węszenia”. Zapisz to. To twój pierwszy tytuł. Dalekie węszenie to wywieszanie z góry nadciągającego niebezpieczeństwa. W ten sposób Koścista Lizzie wywęszyła tłum z Chipenden, który spalił jej dom. Wiedźma nie może wywęszyć nas w ten sposób, co daje nam przewagę w postaci zaskoczenia. Musimy natomiast wystrzegać się „bliskiego węszenia” – to także zapisz i podkreśl, żebyś wiedział, że to ważne. Z bliska wiedźma może dowiedzieć się o nas wiele i w mgnieniu oka wyczuć nasze mocne i słabe strony. Im bliżej jesteś wiedźmy, tym więcej o tobie wie. Zawsze zatem trzymaj się z daleka, chłopcze. Nigdy nie dopuszczaj do siebie wiedźmy bliżej niż na długość jarzębinowej laski. Dopuszczenie jej blisko kryje w sobie także inne niebezpieczeństwa. Pamiętaj zwłaszcza, by nie pozwolić czarownicy chuchnąć ci w twarz. Jej oddech może pozbawić cię woli i sił. Zdarzało się, że dorośli mężowie mdleli na miejscu!

– Pamiętam cuchnący oddech Kościstej Lizzie – wtrąciłem. – Bardziej przypominał zwierzęcy niż ludzki. Coś jak u kota albo psa!

– Owszem, zgadza się, chłopcze. Bo jak obaj wiemy, Lizzie posługiwała się magią kości, czasami żywiła ludzkim mięsem bądź piła ludzką krew.

Koścista Lizzie, ciotka Alice, wciąż żyła. Siedziała uwięziona w jamie we wschodnim ogrodzie stracharza. Było to okrutne, ale konieczne. Stracharz nie uznawał palenia czarownic, toteż chronił



Hrabstwo, więżąc je w dołach.

– Ale nie wszystkie wiedźmy mają śmierzący oddech, jak te, które parają się magią kości bądź krwi – podjął mój mistrz. – Oddech wiedźmy, stosującej jedynie magię pobratymców, może pachnieć niczym majowe kwiaty. Strzeż się zatem, bo w słodyczy kryje się wielkie niebezpieczeństwo. Podobne czarownice dysponują mocą „fascynacji” – to słowo także zapisz, chłopcze. Tak jak gronostaj potrafi sparaliżować królika, podchodząc ku niemu, niektóre wiedźmy umieją zawładnąć wolą mężczyzny. Sprawiają, że jest szczęśliwy i posłuszny i kompletnie nie zdaje sobie sprawy z niebezpieczeństwa, dopóki nie jest za późno. Moc ta wiąże się z inną mocą niektórych wiedźm. Nazywamy ją „urokiem” – to słowo również zapisz. Czarownica może sprawić, że wygląda jak ktoś, kim nie jest. Może wydawać się młodsza i piękniejsza niż w istocie. Z pomocą tej oszukańczej mocy stwarza aurę – fałszywy obraz – toteż zawsze musisz zachować czujność. Bo kiedy urok przyciągnie mężczyznę, zwykle oznacza to początek fascynacji i stopniowego pozbawiania go wolnej woli. Z pomocą tych narzędzi wiedźma może związać go ze sobą tak, by uwierzył w jej każde kłamstwo i widział tylko to, co ona chce, by widział. A urok i fascynacja stanowią dla nas poważne zagrożenia. Bycie siódmym synem siódmego syna nie chroni nas przed nimi. Strzeż się zatem! Zapewne wciąż sądzisz, że traktowałem Alice surowo, ale czyniłem to dla dobra nas wszystkich, chłopcze. Zawsze się obawiałem, że pewnego dnia może użyć tych mocy, by zapanować nad tobą.

– Nie – przerwałem – to niesprawiedliwe. Lubię Alice nie dlatego, że mnie zaczarowała, ale dlatego, że okazała się dobra i była wierną przyjaciółką. Nie tylko moją, nas obu! Mama przed wyjazdem powiedziała, że wierzy w Alice i to mi wystarczy.

Stracharz przytaknął, na jego twarzy odbił się smutek.

– Twoja mama może mieć rację. Czas pokaże. Ale strzeż się, tylko o to proszę. Nawet silny mąż może poddać się kaprysom ładnej dziewczyny w szpiczastych trzewikach. Wiem to z doświadczenia. A teraz zanotuj to, co powiedziałem ci o

czarownicach.

Stracharz usiadł na ławce obok mnie i milczał, gdy zapisywałem wszystko w notatniku. Gdy skończyłem, zadałem pytanie:

– Kiedy wyruszymy do Pendle, czy możemy spodziewać się jakiegoś szczególnego zagrożenia ze strony kręgów czarownic? Czegoś, o czym dotąd nie słyszałem?

Stracharz wstał i znów zaczął krążyć tam i z powrotem, zatopiony w myślach.

– W okręgu Pendle roi się od wiedźm – mogą tam dziać się rzeczy, z którymi ja sam nigdy dotąd się nie zetknąłem. Musimy zachować czujność, musimy być otwarci na naukę. Myślę jednak, że największy problem stanowi sama ich ilość. Czarownice często sprzeczą się i kłócą, kiedy jednak zawrą przymierze i znajdą wspólny cel, ich siła bardzo rośnie. O tak, tego musimy się strzec. Widzisz, w tym właśnie tkwi podstawowe niebezpieczeństwo – że klany czarownic mogą się zjednoczyć. I jeszcze coś do twojego notatnika – musisz uporządkować nazewnictwo. „Krag” oznacza trzynaście czarownic, które zbierają się, by złączyć siły podczas ceremonii przywołujących moce ciemności. Natomiast większą rodzinę czarownic zwykle nazywamy „klanem”. Klan obejmuje także mężczyzn i dzieci oraz członków rodziny nie zajmujących się czarną magią.

Mistrz czekał cierpliwie, aż skończę pisać, po czym podjął przerwany wątek:

– Jak już ci wspominałem, w Pendle żyją trzy główne klany czarownic: Malkinów, Deane'ów i Mouldheelów – i pierwszy z nich jest najgorszy. Wszystkie spierają się i kłócą ze sobą, lecz Malkinowie i Deane'owie ostatnio mocno się do siebie zbliżyli. Zdarzały się wśród nich mieszane małżeństwa – twoja przyjaciółka Alice jest owocem podobnego związku. Jej matka była z domu Malkin, a ojciec pochodził z rodu Deane'ów. Szczęśliwie jednak żadne z nich nie praktykowało czarów. Z drugiej strony, oboje zmarli młodo i jak wiesz dziewczynkę oddano pod opiekę Kościstej

Lizzie. Już do końca życia będzie musiała walczyć z zakorzenionymi nawykami i odebranymi naukami, a powrót do Pendle wiąże się dla niej ze szczególnym niebezpieczeństwem, może bowiem z powrotem zejść na złą drogę i dołączyć do jednego z klanów.

Już miałem zaprotestować, lecz mistrz powstrzymał mnie gestem.

– Miejmy jednak nadzieję, że tak się nie stanie – podjął. – Jeśli Alice nie skłoni się ku mrokowi, jej znajomość okolicy bardzo nam się przyda i może okazać się nieoceniona w naszej pracy. Co do trzeciego klanu, Mouldheelów, są dużo bardziej tajemniczy. Oprócz tego, że praktykują magię krwi i kości, posiadli umiejętność posługiwania się lustrami. Jak już wcześniej wspominałem, nie wierzę w prorocтва. Ponoć jednak Mouldheelowie używają luster głównie do postrzegania.

– Postrzegania? – spytałem. – Co to?

– Przepowiadanie przyszłości, chłopcze. Ponoć lustro pokazuje im to, co ma się wydarzyć. Mouldheelowie zazwyczaj trzymają się z daleka od pozostałych dwóch klanów. Niedawno jednak słyszałem, że ktoś bądź coś próbuje przekonać czarownice z Pendle do zaprzestania odwiecznej wrogości. I temu właśnie musimy zapobiec. Bo jeśli trzy klany się zjednoczą, a co ważniejsze, jeśli połączą swe trzy kręgi, kto wie, jakie zło sprowadzą na Hrabstwo? Jak może pamiętasz, już raz to zrobiły, wiele lat temu – wtedy mnie przekleły.

– Pamiętam, jak mi opowiadałeś – przyznałem. – Ale sądziłem, że nie wierzysz w ich klątwę.

– Owszem, wolę sądzić, że to wszystko bzdury. Ale jednak wieść o tym wstrząsnęła mną. Na szczęście wkrótce potem kręgi się pokłóciły i rozstały, nim zdołał; poczynić większe szkody w Hrabstwie. Tym razem jednak w Pendle dzieje się coś bardziej złowieszczonego i o to właśnie chcę spytać mojego gościa. Musimy przygotować się umysłowo i fizycznie na być może straszliwą bitwę – a także dotrzeć do Pendle, nim będzie za późno.

– Cóż, chłopcze – zakończył stracharz, osłaniając oczy i zerkając ku słońcu. – Lekcja trwała już dość długo, zmykaj teraz do domu. Resztę poranka poświęć nauce.

\*

Kilka następnych godzin spędziłem samotnie w bibliotece stracharza. Mistrz wciąż nie do końca ufał Alice i nie pozwalał jej przychodzić do biblioteki, aby nie przeczytała czegoś, czego nie powinna. Gdy znowu mieszkaliśmy we trójkę, mistrz w końcu otworzył jeszcze jeden pokój na dole i zamieniliśmy go w gabinet. Teraz pracowała tam Alice: zarabiała na utrzymanie, przepisując książki stracharza. Niektóre z dzieł należały do rzadko spotykanych i mistrz zawsze się bał, że coś złego może się z nimi stać, toteż na wszelki wypadek wolał dysponować kopią.

Zajmowałem się kręgami czarownic, czytając o tym, jak trzynaście z nich odprawia wspólnie rytuały. Właśnie dotarłem do fragmentu opisującego co zachodzi, gdy wiedźmy urządzają swe ważne uczty, które nazywały sabatami.

*Niektóre kręgi świętują sabaty co tydzień, inne co miesiąc, w czasie pełni bądź nowiu. Dodatkowo, w każdym roku urządza się cztery wielkie sabaty w dniach, gdy moc mroku staje się najsilniejsza. Są to: Święto Gromniczne, Noc Walpurgii, Święto Plonów i wigilia Wszystkich Świętych. Podczas owych czterech mrocznych uczt kręgi mogą łączyć się, odprawiając wspólne obrzędy.*

Słyszałem już wcześniej o Nocy Walpurgii. Przypadała 30 kwietnia i wiele lat wcześniej trzy kręgi zebrały się razem w Pendle podczas owego sabatu, aby przekląć stracharza. Teraz mieliśmy drugi tydzień lipca. Zastanawiałem się, kiedy przypada następny wielki sabat i zacząłem szukać w księdze. Nie dotarłem zbyt daleko bo w tym momencie zdarzyło się coś, czego nie pamiętałem, odkąd przybyłem do Chipenden.

Łup! Łup! Łup! Łup!

Ktoś stukał do tylnych drzwi! Nie mogłem w to uwierzyć. Nikt nie przychodził do domu. Goście zawsze czekali pośród łożyn na rozstajach i uderzali w dzwon Wchodząc do ogrodu, ryzykowaliby rozszarpanie przez strzegącego domu i majątku bogina. Kto pukał? Czy to „przyjaciel”, którego spodziewał się stracharz? A jest tak, jakim cudem zdołał cało dotrzeć aż na próg domostwa?

## ROZDZIAŁ 2

### KRADZIEŻ I PORWANIE

Zaciekawiony, odłożyłem książkę na miejsce na półce i zszedłem na dół. Stracharz otworzył już drzwi i wprowadzał kogoś do kuchni. Na jego widok szczęka opadła mi ze zdumienia, był to bardzo rosły mężczyzna o szerokich barach, co najmniej dwa, trzy cale wyższy od stracharza. Miał szczerą, miłą twarz, na oko oceniałem, że dobiega czterdziestki, ale naprawdę zdumiał mnie jego strój. Ubrany był w czarną sutannę.

Ksiądz!

– Oto mój uczeń, Tom Ward – stracharz uśmiechnął się.

– Miło mi cię poznać, Tom – gość wyciągnął rękę.. Jestem ojciec Stocks. Moja parafia to Downham, na północ od Wzgórza Pendle.

– Bardzo mi miło pana poznać – uściśnąłem mu dłoń.

– John opowiadał mi o tobie w listach – ciągnął ojciec Stocks. – Wygląda na to, że zacząłeś swój termin nader obiecująco.

W tym momencie w kuchni zjawiała się Alice. Zmierzyła wzrokiem naszego gościa i dojrzałem zdumienie w jej oczach, gdy spostrzegła, kim jest. Ojciec Stock zerknął z kolei na jej szpiczaste trzewiki i jego brwi uniosły się lekko.

– A oto i młoda Alice – oznajmił stracharz. – Alice przywitaj się z ojcem Stocksem.

Alice skinęła głową i uśmiechnęła się lekko do księdza.

– O tobie także wiele słyszałem, Alice – rzekł. – I jak się zdaje, masz rodzinę w Pendle...

– To tylko więzy krwi, nic więcej – Alice skrzywiła się mocno. – Moja mama była z Malkinów, a tato z Deane'ów. Nie moja wina, gdzie się urodziłam. Nikt z nas nie wybiera sobie krewnych.

– Święte słowa – odparł łagodnie ksiądz. – Z pewnością świat byłby zupełnie innym miejscem, gdybyśmy mogli ich sobie

wybierać. Liczy się jednak to, jak sami kierujemy swoim życiem.

Potem niewiele już rozmawialiśmy. Ksiądz był zmęczony po podróży, a stracharz wyraźnie życzył sobie, byśmy ruszali z Alice w drogę, toteż zaczęliśmy się szykować. Nie pakowałem nawet torby, zabrałem tylko kij i kawał sera, żebyśmy mieli się czym posilić.

Stracharz odprowadził nas do drzwi.

– Będiesz tego potrzebował, by wynająć wóz – oświadczył, wręczając mi małą, srebrną monetę.

– Jak ojcu Stocksowi udało się przejść bezpiecznie przez ogród i uniknąć bogina? – spytałem, chowając monetę do kieszeni portek.

Mistrz uśmiechnął się.

– Wiele już razy przechodził przez ten ogród, chłopcze, bogin dobrze go zna. Ojciec Stocks był kiedyś moim uczniem. I to bardzo dobrym, ukończył termin. Później jednak zmienił zdanie i uznał, że jego prawdziwym powołaniem jest kościół. To cenna znajomość: ma dwa fuchy, nasz i księży. Jeśli dodać do tego świetną orientację w Pendle, nie można sobie wymarzyć lepszego sprzymierzeńca.

\*

Kiedy ruszaliśmy na farmę mego brata Jacka, świeciło słońce, śpiewały ptaki, było przepiękne letnie popołudnie; towarzyszyła mi Alice i zmierzałem do domu. Ponadto nie mogłem się już doczekać, aż zobaczę małą Mary, Jacka i jego żonę Ellie, spodziewającą się kolejnego dziecka. Mama przepowiadała, że będzie to syn, którego Jack zawsze pragnął, ktoś, kto mógłby odziedziczyć farmę po jego śmierci. Powinienem zatem być szczęśliwy. W miarę jednak, jak się zbliżaliśmy, nie mogłem otrząsnąć się ze smutku, przytłaczającego mnie powoli niczym ciężka czarna chmura.

Tato nie żył, a na farmie nie powita mnie mama. Nigdy już nie poczuje się tam jak w domu. Taka była brutalna prawda, ja jednak nie do końca się z nią pogodziłem.

– Grosik za twoje myśli – Alice uśmiechnęła się do mnie.

Wzruszyłem ramionami.

– No dalej, rozchmurz się, Tom. Ile razy mam ci to powtarzać?

Powinniśmy korzystać z każdej przyjemnej chwili. Zgaduję, że w przyszłym tygodniu ruszamy do Pendle.

– Przepraszam, Alice. Wspominałem po prostu mamę i tatę. Jakoś nie mogę przestać o nich myśleć.

Alice podeszła bliżej i dodającym otuchy gestem uściśniła mi dłoń.

– Wiem, Tom, to trudne. Ale z pewnością zobaczysz jeszcze kiedyś swoją mamę. Poza tym, czy nie możesz się już doczekać, aby odkryć, co kryje się w skrzyniach, które ci zostawiła?

– Owszem, jestem ciekaw, nie przeczę, ale...

– To ładne miejsce – Alice wskazała łączkę obok ścieżki. – Robię się głodna, zjedzmy coś.

Usiedliśmy na trawie w cieniu rozłożystego dębu i podzieliliśmy się zabranym na drogę serem. Oboje byliśmy głodni, toteż zjedliśmy cały. Nie czekała mnie robota stracharza, nie musiałem zatem pościć. Mogliśmy żyć z tego, co znajdziemy po drodze.

Zupełnie jakby Alice czytała mi w myślach.

– O zmierzchu złapię nam parkę soczystych królików – przyrzekła z uśmiechem.

– Byłoby miło. Wiesz, Alice – dodałem – dużo mi opowiadałaś o czarownicach w ogóle, ale bardzo mało o Pendle i tamtejszych wiedźmach. Właściwie dlaczego? Skoro się tam wybieramy, powinienem wiedzieć jak najwięcej.

Alice zmarszczyła brwi.

– Mam wiele bolesnych wspomnień związanych z tym miejscem. Nie lubię rozmawiać o mojej rodzinie. W ogóle nie lubię mówić o Pendle, myśl o powrocie tam mnie przeraża.

– Zabawne – mruknąłem – ale pan Gregory też rzadko wspominał o Pendle. Można by sądzić, że będziemy dyskutować o naszych zamiarach, kreślić jakieś plany tego, co zrobimy, gdy już dotrzemy na miejsce.

– On zawsze lubi trzymać karty przy orderach. Z pewnością ma jakiś plan, a dowiemy się jaki, gdy nadejdzie właściwa chwila. Wyobraź sobie, stary Gregory ma przyjaciela! – dodała Alice,

zmieniając temat. – I to w dodatku księdza!

– Jednego nie potrafię zrozumieć. Jak ktoś mógł zrezygnować z bycia stracharzem, żeby zostać księdzem?

Alice roześmiała się.

– Nie jest to wcale dziwniejsze od decyzji starego Gregory'ego, który zrzucił sutannę, żeby zostać stracharzem!

Miała rację – stracharz wcześniej uczył się na księdza. Roześmiałem się wraz z nią. Lecz nie zmieniłem zdania. Z tego, co wiedziałem, księża jedynie modlili się, to wszystko. Nie robili nic, by bezpośrednio walczyć z mrokiem. Brakowało im praktycznej wiedzy naszego fachu. Uważałem, że ojciec Stocks wybrał niewłaściwą ścieżkę.

\*

Niedługo przed zmierzchem zatrzymaliśmy się ponownie i usiedliśmy w dolince pomiędzy dwoma wzgórzami, nieopodal skraju lasu. Niebo było czyste, na południowym wschodzie świecił wąski sierp księżyca. Zająłem się rozpalaniem ognia, tymczasem Alice ruszyła polować na króliki. Po godzinie piekła je już nad ogniem, sok ściekał z sykiem w płomienie, a mnie do ust napływała ślinka.

Wciąż ciekawiło mnie Pendle i mimo niechęci Alice do rozmów ojej przeszłości, postanowiłem znów spróbować.

– No dalej, Alice – rzuciłem. – Wiem, że to dla ciebie bolesne, ale muszę wiedzieć coś więcej o Pendle...

– Chyba faktycznie – Alice spojrzała na mnie poprzez płomienie. – Lepiej, byś był gotów na najgorsze. To nie jest miłe miejsce. I wszyscy się tam boją. Nieważne, jaką wioskę odwiedzisz, strach mają wypisany na twarzach. Nie dziwię się zresztą, bo więdźmy wiedzą niemal o wszystkim, co się wokół dzieje. Po zmroku większość zwykłych ludzi obraca lustra w swych domach przodem do ściany.

– Czemu? – zdziwiłem się.

– By nie mogły ich szpiegować. Nocą nikt nie ufa lustrom. Czarownice, zwłaszcza z klanu Mouldheelów, z ich pomocą



szpiegują innych. Uwielbiają z nich korzystać do postrzegania i podglądania. W Pendle nigdy nie wiesz, kto lub co może nagle wyrzucić na ciebie z lustra. Pamiętasz starą Mateczkę Malkin? Powinieneś mieć zatem pojęcie, z jakimi czarownicami będziemy mieć do czynienia...

Nazwisko Malkin sprawiło, że poczułem chłód w kościach. Mateczka Malkin była najgorszą wiedźmą w Hrabstwie i rok wcześniej z pomocą Alice zdołałem ją zniszczyć. Wcześniej jednak zagroziła Jackowi i jego rodzinie.

– Choć już jej nie ma, w Pendle zawsze znajdzie się ktoś gotów wskoczyć w buty martwej wiedźmy – dodał ponuro Alice. – Wielu Malkinów jest obdarzonych odpowiednimi mocami. Część mieszka w Wieży Malkinów: to miejsce, do którego nie należy się zbliżać po zmroku. Ludzie, którzy znikają w Pendle, najczęściej tam właśnie trafiają. Pod wieżą ciągną się tunele, doły i loch; pełne kości zamordowanych ofiar.

– Dlaczego nikt nic nie robi? – spytałem. – Co z najwyższym szeryfem z Caster, nie mógłby się tym zająć?

– Wysyłał już do Pendle sędziów i konstabli, o tak, wiele razy. Niewiele to jednak dawało. Zazwyczaj wieszali niewłaściwych ludzi. Choćby starą Hannah Fairborne. Miała prawie osiemdziesiątkę, gdy zawlekli ją do Caster w kajdanach. Mówili, że była czarownicą, ale to nieprawda. Zasługiwała jednak na to, by zawisnąć, bo otruła trzech swoich siostrzanów. Wiele podobnych rzeczy dzieje się w Pendle. To niedobre miejsce. I niełatwo cokolwiek tam zmienić. Dlatego właśnie stary Gregory zwlekał tak długo.

Przytaknąłem.

– Wiem lepiej niż większość, jak to jest, żyć tam – podjęła Alice. – Choć Malkinowie i Deane'owie rywalizują ze sobą, często się pobierają. Prawda jest taka, że oba klany nienawidzą Mouldheelów znacznie bardziej niż siebie nawzajem. Życie w Pendle jest skomplikowane. Spędziłam tam większość moich dni, ale też mnóstwa rzeczy nie rozumiem.

– Czy byłaś szczęśliwa? – spytałem. – No wiesz, zanim zajęła się tobą Koścista Lizzie...?

Alice umilkła, unikając mego wzroku i pojąłem, że nie powinienem był pytać. Nigdy nie wspominała o życiu ze swymi rodzicami ani z Lizzie po ich śmierci.

– Nie pamiętam wiele z czasów przed Lizzie – rzekła w końcu. – Głównie kłótnie. Leżałam po ciemku i płakałam, a mama i tato wyklócali się jak pies z kotem. Ale czasami rozmawiali też i śmiali się, więc nie było tak źle. To właśnie największa różnica. Potem już zawsze było cicho. Lizzie rzadko się odzywała. Prędzej mogłam liczyć na kuksańca w głowę niż na dobre słowo. Bardzo dużo rozmyślała. Wpatrywała się w ogień i mamrotała zaklęcia. A jeśli nie gapiała się w płomienie, to w lustro. Czasami ponad jej ramieniem dostrzegałam różne rzeczy. Rzeczy, dla których nie ma miejsca na tej ziemi. Przerazały mnie, o tak. Wolałam już kłótnie mamy i taty.

– Mieszkałyście w Wieży Malkinów?

Alice pokręciła głową.

– Nie, w samej wieży mieszka tylko krąg Malkinów i garstka wybranych pomocników. Ale czasami odwiedzałam ją z mamą. Część wieży kryje się pod ziemią, ja jednak nigdy tam nie schodziłam. Wszyscy mieszkają razem w jednej wielkiej sali, pamiętam kłótnie, wrzask i dym, od którego piekły oczy. Mój tato był Deane'em, toteż nie odwiedzał wieży. Nie wyszedłby stamtąd żywy. Mieszkaliśmy w domku niedaleko Roughlee, wioski, w której osiadła większość Deane'ów. Mouldheelowie mieszkają w Bareleigh, a reszta Malkinów w Goldshaw Booth. Zazwyczaj każdy klan trzyma się własnego terytorium.

Alice umilkła. Nie naciskałem dalej, bo widziałem, że ma wiele bolesnych wspomnień z Pendle – pełnych niewypowiedzianej grozy, której nie potrafiłem sobie nawet wyobrazić.

\*

Najbliższy sąsiad Jacka, pan Wilkinson, miał konia i wóz. Wiedziałem, że bardzo chętnie mi je wynajmie. Bez wątpienia każe

też jednemu z synów nas zawieźć, bym nie musiał odstawiać ich z powrotem. Postanowiłem najpierw zajrzeć do brata i poinformować go, co zamierzam zrobić ze skrzyniami.

Szliśmy całkiem szybko i późnym popołudniem następnego dnia ujrzelśmy przed sobą farmę Jacka. Wystarczył jeden rzut oka, by przekonać się, że stało się coś bardzo złego.

Nadchodziliśmy od północnego wschodu, omijając Wzgórze Wisielców. I gdy ruszyliśmy w dół, stwierdziłem, że na polach nie ma żadnych zwierząt. Potem, gdy ujrzałem zabudowania, zrobiło się jeszcze gorzej. Ze stodoły pozostała jedynie poczerniała ruina: spłonęła do fundamentów.

Nie przyszło mi nawet do głowy poprosić Alice, żeby poczekała na granicy farmy. Wydarzyło się coś złego i myślałem tylko o tym, by sprawdzić, czy nic nie stało się Jackowi, Ellie i ich córeczce Mary. Do tej pory z farmy powinny już ujadać wniebogłosy. Lecz wokół panowała cisza.

Gdy przebiegliśmy przez bramę i dalej, środkiem podwórza, odkryłem, że ktoś wyważył tylne drzwi domu: kołysały się teraz na jednym zawiasie. Popędziłem ku nim z Alice za plecami. Gardło ścisnęło mi się boleśnie. Bałem się tego, co mogę zobaczyć.

Już w środku zacząłem nawoływać Jacka i Ellie, choć jednak powtarzałem ich imiona wielokrotnie, nie doczekałem się odpowiedzi. Dom zupełnie nie przypominał tego, w którym się wychowywałem. Ktoś powyciągał wszystkie kuchenne szuflady, podłogę zaścielały sztuce i odłamki potłuczonych naczyń. Doniczki z ziołami zdjęto z parapetu i rozbito o ścianę, w zlewie zebrała się ziemia. Mosiężny lichtarz zniknął ze stołu, na jego miejscu ujrzałem pięć pustych butelek wina z czarnego bzu z piwnicznych zapasów mamy. Dla mnie jednak najgorszy był widok bujanego fotela mamy – zostały z niego szczątki, jakby ktoś porąbał go siekierą. Widok ten sprawił mi ból. Zupełnie jakby ktoś zranił mamę.

Na górze zastaliśmy splądrowane sypialnie – ubrania rozrzucone na łóżkach i podłogach. Intruzi rozbili wszystkie lustra.

Najgorzej jednak poczułem się, gdy dotarliśmy do pokoju mamy. Drzwi były zamknięte, lecz ścianę obok zbryzgała krew. Na podłodze także ujrzałem plamę krwi. Czy Jack i jego rodzina byli tu, gdy to się stało? Ogarnęła mnie straszliwa groza, bałem się, że ktoś w tym miejscu zginął.

– Nie myśl o najgorszym, Tom – Alice chwyciła mnie za rękę. – Może nie jest aż tak źle.

Nie odpowiedziałem, nadal wbijałem wzrok w ślady krwi na ścianach.

– Zajrzyjmy do pokoju twojej mamy – zaproponowała Alice.

Przez chwilę przyglądałem jej się wstrząśnięty. Nie mogłem uwierzyć, że w takiej chwili myśli tylko o tym.

– Uważam, że powinniśmy tam zajrzeć – nalegała. Wściekły, sprawdziłem drzwi, te jednak nie ustąpiły.

– Wciąż są zamknięte, Alice. Mam jedyny klucz. Nikogo tam nie było.

– Zaufaj mi, Tom. Proszę...

Dla bezpieczeństwa nosiłem klucze na sznurku wokół szyi. Był tam duży klucz do drzwi i trzy mniejsze, do trzech wielkich skrzyń. Wystarczyła chwila, bym otworzył zamek i przekroczył próg. Miałem także przy sobie klucz zrobiony przez brata stracharza, Andrew, ślusarza, otwierający bez kłopotu niemal każdy zamek.

Myliłem się. Ktoś jednak wdarł się do środka. Pokój był zupełnie pusty. Trzy wielkie skrzynie, a także mniejsze skrzynki zniknęły.

– Jak mogli się tu dostać? – Mój głos odbił się lekki, echem od pustych ścian. – Mam jedyny klucz...

Alice pokręciła głową.

– Przypomnij sobie, co jeszcze mówiła twoja mama: nic złego nie mogłoby tu wejść. A jednak coś złego tu było, bez dwóch zdań!

Istotnie, pamiętałem, co mówiła mama: działo się to podczas mojej poprzedniej wizyty na farmie, gdy widziałem ją po raz ostatni. Stała w tym właśnie pokoju, rozmawiając z Alice i ze mną.

Dokładnie przypomniałem sobie jej słowa.

„Po zamknięciu nic złego nie może tu wejść. Jeśli jesteś człowiekiem odważnym, masz czystą i dobrą duszę, pokój ten stanie się bastionem, fortecą przeciw mrokowi. Skorzystaj z niego tylko jeśli będzie cię ścigać coś tak strasznego, że zagrozi nie tylko twemu życiu, ale i duszy.”

Co zatem się stało? Jak ktoś wtargnął do środka i ukradł skrzynie zostawione mi przez mamę? Po co mu one? Na co mogły się komukolwiek przydać?

Szybko sprawdziliśmy strych, po czym znów zamknąłem na klucz drzwi pokoju mamy. Zeszliśmy na dół i dalej na podwórze. Oszołomiony, ruszyłem w stronę tego, co zostało ze stodoły – kilku zwęglonych słupków i kawałków drewna pośród stosu popiołu.

– Wciąż czuję dym – powiedziałem. – To się zdarzyło niedawno.

Alice przytaknęła. Niedługo po zmierzchu, dwa dni temu – oznajmiła, węsząc głośno w zanieczyszczonym powietrzu.

Alice potrafiła wywęszyć wiele rzeczy. Zwykle miała rację, teraz jednak, gdy na nią patrzyłem, nie spodobał mi się wyraz jej twarzy. Odkryła coś jeszcze. Coś bardzo złego. Może gorszego niż to, co już widzieliśmy.

– O co chodzi, Alice? – spytałem szybko.

– Jest tu coś jeszcze prócz dymu. Była tu czarownica. Może więcej niż jedna.

– Czarownica? Po co miałyby tu przychodzić? – W głowie błyskały mi obrazy zastanych zniszczeń.

– Po skrzynie, a po cóż by innego? Musi być w nich coś, czego bardzo pragnęły.

– Ale jak się o nich dowiedziały?

– Może z luster? Może ich moc sięga poza Pendle?

– A co z Jackiem i Ellie? I ich dzieckiem? Gdzie są teraz?

– Zgaduję, że Jack próbował powstrzymać wiedźmy. Jest przecież wielki i silny, nie poddałby się bez walk. Chcesz wiedzieć, co myślę? – Alice patrzyła na mnie okrągłymi oczami.

Przytaknąłem, choć obawiałem się tego, co usłyszę.

– Nie mogły dostać się do tego pokoju, bo twoja mama w jakiś sposób ochroniła go przed złem. Zmusiły zatem Jacka, by wziął dla nich skrzynie. Z początku walczył, ale gdy zagroziły Ellie bądź małej Mary, musiał to zrobić.

– Ale jak Jack dostał się do środka? – krzyknęłam.. Nie widać, by wyważył drzwi, a ja mam jedyny klucz. I gdzie są teraz? Gdzie są?

– Zabrały ze sobą twoją rodzinę. Tak mi to wygląda.

– Ale dokąd, Alice? Dokąd poszły?

– Potrzebowały konia i wozu, żeby zabrać skrzynie. Te trzy wielkie wyglądały na bardzo ciężkie. Musiały zatem trzymać się dróg. Moglibyśmy pójść i sprawdzić...

Pobiegliśmy na skraj gościńca i podążyliśmy na północ, maszerując szybko. Po jakichś trzech milach dotarliśmy do rozstajów. Alice wskazała ręką.

– Pojechały na północny wschód, Tom. Tak jak myślałam. Wróciły do Pendle.

– W takim razie ruszajmy za nimi!

Puściłem się biegiem, pokonałem jednak zaledwie dziesięć kroków, nim Alice mnie doścignęła i szarpnęła za rękę.

– Nie, Tom, nie to musisz zrobić. Mają sporą przewagę. Nim tam dotrzemy, zdążą się ukryć, a w Pendle jest mnóstwo kryjówek. Jakie mamy szanse je znaleźć? Powinniśmy wrócić i opowiedzieć staremu Gregory'emu o tym, co tu zaszło. On będzie wiedział, co robić. A ten ojciec Stocks też może pomóc.

Pokręciłem głową. Nie przekonała mnie.

– Myśl, Tom, myśl! – syknęła Alice, ściskając mi rękę aż do bólu. – Najpierw musimy wrócić i porozmawiać z sąsiadami Jacka. Może coś wiedzą. A twoi pozostali bracia? Nie powinieneś ich powiadomić o tym, co się stało? Z pewnością chcieliby pomóc. Potem pobiegniemy do Chipenden i opowiemy o wszystkim staremu Gregory'emu.

– Nie, Alice, nawet biegiem powrót do Chipenden zabierze nam dobrze ponad dzień. Potem kolejne pół dnia bądź więcej do Pendle.

Do tego czasu nie wiadomo, co może spotkać Jacka i jego rodzinę. Możemy nie zdążyć ich ocalić.

– Istnieje inny sposób, ale ci się nie spodoba – Alice wypuściła moją rękę i wbiła wzrok w ziemię.

– Co masz na myśli? – spytałem niecierpliwie. Jack i jego rodzina mieli coraz mniej czasu.

– Ty możesz wrócić do Chipenden, a ja pójde sama do Pendle...

– Nie, Alice! Nie mogę puścić cię samej, to zbyt niebezpieczne.

– Razem groziłoby nam większe niebezpieczeństwo. Jeśli złapią nas razem, ucierpimy oboje. Wyobraź sobie co zrobią z uczniem stracharza! Siódmym synem siódmego syna! Będą walczyć między sobą o twe kości. To pewne, bez dwóch zdań. Ale jeśli złapią mnie samą, powiem, że po prostu wróciłam do Pendle. Prawda? Że znów chcę żyć ze swoją rodziną. Mam też większą szansę dowiedzieć się, kto to zrobił i gdzie przetrzymują Jacka i Ellie.

Żołądek ścisnął mi się nerwowo, lecz stopniowo zaczął docierać do mnie sens ukryty w słowach Alice. Ostatecznie знаła to miejsce i mogła podróżować po Pendle, nie zwracając na siebie uwagi.

– To wciąż niebezpieczne, Alice. I sądziłem, że boisz się tam wracać.

– Robię to dla ciebie, Tom. I dla twojej rodziny. Nie zasługują na to, co ich spotkało. Pójde do Pendle. Nie mam innego wyjścia – Alice podeszła do mnie i ujęła moją lewą dłoń. – Do zobaczenia w Pendle, Tom – rzekła miękko. – Przybywaj jak najszybciej.

– Tak zrobię – zapewniłem ją. – Gdy tylko dowiesz się czegokolwiek, idź do kościoła ojca Stocksa w Downham. Będę tam czekał.

Alice przytaknęła, zawróciła na pięcie i ruszyła gościńcem na północny wschód. Przez kilka chwil odprowadzałem ją wzrokiem, ona jednak nie obejrzała się ani razu. Zawróciłem zatem i pobiegłem na farmę Jacka.

## **ROZDZIAŁ 3**

## HIERARCHIA WAŻNOŚCI

Wkrótce dotarłem do farmy Wilkinsonów, graniczącej z ziemią Jacka od strony zachodniej. Tata zawsze wolał trzymać różne zwierzęta, lecz nasi sąsiedzi pięć lat wcześniej przeszli wyłącznie na bydło. Pierwszą rzeczą, jaką teraz zauważyłem, było pole pełne owiec. O ile się nie myliłem, należały do Jacka.

Pan Wilkinson reperował właśnie ogrodzenie na południowej łące, jego czoło przecinał bandaż.

– Dobrze cię widzieć, Tom! – zawołał, podskakując i biegnąc ku mnie. – Tak mi przykro z powodu tego, co się stało. Gdybym mógł, posłałbym ci wiadomość. Wiedziałem, że pracujesz gdzieś na północy, ale nie miałem adresu. Wczoraj wysłałem list do twojego brata, Jamesa. Prosiłem, by przybył tu natychmiast.

James był moim drugim starszym bratem, pracował jako kowal w Ormskirk, na południowym zachodzie Hrabstwa. Miasto to otaczały bagniska i mokradła. Nawet jeśli jutro dostanie list, minie kolejny dzień bądź więcej, nim dotrze na farmę.

– Widział pan, co się stało? – spytałem.

Pan Wilkinson przytaknął.

– O, tak, i oto, co mi po tym zostało – wskazał ręką opatrunek na głowie. – Wszystko rozegrało się wkrótce po zmroku. Zobaczyłem ogień i przyszedłem pomóc. Z początku ulżyło mi, że to stodoła płonie, a nie dom. Gdy jednak się zbliżyłem, zorientowałem się, co się święci; wokół kręciło się mnóstwo ludzi, a że jestem najbliższym sąsiadem, zdziwiło mnie, jakim cudem zdołali dotrzeć tam przede mną. Wkrótce też pojąłem, że nikt nawet nie próbuje ratować stodoły. Wynosili z domu jakieś rzeczy i ładowali na wóz. Kiedy ruszyłem ku nim, usłyszałem jedynie tupot za plecami. Nim zdążyłem się odwrócić, ktoś uderzył mnie mocno w głowę i runąłem jak ścięty. Gdy doszedłem do siebie, zniknęli. Zajrzałem do domu, nie znalazłem jednak nawet śladu Jacka i jego rodziny. Przykro mi, że nie mogłem zrobić nic więcej, Tom.



– Dziękuję, że pan przyszedł i próbował pomóc, panie Wilkinson – odparłem. – Bardzo mi przykro, że został pan ranny. Ale czy widział pan może ich twarze? Poznałby ich pan?

Sąsiad pokręcił głową.

– Nie dotarłem dość blisko, by się im przyjrzeć, ale w pobliżu czekała kobieta. Siedziała wyprostowana na karym koniu. Piękne to było zwierzę – czystej krwi, jak te, które ścigają się na wielkim wiosennym jarmarku w Topley. Kobieta także była urodziwa, rosła, lecz bardzo zgrabna, miała bujne czarne włosy. Nie biegała wokół jak pozostali, nawet z daleka słyszałem, jak wykrzykuje polecenia. Jej głos dźwięczał władczo.

Po uderzeniu w głowę nie nadawałem się do niczego. Następnego ranka byłem chory jak kot, lecz posłałem najstarszego chłopaka do Topley, by powiadomił o wszystkim Bena Hindle'a, tamtejszego konstabla. Następnego dnia przyprowadził tu grupkę wieśniaków i podąży śladem na północny wschód. Po jakichś dwóch godzinach znaleźli porzucony wóz ze złamanym kołem. Mieli ze sobą psy i ruszyli dalej tropem, który jednak urwał się nagle. Ben mówił, że nigdy w życiu nie widział niczego podobnego. Zupełnie jakby tamci po prostu rozplynęli się w powietrzu. Nie mogli zatem zrobić nic więcej, musieli odwołać poszukiwania i zawrócić. Tom, może wejdiesz do nas do domu i coś przekąsisz? Jeśli chcesz, zostań parę dni, do czasu przybycia Jamesa.

Pokręciłem głową.

– Dziękuję, panie Wilkinson, ale lepiej będzie, jeśli jak najszybciej wrócę do Chipenden i opowiem mojemu mistrzowi o tym, co się stało. On będzie wiedział, co robić.

– Nie lepiej byłoby poczekać na Jamesa?

Przez chwilę zawahałem się; nie wiedziałem, jaką wiadomość zostawić bratu. Jakaś część mnie nie chciała narażać go na niebezpieczeństwa i informować, że zmierzamy do Pendle. Z pewnością jednak pragnąłby pomóc ratować Jacka i jego rodzinę. A my potrzebowaliśmy każdego możliwego wsparcia. Wiedźmy miały nad nami ogromną przewagę liczebną.

– Przepraszam, panie Wilkinson, ale uważam, że najlepiej będzie, jeśli ruszę od razu. Kiedy zjawi się James, zechce pan mu powtórzyć, że poszliśmy z mistrzem do Pendle. Bo widzi pan, jestem niemal pewien, że ci, którzy napadli na farmę, pochodzą właśnie stamtąd. Proszę powiedzieć Jamesowi, żeby udał się wprost do kościoła w Downham, w okręgu Pendle. Leży na północ od wzgórza. Tamtejszy ksiądz, ojciec Stocks, będzie wiedział, gdzie nas znaleźć.

– Tak uczynię, Tom. Mam nadzieję, że znajdziecie Jacka i jego rodzinę całych i zdrowych. Tymczasem będę miał oko na farmę – zwierzęta i psy są u mnie bezpieczne. Powtórz to Jackowi, gdy go zobaczysz.

Podziękowałem panu Wilkinsowi i ruszyłem z powrotem w stronę Chipenden. Martwiłem się o Jacka, Ellie i ich dziecko. A także o Alice. Jej argumenty miały sens, przekonała mnie, że będzie najlepiej, jeśli ruszy sama. Ale bała się i podejrzewałem, że – nieważne, co mówi – grozi jej wielkie niebezpieczeństwo.

\*

Do Chipenden dotarłem późnym rankiem następnego dnia. Część nocy spędziłem w opuszczonej stodole. Bezceremonialnie opowiedziałem mistrzowi o wszystkim co się stało, błagając, by natychmiast ruszał do Pendle mogliśmy przecież rozmawiać po drodze – bo każda sekunda zwłoki zwiększała niebezpieczeństwo grożące mojej rodzinie. On jednak nie posłuchał i gestem wskazał krzesło przy kuchennym stole.

– Usiądź, chłopcze – polecił. – Im większy pośpiech, tym mniejsza szybkość! Podróż zabierze nam całe popołudnie i wieczór, a nierozsądnie byłoby wkraczać do Pendle po zmroku.

– Jakie to ma znaczenie? – zaprotestowałem. – Będziemy tam przecież jakiś czas. To oznacza, że spędzimy w okręgu mnóstwo nocy!

– Owszem, to prawda, lecz granice Pendle są niebezpieczne, bo nocą obserwują je i strzegą ci, którzy boją się światła dziennego. I tak nie zdołamy przedostać się niepostrzeżenie, za dnia możemy

jednak przynajmniej liczyć, że w naszych ciałach wciąż pozostanie oddech.

– Ojciec Stocks mógłby nas przeprowadzić – rozejrzałem się, szukając go wzrokiem. – Dobrze zna Pendle. Musi wiedzieć, jak jeszcze dziś bezpiecznie powieść nas do Downham.

– Zapewne tak, ale odszedł na krótko przed twoim przybyciem. Rozmawialiśmy jednak bardzo długo i uzyskałem od niego ostatnie fragmenty układanki. Teraz mogę wymyślić, jak rozprawić się z wiedźmami. Lecz ojciec Stocks ma w Downham przerażonych parafian i nie śmie zbyt długo zostawiać ich samych. A teraz, chłopcze, zacznij od początku i raz jeszcze opowiedz mi wszystko. Nie pomijaj żadnych szczegółów. W ostatecznym rozrachunku okaże się to lepsze niż natychmiastowe wyruszenie w drogę bez choćby zarysu planu!

Zrobiłem, jak kazał, powtarzając sobie w duchu, że zapewne jak zawsze stracharz ma rację i że w ten sposób najlepiej pomogę Jackowi. Gdy jednak skończyłem swą relację, na myśl o tym, co się stało, do oczu napłynęły mi łzy. Stracharz przyglądał mi się uważnie parę sekund, a potem wstał. Zaczął przemierzać tam i z powrotem kamienną posadzkę przed paleniskiem.

– Bardzo ci współczuję, chłopcze. To musi być dla ciebie ciężkie. Twój tato umarł, mama wyjechała, a teraz to. Wiem, że jest trudno, ale musisz panować nad emocjami. Teraz powinniśmy zachować jasność umysłu. W ten sposób najlepiej pomożemy twojej rodzinie. Po pierwsze, muszę cię spytać, czy wiesz cokolwiek o skrzyniach z pokoju twojej mamy. Może o czymś mi nie wspomniałeś? Masz pojęcie, co w sobie kryją?

– W tej najbliższej okna mama trzymała srebrny łańcuch, który mi podarowała – przypomniałem mu. – Ale nie mam pojęcia, co jeszcze było w środku. Jej słowa brzmiały bardzo tajemniczo. Mówiła, że znajdę tam odpowiedzi na wiele pytań, które nie dają mi spokoju. Że w skrzyniach kryje się jej przeszłość i jej przyszłość i że dowiem się o niej rzeczy, o których nie wspominała nawet tacie.

– A zatem nic nie wiesz? Na pewno?

Kilka chwil rozmyślałem gorączkowo.

– W jednej ze skrzyń mogą być pieniądze.

– Pieniądze? Ile dokładnie?

– Nie wiem. Mama z własnych pieniędzy kupiła farmę ale nie mam pojęcia, ile ich miała. Musiało jednak coś zostać. Pamiętasz, jak na początku zimy poszedłem do domu odebrać dziesięć gwinei, które był ci winien tato za mój termin? Mama poszła na górę i przyniosła je ze swego pokoju.

Stracharz przytaknął.

– Czyli całkiem możliwe, że chodziło o pieniądze. Jeśli jednak dziewczyna ma rację i brały w tym udział czarownice, podejrzewam, że w grę wchodziło coś innego. Ale skąd wiedziały, że skrzynie tam są?

– Alice myśli, że mogły szpiegować przez lustra.

– Doprawdy? Ojciec Stocks wspominał o lustrach, ale nie pojmuję, jak mogły ujrzeć skrzynie stojące w zamkniętym pokoju. To nie ma sensu. Kryje się w tym coś bardziej złowieszczego.

– Na przykład?

– Jeszcze nie wiem, chłopcze. Lecz skoro masz jedyny klucz, jak dostały się do pokoju, nie wyważając drzwi? Mówiłeś, że twoja mama ochroniła go przed złem?

– Tak, ale Alice uważała, że przymusiły Jacka, bo same nie mogły wejść do środka. Na ścianie i podłodze znaleźliśmy krew – wyjaśniłem. – Chyba zraniły Jacka i zmusiły by wszedł i wyniósł skrzynie, choć nadal nie pojmuję, jak otworzył zamek. Mama mówiła, że pokój to schronienie...

Poczułem że dławią mnie emocje. Stracharz zbliżył się i dodającym otuchy gestem poklepał mnie po ramieniu. Potem zaczekał w milczeniu, aż zapanuję nad głosem.

– No dalej, chłopcze, opowiadaj.

– Mówiła, że kiedy go zamknę, mogę schronić się w nim przed każdym złem grożącym mi na zewnątrz. Że jest chroniony lepiej nawet niż twój dom. Ale miałem z niego skorzystać tylko, gdyby

ścigało mnie coś tak strasznego, że zagrażałoby mojemu życiu i duszy. Mówiła, że za skorzystanie z pokoju płaci się cenę. Że ja jestem młody i to mi nie zaszkodzi, ale ty nie mógłbyś z niego skorzystać. I że w razie konieczności mam ci u powtórzyć...

Stracharz przytaknął z namysłem i podrapał się p brodzie.

– Cóż, chłopcze, wszystko brzmi coraz bardziej i bardziej tajemniczo. Wyczuwam w tym coś głębokiego. Coś, z czym jeszcze nigdy się nie zetknąłem. Teraz, gdy w grę wchodzi niewinne ofiary, będzie jeszcze trudniej. Ale nie mamy wyboru, musimy działać, w ciągu godziny ruszymy do Pendle – po drodze znajdziemy jakieś schronienie i dojdziemy na miejsce przed świtem, o najbezpieczniejszej porze. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby pomóc twojej rodzinie, ale musisz zrozumieć: gra toczy się o stawkę wyższą niż tylko ich życie. Jak wiesz, postanowiłem raz a dobrze rozprawić się z czarownicami z Pendle. I w samą porę, bo ojciec Stocks przyniósł mi bardzo niepokojące wieści. Wygląda na to, że plotki były prawdziwe: Malkinowie i Deane'owie ogłosili już rozejm i starają się, by dołączyli do niego Mouldheelowie. Jest tak źle, jak się obawiałem. Wiesz, co przypada na pierwszy dzień sierpnia, za niecałe dwa tygodnie od dzisiaj?

Pokręciłem głową. Trzeciego tego miesiąca miałem urodziny i tylko ta data w sierpniu cokolwiek dla mnie znaczyła.

– Cóż, chłopcze, czas już, byś się dowiedział. To jedno ze świąt Starych Bogów. Nazywają je „Świętem Plonów”. W tym czasie kręgi czarownic zbierają się, by oddawać cześć mrokowi i czerpać z niego moc.

– To jeden z czterech głównych sabatów roku czarownic, prawda? Czytałem o nich, ale nie znałem ich dat.

– Teraz znasz już datę Święta Plonów. A z tego mówił ojciec Stocks, wygląda na to, że czarownice z Pendle mają zamiar tego dnia spróbować czegoś wyjątkowo mrocznego i niebezpiecznego. Najgroźniejsze jest to, że Mouldheelowie mogą do nich dołączyć, a kiedy trzy kręgi się zjednoczą, moc czarownic bardzo wzrośnie. Musi im chodzić o coś naprawdę wielkiego, jeśli mają się

sprzymierzyć. Ojciec Stocks nie słyszał dotąd o tak wielu napaściach na cmentarze – czarownice wykradły mnóstwo kości. Wieści o twoim bracie i jego rodzinie komplikują sprawę, jasno jednak widać, co jest najważniejsze. Musimy udać się do Pendle i spotkać z ojcem Stocksem w Downham. Nie możemy pozwolić, by Mouldhelowie przystąpili do mrocznego przymierza. Musimy znaleźć porwane ofiary. Jeśli młoda Alice zdoła nam w tym pomóc, to doskonale. W przeciwnym razie sami wyruszymy na łowy.

\*

Nasze torby były spakowane, wystarczyło jedynie przekroczyć próg i zamknąć za sobą drzwi. W końcu ruszymy do Pendle i to w sam czas. Lecz ku mej rozpaczy stracharz usiadł na stołku przy kuchennym stole, wyjął z torby osełkę i uniósł laskę. Usłyszałem szcęk, gdy ukryta klinga wystrzeliła naprzód, a potem zgrzyt, kiedy zaczął ją ostrzyć.

Spojrzał na mnie i westchnął, najwyraźniej dostrzegł na mej twarzy niecierpliwość i niepokój.

– Posłuchaj, chłopcze. Wiem, że desperacko pragniesz ruszyć w drogę i masz po temu powody. Lecz musimy zrobić wszystko jak należy, musimy być gotowi na każdą ewentualność. Mam złe przeczucia co do tej podróży. Jeśli zatem w pewnym momencie każę ci uciekać i schronić się w specjalnym pokoju twojej mamy, zrobisz tak.

– Co? Miałbym cię zostawić?

– Tak, dokładnie o to mi chodzi. Ktoś musi uprawiać nasz fach. Nigdy nie miałem w zwyczaju wychwalać moich uczniów. Pochwały często bywają szkodliwe. Uderzają do głowy i wbijają ludzi w pychę, tak że spoczywają na laurach. Ale powiem ci jedno. Bez wątpienia stałeś się, jak przyrzekła mi kiedyś twoja mama, moim najlepszym uczniem. Nie mogę żyć wiecznie, możliwe zatem, że będziesz uczniem ostatnim. Tym, którego muszę przygotować do przejęcia mojej pracy w Hrabstwie. Jeśli dam znać, natychmiast opuścisz Pendle, nie zadając pytań i nie oglądając się za siebie, i schronisz się w tym pokoju. Zrozumiano?

Przytaknąłem.

– Czy w razie konieczności mnie posłuchasz?

– Tak – odparłem. – Tak zrobię.

W końcu ostrość klingi zadowoliła stracharza i z powrotem ukrył sztylet w lasce. Dźwigając obie nasze torby i własny kij, ruszyłem za mistrzem na zewnątrz i czekałem, aż zamknie drzwi na klucz. Przystanął na moment, omiół wzrokiem dom, po czym odwrócił się i obdarzył mnie smutnym uśmiechem.

– No dobrze, chłopcze, ruszajmy w drogę! Dość już zwlekaliśmy.

## **ROZDZIAŁ 4**

### **NA WSCHÓD, DO PENDLE**

Z Chipenden ruszyliśmy na wschód, trzymając się południowego skraju Wzgórz Bowland. A potem skręciliśmy, przekraczając rzekę Ribble o gościnnych brzegach porośniętych drzewami. Trudno było rozpoznać w niej szeroką rwącą rzekę przepływającą przez Priestown. Gdy jednak przepawiliśmy się na drugą stronę, zacząłem czuć coraz większy niepokój.

– No, chłopcze, jesteśmy – stracharz zatrzymał się kawałek od strumienia przegradzającego nam drogę. Wskazał ręką Wzgórze Pendle, wznoszące się przed nami coraz bliżej. – Niezbyt piękny widok, nieprawdaż?

Zgadzałem się z całego serca. Choć z kształtu przypominało długą skarpe, miejscowe wzgórze za doliną na południe od Chipenden było większe i bardziej strome, nad nim wisiał złowieszczy wał ciężkich, czarnych chmur.

– Niektórzy mówią, że wygląda jak wielki wieloryb wyrzucony na brzeg – ciągnął stracharz. – Osobiście nigdy nie widziałem wieloryba, więc nie potrafię tego ocenić. Inni powiadają, że przypomina wywróconą łódź i owszem, dostrzegam pewne podobieństwo, lecz porównanie to nie oddaje jej kształtu. A ty co

sądzisz, chłopcze?

Uważnie przyjrzałem się scenie przed nami. Światło zaczynało już gasnąć, lecz samo wzgórze zdawało się promieniować ciemnością. Nawet z dala czułem jej obecność.

– Wygląda niemal jak żywe – starannie dobierałem słowa. – Zupełnie jakby wewnątrz kryło się coś złowrogiego i rzucało swój czar na wszystko.

– Sam lepiej bym tego nie ujął, chłopcze. – Stracharz wsparł się na lasce z zamyśloną miną. – Lecz jedno jest pewne: w jego okolicach żyje cały zastęp bezecnych czarownic. Za pół godziny zapadnie zmrok, rozsądniej zatem pozostać do świtu po tej stronie strumienia. Rano ruszymy do Pendle.

Tak też uczyniliśmy i usiedliśmy pod osłoną krzewów. Od strumienia oddzielało nas pół szerokości pola, lecz osuwając się w sen, słyszałem dobiegający z dali łagodny szum wody.

Wstaliśmy o brzasku i nie posiliwszy się nawet kęsem sera, szybko przeprawiliśmy się przez strumień i pomaszerowaliśmy do Downham. Na twarzy czułem lekką mżawkę. Zmierzaliśmy na północ, Wzgórze Pendle mając po prawej. Wkrótce jednak straciliśmy je z oczu, bo znaleźliśmy się w gęstym lesie. Wokół nas szumiały jesiony i jawory.

– To coś ciekawego. – Stracharz poprowadził mnie do wielkiego dębu. – Co o tym sądzisz?

Na pniu wyryto osobliwy znak. Przyjrzałem mu się bliżej:

– Czy to mają być nożyczki? – spytałem.

– Owszem – przytaknął ponuro stracharz. – Ale nie służą do krojenia tkanin. To znak wyryty przez Grimalkin, wiedźmę zabójczynię. Para się śmiercią i torturami, a Malkinowie nasyłają ją na swych wrogów. Znak ma ostrzegać intruzów. Pendle to mój teren, mówi. Sprzeciwcie mi się, a odetnę wam ciało od kości.

Zadrzałem i cofnąłem się od drzewa.

– Może któregoś dnia skrzyżuję z nią klingi – ciągnął stracharz. – Gdyby zginęła, świat z pewnością stałby, lepszym miejscem. Lecz choć to bezwzględna zabójczyni, przestrzega kodeksu honorowego



– nigdy nie posłużyłaby się podstępem. Najbardziej lubi, gdy przeciwnik ma większe szanse, ale kiedy zyska przewagę, uważaj na nożyce!

Kręcąc głową, poprowadził mnie w stronę Downhawn. Przez ostatnich parę dni wiele się dowiedziałem o Pendle i zrozumiałem, że to niebezpieczne miejsce. Bez wątpienia miałem się dowiedzieć jeszcze wielu gorszych rzeczy.

\*

Główna ulica wioski wiła się po stromym zboczu wzgórza. Z siebie tylko znanych powodów stracharz zatoczył koło i poprowadził nas do Downhawn od północy. Dokładnie przed nami wyrastało Wzgórze Pendle, całkowicie górując nad wioską i przesłaniając swą ponurą sylwetką pół nieba. Choć był już późny ranek i przestało mżyć, wokół nie dostrzegłem żywej duszy.

– Gdzie są mieszkańcy? – spytałem stracharza.

– Chowają się za zasłonami, gdzieżby indziej, chłopcze – uśmiechnął się ponuro. – Bez wątpienia zajmują się sprawami wszystkich, tylko nie swoimi.

– Czy doniosą czarownicom, że tu jesteśmy? – Po mojej lewej stronie dostrzegłem nagłe poruszenie firanki. – Przyprowadziłem nas tu bardzo krętą drogą, by uniknąć pewnych miejsc, gdzie natychmiast zameldowano by o naszej obecności. Bez wątpienia i tak znajdą się tu szpiedzy, lecz Downhawn to wciąż najbezpieczniejsze miejsce w całym okręgu. Dlatego właśnie stanie się naszą bazą. Możemy za to podziękować ojcu Stocksowi. Od ponad dziesięciu lat służy w tej parafii i dokładał wszelkich starań, by walczyć z mrokiem i nie dopuszczać go tutaj. Lecz z tego, co mi mówił, teraz nawet tej wiosce zagraża niebezpieczeństwo. Ludzie odchodzą. Na zawsze opuszczają Pendle. Część z nich to porządne rodziny, żyjące tu od pokoleń.

Mały kościół parafialny wznosił się na południe od wioski, tuż za strumieniem. Otaczał go wielki cmentarz, pełen rzędów nagrobków wszelkich możliwych rozmiarów i kształtów. Wiele płyt pochylało się, niemal mknąc w wysokiej trawie i chaszczach; inne

sterczały z ziemi pod najróżniejszymi kątami, przypominając spróchniałe zęby. Cmentarz był zaniedbany, nagrobki poniszczone, inskrypcje na nich dawno się zatarły bądź zniknęły pod grubą warstwą mchu i porostów.

– Przydałoby się nieco uprzątnąć groby – zauważył stracharz. – Dziwne, że ojciec Stocks pozwolił, by tak je zaniedbano.

Plebania mieściła się w sporym domku, stojącym w cieniu około tuzina cisów, sto jardów za kościołem. Dotarliśmy tam, idąc gęsiego wąską, zarośniętą ścieżką, wijącą się między grobami. Gdy znaleźliśmy się przed drzwiami, stracharz zastukał głośno trzy razy. Po paru chwilach usłyszeliśmy tupot ciężkich butów na kamieniu, potem szcęk odciąganego rygla. Drzwi otwarły się, ukazując wyraźnie zdumione oblicze ojca Stocksa.

– To ci dopiero niespodzianka, John! – uśmiechnął się szeroko. – Spodziewałem się was dopiero pod koniec tygodnia. Ależ wejdźcie, wejdźcie obaj i rozgośćcie się!

Poprowadził nas do kuchni na tyłach domu i poprosił byśmy usiedli.

– Jadłeś coś? – spytał, gdy odsunęliśmy krzesła od stołu. – A ty, młody Tomie? Wyglądasz, jakbyś miał ochotę pożreć konia z kopytami.

– Owszem, jestem głodny, ojciec – zerknąłem na stracharza. – Ale sam nie wiem, czy powinniśmy jeść...

Stracharz zawsze upiera się, byśmy pościli podczas pracy, dzięki temu bowiem jesteśmy mniej podatni na moc mroku. Zazwyczaj zatem zadowalały się kęsem sera z Hrabstwa, by nie stracić sił. Życie stracharza jest nie tylko straszne, niebezpieczne i samotne, często oznacza także głód.

– Śniadanie nam nie zaszkodzi – odparł ku memu zdumieniu mistrz. – Nim cokolwiek zrobimy, potrzebujemy informacji, i miałem nadzieję, że właśnie ty, ojciec, zdołasz je dla nas zdobyć. Sami nie załatwimy zbyt wiele aż do jutra. To będzie ostatni solidny posiłek, jaki zjemy przez jakiś czas, toteż chętnie skorzystamy z twego uprzejmego zaproszenia.

– Dobrze zatem! – wykrzyknął ojciec Stocks, jego twarz pojaśniała. – Chętnie pomogę, jak tylko potrafię, najpierw jednak zajmijmy się strawą. Pomówimy przy jedzeniu. Przyrządzą nam solidne śniadanie, ale mogę potrzebować pomocy. Umiesz smażyć kielbaski, młody Tomie?

Już miałem powiedzieć „tak”, ale stracharz pokręcił głową i wstał z krzesła.

– Nie, ojcze, nie dopuszczaj mojego chłopaka w pobliże patelni! Próbowałem już jego jedzenia i żołądek do tej pory mi nie wybaczył.

Uśmiechnąłem się, ale nie zaprotestowałem. Podczas gdy stracharz krzątał się przy kielbaskach, ojciec Stocks nastawił jeszcze dwie patelnie – na jednej z sykiem smażyły się grube plastry boczku i cebuli, druga z trudem pomieściła wielki omlet z serem, powoli nabierający złocistobrazowej barwy.

Siedziałem przy stole, patrząc, jak gotują, głodny i jednocześnie dręczony wyrzutami sumienia. Od unoszących się w powietrzu zapachów ślinka napływała mi do ust, lecz cały czas martwiłem się o Ellie, Jacka i Mary, zastanawiając się, czy nic im nie jest. Oni z pewnością nie dostaną podobnego śniadania. Zastanawiałem się też, co u Alice. Po przybyciu do Downhawn niemal spodziewałem się, że zastanę ją tu z wieściami. Miałem nadzieję, że nie wpadła w tarapaty.

– No cóż, młody Tomie – odezwał się ojciec Stocks. – Jest coś, w czym możesz pomóc, nie szkodząc zbytnio żołądkowi mistrza. Posmaruj masłem chleb i to sporo!

Zrobiłem, jak kazał, i gdy tylko skończyłem, na stole stanęły trzy gorące talerze, pełne boczku, kielbas i smażonej cebuli oraz hojnych kawałków omletu.

– Jak upłynęła podróż z Chipenden? – spytał ojciec Stocks, gdy zaczęliśmy zajadać.

– Nie narzekam, lecz od naszego ostatniego spotkania sprawy przybrały zły obrót – odparł stracharz.

Pomiędzy jednym kęsem a drugim opowiedział księdzu o

napaści na farmę Jacka i porwaniu mego brata z rodziną. Wspomniał też, że Alice ruszyła pierwsza do Pendle. Nim ukończył opowieść, opróżniliśmy talerze.

– Przykro mi słyszeć tak ponure wieści, Tomie – ojciec Stocks położył mi dłoń na ramieniu. – Będę wspominał o twych bliskich w modlitwach...

Na te słowa po plecach przeszedł mi lodowaty dreszcz. Mówił, jakby już nie żyli. W takim razie, w czym mogły pomóc modlitwy? I tak już zbyt długo zwlekaliśmy, musieliśmy natychmiast rozpocząć poszukiwania. Zapiekły mnie policzki i poczułem wzbierającą złość. Tylko uprzejmość sprawiła, że ugryzłem się w język. Choć ojciec już nie żył, nadal pamiętałem o wpojonych mi manierach.

Ojciec Stocks jakby odczytał me myśli.

– Nie martw się, Tomie – rzekł łagodnie. – Wszystko naprawimy. Niebiosa pomagają tym, którzy pomagają sobie, szczerze w to wierzę. Uczynię, co w mojej mocy, być może przed wieczorem zjawi się tu młoda Alice z wieściami.

– Miałem nadzieję, że już tu będzie – mruknąłem.

– Ja także, chłopcze. Ja także. – Ton głosu stracharza sprawił, że gniew znów we mnie zawrzał. – Miejmy nadzieję, że nie szykuje żadnych psot.

– To niesprawiedliwe! Po wszystkim, co zrobiła? protestowałem.  
– Ryzykuje życiem, przybywając tutaj

– A my nie? – spytał stracharz. – Posłuchaj, chłopcze, nie chcę źle mówić o dziewczynie, ale to największa pokusa, z jaką dotąd miała do czynienia. Sam nie wiem, czy to był dobry pomysł, pozwolić jej przyjść tu samej. Rodzina odgrywa wielką rolę w kształtowaniu naszej przyszłości, a rodzina Alice to czarownice. Jeżeli znów do nich wróci, wszystko może się wydarzyć.

– Z tego, co o niej opowiadałeś, Johnie, myślę, że możemy zachować optymizm – wtrącił ojciec Stocks. – Choć nie wszyscy wierzymy w Boga, nie oznacza to, że nie możemy wierzyć w ludzi. Poza tym Alice pewnie właśnie do nas zmierza. Może wpadnę na

nią po drodze – dodał.

Nagle pomyślałem cieplej o księdzu. Miał rację. Stracharz powinien bardziej wierzyć w Alice.

– Pójdę i spróbuję dowiedzieć się tego i owego – podjął ojciec Stocks. – W okolicy wciąż żyje sporo poczciwych osób, gotowych pomóc niewinnej rodzinie. Zapewniam, że do zmierzchu dowiem się, gdzie przetrzymuj Jacka i Ellie. Najpierw jednak zrobię coś innego – wstał od stołu i wrócił z piórem, kartką papieru i niewielkim kałamarzem. Odsunął na bok talerze, odkorkował kałamarz, zanurzył pióro i zaczął pisać. Po paru chwilach pojąłem, że rysuje mapę.

– Cóż, Tomie, bez wątpienia przed odejściem studiowałeś uważnie należące do twojego mistrza mapy okolic – oczywiście pamiętając, by po wszystkim złożyć je porządnie! – Ojciec Stocks uśmiechnął się do stracharza i znów zaczął rysować. – Lecz ten szkic może nieco uprościć sprawę i utrwalić ci w pamięci kilka miejsc.

Praca zajęła mu zaledwie parę minut, skończył, dodając parę nazw i przesunął rysunek ku mnie.

– Rozumiesz, co tu napisałem? – spytał.

Po paru sekundach przytaknąłem. Naszkicował ogólny kształt wzgórza Pendle i położenie głównych wiosek.

– Downham, na północ od wzgórza, to najspokojniejszy zakątek w Pendle... – zaczął ksiądz.

– Wspomniałem chłopakowi po drodze – przerwał mu stracharz. – A także, że ów stan rzeczy zawdzięczamy wyłącznie tobie, ojcie Stocksie. Jesteśmy wdzięczni, że dysponujemy względnie bezpiecznym miejscem z którego możemy działać.

– Nie, Johnie, nie mógłbym spokojnie zasnąć, gdybym przypisał sobie wyłączną zasługę. Owszem, starałem się jak mogłem, by powstrzymać mrok. Lecz, jak dobrze ci wiadomo, historycznie rzecz biorąc, niebezpieczeństwo zawsze kryło się na północny wschód od wzgórza. Gdy zatem podróżujesz stąd na południe, bezpieczniej wybrać zachodni trakt, tak by wzgórze pozostało po

lewej. Oczywiście Jusza Skała, zaznaczona tu, na południowym zachodzie, także bywa niebezpieczna. Tam właśnie wiedźmy składają czasami ofiary. Ale widzisz te trzy wioski, Tomie? Czy moje pismo jest dość czytelne?

– Chyba tak – na wszelki wypadek odczytałem głośno. – „Bereleigh”, „Roughlee”, „Goldshaw Booth”.

Były to wioski, o których wspominała Alice. W każdej osiadł jeden klan czarownic.

– Zgadza się Tomie. A tam, nieopodal Goldshaw Booth, na zachodnim skraju Wroniego Lasu stoi Wieża Malkinów. Nazywam te okolice Diabelskim Trójkątem, bo tu właśnie odbywa się diabelska praca. Gdzieś wewnątrz tego trójkąta wytyczonego przez wioski znajdziemy twojego brata i jego rodzinę, w zależności od tego, który klan ich porwał. Tego jestem pewien.

– Co to jest Wiedźmi jar? – wskazałem miejsce na północ od Bareleigh, zaznaczone krzyżykiem.

– Wiedźmi Jar? – Stracharz uniósł brwi. – Dla mnie to też coś nowego!

– I znów, Johnie, tak nazwałem niebezpieczne miejsce. Sytuacja tutaj bardzo się pogorszyła od twojej ostatniej wizyty. W tej dolince schroniła się grupa martwych czarownic. Niektóre uciekły z grobów na niepoświęconej ziemi; inne ich rodziny zaniósł tam po śmierci i porzuciły. Dni zazwyczaj przesypiają zagrzebane pod drzewami. Lecz gdy nastaje noc, ruszają na łowy, złaknione ciepłej krwi żywych stworzeń. Kiedy zatem zachodzi słońce, nawet gniazdujące w tej dolince ptaki nie są bezpieczne. Bez wątplenia miejsca tego należy unikać i miejscowi starają się to czynić, jak mogą. Mimo wszystko jednak co roku wciąż znika kilka nieszczęsnych dusz. Dwie czy trzy z owych wiedźm są bardzo silne i każdej nocy oddalają się o wiele mil od dolinki. Inne, na szczęście, odchodzą od swych jam najwyżej na kilka kroków.

– Ile ich tam jest wedle twych szacunków? – spyta stracharz.

Ksiądz zmarszczył brwi.

– Co najmniej tuzin. Lecz jak mówiłem, tylko dwie lub trzy

widziano poza dolinką.

– Powinienem był wrócić wcześniej – stracharz pokręcił głową.  
– Nie powinienem był pozwolić, by sprawy przybrały tak zły obrót. Nie wypełniłem należycie swych obowiązków...

– Bzdura. Nie mogłeś wiedzieć. Teraz tu jesteś i tylko to się liczy – odparł ojciec Stocks. – Lecz owszem, sytuacja jest rozpaczliwa i trzeba coś zrobić jeszcze przed Świętem Plonów.

– Kiedy przybyłeś do Chipenden – powiedział mój mistrz – zadałem ci pytanie, lecz nie udzieliłeś odpowiedzi. Spytałem zatem raz jeszcze. Jak myślisz, co kręgi spróbują zrobić w Święto Plonów?

Ojciec Stocks odsunął krzesło, powoli wstał i westchnął.

– No dobrze, wyrzucę to z siebie – lekko podniósł głos. – Co spowodowało, że dwa kręgi złączyły się i może namówią do tegoż trzeci? Co mogło sprawić, że zapomniały o dzielącej je odwiecznej wrogości? Większość spośród nich nie jest w stanie na siebie patrzeć i przez ostatnich trzydzieści lat tylko raz działały wspólnie.

– Owszem – stracharz uśmiechnął się ponuro. – Złączyły się, by mnie przekląć!

– Istotnie, Johnie, lecz tym razem dzieje się tak, bo mrok rośnie w siłę i podejrzewam, że ktoś bądź coś każe im się złączyć. Powstający mrok pozwoli im dokonać czegoś bardzo trudnego i niebezpiecznego. Myślę, że spróbują wywołać Złego we własnej osobie.

– Roześmiałybym się, ojcze, gdybym sądził, że żartujesz. – Stracharz z powagą pokręcił głową. – Nigdy nie uczyłem cię wierzyć w diabła. Mówisz to wyłącznie jako ksiądz?

– Chciałbym, Johnie. Lecz jako stracharz i ksiądz wierzę, że właśnie tego spróbują. Kto wie, czy im się uda, czy nie? Ale dwa kręgi tak sądzą i naciskają na trzeci, by dołączył do nich w próbie wywołania mroku wcielonego – diabła we własnej osobie. Niektóre czarownice wierzą, że gdy stworzono ten świat, Zły krążył pośród nas. Teraz chcą przywołać go z powrotem, by zapoczątkować nowy wiek ciemności.

Rozmawiałem kiedyś ze stracharzem o diable. Mówi mi, że po wszystkim, co widział, sam zaczął się zastanawiać, czy za tym, z czym mamy do czynienia, nie kryje się coś jeszcze, coś przyczajonego w mroku. Coś, co wraz z nim rośnie w siłę. Cóż, wyglądało na to, iż ojciec Stocks z pewnością tak uważa.

W pomieszczeniu zapadła cisza. Długą chwilę obaj mężczyźni milczeli, zatopieni w myślach.

Potem ojciec Stocks wstał i ruszył w drogę bez dalszej zwłoki. Odprowadziliśmy go przez cmentarz do zadaszanej bramy przed kościołem. Chmury zasnuwające niebo odpłynęły, na plecach czuliśmy ciepłe promienie słońca.

– Powinieneś udzielić poważnej bury swemu kościelnemu – rzeki szorstko stracharz. – Widywałem już porządniejsze cmentarze.

Ojciec Stocks westchnął.

– Kościelny oszedeł niemal miesiąc temu. Wrócił do swej rodziny w Colne. Nie zaskoczyło mnie to: widziałem, że zajmuje się cmentarzem z coraz większym lękiem. W ciągu ostatnich ośmiu tygodni ograbiono trzy groby; to sprawka czarownic. Lecz nieporządny cmentarz to najmniejsze z naszych zmartwień.

– Cóż, ojcze, mimo wszystko podczas twojej nieobecności każę chłopakowi trochę tu posprzątać.

Pomachaliśmy ojcu Stocksowi na pożegnanie, a potem stracharz odwrócił się do mnie.

– Umiesz posłużyć się kosą, chłopcze, toteż dopilnujmy, byś z braku ćwiczeń nie zatracił tej umiejętności. Możesz uporządkować cmentarz. To ci da zajęcie do czasu mojego powrotu.

– Dokąd idziesz? – spytałem zdumiony. – Sądziłem, iż mamy zostać w Downham w czasie, gdy ojciec Stocks będzie szukał mojej rodziny.

– Owszem, chłopcze, lecz przerażeni parafianie i ograbione groby wskazują, że wioska nie jest tak bezpieczna, jak sądziłem. Zawsze wolę sprawdzać wszystko sam, toteż pod nieobecność ojca Stocksa poszperam trochę i zobaczę, co zdołam odkryć. Ty



tymczasem zabierz się za usuwanie trawy i zielska!

## ROZDZIAŁ 5

### TRZY SIOSTRY

W szopie przy domu znalazłem należącą do kościelnego kosę, tak więc zdjęwszy płaszcz i podwinąwszy rękawy, zacząłem zgodnie z poleceniem ścinać trawę i chwasty. Najpierw zabrałem się za miejsca wokół leżących nagrobków, bo szło mi tam łatwiej.

Praca była ciężka, lecz jeszcze na farmie często machałem kosą, a potem kosiłem trawę w ogrodzie stracharza, więc wkrótce odnalazłem właściwy rytm. Ciepło mi nie przeszkadzało, lecz przed południem słońce zaczęło palić nieznośnie, a ze zmęczenia i gorąca po czole spływał mi pot, ściekając do oczu. Uznałem, że rozsądnie będzie zrobić sobie przerwę i wrócić do pracy później.

Za domem znalazłem studnię. Wyciągnąłem wiadro pełne wody, równie zimnej i pysznej, jak ta w strumieniu, spływającym ze wzgórz w Chipenden. Zaspokoiwszy pragnienie, usiadłem oparty plecami o pień cisu i zamknąłem oczy. Słuchając cykania i brzęczeń owadów, wkrótce zrobiłem się senny i w pewnym momencie musiałem przysnąć, bo następną rzeczą, jaką pamiętam, było szczekanie psa gdzieś w dali. Otworzywszy oczy, odkryłem, że nastąpiło późne popołudnie a mnie wciąż pozostało do sprzątnięcia ponad pół cmentarza. Spodziewając się w każdej chwili ujrzeć stracharza bądź ojca Stocka, natychmiast zabrałem się do pracy.

Słońce chyliło się ku zachodowi, gdy skończyłem koszenie. Trzeba było jeszcze zebrać trawę, lecz uznałem, że to może poczekać do rana. Mój mistrz i ksiądz wciąż nie wracali. Zmierzałem właśnie do domu i zaczynałem się martwić, gdy spoza niskiego murku po lewej dobiegł mnie cichy szelest stopy stawianej w trawie.

– Świetnie się uwinąłeś – powiedział dziewczęcy głos. – Od

wielu długich miesięcy nie było tu tak porządnie.

– Alice! – krzyknąłem, obracając się.

Ale to nie była Alice, choć głos brzmiał bardzo podobnie. Po drugiej stronie niskiego muru ujrzałem dziewczynę mniej więcej tego samego wzrostu, choć może nieco starszą od Alice, ale podczas gdy ona miała piwne oczy i czarne włosy, oczy tej nieznanym były zielone jak moje a jej jasne włosy opadały na ramiona. Na sobie miała wyświeconą, jasnobłękitną letnią suknię o wystrzępionych rękawach i przetartych łokciach.

– Nie jestem Alice, lecz wiem, gdzie można ją znaleźć – oznajmiła dziewczyna. – Przysłała mnie po ciebie. Powiedziała, że masz przyjść bez zwłoki. Sprowadź do mnie Toma, rzekła, potrzebuję pomocy! Sprowadź go i to szybko. Nie mówiła jednak, że jesteś taki ładniutki, znacznie ładniejszy od twego starego mistrza!

Poczułem, że się rumienię. Instynkt podpowiadał, by nie ufać dziewczynie. Owszem, wyglądała miło, oczy miała wielkie i błyszczące, lecz kiedy mówiła, na jej twarzy dostrzegłem coś podstępnego.

– Gdzie jest Alice? Czemu nie mogła przyjść z tobą?

– Jest niedaleko, o tam – dziewczyna wskazała mniej więcej na południe. – Najwyżej dziesięć minut stąd, to wszystko. Nie mogła przyjść, bo ma na sobie pęta.

– Pęta? Co to takiego? – spytałem.

– Uczeń stracharza nigdy nie słyszał o zaklęciu pętającym? Co za wstyd. Twój mistrz nie uczy cię jak należy. Alice jest zaczarowana. Trzymają ją na krótkiej smyczy. Nie może oddalać się więcej niż sto kroków od miejsca, gdzie rzucono zaklęcie. Dobrze wykonane jest lepsze niż łańcuchy. Ale ja mogę cię doprowadzić bardzo blisko.

– Kto to zrobił? – spytałem ostro. – Kto rzucił zaklęcie?

– Któżby, jak nie Mouldheelowie – odparła dziewczyna. – Uznali Alice za małą zdradziecką wiedźmę. Z pewnością dadzą jej w kość.

– Pójdę po laskę – oznajmiłem.

– Nie ma na to czasu. Nie ma czasu do stracenia. Alice grozi niebezpieczeństwo.

– Zaczekaj tutaj – poleciłem stanowczo. – Wrócę za parę minut.

To rzekłszy, pobiegłem do domu, zabrałem laskę i popędziłem w miejsce, gdzie czekała dziewczyna. Szybko wspiąłem się na mur i dołączyłem do niej. Zerknąłem na stopy, sprawdzając, czy nie nosi szpiczastych trzewików, lecz ku memu zdumieniu okazała się bosa. Dostrzegła moje spojrzenie i uśmiechnęła się. Kiedy się uśmiechała, wyglądała bardzo ładnie.

– Latem nie potrzebuję butów – oznajmiła. – Lubię czuć pod stopami ciepłą trawę, a wokół kostek chłodny powiew. Tak w ogóle mówią mi Mab – to moje imię, gdybyś go potrzebował.

Odwróciła się i ruszyła szybkim krokiem, kierując się na południe, w stronę Wzgórza Pendle. Na zachodnim niebie wciąż pozostało nieco światła, wiedziałem jednak, że wkrótce zrobi się zupełnie ciemno. Nie znałem okolicy i pomyślałem, że warto by zabrać lampę. Lecz moje oczy radzą sobie w ciemności lepiej niż oczy większości ludzi, a po jakichś dziesięciu minutach spoza kępy drzew wynurzył się wąski sierp księżyca, zalewając wszystko srebrzystym blaskiem.

– Jak daleko jeszcze? – spytałem.

– Najwyżej dziesięć minut – odparła Mab.

– Mówiłaś to, kiedy ruszaliśmy! – zaprotestowałem.

– Naprawdę? Musiałam się pomylić. Czasami wszystko mi się miesza. Kiedy spaceruję, to jakbym znalazła się w swoim własnym świecie. Czas po prostu płynie...

Wspinaliśmy się na wrzosowisko, ciągnące się na północ od wzgórza Pendle. Minęło co najmniej pół godziny, nim w końcu dotarliśmy do celu – małego okrągłego pagórka porośniętego drzewami i gęstymi zaroślami na skraju lasu. Za nim wznosiła się olbrzymia czarna bryła Pendle.

– Tam na górze, wśród drzew – powiedziała Mab. – Właśnie tam zaczekamy na Alice.

Spojrzałem w mrok pod drzewami i znów poczułem niepokój. A

jeśli to jakaś pułapka? Dziewczyna najwyraźniej знаła się na zakłeciach. Mogła posłużyć się imieniem Alice, by mnie tu zwabić.

– Gdzie jest teraz? – spytałem podejrzliwie.

– Trzymają ją w chatce gajowego, o tam, pośród drzew. Na razie nie możesz podejść bliżej, to zbyt niebezpieczne. Najlepiej będzie, jeśli zaczekamy tutaj na właściwą chwilę.

Nie spodobała mi się propozycja Mab; mimo niebezpieczeństwa chciałem natychmiast zobaczyć się z Alice. Uznałem jednak, że zaczekam na stosowną chwilę.

– Prowadź – rzuciłem, ściskając mocno w dłoni jarzębinową laskę.

Mab uśmiechnęła się lekko i weszła między drzewa. Ostrożnie podążyłem za nią, wspinając się krętą ścieżką wśród zarośli i splątanych kolczastych krzaków, wypatrując niebezpieczeństw i unosząc w gotowości laskę. Po chwili dostrzegłem światła przed nami i ogarnął os jeszcze większy lęk. Czy na górze czekał ktoś jeszcze? Na samym szczycie wzgórza rozciągała się polana, liczne pieńki drzew tworzyły nierówny owal. Wyglądało to jakby zrąbano je, by przygotować siedziska i ku memu zdumieniu odkryłem, że na dwóch siedzą już dwie dziewczyny. U stóp każdej stała latarnia. Żadna nie była Alice. Obie wyglądały na nieco młodsze, patrzyły na mnie bez mrugnięcia wielkimi oczami.

– To moje siostry – oznajmiła Mab. – Ta po lewej to Jennet, ta druga – Beth, ale na twoim miejscu nie zaprzętałabym sobie głowy imionami. Są bliźniaczkami, nie da się ich rozróżnić!

Musiałem się zgodzić: wyglądały identycznie. Włosy miały tej samej barwy i długości jak Mab, lecz na tym kończyło się podobieństwo do starszej siostry. Obie były bardzo chude, z twarzy o ostrych, surowych rysach spoglądały przenikliwe oczy, cienkie wargi zaciskały się twardo niczym pionowe szramy, a wąskie nosy kończyły lekkimi haczykami. Na sobie miały stare, znoszone suknie, podobnie jak Mab, i także były boso.

Jeszcze mocniej zacisnąłem dłoń na lasce. Dwie siostry Mab wciąż wpatrywały się we mnie w napięciu, lecz ich twarze nie

zdradzały absolutnie niczego: w żaden sposób me mogłem stwierdzić, czy to przyjaciółki, czy wrogowie.

– Usiądź sobie, Tom, i daj odpocząć nogom – Mab wskazała jeden z pniaków naprzeciw sióstr. – Może trochę potrwać, nim uda nam się pójść do Alice.

Posłuchałem, zachowując czujność; Mab przysiadła na pieńku po mojej lewej ręce. Nikt się nie odzywał i na polanę opadła niesamowita cisza. By zabić czas, zacząłem liczyć pieńki. Było ich trzynaście. I nagle przyszła mi do głowy myśl, że tu właśnie może spotykać się krąg wiedźm.

Gdy tylko ta niepokojąca wizja pojawiła się w mojej głowie, z nieba na polanę opadł nietoperz, po czym trzepocząc skrzydłami odleciał między gałęzie. Potem znikąd zjawiała się wielka ćma i zamiast pofrunąć ku jednej z latarni, zaczęła krążyć wokół głowy Jennet. Zataczała krąg za kręgiem, roztrzepotana, jakby głowa dziewczyny była płomieniem świecy. Jennet wciąż wpatrywała się we mnie z napięciem; zastanawiałem się, czy w ogóle zauważyła ćmę, zbliżającą się coraz bardziej i bardziej i gotową przysiąc na jej szpiczastym nosie.

Nagle, ku memu zdumieniu, usta Jennet otworzyły się szeroko, język wystrzelił naprzód, chwycił ćmę i cofnął się. Wówczas jej twarz po raz pierwszy się ożywiła, dziewczyna uśmiechnęła się szeroko od ucha do ucha. Potem zaczęła szybko przeżuwać i głośno połknęła ćmę.

– Smaczna była? – spytała jej siostra Beth, zerkając na nią z ukosa.

Jennet przytaknęła.

– Nie omieszkam, nie omieszkam – odparła Beth. – Lecz co, jeśli żadna nie przyleci?

– W takim razie zagrajmy w coś, a ja pozwolę ci wybrać w co – zaproponowała Jennet.

– Zagrajmy w Plucie Szpilkami. Lubię tę grę.

– To dlatego, że zawsze wygrywasz. Wiesz, że mogę pluć szpilkami tylko w piątki. Dziś mamy środę, o tak. W środy pluję

piórami. Musisz wybrać coś innego.

– Co powiesz na Przez Żywopłot Tyłem? – podsunęła Beth.

– To dobra gra. Pierwsza na dole wygrywa.

Obie odepchnęły się w tył ze swych pniaków i zaczęły turlać coraz szybciej i szybciej, aż w końcu zniknęły w zaroślach i kolczastych krzakach. Przez kilka chwil słyszałem, jak lecą w dół do wtóru trzasku i skrzypienia gałęzi, a także krzyków bólu i wybuchów histerycznego śmiechu. Potem zapadła cisza, gdzieś w pobliżu zahukała sowa. Spojrzałem w górę, ale jej nie dostrzegłem.

– Moje siostry uwielbiają tę grę – Mab uśmiechnęła się promiennie. – Ale dziś będą lizać swoje rany, to pewne jak to, że psują się jajka.

W parę minut później bliźniaczki zjawily się na ścieżce. Kiedy znów usiadły naprzeciw mnie, nie wiedziałem czy śmiać się z ich wyglądu, czy też współczuć im bólu i niewygód. Ich sukienki były jeszcze bardziej podarte – lewy rękaw Jennet oderwał się całkiem – a skórę pokrywały skaleczenia i zadrapania. We włosy Beth zaplątała się kolczasta gałąź, z nosa na górną wargę ściekała strużka krwi. Lecz ona sama nie wyglądała na poruszoną.

– Świetnie się bawiłam! Zagrajmy w coś jeszcze – zaproponowała, zlizując krew. – Co powiesz na Wyzwania? Je też lubię.

– Mnie odpowiada, ale niech chłopak wybiera pierwszy... – Jennet spojrzała na mnie, mrużąc oczy.

– Prawda, wyzwanie, pocałunek czy obietnica? – spytała ostro Beth, wbijając we mnie wzrok. W jej głosie zabrzmiała prowokująca nutka.

Teraz obserwowała mnie cała trójka, żadna z nich nie mrugała.

– Nie chcę grać – odparłem stanowczo.

– Bądź miły dla moich młodszych siostr – upomniała Mab. – No dalej, wybieraj. To tylko gra.

– Nie znam zasad – rzekłem. I rzeczywiście, nigdy nie słyszałem o tej grze; brzmiała jak zabawa dziewczyn, a ja nie miałem sióstr. Nie znałem się na dziewczynskich zwyczajach.

– To łatwe – odparła Mab. – Wybierasz jedno z czworga. Wybierz prawdę, a będziesz musiał szczerze odpowiedzieć na pytanie. Wybierz wyzwanie i dostaniesz do wykonania zadanie. Wybierz pocałunek, a będziesz musiał pocałować tego bądź to, co ci każą – nie możesz odmówić. Lecz najtrudniejsza jest obietnica: musisz ją złożyć i dotrzymać – może na zawsze.

– Nie! Nie chcę grać – powtórzyłem.

– Nie bądź niemądry, nie masz przecież wyboru. Nie opuścisz tego miejsca, póki ci nie pozwolimy. Jesteś w nim uwięziony, nie zauważyłeś?

Czułem coraz większą irytację. Wiedziałem już, że Mab bawiła się ze mną od chwili naszego spotkania na cmentarzu. Ani przez moment nie wierzyłem, że razem uratujemy Alice. Jakimż byłem głupcem! Czemu tu za nią przyszedłem?

Ale gdy spróbowałem wstać, nic się nie stało, zupełnie jakby me ciało opuściła wszelka siła. Ręce opadły mi bezwładnie na boki, a jarzębinowa laska wysliznęła się z dłoni i poturlała w trawę.

– Lepiej ci bez tego wstrętnego patyka – uznała Mab. – Zaczynaj, czas, byś wybrał jedno z czterech. Zagrasz w naszą grę, czy tego chcesz, czy nie. Zagrasz i spodoba ci się. Wybieraj zatem!

Do tej pory nie wątpiłem już, że cała trójka to czarownice. Nie mogłem sięgnąć do laski i czułem się zbyt słaby, by wstać. Nie bałem się, bo w jakiś sposób wszystko wydawało mi się bardziej snem niż jawą, lecz wiedziałem, że nie śpię i że grozi mi niebezpieczeństwo. Odetchnąłem zatem powoli, głęboko, zastanawiając się spokojnie. Lepiej na jakiś czas im ustąpić. Może, kiedy skupię się na grze, zdołam znaleźć sposób, by się uwolnić.

Ale którą z czterech możliwości powinienem wybrać? „Wyzwanie” mogło prowadzić do niebezpiecznego zadania, które musiałbym wykonać. „Obietnica” była bardzo ryzykowna – składałem już wcześniej obietnice, przez które wpakowałem się w kłopoty. „Pocałunek” wydawał się nieszkodliwy. Jak mógłby zaszkodzić? Potem jednak przypomniałem sobie, że powiedziała „tego bądź to” i bardzo mi się to nie spodobało. Mimo wszystko

jednak o mało nie wybrałem jego. W końcu jednak zdecydowałem się na „prawdę”. Zawsze starałem się być szczerzy i uczciwy. Tak nauczył mnie tato. Co złego mogło wyniknąć z mówienia prawdy?

– Prawda – rzekłem.

Słyszając moją odpowiedź, dziewczyny uśmiechnęły się szeroko, zupełnie jakby tego właśnie pragnęły.

– Świetnie! – rzuciła tryumfalnie Mab, odwracając ku mnie. – Powiedz mi i powiedz szczerze. Lepiej żebyś był szczerzy, dla swego własnego dobra. Nie chciałbyś się nam narażać. Którą z nas lubisz najbardziej?

Spojrzałem zdumiony na Mab. Nie miałem pojęcia, jakie pytanie mi zadadzą, ale to akurat spadło na mnie jak grom z jasnego nieba i niełatwo przyszło mi na nie odpowiedzieć. Wiedziałem, że którąkolwiek wybiorę, urażę pozostałe dwie. Nie byłem też pewien, jaka jest prawda. Wszystkie trzy budziły we mnie lęk i niemal na pewno były czarownicami. Żadnej z nich nie lubiłem. Co zatem miałem robić? Powiedziałem prawdę.

– Żadnej z was za bardzo nie lubię – odparłem. – Nie chcę być niegrzeczny, ale chciałaś usłyszeć prawdę, więc odpowiedziałem ci szczerze.

Cała trójka jednocześnie syknęła ze złości.

– To nie wystarczy – odparła Mab niskim, niebezpiecznym tonem. – Musisz wybrać jedną z nas.

– A zatem ciebie, Mab. Ciebie pierwszą spotkałem, więc równie dobrze to możesz być ty.

Odparłem instynktownie, bez namysłu, lecz Mab uśmiechnęła się. Był to zadowolony uśmiešek, jakby początku wiedziała, że wybiorę właśnie ją.

– Teraz moja kolej – oznajmiła odwracając się mnie do sióstr. – Wybieram pocałunek.

– Zatem pocałuj Toma! – wykrzyknęła Jennet. Pocałuj go teraz, tak by był twój na wieki!

Słyszając to, Mab wstała, podeszła do mnie blisko i pochyliła się, kładąc mi dłonie na ramionach.



– Spójrz na mnie! – rozkazała.

Nagle ogarnęła mnie słabość. Straciłem wszelką siłę woli i zrobiłem tak, jak kazała: spojrzałem w zielone oczy, jej twarz znalazła się blisko mojej. Była ładna, lecz jej oddech cuchnął jak u psa bądź kota. Świat wokół zaczął wirować i gdyby nie mocny uścisk dłoni Mab na ramionach, poleciałbym z pieńka do tyłu.

A potem, w chwili gdy jej ciepłe wargi dotknęły a ich, poczułem całą serię przeszywających bólów w lewym przedramieniu. Zupełnie jakby ktoś cztery razy dźgnął mnie długą, ostrą szpilką.

Trawiony bólem, dźwignąłem się z pieńka i Mab odpadła ode mnie z sapnięciem, lądując w trawie. Spojrzała na przedramię. Widniały na nim cztery blizny, jaskrawoczerwone w promieniach księżyca i przypomniałem sobie, skąd się wzięły. Pewnego razu Alice chwyciła mnie za lewą rękę i ścisnęła tak mocno, że jej paznokcie wbiły mi się głęboko w ciało. Kiedy mnie puściła, w miejscu uchwytu pozostały cztery czerwone krople krwi.

Jakiś czas potem, w drodze do domu jej ciotki w Stowmin, Alice dotknęła blizn na mej ręce i pamiętam dokładnie, co powiedziała:

„Zostawiłam na tobie moje piętno. Ten znak nigdy nie zniknie...”

Nie byłem pewien, co to znaczy, a ona nigdy mi nie wyjaśniła. Choć kiedy w Priestown pokłóciliśmy się i miałem odejść swoją drogą, Alice krzyknęła do mnie:

„Jesteś mój. Należysz do mnie!”

W owym czasie nie myślałem o tym. Teraz zacząłem się zastanawiać, czy nie kryje się w tym coś więcej, niż przypuszczałem: Alice i trzy dziewczyny wierzyły najwyraźniej, że czarownica może sprawić, iż będzie się do niej należało do końca życia. Nieważne, czy było to prawdą, czy nie, wyzwoliłem się z mocy Mab i w jakiś sposób zawdzięczałem to Alice.

Kiedy dziewczyna z wściekłą miną dźwignęła się z ziemi, pokazałem jej blizny na ręce.

– Nie mogę być twój na zawsze – odparłem, a słowa napływały mi do ust, jakby sprawiała to magia. – Należę już do kogoś innego.

Należę do Alice!

Gdy tylko przemówiłem, Beth i Jennet spadły wdzięcznie ze swych pieńków i znów poturlały się w tył po zboczu. Raz jeszcze usłyszałem, jak z trzaskiem przelatują przez zarośla i chaszczę aż na sam dół, lecz tym razem nie krzyczały ani się nie śmiały.

Kiedy spojrzałem na Mab, jej oczy płonęły wściekłością. Szybko chwyciłem jarzębinową łaskę, gotów uderzyć w razie potrzeby. Mab zerknęła na uniesiony kij, wzdrygnęła się i szybko cofnęła dwa kroki.

– Pewnego dnia będziesz należał do mnie – jej wargi zacisnęły się we wściekłym grymasie – albo nie nazywam się Mab Mouldheel! I stanie się to znacznie szybciej, niż sądzisz. Chcę cię dostać, Tomie Wardzie, i będziesz mój, gdy tylko Alice umrze!

To rzekłszy, odwróciła się na pięcie, podniosła z ziemi obie latarnie i pomaszerowała w dół zbocza między drzewa, inną ścieżką niż ta, którą się wspięliśmy.

Jej słowa sprawiły, że zadrzałem. Rozmawiała z trzema wiedźmami z klanu Mouldheelów. Mab doskonale wiedziała, gdzie mnie znaleźć – Alice musiała jej powiedzieć. Gdzie zatem była Alice? Mab i jej siostry na pewno to wiedzą.

Jakaś część mnie pragnęła zawrócić na północ do Downham i opowiedzieć stracharzowi, co się stało. Ale spodobała mi się furia, dźwięcząca w słowach Mab i jej groźby. Z pewnością schwytały Alice, która pozostawała na ich łasce. Być może zabiją ją, kiedy tylko wrócą. Nie miałem zatem wyboru: musiałem pójść za wiedźmami.

Zauważyłem, w którą stronę odeszła Mab. Skierowała się na południe. Teraz musiałem podążyć za nią i jej siostrami w dół niebezpiecznego wschodniego zbocza wzgórza i dalej, ku trzem wioskom, tworzącym trzy wierzchołki figury, którą ojciec Stocks nazwał Diabelskim Trójkątem.

## **ROZDZIAŁ 6**

## PIWNICZNE LUSTRA

Jestem siódmym synem siódmego syna, toteż wiedźma nie może wywęszyć mnie z daleka. Oznaczało to, iż mogłem bezpiecznie wędrować za trzema siostrami, o ile nie zbliżę się za bardzo. Będę musiał także wypatrywać innych, znacznie niebezpieczniejszych członków rodu Mouldheelów.

Z początku podążałem za czarownicami bez większych trudności. Widziałem przed sobą światło latarni i słyszałem kroki trzech dziewczyn. Robiły mnóstwo hałasu, a w dodatku klóciły się podniesionymi głosami. W pewnym momencie, mimo ostrożności, nastąpiłem na gałązkę. Pękła z głośnym trzaskiem, a ja zamarłem w miejscu, przestraszony, że mogły mnie usłyszeć. Nie musiałem jednak się martwić: same hałasowały tak bardzo, że nie zdawały sobie sprawy z tego, iż je śledzę.

Kiedy opuściliśmy las, zrobiło się trudniej. Znaleźliśmy się na otwartej przestrzeni, na ponurym zboczu wrzosowiska. W blasku księżyca wzrastało zagrożenie, że mnie zauważą, toteż musiałem pozostać daleko z tyłu. Wkrótce jednak pojąłem, iż zyskałem kolejną przewagę. Trzy dziewczyny doszły do strumienia i podążyły krętym brzegiem aż do miejsca, w którym zawracał po łuku, pozwalając im ruszyć dalej na południe. To potwierdziło, że w istocie mam do czynienia z czarownicami. Nie mogły się przeprawić przez bieżącą wodę.

Ale ja mogłem! Zamiast zatem podążać stale za nimi, mogłem wybrać prostszy szlak i do pewnego stopnia przewidzieć, dokąd zmierzają. Gdy zagłębiły się we wrzosowisko, zacząłem poruszać się równoległe do nich, trzymając się, gdy tylko mogłem, cienia krzewów i drzew. Szliśmy tak jakiś czas, lecz stopniowo teren stawał się coraz trudniejszy i bardziej kamienisty. A potem ujrzałem przed sobą kolejny mroczny las: gęstwinę drzew i krzaków w dolinie, biegnącą równoległe do Wzgórza Pendle po mej prawej.

Z początku uznałem, że to nie problem. Po prostu zwolniłem, pozwalając, by znów mnie wyprzedziły i podążałem za nimi w bezpiecznej odległości. Dopiero gdy wkroczyłem między drzewa, pojąłem, że coś się zmieniło. Trzy siostry nie rozmawiały już głośno, tak jak w poprzednim lesie. W istocie w ogóle nie hałasowały. Wokół zalegała niesamowita cisza, jakby wszystko wstrzymało oddech. Wcześniej wiał lekki wietrzyk, teraz jednak nie poruszała się nawet najmniejsza gałązka bądź trawka. Nie słyszałem żadnych szelestów, świadczących zazwyczaj o obecności małych nocnych stworzeń, jak myszy czy jeże. Albo wszystko w tym lesie trwało w bezruchu, wstrzymując oddech, albo w ogóle nic w nim nie żyło.

I wtedy z nagłym dreszczem pojąłem, gdzie dokładnie jestem. Otaczała mnie niewielka zadrzewiona dolinka, można by ją określić także innym słowem: jar.

Znalazłem się w miejscu, które ojciec Stocks nazwał Wiedźmim Jarem! To tu zbierały się martwe czarownice, chwytające przechodzących środkiem bądź nawet obrzeżami lasu śmiałków. Co rok ginęli tu ludzie. Mocniej zacisnąłem palce na jarzębinowej lasce i zamarłem nasłuchując uważnie. Nic się nie zbliżało, lecz pod stopami czułem miękką ziemię, a dziesiątki deszczowych jesieni stworzyły idealne kryjówki dla martwych czarownic. Któraś z nich mogła już czaić się w pobliżu, ukryta pod liśćmi. Wystarczy krok, by chwyciła mnie za kostkę! Jedno ugryzienie i zaczniesz wysysać mi krew, z każdym łykiem rosnąc w siłę.

Mogłem uderzyć ją laską i pewnie się uwolnić – tak przynajmniej sobie wmawiałem. Będę musiał działać szybko. W miarę, jak czarownica zyska siły, ja sam znacznie osłabnę. A jeśli spotkam jedną z naprawdę potężnych? Ojciec Stocks mówił, że dwie bądź trzy zapuszczają się daleko poza jar, wypatrując ofiar. Szybko przegnałem z głowy tę myśl.

Ruszyłem dalej powoli, ostrożnie. Zastanawiałem się przy tym, dlaczego trzy siostry tak nagle umilkły? Czyżby i one bały się przyciągnąć do siebie umarłe wiedźmy? Ale dlaczego? Czyż

wszystkie czarownice nie są takie same? I wtedy przypomniałem sobie, jak ojciec Stocks wspominał o pradawnej wrogości pomiędzy trzema kręgami. Choć wśród Malkinów i Deane'ów zdarzały się mieszane małżeństwa, klany zbierały się tylko wówczas, gdy musiały złączyć swoje mroczne siły. Może siostry Mouldheel bały się spotkać martwą czarownicę z innego rodu?

Była to przerażająca, pełna napięcia wędrówka, w każdej chwili spodziewałem się ataku. W końcu jednak z westchnieniem ulgi dotarłem do końca jaru. Jakże się ucieszyłem, pozostawiając za sobą cień owych drzew! Znow padł na mnie blask księżyca, przed sobą widziałem rozkołysane latarnie i słyszałem głosy podniesione, jakby w gniewie. Po jakichś dziesięciu minutach czarownice zaczęły schodzić w dół stromego zbocza i ujrzałem przed nimi odbijający się na niebie blask ognia. Odczekałem dłuższą chwilę, po czym schroniłem się w niewielkim zagajniku jesionów i olch. Czekał już na przecinkę, toteż idealnie nadawał się na kryjówkę. W chwilę później wyglądałem z gęstego młodniaka; roztaczał się stąd wyraźny widok na wszystko, co działo się w dole.

Pod sobą ujrzałem rząd szeregowych domków – w sumie ośmiu – i wielkie ognisko na skraju dużego, brukowanego kamieniami placu. Ognisko płonęło jasno, wyrzucając w nocne niebo snopy roztańczonych iskier. Nieopodal, wśród drzew, dostrzegłem kolejne spore skupisko domków. Zapewne była to wioska Bareleigh, w której osiadł klan Mouldheelów.

W sumie naliczyłem około dwóch tuzinów ludzi, tak kobiet, jak i mężczyzn. Większość siedziała na kamieniach bądź w trawie, jedząc palcami z talerzy. Wyglądało to zupełnie nieszkodliwie – grupa przyjaciół zgromadzonych w ciepłą letnią noc na wieczerzy w blasku księżyca. W powietrzu dźwięczały głosy, zmieszane z wybuchami śmiechu.

Na metalowym trójnogu na skraju ogniska wisiał kocioł. I gdy patrzyłem, kobieta zaczerpnęła z niego chochlą, napełniła miskę, po czym zniosła ją dziewczynie siedzącej w oddaleniu od pozostałych. Dziewczyna miała pochyloną głowę, a wzrok wbijała

w kamienne płyty. Lecz gdy podano jej talerz, uniosła głowę i trzy razy pokręciła nią przecząco.

To była Alice! Ręce miała wolne, dostrzegłem jednak w blasku ognia błysk metalu: stopy związane jej łańcuchem i zatrzaśnięto na nim kłódkę.

Właśnie gdy ją zauważyłem, na plac dotarły trzy siostry. Dołączyły do zgromadzenia, a wszyscy umilkli.

Bez jednego słowa Mab ruszyła wprost do ognia. Wyglądało, jakby splunęła w ognisko, a ono zgasło. Iskry natychmiast przestały tańczyć, płomienie zamigotały, a żar na moment rozbłysnął, po czym poszarzał. Latarnie jednak nadal oświetlały jasno całą scenę. Zobaczyłem, jak na sygnał dany przez Mab, jeden z mężczyzn przechodzi przez plac, zarzuca sobie Alice na ramię i przez otwarte tylne drzwi wnosi ją do ostatniego domku po lewej.

Serce podeszło mi do gardła. Przypomniałem sobie jak Mab powiedziała, że będę do niej należał, kiedy Alice umrze. Czy teraz zamierzali ją zabić? Czy ów człowiek zabrał ją do środka, by to zrobić? Miałem ochotę puścić się biegiem na dół i rzucić się na pomoc Alice. Oczywiście, nie dałbym rady, tamtych było zbyt wielu. Ale nie mogłem tak po prostu stać i patrzeć, jak robią jej krzywdę. Odczekałem kilka chwil, panika trawiła mi wnętrze. W końcu nie mogłem wytrzymać dłużej. Nim jednak się ruszyłem, mężczyzna znów się pojawił i zamknął drzwi na klucz. Natychmiast potem Mab z drepczącymi tuż za nią dwiema siostrami poprowadziła zgromadzonych przez bramę na gościniec biegnący wzdłuż strumienia, za domkami.

Odczekałem, aż wszyscy zniknęli w dali, zmierzając w stronę, jak się zdawało, centrum Bareleigh, a potem ostrożnie zszedłem ze wzgórza. Istniała możliwość, a w domku wciąż ktoś się krył. Ktoś, kto przebywał tam od początku. Czy to możliwe, by odeszli wszyscy, pozostawiając Alice niestrzeżoną? Uznałem, że to raczej mało prawdopodobne.

Kiedy dotarłem do drzwi chaty, otworzyłem je specjalnym kluczem, który dostałem od Andrew.

Powoli uchyliłem drzwi i znalazłem się w zagraconej kuchni. W świetle trzech czarnych woskowych świec dostrzegłem, że w zlewie piętrzą się brudne naczynia i rondle, a kamienną posadzkę zaścielają zwierzęce kości, pokrywają plamy zjełczałego łoju i tłuszczu. Zamknąłem delikatnie drzwi za sobą, rozglądając się gorączkowo, wypatrując możliwych zagrożeń. Kuchnia wydawała się pusta, ale nie pozbyłem się obaw. Oparłem się o drzwi, czując w nozdrzach smród starego tłuszczu i gnijącego jedzenia, po czym kilka razy odetchnąłem głęboko, by uspokoić nerwy. Cały czas nasłuchiwałem uważnie. Reszta domku zdawała się pusta, panowała w niej jednak niepokojąca cisza. Trudno mi było uwierzyć, że Alice nie wydaje żadnego dźwięku. Na tę myśl serce znów zaczęło walić mi jak młotem, a gardło zacisnęło się ze strachu. A co, jeśli już ją zabili? Co, jeśli tamten przyniósł ją do domu właśnie w tym celu?

Groza owej wizji sprawiła, że w końcu ruszyłem się z miejsca. Wiedziałem, że będę musiał sprawdzić kolejno wszystkie pomieszczenia. Domek był mały, parterowy, toteż nie musiałem zaglądać na piętro. Wewnętrzne drzwi prowadziły do ciasnego, zaśmieconego pokoju; na łóżku leżała zmięta, brudna pościel, a na parapecie migotała kolejna czarna świeca. Nie dostrzegłem ani śladu Alice. Gdzie się podziewała?

Za łóżkiem, w przeciwległej ścianie, tkwiły kolejne drzwi. Obróciłem gałkę, otworzyłem je powoli i przekroczywszy próg, znalazłem się w salonie.

Jedno zerknięcie wystarczyło, bym pojął, że nie jestem w nim sam! Po prawej miałem kominek, na którym jaśniał węglowy żar. Lecz naprzeciw mnie, przygarbiona przy stole siedziała czarownica o szalonych oczach i burzy kręconych siwych włosów. W lewej dłoni trzymała ogarek z migotliwym płomykiem, znad którego wznosił się gęsty dym. Odruchowo uniosłem kij, widząc, jak otwiera usta i zaczyna krzyczeć, wygrażając mi pięścią. Nie usłyszałem jednak niczego i natychmiast zrozumiałem, że tak naprawdę czarownicy nie ma w pokoju ze mną. Patrzyłem prosto w wielkie lustro.

Używała go, by obserwować dom z daleka.

Ale z jak daleka? Z odległości wielu mil czy kilkunastu kroków? Nieważne jednak, gdzie była, z pomocą innego lustra mogła powiadomić Mouldheelów, że do domku wdarł się intruz. Ile mam czasu, nim ktoś się zjawi? Pod lustrem, po lewej stronie ujrzałem wąskie stopnie wiodące w dół, w ciemność. Musiała tam być piwnica. Czy znajdę w niej Alice?

Szybko wyciągnąłem z kieszeni hubkę, krzesiwo i ogarek. Chwilę później, nie zwracając uwagi na wiedźmę, wciąż wściekającą się bezdźwięcznie w lustrze, ruszyłem w dół. W lewej dłoni trzymałem świeczkę, w prawej laskę. Na dole ujrzałem zamknięte drzwi, lecz klucz szybko rozprawił się z zamkiem; uchyliłem je, pozwalając, by świeca oświetliła wnętrze. Z nagłą ulgą stwierdziłem, że widzę Alice. Siedziała wsparta plecami o ścianę obok stosu węgla. Wyglądała na całą i zdrową. Uniosła wzrok i otworzyła usta, by przemówić, na jej twarzy dostrzegłem przejmujący strach. Potem jednak rozpoznała mnie i westchnęła z ulgą.

– Och, Tom! To ty! Myślałam już, że przychodzą mnie zabić.

– Już dobrze, Alice – odparłem. – Za minutkę cię uwolnimy.

Ukląknąłem i istotnie, potrzebowałem jedynie chwili, by otworzyć kluczem kłódkę i zsunąć łańcuchy z nóg Alice. Jak dotąd wszystko szło znakomicie. Lecz gdy pomogłem jej wstać, zaczęła się trząść i dygotać, wciąż wyglądała na przerażoną. To wtedy zauważyłem, że piwnica ma w sobie coś dziwnego. Było w niej zbyt jasno, jedna świeca nie powinna tak dobrze jej oświetlać.

Kiedy podniosłem się z ziemi, odkryłem, przyczynę. Na każdej z czterech ścian, mniej więcej na wysokości mojej głowy zawieszono wielkie lustro w ozdobnej rzeźbionej ramie z czarnego drewna. Lustra odbijały świecę, zwielokrotniając ją. Potem jednak ku mej zgrozie ujrzałem coś jeszcze: w każdym lustrze widniała twarz patrząca na mnie pełnymi wrogości oczami.

Trzy twarze należały do kobiet – wiem o szalonych złowrogich oczach i gęstych, potarganych włosach – lecz czwarta



zdawała się być twarzą dziecka. I to właśnie czwarty obraz zwrócił moją uwagę tak bardzo, że zamarłem w miejscu. Wizerunek miał małą głowę – dlatego początkowo założyłem, że należy do dziecka – lecz rysy dorosłego mężczyzny, łysego jak kolano, z haczykowatym nosem. Przez chwilę odbicie pozostawało nieruchome, zastygnięte w czasie niczym portret, potem jednak na moich oczach usta rozciągnęły się niczyi paszcza zwierzęcia gotowego pożreć zdobycz. Wewnątrz ujrzałem ostre jak brzytwy iglice zębów.

Nie miałem pojęcia, kto to, bądź co, ale obraz bardzo mnie przeraził – musiałem wydostać się z tej piwnicy. Wszystkie cztery postaci nas obserwowały. Teraz wiedziały, że uwolniłem Alice. Zdmuchnąłem świecę i schowałem do kieszeni.

– Chodź, Alice – złapałem ją za rękę. – Uciekajmy stąd!

Poprowadziłem ją po schodach. Albo jednak za bardzo się bała, albo w jakiś sposób czarownice ją osłabiły, bo gdy wspinaliśmy się po stopniach, często zostawała z tyłu a jej ręka próbowała ściągnąć mnie z powrotem.

– Co ty wyprawiasz, Alice? – spytałem. – Oni lada moment wrócą!

Alice pokręciła głową.

– To nie takie łatwe. Skrępowali mnie nie tylko łańcuchami. Jestem spętana, nie odejdę dalej niż poza tamten placyk.

– Zakłęcie pętające? – Zatrzymałem się i odwróciłem ku niej. Znałem już odpowiedź: Mab mówiła, że Alice była uwięziona. Najwyraźniej nie kłamała.

Alice przytaknęła, wyraźnie zrozpaczona.

– Istnieje sposób, by mnie uwolnić, ale nie będzie to łatwe. O tak, niełatwe. Mają kosmyk moich włosów. Skręciły go i związały. Trzeba go spalić, to jedyny sposób...

– Gdzie go znajdę?

– Ma go Mab, bo to ona rzuciła zakłęcie.

– Porozmawiamy na dworze – znów pociągnąłem Alice za rękę.

– Nie martw się, znajdę sposób.

Próbowałem ją pocieszyć, lecz serce ciążyło mi nieznośnie. Jaką miałem szansę, by odebrać Mab kosmyk, skoro pomagało jej tak wiele osób?

Wreszcie, ciągnąc i szarpiąc, doprowadziłem Alice na szczyt schodów. Czarownica nie wyglądała już z lustra. Czy zmierzała ku nam? Przeszliśmy przez sypialnię i kuchnię do tylnych drzwi. Kiedy jednak je otworzyłem, serce ścisnęło mi się jeszcze mocniej. W oddali słyszałem gniewne głosy, zbliżające się z każdą sekundą. Zaczęliśmy maszerować przez plac do furtki wychodzą na trakt. Alice bardzo się starała, lecz dyszała ciężko wyczerpana samym marszem, na jej czoło występowały krople potu. Nagle zatrzymała się gwałtownie.

– Nie mogę pójść dalej! – wyszlochała. – Nie mogę postawić kroku!

– Zaniosę cię – oznajmiłem. – Mab mówiła, że jesteś uwiązana na stu krokach. Jeśli zaniosę cię dalej, może wszystko będzie dobrze.

Nie czekając na odpowiedź, złapałem ją za nogi i zarzuciłem sobie na prawe ramię. Ściskając w lewej dłoni kij, przeszedłem przez otwartą furtkę, przeciałem drogę i brodząc w rwącym strumieniu, dotarłem na drugi brzeg. Teraz poczułem się lepiej. Czarownice nie mogą przeprowić się przez płynącą wodę, toteż udało mi się odgrodzić od pościgu. Będą musiały znaleźć inną drogę, może nadłożyć kilka mil. To da mi szansę dotarcia do Downham.

Bardzo ciężko dźwigało mi się Alice, cały czas jęczącą jakby z bólu.

– Wszystko w porządku? – zawołałem do niej.

W odpowiedzi jedynie jęknęła, uznałem jednak, że nie mam innego wyjścia, toteż zacisnąłem zęby i maszerowałem dalej na północ. Wzgórze Pendle wyrastało po mej lewicy. Wiedziałem, że wkrótce dotrę do Wiedźmiego Jaru, toteż skręciłem w prawo, dalej na wschód, zamierzając wyminąć go możliwie szerokim łukiem. Natknąłem się na kolejny strumień i nie słysząc odgłosów pościgu,

zsunąłem Alice z ramienia i posadziłem na trawie na brzegu wody. Ku swej zgrozie odkryłem, że oczy ma zamknięte. Czyżby spała? A może straciła przytomność?

Kilka razy zawołałem jej imię, ale nie odpowiedziała. Próbowałem potrząsnąć nią delikatnie, to jednak też nic nie dało, toteż coraz bardziej zatroskany, ukląknę obok strumienia, złożyłem dłonie i napełniłem zimną wodą. Najpierw ochlapałem lekko czoło Alice, a potem oblałem ją całą. Dziewczyna sapnęła i usiadła gwałtownie, wodząc wokół wielkimi, przerażonymi oczami.

– Już wszystko dobrze, Alice. Uciekliśmy. Jesteśmy bezpieczni.

– Bezpečni? Jak możemy być bezpieczni? Będą nas ścigać, o tak, z pewnością są niedaleko.

– Nie – odparłem. – Przeprawiliśmy się przez strumień za drogą. To bieżąca woda, nie mogą przez nią przejść.

Alice pokręciła głową.

– To nie takie proste, Tomie. Większość czarownic nie jest taka głupia. Z tego wielkiego paskudnego wzgórza spływa mnóstwo strumieni – wskazała ręką Pendle. – Czy więdźmy osiadłyby tutaj, gdyby z takim trudem przychodziło im wędrować z miejsca do miejsca? Mają swoje sztuczki i sposoby. W najważniejszych miejscach budują „więdźmie tamy”. Wystarczy nacisnąć dźwignię i bloczki spuszczaają w głąb koryta wielką deskę, odcinając przepływ wody. Oczywiście szybko wzbiera i opływa deskę, ale to wystarczy, by kilka czarownic zdążyło się przeprawić. Jeśli się nie mylę, są już niedaleko.

Gdy tylko Alice skończyła mówić, usłyszałem, jak ktoś krzyczy za drzewami z tyłu. Istotnie, brzmiało to jakby szli naszym tropem i zmniejszali dzielący nas dystans.

– Możesz iść? – spytałem.

Alice przytaknęła.

– Chyba tak – rzekła, toteż chwyciłem ją za rękę i pomogłem wstać. – Wyniosłeś mnie poza zakres pęt. Bardzo bolało, ale jestem już niemal wolna. Co prawda Mab wciąż ma kosmyk moich włosów i wolę nie myśleć, do czego jeszcze może go wykorzystać. Ma nade

mną władzę, bez dwóch zdań!

Znów ruszyliśmy na północ, w stronę Downham. Z początku Alice miała problemy z marszem, lecz z każdym krokiem stawała się silniejsza i wkrótce maszerowaliśmy całkiem szybko. Kłopot w tym, że odgłosy pościgu nieustannie się zbliżały. Doganiali nas.

Gdy dotarliśmy na skraj wrzosowiska Downham i znaleźliśmy się w niewielkim lasku, Alice nagle położyła mi dłoń na ramieniu i zatrzymała.

– Co się stało, Alice? Musimy iść dalej...

– Coś jest przed nami, Tom. Zmierza tu martwa czarownica. ..

Ujrzałem wśród drzew zgarbioną postać. Szła wprost na nas, szurając stopami pośród zeszlórocznych gnijących liści. Musiała to być jedna z najsilniejszych wiedźm, skoro zdołała opuścić jar i szukać ofiary tak daleko. Teraz kierowała się w naszą stronę, lecz nie poruszała się zbyt szybko. Nie mogliśmy się cofnąć, bo Mouldheelowie byli niedaleko. Mogliśmy jednak skrócić w prawo bądź w lewo i ją ominąć. Gdy jednak spróbowałem sprowadzić Alice ze ścieżki, znów położyła mi dłoń na ramieniu.

– Nie, Tomie. Wszystko będzie dobrze. Znam tę wiedźmę. To stara Maggie Malkin. Należy do rodziny. Powiesili ją w Caster trzy lata temu, ale pozwolili przywieźć do domu na pogrzeb. Tyle że my jej nie pogrzebaliśmy, o nie. Zanieśliśmy ją do dolinki, gdzie miała towarzystwo. A teraz jest tutaj. Ciekawe, czy mnie pamięta? Nie martw się, Tomie, może właśnie tego nam trzeba...

Odsunąłem się od Alice i uniosłem kij. Ani trochę nie podobała mi się martwa wiedźma. Jej długą ciemną suknię pokrywał śluz i plamy pleśni. Przywarły do niej liście – najwyraźniej zakopywała się pod drzewami przesypiając całe dnie. Oczy miała otwarte, lecz wybałuszone boleśnie, jakby lada moment miały wypaść jej na policzki, a szyję zdecydowanie za długą. Głowę obracała w lewo, a w miejscach, gdzie przez gałęzie drzew przenikały promienie księżyca, dostrzegałem ciągnącą się za nią ciekłą srebrzystą nić, przypominającą ślad ślimaka.

– Dobrze cię widzieć, kuzynko Maggie! – zawołali Alice

radośnie.

Na te słowa martwa wiedźma zatrzymała się; teraz dzieliło ją od nas najwyżej pięć kroków.

– Kto mówi moje imię? – wychrypiała.

– To ja, Alice Deane. Nie pamiętasz mnie, kuzynko?

– Moja pamięć nie jest już taka jak kiedyś – wiedźma westchnęła. – Podejdź bliżej, dziecko, niech ci się przyjrzę.

Ku mej zgrozie, Alice posłuchała i podeszła do Maggie, która położyła jej dłoń na ramieniu i trzy razy głódno pociągnęła nosem. Nie chciałbym, by dotknęła mnie ta ręka, jej długie paznokcie przypominały szpony drapieżnego ptaka.

– Urosłaś, dziecko – rzekła czarownica. – Tak bardzo, że ledwo cię poznaję. Ale nadal pachniesz jak rodzina i to mi wystarczy. Kim jednak jest obcy, który ci towarzyszy? Co to za chłopak?

– To mój przyjaciel, Tom – wyjaśniła Alice.

Martwa wiedźma zapatrzyła się na mnie, wężąc w powietrzu. Potem zmarszczyła brwi i otworzyła usta, ukazując dwa rzędy poczerniałych, połamanych zębów.

– Dziwny z niego chłopak – mruknęła. – Nie pachnie jak należy, a cień ma stanowczo za długi. To zły kompan dla młodej dziewczyny, takiej jak ty!

Blask księżyca przeniknął przez drzewa, rzucając na ziemię nasze cienie. Mój cień był istotnie bardzo długi, co najmniej dwa razy dłuższy od cieni Alice i Maggie. Zawsze tak się działo w świetle księżyca, wcześniej jednak nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Po prostu przywykłem.

– Lepiej wybieraj sobie przyjaciół spośród siebie podobnych – ciągnęła czarownica. – To właśnie powinnaś robić, wszystko inne kończy się jedynie żalem i płaczem. Lepiej się go pozbądź. Daj mi go, bądź grzeczną dziewczynką. Dziś w nocy łowy nie poszły mi najlepiej i język zasechł jak kość. Daj mi chłopaka...

To rzekłszy, martwa wiedźma wystawiła język tak daleko, że przez moment zawisł poniżej jej brody.

– Nie, Maggie, potrzebujesz czegoś bardziej soczystego niż on –

nie zgodziła się Alice. – Niewiele ma mięsa na kościach i krew za rzadką jak na twój gust. Nie, tam w tyle czeka dziś na ciebie lepsza ofiara – wskazała ręką w stronę, z której przyszliśmy. – Trzeba ci krwi Mouldheelów...

– A są tam Mouldheelowie? – Maggie uniosła głowę spoglądając poprzez drzewa i oblizując łakomie wargi. – Mouldheelowie, powiadasz?

– Dostyc, by starczyło ci na tydzień bądź więcej – odparła Alice. – Mab, jej siostry i jeszcze inni. Nie będziesz dziś głodować.

Z otwartych ust czarownicy zaczęła kapać ślina, ściekając na przegniłe liście u jej stóp. Potem bez słowa, nie oglądając się za siebie, ruszyła w stronę dobiegających z tyłu głosów. Nadal szurała nogami, lecz szła teraz znacznie szybciej niż wcześniej. My tymczasem ruszyliśmy dalej, maszerując co sił.

– Jakiś czas powinna ich zająć. – Alice uśmiechnęła się ponuro. – Martwa Maggie nienawidzi Mouldheelów. Szkoda, że nie możemy zostać i popatrzeć.

Teraz, gdy niebezpieczeństwo nieco się oddaliło, moje myśli powróciły ku innym sprawom. Lękałem się odpowiedzi, ale musiałem wiedzieć.

– Czy dowiedziałaś się czegokolwiek o Jacku i jego rodzinie?

– W żaden sposób nie mogę ci tego oszczędzić, Tomie – odparła.

– I nie ma sensu ukrywać prawdy, mam rację?

Serce podeszło mi do gardła.

– Chyba nie zginęli? – spytałem.

– Dwa dni temu wciąż żyli – odparła Alice. – Ale nie pożyją długo, jeśli czegoś się nie zrobi. Zamknięto ich w tunelach pod Wieżą Malkinów. Malkinowie to zrobili. Stoi za tym moja rodzina – pokręciła głową. – Mają też twoje skrzynie.

## **ROZDZIAŁ 7**

### **OPOWIEŚĆ ALICE**

Po niecałej godzinie pukaliśmy do drzwi plebanii. Zarówno ojciec Stocks, jak i stracharz zdążyli już wrócić. Z początku mistrz przyjął mnie gniewnie, niezadowolony z tego, że sam się oddaliłem. Gdy usiedliśmy przy kuchennym stole, zauważyłem, że lustro nad kominkiem wisi odwrócone do ściany. Wciąż było ciemno i ojciec Stocks najwyraźniej nader rozsądnie zabezpieczył się przed szpiegowaniem czarownic.

Mistrz kazał opowiedzieć mi ze szczegółami o wszystkim, co się zdarzyło. Nim skończyłem, ojciec Stocks ustawił na stole cztery talerze gorącego rosołu. Ponieważ stracharz najwyraźniej nie zamierzał natychmiast rozprawiać się z czarownicami, wyglądało na to, że nie musimy pościć i z lubością zjadłem zupę.

Oczywiście, choć wyjaśniłem, jak zdołaliśmy uciec Mouldheelom, nie wspomniałem o tym, że Alice rozmawiała z martwą wiedźmą. Uznałem, że stracharz wolałby o tym nie wiedzieć. Dla niego stanowiłoby to dowód, jak bardzo Alice wciąż pozostawała związana z rodziną, i jak mało możemy jej ufać.

– Cóż, chłopcze – rzekł, zanurzając grubą pajdę chleba z chrupiącą skórką w parującej zupie. – Choć wyruszając samotnie z obcą dziewczyną, nie wykazałeś się rozsądkiem, wszystko dobre, co się dobrze kończy. Teraz chciałbym wysłuchać, co ma do powiedzenia Alice – dodał, patrząc na nią. – Zacznij od początku i opowiedz o wszystkim, co się działo, nim Tom cię znalazł. Niczego nie pomijaj. Nawet najdrobniejsze szczegóły mogą mieć znaczenie.

– Zanim Mouldheelowie mnie złapali, węszyłam cały dzień i noc – zaczęła Alice. – Dość długo, by dowiedzieć się kilku rzeczy. Poszłam pomówić z Agnes Sowerbutts, jedną z moich ciotek. To ona opowiedziała mi najwięcej. Część z tego jest jasna i oczywista jak nos pośrodku twarzy. Nietrudno zgadnąć, co się tam dzieje. Lecz inne sprawy pozostają tajemnicze. Jak mówiłam Tomowi, jego brat Jack wraz z rodziną siedzą uwięzieni w lochach pod Wieżą Malkinów. Nic w tym dziwnego. Nie dziwota, że Malkinowie to zrobili. Skrzynie Toma również tam są. A oni mają sporo kłopotów z tymi trzema wielkimi. Małe otworzyli z łatwością, ale do wielkich

nie mogą dobrać. Nie wiedzą też, co jest w środku, tyle że to coś, co warto zdobyć...

– Jak w ogóle dowiedzieli się o istnieniu skrzyń? – przerwał stracharz.

– Sprawili sobie „widzącego” – wyjaśniła Alice. – Zwie się Tibb. Postrzega rzeczy z daleka, ale nie potrafi wejrzeć do skrzyń. Wie tylko, że warto je otworzyć. Wie także o Tomie: widzi przyszłość i uważa, że Tom stanowi dla nich prawdziwe zagrożenie, większe nawet niż ty – skinęła w stronę stracharza. – Nie mogą pozwolić, by dorósł. O tak, Malkinowie pragną śmierci Toma. Ale najpierw chcą zdobyć jego klucze – by móc otworzyć skrzynie od matki.

– Co to niby za widzący? – W głosie stracharza zabrzmiała pogardliwa nuta. – Czy urodził się i wychował w Hrabstwie?

Mój mistrz nie wierzył, że ktokolwiek potrafi wejrzeć w przyszłość. Ja jednak widziałem parę rzeczy, które dały mi do myślenia. Przed ostatnim starciem z Morem z Priestown mama napisała do mnie list. Przewidziała, co najpewniej się wydarzy. I miała rację.

– W pewnym sensie urodził się w Hrabstwie, ale Tibb to nie człowiek – odparła Alice. – Wystarczy jeden rzut oka, by to stwierdzić.

– Widziałas go? – zdziwił się stracharz.

– Widziałam, o tak. I Tom także. Widzieliśmy go w lustrze. Przez większość czasu Mouldheelowie trzymali mnie w piwnicy. Były tam lustra, by mogli mieć na mnie oko. Ale Tibb okazał się za silny i wykorzystał jedno z luster Mouldheelów, by samemu widzieć i szpiegować. Przekonał się, że tam jestem, i co ważniejsze, wie, że Tom mnie uratował. Ma paskudną twarz i bardzo ostre zęby. Jest mały, lecz silny i niebezpieczny. U stóp ma tylko po trzy palce. Nie, nie jest człowiekiem. Bez dwóch zdań.

– Skąd się zatem wziął? Dotąd o nim nie słyszałem – naciskał mój mistrz.

– W ostatnią wigilię Wszystkich Świętych Malkinowie ogłosili rozejm z Deanami. Oba kręgi połączyły się, aby stworzyć Tibba.



Czarownice wrzuciły do kotła głowę wielkiego wieprza, po czym gotowały tak długo, aż ciało i mózg odpadły od kości i powstała z nich zupa. Każda z kręgu trzynastcie razy naplula do kotła. Potem nakarmiły tym maciorę. W siedem miesięcy później rozpruły jej brzuch i ze środka wypełził Tibb. Odtąd nie stał się o wiele większy, lecz siłą przewyższa dorosłego męża.

– Brzmi to bardziej jak historia ze snu niż jawy – zauważył cierpko stracharz. W jego głosie dosłyszałem drwiący ton. – Kto ci o tym opowiedział? Ciotka?

– Częściowo tak. Resztę usłyszałam od sióstr Mouldheel – Mab, Beth i Jennet. Złapały mnie, gdy okrążałam Bareleigh. Gdyby nie Tom, z pewnością by mnie zabiły. Próbowałam je przekonać, żeby mnie puściły, mówiłam, że nie należę już do klanu, ale zadały mi wiele bólu. Sprawily, że mówiłam rzeczy, których nie chciałam zdradzić. Przepraszam, Tomie, ale nie mogłam się powstrzymać. Opowiedziałam im o tym, jak przybyłeś do Pendle, by spróbować ocalić rodzinę. Powiedziałam nawet Mab, gdzie się zatrzymaliście. Bardzo mi przykro, ale nie mogłam się powstrzymać.

W oczach Alice rozbłyły się łzy. Podeszedłem do niej, i objąłem jej ramiona.

– Nic nie szkodzi – odparłem.

– Musicie wiedzieć jeszcze jedno – podjęła, przygryzając dolną wargę i oddychając głęboko. – Kiedy siedziałam uwięziona w piwnicy, złożyli im wizytę Deanowie i Malkinowie. Po parę osób z rodziny Rozmawiali przy ogniu, na zewnątrz. Byłam zbyt daleko, by słyszeć każde słowo, myślę jednak, że próbowali przekonać Mab, aby im w czymś pomogła. Widziałam jednak wyraźnie, że Mab kręci głową i odprawia ich.

Stracharz zdumiony zmarszczył brwi.

– Czemu Malkinowie i Deanowie rozmawiali o czymś takim ze zwykłą dziewczyną?

– Od twojej ostatniej wizyty wiele się tutaj zmieniło, Johnie – zauważył z namysłem ojciec Stocks. – Krąg Mouldheelów rośnie w siłę i zaczyna poważnie zagrażać pozostałym dwóm. I odpowiada za

to nowe pokolenie. Mab ma najwyżej czternaście lat, jest jednak groźniejsza niż dwakroć starsza czarownica. Już teraz przewodzi całemu klanowi. Pozostali się jej boją. Powiadają, że to świetna widząca i potrafi odczytywać przyszłość lepiej, niż jakakolwiek wiedźma przed nią. Może ten Tibb to coś, co Malkinowie wyhodowali w odpowiedzi na jej rosnące moce.

– Zatem miejmy nadzieję, że nie zmieni zdania i nie dołączy do pozostałych kręgów – powiedział z powagą stracharz. – Mówisz, że Tibb widzi rzeczy z daleka. – Odwrócił się do Alice. – Czy to rodzaj dalekiego węszenia?

– Myślę, że połączenie dalekiego węszenia i postrzegania – wyjaśniła Alice. – Ale nie potrafi tego robić cały czas. Najpierw musi się napić świeżej ludzkiej krwi...

W kuchni zapadła cisza. Widziałem, że ojciec Stocks i stracharz przetrawiają usłyszane słowa. Słowem „postrzeganie” czarownice określały prorocтва. Stracharz nie wierzył w podobne rzeczy. Widziałem jednak, że wstrząsnęła nim informacja o tym, w jaki sposób Tibb dowiedział się o skrzyniach mamy. Im więcej słyszałem, tym gorsza wydawała się nasza sytuacja. Już kiedy stracharz pierwszy raz wspomniał mi, że wyruszymy do Pendle rozprawić się z czarownicami, ogarnęły mnie obawy. Jak zamierzał pokonać wiedźmy, skoro było ich tak wiele? I co zrobimy teraz, gdy Jack i jego rodzina tkwią uwięzieni w lochach pod Wieżą Malkinów?

– Po co w ogóle ich porwały? Zdobyły przecież skrzynie. Czemu nie zostawiły ich w spokoju?

– Czasami czarownice kierują się czystym złem, niczym więcej – odparła Alice. – Mogły z łatwością zabić ich już na farmie. Są do tego zdolne, o tak. Lecz najpewniej porwały ich, bo to twoja rodzina. Potrzebują przecież kluczy. A dzięki zakładnikom mogą na ciebie naciskać.

– Wiemy, gdzie trzymają teraz Jacka, Ellie i Mary. – Czułem rosnącą niecierpliwość i gniew. – W jaki sposób ich uwolnimy? Co poczniemy teraz?

– Myślę, że możemy zrobić tylko jedno, chłopcze – odparł stracharz. – Poszukać pomocy. Początkowo zamierzałem całe lato i jesień nękać naszych wrogów i próbować poróżnić klany. Teraz jednak musimy działać szybko. Ojciec Stocks zaproponował coś, co nie do końca mi się podoba, przekonał mnie jednak, że to jedyny sposób, który daje nam szansę ocalenia twojej rodziny

– Owszem, przyznaję, istnieje element ryzyka – wtrącił ojciec Stocks. – Ale czy mamy inny wybór? W tych trzech wioskach żyje sporo nieciekawych typów, którzy już to z własnej woli, już ze strachu przed kręgami, pomagają czarownicom. I należy też pamiętać o męskich członkach klanów. A nawet, jeśli jakimś cudem przebijemy się przez nich, Wieża Malkinów to prawdziwa twierdza. Zbudowano ją z porządnego kamienia z Hrabstwa; ma też fosę, most zwodzony, a dalej solidną drewnianą bramę, okutą żelazem. Przypomina mały zamek. Zatem, młody Tomie, oto, co proponuję. Jutro pójdziemy razem do wielkiego dworu w Read i pomówimy z miejscowym prefektem królewskim. Jako najbliższy krewny porwanych będziesz musiał złożyć oficjalną skargę. Prefekt nazywa się Roger Nowell i jeszcze pięć lat temu był Najwyższym Szeryfem w Caster. To szlachetnie urodzony, stopień niżej od rycerza, a także dobry, uczciwy człowiek. Może zdołamy go przekonać, żeby zaczął działać.

– Owszem – dodał stracharz – a gdy piastował stanowisko w Caster, ani jedna czarownica nie stanęła przed sądem. Jak wszyscy dobrze wiemy, i tak zazwyczaj trafiają tam fałszywie oskarżone. Lecz fakt ten wiele o nim mówi. Bo widzisz, Tomie, Nowell nie wierzy w czary. To racjonalista. Wyznawca rozsądku. Według niego więdźmy nie istnieją...

– Jak może tak myśleć, mieszkając właśnie w Pendle? – zdumiałem się.

– Niektórzy ludzie mają zamknięte umysły – wyjaśnił mój mistrz – a utrzymywanie Nowella w niewiedzy leży w interesie klanów z Pendle. Nie pozwalają, by zobaczył bądź usłyszał cokolwiek, co mogłoby wzbudzić jego podejrzenia.

– Ale my oczywiście nie oskarżymy nikogo o czary. – Ojciec Stocks wyjął zza sutanny kawałek papieru i uniósł go. – Kradzież i porwanie to coś, co mości Nowell zrozumie doskonale. Oto relacje dwóch świadków, którzy widzieli, jak twego brata z rodziną przewożono przez Goldshaw Booth w drodze do Wieży Malkinów. Wczoraj spisałem ich zeznania, a oni postawili pod nimi znak. Widzisz, nie wszyscy w Diabelskim Trójkącie pomagają czarownicom, lękając się o własną skórę. Przyrzekliśmy jednak, że pozostaną anonimowi. W przeciwnym razie, ich życie nie byłoby warte złamanego szeląga. Powinno to jednak wystarczyć, by Nowell zaczął działać.

Nie do końca zachwyciła mnie propozycja księdza. Stracharz także żywił pewne obawy. Musieliśmy jednak coś zrobić. A żaden inny plan nie przychodził mi do głowy.

\*

Domek ojca Stocksa miał na piętrze cztery pokoje, mogące pomieścić gospodarza i naszą trójkę. Przespaliśmy się kilka godzin i wstaliśmy o świcie. Potem, po śniadaniu złożonym z baraniny na zimno, stracharz i Alice zostali w domu, a ja ruszyłem z księdzem na południe. Tym razem wybraliśmy szlak zachodni, tak że Wzgórze Pendle mieliśmy po lewej.

– Read leży na południe od Sabden, Tomie – tłumaczył ksiądz. – Lecz nawet gdybyśmy zmierzali do Bareleigh, poszedłbym właśnie tą drogą. Jest bezpieczniejsza. Miałeś szczęście, że zeszłej nocy przepawiłeś się cało przez jar...

Podróżowałem bez płaszcza i laski, by nie zwracać na siebie uwagi. Przebywałem co prawda w kraju czarownic, ale mości Nowell nie wierzył w czary, toteż zapewne nie przepadał za stracharzami i ich uczniami. Nie zabrałem też ze sobą żadnej broni, której mógłbym użyć przeciw stworom z mroku. Ufałem, że ojciec Stocks doprowadzi nas spokojnie do Read i z powrotem do swego domu przed zachodem słońca. A zresztą, jak wyjaśnił, podróżowaliśmy po bezpieczniejszej stronie wzgórza.

Po niecałej godzinie zatrzymaliśmy się i zaspokoiliśmy

pragnienie zimną wodą ze strumienia. Kiedy się napiliśmy, ojciec Stocks zsuł buty, ściągnął skarpety, usiadł na brzegu i zanurzył bosc nogi w rwącej wodzie

– Jak miło – rzekł z uśmiechem.

Przytaknąłem i uśmiechnąłem się w odpowiedzi. Usiadłem przy nim. Sam jednak nie zamierzałem ściągać butów. Ranek był przyjemny. Słońce przeganiało już chłód z powietrza, a błękitu nieba nie kalala nawet najmniejsza chmurka. Siedzieliśmy w uroczym miejscu: pobliskie drzewa nie przesłaniały nam widoku na Wzgórze Pendle. Dziś wyglądało inaczej, jakby przyjaźniej. Jego zielone zbocza pokrywały białe punkciki. Niektóre z nich się poruszały.

– Mnóstwo tam owiec – zauważyłem, wskazując wzgórze.

Na bliższym nam polu, za strumieniem, także roiło się od owiec i beczących, niemal dorosłych jagniąt, które wkrótce miały zostać odłączone od matek. Może to się wydać okrutne, lecz rolnicy muszą z czegoś żyć, tak więc jagnięta trafiały do rzeźnika.

– Owszem – zgodził się ksiądz – to bez wątpienia kraina owiec. Patrzysz na bogactwo Pendle. Produkujemy najlepszą baraninę w Hrabstwie. Niektórzy nieźle na tym zarabiają. Zważ jednak, że inni żyją w prawdziwej biedzie. Sporo ludzi utrzymuje się z żebraniny. Jedna rzecz, która naprawdę cieszy mnie w powołaniu księdza, to próby poprawienia ich losu. W istocie sam staję się żebrakiem. Błagam parafian, by rzucali pieniądze na tacę. Błagam o ubrania i strawę. Potem oddaję to biednym. To godne i szlachetne.

– Godniejsze niż bycie stracharzem, ojczy? – spytałem.

Ojciec Stocks uśmiechnął się.

– Dla mnie, Tomie, odpowiedź brzmi: tak. Lecz każdy musi podążać własną ścieżką...

– Co sprawiło, iż w końcu uznałeś, że lepiej zostać księdzem niż stracharzem?

Ojciec Stocks przez chwilę przyglądał mi się bez słowa, potem zmarszczył brwi. Uznałem, że już nie odpowie, i przeraziłem się, że

moja otwartość mogła go urazić. Kiedy w końcu się odezwał, starał się ostrożnie dobrać słowa.

– Może stało się to w chwili, gdy w końcu pojąłem, jak bardzo mrok rośnie w siłę. Widziałem, jak ciężko pracuje John Gregory, co chwila rozprawiając się z kolejnym zagrożeniem. I choć cały czas ryzykował życiem nie zdołał rozwiązać prawdziwego problemu: problem, zła w samym sercu świata. To coś zbyt wielkiego, byśmy mogli poradzić sobie z nim sami. My, nieszczęśni ludzie potrzebujemy pomocy siły wyższej. Potrzebujemy pomocy boskiej.

– A zatem bezwarunkowo wierzysz w Boga? Nie masz wątpliwości?

– O tak, Tomie. Wierzę w Boga i nie mam najmniejszych wątpliwości. I wierzę też w moc modlitwy. Co więcej, powołanie pozwala mi pomagać innym. Dlatego właśnie zostałem księdzem.

Pokiwałem głową z uznaniem. Była to dobra odpowiedź dobrego człowieka. Niedługo znałem ojca Stocksa, ale zdążyłem go już polubić i rozumiałem, dlaczego stracharz nazywa go przyjacielem.

\*

Szliśmy dalej, aż w końcu dotarliśmy do bramy. Za nią rozciągały się szerokie, soczyste zielone trawniki, na których pasły się płowe łanie. Tu i ówdzie posadzono kępy drzew, rozmieszczone tak, by cieszyły oko.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił ojciec Stocks. – Oto park Read.

– Ale gdzie jest dwór? – spytałem. Wokół nie dostrzegłem ani śladu budynku. Zastanawiałem się, czy nie kryje się za drzewami.

– To tylko granica majątku, Tomie. Widzisz przed sobą park z jeleniami. Cała ta ziemia należy do dworu Read. Minie sporo czasu, nim dotrzemy do samego dworu i jego ogrodów. To siedziba stosowna dla człowieka, który kiedyś był Najwyższym Szeryfem całego Hrabstwa.

## **ROZDZIAŁ 8**

## JEJMOŚĆ WURMALDE

Dwór Read tkwiący pośrodku ogrodów stanowiących część posiadłości, był najbardziej imponującą wiejską rezydencją, jaką zdarzyło mi się oglądać. Bardziej przypominał pałac, niż dom wiejskiego dżentelmena. Za szeroką bramą ciągnął się jeszcze szerszy żwirowy podjazd dla powozów, wiodący wprost do frontowych drzwi. Tam rozdzielał się, skręcając w prawo i lewo, i okrążał budynek, umożliwiając dojazd na tyły. Sam dwór, wysoki na trzy piętra, wejście od frontu miał zaiste imponujące. Dwa porośnięte bluszczem boczne skrzydła tworzyły otwarty dziedziniec. Ze zdumieniem przyjrzałem się niezliczonym fasetkowym oknom, zastanawiając się, ile kryją sypialni.

– Czy prefekt ma dużą rodzinę? – spytałem, wciąż wpatrując się w oszołomieniu w Dwór Read.

– Rodzina Rogera Nowella mieszkała z nim tu kiedyś – odparł ojciec Stocks – lecz niestety jego żona parę lat temu zmarła. Ma dwie dorosłe córki, które znalazły sobie dobrych mężów na południe od Hrabstwa. Jego jedyny syn służy w armii i tam też pozostanie aż do śmierci mości Nowella. Wówczas chłopak wróci do domu i odziedziczy dwór i majątność.

– Dziwnie musi być mieszkać samotnie w tak wielkim domu – zauważyłem.

– Och, prefekt nie jest do końca sam, Tomie. Ma służbę, która gotuje i sprząta, i oczywiście gospodynię, jejmość Wurmalde. To niezwykła kobieta, bardzo sprawnie zarządzająca gospodarstwem. Lecz pod pewnymi względami nie jest taka, jak można by się spodziewać po kimś o jej pozycji. Obcy przybysz, nieświadom prawdziwej sytuacji, mógłby wziąć ją za panią domu. Ja sam zawsze miałem ją za kobietę uprzejmą i inteligentną, lecz niektórzy twierdzą, że jest wyniosła, zadziera nosa i wywyższa się ponad swój stan. Z całą pewnością wiele zmieniła przed ostatnie lata. Kiedyś, odwiedzając Dwór Read, stukałem do drzwi

frontowych. Teraz jednak wita się tam wyłącznie rycerzy i szlachtę. My będziemy musieli skorzystać z bocznego wejścia dla dostawców.

Zamiast zatem poprowadzić nas do wielkiego wejścia od frontu, ojciec Stocks skierował się w prawo. Mijaliśmy ozdobne krzewy i drzewa, aż w końcu zatrzymaliśmy się przy niewielkich drzwiach. Ksiądz zastukał uprzejmie trzy razy. Kiedy jednak po minucie nikt nie odpowiedział, znów zapukał, tym razem głośniej. W parę chwil później otworzyła pokojówka, mrugając nerwowi w promieniach słońca.

Ojciec Stocks oznajmił, że chce się widzieć z mości Nowellem i służąca zaprowadziła nas do obszernego holu wyłożonego ciemną boazerią. Potem umknęła, a my czekaliśmy kilka kolejnych minut. Zalegająca w holu głęboka cisza skojarzyła mi się z kościołem; w końcu zakłócił ją odgłos zbliżających się kroków. Lecz zamiast spodziewanego dżentelmena ujrzałem kobietę, przyglądającą nam się krytycznie. Pamiętny słów księdza, natychmiast pojąłem, że stoję właśnie w obliczu jejmości Wurmalde.

Na oko liczyła sobie koło czterdziestki, jak na niewiastę była słusznego wzrostu i nosiła się z dumą, sztywno wyprostowana, z uniesioną wysoko głową. Bujne, ciemne włosy, zaczesane na bok, za uszy, wyglądały jak lwia grzywa. Fryzura ta pasowała do niej, podkreślając jeszcze zdecydowane rysy twarzy.

Dwie inne rzeczy przyciągnęły moją uwagę i przez moment nieświadomie wodziłem między nimi wzrokiem. Jej usta i oczy. Skupiona na księdzu nie patrzyła mnie wprost, widziałem jednak, że wzrok ma śmiały i przeszywający. Czułem, że gdyby choć na mnie spojrzała, wniknęłaby w głąb mojej duszy. Co do ust, były tak blade, że przypominały wargi nieboszczyka, lecz jednocześnie duże i pełne. Mimo braku koloru świadczyły wyraźnie, że mamy do czynienia z kobietą o wielkiej sile i witalności.

Ale to jej strój zaskoczył mnie najbardziej. Nigdy jeszcze nie widziałem podobnie ubranej kobiety. Miała na sobie suknię z najlepszego czarnego jedwabiu, z kołnierzem wykończonym białą



koronką. Suknia ta zawierała w sobie dość materiału, by okryć dwadzieścia innych niewiast. Spódnica rozszerzała się na biodrach, opadając szerokim dzwonem aż do podłogi i zasłaniając buty. Ilu warstw jedwabiu trzeba, by osiągnąć podobny efekt? Strój ten musiał kosztować mnóstwo pieniędzy, bardziej nadawał się na królewski dwór.

– Jesteś tu mile widziany, ojcie – rzekła. – Czemu jednak zawdzięczamy zaszczyt twojej wizyty? I kim jest twój towarzysz?

Ksiądz skłonił się lekko.

– Muszę pomówić z mości Nowellem – odparł – A jest Tom Ward, który przybył z wizytą do Pendle.

Po raz pierwszy wzrok jejmości Wurmalde padł wprost na mnie i ujrzałem, jak wytrzeszcza oczy. Potem jej nozdrza rozszerzyły się, pociągnęła głośno nosem w moją stronę i w owym momencie, trwającym najwyżej sekundę, poczułem lodowate zimno spływające z tyłu czaszki wzdłuż kręgosłupa. Pojąłem natychmiast, że znalazłem się w pobliżu kogoś, kto ma konszachty z mrokiem. Nagle poczułem absolutną pewność, że ta kobieta jest czarownicą. A w chwili, gdy to stwierdziłem, ona także pojęła, kim jestem. Rozpoznaliśmy się nawzajem.

Na moment zmarszczyła czoło, które jednak wygładziło się szybko. Z chłodnym uśmiechem odwróciła się do księdza.

– Przykro mi ojcie, ale dziś nie będzie to możliwe. Mości Nowell jest ogromnie zajęty. Proponuję, byś spróbował jutro – może po południu?

Ojciec Stocks zarumienił się lekko, potem jednak wyprostował plecy i gdy przemówił, w jego głosie zadźwięczała determinacja.

– Przepraszam za to wtargnięcie, jejmość Wurmalde, ale chcę porozmawiać z mości Nowellem jako prefektem. To pilna sprawa, nie cierpiąca zwłoki.

Jejmość Wurmalde przytaknęła, nie sprawiała jednak wrażenia zachwyconej.

– Zechciejcie zaczekać tutaj – poleciła. – Zobaczę, co da się zrobić.

Czekaliśmy w holu. Zdenerwowany i niespokojny, rozpaczliwie pragnąłem podzielić się z ojcem Stocksem obawami dotyczącymi jejmości Wurmalde, lękałem się jednak, że gospodyni w każdej chwili może wrócić. Po chwili zjawiała się pokojówka, która zaprowadziła nas do gabinetu mogącego konkurować z biblioteką stracharza w Chipenden, tak wielkością, jak i liczbą zgromadzonych w niej książek. O ile jednak książki stracharza miały najróżniejsze możliwe kształty, rozmiary i okładki, tutejsze oprawiono w identyczną, miękką brązową skórę. Pomyślałem, że bardziej nadają się do podziwiania niż do czytania.

Gabinet, pogodny i ciepły, oświetlał blask ognia w wielkim kominku po naszej lewej, nad którym wisiało duże lustro w ozdobnej, złoconej ramie. Gdy weszliśmy, mości Nowell pisał coś przy biurku. Na nasz widok wstał z uśmiechem. Był mężczyzną po pięćdziesiątce, szerokim w barach i smukłym w pasie. Ogorzała twarz bardziej przypominała oblicze rolnika niż prefekta, toteż odgadłem, że zapewne lubi przebywać na świeżym powietrzu. Ciepło przywitał się z ojcem Stocksem, skinął uprzejmie głową w moją stronę i zaprosił nas byśmy usiedli. Obaj przysunęliśmy sobie krzesła do biurka, po czym ksiądz nie marnując czasu, wyjaśnił cel naszej wizyty. Zakończył, wręczając Nowellowi kawałek papieru, na którym zapisał zeznania dwóch świadków z Goldshaw Booth.

Prefekt odczytał je szybko i uniósł wzrok.

– I mówisz, ojcze, że potwierdzą pod przysięgą prawdziwość przedstawionych tu faktów?

– Bez cienia wątpliwości. Musimy im jednak zagwarantować, że pozostaną anonimowi.

– Doskonale – odparł Nowell. – Czas już rozprawił się raz na zawsze z łajdakami żyjącymi w tej wieży. Może właśnie tego potrzebowaliśmy. Umiesz pisać, chłopcze? – spojrzał na mnie. Gdy przytaknąłem, podsunął mi kartkę papieru. – Wymień tu nazwiska i wiek porwanych, a także opisz skradzione dobra. Następnie podpisz na dole.

Zrobiłem, jak kazał, i oddałem mu kartkę. Odczytał ją szybko i

wstał.

– Natychmiast wezwę konstabla i złożymy wizytę w Wieży Malkinów. Nie martw się, chłopcze, jeszcze przed zmierzchem twoja rodzina będzie bezpieczna.

Gdy odwróciliśmy się do wyjścia, kątem oka wydało mi się, że widzę, jak coś porusza się w lustrze. Może się myliłem, lecz wyglądało to jak mignięcie czarnego jedwabiu, który zniknął w chwili, gdy spojrzałem wprost na niego. Zastanawiałem się, czy Wurmalde nas szpiegowała.

\*

Po godzinie zmierzaliśmy już do Wieży Malkinów.

Prefekt jechał przodem, siedząc wysoko na rosłej dereszowatej klaczy. Tuż za nim podążał konstabl parafii, ponury mężczyzna nazwiskiem Barnes, odziany w czerń i dosiadający mniejszego siwka. Obaj byli uzbrojeni: Roger Nowell przypasał miecz, zaś konstabl dzierżył w dłoni kij, a u siodła powiesił bicz. Wraz z ojcem Stocksem zmieściliśmy się na otwartym wozie, dzieląc się niewygodami z dwoma pomocnikami, których zabrał konstabl. Siedzieli obok nas w milczeniu, ściskając w dłoniach pałki, ale nie patrzyli na nas i podejrzewałem w głębi ducha, że wcale nie mieli ochoty odwiedzać wieży. Powoził jeden ze służących Nowella, niejaki Cobden, który pozdrowił księdza szybkim skinieniem głowy i wymamrotał „ojcze”, mnie jednak całkowicie zlekceważył.

Trakt był nierówny i wyboisty, toteż co chwilę podskakiwaliśmy wraz z wozem na kolejnych dziurach i nie mogłem się już doczekać końca podróży. Pomyślałem, że szybciej by było pójść pieszo przez pola, a nie trzymać się dróg i gościńców. Nikt jednak nie pytał mnie o zdanie i musiałem się z tym pogodzić. Miałem też na głowie | ważniejsze rzeczy niż niewygody jazdy.

Z każdą chwilą wzrastał mój niepokój co do losów Jacka, Ellie i ich dziecka. A jeśli już ich przeniesiono. Potem w mojej głowie pojawiły się mroczniejsze myśli, choć próbowałem je przegnać. A co, jeżeli ich zamordowano i ciała ukryto w miejscu, w którym nigdy ich nie znajdziemy? Nagle gardło ścisnęło mi się mocno. Bo w

końcu cóż takiego złego zrobili? Nie zasłużyli na to. Mary była zaledwie dzieckiem. I jeszcze czwarte życie – nienarodzone dziecko Ellie, syn, którego Jack zawsze pragnął. To wszystko moja wina. Gdybym nie wstąpi do terminu u stracharza, wszystko to by się nie wydarzyło. Malkinowie i Deane'owie pragnęli mojej śmierci. Było to związane z fachem, którego się uczyłem.

Mimo obecności prefekta Nowella i jego konstabla nie wierzyłem, że mamy szansę dostać się do Wieży Malkinów. Co jeśli Malkinowie po prostu odmówią otwarcia bramy? Ostatecznie była bardzo gruba i okuta żelazem – zastanawiałem się, czy nie przeszkadza to czarownicom, potem jednak przypomniałem sobie o innych członkach klanu, którzy mogli otwierać ją i zamykać. Wieża miała nawet własną fosę. Uważałem, że Nowell za bardzo wierzy w szacunek dla prawa i lęk, jaki mogą wzbudzić konsekwencje. Nie wiedział, że ma do czynienia z prawdziwymi czarownicami, a ja z kolei niezbyt wierzyłem w moc miecza i paru pałek w starciu z podobną siłą.

Pozostawał też problem jejmości Wurmalde. Instynkt krzyczał we mnie, że to czarownica. A jednak była gospodynią prefekta Nowella, najwyższego przedstawiciela prawa w Pendle i człowieka, który mimo wszystkich wydarzeń, jakie zachodziły w tej części Hrabstwa, wierzył święcie, że wiedźmy nie istnieją. Czy niewiara ta wynikała z faktu, że na niego samego rzucono zaklęcie? Czyżby Wurmalde używała uroku i fascynacji – wiedźmich mocy, które opisał mi stracharz?

Co jednak miałem z tym począć? Nie było sensu mówić Nowellowi, ale musiałem powiadomić o swych podejrzeniach ojca Stocksa i stracharza, gdy tylko nadarzy się okazja. Chciałem uprzedzić księdza, nim wyruszymy do wieży, ale nie bardzo miałem jak.

Podczas gdy myśli kłębiły mi się w głowie, przejechaliśmy w górę przez wioskę Goldhaw Booth. Główna ulica świeciła pustkami, lecz po drodze widziałem poruszające się w oknach firanki. Byłem pewien, że wieść o naszym przybyciu dotarła już do Wieży

Malkinów. Będą nas oczekiwać.

Gdy znaleźliśmy się we Wronim Lesie, już z dala zobaczyłem wieżę. Wznosiła się ponad drzewa, ciemna i wyniosła, niczym twierdza zdolna znieść atak całej armii. Zbudowana na polanie na niewielkim wzniesieniu miała kształt owalny; w najszerszym miejscu szerokością co najmniej dwukrotnie przekraczała dom stracharza w Chipenden. Była trzy razy wyższa od największych okalających ją drzew, a jej szczyt wieńczyły blanki, niski murek, za którym mogli się kryć zbrojni. Oznaczało to, że ze środka można się dostać na dach. Mniej więcej w połowie ściany ujrzałem wąskie okna bez szyb – tylko szczeliny w kamieniu, przez które mogli strzelać łucznicy.

Gdy dotarliśmy na polanę i podeszliśmy bliżej, przekonałem się, że most zwodzony podniesiono, a szeroka fosa jest także głęboka. Wóz stanął, toteż zeskoczyłem na ziemię, bo bardzo chciałem rozprostować nogi. Ojciec Stocks i dwaj pomocnicy konstabla poszli w moje ślady. Wszyscy wpatrywaliśmy się w wieżę, ale nic się nie działo.

Po jakiejś minucie Nowell westchnął zniecierpliwiony i podjechał na skraj fosy.

– Otwierać w imieniu prawa! – zakrzyknął gromkim głosem.

Przez chwilę wokół wieży panowała cisza, zakłócana jedynie oddechami koni. Potem z jednego z okienek łuczniczych odezwał się kobiecy głos.

– Czekajcie cierpliwie, aż opuścimy most. Czekajcie cierpliwie, aż otworzymy bramę...

Natychmiast potem zabrzmiał zgrzyt zębatek i brzęk łańcuchów, i most zaczął opuszczać się powoli. Teraz widziałem dokładnie, jak działa. Łańcuchy doczepione do narożników ciężkiej, drewnianej kładki znikwały w szczelinach w kamieniu, prowadząc do ukrytej komnaty w wieży. Bez wątpienia kilka osób obracało kołowrót, zwalniający łańcuchy. A gdy most opadł, ujrzałem ukryte za nim, potężne, okute żelazem wrota. Wyglądały na co najmniej równie niezdobyte, jak okalające je grube kamienne mury. Z

pewnością nic nie zdołałoby przebić tych umocnień.

W końcu most opadł na miejsce i czekaliśmy już tylko, aż ukryci wewnątrz ludzie otworzą wielkie drzwi. Zaczął ogarniać mnie niepokój. Ile osób schowało się w środku? Z pewnością są tam czarownice i ich pomagierzy. Nas tymczasem było zaledwie siedmiu. Gdy znajdziemy się wewnątrz umocnień, cóż trudniejszego, jak po prostu zamknąć wrota i odciąć nas od świata, uwięzić.

Nic się jednak nie stało, z wieży nie dobiegał nawet najlżejszy dźwięk. Nowell odwrócił się i gestem wezwał konstabla Barnesę, by dołączył do niego przy fosie. Tu poinstruował go szybko. Konstabl natychmiast zeskoczył z siodła i ruszył przez most. Gdy dotarł do drzwi, zaczął tłuc w metal pięścią. Na ów dźwięk stadko wron wleciało z drzew za wieżą i zaczęło krakać donośnie.

Nikt nie odpowiedział, toteż konstabl znów zastukał i natychmiast dostrzegłem, jak na blankach ponad nim coś się rusza. Jakaś postać w czerni zdawała się pochylać, a w sekundę później ciemny płyn chlusnął na głowę nieszczęśnika, który odskoczył z przekleństwem. Z góry dobiegł nas złośliwy chichot, kolejne śmiechy i szyderstwa.

Konstabl wrócił do swego konia, ocierając oczy. Włosy miał całkiem mokre, kaftan pokrywały ciemne plamy. Wskoczył na siodło, kręcąc głową i obaj z prefektem ruszyli ku nam; rozprawiali z ożywieniem, lecz nie wiedziałem o czym. Zatrzymali się przed nami, dość blisko, bym poczuł zapach cieczy wylanej na Barnesę. Była to zawartość nocnika. Śmierdziała okropnie.

– Natychmiast wyruszę do Colne, ojciec – oznajmił Nowell, poczerwieniały z gniewu. – Ci, którzy sprzeciwiają się prawu i traktują je z pogardą, poniosą pełne konsekwencje. Znam dowódcę tamtejszego garnizonu. Myślę, że to zadanie dla wojska.

Skierował konia na wschód, zatrzymał się jednak i zawołał przez ramię:

– Zatrzymam się w koszarach i wrócę jak najszybciej, sprowadzając pomoc. Tymczasem ojciec, powiedz jejmości

Wurmalde, że jesteś dziś moim gościem. Ty i chłopak...

Prefekt odjechał cwałem, a my wgramoliliśmy się z powrotem na wóz. Nie zachwycała mnie wizja noclegu w Dworze Read. Jak mógłbym spać pod jednym dachem z czarownicą?

Serce ciążyło mi także na myśl o Jacku i jego rodzinie, którzy muszą spędzić kolejną noc w lochach pod wieżą. Obawiałem się też, że nawet przybycie żołnierzy z koszar nie rozwiąże od razu wszystkich kłopotów. Nadal pozostawał problem grubych, kamiennych i okutych żelazem wrót.

Wkrótce toczyliśmy się z powrotem ku Dworowi Read. Konstabl jechał z przodu, wszyscy milczeli, choć wcześniej towarzyszący nam mężczyźni wymienili parę słów...

– Konstabl Barnes ma niezbyt radosną minę – zauważył jeden z cieniem uśmiechu.

– Ja tam będę radosny, jeśli tylko nie będę go musiał wachać! – odparł jego towarzysz.

W powrotnej drodze przez Goldshaw Boots napotkaliśmy mieszkańców wioski. Niektórzy krzatali się, zajęci własnymi sprawami, inni stali na rogach ulic i gapili się na nas. Parę osób przystanęło w otwartych drzwiach jakby w oczekiwaniu na nasz powrót. Usłyszeliśmy kilka wzgardliwych okrzyków i kpin, a ktoś z tyłu rzucił w nas zgniłym jabłkiem, o włos tylko nie trafiając w głowę konstabla, który gniewnie zawrócił konia, nie zdołał jednak odnaleźć sprawcy. Żegnani wyzwiskami, jechaliśmy dalej główną ulicą i poczułem ulgę, kiedy zostawiliśmy za sobą zabudowania.

Dopiero przy Dworze Read konstabl Barnes przemówił po raz pierwszy, odkąd ruszyliśmy w drogę powrotną.

– No cóż, ojczy, tu was zostawimy. Spotkamy się w tym miejscu godzinę po świcie i znów ruszymy do wieży!

Wraz z ojcem Stocksem zsiadliśmy z wozu, otworzyliśmy bramę i zamknąwszy ją za sobą ruszyliśmy pieszo podjazdem między trawnikami. Konstabl tymczasem odjechał, a Cobden ruszył za nim – zapewne miał odwieźć dwóch sierżantów i wrócić do Dworu Read. Wreszcie nadarzyła się okazja opowiedzenia księdzu o gospodyni

Nowella.

– Ojczy, muszę ci coś opowiedzieć o jejmości Wurmalde...

– Och, nie przejmuj się nią, Tomie, jej wyniosłość to owoc rozdętej dumy. Fakt, że patrzy na nas z góry, to jej problem, nie nasz. Lecz w głębi serca dobra z niej kobieta. Nikt z nas nie jest doskonały.

– Nie, ojczy – odparłem. – Zupełnie nie w tym rzecz. To coś znacznie gorszego. Ona należy do mroku. To bezecna wiedźma!

Ojciec Stocks zatrzymał się gwałtownie, ja także przystanąłem, czując na sobie jego uważny wzrok.

– Jesteś tego pewien, Tomie? Bezecna czy fałszywie pomówiona, jak myślisz?

– Kiedy spojrzała na mnie, poczułem chłód. Przejmujący chłód. Czasami czuję się tak, kiedy w pobliżu czai się coś z mroku...

– Czasami czy zawsze, Tomie? Czy poczułeś to, gdy odszedłeś z młodą Mab Mouldheel? Jeśli tak, dlaczego się zgodziłeś?

– Zazwyczaj czuję chłód w obecności umarłych bądź tych parających się mrokiem, ale nie zawsze. Kiedy jednak jest tak mocny jak w obecności jejmości Wurmalde, nie ma wątpliwości, przynajmniej ja ich nie mam. I jestem pewien, że mnie wywęszyła.

– Może po prostu się zaziębiła, chłopczy? Nie zapominaj, że ja też jestem siódmym synem siódmego syna – przypomniał ojciec Stocks – i też wyczuwam to ostrzeżenie, ów chłód, o którym mówisz. Muszę jednak rzec, że nigdy nie poczułem go w obecności jejmości Wurmalde.

Nie wiedziałem, co rzec. Z całą pewnością poczułem ostrzegawczy chłód i widziałem, jak węszy. Czy mogłem się mylić?

– Posłuchaj, Tomie. To, co mi mówisz, nie starczyć dowód – podjął ksiądz. – Zachowajmy jednak czujność i zastanówmy się trochę. Zobaczmy, czy znów poczujesz chłód przy spotkaniu z jejmością Wurmalde.

– Wolałbym zanocować gdzie indziej – przyznałem. – Kiedy jejmość Wurmalde spojrzała na mnie, natychmiast zorientowała się, iż wiem, że jest czarownicą. Mamy ciepłą, pogodną noc.



Chętnie prześpię się pod gołym niebem. Czułbym się znacznie bezpieczniejszy.

– Nie, Tomie – nalegał ojciec Stocks. – Zanocujemy w Dworze Read. Tak będzie rozsądniej. Nawet jeśli masz rację co do jejmości Wurmalde, mieszka tu niewykryta już od kilku lat i żyje jej się spokojnie. Nigdzie indziej nie znajdzie podobnych wygód jako gospodyni. Nie zrobi niczego, co mogłoby zagrozić jej pozycji bądź ją zdradzić, toteż uważam, że przez jedną noc będziemy tu bezpieczni. Mam rację? – Gdy przytaknąłem niepewnie, ojciec Stocks poklepał mnie po ramieniu i znów ruszyliśmy w stronę dworu, po raz drugi tego dnia podchodząc do bocznych drzwi. Otworzyła nam ta sama pokojówka, lecz ku mej uldze nie musieliśmy ponownie rozmawiać z jejmością Wurmalde.

Usłyszawszy, że jej pan pojechał do Colne pomówić z dowódcą tamtejszego garnizonu, a my mamy spędzić noc w Dworze Read, pokojówka poszła powiadomić gospodynię. Wkrótce wróciła sama i zaprowadziła nas do kuchni, gdzie podano nam lekką kolację – ponownie baraninę na zimno, ale nie narzekałem. Kiedy zostaliśmy sami, ojciec Stocks szybko pobłogosławił strawę i zaczął jeść z apetytem. Ja jedynie spojrzałem na zimne mięsiwo i odsunąłem talerz, lecz nie dlatego, że nie wyglądało apetycznie.

Ojciec Stocks uśmiechnął się do mnie nad stołem kuchennym; wiedział, że poszczę, szykując się do walki z zagrożeniem z mroku.

– No jedz, Tomie, wierz mi, dziś w nocy będziesz bezpieczny – powiedział. – Wkrótce stawimy czoło mrokowi, ale nie w domu prefekta Nowella. Czarownica czy nie, jejmość Wurmalde będzie musiała trzymać się od nas z daleka.

– Wolę dmuchać na zimne, ojcie – odparłem.

– Jak sobie chcesz, Tomie, ale rano będziesz potrzebował wszelkich sił. Czeka nas ciężki, niespokojny dzień.

Nie musiał mi przypominać, nadal jednak odmówiłem jedzenia.

Kiedy pokojówka wróciła, zerknęła z irytacją na mój pełny talerz. Zamiast jednak sprzątnąć ze stołu zaproponowała, że zaprowadzi nas do naszych pokoi.

Mieściły się na najwyższym piętrze tuż obok siebie we frontowej części wschodniego skrzydła; ich okna wychodziły na bramę. W moim, dokładnie nad łóżkiem wisiało duże lustro i natychmiast odwróciłem je do ściany. Teraz przynajmniej żadna wiedźma nie mogła mnie szpiegować. Następnie uniosłem skrzydło okna i wyjrzałem na dwór, oddychając głęboko zimnym wieczornym powietrzem. Byłem zdecydowany nie spać.

Wkrótce zaczęło robić się ciemno, gdzieś daleko zahukała sowa. To był długi dzień i z coraz większym trudem walczyłem z sennością. Potem jednak usłyszałem jakieś dźwięki. Najpierw trzask bicia, potem końskie kopyta na żwirze. Dźwięki zdawały się dobiegać z tyłu domu Ku memu zdumieniu, zza dworu wyjechał powóz zaprzężony w czwórkę koni i ruszył podjazdem do bramy. A cóż to był za powóz! Nigdy w życiu nie oglądałem podobnego.

Był czarny jak heban i tak wypolerowany, że widziałem w nim odbicie księżyca i gwiazd. Konie także były czarne, ozdobione ciemnymi pióropuszcami. Na moich oczach woźnica strzelił z bata ponad ich grzbietami. Nie miałem pewności, wydało mi się jednak, że to Cobden, ten sam, który jechał z nami wozem do Wieży Malkinów. I znów, choć trudno było ocenić z daleka, wydało im się, że brama otwarła się sama, a potem zamknęła za powozem. Z całą pewnością w pobliżu nie dostrzegłem nikogo innego.

Kto siedział wewnątrz? Nie mogłem zajrzeć przez okna, bo za szybkami zaciągnięto ciemne zasłony. Był to jednak powóz godny króla bądź królowej. Czy wjechała jejmość Wurmalde? Jeśli tak, to dokąd się wybierała i po co? Zupełnie się rozbudziłem, byłem pewien, że wróci przed świtem.

## **ROZDZIAŁ 9**

### **ŚLADY STÓP**

Czekałem pół godziny, nic się jednak nie zdarzyło. Księżyc

płynął powoli w dół nieba, ku zachodowi. W pewnej chwili na krótko rozpadał się deszcz, prawdziwa ulewa, która zostawiła po sobie na podjeździe liczne kałuże. Wkrótce jednak chmury odpłynęły i księżyc ponownie zalał wszystko swym jasnożółtym blaskiem. Po kolejnym kwadransie znów zacząłem zmagać się z sennością, opadały mi powieki, głowa ciążyła. Nagle wzdrygnąłem się, słysząc w mroku pohukiwanie sowy. Potem mych uszu dobiegł odległy tętent kopyt i skrzypienie kół.

Powóz jechał wprost ku bramie. W chwili, gdy pierwsze konie miały na nią wpaść, ta otworzyła się sama z siebie. Tym razem widziałem wyraźnie. W sekundę później powóz pędził już ku domowi, woźnica strzelał i z bata, jakby zależało od tego jego życie. Ściągną wodze, dopiero gdy konie dotarły do rozwidlenia wiodącego na tył dworu.

Nagle pojąłem, że muszę sprawdzić, czy w środku siedzi jejmość Wurmalde. Musiałem być pewien, czy to ona i miałem silne przecucie, że zobaczę coś niezwykle ważnego. Podobny widok rozciągał się z okien sypialni na tyłach. Zakładałem, że służba ma własne pokoje, toteż prócz księdza i mnie na piętrze nie powinno być nikogo. Przynajmniej taką żywiłem nadzieję.

Mimo wszystko ostrożnie wyszedłem na korytarz wyteżając słuch. Słyszałem jedynie głośnie chrapanie, dobiegające z sypialni ojca Stocksa. Przeciąłem zatem krótki korytarz i dotarłem do rzędu drzwi naprzeciwko. Ostrożnie otworzyłem pierwsze i wkradłem się do środka, starając się czynić jak najmniej hałasu. Pokój był pusty, a zasłony odsunięte, tak więc do środka wpadał wąski snop księżycowego światła. Szybko podkradłem się do okna i kryjąc się w cieniu zasłon, wyjrzałem. Zdążyłem w ostatniej chwili. W dole widziałem wysypany żwirem dziedziniec z połyskującymi kałużami. Powóz zatrzymał się przy wykładanej kamiennymi płytami ścieżce prowadzącej do drzwi z prawej strony. Patrzyłem, jak woźnica zsiada, lecz tym razem zdołałem przyjrzeć się jego twarzy. Istotnie, był to Cobden. Otworzył szeroko drzwiczki powozu i cofnął się, zgięty w niskim ukłonie.

Jejmość Wurmalde wysiadła bardzo powoli i ostrożnie jakby bała się upaść; potem stając uważnie po żwirze, ruszyła w stronę ścieżki, a stamtąd, szybciej, ku domowi. Rąbek jej spódnicy w kształcie dzwonu muskał ziemię, dumną głowę unosiła wysoko, patrząc surowo i wyniośle. Cobden pobiegł przodem i otworzył przed nią drzwi, ponownie skłaniając się głęboko. Tuż za progiem czekała pokojówka, dygnęła przed Wurmalde. Kiedy drzwi się zamknęły, Cobden wrócił do powozu i odjechał, znikając mi z oczu za stajniami.

Już miałem odejść od okna i wrócić do swej sypialni, gdy zauważyłem coś, co sprawiło, że moje serce ogarnął nagły chłód. Choć żwir wciąż był mokry, kamienne płyty wyschły i wyraźnie ujrzałem ślady jejmości Wurmalde obok odcisków stóp woźnicy.

Wpatrywałem się w nie, ledwo wierząc własnym oczom, Jej szpiczaste ślady zaczynały się na końcu ścieżki i wiodły wprost do drzwi. Obok nich jednak dostrzegłem drugie, mniejsze: trzypalczaste, zwierzęce ślady, nie większe niż stopy małego dziecka. Lecz ten stwór poruszał się na czworakach. I w jednej chwili grozy zrozumiałem...

Nie wiedziałem wprawdzie, gdzie była, ale nie wróciła sama. Obszerne spódnice w kształcie dzwonu spełniły swoje zadanie. Pod nimi ukrywał się Tibb. Teraz był w Dworze Read!

Pamiętając ową paskudną, przerażającą twarz w piwnicznym lustrze, w panice odwróciłem się od okna i ruszyłem szybko do swego pokoju. Po co sprowadziła go w takim pośpiechu? Czy miało to coś wspólnego ze mną? Nagle pojąłem, czego chciała. Tibb był widzącym. Choć nie miałem pewności, czy potrafi wejrzeć w przyszłość, z całą pewnością widział rzeczy odległe lepiej niż jakakolwiek czarownica. W ten właśnie sposób kręgi z Pendle dowiedziały się o istnieniu skrzyń. Tibb musiał także wiedzieć, gdzie są klucze – że noszę je na szyi. To dlatego Wurmalde sprowadziła go nocą do dworu. Sama nie mogła ryzykować ataku na mnie pod dachem Nowella. Ale Tibb mógł!

Musiałem wydostać się z domu, ale nie mogłem tak po prostu

wyść, nie obudziwszy ojca Stocksa i nie ostrzegłszy go przed niebezpieczeństwem. Poszedłem zatem wprost do jego sypialni i zastukałem lekko. Nadal chrapał głośno, toteż uchyliłem powoli drzwi i przekroczyłem próg. Zasłony były zaciągnięte, lecz świeca rzucała migotliwy żółty blask.

Ojciec Stocks leżał na wznak na łóżku. Nie zadał sobie nawet trudu, by się rozebrać i schować pod kołdrę. Najwyraźniej, choć mówił, że w Dworze Read będziemy bezpieczni, sam przygotował się na wszelkie niebezpieczeństwa, które mogły zagrozić nam tej nocy.

Podszedłem do łóżka i spojrzałem na niego z góry. Usta miał szeroko otwarte i chrapał bardzo głośno, jego wargi drżały za każdym razem, gdy wypuszczał powietrze. Pochyliłem się, położyłem dłoń na ramieniu księdza i potrząsnąłem lekko. Nic to nie dało. Potrząsnąłem znów mocniej, po czym pochyliłem głowę tak, że moje usta znalazły się tuż przy jego uchu.

– Ojciec Stocks – wyszeptałem. Potem podniosłem głos i znów zawołałem jego imię.

Ksiądz nadal nie odpowiedział. Sprawiał wrażenie zarumienionego. Przyłożyłem mu dłoń do czoła i odkryłem, że jest bardzo ciepłe. Czyżby zachorował?

I wtedy prawda opadła na mnie niczym ołowiana płyta. Czarownice z Pendle słynęły ze zręcznego posługiwania się truciznami. Ja nie zjadłem baraniny, lecz ojciec Stocks tak! Niektóre trucizny działają błyskawicznie. Ktoś mógł posypać mięso drobno zmielonymi grzybami. Niektóre z nich potrafią w ułamku sekundy zatrzymać serce, inne działają znacznie wolniej.

Lecz z pewnością jejmość Wurmalde nie mogła ryzykować zabicia ojca Stocksa! Nie pod własnym dachem. Po prostu chciała, żeby zasnął głęboko, aż do rana, dając Tibbowi czas na dotarcie do mnie. Przybył tu, zdobyć moje klucze.

Ale czy gospodyni nie mogła załatwić tego sama, bez żadnego ryzyka? I wtedy zrozumiałem. Pokojówka musiała jej donieść, że nie tknąłem kolacji. To dlatego pojechała po Tibba. On pomoże jej

zdobyć klucze, nieważne, śpię czy nie!

Pokój jakby zawirował. Z walącym mocno sercem ruszyłem do drzwi, przeszedłem korytarzem i zacząłem i schodzić po schodach. Musiałem się wydostać z Dworu Read i dotrzeć do Downham, by ostrzec stracharza przed dodatkowym zagrożeniem ze strony jejmość Wurmalde. Jakie było jej miejsce w kręgach z Pendle? I jaką rolę odgrywała w ich mrocznych knowaniach W ciemnym, wykładanym drewnianą boazerią korytarzu było troje drzwi: jedne prowadziły do gabinetu, drugie kuchni, a trzecie do salonu. Tibb mógł być wszędzie, nie chciałem też jednak natknąć się na gospodynię. Żyła tu niczym pani domu i bez wątpienia przywykła do tego, że wszyscy jej usługują; rzadko odwiedzała kuchnię, chyba żeby wydać rozkazy, a o tej porze nocy nikt raczej nie szykował jedzenia. Toteż bez wahania otworzyłem kuchenne drzwi. Stamtąd będę mógł wydostać się na dziedziniec i uciec.

Natychmiast pojąłem swój błąd. Jejmość Wurmalde stała w plamie księżycowego światła przy stole pomiędzy mną i drzwiami, zupełnie jakby czekała i wiedziała, którą drogę ucieczki wybiorę. Czy powiedział jej o tym Tibb? Unikając jej wzroku, rozejrzałem się po pomieszczeniu: było ciemne, w kątach zalegały cienie. Nie dostrzegłem ani śladu Tibba, ale przecież nie należał do roślących osób. Mógł ukrywać się wszędzie wśród cieni – może pod stołem albo w kredensie. Może nawet nadal krył się pod jej spódnicami.

– Gdybyś zjadł kolację, nie byłbyś teraz głodny – rzekła głosem zimnym i groźnym niczym ostra stalowa klinga.

Spojrzałem na nią w milczeniu, spięty, gotów do biegu. Lecz Tibb równie dobrze mógł czaić się gdzieś za moimi plecami.

– Bo po to właśnie przyszedłeś do mojej kuchni w środku nocy, prawda? A może zamierzałeś odejść, bez słowa podziękowania za naszą gościnę?

Jej głos zmienił się lekko. Kiedy spotkałem ją po pierwszy w obecności ojca Stocksa, niczego nie zauważyłem, teraz jednak dosłyszałem w nim cień obcego akcentu. Z nagłym wstrząsem uświadomiłem sobie przypomina on akcent w głosie mamy.

– Gdybym zjadł kolację, byłbym teraz w takim samym stanie jak ojciec Stocks – odparłem bez ogródek. – Pięknie dziękuję za taką gościnę.

– Cóż, chłopcze, nie owijasz słów w bawełnę i to ci się chwali. Powiem zatem równie otwarcie. Mamy twoje skrzynie i potrzebujemy kluczy. Może oddasz mi je teraz i oszczędzisz sobie bólu i kłopotów?

– Klucze należą do mnie, tak samo jak skrzynie – oznajmiłem.

– Oczywiście – odrzekła jejmość Wurmalde. – I dlatego jesteśmy gotowi kupić je od ciebie.

– Nie są na sprzedaż...

– Och, myślę, że są. Zwłaszcza gdy usłyszysz, jak wysoką cenę jesteśmy gotowi zapłacić. W zamian za skrzynie i klucze ofiarujemy ci życie twojej rodziny. W przeciwnym razie...

Otworzyłem usta, by coś powiedzieć, ale słowa ugrzęzły mi w gardle. Jej propozycja mnie oszołomiła.

– I co, dało ci to do myślenia? – Jej wargi wykrzywiły się w szyderczym uśmiechu.

Jak mogłem odmówić oddania kluczy? Wurmalde sugerowała, że moja odmowa oznaczałaby śmierć dla Jacka, Ellie i Mary. A jednak mimo bólu w sercu wiedziałem, iż istnieje bardzo poważny powód, by odmówić. Kręgom czarownic musiało bardzo zależeć na tych skrzyniach. Być może kryły w sobie coś – choćby jakąś wiedzę – co zwiększyłoby zagrożenie ze strony mroku. Jak mawiał pan Gregory, gra toczyła się o stawkę wyższą niż bezpieczeństwo mojej rodziny. Potrzebowałem czasu. Czasu, by pomówić z moim mistrzem. Poza tym w jej propozycji kryło się coś dziwnego. Czarownice dysponowały ogromną siłą. Czemu po prostu sama nie odebrała mi kluczy?

– Potrzebuję czasu do namysłu – oznajmiłem. – Nie mogę od razu podjąć decyzji...

– Dam ci godzinę i ani chwili dłużej. Wróc do swego pokoju i zastanów się. Potem przyjdź tutaj i przekaz mi odpowiedź.

– Nie – zaprotestowałem. – To za mało czasu. Potrzebny mi

dzień. Dzień i noc.

Jejmość Wurmalde zmarszczyła brwi, jej oczy zabłyśły gniewnie. Postąpiła krok ku mnie: jej spódnice zaszeleściły, szpiczaste trzewiki dwakroć zastukały o kamienne płyty posadzki.

– Czas do namysłu to luksus, na który nie możesz sobie pozwolić – oświadczyła. – Masz wyobraźnię, chłopcze?

Przytaknąłem. W ustach zaschło mi tak bardzo i nie mogłem mówić.

– W takim razie pozwól, że odmaluję przed tobą pewien obraz. Wyobraź sobie ponury loch, ciemny i złowieszczy, w którym roi się od szczurów i robactwa. Wyobraź sobie dół na kości, cuchnący trupami zamęczonych ofiar i jego odrażający odór wzbijający się pod niebiosą. Nawet najśłabszy promyk światła tam nie sięga. Każdego dnia więźniowie dostają jedną małą świeczkę, która przez kilka godzin rozjaśnia pełną grozy celę migotliwym żółtym blaskiem. Twój brat Jack siedzi przywiązany do filara. Wścieka się, krzyczy i zawodzi, oczy ma szalone, twarz ściągniętą, jego umysł znalazł się w piekle. Częściowo to nasze dzieło, lecz główna część winy spada na ciebie i tobie podobnych. Tak, to twoja wina, że on cierpi.

– Jakim cudem to moja wina? – spytałem gniewnie

– Bo jesteś synem swojej matki i odziedziczyłeś po niej jej dzieła. Zarówno dzieła, jak i winę – oznajmiła mości Wurmalde.

– Co ty możesz wiedzieć o mojej matce? – spytałem

– Jesteśmy starymi nieprzyjaciółkami – niemal wypluła te słowa. – I pochodzimy z tego samego kraju – ona z barbarzyńskiej północy, ja z bardziej wyrafinowanych prowincji południowych. Znamy się doskonale. W przeszłości wiele razy walczyłyśmy ze sobą, teraz jednak znalazłam okazję do zemsty i zwycięzę, mimo wszystkiego, co zrobiła. Wróciła do domu, ale nadal sprzeciwia nam się swą siłą. Widzisz, nie mogliśmy wejść do pokoju, w którym trzymała skrzynie. Jej moc nas nie wpuszczała. Twoja matka nie pozwalała na to z daleka, tworząc barierę, której nie mogliśmy przełamać. Pobiliśmy zatem twojego brata do krwi, on jednak



odmawiał uparcie i by go przekonać, zagroziliśmy, że zrobimy krzywdę jego kobiecie i dziecku. W końcu uczynił, co mu kazaliśmy i wszedł do środka zabrać skrzynie. Lecz pokój nie potraktował go łaskawie. Może dlatego, że twój brat cię zdradził. Bo widzisz, zazdrosny o schedę, gdy przechowywał dla ciebie klucz, w tajemnicy kazał zrobić kopię. Kiedy tylko przekazał nam skrzynie, wywrócił oczami i zaczął bredzić i zawodzić. Jego ciało leży w łańcuchach w lochu, lecz umysł musi przebywać w znacznie gorszym miejscu. Widzisz to teraz? Widzisz wyraźnie? – Nim zdążyłem odpowiedzieć, jejmość Wurmalde podjęła: – Jest tam też jego żona, stara się mu pomóc. Czasami obmywa mu czoło. Czasem próbuje uciszyć jego obłąd słowami. To dla niej trudne, bardzo trudne, bo sama ogromnie cierpi. Nie dość, że jej córeczka gaśnie na jej oczach i krzyczy z nocnej grozy, ale straciła też nienarodzone dziecko – syna i dziedzica, którego tak bardzo pragnął twój brat. Wątpię, by zdołała długo znosić tę sytuację. Jednak w razie potrzeby, by cię przekonać, możemy zrobić jeszcze wiele. Istnieje wiedźma zwana Grimalkin, okrutna zabójczyni. Malkinowie nasyłają ją czasem na swych wrogów. Świetnie włada bronią, zwłaszcza długą klingą. Aż za bardzo kocha swoją pracę, uwielbia zabijać i kaleczyć. Jest jednak jeszcze coś, co raduje jej sadystyczny umysł. Uwielbia torturować. Zadawać ból. Kocha szczęk swoich nożyczek. Czy mam oddać twą rodzinę w jej ręce? Mogę to zrobić, starczy jedno słowo! Zastanów się, chłopcze! Czy możesz pozwolić, by twoja rodzina znosiła takie męki choćby jeszcze godzinę – a co dopiero dzień i noc, których się domagasz?

Zakręciło mi się w głowie. Przypomniałem sobie symbol nożyczek, wyryty przez Grimalkin w korze dębu jako ostrzeżenie. To, co Wurmalde opisała, było straszne i potrzebowałem całej siły woli, by nie zerwać z szyi kluczy i nie oddać ich od razu. Zamiast tego jednak odetchnąłem głęboko, próbując przegnać z umysłu nakręcony przez nią obraz. Bardzo się zmieniłem w czasie nauki u stracharza. W Priestown spotkałem się ze złym duchem zwanym Morem i nie wypuściłem go na wolność. W Anglezarke stawiałem

czoło Golgothowi, jednemu z Dawnych Bogów i mimo przekonania, że czyniąc to, stracę zarówno życie, jak i duszę, odmówiłem wypuszczenia go z pentagramu. Teraz jednak było inaczej: teraz niebezpieczeństwo groziło mojej rodzinie, a słowa czarownicy sprawiły, że zacisnęło mi się gardło, a do oczu napłynęły łzy.

Mimo wszystko jednak cały czas pamiętałem sedno nauk mojego mistrza. Służyłem Hrabstwu, przede wszystkim musiałem chronić jego mieszkańców. Wszystkich mieszkańców, nie tylko moich najbliższych.

– Nadal potrzebny mi dzień i noc, by wszystko dopadnie przemyśleć. Daj mi ten czas, inaczej odpowiedź będzie brzmiała nie – odparłem, starając się, by mój głos zabrzmiał stanowczo.

Jejmość Wormalde prychnęła przez zęby jak rozzłoszczona kotka.

– Chcesz zatem zyskać na czasie i masz nadzieję, że jutro żołnierze ich uratują? Zastanów się dobrze, chłopcze! Nie oszukuj się, mury Wieży Malkinów są bardzo silne. Byłbyś głupcem, pokładając wiarę w garstce żołnierzy. Ich krew zamieni się w wodę, a kolana zaczną dygotać ze strachu. Pendle ich pochłonie. Zupełnie jak by nigdy nie istnieli!

Stała tam, wysoka i arogancka, promieniując złem, pewna własnej mocy. Ja sam nie miałem żadnej broni wiedziałem jednak, że znajdę ją w Downham, niewiele mil na północ. Jak by się czuła jejmość Wormalde skrępowana srebrnym łańcuchem, wrzynającym się w ciało i w zęby? Gdyby to ode mnie zależało, wkrótce by się przekonała. Na razie jednak byłem bezbronny. Czarownice są bardzo silne. Walczyłem z niejedną i jejmość Wormalde wyglądała na wystarczająco potężną, by mnie chwycić i przemocą odebrać klucze. I znów zastanawiałem się, dlaczego tego nie zrobiła. Ani nie wykorzystała Tibba, by wykonał za nią brudną robotę.

Oczywiście, jak mówił ojciec Stocks, musiała pamiętać o swojej pozycji. To częściowo wyjaśniało sytuację. Zapewne miała nadzieję, że nieważne, co stanie się w następnych tygodniach, ona uchroni swoją reputację. Ale może kryło się w tym coś jeszcze? Może

faktycznie nie mogła odebrać mi siłą kluczy? Może musiałem oddać je z własnej woli albo w zamian za coś innego? A jeśli mama chroniła mnie nawet z daleka, tworząc barierę mocy? Była to słaba nadzieja, ale uchwyciłem się jej kurczowo.

– Dzień i noc – powiedziałem jejmości Wurmalde. – Potrzebuję tego czasu. Moja odpowiedź pozostaje niezmienna.

– Zatem bierz go! – warknęła. – Lecz knując i kombinując, myśl o tym, jak cierpi twoja rodzina. Nie możesz jednak opuścić tego domu. Nie pozwolę na to. Wróć teraz do swego pokoju, zostaniesz tam, póki nie oddasz kluczy.

– Jeśli nie pojedę do Wieży Malkinów, mości Nowell będzie się zastanawiał, co się stało...

Uśmiechnęła się ponuro.

– Wyślę mu wiadomość, że zarówno ty, jak i ojciec Stocks zapadliście na gorączkę. Mości Nowell będzie jutro zbyt zajęty, by martwić się waszą nieobecnością. Będziesz najmniejszym z jego zmartwień. Nie, musisz zostać tutaj. Próba odejścia bez mojej zgody byłaby bardzo niebezpieczna. Tego domu strzeże coś, czego z całą pewnością nie chciałbyś spotkać. Nie uszedłbyś wtedy z życiem.

W tym momencie z daleka dobiegł nas dźwięk, niski kurant zegara odbił się echem w całym domu. Wybiła północ. Zegar uderzał dwanaście razy.

– Do jutra o tej porze musisz zdecydować – ostrzegła Wurmalde. – Jeśli podejmiesz złą decyzję albo nie udzielisz odpowiedzi, twoja rodzina zginie. Wybór należy do ciebie.

## **ROZDZIAŁ 10**

### **TIBB**

Wróciłem do sypialni i zamknąłem za sobą drzwi. Rozpaczliwie pragnąłem uciec, ale bałem się spróbować, zupełnie jakby opuściła

mnie cała odwaga. Gdzieś w domu czaił się Tibb, świadom każdego mego ruchu. Nie miałem niczego, czym mógłbym się bronić i podejrzywałem, że zanim zdołałbym dotrzeć do drzwi domu, tamten by mnie dopadł.

Z początku nie myśląc nawet o śnie, z wirującymi w głowie myślami i lękami, przysunąłem krzesło do okna i wyjrzałem w noc. Skąpane w blasku księżyca ogrody i ciągnąca się za nimi posiadłość wydawały się takie spokojne. Od czasu do czasu, prócz odległego chrapania ojca Stocksa, słyszałem też cichutkie drapanie, dobiegające ze schodów. Mogły to być myszy. Ale mógł też być krążący na zewnątrz Tibb. Sama myśl sprawiała, że ogarniał mnie jeszcze większy lęk.

Otworzyłem okno, przyglądając się murowi pod nim. Porastał go bluszcz. Czy zdołałbym tędy uciec? Czy rośliny utrzymałyby mój ciężar? Sięgnąłem ręką za parapet i chwyciłem je. Gdy jednak szarpnąłem, w dłoni pozostały mi liście i łodygi. Bez wątpienia bluszcz przycinano wokół okna co najmniej raz do roku, były to wyłącznie młode pędy. Może nieco dalej łodygi stają się grubsze i bardziej zdrewniałe, a bluszcz mocniej trzyma się ściany?

Był to jednak bardzo ryzykowny plan. Wurmalde nie zdołałaby wywęszyć mojej próby wyrwania się na wolność, jednak w chwili, gdy zacząłbym schodzić, Tibb mógłby się zorientować. Musiałbym poruszać się bardzo ostrożnie, a to wymagało czasu. Stwór czekałby na mnie, nim dotarłbym na ziemię. A gdybym spadł, byłoby jeszcze gorzej... Nie, to zbyt niebezpieczne. Pozwoliłem tej myśli umknąć, bo umysł zalała mi seria obrazów, przede wszystkim okrutne wizje odmalowane przez Wurmalde. Nie umiałem dłużej ich ignorować: widziałem cierpiącego Jacka, Mary krzyczącą ze strachu, bojącą się ciemności, nieszczęsną Ellie oplakującą stracone, nienarodzone dziecko. Wiedźmę zabójczynię Grimalkin, posłaną, by zadała im kolejny ból. Szczękanie jej nożyc...

Lecz w miarę upływu czasu moje lęki ustąpiły miejsca zmęczeniu. Ręce i nogi zaczęły ciążyć i zapragnąłem położyć się na

łóżku. Podobnie jak ojciec Stocks nie rozbierałem się nawet, po prostu ległem na wznak na pościeli. Z początku nie chciałem spać, wkrótce jednak opadły mi powieki, oczy się zamknęły, a obawy i troski powoli uciekły.

Przypomniałem sobie, że Wurmalde dała mi na podjęcie decyzji cały dzień i noc. Dopóki zostanę w domu, nic mnie nie skrzywdzi. Rankiem będę świeży i czujny i zdołam znaleźć odpowiedź na wszelkie problemy. Muszę tylko trochę odpocząć...

Nie mam pojęcia, jak długo spałem, lecz w jakiś czas później obudził mnie nagle czyjś krzyk.

– Nie! Nie! Zostaw mnie! Zostaw! Zejdź ze mnie!

Usłyszałem to jakby we śnie. Przez kilka chwil nie wiedziałem, gdzie jestem, i oszołomiony, patrzyłem w sufit. W pokoju było bardzo ciemno – księżyc już zaszedł i nie rozjaśniał mroku. Dopiero po chwili rozporem głos ojca Stocksa.

– O, Boże! Boże, ocal mnie! – krzyknął znów głosem przepełnionym grozą.

Co się z nim działo? Co go spotkało? I nagle pojąłem, że ktoś rani księdza. Czy to sprawka czarownicy, czy Tibba? Nie miałem broni i nie wiedziałem, co mogę zrobić, ale musiałem mu jakoś pomóc. Kiedy jednak spróbowałem usiąść, odkryłem, że brak mi sił. Ciało miało ciężkie, ręce i nogi nie słuchały poleceń umysłu. Co się ze mną działo? Czułem się chory i słaby.

Nie tknąłem baraniny, czyli nie mogła to być trucizna. Może jakieś zaklęcie? Byłem blisko Wurmalde. Zbyt blisko. Bez wątpienia uciekła się do pomocy czarnej magii.

I wtedy usłyszałem ojca Stocksa.

– Z głębin wołam do ciebie, o Panie – modlił się. – Panie, usłysz mój głos...

Z początku słyszałem go wyraźnie, mimo jęków i krzyków bólu, stopniowo jednak słowa zmieniały się w ciche mamrotanie, a potem umilkły.

Przez jakąś minutę było cicho, potem usłyszałem drapanie przed drzwiami sypialni. Znów spróbowałem usiąść, bez

powodzenia, lecz ogromnym wysiłkiem udało mi się przesunąć odrobinę głowę, toteż przekrzywiłem ją w prawo, tak by móc patrzeć w stronę drzwi.

Moje oczy przywykały szybko do ciemności i widziałem dość dobrze, by stwierdzić, że drzwi są uchylone, bardzo lekko, odrobinę. Lecz gdy tak patrzyłem, przerażony i zrozpaczony, szczelina zaczęła się powiększać. Patrzyłem dalej, z walącym sercem. Drzwi otwierały się i otwierały zawiasy skrzypiały cicho, gdy skrzydło przesunowało się do końca. Ujrzałem zalegającą za nimi głęboką ciemność. Czekałem przerażony. Lada moment zobaczę, jak Tibb wchodzi do pokoju.

Nie widziałem niczego, ale słyszałem go – tupot i skrobanie szponów wbijających się w drewno. Potem pojąłem, że dźwięk nie dobiega z dołu, lecz z góry. Uniosłem wzrok akurat w chwili, gdy ciemna postać przemknęła po suficie niczym pająk i zatrzymała się dokładnie nad moim łóżkiem. Nie mogąc poruszyć niczym prócz głowy, zacząłem oddychać głęboko, próbując spowolnić oszalałe serce. Strach jedynie wzmacniał mrok. Musiałem zapanować nad swoim lękiem.

Dostrzegałem zarys czterech kończyn i ciała, lecz głowa zdawała się znacznie bliższa. Zawsze dobrze widziałem w ciemności, a mój wzrok wciąż do niej przywykał, toteż w końcu zorientowałem się, co grozi mi z góry.

Tibb pełzał po drewnianych płytach sufitu, zwrócony do mnie włochatymi plecami. Lecz jego głowa wisiała nisko na długiej, umięśnionej szyi tak, że oczy znalazły się poniżej ust. I oczy te jarzyły się lekko w ciemności, patrząc wprost w moje. Otwarte usta ukazywały szpiczaste szpilki zębów.

I wtedy coś kapnęło mi na czoło. Coś odrobinę lepkiego i ciepłego zdawało się ściekać z ust stworza. Do pierwszej kropli dołączyły następne, jedna wylądowała na poduszce obok mojej głowy, druga na mojej koszuli. A potem Tibb przemówił ochryple w mroku.

– Wyraźnie widzę twoją przyszłość. Czeka cię smutne życie.

Twój mistrz umrze i zostaniesz sam. Lepiej by było, gdybyś nigdy się nie urodził.

Nie odpowiedziałem, lecz poczułem, jak ogarnia mnie spokój, przeganiając strach.

– Widzę dziewczynę, która wkrótce stanie się kobietą – ciągnął Tibb. – Dziewczynę, z którą dzielić będziesz życie. Będzie cię kochać, zdradzi cię i w końcu umrze dla ciebie. I wszystko to na próżno. W końcu wszystko okaże się na nic. Twoja matka była okrutna. Jakaż matka sprowadziłaby na ten świat dziecko, które czeka tak ponura przyszłość? Jakaż matka wymagałaby od ciebie czegoś, czego nie da się zrobić? Śpiewa pieśń kozła i umieszcza cię w samym jej środku. Wspomnij moje słowa, gdy spojrzysz w zęby śmierci...

– Nie mów tak o mojej mamie! – rzuciłem gniewnie. – Nic o niej nie wiesz! – Zdumiała mnie jednak wzmianka o pieśni kozła. O co chodziło?

W odpowiedzi Tibb parsknął śmiechem i od jego warg oderwała się kolejna kropla wilgoci, wsiąkając mi w koszulę.

– Ja nic nie wiem ? O, jakże się mylisz. Wiem więcej niż ty. Znacznie, znacznie więcej. Więcej, niż kiedykolwiek się dowiesz.

– W takim razie wiesz też, co jest w skrzyniach – powiedziałem cicho.

Tibb warknął ze złością.

– Nie widzisz tego, prawda? – zadrwiłem. – A zatem nie widzisz wszystkiego.

– Wkrótce oddasz nam klucze, wówczas zobaczymy. Wówczas zobaczymy!

– Powiem ci teraz – rzekłem. – Nie ma potrzeby czekać na klucze.

– Powiedz mi! Mów! – zażądał Tibb.

I nagle przestałem się go bać. Nie miałem najbledszego pojęcia, co powiem, gdy jednak przemówiłem, słowa same napłynęły mi do ust, jakby wypowiedział je ktoś inny

– W tych skrzyniach jest twoja śmierć – rzekłem cicho. – W

tych skrzyniach kryje się zniszczenie kręgów z Pendle.

Tibb ryknął z wściekłości i zdumienia i przez chwilę sądziłem, że rzuci się na mnie z góry. Zamiast tego jednak usłyszałem odgłos pazurów wbijających się w drewniany sufit. Ciemna postać ruszyła do drzwi. Po chwili zostałem sam.

Rozpaczliwie chciałem wstać i zajrzeć do pokoju obok, aby sprawdzić, czy zdołam pomóc ojcu Stocksowi. Brakowało mi jednak sił. Długie godziny zмагаłem się w ciemności, byłem jednak zbyt słaby i wyczerpany, by podnieść się z łóżka i leżałem tam, powalony mocą Wurmalde.

\*

Dopiero gdy pierwszy brzask rozjaśnił okno, opadł więżący mnie czar. Zdołałem usiąść i spojrzałem na poduszkę. Pozostała na niej krwawa plama; dwie kolejne na mojej koszuli. Krew wyciekła z otwartych ust Tibba. Musiał się posilić...

Przypomniawszy sobie jęki, krzyki i modlitwy dobiegające z sąsiedniej sypialni, wybiegłem na korytarz. Drzwi pokoju księdza były uchylone. Otworzyłem je szerzej i ostrożnie przekroczyłem próg. Ciężkie story pozostawały zaciągnięte, świeca już dawno się wypaliła i w pokoju panowała niemal nieprzenikniona ciemność. Widziałem jedynie sylwetkę ojca Stocksa na łóżku, ale nie słyszałem jego oddechu.

– Ojczy Stocksie! – zawołałem.

Odpowiedział mi cichy jęk.

– Czy to ty, Tomie? – spytał słabo ksiądz. – Nic ci nie jest?

– Nie, ojczy. Co z tobą?

– Odsuń zasłony i wpuść tu trochę światła.

Podszedłem zatem do okna i tak jak prosił, odciągnąłem zasłony. Pogoda zmieniła się na gorsze, niebo zasnuły ciemne chmury. Gdy odwróciłem się do ojca Stocksa, wzdrygnąłem się ze zgrozy. Poduszka i kołdra nasiąkły krwią. Podszedłem do łóżka i spojrzałem na niego ze współczuciem, myśląc o przeżytej przezeń nocnej męce.

– Pomóż mi, Tomie. Pomóż mi wstać.



Chwycił moją prawą rękę i pociągnąłem go naprzód tak, że usiadł. Jęknął, jakby sprawiło mu to ból. Na jego czoło wystąpiły krople potu, wyglądał bardzo blado. Lewą ręką podniosłem poduszki i ułożyłem za nim, tak by mógł się oprzeć.

– Dziękuję ci, Tomie. Dziękuję. Dobry z ciebie chłopak – spróbował się uśmiechnąć. Głos mu drżał, oddychał szybko i płytko.  
– Widziałeś tę ohydę? Czy odwiedziła cię tej nocy?

Przytaknąłem.

– Stwór przyszedł do mego pokoju, ale mnie nie tknął. Jedynie mówił, to wszystko.

– Bogu niech będą dzięki – odparł ksiądz. – Ze mną także rozmawiał i cóż za historie opowiedział. Miałaś rację co do jejmości Wurmalde, nie doceniłem jej. Teraz nie dba już o swoją pozycję. To ona stoi za klanami z Pendle, to ona próbuje je zjednoczyć. Za kilka dni cały okręg stanie się domeną diabła we własnej osobie. Wygląda na to, że skończyła z udawaniem. Zdołała już zjednoczyć Malkinów i Deane'ów i wierzy, że uda jej się przekonać Mouldheelów, by do nich dołączyli. Wówczas w Święto Plonów trzy kręgi scalą swoją moc i przywołają Złego, rozpoczynając nową erę mroku.

Gdy ów ohydny stwór skończył mówić, zeskoczył mi z sufitu wprost na pierś. Próbowałem go zrzucić, lec zaczął pić zachłannie i po paru chwilach stałem się słaby jak kocię. Modliłem się. Modliłem szczerzej niż kiedykolwiek w życiu. Chciałbym myśleć, że Bóg mi odpowiedział. Przypuszczam jednak, iż stwór zostawił mnie dopiero, gdy napił się do syta.

– Potrzebny ci lekarz, ojcie. Musimy sprowadzić pomoc...

– Nie, Tomie, nie. To nie medyka potrzebuję. Gdybym zdołał odpocząć, siły wróciłyby mi same. Ale nie będzie mi to dane. Kiedy zapadnie zmierzch, potwór powróci, by znów się posilić i tym razem lękam się, że umrę. Och, Tomie! – Zacisnął palce na mojej ręce, jego oczy otworzyły się szeroko ze strachu, całe ciało drżało. – Boję się tak umrzeć, sam w ciemności. Czułem się jak na dnie wielkiej otchłani, jakby sam szatan napierał na mnie i tłumił moje

krzyki tak, że nawet Bóg nie słyszał słów modlitwy. Jestem za słaby, by się ruszyć, ale ty musisz stąd uciekać, Tomie. Potrzebuję Johna Gregory'ego. Sprowadź tu Johna. On będzie wiedział, co robić. Teraz tylko on może mi pomóc...

– Nie martw się, ojcze – odparłem. – Spróbuj odpocząć, za dnia będziesz bezpieczny. Ucieknę, kiedy tylko zdołam, i nadciągnę z moim mistrzem na długo przed zmierzchem.

Wróciłem do siebie, zastanawiając się, czy Tibb może mi teraz zagrozić. Przez rok nauki dowiedziałem się pewnych rzeczy. Tibb był stworem mroku, możliwe zatem, że za dnia musiał się ukrywać. Nawet gdyby potrafił znieść światło dzienne, zapewne nie był taki niebezpieczny. Postanowiłem zaryzykować i spuścić się po bluszczu, ale dopiero gdy odjedzie wóz. Nie chciałem, by zauważył mnie woźnica Cobden; nawet dwaj pomoce konstabla mogli służyć Wormalde.

Po jakichś dwudziestu minutach usłyszałem dobiegający z domu chrzęst kopyt na żwirze i zobaczyłem, jak Cobden przejeżdża wozem przez bramę. Tym razem nie otworzyła się sama, musiał zeskoczyć z kozła i odciągnąć skrzydła. Już za nią dołączył do niego konstabl Barnes, a także dwaj piesi pomocnicy. Kiedy wskoczył na wóz, cała czwórka ruszyła do Wieży Malkinów, nie oglądając się nawet w stronę domu. Bez wątplenia Cobden dostał już rozkazy, co ma powiedzieć konstablowi i Nowellowi. Mieli usłyszeć, że obaj z ojcem Stocksem zachorowaliśmy.

Patrząc, jak znikają w oddali, zacząłem się zastanawiać, czy rozsądnie będzie wrócić do Downham. Stracharz i Alice spodziewali się, że przybędziemy z wieściami i to szybko. Teraz jednak minął już cały dzień i noc i możliwe, że wyruszyli, aby sprawdzić, co się z nami dzieje. Może nawet już tu zmierzają? Nie byłoby to takie złe – stracharz i Alice dobrze znali cały okręg Pendle i z pewnością skierowaliby się do Dworu Read drogą na zachód od wzgórza, tym samym szlakiem, którym przybyliśmy z ojcem Stocksem. Całkiem prawdopodobne, że spotkam ich po drodze.

Powoli podniosłem okno i wysunąłem stopy na zewnątrz,

obracając się twarzą do ściany. Mocno złapałem się parapetu i opuściłem na całą długość rąk, a potem przełożyłem lewą dłoń, wsuwając palce w gąszcz bluszczu. Dotyk grubych, zdrewniałych łodyg dodał mi otuchy Bluszcz utrzymał mój ciężar, nadal jednak schodziłem nerwowo, lękając się, co może na mnie czekać na dole. Gnany pragnieniem jak najszybszego dotarcia na ziemię, kilka razy bardzo zaryzykowałem. Lecz po paru chwilach stałem już na kamyczkach i natychmiast rzuciłem się biegiem ku bramie. Raz czy dwa obejrzałem się za siebie i z ulgą odkryłem, że nikt mnie nie ściga. Opuściwszy ogrody okalające Dwór Read, skierowałem się na północ, przez posiadłość, ile sił w nogach pędząc w stronę Downham.

\*

Lotem ptaka Dwór Read od Downham dzieli zapewne zaledwie pięć, sześć mil. Lecz nierówny, pagórkowaty teren sprawiał, że musiałem pokonać znacznie dłuższą trasę. Wiedziałem, że muszę wrócić przed zmierzchem i przebiec przynajmniej część drogi, uznałem zatem, że rozsądnie będzie jak najszybciej dotrzeć do celu. Dzięki temu w drodze powrotnej będę mógł poruszać się wolniej, bo wówczas będę zmęczony.

Po pierwszych paru milach zwolniłem do szybkiego marszu. Szło mi całkiem dobrze i gdy oceniłem, że pokonałem już połowę drogi, pozwoliłem sobie na pięć minut odpoczynku, zaspokajając pragnienie zimną wodą ze strumienia. Kiedy jednak znów ruszyłem, szło mi znacznie ciężiej. Post to świetna rzecz, gdy ma się do czynienia z mrokiem, ale nie pomaga przy prawdziwym wysiłku, a ja nie jadłem niczego od poprzedniego śniadania, złożonego z zimnej baraniny; czułem się słabo i zaczęło kręcić mi się w głowie. Mimo to jednak pomyślałem o nieszczęsnym ojcu Stocksie i zacisnąłem zęby zmuszając się do przebiegnięcia kolejnej mili. Potem znów zwolniłem do szybkiego marszu. Dziękowałem niebiosom za chmury, chroniące mnie przed upalnym słońcem.

Wciąż miałem nadzieję, że spotkam stracharza i Alice, ale nie dostrzegłem żadnego ich śladu. Gdy dotarłem na skraj Downham,

południe już dawno minęło. Nie zachwycała mnie myśl o drodze powrotnej.

Kiedy jednak znalazłem się u celu, ze zgrozą odkryłem, że stracharza tam nie ma.

## ROZDZIAŁ 11

### ZŁODZIEJ I MORDERCA

Alice wyszła mi na spotkanie i czekała przy furtce cmentarnej. Gdy się zbliżyłem, ujrzałem, jak powitalny uśmiech znika z jej warg. Dostrzegła wyraz mojej twarzy i wiedziała, że mam kłopoty.

– Wszystko w porządku, Tom?

– Czy jest tu pan Gregory? – spytałem.

– Nie. Twój brat James zjawił się zeszłego wieczoru i wczesnym rankiem poszli gdzieś razem.

– Po co? Mówili, kiedy wrócą?

– Stary Gregory nigdy nie mówi mi zbyt wiele. Rozmawiał z Jamesem, ale pilnował, żebym nie usłyszała ani słowa. Nadal mi nie ufa, może nigdy nie zaufa. A co do tego, kiedy wróci, nie powiedział. Z pewnością jednak zjawi się tu przed zmierzchem. Mówił, że masz poczekać do jego powrotu.

– Nie mogę tego zrobić. Ojcu Stocksowi grozi niebezpieczeństwo – wyjaśniłem. – Wkrótce po zmierzchu, jeśli nie zjawi się pomoc, ksiądz zginie. Przyszedłem po stracharza, ale wygląda na to, że będę musiał wrócić sam i spróbować podołać sytuacji.

– Nie sam, Tomie – zaprotestowała Alice. – Gdzie ty pójdziesz, ja pójdę. Opowiedz mi o wszystkim...

Starałem się streszczać, relacjonując ogólne wydarzenia. Razem minęliśmy kościół i skierowaliśmy się między nagrobkami w stronę domku. Alice milczała, ale wzdrygnęła się ze zgrozy, gdy usłyszała o Tibbie, pijącym krew ojca Stocksa. Na wzmiankę o Wurmalde na twarzy dziewczyny dostrzegłem zdumienie.

Kiedy skończyłem, westchnęła ciężko.

– Robi się coraz gorzej i gorzej. Ja też mam ci coś do powiedzenia.

W tym momencie dotarliśmy do domu.

– Zachowaj to na drogę – poprosiłem. – Porozmawiamy w marszu.

Nie tracąc czasu, zabrałem jarzębinową laskę. Torba tylko by mi przeszkadzała, toteż ją zostawiłem, zgarnąłem jednak do prawej kieszeni portek garść soli, a do lewej trochę opiłków żelaza. Dodatkowo obwiązałem się w pasie srebrnym łańcuchem. Raz jeszcze zostawiłem płaszcz – w Pendle niebezpiecznie byłoby głosić wszem i wobec, że jest się uczniem stracharza.

Następnie napisałem krótki liścik do mistrza, by powiadomić go o tym, co zaszło:

*Szanowny panie Gregory,*

*ojcu Stocksowi grozi wielkie niebezpieczeństwo w Dworze Read. Proszę, przyjdź tam za mną najszybciej, jak możesz. Zabierz też Jamesa. Będziemy potrzebowali wszelkiej dostępnej pomocy.*

*Tibb pił krew ojca Stocksa i pozostawił go osłabionego i bliskiego śmierci. Po zmroku stwórz znów się pożywi i jeśli nie wróce, i nie pomogę, ojciec Stocks z pewnością umrze. Strzeżcie się jejmości Wormalde, gospodyni. To czarownica, próbująca zjednoczyć wszystkie trzy kręgi. Pochodzi z Grecji i jest starą nieprzyjaciółką mamy.*

*Pana uczeń, Tom*

*PS. Mam wrażenie, że część służby prefekta Nowella pracuje dla Wormalde. Nikomu nie ufajcie.*

Skończywszy, wypilem kubek wody i przegryzłem kawałek sera. Zabrałem ze sobą trochę na zapas i po dwudziestu minutach od przybycia do Downham znów ruszyłem w drogę. Tym razem jednak nie byłem sam.

Z początku szliśmy w milczeniu, bardzo szybkim krokiem. Alice prowadziła; doskonale rozumiała, dlaczego musimy wrócić do Dworu Read przed zmierzchem. Po przebyciu jednej trzeciej dystansu znów ogarnęło mnie zmęczenie, zmusiłem się jednak do dalszego marszu wyobrażając sobie Tibba na suficie, szykującego się do skoku na pierś ojca Stocksa. Była to straszna wizja – musiałem wydostać księdza z Dworu Read, nim się ziści.

Mimo to nieświadomie zaczęliśmy zwalniać. Sprawiała to Alice. Szła teraz nieco za mną, dysząc ciężko, najwyraźniej mając problem z dotrzymaniem mi kroku. Obróciłem się, sprawdzając, co się dzieje, i zauważyłem, że dziewczyna jest blada i zmęczona.

– Co ci jest, Alice? – spytałem, zatrzymując się. – Nie wyglądasz najlepiej...

Alice osunęła się na kolana i nagle krzyknęła z bólu, po czym przycisnęła dłonie do szyi i zaczęła się dławić.

– Nie mogę oddychać – wykrztusiła. – Zupełnie jakby ktoś ścisnął mi gardło.

Przez moment ogarnęła mnie panika, nie wiedziałem, jak mogę jej pomóc. Stopniowo jednak oddech Alice wrócił do normy i usiadła ciężko na trawie. – To Mab Mouldheel znowu wyczynia swoje sztuczki. Wykorzystuje przeciw mnie kosmyk moich włosów. Robi to cały dzień. Ale nie martw się, zaczyna już mijać, odpoczniemy dziesięć minut i poczuję się lepiej. Poza mam ci coś do powiedzenia, coś, co musisz przemyśleć.-

Nadal obawiałem się o losy ojca Stocksa, zastanawiałem się zatem, czy nie pójść przodem i nie poprosić Alice, by mnie dogoniła, kiedy poczuje się lepiej. Ocenilem jednak, że na pewno zdołamy dotrzeć do dworu przed zachodem słońca, a że sam także byłem zmęczony, powiedziałem sobie, że dziesięć minut nie ma znaczenia. Poza tym Alice zaintrygowała mnie. Co miała do powiedzenia?

Usiedliśmy razem na trawiastym zboczu, zwróceniu plecami do wzgórza. Gdy tylko rozprostowałem nogi, Alice zaczęła mówić.

– Rozmawiałam z Mab, o, tak. Chce, żebym przekazała ci wiadomość...

– Z Mab Mouldheel? Po co z nią rozmawiałaś? – spytałem ostro.

– Przecież nie z własnej woli! Przyszła do mnie. To było rano, wkrótce po wyjściu starego Gregory'ego. Usłyszałam, jak ktoś wykrzykuje moje imię z drugiej strony muru i wyrzałam. To była Mab. Nie mogła przejść na tę stronę, bo dom stoi na kościelnej ziemi. To poświęcona ziemia, rozumiesz? Mab nie może postawić na niej stopy. Kazała mi przekazać, że sama chce dostać twoje skrzynie. W zamian zaprowadzi cię do Wieży Malkinów i pomoże uratować Jacka z rodziną.

Spojrzałem na Alice, zdumiony.

– Myślisz, że potrafi to zrobić?

– Tak. I co więcej, myślę, że cię polubiła. I to bardziej niż trochę, o, tak!

– Nie bądź niemądra. To bezecna wiedźma, jesteśmy naturalnymi wrogami.

– Zdarzały się dziwniejsze rzeczy – zadrwiła Alice.

– Poza tym – szybko zmieniłem temat – jak zdołałaby wprowadzić mnie do wieży?

– Jest tam tunel. Prowadzi wprost do lochów.

– Ale po co nam wskazówki Mab, Alice? Jesteś z Deane'ów, a także z Malkinów ze strony matki. Z pewnością wiesz, gdzie znaleźć wejście do tunelu.

Alice pokręciła głową.

– Byłam kilka razy w wieży, ale tylko nad ziemią. Tę część znam dobrze, lecz jedynie Anne Malkin, przywódczyni kręgu, zna położenie wejścia. Stanowi tajemnicę okazywaną z pokolenia na pokolenie. Wiedzą tą zawsze dysponuje tylko jedna żyjąca osoba! Wolno jej pokazać wejście innym jedynie wtedy, gdy całemu kręgowi grozi śmiertelne niebezpieczeństwo i musi dostać się w sekrecie do wieży i tam ukryć.

– Skąd zatem Mab wie? To jakiś podstęp? Może tylko udaje?

– Nie, Tomie, to nie podstęp. Pamiętasz tamtą noc, gdy uwolniłeś mnie z piwnicy u Mouldheelów i spotkaliśmy w lesie martwą Maggie? Maggie łaknęła krwi i ruszyła im na spotkanie. Kłopot w tym, że było ich zbyt wielu i ją pokonali. Maggie przewodziła kiedyś kręgowi, zna tajemnice wejścia. A Mab wydobyła ją od niej. Nie wiem, jak, lecz z pewnością nie było to przyjemne. Nasza Maggie nie zgodziłaby się łatwo mówić, musiały zadać jej wielki ból. Mab powiedziała, że mnie też to czeka, jeśli cię nie przekonam. Ma kosmyk moich włosów. Znów zaczynam czuć się gorzej – pewnie to ona coś ze mną robi, żebym wiedziała, jak się rzeczy mają. To także część umowy. Jeśli zgodzisz się oddać jej skrzynie i klucze, ona pokaże ci wejście do tunelu i pomoże ocalić rodzinę. I nie tylko – zwróci także kosmyk mych włosów. Kiedy go odzyskam, bardziej ci się przydam. W tej chwili jestem bezużyteczna. Został ze mnie tylko cień.

Wszystko to brzmiało bardzo prosto. Musiałem jedynie oddać skrzynie, a będę mógł ocalić Jacka, Ellie i Mary – może nawet przed północą, nim Wormalde zdąży spełnić groźby. Lecz podstawowy problem istniał nadal.

Alice faktycznie sprawiała wrażenie chorej. W jakiś sposób musieliśmy odebrać Mab jej kosmyk włosów, ale nie w ten. Pokręciłem głową.

– Przykro mi, Alice, nie mogę tego zrobić. Jak już wspominałem, Wormalde także mówi, że wymieni Jacka i rodzinę na klucze. Ale nieważne, czy oddam je Wormalde, czy Mab, oznacza to przekazanie skrzyń mojej mamy niecnej czarownicy. W ten sposób pomogę mrokowi i zwiększę zagrożenie dla całego Hrabstwa.

– Ale jednak ten sposób jest lepszy, prawda? Czy możesz ufać Wormalde? Oddanie jej kluczy byłoby łatwe – ale jaką masz gwarancję, że w zamian zwróci ci rodzinę całą i zdrową? Mab Mouldheel szczydzi się tym, że zawsze dotrzymuje słowa. Kiedy dobije targu, sama pójdzie z nami. Zaprowadzi nas do lochów, bo w pobliżu kryją się też skrzynie. To dla niej równie niebezpieczne, jak dla nas: gdyby schwytali ją Malkinowie, czekałby ją

straszny koniec, toteż musi wyprowadzić nas bezpiecznie. Będziemy z nią cały czas. I nie tylko – skoro chce nam pomóc, może nie połączy się z Malkinami i Deane’ami. Nie dopuścimy do zjednoczenia kręgów i uwolnienia Złego, a także uratujemy twoją rodzinę.

– Nadal jednak oddam jej skrzynie. Nie mogę tego zrobić.

– Pozwól mi z nią porozmawiać. Zobaczmy, może zrobi to tylko za jedną skrzynię. Jeśli się zgodzi i zechce oddać mi mój kosmyk przed wejściem do tunelu, to my będziemy śmiali się ostatni. Tylko jedna skrzynia, z pewnością niewiele zaszkodzi...

– To nadal o jedną skrzynię za dużo. Mama chciała, bym dostał je wszystkie, musiała mieć po temu ważne powody. Ostatnią rzeczą, jakiej by sobie życzyła, byłoby oddanie skrzyń mrokowi!

– Nie, Tomie. Ostatnią rzeczą, jakiej by sobie życzyła, byłaby śmierć Jacka i jego bliskich!

– Nie jestem wcale tego pewien, Alice – rzekłem ze smutkiem. – Choć myśl o tym bardzo boli, trzeba mieć na względzie los innych ludzi, nie tylko najbliższej rodziny. Jest jeszcze Hrabstwo i cały wielki świat.

– Zatem zrobimy to po twojemu – warknęła Alice. – Powiemy, że Mab dostanie skrzynie, by uwolnić twoją rodzinę, ale kiedy znajdziemy się w wieży, łatwo będzie ją obezwładnić. Mouldheelowie zaatakowali mnie podstępem i było ich całe mnóstwo. Sam na sam z Mab z pewnością ją pokonam. Przekonasz się...

– Ale ma przecież kosmyk twoich włosów, Alice. Sama powiedziałaś, że nie jesteś tak silna jak zwykle.

– Przecież mam jeszcze ciebie. Posłuchaj, gdy znajdziemy się w wieży, we dwójkę pokonamy Mab. Potem, zanim nadejdzie północ, uratujemy twoją rodzinę, a kiedy żołnierze dostaną się do środka, odbierzemy skrzynie.

Zastanawiałem się chwilę, w końcu przytaknąłem.

– Nie jestem pewien, czy mamy jakiś wybór, choć wątpię, by garstka żołnierzy zdołała wygrać z Malkinami.

– Może i masz rację, Tomie. Może będziemy potrzebowali innego planu odbicia skrzyń, ale jeśli chodzi o ocalenie rodziny, lepszego nie znajdziemy.

– Wiem, że masz rację – mruknąłem. – Ale nie podoba mi się myśl, że miałbym zdradzić Mab.

– Mab? Chyba nie mówisz poważnie? Zastanów się tylko. Sądzisz, że ona czuła się winna, gdy poprzedniej nocy chciała mnie zabić? Albo gdy próbowała zdobyć cię dla siebie? Czy kiedy cały dzień torturowała mnie, używając moich włosów? Robisz się



miękki, Tomie, jak stary Gregory. Wystarczy uśmiech ładnej dziewczyny, by odebrało ci rozum.

– Mówię tylko, że nie powinno się łamać danego słowa. Tato mnie tego nauczył.

– Z pewnością jednak nie miał na myśli umów z czarownicą. Staremu Gregory'emu zapewne nie spodobałby się nasz plan, ale ostatnio, kiedy jest potrzebny, nigdy go nie ma. Inaczej nie musielibyśmy sami ratować ojca Stocksa i twojej rodziny.

Wzmianka o ojcu Stocksie przypomniała mi ponownie o wielkim niebezpieczeństwie, które mu groziło i okropnościach czekających nas we Dworze Read.

– Alice – mruknąłem – coś jeszcze nie daje mi spokoju. Kim dokładnie jest Wormalde? Twierdzi, że pochodzi z tego samego kraju, co moja mama, ale mówi, jakby była częścią kręgów. Jakby przemawiała w ich imieniu.

Alice zmarszczyła brwi.

– Przed dzisiejszym dniem nigdy o niej nie słyszałam.

– Ale przecież byłeś w Pendle zaledwie dwa lata temu. Wormalde pracuje u Rogera Nowella znacznie dłużej.

– Nowell to prefekt. Raczej nie kręciłam się w pobliżu jego domu. Nie jestem przecież głupia. Moja rodzina też nie. A co do gospodyni – kto mógłby coś o niej wiedzieć?

– Masz rację – przytaknąłem. – To tajemnicza sprawa. Ale dość już zwlekaliśmy, musimy ruszać do Read. Czujesz się lepiej? Czy mam pójść przodem szybkim krokiem?

– Postaram się iść jak najszybciej. Jeśli nie dam rady lepiej idź pierwszy.

Nie maszerowaliśmy tak szybko jak przedtem, lecz Alice udało się dotrzymać mi kroku i gdy ujrzeliśmy przed sobą Dwór Read, do zmierzchu została jeszcze godzina. Teraz jednak mieliśmy problem – jak niepostrzeżenie dostać się do środka.

Tibb jako stwór ciemności na razie nam nie zagrażał, nadal jednak pozostawały dwie przeszkody. Choć Wormalde nie dałaby rady wywęszyć Alice ani mnie, mogła zauważyć nas przez okno. I musiałem też pamiętać o służbie. Część mogła nie zdawać sobie sprawy z tego, co się dzieje za plecami prefekta. Jeśli jednak Cobden wrócił z Wieży Malkinów, z pewnością nam zagrażał. Nie mogłem tak po prostu podejść do drzwi.

– Najlepiej chyba będzie podkraść się między krzakami z boku. Mogę otworzyć moim kluczem wejście dla dostawców.

Alice przytaknęła. Zatoczyliśmy zatem łuk i zbliżyliśmy się do dworu od zachodu, ukryci wśród krzaków i drzew. W końcu od drzwi dzieliło nas najwyżej dwadzieścia kroków.

– Teraz musimy zachować wielką ostrożność – powiedziałem cicho. – Chyba będzie

lepiej, jeśli pójdę sam.

– Nie, Tomie. To niedobry pomysł. Potrzebujesz mnie, wiem to! – zaprotestowała z oburzeniem Alice. – We dwoje mamy większą szansę powodzenia.

– Nie tym razem, Alice. To bardzo ryzykowne. Pozostań tu, w ukryciu. Jeśli mnie złapią, będę przynajmniej wiedział, że na zewnątrz zostanie ktoś, kto może mi pomóc. Gdyby zdarzyło się najgorsze, będziesz mogła po mnie przyjść.

– W takim razie daj mi klucz!

– Potrzebuję go do otwarcia drzwi.

– Oczywiście, że tak! Ale kiedy je otworzysz, rzuć go na trawę. Podniosę go, gdy już bezpiecznie znajdziesz się w środku.

– Lepiej weź też moją laskę – poprosiłem.

Ojciec Stocks był bardzo osłabiony; wiedziałem, że nie zdoła sam zejść ze schodów i laska tylko by nam przeszkadzała. Nadal było jasno, toteż miałem nadzieję, że nie będziemy musieli walczyć z Tibbem, a srebrny łańcuch wystarczy, by rozprawić się z Wurmalde. Gdybym chybił, nadal miałem w odwodzie żelazo i sól.

Alice przytaknęła, skrzywiła się jednak, gdy oddałem jej laskę. Nie lubiła dotykać jarzębinowego drewna.

Ruszyłem ostrożnie po trawie. Zatrzymałem się drzwiach i przyłożyłem do nich ucho. Niczego nie usłyszałem, toteż wsunąłem klucz w zamek i przekręciłem bardzo wolno. Zamek ustąpił z cichym szcękaniem. Nim otworzyłem drzwi, uniosłem klucz wysoko, by Alice widziała, co robię, i cisnąłem go w stronę rosnących w rzędzie krzaków. Poleciał całkiem daleko i upadł na trawnik niecały krok od kryjówki mojej towarzyszki. Następnie bardzo ostrożnie uchyliłem drzwi i przekroczyłem próg. Kiedy zamknąłem je za sobą, zamek zaskoczył. Czekałem bez ruchu co najmniej minutę, cały czas nasłuchując.

Cisza dodała mi odwagi, toteż ruszyłem przez hol w stronę głównych schodów. Przystanąłem i odwiązałem srebrny łańcuch okręcony wokół pasa, owinąłem go wokół przegubu lewej ręki, gotów do rzutu. Nadal było jasno, toteż nie spodziewałem się spotkać Tibba, ale wolałem się przygotować na Wurmalde.

W holu zatrzymałem się ponownie i rozejrzałem. Wydawał się pusty, toteż ruszyłem na górę, zatrzymując się za każdym razem, gdy stopień zaskrzypiał choćby odrobinę. W końcu dotarłem na podest. Jeszcze dziesięć kroków i znajdę się przy drzwiach sypialni ojca Stocksa.

Ruszyłem naprzód, otworzyłem drzwi i wszedłem do środka. Okno zakrywały ciężkie kotary, wewnątrz panował mrok, ale widziałem sylwetkę księdza na łóżku.

– Ojczy! – zawołałem cicho.

Kiedy nie odpowiedział, podszedłem do okna i odciągnąłem zasłony. Pokój zalało światło. Zawróciłem do łóżka. Nim do niego dotarłem, serce zaczęło walić mi jak szalone.

Ojciec Stocks nie żył. Jego usta były szeroko otwarte, niewidzące oczy patrzyły w sufit. Nie zabił go jednak Tibb ani utrata krwi. Z piersi sterczała rękojeść sztyletu.

Ogarnął mnie głęboki smutek i groza, myśli wirowały w głowie. Sądziłem, że do zmroku będzie bezpieczny. Nie powinienem był zostawiać go samego. Czy to Wurmalde go zabiła? Krew na jego koszuli i pościeli zdawała się pochodzić z rany. Czy chciała w ten sposób ukryć fakt, że Tibb pił jego krew? Ale jak mogła liczyć na to, że zabójstwo księdza ujdzie jej płazem?

Ody tak wpatrywałem się, przerażony, w ciało biednego ojca Stocksa, ktoś za moimi plecami wszedł do pokoju. Obróciłem się szybko, zaskoczony, i ku swej rozpaczy ujrzałem Wurmalde. Spojrzała na mnie gniewnie, czym na jej wargach zatańczył lekki uśmieszek. Ja jednak cofnąłem już lewą rękę, szykując srebrny łańcuch; byłem zdenerwowany, ale też bardzo pewny siebie. Przypomniałem sobie ostatnią lekcję u stracharza, gdy sto razy trafiłem w treningowy słupek, ani razu nie chybiając.

Wystarczył ułamek sekundy, bym zamachnął się łańcuchem i cisnął go wprost w czarownicę, lecz ku memu zdumieniu w drzwiach pojawiła się kolejna postać i stanęła tuż za Wurmalde, patrząc na mnie ze zmarszczonym gniewnie czołem. Był to mości Nowell, prefekt!

– Stoi przed nami złodziej i morderca! – zagrzmiała Wurmalde oskarżycielskim tonem. – Spójrz, panie, na plamę krwi na jego koszuli i zobacz, co trzyma w lewej dłoni. Jeśli się nie mylę, to srebro...

Gapiałem się na nią, niezdolny przemówić. Słowa złodziej i morderca odbijały się echem w mojej głowie.

– Skąd wzięłeś ten srebrny łańcuch, chłopczy? – spytał ostro Nowell.

– Należy do mnie – odparłem, zastanawiając się, co mu powiedziała Wurmalde. – Dała mi go mama.

– Sądziłem, że pochodzisz z rodziny farmerów – jego czoło zmarszczyło się jeszcze bardziej. – Lepiej dobrze się zastanów, chłopczy, bo potrzebujesz bardziej przekonującego wyjaśnienia. Mało prawdopodobne, by żona farmera miała coś tak cennego.

– Jest tak, jak powiedziałam, mości Nowellu – rzuciła oskarżycielsko Wurmalde. – Usłyszałam szmer dobiegający z gabinetu i zesłam na dół w środku nocy, by przyłapać go na gorącym uczynku. W przeciwnym razie straciłby pan jeszcze więcej. Otworzył siłą

szafkę i grzebał właśnie w biżuterii pana nieszczęsnej żony. Uciekł, nim zdołałam go złapać, zmykając w noc, jak przystało na złodzieja i mordercę. A kiedy weszłam na górę, by powiedzieć o wszystkim ojcu Stocksowi, znalazłam biedaka takim, jakim go widzimy – martwego w łóżku, z nożem wbitym w serce. Teraz zaś, jakby nie dość było tego, że zabił księdza i ukradł gdzieś srebrny łańcuch, zakradł się do twojego domu, by sprawdzić, na czym jeszcze zdoła położyć łapy...

Jakimż głupcem byłem! Nigdy nie przyszło mi do głowy, że Wurmalde mogłaby zabić ojca Stocksa i rzucić winę na mnie. Gdy otworzyłem usta, by zaprotestować, Nowell wystąpił naprzód i chwycił moje lewe ramię, po czym wyrwał mi łańcuch.

– Nie próbuj nawet zaprzeczać! – warknął, jego twarz poczerwieniała z gniewu. – Wraz z jejmością Wurmalde przyglądaliśmy ci się przez okno. Widzieliśmy, jak oglądasz dom ze współniczką. Moi ludzie już jej szukają – nie ucieknie daleko. Nim minie miesiąc, oboje zawiśniecie w Caster.

Serce zaciążyło mi jak kamień. Teraz dopiero pojąłem, że Wurmalde za pomocą fascynacji i uroku panowała nad Nowellem, który wierzył w każde jej słowo. Bez wątpienia ona sama włamała się do szafki i ukradła biżuterię. Traciłbym jednak czas, próbując ją oskarżać. Nie mogłem też ujawnić całej prawdy, bo Nowell nie wierzył w czary.

– Nie jestem złodziejem ani mordercą – oznajmiłem. – Przybyłem do Pendle w ślad za złodziejami, którzy nie tylko ukradli skrzynie należące do mnie, ale też porwali moją rodzinę. To dlatego tu jestem...

– Och, nie martw się tym, chłopcze. Zamierzam dotrzeć do sedna całej sprawy. Wkrótce dowiemy się, czy w twoich historyjkach kryje się ziarno prawdy, czy też są jedynie stekiem kłamstw. Mieszkańcy Wieży Malkinów już za długo drwią z prawa i tym razem zamierzam postawić ich przed obliczem sprawiedliwości. Jutro przekonamy się, czy to twoi współnicy, czy też mamy do czynienia ze złodziejami okradającymi złodzieja. Potrzebowałem całego dnia, by przekonać wojsko, aby tu przybyło. Zamierzam jednak posłać do Caster w łańcuchach na przesłuchanie wszystkich mieszkańców tej wieży, a ty pójdiesz z nimi i to pod strażą! Teraz opróżnij kieszenie. Zobaczmy, co jeszcze ukradłeś.

Nie miałem wyboru, musiałem posłuchać. Zamiast skradzionych towarów na ziemię posypały się sól i żelazo. Przez chwilę Nowell patrzył na mnie zdumiony, lękałem się, że mnie obszuka i znajdzie wiszące na szyi klucze. Ale Wurmalde uśmiechnęła się do niego dziwnie i jego twarz przybrała pusty wyraz, tylko po to, by ponownie stężeć w gniewnym grymasie. Zaprowadził mnie szybko do pokojów służby i zamknął w celi, z której

korzystał konstabl. Było to niewielkie pomieszczenie o solidnych drzwiach; bez specjalnego klucza nie miałem nadziei wydostać się stamtąd. Nowell zatrzymał mój łańcuch, laskę zostawiłem Alice. Nie miałem niczego, czym mógłbym się bronić.

Co do Alice, wiedziałem, że wywęszyła ludzi Nowella i umknęła z ogrodu, nim zdołali ją dopaść. To przynajmniej były dobre wieści. Złe były takie, że bardzo mało prawdopodobne, by jeszcze tej nocy próbowała dostać się do domu i mnie uwolnić. Było to zbyt niebezpieczne. A beze mnie nie mogła ocalić mojej rodziny. Czas płynął, z każdą chwilą zbliżała się północ, termin wyznaczony przez Wurmalde. Jeśli nie dam jej kluczy, Jack, Ellie i Mary trafią na tortury u Grimalkin. Wolałem o tym nie myśleć.

Lecz póki Alice pozostawała na wolności, wciąż miałem nadzieję na ratunek. Jeśli nie dziś, dołoży wszelkich starań, by uwolnić mnie jutro – o ile, rzecz jasna o świcie wciąż będę żył. Wurmalde może odwiedzić mnie nocą i po raz ostatni zażądać kluczy. Lub – co gorsza może przysłać Tibba.

\*

Nieco później, leżąc w ciemnej celi, usłyszałem szcęk klucza w zamku. Szybko zerwałem się na nogi i cofnąłem w najdalszy kąt. Czy mogłem mieć jakąś nadzieję? Czyżby to była Alice? Lecz ku memu zawodowi i rozpacz do pomieszczenia weszła Wurmalde ze świecą w dłoni. Zamknęła za sobą drzwi. Spojrzałem na jej obszerne spódnice, zastanawiając się, czy przywiodła ze sobą Tibba.

– Sytuacja wygląda ponuro, ale nie jest beznadziejna – oznajmiła z lekkim uśmiechem na zaciśniętych wargach. – Wszystko jeszcze można naprawić, wystarczy tylko, że dostanę klucze do skrzyń. Daj mi to, czego chcę, a jutro wieczorem będziesz w drodze do domu z rodziną...

– O tak, ścigany jako morderca. Już nigdy nie będę mógł wrócić do domu...

Pokręciła głową.

– Za kilka dni Nowell zginie, a cały okręg znajdzie się naszych rękach. Nie pozostanie nikt, kto mógłby cię oskarżyć. Zostaw to mnie. Ty musisz tylko dać mi klucze. Nic więcej.

Teraz to ja się uśmiechnąłem. Oto miała doskonałą szansę odebrania mi kluczy siłą. Byłem sam, zdany na jej łaskę. Fakt, że tego nie zrobiła, przekonał mnie, że nie mogła.

– To właśnie dokładnie muszę zrobić, prawda? – spytałem. – Muszę dać ci klucze. Nie możesz po prostu ich sobie wziąć.

Wurmalde skrzywiła się, niezadowolona.

– Pamiętasz, co ci mówiłam zeszłej nocy? – rzuciła ostrzegawczo. – Jeśli nie zrobisz tego, by ratować siebie, zrób to dla swej rodziny. Oddaj mi klucze albo cała trójka zginie.

W tym momencie gdzieś w domu zaczął dzwonić zegar. Wurmalde wpatrywała się we mnie, póki nie skończył wybijać dwunastej.

– I co, chłopcze? Miałeś tyle czasu, ile zażądałeś, teraz udziel odpowiedzi!

– Nie – powiedziałem stanowczo. – Nie oddam ci kluczy.

– W takim razie bądź świadom konsekwencji swej decyzji – odparła cicho i wyszła z celi.

Klucz przekręcił się w zamku, usłyszałem, jak czarownica odchodzi, a potem pozostała tylko cisza i ciemność. Zostałem sam z własnymi myślami. Nigdy jeszcze nie były równie mroczne.

Ta decyzja kosztowała życie moją rodzinę. Lecz cóż innego mogłem zrobić? Nie mogłem pozwolić, by zawartość skrzyń mamy wpadła w ręce kręgów. Stracharz nauczył mnie, że przede wszystkim muszę pamiętać o obowiązkach wobec Hrabstwa.

Minął zaledwie rok i trzy miesiące od czasów, gdy radośnie pracowałem z tatą na farmie. Wówczas praca ta wydawała mi się nudna, teraz jednak oddałbym wszystko, by znów się tam znaleźć, by tata wciąż żył, mama była w domu, a Jackowi i Ellie nic nie groziło.

W tym momencie pożałowałem, że w ogóle kiedykolwiek zobaczyłem stracharza i zostałem jego uczniem-I siedząc tak w celi, rozplakałem się.

## ROZDZIAŁ 12

### PRZYBYWA ARMIA

Kiedy drzwi celi znów się otwały, stanął w nich konstabl Barnes, niosący grubą deskę. Była okuta metalem, w środku ujrzałem dwie dziury, w które miałem wsunąć ręce. Kiedyś widziałem męczyznę zakutego w dyby, podobna konstrukcja przytrzymała mu przeguby tak, że nie mógł się ruszyć, podczas gdy tłum obrzucał go zgniłymi owocami.

– Wyciągnij ręce! – polecił Barnes.

Gdy posłuchałem, rozsunął złączone zawiasami połówki deski, zatrzasnął je wokół moich przegubów i zamknął kluczem, który wsunął do kieszeni nogawic. Deska była ciężka, mocno ścisnęła mi

ręce, toteż w żaden sposób nie zdołałbym się uwolnić.

– Jeśli spróbujesz ucieczki, nogi zakuję ci w łańcuchy. Wyrażam się jasno? – spytał agresywnie konstabl przysuwając bliżej twarz.

Przytaknąłem z nieszczęśliwą miną, bliski rozpaczy.

– Pod wieżą spotkamy się z mości Nowellem. Kiedy zburzymy mury, żołnierze zabiorą cię do Caster, tam zawiśniesz z resztą skazańców. Choć sam uważam, że powieszenie to zbyt łagodna kara dla zabójcy księdza!

Barnes chwycił mnie za ramię i wypchnął na korytarz, gdzie tuż za zasięgiem wzroku czaił się Cobden, dzierżący w dłoni ciężką pałkę. Bez wątpienia miał nadzieję, że spróbuję uciec. Obaj wyprowadzili mnie tylnymi drzwiami na dwór, gdzie czekał już wóz. Pomocnicy konstabla siedzieli z tyłu, obaj wpatrywali się we mnie czujnie. Jeden splunął mi na koszulę, gdy z trudem gramoliłem się na górę.

W pięć minut później przejechaliśmy bramę Dworu Read, zmierzając w stronę Goldshaw Booth i leżącej za nim Wieży Malkinów.

\*

Gdy dotarliśmy do wieży, Nowell już czekał i to nie sam. Towarzyszyło mu pięciu konnych żołnierzy w czerwonych kurtkach Hrabstwa, których ostry kolor rzucał się w oczy, jeszcze nim dotarliśmy na polanę. Gdy nasz wóz toczył się ku nim, jeden z jeźdźców zeskoczył z siodła i ruszył wokół wieży, przyglądając się kamiennej budowli, jakby była najbardziej fascynującą rzeczą na całym świecie.

Cobden zatrzymał wóz nieopodal.

– To jest kapitan Horrocks – poinformował Barnesa Nowell, skinieniem głowy wskazując przysadzistego mężczyznę o rumianej twarzy i niewielkim czarnym wąsiku.

– Dzień dobry, konstablu – pozdrowił go Harrocks, po czym zwrócił wzrok ku mnie. – To ten chłopak, o którym opowiadał mi mości Nowell?

– Tak, to on – odrzekł Barnes. – A inni jemu podobni kryją się

w tej wieży.

– Nie obawiajcie się – powiedział kapitan. – Wkrótce rozwalimy ten mur. Lada chwila zjawi się tu armata, największe działo w całym Hrabstwie. Wkrótce załatwi sprawę! Już niedługo będziemy mogli policzyć się z tymi łotrami.

To rzekłszy, kapitan zawrócił konia i powolnym krokiem powiodł swych ludzi dookoła Wieży Malkinów. W ślad za nim ruszyli prefekt i Barnes.

Następne godziny mijały powoli. Byłem załamany i bliski rozpacz. Nie udało mi się uratować rodziny i musiałem pogodzić się z faktem, że zapewne w tej chwili torturują ich w wieży, albo nawet już zginęli. Alice nie miała możliwości do mnie dotrzeć. Wkrótce znajdę się w drodze do Caster wraz ze wszystkimi, którzy przeżyją ostrzał wieży. Jak mogłem liczyć na sprawiedliwy proces?

Późnym rankiem zjawiła się armata, ciągnięta zaprzęg sześciu rosnących koni z Hrabstwa. Długa, cylindryczna lufa spoczywała na wózku o dwóch wielkich drewnianych kołach, okutych metalem. Działo ustawiono blisko naszego wozu. Wkrótce żołnierze odwiązali konie i odprowadzili je kawałek dalej, między drzewa. Następnie zajęli się armatą. Za pomocą dźwigni unosili koniec lufy coraz wyżej i wyżej, w końcu uznali, że wystarczy. Wówczas natarli ramionami na koła i przekręcili wóz tak, że lufa celowała wprost w wieżę.

Barnes podjechał do nas.

– Zsadźcie chłopaka i zabierzcie wóz do pozostałych – polecił Cobdenowi. – Kapitan mówi, że konie są za blisko. Wpadłyby w szal od huków dział.

Dwaj pomocnicy zwlekli mnie z wozu i siłą posadzili na trawie. Tymczasem Cobden zabrał konie i podążył za Barnesem ku pozostałym.

Niedługo potem zjawił się kolejny wóz, tym razem wyładowany kulami armatnimi, dwiema wielkimi wannami wody i stosem małych płóciennych woreczków z prochem. Wszyscy żołnierze, prócz dowodzącego nimi sierżanta, zdjęli czerwone kurtki,



podwinęli rękawy zaczęli rozładowywać wóz, układając ostrożnie amunicję w równe piramidki po obu stronach działa. Kiedy podnieśli pierwszą wannę, pomocnik po mojej prawej zażartował:

– Musi się wam bardzo chcieć pić, chłopcy.

– To woda do czyszczenia i chłodzenia działa – odkrzyknął jeden z kanonierów, posyłając mu mordercze spojrzenie. – Strzela osiemnastofuntowymi kulami i bez wody wkrótce przegrzałoby się i rozerwało. Nie chciałbyś chyba, żeby do tego doszło, prawda? Zwłaszcza, że siedzisz tak blisko!

Pomocnik popatrzył niepewnie na swego towarzysza. Obaj poruszyli się nerwowo.

Po zakończeniu wyładunku żołnierze odprowadzili wóz między drzewa. Wkrótce potem obok nas przejechali kapitan Horrocks i Nowell, zmierzając w tę samą stronę.

– Nie czekajcie na rozkaz, sierżancie! – zawołał Horrocks do żołnierzy, galopując obok nich. – Strzelajcie, kiedy będziecie gotowi. Ale wykorzystajcie okazję, by podszlifować swe umiejętności. Niechaj żaden strzał nie chybi! Całkiem możliwe, że wkrótce będziemy mieć do czynienia z bardziej niebezpiecznym przeciwnikiem.

Kiedy dowódcy znaleźli się poza zasięgiem słuchu, jeden z pomocników konstabla, niezrażony poprzednią wymianą zdań z żołnierzem, nie oparł się pokusie, by znów przemówić.

– Niebezpieczny przeciwnik? – spytał. – Kogo miał na myśli?

– Nie twój interes – odparł sierżant wyniośle. – Ale skoro pytasz, krążą pogłoski o inwazji na południe od Hrabstwa. Całkiem możliwe, że czeka nas poważniejsza bitwa niż to drobne oblężenie. Lecz nie wspominaj o tym nikomu albo osobiście poderżnę ci gardło, a truchło rzucę wronom! – Sierżant odwrócił się. – No dobra, chłopcy, ładujcie! Pokażmy kapitanowi, co potrafimy!

Jeden z żołnierzy uniósł płócienny worek i wepchnął w wylot armaty. Jego towarzysz za pomocą długiego pręta wsunął go głęboko. Kolejny podturlał z najbliższego stosu kulę i wsadził do lufy, przygotowując ją do strzału.

Sierżant znów się odwrócił i spojrzał na mężczyznę po mej prawej, tego, który milczał.

– Słyszeliście kiedyś, jak strzela taka duża armata?

Tamten pokręcił głową.

– Hałas jest tak głośny, że mogą popękać od niego bębunki. Musicie zasłonić uszy, o tak – polecił, przyciskając dłonie do własnych uszu. – Ale na waszym miejscu odszedłbym jakieś sto kroków. Chłopak nie da rady zrobić czegoś takiego?

Spojrzał na moje przeguby, wciąż uwięzione w desce.

– Odrobina hałasu mu nie zaszkodzi. Nie przeszkadza tam, dokąd trafi. Chłopak zabił księdza i zawisnie, nim upłynie miesiąc.

– W takim razie przedsmak piekła już teraz nie zawadzi.

Sierżant spojrzał na mnie z nieskrywaną odrazą, pomaszerował z powrotem do działa i wydał rozkazy. Jeden z żołnierzy zapalił trzcinowy lont, sterczący z góry lufy i cofnął się wraz z towarzyszami. Gdy lont się dopalał, żołnierze zatkali uszy, dwaj pomocnicy konstabla poszli w ich ślady.

Hałas strzelającej armaty przypominał huk gromu. Wózek odskoczył cztery kroki w tył, a kula pomknęła w powietrzu w stronę wieży, wyjąc jak upiór. Wpadła do fosy, wyrzucając w górę fontanny wody. Wielkie stado wron wzleciało z drzew w dali. W powietrzu wokół armaty zawisła chmura dymu i gdy kanonierzy znów brali się do pracy, wyglądali jak duchy w listopadowej mgle.

Najpierw poprawili uniesienie lufy, potem oczyścili jej wnętrze prętami i gąbkami, co i rusz zanurzając w wannach z wodą. W końcu znów wystrzelili. Tym razem huk zabrzmiał jeszcze głośniejsze, lecz o dziwo nie słyszałem już wycia lecącej kuli. Nie usłyszałem także, jak trafia w Wieżę Malkinów, ale widziałem, jak uderza nisko w mur; odłamki posypały się do fosy.

Nie potrafię stwierdzić, jak długo to trwało. W pewnym momencie moi strażnicy zaczęli rozmawiać. Widziałem, jak poruszają ustami, ale nie słyszałem ani słowa. Huk działa mnie ogłuszył; miałem tylko nadzieję, że nie na zawsze. Wokół nas kłębił się dym, czułem w gardle gorzko-kwaśny smak. Przerwy między

strzałami stawały się coraz dłuższe, bo żołnierze coraz staranniej przecierali gąbkami lufę, która bez wątplenia nieźle się już nagrzała.

W końcu moich strażników musiało zmęczyć sąsiedztwo działa. Dźwignęli mnie z ziemi i zaprowadzili sto kroków dalej, tak jak radził sierżant. Potem nie było już tak źle. Stopniowo w przerwach między strzałami uświadamiałem sobie, że słuch mi wraca. Teraz słyszałem już wycie pocisków i huk żelaznych kul, walących w kamienie Wieży Malkinów. Żołnierze znali się na swej robocie – każda kula trafiała mniej więcej w to samo miejsce, lecz jak dotąd nie dostrzegłem żadnych śladów poważniejszych uszkodzeń. Potem doszło do kolejnej przerwy. Zabrakło kul, a wóz wiozący świeże zapasy dotarł na miejsce dopiero późnym popołudniem. Do tego czasu okropnie zachciało mi się pić, poprosiłem więc jednego ze strażników o łyk wody z kamiennego dzbanka, przyniesionego przez żołnierza.

– Jasne, częstuj się chłopcze – zaśmiał się. Oczywiście nie mogłem podnieść dzbanka, a kiedy ukląknę obok niego, zamierzając zlizać kroplę z szyjki, strażnik po prostu go odsunął i ostrzegł, że mam natychmiast usiąść albo nieźle złoć mi skórę.

O zachodzie słońca w ustach i gardle zaschło mi kompletnie. Nowell odjechał już w stronę Dworu Read. Zapadający zmierzch powstrzymał dalszy ostrzał, toteż żołnierze, pozostawiając jednego na warcie przy dziale, rozpalili ogień wśród drzew i wkrótce zaczęli pichcić kolację. Kapitan Horrocks także odjechał, bez wątplenia w poszukiwaniu wygodnego łóżka na noc, ale jeźdźcy pozostali z nami.

Pomocnicy konstabla zawlekli mnie między drzewa, gdzie usiedliśmy z Barnesem i Cobdenem, kawałek od ogniska. Moi strażnicy sami zaczęli rozpalać ogień, ale nie mieli żadnej strawy. Po jakimś czasie zjawiał się jeden z żołnierzy z pytaniem, czy jesteśmy głodni.

– Bylibyśmy wdzięczni za parę kęsów – odparł Barnes. – Sądziłem, że do tej pory już skończymy i wrócę do Read na kolację.

– Wieża wymaga nieco więcej uwagi, niż sądziliśmy – odparł żołnierz. – Ale nie martwcie się, damy radę. Z bliska widać już pęknięcia. Do jutra do południa przebijemy się, a wówczas czeka nas zabawa.

Wkrótce Barnes, Cobden i jego pomocnicy zajadali łąpczywie gulasz z królika. Z porozumiewawczym mrugnięciem postawili w trawie przede mną talerz.

– Jedz, chłopcze – zaprosił Cobden.

Kiedy jednak spróbowałem uklęknąć i przysunąć głowę do talerza, jeden z nich chwycił go i cisnął zawartość w ogień.

Cała czwórka roześmiała się, uważając, że to świetny dowcip, a ja siedziałem tam głodny i spragniony, patrząc, jak mój posiłek płonie, podczas gdy oni jedli. Robiło się coraz ciemniej. Po zachodzie słońca niebo zasnuły ciężkie chmury. Nie liczyłem na to, że uda mi się uciec, bo postanowili pilnować mnie na zmianę, a żołnierze także mieli wystawić warty.

W pół godziny później Cobden pełnił straż, pozostali spali. Barnes chrapał głośno przez szeroko otwarte usta. Dwaj pomocnicy zasnęli w chwili, gdy wyciągnęli się na trawie.

Ja sam nawet nie próbowałem spać. Deska obejmująca mi przeguby ścisnęła je tak mocno, że zaczęły boleć, w głowie kłębiły mi się myśli o wszystkim, co się wydarzyło: spotkaniach z Wurmaldem i Tibbem, nieszczęsnym ojcu Stocksie, którego nie zdołałem uratować. Poza tym Cobden nie zamierzał pozwolić mi odpocząć.

– Jeśli ja muszę czuwać, to ty także, chłopcze – warknął, dla podkreślenia swych słów kopiąc mnie w nogi.

Po jakimś czasie jednak wydało mi się, że z coraz większym trudem walczy ze snem. Cały czas ziewał, i krążył tam i z powrotem, w końcu podszedł i znów wymierzył mi kopniaka. To była długa, niewygodna noc. Jakąś godzinę przed świtem Cobden usiadł na trawie, patrząc przed siebie szklistymi oczami; głowa opadała mu, po czym podnosiła się gwałtownie, gdy się budził. Za każdym razem patrzył na mnie gniewnie, jakby była to wyłącznie

moja wina. Po czwartym czy piątym razie broda opadła mu na pierś i zaczął chrapać cicho.

Spojrzałem w stronę ogniska żołnierzy. Dzielił nas spory kawałek, toteż nie miałem absolutnej pewności, lecz wydawało mi się, że żaden z nich się nie poruszał. Uświadomiłem sobie, że teraz mam szansę ucieczki, odczekałem jednak kilka minut, by się upewnić, że Cobden zasnął na dobre.

W końcu bardzo powoli wstałem, obawiając się nawet najłżejszego hałasu. Lecz gdy tylko dźwignąłem się nogi, ku swej rozpaczy dostrzegłem, jak coś porusza między drzewami. Kawałek ode mnie mignęło coś białego bądź szarego. Potem dostrzegłem kolejny ruch, nieco dalej po lewej. Teraz byłem już pewien, toteż przykucnąłem nisko. Miałem rację. Pośród drzew, na południu, poruszały się sylwetki, zmierzające w moją stronę. Czyżby to nowi żołnierze? Posiłki? Ale postaci nie maszerowały jak wojsko. Zdawały się płynąć bezszelestnie niczym duchy. Zupełnie jakby unosiły się w powietrzu.

Musiałem uciec, nim się tu zjawią. Deska obejmująca mi przeguby wpływała na równowagę i utrudniała bieg, ale go nie uniemożliwiała. Już zamierzałem zaryzykować, gdy dostrzegłem kolejny ruch i obejrzawszy się, odkryłem, że jestem otoczony. Cieniste sylwetki zbliżały się ku nam ze wszystkich stron. Były już bliżej i widziałem, że mają na sobie czarne, szare i białe suknie – że to kobiety o błyszczących oczach i długich, potarganych włosach.

Niby na pewno były to czarownice, ale z którego klanu? Malkinowie mieszkali w wieży. Może to Deane'owie? Gdyby świecił księżyc, wcześniej dostrzegłbym ich broń. Dopiero gdy się zbliżyły do ognia, uświadomiłem sobie, że każda trzyma w lewej dłoni długi sztylet, a w prawej coś innego, czego nie zdołałem jeszcze zidentyfikować.

Czy przyszły zamordować nas we śnie? Wraz z tą mroczną myślą pojąłem, że nie mogę po prostu uciec między drzewa, pozostawiając prześladowców swemu losowi. Źle mnie traktowali, ale nie zasłużyli na podobną śmierć. Konstabl Barnes nie pracował

dla Wurmalde, pewnie sądził, że wykonuje swoje obowiązki. Gdybym ich obudził, nadal istniała szansa, że w zamęcie zdołam uciec.

Trąciłem zatem Cobdena stopą. Kiedy nie zareagował, kopnąłem go mocniej, bez skutku. Nawet gdy się schyliłem i wrzasnąłem jego nazwisko wprost do ucha, on nadal pochrapywał cicho. Spróbowałem tego samego z Barnesem, bez powodzenia w tym momencie dotarła do mnie prawda...

Zostali otruci! Tak jak biedny ojciec Stocks w Dworze Read. I znów, mnie nic nie było, bo niczego nie zjadłem. Trucizna musiała kryć się w gulaszu z królika. Nie miałem pojęcia, jak się tam znalazła, ale teraz było już za późno, bo od najbliższej wiedźmy dzieliło mnie najwyżej piętnaście kroków.

Spiąłem się, gotów do biegu, wybierając drogę po prawej, przerwę między drzewami niezablokowaną przez wiedźmy. I wtedy zawołał mnie głos, który rozpoznałem. Należał do Mab Mouldheel.

– Nie ma powodów do strachu, Tom. Nie musisz uciekać. Przychodzimy ci pomóc, o tak. Przychodzimy dobić targu...

Odwróciłem się i ujrzałem Mab, podchodzącą do śpiącego Cobdena. Uklękła i wyciągnęła ku niemu nóż.

– Nie! – zaprotestowałem przerażony tym, co chciała zrobić. Teraz po raz pierwszy przekonałem się, co trzyma w drugiej dłoni. To był mały metalowy kubek z długą nóżką – kielich do zbierania krwi. Czarownice Mouldheelów posługiwały się magią krwi. Zamierzały wziąć to, co im potrzebne.

– Nie zabijemy ich, Tomie – Mab uśmiechnęła się do mnie ponuro. – Nie zamartwiaj się. Chcemy tylko troszeczkę krwi, to wszystko.

– Nie, Mab! Jeśli przelejesz choćby jedną kroplę, nie dobijemy targu. Nie ma mowy.

Mab zawahała się i spojrzała na mnie ze zdumieniem'

– Kim oni są dla ciebie, Tom? Przecież cię pobili. I bez wahania zabraliby cię do Caster i powiesili. A ten należy do Wurmalde – splunęła na Cobdena.

– Mówię poważnie, Mab! – Spojrzałem na pozostałe wiedźmy, które zbiły się w grupkę i słuchały. Druga grupa szła w stronę obozu żołnierzy, unosząc noże. – Mogę być gotów dobić targu, ale przelej jedną kroplę krwi, a nigdy się nie zgodzę. Odwołaj je. Powiedz, żeby się zatrzymały!

Mab wstała i spojrzała na mnie z nadąsaną miną, w końcu skinęła głową.

– Zgoda, Tomie, ale tylko dla ciebie.

Na te słowa pozostałe wiedźmy odwróciły się plecami do żołnierzy i powoli powróciły do nas.

W tym momencie przyszło mi do głowy, że leżący u mych stóp mężczyźni i tak pewnie umierają od trucizny. Czarownice świetnie znają się na truciznach i odtrutkach, może zatem był jeszcze czas ich uratować.

– Jest jeszcze coś – rzekłem do Mab. – Otrułyście tych ludzi gulaszem. Daj im odtrutkę, nim będzie za późno...

Mab pokręciła głową.

– Dodałyśmy jej do wody, nie do gulaszu, ale ich nie zabije – wyjaśniła. – Chciałyśmy tylko, żeby zasnęli, pozwalając nam upuścić trochę krwi. Jutro obudzą się z bolącymi głowami, to wszystko. Chcę, aby rano byli gotowi do walki. Muszą działać dalej i przebić mury wieży! A teraz chodź za mną, Tomie. Kawałek dalej czeka Alice.

– Alice jest z tobą? – zdziwiłem się.

Mab powiedziała to samo, gdy mnie wywabiła z domu ojca Stocksa. Wówczas zamierzała zabić Alice.

– Oczywiście, że jest, Tomie. Negocjowałyśmy, o tak. Mamy wiele do zrobienia przed świtem – jeśli chcemy uratować twoją rodzinę.

– Oni nie żyją, Mab – odparłem ze smutkiem, do oczu napłynęły mi łzy. – Spóźniliśmy się.

– Kto tak twierdzi?

– Wurmalde zamierzała ich zabić, jeśli do północy nie oddam jej kluczy.

– Nie powinieneś jej ufać, Tomie – odparła lekceważąco Mab. – Oni wciąż żyją. Widziałam ich w moim lustrze. Owszem, przyznaję, nie są w najlepszej formie, nie możemy zatem tracić czasu. Ale masz jeszcze drugą szansę, Tomie. A ja ci pomogę.

Odwróciła się na pięcie i ruszyła między drzewa. Tego dnia nawiedzały mnie wyłącznie ponure myśli. Wątpiłem, czy zdołam ocalić własne życie, a co dopiero moją rodzinę. Teraz jednak znów byłem wolny i nagle przepełniła mnie nowa nadzieja i optymizm. Istniała realna szansa, że Jack, Ellie i Mary wciąż żyją; może zdołamy dobić targu z Mab i przekonać ją, by pokazała nam wejście do tuneli wiodących do lochów pod Wieżą Malkinów.

## ROZDZIAŁ 13

### OSSUARIUM

Alice czekała na skraju Wroniego Lasu. Zobaczyłem ją w pierwszym świetle przedświt: siedziała na spróchniałym pniu, u jej stóp leżała moja laska. Naprzeciw przycupnęły siostry Mab, bliźniaczki Beth i Jennet, obserwujące ją czujnie i nieufnie.

Gdy się zbliżyłem, wstała.

– Wszystko w porządku, Tomie? – spytała niespokojnie. – Daj, pozwól, że zdejmę ci to okropieństwo.

Wyciągnęła z kieszeni sukienki mój specjalny klucz i po chwili otworzyła deskę, zdjęła ją ze mnie i cisnęła na ziemię. Stałem tam, masując zdrętwiałe przeguby, i cieszyłem się, że się jej pozbyłem.

– Wurmalde zabiła nieszczęsnego ojca Stocksa i zrzuciła winę na mnie – wyjaśniłem. – Na polecenie Nowella konstabl Barnes wiozł mnie do Caster, gdzie miałem zawisnąć.

– Teraz już nigdzie cię nie zaborą. Jesteś wolny, Tomie – oznajmiła Alice.

– Dzięki mnie – wtrąciła Mab, obdarzając mnie przebiegłym uśmiechem. – To ja ci pomogłam, nie Alice. Lepiej o tym pamiętaj.



– Tak, dziękuję – odparłem. – Jestem wdzięczny, że mnie uwolniłaś.

– Uwolniłam cię, byśmy mogli dobić targu – dodała Mab. – Bierzmy się zatem do dzieła.

Alice zacmokała.

– Powiedziałam jej, co i jak, Tomie – wyjaśniła. – Ale nie chce mi oddać kosmyka moich włosów. A jedna skrzynia jej nie wystarczy.

– Nie ufam ci, Alice Deane – nie dalej, niż mogę splunąć. – Mab wykrzywiła wargi. – Was jest dwoje, a ja tylko jedna, toteż zatrzymam kosmyk do czasu, aż wszystko to się skończy. Gdy tylko dostanę, czego chcę, możesz go sobie wziąć. Ale jedna skrzynia to za mało. Daj mi klucze do wszystkich trzech i jesteśmy kwita. W zamian zaprowadzę cię bezpiecznie do lochów pod tą wieżą. Z moją pomocą możesz ocalić życie rodziny. Jeśli nie pójde z tobą, bez wątpienia umrą.

Mab sprawiała wrażenie zdeterminowanej i wyczułem, że nie odda kosmyka włosów Alice, póki nie zdobędzie kluczy, co oznaczało, że w tunelach Alice nadal zostanie we władzy Mab i nie będzie mogła mi pomóc pokonać. Sam będę musiał to zrobić.

Tato nauczył mnie, że umowa to umowa i nie powinno się łamać raz danego słowa. Teraz zamierzałem tak właśnie postąpić i źle się z tym czułem. Co więcej, choć uczyniła to dla własnych celów, Mab mnie uwolniła, co oznaczało, że nie jestem już więźniem, który ma trafić do Caster na szubienicę. Byłem jej coś za to winien a przecież zamierzałem ją zdradzić. Ogarnęły mnie wyrzuty sumienia, ale wiedziałem, że nie mam wyboru. Musiałem oszukać Mab, bo zależało od tego życie wielu istot. Nie zamierzałem jej dać nawet jednej skrzyni, ale musiałem działać przebiegle.

– Możesz dostać dwie skrzynie, Mab. Dwie i nie więcej. To moje ostatnie słowo.

Stanowczo pokręciła głową.

Westchnąłem, wbijając wzrok w ziemię i udając, że rozmyślam nad sytuacją. Minęła niemal minuta, nim spojrzałem jej prosto w

oczy.

– Mojej rodzinie grozi niebezpieczeństwo, toteż nie mam wyboru, prawda? Zgoda, możesz dostać wszystkie trzy skrzynie – Mab uśmiechnęła się szeroko od ucha do ucha. – W takim razie daj klucze i umowa stoi – wyciągnęła rękę.

Teraz to ja pokręciłem głową.

– Jeśli teraz dam ci klucze, jaką mam gwarancję, że poprowadzisz nas do lochów? Niczym się to nie różni od naszej przewagi liczebnej w tunelu – wskazałem ręką pozostałe czarownice, które obserwowały nas i słuchały każdego słowa. – Kiedy uratujemy moją rodzinę, dostaniesz klucze. Ale nie spodziewaj się ich ani chwili wcześniej.

Mab odwróciła się do mnie plecami, może po to, bym nie widział jej oczu i nie odczytał wyrazu twarzy. Byłem pewien, że gdyby mogła, oszukałaby mnie.

W końcu znów na mnie popatrzyła.

– Stoi – zgodziła się. – Ale nie będzie łatwo. Musimy przywołać wszystkie nasze siły i umiejętności, by dotrzeć cało do tej wieży. Musimy działać razem.

Szykując się do drogi, podniosłem laskę.

Mab zmarszczyła brwi.

– Niepotrzebny ci ten paskudny kij – rzekła. – Lepiej go zostaw.

Wiedziałem, że nie lubi jarzębinowego drewna i uważa je za broń, którą mógłbym posłużyć się przeciw niej, ale stanowczo pokręciłem głową.

– Biorę laskę albo z umowy nici – oświadczyłem.

\*

Ruszyliśmy z Alice za Mab, zataczając szeroki łuk i okrążając wieżę w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. Wkrótce zostawiliśmy za sobą Wroni Las, nadal jednak utrzymując tę samą odległość od Wieży Malkinów, cały czas widocznej po lewej na tle jaśniejącego nieba.

W dali po naszej prawej wznosił się potężny masyw Wzgórza Pendle. Nagle wydało mi się, że widzę rozbłysk światła na szczycie.

Zatrzymałem się zatem, patrząc w tamtą stronę. Mab i Alice podążyły wzrokiem za moim spojrzeniem. Na naszych oczach światło zamigotało, a potem zajaśniało mocno, widoczne w promieniu wielu mil.

– Wygląda, jakby ktoś rozpałił ogień na samym szczycie – zauważyłem.

W całym Hrabstwie można znaleźć wzgórza, na których czasami rozpała się wici, sygnały przekazywane z wierzchołka na wierzchołek znacznie szybciej niż zdołałby jechać posłaniec na koniu. Niektóre z nich przybrały nawet od nich nazwę, tak jak Wzgórze Wici na zachód od Chipenden.

Mab zerknęła na mnie, uśmiechnęła się tajemniczo, po czym odwróciła się i znów ruszyła naprzód. Wzruszyłem ramionami, patrząc na Alice, i podążyliśmy w jej ślady. Sygnał musiał być przeznaczony dla kogoś, pomyślałem. Zastanawiałem się, czy ma to coś wspólnego z klanami czarownic.

Po jakimś kwadransie Mab wskazała przed siebie.

– Tam jest wejście!

Zbliżaliśmy się do, jakby to nazwał mój tato, zaniedbanego lasu. Bo widzicie, większość lasów co kilka lat się „przerzedza”, co oznacza, że miejscowi wycinają część młodych drzewek na opał. Pomaga to również lasowi, bo zapewnia pozostałym drzewom światło i przestrzeń niezbędne do wzrostu. Tak więc zyskują na tym i ludzie, i drzewa. Lecz tu, pośród dojrzałych roślin – dębów, cisów i jesionów – rósł splątany gąszcz młodych drzewek. Nikt nie tknął ich od wielu lat; zastanawiałem się, dlaczego.

I wtedy, gdy dotarliśmy do skraju lasu, nagle wśród poszycia dostrzegłem groby i zrozumiałem, że wśród drzew i roślinności kryje się opuszczony cmentarz.

Na pierwszy rzut oka zagajnik wydawał się nie do przebycia, ale wiodła przez niego wąska ścieżka i Mab ruszyła naprzód bez mrugnienia okiem. To mnie zdumiało, bo wiedziałem, że nie może postawić stopy na poświęconej ziemi. Cmentarz musiał zostać zsekularyzowany, zapewne przez biskupa, i nie był już miejscem

świętym.

Ruszyłem za Mab, Alice dreptała tuż za mną. Po paru chwilach dostrzegłem po lewej ruinę, porośniętą grubą warstwą mchu i porostów. Tylko dwie ściany wciąż stały, najwyższy fragment sięgał mi do ramienia.

– Co to? – spytałem.

– Tylko tyle zostało ze starego kościoła – zawołała przez ramię Mab. – Większość grobów wykopano, a kości zabrano gdzie indziej. W każdym razie te, które znaleźli...

W samym sercu zagajnika ujrzeliśmy polanę pełną nagrobków. Niektóre upadły, inne pochylały się pod najróżniejszymi kątami, a w miejscu wykopanych i zabranych trumien ziały głębokie dziury. Robotnicy likwidujący cmentarz nie zadali sobie trudu, by je zasypać i teraz jamy wypełniały kłębowa krzaków i pokrzyw. A wśród nagrobków stał niewielki kamienny budynek. Z jego dachu wyrastał młodziutki jawor, którego gałęzie tworzyły liściaste sklepienie, ściany porastał bluszcz. Budynek nie miał okien, jedynie spróchniałe drewniane drzwi.

– Co to? – spytałem. Był wyraźnie za mały na kaplicę.

– To ossu... – zaczęła Alice.

– Mnie spytał! – przerwała jej Mab. – To ossuarium, Tomie. Grobowiec nad ziemią, budowany niegdyś dla rodzin mających więcej pieniędzy niż rozumu. Jest w nim sześć wnęk, w każdej spoczywają martwe kości...

– Kości wciąż tam są? – zdziwiłem się, nie wiedziałem, na którą dziewczynę patrzeć. – Czemu nie zabrali ich z całą resztą?

– Rodzina nie życzyła sobie, by zakłócano spokój zmarłych. – Mab ruszyła w stronę drzwi ossuarium. – Ale już naruszono ich spokój i stanie się to jeszcze raz.

Chwyciła klamkę i powoli uchyliła drzwi. W cieniu jaworu już było wystarczająco ciemno, lecz za drzwiami zalegał absolutny mrok. Nie miałem przy sobie ogarka ani hubki, ale Mab sięgnęła do lewej kieszeni sukni i wyciągnęła własną świecę. Zrobiono ją z czarnego wosku, na moich oczach knot zapłonął nagle.

– Teraz będziemy widzieli, co robimy – uśmiechnęła się złośliwie.

Unosząc świecę, poprowadziła nas do ossuarium. Płomyk oświetlał kamienne płyty – półki, na których spożywały szczątki zmarłych. Przekonałem się, co miała na myśli, mówiąc, że już zakłócano ich spokój. Ktoś zrzucił z półek część kości, które leżały w nieładzie na posadzce.

Kiedy znaleźliśmy się w środku, Mab cofnęła się i zamknęła za nami drzwi. Płomyk zatańczył pod wpływem prądu powietrza. W oczodołach najbliższej leżącej czaszki poruszyły się cienie, jakby w martwych kościach ocknęła się iskra nienaturalnego życia.

Gdy tylko drzwi zatrzasnęły się za nami, poczułem nagły chłód i usłyszałem dobiegający z kąta ossuarium cichy jęk. Czyżby był to duch albo widmo?

– Nie ma się czego bać – Mab ruszyła w stronę złowieszczonego dźwięku. – To tylko martwa Maggie, a ona nigdzie się nie wybiera...

Martwa wiedźma siedziała w kącie, oparta o wilgotny mur. Jej kostki obejmowały zardzewiałe metalowe pierścienie, łańcuch łączył każdy z nich z innym pierścieniem osadzonym w kamiennej posadzce. Wykuto je z żelaza, nic dziwnego, że cierpiała. Maggie była uwięziona na dobre.

– Czy czuję tu kogoś z Deane'ów? – zaskomliła głosem drżącym z bólu.

– Przykro mi, że widzę cię w takim stanie, Maggie – Alice ruszyła ku niej. – To ja, Alice Deane...

– Och! Pomóż mi, dziecko! – błagała Maggie. – Usta mam suchsze niżli kości obolałe, nie mogę znieść kajdanów. Uwolnij mnie od tych mąk!

– Nie potrafię ci pomóc, Maggie – Alice podeszła jeszcze bliżej. – Chciałabym, ale jest tu jedna z Mouldheelów. Ma kosmyk moich włosów, więc nic nie mogę począć.

– W takim razie podejdź bliżej, dziecko – wychrypiała Maggie.

Alice posłusznie pochyliła się i martwa wiedźma wyszeptowała jej

coś do ucha.

– Żadnych szeptów! Żadnych sekretów! Nie zbliżaj się do Maggie – ostrzegła Mab.

Alice natychmiast odsunęła się, znałem ją jednak dość dobrze, by odczytać subtelną zmianę jej twarzy: Maggie wyszeptała jej coś ważnego, coś, co mogło nam pomóc w starciu z Mab.

– No dobrze – podjęła nasza przewodniczka. – Ruszajmy dalej. Chodźcie za mną. Będzie ciasno!

Uklękła i zaczęła pełznąć po najniższej półce po lewej, rozrzucając na bok kości leżącego na niej szkieletu. Po chwili widziałem już tylko bose stopy, potem i one zniknęły mi z oczu. Mab zabrała ze sobą świecę i wewnątrz ossuarium zapadła ciemność.

Ściskając w dłoni laskę, poczołgałem się po zimnym kamieniu i w ślad za Mab wcisnąłem w wąską przestrzeń między dwiema płytami, czując pod sobą kości.

Za półką palce prawej dłoni natrafiły na miękką ziemię. Widząc przed sobą błysk światła, wciągnąłem się głową naprzód w głąb płytkiego tunelu, w którym czekała Mab. Stała na czworakach – sklepienie wisiało za nisko, by mogła wstać.

Alice uprzedziła mnie już, że skrzynie można wynieść z Wieży Malkinów tylko przez wielkie, okute żelazem wrota, tą samą drogą, którą tam przybyły, i jedno spojrzenie na owo ciasne przejście potwierdziło jej słowa. Co zatem chciała osiągnąć Mab? Nawet gdyby dotarła do skrzyń, nie mogłaby wynieść ich tędy.

Ja miałem przed sobą ten sam problem, przynajmniej jednak może ocalę rodzinę. A dopóki nie oddam kluczy, żadna wiedźma nie zdoła otworzyć skrzyń.

Kiedy Alice dołączyła do nas, Mab, nie tracąc czasu, popęzła dalej na czworakach. Podążaliśmy za nią, jak najszybciej mogliśmy. Odkąd zostałem uczniem stracharza, odwiedziłem kilka tuneli, ale żaden nie był tak ciasny i klaustrofobiczny jak ten. Nie miał żadnych wsporników i musiałem się zmuszać, by nie myśleć o wielkim ciężarze ziemi nad nami. Gdyby sklepienie się zawaliło,

zostalibyśmy uwięzieni w ciemności; być może ziemia zgmiotłaby nas szybko, możliwe też jednak, że konalibyśmy długo i boleśnie, dusząc się powoli.

Straciłem rachubę czasu, zdawało mi się, że pełzniemy wieczność. W końcu jednak znaleźliśmy się w komorze dostatecznie wysokiej, by wstać. Przez chwilę sądziłem, że jesteśmy już dokładnie pod wieżą, potem jednak ujrzałem przed nami kolejny tunel. W odróżnieniu od poprzedniego był dość wysoki, by dało się nim przejść, a jego sklepienie podtrzymywały solidne drewniane belki.

– W porządku – rzekła Mab. – Dalej jeszcze się nie zapuszczałam. Ten tunel nie pachnie najlepiej...

To mówiąc, pochyliła się i trzy razy głośno pociągnęła nosem. Zastanawiałem się, czy jest w tym dobra. Stracharz powiedział mi kiedyś, że nie wszystkie wiedźmy mają równie czuły węch. Jeszcze raz wciągnęła powietrze, po czym odwróciła się i wzdrygnęła ze zgrozą.

– Jest tam coś mokrego i martwego – oznajmiła. – Nie podoba mi się ten tunel, o nie!

– Nie tchórz mi tu, dziewczyno – zadrwiła Alice. – Pozwól mnie też powęszyć, dwa nosy są lepsze niż jeden. Zgadza się?

– Dobrze, ale pospiesz się – zgodziła się Mab, mierząc nerwowym spojrzeniem wylot tunelu.

Alice nie traciła czasu, raz jeden pociągnęła nosem i uśmiechnęła się.

– Nie ma się czego obawiać. Z mokrym i martwym łatwo sobie poradzimy. Tom ma laskę z jarzębinowego drewna. Powinna wystarczyć, by to powstrzymać, Ruszaj zatem, Mab. Prowadź! Jeśli oczywiście za bardzo się nie boisz. Myślałam, że wy, Mouldheelowie, jesteście twardsi!

Przez chwilę Mab patrzyła gniewnie na Alice, krzywiąc usta, potem jednak poprowadziła nas w głąb tunelu. Mocniej ścisnąłem w dłoni laskę. Coś mi mówiło, że będę jej potrzebował.

# ROZDZIAŁ 14

## UTOPIEC

Jeśli strażnik tunelu był mokry i martwy, zapewne był to „utopiec”. W takim razie w tunelu z pewnością nie brakowało wody. Czytałem o utopcach w Bestiariuszu stracharza: rzadko występowały w Hrabstwie, ale były bardzo niebezpieczne. Tworzyły je czarownice, które za pomocą czarnej magii więziły dusze utopionych marynarzy w ich martwych ciałach. Ciało nie rozkładało się, ale rozdymało i zyskiwało niewiarygodną siłę. Utopce zazwyczaj nie widziały, bo ryby wyjadały im oczy, miały jednak czuły słuch i pozostając pod wodą potrafiły zlokalizować ofiarę na suchym lądzie.

Miałem właśnie pójść za Mab, lecz Alice machnęła ręką na znak, że powinienem zostać z tyłu i puścić ją przodem. Widziałem, że coś planuje, ale nie miałem pojęcia, co. Pozwoliłem jej zatem ruszyć pierwszej z nadzieją, że wie, co robi.

Zdawało się, że idziemy całe wieki, w końcu jednak zaczęliśmy zwalniać i zatrzymaliśmy się.

– To mi się nie podoba! – zawołała Mab. – Przed nami jest woda. Źle pachnie. Nie wygląda bezpiecznie...

Ruszyłem naprzód i stanąłem obok Alice, tak że oboje wyglądaliśmy ponad ramieniem Mab. Spodziewałem się bieżącej wody – może strumienia albo podziemnej rzeki, przez którą nie zdołałaby się przepawić. Zamiast tego tunel rozszerzał się, tworząc owalną jaskinię z niewielkim jeziorem pośrodku. Woda sięgała niemal ścian jaskini, lecz po lewej pozostała wąska błotnista ścieżka. Wyglądała na bardzo śliską.

Jeziro mnie martwiło. Było ciemne, koloru mułu, a na jego tafli dostrzegłem zmarszczki, coś, czego można oczekiwać po wodzie poruszanej wiatrem. Znajdowaliśmy się jednak pod ziemią,



powietrze stało spokojne i nieruchome. Miałem także przecucie, że jezioro jest bardzo głębokie. Czyżby pod powierzchnią czało się coś paskudnego? Przypomniałem sobie, co wywęszyła Mab – „coś mokrego i martwego”. Czy był to utopiec, jak przypuszczałem?

– Nie mamy całej nocy, Mab! – zawołała wesoło Alice. – Mnie też niespecjalnie się tu podoba i im wcześniej stąd wyjdziemy, tym lepiej!

Mab, zdecydowanie niespokojna, przełożyła czarną świecę do prawej dłoni i wkroczyła na błotnistą ścieżkę. Zdążyła postawić zaledwie parę kroków, kiedy jej bose stopy zaczęły się ślizgać. O mało nie straciła równowagi i musiała wyciągnąć lewą rękę, by przytrzymać się ściany. Świeca zamigotała niebezpiecznie.

– Spokojnie, dziewczyno! – W głosie Alice dźwięczała szydercza nuta. – Wpadnięcie do tej wody to niedobry pomysł. Potrzeba ci porządnej pary butów, wiesz? Sama nie chciałabym czuć między palcami tego oślizgłego błota. Stopy śmierdzą od niego pod niebiosy!

Mab obróciła się ku nam, jej usta znów wygięły się w gniewnym grymasie. Już miała porządnie nagadać Alice, gdy stało się coś, od czego serce podeszło mi do gardła.

Szybciej, niż zdołałem mrugnąć, z wody wyłoniła się wielka ręka, blada, rozdęta i bezkrwista i złapała Mab za prawą kostkę. Czarownica natychmiast straciła równowagę i kwicząc jak prosię poleciała na bok w błoto; dolna połowa jej ciała zniknęła z pluskiem w wodzie. Mab, wrzeszcząc ze zgrozy, na moich oczach ześlizgiwała się coraz głębiej i głębiej. Między nami stała Alice, w przeciwnym razie podałbym Mab moją laskę. Porwanie przez utopca to zbyt straszny los.

Mab nadal trzymała świecę, wymachiwała jednak rękami i byłem pewien, że lada moment zniknie pod wodą. Gdyby płomień zgasł, pozostałibyśmy w ciemności, nie widząc zbliżającego się niebezpieczeństwa. Alice, zupełnie jakby odczytała moje myśli, gibko niczym kotka skoczyła naprzód i wyrwała Mab świecę. Potem cofnęła się, patrząc, jak tamta powoli znika, wciągana pod

wodę.

– Uratuj ją, Alice! – zawołałem. – Nikt nie zasłużył sobie na podobną śmierć...

Alice z niechętnym wzruszeniem ramion pochyliła się, złapała Mab za włosy i zaczęła ciągnąć.

Mab krzyknęła jeszcze głośniejszym głosem z bólu. Przypominało to przeciąganie liny: coś pod powierzchnią próbowało ją wciągnąć, Alice stawiała opór, usiłując wywlec ją na brzeg. Mab musiała czuć się, jakby rozrywali ją na pół.

– Dźgnij go laską, Tom! – krzyknęła Alice. – Trać go porządnie i odgoń!

Wkroczyłem na błotnistą ścieżkę obok niej i skierowałem koniec laski ku wodzie, szukając celu. W wodzie unosił się muł, fale lizały brzegi ścieżki i niczego nie widziałem. Mogłem jedynie wyceLOWać w miejsce tuż poniżej tego, gdzie powinny znajdować się stopy Mab. Dźgnąłem mocno dwa czy trzy razy, nic to jednak nie dało i zorientowałem się, że Alice przegrywa: woda sięgała Mab niemal do pach. Spróbowałem ponownie, wciąż bez powodzenia. A potem, za ósmym czy dziewiątym razem, trafiłem w coś. Woda zafalowała i nagle stwór wypuścił Mab, a Alice wciągnęła ją z powrotem na ścieżkę.

– Dobra, Tomie, jeszcze nie skończyliśmy! Weź tę świecę, stój z boku z laską na wypadek, gdyby wrócił.

Przejąłem świecę i uniosłem ją jak najwyżej, tak że blask padał na całą powierzchnię mulistego jeziora. W lewej dłoni trzymałem jarzębinową laskę, gotową, by uderzyć utopca.

Alice złapała nagle Mab prawą ręką, lewą wciąż trzymając jej włosy, zmusiła do ukłęknięcia i pchnęła głowę tak, że niemal dotykała wody.

– Oddaj mi to, co moje! – krzyknęła do lewego ucha czarownicy.  
– Zrób to szybko, albo ten stwór odgryzie ci nos!

Przez chwilę Mab szarpała się, potem jednak woda zaczęła falować, jakby coś wielkiego płynęło ku powierzchni.

– Weź go! Weź! – krzyknęła z paniką w głosie – Mam go na

szyi.

Alice wypuściła Mab i wciąż trzymając ją za włosy wolną ręką wyrwała coś zza gorsu jej sukienki. Był to kawałek sznurka. Alice przegryzła go zębami, zerwała z szyi Mab i wyciągnęła ku mnie.

– Spal to! – krzyknęła.

Gdy przysunąłem świecę, odkryłem, że sznurek oplata skręcony kosmyk włosów: włosy z głowy Alice, dzięki którym Mab zyskała nad nią władzę. Płomień zapalił sznurek, który rozbłysnął z głośnym sykiem, w powietrzu rozeszła się woń palonych włosów i Alice upuściła zwęglone resztki do wody.

Gdy to zrobiła, dzwignęła Mab na nogi, złapała za rękę i popychając, poprowadziła ścieżką na drugą stronę jeziora. Szedłem tuż za nimi, starając się nie pośliznąć i z lękiem zerkając na wodę. Na moich oczach coś wielkiego wypłynęło na powierzchnię. Pośród cieni pod przeciwległą ścianą pokazała się głowa o włosach splątanych na czubku i unoszących się wokół. Twarz była blada i napuchnięta, w miejscu oczu ziały czarne puste oczodoły a gdy pokazał się nos, zaczął węszyć głośno niczym ogar szukający ofiary.

Lecz w chwilę później dotarliśmy do wylotu tunelu, niebezpieczeństwo minęło. Mab, mokra i obdarta, straciła dawną pewność siebie, lecz od przybycia do Pendle nie widziałem radośniejszej Alice.

– Możemy za to podziękować martwej Maggie – rzekła, uśmiechając się do mnie szeroko. – Wyszepiała mi to co musiałam wiedzieć. To był utopiec, łatwo go wywęszyć. Zawsze strzeże ścieżki. Dobrze go wyszkoliły, nie tknie nikogo z krwią Malkinów w żyłach. Z nazwiska jestem Deane, ale w połowie pochodzę z Malkinów. To dlatego kazałam ci się cofnąć, Tom. Największe niebezpieczeństwo groziło Mab.

– Nieładnie jest oszukiwać – rzuciła Mab. – Ale nie będę narzekać, jeśli tylko dostanę skrzynie.

– Ja odzyskałam mój kosmyk, więc też nie narzekam. – Alice uśmiechnęła się drwiąco. – A jeśli chcesz dostać skrzynie, najpierw

musimy znaleźć rodzinę Toma całą i zdrową. Żadnych sztuczek więcej – o ile wiesz, co dla ciebie dobre.

– Nie oszukałabym Toma – oznajmiła Mab. – Tak się składa, że ocalił mi życie, odganiając utopca. Nieprędko o tym zapomnę.

– O, tak się składa, że ocalił mi życie – Przedrzeźniała ją Alice.  
– Tak się składa, że ja też to zrobiłam, gdybyś nie zauważyła. –  
Ponownie złapała Mab za włosy i pchnęła ją w głąb tunelu.

Pożałowałem Mab. Nie było potrzeby traktować jej tak surowo i powiedziałem to Alice.

Moja towarzyszka niechętnie wypuściła włosy czarownicy. Już miała mi odpowiedzieć, gdy coś innego przyciągnęło naszą uwagę. Po kolejnych trzydziestu krokach znaleźliśmy się przy drewnianych, osadzonych w kamieniu drzwiach. Wyglądało na to, że dotarliśmy do Wieży Malkinów.

Dostrzegłem skobel i zamek pod nim. Oddałem świecę Alice, która odciągnęła Mab na bok. Ja tymczasem chwyciłem skobel i uniosłem powoli, starając się nie narobić hałasu. Kiedy jednak pociągnąłem, drzwi stawily opór. Były zamknięte – nie stanowiło to jednak przeszkody, bo przecież brat stracharza Andrew był ślusarzem. Alice złapała świecę zębami i podała mi mój specjalny klucz. Odebrałem go jej, wsunąłem w zamek, obróciłem i z satysfakcją usłyszałem szczęk.

– Gotowa? – wyszeptałem, oddając klucz Alice.

Skinęła głową.

– I proszę, przestańcie się sprzeczać. Nie hałasujcie, póki nie znajdziemy mojej rodziny i nie znikniemy stąd.

– I póki nie dostanę moich skrzyń – dodała Mab, lecz z Alice puściliśmy jej słowa mimo uszu.

Znów podniosłem skobel, powoli otwierając drzwi.

Wewnątrz panowała nieprzenikniona ciemność, w powietrzu jednak wisiał silny odór zgnilizny i rozkładu, od którego zrobiło mi się niedobrze. Czuło się w nim woń śmierci.

Alice z niesmakiem zmarszczyła nos i przysunęła świecę do otwartych drzwi. Przed nami ciągnął się korytarz, po obu stronach

ujrzałem drzwi cel. W każdym na wysokości głowy tkwiło zakratowane okienko. W oddali dostrzegłem znacznie większe pomieszczenie bez drzwi. Czy moja rodzina siedziała w jednej z cel?

– Przypilnuj Mab – poprosiłem Alice. – Daj mi świecę, sprawdzę każdą celę...

Gdy znalazłem się przy pierwszej, przysunąłem świecę do kraty w drzwiach. Pomieszczenie wyglądało na puste. W drugiej zastałem mieszkańca – szkielet pokryty pajęczynami i odziany w obszarpane nogawice i wyświeconą koszulę. Ręce i nogi miał przykute do ściany łańcuchami. Jak zginął ów więzień? Czy Malkinowie po prostu porzucili go, tak że skonał z głodu? Poczulem nagły dreszcz. Na moich oczach nad szkieletem pojawiła się wąska kolumna światła, w której zaczęła formować się umęczona twarz.

Twarz skrzywiła się i próbowała przemówić, lecz zamiast słów słyszałem jedynie bolesne jęki. Nieszczęśnik nie żył, ale o tym nie wiedział i nadal tkwił uwięziony w swej celi, cierpiąc równie dotkliwie, jak w ostatnich dniach życia. Chętnie bym mu pomógł, ale miałem na głowie pilniejsze sprawy. Ile jeszcze spotkam tu duchów potrzebujących uwolnienia? Rozmowa z każdą udręczoną duszą mogła potrwać wiele godzin, nim w końcu przekonałbym ją do przeprawy na drugą stronę.

Unosząc świecę, sprawdziłem wszystkie cele. Wyglądało na to, że żadnej z nich nie używano od bardzo dawna. W sumie naliczyłem szesnaście, w siedmiu dostrzegłem kości. Gdy dotarłem do końca korytarza, wyteżyłem słuch, lecz usłyszałem jedynie słaby odgłos kapania wody. Odwróciłem się zatem i wezwałem gestem Alice. Zaczekałem, aż podprowadzi do mnie Mab, po czym nerwowo przekroczyłem próg pomieszczenia. Blask płomienia świecy nie sięgał do wszystkich mrocznych kątów wielkiej sali. Z kamieni nad nami ściekała woda, w powietrzu czułem wilgoć i chłód.

Na pierwszy rzut oka komnata zdawała się opuszczona. Była wielka i okrągła, odchodził z niej drugi korytarz, identyczny jak ten, który już zbadałem. Na ścianie wokół komnaty wznosiły się

spiralne schody wiodące do klapy w suficie, dającej dostęp do piętra powyżej. Wyniosłe sklepienie podpierało pięć wielkich, cylindrycznych kolumn, najeżonych łańcuchami i kajdanami. Zauważyłem też żarnik pełen zimnego popiołu i ciężki, drewniany stół z najróżniejszymi metalowymi kleszczami i innymi instrumentami.

– To tu torturują swoich wrogów – głos Alice odbił się echem w cichej komnacie. Splunęła na kamienną posadzkę. – Niedobrze jest przyjść na świat w takiej rodzinie.

– Zgoda – dodała Mab. – Może Tom powinien uważniej dobierać sobie przyjaciół. Jeśli chcesz przyjaźnić się z czarownicą, Tomie, są lepsze rody, z których możesz wybierać.

– Nie jestem czarownicą. – Alice szarpnęła Mab za włosy tak mocno, że tamta zapiszczała.

– Przestańcie – syknąłem. – Chcecie, żeby zorientowali się, że tu jesteśmy?

Dziewczyny zamilkły z zawstydzonymi minami i zaprzestały kłótni. Rozejrzałem się i zadrzałem na myśl, co musiało dziać się w tym pomieszczeniu; po plecach przebiegały mi kolejne fale zimna. Wielu torturowanych zmarłych wciąż pozostawało uwieczonych w wieży. Najpierw postanowiłem przeszukać drugi korytarz. Sprawdziłem już szesnaście cel, ale musiałem sprawdzić resztę: w jednej z nich mogła siedzieć moja rodzina. Po tym, co już widziałem w lochach, obawiałem się najgorszego. Ale musiałem poznać prawdę.

– Muszę sprawdzić każdą celę – poinformowałem Alice. – To trochę potrwa, ale trzeba to zrobić.

Alice przytaknęła.

– Oczywiście, że tak, Tomie. Lecz ponieważ marny tylko jedną świecę, będziemy trzymać się blisko.

Gdy tylko Alice przemówiła, z góry dobiegł nas ochrypły śmiech – męski, donośny i okrutny, a po nim piskliwe odgłosy kobiecego rozbawienia, które zakończyły się złośliwym chichotem. Zamarliśmy.

Dźwięki zdawały się dobiegać tuż znad klapy. Czyżby Malkinowie chcieli zejść do lochu?

Lecz ku memu zdumieniu nerwową ciszę przerwała Mab. Nawet nie zniżyła głosu.

– Nie martw się – rzekła. – Nie zejda tu, nie teraz, masz moje słowo. Postrzegłam to, o tak. Tracisz czas, Tomie. Twoją rodzinę znajdziemy tam, na górze – wskazała ruchem głowy.

– Czemu mielibyśmy cię słuchać? – syknęła Alice. – Postrzegłaś, akurat! Utopca nie postrzegłaś, prawda?

Nie zwracałem uwagi na ich sprzeczki. Alice mówiła, Mab zawsze dotrzymuje słowa. Może miała rację, ale musiałem sprawdzić sam. Było rzeczą oczywistą, że na górze czają się czarownice, toteż z ciężkim sercem zacząłem systematycznie sprawdzać drugi korytarz, cały spięty, w obawie, że lada moment kłapa nad naszymi głowami otworzy się i Malkinowie zbiegną po schodach, by nas dopaść.

W wielu celach znalazłem kości, lecz prócz paru szczurów tu, na dole, nic nie żyło. Poczulem ulgę, zakończywszy poszukiwania. Dopiero wówczas przyjrzałem się stopniom, zastanawiając się, co zastaniemy wyżej.

Alice zerknęła na świecę, po czym spojrzała na mnie, ze smutkiem kręcąc głową.

– Nic chciałam ci mówić, Tomie, ale nie mam wyjścia. Niełatwo będzie uciec tym tunelem w ciemności. Nie będziecie bezpieczni, przechodząc obok utopca. Musimy odejść szybko, nim świeca zgaśnie.

Alice miała rację, świeca już się dopalała. Wiedziałem, że wkrótce pogrążymy się w ciemności, ale nie mogłem jeszcze odejść.

– Chciałbym sprawdzić piętro nad nami. Jeden rzut oka i ruszamy w drogę.

– W takim razie zrób to szybko, Tomie. Czasami Malkinowie przetrzymywali tam więźniów. Jeśli nie chcieli mówić, sprowadzano ich tutaj, gdzie ginęli po długich mękach.

– Trzeba było tam sprawdzić, kiedy ci mówiłam – wtrąciła Mab.

– Wówczas nie zmarnowalibyśmy aż tyle czasu.

Znów puszczając jej słowa mimo uszu, ruszyłem ku schodom. Alice podążyła za mną, nadal trzymając mocno Mab, choć wypuściła już jej włosy, a zamiast tego ścisnęła dłoń. Na szczycie schodów wyciągnąłem ręce i spróbowałem unieść klapę. Nie była zamknięta na klucz, ale odetchnąłem głęboko, nim zacząłem podnosić ją bardzo powoli, nasłuchując. A jeśli wiemy czały się tuż nad nami? Co będzie, jeśli mnie chwycą, gdy tylko klapa się otworzy?

Dopiero kiedy uniosła się w pełni, wsunąłem głowę w dziurę i, powoli unosząc świecę, przegnałem ciemność. Pomieszczenie wydawało się pozbawione wszelkiego życia. Nawet szczury nie biegały po wilgotnych kamieniach posadzki. Nad sobą widziałem wnętrze wieży, wydrążony cylinder ze spiralą wąskich stopni biegnącą pod kamienną ścianą w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. Tu i tam dostrzegałem drewniane drzwi cel. Powietrze było wilgotne, na ścianach ujrzałem mokre plamy i smugi zielonego śluzu; z góry ściekała woda, rozbryzgując się na kamieniach po mej lewej. Zapewne nawet część wieży nad nami znajdowała się wciąż pod ziemią. Wysunąłem się z otworu i ruszyłem ku stopniom, wzywając gestem Alice.

– Bądź cierpliwa, Alice. Uwinę się jak najszybciej, podbiegnę tylko i sprawdzę każde drzwi. Jeśli ich tam nie ma, uciekniemy, póki jeszcze możemy.

– Dotarliśmy tak daleko – głos Alice odbijał się echem w olbrzymim pomieszczeniu. – Równie dobrze możemy doprowadzić poszukiwania do końca. Zresztą to ostatnie cele. Następne piętro leży już nad ziemią – tam mieszczą się sale mieszkalne i magazyny. Idź sam i zobacz, ja zostanę tutaj i będę mieć oko na Mab.

Nim jednak zdążyłem się ruszyć, usłyszałem odległy huk, a po nim głęboki grzmot, który zdawał się wstrząsać w posadach ścianami i podłogą pod moimi stopami.

– Wygląda na to, że znów ostrzeliwują wieżę – zauważyła Alice.



– Już? – spytałem ze zdumieniem. Dziwne, że żołnierze tak szybko wrócili do pracy.

– Zaczęli wkrótce po świcie – wyjaśniła Mab – nieco wcześniej, niż zamierzali. Przydałoby się nam trochę czasu, ale to twoja wina, Tomie. Nie pozwoliłeś mi upuścić im krwi, a wtedy pospaliby dłużej.

– Nie zwracaj na nią uwagi, Tom – wtrąciła Alice. Ona wciąż tylko gada i gada. Wejdz po schodach wcześniej się stąd zabierzemy, tym lepiej!

Nie potrzebowałem dalszej zachęty i natychmiast ruszyłem naprzód. Lecz mimo pośpiechu nie biegłem. Stopnie były wąskie i im wyżej się wspinałem, tym bardziej onieśmielająca wydawała się pustka po lewej. Dotarłem do pierwszej celi i zajrzałem do środka przez za kratowane okienko w drzwiach. Nic. Nim wspiąłem się do drugiej, rozległ się kolejny huk, a po nim grzmot i fala wibracji z góry: żołnierze ponownie strzelili z działa.

Druga cela także była pusta, ale przy trzeciej usłyszałem dźwięk. W ciemności płakało dziecko. Czy mogła to być mała Mary?

– Ellie! Ellie! – zawołałem. – To ty? To ja, Tom...

Dziecko przestało płakać, ktoś poruszył się wewnątrz. Usłyszałem szelest spódnic i tupot trzewików na kamieniach posadzki, a potem przy kracie pojawiła się twarz. Uniosłem świecę, lecz przez chwilę nie poznałem jej. Splątane włosy otaczały boleśnie wychudzone oblicze, z którego spoglądały przekrwione, zapłakane oczy. Nie miałem jednak wątpliwości. Najmniejszych wątpliwości.

To była Ellie.

## **ROZDZIAŁ 15**

### **JAK GIBKIE KOTY**

– Och, Tomie, to ty? To naprawdę ty? – zawołała Ellie i po policzkach popłynęły jej łzy.

– Nie martw się, Ellie – odparłem. – Wkrótce was stąd wyciągnę i będziecie w drodze do domu.

– Tomie, chciałabym, żeby to było takie łatwe. – Jej ramionami wstrząsał szloch, łzy wpływały do otwartych ust.

Ja jednak już zawróciłem i wezwałem Alice.

Wspinała się szybko, popychając przed sobą Mab. Bez chwili zwłoki otworzyła drzwi celi. Gdy wszedłem do środka, unosząc wysoko świecę, Mary pobiegła do matki, która chwyciła ją w ramiona. Ellie spojrzała na mnie okrągłymi, pełnymi nadziei oczami, potem jednak cofnęła się niepewnie, gdy dostrzegła z tyłu Alice i Mab. I wtedy zauważyłem Jacka. W celi nie było łóżka, tylko sterta brudnej słomy w najdalszym kącie. Leżał na niej mój brat. Oczy miał szeroko otwarte i zdawał się gapić w sufit. Nie mrugał.

– Jack! Jack! – podbiegłem ku niemu. – Nic ci się nie stało?

Ale oczywiście stało się i pojąłem to w chwili, gdy go ujrzałem. W ogóle nie zareagował na mój głos. Jego ciało leżało w celi, lecz umysł przebywał gdzie indziej.

– Jack nie mówi. W ogóle nie poznaje mnie ani Mary – odparła Ellie. – Jedynie z trudem połyka i mogę tylko zwilżać mu wargi. Jest taki, odkąd zabrali nas z farmy...

Głos Ellie załamał się, gdy znów ogarnęły ją emocje. Ja mogłem jedynie patrzeć bezradnie. Czułem, że powinienem jakoś ją pocieszyć, ale była żoną mojego brata i zaledwie parę razy zdarzyło mi się ją uścisnąć: pierwszy raz na weselu tuż po ich ślubie, drugi, gdy odchodziłem z domu po tym, jak przeżyła złowieszczą wizytę czarownicy Mateczki Malkin. W tamtym dniu coś się zmieniło. Doskonale pamiętałem ostatnie słowa Ellie, gdy ostrzegała mnie, bym nigdy nie odwiedzał farmy nocą.

„Możesz sprowadzić ze sobą coś złego, a nam nie wolno ryzykować, by coś podobnego spotkało naszą rodzinę.”

I miała rację. Najgorsze obawy Ellie się sprawdziły. Czarownice

z Pendle najechały farmę z powodu skrzyń, które zostawiła mi mama.

Dopiero Alice zrobiła to, czego ja powinienem był spróbować. Wciąż ciągnąc Mab za rękę, podeszła do Ellie i lekko pogładziła jej ramię.

– Już dobrze, dobrze – rzekła miękko. – Jest tak, jak mówi Tom. Zabierzemy was stąd. Wkrótce będziecie w domu, nie bój się.

Ale Ellie wzdrygnęła się nagle.

– Trzymaj ją z dala ode mnie i mojego dziecka! – krzyknęła z twarzą wykrzywioną wściekłością. – To od ciebie wszystko się zaczęło! Nie podchodź do mnie, wstrętna, mała czarownico! Myślisz, że mogę znów wrócić do domu? Nigdy nie będziemy tam bezpieczni. Jak miałabym zabrać tam dziecko? One wiedzą, gdzie jesteśmy! Mogą nas znaleźć, kiedy tylko zechcą!

Alice spojrzała na nią ze smutkiem, ale nie odpowiedziała, jedynie cofnęła się ku mnie.

– Niełatwo będzie sprowadzić Jacka po tych schodach Tomie. Ale im wcześniej spróbujemy, tym lepiej.

Rozejrzałem się po celi. Była to ponura klitka, wilgotna i zimna, po dalszej oślizgłej ścianie ściekała woda. Pomieszczenie nie wyglądało aż tak źle, jak przedstawiła Wurmalde, ale po bezpiecznej, przytulnej farmie musiało zdawać się straszne. Lecz Jacka spotkało coś jeszcze gorszego.

Czy stało się tak dlatego, że wszedł do pokoju mamy? Ostrzegala mnie, że to niebezpieczne. Nawet stracharz nie mógłby tam wejść bez szwanku. Co więcej, Jack skopiował mój klucz – w przeciwnym razie nie zdołałby otworzyć drzwi, gdy zażądały tego wiedźmy. Czy w jakiś sposób płacił za to cenę? Ale z pewnością mama nie chciała, by tak cierpiał?

– Czy mogłabyś jakoś pomóc Jackowi? – spytałem Alice.

Świetnie sobie radziła z ziołami i zazwyczaj miała przy sobie sakiewkę z wybranymi lekami.

Spojrzała na mnie powątpiewająco.

– Mam ze sobą kilka rzeczy, ale nie zdołam ich zaparzyć, więc

nie zadziałają zbyt mocno. Nie jestem pewna, czy w ogóle cokolwiek dadzą. Na pewno nie, jeśli to pokój twojej mamy go skrzywdził.

– I tak nie życzę sobie, by dotykała Jacka – Ellie spojrzała z niesmakiem na Alice. – Trzymaj ją od niego z daleka, Tom, przynajmniej tyle możesz zrobić!

– Alice może pomóc, naprawdę – powiedziałam Ellie. – Mama jej ufała...

Mab zacmokała, jakby wątpiła w umiejętności Alice ja jednak nie zwracałem na nią uwagi, a Alice jedynie posłała jej gniewne spojrzenie. Wyciągnęła z kieszeni niewielką skórzaną sakiewkę, pełną ziół.

– Masz tu wodę? – spytała Ellie.

Z początku sądziłem, że bratowa nie odpowie. W końcu jednak wrócił jej rozsądek.

– Na podłodze w kącie stoi mała miska, ale niewiele już w niej zostało.

– Pilnuj jej – rzuciła do mnie Alice, wskazując głową Mab, która jedynie wzruszyła ramionami. Gdzie mogła pójść? Na górę do Malkinów? Czy na dół, do tuneli? Mab nie miała szans przejść tamtędy w ciemnościach i dobrze o tym wiedziała.

Alice podeszła do miski z wodą, rozwiązała sakiewkę i wyjęła kawałek liścia, który zanurzyła w wodzie, trzymając, by nasiąknął. Ponownie usłyszałem huk armatniej kuli, uderzającej o mur. Alice pochyliła się nad Jackiem rozchyliła mu wargi i wepchnęła do ust rozmiękczonego liść.

– Zadławi się! – krzyknęła Ellie.

Alice pokręciła głową.

– Liść jest za mały i za miękki. Rozpadnie mu się „ustach, o tak. Nie sądzę, by pomógł zbyt wiele, ale zrobiłam, co mogłam. Wkrótce zgaśnie świeca i wtedy będziemy mieli prawdziwy kłopot.

Spojrzałem na migoczący ogarek. Widziałem, że starczy najwyżej na kilka minut.

– Będziemy musieli spróbować znieść Jacka. Ty złap go za nogi,

Alice – zaproponowałem, podchodząc do brata, gotów chwycić go pod ramiona.

Przeceniłem jednak wielkość świecy. Dokładnie w tym momencie zgasła.

\*

W celi było bardzo ciemno i przez chwilę nikt nie poruszał się ani nie mówił. Potem Mary wybuchnęła płaczem, usłyszałem, jak Ellie szepcze do niej.

– Wciąż jeszcze pozostaje nadzieja – oznajmiłem. – Całkiem nieźle widzę w ciemnościach. Pójdę zatem przodem i zniosę Jacka z Alice, jak mówiłem. Będzie ciężko, ale damy radę.

– To ma sens – zgodziła się Alice. – Zróbmy tak, i to szybko, nie ma co tracić czasu.

Starałem się przemawiać pewnym siebie tonem, ale schody były strome, a obok ziała pustka. Nawet jeśli zejdziemy bezpiecznie, utopiec nadal strzegł tunelu i trudno będzie przenieść obok niego Jacka. Lepiej było coś zrobić, niż czekać, aż Malkinowie wrócą i poderzną nam gardła, ale nie miałem zbytnej nadziei.

I wtedy w ciemności przemówiła Mab. Na chwilę zupełnie o niej zapomniałem.

– Nie – rzekła. – Musimy tylko zaczekać. Kanonierzy wkrótce przebiją mur, Malkinowie zbiegną po schodach i uciekną tunelami. Kiedy to zrobią, wejdziemy na górę i wydostaniemy się przez dziurę w ścianie.

Przez chwilę nie odpowiadałem, ale potem zjeżyły mi się włoski na karku. Czy Mab to przewidziała? Czy tak właśnie zamierzała wydostać z wieży skrzynie? Przez rozwalony mur? Tak czy inaczej, jej pomysł zabrzmiał rozsądnie, mógł się nawet udać, choć nie miałem pojęcia, jak zamierza uniknąć żołnierzy i wydostać skrzynie. Jeśli wejdziemy po schodach, ja z pewnością skończę w zamku w Caster, gdzie powieszą mnie za zbrodnię, której nie popełniłem.

– Lepiej byłoby pójść za Malkinami, kiedy już uciekną – zaproponowałem.

– Zaufaj mi – rzekła Mab. – Bezpieczniej wyjść górą niż dać się uwięzić w tunelach z Malkinami. Wyprowadźmy twoją rodzinę cało i zdrowo, ja dostanę skrzynie i wszystko dobrze się skończy.

Im dłużej nad tym rozmyślałem, tym lepszy wydawał mi się jej plan. Ellie, Jack i Mary z pewnością byliby bezpieczniejsi w rękach żołnierzy niż czarownic. Nowell mówił, że wszyscy schwytani w wieży zostaną posłani do Caster pod sąd. Lecz żołnierze z pewnością zorientują się natychmiast, że Jack i jego rodzina są ofiarami. Moja historia się potwierdzi. W razie konieczności nasz sąsiad, pan Wilkinson, mógłby złożyć zeznanie. Widział przecież, co się stało.

Alice jednak mogło nie udać się ująć cało. Pochodziła z Pendle, w jej żyłach płynęła krew Malkinów. Istniało realne niebezpieczeństwo, że jako jedyna z tej rodziny stanie przed sądem. A co do mnie, wiedziałem, czego się spodziewać. Ja także trafię do Caster, oskarżony o zamordowanie nieszczęsnego ojca Stocksa.

Na tę myśl ścisnęło mi się serce. Nie miałem własnych świadków, a Nowell uwierzy we wszystko, co powie Wurmalde. Przynajmniej jednak skrzynie znajdą się w rękach wojska, nie czarownic i w końcu rodzina będzie mogła bezpiecznie wrócić do domu. O własnej przyszłości wolałem nie myśleć.

Mary znów płakała. Ellie próbowała ją uspokoić, choć przychodziło jej to z trudem w ciemności, w ciężkiej atmosferze strachu.

– Myślę, że Mab ma rację, Ellie – starałem się, by moje słowa zabrzmiały optymistycznie. – Żołnierze atakują wieżę, sprowadził ich tu miejscowy prefekt, by uratować was z rąk Malkinów. Pomysł Mab może się sprawdzić. Musimy tylko zachować cierpliwość.

Od czasu do czasu kolejne uderzenia wstrząsały wieżą. Nikt nie odzywał się w ciemności, jedynie Jack pojękiwał cicho. Po paru chwilach dziecko przestało płakać jedynie chlipało.

– Tracimy tu czas – rzekła niecierpliwie Alice. – Chodźmy na

dół, przejdziemy tunelem i znikniemy, nim zjawią się Malkinowie.

– To głupota – odparowała Mab. – W ciemności? Niosąc Jacka i prowadząc małe dziecko? Tobie łatwo mówić, ciebie utopiec przepuści bezpiecznie. Mówiłam już, że postrzegłam to wszystko. Czy wy, Deane'owie, nigdy nie słuchacie? Widziałam to! Wyjdziemy stąd bezpiecznie, a ja dostanę moje skrzynie.

Alice parsknęła wzgardliwie, ale zaniechała dalszej sprzeczki. Oboje wiedzieliśmy, że niezależnie od wszystkiego, co się stanie, Mab nie zdobędzie skrzyń.

\*

Minęło chyba pół godziny, nim armata przestała strzelać. Zanim zdążyłem o tym wspomnieć, odezwała się Mab.

– Przebili się przez mur – oznajmiła. – Wszystko dzieje się tak, jak widziałam. Wkrótce Malkinowie zaczną zbiegać po schodach. Jeśli tu wejdą, będziemy musieli walczyć o życie.

Świadom lęku Ellie o los męża i dziecka, sam nie wspominałbym o tym, lecz Mab była brutalnie szczerą. Część Malkinów mogła dostać rozkaz zabicia więźniów. Zastanawiałem się, jak wielu mogą przysłać. Przynajmniej na naszą korzyść będzie działał element zaskoczenia. W celi było nas więcej, niż przypuszczali.

– Mab ma rację – mruknąłem. – Zamknij drzwi od wewnątrz, Alice. Dzięki temu zdołamy ich zaskoczyć.

Alice z irytacją syknęła przez zaciśnięte zęby, słysząc, jak popieram Mab. Lecz po chwili szczęknął klucz w zamku, a ja mocniej chwyciłem laskę. Natychmiast potem gdzieś poza celą otwarły się drzwi i moich uszu dobiegł odległy pomruk głosów. Potem usłyszałem kroki na kamieniach, ktoś schodził – i to nie jedna osoba, ale kilka. Słyszałem głosy, tupot ciężkich butów i stukot szpiczastych trzewików odbijający się echem na schodach.

W celi nikt się nie odezwał, choć wszyscy byliśmy świadomi grożącego nam niebezpieczeństwa. Czy szli po Jacka, Ellie i Mary, czy też po prostu uciekali? W starciu z tak wieloma nie mielibyśmy szans. Lecz choć sytuacja wydawała się beznadziejna, wiedziałem,

że nie ustąpię bez walki.

Kroki zbliżyły się i po chwili tuż za kratą dostrzegłem blask świec i ciemne sylwetki przesuwające się z prawej na lewą obok drzwi. To czarownice i ich pomocnicy z klanu uciekali do lochów. Dotarli na dół i zaczęli znikać za klapą. W sumie było ich może dwa tuziny. Nagle zapadła cisza. Nie śmiałem liczyć na to, że odeszli. Może w pośpiechu, podczas ucieczki zupełnie zapomnieli o więźniach?

– Za chwilę dwójka z nich wróci – wyszeptała Mab. – Musimy być gotowi!

W tym momencie usłyszałem w dali kobiecy głos. Nie rozumiałem słów, lecz tonu nie dało się z niczym pomylić: był zimny, przepełniony okrucieństwem. Serce ścisnęło mi się w piersi, gdy znów usłyszałem kroki na schodach.

Kiedy zbliżyli się do drzwi, w ciemności celi ktoś pociągnął nosem.

– Jest ich dwójka, to wszystko – rzekła Alice, która właśnie wywęszyła potwierdzenie przepowiedni Mab.

Czarownica odezwała się w mroku.

– Dwójka, o tak – przytaknęła. – A jedno to tylko mężczyzna. Wkrótce się z nim rozprawię...

Podwójne kroki zbliżyły się: stukot szpiczastych trzewików i tupot ciężkich buciorów. Ktoś wsunął klucz w zamek, za zakratowanym okienkiem odezwała się kobieta.

– Małą zostaw mnie – poleciła. – Jest moja...

Gdy drzwi się otwały, uniosłem laskę, gotów bronić Ellie i jej rodziny. Mężczyzna trzymał w prawej dłoni lampę, a w lewej sztylet o długim, okrutnym ostrzu. Za jego plecami stała czarownica o wąskich, zaciśniętych ustach i oczach jak czarne guziki, przyszyte nierówno do czoła.

Nie mieli nawet czasu się zdziwić ani odetchnąć. Nim zdążyli zareagować, zanim postąpiłem choćby krok naprzód, Mab i Alice zaatakowały. Skoczyły jak gibkie koty, które z wyciągniętymi pazurami śmigają ku zaskoczonym ptakom, dziobiącym ziemię w



poszukiwaniu robaków. Ale to nie były ptaki i nie umiały latać. Malkinowie cofnęli się i nagle zniknęli ze schodów, spadając z wrzaskiem. Zadrżałem, słysząc, jak uderzają o ziemię w dole.

Lampa upadła na ziemię i leżała w progu, świeca wciąż się paliła. Mab ją podniosła i oświetliła schody, parząc w dół.

– Teraz przynajmniej mamy nieco światła – rzekła. – To powinno ułatwić sprawę.

Kiedy zwróciła się z powrotem do nas, uśmiechała się, jej oczy błyszczały okrutnie.

– Więcej nas nie zaczepią. Nie ma to jak martwy Malkin – dodała, zerkając na Alice. – Czas ruszać na górę

Alice natomiast dygotała cała, mocno przyciskając ręce do brzucha, jakby zaraz miała wymiotować.

Z góry dobiegł nas nowy dźwięk, rozdzierający, metaliczny zgrzyt.

– Żołnierze są już w środku – oznajmiła Mab. – To odgłos spuszczanego zwodzonego mostu. Pora iść na górę, Tom...

– Nadal uważam, że powinniśmy pójść na dół w ślad za Malkinami – oznajmiła stanowczo Alice.

– Nie, Alice. Pójdziemy na górę. Uważam, że tak będzie najlepiej – odparłem.

– Czemu bierzesz jej stronę, Tom? Czemu dajesz się jej okręcać wokół małego palca? – zaprotestowała Alice.

– Daj spokój, Alice! Nie biorę niczyjej strony, ufam mojemu instynktowi, tak jak zawsze każe mi mistrz. Pomóż mi, proszę – dodałem błagalnie. – Pomóż mi wnieść Jacka po schodach.

Przez chwilę sądziłem, że odmówi, ona jednak weszła z powrotem do celi. Gdy pochylała się nad Jackiem, dostrzegłem, że trzęsą jej się ręce.

– Weź moją laskę, Ellie – wyciągnąłem ją ku niej. – Może mi się jeszcze przydać.

Ellie sprawiała wrażenie wystraszonej, zapewne była w szoku, oszołomiona tym, co właśnie zaszło. Nadal trzymając w objęciach córkę, przyjęła moją laskę, ściskając ją mocno w lewej dłoni.

Podniosłem Jacka za ramiona, Alice złapała go za nogi. Zwisiał bezwładnie i z trudem unieśliśmy go z ziemi. Jak zdołamy dźwigać go po schodach? Dreptaliśmy powoli, Ellie szła tuż za nami. Była to prawdziwa mordęga, mniej więcej co dwadzieścia stopni musieliśmy robić sobie przerwy. Mab oddalała się od nas coraz bardziej, światło jej lampy przygasało.

– Mab! – zawołałem za nią. – Zwolnij, nie możemy dotrzymać ci kroku!

Nie posłuchała, nawet nie obejrzała się za siebie. Lękałem się, że wejdzie na wyższe piętro, zostawiając nas samych w ciemności na niebezpiecznych, wąskich stopniach. Lecz moje obawy okazały się bezpodstawne. Czarownice zamknęły za sobą górną klapę, bez wątpienia chcąc opóźnić pościg. Mab siedziała pod nią z ponurą miną, czekając, aż Alice otworzy zamek moim specjalnym kluczem. Nadal jednak pierwsza skoczyła na górę, a my ruszyliśmy za nią powoli. Dopiero gdy wciągaliśmy Jacka przez dziurę i położyliśmy ostrożnie na podłodze, mogłem rozejrzeć się dokoła.

Znajdowaliśmy się w długim pomieszczeniu z niskim stropem; w jednym kącie leżały worki ziemniaków ułożone w piramidę sięgającą sufitu, obok wznosił się stos rzep. Nad kolejną stertą, tym razem marchwi, na wielkich hakach uczepionych powały, wisiały solone szynki. W pomieszczeniu nie było ciemno i nie potrzebowaliśmy już lampy; przeciwległy kraniec oświetlał nawet promień słońca. Mab stała tam, zwrócona do nas plecami. Ruszyłem ku niej, Alice dreptała za mną.

Czarownica czekała przy otwartych drzwiach. Wpatrywała się zafascynowana w coś leżącego na podłodze. Coś, co zostało w magazynie.

Były to trzy wielkie skrzynie, które wiemy mi ukradły. Mab dotarła do nich w końcu – ale wciąż nie miała klucza.

## **ROZDZIAŁ 16**

## SKRZYNIĘ MAMY

Spojrzałem ponad skrzyniami. Za otwartymi drzwiami jaśniało słońce i panowała cisza. W powietrzu tańczyły drobinki kurzu, ale gdzie byli żołnierze?

– Na zewnątrz jest zbyt cicho – zauważyłem.

Alice przytaknęła.

– Chodźmy zobaczyć – zaproponowała.

Razem przeszliśmy do wielkiej, zabałaganionej sali, sypialni Malkinów. Na ziemi wały się brudne pośłania, przy ścianach piętrzyły się stosy zwierzęcych kości i resztki dawnych posiłków. Lecz część jadła była świeża; kamienną podłogę zaścielały potłuczone talerze i niedojedzona strawa. Wyglądało na to, że gdy żołnierze przebili mur, Malkinowie wciąż jedzący śniadanie umknęli w popłochu, porzucając wszystko.

Sklepienie wznosiło się bardzo wysoko, pod ścianą dostrzegłem kolejne schody. W powietrzu wisiała woń kuchennego dymu, pod nią wyczułem całą gamę odorów niemytych ciał, zepsutego jedzenia, zbyt wielu ludzi, którzy tłoczyli się razem zbyt długo. Kamienie z rozwalonego muru posypały się na podłogę, miażdżąc stół i roztrzając rondle i sztuce; przez wyrwę dostrzegłem drzewa Wroniego Lasu.

Otwór, choć wąski, wystarczył, by precyzyjnie się przezeń dorosły człowiek. Żołnierze bez wątpienia byli na terenie wieży, bo wielkie wrota stały otworem, a most zwodzony został spuszczoney. I faktycznie, dostrzegłem ich w oddali, daleko za fosą – mężczyzn w czerwonych kurtkach, krzątających się żwawo niczym mrówki. Zaprzęgali właśnie konie robocze do wózka z armatą i najwyraźniej szykowali się do odjazdu. Ale czemu nie ścigali Malkinów? Łatwo byłoby im wyłamać klapę w podłodze i dostać się na niższe poziomy. Dlaczego zadawszy sobie tyle trudu, nie dokończyli zadania? I gdzie podziewał się prefekt, mości Nowell?

Za sobą usłyszałem dźwięk, tupot bosych stóp na zimnych,

kamiennych płytach i odwróciwszy się, odkryłem, że dołączyła do nas Mab. Uśmiechała się tryumfalnie.

– Nie mogło ułożyć się lepiej! Nie zatrulałam wody tylko po to, byśmy mogły cię uwolnić – przechwalała się, patrząc na mnie. – Miałam też inny powód. Nie chcieliśmy, by kanonierzy zauważyli wczoraj wici na Wzgórzu Pendle. Chcieliśmy, by wrócili rano do pracy i przebili się przez mur, żeby dało się wynieść skrzynie. W końcu musiało do nich dotrzeć wezwanie z koszar w Colne. Mamy ich już z głowy. Żołnierzyki mogą pobiec na wojnę i dać się zabić.

– Wojnę? – spytałem ostro. – Jaką wojnę? Co masz na myśli?

– Wojnę, która wszystko zmieni! – zaśpiewała Mab. – Najeźdźca przebył morze i wylądował daleko na południu. Lecz choć nie są to bliskie ziemie, wszystkie hrabstwa będą musiały się połączyć i odegrać swoją rolę. Widziałam to! Widziałam wici przekazujące wieści z hrabstwa do hrabstwa, wzywające żołnierzy do koszar, ogień przeskakujący z jednego wzgórza na drugie. Widziałam nadciągającą wojnę. Postrzegłam to wszystko, o tak. Ale w ostatecznym rozrachunku chodziło o wybór odpowiedniej chwili. Jestem lepsza od Tibba!

– Och, przestań się przechwalać – Alice próbowała sprowadzić ją na ziemię. – Nie widzisz wszystkiego, Nie jesteś wcale tak bystra, jak sądzisz. Nie widzisz, co jest w skrzyniach Toma i nie widziałaś wejścia do wieży Dlatego musiałaś torturować biedną Maggie. Nie przewidziałaś też pojawienia się utopca!

– Ale i tak nieźle sobie poradziłam. Lecz masz rację mogłabym być jeszcze lepsza. Wszystko zależy od rytuału. Zależy od odpowiedniej nocy. Zależy od tego, czyją krew wypiję – rzuciła przebiegle Mab. – Mała brataniczka Toma świetnie by się nadała. Dajcie mi jej krew w Święto Plonów, a zobaczę wszystko. Wszystko, co zechcę ujrzeć. A teraz oddawaj klucze do skrzyń, a ja was wypuszczę!

Oburzony tym, co usłyszałem, uniosłem laskę. Już miałem opuścić ją z całych sił na jej głowę, Mab jednak jedynie uśmiechnęła się do mnie śmiało i wskazała wielkie drewniane

wrota. Podążyłem wzrokiem za jej gestem i za zwodzonym mostem ujrzałem coś, od czego serce uciekło mi w pięty.

Żołnierze w czerwonych kurtkach zniknęli, nie został nawet ślad po roboczych koniach i wózku z armatą. Zamiast tego spomiędzy drzew wyłoniły się postacie, idące ku nam wśród kęp wysokich traw. Inne dotarły już blisko zwodzonego mostu – kobiety w długich sukniach, dzierżące sztylety. Mab zaplanowała wszystko do ostatniego szczegółu.

Malkinowie uciekli tunelami. Żołnierze odjechali na wojnę, pozostawiając niedokończone zadanie. A teraz Mouldheelowie przybyli po skrzynie. Mab od początku zamierzała tą drogą zabrać je z wieży. Dostatecznie dobrze przewidziała przyszłość, by zwyciężyć. Plan, który ułożyliśmy z Alice, okazał się nierealny. Mab nas przechytrzyła i teraz nie mogliśmy jej pokonać. Poczulem nagłe mdłości. Ellie i Jack znów staną się więźniami – a niebezpieczeństwo grożące ich dziecku było bardzo realne. Mówił mi to okrutny wyraz twarzy Mab.

– Zastanów się dobrze, Tomie – podjęła. – Jesteś mi to winien. Mogłam poczekać w lesie z pozostałymi, prawda? Zaczekać w bezpiecznym miejscu, dopóki żołnierze nie odejdą, tak jak przewidziałam. Zamiast tego naraziłam życie, przemycając cię do wieży, byś mógł ocalić rodzinę. Widziałam, co się stanie: uciekający Malkinowie poderznąliby im gardła. Widziałam to równie wyraźnie, jak nos na twojej twarzy; widziałam, jak wchodzą do celi z nożami. I pomogłam ci ich ocalić. Ale nie zrobiłam tego za darmo. Wiesz, jaka była umowa, jesteś mi winien i to dużo. Dobiliśmy targu, pamiętasz? Rób, co do ciebie należy! Ja zawsze dotrzymuję słowa i spodziewam się, że ty także dotrzymasz swojego.

– Myślisz, że jesteś taka sprytna! – Alice chwyciła nagle Mab za rękę nad łokciem. – Ale to jeszcze nie koniec. O, nie. Chodź, Tom. Mamy lampę. Możemy uciec tunelami!

Mówiąc to, pchnęła Mab z powrotem do magazynu Poszedłem tuż za nimi, w głowie wirowały mi myśli Malkinowie zapewne nadal tam byli, ale kierowali się do wyjścia w ossuarium i nim

dotrzemy na miejsce, zapewne już znikną. Wciąż mieliśmy niewielkie szanse. Lepsze to niż zostać tutaj na łasce Mouldheelów.

Ellie klęczała obok Jacka, który oddychał ciężko, oczy miał zamknięte. Mary trzymała się kurczowo spódnicy matki, bliska łez.

– Szybko, Ellie, musisz mi pomóc – powiedziałem cicho. – Pojawilo się kolejne niebezpieczeństwo. Musimy jak najszybciej wracać do tuneli. Pomożesz mi nieść Jacka.

Ellie spojrzała na mnie, jej twarz zdradzała oszołomienie i głęboki ból.

– Nie możemy znów go ruszyć, Tom. Nie tam. To zbyt wiele. Jest za słaby – nie wytrzyma tego...

– Musimy, Ellie. Nie mamy wyboru.

Mab roześmiała się, lecz Alice szarpnęła ją mocno za włosy.

Gdy pochyliłem się, by złapać Jacka pod pachami, Ellie pokręciła głową i położyła mu się na piersi, przyciskając jego ciało swoim ciężarem do ziemi. Zrozpaczony zastanawiałem się, czy nie powiedzieć jej, co grozi małej Mary. Tylko to mogło przekonać bratową, by się ruszyła.

Ale milczałem. Było za późno. Czarownice z klanu Mouldheelów dotarły już do magazynu – co najmniej tuzin, a wśród nich siostry Mab – Beth i Jennet. Utworzyły wokół nas krąg, patrząc zimnymi, bezlitosnymi oczami, gotowe użyć swych noży.

Alice spojrzała na mnie, w jej oczach dostrzegłem rozpacz. Beznadziejnie wzruszyłem ramionami i wypuściła Mab.

– Powinnam cię teraz zabić – Mab niemal wypluła te słowa, patrząc na Alice. – Ale umowa to umowa. Kiedy otworzę skrzynie, będziesz mogła odejść z pozostałymi. Teraz, Tom, wszystko zależy od ciebie.

Pokręciłem głową.

– Nie zrobię tego, Mab – oznajmiłem. – Skrzynie należą do mnie.

Mab pochyliła się, chwyciła Mary za rękę i odciągnęła od matki. Beth rzuciła nóż siostrze, która chwyciła go zgrabnie i przyłożyła

do gardła dziecka. Gdy dziewczynka rozplakała się, oszołomiona i przerażona, Ellie rzuciła się na Mab, zdołała jednak postawić zaledwie dwa kroki, nim jedna z czarownic rzuciła ją ziemię i przyszpiliła do podłogi, przyciskając kolanem plecy.

– Oddaj mi klucze, albo zabiję to dziecko! – powiedziała ostro Mab.

Uniosłem laskę, szacując dzielącą nas odległość, ale wiedziałem, że nie zdołam uderzyć dostatecznie szybko. A nawet gdyby, to co? Pozostałe powaliłyby mnie w sekundę.

– Daj im klucze, Tom! – krzyknęła Ellie. – Na litość boską, nie pozwól im jej skrzywdzić!

Współodpowiadałem za bezpieczeństwo Hrabstwa i powinność ta sprawiła, że już raz zaryzykowałem życie rodziny Ellie, odmawiając. To jednak było zbyt okropne. Mary krzyczała histerycznie, bardziej przerażona strachem matki niż grożącym jej ostrzem. Mab zabiłaby ją na moich oczach i nie mogłem tego znieść. Pozwoliłem, by laska wysunęła mi się z dłoni. Skłoniłem głowę, ogarnięty rozpaczą.

– Nie rób jej krzywdy, Mab – błagałem. – Proszę, nie rób jej krzywdy. Nie rób krzywdy nikomu. Wypuść ich, a ja dam ci klucze.

\*

Czarownice wyprowadziły z wieży Alice, Ellie i Mary zabrały je do lasu za fosą; dwie z nich poniosły Jacka niczym worek kartofli. Po tym, jak zgodziłem się oddać klucze, Alice nie odezwała się już ani słowem. Jej twarz stężała niczym maska. Nie miałem pojęcia, o czym myśli.

.. Zostaną pod strażą w lesie – oświadczyła Mab. – Puścimy ich wolno, kiedy otworzę skrzynie i ani chwili wcześniej. Ale ty nigdzie nie pójdziesz. Zostaniesz tutaj, Tom. I będzie nam tu dobrze bez Alice – tego kundla Malkinów i Deane'ów – wciąż stojącej nam na drodze. Daj mi teraz klucze i zaczynajmy...

Nie protestowałem. Czułem się bezradny. Wszystko to przypominało koszmar, z którego nie mogłem się uwolnić. Zawiodłem Hrabstwo, stracharza i moją mamę. Z ciężkim sercem

ściągnąłem z szyi klucze i podałem jej. Podeszła do skrzyń, a ja ruszyłem za nią, stojąc pokornie u jej boku. W sali zostały z nami tylko Beth i Jennet, ale na zewnątrz kręcili się uzbrojeni Mouldheelowie strzegący wyjścia.

– Którą powinnam otworzyć pierwszą? – Mab uśmiechnęła się do mnie z ukosa.

Wzruszyłem ramionami.

– Skrzynie są trzy i nas jest trzy – zawołała z tyłu Beth. – Po jednej dla każdej! Wybieraj szybko, Mab, potem my otworzymy nasze. Ja będę druga.

– Czemu ja miałabym być ostatnia? – poskarżyła się Jennet.

– Nie martw się – odparła Beth. – Jeśli źle wybiorę może dostaniesz najlepszą.

– Nie! – syknęła Mab, odwracając się gwałtownie do sióstr. – Wszystkie trzy skrzynie należą do mnie! Jeśli się wam poszczęści, może dam wam po prezencie. A teraz siedźcie cicho i nie psujcie mi tej chwili. Ciężko pracowałam, by je zdobyć.

Blizniaczki wzdrygnęły się i umknęły przed wrogim spojrzeniem siostry. Mab znów skupiła uwagę na skrzyniach. Nagle uklękła i wsunęła jeden z trzech małych kluczy do zamka środkowej. Próbowала nim pokręcić, ale nie chciał się obrócić. Marszcząc z irytacją brwi, sprawdziła drugą skrzynię. Gdy ta także się nie otworzyła, Jennet zachichotała.

– Do trzech razy sztuka, siostro! – zawołała drwiąco. – To nie jest twój najszcześniejszy dzień, co?

Kiedy klucz nie otworzył także trzeciej skrzyni, Mab podniosła się z ziemi i stanęła przede mną. W jej oczach płonął gniew.

– To na pewno te klucze? – spytała ostro. – Jeśli to jakaś sztuczka, zobaczysz, pożałujesz.

– Sprawdź jeden z pozostałych – zaproponowałem.

Mab posłuchała, z tym samym skutkiem.

– Myślisz, że jestem głupia? – krzyknęła, potem jej twarz wykrzywiła się okrutnie, odwróciła się do Jennet. – Idź, sprowadź tu dziecko!



– Nie – wtrąciłem. – Proszę, nie rób tego, Mab. Spróbuj trzeciego klucza. Może zadziała...

Zacząłem się denerwować, poczułem, jak poca mi się dłonie. Samo oddanie kluczy było dostatecznie okropne, wiedziałem jednak, że jeśli nie otworzą skrzyń, zemsta Mab będzie straszna i czarownica zacznie od zabicia dziecka. Co jest nie tak?, zastanawiałem się. Może skrzynie otworzą się tylko, jeśli ja będę miał w ręku klucz? Czy to w ogóle możliwe?

Mab znów uklękła i sprawdziła trzeci klucz. Pierwsze dwie skrzynie nie otwarły się, lecz ku mojej uldze trzeci zamek szczęknął i klucz obrócił się powoli. Z tryumfalnym uśmiechem uniosła głowę, po czym powoli dźwignęła ciężkie drewniane wieko.

Skrzynia była pełna, ale nie widziałem jeszcze dokładnie czego. Na górze leżał starannie złożony kawał białej tkaniny. Mab uniosła go i rozwinęła, i przekonałem się, że to suknia. Nagle pojąłem, że to suknia ślubna. Czy należała do mamy? Najprawdopodobniej. Inaczej, po co trzymałaby ją w skrzyni?

– Za duża dla mnie, o tak. – Mab skrzywiła się złośliwie, przykładając suknię do ciała. Spódnica wlokła się po podłodze. – Jak myślisz, Tom? Dobrze mi w niej, prawda?

Trzymała suknię tył naprzód i sapnąłem nagle dostrzegając rząd guziczków, przecinający całe plecy. Nie miałem czasu ich policzyć, ale zobaczyłem dosyć, by podejrzewać, że zrobiono je z kości. Ostatni raz widziałem podobne guziki na sukni Meg Skelton, lamii mieszkającej ze stracharzem w Anglezarce. Czy suknia ślubna mojej mamy miała guziki z kości, tak jak sukienka czarownicy?

Mab cisnęła zdobycz Jennet.

– Prezent dla ciebie, Jennet! – zawołała. – Kiedyś do niej dorośniesz! Musisz tylko być cierpliwa, to wszystko.

Jennet chwyciła suknię, krzywiąc się z niesmakiem.

– Nie chcę tego starego łacha! Tyją sobie węz, Beth – oddała zdobycz siostrze.

Tymczasem Mab wyciągnęła ze skrzyni drugą rzecz, kolejną

sztukę odzieży. Znów przyłożyła ją do ciała, sprawdzając rozmiar, choć już na pierwszy rzut oka widać było, że to męska koszula.

Natychmiast zgadłem co to: koszula taty – ta sama, którą osłonił ciało mamy przed groźnymi promieniami słońca, kiedy znalazł ją przywiązaną do kamienia srebrnym łańcuchem – łańcuchem, który należał do mnie, póki Nowell mi go nie odebrał. Zatrzymała koszulę przez pamięć tego, co dla niej zrobił.

– Ta stara koszula to twój prezent, Beth! – zawołała Mab, rzucając ją siostrze z drwiącym uśmiechem.

Oczywiście było to lepsze niż śmierć Mary, ale czułem ból, patrząc, jak czarownice bez cienia szacunku traktują pamiątki mamy. Jej życie kryło się w tej skrzyni. Chciałem spokojnie przejrzeć jej rzeczy, a nie patrzeć, jak obmacuje je Mab. Ale przecież Tibb uważał, że kryje się tam coś bardzo ważnego. Coś, co Mab mogła odkryć w każdej chwili.

Mab znów skupiła się na skrzyni, chłonąc zachłannym wzrokiem jej zawartość. Były tam słoje i zalakowane butelki, każda podpisana. Czyżby zawierały lecznicze mikstury? Może znalazłoby się wśród nich coś, co pomogłoby Jackowi? Ujrzałem też mnóstwo tomów różnych rozmiarów, wszystkie oprawne w skórę. Niektóre wyglądały jak dzienniki. Zastanawiałem się, czy to mama je napisała. Moją uwagę przyciągnęła jedna, wyjątkowo duża księga. Bardzo pragnąłem ją podnieść. Czyżby był to zapis jej życia z tatą na farmie? A może relacja z dawnych czasów, zanim się spotkali?

W skrzyni były też trzy duże płócienne worki, zawiązane sznurkiem. Mab wyjęła jeden i gdy postawiła go podłódze, usłyszałem wyraźny brzęk monet. Jej oczy rozszerzyły się, pospiesznie rozplatała sznurek i zanurzyła dłoń w worku. Gdy ją wyjęła, błysnęło złoto: dłoń miała pełną gwinei.

– Tu musi być fortuna! – Oczy niemal wyszły jej z orbit z chciwości.

Szybko sprawdziła pozostałe dwa worki – one takie były pełne złotych monet, w dostatecznej ilości, by dało się za nie kupić po

wielokroć farmę Jacka. Nigdy nie przypuszczałem, że mamie zostało tyle pieniędzy.

– Po jednym worku dla każdej! – wykrzyknęła Beth.

Tym razem Mab nie sprzeciwiła się siostrze. Jej wzrok znów powędrował ku skrzyni.

– Dobrze jest mieć pieniądze – rzekła – ale daję głowę, że znajdzie się tu coś jeszcze lepszego. Może w tych książkach? Mogą w sobie kryć mnóstwo wiedzy – zaklęć i innych rzeczy. Wurmalde bardzo chciała zdobyć te skrzynie. Pragnęła mocy twojej mamy. Musi zatem być w nich coś, co warto mieć!

Wybrała największy z tomów, ten, który mnie zaintrygował i wyciągnęła ze skrzyni. Kiedy jednak otworzyła na losowo wybranej stronie, zmarszczyła czoło. Zaczęła szybko przerzucać kartki, coraz bardziej skrzywiona.

– To wszystko obcy język! – zawołała. – Nic nie rozumiem, ani be, ani me. Możesz to przeczytać, Tomie? – Szybkim ruchem podała mi książkę.

Zanim jeszcze spojrzałem, wiedziałem, że nie będzie po łacinie, bo język ten znało sporo czarownic. Książka należała do mamy, toteż naturalnie zapisano ją w jej własnym języku – grece. Języku, którego uczyła mnie od wczesnego dzieciństwa.

– Nie – powiedziałem, starając się by zabrzmiało to przekonująco. – Zupełnie nic z tego nie rozumiem.

Lecz w tym momencie pomiędzy kartek wyleciała mała koperta i wirując opadła na podłogę. Mab schyliła się, podniosła ją, pokazując mi i rozdarła.

*Do mego najmłodszego syna, Thomasa J. Warda*

Czarownica zgmiotła kopertę i odrzuciła w kąt, po czym rozłożyła list. Znów zmarszczyła brwi i podała mi go.

– To nie wystarczy, Tomie – rzekła drwiącym tonem – Wyraźnie schodzisz na złą drogę. Najpierw nie chcesz dotrzymać umowy, a teraz mnie okłamujesz. Więcej się po tobie spodziewałam. Ten list napisano w tym samym języku co książkę. Po co matka miałaby pisać do syna w języku, którego nie rozumie? Lepiej powiedz co w nim jest, w przeciwnym razie pozostali nie odejdą chyba że do grobu.

Przyjąłem list i zacząłem czytać, rozumiejąc każde słowo, jakby napisano je w mej własnej mowie.

*Mój drogi Tomie,*

*Skrzynia ta miała zostać rozpakowana jako pierwsza.*

*Pozostałe dwie mogą zostać otwarte wyłącznie w blasku księżyca i tylko twoją ręką. Spoczywają w nich moje uśpione siostry i jedynie pocałunek księżyca może przywrócić je jawie. Nie lękaj się ich. Poznają, że jesteś z mojej krwi i będą nad tobą czuwać, w razie potrzeby oddając życie w obronie twojego.*

*Wkrótce ucieleśnienie mroku znów będzie stąpać po ziemi. Lecz ty jesteś ucieleśnieniem moich nadziei i niezależnie od ceny, którą na krótką metę przyjdzie zapłacić, masz dość woli i sił, by w końcu zwyciężyć.*

*Bądź wierny swemu sumieniu i posłuszny instynktowi. Mam nadzieję, że pewnego dnia znów się spotkamy, lecz cokolwiek się stanie, pamiętaj, że zawsze będę z ciebie dumna.*

*Mama*

## **ROZDZIAŁ 17**

### **W BLASKU KSIEŻYCA**

– I co? Co tam jest napisane? – spytała ostro Mab.

Zawahałem się, rozmyślając gorączkowo. Siostry mamy? Jakie siostry sypiały w podobnych skrzyniach? I od jak dawna w nich leżą? Odkąd mama przybyła do Hrabstwa i poślubiła tatę, wiele lat temu? Musiała sprowadzić swoje siostry z Grecji!

I widziałem już coś bardzo podobnego w Anglezarke. Lamie. Istniały dwa rodzaje czarownic lamii – udomowione i dzikie. Te pierwszego rodzaju były jak Meg Skelton, ukochana stracharza: nie różniły się niczym od ludzkich kobiet prócz rzędu zielonożółtych łusek bielących wzdłuż pleców. Drugi typ bardziej przypominał siostrę Meg, Marcję: biegały na czworakach, porośnięte łuskami i piły krew. Niektóre potrafiły nawet latać na krótki dystans. Czy to możliwe, by mama była lamią, zacną i udomowioną? W końcu Meg

i Marcia także pochodziły z Grecji. Dzika Marcia trafiła z powrotem do domu w trumnie, by nie przerazić pozostałych pasażerów na statku – stracharz posłużył się miksturą, aby mogła przespać podróż. Tę samą miksturę podawał Meg, by przesyiała całe miesiące.

A potem przypomniałem sobie, jak mama raz w miesiącu odwiedzała swój tajemniczy pokój. Chodziła tam sama i nigdy nie pytałem, co robi. Czyżby rozmawiała z siostrami i w jakiś sposób znów je usypiała? Byłem niemal pewny, że to dzikie lamie. Może we dwie zdołają pokonać Mab i pozostałych Mouldheelów.

– No dalej, czekam – warknęła Mab. – I zaczyna brakować mi cierpliwości.

– Tu jest napisane, że pozostałe skrzynie można otworzyć tylko w blasku księżyca i że to ja muszę obrócić klucz w zamku.

– A wiesz, co jest w środku?

– Nie ma nawet wzmianki na ten temat, Mab – skłamałem. – Ale to musi być coś wyjątkowego i cenniejsze go niż wszystko, co dotąd znaleźliśmy. W przeciwnym razie nie byłoby tak trudno się do tego dostać.

Mab zerknęła na mnie podejrzliwie, toteż paplałem dalej, by odwrócić jej uwagę.

– Co się stało z innymi, mniejszymi skrzynkami z pokoju mamy? – spytałem. – Było ich mnóstwo, a czarownice, które najechały farmę, zabrały wszystkie.

– A, to... Słyszałam, że były pełne śmieci: tanich broszy i ozdób, to wszystko. Malkinowie rozdzielili je pośród członkiń klanu.

Ze smutkiem pokręciłem głową.

– To niesprawiedliwe. Należały do mnie. Miałem prawo je obejrzeć.

– Ciesz się raczej, że wciąż żyjesz – odparowała Mab.

– Czy wypuścisz już Alice i moją rodzinę? – naciskałem.

– Zastanowię się...

– Jack jest chory, ktoś musi mu pomóc. Potrzebuje konia i wozu, by jak najszybciej zawieźć go do medyka. Jeśli umrze, nigdy

nie otworzę pozostałych skrzyń. No dalej, Mab, dotrzymaj słowa. Masz już jedną skrzynię, a dwie następne otworzę dziś wieczór, gdy tylko wzejdzie księżyc. Proszę.

Mab przez chwilę patrzyła mi prosto w oczy, potem odwróciła się do sióstr.

– Idźcie i powiedzcie pozostałym, żeby ich puścili.

Jennet i Beth zawahały się.

– On potrzebuje wozu, Mab. Nie może chodzić – nalegałem.

Mab skinęła głową.

– W takim razie go dostanie. Obyś tylko ty dotrzymał słowa. No dalej, ruszajcie się – warknęła do sióstr. – I każcie im pogonić murarzy.

– Murarzy? – powtórzyłem, gdy Beth i Jennet zniknęły, by wypełnić polecenia siostry.

– Mają naprawić mur. Malkinowie są skończeni. Teraz wieża należy do nas. Czasy się zmieniły. Dziś to my władamy Pendle!

\*

Po niecałej godzinie zjawili się czterech murarzy i zabralo do naprawy muru. Sprawiali wrażenie nerwowych i wyraźnie coś ich gryzło. Bez wątpienia chcieli jak najszybciej skończyć robotę i z wielką siłą, energią i zręcznością układali na miejscu ciężkie kamienie.

Tymczasem inni członkowie klanu zeszli po schodach do lochów. Mieli rozkaz zabezpieczyć niższe poziomy wieży. Wkrótce wrócili, meldując, że tak jak Mab oczekiwała, Malkinowie opuścili już lochy i umknęli tunelem. Mab poleciła, by na dole zostali strażnicy.

– Kiedy Malkinowie dowiedzą się, że żołnierze opuścili okolicę, mogą zechcieć wrócić.

Przed zmierzchem wyrwa w murze została załatana lecz Mab miała jeszcze jedno zadanie dla murarzy. Kazała im wnieść dwie ciężkie, zamknięte skrzynie po wąskich stopniach na mury. Gdy to zrobili, odeszli pospiesznie, a czarownice podniosły most zwodzony, zamykając nas w wieży.

Prócz Mab i jej sióstr było jeszcze dziesięć kobiet, cały krąg

Mouldheelów. Towarzyszyły im jednak także cztery starsze kobiety, zajmujące się gotowaniem i sprzątaniem. Przyrządziły cienką kartoflanę z marchwią i mimo iż ugotowały ją członkinie klanu czarownic, przyjąłem pełny talerz. Obawiając się jednak trucizny bądź mikstury, która dałaby Mab władzę nade mną, dopilnowałem, by nabrały mi z tego samego kotła, co reszcie. Kiedy czarownice zaczęły jeść, zamoczyłem chleb w zupie i poszedłem w ich ślady.

Po kolacji miałem ochotę zająć się zawartością skrzyni mamy, lecz Mab kategorycznie mi tego zakazała i poleciła trzymać się z daleka.

– Jeszcze naoglądasz się tych skrzyń – oznajmiła. – Miną miesiące, nim przetłumaczysz mi wszystkie księgi.

Wkrótce po zachodzie słońca, z lampą w dłoni poprowadziła mnie na blanki. Beth i Jennet dreptały tuż za mną. Na szczycie schodów weszliśmy do kolejnej komnaty o drewnianej podłodze, w której mieścił się mechanizm opuszczający i podnoszący most zwodzony. Składają się na niego wielki drewniany kołowrót, a także system drewnianych kół i przekładni i zapadka przymocowana do łańcucha. Obracając kołem, owijało się łańcuch wokół niej i podnosiło most.

Drugie wyjście z sali prowadziło na zębate blanki, z których roztaczał się wspaniały widok na wszystkie strony. Wzgórze Pendle wznosiło się ponad drzewa Wroniego Lasu, a dzięki łąkom, ciągnącym się między wieżą a pierwszymi drzewami, nikt nie zdołałby przekraść się niepostrzeżenie. Kanonierzy ruszyli na wojnę, wieża, teoretycznie niezdobyta, znalazła się w rękach Mouldheelów. Zerknąłem na skrzynie.

Siostry nie miały pojęcia, co czeka na nie w środku.

W miarę, jak robiło się coraz ciemniej, lampa zdawała się płonąć jaśniej i jaśniej. Wiedziałem, że księżyc wyłonił się już zza horyzontu, ale z zachodu wiał mocny wiatr, gnający po niebie ciężkie, deszczowe chmury.

Możliwe, że minie sporo czasu, nim światło księżycy padnie na

skrzynie, o ile w ogóle do tego dojdzie.

– Chyba zbiera się na deszcz, Mab – zauważyłem. Możliwe, że będziemy musieli poczekać do jutrzejszej nocy.

Mab powęszyła w powietrzu i pokręciła głową.

– Księżyc wkrótce pokaże swą twarz – rzekła. – I do tego czasu zaczekamy tutaj.

Zapatrzyłem się w ciemność, słuchając odległego skowytu wiatru wśród drzew. Myślałem o wszystkim, co się stało w ciągu kilku krótkich dni od naszego przybycia do Pendle. Gdzie podziewał się stracharz? I co mógł począć wobec potęgi wiedźmich klanów? Nieszczęsny ojciec Stocks nie żył, mój mistrz nie mógł liczyć na to, że zdoła przegnać sam Mouldheelów z Wieży Malkinów oraz rozprawić się z pozostałymi – zwłaszcza Malkinami. W dodatku nie wiedział o istnieniu Wurmalde, która stanowiła prawdziwą zagadkę. Jakie było jej miejsce w skomplikowanej społeczności czarownic z Pendle? Mówiła o zemście na mamie, ale co dokładnie chciała osiągnąć tutaj?

Zerknąłem na Mab, która wpatrywała się w nocne niebo.

– Doskonale sobie poradziłaś, Mab – pogratulowałem jej z nadzieją, że nakłonię ją do mówienia i dowiem się czegoś więcej o tym, z czym mamy do czynienia. – Pokopałaś Malkinów. Nawet z pomocą Deane'ów nigdy nie zdołają wygnać cię z tej wieży. Jest już twoja na zawsze.

– Od dawna się na to zanosilo – zgodziła się Mab, patrząc na mnie z lekką podejrzliwością. – Ale dostrzegłam szansę i wykorzystałam ją. Z twoją pomocą, Tomie. Tworzymy dobry zespół, ty i ja, nie sądzisz?

Nie byłem pewien, do czego zmierza. Przecież nie mogła się we mnie zadurzyć! Nie we mnie, uczniu stracharza. Nie, to musiała być fascynacja i urok, których próbowała użyć. Postanowiłem puścić jej słowa mimo uszu i zmienić temat.

– Co wiesz o Wurmalde? – spytałem.

– Wurmalde! – Mab splunęła na kamienne płyty. – To tylko przybłęda. Wtrąca się do wszystkiego i jej pierwszej przytrafi się



coś złego. Sama się z nią rozprawię.

– Ale po co tu przybyła, skoro nie pochodzi z żadnego z klanów? Czego chce?

– To samotnica. Nie wywodzi się z porządnego klanu czarownic, toteż uczepia się innych. I z jakichś przyczyn chce w tym właśnie kraju przywołać moc mroku – chyba po to, by zadać cios tobie i twojej mamie. Wspominała o niej i wydaje się, że z jakichś powodów jej nienawidzi.

– Chyba znały się jeszcze w Grecji – mruknąłem

– Twoja mama to czarownica? – spytała otwarcie Mab.

– Oczywiście, że nie! – odparłem.

Ale nie przekonałem nawet siebie, a co dopiero Mab. Moce, mikstury, kościane guziki, a teraz „siostry” – dwie dzikie lamie. Zaczynałem wierzyć w głębi serca, że moja matka istotnie była czarownicą, lamią – zasnę udomowioną, ale jednak wiedźmą.

– Jesteś tego pewien? Bo wygląda na to, że Wurmalde niezwykle interesuje się mocą zamkniętą w skrzyniach twojej mamy, a ona sama bardzo sprytnie nie pozwoliła innym dobrać się do nich. Jak mogłaby to zrobić, gdyby nie była czarownicą?

Nie odpowiedziałem.

– Nie martw się – zadrwiła Mab. – Pokrewieństwo z czarownicą to nie powód do wstydu.

– Moja mama nie jest czarownicą! – zaprotestowałem.

– Skoro tak mówisz, mój drogi – jej ton wskazywał wyraźnie, że nie wierzy w ani jedno moje słowo. – Nieważne jednak, kim jest twoja mama, jest też nieprzyjaciółką Wurmalde. A Wurmalde chce, by wszystkie trzy kręgi połączyły się w Święto Plonów i wywołały Starucha, zapewne po to, by raz na zawsze zniszczyć ciebie i twoją matkę. Ale nie lękaj się, Mouldheelowie nie wezmą w tym udziału, nie my. Nie, mimo iż usilnie próbowała nas namówić. Niech sami oddają się swoim szaleństwom. Tego już za wiele – dodała, gwałtownie kręcąc głową. – Za duże ryzyko.

Mab umilkła, ale mnie ogarnęła prawdziwa ciekawość. Chciałem wiedzieć, co miała na myśli mówiąc „tego już za wiele”.

– Ryzyko? To znaczy jakie?

Zamiast siostry odpowiedziała Beth.

– Bo kiedy już raz się to zrobi, nie da się tego cofnąć i on zostanie na tym świecie. A ty możesz nie zdołać nad nim zapanować. To właśnie największe ryzyko. Kiedy Staruch wyrwie się na ten świat, nie da się orzec, jak wiele zła może wyrządzić. Ma swój własny rozum, o tak. I jeśli przestaniemy nad nim panować, może zwrócić się także przeciw nam.

– Ale czy Malkinowie i Deane'owie też tego nie wiedzą? – spytałem.

– Oczywiście, że wiedzą! – warknęła Mab. – To dlatego chcą, byśmy do nich dołączyły. Po pierwsze, jeśli trzy klany złączą swe wysiłki, będą mieć większą szansę wywołania Starucha. A potem, jeśli się powiedzie, jeśli trzy kręgi będą działać razem, może zdołają nad nim zapanować. Lecz to nadal ryzykowne i pozostałe są głupie, bo dały się omamić obietnicom Wurmalde, która przyrzekła im większą moc i mrok. A zresztą, po co miałabym z nimi współpracować? Jak mówiłam, teraz to Mouldheelowie są najpotężniejsi w Pendle. Pozostali mogą iść do diabła!

Na chwilę zapadła cisza, oboje wpatrywaliśmy się w ciemność, a potem nagle zza chmury wyłonił się księżyc. Był to wąski sierp, malejący, zwrócony rogami ku zachodowi. Jego słaby blask padł na skrzynie, rzucając ich cienie na blanki.

Mab wyciągnęła ku mnie klucze i wskazała najbliższą skrzynię.

– Dotrzymaj słowa, Tomie – rzekła miękko. – Nie pożałujesz. Możemy żyć tu szczęśliwie – ty i ja.

Uśmiechnęła się do mnie i jej oczy zalśniły jak gwiazdy, włosy mieniły się nieziemskim, srebrnym blaskiem. Wiedziałem, że to tylko księżyc, lecz przez moment zdawała się promieniować. I choć rozumiałem doskonale, co próbuje zrobić, czułem jej moc. Używała przeciw mnie uroku i fascynacji; Mab próbowała podporządkować mnie swej woli. Nie tylko chciała, bym otworzył skrzynie, ale też zrobił to radośnie i chętnie.

Uśmiechnąłem się do niej, przyjmując klucze. Traciła tylko

czas. I tak chętnie i z radością otworzę skrzynie. A ją czekała największa niespodzianka w życiu.

Prócz największego klucza, tego, który otwierał drzwi mego pokoju na farmie, wszystkie pozostałe zdawały się identyczne, lecz drugi otworzył zamek ze szczęknięciem. Odetchnąłem głęboko i powoli uniosłem wieko. Wewnątrz spoczywało coś dużego, zwiniętego i opatulonego w kawał żaglowego płótna, obwiązanego sznurkiem. Odruchowo położyłem na nim dłoń, spodziewając się poczuć ruch. Potem jednak przypomniałem sobie, że stwór wewnątrz będzie spać, póki nie dotknie go blask księżyca.

– Tu jest coś dużego, Mab – powiedziałem. – Potrzebuję pomocy, by to wyjąć. Ale najpierw otworzę drugą skrzynię i zobaczę, co jest w środku.

Nie czekając na zgodę Mab, od razu zająłem się drugą skrzynią. Jeśli istotnie były to dzikie lamie, jedna z pewnością wystarczyłaby do przegnania Mouldheelów. Chciałem jednak by obie się obudziły, w ten sposób miałbym absolutną pewność. Podniosłem drugie wieko.

– To samo, Mab. Wyjmijmy jedno i drugie.

Mab nie wydawała się przekonana, lecz Beth pochyliła się z zapalem. Razem dźwignęliśmy ze skrzyni długi pakunek i położyliśmy na kamiennych płytach. Rozłożony był półtora raz dłuższy ode mnie. Jennet, nie chcąc dać się prześcignąć siostrze, pomogła mi z drugą skrzynią. Potem uśmiechnąłem się do Mab.

– Przetnij sznurek, Jennet – poprosiłem.

Jennet wyciągnęła nóż z za pasa i posłuchała, ja zaś zacząłem odwijać płótno. Już prawie skończyłem, gdy nastąpiła katastrofa. Księżyc zniknął za chmurą.

Mab przyniosła lampę i przytrzymała ją nad moim ramieniem. Serce ścisnęło mi się, straciłem całą pewność siebie. Zawahałem się z nadzieją, że księżyc znów się pokaże. Czy czarownice Mouldheelów mogły wiedzieć, co to lamie? Możliwe, że o nich słyszały. Ponieważ jednak lamie nie występowały w Hrabstwie, istniała nadzieja, że nie widziały żadnej w stanie dzikim. Jeśli

jednak zgodną, dwie uśpione istoty znajdują się na łasce trzech sióstr. Gdy zaś tamte posłużą się nożami, pocałunek księżycy nadejdzie za późno.

– Pospiesz się, Tomie – poleciła niecierpliwie Mab. – Zobaczmy, co tu mamy.

Kiedy się nie poruszyłem wyciągnęła rękę i szarpnięciem odsunęła płótno, po czym natychmiast sapnęła.

– Co to ma być? Nigdy dotąd nie widziałam niczego podobnego!  
– wykrzyknęła.

Oglądałem z bliska Marcję, dziką siostrę Meg Skelton i pamiętałem doskonale jej okrutną twarz, białą i opuchniętą, i czerwoną krew ściekającą po brodzie, pamiętałem też długie, tłuste włosy, porośnięte łuskami plecy i cztery kończyny, zakończone ostrymi szponami. To stworzenie było większe od Marcii. Niemal na pewno miałem przed sobą dziką lamię, ale nie z gatunku tych, które jedynie biegały po ziemi. Ta była inna, nie oglądałem takiej jeszcze. Mogła fruwać na krótkie odległości. Miała czarne, pierzaste skrzydła złożone na grzbiecie, jej tors porastały krótkie pióra.

Dodatkowo zauważyłem cztery kończyny – dwie grubsze, dolne, kończyły się ostrymi, śmiercionośnymi szponami, górne natomiast bardziej przypominały ludzkie ręce o delikatnych dłoniach i paznokciach niewiele dłuższych niż u kobiety. Stworzenie leżało twarzą w dół, lecz głowę miało zwróconą ku nam, toteż widzieliśmy pół twarzy. Widoczne oko było zamknięte, ale nie tak obrzmiałe jak u Marcii. W istocie odniosłem wrażenie, że twarz jest całkiem ładna, obdarzona osobliwą, dziką urodą, choć wokół ust dostrzegałem więcej niż sugestię okrucieństwa; dolną część ciała stworzenia porastały czarne łuski, każda z nich kończyła się ostrym szpicem podobnym do włosa. W sumie skojarzyło mi się z olbrzymim owadem.

Jak mówiłem, czarne skrzydła miało złożone na grzbiecie, a w miejscu, gdzie się spotykały, dostrzegłem ślad czegoś jaśniejszego. Podejrzywałem, że podobnie jak niektóre owady, lamia ma

podwójne skrzydła. W sumie byłoby ich cztery, cięższe, zewnętrzne, były opancerzone i chroniły delikatniejszą, wewnętrzną parę. Mab trzy razy głośno pociągnęła nosem.

– Wygląda na martwe. Suchy trup. Ale tak nie pachnie. Jest tu coś dziwnego. Tajemnica. Czyżby tylko mocno spały?

– Musi być jakiś powód, Mab – rozpaczliwie próbowałem zyskać na czasie. – Dla mnie to też zagadka. Bez wątpienia znajdziemy odpowiedź w księgach w trzeciej skrzyni. Podejrzewam jednak, że w drugiej jest to samo. Ze to para pobratymców. Pomyśl, jak dobrze byłoby mieć na swych usługach coś podobnego! Niezła to wymiana za odrobinę twojej krwi...

– Wolałabym nie myśleć, ile krwi potrzebowałyby coś takiego. – Mab spojrzała na mnie z powątpiewaniem i odsunęła nieco lampę tak, że twarz stwora znów zniknęła w cieniu. – Schowajcie je z powrotem do skrzyń – poleciła, patrząc na siostry. – Pospiesz się, Beth. A ty jej pomóż, Jennet. To straszne stwory i wcale mi się nie podobają. Poczuję się lepiej, kiedy znajdą się pod kluczem.

Beth posłusznie chwyciła rąbek płóciennego całuna, bez wątpienia zamierzając owinać stwora przed schowałem do skrzyni. Lecz w tym momencie księżyc znów wyszedł i widoczne oko lamii otwarło się natychmiast. Zdawało się, że patrzy wprost na mnie. Potem lamia zadrzała i powoli dźwignęła się na czworaki. Bliźniaczki pisnęły ze zgrozy i pobiegły w stronę klapy. Mab jedynie cofnęła się ostrożnie, dobywając zza pasa noża i unosząc go, gotowa do walki.

Głowa lamii zwróciła się ku mnie i ujrzałem oboje oczu. Potem wiedźma powęszyła bardzo głośno i obróciła się ku trzem siostram. Do tej pory Beth zniknęła już w głębi wjazdu, Jennet postępowała tuż za nią. Stworzenie otrząsnęło się powoli, z rozmysłem, jak pies strzepujący z siebie krople wody po wyjściu z rzeki, i spojrzało na Mab.

– Tego nie przewidziałaś, Mab, co? – krzyknąłem.

– Wiedziałaś, prawda? – odparła oskarżycielsko. – Przeczytałeś, co jest w skrzyniach, ale mi nie powiedziałaś! Jak mogłeś, Tom?

Jak mogłeś to zrobić? Jak mogłeś tak mnie zdradzić?

– Otworzyłem skrzynie, dotrzymałem słowa i mam nadzieję, że podoba ci się to, co widzisz – odparłem cicho, próbując opanować gniew. Jak mogła oskarżać mnie o zdradę, skoro zmusiła mnie do posłuszeństwa. Zacząłem trząść się cały na wspomnienie tego, jak przyłożyła nóż do gardła Mary i nagle z moich ust wylał się gniewny potok słów – Wszystkie trzy skrzynie należą do mnie! Taka jest prawda i doskonale o tym wiesz. A teraz straciłaś skrzynie i straciłaś władzę nad wieżą. Niezbyt długo rządziłaś w Pendle – zadrwiłem i zdumiałem się, słysząc w swoim głosie paskudny, szyderczy ton.

Natychmiast pożałowałem tego, że zadałem jej dodatkowy ból. Nie miałem powodu tak mówić. Tacie by się to nie spodobało.

Lamia postąpiła krok w stronę Mab, która cofnęła się pospiesznie.

– Pożałujesz tego! – zagroziła. Jej głos, choć cichy, ociekał jadem. – Naprawdę mi na tobie zależało, a ty mnie zawiodłeś! Nie dajesz mi zatem wyboru! Najmniejszego wyboru! Dołączymy do pozostałych klanów i zrobimy to, czego chce Wurmalde. A ona pragnie twojej śmierci. Chce zranić twoją mamę i zniweczyć jej plany. Nie może pozwolić, żebyś został stracharzem. A teraz ja jej pomogę! Zobaczmy, jak się poczujesz, gdy Staruch zacznie na ciebie polować! Zobaczmy, co powiesz, gdy pošlemy go twoim tropem!

Lamia znów się zbliżyła; poruszała się wolno, z rozmysłem i twarz Mab wykrzywił grymas paniki. Krzyknęła ze zgrozy, upuszczając nóż i lampę i umknęła przez klapę w ślad za siostrami.

Nie tracąc czasu, podszedłem naprzód, podniosłem upuszczony nóż i przeciąłem nim sznurek, którym okręcony był drugi długi toból, po czym szybko odwinąłem żaglowe płótno, tak by światło księżyca padło na ukrytą wewnątrz istotę. Po chwili obie lamie w pełni się przebudziły. Patrzyły na mnie przenikliwie, nie potrafiłem jednak odczytać wyrazu ich oczu. Nagle ogarnął mnie głęboki niepokój, zaschło mi w ustach. A jeśli mnie nie poznają? Jeśli

mama się myliła?

Czy to naprawdę mogły być moje ciotki? Siostry mamy? Przypomniałem sobie ciotkę Marthę ze strony taty, przemiłą staruszkę o rumianych policzkach, skorą do uśmiechów. Już nie żyła, ale wspominałem ją czule. Cóż za kontrast z tymi stworami! I owszem, musiałem przyznać: to oznaczało, że mama także była lamią.

Co się stało? Czy siostry mamy mogły pozostać dzikie, Podczas gdy ona powoli zmieniała się, przyjmując postać oswojoną, zasnę i łagodną? Miała już ludzkie kształty, kiedy spotkał ją tato. Był marynarzem, jego statek zawinął do portu w Grecji. Kiedy znalazł ją, skrępowaną srebrnym łańcuchem, dłonie miała przybite do skały. Kto to zrobił i dlaczego? Czy miało to coś wspólnego z Wurmalde?

Potem mama zabrała tatę do swego domu z okolonym murem ogrodem. Żyli tam szczęśliwie jakiś czas, czasami nocą odwiedzały ich dwie siostry mamy. W tym momencie pojąłem, że mój pierwszy domysł był błędny Tata mówił o nich jako o wysokich, groźnych kobietach. Miał wrażenie, że są na niego złe. Sądził, że to dlatego mama nalegała, by opuścili Grecję i zamieszkali w Hrabstwie – aby uwolnić się od sióstr.

Jednakże, choć o tym nie wiedział, musiała umieścić je w skrzyniach, gdy wciąż były udomowione. Wówczas, pozbawione kontaktów z ludźmi z czasem odmieniły postać, z powrotem stając się dzikie. I spały tak wiele lat. Wszystko na to wskazywało. Przypomniałem sobie coś jeszcze, co powiedziała mi kiedyś mama.

„Nikt z nas nie jest całkiem dobry ani całkiem zły. Każdy mieści się gdzieś pomiędzy, ale w naszym życiu wcześniej czy później zawsze nadchodzi taka chwila, gdy musimy postawić ważny krok: albo w stronę światła, albo też mroku... czasem sprawia to ktoś wyjątkowy, kogo spotykamy. Dzięki temu, co zrobił twój ojciec, skierowałam się we właściwą stronę i dlatego jestem tu dzisiaj.”

Może mama też nie zawsze była dobra? Czy spotkane z tatą ją odmieniło? Podczas gdy podobne myśli wirowały mi w głowie, dwie

lamie odwróciły się i ruszyły do otwartej kłapy, zeskakując kolejno na dół. Podążyłem za nimi wolniej, najpierw podnosząc lampę odrzuconą przez Mab. Wróciłem do drewnianego pomieszczenia, w którym mieściło się urządzenie, pozwalające opuszczać most zwodzony i zajrzałem przez drugą klapę do olbrzymiej sali mieszkalnej w dole.

W powietrzu dźwięczały krzyki, dochodziły jednak z magazynu, do którego uciekły czarownice; bez wątpienia próbowały uciec, przedostając się przez kolejną klapę do podziemnej części wieży. Ruszyłem na dół spiralnymi schodami.

Nim tam dotarłem, krzyki i wrzaski oddaliły się, z każdą chwilą cichły. Dostrzegłem jednak ślad krwi, wiodący od jednego ze stołów przy ścianie magazynu. Zastanawiałem się, która z wiedźm padła ofiarą i powoli ruszyłem do drzwi. Nie miałem wcale ochoty oglądać tego, co mógłbym tam znaleźć.

Przekonałem się jednak, że magazyn jest już pusty. Podeszedłem do kłapy i zajrzałem. Wewnątrz panował mrok, lecz w dali widziałem podskakujące światełka lamp, padające na ściany. To czarownice Mouldheelów umykały spiralnymi stopniami i ich słabe krzyki odbijały się echem w pustce. Uniosłem własną lampę j pochylając się, spojrzałem na ziemię. Ślad krwi ciągnął się za klapę. Nagle w mroku zabłysło oko lamii, w którym odbiło się światło. Wlokła coś po schodach. To było ciało. Nie widziałem twarzy – jedynie nogi i bose stopy powoli znikające w dole.

Mouldheelowie należeli do mroku, nadal jednak żałowałem martwej ofiary i niedobrze się czułem ze świadomością, że zdradziłem Mab, choć zrobiłem to dla dobra Hrabstwa. A co, jeśli mówiła prawdę? Jeśli zdoła uciec lamiom, by połączyć się z pozostałymi klanami mnie na złość? Czy właśnie naraziłem siebie, swoją rodzinę i całe Hrabstwo na jeszcze większe niebezpieczeństwo?

Zatrzasnąłem klapę i odwróciłem się, poruszony tą myślą. Chętnie zamknąłbym pokrywę na klucz, ale wciąż miała go Alice. Ufałem mamie. Wiedziałem, że nie mam się czego obawiać ze



strony lamii. Należały do rodziny, w moich żyłach płynęła ich krew. Nadal jednak nie chciałem, by kręciły się w pobliżu. Nie byłem jeszcze gotów stawić czoła temu, kim naprawdę jestem.

## **ROZDZIAŁ 18**

### **JAMES, KOWAL**

To była długa noc. Próbowałem spać, z nadzieją, że na jakiś czas zapomnę o wszystkim, co się wydarzyło, ale bez skutku. W końcu wróciłem na mury, czekając na wschód słońca.

Uznałem, że w wieży jestem bezpieczny. Most był podciągnięty, wyrwa w murze załatana, a dwie lamie nie pozwolą Mouldheelom ani Malkinom wrócić tunelami. Bardzo chciałem jednak dowiedzieć się, jak się miewa Jack.

Gdybym tylko mógł sprowadzić go wraz z rodziną za bezpieczne mury wieży... Możliwe, że któraś z mikstur z pierwszej skrzyni zdołałaby mu pomóc. Chciałem także zobaczyć się ze stracharzem – uprzedzić go o Wurmalde i opowiedzieć o wszystkim, co się stało; jeszcze bardziej jednak zależało mi na rozmowie z Alice. Wiedziała, gdzie jestem, i jeśli dotrą do niej wieści o tym, co się stało, może wróci do wieży. Mogłaby wówczas przejrzeć mikstury i może wymyślić, której użyć. Było to niebezpieczne i bardzo się bałem, wiedziałem jednak, że jeśli następnego dnia Alice się nie zjawi, będę musiał pójść jej poszukać.

Słońce wzeszło i zaczęło wspinać się po czystym, bezchmurnym niebie. Ranek mijał, lecz prócz wron i paru królików i saren, łąka między lasem i wieżą pozostawała pusta. W pewnym sensie, jak to mówią wyliczanki, byłem „królem, zamku władcą”. Nic to jednak nie znaczyło; czułem się wystraszony i samotny i nie miałem pojęcia, jak moje życie miałoby wrócić do normy. Czy w końcu zjawi się prefekt Nowell i zażąda, bym się poddał? A jeśli odmówię, czy sprowadzi konstabla i zaczną znów oblegać wieżę?

Po południu odzyskałem apetyt i wróciłem do sali mieszkalnej. Ogień wciąż się tlił, toteż dołożyłem do niego i zacząłem piec na śniadanie kartofle w łupinach. Jadłem je prosto z ognia, zbyt gorące, by utrzymać je w dłoni dłużej niż chwilę. Trochę poparzyłem sobie usta, smakowały jednak wyśmienicie i warto było pocierpieć. Dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, jak niewiele jadłem od dnia przybycia do Pendle.

W kącie znalazłem jarzębinową laskę i siedziałem jakiś czas, trzymając ją na kolanach. W jakiś sposób sprawiła, że czułem się lepiej. Pomyślałem o srebrnym łańcuchu, skonfiskowanym przez Nowella. Chciałem go odzyskać – był mi potrzebny go do pracy. Przynajmniej jednak znów miałem w rękach skrzynie mamy. Zmęczenie i strach jeszcze mnie nie opuściły, postanowiłem jednak, że po zmierzchu muszę ruszać w drogę i znaleźć Alice bądź stracharza. Pod osłoną ciemności będę miał szansę, by uniknąć schwytania – czy to przez czarownice, czy też konstabla i jego ludzi. Nie będę mógł posłużyć się zwodzonym mostem: gdybym go opuścił i odszedł z wieży, nie zostałby w środku nikt, kto mógłby go znów podnieść i czarownice z któregoś klanu z łatwością dostałyby się do środka. Musiałem zatem wydostać się przez tunel, ryzykując spotkanie z utopcem. Podjąwszy decyzję, wrzuciłem do ognia kilka kolejnych ziemniaków – na obiad – i wyszedłem na mury, by uważnie obejrzeć okolice.

Czekałem i patrzyłem, zbierając się na odwagę. Słońce powoli opadało ku horyzontowi. Po jakiejś pół godzinie między drzewami dostrzegłem jakiś ruch. Z lasu wyłoniły się trzy postacie i ruszyły w stronę mostu, Serce wezbrało mi nadzieją. Jednym z przybyszów był stracharz, łatwo rozpoznałem go po kiju i płaszczu. W ręce niósł dwie torby i maszerował dziarsko naprzód, krokiem, który rozpoznałem nawet z daleka.

Po jego lewej szła Alice – co do tego nie miałem wątpliwości – z początku jednak nie poznałem drugiego towarzysza mistrza, niosącego coś na ramieniu. Był to rosły mężczyzna i gdy się zbliżył, uznałem, że w jego kroku też jest coś znajomego: sposób, w jaki

jego ramiona poruszały się miarowo. I wtedy nagle poznałem go.

To był mój brat James!

Ostatni raz widzieliśmy się prawie trzy lata wcześniej i bardzo się przez ten czas zmienił. Gdy się zbliżył, przekonałem się, że fach kowala wzmocnił mu mięśnie, cała postać zmężniała. Włosy cofały mu się lekko od czoła, lecz twarz jaśniała zdrowiem i sprawiał wrażenie pełnego siły. W dłoni trzymał wielki kowalski młot.

Zacząłem machać gorączkowo z wieży. Alice dostrzegła mnie pierwsza i pomachała w odpowiedzi. Widziałem, jak mówi coś do Jamesa, który natychmiast uśmiechnął się od ucha do ucha i także dał znak. Natomiast stracharz maszerował dalej naprzód z ponurą miną. W końcu cała trójka zatrzymała się przy fosie naprzeciw podniesionego mostu.

– No, dalej, chłopcze! – zawołał stracharz, wymachując niecierpliwie laską. – Nie guzdraj się, nie mamy całego dnia! Opuść ten most i daj nam wejść!

Łatwiej powiedzieć niż zrobić. Na szczęście ciężki kołowrót, wyraźnie zaprojektowany dla dwóch osób, miał system zapadkowy, co oznaczało, że gdy go obracałem, zwalniając łańcuch, ciężar mostu nie kręcił kołem dalej niż o jedną ósmą obrotu naraz, po czym zatrzymywała je zapadka. W przeciwnym razie ramię korby szybko wyrwałoby mi się z rąk, co nie doprowadziłoby do niczego dobrego.

Opuszczanie mostu stanowiło tylko połowę problemu. Potem musiałem jeszcze uporać się z wielkimi, okutymi zardzewiałym żelazem wrotami. Lecz gdy tylko odciągnąłem ciężkie rygle, drzwi zaczęły ze zgrzytem przesuwac się na zawiasach. Chwilę później James otworzył je pchnięciem, odrzucił młot i chwycił mnie w objęcia, ściskając tak mocno, iż miałem wrażenie, że połamię mi zębra.

– Dobrze cię widzieć, Tom! Naprawdę dobrze. Zastanawiałem się, czy kiedykolwiek jeszcze zobaczę któreś z was.

Wyciągnął ręce i przytrzymał mnie, uśmiechając się szeroko. James złamał kiedyś na farmie w wypadku nos, który zrósł się

krzywo i nadawał mu teraz zawadiacki wygląd. Była to twarz z charakterem, jak mawiał tato, i nigdy jeszcze tak bardzo nie ucieszył mnie jej widok.

– Później będziecie rozmawiać. – Stracharz wmaszerował do wieży, tuż za nim dreptała Alice. – Najpierw zajmijmy się tym, co najważniejsze. Jamesie, zamknij drzwi, zaciągnij rygle i podnieś most. Wówczas będziemy mogli trochę odpocząć. I co my tu mamy...?

Zatrzymał się, patrząc na ślad krwi ciągnący się do magazynu. Uniósł brwi.

– To krew Mouldheelów. W dwóch skrzyniach spały siostry mamy – wyjaśniłem. – To dzikie lamie...

Stracharz przytaknął, nie wydawał się zbyt zaskoczony. Czyżby od początku wiedział?

– Dotarły do nas wieści, że Mouldheelowie uciekli tunelami wkrótce po Malkinach, nie mieliśmy jednak pojęcia, dlaczego – rzekł. – To wszystko tłumaczy. Gdzie są teraz lamie?

– Na dole – wskazałem kciukiem.

James zamknął już wielkie drewniane wrota i zasunął rygle.

– Gdzie jest mechanizm mostu? Na górze? – Machnął ręką.

– Przez tę klapę po lewej. – Obdarzyłem go szybkim uśmiechem.

James wbiegł po schodach, przeskakując po dwa stopnie.

– Wszystko w porządku, Tom? – spytała Alice. – Poszukałam pomocy dla Jacka i wróciłam tu, jak najszybciej mogliśmy.

– Teraz, kiedy jesteście, czuję się lepiej. Ale przeżyłem parę naprawdę strasznych chwil, delikatnie mówiąc. Jak się miewa Jack?

– Na razie nic mu nie grozi, są z Ellie i Mary w dobrych rękach. Na wszelki wypadek zrobiłam też swoje, zaparzyłam mu pewną miksturę. Nadal nie odzyskał przytomności, ale oddycha lżej, a na policzki wrócił mu kolor. Fizycznie wydaje się znacznie silniejszy.

– Gdzie jest dokładnie? W Downham?

– Nie, Tomie, za daleko byłoby go wieźć, a ja chciałam tu

wrócić, zobaczyć, czy zdołam pomóc. Jack jest w Roughlee u jednej z moich ciotek...

Spojrzałem na nią ze zdumieniem i zgrozą. Roughlee było wioską klanu Deane'ów.

– U Deane'ów! Zostawiłaś moją rodzinę u Deane'ów?! – Spojrzałem na mistrza, on jednak jedynie uniósł brwi.

– Ciotka Agnes nie jest taka jak reszta – wyjaśniła Alice. – Naprawdę nie jest zła. Zawsze świetnie się dogadywałyśmy. Po mężu nazywa się Sowerbutts, kiedyś mieszkała w Whalley, ale po śmierci męża wróciła do Roughlee. Trzyma się na uboczu. Jej domek stoi na obrzeżu wsi, nikt nawet się nie zorientuje, że twoja rodzina tam jest. Zaufaj mi, Tom. To było najlepsze wyjście. Wszystko będzie dobrze.

Nie przyjąłem wieści z zachwytem, lecz w chwili, gdy skończyła mówić, usłyszałem skrzypienie kołowrotu i most zaczął się unosić. Czekaliśmy w milczeniu, póki na schodach nie zjawił się James.

– Mamy sobie wiele do powiedzenia, toteż usiądźmy – zaproponował stracharz. – Choćby tam, przy ogniu; to równie dobre miejsce, jak każde inne...

Znalazł sobie krzesło i przyciągnął do ogniska. James uczynił podobnie, ale my z Alice usiedliśmy na podłodze po obu stronach ognia.

– Mogę się poczęstować ziemniaczkiem, Tom? – spytała Alice. – Od dawna nie czułam milszego zapachu!

– Te wkrótce będą gotowe, mogę dorzucić też nowych.

– Kosztowałem już przyrządzonego przez ciebie jedzenia, więc nie jestem pewien, czy to taki dobry pomysł – wytrącił cierpko stracharz.

Żartował jak zwykle, wiedziałem jednak, że z pewnością chętnie zje pieczonego kartofla, nawet gdyby miał przy tym poparzyć sobie palce. Poszedłem zatem do magazynu i wróciłem z ziemniakami, po czym zacząłem wsuwać je patykiem w żar.

– Podczas gdy ty pakowałaś się w poważne kłopoty, ja też nie próżnowałem – zaczął stracharz. – Sam też potrafię wiele

wywęszyć, i zawsze znajdzie się parę osób, które nie boją się mówić prawdę.

Wygląda na to, że od ostatnich Wszystkich Świętych wysłannicy Deane'ów powoli przenosili się do Downham, szerząc zło i grozę wśród poczciwych ludzi. Większość wieśniaków za bardzo się bała, by ostrzec ojca Stocksa, który dostrzegając jedynie kradzieże z cmentarza, nie miał pojęcia, że sytuacja tak bardzo się pogorszyła. Strach to okropna rzecz. Kto mógłby ich winić, skoro czarownice groziły ich dzieciom? Gdy owce zdychały na ich oczach, zagrażając przetrwaniu rodziny? Do końca lata wioska wpadłaby w ręce klanu czarownic. Jak wiesz, chłopcze, lubię pracować sam – oczywiście prócz ucznia – lecz uznałem, że nie pora na to.

Próbowałem podburzyć do działania mężczyzn, ale nie szło mi najlepiej. Jak wiesz, większość ludzi lęka się naszego fachu: wieśniacy za bardzo się bali, by choćby otworzyć mi drzwi. Potem jednak przybył twój brat James i po rozmowie w cztery oczy z Mattem Finleyem, kowalem z Downham, zdołał przekonać ich o wielkim niebezpieczeństwie, jakie grozi im i ich rodzinom. W końcu część mężczyzn z wioski zgodziła się mnie wesprzeć. Oszczędzę ci szczegółów, ale oczyściliśmy wieś z Deane'ów, co do ostatniego, i długo po tym nie wrócą, jeśli w ogóle!

Zerknąłem na Alice, ale nie zareagowała na jego słowa.

– W efekcie tego wszystkiego – podjął mój mistrz – dostałem twój list bardzo późno, chłopcze. Zbyt późno, by pomóc. Ruszyliśmy do Read i spotkaliśmy się z Alice, która czekała na nas przy granicy majątku. Stamtąd razem poszliśmy do Wroniego Lasu. Biedny ojciec Stocks – ze smutkiem pokręcił głową. – Był dobrym uczniem i wiernym przyjacielem. Nie zasłużył na taką śmierć...

– Bardzo mi przykro, panie Gregory – odparłem. – W żaden sposób nie mogłem go ocalić. Tibb wypił jego krew, ale to Wurmalde zabiła go nożem... – Wspomnienie zamordowanego ojca Stocksa, leżącego na łóżku, powróciło tak nagle, że o mało nie zakrztusiłem się własnymi słowami. – Zachowuje się jak pani domu, całkowicie panuje nad mości Nowellem. Mnie obwiniła o

morderstwo, a że on wierzy każdemu jej słowu, zaraz gdy tylko żołnierze wdrą się do wieży, zamierzał wysłać mnie do Caster i powiesić. Teraz znów będzie mnie ścigał. I kto mi uwierzy? – Z każdą sekundą bałem się coraz bardziej na myśl, że mógłbym znów trafić do zamku w Caster.

– Uspokój się, chłopcze. Szubienica to najmniejsze z twoich zmartwień. Krążą pogłoski, że mości Nowell i konstabl Barnes zniknęli. Podejrzewam, że nie będą w stanie przedstawić ci zarzutów.

Nagle przypomniałem sobie słowa gospodyni w celi Dworu Read.

– Wurmalde mówiła, że Nowell w ciągu paru dni umrze, a cały okręg znajdzie się w ich rękach.

– Pierwsze może być prawdą – odparł stracharz. – Ale nie drugie. Może i nasz kraj ogarnia wojna, ale nas też czeka parę bitew. To jeszcze nie koniec – nie, póki w mym ciele pozostała resztką tchu. Pewnie już za późno, by ocalić prefekta, nadal jednak możemy rozprawić się z Wurmalde – kimkolwiek jest...

– To stara nieprzyjaciółka mamy, tak jak pisałem w liście – wyjaśniłem. – To ona stoi za planami klanów i tym, co spróbują zrobić w Święto Plonów. Chce zniszczyć całe dobro, o które walczyła mama. Chce mnie zabić, nie pozwolić, bym został stracharzem, i pogрузić Hrabstwo w mroku. To dlatego pragnęła zdobyć skrzynie mamy. I to ona wpadła na pomysł, by przywołać Złego. Mab nie zgodziła się dołączyć do pozostałych, lecz tuż przed tym, jak lamie przegnały ją i jej klan z wieży wpadła w złość i oznajmiła, że teraz przyłączy się do Malkinów i Deane'ów. Ze pomoże Wurmalde.

Stracharz z namysłem podrapał się po brodzie.

– Wygląda na to, że zapłaciliśmy wysoką cenę za zdobycie wieży. Przede wszystkim zależało nam na tym, by nie dopuścić do zjednoczenia klanów, toteż skrzynie te drogo nas kosztowały. Wydaje mi się, że Wurmalde stanowi klucz do wszystkiego. Kiedy się z nią rozprawimy, istnieje spora szansa, że cały plan się zawali.

Klany czarownic zawsze skakały sobie do gardeł, po jej zniknięciu wszystko wróci do normy. Do sabatu zostały trzy dni, nie mamy czasu do stracenia, musimy przenieść walkę na jej grunt. Zaatakujemy w miejscu i czasie, kiedy najmniej będzie się tego spodziewać. A potem, niezależnie od wyniku, skupimy całą uwagę na sabacie czarownic i spróbujemy powstrzymać ceremonię. James przekonał w końcu wieśniaków z Downham, że przyszłość ich rodzin zależy od udzielenia nam pomocy, obiecali zatem użyć swoich ludzi. Czuli się wówczas odważni, bo dopiero co przegrali Deane'ów, ale minęło już parę dni i po namyśle niebezpieczeństwo mogło zmniejszyć ich entuzjazm – choć z pewnością część dotrzyma obietnicy. Cóż, chłopcze – stracharz, zapatrzony w żar, zatarł ręce – i gdzie te pieczone ziemniaki? Jestem głodny jak wilk. Może zaryzykuję jednego.

Nowe jeszcze się nie dopiekły, ale wyciągnąłem z żaru patykiem jeden z wcześniejszych, które przygotowałem dla siebie. Podniosłem go i szybko rzuciłem mistrzowi, który go zręcznie złapał. Staralem się nie uśmiechnąć, patrząc, jak przerzuca go z dłoni do dłoni, by się nie poparzyć.

Mimo wszystkiego złego, co zaszło, mogłem pozwolić sobie na uśmiech. Ellie i jej dziecko były bezpieczne. A Jack, choć nie doszedł jeszcze do siebie, czuł się lepiej. I jest szansa, że nie trafię do Caster.

Było też jednak coś, czego nie powiedziałem stracharzowi. Nie wierząc w prorocstwo, zareagowałby tylko irytacją. Mama pisała w liście, że ucieleśnione zło wkrótce będzie krążyć po ziemi. Chodziło jej o Złego. Wcześniej już miała rację. Jeżeli znów tak było, oznaczało to, że nie uda nam się przeszkodzić w sabacie Święta Plonów i diabeł zstąpi na ziemię.

Na dworze wkrótce zrobiło się ciemno i gdy tak jedliby, skąpani w blasku i ciepłe ognia, pomyślałem, że nie czułem się tak dobrze od wielu dni. Przynajmniej mama zrównoważyła swe ponure słowa optymizmem. Nie mogłem pojąć, skąd miałbym wziąć siły, by przeciwstawić się diabłu, ale musiałem ufać temu, w co wierzyła.



Po jakiejś godzinie uznaliśmy, że powinniśmy odpocząć. Wiedziałem, że po wszystkim, co się stało i przez podniecenie towarzyszące spotkaniu z Jamesem, Alice i stracharzem nie dam rady zasnąć, toteż zgłosiłem się na ochotnika pełnić wartę. Tak czy owak lepiej było, bym czuwał, na wypadek gdyby zjawiły się lamie. Wiedziałem, że wraz z Jamesem nie znajdziemy się w ich jadłospisie, ale co do pozostałych nie miałem już pewności. Z początku zamierzałem uprzedzić Jamesa, że to jego ciotki. Lecz im dłużej się nad tym zastanawiałem, tym bardziej wątpiłem, czy wpadłem na dobry pomysł. Mimo ponadrocznego szkolenia u stracharza nadal trudno mi było poradzić sobie z myślą, że te dwa stwory są w istocie siostrami mamy. Jamesowi przyszłoby to znacznie trudniej. Toteż po namyśle uznałem, że o ile nie zajdzie absolutna konieczność, nie wyjawię mu prawdy.

Stracharz i Alice wkrótce zasnęli. Natomiast James po jakimś czasie wstał, przyłożył palec do ust i wskazał miejsce pod daleką ścianą, gdzie stały skrzynie mamy. Poszedłem za nim.

– Nie mogę spać, Tomie – rzekł. – Zastanawiałem się, czy miałbyś ochotę trochę porozmawiać.

– Oczywiście, że tak. Tak dobrze znów cię widzieć, przykro mi tylko, że wydarzenia tak się potoczyły. Ciągle myślę, że to moja wina – odparłem. – Terminowanie u stracharza najwyraźniej przyciąga kłopoty. Ellie i Jack od początku obawiali się, że coś podobnego może się zdarzyć.

James pokręcił głową.

– Kryje się w tym coś więcej, Tomie. Znacznie więcej. Mama chciała, żebyś przyjął tę pracę. Chciała tego najbardziej na świecie. Powiedziała mi to podczas pogrzebu taty. I coś jeszcze. Odciągnęła mnie na bok, mówiąc, że zło na tym świecie rośnie w siłę i że będziemy musieli z nim walczyć. Poprosiła, bym kiedy nadejdzie czas, wrócił na farmę i wsparł Jacka i rodzinę. A ja się zgodziłem.

– Chcesz tam zamieszkać? – zdziwiłem się.

James przytaknął.

– A czemuż by nie? Tak naprawdę nic nie wiąże mnie z

Ormskirk. Polubiłem tam jedną dziewczynę, ale w końcu nic z tego nie wyszło. W zeszłym roku poślubiła miejscowego rolnika. Jakiś czas cierpiałem, ale trzeba żyć dalej. Mógłbym pomóc Jackowi na farmie w najgorszym okresie. Pomyślałem nawet o tym, by za stodołą zbudować kuźnię.

– Będiesz miał trochę pracy, ale nie dość, żeby przeżyć – przypomniałem. – W Topley pracuje już dwóch kowali. Wszyscy chodzą do nich.

– Pomyślałem, że na boku mógłbym zająć się warzeniem piwa. Stąd właśnie wzięła się pierwotna nazwa farmy taty.

Rzeczywiście kiedyś, dawno temu, nim mama kupiła farmę tacie, nosiła ona nazwę Farmy Piwowara i dostarczała piwo okolicznym wioskom i farmom.

– Ale przecież w ogóle nie znasz się na warzeniu! – zaprotestowałem.

– Nie, ale potrafię rozpoznać dobre piwo – odparował z uśmiechem James. – Mógłbym się przecież nauczyć. Kto wie, co można osiągnąć, kiedy człowiek naprawdę się do czegoś przyłoży. Co się stało, Tom? Nie wydajesz się zachwycony pomysłem mojego powrotu do domu. Czy o to chodzi?

– Nie o to, James. Po prostu się martwię, to wszystko. Czarownice z Pendle wiedzą teraz, gdzie jest farma. Cokolwiek tu zrobimy, to się nie skończy. Po prostu nie chcę, by kolejny brat ucierpiał.

– Takiej postawy oczekiwała ode mnie mama i zamierzam spełnić jej wolę. Myślę, że nadszedł czas, o którym mówiła; tak więc, jeśli pojawiło się trwałe zagrożenie, powinienem stać u boku brata i rodziny. Poza tym może minąć sporo czasu, nim Jack w pełni odzyska siły. To mój obowiązek, tak uważam. Podjąłem już decyzję.

Skinąłem głową i uśmiechnąłem się. Dobrze wiedziałem, co znaczy obowiązek i co ma na myśli mój brat.

James wskazał skrzynie mamy.

– Co tam znalazłeś? Warto było zadać sobie tyle trudu?

– Chyba tak, James. Gdzieś w tej skrzyni kryje się historia mamy – ale mogę potrzebować czasu, by wszystko odkryć. Może też tam być coś bardzo potężnego, coś z czego pomocą moglibyśmy walczyć z mrokiem. Schowała sporo książek, niektóre wyglądają jak dzienniki, relacje z czasów naszego dzieciństwa. I są też pieniądze. Chciałbyś może obejrzeć?

– Och tak, proszę, Tomie, bardzo bym chciał – rzekł z zapałem James, toteż uniosłem wieko.

I gdy tak patrzył wielkimi oczami na zawartość skrzyni, uniosłem jeden worek z pieniędzmi i rozplątałem sznurek, po czym wyciągnąłem garść gwinei.

– Tu jest prawdziwa fortuna, Tom! – wykrztusił James. – I te pieniądze cały czas były w domu?

– Najwyraźniej tak. A dwa pozostałe worki też są pełne – odparłem. – Powinniśmy podzielić to na siedem części – należą do wszystkich synów mamy, nie tylko do mnie. Twoja część opłaciłaby koszt kuźni i przegnała biedę z za drzwi do czasu zdobycia klientów.

– To bardzo szczodre z twojej strony – James z powątpiewaniem pokręcił głową. – Ale gdyby tego właśnie chciała mama, sama podzieliłaby je między nas. Nie, fakt, że schowała je w skrzyni razem z innymi rzeczami, które przydadzą ci się w twoim fachu, oznacza, że możesz ich potrzebować do czegoś innego. Czegoś ważniejszego...

O tym nie pomyślałem. Mama niczego nie robiła bez powodu. Musiałem jeszcze się zastanowić.

James wybrał największą z oprawionych w skórę ksiąg, tę samą, która przyciągnęła mój wzrok, gdy po raz pierwszy otworzyłem skrzynię. Otworzył ją na jednej z początkowych kartek.

– Co to? – spytał zdumiony. – Wygląda jak pismo mamy, ale kompletnie nic z tego nie rozumiem. To obcy język.

– Język mamy, greka – wyjaśniłem.

– Oczywiście, Tomie. Nie pomyślałem. Ale ciebie nauczyła tego

języka, prawda? Zastanawiam się, czemu nie nauczyła mnie – przez chwilę posmutniał, potem jednak jego twarz pojaśniała. – Pewnie z powodu fachu, który dla ciebie wybrała, Tomie. Miała dobry powód do wszystkiego, co robiła, i wszystko zawsze układało się jak najlepiej. Może mógłbyś przeczytać mi choć trochę? Mozesz? Tylko parę słów...

To rzekłszy oddał mi księgę, wciąż otwartą na wybranej losowo stronie. Zerknąłem na nią szybko.

– To dziennik mamy, Jamesie – oznajmiłem, po czym zacząłem czytać głośno, tłumacząc w biegu:

*Wczoraj urodziłam pięknego, zdrowego syna. Nazwiemy go James, to dobre imię z Hrabstwa; wybrał mu je ojciec. Lecz moje tajemne imię, które mu nadałam, brzmi Hefajstos, imię boga kuźni, widzę bowiem jej blask w jego oczach i młot w dłoni. Nigdy jeszcze nie byłam szczęśliwsza. Jakże bym chciała na zawsze pozostać matką z małymi dziećmi. Jakie to smutne, że muszą dorosnąć i zrobić to, co trzeba zrobić.*

Przerwałem i James spojrzał na mnie ze zdumieniem.

– I rzeczywiście zostałem kowalem! – wykrzyknął. – Zupełnie jakby wybrała mi fach w chwili narodzin.

– Może faktycznie tak zrobiła, Jamesie. Tato zaaranżował twój termin, ale możliwe, że to mama wybrała fach. W moim przypadku z całą pewnością tak było.

Zauważyłem coś jeszcze, ale wolałem o tym nie wspominać. Może jednak z czasem James sam to dostrzeże. Fakt, iż wybrał stronę traktującą właśnie o jego narodzinach i imieniu, był znamienny. Zupełnie jakby marna sięgnęła z daleka i kazała mu wybrać akurat tę. Ta sama książka przyciągnęła także moją uwagę; i to z niej wypadł list mówiący, co muszę wiedzieć na temat zawartości pozostałych skrzyń.

Jeśli faktycznie tak było, zacząłem pojmować, jak potężna jest mama. Nie pozwoliła czarownicom otworzyć skrzyń, a teraz znów trafiły w nasze ręce i strzegły ich jej siostry, lamie. Myśl ta tchnęła we mnie nowy optymizm. Owszem, czekało nas wielkie niebezpieczeństwo, ale z czuwającą nade mną mamą i mistrzem u boku może jednak wszystko się ułożyć.

## ROZDZIAŁ 19

## AGNES SOWERBUTTS

Rankiem Alice przyrządziła nam smaczne śniadanie, wykorzystując wszystko, co znalazła. Pomogłem jej, myjąc rondle i patelnie, obierając i krojąc ziemniaki, marchew i rzepę. Ugotowaliśmy też jedną z szynek, ale najpierw obwąchała ją uważnie, sprawdzając, czy nie jest zatruta.

– Jedz, ile możesz, chłopcze – powiedział stracharz, gdy rzuciłem się na parujący gulasz. – To nasz ostatni duży posiłek przez jakiś czas. Po nim zaczniemy pościć, szykując się do starcia z mrokiem.

Mój mistrz nie przedstawił jeszcze swoich planów na ten dzień, bardziej jednak martwiłem się czymś, co nie pozwalało mi zasnąć przez większą część nocy.

– Boję się o rodzinę – oznajmiłem. – Nie moglibyśmy wrócić do Roughlee i sprowadzić ich tutaj? Może w skrzyni mamy znajdzie się coś, co pozwoliłby uleczyć Jacka.

Stracharz przytaknął z namysłem.

– Owszem, to dobry pomysł. Lepiej zabrać ich z terytorium Deane'ow. Będzie niebezpiecznie, lecz z pomocą dziewczyny, która wskaże ci drogę, z pewnością sobie poradzisz.

– Wszystko będzie dobrze, Tom – zgodziła się Alice. – Nie martw się, nic im nie jest – za parę godzin sprowadzimy ich tu cało i zdrowo. I jestem pewna, że w skrzyni znajdę coś, co pomoże twojemu bratu.

– A podczas gdy wy się tym zajmiecie – dodał stracharz – my z Jamesem złożymy kolejną wizytę w Downham. Zaczyna kończyć nam się czas i uważam, że mądrze byłoby zebrać wieśniaków i ściągnąć ich tu, do wieży. To umożliwi nam szybsze przeprowadzenie ataku, gdy nadejdzie konieczność. A po drodze będziemy wypatrywać Wurmalde i młodej Mab. Pierwszą należy spętać i usunąć, druga być może już się uspokoiła i wysłucha głosu rozsądku.

\*

Po śniadaniu wyjąłem z torby czystą koszulę i wyrzuciłem starą, poplamioną krwią, ciesząc się, że w końcu się jej pozbywam, wraz ze strasznymi wspomnieniami śmierci ojca Stocksa. W niecałą godzinę później byliśmy już w drodze. Ponieważ po naszym odejściu nikt nie podniósłby mostu, musieliśmy wyruszyć tunelami. Stracharz maszerował pierwszy, niosąc jedną lampę; Alice zamykała pochód, oświetlając stopnie od tyłu drugą. Gdy schodziliśmy, wokół trwała cisza. Zauważyłem, że trupy czarownicy i jej towarzysza zniknęły spod schodów. Lecz po zejściu przez kolejną klapę wyczułem czyjąś obecność. Lampy niczego nie pokazywały, słyszałem jedynie odgłos naszych kroków, ale okrągła sala była wielka, a za filarami pozostało mnóstwo mrocznych cieni; gdy zeszliśmy ze schodów poczułem, jak jeżą mi się włoski na karku.

– Co my tu mamy? – spytał stracharz, wskazując najdalszy filar.

Ruszył ku niemu, unosząc kij i lampę. Ja szedłem tuż za nim, dzierżąc w lewej dłoni łaskę. Tuż za sobą miałem Alice i Jamesa.

U stóp filaru stał drewniany cebrzyk, coś kapało do niego miarowo. Po kolejnym kroku przekonałem się, że zbiera się w nim krew, wypełniająca go wolno na naszych oczach.

Uniosłem głowę i odkryłem, że z wysokiego, pogrążonego w ciemności sklepienia zwisają łańcuchy; bez wątpienia niegdyś krępowano nimi więźniów podczas tortur, a potem zostawiano, by konali z głodu. Teraz wykorzystano je w inny sposób. W równych odstępach aż do samej góry przymocowano do nich małe zwierzęta: szczury, łasice, króliki, gronostaje, a nawet parę wiewiórek. Część przywiązano za ogony, inne za łapki, wszystkie wisiały głowami w dół. Zostały zabite i ich krew ściekała do cebrzyka. Skojarzyło mi się to z domem łowczego: martwymi zwierzętami przybitymi do płotu, służącymi jako ostrzeżenie i pokaz upolowanej zdobyczy.

– Ponury to widok – stracharz pokręcił głową. – Ale musimy być wdzięczni za jedno: mogli tam wisieć ludzie...

– Dlaczego lamie to zrobiły? Po co im to? – spytałem.

Stracharz pokręcił głową.

– Kiedy się dowiem, chłopcze, zapiszę w notesie. To dla mnie coś nowego. Nigdy dotąd nie miałem do czynienia ze skrzydlatą lamią, wiele musimy się o nich nauczyć. Możliwe, że to tylko sposób zbierania krwi z wielu małych zdobyczy, zapewniający solidniejszy posiłek. A może coś, co ma sens tylko dla dzikiej lamii? Z każdym rokiem nasz zasób wiedzy rośnie, ale musimy planować naprzód, chłopcze i nie zawsze oczekiwać natychmiastowych odpowiedzi. Może któregoś dnia będziesz mógł w końcu przeczytać zapiski mamy i znajdziesz tam odpowiedź. Tak czy inaczej, ruszajmy. Nie mamy czasu do stracenia.

Kiedy skończył mówić, usłyszałem skrobanie dobiegające z góry. Nerwowo uniosłem głowę. Obok mnie coś szcęknęło: to stracharz zwolnił ostrze ukryte w lasce. Na naszych oczach ciemna postać zbiegła po filarze w stronę łuku światła rzucanego przez lampę. Była to jedna z dzikich lamii.

Stworzenie zsuwało się głową naprzód, skrzydła miało złożone na grzbiecie, jego ciało spowijał cień. Wyraźnie widziałem tylko głowę. Stracharz skierował ku lamii ostrze, James wystąpił naprzód i dźwignął ciężki młot, gotów zadać cios. Lamia zareagowała, otwierając szeroko usta i sycząc. Ujrzałem białe, ostre jak brzytwa zęby.

Odłożyłem laskę i dotknąłem lekko ramion mistrza i Jamesa.

– Wszystko będzie dobrze. Nie zrobi mi krzywdy – oznajmiłem, stając między nimi i przesuwając się bliżej lamii.

Mama mówiła, że stworzy te będą mnie chronić, nawet gdyby miały zapłacić własnym życiem, i czułem, że James także jest bezpieczny. To o stracharza i Alice się martwiłem. Nie chciałem, by ich zaatakowała. Nie chciałem też, by ktokolwiek zabił ją w samoobronie.

– Bądź ostrożny, Tomie – prosiła z tyłu Alice. – Nie podoba mi się, o nie. To niebezpieczny, paskudny stwór, nie ufaj mu, proszę...

– Dziewczyna ma rację. Pilnuj się, chłopcze. Nie podchodź zbyt

blisko – ostrzegł stracharz.

Mimo ich słów postąpiłem kolejny krok naprzód. Na filarze dostrzegłem zadrapania, ślady ostrych szponów stworzenia. Jego oczy patrzyły wprost w moje.

– Wszystko w porządku – powiedziałem do lamii, nie podnosząc głosu. – Ci ludzie to moi przyjaciele, proszę, nie rób im krzywdy. Strzeż ich tak, jak byś strzegła mnie i pozwalaj im przechodzić swobodnie.

A potem się uśmiechnąłem.

Przez chwilę lamia nie reagowała, później jednak okrutne oczy otworzyły się szerzej, a wargi rozchyliły lekko. Bardziej przypominało to grymas niż uśmiech. Następnie gdzieś spod ciała wysunęła się ku mnie jedna z górnych kończyn, paznokcie zawisły niecałą piędź od mej twarzy. Myślałem już, że mnie dotknie, lecz lamia bardzo wyraźnie skinęła głową na znak zgody, po czym, wciąż patrząc mi w oczy, wspięła się tyłem na filar i zniknęła w ciemności. Usłyszałem, jak obok James wzdycha głośno z ulgą. – Za żadne skarby świata nie chciałbym pracować w waszym fachu! – wykrzyknął.

– Nie winię cię za to, James – odparł stracharz. – Ale ktoś musi to robić. No dobrze, ruszajmy...

Teraz Alice szła przodem; unosząc wysoko lampę, zagłębiła się w korytarz między celami. Po obu stronach wyczuwałem niespokojnych zmarłych. Czułem ich ból, słyszałem błagalne głosy. Jamesowi, nie będącemu siódmym synem siódmego syna, oszczędzono takich odczuć, ja jednak pragnąłem jak najszybciej znaleźć się w tunelu, pozostawiając za sobą cały ten ból. Nim jednak dotarliśmy do drewnianych drzwi wiodących do zewnętrznego wyjścia, stracharz położył mi dłoń na ramieniu i zatrzymał się.

– To okropne, chłopcze – rzekł miękko. – Są tu umęczone duchy. Czuję więcej uwięzionych w tym miejscu, niż spotkałem kiedykolwiek wcześniej. Nie mogę ich tak zostawić.

– Duchy? Jakie duchy? – James obejrzał się nerwowo.



– To tylko dusze tych, którzy tu zmarli – wyjaśniłem. – Nie ma ich się co bać, ale cierpią i trzeba je uwolnić

– Owszem – przytaknął stracharz. – A ja mam obowiązek zająć się nimi już teraz. Obawiam się, że zajmie mi to nieco czasu. Posłuchaj, Jamesie. Idź dalej do Downham. Nie potrzebujesz mnie. W istocie zapewne łatwiej będzie ci zebrać wieśniaków pod moją nieobecność. Zanoć tam i sprowadź nam jutro tylu, ilu zdołasz. Nie korzystaj z tunelu – boję się, że przeprawa przez ten loch odebrałaby wieśniakom resztki odwagi. Przyjdźcie prosto do wieży, a my opuścimy most. I jeszcze jedno – na twoim miejscu na razie nie wspominałbym o śmierci nieszczęsnego ojca Stocksa. To będzie prawdziwy cios dla wioski i bardzo osłabi ich morale. A wy dwoje – spojrzali kolejno na Alice i na mnie – zabierajcie się do Roughlee i sprowadźcie tu bezpiecznie Jacka, Ellie i ich dziecko. Mam nadzieję, że zobaczymy się najpóźniej za kilka godzin.

Uznałem, że tak będzie najlepiej, toteż zostawiliśmy stracharzowi jedną lampę. Mistrz zaczął szykować się do odsyłania umęczonych zmarłych z Wieży Malkinów ku światłu, a my tymczasem ruszyliśmy w głąb tunelu. Alice maszerowała na przedzie, James szedł za mną.

Wkrótce dotarliśmy do jeziora. Alice stąpała ostrożnie, wysoko unosząc swoją lampę. Nagle nozdrza wypełnił mi ohydny smród. Ogarnął mnie lęk. Podczas poprzedniej wizyty tutaj woda wydawała mi się wzburzona, tym razem była gładka i nieruchoma. Głowa i ramiona Alice, a także jaśniejąca lampa odbijały się w niej jak w lustrze. I wtedy ujrzałem, dlaczego.

Utopiec nie strzegł już tunelu. Fragmenty jego rozszarpanego ciała unosiły się w wodzie. Głowa pływała pod odległą ścianą. Wielka ręka leżała na pobliskim brzegu, grube bezkrwiste palce spoczyły na błotnistej ścieżce, jakby próbowały wypełznąć z jeziora.

Alice wskazała ręką ścieżkę. Były na niej ślady – ale nie ludzkie. Zostawiła je jedna z dzikich lamii.

– Oczyszczyła dla ciebie drogę, Tomie – powiedziała Alice. – I jeśli się nie mylę, nie będziemy się też musieli obawiać czarownic.

Zapewne miała rację, lecz gdy okrążaliśmy jezioro, dawny lęk powrócił. Utopiec został zniszczony, miałem jednak dziwne wrażenie, że ktoś mnie obserwuje.

Szybko przeszliśmy obok jeziora, przeskakując napuchnięte palce utopca i maszerowaliśmy dalej, aż w końcu dotarliśmy do podziemnej komory. Przystanęliśmy tam na chwilę, nasłuchując, po czym wkroczyliśmy do ostatniej, niskiej części tunelu, którą musieliśmy przebyć na czworakach. Pełznąąc naprzód, poruszaliśmy się bardzo powoli. W końcu jednak przecisnęliśmy się przez półkę z kośćmi do ossuarium. Kiedy wygramoliłem się z dziury, Alice otrzepywała się z kurzu. Uniosła wyżej lampę i zerknąłem na samotne kajdany w kącie. Martwa Maggie zniknęła, zapewne uwolniła ją uciekająca rodzina.

Zgasiliśmy lampę; Alice zostawiła ją tuż za drzwiami ossuarium, na wypadek, gdyby miała się przydać w przyszłości. Już na zewnątrz pożegnaliśmy się szybko z Jamesem, który ruszył na północ, do Downham. W chwilę później wraz z Alice maszerowaliśmy przez las w stronę Roughlee. Mocny wiatr kołysał młodymi drzewkami, w powietrzu czuło się zapach zwiastujący nadchodzący letni deszcz.

Jakiś czas maszerowaliśmy w milczeniu, niebo nad naszymi głowami pociemniało, zaczęło padać, a ja czułem coraz większy niepokój. Choć zazwyczaj ufałem osądowi Alice, im dłużej się zastanawiałem, tym bardziej zostawienie moich bliskich u jednej z Deane'ów wydawało mi się szaleństwem.

– Ta twoja ciotka... jesteś pewna, że można jej ufać – spytałem.  
– Musiało minąć sporo lat, odkąd widziałyście się ostatnio. W tym czasie mogła bardzo się zmienić. Może jest pod wpływem reszty rodziny?

– Nie martw się, Tomie, wierz mi, nie masz powodu. Agnes Sowerbutts aż do śmierci męża nie praktykowała jako wiedźma. A teraz jest, jak to nazywają miejscowi, „znachorką”. Pomaga ludziom i trzyma się z daleka od reszty klanu Deane'ów.

Słyszając te słowa, poczułem się lepiej. Wyglądało na to, że Agnes

była, jak to określał stracharz, „zacna” i korzystała ze swych mocy, by pomagać innym. Kiedy ujrzelśmy przed sobą jej dom, poczułem się jeszcze lepiej. Był to samotny parterowy domek u stóp wzgórza, na skraju wąskiej dróżki. Na południowym zachodzie, co najmniej milę dalej, spomiędzy drzew unosił się dym z kominów.

– Zaczekaj tutaj, Tomie – zaproponowała Alice. – Zejdę i sprawdzę, czy wszystko w porządku.

Patrzyłem, jak Alice schodzi ze wzgórza. Tymczasem ciemne chmury opadły jeszcze niżej, a deszcz lał coraz mocniej, naciągnąłem zatem kaptur płaszcza. Drzwi domku otwarły się, nim dotarła do nich Alice. Przez chwilę moja towarzysząca rozmawiała z kimś niewidocznym na werandzie. Potem odwróciła się i skinęła na mnie ręką. Kiedy dotarłem na miejsce, weszła już do środka, nagle jednak usłyszałem dobiegający z domku głos.

– Zmykaj z tego deszczu i zamknij drzwi!

Zrobiłem, jak kazał głos. Należał do kobiety, był nieco szorstki, ale też pełen ciepła i władczy. Po paru krokach znalazłem się w ciasnym saloniku, na kominku płonął niewielki ogień, a na haku wisiał czajnik z gotującą się wodą. Ujrzałem też fotel na biegunach i stolik z jedną niezapaloną świecą, zrobioną – co zauważyłem z zainteresowaniem i ulgą – ze zwykłego pszczelego wosku, nie tego czarnego, ulubionego przez bezecne czarownice.

Pokój, bardzo przytulny i pogodny, w jakiś sposób wydawał się jaśniejszy, niż wskazywałoby na to maleńkie frontowe okno. Ujrzałem liczne szafki i rzędy drewnianych regałów, uginających się od najróżniejszych słoików i pojemników wszelkich możliwych kształtów. Na każdym nalepiono etykietę ze słowem bądź słowami po łacinie. Bez wątplenia znalazłem się w pokoju uzdrowicielki.

Alice wycierała właśnie włosy ręcznikiem. Agnes Sowerbutts, stojąca obok niej, sięgała bratanicy zaledwie do ramienia, była jednak równie szeroka, jak wysoka i powitała mnie w swym domu ciepłym uśmiechem.

– Cieszę się, że mogę cię poznać, Tommy – rzekła, wręczając mi kolejny ręcznik. – Wytrzymaj się, nim się przeziębisz. Alice wiele mi o

tobie opowiadała.

Przytaknąłem, podziękowałem za ręcznik i uśmiechnąłem się przez grzeczność. Tak naprawdę nie lubiłem, kiedy nazywano mnie Tommy, ale uznałem, że nie ma co protestować. Wytarłem twarz, zaniepokojony faktem, że nie widzę Ellie, Jacka ani Mary.

– Gdzie moja rodzina? – spytałem. – Czy nic im nie jest?

Agnes podeszła do mnie i dodającym otuchy gestem poklepała po ramieniu.

– Twoja rodzina jest bezpieczna w sąsiednim pokoju, Tommy. Śpią sobie spokojnie. Chciałbyś ich zobaczyć?

Przytaknąłem, toteż otworzyła drzwi i wprowadziła mnie do pokoju z wielkim podwójnym łóżem. Na kapie na wznak leżały trzy postacie – Jack i Ellie z córeczką pomiędzy nimi. Oczy mieli zamknięte i przez moment po plecach przebiegł mi dreszcz. Obawiałem się najgorszego. Nie słyszałem nawet ich oddechów.

– Nie ma się czego obawiać, Tom – Alice stanęła tuż za mną. – Agnes podała im mocną miksturę. Uspiała ich, by mogli odzyskać siły.

– Przykro mi to mówić, ale nie potrafię uleczyć twojego brata. – Agnes pokręciła głową. – Jest teraz jednak silniejszy i gdy się ocknie, powinien móc chodzić o własnych siłach. Na umysł jednak nic nie poradzę. Strasznie ma zmaczone w głowie. Nie wie nawet, czy wchodzi czy wychodzi, biedny Jack.

– Nic mu nie będzie, Tom. – Alice na pociechę uścisnęła mi rękę. – Gdy tylko wrócimy, przejrzę skrzynie twojej mamy. Z pewnością znajdę tam coś, co go uzdrowi.

Alice miała dobre zamiary, nie poczułem się jednak lepiej. Zaczynałem się zastanawiać, czy brat kiedykolwiek wróci w pełni do zdrowia. Tymczasem w salonie Agnes przygotowała nam wzmacniający napój ziołowy. Smakował gorzko, lecz zapewniła, że dobrze nam zrobi i doda sił do tego, co musimy zrobić. Oznajmiła, że członkowie mojej rodziny obudzą się sami w ciągu najbliższej godziny i będą mieć dość sił, by wrócić do Wieży Malkinów.

– Masz nam coś nowego do powiedzenia? – Alice pociągnęła łyk

swego napoju.

– Rodzina niewiele mi mówi – odparła Agnes. – Oni mnie nie zaczepiają, a ja nie zaczepiam ich. Ale sama sporo widzę. Przez ostatnie dni wiele się działo. Szykują się do Święta Plonów. Wczoraj odwiedziło nas więcej Malkinów, niż widywałam przez lata. A także Mouldheelów – a coś takiego nigdy dotąd się nie zdarzyło.

Alice roześmiała się nagle, w jej głosie zadźwięczała drwiąca nuta.

– Ale przecież nie przechodzili ci pod oknem. Więc skąd wiesz o tym wszystkim?

Agnes zarumieniła się lekko. Z początku sądziłem, że się obraziła, wkrótce jednak pojąłem, że to wstyd.

– Taka stara kobieta jak ja potrzebuje trochę rozrywki, prawda? Wyglądanie przez okno na pola beczących owiec i kołyszące się na wietrze drzewa to nic zabawnego. To, co robię, trochę przypomina plotki. Dzięki temu nie czuję się taka samotna.

Alice uśmiechnęła się i przyjacielskim gestem uścisnęła mi ramię.

– Ciotka Agnes lubi używać lustra, by sprawdzić, co się dzieje na świecie. Zrobisz to dla nas teraz, ciociu? – zwróciła swój uśmiech ku starej kobiecie. – To ważne, o tak. Musimy wiedzieć, co knują Mouldheelowie. Najchętniej zobaczylibyśmy Mab Mouldheel. Mogłabyś ją dla nas znaleźć?

Przez chwilę Agnes nie odpowiadała, potem jednak lekko skinęła głową i ruszyła do najdalszego kąta. Przez chwilę grzebała w kredensie, w końcu wyciągnęła lustro. Miało najwyżej dwanaście cali na sześć, ale tkwiło w mosiężnej ramie na ciężkiej podstawie. Ustawiła je na stole i przesunęła świecę na stole z lewej strony. Potem wzięła krzesło i usiadła naprzeciw lustra.

– Zasłoń okna, Alice! – poleciła, sięgając po świecę.

Alice posłuchała i ciężkie story opadły, pogrążając pokój w mroku. W chwili, gdy dłoń Agnes zacisnęła się wokół świecy, ta rozbłysła. Ufałem osądowi Alice, nagle jednak zacząłem

podejrzewać, że Agnes jest nie tylko zwykłą uzdrowicielką. Znachorka nie używałaby luster i świec. Stracharzowi by się to nie spodobało, ale Alice także robiła często rzeczy, których nie aprobował. Miałem jedynie nadzieję, że podobnie jak Alice, Agnes zawsze korzysta ze swych mocy w dobrej sprawie, nie w służbie mrokowi.

Przez chwilę w pokoju panowała cisza, słyszałem tylko bębnienie deszczu o okno. Potem, gdy Agnes zaczęła mamrotać pod nosem, stanęliśmy z Alice tuż za nią, by móc patrzeć jej przez ramię w lustro, które niemal natychmiast zasnuła mgłą.

Prawa dłoń Alice chwyciła moją lewą dłoń.

– Agnes świetnie sobie radzi z lustrami – wyszeptała mi do ucha. – Czasem dorównuje w tym nawet Mouldheelom!

W lustrze pojawiła się seria obrazów: wewnątrz zagraconego domku; stara kobieta zgarbiona w fotelu i głaszcząca siedzącego na kolanach czarnego kota; coś, co wyglądało jak ołtarz w zrujnowanej kaplicy. Potem tafla pociemniała, Agnes zaczęła się kołysać z boku na bok, słowa sypały jej się z ust coraz szybciej i szybciej, z czoła ściekały strużki potu.

Lustro odrobinę pojaśniało, lecz teraz widzieliśmy tylko pędzące po niebie chmury i coś, co wyglądało jak gałęzie szarpane porywistym wiatrem. Dziwne, jak ona to robiła? Gdzie było drugie lustro? Zdawało się, że patrzymy w górę z ziemi. I wtedy pojawiły się dwie osoby. Były olbrzymie i zniekształcone, zupełnie jakbyśmy zamienili się w mrówki, patrzące na olbrzymów. Jedna postać była bosa; druga miała na sobie długą suknię. Nim jeszcze obraz się wyostrzył i ujrzałem ich twarze, pojąłem, kto to.

Mab rozmawiała z ozywieniem z Wurmalde, która położyła jej prawą dłoń na ramieniu. Mab umilkła, obie z uśmiechem pokiwały głowami. Nagle obraz zaczął się przesuwać, zupełnie jakby ciemna chmura przepływała z lewej strony ku prawej i pojąłem, że nasze pole widzenia przesłonił rąbek spódnicy Wurmalde. Potem dostrzegłem jeden szpiczasty trzewik czarownicy, a obok niego bosą stopę o trzech palcach zakończonych ostrymi, okrutnymi

pazurami. Znow ukrywała pod suknią Tibba.

Obraz zniknął i lustro pociemniało, ale dowiedzieliśmy się dosyć. Wyglądało na to, że Mouldheelowie dołączą do pozostałych dwóch klanów. Agnes zdmuchnęła świecę i podniosła się ze znużeniem. Rozsunąwszy story obróciła się i pokręciła głową.

– Ta wredna bestyjka przyprawia mnie o dreszcze – rzekła. – Świat byłby bez niej lepszy.

– Bez Wurmalde też – dodała Alice.

– Ja to zrobiłaś? – spytałem Agnes. – Myślałem, że potrzebne są dwa lustra...?

– To zależy od mocy czarownicy – Alice odpowiedziała za ciotkę. – Woda także się nadaje. Może to być miska albo, przy naprawdę dobrej pogodzie, nawet staw. Ciotka Agnes jest bardzo sprytna i zręczna: Wurmalde i Mab stały tuż obok wielkiej kałuży, więc ją wykorzystwała.

Poczułem mrowienie. Oczami duszy znow ujrzałem ciemne podziemne jezioro i fragmenty utopca, unoszące się na gładkiej jak szkło powierzchni. Przypomniałem sobie ówczesny niepokój.

– Kiedy mijaliśmy podziemne jezioro, poczułem dreszcz – oznajmiłem. – Zupełnie jakby ktoś mnie obserwował. Czy ktoś mógł skorzystać z niego jak z lustra i nas zobaczyć?

Agnes przytaknęła, w jej oczach dostrzegłem namysł.

– To możliwe, Tommy. A jeśli tak, będą wiedzieć, że opuściliście bezpieczne schronienie w wieży i mogą zastawić pułapkę, aby złapać was, kiedy wrócicie.

– Pójdziemy zatem inną drogą – zaproponowałem. – Stracharz wciąż jest w Wieży Malkinów, może opuścić most. Wrócimy przez las. Tego nie będą się spodziewać.

– Moglibyśmy spróbować – wtrąciła z powątpiewaniem Alice. – Ale mogą też na nas czekać we Wronim Lesie, no i będziemy musieli krzyczeć, żeby stracharz nas wpuścił. To chyba jednak lepsze wyjście, zwłaszcza jeśli wybierzemy okreśną drogę i podejdziemy do wieży od północy.

– Mamy jednak kolejny problem – dodałem. – Stracharz przez

wiele godzin będzie zajęty duszami zmarłych w lochach. Nie usłyszysz nas. Musimy poczekać z powrotem. Zaczekać do nocy...

– Do tej pory możecie być tutaj – oznajmiła Agnes. – Może zjecie bulionu, żeby się rozgrzać? Kiedy twój brat i jego rodzina obudzą się, będą z pewnością głodni. Przyrządzę nam obiad.

Agnes krzątała się właśnie w kuchni, gdy z sąsiedniego pokoju dobiegł mnie słaby płacz. Mała Mary się obudziła. Niemal natychmiast usłyszałem, jak Ellie ją pociesza. Zastukałem zatem lekko do drzwi i wszedłem do środka. Ellie tuliła dziecko, Jack siedział na skraju łóżka przy drzwiach, twarz ukrywał w dłoniach. Kiedy przekroczyłem próg, nawet nie podniósł głowy.

– Lepiej się czujesz, Ellie? – spytałem. – I co z Jackiem?

Ellie uśmiechnęła się do mnie słabo.

– Znacznie lepiej, dzięki. I Jack także wydaje się silniejszy. Jeszcze się nie odezwał, ale spójrz na niego: jest już dość silny, by usiąść. To wielki postęp.

Jack nadal tkwił w tej samej pozycji, jakby nie zauważył mego przybycia. Staralem się jednak nie okazywać wątpliwości, bo nie chciałem przestraszyć Ellie.

– To doskonale wieści – oznajmiłem. – A niedługo wrócimy do Wieży Malkinów, żeby się w niej schronić.

Na moje słowa na jej twarzy zagościł strach.

– Nie jest tak źle – próbowałem ją pocieszać. – Teraz to my panujemy nad wieżą. Będziecie tam bezpieczni.

– Miałam nadzieję już nigdy nie oglądać tego ponurego miejsca.

– Tak będzie najlepiej, Ellie. Zaczekacie tam w spokoju, póki nie zdołamy odwieźć was do domu na farmę. Nim się obejrzysz, wszystko wróci do normy.

– Chciałabym tak myśleć, Tom. Ale po prawdzie nie mam zbyt wielkiej nadziei. Zawsze pragnęłam być tylko dobrą żoną dla Jacka i mieć własną rodzinę, którą mogłabym kochać. Lecz to, co się stało, zepsuło wszystko. Nie wyobrażam sobie, jak mogłoby być tak jak przedtem. Będę musiała robić dobrą minę do złej gry, dla dobra biednej małej Mary.



W tym momencie Jack podniósł się z łóżka i szurając nogami, ruszył ku mnie ze zdziwioną miną.

– Dobrze znów widzieć cię na nogach, Jack! – wyciągnąłem ręce na powitanie.

Stary Jack chwyciłby mnie w niedźwiedzi uścisk i omal nie zmiażdżyłby mi żeber. Lecz mój brat nie doszedł jeszcze do siebie. Zatrzymał się trzy kroki ode mnie, jego usta otworzyły się i zamknęły kilka razy; potem, oszołomiony, pokręcił głową. Na nogach trzymał się dość pewnie, ale słowa wciąż mu umykały. Miałem nadzieję, że Alice faktycznie znajdzie w skrzyni mamy coś, co mu pomoże.

\*

Wkrótce po zachodzie słońca podziękowaliśmy Agnes Sowerbutts i wyruszyliśmy. Deszcz tymczasem osłabł i zamienił się w lekką mżawkę.

Wraz z Alice szliśmy przodem, wskazując drogę, ale musieliśmy maszerować wolno. Deszcz wkrótce ustał całkowicie, niebo jednak zasnuwały ciężkie chmury i na dworze było bardzo ciemno. To przynajmniej utrudniało czyhającym w zasadzce czarownicom wypatrzenie nas. Mała Mary, wystraszona, kurczowo trzymała się matki, która musiała zatrzymywać się co chwila, by utulić dziecko. Jack szedł obok, jakby miał do dyspozycji cały czas tego świata, co chwila jednak na coś wpadał, a w pewnym momencie potknął się o pień, robiąc dość hałasu, by usłyszały go wszystkie wiedźmy w Pendle.

Zamierzaliśmy trzymać się wschodniej strony, wymijając Wroni Las szerokim łukiem od prawej. Pierwsza część planu poszła dobrze, lecz gdy tylko zbliżyliśmy się do wieży od północy, zacząłem czuć coraz większy niepokój. Wyczuwałem coś w mroku. Z początku miałem nadzieję, że to wyobraźnia płata mi figle, ale wiatr rozdzierał i porywał chmury i niebo z każdą chwilą jaśniało coraz bardziej. Potem księżyc znalazł wyrwę między chmurami i srebrzysty blask oświetlił okolicę. Gdy obejrzałem się przez ramię, zobaczyłem w dali postaci. A potem duża chmura po raz kolejny

pograżyła nas w ciemnościach.

– Są za nami, Alice, i zbliżają się – poinformowałem, nie podnosząc głosu, by nie przstraszyć pozostałych.

– Czarownice. Całe mnóstwo – zgodziła się Alice. – Mają ze sobą także mężczyzn.

Wkrótce znaleźliśmy się między drzewami Wroniego Lasu, zmierzając w stronę bystrego strumienia. Z każdą chwilą byliśmy coraz bliżej. Słyszałem szum i syk wody przelewającej się po kamieniach.

– Jeśli tylko się przepawimy, będziemy bezpieczni! – krzyknąłem.

Na szczęście brzeg był niski. Przytrzymałem Ellie przechodzącą na drugą stronę z Mary na rękach. Woda sięgała nam ledwie do kolan, ale kamienie na dnie były bardzo śliskie. Jack, chlapiąc wokół, dwa razy wpadł do strumienia, za drugim razem blisko przeciwległego brzegu. Nie skarżąc się jednak, wczołgał się na błotnistą skarpe.

Wszyscy dotarliśmy na drugą stronę i z ulgą pomyślałem, że najbliższe niebezpieczeństwo minęło. Czarownice nie zdołają się przepawić. W tym momencie jednak księżyc znów wyłonił się na chwilę zza chmur, ukazując coś, co przepełniło mnie rozpaczą. Jakieś dwadzieścia jardów po naszej prawej ujrzałem wiedźmią tamę, ciężką dechę zawieszoną nad wodą. Przytrzymywana przez liny biegnące wokół bloczków do dźwigni po obu stronach strumienia, deska tkwiła osadzona między dwoma słupkami z wyżłobionymi rowkami, które prowadziły ją na miejsce podczas opuszczania.

Zyskaliśmy nieco czasu, ale za mało. Opuszczenie ta my i powstrzymanie przepływu wody zabierze naszym wrogom zaledwie parę chwil. A gdy się przepawią, dościgną nas na długo przed dotarciem do wieży.

– Jest sposób, pozwalający ich zatrzymać, Tom! – krzyknęła Alice. – Nie trać jeszcze nadziei. Chodź za mną!

Pobiegła w stronę wiedźmiej tamy. Migotliwe promienie

księżycyca na chwilę oświetliły to miejsce. Alice wskazała wodę pod deską. Ujrzałem ciemną, grubą linię, biegnącą od brzegu do brzegu.

– To rów, Tomie – krzyknęła Alice. – Mężczyźni z klanu odgarniają kamienie i wykopują zagłębienie w dnie strumienia. Potem wykładają je drewnem. Szczelnie przytrzymuje deskę, tak że woda nie może się przedostać. Jeśli wrzucimy do niego kilka kamieni, nie zdołają w pełni jej opuścić.

Uznałem, że warto spróbować, ruszyłem zatem w ślad za Alice, zsuwając się z brzegu do wody. W teorii było to łatwe, wystarczyło jedynie znaleźć kilka kamieni i wsadzić je do rowu. W praktyce szło nam bardzo ciężko. Było ciemno; za pierwszym razem, gdy zanurzyłem ręce po łokcie w zimnej wodzie, moje palce niczego nie chwyciły. Pierwszy kamień, który znalazłem, tkwił głęboko w ziemi i nie dał się ruszyć. Drugi był mniejszy, lecz wciąż za ciężki, bym mógł go dźwignąć; palce ślizgały się, co chwila tracąc uchwyt.

Za trzecim razem wymacałem kamień nieco większy od pięści. Alice wyprzedziła mnie, zdążyła już umieścić kamienie blisko naszego brzegu.

– Tutaj, Tom! Wsadź go obok moich, nie trzeba będzie zbyt wielu...

Słyszałem już głośnie oddechy i szybki tupot stóp na mokrej ziemi. Po kolejnych zmaganiach znalazłem drugi kamień – dwa razy większy od mej pięści – i z pluskiem rzuciłem go do rowu, przyciskając ramię do dolnej krawędzi podniesionej deski, by łatwiej wycelować w ciemności. Lecz prześladowcy byli bardzo blisko. Gdy księżyc znów się pojawił, dostrzegłem rosłą postać mężczyzny sięgającego ku dźwigni.

Znalazłem następny kamień i właśnie zdołałem wrzucić go do rowu, gdy usłyszałem zgrzyt obracanego koła. Deska, skrzypiąc, zaczęła się opuszczać. Zamierzałem znów poszukać, lecz Alice złapała mnie za rękę.

– Chodź, Tom, wystarczy! Nie dadzą rady zamknąć tamy do końca, woda wciąż będzie płynąć.

Podążyłem zatem za Alice na drugi brzeg, pobiegliśmy do miejsca, gdzie czekali Jack, Ellie i Mary i poprowadziliśmy ich przez las. Czy dosyć zrobiliśmy? Czy Alice miała rację?

Ellie, wyczerpana, potykając się, wlokła się w ślimaczym tempie, wciąż ściskając córkę. Musieliśmy poruszać się szybciej. Znacznie szybciej.

– Daj mi Mary – nalegała Alice, wyciągając ręce po małą.

Przez chwilę sądziłem, że Ellie odmówi. Potem jednak podziękowała skinieniem głowy i oddała swoją córkę. Zgrzyt deski cichł gdzieś za nami, szliśmy dalej, aż w końcu dotarliśmy na łąkę. Przed sobą ujrzelśmy wieżę. Byliśmy już prawie bezpieczni.

Gdy znaleźliśmy się w zasięgu głosu, wezbrała we mnie nadzieja: usłyszałem dobiegający z wewnątrz zgrzyt. Księżyc zajaśniał i na moich oczach z brzękiem łańcuchów most zwodzony zaczął się opuszczać. Zaniepokojony naszym późnym powrotem, stracharz musiał wypatrywać nas z murów i zobaczyć z daleka.

Lecz kiedy dotarliśmy na skraj fosy, usłyszałem dobiegający z tyłu gardłowy krzyk. Obejrzałem się przez ramię i moja nadzieja zniknęła szybciej niż ostatni kamień wrzucony do ciemnej wody. Po trawie biegły ku nam ciemne sylwetki. Czarownice musiały jakoś przeprowić się przez strumień.

– Powinniśmy byli poszukać więcej kamieni – rzepem z goryczą.

– Nie, Tomie, zrobiliśmy dosyć – Alice oddała Mary Ellie. – To nie czarownice, choć są niemal równie groźni. To mężczyźni z klanu.

Było ich co najmniej pół tuzina; biegli ku nam wściekli, błyskając szalonymi oczami i wymachując długimi nożami, których ostrza lśniły srebrzyście w promieniach księżyca. Ale most już się opuścił, więc idąc tyłem, wkroczyliśmy na jego mroczne deski. Wraz z Alice zajęliśmy pozycje obronne na samym skraju mostu, tak że pozostali znaleźli się między nami i wielkimi, okutymi żelazem wrotami. Stracharz zbiegał już na dół. Nasi wrogowie byli tuż, tuż.

Słyszałem, jak mój mistrz odciąga ciężkie rygle. Ale czy zdąży?

Ellie krzyknęła za mną, usłyszałem skrzypienie drzwi na zawiasach. Uniosłem laskę w obronnym geście, w nadziei, że zdołam odbić ostrze, mknące ku mojej głowie. Lecz obok znalazł się ktoś inny. Był to stracharz; kątem oka zobaczyłem, jak dźga laską w stronę napastnika. Mężczyzna wrzasnął i z donośnym pluskiem runął na bok, do fosy.

– Do środka! – krzyknął stracharz. – Uciekajcie do środka, wszyscy!

On sam został na miejscu, patrząc na biegnących ku niemu ramię w ramię dwóch napastników. Nie chciałem zostawić go samego, ale pchnął mnie tak mocno, że potknąłem się i o mało nie upadłem. Dokładnie w tym momencie księżyc skrył się za chmurą i znów pograżyliśmy się w ciemności. Bez namysłu posłuchałem, docierając do drzwi tuż za Alice. Usłyszałem kolejny krzyk bólu i obejrzałem się. Ktoś upadł, rozległ się kolejny plusk. Czy to był stracharz? Czyżby strącili go do wody? A potem ciemna postać puściła się biegiem ku bramie. Nim jednak zdążyłem podnieść laskę, by się bronić, przekonałem się, że to mój mistrz.

Wpadł do środka, zaklął, odrzucił laskę i pchnął ramieniem drzwi. Pomogliśmy mu z Alice i ledwie zdążyliśmy je zamknąć, gdy rąbnęło w nie coś ciężkiego. Stracharz zasunął rygle. Napastnicy się spóźnili.

– Na górę i podnieście most! – rozkazał stracharz. – Obydwoje! Tylko szybko!

Wraz z Alice pobiegliśmy po schodach, razem zaczęliśmy obracać koło. W dole słyszeliśmy wściekłe okrzyki i uderzenia metalu o metal. To wrogowie tłukli bezradnie o bramę. Kołowrót obracał się ciężko, napieraliśmy na niego resztką sił i mimo stawianego oporu obracaliśmy go kawałek za kawałkiem. Most zaczął podnosić się powoli. Tuż przed tym, nim oparł się o drzwi, łaskoty ustały i usłyszeliśmy dalekie pluski. To wrogowie zeskoczyli do fosy. Gdyby tego nie zrobili, zostaliby zmiażdżeni pomiędzy ciężkim drewnianym mostem i bramą.

Byliśmy bezpieczni – przynajmniej na jakiś czas. Wraz ze

stracharzem i Alice omówiliśmy wszystko, co zaszło. Tymczasem Ellie starała się ułożyć jakoś Mary i Jacka. Wszyscy byliśmy zmęczeni i nim minęła godzina, szykowaliśmy się do snu: znów na podłodze, opatuleni w brudne koce. Byłem wyczerpany, wkrótce zasnąłem twardo. Lecz obudziłem się w nocy, słysząc czyjeś szlochanie. Brzmiało to jak Ellie.

– Wszystko w porządku, Ellie? – zawołałem cicho w ciemność.

Niemal natychmiast płacz ustał, lecz bratowa nie odpowiedziała. Potem potrzebowałem dłuższej chwili, by znów zasnąć. Zastanawiałem się, co przyniesie jutro. Zaczynało brakować nam czasu. Za dwa dni będzie Święto Plonów. Straciliśmy dzień, sprowadzając Jacka do wieży, toteż nie wątpiłem, że stracharz przede wszystkim postara się jutro rozprawić z Wurmalde. Jeśli jej nie znajdziemy i nie powstrzymamy czarownic, ucieleśnienie mroku zstąpi pośród nas i nie tylko Ellie będzie zasypiała z płaczem.

## **ROZDZIAŁ 20**

### **ŚMIERĆ WROGA**

Gdy się ocknęliśmy, stracharz pozwolił mi tylko napić się wody i przegryźć kawałek sera z Hrabstwa. Miałem rację – wkrótce wyruszyliśmy, by raz na zawsze rozprawić się z Wurmalde. Czarownica nie mogła nas wywęszyć, istniała jednak obawa, że Tibb to potrafi. W takim przypadku szlibyśmy w pułapkę, ale musieliśmy zaryzykować. Nim jeszcze dotrzemy do Dworu Read, zagrozi nam niebezpieczeństwo. Czarownice bez wątpienia obserwują wieżę ze skraju lasu. Gdyby tylko zauważyły choćby najmniejszy ruch mostu, zaatakowałyby. Znów więc musieliśmy użyć tuneli. Lecz oczywiście z pomocą swych luster będą obserwowały podziemne jezioro i dowiedzą się, że opuściliśmy wieżę. Może nawet zaczają się na nas w zaroślach na starym

cmentarzu, przygotowane do walki. Lecz mimo ryzyka stracharz był zdecydowany wyeliminować Wurmalde, którą uważał za mroczne serce spisku, zagrażającego Hrabstwu.

Wyciągnął z torby oselkę, usłyszałem szcęk i z zagłębienia na końcu jego laski wyskoczyła ukryta klinga. Zaczął ostrzyć ją szybko.

– No, chłopcze – rzekł szorstko – mamy zadanie do wykonania. Musimy skrepować Wurmalde i uwięzić ją, tak by już nikomu nie zaszkodziła. A jeśli ktokolwiek wejdzie nam w drogę... – urwał, sprawdzając palcem ostrość klingi. Kiedy na mnie spojrzał, oczy miał twarde i groźne. Zerknął na Alice.

– Ty zostań tutaj, dziewczyno, i zajmij się Jackiem. Myślisz, że będziesz miała dość sił, by opuścić most, kiedy wróci James z wieśniakami?

– Jeśli Tom dał sobie radę, to ja też powinnam – odparła z beczelnym uśmiechem. – A tymczasem zobaczymy, czy nie natrafię w skrzyni na coś, co może pomóc Jackowi.

Gdy znaleźliśmy się w lochach pod wieżą, natychmiast wyczułem odmienioną atmosferę – odmienioną pozytywnie. Stracharz dobrze się spisał: martwi porzucili swoje kości i odnaleźli pokój.

Po dwóch lamiach nie dostrzegłem nawet śladu. Uniosłem wysoko świecę i odkryłem, że martwe zwierzęta nadal wiszą przychepione do łańcuchów, lecz z ich wysuszonych trucheł nie ściekała już krew. Ostrożnie weszliśmy do tunelu i dotarliśmy do niewielkiego jeziora, w którym wciąż pływały fragmenty ciała utopca. Powierzchnia wody była gładka niczym szkło i ponownie wyczułem, że ktoś nas obserwuje. Zmienił się tylko smród, teraz silniejszy niż kiedykolwiek. Obaj ze stracharzem zasłoniliśmy dłońmi usta i nosy, próbując nie oddychać, póki nie zostawimy za sobą śmierdzącej wody.

W końcu musieliśmy zacząć się czołgać. Stracharz wciąż podążał na przedzie, mamrocząc pod nosem. Ciężko nam szło, ale wreszcie dotarliśmy do ossuarium. Gdy zeskoczyłem z półki,

stracharz strzepywał z płaszcza kurz i pleśń.

– Moim starym kościom niezbyt się to spodobało – poskarżył się. – Dobrze będzie wyjść, odetchnąć świeżym powietrzem.

– Trzymali tu przykutą martwą wiedźmę – poinformowałem stracharza, wskazując leżące w kącie żelaza. – Nazywała się Maggie, kiedyś była przywódczynią kręgu Malkinów. Mouldheelowie torturowali ją, żeby znaleźć wejście do tunelu. Teraz znów jest wolna...

– Jak była silna? – spytał stracharz.

– Nie tak jak stara Mateczka Malkin, ale dość silna. Zapuszczała się na łowy kilka mil poza Wiedźmi Jar.

– Cokolwiek stanie się przez następnych kilka dni, czekają nas lata pracy, nim w końcu oczyścimy Pendle. – Stracharz ze znużeniem pokręcił głową.

Zdmuchnąłem świecę i postawiłem obok lampy, którą Alice zostawiła podczas naszej ostatniej wizyty.

– Na wszelki wypadek zabierz ze sobą lampę, chłopcze – polecił stracharz. – Możliwe, że będziemy musieli przeszukać piwnice Dworu Read.

Kiedy ostrożnie ruszyliśmy przez gąszcz porastający porzucony cmentarz, nad naszymi głowami zbierały się deszczowe chmury, z zachodu wiał silny wiatr. Zdażyliśmy postąpić najwyżej kilkanaście kroków, gdy przekonaliśmy się, że czarownice istotnie zastawiły pułapkę. Było ich trzy, wszystkie martwe. Otaczającą trawę zbryzgała krew, ciała obsiadły muchy. W odróżnieniu od stracharza nie podszedłem zbyt blisko, lecz nawet z daleka wyglądało to na robotę lamii. Najwyraźniej raz jeszcze siostry mamy oczyściły mi drogę.

\*

Zaledwie godzinę później zbliżaliśmy się do Dworu Read. Nie miałem wcale ochoty znów wchodzić do budynku, w którym Tibb śmiertelnie mnie nastraszył a Wurmalde oskarżyła o morderstwo – i gdzie bez wątplenia ciało nieszczęsnego ojca Stocksa wciąż leżało na zasłanym łóżku z nożem w piersi. Trzeba to jednak było zrobić.



Bez wątpienia wkraczaliśmy w paszczę lwa. Zarówno Tibb, jak i groźna Wurmalde mogli czekać na nas w ukryciu, nie mówiąc nawet o służących, a może też innych czarownicach z klanów. Gdy się jednak zbliżyliśmy, wkrótce pojęliśmy, że coś jest bardzo nie tak. Wiatr otwierał i zamykał frontowe drzwi.

– No, chłopcze – powiedział stracharz. – Skoro zostawili je dla nas otwarte, swobodnie możemy z nich skorzystać!

Podeszliśmy do drzwi i wkroczyliśmy do środka. Już miałem je zamknąć, gdy mój mistrz położył mi dłoń na ramieniu i pokręcił głową. Zastygliśmy bez ruchu, nasłuchując. Oprócz trzaskania drzwi i skowytu wiatru na zewnątrz, w domu panowała cisza. Stracharz spojrział w górę schodów.

– Niech drzwi dalej trzaskają – wyszeptał mi do ucha. – Jeśli cokolwiek zmienimy, możemy zaalarmować tych, którzy się tu kryją. Jest za cicho, podejrzewam zatem, że służba uciekła. Zaczniemy od przeszukania pokoi na parterze.

Jadalnia była pusta; kuchnia wyglądała, jakby nikt nie odwiedzał jej od wielu dni – w zlewie piętrzyły się brudne naczynia, w powietrzu wisiała woń zepsutego jedzenia. Mimo porannego światła w Dworze Read zalegał mrok, a wśród cieni w kątach mogło ukrywać się wszystko. Wciąż powracałem myślami do Tibba. Czy stwór nadal się tu czai?

Ostatnim pomieszczeniem, które sprawdziliśmy, był gabinet. Gdy tylko przekroczyliśmy próg, poczułem woń śmierci. Między regałami twarzą do ziemi leżało ciało.

– Zapal lampę – rozkazał stracharz. – Przyjrzyjmy się bliżej...

Od razu było widać, że to trup Nowella. Koszulę miał w strzępach, niemal zdartą z pleców i ciemną od zaschniętej krwi. Ślad krwi ciągnął się od ciała aż ku dalszym drzwiom, stojącym otworem. Wokół leżały też rozsypane książki. Stracharz zerknął na górną półkę, z której wyraźnie spadły, po czym ukląkł i obrócił martwego prefekta na plecy. Oczy nieboszczyka otwierały się szeroko, twarz wykrzywiał grymas przerażenia.

– Wygląda na to, że to Tibb go zabił. – Strachaj znów spojrział

na najwyższą półkę. – Bez wątpienia siedział tam i zeskoczył Nowellowi na ramiona, gdy ten przechodził obok. Stwór nadal może ukrywać się w domu – dodał, wskazując ślady krwi.

Otworzył drzwi, za nimi smuga krwi przecinała wąskie, wiodące w dół stopnie i znikwała w mroku. Mój mistrz ruszył naprzód, trzymając kij w gotowości, ja podążałem tuż za nim, wysoko unosząc lampę. Wkrótce znaleźliśmy się u progu wejścia do niewielkiej piwniczki. Pod prawą ścianą ustawiono dobrze zaopatrzone stojaki z winem, kamienna posadzka była czysta i zamieciona. Ślad krwi wskazywał najdalszy kąt, w którym twarzą do ziemi leżał Tibb.

Był jeszcze mniejszy, niż go zapamiętałem, gdy patrzył na mnie z sufitu – niewiele większy od średniego psa. Nogi miał podwinęte pod korpus, porośnięty gęstym czarnym futrem, obecnie pozlepianym od zaschniętej krwi. Wiedziałem jednak, że Tibb, mimo mizernych rozmiarów, dysponuje niewiarygodną siłą.

Ojciec Stocks nie zdołał go odpędzić, a Nowell zginął z jego ręki. Obie ofiary były przecież w sile wieku.

Stracharz ostrożnie podszedł do Tibba, usłyszałem szczęk, kiedy ostrze wyskoczyło z zagłębienia na końcu laski. Na ten dźwięk Tibb wyciągnął ręce, odsłonił szpony i uniósł głowę, przekręcając ją w lewo, by na nas spojrzeć. I właśnie widok owej głowy sprawił, że po plecach przebiegł mi lodowaty dreszcz grozy. Była całkowicie bezwłosa i gładka, z twarzy patrzyły oczy zimne, jak u martwej ryby. Otwarte usta odsłaniały cienkie, ostre jak szpilki zęby. Przez moment spodziewałem się, że Tibb skoczy na stracharza, zamiast tego jednak stwór jęknął boleśnie.

– Przychodzicie za późno – powiedział. – Moja pani mnie porzuciła, zostawiła na śmierć. Tak wiele rzeczy widziałem. Tak wiele. Ale nie moją własną śmierć. To ostatnia rzecz, jaką ogląda każdy z nas!

– Zgadza się. – Stracharz zważył broń w dłoniach. – Trzymam twą śmierć w swoich rękach...

Lecz Tibb jedynie zaśmiał się gorzko.

– Nie – syknął. – Ja już umieram, teraz, w tej chwili. Moja pani nigdy mnie nie uprzedziła, że tak krótko potrwa me życie. Dziewięć krótkich tygodni, nie więcej. To wszystko co miałem. Czy to sprawiedliwe? Dziewięć ty godni od urodzin do starości i śmierci. Teraz brak mi nawet sił, by dźwignąć ciało z zimnej posadzki. Oszczędź sobie zachodu, starcze. Nie trać na mnie sił. Będziesz ich jeszcze potrzebował. Tobie też zostało bardzo mało czasu. Lecz chłopak, stojący u twego boku, być może podejmie twój przeklęty fach. Jeśli przeżyje nów...

– Gdzie jest teraz Wurmalde? – spytał ostro stracharz.

– Odeszła! Odeszła! Odeszła w miejsce, gdzie nigdy jej nie znajdziecie. Nie w porę. Wkrótce moja pani wezwie Złego, by przez mroczny portal wydostał się na ten świat. Przez dwa dni słuchać będzie jej rozkazów, potem jednak wybierze własną drogę. A wiecie, jakie zadanie mu postawi? Jaką cenę musi zapłacić Zły za to, co dostanie od mej pani ?

Stracharz westchnął ze znużeniem, nie próbował nawet odpowiedzieć. Zauważyłem, jak jego ręce drgają na lasce. Szykował się do zabicia stwora.

– Owym zadaniem jest śmierć tego chłopaka. Musi umrzeć, bo jest synem swojej matki. Synem naszego wroga. Kiedyś, w odległej krainie, jego matka była nieśmiertelna, tak jak moja pani, i władała mocą mroku. Lecz zawahała się. Mimo wielu ostrzeżeń sięgnęła ku światłu. Przywiązano ją zatem do skały i porzucono na śmierć, postawiono, by zniszczyło ją słońce, symbol światła, któremu pragnęła służyć. Lecz przypadek zrządził, że uratował ją człowiek. Głupiec uwolnił ją z okowów.

– Mój tato nie był głupcem! – przerwałem. – Był dobry i miły i nie mógł znieść widoku jej cierpień. Nie pozwoliłby nikomu znosić podobnych mąk!

– Lepiej byłoby dla ciebie, chłopcze, gdyby ją zostawił. Bo wówczas nigdy byś się nie urodził. Nigdy nie przeżył krótkiego, mizernego życia. Sądzisz jednak, że sam fakt ocalenia sprawił, iż zmieniła się na zawsze? Bynajmniej! Jakiś czas cierpiała katusze,

nie wiedząc, w którą stronę się zwrócić, wahając się między mrokiem i światłem. Stare nawyki trudno pokonać i stopniowo mrok przyciągał ją coraz bardziej. Dano jej wówczas drugą szansę i rozkazano zabić tego, który ją ocalił. Ona jednak modliła się, nie posłuchała i ponownie zwróciła ku światłu. Ci, którzy mu służą, nie są dla siebie łaskawi. By odpokutować swe wcześniejsze czyny, wyznaczyła sobie okrutną karę – zrezygnowała z nieśmiertelności. I więcej jeszcze – postanowiła oddać swą młodość, najlepszą część żałośnie krótkiego życia temu, kto ją ocalił. Oddała się śmiertelnikowi, zwykłemu marynarzowi, i urodziła mu siedmiu synów.

– Siedmiu synów, którzy ją kochali! – zawołałem. – Była szczęśliwa, była rada...

– Szczęśliwa? Szczęśliwa?! Myślisz, że tak łatwo zaznać szczęścia? Wyobraź sobie, co musiała czuć, niegdyś wyniesiona tak wysoko, służąc śmiertelnikowi i jego pomiotowi, znosząc smród farmy, wypełniający jej nozdrza, dzieląc jego łoże i patrząc, jak jego ciało więdnie z czasem. Znosić monotonię codziennych zajęć. Żałowała, w końcu jednak jego śmierć ją wyzwoliła, kończąc karę, którą narzuciła sobie sama. Teraz mogła wrócić do swojej ojczyzny.

– Nie! – wtrąciłem. – To nie było tak! Mama kochała tatę...

– Miłość! – parsknął Tibb. – Miłość to wymysł, kłamstwo, którym śmiertelnicy tłumaczą swe przeznaczenie. A teraz twoja matka postawiła na szalę wszystko, próbując zniszczyć coś, na czym zależy mojej pani. Chce zniszczyć mrok i stworzyła sobie z ciebie broń. Nie możemy zatem pozwolić, byś doczekał wieku męskiego. Musimy zakończyć twoje życie.

– Owszem. – Stracharz uniósł kij. – A teraz czas zakończyć twoje...

– Miej litość! – błagał Tibb. – Potrzebuję jeszcze trochę czasu. Pozwól mi umrzeć w spokoju.

– A jaką litość ty okazałeś mości Nowellowi? – spytał ostro stracharz. – Daję ci zatem to, co ty dałeś jemu...

Odwróciłem się w chwili, gdy dźgnął laską. Tibb wrzasnął

krótko, jego krzyk przeszedł w kwik zarzynanej świni. Usłyszałem krótkie odgłosy dławienia, a potem ciszę. Nadal nie patrząc na stwora, podążyłem za mistrzem na górę, z powrotem do gabinetu.

– Ciało Nowella jakiś czas pozostanie niepogrzebane. – Stracharz ze smutkiem pokręcił głową. – Bez wątpienia nieszczęsny ojciec Stocks wciąż leży na górze. Możliwe też, że nigdy się nie dowiemy, co spotkało konstabla Barnes'a. Co do Wurmaldy, z tego, co mówił ów stwór, może być wszędzie, a my nie mamy czasu szukać na oślep. Nadal musimy zająć się kręgami czarownic, zacznijmy zatem od powrotu do wieży. James wkrótce powinien się zjawić z mężczyznami z Downham. Sami nie damy rady czarownicom. Musimy zwołać niewielką armię i zorganizować się. Kończy nam się czas.

Stracharz przystanął przy biurku Nowella. Nie było zamknięte, zaczął zatem przeszukiwać szuflady. Po chwili uniósł mój srebrny łańcuch.

– Trzymaj, chłopcze! – Rzucił mi go. – Bez wątpienia wkrótce znów ci się przyda.

Opuściliśmy Dwór Read i w ulewnym deszczu pomaszerowaliśmy do Wieży Malkinów. Cały czas rozmyślałem o tym, co powiedział Tibb.

\*

Mokrzy i zmęczeni, bez przygód przeprawiliśmy się przez tunele. Już przy spiralnych schodach wiodących na górę wieży odwróciłem się do stracharza. Bardzo chciałem zrzucić z serca parę rzeczy.

– Myślisz, że Tibb mówił prawdę, mistrzu? – spytałem.

– O które jego słowa ci chodzi, chłopcze? – spytał szorstko stracharz. – Stwór ów należał do mroku, co sprawia, że wszystko, co rzekł, musimy traktować z powątpiewaniem, delikatnie mówiąc. Jak sam dobrze wiesz, mrok kłamie, gdy tylko może na tym cokolwiek zyskać. Stwór mówił, że umiera, ale skąd miałem mieć pewność, że tak jest w istocie? Dlatego musiałem go zabić na miejscu. Może wyglądało to okrutnie, ale tak nakazywał mi

obowiązek. Nie miałem wyboru.

– Chodziło mi o tę część o mamie, niegdyś, jak Wurmalde, nieśmiertelnej. Siostry mamy to przecież lamie; myślałem, że jest taka sama.

– I bez wątplenia jest, chłopcze. Co jednak tak naprawdę oznacza nieśmiertelność? Nawet ten świat pewnego dnia się skończy. Może nawet gwiazdy na niebie kiedyś zgasną. Lecz lamie żyją bardzo, bardzo długo. W swej ludzkiej postaci pozornie się starzeją, kiedy jednak stają się na powrót dzikie, odzyskują młodość. Mogą przeżyć wiele żywotów w ludzkiej postaci, za każdym razem zaczynając jako młode niewiasty. Pewnego dnia być może dowiemy się, co miał na myśli ów stwór. Może kłamał. Może nie. Jak mówiła twoja mama, odpowiedzi kryją się w skrzyniach i któregoś dnia, jeśli wszystko pójdzie dobrze, może zdołasz przejrzeć dokładnie ich zawartość.

– A co ze Złym, przechodzącym przez portal? Co to w ogóle jest portal?

– To rodzaj niewidzialnej bramy. Miejsce, w którym bariera pomiędzy tym światem i miejscami, w których żyją stwory takie jak Zły, słabnie. Za pomocą czarnej magii czarownice spróbują go otworzyć i przepuścić Złego. Będziemy musieli dołożyć wszelkich starań, by je powstrzymać – głos stracharza odbijał się echem na schodach. – Musimy rozpędzić sabat w Święto Plonów i przerwać rytuał. Oczywiście łatwiej to powiedzieć niż zrobić. Ale nawet jeśli nam się nie uda, twoja matka przygotowała się na tę ewentualność. Dlatego właśnie zostawiła ci ów pokój...

– Ale czy zdążę tam dotrzeć, jeśli czarownice każą Złemu schwytać mnie i zabić? To bardzo daleko...

– Stwory przywołane na ten świat często potrzebują czasu, by zebrać myśli i zgromadzić moc. Pamiętasz, jak Mór z Priestown początkowo pozostawał zdezorientowany? Po wypuszczeniu na szeroki świat z początku był słaby i powoli gromadził siły. Przypuszczam, że ów tak zwany Zły może mieć podobny problem. Zyskasz niewielką przewagę, choć trudno orzec, jak długo potrwa.

Lecz na moje słowo zabieraj się do domu jak najszybciej i schroń w pokoju mamy.

– Tibb powiedział coś jeszcze, co nie daje mi spokoju – oznajmiłem. – Stało się to, gdy zobaczyłem go po raz pierwszy. Mówił, że mama śpiewa pieśń kozła i umieszcza mnie w samym jej środku. Co to mogło oznaczać?

– Sam powinieneś odgadnąć, chłopcze. W języku twojej mamy słowo tragos oznacza kozła, a oide odę bądź historię. Czyli pieśń kozła to tragedia. Stąd właśnie wzięliśmy to słowo. A jeśli stoisz w samym jej środku, znaczy to, iż według Tibba czeka cię tragiczne życie – zmarnowane, skazane na klęskę. Najlepiej jednak patrzeć na wszystko od jaśniejszej strony i przyjmować te słowa z pewną rezerwą. Każdego dnia podejmujemy decyzje, które kształtują nasze życie. Nie potrafię pogodzić się z myślą, że wszystko jest z góry ustalone. Nieważne, jak potężny stanie się mrok, musimy wierzyć, że w jakiś sposób zdołamy go pokonać. Spójrz tam w górę, chłopcze! Co widzisz?

– Stopnie wiodące do górnej części wieży...

– Owszem, chłopcze, stopnie, całe ich mnóstwo. Ale wespniemy się na nie, prawda? Mimo zmęczenia moich starych kości wespniemy się na kolejne stopnie i w końcu dotrzemy na wyższe piętro, do czekającego światła. Tak właśnie wygląda nasze życie. Chodź zatem! Bierzmy się do dzieła!

To rzekłszy, stracharz poprowadził mnie spiralnymi schodami, a ja dreptałem tuż za nim – w górę, ku światłu.

## **ROZDZIAŁ 21**

### **POWRÓT DO DOWNHAM**

W wieży czekały na nas dobre wieści. Alice znalazła coś, co według niej mogło w końcu uleczyć Jacka.

– Na razie uspiło go i to mocno – wyjaśniła. – Lecz ta mikstura

leczy nie ciało, ale umysł. Znalazłam wszystko w jednym z notesów twojej mamy – jak ją zmieszać, ile dokładnie ziół użyć. W skrzyni były też wszystkie składniki, każdy dokładnie podpisany.

– Nie wiem, jak ci dziękować. – Ellie uśmiechnęła się ciepło do Alice.

– To nie mnie dziękuj, tylko mamie Toma. Trzeba lat, by nauczyć się wszystkiego, co zamknęła w tej skrzyni. W porównaniu z tą wiedzą Koścista Lizzie nie umiała nic.

Jack spał do późnego popołudnia, a my z optymizmem myśleliśmy o przyszłości. Może gdy wkrótce się obudzi, ujrzemy dawnego Jacka? Wówczas jednak nadeszły złe wieści.

James wrócił, ale sam. Wieśniacy z Downham za bardzo się bali, żeby pomóc.

\*

– Staralem się, jak mogłem – oznajmił ze znużeniem – ale nic nie wskórałem. Odwaga ich opuściła. Nawet Matt Finley, kowal, odmówił opuszczenia Downham.

Stracharz ze smutkiem pokręcił głową.

– Cóż, jeśli oni nie przyjdą do nas, my będziemy musieli pójść do nich. Nie liczę jednak na zbyt wiele, Jamesie. Ostatnim razem udało ci się do nich przemówić i byłem pewien, że znów ci się uda. Musimy jednak spróbować. Jutro wieczorem odbędzie się sabat w Święto Plonów i za wszelką cenę musimy w nim przeszkodzić. Bez wątpienia Wurmalde dołączy do reszty czarownic. Myślę, że będzie to najlepsza okazja, by ją znaleźć i spętać.

Toteż wkrótce po zmroku zaczęliśmy się szykować do powrotu do Downham. Jacka, Ellie i Mary zostawialiśmy w wieży, w bezpiecznym zamknięciu.

– Cóż. – Stracharz spojrzał kolejno na Jamesa, Alice i na mnie. – Chciałbym, by istniał łatwiejszy sposób, ale trzeba to zrobić. Mam tylko nadzieję, że wszyscy wyjdziemy cało z tego, co nas czeka. Cokolwiek się stanie, jedno przynajmniej nam sprzyja. Wieża jest teraz w naszych rękach, a skrzyniom i ich zawartości nic nie grozi. To przynajmniej udało nam się osiągnąć.



Mój mistrz miał rację. Teraz to lamie władały w Wieży Malkinów. Jeśli się nam poszczęści, wkrótce będę mógł wrócić i porządnie przejrzeć zawartość skrzyń mamy. Najpierw jednak – oby z pomocą wieśniaków z Downham – musieliśmy stawić czoło klanom czarownic i przeszkodzić im w sabacie, nim dopełnią rytuału.

Opuściliśmy zatem wieżę, kolejny raz zagłębiając się w tunele. Kiedy szliśmy na północ, z zachodu zerwał się wiatr, w powietrzu poczułem chłód.

W Downham resztę nocy przespaliśmy w domku ojca Stocksa, odpoczywając kilka godzin. Wstaliśmy przed świtem, by zastać mężczyzn w domach, nim wyruszą do pracy. Nie tracąc czasu, odwiedzaliśmy wszystkie domy wioski, rozpaczliwie próbując zebrać armię. Ja towarzyszyłem Alice, przypadły nam domki na obrzeżach i pobliskie farmy. Tymczasem stracharz i James skupili się na centrum wsi.

Kiedy dotarliśmy do pierwszego domu, jego mieszkaniec wychodził właśnie na dwór, oświetlony szarym blaskiem przedświtu. Był to robotnik rolny, zgarbiony i ospały; tarł ręką zmęczone oczy, niezbyt zachwycony perspektywą czekającej go ciężkiej, długiej pracy. Nim jeszcze się odezwaliśmy, pojąłem, że zaraz nas odprawi.

– O zmierzchu odbędzie się spotkanie w kościele – oznajmiłem.  
– Zapraszamy wszystkich mężczyzn z wioski. Podczas spotkania zaplanujemy, jak rozprawić się z zagrożeniem ze strony czarownic. Musimy to załatwić jeszcze dzisiaj.

Szpiczaste trzewiki Alice z pewnością nie pomogły. Mężczyzna przyglądał się podejrzliwie, zarówno im, jak i mojemu płaszczowi i lasce. Widziałem, że zupełnie mu się nie podobamy.

– A kto zwołuje to spotkanie? – spytał ostro.

Zastanawiałem się szybko. Mogłem posłużyć się imieniem Jamesa. Większość z nich do tej pory już go poznała, ale też odmówili jego niedawnym prośbom. Mężczyzna sprawiał wrażenie dość zdenerwowanego, gdybym wspomniał o stracharzu, zupełnie

bym go spłoszył. Kłamco wymknęło mi się z ust, nim zdążyłem pomyśleć.

– Ojciec Stocks...

Mężczyzna przytaknął, słysząc to imię.

– Dołożę wszelkich starań, by się zjawić, ale nie mogę obiecać: czeka nas ciężki dzień. – To rzekłszy, zatrzasnął drzwi, odwrócił się na pięcie i pomaszerował w górę zbocza.

Odwróciłem się do Alice i pokręciłem głową.

– Nie lubię kłamać – powiedziałem.

– Nie obwiniaj się – odparła. – Zrobiłeś, co należało. Gdyby ksiądz nadal żył, to właśnie on zwołałby spotkanie. Co za różnica? Po prostu robimy to za niego i tyle.

Przytaknąłem niepewnie, lecz od tej chwili ustalił się wzór działania. Przy każdej kolejnej okazji wymieniałem imię ojca Stocksa. Trudno było oceniać, jak wielu zechce zjawić się na spotkaniu, ale nie żywiłem szczególnego optymizmu. Tak naprawdę niektórzy nie zadawali sobie nawet trudu, by otworzyć nam drzwi. Inni mamrotali pod nosem wymówki, a jeden stary człowiek wpadł w furję.

– Co tacy jak wy robią w naszej wiosce? To właśnie chciałbym wiedzieć – splunął w stronę trzewików Alice. – Już w przeszłości więdźmy nas nękały, więcej do tego nie dopuścimy! Zejdź mi lepiej z oczu, ty mała czarownico!

Alice przyjęła to spokojnie – po prostu odwróciliśmy się i poszliśmy swoją drogą. Stracharzowi i Jamesowi nie powiodło się wiele lepiej. Mój brat mówił, że wszystko zależy od kowala. Matt Finley wyraźnie się wahał. Jeśli postanowi działać, wielu innych ruszy w jego ślady. Gdy poinformowałem stracharza o kłamstwie, nie skomentował, jedynie przytaknął bez słowa.

Przez resztę dnia czekaliśmy nerwowo. Kończył nam się czas. Czy wieśniacy zjawią się dość licznie, by dać nam szansę? Jeśli tak, czy zdołamy przekonać ich do działania? A wówczas, czy starczy nam czasu, by dotrzeć na Wzgórze Pendle i przeszkodzić w rytuałach Święta Plonów? I gdy myśli te wirowały mi w głowie,

nagle przypomniałem sobie coś jeszcze: trzeciego sierpnia, dwa dni po Święcie Plonów przypadały moje urodziny

Przypomniałem sobie, jak obchodziliśmy je kiedyś na farmie. Kiedy któreś z nas miało urodziny, mama zawsze piekła wyjątkowy tort. Owe szczęśliwe czasy wydały mi się bardzo odległe. Jak mogłem sięgać myślami poza niebezpieczeństwo, któremu stawimy czoło, gdy zapadnie zmrok? Nie należy liczyć na zbyt wiele w tym tyciu. Podobne szczęście przynależało do czasów dzieciństwa, które już minęły.

\*

O zachodzie słońca czekaliśmy cierpliwie w wąskim kościółku z pojedynczą nawą. Zabraliśmy świece z maleńkiej zakrystii i ustawiliśmy je na ołtarzu oraz w metalowych lichtarzach po obu stronach drzwi.

Na długo przed tym, nim w kościele zjawił się pierwszy wieśniak i zajął miejsce z tyłu, niebo pociemniało, przybierając odcień węgla. Naszym pierwszym gościem był starszy mężczyzna, który wyraźnie utykał – bardziej nadawał się do tego, by grzać znużone kości przy kominku, niż zapuszczać się na Wzgórze Pendle i stawać do niebezpiecznej bitwy. Potem zjawili się inni, czasem przychodzili sami, czasem parami, lecz choć minęło prawie pół godziny, zebrało się nie więcej niż tuzin osób. Każdy z mężczyzn po przekroczeniu progu zdejmował czapkę. Dwóch najodważniejszych pozdrowiło skinieniami głów Jamesa, lecz wszyscy bez wyjątku odwracali wzrok od postaci stracharza. Czułem ich ogromne zdenerwowanie. Mężczyźni mieli przerażone twarze, niektórzy drżeli wyraźnie mimo panującego ciepła i wyglądali na gotowych raczej do ucieczki niż do walki. Pomyślałem, że na pierwszą oznakę obecności czarownicy rozproszą się i uciekną. Wówczas jednak, gdy wszystko wydawało się stracone, z ciemności za drzwiami dobiegł nas pomruk głosów i do kościoła wmaszerował rosły mężczyzna w skórzanym kaftanie, prowadzący co najmniej dwa tuziny wieśniaków. Domyśliłem się, że to Matt Finley, kowal. Z szacunku dla świętości kościoła zdjął

czapkę i zajmując miejsce w przedniej ławie, pozdrowił skinieniem głowy kolejno Jamesa i stracharza. Staliśmy po lewej stronie małego ołtarza, blisko ściany, kiedy jednak przybysze zajęli miejsca, stracharz skinął na mego brata, który wystąpił naprzód i ustawił się naprzeciw przejścia.

– Jesteśmy niezmiernie wdzięczni, że postanowiliście poświęcić nieco czasu i energii, by nas dziś wysłuchać – zaczął. – Ostatnią rzeczą, jakiej pragniemy, jest narażenie was na niebezpieczeństwo, ale rozpaczliwie potrzebujemy waszej pomocy i nie prosilibyśmy, gdybyśmy mogli sami zrobić to, co konieczne. Straszliwe zło zagraża nam wszystkim. Przed północą na wzgórzu spotkają się czarownice. Czarownice, które planują wypuścić na świat wielkie zło. Musimy je powstrzymać.

– O ile się nie mylę, więdźmy już są na wzgórzu – odparł kowal.  
– Właśnie rozpałiły ognisko, które widać z odległości wielu mil!

Na te słowa twarz stracharza stężała z troski. Pokręcił głową i wystąpił naprzód, stając obok Jamesa.

– Czeka nas dziś poważne zadanie, chłopcy – rzekł. – Czasu mamy niewiele. Ognisko to oznacza, że są gotowe do rozpoczęcia swego odrażającego dzieła. Informuję o niebezpieczeństwie grożącym wam, waszym rodzinom i wszystkiemu, co wam drogie. Czarownice sądzą, że cała kraina należy teraz do nich. Nie wystarcza im już ukrywanie się w odległych dolinkach, szczycą się swym złem z samego szczytu Wzgórza Pendle! Jeśli ich nie powstrzymamy, nasz kraj ogarnie mrok. Nikt z nas nie będzie bezpieczny, silni ani słabi, dorośli ani dzieci. Nie będziemy już spać spokojnie w naszych łózkach. Na całym świecie zapanuje groza, plagi i głód, Zły będzie przemierzał ścieżki i drogi Hrabstwa, podczas gdy więdźmy zaprowadzą swe rządy na ziemi i wymordują wasze dzieci. Musimy sprawić, by okręg znów stał się bezpieczny!

– Nasza wioska już jest bezpieczna – warknął kowal – i ciężko walczyliśmy, by tak się stało. I więcej jeszcze: w razie potrzeby znów staniemy do walki. Ale czemu mamy ryzykować życiem, robiąc coś, co należy do innych? Gdzie są mężczyźni z Roughlee,

Bareleigh i Goldshaw Booth? Czemu oni także nie przegną zepsucia, szerzącego się w ich szeregach? Dlaczego nam to przypało?

– Bo w owych wioskach zostało już za mało dobrych ludzi – odparł stracharz. – Mrok wniknął zbyt głęboko, Wgryzł się, a rany zaczęły gnić. Ci, którzy nienawidzą mroku, kiedyś mogli walczyć i zwyciężyć. Teraz jednak rządzą tam klany czarownic, a dobrzy ludzie przenieśli się gdzie indziej – albo zginęli w lochach pod Wieżą Malkinów. Teraz wy macie szansę – może ostatnią w waszym życiu – stanąć do walki.

Stracharz zawiesił głos i w kościele zapadła cisza. Widziałem, że wielu zgromadzonych rozmyśla o tym, co właśnie usłyszało. I wtedy z tyłu odezwał się gniewny głos.

– Gdzie jest ojciec Stocks? Sądziłem, że to on zwołał to spotkanie, tylko dlatego przyszedłem!

To był robotnik z pierwszego domku, który odwiedziłem z Alice. Pierwszy człowiek, którego okłamałem. Z tylnych ław dobiegły nas pomruki innych, wyglądało na to, że myślą podobnie.

– Nie chcieliśmy wam tego mówić, by nie pozbawić was resztek odwagi – odparł stracharz. – Teraz jednak trzeba to rzec otwarcie: dobry przyjaciel tej wioski zginął z rąk wiedźmy, tej samej, która podburza do działania inne. Przyjaciel, który zdziałał więcej niż ktokolwiek, by ochronić was i wasze rodziny. Mówię o ojcu Stocksie, waszym proboszczu. I przemawiam w jego imieniu, prosząc was o pomoc.

Na wzmiankę o ojcu Stocksie wszystkie świece w kościele zamigotały jednocześnie i o mało nie zgasły. Drzwi się zamknęły, choć nie wiał wiatr; nie istniało ziemskie wyjaśnienie tego zdarzenia. Zebrani zachłysnęli się i jęknęli ze zgrozy, a kowal Finely ukrył twarz w dłoniach, jakby się modlił. Zadrzałem, lecz chwila minęła i świece znów zapłonęły jasno. Stracharz odczekał parę sekund, pozwalając, by wstrząsające wieści dotarły do świadomości wieśniaków.

– Błagam was teraz o pomoc. Jeśli nie zrobicie tego dla siebie,

zróbcie dla nieszczęsnego ojca Stocksa. Spłaćcie dług wobec człowieka, który oddał życie, walcząc z mrokiem. Czarownica, która zabiła go z zimną krwią, gdy leżał bezradny, nazywa się Wurmalde. To wiedźma, pragnąca nawet kości waszych ukochanych zmarłych. Wiedźma, która gdyby tylko mogła, wypiłaby krew waszych dzieci. Walczcie za nie i za dzieci waszych dzieci! Zróbcie to teraz – walczcie, dopóki jeszcze możecie. Nim będzie za późno. Inaczej skończycie jak nieszczęśnicy z wiosek na południu...

Matt Finley, kowal, uniósł głowę i spojrzał hardo na stracharza.

– Czego od nas oczekujesz? – spytał.

– Wiedźmy potrafią wywęszyć nadciągające zagrożenie, będą wiedziały, że się zbliżamy – odparł stracharz, patrząc wprost w oczy kowalowi – toteż nie musimy się kryć. Kiedy ruszymy, róbcie jak najwięcej hałasu, w istocie im więcej tym lepiej! Bo widzicie, nie zawsze potrafią dobrze oceniać liczby. Jest was dość wielu, by zagrożenie było poważne, ale musimy sprawić, żeby wydawało się jeszcze większe. Nie będą wiedziały, ilu nas jest i możemy to wykorzystać. Oprócz broni będziemy potrzebowali pochodni.

– Z czym będziemy mieli do czynienia? Z iloma dokładnie? – spytał Finley. – Większość tutejszych mężczyzn ma na utrzymaniu rodziny. Musimy znać nasze szanse powrotu cało i zdrowo.

– Co do liczby nie mam pewności – przyznał stracharz. – Będzie co najmniej dwie lub trzy na każdego z nas, ale nie martwcie się, bo istnieje szansa, że nikt z was nie zada nawet jednego ciosu. Zamierzam przeszkodzić w tym, co próbują zrobić, i przegnać je ze wzgórza na zachód. W zamięcie sam rozprawię się z Wurmalde, a wówczas ich ohydne plany spełzną na niczym. Proponuję, byście podzielili się na pięć grup, po sześć, siedem osób; każda grupa zajmie inną pozycję na wschodnim zboczu. James wdrapie się nieco wyżej i zapali pochodnie. W ten sposób da wam sygnał, byście zrobili to samo. Potem pomaszerujecie na górę i skróćcie w stronę ogniska. I jeszcze jedno – nie zbijajcie się w ciasną grupę. Każdy oddział powinien się nieco rozproszyć – tak, by z daleka wyglądało,

jakby pośród was szli inni bez pochodni. Jak mówiłem, czarownice wyczuwają tylko zagrożenie, nie szczegóły tego, z czym mają do czynienia. Oto nasz plan. Jeśli macie coś do powiedzenia, mówcie teraz. Nie bójcie się pytać.

Ktoś z tyłu odezwał się natychmiast: to był stary mężczyzna, który pierwszy zjawił się w kościele.

– Panie Gregory, czy powinniśmy obawiać się ataku na... – spytał nerwowo. Nie dokończył pytania i gdy stracharz spojrział wprost na niego, tamten jedynie machnął ręką w górę i wymówił jeszcze jedno słowo: – miotłach?

Stracharz nie uśmiechnął się, choć wiedziałem, że w innych okolicznościach zapewne ryknąłby śmiechem.

– Nie – rzekł. – Uprawiam ten fach więcej lat, niż wolałbym pamiętać, i mogę szczerze rzec, że przez cały ten czas nigdy nie widziałem wiedźmy latającej na miotle. To bardzo powszechny przesąd, ale nieprawdziwy. Mam obowiązek poinformować was o tym, co wam grozi, jeżeli dojdzie do najgorszego. Strzeżcie się ich noży. Jeśli tylko będą mogły, wytną wam serca, a większość jest bardzo silna – znacznie silniejsza niż przeciętny mąż. Strzeżcie się tego. Nie pozwólcie im się zbliżyć. W razie konieczności użyjcie do obrony kijów i pałek. A, i jeszcze jedno. Nie patrzcie im w oczy. Wiedźma jednym spojrzeniem może zdobyć nad wami władzę. Nie słuchajcie też ich słów. I pamiętajcie, wśród klanów mogą się też znaleźć mężczyźni. Ich także musicie się strzec. Wiele się nauczyli od kobiet, z którymi się zadają. Nie będą walczyć uczciwie i są gotowi na wszelkie sztuczki. Lecz jak mówiłem, najpewniej nie dojdzie do żadnej bitwy. Coś jeszcze?

Nikt się nie odezwał. Matt Finley w imieniu wszystkich pokręcił głową. Sprawiał wrażenie równie ponurego i zrezygnowanego, jak pozostali. Nie chcieli walczyć z czarownicami, lecz pogodzili się z faktem, że jeśli chcą ratować rodziny, nie mają innego wyjścia.

– No dobrze – powiedział stracharz. – Mamy niewiele czasu. Zebrały się na wzgórzu wcześniej, niż przypuszczałem. Lecz cokolwiek się stało, już się nie odstanie. Dopilnujmy zatem, by nie

zrobiły niczego gorszego. Bóg z wami wszystkimi.

W odpowiedzi część wieśniaków przeżegnała się, inni skłonili głowy. Stracharz nigdy do końca nie mówił, czy wierzy w Boga czy też nie. Jeśli nawet wierzył, to nie w Boga, opisywanego w doktrynie kościoła. Niemniej jednak nie mógł znaleźć lepszych słów. Po paru chwilach z kościoła rozbiegły się grupki mężczyzn, szukających zaimprovizowanej broni i pochodni.

## **ROZDZIAŁ 22**

### **BITWA NA WZGÓRZU PENDLE**

Na dworze znów pachniało deszczem, w dali usłyszałem słaby grzmot. Nadciągała burza.

Biegliśmy na południe pod osłoną wzgórza. Czas uciekał, północ zbliżała się szybkimi krokami. Co i rusz zerkałem niespokojnie w górę. Ognisko na szczycie rozświetlało nocne niebo, jego blask odbijał się od wiszących nisko chmur.

Wszyscy, którzy przybyli do kościoła, byli z nami, ale nie wszystkim starczało sił. Nim przeprawiliśmy się przez strumień i dotarliśmy do Skalnej Doliny, w miejsce, które stracharz wyznaczył na ostatnie spotkanie przed atakiem na wzgórze, część naszych towarzyszy została ponad pół mili w tyle i straciliśmy kolejne cenne minuty. Lecz nawet słabsi byli nam potrzebni. Mogli nieść pochodnie i powiększyć szeregi armii, widzianej przez czarownice.

Choć denerwowało mnie opóźnienie, gdy nasza grupa zebrała się w dolinie, nagle poczułem się lepiej. Otaczało mnie ponad trzydziestu mężczyzn gotowych do walki z czarownicami na wzgórzu. Mój brat James i Matt Finley zabrali wielkie młoty; pozostali uzbroili się w pałki, kilku miało kije i wszyscy trzymali w rękach niezapalone pochodnie. Wyglądało to lepiej, niż spodziewał się stracharz.



W końcu nadeszła chwila ataku i, zgodnie z ustaleniami, wieśniacy rozproszyli się w grupach na wschodnim zboczu Wzgórza Pendle, gotowi do wspinaczki. Kiedy zajęli swoje miejsca, stracharz odwrócił się do mojego brata.

– No dobrze, James, wiesz, co masz teraz zrobić. Podczas wspinaczki trzymaj się z dala od naszej trójki: nas nie zdołają wywęszyć, bo, jak wiesz, obaj z Tomem jesteśmy siódmymi synami siódmych synów i dalekie węszenie na nas nie działa, a w żyłach Alice po mieczu i po kądzieli płynie krew czarownic, co także ją chroni. Nie zorientują się, póki nie podejdziemy bardzo blisko – a wtedy będzie już za późno. Przejdziemy na północno-wschodnią część wzgórza i stamtąd ruszymy wprost ku ognisku. Jeśli dopisze nam szczęście i dobrze wykorzystamy zamieszanie, skrępuję Wurmalde i sprowadzę ją na dół, podczas gdy reszta ucieknie.

James przytaknął.

– Jak pan każe, panie Gregory. No to ruszam w drogę. Życzę powodzenia waszej trójce. Uważaj na siebie, Tom, będę o tobie myślał.

To rzekłszy, pomachał mi dłonią i ruszył szybkim krokiem w górę zbocza, oddalając się od nas z młotem opartym na ramieniu. Przyznaję, że bałem się i to nie tylko o siebie. Był to bardzo niebezpieczny plan. Stracharz powiedział wieśniakom, że czarownice najpewniej uciekną ze wzgórza, gdy tylko tamci zaatakują – musiał tak postąpić. Gdyby przedstawił im pełną gamę możliwości, pewnie znanadto by się wystraszyli, by pomóc. Miał obowiązek wszelkimi dostępnymi siłami przeszkodzić w sabacie Święta Plonów, nim Hrabstwo nawiedzi jakikolwiek stwór z mroku.

Ale wiele rzeczy mogło pójść nie tak. Czarownice mogły zostać i podjąć walkę. Nie mieliśmy do czynienia jedynie z trzynastoosobowymi kręgami; klany także zebrały się na wzgórzu, by oglądać to, co ma się wydarzyć. W sumie mogła tam być ponad setka ludzi; gdyby doszło do bitwy, przeciwnik miał przewagę. Bałem się o stracharza i o Alice. A także o Jamesa. Jeden z moich

braci bardzo już ucierpiał. Nie chciałem, aby i kolejnego spotkało coś złego.

– Dobrze zatem – oznajmił stracharz. – Postarajmy się podejść jak najbliżej ogniska. Musimy być gotowi kiedy nastąpi atak. A o ile chcę, by tamci zwracali na siebie uwagę, my lepiej skradajmy się cicho jak kościelne myszy. Potrzebny nam element zaskoczenia.

Poprowadził nas na południe, stopniowo skręcając w górę ku ognisku. Maszerowałem tuż za nim, ciesząc się, że trzymam w dłoni laskę. Za plecami czułem Alice. Zbocze było strome, a trawa twarda i ostra; pod jej kępami kryło się zdradzieckie, nierówne podłoże. Zapadł już zmrok i łatwo można było skreślić sobie nogę. Stracharz uprzedził mnie, że płaski teren na szczycie wzgórza też nie należy do najłatwiejszych. W Pendle często padały deszcze i tworzyło się sporo bagien. Lecz jedna rzecz działała na naszą korzyść: wrzos.

W okolicach wierzchołka rósł bardzo bujnie, zapewniając nam osłonę. Stracharz położył mi dłoń na ramieniu i nacisnął, dając znać, że powinienem opaść na kolana. Nadal podążałem za nim na górę, teraz pełznąć wśród wrzосу. Wilgoć z ziemi wsiąkała mi w kolana portek. Tymczasem przede mną niebo stawało się coraz czerwieńsze, aż w końcu ujrzałem iskry z wielkiego ogniska, wzlatujące w górę i unoszone ku nam powiewami mocnego zachodniego wiatru.

W końcu stracharz zatrzymał się i wezwał mnie gestem. Podpełzłem i ukląknę obok niego; Alice zajęła miejsce po mej prawicy. Przed sobą mieliśmy ogień i to, co ujrzałem, odebrało mi resztki nadziei: nie miałem już złudzeń, że zdołamy zniszczyć kręgi czarownic z Pendle. Wiedziałem teraz, że to niemożliwe. Czarownic było zbyt wiele, zanadto zagrażały mieszkańcom. Po naszej prawej zgromadziły się co najmniej dwie setki ludzi ustawionych w półkolu i zwróconych twarzami ku ognisku. Były to czarownice i członkowie klanów, bez wyjątku uzbrojeni po zęby – za paskami kobiet tkwiły noże; niektóre wiedźmy wymachiwały nimi szaleńczo, tak że ich klingi błyskały odbitym światłem;

mężczyźni dzierżyli w dłoniach długie kije z przywiązanymi do końców nożami bądź barbarzyńskimi hakami.

Dalej, po drugiej stronie ogniska, naprzeciw zgromadzonych, z czterema innymi wiedźmami u boku – jedną z nich była Mab Mouldheel – stała wyniosła, groźna Wurmalde. Przemawiała właśnie do klanów, dramatycznie gestykulując, by podkreślić każde słowo. Słyszała jedynie jej głos, unoszony przez wiatr: byliśmy zbyt daleko, by zrozumieć, co mówi.

Nie dostrzegłem żadnych oznak odprawianych rytuałów. Z boku głównego zgromadzenia na roznach piekły się owce, zauważyłem też beczułki piwa. Wyglądało na to, że klany zaplanowały sobie ucztę.

– Widzę Mab, ale kim są trzy pozostałe wiedźmy obok Wurmalde? – spytałem, zniżając głos, choć szansa, by ktokolwiek mnie usłyszał była niewielka: wiatr wiał ku nam, a czarownice krzyczały w odpowiedzi na słowa Wurmalde. Niektóre wrzeszczały wystarczająco głośno, by obudzić zmarłych.

Odpowiedziała mi Alice.

– Ta po prawej to Anne Malkin, przywódczyni kręgu. Obok niej stoi stara Florence, rządząca Deane'ami. Posunęła się już w latach i raczej nam dziś nie zagrozi. Musiały wnieść ją na wzgórze. Trzecia to Grimalkin, zabójczyni.

Słyszając to imię, poczułem, jak na karku jeżą mi się włosy. Oto okrutna zabójczyni, którą Wurmalde chciała nasłać na Jacka i jego rodzinę; ta sama, która oznakowała swym symbolem granice Pendle.

Nagle Wurmalde umilkła. Po paru chwilach ciszy czarownice ruszyły ławą w stronę beczulek i pieczeni. Czyżby dopełniły już rytuałów, skoro zaczynały świętować?

Stracharz odezwał się, zupełnie jakby czytał w moich myślach.

– Nie podoba mi się to wszystko – rzekł. – Lękam się, że przybyliśmy za późno.

Wkrótce klany ucztowały radośnie, żłowiąc piwo i zajadając pieczoną baraninę. Mnie tymczasem ogarniała coraz większa

rozpacz i przerażenie. Czy Zły przeszedł już przez portal? Jeśli tak, teraz zbierał siły. Wkrótce po mnie przyjdzie.

Nagle stało się coś, co uciszyło świętujących. Samotna wiedźma podbiegła do ognia z północnego wschodu. Zapewne postawiono ją na straży na szczycie. Cokolwiek powiedziała, sprawiło, że zebrani uciszyli się, część z nich odwróciła się plecami do ognia, patrząc na północ i wschód. Niektórzy spoglądali nawet w naszą stronę i choć wszystko, czego mnie nauczono, mówiło, że nie mogą nas wywęszyć z takiej odległości, czułem rosnący niepokój.

Kiedy zerknąłem w dół, w prawo, dostrzegłem pochodnie poruszające się na zboczu. Stracharz znakomicie to zaplanował. Wieśniacy, rozproszeni w grupach, które nie trzymały się zbyt blisko siebie, wyglądali, jakby na Wzgórzu Pendle wspinała się cała armia. Ale czy wiedźmy dadzą się nabrać? Klany ogarnął wyraźny lęk. Wartowniczkę zbiegały się ze swych stanowisk, składając zebrany meldunki.

Po jakimś czasie klany zaczęły wycofywać się poza ognisko; część zebranych umknęła dalej na zachód, zupełnie jakby próbowała ukryć się w ciemności poza kręgiem światła. Ale właśnie wtedy wszystko zaczęło się walić.

Kiedy wieśniacy dotarli na szczyt i ruszyli ku czarownicom, te widziały coraz wyraźniej, że przybysze są żałośnie nieliczni. Oni sami zwolnili kroku na widok czekającej na nich uzbrojonej hordy. Teraz wiedźmy zaczęły wrzeszczeć i wykrzykiwać szyderstwa, wymachując bronią i przesuając się naprzód. Wyglądało na to, że wszystko przepadło. Zastanawiałem się, co teraz robi stracharz. Choć sytuacja była beznadziejna, nie wierzyłem, by pozostał w ukryciu, patrząc, jak wiedźmy mordują wieśniaków. Za chwilę poprowadzi mnie z Alice w sam wir walki.

Wieśniacy tymczasem zatrzymali się, tworząc nierówną linię. Wyglądali, jakby lada moment mieli rzucić się do ucieczki. Wówczas jednak usłyszałem, jak jakiś mężczyzna wykrzykuje coś, co brzmiało jak rozkazy i ku memu zdumieniu ktoś wypadł z szeregu, biegnąc wprost ku czekającym czarownicom. Był to rosły

mężczyzna, wymachujący wielkim młotem. Z początku wziąłem go za Matta Finleya, kowala z Downham, potem jednak rozpoznałem śmiałka bez cienia wątpliwości. To był James, pędził naprzód, spod jego butów uderzających o błotnistą ziemię bryzgała woda; krople mieniły się pomarańczem i czerwienią w blasku ogniska, tak że zdawał się biec przez ogień – albo może jego buty same mieniły się płomieniami w ciemności.

Zamiast pozostać w szeregu, wieśniacy zbili się w ciasną grupę za jego plecami i podążyli za mym bratem, biegnąc ile sił w nogach. Może sprawił to przypadek, a może uspiiony instynkt bitewny, lecz tuż przed dotarciem do wroga, w jakiś sposób przyjęli kształt klina, który wbił się z całych sił w tłum czarownic, rozdzielając ich grupę niemal na pół, nim w końcu zatrzymał się pod naporem przeważającej liczby przeciwników. James stanowił czubek owego klina; widziałem, jak jego młot unosi się i opada, słyszałem krzyki i wrzaski walczących czarownic. Rozpoczęła się bitwa.

Bąłem się o Jamesa. Jak długo zdoła przeżyć w starciu z tak wieloma przeciwnikami? Nim jednak zdążyłem pogрузić się w rozmyślaniach, stracharz dotknął mojego ramienia.

– No dobrze, chłopcze, chodź za mną. Teraz marny szansę. Ale ty, dziewczyno, zostań tutaj – polecił Alice. – Jeśli się nam nie uda, ty akurat nie zechcesz wpaść im w ręce!

Mistrz wstał i ruszył biegiem na drugą stronę ogniska. Pędziłem za nim, depcząc mu po piętach. Alice, nie zważając na ostrzeżenia, biegła obok. I wtedy dopisało nam szczęście. Grimalkin, zabójczyni, dołączyła do bitwy i przy ognisku pozostały tylko cztery czarownice – Wurmalde, Mab, stara Florence i Anne Malkin.

Zbliżyliśmy się bardzo szybko, kiedy w końcu dostrzegły zagrożenie. Prawie nam się udało. Jeszcze chwila, a stracharz zarzuciłby łańcuch na Wurmalde i zniósł ją ze wzgórza, ja tymczasem odpierałbym możliwy pościg. Stało się jednak inaczej. Wurmalde wyrzasnęła rozkaz, a wtedy czarownice najbliższe ogniska odłączyły od bitwy i pomknęły naprzód, szybko stając

pomiędzy nami i naszą ofiarą.

Stracharz nawet nie zwolnił. Nadal w pędzie powalił pierwszą z wiedźm, uderzając z boku laską. Następny przeciwnik, potężny mężczyzna machnął olbrzymią maczugą, lecz tym razem stracharz użył ostrza. Klinga błysnęła i tamten runął. Mistrz jednak powoli zwalniał, bo czarownice i ich poplecznicy napierały na nas ze wszystkich stron. Zacząłem rozpaczliwie wymachiwać własną laską, szybko jednak traciłem resztki nadziei. Było ich po prostu zbyt wiele.

Naprzeciw sobie miałem dwie czarownice: jedna chwyciła koniec mej laski i trzymała go mocno, wykrzywiona z bólu, jaki zadawało jej jarzębinowe drewno; druga, z okrutną, zaciętą twarzą, uniosła nóż i ujrzałem długie, zębate ostrze, kreślące łuk w powietrzu i zmierzające wprost ku mej piersi. Uniosłem prawą rękę, próbując zablokować cios, choć wiedziałem, że jest już za późno.

Lecz ostrze nie dotarło do celu. Zauważyłem w górze ciemną sylwetkę i poczułem nagły powiew. Coś przemknęło nade mną tak blisko, że omal nie dotknęło mojej głowy i czarownica z nożem wrzasnęła nagle, uniesiona z ziemi i ciśnięta w dal. Wpadła prosto w ogień, wyrzucając w powietrze snop iskier.

Uniosłem wzrok i ujrzałem rozpostarte skrzydła – kolejna lamia płynęła ku mnie ze śmiercią w groźnych oczach; w tym samym momencie dokładnie nad nami błysnęło, tak że jej skrzydła stały się przejrzyste i ujrzałem sieć żyłek wewnątrz nich. Chlasnęły ostre szpony, stopy wczepiły się w drugą wiedźmę, odrywając jej dłoń od mojej laski. A potem skrzydła zaczęły się poruszać, uderzając coraz szybciej i szybciej, rozmazując się, ostre szpony uniosły i rozdarły ciało, po czym odrzuciły je na bok.

Ludzie zaczęli biec. Nie ku nam: uciekali, unosząc wysoko ręce, by przegnać grozę opadającą ku nim z ciemności. Przed sobą dostrzegłem stracharza. Pędził ku południowozachodniej krawędzi płaskiego wierzchołka Ścigał Wurmalde. Rozejrzałem się w poszukiwaniu Alice ale jej nie znalazłem. Czarownice rozbiegały się

na wszystkie strony, powietrze wypełniły krzyki bólu i grozy.

Podążyłem za mistrzem. Ostatecznie to Wurmalde stanowiła klucz do wszystkiego. To ona zjednoczyła klany. Stracharz mógł nadal potrzebować mojej pomocy. Wciąż miałem laskę i łańcuch. Gdyby coś poszło nie tak, może zdołam skrępować czarownicę.

Kiedy tak biegliśmy, rozwarły się niebiosa i lunął deszcz, siekąc mocno z zachodu. Wkrótce musieliśmy zwolnić: strome zbocze stało się śliskie. Co chwilę traciłem równowagę i padałem. Przez większość czasu biegłem w ciemności, potem jednak w dali dostrzegłem dwa małe punkciki światła. Nawet gdy znów błysnęło, nie zauważyłem ani śladu Wurmalde. Stracharz oddalał się coraz bardziej, mimo że desperacko próbowałem dotrzymać mu kroku. W końcu jednak po ciągnącym się bez końca ciężkim biegu, zauważyłem, że zbocze stało się mniej strome i w świetle kolejnej błyskawicy ujrzałem wiedźmę i stracharza, który ją doganiał.

W dali, na wąskiej drodze czekał czarny powóz. Owe punkciki światła, które zauważyłem, to były dwie latarnie po obu stronach woźnicy, obracającego się właśnie na koźle i patrzącego w naszą stronę.

Teraz, gdy grunt pod nogami nieco się wyrównał, szybkość pościgu dramatycznie wzrosła. Stracharz nadal wyprzedzał mnie znacząco, płaszcz wydymał się za nim niczym żagiel. Jego nogi zdawały się frunąć po trawie. Z każdym krokiem zbliżał się do wiedźmy, pędzącej rozpaczliwie w stronę powozu. Cobden raz jeden obejrzał się ku niej, nie próbował jednak zsiąść i pomóc. Wpatrywał się w chmury, kłębiące się nisko nad głową i unosił w dłoni bat, gotów poderwać konie do galopu.

Wurmalde chwyciła klamkę i szarpnięciem otworzyła drzwi. O mało przy tym nie upadła, lecz w chwilę później znalazła się w środku. Stracharz dotarł już do powozu i sięgał ku drzwiom, unosząc kij, kiedy Cobden strzelił z bata. Zaprzęg skoczył naprzód, bat świsnął ponownie, kalecząc boleśnie grzbiety zwierząt; konie, rżąc z bólu i strachu, przyspieszyły, a stracharz zatrzymał się jak wryty.

– Uciekła! – rzekł, kręcąc gniewnie głową, gdy stanąłem obok niego. – Byłem tak blisko, prawie ją mieliśmy! Teraz jest wolna i znów może czynić zło!

Ale stracharz się mylił. Nad naszymi głowami znów błysnęło i wprost z plamy światła wyprysnęła ciemna postać. Przemknęła nisko nad powozem i uderzyła Cobdena od tyłu. Mężczyzna uniósł rękę, próbując się bronić, ale stracił już równowagę. Poleciał naprzód na konie i zniknął między nimi. Kopyta stratowały go, a potem koła dokończyły dzieła. Usłyszałem początek krzyku, który jednak zagłuszył grzmot.

Pozbawione woźnicy konie pędziły dalej, niosąc powóz Wurmalde coraz szybciej i szybciej stromą drogą. Oświetlona kolejną jaskrawą błyskawicą ciemna postać ponownie opadła, lądując ciężko na dachu powozu. W ciemności usłyszałem szpony rozdierające dach, a potem grzmot znów zagłuszył wszystko. Oglądałem ów powóz w promieniach księżyca i wiedziałem, że zbudowano go z ciężkiego, mocnego drewna. Teraz jednak, znów oświetlony, zdawał się pękać i rozpadać niczym skorupka jajka. W chwilę później lamia znów się uniosła, tym razem jednak leciała ciężko, wznosząc się powoli po spirali. Tymczasem ciągnięty przez przerażone konie zrujnowany powóz nadal pędził w dół zbocza, kołysząc cię gwałtownie z boku na bok, jakby w każdej chwili miał się wywrócić.

Siedziałem blisko osiemnastofuntowego działa – armaty, która z ogłuszającym rykiem ostrzeliwała Wieżę Malkinów – było to jednak nic w porównaniu z szaleństwem żywiołów. Niebo nad wzgórzem co chwilę rozdierały błyskawice. Zupełnie jakby sam Bóg strzelał z armaty, kierując swój gniew na czarownice z Pendle.

Uniosłem głowę i zobaczyłem lamie, niosącą Wurmalde. Jej owadzie skrzydła trzepotały rozpaczliwie, gdy szarpana wiatrem starała się nabrać wysokości. Skierowała się w stronę wzgórza.

– Jusza Skąła! – zawołał stracharz; ledwie go słyszałem pośród rozszalałych żywiołów.

Przez chwilę nie wiedziałem, co ma na myśli. Potem jednak



lamia wypuściła Wurmalde i moich uszu dobiegł krzyk więdźmy, lecącej jak kamień w dół. Nie usłyszałem, jak uderza o skałę, bo znów zagrzmiało, ale wiedziałem, co się stało. Drząc na myśl o tym, co znajdziemy, podążyłem za stracharzem w stronę głazu ofiarnego.

– Zostań tu, chłopcze – poleciał i poszedł naprzód zbadać sprawę.

Nie musiał mi tego powtarzać, czekałem, drząc na ca-tym cieie. Po chwili znów znalazł się obok.

– I tyle jest warta nieśmiertelność – powiedział ponuro. – Wurmalde nie będzie nam więcej wchodzić w paradę. To już koniec.

Ale mylił się i obawiałem się najgorszego. Dopiero gdy spotkaliśmy innych schodzących ze wzgórza, moje obawy się potwierdziły. Była wśród nich Alice, kulejąca paskudnie.

– Nic ci nie jest? – spytałem.

– Nie, nic takiego. Skręciłam tylko kostkę, zbiegając ze zbocza, to wszystko...

I wtedy uświadomiłem sobie, że nie widzę Jamesa. Nim Alice się odezwała, z jej twarzy wyczytałem, że stało się coś strasznego.

– Czy to James? – spytałem przerażony myślą, że coś złego spotkało mego brata.

Alice pokręciła głową.

– Nie, Tomie. Jamesowi nic nie jest. Ma tylko parę sińców i skaleczeń. Pomaga znieść ze wzgórza rannych. Chodzi o ciebie, Tom. Grozi ci straszliwe niebezpieczeństwo. Próbowalam złapać Mab, ale mi uciekła. Wcześniej jednak chełpiła się, że zwyciężyły: że odprawiły rytuał przy Juszej Skale, gdy tylko zaszło słońce. Wierzę jej, Tom. Już kiedy wspinaliśmy się na wzgórze, było za późno. – Twarz Alice wykrzywiła się boleśnie. – Staruch przeszedł przez portal. Już jest na tym świecie i to ciebie będzie szukał. Uciekaj, Tom! Uciekaj, proszę. Wracaj na farmę! Wracaj do pokoju mamy – nim będzie za późno.

Stracharz przytaknął.

– Dziewczyna ma rację. Teraz tylko tyle możesz zrobić. Tu

nigdzie nie znajdziesz bezpiecznej kryjówki, a dwie lamie nie mają szans w starciu z tym, co nadchodzi. Nie wiem, ile masz czasu – Zły będzie go potrzebował, by przywyknąć do tego świata i zebrać siły. Nie potrafię odgadnąć, kiedy zacznie cię ścigać. Masz – dodał – weź moją laskę, w razie potrzeby użyj ostrza! Użyj go przeciw każdemu, kto tylko stanie ci na drodze! Pójdziemy za tobą, jak najszybciej zdołamy, jak tylko załatwiły sprawy tutaj. A kiedy dotrzesz do pokoju mamy, zostań tam, póki nie będzie bezpiecznie.

– Skąd będę wiedział, kiedy jest bezpiecznie?

– Zaufaj instynktowi, chłopcze! Będiesz wiedział. Poza tym pamiętasz, co mówił nam tamten odrażający stwór? Istoty z mroku często kłamią, podejrzewam jednak, że Tibb mówił prawdę co do granic władzy czarownic nad Złym. Dwa dni tylko podlegał będzie mocy kręgów i wypełniał ich wolę. Jeśli przeżyjesz tak długo, trzeciego dnia zajmie się własnymi sprawami i zostawi w spokoju. A teraz ruszaj, nim będzie za późno!

Zamieniliśmy się zatem laskami i nie patrząc za siebie, ruszyłem naprzód biegiem. Mama znów miała rację. Ucieleśniona ciemność wędrowała po ziemi. Bałem się, czułem rozpacz, ale biegłem równym krokiem, bo miałem do pokonania daleką drogę.

## **ROZDZIAŁ 23**

### **KRWAWY KSIEŻYC**

Zmierzałem na zachód, starając się jak najbardziej oddalić od wzgórza. Czarownice umknęły ze szczytu i istniało niebezpieczeństwo, że po drodze mógłbym natrafić na którąś z nich.

Nie mogłem się doczekać chwili, gdy zostawię za sobą okrąg Pendle. Burza już cichła, przesuwała się na wschód; teraz błyskało w oddali, a przerwy pomiędzy błyskawicami a grzmotami stawały się coraz dłuższe. Ciemność była mi zarówno przyjaciółką, jak i

wrogiem: przyjaciółką, bo pomagała w szybkiej tajemnej ucieczce przez kraj czarownic; wrogiem, bo w każdym momencie mógł się z niej wyłonić Zły, diabeł we własnej osobie.

Przed sobą ujrzałem ciemny las. Przystanąłem, nasłuchując uważnie, po czym zagłębiłem się między drzewa. Wiatr zupełnie ucichł i wszystko trwało bez ruchu. Nie kołysał się nawet najmniejszy listek. Otaczała mnie cisza, ale wydawała się jakaś dziwna. Instynkt ostrzegał mnie przed czyhającym niebezpieczeństwem. Odwróciłem się i postanowiłem okrążyć las, unikając ukrytego w nim zagrożenia. Ale to nie pomogło. Cokolwiek tam było, przyszło po mnie.

Zza pnia olbrzymiego starego dębu wyłoniła się ciemna postać i stanęła mi na drodze. Dygocząc, uniosłem kij stracharza i nacisnąłem ukrytą dźwignię, tak że z końca ze szczękiem wyskoczyło ostrze.

Pod drzewem było bardzo ciemno, lecz poznałem ową postać, a także jasną plamę twarzy, przede wszystkim zaś białe stopy. Nim jeszcze się odezwała, wiedziałem, że to Mab Mouldheel.

– Przyszłam się pożegnać – powiedziała miękko. – Mogłeś być mój, Tomie, wtedy nic z tego by się nie wydarzyło. Byłbyś ze mną bezpieczny, nie musiałbyś uciekać, walcząc o życie. Razem raz na zawsze rozprawilibyśmy się z Malkinami. Teraz już na to za późno. Wkrótce zginiesz. Masz jeszcze najwyżej kilka godzin. Tylko tyle ci zostało.

– Nie widzisz wszystkiego! – odparłem gniewnie. – Zejdź mi więc z drogi, zanim...

Uniosłem ku niej laskę, lecz Mab jedynie roześmiała się.

– Widziałam, dokąd teraz zmierzasz. Nietrudno to było zobaczyć. Myślisz, że pokój mamy cię ocali? Nie bądź tego taki pewien! Nic nie powstrzyma Starucha, bądź jego wola, jako w piekle tak i na ziemi. W dawnych czasach świat należał do niego, teraz znów jest jego i zrobi z nim, co zechce. To władca świata, nic nie stanie mu na drodze.

– Jak mogłaś to zrobić? – spytałem gniewnie. – Jak mogłaś

wziąć udział w tym obłędzie? Sama mówiłaś, że nad Złym nie da się zapanować. On zawładnie wami i zagrozi całemu światu. To, co zrobiliście, to szaleństwo! Nie rozumiem, czemu się na to zdecydowałaś.

– Czemu? Czemu? – krzyknęła Mab. – Nie wiesz, czemu? Zależało mi na tobie, Tom. Naprawdę zależało. Ja cię kochałam! – Zdumiało mnie to wyznanie. Przez chwilę oboje milczeliśmy, potem jednak z ust Mab znów popłynęła kaskada słów. – Ufałam ci. A potem mnie zdradziłeś. Ale teraz z nami koniec na wieki, nie obchodzi mnie, co się z tobą stanie. Nawet jeśli uciekniesz Staruchowi, możliwe, że i tak nie dotrzesz do domu. Na długo przed tym zginiesz. Malkinowie nie ryzykują. Bardzo im zależy na twojej śmierci: by się upewnić, że zginiesz, posłali za tobą Grimalkin. Teraz cię ściga i jest niedaleko. Jeśli będziesz miał szczęście, zabije cię szybko i bez bólu. Lepiej zawracaj, idź ku niej i zakończ to szybko, bo jeśli utrudnisz jej zadanie, ona utrudni tobie odejście. Zabije cię powoli i w cierpieniach!

Odetchnąłem głęboko i pokręciłem głową.

– Będzie lepiej dla ciebie, jeśli masz rację, Mab – odparłem. – Bo jeżeli przeżyję, bardzo tego pożałujesz. Pewnego dnia wrócę do Pendle – po ciebie. Specjalnie po ciebie. I resztę życia spędzisz w dole, żywiąc się robakami!

Pomknąłem wprost ku niej i Mab odskoczyła, gdy śmignąłem obok. Nie oszczędzałem już sił, biegłem jak szalony w ciemność. Pędziłem, bo zależało od tego moje życie. Wyobrażałem sobie Grimalkin, zbliżającą się do mnie z każdym krokiem.

\*

Czasami musiałem odpocząć. Od biegu zaschło mi w gardle i zaspokajałem pragnienie, pijąc wodę ze strumieni. Nie mogłem pozwolić sobie na dłuższy postój, bo Grimalkin z pewnością także biegła. Powiadali, że jest silna i niestrudzona. Znajomość Hrabstwa mi nie pomoże. Bieg na skróty nic nie da – Grimalkin także pochodziła z Hrabstwa i jako szkolona zabójczyni umiała mnie wytropić niezależnie od wybranego szlaku. Wkrótce pojawił się

kolejny problem. Wszystko zaczynało wyglądać nie tak, jak powinno. Odkąd zostałem uczniem stracharza, często się bałem i zazwyczaj miałem po temu dobre powody. Teraz także je miałem, i to dwa: ścigającą mnie Grimalkin i zagrożenie wywołane przez Wurmalde i trzy kręgi. Ale czułem coś jeszcze. Potrafię to opisać jedynie jako niepokój i przeczucie nadciągającej nieuchronnej katastrofy. Zazwyczaj coś takiego pojawia się tylko w sennych koszmarach: krańcowa groza, śmiertelny strach. W jednej chwili świat był taki jak zawsze, w następnej odmienił się całkowicie.

Zupełnie, jakby w czasie, gdy biegłem na farmę Jacka, coś wtargnęło do mego świata – coś jak dotąd niewidzialnego – i wiedziałem, że nic już nie będzie takie samo. To było pierwsze ostrzeżenie przed nadchodzącym Złem. Drugie wiązało się z czasem. Do tej pory zawsze, za dnia i w nocy, wiedziałem dokładnie, która jest godzina. Zawsze potrafiłem określić czas z dokładnością do minut, kierując się położeniem słońca bądź gwiazd, nawet bez nich po prostu wiedziałem. Lecz teraz, gdy biegłem, to, co mówiła mi głowa, nie pasowało do tego, co widziały oczy. Powinno już świtać, ale słońce nie wzeszło.

Kiedy spojrzałem ku wschodniemu horyzontowi, nie dostrzegłem nawet najlżejszego światła. Na niebie nie było już chmur – wiatr rozdarł je na strzępy i poniósł na wschód – ale kiedy uniosłem głowę, nie zobaczyłem także gwiazd. Ani jednej gwiazdy. To przecież niemożliwe. A przynajmniej niemożliwe w znanym mi dotąd świecie.

Na niebie pozostał jeden obiekt, wiszący nisko nad horyzontem: księżyc, którego nie powinienem widzieć. Ostatnim etapem tuż przed nowiem jest bardzo wąski sierp z rogami skierowanymi z lewa na prawo. Oglądałem go poprzedniego dnia, nim nad Pendle rozpełtała się burza. Teraz księżyc powinien był zniknąć. Pozostać niewidzialny. A jednak nisko nad wschodnim horyzontem wisiła okrągła tarcza w pełni. Tyle że nie jaśniała zwykłym srebrnym blaskiem. Księżyc był krwistoczerwony.

Nie czułem też wiatru. Nie poruszał się żaden liść. Wokół

panowały bezruch i cisza. Zupełnie jakby cały świat wstrzymywał oddech, a ja byłem jedyną żywą, oddychającą, poruszającą się istotą na całej ziemi. Choć było lato, nagle zrobiło się bardzo zimno. Mój oddech parował w mroźnym powietrzu, a trawa pod stopami zbielała od szronu. Szronu w sierpniu!

Biegłem zatem dalej w stronę farmy Jacka, słysząc jedynie rytmiczny tupot moich butów, uderzających o twardniejącą ziemię.

\*

Miałem wrażenie, że biegnę całe wieki, w końcu jednak ujrzałem przed sobą Wzgórze Wisielców. Za nim leżała farma. Wkrótce wpadłem między drzewa, porastające jego zbocza. Byłem bardzo blisko: tak blisko kryjówki przygotowanej przez mamę! Ale na niebie świecił czerwony księżyc – niezwykle czerwony, zalewający wszystko jaskrawym, złowieszczym blaskiem. A wokół siebie widziałem wisielców. Widma. Tych, których powieszono tu dawno temu podczas wojny domowej, w której brat stawał przeciw bratu, szalejącej w całym kraju, dzielącej Hrabstwo i rodziny.

Widziałem już wcześniej widma. Stracharz kazał mi stawić im czoło, gdy opuściliśmy farmę w pierwszych minutach mojego terminu. A jako młody chłopak słyszałem je ze swej sypialni. Były prawdziwe: płoszyły nasze psy, które bały się wbiegać na pastwisko u stóp wzgórza. Lecz nawet wówczas, kiedy towarzyszył mi stracharz, nie wydawały się takie wyraźne, takie rzeczywiste. Teraz jęczały i dławiły się, obracając się powoli na trzeszczących gałęziach. A ich oczy zdawały się patrzeć na mnie oskarżycielsko – oczy mówiące, że w jakiś sposób to moja wina, że to przeze mnie tam zawiśli.

Ale to przecież tylko widma, powtarzałem sobie wspominając jedną z pierwszych rzeczy, jakich nauczył mnie stracharz. To nie duchy – świadome dusze, uwięzione na tej ziemi, uwiązane do miejsc swojej śmierci. To tylko fragmenty, wspomnienia po duszach, które odeszły – miejmy nadzieję w lepsze miejsce. Mimo wszystko jednak wpatrywały się we mnie oskarżycielsko, a ich wzrok mroził mnie do szpiku kości. A potem usłyszałem nagły

niepokojący dźwięk: ktoś biegł w górę zbocza ku mnie, słyszałem stopy uderzające mocno o twardą zamarzną ziemię! Grimalkin, wiedźma zabójczym, pędziła za mną i zbliżała się z każdą chwilą.

## ROZDZIAŁ 24

### ROZPACZ

Czarownica ścigała mnie przez ciemny las. Dziękując nam dystans zmniejszał się z każdą sekundą. Biegłem zakosami, ile sił w nogach. Gałęzie chłostały mnie po twarzy. Dwa razy uskokczyłem, gdy poczułem na czole muśnięcie zimnych martwych palców. Palców widma. Palców wisielca.

Widma to jedynie fantazmy – obrazy bez materii. Lecz strach dodawał im siły i namacalności, a ja śmiertelnie się bałem: bałem się zabójczym; bałem się śmierci, ścigającej mnie po lesie. A mrok karmił się moim strachem.

Byłem zmęczony, brakowało mi sił, lecz przywoływałem je wszystkie, biegnąc w górę Wzgórza Wisielców. Gdy dotarłem na szczyt, zakiełkowała nieśmiała nadzieja. Droga w dół wydawała się łatwiejsza. Poza linią drzew ciągnęło się ogrodzenie, okalające północne pastwisko farmy. Kiedy się na nie wespnę, pozostanie mi tylko pół mili do tylnych drzwi domu. Potem wystarczy wbiec na górę, przekręcić klucz w zamku pokoju mamy, wejść do środka i zamknąć je za sobą. Jeśli to zrobię, będę bezpieczny! Ale czy starczy mi czasu?

Grimalkin mogła ściągnąć mnie z ogrodzenia. Mogła dogonić na pastwisku. Albo na podwórzu. No i pozostawała też chwila zwłoki, potrzebna do otwarcia drzwi. Wyobraziłem sobie, jak drżącymi palcami próbuję wsunąć klucz w zamek, a za sobą słyszę jej kroki na schodach.

Ale czy w ogóle dotrę do ogrodzenia? Była coraz bliżej. Bardzo blisko. Słyszałem tupot jej stóp na zboczu. Lepiej odwróć się i walcz

– nakazał głos w mojej głowie. Lepiej staw jej czoło już teraz. Nie czekaj, aż powali cię od tyłu. Ale jaką miałem szansę w walce z wyszkoloną i doświadczoną zabójczynią? Jaką nadzieję, że zdołam pokonać silną i przebiegłą wiedźmę, specjalizującą się w morderstwach?

W prawej dłoni ścisnąłem kij stracharza, w lewej owinięty wokół przegubu i gotowy do rzutu tkwił srebrny łańcuch. Biegłem dalej. Przez liściaste sklepienie przenikały gniewne promienie krwawego księżyca. Niemal dotarłem już na skraj Lasu Wisielców, lecz wiedźma zabójczyni była bardzo, bardzo blisko. Słyszałem miękkie uderzenia stóp o ziemię i świst jej oddechu.

Gdy zostawiłem za sobą ostatnie drzewo i ujrzałem ogrodzenie farmy, czarownica puściła się za mną pędem z prawej strony. W obu dłoniach trzymała sztylety, w których klingach odbijało się czerwone światło księżyca. Uskoczyłem chwiejnie w lewo i cisnąłem łańcuchem, który pomknął ku niej. Lecz całe moje szkolenie okazało się bezużyteczne. Byłem zmęczony, przerażony, balansowałem na skraju rozpacz. Łańcuch wylądował w trawie, nie czyniąc jej szkody. Wyczerpany, odwróciłem się, by stawić czoło wiedźmie. To był koniec. Doskonale o tym wiedziałem. Dysponowałem już tylko kijem stracharza, lecz brakowało mi sił, by go nawet unieść. Serce waliło mi w piersi, urywany oddech świszczał w ustach, a świat zdawał się wirować wokół mnie.

Wówczas po raz pierwszy ujrzałem Grimalkin. Miała na sobie krótki czarny kaftan przewiązany w pasie; rozciętą spódnicę przypięła ciasno do ud, by nie przeszkadzała w biegu. Całe jej ciało oplatały wąskie skórzane paski, z uczepionymi pochwami; w każdej tkwiła broń-klingi najróżniejszej długości; ostre haki; małe instrumenty, nożyce...

Nagle przypomniałem sobie znak wyryty w korze dębu, który pokazał mi stracharz wkrótce po przekroczeniu granicy okręgu Pendle. To nie były zwykłe nożyce, lecz ostre nożyczki, przecinające ciało i kości! A szyję czarownicy okalał naszyjnik z kości. W niektórych rozpoznałem ludzkie – palce rąk i stóp. Jej



uszy zdołały kostki kciuków: trofea odebrane tym, których zabiła.

Była potężna, a także, na swój sposób, piękna. I gdy tak na nią patrzyłem, poczułem dreszcz. Jej wargi pokrywała czarna farba. A gdy otworzyła usta w parodii uśmiechu, przekonałem się, że zęby ma spiłowane na ostro. W tym momencie przypomniałem sobie słowa Tibba...

Patrzyłem wprost w zęby śmierci.

– Zawiodłeś mnie. – Grimalkin oparła się o pień ostatniego drzewa i opuściła sztylety tak, że długie klingi skrzyżowały się na wysokości kolan. – Tak wiele o tobie słyszałam, i mimo twojej młodości liczyłam na więcej. Teraz widzę, że jesteś ledwie dzieckiem, niegodnym moich umiejętności. Szkoda, że nie mogę zaczekać, aż staniesz się mężczyzną.

– W takim razie puść mnie – odparłem błagalnie, dostrzegając w jej słowach wątki promyczek nadziei. – Słyszałem, że lubisz trudne zadania. Czemu więc nie zaczekasz? Kiedy będę starszy, znów się spotkamy, i wówczas będę mógł z tobą walczyć. Pozwól mi żyć!

– Robię to, co muszę – pokręciła głową. W jej oczach dostrzegłem szczery smutek. – Żałuję, że nie jest inaczej, ale...

Wzruszyła ramionami i wypuściła z prawej dłoni sztylet, który wbił się w miękką ziemię u jej stóp. Potem uniosła w bok rękę, jakby chciała chwycić mnie w objęcia.

– Chodź tu, dziecko. Oprzyj głowę na mym łonie i zamknij oczy. Załatwię to szybko. Poczujesz tylko krótki ból – nie więcej niż matczyzny pocałunek na gardle – potem twoje zmagania w tym życiu dobiegną końca, ufaj mi. W końcu odnajdziesz spokój...

Przytaknąłem, spuściłem głowę i podszedłem do niej bijącym szaleńczo sercem. Gdy stawiałem drugi krok, nagle po policzkach popłynęły mi łzy. Usłyszałem, jak Grimalkin wzdycha ciężko, lecz jednocześnie przerzuciłem kij stracharza z prawej dłoni do lewej, i z całą szybkością i siłą, jaką zdołałem przywołać, pchnąłem tak, że ostrze przebiło lewe ramię, przyszpilając wiedźmę do pnia drzewa.

Grimalkin nie wydała z siebie żadnego dźwięku. Musiała

strasznie cierpieć, lecz jedynie lekko zacisnęła wargi. Puściłem kij, pozostawiając rozdygotany w pniu po czym odwróciłem się i zacząłem uciekać. Ostrze wbiło się głęboko w pień, a samą laskę zrobiono z jarzębinowego drzewa, wiedziałem więc, że czarownicy niełatwo będzie się uwolnić, a sam proces sprawi jej wiele bólu. Teraz miałem szansę dotrzeć bezpiecznie do pokoju mamy.

Zdążyłem przebiec zaledwie parę kroków, gdy coś sprawiło, że obejrzałem się ku wiedźmie. Sięgnęła prawą ręką, wyjęła z lewej sztylet i z niewiarygodną szybkością i siłą cisnęła wprost w moją głowę.

Patrzyłem, jak leci ku mnie, wirując. Metal połyskiwał czerwonym blaskiem księżyca. Mknął ku mnie, obracając się w powietrzu. Mogłem próbować uskoczyć, czy nawet odsunąć się na bok, lecz nic nie uratowałoby mnie przed sztyletem, pędzącym tak szybko i z taką siłą.

To, co zrobiłem, zrobiłem nieświadomie. Nie miałem czasu myśleć. Nie podjąłem żadnej decyzji. Jakaś część mnie zaczęła działać. Po prostu skupiłem się, koncentrując całe swe jestestwo na owej wirującej klindze, aż w końcu czas jakby zwolnił bieg.

Wyciągnąłem rękę i ująłem sztylet, zaciskając palce na drewnianej rękojeści. Szybkim ruchem odrzuciłem go w trawę. W chwilę później wspinałem się na ogrodzenie i biegłem w stronę farmy.

\*

Na podwórzu panowała cisza i spokój. Zwierzętami zajmował się nasz sąsiad, pan Wilkinson, toteż fakt ów mnie nie zaniepokoił. A jednak cały czas się bałem. Nagle w mej głowie pojawiła się przerażająca myśl.

A jeśli Zły już tu był? Co, jeśli przyczaił się w mroku domu? Ukryty w jednym z pomieszczeń na parterze, czekał, by podążyć za mną po schodach i zaatakować, gdy spróbuję otworzyć drzwi pokoju mamy?

Odpychając tę myśl, minąłem spaloną stodołę i puściłem się przez podwórze w stronę domu. Zerknąłem na ścianę, którą winny

porastać bujne, czerwone róże. Róże mamy. Lecz kwiaty umarły, poczerniały i uschły. A w środku nie czekała mama, by mnie powitać. Nie było też taty. Ten dom, niegdyś mój, obecnie przypominał raczej domostwo z sennego koszmaru.

Przy tylnym wejściu przystanąłem chwilę, nasłuchując. Cisza. Wszedłem zatem do środka i wbiegłem po schodach, przeskakując po dwa stopnie, aż w końcu znalazłem się pod właściwymi drzwiami. Zdjąłem z szyj klucze i trzęsącymi się rękami wsunąłem w największy zamek. Znalazłszy się w środku, zamknąłem za sobą drzwi na klucz, i oparłem się o nie, dysząc ciężko. Powiodłem wzrokiem po pustym pomieszczeniu, gołych deskach podłogi. Powietrze było tu znacznie cieplejsze niż na zewnątrz. Czułem łagodny dotyk letniej nocy. Byłem bezpieczny. Ale czy na pewno?

Czy pokój mamy mógł uchronić mnie przed diabłem we własnej osobie? Ledwie zacząłem się nad tym zastanawiać, gdy przypomniałem sobie raz jeszcze słowa mamy:

„Jeśli jesteś człowiekiem odważnym, masz czystą i dobrą duszę, pokój ten stanie się bastionem, fortecą przeciw mrokowi.”

Cóż, byłem tak odważny, jak tylko potrafiłem w tych okolicznościach. Owszem, bałem się, ale kto by się nie bał? Nie, najbardziej martwił mnie fragment o czystej i dobrej duszy. Czułem, że sam zmieniłem się na gorsze. Krok za krokiem konieczność przetrwania zmuszała mnie do zdradzenia ideałów, zgodnie z którymi mnie wychowano. Tato nauczył mnie nigdy nie łamać raz danego słowa, ale nawet przez moment nie zamierzałem dotrzymać umowy zawartej z Mab. Owszem, istniały ku mu powody, ale jednak ją oszukałem, Mab zaś, czarownica należąca do mroku, zawsze dotrzymywała swego słowa.

A taka Grimalkin. Miała własny kodeks honorowy. Ja jednak pokonałem ją podstępem, przebiegłością i oszustwem. Czy to dlatego z moich oczu popłynęły łzy, gdy udawałem, że podążam w jej śmiertelne objęcia? Łzy te kompletnie mnie zaskoczyły. Wezbrały we mnie emocje, nad którymi nie umiałem zapanować. Pewnie właśnie one jeszcze bardziej oszukały Grimalkin:

czarownica założyła, że płaczę ze strachu.

Czy w istocie były to łzy wstydu? Płakałem, bo wiedziałem, że tak bardzo oddaliłem się od zasad wpajanych mi przez tatę? Jeśli moja dusza nie była już dobra i czysta, pokój mógł mnie nie ochronić, i kłamstwa jedynie odwlokły moment mego zniszczenia. Podeszedłem do okna i wyjrzałem na dwór. Wychodziło na zabudowania: w blasku krwawego księżyca ujrzałem pocerniałe fundamenty stodoły, puste chlewiki i zagrody dla bydła oraz północne pastwisko, ciągnące się aż do podnóża Wzgórza Wisielców. Nic się tam nie ruszało.

Wróciłem na środek pokoju, trawiony coraz większym pokojem. Czy zobaczę nadejście diabła? A jeśli tak, jaką postać przybierze? Czy może po prostu zmaterializuje się z powietrza? Gdy tylko przyszła mi do głowy ta straszliwa myśl, usłyszałem dobiegające z zewnątrz przerażające odgłosy – donośne huki i łomoty, uderzenia o ściany. Dom zaczął trząść się w posadach. Czy to był Zły? Czy próbował dostać się do środka? Przebić kamienne mury?

Z całą pewnością brzmiało to, jakby coś waliło o ściany. Niedługo potem z góry dobiegły mnie potężne rytmiczne uderzenia. Coś ciężkiego tupało o dach. Słyszałem dachówki spadające na ziemię. Owym odgłosom towarzyszyły też złowieszcze ryki i parsknięcia, jak u rozjuszonego byka. Gdy jednak znów pobiegłem do okna, nie zobaczyłem niczego. Absolutnie niczego.

Dźwięki umilkły równie nagle, jak się pojawiły i w głębokiej ciszy sam dom zdawał się wstrzymywać oddech. Potem usłyszałem kolejne hałasy. Tym razem jednak dobiegały z wnętrza; z dołu, z kuchni. Brzęk i łoskot tłuczonych kubków i talerzy. Trzask sztucców, spadających na kamienną posadzkę. Ktoś ciskał na podłogę naczynia; opróżniał kuchenne szuflady. W chwilę później te dźwięki także ucichły, lecz krótką ciszę zakłócił odgłos fotela na biegunach. Słyszałem wyraźnie, jak skrzypi, gdy jego drewniane bieguny rytmicznie uderzały o posadzkę.

Przez moment serce zabiło mi mocniej. W dzieciństwie tak wiele razy słyszałem podobny dźwięk: znajomy odgłos mamy,

bujającej się w fotelu. Wróciła! Mama wróciła, by mnie ocalić, i wszystko będzie dobrze! Powinienem bardziej w nią wierzyć. Pojąć, że nie zostawi mnie, bym musiał sam zmagać się z tą grozą. Sięgnąłem po klucz z zamiarem otwarcia drzwi i zejścia na dół, lecz w samą porę przypomniałem sobie, że czarownice, plądrujące dom, roztrzaskały fotel mamy na kawałki. Naczynia także potłuczono. Noże i widelce rozrzucono po podłodze. To tylko dzięki odtworzone po to, by wywabić mnie z bezpiecznej kryjówki.

Złowieszcze skrzywienie stawało się coraz cichsze. W końcu całkiem ucichło. Następny dźwięk zabrzmiał dużo bliżej. Coś wchodziło po schodach. Nie był to tupot ciężkich butów; bardziej przypominał stąpanie wielkiego zwierzęcia. Słyszałem chrapliwy oddech, tup-tup, tupot łap na drewnianych stopniach, a potem niski, gniewny warkot.

Chwilę później drzwi poddały się atakowi szponów. Z początku nieśmiało, bez przekonania, zupełnie jakby domowy pies zwabiony apetycznym zapachem kuchennym, lecz pamiętny swego miejsca w szeregu, próbował dostać się do kuchni, nie czyniąc zbyt wielkich szkód. Stopniowo jednak drapanie stawało się szybsze, gorączkowe, jakby drewno rozrywało się na strzępy.

Po chwili wyczułem coś wielkiego, znacznie większego od psa. Moje zmysły zaatakował nagły smród śmierci i rozkładu. Przerażony, cofnąłem się od drzwi w chwili, gdy coś rąbnęło o nie mocno. Drzwi zaczęły jęczeć i uginać się, zupełnie jakby napierał na nie ogromny ciężar. Przez moment sądziłem, że pękną bądź ustąpią, potem jednak nacisk osłabł i znów słyszałem tylko ciężki oddech.

Po jakimś czasie nawet ów odgłos ucichł. Zacząłem bardziej wierzyć w moc pokoju i w środki, jakie podjęła mama, by mnie chronić. Uwierzyłem też, że jestem bezpieczny, i że sam diabeł nie zdoła mnie tu osiągnąć. W końcu mój strach minął. Zastąpiło go zmęczenie.

Byłem potwornie wyczerpany. Oczy same mi się zamykały,

toteż wyciągnąłem się na twardych deskach i mimo niewygody, niemal natychmiast zasnąłem twardo. Nie potrafię stwierdzić, jak długo spałem, ale gdy wstałem, nic się nie zmieniło. Podszedłem do okna i zobaczyłem tę samą ponurą scenę. Nic się nie poruszało. Była to koszmarna beczasowa wizja. Nagle jednak pojąłem, że się mylę. Jedna rzecz się zmieniła. Ziemia była jeszcze bielsza, warstwa szronu grubsza i rozleglejsza. Czy krwawy księżyc kiedykolwiek zajdzie? Czy słońce jeszcze zaświeci?

W pokoju wciąż panowało łagodne ciepło letniej nocy, lecz stopniowo na moich oczach szybę pokrywał szron, aż w końcu stała się biała, nieprzejrzysta.

Podszedłem do niej i przyłożyłem rękę do szkła. Powietrze wokół mnie było ciepłe, lecz zimno promieniujące od okna natychmiast ukąsiło skórę. Chuchnąłem I na szybę i po chwili jej kawałek przeczyszczył się, pozwalając mi wyjrzeć na tę samą ponurą scenerię.

Czy tkwiłem uwięziony w piekle na ziemi? Czy przybycie Złego uczyniło więcej szkód, niż przewidywał stracharz, tworząc beczasową, zamarzną krainę, w której diabeł będzie rządził na wieki wieków?

Czy kiedykolwiek będę mógł bezpiecznie opuścić pokój mamy?

Czułem się zmęczony i pokonany. W ustach zaschło mi, bo nie zabrałem ze sobą wody. Cóż ze mnie za głupiec! Powinienem był o tym pomyśleć i lepiej się przygotować. Aby zostać dłużej w kryjówce, potrzebowałem wody i zapasów. Wszystko jednak działo się tak szybko. Od chwili, gdy dotarliśmy ze stracharzem do Pendle, cały czas coś nam groziło. Jedno niebezpieczeństwo goniło drugie. Jaką szansę miałem, by się przygotować?

Jakiś czas krążyłem tam i z powrotem, spacerując od ściany do ściany. Nie miałem nic innego do roboty. Tam i z powrotem, w przód i w tył, tupiąc głośno na deskach podłogi. I gdy tak krążyłem, stopniowo coraz bardziej bolała mnie głowa. Zwykle nie miewam bólów głowy, ale ten był naprawdę paskudny. Zupełnie jakby na jej czubek napierał wielki ciężar; każdemu gorączkowemu uderzeniu

serca towarzyszyło bolesne pulsowanie.

Jak długo zdołam to wytrzymać? Nawet, jeśli czas naprawdę płynął, nigdy dotąd nie doświadczyłem niczego podobnego. I wówczas nawiedziła mnie nagła mroczna myśl.

Mama ochroniła pokój i Zły nie mógł się do niego dostać. Nie powstrzymywało go to jednak od działań poza pokojem. Zmienił świat – a przynajmniej ten widziany z okna. Wszystko poza pokojem – farma, dom, drzewa, ludzie i zwierzęta – pozostawało w jego władzy. Czy kiedykolwiek zdołam jeszcze przekroczyć próg mojego schronienia? Może świat wróci do normy dopiero wtedy, kiedy wyjdę?

Ponure myśli zaczęły wdzierać się do mego umysłu, mimo iż desperacko próbowałem je powstrzymać. Po co w ogóle cokolwiek robić? Rodziliśmy się, żyliśmy kilka krótkich lat, starzeliśmy się i umieraliśmy. Jaki w tym sens? Wszyscy ludzie w Hrabstwie i na szerokim świecie poza nim, żyjący krótkie życia, a potem kładący się do grobu – po co to wszystko? Mój tato nie żył. Od urodzenia pracował ciężko, lecz podróż jego życia miała tylko jeden cel: grób. Tam właśnie zmierzaliśmy wszyscy. Do grobu. Do ziemi, gdzie pożrą nas robaki. Biedny Billy Bradley był uczniem stracharza przede mną. Bogin odgryzł mu palce i Billy zmarł z wstrząsu i utraty krwi. Gdzie był teraz? W grobie. Nawet nie na cmentarzu. Pogrzebano go poza jego granicami, bo Kościół uważał go za nie lepszego od bezecnej wiedźmy. Mnie także czekał podobny los: grób na niepoświęconej ziemi. A biedny ojciec Stocks nie został jeszcze nawet pogrzebany. Wciąż leżał martwy w łóżku w Dworze Read. Jego ciało gniło w pościeli. Całe życie starał się postępować jak najlepiej, tak samo jak mój tato. Lepiej od razu mieć to z głowy – pomyślałem. Lepiej wyjść z pokoju mamy. Kiedy umrę, wszystko się skończy. Nie będę musiał martwić się o nic więcej. Koniec z cierpieniem, bólem serca. Wszystko było lepsze niż uwięzienie w tym pokoju aż do śmierci z głodu bądź pragnienia. Lepiej wyjść od razu i skończyć z tym. Faktycznie ruszyłem do drzwi i sięgnąłem po klucz, gdy poczułem nagły chłód; ostrzeżenie. W pobliżu czało

się coś nie należącego do tego świata. W kącie pokoju najdalszym od drzwi i okna zaczął tworzyć się migoczący słup światła.

Cofnąłem się. Czy to duch, czy coś z mroku? Najpierw ujrzałem ciężkie buty, potem czarną sutannę. To był ksiądz! Głowa ukształtowała się szybko. Twarz patrzyła na mnie niepewnie. To był duch ojca Stocksa! Ale czy na pewno? Znow zadrzałem. Spotykałem już stwory umiające odmieniać kształt. A jeśli to Zły, który przyjął postać ducha ojca Stocksa, by mnie oszukać? Z trudem panowałem nad swoim oddechem. Mama mówiła, że nic złego nie ma wstępu do tego pokoju. Musiałem w to uwierzyć. Tylko to mi zostało. Toteż, czymkolwiek była zjawą, musiała być dobra, nie zła.

– Przepraszam, ojcze! – zawołałem. – Przepraszam, że nie wróciłem na czas, by cię uratować. Staralem się, jak mogłem, i wróciłem przed zmierzchem, ale było już za późno...

Ojciec Stocks przytaknął ze smutkiem.

– Zrobiłeś, co w twojej mocy, Tom. Co tylko mogłeś. Ale teraz boję się, jestem zagubiony. Mam wrażenie, że od wieków błąkam się w szarej mgle. Raz jeden zdawało mi się, że widzę przed sobą słaby przebłysk światła, lecz szybko zgasł. I wciąż słyszę głosy, Tomie. Głosy dzieci, nawołujące moje imię. Och, Tomie! Myślę, że to głosy dzieci, których nigdy nie miałem. Moich nienarodzonych dzieci, wzywających mnie. Powinienem być zostać prawdziwym ojcem, Tomie. Nie księdzem. A teraz jest już za późno.

– Ale czemu tu jesteś, ojcze? Dlaczego przybyłeś mnie odwiedzić? Przychodzisz pomóc?

Duch pokręcił głową, wyraźnie oszołomiony.

– Po prostu się tu znalazłem, Tomie. To wszystko. Nie zamierzałem tu przybyć. Może ktoś mnie przysłał. Ale nie znam powodu.

– Przeżyłeś dobre życie, ojcze. – Podeszedłem bliżej i poczułem, że zaczynam go żałować. – Odmieniłeś losy wielu ludzi i walczyłeś z mrokiem. Cóż więcej mógłbyś zrobić? Po prostu wróć. Wróć, zajmij się sobą i zapomnij o mnie! Zostaw mnie! Wracaj i szukaj



światła.

– Nie mogę, Tomie. Nie wiem, jak. Próbowałem się modlić, ale teraz umysł przepełnia mi ciemność i rozpacz. Próbowałem walczyć z mrokiem, lecz nie spisałem się najlepiej. Powinienem już dawno dostrzec, czym jest Wurmalde. Pozwoliłem, by oślepiła mnie urokiem i fascynacją. Nowell też padł jej ofiarą. Ale ja powinienem być mądrzejszy. Zawiodłem jako ksiądz, a moje szkolenie stracharza na nic się zdało. Moje życie było jedną wielką pomyłką. Nic z niego nie wynikło!

Męki biednego ojca Stocksa sprawiły, że w końcu zapomniałem o własnych lękach. Cierpiał, i musiałem mu pomóc. Przypomniałem sobie, jak stracharz postępował zwykle ze zbłąkanymi duchami, które nie umiały przejść dalej. Jeśli zwykła rozmowa nie zadziałała, prosił, by przypomniały sobie własne życie. Skupiły się na szczęśliwym wspomnieniu. Wspomnienie to zwykle uwalniało je z okowów łączących z tym światem.

– Posłuchaj mnie, ojcze. Byłeś nie tylko księdzem, ale i stracharzem. Przypomnij sobie teraz, czego cię uczył John Gregory. Musisz tylko przywołać szczęśliwe wspomnienie i skupić się na nim. Myśl! Myśl uważnie. Skup się! Jakie jest twoje najszcześniejsze wspomnienie na tej ziemi?

Udręczona twarz martwego księdza zamigotała i omal nie zgasła, potem jednak powróciła i wyostrzyła się, zamyślona.

– Pewnego ranka obudziłem się i rozejrzałem wokół. Leżałem w łóżku, przez okno przeświecało słońce, drobinki kurzu tańczyły w szerokiej smudze światła, lśniąc jak tysiąc maleńkich aniołów. I przez chwilę niczego nie pamiętałem. Nie wiedziałem, kim jestem. Nie wiedziałem, gdzie jestem. Nie pamiętałem nawet własnego imienia. Nie miałem żadnych trosk, żadnych zmartwień. Byłem tylko czystą świadomością. Zupełnie jakbym uwolnił się od brzemienia życia. Od wszystkiego, czym byłem i co zrobiłem. Byłem nikim, a jednocześnie wszystkim. Czułem radość i szczęście.

– I tym właśnie jesteś teraz. – Podchwyciłem przedstawioną przez niego myśl. – Jesteś nikim i wszystkim. I znalazłeś już

światło...

Usta ojca Stocksa otwały się w zdumieniu. Potem jego twarz powoli rozjaśnił uśmiech, uśmiech radości i zrozumienia. Jego duch zaczął znikać. Ja także się uśmiechnąłem, po raz pierwszy od bardzo dawna. Właśnie odesłałem ku światłu swego pierwszego ducha.

A skoro mowa o świetle, nagle wypełniło cały pokój mamy! W chwili, gdy ojciec Stocks zniknął, jasny promień słońca wpadł do środka przez okno. W nim także wirowały połyskujące drobinki kurzu, dokładnie tak, jak to opisał nieżyjący ksiądz.

Odetchnąłem głęboko i pojąłem, jaki do niedawna byłem przygnębiony. Zły nie mógł wdrzeć się do pokoju, w jakiś sposób jednak sięgnął do mego umysłu, bo ogarnęła mnie rozpacz, każąca otworzyć drzwi i wyjść do niego. Na szczęście duch ojca Stocksa pojawił się w samą porę i zapomniałem o własnym bólu. Moja próba dobiegła końca. Wiedziałem instynktownie, że mogę bezpiecznie opuścić pokój.

Podszedłem do okna. Krwawy księżyc zniknął. Koszmar dobiegł końca. Nagle powróciła świadomość upływającego czasu. Musiało minąć dwa dni od przybycia Złego przez portal. A zatem mieliśmy trzeci dzień sierpnia. Były moje urodziny. Miałem czternaście lat.

Niebo było błękitne, trawa zielona. Nigdzie nie dostrzegłem ani śladu szronu. To wszystko był podstęp, złudzenie, mające wywabić mnie z pokoju, ku czekającej mnie zagładzie.

I nagle zobaczyłem dwie sylwetki ludzi, maszerujące obok siebie w dół zbocza Wzgórza Wisielców w stronę domu. Jedna z nich kuśtykała, i nawet z daleka ich poznałem. Byli to stracharz i Alice. Mój mistrz dźwigał dwie torby i dwa kije. Wówczas zauważyłem, że na wzgórzu nad nimi coś się zmieniło.

Poziomy cień przecinał teraz las niczym blizna.

## **ROZDZIAŁ 25**

## NOWY PORZĄDEK

Otworzyłem drzwi, wyszedłem z domu i rozejrzałem się po krajobrazie zniszczenia. Komin zawalił się na dach. W większości okien pozostały tylko odłamki szyb. Na podwórku leżały porozrzucane dachówki. Coś wyszarpnęło z ziemi słupki ogrodzenia i oderwało od ściany pędy róż mamy. Zapewne zrobił to Zły, wściekły, że nie może dostać się do pokoju.

Lecz zniszczenia nie ograniczały się do farmy. Spojrzałem na Wzgórze Wisielców i zrozumiałem, czym dokładnie była owa ciemna szrama: tworzyły ją usłane gęsto zwalone pnie. Wyglądało na to, że to Zły je połamał, pędząc ku domowi. Powalił je równie łatwo jak kosa źdźbła trawy. Jakaż potężna siła to uczyniła! A jednak pokój mamy zniósł jej atak.

Ale teraz wszystko się skończyło. Powietrze stało nieruchomo, śpiewały ptaki. Przeszedłem przez podwórze w stronę wzgórza i spotkałem się ze stracharzem i Alice w otwartej bramie północnego pastwiska. Alice pokuśtykała naprzód. Objęła mnie i uścisnęła mocno.

– Och, Tom! Tak się cieszę, że cię widzę. Nie śmiałam nawet marzyć, że ocalałeś.

– Przykro mi, że nie zdołaliśmy zrobić nic więcej, chłopcze – dodał stracharz. – Od chwili, gdy pobiegłeś na farmę, byłeś sam, i nikt nie zdołałby ci pomóc. Kiedy tu dotarliśmy, obserwowaliśmy wszystko ze wzgórza, ale obawialiśmy się podejść bliżej. Nim się zjawiliśmy, Zły przywołał ciemną chmurę, która osiadła nad domem i obejściem, przesłaniając je całkowicie. Słyszeliśmy go tam, jak tłukł się, ryczał i starał wtargnąć do środka. Okropnie się czuliśmy, obserwując to z daleka, i nie mogąc nic zrobić, ale zaufałem twojej matce. Miałem nadzieję, że to, co uczyniła z pokojem, wystarczy, by cię ochronić. I wygląda na to, że moje zaufanie miało podstawy.

– Ale on pozostał na tym świecie, prawda? – spytałem z

nadzieją, że stracharz mi zaprzeczy.

Mistrz jednak pozbawił mnie jej, z ponurą miną kiwając głową w geście potwierdzenia.

– Owszem, jest tutaj. To się czuje. Coś się zmieniło. To jak pierwsze tchnienie chłodu w jesiennym powietrzu. Zapowiedź nadchodzącej zimy. Powstaje nowy porządek rzeczy. Tak jak powiedział kiedyś ojciec Stocks, Zły to ucieleśnienie mroku, a Wurmalde i czarownice panowały nad nim zaledwie dwa dni. Posłały go za tobą. Teraz jednak ów czas minął i Zły sam zacznie snuć własne plany. Nie podlega już ich woli i miejmy nadzieję, że na jakiś czas zapomni o tobie. Lecz nikt w Hrabstwie nie jest już bezpieczny. Moc mroku będzie rosła jeszcze szybciej, a my musimy pracować ciężko, by go powstrzymać. Nasz fach już wcześniej był niebezpieczny. Teraz jednak lepiej nie myśleć, z czym mamy do czynienia, chłopcze.

Wskazałem szramę dzieląca na pół Wzgórze Wisielców.

– Czy gdzieś jeszcze zostawił podobne ślady?

– O tak, chłopcze – wzduż drogi, jaką podążał ze wzgórza Pendle tutaj. Pozostawił po sobie zgniecione plony, mnóstwo połamanych drzew i kilka zniszczonych budynków. Bez wątplenia ktoś także zginął, lecz dotarłszy tutaj, Zły skupił się tylko na próbach dostania się do ciebie; Hrabstwu oszczędzono czegoś znacznie, znacznie gorszego.

– A zatem zawiedliśmy – powiedziałem ze smutkiem. – Podobna moc jest o wiele za silna, by ktokolwiek mógł z nią walczyć. Jaki jest wielki? Czy to jakiś olbrzym?

– Wedle starych ksiąg może przybierać dowolną postać, stawać się duży bądź mały – odparł stracharz. – Lecz zazwyczaj wygląda jak zwykły człowiek, ktoś, na kogo nie spojrzełbyś dwa razy, i nie zawsze używa brutalnej siły. Często osiąga swoje cele sprytem. Jedynie czas pokaże, ile z tego jest prawdą. Ale uśmiechnij się, chłopcze! Tam, gdzie jest wola, i sposób się znajdzie. Pewnego dnia wymyślimy, jak się z nim rozprawić. Wurmalde nie żyje. Bez niej klany czarownic wkrótce znów rzucają się sobie do gardeł. I

zadaliśmy potężny cios Malkinom. Wieża już do nich nie należy. Dwie lamie zadomowiły się w niej na dobre. To oznacza, że twoje skrzynie są bezpieczne, a kiedy znów odwiedzimy Pendle, będziemy mieli jeszcze lepszy punkt wypadowy.

– Co takiego? Wracamy tam? – spytałem ze znużeniem. Myśl o tym niemal mnie ogłuszyła.

– Nie. Na razie ruszamy do Chipenden na zasłużony odpoczynek. Ale pewnego dnia wrócimy. Albo w przyszłym roku, albo w następnym. Nie skończyliśmy jeszcze naszej pracy. A ciebie czeka mnóstwo ciężkich ćwiczeń. Gdybyś zdołał zarzucić łańcuch na Grimalkin, nie musiałbyś użyć mojego kija.

Byłem zbyt zmęczony, by się spierać, toteż jedynie kiwnąłem głową.

– Zdołałeś jednak ujść z życiem, chłopcze, a to całkiem sporo, zważywszy na okoliczności. Nim dotarliśmy do drzewa stojącego tuż za granicą ścieżki, pozostawionej przez Złego, Grimalkin zdołała się uwolnić i zniknęła, lecz jej krew wciąż pozostała na pniu. Odrzuciła na bok moją laskę, ale nawet gdyby chciała, nie mogła tknąć łańcucha. Tkwi teraz bezpiecznie w twojej torbie. Przyczyniłeś sobie kolejnego wroga. To jeszcze jeden powód, by się strzec.

Myśl o Grimalkin niespecjalnie mnie niepokoiła. Pewnego dnia znów staniemy oko w oko, ale zaczeka, aż będę starszy, bo zabicie mnie sprawi jej wówczas większą satysfakcję. Natomiast świadomość istnienia czegoś tak potężnego, jak Zły przerażała mnie. Naprawdę bałem się o przyszłość – własną i całego Hrabstwa.

– Kiedy byłem w pokoju mamy, złożył mi wizytę duch ojca Stocksa – poinformowałem stracharza. – Rozmawialiśmy i zdołałem odesłać go do światła.

– Dobra robota, chłopcze. W Hrabstwie będzie nam brakowało ojca Stocksa. Straciłem też w nim przyjaciela. Możesz być dumny, że odesłałeś go do światła. W naszym fachu zdarzają się rzeczy wielce satysfakcjonujące. Uspokojenie zbłąkanych zmarłych to

jedna z nich.

– Czy z Jamesem i Jackiem wszystko w porządku? – spytałem.

– Z tego, co mi wiadomo, owszem – odrzekł mistrz. – Najpierw wróciliśmy z wieśniakami do Downham, pomagając zanieść rannych. Potem zabraliśmy torby i ruszyliśmy prosto tutaj. Tymczasem James pomaszerował do Wieży Malkinów. Zamierzał sprowadzić tu Jacka i rodzinę – to znaczy, jeśli młodszy z twych braci ma dość sił, by podróżować.

– Czy zatem nie moglibyśmy zostać tu w trójkę i poczekać parę dni do ich przybycia? – spytałem. – Moglibyśmy trochę ogarnąć to miejsce. Ułatwić im powrót.

– Chyba masz rację, chłopcze. Niechaj tak będzie. Zostaniemy tu i wszystko uporządkujemy.

\*

Tak też zrobiliśmy. We trójkę wróciliśmy na farmę, uprzątnęliśmy bałagan w pokojach, sprowadziliśmy z wioski szklarza, by naprawił okna. Wspiąłem się na dach i postarałem jak najlepiej nareperować komin. Zdołałem sprawić, że dym ulatywał z niego swobodnie. To musiało wystarczyć do czasu, aż zdołamy ściągnąć murarza, by wykonał pracę, jak należy. Po paru godzinach ciężkiej harówki dom wyglądał czysto i porządnie. O zmierzchu zjedliśmy posiłek i rozpaliliśmy przyjemny ogień w kuchni.

Oczywiście nic już nie będzie takie, jak kiedyś, ale musieliśmy dokładać wszelkich starań. Zastanawiałem się, czy Ellie wystarczy odwagi, by znów zamieszkać na farmie. Mogła zabrać swe dziecko w bezpieczniejsze miejsce. Ostatecznie czarownice wiedziały już, gdzie ich szukać. Któregoś dnia mogły się zjawić, łaknąc zemsty. Wiedziałem, że wiele zależy od tego, w jakim stopniu Jack odzyska świadomość. Jeśli James zechce zostać i pracować tutaj, to może dodać Ellie odwagi.

Stracharz zasnął przy ogniu, a my z Alice wyszliśmy na dwór i usiedliśmy na schodkach, patrząc w gwiazdy. Dłuższą chwilę milczeliśmy. W końcu to ja zakłóciłem ciszę.

– Dziś są moje urodziny – poinformowałem Alice. – Mam już czternaście lat...

– Wkrótce staniesz się mężczyzną. – Uśmiechnęła się do mnie drwiąco. – Chociaż trochę cherlawym. Musisz zacząć porządnie się odżywiać. Potrzebujesz czegoś więcej niż kilka kawałków śmierdzącego, starego sera.

Odpowiedziałem jej uśmiechem. I nagle przypomniałem sobie, co powiedział mi Tibb po tym, jak krew ojca Stocksa pociekła z jego ust na moja koszulę.

„Widzę dziewczynę, która wkrótce stanie się kobietą. Dziewczynę, z którą dzielił będziesz życie. Będzie cię kochać, zdradzi cię i w końcu umrze dla ciebie.”

Czy miał na myśli Mab? Wstrząsnęła mną, mówiąc, że mnie kocha. Zdradziłem ją, ale ona także mnie zdradziła, przywołując Złego, który miał się ze mną rozprawić. A może chodziło mu o Alice? Jeśli tak, proroctwo było straszne. Czy mogło się spełnić? Wolałem o tym nie myśleć i, z pewnością, nie zamierzałem mówić o nim Alice, która wierzyła, że przyszłość można przepowiedzieć. Lepiej milczeć. To by ją tylko zasmuciło. Ale istniało coś jeszcze, co budziło we mnie niepokój. Z początku zamierzałem o tym nie wspominać, ale pytania brzęczały mi w głowie, aż w końcu musiałem wypowiedzieć je głośno.

– Kiedy byłem z Mab i jej siostrami, stało się coś, co przypomniało mi pewną rzecz, którą kiedyś zrobiłaś. Mab uważała, że w pewien sposób może mną zawładnąć – sprawić, bym należał do niej. Ale kiedy spróbowała, poczułem ból w lewym przedramieniu, w miejscu, gdzie kiedyś wbiłaś mi w ciało paznokcie. Mówiłaś, że zostawiłaś na mnie swoje piętno. To mnie niepokoi, Alice. Piętnuje się bydło i owce na znak własności. Czy tak ze mną postąpiłaś? Czy za pomocą czarnej magii w jakiś sposób mnie kontrolujesz?

Alice długą chwilę milczała, a gdy w końcu odezwała się, sama zadała pytanie:

– Tuż przed tym, nim poczułeś ból, co takiego robiła Mab?

- Całowała mnie...
- Dlaczego jej na to pozwoliłeś? – spytała ostro Alice.
- Nie miałem zbytniego wyboru – odparłem. – Laska wypadła mi z dłoni i nie mogłem się ruszyć.
- Dobrze zatem, że zostawiłam na tobie swoje piętno. W przeciwnym razie należałbyś do niej, całkowicie. Bez mrugnięcia okiem oddałbyś jej klucze.
- Czyli nie mogła mną zawładnąć, bo ty zrobiłaś to wcześniej? Alice przytaknęła.
- Nie jest to takie złe, jak pewnie sądzisz. Powinieneś być wdzięczny. To, co zrobiłam, oznacza, że już żadna czarownica nie będzie mogła nad tobą zapanować. Widzisz, to mój znak. Moje piętno. Odstrasza je. Poza tym jednak niewiele znaczy. Nic, jeśli tego nie chcesz. Nie musisz siedzieć obok mnie. Odsuń się, jeśli wolisz. Chcesz odejść?
- Pokręciłem głową.
- Lubię siedzieć obok ciebie.
- A ja lubię siedzieć obok ciebie. Obojgu jest nam miło. Co w tym złego?
- Nic. Ale nie wspominaj o tym stracharzowi, bo znów cię odprawi.
- Jakiś czas nie odzywaliśmy się. Alice jednak sięgnęła ku mnie i ujęła moją dłoń. Jej prawa ręka ścisnęła moją. Nie mogłem uwierzyć, jak przyjemnie jest siedzieć tak i trzymać ją za rękę. Było jeszcze lepiej, niż kiedy szliśmy do jej ciotki w Staumin.
- Czego używasz? – spytałem. – Fascynacji czy uroku?
- Obu – uśmiechnęła się psotliwie.

\*

I znów zapisałem to wszystko w pamięci, tylko w razie konieczności sięgając do pamiętnika.

Wróciliśmy z Alice i stracharzem do Chipenden i nadeszła kolejna jesień. Liście zaczynają spadać. Noce stają się coraz dłuższe.

Na farmie idzie dobrze. Jack zaczął mówić, i choć nie doszedł



jeszcze całkiem do siebie, jego stan wciąż się poprawia, tak więc spodziewamy się, że w pełni wyzdrowieje. James dotrzymał obietnicy i także zamieszkał na farmie. Zbudował sobie kuźnię obok nowej stodoły, zaczyna mieć coraz więcej pracy i co więcej, naprawdę zamierza warzyć i sprzedawać piwo. Farma znów zasłuży sobie na swoją nazwę.

Wiem jednak, że Ellie nie jest do końca szczęśliwa. Boi się, że czarownice znów mogą im złożyć wizytę. Ale czuje się lepiej, mając przy sobie Jacka i jego brata.

Przybycie Złego oznacza, że wszystko się zmieniło i stało bardziej niebezpieczne. Raz czy dwa, gdy o tym rozmawialiśmy, zdawało mi się, że na twarzy stracharza dostrzegam cień strachu. Z pewnością robi się mroczniej.

Wieści z południa nie są zbyt dobre. Wygląda na to, że nie wiedzie się nam na wojnie i potrzeba nowych rekrutów, by zastąpili poległych w bitwie. Po Hrabstwie krąży banda werbowników, zmuszających chłopaków wbrew ich woli do wstąpienia do wojska. Stracharz martwi się, że mnie także mogłoby to spotkać. Mówi, że zazwyczaj posyła każdego ucznia do pracy z innym stracharzem. Trwa to jakieś pół roku. W tym czasie mogą oglądać sposób działania innego mistrza i zyskać cenne doświadczenie. Toteż na pierwszy znak kłopotów, zamierza umieścić mnie u Arkwrighta, który pracuje za Caster. Nie uważa, by werbownicy zapuścili się tak daleko na północ.

Kłopot w tym, że Alice nie będzie mogła pójść ze mną. Ale zrobię to, co mi każe mój mistrz. On jest stracharzem, ja jedynie uczniem. I zawsze ma rację w tym, co robi.

Thomas J. Ward

## **TOM 5**

### **Pomyłka Stracharza**

## **The Spook's Mistake**

# ROZDZIAŁ 1

## KRÓLEWSKI SZYLING

Z laską w dłoni poszedłem do kuchni i zabrałem pusty worek. Do zmierzchu została ledwie godzina, ale wciąż miałem dość czasu, by zejść do wsi i odebrać cotygodniowe zakupy. W domu znalazłem tylko kilka jajek i mały kawałek sera z Hrabstwa.

Dwa dni wcześniej stracharz wyruszył na południe, by rozprawić się z boginem. Z irytacją pomyślałem, że już drugi raz w tym miesiącu mój mistrz udał się do pracy beze mnie. Za każdym razem powtarzał, że to rutynowa sprawa, nic, czego nie oglądałem wcześniej podczas terminu; lepiej, bym został w domu, ćwiczył łacinę i nadganiał naukę. Nie protestowałem, ale nie byłem zadowolony. Bo widzicie, podejrzewałem, że miał też inny powód – próbował mnie chronić.

Pod koniec lata czarownice z Pendle wezwały na świat Złego, ucieleśnienie mroku, Diabła we własnej osobie. Przez dwa dni podlegał ich władzy, a one rozkazały, by mnie zniszczył. Schroniłem się w specjalnym pokoju, który wyszykowała mi mama, i tym sposobem ocalałem. Obecnie Zły zajmował się własnymi mrocznymi sprawami, ale nie miałem pewności, czy znów nie zacznie mnie ścigać. Najczęściej wolałem o tym nie myśleć. Jedno było pewne: od chwili przybycia Złego Hrabstwo stawało się coraz bardziej niebezpieczne; zwłaszcza dla tych, którzy walczyli z mrokiem. Ale nie oznaczało to, że zawsze będę mógł się ukrywać przed zagrożeniem. Teraz byłem jedynie uczniem, lecz pewnego dnia zostanę stracharzem i będę musiał ryzykować tak samo jak mój mistrz, John Gregory. Żałowałem tylko, że on widzi to inaczej.

Przeszedłem do pokoju, w którym Alice pracowała ciężko, przepisując książkę z biblioteki stracharza. Pochodziła z rodu

czarownic z Pendle, przez dwa lata pobierała nauki czarnej magii od swej ciotki, Kościstej Lizzie, bezecnej wiedźmy, obecnie bezpiecznie uwięzionej w jamie w ogrodzie stracharza. Alice sprawiła mi sporo kłopotów, ale w końcu została moją przyjaciółką. Teraz mieszkała z mistrzem i ze mną, zarabiając na utrzymanie kopiowaniem ksiąg.

W obawie, że mogłaby przeczytać coś, czego nie powinna, stracharz nie dopuszczał jej do swej biblioteki i przekazywał tylko po jednej książce naraz. Nie znaczy to, że nie doceniał jej zdolności skryby. Bardzo cenił sobie książki, skarbnice wiedzy zgromadzonej przez pokolenia stracharzy – i każda kolejna dokładna kopia sprawiała, że czuł się nieco pewniej w kwestii przetrwania owej wiedzy.

Alice siedziała za stołem z piórem w dłoni, mając przed sobą dwa otwarte tomy. W jednym pisała starannie, przepisując z drugiego. Spojrzała na mnie z uśmiechem: nigdy jeszcze nie wyglądała ładniej, płomień świecy rzucał blask na jej gęste ciemne włosy i mocno zarysowane kości policzkowe. Kiedy jednak zauważyła, że mam na sobie płaszcz, uśmiech natychmiast zniknął z jej twarzy. Odłożyła pióro.

– Idę do wioski odebrać zakupy – oznajmiłem.

– Nie ma potrzeby, żebyś to robił, Tom! – zaprotestowała. Na jej twarzy i w głosie odbiła się wyraźna troska. – Ja pójdę, ty zostań w domu i się poucz.

Chciała dobrze, lecz jej słowa rozzłościły mnie i musiałem ugryźć się w język, by nie powiedzieć czegoś niemiłego. Była taka sama jak stracharz – nadopiekuńcza.

– Nie, Alice – oznajmiłem stanowczo. – Od tygodni siedzę w tym domu i muszę się przejść, żeby przewietrzyć myśli. Wrócę przed zmierzchem.

– W takim razie pozwól mi iść z tobą, Tom. W końcu mnie też przydałaby się przerwa, mam potąd oglądania starych, zakurzonych ksiąg. Ostatnio nie robię nic innego, tylko piszę i piszę!

Zmarszczyłem brwi. Nie mówiła szczerze i to mnie rozzłościło.

– Tak naprawdę wcale nie chcesz iść do wioski, prawda? Wieczór jest zimny, mokry i paskudny. Jesteś taka sama jak stracharz. Uważasz, że sam nie będę bezpieczny, że nie poradzę sobie...

– Nie chodzi o to, że sobie nie poradzisz, Tom, tylko o to, że teraz po świecie krąży Zły, pamiętasz?

– Jeśli Zły po mnie przyjdzie, niewiele zdołam zdziałać i twoja obecność niczego nie zmieni. Nawet stracharz nie zdołałby mi pomóc.

– Ale nie chodzi tylko o Złego, prawda, Tom? Hrabstwo jest teraz o wiele bardziej niebezpieczne. Nie tylko mrok rośnie w siłę, ale po drogach krążą bandyci i dezercerzy. Zbyt wielu ludzi głoduje. Niektórzy poderznąliby ci gardło za połowę tego, co przyniesiesz w torbie!

Cały kraj ogarnęła wojna i na południu szło nam bardzo źle. Do naszych uszu docierały relacje o straszliwych bitwach i klęskach. Oprócz zatem dziesięciny, którą farmerzy musieli płacić kościołowi, połowę pozostałych zbiorów skonfiskowano, by wyżywić wojsko. To zmniejszyło zapasy i wywindowało ceny; najbiedniejsi od dawna głodowali. Choć jednak słowa Alice zawierały w sobie wiele prawdy, nie zamierzałem ulec.

– Nie, Alice, świetnie sobie poradzę. Nie martw się, niedługo wrócę!

Nim zdołała powiedzieć coś jeszcze, odwróciłem się na pięcie i ruszyłem naprzód szybkim krokiem. Wkrótce zostawiłem za sobą ogród i maszerowałem wąską dróżką, wiodącą na dół do wsi. Powoli zapadała noc, a jesień przyniosła ze sobą chłód i wilgoć. Dobrze było jednak wydostać się poza granice domu i ogrodu. Wkrótce ujrzałem znajome szare dachy Chipenden, a pod stopami poczułem bruk opadającej stromo głównej ulicy.

W wiosce panował znacznie większy spokój niż latem, gdy wszystko zaczęło się psuć. Wówczas roilo się tu od kobiet uginających się pod ciężarem wypełnionych po brzegi koszyków z

zakupami; teraz widziałem nielicznych ludzi, a kiedy wszedłem do rzeźnika, odkryłem, że jestem jedynym klientem.

– Poproszę o zamówienie pana Gregory'ego, jak zwykle – rzekłem.

Rzeźnik, rosły mężczyzna o czerwonej twarzy i rudej brodzie, kiedyś był duszą sklepu, opowiadał dowcipy i zabawiał kupujących. Teraz twarz mu spoważniała, a radość życia jakby z niego uszła.

– Przykro mi, chłopcze, ale nie mam dziś dla ciebie zbyt wiele. Zdołałem odłożyć tylko dwa kurczaki i parę plasterów boczku, a i tak trudno było przechować je dla was pod ladą. Lepiej, byś zajrzał jutro, byle przed południem.

Przytaknąłem, schowałem mięso do worka, poprosiłem, by zapisał na nasz rachunek, a potem podziękowałem i ruszyłem do kramu z warzywami. Tam poszło mi niewiele lepiej. Dostałem kartofle i marchew, ale stanowczo zbyt mało, byśmy przetrwali tydzień. Jeśli chodzi o owoce, kupiec znalazł zaledwie trzy jabłka. Poradził mi to samo co rzeźnik – abym spróbował ponownie jutro, może wówczas dopisze mi szczęście i zdobędę więcej produktów.

W piekarni zdołałem kupić parę bochnów chleba, po czym wyszedłem z workiem na ramieniu. Wtedy zobaczyłem, że ktoś obserwuje mnie z drugiej strony ulicy. Był to chudy dzieciak, chłopiec najwyżej czteroletni, o sterczących kościach i wielkich głodnych oczach. Pożałowałem go, toteż podszedłem, pogrzebałem w worku i dałem mu jabłko. Omal nie wyrwał mi go z dłoni, po czym bez słowa podziękowania odwrócił się i pobiegł do domu.

Wzruszyłem ramionami, uśmiechając się do siebie. Potrzebował jabłka bardziej niż ja. Ruszyłem z powrotem na wzgórze, tęskniąc za ciepłem i wygodą domu stracharza. Gdy jednak dotarłem do granicy wioski i bruk ustąpił miejsca błotowi, mój nastrój zaczął się psuć. Coś było nie tak. Czuję to, ale nie był to przejmujący chłód, który zazwyczaj ostrzegał mnie przed nadejściem czegoś z mroku. Odczuwałem wyraźny niepokój. Instykt ostrzegał mnie przed niebezpieczeństwem.

Cały czas oglądałem się za siebie, wyczuwając, że ktoś podąża

za mną. Czy to mógł być Zły? Czyżby Alice i stracharz mieli jednak rację? Przyspieszyłem kroku, tak że niemal biegłem. Nad moją głową pędziły czarne chmury; do zachodu słońca pozostało niecałe pół godziny.

Otrząśnij się, upomniałem się w duchu, to tylko wyobraźnia.

Jeszcze krótki spacer i znajdę się na skraju zachodniego ogrodu, a stamtąd po pięciu minutach dotrę do bezpiecznego schronienia – domu mego mistrza. Nagle jednak zatrzymałem się. Na końcu ścieżki, pośród cieni pod drzewami, ktoś na mnie czekał.

Przeszedłem jeszcze kilka wolnych kroków i uświadomiłem sobie, że to nie jeden człowiek – czterech wysokich i silnych mężczyzn oraz chłopak patrzyło w moją stronę. Czego chcieli? Nagle wyczułem niebezpieczeństwo. Czemu nieznajomi kręcili się tak blisko domu stracharza? Czy to bandyci? Kiedy jednak się zbliżyłem, poczułem się pewniej: zamiast wejść na ścieżkę, by mi przeszkodzić, pozostali pod osłoną nagich drzew. Zastanawiałem się, czy ich nie pozdrowić, ale potem uznałem, że lepiej iść szybko dalej, nie dając po sobie znać, że ich widzę. Gdy minąłem mężczyzn, odetchnąłem z ulgą, potem jednak usłyszałem jakiś dźwięk na ścieżce za sobą. Zabrział jak brzęk monety padającej na kamień.

Może miałem dziurę w kieszeni, zgubiłem kilka drobniaków? Jednak gdy tylko się odwróciłem i spojrzałem-za siebie, spośród drzew wyłonił się mężczyzna, ukląkł na ścieżce, podniósł coś i spojrzał na mnie z przyjaznym uśmiechem.

– To twoje, chłopcze? – spytał, unosząc ku mnie monetę.

Po prawdzie, nie byłem pewien, ale z całą pewnością słyszałem dźwięk, który brzmiał, jakbym coś upuścił.

Odłożyłem zatem worek i kij i sięgnąłem lewą ręką do kieszeni portek, zamierzając przeliczyć pieniądze. Nagle jednak poczułem, że ktoś wciska mi w rękę monetę. Spojrzałem i ze zdumieniem ujrzałem w swej dłoni srebrnego szylinga. Wiedziałem, że nie miałem takiego, toteż pokręciłem głową.

– Nie jest mój – rzekłem z uśmiechem.

– Teraz już jest, chłopcze. Właśnie przyjąłeś go ode mnie. Czy nie tak, chłopcy?

Jego towarzysze wyłonili się spod drzew i serce uciekło mi w pięty. Wszyscy mieli na sobie mundury, na ramionach dźwigali torby. Byli też uzbrojeni – nawet chłopak. Trzech z nich dzierżyło w rękach solidne pałki, a jeden, z naszywkami kaprała, nosił nóż.

Przerażony, obejrzałem się na tego, który wręczył mi monetę. Wstał już, toteż widziałem go lepiej. Twarz miał ogorzałą i pomarszczoną, o wąskich, okrutnych oczach. Na czole i prawym policzku ujrzałem blizny – najwyraźniej wiele przeżył. Na lewym rękawie miał naszyte paski sierżanta, u pasa wisiała mu szabla. Miałem do czynienia z werbownikami. Na wojnie nie wiodło nam się najlepiej i bandy werbowników krążyły po Hrabstwie, siłą zmuszając mężczyzn i chłopaków do zaciągnięcia się do wojska. Mieli zastąpić poległych w boju.

– Właśnie przyjąłeś królewskiego szylinga! – oznajmił mężczyzna i zaśmiał się szyderczo, nieprzyjemnie.

– Wcale go nie przyjąłem! – zaprotestowałem. – Powiedziałeś, że jest mój i sprawdzałem, czy to prawda.

– Nie ma się co tłumaczyć. Wszyscy widzieliśmy, co się stało, prawda chłopcy?

– Bez dwóch zdań – zgodził się kaprał.

Utworzyli wokół mnie krąg, odcinając drogę ucieczki.

– Czemu chłopak jest ubrany jak ksiądz? – spytał najmłodszy, najwyżej rok starszy ode mnie.

Sierżant ryknął śmiechem i uniósł moją laskę.

– To nie ksiądz, Toddy. Nie potrafisz poznać ucznia stracharza? Przyjmują od ludzi ciężko zarobione pieniądze, by strzec ich przed tak zwanymi wiedźmami. Tym się właśnie zajmują. I znajdują dość głupców skłonnych im zapłacić!

Cisnął mój kij Toddy'emu.

– Weź to, młody – polecił. – Jemu nie będzie już potrzebny, a dobrze się nada na rozpałkę. – Następnie podniósł worek i zajrzał do środka. – Dość strawy, by napełnić dziś nasze brzuchy, chłopcy!



– wykrzyknął, a twarz mu pojaśniała. – Widzicie? Warto wierzyć sprytnemu sierżantowi. No co, nie miałem racji? Mówiłem, byśmy złapali go w drodze powrotnej na wzgórze, a nie gdy będzie szedł na dół! Warto było zaczekać!

W tym momencie, otoczony, nie dostrzegałem szansy na ucieczkę. Wiedziałem, że udawało mi się wyrwać z gorszych tarapatów – kilka razy nawet ze szponów wrogów uprawiających czarną magię. Postanowiłem zaczekać na jakąś sposobność. Czekałem cierpliwie, tymczasem kapral wyjął z torby kawał sznura i związał mi ciasno ręce za plecami. Potem obrócił mnie na zachód i pchnął ostro w plecy, poganiając. Zaczęliśmy szybko maszerować, Toddy dźwigał worek z zapasami.

Szliśmy niemal godzinę, najpierw na zachód, potem na północ. Domyślałem się, że nie znali krótszej drogi przez wzgórza, a ja nie zamierzałem im jej pokazywać. Bez wątpienia zmierzali do Sunderland Point – tam wsadzą mnie prawie na statek, płynący na południe, gdzie ścierają się armie. Im dłużej potrwa podróż, tym większą będę miał szansę ucieczki.

A przecież musiałem uciec. Inaczej moje dni nauki u stracharza dobiegłyby końca.

## **ROZDZIAŁ 2**

### **PRAWDZIWY OBRAZ RZECZY**

Kiedy zrobiło się tak ciemno, że przestaliśmy widzieć drogę, zatrzymaliśmy się na polanie pośrodku lasu. Byłem gotów przy pierwszej sposobności rzucić się do ucieczki, lecz żołnierze zmusili mnie, bym usiadł, i wyznaczili jednego do pilnowania. Reszta zbierała drwa na ognisko. W zwykłych okolicznościach liczyłbym na to, że zjawi się stracharz i spróbuje mnie uratować. Nawet w ciemności potrafił świetnie odnajdywać trop i z pewnością zdołałby odszukać tych ludzi. Nim jednak wróci po rozprawie z boginem,

mnie wsadzą już na statek i znajdę się poza jego zasięgiem. Jedyłą nadzieję pokładałem w Alice. Spodziewała się mego powrotu i po zmroku z pewnością zacznie się niepokoić. Ona także umiała mnie znaleźć – byłem tego pewien. Ale jak miałyby sobie poradzić z pięcioma zbrojnymi?

Wkrótce zapłonął ogień, żołnierze rzucili w płomienie także moją laskę. Dostałem ją kiedyś od mistrza, była moją pierwszą bronią i jej utrata zraniła mnie boleśnie. Zwłaszcza że wyglądało na to, że wraz z nią zniknie także szansa dokończenia terminu u stracharza.

Żołnierze zaczerpnęli hojnie z mojego worka i wkrótce oba kurczaki piekły się już na rożnie. Mężczyźni zaś odkrawali pajdy chleba i przypiekali nad ogniskiem. Kiedy posiłek był gotowy, ku memu zdumieniu, rozwiązali mnie i dali więcej, niż mogłem zjeść. Lecz nie kierowała nimi dobroć.

– No jedz, chłopcze – rozkazał sierżant. – Chcemy, żebyś był silny i sprawny, kiedy cię oddamy. Przez ostatnie dwa tygodnie złapaliśmy dziewięciu, ty jesteś dziesiąty. I prawdziwy z ciebie skarb. Silny, młody, zdrowy, nieźle nam za siebie zapłacą!

– Nie wygląda zbyt wesoło – zadrwił kapral. – Nie rozumie, że to najlepsze, co mogło go spotkać? Dzięki temu staniesz się mężczyzną, chłopcze.

– Nie patrz tak ponuro! – szydził sierżant, popisując się przed swoimi ludźmi. – Może nie poślą cię do walki. Marynarzy też nam brakuje! Umiesz pływać?

Pokręciłem głową.

– To nie przeszkoda, by zostać majtkiem. Po odbiciu od brzegu i tak nikt nie przeżywa zbyt długo. Zamarza na śmierć albo rekiny odgryzają mu nogi!

Gdy opróżniliśmy talerze, znów związali mi ręce. Podczas gdy rozmawiali, położyłem się na plecach i zamknąłem oczy, udając, że śpię, i słuchając ich rozmów. Najwyraźniej mieli dosyć werbowania dla wojska. Zastanawiali się nad dezercją.

– Ten będzie ostatni – wymamrotał sierżant. – Odbierzemy

zapłatę, a potem znikniemy na północy Hrabstwa i poszukamy sobie bogatszych łupów. Musi istnieć jakaś lepsza robota!

To się nazywa szczęście, pomyślałem. Jeszcze jeden i odejdą. Byłem ostatnim chłopakiem, którego zamierzali siłą wcielić do wojska.

– Sam nie wiem, czy to dobry pomysł – odezwał się żaloszny głos. – Nigdzie nie ma pracy. Dlatego właśnie mój tatko posłał mnie na wojaczkę.

To był chłopak, Toddy. Na chwilę przy ognisku zapadła krępująca cisza. Wyczuwałem, że sierżant nie lubi, gdy mu się zaprzecza.

– Cóż, Toddy – rzekł, a w jego głosie dźwięczała gniewna nuta. – To zależy, kto szuka pracy, chłopak czy mężczyzna. I zależy od tego, o jakiej pracy mowa. Ale wiem o jednej wolnej posiadzie. Tutejszy stracharz będzie szukał nowego ucznia. Nadajesz się idealnie.

Toddy pokręcił głową.

– Nie spodobałoby mi się to zajęcie. Boję się czarownic...

– To tylko bajdy. Czarownice nie istnieją. No, dalej, Toddy, powiedz mi! Widziałeś kiedy czarownicę?

– Kiedyś taka stara mieszkała w naszej wiosce – odrzekł Toddy.

– Miała czarną kotkę i ciągle mamrotała coś pod nosem. A na brodzie miała brodawkę!

– Kotka czy czarownica? – zadrwił sierżant.

– Czarownica.

– Czarownica z brodawką na brodzie! No popatrz, wszyscy trzęsiemy się ze strachu, chłopcze – zarechotał sarkastycznie sierżant. – Musimy cię posłać do terminu do stracharza. A kiedy już skończysz, będziesz mógł wrócić i się z nią rozprawić.

– Nie – mruknął Toddy. – Nie będę. Ona już nie żyje. Przywiązali jej ręce do stóp i wrzucili do stawu, żeby sprawdzić, czy będzie pływać...

Jego towarzysze ryknęli śmiechem, ja jednak nie widziałem w tym nic zabawnego. Niewątpliwie chodziło o, jak to nazywał

stracharz, „fałszywie pomówioną” – biedną staruszkę, która nie zasłużyła sobie na taki los. Te, które tonęły, uznawano za niewinne, często jednak umierały z wstrząsu bądź na zapalenie płuc, jeśli wcześniej się nie utopiły.

– I co, Toddy? Pływała? – dopytywał się sierżant.

– Owszem, ale twarzą do dołu. Wyłowili ją, żeby ją spalić, lecz już nie żyła. Więc zamiast tego spalili jej kotkę.

Odpowiedział mu kolejny wybuch okrutnego śmiechu, jeszcze głośniejszy niż poprzedni. Wkrótce jednak rozmowa zaczęła cichnąć, w końcu wszyscy umilkli. Chyba przysnąłem, bo nagle uświadomiłem sobie, że zrobiło się niezwykle zimno. Zaledwie godzinę wcześniej pośród drzew hulał chłodny, wilgotny, jesienny wiatr, przyginający młode drzewka i poruszający starszymi gałęziami, które skrzypiały i jęczały; teraz wszystko znieruchomiało, a ziemię pokrywała warstewka szronu, migocząca w promieniach księżyca.

Ogień niemal zupełnie zgasł, pozostało tylko kilka żarzących się drew. Na stosie z boku leżało mnóstwo chrustu, lecz mimo chłodu, nikt nie próbował podsycić ogniska. Cała piątka żołnierzy wpatrywała się jedynie w stygnące popioły, jak pogrążona w transie.

Nagle wyczułem, że coś zbliża się do polany. Żołnierze też to zauważyli. Jednocześnie zerwali się z miejsc i spojrzeli w ciemność. Spomiędzy drzew wyłoniła się mroczna postać, zmierzająca ku nam tak cicho, że zdawała się szybować, miast stąpać po ziemi. Gdy się zbliżyła, poczułem strach, podchodzący do gardła niczym żółć. Wstałem nerwowo.

Moje ciało już wcześniej zziębło, ale istnieje wiele różnych odmian zimna. Jestem siódmym synem siódmego syna, czasami widuję, słyszę bądź wyczuwam rzeczy, których nie dostrzegają zwykli ludzie. Widzę duchy i zjawy, słyszę umarłych; wyczuwam szczególnie chłód, kiedy zbliża się coś z mroku. Teraz właśnie ogarnęło mnie to uczucie, silniejsze niż kiedykolwiek przedtem. Poczułem przejmujący strach, tak mocny, że zacząłem dygotać od

stóp do głów. Czy to Zły w końcu po mnie przyszedł?

Coś w wyglądzie głowy zbliżającej się postaci głęboko mną wstrząsnęło. Nie było wiatru, a jednak jej włosy zdawały się poruszać, zwijać w niesamowity sposób. Czyżby faktycznie zbliżał się do nas Zły?

Postać podeszła blisko, nagle stanęła na polanie i po raz pierwszy padły na nią promienie księżyca...

Nie był to jednak Zły. Widziałem przed sobą potężną bezecną wiedźmę. Oczy płonęły jej jak węgle w palenisku, twarz wykrzywił grymas złości i nienawiści. Lecz to głowa przeraziła mnie najbardziej. Zamiast włosów wiedźma miała gniazdo czarnych węży, zwijających się i splatających, poruszających rozwidlonymi językami, odsłaniających kły, gotowe do wstrzyknięcia jadu.

Nagle z prawej usłyszałem jęk zwierzęcej grozy. To był sierżant. Jego twarz wykrzywił przeraźliwy strach. Wybałuszył oczy, otwierając usta jak do krzyku. Ale zamiast tego wydał z siebie kolejny jęk, dobiegający głęboko z trzewi i rzucił się między drzewa, pędząc co sił w nogach na północ. Pozostali poszli w jego ślady, ostatni biegł Toddy. Wciąż ich słyszałem – gorączkowy tupot stóp oddalał się, aż w końcu zupełnie ucichł.

Pozostałem sam na sam z wiedźmą. Nie miałem przy sobie żelaza, soli ani laski, a w dodatku sznur nadal krępował mi ręce za plecami. Odetchnąłem jednak głęboko, próbując opanować strach. To pierwszy krok, gdy ma się do czynienia z mrokiem.

Nagle czarownica poruszyła się i jej oczy przestały płonąć. Spowijający mnie chłód osłabł. Węże przestały się wić i zamieniły w gęste czarne włosy. Twarz wygładziła się, ujrzałem oblicze wyjątkowo ładnej dziewczyny. Zerknąłem na jakże znajome szpiczaste trzewiki. To była Alice, uśmiechała się do mnie.

Nie odpowiedziałem uśmiechem. Mogłem jedynie gapić się na nią, przerażony.

– Rozchmurz się, Tom! – rzuciła Alice. – Tak ich wystraszyłam, że nie pójda za nami. Jesteś już bezpieczny. Nie masz się czym

martwić.

– Co ty zrobiłaś, Alice? – spytałem, kręcąc głową. – Wyglądałaś jak bezecna wiedźma. Musiałaś się posłużyć czarną magią!

– Nie zrobiłam nic złego, Tom – wyciągnęła ręce, by mnie rozwiązać. – Tamci się przestraszyli i ich strach ogarnął też ciebie, to wszystko. To przez światło i tyle...

Wstrząśnięty, cofnąłem się.

– Światło księżyca ukazuje prawdziwe oblicze rzeczy, dobrze o tym wiesz, Alice. Sama mi o tym powiedziałaś podczas naszego pierwszego spotkania. Co zatem przed chwilą ujrzałem? Czym jesteś w istocie? Czy widziałem prawdę?

– Nie, Tom. Nie bądź niemądry. To tylko ja, Alice. Jesteśmy przecież przyjaciółmi. Znasz mnie chyba dość dobrze, czyż nie? Kilka razy ocaliłam ci życie. Uratowałam przed mrokiem, o tak. To niesprawiedliwe, że mnie oskarżasz. Zwłaszcza że dopiero co znów cię uratowałam. Gdzie byś teraz był beze mnie? Powiem ci, gdzie – w drodze na wojnę. I może nigdy byś z niej nie wrócił.

– Gdyby stracharz cię zobaczył... – pokręciłem głową.

Z pewnością oznaczałoby to koniec Alice. Koniec jej życia z nami. Mój mistrz mógłby nawet uwięzić ją w jamie do kresu jej dni. Ostatecznie to właśnie robił z czarownicami, stosującymi magię mroku.

– No, dalej, Tom. Chodźmy stąd, wracajmy do Chipenden. Zaczynam czuć ten ziąb w kościach.

To rzekłszy, przecięła mi więzy i pomaszerowaliśmy prosto do domu stracharza. Niosłem w ręce worek z resztką zapasów. Po drodze nie rozmawialiśmy. Nie ucieszyło mnie to, co zobaczyłem.

\*

Następnego ranka, gdy zajadaliśmy śniadanie, wciąż martwiłem się postępkami Alice.

Oswojony bogin stracharza przyrządzał nasze posiłki; zazwyczaj pozostawał niewidzialny, lecz od czasu do czasu przybierał postać rudego kota. Tego ranka przygotował moje ulubione jajka na bekonie – było to jednak jedno z najgorszych

śniadań, jakie u niego jadłem. Boczek spalił się na węgiel, jajka pływały w tłuszczu. Czasami bogin gotował źle, jeśli coś go zdenerwowało; często wiedział o rzeczach, o których się nie mówiło. Zastanawiałem się, czy niepokoi go to samo co mnie: Alice.

– Zeszłej nocy, kiedy wyszłaś na polanę, przeraziłaś mnie, Alice. I to bardzo. Myślałem, że mam do czynienia z bezecną wiedźmą – z rodzaju, z którym nigdy wcześniej się nie zetknąłem. Bo tak dokładnie wyglądałaś. Zamiast włosów miałaś na głowie węże, a twoją twarz przepełniała nienawiść.

– Przestań marudzić, Tom. To niesprawiedliwe. Daj mi spokojnie zjeść śniadanie!

– Marudzić? Potrzebujesz marudzenia! Co takiego zrobiłaś? No, dalej, powiedz mi!

– Nic. Nic nie zrobiłam! Daj mi spokój, proszę, Tom. To boli, kiedy tak mnie dręczysz.

– Mnie boli, kiedy kłamiesz, Alice. Zrobiłaś coś i chcę dokładnie wiedzieć co – zawiesiłem głos, kipiąc gniewem i słowa wymknęły mi się z ust, nim zdążyłem je powstrzymać. – Jeśli nie powiesz mi prawdy, Alice, nigdy więcej ci nie zaufam.

– No dobrze, dobrze, powiem ci prawdę! – zawołała Alice, a w jej oczach zalśniły łzy. – Co innego mogłam zrobić, Tom? Gdzie byłbyś teraz, gdybym się nie zjawiła i cię nie uwolniła? To nie moja wina, że cię wystraszyłam. Chodziło mi o nich, nie o ciebie.

– Czym się posłużyłaś, Alice? Czy to była czarna magia? Coś, czego nauczyła cię Koścista Lizzie?

– Nic szczególnego. Podobne do Uroku, to wszystko. Nazywa się to Grozą. Przeraza ludzi, o tak, i sprawia, że uciekają w panice. Większość czarownic się nią posługuje. I zadziałało, Tom. Co w tym złego? Jesteś wolny i nikomu nie stała się krzywda.

Urok to czar, za pomocą którego czarownica sprawia, że wygląda młodziej i piękniej niż w istocie, tworząc aurę pozwalającą jej podporządkować mężczyzn swojej woli. To czarna magia: wiedźma Wurmalde posłużyła się nią, próbując zjednoczyć klany z Pendle tego lata. Teraz nie żyła, lecz mężczyźni, którzy poddali się

Urokowi i zbyt późno zrozumieli, jakie stanowi zagrożenie, także zginęli. Jeśli Groza była inną wersją tej samej mrocznej magii, martwiło mnie, że Alice się nią posłużyła. Bardzo martwiło.

– Gdyby stracharz się dowiedział, odprawiłby cię, Alice – ostrzegłem. – Nigdy by nie zrozumiał. Według niego nic nie usprawiedliwia korzystania z mocy mroku.

– W takim razie mu nie mów, Tom. Nie chcesz chyba, żeby mnie odesłał, prawda?

– Oczywiście, że nie. Ale nie lubię kłamać.

– Więc powiedz po prostu, że narobiłam hałasu. Że w zamęcie zdołałam cię uwolnić. W końcu to niemal prawda.

Przytaknąłem, ale nie byłem uszczęśliwiony.

\*

Stracharz wrócił tego wieczoru i mimo wyrzutów sumienia, że zatajam prawdę, powtórzyłem mu wymyśloną przez Alice historyjkę.

– Narobiłam hałasu z bezpiecznej odległości – dodała Alice. – Ścigali mnie, ale wkrótce zgubiłam ich w ciemności.

– Nie zostawili nikogo na straży chłopca? – zdziwił się mój mistrz.

– Związali Tomowi ręce i nogi, żeby nie mógł uciec. Zatoczyłam koło, wróciłam i go uwolniłam.

– A dokąd poszli potem? – Zatroškany podrapał się po brodzie. – Na pewno nie ruszyli za wami?

– Mówili, że wybierają się na północ – poinformowałem. – Chyba znudził im się werbunek i zamierzali zdezerterować.

Stracharz westchnął.

– To całkiem możliwe, chłopcze. Ale nie możemy sobie pozwolić na ryzyko, że znów zaczną cię szukać. Po co w ogóle sam poszedłeś do wsi? Nie masz w głowie ani krzty rozumu.

Twarz zarumieniła mi się z gniewu.

– Miałem dosyć ciągłego niańczenia. Sam potrafię o siebie zadbać.

– Czyżby? Nie stawiałeś chyba zbytniego oporu tym żołnierzom



– odparował mój mistrz gniewnie. – Nie, czas już, żebym odesłał cię na pół roku do Billa Arkwrighta. Poza tym stare kości zanadto mnie boją, by móc jak należy nauczyć cię walki. Bill, choć surowy, wytrenował mi niejednego ucznia. Tego właśnie potrzebujesz! A w razie gdyby werbownicy znów się zjawili, lepiej, żeby cię tu nie zastali.

– Ale przecież nie przeszliby obok bogina, prawda? – zaprotestowałem.

Oprócz zajmowania się kuchnią, bogin strzegł także ogrodów przed mrokiem i intruzami.

– Owszem, ale nie możesz wiecznie tkwić tu pod ochroną, chłopcze – powiedział stanowczo stracharz. – Nie, najlepiej będzie, jeśli cię odeślę.

Jęknąłem w duchu, ale nie odpowiedziałem. Mój mistrz od tygodni wspominał o wyprawieniu mnie do Arkwrighta, stracharza zajmującego się częścią Hrabstwa na północ od Caster. Zazwyczaj postępował tak ze swymi uczniami. Uważał, że krótkie szkolenie u innego stracharza wiele im daje – że dobrze jest spojrzeć na nasz fach z innej perspektywy. Zagrożenie ze strony werbowników jedynie przyspieszyło jego decyzję.

Po godzinie kończył już pisać list, podczas gdy Alice dąsała się przy ogniu. Nie chciała rozstawać się ze mną, ale żadne z nas nic nie mogło na to poradzić.

Co gorsza, mistrz kazał Alice, nie mnie, iść do wioski i wysłać list. Zacząłem się zastanawiać, czy mimo wszystko nie będzie mi lepiej na północy. Przynajmniej Bill Arkwright pozwoli mi czasem coś zrobić.

## **ROZDZIAŁ 3**

### **SPÓŹNIONA ODPOWIEDŹ**

Niemal dwa tygodnie czekaliśmy na odpowiedź Arkwrighta.

Ostatnimi dniami, ku mojej irytacji, Alice, prócz odbierania zapasów, co wieczór odwiedzała wioskę, sprawdzając czy nie przyszedł list, a ja musiałem siedzieć w domu. Teraz jednak odpowiedź w końcu dotarła.

Kiedy Alice weszła do kuchni, stracharz ogrzewał sobie ręce nad ogniem. Wręczyła mu kopertę, on zaś zerknął na nabazgrane na niej słowa.

*Do pana Gregory'ego w Chipenden*

– Wszędzie poznałbym to pismo. Cóż, najwyższy czas! – zauważył mój mistrz głosem pełnym irytacji. – Ko dobrze, dziewczyno, dzięki. A teraz zmykaj!

Skrzywiona Alice posłuchała. Wiedziała, że i tak wkrótce się dowie, co napisał Arkwright.

Stracharz otworzył kopertę i zaczął czytać, ja tymczasem czekałem niecierpliwie.

Kiedy skończył, wręczył mi list ze znużonym westchnieniem.

– Równie dobrze sam możesz spojrzeć. To dotyczy ciebie.

Z coraz cięższym sercem zacząłem czytać.

*Szanowny panie Gregory,*

*ostatnio niedomagam na zdrowiu i mam wiele pilnych obowiązków. Lecz choć to dla mnie nie najlepsza pora na obciążenie uczniem, nie mogę odmówić pańskiej prośbie, bo zawsze był pan dla mnie dobrym mistrzem i zapewnił solidne szkolenie, które bardzo mi się przydało.*

*O dziesiątej rano osiemnastego dnia października proszę przyprowadzić chłopaka na pierwszy most nad kanałem na północ od Caster. Będę tam czekał.*

*Pański uniżony sługa*

*Bill Arkwright*

– Nie trzeba czytać między wierszami, żeby stwierdzić, że wcale nie ma ochoty mnie widzieć – stwierdziłem.

Stracharz przytaknął.

– O, tak, jasno to widać. Ale Arkwright zawsze lubił narzekać i nadmiernie troszczył się o stan swego zdrowia. Zapewne nie będzie nawet w połowie tak źle, jak można by sądzić. Zważ, że choć z oporami, ukończył termin, a to więcej, niżli można rzec o większości chłopaków, których miałem nieszczęście szkolić. – I rzeczywiście. Byłem trzydziestym uczniem stracharza. Wielu nie dokończyło terminu, niektórzy uciekli w strachu, inni zginęli. Arkwright przeżył i od wielu lat z powodzeniem uprawiał nasz fach.

Zatem mimo wyraźnej niechęci, zapewne mógł mnie wiele nauczyć. – Pomnij też, że sporo zdziałał, odkąd poszedł na swoje. Słyszałeś kiedyś o Rozpruwaczu z Coniston, chłopcze?

Rozpruwacze to niebezpieczna odmiana boginów. Ostatni uczeń stracharza, Billy Bradley, zginął zabity przez rozpruwacza, który odgryzł mu palce tak, że chłopak zmarł z szoku i wykrwawienia.

– Piszą o nim w pańskim bestiariuszu, w bibliotece – przypomniałem.

– Istotnie, chłopcze. Cóż, zabił ponad trzydzieści osób i to Arkwright się z nim rozprawił. Spytaj Billa o niego, kiedy nadarzy się okazja. Bez wątpienia jest dumny ze swego wyczynu i ma do tego prawo. Nie daj po sobie poznać, że już wiesz – niech sam opowie ci całą historię. To powinno stać się dobrym początkiem waszej współpracy! W dodatku – stracharz pokręcił głową – list ledwie dotarł na czas. Najlepiej połączmy się dziś wcześniej, bo musimy ruszać o świcie.

Mój mistrz miał rację: Arkwright wyznaczył spotkanie na pojutrze, a marsz do Caster przez wzgórze trwał cały dzień. Nie ucieszyła mnie jednak myśl, że muszę wyruszać tak nagle. Stracharz z pewnością zauważył moją ponurą minę.

– Uśmiechnij się, chłopcze – mruknął. – Arkwright nie jest taki zły...

Potem jednak wyraz jego twarzy się zmienił, bo nagle pojął, co naprawdę czuję.

– Teraz rozumiem, w czym rzecz. Chodzi o dziewczynę, tak?

Przytaknąłem. Dla Alice nie znajdzie się miejsce w domu Arkwrighta, toteż czekało nas półroczne rozstanie. A mimo jej ciągłego matkowania, wiedziałem, że będę za nią tęsknił. I to bardzo.

– Czy Alice nie mogłaby pójść z nami, chociaż do mostu? – poprosiłem.

Spodziewałem się, że mistrz odmówi. Ostatecznie mimo faktu, że Alice kilka razy ocaliła nam życie, nadal pozostawała półkrwi Deane, półkrwi Malkinką i pochodziła z dwóch rodów czarownic. Stracharz nie w pełni jej ufał i rzadko wciągał w nasze sprawy. Nadal wierzył, że pewnego dnia może poddać się mocy mroku. Cieszyłem się, iż nie wie, jak przekonująco zagrała bezecną wiedźmę kilka dni wcześniej.

Lecz, ku memu zdumieniu, teraz pokiwał głową.

– Nie widzę powodu, by nie miała pójść – rzucił. – No, idź, sam jej to powiedz.

Bojąc się, że mógłby zmienić zdanie, natychmiast wyszedłem z kuchni i poszukałem Alice. Spodziewałem się zastać ją w pokoju obok, przepisującą jedną z ksiąg z biblioteki stracharza. Ale nie, siedziała na dworze, na tylnych schodkach, z ponurą miną patrząc w głąb ogrodu.

– Zimno tu, Alice – uśmiechnąłem się do niej. – Może wrócisz do środka? Mam ci coś

do powiedzenia...

– I to nie są dobre wieści, prawda? Arkwright zgodził się cię przyjąć, tak?

Przytaknąłem. Oboje mieliśmy nadzieję, iż spóźniająca się odpowiedź Arkwrighta oznacza, iż odmówi prośbie stracharza.

– Jutro o świcie ruszamy w drogę. Ale dobra wieść jest taka, że pójdziesz z nami i odprowadzisz mnie do Caster.

– Dla mnie to całe mnóstwo złych wieści z zaledwie szczyptą dobrych. Nie rozumiem, czym się przejmuje stary Gregory. Werbownicy już przecież nie wrócą?

– Może i nie – zgodziłem się. – Ale i tak zamierzał w pewnym momencie posłać mnie do Caster. Uznał, że równie dobrze może to zrobić teraz. A ja raczej nie mogę odmówić...

Choć nie wspomniałem o tym Alice, podejrzewałem także, że stracharz odsyła mnie do Arkwrighta po to, by nas rozdzielić na jakiś czas. Ostatnio parę razy zauważyłem, jak patrzył na nas, kiedy śmialiśmy się bądź rozmawialiśmy i wciąż ostrzegał, bym zanadto się do dziewczyny nie zbliżał.

– Pewnie nie – mruknęła ze smutkiem Alice. – Ale będziesz do mnie pisał, Tom, prawda? Pisz co tydzień. Dzięki temu czas upłynie mi szybciej. Samej w tym domu ze starym Gregorym nie będzie mi zbyt wesoło.

Znów przytaknąłem, nie wiedziałem jednak, jak często zdołam pisać. Dylizans pocztowy sporo kosztował i pisanie listów stanowiło raczej drogą rozrywkę. Stracharz zazwyczaj nie dawał mi pieniędzy, chyba że na ściśle określony cel, toteż będę go musiał poprosić, a nie wiedziałem, jak zareaguje. Uznałem, że zaczekam i przekonam się, w jakim nastroju będzie przy śniadaniu.

\*

– To było jedno z najlepszych śniadań, jakie jadłem w życiu – oznajmiłem, wycierając dużą pajdą chleba resztki płynnego żółtka. Boczek był wysmażony idealnie.

Stracharz uśmiechnął się i przytaknął.

– W istocie – rzekł. – Gratulujemy kucharzowi!

W odpowiedzi spod wielkiego drewnianego stołu dobiegło ciche mruczenie, dowodzące, że oswojonego bogina ucieszyły nasze pochwały.

– Czy mógłbym na czas pobytu u pana Arkwrighta pożyczyć trochę pieniędzy? – poprosiłem. – Nie potrzebuję zbyt wiele.

– Pożyczyć? – Stracharz uniósł brwi. – Słowo pożyczka sugeruje, że zamierzasz je oddać. Wcześniej nie używałaś tego słowa, kiedy dawałem ci pieniądze na twoje potrzeby.

– W skrzyniach mamy są pieniądze – przypomniałem. – Będę mógł panu oddać, kiedy znów odwiedzimy Pendle.

Mama wróciła do swojej ojczyzny, Grecji, by walczyć z mrokiem, który rósł tam w siłę. Ale zostawiła mi trzy skrzynie. Oprócz mikstur i ksiąg, jedna z nich zawierała trzy duże worki złota, obecnie przechowywane bezpiecznie w wieży Malkinów i strzeżone przez dwie siostry mamy, dzięki lamie. W postaci oswojonej lamie wyglądają jak zwykłe kobiety, mają tylko pasmo żółtozielonych łusek, biegnące wzdłuż kręgosłupa. Siostry mamy żyły jednak w stanie dzikim, miały owadzie skrzydła i ostre szpony. Silne i niebezpieczne, nie dopuszczały do wieży czarownic z Pendle. Choć nie wiedziałem, kiedy tam wrócimy, byłem pewien, że kiedyś ów dzień nastanie.

– Istotnie, mógłbyś – odparł na mą sugestię stracharz. – Czy potrzebujesz ich na coś szczególnego?

– Chciałbym po prostu pisać co tydzień do Alice...

– Listy są kosztowne, chłopcze. Z pewnością mama nie chciałaby, byś marnował złoto, które ci zostawiła. Raz w miesiącu starczy aż nadto. A kiedy będziesz pisał do dziewczyny, mnie także wysyłaj listy. Informuj o wszystkim, co się dzieje, i włóż obie kartki do tej samej koperty, by oszczędzić gotówki.

Kątem oka ujrzałem, jak Alice zaciska usta, słuchając naszej rozmowy. Oboje wiedzieliśmy, że stracharzowi nie chodziło o pieniądze. W ten sposób będzie mógł czytać, co do niej napisałem, a także jej odpowiedzi na moje listy. Ale co mogłem rzec? List raz w miesiącu to lepsze niż nic, toteż będę musiał się z tym pogodzić.

Po śniadaniu stracharz zaprowadził mnie do małego pokoiku, w którym trzymał podróżne buty, płaszcze i laski.

– Już czas, żebym dał ci nowy kij, w miejsce tego, który spłonął, chłopcze – oznajmił. – Masz, wypróbuj ten.

Wręczył mi kij z drzewa jarzębiny, bardzo skutecznego w walce z czarownicami. Uniosłem go i sprawdziłem równowagę. Idealny. A potem zauważyłem coś jeszcze – niewielkie zagłębienie na końcu – akurat dość, by pomieścić palec wskazujący.

– Chyba wiesz, do czego służy! – wykrzyknął stracharz. – Lepiej sprawdź. Zobacz, czy nadal działa jak należy.

Wsunąłem ostrożnie palec w zagłębienie i nacisnąłem. Z drugiego końca z głośnym szczękiem wyskoczyła ostra klinga. Mój poprzedni kij nie krył w sobie ostrza – choć raz pożyczyłem laskę stracharza. Teraz dostałem własną.

– Dzięki – rzekłem z szerokim uśmiechem. – Będę go dobrze strzegł.

– O, tak, oby lepiej niż poprzedniego! Miejmy nadzieję że nie będziesz się musiał nim posługiwać, chłopcze, ale przezorny zawsze ubezpieczony.

Przytaknąłem, po czym oparłem czubek ostrza o podłogę i nacisnąłem, tak że z powrotem ukryło się w zagłębieniu.

\*

Po godzinie stracharz zdążył już pozamykać dom i ruszyliśmy w drogę. Obaj z mistrzem dźwigaliśmy kije, do tego, jak zwykle, taszczyłem obie torby. Dobrze opatuliliśmy się przed zimnem – my w pelerynach, Alice w czarnym, wełnianym zimowym płaszczu z naciągniętym kapturem chroniącym uszy. Założyłem nawet kozuszek, choć w istocie ranek nie był wcale taki zły. W powietrzu czuło się chłód, lecz świeciło słońce i dobrze tak było maszerować w stronę wzgórz, zmierzając na północ ku Caster.

Gdy rozpoczęliśmy wspinaczkę, oboje z Alice wysforowaliśmy się nieco do przodu, by móc pomówić na osobności.

– Mogło być gorzej – rzekłem. – Gdyby pan Gregory planował wrócić do zimowego domu, musiałybyś pójść z nim. Wówczas znaleźlibyśmy się na przeciwległych krańcach Hrabstwa.

Zazwyczaj stracharz spędzał zimy w Anglezarke, daleko na południu. Poinformował mnie jednak, że w tym roku pozostanie w wygodniejszym domu, w Chipenden. W odpowiedzi pokiwałem tylko głową, nie komentując. Podejrzywałem, iż czynił tak dlatego, że Meg Skelton miłość jego życia, nie mieszkała już w Anglezarke, a dom krył w sobie zbyt wiele bolesnych wspomnień. Meg wraz z siostrą, Marcia, były lamiami. Stracharz musiał odesłać je do Grecji, choć złamało mu to serce.

– Nie mówisz mi niczego, czego bym nie wiedziała – mruknęła z goryczą Alice. – Wciąż będziemy za daleko, by móc się odwiedzać, prawda? Jaka to więc różnica? Anglezarke czy Chipenden, w ostatecznym rozrachunku sprowadza się do tego samego.

– Mnie wcale nie będzie lepiej, Alice. Myślisz, że chcę spędzić następne pół roku z Arkwrightem? Szkoda, że nie czytałaś jego listu. Píše w nim, że jest chory i nie życzy sobie mojej obecności. Przyjął mnie niechętnie, wyłącznie ze względu na stracharza.

– A ty myślisz, że chcę zostać w Chipenden ze starym Gregorym? On wciąż mi nie ufa i pewnie nigdy nie zaufa. Nigdy też nie pozwoli mi zapomnieć o tym, co było, minęło.

– Jesteś niesprawiedliwa, Alice. Dał ci przecież dom. A gdyby się dowiedział, co zrobiłaś tamtej nocy, straciłabyś go na zawsze i zapewne wylądowała w jamie.

– Mam już potąd tłumaczenia ci, czemu to zrobiłam! Nie bądź niewdzięcznikiem. Nie

związałam się z mrokiem i nigdy nie zwiążę, tego możesz być pewien. Od czasu do czasu używam tego, czego nauczyła mnie Lizzie, bo nie mam wyboru. Robię to dla ciebie, Tom, by cię ochronić. Miło by było, gdybyś okazał wdzięczność – warknęła, oglądając się za siebie i sprawdzając, czy mój mistrz nadal wędruje w bezpiecznej odległości.

Potem oboje umilkliśmy i nawet pogodny poranek nie poprawił nam humoru. Dzień ciągnął się i ciągnął, a my wędrowaliśmy na północ. Od jesiennej równonocy minął już prawie miesiąc i godziny dzienne stawały się coraz krótsze: zbliżała się długa, mroźna zima. Nadal schodziliśmy z długich zboczy na wschód od Caster, kiedy zaczęło zmierzchać, znaleźliśmy zatem osłoniętą dolinkę, by móc w niej przenocować. Wraz ze stracharzem nazbieraliśmy drewna i rozpaliliśmy ognisko. Tymczasem Alice upolowała i oparowała parę królików. Wkrótce, pryskając tłuszczem, obracały się z sykiem w płomieniach, a mnie do ust napływała ślinka.

– Jak wygląda Hrabstwo na północ od Caster? – spytałem stracharza.

Nadal siedzieliśmy przy ogniu, krzyżując nogi. Alice obracała rożen. Zaproponowałem, że pomogę, ale odmówiła. Była głodna i chciała idealnie upiec króliki.

– No cóż – odparł mój mistrz. – Niektórzy powiadają, że są tam najlepsze widoki w całym Hrabstwie i nie przeczę. Mają tam góry i jeziora, i morze na południu. Na najdalszym północnym krańcu Hrabstwa leży jezioro Coniston, a na wschód od niego Wielka Woda...

– Tam właśnie mieszka pan Arkwright? – wtrąciłem.

– Nie, chłopcze, nie tak daleko na północ. Z Briston, przez Caster, aż do Kendal biegnie na północ kanał. Jego dom stoi na zachodnim brzegu. Mieszka w starym młynie wodnym, już nieużywanym. Dobrze mu służy.

– A mrok? – dopytywałem się. – Czy w tej części Hrabstwa znajdę coś, z czym się jeszcze nie zetknąłem?

– Nadal jesteś żółtodziobem, chłopcze! – warknął stracharz. – Jak dotąd nie widziałeś jeszcze mnóstwa rzeczy i nie musisz podróżować na północ od Caster, by je znaleźć! Lecz ze względu na jeziora i kanał w tej okolicy główne niebezpieczeństwo pochodzi z wody. Arkwright to spec od wiedźm wodnych i innych stworów żyjących w błocie i szlamie. Pozwolę jednak, by sam ci o nich opowiedział. Przez jakiś czas to on ma cię uczyć.

Alice nadal kręciła rożnem, my tymczasem siedzieliśmy zapatrzeni w płomienie. W końcu to ona przerwała ciszę, w jej głosie dźwięczała troska.

– Nie podoba mi się, że Tom będzie tu sam – oznajmiła. – Teraz Zły na stałe wrócił na ten świat. Co, jeśli przyjdzie szukać Toma, a my nie będziemy mu mogli pomóc?

– Spójrzmy na sytuację z jaśniejszej strony, dziewczyno – odparł stracharz. – Nie zapominajmy, że Zły już wiele razy odwiedzał ten świat. Nie pierwszy raz tu gości.

– Istotnie, to prawda – zgodziła się Alice. – Ale prócz pierwszego razu, zwykle składał krótkie wizyty. Przywoływał go krąg czarownic, krąży o tym mnóstwo opowieści. Lecz większość zgadza się, że Stary Nick nie zostawał dłużej niż najwyżej kilka minut. Dość długo, by zawrzeć pakt albo spełnić życzenie – w zamian za duszę. Teraz jednak jest inaczej. Bo teraz Zły nigdzie się nie wybiera i ma dość czasu, by robić, co zechce.

– Owszem, dziewczyno. Lecz bez wątpienia zajęty jest własnymi psikusami. Myślisz, że chciał być posłuszny woli kręgów? Dopiero teraz, gdy się uwolnił, będzie robił, co zechce – nie to, co mu każą. Będzie niszczył rodziny, zwracał męża przeciw żonie, syna przeciw ojcu, siał chciwość i zdradę w ludzkich sercach, opróżniał kościoły z wiernych, kazał gnić ziarnu w spichlerzach i padać bydłu. Grozę wojny przemieni w krwawą jatkę, sprawiając, że żołnierze zapomną o swym człowieczeństwie. Krótko mówiąc, będzie powiększał ciężar ludzkich nieszczęść i niszczył przyjaźń i miłość, niczym pomór zbiory. Wszyscy ucierpią, lecz Tomowi zapewne nie zagrazi nic więcej niż każdemu w tym fachu, kto walczy z mrokiem.

– Jakże on ma moce? – spytałem, poruszony tą rozmową o Diable. – Czy możesz powiedzieć mi coś jeszcze? Czego powinienem najbardziej się obawiać, gdyby się zjawił?

Stracharz spojrzał na mnie groźnie, przez chwilę sądziłem, że nie odpowie. Potem jednak westchnął i zaczął opisywać moce Złego.

– Jak wiesz, powiadają, że potrafi przybierać wszelkie postaci i kształty. Może uciec się do podstępów, by dostać to, czego pragnie. Potrafi pojawiać się znikąd i bez twej wiedzy patrzeć ci przez ramię. Innymi razy pozostawia wizytówkę – znak diabła – serię odcisków kopyt wypalonych w ziemi. Nikt nie wie, dlaczego właściwie to robi, ale pewnie by wystraszyć ludzi. Niektórzy wierzą, że jego prawdziwy kształt jest tak odrażający, iż jedno spojrzenie na niego wystarczy, by zabiła cię groza. Ale być może takie opowieści to tylko bajki, którymi straszą niegrzeczne dzieci, by odmawiały modlitwy.

– Mnie też przeraża myśl o Złym! – Obejrzałem się przez ramię w ciemność kotlinki.

– Największą mocą Nieprzyjaciela – podjął mój mistrz – jest jego zdolność manipulowania czasem. Potrafi go przyspieszać tak, że każdemu mijający tydzień wydaje się trwać godzinę. Może też czynić odwrotnie – sprawiać, że minuta ciągnie się niczym wieczność. Niektórzy powiadają nawet, że umie całkiem zatrzymać czas, ale nie natknąłem się na szczególnie liczne relacje...

Stracharz musiał zauważyć moją zatroskaną minę. Zerknął z ukosa na Alice,



wpatrzoną w niego okrągłymi oczami.

– Posłuchaj, nie ma sensu zamartwiać się na zapas – rzekł. – Teraz wszystkim nam grozi niebezpieczeństwo. A Bill Arkwright potrafi ustrzec Toma równie dobrze jak ja.

Alice nie wydawała się przekonana słowami stracharza, wkrótce jednak rozdzieliła między nas króliczą pieczeń i zanadto zająłem się jedzeniem, by się dalej martwić.

– Piękną mamy noc – zauważył stracharz, patrząc w górę.

Przytaknąłem, wciąż napychając usta kawałkami soczystego mięsa. Niebo skrzyło się od gwiazd, a Droga Mleczna lśniła niczym srebrzysta zasłona, rozciągnięta na nieboskłonie.

\*

Do rana jednak pogoda się zmieniła i wzgórze zasnęła mgła. W sumie dobrze się stało, bo i tak musieliśmy ominąć Caster. W starym zamku w mieście sądzili czarownice, a potem wieszali je na wzgórzu za murami. Niektórzy księża uważali stracharza i jego ucznia za wrogów kościoła, woleliśmy zatem nie zostawać w okolicy zbyt długo.

Okrążyliśmy miasto od wschodu i tuż przed dziesiątą pierwszym mostem przepawiliśmy się przez kanał. Mgła wisiała ciężko nad wodą, wokół panowała cisza. Kanał był szerszy, niż się spodziewałem. Gdyby dało się chodzić po wodzie, trzeba by dwudziestu kroków, ażeby przejść z jednego brzegu na drugi. Sama woda, nieruchoma i mroczna, sugerowała głębię. Nie było ani cienia wiatru; w gładkiej tafli odbijał się łuk mostu, tworząc owal. Kiedy popatrzyłem w dół, ujrzałem spoglądającą na mnie moją własną smutną twarz.

Wzdłuż obu brzegów biegły żwirowe ścieżki holownicze graniczące z zarośniętym, głogowym żywopłotem, parę ponurych, bezlistnych drzew wyciągało gałęzie nad ścieżkami, pola za nimi niknęły we mgle.

Nie dostrzegłem ani śladu Arkwrighta. Czekaliśmy cierpliwie prawie godzinę, chłód zaczął wnikać nam w kości, lecz Arkwright wciąż się nie zjawiał.

Coś jest nie tak – rzekł w końcu stracharz. – Bill ma swoje wady, ale niepunktualność nigdy do nich nie należała. To mi się nie podoba! Jeśli dotąd nie przyszedł, coś musiało go zatrzymać. Coś niezależnego od niego.

## ROZDZIAŁ 4

# MŁYN

Stracharz właśnie zdecydował, że powinniśmy ruszyć na północ, w stronę Kendal, gdy usłyszeliśmy zbliżające się, stłumione dźwięki – miarowe uderzenia kopyt i plusk wody. Potem z mgły wyłoniły się dwa rosłe konie z Hrabstwa, zaprzężone w linii jeden za drugim. Mężczyzna w skórzanej tunice prowadził je ścieżką holowniczą; ciągnęły za sobą długą, wąską barkę.

Kiedy barka przepłynęła pod mostem, zobaczyłem, że mężczyzna bacznie się nam przygląda. Potem powoli zatrzymał konie, spętał je na ścieżce i miarowym, niespiesznym krokiem wszedł na drewniany most, wysoko unosząc ramiona. Nie był wysoki, lecz mocno zbudowany, miał wielkie dłonie i mimo chłodu pod jego skórzaną kurtą dostrzegłem koszulę z dwoma rozpiętymi górnymi guzikami, ukazującą gąszcz ciemnych włosów.

Większość ludzi wolała przejść na drugą stronę drogi, by uniknąć zbliżenia się do stracharza. Lecz ten mężczyzna uśmiechnął się szeroko, ku memu zdumieniu, podszedł wprost do mistrza, wyciągając rękę.

– Spodziewam się, że to pan Gregory – rzekł, promieniejąc. – Jestem Matthew Gilbert. Bill Arkwright prosił mnie, żebym zabrał chłopaka...

Uścisnęli sobie dłonie, mój mistrz odpowiedział uśmiechem.

– Mnie też miło pana poznać, panie Gilbert – odparł. – Ale czy Arkwright nie czuje się dość dobrze, by przyjść osobiście?

– Nie, nie w tym rzecz, choć ostatnio istotnie miewał się kiepsko – wyjaśnił pan Gilbert. – Tylko że ludzie znaleźli w wodzie trupa – pozbawionego krwi, tak jak poprzednie. To już trzeci w przeciągu dwóch miesięcy i Bill wybrał się na północ, żeby zbadać sprawę. Ostatnio mrok coraz częściej podnosi paskudny łeb, toteż Bill miał mnóstwo zajęć.

Stracharz przytaknął z namysłem, nie skomentował jednak. Zamiast tego położył mi dłoń na ramieniu.

– No cóż, to jest Tom Ward. Spodziewał się marszu – bez wątpienia ucieszy go wizja przejażdżki.

Pan Gilbert uśmiechnął się i uścisnął mi rękę.

– Bardzo mi miło cię poznać, młody Tomie. Teraz jednak pozwolę ci się pożegnać w spokoju. Spotkamy się tam – skinieniem głowy wskazał barękę i ruszył ku niej szybko.

– No, chłopcze, nie zapomnij pisać. Możesz przysłać nam list po pierwszym tygodniu i dać znać, jak ci idzie – stracharz wręczył mi parę małych srebrnych monet. – A to coś dla Billa Arkwrighta, na twoje utrzymanie – wsunął mi do ręki gwineę. – Nie przypuszczam, żebyś miał jakieś problemy. Pracuj z Arkwrightem równie ciężko, jak u mnie, a wszystko się ułoży. Przez jakiś czas będziesz miał innego mistrza, postępującego wedle własnych zasad. To ty musisz dostosować się do niego, nie on do ciebie. Nie zapominaj notatnika i zapisuj wszystko, czego cię nauczy – nawet jeśli nie będzie pasowało do tego, co ja ci mówiłem. Zawsze dobrze jest poznać odmienną perspektywę, a obecnie Arkwright stał się już prawdziwym specem od stworów pochodzących z wody. Słuchaj zatem uważnie i zachowaj czujność. W dzisiejszych czasach Hrabstwo stało się niebezpiecznym miejscem. Wszyscy musimy mieć oczy szeroko otwarte!

To rzekłszy, stracharz skinął mi na pożegnanie i obrócił się na pięcie. Dopiero kiedy zszedł z mostu, Alice zbliżyć się do mnie. Objęła mnie i przytuliła mocno.

– Och, Tom! Tom! Będę za tobą tęsknić.

– A ja za tobą – odparłem ze ściśniętym gardłem.

Cofnęła się, przytrzymując mnie wyciągniętymi rękami.

– Proszę, uważaj na siebie. Nie zniosłabym, gdyby coś ci się stało.

– Nic się nie stanie – próbowałem ją pocieszyć. – I potrafię o siebie zadbać. Nie raz miałeś okazję, by się o tym przekonać.

– Posłuchaj – zerknęła szybko przez ramię. – Gdybyś miał kłopoty albo musiał coś mi szybko powiedzieć, użyj lustra.

Jej słowa wstrząsnęły mną, cofnąłem się o krok. Czarownice porozumiewały się za pomocą luster, widziałem raz, jak Alice też to robiła. Stracharza zdenerwowałyby jej słowa. Podobne praktyki należały do arsenału mroku, nigdy nie zgodziłby się na taką

metodę łączności.

– Nie ma powodu, żebyś tak na mnie patrzył, Tom! – upierała się Alice. – Musisz tylko położyć obie ręce na lustrze i z całych sił o mnie myśleć. Jeśli za pierwszym razem się nie uda, próbuj dalej.

– Nie, Alice, nie zrobię niczego takiego – oznajmiłem gniewnie. – To sztuczka mroku. Mam z nim walczyć a nie stać się jego częścią.

– To nie takie proste, Tom. Czasami musimy walczyć z mrokiem za pomocą mroku. Pamiętaj o moich słowach, mimo tego, co wbija ci do głowy stary Gregory. I bądź ostrożny. To niebezpieczna część Hrabstwa. Byłam tu raz z Kościstą Lizzie, mieszkałyśmy na skraju bagien, niedaleko młyna Arkwrighta. Proszę, uważaj na siebie!

Przytaknąłem, a potem, wiedziony impulsem, pochyliłem się i ucałowałem ją w lewy policzek. Alice cofnęła się, zobaczyłem, że do jej oczu napłynęły łzy. Rozstanie było ciężkie dla nas obojga. Obróciła się bez słowa i zbiegła z mostu. Chwilę później zniknęła we mgle.

Ze smutkiem ruszyłem na ścieżkę holowniczą. Matthew Gilbert w milczeniu wskazał drewnianą ławkę na przodzie barki. Usiadłem i rozejrzałem się dokoła. Za sobą ujrzałem dwie duże, drewniane kłapy zamknięte na kłódki. To była barka towarowa, z pewnością przewoziła jakiś ładunek.

Chwilę później ruszyliśmy na północ. Bezustannie oglądałem się za siebie, licząc wbrew wszystkiemu, że Alice pojawi się na moście i zobacze ją raz jeszcze. Ale tak się nie stało i z bólem serca oddalałem się od niej coraz bardziej.

\*

Od czasu do czasu mijaliśmy barki płynące w przeciwnym kierunku. Za każdym razem pan Gilbert wesoło pozdrawiał napotkanych szyprów. Wszystkie barki, choć różnej wielkości, były długie i wąskie, z jednym lub paroma schowkami. Część, świetnie utrzymana, jaśniała wesołymi kolorami, inne natomiast były czarne, usmolone, a walające się na pokładach bryłki węgla

sugerowały, co kryją ich ładownie.

Gdyby minęło południe, pan Gilbert zatrzymał konie, wyprzągnął je szybko i uwiązał na skraju zarośniętej łąki przy kanale. Konie się pasły, a on rozpałił ogień i przygotował nam drugie śniadanie. Spytałem, czy mógłbym jakoś pomóc, mężczyzna jednak pokręcił tylko głową.

– Goście nie pracują – oznajmił. – Na twoim miejscu odpoczywałbym, póki możesz. Uczniowie Billa Arkwrighta ciężko harują. Nie zrozum mnie źle, to dobry człowiek, świetny w swoim fachu i zrobił wiele dobrego dla Hrabstwa. Jest też uparty. Gdy raz chwyci trop zdobyczy, nigdy się nie poddaje.

Obrał garść ziemniaków oraz marchwi i zagotował w rondlu nad ogniskiem. Usiedliśmy na rufie barki, dyndając nogami zwieszonymi nad wodą i zajadaliśmy palcami z dwóch drewnianych talerzy. Posiłek nie gotował się jeszcze dość długo, zarówno marchewki, jak ziemniaki wciąż były twarde, ale zgłodniałem wystarczająco, by pożreć z kopytami oba konie szypra, toteż jedynie przeżuwałem z namysłem, przełykając szybko. Posilaliśmy się w milczeniu, potem jednak z uprzejmości próbowałem nawiązać rozmowę.

– Długo pan zna pana Arkwrighta? – spytałem.

– Co najmniej dziesięć lat – odparł pan Gilbert. – Bill mieszkał w młynie z rodzicami, zmarli jednak wiele lat temu. Odkąd został miejscowym stracharzem, stał się dla mnie doskonałym klientem. Co miesiąc zamawia duży ładunek soli. Przywożę mu pięć dużych baryłek. A także inne zapasy: świece, strawę, co tylko zechcesz. Zwłaszcza wino, bo Bill lubi pociągać z butelki. I to nie zwykłe wino z bzu czy mlecza, woli prawdziwe, czerwone, dostarczane statkiem do Sunderland Point, a potem łądem do Kendal. Stamtąd przywożę je raz w miesiącu. Dobrze mi płaci.

Zaintrygowała mnie ilość soli. W połączeniu z żelazem stracharze wysypują nią jamy, w których więżą boginy. Można jej też używać jako broni przeciw stworom mroku. My jednak zużywaliśmy jej niewiele, od czasu do czasu kupowaliśmy woreczek

u kramarza w wiosce, po co mu pięć baryłek soli co miesiąc?

– Czy to właśnie pan teraz wiezie – sól i wino?

– W tej chwili ładownia jest pusta – odparł, kręcąc głową. – Właśnie dostarczyłem ładunek kamienia murarzowi z Caster i płynę do kamieniołomu po więcej. W tym fachu przewozimy najróżniejsze rzeczy. Przyjmuję wszystko prócz węgla – jest tak pospolity i tani, że nie warto nawet zamykać ładowni w obawie przed kradzieżą, a czarny pył włazi wszędzie. Zostawiam go wyspecjalizowanym przewoźnikom.

– Młyn pana Arkwrighta stoi przy kanale?

– Bardzo blisko – odparł pan Gilbert. – Z barki go nie zobaczysz – kryje się za drzewami i zaroślami – ale z brzegu, nie wysilając się zbyt, dorzuciłbyś kamieniem na skraj ogrodu. To samotne miejsce, lecz bez wątpienia zdążyłeś już przywyknąć do odosobnienia.

Znów umilkliśmy, potem jednak pomyślałem o czymś, co zdumiało mnie podczas podróży.

– Zauważyłem mnóstwo mostów nad kanałem. Po co ich aż tak wiele?

– Nie przeczę, nie przeczę. – Pan Gilbert pokiwał głową. – Widzisz, kiedy wykopali kanał, przeciął on na pół mnóstwo farm. Zapłacili gospodarzom za ziemię, ale musieli dać im dostęp do pól po drugiej stronie wody. Istnieje też inny powód. Konie i barki zawsze trzymają się lewej strony. Kiedy zatem chcesz zmienić kierunek, twoje konie muszą przejść na drugi brzeg. A teraz lepiej już ruszajmy. Lepiej dla ciebie, byś dotarł do młyna przed zmrokiem.

Pan Gilbert zaprzął konie do barki i wkrótce znów przesuwalismy się powoli na północ. Poranna mgła miast zniknąć, wypalona przez słońce, wkrótce jeszcze zgęstniała, ograniczając widoczność do kilku kroków. Widziałem zad najbliższego konia, lecz jego towarzysz i Matthew Gilbert nikteli w szarości. Mgła tłumiała nawet rytmiczny stukot kopyt. Od czasu do czasu przepływaliśmy pod mostem, poza tym jednak nie widziałem

niczego i czułem się zmęczony samym siedzeniem.

Jakąś godzinę przed zmierzchem pan Gilbert zatrzymał konie i podszedł do miejsca, gdzie siedziałem.

– No, jesteście – zawołał wesoło, wskazując w mgłę. – Do domu Billa Arkwrighta pójdziesz prosto, tędy.

Zabrałem torbę oraz laskę i wygramoliłem się na ścieżkę. Na brzegu sterczał gruby słup, do którego pan Gilbert przywiązał pierwszego konia. Górna część słupa przypominała ramię szubienicy, zwisał z niej duży dzwon.

– Używam go, kiedy przywożę zapasy – wyjaśnił, wskazując dzwon ręką. – Pięć uderzeń mówi, że to ja z dostawą, nie zaś ktoś potrzebujący stracharza: w takich przypadkach zazwyczaj dzwonią trzy razy Bill sam wychodzi i zabiera wszystko. Jeśli jest dużo zapasów, czasami pomagam mu nieść je aż do ogrodu. Nie życzy sobie, by ktokolwiek zbliżał się do domu!

Dobrze to rozumiałem. Pod tym względem Arkwright był podobny do mego mistrza. Ludzie potrzebujący jego pomocy uderzali w dzwon na rozstajach, wówczas stracharz zazwyczaj wysyłał mnie, żebym sprawdził, czego chcą.

Za słupem widziałem tylko szarą ścianę mgły, gdzieś z dołu jednak dobiegał szmer strumienia. W tym miejscu kanał wznosił się ponad otaczające go pola. Za ścieżką strome, trawiaste zbocze opadało w mgłę.

– Stąd na skraj ogrodu będzie najwyżej dziewięćdziesiąt kroków – poinformował pan Gilbert. – U stóp zbocza płynie strumień. Idź wzdłuż niego. Przepływa pod domem, kiedyś napędzał młyńskie koło, gdy młyn wciąż pracował. No, powodzenia, chłopcze. Pewnie się zobaczymy, kiedy następnym razem dostarczę sól – albo skrzynkę wina – dodał, mrugając porozumiewawczo.

To rzekłszy, odwiązał konie i odszedł w mgłę. Raz jeszcze usłyszałem stłumiony stukot i barka popłynęła na północ. Pozostałem w miejscu, póki odgłos kopyt nie ucichł. Pomijając szum i bulgot wody w dole, spowijała mnie gruba pierzyna ciszy. Zadrzałem. Rzadko kiedy czułem się aż tak samotny.

Zszedłem szybko stromym zboczem i znalazłem się na brzegu rwącego strumienia. Woda pędziła ku mnie, a potem wpadała w ciemny tunel pod kanałem, bez wątpienia wypływając z drugiej strony. Widoczność nieco się poprawiła, ale nadal sięgałem wzrokiem najwyżej na tuzin kroków w każdym kierunku. Ruszyłem w górę strumienia, podążając błotnistą dróżką w stronę domu, spodziewając się, że lada moment wyłoni się on z mgły.

Widziałem jednak wyłącznie drzewa, płaczące wierzby na obu brzegach; ich gałęzie sięgały aż do wody. Natychmiast zwolniłem kroku, bo trzeba było pochyłać się i je wymijać. W końcu dotarłem do granicy ogrodu Arkwrighta, z pozoru nieprzeniknionego gąszczu bezlistnych drzew, krzaków i młodych drzewek. Najpierw jednak musiałem pokonać kolejną barierę.

Ogród otaczało zardzewiałe żelazne ogrodzenie: zakończone ostro sześciostopowe słupy, połączone trzema rzędami poziomych prętów. Jak miałem się dostać do środka? Trudno byłoby wspiąć się na ogrodzenie, nie chciałem ryzykować nabicia na szpikulce. Podążyłem zatem wzdłuż niego w lewo z nadzieją, że znajdę jakieś wejście. Powoli zaczynałem myśleć z irytacją o Matthew Gilbercie. Kazał mi iść wzdłuż strumienia, ale nie wyjaśnił co zastanę i jak mam dotrzeć do domu.

Parę minut szedłem wzdłuż płotu, gdy poczułem, że ziemia pod stopami zaczyna się robić grząska. Wśród kęp bagiennej trawy stały kałuże. By znaleźć się na nieco twardszym gruncie, musiałem maszerować tuż przy ogrodzeniu, prawym ramieniem niemal dotykając żelaznych prętów. W końcu jednak dotarłem do wąskiej luki. Przeszedłem przez nią do ogrodu i zobaczyłem przed sobą rów pełen wody. Woda była ciemna, nie dawało się określić, na ile jest głęboka. Sam rów liczył sobie co najmniej dziewięć kroków szerokości – nawet z rozbiegu nie dałoby się go przeskoczyć. Popatrzyłem w prawo i w lewo, ale w zasięgu wzroku nie znalazłem żadnego kija czy gałęzi. Sprawdziłem zatem laską i, ku swemu zdumieniu, przekonałem się, że woda sięgnie mi najwyżej do kolan. Rów przypominał obronną fosę, ale z pewnością był na to



za płytki. Do czego więc służył?

Zdziwiony, przeszedłem przez wodę, mocząc dokładnie nogawice. Na drugim brzegu czekały mnie gęste zarośla, lecz wiodła przez nie wąska ścieżka. Po paru chwilach znalazłem się na rozległym, zapuszczonym trawniku, na którym rosły wierzby zaliczające się do największych, jakie zdarzyło mi się oglądać. Wyłaniały się z mgły niczym giganci o długich, cienkich mokrych palcach, które obmacywały mi ubranie i plątały się we włosach.

W końcu znów usłyszałem bulgot i szum strumienia, i po raz pierwszy ujrzałem młyn Arkwrighta. Był większy niż dom stracharza w Chipenden, ale imponował wyłącznie rozmiarem. Zbudowany z drewna, mocno zapuszczony, stał na ziemi dziwnie krzywo, a dach i ściany stykały się pod osobliwymi kątami. Strzecha pozieleniała od mchu i szlamu, a z rynien wyrastała trawa i młode drzewka. Części budynku wyglądały na przegniłe, wręcz bliskie zawalenia. Zupełnie jakby cała budowla wyczekiwała już swego końca podczas pierwszej zimowej burzy.

Przed domem strumień atakował wielkie, drewniane młyńskie koło, które mimo gwałtownego naporu prądu pozostawało nieruchome; następnie woda znikwała w ciemnym tunelu pod budynkiem. Przyjrzawszy się kołu bliżej, stwierdziłem, że również jest przegniłe i połamane; pewnie nie obracało się już od wielu lat.

Pierwsze drzwi, do których dotarłem, okazały się zabite deskami, podobnie trzy najbliższe okna. Ruszyłem więc dalej w stronę strumienia i dotarłem na wąską werandę przed dużymi, solidnymi drzwiami. Wyglądały na główne wejście, zapukałem zatem trzykrotnie. Może Arkwright zdążył już wrócić? Kiedy nikt nie odpowiedział, zastukałem raz jeszcze, tym razem mocniej. W końcu nacisnąłem klamkę i odkryłem, że są zamknięte.

Co miałem teraz począć? Usiąść na schodach w zimnie i mgle? Nawet za dnia nie byłoby tu przyjemnie, a wkrótce zapadnie ciemność. Nie miałem gwarancji, że Arkwright wróci przed nocą. Badanie sprawy trupa znalezionego w wodzie mogło mu zająć kilka dni.

Istniało jednak pewne rozwiązanie. Miałem przy sobie specjalny klucz, zrobiony przez Andrew, ślusarza i brata mojego mistrza. Choć otwierał większość drzwi i wątpiłem, by te przede mną stawiały mu opór, wahałem się, czy go użyć. Wtargnięcia do czyjegoś domu bez zgody właściciela nie uważałem za właściwe, uznałem zatem, że zaczekam jeszcze trochę w nadziei, iż Arkwright może się pojawić. Wkrótce jednak zimno i wilgoć zaczęły wnikać mi w kości i zmusiły do zmiany zdania. Ostatecznie miałem tu mieszkać pół roku, a gospodarz mnie oczekiwał.

Klucz z łatwością obrócił się w zamku, lecz drzwi, gdy otworzyłem je powoli, zaskrzypiały przeraźliwie. Wewnątrz panował mrok, powietrze stało ciężkie, duszne wilgotne, przesycone silną wonią skwaśniałego wina. Postąpiłem zaledwie krok do środka, pozwalając oczom przywyknąć do ciemności, potem się rozejrzałem. Na drugim końcu pomieszczenia stał stół, a na jego środku samotna świeca w niewielkim mosiężnym lichtarzu. Odstawiłem laskę i torbę podparłem drzwi, wpuszczając do pokoju nieco światła. Wyciągnąłem z kieszeni hubkę i po chwili zapaliłem świecę. Wówczas zauważyłem leżącą na stole kartkę papieru, przyciśniętą lichtarzem. Jedno spojrzenie wystarczyło, bym odkrył, że to list do mnie. Podniosłem go zatem i przeczytałem.

*Drogi młody Wardzie,*

*najwyraźniej zdobyłeś się na inicjatywę, w przeciwnym razie spędziłbyś noc na dworze, w ciemności, a to mało przyjemne doświadczenie. Przekonasz się, że w tych okolicach postępujemy inaczej niż w Chipenden.*

*Choć praktykuję w tym samym fachu co pan Gregory, pracujemy zupełnie innymi metodami. Dom twego mistrza to schronienie oczyszczone od wewnątrz. Tutaj krążą niespokojni umarli i moim życzeniem jest, by tak pozostało. Nie zrobią ci krzywdy, toteż zostaw ich w spokoju. Nic nie rób.*

*W spiżarni znajdziesz strawę, a przy drzwiach drwa do piecyka. Najedz się zatem i śpij dobrze. Rozsądnie byłoby spędzić noc w kuchni i zaczekać na mój powrót. Nie zapuszczaj się w najniższą część domu, nie próbuj też wejść do najwyższego pomieszczenia, zamkniętego na klucz.*

*Uszanuj moje życzenia, tak dla swego dobra, jak i mojego.*

*Bill Arkwright*

## **ROZDZIAŁ 5**

### **PRZERAŻLIWY KRZYK**

Słowa Arkwrighta o umarłych wydały mi się niezwykle. Dlaczego pozwalał im zakłócać spokój swego domostwa? Z pewnością miał przecież obowiązek zapewnić duchom spokój, odsyłając je do światła? Stracharz tak właśnie by postąpił. Lecz mój mistrz wyjaśnił już, że Arkwright załatwia sprawy inaczej i to ja mam obowiązek dostosować się do jego zwyczajów.

Rozejrzałem się wokół, po raz pierwszy dokładnie widząc pomieszczenie. Nie wyglądało zachęcająco. Zdecydowanie nie przypominało salonu. Okna zabito deskami – nic dziwnego, że w środku panował mrok. Bez wątpienia, kiedy młyn wciąż jeszcze działał, pomieszczenie to służyło za magazyn. Nie było kominka, a jedynymi meblami prócz stołu były dwa drewniane krzesła o twardych oparciach, stojące w przeciwległych kątach. Pod ścianą zauważyłem jednak kilka skrzynek wina i długi rząd pustych flaszek. Ściany oraz sufit pokrywała gruba warstwa pajęczyn i choć frontowe drzwi prowadziły wprost tutaj, wyraźnie widziałem, że Arkwright dawny magazyn traktował jedynie jako przejście do dalszych części domu.

Zabrałem torbę spod drzwi, następnie, zamknąłem je na klucz. Potem wziąłem ze stołu świecę i ruszyłem do kuchni. Okno nad zlewem nie było zabite deskami, na zewnątrz jednak nadal królowała mgła i światło zaczynało już gasnąć. Na parapecie leżał jeden z największych noży, jakie oglądałem w życiu. Z pewnością nie służył do przygotowywania posiłków! Jednakże w samej kuchni panował większy porządek, niż się spodziewałem. Nie dostrzegłem kurzu, a talerze, kubki i rondle ustawiono równo w szafkach obok niewielkiego stołu jadalnego z trzema drewnianymi krzesłami.

Znalazłem też spiżarnię, a w niej ser, szynkę, boczek i pół bochenka chleba.

Zamiast kominka, w kuchni stał duży piec, szerszy niż wyższy, z dwójgim drzwiczek i żelaznym kominem wygiętym i znikającym w suficie. Za drzwiczkami, po lewej, znalazłem patelnię, stos drewna i słomy po prawej czekał na podpałkę. Bez wątplenia tylko w ten sposób dało się tu gotować i ogrzewać budynek.

Nie tracąc czasu, przy pomocy hubki i krzesiwa rozpałem w piecyku. Wkrótce kuchnię wypełniło przyjemne ciepło, wówczas zacząłem smażyć trzy grube plastry boczku. Chleb zdążył szcerstwieć i ledwie nadawał się do jedzenia, ale przypieczony smakował całkiem dobrze, Nie znalazłem masła, lecz posiłek i tak bardzo mi smakował; wkrótce poczułem się znacznie lepiej.

Zaczynałem robić się senny, postanowiłem więc pójść na górę i przyrzeć się sypialniom, licząc na to, że się domyśle, którą przeznaczono dla mnie. Zabrałem ze sobą świecę i okazało się to mądrą decyzją, bo na schodach panowała niemal nieprzenikniona ciemność. Na pierwszym piętrze zobaczyłem czworo drzwi: pierwsze wiodły do składziku pełnego pustych pudeł, brudnej pościeli koców i najróżniejszych śmieci, nieprzyjemnie cuchnących zgnilizną. Na ścianach ciemniały mokre plamy, część pościeli solidnie zapleśniała. Następných dwoje drzwi prowadziło do pojedynczych sypialni. W pierwszej wymięta pościel świadczyła o tym, że ktoś tu spał

\V drugiej stało samotne łóżko z gołym materacem. Czy Arkwright przeznaczył je dla mnie? Jeśli tak, zatęskniłem za domem w Chipenden. W ponurym, niegościnnym pokoju poza łóżkiem nie było żadnych innych mebli a w powietrzu czułem chłód i wilgoć.

VV czwartym pokoju zobaczyłem wielkie podwójne łoże. Odgarnięte koce leżały w nogach, prześcieradła były wymięte. W samym pokoju kryło się coś dziwnego i poczułem, jak jeżą mi się włoski na karku. Zadrzałem, wyżej uniosłem świecę i podszedłem do łóżka. Sprawiało wrażenie wilgotnego, a kiedy dotknąłem go

lekkimi palcami, odkryłem, że jest zupełnie mokre, jakby ktoś wylał na nie pół tuzina wiader wody. Przyjrzałem się sufitowi, ale nie zauważyłem ani żadnej dziury, ani śladów szczelin czy plam. Skąd zatem ta woda? Szybko wycofałem się za próg i starannie zamknąłem drzwi.

Im dłużej nad tym myślałem, tym mniej podobało mi się to piętro. Wyżej wznosiło się jeszcze jedno, lecz Arkwright uprzedził, żebym tam nie zaglądał. Uznałem zatem, że posłucham jego rady i prześpię się na podłodze w kuchni. Tam przynajmniej nie było wilgotno, a piec ogrzeje mnie aż do rana.

\*

Tuż po północy coś mnie obudziło. Kuchnia pogrążyła się w niemal całkowitej ciemności, rozjaśnianej jedynie słabym blaskiem pieca. Co mnie obudziło? Czyżby Arkwright wrócił do domu? Lecz włosy na karku znów mi się zjeżyły, zadrzałem. Jako siódmy syn siódmego syna widzę i słyszę rzeczy niedostrzegalne dla innych. Arkwright mówił, że po domu krążą niespokojni umarli. Jeśli tak, całkiem możliwe, że wkrótce przekonam się o tym na własne oczy.

W tym momencie gdzieś z dołu dobiegł mnie niski łoskot, od którego zadrzały ściany młyna. Co to było? Z każdą chwilą hałas stawał się coraz głośniejszy.

Choć dźwięk mnie zaintrygował, nie zamierzałem wstawać. Arkwright uprzedził, żebym nic nie robił. To nie moja sprawa. Jednak dźwięk ów budził we mnie strach i niepokój i choć bardzo się starałem, nie mogłem zasnąć. W końcu zrozumiałem, co to – koło młyńskie! Koło się obracało! A przynajmniej tak brzmiał łoskot.

Nagle powietrze rozdarł przeraźliwy krzyk i łoskot ucichł równie nagle, jak się pojawił. Był to krzyk tak straszny, przepełniony tak potwornym bólem, że zatkałem uszy. Oczywiście, w niczym to nie pomogło. Dźwięk rozlegał się wewnątrz mojej głowy – pozostałość czegoś, co zaszło wiele lat wcześniej we młynie. Słuchałem kogoś, kto okrutnie cierpiał. W końcu krzyk ucichł i

wokół znów zapadła cisza. To, co już usłyszałem, wystarczyłoby by wypłoszyć z budynku większość ludzi. Dla mnie, ucznia stracharza, podobne rzeczy stanowiły chleb powszedni, ale nadal odczuwałem strach – całe moje ciało dygotało. Arkwright mówił, że nic tu nie zrobi mi krzywdy, ale działo się coś dziwnego. Coś gorszego niż zwykle nawiedzenie.

Mimo wszystko jednak stopniowo się uspokoilem i wkrótce znów zasnąłem twardo.

\*

Spałem smacznie, zbyt smacznie. Gdy się obudziłem, słońce już dawno wzeszło, a w kuchni oprócz mnie był ktoś jeszcze.

– No, no, chłopcze – zagrzemiał niski głos. – Łatwo cię zaskoczyć. W tych okolicach nie opłaca się spać zbyt mocno. Nigdzie nie jest bezpiecznie!

Usiadłem szybko i niezgrabnie dźwignąłem się z ziemi. Naprzeciw mnie stał stracharz, w lewej ręce trzymał kij, w prawej torbę. Ach, co to była za torba! Z łatwością pomieściłyby się w niej obie, mojego mistrza i moja własna. Wówczas zauważyłem czubek laski. Kije mojego mistrza i mój wyposażono w ukrywane klingi, tu jednak wyraźnie widziałem ostrze, złowieszczy nóż, długi na co najmniej dwanaście cali, z sześcioma haczykowatymi ząbkami, po trzy z każdej strony.

– Pan Arkwright? – spytałem. – Jestem Tom Ward.

– Owszem, jestem Bill Arkwright i domyśliłem się z kim mam do czynienia. Miło mi cię poznać, młody Wardzie. Twój mistrz wielce cię chwalił.

Przyglądałem mu się, próbując przegnać sen z oczu. Nie był tak wysoki jak pan Gregory, ale mocniej zbudowany, w ten żyłasty sposób, który sugeruje siłę. Twarz miał wychudzoną, wielkie zielone oczy i zdumiewająco łysą czaszkę, z której nie wyrastał nawet jeden samotny włos – golił ją gładko, jak mnich. Na lewym policzku ujrzałem czerwoną bliznę, wyglądającą na pozostałość niedawnej rany.

Zauważyłem także, że wargi miał zaplamione na purpurowo.

Stracharz nie pił, ale kiedyś, gdy zachorował i bredził w malignie, opróżnił całą butelkę czerwonego wina. Potem jego wargi przybrały ten sam purpurowy odcień.

Arkwright oparł łaskę o ścianę obok wewnętrznych drzwi i odłożył torbę. Gdy dotknęła kuchennej podłogi, usłyszałem brzęk szkła. Wyciągnął do mnie rękę. Uścisnąłem ją.

– Pan Gregory także bardzo pana chwalił – oznajmiłem sięgając do kieszeni i wyciągając gwineę. – Przekazuje to na moje utrzymanie.

Arkwright odebrał mi monetę, wsunął do ust i mocno przygryzł. Przyjrzał jej się uważnie, a potem z uśmiechem podziękował skinieniem głowy. Sprawdził, czy to prawdziwa gwinea, ze szczerego złota, a nie podrabiana. To mnie zirytowało. Czyżby sądził, że mój mistrz spróbowałby go oszukać? A może to mnie podejrzewał?

– Zaufajmy sobie na jakiś czas, młody Wardzie – powiedział – i zobaczmy, dokąd nas to zaprowadzi. Dajmy sobie dość czasu, by móc osądzić się nawzajem.

– Mistrz mówił, że może mnie pan wiele nauczyć na temat okolic na północ od Caster – podjąłem, starając się nie zdradzać mojej irytacji z powodu gwinei. – O rzeczach, pochodzących z wody...

– O tak, będę cię o nich uczył, ale przede wszystkim muszę cię wzmocnić. Czy jesteś silny, młody Wardzie?

– Dość silny, jak na swój wiek – rzekłem z wahaniem.

– I jesteś tego pewien? – Arkwright zmierzył mnie wzrokiem. – Myślę, że potrzebujesz więcej mięśni, żeby przetrwać w tym fachu! Dobrze sobie radzisz w siłowaniu na rękę?

– Nigdy nie próbowałem...

– Spróbujesz teraz. To mi pozwoli ocenić, co będę musiał zrobić. Podejdź tu i usiądź! – polecił, prowadząc mnie do stołu.

Byłem młodszy o trzy lata od moich braci, toteż ominęły mnie owe rodzinne zabawy. Pamiętałem jednak jak Jack i James siłowali się na kuchennym stole na farmie. W owych czasach Jack

zawsze wygrywał, bo był starszy, wyższy i silniejszy. Teraz Arkwright dysponował tego rodzaju przewagą.

Usiadłem naprzeciw niego, złączyliśmy lewe ręce i spleliśmy dłonie. Gdy oparłem łokieć na stole, moje ramię okazało się dużo krótsze niż jego. Starąłem się, jak mogłem, ale silny, miarowy nacisk, mimo podejmowanych prób oporu, z łatwością odgiął mi rękę i przycisnął ją do blatu.

– To najlepsze, na co cię stać? – spytał Arkwright. – A gdybyśmy tak trochę ci pomogli?

To rzekłszy, podszedł do torby i wrócił z notatnikiem.

– Masz, podłóż to sobie pod łokieć.

Wsparty na notatniku, sięgałem niemal równie wysoko jak on. Kiedy zatem poczułem pierwszy nacisk, przywołałem wszystkie siły w jednym nagłym szarpnięciu. Ku mej satysfakcji, zdołałem przesunąć nieco rękę Arkwrighta i dostrzegłem zdumienie w jego oczach. Potem jednak odparował z siłą, która po sekundzie uderzyła moją ręką. Z sapnięciem puścił mnie i wstał, ja tymczasem roztarłem obolałe mięśnie.

– Tak już lepiej – mruknął. – Ale jeśli masz przetrwać, musisz wzmocnić swoje mięśnie. Głodnyś, młody Wardzie?

Przytaknąłem.

– W takim razie przyrządzę nam śniadanie, a potem zaczniemy lepiej się poznawać.

Otworzył torbę i ujrzałem dwie puste butelki po winie, a także inne zapasy: ser, jaja, szynkę, wieprzowinę i dwie duże ryby.

– Złowiłem je dziś rano! – wykrzyknął. – Trudno znaleźć świeższe. Jedną zjemy teraz, a drugą jutro na śniadanie. Przyrządzałeś kiedyś ryby?

Pokręciłem głową.

– W Chipenden masz ten luksus, że bogin wszystkim się zajmuje. – Arkwright z dezaprobatą pokręcił głową. – Tu jednak musimy zadbać o siebie sami. Przyjrzyj się zatem dobrze, gdy będę gotował, bo jutro zrobisz to samo. Nie masz chyba nic przeciw gotowaniu, co?



– Oczywiście, że nie – odparłem.

Miałem tylko nadzieję, że sobie poradzę. Stracharz nie był zbyt dobrego zdania o mojej kuchni.

– Doskonale. Kędy skończymy śniadanie, oprowadzę cię po młynie. Zobaczymy, czy jesteś tak odważny, jak twierdzi twój mistrz.

## ROZDZIAŁ 6

### TAJEMNICE WODY

Ryba była pyszna, a gdy jedliśmy, Arkwright wyraźnie chciał nawiązać rozmowę.

– Pierwszą rzeczą, jaką musisz zapamiętać odnośnie do terytorium, którego strzegę – rzekł – jest fakt, iż mamy tu mnóstwo wody. Woda jest bardzo mokra, co może stanowić problem...

Sądziłem, że zazartuje, toteż się uśmiechnąłem. On jednak posłał mi gniewne spojrzenie.

– Moje słowa nie miały być zabawne, młody Wardzie. W istocie to, co mówię w ogóle nie jest zabawne. Mówiąc „mokra”, mam na myśli, że przesyca wszystko, wsiąka w ziemię, w ciało i w samą duszę. Wsącza się wszędzie stanowi klucz do wszystkich naszych problemów. To środowisko, w którym plenią się stwory mroku. Jesteśmy dziećmi ziemi, nie wody, toteż trudno nam radzić sobie z podobnymi stworzeniami.

Pokiwałem głową.

– Czy „wsącza” oznacza to samo co „przesyca”?

– W istocie, młody Wardzie. Woda dostaje się wszędzie i do wszystkiego. A wokół mamy jej mnóstwo. Po pierwsze, zatoka Morecambe, wyglądająca, jakby ktoś odgryzł wielki kęs wybrzeża Hrabstwa. Niebezpieczne kanały niczym głębokie rzeki, przecinają ruchome piaski zatoki. Ludzie przeprawiają się tamtędy, gdy

pozwalają na to przy pływy, ale woda powraca szybko i czasami towarzyszy jej gęsta mgła. Co roku morze pochłania powozy, konie i pasażerów. Znikają bez śladu. Następnie mamy jeziora północy. Czasami łudząco spokojne, ale bardzo głębokie. I wychodzą z nich niebezpieczne stwory.

– Pan Gregory mówił, że unicestwił pan Rozpruwacza z Coniston. Ponoć zabił ponad trzydzieści osób, nim w końcu uwolnił pan od niego brzegi jeziora.

Słyszając te słowa, Arkwright się rozpromienił.

– W istocie, młody Wardzie. Z początku była to tajemnica dręcząca miejscowych – wyjaśnił. – Bogin chwycił samotnych rybaków i ściągał z pokładu. Ludzie zakładali, że zaginięni po prostu się utopili. Ale jeśli tak, czemu fale nie wyrzucały na brzeg trupów? W końcu ofiar zrobiło się zbyt wiele i wezwano mnie. Zadanie nie należało do łatwych. Podejrzywałem, że mam do czynienia z rozpruwaczem, ale nie miałem pojęcia, gdzie się ukrywał. I co robił z ciałami, gdy już wyssał z nich całą krew. Cóż, młody Wardzie, w tym fachu potrzeba cierpliwości i wytrwałości. W końcu go wytropiłem.

Za kryjówkę obrał sobie jaskinię pod brzegiem jeziora. Wciągał ofiary na skalną półkę, posilając się nimi bez przeszkód. Przekopałem się zatem do jego jamy z brzegu. To, co ujrzałem, wyglądało jak senny koszmar. Kryjówkę wypełniały kości i trupy – gnijące ciała, rojące się od robactwa, a także świeższe, pozbawione krwi. Do końca życia nie zapomnę tego smrodu. Czekałem na niego trzy dni i trzy noce, w końcu zjawił się z nową ofiarą. Było za późno, by uratować tego rybaka, ale załatwiłem rozpruwacza solą i żelazem.

– Kiedy pan Gilbert spotkał się z nami przy kanale, mówił, że ruszył pan na północ, bo w wodzie znaleziono ciało pozbawione krwi, tak jak dwa wcześniejsze. Czy to ofiary rozpruwacza? Czy w okolicy krąży kolejny?

Arkwright zapatrzył się w okno, wyraźnie pogrążony w myślach. Odpowiedział dopiero po dłuższej chwili.

– Nie, to była wodna wiedźma. Ostatnio ich liczba rośnie. Ale nim dotarłem na miejsce, zdążyła się oddalić. Bez wątpienia uderzy ponownie. Pozostaje nam tylko liczyć, że następną ofiarę zaatakuje bliżej domu i zdążę ją upolować. Lecz nie tylko boginów i wiedźm wodnych musimy się obawiać. Są jeszcze skelty. Słyszałeś kiedyś o skeltach? – spytał.

Pokręciłem głową.

– Trafiają się niezwykle rzadko, zamieszkują szczeliny skalne pod wodą albo blisko niej. Zamiast ruchomego języka, z ich ust sterczy długa, pusta w środku, koścista rura. Na końcu jest ostra i szpiczasta, toteż stwór może wyssać przez nią krew swoich ofiar.

– Brzmi okropnie – mruknąłem.

– Bo istotnie jest okropne – przytaknął Arkwright. – Ale ów ohydny stwór sam także czasem staje się ofiarą. Od czasu do czasu wodne wiedźmy używają go w swych rytuałach. Kiedy wypije krew ofiary – wybranej przez czarownice – wysączając ją wolno przez wiele dni, aż w końcu biedak wyda ostatnie tchnienie, wiedźmy rozszarpują skelta na strzępy i pożerają go żywcem. Magia zdobyta w ten sposób, jest trzykroć mocniejsza, niż gdyby same wykrwawiły biedaka.

Arkwright wstał nagle i sięgnął ponad zlewem, chwytając z parapetu wielki nóż. Przyniósł go do stołu.

– Kiedyś nim właśnie zabiłem skelta – położył broń przede mną. – W ostrzu zawiera się sporo srebra, tak samo jak w klindze mojej laski. Zaskoczyłem skelta i odrąbałem mu łapy. To bardzo użyteczna broń. Niecałe pięć lat temu złapałem też młodego skelta niedaleko kanału. Dwa okazy w ciągu pięciu lat, co oznacza, że one także się mnożą.

Tymczasem skończyliśmy już śniadanie. Arkwright odsunął krzesło od stołu i poklepał się po brzuchu.

– I jak, smakowała ryba, młody Wardzie?

Przytaknąłem.

– Tak, dziękuję. Była bardzo dobra.

– Udko wodnej wiedźmy byłoby jeszcze lepsze – rzekł. – Może

go spróbujesz, nim minie twoje pół roku.

Szczęka mi opadła, gapiłem się na niego, zdumiony. Jadał czarownice?

Wówczas jednak wybuchnął śmiechem.

– To tylko moje poczucie humoru, młody Wardzie. Nie tknąłbym kijem nogi wiedźmy, nawet świetnie wysmażonej. Moje psy natomiast tak nie kapryszą. Może przekonasz się o tym pewnego dnia.

Zastanawiałem się, gdzie trzyma psy. Jak dotąd nie widziałem ich ani nie słyszałem.

– Ale to właśnie wodne wiedźmy stanowią największy problem w tej okolicy – podjął Arkwright. – W odróżnieniu od innych czarownic mogą przeprowiać się przez wodę – zwłaszcza stojącą. Mogą też całymi godzinami ukrywać się pod powierzchnią bez oddychania; zagrzebują się w błocie bądź bagnie, czekając na niczego niepodjęzawającą ofiarę. Chciałbyś zobaczyć taką wiedźmę, młody Wardzie?

Latem wraz ze stracharzem odwiedziliśmy Pendle i walczyliśmy z trzema głównymi tamtejszymi klanami. Nie było to łatwe i przeżyliśmy tylko dzięki szczęściu, toteż miałem na jakiś czas dosyć czarownic. Arkwright musiał to wyczytać z mej twarzy, bo kiedy pokiwałem głową, uśmiechnął się lekko.

– Nie dostrzegam u ciebie zbyt dużego entuzjazmu, młody Wardzie. Nie martw się, ona nie gryzie. Przekonasz się, że jest bezpiecznie uwięziona! Oprowadzę cię po młynie i pokażę wiedźmę, ale najpierw załatwmy sprawę zakwaterowania. Chodź za mną! – Wyszedł z kuchni, a ja podążyłem w ślad za nim po schodach, do sypialni z nagim materacem. Sądziłem, że potwierdzi, iż to pokój dla mnie. Zamiast tego jednak zwłóknął materac łóżka. – Zabierzmy go na dół – rzekł energicznie i razem zataszczyliśmy materac do kuchni.

Następnie Arkwright wrócił na górę i zjawił się ponownie w kuchni z naręczem prześcieradeł i koców.

– Trochę zwilgotniały – przyznał – ale wkrótce wyschną przy

ogniu. Wówczas zaniesiemy je do twojej sypialni. Teraz mam parę spraw do załatwienia na górze, wrócę w ciągu godziny. Tymczasem zapisz pierwszą lekcję na temat wodnych wiedźm i skeltów. Zabrałeś chyba ze sobą notatnik?

Kiwnąłem głową.

– W takim razie przynieś go – polecił.

Wyczuwając jego niecierpliwość, pogrzebałem w torbie i położyłem na stole notatnik, a także pióro i niewielki kałamarz. Arkwright tymczasem zniknął na górze.

\*

Zapisałem każde słowo, które zapamiętałem z pierwszej lekcji, zastanawiając się, co gospodarz robi tak długo na górze. W pewnym momencie wydało mi się, że słyszę, jak z kimś rozmawia. Lecz po niecałej godzinie wrócił, a gdy mnie mijał, w jego oddechu poczułem zapach wina. Potem, unosząc wysoko lampę i ściskając w lewej dłoni kij, poprowadził mnie do pomieszczenia przy drzwiach wejściowych.

Nie licząc brakującego lichtarza, który zabrałem do kuchni, pokój wyglądał tak jak przedtem: krzesło w każdym kącie, skrzynie i puste flaszki po winie, samotny stół i trzy zabite deskami okna. Lecz jaśniejszy blask lampy ukazał coś, czego wcześniej nie zauważyłem.

Po prawej stronie drzwi wejściowych znajdowała się kłapa. Arkwright podał mi kij, schylił się i wolną ręką chwycił żelazny pierścień, po czym otworzył kłapę. Drewniane stopnie wiodły w ciemność, usłyszałem szum strumienia płynącego po kamieniach.

– Cóż, młody Wardzie – powiedział Arkwright – zwykle jest tam bezpiecznie. Ale sześć dni nie było mnie w domu i w tym czasie wiele mogło się zdarzyć. Trzymaj się blisko mnie – na wszelki wypadek.

To rzekłszy, ruszył na dół. Podążyłem za nim, zagłębiając się w mrok, dźwigając jego laskę, znacznie cięższą niż te, do których przywykłem. Moje nozdrza zaatakował odór wilgoci i gnijącego drewna. Ze zdumieniem odkryłem, że nie stoję wcale na kamiennej

posadzce piwnicy, lecz na błotnistym brzegu strumienia. Po lewej mieliśmy wysoki, nieruchomy łuk młyńskiego koła.

– Zeszłej nocy zdawało mi się, że słyszę, jak się obraca – mruknąłem.

Byłem pewien, że w istocie się nie poruszyło i że doznałem tylko niezwykłego nawiedzenia: dostrzegłem coś co wydarzyło się w przeszłości. Dręczyła mnie jednak ciekawość i miałem nadzieję, że Arkwright wyjaśni, co się dzieje.

Zamiast tego spojrział na mnie ze złością, na jego twarzy ujrzałem rumieniec gniewu.

– Czy wygląda, jakby mogło się obracać?! – krzyknął.

Pokręciłem głową i cofnąłem się o krok. Arkwright zaklął pod nosem, odwrócił się do plecami i poprowadził nas pod młyn, spuszczać głowę.

Wkrótce dotarliśmy do sześcienniej jamy; gospodarz zatrzymał się tak blisko jej skraju, że noski jego wielkich butów zawisły nad krawędzią. Wezwał mnie gestem. Stałem u jego boku, ale uważałem, by moje stopy całą powierzchnią stały na ziemi. To była jama czarownicy, zagrodzona trzynastoma żelaznymi prętami. Nie groziło mi zatem, że wpadnę do środka, ale wcale nie byłem bezpieczny. Czarownica potrafi sięgnąć przez pręty i chwycić człowieka za kostkę. Niektóre były bardzo szybkie i silne, poruszały się szybciej niż mgnienie oka. Wolałem nie ryzykować.

– Wodne wiedźmy umieją kopać w ziemi, młody Wardzie, musimy zatem temu zapobiec. Choć widzisz jedynie górny rząd prętów, w istocie tworzą one klatkę w kształcie sześcianu. Pozostałe ściany wkopane są w ziemię.

Znałem już podobne konstrukcje. Stracharz korzystał z identycznej klatki, by uwięzić lamie, także świetnie umiejące kopać.

Arkwright wyciągnął lampę nad ciemną dziurę.

– Spójrz w dół i powiedz mi, co widzisz...

Dostrzegłem wodę, w której odbijało się światło. Lecz z boku ciągnęła się wąska, błotnista półka. Coś na niej leżało, nie

potrafiłem jednak stwierdzić co. Zdawało się na wpół zagrzebane w błocie.

– Nie widzę dokładnie – przyznałem. Westchnął niecierpliwie i wyciągnął rękę po laskę.

– Tu trzeba wprawnego oka. W kiepskim świetle mógłbyś nadepnąć na podobną bestię i nawet się nie zorientować. Wbiłaby w ciebie zęby i po sekundzie wciągnęła w wodny grób. Może to pomoże...

Odebrał mi kij i powoli opuścił ostrzem na dół, między dwoma prętami, dokładnie nad półką. Nagle pchnął. Usłyszałem wrzask bólu i dostrzegłem gąszcz długich, splątanych włosów i przepelnione nienawiścią oczy, gdy coś z ogłuszającym pluskiem rzuciło się z półki do wody.

– Zostanie teraz na dnie przez co najmniej godzinę. Ale nieźle ją to obudziło, co? – rzucił z okrutnym uśmiechem.

Nie spodobało mi się, że od niechcienia zranił wiedźmę tylko po to, bym mógł ją zobaczyć lepiej. Wydało mi się to zbędne – mój mistrz by tak nie postąpił.

– Miej na względzie, że nie zawsze jest taka powolna. Przewidując, że nie będzie mnie kilka dni, podałem jej dodatkową porcję soli. Jeśli wsypiesz jej do wody zbyt dużo, wykończysz ją. Musisz zatem dobrze wszystko wyliczyć. W ten sposób je uspokajamy. Tak samo rzecz się ma ze skeltami – ze wszystkim, co pochodzi ze słodkiej wody. Dlatego otoczyłem ogród fosą. Owszem, jest płytka, ale zawiera mocny roztwór soli. Powstrzymuje wszystko, co mogłoby chcieć dostać się tu bądź stąd wydostać. Nie pozwala też stworom z bagien wdrzeć się do ogrodu. Ta wiedźma zginęłaby po paru sekundach, gdyby zdołała uciec z jamy i spróbowała przepawić się przez fosę. Tak czy inaczej, młody Wardzie, nie mam tak miękkiego serca jak pan Gregory. On trzyma w jamach żywe wiedźmy, bo nie potrafi się zmusić do tego, by je wykończyć. Ja robię to, by je ukarać. Odsiadują rok w jamie za każde odebrane życie – dwa lata za życie dziecka. Potem wyławiam je i zabijam. Zobaczmy teraz, czy uda nam się przyjrzeć

skeltowi, o którym wspominałem, temu złapanemu nad kanałem...

Poprowadził mnie do kolejnej jamy, niemal dwukrotnie większej od pierwszej. Tak samo zamykały ją żelazne pręty, lecz tu było ich o wiele więcej były i znacznie gęstsze. W dole dostrzegłem jedynie wodę, bez śladu półki. Miałem przecucie, że jama jest bardzo głęboka.

Arkwright zapatrzył się w nią i pokręcił głową.

– Wygląda na to, że przyczał się przy dnie. Wciąż jest otępiały po dużej dawce soli, którą mu wsypałem. Lepiej nie niepokoić śpiącego skelta. Przez pół roku wiele razy zdążysz mu się przyjrzeć. A teraz przejdźmy się po ogrodzie...

– Jak ona się nazywa? – spytałem, wskazując mijaną jamę wiedźmy.

Arkwright zatrzymał się gwałtownie, spojrzał na mnie i pokręcił głową. Na jego twarzy malowały się różne emocje, wszystkie niedobre. Najwyraźniej uważał, że powiedziałem coś niewiarygodnie głupiego.

– To tylko zwykła wodna wiedźma – rzekł, miażdżąc mnie wzrokiem. – Nie wiem, jak się zwie, i wcale mnie to nie obchodzi! Nie zadawaj głupich pytań!

Nagle poczułem złość, aż zapiekła mnie twarz. Znajomość nazwiska wiedźmy bywa użyteczna! – warknąłem.

– Pan Gregory opisuje wszystkie czarownice, o których słyszał i z którymi zetknął się osobiście.

Arkwright przysunął twarz do mojej tak, że poczułem jego kwaśny oddech.

– Nie jesteś już w Chipenden, chłopcze. Na razie ja jestem twoim mistrzem i będziesz robił wszystko po mojemu. A jeśli jeszcze kiedyś odezwiesz się do mnie tym tonem, stłukę cię na kwaśne jabłko. Zrozumiałeś?

Zagryzłem wargę, by nie odpowiedzieć. Potem przytaknąłem i wbiłem wzrok we własne buty. Dlaczego dałem się tak ponieść emocjom? Po pierwsze, uważałem, że się myli. Po drugie, nie spodobał mi się ton, jakim się do mnie zwracał. Nie powinienem



jednak okazywać złości. Ostatecznie mistrz uprzedzał mnie, że Arkwright postępuje inaczej i że będę musiał się do niego dostosować.

– Chodź ze mną, młody Wardzie – głos Arkwrighta złagodniał. – Pokażę ci ogród...

Zamiast poprowadzić mnie schodami z powrotem do pomieszczenia wejściowego, Arkwright zawrócił w stronę koła. Z początku sądziłem, że zamierza precyzyjnie się obok, potem jednak zauważyłem wąskie drzwi po lewej. Otworzył je kluczem. Za nimi rozciągał się ogród. Przekonałem się, że mgła już się podniosła, lecz jej resztki nadal pozostały w dali za drzewami. Okrążyliśmy ogród wzdłuż fosy, od czasu do czasu Arkwright zatrzymywał się i pokazywał mi różne rzeczy.

– Tam jest Klasztorne Bagno. – Wskazał palcem na południowy zachód. – Za nim sterczy Mnisie Wzgórze. Nigdy nie próbuj sam przeprowadzić się przez bagna – przynajmniej dopóki nie poznasz dobrze okolicy i nie obejrysz jej na mapie. Za bagnem, niemal dokładnie na zachód, wznosi się wysoka skarpa, zatrzymująca fale z zatoki. – Rozejrzałem się, chłonąc wzrokiem wszystko, co opisywał. – A teraz – podjął – chciałbym, żebyś kogoś poznał...

To rzekłszy, wsunął do ust dwa palce i wydał z siebie długi, przenikliwy gwizd. Powtórzył go i niemal natychmiast usłyszałem, jak coś biegnie ku nam od strony bagna. Wkrótce ujrzałem dwa wielkie wilczarze, oba z łatwością przeskoczyły fosę. Przywykłem do psów na farmie, ale te zwierzęta miały w sobie coś dzikiego i zdawały się biec wprost na mnie. Więcej miały w sobie z wilka niż z psa i gdybym był sam, z pewnością powaliłyby mnie w sekundę. Jeden był brudnoszary z pasmami czerni, drugi – czarny jak węgiel – odznaczał się szarą plamą na końcu ogona. Otworzyły szeroko pyski, szczerząc zęby, gotowe gryźć.

Lecz na polecenie Arkwrighta: „Siad!”, zatrzymały się natychmiast i usiadły na zadach, patrząc na swego pana z wywieszonymi ozorami.

– Czarna to suka – wyjaśnił Arkwright. – Nazywa się Szpon.

Nie odwracaj się do niej plecami – jest niebezpieczna. A to jest Kieł. – Wskazał ręką szarego psa. – Spokojniejszy, ale to psy robocze, nie domowe zwierzątka. Słuchają mnie, bo dobrze je karmię i wiedzą, że nie warto mi się narażać. Ciepła i sympatii szukają wyłącznie u siebie. Tworzą prawdziwą parę. Nierozłączną.

– Mieszkalem na farmie. Też trzymaliśmy psy robocze – poinformowałem.

– Ach tak? W takim razie masz pojęcie, o czym mówię. Gdy masz do czynienia z psem roboczym, nie ma miejsca na sentymenty. Traktuj je uczciwie i dobrze karm. W zamian muszą zarabiać na życie. Obawiam się jednak, że te tutaj niewiele mają wspólnego z psami z farmy. Nocą zazwyczaj trzymam je na łańcuchu w pobliżu domu. Są nauczone szczekać, kiedy coś się zbliża. Za dnia polują na zające i króliki na skraju bagna, wypatrując wszystkiego, co mogłoby zagrozić domowi. Ale kiedy mam robotę, zabieram je z sobą. Gdy raz chwycą trop, nigdy go nie zgubią. Odnajdą wszystko, co im wskażę. A w razie konieczności, na mój rozkaz, mogą też zabić. Jak mówiłem, ciężko pracują i dobrze je karmię. Kiedy unicestwiam wiedźmę, dostają coś jeszcze. Wycinam serce i rzucam im. To, jak zapewne wyjaśnił ci już mistrz, nie pozwala jej wrócić na ten świat, ani w innym ciele, ani w swym własnym, martwym. Dlatego nie trzymam tu martwych czarownic. To mi oszczędza czasu i miejsca.

Arkwright nosił w sobie rys bezwzględności – z pewnością nie był człowiekiem, któremu warto było się narażać. Kiedy ruszyliśmy z powrotem do domu, z psami przy nodze, przypadkiem spojrzałem w górę i ujrzałem coś, co mnie zdumiało. Z dachu młyna wzbijały się w niebo dwie osobne smugi dymu. Jedna pochodziła z pieca w kuchni. Ale gdzie palił się drugi ogień? Zastanawiałem się, czy nie w zamkniętym pokoju, przed którym gospodarz mnie ostrzegwał. Czyżby na górze kryło się coś bądź ktoś, czego Arkwright wolał mi nie pokazywać? Potem przypomniałem sobie o niespokojnych zmarłych, którym pozwalał krążyć po domu. Wiedziałem już, że łatwo go rozgniewać, i byłem pewien, że nie

życzy sobie, abym zbytnio węszył, ale doskwierała mi ciekawość.

– Panie Arkwright – zagadnąłem uprzejmie – czy mógłbym zadać pytanie?

– Po to tu jesteś, młody Wardzie.

– To coś, o czym wspomniał pan w liście do mnie. Dlaczego pozwala pan krążyć po swym domu umarłym?

I znów po jego twarzy przebiegł gniewny grymas.

– Tutejsi umarli to rodzina. Moja rodzina, młody Wardzie. I nie jest to coś, o czym chciałbym z kimkolwiek rozmawiać. Musisz zatem powściągnąć swoją ciekawość. Kiedy wrócisz do pana Gregory'ego, spytaj jego. Wie coś na ten temat i bez wątpienia ci o tym powie. Ja jednak nie chcę słyszeć żadnych pytań w tej sprawie. Zrozumiałeś? Nie rozmawiam o tym.

Skinąłem głową i razem z nim wszedłem do domu. Może i byłem tu po to, by zadawać pytania, ale uzyskanie na nie odpowiedzi, to już zupełnie inna para kaloszy!

## ROZDZIAŁ 7

### ŻABIE NOGI

Gdy tylko zapadła ciemność, zjedliśmy lekką kolację, a potem Arkwright pomógł mi zanieść materac i pościel z powrotem do pokoju. Pościel całkiem wyschła, lecz materac pozostał nieco wilgotny. Wiedziałem jednak, że nie warto się skarżyć.

Byłem bardzo zmęczony, toteż szybko rozgościłem się w małej, pustej sypialni. Miałem nadzieję, że pośpię smacznie aż do rana, lecz po godzinie obudziły mnie te same niepokojące dźwięki, które słyszałem poprzedniej nocy – głuchy łoskot koła i ów straszliwy krzyk, od którego jeżyły mi się włosy na głowie. Lecz tym razem, gdy dźwięk w końcu umilkł, usłyszałem kroki dwóch osób, wchodzących po schodach z kuchni.

Byłem pewien, że Arkwright nadal leży w swym łóżku co

oznaczało, że muszą to być nawiedzające młyn duchy Dźwięki dotarły do podestu i minęły drzwi mojej sypialni. Usłyszałem, jak sąsiednie otwierają się i zamykają, coś usiadło na wielkim, podwójnym łożu – tym przesiąkniętym wodą. Sprężyny zaskrzypiały, jak gdyby coś się wierciło, próbując ułożyć wygodnie. Potem zapadła głucha cisza.

Przez długi czas nic jej nie naruszało i właśnie zaczynałem się odprężyć i zasypiać, kiedy za ścianą mojego pokoju przemówił głos.

– Nie mogę ułożyć się wygodnie – głos należał do mężczyzny, dźwięczała w nim żalosna nuta. – Och, jakże chciałbym jeszcze choć raz przespać się w suchym łożu.

– Tak mi przykro, Abe. Tak przykro. Nie chciałam sprawić ci tyle kłopotu i niewygód. To woda ze strumienia. Woda, w której utonęłam. Nie mogę się od niej uwolnić, choć tak bardzo próbuję. Połamane kości bolą, ale to wilgoć dręczy mnie najbardziej. Dlaczego nie odejdziesz, nie zostawisz mnie? Nic dobrego nie przyjdzie z naszego trwania tu razem.

– Miałbym cię zostawić? Jak mógłbym, ukochana Czymże są drobne niewygody, skoro mamy siebie?

Po tych słowach kobieta rozplakała się, napełniając cały dom smutkiem i cierpieniem. W chwilę później usłyszałem tupot ciężkich butów. Te kroki jednak nie były urojeniem. Sądziłem, że Arkwright się położył, ale najwyraźniej przebywał w pokoju na samej górze.

Teraz dotarł na podest i usłyszałem, jak zatrzymuje się przed drzwiami obok moich i otwiera je.

– Proszę, chodźcie na górę – zawołał. – Wejdźcie po schodach do mojego pokoju, tam oboje się ogrzejecie i usiądziecie wygodnie. Porozmawiajmy. Opowiedzcie mi historie z dawnych dni, kiedy razem byliśmy szczęśliwi.

Po długiej ciszy znów zaczął wspinać się po schodach. Nie słyszałem towarzyszących mu duchów, lecz gdy minął jakiś czas z góry dobiegł mnie szmer jego głosu, pogrążonego w rozmowie.

Nie rozumiałem, o czym mowa, lecz w pewnym momencie

Arkwright zaśmiał się z wymuszonym, jak oceniłem, rozbawieniem. Minęło znów kilka chwil i znów ogarnął mnie sen, a gdy się ocknąłem, do pokoju wsączało się szare światło.

\*

Wstałem wcześniej niż mój nowy mistrz i zdołałem zadowolająco przyrządzić rybę. Jedliśmy w milczeniu. Nie czułem się swobodnie w jego obecności i bardzo tęskniłem za życiem ze stracharzem i Alice. John Gregory bywał czasem surowy, ale go lubiłem. Kiedy odezwałem się niestosownie, natychmiast usadzał mnie w miejscu, ale nigdy nie groził pobiciem.

Nie spodziewałem się zbyt wiele po tutejszych lekcjach, ale czułbym się jeszcze gorzej, gdybym wiedział, co mnie czeka.

– Umiesz pływać, młody Wardzie? – spytał Arkwright, wstając od stołu.

Pokręciłem głową. Tak naprawdę nigdy nie musiałem się uczyć. Jedynymi zbiornikami wodnymi w pobliżu farmy było kilka płytkich strumieni i stawów, nad najbliższą rzeką przerzucono solidny, mocny most. A co do mego mistrza, Johna Gregory'ego, nigdy nawet nie wspominał o pływaniu. Całkiem możliwe, że sam też nie umiał pływać.

– Cóż, musimy to naprawić i to jak najszybciej. Chodź za mną! I nie zwracaj sobie głowy kijem. Mój w zupełności wystarczy. Kurtki i płaszcz też nie będziesz potrzebował.

Podążyłem za Arkwrightem przez ogród i w dół strumienia, w stronę kanału. Kiedy znaleźliśmy się na brzegu, zatrzymał się, wskazując ręką wodę.

– Wygląda na zimną, co?

Przytaknąłem. Jedno spojrzenie wystarczyło, bym zadrzał.

– Mamy dopiero październik i nim nadejdzie zima, woda zrobi się znacznie zimniejsza. Ale czasami trzeba do niej skoczyć i nie ma wyboru. W tej części Hrabstwa pływanie może ocalić ci życie. Jakie miałbyś szanse w walce z wodną wiedźmą, gdybyś nie umiał pływać? Wskakuj zatem, młody Wardzie i zaczynajmy. Pierwsze kroki są najtrudniejsze, im szybciej będziemy je mieli za sobą, tym

lepiej.

Zapatrzyłem się w mętną wodę kanału. Nie mogłem uwierzyć, że miałbym do niej wskoczyć. Kiedy zawahałem się i odwróciłem do niego, chcąc zaprotestować, Arkwright westchnął i obrócił w rękę kij tak, że trzymał teraz za koniec z morderczą włócznią i haczykami. Następnie, ku memu zdumieniu, pochylił się naprzód i pchnął mnie tępym końcem kija mocno w pierś. Zachwiałem się, poleciałem w tył i z ogłuszającym pluskiem wpadłem do kanału. Szok towarzyszący zetknięciu z zimną wodą sprawił, że zachłysnąłem się, ale w tym czasie moja głowa znalazła się już pod powierzchnią i zacząłem się dusić, gdy woda wpłynęła mi do nosa i otwartych ust.

Przez chwilę nie wiedziałem, gdzie jest góra. Aż nadto świadom, że niewiele tu zdołałem, szamotałem się bezradnie. Na szczęście wkrótce głowa wynurzyła mi się na powierzchnię i ujrzałem niebo. Usłyszałem, jak Arkwright coś krzyczy, ale nim zdołałem porządnie chwycić oddech, znów się zanurzyłem. Szarpałem się w panice, tonąłem, młóćąc na oślep rękami i nogami, próbując się czegoś chwycić – czegokolwiek, co zapewniłoby oparcie.

Dlaczego Arkwright mi nie pomagał? Czy nie widział, że się topię? W tym momencie jednak coś trąciło mnie w pierś, chwyciłem to mocno i trzymając się kurczowo, niczym ponura śmierć, poczułem, jak ciągnie mnie przez wodę. W następnej chwili ktoś złapał mnie mocno za włosy i poderwał na powierzchnię.

Póллеżałem na brzegu, patrząc na górującą nade mną, wyszczerzoną w uśmiechu twarz Arkwrighta. Próbowałem coś powiedzieć, dać mu do wiwatu. Co za głupota! Mało mnie nie utopił! Ale wciąż się krztusiłem i z trudem chwytałem oddech, z ust zamiast słów płynęła mi woda.

– Posłuchaj, młody Wardzie. Kiedy nurek chce zanurzyć się głęboko, najłatwiej mu to uczynić, trzymając kamień, by duży ciężar ściągnął go na dno. Sam z siebie tam nie opadniesz, bo łatwiej jest pływać w wodzie, w niej tonąć. Twoje ciało unosi się naturalnie. Musisz tylko podciągnąć głowę, by nie tracić tchu i

nauczyć się paru ruchów. Widziałeś, jak żaba porusza tylnymi nogami? – spytał.

Patrzyłem na niego zdumiony. Dopiero teraz zdołałem porządnie napełnić płuca powietrzem. Jak dobrze było po prostu oddychać.

– Będę cię ciągnął na mojej lasce, młody Wardzie. Ćwicz żabie ruchy. Jutro popracujemy nad rękami.

Bardzo chciałem wypuścić kij i wczłogać się na brzeg. Nim jednak zdążyłem coś zrobić bądź zaprotestować, Arkwright ruszył na południe wzdłuż brzegu kanału, lewą ręką ciągnąc laskę tak, że musiałem podążać za nią.

– Nogi! – polecił.

Zrobiłem, jak kazał. Chłód zaczynał wnikać mi w kości, musiałem się ruszać, żeby się ogrzać. Po paruset jardach zmienił kierunek.

– Nogi! Nogi! Nogi! No dalej, młody Wardzie, potrafisz lepiej. Kop mocniej! Wyobraź sobie, że goni cię wodna wiedźma.

Po jakimś kwadransie wyciągnął mnie na brzeg. Byłem przemoczony i przemarznięty, brudna woda chlupała mi nawet w butach.

Arkwright przyjrzał im się i pokręcił głową.

– Oczywiście, bez ciężkich butów pływa się o wiele łatwiej, ale możesz nie mieć czasu ich zrzucić. A teraz wracajmy do młyna, żebyś się wysuszył.

Resztę poranka spędziłem przed kuchennym piecykiem, opatulony w koc, próbując rozgrzać ciało. Arkwright zostawił mnie samego, dużo czasu spędził na górze. Zdecydowanie nie zachwycił mnie jego metody nauki pływania i nie cieszyła mnie perspektywa kolejnej lekcji.

Późnym popołudniem wyprowadził mnie do ogrodu, tym razem kazał zabrać laskę. Zatrzymał się na polanie i odwrócił do mnie.

Przyjrzałem mu się, zaskoczony. Trzymał przed sobą laskę uniesioną pod kątem czterdziestu pięciu stopni, jakby zamierzał mnie nią uderzyć albo się bronić. Obrócił ją jednak ponownie

ostrzem do siebie, grubszym końcem do góry.

– Obróć swój kij tak jak ja – polecił. – Nie wątpię, że twoja klinga pozostanie w ukryciu, ale wolimy uniknąć wypadków, prawda? A teraz spróbuj mnie uderzyć! Zobaczymy, z czego cię zrobiono.

Bez przekonania zamachnąłem się parę razy, z łatwością odparowałem każdy cios.

– Tylko na tyle cię stać? – spytał. – Próbuję sprawdzić, do czego jesteś zdolny, żebym wiedział, nad czym powinniśmy popracować. Postaraj się bardziej, nie martw się, nie zrobisz mi krzywdy. Pan Gregory mówił, że dobrze sobie radzisz z pchnięciami. Przekonajmy się, co potrafisz.

Spróbowałem zatem. Naprawdę spróbowałem. Machałem kijem tak szybko, że wkrótce się zdyszałem, i w końcu wyprowadziłem pchnięcie – sztuczkę, której nauczył mnie mój mistrz. Parowało się jedną ręką i przerzucało kij do drugiej. Ten manewr ocalił mi życie, gdy walczyłem z wiedźmą zabójczynią o imieniu Grimalkin. Byłem pewien, że przebiję się przez obronę Arkwrighta, lecz kiedy spróbowałem, z łatwością odtrącił na bok mój kij.

Wyraźnie jednak uznał, że rzeczywiście się starałem, i zaczął mi pokazywać, jak lepiej ułożyć stopy przy każdym ataku. Trwało to niemal do zmroku, wówczas zakończył lekcję.

– Cóż, młody Wardzie, to dopiero początek. Wyśpij się dobrze, bo jutro będzie jeszcze gorzej. Zaczniemy od pracy z psami. Potem wrócimy do kanału na drugą lekcję pływania, a potem znów powalczymy. Następnym razem ja będę próbował cię trafić! Miejmy nadzieję, że umiesz się bronić albo za każdą lukę w osłonie zapłacisz solidnym sińcem.

Wróciliśmy do młyna i zjedliśmy zasłużoną kolację. Miałem za sobą ciężki dzień – delikatnie mówiąc – ale jedno musiałem przyznać. Może i Arkwright stosował surowe metody, lecz był dobrym nauczycielem. Czułem, że sporo się już nauczyłem.

## **ROZDZIAŁ 8**



## ŻONA RYBAKA

Tak się złożyło, że następnego dnia uniknąłem szkolenia. Właśnie kończyliśmy śniadanie, gdy usłyszałem w oddali trzy uderzenia dzwonu.

– Wygląda na to, że mamy kłopoty – zauważył Arkwright. – Weź kij, młody Wardzie. Zobaczmy, czego od nas chcą.

To rzekłszy, ruszył pierwszy przez ogród i słoną fosę w stronę kanału. Pod dzwonem czekał na nas wysoki starszy mężczyzna. Do piersi przyciskał kartkę papieru

– A zatem podjęliście decyzję... – rzekł Arkwright, gdy się zbliżyliśmy.

Tamten przytaknął. Miał siwe włosy, rzadkie na skroniach. Był nie tylko wysoki, ale i chudy. Zdawało się, że byle silniejszy podmuch wiatru może zwalić go z nóg. Uniósł kartkę, pokazując ją Arkwrightowi. Z jednej – trony widniało dziewiętnaście nazwisk, z drugiej trzy.

– Wczoraj głosowaliśmy – oznajmił żalosnym, proszącym tonem. – Znacząca większość podjęła decyzję. Nie chcemy, by mieszkała w pobliżu. To złe. Wbrew naturze...

– Mówiłem już ostatnio – odparł Arkwright z irytacją – nie wiemy nawet, czy jest nią na pewno. Mają dzieci?

Chudzielec pokręcił głową.

– Nie mają, ale jeśli nawet, twoje psy rozpoznają, prawda? Wyczują różnicę?

– Możliwe, lecz sprawy nie zawsze wyglądają tak prosto. No dobrze, przyjdę i zobaczę, co da się zrobić – tak czy inaczej.

Tamten przytaknął i pospieszył na północ, wzdłuż kanału.

Kiedy zniknął nam z oczu, Arkwright westchnął.

– Nie zachwyca mnie to zadanie. Grupa pocziwych ludzi z północy uważa, że miejscowy rybak żyje z selkie – oznajmił; słowo „pocziwych” wprost ociekało sarkazmem. – Marudzili niemal rok,

próbując podjąć decyzję. A teraz chcę, żebym ja zajął się sprawą.

– Selkie? Co to takiego?

– Selkie to istota zmiennokształtna, popularnie zwana kobietą-foką, młody Wardzie. Zwykle żyją na otwartym morzu, lecz od czasu do czasu podoba im się jakiś mężczyzna. Zaczynają go szpiegować, gdy wypływa na morze, reperuje sieci. A im bardziej się do niego przywiązują, tym więcej nabierają ludzkich cech. Przemiana trwa najwyżej dzień – zmieniają się w idealne kobiety lub niezwykle piękne dziewczęta. Rybak zazwyczaj już przy pierwszym spotkaniu zakochuje się bez pamięci i poślubia selkie. Takie małżeństwa nie mogą mieć dzieci, ale poza tym są bardzo szczęśliwe. Osobiście nie widzę w tym nic złego, ale skoro ludzie się skarżą, trzeba zareagować, to część naszej pracy. Musimy sprawić, by czuli się bezpieczni. To oznacza, że trzeba zabrać psy. Selkie żyją czasem wśród ludzi wiele lat, nim ktokolwiek zacznie coś podejrzewać. Zwykle to kobiety podburzają swych mężczyzn. Robią się zazdrosne. Bo widzisz, oprócz wyjątkowej urody, selkie prawie się nie starzeją.

– Ten rybak... skoro jego żona to selkie – spytałem – czy on wie?

– Po jakimś czasie część mężczyzn się domyśla. Ale się nie skarżą.

Arkwright wzruszył ramionami i wydał z siebie długi, przenikliwy gwizd. Niemal natychmiast odpowiedziało mu dalekie ujadanie psów; wkrótce podbiegły do nas z otwartymi pyskami, groźnie szczerząc zęby. Zaraz potem ruszyliśmy na północ, maszerując brzegiem kanału. Kieł i Szpon biegły przy nodze stracharza, a ja dreptałem parę kroków dalej. Wkrótce minęliśmy mężczyznę z wioski; Arkwright nie pozdrowił go nawet skinieniem głowy.

Wcale nie podobała mi się ta robota, a i Arkwright, choć taki twardy, wyraźnie nie był z niej zadowolony. Selkie kojarzyły mi się z lamiami – one także umiały powoli zmieniać postać na ludzką. Pomyślałem o Meg, lamii, którą kiedyś kochał mój mistrz. Jak by

się czuł, gdyby ktoś inny wypuścił na nią psy? Nie lepiej, niż poczuje się rybak, kiedy zajmiemy się jego żoną. Moja mama najpewniej także była lamią, jak jej siostry. A wiedziałem, co poczułby tato, gdyby ktoś tak na nią polował. Cała sytuacja budziła we mnie sprzeciw. Skoro żona rybaka nikomu nie szkodziła, czemu mieliśmy ją ścigać?

Zostawiliśmy za sobą kanał, skręcając na zachód w stronę wybrzeża i wkrótce ujrzałem przed sobą rozległe, jasnobrązowe piaski. Dzień był zimny – słońce nie dawało ani krztyny ciepła, choć jego promienie skrzyły się na powierzchni dalekiego morza. Wymijając szerokim łukiem wilczarze, podszedłem do Arkwrighta. Miałem wiele pytań.

– Czy selkie posiadają jakieś moce? – spytałem. – Czy posługują się czarną magią?

Pokręcił głową, nie patrząc na mnie.

– Ich jedyna moc polega na umiejętności zmiany wyglądu – wyjaśnił ponuro. – Mimo ludzkiej postaci, w razie zagrożenia w ciągu paru minut mogą przemienić się z powrotem w fokokształtne.

– Czy należą do mroku? – naciskałem.

– Tylko pośrednio – odparł. – Pod tym względem są jak ludzie – same wybierają drogę.

Wkrótce przeszliśmy przez niewielką osadę, liczącą siedem chałup. W powietrzu wisiał słaby odór gnijących ryb. Ujrzałem rozciągnięte sieci i parę niewielkich łodzi, lecz ani śladu ludzi. W oknach nie poruszyła się nawet firanka. Musieli z daleka zobaczyć Arkwrighta i wiedzieli, że lepiej się przed nim ukryć.

Daleko za wioską stał samotny domek, a na niewielkim pagórku za nim ujrzałem mężczyznę reperującego sieci. Przed domem, na skraju plaży, od metalowego haka w ścianie do drewnianego słupka ciągnął się sznur na białiznę. Połowę sznura zajmowało pranie. Z domku wyszła kobieta niosąca naręcze mokrej białizny i mocując się z zapinkami, zaczęła je rozwieszać.

– Zobaczmy, jak to wygląda – warknął Arkwright i gwizdnął

cicho. Oba psy natychmiast pomknęły naprzód. – Nie martw się, młody Wardzie – dodał – są świetnie wyszkolone. Jeśli to człowiek, nawet jej nie lizną!

Nagle sam puścił się biegiem w stronę domu. W tym momencie rybak oderwał wzrok od pracy i zerwał się na równe nogi. Włosy miał siwe, wyglądał staro. Wówczas przekonałem się, że mój mistrz nie pędzi ku kobiecie, jego celem był mąż. Psy natomiast biegły wprost na nią. Kobieta uniosła głowę, upuściła pranie, podciągnęła spódnicę nad kolana i pomknęła w stronę odległego morza.

Bez namysłu ja także zacząłem biec śladem psów, ścigających ofiarę. Czy to była selkie? Jeśli nie, czemu uciekła? Może obawiała się kłopotów ze strony mściwych sąsiadów, a może po prostu bała się psów, jak niektórzy. Zresztą Kiel i Szpon mogły przestraszyć każdego. Lecz fakt, iż kierowała się wprost do morza, zaniepokoił mnie. Wyglądała młodo – znacznie młodziej od rybaka, na tyle młodo, by być jego córką. Zbliżyliśmy się do niej, mimo iż biegła szybko, długie włosy powiewały za nią, stopy uderzały o ziemię. Zdawało się, że nie ma szans, uciec psom. Od morza dzielił ją spory dystans.

Wówczas jednak zauważyłem kanał tuż przed nami Niczym rzeka przecinał piaski, a z zachodu nadciąga przypływ. Wzburzona woda pieniała się, kanał był głęboki. Szpon doścignęła kobietę i otworzyła pysk, w tym momencie jednak tamta jakby dostała skrzydeł. Biegła tak szybko, że w kilka sekund pies został daleko w tyle.

A potem w biegu zaczęła zrzucać ubranie. Zanurkowała wprost do wody. Dotarłem na brzeg kanału i spojrzałem w dół. Nie zauważyłem ani śladu kobiety. Czyżby utonęła? Woląta taką śmierć, niż dać się rozszarpać psom? Psy wyły, kręcąc się na brzegu, ale nie skoczyły za nią. Nagle nad wodą na moment pokazała się głowa i ramiona. Kobieta obejrzała się na mnie i wiedziałem...

Jej twarz nie była już ludzka. Ujrzałem okrągłe, wybałuszone

oczy i gładkie, lśniące futro. Żona rybaka rzeczywiście była selkie. A teraz bezpiecznie wróciła do swego wodnego domu. Zaskoczyły mnie jednak psy. Dlaczego nie ścigały jej do morza?

Płynęła szybko kanałem pod prąd, kierując się na otwarte morze. Parę chwil obserwowałem jej podskakującą głowę, w końcu zniknęła mi z oczu. Wówczas odwróciłem się i ruszyłem powoli w stronę domku. Psy, zawiedzione, dreptały obok. Z daleka widziałem Arkwrighta obejmującego rybaka, przytrzymującego go w miejscu. Nie pozwolił mu rzucić się na pomoc żonie.

Gdy się zbliżyłem, Arkwright wypuścił mężczyznę, który zaczął gorączkowo wymachiwać rękami. Z bliska wyglądał jeszcze starzej.

– Czym komu zawiniliśmy? Czym zawiniliśmy? – zawodził, a po twarzy płynęły mu łzy. – Moje życie już się skończyło. Tylko dla niej żyłem. Byliśmy razem prawie dwadzieścia lat, a ty to przerwałeś. I dlaczego? Z powodu gadek kilku zazdrosnych sąsiadów? Co z ciebie za człowiek? Była dobra, łagodna, nie skrzywdziłaby nikogo.

Arkwright pokręcił głową, ale nie odpowiedział. Odwrócił się plecami do rybaka i razem ruszyliśmy w stronę osady, nad którą zbierały się ciemne, deszczowe chmury. Gdy się zbliżyliśmy, zaczęły otwierać się drzwi, firanki w wielu oknach zafalowały. Jednak na ulicę wyszedł tylko jeden człowiek, ten sam chudzielec, który uderzył w dzwon i wezwał nas do tej nieszczęsnej pracy. Podszedł i podał mistrzowi garść monet. Wyglądało na to, że urządzili zbiórkę, żeby mu zapłacić. I zrobili to zadziwiająco szybko. John Gregory rzadko od razu otrzymywał zapłatę. Często musiał czekać miesiącami – czasem aż do następnych żniw.

Przez moment sądziłem, że Arkwright nie przyjął pieniędzy. Nawet kiedy trafiły już do jego ręki, wyglądał, jakby zamierzał cisnąć tamtemu moniaki w twarz, a nie schować je do kieszeni. Jednak to właśnie zrobił i bez słowa ruszył dalej ulicą.

– Czy ona nie wróci, kiedy sobie pójdziemy? – spytałem podczas marszu w kierunku kanału.

– One nigdy nie wracają, młody Wardzie – odparł Arkwright z

ponurą miną. – Nikt nie wie dlaczego, ale teraz spędzi lata na otwartym morzu. Może nawet resztę długiego życia. Chyba że wypatrzy innego mężczyznę, który jej się spodoba. Może z czasem poczuje się samotna...

– Dlaczego psy nie skoczyły za nią do wody?

Arkwright wzruszył ramionami.

– Gdyby ją doścignęły, już by nie żyła, nie myśl sobie. Ale w swym własnym żywiole jest bardzo silna i zdołałaby się obronić. Pozostawiona w spokoju nikomu nie szkodzi, toteż nie zamierzam niepotrzebnie ryzykować życiem psów. W przypadku wodnej wiedzy jest inaczej i spodziewam się, że zwierzęta walczyłyby do końca. Ale po co zadawać sobie trud z kobietą-foką? Tak naprawdę nikomu nie zagraża. Już uciekła i dziś w nocy wieśniacy poczują się bezpieczniej w swych wygodnych łózkach. Zrobiliśmy swoje.

Wszystko to wydało mi się okrutne i nie spodobał mi się fakt, że wziąłem udział w owej niepotrzebnej misji. Byli ze sobą prawie dwadzieścia lat, a teraz rybaka czeka gorzka, samotna starość. W tym momencie poprzysiągłem sobie, że kiedy zostanę stracharzem, pewnych zleceń nigdy nie zgodzę się przyjąć.

## **ROZDZIAŁ 9**

### **GUZY I SIŃCE**

Do młyna dotarliśmy wczesnym popołudniem, akurat zaczęło padać. Miałem nadzieję, że coś zjemy, lecz Arkwright nakazał, bym wyjął notatnik i usiadł przy kuchennym stole. Wyglądało na to, że zamierza urządzić mi lekcję.

Czekałem dość długo, nim w końcu wrócił z frontowego pomieszczenia, ściskając w dłoniach zapaloną lampę i butelkę czerwonego wina, już do połowy opróżnioną. Czyżby zdążył już tyle wypić? Twarz miał mroczniejszą niż gradowa chmura i nie wydawał się w nastroju do nauki.

– Zapisz to, czego nauczyłem cię dziś rano – polecił, stawiając lampę pośrodku stołu.

Spojrzałem ze zdumieniem: owszem, w kuchni było trochę ciemno, ale nadal miałem dość światła do pisania. Następnie pociągnął duży łyk z butelki i wyjrzał przez brudne kuchenne okno na potworną ulewę.

Podczas gdy pisałem, trzymając się dużego kręgu żółtawego światła, Arkwright nadal spoglądał przed siebie, czasu do czasu pociągając z flaszki. Nim zapisałem wszystko, czego dowiedziałem się na temat selkie, niemal ją opróżnił.

– Skończyłeś, młody Wardzie? – spytał, gdy odłożyłem pióro.

Przytaknąłem i uśmiechnąłem się do niego, on jednak nie odwzajemnił uśmiechem. Zamiast tego wysączył resztę wina i szybko wstał z krzesła.

– Chyba czas na nieco guzów i sińców! Bierz kij i ruszaj za mną!

Spojrzałem na niego ze zdumieniem, solidnie zaniepokojony. Nie spodobał mi się okrutny, złośliwy błysk w jego oczach. Chwycił własną laskę i lampę, po czym wymaszerował z kuchni, agresywnie unosząc ramiona. Zabrałem zatem kij i podążyłem za nim. Poprowadził mnie przez kuchnię, dalej korytarzem aż do drzwi na końcu, wyposażonych w dwa ciężkie rygle, oba odciągnięte.

– Byłeś tu kiedyś w środku, młody Wardzie?

Pokręciłem głową. Arkwright otworzył drzwi i postąpił parę kroków w mrok. Ruszyłem za nim. Powiesił lampę na haku pośrodku sufitu. Pierwszą rzeczą, jaką zauważyłem, był fakt, że pokój nie miał okien. Liczył sobie jakieś dziesięć na dziesięć stóp, sklepienie miał niższe niż reszta domu, podłogę wyłożoną nie deskami, a kamiennymi płytami.

– Co to są „guzy i sińce”? – zapytałem nerwowo.

– To określenie, którym czasem nazywam ćwiczenia praktyczne. W ogrodzie pana Gregory'ego ćwiczyłeś rzucanie łańcuchem i okładanie kijem suchego pniaka. Wczoraj posunęliśmy się krok dalej, gdy spróbowałeś trafić we mnie i ci się nie udało.

Teraz jednak czas na coś nieco boleśniejszego. Dołożę wszelkich starań, by cię rąbnąć moim kijem. Bez wątpienia zarobisz parę guzów i sińców, ale zyskasz pożyteczne umiejętności. No chodź, młody Wardzie, zobaczmy, co potrafisz!

To rzekłszy, zamachnął się laską, celując w mą głowę. W ostatniej chwili uskokczyłem do tyłu i ciężki drewniany kij przeleciał o cal od mojego nosa. Arkwright znów zaatakował i ponownie musiałem się cofnąć.

Stracharz często zadawał mi ćwiczenia fizyczne, potrzebne do walki w ciemności. Pod okiem mistrza pracowałem nad nimi aż do zupełnego wyczerpania. Ale w końcu się opłaciło. W niebezpiecznych sytuacjach wypracowana rutyna ocaliła mi życie. Nigdy jednak nie walczyłem z nim, kij przeciw kijowi. A Arkwright znów pił co wyraźnie pogarszało mu humor.

Drugi cios zadał szybko, mocno zamachując się laską. W ostatniej chwili zdołałem zablokować uderzenie moją własną, lecz siłę ciosu poczułem aż w ramionach. Obracałem się w lewo, cofając się czujnie i zastanawiając, czy naprawdę chce mi zrobić krzywdę, czy jedynie zmusza do ćwiczenia manewrów obronnych.

Odpowiedź nadeszła szybko. Wyprowadził fintę w prawo, po czym zakreślił laską ostry łuk, uderzając mnie w lewe ramię. Cios był tak silny, że natychmiast upuściłem kij.

– Podnieś laskę, młody Wardzie. Dopiero zaczęliśmy...

Lewa ręka trzęsła mi się, gdy złapałem kij. Ramię pulsowało, w całej ręce czułam mrowienie.

– Już masz problem, młody Wardzie. Gdybyś ćwiczył i przygotował się na tę ewentualność, umiałbyś walczyć także prawą ręką.

Uniosłem kij w obronnym geście, ściskając go oburącz. Trzy kolejne ciosy wstrząsnęły całym moim ciałem. Ledwie zdołałem je zablokować; gdyby mi się nie udało, trafiłyby mnie w głowę bądź w korpus. Arkwright oddychał szybciej, twarz miał czerwoną z gniewu oczy wyłaziły mu z orbit, na skroniach nabrzmiały żyły. Wyglądał, jakby chciał mnie zabić: raz po raz atakował zawzięcie,



aż w końcu straciłem rachubę odparowanych ciosów. Jak dotąd sam nie zadałem żadnego, lecz wewnątrz mnie wzbierał gniew. Co z niego za człowiek? Czy w taki sposób stracharz szkoli swego ucznia?

Arkwright znacznie przewyższał mnie siłą. Był mężczyzną, a ja jeszcze chłopcem. Ale chyba miałem nad nim jedną przewagę: szybkość. Pozostawało wykorzystać okazję, gdy tylko się nadarzy. I kiedy myśl o obronie błysnęła w mojej głowie, tak właśnie się stało. Arkwright zamachnął się. Ja uskokyłem. Zachwiał się lekko – zapewne sprawiło to wypite wino – wyciągnął rękę, a ja uderzyłem go mocno w lewe ramię, odplacając za ból, jaki mi zadał. Lecz Arkwright nie upuścił kija. Atakował dalej, mocniej niż wcześniej. Jeden cios trafił mnie w prawe ramię, drugi w prawą dłoń i moja laska poleciała na kamienie. Nim się zorientowałem, zamachnął się, celując w moją głowę. Próbowałem odskoczyć, ale rąbnął mnie w czoło tak, że osunąłem się na kolana.

– Wstawaj – rzucił, patrząc na mnie z góry – nie uderzyłem cię aż tak mocno. To tylko lekki klaps, pokazujący, co mogło się zdarzyć w prawdziwej walce. Ten ostatni cios mógł cię wykończyć. Życie jest ciężkie, młody Wardzie, a po świecie krąży mnóstwo wrogów, którzy z radością ujrzeliby cię w grobie. Moim zadaniem jest dobrze cię wyszkolić. Upewnić się, że zdobędziesz umiejętności, które pozwolą ci ich powstrzymać. A jeśli przy okazji zarobisz parę guzów, niechaj i tak będzie. To cena, którą warto zapłacić.

\*

Poczułem ulgę, gdy wreszcie uznał lekcję za skończoną. Deszcz przestał padać i Arkwright zamierzał sprawdzić kanał na południu, zabierając ze sobą psy. Poleciał mi podczas swojej nieobecności odświeżyć rzeczowniki i czasowniki łacińskie; odniosłem wrażenie, że nie życzy sobie mojego towarzystwa i ucieszyłby się, gdybym wrócił do stracharza. Posłusznie jakiś czas ślęczałem nad czasownikami, ale miałem problemy z koncentracją. I wtedy usłyszałem dobiegający z góry hałas. Dochodził z pierwszego piętra, a może z wyższego...?

Stałem u stóp schodów, nasłuchując. Po paru chwilach znów się zaczęło. To nie były kroki ani łaskoty – nie potrafiłem do końca określić, co słyszę. Coś jakby zgrzyt. Czyżby ktoś tam był? A może to jeden z duchów które słyszałem poprzedniej nocy? Duch członka rodziny Arkwrightów?

Wiedziałem, że nie powinienem iść na górę – mojemu nowemu mistrzowi z pewnością by się to nie spodobało, Ale byłem znudzony, ciekawy i zły na niego po owym ciosie w głowę. Nazwał go małym klapsem, ale uderzenie nie było wcale takie słabe. Poza tym miałem powyżej uszu jego i jego sekretów.

Wyszedł z domu, a to, czego nie będzie wiedział, nie zdenerwuje go. Ruszyłem zatem na górę, krok za krokiem, starając się robić jak najmniej hałasu. Na pierwszym piętrze przystanąłem przed drzwiami podwójnej sypialni, wyęzając słuch. Zdawało mi się, że ze środka dobiega cichy szelest. Ostrożnie uchyliłem drzwi i wszedłem do sypialni, lecz okazała się pusta. Kołdra na podwójnym łożu pozostawała odsunięta. Ponownie dotknąłem lekko prześcieradła palcem. Materac, identycznie jak przedtem, był zupełnie mokry. Ale coś wyglądało inaczej. Dziś kołdra została odrzucona nieco dalej.

Zadrzałem, szybko wyszedłem z pokoju i sprawdziłem pozostałe trzy pomieszczenia. Nigdzie nic się nie zmieniło. Stałem w swojej sypialni, kiedy dźwięk znów się pojawił. Dochodził z piętra wyżej.

Niezwykłe zaintrygowany, wspiąłem się po schodach, przed sobą ujrzałem tylko jedne drzwi. Nacisnąłem klamkę, odkryłem, że są zamknięte. W tym momencie powinienem był zawrócić i zejść do kuchni. Ostatecznie Arkwright wyraźnie ostrzegał, żebym trzymał się z daleka od tego pokoju. Ale nie podobało mi się to, jak mnie traktował – i jak często odmawiał odpowiedzi na moje pytania. Kierując się zatem impulsem podszyconym irytacją, wyciągnąłem z kieszeni mój specjalny klucz i otworzyłem drzwi. Kiedy znalazłem się wewnątrz, uderzył mnie rozmiar pomieszczenia. W blasku dwóch dużych świec widać było wyraźnie, jak jest wielkie. Bardzo wielkie. Zajmowało powierzchnię całego jednego piętra domu.

Zauważyłem też, że było tu sucho i ciepło. Piec, dwa razy większy niż ten w kuchni, promieniował gorącem. Obok stało duże wiaderko z węglem, z którego sterczał pogrzebacz i para szczypiec.

Dwie ściany pokrywały półki z książkami – czyli jednak Arkwright miał własną bibliotekę. Podłogę zrobiono z bardzo ciemnego, błyszczącego drewna. Przed trzema krzesłami, stojącymi naprzeciw pieca, leżał dywanik, z jagnięcej skóry. W najdalszym kącie zauważyłem coś jeszcze.

Na pierwszy rzut oka wydało mi się, że świece stoją na dwóch podłużnych stołach. Myliłem się jednak. W istocie były to dwie trumny, ustawione obok siebie na koziołkach. Ruszyłem ku nim, czując, jak włosy jeżą mi się na głowie. W pokoju stopniowo robiło się coraz zimniej, a przynajmniej takie odnosiłem wrażenie. To ostrzeżenie, że zbliżali się niespokojni umarli.

Przyjrzałem się trumnom i odczytałem mosiężne tabliczki. Pierwsza, błyszcząca, głosiła:

Abraham Arkwright

W odróżnieniu od pierwszej trumny, czystej, wypolerowanej i z wyglądu niemal nowej, drewno drugiej sprawiało wrażenie przegniłego, porastała je pleśń; ku memu zdumieniu ujrzałem parę wznoszącą się z niej w ciepłym powietrzu. Mosiężną tabliczkę pokrywała śniedź, z wielkim trudem zdołałem odczytać wyryte w niej słowa...

Amelia Arkwright

I wtedy, tuż pod tabliczką, ujrzałem cienki złoty pierścionek, leżący na drewnianym wieku. Wyglądał jak ślubna obrączka. Musiał należeć do Amelii.

Nagle za plecami usłyszałem dwa dźwięki: brzęk metalu uderzającego o metal i odgłos otwieranych drzwiczek pieca. Obróciłem się na pięcie i odkryłem, że drzwiczki faktycznie stoją otworem, a pogrzebacz wsuwa się głęboko w płonące węgle. Na moich oczach zaczął się poruszać. Stąd właśnie brał się dźwięk, który słyszałem na dole. Ów zgrzyt, chrzęst podsycanego ognia!

Wystraszony, natychmiast pobiegłem do wyjścia i schodami na

dół. Co to za duch? Boginy potrafiły manipulować przedmiotami, rzucać kamieniami i głazami, tłuc talerze, ciskać garnkami po kuchni. Ale nie duchy. Z całą pewnością nie duchy. Ich moc ograniczała się do straszenia ludzi, czasami, choć rzadko potrafiły doprowadzić osoby o słabszych głowach na skraj obłądu. Zazwyczaj duchy nie mogły zaszkodzić żywym. Czasami ciągnęły za włosy, silniejsze oplatały dłońmi gardła i ścisnęły. Lecz ten duch przewyższał umiejętnościami wszystkie, o których mnie uczono i z którymi sam się zetknąłem. Uniósł z wiaderka ciężki, metalowy pogrzebacz, otworzył drzwiczki pieca i zaczął poprawiać węgle. To mi już zupełnie wystarczyło, ale najgorsze miało dopiero nadejść. U stóp schodów, w holu, czekał Arkwright. W dłoni ścisnął kolejną, opróżnioną do połowy, butelkę wina, a jego oblicze przypominało gradową chmurę.

– Stoję tu od paru chwil, słucham i własnym uszom nie wierzę. Czy na pewno przebywałeś przed chwilą we własnym pokoju, młody Wardzie? Wtykasz nos w nie swoje sprawy, mieszasz się do rzeczy, które cię nie dotyczą!

– Usłyszałem hałas na górze. – Zatrzymałem się na dolnym stopniu. Stracharz zagraadzał mi dalszą drogę.

– Z góry dobiega wiele hałasów i jak dobrze wiesz, powodują je niespokojni umarli. Moja rodzina. I to wyłącznie moja sprawa – jego głos zabrzmiał niebezpiecznie cicho. – Ty nie masz z tym nic wspólnego. Zaczekaj tutaj! – Nie wypuszczając butelki, przecisnął się bezceremonialnie obok mnie i pobiegł na górę, przeskakując po dwa stopnie. Usłyszałem, jak przechodzi przez podest na piętrze i zagląda do trzech pokoi. Potem wspiał się wyżej i ryknął z wściekłości. Zapomniałem zamknąć za sobą drzwi! Wiedziałem, iż wpadnie w furję odkrywszy, że zajrzałem do jego prywatnego pokoju. Nie chciał, żebym zobaczył trumny...

Arkwright wrócił, pędząc wprost na mnie. Przez moment obawiałem się, że uderzy mnie butelką. Ale zamiast tego prawą dłonią trzepnął mnie w lewe ucho próbując uskoczyć, straciłem równowagę, zachwiałem się i runąłem na podłogę. Uniosłem

wzrok, w głowie mi dzwoniło, z trudem chwytałem oddech. Czułem mdłości: upadek pozbawił mnie tchu. Arkwright uniósł ciężki but. Myślałem już, że mnie kopnie, ale przykucnął tylko przy mojej głowie; jego gniewne oczy patrzyły wprost w moje.

– Cóż – rzekł i kwaśny oddech omiótł mi twarz – niech to będzie dla ciebie nauką. Wychodzę z psami sprawdzić bagno. Ty tymczasem wracaj do lekcji. Jeśli to się kiedyś powtórzy, wtedy dopiero pożałujesz!

\*

Kiedy wyszedł, zacząłem krążyć po kuchni tam i z powrotem, kipiąc gniewem i urazą. Żaden uczeń nie powinien znosić podobnego traktowania!

Bardzo szybko podjąłem decyzję, co robić dalej. Mój pobyt u Arkwrighta dobiegł końca. Wrócę do Chipenden. Bez wątpienia stracharz nie ucieszy się z mego przedwczesnego powrotu. Pozostawało mieć nadzieję, że uwierzy, kiedy opowiem mu, co mnie spotkało, i weźmie moją stronę.

Bez dalszego namysłu zabrałem torbę i kij, ruszyłem do drzwi i wyszedłem do ogrodu. Tu zawahałem się. A jeśli psy kręcą się blisko i pochwycają mój zapach. Chwilę nasłuchiwałem, dobiegał mnie jednak tylko skowyt wiatru na trawiastych bagnach. Moment później brodziłem już w słonej fosie, ciesząc się, że nie będę musiał oglądać dłużej Arkwrighta i zawilgoconego, starej młyna. Wkrótce znów ujrzę Alice i stracharza.

## **ROZDZIAŁ 10**

### **LIST STRACHARZA**

Kiedy dotarłem na ścieżkę holowniczą, ruszyłem wzdłuż kanału na południe. Z początku maszerowałem szybko, w obawie, że Arkwright mógłby zechcieć mnie ścigać i siłą zaciągnąć do młyna. Lecz po jakimś czasie dręczący mnie niepokój osłabł. Nie, raczej

ucieszy go, że się pozbył ucznia. Bez wątpienia od początku to właśnie usiłował osiągnąć – wypędzić mnie.

Maszerowałem jakąś godzinę, wciąż kipiąc gniewem, lecz w końcu zarówno złość, jak i ból głowy minęły. Słońce zniżało się już ku horyzontowi, lecz powietrze było rześkie, a niebo czyste i nie dostrzegłem nawet śladu mgły. Serce zabiło mi radośniej. Wkrótce zobaczę Alice i znów zacznę szkolenie ze stracharzem. Zdarzeni ostatnich dni pozostaną w przeszłości niczym koszmarny sen.

Musiałem znaleźć sobie jakiś nocleg – wyglądało na to, że w nocy złapie przymrozek. Kiedy podróżowaliśmy ze stracharzem, zwykle nocowaliśmy w stodołach bądź szopach, ale tu, nad kanałem, co chwila natykałem się na mosty. Postanowiłem zatem opatulić się płaszczem i przycupnąć pod następnym z nich. Gdy do niego dotarłem, światło dnia już gasło. Lecz nagle zatrzymałem się, słysząc niski warkot z prawej. Pod głogowym żywopłotem ciągnącym się wzdłuż ścieżki warował wielki czarny pies. Wystarczyło jedno spojrzenie, bym stwierdził, że to pies Arkwrighta – była to groźna Szpon. Czy przysłał ją, by mnie złapała? Co powinienem zrobić? Wycofać się? A może ją wyminąć i iść dalej?

Postąpiłem ostrożny krok naprzód. Suka pozostała w miejscu, nadal jednak przyglądała mi się czujnie. Kolejny krok sprawił, że zrównałem się z nią i usłyszałem ostrzegawczy warkot. Obserwując ją uważnie przez prawe ramię, zrobiłem następny krok, potem jeszcze jeden. Chwilę później maszerowałem już naprzód, usłyszałem jednak, jak suka wbiega na ścieżkę i niespiesznie mi towarzyszy. Przypomniałem sobie słowa Arkwrighta: „Nie odwracaj się do niej plecami, jest niebezpieczna”. A teraz Szpon szła za mną! Znów się obejrzałem i przekonałem, że zachowuje bezpieczny dystans. Dlaczego za mną podążała? Postanowiłem, że nie położę się spać pod tym mostem. Będę szedł dalej, aż do następnego. Może suka tymczasem znudzi się i wróci do domu. Gdy jednak dotarłem do mostu, ku mej rozpaczycy pojawił się kolejny wilczarz i ruszył w moją stronę, warcząc głucho. To był

Kieł. Teraz naprawdę się bałem. Przed sobą miałem jednego wielkiego psa, za sobą drugiego. Powoli, z rozmysłem odłożyłem torbę na ziemię i przygotowałem laskę. Wiedziałem, że wystarczy jeden gwałtowny ruch, by zaatakowały. Nie sądziłem, że dam radę obu. Ale jaki miałem wybór? Nacisnąłem zagłębienie w kiju i ostrze wyskoczyło ze szczękiem. Wówczas ktoś przemówił z ciemności pod łukiem mostu.

– Na twoim miejscu bym tego nie robił, młody Wardzie. Zanim się ruszysz, rozszarpią ci gardło.

Arkwright wyszedł na ścieżkę naprzeciw mnie. Nawet w słabym świetle widziałem grymas na jego twarzy.

– Wracamy do Chipenden, co, chłopcze? Wytrzymałeś ledwie trzy dni! Nigdy jeszcze żaden z chłopaków nie uciekł tak szybko. Sądziłem, że będziesz twardszy. Z pewnością nie jesteś uczniem, którego zapowiadał Pan Gregory!

Nie odezwałem się, bo wszystko, co mógłbym rzec, z pewnością sprowokowałoby go do większego gniewu. Pewnie znów bym oberwał, może nawet poszczułby mnie psami. Schowałem zatem ostrze, czekając, co zrobi Arkwright. Czy zamierzał zawlec mnie do młyna?

Zagwizdał i oba psy zajęły pozycje przy nodze. Kręcąc głową, ruszył ku mnie, potem wsunął dłoń pod płaszcz i wyciągnął kopertę.

– To list od twego mistrza do mnie – oznajmił. – Przeczytaj go i zdecyduj. Możesz albo wrócić do Chipenden, albo kontynuować szkolenie tutaj!

To rzekłszy, wręczył mi list i ruszył ścieżką na północ. Patrzyłem, póki wraz z psami nie zniknęli mi z oczu. Potem wyjąłem list z koperty. Natychmiast poznałem pismo stracharza. Było tak ciemno, że z trudem dostrzegałem litery, mimo to odczytałem wszystko dwukrotnie.

*Do Billa Arkwrighta.*

*Proszę, abys możliwie jak najszybciej podjął się szkolenia mojego ucznia, Toma Warda. Sprawa jest pilna, a potrzeba wielka. Jak dowiedziałeś się z mojego poprzedniego*

*listu, Zły został wypuszczony na ten świat i wszystkim nam grozi wielkie niebezpieczeństwo ze strony mroku. Choć skrywałem to przed chłopakiem, lękam się, że wkrótce Nieprzyjaciół raz jeszcze spróbuje go zniszczyć.*

*Muszę mówić bez ogródek. Po tym, jak surowo potraktowałeś mojego poprzedniego ucznia, sądziłem już, że nigdy nie powierzę ci innego chłopaka. Lecz trzeba to zrobić, groźba wisząca nad Tomem Wardem rośnie z każdym dniem. Nawet jeśli Zły nie zaatakuje go wprost, lękam się, że wyśle innych mieszkańców mroku. Tak czy inaczej, chłopak musi zyskać siły, nauczyć się walki i łowów, bo pilnie potrzebuje tych umiejętności. Jeśli przeżyje, wierzę, że stanie się potężną bronią przeciwko mrokowi, być może najpotężniejszą, jaka zrodzona została w naszym świecie od wielu dziesięcioleci.*

*Zatem w nadziei, że nie popełniam wielkiej pomyłki, z wahaniem powierzam go twojej pieczy na okres sześciu miesięcy. Zrób to, co musisz. A co do ciebie, Billu Arkwrightcie, to mam tę samą radę, jak wtedy, gdy sam byłeś moim uczniem. Walka z mrokiem to twój obowiązek. Czy jednak warto do niej stanąć, jeśli w rezultacie twoja własna dusza obumiera i ginie? Możesz wiele nauczyć tego chłopca. Naucz go dobrze, tak jak ja ciebie. Liczą jednak, iż poprzez tę naukę ty sam także nauczysz się czegoś nowego. Na zawsze odstaw butelkę. Pozbądź się goryczy i stań się mężczyzną, którym być powinienes.*

*John Gregory*

Wepchnąłem list z powrotem do koperty i wsunąłem do kieszeni nogawic. Potem zanurzyłem się w mrok pod mostem i, ciasno opatulony w płaszcz, położyłem na twardej, zimnej ziemi. Długo trwało, nim zasnąłem. Miałem wiele do przemyślenia.

Stracharz starał się skrywać przede mną swoje obawy – ale niezbyt udanie. Naprawdę sądził, że Zły powróci, by mnie zniszczyć. Dlatego właśnie tak mnie niańczył. Posłał mnie do Arkwrighta, żebym się wyszkolił i stwardniał. Ale czy oznaczało to, że mam pozwolić tłuc się na kwaśne jabłko pijakowi? Nawet stracharz żywił pewne obawy. Wyglądało mi, że Arkwright równie źle traktował innych uczniów. Mimo wszystko jednak stracharz wysłał mnie do okrutnego, nowego mistrza. Co oznaczało, iż uważał, że to ważne. I wtedy przypomniałem sobie, co powiedziała mi Alice, kiedy walczyliśmy z Mateczką Malkin i nie pozwoliłem jej spalić czarownicy.

„Musisz być twardszy albo nie przeżyjesz! Robienie tego, co każe stary Gregory, nie wystarczy! Zginiesz jak inni!”

Wielu uczniów mojego mistrza zginęło w czasie nauki. To niebezpieczny fach, zwłaszcza teraz, gdy Diabeł zstąpi na świat. Ale czy oznaczało to, że muszę stać się tak okrutny jak Arkwright? Pozwolić, by moja dusza obumarła?



Długi czas podobne myśli krążyły mi po głowie, w końcu jednak pograżyłem się w głębokim śnie bez marzeń i, mimo zimna, spałem smacznie aż do świtu. Rano znów nadeszła mgła, lecz umysł miałem jasny i czysty. Tuż po ocknięciu uświadomiłem sobie, że podjąłem już decyzję. Wrócę do Arkwrighta i będę kontynuował szkolenie.

Po pierwsze, ufałem mojemu mistrzowi. Mimo wahania uważałem, że robi to, co trzeba. Po drugie, mój własny instynkt zgadzał się z nim. Wyczuwałem tu coś ważnego. Gdybym wrócił do Chipenden, nie dokończyłbym tutaj szkolenia. A w takim razie później mogłoby mi go brakować. Wiedziałem jednak, że nie będzie łatwo, i nie zachwycała mnie myśl o spędzeniu sześciu miesięcy w towarzystwie Arkwrighta.

\*

Kiedy dotarłem do młyna, drzwi frontowe stały otworem i nim znalazłem się w kuchni, poczułem zapach jedzenia. Na rozgrzanym piecu Arkwright smażył jajka i boczek.

– Głodnyś, młody Wardzie? – spytał nie patrząc mnie.

– Tak, konam z głodu! – odparłem.

– Nie wątpię też, że jesteś mokry i zmarznięty. Ale tak to bywa, kiedy nocujesz pod ciemnym, wilgotnym mostem, zamiast spać w domu, we względnie ciepłym. Nie będziemy o tym więcej rozmawiać. Wróciłeś i tylko to się liczy.

W pięć minut później siedzieliśmy przy stole, zjadając, jak się okazało, znakomite śniadanie. Arkwright sprawiał wrażenie dużo bardziej rozmownego niż poprzedniego dnia.

– Śpisz twardo – zauważył. – Zbyt twardo. To mnie martwi...

Spojrzałem na niego zdumiony. Co miał na myśli?

– Zeszłej nocy posłałem sukę, by cię pilnowała – na wypadek, gdyby coś wynurzyło się z wody. Czytałeś list swojego mistrza. Zły w każdej chwili może nasłać na ciebie jakiegoś stwora, wołałem zatem nie ryzykować. Kiedy wróciłem tuż przed świtem, nadal głęboko spałeś. Nie zorientowałeś się nawet, że tam byłem. To co dotąd nie wystarczy, młody Wardzie. Nawet we śnie musisz wyczuwać niebezpieczeństwo. Będziemy musieli coś z tym zrobić...

Gdy tylko skończyliśmy jeść, Arkwright wstał.

– A jeśli chodzi o twoją ciekawość, to, jak wiesz, ciekawość to pierwszy stopień do piekła. By zatem uchronić cię przed wtykaniem nosa tam, gdzie nie powinieneś, pokażę ci, co jest co, i wyjaśnię, jak się rzeczy mają w tym domu. Potem nie życzę sobie, żebyś kiedykolwiek jeszcze o tym wspominał. Wyrażam się jasno?

– Tak – odsunąłem krzesło i też wstałem.

– No dobrze, młody Wardzie, chodź za mną... Arkwright poprowadził mnie wprost do pokoju z podwójnym łóżkiem – tym nasiąkniętym wodą.

– Młyn nawiedzają dwa duchy – rzekł ze smutkiem. – To dusze mojego własnego taty i mamy Abe'a i Amelii. Większość nocy przesypiają w tym właśnie łóżku. Ona zginęła w wodzie. Dlatego jest takie mokre. Bo, widzisz, za życia byli kochającą się parą i nawet teraz, po śmierci, nie chcą się rozłączać. Tato naprawiał dach, kiedy doszło do strasznego wypadku. Spadł i zginął na miejscu. Jego utrata tak wstrząsnęła mamą, że się zabiła. Nie potrafiła bez niego żyć, toteż rzuciła się pod młyńskie koło. To była straszna, bolesna śmierć. Koło wciągnęło ją pod wodę i połamało wszystkie kości. Ponieważ odebrała sobie życie, nie może przejść na drugą stronę, a mój biedny tato został z nią. Mimo cierpienia jest silna. Silniejsza niż jakikolwiek inny znany mi duch. Podsyca ogień, próbując ogrzać zmarznięte, mokre kości. Ale czuje się lepiej, kiedy jestem blisko. Oboje czują się lepiej.

Otworzyłem usta, by coś powiedzieć, ale nie padło z nich żadne słowo. Co za straszna opowieść! Czy dlatego Arkwright stał się taki twardy i okrutny?

– No dobrze, młody Wardzie, jest jeszcze więcej do zobaczenia. Chodź za mną...

– Dziękuję, dość już widziałem – powiedziałem. – Bardzo mi przykro z powodu pana rodziców. Faktycznie, to nie moja sprawa.

– Zaczęliśmy, więc doprowadzimy to do końca. Zobaczysz wszystko.

Poprowadził mnie następnymi schodami do zamkniętego pokoju. W piecu pozostały tylko resztki żarzących się węgla, ale powietrze wciąż było ciepłe. Pogrzebacz i szczypce tkwiły w wiaderku. Minęliśmy trzy krzesła, kierując się wprost ku dwóm trumien w kącie.

– Moi rodzice są związani ze swymi kośćmi – wyjaśnił – toteż nie mogą oddalać się za bardzo poza mury młyna. Wykopałem ich i sprowadziłem tutaj, bo tu im wygodniej. Lepsze to niż nawiedzanie wietrznego cmentarza na skraju bagien. Nikomu nie szkodzą. Czasami siadamy tu razem i rozmawiamy. Wtedy są najszczęśliwsi.

– Czy nie da się czegoś zrobić? – spytałem.

Arkwright odwrócił się ku mnie z twarzą poczerwieniałą z gniewu.

– Sądziłeś, że nie próbowałem? Dlatego właśnie w ogóle zostałem stracharzem! Myślałem, że szkolenie da mi wiedzę pozwalającą ich uwolnić. Ale nic z tego. Nawet pan Gregory przybył tu w końcu, próbując pomóc. Starał się, jak mógł, bez skutku. Więc teraz już wiesz, tak?

Przytaknąłem, spuszczać wzrok, niezdolny spojrzeć mu w oczy.

– Posłuchaj – rzekł łagodniej. – Ja sam zmagam się z własnym, osobistym demonem –

demonem butelki, tak go nazywam. Sprawia, że jestem twardszy i okrutniejszy niżby wynikało to z mojej natury, ale na razie nie potrafię poradzić sobie bez niego. Łagodzi ból – pozwala mi zapomnieć o tym, co straciłem. Owszem, trochę się zapuściłem, lecz wciąż mam ci wiele do przekazania, młody Wardzie. Czytałeś list: mam obowiązek cię zahartować i przygotować na rosnące zagrożenie ze strony Złego. A mamy dowody, że mrok rośnie w siłę szybciej niż kiedykolwiek. Odkąd usłyszałem, że tu przybędziesz, moja praca stała się cięższa. Nigdy jeszcze nie widziałem tak wielu oznak działania wodnych wiedźm. Całkiem możliwe, że chodzi im o ciebie. Musisz zatem być gotów. Wyrażam się jasno?

Znów skinąłem głową.

– Zaczęliśmy nie najlepiej. Wcześniej szkoliłem trzech uczniów pana Gregory'ego, ale żaden z nich nie był dość bezczelny, by tu wchodzić. Teraz, gdy znasz sytuację, spodziewam się, że nie przestąpisz więcej progu tego pokoju. Czy mam na to twoje słowo, młody Wardzie?

– Tak, oczywiście. Naprawdę mi przykro.

– No dobrze, w takim razie załatwione. Możemy zacząć od nowa. Przez resztę dnia zajmiemy się lekcjami, by nadrobić wczorajsze, stracone popołudnie. Ale jutro znów skupimy się na ćwiczeniach praktycznych.

Arkwright musiał zobaczyć moją nieszczęśliwą minę. Nie zachwyciła mnie myśl o kolejnej walce na kije. Pokręcił głową i niemal się uśmiechnął.

– Nie bój się, młody Wardzie. Damy twoim sińcom parę dni oddechu, nim znów staniemy do walki.

\*

Następny tydzień był ciężki, lecz szczęśliwie nie walczyliśmy i moje sińce powoli zaczynały blaknąć. Mnóstwo czasu spędzaliśmy na pracy z psami. Ich bliskość mnie niepokoiła, ale były świetnie wyszkolone i posłuszne, toteż w obecności Arkwrighta czułem się bezpiecznie. Na wschodzie ciągnęły się podmokłe lasy, ćwiczyliśmy wypłaszanie czarownic z pomocą psów. Najgorzej było, kiedy musiałem odgrywać rolę wiedźmy, ukrywając się w poszyciu. Arkwright nazywał to „polowaniem na ucznia”. Psy zataczały krąg, zachodząc mnie od tyłu i zapędzając wprost do miejsca, gdzie stracharz czekał z ostrą, zębatą laską. Przypominało mi to naganianie owiec, a kiedy w końcu nadeszła moja kolej, bym zapolował na niego, nawet mi się to spodobało.

Mniej przyjemne były lekcje pływania. Nim znów wszedłem do wody, musiałem ćwiczyć ruchy, balansując na brzuchu na krześle, z rękami i nogami sterczącymi po obu

stronach. Arkwright nauczył mnie wciągać powietrze, kiedy ręce są ułożone najszerzej, a dłonie wyginają się, rozgarniając wodę. Potem wypuszczałem powietrze, wyciągając ręce naprzód i jednocześnie jak najmocniej machając nogami na podobieństwo żaby. Wkrótce radziłem sobie całkiem nieźle, ale w kanale okazało się to znacznie trudniejsze.

Pierwszego dnia nałykałem się tak wiele brudnej wody, że się pochorowałem. Potem jednak Arkwright dołączył do mnie w kanale i, mając go u boku, wiedząc, że pomoże w razie kłopotów, stopniowo zyskiwałem pewność siebie i wkrótce bez pomocy zdołałem przepłynąć kawałek. W sumie sprawy miały się znacznie lepiej, Arkwright także zdawał się dokładać starań w zmaganiach ze swoim picciem. Sięgał po flaszkę dopiero po kolacji i traktowałem to jak sygnał, że mogę iść spać. Pod koniec tygodnia potrafiłem już przepłynąć pięć szerokości kanału, zawracając za każdym razem i odpychając się od brzegu stopami. Umiałem także pływać „pieskiem”, i choć była to metoda mniej skuteczna niż poprzednia, pozwalała mi unosić się w tym samym miejscu i nie tonąć – bardzo pożyteczna zdolność dla kogoś, kto tak bardzo jak ja bał się wody!

– No, no, młody Wardzie – powiedział Arkwright – zaczynasz robić postępy. Ale jutro wracamy do polowań z psami, tym razem spróbujemy czegoś innego. Czas już, byś nauczył się radzić sobie na bagnach.

## **ROZDZIAŁ 11**

### **PALEC CZAROWNICY**

Po śniadaniu nowy mistrz kazał mi sprzątnąć ze stołu i pozmywać. Sam na godzinę wrócił na górę. Kiedy zszedł, w dłoni trzymał niewielką, nakreśloną ręcznie mapę; położył ją na stole.

– Powtórzmy ćwiczenia z łowów, lecz tym razem na znacznie trudniejszym terenie. Wodne wiedźmy uwielbiają bagna, czasami musimy pójść tam za nimi i je wypłoszyć. Oto kanał i młyn – ciągnął, wskazując palcem – a tu są bagna na południowym zachodzie. Oto najbardziej zdradziecka część, która pochłonełaby cię mgnieniu oka – jezioro, trzymaj się od niego z daleka. Nazywają je Małą Tonią. Nie jest może wielkie, ale wokół rozpościerają się niebezpieczne bagniska – zwłaszcza od południa i

wschodu. Reszta tego terenu też może sprawiać problemy, ale powinieneś przeżyć.

Bagno przecina wiele ścieżek, trzy z nich zaznaczono na tej mapie. Od ciebie zależy obmyślenie najlepszych szlaków. Idąc jedną z nich, można nawet wyprzedzić psy.

Widząc, jak opada mi szczeka, Arkwright uśmiechnął się, pokazując mnóstwo zębów.

– Oto, dokąd się skierujesz – rzekł, ponownie wskazując mapę.  
– Do ruin klasztoru na Mnisim Wzgórzu. Niewiele z niego zostało, prócz paru ścian i fundamentów. Dotrzyj tam przed psami, a wygrasz. To oznacza, że nie będziesz musiał powtarzać trasy jutro! I pamiętaj, uczysz się dla swojego dobra. Zaznajomienie się ze szlakami na bagnach stanowi ważną część szkolenia. No dobrze, masz parę minut na przestudiowanie mapy. Potem zaczynamy.

Przez kilka nerwowych chwil przyglądałem się mapie Arkwrighta. Ścieżka wysunięta najbardziej na północ wyglądała na najkrótszą i dawała najmniej czasu psom, by mnie dogoniły. Prowadziła blisko Małej Toni, otoczonej zdradliwymi, niebezpiecznymi trzęsawiskami, ale uznałem, że warto zaryzykować. Wybrawszy zatem trasę, wyszedłem do ogrodu, chcąc mieć to już za sobą.

Arkwright siedział na stopniu werandy, oba psy leżały u jego stóp.

– I co, młody Wardzie, wiesz już, co robić?

Przytaknąłem z uśmiechem.

– Jeśli wolisz, możemy to odłożyć do jutra – zaproponował. – Znów zaczyna podnosić się mgła.

Wyjrzałem za ogród. Mgła napływała z zachodu, snując się po bagnach pasmami gęstniejącymi w szarą zasłonę. Ale czułem się pewny wybranej ścieżki. Równie dobrze mogłem ruszać od razu.

– Nie, wolę teraz. Ile czasu dostanę? – spytałem z uśmiechem.

Łowy i pływanie bardzo mnie wzmocniły. Dobrze byłoby wygrać. Zastanawiałem się, czy podołam.

– Pięć minut! – warknął Arkwright. – I zacząłem już

odliczanie...

Obróciłem się na pięcie i puściłem biegiem w stronę słonej fosy.

– Ej! – zawołał Arkwright. – Kija nie będziesz potrzebował!

Nie oglądając się za siebie, cisnąłem go w tył i z pluskiem wpadłem do wody. Ja mu pokażę! Psy były szybkie i groźne, ale przy pięciominutowej przewadze nigdy mnie nie dogonią.

W chwilę później pędziłem już wybraną ścieżką, otoczony gęstą mgłą. Po zaledwie paru chwilach usłyszałem szczekanie psów. Arkwright nie dotrzymał słowa! Już je wypuścił! Starał się zapewnić mi jak najlepsze szkolenie, lecz mimo wszystko lubił wygrywać. Poirytowany, jeszcze przyspieszyłem, stopy niemal frunęły mi nad ziemią.

Lecz wkrótce widzialność zmniejszyła się do kilku stóp i musiałem zwolnić. Psy, kierujące się zapachem, nie miały tych ograniczeń i pojąłem, że jednak ich nie przegonię. Dlaczego nie przyjąłem propozycji i nie zaczekałem do jutra? Kiedy tak biegłem, moje stopy, uderzając o ziemię, zaczęły rozbryzgiwać wokół krople wody i zorientowałem się, że dotarłem do najniebezpieczniejszej części ścieżki – tej wiodącej najbliżej jeziora.

Nadal słyszałem z tyłu stłumione poszczekiwanie psów. Mgła zniekształcała dźwięki, sprawiała, że nie potrafiłem określić odległości. Do tej pory zwolniłem do miarowego truchtu – zdecydowanie zbyt wolnego.

I wtedy usłyszałem dobiegający z góry, dziwny, żalony krzyk. Co to było? Jakiś ptak? Jeśli tak, to nigdy podobnego nie słyszałem. W parę chwil później krzyk powtórzył się i z jakiejś przyczyny ów niesamowity dźwięk mnie zaniepokoił. Było w nim coś nienaturalnego. Biegłem jednak dalej, świadom, że psy doganiają mnie z każdą chwilą.

Po trzech, czterech minutach zauważyłem coś na ścieżce przede mną. Powoli wyhamowałem, na moment zapominając o psach.

Co to było? Wbiłem wzrok w mgłę i ujrzałem idącą przede mną kobietę. Błyszczące, ciemne włosy opadały jej na ramiona. Miała zielony szal i długą, brązową spódnicę sięgającą ziemi.

Pomaszerowałem szybko naprzód. Kiedy ją wyminę, znów będę mógł podbiec. W dodatku obecność kogoś obcego może zmylić psy.

Nie chciałem wystraszyć biedaczki, zbliżając się z tyłu i ją zaskakując. Toteż gdy dzieliło nas jeszcze dziesięć kroków, zawołałem przyjaznym tonem:

– Witam! Pozwoli pani, że ją wyminę? Wiem, że ścieżka jest bardzo wąska, ale jeśli się pani zatrzyma, jakoś się przecisnę...

Spodziewałem się, że kobieta zejdzie na bok albo się obejrzy, sprawdzając, kto do niej mówi. Ona jednak jedynie zatrzymała się na ścieżce, zwrócona do mnie plecami. Szczekanie dobiegało z bardzo bliska. Musiałem ją minąć, inaczej psy mnie dopadną i Arkwright wygra.

W tym momencie poczułem nagły chłód, ostrzeżenie, że w pobliżu czai się coś z mroku. Ale za późno...

Kiedy od kobiety dzieliły mnie zaledwie dwa kroki, obróciła się nagle, popatrzyła na mnie, i serce podeszło mi do gardła na ów koszmarny widok. Otworzyła usta, ukazując dwa rzędy żółtozielonych zębów, lecz zamiast zwykłych siekaczy, dojrzałem cztery olbrzymie kły. Kiedy omiółł mnie jej odrażający oddech, o mało nie zwymiotowałem. Lewe oko miała zamknięte, prawe otwarte – ale była to pionowa szczelina, przypominająca oko węża bądź jaszczurki. Zamiast nosa z jej twarzy sterczał dziób ostrej kości, nie osłoniętej ciałem ani nawet skórą. Ręce przypominały ludzkie, lecz w miejscu paznokci miała ostre, zakrzywione szpony. Jej włosy lśniły, bo ociekały wodą. To, co wziąłem za szal, było kaftanem pokrytym zieloną rzęsą wodną. Dolną połowę ciała osłaniała obszarpana spódnica, umazana brązowym szlamem. Wystawały spod niej bose, ubłocone, ale nieludzkie stopy: ich palce łączyła błona, każdy kończył się ostrym szponem.

Już miałem zawrócić, gotów do ucieczki, kiedy przyłożyła dwa palce do górnej powieki lewego oka, które nagle otwarło się bardzo szeroko.

Oko było czerwone – i nie mam na myśli wyłącznie tęczęwki! Całe oko wyglądało jak wypełnione krwią. Zamarłem; przepełniała

mnie groza, unieruchamiają,, w miejscu, jakbym zamienił się w kamień. Zaczęłem się pocić ze strachu, a czerwone oko zdawało się rosnać, rosnać...

Miałem wrażenie, że już nie oddycham, coś zdawało się ścisnąć mi gardło i pierś. Nie mogłem też oderwać oczu od czarownicy. Gdyby tylko mi się udało spojrzeć w bok, może przełamałbym urok? Wyteżyłem wszystkie mięśnie; bez skutku. Nie byłem w stanie się ruszyć.

Jej lewa ręka śmignęła jak wąż ku mojej twarzy. Szponiasty palec wskazujący uderzył w moje prawe ucho, poczułem ostry ból, kiedy wygiął się i przebił je na wylot.

Wiedźma zeszła ze ścieżki w bagno, ciągnąc mnie za sobą. Jeszcze dwa kroki i stopy zaczęły mi tonąć w błocie. Wymachiwałem rękami, ale szpon przebijający ucho zadawał taki ból, że mogłem jedynie wlec się za nią, gdy zanurzaliśmy się coraz głębiej.

O, jakże żałowałem, że nie zabrałem laski! Czułem jednak, że nawet ona by mi nie pomogła, bo owo wypełnione krwią oko rzuciło na mnie czar i sparaliżowało. Czym ona była? Jakąś wodną wiedźmą? Próbowałem krzyczeć, wzywać pomocy, ale z moich ust dobiegały jedynie zwierzęce jęki grozy i bólu.

W następnej chwili odpowiedział im warkot ze ścieżki; coś czarnego rzuciło się na moją prześladowczynię. W przelocie dostrzegłem obnażone kły suki, a potem jakaś siła wyrwała z mego ucha szpon wiedźmy i poleciałem do tyłu. Przez moment bagno zamknęło się nad moją głową. Instynktownie zacisnąłem wargi i wstrzymałem oddech, lecz mimo to szlam zaczął mi wciskać się do nosa. Poczułem, że tonę. Umiejętność pływania na niewiele się zdała. Szamotałem się, próbując uwolnić głowę, gdy poczułem rękę chwytającą mnie za ramiona i wyciągającą z topieli.

Po chwili leżałem już na wznak na ścieżce, a Arkwright klęczał obok, przyglądając mi się z wyrazem twarzy bliskim troski. Wsunął palce do ust i gwizdnął ogłuszająco. Psy wróciły, cuchnąc bagnem, ich ciała parowały. Szpon skomlała z bólu, ale trzymała



coś w pysku.

– Daj to tu – polecił Arkwright. – Puść! Puszczaj!

Szpon z warknięciem pozwoliła, by coś wyleciało jej z zębów na otwartą dłoń stracharza.

– Dobra psina! Dobra psina – co za grzeczna suka! W końcu, po tych wszystkich latach! – krzyknął Arkwright głosem przepelnionym tryumfem. – Teraz ją znajdziemy! Tym razem nie ucieknie.

Spojrzałem na rzecz, którą trzymał w dłoni, nie wierząc własnym oczom.

To był palec. Długi palec wskazujący, pokryty zielonkawą skórą, zamiast paznokcia mający na końcu zakrzywiony pazur. Szpon odgryzła palec czarownicy.

## **ROZDZIAŁ 12**

### **MORWENA**

Gdy wróciliśmy do młyna, Arkwright ruszył po miejscowego medyka, by opatrzył mi zranione ucho. Mimo niechęci do przyjmowania w domu obcych, musiał uznać ranę za wystarczająco poważną, skoro uczynił wyjątek.

Po prawdzie mnie nie wydała się aż tak groźna. Nawet specjalnie nie bolała. Jeśli cokolwiek mnie martwiło, to to, że wda się zakażenie.

Arkwright obserwował krytycznie medyka opatrującego ranę. Był to wysoki, rosły mężczyzna o atletycznej budowie i zdrowej cerze kogoś, kto często przebywa na powietrzu. Lecz, jak większość ludzi w obecności stracharza, wyraźnie się denerwował i nie zadawał pytań, co lub kto mnie zranił.

– Oczyszcilem najlepiej, jak umialem, ale wciąż pozostaje ryzyko infekcji – ostrzegł, zerkając niepewnie na psy, które zawarczały groźnie. – Jest jednak młody, a młodzi są zwykle odporni. Tyle że

zostanie blizna.

Po opatrzeniu mnie doktor zajął się zranioną suką, która skomlała z bólu, gdy Arkwright ją przytrzymał. Nie odniosła bardzo groźnych obrażeń, ale na piersi i grzbiecie miała głębokie skaleczenia, w miejscach, gdzie wiedźma wbiła swoje szpony. Doktor oczyścił rany i posmarował hojnie maścią.

Zabierając swą torbę, pozdrowił Arkwrighta skinieniem głowy.

– Wrócę pojutrze, sprawdzisz, jak się miewają moi pacjenci.

– Nie warto tracić czasu, doktorze – warknął Arkwright, wręczając mu monetę za fatygę. – Chłopak jest silny, z pewnością nic mu się nie stanie. A co do suki, za parę dni będzie zdrowa jak rydz. W razie konieczności sam się z panem skontaktuję.

Po tych słowach doktor pożegnał się, a Arkwright odprowadził go za fosę.

– Szpon ocaliła ci życie – rzekł po powrocie – ale nie zrobiła tego z miłości. Będziesz musiał ciężko popracować z psami. Przekonamy się, czy pozwolą ci się nakarmić, na razie jednak musimy porozmawiać. Jak do tego doszło? Jakim cudem czarownica zdołała tak bardzo się zbliżyć?

– Szła ścieżką przede mną. Biegłem szybko, próbując wyprzedzić psy, chciałem tylko ją minąć. Kiedy się odwróciła, było za późno. Nim się ruszyłem, złapała mnie za ucho i przebiła je swoim pazurem.

– Niewielu przeżywa zahaczenie, młody Wardzie. Możesz uważać się za szczęściarza. Wielkiego szczęściarza. Taką metodę chwytania ofiary stosują wszystkie wodne wiedźmy. Czasami wciskają ci palec w usta i przebijają policzek od wewnątrz – dodał, wskazując bliznę na swej twarzy. – O tak, to jej piętno – miałem szczęście, że zdołałem uciec. To dzieło tej samej wiedźmy! Zrobiła to siedem tygodni temu. Potem wdała się gangrena i na niemal trzy tygodnie przykuła mnie do łóżka, omal nie umarłem. Od czasu do czasu czarownica przebija ofierze dłoń – zwykle lewą. Czasem wbija szpony w dolną szczękę, owijając palec wokół zębów. Gdyby tak uczyniła, trzymałaby cię mocniej. Przy uchu jednak nie mogła

ciągnąć zbyt silnie, boby je urwała. Gdyby chwyciła cię za szczękę, zaciągnęłaby cię w głąb bagna na długo przed tym, nim suka odgryzła jej palec.

– Kim ona jest? – spytałem.

Miałem wrażenie, że Arkwright sporo o niej wie.

– To moja stara nieprzyjaciółka, młody Wardzie. Od dawna na nią poluję. To najstarsza i najniebezpieczniejsza ze wszystkich wodnych wiedźm.

– Skąd się wzięła? – spytałem.

– Jest bardzo stara – zaczął. – Niektórzy mówią, że ma z tysiąc lat czy nawet więcej. Niekoniecznie się z tym zgodzę, ale od bardzo dawna krąży po tej ziemi, także w innych Hrabstwach. Od wieków ludzie opowiadają sobie historie o niej. Jej ulubione tereny to bagna i mokradła, ale lubi też jeziora i kanały. Zwykłych wodnych wiedźm nie zaszczycam imionami, bo one nie przypominają tych lądowych. Większość straciła zdolność mowy i niewiele się różni od zwierząt. Ta jednak jest wyjątkowa: ma dwoje imion. Naprawdę nazywa się Morwena, lecz niektórzy w Hrabstwie zwą ją Krwioką. Jest przebiegła. Bardzo przebiegła Często atakuje łatwe ofiary, choćby dzieci, ale bez trudu potrafi wciągnąć do wody dorosłego mężczyznę i wypić jego krew, topiąc powoli. Jednak, jak sam się przekonałeś, słono za to płacąc, jej najpotężniejsza broń to lewe oko. Wystarczy choćby spojrzenie, by sparaliżować zdobycz.

– Jak możemy się do niej zbliżyć? Jeśli spojrzy, nie ruszymy się z miejsca.

Arkwright pokręcił głową.

– Nie jest aż tak źle, jak się zdaje, młody Wardzie. Niektórzy, jak ty, bardzo się zbliżyli, a jednak przeżyli to spotkanie. Bo widzisz, Morwena musi zachowywać siły na chwile, gdy potrzebuje ich naprawdę. Oko najczęściej pozostawia zamknięte, powieki spina ostrym kawałkiem kości. Ma też dodatkowe ograniczenie: potrafi spętać tylko jedną osobę naraz.

– Dużo pan o niej wie – zauważyłem.

– Poluję na nią od dziesięciu lat, ale nigdy nie zbliżyła się aż tak

do mojego domu. Nigdy dotąd nie zapuszczała się na ścieżki Klasztornego Bagna. Co ją tu sprowadza? Oto pytanie, które musimy sobie zadać. To na ciebie czekała na ścieżce, obawiam się zatem, że ostrzeżenia pana Gregory'ego mogą okazać się prawdziwe.

– To znaczy...

– Tak, chłopcze. Całkiem możliwe, że nasłał ją na ciebie Zły. I drogo za to zapłaci, zdobyłem jej palec i będziemy mogli dzięki temu odnaleźć jej kryjówkę. Po tylu latach bezowocnych starań w końcu ją dopadnę!

– Czy psy mogą podążać śladem wiodącym przez wodę? – spytałem ze zdumieniem.

Arkwright pokręcił głową, a na jego twarzy zagościł rzadko spotykany uśmiech.

– Są dobre, ale nie aż tak dobre, młody Wardzie! Jeśli coś wyjdzie z wody i porusza się na łądzie, nawet na bagnach, potrafią złapać trop. W wodzie niestety nie. Nie, znajdziemy kryjówkę Morweny w inny sposób. Ale dopiero gdy odzyskamy pełnię sił. Ruszymy za parę dni, kiedy zagoją się rany twoje i Szpon.

Przytaknąłem. Ucho znów zaczęło mnie boleć.

– A tymczasem – dodał Arkwright – mam tu książkę o niej. Proponuję, byś usiadł przy piecu i uważnie poczytał, dzięki temu dowiesz się szczegółowo, z czym mamy do czynienia.

To rzekłszy, pomaszerował na górę, a po paru chwilach wrócił, trzymając w dłoni oprawną w skórę książkę, którą mi wręczył. Tytuł na grzbiecie głosił:

*Morwena*

Zostawił mnie samego i wyszedł z psami, zacząłem zatem przeglądać tom. Natychmiast zauważyłem, że zapisano go pismem Arkwrighta. To on był autorem! Zacząłem czytać.

*Istnieje wiele legend i relacji, opisujących pochodzenie Morweny. Niektórzy uważają ją za potomkinię innej czarownicy. Inni wierzą, że w jakiś sposób zrodziła się w miękkiej glebie, splotzona przez śluz i błoto, i dojrzewiała w głębinach Matki Ziemi, niczym w łonie. Pierwsze wydaje się bardziej prawdopodobne, lecz jeśli tak, kim była jej matka? W*

*żadnych legendach, bajdach ani wielu wątpliwej proveniencji historiach, które czytałem, nie natknąłem się na jej imię. Wszyscy natomiast zgadzają się co do jednego – co do tożsamości ojca Morweny. To Zły, zwany także „Diabłem”, „Starym Nickiem”, „Nieprzyjacielem”, „Ojcem Kłamstw” bądź „Władcą Ciemności”.*

Wstrząśnięty tymi słowami, na moment przerwałem lekturę. Zły wysłał własną córkę, by mnie zabiła! Nagle pojąłem, jak wielkie miałem szczęście, że przeżyłem spotkanie na bagnach. Gdyby nie Szpon, zginąłbym. Czytałem dalej, przeskakując fragmenty zbyt trudne bądź niejasne. Wkrótce pojąłem, że choć Arkwright opowiedział mi co nieco o Morwenie, wciąż pozostało wiele do zgłębienia.

*Morwena jest zdecydowanie najśłynniejszą wodną wiedźmą. Nie da się zliczyć i opisać wszystkich jej ofiar. Karmi się krwią, to ona stanowi źródło jej mrocznej, magicznej mocy. W dawnych czasach składano jej ofiary z ludzi, zazwyczaj w noc, gdy księżyc osiąga pełnię, wówczas bowiem krew najbardziej wzmacnia siły czarownicy. Jej okrutne pragnienie najlepiej zaspokajały nowo narodzone dzieci. Gdy jednak nie dało się ich znaleźć, przyjmowała także ofiary z dorosłych, w każdym wieku. Młodych wrzucano do Krwawego Stawu, starsze ofiary przykuwano w podziemnej komnacie, gdzie pozostawały aż do stosownej chwili.*

*Czasami, gdy naprawdę doskwiera jej pragnienie, Morwena pije krew dużych zwierząt, takich jak bydło czy konie. W ostateczności zadowala się mniejszymi stworzeniami: kaczkami, kurami, szczurami, wysysa nawet krew z myszy.*

*Rzadko wychodzi z wody i powiadają, że na suchym lądzie nie potrafi przeżyć dłużej niż godzinę. Tam też jest najśłabsza.*

Uznałem, że ta akurat informacja jest godna zapamiętania. Ale jak wywabić Morwenę z jej żywiołu? Gdybyśmy z Arkwrightem zaatakowali jednocześnie, jeden z nas byłby wolny od zaklęcia rzucanego przez krwawe oko. Takie działanie mogło stanowić klucz do pokonania czarownicy

\*

Następnego ranka ucho mniej już bolało i gdy przyrządzałem śniadanie, Arkwright wyprowadził oba psy na bagienne ścieżki. Nie było go ponad godzinę.

– Nie znalazłem ani śladu wiedźmy – oznajmił po powrocie. – No dobrze, po śniadaniu wrócimy do lekcji, lecz dziś po południu wybierzesz się nad kanał. Spodziewam się dostawy soli. Pięciu baryłek. Nie są zbyt duże, ale za to ciężkie i będziesz musiał przenieść je kolejno, unikając wilgoci. Soli używamy też do gotowania i peklowania, więc nie chcę, żeby się zepsuła.

I tak, godzinę po dwunastej, ruszyłem nad kanał, by poczekać na pana Gilberta. Nie byłem sam. Arkwright wysłał ze mną Szpon, na wypadek gdyby Morwena przyczaiła się w nieruchomych wodach kanału. Od ponad tygodnia mieszkalem we młynie i po raz pierwszy miałem okazję dać znać Alice i stracharzowi, jak sobie radzę. Wziąłem zatem pióro, atrament, kopertę oraz papier i czekając na szypra, napisałem dwa krótkie listy. Pierwszy do Alice:

*Droga Alice,*

*bardzo tęsknię za tobą i naszym życiem w Chipenden.*

*Bycie uczniem Arkwrighta jest niełatwe. To surowy, czasem okrutny człowiek. Lecz mimo to świetnie zna się na swej robocie i może wiele mnie nauczyć o stworach pochodzących z wody. Ostatnio przeżyliśmy spotkanie z wodną wiedźmą, którą nazywa Morweną. Wkrótce zamierzamy odnaleźć jej kryjówkę i rozprawić się z nią raz na zawsze. Mam nadzieję, że niedługo się zobaczymy,*

*uściski,*

*Tom.*

Następnie zacząłem pisać list do stracharza.

*Szanowny panie Gregory,*

*mam nadzieję, że zdrowie panu dopisuje. Muszę przyznać, że z początku nie szło mi zbyt dobrze z panem Arkwrightem, lecz sytuacja już się unormowała. Pan Arkwright dysponuje wielką wiedzą na temat stworów z wody i mam nadzieję dużo się od niego nauczyć.*

*Niedawno, na ścieżce przez bagna niedaleko młyna, zaatakowała mnie wodna wiedźma, imieniem Morwena. Wygląda na to, że to stara nieprzyjaciółka Arkwrighta i jak dotąd nie zapuściła się jeszcze nigdy tak blisko jego domu. Może pan o niej słyszał. Arkwright mówi, że to rodzona córka Złego i uważa, iż ojciec przysłał ją, by mnie zabiła.*

*Wkrótce zamierzamy na nią zapolować. Nie mogą się już doczekać chwili, gdy znów będą pracował z panem.*

*Pański uczeń*

*Tom Ward*

Obie kartki wsunąłem do koperty, którą zakleiłem i zaadresowałem:

*Do pana Gregory'ego w Chipenden*

Następnie usiadłem na brzegu kanału, czekając na Matthew Gilberta. Szpon przycupnęła po mej lewej i nieustannie wodziła wzrokiem między mną a wodą. Dzień był rześki i pogodny, kanał zupełnie nie wyglądał groźnie, ale i tak jej obecność dodawała mi

otuchy.

Jakąś godzinę później z południa nadpłynęła barka. Zaczumowawszy, pan Gilbert wyprzągł konie i uwiązał je, by mogły się paść.

– Przynajmniej nie będę musiał dzwonić! – zawołał pogodnie na mój widok.

Pomogłem wynieść z ładowni na brzeg baryłki z solą.

– Zrobię sobie pięć minut przerwy, nim ruszę dalej – oznajmił, siadając na rufie barki ze stopami opartymi o ścieżkę. – I jak ci się pracuje u Billa Arkwrighta? Wygląda na to, że już zdążyłeś się poranić – wskazał gestem moje ucho.

Uśmiechnąłem się szeroko i usiadłem obok niego.

– Tak, początek był ciężki, jak pan przewidywał – odparłem. – Tak ciężki, że o mało nie wróciłem do pana Gregory'ego. Ale już lepiej się dogadujemy. Zaczynam też przywykać do psów – dodałem, skinieniem głowy wskazując Szpon.

– Do takich psów bez wątpienia ciężko się przyzwyczaić – mruknął pan Gilbert. – Podobnie jak do ich pana. Wielu chłopców wróciło do Chipenden jak niepyszni, nie byłbyś wcale pierwszy. Gdybyś kiedyś zdecydował się odejść, przepływam tędy na południe w każdą środę. Przewożę sól aż na koniec kanału, do Priestown. Może nie poruszam się szybciej, niż gdyby iść piechotą, ale gdybyś popłynął ze mną, oszczędziłbyś nóg i dotarł do Caster najszybszą drogą. Przy okazji miałbyś też towarzystwo. Mam syna i córkę mniej więcej w twoim wieku, od czasu do czasu na zmianę pomagają mi na barce.

Podziękowałem za ofertę, po czym wręczyłem mu kopertę oraz monetę, by zapłacił za dylizans pocztowy. Obiecał, że w Priestown odda list do wysłania. Kiedy zaprzęgał konie, podniosłem jedną z baryłek. Choć mała, była ciężka. Spróbowałem ułożyć ją sobie pod pachą.

– Na ramieniu! Tak jest najlepiej! – zawołał wesoło Gilbert.

Jego rada okazała się nieoceniona. Gdy podparłem baryłkę, z łatwością ją poniosłem. I tak, ze Szpon biegnącą u nogi, pięć razy obróciłem w tę i z powrotem w zaledwie pół godziny.

\*

Potem Arkwright urządził mi kolejną lekcję teoretyczną.

– Otwórz notatnik, młody Wardzie.

Otworzyłem go natychmiast i uniosłem wzrok, czekając, co powie.

– Nagłówek brzmi „Morwena” – rzekł. – Chcę, żebyś zapisał wszystko, co ci powiedziałem i co jak dotąd przeczytałeś. Podobna wiedza z pewnością ci się przyda. Wkrótce nadejdzie czas łowów. Mamy jej palec i dobrze go wykorzystamy.

– A właściwie jak go wykorzystamy? – spytałem.

– Niedługo się dowiesz, więc na razie powściągnij niecierpliwość. Rany suki się nie zakaziły, tobie też, jak dotąd, nie odpadło ucho. Zakładając, że do jutra nic się nie zmieni, wyruszymy przez piaski do Cartmel. Jeśli dowiemy się tego, czego chcemy – wówczas prawdopodobnie nie wrócimy tu przez jakiś czas. Nie będzie nas tak długo, póki raz na zawsze nie rozprawimy się z Morweną!

## ROZDZIAŁ 13

### PUSTELNIK Z CARTMEL

Następnego dnia, niedługo po świcie, z psami u nogi, ruszyliśmy w kierunku Cartmel: najkrótsza trasa wiodła przez piaski zatoki Morecambe. Znowu nastał pogodny dzień, cieszyłem się, że na jakiś czas wyrwę się z młyna. Bardzo chciałem obejrzeć część Hrabstwa na północ od zatoki, jego piękne góry i jeziora.

Gdybym był ze stracharzem, niósłbym obie torby, wyglądało jednak na to, że Arkwright zawsze wolał mieć swoją przy sobie. Po krótkim marszu dotarliśmy do Hest Bank, skąd miała rozpocząć się nasza podróż przez piaski. Zastaliśmy tam dwa powozy i trzech jeźdźców, a także gromadkę pieszych. Piaszczysta równina zapraszała do wędrówki, morze błyskało w dali; zastanawiałem się, na co wszyscy czekają i spytałem Arkwrighta.

– Na pozór piaski zatoki mogą wydawać się bezpieczne, lecz bywają zdradzieckie – odparł. – Przewodnik piaszkowy idzie zawsze przed pierwszym powozem – to człowiek znający przyplawy i odpływy jak własną kieszeń. Musimy przepawić się przez dwa kanały rzeczne – zwłaszcza drugi, Kent, bywa niebezpieczny po obfitych deszczach. Bywa, że zmienia się w ruchome piaski. Czekamy teraz, aż odpływ osiągnie punkt, dający powozom czas na bezpieczną przeprawę. Nigdy nie próbuj iść przez zatokę bez przewodnika, młody Wardzie. Spędziłem tu niemal całe życie i nawet ja bym się nie odważył. Owszem, nauczyłeś się pływać, ale



nawet dorosły, doświadczony latami mężczyzna nie przeżyłby tego. Woda napływa kanałami tak szybko, że wkrótce odcina cię od lądu i toniesz!

Podszedł do nas wysoki człowiek w kapeluszu z szerokim rondem; maszerował boso, w dłoni ścisnął kij.

– To pan Jennings, przewodnik – wyjaśnił Arkwright. – Od niemal dwudziestu lat przeprowadza ludzi przez te piaski.

– Piękny mamy dzień! – zawołał pan Jennings. – Kogóż to z sobą sprowadzasz, Billu?

– Dobrego dnia życzę, Sam. To jest Tom Ward, mój uczeń przez następne pół roku.

Opaloną i ogorzałą twarz przewodnika piaskowego rozjaśnił uśmiech. Uścisnął mi dłoń. Wyglądał na kogoś, kto lubi swą pracę.

– Nie wątpię, Bill, że ostrzegłeś go, jak niebezpieczne bywają te piaski.

– O, tak, wszystko wyjaśniłem. Miejmy nadzieję, że słuchał.

– O, tak, miejmy. Nie wszyscy słuchają. Za jakieś pół godziny powinniśmy ruszać w drogę.

To rzekłszy, odszedł pogawędzić z innymi. Gdy w końcu ruszyliśmy, Sam Jennings maszerował przed powozami, piesi zamykali kawalkadę. Płaskie piaski wciąż były mokre, poznaczone misternymi zmarszczkami pozostawionymi przez fale. Wcześniej niemal nie wiało, teraz jednak twarze atakował nam silny wiatr z północnego zachodu, w dali morze migotało w promieniach słońca.

Powozy toczyły się wolno i gdy dotarliśmy do pierwszej przeprawy, dogoniliśmy je z łatwością. Sam wszedł do kanału, by go zbadać, brodząc aż do kolan. Podreptał dwieście kroków na wschód, po czym zagwizdał i machnął kijem na znak, że możemy ruszać. Następnie wrócił w stronę pierwszego powozu.

– Teraz się przejedziemy! – rzekł Arkwright.

Nagle pobiegł naprzód i wskoczył na tył powozu. Zrobiłem to samo i wkrótce przekonałem się, dlaczego. Podczas przeprawy woda sięgała koniom aż do brzuchów. Oszczędziliśmy sobie kąpieli. Psom wyraźnie nie przeszkadzała odrobina wody, płynęły żwawo,

docierając na drugi brzeg na długo przed końmi. Zaskoczyliśmy na ziemię i jakiś czas maszerowaliśmy. Potem dotarliśmy do koryta rzeki Kent, która okazała się równie głęboka.

– Nie chciałem tu być w czasie przyływu – zauważyłem.

– Oj, nie chciałbyś, młody Wardzie. Wiosną woda jest dostatecznie głęboka, byś zanurzył się w niej trzykrotnie. Widzisz?  
– Arkwright wskazał ręką.

Ujrzałem zalesione zbocze, a za nim fioletowe wzgórza.

– To wzgórza za Cartmel – tam właśnie zmierzamy Wkrótce dotrzemy na miejsce.

Cała droga liczyła około dziewięciu mil, lecz Arkwright wyjaśnił, że nie zawsze tak jest. Rzeka Kent często zmieniała koryto, toteż odległość do bezpiecznych brodów zmieniała się także. Owszem, była to niebezpieczna wyprawa, ale znacznie krótsza niż wędrówka dokoła zatoki.

W końcu dotarliśmy do miejsca zwanego Kent's Bank. Tam zapłaciwszy i podziękowawszy przewodnikowi, opuściliśmy rozległe piaski i rozpoczęliśmy wspinaczkę do Cartmel, która zabrała nam niemal godzinę. Po drodze minęliśmy duży klasztor, parę tawern i około trzydziestu chałup. Okolice skojarzyły mi się z Chipenden – zza drzwi wyglądały głodne dzieci, na otaczających polach nie dostrzegłem bydła. Skutki wojny sięgały daleko i bez wątpienia wkrótce staną się jeszcze groźniejsze. Sądziłem, że zatrzymamy się i zanocujemy w Cartmel, ale wyglądało na to, że mamy sprawę gdzieś dalej.

– Odwiedzimy Judda Atkinsa, pustelnika, który mieszka na wzgórzach – wyjaśnił Arkwright, nie patrząc na mnie; wzrok wbijał w strome zbocze przed nami.

Wiedziałem, że pustelnik to zwykle święty mąż, który żyje sam poza siedliskami ludzi, wątpiłem zatem, by ucieszył się na nasz widok. Czy to on miał użyć odciętego palca, by odnaleźć Morwenę?

Miałem właśnie zapytać, lecz gdy mijaliśmy ostatni domek, z mrocznych, frontowych drzwi wyłoniła się staruszka i ruszyła ku nam błotnistą ścieżką, szurając nogami.

– Panie Arkwright! Panie Arkwright! Dzięki Bogu w końcu pan przyszedł! – wykrzyknęła, chwytając go za rękaw i przytrzymując.

– Puść mnie, mateczko – warknął Arkwright rozdrażnionym głosem. – Nie widzisz, że się śpieszę? Mam do załatwienia pilne sprawy!

Przez moment sądziłem, że ją odepchnie i pomaszeruje dalej, spojrzał jednak gniewnie, na czole wezbrały mu żyły.

– Ale my tu umieramy ze strachu! – zaprotestowała staruszka. – Nikt nie jest bezpieczny, biorą, co tylko zechcą, nieważne, w dzień czy w noc. Jeśli czegoś się nie zrobi, wkrótce umrzemy z głodu. Proszę nam pomóc, panie Arkwright...

– O czym ty gadasz? Kto bierze wszystko, co zechce?

– Werbownicy, choć bardziej przypominają pospolitych złodziei. Nie wystarczy im, że porywają na wojnę naszych chłopców, kradną też wszystko, co mamy. Urządzili się na farmie Saltcombe. Cała wioska umiera ze strachu.

Czy byli to ci sami ludzie, którzy mnie złapali? Wspominali, że chcą ruszyć na północ i uciekli w tamtą stronę, kiedy spłoszyła ich Alice. Uznałem, że to prawdopodobne. Z całą pewnością nie miałem ochoty znów się z nimi spotykać.

– To zadanie dla konstabla, nie dla mnie – Arkwright zmarszczył gniewnie czoło.

– Trzy tygodnie temu pobili konstabla do nieprzytomności, omal nie umarł. Dopiero niedawno wstał z łoża i nic już nie chce zrobić. Wie, co dla niego najlepsze, pomóż nam, proszę. I tak mamy mało strawy. Jeśli jednak pozostaną tu, gdy nadejdzie zima, z pewnością pomrzemy. Biorą wszystko, co wpadnie im w ręce...

Arkwright pokręcił głową i wyrwał rękaw z dłoni kobiety.

– Może kiedy będziemy tędy wracać, zobaczę, co da się zrobić. Teraz jednak jestem zbyt zajęty. Mam ważną sprawę, która nie może czekać!

To rzekłszy, ruszył dalej w górę, psy biegły przed nim, staruszka szurając nogami odeszła ze smutkiem do domu. Było mi żal jej i innych mieszkańców wioski, lecz uznałem, iż to dziwne, że

prosi o pomoc Arkwrighta. Ostatecznie, nie była to sprawa dla stracharza. Naprawdę sądziła, że mój mistrz pokonałby uzbrojoną bandę? Ktoś powinien wysłać wiadomość do najwyższego szeryfa w Caster. Bez wątpienia przysłałby innego konstabla. A mężczyźni z wioski? Czy nie mogli zebrać się razem i czegoś zrobić?

\*

Po godzinie wspinaczki na wzgórze nagle dostrzegliśmy dym. Zdawał się wypływać z dziury w ziemi i uświadomiłem sobie, że skalna półka, po której wędrujemy, to dach pustelni. Zeszliśmy po wytartych kamiennych stopniach i ujrzeliśmy przed sobą wejście sporej jaskini.

Arkwright kazał psom usiąść i czekać kawałek dalej, po czym poprowadził mnie w mrok. Wewnątrz jaskini unosił się silny zapach drzewnego dymu, od którego do oczu napłynęły mi łzy. Dostrzegłem jednak sylwetkę kogoś przykucniętego przy ogniu, z twarzą ukrytą w dłoniach.

– Jak się miewasz, starcze?! – zawołał Arkwright. – Wciąż pokutujesz za grzechy?

Pustelnik nie odpowiedział, Arkwright jednak, niezrażony, usiadł po jego lewicy.

– Posłuchaj, wiem, że wolisz być sam, toteż załatwmy to szybko, a zostawimy cię w spokoju. Obejrzyj to i powiedz, gdzie znajdę właścicielkę...

Otworzył torbę, wyciągnął wymiętą szmatkę i rozłożył na ubitej ziemi między pustelnikiem a ogniskiem.

Gdy moje oczy przywykły do półmroku, przekonałem się, że Judd Atkins ma siwą brodę i zmierzwioną czuprynę stalowosiwych włosów. Niemal minutę nie poruszał się – w istocie zdawało się, że nie oddycha. W końcu jednak wyciągnął rękę i podniósł palec czarownicy. Uniósł go do twarzy i parę razy obrócił, skupiony.

– Potrafisz to zrobić? – spytał Arkwright.

– Czy jagnięta rodzą się wiosną? – odpowiedział pytaniem pustelnik, głosem niewiele donośniejszym od szeptu. – Czy Psy wyją do księżyca? Wiele długich lat zajmuję się różdżkarstwem i

kiedy już się skupię, jak dotąd nic jeszcze mnie nie pokonało. Czemu niby miałyby się to zmienić?

– Świetnie, świetnie! – zawołał Arkwright podnieconym głosem.

– Owszem, zrobię to dla ciebie, Williamie – podjął pustelnik. – Musisz jednak zapłacić.

– Zapłacić? Ale jak? – Arkwright spojrzał na niego zdumiony. – Niewiele potrzebujesz, starcze. Sam wybrałeś sobie taki żywot. Czego możesz chcieć ode mnie?

– Nie proszę o nic dla siebie – głos pustelnika z każdym słowem stawał się coraz silniejszy. – Ale inni są w potrzebie. W wiosce głodni ludzie żyją w strachu. Uwolnij ich od niego, a dostaniesz to, czego pragniesz...

Arkwright splunął w ogień, zobaczyłem, że zaciska szczęki.

– Chodzi ci o bandę z farmy Saltcombe? O werbowników? Spodziewasz się, że ich przegonię?

– Nastąpiły czasy bezprawia. Kiedy wszystko się wali ktoś musi złożyć to do kupy. Czasami kowal musi naprawić drzwi albo stolarz podkuć konia. Kogóż innego mają, Williamie? Kogóż, jeśli nie ciebie?

– Ilu ich jest? – spytał w końcu Arkwright. – I co dokładnie o nich wiesz?

– W sumie jest ich pięciu. Sierżant, kapral i trzech żołnierzy. Biorą ze wsi, co chcą i nie płacą.

– Werbownicy porywali ludzi w okolicy Chipenden – wtrąciłem, marszcząc brwi. – Złapali też mnie, miałem szczęście, że im uciekłem. Też było ich pięciu, więc wygląda na to, że to ci sami. Nie chciałbym znów się z nimi spotkać. Jeden z nich to zaledwie chłopak, niewiele starszy ode mnie. Ale z sierżanta był paskudny zbir. Są uzbrojeni w pałki i noże. Nie sądzę, by sam pan sobie z nimi poradził, panie Arkwright.

Arkwright patrzył na mnie chwilę, po czym przytaknął.

– Mają nade mną przewagę – poskarżył się, znów spoglądając na pustelnika. – Nas jest tylko troje i pół – ja, dwa psy i chłopak, wciąż jeszcze żółtodziób. Mam własny fach, nie jestem konstablem.

– Kiedyś byłeś żołnierzem, Williamie. I wszyscy wiedzą, że wciąż lubisz rozbić parę czerepów, zwłaszcza kiedy pociągniesz z butelki. Z pewnością spodoba ci się takie zajęcie.

Arkwright zerwał się z ziemi. Patrzył z góry na pustelnika, wykrzywiony wściekłością.

– Lepiej się postaraj, żebyś tobie nie rozwalił czerepu starcze! Wróć przed zmierzchem. Tymczasem bierz się do roboty. Dość już straciłem czasu. Masz mapę krainy jezior?

Judd Atkins pokręcił głową, toteż Arkwright pogrzebał w torbie i wyciągnął złożoną mapę. Położył ją przed starcem.

– Spróbuj na tej – warknął. – Jej kryjówka mieści się gdzieś tutaj, jestem tego pewien. Gdzieś niedaleko południowych jezior.

To rzekłszy, wyszedł z jaskini i wściekłym krokiem ruszył na wschód.

## **ROZDZIAŁ 14**

### **JESTEŚ TRUPEM**

Nie oddaliliśmy się zbyt daleko od jaskini pustelnika gdy Arkwright przystanął, usiadł na trawie i otworzył torbę. Wyjął z niej flaszkę czerwonego wina, zębami wyciągnął korek i zaczął popijać.

Jakiś czas stałem z nieszczęśliwą miną, zastanawiając się, czy to najlepsze przygotowanie do walki z niebezpiecznymi bandziorami. Pustelnik jednak miał racje – Arkwright zawsze był agresywniejszy, kiedy sobie wypił. Musiał zauważyć moją minę, bo skrzywił się i gniewnym gestem polecił mi usiąść.

– Lepiej daj odpocząć nogom, młody Wardzie. I twarzy też, od tych min! – wykrzyknął.

Wyczułem, że nastrój mu się pogarsza, toteż usłuchałem natychmiast. Słońce opadało ku horyzontowi. Zastanawiałem się, czy Arkwright zamierza poczekać do zmroku, żeby rozprawić się z werbownikami. Taki plan wydał mi się najsensowniejszy. Albo

może atak o brzasku, gdy wciąż będą zaspani. Arkwright jednak nie należał do ludzi cierpliwych i pewnie rzadko uciekał się do najłatwiejszych rozwiązań.

Miałem rację. Wkrótce skończył wino i znów ruszyliśmy w drogę. Po jakichś dziesięciu minutach dogoniłem go. Byłem ciekaw, czy ma jakiś pomysł.

– Panie Arkwright... – zacząłem nieśmiało.

– Zamknij się! – warknął. – Odzywaj się tylko wtedy, gdy cię o coś spytam, nie wcześniej!

Zwolniłem zatem. Czuję się zły i nieco urażony. Wcześniej miałem wrażenie, że zaczynam lepiej dogadywać się z Arkwrightem, wyglądało jednak na to, że niewiele się w naszych relacjach zmieniło. Stracharz też czasami mnie uciszał, mówiąc, że pytania mogą poczekać, ale nigdy nie robił tego tak agresywnie i szorstko. Za zachowanie mojego nowego mistrza bez wątplenia odpowiadało wino.

Wkrótce dotarliśmy do kolejnego wzgórza. Arkwright otrzymał się, osłaniając oczy przed promieniami zachodzącego słońca. W dole widziałem dom, z komina niemal pionowo wznosił się słup brązowego dymu. Dom stał u wylotu wąskiej doliny. Bez wątplenia kiedyś mieściła się tu górska farma hodowców owiec, teraz jednak nie dostrzegłem żadnych zwierząt.

– No i jesteście! – oznajmił. – Farma Saltcombe. Chodźmy i miejmy to z głowy.

Pomaszerował w dół zbocza, nie próbując się kryć. Już w dolinie ruszył prosto do drzwi frontowych. Spodziewałem się, że w każdej chwili otworzą się i wypadnie z nich banda. Kiedy do przejścia pozostało dwadzieścia kroków, zatrzymał się i odwrócił ku mnie, wskazując głową psy.

– Złap je mocno za obroże i trzymaj – polecił. – Kiedy krzyknę: „Już!”, puść je. Ale nie wcześniej. Zrozumiano?

Przytaknąłem niepewnie i chwyciłem za obroże rwące się do przodu psy. Gdyby zechciały pobiec, w żaden sposób bym ich nie utrzymał.

– A jeśli coś pójdzie nie tak? – spytałem.

W domu ukrywało się pięciu żołnierzy – zapewne wciąż uzbrojonych w pałki i ostrza. Pamiętałem, co powiedziała staruszka na temat konstabla z parafii. Pobili go do nieprzytomności.

– Młody Wardzie – upomniał mnie ostro Arkwright, jeśli czegoś nie znoszę, to pesymistów. Uwierz, że możesz coś zrobić, a wygrasz już połowę bitwy, nim w ogóle zacząłeś. Zamierzam rozprawić się z tą bandą, a potem zająć ważnymi sprawami. Popilnuj tego – rzucił mi pod nogi swoją ciężką torbę, potem odwrócił laskę tak, że mordercza włócznia celowała ku ziemi. Sugerowało to, że nie zamierza trwale uszkodzić żadnego z żołnierzy.

Następnie pomaszerował wprost do drzwi i jednym kopniakiem ciężkiego lewego buciora je wyważył. Natychmiast wpadł do środka, zamachując się laską. Usłyszałem przekleństwa, a potem krzyki bólu i wściekłości. Zza drzwi wypadł rosły mężczyzna w obszarpanym mundurze, po czole ściekała mu krew. Ruszył wprost ku mnie, wypluwając powybijane zęby. Oba psy warknęły równocześnie i mężczyzna zatrzymał się, patrząc chwilę prosto na mnie. To był sierżant z poznaczoną bliznami twarzą; dostrzegłem w jego oczach błysk wściekłości, gdy mnie rozpoznał. Przez chwilę sądziłem, że zaatakuje mimo psów. Potem jednak skrzywił w prawo i pobiegł w górę zbocza.

Usłyszałem, jak Arkwright krzyczy: „Już!”, i nim zdążyłem zareagować, psy wyrwały mi się i popędziły w stronę otwartych drzwi, ujadając wściekle. Gdy tylko Szon i Kieł znalazły się w środku, pozostała czwórka dezertersów wypadła z chaty. Trzej uciekli drzwiami, śladem sierżanta, na wzgórze. Czwarty jednak wyskoczył frontowym oknem i ruszył wprost na mnie, wymachując nożem. To był kapral. Psy nie mogły mi już pomóc toteż uniosłem laskę i przytrzymałem poziomo w pozycji obronnej.

Kiedy się zbliżył, jego usta wygięły się w pozbawionym wesołości uśmiechu. Zatrzymał się i przykucnął, unosząc nóż w



prawej dłoni.

– Popełniłeś duży błąd dezercerując, chłopcze. Teraz rozpruję ci brzuch i zrobię sobie podwiązki z twoich flaków.

To rzekłszy, skoczył, a nóż już opadał ku mojemu ciału. Ja jednak poruszałem się szybciej, niż sądziłem: ćwiczenia z Arkwrightem wyraźnie się opłaciły. Mój pierwszy cios trafił go w przegub, wytrącając klingę. Kapral sapnął z bólu, gdy uderzyłem go po raz drugi – w głowę, tak mocno, że runął na kolana. Już się nie śmiał. W jego oczach ujrzałem strach. Podniósł się powoli. Mogłem znów go walnąć, ale dałem spokój. Odwrócił się i, klnąc na czym świat stoi, pobiegł za swymi kompanami. Wszyscy pędzili na wzgórze, jakby ścigał ich sam diabeł. Ruszyłem do domu, myśląc, że to już koniec. Zatrzymałem się jednak w progu, patrząc z otwartymi ze zdumienia ustami, jak Arkwright, rycząc z wściekłości, rozwała wszystko wewnątrz na kawałeczki – meble, naczynia i wszystkie pozostałe okna. Kiedy skończył, zagwizdał na Kła i Szpon i podpalił dom. Gdy opuszczaliśmy dolinę, gęsty pióropusz czarnego dymu za naszymi plecami przesłonił zachodzące słońce.

– Teraz nie mają już po co wracać – oznajmił z uśmiechem.

I wtedy, wysoko ze wzgórza, ktoś zawołał ku nam:

– Już jesteś trupem, stracharzu! Trupem! Dowiemy się, gdzie mieszkasz! Już nie żyjesz – ty i chłopak! Obaj dostaniecie za swoje. Służymy królowi. Zawieście, bez dwóch zdań!

– Nie martw się, młody Wardzie. – Arkwright uśmiechnął się cierpko. – To tylko puste słowa. Gdyby mieli dość odwagi, stanęliby do walki, a nie kulili się ze strachu na wzgórzu.

– Ale czy nie zameldują o tym, co się stało, i nie naślą na nas wojska? Uderzył pan jednego z żołnierzy króla, zniszczyliśmy też cały ich dobytek.

– Wojna nie idzie najlepiej, toteż wątpię, by dowódcy mieli dość ludzi, by nasyłać żołnierzy na takich jak my. Poza tym jestem niemal pewien, że to dezercerzy. To oni muszą obawiać się szubienicy. Nie zachowują się jak prawdziwi werbownicy. Kiedy ja

byłem w wojsku, bicie konstabla nie należało do naszych obowiązków!

Arkwright obrócił się na pięcie i pomaszerował do jaskini.

– A kiedy był pan żołnierzem? – spytałem.

– Dawno temu. Kiedy skończyłem termin u pana Gregory'ego, wróciłem do młyna i spróbowałem uwolnić mamę i tatę. Gdy mi się nie udało, poczułem taką gorycz, że na jakiś czas porzuciłem nasz fach. Armia wyszkoliła mnie na puszkarza, lecz w kraju panował pokój i nie było do kogo strzelać, toteż wykupiłem się i wróciłem do stracharskiego fachu. Zabawne, jak wszystko się układa. Ale powiem ci jedno – nigdy nie uciekłbym z pola bitwy, tak jak ci tchórze w mundurkach.

– Był pan puszkarzem? To znaczy, że strzelał pan z wielkich armat?

– Z osiemnastofuntowej, młody Wardzie. Największej armaty w Hrabstwie. Byłem mistrzem puszkarskim i w dodatku sierżantem. Tak naprawdę to ja dowodziłem tą armatą!

– Widziałem ją – poinformowałem. – Latem żołnierze sprowadzili ją z Colne i z jej pomocą rozwalili mur wieży Malkinów.

– Ile czasu im to zajęło? – dopytywał się Arkwright.

– Strzelali od południa do zachodu słońca i skończyli następnego dnia w niecałą godzinę.

– Doprawdy? Nic dziwnego, że tak kiepsko nam idzie w wojnie na południu. Widziałem tę wieżę, wedle mojej oceny przebiłbym się przez jej mury w niecałe dwie godziny. Wszystko jest kwestią techniki i szkolenia, młody Wardzie! – rzekł z uśmiechem.

To dziwne, jak wesoły i gadatliwy się zrobił. Sprawiał wrażenie upojonego radością. Zupełnie jakby walka z dezertierami podniosła go na duchu.

\*

Po dotarciu do pustelni, gniew Arkwrighta jednak powrócił, gdy mój nowy mistrz dowiedział się, że pustelnik nie zdołał odkryć położenia kryjówki Morweny.

– Dotrzymałem mej części umowy, teraz ty dotrzyмай swojej! – wściekał się.

– Cierpliwości, Williamie – odparł spokojnie Judd. – Czy zboże można hodować zimą? Oczywiście, że nie, bo wszystko ma swój czas. Powiedziałem, że jeszcze jej nie odkryłem, nie, że nie zdołam w końcu tego zrobić. I dotarłem dość blisko, by wiedzieć, że miałeś rację. Kryje się gdzieś wśród południowych jezior. Trudno jednak znaleźć czarownicę. Bez wątpienia użyła swych mocy by się ukryć. Czy jest bardzo mocna?

Arkwright przytaknął.

– Mocniejszych nie znajdziesz. Naprawdę nazywa się Morwena, lecz niektórzy zwą ją Krwioką. Bez wątpienia słyszałeś to miano?

– Istotnie – odrzekł pustelnik. – Oba. Kto ich nie słyszał? Każda matka w Hrabstwie drży na ich dźwięk. W ciągu ostatnich dwudziestu lat zginęły dziesiątki dzieci. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, by ci pomóc, ale jestem zmęczony. Takich rzeczy nie da się przyspieszyć. Spróbuję jutro, w bardziej sprzyjających okolicznościach. Jaką mamy pogodę?

– Pogarsza się i zaczyna mżyć – mruknął Arkwright, bynajmniej nie zachwycony.

– I tak nie chciałbyś chyba podróżować w takich warunkach. Może zatem zanocujecie tu dzisiaj? Jedliście coś?

– Nic, od śniadania. Ja sobie poradzę, ale ten tu młody Ward jest zawsze głodny

– W takim razie podgrzeję nam bulion.

Lecz przed kolacją Arkwright wyprowadził mnie na ciemne wzgórze i znów ćwiczyliśmy walkę na kije. Wyglądało na to, że niezależnie od okoliczności jest zdecydowany kontynuować moje szkolenie. Drobnny deszczyk padał nam na twarze, próbowaliśmy utrzymać równowagę na śliskiej trawie. Tym razem nie uderzał mnie w korpus, wystarczyło mu spychanie do tyłu i sprawdzanie, jak się bronię.

– No dobrze, na razie wystarczy – rzekł w końcu. – wygląda na to, że zaczynam dostrzegać lekką poprawę. Widziałem, jak

wcześniej załatwiłeś się z kapralem. Dobrze się spisałeś, chłopcze. Możesz być z siebie dumny. Tylko tak dalej, a po sześciu miesiącach nauczysz się, jak o siebie zadbać.

Jego słowa mnie ucieszyły i gdy ruszyliśmy do jaskini, pomyślałem tęsknie o kolacji. Ta jednak okazała się wielkim rozczarowaniem, bo bulion był tak gorzki, że po pierwszym łyku skrzywiłem się mocno. Zastanawiałem się, z czego jest zrobiony.

Arkwright uśmiechnął się, widząc moją minę.

– Zajadaj, młody Wardzie! To najlepsza ziołowa zupa, jaką dostaniesz na północ od Caster. Judd jest wegetarianinem. Dziś wieczór psy zjedzą lepiej od nas!

Pustelnik nie pokazał nawet po sobie, by słowa te go uraziły, lecz z szacunku do niego zmusiłem się, by opróżnić miskę bulionu, a potem podziękowałem. Nie wiem, co w nim było, lecz od czasu opuszczenia Chipenden, ani razu nie spałem tak smacznie.

## **ROZDZIAŁ 15**

### **TĄNCZĄCY PALEC**

Nie zjedliśmy śniadania. Wkrótce po świcie Judd Atkins wziął mapę jezior i rozłożył ją na ziemi przy dogasającym ogniu.

– No dobrze – rzekł w końcu, przypatrując się mapie. – Wyspałem się i czuję się znacznie lepiej. Teraz powinienem już znaleźć waszą wiedźmę.

To rzekłszy, wyjął z kieszeni nogawic dwa przedmioty: krótki kawałek cienkiego sznurka i odcięty palec czarownicy. Następnie przywiązał sznurek do palca.

Zobaczył, że go obserwuję i uśmiechnął się.

– Nim odszedłem z tego okrutnego świata, byłem różdżkarzem, Thomasie. Zazwyczaj używałem brzozonej różdżki do szukania wody. To ja wyznaczyłem miejsce wielu studni na północy Hrabstwa. Od czasu do czasu znajdowałem też zaginionych ludzi.

Mogłem zawiesić nad mapą kawałek ubrania bądź kosmyk włosów, aż w końcu ręka zaczynała mi drżeć. Niestety, wielu z odnalezionych już nie żyło, lecz ich rodziny i tak były wdzięczne, że mają ciało, które mogą pogrzebać w poświęcanej ziemi. Teraz zobaczmy, czy zdołam znaleźć wodną wiedźmę, imieniem Morwena...

Arkwright podszedł bliżej, obaj patrzyliśmy, jak pustelnik zaczyna systematyczne poszukiwania. Przesuwając powoli zawieszony na sznurku palec z zachodu na wschód, potem ze wschodu na zachód, bez pośpiechu przeczesywał szerokość mapy, za każdym razem przesuwając się odrobinę dalej na północ. Po niecałej minucie jego ręka drgnęła nagle. Zatrzymał ją, odetchnął głęboko, przesunął rękę w prawo i znów opuścił, gładko, miarowo. Ponownie drgnęła, tym razem szarpiąc w górę tak, że palec czarownicy zatańczył na końcu sznurka.

– Zaznacz to miejsce, Williamie! – zawołał Judd.

Arkwright podszedł do niego, ukląkł i zrobił na mapie niewielki krzyżyk.

Pustelnik nadal przemierzał mapę, wkrótce jego dłoń ponownie drgnęła. Po chwili odcięty palec znów tańczył na sznurku, gdy odnalazł trzecie miejsce. Za każdym razem Arkwright zaznaczał je bardzo starannie. Pustelnik szukał dalej, nie natrafił jednak na nic więcej.

Wszystkie trzy krzyżyki usytuowane były na mapie zachód od jeziora Coniston: pierwszy na północno-zachód, nim brzegu, drugi przy małym jeziorku zwanym Kozim Stawem, trzeci – dalej na północ, koło jeziora Levena.

– Czy zatem wskazałeś komplet miejsc, starcze, czy też po prostu nie jesteś pewien? – W głosie Arkwrighta dźwięczało wyraźne zniecierpliwienie.

– Czy pewność oznacza słuszność? Zawsze musimy pozostawić trochę miejsca na wątpliwości, Williamie. Całkiem możliwe, że odnalazłem wszystkie trzy miejsca. Z pewnością spędza dość czasu w każdym z nich – padła odpowiedź. – Może nawet istnieją inne,

dalej na północ od okolic, które kazałeś mi sprawdzić. Najsilniejszą reakcję wyczułem na brzegu Coniston, ale czuję też, że wiedźma krąży po całej okolicy, na zachód od tego jeziora. Dobrze znasz tamten rejon?

– Wiele razy miałem powody, by tam pracować, ale nie znam północnych brzegów jeziora na granicy Hrabstwa. Ludzie z Coniston to ponura banda, są zamknięci w sobie, nie przepadają za obcymi. Wolą cierpieć w milczeniu, niż sprowadzić stracharza z południa.

Rozsądnie zachowałem swoje myśli dla siebie. Pomykałem jednak, że to niezłe stwierdzenie w ustach kogoś równie nieprzyjaznego jak Arkwright, kto ledwie tolerował w swym domu ucznia.

\*

W chwili, gdy mieliśmy wyruszyć, pogoda pogorszyła się gwałtownie. Unoszone zachodnim wiatrem strugi deszczu atakowały zbocze, bębniąc o dach jaskini i wnikając do środka, czasami lądując nawet z sykiem na skraju paleniska.

– Ty stary durniu – zadrwił Arkwright. – Czemu, u licha, wybrałeś sobie jaskinię z wyjściem na stronę, z której zwykle wieją wiatry?

– Zimno i wilgoć dobrze służą duszy. A czemu ty mieszkasz w domu na skraju bagna, skoro mógłbyś żyć zdrowiej w lepszym, świeższym powietrzu? – odparował Judd Atkins.

Czoło Arkwrighta zmarszczyło się gniewnie, ale nic nie powiedział. Mieszkał tam, bo był to dom jego rodziców, a uwięziony w nim duch jego matki nie pozwalał mu odejść. Pustelnik zapewne nie miał o tym pojęcia, w przeciwnym razie nie uciekłyby się do podobnie okrutnych uwag.

Widząc pogorszenie pogody, Arkwright postanowił spędzić jeszcze jedną noc w jaskini i nazajutrz o pierwszym brzasku wyruszyć w stronę Coniston. Podczas gdy rozpałił nowe ognisko, mistrz zabrał mnie w ulewnym deszczu na ryby. Sądziłem, że użyje wędziska bądź siatki, on jednak stosował metodę, którą

nazywał „łaskotaniem”.

– Jeśli się tego nauczysz, nigdy nie będziesz głodny! – rzekł.

Metoda polegała na położeniu się na mokrym rzeczonym brzegu, z rękami zanurzonymi w zimnej wodzie. Chodziło o to, by połaskotać pstrąga w brzuch tak, by cofnął się wprost w nadstawioną rękę, wówczas wyrzucało się go na trawę. Zademonstrował mi metodę, ale wymagała ona mnóstwa cierpliwości i żaden pstrąg nie zbliżył się nawet do moich palców. Arkwright natomiast złapał dwa i wkrótce upiekł je doskonale. Pustelnik jedynie sączył bulion, co oznaczało, że wraz z nowym mistrzem podzieliliśmy się dwiema rybami. Były przepyszne; wkrótce poczułem się znacznie lepiej.

Potem jednak nadeszła pora na kolejną walkę na kije. W sumie mi się upiekło, zarobiłem tylko jeden siniec na ręce. Lecz Arkwright walczył ze mną długo i byłem wykończony, toteż smacznie zasnąłem w jaskini. Z pewnością spało się tu spokojniej niż we młynie.

\*

O świcie deszcz ustał i bez dalszej zwłoki ruszyliśmy drogę, zmierzając na północ, w stronę jezior. Stracharz miał rację, opowiadając o widokach w tej części Hrabstwa. Gdy dotarliśmy do jeziora Coniston, maszerując porośniętym drzewami zachodnim brzegiem, otoczyły nas cieszące oko krajobrazy. Na zboczach po wschodniej stronie szumiał mieszany iglasto-liściasty las; zieleń szpilkowych drzew rozjaśniała nieco ponury, późnojesienny dzień. Chmury płynęły wysoko, na południu zatem roztaczał się wspaniały widok na góry, pośród których deszcz wyraźnie zamienił się w śnieg, bo ich wierzchołki połyskiwały bielą na tle szarego nieba.

Arkwright sprawiał wrażenie odrobinę pogodniejszego, toteż znużony długą ciszą – nie odezwaliśmy się słowem od czasu wyjścia z jaskini pustelnika – zaryzykowałem zadanie pytania.

– Ta góra przed nami, czy to Staruch z Coniston?

– Owszem, młody Wardzie. I powinieneś to wiedzieć – po

wczorajszym ślęczeniu nad mapą z pewnością ją zapamiętałeś. Niezły widok, co? Jest znacznie wyższa niż wzgórza za domem pana Gregory'ego. Przyciąga oko, lecz czasami równie ważne miejsca nie wyróżniają się aż tak bardzo. Widzisz ten brzeg, o tam? – Wskazał ręką na drugą stronę jeziora.

Przytaknąłem.

– W tym właśnie miejscu zabiłem Rozpruwacza z Coniston. Przy samiutkim brzegu. To chyba mój najlepszy uczynek od czasu zakończenia szkolenia u pana Gregory'ego. Ale jeśli zdołam schwytać bądź zabić Morwenę z pewnością będzie to ważniejsze.

Coś bliskiego uśmiechu przemknęło po twarzy Artwrighta, zaczął nawet pogwizdywać cicho, bezdźwięcznie. Psy tymczasem biegały wokół, w podnieceniu kłapiąc szczękami.

Do wioski Coniston wkroczyliśmy od południa. Zauważyłem niewielu ludzi, lecz ci, których spotkaliśmy nie wyglądali zbyt przyjaźnie; niektórzy przechodzili nawet na drugą stronę ulicy, byle tylko nie minąć nas z bliska. Wcale mnie to nie zdziwiło. Większość ludzi czuje się nieswojo w obecności stracharza. Nawet w Chipenden, gdzie pan Gregory mieszka od wielu lat, mój mistrz wolał utrzymywać dystans i unikał odwiedzania centrum wioski, a kiedy odbierałem zapasy, nie wszyscy traktowali mnie równie przyjaźnie jak kramarze, których cieszył stały klient.

Po dotarciu do strumienia – opisanego na mapie jako Kościelny Ruczaj – rozpoczęliśmy forsowną wspinaczkę na zachód, pozostawiając za sobą skupisko domów o dymiących kominach. Nad nami wznosił się groźny masyw Starucha, lecz w chwili, gdy zaczęły boleć mnie nogi, Arkwright sprowadził nas ze szlaku do niewielkiego ogrodu przed tawerną. Szyld informował, że to:

Gospoda

nad Ruczajem

W drzwiach stało dwóch starszych mężczyzn, obaj z garncami piwa w dłoniach. Cofnęli się szybko, przepuszczając nas. Niepokój na ich twarzach spowodowała zapewne nie tylko obecność dwóch groźnych wilczarzy. Po strojach i laskach odgadli nasz fach.



Wewnątrz gospoda była pusta, stoły jednak lśniły czystością, a na kominku płonął ciepły ogień. Arkwright podszedł do baru i zastukał głośno w drewniany szynkwas. Usłyszeliśmy kroki na schodach i z otwartych drzwi po prawej wyłonił się krągły, jowialny mężczyzna w czystym fartuchu. Zobaczyłem, jak zerka niespokojnie na psy i szybko mierzy wzrokiem Arkwrighta. Potem jednak nerwowy uśmiech przeszedł gładko w uprzejmą minę doświadczonego szynkarza, witając go gości.

– Dzień dobry, moi panowie – rzekł. – Czym mogę służyć? Pokojem, posiłkiem, czy jedynie dwoma kuflami najlepszego piwa?

– Prosimy o dwa pokoje, gospodarzu. I wieczorny posiłek – gulasz, jeśli macie. Tymczasem siądziemy tu, w kącie przy ogniu i zaczniemy od polewki.

Gospodarz uklonił się i pospieszył do kuchni. Zająłem miejsce naprzeciwko Arkwrighta, zastanawiając się, co się dzieje. Przy rzadkich okazjach, gdy z panem Gregorym nocowaliśmy w gospodach, zawsze braliśmy jeden pokój, on spał w łóżku, ja na podłodze. Arkwright zamówił nam osobne sypialnie.

– Co to jest polewka? – spytałem.

– To coś rozgrzewającego w zimny, mokry, jesienny wieczór. Gorąca korzenna mieszanka grzanego wina i owsianki. Doskonale pobudza apetyt przed gulaszem.

Trochę zmartwiło mnie słowo wino. Walka z żołnierzami ponownie zademonstrowała, jak gwałtowny i wściekły robił się Arkwright, kiedy sporo wypił – w takich chwilach zaczynałem się go bać. Miałem już nadzieję, że ostatnio zaczął nieco ograniczać picie, może jednak epizod z werbownikami pobudził w nim pragnienie.

Próbowałem patrzeć optymistycznie na całą sytuację. Nocleg w gospodzie był zdecydowanie lepszy niż noc pod żywoplotem bądź w wietrznej stodole – choć wiedziałem, że najczęściej John Gregory miał dobre powody, by postępować tak, jak postępował. Po pierwsze, przed starciem z mrokiem zawsze kazał nam pościć. Po drugie, wolał, by ludzie nie wiedzieli, co zamierza. Podszedłby do

jednej z trzech potencjalnych kryjówek Morweny, omijając wioskę. W tak niewielkich osadach wieści rozchodzą się błyskawicznie. Teraz, gdy wynajęliśmy pokoje, wszyscy w Coniston wkrótce dowiedzą się, że odwiedzili ich stracharz z uczniem. A czasami czarownice miały pomagierów wśród miejscowych – odkryłem to w Pendle. Nawet bezecna wodna wiedźma, taka jak Morwena, mogła mieć swoich informatorów.

Jakiś czas zmagalem się z sobą, rozdarty między dwiema możliwościami – nie powiedzieć nic Arkwrightowi i stawić czoło możliwym konsekwencjom albo też powiedzieć, ryzykując pobicie, a przynajmniej ostrą burę. W końcu zwyciężyło poczucie obowiązku.

– Panie Arkwright – zacząłem, zniżając głos na wypadek, gdyby gospodarz wrócił i nas podsłuchiwał – sądzi pan, że to roztropne, byśmy siedzieli tu tak otwarcie? Morwena może mieć w okolicy swoich zwolenników.

Arkwright uśmiechnął się ponuro.

– Przestań mi matkować, młody Wardzie. Widzisz gdzieś jakichś szpiegów? Pamiętaj, kiedy jesteś ze mną robisz wszystko po mojemu. A ja muszę odpocząć i się posilić, jeśli mam stawić czoło Morwennie. Uważaj się za szczęściarza, że dziś pójdziesz spać do suchego łóżka i z pełnym brzuchem. Pan Gregory nie traktuje tak dobrze swoich uczniów.

Może Arkwright miał rację. W pobliżu nikt się nie kręcił, a obaj zasłużyliśmy na porządny posiłek i odpoczynek po dwóch nocach spędzonych w jaskini pustelnika. Byłem pewien, że pan Gregory nalegałby, abyśmy pościli przed spotkaniem z Morweną, postanowiłem jednak nie sprzeczać się więcej z Arkwrightem – zwłaszcza że miał wkrótce wlać w siebie trochę wina. Rozsiadłem się wygodnie, przestałem się martwić i ze smakiem zjadłem polewkę.

Wkrótce jednak gospoda zaczęła się wypełniać i nim właściciel postawił przed nami talerze pełne parującego gulaszu, kompania rolników pociągała już piwo, a większości stołów siedziały grupki

dziarskich, wesołych mężczyzn, żartujących, zaśmiewających się i napełnianych brzuchy. Kilka osób zerkało na nas podejrzliwie wyczułem, że niektórzy o nas rozmawiają. Paru klientów zawróciło nawet w drzwiach na nasz widok. Może po prostu się nas bali, a może kierowało nimi coś bardziej złowrogiego.

Stopniowo sytuacja zaczęła się pogarszać. Arkwright zamówił kufel najmocniejszego. Wychylił go w parę sekund, po czym kupił następny i następny. Po każdym kolejnym piwie jego głos stawał się donośniejszy, a słowa bardziej bełkotliwe. Kędy poszedł do szynkwasu po siódmy kufel, potknął się o czyjś stół, rozlewając napitki i zarabiając kilka gniewnych spojrzeń. Siedziałem cicho, starając się nie zwracać niczyjej uwagi, lecz Arkwright nawet nie myślał przestać. Stojąc przy barze, opowiadał każdemu, kto tylko zechciał, historię o tym, jak pokonał Rozpruwacza z Coniston.

Po jakimś czasie wrócił chwiejnie do naszego stolika, niosąc ósmy kufel. Opróżnił go szybko i beknął donośnie, ściągając na siebie kolejne spojrzenia.

– Panie Arkwright – zagadnałem – nie sądzi pan, że powinniśmy się już kłaść? Jutro czeka nas ciężki dzień, a robi się późno.

– Ten znów zaczyna – rzucił Arkwright głośno.

Wkrótce, tak jak tego pragnął, ściągnął na siebie uwagę już chyba wszystkich zebranych. – Kiedy mój młody uczeń nauczy się, że to ja wydaję rozkazy, a nie na odwrót? Pójdę do łóżka, gdy będę gotowy, młody Wardzie nie wcześniej – warknął.

Upokorzony, spuściłem głowę. Co jeszcze mogłem rzec? Pomyślałem, że mój nowy mistrz popełnia wielki błąd, upijając się przed porannym spotkaniem z Morweną. Lecz, jak sam mówił, byłem tylko uczniem i musiałem słuchać poleceń.

– Tak się składa, że chłopak ma rację – rzekł szynkarz, podchodząc, by sprzątnąć ze stołu. – Nie lubię odmawiać gościom, ale za dużo już wypiełeś, Billu, a jutro musisz myśleć jasno, jeśli naprawdę chcesz pokonać Morwenę.

Słuchałem wstrząśnięty. Nie miałem pojęcia, że, mistrz wyjawiał

gospodarzowi, co planujemy – kto jeszcze z zebranych o tym usłyszał?

Arkwright walnął głośno pięścią w stół.

– Chcesz mi powiedzieć, że mam za słabą głowę? – wrzasnął.

Nagle w sali zapadła cisza, wszyscy odwrócili się, mierząc go wzrokiem.

– Nie, Billu – odrzekł pogodnie szynkarz, wyraźne mający wprawę w rozmowach z pijakami. – Coś ci zaproponuję. Wróc tu jutro wieczorem, kiedy załatwisz Morwenę, a będziesz mógł wypić, ile zechcesz – na koszt firmy.

Na wzmiankę o Morwenie wśród gości rozległy się ciche szepty.

– Dobra, umowa stoi – przystał, ku mojej uldze, Arkwright. – Młody Wardzie, czas już na nas.

Zabrałem psy i pierwszy ruszyłem na górę, on szedł za nami, potykając się na schodach. Gdy jednak przekroczyłem próg, także wszedł do środka i zamknął drzwi, zostawiając psy na zewnątrz.

– Co myślisz o swoim pokoju? – wybełkotał.

Rozejrzałem się. Łóżko wyglądało kusząco, wszystkie sprzęty, łącznie z zasłonami, sprawiały wrażenie czystych i zadbane. Świece obok łóżka zrobiono z wosku, nie z cuchnącego łoju.

– Wygląda na wygodny – rzekłem. W tym momencie zauważyłem duże lustro na toalecie po lewej. – Mam je zasłonić prześcieradłem? – spytałem.

– Nie trzeba. Nie mamy do czynienia z waszymi czarownicami z Pendle. – Arkwright pokręcił głową. – Nie, nie, nie – czknął – to coś zupełnie innego. Zupełnie innego, zważ moje słowa. Wodna wiedźma nie potrafi szpiegować ludzi za pomocą lustra. Nawet Morwena tego nie umie. Tak czy inaczej, młody Wardzie, powinienes być mi wdzięczny. Pan Gregory nigdy nie zamówił mi tak wygodnego pokoju – w ciągu całych pięciu lat gdy u niego terminowałem. Ale tylko mi się tu nie rozgość. Nie rozgość, kość w kość. Dajmy sobie parę godzin odpoczynku. Kiedy jednak dzwoni kościelny wybije północ, ruszamy na łowy. Na łowy, hej, ho! Skręć w lewo za drzwiami i zjeżdż po tylnych schodach. Spotkamy się przy

drzwiach. Tylko cicho, cicho sza.

To rzekłszy, wytoczył się z pokoju, zamykając za sobą drzwi. Słyszałem jednak, jak śpiewa: „Na łowy, hej, ho!”, kiedy po pijanemu zmagał się z zamkiem własnej sypialni. Nie rozbierając się zatem, padłem na łóżko. Może i mocno sypiam, ale nawet we śnie świetnie rozpoznaję godzinę i wiedziałem, że jeśli się skupię, obudzę się tuż przed tym, nim dzwony wybiją północ.

## **ROZDZIAŁ 16**

### **KRWAWY ŚLAD**

Byłem zmęczony po długim marszu do Coniston i przespałem smacznie dwie godziny. Zbudziłem się nagle, tuż przed tym, nim odezwał się kościelny dzwon, instynktownie wiedziałem, że to północ, ale i tak na wszelki wypadek przeliczyłem uderzenia. Kiedy jednak stanąłem pod umówionymi drzwiami, Arkwrighta tam nie było. Wyjrzałem na zewnątrz, potem wróciłem do jego pokoju. Zatrzymałem się w progu, nasłuchując: słyszałem chrapanie. Zastukałem cicho, a kiedy nie odpowiedział, powolutku uchyliłem drzwi. Szpon i Kieł szczeękły cicho jednym głosem, gdy wszedłem do środka, potem jednak zamachały ogonami.

Arkwright leżał na łóżku w ubraniu. Usta miał szeroko otwarte i bardzo głośno chrapał.

– Panie Arkwright – powiedziałem mu tuż uchu. – Panie Arkwright, proszę pana, czas wstawać

Jeszcze kilka razy zawołałem go po imieniu, bez powodzenia. W końcu potrząsałem nim. Usiadł gwałtownie, szeroko otwierając oczy, a jego twarz wykrzywił gniewny grymas. Z początku sądziłem, że mnie uderzy toteż odezwałem się szybko:

– Kazał mi pan czekać na dworze o północy, jest już znacznie później...

Dostrzegłem w jego oczach błysk zrozumienia, spuścił nogi na

ziemię i niepewnie dźwignął się z łóżka.

Na stoliku obok stały dwie latarnie, zapalił obie i wręczył mi jedną. Potem chwiejnym krokiem wyszedł z pokoju i pomaszerował po schodach, przyciskając dłoń do głowy i cicho jęcząc. Przeprowadził mnie przez podwórze na skąpane w księżycowym blasku zbocze. Obejrzałem się ku gospodzie: okna na piętrze były ciemne, lecz z dolnych wciąż wypływały smugi jasnego światła. Z wnętrza dobiegały podniesione głosy, ktoś śpiewał, fałszując.

Chmury odpłynęły, powietrze było rześkie i chłodne. Dwa psy stąpały tuż przy nas, ich oczy błyszczały z pod niecenia. Cały czas wspinaliśmy się na południowe zbocze Starucha, aż w końcu pod stopami zachręścił nam śnieg. Nie był zbyt głęboki, jego powierzchnia właśnie zaczynała zamarzać.

Gdy dotarliśmy do brzegu Koziego Stawu, Arkwright zatrzymał się. Natychmiast zrozumiałem, czemu tak właśnie nazwano owo niewielkie jeziorko: na jego stromych brzegach górski kozioł czułby się znacznie lepiej niż ludzka istota. Brzeg zaścielały wielkie głazy, utrudniające dostęp do wody. Lecz Arkwright nie zatrzymał się, by podziwiać widoki. Ku memu zdumieniu nagle pochylił się gwałtownie i zaczął ostro wymiotować, wyrzucając z siebie na ziemię piwo i gulasz. Odwróciłem się szybko plecami i odszedłem, czując ucisk w żołądku. Trwało to jakiś czas, potem jednak odgłosy wymiotów ustały; usłyszałem, jak głośno wciąga w płuca nocne powietrze.

– Dobrze się czujesz, młody Wardzie? – spytał, idąc ku mnie chwiejnie.

Przytaknąłem. Nadal dyszał bardzo ciężko, jego czoło lśniło od potu.

– Gulasz musiał być nieświeży. Rano porządnie nagadam szynkarzowi, zapamiętaj moje słowa!

Arkwright znów odetchnął głęboko i otarł grzbietem dłoni czoło i usta.

– Nie czuję się zbyt dobrze. Chyba trochę tu odpocznę – oznajmił.

Znaleźliśmy pobliski głąz, o który się oparł, i usiedliśmy w milczeniu, przerywanym jedynie od czasu do czasu jękami Arkwrighta i cichym skomleniem psów.

Po dziesięciu minutach spytałem, czy mu lepiej. Przytaknął i spróbował wstać, ale nogi ugięły się pod nim i znów usiadł ciężko.

– Może pójdę sam, panie Arkwright – zaproponowałem. – Nie wydaje mi się, by nadawał się pan dzisiaj do poszukiwań, nie mówiąc o marszu do jeziora Coniston.

– Nie, chłopcze, nie możesz iść sam. Co by powiedział pan Gregory? W pobliżu kręci się przecież Morwena. Jeszcze pięć minut i będę zdrów jak ryba.

Lecz po pięciu minutach znów zaczął wymiotować resztkami piwa i gulaszu. Wyraźnie widziałem, że tej nocy nie nadaje się do łowów na Morwenę.

– Panie Arkwright – rzuciłem – lepiej zostawię pana tutaj i się rozejrzę – albo razem wrócimy do gospody i poszukamy Morweny jutro w nocy.

– Musimy to załatwić dzisiaj – upierał się Arkwright. – Chcę jak najszybciej wracać do młyna. I tak nie było mnie tam już zbyt długo.

– W takim razie proszę mi pozwolić poszukać wokół jeziora Coniston. Wezmę ze sobą jednego psa, nic mi nie będzie.

Zgodził się niechętnie.

– No, dobrze. Wygrałeś. Nie czuję się dość dobrze, by w nocy dotrzeć do jeziora Coniston. Idź w stronę, z której przyszliśmy, na północnowschodni kraniec jeziora i tam poszukaj. Osłaniaj latarnię, by nie przyciągnąć niczyjej uwagi. Jeśli zobaczysz Morwenę – albo kogokolwiek, kto zachowywałby się podejrzanie – nie ryzykuj. Idź za nimi w bezpiecznej odległości. Strzeż się krwawego oka i spróbuj ustalić, gdzie się kryje wiedźma. Oprócz tego nie rób nic. Masz tylko patrzeć i meldować mi o wszystkim. Jeśli poczuję się lepiej, rozejrzę się tutaj. Później sprawdzimy razem jezioro Levena. I zabierz ze sobą sukę – dodał – to ci da szansę przeżycia, gdyby coś się stało. Myślisz, że trafisz stąd nad jezioro Coniston?

Przytaknąłem. W głowie widziałem całą mapę.

– Świetnie. Powodzenia. Spotkamy się tutaj.

Nie czekając na odpowiedź, pochylił się i wyszeptał coś do ucha Szpon, po czym poklepał ją trzy razy. Zsunąwszy drewniane osłony na latarnię, ruszyłem w stronę jeziora, Szpon posłusznie dreptała mi u nogi. Przeszedłem zaledwie parę kroków, gdy znów usłyszałem jęki i wymioty Arkwrighta. Byłem pewien, że to nie gulasz je wywołał. Piwo musiało być bardzo silne, a on pił je zbyt szybko.

I tak, ze Szpon u boku, maszerowałem w stronę jeziora Coniston i księżycy, który wyłaniał się powoli zza drzew.

Kiedy tak szedłem w dół zbocza po własnych śladach nagle rozległ się niesamowity krzyk. Czekałem spięty zdenerwowany, wyczuwając niebezpieczeństwo. Ów dźwięk miał w sobie coś znajomego. Może to jakieś ostrzeżenie czy sygnał? Ale potem znów zabrzmiał, niemal dokładnie nad moją głową i nagle przypomniałem sobie, gdzie go już słyszałem – na bagnach, zaledwie parę minut przed tym, jak spotkałem Morwenę, która wciągnęła mnie w trzęsawisko. Zauważyłem coś lecącego w stronę Koziego Stawu.

Bez wątplenia był to jakiś gatunek ptaka. Pomyślałem, że spytam o niego Arkwrighta, gdy tylko nadarzy się sposobność. Coś mogło go łączyć z wodną wiedźmą. Niektóre czarownice posługiwały się magią krwi bądź kości, inne jednak korzystały z pobratymców – stworzeń zastępujących im oczy oraz uszy i wykonujących polecenia. Może ów dziwaczny ptak był pobratymcem Morweny?

W końcu znalazłem się we wsi. Szybko przemierzałem puste ulice. Szpon biegła tuż obok. W górnych oknach dostrzegłem zaledwie parę świateł. Za ostatnim domem skręciłem na północ i pod osłoną drzew dotarłem na brzeg. Tafla jeziora mieniła się srebrem w blasku księżycy.

Czas płynął powoli. Choć wraz ze Szpon szukaliśmy wszędzie, nie zauważyłem ani nie usłyszałem niczego szczególnego. Zacząłem



myśleć o Alice, zastanawiając się, co robi i czy tęskni za mną równie mocno, jak ja za nią. Myślałem także o moim mistrzu, Johnie Gregorym. Czy spał bezpiecznie w łóżku w Chipenden, czy też, jak ja, włóczył się po nocy, wypełniając obowiązki stracharza?

W końcu postanowiłem wrócić nad Kozi Staw do Arkwrighta, bo nie znalazłem nawet śladu Morweny.

Tym razem wspinaczka wydała mi się trudniejsza. I choć ścieżka stopniowo się wyrównywała, nadal miałem przed sobą długi marsz wokół Starucha. Wkrótce znowu brodziłem w śniegu, podążając po naszych śladach w kierunku jeziora. W końcu ujrzałem miejsce, gdzie zostawiłem Arkwrighta. Poruszałem się możliwie jak najciszej, by nie przyciągnąć uwagi nikogo bądź niczego przyczajonego na wzgórzach. Lecz nagle, ku mej zgrozie, Szpon zawyla i pobiegła naprzód. Potrzebowałem nieco czasu, by ją dogonić i musiałem podpierać się laską, by nie upaść na śliskim śniegu. Kiedy się zbliżyłem, uniosłem osłony z latarni, żeby lepiej widzieć.

Serce natychmiast ścisnęło mi się w piersi. Wygląda na to, że Arkwright i Kieł znaleźli Morwenę. A raczej ona ich znalazła. Kieł nie żył, jego ciało leżało na zakrwawionym śniegu. Gardło miał rozszarpane. Wokół widziałem ślady – ślady czegoś o szponiastych, błoniastych stopach, czegoś poruszającego się na dwóch nogach. Drugi, szeroki szlak krwi wiódł aż na brzeg jeziora. Podczas gdy Szpon skomlała i wyla z żalu za zabitym psem, ja mocniej ścisnąłem w dłoni kij i jak ogłuszony podążyłem po śladach nad samą wodę.

Latarnia oświetliła laskę Arkwrighta, leżącą na brzegu jeziora. Jeden z butów tkwił do połowy w wodzie. Rozszarpana skóra wyglądała jak zdarta ze stopy.

Z początku nie wątpiłem, co się stało: Morwena zabiła Kła, po czym zahaczyła Arkwrighta i wciągnęła go do wody. Potem jednak, nieco dalej, zauważyłem kolejne błoniaste ślady. Całe mnóstwo śladów. Była tu więcej niż jedna wodna wiedźma. Jeśli Arkwright spotkał się z Morweną, to nie była sama. Czyżby zaatakowała go z

wody, podczas gdy inne nadeszły od tyłu, uniemożliwiając mi ucieczkę?

Serce ścisnęło mi się ze strachu. Morwena mogła tkwić pod powierzchnią wody, obserwując mnie. Mogło tu być całe mnóstwo wiedzów, czekających na okazję do ataku. W każdej chwili mogli wyskoczyć spod gładkiej powierzchni, gotując mi ten sam los co mistrzowi.

Szpon znów zaczęła wyc i ów udręczony dźwięk odbijał się echem od wysokiego szczytu nad nami. W panice pobiegłem, ile sił w nogach. Każdy krok zbliżał mnie do bezpiecznego schronienia, z każdym krokiem wycie psa stawało się coraz cichsze. W pewnym momencie przestraszyłem się, że sukę czeka to samo co Kła, toteż zatrzymałem się i zagwizdałem. Próbowałem trzy razy, nie zareagowała jednak, toteż ruszyłem dalej do gospody.

Nękanie kacem Arkwright miał niewielką szansę pokonania czarownic. Był dobrym, doświadczonym stracharzem, ale popełnił wielki błąd, tak dużo pijąc, i ta pomyłka kosztowała go życie.

\*

W końcu dotarłem bezpiecznie do gospody i zamknąłem się w swoim pokoju, niepewny, co czynić dalej. O pierwszym brzasku zamierzałem wracać do Chipenden i poinformować stracharza o wszystkim, co zaszło. Nie mogłem uczciwie rzec, że lubiłem Arkwrighta, lecz do głębi wstrząsnęło mną to, jak zginął. Był dobrym stracharzem, nauczyłyby mnie wielu użytecznych – może nawet niezmiernie ważnych – rzeczy. Mimo brutalność i pijaństwa, pozostawał potężnym wrogiem mroku i wiedziałem, że jego śmierć bardzo zaszkodzi Hrabstwu.

Lecz czy obecnie groziło mi niebezpieczeństwo? Drzwi można wyłamać. Jeśli szynkarz odegrał w ostatnich wydarzeniach jakąś rolę, wodne wiedźmy wiedziały, kim i gdzie jestem oraz gdzie się zatrzymałem. Morwena mogła przyjść sama albo przysłać inne, by zaciągnęły mnie do jeziora.

Przypomniałem sobie słowa Alice na temat luster i wiadomości. Wiedziałem, że stracharzowi się to nie spodoba, ale byłem w

desperacji. Musiałem natychmiast dać im znać, co się stało. Może stracharz przybędzie na północ, by mi pomóc? Może spotka się ze mną w połowie drogi?

Siedząc na skraju łóżka, pochyliłem się naprzód, przyłożyłem obie dłonie do zimnej tafli zwierciadła i tak jak poleciła Alice, zacząłem o niej myśleć. Próbowałem sobie wyobrazić jej twarz, wspominałem nasze rozmowy, radosne chwile spędzone w domu stracharza w Chipenden Skupiłem się, jak mogłem, ale nic się nie działo.

Po jakimś czasie położyłem się i zamknąłem oczy, nadal jednak widziałem koszmarne okaleczonego trupa Kła, krew na śniegu i but Arkwrighta leżący w wodzie. Usiadłem i ukryłem twarz w dłoniach. Może Alice jakoś mnie wyczuje i użyje sztuczek, których nauczyła ją ciotka, Koścista Lizzie? Może właśnie w tym momencie nuciła przed lustrem na tyłach domu stracharza w Chipenden?

Jak mogło się to udać, skoro oddzielał nas taki kawał drogi? A co, gdyby mistrz ją przyłapał? Czy zrozumiałby, że to konieczne? Mógłby ją odprawić – może to dałoby mu pretekst, którego szukał.

Po jakichś dziesięciu minutach znów przyłożyłem rękę do srebrzystej powierzchni. Teraz myślałem o owych dniach, gdy zabrałem Alice do ciotki w Staumin. Przypomniałem sobie pysznego królika, którego złapała i przyrządziła, i to, jak później sięgnęła ku mnie i wzięła mnie za rękę. Jak jej lewa dłoń ścisnęła moją, a ja czułem wyrzuty sumienia, wiedząc, że stracharzowi by się to nie spodobało, lecz jednocześnie byłem szczęśliwy.

Lustro natychmiast pojaśniało, szkło rozgrzało się pod moimi dłońmi i nagle ujrzałem w nim twarz Alice. Opuściłem rękę, patrząc jej prosto w oczy

Jej usta otwarły się, zaczęła mówić, ale lustro milczało. Wiedziałem, że czarownice za pomocą luster szpiegują siebie nawzajem oraz swoje ofiary. Czy jednak porozumiewały się, czytając z ruchu warg? Nie rozumiałem co mówi Alice, i pokręciłem głową. Widząc to, pochyliła się i szkło się zamgliło. Szybko napisała na nim:

Co to miało znaczyć? Przez chwilę zastanawiałem się, potem jednak zdołałem odszyfrować wiadomość. Lustro odwróciło słowa. To była instrukcja. Chuchnij i pisz! Powiedziała mi, jak z nią rozmawiać!

Pochyliłem się więc, dmuchnąłem z bliska na szkło i napisałem szybko:

Arkwright zabity przez wodną wiedźmę,  
imieniem Morwena. Pomocy!

Oczy Alice rozszerzyły się. Chuchnęła na szkło i znów napisała.

Tym razem łatwiej ją odczytałem. Gdzie jesteś? Przetarłem zatem szkło dłonią, znów chuchnąłem i napisałem

Coniston. W drodze do domu.

Powiedz stracharzowi.

Spotkajmy się we młynie Arkwrighta.

Po paru sekundach znów wytarłem lustro, by móc ujrzeć twarz Alice. Skinęła głową i obdarzyła mnie słabym uśmiechem, wyglądała jednak na bardzo zdenerwowaną. Na moich oczach jej twarz zaczęła blaknąć i po chwili patrzyłem już tylko na własne odbicie.

Wówczas położyłem się na łóżku, czekając na świt. Im wcześniej wyniosę się z tego miejsca, tym lepiej.

## **ROZDZIAŁ 17**

### **POŚCIG**

O pierwszym brzasku zebrałem się do wyjścia. Arkwright zapłacił rachunek z góry za trzy noclegi i posiłki, nie zamierzałem jednak ryzykować i pokazywać się na dole. Padną pytania o zniknięcie mego mistrza; być może gospodarz bądź jego goście skumali się z Morweną. Nie chciałem się niepotrzebnie narażać. Zabrałem zatem torbę, po czym chwyciłem kij i wymknąłem się tylnymi drzwiami, zmierzając na południe.

Najłatwiejszy i najkrótszy szlak wiódł zachodnim brzegiem jeziora Coniston. Trzymałem się jak najdalej od wody na wypadek, gdyby Morwena bądź inna wiedźma mnie śledziła. Jednak dopiero późnym popołudniem, gdy zostawiłem za sobą południowy kraniec i, zacząłem podejrzewać, że istotnie ktoś mnie ściga.

Słyszałem gdzieś z tyłu słabe, lecz niepokojące dźwięki; ciche szelesty poszycia, a raz nawet wyraźny trzask pękającej gałązki. Z początku nie miałem pewności, bo gdy się zatrzymałem, wszystko cichło, lecz kiedy tylko ruszałem naprzód, dźwięki powracały. Po kilku milach wyraźnie się przybliżyły. Teraz byłem już pewien, że ktoś mnie obserwuje. Światło dzienne gasło i nie zachwyciła mnie perspektywa ucieczki w ciemnościach, toteż z walącym sercem odstawiłem na ziemię torbę, wysunąłem klingę na końcu kija i odwróciłem się, by stawić czoło prześladowcy. Czekałem w napięciu, wytężając zmysły, lecz to nie wiedźma wyłoniła się w końcu z gęstwiny. To była Szpon.

Zaskomliła i podeszła, by położyć się u mych stóp, opierając łeb na moim lewym bucie. Odetchnąłem z ogromną ulgą i wyciągnąłem rękę, by pogłaskać zwierzę. Szczerze ucieszył mnie jej widok. Wiele się zdarzyło od dnia, kiedy bałem się odwrócić do niej plecami. Jeśli nawet ścigały mnie wiedźmy, właśnie zyskałem potężną sojuszniczkę.

– Grzeczna psinka – rzekłem cicho, po czym odwróciłem się na pięcie i jak najszybciej pomaszerowałem naprzód.

Szpon biegła przy nodze. Instynktownie wyczuwałem, że wciąż grozi mi niebezpieczeństwo. Im szybciej wrócę do młyna, tym lepiej. Musiałem podjąć decyzję. Mogłem wybrać dłuższy, wschodni szlak, okrążając szerokim łukiem zatokę. To jednak dałoby prześladowcom czas, żeby mnie doścignąć, czy nawet odciąć mi drogę. Innym wyjściem byłaby przeprawa przez niebezpieczne piaski. To z kolei oznaczało czekanie na odpływ i przewodnika, a w konsekwencji utratę cennego czasu, dzięki czemu Morwena także mogła mnie dogonić. Trudny wybór, w końcu jednak zdecydowałem się na piaski.

Porządnie wyczerpany, zmusiłem się jednak do dalszego nocnego marszu. Trzymając się nizin, ominąłem od strony zachodniej wzgórze, na których nocowaliśmy z pustelnikiem, lecz wkrótce znów musiałem wspiąć się wyżej. W końcu zacząłem schodzić ku zatoce. Dalekie morze lśniło w blasku księżyca. Odpływ wyraźnie już się zaczął, ale czy przeprawa była bezpieczna?

Będę musiał poczekać na świt, potem poszukam przewodnika. Nie wiedziałem, gdzie mieszka, ale musiałem liczyć na to, że po tej stronie zatoki, nie zaś po przeciwległej. W końcu zatrzymałem się na skraju niskiego urwiska, spoglądając na ciągnące się przede mną piaski. Na wschodzie, na horyzoncie dostrzegłem słabą, purpurową lunę, zwiastującą wschód słońca. Od świtu jednak nadal dzieliła nas dobrze ponad godzina.

Szpon wyciągnęła się na oszronionej trawie tuż obok mnie, ale wyraźnie się niepokoiła. Położyła płasko uszy, a z jej gardła dobiegał nieustanny cichy warkot. W końcu uspokoila się i ucichła. Głowa opadała mi co chwilę, lecz za każdym razem budziłem się gwałtownie, wypatrując niebezpieczeństwa. Długi marsz mnie wyczerpał i w końcu, sam o tym nie wiedząc, zapadłem w mroczny, pozbawiony snów sen.

Spałem najwyżej pół godziny, gdy obudził mnie głośny warkot Szpon i jej zęby szarpiące moją nogawkę. Niebo było już znacznie jaśniejsze, od strony zatoki wiał mocny wiatr. Krył się w nim zapach nadchodzącego deszczu. Wydało mi się, że kątem oka dostrzegam jakiś ruch. Spojrzałem na wzgórze. Z początku nic nie wzbudzało mojego niepokoju, lecz włosy na karku zaczęły mi się jeżyć i natychmiast wyczułem niebezpieczeństwo. W końcu po minucie wypatrzyłem postać wędrującą w dół zbocza w moją stronę, starannie trzymającą się cienia drzew. Szpon znów warknęła. Czyżby to była Morwena? Wstałem, ściskając w dłoni laskę. Po paru chwilach zyskałem pewność, że widzę zbliżającą się wodną wiedźmę. Coś w sposobie jej poruszania się, w dziwnym falowaniu ciała, być może spowodowanym przez szpony i błoniaste

palce, sugerowało, że mam do czynienia ze stworem bardziej przystosowanym do życia w wodzie i na bagnach, niż na twardym, trawiastym zboczu. Ale czy to Morwena, czy inna, mniej niebezpieczna czarownica? Choć znajdowała się już znacznie bliżej, nadal nie potrafiłem tego stwierdzić.

Czy powinienem stanąć do walki? Miałem przy sobie kij i srebrny łańcuch. W teorii każdy przyrząd z osobna wystarczył, by rozprawić się ze zwykłą wodną wiedźmą. Ale te czarownice poruszały się bardzo szybko. Jeśli pozwolę jej się zbliżyć, zahaczy mnie palcem. Dobrze radziłem sobie ze srebrnym łańcuchem, lecz słupek do ćwiczeń w ogrodzie stracharza nie mógł się równać z prawdziwym nieprzyjacielem. W walce z Grimalkin, wiedźmą zabójczynią, chybiłem – zapewne ze strachu, zdenerwowania i zmęczenia. Teraz jednak także byłem wyczerpany, a w moim wnętrzu zaczął budzić się strach. Jeśli nie uda mi się z łańcuchem, będę musiał powstrzymać ją kijem, ale dostanę tylko jedną szansę. Gdybym chybił, znajdzie się zbyt blisko. Czy wówczas Szpon mi pomoże? Suka z pewnością była odważna i wierna, ale przypomniałem sobie, co spotkało Kła.

Nie dopełniłbym obowiązków, gdybym pozostawił czarownice na swobodzie. Co, jeśli z powodu mojego zaniedbania złapie kogoś innego? Może dziecko? Nie, musiałem stawić jej czoło.

Wiedźma zbliżyła się na niecałych pięćdziesiąt kroków, gdy znów zmieniłem zdanie. Cień nie skrywał już jej twarzy i widziałem, że lewe oko ma zamknięte. Dostrzegłem także ostry odłamek kości, spinający obie powieki. Morwena! Kiedy otworzy krwawe oko, czar mnie sparaliżuje, skamienieję, stanę się bezbronny.

Szpon warknęła ostrzegawczo, za późno jednak. Czarownica sięgnęła ku twarzy i wyciągnęła zatyczkę. Krwawe oko otworzyło się bardzo szeroko i spojrzało wprost na mnie. Już byłem zgubiony. Poczulem, jak z mego ciała odpływa siła, z umysłu znika wola ucieczki. Widziałem tylko owo czerwone, krwiste oko, coraz większe i jaśniejsze.

Nagle usłyszałem szczerki i poczułem potężny cios w plecy, który zwałił mnie z nóg. Poleciałem na twarz, uderzając się boleśnie w czoło. Przez chwilę leżałem oszołomiony, potem jednak poczułem ciepły oddech, Szpon. Lizała mnie po twarzy. Wyciągnąłem prawą rękę i pogłaskałem ją, pojmując, że znów mogę się ruszać. Natychmiast zrozumiałem, w czym rzecz. Moc wiedzy nie sięgnęła suki; krwawe oko Morweny potrafiło przygwoździć jedną osobę lub zwierzę naraz. Szpon skoczyła na mnie i wywróciła, przełamując czar.

Szybko dźwignąłem się na kolana, nie podnosząc wzroku. Słyszałem stopy wiedzy plaskające o ziemię, pochylona, pędziła prosto na mnie. Nie patrz na czarownicę! – powtarzałem sobie, wbijając wzrok w ziemię. Patrz wszędzie, byle tylko nie w przepelnione krwią oko!

Błyskawicznie zerwałem się na równe nogi i umknąłem w stronę wybrzeża. Szpon biegła tuż za mną. W lewej ręce nadal ścisnąłem srebrny łańcuch. Jak jednak mogłem go użyć, gdy jedno spojrzenie na prześladowczynię przykuje mnie do ziemi? Nogi dygotały pode mną w biegu. Z pewnością nie poruszałem się dość szybko, by jej umknąć. Tak bardzo chciałem obejrzeć się przez ramię, sprawdzić, jak jest blisko, ale nie śmiałem w obawie przed paralizującym okiem. W każdej chwili spodziewałem się poczuć szpony wiedzy przebijające mi szyję bądź gardło.

– Szpon! – krzyknąłem, zeskakując na piaski.

Z psem dyszącym u boku, z każdym krokiem czułem coraz większą ulgę. Na razie byliśmy bezpieczni. Wiedziałem, że Morwena nie zniosłaby soli pozostawionej na piaskach przez odpływ. Jej bosa, błoniaste stopy nie zdołałyby po niej stąpać. Ale jak długo mogliśmy tam zostać? Będzie patrzeć i czekać na chwilę, gdy znów opuścimy piaski. Co zrobię, kiedy nadejdzie przypływ?

Nawet gdybym zdołał jakoś się stąd wydostać, wiedziałem, że podąży za mną do młyna. Byłem wykończony, a czarownica tak silna jak Morwena nigdy się nie męczyła. Wędrówka wokół zatoki z czarownicą deptającą mi po piętach, a może i innymi,



przyczajonymi gdzieś po drodze wiedźmami, byłaby błędem.

Gdyby tylko zjawił się piaskowy przewodnik! Ale nie widziałem nikogo. Morze wydawało się bardzo odległe, lecz nie potrafiłem ocenić, czy mogę się już przeprawić. Arkwright mówił, jak niebezpieczne są fale przyływu. Podróżni tonęli, woda porywała powozy, pasażerów, konie, których nigdy już nie widziano.

Gdyby nie Szpon, zwlekałbym godzinami. Suka jednak nagle pobiegła w stronę morza, po czym odwróciła się i zaszczekała. Przyglądałem się jej ogłupiały. Wróciła do mego boku i znów skoczyła w tę samą stronę, jakby chciała, żebym poszedł za nią. Wciąż się wahałem, lecz gdy za trzecim razem zawróciła, złapała mnie zębami za nogawkę i szarpnęła mocno, o mało mnie nie wywracając. Potem warknęła i znów odbiegła.

Tym razem poszedłem za nią. To ma sens, powiedziałem sobie w duchu. Musiała wiele razy przeprawiać się tędy ze swym panem i znała drogę. Powinienem zaufać jej instynktowi. Może przewodnik piaskowy jest gdzieś w pobliżu i Szpon doprowadzi mnie do niego?

Maszerowałem szybko, zmierzając na południowy wschód. Niebo jaśniało z każdą chwilą. Jeśli zdołam przeprawić się przez piaski i bezpiecznie dotrzeć do młyna, słona fosa powstrzyma Morwenę i jej sojuszników. Co więcej, wiedźma będzie musiała mocno nadłożyć drogi, aby dotrzeć do młyna Arkwrighta. To jej zabierze co najmniej cały dzień. Jeśli mnie się poszczęści, do tego czasu zjawią się stracharz i Alice. Mój mistrz będzie wiedział, jak pokonać wiedźmę.

Gdy wraz ze Szpon dotarliśmy do kanału rzeki Kent, zaczęło padać, powietrze zasnuwała gęsta mgła. W kanale pozostało sporo wody, nie potrafiłem jednak stwierdzić, jak jest głęboka, nie sprawdzając kijem. Szpon jednak najwyraźniej wiedziała, co robi – ruszyła na północ, równoległe do brzegu. Podążaliśmy wzdłuż kanału, póki nie skręcił. W tym momencie Szpon szcęknęła, zbiegła ze zbocza i przepłynęła na drugą stronę. Oba brzegi dzieliło od siebie zaledwie piętnaście, szesnaście kroków. Unosząc wysoko

torbę, sprawdzałem kijem dno przed każdym ostrożnym krokiem. Woda była zimna, lecz w najgłębszym miejscu sięgnęła mi zaledwie do ud. Wkrótce znalazłem się na drugim brzegu.

Z większą pewnością siebie zacząłem biec za suką. Wiatr stawał się coraz mocniejszy, strugi deszczu siekły z lewej strony. Morze było gdzieś po prawej. Słyszałem w dali szum fal, lecz widoczność pogarszała się z każdą minutą i sięgałem wzrokiem zaledwie na kilkadziesiąt jardów. Szedłem dalej, ale w miarę gęstnienia mgły, czułem się coraz bardziej samotny. Ile mil pozostało do drugiej rzeki? Pocieszałem się myślą, że kiedy już się przez nią przeprawię, od Hest Bank i bezpiecznego schronienia będzie mnie dzielić najwyżej pół godziny. Szliśmy tak i szliśmy, zacząłem tracić poczucie czasu. Wiatr, wcześniej wiejący z lewej, teraz jakby zmienił kierunek i deszcz chłostał mnie po plecach. A może to my skręciliśmy? Nie potrafiłem stwierdzić. Wszędzie, gdzie patrzyłem, widziałem jedynie ścianę szarej mgły. Byłem jednak pewien, że szum fal staje się coraz głośniejszy. Co, jeśli maszerowaliśmy ku morzu?

Czyżbyśmy zabłądzili? Bałem się czarownicy, lecz czy w desperacji nie zanadto zawierzyłem suce? Nawet jeśli umiała doprowadzić nas na drugi brzeg, czemu sądziłem, że potrafi ocenić, kiedy zacznie się przypyływ? Miałem wrażenie, że już się to stało, było jednak za późno by zawrócić. Morze napłynie szybko oboma kanałami i odetnie mi drogę – woda będzie zbyt głęboka, by dało się przez nią przeprawić, a prąd z pewnością mnie porwie.

Właśnie zaczynałem tracić nadzieję, kiedy spojrzałem w dół na piasek i ujrzałem coś, co przywróciło mi wiarę w Szpon. Przecinały go ślady: końskie kopyta i dwie równoległe linie, pozostawione niedawno przez koła powozu. Nie widziałem, jak ruszał w drogę, ale najwyraźniej go doganialiśmy. Podążaliśmy za przewodnikiem. Szpon prowadziła mnie tam, gdzie powinna!

Kiedy jednak dotarliśmy do drugiego kanału, znów ogarnęła mnie rozpacz. Tu woda wydawała się głęboka, a prąd rwał mocno z prawej na lewo. Przypyływ rozpoczął się na dobre.

I znów Szpon jakiś czas biegła brzegiem, tym razem w prawo, co mnie zmartwiło, bo wiedziałem, że każdy krok zbliża nas do morza. Wkrótce wskoczyła do wody i popłynęła. Tak jak przedtem, zsunąłem się jej śladem i zacząłem brodzić. Tym razem miałem do przebycia mniejszą odległość, zaledwie dziesięć kroków, lecz po trzech woda sięgnęła mi do pasa, po dwóch kolejnych zanurzyłem się prawie po pierś, ostry prąd niemal zbijał z nóg. Parłem dalej, stopy grzęzły mi w mokrym, miękkim piasku na dnie kanału, próbowałem nie zamoczyć torby.

W chwili, gdy woda sięgnęła mi do szyi, pomyślałem, że zaraz mnie porwie. Poczułem, jak dno się podnosi. Kolejnych parę kroków i znalazłem się bezpiecznie na brzegu. Lecz moja mordęga jeszcze nie dobiegła końca. Fale przyływu pędziły po płaskich piaskach. Mgła się uniosła, widziałem już brzeg, nadal jednak wydawał się bardzo odległy. Pierwsza fala polizała mi buty, po drugiej woda sięgnęła do kostek. Wkrótce Szpon już płynęła, a ja brodziłem niemal po pas. Jeśli będę musiał płynąć, stracę kij i torbę z ukrytym w niej łańcuchem.

Przywołałem wszystkie siły, idąc jak najszybciej i w końcu, o cudzie, dotarłem na skraj zatoki i padłem na wysokim brzegu, z trudem chwytając oddech. Ręce i nogi dygotały mi z wyczerpania i strachu.

Słyszając ostrzegawcze warknięcie Szpon, uniosłem głowę i zobaczyłem mężczyznę z laską, stojącego nade mną. Przez sekundę myślałem, że to stracharz, potem jednak zrozumiałem, że widzę Sama Jenningsa, przewodnika piaskowego.

– Jesteś głupcem, chłopcze! – warknął. – Co cię opętało, żeby przeprowiać się tak późno bez przewodnika? Przeprowadziłem przez piaski powóz dobrze przed świtem. Jeden z koni okulał i sami ledwo zdążyliśmy.

– Przepraszam – chwiejnie podniosłem się z ziemi – ale ścigano mnie, nie miałem wyboru.

– Przepraszasz? Nie marnuj czasu na przeprosiny Pomyśl raczej o rodzinie, która by cię opłakiwała – nieszczęsnej matce, która

straciłaby syna. Kto cię ścigał?

Nie odpowiedziałem. I tak już wyjawilem zbyt wiele. Zmierzył mnie wzrokiem, zerkając niespokojnie na moją torbę i laskę.

– Nawet gdyby po piętach deptał ci sam diabeł we własnej osobie, i tak postąpiłeś nieostrożnie, chłopcze. Bill mówił mi, że ostrzegł cię osobiście przed tutejszym niebezpieczeństwem. Przeprował się ze mną przez te piaski więcej razy, niż potrafię zliczyć. Czemu ryzykowałeś?

Milczałem.

– Miejmy nadzieję, że dostałeś nauczkę – podjął. – Posłuchaj, mój dom leży niedaleko stąd. Chodź i się wysusz. Bez wątpienia żona znajdzie ci coś ciepłego, abyś rozgrzał kości.

– Bardzo dziękuję – odparłem – ale muszę wracać do młyna.

– W takim razie ruszaj, chłopcze. Lecz przemysł dobrze to, co zrobiłeś. I pamiętaj, co ci powiedziałem. Zbyt wielu utonęło na tych piaskach. Nie dołączaj do nich!

Pomaszerowałem, dygocząc z zimna. Wyprzedziłem czarownicę przynajmniej o dzień. Jeśli dopisze mi szczęście wkrótce dołączą do mnie Alice i stracharz. Nie powiedziałem przewodnikowi, że Arkwright nie żyje, bo wiązało się to ze zbyt wieloma tajemnicami naszego fachu. Przeczuwałem, że miejscowym będzie go brakować. Mimo swych wad, dobrze się spisywał, chroniąc północną część Hrabstwa. Ludzie znali go i szanowali niemal jako członka społeczności.

Właśnie przeżyłem niebezpieczne spotkanie z morzem, lecz bagna północnego Hrabstwa jeszcze ze mną nie skończyły. Próbując oszczędzić czasu, zamiast ruszyć wprost do kanału i wzdłuż niego do młyna, spróbowałem krótszego podejścia od strony północnej. Wyminąłem Małą Toń, maszerując w stronę ścieżki, na której po raz pierwszy spotkałem Morwenę. Sądziłem, że nie zbliżam się do prawdziwego bagna, ale się myliłem. W jednej chwili radośnie maszerowałem do wtóru chlupotania, w następnej mój prawy but zaczął się zapadać w miękką ziemię.

Im bardziej się szarpałem, tym było gorzej i błoto wkrótce

sięgnęło mi kolan. Zacząłem panikować, potem jednak odetchnąłem głęboko, by się uspokoić. Druga stopa nie zagłębiła się zbyt, musiała zatem stać twardszym gruncie. Toteż, opierając się ciężarem na lasce, powoli zdołałem uwolnić prawą nogę. But wyskoczył z bagna z głośnym młaśnięciem, o mało się nie wywróciłem.

Potem już bardzo uważałem, gdzie stawiam stopy. Owa przygoda uświadomiła mi, jak niebezpieczne potrafią być bagniska. W końcu odnalazłem ścieżkę i przyspieszając kroku, ruszyłem w stronę młyna.

## **ROZDZIAŁ 18**

### **DWIE WIADOMOŚCI**

Dopiero gdy się zbliżyłem do domu stracharza, przypomniałem sobie werbowników i słowa jednego z nich, który groził, że nas zabije. Wówczas Arkwright go wyśmiał, ale ja nie czułem się aż tak pewny siebie. Z łatwością mogli się dowiedzieć, gdzie mieszka stracharz. Co, jeśli zdołali już odnaleźć młyn? Mogli urządzić zasadzkę, w ogrodzie bądź w jednym z budynków.

Lecz gdy przepравиłem się ostrożnie przez fosę i dokładnie sprawdziłem młyn, łącznie z pokojem z trumnami, uświadomiłem sobie, że moje lęki były bezpodstawne. Nikt na mnie nie czekał – ani werbownicy, ani wiedźmy. Wówczas, mimo zmęczenia, wyniosłem do ogrodu pięć baryłek soli i wsypałem ich zawartość do fosy, pilnując, by w większości trafiła do wylotu wychodzącego na bagna. Musiałem utrzymać moc roztworu, by nie dopuścić do siebie Morweny. Szpon towarzyszy<sup>^</sup> mi, potem jednak zaszczekała dwukrotnie, okrążyć mnie dwa razy i popędziła w dal – pewnie pobiegła zapolować na króliki.

Martwiłem się także o jamy wodne pod młynem. Musiałem pamiętać, że siedział w nich skelt i wiedźma. Czy tam także

powinienem dodać soli, by ich uspokoić? Jeśli wsypię za dużo, mogę ich zabić, toteż postanowiłem zaryzykować i na razie zostawić więźniów w spokoju.

Z powrotem w kuchni rozpałem ogień w piecu i wysuszyłem mokre ubranie. Potem, jeszcze przed przyrządzeniem gorącego posiłku, pozwoliłem sobie na zasłużony sen. Następnie postanowiłem pójść na górę, na strych i poszukać w bibliotece Arkwrighta książki o Morwenie. Dotąd nie przeczytałem jej całej, a musiałem dowiedzieć się o wiedźmie wszystkiego. To mogła być kwestia życia i śmierci. Obawiałem się duchów dość silnych, by przesuwać przedmioty, nadal jednak był dzień, a ostatecznie mieszkające w młynie duchy to przecież matka i ojciec Arkwrighta, smutni i uwięzieni, lecz niegroźni.

Trumny stały obok siebie, podobnie trzy fotele przysunięte do pieca. Zerknąłem na zimny popiół i zadrzałem, czując przejmujący, wilgotny chłód. Ze smutkiem pokręciłem głową. Dwa duchy nie mogły już dłużej liczyć na towarzystwo syna.

Skupiłem uwagę na książkach Arkwrighta. W porównaniu z kolekcją stracharza w Chipenden jego biblioteka była maleńka, ale nie zdziwiło mnie to. Mój mistrz nie tylko żył dłużej, co dało mu więcej czasu na zgromadzenie i napisanie książek, ale też odziedziczył je po całych pokoleniach stracharzy mieszkających tam przed nim.

Półki Arkwrighta dźwigały na sobie wiele wydań związanych ze sprawami lokalnymi, takich jak: „Flora i fauna północnego Hrabstwa”, „Sztuka wyplatania koszy” i „Ścieżki i szlaki Krainy Jezior”. Stały tam też notatniki stracharza, prowadzone od rozpoczęcia terminu niemal do chwili obecnej. Oprawione w skórę, bez wątplenia kryły w sobie szczegółowy zapis jego wiedzy i umiejętności, które zdobył, uprawiając nasz fach. Zauważyłem też bestiariusz, o objętości zaledwie ćwierci tego, który oglądałem u pana Gregory'ego, lecz pewnie równie ciekawy. A obok stała książka o Morwenie.

Postanowiłem zabrać ją na dół i przeczytać w ciepłe piecyka.

Postąpiłem jednak zaledwie krok ku drzwiom, gdy poczułem nagły, lodowaty chłód: ostrzeżenie o zbliżaniu się niespokojnych umarłych.

Między mną i drzwiami zaczęła tworzyć się świetlista kolumna. Zdumiałem się. Większość duchów nie pojawiała się za dnia. Czy była to matka, ojciec czy może duch samego Arkwrighta? Zazwyczaj duchy pozostają uwiązane do swych kości bądź miejsca śmierci, bardzo rzadko zdarza się, by któryś musiał wędrować. Miałem nadzieję, że to nie Arkwright. Niektóre duchy po śmierci bywają bardzo gwałtowne i wyjątkowo nie lubią intruzów w swoich domach, bo nadal chcą w nich mieszkać. Niektóre nie są nawet w pełni świadome, że nie żyją. Nie potrafiłem uwolnić się od myśli, że Arkwright wpadłby w gniew, zastając mnie w tym pokoju przy swoich książkach. Za coś podobnego zarobiłem sińce i skaleczenia. Co teraz? Lecz to nie był Arkwright. Nagle usłyszałem głos kobiety. To był duch Amelii, jego matki.

– Mój syn, mój William wciąż żyje. Pomóż mu, proszę, nim będzie za późno.

– Przykro mi, pani Arkwright. Naprawdę przykro. Chciałbym pomóc, ale nie potrafię. Musi mi pani wierzyć pani syn naprawdę nie żyje – odparłem, próbując przemawiać możliwie i spokojnie, jak radził mi zachowywać się stracharz w obliczu niespokojnych zmarłych.

– Nie! Posłuchaj mnie! Jest skuty, uwięziony w trzewiach ziemi. Wciąż czeka na śmierć.

– Skąd pani wie – spytałem łagodnie – skoro jest pani duchem uwiązanym do tego miejsca?

Na te słowa rozplakała się cicho i światło przygasło, lecz gdy wydało mi się, że odeszła, znów zajaśniało i Amelia zawołała donośnym, przejmującym głosem:

– Słyszę to w wyciu umierającego psa, odczytuję w szeptach sitowia na bagnach, czuję w zapachu wody ściekającej z połamanego koła. Przemawiają do mnie, a teraz ja mówię do ciebie. Ocal go, nim będzie za późno. Tylko ty możesz to zrobić. Tylko ty

możesz stawić czoło mocy Złego!

A potem, w ułamku sekundy, kolumna światła zmieniła się w obraz kobiety. Miała na sobie niebieską, letnią suknię, w ręce trzymała koszyk pełen wiosennych kwiatów. Uśmiechnęła się do mnie i nagle sypialnię wypełniła woń owych kwiatów. Uśmiech miała ciepły, lecz jej oczy lśniły od łez. Potem zniknęła. Zadrzałem i wróciłem do kuchni, myśląc o tym, co powiedziała. Czy duch matki Arkwrighta mógł mieć rację? Czy stracharz naprawdę wciąż żył? Nie wydawało mi się to prawdopodobne. Ślad krwi prowadził na sam brzeg jeziora, Arkwright stracił kij i but. Czarownice musiały wciągnąć go do wody. Z pewnością by nie ryzykowały i zamordowały go na miejscu. Ostatecznie od dawna był ich wrogiem i zabił wiele ich sióstr. A co do biednego ducha, pewnie po prostu coś mu się pomieszało. Czasami się to zdarza duszom uwięzonym do ziemi. Opuszcza je rozsądek. Wspomnienia rozplývają się, pozostają z nich strzępy.

Z obawą pomyślałem o tym, co mnie czeka. Nie spodziewałem się, by Morwena i inne czarownice szybko pojawiły się we młynie. Kiedy nadejdą, fosa powinna je zatrzymać – ale na jak długo? Jeśli dopisze mi szczęście, Alice i stracharz zdążą dotrzeć przed nimi. Wspólnie raz na zawsze rozprawimy się z Morweną. Z całą pewnością nie czułem się zdolny zrobić tego sam. Potem wrócimy do Chipenden i opuścimy tę upiorną okolicę, pełną bagien, strumieni i jezior. Miałem nadzieję, że stracharz nie rozzłości się zbyt na Alice za to, że użyła lustra. Z pewnością zrozumie, że miała ku temu powody?

Właśnie otworzyłem książkę i zacząłem czytać, kiedy usłyszałem odległy dźwięk dzwonu. Wyteżyłem słuch: po paru minutach dźwięk się powtórzył. Kiedy zadzwonił po raz piąty i ostatni, wiedziałem już, że to pan Gilbert czeka przy kanale ze świeżą dostawą.

Musiał często uderzać w dzwon w czasie nieobecności Arkwrighta. Gdybym został we młynie, pewnie popłynąłby dalej, uznawszy, że zajrzy znowu przy następnym nawrocie. Lecz pan



Gilbert nie wiedział jeszcze, że Arkwright nie żyje, a że zdawał się szczerze go lubić, uznałem za swój obowiązek przekazanie mu smutnych wieści. Ostatecznie nic mi nie groziło. Morwena nadal powinna znajdować się wiele mil stąd, a ja chętnie ujrzałbym przyjazną twarz.

Zabrawszy zatem wyłącznie kij, ruszyłem w stronę kanału. Dzień był pogodny, na niebie świeciło słońce. Pan Gilbert płynął na południe, toteż barka stała przy przeciwległym brzegu kanału. Ocenilem, że głęboko zanurza się w wodzie, co sugerowało ciężki ładunek. Ktoś zajmował się końmi – dziewczyna mniej więcej w moim wieku, jej złote włosy lśniły w słońcu. Bez wątplenia była to córka pana Gilberta. Szyper pomachał do mnie ze ścieżki i wskazał najbliższy most, o sto jardów dalej na północ. Przeprawilem się i zawróciłem w stronę barki.

Kiedy się zbliżyłem, ujrzałem, że mężczyzna trzyma w dłoni kopertę. Na mój widok uniósł brwi.

– Co się stało? – spytał ostro. – Masz ponurą minę, Tom. Bill nie daje ci chyba za bardzo w kość, co?

Nie istniał łatwy sposób wyjaśnienia, co się stało, toteż rzekłem jedynie:

– Mam dla pana złe wieści. Pan Arkwright nie żyje. Zabiły go wodne wiedźmy na północ od zatoki. Teraz mogą ścigać mnie, toteż proszę uważać na wodzie. ^ wie, gdzie i kiedy się zjawią?

Pan Gilbert patrzył na mnie oszołomiony.

– Istotnie, kto to wie! – rzucił. – To naprawdę straszne wieści. Będzie nam brakowało Billa i boję się, co teraz, po jego śmierci, stanie się z Hrabstwem.

Pokiwałem głową. Miał rację. Arkwrighta nie miał kto zastąpić. W naszym fachu było niewielu wyszkolonych mistrzów. Teraz tereny na północ od Caster staną się jeszcze bardziej niebezpieczne. Mrok odniósł znaczące zwycięstwo.

Z ciężkim westchnieniem pan Gilbert podał mi kopertę.

– To od pana Gregory'ego – powiedział cicho. – Dał mi to dziś rano w Caster.

List zaadresowano do mnie ręką mojego mistrza. By dotrzeć do Caster tak szybko, stracharz i Alice musieli wyruszyć przez wzgórza niemal natychmiast i maszerować całą noc, podobnie jak ja. Na tę myśl poczułem ulgę. Ale dlaczego stracharz nie przybył do młyna. Mógł podpłynąć barką – choć obecnie znajdowała się po przeciwnej stronie kanału, jakby przy płynęła z północy, a nie z Caster. Potem jednak uświadomiłem sobie, że szyper musiał skorzystać z mostu, przez który właśnie się przepравиłem i przeprowadzić konie na drugą stronę aby zawrócić na południe. Rozdarłem kopertę i zacząłem czytać:

*Poproś pana Arkwrighta, by na kilka dni zwolnił cię z lekcji. Pan Gilbert zawiezie cię bezpiecznie do Caster, gdzie będą czekał. To sprawa wielce pilna. W samym sercu miasta, nieopodal kanału znalazłem coś, co może okazać się niezmiernie pomocne w naszej walce z mrokiem. To dotyczy ciebie osobiście.*

*Twój mistrz*

*John Gregory*

Stracharz najwyraźniej nie miał pojęcia o śmierci Billa, więc albo Alice mu nie powiedziała, albo z jakichś przyczyn udawał niewiedzę. A ponieważ nie przybył wprost do młyna, by rozprawić się z Morweną, zrozumiałem, że jego znalezisko w Caster musi być niezwykle ważne.

– Wsiadaj na pokład – polecił pan Gilbert. – Ale najpierw chciałbym, żebyś kogoś poznał. Mój syn musiał zająć się z dawna odkładanymi obowiązkami domowymi, lecz towarzyszy mi córka. Chodź tu, córko, i poznaj młodego Toma! – zawołał.

Dziewczyna uniosła wzrok znad konia i nie odwracając się nawet, pomachała mi ręką. Poza tym gestem nic jednak nie wskazywało, że usłucha polecenia ojca.

– Jest bardzo nieśmiała – zauważył pan Gilbert. – No dobrze, ruszajmy w drogę. Bez wątpienia w końcu zbierze się na odwagę, by z tobą pomówić.

Zawahałem się. Mogłem chyba zostawić Szpon we młynie – przez kilka dni poradzi sobie sama. Chętnie też zostawiłbym torbę, ale nie ukrytą w nim najcenniejszą rzecz – mój srebrny łańcuch. Kto wie, z czym będziemy mieli do czynienia w Caster? Łańcuch stanowił potężną broń przeciw mrokowi – zwłaszcza czarownicom – i nie chciałem podróżować bez niego.

– Muszę wrócić po coś do młyna – poinformowałem pana Gilberta.

Zmarszczył brwi i pokręcił głową.

– Nie mamy czasu. Twój mistrz czeka, musimy dowieźć cię do Caster przed zmrokiem.

– Proszę zatem ruszać – zaproponowałem. – A ja dogonię pana biegiem.

Widziałem, że mu się to nie spodobało, ale moja propozycja brzmiała całkiem rozsądnie. Zaprzężone do ciężkiej barki konie zazwyczaj poruszały się dość wolno, toteż bez trudu je doścignę i przez resztę drogi będę mógł odpocząć.

Uśmiechnąłem się uprzejmie, po czym puściłem się biegiem. Wkrótce pokonałem już most i pędziłem brzegiem rzeki w stronę domu.

Kiedy wszedłem do kuchni, przeżyłem największy wstrząs mego życia. Na krześle przy piecyku siedziała Alice, Szpon położyła się obok, opierając wygodnie pysk na szpiczastych trzewikach.

Alice uśmiechnęła się do mnie i pogłaskała sukę po głowie.

– Spodziewa się szczeniaków – oznajmiła. – Na moje oko dwóch.

Odpowiedziałem uśmiechem pełnym ulgi i radości.

– Jeśli tak, ich ojciec nie żyje – odparłem i uśmiech zniknął z mej twarzy. – Morwena go zabiła, a także jego pana. Jest źle, Alice. Naprawdę źle. Nie wiesz nawet, jak się cieszę, że cię widzę. Ale czemu nie jesteś w Caster ze stracharzem?

– W Caster? Nic mi o tym nie wiadomo. Stary Gregory ponad tydzień temu ruszył do Pendle. Mówił, że wybiera się do wieży Malkinów. Chciał zajrzeć do skrzyń twojej mamy i sprawdzić, czy nie kryją w sobie informacji na temat Złego. Kiedy rozmawiałam z tobą przez lustro, jeszcze nie wrócił, toteż zostawiłam mu list i poszłam sama. Wiedziałam, że pilnie potrzebujesz pomocy. Zdumiony, wręczyłem Alice list stracharza. Przeczytała go szybko i uniosła wzrok, kiwając głową.

– To ma sens – mruknęła. – Najpewniej stary Gregory znalazł coś ważnego i ruszył z Pendle wprost do Caster. Nie wie jeszcze, co się stało z Arkwrightem, zgadza się? Po prostu wysłał list do młyna, pytając o ciebie.

– O mało się nie minęliśmy, Alice. Pan Gilbert już na mnie czeka. Wróciłem tylko po srebrny łańcuch.

– Och, Tom! – Alice zerwała się z krzesła i ruszyła ku mnie z niespokojną miną. – Co się stało z twoim uchem? Wygląda paskudnie! Mam coś, co powinno pomóc... – sięgnęła do sakiewki z ziołami.

– Nie, Alice, nie ma teraz na to czasu, a doktor mówił, że nic mi nie będzie. Morwena zahaczyła mnie tu palcem i wciągnęła w bagno. Szpon mnie uratowała. Gdyby nie ona, już bym nie żył.

Rozpiąłem torbę i wyciągnąłem łańcuch, którym obwiązałem się w pasie, ukrywając

go pod płaszczem.

– Czemu nie poszłaś wzdłuż kanału z Caster aż do młyna, Alice? To najkrótsza droga.

– Nieprawda – zaprotestowała. – Nie, jeśli wiesz, co i jak. Już ci mówiłam, dobrze znam to miejsce. Wiele lat przed tym, nim się poznaliśmy, Koścista Lizzie sprowadziła mnie tutaj i mieszkaliśmy na skraju bagna, póki Arkwright nie wrócił z jednej ze swych podróży. Wtedy musiałyśmy się wynieść. Znam te moczary jak własną kieszeń.

– Nie sądzę, by pan Gilbert miał coś przeciw temu, abys podróżowała ze mną. Ale pewnie już ruszył w drogę, musimy go dogonić.

Kiedy Szpon wyszła za nami do ogrodu, Alice pokręciła głową.

– To niedobry pomysł, by zabierać ją do Caster. Miasto to nie miejsce dla psa. Lepiej jej tutaj, gdzie może polować.

Zgodziłem się, lecz suka zupełnie nie zważała na polecenia Alice: „Leżeć!” i dreptała przy mojej nodze aż na ścieżkę nad strumieniem.

– Ty jej powiedz, Tom. Może ciebie posłucha. Ostatecznie to teraz twój pies!

Mój pies? Nawet o tym nie pomyślałem. Nie wyobrażałem sobie, by stracharz zgodził się, aby w Chipenden zamieszkał z nami pies. Mimo wszystko jednak ukląknłem obok Szpon i pogłaskałem ją po głowie.

– Zostań, piesku! Waruj – poleciłem. – Niedługo wrócimy.

Zaskomliła żałośnie. Jeszcze nie tak dawno się jej bałem, ale teraz z żalem rozstawałem się z wierną psiną. Nie kłamałem jednak. Wrócimy tu przecież, by rozprawić się z Morweną.

Ku memu zdumieniu Szpon usłuchała i została na ścieżce. Pobiegliśmy naprzód aż do kanału. Barka wciąż czekała.

– Co to za dziewczyna? – spytała Alice, gdy maszerowaliśmy w stronę mostu.

– To tylko córka pana Gilberta, jest bardzo nieśmiała.

– Nigdy nie widziałam nieśmiałej dziewczyny o takich włosach – w głosie Alice zadźwięczała jadowita nuta.

Po prawdzie ja w ogóle nigdy nie widziałem dziewczyny o takich włosach. Były znacznie jaśniejsze i bardziej błyszczące niż włosy żony Jacka, Ellie, które zawsze uważałem za niezwykle piękne. Lecz o ile warkocze Ellie barwą przypominały najlepszą słomę trzy dni po zniwach, włosy tej dziewczyny mieniły się czystym złotem połyskującym w promieniach słońca.

Dziewczyna nadal zajmowała się końmi, zapewne czuła się przy nich lepiej niż wśród ludzi. Niektórzy już tacy są. Tato opowiadał mi, że pracował kiedyś z robotnikiem

rolnym, który nawet się z nikim nie przywitał, lecz cały czas rozmawiał ze zwierzętami.

– A cóż to za młoda dama? – spytał pan Gilbert, kiedy się zbliżyliśmy.

– To jest Alice – odpowiedziałam – mieszka z nami w Chipenden i przepisuje księgi pana Gregory'ego. Czy może popłynąć z nami barką?

– Chętnie ją przyjmę – pan Gilbert uśmiechnął się, zerkając na szpiczaste trzewiki mojej towarzyszki.

W chwilę później znaleźliśmy się już na pokładzie, lecz córka szypra do nas nie dołączyła. Prowadziła konie ścieżką holowniczą, pozwalając ojcu odpoczywać na barce.

Było już późne popołudnie, ale przyjemnie płynęło się w stronę Caster w słońcu. Jednak na myśl o mieście poczułem strach. Dotąd zawsze go unikaliśmy w obawie przed aresztowaniem i uwięzieniem w zamku. Zastanawiałem się, co takiego ważnego mógł znaleźć w mieście mój mistrz.

## ROZDZIAŁ 19

### CÓRKA SZYPRA

Podróż na południe płynęła spokojnie. Najdziwniejsze było to, że przez większość czasu nikt się nie odzywał. Miałem mnóstwo do powiedzenia Alice, ale nie zamierzałem dyskutować w obecności pana Gilberta. Nie chciałem omawiać przy nim spraw stracharskich; wiedziałem, że mój mistrz zgodziłby się ze mną. Są rzeczy, które lepiej zatrzymać dla siebie.

Wiedziałem już, że pan Gilbert to człek milczący i nie spodziewałem się żadnych rozmów. Gdy jednak ujrzeliśmy przed sobą wieże zamkowe i kościelne, nagle stał się bardzo gadatliwy.

– Czy masz braci, Tom? – spytał.

– Sześciu – odparłem. – Najstarszy, Jack, wciąż mieszka na rodzinnej farmie. Kieruje nią wraz z Jamesem drugim w kolejności, z zawodu kowalem.

– A pozostali?

– Rozeszli się po Hrabstwie, każdy pracuje we własnym fachu.

– I wszyscy są starsi od ciebie?

– Cała szóstka – odparłem z uśmiechem.

– Ach, oczywiście, cóż ze mnie za dureń! Jesteś przecież siódmym synem siódmego syna. Ostatnim, który szukał terminu i jedynym z urodzenia nadającym się do fachu Billa Arkwrighta. Tęsknisz za nimi, Tom? Za swoją rodziną?

Nie odpowiedziałem, bo przez chwilę zdławiły mnie emocje. Poczułem, jak Alice pocieszającym gestem kładzie mi dłoń na ramieniu. Nie tylko tęsknota za braćmi odebrała mi mowę, ale też fakt, że rok wcześniej zmarł tato, a mama wróciła do ojczystego kraju, aby walczyć z mrokiem. Nagle poczułem się bardzo samotny.

– Wyczuwam twój smutek, Tom – mruknął pan Gilbert. – Rodzina jest bardzo ważna, niczym nie da się jej zastąpić. Dobrze jest mieć przy sobie członków rodziny i pracować z nimi jak ja. Mam wierną córkę, która pomaga mi, kiedy trzeba.

Zadrzałem. Zaledwie chwilę wcześniej słońce wisiało wysoko nad drzewami. Teraz jednak na dworze zrobiło się ciemno, świat spowijała gęsta mgła. Nagle znaleźliśmy się w mieście i po obu stronach kanału wyrosły kanciaste sylwetki budynków, górujące nad nami niczym groźni olbrzymi. Ciszę zakłócał jedynie stłumiony stukot końskich kopyt. Tu kanał był znacznie szerszy, na przeciwległym brzegu dostrzegłem liczne zatoczki, w których cumowano barki. Nie dostrzegłem żadnych oznak życia.

Poczułem, jak barka się zatrzymuje. Pan Gilbert wstał i spojrzał z góry na Alice i na mnie. Jego twarz spowijała ciemność, nie mogłem odczytać jej wyrazu, lecz z jakichś przyczyn wydał mi się groźny.

Popatrzyłem naprzód i ledwie dostrzegłem postać jego córki. Najwyraźniej uwiesiła się jednego z koni. Nie poruszała się, więc go nie szczotkowała. Zupełnie jakby szeptała mu coś do ucha.

– Moja córka – pan Gilbert westchnął ciężko – uwielbia pulchne konie. Nigdy nie ma ich dosyć. Córko! Córko! – zawołał głośno. – Nie ma teraz na to czasu. Musisz poczekać!

Niemal natychmiast konie znów ruszyły naprzód, barka

popłynęła, a pan Gilbert przeszedł na dziób i usiadł.

– To wszystko mi się nie podoba, Tom – szepnęła mi do ucha Alice. – Coś jest nie tak. Bardzo nie tak!

Nagle usłyszałem dobiegający z mroku przed nami trzepot skrzydeł, a zaraz po nim żaloszny, niesamowity krzyk.

– Co to za ptak? – spytałem Alice. – Słyszałem już podobny krzyk parę dni temu.

– To „trupiarz”, Tom. Stary Gregory ci o nich nie mówił?

– Nie – przyznałem.

– To coś, o czym powinieneś wiedzieć, jeśli masz być stracharzem. Trupiarze to nocne ptaki. Niektórzy sądzą nawet, że czarownice potrafią się w nie zmieniać, ale to brednie. Używają ich natomiast jako swych pobratymców. W zamian za odrobinę krwi, trupiarze stają się ich oczami i uszami.

– Słyszałem jednego, kiedy szukałem Morweny. Myślisz, że to jej pobratymiec? Jeśli tak, możliwe, że kręci się w pobliżu. Może umie poruszać się szybciej, niż sądziłem. Może płynie pod wodą, niedaleko barki.

Kanał zwęził się, budynki napierały z obu stron, jakby próbując odciąć nas od wąskiego pasma jasnego nieba w górze. Były to wielkie magazyny, za dnia zapewne pełne krzątających się ludzi, lecz obecnie ciche i milczące. Rzadkie latarnie rzucały na wodę plamy migoczącego światła pomiędzy nimi jednak rozciągały się duże obszary półmroku, a także nieprzeniknionej ciemności, budzące we mnie lęk. Zgadzałem się z Alice. Nie potrafiłem określić co dokładnie, ale coś z całą pewnością było nie tak.

Dostrzegłem wznoszący się przed nami ciemny, kamienny łuk. Z początku uznałem, że to most, potem pojąłem, że widzę wejście do wielkiego magazynu; kanał przepływał wprost przez niego. Kiedy znaleźliśmy się w środku i konie zwolniły, przekonałem się, że budynek jest wielki, wypełniają go wysokie sterty łupka, zapewne przywiezionego barką z kamieniołomu na północy. Na drewnianym nabrzeżu sterczały liczne słupki do cumowania. Rząd pięciu potężnych, drewnianych filarów znikających w mroku

podtrzymywał dach. Z każdego filara zwisała latarnia, żółte światło zalewało kanał i pobliski brzeg. Dalej jednak rozciągał się mroczny, złowieszczy przestwór magazynu.

Pan Gilbert pochylił się nad najbliższym włazem i otworzył go powoli. Do tej chwili nie zauważyłem, że nie jest zamknięty, choć kiedyś wspominał, iż to kluczowa sprawa podczas przewozu towarów. Ku memu zdumieniu ładownię także wypełniało żółte światło. Gdy do niej zajrzałem, zobaczyłem dwóch mężczyzn, siedzących na stercie łupka, każdy z nich trzymał w rękach latarkę. Natychmiast dostrzegłem też coś leżącego po ich lewej stronie i ów widok sprawił, że cały zacząłem dygotać, pogrążając się w otchłani grozy i rozpacz.

To był nieboszczyk, patrzący w górę niewidzącymi oczami. Gardło miał rozszarpane w sposób, który skojarzył mi się z Kłem zabitym przez Morwenę. Lecz jego twarz przeraziła mnie bardziej niż to, jak okrutnie zginął.

Nieboszczykiem był pan Gilbert.

Spojrzałem ponad otwartym włazem na stwora, który przybrał postać szypra.

– Skoro to jest pan Gilbert – powiedziałem – to ty musisz być...

– Nazywaj mnie, jak zechcesz, Tom. Mam wiele imion – odparł.

– Lecz żadne nie oddaje w pełni mojej prawdziwej natury. Moi wrogowie często mnie szkalowali. Nieprzyjaciela od przyjaciela różnią zaledwie trzy litery. Z łatwością mógłbym stać się tym drugim. Gdybyś tylko poznał mnie lepiej...

Po tych słowach poczułem, jak z ciała uchodzi mi cała siła. Próbowałem sięgnąć po kij, lecz ręka mnie nie słuchała. Świat wokół ciemniał szybko, dostrzegłem jednak przerażoną twarz Alice i usłyszałem jej przepełniony grozą jęk. Dźwięk ów zmroził mnie do kości. Alice była silna. Alice była dzielna. Jej rozpaczliwy jęk sprawił, iż poczułem, że to już koniec. Koniec dla nas wszystkich.

\*

Przebudzenie przypominało powolne wynurzenie z głębi mrocznego oceanu. Najpierw usłyszałem dźwięki: odległe rzenie



przerażonego konia i donośny, ochrypły śmiech mężczyzny. W miarę jak pojawiały się wspomnienia, ogarnęła mnie panika i poczucie beznadziei. Rozpaczliwie próbowałem się podnieść.

W końcu, kiedy zrozumiałem, co się dzieje, zrezygnowałem z walki. Nie siedziałem już bowiem na barce, lecz na drewnianym nabrzeżu, przywiązany mocno do jednego z filarów, z nogami ułożonymi równoległe do kanału.

Zły jedną myślą pozbawił mnie przytomności. Co gorsza, zawiodły nas moce, na których dotąd polegaliśmy. Alice nie zdołała wywęszyć Morweny. Moje zdolności siódmego syna siódmego syna także okazały się bezużyteczne. Miałem również wrażenie, że czas płynie jakoś dziwnie. W jednej chwili świeciło słońce, na horyzoncie widziałem wieże miasta. W następnej zapadł już niemal mrok i znajdowaliśmy się między budynkami. Jak ktokolwiek mógł walczyć z podobną potęgą?

Barka wciąż cumowała przy nabrzeżu. Dwaj mężczyźni, zbrojni w wielkie noże zatknięte za pasy, siedzieli tam, dyndając nad wodą ciężkimi, okutymi stalą buciorami. Lecz ktoś tymczasem wyprzągnął konie. Jeden z nich leżał na boku nieco dalej, a jego przednie nogi sterczały nad wodą. Drugi, bliższy, także leżał, dziewczyna obejmowała go za szyję rękami. Wydało mi się, że próbuje pomóc mu wstać. Czyżby zachorowały?

Tyle że teraz wyglądała inaczej: o ile wcześniej jej włosy jaśniały złotem, teraz były ciemne. Jak mogły aż tak zmienić kolor? Umysł wciąż miałem otępiały, inaczej wcześniej odgadłbym, co się dzieje. Dopiero gdy zostawiła konia, odwróciła się i ruszyła ku mnie na bosaka, zacząłem rozumieć.

Złączyła dłonie, w dziwny sposób unosząc je przed sobą. Po co to robiła? Szła bardzo wolno i ostrożnie. Gdy się zbliżyła, dostrzegłem krew na jej wargach. Posilała się, wysysając krew nieszczęsnego konia. To właśnie robiła, gdy zauważyłem ją po raz pierwszy. Dlatego zatrzymała barwę w drodze na południe.

To była Morwena! Musiała założyć perukę albo może jakiś mroczny czar sprawił, że jej włosy wydawały się złociste. Nic

dziwnego, że ani razu nie odwróciła się do nas. Teraz widziałem nagą kość jej nosa i upiorną twarz. Lewe oko miała zamknięte.

Padł na mnie cień, wzdrygnąłem się. Wyczułem tuż za mną stoi Zły. Pozostawał poza zasięgiem mojego wzroku, lecz jego lodowaty głos mroził mi serce tak że zaczęło bić szaleńczo i ledwie mogłem oddychać.

– Teraz muszę cię zostawić, Tom. Nie tylko ty mnie zajmujesz, mam też na głowie inne ważne sprawy, moja córka, Morwena, zaopiekuje się tobą. Zostawiam cię w jej rękach.

To rzekłszy, zniknął. Dlaczego nie został? Co tak ważnego mogło go odwołać w chwili, gdy byłem całkowicie bezbronny? Musiał pokładać wielką wiarę w mocach Morweny. Gdy jego kroki ucichły, córka Diabła podeszła do mnie z okrutnym grymasem.

Usłyszałem trzepot wielkich skrzydeł; paskudny ptak wyłonił się z mroku i wylądował na jej lewym ramieniu. Uniosła złączone dłonie i ptak wsunął między nie dziób, pijąc trzymany w nich płyn – krew umierającego konia. Zaspokoiwszy pragnienie, trupiarz wydał z siebie przenikliwy krzyk, zatrzepotał skrzydłami i pofrunął w górę, znikając mi z oczu.

Morwena uklękła na drewnianym nabrzeżu, dłonie miała czerwone od krwi. Była tak blisko, że mogła mnie dotknąć. Starąłem się oddychać spokojnie, lecz serce waliło mi w piersi jak oszalałe. Patrzyła na mnie gadzim prawym okiem, jej język poruszał się szybko, zlizując krew z warg. Dopiero gdy zebrał wszystko, przemówiła:

– Siedzisz tak cicho i spokojnie. Ale odwaga w niczym ci nie pomoże. Zupełnie w niczym. Wkrótce umrzesz i nie zdołasz drugi raz ujść swemu losowi!

Odsłoniła straszliwe, żółtozielone kły, jej cuchnący oddech omiół mi twarz tak, że z trudem powstrzymałem mdłości.

Głos miała skrzeczący i jakby gadzi, każde zdanie zaczynało się sykiem płynu wylewanego na rozżarzone węgle, a kończyło bulgotem bagna pochłaniającego ofiary, wsysającego je w głąb wilgotnej paszczy. Przysunęła głowę nieco bliżej mojej, lecz

zamiast patrzeć mi w oczy, wbijała wzrok w szyję.

Przez moment sądziłem już, że zatopi w niej kły, a potem rozszarpie mi gardło. Wzdrygnąłem się, a ona widząc owo poruszenie, uśmiechnęła się, nie spuszczając zemnie prawego oka.

– Napiłam się już do syta, więc pożyjesz nieco dłużej. Jakiś czas jeszcze oddychaj i oglądaj to, co się zdarzy.

Zacząłem dygotać, walcząc z lękiem, który był zawsze najgorszym wrogiem stracharza w starciu z mrokiem. Morwena wyraźnie pragnęła rozmowy. Może dzięki temu zdołam wyciągnąć z niej jakieś użyteczne informacje? Sytuacja wyglądała ponuro, ale bywałem już wcześniej w poważnych tarapatach, z niewielkimi szansami na przeżycie. Jak mawiał mój tato: „Póki życia, poty nadziei”; ja sam także w to wierzyłem.

– A co zamierzasz zrobić? – spytałem.

– Zniszczyć wrogów mojego ojca: dziś w nocy zginiesz ty i John Gregory.

– Mój mistrz? Jest tutaj? – Zastanawiałem się, czy leży uwięziony w drugiej ładowni.

Pokręciła głową.

– Właśnie tu zmierza. Mój ojciec wysłał mu list, by go zwabić w to miejsce – tak jak sfalszował list, który trafił do ciebie. John Gregory wierzy, że błagasz go o pomoc i spieszy tu na spotkanie z losem.

– A gdzie jest Alice?

– W ładowni; tam jest bezpieczna – syknęła Morwena. Sterczący kawał kości, służący jej za nos, dzieliło od mej twarzy zaledwie parę cali. – Ale ty masz zostać na widoku. Jesteś przynętą, która zwabi twego mistrza w objęcia śmierci.

Ostatnie słowo zabrzmiało niczym wstrętny rechot bagiennej żaby, odbijający się echem od cuchnących wód. Czarownica wyciągnęła z rękawa poplamioną chustkę i zakneblowała mi usta. Następnie gwałtownie uniosła głowę i dwa razy pociągnęła nosem.

– Zaraz tu będzie! – rzuciła, kiwając głową do dwóch mężczyzn, którzy cofnęli się w cień, by tam zaczekać.

Zakładałem, że do nich dołączy, lecz ku memu zdumieniu i zgrozie podeszła na brzeg kanału, zsunęła się dowody i zniknęła mi z oczu.

Stracharz był twardy i świetnie władał kijem. Oceniałem, że jeśli go nie zaskoczą, powinien poradzić sobie z dwoma zbrojnymi. Jednak atak wiedźmy z wody podczas walki zmieniłby wszystko. Mojemu mistrzowi groziło śmiertelne niebezpieczeństwo.

## **ROZDZIAŁ 20**

### **ŻADEN WYBÓR**

Siedziałem bezradny, wiedząc, że w każdej chwili może zjawić się mój mistrz; jeśli plan Morweny się powiedzie, zginie jako pierwszy. Ale sytuacja wciąż nie była całkiem beznadziejna, bo z niewiadomych przyczyn Zły odszedł. Mojego mistrza nie tak łatwo zabić. Miał pewne szanse na przeżycie. Lecz jak mógłbym mu pomóc?

Szarpałem się, próbując zsunąć gruby sznur, którym przywiązano mnie do słupka. Oplatał mnie ciasno, nieważne, jak się skręcałem i obracałem, ledwo ustępował. W dali usłyszałem cichy dźwięk. Czy był to jeden z czekających zbrojnych? A może stracharz?

W następnej chwili wątpliwości zniknęły. Stracharz maszerował ku mnie nabrzeżem, dźwigając w rękach kij i torbę, jego kroki odbijały się echem od ścian magazynu. Chyba zauważyliśmy się nawzajem w tym samym momencie, bo gdy tylko na niego spojrzałem, zatrzymał się jak wryty. Długi czas przyglądał mi się, po czym znów ruszył wolno naprzód. Wiedziałem, iż domyślił się, że to pułapka. Inaczej po co ktoś miałby przywiązywać mnie na widoku? Mógł zatem albo się wycofać i uciec, albo też pójść naprzód z nadzieją, że poradzi sobie z tym, co na niego czeka. Widziałem, że mnie nie zostawi – więc w

sumie nie miał żadnego wyboru.

Po kolejnych dwudziestu krokach znów się zatrzymał, dokładnie pod jednym z grubych filarów podtrzymujących dach magazynu. Przyglądał się martwym koniom. Latarnia oświetlała mu twarz, w jej blasku stwierdziłem, że choć wygląda staro i dość chudo, jego oczy nadal błyszczą groźnie, a zmysły są czujne, wyostrzone, poszukujące w mroku najmniejszych oznak niebezpieczeństwa.

Znów ruszył ku mnie. Mogłem skinąć głową w stronę wody, by go ostrzec przed Morweną. Gdybym to jednak zrobił, odciągnąłbym jego uwagę od drugiego zagrożenia, z ciemności po prawej. Nagle, niecałe dwadzieścia kroków ode mnie, stracharz przystanął ponownie. Tym razem odstawił torbę i uniósł kij w obronnym geście trzymając go oburącz pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Usłyszałem znajomy szcęk, gdy wypuścił klingę, a potem wszystko potoczyło się bardzo szybko.

Dwóch osiłków wypadło z ciemności po mej lewej, ich długie noże błysnęły w świetle latarni. Stracharz obrócił się szybko i zwrócony plecami do wody czekał na atak. Przez sekundę jego przeciwnicy wahali się. Może zauważyli złowieszcze ostrze na końcu kija, a może błysk determinacji w jego oczach. Potem jednak, gdy unosząc swoje noże ruszyli, gotowi go zabić, zaatakował. Grubszym końcem kija zadał straszliwy cios w skroń jednemu z nich. Mężczyzna runął bez jęku, nóż z brzękiem wypadł mu z dłoni. Tymczasem stracharz pchnął swą klingę w kierunku drugiego napastnika. Gdy ostrze przeszło jego prawe ramię, mężczyzna także upuścił broń, po czym padł na kolana z piskliwym, przeraźliwym wrzaskiem bólu. Stracharz skierował kij w stronę powalonego wroga, przez moment zdawało mi się, że znów pchnie, potem jednak pokręcił głową oraz powiedział coś cicho. Mężczyzna dźwignął się z trudem i chwiejnie umknął w ciemność, przyciskając dłoń do ramienia. Dopiero wtedy stracharz obejrzał się na mnie, a ja mogłem w końcu rozpaczliwie pokiwać głową w stronę wód kanału.

Zdażyłem w ostatniej chwili. Morwena wyprysnęła z wody z siłą łososia wskakującego w górę wodospadu. Wyciągnęła ręce, celując w twarz stracharza, choć lewe oko wciąż miała zamknięte.

Mój mistrz odpowiedział równie szybko. Zawirował, zataczając laską błyskawiczny łuk z lewa w prawo. O włos chybił gardła Morweny. Ze straszliwym wrzaskiem wściekłości, już znacznie mniej wdzięcznie, poleciała z powrotem do wody i zniknęła z głośnym pluskiem.

Stracharz zamarł, wbijając wzrok w kanał. Potem prawą ręką sięgnął do kaptura, uniósł go i naciągnął na głowę, osłaniając oczy. Musiał zauważyć spięte kością powieki i uświadomić sobie, z kim ma do czynienia. Bez kontaktu wzrokowego Morwena nie mogła opanować go swoim krwawym okiem. Oznaczało to jednak, że będzie walczył „na ślepo”.

Czekał nieruchomo, a ja patrzyłem w napięciu. Ostatnie zmarszczki zniknęły z powierzchni kanału, która zmieniła się w nieruchomą taflę. Nagle Morwena znów wyskoczyła, jeszcze szybciej niż poprzednio i wylądowała na samym skraju nabrzeża; jej błoniaste stopy plasnęły głośno o deski. Krwawe oko otwarło się, kierując swój złowieszczy czerwony ogień wprost na stracharza. On jednak, nie unosząc głowy, dźgnął ją w nogi i musiała się wycofać.

Natychmiast uderzyła lewą ręką, szpony sięgnęły ku jego ramieniu, lecz mój mistrz cofnął się w ostatniej sekundzie. Potem, gdy przesunęła się na bok, przerzucił kij z lewej do prawej ręki i pchnął – szybko, mocno. Był to ten sam manewr, który kazał mi ćwiczyć godzinami na wyschniętym drzewie w ogrodzie – ten, który ocalił mi życie latem, gdy wykorzystałem go w walce z Grimalkin.

Wykonał go idealnie i czubek ostrza przebił bok Morweny. Czarownica wrzasnęła boleśnie, odskoczyła szybko, wywinęła fikołka i zniknęła w wodzie. Stracharz czekał bardzo długo, lecz więcej nie zaatakowała.

Dopiero wtedy podszedł do mnie szybko, pochylił się i zerwał

kneblującą mnie chustkę.

– Alice siedzi związana w ładowni! – wydyszałem. – Pan Gilbert nie żyje. A ta wiedźma, która zaatakowała cię z wody, to Morwena! Rodzona córka Złego! Inne wodne wiedźmy pewnie już tu zacierają.

– Uspokój się, chłopcze – rzekł stracharz. – Zaraz cię uwolnię.

Ostrzem na końcu laski przeciął szybko moje więzy. Kiedy podniosłem się powoli, rozcierając zdrętwiałe dłonie, mistrz wskazał nóż jednego z napastników, leżący na nabrzeżu.

– Uwolnij ją, ja będę czuwał – polecił.

Weszliśmy razem na barcę. Trzymając kij w pogotowiu, stracharz stanął na warcie, podczas gdy ja odsunąłem właz. Z dołu spojrzała na mnie Alice. Była związana i zakneblowana, zostawili ją obok zwłok szypra.

– Zły tu był. Przyjął postać pana Gilberta – poinformowałem mistrza.

– Cóż, nie zdołamy już pomóc biedakowi. – Stracharz ze smutkiem pokręcił głową. – Będziemy musieli zostawić ciało, niech inni je znajdą. Szybko uwolnij dziewczynę. Musimy wynosić stąd się czym prędzej. Czarownica nie jest ciężko ranna. Bez wątpienia wkrótce znów spróbuje.

Kiedy przecinałem więzy, czułem, jak Alice drży. Pomogłem jej wyjść z ładowni. Nie odezwała się ani słowem, w jej oczach dostrzegłem strach. Bliskość Złego najwyraźniej przeraziła ją jeszcze bardziej niż mnie.

Gdy we troje stanęliśmy na brzegu, stracharz wskazał na północ i wyprowadził nas z magazynu. Maszerował tak szybko, że z trudem dotrzymywałem mu kroku.

– Nie wracamy do Chipenden? – zdziwiłem się.

– Nie, nie wracamy, chłopcze. Nie starczy nam czasu, jeśli Morwena puści się w pościg. Najpierw pójdziemy do domu biednego Billa Arkwrighta. To najbliższe schronienie. Im szybciej oddalimy się od kanału, tym lepiej – dodał, niespokojnie zerkając na wodę.

– Znam krótszą drogę do młyna – oznajmiła Alice – Kiedyś

mieszkałam niedaleko z Kościstą Lizzie. Musimy przeprowić się przez kanał i skierować na zachód.

– W takim razie prowadź, dziewczyno – rzekł stracharz.

Przeszliśmy zatem przez pierwszy most, porzuciliśmy ścieżkę holowniczą i skierowaliśmy się na północ, maszerując mrocznymi, wąskimi brukowanymi uliczkami. Caster ze swym zamkiem i lochem nie był stosownym miejscem dla członków naszego fachu; na szczęście o tej porze niewielu ludzi nas widziało. W końcu z ulgą zostawiliśmy za sobą miasto i podążyliśmy za Alice. Drogę oświetlały nam tylko gwiazdy i blady sierp księżyca. Wyminąwszy skraj Klasztornego Bagna, dotarliśmy do ogrodu przy młynie i do słonej fosy.

– Kiedy ostatnio dosypywaliście soli? – spytał stracharz. Były to pierwsze słowa, jakie padły z ust kogoś z nas od chwili wyjścia z magazynu.

– Zrobiłem to ledwie wczoraj – odparłem.

Kiedy znaleźliśmy się w wierzbowym ogrodzie, usłyszałem ostrzegawcze warknięcie, z mroku wyłoniła się Szpon. Wyciągnąłem rękę i pogłaskałem ją po łbie. Ruszyła tuż za mną.

– Ten pies ocalił mi życie – powiedziałem.

Ani stracharz, ani Alice nie skomentowali mych słów. Gdy dotarliśmy do drzwi, Szpon pobiegła dalej wzdłuż domu, w stronę koła. Wołałem, by została na dworze. Dzięki temu mogła mnie ostrzec, gdyby do ogrodu zbliżyła się czarownica.

Wkrótce znaleźliśmy się w kuchni. Nie tracąc czasu, dołożyłem drew do piecyka i rozpałem ogień. Stracharz i Alice siedzieli, patrząc, jak się krzątam – mój mistrz pogrążony w głębokim namyśle, Alice wciąż przerażona.

– Przygotować nam wczesne śniadanie? – spytałem.

Stracharz stanowczo pokręcił głową.

– Lepiej nie, chłopcze. W każdej chwili możemy mieć do czynienia z mrokiem, musimy pościć. Lecz dziewczyna na pewno zechce coś zjeść.

Alice pokręciła głową jeszcze gwałtowniej niż mistrz.



– Nie jestem głodna – oznajmiła głucho.

– W takim razie musimy spróbować zrozumieć to, co się dzieje. Od początku czułem, że coś jest nie tak oświadczył stracharz. – Gdy tylko wróciłem do Chipenden, przeczytałem liścik Alice i wcześniejszy list od ciebie. Miałem już ruszać do młyna, gdy na rozstajach odezwał się dzwon. Alarmował kowal z wioski – ktoś wsunął mu pod drzwi list z moim nazwiskiem. Dopisano na nim PILNE. Rozpoznałem twoje pismo, chłopcze, lecz było jeszcze bardziej chwiejne niż zazwyczaj, jakbyś pisał w pośpiechu. W liście znalazłem informację, że masz poważne problemy i potrzebujesz pomocy. Nie podano, o jakie chodzi, znalazłem tylko adres magazynu w Caster.

Wiedziałem dobrze, że nie możesz być w dwóch miejscach jednocześnie. Ponieważ jednak Caster leży po drodze do młyna, poszedłem tam najpierw. Byłem gotów na kłopoty i faktycznie je znalazłem. Lecz jedno wciąż mnie niepokoi. Skąd dziewczyna wiedziała, że coś ci grozi? Jak przekazałeś jej wiadomość?

Stracharz wbijał we mnie wzrok i wiedziałem, że nie uniknę wyznania prawdy. Odetchnąłem głęboko.

– Użyłem lustra – rzekłem, skłaniając głowę. Nie mogłem patrzeć mu w oczy.

– Co powiedziałaś, chłopcze? – Głos stracharza zabrzmiał niebezpiecznie cicho. – Dobrze cię usłyszałem Lustra? Lustra...?

– Tylko tak mogłem się z wami skontaktować! – wyrzuciłem. – Byłem w rozpacz. Pan Arkwright nie żył, Morwena go zabiła. Wiedziałem, że przyjdzie po mnie, potrzebowałem was. Nie mogłem walczyć z nią sam...

– Dobrze myślałem, że nie powinien wpuścić do domu córki Deane'ów! – przerwał gniewnie mistrz, patrząc na Alice. – Zwiodła cię na złą drogę. Używanie narzędzi mroku naraża cię. Gdy tylko sięgnąłeś do lustra, Zły dowiedział się, gdzie jesteś. Zorientował się też we wszystkim, co jej przekazałeś.

– Nie wiedziałem – broniłem się niezręcznie.

– Nie? Ale teraz się dowiedziałeś. A co do ciebie, dziewczyno –

podjął, wstając i patrząc gniewnie na Alice – jesteś dziwnie milcząca. Nie masz mi nic do powiedzenia?

W odpowiedzi Alice zasłoniła dłońmi twarz i rozplakała się.

– Bliskość Złego bardzo ją przeraziła – wyjaśniłem. – Nigdy nie widziałem jej tak wstrząśniętej.

– Cóż, chłopcze, wiesz chyba, w czym rzecz?

Pokręciłem głową. Nie miałem pojęcia, o czym mówi.

– Zły to ucieleśnienie mroku. Diabeł we własnej osobie, który włada duszami tych, którzy oddali się mrokowi. Należą do niego. Dziewczynę szkolila wiedźma i była blisko, za blisko stania się stworem z mroku. Dlatego właśnie wyczuwa moc Złego i pojmuje, z jaką łatwością mógł wykraść jej duszę. W starciu z nim byłaby bezbronna, dobrze o tym wie. Dlatego się boi.

– Ale... – zacząłem.

– Oszczędź śliny, chłopcze. To była długa noc i jestem zbyt zmęczony, by słuchać. Po tym, co mi powiedziałeś, nie mogę na was patrzeć, toteż pójdę na górę się zdrzemnąć. Sugeruję, abyście zrobili to samo. Pies ostrzeże nas, jeśli coś się zbliży.

Kiedy zniknął na piętrze, odwróciłem się do Alice.

– On ma rację – powiedziałem. – Chodź, prześpijmy się.

Nie odpowiedziała i zrozumiałem, że już pogrążyła się w głębokim śnie. Rozsiadłem się zatem wygodnie i po paru chwilach ja także zasnąłem.

Kilka godzin później obudziłem się nagle. Przez okna do kuchni wdzierało się światło dnia, w jego blasku ujrzałem, że Alice już się zbudziła. Lecz to, co robiła, wstrząsnęło mną. W dłoni trzymała moje pióro i pisała zawzięcie w notatniku, mamrocząc do siebie pod nosem.

## **ROZDZIAŁ 21**

### **SPĘTANY**

Alice! Co ty robisz? – spytałem ostro. – Czemu piszesz w moim notesie? Uniosła wzrok, oczy miała wielkie, okrągłe.

– Przepraszam, Tom. Powinnam najpierw spytać, ale nie chciałam cię budzić.

– Ale co właściwie piszesz?

– Notuję różne rzeczy, których nauczyła mnie Koścista Lizzie. Może coś z nich pomoże nam pokonać Złego. Będziesz potrzebował wszelkiej dostępnej wiedzy.

Jej słowa mnie przeraziły. Stracharz polecił kiedyś Alice opowiedzieć mi o wszystkim, czego ją nauczono, by wzbogacić naszą wiedzę na temat sztuki czarownic i potęgi mroku, z którym walczyliśmy. Ale to było co innego. Proponowała, byśmy wykorzystali mrok do walki z mrokiem. Wiedziałem, że mistrzowi się to nie spodoba.

– Nie słuchałaś wczoraj? – odparowałem. – Korzystanie z mroku nas naraża.

– Nie widzisz, że już i tak jesteśmy w niebezpieczeństwie?

Odwróciłem się.

– Posłuchaj, Tom. To, co zeszłej nocy powiedział o mnie stary Gregory, to prawda. Zbliżyłam się do mroku tak bardzo, jak to tylko możliwe – przynajmniej dla kogoś, kto nie został pełną czarownicą. Więc owszem, bliskość Złego mnie przeraziła. Nie potrafię nawet opisać, co czułam. Ty należysz do światła, Tom, w pełni do światła, więc nigdy nie zaznasz czegoś podobnego. To była mieszanina grozy i rozpacz. I poczucia, że zasłużyłam na wszystko – gdyby kazał mi pójść za nim, być jego sługą, nie zastanawiałabym się ani chwili.

– Nie rozumiem, co to ma do rzeczy – wtrąciłem.

– Nie ja pierwsza czułam coś takiego. Kiedyś, dawno temu, Zły krążył po ziemi i czarownice musiały sobie radzić z jego obecnością. Istnieją pewne sposoby. Metody powstrzymania go. Próbuję przypomnieć sobie chociaż część z nich. Lizzie nie dopuszczała do siebie Starego Nicka, ale nigdy mi nie mówiła, jak to robi; możliwe, że wiedza ta kryje się w innych rzeczach, jakich mnie uczyła.

– Ale wciąż wykorzystywałabyś przeciw niemu siły mroku, Alice! W tym właśnie sedno. Słyszałaś, co mówił stracharz. Posłużenie się lustrem było wystarczająco złe. Proszę, nie rób niczego gorszego.

– Gorszego? Gorszego! Co mogłoby być gorsze niż pojawienie się tu Diabła, gdy jesteśmy bezbronni? Stary Gregory nic by nie zdołał. Myślę, że się boi. Myślę, że tym razem ma do czynienia z czymś zbyt wielkim i potężnym, by sobie poradzić. Dziwne, że nie wrócił do Chipenden, gdzie czuje się bezpieczniejszy!

– Nie, Alice! Jeśli nawet się boi, to ma po temu powody. Ale stracharz nie jest tchórzem. Ma plan. Nie posługuj się mrokiem, Alice. Zapomnij o tym, czego uczyła cię Koścista Lizzie. Proszę, nie posługuj się swoją wiedzą. Nic dobrego nam z tego nie przyjdzie...

W tym momencie usłyszałem tupot butów na schodach, Alice wydarła kartkę z notatnika, zgmiotła i wepchnęła sobie do rękawa. Potem szybko schowała notes i pióro do mojej torby.

W chwili gdy stracharz wszedł do kuchni, trzymając w dłoni książkę Arkwrighta, uśmiechnęła się do mnie ze smutkiem.

– No dobra, wy dwoje – rzekł mistrz. – Czujecie się lepiej?

Alice przytaknęła, a on odpowiedział niemal niedostrzegalnym skinieniem głowy, po czym usiadł na krześle najbliższym pieca.

– Mam nadzieję, że wczorajszy dzień czegoś was nauczył. Korzystanie z mroku tylko nas osłabia. Teraz to rozumiecie?

Pokiwałem głową, nie śmiałem jednak spojrzeć na Alice.

– Cóż – podjął mój mistrz – czas kontynuować naszą rozmowę i podjąć decyzję, co robić dalej. Wiele się dowiedziałem o córce Złego. To znacznie lepsza książka, niż podejrzewałem, biorąc pod uwagę, iż wyszła spod pióra Billa Arkwrighta. Chcę, żebyś zaczął od początku, chłopcze. Opowiedz o wszystkim, co się stało od chwili, gdy przybyłeś do młyna, aż do momentu, kiedy znalazłem cię skrepowanego w magazynie. Widzę, że walczyłeś – zerknął na moje obolałe ucho – toteż nie spiesz się. Chcę poznać wszystkie szczegóły. Może się w nich kryć coś ważnego.

Zacząłem zatem relację, niczego nie opuszczając. Gdy dotarłem

do momentu, w którym Arkwright dał mi list i postanowiłem wrócić do młyna, mistrz przerwał raz po raz pierwszy.

– Tego właśnie się obawiałem. Kiedy Bill Arkwright pije, budzą się w nim demony. Przykro mi, że musiałeś tak cierpieć, chłopcze, ale zamiary miałem dobre. Jest ode mnie młodszy i silniejszy, są rzeczy, których ja już nie mogę cię nauczyć, a on owszem, mógł. Musisz zmęźnieć, by móc walczyć ze Złym i wygrać. Możliwe nawet, że będziemy musieli spróbować rzeczy, o których wcześniej nam się nie śniło.

Słyszając to, Alice posłała mi słaby uśmiech, ja jednak udałem, że go nie dostrzegam i podjąłem przerwana historię. Opowiedziałem stracharzowi o ataku wodnej wiedźmy i o tym, jak o mało mnie nie zabiła. O przeprawie przez piaski w drodze do Cartmel i o spotkaniu z pustelnikiem. Opisałem, jak Arkwright musiał przegnać bandę werbowników, nim pustelnik zgodził się użyć różdżki i odkryć kryjówkę Morweny. Niektóre fragmenty mej historii były nieprzyjemne – zwłaszcza ten, kiedy znalazłem martwego psa i but Arkwrighta w wodzie i oczywiście, gdy użyłem lustra, by porozumieć się z Alice. W końcu jednak, opisawszy, jak ponownie przepравиłem się przez niebezpieczne piaski i wróciłem do młyna, dotarłem do zakończenia całej historii w magazynie.

– Cóż, chłopcze, było ci ciężko, ale nie jest tak źle, jak myślisz. Po pierwsze, mam przeczucie, że Bill najpewniej wciąż żyje...

Spojrzałem ze zdumieniem na mego mistrza.

– Zamknij buzię, chłopcze albo zaczniesz w nią łapać muchy – rzekł z uśmiechem. – Pewnie się zastanawiasz skąd to wiem. Szczerze mówiąc, nie mam pewności, ale trzy rzeczy sugerują, że mógł przeżyć. Pierwsza to przeczucie. Czysty instynkt. Zawsze powinienes wierzyć instynktowi, chłopcze, już ci to mówiłem. A mój instynkt podpowiada, że Bill wciąż żyje. Drugie to duch jego matki. Sam mi powtórzyłeś, co ci powiedziała. Zeszłej nocy to samo mówiła mnie...

– Ale skąd może wiedzieć – wtrąciłem – skoro jest uwiązana do swych kości i nie może oddalać się z młyna?

– Amelia nie jest zwykłym duchem, chłopcze. Technicznie rzecz biorąc, stała się czymś, co czasami nazywamy wodnym upiorem, bo się utopiła. I nie tylko: w chwili rozpaczy sama się zabiła. Wielu samobójców natychmiast tego żałuje, ale jest już za późno. Podobnie udręczone dusze czasami potrafią dostroić się do żywych – wyjaśniał. – Bill i jego matka byli sobie bardzo bliscy. Jej duch wyczuwa, że spotkało go coś bardzo złego, że potrzebuje pomocy, że wciąż żyje. Powiedziała mi, że jest „skuty, uwięziony w trzewiach ziemi, wciąż czeka na śmierć” – te same słowa wypowiedziała do ciebie. Trzecią rzecz znalazłem w książce. Ofiary Morwenie składano zazwyczaj wraz z nadejściem pełni...

Stracharz otworzył książkę i przeczytał na głos: – „Młodych wrzucano do Krwawego Stawu, starsze ofiary przykuwano w podziemnej komnacie, aż do stosownej chwili.”

– Jeśli to prawda, gdzie możemy go znaleźć? Gdzieś pod ziemią, w pobliżu jezior?

– Możliwe, chłopcze. Znam tylko jedną osobę, która potrafi stwierdzić to na pewno: pustelnika z Cartmel. Skoro za pomocą różdżki znalazł Morwenę, może znajdzie też Arkwrighta – a jeśli trzymają go do nadejścia pełni, pozostaje sześć dni, by go uwolnić. Lecz „zazwyczaj” sugeruje, iż pozostało nam mniej czasu. Tak czy inaczej, musimy znów ruszać na północ. Mamy obowiązek rozprawić się z wiedźmą, nim ona rozprawi się z nami.

– Dziwi mnie tylko – rzekłem – że Zły odszedł. Gdyby został, Morwena by wygrała. W jego obecności bylibyśmy bezsilni. To nie ma sensu.

– W istocie, chłopcze. Co więcej, czemu Zły nie pojawi się tutaj, nie zabije cię i nie załatwi sprawy raz na zawsze? Co go powstrzymuje?

– Nie wiem – przyznałem. – Może ma na głowie ważniejsze sprawy.

– Bez wątpienia, ma wiele innych spraw na głowie. Ale ty stanowisz jedno z największych zagrożeń dla niego w całym Hrabstwie. Nie, kryje się w tym coś więcej. Kiedy przeglądałem

skrzynie twojej matki, znalazłem kilka ciekawych rzeczy. Powodem, dla którego Zły nie zniszczył cię natychmiast, jest to, że został „spętany”,

– Co to takiego? – spytałem.

– Sam powinienes się domyślić, chłopcze, w końcu pochodzisz z rodziny farmerów.

– Konie się pęta. Wiąże im się nogi.

– Właśnie tak, chłopcze. Wiązesz je, by nie mogły odejść zbyt daleko. „Pęta” to ograniczenie bądź przeszkoda. Jakaś siła ogranicza moc Złego. Gdyby cię zabił – gdyby zrobił to osobiście – władałby naszym światem przez sto lat, a potem musiałby powrócić tam, skąd przybył.

– Nie rozumiem – przyznałem. – Jeśli to prawda, czemu po prostu nie przyjdzie i mnie nie zabije? Czy nie tego właśnie pragnie – rządzić światem, rozpocząć nową erę mroku?

– Rzecz w tym, że dla Złego sto lat to niezbyt długo. Czas nie jest dla niego tym samym, co dla nas, stulecie trwa niewiele dłużej niż mgnienie oka. O nie, on pragnie rządzić znacznie dłużej.

– Czyli jestem bezpieczny?

– Nie, niestety. W księdze twojej mamy zapisano, że jeśli jedno z jego dzieci cię zabije, Zły będzie mógł rządzić światem. Dlatego właśnie posłał córkę, by dokonała dzieła.

– Czy ma wiele dzieci? – wtrąciła Alice.

– Tego nie potrafię rzec – przyznał stracharz. – Ale jeżeli Morwena nie zdoła pokonać Toma – a powiedzmy sobie szczerze, już dwa razy jej się nie udało – i jeśli Zły nie ma do pomocy innych dzieci, istnieje trzeci sposób, w jaki mógłby próbować cię zniszczyć. Postara się przeciągnąć cię na stronę mroku...

– Nigdy! – krzyknąłem.

– Teraz tak mówisz, ale już raz użyłeś mroku i sam osłabiłeś się przez te lustra. Gdyby cię przekabacił, jego rządy trwałyby do końca świata. To jedno mnie martwi, chłopcze. Jest potężny, o tak, bardzo potężny. Ale też przebiegły. Dlatego nie możemy sobie pozwolić na jakiegokolwiek ustępstwa.

– Kto stworzył te pęta? Kto miał dość sił, by ograniczyć moc Złego? Czy to moja mama?

Stracharz wzruszył ramionami.

– Nie wiem, chłopcze. Nie znalazłem dowodów, że ona to zrobiła – lecz owszem, tak podpowiada mi instynkt. Jedyne matka mogłaby tak ryzykować, by ochronić swoje dziecko.

– Co to znaczy?

– Zawsze istnieje ktoś, kto sprzeciwia się mrokowi i ogranicza jego moc. Domyślam się, że osoba, która to zrobiła, zapłaciła straszliwą cenę. Podobnego czynu nie da się osiągnąć, nie oddając czegoś w zamian. Dokładnie przeszukałem skrzynię, ale nie znalazłem żadnego wyjaśnienia.

Na myśl, że to mama próbowała mnie chronić, poczułem nagły niepokój. Jaką cenę zapłaciła, by mi pomóc? Czy w efekcie tych działań cierpi teraz w Grecji?

Alice musiała wyczuć mój strach i podeszła bliżej, by mnie pocieszyć. Lecz stracharz nie miał ochoty na sentymenty.

– Dość już rozmawialiśmy i odpoczywaliśmy – oznajmił. – Czas działać. Zaraz ruszamy do Cartmel. Jeśli odpływ dopisze, przed zmierzchem dotrzemy bezpiecznie na drugi brzeg zatoki.

\*

Po godzinie maszerowaliśmy już szybko. Byłem bardzo głodny, ale musiałem zadowolić się kęsem kruchego sera z Hrabstwa, by nie stracić sił. Mistrz poczęstował też Alice, ta jednak odmówiła.

Na polecenie stracharza zostawiłem torbę we młynie, lecz ponownie obwiązałem się w pasie pod płaszczem srebrnym łańcuchem.

Gdy opuściliśmy ogród, Szpon pobiegła za nami. Stracharz przyjrzał się jej z powątpiewaniem.

– Mam ją odesłać? – spytałem.

– Nie, chłopcze, pozwól jej iść z nami – rzekł ku memu zdumieniu. – Wolałbym, żeby zwierzak nie kręcił się koło nas, ale to pies myśliwski, umie znajdować ślady. Może nam się przydać w poszukiwaniach swego pana.



I tak we trójkę, w towarzystwie Szpon, wyruszyliśmy na poszukiwanie Billa Arkwrighta. Uznałem, że nasze szanse są raczej niewielkie. Mieliśmy przeciw sobie nie tylko Morwenę i inne wodne wiedźmy, ale też moc Złego. Nawet spętany mógł przecież ingerować w przebieg wydarzeń, ułatwiając swoim sługom zniszczenie nas.

Poza wszystkim jednak martwiłem się o mamę i o Alice. Czy mama spętała Złego, by mnie chronić? I czy Alice staczała się coraz bardziej w stronę mroku? Wiedziałem, że ma dobre intencje i że robi wszystko z najszlachetniejszych pobudek, ale czy w istocie pogarszała naszą sytuację? Stracharz zawsze obawiał się, że pewnego dnia powróci do mroku i gdyby tak się miało stać, wolałbym, by nie pociągnęła mnie za sobą.

## **ROZDZIAŁ 22**

### **WAHADEŁKO**

Po dotarciu do Hest Bank musieliśmy odczekać kilka godzin, nim zaczął się odpływ. Potem, w towarzystwie pół tuzina podróżnych, dwóch powozów i przewodnika, przeprawiliśmy się względnie szybko i bezpiecznie na drugą stronę zatoki.

Wspinaliśmy się długo, a tuż przed zmierzchem dotarliśmy do jaskini pustelnika. W środku panowała cisza. Judd Atkins siedział przy ogniu ze skrzyżowanymi nogami, oczy miał zamknięte, zdawał się prawie nie oddychać. Mój mistrz pierwszy wszedł do środka, stąpając niemal na palcach, aż w końcu znalazł się naprzeciw pustelnika, po drugiej stronie ogniska.

– Bardzo mi przykro, że przeszkadzam, panie Atkins – rzekł uprzejmie. – Wierzę jednak, że zna pan Billa Arkwrighta i że odwiedził pana niedawno. Ja jestem John Gregory, Bill był kiedyś moim uczniem. Teraz zaginął. Chciałbym prosić, by pomógł nam pan go odnaleźć. Porwała go wodna wiedźma, uważam jednak, że

może wciąż żyć.

Przez chwilę pustelnik zdawał się nie dostrzegać obecności stracharza. Czyżby spał? A może pograżył się w głębokim transie?

Mistrz wyciągnął z kieszeni portek srebrną monetę i wyciągnął ku niemu.

– Oczywiście zapłacę. Czy tyle wystarczy?

Pustelnik otworzył oczy. Były jasne i czujne, przesuwały się szybko od stracharza do Alice i do mnie, i z powrotem do mego mistrza.

– Schowaj pieniądze, Johnie Gregory – powiedział. – Nie potrzebuję ich. Podczas następnej przeprawy przez zatokę daj je przewodnikowi. Powiedz, że to na zaginionych. Pieniądze trafiają do rodzin tych, którzy utonęli, próbując się przeprawić.

– Tak uczynię – przytaknął stracharz. – Pomożesz nam zatem?

– Dołożę wszelkich starań. Z tej odległości nie potrafię orzec, czy Bill żyje, czy nie. Ale jeśli cokolwiek z niego zostało, znajdę to. Masz może mapę? I coś, co do niego należało?

Mój mistrz sięgnął do torby, wyjął mapę, rozłożył ją starannie na ziemi obok ogniska i wygładził. Była znacznie starsza i bardziej obszarpana niż Billa Arkwrighta, lecz obejmowała mniej więcej ten sam obszar

Pustelnik dostrzegł moją minę i uśmiechnął się.

– Cóż, Thomasie, żywego czy martwego, człowieka łatwiej znaleźć niż czarownicę.

Stracharz sięgnął do kieszeni i wyjął cienką złotą obrączkę.

– Należała do mamy Billa – oznajmił. – To jej obrączka ślubna, zdjęła ją przed śmiercią i zostawiła Billowi wraz z liścikiem, w którym pisała, jak bardzo go kocha. To jeden z jego największych skarbów, lecz zakłada ją tylko dwa razy w roku: w rocznicę jej śmierci i w dzień, na który przypadały jej urodziny.

Nagle pojąłem, że to obrączka, którą widziałem na wieku trumny matki Arkwrighta. Stracharz musiał zabrać ją z pokoju z myślą o tej chwili.

– Jeśli w ogóle ją zakłada, zadziała.

Judd Atkins podniósł się z miejsca. Przywiązał kawałek sznurka do obrączki, którą zawiesił nad mapą. Przesuwając powoli z prawa w lewo, za każdym razem odrobinę dalej na północ.

Obserwowaliśmy w milczeniu. Był bardzo dokładny i trwało to strasznie długo. W końcu dotarł na wysokość jezior. Wkrótce jego ręka poruszyła się gwałtownie, przesunął ją nieco i powtórzył badanie, ręka drgnęła dokładnie w tym samym miejscu. Jakies pięć mil na wschód od jeziora Coniston, gdzieś nad Wielką Tonia, jego większym siostrzanym zbiornikiem.

– Bill jest gdzieś na tej wyspie – oświadczył pustelnik, wskazując palcem.

Stracharz przyjrzał się uważniej.

– Wyspa Belle – oznajmił. – Nigdy tam nie byłem. Wiesz o niej cokolwiek?

– Kilka razy przejeżdżałem tamtędy podczas mych podróży – oświadczył pustelnik. – Wiele lat temu milę na południe od wyspy doszło do morderstwa. Chodziło o kobietę. Ofiarę obciążono kamieniami i wrzucono do jeziora. Różdżka pokazała mi, gdzie znaleźć zwłoki. Co do samej wyspy, nikt już jej nie odwiedza. Cieszy się złą sławą.

– Nawiedzona? – spytał stracharz.

Judd pokręcił głową.

– Z tego, co mi wiadomo, nie. Ale ludzie jej unikają, zwłaszcza po zmroku. Jest porośnięta gęstym lasem między drzewami kryje się kaprys. Poza tym niczego tam nie ma, więc najpewniej znajdziecie Williama właśnie w nim.

– Co to jest kaprys? – wtrąciłem.

– Zwykle nazywa się tak niewielki ozdobny budynek który niczemu nie służy, chłopcze – wyjaśnił stracharz – Czasami nadaje mu się kształt wieży bądź zamku. Kaprysy służą do oglądania, nie do mieszkania. Stąd właśnie ich nazwa – to zwykle głupstwo, zbudowane przez kogoś, kto nie musi zarabiać na życie pracą. Kogoś, kto ma nadmiar czasu i więcej pieniędzy niż rozumu.

– Cóż, tam właśnie jest teraz William Arkwright – stwierdził

pustelnik. – Nie potrafię jednak określić, czy żyje, czy nie.

– Jak dostaniemy się na wyspę? – spytał stracharz, składając mapę.

– Z trudem – Judd pokręcił głową. – Znam kilku przewoźników, którzy zarabiają na życie, przewożąc ludzi promami przez jeziora, ale rzadko który zgodzi się tam przybić.

– Pozostaje nam spróbować – mruknął stracharz. – Dziękuję za pomoc, panie Atkins. Z całą pewnością przekażę przewodnikowi wsparcie dla wdów i sierot.

– W takim razie bardzo się cieszę, że mogłem pomóc, jeśli chcecie, możecie spędzić tu noc. Choć, jeśli chodzi o posiłek, niewiele mam do zaoferowania, poza porcją mojego bulionu.

Wiedząc, że przyjdzie nam stawić czoło mrokowi, odmówiliśmy wraz ze stracharzem posiłku. Ku memu zdumieniu Alice uczyniła to samo – zazwyczaj miała zdrowy apetyt i wołała się nie osłabiać. Nic jednak nie powiedziałem i wkrótce ułożyliśmy się, radzi, że możemy zanoćować przy ogniu pustelnika.

\*

Ocknąłem się gdzieś o czwartej nad ranem i odkryłem, że Alice wpatruje się we mnie ponad dogasającym ogniem. Stracharz oddychał powoli, pogrążony w głębokim śnie. Pustelnik trwał w tej samej pozycji co przedtem, oczy miał zamknięte, głowę pochyloną – nie potrafiłem jednak stwierdzić, czy śpi.

– Mocno sypiasz, Tom, o tak – zauważyła Alice. Oczy miała poważne, szeroko otwarte. – Gapię się na ciebie prawie pół godziny; większość ludzi zbudziłoby się po dwóch minutach.

– Potrafię się budzić, kiedy tylko zechcę – odparłem z uśmiechem. – Także wówczas, kiedy mi coś grozi. Ale ty nie jesteś niebezpieczna, Alice. Pragnęłaś, żebym się obudził? Po co?

Wzruszyła ramionami.

– Nie mogłam spać, chciałam po prostu porozmawiać, to wszystko.

– Dobrze się czujesz? Nie zjadłaś kolacji, to do ciebie niepodobne.

- Nigdy nie czułam się lepiej – odparła cicho.
- Musisz coś jeść – przypomniałem.
- Sam też niewiele jadasz. Zaledwie kęs zgliwiałego sera starego Gregory'ego. Nie doda ci ciała, by trochę zakryło wychudzone kości.
- Mamy swoje powody, Alice. Wkrótce będziemy mieć do czynienia z mrokiem, a post pomaga. Naprawdę pomaga. Lecz ty musisz coś jeść. Nie jadłaś już od ponad dnia.
- Zostaw mnie, Tom, to nie twoja sprawa.
- Oczywiście, że moja. Zależy mi na tobie, nie chcę żebyś się rozchorowała.
- Ja też mam swoje powody. Nie tylko stracharz i jego uczeń mogą pościć. Przez trzy dni ja także zamierzam dochować postu. Tego nauczyła mnie Lizzie. Często pościła, gdy musiała przywołać swe moce. To może być pierwszym krok do powstrzymania Starego Nicka.
- A co potem, Alice? Co wtedy uczynisz? Znowu posłużysz się czymś z mroku? Zrób tak, a będziesz nie lepsza niż wrogowie, z którymi mamy do czynienia. Będziesz czarownicą, używającą czarodziejskich mocy! Przestań, póki jeszcze możesz! I przestań mnie w to angażować. Słyszałaś, co mówił pan Gregory: Zły bardzo by chciał przeciągnąć mnie na stronę mroku.
- Nie, Tom, to niesprawiedliwe. Nie jestem czarownicą, nigdy nie będę. Owszem, korzystam z mocy mroku, ale nie prowadzę cię ku niemu. Robię tylko to, co kazała mi twoja mama!
- Co takiego? Mama z pewnością nie kazała ci niczego podobnego!
- Nawet nie wiesz, jak bardzo się mylisz, Tom. Użyj wszystkiego! Użyj wszystkiego!, powiedziała, byle tylko go ochronić. Nie rozumiesz, Tom? Dlatego właśnie tu jestem – by użyć mroku przeciw mrokowi i pomóc ci przeżyć!
- Jej słowa mnie oszołomiły, nie wiedziałem, co rzec. Lecz Alice nie miała w zwyczaju kłamać, tego byłem pewien.
- Kiedy mama tak ci kazała? – spytałem cicho.

– Gdy w zeszłym roku odwiedziłam twoją rodzinę – Gdy walczyliśmy razem z Mateczką Malkin. A potem rozmawiała ze mną raz jeszcze. Gdy byliśmy w Pendle, latem, przemówiła do mnie z lustra...

Wpatrywałem się w nią zdumiony. Nie miałem kontaktu z mamą od wczesnej wiosny, od jej wyjazdu do Grecji. A jednak rozmawiała z Alice! I w dodatku posłużyła się lustrem!

– Co takiego powiedziała ci mama, Alice? Co było tak pilnego, że musiała porozmawiać z tobą przez lustro? – naciskałem.

– Tak jak mówiłam, to było w Pendle, kiedy kręgi szykowały się do otwarcia portalu i wypuszczenia Złego na ten świat. Twoja mama oznajmiła, że wkrótce zagrozi ci wielkie niebezpieczeństwo i muszę się przygotować do tego, by cię chronić. Od tego czasu bardzo się starałam, ale to niełatwe.

Zerknąłem na stracharza, po czym zniżyłem głos.

– Jeśli stracharz dowie się, co próbujesz zrobić, to cię odeśle. Bądź ostrożna, Alice, bo żartów nie ma. Już i tak martwi się, że użyliśmy lustra. Proszę, nie daj mu najmniejszego powodu...

Alice przytaknęła. Długi czas milczeliśmy oboje, zapatrzeni w dogasające ognisko. Po jakimś czasie zauważyłem, że pustelnik przygląda mi się. Odpowiedziałem spojrzeniem, patrzyliśmy sobie w oczy. Nawet nie mrugnął, a ja się zawstydziłem, toteż spytałem szybko:

– Jak się pan nauczył ródźkarstwa, panie Atkins.

– Jak ptak uczy się budować gniazda? Albo pajak tkać sieci? Urodziłem się z tym darem, Thomasie. Mój ojciec też go miał i jego ojciec przed nim. Zwykle powtarza się w rodzinie – ale to nie tylko talent odnajdywania wody czy zaginionych osób. Potrafi też wiele powiedzieć o ludziach. O tym, skąd pochodzą, o ich rodzinach. Chcesz, żebym ci pokazał?

Nie byłem pewien i nie wiedziałem, czego się spodziewać. Nim jednak zdążyłem odpowiedzieć, pustelnik wstał i okrążając ognisko, podszedł do mnie, wyciągając z kieszeni kawałek sznurka. Przywiązał do niego niewielki kryształ i uniósł mi nad głowę.

Kryształ zaczął obracać się powoli w prawo, zgodnie z ruchem wskazówek zegara.

– Pochodzisz z dobrej rodziny, Thomasie, to widać od razu. Masz matkę i braci, którzy cię kochają. Część z was się rozdzieliła, lecz wkrótce znów wszyscy się spotkacie. Widzę wielkie rodzinne święto. Bardzo ważne spotkanie.

– Byłoby miło – mruknąłem. – Mama wyjechała, a od ponad trzech lat nie oglądałem moich czterech braci.

Zerknąłem na stracharza, ciesząc się, że nadal smacznie śpi. Nie spodobałoby mu się, że pustelnik przewiduje Przyszłość. Tymczasem Judd Atkins zostawił mnie i zbliżył się do Alice. Kiedy uniósł jej nad głowę sznurek, zdrygnęła się. Kryształ zaczął się obracać, lecz w przeciwnym kierunku – kręcił się w lewo.

– Mówię to z bólem, dziewczyno – rzekł pustelnik – Ale pochodzisz ze złej rodziny, z klanu czarownic...

– To nie tajemnica – Alice skrzywiła się wzgardliwie

– To nie wszystko – powiedział pustelnik. – Wkrótce znów do nich dołączysz i do twego ojca, który bardzo cię kocha. Jesteś dla niego kimś szczególnym, ukochaną córką.

Alice zerwała się z ziemi, jej oczy rozbłysły gniewnie. Uniosła rękę i przez moment sądziłem, że zadrapnie pustelnika albo da mu w twarz.

– Mój tato nie żyje, leży w ziemi. Od lat spoczywa w grobie! – warknęła. – Co zatem chcesz powiedzieć? Że niedługo sama umrę? To niemiłe, o nie! Niemiło jest mówić takie rzeczy.

To rzekłszy, wybiegła z jaskini. Kiedy chciałem ruszyć w jej ślady, Judd Atkins podszedł do mnie i położył mi dłoń na ramieniu.

– Zostaw ją, Thomasie – rzekł, ze smutkiem kręcąc głową. – Nigdy nie będziecie mogli być razem. Widziałeś, jak wahadełko obracało się przeciwnie dla każdego z was.

Przytaknąłem.

– W prawo i w lewo. Światło i mrok. Dobro przeciw złu. Widziałem, co widziałem, i przykro mi rzec, że to prawda. I jest jeszcze coś – niechcący podsłuchałem część waszej rozmowy.

Komuś, kto gotów jest skorzystać z mocy mroku, niezależnie od przyczyny, nie można ufać. Czy jagnię może leżeć bezpiecznie obok wilka? Albo królik obok gronostaja? Uważaj, inaczej dziewczyna pociągnie cię za sobą! Zostaw ją i poszukaj sobie innej przyjaciółki. To nie może być Alice.

I tak wyszedłem za nią, ale zniknęła w ciemności. Czekałem u wylotu jaskini, w końcu godzinę przed świtem wróciła. Nie odezwała się ani słowem, gdy podszedłem, wzdrygnęła się. Widziałem, że płakała.

## **ROZDZIAŁ 23**

### **WIEDZMIA FLASZA**

Wyruszyliśmy w drogę o świcie, gdy pustelnik wciąż jeszcze spał. Niebo było jasne, bezchmurne, lecz powietrze mroźne. Maszerowaliśmy na północ, w stronę Wielkiej Toni. W dali wznosiły się ośnieżone szczyty gór. Mimo mrozu szron pod naszymi stopami wkrótce zaczął topnieć, a ziemia mięknąć.

Kiedy wąskim drewnianym mostem przeprawiliśmy się przez rzekę Leven i dotarliśmy do zachodniego brzegu jeziora, droga zrobiła się trudniejsza. Wąska ścieżka wiła się między gęstymi świerkami, po naszej lewej wznosiło się strome zbocze.

Szpon traktowała nas jak trzy zbłąkane owce. Krążyła wokół, po czym wybiegała naprzód, wracała i zaganiała nas od tyłu. Nauczył ją tego Arkwright: wypatrywała niebezpieczeństwa, sprawdzając wszystkie strony w poszukiwaniu możliwych zagrożeń dla jej stadka.

Po jakimś czasie zwolniłem nieco i zrównałem się z Alice. Od naszej nocnej sprzeczki nie rozmawialiśmy.

- Dobrze się czujesz, Alice? – spytałem.
- Doskonale – odparła nieco sztywno.
- Przykro mi, że się pokłóciliśmy.



– To mi nie wadzi, Tom. Wiem, że zamiary miałeś dobre.

– Nadal jesteśmy przyjaciółmi?

– Oczywiście.

Jakiś czas szliśmy razem w milczeniu.

– Mam plan, Tom – odezwała się w końcu. – Plan, który nie dopuści do nas Złego.

Spojrzałem na nią gwałtownie.

– Mam nadzieję, że nie ma nic wspólnego z mrokiem, Alice – rzuciłem, ona jednak nie odpowiedziała.

– Chcesz usłyszeć, jaki to plan, czy nie?

– Mów

– Wiesz, co to wiedźmia flaszka?

– Słyszałem o nich, ale nie wiem, jak mają działać. Stracharz w nie nie wierzy.

Wiedźmia flaszka broniła ponoć przed czarami, ale stracharz uważał, że to coś dla ludzi przesądnych i niemądrych.

– Stary Gregory, co on niby wie – rzekła z pogardą Alice. – Jeśli przygotujesz ją, jak należy, to działa, nie martw się. Kościasta Lizzie przysięgała, że flaszki działają. Kiedy nieprzyjazna wiedźma atakuje cię mocą mroku, istnieje sposób, aby ją powstrzymać. Najpierw potrzebujesz trochę jej moczu. To najtrudniejsze, ale nie musi go być zbyt wiele, jedynie odrobina, którą wlewasz do flaszki. Potem wsypujesz do niej pogięte szpilki, ostre kamyki i żelazne gwoździe, zatykasz korkiem i mocno potrząsasz. Następnie zostawiasz wszystko na słońcu na trzy dni. W noc pełni księżycy zakopujesz pod kupą łajna. I to już wszystko. Kiedy następnym razem pójdziesz w ustronne miejsce, poczuje straszny ból. Zupełnie jakby sikała rozżarzonymi szpilekami! Wtedy musisz już tylko zostawić jej liścik z informacją, co zrobiłeś. Ani się obejrzy, jak zdejmie z ciebie zaklęcie. Ale na wszelki wypadek warto schować flaszkę, gdyby trzeba było znów jej użyć!

Roześmiałem się bez cienia rozbawienia.

– I to właśnie chcesz zastosować przeciw Złemu, Alice? – zadrwiłem. – Jego siki i parę zgiętych szpilek?

– Dość długo się już znamy, Tom, i do tej pory chyba przekonałeś się, że nie jestem głupia. Twoja mama też nie jest głupia. Powinieneś się wstydić, że tak się ze mnie naśmiewasz. To był brzydki śmiech, o tak. Kiedy cię poznałam, byłeś miły, wtedy nie śmiałyś się tak ze mnie, nieważne, co bym powiedziała. Byłeś aż nazbyt grzeczny, aż nazbyt dobrze wychowany. Nie zmieniaj się, Tom, proszę. Owszem, musisz zmężnieć, ale nie w taki sposób. Jestem twoją przyjaciółką. Przyjaciół się nie rani, nieważne, jak bardzo się boisz.

Na te słowa ścisnęło mnie w gardle. Przez chwilę nie mogłem mówić, do oczu napłynęły mi łzy.

– Przepraszam, Alice – wykrztusiłem w końcu. – Nie mówiłem poważnie. Masz rację. Faktycznie się boję, ale nie powinienem wyzywać się na siebie.

– Nic nie szkodzi, Tom. Nie przejmuj się, ale nie pozwoliłeś mi skończyć. Zamierzałam powiedzieć, że chcę użyć czegoś podobnego. Ale nie moczu. Wykorzystam krew. Musimy zatem zdobyć trochę wyjątkowej krwi. Oczywiście, nie jego – bo niby jak? Krew jego córki, Morweny, powinna wystarczyć! Kiedy już ją zdobędziemy, załatwię resztę.

Wyciągnęła coś z kieszeni płaszcza i pokazała mi. Był to niewielki fajansowy słoik, zamknięty korkiem.

– Nazywają to słojem krwi – oznajmiła. – Musimy wlać do niego krwi Morweny i zmieszać z odrobiną twojej. To nie dopuści do ciebie Złego. Będziesz bezpieczny, jestem pewna. Nie potrzeba jej wiele. Wystarczy zaledwie parę kropel...

– Ale to czarna magia, Alice! Jeśli stracharz się dowie, odprawi cię na zawsze albo nawet uwięzi w jamie w swoim ogrodzie. I pomyśl też o sobie. O własnej duszy. Jeśli nie będziesz ostrożna, Zły może tobą zawładnąć!

Nim jednak zdążyłem powiedzieć coś jeszcze, stracharz zawołał mnie i polecił gestem, bym do niego dołączył. Musiałem zatem pobiec naprzód, zostawiając Alice.

Szliśmy dalej. Teraz ścieżka biegła blisko brzegu jeziora i

mistrz czujnie obserwował wodę. Bez wątpienia myślał o zagrożeniu ze strony Morweny i innych wodnych wiedźm. W każdej chwili mogły nas zaatakować. Ja jednak wierzyłem, że Alice bądź Szpon zdążą nas ostrzec.

Czy Morwena podążała za nami, odkąd opuściliśmy młyn i czekała na okazję do ataku? Oba brzegi jeziora porastał gęsty las. Mogła wędrować pośród drzew czy nawet płynąć pod powierzchnią nieruchomej wody. Zimowe słońce zalewało okolicę słabym blaskiem i widoczność była całkiem dobra: w ogóle nie wyczuwałem niebezpieczeństwa. Ale kiedy zapadnie noc, sytuacja się zmieni.

Po chwili jednak odkryłem, jak bardzo się myliłem. Otaczało nas niebezpieczeństwo, stracharz bowiem zatrzymał się gwałtownie i pokazał drzewo po naszej prawej, niecałe pięćdziesiąt kroków od brzegu jeziora.

Serce ścisnęło mi się ze strachu, gdy zobaczyłem wyryty na nim symbol.

– Wygląda na świeży – zauważył mój mistrz. – To znaczy, że musimy się obawiać jeszcze jednego wroga.

To był znak Grimalkin. Latem Malkinowie wysłali ją, by mnie zabiła. Oszukałem wiedźmę i ledwo uszedłem z życiem. Teraz jednak wróciła. Dlaczego opuściła Pendle?

– Czy czarownice znów przysłały ją za mną? – spytałem z lękiem. – Nie jest chyba jeszcze jedną córką Złego?

Stracharz westchnął.

– Nie potrafię rzec, chłopcze. Ale z tego, co mi wiadomo, nie. Coś jednak się święci. W zeszłym tygodniu, gdy podróżowałem do Pendle, trzymałem się z dala od klanów czarownic, ograniczając swą wizytę do Wieży Malkinów. Ale coś tam się działo. Minąłem kilka wypalonych domów a we Wronim Lesie widziałem gnijące trupy wiedźm należących do wszystkich trzech klanów: Malkinów, Deane'ów i Mouldheelów. Wygląda na to, że doszło do jakiejś bitwy. Możliwe, że mrok walczy sam ze sobą. Po co Grimalkin przybyła na północ? Możliwe, że wcale nie chodzi jej o ciebie, że to tylko zbieg okoliczności, iż oboje znaleźliście się tutaj. Tak czy

inaczej, zostawiła swój znak nad brzegiem jeziora, więc zachowajmy wyjątkową czujność.

\*

Późnym popołudniem ujrzeliśmy przed sobą wyspę Belle. Gdy się zbliżyliśmy, przekonałem się, że jest znacznie bliżej brzegu, niż się spodziewałem. W najwęższym miejscu dzieliło ją od stałego lądu najwyżej sto pięćdziesiąt jardów.

W pobliżu, na pomostach, przewoźnicy oferowali je usługi. Choć jednak proponowali, że chętnie zawiozą nas na przeciwny brzeg za parę groszy, nawet srebrna moneta nie zdołała żadnego przekonać do krótkiej wyprawy na wyspę.

Pytani o powody, unikali odpowiedzi.

– To niedobre miejsce, za dnia czy nocą. Nie, jeśli chcecie pozostać przy zdrowych zmysłach – ostrzegł trzeci, do którego się zwróciliśmy. A potem, znużony uporem stracharza, wskazał ręką rozpadającą się łódź, uwiązaną pośród sitowia. – Właścicielka tej łodzi może okazać się dość durna, by was tam zabrać.

– Gdzie jej szukać? – spytał stracharz.

– Przejdźcie milę w tamtą stronę, a znajdziecie się na progu jej domu. – Mężczyzna zaśmiał się paskudnie, wskazując mniej więcej na północ wzdłuż brzegu. – Durna Deana, tak ją nazywają. Ale naprawdę nazywa się Deana Beck. Do tej roboty nie znajdziecie nikogo lepszego.

– Czemu jest durna? – spytał stracharz, marszcząc brwi. Wyraźnie nie spodobało mu się zachowanie przewoźnika.

– Bo starucha nie wie, co dla niej dobre! – odparował tamten. – Nie ma na głowie rodziny ani nikogo. Jest tak siara, że nie przejmuje się własnym życiem. Nikt, kto ma w głowie choćby krztynę rozumu, nie zbliża się do tej wiedźmier wyspy.

– Na wyspie żyją czarownice?

– Odwiedzają ją od czasu do czasu. Mnóstwo wiem, jeśli przyjrzeć się bliżej, lecz większość rozsądnych ludzi woli nie patrzeć. Udawać, że to się nie dzieje. Porozmawiajcie z Durną Deaną.

Kiedy odchodziliśmy, przewoźnik wciąż się śmiał. Wkrótce dotarliśmy do niewielkiego, krytego strzechą domku, przytulonego do stromego, zadrzewionego zbocza. Stracharz zastukał do drzwi, a tymczasem Szpon podbiegła do wody, patrząc ponad nią na wyspę. Po paru chwilach usłyszeliśmy zgrzyt odciąganych rygli, drzwi uchyliły się na szerokość podejrzliwego oka, które przyglądało nam się ze środka.

– Uciekajcie stąd! – warknął szorstki głos, który zupełnie nie brzmiał jak głos kobiety. – Nie życzę tu sobie włóczęgów ani żebraków.

– Nie przychodzimy żebrac – wyjaśnił cierpliwie stracharz. – Nazywam się John Gregory. Potrzebuję twojej pomocy i jestem gotów hojnie za nią zapłacić. Bardzo mi cię polecano.

– Bardzo polecano, co? W takim razie pokaż pieniądze.

Stracharz sięgnął do kieszeni płaszcza, wyjął srebrną monetę i uniósł ku szparze w drzwiach.

– To zaliczka, drugą taką dostaniesz po wykonaniu zadania.

– Jakiego zadania? Jakiego? Wykrztuś to wreszcie! Nie marnuj mojego czasu.

– Musimy się dostać na wyspę Belle. Możesz to zrobić? Dowieźć nas bezpiecznie tam i z powrotem?

Zza drzwi powoli wysunęła się koścista dłoń. Stracharz upuścił na nią monetę, a palce zacisnęły się natychmiast.

– Jasne, że mogę to zrobić – rzekł głos nieco łagodniej. – Ale to niebezpieczna wyprawa. Lepiej wejdźcie i ogrzejcie kości.

Drzwi otwarły się na oścież i ujrzeliśmy przed sobą Deanę Beck, ubraną w skórzane spodnie, brudny kaftan i wielkie, nabijane ćwiekami buciory. Przystrzyżone krótko siwe włosy sprawiały, że wyglądała jak mężczyzna, lecz jej oczy, błyszczące inteligencją, były łagodne i kobiece, a wargi układały się w idealny łuk. Twarz miała pomarszczoną ze starości, lecz ciało solidne, wyglądała na silną i sprawną, zdolną przewieźć nas na wyspę.

W pokoju stał jedynie mały stolik w kącie. Twardą, kamienną posadzkę pokrywało sitowie. Deana przykucia przy ogniu i gestem

nakazała nam to samo.

– Wygodnie wam, co? – spytała, kiedy usiedliśmy.

– Moje stare kości wolą krzesła – odparł cierpko stracharz. – Ale włóczędzy i żebracy nie mogą kapryścić.

Słyszając to, starucha uśmiechnęła się i pokiwała głową.

– Ja całe życie radziłam sobie bez wygod krzesła. – Teraz przemawiała weselej, w jej głosie usłyszałem wyraźny melodyjny akcent. – Powiedźcie zatem, po co chcecie dostać się na wyspę? Co sprowadza stracharza na wyspę Belle? Przybywasz rozprawić się z czarownicami?

– Nie wprost, chyba że jakaś stanie nam na drodze – przyznał stracharz. – A przynajmniej nie dzisiaj. Mój współpracownik zaginął kilka dni temu. Mamy powody sądzić, że przebywa właśnie tam.

– A skąd to przypuszczenie?

– Tak mówił różdżkarz – Judd Atkins z Cartmel.

– Spotkałam go raz – Deana przytaknęła. – Niedaleko stąd znalazł w jeziorze ciało. Cóż, skoro Atkins mówi, że wasz człowiek tam jest, to pewnie jest. Ale jak się tam dostał? To właśnie chciałabym wiedzieć.

Stracharz westchnął.

– Został porwany podczas walki z wodną wiedźmą. Możliwe, że maczali w tym palce miejscowi – z Coniston bądź innej z wioski.

Uważnie obserwowałem twarz Deany Beck, by przekonać się, jak zareaguje na słowa mistrza. Czy też była w to zamieszana? Czy mogliśmy jej zaufać?

– Ciężko się tu żyje – rzekła w końcu. – I trzeba robić wszystko, byle tylko przetrwać. Większość udaje, że niczego nie dostrzega. Ale zawsze znajdą się tacy, którzy mają konszachty z mrocznymi siłami przyczajonymi w wodzie. Robią, co muszą, by zapewnić sobie bezpieczeństwo i zapewnić byt rodzinom. Kiedy głowa domu umiera, rodzina z trudem sobie radzi. Czasem głoduje.

– A ty, Deano Beck? – spytał ostro stracharz, wbijając w nią wzrok. – Czy i ty próbowałaś dogadać się z mrokiem?

Deana pokręciła głową.

– Nie. Nie zadaję się z wiedźmami. Nigdy. Nie miałam własnej rodziny, wiodłam długie, samotne życie. Ale nie żałuję, bo teraz nie muszę się martwić o żadnych krewnych. Kiedy masz tylko siebie, mniej się boisz. To ci daje siłę. Nie obawiam się czarownic. Robię, co zechcę.

– Kiedy zatem nas tam przewieziesz?

– Gdy tylko zapadnie ciemność. Nie możemy popłynąć za dnia. Każdy mógłby nas zobaczyć – także ci, którzy ukryli na wyspie waszego przyjaciela. A raczej nie chcemy się z nimi spotkać.

– Istotnie, nie chcemy – przyznał stracharz.

Deana zaproponowała nam część swojej kolacji, ale stracharz odmówił w imieniu nas wszystkich. Musiałem patrzeć, jak gospodyni pałaszuje gorącą potrawkę z królika i na sam widok ślinka napływała mi do ust a w brzuchu burczało. Wkrótce robi się ciemno; wówczas stawimy czoło temu, co kryje się na wyspie.

## ROZDZIAŁ 24

### KAPRYS

Odziana w długie, sięgające ud buty Deana poprowadziła nas brzegiem jeziora, w obu dłoniach niosąc latarnie. Księżyc jeszcze nie wzeszedł, a gwiazdy przyświecały słabo, nie zapaliła jednak świateł. Ciemność skrywała nas przed wrogami przyczajonymi nieopodal bądź obserwującymi brzeg jeziora z wyspy. Szedłem obok stracharza, dźwigając swój kij i jego torbę; Alice dreptała kilka kroków za nami. Szpon nadal krążyła wokół, czarna sierść sprawiała, że stała się praktycznie niewidzialna. Kiedy się zbliżała, tylko lekki odgłos stąpania zdradzał jej położenie.

Po paru chwilach dotarliśmy do łodzi Deany. Przewoźniczka weszła do wody i wywlokła łódź z sitowia podciągając ją bliżej pomostu. Pierwsza wskoczyła Szpon i łódź zachybotła się lekko,

lecz Deana chwyciła jej burtę, przytrzymując i pozwalając nam wsiąść – najpierw stracharzowi, potem mnie, wreszcie Alice. Leżąca przed nami wyspa, cel naszej podróży, wyglądała mrocznie i groźnie; porastający ją gąszcz drzew nadawał jej wygląd grzbietu wielkiego, przyczajonego potwora, czekającego na przybycie ofiary.

Deana wiodła łódź w stronę wyspy długimi pociągnięciami wiosła, które zanurzały się w wodzie niemal bezgłośnie. Powietrze trwało bez ruchu, wkrótce na niebie pojawił się księżyc, oświetlając odległe góry i powlekając srebrem nieruchomą taflę. Drzewa jednak nadal wyglądały mrocznie i złowieszczo. Widok wyspy Belle przyprawiał mnie o dreszcze.

Przeprawa trwała zaledwie kilka minut. Wkrótce, wyciągnąwszy łódź na kamienisty brzeg, wysiedliśmy i stanęliśmy na lądzie. Kępa poskręcanych starych cisów przesłaniała niebo.

– Dziękuję za pomoc, Deano – powiedział stracharz szeptem. – Jeśli nie zjawimy się w ciągu godziny, wracaj do domu i przyplłyn po nas przed świtem.

Stara przewoźniczka kiwnęła głową na znak zgody. Wzięła jedną latarnię i wręczyła ją stracharzowi. Ponieważ ja miałem ręce zajęte laską i torbą, drugą podała Alice. Szpon natychmiast wybiegła naprzód i wkrótce zniknęła nam z oczu. Pozostawiając Deanę w łodzi, ruszyliśmy za suką pomiędzy drzewa. Wyspa w najszerszym miejscu liczyła sobie najwyżej trzysta jardów od brzegu do brzegu, była długa na trzy czwarte mili. Za dnia moglibyśmy przeszukać ją dokładnie, lecz w mroku było to niemożliwe. Ruszyliśmy zatem wprost do kaprysu, gdzie, jak sugerował pustelnik, mogliśmy znaleźć Billa.

Wyspę porastał gęsty las, w większości szpilkowy, wkrótce jednak dotarliśmy do kępy drzew liściastych, wyciągających w górę ciemne, nagie gałęzie. W samym środku nich stał kaprys.

Wyglądał zupełnie inaczej, niż się spodziewałem. W blasku księżyca ujrzałem nie jeden, lecz dwa osobne budynki, stojące piętnaście kroków od siebie: bliźniacze, brzydkie, przysadziste kwadratowe wieże zbudowane z szarego kamienia pokrytego



porostami i liczące sobie najwyżej dwadzieścia stóp wysokości. Skojarzyły mi się z ossuariami – mauzoleami, w których przechowuje się kości zmarłych. Każdą wieżę wieńczył płaski dach pozbawiony blank, miały jednak pewne elementy ozdobne. Choć niższą część murów tworzyły zwykłe, kamienne bloki, od wysokości około dwunastu stóp aż do dachu dostrzegłem mnóstwo gargulców: czaszek, nietoperzy, ptaków i najróżniejszych stworzeń mogących pochodzić wprost z kartek demonicznego bestiariusza.

Pierwszy budynek nie miał w ogóle drzwi, jedynie pojedyncze wąskie szczeliny w ścianach, służące za okna. Jak zatem dostać się do środka? A jeśli się nie da, czemu w ogóle służył? Nie był nawet miły dla oka. Arkwright nie mógł przebywać wewnątrz owej wieży, a jednak Szpon krążyła wokół niej, węsząc i skomląc, a gdy przeszliśmy do sąsiedniej, pozostała przy tej pierwszej.

Wówczas uświadomiłem sobie, że nazwanie ich budynkami bliźniaczymi nie było do końca ściśle. Choć drugą budowlę wyposażono w identyczne szczeliny okienne i w zestaw podobnych gargulców, miała solidne drewniane drzwi – zamknięte na kłódkę. Andrew, brat stracharza i ślusarz, zrobił nam obu klucze z łatwością radzące sobie z podobnymi przeszkodami, toteż mój mistrz otworzył drzwi w parę sekund. Zapaliliśmy obie latarnie, po czym ostrożnie weszliśmy do środka, trzymając w gotowości laski z wysuniętymi ostrzami. Biegące wzdłuż trzech ścian kamienne stopnie doprowadziły nas pod ziemię, do zbiornika wody.

Na dole stracharz oddalił się od zbiornika, zmierzając w najdalszy kąt. Podeszedłem do niego i zamarłem, parząc na to, co znalazł. Był to but.

– Billa? – spytał.

– Owszem – przytaknąłem skinieniem głowy.

– Gdzie więc jest teraz? – Stracharz bardziej myślał na głos, niż zadawał pytanie.

Ponownie odwrócił się twarzą do wody, podeszedł do brzegu, uniósł wysoko latarnię i zajrzał w toń.

Podążyłem za jego wzrokiem. Woda okazała się zdumiewająco

przejrzysta, lecz głęboka i zobaczyłem dwie rzeczy: kolejne wąskie i strome schody biegnące pod powierzchnią i u ich stóp coś, co wyglądało na wylot mrocznego tunelu.

– Co my tu mamy? – wymamrotał stracharz. – Cóż, chłopcze, popatrz w stronę tunelu. Jak myślisz, dokąd prowadzi?

Nie miałem wątpliwości.

– Do drugiego budynku – odparłem.

– W istocie. I zastanawiam się, co się w nim kryje. Czy może być lepsze więzienie niż budynek pozbawiony drzwi? Chodź za mną, chłopcze.

Zrobiłem, jak kazał, Alice podążała nieco z tyłu. Na zewnątrz mój mistrz podszedł do drugiej wieży, zatrzymał się pod najbliższym oknem i wskazał w górę.

– Stań mi na ramionach, zobacz, czy dasz radę wdrapać się tam i zajrzeć. Użyj latarni, ale postaraj się osłaniać ją ciałem, by nie przyciągnąć niczyjej uwagi. Nie chcemy, by zobaczył nas ktoś z ładu.

Przykucnął pod oknem, a ja wszedłem mu na ramiona, trzymając latarnię między ciałem a murem i opierając prawą dłoń o kamienie. Stracharz zaczął powoli się unosić, a ja starałem się utrzymać równowagę. Potem zdołałem wspiąć się do okna, przytrzymując się i opierając o gargulce. Latarnia utrudniała mi zadanie, w końcu jednak znalazłem się naprzeciw okna. Przywarłem do ściany i oparłem brodę o latarnię, zaglądając przez szczelinę.

Wewnątrz dostrzegłem tylko zbiornik wody, z pozoru identyczny jak ten w drugiej wieży. W przeciwległej ścianie, pod ziemią, ziała szeroka szczelina. Prawdopodobnie fundamenty zawilgły i zaczęły osiadać.

Zsunąłem się na dół i przeszliśmy do sąsiedniej ściany.

– Nie wiem, ile jeszcze wytrzyma mój biedny stary grzbiet i kolana – marudził stracharz. – Pośpiesz się, chłopcze.

Zrobiłem, jak kazał, lecz dopiero przez czwarte okno zobaczyłem kogoś związanego liną i opartego o przecz legły mur,

obok zbiornika. Nie widziałem jego twarzy, ale wyglądał jak Arkwright.

– Tam ktoś jest, związany – wyszeptałem z podnieceniem. – To pewnie on.

– No dobra, chłopcze – rzucił stracharz. – Teraz sprawdź dach. Może da się przez niego wejść do środka. Warto spróbować...

Wdrapałem się jeszcze kilka stóp wyżej, wyciągnąłem rękę, chwyciłem krawędź dachu i podciągnąłem się. Sprawdziłem dokładnie i odkryłem, że zrobiono go z litego kamienia. Nie dało się tamtędy wejść. Zerknąwszy zatem szybko ponad drzewami w stronę srebrnej tafli jeziora, zsunąłem się przez krawędź i z pomocą stracharza zeskoczyłem na ziemię.

Wróciliśmy do pierwszego budynku, znów zeszliśmy po schodach i zapatrzyliśmy się ponuro w powierzchnię zbiornika. Istniała tylko jedna droga prowadząca do Arkwrighta – przez podwodny tunel.

– Pan Arkwright nauczył mnie pływać – poinformowałem mistrza, starając się, by mój głos zabrzmiał pewniej, niż się czułem. – Teraz czas wykorzystać tę wiedzę.

– Jeśli umiesz pływać, chłopcze, to potrafisz więcej ode mnie. Ale jak dobrze ci idzie?

– Przeplwam pięć szerokości kanału...

Stracharz z powątpiewaniem pokręcił głową.

– To zbyt niebezpieczne, Tom – wtrąciła Alice. – Trzeba czegoś więcej niż pływania. Musiałbyś zanurkować i przepłynąć przez ciemny tunel. Nie potrafię pływać, inaczej poszłabym z tobą. We dwoje mielibyśmy większe szanse.

– Dziewczyna ma rację, chłopcze. Może Deana mogłaby to zrobić albo zna kogoś, kto umie na tyle dobrze pływać, by tam dotrzeć.

– Ale czy możemy komukolwiek zaufać? – spytałem.

– Nie. Poradzę sobie. Muszę przynajmniej spróbować.

Stracharz nie starał się mnie powstrzymać, patrzył w milczeniu, kręcąc głową, jak zdejmuję buty i skarpety, a potem

płaszcz i koszulę. W końcu okręciłem się w pasie srebrnym łańcuchem i przygotowałem do wejścia do wody.

– Masz. – Mistrz wręczył mi nóż, który dobył z torby.

– Wsuń go za pasek. Będzie ci potrzebny, by uwolnić Billa. I weź też to – dodał, podając mi manierkę z wodą.

– Mam jeszcze coś, co może pomóc... – dodała Alice. Wyciągnęła z kieszeni spódnicy skórzaną sakiewkę i rozwiązała cienki sznurek, ukazując ukryty wewnątrz zbiór suszonych ziół. Już wcześniej z ich pomocą z powodzeniem leczyła ludzi, kiedyś pomogła mi wyleczyć sparzoną dłoń. Ale nigdy nie widziałem u niej tak wielu różnych odmian. Najwyraźniej, choć o tym nie wiedziałem, Alice kompletowała zieleń i wzbogacała swą leczniczą wiedzę.

Podawała mi liść.

– Wsuń mu kawałek pod język. To go powinno ocucić – jeśli nie jest zbyt osłabiony.

Stracharz przez moment przyglądał jej się groźnie, potem skinął głową. Schowałem zatem liść do kieszeni portek oraz przywiązałem nóż oraz manierkę do paska.

– I uważaj na siebie, chłopcze – ostrzegł mój mistrz. – To niebezpieczne. Jeśli żywisz choćby cień wątpliwości, lepiej nie próbuj. Nikt nie będzie miał do ciebie pretensji.

Podziękowałem skinieniem głowy i ruszyłem po schodach. Woda była zimna, zaparła mi dech. Kiedy jednak sięgnęła piersi, poczułem się lepiej. Posyłając Alice słaby uśmiech, odpłynąłem od schodów, zaczerpnąłem głęboko powietrza i spróbowałem zanurkować do wylotu podwodnego tunelu.

Nie zdołałem jednak do niego dotrzeć. Woda stawiała opór i wyrzuciła mnie na powierzchnię. Albo niewłaściwie wykonywałem ruchy, których nauczył mnie Arkwright, albo po prostu zabrakło mi sił. Znów odetchnąłem głęboko i spróbowałem. Chwilę później wynurzyłem się z parsknięciem, czując się jak dureń. Nigdy nie zdołaj uwolnić Arkwrighta. Będziemy jednak musieli poprosić o pomoc Deaną.

Popłynąłem z powrotem i pod stopami poczułem schody.

Wówczas jednak nagle przypomniałem sobie coś, co powiedział Arkwright:

„Kiedy nurek chce zanurzyć się głęboko, najłatwiej czyni to, trzymając duży kamień, by duży ciężar ściągnął go na dno.”

– Alice, pobiegnij na brzeg i przynieś mi dwa najcięższe kamienie, jakie udźwigniesz! – zawołałem.

Wraz ze stracharzem spojrzeli na mnie pytająco.

– Ciężar w obu dłoniach pociągnie mnie na dno. Wówczas będę mógł wpłynąć do tunelu.

Alice wróciła za niecałe pięć minut z dwoma ciężkimi kamieniami. Przyciskając je do piersi, znów zszedłem po schodach, a gdy woda sięgnęła mi pasa, odetchnąłem głęboko i skoczyłem naprzód.

Tafla zbiornika zamknęła mi się nad głową, opadłem szybko w mrok. Tunel leżał prosto przede mną, toteż opuściłem kamienie i wykonując nogami żabie ruchy, wpłynąłem do niego, ocierając ramię o kamień. Po dwóch kolejnych wymachach ogarnęła mnie nieprzenikniona ciemność. Zacząłem panikować. A jeśli się myliliśmy i to przejście nie wiodło jednak do sąsiedniego budynku?

Próbowałem poruszać rękami, tak jak uczył mnie Arkwright, lecz tunel był zbyt wąski, więc paskudnie otarłem sobie łokcie. Ogarnęła mnie desperacja, sądziłem, że się uduszę; raz po raz odpychałem się stopami, czując narastający ucisk w piersi. Próbowałem się uspokoić. Na powierzchni potrafiłem znacznie dłużej wstrzymać oddech. Co za różnica? Póki nie wpadnę w panikę, nic mi nie będzie.

Kolejne dwa ruchy. Z ulgą wydostałem się z tunelu i zacząłem wznosić. Otaczająca mnie woda nieco pojaśniała. Miałem wrażenie czegoś wielkiego po prawej, lecz w następnej sekundzie moja głowa wynurzyła się, a wówczas wypuściłem wstrzymywany oddech, wciągając w płuca dwa cudowne hausty powietrza. Wymachując rękami i nogami, zawisłem w miejscu. W wieży było ciemno, lecz patrząc ku górze, ujrzałem cztery wąskie okna. Trzy ledwo dostrzegłem, czwarte jaśniało w blasku księżyca. Miałem nadzieję,

że moje oczy szybko przywykną do ciemności i zdołam coś zobaczyć w owym mizernym świetle.

Zamachnąłem się parę razy, aż wreszcie uderzyłem palcami stopy o kamienne schody. W chwilę później stałem już na posadzce, ociekałem wodą i nie poruszałem się, czekając, aż wzrok przywyknie do ciemności. Po chwili wewnątrz wieży wyostrzyło się. Teraz widziałem leżący pod ścianą bezkształtny tłumok. To musiał być Arkwright. Zrobiłem trzy ostrożne kroki w jego stronę wówczas jednak wydało mi się, że słyszę dobiegający z góry pomruk głosów. Zdumiony uniosłem wzrok ku oknu.

– Tom! – zawołał ktoś.

To był głos Alice. Wiedziałem, że stanęła na ramionach stracharza i wspięła się do okna po gargulcach.

– Wszystko w porządku? – spytała.

– Nic mi nie jest, Alice, jak dotąd wszystko dobrze. Chyba go znalazłem.

– Mam coś dla ciebie! – zawołała Alice. – Świecę. Spróbuj ją złapać. Gotów?

W następnej chwili świeca leciała już ku mnie. Postąpiłem dwa szybkie kroki, usiłowałem ją złapać, lecz chybiłem. Upadła na ziemię, ale mimo mroku wkrótce ją znalazłem. Podniosłem i spojrzałem w stronę okna.

– Teraz rzucam ci hubkę – zawołała. – Nie upuść jej, Tom. Nie chciałabym, żeby się zniszczyła.

Ja też nie chciałem. Wiele dla mnie znaczyła, bo był to pożegnalny prezent od taty, kiedy opuściłem dom, aby zostać uczniem stracharza. Pamiątka rodzinna.

Bardziej wyczułem, niż zobaczyłem, jak spada ku mnie, w jakiś sposób jednak udało mi się ją złapać. Po minucie podpaliłem hubkę, a od niej świecę. Schowałem bezpiecznie pudełeczko do kieszeni i podszedłem do Arkwrighta. Teraz widziałem jego twarz, ale czy był cały i zdrowy? Czy wciąż żył?

– To on – zawołałem do Alice i stracharza. – Nie wygląda za dobrze, ale spróbuję przeciągnąć go przez tunel.

– Świetnie – odkrzyknęła Alice. – Dobra robota, zobaczymy się w drugiej wieży.

Usłyszałem, jak odchodzą, lecz w tym momencie coś sprawiło, że zerknąłem w stronę wody. Była przejrzysta i podobnie jak w sąsiedniej wieży sięgałem wzrokiem aż do dna. Teraz uświadomiłem sobie, co dostrzegłem wynurzając się na powierzchnię. To był drugi tunel. Ale dokąd prowadził? Do jeziora? Przerażająca myśl, bo oznaczało to, że do wieży wiodła jeszcze inna droga. Wodna wiedźma mogłaby dostać się do mnie, omijając stracharza i Alice.

I było coś jeszcze. Ku memu zdumieniu powierzchnia wody nagle pojaśniała i zaczął pojawiać się na niej obraz. Ktoś używał lustra, by nawiązać ze mną kontakt. Czy to mogła być Alice? Czy wymknęła się stracharzowi, by to zrobić? Oczywiście, nie musiało to być lustro. To samo można osiągnąć za pomocą powierzchni kałuży, stawu bądź jeziora. Za chwilę przekonałem się, że to nie Alice i serce ścisnęło mi się ze strachu.

Przedemną wyrósł obraz wiedźmy zabójczynie...

Oprócz szala okręconego luźno wokół szyi, Grimalkin wyglądała dokładnie tak samo, jak podczas naszego ostatniego spotkania – ten sam krótki, czarny kaftan przewiązany w pasie i spódnica, rozdzielona i przypięta ciasno do ud. Jej smukłe ciało opinały skórzane paski z niezliczonymi pochwami kryjącymi w sobie morderczą broń.

Pełen lęku wpatrywałem się w pewien przedmiot: nożyce, za pomocą których torturowała pokonanych wrogów. Ostre narzędzie, przecinające kość i ciało. Ostatnim razem oszukałem ją i zraniłem, udając, że się poddam. Przerzuciłem kij z lewej dłoni do prawej, tak jak nauczył mnie stracharz. Lecz przy następnym spotkaniu nie nabiorę jej tak łatwo. Wiedziała już, do czego jestem zdolny.

Spojrzałem na naszyjnik z ludzkich kości, okalający jej szyję – z kości upolowanych ofiar, pokonanych i zamęczonych. Żyła po to, by walczyć, uwielbiała przelew krwi. Ponoć kierowała się własnym kodeksem honorowym i wołała trudną walkę, nigdy nie próbowała

zwyciężyć podstępem. Ja jednak ją oszukałem. W obawie o własne życie zachowałem się w sposób zasługujący na pogardę. Lecz ku memu ogromnemu zdumieniu uśmiechnęła się do mnie i pochyliła naprzód. Jej usta ją otwarły i powierzchnię wody pokryła mgła. Używała lustra i zamierzała coś na nim napisać. Co takiego? Groźbę? Ostrzeżenie, co zamierza ze mną zrobić przy następnym spotkaniu?

Uciekaj szybko. Wkrótce nasi wrogowie wejdą do tunelu od strony jeziora!

Oszołomiony, wpatrywałem się w wiadomość. Dlaczego Grimalkin mnie ostrzegała? Czy nie ucieszyłaby się, widząc, jak czarownice chwytają mnie i zabijają? Co miała na myśli, pisząc „nasi wrogowie”. Wodne wiedźmy? Czy to jakiś podstęp? Zapłata za moje oszukaństwo?

Obraz rozplynął się i zniknął. Byłem tym wszystkim zdumiony, niezależnie jednak od tego, czy mówiła prawni czy nie, nadal musiałem uratować Arkwrighta.

Nie miałem czasu do stracenia. Postawiwszy zatem świecę na kamiennych płytach, ukląknąłem obok skulonej postaci. Po prawicy więźnia stał dzbanek, do połowy wypełniony wodą. Ktoś musiał odwiedzać związanego stracharza, utrzymując go przy życiu dla Morweny. Nachyliłem się bliżej i usłyszałem szybki, płytki oddech. Zawołałem cicho jego imię. Jęknął, lecz nie otworzył oczu. Dobywszy zatem noża zza pasa, zacząłem przecinać krępujące go więzy: najpierw uwolniłem stopy, potem dłonie.

Następnie spróbowałem rozetrzeć jego ręce i twarz by go ocucić. Oczy Arkwrighta nadal jednak pozostawały zamknięte. Uniosłem manierkę z wodą i wlałem mu odrobinę do ust. Zakrztusił się, ale zdołał przełknąć parę łyków. Wówczas odłamałem kawałek liścia, który dała mi Alice, i wsunąłem mu go pod język. W końcu ułożyłem go płasko na ziemi na boku tak, by było mu wygodniej. Dopiero wtedy zauważyłem ślady na szyi. Było ich trzy – wielkie żółte strupy, spod jednego wciąż sączył się płyn. Nigdy nie widziałem niczego podobnego. I wtedy przypomniałem sobie, co



opowiadał mi o skeltach. Zastanawiałem się, czy jeden z nich nie pożywał się z jego szyi. Czarownice mogły chcieć go wykorzystać w swoich rytuałach.

Na razie nic więcej nie mogłem zrobić, toteż, przywiązawszy z powrotem do pasa manierkę, usiadłem obok podpierając głowę rękami, i spróbowałem się zastanowić. Uświadomiłem sobie, że to dopiero początek moich problemów. Nie miałem już ciężkich kamieni, które pomogłyby mi opaść szybko do wylotu tunelu. Czy zdołam tam dopłynąć? Wcześniej mi się nie udało. Arkwright był bardzo silnym pływakiem, w normalnych okolicznościach, bez wątpienia pociągnąłby mnie za sobą. Ale wyglądał gorzej, niż się spodziewałem. Znacznie gorzej, jak miałem go zabrać w bezpieczne miejsce? W tym momencie mój wzrok powędrował ku szerokiej szczelinie w przeciwległej ścianie, tej, którą zauważyłem wcześniej z góry. Wieżę zbudowano z kamiennych bloków, zarówno nad, jak i pod ziemią. Jeśli jeden z nich pękł i zdołam go wydłubać, może wystarczy, by ściągnąć nas obu do wylotu tunelu. Czy dam radę wydostać głaz? Warto spróbować. Zabrałem zatem świecę i poszedłem obejrzeć z bliska szczelinę.

Pionowe pęknięcie okazało się większe, niż sądziłem: przecinało co najmniej trzy kamienie, toteż, odstawivszy na bok świecę, zacząłem pracować nad najbardziej obiecującym, tkwiącym dwie stopy nad podłogą. Kołysać go w przód i w tył, zdołałem jeszcze bardziej go obozować i wkrótce wysunąłem częściowo głaz z muru.

Zorientowałem się, że Arkwright zaczyna się poruszać.

Powoli usiadł i zamrugał w blasku świecy, potem zmarszczył brwi i wyciągnął coś z ust. To był liść, który wsunąłem mu pod język.

– Alice mi go dała. To on pana ocucił...

– To znaczy, że przepłynąłeś do mnie tunelem? – Spytał.

Przytaknąłem.

– W takim razie obaj powinniśmy być wdzięczni, że wrzuciłem cię wtedy do kanału – rzekł z lekkim uśmiechem. Powoli wracały mu siły.

– Jak się pan czuje?

– Okropnie, ale nie ma czasu do stracenia. Kto wie, co wynurzy się jeszcze z tych czeluści. Musimy płynąć z powrotem. W normalnych warunkach puściłbym cię pierwszego, ale jestem słaby jak kocię i lepiej będzie, jeśli spróbuję, póki jeszcze mogę. Odlicz do dziesięciu, a potem idź za mną.

To rzekłszy, Arkwright podszedł chwiejnie na skraj wody, zaczerpnął głęboko powietrza i zanurkował z cichym pluskiem. Ciężar ciała pociągnął go w stronę wylotu.

Wbijając wzrok w wodę poruszoną jego skokiem, patrzyłem, jak odpycha się mocno i znika w tunelu. Po sekundzie straciłem mężczyznę z oczu. Nawet osłabiony – pływał znacznie lepiej ode mnie.

Zabrałem nóż i wsunąłem go za pasek, potem znów obwiązałem się srebrnym łańcuchem. Dam mu jeszcze dziesięć sekund i popłynę za nim. Pomyślałem o hubce w kieszeni. Woda nie zrobi jej dobrze, ale nie mogłem, ot tak, jej zostawić. Nadal patrzyłem w wodę, na której powoli wygasały zmarszczki i jej powierzchnia znów stała się gładka jak szkło, odbijając moją twarz. Właśnie miałem wskoczyć, przyciskając do piersi odłamek kamienia, gdy zdrygnąłem się ze zgrozy. Coś wynurzało się z drugiego tunelu – tego wiodącego do jeziora.

## **ROZDZIAŁ 25**

### **GRIMALKIN**

Postać wznosiła się szybko i ze zbiornika wyłoniła się kobieca głowa. Jej oczy spojrzały wprost w moje, z włosów ściekała woda. Nie była to jednak wodna wiedźma, ale Grimalkin! Cofnąłem się szybko dwa kroki, ona jednak nawet nie spróbowała wyskoczyć z wody i zaatakować.

– Nie musisz się mnie bać, dziecko. Nie przychodzę po ciebie.

Dziś w nocy szukam kogoś innego.

– Kogo? – spytałem. – Mojego mistrza?

Pokręciła głową i uśmiechnęła się ponuro, unosząc się w wodzie.

– Dziś poluję na córkę Diabła, Morwenę.

Spojrzałem na nią z niedowierzaniem. Czyżby próbowała mnie nabrać? Ostatecznie, ja ją oszukałem. Może uznała, że jestem nie lepszy od insekta, którego należy zmiażdżyć wszelkimi dostępnymi metodami. Z drugiej strony, mogła mówić prawdę. Klany z Pendle często walczyły ze sobą, czarownica przeciw czarownicy. Może walczyły też z wiedźmami żyjącymi w innych częściach Hrabstwa?

– Czy Morwena jest wrogiem Malkinów? – spytałem.

– To córka Złego, a ja przysięgam mu wrogość. Dlatego musi zginąć.

– Byłaś przecież na wzgórzu Pendle w noc, gdy klany sprowadziły go przez portal – powiedziałem oskarżycielsko. – Jak może być twoim wrogiem?

Grimalkin uśmiechnęła się, ukazując szpiczaste zęby.

– Nie pamiętasz, jak trudno było zjednoczyć w tym celu klany? – przypomniała mi. – Malkinowie, Deane'owie i Mouldheelowie bardzo rzadko ze sobą współpracują. I nawet wtedy w każdym z klanów panowała niezgoda. Niektórzy bali się, że po przejściu na ten świat przez portal, Zły okaże się zbyt silny, by nad nim panować. I w istocie tak się stało. Zażądał, byśmy mu służyli. Rozkazał, żebyśmy poddali się jego woli.

Podczas sabatu Wszystkich Świętych Zły pojawił się w swym złowieszczym majestacie tym, którzy przysięgli mu posłuszeństwo. Ale niektórzy się nie zjawili. Ja zaliczam się do grona tych, którzy nigdy przed nim nie uklękną. Teraz klany są podzielone jak nigdy przedtem. Nie tylko walczą ze swymi rywalami. Malkinowie walczą z Malkinami, Deane'owie z Deane'ami. Mrok toczy wojnę sam ze sobą. W tej chwili wiedźmy wpływają do tunelu. Wiedzą, że tu jesteś. Zawrócę i stawię im czoło, ale szybko bierz nogi za pas – niekoniecznie zdołam powstrzymać wszystkie...

To rzekłszy, zanurzyła się z powrotem i zniknęła w tunelu

wiodącym do jeziora.

Nie wiedziałem, czy mówiła prawdę, lecz nie zamierzałem czekać – musiałem uciekać i to już! Znów chwyciłem kamień, przycisnąłem go do piersi, odetchnąłem głęboko i wskoczyłem do wody. Rozległ się ogłuszający plusk, zacząłem opadać szybko. W chwili gdy wypuściłem ciężar i odepchnąłem się w mrok, dostrzegłem, jak coś wypływa z drugiego tunelu. Wodna wiedźma? Czy Grimalkin?

Przeprawa przez ciemny tunel tym razem wydawała mi się o wiele łatwiejsza. Przynajmniej wiedziałem na pewno, że prowadzi do sąsiedniej wieży i że nie znajdę się w ślepych zaułku, uwięziony w ciemności. Woda przede mną zaczęła jaśnieć, dotarłem już prawie do wylotu tunelu. Wystarczy jeszcze jeden ruch nóg. Wówczas coś złapało mnie za kostkę.

Kopnąłem ponownie, próbując się wyrwać. Uchwyt zacisnął się, poczułem, jak coś wciąga mnie z powrotem. Miałem wrażenie, że zaraz pękną mi płuca. Czy to Grimalkin zamierzała się zemścić? Jeśli złapała mnie wodna wiedźma, utonę, a ona wysysie mi krew. Tak właśnie ginęły ich ofiary. Osłabione. Niezdolne do walki. Z wodą wpływającą do płuc. Grimalkin po prostu poderznęłaby mi gardło.

Wyciągnąłem z pasa nóż i spróbowałem się uspokoić. Nie walcz. Pozwól jej się pociągnąć. Zaczekaj, aż nadarzy się sposobność...

Przez ramię dostrzegłem otwarte szczęki, wielkie, ostre kły, gotowe do ugryzienia. To była wodna wiedźma! Uderzyłem zatem nożem, kierując pchnięcie w stronę drapieżnej twarzy. Woda utrudniła zadanie ciosu, spowalniając rękę, ale przecież ostrze dotarło do celu, więc wbiłem je najsilniej, jak potrafiłem. Przez sekundę nic się nie działo. Potem ucisk kostki zniknął. Za sobą dostrzegłem dwie zmagające się postaci. Ciało jednej z nich oplatały skórzane pasy, zdobiły pochwy i ostrza.

Pojąłem zatem, że widzę Grimalkin. Odwróciłem się gwałtownie i wyrwałem z tunelu, płynąc szybko w górę. Gdy się

wynurzyłem, spróbowałem krzyknąć ostrzegawczo, ale jedynie rozkasłałem się, plując wodą. Stracharz, Alice i Arkwright patrzyli na mnie niespokojnie. W gardle Szpon wzbierał niski warkot. Mój mistrz uniósł kij w gotowości, z ostrzem skierowanym w wodę. Alice zbiegła po schodach i złapała mnie za prawą rękę, pomagając wyjść. Po sekundzie znalazłem się na kamiennych płytach, nadal ściskając w dłoni nóż. Obejrzałem się. W wodzie ujrzałem krew, wypływającą ciemnymi wstęgami z wylotu tunelu.

– Wiedzma! – krzyknąłem w końcu. – W wodzie jest wiedźma! Do wieży prowadzi drugi podziemny tunel z jeziora!

Wpatrywaliśmy się w przejrzystą toń, ale czarownica się nie pokazała.

– Jesteś ranny, chłopcze? – spytał stracharz, przenosząc nerwowo wzrok z wody na mnie i z powrotem.

– To nie moja krew – odparłem – tylko jej. Ale wiem może być więcej...

Ubrałem się szybko i naciągnąłem buty. Potem wyszliśmy z wieży, a stracharz zamknął za nami drzwi na klucz.

– To je powinno zatrzymać – oznajmił, chowając klucz do kieszeni. – Bardzo wątpię, by posiadały klucz do tego zamka. Z pewnością więźniów sprowadzali do wieży ich ludzcy pomagierzy, stąd przeciągano ofiary tunelem łącznikowym. Ten od strony jeziora się nie nadaje, bo ludzie nie przeżyliby tak długo pod wodą.

– Bez wątplenia masz rację – zgodził się Arkwright. – Ja byłem nieprzytomny dopóty, dopóki nie ocknąłem się w drugiej wieży.

Ile sił w nogach pospieszyliśmy do łodzi, lecz Arkwright, bardzo osłabiony, opóźniał nasz marsz, bo musiał zatrzymywać się co chwilę, żeby złapać oddech. W każdym momencie spodziewaliśmy się ataku. Szpon krążyła wokół, gotowa do walki. W końcu dotarliśmy do brzegu, gdzie czekała na nas Deana Beck. Z początku uznała, że będzie musiała obrócić dwa razy, ale stracharz kategorycznie odmówił. Łódź zanurzyła się niebezpiecznie głęboko, lecz dotarliśmy cało i zdrowo na drugi brzeg.

– Jeśli chcecie, możecie zanoć w moim domku –

zapropnowała Deana.

– Dziękujemy za propozycję, ale i tak dość już zrobiłaś – odrzekł stracharz. – Nie, jak najszybciej musimy ruszyć w drogę.

Przewoźnik nazwał Deanę Beck Durną Deana, choć mnie wydawała się równie rozsądna, jak każda znana mi kobieta. Mówiąc „durna” miał na myśli „zbyt odważna”. Ryzykowała własnym życiem, przewożąc nas na wyspę Belle. Gdyby czarownice dowiedziały się, że nam pomogła, jej dni na tej ziemi byłyby policzone.

\*

Podróż na południe zabrała nam sporo czasu, lecz atak, którego się lękaliśmy, nie nastąpił. Nie wiedziałem, jak wiele czarownic wpłynęło do tunelu od strony jeziora, wszelako albo zabiłem, albo też ciężko zraniłem tę, która złapała mnie za kostkę. Być może Grimalkin wytlukła resztę – a przynajmniej zatrzymała, dając nam szansę ucieczki.

Tuż przed zmierzchem zatrzymaliśmy się wśród drzew. Oddaliliśmy się już mocno od jeziora i zagrożenie ze strony wodnych wiedźm zmalało.

Przekąsiwszy kawałek sera z zapasów stracharza. Arkwright natychmiast zasnął głęboko. Był wyczerpany po wszystkim, co przecierpiał, a marsz na bosaka jedynie pogarszał sprawę. Miał blade policzki i wychudzoną twarz, oddychał powoli i spokojnie.

Alice dotknęła palcami jego czoła.

– Biorąc pod uwagę wszystko, co przeszedł, nie jest zbyt wychłodzony. W ukąszenia na szyi może się jednak wdać zakażenie. – Spojrzała na stracharza. – Mam się tym zająć?

– Jeśli sądzisz, że zdołasz mu pomóc, oczywiście, zajmij się – odparł, widziałem jednak, że obserwuje ją bardzo uważnie.

Alice wyciągnęła rękę po manierkę z wodą, a mój mistrz ją oddał. Z sakiewki wyciągnęła mały kawałek liścia – szczątek zioła, którego nie poznałem – zwilżyła go i przycisnęła do szyi Arkwrighta, zakrywając rany.

– Lizzie cię tego nauczyła? – spytał stracharz.

– Tylko po części – odparła. – Ale kiedy zatrzymałam się na farmie, mama Toma też nauczyła mnie mnóstwa rzeczy.

Stracharz pokiwał głową z aprobatą, słysząc tę odpowiedź.

W ciszy, która zapadła, postanowiłem opowiedzieć mu o Grimalkin. Wiedziałem, że nie spodoba mu się fakt, iż wmieszała się w nasze sprawy. Zastanawiałem się też, co o tym, myśli.

– Panie Gregory – zacząłem. – Jest coś, co muszę panu powiedzieć. Grimalkin użyła lustra, by mnie ostrzec Przed czarownicami. Potem wynurzyła się z wody i rozmawiała ze mną. Walczyła nawet z wiedźmami, aby pomóc mi uciec...

Stracharz spojrział na mnie ze zdumieniem.

– Znowu lustra? Kiedy to było, chłopcze?

– W drugiej wieży. Zobaczyłem jej twarz na powierzchni wody. Powiedziała coś dziwnego – że wodne wiedźmy to „nasi wrogowie”.

– Nigdy nie pozwolę sobie na stwierdzenie, że cokolwiek mogłoby mnie łączyć z mrokiem. – Stracharz podrapał się po brodzie. – Ale skoro klany z Pendle toczą ze sobą wojnę, być może obejmuje ona także wodne wiedźmy z północy. Nie pojmuję jednak, czemu Grimalkin chciałaby ci pomóc. Po tym, co zrobiłeś podczas waszego ostatniego spotkania, myślałbym raczej, że pragnie twojej śmierci!

– Jeśli jednak naprawdę jest po naszej stronie, to może nas wesprzeć. A potrzebujemy wszelkiej możliwej pomocy! – wtrąciłem.

Stracharz stanowczo pokręcił głową.

– Bez wątpienia, spory między czarownicami mogą je tylko osłabić i wspomóc naszą sprawę. Powtarzam ci jednak, iż nie możemy się sprzymierzać z żadnym ich klanem. Niewykluczone, że Zły usiłuje cię skaptować, powoli przeciągnąć na stronę mroku, tak nieznacznie i stopniowo, że sam nie zorientujesz się, co się święci-

– Nigdy nie będę służył mrokowi! – odparłem gniewnie.

– Nie bądź taki pewien, chłopcze – ciągnął stracharz. – Nawet twoja własna matka służyła kiedyś mrokowi, pamiętaj o tym. To może też spotkać ciebie.

Musiałem ugryźć się w język, by nie wybuchnąć gniewem.

Cisza się przeciągała. Stracharz patrzył na mnie uważnie.

– Połknąłeś język, chłopcze? A może się dąsasz? Nie potrafisz znieść kilku prostych prawd?

Wzruszyłem ramionami.

– Nie mogę uwierzyć, że sądzi pan, iż mógłbym przejść na stronę mroku. Myślałem, że zna mnie pan lepiej!

– Po prostu martwię się o ciebie, chłopcze, to wszystko. Istnieją rozmaite warianty, więc należy każdy przewidywać, by sprostać najgorszemu: że dasz się sprowadzić na złą drogę. Mówię ci to teraz i nie życzę sobie, byś kiedykolwiek o tym zapomniał. Nigdy nie miej przede mną tajemnic. Opowiadaj mi wszystko, nieważne, jak źle według ciebie mogę to przyjąć. Czy wyrażam się jasno? Wszystko! Żyjemy w niebezpiecznych czasach i tylko mnie możesz w pełni zaufać – znacząco spojrział na Alice. – Zrozumiałeś?

Widziałem, jak Alice wpija wzrok w moją twarz. Byłem pewien, iż zastanawia się, czy mu powiem, że szykowała się do użycia słoja krwi do powstrzymaj Złego. Gdyby stracharz się dowiedział, odprawiłby ją albo zrobił coś jeszcze gorszego. Mógłby ją uznać za wroga. Czarownice więził w jamach, Alice raz o mało nie podzieliła ich losu.

Wiedziałem, że wiele zależy od mojej odpowiedzi Stracharz był moim mistrzem, ale Alice przyjaciółką i potężną sojuszniczką w walce z mrokiem.

– I co? – spytał stracharz.

– Rozumiem – odparłem.

– To dobrze, chłopcze.

Pokiwał głową, ale nie mówił nic więcej i rozmowa dobiegła końca. Ustaliliśmy, że na zmianę będziemy pełnić wartę, wypatrując niebezpieczeństwa. Arkwright spał smacznie, toteż postanowiliśmy spędzić w tym miejscu całą noc.

Lecz ja spałem niespokojnie. To, co zrobiłem, napełniło mnie lękiem i niepewnością. Tato wychował mnie na uczciwego, prawdomównego człowieka, ale mama, choć nieprzyjaciółka mroku, nakazała Alice, by użyła wszystkiego, byle tylko uchronić



mnie przed Złym. Wszystkiego...

## ROZDZIAŁ 26

### POTWORNOCĆ

Mimo niebezpieczeństwa grożącego ze strony mroku nie mogliśmy tracić sił, toteż o świcie, przed podjęciem wędrówki na południe, zjedliśmy na śniadanie króliki złapane i przyrządzone przez Alice. Choć Arkwright czuł się nieco lepiej, nadal maszerowaliśmy powoli, a dodatkowo musieliśmy nadłożyć drogi i odwiedzić Cartmel, by kupić mu nową parę butów.

Kiedy w końcu dotarliśmy na wybrzeże, czekaliśmy bardzo długo, aż zacznie się odpływ. Stracharz dotrzymał obietnicy złożonej pustelnikowi i oprócz normalnej zapłaty wręczył przewodnikowi trzy srebrne monety na fundusz pomocy rodzinom topielców.

O zmierzchu dotarliśmy do młyna. Lecz na skraju fosy Szpon ostrzegła, że coś jest nie tak. Jej sierść zjeżyła się, zaczęła warczeć. Potem Alice trzy razy pociągnęła nosem i odwróciła się do mnie zaniepokojona.

– Wyczuwam coś paskudnego. To mi się nie podoba, Tom!

Arkwright spojrział na fosę, marszcząc brwi. Potem ukląkł, zanurzył palec wskazujący w ciemnej wodzie i na moment przyłożył go do ust.

– Stężenie soli w fosie jest bardzo wysokie. Nic z mroku nie mogło się przez nią przeprawić. Może coś się wydostało.

Przypomniałem sobie wodną wiedźmę i skelta, uwięzionych w jamach pod domem. Czyżby uciekli?

– Wsypałem do fosy pięć baryłek soli – poinformowałem go. – Ale nie dosypałem nic do jam.

– Mimo to, młody Wardzie, powinno jej być dosyć, by pozostali potulni. Jeśli coś się wyrwało, musiało mieć pomoc.

– Owszem – zgodził się stracharz. – A twoja fosa nie powstrzymałaby najpotężniejszego stwora z mroku – Złego we własnej osobie!

Arkwright przytaknął i ruszył pierwszy, we trójkę podążaliśmy tuż za nim. Poprowadził nas przez fosę i obok domu, w stronę koła, Szpon biegła mu przy nodze. Nagle zatrzymał się. Na ścieżce, twarzą do ziemi, leżał trup. Arkwright obrócił go nowym butem.

Mężczyzna miał rozszarpane gardło, prawie nie dostrzegłem jednak krwi. Ktoś ją wyssał, najpewniej wodna wiedźma. Potem jednak spojrzałem w twarz ofiary, zastyga w wyrazie grozy i bólu. Trup miał otwarte usta, ujrzałem pożółkłe pieńki zębów. To był werbownik – sierżant, który pierwszy uciekł z domu i ruszył ku mnie, po czym zmienił zdanie na widok psów.

– Oto jeden z bandy dezertersów, z którą miałem na pieńku na północ od zatoki – poinformował stracharza Arkwright. – Wykrzykiwali groźby, jak wówczas sądziłem, puste. Mówili, że mnie znajdą i załatwią. Cóż, ten w gruncie rzeczy sam dał się załatwić. Znalazł się w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie i tyle.

Ruszył dalej i zatrzymał się na werandzie. Usłyszałem głośne przekleństwo. Kiedy się z nim zrównaliśmy, zobaczyłem, dlaczego. Drzwi frontowe wyrwano z zawiasów. Mogła to zrobić wodna wiedźma.

– Najpierw trzeba przeszukać dom, by sprawdzić, czy nic się w nim nikt nie czai. To nie dezertersów musimy się obawiać, lecz tego, co ich zabiło – oznajmił Arkwright.

Zapalił dwie świece, jedną wręczył Alice. Mój mistrz zostawił torbę za drzwiami i przeszedł ostrożnie do pierwszego pomieszczenia, ściskając w prawej dłoni laskę, w lewej srebrny łańcuch. Arkwright, niosący drugą świecę, był bezbronny, podobnie Alice. Ja jednak uniosłem swój kij.

Kiedy ruszyliśmy naprzód po nagich deskach, Szpon zaczęła warczeć. Spodziewałem się, że w każdej chwili coś może wyskoczyć na nas z ciemności. Tak się nie stało, lecz widok, jaki ujrzelśmy,

zatrzymał nas natychmiast.

Na podłodze widniały wypalone ślady, w sumie dziewięć, każdy w kształcie rozszczepionego kopyta. Zaczynały się pośrodku pokoju, kończyły tuż przy drzwiach kuchennych. Sugerowały, że Zły zmaterializował się tam, przeszedł dziewięć kroków, a potem znów zniknął. Gdzie zatem był teraz? Poczułem dreszcz mrozący serce. W każdej chwili mógł znów się pojawić.

Nie potrafiliśmy jednak nic na to poradzić, wypadło jedynie ruszyć dalej. Toteż bez słowa, nerwowo, przekroczyliśmy próg kuchni. Tu Arkwright sięgnął ponad zlewem i zdjął z parapetu wielki nóż, który pokazał mi podczas pierwszej lekcji. Drzwi, prowadzące na schody, stały otworem. Czy coś ukryło się w jednej z sypialni?

Polecivszy Szpon, by została w kuchni i pilnowała tyłów, Arkwright poprowadził nas na górę. Stracharz stąpał tuż obok. Podczas gdy oni szukali, zostałem z Alice na podeście, czekając w napięciu oraz słuchając ciężkich gołców rozbrzmiewających w pokojach. I znów nie znaleźli niczego. Po chwili do sprawdzenia pozostało tylko wielkie pomieszczenie na najwyższym piętrze, w którym mieściła się biblioteka Arkwrighta. Gdy tylko tam weszli, Arkwright wydał z siebie donośny, bolesny okrzyk. Sądząc, że został ranny albo że coś go atakuje, pobiegłem na górę, by pomóc.

Kiedy znalazłem się w pokoju, natychmiast zrozumiałem, czemu krzyczał. Trumny jego mamy i taty strącono z koziołków i roztrzaskano. Na podłodze walały się ziemia i kości. A w deskach widniały wypalone ślady kopyt.

Arkwright szalał z bólu i wściekłości, dygocząc od stóp do głów. Stracharz starał się go uspokoić.

– Zły to zrobił – oznajmił mój mistrz. – Zrobił po to, by tobą potrząsnąć. Chce, aby czerwona mgła gniewu zaćmiła twój umysł. Dla dobra nas wszystkich musisz zachować spokój. Kiedy to się skończy, ułożymy jak należy twoich rodziców, na razie jednak musimy sprawdzić jamy.

Arkwright odetchnął głęboko i pokiwał głową. Zostawiliśmy

Szpon w kuchni i zamiast skorzystać z klapy, wyszliśmy na zewnątrz, kierując się do drzwi obok koła.

– Zostań na dworze, chłopcze – wyszeptał stracharz. – Zajmiemy się tym sami z Billem!

Posłuchałem, natomiast Alice pomachała mi i ruszyła za nimi. Nie było ich zaledwie minutę, gdy w ciemności po mej prawej coś błysnęło. Rozległ się głośny, gniewny syk i dwoje złowrogich oczu spojrzało wprost w moje. Patrzyłem z lękiem, jak z cienia wyłania się powoli coś co przypomina nogę olbrzymiego owada.

Noga była szara, z wieloma stawami i bardzo, bardzo długa, należąca do czegoś chudego, lecz potwornego. Po niej pojawiła się druga, a potem głowa. A cóż to była za głowa! Podobnej nie widziałem w najstraszniejszych koszmarach: bardzo wąski pysk, płaski nos, uszy położone wzdłuż kościstej, wydłużonej głowy i wąsko osadzone oczy, patrzące prosto w moje. To był skelt.

Próbowałem krzyknąć, ale nie zdołałem nawet otworzyć ust. Skelt zbliżał się coraz bardziej, ani na moment nie odrywając ode mnie wzroku, i poczułem, jak opuszczają mnie siły. Byłem niczym królik przygwożdżony spojrzeniem drapieżnego gronostaja. Mój umysł nie działał jak należy, ciało zdawało się sparaliżowane.

Wyprostowany, przewyższałby mnie wzrostem. Prócz wąskiej głowy, jego długie ciało składało się z dwóch segmentów, twardych i kanciastych jak u kraba bądź homara i porośniętych glonami, niczym dno łodzi. Ze względu na osiem nóg przypominał jednak bardziej pajaka. Poruszał się z gracją i precyzją, każdemu krokowi towarzyszyło poskrzypywanie stawów.

Nagle skelt śmignął ku mnie, osiem nóg poruszyło się błyskawicznie i wskoczył wprost na mój tułów, wywracając mnie na ziemię. Upadek pozbawił mnie tchu, teraz czułem na sobie ciężar potwora: jego odnóża przyciskały moje ręce i nogi tak, że nie mogłem się ruszyć. Patrzyłem wprost w paskudny, bezzębny pysk, który otworzył się zaledwie kilka cali od mej twarzy. Stwór omiółł mnie chmurą smrodu, gęstego mułu i gnijących liści z zastałych leśnych stawów. Przez otwarty pysk zaczęła wysuwać się długa

rura z przejrzystej białej kości. Przypomniałem sobie słowa Arkwrighta o tym, że skelt nie ma języka: zamiast niego używa kościanej rury, by przebić skórę ofiary i wysssać jej krew.

Coś siłą odchyliło mi głowę, nagle poczułem potworny ból gardła. Ostra rura stercząca z paszczy skelta zmieniła kolor i stała się czerwona. Wysysał moją krew, a ja nic nie mogłem poradzić. Ból narastał. Ile jeszcze wypije? Zaczynałem wpadać w panikę. Może posilać się dalej, póki serce mi nie stanie. W tym momencie usłyszałem tupot biegnących stóp i krzyk przerażenia Alice. Potem rozległ się donośny łoskot, a następnie zgrzyt i chrzęst. Skelt wycofał nagle kościaną rurę z mego gardła i odturlał się na bok.

Paraliż ustąpił. Dźwignąłem się na kolana akurat w chwili, gdy Arkwright ścisnął oburącz zakrwawiony kamień, po czym uniósł go wysoko i uderzył z rozmachem skelta w głowę. Znowu rozległ się chrzęst i trzask, a po nim obrzydliwy, wilgotny dźwięk: całe ciało skelta zadygotało, jego odnóżami wstrząsnął śmiertelny spazm. Potem znieruchomiał, wokół głowy, pękniętej niczym jajko, powoli rozlewała się kałuża krwi oraz innych płynów. Podniosłem się, chcąc podziękować Arkwrightowi, on jednak przemówił pierwszy:

– To bardzo ciekawe stworzenie, młody Wardzie – zauważył cierpko, podczas gdy Alice i stracharz pomagali mi wstać. Dysząc ciężko z wysiłku, położył kamień obok martwego skelta. – I bardzo rzadkie, jak już kiedyś wspominałem. Niewielu ma tyle szczęścia, by obejrzeć go sobie z bliska.

– Och, Tom, nie powinnam cię była zostawiać! – Alice ścisnęła mi rękę. – Myślałam, że skelt wciąż siedzi pod młynem.

– W ostatecznym rozrachunku nic wielkiego się nie stało – zauważył Arkwright. – I możesz podziękować za to Alice, młody Wardzie. Wyczuła, że coś z tobą nie tak. Teraz wracajmy do środka, sprawdźmy drugą jamę.

Tak jak podejrzewaliśmy, wodna wiedźma uciekła – czy, co bardziej prawdopodobne, została uwolniona. Potężna siła rozgięła pręty, w miękkiej ziemi ujrzeliśmy oddalające się ślady błoniastych stóp, mniejsze niż te zostawione przez skelta.

– To bez wątpienia robota Złego – mruknął stracharz. – Lubi przechwalać się swoją siłą.

– Ale gdzie jest teraz wiedźma? – zastanawiał się na głos Arkwright.

Zawołał Szpon, która przeszukała dokładnie ogród; dwaj stracharze podążali tuż za nią, unosząc w gotowości broń.

– Tu jej nie ma, Tom, to pewne – poinformowała Alice. – W przeciwnym razie ja bym ją wywęszyła.

– Nie, jeśli w pobliżu kręci się Zły. – Zadrżałem na wspomnienie Nieprzyjaciela. – Na barce żadne z nas nie podejrzewało, że tuż obok idzie Morwena.

Alice przytaknęła z wystraszoną miną.

– Gdzie mogła ukryć się wiedźma? – spytałem.

– Pewnie uciekła już za fosę, na bagna – odparła Alice. – Stary Nick mógł ją przenieść. Sól go przecież nie powstrzyma, prawda? Jest za silny na takie sztuczki!

Gdy poszukiwania okazały się bezowocne, wycofaliśmy się do kuchni, tam napaliłem w piecu. Ponieważ wciąż groził nam mrok, nie zjedliśmy, ale przynajmniej mogliśmy się ogrzać i na zmianę pełnić straż. Szpon czuwała na dworze, ostrzegłaby nas, gdyby coś się zbliżyło od strony bagien.

– Najlepiej zostawić trupa do rana – zaproponował Arkwright.

– Zgoda, pogrzebiemy go, gdy będziemy mieć możliwość – przytaknął stracharz. – Ilu w sumie było dezertków?

– Pięciu – odparłem.

– Zgaduję, że kiedy przeprawili się przez fosę do ogrodu, wiedźma już była wolna – dodał Arkwright. – Możliwe, że gdy zaatakowała i przyszpiliła ofiarę, reszta uciekła.

Jakiś czas nikt się nie odzywał. Alice siedziała pogrążona w myślach. Mnie samego ogarniał coraz większy niepokój. Gdzieś w ciemności czyhała córka Złego, czekając na swoją szansę. A teraz dołączyła do niej kolejna wodna wiedźma. Jeśli Zły pomógł jej w ucieczce, przenosząc przez fosę, czemu nie miałby tego powtórzyć w drugą stronę? Z łatwością mógłby przynieść je do nas, nie

mówiąc już o tym, że sam mógłby nam złożyć wizytę.

Pozostali przysunęli krzesła do piecyka, rozsiadając się jak najwygodniej. Ja przycupnąłem na kuchennej podłodze, opierając głowę i ramiona o ścianę. Nie było mi zbyt wygodnie, lecz mimo obaw przed atakiem w końcu zdołałem zapaść w płytki sen. Ocknąłem się nagle. Ktoś potrząsał moim ramieniem, i przycisnął stanowczą dłoń do ust.

Uniosłem wzrok i spojrzałem w oczy stracharza, który podniósł mnie bezceremonialnie, wskazując gestem w kąt pomieszczenia. Świece już dogasały i kuchnia pogrążyła się w półmroku. Alice i Arkwright też się przebudzili, siedzieli obok mnie, wpatrzeni w ten sam ciemny kąt, gdzie na naszych oczach działo się coś dziwnego i niesamowitego. Powoli w ciemności zaczęła materializować się postać, najpierw jasnoszara, potem migocząca srebrem. Z każdą chwilą stawała się wyraźniejsza, aż w końcu pojąłem, że patrzę na córkę Złego – o wychudzonej, szkieletowej twarzy, z kanciastym, pozbawionym ciała nosem sterczącym pomiędzy złowrogimi oczami. Lewe powieki spinał odłamek kości, prawe węzowe oko patrzyło na nas okrutnie.

– Dręczy mnie pragnienie! – krzyknęła, odsłaniając drapieżne kły. – Pragnę waszej słodkiej krwi. Ale pozwolę wam przeżyć. Przeżyją wszyscy, prócz jednego. Dajcie mi chłopaka, a reszta będzie mogła odejść wolno!

W kuchni pojawił się tylko obraz, nie prawdziwa czarownica. Choć zdawało się, że stoi niecałe siedem kroków od nas, krzyczała jakby z wielkiej odległości, w tle słyszałem westchnienia wiatru.

– Mój ojciec dobrze wam zapłaci za to, o co proszę! – zawołała głosem zgrzytliwym jak chrzęst kamyków na plaży, przesuwanych przez fale. – Dajcie mi chłopca, a Amelia odnajdzie spokój. To mój ojciec więzi jej duszę, nie pozwala stąd odejść. Jeśli jednak oddacie chłopaka, wypuści ją i oboje z Abrahamem będą mogli wybrać światło. Dajcie mi chłopca, a ich męki dobiegną końca. Wyślijcie go samego na bagna. Przyślijcie go do mnie.

– Wracaj, skąd przyszedłeś, paskudna wiedźmo! – zawołał

stracharz. – Niczego ci nie damy. Niczego prócz śmierci. Słyszysz? To wszystko, co cię tu czeka!

Arkwright nie odezwał się, domyślałem się jednak, że okrutne słowa Morweny musiały zranić go niczym klinga wbita w samo serce. Ponad wszystko pragnął spokoju dla mamy i taty. Choć traktował mnie jak traktował, wierzyłem w niego. Wierzyłem, że służy światłu i będzie dość silny, by oprzeć się każdej pokusie, którą może mu przedstawić córka Złego.

Obraz Morweny jakby zamigotał i rozmazał się. Przyłożyła palec do lewej powieki i jej oko się otwarło. Na szczęście jednak straciło moc, bo jego krwistoczerwony, złowieszczy kolor zmienił się w srebrny.

Teraz zaczęła nucić wysokim, niesamowitym tonem. W jej zaśpiewie drgał rytm, intonacja i rym, każde słowo wibrowało przerażającą mocą. Ale co dokładnie nuciła? Co znaczyły jej słowa? W moich uszach zaśpiew brzmiał jak „Dawna Mowa”, ta, którą porozumiewali się pierwsi ludzie żyjący w Hrabstwie.

Ręce i nogi zaczęły mi ciążyć, czułem jednocześnie dziwne gorąco i chłód. Spróbowałem wstać, nie mogłem. Zbyt późno pojąłem, co robi córka Złego. Owe pradawne słowa zawierały klątwę, stanowiły akt potężnej czarnej magii, pozbawiający nas sił i woli.

Kącikiem oka zauważyłem, że stracharz w jakiś sposób zdołał się podnieść. Rozchylił płaszcz i sięgnął do kieszeni portek. Potem cisnął coś wprost w ową złowieszczą zjawę – coś białego z prawej dłoni, ciemnego z lewej: mieszaninę soli i żelaza, zwykle bardzo skuteczną w walce ze stworami z mroku. Czy jednak zadziała tym razem – skoro nasza nieprzyjaciółka nie była w tym domu obecna ciałem?

Zaśpiew natychmiast ucichł, obraz zniknął równie nagle jak zdmuchnięty płomień świecy. Z gwałtowną ulgą dźwignąłem się chwiejnie, stracharz ze znużeniem pokręcił głową.

– Było blisko – mruknął Arkwright. – Przez chwilę sądziłem, że już z nami koniec.



– Tak, nie przeczę – odparł stracharz. – Nigdy jeszcze nie zetknąłem się z wiedźmą dysponującą równie wielką mocą. Przypuszczam, że siła Morweny pochodzi z mrocznej, diabelskiej krwi krążącej jej w żyłach. Hrabstwo stanie się lepszym miejscem, kiedy ją zabijemy. Na razie jednak przez resztę nocy musimy czuwać. Jeśli powtórzy tę sztuczkę, a tylko jedno z nas nie będzie spało, może jej się udać zabić nas we śnie.

Zrobiliśmy tak, jak radził, najpierw jednak dołożyłem dREW do ognia i zostawiłem drzwiczki pieca otwarte, tak że ciepło wylewało się wprost do kuchni. Zapaliliśmy kolejne dwie świece, aby starczyły nam do rana. Napełniłem też kieszenie solą i żelazem z torby, by mieć w gotowości kolejną broń przeciw mrokowi. Kiedy jednak zajęliśmy miejsca, nikt się nie odzywał. Spojrzałem z ukosa na Alice, ona jednak wbijała wzrok w podłogę, wyraźnie przerażona. Zarówno stracharz, jak i Arkwright mieli ponure, zdeterminowane miny, ale zastanawiałem się, co naprawdę czują. Ostatecznie, kto mógłby cokolwiek zdziałać wobec potęgi Złego? Co do Arkwrighta, zastanawiał się pewnie nad słowami wiedźmy – że mroczna moc jej ojca nie pozwala jej odejść do światła jego nieszczęsnej matki.

Cóż mógł jednak począć? Nic. Zupełnie nic. Jeśli wiedźma mówiła prawdę, ich duchy pozostaną uwięzione we młynie aż do końca świata.

\*

Pierwszą rzeczą, jaka ostrzegła mnie przed niebezpieczeństwem, była cisza. Niezwykle głęboka cisza. Niczego nie słyszałem. Zupełnie niczego. Drugą – fakt, że nie mogłem się ruszyć. Siedziałem na podłodze jak wcześniej, opierając głowę o ścianę. Spróbowałem ją obrócić i spojrzeć na Alice, lecz ciało nie posłuchało. Spróbowałem się odezwać, aby ostrzec pozostałych, ale nie zdołałem nawet otworzyć ust.

Widziałem świecę na podłodze naprzeciwko, stojącą pod ręką stracharza. Chwilę wcześniej migotała, teraz jej płomień trwał bez ruchu. Wyglądał jak wyrzeźbiony z metalu; zamiast rzucać

światło, zdawał się je odbijać. Po lewej ręce miałem piec z otwartymi drzwiami, widziałem płomienie wewnątrz, lecz żaden z nich się nie ruszał. Nagle uświadomiłem sobie, że nie oddycham. W panice spróbowałem zaczerpnąć tchu, lecz bezskutecznie. Jednak nie czułem bólu. Moje ciało nie łaknęło powietrza. Wnętrznosci także wydawały się ciche i nieruchome. Czyżby serce przestało bić? Czy już nie żyłem?

Nagle przypomniałem sobie, że kiedyś już czułem coś podobnego – na barce, którą płynęliśmy do Caster, ze Złym udającym szypra. Wówczas Diabeł manipulował czasem, który płynął zbyt szybko. Teraz było inaczej. Pojąłem dokładnie, co się stało – Zły zatrzymał czas.

Usłyszałem dźwięk dobiegający z najdalszego, mrocznego kąta kuchni: łoskot, a po nim ostry syk. Powtórzył się jeszcze dwukrotnie.

Nagle poczułem swąd spalenizny. Dym z płonącego drewna. Deski podłogi. I ujrzałem, że choć czas się zatrzymał i wszystko w kuchni zastygło nieruchomo, coś się poruszyło. Cóż mogło to być innego, jeśli nie Zły we własnej osobie?

Nie dostrzegałem go jeszcze – był niewidzialny – ale widziałem zbliżające się ku mnie ślady. Za każdym razem, gdy niewidoczna stopa stykała się z podłogą, pozostawiała wypalony kształt rozszczepionego kopyta, który jarzył się czerwienią, a potem ciemniał z głośnym sykiem. Czy ukaże mi się w końcu? Ta myśl przerażała. Grimalkin wspominała, że budząc grozę i zmuszając czarownice do posłuszeństwa, ujawnił się w całym swym majestacie kręgom z Pendle w Noc Wszystkich Świętych. Według stracharza niektórzy twierdzili, że jego prawdziwa postać jest tak przerażająca, iż każdy, kto ją ujrzy, natychmiast padnie trupem. Czy to tylko bajka używana do straszenia dzieci, czy też prawda? Czy i mnie czeka okrutny los?

Coś zaczęło się materializować – nie szare czy srebrne widmo, lecz solidna postać. Nie była to jednak straszliwa zjawia, której się obawiałem. Nieprzyjaciel ponownie przybrał postać Matthew

Gilberta, szypra. Stał teraz przede mną w wysokich butach i kaftanie, dokładnie taki, jakim go poznałem, z tym samym ciepłym, przyjaznym uśmiechem na twarzy.

– Cóż, Tom – powiedział. – Jak ci mówiłem przy naszym ostatnim spotkaniu, różnica między przyjacielem a nieprzyjacielem to tylko trzy litery. Którym z nich zatem mam się stać dla ciebie? Oto wybór, jakiego musisz dokonać w ciągu najbliższych kilku minut. Od tej decyzji zależy twoje własne życie oraz los trójki twoich towarzyszy.

## **ROZDZIAŁ 27**

### **TARGI**

– Jeśli chcesz, możesz poruszyć głową – rzekł z uśmiechem Zły.  
– To ci ułatwi decyzję. Będiesz lepiej widział, a nie pragnę, byś cokolwiek przeoczył. I co powiesz? Przyjaciół czy nieprzyjaciół?

Poczułem szarpnięcie i serce zaczęło walić mi w piersi, wciągnąłem w płuca haust powietrza. Odwróciłem lekko głowę, instynktownie sprawdzając, czy Alice nic się nie stało. Siedziała w ciszy, nieruchomo, lecz oczy miała szeroko otwarte ze strachu. Czyżby także widziała Złego? Jeśli nawet, nadal pozostawała zawieszona w czasie, tak jak stracharz i Arkwright. Tylko Zły i ja mogliśmy się poruszać, czułem się jednak bardzo słabo i wiedziałem, że nie starczy mi sił, by się podnieść. Otworzyłem usta i odkryłem, że mogę mówić. Zwróciłem spojrzenie ku wrogowi, udzielając odpowiedzi:

– Jesteś ucieleśnieniem mroku. Nigdy nie zostaniesz moim przyjacielem.

– Nie bądź tego taki pewien, Tomie. Jesteśmy sobie bliżsi, niż przypuszczasz, znacznie bliżsi. Wierz albo nie, doskonale się rozumiemy. Rozważmy zatem pytanie, nad którym w pewnym momencie swego krótkiego życia zastanawia się każda ludzka

istota. Niektórzy odpowiadają na nie szybko i więcej o nim nie myślą. Inni wierzą, jeszcze inni to sceptycy. Są tacy, którzy rozmyślają nad tym problem, udręczeni, do końca swoich dni. To proste pytanie, Tomie, oto ono: Czy wierzysz w Boga?

Wierzyłem w światło. Co do Boga, nie miałem pewności. Ale mój tato wierzył i może gdzieś w głębi ducha wierzył także stracharz, choć rzadko wspominał o podobnych rzeczach. Z całą pewnością nie wierzył jednak we władcze starca z siwą brodą, bóstwo Kościoła.

– Nie jestem pewien – odparłem szczerze.

– Nie jesteś pewien, Tomie? Czyżby nie chodziło o coś równie oczywistego jak fakt, że posiadasz nos? Czy Bóg pozwoliłby by na świecie istniało tyle zła? – ciągnął Nieprzyjaciół. – Choroby, głód, nędza, wojna, śmierć – to wszystko, na co możecie liczyć wy, nieszczęśni ludzie Czy dobry Bóg pozwoliłby, by wojna trwała dalej? Jasne, że nie. Co oznacza, że po prostu nie może istnieć. Wszystkie te kościoły, wiara oddanych, lecz błędzących wyznawców – i po co? Co z tego mają? Nic! Zupełnie nic! Ich modły trafiają w próżnię, nikt ich nie słucha. Gdybyśmy jednak my zarządzili, razem zmienilibyśmy wszystko i razem sprawili, że świat stałby się lepszy. Co zatem powiesz? Czy pomożesz mi tego dokonać, Tomie? Czy staniesz u mego boku? Razem osiągnęlibyśmy tak wiele!

– Jesteś moim wrogiem – rzekłem. – Nigdy nie mogliśmy współpracować.

Nagle zacząłem dygotać ze strachu. Przypomniałem sobie „pęta”, o których mówił stracharz – ograniczenia, nałożone na moc Złego, o których przeczytał w książkach mamy. Zły chciał, abym mu pomagał, by móc rządzić tu aż do końca świata. Gdyby sam mnie zabił, władałby tylko jeden wiek. Co zatem teraz robi – zabije mnie, bo odmówiłem?

– Czasami bardzo ciężko jest rządzić, Tomie. – Podszedł do mnie krok bliżej. – Czasami trzeba podejmować trudne, bolesne decyzje. Ponieważ odrzucasz moją ofertę, nie pozostawiasz mi

wyboru. Musisz zginąć, bym mógł sprawić, że świat stanie się lepszym miejscem dla całej ludzkości. Moja córka czeka na ciebie na bagnach. Tam właśnie musisz pójść, by ją zabić lub zostać zabitym.

Postanowił zatem wyręczyć się Morweną. Dzięki temu pęta nie zadziałają i Zły wzrośnie w siłę, aż w końcu zawładnie całym światem.

– Miałbym z nią walczyć? – zaprotestowałem. – Nie! Nie wyjdę jej na spotkanie. Niech ona przyjdzie do mnie.

Pomyślałem o Morwenie na bagnach, w miejscu, gdzie była najsilniejsza, o zagrożeniu ze strony krwawego oka. Byłbym bezradny – w ciągu paru sekund przygwoździłaby mnie w miejscu. A potem zabiła, rozszarpując gardło, jak szyprowi.

– Nie ty ustalasz zasady, chłopcze. Wyjdź tam i staw jej czoło, jeśli chcesz, by twoi towarzysze przeżyli – oznajmił Zły. – Mógłbym ich zabić w ciągu sekundy, gdy tak siedzą, bezbronni.

Pochylił się naprzód i położył lekko dłoń na czubku głowy Alice. Następnie rozcapierzył palce. Rękę miał wielką, na moich oczach zdawała się rosnąć. Teraz objęta całą głowę dziewczyny.

– Wystarczy tylko, żebym zacisnął pięść, Tomie, nic więcej i zmiążdżę jej czerep jak skorupkę jaja. Czy mam to zrobić? Chcesz się przekonać, jakie to dla mnie łatwe?

– Nie! Proszę! – krzyknąłem. – Nie rób jej krzywdy. Nie rób krzywdy żadnemu z nich. Pójdę na bagna, pójdę, natychmiast.

Zerwałem się z miejsca, chwyciłem laskę, ruszyłem do drzwi. Tam jednak przystanąłem, oglądając się na Nieprzyjaciela.

A gdybym wysunął ostrze i go zaatakował? Czy miałbym jakieś szanse? Mój postępek niczego by jednak nie dał, dobrze o tym wiedziałem. W chwili, gdy skoczyłbym ku niemu, znów zastygłbym w czasie, równie bezradny jak stracharz, Alice i Arkwright.

Wskazałem ich skinieniem głowy.

– Jeśli przeżyję albo wygram... czy darujesz im życie?

Zły uśmiechnął się.

– Jeśli wygrasz, będą żyli – przynajmniej jakiś czas. Jeżeli

umrzesz, ich także zabiję. Walczysz zatem nie tylko o swoje życie, ale także o los tej trójki.

Wiedziałem, że mam mizerne szanse pokonania córki Złego na bagnach. Co mogły zdziałać mój łańcuch i laska wobec potężnych mocy? A Alice, stracharz i Arkwright zginą wraz ze mną. Istniało jednak coś, co mogłem osiągnąć. Jeszcze coś, za co mogłem zapłacić swoją śmiercią. Warto spróbować...

– I jeszcze jedno – rzekłem. – Daj mi to, a pójde na bagna. Życie jest krótkie, każdy musi kiedyś umrzeć, ale znoszenie mąk po śmierci to rzecz potworna. Mama i tato Arkwrighta dość już wycierpieli – nieważne, czy wygram, czy przegram – wypuścisz duszę Amelii, by oboje mogli odejść do światła?

– Wygrasz albo przegrasz? Ostro się targujesz, Tomie.

– Nie ostrzej niż ty. Chcesz, żebym zginął. Tego właśnie pragniesz. Czy to uczciwe? Przynajmniej daj mi to, o co proszę, bym nie umarł na darmo.

Przez chwilę przyglądał mi się w napięciu, potem jego twarz się odprężyła. Podjął decyzję.

– A zatem niechaj będzie. Wypełnię twoje życzenie.

Nie oglądając się za siebie, wyszedłem z kuchni, przebiegłem przez drugi pokój i wypadłem w noc. Biegając przez ogród, wyczułem zmianę. Na zewnątrz czas płynął normalnie. Ale nie była to dobra noc na wycieczki po bagnach.

Z nieba opadła gęsta mgła: widoczność ograniczała się do dziesięciu kroków. Nad głową dostrzegałem zarys tarczy księżyca, toteż mgła nie sięgała wysoko. Lecz fakt ów nie będzie pomocny na płaskich, rozległych bagnach. Jakże żałowałem, że Szpon mi nie towarzyszy. Założyłem jednak, że zastygła w czasie, podobnie jak pozostali.

Na skraju fosy przystanąłem i odetchnąłem głęboko. Kiedy znajdę się po drugiej stronie, będę musiał stawić czoło córce Złego. Czekala tam na mnie. Ciemność i mgła jeszcze jej sprzyjały. Ostrożnie ruszyłem ku bagnetom. Bardzo żałowałem, że tylko raz ćwiczylem tam polowanie z psami. W przeciwnym razie lepiej

poznałbym kręte dróżki.

Po obu stronach ścieżek czekała głęboka, stojąca woda bądź zdradzieckie trzęsawiska. Widziałem, jak Morwena wyskoczyła z wody niczym łosoś. Teraz musiałem być przygotowany na podobny atak; mógł on nastąpić z każdej strony. Co do broni, miałem kij, drugą ręką sięgnąłem do kieszeni płaszcza, zaciskając palce na srebrnym łańcuchu. Jego dotyk dodał mi otuchy. I wreszcie, miałem też sól i żelazo, mogłem ich jednak użyć w ostateczności, kiedy kij i łańcuch zawiodą i będę miał wolne ręce.

Nagle nad bagniskiem rozległ się niesamowity dźwięk. Był to charakterystyczny krzyk trupiarza, pobratymca wiedźmy. Miała dodatkową parę oczu, szybującą po niebie. Ptak z pewnością już mnie szukał. Bez wątpienia Zły uprzedził córkę, że ku niej zmierzam. Krzyk dobiegał z zachodu, z okolicy jeziora, przy którym spotkałem Morwenę i przy którym zahaczyła moje ucho. Z dostępnych zatem ścieżek wybrałem tę biegnącą najdalej na południe. Nie chciałem spotkać się z wiedźmą nieopodal głębokiej wody.

Mimo śliskiego podłoża przyspieszyłem. Z każdym kolejnym krokiem odczuwałem coraz większy lęk. I nagle ujrzałem coś przed sobą. Na ścieżce leżał trup. Nie chciałem się cofać, toteż podszedłem ostrożnie: podejrzewałem pułapkę. Ale nie: mężczyzna leżący twarzą do ziemi, z przekręconą w lewo głową, był zdecydowanie martwy. Miał rozszarpane gardło, tak jak poprzedni nieboszczyk we młynie. Okrywał go mundur – oto kolejny z bandy werbowników.

Córka Złego mogła ukrywać się w pobliżu, gotowa do ataku, toteż ruszyłem szybko dalej. Szedłem ścieżką najwyżej dwie, trzy minuty, gdy rozległ się kolejny dźwięk. Tym razem dobiegał z naprzeciwka. Co to było? Z pewnością nie trupiarz. Zatrzymałem się, próbując Przeniknąć wzrokiem mgłę. Widziałem tylko wielkie kępy trzciny i niewyraźną linię ścieżki wijącej się pośród sitowia. Znowu zatem ruszyłem naprzód, tym razem wolniej.

Po chwili dziwny odgłos powtórzył się, a ja znowu się

zatrzymałem – zdławiony okrzyk, a po nim bulgot. Brzmiał jak skamlenie cierpiącego. Kogoś, kto dławi się na śmierć. Stawiałem ostrożnie kroki, unosząc w gotowości kij i w końcu zauważyłem niewyraźny kształt na ścieżce. Czyżby ktoś skradał się ku mnie? Po dwóch krokach przekonałem się, że istota się nie porusza. Przypominała długi kłęb szmat. Czy to następny żołnierz? Potem jednak zobaczyłem wyraźniej.

Na ścieżce, z jedną ręką w wodzie, leżała na wznak czarownica. Oczy i usta miała szeroko otwarte: źrenice nie patrzyły na mnie, lecz w niebo. Spomiędzy warg błyskały cztery długie, ostre kły wodnej wiedźmy. Czy to ona uciekła z jamy pod młynem? Była ranna czy nieżywa?

Zawahałem się. Dotarłem już bardzo blisko. A jeśli tylko udawała? Czekala, aż się zbliżę, by mnie pochwycić?

I wtedy z ciemności dobiegł głos, który znałem aż za dobrze.

– Cóż, dziecko, znów się spotykamy!

Kolana ugięły się pode mną. Tuż za ciałem, naprzeciw mnie, stała Grimalkin.

Teraz w końcu się zemści. Może oszczędziła mnie tam, w kaprysie, by móc napawać się obecną chwilą. Nagle zapragnąłem, by pochłonęła mnie ziemia. Bardzo bałem się owych upiornych nożyc. Powoli wysunąłem kieszeni płaszcza srebrny łańcuch i przygotowałem. Ostatnim razem chybiłem, ale byłem wyczerpany rzucałem w biegu. Lewa dłoń trzęsła mi się nerwowo, zmusiłem się jednak, by oddychać spokojnie. Będę dzielny, jak mój mistrz, stracharz. Nawet jeśli zginę, pozostanę dzielny. Umieję to zrobić. Ćwiczyłem długo i ciężko pracowałem, sposobiąc się na stosowny moment.

Spojrzałem jej w oczy, gotów do rzutu. Nie była jak Morwena, jej przynajmniej mogłem patrzeć w twarz. Twarz miała piękną, lecz surową i okrutną, lekko rozchylone wargi pomalowała na czarno. Dostrzegłem złowieszcze zęby, spiłowane na szpiczasto.

– Schowaj ten łańcuch, dziecko – powiedziała miękko. – Nie przybyłam po ciebie. Tej nocy będziemy razem walczyć z naszym



wspólnym wrogiem.

Dopiero wtedy zauważyłem, że nie ma w rękach broni – wszystkie klingi tkwiły w pochwach.

Opuściłem łańcuch. Uwierzyłem jej. Ostatecznie w wieży ostrzegła mnie przed wodnymi wiedźmami, a potem pomogła je powstrzymać. Mama zawsze powtarzała, że bym ufał instynktowi, a ja czułem, że Grimalkin mówi prawdę. Uznałem, że wspólna walka działa na naszą korzyść. Mimo oporu stracharza, wobec takich sytuacji, gdy mrok walczył z mrokiem, z pewnością mistrz by osłabł.

Grimalkin wskazała ręką martwe ciało czarownicy.

– Nie martw się, dziecko – rzekła cicho – nie ugryzie. Po prostu przejdź nad nią. Pospiesz się, mamy niewiele czasu!

Przeskoczyłem nad wiedźmą i po dziesięciu krokach znalazłem się twarzą w twarz z zabójczynią. Tak jak wcześniej, była uzbrojona po zęby, wzdłuż całego ciała rozmieściła pochwy z różnymi klingami i, oczywiście, nożycami. Dostrzegłem tylko dwie zmiany: włosy ściągnęła do tyłu i mocno związała na karku czarną jedwabną chustką, była też bardzo brudna. Jej twarz, nagie ręce i nogi pokrywały smugi błota, cała cuchnęła szlamem z bagnisk.

– Czego szukasz, dziecko? Własnej śmierci? – spytała, otwierając usta i znów ukazując szpiczaste zęby. – W pobliżu kręci się córka Złego. Za parę minut tu dotrze.

Pokręciłem głową.

– Nie mam wyboru. Zły zmusił mnie, bym tu przyszedł na bagna, w przeciwnym razie zabiłby mojego mistrza, Alice i Arkwrighta. Jeśli pokonam jego córkę, daruje im życie.

Zaśmiała się cicho.

– Odważny jesteś – rzekła. – Ale głupi. Dlaczego chcesz walczyć z nią tutaj? Woda to jej żywioł. Jeśli zaczniesz wygrywać, ucieknie głębiej na trzęsawiska, gdzie jej nie dosięgniesz. Daj jej tylko szansę, a wciągnie cię do wody. Nie! Nie tak zrobimy. Musimy ją zwabić na wyższy, bardziej suchy teren. Widziałam, jak biegasz. Jesteś szybki, niemal tak szybki jak ja. Ale jak pewnie się czujesz

na bagniskach? Bo jeśli pragniesz przeżyć, musisz dotrzymać mi kroku.

Bez zbędnego gadania odwróciła się i puściła biegiem ścieżką wiodącą głębiej na bagna. Podążałem tuż za nią, gnając coraz szybciej i szybciej po zdradziecko grząskiej ziemi. Raz o mało nie straciłem równowagi i nie wpadłem w trzęsawisko: dwa razy Grimalkin zaczęła oddalać się ode mnie we mgle i jedynie kosztem ogromnego wysiłku udało mi się nie stracić jej z oczu. W końcu ścieżka zaczęła się wznosić. Przed sobą mieliśmy niewielkie okrągłe wzgórze, zwieńczone ruinami małego opactwa. Mnisie Wzgórze. Pośród ruin rosły trzy karłowate platany. W niektórych miejscach nie pozostał nawet kamień na kamieniu, lecz Grimalkin prowadziła nas do niskiego muru. Usiedliśmy, oparci o niego plecami, spoglądając na bagniska. W górze na bezchmurnym niebie świecił księżyc, powlekając ruiny i zbocze srebrzystym blaskiem.

Znajdowaliśmy się ponad mgłą, która teraz falowała w dole, przesłaniając moczary i ścieżkę. Siedzieliśmy na wyspie wyrastającej ze spokojnego morza białych chmur. Długi czas milczeliśmy. Po ciężkim wysiłku z radością chwytałem oddech. Wiedźma zabójczyni odezwała się pierwsza.

– To Alice Deane musisz podziękować za to, że nie będziesz dziś samotnie walczył ze swym wrogiem.

Zdumiony, obróciłem się ku Grimalkin.

– Alice?

– Tak, twojej przyjaciółce Alice. Bojąc się, że Zły i jego córka cię zabiją, wezwała mnie na północ, tobie na pomoc. W ciągu ostatniego miesiąca rozmawialiśmy wiele razy, najczęściej przez lustro.

– Alice użyła lustra, by się z tobą skontaktować?

– Oczywiście, dziecko. Jak inaczej porozumiewają się na odległość czarownice? Z początku się zdziwiłam, ale nalegała i powoli zdołała mnie przekonać. Czyż mogłam odmówić dziewczynie, której matka pochodziła z Malkinów? Zwłaszcza że teraz walczymy w tej samej sprawie.

– Zatem przybyłaś na wyspę, szukając mnie?

– Ciebie albo córki Złego. Lecz podpłynełam na chwilę przed naszą rozmową. Wcześniej obserwowałam cię z łądu, a gdy spostrzegłem wiedźmy szykujące się do wejścia do wody, ostrzegłam cię. Śledziłam was od wielu dni. John Gregory nie powitałby mnie chętnie, toteż utrzymywałam bezpieczny dystans.

– Zły spodziewa się, że sam stanę do walki. Czy zorientuje się, że tu jesteś?

Grimalkin wzruszyła ramionami.

– Możliwe. Nie widzi wszystkiego, ale gdy jego córka mnie ujrzy, on się dowie.

– Czemu nie interweniuje? Mógłby pojawić się choćby tu, na wzgórzu.

– Tego akurat nie musisz się lękać. Nie zbliży się do nas. Tam, gdzie ja jestem, jego nie zobaczysz.

– Potrafisz nie dopuścić go do siebie?

– Tak, dzięki temu, co zrobiłam wiele lat temu.

– Co takiego? Alice próbowała znaleźć sposób, by go powstrzymać. Jak się to robi? Użyłaś słoja krwi? A może jakoś go spętałaś?

– Możliwe, że istnieje wiele sposobów, ja jednak posłużyłam się najpopularniejszym pośród czarownic. Urodziłam mu dziecko.

– Miałaś dziecko ze Złym? – spytałem ze zdumieniem.

– A dlaczego nie? Tak właśnie robią niektóre czarownice – jeśli starczy im odwagi. I jeśli dostatecznie pragną uwolnić się spod jego mocy. Daj mu dziecko, a potem, po pierwszej wizycie u potomka, musi zostawić cię w spokoju. Większość dzieci Złego i czarownic to albo potwory, albo inne wiedźmy. Tę, którą dziś ścigamy, zrodziła czarownica Grismalde. Powiadają, że matka Morweny była bardzo piękna, mieszkała jednak w błotnistych jaskiniach i nawiedzała najmroczniejsze trzewia ziemi, toteż okrutnie cuchnęła. Diabeł jednak miewa czasami osobliwy gust. Jakimś cudem mojemu ciału udało się go oszukać. Moje dziecko nie było potworem ani czarownicą, lecz czystej krwi człowiekiem, pięknym chłopczykiem.

Ale kiedy Zły go zobaczył, oszalał z gniewu. Podniósł moje dziecko, swego syna, i roztrzaskał mu czaszkę na kamieniu. Krew niewinnego kupiła mi wolność. Lecz to wysoka cena. Po śmierci synka o mało nie oszalałam z rozpaczy. Ocalił mnie fach, który wówczas wybrałam. Zanurzona w okrucieństwie, jakiego wymaga się od wiedźmy zabójczynie, odnalazłam samą siebie. Czas płynął, wspomnienia blakły, ale nigdy nie zapomnę, co mi zrobił Zły. Są dwa powody, dla których dziś w nocy walczę u twego boku. Pierwszy, to moje osobiste pragnienie zemsty. Drugi, prośba Alice Deane, bym chroniła cię przed Morweną. Dziś zaczniemy od zabicia córki Złego.

Przez kilka chwil przetrawiałem w głowie słowa Grimalkin. Nagle czarownica przyłożyła palec do ust, nakazując mi milczenie, i wstała.

Niemal natychmiast nad bagnami rozległ się upiorny wrzask trupiarza. W sekundę później rozbrzmiał znowu, żałośnie, znacznie głośniej i bliżej. Usłyszałem trzepot skrzydeł. Z mgły prosto na nas wyfrunęło wielkie ptaszysko, wzbijające się z każdą chwilą wyżej i wyżej. Dojrzał nas: teraz córka Złego będzie wiedziała, gdzie szukać.

Grimalkin sięgnęła do skórzanej pochwy i dobyła noża z krotką klingą. Jednym płynnym, potężnym ruchem cisnęła nim w ptaka. Nóż zawirował w powietrzu, stwór skręcił, ale zbyt późno. Ostrze wbiło mu się głęboko w pierś. Z donośnym skrzekiem trupiarz runął w morze mgły i zniknął nam z oczu.

– Rzadko chybiam – oznajmiła z ponurym uśmiechem, znów siadając po mojej lewicy. – Chybiłam jednak, kiedy rzuciłam w ciebie długim nożem. A raczej trafiłam, tyle że ty złapałeś nóż w powietrzu. Zły manipuluje czasem, spowalnia go, zatrzymuje lub przyspiesza dla swoich celów. Myślę jednak, że owej nocy ty też to zrobiłeś. Odrobinę, ale wystarczająco, by ocaleć.

Miała na myśli nasze spotkanie latem, kiedy polowała na mnie i doścignęła na skraju Lasu Wisielców, podczas ucieczki do pokoju mamy. Przyszpiliwszy jej ramię do drzewa kijem stracharza,

zacząłem uciekać, ona jednak cisnęła nożem, mierząc w tył mojej głowy. Odwróciłem się i ujrzałem, jak ostrze obraca się w powietrzu, mknąc ku mnie, a potem wyciągnąłem rękę i złapałem je, ratując własne życie. Czas w istocie zdawał się wówczas zwalniać, ale nawet przez moment nie podejrzewałem, że ja to sprawiłem.

– Teraz wstań – poleciła ostro Grimalkin. – Już prawie czas. Zbliży się niebezpieczeństwo. Wkrótce dotrą tu nasi wrogowie.

– Wrogowie? – powtórzyłem. – Jest ich więcej?

– Oczywiście, dziecko. Córka Złego nie zjawia się sama. Wezwwała na pomoc inne. Wodne wiedźmy z bliska i z daleka zmierzają ku temu wzgórzu. Podchodzą tu od zmierzchu. Niedługo rozpocznie się bitwa.

Nadszedł czas, by stawić czoło czarownicom. Wkrótce, tak czy inaczej, wszystko się rozstrzygnie.

## **ROZDZIAŁ 28**

### **WALKA NA BAGNACH**

Wstaliśmy i zeszliśmy kawałek w dół zbocza.

– Tamtej nocy ty także chybiłeś – zauważyła Grimalkin. – Nie trafiłeś we mnie łańcuchem. Czy dziś również chybisz celu?

Wtedy, w lecie, cisnąłem w nią łańcuchem, który przeleciał obok. Rzut był trudny, a ja zmęczony i wyczerpany. Może dziś powiedzie mi się lepiej w starciu z córką Złego?

– Postaram się sprostać zadaniu – obiecałem.

– Miejmy zatem nadzieję, że twoje umiejętności wystarczą. Teraz słuchaj uważnie, a ja wyjaśnię ci, co się stanie. Wodne wiedźmy przypuszczą atak, wyskakując z bagna. Użyj zatem kija – ale miej w rezerwie łańcuch. Łańcuch może ostatecznie zdecydować, czy zwyciężymy, czy też poniesiemy klęskę. Musimy stawić czoło przepelnionemu krwią oku Morweny, ale nie

zapomnij, iż potrafi ona sparaliżować wzrokiem tylko jednego przeciwnika naraz. Jeśli wybierze mnie, użyj łańcucha. Do chwili próby zachowaj srebro w odwodzie. Z pozostałymi walcz kijem. Zrozumiałeś?

Przytaknąłem.

– Świetnie. Przewagę daje nam też fakt, że Morwena niechętnie zapuszcza się na wzgórze, gdzie ziemia jest względnie sucha i twarda. Miejmy nadzieję, że pozostanie niżej.

Raz jeszcze przytaknąłem, znów czując rosnący lęk. Drżały mi ręce i kolana, żołądek ścisnął się nieprzyjemnie. Odetchnąłem głęboko, próbując opanować strach. Potrzebowałem przecież pewnej ręki, by celnie rzucić łańcuchem.

Pierwszy atak kompletnie mnie zaskoczył. Gdyby nie tupot szponiastych, błoniastych stóp na trawie, odbyłby się w absolutnej ciszy. Wszystko rozegrało się przerażająco szybko. Wodna wiedźma wypadła z mgły wprost na Grimalkin, unosząc do ciosu szpony. Mokre, cuchnące kłaki rozwiewały się z tyłu czaszki, twarz zniekształcał grymas nienawiści.

Lecz Grimalkin okazała się jeszcze szybsza. Dobyła a pasa nóż i cisnęła nim wprost w napastniczkę. Usłyszałem głuchy łoskot, gdy ostrze wbijało się w pierś wiedźmy – czarownica upadła z jękiem i ześliznęła się ze zbocza, znikając we mgle. Teraz zaatakowały w grupie. Sam miałbym problemy już choćby tylko z jedną, ze względu na ich szybkość i gwałtowność. Wypadły z mgły – w sumie sześć czy siedem – wrzeszczące w biegu, wyciągające szpony, z wykrzywionymi twarzami, niektóre uzbrojone w krótkie sztylety. Dopiero gdy najbliższą dzieliło ode mnie najwyżej pięć kroków, przypomniałem sobie o ostrzu ukrytym na czubku kija. Odszukałem zagłębienie i nacisnąłem, słysząc dodający otuchy szczęk wyskakującej z ukrycia klingi.

Pchnąłem, odbiłem i obróciłem się i znowu pchnąłem, wirując, by nie dopuścić napastniczek do siebie. Za chwilę po twarzy spływały mi strużki potu, kapiąc do oczu. Przywołałem na pomoc wszystkie sztuczki, jakich nauczył mnie Arkwright. Lecz mimo

wszelkich wysiłków czarownicy szybko by mnie pokonały, gdyby nie Grimalkin. Teraz przekonałem się, dlaczego ze wszystkich czarownic z Pendle największy lęk w walce budzi wiedźma zabójczym.

Każdy, śmiertelnie rozważny, ruch jej ciała przynosił morderczy cios. Każde ostrze, wyciągnięte ze skórzanej pochwy, znajdowało nowy dom w ciele wroga. Szpon przeciw szponowi, klinga przeciw klindze, walczyła i zwyciężała. Wirowała, zabijała niczym koło śmierci, powalając kolejno wrogów, aż w końcu na zboczu obok nas pozostało jedynie siedem trupów.

Wówczas odetchnęła głęboko i zamarła w bezruchu, nasłuchując. Następnie położyła mi lekko na ramieniu lewą dłoń i pochyliła się ku mnie.

– Z bagna wychodzą kolejne – wyszeptała, przysuwając usta blisko mojego ucha. – Jest z nimi córka Złego. Pamiętaj, co ci powiedziałam. Użyj przeciw niej łańcucha. Wszystko od tego zależy. Jeśli chybisz, zginiemy oboje!

Samotna wiedźma wypadła z mgły. Dwa razy Grimalkin rzuciła nożem i trafiła w cel, po czym dopadła do napastniczki. Zaczęły walczyć we wścieklej plątanie rąk i nóg, wygiętych palców i ostrych zębów. Żadna nie wydała z siebie najłżejszego odgłosu. Odturlały się po zboczu, znikając we mgle.

Nagle zostałem sam na wzgórzu, słuchając walenia własnego serca. Czy powinienem pójść i pomóc Grimalkin? A jeśli rzuciły się na nią inne wiedźmy? Nim jednak zdołałem podjąć decyzję, nadeszła moja kolej, by się bronić. Następna wodna wiedźma wynurzyła się z mgły. Nie biegła w górę, jak pozostałe, lecz stąpała powoli, ostrożnie stawiając kroki. Jej usta otwarły się, ukazując cztery gigantyczne żółtozielone kły. Z wyglądu bardzo przypominała Morwenę: trójkątna kość służąca jej za nos sprawiła, iż poczułem się, jakbym miał do czynienia z czymś bardziej martwym niż żywym. Lecz jej powolne, ostrożne ruchy nie zmyliły mnie, nadal pamiętałem o szybkości, do jakiej jest zdolna. Wiedziałem, że spróbuje wbić jeden ze szponów w moje ciało; nade

wszystko bałem się uderzenia od dołu, próbującego przebić mi gardło i owinąć palce wokół zębów – chwytu, z którego nie da się uwolnić.

Wiedźma zaatakowała nagle: była szybka, ale sprostałem jej zataczając krótki łuk kijem i o niecały cal chybiając jej lewego policzka. Parsknęła, a w jej gardle wezbrał cichy gniewny warkot. Ja jednak znów pchnąłem, więc cofnęła się o krok. Teraz przejąłem inicjatywę. Każdy ostrożny, wyliczony cios spychał ją ze wzgórza, bliżej granicy mgły. I wtedy, zbyt późno, domyśliłem się, co planowała – wciągnąć mnie w mgłę, na bagna, gdzie będzie miała przewagę.

Po prostu ze mną igrała. Prawa ręka skoczyła jak wąż, dwa zakrzywione palce pomknęły ku mojemu gardłu, wyciągając szpony. Próbowałem się obrócić, poczułem jednak ogłuszający cios.

Straciłem równowagę i sturlałem się po zboczu, wypuszczając z rąk kij. Wiedźma toczyła się wraz ze mną, potem jednak się rozłączyliśmy, nie poczułem bólu w szczęce ani w gardle. Chybiła jednak, zahaczając szponem kołnierz mojego kozucha; siła upadku oderwała ją ode mnie.

Uniosłem się na kolana i rozejrzałem. Nie dotarłem na sam dół, natomiast wiedźma poturlała się znacznie dalej. Teraz mgła rozrzedziła się i zobaczyłem kij. Leżał poza moim zasięgiem, ale wystarczająco cztery kroki, bym znów się uzbroił. Potem jednak zerknąłem w prawo i zobaczyłem coś, co zmroziło mi krew w żyłach. Grimalkin stała nad trupem zabitej przez siebie wiedźmy jak przymurowana, całkowicie nieruchoma, wpatrując się w Morwenę, która szła ku niej zboczem, wyciągając szpony. Wstałem i sięgnąłem do kieszeni po łańcuch, oplatając go wokół lewego przegubu.

Widziałem wyraźnie, że Grimalkin znalazła się pod wpływem owego przepełnionego krwią oka. Za chwilę zginie. Jeśli chybię, Morwena zabije Grimalkin, a potem skupi się na mnie.

Nadeszła chwila prawdy. Czy miesiące nauki w ogrodzie stracharza wydadzą owoce? Posługiwanie się łańcuchem w walce z



wiedźmą było znacznie trudniejsze niż rzuty na ćwiczebny słupek. Znaczącą rolę odgrywały nerwy i strach. Czasami udawało mi się trafić czarownicę, lecz równie często chybiałem. Ogrom odpowiedzialności zaćmił mi umysł. Jeśli chybię, to będzie oznaczało koniec. Miałem tylko jedną szansę!

Po pierwsze musiałem uwierzyć, że dam sobie radę. Myśl pozytywnie! Stracharz powtarzał mi, że kluczem do panowania nad ciałem jest panowanie nad umysłem. Zatem to właśnie zrobiłem. Uniosłem lewą rękę, odetchnąłem głęboko i znieruchomiałem.

Skupiłem się, wbijając wzrok w cel, w Morwenę, która dotarła już niemal na wyciągnięcie ręki do Grimalkin. Czas jakby zwolnił bieg. Wokół zaległa cisza. Morwena już się nie poruszała. Ja nie oddychałem. Nawet moje własne serce jakby przestało bić.

Zamachnąłem się srebrnym łańcuchem i cisnąłem nim w wiedźmę. Utworzył w powietrzu idealną spiralę, migocząc w promieniach księżyca. Zdawało się, że tylko on się porusza. Opadł na Morwenę, zaciskając się na jej ramionach tak, że runęła na kolana. Moje uszy znów wypełniły dźwięki. Wypuściłem powietrze i usłyszałem, jak Grimalkin wzdycha głośno z ulgą, a potem dobywa zza pasa długie ostrze i rusza w stronę nieprzyjaciółki.

Skoncentrowany na rzucie łańcuchem, zapomniałem o grożącym mi niebezpieczeństwie. Nagle, tuż obok, znalazła się wodna wiedźma, unosząc szponiasty palec ku mojej szczęce. Szybciej, niż mógłbym uwierzyć, odparowałem cios lewą ręką. Złapała mnie jednak i runęliśmy razem, tocząc się w dół zbocza.

Musiałem walczyć o życie. Czarownice są fizycznie bardzo silne i w walce z trudem dorównuje im nawet dorosły mężczyzna. Staralem się jednak, wymierzając ciosy i szarpiąc się, a ona ścisnęła mnie mocniej i zaczęła ciągnąć w stronę wody.

Dotrzymałem danego Grimalkin słowa, użyłem łańcucha przeciw Morwenie. Tym samym jednak straciłem okazję na podniesienie kija, jedynej broni, która dawała mi szansę w starciu z drugą wiedźmą. Pozostały mi jeszcze sól i żelazo, ale czarownica

unieruchomiła mi ręce.

W następnej chwili wtoczyliśmy się do wody. Zdążyłem tylko zamknąć usta i wstrzymać oddech, a potem moja głowa znalazła się pod powierzchnią. Szarpałem się jeszcze mocniej, znów się obróciliśmy, moja twarz wynurzyła się na sekundę czy dwie, pozwalając odetchnąć. Potem woda znów zamknęła się nade mną, poczułem, jak opadam. Nowo nabyte umiejętności pływackie na nic mi się zdały. Wodna wiedźma ścisnęła mnie w objęciach, była potwornie silna. Opadałem coraz niżej i niżej w głębiny. Starałem się desperacko wstrzymać oddech, lecz płuca pękały mi, a oczy zaćmiła ciemność. Nie wiem, jak długo próbowałem się uwolnić, lecz stopniowo stawałem się coraz słabszy. W końcu do ust i nosa wpłynęła mi woda, zacząłem tonąć. Ostatnie, co pamiętam, to poczucie rezygnacji. Zrobiłem, co mogłem, ale nie udało się i umierałem. Potem zapadła ciemność i przestałem walczyć.

\*

Lecz moja bitwa na tym świecie nie dobiegła jeszcze końca. Ocknąłem się znów na wzgórzu, kaszląc i krztusząc, podczas gdy ktoś naciskał moje plecy i tłukł o nie pięściami. Myślałem, że wymiotuję, ale to woda wypływała mi z nosa i ust.

Zdawało się, że trwa to bardzo długo. Stopniowo grad ciosów ustał i odkryłem, że oddycham, nie krztusząc się, choć serce biło mi tak szybko, iż bałem się, że zaraz pęknie. Potem ktoś przewrócił mnie na grzbiet i spojrzałem w twarz Grimalkin.

– Przeżyjesz, dziecko – oznajmiła, sadzając mnie na ziemi. – Ale było blisko. Dotarłam do ciebie tuż przed tym, nim wiedźma wciągnęła cię w naprawdę głęboką wodę.

Pojąłem, iż zawdzięczam życie bezecnej czarownicy. Nieważne, co myślał stracharz, na razie byliśmy po tej samej stronie. Podziękowałem jej zatem. Tego oczekiwałby po mnie tato.

I wtedy ujrzałem rządę trupów, ułożonych na skraju bagniska. Pośród nich spoczywała też córka Złego, nadal opleciona zwojami srebrnego łańcucha.

– Przykro mi, że nie mogłem bardziej pomóc – powiedziałem, po

czym znów rozkasłałem się gwałtownie.

Grimalkin czekała cierpliwie, aż skończę, po czym znów się odezwała:

– Dostyc zrobiłeś, dziecko. Kiedy zarzuciłeś łańcuch na Morwenę, zapewniłeś nam zwycięstwo. Teraz idź i zabierz go. Ja nie mogę dotknąć srebra.

Pomogła mi wstać. Czułem się słabo i zacząłem gwałtownie dygotać. Ubranie miałem przemoczone, ciało zziębnięte do szpiku kości. Maszerując w stronę ułożonych w rzędzie nieruchomych ciał, zobaczyłem, co zrobiła Grimalkin i o mało nie wymiotowałem. Wycięła serca wszystkim martwym wiedźmom i ułożyła koło ich głów. Dostrzegła odrazę na mojej twarzy i położyła mi dłoń na ramieniu.

– Tak trzeba, dziecko, by mieć pewność, że żadna nie wróci. Czy mistrz cię tego nie nauczył?

Przytaknąłem. Silne wiedźmy, takie jak te, potrafiły się odrodzić, a czasami nawet posiadały dość sił, by krążyć po ziemi po śmierci i wyrządzać ludziom ogromne szkody. Aby temu zapobiec, trzeba wyciąć im serce, potem je zjeść.

Grimalkin szarpnęła za włosy ciało córki Złego, ja odplątałem swój łańcuch. W dali usłyszałem słaby dźwięk, czarownica uniosła wzrok. Dźwięk powtórzył się – szczekanie polującego psa. Szpon biegła do nas. Jeśli Zły dotrzymał słowa, we młynie czas znów zaczął płynąć.

– Nie mam już do tego głowy, więc dopilnuj, by pies zjadł serca – wszystkie bez wyjątku – nakazała Grimalkin. – Pójdę teraz, nim zjawią się pozostali. Ale jeszcze jedno – ile masz lat, dziecko?

– Czternaście. W sierpniu skończę piętnaście. Trzeciego tego miesiąca.

Grimalkin uśmiechnęła się.

– W Pendle życie jest ciężkie, dzieci muszą szybciej dorastać. Podczas sabatu w noc Walpurgii po czternastych urodzinach, syn klanu czarownic staje się mężczyzną. Wybierz się do Pendle wkrótce po tym święcie i znajdź mnie. Gwarantuję ci

bezpieczeństwo i dam prezent. Prezent wart posiadania.

Cóż za dziwna obietnica. Noc Walpurgii to ostatni dzień sierpnia. Nie wyobrażałem sobie, bym miał odwiedzić Pendle i zgłosić się do Grimalkin po prezent. Wiedziałem, co powiedziałyby o tym stracharz.

Czarownica obróciła się na pięcie, wbiegła na wzgórze, przeskoczyła nad niskim murkiem i zniknęła.

Po pięciu minutach zjawiała się Szpon. Patrzyłem, jak pożera serca czarownic. Była wygłodniała i zanim na miejsce przybyli stracharz, Arkwright i Alice, niemal już skończyła. Pamiętam jeszcze, że Alice zaproponowała, iż zmyje krew z mojego srebrnego łańcucha. Potem świat pociemniał nagle i stracharz pomógł mi wstać. Dygocząc gwałtownie, wróciłem do młyna, tam położyli mnie do łóżka. Nie wiem, czy sprawiła to cuchnąca woda z bagien, której się opilem, czy też zadrapania na gardle, pozostawione przez szpony czarownicy, ale wkrótce dostałem wysokiej gorączki.

## **ROZDZIAŁ 29**

### **MOJE MIEJSCE**

Potem dowiedziałem się, że Alice próbowała mi pomóc jedną ze swych mikstur, ale stracharz jej zabronił. Za to dom odwiedził miejscowy medyk i podał mi lek, od którego wymiotowałem tak mocno, iż bałem się, że pęknie mi żołądek. Minęło pięć dni, nim zdołałem wstać z łóżka. Gdybym wiedział wówczas, że Alice nie pozwolono mi leczyć, protestowałbym.

Stracharz doceniał jej umiejętności, ale dopiero po wyzdrowieniu dowiedziałem się, czemu nie dopuścił jej do mego łóża. To było jak cios w serce. Najgorsze możliwe wieści.

Kiedy tylko wstałem, odbyliśmy długą rozmowę w pokoju na piętrze. Trumien rodziców Billa Arkwrighta już tam nie było – pogrzebano je na skraju miejscowego cmentarza, gdzie stracharz

mógł je odwiedzać. Zły dotrzymał słowa, ich dusze odeszły do światła. Teraz, gdy niespokojni zmarli nie nawiedzali już młyna, zapanowała w nim nowa atmosfera spokoju.

Arkwright był bardzo wdzięczny za to, co zrobiłem. Rozpoczął od podziękowań tak wylewnych, że aż się zawstydziłem. Potem nadeszła moja kolej, miałem jednak niewiele do powiedzenia. Mogłem tylko opisać przebieg walki na bagnach. Resztę już wiedzieli. A stracharz wiedział za dużo. Stanowczo za dużo.

Z twarzą surową, pociemniałą od gniewu wyjaśnił, że choć ich ciała zastygły w czasie, umysły były wolne. W jakiś sposób widzieli to, co ja, i słyszeli moją rozmowę ze Złym. Wiedzieli, jakie wyznaczył mi zadanie i jakiego dobiłem targu o ich życie i wolność rodziców Arkwrighta. Samo w sobie było to już wystarczająco straszne, bo bali się o wynik walki na bagnach, świadomi, co im grozi. Lecz pozbawiony zwycięstwa Zły wyjawiał im potem znacznie więcej, opisując fakty, które miały wbić klin pomiędzy mnie i stracharza, a, co gorsza, stworzyć między mną i Alice przepaść, której nigdy nie da się pokonać.

– Już wcześniej zasmuciło i zaniepokoiło mnie, że użyłeś lustra, by pomówić z dziewczyną. Okazuje się, że ma na ciebie bardzo zły wpływ. Znacznie gorszy, niż oczekiwałem – narzekał stracharz.

Otworzyłem usta, by zaprotestować, on jednak gniewnym gestem nakazał mi milczenie.

– Ale jest jeszcze gorzej. Ta podstępna, kłamliwa dziewczka od niemal miesiąca utrzymywała kontakt z Grimalkin!

Spojrzałem na Alice. Po jej policzkach płynęły łzy. Podejrzywałem, że stracharz już wcześniej uprzedził ją, co zamierza.

– I nie próbuj mi mówić, że wynikło z tego dobro – podjął stracharz. – Wiem, że Grimalkin uratowała ci życie – uratowała życie nam wszystkim – walcząc u twego boku na bagnach, ale ona jest zła, chłopcze. Należy do mroku, a my nie możemy iść na ustępstwa, w przeciwnym razie staniemy się nie lepsi od nich i równie dobrze j możemy od razu zginąć. Miejsce Alice jest w jamie

i gdy tylko wrócimy do Chipenden, tam właśnie się znajdzie!

– Alice na to nie zasłużyła! – zaprotestowałem. – Proszę pomyśleć, ile razy pomogła nam w przeszłości. Uratowała panu życie, gdy był pan ciężko raniony przez bogina nieopodal Anglezarke. Gdyby nie ona, umarłby pan.

Wbijałem w niego wzrok, lecz on patrzył nieustępliwie i nim zdołałem się powstrzymać, z moich ust popłynął potok słów:

– Jeśli pan to robi, jeśli uwięzi pan Alice w jamie, odejdę. Nie będę dłużej pańskim uczniem! Po czymś takim nie mógłbym z panem pracować.

Jakaś część mnie mówiła poważnie, inna słuchała z przerażeniem. Co mama pomyślałaby o groźbie, którą właśnie rzuciłem?

– To twój wybór, chłopcze – powiedział ze smutkiem stracharz.  
– Żadnego swojego ucznia nie zmuszałem do ukończenia terminu. Nie ty pierwszy odejdiesz. Ale z pewnością będziesz ostatni. Jeśli to zrobisz, nie przyjmę innego.

Spróbowałem raz jeszcze:

– Zdaje pan sobie sprawę, że Zły specjalnie powiedział to wszystko? Że chce, aby uwięził ją pan w jamie? Że takie postępowanie służy jego celom, bo bez Alice będziemy osłabieni?

– Nie sądzisz, że dokładnie to przemyślałem, chłopcze? Nie jest to łatwa decyzja, nie podejmuję jej lekko. I pamiętam też, że twoja mama wierzyła w dziewczynę, nie musisz mi o tym przypominać. Każdy może się pomylić, ale sumienie podpowiada mi, co mam robić. Wiem, co jest słuszne.

– Może pan popełnić wielki błąd – rzuciłem z goryczą, czując, że nic, co powiem, nie wpłynie na niego. – Największą pomyłkę swego życia.

Zapadła długa cisza, zakłócana jedynie szlochami Alice. I wtedy odezwał się Arkwright:

– Jak mi się zdaje, jest jeszcze inne wyjście – rzekł cicho. – Młodego Warda i tę dziewczynę łączy wyraźnie silna więź. I powiem to szczerze, panie Gregory: jeśli spełni pan groźbę, straci

pan ucznia. Może najlepszego, jakiego pan miał. Wszyscy stracimy kogoś, kto mógłby stać się niebezpiecznym wrogiem Złego. Bo bez naszego szkolenia i ochrony Tom pozostanie bezbronny i nigdy nie osiągnie pełni mocy. I jest jeszcze coś bliskiego memu sercu. Chłopak zawarł układ ze Złym i po piętnastu latach cierpienia uwolnił dusze mych rodziców. Lecz bez pomocy Grimalkin nie zdołałby wygrać. A bez Alice, która ją wezwała, wiedźma zabójczyni nie stałaby u boku młodego Warda. Zatem nawet ja jestem jej coś winien.

Zdumiało mnie, że Arkwright broni Alice. Nigdy wcześniej nie słyszałem, by przemawiał z takim zapałem i elokwencją. Nagle poczułem nadzieję.

– Z tego, co słyszałem, dziewczyna odebrała bardzo złe wychowanie. Naukę czarnej magii, spod której wpływu potrafią uwolnić się tylko najsilniejsi. Fakt, że wyrwała się i tak bardzo nam pomogła, ukazuje jej prawdziwą naturę. Nie sądzę, abyśmy mieli do czynienia z czarownicą, a już z pewnością nie z bezecną. Może, jak każdy z nas, ma w sobie dobro i zło; sam pan dobrze wie, że w sercu każdego człowieka światło i mrok toczą nieustanną wojnę. Sam też dobrze o tym wiem: czasami moje myśli były mroczniejsze niż większości ludzi i musiałem walczyć długo i ciężko, by ograniczyć picie. Proszę pozwolić Alice odejść wolno. Nie wypuści pan na świat czarownicy, tylko dziewczynę, z której, jak sądzę, wyrośnie silna kobieta. Pozostanie po naszej stronie, mimo metod, do których czasami się ucieka. Jak już mówiłem, istnieje pośrednie wyjście – podjął. – Proszę nie więzić jej w jamie. Zamiast tego proszę ją odprawić, niech sama radzi sobie na tym świecie. Niech pan ją wygna. Proszę to zrobić dla nas wszystkich. To jedyne wyjście.

Po długiej ciszy stracharz spojrział na mnie.

– Czy to dla ciebie dość łagodne, chłopcze? Czy będziesz mógł z tym żyć? Jeśli tak zrobię, pozostaniesz moim uczniem?

Myśl, że już nigdy więcej nie zobaczę Alice, była nieznośna, ale lepsza niż skazanie jej na dożywotnie uwięzienie w jamie.

Chciałem też kontynuować naukę stracharza. Walka z mrokiem była moim obowiązkiem. Wiedziałem, że mama by tego chciała.

– Tak – powiedziałem miękko i w chwili gdy się odezwałem, Alice przestała szlochać. Czułem się tak okropnie, że nie mogłem nawet na nią spojrzeć.

– Dobrze, dziewczyno – rzucił stracharz. – Zabierz swoje rzeczy i znikaj. Trzymaj się z daleka od chłopaka i nigdy więcej nie zbliżaj się na pięć mil do Chipenden. Jeśli wrócisz, wiesz dokładnie, czego możesz się spodziewać.

Alice nie odpowiedziała. Nagle pojąłem, że nie odezwała się ani słowem i nawet nie próbowała się bronić. To było do niej niepodobne! Teraz w milczeniu, z ponurą miną wyszła z pokoju. Spojrzałem na stracharza.

– Muszę się z nią pożegnać – oznajmiłem. – To coś, co muszę zrobić!

Pokiwał głową.

– Skoro tak mówisz. Ale pospiesz się, chłopcze, nie przeciągaj tego...

\*

Czekałem na Alice na skraju ogrodu. Uśmiechnęła się ze smutkiem, idąc ku mnie pomiędzy płaczącymi wierzbami i dźwigając w tobołku swój skromny dobytek.

Zaczęło padać: zimna mżawka mroziła ciało do kości.

– Dziękuję, że przyszedłeś się pożegnać, Tom – powiedziała, brodząc w fosie. Na brzegu bardzo mocno uścisnęła mi rękę, przytrzymując ją z taką siłą, iż sądziłem, że pęknie mi nie tylko serce, ale i kości.

– Nie wiem, co powiedzieć – zacząłem.

Uciszyła mnie.

– Nie musisz nic mówić. Oboje zrobiliśmy to, co uznaliśmy za najlepsze; przecież zawsze wiedziałam, co stary Gregory myśli o moim korzystaniu z mroku. Warto było jednak zaryzykować, by cię ochronić. Nie żałuję ani przez chwilę, choć serce pęka mi na myśl, że już nigdy cię nie zobaczę.



Szliśmy w milczeniu aż na brzeg kanału. Tam wypuściła moją dłoń, wyciągnęła coś z kieszeni płaszcza i uniosła ku mnie. Ujrzałem słoik.

– Weź, Tom. Jeśli będziesz miał go przy sobie, Zły nie zdoła cię dotknąć. Jest w nim krew Morweny. Uchroni cię, o tak!

– Skąd wzięłaś jej krew? Nie rozumiem.

– Nie pamiętasz? Umyłam twój łańcuch. Ale najpierw zebrałam odrobinę do buteleczki. Nie trzeba jej wiele. Dodaj tylko parę kropel własnej krwi, to wszystko.

Pokręciłem głową.

– Nie, Alice. Nie mogę tego wziąć.

– Och, proszę, Tom, proszę. Po prostu weź. Ode mnie. Nie próbuję cię straszyć, ale bez niego wkrótce zginiesz. Kto cię uchroni, kiedy mnie nie będzie? Stary Gregory nie da rady, to pewne. Weź zatem tę flaszkę, bym mogła nocami spać spokojnie, wiedząc, że jesteś bezpieczny.

– Nie mogę jej przyjąć, Alice. Nie mogę posługiwać się mrokiem. Proszę, nie proś mnie więcej. Wiem, że masz dobre zamiary, ale nie mogę tego wziąć. Nie teraz. Ani nigdy.

Alice wbiła wzrok w ścieżkę, schowała słoik do kieszeni i rozplakała się cicho. Patrzyłem, jak łzy płyną jej po policzkach i ściekają z brody. Jakaś część mnie pragnęła objąć ją ramieniem, ale nie śmiałem. Jeśli to zrobię, nigdy i jej nie puszczę. Musiałem być silny, zachowywać dystans.

– Gdzie teraz pójdziesz, Alice? Gdzie zamieszkasz?

Uniosła ku mnie mokrą od łez twarz, jej oczy nie wyrażały niczego.

– Wrócę do domu – odparła. – Do Pendle. Tam, gdzie moje miejsce. Urodziłam się jako czarownica i teraz się nią stanę. To jedyne życie, jakie mi zostało.

Potem objęła mnie ramionami i przyciągnęła do siebie, omal pozbawiając mnie tchu. I nim zdążyłem się poruszyć, przycisnęła wargi do moich, całując mnie mocno. Trwało to zaledwie parę sekund, potem odwróciła się i odbiegła ścieżką na południe. Z

bólem odprowadzałem ją wzrokiem. Do oczu napłynęły mi łzy, zaszlochałem w głębi gardła.

Teraz klany były podzielone, niektóre wspierały Złego, inne nie. Ale z powodu tego, co zrobiła – a także z powodu krwi płynącej jej w żyłach, w połowie Deane'ów, w połowie Malkinów, Alice miała w Pendle wielu wrogów. Gdy tylko przekroczy granicę, jej życie znajdzie się w niebezpieczeństwie. Najbardziej bolała mnie świadomość, że nie chciała odejść. Nie chciała stać się czarownicą – byłem tego pewien. Mówiła tak tylko z żalu. Przed ostatnią wizytą w Pendle bała się tam wrócić. Wiedziałem, że wciąż czuje to samo.

Alice powiedziała, że Pendle to jej miejsce. Wiedziałem, że to nieprawda, ale istniało niebezpieczeństwo, że pod wpływem tamtejszych mrocznych sił w końcu jednak stanie się prawdziwą bezpieczną czarownicą. Z czasem, mimo optymizmu Arkwrighta, może oddać się mrokowi.

## **ROZDZIAŁ 30**

### **CZARNA BARKA**

Po kolejnym tygodniu we młynie stracharz wrócił beze mnie do Chipenden. Wyglądało na to, że nie mam wyboru – muszę zostać z Arkwrightem i dokończyć półroczne szkolenie. Nie było mi łatwo, a do bólu serca dołączył wkrótce ból czysto fizyczny. Na długo przed końcem szkolenia moje obite od stóp do głów ciało pokryło się sińcami. Nasze walki na kije były brutalne, bez cienia litości. Z czasem jednak wyszlifowałem swoje umiejętności i mimo różnicy wzrostu i siły, stopniowo zacząłem odpłacać Arkwrightowi pięknym za nadobne. Co najmniej dwa razy moja szybkość o mało nie pozwoliła mi go pokonać i kiedy medyk odwiedzał młyn, musiał opatrywać nie tylko moje rany.

Arkwright się zmienił. Teraz, gdy jego mama i tato odeszli do światła, opuściła go znaczna część bólu i gniewu. Rzadko pił, a jego

temperament znacząco się poprawił. Nadal wolałem Johna Gregory'ego jako mojego mistrza, lecz Arkwright dobrze mnie uczył i mimo jego szorstkości, nauczyłem się go szanować. Oprócz zwykłego szkolenia, od czasu do czasu wyruszaliśmy rozprawić się ze stworami z mroku – raz nawet zapuściliśmy się daleko na północ, poza granicę Hrabstwa.

Czas płynął: mroźna zima stopniowo ustąpiła miejsca wiosnie i w końcu nadszedł czas powrotu do Chipenden. Do tej pory Szpon powiła dwa szczeniaki, suczkę i pieska; Arkwright nazwał je Krew i Gnat. Ostatnim rankiem bawiły się w ogrodzie, a Szpon strzegła ich zazdrośnie.

– A, młody Wardzie, kiedyś sądziłem, że zabierzesz ze sobą tę sukę do Chipenden. Lecz choć bardzo cię lubi, myślę, że jeszcze bardziej lubi swoje szczeniaki.

Uśmiechnąłem się i przytaknąłem.

– Nie sądzę, by pan Gregory się ucieszył, gdybym przyprowadził ze sobą Szpon. Nie mówiąc już o tym, że wątpię, by psy dogadywały się z boginami!

– Lepiej więc zostaw ją tutaj i oszczędź sobie przypalonych śniadań – zażartował Arkwright. Potem jego twarz spoważniała. – Cóż, przeżyliśmy ciężkie chwile, ale wygląda na to, że wszystko ułożyło się jak najlepiej. Po twojej wizycie młyn stał się lepszym miejscem i mam nadzieję, że nauczyłeś się tu czegoś, co ci posłuży w przyszłości.

– Owszem – zgodziłem się. – I na dowód tego nadal mam guzy!

– Jeśli zatem zdarzy się taka potrzeba, pamiętaj, że zawsze znajdę tu dla ciebie miejsce. W razie konieczności możesz dokończyć u mnie terminu.

Wiedziałem, co ma na myśli. Możliwe, że między mną a stracharzem nigdy nie będzie już tak jak przedtem. Choć miał dobre intencje, wciąż uważałem, że źle potraktował Alice. Fakt, że ją odprawił, na zawsze pozostanie między nami, niczym niewidzialna bariera.

Raz jeszcze podziękowałem zatem Arkwrightowi i wkrótce,

przeprawiwszy się przez najbliższy most na drugi brzeg kanału, maszerowałem na południe w stronę Caster, dzierżąc w dłoni torbę i laskę. Jakże kiedyś czekałem na tę chwilę! Lecz wiele się zmieniło. W Chipenden nie przywita mnie już Alice i mimo iż poranek był wiosenny i piękny, słońce świeciło, a ptaki śpiewały, serce ciążyło mi w piersi.

Zamierzałem oddalić się od brzegu na długo przed dotarciem do Caster i okrążyć miasto od wschodu, a potem przeciąć ścieżką wzgórza. Chyba za bardzo pograżyłem się w myślach. Z całą pewnością obawiałem się przyszłości. Tak czy inaczej, nie zauważyłem, co się dzieje, nim było za późno. A zresztą, co mógłbym zrobić?

Nagły dreszcz przebiegł mi po plecach. Rozejrzałem się i odkryłem, że zmierzcha i z każdą chwilą robi się ciemniej. I nie tylko – w powietrzu czułem lodowaty chłód, a kiedy obejrzałem się przez ramię, ujrzałem ścianę gęstej, szarej mgły napływającą wzdłuż kanału.

A potem z mgły powoli wyłoniła się czarna barka. Nie ciągnął jej żaden koń, bezszelestnie płynęła po wodzie. Gdy się zbliżyła, pojąłem, że nie jest to zwykła łódź. Widywałem barki przewożące węgiel z Horshaw, czarne od brudu, ta jednak połyskiwała czernią, a na jej dziobie płonęły czarne woskowe świece, jarzące się jasnymi płomieniami, które nie migotały – więcej świec niż na kościelnym ołtarzu w ważne święto.

Barka nie miała pokładu ani włazów, stopnie wiodły wprost w ciemność przestronnej ładowni. Jedno spojrzenie wystarczyło, bym ocenił, że jest niemożliwie głęboka – większość barek z kanału miała płaskie dno, a same kanały były raczej płytkie. Lecz sposób, w jaki owa dziwna łódź ślizgała się po wodzie, także nie wyglądał normalnie, i ponownie ogarnęło mnie szczególne uczucie, jakbym znalazł się we śnie, w którym nie obowiązują zwykłe, codzienne reguły.

Barka zatrzymała się obok mnie. Spojrzałem w głąb owej niewiarygodnej ładowni i ujrzałem samotną postać, otoczoną

pierścieniem świec. Choć nie padło żadne polecenie, wiedziałem, co muszę zrobić. Zostawiwszy zatem na ścieżce torbę i kij, wszedłem na pokład i powoli, jak w sennym koszmarze, ruszyłem po stopniach. Lodowaty strach ścisnął mi żołądek, całe ciało dygotało.

W głębi owej ładowni Zły, pod postacią szypra, siedział na tronie, wykonanym z tego samego błyszczącego drewna co barka. Wyrzeźbiono go misternie i ozdobiono podobiznami złych stworów, rodem wprost z bestiariusza w bibliotece stracharza w Chipenden. Lewa dłoń Złego spoczywała na groźnym smoku, unoszącym ku mnie agresywnie pazury, prawa na wężu o rozdwojonym języku, którego długie ciało opadało wzdłuż boku tronu i oplatało trzy razy szponiastą nogę siedzącego.

Uśmiechnął się uśmiechem Matthew Gilberta, lecz i oczy pozostały zimne i jadowite. Pomogłem Grimalkin zabiciu jego córki. Czyżby wezwał mnie, by się zemścić?

– Usiądź, Tomie. Usiądź u moich stóp – rzekł, wskazując gestem miejsce przed tronem.

Nie miałem wyboru, musiałem posłuchać, siadając ze skrzyżowanymi nogami na deskach naprzeciw niego. Spojrzałem mu w twarz, już nie uśmiechniętą, i poczułem się całkowicie zdany na jego łaskę. Zaniepokoiło mnie coś jeszcze. Nie miałem wcale wrażenia, że znajduję się na barce na kanale. Czułem, jakbym spadał, leciał jak kamień, a ziemia pędziła ku mnie.

– Wyczuwam twój strach – odezwał się Zły. – Uspokój się, jestem tu, by cię uczyć, nie zniszczyć. Gdybym pragnął twojej śmierci, są tacy, którzy z radością oddaliby mi przysługę. Mam inne dzieci a także i wielu, którzy poprzysięgli mi wierność. Nie zdołałbyś uniknąć wszystkich. Dotrzymałem słowa – ciągnął – darowałem twoim towarzyszom życie – a nie musiałem, bo nie pokonałeś mojej córki sam, lecz z pomocą zabójczyni Grimalkin. Mimo wszystko jednak zrobiłem to w darze dla ciebie, Tomie, ponieważ pewnego dnia będziemy razem pracować, mimo twej obecnej niechęci. W istocie jesteśmy sobie już znacznie bliżsi, niż sądzisz. Byś jednak dokładnie wiedział, z czym masz do czynienia,

zdradzę ci pewien sekret. Widzisz bowiem, mam dziecko, którego tożsamość zna poza mną tylko jedna osoba na tym świecie. Bardzo wyjątkowe dziecko, które pewnego dnia osiągnie wiele w mojej służbie. Mówię o mej umiłowanej córce, Alice Deane...

Przez chwilę nie potrafiłem pojąć, co powiedział. Siedziałem oszołomiony. Jego słowa wirowały mi w głowie niczym czarne wrony na burzowym wietrze, a potem zanurkowały, wbijając ostre dzioby prosto w moje serce. Alice była jego córką? Twierdził, że Alice jest jego córką? Ze jest nie lepsza niż Morwena?

Potwory bądź czarownice – oto potomstwo Złego. A jeśli któreś dziecko urodziło się człowiekiem, nieskażone, zabijał je z miejsca, jak to uczynił z synem Grimalkin. Alice jednak pozwolił żyć! Czy to możliwe?

Nie, powiedziałem sobie, próbując zachować spokój. Usiłował nas tylko rozdzielić. Przypomniałem sobie, co kiedyś powiedziała mama o mnie, Alice i stracharzu:

„Gwiazda Johna Gregory'ego zaczyna przygasać, wy dwoje jesteście przyszłością i nadzieją Hrabstwa. Będzie was potrzebował u swego boku, obojga.”

Jak mogła tak się pomylić? A może wcale się nie myliła. Jedno z imion Złego to „Ojciec Kłamstw”. Najpewniej zatem teraz też kłamał.

– Łżesz! – zawołałem w końcu; strach przed nim zniknął, zastąpiony przez oburzenie i gniew.

Zły powoli pokręcił głową.

– Nawet klany z Pendle o tym nie wiedzą. Ale to prawda. Prawdziwa matka Alice tkwi uwieczona w jamie, w ogrodzie Johna Gregory'ego w Chipenden. Mówię o Kościstej Lizzie. Gdy na świat przyszło jej dziecko, natychmiast przekazała je w opiekę bezdzietnej parze, ojcu z Deane'ów, matce z Malkinów. Kiedy jednak Alice urosła i osiągnęła wiek, w którym mogła rozpocząć naukę mrocznych sztuk, ich użyteczność dobiegła końca. W noc swojej śmierci Lizzie przybyła po swą córkę. Jej szkolenie trwałoby dalej, gdyby nie ingerencja twoja i twego mistrza.

Koścista Lizzie matką Alice? Czy to możliwe? Przypomniałem sobie, kiedy ujrzałem ją po raz pierwszy. Miała być ciotką Alice i natychmiast zauważyłem łączące je rodzinne podobieństwo – te same rysy, bardzo ciemne włosy i brązowe oczy. Choć starsza, Lizzie była równie ładna jak Alice, ale pod wieloma względami bardzo się od niej różniła. Kiedy mówiła, jej wargi wykrzywiały się pogardliwie, nie patrzyła rozmówcy w oczy.

– To nieprawda. To nie może być...

– Och, ale to jest prawda, Tomie. Instykt twego mistrza jak zwykle okazał się niezawodny. Zawsze wątpił w Alice i tym razem, gdyby nie twoje uczucia i interwencja Arkwrighta, uwięziłby ją w jamie obok matki. Lecz nie mam w zwyczaju robić niczego bez starannego przemyślenia i kalkulacji. To dlatego zgodziłem się na twoją prośbę i uwolniłem duszę Amelii. Jakież wdzięczny był William Arkwright! Jakże użyteczny się okazał! Jaki wymowny! A teraz Alice jest w końcu wolna od wpływów i czujnego oka Johna Gregory'ego i może wrócić do Pendle. Tam zajmie wreszcie swe właściwe miejsce jako przywódczyni i raz na zawsze zjednoczy klany.

Długą chwilę milczałem, czując, jak ogarniają mnie mdłości. Wrażenie spadania narastało. Potem jednak w mojej głowie pojawiła się nagle myśl, dodająca mi otuchy.

– Skoro to twoja córka – rzekłem – dlaczego tak bardzo walczy z mrokiem? Dlaczego walczyła z klanami czarownic z Pendle, narażając życie, byle tylko powstrzymać je przed sprowadzeniem cię przez portal na ten świat?

– Łatwo na to odpowiedzieć, Tomie. Zrobiła to wszystko dla ciebie. Liczyłeś się dla niej tylko ty, toteż stała się taka, jak chciałeś, i odrzuciła większość nauk czarodziejskich. Oczywiście, tak naprawdę nigdy o nich nie zapomniała. Ma je we krwi, rozumiesz? Rodzina czyni cię tym, kim jesteś. Daje ci ciało i krew, kształtuje twą duszę zgodnie ze swymi wierzeniami. Z pewnością już ci to mówiono? Ale teraz jest inaczej. Jej nadzieja umarła. Widzisz, aż do nocy przed tym, nim John Gregory ją odprawił,

Alice nie wiedziała, kim jest naprawdę. Ukrywaliśmy to przed nią aż do nadejścia stosownej chwili.

Owej nocy próbowała skontaktować się z Grimalkin. Próbowała jej podziękować za to, co tamta uczyniła, ratując ciebie. O północy użyła kałuży wody. Lecz to moja twarz wyjrzała, spoglądając na nią. A potem pojawiłem się obok i nazwałem ją córką. Nie przyjęła tego dobrze – delikatnie mówiąc. Groza, rozpacz i rezygnacja – oto, co kolejno czuła. Widziałem to już wcześniej. Lecz będąc tym, kim jest, Alice nie może już liczyć na to, że pozostanie twoją przyjaciółką. Jej życie w Chipenden dobiegło końca, dobrze o tym wie. Nie może dłużej stać u twego boku. Chyba że ja zdecyduję się interweniować i jej to umożliwię. Z czasem wszystko się zmienia, ale wydarzenia toczą się po spiralach i wprawdzie możemy powrócić w to samo miejsce, lecz na innym poziomie.

Spojrzałem na niego, nie odwracając wzroku. Potem odpowiedziałem bez namysłu:

– W to samo miejsce, na innym poziomie? Dla ciebie to oznacza tylko drogę w dół. W stronę mroku.

– Czy to byłoby takie złe? Jestem władcą tego świata. Należy do mnie. Mógłbyś pracować ze mną, polepszając losy wszystkich. A Alice byłaby z nami. Rządzilibyśmy razem, we troje.

– Nie! – zerwałem się z miejsca i odwróciłem w stronę schodów.  
– Ja służę światłu.

– Zostań! – polecił władczy i gniewnym głosem. – Jeszcze nie skończyliśmy!

Lecz choć nogi ciążyły mi jak ołów, a uczucie spadania sprawiało, że z trudem utrzymywałem równowagę, zdołałem postąpić krok, potem drugi. Gdy zacząłem się wspinać, poczułem niewidzialne moce, ciągnące mnie w dół. Nadal jednak walczyłem, zmierzając w górę. Gdy moje oczy wyjrzały poza burtę barki, przeraziłem się, bo zamiast brzegu, poza nią rozciągała się nicość. Patrzyłem w absolutną czernią, w pustkę. Nadal jednak stawiałem kroki, jeden za drugim i znany mi świat pojawił się nagle. Zeskoczyłem na ścieżkę.



Podniosłem torbę oraz kij i ruszyłem w tę samą stronę, co przedtem. Nie oglądałem się za siebie, wyczułem jednak, że czarna barka zniknęła. Mgła rozplynęła się, nad moją głową niebo iskrzyło się gwiazdami. Szedłem tak i szedłem, ogłuszony, zbyt odrętwiały, by myśleć.

## ROZDZIAŁ 31

### CZYJA KREW?

Wczesnym rankiem wspiałem się nad Caster, zmierzając na południe w stronę Chipenden. Późnym wieczorem dotarłem do domu stracharza. Zostałem go siedzącego na ławce w zachodnim ogrodzie: zatopiony w myślach, patrzył w stronę odległych wzgórz.

Bez słowa usiadłem obok, niezdolny spojrzeć mu w oczy. Położył mi dłoń na ramieniu i poklepał dwa razy, po czym wstał.

– Dobrze jest znów cię widzieć – powiedział ciepło. – Dostrzegam jednak, że coś mocno tobą wstrząsnęło. Spójrz na mnie i to wykrztuś to. Poczujesz się lepiej, jeśli zrzucisz z siebie ten ciężar, chłopcze. Zaczynaj od początku i nie przerywaj.

I tak, prócz relacji na temat obietnicy Grimalkin dotyczącej prezentu, opowiedziałem mu o wszystkim: o nagłym pojawieniu się złowieszczej czarnej barki; o tym, co Zły mówił o Alice, ponoć jego córce; o trudzie mojej ucieczki. Wspomniałem nawet, że Alice była gotowa użyć mrocznej magii, by ochronić mnie za pomocą słoja krwi. Ze zdobyła krew Morweny i zamierzała zmieszać ją z moją, by nie dopuścić do mnie Złego. I że mama użyła lustra, każąc Alice robić wszystko, byle tylko mnie chronić.

W końcu wyjaśniłem, co czuję. Że z całego serca mam nadzieję, iż Zły skłamał, i Alice nie jest jego córką.

Kiedy skończyłem, mój mistrz westchnął głęboko. Długo trwało, nim się odezwał.

– Kręci mi się w głowie od tego, co właśnie usłyszałem,

chłopcze. Najtrudniej mi uwierzyć w to, co mówiłeś o mamie: czymkolwiek była w przeszłości, wedle mej oceny jest teraz potężną służebnicą światła. Może dziewczyna cię okłamała? Alice zrobiłaby dla ciebie wszystko, a bez wątpienia, nie zważając na koszty, chciała cię ochronić. Wiedziała, że nie spodobają ci się jej metody, może zatem powiedziała to, co powiedziała o twojej mamie, abys te metody przyjął. Czy moje słowa mają sens?

Wzruszyłem ramionami.

– Możliwe – przyznałem.

– Pójdźmy zatem jeszcze krok dalej. Pytam cię teraz: jak możesz być pewien, chłopcze? Jak możesz być pewien, że Alice nie jest dokładnie tym, kim Zły mówi, że jest?

– Jestem pewien – odrzekłem, starając się przelać w mój głos jak największe przekonanie. – To nie może być prawda...

– Wejrzyj w swoje serce, chłopcze. Czy nie ma tam żadnej wątpliwości? Niczego, co choćby odrobinę cię niepokoii?

Istotnie, było coś, co mnie gryzło, i myślałem o tym cały dzień w drodze do Chipenden. Stracharz obserwował mnie uważnie, toteż odetchnąłem głęboko i powiedziałem:

– Jest coś, o czym wcześniej nie mówiłem. Kiedy Alice wystraszyła tamtych żołnierzy i mnie uwolniła, użyła czegoś, co nazwała Grozą. Jej głowę porastały węże, a gdy się zbliżyła, poczułem chłód. Wyglądała niczym najbardziej przerażająca wiedźma, jaką widziałem. Czy tamtej nocy w blasku księżyca ujrzałem prawdziwy obraz rzeczy? Czy widziałem ją taką, jaką jest w istocie?

Stracharz nie odpowiedział.

– I jeszcze jedno – podjąłem. – To, jak się zachowywała, kiedy ją pan odesłał. Nie powiedziała na swą obronę nawet słowa. To do niej niepodobne. Zły twierdził, że powiadomił ją o wszystkim poprzedniej nocy i że się poddała. I tak właśnie wtedy wyglądała. Jakby straciła całą wolę walki. Widziała, kim jest, i uznała, że nic nie może zrobić.

– Całkiem możliwe, że masz rację – przyznał stracharz. – Lecz

Zły skłamałby chętnie, gdyby tylko odpowiadało to jego celom. Mnie martwi jeszcze jedna rzecz, chłopcze. Mówisz, że Alice zdobyła krew Morweny. To byłoby dość trudne. Kiedy to zrobiła?

– Po śmierci Morweny. Gdy myła mój łańcuch.

– Widziałem, jak to robi, chłopcze, nie wlała do słoja nawet kropli krwi. Może jednak się mylę, choć stała zaledwie kilka stóp ode mnie. Ale wierzyła w ten słój i właśnie przyszła mi do głowy bardzo nieprzyjemna myśl. Może użyła własnej krwi! Desperacko pragnęła cię ochronić i jeśli wiedziała, że jest córką Złego, wierzyła, że jej własna krew zadziała równie dobrze...

Ukryłem twarz w dłoniach, lecz stracharz położył mi dłoń na ramieniu.

– Spójrz na mnie, chłopcze.

Popatrzyłem mu w oczy i ujrzałem smutek.

– Nic z tego nie stanowi dowodu. Może się mylę. Może faktycznie zebrała krew z łańcucha. Powiem ci zatem, że sam nie mam pewności. Tylko jedna osoba na tym świecie zna prawdę. To Koścista Lizzie – ale czarownice także często kłamią. Gdyby był tu Bill Arkwright, wywłókłby Lizzie z jamy i zmusił do mówienia. Ale ja nie uznaję takich metod. Poza tym ludzie powiedzą wszystko, byle tylko uniknąć bólu. Nie, musimy zachować cierpliwość. Czas odsłoni przed nami prawdę, a tymczasem musisz mi przyrzec, że nie będziesz się kontaktował z dziewczyną. Jeśli to rzeczywiście córka Złego, popełniłem największą pomyłkę w moim życiu. Nie tylko oszczędziłem jej jamy, bo o to prosiłeś, ale też dałem dom i pozwoliłem stanowczo zbyt długo dzielić z nami życie. Miała mnóstwo czasu, by cię przekabacić. Zbyt wiele okazji, by podminować wszystko, czego próbowałem cię uczyć. Co więcej, niezależnie od tego, czy faktycznie jest córką Złego, nadal sądzę, że ma na ciebie niebezpieczny wpływ. Może próbować do ciebie dotrzeć, osobiście bądź przez lustro. Musisz stawić opór, chłopcze. Nie możesz się z nią kontaktować w żaden sposób. Zrobisz to dla mnie? Obiecujesz?

Przytaknąłem.

– Będzie trudno – przyznałem – ale tak zrobię.

– Dobry chłopak! Wiem, że będzie trudno, bo staliście się sobie bardzo bliscy. Według mnie stanowczo zbyt bliscy. Ale największe niebezpieczeństwo tkwi w tym, że Zły próbuje cię przeciągnąć na stronę mroku. Może się to stać stopniowo, krok za krokiem tak, że niemal nie zauważysz. I najpewniej wykorzystaliby w tym celu dziewczynę. Mimo wszystko nie jest wcale tak źle i mam też dobre wieści. Zaledwie dwa dni temu przyszedł do ciebie list.

– List? Od kogo? Czy od Jacka?

– Może po prostu wejdiesz do domu i sam sprawdzisz – powiedział tajemniczo stracharz.

\*

Dobrze było wrócić. Nagle pojąłem, jak bardzo tęskniłem za moim życiem w Chipenden. Stracharz kazał mi usiąść przy kuchennym stole. Sam poszedł na górę i wrócił, niosąc w dłoni kopertę, którą podał mi z uśmiechem. Jedno spojrzenie, a mój uśmiech stał się jeszcze szerszy:

*Do mego najmłodszego syna, Thomasa J. Warda*

To był list od mamy! W końcu przesyłała wieści! Niecierpliwie rozdarłem kopertę i zacząłem czytać.

*Mój drogi Tomie,*

*walka z mrokiem w mojej ojczyźnie była długa i ciężka, wkrótce nadejdzie przełom. Mamy jednak wiele do omówienia, muszą też ujawnić ci kilka rzeczy, a także o coś prosić. Potrzebują czegoś od ciebie, jak również twojej pomocy. Gdyby istniał sposób na uniknięcie tego, nie prosiłabym cię. Ale pewne słowa wymagają rozmowy twarzą w twarz, nie za pośrednictwem listu, toteż zamierzam złożyć krótką wizytę w domu w przeddzień letniego przesilenia.*

*Napisałam już do Jacka, informując go o moim przybyciu. Niecierpliwie czekam dnia, gdy znów się spotkamy na farmie. Pracuj ciężko i ucz się, i nieważne, jak mroczna wyda ci się ciemność, zachowaj optymizm. Jesteś silniejszy, niż ci się zdaje.*

*Całuję, Mama*

– Mama przyjedzie z wizytą w letnie przesilenie! – poinformowałem stracharza, z podnieceniem podając mu list.

Był dziesiąty dzień kwietnia. Za nieco ponad dwa miesiące znów ją zobaczę.

Zastanawiałem się, co chce mi powiedzieć.

Stracharz przeczytał list, po czym spojrzał na mnie z bardzo poważną miną i zamyślony podrapał się po brodzie.

– Pisze, że potrzebuje mojej pomocy. I chce czegoś ode mnie. Co to może znaczyć? – spytałem, a myśli wciąż wirowały mi w głowie.

– Będziemy musieli poczekać i się przekonać, chłopcze. To może być cokolwiek – przeprawimy się przez ten most, gdy do niego dotrzemy. Ale kiedy wyruszysz na farmę, ja pójdę z tobą. Są rzeczy, które muszę powiedzieć twojej mamie i bez wątpienia ona też ma mi sporo do powiedzenia. Do tego czasu zajmijmy się pracą. Od jak dawna jesteś moim uczniem, chłopcze?

Zastanowiłem się chwilę.

– Jakieś dwa lata.

– Istotnie, dwa lata, z dokładnością do tygodnia. Podczas pierwszego roku uczyłem cię o boginach, w drugim zajmowaliśmy się czarownicami. Ten drugi rok obejmuje też sześć miesięcy, podczas których Bill Arkwright przekazywał ci wiedzę dotyczącą wiedz z stojącej wody. Teraz rozpoczynamy trzeci rok nauki i nowy temat: historię mroku.

Widzisz, chłopcze, ci, którzy czerpią z przeszłości, są skazani na powtarzanie błędów swych poprzedników. Przyjrzymy się zatem różnym sposobom, przy pomocy których mrok ukazywał się ludziom na przestrzeni stuleci wiodących do naszych czasów. I nie ograniczymy się wyłącznie do historii Hrabstwa. Poszerzymy horyzonty i poznamy relacje z innych krain. Zacznieś także naukę Dawnej Mowy, języka pierwszych ludzi, jacy przybyli do Hrabstwa. Jest znacznie trudniejsza niż łacina i greka, toteż czeka cię sporo pracy!

Wszystko to brzmiało niezmiernie ciekawie. Nie mogłem uwierzyć, że za sześć miesięcy osiągnę połowę terminu. W tym czasie zdarzyło się wiele – dobrego, złego, przerażającego i smutnego. Z Alice czy bez niej, moje szkolenie będzie trwać dalej.

Potem zjedliśmy kolację – jedną z najlepszych, jakie przyrządził bogin. Czekał nas ciężki dzień. Pierwszy z wielu.

\*

I znów, większość wydarzeń zapisałem z pamięci, tylko w razie konieczności sięgając do notatnika.

Od dnia mego powrotu do Chipenden minęły trzy tygodnie i na dworze robi się coraz cieplej; mgły oraz chłody z młyna Arkwrighta są już jedynie wspomnieniem.

Wczoraj dostałem list od mego brata, Jacka. Jest równie podekscytowany jak ja

wieściami o przyjeździe mamy. Na farmie wszystko idzie świetnie. Mój drugi brat, James, znakomicie sobie radzi jako kowal i ma wielu klientów.

Powinienem się cieszyć, ale wciąż myślę o Alice. Zastanawiam się, co robi, i czy Zły powiedział prawdę. Jak dotąd dwa razy próbowała się ze mną skontaktować za pomocą lustra w mojej sypialni. Za każdym razem w chwili, gdy się kładłem, dostrzegałem, że szkło jaśnieje i pojawia się w nim twarz Alice.

Było mi ciężko. Tak bardzo chciałem chuchnąć na taflę i napisać, że się o nią martwię, spytać, czy jest bezpieczna. Zamiast tego padałem na łóżko i odwracałem się twarzą do ściany. Dotrzymałem słowa.

On jest stracharzem, ja jedynie uczniem. Wciąż jest moim mistrzem i wszystko, co robi, służy dobru. Ucieszę się jednak, kiedy mama wróci. Nie mogę się już doczekać chwili, gdy znów ją zobaczę. Zaciekało mnie, czego może ode mnie chcieć. Pragnę też się dowiedzieć, co myśli na temat Alice. Chcę poznać prawdę.

Thomas J. Ward

## **TOM 6**

### **Starcie Demonów**

### **The Spook's Sacrifice**

# ROZDZIAŁ 1

## MENADA

Obudziłem się nagle z dojmującym uczuciem, że coś dzieje się nie tak. Za oknem zajaśniała błyskawica, po której niemal natychmiast zabrzmiał ogłuszający łoskot gromu. Jednak wcześniej już wielokrotnie przesypiałem burze, toteż nie ona mnie zbudziła. Nie, natomiast poczułem, że zbliża się niebezpieczeństwo. Wyskoczyłem z łóżka i nagle lusterko, stojące na stoliku obok, pojaśniało. Pojawiło się w nim na moment czyjeś odbicie, po czym natychmiast zniknęło. Zdążyłem jednak rozpoznać twarz. Należała do Alice.

Choć przez dwa lata pobierała nauki u czarownicy, Alice stała się moją przyjaciółką. Po tym, jak stracharz ją przegnał, wróciła do Pendle. Tęskniłem, ale dotrzymałem danego mistrzowi słowa i nie zwracałem uwagi na wszelkie, podejmowane przez nią, próby nawiązania kontaktu. Tym razem jednak nie mogłem jej nie zauważyć. Napisała na lustrze przeznaczoną dla mnie wiadomość. Mimowolnie odczytałem treść, nim zniknęła.

Uwaga, zabójca!

Menada w ogrodzie!

Co to takiego menada? Nigdy w życiu o niczym podobnym nie słyszałem. I w jaki sposób mógł do mnie dotrzeć jakikolwiek zabójca, skoro najpierw musiał pokonać ogród stracharza – ogród, którego strzegł potężny bogin? Kiedy ktokolwiek przekraczał granicę, bogin najpierw wydawał z siebie ryk, słyszalny w promieniu wielu mil, a potem rozszarpał intruza na strzępy.

I skąd w ogóle Alice wiedziała o groźnym mi niebezpieczeństwie? Znajdowała się przecież wiele mil stąd, w Pendle. Mimo wszystko nie zamierzałem lekceważyć ostrzeżenia. Mój mistrz, John Gregory, wyruszył w podróż, by rozprawić się z

natrętnym duchem, więc zostałem w domu sam. Nie miałem przy sobie niczego, co mogłoby posłużyć do obrony. Moja laska i torba leżały gdzieś w kuchni. Musiałem do nich dotrzeć.

Bez paniki, powiedziałem sobie w duchu. Nie śpiesz się i zachowaj spokój.

Ubrałem się szybko, naciągnąłem buty. Do wtóru kolejnego grzmotu ostrożnie otworzyłem drzwi sypialni i wyszedłem na pograżony w mroku podest. Tam przystanąłem, wytyżając słuch. W domu panowała cisza. Byłem pewien, że nikt nie zdołał wejść do środka, zacząłem zatem na palcach schodzić po schodach, starając się zachować ciszę. Korytarzem przekradłem się do kuchni.

Wsunąłem do kieszeni portek srebrny łańcuch. Ścisnąwszy w dłoni laskę, otworzyłem tylne drzwi, po czym z obawą przestąpiłem próg. Gdzie się podziewał bogin? Czemu nie bronił domu oraz ogrodu przed intruzem? Czekałem, nie zważając na chłoszczący mi twarz deszcz. Wytyżając wzrok, wypatrywałem jakichkolwiek oznak ruchu na trawniku i pośród drzew. Powoli moje oczy przywykły do ciemności, nadal jednak niewiele widziałem. Mimo to skierowałem się w stronę drzew w zachodnim ogrodzie.

Zdążyłem pokonać zaledwie dziesięć kroków, gdy z mojej lewej dobiegł mrozący krew w żyłach wrzask i usłyszałem głośny tupot. Ktoś biegł przez trawnik wprost ku mnie. Naszykowałem laskę, nacisnąwszy zagłębienie, tak że z końca ze szczękiem wyskoczyło ukryte ostrze.

Błyskawica znów przecięła niebo. W końcu zobaczyłem, co mi grozi. Dostrzegłem wysoką, chudą kobietę, wymachującą trzymaną w lewej ręce długą, morderczą klingą. Włosy miała związane z tyłu, wychudzoną twarz, pokrytą ciemną farbą, wykrzywił grymas nienawiści. Ubrana była w długą suknię nasiąkniętą wodą; jej stopy zamiast butów, okrywały strzępy skóry. A zatem to jest menada, pomyślałem. Przyjąłem pozycję obronną, wznosząc ukośnie laskę, tak jak mnie nauczył mistrz. Serce biło mi szybko, wiedziałem jednak, że muszę zachować spokój i wykorzystać pierwszą sposobność do zadania ciosu.



Ostrze noża opadło nagle ku mnie, o cal chybiając prawego ramienia. Odskoczyłem w półobrocie, próbując zachować dystans do przeciwniczki. Potrzebowałem przestrzeni, by móc zamachnąć się laską. Mokra od deszczu trawa była bardzo śliska i gdy menada znów pomknęła ku mnie, straciłem równowagę.

O mało nie wywróciłem się na plecy, zdołałem jednak opaść na kolano. W ostatniej chwili uniosłem laskę, blokując pchnięcie, które inaczej przebiłoby mi ramię. Uderzyłem ponownie, trafiając mocno w przegub menady. Jej nóż poleciał na ziemię. W górze zalśniła błyskawica: zobaczyłem furię na twarzy kobiety, gdy pozbawiona broni znów zaatakowała. Wrzeszczała na mnie, oszalała z wściekłości – pośród ochryplych gardłowych dźwięków rozpoznałem parę greckich słów. Tym razem odstałem na bok, unikając wyciągniętych rąk oraz długich ostrych paznokci i poczęstowałem ją potężnym ciosem w bok głowy. Upadła na kolana; w tym momencie z łatwością mogłem wbić ostrze w jej pierś.

Zamiast tego przerzuciłem laskę do prawej dłoni, sięgnąłem do kieszeni, oplótłem wokół lewego przegubu srebrny łańcuch. Srebro działa na wszystkie sługi mroku – ale czy skrepuje menadę zabójczynię? Nie miałem pojęcia.

Skupiłem się. W chwili, gdy wstawiała, oświetliła ją kolejna błyskawica. Znakomicie! Doskonale widziałem cel. Z głośnym brzękiem wypuściłem łańcuch. Wzleciał w górę, utworzywszy idealną spiralę, a potem oplótł jej ciało, powalając menadę na ziemię.

Ostrożnie okrążyłem kobietę. Łańcuch krępował jej ręce i nogi, zaciskał się wokół szczęki, nadal jednak mogła mówić. Obsypała mnie gradem słów, z których żadnego nie zrozumiałem. Wydawało się, że to greka – ale był to jakiś osobliwy dialekt.

Wyglądało, że łańcuch się sprawdził, toteż, nie tracąc czasu, chwyciłem menadę za lewą stopę i powlokłem przez mokry trawnik w stronę domu. Stracharz z pewnością zechce ją przesłuchać – jeśli oczywiście zrozumie, co mówi. Władałem greką co najmniej tak samo dobrze jak on, ale z bełkotu menady niewiele pojmowałem.

Z boku domu stała drewniana szopa, w której trzymaliśmy drwa na rozpałkę. Zaciągnąłem ją tam, osłaniając przed deszczem. Potem zdjąłem z półki w kącie lampę i zapaliłem, by lepiej przyjrzeć się schwytej zabójczyni. Kiedy uniosłem lampę nad jej głowę, splunęła na mnie, różowa lepka ślina wylądowała mi na spodniach. Teraz czułem otaczający ją smród – mieszaninę starego potu i wina. Oraz coś jeszcze. Słaby odór gnijącego mięsa. Kiedy ponownie otworzyła usta, dostrzegłem tkwiące między zębami strzępki ciała.

Wargi miała fioletowe, podobnie język – oznaki, że piła czerwone wino. Twarz pokrywał misterny wzór, spleciony w zawijasy i spirale. Wyglądał jak czerwonawe błoto, lecz deszcz go nie zmył. Splunęła ponownie, cofnąłem się więc i powiesiłem lampę na jednym z tkwiących w suficie haków.

W kącie stał też stołek. Przesunąłem go pod ścianę, poza zasięg plującej kobiety. Do świtu została jeszcze co najmniej godzina, oparłem się zatem o ścianę i zamknąłem oczy, słuchając deszczu, bębniącego o dach komórki. Byłem zmęczony, mogłem sobie pozwolić na drzemkę. Srebrny łańcuch mocno skrępował menadę, nie miała szans się uwolnić.

Spałem zaledwie kilka minut, gdy obudził mnie głośny dźwięk. Usiadłem gwałtownie. Uszy wypełnił mi szum, ryk i świst, zbliżający się z każdą sekundą. Coś pędziło ku szopie i nagle pojawiłem co.

**Bogin! Zamierzał zaatakować!**

Ledwie zdążyłem zerwać się ze stołka, gdy lampa zgasła, a mnie podmuch odrzucił na plecy, pozbawiając tchu. Chwytając oddech, słyszałem trzask polan uderzających o ścianę, lecz wrzaski menady niemal go zagłuszały. W ciemności trwało to i trwało bardzo długo; a potem zapadła cisza, zakłócana jedynie szumem i bębnieniem deszczu. Bogin zrobił, co do niego należało. Po czym zniknął.

Bałem się ponownie zapalić lampę. Bałem się spojrzeć na menadę. Ale i tak to zrobiłem. Była martwa, bardzo blada – bogin

wysączył z niej całą krew. Na gardle, a także na ramionach pozostały rany oraz skaleczenia, suknia zwisała w strzępach. Twarz zastygła w grymasie przerażenia. Nic już nie mogłem zrobić. Nigdy wcześniej podobny przypadek mi się nie zdarzył. Skoro już ją skrepowałem, bogin nie powinien nawet tknąć intruzki. I gdzie w ogóle się dotąd podziewał, zamiast bronić ogrodu?

Wstrząśnięty tym wszystkim, zostawiłem trupa menady i wróciłem do domu. Przez moment zastanowiłem się, czy nie skontaktować się z Alice przez lustro. Zawdzięczałem jej życie, chciałem podziękować. Omal się nie zламаłem, ale złożyłem stracharzowi obietnicę. Toteż, po dłuższych zmaganiach z własnym sumieniem, umyłem się tylko, przebrałem i czekałem na powrót mistrza.

\*

Zjawił się tuż przed południem. Wyjaśniłem, co się stało. Poszedł obejrzeć martwą zabójczynię.

– No cóż, chłopcze, twoja przygoda budzi wiele pytań – rzucił stracharz, drapiąc się po brodzie. Wyglądał na mocno zaniepokojonego. Wcale się nie dziwiłem. Ja też czułem poważną troskę. – Do tej pory byłem pewny, że mój dom w Chipenden jest absolutnie bezpieczny – podjął – ale ten incydent daje do myślenia. Rodzi wątpliwości. Od dziś nie będę już tak spokojnie spał we własnym łóżku. Jakim sposobem menadzie udało się dostać do ogrodu, unikając przy tym bogina? Wcześniej żaden intruz tego nie dokonał.

Pokiwałem głową na znak zgody.

– I kolejna rzecz mnie martwi, chłopcze. Czemu bogin zaatakował i zabił później, kiedy już ją skrepowałeś? Wie, że nie powinien się tak zachowywać.

Ponownie przytaknąłem.

– Interesuje mnie jeszcze jedno: skąd wiedziałeś, że dostała się do ogrodu? Grzmiało, lał ulewny deszcz. Niemożliwe, żebyś ją usłyszał. Logicznie rzecz biorąc, powinna była wtargnąć do domu i

zabić cię we śnie. Co zatem cię ostrzegło? – spytał stracharz, unosząc brwi.

Przestałem potakiwać. Wbiłem wzrok w podłogę, czując na sobie palące spojrzenie mistrza. W końcu odchrząknąłem i opisałem dokładnie, co zaszło.

– Wiem, że przyrzekłem, że nie użyję lustra do rozmów z Alice – dokończyłem. – Ale to się stało tak szybko, że nic nie mogłem poradzić. Już wcześniej próbowała się ze mną skontaktować, ale zawsze byłem posłuszny i odwracałem wzrok – do tej chwili. I dobrze, że tym razem przeczytałem jej wiadomość – dodałem z lekkim gniewem. – W przeciwnym razie już bym nie żył!

Stracharz zachował spokój.

– Cóż, owszem, jej ostrzeżenie ocaliło ci życie – przyznał. – Ale wiesz, co myślę o używaniu lustra i o rozmowach z tą małą czarownicą.

Najeżyłem się. Być może to zauważył, gdyż zmienił temat.

– Orientujesz się, czym jest menada zabójczyni, chłopcze?

Pokręciłem głową.

– Wiem tylko jedno: kiedy zaatakowała, była niemal obłąkana z wściekłości.

Stracharz przytaknął.

– Menady rzadko wypuszczają się poza granice swej ojczyzny, Grecji. To szczerp kobiet, które zamieszkują tamtejszą głuszę, żywią się wszystkim, co znajdą – od leśnych jagód po zwierzęta, które wpadną im w ręce. Oddają cześć krwiożerczej bogini o imieniu Ordyna i czerpią moc z mieszaniny wina oraz surowego mięsa, doprowadzając się do morderczego szału. Wówczas ruszają na poszukiwanie nowych ofiar. Zazwyczaj żywią się ciałami zmarłych, ale bywa, że pożerają też żywych. Ta wymalowała sobie twarz, by wyglądać jeszcze groźniej; zapewne miksturą wina i ludzkiego łoju – a także wosku, który je utrwalił. Bez wątpienia niedawno kogoś zabiła. Dobrze się spisałeś, ogłuszając ją i krępując, chłopcze. Menady są wyjątkowo silne. Zdarza się, że rozszarpują ofiary na kawałki gołymi rękami! Całe ich pokolenia

żyły w ten sposób. W rezultacie tak bardzo cofnęły się w rozwoju, że ledwie przypominają ludzi. Bliższe są dzikim zwierzętom, ale nadal mają w sobie pewien spryt.

– Po co jednak przypląnęła aż tu, do Hrabstwa?

– Żeby cię zabić, chłopcze: to akurat jasne. Ale nie potrafię pojąć, jak miałbyś im zagrażać tam, w Grecji. Przebywa tam jednak twoja mama, walcząc z mrokiem. Możliwe zatem, że ów atak miał z nią coś wspólnego.

Potem stracharz pomógł mi odplątać łańcuch z trupa menady. Razem zaciągnęliśmy ją do wschodniego ogrodu, wykopaliśmy wąski, lecz głęboki dół – jak zwykle głównie ja machałem łopatą – po czym wsunęliśmy ją do ciemnego szybu, głową naprzód. Nie była wiedźmą, ale stracharz, mając do czynienia ze sługami mroku, wolał nie ryzykować – zwłaszcza jeśli niewiele o nich wiedzieliśmy. Którejś nocy podczas pełni księżyca, nawet martwa, mogłaby próbować wykopać się na powierzchnię. Dzięki zastosowanemu podstępowi nie miałyby pojęcia, że kieruje się akurat w przeciwną stronę.

Po wszystkim stracharz wysłał mnie do wioski, bym sprowadził miejscowego kamieniarza, a także kowala. Do późnego wieczora przykrywali grób kamieniami oraz prętami. Mój mistrz tymczasem znalazł odpowiedź na dręczące go pytania. Na skraju ogrodu odszukał dwa niewielkie drewniane koryta, pokryte plamami krwi. Zapewne krew wypełniała karmidła po brzegi, nim bogin ją wypił.

– Przypuszczam chłopcze, że do krwi domieszano czegoś, co uspiło bogina albo zamąciło mu w głowie. Dlatego właśnie nie wyczuł, jak menada wdziera się do ogrodu, a później zabił ją, choć nie powinien. Szkoda, że zginęła. Moglibyśmy ją przepytać i dowiedzieć się, po co przybyła oraz kto ją przysłał.

– Czy może za tym stać Zły? – spytałem. – Może to on wysłał ją, by mnie zabiła?

Zły, zwany też Diabłem, od zeszłego sierpnia swobodnie krążył po świecie. Przywołały go trzy klany czarownic z Pendle – Malkinowie, Deanowie i Mouldheelowie. Teraz toczyły ze sobą

wojnę – niektóre wiedźmy wstąpiły na służbę u Złego, inne jednak należały do jego najzacieklejszych wrogów. Od tamtego czasu zetknąłem się z nim trzykrotnie. Choć po każdym spotkaniu pozostawałem wstrząśnięty do szpiku kości, wiedziałem, iż mało prawdopodobne, by Diabeł próbował zabić mnie własnoręcznie. Bo został spętany.

Tak jak koń, któremu pęta się nogi, by nie odchodził zbyt daleko, Zły został spętany w przeszłości przez kogoś nieznanego, kto ograniczył jego moc. Gdyby osobiście mnie zabił, władałby światem zaledwie sto lat, a według niego to stanowczo zbyt krótko. Toteż, zgodnie z zasadami, musiał dokonać wyboru: sprawić, bym zginął z rąk jednego z jego dzieci albo spróbować przeciągnąć mnie na swoją stronę. Gdyby zdołał tego dokonać, rządziłby światem do kresu dni. To właśnie usiłował zrobić podczas naszego ostatniego spotkania. Oczywiście, gdyby zabił mnie ktoś inny – na przykład menada – Zły i tak zapanowałby nad światem. Czy zatem jej nie wysłał?

Stracharz patrzył na mnie z namysłem.

– Zły? To możliwe, chłopcze. Musimy bardzo uważać. Miałeś szczęście, że przeżyłeś atak.

Omiał mu nie przypominałem, że ocaliło mnie nie szczęście, lecz interwencja Alice. Ale uznałem, że lepiej ten fakt przemilczeć. To była ciężka noc, niczego bym nie zyskał, irytując mistrza.

\*

Następnej nocy nie mogłem spać. Po jakimś czasie wstałem z łóżka, zapaliłem świecę i znów zacząłem czytać list od mamy, który dostałem wiosną.

*Mój drogi Tomie,*

*Po długiej i ciężkiej walce z mrokiem w mojej ojczyźnie, zbliża się przełomowa chwila. Mamy jednak wiele do omówienia, muszę też odstąpić przed tobą pewne sprawy i o coś poprosić. Potrzebuję czegoś od ciebie. A także twojej pomocy. Gdyby w jakikolwiek sposób dało się tego uniknąć, nie prosiłbym cię. Ale tę rozmowę musimy odbyć twarzą w twarz, nie listownie, toteż zamierzam wrócić do domu z krótką wizytą, w przeddzień letniego*

*przesilenia.*

*Napisałam do Jacka, informując go o moim przyjeździe, liczę zatem, że zobaczymy się na farmie w ustalonym dniu. Tymczasem przykładaj się do nauki, synu i nie trać otuchy, nieważne, jak mroczna wydaje się przyszłość. Jesteś silniejszy, niż zdajesz sobie sprawę.*

*Całuję,*

*Mama.*

Do przesilenia letniego pozostał niecały tydzień – wkrótce ruszymy ze stracharzem na południe, by odwiedzić farmę mego brata Jacka i spotkać się z mamą. Tęskniłem za nią, nie mogłem się już doczekać, kiedy ją zobaczę. A do tego bardzo chciałem się dowiedzieć, czego ode mnie oczekuje.

## **ROZDZIAŁ 2**

### **BESTIARIUSZ STRACHARZA**

Następnego ranka powróciliśmy do codziennych lekcji. Już trzeci rok terminowałem u mojego mistrza, ucząc się walczyć z mrokiem: podczas pierwszego roku skupialiśmy się na boginach, podczas drugiego na wiedźmach, teraz główny temat stanowiła „Historia mroku”.

– No dobrze, chłopcze, szykuj się do notowania – polecił stracharz, drapiąc się po brodzie.

Otworzyłem notatnik, zanurzyłem pióro w kałamarzu i czekałem. Siedziałem na ławce w zachodnim ogrodzie. Był słoneczny letni ranek, na błękitnym niebie nie dostrzegłem nawet jednej chmurki. Dokładnie przed nami wznosiły się wzgórza, pokryte białymi plamkami owiec; zewsząd dobiegały ptasie śpiewy i miłe, senne brzęczenie owadów.

– Jak już wspominałem, chłopcze, mrok w różnych miejscach i w różnych czasach ukazuje się pod różnymi postaciami. – Stracharz zaczął jak zwykle przechadzać się tam i z powrotem przed ławką. – Jak jednak wiemy, a słono za tę wiedzę

zapłaciliśmy, najgroźniejszym aspektem mroku w Hrabstwie i na całym szerokim świecie jest Zły.

Serce zabiło mi gwałtownie, gardło ścisnęło się nagle, bo przypomniałem sobie nasze ostatnie spotkanie. Zły wyjawiał mi wówczas straszliwy sekret. Oznajmił, że Alice jest jego córką – córką Diabła. Niełatwo było mi w to uwierzyć. Alice przecież stała się moją najbliższą przyjaciółką i kilka razy ocaliła mi życie. Jeśli Zły faktycznie wyznał prawdę, stracharz miał rację, wypędzając ją: nigdy już nie będziemy mogli być razem. Myśl ta wydawała się nie do zniesienia.

– Lecz choć Zły oznacza największe zagrożenie – podjął stracharz – istnieją też inni mieszkańcy mroku, potrafiący z pomocą czarownic, magów oraz różnych nieprawych osób przedostawać się przez portale do naszego świata. Wśród nich znajdują się Starzy Bogowie, tacy jak Golgoth, z którym, jak zapewne pamiętasz, rozprawiliśmy się na moczarach Anglezarke.

Przytaknąłem. Nie zapominałem ówczesnej ciężkiej przeprawy, ledwie uszedłem wtedy z życiem.

– Cieszymy się, że Golgoth znów zasnął – dodał mój mistrz. – Ale inni bynajmniej nie śpią. Weź na przykład ojczyznę twojej mamy, Grecję. Jak już mówiłem wczoraj, od niepamiętnych czasów nęka ją groźna bogini o imieniu Ordyna, czczona przez menady. Niezliczoną liczbę razy doprowadzała tam do ogromnych rzezi. Bez wątplenia to właśnie z nią próbuje rozprawić się twoja mama. Niewiele wiem o Ordynie. Najwyraźniej jednak pojawia się wraz ze swymi wyznawcami, którzy zabijają wszystko, co istnieje w promieniu wielu mil. A menady, zazwyczaj rozproszone po całej Grecji, gromadzą się tłumnie, wypatrując jej przybycia. Są niczym sępy, gotowe pożerać ciała martwych i umierających. Dla nich to urodzajne żniwa, nagroda za cześć oddawaną Ordynie, a także jej poplecznikom. Bez wątplenia twoja mama będzie nam miała wiele do opowiedzenia – w moim bestiariuszu pozostało sporo pustych kart, czekających na wypełnienie.

Bestiariusz stracharza, jedna z największych i najciekawszych



ksiąg w bibliotece, wypełniały opisy najróżniejszych złowrogich stworzeń. Nadal jednak pozostawało w nim mnóstwo luk, więc mistrz starał się przy każdej okazji uzupełniać swoją wiedzę.

– Wiem jednak, że w odróżnieniu od innych Starych Bogów, Ordyna nie potrzebuje ludzkiej pomocy, aby przejść przez portal wiodący do naszego świata. Nawet Zły musiał posłużyć się czarownicami z Pendle. Ona jednak przeprawia się, kiedy tylko zechce – i tak samo powraca.

– A ci popiecznicy, którzy jej towarzyszą, jak wyglądają? – spytałem.

– To mieszkańcy mroku: demony oraz żywiolaki. Demony zwykle przypominają z wyglądu mężczyzn i kobiety, dysponują jednak niewiarygodną siłą, w dodatku są niezmiernie okrutne. Poza tym Ordynie towarzyszą wengiry – latające lamie. Tak wiele wengir do niej dołączyło, że tylko nieliczne pozostały na swobodzie – żyją samotnie bądź w parach, jak siostry twojej mamy. Wyobraź sobie, jaki to widok, gdy przybywa Ordyna – chmara owych stworzeń, opadających z nieba i rozszarpujących ciała ofiar! Lepiej o tym nie myśleć, chłopcze!

Bez wątplenia. Dwie siostry mamy byty latającymi lamiami. W bitwie o Wzgórze Pendle walczyły po naszej stronie, siejąc grozę w szeregach trzech klanów czarownic.

– O tak, Grecja to niebezpieczne miejsce. Twoja mama ma tam wiele trosk... Są jeszcze dzikie lamie – te, które biegają na czterech nogach. W Grecji bardzo pospolite, zwłaszcza w górach. Radzę, byś po zakończeniu lekcji poszedł do biblioteki, przeczytał o nich w bestiariuszu, uzupełnił swą wiedzę i streścił wszystko w notatniku.

– Wspominał pan o tym, że Ordynie towarzyszą też „żywiolaki”? Co to takiego? – spytałem.

– Żywiolaki ognia: coś, czego nie mamy w Hrabstwie, chłopcze. O nich jednak opowiem ci kiedy indziej. Na razie zajmijmy się lepiej nauką Dawnej Mowy, to znacznie trudniejszy język niż łacina czy greka.

\*

Stracharz miał rację: reszta lekcji okazała się tak trudna, że rozboleła mnie od niej głowa. Wiedziałem jednak, że nauka Dawnej Mowy ma ogromne znaczenie: posługiwali się nią Starzy Bogowie i ich uczniowie, w niej także pisano grimoiry: księgi czarnej magii, używane przez nekromantów.

Ucieszyłem się, kiedy lekcja dobiegła końca, bo mogłem pójść do biblioteki mistrza. Bardzo lubiłem ją odwiedzać. Biblioteka stanowiła oczko w głowie stracharza, odziedziczył ją wraz z domem po swym własnym mistrzu, Henrym Horrocksie. Niektóre z tych ksiąg należały do stracharzy z wcześniejszych pokoleń, inne napisał sam John Gregory. Zawarł w nich wiedzę zgromadzoną przez wszystkie lata praktykowania fachu i walki z mrokiem.

Stracharz zawsze martwił się, że coś złego może spotkać księgi: kiedy Alice mieszkała z nami, polecił dziewczynie przepisywać zawartość ręcznie. Pan Gregory uważał, że jednym z jego najważniejszych obowiązków jest zachowanie biblioteki dla przyszłych stracharzy i nieustanne wzbogacanie owego źródła wiedzy.

Na regałach stały tysiące tomów, ja jednak skierowałem się wprost ku bestiariuszowi. Zawierał w sobie spisy najróżniejszych stworzeń, od boginów i demonów po żywiołaki i czarownice, a także osobiste relacje oraz szkice opisujące, jak stracharz poradził sobie z daną istotą. Przerzucałem kartki, póki nie dotarłem do lamii.

*Pierwsza Lamia była potężną czarodziejką wielkiej urody. Kochała Zeusa, przywódcę Starych Bogów, żonatego z boginią Herą. Nierozważna Lamia urodziła Zeusowi dzieci. Odkrywszy to, w szale zazdrości Hera zabiła wszystkie, prócz jednego. Oszalała z żalu, Lamia zaczęła zabijać każde dziecko, które napotkała, tak że strumienie i rzeki spłynęły krwią, a powietrze drżało od rozpaczliwych krzyków rodziców. W końcu bogowie ukarali nieszczęsną, odmieniając jej postać. Dolna połowa ciała wydłużyła się i porosła łuskami, jak u węża.*

*Tak odmieniona, skupiła się teraz na młodych mężczyznach. Nawoływała ich na leśnych polanach, ukazując sponad bujnej trawy jedynie piękną głowę i ramiona. Kiedy zwabiła któregoś blisko, oplatała ciasno ofiarę węzowymi splotami, wyciskając z*

*bezradnego ciała oddech i wbijała zęby w szyję, wysysając krew do ostatniej kropli.*

*Później Lamia znalazła sobie kochanka, imieniem Chaemog, pajęczego stwora, żyjącego w najgłębszych jaskiniach ziemi. Urodziła mu trojaczki, dziewczynki: to właśnie były pierwsze lamie. W dniu trzynastych urodzin posprzeczały się z matką. Po straszliwej kłótni wyrwały jej ręce i rozszarpały ciało na części. Szczątkami, łącznie z sercem, nakarmiły stado dzików.*

Następnie księga opisywała różne odmiany lamii – ich wygląd, zachowanie i, co najważniejsze dla stracharza, podawała wskazówki, jak się z nimi rozprawić. Wiedziałem już o lamiach całkiem sporo. Stracharz przez wiele lat mieszkał z udomowioną lamią, Meg, a jej dziką siostrę, Marcję, przetrzymywał w jamie w piwnicy domu w Anglezarke. Obie powróciły do Grecji, lecz podczas pobytu w Anglezarke sporo się o nich dowiedziałem.

Czytałem dalej, sporządzając zwięzłe notatki. Powtórka bardzo mi się przydała. Znalazłem wzmiankę o latających lamiach, zwanych wengirami, o których wcześniej wspominał stracharz, i moje myśli powędrowały ku mamie. Już jako małe dziecko wiedziałem, że różni się od innych. Mówiła z lekkim akcentem, świadczącym, że nie urodziła się w Hrabstwie. Unikała promieni słońca, za dnia często zaciągała w kuchni zasłony.

Z czasem moja wiedza na temat mamy rosła. Dowiedziałem się, jak tato ruszył jej na ratunek w Grecji. A potem usłyszałem od mamy, że jestem wyjątkowy. Będąc siódmym synem siódmego syna, stanowiąc jej dar dla Hrabstwa, broń w walce z mrokiem. Nadal jednak brakowało mi ostatnich elementów układanki. Do jakich właściwie istot zaliczała się mama?

Siostry mamy okazały się wengirami – latającymi dzikimi lamiami, które, jak dopiero co tłumaczył stracharz, rzadko spotyka się poza portalem Ordyny. Obecnie przebywały w wieży Malkinów, strzegły skrzyń mamy, zawierających pieniądze, mikstury i księgi. Uznałem zatem, że mama najprawdopodobniej także jest lamią. I pewnie wengirą. To wydawało się najprawdopodobniejsze.

Oto kolejna tajemnica, którą musiałem rozwiązać – choć nie mogłem spytać wprost. Wyglądało, że mama będzie musiała powiedzieć mi to sama. I możliwe, że już niedługo poznam odpowiedź.

Późnym popołudniem, gdy stracharz dał mi parę godzin wolnego, wybrałem się na przechadzkę po wzgórzach: wdrapałem się wysoko na Pikę Parlicka, skąd śledziłem cienie chmur, przepływające powoli dnem doliny, słuchając charakterystycznych

krzyków czajek.

O, jakże tęskniłem za Alice! Spędziliśmy tu wspólnie wiele szczęśliwych godzin, spacerując i podziwiając widoki rozciągającego się pod nami Hrabstwa. Samotne przechadzki to nie to samo. Nie mogłem się już doczekać końca tygodnia, kiedy wraz ze stracharzem wyruszymy na farmę Jacka. Bardzo chciałem znów zobaczyć mamę i dowiedzieć się, czego ode mnie chce.

## ROZDZIAŁ 3

### ODMIENIEC?

Rankiem, tego dnia, gdy mieliśmy ruszyć w drogę, poszedłem do wioski Chipenden, by odebrać od piekarza, kramarza i rzeźnika tygodniowe zakupy stracharza – ostatecznie miało nas nie być zaledwie kilka dni. W ostatnim sklepie poinformowałem właściciela, rosłego, rudobrodego mężczyznę, że jeśli podczas naszej nieobecności zjawi się ktoś mający interes do stracharza i uderzy w dzwon na rozstajach, będzie musiał zaczekać.

Wracałem przez wieś z workiem znacznie lżejszym niż zazwyczaj, bo wciąż brakowało jedzenia. Na południu Hrabstwa nadal szalała wojna, wieści nie były najlepsze. Nasze wojska wycofywały się, konfiskując tak wiele zapasów, że biedacy niemal już głodowali. Zauważyłem, że Chipenden wygląda jeszcze gorzej niż poprzednio. Widziałem więcej głodnych twarzy, niektóre domy stały puste. Zamieszkujące je rodziny wyruszyły na północ w poszukiwaniu lepszego życia.

\*

Stracharz od początku narzucił szybkie tempo. Mimo jednak, że jak zwykle dźwigałem swoją laskę i obie nasze torby, nie wadził mi pośpiech. Nie mogłem się doczekać spotkania z mamą. Lecz po jakimś czasie, gdy zrobiło się trochę cieplej, stracharz przestał się spieszyć. Ciągle go wyprzedzałem, musiałem czekać, aż mnie dogoni. Wreszcie zaczął okazywać irytację.

– Zwolnij, chłopcze! Zwolnij! – uskarżał się. – Moim starym kościom brakuje już sił, by tak pędzić. Wyruszyliśmy w drogę dzień wcześniej: twoja mama nie zjawi się przed letnim przesileniem!

Późnym wieczorem drugiego dnia, nim jeszcze dotarliśmy na szczyt Wzgórza Wisielców, ujrzałem dym wznoszący się w niebo od strony farmy. Przez moment strach zmroził mi serce. Przypomniałem sobie zeszłoroczną napaść czarownic z Pendle: spaliły wówczas stodołę do gołej ziemi, splądrowały dom i porwały Ellie, Jacka oraz małą Mary.

Gdy jednak rozpoczęliśmy wędrówkę w dół między drzewami, ponad północnym pastwiskiem, ujrzałem coś, co miast strachu obudziło zdziwienie. Na południe od farmy płonęły ogniska – na oko jakiś tuzin – a powietrze przesycala woń drzewnego dymu i jedzenia. Co za ludzie rozbili obóz na polach Jacka? Wiedziałem, że nie przyjąłby na farmie obcych, zastanawiałem się zatem, czy ma to coś wspólnego z mamą.

Ale nie miałem zbyt wiele czasu na rozmyślania, bo natychmiast wyczułem, że mama jest już w domu. Z komina w błękitne niebo wlatywała wątła smużka brązowego dymu. Ogarnęło mnie dziwne ciepło. W jakiś sposób wiedziałem, że wróciła!

– Mama już tu jest, jestem tego pewien! – powiedziałem stracharzowi.

W moich oczach zalśniły łzy. Tak bardzo za nią tęskniłem! Nie mogłem się doczekać chwili, kiedy ją zobaczę.

– Owszem, chłopcze, może i masz rację. Idź pierwszy, przywitaj się. Macie wiele do omówienia, pewnie zechcecie zrobić to w cztery oczy. Ja zaczekam tutaj.

Uśmiechnąłem się, przytaknąłem, pobiegłem zadrzewionym zboczem w stronę nowej stodoły. Nim jednak dotarłem na podwórze, zza rogu wyłonił się mój brat Jack. Stał na ścieżce. Kiedy widziałem go ostatnio, był ciężko chory po tym, jak czarownice, które napadły na farmę i ukradły skrzynie mamy, niemal zatłukły go na śmierć. Teraz, ogorzały od słońca, wyglądał

znów zdrowo i silnie, a brwi miał jeszcze bardziej krzaczaste niż zwykle. Chwycił mnie w niedźwiedzi uścisk, o mało nie pozbawiając tchu.

– Dobrze cię widzieć, Tom! – wykrzyknął, odsuwając mnie na wyciągnięcie rąk. Uśmiechał się szeroko.

– Cieszę się, że jesteś zdrowy i silny, Jack – odparłem.

– I to dzięki tobie. Ellie opowiedziała mi o wszystkim. Gdyby nie ty, leżałbym teraz sześć stóp pod ziemią.

Wraz z Alice pomogłem uratować Jacka oraz jego rodzinę z wieży Malkinów.

– Mama już wróciła, prawda? – dopytywałem się, podekscytowany.

Jack przytaknął, lecz z jego twarzy zniknął uśmiech. Wyczułem w nim niepokój, na twarzy mojego brata malowały się niepewność i smutek.

– Owszem, wróciła, Tom, nie może się już doczekać waszego spotkania. Ale muszę cię uprzedzić, że się zmieniła...

– Zmieniła? Co to znaczy, zmieniła?

– Z początku ledwie ją poznałem. Ma w sobie coś dzikiego, zwłaszcza w oczach. I wydaje się młodsza, jakby zrzuciła z siebie brzemię lat. Wiem, że to brzmi nieprawdopodobnie, ale tak jest...

Choć milczałem, aż za dobrze wiedziałem, że to może być prawda. Lamie nie starzeją się tak jak ludzie. Jak tłumaczył bestiariusz stracharza, lamie posiadają dwie postaci i powoli przeistaczają się z jednej w drugą. Możliwe, iż mama przechodziła stopniowy powrót do stanu dzikiego. Niepokojąca i przerażająca wizja, wołałem o niej nie myśleć.

– Tom, z powodu swojej pracy znasz się na takich rzeczach. Czy ona może być odmieńcem? – spytał niespokojnie Jack; jego twarz wykrzywił grymas strachu i wątpliwości. – Kiedy była w Grecji, coś mogło się zdarzyć. Może została schwyтана przez gobliny i podmieniona na jednego z nich.

– Nie, Jack. Oczywiście, że nie – zapewniłem go szybko. – Coś takiego jak gobliny nie istnieje, to tylko przesąd. Nie martw się, na

pewno w grę wchodzi tylko, wpływ ciepłego greckiego słońca. Pójdę się z nią zobaczyć, potem porozmawiamy. Gdzie James?

– Zajęty. Zarabia w kuźni więcej niż ja na farmie. Ale z pewnością znajdzie czas dla swego najmłodszego brata.

James mieszkał tutaj, pomagał Jackowi w obowiązkach, lecz na życie zarabiał jako kowal. Wyglądało, że nowa kuźnia cieszy się dużą popularnością.

– Co za ludzie obozują na południowej łące? – zapytałem, przypomniawszy sobie ogniska widziane z Wzgórza Wisielców.

Jack skrzywił się, gniewnie pokręcił głową.

– Lepiej spytaj o nich mamę! – odparował. – Ale powiadam ci, nie mają prawa tu być. Najmniejszego prawa! To czarownice z Pendle. I pomyśleć, że po tym, co się zdarzyło rok temu, rozbiły obóz na moim polu!

– Czarownice?

Trudno się dziwić, że się złościł. W zeszłym roku czarownice z Pendle zgotowały Jackowi oraz jego rodzinie prawdziwe piekło. A skoro tak, czemu mama dopuściła je tak blisko farmy? Wzruszyłem ramionami i pomaszerowałem przez podwórze. Tuż za stodołą, z tyłu domu, ujrzałem nowy budynek i Jamesa, który pracował w kuźni, zwrócony do mnie plecami. Na zewnątrz farmer przytrzymał wodze konia, czekającego na podkucie. O mało nie krzyknąłem do Jamesa, ale za bardzo się spieszyłem na spotkanie z mamą.

Kiedy podszedłem do domu zdziwiłem się, widząc kwitnącą pnącą różę mamy. Podczas mego ostatniego pobytu wydawało się, że umarła. Gdy Zły zaatakował dom, próbując mnie zabić, oderwał od ściany poczerniałe, zasuszone pędy. Teraz jednak nowe zielone łodygi wspinały się po kamieniach. Kilka pąków już rozkwitło, lśniąc w promieniach słońca jaskrawą czerwienią.

Przystanąłem przy tylnych drzwiach, zastukałem lekko. Choć urodziłem się tu i wychowałem, nie był to już mój dom, więc uprzejmość nakazywała zapukać.

– Wejdz, synu! – zawołała mama. Na dźwięk jej głosu do oczu

napłynęły mi łzy, a gardło ścisnęło się gwałtownie. Tak bardzo za nią tęskniłem!

Wszedłem do kuchni, znaleźliśmy się twarzą w twarz.

Siedziała na stołku i mieszała gotujący się w dużym garnku nad ogniem gulasz barani. Jak zwykle zaciągnęła zasłony, chroniąc się przed słońcem. Lecz nawet w półmroku, kiedy podniosła się i postąpiła krok ku mnie, zrozumiałem, co miał na myśli Jack, mówiąc, że się zmieniła.

Uśmiech miała ciepły, lecz twarz nieco wychudłą, kości policzkowe wyraźniejsze niż wcześniej. W czarnych włosach nie dostrzegłem już śladów siwizny. Naprawdę wyglądała młodziej niż wtedy, gdy widziałem ją po raz ostatni, półtora roku wcześniej. Lecz w oczach jej kryło coś dzikiego, udręka oraz niepokój.

– Ach, synu – mruknęła, po czym objęła mnie i przyciągnęła do siebie. Poczułem, jak ogarnia mnie jej ciepło. Zaszlochałem w głębi gardła.

Przytrzymując mnie, pokręciła głową.

– Usiądź, synu i bądź dzielny. Dobrze jest znów się spotkać, ale mamy sobie wiele do powiedzenia. Oboje musimy myśleć jasno.

Przytaknąłem, usiadłem naprzeciwko niej przy palenisku, czekając, co mi powie. Rozpaczliwie chciałem spytać o Alice, o to, czy moja przyjaciółka faktycznie może być córką Złego, ale sprawy mamy liczyły się bardziej. Musiała mieć bardzo ważny powód, skoro przybyła na spotkanie aż tutaj, do Hrabstwa.

– Jak się miewasz, Tomie? Jak tam twój mistrz?

– Doskonale, mam. Doskonale. Obaj jesteśmy zdrowi i silni. A ty? Co porabiałaś w Grecji?

– Było ciężko, synu... – Zająknęła się. Z twarzy mamy wyczytałem targające nią emocje. Przez moment wyglądała na zbyt poruszoną, by mówić, potem jednak odetchnęła głęboko, uspokoiła się. – Od razu przejdę do rzeczy. Odwiedziłam już wieżę Malkinów w Pendle. Zabrałam worki z pieniędzmi, przechowywane w skrzyniach. Pierwotnie przeznaczyłam je dla ciebie, by pomóc ci w twym zadaniu tu, w Hrabstwie. Ale w mojej ojczyźnie sytuacja



bardzo się pogorszyła. Dotarliśmy do punktu krytycznego. Rozpaczliwie potrzebuję pieniędzy, by sfinansować to, co niezbędne, by zapobiec straszliwej katastrofie. Zgodzisz się przekazać mi je z powrotem?

– Oczywiście, mam! Przecież i tak są twoje. Zrób z nimi, co tylko uznasz za najlepsze. Mają ci pomóc w walce z Ordyną?

– Istotnie, synu. Istotnie. Mistrz opowiadał ci, z czym mamy do czynienia w Grecji?

– Niewiele wie o Ordynie. Miał nadzieję, że uzupełnisz jego wiedzę. Czekają na Wzgórzu Wisielców, abyśmy my mogli pomówić na osobności, ale potem chciałby z tobą porozmawiać.

– Cóż, tyle przynajmniej mogę dla niego zrobić – choć lękam się, że po tej rozmowie nasze stosunki mogą się pogorszyć. Twój mistrz to dobry człowiek i ma swoje zasady: nie pogodzi się z tym, co planuję. Ale pożyjemy, zobaczymy. Może zrozumie, że tak będzie najlepiej. Co sprowadza mnie do drugiej rzeczy, o którą chciałabym cię prosić. Potrzebuję ciebie, mój synu. Chcę, byś wrócił ze mną do Grecji i pomógł mi walczyć z tamtejszym mrokiem. Inni także pomogą, ale ty dysponujesz szczególnym darem, który może zdecydować o wyniku bitwy. Gdybym mogła tego uniknąć, zrobiłabym to. Ale muszę spytać, czy pojedziesz ze mną do mojej ojczyzny?

Jej słowa mnie zdumiały. Miałem obowiązek wobec Hrabstwa, a mama zawsze życzyła sobie, bym został uczniem stracharza. Skoro jednak potrzebowała pomocy w innym miejscu, jakże mogłem odmówić?

– Oczywiście, pojedę z tobą, mam. Czy pan Gregory wyruszy z nami, czy będę musiał na jakiś czas zrezygnować z nauki u niego?

– Mam szczerą nadzieję, że wyruszy z nami, synu. Decyzja jednak należy do stracharza. Nie potrafię przewidzieć, jak zareaguje.

– Co właściwie planujesz? – spytałem. – Po co potrzebne ci pieniądze?

– Wszystkiego dowiesz się w stosownym czasie – odparła

mama. Od razu wiedziałem, że nie powinienem już dalej naciskać.

– Mamo, jest jedna rzecz, o którą muszę cię spytać – oznajmiłem. – Chodzi o Alice...

Obserwowałem, jak jej twarz się zmienia. Przed chwilą surowa i rzeczowa, teraz nagle złagodniała, a oczy mamy przepełnił smutek. Nim jeszcze zadałem pytanie, bałem się najgorszego.

– Zły twierdził, że Alice to jego córka. On kłamie, prawda, mamo? Z pewnością kłamie, przyznaj?

Mama popatrzyła na mnie. Zauważyłem, że do jej oczu napłynęły łzy.

– Tym razem Zły nie kłamie, synu. Boli mnie to, co muszę powiedzieć, bo wiem, jak bardzo zależy ci na Alice. Ale to prawda. Alice zalicza się do grona córek Diabła.

Serce ścisnęło mi się w piersi.

– To nie znaczy, że musi koniecznie należeć do mroku, synu. Każdy z nas ma szansę na odkupienie. Szansę ocalenia. Alice także...

– Od jak dawna wiedziałaś? – spytałem cicho. Jej słowa nawet mną nie wstrząsnęły. Chyba gdzieś w głębi duszy znałem prawdę.

– Od pierwszej chwili, gdy ją ujrzałam, synu, kiedy sprowadziłeś ją tu, na farmę.

– Już wtedy wiedziałaś, mamo? I nie uprzedziłaś mnie? – Skinęła głową. – Ale przecież mówiłaś różne rzeczy. Rzeczy, które teraz tracą sens: że jesteśmy z Alice przyszłością i nadzieją Hrabstwa i że mój mistrz będzie potrzebował nas obojga u swego boku. Dlaczego to powiedziałaś?

Mama znów wstała z miejsca, położyła mi dłonie na ramionach i spojrzała prosto w oczy, stanowczo, lecz łagodnie.

– Wciąż upieram się przy moich słowach, synu. Alice bardzo na tobie zależy. Właśnie to uczucie, jak dotąd, chroniło ją przed szponami mroku.

– Skontaktowała się ze mną parę dni temu. Ostrzegła, że w ogrodzie stracharza zjawiała się zabójcza menada. Gdyby nie ona, już bym nie żył.

Dostrzegłem niepokój na twarzy mamy, lęk w jej oczach.

– Menada? Widziałam, że zdają sobie sprawę z zagrożenia, jakie dla nich stanowią... – wymamrotała. Wyprostowała się szybko. – Choć nie spodziewałam się, że dowiedzą się o twoim istnieniu i przyślą kogoś do Hrabstwa. Ciemność przesłania mój szósty zmysł. Nie dostrzegam rzeczy, które powinnam widzieć. A dzieje się to w najgorszym możliwym momencie...

Sprawiała wrażenie naprawdę zaniepokojonej.

– Mamo, choć ta menada przybyła z Grecji, nie rozumiałem ani jednego z jej słów.

– W moim kraju ludzie mówią wieloma dialektami. No i musisz też wziąć pod uwagę jej morderczy szal. Rozmowa z menadami to trudna sprawa, bo kierują się emocjami, nie rozumem. Słuchają jedynie własnego wewnętrznego głosu. Ale nie wolno ich nie doceniać. To bardzo potężna gromada, bo jest ich wiele. Musimy podziękować Alice, że ocaliła ci życie. Kiedy zrozumie, że mimo pochodzenia nie została skazana na los ohydnej wiedźmy, Alice może okazać się groźnym przeciwnikiem dla własnego ojca. Być może we dwójkę w końcu zdołacie go pokonać.

– We dwójkę? Pan Gregory nigdy się na to nie zgodzi.

– Lękam się, że możesz mieć rację, synu. Niełatwo mu też będzie zaakceptować to, co zamierzam... – i znów umilkła, nie mówiąc o swoich planach. Dlaczego je ukrywała?

– Na południowej łące widziałem ogniska. – Wbiłem wzrok w twarz mamy. – Jack mówi, że to czarownice z Pendle. Chyba się myli, mamo?

– Nie, Tom, on się nie myli. Potrzebujemy ich, synu. Potrzebujemy ich pomocy.

– Czarownic, mamo? Zawarliśmy sojusz z wiedźmami? – Powoli zaczęło do mnie docierać znaczenie tego, co zrobiła mama. Wolałem nie myśleć, jak zareaguje stracharz.

– Wiem, że po tym, czego nauczył cię mistrz, trudno ci pogodzić się z nieuniknionym. – Mama położyła mi dłoń na ramieniu. – Ale bez nich nie uda nam się zwyciężyć. To takie proste. A musimy

zwyciężyć, naprawdę musimy. Musimy pokonać Ordynę. Nie możemy sobie pozwolić na porażkę. Bo jeśli przegramy, nie tylko losy Hrabstwa staną pod znakiem zapytania, ale i przyszłość całego świata. Idź, sprowadź do mnie mistrza. A potem trzymaj się z daleka, ja tymczasem spróbuję go przekonać.

\*

Zrobiłem, jak kazała – poszedłem na Wzgórze Wisielców, poinformowałem stracharza, że mama chce z nim mówić. Nie zdradziłem się z niczym więcej, możliwe jednak, że mistrz odczytał coś w mojej twarzy, bo maszerując w stronę farmy nie sprawiał wrażenia uszczęśliwionego.

Pozostawiwszy go w kuchni z mamą, ruszyłem na niewielki pagórek, z którego mogłem przyjrzeć się ogniskom wiedźm na południowym pastwisku. Lekki wiatr przy wie wał ku mnie zapachy jedzenia – potrawki z królika. W Hrabstwie brakowało żywności, więc mężczyźni tak bardzo przetrzebili króliki, że trudno je było znaleźć. Bez wątpienia jednak nasi goście z Pendle mieli własne, mroczne sposoby.

Przypomniałem sobie wcześniejsze spotkania z czarownicami. Zadrzałem ze zgrozy. Pamiętałem, jak siedziałem uwięziony w jamie, podczas gdy Koścista Lizzie ostrzyła noże, szykując się do wycięcia kości z mojego ciała. A także ową straszną chwilę, gdy Mab Mouldheel przyłożyła nóż do gardła maleńkiej Mary, gotowa ją zabić, gdybym nie oddał kluczy do skrzyni mamy.

Bezecne wiedźmy to bezlitosne stwory mroku, zabijające niewinnych i posługujące się ich krwią i kośćmi w rytuałach magicznych. Zatem Ordyna musi być naprawdę straszliwa, skoro mama zdecydowała się zawrzeć przymierze z takimi potworami. Ale czy mogłem ją winić? Ja także musiałem zgodzić się na kompromis i walczyć u boku Grimalkin, by pokonać Morwenę oraz bandę wodnych wiedźm.

Z zamyślenia wyrwał mnie głośny trzask tylnych drzwi. Po chwili ujrzałem stracharza: z twarzą niczym gradowa chmura maszerował przez podwórze, pobiegłem ku niemu, on jednak

skrzywił się i skręcił na północ, nim do niego dotarłem.

– Chodź ze mną, chłopcze: musimy porozmawiać! – warknął przez ramię, kierując się w stronę Wzgórza Wisielców.

Przeciąwszy północne pastwisko na granicy farmy Jacka, przystanął i odwrócił się ku mnie.

– Co się stało? – spytałem, dogłębnie zaniepokojony. – Coś nie tak?

Byłem pewien, że jego rozmowa z mamą źle się potoczyła.

– Coś nie tak, chłopcze? Wszystko nie tak. Wszystko! Wiesz, co myślę o konszachtach z mrokiem. Nie wolno na nie pozwolić. Nie wolno zawierać sojuszy z czarownicami oraz im podobnymi, nie wolno liczyć, że samemu uniknie się splamienia, że uda się uniknąć wciągnięcia w mrok. A szczególnie ty, chłopcze, nie możesz ryzykować. Tego właśnie pragnie Zły, często ci powtarzałem. Czeka cię zatem ważna decyzja. Dobrze się zastanów.

– Nad czym?

– Nad tym, co proponuje twoja mama. Rozważ sens wyprawy do Grecji, rozważ sens połączenia sił z czarownicami i... cóż... pozwolę, by sama powiedziała ci resztę. Ja nie mogę: słowa uwięzłyby mi w gardle. Wracam prosto do Chipenden. Jeśli w ciągu trzech dni się nie zjawisz, będę wiedział, że zdecydowałeś się wysłuchać prośb mamy. W takim przypadku twój termin u mnie dobiegnie końca!

– Proszę! – zawołałem, podążając za nim przez granicę. – Niech pan nie odchodzi. Nie możemy się nad tym wspólnie zastanowić?

– Zastanowić? Nad czym tu się zastanawiać? Twoja mama związała się z czarownicami z Pendle. Wszystko jest jasne jak słońce, chłopcze. Pomyśl zatem dobrze, zanim dokonasz wyboru. Ja już zrobiłem, co trzeba!

To rzekłszy, odwrócił się i wdrapał na ogrodzenie. Nie oglądając się za siebie, ruszył ku szczytowi wzgórza. Patrzyłem, jak znika między drzewami. Nie mogłem uwierzyć w to, co usłyszałem. Odmawiał mi dalszej nauki? Jak mógł to zrobić po wszystkim, co razem przeszliśmy? Byłem wstrząśnięty, wściekły i urażony. Nie

zasłużyłem.

Wróciłem na dół, skierowałem się wprost do kuchni. Musiałem pomówić z mamą i spróbować wszystko wyprostować.

## ROZDZIAŁ 4

### DECYZJE

– Twój mistrz bardzo źle to przyjął – oznajmiła mama na mój widok. – Gorzej nawet, niż przypuszczałam.

– Wrócił do Chipenden, mamó. Mówi, że jeśli nie zjawię się w ciągu trzech dni, nastąpi koniec mojego terminu.

Mama westchnęła.

– Tego się obawiałam. Ale myślę, że całkiem nieźle dogadujesz się z Billem Arkwrightem.

– Kto ci o tym powiedział, mamó?

– Ludzie stale mówią mi różne rzeczy, synu. A czasami dowiaduję się sama. Przyjmijmy po prostu, że wiem, co się stało. Z początku źle zaczęliście, ale potem wszystko się poukładało i dobrze cię wyszkolił. Jeśli John Gregory nie zechce nadal pozostawać twoim mistrzem – podjęła mama – będziesz musiał zadowolić się Billem Arkwrightem. Billa również wzywam. Już po niego posłałam. Mam nadzieję, że zgodzi się dołączyć do nas i popłynąć do Grecji. Powinien zjawić się jutro, by ustalić szczegóły.

– Po co ci on w Grecji, mamó?

– To dobry stracharz, lecz nade wszystko ważne, że służył kiedyś w wojsku. Czeka nas olbrzymia bitwa. Będę potrzebowała siły, odwagi i zdolności taktycznych Arkwrighta. Poinformowałam go, iż jego obecność ma kluczowe znaczenie: będzie mógł zadać mrokowi potężniejszy cios niż wszystko, czego dokonałby przez sześćdziesiąt lat w służbie Hrabstwu.

Dobrze będzie znów pracować z Arkwrightem, pomyślałam. W czasie miesięcy spędzonych u niego, na północ od Caster,

zdecydowanie zmęźniałem. Może będę mógł kontynuować szkolenie fizyczne? Gdyby nie to, czego mnie nauczył, menada zapewne by mnie zabiła. Z drugiej strony będzie mi brakowało pracy z Johnem Gregorym. Był moim prawdziwym mistrzem, a także przyjacielem. Świadomość, że nigdy już nie uzna mnie za swego ucznia, bardzo mnie zasmuciła. Dom w Chipenden stał się także moim domem. Bill Arkwright, mimo swych rozlicznych zalet, nie zdoła zastąpić mojego mistrza.

– Opowiesz mi coś więcej o twojej nieprzyjaciółce Ordynie, mamó? Co sprawia, że jest tak niebezpieczna, czemu musisz pokonać ją w bitwie? Na czym polega zagrożenie, które wymaga pomocy ze strony tylu ludzi?

Mama na moment pochyliła głowę, jakby nie miała ochoty mówić. Potem jednak spojrzała mi w oczy. Wyraźnie podjęła decyzję.

– Ordyna stale łaknie krwi, synu. A kiedy odwiedza nasz świat przez portal w wielkiej cytadeli Ordzie, towarzyszą jej inne istoty – demony, żywiołaki ognia i wengiry – równie spragnione ludzkiej krwi. Gina wtedy tysiące niewinnych – mężczyzn, kobiet, nawet dzieci. A Ordyna rośnie w siłę. Każda kolejna wizyta w naszym świecie przynosi więcej i więcej ofiar.

– To się przedstawia gorzej, niż sprawa ze Złym.

– Nie, synu, Zły jest znacznie potężniejszy, ale nie popisuje się siłą. On powoli powiększa wpływy, stopniowo podsyca zło. Czyni świat mroczniejszym i niebezpieczniejszym miejscem, gdy zaciska na nim swe szpony. Planuje długofalowo, z wyprzedzeniem, dążąc do zdobycia całkowitej władzy. Ordyna natomiast nie robi żadnych dalekosiężnych planów, chce tylko do syta napić się krwi i wzbudzać grozę w każdym, z kim się zetknie. Wiele ofiar umiera na miejscu ze strachu, stając się łatwym łupem menad, rojących się wokół niej. To potężna służka mroku – nic w porównaniu ze Złym, ale jemu nie możemy jeszcze stawić czoła. Na razie musimy skupić się na najbliższym niebezpieczeństwie. Trzeba zniszczyć Ordynę, nim zdoła poszerzyć zasięg swojego portalu.

– Co masz na myśli, mamó?

– Ordyna od tysięcy lat odwiedza Grecję; materializuje się wyłącznie na równinach przed Meteorami, gdzie osiadły tysiące mnichów. Pojawia się co siedem lat, a każda kolejna wizyta okazuje się gorsza niż poprzednie. Mnisi modłami bronią swych klasztorów, próbują nie wypuścić Ordyny poza równinę. Lecz ona stopniowo wzrasta w siłę, a ich skuteczność maleje. Teraz zaś, kiedy Zły krąży po świecie, może liczyć na jego wsparcie. Mrok stał się potężniejszy. Na polecenie Złego dołącza do niej coraz więcej latających lamii: tym razem Ordyna bez wątpienia użyje ich, by zabić bezbronych mnichów mieszkających w klasztorach wysoko na skałach. Wówczas ustaną modły, które dotąd trzymały ją w szachu. Będzie mogła wyruszyć do innych krain.

– Zdołali ją zatrzymać wyłącznie z pomocą modlitw? A zatem modlitwy naprawdę działają?

– O tak, jeśli osoba modląca się czyni to w szlachetnej intencji i z czystym sercem. Wtedy jej modły wzmacniają światło. Choć osłabieni potężniejszym wciąż mrokiem, mnisi z Meteorów nadal stanowią mocarną armię dobra. Dlatego musimy uderzyć teraz, nim zostaną zniszczeni. Same modlitwy nie wystarczą już przeciw połączonym mocom Ordyny i Złego.

– Czyli tam właśnie się wybieramy, do mnisich cytadel w pobliżu Meteorów?

– Tak. Ord, jej forteca, zawsze materializuje się poprzez ognisty portal na południe od Meteorów, nieopodal niewielkiego, otoczonego murami miasta Kalambaka. Zdarza się to co siedem lat – z dokładnością do tygodnia. Tym razem musimy powstrzymać ją na zawsze. Jeśli nam się nie uda, następnym razem przybędzie tak potężna, że na świecie nie pozostanie żadne bezpieczne schronienie. Największe niebezpieczeństwo grozi jednak Hrabstwu. Jestem starą nieprzyjaciółką Ordyny. Jeżeli nie uda mi się jej zniszczyć, w odwecie unicestwi Hrabstwo. Zły powie jej, że siedmiu moich synów – wszystko, co kocham – mieszka tutaj, a ona zetrze was z powierzchni ziemi. Jej krwiożerczy wyznawcy odnajdą i



wymordują wszystkich. Dlatego właśnie za wszelką cenę musimy ją pokonać.

\*

Podczas kolacji mama zasiadła u szczytu stołu. Z apetytem zajadaliśmy przepyszny gulasz barani, a ona wydawała się radośniejsza, mniej niespokojna, mimo wszystkiego, co czekało nas w Grecji. Pamiętam to dobrze, bo wówczas po raz ostatni zasiadaliśmy wspólnie przy stole: mama, Jack, James, Ellie, mała Mary i ja.

Wcześniej rozmawiałem chwilę z Ellie i Jamesem. Mój brat sprawiał wrażenie uspokojonego, lecz Ellie zachowywała się z lekką rezerwą, bez wątplenia z powodu czarownic obozujących na południowym pastwisku. Teraz, w trakcie kolacji, wyczuwałem w powietrzu napięcie – zdawało się promieniować głównie od Jacka.

Przed posiłkiem odmówił modlitwę; wszyscy oprócz mamy odpowiedzieliśmy amen. Ona jedynie zaczęła cierpliwie, wbijając wzrok w obrus.

– Cudownie jest znów być z wami – rzekła, kiedy skończyliśmy.  
– Żałuję tylko, że nie ma tutaj waszego biednego taty. Ale powinniśmy wspominać szczęśliwsze chwile.

Tato zmarł zimą, podczas pierwszego roku mojego terminu. Płuca odmówiły mu posłuszeństwa i nawet uzdrowicielskie zdolności mamy nie zdołały go ocalić. Odejście męża zniosła bardzo ciężko.

– Chciałabym, by mogli nas odwiedzić moi pozostali synowie – ciągnęła ze smutkiem. – Ale każdy ma teraz własne życie i własne kłopoty. Stale jednak o nich myślimy i nie wątpię, że oni także...

Choć przy stole brakowało nas tak wielu, mama gawędziła pogodnie. Lecz napięcie stopniowo narastało. Widziałem, że Jack i Ellie się niepokoją. W pewnym momencie przez otwarte okno usłyszeliśmy coś jakby śpiewy, dobiegające od strony południowej łąki. Wiedźmy z Pendle. Mama ciągnęła, nie zwracając uwagi na zawodzenia, lecz biedna Ellie drżała, bliska łez. Jack położył dłoń na ramieniu żony i stanął przy oknie.

James próbował rozluźnić atmosferę, opowiadając o planach budowy browaru: zamierzał zająć się tym w przyszłym roku. Mimo wszystko jednak przy stole cały czas panowało nieprzyjemne napięcie. Po skończonym posiłku poszliśmy się położyć.

Dziwnie się czułem, przebywając w tym dawnym pokoju. Usiadłem w wiklinowym fotelu, wyglądając przez okno na podwórze, na łąki za północnym pastwiskiem i widoczne w dali Wzgórze Wisielców. Księżyc świecił jasno, powlekając wszystko srebrem. Próbowałem udawać, że cofnąłem się w czasie do dni, kiedy nie byłem jeszcze uczniem stracharza. Przywołałem wszystkie wspomnienia, wysiliłem wyobraźnię. Na moment zdołałem wmówić sobie, że tato nadal żyje, a mama nigdy nie wyjechała do Grecji; że wciąż pomaga na farmie i pracuje jako miejscowa uzdrowicielka i położna.

Nie mogłem jednak wyprzeć prawdy. Co się stało, to się nie odstanie, nic już nie będzie takie samo. Z silnym poczuciem straty i smutku w końcu położyłem się. Żal ścisnął mi gardło. Minęło dużo czasu, nim zdołałem zasnąć.

Bill Arkwright zjawił się następnego dnia późnym rankiem. Jego wielka czarna suka, Szpon, popędziła ku mnie przez podwórze, tuż za nią dreptały na wpół wyrosnięte szczeniaki, Krew oraz Kość.

Pogłaskałem Szpon, zaś podniecone szczenięta uganiały się wokół. Arkwright trzymał w dłoni swą wielką laskę, zakończoną ostrą klingą. Maszerował rozkołysanym krokiem, jego ogolona czaszka lśniła w promieniach słońca. Robił o wiele bardziej przyjazne wrażenie, niż kiedy spotkałem go po raz pierwszy. Twarz Billa rozjaśniał ciepły uśmiech.

– No, no, mości Wardzie, dobrze jest znów cię widzieć – rzekł, lecz wyraz mojej twarzy sprawił, że uśmiech zniknął mu z warg. – Po twojej minie widzę, że stało się coś złego – dodał, kręcąc głową. – Mam rację?

– Tak, panie Arkwright. Moja mama sprzymierzyła się z częścią czarownic z Pendle. Musiała to zrobić, bo potrzebuje ich pomocy do

walki z mrokiem w swojej ojczyźnie. Chce, żebyśmy razem z panem i panem Gregorym wrócili z nią do Grecji i walczyli z Ordyną. Kiedy mój mistrz dowiedział się o przymierzu, wpadł w szał i wrócił do Chipenden. Powiedział, że jeśli nie pójdę za nim, przerywa mój termin. Czuję się rozdarty, panie Arkwright.

– Nie dziwię się, mości Wardzie. Ale rozumiem reakcję pana Gregory'ego. To, o co prosi twoja mama, sprzeciwia się wszystkiemu, w co mistrz wierzy.

– Musiałem wybierać między tym, czego chce mama, a tym, czego chce pan Gregory – poinformowałem. – Nie było łatwo, ale przede wszystkim muszę pozostać wierny mamie. Dała mi życie, jestem jej siódmym synem. To ona decyduje, co dla mnie najlepsze.

– Dokonałeś bardzo trudnego wyboru, lecz myślę, że słusznie postępujesz, mości Wardzie. Co do mnie, wygląda na to, że także muszę podjąć decyzję. Wysłucham bez uprzedzeń, co ma do powiedzenia twoja mama. Przyznaję, uszykowała dla mnie wyzwanie. Wyprawa do odległej krainy byłaby czymś ekscytującym. Na razie zatem nie powiem nie i nie powiem tak. Zaczekam, aż dowiem się więcej. Przymierze ze sługami mroku, powiadasz? Cóż, czasami musimy pójść na kompromis po to, by przeżyć. Gdyby nie wiedźma zabójczyni Grimalkin, żadnego z nas dziś by tu nie było.

I rzeczywiście. Grimalkin walczyła u mego boku na mokradłach, razem pokonaliśmy Morwenę i bandę wodnych wiedźm. Bez niej z pewnością bym zginął. Choć zatem była służką mroku, przymierze z Grimalkin sowicie się nam opłacało. Widziałem jak na dłoni, że Bill Arkwright nie podziela skrupułów mojego mistrza.

\*

Znaleźliśmy mamę, rozmawiała za stodołą z Jamesem. Na nasz widok przeprosiła brata i podeszła powitać gościa.

– Przybył Bill Arkwright, mamó – przedstawiłem. – Przychodzi wysłuchać, co masz mu do powiedzenia.

– Miło mi panią poznać, pani Ward. – Arkwright skłonił się

lecko. – Zaintrygowały mnie słowa pani syna, więc pragnąłbym dowiedzieć się więcej.

Mama odwróciła się do mnie z ciepłym uśmiechem.

– Chciałabym przez chwilę pomówić z panem Arkwrightem na osobności, synu. Może zatem przejdiesz się na południową łąkę, do ognisk? Czeka tam ktoś, kto pragnie się z tobą przywitać.

– Kto? Jedna z czarownic? – spytałem zdumiony.

– Może po prostu pójdziesz i sam się przekonasz?

Zastanawiałem się, czemu nie może omówić sprawy z Arkwrightem w mojej obecności, ale skinąłem głową. Zostawiłem ich samych.

Ogniska płonęły na całym wielkim polu, obok ziemi naszego sąsiada, pana Wilkinsona – w sumie pół tuzina. Przy każdym siedziały dwie lub trzy czarownice. Która z nich chciała ze mną rozmawiać? Widziałem, jak krzątają się przy ogniu, szykując posiłki. Moje nozdrza ponownie wypełniła kusząca woń duszonego królika.

Usłyszałem za sobą kroki, odwróciłem się szybko i ze zdumienia opadła mi szczeka. Ujrzałem bowiem dziewczynę mniej więcej mojego wzrostu. Na nogach miała szpiczaste trzewiki, czarną zaś sukienkę przewiązała w pasie kawałkiem sznurka.

Alice.

## **ROZDZIAŁ 5**

### **ALICE DEANE**

– Tęskniłam za tobą, Tomie Wardzie – oznajmiła Alice; widziałem, że jest bliska łez. – Bez ciebie nie było już tak samo.

Podeszła do mnie, uścisnęliśmy się mocno. Usłyszałem, jak szlocha, poczułem drżenie ramion. Gdy się odsunęliśmy, nagle przepełniło mnie poczucie winy. Choć teraz niezmiernie się ucieszyłem na jej widok, przez długie tygodnie, posłuszny

stracharzowi, odwracałem się za każdym razem, gdy próbowała nawiązać ze mną kontakt.

– Dziękuję, że użyłaś lustra, by mnie ostrzec przed menadą, Alice. Gdyby nie ty, zabiłaby mnie.

– Strasznie się bałam, że nie posłuchasz, Tom. Już wcześniej próbowałam z tobą porozmawiać, ale zawsze się odwracałeś.

– Robiłem tylko to, co mi rozkazał stracharz.

– Ale nie mogłeś użyć lustra raz czy drugi po tym, jak cię ostrzegłam? Żeby mi przekazać, że nic ci nie jest? Umierałam z niepokoju, o tak. Twoja mama uprzedziła mnie, że się tu z tobą spotkam, gdy nawiązała ze mną kontakt przez lustro i poprosiła, bym do niej dołączyła. Musiałam więc założyć, że nic ci się nie stało.

– Nie mogę używać lustra, Alice – tłumaczyłem lekko zawstydzony. – Przynależem stracharzowi, że nigdy tego nie zrobię.

– Ale przecież teraz wszystko się zmieniło? Nie musisz się już dłużej przejmować się starym Gregorym, prawda? Jadę do Grecji, z tobą i twoją mamą. W końcu znów będziemy razem. I cieszę się, że Gregory postanowił nam nie towarzyszyć. Nie będzie stale patrzył nam przez ramię, co?

– Nie mów tak o stracharzu! – warknąłem gniewnie. – On się o mnie martwi. Martwi się, że mrok mnie skazi i pociągnie ku sobie. Że Zły przeciągnie mnie na swoją stronę. Dlatego właśnie nie pozwala mi się z tobą kontaktować, Alice. Próbuje mnie chronić. A zresztą – dodałem – skąd wiesz, że do nas nie dołączy? Szpiegowałaś?

– Och, Tom, kiedy w końcu zrozumiesz, że nie ma zbyt wielu rzeczy, których bym nie wiedziała?

– Czyli szpiegowałaś.

– Prawdę mówiąc, nie. Nie musiałam. Nietrudno było odgadnąć, co się święci, gdy zobaczyłam, jak maszeruje w stronę Chipenden.

Przez moment, mimo zapalczywych słów, przyszło mi do głowy, że jeśli stracharz zostanie w domu w Chipenden, nic już nie zdoła

mnie powstrzymać od kontaktów z Alice. Ale natychmiast z poczuciem winy odrzuciłem tę myśl.

– Posłuchaj, Tom, dobrze nam będzie w podróży. Twoja mama myśli inaczej niż stary Gregory. Nie przeszkadza jej, że jesteśmy razem i nadal wierzy w to, co mówiła zeszłego roku. Że wspólnie możemy pokonać Złego...

– Twojego własnego ojca, Alice! – przerwałem jej. – Odkryłem mroczną tajemnicę. Zły to twój ojciec, prawda?

Alice sapnęła, jej oczy rozszerzyły się ze zdumienia.

– Skąd wiesz?

– Sam mi powiedział.

Patrzyła na mnie wstrząśnięta.

– Cóż, nie ma sensu zaprzeczać. Ale ja nic przed tobą nie kryłam, Tom. Sama nie wiedziałam, póki nie zjawił się w noc przed porankiem, gdy stary Gregory mnie odprawiał. Byłam przerażona, widząc naprzeciw siebie Starego Nicka. A gdy oznajmił, że jestem jego córką, poczułam się jeszcze gorzej! Wyobrażasz sobie, jakie to uczucie? Sądziłam, że do niego należę. Że trafię wprost do piekła. Będę tam płonąć całą wieczność. W jego obecności czułam się taka słaba, że musiałam robić wszystko, cokolwiek kazał. Lecz gdy tylko wróciłam do Pendle, twoja mama nawiązała ze mną kontakt przez lustro. Oznajmiła, że jestem znacznie silniejsza, niż się zdaje. Dzięki niej nabrałam otuchy. Pogodziłam się z tym, Tom. I zamierzam z nim walczyć. Muszę spróbować. Cóż innego mi pozostało?

W mojej głowie kłębiły się myśli i emocje. Mama i Alice w przeszłości już wcześniej porozumiewały się przez lustra. Najwyraźniej trwało to nadal. I wcale mi się nie podobało.

– Wciąż nie mogę uwierzyć, że mama zawarła przymierze z czarownicami. – Machnąłem ręką w stronę otaczających nas ognisk.

– Ale wszystkie te więdźmy to zaprzysiężone przeciwniczki Złego! Będzie nam towarzyszyło ich chyba ze dwadzieścia. Wiedzą, że sprowadzenie Starego Nicka przez portal okazało się ogromnym

błędem, bo teraz próbuje zmusić je, by wypełniały jego rozkazy. Postanowiły zatem walczyć. Jeśli zniszczą Ordyne, zadadzą Złemu potężny cios. Popłyną z nami członkinie wszystkich głównych klanów. Twoja mama to zorganizowała. Dokładnie tego chce. A ja cieszę się, że tu jestem, Tom, z daleka od Pendle.

Zaledwie rok wcześniej Malkinowie porwali Jacka i jego rodzinę, krew z krwi, kość z kości mamy. A jednak teraz sama dowodziła czarownicami ze wszystkich rodów z Pendle, tworząc sojusz po to, by zapewnić sobie zwycięstwo. Trudno przełknąć fakty. I jeszcze Alice – co właściwie robiła w Pendle? Czy znów zbliżyła się do mroku?

– Jak tam było? – spytałem. – Gdzie zamieszkałaś?

– Głównie u Agnes Sowerbutts. Staralam się trzymać z dala od innych, ale nie poszło mi łatwo.

Agnes, jej ciotka, jedna z Deane'ów, mieszkała na skraju klanowej wioski. Nie zadawała się z resztą. Z pomocą lustra sprawdzała, co dzieje się na świecie, poza tym jednak trudniła się uzdrawianiem. Bez wątpienia należała do grona bezecnych wiedźm. Ze wszystkich możliwych miejsc w Pendle, Alice wybrała najlepsze. Lecz co miała na myśli, mówiąc „inni”?

– Z kim jeszcze się widziałaś?

– Z Mab Moudheel i jej dwiema siostrami.

– A one czego chciały?

Mab, choć liczyła sobie najwyżej piętnaście lat, była przywódczynią klanu Moudheelów, a także jedną z najpotężniejszych wieszczek w całym okręgu Pendle. Posługując się lustrem, potrafiła przywołać wyraźne wizje przyszłości. Zaliczała się do bezecnych. Często używała ludzkiej krwi.

– Wiedziały o podróży do Grecji i o tym, co planujemy, bo Mab to wysłodziła. Chciały płynąć z nami.

– Ale przecież Mab odegrała ważną rolę w sprowadzeniu Złego przez portal, Alice. Czemu miałyby zechcieć niszczyć jego sługi?

– Rozumieją już, że źle postąpiły. Pragną wszystko naprawić. Mab wahała się, nim dołączyła do pozostałych dwóch klanów. Nie

pamiętasz? Durzyła się w tobie. Wybrała, jak wybrała, wyłącznie dlatego, że ją zdradziłeś i przepędziłeś z Wieży Malkinów.

Rzeczywiście. Podstępem przekonałem ją do uwolnienia ze skrzyni dwóch sióstr mamy, dzikich lamii. W akcie zemsty poleciła swemu klanowi dołączyć do Deane'ów i Malkinów oraz wspólnie przywołać Złego.

– Zatem, Alice? Są tutaj? Ruszają z nami?

– Twoja mama kazała mi znów skontaktować się z Mab i poprosić, by do nas dołączyła. Jeszcze się nie zjawily, ale wkrótce przybędą.

– Czy oprócz mamy, którakolwiek z wieźm wie, kim jest twój ojciec?

Alice pokręciła głową. Rozejrzała się nerwowo.

– Nikomu nie powiedziałam – wyszeptwała. – One myślą, iż moim ojcem był Arthur Deane. Wolę, by tak zostało. Gdyby dowiedziały się, kim jestem naprawdę, żadna z nich by mi nie zaufała. Powiedz, Tom, nie jesteś głodny? – znów zwracała się do mnie pełnym głosem. – Przygotowałam pieczyście z królika. Dokładnie takie, jak lubisz.

– Nie, Alice, dziękuję – odparłem.

Choć bardzo chciałem z nią pobyc, potrzebowalem czasu, by pozbierać myśli. Miałem wiele do przetrawienia.

Na twarzy Alice pojawił się grymas zawodu i jakby bólu.

– Twoja mama kazała nam trzymać się z dala od domu, żebyśmy nie niepokoiły Jacka i Ellie. Nie chcą, by czarownice zbliżyły się do nich, o nie. Toteż możemy się spotkać tylko, jeśli tu do mnie przyjdiesz.

– Nie martw się, Alice. Tak zrobię. Zjawię się jutro wieczorem.

– Obiecujesz? – spytała z powątpiewaniem.

– Tak, obiecuję.

– Zatem będę czekać. Zjesz jutro ze mną kolację?

– Oczywiście. Do zobaczenia.

– I jeszcze jedno, nim wrócisz na farmę, Tom. Jest tu Grimalkin. Ona też płynie z nami do Grecji. Chce z tobą



porozmawiać. Czeka tam – Alice wskazała dąb tuż za łąką. –  
Lepiej, żebyś do niej poszedł.

Uścisnęliśmy się przed rozstaniem – dobrze było znów ją przytulić. Teraz musiałem stawić czoło Grimalkin. Zerknąłem w stronę drzewa, serce zabiło mi mocniej. Grimalkin była czarownicą zabójczynią z klanu Malkinów. Kiedyś polowała też na mnie, gotowa zabić. Ale podczas naszego ostatniego spotkania walczyliśmy ramię w ramię.

Lepiej mieć to już z głowy, pomyślałem. Pożegnawszy Alice uśmiechem oraz skinieniem głowy, ruszyłem, ścinając narożnik łąki. Przepchnąłem się przez dziurę w głogowym żywopłocie i ujrzałem wiedźmę zabójczynią, opartą plecami o stary dębowy pień.

Ręce Grimalkin zwisały swobodnie, lecz smukłe ciało jak zwykle opasywały niezliczone rzemienie i pochwy z tkwiącą w nich śmiertcioną bronią: klingami, hakami, a także straszliwymi nożyczkami, za pomocą których odcinała wrogom ciało od kości.

Pokryte czarną farbą wargi uśmiechnęły się, ukazując ostre, spiłowane szpiczasto zęby. Mimo wszystko jednak promieniowała z niej złowieszcza uroda, wdzięk i aura urodzonego drapieżcy.

– Cóż, dziecko, znów się spotykamy – rzekła. – Kiedy gawędziliśmy ostatnio, przyrzekłam ci prezent na dzień pełnoletności.

Jak wyjaśniła wtedy, w Pendle, kiedy nastawał sabat w noc Walpurgii, dziecko płci męskiej, należące do klanu czarownic, po czternastych urodzinach staje się mężczyzną. Skończyłem czternaście lat trzeciego sierpnia zeszłego roku, noc Walpurgii już dawno minęła. Grimalkin obiecała mi coś wyjątkowego na tę okazję i prosiła, bym przybył po prezent do Pendle. Raczej nie miałem szans. Stracharz nigdy by się nie zgodził, żebym przyjął prezent od czarownicy!

– Gotów jesteś do przyjęcia mojego daru teraz, dziecko? – spytała Grimalkin.

– Zależy, co przygotowałaś – odparłem, starając się przemawiać

możliwie najgrzeczniejszym, najbardziej układnym tonem, mimo dręczących mnie wątpliwości.

Wiedźma przytaknęła, odsunęła się od drzewa i postąpiła krok ku mnie. Cały czas spoglądała mi prosto w oczy. Nagle poczułem się bardzo mały i bezbronny.

Uśmiechnęła się.

– Może ci pomoże, jeśli powiem, że twoja matka zgadza się, że powinieneś to dostać. Jeżeli mi nie wierzysz, spytaj ją sam.

Grimalkin nie kłamała – w życiu kierowała się surowym kodeksem honorowym. Czyżby moja mama pozostawała w kontakcie ze wszystkimi czarownicami z Pendle? Powoli, krok za krokiem, odkrywałem, że wszystko, w co wierzyłem, wszystko, czego nauczył mnie mistrz, zaczyna się sypać. To, czego chciała ode mnie mama, sprzeciwiało się wszystkim życzeniom stracharza. Musiałem podjąć kolejną decyzję. Cokolwiek zrobię, zawiodę jedno z nich. Ponownie jednak uznałem, że mama ma w tych kwestiach pierwszeństwo przed moim mistrzem. Toteż skinąłem ku Grimalkin głową. Zgodziłem się przyjąć dar.

– Proszę, dziecko. Oto klinga... – podała mi skórzaną pochwę. – Weź ją.

Na jej oczach odwinąłem pakunek. Ujrzałem krótki sztylet. Przekonałem się też, że opakowanie kryje pochwę oraz pas.

– Nosisz ją ukośnie na ramionach i plecach – wyjaśniła. – Pochwa powinna tkwić przy karku, tak byś mógł sięgnąć po broń ponad prawym ramieniem. To potężne ostrze, zdoła zadać bolesne rany nawet najsilniejszym sługom mroku!

– A potrafi zniszczyć Złego? – spytałem.

Wiedźma pokręciła głową.

– Nie, dziecko. Bardzo bym chciała: wówczas użyłabym go sama, dawno temu. Ale mam też dla ciebie drugi dar. Podejdź bliżej: nie ugryzę!

Nerwowo postąpiłem krok naprzód. Grimalkin splunęła w prawą dłoń, szybko zanurzyła lewy palec wskazujący w ślinie. Następnie pochyliła się, nakreśliła mi na czole mokry krąg i

wymamrotała coś pod nosem. Przez moment poczułem w głowie przejmujący chłód, a potem mrowienie, które przebiegło mi po plecach.

– To wszystko, dziecko. Teraz jest twój.

– Ale co? – spytałem.

– Mój drugi dar, mroczne życzenie. Mistrz nigdy nie opowiadał ci o podobnych rzeczach?

Pokręciłem głową pewien, że gdyby stracharz dowiedział się, iż dostałem coś takiego od czarownicy, wpadłby we wściekłość.

– Co to?

– Nazywamy je mrocznym, bo nikt, nawet najzręczniejsza wieszczka nie potrafi przewidzieć, kiedy i jak zostanie użyte i co z tego wyniknie. Stworzenie mrocznego życzenia wiele mnie kosztowało: całe lata gromadzonej mocy, którą teraz zdołasz uwolnić ledwie kilkoma słowami. Użyj zatem życzenia jedynie w prawdziwej potrzebie, gdy wszystko inne zawiedzie. Rozpocznij od słów „życzę sobie”, następnie dokładnie wyraż, czego pragniesz. Potem po raz drugi powtórz życzenie. I wtedy się spełni.

Myśl o podobnej mrocznej mocy budziła we mnie szczery niepokój.

Grimalkin odwróciła się.

– Pamiętaj, rozważnie wykorzystaj dar. Nie zmarnuj go. Nie użyj na próżno.

To rzekłszy, przecisnęła się przez żywoplot i bez oglądania się ruszyła w stronę najbliższego ogniska.

Ja wróciłem na farmę. Arkwright uwiązywał właśnie swoje trzy psy na łańcuchu w stodole.

– Nie lubię tego, mości Wardzie, ale tak będzie najlepiej. Szpon czujnie strzeże swego terytorium. Gdybym puścił ją wolno, wasze psy z farmy niedługo by pożyły.

– Zdecydował się pan już? Pojedzie pan z nami do Grecji? – spytałem.

– Tak. Martwię się tylko, że nikt nie będzie miał na oku północnej części Hrabstwa. Bez wątpienia po powrocie będę musiał

się rozprawić z wieloma wodnymi wiedźmami. Ale twoja mama mnie namówiła. Jest bardzo przekonująca. Hrabstwo musi sobie tymczasem jakoś radzić: chwilowo najważniejsze zadanie czeka za morzem.

– Czy mama wspominała, kiedy wyruszymy? – Nagle dotarło do mnie, jak niewiele mi powiedziała.

– Najpóźniej za dwa dni, mości Wardzie. Udamy się do Sunderland Point, stamtąd poześlujemy. Nie martw się o swojego dawnego mistrza, pana Gregory'ego. Niezłomnie przestrzega zasad, ale czasami trzeba uciec się do innych metod, by osiągnąć cel. Jeśli nie zmieni zdania, zawsze możesz dokończyć terminu u mnie. Chętnie znów cię przyjmę.

Podziękowałem za uprzejmą propozycję, lecz w głębi ducha wciąż czułem zawód. Choć bardzo lubiłem Arkwrighta, nie był on Johnem Gregorym. Myśl o tym, że nie dokończę terminu u mojego mistrza, sprawiała mi ból.

\*

Skręciłem w stronę domu. Dojrzałem Jacka. Prowadził krowy na dojenie.

– Kto z tobą rozmawiał? – spytał. – Sądząc z wyglądu, kolejny stracharz.

– Owszem – przytaknąłem. – To Bill Arkwright z północnej części Hrabstwa. Mama go wezwała.

– Och – mruknął nieszczęśliwym tonem. – Najwyraźniej teraz już jako ostatni dowiaduję się, kto mi składa wizyty.

W tym momencie usłyszałem niesiony z wiatrem z południa dziwny dźwięk, coś pomiędzy nuceniem a śpiewem. Czarownice. Zapewne odprawiały jakiś rytuał.

– Mama mówi, że te wiedźmy są po naszej stronie – podjął Jack z ponurą miną, skinieniem głowy wskazując południową łąkę. – Ale co z pozostałymi mieszkankami Pendle? Czy po waszym wyjeździe nie odwiedzą znów farmy, kiedy zostanę tu sam, tylko z Jamesem i moją rodziną? Tego właśnie obawia się Ellie. Przez ostatnie dwa lata żyła w ciągłym napięciu, więc boję się, że może się załamać.

Dobrze go rozumiałem. Ellie zawsze się obawiała, że fakt, iż zostałem uczniem stracharza, narazi bliskich na niebezpieczeństwo ze strony mroku. Obawy okazały się uzasadnione. Przed rokiem straciła nienarodzone dziecko, gdy uwięzili ją Malkinowie. W żaden sposób nie zdołałbym pocieszyć Jacka, toteż trzymałem gębę na kłódkę.

## ROZDZIAŁ 6

### ZŁOWRÓŻBNA WIZJA

Tego wieczoru do kolacji zasiedliśmy jedynie we trójkę: mama, James oraz ja. Małą Mary bolał brzusek, toteż Jack i Ellie położyli ją wcześniej. Podejrzewałem jednak, że najstarszy brat nie jest zachwycony tym co się dzieje, więc woli trzymać się z boku.

Mama z pogodną miną gawędziła z nami, lecz tylko James odpowiadał. Wreszcie poszedł spać, zostawiając nas samych.

– Co cię dręczy, synu? – spytała.

– Czuję się zagubiony, mamo.

– Zagubiony?

– Tak. Weźmy na przykład więdźmy... Czy naprawdę ich potrzebujemy? Wyraźnie niepokoją Jacka i Ellie no i bez nich stracharz zapewne popłynąłby z nami do Grecji.

– Przykro mi, synu, ale owszem, potrzebujemy ich. Po pierwsze, wspaniałe z nich wojowniczeki, zwłaszcza Grimalkin, a w czekającej nas bitwie należy korzystać z wszelkiej możliwej pomocy. Ord to straszne miejsce, a czarownice z Pendle są jedynymi znanymi mi stworzeniami, które nie przestraszą się wtargnięcia do cytadeli. Każda z nich ma do odegrania swoją rolę.

– A prezenty Grimalkin: mroczne życzenie i klinga? Twierdzi, że zgodziła się, by mi je ofiarowała. Jak mógłbym posługiwać się czymś pochodzącym z mroku? To niewłaściwe i niebezpieczne. Posłałaś mnie na naukę do pana Gregory'ego, teraz zaś każesz

odrzucać wszystko, co mi wpoił.

W oczach mamy ujrzałem smutek.

– Tylko ty zdecydujesz, czy skorzystać z darów, czy nie, synu. Ja także posuwam się do działań, których wolałabym uniknąć. Po to, by odnieść wielkie zwycięstwo. Możliwe, że w pewnym momencie też będziesz musiał tak postąpić. Nic więcej nie mogę rzec. Nosisz tę klingę?

– Nie, mammo, schowałem ją do torby.

– W takim razie załóż ją, synu. Dla mnie. Zrobisz to?

– Tak, mammo. Jeśli tego sobie życzysz, muszę.

Mama ujęła moją twarz w dłonie. Spojrzała z napięciem, jakby chciała, bym dostrzegł prawdę w jej słowach.

– Jeśli nam się nie uda, Hrabstwo czeka straszliwa katastrofa. A po nim resztę świata. Ordyna wyrwie się na swobodę, wspierana mocą Złego. Sięgamy po wszystko, by do katastrofy nie dopuścić. Nie ma czasu zastanawiać się, skąd przychodzi pomoc. Musimy chwytać się jej dla osiągnięcia większego dobra. Żałuję tylko, że nie zdołałam przekonać twojego mistrza, by tak na to spojrzał. Musimy udać się do Grecji, synu, zabierając ze sobą czarownice z Pendle. Nie mamy wyboru.

Od owej chwili, na życzenie mamy, zacząłem nosić sztylet na karku pod koszulą. Jak mogłem odmówić? Miałem jednak wrażenie, że moje życie wkracza w nowy etap, znacznie mroczniejszy niż ten spędzony u Johna Gregory'ego.

\*

Następnego dnia, parę godzin przed zachodem słońca, ruszyłem na południową łąkę, by dotrzymać obietnicy złożonej Alice.

Kiedy się zjawiłem, pochylała się właśnie nad ogniskiem nieopodal głogowego żywopłotu, w pewnej odległości od pozostałych. Najwyraźniej wolała trzymać się na uboczu i nie zadawać z innymi wiedźmami. Na tę myśl poczułem się lepiej. Nie chciałem, by znalazła się pod ich wpływem.

Króliki obracały się na różnie, tłuszcz skapywał w płomienie.

– Głodny, Tom?

– Umieram z głodu, Alice. Cudownie pachną!

W milczeniu, uśmiechając się do siebie nawzajem, pałaszowaliśmy króliki. Kiedy skończyliśmy, podziękowałam Alice i pogratulowałam przepysznego posiłku. Jakiś czas nie odpowiadała. Stopniowo zaczynałam czuć się coraz niezręczniejszą. W przeszłości zawsze mieliśmy sobie wiele do powiedzenia. A obecnie? Wczoraj wymieniliśmy się nowinami. Na tym jakbyśmy wyczerpali porozumienie. Pojawił się nieprzyjemny dystans.

– Zapomniałeś języka w gębie? – spytała w końcu Alice.

– Nawet jeśli, to nie ja jeden! – odparłam.

Uśmiechnęła się smutno.

– Nic już nie jest takie samo, prawda, Tom?

Wzruszyłam ramionami. Niestety, miała rację. Bo jakże mogłoby pozostać takie samo?

– Wiele się wydarzyło, Alice. Mam wrażenie, że wszystko się zmienia.

– Zmienia?

– Mój termin u pana Gregory'ego dobiegł końca, mama zawarła sojusz z częścią czarownic z Pendle, a ty, moja najlepsza przyjaciółka, okazałaś się córką wroga.

– Nie – rzuciła. – Nie mów tak.

– Przepraszam.

– Posłuchaj, jeśli pojedziemy do Grecji i wygramy, wszystko się ułoży? Dowiodę tobie oraz panu Gregory'emu, że nie jestem taka, jak mój ojciec. A może, kiedy stary Gregory zrozumie w końcu, że twoja mama porozumiała się z wiedźmami dla dobra Hrabstwa, przyjmie cię z powrotem i dokończysz naukę.

– No, może – mruknąłem. – Ale martwię się. Czuję się niezręcznie. Wciąż nie mogę się oswoić z tym wszystkim.

– Obojgu nam ciężko, Tom. Ale przetrwamy, prawda? W przeszłości zawsze nam się udawało.

– Oczywiście, że tak – odparłam ciepło.

Rozstaliśmy się w przyjaźni, choć dziwnie się czułam, zostawiając Alice na polu wśród czarownic. Zupełnie jakbyśmy

należeli teraz do dwóch różnych światów. Miałem ochotę rozprostować nogi, toteż ruszyłem na spacer wokół farmy, od północnej strony. Słońce zapadało właśnie za horyzont. Gdy dotarłem do Wzgórza Wisielców, ujrzałem trzy postaci, czekające w cieniu tuż za płotem. Kiedy podszedłem bliżej, poznałem je. Dostrzegłem Mab oraz jej siostry, trzy czarownice z klanu Moudheelów.

Mab, oparta o drzewo, patrzyła wprost na mnie. Zapamiętałem ją jako ładną dziewczynę, ale teraz ujrzałem prawdziwą piękność o oszałamiającym uśmiechu, roziskrzonych zielonych oczach i złotych włosach.

W ostatniej chwili przypomniałem sobie dwa mroczne zaklęcia – urok oraz fascynację. Pierwsze sprawiało, że wiedźma wydawała się znacznie atrakcyjniejsza, niż była w istocie, drugie pozwalało jej zapanować nad mężczyzną. Zyskiwała władzę gronostaja hipnotyzującego królika, manipulowała swą ofiarą, wmawiała wszystko, co chciała. Bez wątpienia używała teraz magii przeciw mnie, toteż stawilem opór. Odetchnąłem głęboko, skupilem się na mniej atrakcyjnych elementach jej wyglądu – wystrzępionej brązowej sukience i brudnych bosych stopach.

Kiedy znów uniosłem wzrok, jej włosy jakby wyblakły, a uśmiech przygasł. Siostry bliźniaczki, Beth i Jennet, siedziały u jej stóp ze skrzyżowanymi nogami. Bez względu na magiczne sztuczki nie dorównywały urodą starszej siostrze. Haczykowate nosy, wychudzone twarze, twarde wrogie oczy.

– Nie powinno cię tu być, Mab – oznajmiłem marszcząc brwi. – Mama chce, abyście do wyjazdu trzymały się południowej łąki.

– Niezbyt to miłe przyjęcie, Tom – nadała się Mab. – Przyszliśmy tylko się przywitać. Ostatecznie walczymy teraz po tej samej stronie, czyż nie? I nie podziękujesz mi za ocalenie życia?

Spojrzałem na nią zdumiony. Co miała na myśli?

– Gdyby nie ja, ta menada by cię zabiła. Postrzegłam ją i kazałam Alice cię ostrzec. Wiedziałam, że jeśli ja pojawię się w lustrze, nie spojrzysz. Mam tylko nadzieję, że znów zostaniemy



przyjaciółmi, nic więcej.

Tak naprawdę nigdy nie byliśmy przyjaciółmi. Dobrze pamiętałem, jak Mab potrafi być okrutna i niebezpieczna. W Pendle nie tylko groziła małej Mary, ale też zamierzała zamordować Alice. To właśnie najbardziej odstręczało mnie od współpracy z bezecnymi czarownicami. Większość posługiwała się magią krwi bądź kości. Mogły zadowalać się zwierzęcymi, ale wolały używać ludzkich.

– Powiedz Tomowi, co jeszcze postrzegłaś, Mab! – wtrąciła Beth, podnosząc się z ziemi i stając obok starszej siostry.

– O tak, powiedz mu. Chcę zobaczyć jego minę, kiedy się dowie – dodała jej bliźniaczka, Jennet, również zrywając się na nogi.

– Sama nie wiem, czy powinnam – mruknęła Mab. – To tylko unieszczęśliwi biedaka. Ale może nie aż tak bardzo jak kiedyś, w przeszłości. Ostatecznie nie jest już bardzo blisko z Alice. Teraz nie są już tak wielkimi przyjaciółmi, prawda? Ale ja mogłabym zostać twoją przyjaciółką, Tom. Bliższą ci niż ktokolwiek inny. Byłabym...

– Co takiego zobaczyłaś? – przerwałem.

Mab dowiodła już, że z pomocą lustra umie wejrzeć w przyszłość. Jej słowa mnie zaniepokoiły. Co zobaczyła w związku z Alice?

– Widziałam śmierć Alice Deane. – Oczy Mab rozbliły radośnie. – Dzika lamia trzymała ją w pysku. Zawlokła Alice do swej ciemnej jamy, a potem wyssała z niej krew tak, że stanęło serce.

– Kłamiesz! – warknąłem. Lodowata pięść zacisnęła się wokół mego serca i na gardle. Proroctwa Mab spełniały się już wcześniej. Nie mogłem znieść myśli, że coś takiego mogłoby spotkać Alice.

– Nie muszę kłamać, Tom. To prawda: wkrótce sam się przekonasz. Postrzegłam śmierć Alice dwa tygodnie temu. Użyłam świeżej krwi – w dodatku młodej. W takich razach rzadko się myślę. To się stanie w Grecji, w drodze do Ordy. Powiedz jej, jeśli chcesz. Nie robi mi to żadnej różnicy.

– Nie pojedziecie z nami do Grecji! – rzuciłem gniewnie. –

Porozmawiam z mamą. Nie chcę, żebyś kręciła się w pobliżu mnie bądź gdzieś obok Alice!

– Możesz mamie gadać, co zechcesz, ale ona mnie nie odprawi. Twoja mama mnie potrzebuje. Jej moc przepowiedni słabnie, moja nadal pozostaje wielka. Potrzebuje mnie, by dowiedzieć się, co planują menady. Nie, nie pozbędziesz się mnie tak łatwo!

Odwróciłem się na pięcie. Zostawiając za sobą Mab i jej siostry, pomaszerowałem w stronę farmy. Wrzała we mnie złość.

Mab zawołała ze złośliwą irytacją:

– Czeka cię ciężkie lato, Tomie Wardzie! Zdarzy się wiele paskudnych rzeczy. Poczujesz się tak nieszczęśliwy, jak jeszcze nigdy w życiu!

## **ROZDZIAŁ 7**

### **POCZĄTEK PODRÓŻY**

W końcu nadszedł czas, by wyruszyć do Sunderland Point i rozpocząć długą morską podróż ku Grecji. Mama wynajęła pięć wozów, by przewiozły nas wraz z bagażami na wybrzeże – jeden z nich osłaniało ciemne płótno, chroniące ją przed słońcem.

Czarownice z Pendle wyruszyły poprzedniego dnia pieszo. Mab i jej dwie siostry stanowiły część grupy siedmiu kobiet z klanu Moudheelów. Towarzyszyło im dziewięć wiedźm z Deane'ow oraz jedenaście Malkinek, w tym Grimalkin. Alice szła razem z nimi. Nie zdążyliśmy nawet powiedzieć sobie do widzenia.

Nasze pożegnanie z Jackiem, Ellie i Jamesem było krótkie i bardzo smutne. Jack mocno uścisnął mamę, a gdy ją puścił, w jego oczach lśniły łzy. Kiedy wdrapała się na wóz, dostrzegłem, że ona także ma mokre policzki. Bardzo starałem się przegnać ten widok z pamięci, ale odnosiłem wrażenie, że odbywa się coś ostatecznego: jakby już nigdy więcej nie mieli się zobaczyć.

Pomyślałem także o ostatnim spotkaniu ze stracharzem. Teraz

wyruszałem do dziwnej, obcej krainy, w której stawię czoła wielkim niebezpieczeństwom. Możliwe, że już więcej nie zobaczę mistrza. Żałowałem, że nie zdołałem pożegnać się jak należy i podziękować za wszystkie rady i nauki.

Podróż upływała bez żadnych przygód, a gdy dotarliśmy do Sunderland Point, przygotowania trwały w najlepsze. Niewielka głębokość kanału nie pozwalała dużym statkom dobijać do brzegu, lecz u ujścia rzeki rzucił kotwicę spory trzymasztowy żaglowiec, „Celeste”, który miał nas przewieźć morzem do Grecji. Zdecydowano się na jednostkę bardzo szybką, jeden z najszybszych podobno statków handlowych odwiedzających porty Hrabstwa.

– Teraz widzisz, po co mi były pieniądze? – spytała mama. – Wynajęcie tak okazałego statku nie jest tanie. Sporo kosztowało również znalezienie załogi, gotowej przyjąć na pokład czarownice.

Między statkiem i nabrzeżem krążyła mniejsza łódź, przewożąca zapasy. Na niebie świeciło wieczorne słońca wiał jednak silny wietrzyk. Zerkałem nerwowo na rosnące fale.

Usłyszałem powitalne szczeknięcie. Szpon pomknęła ku mnie wraz z dwoma szczeniakami. Tuż za nimi maszerował Bill Arkwright.

– Gotów do drogi, mości Wardzie? Dzień całkiem niezły – zauważył – chociaż trochę wieje. Cóż, na morzu będzie gorzej. Ale kiedy wreszcie otrzaskasz się z morzem, kołysanie przestanie ci przeszkadzać.

Nie odpowiedziałem. Zerknąłem na Alice, stojącą obok grupy wieźm. Wyraźnie niepokoiła się, tak samo jak ja. Dostrzegła jednak moje spojrzenie. Pomachała nieznacznie. Odmachałem jej, obserwując wieźmy, wbijające wzrok we wzburzone wody.

Morze nie stanowi dla czarownic bariery takiej jak bieżąca woda w rzece, lecz sól nadal pozostaje poważnym zagrożeniem. Zanurzone w morzu, umarłyby. Nawet unoszona wiatrem piana mogła im zaszkodzić, założyły zatem rękawice i portki, a zwykle bosc Moudheelówny przywdziały wełniane skarpety. Głowy okryły skórzanymi kapturami, przylegającymi ciasno do skóry i

wyposażonymi w niewielkie otwory w miejscu oczu, nosa i ust. Lecz mimo dodatkowych strojów nie wątpię, iż całą podróż spędzą ukryte w ładowni „Celeste”. Mama wspomniała, że ostrzegła załogę przed pasażerkami; tu, na brzegu, ludzie zerkali na nie czujnie, zachowując bezpieczny dystans.

Na pokład przewieziono nas sześćoosobowymi grupami w dwóch dużych, wiosłowych szalupach. Mama popłynęła pierwsza, w towarzystwie kapitana „Celeste”. Następnie marynarze przetransportowali wiedźmy – ich wrzaski i jęki, gdy słony wodny pył opryskiwał skórę, powoli cichły w dali. Alice wszelako nie dołączyła do nich. Podeszła i stanęła przy mnie.

– Pozwolisz, że przeprowię się razem z tobą, Tom? – spytała niemal nieśmiało.

– Oczywiście – odparłem.

Wsiadliśmy zatem do ostatniej łodzi, wraz z Arkwrightem oraz trzema psami. Zwierzęta okazywały podenerwowanie, nie chciały się uspokoić i dopiero kilka surowych słów pana przekonało Szpon, by się położyła. Szalupa niepokojąco podskakiwała na falach. Szczęśliwie, przeprawa nie trwała długo. Z łatwością wspięliśmy się po sznurowej drabince na pokład, a członkowie załogi spuścili kosz i wciągnęli w nim psy—

Mama wraz z kapitanem – roslym mężczyzną o czerwonej twarzy i bujnych bokobrodach – stali przy głównym maszcie. Wezwała mnie gestem.

– To kapitan Baines – rzekła z uśmiechem. – Najlepszy żeglarz w całym Hrabstwie.

– Cóż, z całą pewnością urodziłem się i wychowałem w Hrabstwie, chłopcze, a kiedy zacząłem pływać, liczyłem sobie mniej lat niż ty teraz – odparł. – Lecz co do nazwania mnie najlepszym, bez wątplenia są tacy, którzy mają w tej materii inne zdanie. W naszej części świata żyje wielu dobrych żeglarzy!

– Wykazuje pan zbytnią skromność – zaprotestowała mama. – Poza tym to niegrzecznie, sprzeciwiać się damie.

– W takim razie jestem pani winien przeprosiny – kapitan

skłonił się. – Zwłaszcza że naprawdę wiele zawdzięczam twojej matce – dodał, zwracając się ku mnie. – Mam dwóch synów, bliźniaków. W zeszłym tygodniu skończyli pięć lat. Gdyby nie ona, nie żyliby. I moja żona zapewne także. Twoja mama to najlepsza akuszerka w całym Hrabstwie.

Rzeczywiście, przed powrotem do Grecji mama pomagała wielu kobietom w Hrabstwie przy trudnych porodach i ocaliła sporo z nich.

– Z całą pewnością naruszyłbym zasady dobrego wychowania, gdybym nie oprowadził was obojga po statku – podjął. – Przez kilka następnych tygodni stanie się on także waszym domem, powinniście zatem zorientować się, dokąd trafiliście!

Pokazał nam różne części ładowni, łącznie z kubrykiem oraz magazynem kwatermistrza i wkrótce zrozumiałem, co miał na myśli. Choć z brzegu „Celeste” wydawała się wielka, w istocie, jak na tak dużą liczbę pasażerów, okazała się mała. Kajuty załogi, mieszczące się na dziobie statku, sprawiały wrażenie ciasnych. Lecz kapitan przypomniał nam, że nie wszyscy śpią w tym samym czasie: pełnią wachtę na trzy zmiany, toteż w każdej chwili jedna trzecia załogi pozostaje na służbie. Czarownice miały trafić na rufę. Znajdowało się tam też osobne pomieszczenie, które miałem dzielić z Billem Arkwrightem. I jeszcze dwie kabiny: pierwsza należała do kapitana, drugą zarezerwował dla mamy.

Jej kabina okazała się mała, ale doskonale urządzona. Oprócz łóżka stał w niej fotel i stół z dwoma drewnianymi krzesłami o prostych oparciach. Wszystkie meble przyśrubowano do podłogi, by nie przesuwały się podczas sztormów. Przez bulaj nie wpadało zbyt wiele światła, toteż kapitan zapalił latarnię.

– Mam nadzieję, że nie zabraknie tu pani wygód, pani Ward – powiedział. – A teraz muszę wracać do swych zajęć. Wypływamy za godzinę.

– Z pewnością będzie mi doskonale, kapitanie – podziękowała z uśmiechem mama.

Poszedłem w ślad za kapitanem Bainesem na pokład i

przekonałem się, że przyływ już się zaczął: woda przybierała szybko, wiatr wiał coraz mocniej, w powietrzu czułem silną woń soli oraz smoły. Wkrótce marynarze rozwinęli wielkie żagle, podnieśli kotwice i „Celeste” z jękiem, z łopotem płótna zaczęła oddalać się od Sunderland Point. Z początku nie kołysała się zbyt mocno. Wieczór był pogodny, słońce wisiało tuż nad horyzontem, toteż widziałem wszystko doskonale. Arkwright wskazał leżące na północy Cartmel oraz Starca z Coniston, górę, którą odwiedziliśmy rok wcześniej.

– Przeżyliśmy tam sporo strasznych chwil! – wykrzyknęła Alice.

Obaj przytaknęliśmy. Arkwright o mało nie stracił życia, a towarzysz Szpon, Kiel, zginął z ręki wodnej wiedźmy, Morweny.

Żegluga okazała się nie tak straszna, jak się obawiałem. Ale na razie przeprawialiśmy się zaledwie przez zatokę Morecambe, osłoniętą przed silniejszymi wiatrami. Przed nami leżało otwarte morze. Gdy mijaliśmy ujście rzeki Wyre, dostrzegłem wzburzone białe grzywacze. Po wpłynięciu na mocniejsze fale statek zaczął niepokojąco wznosić się i opadać. Wkrótce żołądek podszedł mi do gardła, a po dziesięciu minutach opróżniłem jego zawartość za burzę.

– Ile czasu trzeba, żeby otrząsać się z morzem? – spytałem wyszczerzonego w uśmiechu Arkwrighta.

– Czasem trwa to godziny, czasem kilka dni – odparł, patrząc, jak chwytam powietrze. – Niektórzy nieszczęśnicy nie przywykają nigdy. Miejmy nadzieję, że okażesz się jednym ze szczęśliwców, mości Wardzie.

– Schodzę pod pokład, Tomie – poinformowała Alice. – Marynarze nie lubią, kiedy kobiety kręcą się po pokładzie. Uważają, że przynoszą pecha. Lepiej zejść im z oczu.

– Nie, Alice, zostań. Mama wynajęła ten statek: będą musieli pogodzić się z twoją obecnością!

Alice jednak nalegała. Próbowałem zejść na dół razem z nią, lecz czarownice niezbyt dobrze znosiły kołysanie. Zalegający w

ładowni półmrok i silny smród wymiocin sprawiły, że szybko umknąłem na świeże powietrze. Tej nocy, za radą Arkwrighta położyłem się w hamaku pod gwiazdami. Statek płynął wzdłuż wybrzeża, na południe. Do świtu, choć nie do końca przywykłem do kołysania, czułem się znacznie lepiej i mogłem spokojnie obserwować członków załogi, śmiało wspinających się na olinowanie, poprawiających żagle. Nie mieli dla nas czasu – zupełnie jakbyśmy nie istnieli – ale wcale mi to nie przeszkadzało: byli stale zajęci, a kiedy statek kołysał się mocno, ludziom siedzącym wysoko na masztach groziło prawdziwe niebezpieczeństwo.

Kiedy Arkwright służył w wojsku, odbył parę rejsów wzdłuż wybrzeża, toteż sporo wiedział o żegludze. Wyjaśnił, co oznaczają nazwy różnych części statku: że lewa burta nazywa się bakburtą, a prawa sterburtą, że z przodu jest dziób, a z tyłu rufa. Mój tato był marynarzem, zatem większość z tego już wiedziałem, ale że wpoił mi dobre maniere, słuchałem uprzejmie wszystkiego, co miał mi do powiedzenia Arkwright.

– Statki z Hrabstwa zawsze nazywa się imionami kobiet – wyjaśniał. – Weź choćby ten tutaj, „Celeste”: jak powinieneś wiedzieć z lekcji łaciny, mości Wardzie, „celeste” znaczy „niebiańska”. Bez wątpienia, niektóre żeńskie istoty faktycznie zasługują na owo miano. Lecz w czasie sztormu statek, jeśli nie traktuje się go z szacunkiem i nie kieruje pewną ręką, bywa naprawdę bezlitosny. Niektóre fale dorównują wysokością katedrom: mogą wyrócić podobny żaglowiec i połknąć go w całości. Zdarza się, że statki giną na morzu wraz z całą załogą. Wciąż się o tym słyszy. Życie żeglarza nie jest łatwe. Rzekłbym, że bywa równie ciężkie jak los stracharzy.

Wpłynęliśmy w ujście wielkiej rzeki, zwanej Mersey. Tam rzuciliśmy kotwicę, czekając na przypływ. Wyglądało, że jeszcze nie opuściliśmy granic Hrabstwa. Mieliśmy na krótko zatrzymać się w Liverpoolu, żeby zabrać dodatkowe zapasy.

W odróznieniu od Sunderland Point port w Liverpoolu

wyposażono w duże drewniane nabrzeże, pozwalające „Celeste” przybić do brzegu. Większość z nas skorzystała ze sposobności, by rozprostować nogi. Natomiast czarownice pozostały w ładowni. Kiedy postawiłem stopę na ziemi, poczułem coś dziwnego: choć stałem na twardym ładzie, nadal miałem wrażenie, że podłoże porusza mi się pod stopami.

Kręciliśmy się w pobliżu, a tymczasem robotnicy portowi pospiesznie wnosili na pokład ładunek, tak byśmy mogli odpłynąć jeszcze z tym przyplływem. W przeciwnym razie musielibyśmy czekać prawie do zmierzchu, później, już na pokładzie, stanąłem obok mamy. Gapiliśmy się, jak marynarze oddają cumy. Mama skryła się w cieniu głównego masztu. Oślaniała oczy przed słońcem, patrząc w dal, jakby na coś czekała. Podążyłem za jej spojrzeniem. I kątem oka ujrzałem, jak jej twarz rozjaśnia nagły promienny uśmiech.

Ktoś biegł ku nam. Ku własnemu zdumieniu stwierdziłem, że to mój mistrz! W rękach ścisnął torbę oraz laskę, okrywający go płaszcz wydymał się. Jednak „Celeste” odbiła już od brzegu, odległość rosła z każdą sekundą. Stracharz rzucił nam torbę i kij. Wylądowały na pokładzie, zabrałem je szybko, podczas gdy on niepewnie przyglądał się statkowi. Wtedy właśnie mama wystąpiła naprzód, przyzywając go gestem.

Natychmiast odwrócił się, odbiegł kawałek, za chwilę popędził wprost ku brzegowi. Serce podeszło mi do gardła. Wydawało się niemożliwe, by zdołał skoczyć tak daleko. Mimo wszystko udało mu się. Tyle że choć buty wylądowały na skraju pokładu, zachwiał się i zaczął lecieć w tył.

Mama skoczyła ku niemu, chwyciła za przegub, przytrzymała, wciągnęła w bezpieczne miejsce. Wyglądało, jakby padał jej w ramiona, lecz wrażenie powstało wyłącznie ze względu na ruch statku. Stracharz cofnął się o krok i skłonił lekko, a potem ruszył ku mnie. Sądziłem, że chce mi coś powiedzieć, on jednak bez słowa zabrał torbę oraz laskę i skierował się schodami prosto do ładowni – nie oglądając się za siebie.



– Cieszę się, że płynie pan z nami! – zawołałem za nim.

Nawet nie drgnął.

– Czy on jest na mnie zły, mamó? – spytałem.

– Raczej na samego siebie – odparła. – Daj mu czas. Na razie wątpię, by zechciał być twoim mistrzem.

– Na razie? Chcesz powiedzieć, że któregoś dnia znów zostanę jego uczniem?

– To możliwe, ale bynajmniej nie pewne.

Zamilkliśmy oboje. Słuchaliśmy krzyków załogi przeprowadzającej „Celeste” przez ujście portu i dalej, rzeką, na otwarte morze. Znów zaczynało kołysać, za nami szybowały stada rozkrzyczanych mew.

– Jak myślisz, mamó, czemu zmienił zdanie?

– John Gregory to dzielny człowiek, który zawsze przedkładał obowiązki ponad osobiste potrzeby i życzenia. I teraz też tak postąpił. Zrozumiał, co musi uczynić, więc postawił obowiązek nad własne przekonania. Musiał wszakże poświęcić część swych zasad, dla kogoś takiego jak on to bardzo ciężkie przeżycie.

Mimo słów mamy miałem spore wątpliwości, że chodzi wyłącznie o rezygnację z zasad. Stracharz zawsze twierdził, że nie można sprzymierzać się ze sługami mroku. Coś innego musiało sprawić, że zmienił zdanie – byłem tego pewien.

## **ROZDZIAŁ 8**

### **MŁODE DAMY**

Mijały dni, a mu płynęliśmy na południe, cały czas w pobliżu brzegu. Raz, kiedy zbierało się na sztorm, schroniliśmy się w porcie. Lecz zwykle pogoda nam sprzyjała, podobnie jak wiatr. Potem, gdy oddaliliśmy się od klifów ojczyzny, szykując się do przeprawy przez Kanał, usłyszałem w dali coś jakby grzmoty.

– Kolejny sztorm? – spytałem.

Bill Arkwright pokręcił głową. Zmarszczył brwi.

– Nie, mości Wardzie, to dudnią działa. Jeśli się nie mylę, osiemnastofuntowe. Niedaleko wybrzeża toczy się bitwa. Może jej rezultat będzie po naszej myśli.

Moją ojczyznę najechał sojusz państw leżących na wschód i południowy wschód od naszej wyspy. Dziwnie się czułem tak blisko pola bitwy, żeglując po otwartym morzu.

Po przeprawie przez Kanał wpłynęliśmy wprost w serce wielkiego sztormu na Zatoce Biskajskiej. Nad głowami pioruny rozdzierały niebo, grzmoty do złudzenia przypominały wcześniejsze strzały z dział. Rozgniewane, pokryte płatomianą pianą, morze rzucało statkiem na wszystkie strony. Nie tylko ja obawiałem się, że utoniemy, lecz załoga przyjmowała wszystko mężnie. Wkrótce osiągnęliśmy spokojniejsze wody. Z każdym dniem robiło się coraz cieplej.

W końcu, pokonawszy cieśninę, którą mama nazwała Słupami Heraklesa, wpłynęliśmy na Morze Śródziemne, ze wszystkich stron okolonę lądem.

– Kim był Herakles? – spytałem mamę. – Grekiem?

– Tak, synu. Herakles był herosem, człowiekiem o niezwykłej sile – odparła. – Był najsilniejszym człowiekiem na świecie. Widzisz tę wielką skałę na północy? Nazywa się Gibraltar, to jeden z dwóch słupów. Herakles podniósł ją i cisnął w morze.

Roześmiałem się. Niewiarygodne! Jaki musiałby być wielki, by dokonać czegoś takiego.

– Możesz się śmiać, synu – upomniała mnie mama – lecz Grecja to kraj, w którym opowiada się wiele niezwykłych historii. I prawdziwych jest więcej, niż mógłbyś przypuszczać.

– Ale z pewnością nie rzucanie skałą!

Mama nie odpowiedziała, jedynie uśmiechnęła się tajemniczo i odwróciła. Nim jednak zdążyła postąpić kilka kroków, skinęła na mnie, toteż podążyłem za nią do kabiny. Wcześniej nie zapraszała mnie do środka, więc zastanawiałem się, czego chce. Wyraźnie pragnęła wyjawic mi coś na osobności.

Poprowadziła mnie w półmrok kabiny, zapaliła lampę i postawiła na środku stołu, po czym poleciała gestem, bym usiadł naprzeciw niej.

– Myślę, że nadeszła pora, byś dowiedział nieco więcej o sprawach, które czekają nas w Grecji – zaczęła.

– Dziękuję – odparłem. – Martwiłem się, że nic mi nie mówisz.

– Wiem, synu. Obawiam się jednak, że wiele spraw pozostaje także przede mną zakrytych. Martwię się, że Ordyna może przejść przez portal przed naszym przybyciem. Jak mówiłam, odwiedza nasz świat co siedem lat, ale nie zawsze tego samego dnia.

– Nie orientujemy się zatem, kiedy się zjawi?

– Nie, ale tuż przedtem ujrzemy nieomylnie znaki. Najpierw ptaki i zwierzęta umkną z całej okolicy, potem niebo zżółknie, a z miejsca, w którym otworzy się portal, wylecą trąby powietrzne. Zawsze tak było. W trzy dni i trzy godziny później będziemy martwi albo Ordyna zostanie zniszczona.

– Istnieje w ogóle jakaś szansa, mamó? – spytałem. Wszystko, co mówiła, brzmiało zaiste straszliwie. Tak wiele zależało od dalszego rozwoju wypadków.

– Owszem, synu, istnieje. Ale nie będzie łatwo. Kiedy Ordyna pojawi się na równinie na południe od Kalambaki, spróbuje splądrować miasto, zabić wszystkich mieszkańców i pochłonąć ich krew. Ci, którzy umkną jej sługom, zginą z rąk menad, następnie zaś zostaną przez nie pożarci. Nikt nie ujdzie z życiem.

– A co z mieszkańcami miasta, mamó? Czemu wciąż tam żyją, skoro to się powtarza co siedem lat?

– Zbudowali tam domy, synu. Poza tym są biedni. Na całym świecie ludzie mieszkają niedaleko czynnych wulkanów, na terenach nękanych przez trzęsienia ziemi bądź powodzie. Nie mają wyboru. W Kalambace wiedzą przynajmniej, kiedy nadejdzie niebezpieczeństwo, więc mogą umknąć wcześniej. Na drogach zaroi się od uchodźców. Oczywiście, niektórzy zbyt długo zwlekają z ucieczką, inni, starzy, schorowani, nie dadzą rady podróżować. Tym razem, ponieważ dzięki Złemu moc Ordyny znacznie wzrosła,

nawet klasztory nie będą bezpieczne. Atak nastąpi jednocześnie z ziemi i z powietrza. Latające lamie, wengiry, bez trudu dotrą na szczyty Meteorów. Zły wysyła ich coraz więcej do pomocy Ordynie, jednak przynajmniej moje siostry nie znajdą się wśród napastników. On jest także ich wrogiem.

– A co się stanie, kiedy otworzy się portal? – spytałem, dręczony ciekawością. – Oglądałaś to kiedyś?

– Tylko raz, synu. Jeden jedyny raz, wiele lat temu, nim jeszcze poznałam twojego tatę. Ale nigdy tego nie zapomnę. Najpierw z ziemi ku mrocznym burzowym chmurom wystrzelił kolumna ognia. Po jakimś czasie zgaśnie, ukazując zamkniętą w środku Ord. Potem z nieba lunie ulewny deszcz, który ochłodzi kamienie cytadeli. Wtedy musimy się do niej dostać. Wszystkie istoty przechodzące z mroku przez portal potrzebują nieco czasu, by przywyknąć do naszego świata, by zebrać siły – tłumaczyła mama. – Jak pamiętasz, dotyczyło to nawet Złego. Dzięki temu zeszłego lata zdołałeś umknąć z Pendle i schronić się w moim pokoju na farmie. Teraz będziemy musieli wykorzystać równie krótki czas. Zanim Ordyna oraz wyznawcy tej niszczycielki odzyskają pełnię mocy, musimy wdrzeć się do Ordy i unicestwić ją oraz jej sojuszników. To nasza jedyna nadzieja.

\*

W miarę upływu czasu obojętność, z jaką załoga początkowo traktowała niezwykle pasażerki, zaczęła przechodzić w otwartą wrogość. Kapitan wyjaśnił, że marynarzy ogarnął lęk przed czarownicami z Pendle, bo im nie ufają. Jeden z członków załogi zaginął, pełniąc nocną wachtę podczas sztormu. Zapewne fale zmyły go z pokładu, lecz jego towarzysze podejrzewali, że czarownice zabiły nieszczęśnika, by zaspokoić własną żądzę krwi. Na statku robiło się zatem coraz mniej przyjemnie. Wszyscy pragnęliśmy już, by podróż dobiegła końca.

Wierny danemu słowu, stracharz zaniechał dalszych lekcji. Prawie się do mnie nie odzywał. Widoku Alice wręcz nie potrafił ścierpieć. Raz, gdy rozmawialiśmy na pokładzie, uniósł wzrok,

syknał i wrócił do ładowni.

Arkwright zatem wziął na siebie moje szkolenie. Podobnie jak we młynie, skupiał się na razie na ćwiczeniach fizycznych. Walka na kije na pokładzie, podskakującym i kołyszącym się pod stopami, okazała się zupełnie nowym doświadczeniem.

Kiedy zbliżyliśmy się do Grecji, temperatura wzrosła. Stracharz przeniósł się na pokład, z dala od panującego w ładowni zaduchu i upału. Wreszcie zaczął się do mnie odzywać. Najpierw pozdrowiał mnie skinieniem głowy i półuśmiechem, wkrótce jednak znów udzielał mi lekcji, mogłem więc teraz korzystać z mądrości dwóch stracharzy.

– Wyjmij notatnik, chłopcze – polecił, kiedy pod bezchmurnym, wieczornym niebem z lekkim, sprzyjającym wiatrem żeglowaliśmy przez Cieśniny Otranto, z każdą chwilą zbliżając się do Grecji. – Jeszcze w Hrabstwie wspominałem ci o żywiołakach ognia i mówiłem, że pewnego dnia opowiem o nich więcej – podjął. – W naszych stronach ich nie ma, pewnie dlatego, że miałyby u nas za mokro. Nawet latem rzadko zdarza się tydzień bez ulewnego deszczu! Lecz Grecja jest sucha i gorąca. W tych warunkach żywiołaki ognia świetnie sobie radzą. Jak mówiłem, są bardzo niebezpieczne. Czasami przyjmują postać świetlnych kul, przejrzystych bądź nie. Dobrze zapamiętaj, co zaraz ci powiem, bo z pewnością natkniemy się na nie w Grecji: przybędą przez portal wraz z Ordyną.

Zanurzyłem pióro w kałamarzu i zacząłem pisać, najszybciej, jak umiałem. Wiedziałem, że nowo nabyta wiedza okaże się wkrótce bardzo ważna.

– Nieprzejrzyste z zasady są gorętsze i bardziej niebezpieczne – ciągnął stracharz. – W pomieszczeniach zamkniętych często unoszą się pod sufitem, ale potrafią też poruszać się bardzo szybko i niemal nie da się przed nimi uskoczyć. Zetknięcie skutkuje ciężkimi oparzeniami – i często prowadzi do bolesnej śmierci. W przypadkach ekstremalnych żywiołaki niemal natychmiast potrafią zamienić swe ofiary w garstkę popiołu. A to nie wszystko, chłopcze.

Inne, zwane asteri, z kształtu przypominają rozgwiadzy o pięciu ognistych ramionach. Te żywiołaki uczepiają się sufitów i ścian. Stamtąd spadają na głowy niczego niespodziewających się ofiar. A kiedy cię dopadną, możesz zegnać się z życiem. Ale mam też dobre wieści. Przed żywiołakami ognia bardzo ciężko się obronić, lecz metalowe ostrze z właściwego stopu srebra sprawia, że wybuchają. Użyteczne są zwłaszcza kije stracharzy. Kiedy zaś nie masz broni, możesz poważnie osłabić żywiołaka ognia zwykłą wodą: wówczas zapada w sen, dopóki nie wyschnie. W razie ataku to właśnie woda stanowi doskonale schronienie.

Stracharz zawiesił głos, dając mi czas, bym wszystko zapisał w notatniku. Kiedy skończyłem, ciekawość we mnie zwyciężyła.

Dlaczego mistrz poświęcił swe zasady dołączając do naszej wyprawy do Grecji? Wiedziałem, że nie będzie chciał o tym rozmawiać, ale i tak musiałem spytać.

– Panie Gregory, dlaczego w końcu popłynął pan z nami? Co sprawiło, że zmienił pan zdanie? – spytałem.

Spojrzał na mnie z twarzą pociemniałą od gniewu. Potem jednak jej wyraz się zmienił, mistrz stał smutny, zrezygnowany.

– Twoja mama napisała do mnie i zdradziła coś, czego wolałbym nie wiedzieć. Coś, w co nie chciałem uwierzyć. Po tym, jak jej list dotarł do Chipenden, długi czas zmagalem się z własnym sumieniem. O mało się nie spóźniłem.

Chciałem dowiedzieć się więcej, nim jednak zdążyłem cokolwiek powiedzieć, z bocianiego gniazda nad naszymi głowami dobiegł nagły krzyk. Wstaliśmy, spoglądając w prawo ponad dziobem. Ponieważ Grecja leżała już niedaleko, sądziłem, że marynarz uprzedza o pojawieniu się lądu.

Myliłem się jednak. Załoga zaczęła wspinać się na olinowanie, rozwijając wszelkie dostępne żagle. Na zachodzie wypatrzyli wielki statek, wypływający jakby prosto ze słonecznej tarczy. Miał czarne żagle, zbliżał się chyżo. A choć „Celeste” była szybka, spostrzegłem, że obcy statek rozwija jeszcze większą prędkość. Zaniepokojona załoga pracowała gorączkowo, lecz statek zbliżał się z każdą

chwilą.

Kapitan jakiś czas obserwował ich przez lunetę.

– To pirat. Nie mamy szansy umknąć mu przed zmierzchem – oznajmił, drapiąc się po bokobrodach. – I nie mamy większych szans, jeśli dojdzie do walki. Dysponują ogromną przewagą ognia.

Statek piracki był dosłownie najeżony działami, podczas gdy my mieliśmy zaledwie cztery, po dwa na każdej burcie. W chwili, gdy kapitan umilkł, usłyszeliśmy strzał. Kula armatnia wylądowała w wodzie niedaleko dziobu, posyłając w górę potężny pióropusz piany. Piraci pokazywali, że bez trudu mogliby nas zatopić.

Bill Akwright pokręcił tylko głową. Uśmiechnął się ponuro.

– Nie jest tak źle, jak się zdaje, kapitanie. Po prostu nie odpowiadajcie ogniem. W walce na działa i w wymianie kul nie wygramy. Ale do salw nie dojdzie. Zatopienie nas to ostatnia rzecz, jakiej by chcieli. Zamierzają zdobyć pańską jednostkę. Bez wątpienia chcą nam poderżnąć gardła i rzucić trupy na żer rybom. Ale, gdy dokonają abordażu, czeka ich niemiła niespodzianka.

Odwrócił się do mnie.

– Zejdź do ładowni, mości Wardzie. Powiadom o sytuacji zamknięte tam młode damy.

Nie tracąc czasu, zbiegłem na dół, by dać znać czarownicom z Pendle, co się dzieje. Grimalkin siedziała na stopniach, ostrząc jeden ze swych noży.

– Szykujemy się, dziecko – oznajmiła. – Mab przewidziała zagrożenie parę godzin temu. Prawdę mówiąc, nie możemy się już doczekać walki. Zbyt wiele czasu spędziłyśmy w zamknięciu. Moje siostry łakną krwi.

Niżej dostrzegłem kilka wiedźm; ich oczy lśniły okrutnym blaskiem. Oblizywały łakomie wargi na myśl o świeżej posoce. Paznokcie miały równie ostre, jak trzymane w dłoniach klingi, gotowe siekać, rozdzierać ludzkie ciała.

Na pokładzie stracharz stał obok Billa Arkwrighta; obaj przygotowywali się do walki. Arkwright zawsze sprawiał wrażenie gotowego rozwalić komuś łeb. Na myśl o czekającym nas starciu

uśmiechał się szeroko. Wysunąłem ostrze ze swej laski. Ruszyłem naprzód, by do nich dołączyć. Stracharz pozdrowił mnie skinieniem głowy, Arkwright poklepał mnie zachęcająco po plecach.

Kapitan oraz większość załogi ustawili się między masztami. W rękach trzymali pałki, ale nie wyglądali na spragnionych boju. Pomyślałem, że rzeczywiście przyda się nam pomoc czarownic z Pendle. W ustach zaschło mi z podniecenia i strachu, ale byłem zdecydowany walczyć do upadłego. Lecz nagle poczułem na ramieniu silną dłoń – należała do mamy.

– Nie, synu. – Odciągnęła mnie na bok. – Nie wtrącaj się do bitwy. Nie możemy ryzykować, że ktoś cię zrani. W Grecji czeka cię ważniejsze zadanie.

Próbowałem protestować, ale mama nie dała się przekonać. Irytował mnie fakt, że inni mogli się narażać, a ja nie. Nie znosiłem takiego niańczenia, musiałem jednak słuchać mamy. Stałem zatem u jej boku, wściekły, że nie wezmę udziału w nadciągającym starciu.

Nie musieliśmy długo czekać na atak. Statek piracki podpłynął bliżej, a potem jego załoga zaczęła ciskać ku nam haki do abordażu. Przyciągali ku sobie oba okręty. Ich bakburta ze zgrzytem zderzyła się z naszą sterburtą. Część piratów, przechadzając się aroganckim krokiem, krążyła po własnym pokładzie. Uzbrojeni w noże, miecze i ciężkie pałki naszpikowane gwoździami, sprawiali wrażenie nieustraszonych oraz bezlitosnych. Inni czyhali na olinowaniu, śledząc nas z góry niczym sępy, widzące wyłącznie padlinę.

Nim jednak pierwsi napastnicy zdążyli przeskoczyć na pokład, z ładowni wybiegły czarownice, prowadzone przez Grimalkin. Odziane w kaptury, uzbrojone po zęby, wyglądały naprawdę imponująco. Niektóre śliniły się, a ślina ściekała im z ust, skapując spod skórzanych kapturów. Wyraźnie nie mogły się już doczekać krwawej uczty. Inne ujadły niczym myśliwskie psy, a ich ciała dygotały z podniecenia. Wyglądały śmiertelnie groźnie, zwłaszcza Grimalkin, która z klingami w obu dłoniach powiodła wiedźmy tuż



pod reling, tworząc pierwszą linię obrony. Alice też tam stała, równie zdecydowana i stanowcza jak pozostałe.

Kapitan piratów, rosły osobnik zbrojny w szablę, jako pierwszy wskoczył na pokład „Celeste”. Toteż jako pierwszy zginął. Grimalkin wyrwała nóż z pochwy na ramieniu, miotnęła nim prosto w gardło rabusia. Na jego twarzy ledwie zdążyło odbić się zdumienie, a już za moment szabla wypadła napastnikowi z dłoni. Pozbawione życia ciało z głuchym łomotem runęło na deski.

Reszta piratów błyskawicznie wtargnęła na nasz statek. Rozgorzała bitwa. Stracharz oraz Arkwright nie odgrywali w niej zbyt doniosłej roli: czekali z tyłu unosząc broń w gotowości. Kapitan i jego ludzie także okazali się niepotrzebni. Ów fakt bez wątpienia bardzo ich ucieszył.

Tylko niewielka część zmagania toczyła się na naszym pokładzie. Po pierwszym starciu z czarownicami pozostali przy życiu piraci szybko wycofali się na własny statek. Widząc, z czym mają do czynienia, pomni śmierci kapitana, woleliby wycofać się na bezpieczną odległość i rozwalić nas na kawałki salwami armatnimi, lecz haki do abordażu działały teraz na naszą korzyść. Nim zdążyli je odczepić, by rozłączyć oba statki, czarownice przeszły do ofensywy. Wrzeszcząc, wyjąc z żądry krwi, wdarły się na statek piracki. Tam rozpoczęła się rzeź. A Alice pobiegła wraz z nimi.

Ściagały piratów wśród olinowania, po pokładzie i w ładowniach. Ci, którzy zostali, zdecydowani walczyć, przeżyli zaledwie parę sekund. Potem ich krew spływała na deski. Wyteżiałem wzrok, chcąc sprawdzić, jaką rolę odgrywa w tym wszystkim Alice – na myśl o grożącym jej niebezpieczeństwie żołądek ścisnął mi się boleśnie. Słońce zdążyło już zająć, z każdą chwilą robiło się coraz ciemniej, w rezultacie niczego nie widziałem.

Szczęśliwie, ciemność oszczędziła nam obrazów najgorszej rzezi. Nadal jednak słyszeliśmy krzyki konających piratów i ich bezskuteczne błagania o litość.

Razem z mamą podeszliśmy do stojących obok masztu stracharzy.

– Trudno mi stać z boku, pozwalając na podobne rzeczy, chłopcze – poskarżył się mój mistrz. Obdarzył mnie twardym spojrzeniem. Podejrzewałem, że jego słowa są także przeznaczone dla uszu mamy, która zawarła przymierze z czarownicami. Mama jednak nie odpowiedziała.

– Przyznaję, paskudna to sprawa – odrzekł Arkwright. – Ale jak wielu nieszczęsnych żeglarzy straciło życie z rąk tych piratów? Ile statków posłali na dno?

Nikt nie mógł temu przeczyć, więc stracharz zamilkł. W końcu krzyki zaczęły cichnąć, wreszcie zupełnie ustały. Wiedziałem, że ukryte w mroku czarownice gromadzą teraz krew oraz kości nieboszczyków do swych rytuałów. Dobrze znałem Alice i wiedziałem, że ona sama nie uczyni niczego podobnego.

Aż do świtu staliśmy na kotwicy. Wówczas zbryzgane krwią czarownice powróciły na „Celeste”. Znow wycofały się do swojej kryjówki w ładowni. Zauważyłem, jak bardzo różnią się od siebie Mab i Alice. Pierwsza promieniowała zadowoleniem, wyraźnie napawając się tym, co zaszło. Alice stała z boku ze splecionymi rękami i nieszczęśliwą, pełną obrzydzenia miną.

## **ROZDZIAŁ 9**

### **CZYM JESTEM**

Żeglowaliśmy na północ, halsując pod wiatr. Z prawej strony widzieliśmy już ląd. Od razu zauważyłem, że bardzo różni się od tego, do którego przywykłem. Owszem, dostrzegałem nieco zieleni: kępy sosen i dębów, a także nieliczne strzeliste cyprysy. Nie przypominała jednak soczystej zieleni Hrabstwa, zasilanej częstymi deszczami i wilgotnymi, zachodnimi wiatrami. Ten kraj był gorący, suchy, dziki. Słońce paliło nam głowy i karki. Brązowe wzgórza piekły się w jego promieniach.

Od portu w Igoumenitsie dzieliła nas niecała godzina drogi.

Lecz morze i jego mieszkańcy jeszcze z nami nie skończyli. Pierwszym sygnałem, jaki uprzedził mnie o niebezpieczeństwie, stał się odległy dźwięk, wysoki i przenikliwy. Niósł się ponad hukem fal, rozbijających się o skaliste wybrzeże. Stracharz z Arkwrightem spojrzeli po sobie, oczy im się rozszerzyły. W tym momencie „Celeste” szarpnęła mocno, rzucając nami o pokład. Statek zaczął gwałtownie ostrzyć w prawo. Niezgrabnie powstaliśmy z desek, spostrzegając, że skręcamy. Po chwili nasz dziób celował już prosto w ścianę zębatach skał.

– Syreny! – zawołał Arkwright.

Czytałem o nich w bestiariuszu stracharza. Wzywały nas morskie stwory, dziwożony, które niezwykle melodyjnym nawoływaniem wabiły żeglarzy na skały, a potem niszczyły ich statki. Następnie zaciągały tonących w głębiny, tam zaś bez pośpiechu pożerały ciała. Siódmy syn siódmego syna dysponował pewną odpornością na syrenie zawodzenia, lecz zwykły marynarz natychmiast poddawał się urokowi hipnotycznych głosów.

Podążyłem za oboma stracharzami w stronę steru. Krzyki syren brzmiały już znacznie głośniejsze, dźwięczały nagłąco, tak przenikliwie, że rozbolały mnie od nich zęby. Miałem ochotę odpowiedzieć na wezwanie, walczyłem z tym jednak. Stopniowo uczucie przyciągania zniknęło. Większość załogi zebrała się na dziobie, zapatrzona w źródło owego potężnego syreniego śpiewu. Kapitan, stojący za sterem, wybałuszył oczy, mięśnie jego odsłoniętych ramion napięły się niebezpiecznie, gdy kierował statek wprost na czarne skały, przypominające olbrzymie kły żarłocznej bestii. Dłonie zaciskał na kole sterowym niczym ręce szaleńca. Ani na moment nie odrywał wzroku od wybrzeża.

Teraz dostrzegałem już syreny. Leżały na skałach: piękne kobiety o jasnych oczach, złotych włosach i skórze. Promieniował od nich nieprzeparty czar. Kiedy jednak się skupiłem, spróbowałem spowolnić oddech, wygląd tych stworów zaczął się zmieniać. Wreszcie oglądałem ich prawdziwe oblicza. Nadal miały ciała kobiet, lecz długie, zielone kłaki niczym splecione wodorosty

spadały na potworne pyski z długimi kłami, sterczącymi spomiędzy groteskowo napuchniętych warg. Zdawałem sobie jednak sprawę, że kapitan oraz załoga zbyt długo pozostawali w rozłące ze swymi żonami. W dodatku nie posiadali odporności właściwej stracharzom. Przed nimi odsłaniała się wyłącznie iluzja.

Arkwright chwycił kapitana za ramiona, próbując go odciągnąć. Kiedy odbywałem szkolenie, mocowałem się z nim i walczyliśmy na kije. Aż za dobrze zatem wiedziałem, że jest niezwykle silny – nawet on jednak nie zdołał oderwać tamtego od steru. Kiedy stracharz przyszedł mu z pomocą, kilku członków załogi zeszło z dziobu. Ruszyli ku nam, wymachując pałkami. Nietrudno było odgadnąć ich zamiary. Rozpaczliwie pragnęli odpowiedzieć na syreni śpiew, a wiedzieli, że próbujemy temu zapobiec.

– Cofnąć się! – zawołał stracharz, występując naprzód i wymachując laską. Tamci jednak nie przestawali, w ich oczach lśnił obłęd. Znajdowali się pod wpływem syreniego czaru, gotowi zrobić wszystko, by podążyć za wezwaniem. Stracharz uderzył najbliższego w przegub. Wytrącił mu pałkę. Marynarz zawył z bólu, cofnął się o krok.

Ruszyłem, by dołączyć do Johna Gregory'ego. Uniosłem skośnie laskę w obronnym geście. Ani mój mistrz, ani ja nie wysunęliśmy ukrytych ostrzy. W końcu mieliśmy do czynienia jedynie z załogą „Celeste”, nie chcieliśmy nikogo trwale uszkodzić. Z tego samego powodu Arkwright nadal zmagał się ze sternikiem, zamiast roztrzaskać mu czaszkę i powalić na ziemię.

Nagle obok niego zjawiała się mama; gdy się obejrzałem, ugniatała coś w dłoni. Prędko wepchnęła owo coś w lewe ucho kapitana Bainesa. Arkwright przekręcił głowę sternika i mama zrobiła to samo z jego prawym uchem.

– Może go pan puścić! – zawołała, przekrzykując ryk fal na niebezpiecznie bliskich skałach.

Cokolwiek mama zrobiła, w kapitanie zaszła gwałtowna, dramatyczna przemiana. Wrzasnął ze strachu, jego oczy wypełniła groza i obrzydzenie, bo nagle ujrzał siedzące na skałach syreny w

ich prawdziwych postaciach. Natychmiast zaczął obracać sterem. Statek zareagował, powoli oddalając się od brzegu. Marynarze runęli na nas, lecz obaj ze stracharzem powstrzymaliśmy ich kijami. Dwóch majtków wylądowało na pokładzie. A potem obok nas zmaterializował się Arkwright. Także uniósł kij, gotów użyć go w razie konieczności. Tymczasem śpiewy syren zaczynały cichnąć, w miarę jak się od nich oddalaliśmy. Przychylny wiatr unosił „Celeste” szybko po falach.

Obserwowałem twarze załogi. Czar syren słabł, mężczyźni dostrzegali teraz prawdziwą postać dziwożon. Paskudne stwory syczały gniewnie, wyszczerzając kły. Pospiesznie zsuwały się z zębatych skał do morza.

– Zatkanam kapitanowi uszy woskiem – wyjaśniła mama. – Jeśli nie słyszy się pieśni syreny, nie ma ona nad nami władzy. To prosta, lecz skuteczna metoda, mój lud korzystał z niej wielokrotnie. Syreny od zawsze czyhają na wybrzeżu, sądziłam jednak, że ta jego część pozostaje bezpieczna. Potęga mroku wyraźnie rośnie.

Po paru minutach nie słyszeliśmy już głosów syren. Kiedy kapitan wyciągnął z uszu wosk, mama wyjaśniła oszołomionej załodze „Celeste”, co zaszło. Statek wrócił na dawny kurs, podjęliśmy podróż na północ, tym razem utrzymując bezpieczną odległość od groźnego brzegu. Jeszcze nie wylądowaliśmy w Grecji, a piraci i syreny już zagrozili naszemu życiu.

\*

Późnym rankiem przybiliśmy do brzegu w porcie Igoumenitsa.

W trakcie wylądunku zapasów pozostaliśmy na pokładzie, jakby nikt nie miał ochoty opuszczać bezpiecznego statku. Czekala na nas obca kraina. W gorącym, przesyconym aromatem korzeni powietrzu wisiała zapowiedź nieznanego zagrożenia.

Po południu, na drodze wiodącej w stronę portu ujrzałem chmurę kurzu, z której wkrótce wyłoniło się kilkunastu groźnie wyglądających mężczyzn na koniach. Galopowali w stronę przystani. Wszyscy mieli na sobie brązowe szaty i miecze u pasów.

Wszyscy byli brodaci, ich twarze pokrywały blizny. Za nimi jechał wóz, osłonięty czarną plandeką.

Jeźdźcy zatrzymali się w rzędzie naprzeciw statku. Czekali w milczeniu. Mama, osłonięta kapturem, zawoalowana wyłoniła się ze swej kabiny. Stała na pokładzie, spoglądała na konnych. Wreszcie zwróciła się do mnie:

– To moi przyjaciele, synu. Znajdujemy się teraz w niebezpiecznym kraju, wrogowie w każdej chwili mogą próbować nam przeszkodzić. Jeśli menady zaatakują, będziemy potrzebowali tych ludzi. Chodź, poznasz ich.

To rzekłszy, poprowadziła mnie trapem w stronę czekających jeźdźców. Gdy się zbliżyliśmy, zeskoczyli z wierzchowców i pobiegli w naszym kierunku. Szeroko uśmiechnięci, utworzyli krąg wokół niej.

Mama odwróciła się plecami do słońca, odsunęła woal, po czym przemówiła szybko przyjaznym głosem. Próbowałem zrozumieć, co mówi. Brzmiało to podobnie do greki, ale wyłapywałem tylko pojedyncze słowa. Potem położyła mi na prawym ramieniu lewą dłoń i rzekła „o yios”, co oznacza syn. A chwilę później wymówiła słowo „exi”, powtarzając je dwa razy. Odniosłem wrażenie, że poinformowała ich, iż jestem siódmym synem siódmego syna i że należę do niej.

Cokolwiek rzekła, wszystkie oczy zwróciły się ku mnie, a obce twarze ponownie rozjaśniły uśmiechy.

– To Seilenos. – Mama wskazała wysokiego, czarnowłosego mężczyznę pośrodku grupki. – Dobry druh, bardzo dzielny człowiek. Jego odwaga walczy o lepsze jedynie z umiłowaniem jadła oraz zanego trunku! Jest w moim kraju kimś, kogo w przybliżeniu określiłabym tutejszym odpowiednikiem stracharza. Świetnie zna się na lamiach i żywiołakach ognia, co może się okazać bardzo użyteczne, jeśli zdołamy wdrzeć się do Ordy.

Zaczęła mówić coś szybko. Znów niczego nie zrozumiałem, lecz Seilenos pozdrowił mnie skinieniem głowy.

– Zapewniłam go, że twoje życie jest równie ważne jak moje i

poprosiłam, by zrobił wszystko, aby uchronić cię przed wszelkim niebezpieczeństwem – wyjaśniła mama.

– Co to za język, mamó? – spytałem. – Brzmi jak greka, ale nic z niego nie pojmuję. Mówią tak szybko!

– Większość napotkanych ludzi zrozumiesz bez trudu, ale ci pochodzą z pogranicza. Posługują się dialektem, który na południu nazywają mową barbarzyńskiej północy.

– Jeśli można – Seilenos wystąpił naprzód i uśmiechnął się promiennie – znam trochę waszych słów, tak? Twoja dobra matka mówi mi, że jesteś uczniem wroga mroku. Ja też cię czegoś nauczę. Znam ten kraj, znam jego niebezpieczeństwa.

– Dziękuję – odparłem z uśmiechem. – Będę wdzięczny za wszelką pomoc.

– W każdym razie, synu – podjęła mama – podróż na wschód rozpoczynamy dopiero jutro. Dzisiejszą noc spędzimy jeszcze na „Celeste”, tak będzie bezpieczniej. Lepiej, abyśmy dobrze się przygotowali do trudów drogi. Tymczasem jednak chcę ci coś pokazać. Mam także kilka spraw do wyjaśnienia. Wybierzemy się więc na wycieczkę, powinniśmy wrócić na statek przed zmrokiem. Pojedziemy tym...

Poprowadziła mnie do wozu osłoniętego czarnym płótnem. Uśmiechnięty woźnica zeskoczył z kozła i otworzył przed nią drzwi. Zdumiał mnie panujący w środku chłód. Chętnie wyrżałbym przez okno, ale musiałem powstrzymać ciekawość, by nie narażać mamy na palące promienie słońca.

W towarzystwie jej przyjaciół wojowników jakąś godzinę jechaliśmy na południe. Po pewnym czasie zwolniliśmy, droga zaczęła piąć się w górę. Podróżowaliśmy w milczeniu, nie odzywając się do siebie. Chciałem jej zadać tak wiele pytań, ale coś w zachowaniu mamy nakazywało zachować dystans. Wyczułem, że woli, bym zaczekał, póki nie dotrzemy do celu.

Kiedy się zatrzymaliśmy, wysiadłem w ślad za nią, mrugając gwałtownie w oślepiającym słońcu.

Znajdowaliśmy się na skalistym wzgórzu. Rozmigotane błękitne

morze połyskiwało w dali. Przed nami stał duży biały dom z okolonym murem ogrodem. Ze ścian obłaziła farba, okiennicom także przydałoby się odmalowanie. Jeźdźcy nie zsiedli z koni, czekali cierpliwie, podczas gdy mama poprowadziła mnie do frontowego wejścia.

Wsunęła w zamek klucz, przekręciła, otworzyła drzwi. Poruszyły się z jękiem. Skrzypiały tak, jakby od lat nikt nie odwiedzał tego miejsca. Podążyłem śladem mamy, zanurzając się w półmrok. W środku uniosła woal, ruszyła w głąb domu. Idąc za nią, kątem oka dostrzegłem jakiś ruch po lewej. Z początku sądziłem, że to szczur, okazało się jednak, że to mała zielona jaszczurka, która wbiegła po ścianie na sufit.

Mama ponownie posłużyła się kluczem, otwierając tylne drzwi. Znow opuszcivszy welon, wyszła do ogrodu.

Znalazłem się w zdumiewającej oazie zieleni. Choć zarośnięty i zaniedbany, ogród nadal radował oko. Z ozdobnej kamiennej fontanny pośrodku, bulgocząc, wypływała woda, zasilająca gąszcz traw, krzewów oraz niewielkich drzewek.

– Widzisz, Tom? – Mama wskazała ręką małe poskręcane drzewko, rosnące tuż przy fontannie. – Drzewo oliwne. Żyje bardzo długo, a z oliwek tłoczy się pożywny olej. To tutaj ma dobrze ponad dwieście lat.

Przytaknąłem z uśmiechem, choć nagle załała mnie fala tęsknoty za domem. Drzewo mamy było bardzo małe – karzełek w porównaniu z wielkimi dębami, jesionami, wiązami Hrabstwa.

– Usiądźmy w cieniu – zaproponowała mama, kierując się w stronę osłoniętej od słońca ławeczki pod murem. Zająłem miejsce. Znow uniosła welon. – Tato opowiadał ci o tym domu i o ogrodzie, prawda?

Przez chwilę spoglądałem na nią zaskoczony, potem przypomniałem sobie. Uśmiechnąłem się szeroko.

– To ten dom, mamó? Ten, w którym zamieszkaliście razem, kiedy tato uratował cię ze skały?

Niedługo przed śmiercią opowiedział mi, jak poznał mamę.



Kiedyś, jako marynarz, podczas pobytu w Grecji znalazł ją nagą, przywiązaną do skały srebrnym łańcuchem. Osłonił nieszczęśnicę przed słońcem – w przeciwnym razie by zginęła. Potem uwolnił ją. Zamieszkali razem w tym domu, by w końcu wrócić do Hrabstwa i wziąć ślub. Srebrnego łańcucha, który więził mamę, używam teraz do krępowania czarownic.

Przytaknęła.

– Tak, to mój dom. Chciałam ci go pokazać, ale w gruncie rzeczy przyprowadziłam cię tutaj, byśmy mogli zostać sami i by nikt nam nie przeszkodził. Bo widzisz, trzeba ci wiedzieć coś jeszcze, synu – podjęła. – Możliwe, że nie trafi się więcej okazja do rozmowy na osobności. To dla mnie bardzo trudne... ale muszę ci wyznać, czym jestem.

– Czym jesteś, mamó? – powtórzyłem. Serce tłukło mi się w piersi.

Tak długo czekałem, by się dowiedzieć, lecz teraz, gdy w końcu miałem poznać prawdę, bałem się.

Mama odetchnęła głęboko. Minęło dużo czasu, nim w końcu przemówiła.

– Nie jestem człowiekiem, Tomie. Nigdy nie byłam.

– To nie ma znaczenia, mamó. Wiem, czym jesteś. Domyśliłem się lata temu. Jesteś lamią, tak jak twoje siostry. Jedną z wengir, tych, które latają. Ale od bardzo dawna byłaś „udomowiona” i jesteś zacna...

– Cóż, spodziewałam się, że dodasz dwa do dwóch i dojdiesz do tego wniosku. Niestety jednak, jesteś w błędzie. Jakże chciałabym, żebyś miał rację...

– W takim razie musisz być hybrydą – przerwałem jej.

– Nie, Tomie, nie jestem hybrydą. Prawda brzmi znacznie gorzej niż wszystko, co zdołałbyś sobie wyobrazić... – Mama umilkła. Odwróciła się ku mnie, w jej oczach lśniły łzy. Serce zabiło mi jeszcze szybciej. Nie miałem pojęcia, co wyzna, ale musiało to być coś strasznego. – Bo widzisz, synu – podjęła. – Ja jestem Lamią. Pierwszą z nich...

Zachłysnąłem się, zakręciło mi się w głowie. Usłyszałem jej słowa, ale nie pojmowałem sensu.

– Co ty mówisz, mammo? Wiem, że jesteś lamią. Udomowioną, zacną...

– Słuchaj uważnie tego, co mówię, synu. Jestem Lamią. Pierwszą. Matką ich wszystkich.

W miarę, jak docierało do mnie znaczenie jej słów, poczułem ból w sercu.

– Nie, mammo! Nie! To nie może być prawda! – wykrzyknąłem, wspominając, co zapisano o niej w bestiariuszu stracharza. Że pierwsze dzieci Lamii zginęły z rąk bogini Hery, a ich matka wywarła straszliwą zemstę. Zabijała dzieci. Potem młodych mężczyzn. Niezliczone mrowie ludzi.

– Po twojej minie widzę, że wiesz, co zrobiłam. Znasz moje zbrodnie, prawda? Mogę tłumaczyć się tylko tym, że utrata moich własnych dzieci doprowadziła mnie do szaleństwa. Zabijałam niewinnych i nigdy sobie tego nie wybaczę. Ale w końcu zwróciłam się ku światłu, przez całe długie życie próbowałam w jakiś sposób odpokutować to, co uczyniłam.

– Ale ty nie możesz być Lamią, mammo! W bestiariuszu stracharza piszą, że zabiły ją jej trzy córki, pierwsze lamie. Rozszarpały rodzicielkę na strzępy, nakarmiły jej ciałem oraz sercem stado dzików. Więc nie możesz być nią. Ona nie żyje.

– Nie wierz we wszystko, co przeczytasz w książkach, synu – rzekła mama. – Historię często przekazuje się w opowieściach, a także zapisuje po wielu latach, gdy prawda jest już zniekształcona i ubarwiona. Istotnie, urodziłam trojaczki, pierwsze prawdziwe lamie. W rzeczy samej, pokłóciłyśmy się. Ale nigdy nie walczyłyśmy ze sobą. Choć ich słowa zraniły mnie do głębi, żadna nie podniosła na mnie ręki. I mimo iż przyjełam to z bólem, nasza rodzina musiała się rozstać. Teraz już nie żyją, lecz ich dzikie dzieci zasiedliły całą Grecję, przez co tutejsze przełęczce oraz góry stały się niebezpieczniejsze niż gdziekolwiek indziej na ziemi. Tak przedstawia się prawda.

Nagle przyszło mi coś do głowy.

– Ale masz przecież siostry, dzikie lamie, mamu. A Lamia nie miała sióstr. Była pierwsza. Najpierwsza. Jak mówiłaś, matka ich wszystkich...

– Nazywam je siostrami, Tomie. Bo dla mnie są siostrami, od wielu lat towarzysząc mi w walce z Ordyną i Złym. Dołączyły do mnie na wiele lat przed wyjazdem do Hrabstwa z twoim ojcem. Choć tak naprawdę to moje potomkinie, dzieci moich dzieci, po wielu pokoleniach. Duchowo jednak stałyśmy się siostrami. Tak je postrzegam.

Nie mogłem myśleć jasno; nie wiedziałem, co powiedzieć. Nagle po policzkach popłynęły mi łzy. Zawstydzony, próbowałem je otrzeć. Mama pochyliła się, objęła mnie ramieniem.

– Wszystko działo się bardzo dawno, synu. Każdy, kto żyje tak długo, nie jest już taki sam, jak kiedyś. Zmieniamy się, przekształcamy. Stajemy się kimś innym. Warto to wiedzieć, bo dokładnie coś takiego mnie spotkało. Niewiele mam wspólnego z Lamią unicestwiająca całe tłumy. Od nieprzeliczonych lat służę światłu. Poślubiłam twojego ojca, by móc urodzić mu siedmiu synów, grodziłam cię jako mój dar dla Hrabstwa. I więcej – dla całego świata. Bo nosisz w sobie siłę potrzebną do zniszczenia Złego. Niezbędną, by zapoczątkować nową erę światła. Kiedy wykonasz zadanie, moja pokuta dobiegnie końca. Spłacę dług za straszliwe zbrodnie. Wiem, że trudno ci pogodzić się z tym wszystkim, ale spróbuj być dzielny. Pamiętaj, że jesteś kimś więcej niż tylko bronią w walce z mrokiem. Jesteś moim synem. Kocham cię, Tom. Cokolwiek się zdarzy, uwierz.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. W milczeniu wróciliśmy do domu. Mama zamknęła drzwi na klucz, razem ruszyliśmy w stronę wozu. Po drodze przystanąła na moment. Obejrzała się.

– Już tu więcej nie wrócę – rzekła ze smutkiem. – Wspomnienia o twym ojcu są tu tak silne, że czuję, jakbym po raz wtóry owdowiała.

W czasie jazdy z powrotem na statek próbowałem przetrwać

słowa mamy. Zdradziła mi straszliwą prawdę. Niemal niemożliwą do zniesienia.

## ROZDZIAŁ 10

### TRZYNASTU DELEGATÓW

O świcie, zeskoczywszy z hamaka, dostrzegłem kolejne wozy czekające na brzegu. Przybyło ich pięć. Alice już tam stała obok grupy czarownic z Pendle – tych z klanu Deane'ów. Sprawiała wrażenie zagubionej, nawet zgorzkniałej. Wszelako kiedy zszedłem po trapie, jej twarz pojaśniała. Pospieszyła ku mnie.

– Co się dzieje, Tom? Gdzie pojechałeś wczoraj z mamą? Jakies złe wieści? Nie wyglądasz na uszczęśliwionego.

– Przyganiał kocioł garnkowi – odparłem.

Bez zbędnych uwag zaczęliśmy oddalać się od statku, tak by reszta nas nie słyszała. Alice zatrzymała się wyczekująco, ja jednak nie umiałem się zmusić, by zdradzić jej, kim jest mama. Fakt, że sam o tym wiedziałem, dostatecznie mi ciążył. Świadomość, czym kiedyś była, boleśnie zawstydziała.

– Mama zabrała mnie do domu, w którym kiedyś mieszkali z tatą – poinformowałem Alice. – I tyle.

– Ale co ci powiedziała, Tom? Musiała coś powiedzieć, skoro wyglądasz na strasznie przybitego.

– Nostalgia, nic więcej. Tam znów poczuła się tak, jakby niedawno straciła tatę. Pragnęła, żebym zobaczył to miejsce.

Alice nie do końca uwierzyła w moją odpowiedź, a kiedy ruszyliśmy z powrotem w stronę „Celeste” dostrzegłem, że Mab Moudheel nas obserwuje. Od razu zauważyła nasze przygnębienie. Jej twarz natychmiast wykrzywiła się w szerokim, złośliwym uśmiechu.

\*

Wyładunek bagaży zabrał nam godzinę. Przez tę godzinę słońce

wspięło się wysoko na nieboskłon. W końcu czarownice zeszły na ląd; kilka znalazło sobie miejsce na wozach, lecz większość szła pieszo. Ruszyliśmy na wschód. Wóz mamy, otoczony ze wszystkich stron eskortą, toczył się na przedzie. Za nim podążały wozy z zapasami, a potem wiedźmy prowadzone przez Grimalkin, u której boku maszerowała Alice.

Ja szedłem z tyłu, z Billem Arkwrightem i moim mistrzem. Zostawiłem swą torbę na wozie mamy, John Gregory, mimo upału, nadal dźwigał swoją. Zastanowiłem się ponownie, co takiego napisała mu mama, że dołączył do nas niezwykle późno, w ostatniej chwili wskakując na statek. Co sprawiło, że zmienił zdanie? Czy znał prawdę? Nie, byłem pewien, że gdyby dowiedział się, kim jest moja matka, nie chciałby mieć ze mną nic wspólnego. Przegnałby mnie na zawsze, tak jak Alice.

Podróżowaliśmy cały dzień w palących promieniach słońca, podążając doliną rzeki Kalamus w stronę miasta Yannena. Mój nastrój nie poprawił się ani trochę. Wciąż rozmyślałem o prawdziwym obliczu mamy. Moi towarzysze także milczeli. Słońce prażyło ziemię. Musieliśmy natężyć wszystkie siły, żeby dotrzymać kroku wozom.

Przechodziliśmy przez wioski pełne białych kamiennych domów i zagajników oliwnych; miejscowi łypali na nas ciekawie. Zastanawiałem się, czy są wśród nich szpiedzy, donoszący o naszych postępach menadom. Przybywaliśmy, by walczyć z Ordyną, a zatem byliśmy dla menad wrogami. W pewnym momencie niechybnie zaatakują. Ponieważ zarówno nasza grupa, jak i menady kierowały się w stronę Ordy, wydawało się nieuniknione, że wcześniej czy później nasze drogi się skrzyżują.

W Hrabstwie przywykłem do leniwego letniego brzęczenia owadów. Tu jednak roilo się od nich wszędzie. Całe chmary skrzydlatych stworzeń dostawały mi się pod kaptur i kąsały wściekle.

– Czy miejscowi w ogóle znają deszcz? – spytałem, zerkając w błękitne, rozświetlone niebo.

– O ile mi wiadomo, pada zimą, nawet sporo – odparł Arkwright. – Bywa także zimno. Twoja mama twierdzi, że wiosną okolica prezentuje się całkiem inaczej, pełno wokół traw oraz kobierców z dzikich kwiatów.

– Chciałbym to kiedyś zobaczyć – mruknąłem. – Kto wie? Gdy zakończymy sprawę, może kiedyś znów tu wrócimy? Chętnie poznałbym lepiej ojczyznę mamy. Co tak nieustannie świergota? – Cały czas słyszałem ów dźwięk, zaczynał mnie już drażnić.

– Cykady, rodzaj świerszczy – wyjaśnił Arkwright. – Hałaśliwe robale, prawda? Jednak wystrzegać się musimy większych stworzeń, mości Wardzie – na przykład dzików. Są smaczne, owszem, ale potrafią niezłe poranić, jeśli wpadnie im się pod szablę! Oprócz dzików żyją tu też wilki, a nawet niedźwiedzie.

– W rzeczy samej, to zupełnie inny kraj od naszego – dodał stracharz. – Grecja jest znacznie bardziej dzika i niebezpieczna. Nawet bez działania potęgi mroku. Oprócz menad w górach żyją lamie – całe mnóstwo – i oczywiście sama Ordyna, a także roje żywiolaków ognia, które przybędą wraz z nią przez portal.

Po jego słowach ucichliśmy, pogrążeni w zadumie. Czekają nas wielkie niebezpieczeństwo, musieliśmy się z nim rozprawić przed powrotem do Hrabstwa. Zastanawiałem się, czy jeszcze kiedykolwiek ujrzemy zielone ojczyste brzegi.

Przystanęliśmy na popas parę godzin przed zmierzchem, zostawiwszy za sobą wioskę Kreatopolio. Słowo to oznacza po grecku rzeźnika. Istotnie, w wiosce mieściło się wiele kramów rzeźniczych z wiszącymi na wolnym powietrzu baraniami półtuszami. Skorzystaliśmy więc ze sposobności, żeby nabyć świeże mięso. Przyjaciele mamy rozbili trzy namioty – największy dla niej. Przed tym namiotem przez całą noc trzymali straż. Część czarownic skorzystała z pozostałych dwóch, większość jednak spała pod gołym niebem. Byłem zmęczony. Zasnąłem, nim na dobre zamknąłem oczy.

Choć zależało nam, by jak najszybciej dotrzeć do celu, mama uznała, że odpoczniemy tu dzień przed dalszą drogą. Obawiała się

menad. Postanowiła zatem wysłać rano zwiadowców. Niech sprawdzą, czy nie kręcą się one gdzieś w pobliżu.

\*

Wstaliśmy wcześniej, posilając się tuż przed wschodem słońca. Przygotowano bardzo proste śniadanie – biały kozi ser, zwany fetą, kilka kromek chleba bez masła.

– Zabiłbym za porcję jajek na boczku! – oznajmiłem Arkwrightowi.

– Ja także, mości Wardzie – odparł. – Ale zdaje mi się, że część zbrojnych, którzy nie ruszyli na zwiady, wybiera się polować na dziki. Niewykluczone zatem, iż później czeka nas lepszy posiłek. Jeśli nie, zawsze pozostaje kupiony wczoraj baran.

Po śniadaniu wraz ze stracharzem i Arkwrightem odeszliśmy kawałek od obozu. Napotkaliśmy skąpy zagajnik drzew oliwnych, dających osłonę przed palącym porannym słońcem. Stracharz jednak sprawiał wrażenie podenerwowanego, nie mógł usiedzieć na miejscu. Wkrótce zerwał się z ziemi.

– Nie mówią nam wszystkiego! – oznajmił. – Idę porozmawiać z twoją mamą, chłopcze.

Nie było go jakąś godzinę. Kiedy wrócił, minę miał ponurą.

– I co? – spytał Bill Arkwright. – Coś się wyjaśniło?

Stracharz odłożył laskę, przykucnął między nami w cieniu drzewa oliwnego. Długą chwilę milczał.

– Wygląda na to, że gdy Ordyna przybywa przez portal, do cytadeli Ord wkracza delegacja miejscowych mieszkańców – rzekł w końcu. – To rytuał, który nigdy się nie zmienia. Delegacja za każdym razem ma nadzieję ją ugłaskać, aby złagodzić skutki odwiedzin. Po prawdzie jednak nic więcej co robią, zatem ich błagania nie odnoszą najmniejszego rezultatu.

– Po co zatem wciąż próbują? – spytałem. – Jaki to ma sens, skoro nic nie daje?

– Bo są ludźmi, chłopcze. A ludzie nigdy nie tracą nadziei. Nieważne, w jak rozpaczliwym położeniu znajdują się mieszkańcy, zawsze wmawiają sobie, że mogą coś wyblagać, że tym razem

zdołają ją przekonać. Ordyna potrzebuje ludzkiej krwi, by obudzić się z głębokiego snu po drugiej stronie portalu. Tylko nieliczni delegaci wracają do domów, a i tych zwykle dotyka obłąd. Groza tego, co przeżyli, na zawsze niszczy im umysły. Kalambaka zamierza posłać trzynaście osób – jak zwykle – lecz twoja mama ma inny pomysł. Zamiast nich uda się tam trzynaścioro z nas.

Arkwright zagwizdał przez zęby.

– Mówiła, kto dokładnie?

Stracharz przyglądał mi się bacznie.

– Jak dotąd wymieniła tylko jedną osobę, chłopcze. Ciebie. Wejdiesz w skład delegacji.

Przeraził mnie, ale starałem się niczego po sobie nie pokazać. Miałem nadzieję, że stracharz, Arkwright bądź mama będą mi towarzyszyli. Wówczas przynajmniej nie byłbym sam.

– Bez wątplenia nie zawadzi użyć fortelu. Może w taki sposób dostaniemy się do środka i zaskoczymy wroga? – podsunął Arkwright.

– Istotnie, o to właśnie chodzi. Nie przemyślała jeszcze do końca całego planu, ale ma nadzieję odwrócić uwagę strażników. Główny atak nastąpi, gdy delegaci będą udawać, że robią to, co zwykle. Zamierza wynająć najemników, całe mnóstwo. Dzikich wojowników z północy.

Arkwright wkrótce odszedł z psami. Zostałem z mistrzem sam. Wciąż sprawiał wrażenie niespokojnego, mamrotał coś pod nosem, potrząsał głową.

– Co się stało? Coś nie tak? – spytałem wreszcie.

– Coś? Aż nazbyt wiele jest nie tak. Jeszcze nigdy nie znajdowałem się z własnej woli w podobnej matni, chłopcze. Nawet przeżywszy nieunikniony atak menad, będziemy musieli przeprowić się przez góry Pindhos, w których zapewne roi się od dzikich lamii. A wszystko zanim jeszcze w ogóle ujrzymy Ordynę...

Wzmianka o lamiach przywiodła mi na myśl Meg, miłość życia stracharza. Oraz jej siostrę, dziką Marcję. W zeszłym roku obie pożeglowały do Grecji. Może nasza podróż zaprowadzi nas w



poblize miejsca, gdzie się zatrzymały? Zastanawiałem się, czy mistrz wciąż tęskni za Meg.

– Skoro znaleźliśmy się tutaj, pewnie złoży pan wizytę Meg? – spytałem.

Stracharz pochylił głowę. Przez moment sądziłem, że nie odpowie – albo oznajmi kategorycznie, bym pilnował własnego nosa. Potem jednak powoli uniósł wzrok. Ujrzałem w jego oczach smutek. Nim jeszcze się odezwał, już wiedziałem, że rozważał możliwość spotkania.

– Myślałem o tym, chłopcze, ale zdecydowałem się poniechać wizyty. Widzisz, Meg wyznała mi, dokąd się wybiera. Mieszka teraz na samotnej farmie, daleko na południu. Ponieważ trzyma się z dala od ludzi, zapewne przybrała już z powrotem dziką postać, pewnie nawet bym jej nie poznał. Jeszcze rok, a nie będzie się różnić od swej siostry Marcii. Straciłem ją na zawsze. Równie dobrze mogłaby nie żyć. Kobieta, którą znałem i kochałem, odeszła. Wolę zatem zachować po niej jak najlepsze wspomnienia...

Ze smutkiem pokręcił głową. Nie wiedziałem, jakimi słowami go pocieszyć. Ku memu zdumieniu za moment podniósł się, uśmiechnięty.

– Wiesz, chłopcze, moje stare kości nigdy nie czuły się lepiej! To pewnie dzięki upałowi i suchemu powietrzu. Po powrocie do Hrabstwa znów zaczną mi doskwierać. Bez wątpienia. Mimo wszystko jednak ucieszę się, kiedy wrócę do domu.

\*

Późnym popołudniem Seilenos oraz trzej jego ludzie wrócili z polowania ze zdobyczą. Pozostali żołnierze bezustannie krążyli po okolicy bądź pilnowali obozu.

Tej nocy zjedliśmy kolację pod gwiazdami; składały się na nią pieczona dziczyzna oraz baranina.

– Na razie wszystko dobrze – oznajmiła mama. – W poblizu żyje mnóstwo dzikich zwierząt, a moi ludzie donoszą, że nie dostrzegli żadnych śladów wroga. Jutro ruszamy w stronę Meteorów.

Seilenos zerknął z ukosa na stracharza, który bez przekonania dziubał jedzenie.

– Proszę jeść, panie Gregory! – rzekł z uśmiechem, – Wkrótce staniemy do walki z mrokiem. Należy gromadzić siłę!

Stracharz spojrział na niego z przyganą. W jego wzroku dostrzegłem dezaprobatę.

– W Hrabstwie my, stracharze, niewiele jadamy w obliczu zagrożenia mrokiem – odparł chłodnym tonem. – A kiedy robi się naprawdę źle, pościmy, odmawiając sobie strawy, by lepiej przygotować umysł i ducha do starcia z nieprzyjacielem.

Grecki stracharz pokręcił głową.

– Zupełnie tego nie rozumiem! – zawołał, wyrzucając w powietrze ręce. – Takim niemądrym zachowaniem tylko się osłabiacie! Jedzenie, wino dają siłę, czyż nie? Trzeba krzepy, by stawić czoło salamandrom!

– Co to są salamandry? – wtrąciłem.

– Salamandra stanowi najwyższą, najpotężniejszą odmianę żywiolaka ognia. Potężniejszą nawet od asteri. To wielki jaszczur, grzejący się w sercu ognia. Zresztą pluje ogniem, a z nozdrzy wydmuchuje parzącą parę. Trzeba dobrze sobie podjąć, by walczyć z takim potworem. Jedz, młody stracharzu! Wkrótce będziesz potrzebował wszelkich sił. Czy w domu wasze żony źle was karmią? – Seilenos obrzucił spojrzeniem Arkwrighta oraz stracharza.

– Ja nie mam żony – warknął Arkwright.

– My, stracharze z Hrabstwa, pozostajemy w bezżenności – wyjaśnił John Gregory. – Żona i dzieci odciągałyby uwagę od naszego powołania, czyli walki z mrokiem.

– Istotnie, ładna żona potrafi odciągnąć uwagę – zgodził się Seilenos. – Na szczęście moja żona jest brzydka i posiada ostry język – dodał, mrugając do mnie porozumiewawczo. – Mam też piątkę maluchów do wykarmienia. Dlatego właśnie z wami podróżuję. By uciec przed żoną i zarobić pieniądze u twojej dobrej matki!

Byłem głodny, więc najadłem się do syta. Lecz i tak, w porównaniu z Seilenosem, skubnałem niewiele. On napychał się tak bardzo, iż miałem wrażenie, że pęknie mu brzuch. Ludzie Seilenosa wiwatowali, zachwycając się niepohamowanym apetytem dowódcy. Kiedy się kładłem, on wciąż jadł – i popijał obficie winem.

Myslałem o tym, co powiedział wcześniej stracharz. Mama przy kolacji nie wspominała o swoich planach, zapewne zatem wciąż je szlifowała. Dlaczego wybrała syna na członka delegacji? Pomysł przerażał mnie, ale musiałem zaufać osądowi mamy.

\*

Wkrótce po świcie znów ruszyliśmy na wschód. Podróżowaliśmy trzy dni, każdy etap podróży okazywał się trudniejszy od poprzedniego. Było sucho, w powietrzu unosił się pył, słońce piekło bezlitośnie. Po trzecim dniu minęliśmy bokiem miasto Yannena.

W końcu na horyzoncie ujrzeliśmy górskie pasmo. Musieliśmy się przez nie przeprawić, by dotrzeć do Meteorów. Dwie noce później, gdy rozbijaliśmy obóz na piargach, góry Pindhos wznosiły się tuż nad nami. Jutro przed południem rozpoczniemy wspinaczkę. Za górami czekała równina Kalambaki, na którą z ognistego portalu zstąpi Ordyna. Z każdą milą znajdowaliśmy się coraz bliżej niebezpieczeństwa.

## **ROZDZIAŁ 11**

### **NOCNY ATAK**

Leżałem w pobliżu ogniska, opatulony w płaszcz. Miniony dzień był co prawda upalny, lecz powoli schodził nocny chłód. Gwiazdy świeciły jasno. Zasnęliśmy, gdy nagle obudził mnie donośny hałas.

Brzmiał niczym szaleńczy śmiech, ale przechodzący w przenikliwy wrzask. Spojrzałem w ciemność za ogniem. Dźwięk natychmiast powtórzył się, choć dobiegał teraz z innej strony. Zerwałem się, chwytając laskę.

Byłem pewien, że to wrzask menad. Gotowały się do ataku. Wokół szykowali się inni. W świetle dogasającego ogniska ujrzałem łąsą głowę Billa Arkwrighta – kopniakiem zasypał żar, skrywając nas w półmroku.

Ogniska gasły jedno po drugim, toteż wkrótce wrogowi pozostało tylko słabe światło księżyca. Dostrzegłem Arkwrighta, który przykucał, by w miarę możliwości nie wystawiać się na cel. Poszedłem w jego ślady.

Okrzyki i wrzaski rozległy się znowu. Dobiegały zza naszych pleców, znacznie bliżej. Byliśmy otoczeni: menady zaciskały krąg, sprężone do ataku. Ciemna postać śmignęła wprost ku Arkwrightowi, który rąbnął ją laską. Menada z głuchym sapnięciem runęła mu do stóp. Lecz wtedy ze wszystkich stron rzuciły się na nas jej towarzyszki. Słyszałem tupot stóp uderzających o wyschniętą ziemię. Zakręciłem się gwałtownie, odpierając napastniczkę nadciągającą z lewej. Machnąłem kijem. Trafiłem w głowę. Straciła równowagę, upadła. Nacisnąłem zagłębienie laski. Z jej zakończenia, ze szczękiem, wyskoczyło ostrze. Zaczęła się walka na śmierć i życie. Menady wyrastały wszędzie. Jedne dźgały długimi, okrutnymi klingami, inne atakowały gołymi rękami. Niektóre wcześniej zdążyły dopaść ofiar: z ust którejś ściekała krew, między jej zębami tkwiły skrawki skóry i mięsa. Okręcałem się wokół własnej osi, próbując dopuścić do siebie napastniczek. Było ich tak wiele, że nie mogłem liczyć na niczyją pomoc. Wszyscy znajdowaliśmy się w podobnej sytuacji. Menady dysponowały ogromną przewagą liczebną.

Pozostało mi tylko wyrwać się z kręgu. Zaatakowałem więc, skacząc naprzód i uderzając laską w sylwetkę tuż przed sobą. Menada runęła na plecy. Przeskoczyłem nad jej ciałem, wydostałem się na otwartą przestrzeń. Za plecami wciąż słyszałem wrzaski. Musiałem dołączyć do pozostałych – Billa Arkwrighta oraz stracharza, może nawet do czarownic z Pendle – i walczyć wspólnie z nimi.

Po prawej ujrzałem cień. Nim zdążyłem wymierzyć obronny

cios, czyjaś dłoń złapała mnie mocno za przegub, odciągając w ciemność.

– Chodź za mną, Tom! – wołał znajomy głos.

Alice!

– Dokąd? – spytałem.

– Szkoda czasu na gadanie, najpierw trzeba uciec...

Podążałem tuż za nią. Odbiegliśmy od obozu, kierując się mniej więcej na wschód. Wkrótce odgłosy walki ucichły. Alice nie zdradzała najmniejszej ochoty, żeby zwolnić, zatem dogoniłem ją i złapałem za rękę.

– Dalej nie idę, Alice.

Odwróciła się ku mnie. Ciemność skrywała jej oblicze, lecz oczy lśniły w blasku gwiazd.

– Musimy wracać. Oni potrzebują pomocy. Nie wolno ich tak zostawić! Nie możemy ich porzucić, myśląc wyłącznie o sobie.

– Twoja mama nakazała, bym w przypadku choćby najmniejszego niebezpieczeństwa od razu wyprowadziła cię z zagrożonego terenu. Zwłaszcza jeśli zaatakują menady. Zabierz Toma w bezpieczne miejsce, rzekła. Jeśli spotka go cokolwiek złego, nasze wysiłki spełzną na niczym. Kazała mi dać słowo, o tak.

– Czemu miałyby spełznąć na niczym? Nie rozumiem.

– Nie wiem, jaki plan pokonania Ordyny obmyśliła twoja mama, ale stanowisz jego ważną część, Tom. Musimy cię ochronić. Ruszamy dalej na wschód. Przed świtem dotrzemy w góry. Tam nas nie znajdą.

Alice czasami ukrywała przede mną pewne sprawy, ale nigdy mnie nie okłamała. Wiedziałem, że postępuje zgodnie z poleceniem mamy, toteż niechętnie ruszyłem dalej. Wciąż zamartwiałem się atakiem na nasz obóz. Zjawiało się niesłychanie wiele menad, lecz wiedziałem, że obrońcy nie poddadzą się bez walki. Nocowali tam nie tylko wojownicy mamy, ale też czarownice z Pendle, stracharz i Bill Arkwright. Każde z nich bez wątpienia rozbije tej nocy wiele łbów.

– Czemu ani ty, ani wiedźmy nie przewidziałyście ataku? – spytałem oskarżycielsko. – Przecież mama bądź Mab z pewnością zwęszyły, co się święci. Powinny były nas zawiadomić. Co poszło nie tak, Alice?

Alice wzruszyła ramionami.

– Nie znam odpowiedzi, Tom.

Choć dręczył mnie niepokój, nie odzywałem się więcej, zachowując swe troski dla siebie. Mama wspominała już, że traci moc jasnowidzenia. Byłem pewien, że Zły starał się nas osłabić, by jeszcze bardziej utrudnić zadanie.

– No dalej, Tom, ruszajmy! – zawołała Alice z napięciem w głosie. – Najpewniej wciąż nas ścigają...

Pobiegliśmy więc znowu kawałek, a potem nieco zwolniliśmy kroku.

Gdy dotarliśmy do podnóża gór, księżyc wyłonił się zza masywu mrocznych skał, wyrastających przed nami. Bez wątpienia gdzieś tam krył się górski szlak, ale nie byliśmy w Hrabstwie i nie znaleźliśmy terenu, nie mieliśmy też żadnej mapy. Wiedziałem tylko, że Meteory leżą gdzieś na wschodzie, za górskim łańcuchem. Zaczęliśmy zatem wdrapywać się jak najszybciej z nadzieją, że w jakiś sposób odnajdziemy drogę.

Od dziesięciu minut maszerowaliśmy przez sosnowy las. Skórę zrosił mi zimny pot – gdy Alice zatrzymała się gwałtownie, szeroko otwierając oczy. Trzy razy wciągnęła w nozdrza powietrze. Węszyła.

– Rzeczywiście ścigają nas menady. Bez cienia wątpliwości. Muszą mieć tropicielkę.

– Ile ich jest, Alice?

– Trzy albo cztery. Całkiem niedaleko.

Obejrzałem się. Lecz nawet w promieniach księżycy zalewających zbocze nie dostrzegłem pośród drzew ani śladu prześladowczyń. Jednak, gdy przychodziło do węszenia zagrożeń, Alice rzadko się myliła.

– Im wyżej dotrzemy, tym większą będziemy mieć szansę

znalezienia kryjówki i zgubienia pogoni – rzekła.

Odwróciliśmy się zatem, pospieszyliśmy naprzód. Wkrótce drzewa zostały za nami, a grunt pod stopami zrobił się bardziej stromy i kamienisty. Kiedy następnym razem obejrzałem się przez ramię, dostrzegłem cztery ciemne postacie maszerujące szybko naszym śladem. Zbliżały się z każdym krokiem.

Podążaliśmy właśnie wąską ścieżką między dwiema wysokimi skałami, kiedy ujrzelśmy przed sobą jaskinię. Ciemna paszcza wiodła w dół. Ścieżka prowadziła wprost do niej. Nigdzie indziej nie mogliśmy pójść.

– Może w ciemności zdołamy je zgubić. Łatwo nas tam nie wytropią – podsunęła Alice. Szybko powęszyła u wejścia do jaskini.

– Wydaje się bezpieczna. Nie wyczuwam niczego groźnego.

– Ale co, jeśli to ślepy zaułek, Alice? Jeżeli droga prowadzi donikąd, zostaniemy uwięzieni w ciemności jak w pułapce.

– Nie mamy wyboru, Tom. Albo tam wejdziemy, albo zawrócimy i zmierzmy się z nimi na ścieżce!

Racja. Nie mieliśmy wyboru. Skinąłem głową. Zapaliwszy świecę, którą zawsze noszę przy sobie, wszedłem do jaskini. Ziemia opadała łagodnie, powietrze zaś wewnątrz okazało się znacznie chłodniejsze niż na dworze. Co jakiś czas przystawaliśmy na sekundę, lecz od strony wejścia nie dobiegały żadne odgłosy pościgu. Wiedzieliśmy jednak, że wkrótce menady nas dogonią. I co się stanie, jeśli dotrzemy do ślepej ściany? Wolałem nie myśleć.

Tyle że ścieżka wiodąca do jaskini była całkiem mocno wydeptana, co sugerowało istnienie jakiegoś przejścia. Tunel opadał coraz bardziej stromo, każdy krok wiódł nas głębiej pod ziemię. Nagle, gdzieś w ścianie po prawej, usłyszeliśmy słabe rytmiczne stukanie. Niemal natychmiast odpowiedziało mu podobne z lewej strony.

– Co to jest, Alice?

– Nie wiem – odparła, patrząc na mnie okrągłymi oczami. – Z pewnością nie menady. One zostały z tyłu. Chyba że w tunelu było ich więcej.

Stopniowo stukot stawał się coraz szybszy i narastał, niczym rytm wybijany na werblach przez szalonego wielorękiego bębniarza. Czasami dźwięki dobiegały z góry, lecz głównie z boku, jakby ktoś bądź coś dotrzymywało nam kroku wzdłuż tunelu. Tyle że niczego nie widzieliśmy. Albo istoty wydające owe głosy były niewidzialne, albo też ukrywały się gdzieś w skale. Zastanawiałem się, czy to może jakiś żywiolak.

W końcu stukanie ucichło. Natychmiast poczułem się znacznie lepiej. Teraz tunel zwęził się, spadając naprawdę stromo. Nierówny grunt pod naszymi stopami zaścielały skalne odłamki. Po paru minutach dotarliśmy do szerszego przejścia, skręcającego w prawo. Do tej pory jaskinia była sucha, teraz jednak na przeciwległej ścianie ujrzeliśmy spływającą wodę, która ściekała też ze sklepienia. Na ziemi tworzyły się kałuże. Podążyliśmy w dół.

Wkrótce woda pod naszymi stopami zamieniła się w płytki, rwący strumień. Maszerowaliśmy z jego prądem, przyspieszając kroku. Stopniowo traciliśmy pewność siebie, miny nam rzedły. Woda stawała się coraz głębsza, w końcu sięgnęła ponad kolana. Nurt rwał tak szybko, że z trudem utrzymywałem równowagę. Znowu słyszeliśmy za sobą głosy nawołujących menad; były coraz bliżej.

Brodząc po uda w wodzie, dotarliśmy do, jak z początku sądziliśmy, ślepego zaułka. Lecz poziom wody przestał wzrastać – jeśli nie istniała stąd żadna droga ucieczki, z pewnością sięgnąłby sklepienia jaskini. Dopiero gdy się zbliżyliśmy, zauważyłem gwałtowne poruszenie wodnej tafli. Uderzała o kamienną ścianę, a potem cofała się, tworząc wielki wir.

Gdzieś z dołu dobiegał ogłuszający ryk pędzącej kaskady. Musiała przelewać się przez otwór wiodący do głębszej jaskini. Potem usłyszeliśmy gniewne wrzaski zza pleców. Menady zbliżały się, a my tkwiliśmy w pułapce pod kamienną ścianą.

W rozpaczy uniosłem świecę, przyglądając się otaczającym nas skałom. Ponad wodą wznosiło się strome skalne rumowisko. Ku swej uldze stwierdziłem, że prowadzi w górę, do niewielkiego



tunelu. Wskazałem je ręką. Alice natychmiast zaczęła gramolić się po kamieniach. Podążyłem tuż za nią, lecz nasze prześladowczynie znajdowały się bardzo blisko. Słyszałem ich kroki na kamieniach, a potem tupot w tunelu. Za chwilę nas dościgną, pomyślałem. Czy nie lepiej odwrócić się i stawić im czoło? Tunel był bardzo wąski, naraz mieścił tylko jednego piechura. To nieco wyrównywało szanse. Uznałem, że przyszła najlepsza pora, by zatrzymać się i walczyć.

Podając Alice świecę, a potem, unosząc laskę przed sobą pod kątem czterdziestu pięciu stopni, wypuściłem z niej ostrze. Przypomniałem sobie wszystko, czego uczył mnie Arkwright. Oddychaj powoli, głęboko. Równomiernie rozłóż ciężar ciała. Zaczekaj, aż wróg podejdzie blisko i wykona pierwszy ruch. Bądź gotów do kontruderzenia...

Menady, spięte do skoku, wprowadzały się w morderczy szal, zasypując nas gradem greckich słów. Nie rozumiałem wszystkich, ale dotarło do mnie ich ogólne znaczenie. Zapewniały, co ze mną uczynią:

– Wyrwiemy ci serce! Wypijemy krew! Pożremy ciało! Zmiażdżymy kości!

Pierwsza z menad popędziła wprost ku mnie, niczym nożem wymachując zabójczym morderczym drewnianym szpikulcem. Jej twarz wykrzywiało coś straszniejszego niż gniew. Skoczyła naprzód. Cofnąłem się o krok i powaliłem ją potężnym ciosem w skroń. Druga ruszyła nieco ostrożniej. Miała co prawa szalone oczy, lecz w twarzy chytrą. Ta czekała, aż wykonam pierwszy ruch. Wyciągnęła ku mnie nieuzbrojone dłonie. Gdybym dał się ucałować, natychmiast zaczęłaby rozszarpywać mnie na kawałki. Pozostałe pospieszyłyby z pomocą. Wtedy nastąpiłby mój koniec.

Rozchyliła napuchnięte wargi, odsłaniając ostre kły. Moją twarz zadała chmura mdlącego smrodu – znacznie gorszego niż oddech wiedźmy, posługującej się magią krwi bądź kości. Menady żywiły się nie tylko świeżym mięsem, ale też i padliną; między jej zębami tkwiły skrawki gnijącego mięsa.

Nagle gdzieś w górze usłyszałem głośny stukot, niemający nic wspólnego z menadami. Niemal natychmiast odpowiedział mu kolejny, jeszcze głośniejszy i bliższy. Dźwięki zaczęły narastać w ogłuszającym crescendo. Po paru sekundach otaczały nas ze wszystkich stron. W skale trwała kakofonia rytmicznego stukotu. Stuk potężniał i potężniał, niczym zwielokrotnione grzmoty. Menada straciła cierpliwość, puściła się biegiem ku mnie. Posłużyłem się laską niczym włócznią, raniąc ją w ramię. Wrzasnęła, odskoczyła. Wtedy, być może poruszone ogłuszającym hałasem, wokół nas zaczęły sypać się kamienie, a znad głowy dobiegł złowieszczy łoskot.

Coś uderzyło mnie potężnie w ciemność, upadłem do tyłu, na wpół ogłuszony. Dźwignąłem się na kolana, dostrzegłem w przelocie przerażoną twarz Alice – a potem tunel zawalił się z ogłuszającym hukiem i zgrzytem. Ogarnął mnie mrok.

\*

Kiedy otworzyłem oczy, ujrzałem pochyloną nade mną Alice. Świeca niemal się już wypaliła, pozostał zaledwie ogarek. W ustach czułem gorzki smak. Pod językiem miałem kawałek liścia – któreś lecznicze zioło ze skórzanej sakiewki mojej towarzyszki.

– Zaczynałam już naprawdę się martwić – zauważyła. – Całe wieki byłeś nieprzytomny.

Pomogła mi wstać. Bolała mnie głowa, na czubku wyczułem guz wielkości jajka. Rozejrzałem się dookoła i nie dostrzegłem ani śladu napastniczek.

– Menady leżą pogrzebane pod stosem kamieni, Tom. Na razie jesteśmy bezpieczni.

– Miejmy nadzieję, Alice: są bardzo silne i jeśli któraś przeżyła, z pewnością się wykopie, byle tylko nas dopaść.

Alice przytaknęła. Zerknęła na rumowisko.

– Zastanawiam się, co to były za dźwięki...

– Wolę o tym nie myśleć. Ale cokolwiek je spowodowało, zapewne zawaliło tunel.

– Musimy szybko znaleźć drogę do wyjścia, Tom. Tej świecy nie

starczy na długo.

Oczywiście, pod warunkiem, że istniała jakaś droga. Jeśli nie, koniec z nami. Nigdy nie zdołamy przekopać się z powrotem. Sporo głazów było zbyt dużych, byśmy, nawet razem, zdołali je podnieść.

Możliwie najszybszym krokiem maszerowaliśmy naprzód w głąb tunelu, świeca zaczynała już migotać. Wkrótce otoczy nas ciemność; może już nigdy nie ujrzymy światła dnia.

I wtedy zrozumiałem, że ogarek nie migocze jedynie dlatego, że zaczął się kulić. Gdzieś z przodu napływało świeże powietrze. Ale jak wielka okaże się szczelina w skale? Czy zdołamy się przez nią wydostać? Wspinaliśmy się dalej, wiatr stopniowo stawał się coraz silniejszy. Poczulem w duchu nadzieję. I rzeczywiście – po paru chwilach ujrzałem przed nami światło. Zatem wyjście istniało! Po kilku minutach, z radością porzucając nasz niedoszły grób, wyłoniliśmy się na górską ścieżkę. Teren wokół oświetlały promienie księżyca, słabnące, bo zbliżał się już świt. Odebrałem Alice ogarek, zdmuchnąłem go, wsadziłem do kieszeni portek, na wypadek gdyby okazał się jeszcze potrzebny. A potem bez słowa ruszyliśmy na wschód, ścieżką prowadzącą w głąb górskiego pasma.

Musieliśmy iść dalej i znaleźć przejście wiodące na równinę po drugiej stronie. Miałem tylko nadzieję, że mama oraz pozostali przeżyli atak menad. Jeśli tak, ruszą w stronę Meteorów. Tam ich znajdziemy.

## **ROZDZIAŁ 12**

### **LAMIE**

W końcu dotarliśmy do rozwidlenia ścieżki. Obie odnogi wiodły mniej więcej na wschód, w stronę równiny. Ale którą powinniśmy wybrać?

– W którą stronę, Alice? – spytałem.

Powęszyła kolejno.

– Niewielki wybór – rzekła, marszcząc brwi. – Żadna nie jest bezpieczna. To groźne miejsce.

– O jakim niebezpieczeństwie mówisz?

– O lamiach. Całym mnóstwie lamii.

Lamie czaiły się na górskich przełęczach, wypatruje wędrowców. Sama myśl o nich sprawiła, że ogarnął mnie niepokój. Przypomniałem sobie, co widziała Mab: Alice, zabita przez dziką lamie podczas podróży do Ordy. Czułem się rozdarty: zastanawiałem się, czy jej o tym mówić, czy nie. Ale po co martwić Alice? – spytałem sam siebie. I tak przecież, bez jakiegokolwiek ostrzeżenia, zważała na lamie. Świadomość zagrożenia mogłaby tylko podsycić jej strach.

Nadal jednak bałem się, że Mab miała rację.

– Może powinniśmy zatrzymać się tu na jakiś czas, Alice – zaproponowałem, zerkając w niebo, które zaczynało już jaśnieć. – Wkrótce wszędzie słońce. Do świtu zostało najwyżej pół godziny.

Lamie nie mogły znieść promieni słonecznych, więc za dnia bylibyśmy bezpieczni. Lecz Alice pokręciła głową.

– Przypuszczam, że już nas wywęszyły. Wiedzą, że tu jesteśmy, Tom. Jeśli zostaniemy w jednym miejscu, dopadną nas, uderzą ze wszystkich stron. Zdążą się zjawić, nim słońce wszędzie. Lepiej ruszajmy dalej.

Słowa Alice brzmiały sensownie, toteż, kierując się impulsem, wybrałem lewe odgałęzienie ścieżki. Jakiś czas droga wznosiła się stromo, potem zaczęła opadać ku niewielkiej dolinie, otoczonej z obu stron pionowymi skalnymi ścianami. Nawet po wschodzie słońca to miejsce nadal spowijał cień. Kiedy zaczęliśmy schodzić, blada tarcza księżyca zniknęła nam z oczu. Znow ogarnął mnie niepokój. Po naszej prawej ziała czarna jama niewielkiej jaskini. I wtedy zacząłem dostrzegać rozrzucone wokół pióra.

Już wcześniej, w Hrabstwie, widziałem coś podobnego. Niechybny znak, że w pobliżu czają się dzikie lamie. Kiedy brakowało ludzkich ofiar, zadowalały się mniejszymi stworzeniami,

takimi jak myszy i ptaki: hipnotyzując czarną magią, rozszarpywały je na strzępy i wypijały krew.

Wkrótce, ku naszej zgrozie, dojrzelśmy kolejne oznaki niebezpieczeństwa: drugą jaskinię, szczątki martwych ptaków – skrzydła, dzioby, głowy i nóżki – rozrzucone na zakrwawionych kamieniach. Zauważyłem jednak, że wszystkie szczątki są stare, nie świeże.

– Wybraliśmy złą drogę, Alice! Musimy zawrócić!

– Lub iść dalej, znacznie szybciej! – nalegała.

Było już jednak za późno...

Uszy wypełnił nam mrozący krew w żyłach syk; gdy się odwróciliśmy, zobaczyliśmy coś wielkiego. To coś biegło ku nam skalistą ścieżką. Dzika lamia. Ciało miała co najmniej półtora raza dłuższe od mojego, poruszała się na czterech chudych kończynach o wielkich, rozcapierzonych dłoniach, z długich palców wyrastały ostre, śmiercionośne szpony. Skołtunione tłuste włosy okrywały porośnięte łuskami plecy i częściowo twarz. Jednak wystarczył rzut oka na odsłonięte fragmenty tej twarzy, bym natychmiast zrozumiał, że trudno znaleźć się w gorszym położeniu. Nie mieliśmy przed sobą lamii o napuchniętym i obrzmiałym obliczu, która niedawno się posiliła, o cięższej i mniej agresywnej. Nie, z wychudzonej twarzy spoglądały szeroko otwarte ślepie, w których czaił się morderczy głód.

Odwróciłem się, stanąłem przed Alice, uniosłem laskę – lamie nie lubią drzewa jarzębiny. Zamachnąłem się, wymierzyłem lamii mocny cios w głowę. Z głuchym łoskotem kij trafił w czaszkę. Bestia cofnęła się, sycząc wściekle. Ruszyłem na nią, atakując raz po raz. I wtedy usłyszałem kolejny gniewny syk, dobiegający z tyłu: odwróciwszy się, ujrzałem drugą lamie, zbliżającą się ku Alice. Niemal natychmiast na wielki gład po prawej wygramoliła się trzecia.

Teraz drzewo jarzębinowe już nie wystarczyło, nacisnąłem zatem zagłębienie na lasce. Z ostrym szczękiem wyskoczyła klinga.

– Trzymaj się blisko mnie! – zawołałem do przyjaciółki.

Gdybym zdołał odrzucić lamię aż do miejsca, gdzie ścieżka się rozszerzała, moglibyśmy ją wyminąć i uciec.

Nie tracąc czasu, wymierzyłem kijem mocny cios. Sięgnął celu, ostrze przebiło prawe ramię, z którego trysnęła czarna krew. Lamia wrzasnęła, odskoczyła. Ruszyłem za nią, dźgając raz po raz. Tym sposobem nie dopuszczałem stwory do siebie. Równocześnie zważałem bardzo, aby się nie zdekoncentrować. Lamie są niewiarygodnie szybkie, ów powolny odwrót w każdej chwili mógł się zamienić w szaleńczy atak. Lamia potrafiłaby dopaść mnie w ciągu sekundy, przyszpilając szponami do ziemi i wgryzając się w moje ciało. Musiałem się zatem skupić, wypatrując okazji do przebiccia klingą serca. Napierałem krok za krokiem. Skoncentruj się! – powtarzałem w duchu. Obserwuj! Skup się! Bądź gotów na pierwszą oznakę ataku!

Nagle z tyłu dobiegł mnie krzyk. Alice! Zaryzykowałem szybkie zerknięcie przez ramię. Nie widziałem jej! Odwróciwszy się od rannej lamii, pognałem ścieżką w stronę, z której dochodził jej głos. Nie dostrzegłem ani śladu Alice, więc zatrzymałem się bezradnie. Czyżbym pobiegł za daleko?

W rozpacz, z sercem walącym ze strachu, cofnąłem się natychmiast. Dotarłem do szczeliny w skale.

Na ziemi przed nią walały się pióra i szczątki ptaków Czyżby lamia zawlokła Alice do środka? Dobiegający z wewnątrz krzyk potwierdził moje podejrzenia, lecz głos Alice wydawał się odległy, nieco stłumiony. Przecisnąłem się przez szczelinę, ruszyłem naprzód w gęstniejący mrok. Dotarłem do kolejnej jaskini, która okazała się znacznie mniejsza od pozostałych. Ot, zwykła czarna dziura, opadająca stromo w głąb ziemi.

Nagle spostrzegłem Alice. Patrzyła na mnie, a w jej oczach był strach, ból i rozpacz. Szczęki lamii wczepiły się w prawe ramię dziewczyny, na jej gardle dostrzegłem krew. Lamia ciągnęła Alice w dół, głową naprzód, do skrytej w głębi nory. Ostatnim, co widziałem, była lewa stopa Alice i szpiczasty trzewik znikający mi z oczu. Wszystko zdarzyło się bardzo szybko: nim zdążyłem

zareagować, moja przyjaciółka zniknęła.

Popędziłem do otworu, odrzuciłem laskę, upadłem na kolana i wepchnąłem do środka lewą rękę, w desperackiej próbie złapania Alice za kostkę. Lamia jednak zawlokła ją zbyt głęboko. Sięgnąłem do kieszeni w poszukiwaniu ogarka świecy oraz hubki: wiedziałem, że będę potrzebował światła, by poruszać się w ciemności. Gardło ścisnęło mi się boleśnie. Zęby lamii wbiły się głęboko, możliwe, że zaczęła już wysysać krew. Działo się dokładnie tak, jak przewidziała Mab. Twierdziła, że Alice zginie tam, w ciemności. Stwora wyssie jej tyle krwi, że serce dziewczyny stanie.

Usłyszałem dobiegający z dołu chrobot. Zapewne na wszystko już za późno. Zdjęty szaleńczym strachem, nagle przypomniałem sobie mroczne życzenie, otrzymane od Grimalkin. Wiedziałem, że nie powinienem z niego korzystać, bo tym samym wezwę mrok. Ale czy miałem wybór? Miałem stać bezczynnie i pozwolić Alice umrzeć, skoro dysponowałem mocą zapobieżenia tragedii? Do oczu napłynęły mi łzy, gardło dławiała rozpacz. Nie potrafiłem sobie wyobrazić życia bez Alice. Musiałem to zrobić. Ale czy życzenie ocali Alice? Czy okaże się aż tak silne?

– Życzę sobie, by Alice była cała, zdrowa i bezpieczna! – zawołałem, a potem powtórzyłem szybko życzenie, tak jak poleciła Grimalkin. – Życzę sobie, by Alice była cała, zdrowa i bezpieczna!

Nie wiem, czego właściwie oczekiwałem. Z pewnością nie tego, że Alice nagle pojawi się nietknięta u mego boku. Miałem nadzieję, iż ujrzę, jak wyczołguje się z nory lamii. Jednak dobiegał mnie tylko odległy skowyt wiatru. Grimalkin wyjaśniła, że w życzeniu zawarła lata gromadzonej mocy. Coś więc z pewnością się wydarzy!

Ale nie działo się nic – zupełnie nic – i serce zaciążyło mi w piersi. Życzenie nie zadziało. Pewnie zrobiłem coś nie tak. Spojrzałem w mroczną gardziel jamy lamii, poczułem wzbierający żal. Czemu traciłem czas na wypowiedzenie życzenia? Dlaczego okazałem się tak głupi? Powinienem był zapalić świecę i od razu poczołgać się za nią.

Otworzyłem pudełko z hubką. Właśnie wtedy wyczułem coś za

sobą. Nagle przypomniałem sobie trzecią lamie. W pośpiechu, próbując ocalić Alice, na śmierć o niej zapomniałem! Odwróciłem się... Nie spoglądała na mnie lamia. Zobaczyłem coś znacznie gorszego. Za moimi plecami stał Zły we własnej osobie.

Wciąż miał postać Matthew Gilberta, zamordowanego flisaka. Matthew był serdecznym, roslym mężczyzną o wielkich dłoniach i ciepłym uśmiechu. Spod rozpiętych dwóch górnych guzików koszuli wystawały ciemne włosy na szerokiej piersi. Wyglądał dokładnie jak ów miły jegomość, który niegdyś przewoził ludzi i towary od Caster do Kendal i z powrotem. Lecz Zły nawiedzał mnie już pod tą postacią, wiedziałem zatem dokładnie, z kim mam do czynienia.

– No, no, Tomie, cóż za wspaniały dzień. Bardzo długo na niego czekałem. W końcu użyłeś mroku!

Cofnąłem się, wystraszony jego słowami. Pokręciłem przecząco głową – choć wiedziałem, że sam siebie okłamuję. Jak mogłem zaprzeczać? Stracharz ostrzegał, że Zły spróbuje przeciągnąć mnie na swoją stronę, krok za krokiem kalając mi duszę, aż w końcu stracę ją i stanę się jego własnością. Sugerował też, że najpewniej posłużę się Alice. Tak właśnie się stało. Użyłem mroku, by ją ocalić.

– Nie próbuj udawać! Ostatecznie skorzystałeś właśnie z mrocznego życzenia. Myślisz, że o tym nie wiem? Wyczułem czarną magię, zrozumiałem, co się święci, toteż natychmiast przybyłem. Życzenie uratowało Alice. Wkrótce tu się zjawi, gdy tylko odejdę i pozwolę czasowi normalnie płynąć. Ty możesz poruszać się swobodnie, ale nic poza tobą. Rozejrzyj się: może wtedy mi uwierzysz...

Zły potrafił zakłócać bieg czasu, a nawet wstrzymywać go całkowicie.

Spojrzałem w górę przez skalną szczelinę. Wysoko na niebie zobaczyłem ptaka, odmianę sokoła. Nie poruszał się, wisiał obok skał, zastygły, nieruchomy na tle jasnego błękitu.

– Miałeś szczęście, że uciekłeś i dotarłeś w te góry – podjął Zły.  
– Atak całkiem was zaskoczył. Czarownice z Pendle, które



występują przeciw mnie, nie wykryły zagrożenia. Nawet ta mała przebiegła Moudheelka. Moc twojej matki na nic się zdała, bo zamąciłem jej zmysł jasnowidzenia. Robię to zresztą od wielu miesięcy. Po cóż liczyć na zwycięstwo z wrogiem, którego ja wspieram? Wyjaśnij mi!

Nie odpowiedziałem. Sama walka z kimś tak potężnym i straszliwym jak Ordyna była już dostatecznie okropna. Lecz za jej plecami, gotów użyć jeszcze większej mocy, stał Zły. Mama nie mogła liczyć, że go pokona. Cała nasza misja była skazana na porażkę.

– Milczysz, Tomie. Wiesz, że mam rację. Zatem powiem ci więcej. Wyjaśnię, jak źle wyglądają sprawy. Wkrótce są twoje urodziny: skończysz piętnaście lat, prawda?

Nie odpowiedziałem, ale miał rację. Trzeciego sierpnia, za tydzień z okładem, kończyłem piętnaście lat.

– Twoja matka potrzebuje cię, by wypełnić skazany na porażkę plan – podjął. – Chcesz wiedzieć, jaką rolę ci w nim przeznaczyła?

– Ufam mamie – odparłem. – Jestem jej synem. Wykonam wszystko, co zechce.

– Wszystko? Bardzo szlachetnie z twojej strony, Tom. Bardzo szczerze. Zostałeś skazany na szczodrość – niezwykłą szczodrość – ponieważ ona wiele od ciebie potrzebuje. Ni mniej, ni więcej, tylko twego życia. W dniu twoich piętnastych urodzin masz zostać złożony w ofierze po to, by zaspokoić jej rozpaczliwe pragnienie zwycięstwa.

– Kłamiesz! – krzyknąłem, dygocząc z gniewu. – Mama mnie kocha. Kocha wszystkie swoje dzieci. Nie zrobiłaby czegoś takiego.

– Czyżby, Tomie? Nawet dla większego dobra? Jednostki się nie liczą. Twoja mama wierzy w światło. Jest gotowa zrobić wszystko, byle tylko pokonać mrok. Nawet poświęcić to, co kocha najbardziej. Właśnie ciebie, Tomie. Właśnie z tobą tak zamierza postąpić!

– Nie wierzę. Po prostu nie...

– Nie? Jesteś pewien? Specjalna ofiara krwi może dałaby jej szansę. A twoja krew jest bardzo wyjątkowa. To krew siódmego

syna siódmego syna...

Nie odpowiedziałem. I tak już powiedziałem za dużo.

Zły wyraźnie napawał się moim nieszczęściem.

– I nie tylko – ciągnął. – Jesteś też synem swojej matki. A ona nie jest człowiekiem. Wiesz, czym jest? – Uśmiechnął się. – Widzę, że już ci powiedziała. Tak łatwo cię przejrzeć, Tom. Czytam w tobie jak w otwartej księdze. Wiesz więc, co zrobiła w przeszłości. Jaka była okrutna i krwiożercza – prawdziwa służka mroku. I mimo nawrócenia na światło, teraz powraca do dawnej postaci. Pomyśl, jak łatwo przyszłoby tak morderczej istocie poświęcić cię w imię sprawy, w którą wierzy!

Wszystko pociemniało, miałem wrażenie, jakbym spadał i zaraz miał zderzyć się z czymś morderczym. Zupełnie jakbym przed momentem runął ze skały, a teraz pikował ku ziemi.

Przerażony, spodziewałem się, że w każdej chwili roztrzaskam się na kawałki.

## **ROZDZIAŁ 13**

### **MOJA KREW**

Całe ciało podskoczyło, lecz nie poczułem bólu. Otworzyłem oczy. Natychmiast zmrużyłem je w jasnych promieniach słońca. Był późny ranek. Usiadłem, rozejrzałem się dokoła. Obok mnie, na ziemi, leżała laska.

Nagle zalała mnie fala wspomnień. Alice! Jaskinia!

Zerwałem się na równe nogi. Tkwiłem na górskiej ścieżce, po obu stronach wznosiły się strome urwiska. Nie potrafiłem stwierdzić, czy to ta sama ścieżka, którą podążałem zeszłej nocy, ale nie widziałem ani śladu skalnej szczeliny z ukrytą za nią jamą lamii, ani też śladów ich ofiar.

– Tom!

Odwróciłem się. Ujrzałem Alice – maszerowała ku mnie

ścieżką, po jej twarzy płynęły potoki łez. Sądziłem, że nie żyje, więc bez namysłu pobiegłem ku niej i chwyciłem w objęcia. Wszelkie dręczące mnie wątpliwości zniknęły. Jakie znaczenie ma, co pomyśli stracharz? W tym momencie, po wszystkim, co razem przeszliśmy, nie obchodziło mnie jego zdanie. Alice odpowiedziała mocnym uściskiem. Długi czas nie poruszaliśmy się. Potem jednak cofnęła się i przytrzymała mnie, kładąc mi lekko ręce na ramionach.

– Och, Tom, czy ostatnia noc naprawdę się wydarzyła? Zapanowała ciemność, czułam zęby lamii szarpiące mi ciało. Słabłam z upływu krwi, myślałam, że zbliża się koniec. Umierałam. A potem, w następnej chwili, świeci słońce, na ciele zaś nie znajduję ani śladu ran. Czy przytrafił mi się tylko koszmarny sen?

– Nie, to się zdarzyło naprawdę – odparłem. – Ale od Grimalkin otrzymałem dwa dary – klingę oraz mroczne życzenie. Kiedy więc lamia zaciągnęła cię do swej jamy, poświęciłem życzenie, by cię ocalić. Wtedy zjawił się twój ojciec.

Powtórzyłem jej, co mówił Zły. Zapamiętałem tylko, że mam zostać złożony w ofierze. Nadal jednak nie wspomniałem Alice, że mama była pierwszą Lamią. Nie potrafiłem powiedzieć tego głośno. Za bardzo bolało.

– On z nami igra – rzekła z goryczą Alice. – Jak zwykle przekręca wszystko na swoją korzyść. Co do tego, że miałbyś zostać ofiarą, nawet tak nie myśl. Twoja mama ryzykowała wszystkim, żeby cię ochronić. Również zeszłej nocy odesłała cię, byś pozostawał z dala od niebezpieczeństwa. On kłamie, Tom. Kłamie, jak zawsze.

– Niewykluczone. Ale nie kłamał zeszłej wiosny, kiedy wyjaśniał, że jesteś jego córką, prawda? To, co mówił w nocy, miało sens. Choć mama mnie kocha, zdołałaby mnie poświęcić i pogodzić się z bólem, gdyby ból przyniósł zwycięstwo. Może więc chroniła mnie po to, by móc mnie ofiarować, kiedy nadejdzie właściwa chwila.

– Twoja mama by tego nie zrobiła, Tom.

– Nawet gdybyśmy wyłącznie w taki sposób zdołali pokonać mrok? Pamiętaj, urodziła mnie nie bez powodu. Kiedyś oznajmiła stracharzowi, że jestem jej „darem dla Hrabstwa”. Urodziłem się w pewnym określonym celu.

– Ale najpierw by cię spytała. Tak jak wtedy, gdy chciała, żebyś oddał jej pieniądze ze skrzyń i ruszył z nią do Grecji.

Zawahałem się, przypominając sobie miłość, jaką mama darzyła rodzinę.

– Chyba masz rację, Alice. Jeśli to ma się wydarzyć, mama mnie zapyta.

– A ty? Co jej odpowiesz, Tom?

Milczałem. Wolałem nie myśleć.

– Oboje wiemy, że się zgodzisz.

– Ale na darmo – rzekłem z goryczą. – Zły użył Ordynie własnej mocy, jednocześnie osłabiając mamę. Już jej zaszkodził. Teraz ona nie widzi już przyszłości. Dlatego właśnie potrzebuje Mab. Nawet jeśli mama zdoła pokonać Ordynę, nadal pozostanie sam Zły. Wszystko wydaje się całkiem beznadziejne.

Bez zbędnych słów znów ruszyliśmy na wschód, podążając krętą ścieżką przez góry. Minęło sporo czasu, nim któreś z nas się odezwało.

\*

W końcu zostawiliśmy za sobą sosnowy las i pomaszerowaliśmy suchą równiną w stronę Meteorów. Wiedziałem, że klasztory zbudowano na wysokich skałach, zatem nawet gdybyśmy zboczyli z drogi na południe, powinniśmy ujrzeć je z daleka. Drugiego dnia podróży wydało nam się, że na horyzoncie dostrzegamy kolumnę pyłu. Wędrować tam mogli ludzie mamy – albo też menady, które ich zaatakowały. Na wszelki wypadek woleliśmy zachować bezpieczny dystans.

Aż w końcu na północnym wschodzie ujrzeliśmy skały Meteorów. Im bardziej się zbliżaliśmy, tym bardziej niesamowicie wyglądały. Wyrastające z zielonej gęstwiny drzew oraz krzewów

potężne skalne kolumny, wyrzeźbione przez żywioły, wznosiły się wysoko nad nami. Na ich szczytach przycupnęły słynne klasztory. Wydawało się niemożliwe, by ktokolwiek zdołał zbudować coś na takiej wysokości oraz zabezpieczyć przed niszczącym wpływem czasu i pogody.

U stóp skał leżało niewielkie, okolone murem, miasto Kalambaka. Od południa graniczyło z gajami oliwnymi. Osłaniając oczy przed słońcem, powiodłem wzrokiem po horyzoncie. Mama obawiała się, że możemy przybyć za późno, lecz jak dotąd nie widziałem ani śladu cytadeli Ordyny.

Wyminęliśmy łukiem miasto. Rozbiliśmy obóz w gąszczu pod skałami, ukryci przed oczami ciekawskich. Jedynie mnisi zdołaliby dostrzec nas ze swych twierdz.

Miasto oświetlały lampiony, rozwieszane na sznurach rozciągniętych między domami. Kiedy zerwał się wiatr, kołysały się one w przód i w tył. Pierwszej nocy przyglądaliśmy się im przez długie godziny: gwiazdy na niebie powoli wędrowały ze wschodu na zachód, a lampiony tańczyły niżej. Zjedliśmy też doskonały posiłek. Alice złapała parę królików, które okazały się równie soczyste i smakowite, jak te z Hrabstwa. Drugiej nocy, podczas kolacji, Alice wywęszyła niebezpieczeństwo. Zerwała się na równe nogi, przyciskając palec do ust. Lecz ostrzeżenie nadeszło zbyt późno.

Spomiędzy drzew na polanę, na której jedliśmy, wyjechała potężna postać. Usłyszałem parsknięcie i brzęk metalu. W tym momencie chmury odsłoniły sierp księżyca, ukazując naszym oczom lśniąca, srebrzystą zjawę.

Ku nam zbliżał się jeździec odziany w kolczugę. Do siodła przytroczył dwa wielkie miecze. Ależ on konia dosiadał! Żadne tam ciężkie zwierzę pociągowe, jak nasze chabety holujące w Hrabstwie barki lub szkapy pod zaprzęg, lecz rumak pełnej krwi, harmonijny, wyniosły, o wygiętej szyi i sylwetce chyżego bieguna. Jeździec wyglądał na wojownika w każdym calu: orli nos, mocne kości policzkowe, długie włosy, bujne wąsy przysłaniające usta.

Mężczyzna dobył miecza – przez moment sądziłem, że zaraz

zaatakujecie, jednak pokazał tylko, że mamy opuścić polanę. Nie protestowaliśmy; po prostu zawróciliśmy i ruszyliśmy między drzewa.

O świcie zorientowaliśmy się, że natrafił na nas jedynie zwiadowca oczyszczający drogę dla swych towarzyszy. Duży oddział – liczący co najmniej tysiąc mężów – zbliżał się ku nam przez równinę. Ich zbroje lśniły w promieniach słońca niczym stare srebro, spod końskich kopyt wzbijał się kurz, gęsty jak gradowa chmura. Wyglądali niezwykle groźnie.

Rozbili obóz na skraju lasu, na północ od miasta. Zastanawiałem się, kim są.

– Myślisz, że mają coś wspólnego z Ordyną, Alice? Może to jej wyznawcy?

– Sama nie wiem, Tom. Ale twoja mama nic nie wspomniała o wrogich wojownikach, prawda? Mówiła tylko, że zamierza wynająć najemników, by chronili nas przed menadami. Całkiem możliwe, że to właśnie oni. W takim razie są po naszej stronie. Nie spodziewałam się jednak aż tak wielu.

– Byłoby miło, gdybyś miała rację, ale nie możemy ryzykować spotkania.

Wycofaliśmy się zatem w głąb lasu, utrzymując bezpieczną odległość, wciąż niepewni, z kim mamy do czynienia – z przyjaciółmi czy wrogami. Gdy tak czekaliśmy, Alice odwróciła się ku mnie, sięgnęła do kieszeni sukienki i wyciągnęła niewielki gliniany słoik. Oglądałem już ten słoik pełen krwi, pokazała mi go kiedyś w Hrabstwie.

– Ostatnio dużo rozmyślałam o Złym – oznajmiła. – Możemy go zmusić, by się do nas nie zbliżał – a przynajmniej do ciebie – korzystając z tego.

Istniały dwie metody ochrony przed Złym, stosowane przez czarownice. Jedna, to urodzić mu dziecko. Tak właśnie postąpiła Grimalkin i odtąd nie mógł się do niej zbliżyć. Drugą był słoik krwi. Alice twierdziła, że umieściła w swoim parę kropel krwi martwej wiedźmy, Morweny, córki Złego. Gdyby zmieszała ją z moją krwią,

a następnie przekazała mi tę miksturę, Zły nie mógłby się do mnie zbliżyć, dopóki nosiłbym słoć przy sobie.

Stanowczo pokręciłem głową. Korzystałem już z mocy mroku – użyłem życzenia – więc uznałem, że wystarczy aż nadto. Stopniowo obawy stracharza zdawały się spełniać. Traciłem czystość. Nagle wpadła mi do głowy pewna myśl. Przypomniałem sobie, co powiedział mój mistrz kilka miesięcy wcześniej, gdy wyznałem mu, że Alice może być córką Złego. Zasugerował wtedy, że nie posłużyła się krwią Morweny: zapewne użyła własnej. Krew każdego z dzieci Diabła nadawała się równie dobrze.

– W słoju jest twoja krew, prawda Alice?

Przez chwilę wyglądała, jakby chciała zaprotestować. Potem jej twarz przybrała wyzywający wyraz.

– Owszem, Tomie, to moja krew. Teraz, kiedy znasz prawdę, czujesz się lepiej? Odczuwasz satysfakcję, dowiódłszy mi kłamstwa? Zresztą, czy to krew Morweny, czy moja, nie czyni żadnej różnicy. Zmieszaj z nią kilka kropel własnej. Dopóki zatrzymasz przy sobie słoć, dopóty nie musisz obawiać się żadnego więcej spotkania ze złym.

Spuściłem wzrok.

– Ale o jeszcze jednym musisz pamiętać – podjęła. – Jeśli zatrzymasz przy sobie słoć, będziemy musieli już na zawsze pozostawać razem. Słoć krwi cię ochroni – i mnie także, jeśli zostanę blisko. Ale gdybym odeszła za daleko, Zły znalazłby się tam w jednej chwili, by się na mnie zemścić, bo wiedziałby, co zrobiłam. Życie blisko ciebie, Tom, nie przeszkadzałoby mi wcale. Nawet by mi się podobało. Zresztą musimy korzystać ze wszystkiego, czym dysponujemy. Wszystkiego, co daje nam szansę.

– Wiem, że chcesz dobrze, Alice, toteż nie będę się z tobą kłócił. Ale nic się nie zmieniło. Nadal czuję to samo: nie mogę ryzykować ponownego posłużenia się mrokiem. Ty naprawdę sądzisz, że dobrze związać się w ten sposób? Zawsze bym się bał, że coś może nas rozdzielić. Nie odważyłbym się stracić cię z oczu! Jak dołalibyśmy tak żyć?

Nie dodałem, że zapewne natychmiast po powrocie do Hrabstwa i tak nas rozdzielią – jeśli w ogóle uda nam się przeżyć. Dopóki pozostanę uczniem stracharza, nie ma mowy, by mój mistrz zgodził się, aby Alice znów zamieszkała z nami w Chipenden.

Moja towarzyszka przytaknęła ze smutkiem. Schowała słój do kieszeni.

Jakąś godzinę po świcie nagle usiadła, wskazując ręką coś w dali.

– Spójrz tam – rzuciła, zwracając się ku mnie. – Chyba widzę wóz twojej mamy!

Wyteżając wzrok, przyjrzałem się obozowisku wojowników. W końcu dostrzegłem coś, co przypominało ciemny wóz.

– Jesteś pewna, Alice? – spytałem.

– Trudno stąd stwierdzić, ale chyba tak.

Dotąd zadręczałem się, jak ocalić mamę przed tak licznym oddziałem. Moje obawy okazały się bezpodstawne. Alice nie myliła się. Patrzyłem chciwie. Po jakimś czasie z obozu wymaszerowała niewielka grupka pieszych, kierując się w stronę skał. Ktoś szedł na ich czele. Kobieta – osłonięta kapturem przed słońcem, spowita w welon.

– Twoja mama, Tom! Na pewno! – zawołała Alice.

Tuż za zakapturzoną postacią maszerował mężczyzna z laską. Po chodzie poznałem stracharza. Dalej kroczyli inni. Rozpoznałem Seilenosa i dwóch członków eskorty, którzy wyjechali nam na spotkanie w Igoumenitsie. Jeśli istotnie była z nimi mama, nie wyglądała na więźniarkę.

Ruszyliśmy ku niej przez las, a gdy wyszliśmy na otwartą przestrzeń, zakapturzona postać natychmiast nas zauważyła, pomachała i wezwała gestem. Kiedy się zbliżyliśmy, odsunęła welon, zwrócona plecami do słońca. Alice miała rację. Przede mną stała mama.

Uśmiechnęła się – choć sprawiała wrażenie nieco wyniosłej, oficjalnej. Oczy skrywały coś dzikiego, za to w jasnym słońcu jej twarz wyglądała jeszcze młodziej niż przedtem. Lekkie zmarszczki



okalające usta zniknęły bez śladu.

– Dobra robota, Alice. Świetnie się spisałaś, wyprowadzając go w bezpieczne miejsce. Jakiś czas szło nam ciężko, ale zdołaliśmy się utrzymać, póki nie zjawili się wojownicy i nie pomogli nam z menadami. To najemnicy, wynajęci za pieniądze, które mi zwróciłeś, synu. Jechali na zachód, na spotkanie naszej grupy i przybyli w samą porę, by przegnać napastniczki. Jak mówiłam, Tomie, menady są liczne, więc potrzebujemy tych ludzi, jeśli mamy utrzymać je w ryzach i bezpiecznie dotrzeć do celu.

– Czy nikomu nic się nie stało? – spytałem. – Gdzie Bill Arkwright?

– Owszem, chłopcze – odparł stracharz. – Prócz paru skaleczeń i drobnych ran, nikomu nic nie jest. Bill omawia taktykę z dowódcą najemników. Zastanawiają się, jak najlepiej rozlokowywać nasze siły w miarę zbliżania się do Ordy.

– Teraz chodźcie z nami – poleciła mama. – Nie ma czasu do stracenia. Odwiedzimy jeden z klasztorów. Są sprawy, które trzeba poznać.

– Czy to ten, mammo? – Wskazałem ręką najbliższy klasztor, przycupnięty na wysokiej skale po naszej prawej.

– Nie – pokręciła głową, znów naciągając na twarz ochronny welon. – Ten nazywa się Ayiou Stefanou. Choć bardzo malowniczy i najbliższy miasta, wcale nie jest najwyższy ani najważniejszy. Nie, czeka nas długa droga.

Maszerowaliśmy kilka godzin, ani na moment nie tracąc z oczu zaokrąglonych urwisk i skał Meteorów. W końcu dotarliśmy do imponującego klasztoru, wzniesionego na wysokiej, szerokiej skale.

– Ten przed nami to Megalou Meteorou – oznajmiła mama. – Najwspanialszy ze wszystkich. Leży około sześciuset piętnastu stóp nad ziemią, niemal dwa razy wyżej niż dzwonnica katedry w Priestown.

– Jakim cudem zdołano zbudować cokolwiek na tak wysokiej skale? – Patrzyłem ze zdumieniem na klasztor.

– Krąży na ten temat mnóstwo legend, synu – odparła mama. –

Sam klasztor założył pewien człowiek, o imieniu Athanasios, setki lat temu. Mnisi już znacznie wcześniej mieszkali w okolicznych jaskiniach, lecz teraz oglądasz przed sobą pierwszą budowlę wzniesioną specjalnie dla nich. Jedna z legend głosi, że Athanasios dosiadł orła, by dotrzeć na szczyt skały... – wskazała ręką dwa ptaki, krążące wysoko na niebie.

– To mi trochę przypomina historię o Heraklesie ciskającym głaz – odparłem z uśmiechem.

– Bez wątpienia, Tomie, bez wątpienia. Znacznie bardziej prawdopodobne, że pomogli mu miejscowi, świetnie znający się na wspinaczce.

– A my, jak się tam dostaniemy?

– Po schodach, Tomie. Pokonamy całe mnóstwo schodów. Czeka nas męcząca wspinaczka. Wyobraź zatem sobie, jak ciężko było wykuwać te schody w skale! Ruszamy we troje, pan Gregory, ty i ja. Alice musi poczekać. Mnisi znają mnie dobrze – wiele razy z nimi rozmawiałam – lecz zazwyczaj niechętnie widzą u siebie kobiety.

Eskorta została na dole, wraz z zawiedzioną Alice, podczas gdy ja podążyłem kamiennymi schodami za mamą oraz stracharzem. Nie miały poręczy, z jednej strony otwierała się przepaść. Po długim czasie dotarliśmy do żelaznych drzwi, osadzonych w skale. Mnich otworzył je szeroko i wpuścił nas na kolejne stopnie. W końcu znaleźliśmy się na szczycie. Tam ujrzelśmy przed sobą wielką kopułę.

– Katholicon – oświadczyła z uśmiechem mama.

Znałem to słowo: oznaczało kościół bądź główną kaplicę.

– Tam idziemy?

– Nie, złożymy wizytę ojcu opatowi w prywatnej komnacie.

Poprowadzono nas w stronę niewielkiego budynku. Przekroczyliśmy próg spartańskiej celi, w której na kamiennej podłodze przykucnął mnich o chudej, szarej twarzy i głowie ogolonej jeszcze gładziej niż u Billa Arkwrighta. Oczy miał zamknięte, zdawało się, że niemal nie oddycha. Powiodłem

wzrokiem po nagich kamiennych ścianach, po słomie w kącie, służącej za posłanie – dziwnie skromne wyposażenie, jak na ważnego, kierującego całym klaszturem zakonnika.

Drzwi zamknęły się, lecz ojciec opat nie fatygował się, by nas powitać. Mama przyłożyła palec do ust, wskazując, że powinniśmy zachować milczenie. Nagle zauważyłem, że wargi mnicha poruszają się lekko. Uświadomiłem sobie, iż się modli.

Gdy w końcu otworzył oczy, przyglądał nam się kolejno. Jego tęczówki przypominały barwą dzwonki rozkwitające wiosną w lasach Hrabstwa. Gestem pokazał, byśmy dołączyli do niego na podłodze. Usiedliśmy zatem naprzeciwko.

– Mój przyjaciel, pan Gregory, wróg mroku. – Mama skinieniem głowy wskazała stracharza.

Mnich obdarzył go lekkim uśmiechem, a potem spojrzał mi prosto w oczy.

– Twój syn? – spytał.

Mówił po grecku, w dialekcie, który z łatwością rozumiałem.

– Tak, ojciec – odparła mama w tym samym języku. – Mój najmłodszy, siódmy syn, Thomas.

– Opracowaliście plan przedostania się do Ordy? – Mnich znów zwrócił się do mamy.

– Gdybyś zechciał użyć swych wpływów i przekonać mieszkańców Kalambaki, część mojej grupy mogłaby zająć miejsce delegatów.

Mnich zmarszczył brwi.

– W jakim celu? – spytał ostro. – Co chcecie osiągnąć, podejmując tak wielkie ryzyko?

– Kiedy Ord pojawia się w naszym świecie, część sług Ordyny już nie śpi – są to ci, którzy przyjmują delegację. Odwrócimy ich uwagę, następnie przypuścimy główny atak. Mamy nadzieję dotrzeć do Ordyny i zniszczyć ją, nim w pełni się przebudzi...

– Czy weźmiecie udział w krwawym rytuale ofiarnym? Posuniecie się tak daleko?

– Istnieje wiele sposobów przełamania obrony cytadeli. Użyję

tej samej metody, jaką posłużyli się starożytni: drewnianego konia – odparła tajemniczo mama.

Nie miałem pojęcia, co to znaczy, lecz oczy mnicha pojaśniały nagle, jakby zrozumiał. Potem znów skupił spojrzenie na mnie.

– Chłopiec wie, czego od niego wymagasz?

Mama pokręciła głową.

– Powiem mu, kiedy nadejdzie czas. Ale to wierny i posłuszny syn, zrobi wszystko, co trzeba.

Ścisnęło mi się serce. Przypomniałem sobie rozmowę ze Złym. Czyżby mówił prawdę? Ojciec opat użył słów „krwawy rytuał ofiarny”. Miałem więc stać się ofiarą, zapewniającą nam zwycięstwo?

Stracharz odezwał się po raz pierwszy.

– Mam wrażenie, że wielu rzeczy wciąż jeszcze nie wiemy. Ale bez wątplenia wkrótce dowiemy się najgorszego – obdarzył mamę miażdżącym spojrzeniem. – Wszelako cóż ty mi zdołasz wyjawić, ojcze? Pojawiły się już znaki wskazujące, kiedy dokładnie Ord przejdzie przez portal?

Ojciec opat pokręcił głową.

– Nie, ale stanie się to wkrótce: z tego co wiemy, chodzi o dni, nie tygodnie.

– Zostało nam niewiele czasu. – Mama wstała z podłogi. – Musimy się już pożegnać. Pytam ponownie, ojcze: czy poprosisz delegatów, by odstąpili nam swoje miejsca?

Ojciec opat przytaknął.

– Zrobię, o co prosisz. Bez wątplenia ucieszą się, unikając obowiązku, który dla większości oznacza wyrok śmierci. Nim jednak odejdiesz, chciałbym, abyście wysłuchali naszych modłów – dodał. – Zwłaszcza chłopiec. Wyczuwam, że nie ma pojęcia o naszej mocy.

Podążyliśmy w ślad za nim z pustej celi pod wspaniałą kopułę kathedraonu. Słowa ojca opata nieco mnie zirytowały. Skąd znał moje myśli? Nigdy tak naprawdę nie wierzyłem, by modły zdołały pomóc w czymkolwiek, zawsze jednak dodawałem amen, gdy ojciec

odmawiał modlitwę przed obiadem. Szanowałem tych, którzy wierzą i modlą się, tak nauczył mnie tato. Istnieje wiele sposobów na osiągnięcie światła.

Kościół okazał się wspaniały. Zdobiły go marmury oraz piękne mozaiki. Naprzeciw ołtarza zebrało się około stu mnichów, wszyscy złożyli ręce, jakby już pogrążeni w modlitwie. Nagle zaczęli śpiewać. Modlili się, intonując hymn. I to jaki hymn!

Słyszałem chór chłopięcy katedry w Priestown. W porównaniu z tym ich śpiew przypominał tawerniane przyśpiewki. Głosy mnichów wznosiły się ku kopule w idealnej harmonii, szybując w niebo niczym aniołowie. W klasztorным chórze wyczuwało się niewiarygodną siłę. Potężny dźwięk, służący jednemu celowi.

Czy modły naprawdę miały moc powstrzymania Ordyny? Najwyraźniej tak. Lecz siła mroku rosła. Tym razem krwiożercza bogini nie zatrzyma się, uwięziona, na równinie. Jeśli jej nie zniszczymy, zaatakuje hrabstwo. Wątpiłem w nasz sukces.

Pożegnaliśmy się z ojcem opatem. Opuściliśmy katholicon, porzuciliśmy mnisie hymny. Dopiero wtedy dostrzegłem twarz stracharza. Wykrzywił ją gniew. Jak wtedy, gdy zostawił mnie na farmie i pospieszył do Chipenden. Czułem, że jest gotów wyrzucić z siebie, co myśli i że jego złość skupi się głównie na mamie.

## **ROZDZIAŁ 14**

### **ZNAKI**

– Ten krwawy rytuał... co dokładnie oznacza? – spytał stracharz, wbijając wzrok w mamę.

Siedzieliśmy w kręgu na ziemi w jej namiocie. Po lewej miałem Alice, po prawej stracharza. Byli tam też Bill Arkwright i Grimalkin. Wcześniej, gdy tylko wróciliśmy do obozu, stracharz wyjaśnił mamie własny punkt widzenia. Uprzejmie, lecz stanowczo zażądał informacji, z czym dokładnie mamy do czynienia,

zwłaszcza delegaci. Oskarżył nawet mamę o ukrywanie ważnych informacji, których bardzo potrzebujemy.

Obecne spotkanie zorganizowano jako następstwo owej rozmowy. Mama siedziała ponura, skupiona. Czułem, że o pewnych rzeczach wolałaby nie wspominać, a już z pewnością nie w tym gronie. Zdecydowanie wolałaby rozmowę ze mną na osobności.

– Nie wiem wszystkiego – przyznała. – Tego, co mi wiadomo, dowiedziałam się z rozmów z ludźmi, którzy przeżyli poprzednie wizyty Ordy. Część relacji dawnych delegatów nie zgadza się ze sobą, zapewne dlatego, że to, czego doświadczyli, trwale uszkodziło ich umysły. Najwyraźniej jednak słudzy Ordyny domagają się krwi. I zapragną dostać twoją krew, Tomie.

– Moją krew? Po co im moja krew?

– Bo będziesz najmłodszy, synu. Widzisz, za każdym razem, gdy przybywa delegacja, słudzy Ordyny żądają krwi najmłodszego jej członka, a my naprawdę chcemy, by ją dostali. To bardzo ważne.

– Spodziewasz się, że twój syn poświęci życie? – spytał gniewnie stracharz.

Mama pokręciła głową. Uśmiechnęła się.

– Tym razem nie zabiją dawcy, choć działo się tak w przeszłości. Dostaną od nas jedynie kubek krwi – jej wzrok powędrował od stracharza ku mnie. – Znasz historię upadku Troi? – spytała.

Pokręciłem głową. Choć mama nauczyła mnie greki, rzadko opowiadała o swej ojczyźnie – moje życie na farmie wypełniały historie z Hrabstwa, opowieści o jego boginach, wiedźmach oraz demonach.

– W starożytnych czasach Grecy toczyli z Troją długą, ciężką wojnę – podjęła. – Wiele lat oblegaliśmy miasto, nasze wojska otaczały pierścieniem nieprzeniknione mury twierdzy. W końcu nasi ludzie zbudowali wielkiego drewnianego konia, po czym zostawili go na równinie przed Troją. Sami odpłynęli, udając, że zrezygnowali z walki. Trojanie uznali konia za ofiarę dla bogów i

zaciągnęli go do miasta, by świętować zwycięstwo. Dali się nabrać. Wewnątrz konia było mnóstwo miejsca. Tej nocy, gdy Trojanie położyli się spać, wyczerpani oraz upojeni winem – ukryci w środku Grecy wydostali się na zewnątrz i otworzyli bramy miasta, wpuszczając do niego powracającą armię. Wówczas zaczęła się rzeź: Troja spłonęła. W końcu zwyciężyliśmy w tej wojnie. Ty, synu, staniesz się moim koniem trojańskim. Oszukamy sługi Ordyny, pokonamy obronę Ordny.

– Jak? – spytałem.

– Ordyna potrzebuje ofiary z ludzkiej krwi, by przebudzić się ze snu w mroku za portalem. Twoja krew ją zasili, da życie. Lecz twoja krew, to także moja krew: krew zaprzysięgłej nieprzyjaciółki popłynie w jej żyłach. Nasza krew ją osłabi. Ograniczy jej straszliwą moc. Więcej nawet: wspólnota krwi sprawi, że staniecie się niczym krewniacy. Zyskasz dostęp do miejsc, które wcześniej byłyby dla ciebie nieosiągalne. I ja także. Obrona Ordyny – pułapki, paści, inne mroczne wynalazki – zostanie nadwątlona. Zmysły jej strażników są wyczulone na krew. Możliwe nawet, że nie uznają za osoby groźne ani ciebie, ani też mnie. To właśnie mam nadzieję osiągnąć.

– Twierdzi pani, że Tom straci tylko kubek krwi? – wtrącił stracharz. – Wcześniej odbierali życie dawcy. Czemu tym razem ma stać się inaczej?

– Strażnicy zawsze zapraszają do walki jednego z członków delegacji – wyjaśniła mama. – Reguły nie są do końca jasne, lecz zwycięstwo czempiona delegacji oznacza, że dawca ocali życie.

– Czy ów czempion kiedykolwiek zwyciężył? – nalegał stracharz.

– Zazwyczaj nie ma nikogo dość silnego i śmiałego, by się zgłosił. Tym razem naszym czempionem będzie Grimalkin.

– A jeśli przegra? – Arkwright odezwał się po raz pierwszy.

– Wygram – oznajmiła spokojnie Grimalkin. – Nie ma sensu zastanawiać się nad tak sformułowanym pytaniem.

– Pewność siebie nie wystarczy! – upierał się. – Nie wiesz, co cię

czeka wewnątrz cytadeli. Może demon, mroczna istota, której nie zdoła pokonać śmiertelnik.

Grimalkin uśmiechnęła się ponuro, rozchylając wargi i ukazując ostre szpiczaste zęby.

– Jeśli jego kości okrywa ciało, odetnę je. Jeśli oddycha, odbiorę mu oddech. W przeciwnym razie – wzruszyła ramionami – i tak wszyscy zginiemy.

Mama westchnęła. Teraz ona odpowiedziała na pytanie Arkwrighta.

– Jeżeli Grimalkin przegra, wszyscy delegaci natychmiast stracą życie. Nasz atak się nie powiedzie. Członkowie grupy zginą wraz z mieszkańcami Kalambaki oraz z mnichami. A potem, za siedem lat, Ordyna będzie mogła swobodnie korzystać z portalu i materializować się, gdzie tylko zechce.

Jakiś czas wszyscy milczeli. Trudno było wyobrazić sobie ogrom piętrzących się przed nami trudności, a także skutki katastrofy, z jaką wiązałyby się nasza klęska. Bill Arkwright, zaprawiony w bojach żołnierz, otrząsnął się pierwszy.

– Założmy, że Grimalkin się powiedzie – zaczął. – Ustaliłem już z dowódcami najemników szlak oddziałów w trakcie podróży. Bez problemu uchronią nas przed menadami. Ale co z właściwym atakiem? Jak reszta z nas dostanie się do Ordy?

– Tylko jedno miejsce stwarza wam szansę powodzenia – wyjaśniła mama. – Pięćdziesiąt kroków w lewo od głównej bramy, wysoko na murze tkwi wielki gargulec. To czaszka z wyrastającymi z czoła rogami, jak u jelenia. Pod nią otwiera się tunel wiodący na wewnętrzny dziedziniec Ordy. Tamtędy dociera na miejsce delegacja – najłatwiejszą drogą do cytadeli. Czarownice z Pendle zaatakują jako pierwsze. Wkrótce potem do środka wtargną konni najemnicy i rozpoczną oblężenie.

– A jeśli tamci okażą się za mocni? – spytał Arkwright.

– Istnieje ryzyko, które musimy podjąć. Jeżeli zaatakujemy dostatecznie szybko, wszystko powinno pójść dobrze. Jak wiemy, słudzy Ordyny przyjmujący delegatów budzą się, gdy tylko Ord



wystygnie. Lecz delegaci odciągają ich uwagę, a czarownice z Pendle powinny zabić wszystkich wkrótce po tym, jak Ordyna wypije krew Toma. Taką przynajmniej mam nadzieję. Co do reszty jej sług, minie kilka godzin, nim ockną się w pełni. Musimy dotrzeć do Ordyny i zabić ją, nim odzyska siły.

– Jakim sposobem ci z nas, którzy zostaną na zewnątrz, zyskają pewność, że delegacja wykonała swe zadanie? – naciskał Arkwright.

– Grimalkin użyje lustra – wyjaśniła mama.

Ujrzałem, jak usta stracharza zaciskają się, nic jednak nie powiedział.

– Kiedy już znajdziemy się wewnątrz Ordy, skąd będziemy wiedzieli, gdzie znaleźć Ordynę? – zapytałem.

Od razu, nim jeszcze mama pokręciła głową, pojąłem, że nie wie.

– Zakładamy, że przebywa gdzieś z dala od głównego wejścia, w miejscu łatwym do obrony. Najpewniej śpi na szczycie jednej z trzech wież. Ale za nimi wznosi się też budowla z kopułą. Kiedy znajdziemy się wewnątrz cytadeli, zyskamy sposobność odnalezienia Ordyny, choć nadal trzeba się liczyć ze spotkaniem innych mieszkańców mroku.

Po tych ponurych słowach przez długi czas nikt się nie odzywał. Osobiście uważałem, że mamy niewielką szansę powodzenia. Bez wątplenia wszyscy podzielali tę opinię, może nawet mama. Potem zacząłem myśleć o delegacji. Czy mama wejdzie w jej skład?

– Ta delegacja... Kto ze mną wyruszy, mamó?

– Grimalkin, Seilenos oraz dziesięciu członków mojej eskorty. Przed wami niebezpieczne zadanie, nie wszyscy powrócicie. Żałuję tylko, że osobiście nie mogę również pójść, lecz Ordyna i jej słudzy znają mnie jako wroga. Lękam się, że natychmiast by mnie rozpoznali. Wtedy nasz plan by się nie powiódł. Przekazałam jednak Grimalkin wszystko, co mi wiadomo o groźnym niebezpieczeństwie. Na przykład natkniecie się na stół pełen jadła i wina, ale nie powinniście z niego jeść ani pić. To bardzo ważne.

– Jedzenie zostało zatrute? – spytałem.

– Nie zatrute. Zakłęte. Przesycone czarną magią. Strzeżcie się zatem – uprzedziła mama głosem niewiele głośniejszym od szeptu.

– Nie dotykajcie jadła ani napojów. Ci, którzy posilą się strawą Ordyny, już nigdy nie wrócą do domu...

– Jeśli Tomowi grozi niebezpieczeństwo, ja też chcę tam pójść! – zawołała Alice, odzywając się po raz pierwszy.

Mama pokręciła głową.

– Twoje miejsce jest u mego boku, Alice.

– Nie, to nie wystarczy – Alice zerwała się z ziemi. – Muszę być z Tomem.

– Trzymaj się od niego z daleka, dziewczyno! – warknął stracharz.

– Z daleka? Gdyby nie ja, już by nie żył. Dobrze o tym wiecie!

Mama pokręciła głową.

– Usiądź! – poleciła.

– Nie usiądę, póki nie dasz mi tego, czego chcę! – odparowała Alice, niemal wypluwając słowa. – Jesteś mi to winna! Poza tym istnieją rzeczy, o których nawet ty nie wiesz.

Mama podniosła się, stając naprzeciw Alice. Na jej twarzy pojawił się gniew. W tym momencie płótno namiotu załopotało. Wieczór był spokojny, lecz teraz zerwał się wiatr. W chwilę później dmuchał szaleńczo, grożąc zerwaniem tkaniny z podtrzymujących ją tyczek.

Mama wyprowadziła nas na dwór i spojrzała w niebo.

– Zaczyna się – rzekła, wskazując horyzont. – To pierwszy omen. Ordyna szykuje się do przejścia przez portal.

Z południa napierała potężna wichura, a niebo na horyzoncie przybrało znajomy żółtawy odcień. Wyglądało, jakby zbierało się na burzę. Pierwszy znak. Mama nie miała wątpliwości. Zaczęliśmy się zatem przygotowywać: mieliśmy wyruszyć o świcie.

\*

Nocny spokój zakłócały zwierzęta uciekające z południa. W pewnym momencie nasz obóz zalała fala piszczących, oszalałych

szczurów. Ptaki krzyczały w panice, ulatując wśród ciemności na północ.

Jakąś godzinę przed świtem, nie mogąc spać, wyszedłem na dwór rozprostować nogi. Stał tam Seilenos, zapatrzony w niebo. Zobaczył mnie. Podeszedł, kręcąc głową.

– No cóż, młody stracharzu, dziś zwyciężymy bądź zginiemy. To niebezpieczna kraina. Kraina wielu tajemnic. Grozi nam wielkie niebezpieczeństwo. Trzymaj się blisko mnie, a nic ci nie będzie. Seilenos wie, co robić. Możesz mnie spytać, a ja wyjaśnię. Wiem wszystko o lamiach i żywiołakach. Nauczę cię...

Przypomniałem sobie tajemnicze odgłosy w tunelu tuż przed tym, nim zawaliło się sklepienie. Ciekawe, kto był ich źródłem.

– Po ataku na obóz ukryliśmy się z Alice w jaskini i musieliśmy walczyć z menadami. Ale zdarzyło się tam coś jeszcze: najpierw słyszeliśmy dziwne stukanie, a potem tunel się zawalił. O mało nas nie zabił.

– Stukanie? Jakie stukanie? Szybkie czy wolne?

– Zaczęło się wolno, ale potem bardzo przyspieszyło. Miało pewien rytm, który narastał stopniowo, aż w końcu posypały się kamienie, o mało nas nie zabijając.

– Macie szczęście, że uszliście z życiem, młody stracharzu. To były żywiołaki. Żyją w jaskiniach, nazywamy je pukaczami. Starają się przepędzić ludzi. Najpierw wzbudzają strach strasznymi odgłosami pukania. Potem zrzucają wielkie głazy i próbują cię zmiażdżyć. Kiedy usłyszysz pukacze, uciekaj!

Zapewne była to dobra rada, ale wówczas skupialiśmy się na niebezpiecznych menadach. Musieliśmy zostać i walczyć. Seilenos klepnął mnie w ramię, potem ruszył do jednego z ognisk, przy którym szykowano śniadanie. Ja zostałem, czekając na wschód słońca.

Nie zobaczyłem jednak słonecznej tarczy, bo o świcie niebo zasnuła żółta mgła. Stracharz poinformował mnie, że musimy pościć, by przygotować się do walki z mrokiem, toteż nie jedliśmy śniadania. Nawet Bill Arkwright, który nie lubił opuszczać

posiłków, ograniczył się do jednej cienkiej kromki chleba. Seilenos natomiast najadł się do syta. Z szerokim uśmiechem pokręcił głową na widok naszych nietkniętych talerzy z baraniną i dziczyzną.

– Jedzcie! Potrzebna wam siła. Kto wie, kiedy znów się posilimy?

– Jak już ci mówiłem, w Hrabstwie postępujemy inaczej. Nie bez powodów – warknął stracharz. – Wkrótce czeka mnie spotkanie z największym niebezpieczeństwem mroku, z jakim miałem do czynienia przez wszystkie lata uprawiania fachu. Chcę być przygotowany, a nie napchany strawą zakłócającą jasność myśli!

Seilenos ponownie zarechotał, nadal pakując do ust grube płaty mięsa i popijając czerwonym winem.

Już mieliśmy ruszać na wschód, gdy podeszła do mnie Alice. Jej twarz rozjaśniał uśmiech.

– Twoja mama zmieniła zdanie, Tom – powiedziała. – Mam jednak dołączyć do delegacji.

– Na pewno tego pragniesz, Alice? Nie byłabyś bezpieczniejsza z mamą? Nie chcę, by cokolwiek ci się stało.

– A ja nie chcę, by coś stało się tobie. Dlatego stanę u twojego boku. Przy mnie jesteś bezpieczniejszy, Tom. Zaufaj mi. A poza tym chcemy być razem w twoje urodziny, prawda?

Uśmiechnąłem się i przytaknąłem. Na śmierć zapomniałem o urodzinach. Dziś trzeci sierpnia. Właśnie skończyłem piętnaście lat. Lecz Alice wyraźnie zwlekała. Czułem, że chce powiedzieć coś jeszcze. Coś, co mi się nie spodoba. Cały czas zerkąła na mnie z ukosa, zagryzała dolną wargę.

– Idziesz do Ordy z Grimalkin, czarownicą zabójczynią, służką mroku. I użyłeś mrocznego życzenia, które ci podarowała, by ocalić mi życie. Czym to się różni od skorzystania ze słoja krwi, by nie dopuścić do siebie Złego? – spytała. – Weź słój, to prezent urodzinowy ode mnie.

– Daj mi już spokój, Alice! – krzyknąłem rozdrażniony. – I tak jest mi trudno. Nie musisz przypominać mi o życzeniu Grimalkin.

Alice umilkła. Czuję, jakbym powoli zapadał się w bagno. Nawet mama zmuszała mnie do kontaktów z mrokiem. Wiedziałem, że nie ma wyboru i że muszę być częścią jej planu, lecz widziałem też, jak ziszczają się obawy stracharza.

## ROZDZIAŁ 15

### NADEJŚCIE ORDY

Wyruszyliśmy na południe, przebijając się przez falę uciekinierów. Wszędzie roiło się od uchodźców. Niektórzy podróżowali pieszo, tuląc do siebie dobytek, bądź dźwigając dzieci; inni załadowali wszystko, co mogli na niewielkie wózki, które ciągnęli albo popychali. Wielu oglądało się raz po raz, wykrzykując ku nam, byśmy uciekali. Rozpaczliwie bali się o życie swoje i swoich rodzin.

Maszerowaliśmy cały ranek przez suchą krainę pod mdlącym, żółtym niebem. Na horyzoncie widziałem ciemne trąby powietrzne, wędrujące na północ. Niszczyły wszystko, co napotkały. Szczęśliwie, żadna nie przeszła obok nas. Wreszcie wiatr ucichł, powietrze z każdą chwilą stawało się coraz cieplejsze, bardziej duszne. Niosłem w rękach laskę oraz torbę zabraną z wozu mamy. Eskorta mamy jechała tuż za nią, dalej podążały czarownice z Pendle, prowadzone przez Grimalkin. Bill Arkwright ze stracharzem maszerowali po prawej stronie mnie i Alice, trzy psy dreptały za nimi. A daleko z tyłu, co najmniej o paręset jardów, jechali konni najemnicy.

Oboje z Alice, zmęczeni, baliśmy się nadchodzących wypadków, toteż prawie się nie odzywaliśmy. W pewnym momencie podszedł do mnie Bill Arkwright.

– I co, mości Wardzie, jak ten kraj ma się do naszego Hrabstwa? Zmieniłeś może zdanie? Chciałbyś tu zamieszkać? – spytał.

– Chciałbym wrócić do domu – odparłem. – Tęsknię za zielonymi wzgórzami, za lasami, nawet za deszczem!

– O tak, dobrze cię rozumiem. To doprawdy sucha kraina. Lecz twoja mama sądzi, że wkrótce czeka nas deszcz.

Miał na myśli ulewę, która następowała tuż po pojawieniu się Ordy.

– Mam pewną prośbę, mości Wardzie. Gdyby coś się ze mną stało, zaopiekuj się psami. Bez wątpienia pan Gregory nie zechce ich trzymać w Chipenden – bogini i psy tworzą kiepską mieszankę! Ale na pewno znajdziesz im dobry dom.

– Oczywiście.

– Cóż, miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie i że wkrótce wszyscy bezpiecznie powrócimy do Hrabstwa. Czeka na nas ogromne niebezpieczeństwo, więc gdybyśmy już się nie spotkali, oto moja przyjazna dłoń...

Arkwright wyciągnął rękę, a ja ją uściśnałem. Skinąwszy głową w stronę Alice i obdarzywszy ją uśmiechem, odszedł. Ogarnął mnie smutek: czułem się zupełnie, jakbyśmy się żegnali na zawsze.

Ale czekało mnie jeszcze kolejne pożegnanie, tym razem ze strony stracharza. Niedługo on także zbliżył się do mnie. Gdy się zjawił, zauważyłem, że Alice zwalnia, dołączając do Grimalkin, maszerującej teraz za nami.

– Denerwujesz się, chłopcze? – spytał mój mistrz.

– Denerwuję się i boję – odparłem. – Cały czas oddycham powoli, głęboko, lecz niezbyt pomaga.

– Pomoże, chłopcze, pomoże. Rób tak dalej. I pamiętaj o wszystkim, czego próbowałem cię nauczyć. A kiedy znajdziemy się wewnątrz cytadeli, trzymaj się blisko mnie. Kto wie, co nas tam czeka.

Poklepał mnie po ramieniu, odszedł. Zastanawiałem się, czy postąpił tak dlatego, że nie chciał maszerować zbyt blisko Alice. Wkrótce potem przystanęliśmy na krótki popas. Szybko zapisałem w notatniku wszystko, co Seilenos opowiadał o pukaczach. To pomogło mi się uspokoić. Niezależnie od zagrożenia musiałem

kontynuować naukę.

Kiedy podjęliśmy wędrowkę, zbliżyła się do nas kolejna osoba – choć bez niej akurat oboje z Alice zdołalibyśmy się obejść. Obok nas zjawiała się Mab w towarzystwie obydwu sióstr o haczykowatych nosach.

– Co ty kombinujesz, Tom? – spytała Mab, zerkając na mnie z ukosa. – Masz koło siebie zdrową, żywą dziewczynę, a przecież Alice Deane powinna już umrzeć. Widziałam to. Widziałam, jak lamia wysysa z niej krew i rozszarpuje jej ciało zębami. Tylko coś z mroku mogło ją ocalić, to jedyna rzecz, jakiej nie potrafiłam przewidzieć. Co ty kombinujesz, Tom? Musiałeś zadać się z mrokiem. Tylko to mogło pomóc. Co o tym myśli pan Gregory, he?

Alice podbiegła, pchnęła Mab tak mocno, że tamta o mało nie upadła.

– Starczy nam kłopotów, nie musimy wysłuchiwać twoich bredni. Odejdź stąd! Zostaw Toma w spokoju.

Mab odwróciła się ku Alice. Wyciągnęła przed siebie ręce – wyraźnie zamierzała rozharatać twarz mojej przyjaciółki. Ja jednak szybko stanąłem między nimi. Wzruszyła ramionami, cofnęła się.

– Pójdziemy swoją drogą – oznajmiła, krzywiąc wargi w uśmiechu. – Zostawimy cię samego, żebyś mógł przemyśleć własne postęпки oraz nasze słowa. Jesteś teraz blisko mroku, Tom. Bliżej niż kiedykolwiek...

To rzekłszy, wraz z siostrami odeszła, zostawiając mnie z moimi myślami. Nadal kroczyłem obok Alice, lecz żadne z nas się nie odzywało. Co moglibyśmy rzec? Oboje wiedzieliśmy, że dotknął mnie mrok. Cieszyłem się tylko, iż stracharz nie usłyszał słów Mab.

\*

Późnym rankiem pogoda zaczęła się zmieniać. Znów zerwał się wiatr, który stopniowo przeradzał się w zawodzącą wokół nas wichurę. Maszerowaliśmy nadal w upale, lecz wicher bardzo nam doskwierał.

Wkrótce Alice wskazała ruchem głowy coś przed sobą.

– Spójrz, Tom. Nigdy czegoś takiego nie widziałam!

Z początku nie dostrzegałem niczego, potem jednak na horyzoncie ujrzałem złowieszczy kształt.

– Co to takiego? Urwisko? Czarne pasmo wzgórz? – spytałem.

Alice pokręciła głową.

– Chmura, Tom. Dziwna czarna chmura, bez dwóch zdań. Z pewnością nie naturalna! Nie podoba mi się, zupełnie nie.

W zwykłych okolicznościach podobnie groźna chmura zapowiadałaby nadejście gwałtownej burzy z ulewą. Gdy się jednak zbliżyliśmy, przekonałem się, że wygina się przy brzegach niczym wielki czarny talerz bądź tarcza. Wiatr znów ustał, temperatura zaczęła niepokojąco spadać. Wcześniej przypiekał nas skwar, a teraz zaczęliśmy dygotać z zimna i strachu. Nagle znaleźliśmy się w świecie mroku, nasze twarze okrył cień.

Rozejrzałem się dokoła: Alice, Arkwright oraz reszta kompanii, łącznie z wiedźmami z Pendle, maszerowali bardzo powoli, pochylając czoła, jakby z góry przygniatał ich ciężar mroku. Jedynie stracharz szedł z głową uniesioną wysoko.

Choć powietrze trwało bez ruchu, widziałem, że owa złowieszcza chmura kotłuje się, wiruje, przelewa nad naszymi głowami, jakby jakiś olbrzym mieszał w niej ogromną chochlą. Niebawem usłyszałem piskliwy, przenikliwy wrzask. Na odległym horyzoncie zapłonęła smuga pomarańczowego światła.

– O tym właśnie opowiadała mama, Alice! – wykrzyknąłem, wskazując ręką. – Kolumna ognia. Gdzieś wewnątrz niej musi kryć się Ord!

Znajdowaliśmy się co najmniej trzy mile od ognistej kolumny, lecz wkrótce, mimo spadku temperatury, poczułem na czole gorąco. Maszerowaliśmy w stronę gigantycznego szkarłatnego wiru, pulsującej arterii łączącej niebo z ziemią. Wyglądała dramatycznie niepokojąco. Zdawała się rytmicznie rozszerzać i kurczyć. Obawiałem się, że nagle eksploduje, zalewając nas wszystkich. Z podstawy kolumny strzelały w górę błyskawice, rozszczepione



gałęzie bieli oraz błękitu, niczym nagie konary drzew, sięgające ku czarnej chmurze.

Choć tkwiąca w jednym miejscu, kolumna wirowała szybko z prawej w lewą, w kierunku odwrotnym do ruchu wskazówek zegara. Kurz tworzył u jej podstawy wielki grzyb, a szczyt łączył się z kipiącą chmurą. Piskliwy skowyt zmienił się w przeszywający wrzask, nozdrza wypełniła nam ostra woń, z początku trudna do określenia; wgryzała mi się w nos, czułem jej smak na języku.

– Śmierdzi niczym palone ciała! – krzyknęła Alice, węsząc w powietrzu. – I jakby dusze wrzeszczały w piekle. One płoną! Płoną!

Jeśli nawet tak było, zmysły podpowiadały mi coś wręcz odwrotnego: nie następowała bynajmniej kremacja, lecz tworzenie, ciało odradzające się z ognia. Jeżeli mama miała rację, pośród owych płomieni Ordyna wraz ze sługami wkraczali do naszego świata. Widzieliśmy przed sobą ognisty portal. Gorąco zalewające mi twarz nieco osłabło, jego furia także, gdy kolumna zaczęła zmieniać barwę. Szkarłat powoli ciemniał, zmieniając się stopniowo w brąz.

– Tam, wielki budynek! – zawołała Alice, wskazując z lękiem przed siebie. – Spójrz! Widać go w płomieniach! To Ord...

Miała rację. Widziałem, jak wir zwalnia, kurczy się. Ów proces nie przypominał zapadania się, raczej wyostrzanie; teraz poprzez przejrzystą kolumnę oglądaliśmy zarys mrocznej siedziby Ordyny ukrytej wewnątrz Ordy.

Trzy jednakowo strzeliste, poskręcane iglice pyszniły się tak wyniośle, że sięgały niemal chmury. Za nimi wznosiła się strzeżona przez nie kopuła, o której wspominała mama. Zarówno wieże, jak i kopuła wyrastały z masywnej budowli, przypominającej olbrzymią katedrę, tyle że znacznie większej i wspanialszej niż nasza, w Priestown, największa świątynia Hrabstwa. I o ile katedry wznoszono przez dziesiątki lat, ta budowla zdawała się powstawać w zaledwie kilka chwil.

Kolumna ognia już całkiem zniknęła. Maszerowaliśmy dalej, coraz bardziej zbliżając się do ciemnego masywu Ordny,

wznoszącego się przed nami niczym gigantyczna, przerażająca bestia. Choć zewnątrz ciemność znów zgęstniała, z wnętrza Ordy promieniowało dziwne, nowe światło, metaliczny Miedziano-brązowy blask, narastający z każdą chwilą. Teraz po raz pierwszy dostrzegłem szczegóły budowli. Poskręcane iglice miały długie wąskie okna, sklepione na szczycie niczym okna kościelne. Były otwarte, przeświecały przez nie jaskrawo wewnętrzne ognie.

– Za oknami poruszają się straszliwe istoty – wyszeptała Alice. Jej twarz przepełniała groza. – Stwory z piekieł!

– To tylko twoja wyobraźnia, Alice – odparłem. – Ord wznosi się zbyt daleko, by cokolwiek zobaczyć.

Lecz wbrew własnym słowom, ja także dostrzegłem nich w niektórych oknach; nieokreślone kształty, migoczące niczym upiory na tle światła. Wolałem nie myśleć czym są. A potem moje oczy przyciągnęło główne wejście – największe drzwi wiodące do środka gmachu. Były wysokie, łukowate, a choć jaśniały mocno, za nimi zalegała ciemność tak nieprzenikniona, iż nagle ogarnęło mnie przerażenie na myśl, co może się za drzwiami ukrywać. Cytadela Ord przybyła przez portal z mroku, przynosząc ze sobą wszystko, co mogło się w nim czaić.

Podeszliśmy już blisko. Ogromna twierdza wznosiła się nad nami, przysyłając ciemne niebo.

Tuż za naszymi plecami rozległ się wykrzyczany rozkaz. Odwróciwszy się, ujrzelśmy jak wojownicy zatrzymują się, a potem zmieniają formację, tworząc dwa półksiężyce, skierowane rogami w stronę Ordy. Wyglądali bardzo groźnie, odziani w błyszczące zbroje i ściskający w dłoniach miecze. Dobrze wypełnili pierwsze z dwóch zadań. Menady nie zdołały się do nas zbliżyć. Od czasu do czasu niewielkie patrole odłączały się od głównego oddziału, przeganiając je i polując. Teraz najemników czekało jeszcze niebezpieczniejsze zadanie: wkrótce mieli ruszyć wprost przed siebie, w samo serce cytadeli, rozpoczynając bój z mrokiem.

Szliśmy dalej. Uzgodniliśmy, że najemnicy pozostaną z tyłu aż do wyznaczonej chwili ataku. Zerknąłem na cytadelę, przeczesując

wzrokiem zewnętrzny mur. W końcu moje oczy odnalazły drugie wejście opisane przez mamę: sterczała nad nim czaszka gargulca z rozłożystymi jelenimi rogami. Właśnie tamtędy wejdzie do środka delegacja. Jeśli nam się nie uda, słudzy Ordyny wypadną przez główną bramę, pustosząc okolicę.

Nagle poczułem na twarzy pierwsze krople wilgoci; krople, które wkrótce zamieniły się w ciepłą ulewę, spadając pionowo w nieruchomym powietrzu. Kiedy lunęła z nieba, bębniąc gniewnie o twardą, suchą ziemię, Orde otoczył obłok pary. Przez głowę przeleciała mi zabawna myśl. Oto niewidzialny kowal, dokończywszy dzieła, teraz studzi je przed użyciem.

Po chwili ujrzeliśmy przesuwający się ku nam wał gęstej białej mgły, widoczność zmalała do paru stóp. Wokół zapadła niesamowita cisza. Wkrótce z mgły wyłoniła się Grimalkin wraz z Seilenosem i pozostałymi członkami eskorty mamy wchodzącymi w skład trzynastoosobowej delegacji.

Mama odwróciła się ku mnie. Pokrzepiającym gestem klepnęła mnie po ramieniu.

– Już czas. Musisz być dzielny, synu. Nie będzie łatwo. Ale starczy ci sił, by przetrwać.

– Czy menady nie uprzedzą Ordyny, że się zbliżamy? Nie zdradzą jej, że wiemy ze sobą armię najemników?

Mama pokręciła głową.

– Nie, nie mogą porozumieć się z nią bezpośrednio. Czekają po prostu na jej przybycie. Wykorzystując sianą przez nią grozę, pożywią się martwymi oraz umierającymi.

– Ale tamci nas nie widzieli? Ci ze sług Ordyny, którzy już nie śpią, nie odgadną, co planujemy?

– Choć nasza grupa jest większa niż zwykle, delegatom w podróży do Ordy zawsze towarzyszy zbrojna eskorta, nie ma w tym niczego nowego. Dla obserwatorów z cytadeli przybywający wojownicy to tylko mięso i krew czekające na pożarcie. Nie spodziewają się ataku.

Nagle mama uściskała mnie mocno. Kiedy mnie puściła, w

oczach miała łzy. Próbowwała coś powiedzieć: jej usta otwarły się, lecz nie dobiegło z nich żadne słowo.

Ktoś wyłonił się z cienia za jej plecami. Mój mistrz. Położył mi dłoń na ramieniu i odciągnął na bok.

– Cóż, chłopcze, nadeszła chwila. Nie podobają mi się metody twojej matki ani towarzystwo, z jakim się zadaje, ale wiem, że należy do światła i robi to, co robi, dla dobra nas wszystkich. Z czymkolwiek będziesz miał do czynienia, pamiętaj, czego cię nauczyłem, bądź wierny sobie. Oraz nie zapominaj, że jesteś najlepszym uczniem, jakiego kiedykolwiek miałem.

Podziękowałem mu za miłe słowa, a on uściśnął mi dłoń.

– Jeszcze jedno – dodał, gdy się odwracałem. – Nie wiem, dlaczego twoja matka wysłała z tobą tę małą wiedźmę – wskazał gestem Alice. – Najwyraźniej uważa, że dziewczyna będzie cię chronić. Mam taką nadzieję. Jednak ani na moment nie zapominaj, kim są jej rodzice. To córka czarownicy oraz Diabła. Nie jest jedną z nas i nigdy nie będzie, nieważne, jak bardzo się stara. Dobrze, byś o tym pamiętał, chłopcze.

Słowa mistrza ukłuły mnie prosto w serce. Nic jednak nie zdołałem odpowiedzieć, przytaknąłem jedynie, podnosząc torbę i laskę. Podszedłem do miejsca, gdzie czekały Grimalkin i Alice w towarzystwie pozostałych. Poprowadziły nas w mgłę, w stronę Ordy.

## **ROZDZIAŁ 16**

### **NAPEŁNIJ CZARĘ!**

Maszerowaliśmy naprzód. Grimalkin po mojej prawicy, Alice po lewej. Kiedy zerknąłem przez ramię, ujrzałem w gęstej mgłę ciemne sylwetki dziesięciu wojowników pod dowództwem Seilenosa, wybranych z eskorty mamy.

Wkrótce wokół zapadła cisza, którą zakłócał jedynie rytmiczny

odgłos naszych butów i stóp. Wciąż padał deszcz – nie tak mocny jak wcześniej, lecz ziemia szybko zamieniała się w błoto.

I wtedy, zdecydowanie za szybko, ujrzeliśmy przed sobą mury. Wielkie mokre kamienie połyskiwały w deszczu. Były twarde i namacalne: trudno uwierzyć, że przeszły przez płomienisty portal do naszego świata. Skręciliśmy w lewo, jakiś czas idąc pod ścianą, aż dotarliśmy do mniejszego wejścia. Grimalkin nie zawahała się, prowadząc nas pod gargulcem w głąb Ordy. Przed nami ciągnął się tunel, ona jednak skręciła w drzwi po lewej. Podążyliśmy za nią do sali tak ogromnej, że wysokie sklepienie niknęło w ciemności. Salę rozjaśniała słaba poświata. Nie dostrzegłem pochodni, blask rozchodził się równomiernie. Wprost przed nami stał długi stół, zasłany obrusem z czerwonego jedwabiu, na nim ustawiono półmiski ze srebra oraz brązu, pełne owoców i mięs. Stół otaczało trzynaście wysokich krzeseł z oparciami, rzeźbionych z najbielszej kości słoniowej i wyściełanych czarnym aksamitem, a na blacie przed każdym siedziskiem ustawiono złoty puchar, misternie odlany, wypełniony po brzegi czerwonym winem.

Światło pojaśniało. Odśloniło rzędy kolumn po prawej i lewej. Zauważyłem, że podłogę między filarami wyłożono przepiękną mozaiką, przedstawiającą oplatające się wokół siebie wielkie węże. Podążałem wzdłuż nich wzrokiem, gdy nagle zamarłem, wstrząśnięty.

Pośrodku podłogi ział ciemny otwór. Z jakiejś przyczyny jego widok napawał mnie grozą. Zacząłem dygotać ze strachu. Zastanawiałem się, co się w nim kryje.

Wszyscy usiedliśmy, lecz pomni instrukcji mamy, nie tknęliśmy jadła ani wina. Krzesła ustawiono po jednej stronie stołu, toteż siedzieliśmy naprzeciw otworu.

Nagle usłyszeliśmy kroki, z początku odległe, stopniowo zbliżające się coraz bardziej. Powoli z otworu wyłoniła się głowa. Ktoś wspinał się po ukrytych wewnątrz stopniach. Nagle naszym oczom ukazała się ciemna postać wojownika, od stóp do głów zakutego w czarną zbroję. W lewej dłoni dzierżył długi miecz, w

prawej wielką kryształową czarę.

Ruszył ku nam miarowym krokiem. Przez parę sekund przyglądałem mu się uważnie. W czarnym hełmie nie dostrzegłem szczelin na nos bądź usta, a jedynie dwa poziome otwory na oczy. Samych oczu jednak nie widziałem – wewnątrz kryła się ciemność. Zbroja okazała się czarną kolczugą, na nogach przybysz miał wyglądające morderczo buty o czubach zakończonych ostrymi, zębatymi kolcami.

Zatrzymał się przy naszym stole. Kiedy zaś przemówił, serce ścisnął mi strach. Głos, zimny i arogancki, krył w sobie coś ostrego, metalicznego.

– Czemu nie spozywacie jadła, które dla was przygotowano? Czemu nie pijecie darowanego wam wina? – spytał z wyrzutem. Słowa odbijały się echem od posadzki i ścian.

Na dźwięk pytań zerwaliśmy się z miejsc. W naszym imieniu przemówiła Grimalkin.

– Za gościnę dziękujemy – odparła spokojnie, godnie. – Tyle że, jak dotąd, nie czujemy głodu ani pragnienia.

– Decydujecie sami. Lecz, mimo wszystko, trzeba odwzajemnić to, co wam ofiarowano. Napełnijcie kielich, by moja pani mogła ożyć!

To mówiąc, mroczny wojownik uniósł naczynie ku wiedźmie zabójczynie.

– Czym mamy go napełnić? – spytała Grimalkin.

Z początku wojownik nie odpowiedział. Obracał powoli głowę, jakby przyglądał się kolejno każdemu z nas. A potem ogarnęła mnie rozpacz. Wciąż nie dostrzegałem jego oczu, wiedziałem jednak bez cienia wątpliwości, że spoglądają prosto na mnie.

– Moja pani łaknie pokrzepienia. Musi napić się ciepłej krwi z ciała najmłodszego spośród tu obecnych! – oznajmił, wskazując mnie mieczem. – Poświęćcie jego życie. Napełnijcie czarę krwią z jego serca!

Znów zacząłem dygotać. Choć wiedziałem, że Grimalkin będzie walczyła o moje życie, choć wiele mi już dotąd wyjaśniono, bałem

się. W głowie przebudziły się wszystkie wątpliwości, kleszcze strachu ścisnęły serce. Czy umrę tutaj? Czy Zły mówił prawdę? Czy mama od początku zamierzała złożyć mnie w ofierze? Może powolny powrót do dawnej postaci pozbawił ją ludzkiej miłości, którą darzyła syna?

Grimalkin pokręciła przecząco głową.

– Zbyt wiele żądasz! – wykrzyknęła donośnym, władcym głosem. – Domagamy się próby walki.

Wojownik skłonił głowę.

– Macie takie prawo. Ale nie podejmujcie zbyt lekko wyzwania. Jeśli wygram, wszyscy zapłacicie życiem. Nadal chcecie stanąć do starcia?

Grimalkin skinęła głową, przyjmując warunki pojedynku. Teraz nagle wszystko pociemniało. Usłyszałem dobiegające zewsząd westchnienia oraz szepty, a potem, gdy w sali znów zapłonęło światło, przekonałem się, że zbrojny wojownik czeka gotowy pośrodku mozaikowej posadzki. Nie trzymał już w ręku czary. W prawej dłoni ścisnął długi miecz, lewą ujmował metalową, najeżoną kolcami kulę na mocnym łańcuchu.

Grimalkin dobyła dwóch długich kling. Zręcznie, z gracją śmignęła przez stół. Wylądowała niczym kotka. Ruszyła w stronę zbrojnej postaci, powoli okrążając przeciwnika. Miałem wrażenie, że na wargach zabójczym tańczy lekki uśmieszek. Po to właśnie żyła. Wiedziałem, że cieszy ją walka z tym rycerzem. Lubiła poddawać własne umiejętności próbie – w starciu z godnym przeciwnikiem. Pojąłem, że tym razem trafiła na takiego, który umie stawić jej czoło. Grimalkin nie bała się śmierci. Jeśli jednak przegra i zginie, my także zapłacimy życiem.

Jej przeciwnik ruszył naprzód. Zaczął kręcić uniesioną nad głową kolczastą kulą. Łańcuch wirował coraz wyżej i wyżej, ciężki metalowy pocisk na końcu ciął powietrze z taką siłą i szybkością, że starczyłoby jedno celne uderzenie, by oderwać Grimalkin głowę.

Lecz nie na darmo wiedźma była zabójczynią klanu Malkinów. Idealnie wyliczając moment ataku, wkroczyła w krąg wirującej

kuli. Gdy się już w nim znalazła, wymierzyła cios prosto w lewą szczelinę hełmu. Ostrze trzasnęło o metal. Chybiła o niecałą grubość palca.

Miecz wojownika odpowiedział równie szybko. Przeciwnicy zaczęli wymieniać potężne ciosy. Grimalkin znalazła się jednak zbyt blisko, by czarny wojownik zdołał skutecznie zamachnąć się kulą, która zwisała bezużytecznie na łańcuchu, podczas gdy czarownica walczyła dwoma mieczami przeciw jednemu. Jakiś czas zdawała się przeważać. Napierała mocno.

Potem górę wziął przeciwnik. Zabójczyni bowiem nie nałożyła zbroi. Teraz, gdy się cofała, niedostatek ów objawił się z całą mocą. Rycerz próbował ją kopnąć, dwukrotnie. Gdyby trafił, kolce na butach wyprułyby jej flaki. Grimalkin jednak zawirowała niczym bąk, nie czyniąc zbędnych ruchów. Trzymała się zbyt blisko, by rywal zdołał wykonać zamach kulą. Raz po raz wiedzmię klingi z metalicznym szczękiem trafiały w korpus przeciwnika, lecz zbroja odbijała je bez żadnej szkody. Wydawało się niemożliwe, by w trwającym pojedynku czarownica przeżyła, a co dopiero zwyciężyła. Jakie miała szanse w starciu z tak chronionym wrogiem? Jej odsłonięte nogi i ręce pozostawały wystawione na ciosy.

Niespodziewanie uderzyła mnie pewna myśl. Przecież Grimalkin wcześniej zrezygnowała z czegoś, co dawało jej ogromną przewagę. Gdyby do teraz zachowała klingę i mroczne życzenie, mogłaby z obu skorzystać. Pojąłem, jak bardzo się poświęciła.

Nagle wykonała piruet, odskoczyła od wroga, obracając się w lewo i cofając w stronę stołu. Zacząłem się martwić. Taktyka zabójczym nie wydawała się rozsądna. Z większej odległości wojownik mógł ponownie, już skutecznie, posłużyć się śmiertelnością kulą. Zaczął wywijać nią nad głową, coraz szybciej i szybciej. Gotował się do zadania morderczego ciosu. Grimalkin ruszyła ku niemu. Zdawałoby się, że przyjęła pozycję idealną, by rywal skutecznie uderzył. Jakby czekała, aż zmiażdży ją kolczasta kula. Serce podeszło mi do gardła. Sądziłem, że zbliża się koniec.



Kiedy jednak broń opadła, wiemy zabójczym już w poprzednim miejscu nie było. Kula rąbnęła w stół z potworną siłą, strącając na podłogę półmiski oraz kielichy. A wtedy Grimalkin znów ruszyła do bitewnego tańca, celując wprost w szczelinę hełmu kryjącą niewidoczne lewe oko przeciwnika. Klinga trafiła w cel. Salę nappełnił przeraźliwy okrzyk bólu.

W mgnieniu oka zapadła ciemność, owiało nas lodowate powietrze. Działy tu potężne, mroczne moce. Zakręciło mi się w głowie, sięgnąłem do stołu, by się przytrzymać. Echo wrzasku ucichło. W wielkiej sali zapadła cisza. Potem, w ciemności, ujrzałem dwoje błyszczących oczu, zbliżających się ku nam od strony dziury w podłodze.

I znów zajaśniało światło, a my siedzieliśmy przy stole – choć nie pamiętałem, byśmy zajmowali miejsca. Zaścielające podłogę półmiski i kielichy wróciły na blat. Grimalkin także była tam, gdzie przedtem.

Mroczny wojownik znów stał naprzeciw nas, trzymając w dłoniach długi miecz i kryształowy kielich. Czy to ten sam człowiek? Czy mroczne czary przywróciły go do życia? Zupełnie jakby pojedynek z Grimalkin w ogóle się nie wydarzył.

– Mojej pani potrzeba strawy. Musi napić się ciepłej krwi z ciała chłopaka! – oznajmił, ponownie wskazując mnie mieczem. – Napełnij czarę!

Gdy groźny rycerz uniósł kryształowy kielich, serce zatrzepotało mi w piersi ze strachu.

– Zwyciężyliśmy, dziecko – wyszeptała mi do ucha Grimalkin tryumfalnym tonem. – Nie żąda już twojego życia – tylko tego, byśmy napełnili kielich. A tego właśnie chcemy.

Wojownik w milczeniu postawił kryształowy kielich na czerwonym jedwabnym obrusie. Grimalkin wzniosła go, ze skórzanej pochwy dobyła krótki sztylet. Odwróciła się ku mnie.

– Podwiń rękaw, dziecko. Prawy...

Trzęsącymi się palcami zrobiłem, co kazała.

– Teraz weź kielich i przytrzymaj go pod ręką, tak by nie uronić

ani kropli.

Uniosłem gołą rękę, ustawiłem pod nią wspaniale rzeźbione naczynie. Grimalkin lekko nacięła mi skórę, prawie nie poczułem bólu. Z rany zaczęła kapać krew. Skrzepła, nim czara wypełniła się do połowy.

– Jeszcze jedno nacięcie i gotowe – oznajmiła czarownica.

Ostrze ponownie opadło. Syknąłem, tym razem czując nagły ból. Krew popłynęła mocniej. Ku memu zdumieniu kielich zrobił się nagle ciężki. Napełniał się szybko, lecz gdy tylko krew wypełniła go po brzegi, nagle przestała płynąć. Przekonałem się, że zdążyła zastygnąć, tworząc ciekawą czerwoną linię odcinającą się od bladej skóry.

Wiedźma zabójczym postawiła kielich na stole; wojownik zabrał go i poniósł w stronę studni. Patrzyliśmy, jak schodzi, póki nie zniknął nam z oczu. Potem czekaliśmy w milczeniu, dopóki nie oddalił się dostatecznie. Nie mogliśmy ryzykować, że coś usłyszy i zawróci. Ordyna musiała wypić moją krew, stanowiło to kluczowy element planu mamy. Minuty mijały powoli, w końcu jednak Grimalkin uśmiechnęła się. Wyjęła z rękawa niewielkie lusterko. Szykowała się do dania sygnału.

Nim jednak zdążyła to zrobić, wszystko znów pociemniało. Ponownie uczułem nagły ziąb. Od strony jamy raz jeszcze zbliżyły się jasne, błyszczące oczy. Czyżby sługa Ordyny odgadł nasze zamiary?

Nagle pojąłem, że mimo głębokiej ciszy salę wypełniają ludzie. I cóż to byli za dziwni, przerażający ludzie! Ujrzałem bardzo wysokich mężów o długich szpiczastych nosach oraz brodach, o pociągłych twarzach. Demony, pomyślałem, widzę demony o zapadniętych oczach, odziane w ciemne luźne stroje, zwisające z ich wychudzonych ciał niczym babie lato z wierzbowych gałęzi. U pasów nosili długie, zakrzywione miecze.

Ich widok skojarzył mi się ze starym przysłowiem z Hrabstwa:

*Szpiczasta broda, szpiczasty nos,  
wewnątrz na pewno kryje się mrok!*

Kobiety, które też zauważyłem, były zgrabne, pulchne, apetyczne. Ich skóra połyskiwała niczym świeżo naoliwiona. Tańczyły, wirując rytmicznie w takt odległego niewidzialnego bębna. Mężczyźni czekali z boku bądź czaili się w mroku pod kolumnami, pochłaniając tanecznice głodnymi oczami.

Obejrzałem się w stronę stołu. Spostrzegłem, że cała nasza grupa patrzy na spektakl jakby zaczarowana.

W osobliwych ruchach kobiet kryła się magia. Grimalkin nadal trzymała w dłoni lusterko, lecz najwyraźniej nie mogła z niego skorzystać. Byliśmy bezradni. Dotarliśmy tak blisko celu tylko po to, by w ostatniej chwili ponieść klęskę?

I wtedy zorientowałem się, że część eskorty mamy, w tym Seilenos, zajada łapczywie ze swych talerzy, popijając gorączkowo winem ze złotych kielichów – mimo wcześniejszych ostrzeżeń. Wiedziałem, że greckiemu stracharzowi brak siły woli oraz determinacji Johna Gregory'ego – teraz miało się to stać jego zgubą.

Z powrotem odwróciłem się w stronę kobiet tańczących przed studnią. Odkryłem, że o ile wcześniej tańczyły same, teraz wirują parami, kobieta z kobietą, sunąc wzdłuż wizerunków długich węży przedstawionych na mozaikach. Bębnienie stawało się coraz głośniejsze, coraz szybsze, coraz bardziej gorączkowe. Do pierwszego bębna przyłączały się kolejne. Moje stopy poruszały się do rytmu, sam miałem ogromną ochotę zerwać się z krzesła. Spojrzałem na Alice. Ona też z całych sił przytrzymywała się oparcia, by nie dołączyć do tancerek. Zacząłem oddychać powoli, walcząc z impulsem nakazującym wstanie. Aż w końcu chęć zaczęła słabnąć.

Wówczas odkryłem, że jeden z tancerzy to mężczyzna – i poznałem go. Seilenos. Zaledwie chwilę wcześniej widziałem, jak pożywia się zakazaną strawą; teraz stopił się z szaleńczym płasem. Na moment straciłem go z oczu, potem jednak znów się pojawił, tym razem znacznie bliżej naszego stołu. Ujrzałem, jak jedna z kobiet przyciska usta do szyi Seilenosa, wbijając zęby głęboko w ciało; na pierś ściekała mu krew. W wybałuszonych oczach dostrzegłem grozę, wywracały się szaleńczo w oczodołach. Brzuch mu dygotał, ubranie miał podarte, spod strzępów na plecach wyzierały głębokie rany. Kobieta wysysała z niego krew. Znów obrócił się, zniknął w tłumie otaczającym studnię. Więcej go nie widziałem.

Jakże się cieszyłem, że stracharz dobrze mnie wykształcił! Dzięki jego naukom pościłem przed wejściem do cytadeli. Miłość Seilenosa do jadła i picia kosztowała go życie – a może nawet duszę!

Nagle po swej prawej znów dostrzegłem napiętą twarz Grimalkin. Zmagała się z

potężną czarną magią, zniewalającą nas wszystkich. Powoli uniosła lusterko do ust. Chuchnęła na nie i, całkowicie skupiona, zaczęła pisać palcem wskazującym. Dawała sygnał do rozpoczęcia ataku.

## ROZDZIAŁ 17

### ŻYWIOLAŁKI OGNI

Przez jakiś czas tańczące postaci nadal wirowały szaleńczo w rytm gorączkowych bębnow, w końcu jednak zaczęły zwalniać. Bębnienie osłabło, wreszcie zupełnie ucichło. Demony stały bez ruchu, zastygłe w czasie, tak jak my zaledwie chwilę wcześniej. Niektóre skłoniły głowy. Czułem, że nasłuchują.

Usłyszałem odległy tupot stóp. Zbliżał się z każdą chwilą. A potem drzwi otwały się z trzaskiem. Do sali wpadły gotowe do bitwy, morderczo wykrzywione czarownice z Pendle, wznoszące długie noże. Wyłowilem wśród nich kilka wiedźm z rodu Moudheelów, ale ani śladu Mab i jej dwóch sióstr. Czemu nie brały udziału w ataku?

Grimalkin ponownie przeskoczyła przez stół i dołączyła do reszty. Najwyraźniej demony albo nie posłużyły się swoją magią, albo też nie działała ona na złąknione walki czarownice, które cięły na prawo i lewo, niezwykle skutecznie wymachując ostrzami. Wrogowie stawili opór, dobywali mieczy, lecz po paru chwilach kilkunastu leżało martwych w czerwonych kałużach krwi.

Wszystko działo się tak szybko, że nawet nie zdążyliśmy dołączyć do czarownic. W jednej chwili przed nami, na wyciągnięcie ręki, rozgrywała się gwałtowna bitwa, w następnej demony już wycofywały się schodami w głąb studni. Ale wykonywały bardzo porządny odwrót. Część nadal walczyła, osłaniając tyły i umożliwiając ucieczkę demonicom. Wkrótce w sali pozostały jedynie wiedźmy, gapiące się w głąb studni, w mrok.

Alice mocno ścisnęła mnie za ramię. Podeszliśmy, one jednak

odwracały się już plecami do dziury ziejącej w podłodze.

– Zbyt niebezpiecznie byłoby ruszać za nimi – oznajmiła Grimalkin, patrząc na mnie. – Podejrzewam, że tego właśnie chcą. Stanowczo zbyt łatwo podali tyły, za szybko uciekli. Bez wątpienia chcą nas zwabić w ciemność, a tam schwytać w pułapkę. Pójdziemy drogą, którą doradziła nam twoja matka, dziecko. Proponuję, byś zaczekał tu do przybycia najemników. Już jadą. My ruszamy w głąb cytadeli.

To rzekłszy, poprowadziła obryzgane krwią czarownice tunelem w stronę dziedzińca.

– Lepiej zrobmy, jak radzi, Tom. – Alice nadal trzymała mnie mocno za rękę. – Za parę minut udamy się ich śladem...

Pozostali przy życiu członkowie eskorty mamy przytaknęli. Bez dowódcy sprawiali wrażenie nerwowych. Ciało Seilenosa oraz dwóch innych żołnierzy leżały w kałużach krwi, spoglądając niewidzącymi oczami w wysoki sufit.

– Pójdźmy bliżej wejścia – Alice obejrzała się niespokojnie w stronę schodów. – Teraz, gdy czarownice odeszły, demony mogą wrócić.

Uznałem, że to dobry pomysł, toteż ruszyliśmy do otwartych drzwi.

Nie minęło wiele chwil, gdy usłyszeliśmy galopujące ku nam konie. Patrzyliśmy, jak najemnicy, hucząc, przejeżdżają przez wejście i dalej, tunelem, by rozpocząć atak. Ich przejazd trwał bardzo długo. Wreszcie jednak tętent ostatnich kopyt ucichł w dali. Opuściliśmy salę, ruszając za najemnikami w kierunku wewnętrznego dziedzińca.

Po drodze obejrzałem się przelotnie. Nie dostrzegłem ani śladu mamy, stracharza oraz pozostałych. Powinni już tu dotrzeć...

Zdołaliśmy postąpić zaledwie paręnaście kroków, gdy znów usłyszeliśmy tętent. Stopniowo narastał. Żołnierze zawracali. Tak prędko się wycofywali! Co poszło źle?

Obok nas przemknął wierzchowiec bez jeźdźca, o mało nie tratując Alice. Oczy wybałuszał ze zgrozy, na pysk wystąpiła mu

piana. Po nim zjawily się kolejne konie, niektóre z jeźdźcami, którzy odrzucili broń i gapili się przed siebie niewidzącymi oczami. O tak, bez wątpienia trwał odwrót. Co za klęska. Czemu tak dzielni ludzie uciekają?

Obserwując kolejnych najemników pędzących ku nam, uznałem, że grozi nam całkiem realne niebezpieczeństwo stratowania. Wepchnąłem Alice w zagłębienie ściany tunelu, osłaniając ją własnym ciałem. Konie gnały obok, napełniając tunel ogłuszającym tętentem kopyt. Trwało to i trwało, bez końca, wreszcie jednak znów zapadła cisza. Oderwałem się od ściany.

– Nic ci nie jest, Alice? – spytałem, podnosząc z ziemi laskę oraz torbę.

– Eskorta twojej mamy zniknęła? – spytała.

Rozejrzałem się. Kolejnych trzech nie żyło, zdeptanych na śmierć. Po pozostałych nie dostrzegłem śladu. A gdzie podziewali się mama, stracharz, Arkwright? W tunelu za nami? Czy ich także zmiążdżyły uciekające konie? Strach ścisnął mi gardło.

– Mamo! Mamo! – zawołałem.

Odpowiedziała mi jednak tylko niesamowita cisza.

– Powinniśmy pójść za czarownicami – poradziła Alice. – Może coś zatrzymało twoją mamę i starego Gregory'ego. Możliwe, że nie było ich jeszcze w tunelu, kiedy konie zawróciły.

Przytaknąłem, ruszyliśmy dalej. Nadal obawiałem się o mamę, ale też bałem tego, co może nas czekać. Z jakiegoś powodu tysiąc konnych uciekło, zamiast stawić czoła wrogowi. Może przegnała ich Ordyna we własnej osobie? Może wypila już moją krew i przebudziła się ze snu?

Zbliżaliśmy się do wylotu tunelu. Przed sobą widzieliśmy mgłę. Kiszki zacisnęły mi się od przedziwnego strachu. Fale zimna zalały mnie niczym huragan, próbujący nas odepchnąć.

– Czujesz to, Tom? – spytała Alice.

Przytaknąłem. Dla stracharza w starciu z mrokiem każdy strach jest niebezpieczny. Nawet jego odrobina wzmacnia wrogów światła.

Parliśmy dalej. Próbowałem zablokować strach, rozmyślając o szczęśliwych chwilach z dzieciństwa: kiedy siedziałem na kolanach mamy, a tato opowiadał mi o swych morskich podróżach. Zmuszaliśmy się do dalszego marszu, aż w końcu ujrzelśmy wyłaniający się z mgły wysoki, wewnętrzny mur Ordy. Wielkie kamienie wciąż parowały.

Dotarliśmy na duży brukowany dziedziniec. Bruk zaścielały martwe konie; żołnierze także. Oczy mieli szeroko otwarte, twarze wykrzywione grozą.

– Co ich zabiło, Alice? – zawołałem. – Na ciałach nie ma żadnych śladów. Ani jednej rany.

– Umarli ze strachu, Tom. Strach zmroził im umysły, zatrzymał serca... Ale spójrz! Otwarta brama.

Przed nami widniała drewniana brama osadzona w murze. Stała otworem. Lecz wewnątrz czaiła się ciemność. Gdy tak na nią patrzyłem, ogarnęła mnie rozpacz, nie potrafiłem bowiem odnaleźć w sobie dość woli, by postąpić choćby krok naprzód. Wszystko na próżno. Żołnierze uciekli bądź zginęli. Teraz nie mieliśmy już szans, by wtargnąć do cytadeli i zniszczyć Ordynę, nim znów odzyska pełnię sił.

Staliśmy, wpatrzeni w otwartą bramę. Co mogliśmy zrobić sami z Alice? Ile zostało czasu do przebudzenia się Ordyny?

– Za mało mam sił, by tam wejść – zwróciłem się do Alice, wiedząc, że niemoc wywołuje potężna mroczna magia, która wcześniej zaatakowała najemników. – Nie jestem dość odważny... brakuje mi siły woli.

W odpowiedzi Alice jedynie pokiwała głową ze znużeniem.

Choć żadne z nas nie wypowiedziało głośno swoich myśli, uznaliśmy za pewnik, że czarownice z Pendle już dawno nas wyprzedziły. A jednak nadal nie ruszaliśmy. Zastanawiałem się, co mogło się stać z mamą oraz z pozostałymi. Zupełnie straciłem serce oraz odwagę.

Nie wiem, jak długo staliśmy w tym miejscu, nagle jednak usłyszałem za plecami kroki. Odwróciwszy się, ujrzałem wysoką

zakapturzoną postać z laską oraz torbą w dłoniach. Ku memu zdumieniu przekonałem się, że to stracharz. Tuż za nim podążał Bill Arkwright. Minę miał tęgą, jakby liczył, że nadarzy mu się okazja do rozwalenia paru łbów. Nie dostrzegłem natomiast jego psów.

Arkwright skinął ku nam, natomiast stracharz przeszedł obok, nie zaszczyciwszy nas choćby spojrzeniem. Potem, kiedy dotarł do bramy, odwrócił się. Łypnął na mnie, jego oczy lśniły gniewem.

– No dalej, chłopcze, nie zwlekaj! – warknął. – Mamy zadanie do wykonania. A jeśli my tego nie zrobimy, to kto?

Zmusiłem się, by postawić jeden krok, potem drugi. Z każdym robiło się nieco łatwiej, okowy strachu oplatające mi umysł wkrótce opadły. Uświadomiłem sobie, że choć żołnierze uciekli bądź zginęli, nasz fach – a także fakt, że stracharze to siódmi synowie siódmych synów – daje dość sił, byśmy oparli się czarowi. Lecz przede wszystkim to stracharz, jego determinacja sprawiły, że zdołałem pokonać strach.

Co do Alice, mogły jej pomóc nauki czarownicy – a choć mój mistrz nie prosił, by do niego dołączyła, oboje przeszliśmy przez bramę.

– Widzieliście mamę? – spytałem stracharzy.

Obaj pokręcili głowami.

– Rozdzieliliśmy się, gdy konie wypadły z tunelu w naszą stronę. Nie martw się, chłopcze – rzekł mój mistrz – twoja mama potrafi sobie radzić. Bez wątpienia zjawi się później.

Jego słowa, choć uprzejme, nie poprawiły mi humoru.

– A gdzie Szpon i jej szczeniaki? – zapytałem Billa. – Bezpieczne?

– Chwilowo owszem – odparł. – Nie było sensu sprowadzać ich tutaj. Wyszkoliłem je do rozprawiania się z wodnymi wiedźmami i im podobnymi. Jaką szansę miałyby w walce z żywiołakami ognia?

Teraz usłyszałem odległy ryk spadającej wody i znacznie bliższe echa kropel uderzających o kamień. Towarzyszył im syk pary. Na Orde spadła prawdziwa ulewa, większość wody przeniknęła do



środku. Wyciągnąłem rękę, dotknąłem ściany. Kamienie wciąż były bardzo ciepłe.

Stracharz otworzył torbę, wyciągnął niewielką latarnię, którą zapalił, następnie uniósł przed sobą. Rozejrzeliśmy się. Z miejsca odkryłem, że mamy do wyboru więcej niż jedną drogę. Przed nami ciągnął się, spowity w pasma mgły, wąski tunel, wznoszący się ku górze. Po stronie prawej kolejny, zupełnie poziomy. Stracharz zawahał się. Przez chwilę nasłuchiwał. Wydało mi się, że słyszę daleki słaby krzyk, ale tylko jeden. Po paru chwilach mistrz zwrócił się do mnie:

– Myślę, że powinniśmy pójść w górę. Spodziewam się, że znajdziemy Ordynę w jednej z wież. A ty jak myślisz? – spojrzał na Arkwrighta.

Drugi stracharz skinął lekko głową. Wtedy mój mistrz ruszył naprzód, maszerując zdecydowanym krokiem. Podążyliśmy za nim, Alice dreptała koło mnie. Szliśmy zaledwie parę minut, gdy tunel się skończył. Przed sobą widzieliśmy lity kamień. Lecz po lewej dostrzegłem otwór. Stracharz bez wahania przeszedł przez ten otwór, uniósł lampę. Ruszyliśmy w jego ślady. Znaleźliśmy się w dużym pomieszczeniu pełnym kamiennych płyt, zajętych przez, jak z początku sądziłem, leżących na wznak śpiących. W odróżnieniu od tuneli, w tej komnacie nie panowała nieprzenikniona ciemność: wypełniało ją słabe żółte światło, pozbawione źródła.

Spoczywające tutaj postacie przypominały ludzi, lecz o ciałach wydłużonych, twarzach pociągłych, o szpiczastych brodach oraz nosach i głęboko osadzonych oczach. Trafiliśmy na demony, te same, które w sali przyglądały się tancerkom. Teraz jednak, gdy światło latarni oświetliło najbliższe sylwetki, przekonałem się, że demony nie śpią. One były martwe.

Miały poderżnięte gardła. Walały się w kałużach własnej krwi, która ściekła na kamienną posadzkę.

Kiedy powoli ruszyliśmy naprzód, manewrując między kamieniami, ujrzeliśmy krwawe ślady. Niektóre zostały szpiczaste trzewiki, były tam też jednak odciski bosych stóp – stóp

czarownic z klanu Moudheelów.

– Wiedzmy z Pendle nie są moimi wymarzonymi sojuszniczkami, ale przynajmniej nie mamy się czego obawiać w tej komnacie – zauważył stracharz.

– Ord jest wielka – odparłem. – Musi być w niej mnóstwo podobnych komnat. Pomyślcie tylko, jak wiele innych stworów w nich czeka...

– Lepiej o tym nie myśleć, chłopcze. Musimy iść dalej. Jeśli zagrozi nam niebezpieczeństwo, czarownice natrafią na nie pierwsze. Zostaniemy ostrzeżeni.

Stracharz z Arkwrightem wyprowadzili nas z komnaty, lecz w chwili, gdy ja miałem ją opuścić, usłyszałem za plecami krzyk. Odwróciwszy się, ujrzałem Alice. Zamarła w miejscu, z twarzą wykrzywioną grozą. Jeden z demonów usiadł nagle na swym kamiennym katafalku, chwycił dziewczynę mocno za rękę i spoglądał na nią groźnie.

Krwawił co prawda z rany na szyi, najwyraźniej jednak rana okazała się nie dość głęboka. Ocknąwszy się, ujrzał intruzów. Oczy ранnego demona lśniły wściekle. Sięgał do pasa po zakrzywiony miecz. Zamierzał przeszyć nim Alice!

Podbiegłem, pchnąłem go mocno w pierś końcem laski. Uderzenie drewna jarzębinowego wyrwało z demona jęk. Otworzył usta, z których trysnęły ślina i krew. Dobył wszelako miecza, toteż pchnąłem ponownie. Broń wyleciała mu z ręki, puścił Alice, odturlał się ode mnie po kamiennym łożu, lądując na nogach i kucając nisko. Powoli obrócił się ku mnie, jego oczy wyglądały zza kamiennej płyty.

Nim zdążyłem zareagować, wystrzelił w górę. Żaden człowiek nie potrafiłby skoczyć tak wysoko i szybko. Przefrunął nad katafalkiem, runął na mnie, wytrącając mi kij. Poleciałem do tyłu, przekręciłem się i odturlałem. Wiedziałem, że demon znów szykuje się do ataku. Pojąłem, że mam tylko jedną szansę. Wyciąganie srebrnego łańcucha ukrytego w kieszeni portek trwałoby zbyt długo, musiałem sięgnąć przez ramię i dobyć noża od Grimalkin.

Gdy jednak myśl ta pojawiła mi się w głowie, zrozumiałem, że jest za późno. Demon rzucił się na mnie.

Dwie rzeczy zdarzyły się jednocześnie. Rozległ się szczęk i coś przemknęło mi nad głową, wbijając się napastnikowi w gardło. Demon runął na kolana, dławiąc się, a potem upadł na bok. Raz jeden sapnął przeciągle, później znieruchomiał.

Obok mnie zjawiała się Alice, w ręce ścisnęła moją łaskę. Szczęk, który usłyszałem, wydało zwalniane ostrze. Obecnie pokrywała je krew. W międzyczasie stracharz z Arkwrightem wrócili biegiem do komnaty. Spojrzeli na martwego demona, a potem na moją towarzyszkę.

– Wygląda na to, że Alice właśnie ocaliła ci życie, mości Wardzie – zauważył Arkwright, gdy chwiejnie podniosłem się z ziemi.

Stracharz milczał. Jak zwykle szczędził Alice jakichkolwiek pochwał. W tym momencie z odległego kąta dobiegł przeciągły jęk – to kolejny sługa Ordyny zaczynał się budzić.

– Wiedźmy okazały się nie tak dokładne, jak sądziliśmy – zauważył John Gregory. – Ruszajmy dalej. Nie ma sensu zostawać tu dłużej, niż musimy. Brak nam czasu. Zresztą kto wie, na co się jeszcze natkniemy?

Za drzwiami zaczynał się kolejny korytarz, ponownie wiodący w górę. Rozpoczęliśmy wspinaczkę, stracharz szedł przodem. Nagle uniósł rękę. Zatrzymał się, wskazał ścianę po naszej lewej. Na wysokości głowy w powietrzu pływała niewielka lśniąca kula, bańka przejrzystego ognia. Miała rozmiar mojej pięści. Z początku sądziłem, że jest przyczepiona do ściany. Na moich oczach przepłynęła jednak przez korytarz, znikając w kamieniu.

– Co to było? – spytałem. – Żywiołek ognia?

– Owszem, chłopcze, tak właśnie przypuszczam. Całe życie spędziłem w mokrym Hrabstwie, więc nigdy żadnego nie widziałem. Z tego, co czytałem, wnoszę, iż stwory te mogą być bardzo niebezpieczne. Choć z powodu wody, która spadła na Orde – i dostała się do środka – minie trochę czasu, nim w pełni się

przebudzą. Kolejny powód, dla którego winniśmy działać jak najszybciej. Gdzie Seilenos, on świetnie zna się na podobnych rzeczach...

– Nie żyje – wyjaśniłem, ze smutkiem kręcąc głową. – Mimo ostrzeżeń mamy zjadł strawę i wypił wino przy stole. Zagryzła go jedna z demonic.

– Łakomstwo zabiło biedaka – stwierdził poważnie stracharz. – Metody stosowane w Hrabstwie sprawdzają się w starciach z mrokiem najlepiej. Wielka szkoda. Bardzo przydałaby nam się jego wiedza.

Korytarz unosił się dalej jeszcze bardziej stromo. W pewnej chwili ponownie natknęliśmy się na kamienny mur przegradzający drogę, z przejściem po lewej.

W następnej komnacie ujrzelśmy kolejne kamienne łoża z demonami. Te tutaj zabito w ten sam sposób co poprzednie, komnata spływała krwią. Kiedy jednak zaczęliśmy przeciskać się między trupami, Alice sapnęła ze zgrozy.

Tym razem wiedźmom nie poszło tak łatwo. Jedna z nich także zginęła. Niewiele z niej zostało, jedynie nogi poniżej kolan oraz szpiczaste trzewiki. Reszta jej ciała zamieniła się w czarny, wciąż dymiący popiół. W powietrzu wisiał smród palonego mięsa.

– Kto to zrobił? – spytałem. – Ta lśniąca kula, którą napotkaliśmy?

– Albo coś do niej podobnego, chłopcze. Z pewnością to dzieło jakiegoś żywiołaka ognia. Miejmy nadzieję, że już stąd odszedł. Ord budzi się do życia szybciej, niż sądziliśmy. – Nagle oczy stracharza rozszerzyły się gwałtownie.

W powietrzu, pięć kroków przed nami, pojawiła się ognista kula. Wyglądała znacznie groźniej niż przejrzysta bańka, którą napotkaliśmy wcześniej. Ta była matowa, rozmiarami dorównywała ludzkiej głowie. Otoczona płomieniami, pulsowała rytmicznie, na zmianę kurcząc się i rozszerzając. Poszybowała ku nam, rosnąc błyskawicznie.

Stracharz uderzył w nią laską. Cofnęła się odrobinę, po czym

znów zaczęła się zbliżać. Ponownie dźgnął, chybiając o mały cal. Kula z niewiarygodną prędkością pomknęła naprzód nad naszymi głowami. W deszczu pomarańczowych iskier roztrzaskała się o mur.

Maszerując szybko, stracharz wyprowadził nas z komnaty. Obejrzawszy się za siebie, odkryłem, że ognista kula uformowała się na nowo tuż pod ścianą i znów zaczyna ku nam płynąć. Za drzwiami kamienne stopnie wiodły stromo w górę, wdrapywaliśmy się po nich, ile sił w nogach. Znów obejrzałem się niespokojnie, lecz żywiołak najwyraźniej nas nie ścigał. Zastanawiałem się, czy w jakiś sposób jest uwięziony w komnacie. Może miał za zadanie jej strzec?

Schody skręcały, tworząc spiralę. Czyżbyśmy znaleźli się już wewnątrz jednej z iglic? W żaden sposób nie mogłem tego stwierdzić, bo w ścianach nie było okien. Ogarniał mnie coraz większy niepokój. Nawet jeśli uda nam się zniszczyć samą Ordynę, po drodze roilo się od żywiołaków, zresztą kto wie, jakich jeszcze innych stworzeń. Będziemy musieli wrócić tymi samymi schodami, a do tej pory wszystko, co czai się wśród cieni, zapewne zdąży się ocknąć i odzyska siły. – Jak więc zdołamy uciec?

W chwilę później natrafiliśmy na kolejne niebezpieczeństwo. Przed nami na schodach leżała martwa wiedźma z klanu Moudheelów. Rozpoznałem ją po bosych stopach i obszarpanej sukience. W miejscu głowy oraz ramion zwijał się lśniący pomarańczowy żywiołak ognia w kształcie rozgwiazdy. Powoli pełził w dół, pochłaniając resztę ciała. Był to jeden z asterich, przed którymi ostrzegał mnie stracharz.

– Wygląda na to, że spadł jej na głowę, gdy przechodziła dołem – zauważył mistrz. – Nielekka to śmierć.

Przyciskając ciała do kamiennych ścian, szliśmy dalej, omijając możliwie szerokim łukiem martwą czarownicę i jej przerażającego zabójcę. Potem jednak stracharz wskazał przed siebie. Do sufitu przywarło cztery czy pięć podobnych żywiołaków, pulsujących ogniem.

– Sam nie wiem, czy lepiej poruszać się wolno, czy też biegiem – wymamrotał. – Spróbujmy podejść powoli, trzymajmy się razem. Przygotuj laskę, chłopcze!

Stracharz znów ruszył przodem, za nim Alice, ja oraz Bill Arkwright. Unosiliśmy w gotowości kije. W ustach zaschło mi ze strachu. Wspinaliśmy się powoli, miarowo, przechodząc pod pierwszymi dwoma żywiołakami w kształcie gwiazdy. Może wciąż spały albo osłabiła je ulewa? Oby...

W chwili, gdy już sądziliśmy, że udało nam się uniknąć niebezpieczeństwa, usłyszeliśmy syk. Duży żywiołak śmignął wprost ku głowie stracharza. Mistrz zamachnął się laską, w deszczu iskier ostrze przecięło stwora na pół. Oba kawałki wylądowały na stopniach za nami. Obejrawszy się, odkryłem, że pełzną ku sobie, próbując połączyć się w jedną istotę.

Pospieszaliśmy dalej, cały czas jednak sprawdzaliśmy sufit, wypatrując zagrożenia. W końcu dotarliśmy na podest. Naprzeciw nas otwierało się troje wielkich drzwi. Pojąłem, że trafiliśmy zapewne na wejścia do wież.

– Które wybierzemy? – spytał stracharz, przyglądając się kolejnym kamiennym stopniom.

– Możemy tylko zgadywać – odparł Arkwright, wzruszywszy ramionami. – To wielkie zamczysko – zabraknie nam czasu, by przeszukać je całe. Sprawa nie wygląda zbyt dobrze.

– Alice potrafi wywęszyć niebezpieczeństwo – podsunąłem.

Stracharz zmarszczył brwi na myśl o wykorzystywaniu mocy mroku.

Zacząłem mówić szybko, nim zdążył się sprzeciwić.

– Mama życzyłaby sobie, żebyśmy skorzystali ze wszystkiego, co pozwoli nam przeżyć i zabić Ordynę!

– A ja wyjaśniałem już, że nie podobają mi się pewne metody twojej mamy. Sam wolę ich nie stosować – warknął mój mistrz.

– Proszę pozwolić Alice to zrobić – błagałem cicho. – Proszę...

– Myślę, że nie mamy wyboru. Pozwólmy dziewczynie spróbować – wtrącił Arkwright.

Stracharz zamknął oczy z cierpiętniczą miną, po czym niemal niedostrzegalnie skinął głową.

Alice natychmiast podeszła do środkowych schodów. Po dwakroć głośno pociągnęła nosem.

– Nie potrafię stwierdzić, co jest na górze – przyznała – bo tędy właśnie poszły czarownice. Skaziły powietrze, toteż nie umiem poznać, co kryje się dalej.

– W takim razie rozsądnie będzie pójść tędy – zasugerował stracharz. – Przynajmniej możemy spodziewać się ostrzeżenia, jeśli natkną się na coś groźnego. Zresztą, zapewne one też węszyły. Chyba uznały, że to najbezpieczniejsza droga.

Nim jednak Alice zdążyła odpowiedzieć, ze środkowego tunelu dobiegł nas krzyk. Odwróciwszy się, ujrzeliśmy kogoś biegnącego ku nam schodami. Stracharz uniósł laskę. Ze szczęknięciem wypuścił ukrytą klingę.

W chwilę później na podest wypadła wrzeszcząca wiedźma. Jej włosy płonęły, szpiczaste trzewiki tupwały głośno po marmurowej posadzce. Wątpię, czy w ogóle nas zobaczyła. Nadal krzycząc, pędziła po schodach. Wkrótce zniknęła nam z oczu. Potem zjawiała się druga, bosa Moudheelka, jedna z krewniaczek Mab. Arkwright ucapił ją, chwyciwszy za obszarpany rękaw i zagroził laską. W oczach Moudheelki wyczytałem grozę, twarz miała umazaną sadzą, poza tym jednak wydawała się nietknięta.

– Puść mnie! – krzyknęła.

– Co się stało? – spytał ostro.

– Ogniste demony! Nie miałyśmy szans. One nie żyją. Wszystkie!

Z tymi słowy wyrwała mu się i uciekła po schodach. Jeśli miała rację, czarownice co do jednej wyginęły – nawet Grimalkin. Moc Ordyny nie pozwalała im skutecznie wywęszyć niebezpieczeństwa, nie potrafiły walczyć z żywiołakami ognia.

Alice sprawdziła lewe schody. Pokręciła głową.

– Na górze czai się niebezpieczeństwo! – Stała przy prawych. Tutaj przytaknęła sama sobie. – Wydaje się, że w porządku...

Rozpoczęliśmy zatem ostrożną wspinaczkę. Stracharz ponownie zajął miejsce na czele. Wdrapywaliśmy się i wdrapywaliśmy bez końca. Zmęczone nogi ciążyły mi jak ołów. Z przerażeniem pomyślałem, że cała ta olbrzymia budowla, pełna mrocznych stworów – niektórych nieznanych, nieopisanych nawet w bestiariuszu stracharza, przeszła przez portal z innego świata. A gdyby Ord nagle wróciła tam, skąd przybyła, zabierając nas ze sobą? Przerażająca wizja. Wolałem, byśmy zrobili, co trzeba, i uciekli, zamiast wnikać głębiej, zdani na łaskę nieznanych potworów.

W końcu dotarliśmy na szczyt schodów. Ujrzyliśmy przed sobą wielkie okrągłe drzwi z brązu. Wyryto na nich ogromną czaszkę. Nie miały zamka ani klamki, lecz stracharz przyłożył dłoń do rzeźby i pchnął. Drzwi otwały się bezszelestnie. Unosząc wysoko latarnię, wkroczył do małego, ośmiokątnego pomieszczenia. Rozejrzeliśmy się wokół, zdumieni. Nie było w nim innych drzwi. Co to za miejsce? Czemu służyło?

Niemal natychmiast otrzymałem odpowiedź. Pułapka! Nagle ziemia otworzyła mi się pod nogami, usłyszałem, jak Alice krzyczy ze strachu. A potem lampa zgasła, żołądek szarpnął mi się gwałtownie. I runąłem w pustkę.

## **ROZDZIAŁ 18**

### **UMOWA**

Wylądowałem na miękkiej ziemi. Siła upadku pozbawiła mnie tchu, wytrącając z rąk torbę oraz laskę. Wokół panowała kompletna ciemność – nie widziałem nawet własnej dłoni przysuniętej do twarzy.

Uniosłem się na kolana. Pod sobą czułem błoto, a wilgoć zaczynała mi już wsiąkać w spodnie. Usiłowałem zawołać stracharza, wołałem także Alice, nikt nie odpowiadał. Miałem



jednak towarzysza, bo w ciemności, gdzieś obok, wyczułem ruch. Cokolwiek to było, poruszało się na więcej niż dwóch nogach, skradając się ku mnie ostrożnie. Nagle wzdrygnąłem się, czując na kostce, tuż nad cholewą, dotknięcie: delikatne, niemal jak pieszczota. Przez moment żywiłem nadzieję, że może nie trzeba bać się owego stwora. Potem jednak pierwszy delikatny kontakt zmienił się w stalowy uchwyt. Poczulem ostre zęby, rozdierające ciało. Czekałem, aż tajemniczy drapieźca przeniknie do kości, może nawet oderwie mi stopę. Zamiast tego zaczął ciągnąć mnie za sobą. Nie śmiałem stawić oporu. Bezradny, podskakiwałem na nierównej ziemi. W pewnej chwili pojąłem, że rodzaj gruntu się zmienia, miękkość ustępowała czemuś twardemu, zinnemu. Słyszałem tupot odnóży stwora. Nagle zatrzymał się, wypuścił mnie i odbiegł.

Gdzieś w pobliżu śmiali się jacyś ludzie. Odnosiłem wrażenie, że to ja jestem obiektem ich rozbawienia, że próbują mnie jakoś sprowokować. Leżałem bez ruchu, nie odzywając się ani słowem. Gdy upadałem, straciłem torbę oraz kij. Jeżeli nie liczyć srebrnego łańcucha w kieszeni, byłem bezbronny. Nagle grunt pode mną zaczął kołysać się niepokojąco. Usłyszałem szcęk łańcuchów. Odruchowo usiadłem, rozłożyłem ręce na boki, by się podeprzeć. Szyderczy śmiech niknął w dole – albo jego źródło gdzieś spadało, albo też ja się podnosiłem. Dźwięki stawały się coraz słabsze, potem zupełnie ucichły. Odnotowałem lekki ruch powietrza na twarzy. Istotnie, wznosiłem się w ciemności!

Czując się jak maleńka myszka w kocim koszyku, zamarłem, oddychając bezszelestnie. Nawet najlżejszy ruch mógł sprowokować niewidzialnego napastnika. W ciemności potrafiło kryć się wszystko, więc zdecydowanie wolałem nie zwracać na siebie uwagi. Wreszcie jednak zacząłem dostrzegać otaczające mnie kształty. Robiło się jaśniej. Dotąd obawiałem się mroku, lecz dopiero teraz światło odsłoniło w pełni beznadziejną pułapkę, w jakiej się znalazłem.

Powierzchnia pode mną okazała się metalem, pokrytym plamami rdzy i zadrapaniami. W świetle przekonałem się, że

siedzę w głębokiej, okrągłej metalowej misie, zwieszanej ze sklepienia iglicy wysoko nade mną. Do zewnętrznej krawędzi przymocowano trzy zardzewiałe łańcuchy: mimo rozmiarów, bardzo przypominało to naczynie, którym stracharze zanęcają boginy, kiedy próbują schwytać je do dołu. Czy stałem się przynętą dla jakiegoś stworzenia – wielkiego drapieźnika? Ta myśl mnie przeraziła.

W pobliżu dostrzegłem inne łańcuchy, one także się poruszały. Usłyszałem dobiegający z góry niski łoskot. Jak wysoko nad ziemią wisiałem? Gdy podszedłem, by wyrzeć poza krawędź, misa zaczęła kołysać się niepokojąco. W dole otwierała się przepaść. Wszędzie wokół widziałem inne misy wznoszące się w górę. Tkwiłem w pułapce. Nie mogłem stąd zejść.

Ściany zbliżały się do mnie w miarę, jak wieża zwężała się coraz bardziej. Teraz widziałem już fakturę kamieni. I coś jeszcze: ścian uczepiło się mnóstwo stworzeń – tak wiele, że przypominały kolonię owadów, rojące się serce ula. Ale co to za stwory? Im wyżej się wznosiłem, tym bardziej napierały na mnie zakrzywione ściany. I nagle zrozumiałem dokładnie, co oglądam. Serce ścisnęło mi się ze strachu. Patrzyłem na wielkie stado skrzydlatych lamii, wengir.

Roily się setkami. Każda miała cztery kończyny, tylne – grubsze, zbrojne w złowieszcze szpony, i przednie – przypominające ludzkie ręce o delikatnych dłoniach. Grzbiety, niczym płaszcze, przykrywały pary czarnych owadzich skrzydeł, pod którymi kryła się druga, wewnętrzna, jaśniejsza para. Po ulewie trzepotały skrzydłami, by je wysuszyć. Gdzieś na zewnątrz, na równinie, wkrótce miała zapaść noc, więc kiedy skrzydła wyschną, wengiry będą mogły opuścić Ord i oddalić się poza ochronną chmurę, by zaatakować Kalambakę oraz mnichów z Meteorów.

Dostrzegłem, że lamie przyglądają mi się zmrużonymi oczami osadzonymi w wychudzonych twarzach: wyraźnie łaknęły posiłku. Łoskot dobiegający z góry stawał się coraz silniejszy, powoli zmieniał się w zgrzyt i brzęk, od których bolały uszy. Uniosłem

głowę. Nad sobą ujrzałem wielkie wrzeciono, obracające się powoli i podciągające łańcuchy, a wraz z nimi metalowe misy.

Obrzuciłem spojrzeniem pozostałe naczynia. Przekonałem się, że w niektórych leżą ludzie – z powodu odległości nie potrafiłem stwierdzić: żywi czy martwi. Nikt się nie poruszał. I nagle zrozumiałem...

Stanowiliśmy pokarm dla lamii! Żarcie, które miało dać im siłę do lotu! Groza sytuacji sprawiła, że zacząłem cały dygotać. Rozszarpią mnie na strzępy! Powoli, oddychając głęboko, stłumiłem strach. Musiałem myśleć także o innych. Czy stracharz, Arkwright oraz Alice znaleźli się w tej samej sytuacji? Czy ich także podciągano ku zgłodniałym stadom potworów?

Nagle misą coś szarpnęło, zgrzyt i łoskot ucichły. Spojrzałem w dół. Uświadomiłem sobie, że wiszę dokładnie pośrodku wieży. Moja misa znajdowała się najwyżej ze wszystkich trzydziestu.

A potem poczułem, że znów się podnosi. Zerknąłem na pozostałe, umieszczone niżej. Nie poruszały się, zostawiałem je z tyłu. W chwilę później minąłem wielki, nieruchomy metalowy cylinder, okręcony zardzewiałymi łańcuchami. Był to jeden z mechanizmów, za pomocą których podnoszono pozostałe misy. Moja natomiast musiała korzystać z innego systemu. Teraz nad sobą zobaczyłem coś przypominającego kipiącą czarną chmurę, podobną do tej, która wisiała nad Ordą. Kiedy zbliżyłem się, wstrząsnął mną dreszcz. Widok napełniał mnie przerażeniem. W chwilę później znalazłem się wewnątrz chmury, nie widziałem nawet własnych dłoni. Misa zatrzymała się. Przez kilka długich chwil wisiałem tak w nieprzeniknionej ciemności.

A potem czarna chmura zaczęła się cofać, przerzedzać. Wreszcie rozpoznawałem otoczenie. Nadal siedziałem w rdzewiejącym metalowym naczyniu. Poda mną otwierała się gardziel otchłani, z której się wyłoniłem. Wciągnięto mnie do niewielkiego pomieszczenia z czarnego marmuru, jakby pudełka, pozbawionego drzwi i okien. Stały w nim tylko dwa meble: duże okrągłe lustro na ścianie po lewej – i tron.

Znów zacząłem dygotać, bo widziałem go już wcześniej. Siedział na nim Zły, kiedy wiosną rozmawiał ze mną na czarnej barce. Tron był misternie rzeźbiony, jego lewe oparcie przedstawiało groźnego smoka o gniewnie uniesionych szponach, prawą podpórkę tworzył wąż o rozdwojonym języku; długie gadzie cielsko opadało wzdłuż tronu, oplatając jedną ze szponiastych nóg.

Wyszedłem z misy na marmurową posadzkę, patrząc wprost przed siebie, gdyż obawiałem się zerknięcia w przepaść. Po plecach przebiegł mi nagły dreszcz: ostrzeżenie, że w pobliżu znajduje się niebezpieczny sługa mroku. Wiedziałem, co się dzieje, bo zdarzyło mi się to już wcześniej. Nie mogłem się ruszyć. Nawet nie oddychałem, ale też nie odczuwałem najmniejszej potrzeby oddychania. Czas się zatrzymał. Tak dla mnie, jak i dla najbliższego otoczenia. To mogło oznaczać tylko jedno. Zły...

I nagle zjawił się na owym ozdobnym tronie, ponownie pod postacią Matthew Gilberta.

– Teraz ci coś pokażę, Tom – oznajmił przepełnionym złościwością głosem. – Przyszłość. To, co się wydarzy za kilka godzin. Tylko ty zdołałbyś temu zapobiec. Spójrz w lustro!

Poczułem, jak serce podchodzi mi do gardła. Znów oddychałem, lecz wokół mnie wszystko trwało w bezruchu. Choć ja sam mogłem się poruszać, czas stał w miejscu. Nie mogąc się powstrzymać, uczyniłem, co mi rozkazał Zły. Spojrzałem w stronę lustra. Wszystko pociemniało, przez moment czułem, że spadam, potem jednak patrzyłem z góry na metalowe misy, widziałem je wszystkie, jakby wzrok polepszył mi się nagle, wyostrzył.

Część mis wypełniała krew, w innych tkwili ludzie. Ciało oraz krew – pożywienie dla lamii. W jednej z mis dostrzegłem stracharza; nie miał laski, wyglądał staro i krucho, patrząc w górę przerażonymi, zrozpaczonymi oczami. W innej przycupnęła Alice. Zaciskała dłonie na krawędzi tak, że zbieleły jej kostki. Nie dostrzegłem tam jednak mamy. Z niewiadomych przyczyn to właśnie pozwoliło mi zachować nadzieję.

Ledwo promyk nadziei zaświtał mi w głowie, już usłyszałem

trzepot wielu skrzydeł. Ku misom pomknęło stado wengir, wyciągając szpony. Żarłoczna masa ciemnych łopoczących skrzydeł przesłoniła widok. Usłyszałem jednak krzyk Alice.

Byłem bezradny, nie umiałem jej pomóc. Nic nie mogłem zrobić, nawet zatkać uszu, by zagłuszyć straszliwe wrzaski i odgłosy szarpanych ciał.

Teraz widok zmienił się. Znalazłem się na zewnątrz Ordy, śledziłem wzrokiem, jak słudzy Ordyny wyjeżdżają przez bramy. Mrowiło się ich tysiące, wymachiwali szablami oraz włóczniami, pociągłe twarze krzywiły się w okrutnych grymasach. Sami mężczyźni, po kobietach nie został nawet ślad. Czas jakby przyspieszył: zobaczyłem, jak docierają do Kalambaki, prześcigając wojowników, którzy uciekli z Ordy. Wybili ich bezlitośnie bądź schwytali, by wyssać ze zbiegów krew, a potem odrzucić martwe ciała. Z tyłu podążał tłum menad, pożerających wszystkich: umierających i martwych.

W mieście atakowali każdego, kto nie chciał bądź nie potrafił uciec. Identyczny los spotykał bezbronnych mężów, a także kobiety. Demony wrywały z objęć matek dzieci, nawet niemowlęta, wysysały z nich krew, po czym roztrzaskiwały ciała o zakrwawione mury. I znów menady rzucały się na trupy, pożerając je łapczywie. Potem ujrzałem wengiry. Mknęły ku klasztorom na Meteorach; wyniosłe położenie nie chroniło już świątyń przed wściekłym szturmem z powietrza. Zobaczyłem ciała padające niczym połamane lalki, posadzka kathedriconu spłynęła krwią. Nigdy już hymny nie wzniosą się niczym aniołowie ku kopulastemu sklepieniu. Nigdy więcej modły mnichów nie wzmocnią światła. Odtąd Ordyna zdoła pojawiać się wszędzie. Teraz zagrażała także Hrabstwu.

– Oglądasz przyszłość, Tom! – krzyknął Zły. – Wydarzenia, które ci pokazałem, rozpoczną się za kilka chwil, wraz ze śmiercią twojego mistrza, Alice i Arkwrighta. Chyba że podejmiesz kroki, by im zapobiec. Ja umiem ci pomóc. Chcę tylko czegoś w zamian, to wszystko. Chcę jedynie, byś oddał mi duszę. Dam ci za to szansę

zniszczenia nieprzyjaciółki matki.

Wizja zniknęła, teraz wpatrywałem się we własne odbicie. Odwróciłem się z powrotem do Złego.

– Moją duszę? – spytałem ze zdumieniem. – Należałaby do ciebie?

– Tak, należałaby do mnie. Mógłbym z nią robić, co bym zechciał.

Miałbym oddać mu duszę? Co to znaczy? Jakie zrodziłoby to skutki? Byłbym martwy, uwięziony na zawsze w piekle? W sercu mroku?

Twarz patrząca na mnie znad tronu już się nie uśmiechała. Oczy spoglądały surowo, okrutnie.

– Za trzy dni, jeśli przeżyjesz, zjawię się po twoją duszę. Zyskasz dość czasu, by wypełnić życzenia matki i dotrzeć w bezpieczne miejsce. Nie zabiję cię. Nie, warunki kontraktu są następujące: kiedy przybędę po ciebie zgodnie z umową, oddech opuści twe ciało. Umrzesz, a twoja dusza trafi w moje ręce. Pozostanie w nich, podległa mojej woli. Pęta, które mnie krępują, stracą znaczenie. Ja cię nie zabiję, toteż moje rządy nie ograniczą się do marnych stu lat. Zgodzisz się oddać życie, więc sam zostaniesz zabrany z tego świata. A ja będę mógł działać swobodnie, zapanuję nad wszystkim. Trzeba mi mnóstwa czasu, ale jestem cierpliwy.

Pokręciłem głową.

– Nie. Proponujesz szaleństwo. Zbyt wiele żądasz. Nie mogę się zgodzić.

– Czemu nie, Tom? To oczywiste rozwiązanie. Wystarczy, że się poświęcisz, oddasz mi duszę, a osiągniesz tak wiele: otrzymasz szansę zapobieżenia wszystkim okropnościom, jakie ci zademonstrowałem. A także niebezpieczeństwu grożącemu Hrabstwu. Decyzja należy do ciebie, Tom, sam widziałeś, co się wydarzy. Tylko ty możesz to powstrzymać!

Jedynie zgadzając się, mogłem zapobiec śmierci Alice, Arkwrighta oraz stracharza, a także tysięcy innych ludzi,

tryumfowi Ordyny, jej przybyciu do Hrabstwa za siedem lat, kiedy zemści się już na mamie i na jej ojczyźnie. By to osiągnąć, musiałem jednak zatracić własną duszę. Straszna myśl. Zresztą czy ofiara będzie tego warta? Co miał na myśli Zły, mówiąc „szansę”?

– Jaką „szansę” dostanę w zamian za moją duszę? – spytałem. – Co zrobisz, by mi pomóc?

– Dwie rzeczy. Po pierwsze, opóźnię przebudzenie Ordyny. Mogę ci dać najwyżej godzinę. Oczywiście, część jej sług zbudzi się znacznie wcześniej. Niektórzy już we śnie wiercą się niecierpliwie. Tych musisz unikać lub rozprawić się z nimi najlepiej, jak umiesz. Lecz po drugie i najważniejsze, powiem ci, gdzie ją znaleźć.

Kilka razy w przeszłości słudzy mroku proponowali mi podobny układ. Golgoth, jeden ze Starych Bogów, spętany pentagramem ofiarowywał mi życie oraz duszę w zamian za uwolnienie. Odmówiłem. Ja się nie liczyłem, służyłem wyłącznie Hrabstwu. W Pendle czarownica Wurmalde również żądała czegoś ode mnie – kluczy do skrzyń mamy. Miała nadzieję znaleźć w nich źródło potężnej mocy, która zasili mrok. Mimo że od mojej zgody zależało życie Jacka, Ellie i ich córeczki, Mary, ponownie odmówiłem.

Lecz teraz oferta dotyczyła innych spraw. W grę nie wchodziło bynajmniej wyłącznie moje życie ani życie mojej rodziny. Owszem, oddałbym duszę Złemu – ucieleśnieniu mroku, ale ocaliłbym przez to Hrabstwo przed najazdem w przyszłości. Bowiem tylko przeciągając mnie na swoją stronę, Zły zyskiwał szansę władania ziemią po kres czasu. W gruncie rzeczy jednak nie dopiąłby swego i tak – zostałby jedynie właścicielem nieśmiertelnej części mojej osoby. Ord była olbrzymią, skomplikowaną budowlą. Znajomość dokładnego miejsca pobytu nieprzyjaciółki mamy stwarzałaby nam prawdziwą szansę powodzenia.

Czułem ogromną pokusę, by się zgodzić. Istnieje inne wyjście? Dzięki zgodzie uzyskałbym czas – coś, czego bardzo potrzebowaliśmy. Podtrzymywała mnie jeszcze jedna nadzieja. Nic nie świadczyło, by mama już zginęła. A jeśli ona wciąż żyje,

wszystko staje się możliwe. Pewnie znajdzie jakiś sposób, by mnie ocalić. Coś, co pozwoli mi zerwać umowę.

– Zgoda – powiedziałem i zadrzałem, uświadomiwszy sobie, co oddaję we władanie Złemu. – Dostaniesz moją duszę w zamian za to, co proponujesz.

– Za trzy dni powrócę, by ją odebrać. Zgadzasz się na układ?  
Przytaknąłem.

– Zgadzam się – odparłem z ciężkim sercem.

– Niech więc się stanie. Oto informacje, których potrzebujesz. Ordyny nie znajdziecie w żadnej z trzech wież. To domostwa jej sług, każdy intruz znajdzie w nich wyłącznie pułapki i śmierć. Za wieżami jednak wznosi się kopuła na dachu głównej budowli. Tam ją zastaniesz. Bardzo ostrożnie przeprawiaj się przez dach, bo kryje się na nim wiele niebezpieczeństw. I pamiętaj, masz tylko godzinę do przebudzenia Ordyny.

Dopełniwszy drugiej części umowy, Zły uśmiechnął się. Polecił mi gestem zająć miejsce w misie. Gdy tak uczyniłem, otaczająca mnie chmura zgęstniała i zaczęła przelewać się wokół mnie. Ostatnim widokiem, jaki do mnie dotarł, była jego tryumfalnie uśmiechnięta twarz. Lecz co innego mogłem zrobić? Pozwolić, by zginęło tak wielu? Zgoda na układ dawała przynajmniej szansę zapobieżenia rzezi. Czymże jest moja dusza w porównaniu z hekatombą?

Zawarłem układ ze Złym Za trzy dni, jeśli mama mi nie pomoże, będę musiał zapłacić straszliwą cenę za szansę na zwycięstwo.

## **ROZDZIAŁ 19**

### **TWOJE PRZEZNACZENIE**

Nagle coś mną szarpnęło i misa zaczęła się opuszczać. Chmura rozplynęła się szybko, ponownie ukazując wewnątrz poskręcanej



iglicy. Lamie nadal przywierały do kamieni, ale się nie poruszały. Kiedy minąłem cylinder, zaczął obracać się powoli, ze zgrzytem i brzękiem zwalniając pozostałe łańcuchy. Wyjrzałem przez krawędź. Przekonałem się, że one także się opuszczają. Na moich oczach zniknęły w ciemności poniżej.

Przypomniałem sobie zalegający tam nieprzenikniony mrok. W tym samym momencie otaczające mnie światło przygasło. Teraz opuszczałem się w całkowitej czerni. W końcu moja misa uderzyła o ziemię z szarpnięciem.

Przez chwilę nie poruszałem się. Czekałem w mroku, nie odważając się oddychać. Słyszałem głucho uderzenia, gdy kolejne misy lądowały na miękkiej ziemi. Przypomniałem sobie stwora, który pod osłoną ciemności wbił mi zęby w nogę i zawlókł tutaj. Co, jeśli wciąż czyhał w okolicy? Zmusiłem się do zachowania spokoju. Niewidoczny stwór spełnił swoją rolę. Dostarczył mnie na miejsce, z którego mogłem zostać zabrany na spotkanie ze Złym. Z pewnością teraz da mi spokój. Ostatecznie zawarliśmy umowę. Dostałem godzinę na odnalezienie Ordyny, nim ta przebudzi się ze snu. Czy jednak mogłem ufać Złemu? Czy dotrzyma warunków układu?

Po mojej prawej coś się poruszyło. Odskokczyłem. W chwilę później rozbłysło światło, ujrzałem znajomą postać unoszącą lampę. Ku mojej uldze był to stracharz. Podszedł do mnie powoli, rozglądając się niespokojnie na boki. Tuż za nim stąpał Arkwright. Kiedy wygramoliłem się z metalowej misy, brodząc w błocie, z ciemności wyłoniła się kolejna postać: Alice.

– Myślałem już, że zbliża się koniec – wyznał stracharz. – Czekałem, aż lamie wysączą ze mnie krew, a w następnej chwili znów znalazłem się tutaj. Zbyt piękne, by mogło być prawdziwe.

Powiódł po nas wzrokiem. Ani pisnąłem, choć czułem, że Alice przygląda mi się uważnie.

– W takim razie przekonajmy się, co jeszcze znajdziemy – rzekł w końcu mistrz. – Z laską w dłoni odzyskam pewność siebie.

Podążyliśmy za nim, trzymając się żółtego kręgu światła

rzucanego przez latarnię. Po paru chwilach znaleźliśmy i jego laskę, i torbę, potem przybory Arkwrighta, wreszcie moje.

– Teraz czuję się znacznie lepiej! – wykrzyknął Arkwright.

– Zupełnie jakby ktoś nam pomagał – dodał stracharz. – Zastanawiam się, czy nie macza w tym palców twoja mama...

– Miło byłoby tak myśleć. Mam nadzieję, że nic jej nie jest – rzekłem, licząc po cichu, że stracharz nie odgadnie, jaką rolę odegrałem.

– Cóż, najwyraźniej dostaliśmy drugą szansę – podjął – wykorzystajmy ją zatem. Nie wiem, ile zostało czasu, nim to miejsce przebudzi się w pełni, toteż pospieszmy się. Pytanie jednak, w którą pójść stronę?

Wiedziałem, gdzie znaleźć Ordynę, ale jak miałem mu powiedzieć, nie ujawniając źródła owej wiedzy?

– Musimy wrócić do potrójnych schodów – ciągnął mój mistrz. – Każde wiodą do innej wieży. Wybrana przez nas wieża okazała się pułapką, w środkowej zaś mieszkają żywiołaki. One zabiły wiedźmy. Pozostaje zatem tylko jedna wieża.

– Instynkt podpowiada mi, że nie znajdziemy jej w wieży – wtrąciłem, starannie dobierając słowa. – Wszystkie kryją pułapki, takie jak ta, która o mało nas nie zabiła. Myślę, że Ordyna spoczywa pod kopułą na dachu głównej budowli – tej, o której wspominała mama. Mama twierdziła, że jeśli Ordyny nie zdybiemy w wieżach, niewykluczone, że znajdziemy ją tam.

Stracharz drapał się po brodzie. Rozważał moje słowa.

– Cóż, chłopcze, powtarzałem po wielokroć, że zawsze powinienes ufać instynktowi. Skoro zatem oboje z matką zgadzacie się co do przeczuć, jestem skłonny posłuchać. Jak się jednak stąd wydostaniemy? – spytał, kręcąc głową i wyżej unosząc latarnię.

Poza kręgiem światła otaczała nas ciemność; nie widzieliśmy nawet ścian. Stracharz jednak ruszył szybkim krokiem, a my podążyliśmy za nim. Przez wąskie okno ujrzeliśmy obraz jak z nocnego koszmaru: zębate blanki, wieżyczki, ciemne kałuże wody. Nie przyglądałem się długo, maszerowaliśmy dalej przez wąskie

drzwi i w dół, schodami, aż w końcu znaleźliśmy się na dachu głównej budowli Ordy, zostawiając za sobą iglice.

Przed nami wznosiło się kilkanaście niewielkich wieżyczek oraz dziwnych budowli. W tle górowała kopuła. Maszerowaliśmy gęsiego, stracharz na przedzie, Alice za mną, Arkwright na końcu. Daleko w górze ciemna chmura wciąż wirowała, twarze omiatała nam lekka mżawka. Stracharz nadal trzymał w ręku latarnię – choć w tym momencie nie potrzebowaliśmy jej, bo kamienie Ordy jarzyły się metalicznym, miedzianym blaskiem.

Na dach spadło mnóstwo deszczówki. Utworzyła w zagłębieniach głębokie kałuże. Wkrótce dach pod nami zaczął lekko opadać, obok biegła rynna pełna nieruchomej wody. Po obu stronach wyrastały kamienne półki, nie pozwalając nam zboczyć z drogi.

Nagle z góry padło na nas bladożółte światło. Uniosłem głowę, ujrzałem sierp księżyca, na moment przed tym, nim znów zniknął za chmurami. Zbliżaliśmy się do wlotu tunelu. Tak w każdym razie nam się wydawało. Kiedy jednak znalazłem się w środku, odkryłem, że sklepienie nie do końca przesłania niebo. Znów pojawił się księżyc, przeświecający przez pręty klatki. Zupełnie jakbyśmy znaleźli się wewnątrz szkieletu olbrzymiego zwierzęcia, spoglądając ku górze poprzez jego zebra. Kamiennych łuków uchwycili się niespokojni zmarli. Niektórzy wczepieni w łuki rękami, inni rękami oraz nogami. Na ziemi wokół widzieliśmy kolejnych.

– Och, nie podoba mi się tutaj! – poskarżyła się Alice, wodząc dokoła okrągłymi ze strachu oczami.

Jako uczeń stracharza stykałem się już z wieloma uwięzionymi duszami, ale ów obraz prezentował się znacznie gorzej. Bez wątpienia, niektóre były istotami ludzkimi – żałośni nieszczęśnicy w łachmanach, wyciągający do nas ręce, błagający o pomoc, bądź bełkoczący bez ładu i składu. Dość okropne przedstawienie. Lecz inni, jedynie po części przypominający ludzi, bardziej przywodzili na myśl stwory z koszmarnych snów. Jeden przybrał postać

nagiego mężczyzny, posiadał wszelako wiele nóg i rąk, niczym olbrzymi rozedrgany pająk, a skórę pokrywały mu wrzody oraz brodawki. U innego głowa wąsatego szczura wyrastała z wydłużonego ciała, które miast nogami, kończyło się ogonem.

– Czym oni są? – spytałem stracharza. – I co tu robią?

Odwrócił się ku mnie, potrząsnął głową.

– Nie mam pewności, chłopcze, lecz podejrzewam, że to głównie uwięzione dusze. Część z owych duchów mogła znaleźć się tu wiele lat temu i połączyć z Ordą, gdy ta przechodziła przez portal. Inni tak bardzo oddalili się od dawnego człowieczeństwa, że prawie nie da się ich rozpoznać. Nazywamy ich nieludzkimi duchami, bo ich dusze uległy degeneracji i nie przypominają tego, czym były kiedyś. Lękam się, że nawet gdybyśmy mieli dość czasu, w żaden sposób nie zdołalibyśmy pomóc tym nieszczęśnikom. Nie wiem, jakie zbrodnie popełnili na ziemi, skoro zostali uwięzieni w tym miejscu, ale są tak daleko od światła, że nie zdołają już go osiągnąć. Uwolnić ich może jedynie zniszczenie Ordy.

Uwięzione dusze? Nagle zrobiło mi się niedobrze na myśl, że za trzy dni i mnie może spotkać to samo.

Stracharz ze smutkiem pokręcił głową. Maszerował dalej. W końcu opuściliśmy ów straszliwy tunel, zostawiając za sobą płacze i bełkoty. Rynna się skończyła, za nią dach opadał bardziej stromo. Przed sobą widzieliśmy kopułę, pod którą kryła się śpiąca Ordyna. Widziałem wąskie wejście u jej podstawy – niewielki czarny owal, budzący grozę. Nie dostrzegliśmy drzwi. Kiedy jednak stracharz spróbował wejść do środka, odskoczył nagle, jakby zderzył się z przeszkodą.

Przez moment rozcierał czoło, następnie cofnął się, dźgnął w stronę otworu podstawą laski. Wyglądało na to, że atakuje powietrze, usłyszeliśmy jednak głuchy łoskot, gdy kij zderzył się z niewidocznymi wrotami.

– Czuję jakąś barierę – oznajmił mój mistrz, obmacując to miejsce dłonią. – Jest gładka, ale bardzo solidna. Pozostaje mi tylko nadzieja, że istnieje inne wejście.

Kiedy jednak spróbowałem dotknąć tego, co pokazał, moja dłoń przesunęła się poza rękę stracharza. Odetchnąłem głęboko i ruszyłem naprzód, z łatwością pokonując opór. Natychmiast odniosłem wrażenie, jakbym niezwykle oddalił się od towarzyszy. Wciąż widziałem ich przez drzwi, przypominali jednak cienie, a metaliczny blask zniknął. Znalazłem się w świecie absolutnej ciemności oraz ciszy. Wokół siebie wyczuwałem rozległą, zamkniętą przestrzeń.

Wróciłem na ich stronę, a tam natychmiast zalała mnie fala dźwięków. Przypomniałem sobie, jak Arkwright uczył mnie pływać. Wrzucił mnie do kanału, sądziłem już, że tonę. Kiedy więc wyciągnął mnie za skórę na karku, wyłoniłem się z milczącego podwodnego świata, wydany na atak orgii dźwięków. Teraz było tak samo: słyszałem niespokojne głosy i okrzyki Alice.

– Och, Tom! Myślałam już, że cię straciliśmy. Zupełnie jakbyś zniknął! – rzuciła, głęboko poruszona.

– Ja was widziałem – odparłem. – Ale byliście jak cienie. I niczego nie słyszałem.

Na te słowa Alice podeszła do niewidzialnej bariery. Spróbowała ją przekroczyć, bez powodzenia. Arkwright także sprawdził przejście – najpierw laską, potem ręką.

– Jak to możliwe, że Tom może przez to przejść, a my nie? – spytał ostro.

Stracharz nie odpowiedział wprost. Przyglądał mi się błyszczącymi oczami.

– To robota twojej mamy, chłopcze – rzekł. – Pamiętasz, co nam mówiła? Że oddając krew, zyskasz dostęp do miejsc, do których zazwyczaj nie mógłbyś dotrzeć? Rozpaczliwie pragnęła, abyś wrócił z nią do Grecji. Może tu, w Ordzie, jest coś, co tylko ty możesz zrobić. Z całą pewnością jedynie ty potrafisz przejść przez barierę.

Stracharz miał rację. Moja krew płynęła teraz w żyłach i arteriach Ordyny. Mogłem dostać się w miejsca zamknięte dla przybyszów z zewnątrz, podobnie mama. Wszystko należało do jej planu.

– Kończy nam się czas. Może powinienem pójść sam? – podsunąłem.

Bąłem się, lecz nie znalazłem innego sposobu. Sądziłem, że stracharz zaprotestuje. On jednak przytaknął.

– Możliwe, że tylko jedno z nas dotrze do Ordyny, nim ta się przebudzi. Ale jeśli ruszysz, chłopcze, znajdziesz się w środku sam – i kto wie, z jakim zetkniesz się niebezpieczeństwem.

– To mi się nie podoba, Tom! – zawołała Alice.

– Myślę, że musimy zaryzykować – ciągnął stracharz. – Jeśli nie znajdziemy i nie zniszczymy Ordyny, żadne z nas nie ujdzie stąd z życiem. Jak tam jest? Co widziałeś?

– Nic, tylko ciemność. Jest bardzo cicho.

– W takim razie lepiej weź latarnię – wręczył mi ją. – Ruszaj zatem, chłopcze, zobacz, co zdołasz osiągnąć. My spróbujemy znaleźć inne wejście.

Przytaknąłem, chwyciłem latarnię, uśmiechnąłem się pocieszająco do Alice, próbując dodać jej otuchy i ponownie przekroczyłem niewidoczną barierę. Naprawdę się bałem, ale wiedziałem, że muszę tak postąpić. Obejrzałem się, spostrzegłem za sobą cienie stracharza, Arkwrighta i Alice, po czym rezolutnie ruszyłem naprzód, wkraczając w milczący świat. Teraz jednak, gdy się w nim znalazłem, przestał już być całkiem cichy. Moje kroki powracały echem z ciemności, słyszałem też własny oddech i bicie serca. Ściskając mocno w lewej dłoni kij oraz torbę, prawą unosiłem wysoko latarnię. Poza kręgiem żółtego światła mogło kryć się wszystko.

Pokonałem około dwustu jardów, nie natrafiając na żadne przeszkody. Wyczuwałem jednak zmianę. Nie słyszałem już echa kroków. A potem ujrzałem przed sobą wielkie drzwi. Schody za nimi wiodły w górę.

Wstrzymałem oddech, zamarłem. Ktoś siedział na najniższym stopniu, patrząc w moją stronę. Młoda dziewczyna, o jasnych włosach opadających na ramiona, w obszarpanej sukience, z bosymi stopami. Wstała, była mojego wzrostu. Uśmiechnęła się do

mnie. Nie wyglądała na starszą od Alice, lecz mimo uśmiechu, w jej twarzy kryła się groźna władczość.

Natknąłem się na Mab Moudheel. Najwyraźniej pogłoski o jej śmierci okazały się przesadzone. Ale jak się tu znalazła? Jak przeszła przez barierę?

## ROZDZIAŁ 20

### PRAWDZIWY OBRAZ RZECZY

– Czemu się tak guzdrałeś? – rzuciła. – Sterczę tu całe wieki.

– Po co tutaj sterczysz? – spytałem ostrożnie.

– Bo dostałeś do wykonania zadanie, a czasu zostało niewiele! Twoja mama czeka – odparła. – Daj, ja poniosę.

To rzekłszy, odebrała mi latarnię. Następnie złapała za rękaw mojego płaszcza, pociągnęła mnie w górę. Przez moment stawiałem opór, potem jednak pozwoliłem poprowadzić się wąskimi, kręconymi schodami. Szliśmy coraz szybciej i szybciej, aż w końcu niemal biegliśmy.

Nagle zacząłem się martwić.

Dlaczego właściwie pozwoliłem jej sobą kierować? Czyżby Mab używała mrocznej magii, by nagiąć mnie do swej woli?

– Gdzie są twoje siostry? I czemu nie jesteś z resztą Moudheelów? – spytałem, przerywając gwałtownie naszą wspinaczkę.

Nie ufałem jej ani trochę. Może Zły mnie zdradził, może nie dotrzymał słowa? Co, jeśli Mab prowadziła mnie prosto w szpony Ordyny, która już się ocknęła?

– Po wejściu do Ordy rozdzieliliśmy się na różne grupy – wyjaśniła Mab. – Beth, Jennet oraz ja podążyliśmy z tyłu. Z tego co mi wiadomo, są całe, zdrowe i bezpieczne. Trzymają się możliwie najdalej od tego paskudnego miejsca. Ale ja zostałam. Ryzykowałam życiem, o tak, żeby to zrobić. Powinieneś być

wdzięczny.

– Co zrobić?

– Znaleźć Ordynę dla twojej mamy. Postrzegłam ją, o tak. Nigdy w życiu nie zrobiłam niczego trudniejszego. A teraz chodź, Tom. Nie ma czasu do stracenia. Musimy się spieszyć, twoja mama czeka na górze – zawołała, próbując znów pociągnąć mnie za sobą.

– Zaczekaj – stawilem opór. – Wiedziałaś, gdzie jest Ordyna? I nie powiedziałaś nam? Marnowaliśmy czas, a potem wpadliśmy w pułapkę. Czemu nas nie ostrzegłaś? Mogliśmy wszyscy zginąć!

I stało się coś jeszcze gorszego, choć jej o tym nie powiedziałem. Oddałem duszę, by dowiedzieć się, gdzie znajdę Ordynę.

– Nie, Tom. To zupełnie nie tak. Mogłam ją postrzec dopiero wewnątrz Ordy. I tylko dzięki krwi jednego z jej sług. Poderżnęłam gardło śpiącemu demonowi. To nie trwało długo. Wówczas dowiedzieliśmy się, że Ordyny nie ma w żadnej z wież. Ze jest tutaj. Twoja mama postanowiła zatem zaryzykować najkrótszą drogę. Wyprowadziła mnie z tunelu i dalej, wzdłuż muru. Wmaszerowałyśmy do środka głównym wejściem, śmiało, odważnie! Wewnątrz kryły się liczne niebezpieczeństwa – paskudne wielkie owady o sześciu nogach, wielkich szczypcach i mnóstwie oczu. Nie zbliżały się jednak do twojej mamy – zachowywały bezpieczną odległość. Potem dotarliśmy do bariery. Twoja mama mogła przejść, ale ja nie. Użyła swojej mocy, by strzaskać blokadę i wpuścić mnie do środka. Wiele ją to kosztowało – pozbawiło części sił. To dowodzi, jak bardzo mnie potrzebuje. „Sprowadź do mnie Toma, jak najszybciej!”, poleciła. Więc chodź. Nie ma czasu do stracenia.

To rzekłszy, znów zaczęła ciągnąć mnie po schodach. Nie opierałem się już. Wkrótce ponownie biegliśmy, ile sił w nogach, pokonując kolejne stopnie. W końcu zatrzymaliśmy się na mrocznym podeście. Przed nami widniały drzwi, za nimi zalegała ciemność.

– Wejdz do środka – poleciła Mab. – Czeka tam twoja mama, chce z tobą pomówić. Mnie kazała zostać na zewnątrz. Życzy sobie



rozmawiać wyłącznie z tobą.

Wcale nie miałem ochoty, ale wyciągnąłem rękę po latarnię. Mab pokręciła głową.

– Na razie nie chce, żebyś ją widział. Nie teraz. Zmienia się. Jest już w połowie, o tak. To nieprzyjemny widok...

Nie podobało mi się to, co mówiła o mamie. Poczulem nagłą ochotę, by rąbnąć ją kijem. Czy mama przeistacza się do końca w lamie?

– No, dalej! – warknęła Mab.

Skrzywiłem się. Ściskając w dłoni kij oraz torbę, ruszyłem naprzód, w mrok nieprzyjaznej komnaty, czekając, aż wzrok przywyknie do ciemności. Nim jednak dostrzegłem zarys postaci w kącie, usłyszałem ciężki oddech. Mama? Dyszała, jakby była ranna.

– Mamo! Mamo! To ty? – zawołałem.

– Tak, synu, ja! – Głos brzmiał ochryple, nieco niżej, niż pamiętałem. Przepelniały go znużenie i ból. Lecz bez wątpienia należał do mamy.

– Nic ci się nie stało, mamu? Jesteś ranna?

– Czuję ból, synu, ale inaczej się nie da. Zmieniam się. Mogę odmieniać własną postać, więc teraz przybieram taką, która da mi szansę w walce z Ordyną. Przychodzi mi to jednak trudniej, niż sądziłam, znacznie trudniej. Nadal potrzebuję trochę czasu, by się przygotować. Musisz ją zatrzymać.

– Zatrzymać? Jak? – spytałem.

– Najpierw słowami. Będiesz dla niej tajemnicą, zagadką, którą rozpaczliwie zechce rozwiązać. To twoja pierwsza linia obrony. Drugą stanowią kij oraz łańcuch. Znowu zyskamy trochę czasu. Czy nadal masz przy sobie klingę, Tom? I czy zużyłeś już życzenie?

Serce zaciężyło mi w piersi. Nagle pojąłem, że mama chce, bym wykorzystał dary Grimalkin przeciw Ordynie. Musiałem wyznać prawdę.

– Nadal mam klingę, ale mroczne życzenie zużyłem, by ocalić

Alice. Schwytała ją dzika lamia. Gdyby nie ono, zginęłaby.

Usłyszałem ciężkie westchnienie.

– Połączenie życzenia i klingi stworzyłoby ci realną szansę w walce z Ordyną. Jeśli jednak mimo wszystko przeżyjesz, synu, wiedz, że podjąłeś słuszną decyzję. Będziesz potrzebował Alice u swego boku. W razie konieczności użyj ostrza.

– Co masz na myśli, mówiąc, że będę „zagadką” dla Ordyny? – spytałem. – Nie rozumiem. Niby dlaczego?

– Nie pamiętasz, co ci tłumaczyłam? Z jakiego powodu podaliśmy jej twoją krew? Będzie cię znała, a jednocześnie nie znała. Będziecie niemal jak krewniacy. Stałeś się kimś, kogo powinna poznać, ale nie poznaje. Ściągniesz na siebie jej uwagę, co pozwoli mi się przygotować, by zadać pierwszy cios. Wypiła twoją krew, przyjęła ją do swojego ciała. Po to, by zyskać nowe życie. I krew ją odmienia. Sprawia, że stajecie się sobie bliscy. To już ją osłabiło. Dlatego mogłeś przejść przez barierę. Dlatego i ja zdołałam tu dotrzeć. W naszych żyłach płynie ta sama krew, Tom.

Jej głos także się zmieniał. Brzmiał mniej ludzko. Ponownie ogarnęły mnie wątpliwości. Już tak wiele razy mnie oszukiwano, więc bałem się kłamstwa.

– Czy to na pewno ty, mamó? Czy to naprawdę ty?

– Oczywiście, że tak, Tom. Któżby inny? Ale nie winię cię, że zwątpiłeś. Zmieniłam się, nadal się zmieniam. W moim długim życiu przybierałam wiele postaci, teraz przywdzieję ostatnią. W czasie, gdy rozmawiamy, proces przemiany przyspiesza. Nie jestem już kobietą, którą byłam. Pamiętam, że stałam się matką dla ciebie i żoną dla twego ojca. Ale przeistoczyłam się. Nie smuć się, Tom. Z czasem wszystko się zmienia. Nic nie trwa wiecznie. Teraz możemy już tylko postarać się, by nasze ostatnie wspólne chwile okazały się warte zapamiętania. Przez znaczną część mego długiego życia planowałam zniszczenie Ordyny. Oto jest w moim zasięgu. Oddałeś jej krew – spisałeś się bardzo dzielnie. Dlatego właśnie sprowadziłam cię do ojczyzny. Ale jest jeszcze jedna rzecz, którą możesz zrobić i która wiele zmieni. Zatrzymaj ją. Opóźnij.

Zyskaj dla mnie czas. Mab zaprowadzi cię w miejsce, gdzie Ordyna wkrótce się przebudzi. Niedługo wykorzystam przeciw niej resztę moich sił. Uchwycę ją w śmiertelny uścisk. Ale jeśli mi się uda, musisz natychmiast uciekać z Ordy. Zrobisz to, Tom? Obiecujesz?

– Miałbym cię zostawić, mamó? Jak mógłbym?

– Tak trzeba, synu. Musisz uciec. Twoim przeznaczeniem jest zniszczenie Złego. Przecież o to właśnie od tak dawna zabiegam. Jeśli zginiesz tu ze mną, wszystko pójdzie na marne. Zatrzymam Ordynę, póki nie zabraknie jej sił. Kiedy to się stanie, Ord cofnie się przez portal. Zostanie zniszczona. Jeśli Ordyna się nie uwolni, będzie to oznaczało także jej koniec!

– Ale ty też zostaniesz zniszczona! Czy to właśnie chcesz mi powiedzieć, mamó?

– Owszem, to oznacza także mój koniec. Lecz cel uważam za godny złożenia ofiary z siebie. Osiągnę to, do czego od tak dawna zmierzałam. Obiecujesz zatem? Proszę! Niech usłyszę obietnicę.

Słuchałem, wstrząśnięty i zrozpaczony. Mama miała tu umrzeć. Ale jak mogłem odmówić, skoro to ostatnia rzecz, o jaką mnie prosi?

– Przysięgam, mamó. Będę strasznie za tobą tęsknić. Ale zrobię wszystko, byś była ze mnie dumna.

W tym momencie przez okno do środka wpadł promień księżyca, oświetlając głowę mamy. Nadal dawało się ją rozpoznać, lecz kości policzkowe uniosły się, wystawały wyraźniej niż kiedykolwiek, a oczy miała okrutne. Dostrzegłem zaledwie zarys ciała. Przycupnęła tuż nad ziemią. Widziałem łuski, ostre szpony, złożone skrzydła... Na moich oczach stawała się coraz mniej ludzka, przybierając swą ostatnią postać lamii.

– Nie patrz na mnie, Tom! Nie patrz na mnie! Odwróć się! – zawołała mama głosem przesyconym smutkiem i bólem.

Widziałem już dawniej coś podobnego – słyszałem wtedy, że mama wypowiedziała te same zdanie. Mór, żyjący w labiryncie pod katedrą w Priestown, zesłał mi kiedyś straszliwą wizję, ukazującą mamę w takiej właśnie postaci. I przypomniałem sobie dokładnie

jego słowa.

„Księżyc ukazuje prawdziwy obraz rzeczy, chłopcze. Już to wiesz. Wszystko co widziałeś, już się stało, bądź dopiero stanie. Trzeba tylko czasu.”

Mór miał rację: bo teraz znalazłem się w owym koszmarze. Rzeczywiście się spełniał.

Zawahałem się. Mama znów krzyknęła:

– Idź, zrób, o co proszę! Nie zawieź mnie! Pamiętaj, kim jesteś i że cię kocham!

Odwróciłem się zatem, by umknąć z komnaty. Przepęłniał mnie ból.

Na zewnątrz czatowała Mab. Obdarzyła mnie triumfalnym uśmiechem.

– Uprzedzałam, że widok okaże się nieprzyjemny – prychnęła. – Teraz zabieram cię do Ordyny...

Dygocząc po tym, co zobaczyłem, ruszyłem za Mab po kolejnych schodach. Myśl o cierpieniu mamy, o zmianie, jaką przechodziła, sprawiała mi ból. Nie miałem jednak czasu, by się nad tym zastanawiać, bo już wkrótce znaleźliśmy się na balkonie okolonym niską kamienną poręczą. Mab wskazała kolejne schody, tym razem wiodące w dół.

– Tam jest! – syknęła. – Ordyna!

Daleko w dole zobaczyłem coś, co przypominało wnętrze kościoła, brakowało tylko rzędów ławek. Proste przejście pomiędzy ozdobnymi marmurowymi kolumnami wiodło na białe podium, na którym kobieta w czarnej jedwabnej sukni pólleżała na tronie z czarnego marmuru. Wzdłuż przejścia ustawiono wysokie czarne świece w złotych lichtarzach, a za tronem stały ich jeszcze setki; płonęły jasno w nieruchomym powietrzu. Za kolumnami, w ścianach otwierały się mroczne alkowy, w których mogło czaić się wszystko.

Ponownie spojrzałem na kobietę. Nadal miała zamknięte oczy, lecz w każdej chwili mogła się ocknąć. Instynkt podpowiadał mi, że to istotnie Ordyna.

Kiedy zwróciłem się ku Mab, przyłożyła palec do ust.

– Mów bardzo cicho – ostrzegła szeptem. – Wkrótce zacznie się budzić. Zejdź po schodach i zrób to, o co prosiła cię mama, nim będzie za późno. Zrób to teraz albo żadne z nas nie ujdzie stąd z życiem.

Pojąłem, że nie czas już na słowa, toteż odstawiłem torbę, odwróciłem się plecami do Mab Moudheel i ruszyłem schodami, starając się czynić jak najmniej hałasu. Kiedy dotarłem na dół, przemknąłem środkiem przejścia w stronę czarnego tronu. Mimo wszelkich wysiłków, odgłos moich kroków odbijał się głośnym echem od łukowatego sklepienia. Zastanawiałem się, czy ktokolwiek strzeże śpiącej Ordyny – rozglądałem się w prawo i w lewo, obserwując niespokojnie pogrążone w cieniu alkowy za kolumnami, lecz nic się nie poruszało. Nic mi stamtąd nie groziło.

Im bardziej się zbliżałem, tym wyraźniej czułem otaczającą ją aurę mocy. Po moich plecach powoli powędrował lodowaty dreszcz. Mama kazała mi dołożyć wszelkich sił, by skupić na sobie uwagę Ordyny, póki sama nie będzie gotowa przyjść mi z pomocą i zniszczyć nieprzyjaciółkę. Co jednak, jeśli Ordyna zaatakuje od razu? Gotując się zatem do walki, przełożyłem kij z lewej ręki do prawej, po czym wysunąłem z kieszeni srebrny łańcuch. Ukryłem trzymającą go dłoń pod płaszczem.

Teraz, kiedy dotarłem tak blisko, nozdrza wypełnił mi smród. Ordyna wyglądała jak kobieta, ale miała też w sobie coś z dzikiego zwierzęcia – ostrą piżmową woń, od której o mało nie wymiotowałem.

Zatrzymałem się przed tronem. Pólleżała, z zamkniętymi oczami. Wciąż wyglądała, jakby spała. Może powinienem uderzyć, nim w pełni się ocknie? Czemu nie wykorzystać przewagi? Ale czy coś z mojego uzbrojenia tu zdoła? Srebro stanowiło zazwyczaj potężne narzędzie w walce ze sługami mroku, teraz nie miałem jednak do czynienia ze zwykłą wiedźmą – należała przecież do Starych Bogów, znacznie potężniejszych istot. Czy srebrny łańcuch zdołałby ją skrepować? Mało prawdopodobne. Moja laska,

zakończona ostrzem ze stopu srebra, mogła ją zranić. Ale aby zabić, musiałbym przebić serce Ordyny, a ona z pewnością okaże się szybka i silna. Mogę nie zdążyć. Nadal nosiłem na plecach klingę podarowaną przez Grimalkin. Lecz zużyłem już mroczne życzenie. Choć mama zrozumiała, że musiałem to uczynić, by ocalić Alice, przecież wyczułem w jej głosie zawód. Klinga pewnie zdoła zranić Ordynę, ale straciłem wyborną szansę zadania jej prawdziwie dotkliwego ciosu.

Postanowiłem użyć broni w tej właśnie kolejności: łańcuch, kij, a potem klinga. Najpierw jednak spróbuję skrepować przeciwniczkę słowami. Użyję wszystkiego, czym dysponuję, by ją zająć aż do chwili, kiedy mama przypuści atak.

Myśli wirowały mi w głowie. I wtedy Ordyna otworzyła oczy. Spojrzała wprost na mnie. Potem usiadła sztywno na tronie. Do jej warg napłynęła krew, wkrótce nabrzmiały i poczerwieniały; oczy miały kolor ciemnego błękitu nieba, w godzinę po zachodzie słońca.

Zbudziła się.

## **ROZDZIAŁ 21**

### **OSTRY ZĄB**

Ordyna powstała z tronu. Spojrzała na mnie gniewnie, z groźną, arogancką miną.

– Insekt zakradł się do mego królestwa – rzekła cicho. – Wyczuwam, jak drży, jak dygocze ze strachu. Wystarczy tylko, bym wyciągnęła rękę i wtedy zmiażdżę go na zimnej marmurowej posadzce. Czy mam tak uczynić?

W tym momencie zauważyłem jej szczęki. Szczególnie dolna wyglądała na bardzo potężną i szeroką, za uszami sterczały węzły mięśni. Kiedy otworzyła usta, przekonałem się, że zęby ma bardzo ostre zwłaszcza kły. Nie były długie, jak u wodnej wiedzmy, ale zakrzywione. Wiedziałem, że jeśli raz wgryzą się w ciało, nie da się

uwolnić z owych straszliwych szczęk. Zerknąłem na jej dłoń. Niekobiece, bardzo duże, żyłaste. A zamiast paznokci z palców wyrastały ostre szpony.

Wiedziałem, że próbuje mnie przerazić. Zacząłem więc oddychać powoli, głęboko. Próbowałem zapanować nad strachem – to bowiem zawsze pierwsze zadanie stracharza w obliczu mroku. Czułem, jak strach opada ze mnie. Kiedy przestałem dygotać, postąpiłem krok ku niej. Nie spodziewała się tego. Dostrzegłem, że jej oczy rozszerzają się ze zdumienia.

– Kimże ty jesteś, insekcie? – spytała. – Wyczuwam, że z niewiadomych przyczyn powinnam cię znać. Czuję, że już się spotkaliśmy. Jak się tu dostałeś? Jak wyminąłeś moje służki, pułapki oraz bariery, by się do mnie zbliżyć?

– Zakradłem się tu jak myszka – odparłem. – Jestem zbyt mały i nieważny, by ktokolwiek mnie dostrzegł.

– Lecz cóż to za kij, który dzierzysz w dłoni? Laska z jarzębinowego drewna, kryjąca w sobie ostry kieł! Metalową klingę, przesyconą srebrem.

– O to ci chodzi? – spytałem spokojnie, naciskając zagłębienie w lasce tak, że z końca z głośnym szczękiem wyskoczyło ostrze.

– To bardzo ostry ząb, jak dla takiej myszki – rzekła, schodząc z pierwszego stopnia podium. – Nadal jednak stanowisz dla mnie zagadkę. Jesteś obcy w tym kraju. Gdzie został twój dom?

– Daleko za morzem, w zielonej krainie, w której ciągle pada deszcz.

– Kim są twoi rodzice? Kto cię spłodził?

– Mój ojciec był farmerem, ciężko pracował, by utrzymać rodzinę. Nauczył nas odróżniać dobro od zła. Nie żyje, lecz nigdy go nie zapomnę. I tego, co mi wpoił.

– Mam wrażenie, jakbym cię znała. Mógłbyś być nieomal moim bratem. Masz jakieś siostry?

– Nie mam sióstr, ale braci owszem...

– Tak! Teraz widzę. Jest ich sześciu! Sześciu! A ty jesteś siódmym! I twój ojciec także był siódmym synem. Masz zatem dary.

Zdolność widzenia oraz słyszenia umarłych. Umiejętność blokowania dalekosiężnego węszenia wiedźmy. Jesteś naturalnym wrogiem mroku. Dlatego tu przybyłeś, myszko? By mnie zabić swoim kijem? Choć twój ząb jest faktycznie ostry, trzeba czegoś więcej, by mnie zniszczyć...

Skąd wiedziała to wszystko? Naprawdę czytała w moich myślach? Przerazająca perspektywa, bo wówczas w ciągu paru chwil odkryje, kim jestem, i przeze mnie dotrze do mamy. Moje obawy potwierdziły się natychmiast.

– Zaczekaj! Jest jeszcze więcej – podjęła. – Znacznie więcej! Masz inne dary. Dary pochodzące od dzikiej matki. Szybkość, która rzuca wyzwanie upływowi czasu. Zdolność wycucia momentu śmierci u chorych i rannych. Długi księżycowy cień, ukazujący, czym się staniesz. Lecz co to za matka mogła przekazać ci podobne rzeczy, moja myszko? Teraz ją widzę! Poprzez ciebie poznaję ją. Twoja matka to Lamia, moja śmiertelna nieprzyjaciółka!

Dostrzegłem zamiar w jej oczach. Planowała zabić mnie na miejscu. Szybko – szybciej niż kiedykolwiek wcześniej – zsunąłem na przegub srebrny łańcuch i wyciągnąłem rękę spod płaszcza. Nie zareagowała. Ja się poruszałem, Ordyna – nie. Patrzyła tylko na mnie ze zmarszczonym gniewnie czołem.

Chwila ciągnęła się i ciągnęła. Czas zamigotał i zamarł. Czułem się dziwnie. W nieruchomym świecie tylko ja się poruszałem. Nie oddychałem. Moje serce nie biło.

Czy to właśnie miała na myśli Ordyna, mówiąc o szybkości, która rzuca wyzwanie upływowi czasu? Czy naprawdę odziedziczyłem to po mamie? Czy był to dar podobny do tego, którego używał Zły? Ta sama sztuczka która pozwoliła mi zeszłego lata odtrącić lecący ku mnie nóż, gdy Grimalkin cisnęła nim w moją głowę?

Celując starannie, całkowicie skupiony na przeciwniczce, strzeliłem z łańcucha i cisnąłem go wprost ku niej. Nie obawiałem się, że chybię. W ruchomy cel ciężko trafić, ona jednak tkwiła bez



ruchu, jak ćwiczebny słupek w ogrodzie stracharza w Chipenden.

Łańcuch opadł jej przez głowę w idealnej spirali i zacisnął się wokół ciała. Jej oczy rozszerzyły się i wypełzły z orbit, opadła na kolana, wyraźnie cierpiąc. Krzyknęła, po czym wygięła się w tył, na jej szyi wystąpiły ciemne żyły. Potem szarpnęła się, pochyliła naprzód i upadła ciężko na brodę, wyciągając szyję, z twarzą wciąż zwróconą ku mnie. Usłyszałem ostry trzask. Czy dobiegł do mnie dźwięk pękającej kości? Jej karku? Znów oddychałem, serce waliło mi w piersi. Cokolwiek zaszło, gdy szykowałem się do rzutu, już owo coś minęło. Czas znów płynął normalnie.

Ordyna nadal patrzyła w moją stronę, lecz jej oczy zaszły mgłą. Z całą pewnością nie oddychała. Czyżby nie żyła? Nie mogłem uwierzyć, by łańcuch okazał się aż tak skuteczny. Patrzyłem na nią zdumiony, szczęśliwy, lecz wciąż zachowałem czujność. Miałem do czynienia ze Starą Boginią. Zbyt łatwo mi poszło. Stanowczo zbyt łatwo...

Cofnąłem się o krok – na wypadek gdyby miał miejsce podstęp – i przyjrzałem jej ostrożnie. Leżała absolutnie nieruchomo, nie okazując żadnych oznak życia. Czyżby zetknięcie ze stopem srebra ją zabiło? Niemożliwe...

A wtedy coś zauważyłem – pierwszą oznakę nadchodzącego niebezpieczeństwa. Z jej ciała zaczęła ulatywać para. Powietrze nad nim drżało. Rozległ się trzask, poczułem nagły, ostry swąd płonącego mięsa. Na moich oczach jej skóra zaczęła skwierczeć, marszczyć się i czernieć. Ona płonęła! W górę strzelały płomienie.

Głowa Ordyny podskoczyła. Spojrzałem na potężną dolną szczękę. Pojąłem, że rozszerza się i wydłuża, unosząc czaszkę. Ordyna nadal nie oddychała, widziałem jednak, że czerniejące gardło porusza się. Cofnąłem się ponownie, unosząc kij. Głowa Starej Bogini zamieniała się w kulę ognia, usłyszałem odgłos darcia. Nagle szczęka odskoczyła. Zwęglona czaszka pękła, osypując się na boki niczym odłamki stłuczonego dzbanu. W środku jednak tkwiło coś innego. Coś nadal żywego pośród płomieni. Coś bardzo niebezpiecznego! Coś, co powoli wyłaniało się z płonącej,

zwęglonej ludzkiej powłoki. Była niczym wąż odrzucający starą skórę. Musiałem uderzyć teraz, nim będzie za późno.

Szybko ruszyłem naprzód, osłaniając ręką twarz. Dźgnąłem kijem, celując w miejsce za ramionami, gdzie powinno znajdować się serce. Ostrze trafiło w coś twardego – znacznie twardszego niż kość. Od wstrząsu zaboląła mnie ręka aż do ramienia, laska wypadła mi z dłoni. Lecz rozpacz natychmiast zamieniła się w ulgę.

Miałem szczęście, że wypuściłem kij, w przeciwnym razie straciłbym rękę – bo w następnej sekundzie drewno z głośnym sykiem zapłonęło, pochłonięte przez gorąco tak wielkie, że w mgnieniu oka zamieniło laskę w biały popiół. Cofnąłem się, patrząc, jak z płomieni wyłania się coś na czterech szponiastych łapach, strząsając z siebie poczerniałą skórę dawnej ludzkiej postaci i krępujący srebrny łańcuch.

Przede mną stał duży jaszczur w zielono-brązowe plamy, o skórze pokrytej brodawkami. Z kształtu przypominał salamandrę, najpotężniejszego ze wszystkich żywiolaków ognia, o których opowiadał mi Seilenos. Nie był to jednak zwyczajny żywiolak. Najwyraźniej Ordyna przybrała swą prawdziwą postać – istoty skąpanej w ogniu, władającej tym żywiołem.

Ruszyła ku mnie, pozostawiając za sobą popioły dawnej postaci. Otworzyła paszczę, ukazując dwa rzędy ostrych, morderczych zębów. Z głośnym sykiem wypuściła powietrze. Z jej nozdrzy wytrysnął długi pióropusz rozgrzanej pary, mknący wprost ku mnie. Uskoczyłem na bok, para chybiła, przepływając tuż obok mojej twarzy, tak że musiałem zamknąć oczy, by ochronić je przed gorącem.

Teraz została mi już tylko ostatnia sztuka broni: klinga podarowana przez Grimalkin. Lewą ręką sięgnąłem przez ramię, pod płaszcz i koszulę, wyrywając klingę z pochwy. Potem zwróciłem się ku Ordynie. Sprężyłem się. Ponownie uczułem, jak czas hamuje. Oddychałem głęboko, nakazując sercu zwolnić, próbowałem uspokoić nerwy. Bez pośpiechu postąpiłem krok ku

przeciwnicze.

Ordyna nie poruszyła się, lecz jej salamandrze oczy o pionowych czerwonych źrenicach przyglądały mi się uważnie. Rozcapierzyła szpony, jak gdyby gotowała się do skoku. Skoncentrowałem się na jej długim, jaszczurczym ciele, zwłaszcza na miejscu za szyją, gdzie zamierzałem wbić ostrze. Czy jednak zdołam sięgnąć celu? Czy raczej klinga stanie w płomieniach, jak uprzednio moja laska? Nie miałem wyjścia, musiałem ryzykować, choć wymagało to radykalnego skrócenia dystansu. Należało podejść znacznie bliżej, niż wcześniej z laską. Z ciała Ordyny nadal buchało palące gorąco.

Jej szczęki rozchyliły się lekko, po czym otwały szybko, ukazując rubinowoczerwony owal gardzieli. Żadnego więcej ostrzeżenia. Tym razem miast rozgrzanej pary pomknął ku mnie strumień pomarańczowo-żółtego ognia.

Ponownie chybił zaledwie o parę cali. Ordyna wspięła się nagle na tylne łapy. Górowała nade mną. Gadzia głowa kołysała się z boku na bok.

Znów się skupiłem, wbijając wzrok w nowy cel – blade gardło pod długimi szczękami. Tu ciało było miększe. Wrażliwsze. Oto najlepsze miejsce do ataku. Niemal natychmiast Ordyna przestała się poruszać.

Czyżby znów? Skupiłem się, a czas zwolnił... niemal się zatrzymał. Tak, to musiało być moje dzieło, efekt skupienia, koncentracji. Lecz za ową refleksję, o mało nie zapłaciłem życiem. Chwila namysłu zakłóciła intensywność koncentracji. Jaszczurczy łeb Ordyny zakołysał się z prawa w lewo; spomiędzy szczęk trysnęła kolejna struga ognia, pędząca wprost ku mnie. W ostatniej chwili opadłem na kolana. Poczułem swąd palonych włosów.

Skup się! – upomniałem się w duchu. Rozciągnij czas! Każ mu stanąć!

Ponownie moja koncentracja zaczęła działać. Podniosłem się z ziemi, szykując ostrze i postąpiłem krok ku przeciwnicze. Teraz. Skoncentruj się na zadaniu. Krok za krokiem. Właśnie tak.

Przypomniałem sobie, co powiedziała mi kiedyś mama:

Kiedy staniesz się mężczyzną, to mrok będzie się bał, bo wówczas ze zwierzyny zmienisz się w myśliwego. Dlatego właśnie dałam ci życie.

Cóż, nie byłem jeszcze mężczyzną, nagle jednak poczułem się jak myśliwy...

Teraz znajdowałem się na odległość wyciągniętej ręki od otwartej paszczy Ordyny. Za blisko, by uciec, gdyby wystrzelił z niej kolejny jęzor ognia. Spiałem się cały, po czym uderzyłem w górę, prosto w gardło, wbijając ostrze aż po rękojęść i natychmiast je wypuszczając. Z gwałtowną rozpaczą patrzyłem, jak sztylet topi się, zamienia w krople płynnego metalu.

Cofnąłem się chwiejnie, czując na twarzy falę palącego gorąca. Czas znów płynął i nic nie mogłem na to poradzić. Przekonałem się jednak, że mimo wszystko ją zraniłem. Z gardła Ordyny tryskał łuk wrzącej, czarnej krwi. Skapywała na mozaikową podłogę, gdzie natychmiast zamieniała się w parę, tworząc gęstą mgłę przesłaniającą widok. Z pewnością choć trochę ją osłabiłem. Smród spalenizny był tak ostry, że zacząłem się dławić, krztusić, do piekących oczu napłynęły łzy, przez chwilę nic nie widziałem.

Kiedy jednak para się uniosła, Ordyna wciąż stała. Rana na jej gardle zagoiła się. Spoglądały na mnie otchłanne oczy bogini. Nie posiadałem już żadnej broni. Ruszyła wprost ku mnie, szybciej, niż zdołałbym biec. Za sekundę zmieni mnie w popiół.

I wtedy, w chwili gdy sądziłem, że nadszedł mój koniec, że już nie żyję, stało się...

Najpierw ostrzegły mnie uszy. W sali zapadła nagła cisza. Absolutna cisza – jak wtedy, gdy sowa opada ku niczego niespodziewającej się ofierze. Cisza tak intensywna, że aż bolesna. Uniosłem głowę. Dojrzałem, jak coś rzuca się ku nam z balkonu. W tym samym momencie Ordyna obróciła się na bok i w górę, na spotkanie nowemu niebezpieczeństwu.

Nadeszła mama. Przemiana dobiegła końca, moja mama wyglądała jednak zupełnie inaczej, niż oczekiwałem. Miała

skrzydła, owszem, miała też rozpostarte szpony, gotowe szarpać, rozdzierać przeciwnika. Nie były to jednak owadzie skrzydła wengiry. Bardziej przypominała anioła niż owada, jej skrzydła porastały pióra, białe niczym świeży śnieg.

Runęła na Ordynę, przyszpilając ją do marmurowej posadzki. Zaczęły się wściekle zmagać. Gdy dźwignąłem się na nogi, serce ścisnęło mi się boleśnie, bo pióra mamy zaczynały się zwijać, czerniały. Usłyszałem, jak krzyczy do mnie przepełnionym cierpieniem głosem.

– Odejdź, Tom! Uciekaj, póki możesz! Ja ją tu zatrzymam!

Instynkt kazał mi biec z pomocą, ale nie miałem już żadnej broni. A gdy śledziłem, jak rozszarpują się nawzajem wśród strug krwi, do wtóru trzasku płonących piór, pojąłem, że nic nie poradzę. Gdybym podszedł bliżej, zginąłbym w ciągu paru sekund. Pozostało mi tylko posłuchać mamy. Toteż, choć pękało mi serce, chwyciłem łańcuch i umknąłem z tego miejsca. Była to najtrudniejsza rzecz, jaką zrobiłem w życiu. Moja najmroczniejsza chwila.

## **ROZDZIAŁ 22**

### **O STATNIE SŁOWA**

Targany skrajnymi uczuciami, biegłem po schodach, zatrzymując się tylko na moment, by chwycić torbę oraz latarnię. Sądziłem, że Mab ruszy za mną, ona jednak pożegnała mnie skinieniem głowy.

– Nie mogę uciec tędy z powodu bariery, Tom. Wydostanę się drogą otwartą przez twoją mamę. Spotkamy się później.

Nie odpowiedziałem. Nie ufałem własnemu głosowi. Widziałem, że jeśli się odezwę, nie zdołam dłużej powstrzymać łez.

Szybko zbiegłem po spiralnych schodach. Ruszyłem przez rozległą, mroczną pustkę, z nadzieją, że kieruję się we właściwą stronę, ku niewidocznej barierze.

Gdy w końcu do niej dotarłem, z ulgą ujrzałem czekające po drugiej stronie cienie Alice, Arkwrighta i stracharza. Przekroczyłem szybko granicę.

– Och, Tom! – wykrzyknęła Alice, pędząc ku mnie.

– Tak długo cię nie było. Nie mogliśmy znaleźć innego wejścia, toteż wróciliśmy tutaj i czekaliśmy na ciebie. Ale to trwało całe wieki. Myślałam już, że nie wrócisz – że spotkało cię coś strasznego.

Zamarła nagle. Spojrzała mi prosto w oczy.

– Coś strasznego rzeczywiście się wydarzyło, prawda?

Przytaknąłem, lecz słowa, które chciałem wypowiedzieć, od razu uwięzły mi w gardle.

– Och, Tom! Poparzyłeś się. – Dotknęła lekko moich przypalonych włosów oraz coraz bardziej bolącego miejsca na twarzy.

– To nic! – odparłem. – Zupełnie nic w porównaniu z tym, co się tam stało.

– No dalej, chłopcze – wtrącił stracharz zaskakująco łagodnym tonem. – Wyjaśnij nam...

– Mama. Walczy z Ordyną. Stwierdziła, że obie zginą, dzięki czemu unicestwiona zostanie Ord. Musimy stąd uciekać, jak najszybciej.

– Nic się nie da zrobić, Tom? W żaden sposób nie możemy jej pomóc? – zawołała Alice.

Pokręciłem głową. Czułem, że z oczu wymykają mi się gorące, milczące łzy.

– Teraz możemy już tylko spełnić jej ostatnie życzenie – żebyśmy uciekli w bezpieczne miejsce, nim Ord ulegnie zagładzie. Wkrótce zaczniesz cofać się przez portal.

– Jeśli tu pozostaniemy, zostaniemy wciągnięci w mrok! – Arkwright ponuro skinął głową.

Brakowało czasu na dalsze dyskusje o tym, co zaszło. Rozpoczęliśmy gorączkową ucieczkę przez mroczne komnaty i korytarze Ordy. Biegliśmy schodami, pochylniami, kierując się

coraz niżej i niżej, w stronę brukowanego dziedzińca. Wkrótce zrobiło się nam nieprzyjemnie gorąco, bynajmniej nie tylko z wysiłku. Powietrze wokół zaczynało się rozgrzewać, ze ścian buchało ciepło. Ord szykowała się do zanurzenia w kolumnę ognia i wycofania przez portal do swego prawdziwego domu. Jej mieszkańcy, pozbawieni okazji do wypadu na zewnątrz i splądrowania świata, z powrotem zapadali w sen. W pewnym momencie lśniąca kula żywiołaka ognia z wahaniem ruszyła ku nam, lecz stracharz uderzył w nią kijem. Odpłynęła, przygasając.

Niemal dotarliśmy już do ostatniego korytarza wiodącego na wewnętrzny dziedziniec. Byliśmy blisko, bardzo blisko wyjścia, kiedy to się stało. Ze ściany za nami wyłoniła się kolejna lśniąca kula. Duża, nieprzejrzysta, niebezpieczna. Zaczęła się przysuwać. Dołączyły do niej dwie kolejne, więc puściliśmy się biegiem.

Obejrzałem się przez ramię. Doganiały nas. Teraz wyroilo się ich już więcej. Może sześć albo siedem.

Dotarliśmy do wąskiego wylotu tunelu. Wtedy właśnie Arkwright przystanął.

– Idźcie dalej! – polecił, szykując laskę. – Ja je zatrzymam!

– Nie! Rozprawimy się z nimi razem! – zawołał stracharz.

– Nie ma sensu, byśmy ginęli tu wszyscy – warknął z uporem Arkwright. – Zabieraj chłopaka w bezpieczne miejsce. To on się liczy, dobrze o tym wiesz.

Przez moment stracharz się wahał.

– Idźcie, póki jeszcze macie szansę! – nalegał Arkwright. – Ja pójdę za wami, gdy tylko będę mógł.

Stracharz chwycił mnie za ramię, wepchnął przed sobą w korytarz. Przez moment próbowałem się opierać, lecz Alice złapała mnie za drugą rękę i pociągnęła naprzód.

Tylko raz zdołałem się obejrzeć. Arkwright szykował się do walki. Zwrócony do nas plecami, wznosił ukośnie kij. Przyjął pozycję obronną. Jedna z kul pędziła wprost ku niemu. Sieknął ją ostrzem. Wtedy widziałem go po raz ostatni.

Wraz ze stracharzem i Alice przebiegliśmy dziedziniec.

Pognaliśmy tunelem, wyłaniając się poza zewnętrzными murami Ordy. Ile tylko sił, pospieszyliśmy w stronę Kalambaki. Stopy grzęzły nam w miękkim, lepkiem błocie, pozostałości niedawnej ulewy. Wkrótce odkryliśmy, że nie tylko nam udało się ocalić. Grupka czarownic – z Grimalkin oraz członkiniami wszystkich trzech klanów – wśród nich zauważyłem Mab i jej siostry – biegła nieco przed nami. Dogoniliśmy wiedźmy. Przypuszczam, że tym razem nawet mój mistrz na ich widok poczuł lekką ulgę.

Nagły ryk dobiegający z tyłu – przypominający gniewny wrzask rannego zwierzęcia – sprawił, że odwróciliśmy się wszyscy. Ciemna chmura nad Ordą znów się formowała i wypełniała ogniem. Strzelały z niej zygzaki błyskawic, uderzające w poskręcane wieże, których czubki jarzyły się pomarańczowym blaskiem. Żar za naszymi plecami narastał niepokojąco. Zrozumieliśmy, że trzeba wycofać się dalej – i to szybko. W każdej chwili ognista żyła mogła połączyć chmurę z ziemią. Jak szeroka będzie? Czy wciąż znajdujemy się za blisko, więc ogień nas dosięgnie?

W końcu, choć wyczerpani ucieczką, słysząc upiorne wycie dobiegające z wnętrza kolumny ognia, odwróciliśmy się, by spojrzeć. Ponownie pulsowała, skręcała się. W środku wciąż widać było Ord, czubki wież jarzyły się teraz oślepiającą bielą. Pomyślałem o mamie, nadal zamkniętej w tamtej komnacie i dławiącej w szponach Ordy. Na naszych oczach cytadela zaczęła się rozpadać, wieże waliły się kolejno. Ord powracała do mroku, lecz równocześnie owo przejście ją niszczyło. Wewnątrz zostanie pokonana Ordyna, która już nigdy nie zdoła powrócić do naszego świata. Ale mama także zginie w ognistym piekle. Gdy o tym pomyślałem, całe moje ciało zatrzęsło się w spazmie płaczu.

A co z Billem Arkwrightem? Czy zdołał odpędzić naszych prześladowców i wydostać się na czas?

Po paru chwilach ogień przygasł. Za naszymi plecami zerwała się wichura, jakby zasysała powietrze w miejsce, gdzie jeszcze niedawno stała Ord. Później wichur ścichł, zaczęła siąpić zimna mżawka. Zamknąłem oczy. Odnosiłem wrażenie, jakbym znalazł



się z powrotem w Hrabstwie. Czekaliśmy bardzo długo, nie dostrzegliśmy jednak ani śladu Arkwrighta. Trudno było wątpić, że zginął.

W milczeniu ruszyliśmy znowu w stronę Kalambaki i czekających za nią Meteorów. Po twarzy płynęły mi łzy zmieszane z deszczem.

\*

Wyminęliśmy Kalambakę od zachodu, kierując się w stronę Megalou Meteorou, największego ze skalnych klasztorów. Stracharz uważał, że powinniśmy złożyć wizytę ojcu opatowi, by powiadomić go, co osiągnęliśmy.

Pamiętałem opowieści mamy twierdzącej, że kobiety nie są mile widziane w klasztorach. Milczałem jednak, nie powstrzymując Alice. Moja przyjaciółka wspięła się po stopniach wraz ze stracharzem i ze mną. Już wcześniej wykorzystwała zioła ze skórzanej sakiewki, przyrządzając kojącą maść, którą nasmarowała moją poparzoną twarz. Użyła jedynie metod stosowanych przez wiele uzdrowicielek z Hrabstwa, nie uciekała się do mroku. Lek natychmiast złagodził ból, lecz John Gregory i tak z dezaprobatą pokręcił głową. Nie ufał Alice, zwłaszcza w kontaktach ze mną. Powoli szykowałem się do konfrontacji. Alice odegrała swoją rolę w ocaleniu klasztoru. Jeśli zabronią jej wstępu, ja także zawrócę.

Weszliśmy jednak bez przeszkód. Mnisi zaprowadzili nas przed oblicze ojca opata. Już drugi raz przekroczyliśmy próg spartańskiej celi. Zastaliśmy chudego starca o poszarzałej twarzy pogrążonego w modłach. Czekaliśmy cierpliwie. Przypomniałem sobie poprzednią wizytę, kiedy mama wciąż żyła. W końcu mnich uniósł wzrok i uśmiechnął się.

– Jesteście tu mile widziani – rzekł. – Ja zaś wyrażam wam swą wdzięczność, zakładam bowiem, że odnieśliście zwycięstwo. W przeciwnym razie nikt z nas już by nie żył...

– Mama zginęła, by zapewnić nam to zwycięstwo! – powiedziałem.

Odezwałem się bez zastanowienia. Zabrzmiało to, jakby słowa padły z obcych ust. Słyszałem gorycz oraz ból we własnym głosie.

Mnich obdarzył mnie łagodnym uśmiechem.

– Jeśli choć trochę cię to pocieszy, mogę rzec, że twoja matka z radością oddała życie, by uwolnić świat od naszego wroga. W przeszłości wiele razy rozmawialiśmy. Wyznała mi, że spodziewa się umrzeć, by osiągnąć swój cel. Wspominała ci o tym, Thomasie?

Pokręciłem głową. Pomyślałem, że ten stary mnich wie o mamie zapewne więcej niż ja. Ogarnął mnie jeszcze dotkliwszy ból. Mama wiedziała, że umrze, lecz ja dowiedziałem się o tym dopiero w ostatniej chwili! Po chwili odetchnąłem głęboko: musiałem o coś zapytać. O coś, co dręczyło mnie nieznośnie.

– Ord została zniszczona. Powróciła do mroku. Czy tam właśnie przebywa teraz mama? Uwięziona w mroku?

Ojciec opat nie od razu odpowiedział. Miałem wrażenie, że bardzo starannie dobiera słowa. Bez wątpienia chce mi przekazać złe wieści, pomyślałem.

– Wierzę w nieskończone miłosierdzie boże, Thomasie. Bez niego wszyscy bylibyśmy skazani na wiekuiste męki, bo każdy z nas, bez wyjątku, ma na sumieniu grzechy. Będziemy się za nią modlić. To wszystko, co możemy uczynić.

Z trudem stłumiłem szloch. Zapragnąłem zostać sam z własnym smutkiem. Przyszło mi jednak wysłuchać, jak mój mistrz przedstawia ojcu opatowi dokładniejszy opis wydarzeń.

Potem udaliśmy się razem do katholiconu, gdzie ponownie usłyszałem hymny mnichów, ulatujące pod kopułę. Tym razem ojciec opat poinformował mnie, że modlą się za mamę oraz za innych, którzy zginęli w cytadeli. Próbowałem uwierzyć w głębi serca, że wszystko jest dobrze, że mama uciekła do światła. Ale nie miałem pewności. Przypomniałem sobie popełnione przez nią zbrodnie, wiele stuleci temu. Czy teraz jej przeszkodzą? Utrudnią dotarcie do światła? Tak bardzo próbowała za nie odpokutować. Myśl, że miałyby spędzić wieczność w mroku, była nie do zniesienia. To niesprawiedliwe. Nagle świat wydał mi się

straszliwym, okrutnym miejscem. A wkrótce znów będę musiał stawić czoło Złemu. Zawsze miałem nadzieję, że mama w jakiś sposób zdoła uchronić mnie przed nim. Teraz jednak zostałem sam.

\*

Dopiero następnego dnia zaczęliśmy z mistrzem rozmawiać o tym, co się wydarzyło. Wkrótce mieliśmy ruszyć na wybrzeże, na razie jednak odpoczywaliśmy, usiłując zebrać siły na czekającą nas długą podróż. Stracharz odprowadził mnie na bok od ogniska, bez wątplenia po to, by Alice nie mogła nas usłyszeć. Usiedliśmy na ziemi, rozmawiając twarzą w twarz.

Zacząłem od opowiedzenia, jak mama przybrała ponownie swą pierwotną postać, a potem poświęciła życie, by przytrzymać Ordynę. Opowiedziałem mu niemal wszystko – nie zdradziłem jednak, rzecz jasna, prawdziwej tożsamości mamy. Nie wspomniałem też o umowie zawartej ze Złym. Nigdy nie zdołałbym mu o tym powiedzieć: to coś, z czym sam musiałem sobie poradzić. Zły miał po mnie przybyć następnego wieczoru.

Czułem się, jakbym z każdą chwilą coraz bardziej oddalał się od mojego mistrza. Poświęcił część swych zasad, by przybyć do Grecji i wziąć udział w walce z Ordyną. Lecz mój kompromis okazał się większy: oddałem własną duszę. Wkrótce stanie się własnością Złego, ucieleśnienia mroku. Nie przychodziło mi do głowy nic, co zdołałoby mnie ocalić.

Kiedy skończyłem opowieść, stracharz westchnął. Potem sięgnął do kieszeni płaszcza, wyciągnął dwa listy.

– Jeden twoja mama napisała do mnie. Drugi jest przeznaczony dla ciebie, chłopcze. Czytałem oba. Mimo poważnych obiekcji, to właśnie one przekonały mnie do zmiany zdania. Dołączenia do waszej wyprawy wbrew wszystkiemu, w co wierzę.

Wręczył mi oba listy. Najpierw zacząłem czytać swój.

*Mój drogi Tomie,*

*Jeśli czytasz ten list, ja już nie żyję. Nie oplakuj mnie zbyt długo. Myśl o radosnych chwilach, które przeżyliśmy razem, zwłaszcza kiedy wraz z braćmi byliście dziećmi, a wasz ojciec wciąż żył. Wówczas byłem naprawdę szczęśliwa i tak bliska zostania*

*człowiekiem, jak jeszcze nigdy.*

*Wiele lat temu przewidziałam swoją śmierć. Każde z nas ma wybór – mogłam nie mieszać się do walki. Widziałam jednak, iż istnieje szansa: poświęcając życie, doprowadzę do wielkiego zwycięstwa światła. I mimo ceny cierpienia zapłaconej przez wielu ludzi, Ordyna została zniszczona.*

*Teraz ty musisz wykonać następny krok. Trzeba zniszczyć Złego. A jeśli ci się nie uda, przynajmniej go skrepuj. W tym zadaniu wspomóż cię Alice Deane.*

*Niezależnie jednak od wyniku twojej misji, zawsze będę z ciebie dumna. Z nawiązką spełniłeś moje oczekiwania.*

*Kocham cię, synu,*

*Mama*

*Złożyłem list, wepchnąłem go do kieszeni. Spoczywał tam teraz ostatni przekaz, jaki otrzymałem od mamy, jej ostatnie słowa. Następnie zacząłem czytać, co napisała do mojego mistrza w liście, który sprawił, że mimo niechęci, mimo obiekcji, stracharz opuścił Chipenden i wyruszył z nami do Grecji.*

*Szanowny panie Gregory,*

*Przykro mi, że tak bardzo pana zdenerwowałam. Nie miałam podobnego zamiaru. Robię to, co robię, kierując się najlepszymi chęciami. I choć nie zgadza się pan ze środkami, jakie stosuję do osiągnięcia celu, mam nadzieję doprowadzić do wielkiego zwycięstwa. Jeśli poniosę klęskę, Ordyna będzie mogła zaatakować dowolne miejsce na całym świecie i najprawdopodobniej jej pierwszym celem stanie się Hrabstwo. Nie zapomni, co próbowałam zrobić, zatem wyładuje gniew na krainie, w której wciąż mieszka moja rodzina.*

*Niemal na pewno zginę wewnątrz Ordy, a wówczas mój syn będzie potrzebował pana nauk, by przygotować się do ostatecznej rozprawy ze Złym. Co do pana, niech pan dochowa wierności swym zasadom, ale błagam, proszę uczynić wyjątek w dwóch przypadkach. Pierwszy, rzecz jasna, dotyczy mojego syna, Thomasa. Pańska siła oraz mądrość okażą się niezbędne, by przeprowadzić go przez następny etap życia. Teraz bowiem grozi mu jeszcze większe niebezpieczeństwo.*

*Błagam także, by uczynił pan wyjątek dla Alice Deane. To córka Złego, czyli potencjalnie bezecna wiedźma. Zawsze będzie kroczyć wąską ścieżką pomiędzy mrokiem, a światłem. Dysponuje jednak ogromną siłą. Jeśli kiedyś Alice odda się mrokowi, stanie się najpotężniejszą czarownicą, jaka kiedykolwiek stąpała po ziemi. Warto jednak zaryzykować, bo może stać się równie mocarną służką światła. A tylko jeśli Tom i Alice*

*będą współpracować, mogą dokonać czegoś, co zawsze pozostawało moim celem: czegoś, do czego dążyłam przez niemal całe długie życie. Razem mają szansę zniszczyć Złego, a w rezultacie zapoczątkować nową erę Światła na całym świecie.*

*Pan może pomóc. Proszę pojechać z nami do mojej ojczyzny. Tylko pan może uchronić mojego syna oraz dopilnować, by wrócił cało i zdrowo do Hrabstwa. Czasami mniejsze zło prowadzi do większego dobra.*

*Pani Ward*

– Była wspaniałą kobietą – powiedział stracharz – Stanowczo nie zgadzam się z jej metodami, chłopcze, ale zrobiła to, co uznała za właściwe. I dzięki temu jej ojczyzna stanie się znacznie lepszym miejscem. W istocie zapewniła bezpieczeństwo Hrabstwu i całemu światu.

Stracharz okazał się znacznie bardziej pobłażliwy dla mamy niż dla Alice. Lecz oczywiście nie znał całej prawdy. Nigdy nie zdołam mu wyjawić, że mama była Lamią, matką całego plemienia wiedźm i hybryd. Nie potrafiłby się z tym pogodzić. To kolejna tajemnica, której nie mogłem mu ujawnić. Jeszcze jedna rzecz, która mogła nas rozdzielić.

– A co z Alice? Zrobi pan, o co prosiła mama?

Stracharz z namysłem pogładził się po brodzie, potem przytaknął. Lecz jego twarz zdradzała napięcie.

– Wciąż jesteś moim uczniem, chłopcze. Teraz, kiedy Bill Arkwright najpewniej zginął, mam obowiązek pomóc ci we wszystkim i nadal cię szkolić. Nie przeczę temu. Wszelako dziewczyna mnie martwi. Nieważne, jak wielkim nakładem sił, ale i tak czujnie będę ją obserwował, bowiem wszystko może pójść bardzo źle. Myślę jednak, że spróbuję: przynajmniej na jakiś czas. Po wszystkim, co zrobiła twoja mama, jak mógłbym odmówić?

\*

Później powróciłem myślami do naszej rozmowy. W jej trakcie niemal uwierzyłem, że wszystko będzie dobrze; ze stracharzem oraz z Alice wrócimy bezpiecznie do Chipenden i do dawnego życia. Tyle że jak to możliwe, skoro pozostał mi niecały dzień na tej ziemi?

Tak bardzo się bałem tego, co mnie czeka, że w chwili słabości zastanowiłem się, czy nie pójść znów do mistrza i nie wyznać, z czym muszę się zmierzyć, w nadziei, że mimo wszystko gdzieś w swych ogromnych zasobach wiedzy znajdzie jakiś sposób, by mnie ocalić. Wiedziałem jednak, że to niemożliwe.

Ostatnią szansę dawało mi użycie słoja krwi, tak jak radziła Alice. Wystarczyło dodać parę kropel mej krwi do jej własnej. Wówczas jednak przez resztę życia musielibyśmy

trzymać się blisko siebie, tak by słój ją także mógł chronić przed Złym. Coś jednak z pewnością wcześniej czy później by nas rozdzieliło, a wówczas wyładowałby wściekłość na Alice. Nie, nie mogłem na to pozwolić. Sam wplątałem się w tę sytuację i sam będę musiał się z niej wyplątać – albo pogodzić się z konsekwencjami.

## **ROZDZIAŁ 23**

### **JEGO ZŁOWIESZCZA WYSOKOŚĆ**

Stracharz spał po drugiej stronie ogniska, Alice zaś leżała po mej prawej. Oczy miała zamknięte. Do północy zostało najwyżej dziesięć minut.

Podniosłem się ostrożnie, próbując robić jak najmniej hałasu i odszedłem od ognia w ciemność. Nawet nie brałem łańcucha. Na nic by się zdał w obliczu potęgi, naprzeciw której wkrótce stanę. Za kilka minut Zły przybędzie po moją duszę. Bałem się, lecz mimo to wiedziałem, że lepiej zająć się wszystkim samemu. Gdyby w pobliżu znaleźli się Alice bądź stracharz, zapewne usiłowałiby mi pomóc. W rezultacie ucierpieliby, może nawet straciliby życie. Nie mogłem na to pozwolić.

Maszerowałem w dół zbocza jakieś pięć minut pomiędzy karłowatymi drzewami i krzakami. Dotarłem na polanę. Usiadłem na kamieniu przy brzegu niewielkiej rzeki. Ziemia nad samą wodą, zdeptana przez bydło schodzące do wodopoju, przypominała grzęzawisko. Na niebie nie świecił księżyc, lekka mgiełka przesłaniała nawet gwiazdy. Było bardzo ciemno. Nie marzłem, chociaż zacząłem dygotać. Trzęsłem się ze strachu. Zbliżał się kres. Moje życie na ziemi dobiegało końca. Aleja nie wyruszę do światła. Moja dusza trafi w ręce Złego. Kto wie, jakie męczarnie dla niej zgotował?

Nie musiałem czekać długo. Usłyszałem coś po drugiej stronie rzeki: łoskot. I syk. Potem plusk, jakby coś wielkiego weszło do wody. Z początku chlupotało jak koń czy inne wielkie, ciężkie

zwierzę. Lecz rytm kroków podpowiadał dwie nogi, nie cztery. Czyli że szedł po mnie. Zły. Przychodził zabrać mi duszę.

Słyszałem eksplozje pary, woda syczała i wrzała, gdy się zbliżał. Po chwili ujrzałem wielkie, rozszczerzone ślady kopyt, pojawiające się w miękkim błocie. W ciemności jarzyły się czerwienią. Przekroczył rzekę. Powstawaniu każdego śladu towarzyszył syk, gdy rozgrzane kopyto Złego stykało się z mokrym gruntem. A potem zaczął się materializować. Tym razem jednak nie ujrzałem przed sobą zamordowanego Matthew Gilberta, lecz Złego w jego prawdziwej, złowieszczej postaci – postaci, na widok której wielu umierało ze strachu. Otaczało go upiorne światło, tak że moje przerażone oczy dostrzegały każdy szczegół.

Stracharz tłumaczył mi, że Zły potrafi powiększać oraz zmniejszać swą postać. Teraz zdecydował się na potężną. Trzy razy wyższy niż ja, z piersią jak beczka, wznosił się wyniośle nade mną. Okazał się tytanem, w ogólnych zarysach podobnym do człowieka – choć w rezultacie, dzięki podobieństwu, prezentował się jeszcze potworniej.

Zamiast stóp miał rozszczerzone racice kozła, długi ogon dyndał za nim, wlokąc się po błocie. Przybył nagi, lecz nie ujrzałem ani skrawka gołego ciała, bo całą postać porastały długie, czarne włosy. Pokrywały także twarz, wyraźnie jednak widziałem rysy: wydatne zęby, zakrzywione rogi kozła; przesycone złem oczy o wydłużonych źrenicach. Podszedł blisko, bardzo blisko, znalazł się w zasięgu mojej ręki. Zalał mnie otaczający Złego fetor, ostrzejszy niż wszystkie wonie farmy. Mogłem jedynie patrzeć w górę, w owe straszliwe, bezdenne oczy. Trwałem jak zahipnotyzowany. Bezbronny.

Kolana uginały się, całe ciało drżało. Umierałem? Zaczerpywałem oddechu po raz ostatni?

W tym samym momencie usłyszałem za sobą nowy dźwięk. Kroki! Zapłonęło światło, w źrenicach Złego złowiłem odbicie tego, kto przybył. Diabelskie oczy rozszerzyły się gniewnie. Odwróciłem się. Przybysz stał tuż za mną, w rękę trzymał latarnię. Alice.

Ścisnęła coś w drugiej dłoni. Coś małego. Coś, co unosiła przed sobą niczym broń. Wepchnęła mi to do lewej ręki.

– Precz od niego! – zawołała. – Jest mój. Tom należy do mnie! Odejdź stąd! Nie możesz tu zostać!

Na te słowa Zły wydał z siebie ogłuszający, wściekły ryk. Przez moment sądziłem, że wyciągnie rękę i zmiażdży nas oboje. Czułem na sobie siłę jego gniewu, nagły podmuch cisnął mnie w tył, w błoto. Usłyszałem, jak drzewa na zboczu za nami pękają z trzaskiem. A potem wiatr zmienił kierunek. Zły po prostu zniknął.

Zapadła przejmująca cisza. Słyszałem tylko własny oddech, bicie serca, bulgot wody.

Wtedy, w blasku latarni, przekonałem się, co trzymam w lewej dłoni.

Słój krwi.

Dźwignąłem się z ziemi sekundę po Alice, która podnosiła już lampę z błota.

– Co tu robiłeś zupełnie sam, Tom? – spytała ostro. – Czy przyszedłeś spotkać się ze Złym?

Nie odpowiedziałem. Zbliżyła się, uniosła latarnię, spojrzała mi prosto w oczy. Serce waliło szaleńczo, myśli się kłębiły. Wciąż dygotałem, cały. Uniknąłem śmierci, lecz obawiałem się, że Zły może zjawić się ponownie w każdej chwili. Jakim cudem Alice zdołała go przegnać? Jak to się stało?

– Coś cię dręczy, Tom, prawda? Od paru dni zachowujesz się dziwnie: jesteś zbyt milczący... i chowasz coś w oczach. Dziwny wyraz, którego wcześniej nie widziałam. Wiem, że straciłeś mamę, ale czy wydarzyło się coś jeszcze? Coś, o czym mi nie powiedziałeś?

Jeszcze przez chwilę milczałem, chciałem ukryć prawdę, lecz pragnienie podzielenia się z kimś własnymi lękami okazało się silniejsze. Wreszcie słowa posypały się z moich ust.

– Zły odwiedził mnie w Ordzie – wyjaśniłem. – Pokazał mi przyszłość. Wszyscy mieliśmy zginąć – ty, stracharz, wszyscy w Kalambace i na Meteorach. Wszyscy uchodźcy na drogach. Powiedział, że da mi szansę. Opóźnił o godzinę przebudzenie



Ordyny. Zdradził mi też, gdzie ją znaleźć. Gdyby nie to, nie zdołałbym pomóc mamie. Przegralibyśmy.

Przez moment Alice milczała. Widziałem jednak strach w jej oczach.

– Czego zażądał w zamian, Tom? – spytała. – Czego od ciebie chciał?

– Nie tego, co myślisz, Alice. Nie zażądał, bym został jego sprzymierzeńcem i stanął u jego boku. Odmówiłbym...

– Zatem czego, Tom? No dalej, nie każ mi czekać...

– Oddałem mu duszę, Alice. Poświęciłem się. Bo widzisz, gdyby Ordyna wygrała, mogłaby użyć swego portalu, by pojawiać się, gdzie zechce. A wtedy przybyłaby do Hrabstwa. Wypełniłem swój obowiązek...

– Och, Tom! Tom! Co z ciebie za głupiec! Nie wiesz, co to znaczy?

– Wiem, że będę cierpiał, Alice. Ale co innego mogłem zrobić? Chociaż, chyba miałem nadzieję, że mama w jakiś sposób zdoła mnie ocalić. Teraz jednak nie żyje, więc muszę się pogodzić z tym, co mnie w końcu spotka.

– Jest gorzej, niż przypuszczasz, Tom. Znacznie gorzej. Nie chciałabym ci tego mówić, ale lepiej, byś poznał prawdę. Kiedy umrzesz i Zły dostanie twoją duszę, znajdziesz się całkowicie w jego mocy. Potrafi zadawać ból gorszy, niż zdołasz sobie wyobrazić. Pamiętasz, jak mi opowiadałeś o Morganie i o tym, jak torturował duszę twego taty?

Przytaknąłem. Morgan był potężnym nekromantą, jakiś czas więził duszę taty w Limbusie. Wmówił mu, że płonie w piekle. Sprawił, że tato czuł ból, zadawany przez płomienie.

– Zły umie zrobić z tobą to samo, Tom. Umie zemścić się za to, że z nim walczyłeś. Nawet jeszcze więcej: sam oddasz życie. On ci go nie odbierze. To znaczy, iż opadną z niego pęta i zwycięży ślepy los. Groźba, że pewnego dnia go zniszczysz albo odeślesz przez portal, zniknie. Pozbywszy się ciebie, będzie mógł swobodnie zbierać siły, by podsycać mrok, póki w końcu nie zapanuje nad

światem. A ty będziesz cierpieć tak straszliwe, niewiarygodne męki, że w końcu być może zgodzisz się z nim sprzymierzyć. Tylko po to, by się od nich uwolnić. Owszem, pokonaliśmy Ordyne, lecz za straszliwą cenę. Możliwe, że Zły zwyciężył, Tom. Możliwe, że cię pokonał. Ale jest coś, czego nie przewidział – wskazała słój krwi, który wciąż ścisnąłem w lewej dłoni. – Teraz naprawdę go potrzebujesz. Zawsze musisz nosić go przy sobie. To on go odpędził...

– Ale jakim cudem działa? Zdawało mi się, że trzeba zmieszać naszą krew?

– Wzięłam ją bez pytania, Tom. Przepraszam, ale musiałam to zrobić. Kiedy spadły na ciebie kamienie, długi czas leżałeś nieprzytomny. Wówczas wzięłam trochę twojej krwi. Zaledwie trzy krople: tylko tyle potrzebowałam. Teraz w słoju jest twoja i moja krew. Noś go przy sobie, a on nie będzie mógł się zbliżyć! Masz tylko jedną szansę! Tylko jedną! Zapomnij o swych zasadach, teraz już się nie liczą. Użyłeś mrocznego życzenia, które dała ci Grimalkin, a teraz sprzedałeś duszę. Pozostaje ci tylko jedno, Tom. Zatrzymaj słój krwi. Jeśli go użyjesz, Zły nic nie zyska, a my pokonaliśmy Ordyne!

Przytaknąłem. Miała rację. Teraz już wyłącznie to mi zostało. Ostatnia szansa, sposób na niedopuszczenie do siebie Złego. Lecz tym samym sprawdzały się najgorsze obawy stracharza. Krok za krokiem, coraz bardziej zagłębiałem się w mrok.

– Ale co będzie, kiedy umrę, Alice? Nawet jeśli skonam za pięć czy pięćdziesiąt lat, on wciąż będzie czekał na moją duszę. I w końcu ją dostanie.

– Nie dostanie twojej duszy, jeśli wcześniej go zniszczymy!

– Ale jak, Alice? Jak powinniśmy to zrobić?

– Musi istnieć jakiś sposób. Twoja mama oddała życie, byś mógł tego dokonać. Czy nigdy ci nie tłumaczyła, jak trzeba postąpić?

Pokręciłem głową. Zastanawiałem się, czy mama miała jakiegokolwiek pojęcie o niezbędnych w tym celu środkach. Jeśli tak, nic nie wspomniała. A teraz nie żyła. Już więc za późno.

– Dowiemy się, jak postąpić, Tom. Musimy go zabić bądź skępować, a wtedy staniesz się bezpieczny!

Zacisnąłem mocno palce na słoju krwi. Tylko on nie dopuszczał do mnie Złego.

\*

O świcie następnego dnia rozpoczęliśmy wędrówkę na zachód, w stronę portu Igoumenitsa. Mieliśmy nadzieję, że „Celeste” wciąż tam czeka. Czarownice wymaszerowały wcześniej. Zostaliśmy sami: stracharz, Alice oraz ja.

Zdążyliśmy opuścić obóz, gdy zdarzyło się coś, co nieco poprawiło mi humor. Usłyszeliśmy szczekanie, a potem podbiegła ku nam Szpon ze swymi szczeniakami. I to do mnie garnęły się najpierw, moje ręce lizwały.

– Zawsze wiedziałam, że któregoś dnia ten pies trafi do ciebie – uśmiechnęła się Alice. – Nie sądziłam jednak, że się potroi.

Stracharz przyjął zwierzęta z mniejszym entuzjazmem.

– Mogą z nami podróżować, chłopcze. Owszem, zabierzemy je do Hrabstwa. Lecz potem sam nie wiem. To psy myśliwskie, Bill często korzystał z ich pomocy. Ale w Chipenden brak dla nich miejsca. Z pewnością nie dogadałyby się z boginem. Nie przeżyłyby nawet jednej nocy w ogrodzie. Najlepiej poszukajmy im dobrego domu.

Nie mogłem się z tym spierać. Wszelako dobrze było mieć je przy sobie, choćby tymczasem. W psiej kompanii nieco raźniej maszerowało mi się na wybrzeże.

Z wielką ulgą odkryliśmy, że „Celeste” nadal czeka na kotwicy. Kapitan, widząc nas, ucieszył się. Potraktował mnie jako zastępcę mamy, jakbym to ja wynajął statek. Wyjaśnił, że tak brzmiały jej instrukcje.

Zwlekliśmy kilka dni, albowiem trudno wykluczyć, iż zjawi się ktoś jeszcze z naszej grupy, która, jakże dawno temu, wypłynęła do Grecji. Istotnie, dobiło kilka osób. Ostatecznie w ładowni schroniło się piętnaście czarownic, w tym Grimalkin oraz siostry Moudheel. Bill Arkwright jednak nie przybył. Nie mogliśmy się już

ludzi: oddał życie, umożliwiając nam ucieczkę.

\*

Podróżując do domu, nie sypiałem już w hamaku na pokładzie, jak wcześniej, lecz w wygodnym, wielkim łóżku. Stracharz wpadł na pomysł, żebym zajął kabinę mamy.

– Czemu nie, chłopcze? – spytał. – Chciałaby tego.

Toteż wracałem raczej wygodnie. Nocami wylegiwałem się, czując kołysanie statku i słuchając skrzywienia desek, od czasu do czasu odnotowując głośne węszenie psów strzegących moich drzwi. Miałem mnóstwo czasu na rozmyślania. Raz po raz odtwarzałem w głowie wszystko, co się stało. Nieodmiennie powracała ta sama ponura myśl: czy mama pozostała uwięziona w mroku, czy ruina Ord przechodząca przez portal zabrała jej duszę tam? I czy Billa Arkwrighta również to spotkało?

Miałem nadzieję, że mama objawi mi się we śnie, każdej nocy na to liczyłem. Nagle sny stały się ważniejsze niż jawa. Przez dwa tygodnie tak się nie stało, lecz w końcu pojawiła się. I był to niezwykle sen: doskonale wiedziałem, że śnię.

Siedzieliśmy w kuchni na farmie, ona w swym bujanym fotelu naprzeciw mnie, przy palenisku. Ja przycupnąłem na stołku. Czuję się szczęśliwy, zadowolony. To była dawna mama, nie ta, która powróciła z Grecji, budząc w Jacku obawy, że zjawił się u niego odmieniec. Oraz z pewnością nie ta, z którą rozmawiałem w Ordzie, zmieniająca się szybko w pięknego i groźnego anioła. Zaczęła mówić do mnie głosem pełnym ciepła, miłości, zrozumienia.

– Zawsze wiedziałam, że mrok cię skazi, synu. Wiedziałam, że zawrzesz układ ze Złym, gdyż od początku nosiłeś go w sobie. I zdecydowałeś się na układ. Nie tylko po to, by pomóc tym, których kochasz, lecz dla dobra całego Hrabstwa – i dla całego świata. Nie obwiniaj się. Dźwigasz bowiem to jako część brzemienia, które wynika z faktu, że jesteś, kim jesteś. Przede wszystkim zapamiętaj jedno – ciągnęła. – Zły zadał ci poważny cios, ale ty zadałeś też cios jemu. Mocno osłabiłeś mrok. Musisz wierzyć, synu. Nie trać wiary w to, kim jesteś. Wierz, że dojdiesz do siebie, a tak się stanie. I

nie osądzaj się zbyt surowo. Niektóre sprawy zostały uprzednio przesądzone. Musiałeś upaść, by potem wznieść się i wypełnić swoje prawdziwe przeznaczenie.

Miałem ochotę podejść do niej, pragnąłem się przytulić. Ale gdy tylko podniosłem się z krzesła, sen zniknął. Otworzyłem oczy. Leżałem z powrotem w kabinie.

Czy śniłem? A może wydarzyło się jeszcze coś? Trzy dni później, gdy zeglowaliśmy przez Cieśninę Gibraltarską, po raz drugi spotkałem się z mamą. Wiatr ucichł niemal zupełnie, prawie staliśmy w dryfie. Owej nocy zasnąłem, gdy tylko przyłożyłem głowę do poduszki.

To się stało w chwili, gdy się budziłem. Usłyszałem, dokładnie przed sobą, bardzo blisko łóżka, dziwny dźwięk. Coś ostrego w powietrzu. Jakby trzask, odgłos darcia. I przez moment przestraszyłem się. Przeraziłem.

Nie było to jednak odczucie zimna, tak często towarzyszące zbliżaniu się tworów z mroku, lecz coś zdumiewającego i potężnego. Zupełnie jakby tuż obok mnie znalazło się coś, co nie miało prawa tam być. Jakby coś nagle odrzuciło wszystkie zasady świata jawy. O ile jednak przyjemne sny potrafią nagle zamienić się w koszmar, tym razem stało się wręcz przeciwnie. Cała groza odeszła w chwili, gdy poczułem coś ciepłego.

Nie dotknęło mojej skóry. Bynajmniej nie chodziło o ciepło ręki, lecz odczucie. Ono mnie przeszywało, promieniowało: w głąb kości, ciała, nerwów. Samo ciepło, sama miłość. Czysta miłość. Tylko tak potrafię to opisać. Nie kryły się w tym żadne słowa. Żadne przesłania. Ale już nie wątpiłem.

Mama. Nic jej nie groziło. Przyszła się pożegnać. Byłem tego pewny. I ta pewność sprawiła, że dręczący mnie ból nieco zelżał.

## ROZDZIAŁ 24

### TO NIE MOŻE BYĆ PRAWDA!

W Zatoce Biskajskiej ponownie złapał nas sztorm zagrażający statkowi, lecz mimo złamanego masztu i podartych żagli zdołaliśmy przetrwać. Nareszcie zbliżaliśmy się do klifów naszej ojczyzny. Z każdą godziną robiło się coraz chłodniej.

W końcu dotarliśmy do Sunderland Point. Stamtąd ruszyliśmy na farmę Jacka: ciążył na mnie obowiązek przekazania rodzinie wieści o śmierci mamy.

Grimalkin, Mab oraz pozostałe wiedźmy pospieszyły do Pendle. My natomiast powędrowaliśmy na farmę, prowadząc ze sobą psy.

Maszerowaliśmy w milczeniu, każde pogrążone we własnych myślach. Gdy się zbliżyliśmy, uświadomiłem sobie nagle, że Alice nie powinna tam wchodzić, by nie urazić Jacka i Ellie. A jednak musiała pozostać przy moim boku, by chronił ją słój krwi. Gdybyśmy się rozdzielili, Zły zdołałby zaatakować w zemście za to, co uczyniła.

– Lepiej, by Alice udała się wraz z nami na farmę – tłumaczyłem, szybko wyszukując argumenty. – Jack może się załamać, a ona przecież umie przyrządzić zioła, które go uspokoją.

Stracharz zerknął na mnie z powątpiewaniem, zapewne uznawszy, że Jack i tak nie przyjąłby pomocy od Alice. Ja jednak obróciłem się na pięcie i pospieszyłem w stronę farmy z Alice u boku, pozostawiając go samego z trzema psami nieszczęsnego Billa Arkwrighta.

Po paru minutach psy z farmy rozszczękały się głośno. Ujrzałem Jacka, biegnącego ku nam przez południowe pastwisko. Zatrzymał się dwa kroki dalej. Raczej nie oczekiwał, że mama ponownie opuści ojczyznę i wróci do Hrabstwa, toteż jej nieobecność nie powinna go zmartwić. Chociaż, widząc smutek

malujący się na mojej twarzy, musiał obawiać się najgorszego.

– I co? Jakie wieści? – dopytywał się. – Zwyciężyliście?

– Tak, Jack, zwyciężyliśmy – odparłem. – Zwyciężyliśmy, lecz za straszliwą cenę. Mama nie żyje, Jack. Nie da się tego wyrazić delikatniej. Ona nie żyje.

Oczy Jacka rozszerzyły się. Nie z rozpaczy, z niedowierzania.

– Tak być nie może, Tom! To nie może być prawda!

– Wiem, że trudno się pogodzić, ale tak brzmi prawda, Jack. Mama zginęła, niszcząc swego wroga. Poświęciła się. Dzięki jej poświęceniu cały świat stał się lepszym miejscem, nie tylko jej ojczyzna.

– Nie! Nie! – wrzeszczał Jack, z twarzą wykrzywioną grymasem rozpaczy. Próbowałem go objąć, jakoś pocieszyć, on jednak odepchnął mnie, wciąż powtarzając: – Nie! Nie!

James spokojniej przyjął wieści.

– Czuję, że tak się stanie – westchnął cicho. – Spodziewałem się.

Kiedy mnie uścisnął, poczułem, jak drży. Ale starał się trzymać fason.

Później Jack musiał się położyć. Reszta z nas usiadła w milczeniu przy kuchennym stole – prócz Ellie, która cicho płakała. Szczerze mówiąc, nie mogłem się już doczekać pożegnania. Czuję się okropnie, spotkanie z nimi otworzyło dawne rany, rozpacz po utracie mamy powróciła.

Ellie przyrządziła nam rosół – zmusiłem się, by zamoczyć w nim bułkę i zjeść. Trzeba nabrać sił na dalszą drogę. Zostaliśmy tylko parę godzin. Tuż przed odejściem poszedłem pożegnać się z Jackiem. Zastukałem lekko do drzwi jego pokoju. Nie odpowiedział. Po dwóch kolejnych próbach uchyliłem je powoli. Siedział na łóżku, oparty o zagłówek, twarz wykrzywiał mu smutek.

– Przyszedłem się pożegnać, Jack – powiedziałem. – Za jakiś miesiąc wrócę sprawdzić, jak się miewasz. James pomoże ci na farmie. Wszystko powinno być dobrze.

– Dobrze? – powtórzył z goryczą. – Jak cokolwiek może być

jeszcze dobrze?

– Przepraszam, Jack. Mnie też jest smutno. Różnica polega na tym, że miałem kilka tygodni na oswojenie się z tą wiedzą. Wciąż boli, lecz ból nieco zelżał. Z tobą stanie się tak samo. Daj sobie czas.

– Czas? Nigdy nie upłynie dość czasu...

W odpowiedzi jedynie zwiesiłem głowę. Nie przychodziło mi do głowy nic, co mogłoby go pocieszyć.

– Do zobaczenia, Jack – powiedziałem. – Niedługo wrócę, obiecuję.

Mój brat jedynie pokręcił głową, ale nie skończył jeszcze mówić. Gdy odwróciłem się do wyjścia, załkał głośno. Potem ciągnął powoli, głosem pełnym bólu i goryczy.

– Nic nie okazywało się takie samo, odkąd wstąpiłeś do terminu u stracharza. A kiedy pierwszy raz przyprowadziłeś na farmę tę dziewczynę, Alice, wszystko zaczęło się sypać. Jej obecność tutaj przyprawia mnie o mdłości. Wcześniej żyliśmy szczęśliwie. Naprawdę szczęśliwie. Ale ty przyniosłeś nam wyłącznie cierpienie.

Wyszedłem. Zamknąłem za sobą drzwi. Z jakichś przyczyn Jack obwinił mnie o wszystko. Zresztą nie pierwszy raz. Nie ma sensu się bronić, wiedziałem. Po co gadać po próżnicy, skoro i tak nie zostanę wysłuchany? Oczywiście wszystko, od samego początku, stanowiło część planu mamy. Ale Jack nigdy by nie zrozumiał. Pozostawała mi nadzieja, że w końcu zacznie myśleć rozsądnie. Wiedziałem, że nie będzie łatwo i że proces ów zapowiada się na bardzo długo.

Ellie ofiarowała nam na drogę chleb oraz ser. Pożegnaliśmy się z nią i Jamesem. Nie uścisnęła mnie. Sprawiała wrażenie nieco chłodnej, zdystansowanej. Ale zdobyła się na obdarzenie Alice smutnym uśmiechem.

Stracharz czekał z psami w lesie na Wzgórzu Wisielców. Podczas naszej nieobecności wyciął mi nową laskę.

– Masz, chłopcze, na razie niech ci wystarczy taka – podał mi ją. – Prawdziwą, ze srebrzonym ostrzem, dostaniesz dopiero po



powrocie, w Chipenden. Ale przynajmniej wyszukałem drewno jarzębiny i porządnie ją zaostrzyłem.

Laska była świetnie wyważona, podziękowałem. Znow ruszyliśmy na północ. Po jakiejś godzinie zostawiłem stracharza. Zwolniłem kroku, by móc pomówić z Alice.

– Jack wini mnie za wszystko – powiedziałem. – Ale jednemu nie mogę zaprzeczyć. Chwila, gdy zostałem uczniem stracharza, stała się początkiem końca naszej rodziny.

Alice uścisnęła mi rękę.

– Twoja mama miała plan. I zrealizowała go, Tom. Powinieneś być z niej dumny. Kiedyś Jack zrozumie. Poza tym nadal pozostajesz w terminie u stracharza, wciąż uczysz się przy nim. Wkrótce wrócimy do Chipenden, zamieszkamy w jego domu, a ja znow będę przepisywała księgi. To nie jest złe życie, Tom i nadal mamy siebie. Czyż nie tak?

– Istotnie, Alice – odparłem ze smutkiem. – Wciąż mamy siebie.

Alice ponownie uścisnęła mi dłoń. Z nieco lżejszymi sercami pomaszrowaliśmy w stronę Chipenden.

\*

Większość z tego opisałem, odwołując się do pamięci, tylko w razie konieczności sięgałem do notesu. Jesteśmy z powrotem w Chipenden. Powróciliśmy do dawnego życia. Nadal uczę się mego fachu. Alice nadal przepisuje pilnie książki z biblioteki stracharza. Na wojnie idzie nam kiepsko – armia wroga prze na północ, w stronę Hrabstwa, grabiąc i paląc wszystko na swej drodze. Stracharz niespokojnie słuca wieści. Obawia się o bezpieczeństwo swoich ksiąg.

Psy Arkwrighta, Szpon, Krew i Kość, oddaliśmy tymczasowo pod opiekę staremu pastuchowi, który mieszka niedaleko Long Ridge. Pamiętam, że trzeba znaleźć im stały dom. Na razie jednak odwiedzam je czasami, zawsze cieszą się na mój widok.

Słój krwi, jedyną obronę przed Złym, noszę stale w kieszeni. To tajemnica, którą dzielę z Alice: ona także go potrzebuje, tak samo jak ja, więc nigdy nie oddala się zbyt od mego boku. Gdyby

stracharz dowiedział się o słoju, roztrzaskałby go o kamień. Wtedy zaś nastąpiłby koniec nas wszystkich. Wiem jednak, że nadejdzie dzień zapłaty. W dniu, kiedy umrę, Zły będzie na mnie czekał, gotów zabrać mą duszę. To cena, jaką okupiłem zwycięstwo na Meteorach. Pozostała mi tylko jedna nadzieja: zniszczę go wcześniej. Nie wiem, jak to uczynię, ale mama wierzyła we mnie, więc ja także próbuję wierzyć, że to możliwe. Muszę znaleźć jakiś sposób.

Thomas J. Ward

## **TOM 7**

Koszmar stracharza

The Spook's Nightmare

## **ROZDZIAŁ 1**

### **CZERWONA OD KRWI**

Wraz ze stracharzem i Alice przeprowialiśmy się przez rozległe wzgórza w drodze powrotnej do Chipenden. Trzy ogary, Szpon, Krew i Kość, powarkowały radośnie, dotrzymując nam kroku.

Pierwsza część wspinaczki okazała się całkiem przyjemna. Całe popołudnie padał deszcz, lecz wieczór nastał pogodny, bezchmurny, jak to bywa późną jesienią; lekki wietrzyk mierzwił nam włosy. Idealna pogoda do marszu. Myślałem, że okolica jest spokojna.

Na szczycie jednak czekał nas potężny wstrząs. Na północy, poza wzgórzami, dostrześliśmy chmurę czarnego dymu.

Wyglądało, jakby paliło się Caster. Czyżby w końcu dotarła tu wojna?, pomyślałem z lękiem. Przed wielu laty sojusz wrogich krajów najechał naszą ojczyznę, daleko na południu. Od tego czasu, mimo najlepszych wysiłków wszystkich Hrabstw, najeźdźcy powoli przesuwali się ku północy.

– Jak mogli zejść tak daleko bez naszej wiedzy? – Stracharz podrapał się po brodzie, wyraźnie poruszony. – Z pewnością dotarłyby do nas jakieś wieści, czy choćby ostrzeżenie?

– Może nadciąga tylko niewielki oddział, który przybył morzem? – podsunąłem.

Wydawało się to całkiem możliwe. Statki wroga już wcześniej dobijały do brzegu i atakowały nabrzeżne osady – choć jak dotąd oszczędzały naszą część Hrabstwa.

Kręcąc głową, stracharz ruszył gwałtownie w dół zbocza, maszerując w szaleńczym tempie. Alice obdarzyła mnie niespokojnym uśmiechem. Pospieszyliśmy w ślad za nim. Obciążony laską i obiema torbami, z trudem utrzymywałem równowagę na mokrej, śliskiej trawie. Wiedziałem jednak, co niepokoi mistrza. Obawiał się o swą bibliotekę. Na południu żołnierze często plądrowali i palili domy, toteż martwił się o bezpieczeństwo ksiąg, skarbnicy mądrości, gromadzonej przez całe pokolenia stracharzy.

Od trzech lat terminowałem u mojego mistrza, ucząc się, jak się rozprawiać z duchami, widmami, wiedźmami, boginami i najróżniejszymi stworami mroku. Przez większość dni mistrz udzielał mi lekcji, ale drugim źródłem wiedzy pozostawała biblioteka. Niewątpliwie była bardzo ważna.

Gdy zostawiliśmy za sobą wzniesienie, skierowaliśmy się wprost ku Chipenden. Z każdym krokiem wzgórza na północy zdawały się coraz wyższe. Przeprawiliśmy się właśnie przez wąską rzeczkę, przeskakując z kamienia na kamień, do wtóru pluskania wody, gdy Alice uniosła rękę.

– Żołnierze wroga! – zawołała.

W dali grupka mężczyzn maszerowała na wschód, przecinając

naszą ścieżkę. Dostrzegliśmy co najmniej dwa tuziny zbrojnych, miecze u ich pasów migotały jasno w promieniach zachodzącego słońca, wiszącego nisko nad horyzontem. Zatrzymaliśmy się i przycupnęliśmy na brzegu w nadziei, że nas nie zauważyli. Kazałem psom leżeć cicho; posłuchały natychmiast.

Żołnierze nosili szare mundury i stalowe hełmy z szerokimi osłonami nosa, jakich wcześniej nie oglądałem. Alice miała rację. Nadciągał liczny patrol wroga. Niestety, dostrzegli nas niemal natychmiast. Jeden z nich pokazał ręką i warknął rozkaz; niewielka grupka odłączyła się od oddziału. Zbrojni puścili się ku nam biegiem.

– Tędy! – zawołał stracharz, chwytając torbę, by uwolnić mnie od nadmiernego obciążenia. Pomknął wzdłuż rzeczki; Alice i ja podążyliśmy za nim, psy również.

Przed sobą ujrzelśmy duży las. Może uda nam się tam zgubić pogoń, pomyślałem. Lecz gdy tylko dotarliśmy do linii drzew, straciłem nadzieję. Niedawno został uporządkowany: nie dostrzegłem żadnych młodych drzewek ani krzaków – jedynie rzadko rosnący starodrzew. Żadnej kryjówki.

Zerknąłem przez ramię. Prześladowcy rozproszyli się, tworząc nierówny szereg. Większość poruszała się powoli, choć jeden żołnierz na przedzie wyraźnie nas doganiał; groźnie wymachiwał trzymanym w ręku mieczem.

Nim się zorientowałem, stracharz przystanął gwałtownie. Rzucił mi do stóp torbę.

– Biegnij dalej, chłopcze! Ja się nim zajmę – polecił, obracając się ku żołnierzowi.

Przywoławszy do siebie psy, zatrzymałem się, marszcząc czoło. Nie mogłem tak zostawić mistrza. Chwyciłem jego torbę, uniosłem laskę. W razie potrzeby ruszę mu z pomocą. Psy, zajadłe ogary, nieznające strachu, wezmę ze sobą.

Obejrzałem się na Alice. Ona także przystanęła i patrzyła na mnie z dziwnym wyrazem twarzy. Miałem wrażenie, że mamrocze coś pod nosem. Wietrzyk ustał nagle, chłód runął na nas niczym

lodowate ostrze, wbijające mi się w twarz. Wokół zapadła niespodziewana cisza, jakby wszelkie istoty w lesie wstrzymały oddech. Spomiędzy drzew, ze wszystkich stron wypełzły nagle smużki mgły. Ponownie spojrzałem na Alice. Nic nie zapowiadało podobnej zmiany pogody. Nie wydawała się naturalna. Czyżby zadziałała czarna magia? Psy warowały, popiskując cicho. Nawet jeśli mgła miała nam pomóc, mistrz z pewnością rozgniewałby się, że Alice użyła czarnej magii. Przez dwa lata szkoliła się na wiedźmę, więc zawsze się obawiał, że w końcu zwróci się ku mrokowi.

Do tej pory stracharz zdążył już zająć pozycję obronną, unosząc ukośnie laskę. Żołnierz, który doń dotarł, ciął w dół mieczem. Serce podeszło mi do gardła, nie musiałem się jednak obawiać. Usłyszałem okrzyk bólu – wydał go jednak żołdak, nie mój mistrz. Miecz, wirując, poleciał w trawę, a potem stracharz wymierzył mocny cios w skroń napastnika, powalając go na kolana. Mgła gęstniała szybko, na kilka chwil mistrz zniknął mi z oczu. Potem usłyszałem, że biegnie ku nam. Kiedy się z nami zrównał, pospieszyliśmy dalej, podążając wzdłuż rzeki. Mgła z każdym krokiem robiła się coraz gęściejsza. Wkrótce zostawiliśmy za sobą las i strumień; skierowaliśmy się wzdłuż gęstego głogowego żywopłotu na północ. Po kilkuset jardach stracharz gestem nakazał nam, byśmy przystanęli. Przykucnęliśmy w rowie, wstrzymując oddech. Nasłuchiwaliliśmy. Z początku nie słyszeliśmy odgłosów pościgu, potem jednak z północy i wschodu dobiegły głosy. Wciąż nas szukali, choć robiło się coraz ciemniej, zatem z każdą minutą szanse, że nas odkryją, malały.

Już myśleliśmy, że jesteśmy bezpieczni, gdy głosy dobiegające z północy stały się donośniejsze. Wkrótce usłyszeliśmy zbliżające się kroki. Wyglądało, że nieprzyjaciel trafił wprost na naszą kryjówkę. Wraz z mistrzem zacisnęliśmy dłonie na swych kijach, gotowi do walki na śmierć i życie.

Nasi prześladowcy minęli nas w odległości zaledwie paru jardów po prawej – we mgle dostrzegliśmy niewyraźne sylwetki trzech

mężczyzn. Ponieważ jednak przykucnęliśmy w rowie, nie zauważyli nas. Kiedy kroki i głosy znów ucichły, stracharz pokręcił głową.

– Nie wiem, ilu ich nas szuka – wyszeptał – ale się nie poddają. Lepiej zostańmy tu przez resztę nocy.

I tak przyszło nam spędzić zimną, niewygodną noc w rowie. Z początku spałem niespokojnie. Jak to często bywa w podobnych sytuacjach, pogrążyłem się w głębokim śnie akurat wtedy, kiedy nadszedł czas pobudki. Obudziła mnie Alice, potrząsając za ramię.

Usiadłem i rozejrzałem się dokoła. Słońce już wzeszło, widziałem płynące po niebie szare chmury. Wiatr świstał w żywopłocie, kołysał cienkimi, bezlistnymi gałązkami.

– Wszystko w porządku? – spytałem.

Alice przytaknęła z uśmiechem.

– W promieniu mili nie ma nikogo. Żołnierzykowie zrezygnowali. Odeszli.

Nagle usłyszałem jakiś dźwięk przypominający jęczenie. Stracharz.

– Pewnie dręczą go złe sny – zauważyła Alice. – Może trzeba go obudzić? – zaproponowałem.

– Zostaw go na parę minut. Najlepiej, by sam się ocknął.

Ale krzyki i jęki mojego mistrza stawały się coraz głośniejsze. Cały zaczął dygotać, coraz bardziej poruszony, toteż po minucie potrząsnąłem lekko jego ramieniem.

– Wszystko w porządku, panie Gregory? – spytałem. – Chyba miał pan koszmary.

Przez moment patrzył na mnie szalonymi oczami, jak na kogoś obcego czy nawet wroga.

– O tak, śniłem prawdziwy koszmar – rzekł w końcu. – Sen o Kościstej Lizzie...

Koścista Lizzie była matką Alice, potężną wiedźmą, obecnie uwięzioną w jamie w ogrodzie stracharza w Chipenden.

– Siedziała na tronie – podjął mistrz – a Zły stał u jej boku, z dłonią na jej lewym ramieniu. Znajdowali się w wielkiej sali, której

z początku nie rozpoznałem. Podłoga była czerwona od krwi. Więźniowie krzyczeli ze zgrozy, a potem ginęli – ścinano im głowy. Lecz dopiero widok komnaty naprawdę mną wstrząsnął.

– Gdzie to się działo? – spytałem. Stracharz pokręcił głową.

– W wielkiej sali na zamku w Caster! Lizzie rządziła Hrabstwem...

– Przecież to tylko zły sen – pocieszyłem go. – Jest bezpiecznie uwięziona.

– Może – mruknął stracharz. – Ale nigdy jeszcze nie nawiedził mnie równie wyrazisty senny majak.

\*

Ruszyliśmy ostrożnie w kierunku Chipenden. Stracharz nie wspomniał ani słowem o mgle, która podniosła się nagle poprzedniego wieczoru. Ostatecznie pora roku sprzyjała mgłom, a on zajmował się wówczas przygotowaniami do starcia z żołdakiem. Ja jednak nie wątpiłem, iż mgła pojawiła się na wezwanie Alice. Ale kimże byłem, by protestować? Przecież mnie samego także skaził mrok.

Dopiero co wróciliśmy z Grecji po pokonaniu Ordyny, jednej z dawnych bogów. Zwycięstwo słono nas kosztowało. Moja mama zginęła, by nam je zapewnić, podobnie Bill Arkwright, stracharz pracujący na północ od Caster – dlatego właśnie prowadziliśmy ze sobą jego psy.

Ja także zapłaciłem straszliwą cenę. Aby umożliwić nam zwycięstwo, sprzedałem duszę Złemu.

Teraz jedyną rzeczą, jaka nie pozwalała mu zawlec mnie w mrok, był słój krwi, który dostałem od Alice i nosiłem w kieszeni. Dopóki miałem go przy sobie, Zły nie mógł do mnie przystąpić. Alice musiała pozostawać blisko mnie, bo także potrzebowała ochrony – w przeciwnym razie Zły zabiłby ją w zemście za to, że mi pomogła. Oczywiście, stracharz nie miał o niczym pojęcia. Gdybym mu powiedział, co zrobiłem, oznaczałoby to koniec terminu.

W miarę jak wspinaliśmy się po zboczu w stronę Chipenden,

mój mistrz coraz bardziej się denerwował. Co krok natykaliśmy się na ślady zniszczenia: wypalone domy, porzucone gospodarstwa, a raz nawet zauważyliśmy trupa w przydrożnym rowie.

– Miałem nadzieję, że nie zapuszczą się tak daleko w głąb lądu. Przeraza mnie myśl o tym, co zastaniemy w domu, chłopcze – rzekł ponurym tonem stracharz.

Zazwyczaj unikał przejścia przez Chipenden: większość ludzi bało się stracharza, a mój mistrz szanował wolę miejscowych. Kiedy jednak przed nami pojawiły się szare łupkowe dachy, jedno spojrzenie wystarczyło, byśmy pojęli, że coś jest bardzo nie tak.

Niewątpliwie przeszli tędy żołnierze wroga. Wiele dachów nosiło ślady zniszczenia: z dziur wystawały zwięglone belki. Im bardziej się zbliżaliśmy, tym gorzej wszystko wyglądało. Niemal trzecią część domów spalono do gołej ziemi, pozostawiając jedynie poczerniałe kamienne skorupy w miejscach, gdzie kiedyś żyły całe rodziny. Te, które uniknęły pożaru, potraciły okna i drzwi. Wszędzie dostrzegałem ślady grabieży.

Wioska sprawiała wrażenie wyludnionej, później jednak usłyszeliśmy stukot. Ktoś pracował młotkiem. Stracharz poprowadził nas brukowanymi ulicami w stronę źródła dźwięku. Zmierzaliśmy w kierunku głównego traktu wiodącego przez wieś, wzdłuż którego mieściły się kramy. Minęliśmy splądrowane sklepik warzywny oraz piekarnię, zbliżyliśmy się do kramu rzeźnika, z którego zdawał się dobiegać hałas.

Rzeźnik wciąż tam był, jego ruda broda lśniła w blasku porannego słońca, ale nie naprawiał zniszczonego kramu. Przybijał wieko do trumny. W pobliżu stały jeszcze trzy, już zamknięte, gotowe do pogrzebu. Jedna, mała, bez wątpienia kryła w sobie dziecko. Na nasz widok rzeźnik podniósł się. Podeszedł uścisnąć dłoń stracharza. Tylko z nim mój mistrz miał kontakt we wsi – rzeźnik był jedyną osobą, z jaką rozmawiał o tematach innych niż nasze sprawy.

– Działy się okropne rzeczy, panie Gregory – rzekł teraz. – Nic już nigdy nie będzie tak samo.



– Mam nadzieję, że to nie... – wymamrotał stracharz, zerkając na trumny. – O nie, Panu niech będą dzięki – pospieszył z odpowiedzią rzeźnik. – To się zdarzyło trzy dni temu. Akurat zdążyłem wywieźć rodzinę w bezpieczne miejsce. Nie, ci tutaj, biedacy, nie uciekli niestety dość szybko. Żołnierze zabili wszystkich, których znaleźli. Napadł na nas zaledwie patrol nieprzyjaciela, ale bardzo duży. Szukali zapasów. Nie musieli palić domów ani zabijać ludzi. Dlaczego wybili całą rodzinę? Mogli po prostu zabrać, co chcieli, i odejść.

Stracharz pokiwał głową. Wiedziałem, jak brzmi odpowiedź, choć nie mówił jej głośno: działo się tak, bo Zły krążył swobodnie po świecie. Przez niego ludzie stawali się okrutniejsi, a wojny dziksze.

– Przykro mi z powodu pańskiego domu, panie Gregory – dodał rzeźnik.

Z twarzy stracharza odpłynęła krew.

– Co się stało? – spytał ostro.

– Och, naprawdę mi przykro. Nie wiedział pan? Zakładałem, że już pan tam zajrzał. Z odległości wielu mil słyszeliśmy wycie i ryki bogina. Musiało być ich jednak zbyt wielu, by mógł sobie z nimi poradzić. Splądrowali pański dom, zabrali każdą rzecz, jaką zdołali wynieść, a resztę podpalili...

## **ROZDZIAŁ 2**

### **JESZCZE NIE UMARŁEŚ**

Bez jednego słowa stracharz odwrócił się na pięcie. – Niemal biegiem ruszył w górę zbocza. Po chwili bruk ustąpił miejsca błotnistemu traktowi. Pokonawszy wzgórze, dotarliśmy do granicy ogrodu. Poleciałem psom, by czekały. Zagłębiliśmy się między drzewa.

Wkrótce znaleźliśmy pierwsze trupy. Leżały tam już jakiś czas, bowiem w powietrzu rozchodził się ostry smród śmierci; nosiły

szare mundury oraz charakterystyczne hełmy wroga. Pojąłem, że grabieżców spotkała gwałtowna śmierć: jednym rozszarpano gardła, innym zmiądzono czaszki. Wyraźnie sprawił to bogin. Kiedy jednak wyłoniliśmy się spomiędzy drzew i ruszyliśmy przez trawnik przy domu, przekonaliśmy się, iż rzeźnik miał rację. Żołdaków wyroilo się zbyt wielu, by bogin zdołał pokonać wszystkich. Podczas gdy zabijał intruzów z jednej strony ogrodu, inni podkradli się bliżej. Wreszcie podpalili zabudowania. Pozostały tylko nagie, poczerniałe ściany. Dom stracharza w Chipenden zamienił się w wypaloną skorupę: dach się zawalił, z wnętrza zniknęło wszystko – łącznie z bezcenną biblioteką.

Mistrz długi czas w milczeniu wpatrywał się w pogorzeliśko. W końcu zdecydowałem się przemówić pierwszy.

– Gdzie teraz podziewa się bogin?

– Zawarłem z nim pakt – odparł stracharz, nie patrząc na mnie.

– W zamian za strzeżenie domu, gotowanie i sprząatanie oddałem mu władzę nad ogrodem. Mógł sobie wziąć każde żywe stworzenie, jakie zastał tam po zmroku – oprócz mych uczniów oraz stworów w nim uwięzionych – jeśli tylko wydał wcześniej trzy ostrzegawcze krzyki. Ich krew należała do niego. Lecz pakt obowiązywał dopóty, dopóki dom nie stracił dachu. Toteż po pożarze bogin odzyskała wolność. Odszedł na zawsze.

Powoli okrążaliśmy pozostałości domu. W końcu dotarliśmy do wielkiej sterty szaroczarnych popiołów na trawniku. Żołnierze, wygarnawszy księgi z biblioteczných półek, rozniecili wielkie ognisko.

Stracharz padł na kolana, zaczął grzebać w wystygłych popiołach. Niemal wszystko, na co trafił, rozpadało mu się w palcach. W końcu znalazł przypaloną skórzaną okładkę: grzbiet księgi, który w jakiś sposób ocalał z ognia. Uniósł go, oczyścił palcami. Przez ramię mistrza odczytałem tytuł: „Potępienie, oszołomienie, desperacja”. Czyli księga, którą napisał dawno temu, w młodości – fundamentalne dzieło dotyczące opętania. Pożyczył mi ją kiedyś, gdy groziło mi śmiertelne niebezpieczeństwo ze

strony Mateczki Malkin. Teraz z tomu pozostała tylko okładka.

Biblioteka mego mistrza przepadła, płomienie pochłonęły słowa zapisane przez całe pokolenia stracharzy – dziedzictwo niezliczonych lat walki z mrokiem, wielką skarbnicę wiedzy.

Usłyszałem jego szloch. Odwróciłem się, zawstydzony. Czyżby płakał?

Alice pociągnęła szybko trzy razy nosem. Chwyciła mnie za lewe ramię.

– Chodź ze mną, Tom – wyszeptała.

Ostrożnie przemknęła pod kilkoma opalonymi belkami, weszła do domu przez dziurę; tam niegdyś tkwiły tylne drzwi. Powoli odnalazła drogę do zrujnowanej biblioteki, z której pozostało jedynie zwęglone drewno i popioły. W końcu zatrzymała się, wskazała palcem podłogę. Z trudem dostrzegłem grzbiet kolejnej książki. Rozpoznałem ją natychmiast: bestiariusz stracharza.

Wstrzymując oddech, podniosłem tom. Czy z niego również pozostała ledwie sama okładka? Ku swej radości przekonałem się, że stronicie ocalały. Przejrzałem je szybko. Przypalone przy brzegach, lecz nietknięte, czytelne. Skinieniem głowy podziękowałem Alice. Zaniósłem bestiariusz mistrzowi.

– Jedna z ksiąg ocalała – oznajmiłem. – Alice ją wypatrzyła.

Odebrał mi znalezisko, przez długi czas wbijał wzrok w okładkę; jego twarz nie zdradzała niczego.

– Tylko jedna z tak wielu, reszta spłonęła bez śladu – rzekł w końcu.

– Ale pana bestiariusz to jedna z najważniejszych prac – przypomniałem. – Lepsze to niż nic!

– Zostawmy starego Gregory'ego na chwilę – wyszeptała Alice, po czym wzięła mnie łagodnie za rękę i odprowadziła na bok.

Podążyłem za nią przez trawę, między drzewa zachodniego ogrodu. Ze znużeniem pokręciła głową.

– Jest coraz gorzej i gorzej – mruknęła. – Ale wkrótce powinien dojść do siebie.

– Mam nadzieję, Alice. Naprawdę. Biblioteka wiele dla niego

znaczyła. Jej zachowanie i uzupełnianie stanowiło ważną część pracy mistrza. Spłonęło jego dziedzictwo, przeznaczone dla następnych pokoleń stracharzy.

– Ty będziesz kiedyś tutejszym stracharzem, Tom. Poradzisz sobie bez książek. Zaczynj pisać własne – to właśnie musisz zrobić. Zresztą, nie wszystko jeszcze stracone. Oboje wiemy, gdzie znaleźć kolejną bibliotekę. No, i musimy poszukać sobie innego dachu nad głową. Nie ma sensu udawać się na południe, do wilgotnego, zimnego domu starego Gregory'ego w Anglezarke. Leży teraz za linią wroga, a w dodatku nie damy rady spędzić tam zimy. I nie ma żadnych książek. Biedny Bill Arkwright nie będzie już mieszkał we młynie, powinniśmy zatem jak najszybciej ruszyć na północ, w stronę kanału. Żołnierze nie mogli odejść zbyt daleko.

– Może masz rację, Alice. Nie warto dłużej czekać. Chodź, przedstawimy twoje rozwiązanie panu Gregory'emu. Biblioteka Arkwrighta jest znacznie mniejsza niż nasza, ale to zawsze jakiś początek – fundament, który można rozbudować.

Wyszliśmy spomiędzy drzew. Ponownie ruszyliśmy przez trawnik, podchodząc do stracharza z innej strony. Siedział na trawie, wpatrując się w trzymany w dłoniach bestiariusz. Nie dostrzegaliśmy naszej obecności.

Alice zatrzymała się nagle. Obejrzała się w stronę wschodniego ogrodu, gdzie leżały pogrzebane wiedźmy. Ponownie trzy razy pociągnęła głóśno nosem.

– Co się stało, Alice? – spytałem, dostrzegając troskę na jej twarzy.

– Coś jest nie tak, Tom. Wcześniej, przechodząc przez ten trawnik, zawsze czułam woń Lizzie.

Koścista Lizzie przez dwa lata uczyła Alice. Była potężną, bezecną kościaną czarownicą, pogrzebaną żywcem w jamie i uwięzioną tam na wieki przez mego mistrza. Zasłużyła sobie na ponury los. Mordowała dzieci, wykorzystując ich kości w mrocznych, magicznych rytuałach.

Alice ruszyła przodem między drzewa wschodniego ogrodu.

Minęliśmy groby, w których spoczywały martwe czarownice. Wszystko wyglądało jak należy. Kiedy jednak dotarliśmy do wiedźmiej jamy, tam gdzie tkwiła Lizzie, przeżyłem wstrząs. Pręty zostały wygięte, dziura okazała się pusta. Koścista Lizzie uciekła.

– Kiedy się wydostała, Alice? – spytałem nerwowo, lękając się, że wiedźma czai się w pobliżu.

Alice znów powęszyła.

– Co najmniej dwa dni temu – ale nie martw się, już dawno stąd odeszła. Bez wątpienia wróciła do domu, do Pendle. I dobrze, że się jej pozbyliśmy.

Wróciliśmy do stracharza.

– Koścista Lizzie uciekła z jamy – poinformowałem go. – Alice sądzi, że to się zdarzyło w dzień po tym, jak żołnierze spalili dom.

– Były tam inne czarownice – dodała Alice. – Po odejściu bogina mogły wtargnąć do ogrodu i ją uwolnić.

Stracharz nie dał po sobie poznać, że usłyszał nasze słowa. Przyciskał bestiariusz do piersi, wbijając ponury wzrok w stos popiołów. Uznałem, że to nie najlepszy moment, by proponować, abyśmy ruszyli na północ do domu Arkwrighta. Robiło się już ciemno, a mieliśmy za sobą ciężką podróż na zachód, zakończoną smutnym odkryciem. Musiałem mieć nadzieję, że rano mistrz dojdzie do siebie.

Ponieważ bogin już im nie zagrażał, zagwizdałem na psy. Od powrotu z Grecji Szpon i jej dwa dorosłe szczeniaki, Krew oraz Kość, mieszkały ze starym pasterzem, żyjącym za długim wzgórzem. Niestety, opieka nad psami stała się dla niego zbyt ciężkim zadaniem, toteż odebraliśmy mu całą trójkę. Właśnie wracaliśmy do Chipenden, gdy ujrzeliśmy dym nad Caster. Akwright używał swych psów do chwytania i zabijania wodnych wiedźm.

Rozpaliłem na trawniku niewielkie ognisko, Alice ruszyła polować na króliki. Złapała trzy, wkrótce piekły się już nad ogniem, a mnie do ust napływała ślinka. Gdy były gotowe, zaprosiłem stracharza. Nalegałem, aby do nas dołączył i posilił się

przy ogniu. Ponownie nie zareagował, zupełnie jakbym mówił do ściany. Nim ułożyliśmy się na noc, mój wzrok powędrował ku zachodowi. Na Wzgórzu Wici płonął ogień. Na moich oczach stawał się coraz jaśniejszy.

– Rozpalili wici, zamierzają wezwać więcej wojska, Alice – powiedziałem. – Przypuszczam, że wkrótce dojdzie do bitwy.

Łańcuch ognisk przecinających Hrabstwo z północy na południe, przeskakujących ze wzgórza na wzgórze, wzywał ostatnie rezerwy na bój.

\*

Choć leżeliśmy z Alice tuż przy dogasającym ognisku, czuliśmy nocny chłód. Nie mogłem zasnąć, zwłaszcza że Szpon ułożyła mi się na stopach. W końcu jednak przysnąłem.

Ocknąłem się gwałtownie tuż przed świtem. Zbudziły mnie głośnie dźwięki – huki, trzaski, łomoty. Grzmi?, zastanawiałem się, wciąż oszołomiony snem.

– Posłuchaj tylko tych dział, Tom! – zawołała Alice. – Nie strzelają zbyt daleko.

Na południu zaczęła się bitwa. Klęska oznaczałaby, że wróg opanuje całe Hrabstwo. Musieliśmy natychmiast ruszyć na północ, póki jeszcze istniała jakaś szansa. Razem podeszliśmy do stracharza, który wciąż siedział w tym samym miejscu, ze spuszczoną głową, tuląc do siebie książkę.

– Panie Gregory – zacząłem – we młynie Billa Arkwrighta pozostała niewielka biblioteka. To zawsze jakiś początek. Fundament, na którym da się budować. Może zatem ruszymy na północ, może tam na razie zamieszkamy? Będzie bezpieczniej. Nawet jeśli nieprzyjaciel wygra, niekoniecznie zepuści się na północ dalej niż do Caster...

Wrogowie mogli posłać patrole, ale najpewniej jedynie zajmą Caster, wysunięte najbardziej na północ duże miasto Hrabstwa. Być może ogóle nie zauważą młyna, ukrytego wśród drzew nad kanałem.

Stracharz nadal nie podnosił głowy.

– Jeśli będziemy dłużej zwlekać, raczej nie zdołamy się przedostać. A tutaj nam zostawać nie wolno.

I znów mistrz nie odpowiedział. Usłyszałem, jak Alice zgrzyta z wściekłości zębami.

– Proszę, panie Gregory – błagałem. – Proszę się nie poddawać...

W końcu spojrzał na mnie. Ze smutkiem pokręcił głową.

– Chyba nie w pełni rozumiesz, co tu straciliśmy. Biblioteka nie należała do mnie, chłopcze. Byłem jedynie jej opiekunem. Miałem obowiązek ją rozbudować i zachować dla przyszłych pokoleń. Ale zawiodłem. Jestem zmęczony – zmęczony tym wszystkim. Moje stare kości są zbyt znużone, by iść dalej. Za dużo widziałem, za długo żyłem.

– Posłuchaj, stary Gregory – warknęła Alice. – Wstawaj z ziemi! Nie ma sensu tu tkwić, aż w końcu zgnijesz.

Stracharz zerwał się na równe nogi, jego oczy rozbłysły gniewnie. Alice nazywała go dotąd starym Gregorym jedynie między nami. Nigdy dotąd nie odważyła się zwrócić tak wprost do niego. W prawej dłoni ścisnął bestiariusz, w lewej laskę – którą uniósł, jakby zamierzał zadać jej cios w głowę. Ona jednak nie wzdrygnęła się, ba, nawet i nie przerwała tyrady.

– Wciąż czeka mnóstwo spraw: musisz walczyć z mrokiem, trzeba napisać nowe książki. Jeszcze nie umarłeś, więc póki jesteś w stanie poruszać swymi starymi kośćmi, masz obowiązek działać dalej. Masz obowiązek chronić Toma i go szkolić. Obowiązek wobec Hrabstwa!

Stracharz powoli opuścił kij. Ostatnie zdanie Alice sprawiło, że jego oczy zmieniły wyraz. „Obowiązek nade wszystko” – oto motto, którym kierował się w życiu. Obowiązek wobec Hrabstwa zawsze wskazywał mu drogę w długim, ciężkim, pełnym niebezpieczeństw życiu.

Bez słowa włożył do torby przypalony bestiariusz. Pomaszerował na północ. Wraz z Alice i psami podążyliśmy za nim, starając się dotrzymać mu kroku. Zapewne postanowił wybrać się

jednak do młyna.

## ROZDZIAŁ 3

### STARZEC

Nigdy nie dotarliśmy do młyna. Może po prostu nie było nam to pisane. Podróż przez wzgórza minęła bez przeszkód, gdy jednak zbliżyliśmy się do Caster, ujrzeliśmy płonące domy na południu. Chmura ciemnego dymu przesłaniała zachodzące słońce. Nawet gdyby główna armia najeźdźcy zwyciężyła w bitwie, nie zdołałaby dotrzeć tak daleko na północ: to musiał być oddział łupieżczy, który przybył morzem. Zazwyczaj odpoczywaliśmy na niższych zboczach, tym razem jednak niepokój dodał nam sił i maszerowaliśmy dalej w ciemnościach, zapuszczając się daleko na wschód od Caster. Gdy tylko dotarliśmy do kanału, odkryliśmy, że nie da się podróżować bezpośrednio wzdłuż brzegu, na północ do młyna. Obie ścieżki holownicze wypełniał bowiem tłum uchodźców zmierzających na południe.

Trochę trwało, nim zdołaliśmy przekonać kogoś, by wyjaśnił nam, co zaszło: ludzie parli naprzód, ich oczy wypełniał strach. W końcu dopadliśmy starego mężczyznę opartego o bramę i ciężko chwyającego oddech. Kolana dygotały mu z wysiłku.

– Jak źle jest na północy? – spytał stracharz niezwykle uprzejmym tonem.

Nieznajomy pokręcił głową. Dopiero po długiej chwili zdołał odzyskać dość sił, by odpowiedzieć.

– Na północny wschód od zatoki wylądował duży oddział żołnierzy – wydyszał. – Zupełnie nas zaskoczyli. Zajęli wieś Kendall – a raczej to, co z niej zostało po spaleniu – i maszerują w tę stronę. Koniec. Straciłem swój dom. Mieszkałem w nim całe życie. Za stary jestem, by zaczynać wszystko od nowa.

– Wojny nie trwają wiecznie. – Stracharz poklepał go po



ramieniu. – Ja także straciłem dach nad głową. Ale musimy żyć dalej. Kiedyś obaj wrócimy do siebie i odbudujemy nasze domy.

Stary człowiek przytaknął. Powłócząc nogami, dołączył do reszty uchodźców. Słowa stracharza wyraźnie go nie przekonały. Sądząc po grymasie na obliczu mistrza, on sam także nadrabiał miną. Odwrócił się do mnie z ponurą, napiętą twarzą.

– Uważam, że teraz moim najważniejszym obowiązkiem jest uchronienie ciebie, chłopcze. Lecz żadne miejsce w Hrabstwie nie jest już bezpieczne. Na razie niczego tu nie zdziałamy. Kiedyś wrócimy, teraz jednak musimy znów wypłynąć na morze.

– Dokąd się udamy? Do Sunderland Point? – spytałem, zakładając, że spróbujemy dotrzeć do największego portu Hrabstwa i wykupić miejsce na statku.

– Jeśli Sunderland Point nie wpadł jeszcze w ręce wroga, kręci się tam pełno uciekinierów. – Stracharz pokręcił głową. – Nie, odbiorę pewien dawny dług.

To rzekłszy, poprowadził nas szybko na zachód.

Bardzo rzadko stracharz otrzymywał zapłatę od razu; czasem zdarzało się tak, że w ogóle jej nie dostawał. Teraz postanowił odebrać starą należność. Wiele lat wcześniej wygnał morskiego upiora z domku rybaka. Dziś, miast zapłaty w brzęczącej monecie, zażądał noclegu i przeprawy na Monę, wielką wyspę leżącą na Morzu Irlandzkim, na północny zachód od Hrabstwa.

Rybak niechętnie zgodził się nas tam zabrać. Wcale nie chciał płynąć, ale za bardzo się bał człowieka o groźnie błyszczących oczach, który stanął przed nim i którego zdawała się przepełniać determinacja.

Sądziłem, że podczas podróży latem do Grecji oswoiłem się z morzem. O, jakże się myliłem. Mała łódź rybacka bardzo różniła się od trójmasztowej „Celeste”. Nim jeszcze opuściliśmy zatokę, wypływając na otwarte morze, łódź już zaczęła niepokojąco się kołysać i podskakiwać. Psy odpowiedziały nerwowym skomleniem. Zamiast patrzeć, jak Hrabstwo niknie w dali, większą część podróży spędziłem przewieszony przez burtę. Szarpały mną

gwałtowne torsje.

\*

– Czujesz się lepiej, chłopcze? – spytał stracharz, gdy w końcu wymioty minęły.

– Odrobinę – zerknąłem w stronę Mony, niewyraźnej smugi zieleni na horyzoncie. – Odwiedzał pan już wcześniej tę wyspę?

Mój mistrz pokręcił głową.

– Nigdy nie miałem powodu. W Hrabstwie i tak nie brakowało mi pracy. Lecz wyspiarze mają własne problemy z mrokiem. Żyje tam co najmniej pół tuzina buganów.

– Co to jest bugan? – spytałem. Jak przez mgłę pamiętałem to słowo z bestiariusza stracharza, ale nie mogłem sobie przypomnieć, co oznacza. Wiedziałem tylko, że nie mamy ich w Hrabstwie.

– Cóż, chłopcze, może po prostu sam sprawdzisz. – Stracharz wyciągnął z torby bestiariusz i wręczył mi go. – To rodzaj demona...

Otworzyłem bestiariusz, zacząłem przerzucać kartki. Szybko znalazłem rozdział: „Bugany”.

– Przeczytaj na głos, Tom – nalegała Alice. – Też chciałabym wiedzieć, co to.

Mistrz zmarszczył brwi, zapewne sądząc, że chodzi o sprawy stracharskie niemające z nią nic wspólnego. Ale ja odczytałem głośno:

„Bugan to odmiana demona, który nawiedza ruiny i zwykle materializuje się w postaci czarnego byka bądź włochatego człowieka, choć czasem, jeśli odpowiada to jego celom, może też wybrać inne kształty. Na bagniskach bugany często przybierają postać gadźców. Bugan wydaje z siebie dwa charakterystyczne dźwięki – albo ryczy jak rozwścieczony byk, odstraszać wszystkich, którzy zapuszczą się w pobliże jego siedliska, albo też szepcze do ofiary złowieszczym ludzkim głosem. Powtarza, że wysąca z niej siłę życiową, a groza ofiary sprawia, że demon jeszcze bardziej rośnie w siłę. Zatkanie uszu nie chroni przed jego głosem, ten bowiem rozbrzmiewa wprost w środku głowy. Nawet

ludzie głusi padali ofiarami owego podstępnego dźwięku. Ci, którzy słyszą szept bugana, umierają w ciągu paru dni, chyba że wcześniej zdołają go zabić. W labiryncie, który buduje sobie pod ziemią, bugan przechowuje siłę życiową wszystkich zabitych ludzi.

Bugany są odporne na sól i żelazo, co oznacza, że trudno je zabić bądź uwięzić. Jedyna broń, jaka może je zranić, to ostrze ze stopu srebra, wbite w serce bugana, gdy ten w pełni się zmaterializuje".

– Brzmi bardzo groźnie – zauważyła Alice.

– O tak, jest mnóstwo powodów, by zachować ostrożność wobec buganów i lękać się tych stworów – zgodził się mistrz. – Powiadają, że na Monie nie ma stracharzy, lecz według mnie co najmniej kilku by im się przydało. Dlatego właśnie bugany żyją tam spokojnie – nikt z nimi nie walczy.

Nagle zaczęło mżyć. Mistrz wyrwał mi bestiariusz, zatrzaskał, schował do torby, by uchronić delikatne kartki. Dbał o stan ostatniej zachowanej książki.

– Jacy są ci wyspiarze? – spytałem.

– To lud dumny, uparty. A także wojowniczy: mają własne oddziały zaciężne, które nazywają „gwardzistami”. Lecz tak mała wyspa nie miałaby żadnych szans, gdyby nieprzyjaciel wyjrzał poza Hrabstwo i zechciał ją najechać.

– Wyspiarze nie przyjmą nas chętnie, prawda? – wtrąciła Alice.

Stracharz przytaknął z namysłem.

– Zapewne, dziewczyno. Uchodźców rzadko wita się z otwartymi ramionami. Oznaczają dodatkowe gęby do wykarmienia. Bez wątpienia z terenu Hrabstwa na Monę uciekło wielu ludzi. Jeszcze dalej na zachód leży Irlandia, lecz to znacznie dłuższa podróż, wolę pozostać jak najbliżej domu. Jeśli zrobi się niespokojnie, zawsze możemy popłynąć dalej.

Kiedy zbliżyliśmy się do wyspy, fale nieco zmały, lecz mżawka stała się gęstsza i smagała twarze. Zarówno pogoda, jak i zielone, łagodne wzgórza przywodziły na myśl Hrabstwo. Zupełnie jakbym wrócił do domu.

Rybak dopłynął do południowowschodniego krańca wyspy, cumując na chwilę przy drewnianym pomoście, wysuniętym poza skaliste nabrzeże. Trzy psy po kolei wyskoczyły na ląd, ciesząc się, że znów mają pod łapami twardy grunt, my jednak wolniej poszliśmy w ich ślady, bo stawy zeszywniały nam po zbyt długim siedzeniu w ciasnej łodzi. Po zaledwie paru minutach rybak odpłynął. W trakcie podróży był ponury, milczący, teraz niemal się uśmiechał. Spłacił swój dług wobec stracharza. I chętnie się z nami pożegnał.

Na końcu pomostu dostrześliśmy czterech miejscowych rybaków. Siedzieli pod drewnianym daszkiem, reperując sieci. Przyglądali się nam uważnie, wrogo mrużąc oczy. Mój mistrz maszerował na przedzie; naciągnął na głowę kaptur dla ochrony przed deszczem. Pozdrowił miejscowych skinieniem. Tylko jeden zareagował; trzej odwrócili wzrok, nie przerywając pracy, czwarty splunął na deski.

– Miałam rację, widzisz? Nie jesteśmy tu mile widziani, Tom – mruknęła Alice. – Należało popłynąć dalej na zachód, do Irlandii.

– Cóż, skoro już tu jesteśmy, Alice, trzeba radzić sobie najlepiej, jak umiemy.

Maszerowaliśmy plażą, póki nie dostrześliśmy wąskiej, błotnistej ścieżki, wiodącej w górę zbocza. Prowadziła między tuzinem małych, krytych strzechą domków, następnie znikła w lesie. Kiedy mijaliśmy ostatnie drzwi, pomiędzy drzew wyłonił się jakiś człowiek, Zagroził nam drogę. W rękach trzymał solidną drewnianą pałkę. Szpon warknęła na niego groźnie, jeżąc czarną sierść. Pomknęła naprzód.

– Zawołaj psa, chłopcze. Ja to załatwię! – krzyknął przez ramię stracharz.

– Szpon! Chodź tu! Grzeczna suka – rozkazałem. Psica niechętnie wróciła do mego boku. Wiedziałem, że w pojedynkę z łatwością poradziłaby sobie z mężczyzną uzbrojonym jedynie w pałkę. Nieznajomy o pomarszczonej, ogorzałej twarzy mimo deszczu i chłodu podwijał rękawy po łokcie. Rosły, mocno

zbudowany, miał w sobie coś władczego. Wątpiłem, by był rybakiem. A potem uświadomiłem sobie, że nosi mundur wojskowy: obcisłą, brązową, skórzaną kurtę z symbolem na ramieniu – zakute w zbroję trzy biegnące nogi. Pod nimi widniała inskrypcja łacińska: Quocunque ieceris sabrit. Podejrzywałem, że należy do oddziału wyspiarskich gwardzistów.

– Nie jesteście tu mile widziani! – rzekł, groźnie unosząc pałkę.  
– Trzeba było zostać we własnym kraju. Mamy dość gąb do wyżywienia!

– Nie mieliśmy wyboru, musieliśmy porzucić rodzinne strony – odparł łagodnie stracharz. – Żołnierze wroga spalili mój dom, ledwo uszliśmy z życiem. Chcemy zatrzymać się tu na krótko, póki nie zdołamy bezpiecznie wrócić do siebie. Jesteśmy gotowi pracować. Zarobimy na swoje utrzymanie.

Mężczyzna opuścił pałkę. Pokiwał głową.

– O tak, będziecie pracować – jeśli dostaniecie taką szansę – równie ciężko, jak pozostali. Jak dotąd, większość uciekinierów z Hrabstwa schodziła na brzeg w Douglas, na północy. Wiedzieliśmy jednak, że niektórzy spróbują się tu zakraść, tak jak wy, toteż czuwaliśmy. – Najpierw popatrzył na stracharza, a potem na mnie. Zauważyłem, że dostrzegł nasze charakterystyczne płaszcze z kapturami, kije i torby. Nawet mieszkańcy Mony dobrze znali stroje i narzędzia naszego fachu. Później przyjrzał się Alice, zwłaszcza jej szpiczastym trzewikom. Spostrzegłem, jak jego oczy się rozszerzają. Przeżegnał się szybko.

– Co robi stracharz w towarzystwie czarownicy? – spytał ostro.

– Dziewczyna nie jest czarownicą – odrzekł spokojnie mistrz. – Pracowała dla mnie, przepisując księgi. A to mój uczeń, Tom Ward.

– Cóż, póki przebywacie tutaj, zapomnij o uczniu, starcze. Nie potrzebujemy ludzi waszego fachu, mamy własne sposoby rozprawiania się z wiedźmami, Po przydziale wybranych czeka praca na roli. Potrzebujemy stawy, nie waszych hokuspokus.

– Przydziale? – powtórzył stracharz. – Wyjaśnij, co masz na myśli.

– Nie zapraszaliśmy was tutaj – warknął gwardzista, ponownie unosząc pałkę. – Chłopak jest młody, silny, z pewnością zdatny do roboty. Ale niektórych odsyłamy do morza. Co do reszty, stosujemy jeszcze inne metody – ponownie spojrzął na Alice.

Nie spodobały mi się jego słowa. Wystąpiłem naprzód, stanąłem obok mistrza.

– Co to znaczy odsyłacie do morza? – spytałem ostro.

Stracharz położył mi dłoń na ramieniu.

– Tylko spokojnie, chłopcze. Chyba obaj wiemy, co to znaczy.

– O tak, tych, którzy nie mogą pracować, oddajemy rybom. Starców, takich jak ty. A co do czarownic – gwardzista skrzywił się, łypiąc na Alice – nie jesteś pierwszą, która próbowała w tym tygodniu zakraść się na wyspę. Wszystkie dostajecie to, na co zasłużyłyście. Mamy własne sposoby rozprawiania się z takimi jak wy!

– Myślę, że dość już usłyszeliśmy – deszcz ściekał z długiego nosa stracharza.

Mistrz zajął postawę obronną, z kijem ukośnie wzniesionym przed sobą. Gwardzista zaśmiał się bez cienia rozbawienia. Raptownie postąpił naprzód.

Wszystko zdarzyło się bardzo szybko. Nieznajomy zamachnął się, celując w głowę mistrza, lecz chybił. „Starzec” zniknął bez śladu. Stracharz uskoczył na bok, wymierzył dwa szybkie ciosy. Pierwszy trafił napastnika w przegub, wytrącając mu z dłoni pałkę i wyrywając z ust krzyk bólu. Drugi, zadany mocno w bok głowy, powalił go bez przytomności na ziemię.

– Nie najlepszy uczyniliśmy początek, chłopcze! – Mój mistrz pokręcił głową.

Obejrzałem się przez ramię. Czterej rybacy wyszli spod daszka. Wpatrywali się w nas. Stracharz podążył za moim spojrzeniem. Wskazał w górę zbocza.

– Najlepiej zrobimy; oddalając się od brzegu – uznał, ruszając naprzód tak szybko, że z trudem dotrzymywaliśmy mu z Alice kroku.

## ROZDZIAŁ 4

### SKRZYDLATE SZCZURY

Wspinaliśmy się pośród drzew, stracharz wyprzedzał nas spory kawałek. Przez następne godziny mój mistrz wybierał szlak, który miał sprawić, by prześladowcy, a nawet psy, stracili nasz ślad. Brodziliśmy po kolana w dwóch różnych strumieniach, przechodząc na drugi brzeg, to znów wracając na poprzedni. Kiedy w końcu uznał, że wystarczy, poprowadził nas już wolniej na północ.

– Lepiej by było zostać w Hrabstwie – zauważyła Alice. – Nieważne, ile strumieni przejdziemy, i tak nas odnajdą. Na tej wyspie nietrudno kogoś wytropić.

– Nie wydaje mi się, żeby Mona była aż tak mała, Alice. Z pewnością znajdzie się tu sporo kryjówek – odparłem.

Miałem nadzieję, że się nie mylę.

Stracharz dotarł na szczyt wzgórza i spoglądał w dal.

– Myśli pan, że będą się starali nas odnaleźć? – spytałem, doganiając go w końcu.

– Niewykluczone, chłopcze. Oceniam, że nasz przyjaciel obudzi się z niezłym bólem głowy, toteż z całą pewnością nie ośmieli się samotnie ruszać na poszukiwania. Rybacy nas nie ścigali, więc czeka go szukanie innej pomocy, a to zabierze trochę czasu. Widziałeś symbol i znak na jego ramieniu?

– Trzy nogi w zbroi zamknięte w kole – odparłem. – I słowa po łacinie, które oznaczają...? – naciskał mistrz.

– Gdziekolwiek mnie rzucisz, stał będę?

– Zgadza się, podajesz dość bliski przekład: sugeruje samowystarczalność, chłopcze. To twardzi, odporni ludzie; wyraźnie przybiliśmy do brzegu w złym miejscu. Mimo wszystko sądzę, że na razie udało nam się ich zgubić. Poza tym – podjął, wskazując w dół zbocza – mają więcej zmartwień niż my.

Daleko w dole ujrzałem duże miasto i przystań, gdzie cumowały łodzie najróżniejszych rozmiarów. Dalej leżała rozległa zatoka w kształcie półksiężyca, pełna okazalszych statków; niektóre stały na kotwicy daleko od brzegu. Mniejsze łodzie przywoziły ludzi na brzeg. Nad przystanią krążyło wielkie stado mew, wrzeszczących tak głośno, że słyszeliśmy je nawet na wzgórzu.

– To Douglas, największe miasto na wyspie. Nie tylko my szukamy w nim schronienia – wyjaśnił stracharz. – Część statków zapewne wkrótce znów odpłynie, lecz większość nie wróci do Hrabstwa. Być może starczy nam pieniędzy, by wykupić przeprawę na zachód, do Irlandii. Tam miejscowi powinni przyjąć nas chętniej. A z pewnością nie będzie gorzej niż tutaj.

– Lecz czy pozwolą nam odejść? – zatroskałem się.

– Najlepiej, byśmy odpłynęli niepostrzeżenie, chłopcze. Zaczekamy do zmroku, potem ruszysz do miasta. Większość żeglarzy lubi się napić – znajdziesz ich w tawernach portowych. Przy odrobinie szczęścia zdołasz wynająć kogoś dysponującego niewielką łodzią.

– Pójdę z Tomem – wtrąciła szybko Alice – i będę mieć oko na niebezpieczeństwo.

– Nie, dziewczyno, ty zostaniesz ze mną i z psami. Tym razem chłopak lepiej poradzi sobie sam...

– Czemu Alice nie może pójść ze mną? Dwie pary oczu są lepsze niż jedna – podsunąłem.

Stracharz obdarzył nas nieprzychylnym spojrzeniem.

– Czyżby łączył was niewidzialny łańcuch? – spytał, kręcąc głową. – Ostatnio prawie się nie rozstajecie. Nie, podjąłem już decyzję. Dziewczyna zostaje!

Alice zerknęła ku mnie. Dostrzegłem w jej źrenicach błysk strachu, gdy pomyślała o słoju krwi, jedynej rzeczy powstrzymującej Złego. Wewnątrz kryło się sześć kropli krwi: trzy należały do niej, a trzy do mnie. Alice także dopóty była bezpieczna – dopóki pozostawała blisko mnie. Gdybym jednak sam poszedł do miasta, nic nie przeszkodziłoby Złemu w zemście na niej.



Wiedziałem zatem, że choć już nie protestuje, nie posłucha stracharza i podąży za mną.

\*

Gdy tylko zapadł zmrok, ruszyłem do miasta, zostawiając mistrzowi swój płaszcz, torbę i laskę. Wyglądało, że wieśniacy nie przepadają za stracharzami – ani za ich uczniami. Z pewnością rozpoczęli już poszukiwania w porcie. Chmury odpłynęły, na czystym niebie świecił jasny półksiężyc. Po jakichś stu jardach przystanąłem, czekając. Wkrótce u mego boku zjawiała się Alice.

– Czy pan Gregory próbował cię zatrzymać? – spytałem.

Alice zaprzeczyła.

– Oznajmiłam mu, że chcę zapolować na króliki, ale on pokręcił tylko głową i zerknął na moje stopy. Z pewnością nie uwierzył. Przekonałem się, że przyszła bosą.

– Wsadziłam trzewiki do twojej torby, Tom. Dzięki temu raczej nikt nie weźmie mnie za czarownicę.

Pomaszerowaliśmy dalej. Wkrótce wychynęliśmy spomiędzy drzew na łąkę, śliską po niedawnym deszczu. Alice nie przywykła do chodzenia na bosaka, więc dwa razy klapnęła na tyłek, nim dotarliśmy do pierwszego domu i odnaleźliśmy zwirową ścieżkę. Dziesięć minut później znaleźliśmy się już w mieście, stąpając po wąskich, brukowanych uliczkach wiodących w stronę portu. W Douglas roilo się od marynarzy, dostrzegłem też kilka kobiet, często bosych, jak Alice – toteż poza faktem, że żadna widziana tu dziewczyna nie dorównywała jej urodą, moja towarzyszka niczym się nie wyróżniała.

W powietrzu kręciło się niemal tyle samo mew, co na ulicach ludzi. Wydawały się zadziorne, nieulekłe. Raz po raz któraś śmigła ku głowie przechodnia. Zobaczyłem, jak jedna wyrywa komuś z dłoni kromkę chleba w chwili, gdy zamierzał ją ugryźć.

– Co za okropne ptaki – mruknęła Alice. – Skrzydlate szczury, ot co.

Po pewnym czasie dotarliśmy do szerokiej, ruchliwej przecznicy; zdawało się, że co piąty dom przy niej to gospoda.

Zajrzałem przez okno do pierwszej tawerny. Wyglądała na pełną, ale nie miałem pojęcia jak bardzo, póki nie otworzyłem drzwi. Owiała mnie fala ciepłego powietrza, przesyconego silną wonią piwa. Wnętrze wypełniał szczelnie hałaśliwy, zaczepny tłum pijaków. Przekonałem się, że musiałbym siłą wepchnąć się do środka, toteż zawróciłem na pięcie, pokręciłem przecząco głową w stronę Alice i ruszyliśmy dalej, kierując kroki w głąb ulicy.

Wszystkie kolejne mijane gospody przypominały pierwszą, potem jednak zerknąłem w boczną alejkę odchodzącą ku portowi, tam zaś dostrzegłem kolejną tawernę. Gdy otworzyłem drzwi, odkryłem, że jest niemal pusta. W środku na stołkach przy barze siedziało tylko kilku mężczyzn. Już miałem przekroczyć próg, gdy właściciel pogroził pięścią mnie i Alice.

– Wynoście się stąd! Nie wpuszczamy takich szumowin! – zawołał.

Nie musiał powtarzać dwa razy – ostatnią rzeczą, jakiej pragnąłem, było ściągnięcie na siebie uwagi. Już miałem zawrócić w stronę głównej ulicy, gdy Alice wskazała ręką w przeciwną stronę.

– Spróbuj tam, Tom. Tam też jest tawerna.

Okazało się, że miała rację. Gospoda znajdowała się na samym końcu wąskiej uliczki, na rogu, jej główne drzwi wychodziły na nabrzeże. Podobnie jak poprzednia, niemal świeciła pustkami, przy barze stało ledwie kilka osób, ściskających w dłoniach kufle. Gospodarz spojrział na mnie z zainteresowaniem, choć nie z wrogością, uznałem jednak, że lepiej stamtąd zniknąć. Właśnie się odwracałem, gdy czyjś głos zawołał:

– A niech mnie, jeśli to nie Tom Ward!

W moją stronę ruszył rosły mężczyzna o czerwonej twarzy i bujnych bokobrodach.

Rozpoznałem kapitana Bainesa z „Celeste”, statku, który mama wynajęła zeszłego lata, by nas przewiózł do Grecji. Jego portem ojczystym był Sunderland Point. Baines bez wątpienia przyplłynął tu z ładownią pełną ludzi umykających przed najeźdźcą.

– Dobrze cię znów widzieć, chłopcze. Dziewczynę także! – Zerknął na Alice, stojącą w otwartych drzwiach. – Wejdźcie, ogrzejcie się przy ogniu.

Kapitan miał na sobie długi, ciemny, nieprzemakalny płaszcz, a pod nim gruby, szary wełniany sweter: marynarze doskonale umieli chronić się przed zimnem. Poprowadził nas do pustego drewnianego stołu w kącie. Zajęliśmy zydle naprzeciw żeglarza.

– Głodni? – spytał.

Przytaknąłem. Konałem z głodu. Oprócz paru kęsów sera ostatnią rzeczą, jaką jedliśmy, były króliki przyrządzone przez Alice zeszłego wieczoru.

– Gospodarzu, przynieście dwa piwne placki z mięsem, tylko gorące! – zawołał kapitan w stronę baru i znów odwrócił się ku nam. – Co was sprowadza za morze? – spytał, zniżając głos.

– Przy płynęliśmy małą łodzią rybacką. Rybak wysadził nas na południe od Douglas. Tam natychmiast wpakowaliśmy się w kłopoty. Szczęśliwie udało nam się uciec. Człowiek z pałką próbował nas aresztować, ale pan Gregory go ogłuszył.

– Gdzie jest teraz twój mistrz?

– Na wzgórzu, na południe od miasta. Przysłał mnie tu, żebym sprawdził, czy zdołam wynająć łódź, która zawiezie nas dalej na zachód, do Irlandii.

– Niewielkie masz na to szanse, młody Tomie. Mój własny statek, „Celeste”, został zajęty, na pokładzie mam zbrojnych strażników. Co do ludzi, których tu przywiozłem, wszyscy zostali aresztowani. Podobnie uciekinierzy z innych statków. Trudno jednak winić wyspiarzy: ostatnią rzeczą, jakiej pragną, jest ściągnięcie sobie na kark najeźdźców. Boją się też czarownic uciekających z Hrabstwa – zresztą nie bez powodów. Na południu do brzegu dobiła mała łódź rybacka. Obaj rybacy nie żyli – wysączono z nich krew i odcięto biedakom kciuki.

Alice aż sapnęła. Wiedziałem, o czym myśli. Czarownice z Pendle bez wątpienia zostały u siebie, czekając na dalszy rozwój wydarzeń. Ale to wyglądało na robotę innej wiedzy – wiedzy,

która uciekła z Hrabstwa. Co zrobimy, jeśli rybaków zaatakowała matka Alice?

Czyżby Koścista Lizzie dostała się na wyspę?

## ROZDZIAŁ 5

### POMIOT

Oboje zajadaliśmy gorące piwne placki z mięsem, a tymczasem kapitan zdawał nam relację z ostatnich wydarzeń. Wyglądało, że niemal wszyscy uciekinierzy są odsyłani do Hrabstwa. Przywódcy rady rządzącej wyspą obawiali się, że jeśli tak nie uczynią, Mona stanie się kolejnym celem najazdu.

– Dlatego właśnie zajęli „Celeste”. Wkrótce poześlę z powrotem do Sunderland Point, wioząc tych, którzy umknęli przed troskliwą ręką wroga. Na pokładzie pozostaną zbrojni strażnicy pilnujący, żebym nie zboczył z kursu. Na wyspie zatrzymują tylko znalezione czarownice – choć ja oczywiście żadnych nie przewoziłem. Wiedz jednak, że z pewnością oskarżą też i skażą niewinne kobiety. Bez wątpienia, wiele z nich ucierpi...

Chodziło mu o kobiety, które stracharz nazywał fałszywie pomówionymi. Miał rację: niewątpliwie co najmniej jedna prawdziwa wiedźma dotarła na Monę, lecz wiele niewinnych zapłaci straszną cenę za wiedźmie sprawki.

– Radzę wam zawrócić w głąb lądu, a potem ruszajcie w stronę południowozachodniego wybrzeża. Traficie do miasta rybackiego zwanego Port Erin. W jego pobliżu, na półwyspie, leży mnóstwo wiosek. Mało prawdopodobne, by w okolicy Port Erin dotarli uciekinierzy, jest więc szansa, że tubylcy nie będą zbyt uważni. Może nawet znajdziecie kogoś, kto przewiezie was do Irlandii...

– Na moje ucho rada brzmi dobrze, Tom – wtrąciła Alice z uśmiechem.

Odpowiedziałem tym samym. Nagle jednak twarz Alice

zmieniła się radykalnie; teraz zdradzała grozę i strach. Alice wpatrywała się w drzwi, jakby wyczuła niebezpieczeństwo.

Drzwi otwały się gwałtownie. Do środka wmaszerowało pół tuzina rosłych mężczyzn, uzbrojonych w pałki. Nosili skórzane kurtki z oznaczającym gwardię symbolem trzech nóg. Tuż za nimi do środka wszedł wysoki człek z ciemnym wąsem i mieczem wiszącym u boku – wyraźnie dowódca. Wszyscy zatrzymali się niedaleko drzwi, omiatając spojrzeniami salę. Przyglądali się gościom siedzącym przy stołach i tym stojącym przy barze. Dopiero po chwili zauważyłem, że prowadzą ze sobą więźnia. On także nosił skórzaną kurtkę z oznaką. Podkreślała jeszcze masywną budowę owego wysokiego, grubokościstego męża. Zastanawiałem się, czemu uwięzili jednego ze swoich. Czym przewinił? Zauważyłem, że nieznanego skrępowano w dziwny, okrutny sposób. Do obu uszu więźnia uczepiono cienkie, srebrne łańcuszki, które trzymało w dłoniach dwóch stojących po bokach gwardzistów. Uszy miał przekłute blisko głowy, dziury, przez które przechodził łańcuszek, opuchły i poczerwieniały.

Więzień trzy razy pociągnął głośno nosem, po czym przemówił głosem szorstkim jak pilnik trący o metal.

– Czuję kobietę! Jest tu kobieta, kapitanie Stanton – rzekł, zwracając się do wąsatego dryblasza.

Gwardziści wbili wzrok w Alice, jedyną kobietę na sali.

Więzień ruszył ku naszemu stołowi, w towarzystwie dwóch gwardzistów. Stanton szedł nieco dalej, z boku. W jednej chwili zauważyłem dwie naraz osobliwości: po pierwsze, więzień był ślepy, oczy miał mlecznobiałe, drugie zaś spostrzeżenie sprawiło, że po plecach przebiegł mi dreszcz strachu, a włosy na karku zjeżyły się nagle.

Miał ciemne, kręcone, zmierzwione włosy – bardziej przypominały zwierzęcą sierść niż włosy ludzkie. Spomiędzy czupryny, wysoko na czole, wystawały dwa bardzo krótkie, zakrzywione rogi, oba białe, każdy ostro zakończony. Mieliśmy do czynienia nie z człowiekiem, lecz pomiotem, owocem związku Złego

i czarownicy.

– To nie kobieta! – zaśmiał się Stanton. – Jedynie chuda dziewczyna o brudnych nogach. Spróbuj jeszcze raz!

Tym razem pomiot nie węszył. Popatrzył na Alice, jakby jego ślepe oczy mogły ją dostrzec. Na twarzy więźnia odbiło się zdumienie.

– No, gadaj – polecił niecierpliwym tonem kapitan – czy to wiedźma, czy nie?

– Ma w sobie mrok! – zawołał pomiot. – Mroczną moc!

– Wystarczy! Bierzcie ją, chłopcy! – polecił kapitan.

Dwaj gwardziści wystąpili naprzód i ściągnęli Alice ze stołka. Nie próbowała walczyć – oczy miała okrągłe, przepełnione strachem.

Wiedziałem jedno – gdziekolwiek zabiorą Alice, ja muszę pójść za nią. Gdyby oddaliła się od słoja krwi, Zły mógłby się na niej zemścić. Jednak okazało się, że nie trzeba było żadnych moich starań.

– Sprawdź tamtych dwóch – polecił Stanton. – Rozmawiali z wiedźmą. Niewykluczone, że spiskują razem. Może jeden z nich to czarownik...

Pomiot przyjrzał się kapitanowi Bainesowi. – Nie znajduję w nim mroku – warknął.

– A co z chłopakiem?

Teraz nadeszła moja kolej. Stwór przez chwilę przyglądał mi się ślepymi oczami, na jego twarzy wyraźnie odbijała się niepewność. Dwakroć otworzył usta, ukazując dwa rzędy ostrych żółtych zębów. Lecz nie wydostał się z nich żaden dźwięk.

– Nie traćmy czasu. W czym rzecz?

– Głęboko w jego duszy tkwi drzazga mroku. Małeńka drzazga...

– Dość! Brać go! – warknął Stanton. – Od bardzo dawna nie poddawaliśmy próbie czarownika. Rzadko się pojawiają.

Miałem dość czasu, by zerknąć na pełną obaw twarz kapitana Bainesa. A potem mnie także porwały silne dłonie. Po chwili ręce

skrępowano mi za plecami i znalazłem się na zewnątrz razem z Alice, ciągnięty brutalnie w górę, w stronę głównego traktu.

Szybko przemaszerowaliśmy ruchliwymi ulicami, trącani, wyzywani, opluwani. Dotarliśmy w końcu na obrzeża miasta. Tam wepchnięto nas na drabiniasty wóz, zaprzęzony w cztery solidne, robocze konie. Woźnica strzelił z bata, wóz potoczył się gościńcem. Spojrzawszy w gwiazdy i ustaliwszy położenie konstelacji Pługa, odkryłem, że zmierzamy mniej więcej na północny zachód. Nie byliśmy z Alice sami na wozie. Strzegło nas trzech roślących drabów – zdawało się, iż wyglądali tylko sposobności, by się posłużyć swoimi pałkami. Wciąż mieliśmy związane ręce i najmniejszej szansy ucieczki.

Z początku mężczyźni nie odzywali się, patrzyli bez słowa. Oboje spuściliśmy wzrok, nie chcąc dawać pretekstu do ataku. Siedzieliśmy cicho, lecz po niecałej godzinie jeden z nich trącił mnie pałką.

– Widzisz to, chłopcze? – rzekł, wskazując w prawo. W dali, w blasku księżyca ujrzałem fortyfikację: wieżę otoczoną przez blankowe mury, a za nią górę.

– Oto twierdza Greeba – podjął. – Być może dożyjesz chwili, gdy ujrzysz ją ponownie z zewnątrz! – Pozostali gwardziści wybuchnęli śmiechem.

– Lecz kiedy się już znajdziesz w środku, pożałujesz, że nie zginąłeś! Ci, którzy giną wcześniej, zaliczają się do prawdziwych szczęściarzy.

Wolałem nie pytać, co ma na myśli. Nie odzywałem się aż do chwili, gdy wóz w końcu przystanął. Najwyraźniej dotarliśmy do wioski. Otaczały ją drzewa, po obu stronach wznosiły się wzgórza. Wywleczono nas z wozu i poprowadzono obok wielkiego, ziemnego kopca osobliwego kształtu. Przypominał kurhan, ale miał cztery warstwy. Nigdy jeszcze nie widziałem czegoś podobnego. Za nim stała kolejna kamienna wieża – tym razem znacznie mniejsza. Podejrzywałem, że trzymają w niej więźniów. Wkrótce okazało się, że się nie pomyliłem.

Powleczono nas schodami do drzwi w połowie wysokości wieży i rozwiązawszy ręce, wepchnięto do środka. Drzwi zatrzasnęły się, klucz zazgrzytał w zamku, gwardziści wrócili na dół; ich kroki oddalały się szybko. Rozejrzałem się. W ściennym wykuszu stała samotna świeca migocząca w przeciągu; wysoko w górze otwierało się wąskie okno. Cella była okrągła, pozbawiona mebli, jedynie brudna słoma zaścielała wilgotne, kamienne płyty.

– Nie podoba mi się to miejsce – rzekła Alice niewiele głośniej od szeptu.

– Może ci się nie podobać – odezwał się głos w ciemności po prawej – lecz urządź się tu, jak tylko potrafisz najlepiej. Nigdy już nie zaznasz takich wygod. Trafiłaś do wieźmiej wieży Tynwaldu – kiedy ją opuścisz, czeka cię jedynie ból i śmierć.

Ktoś wystąpił z cienia, stając naprzeciw nas. Patrzyliśmy na wysoką dziewczynę, mniej więcej osiemnasto, dziewiętnastoletnią. Jej ciemne, lśniące włosy opadały na ramiona. Nosila ładną niebieską sukienkę, czysta skóra promieniowała zdrowiem. Nie wyglądała na więźniarkę,

– Przyplłynęliście przez morze, z Hrabstwa, prawda? – zapytała. Przytaknąłem.

– Nazywam się Tom Ward, a to moja przyjaciółka, Alice.

Dziewczyna zerknęła na Alice. Mnie obdarzyła ciepłym uśmiechem.

– Nazywam się Adriana Lonan – oznajmiła. – Urodziłam się i wychowałam na Monie, do tej pory nikt mnie nie zaczepiał. Lecz teraz wszyscy szaleją. Poddają próbom nawet swoich, sprawdzając, czy nie trafią na czarownice.

– Jesteś czarownicą?

Adriana przytaknęła.

– Ptasia czarownicą.

– Chcesz powiedzieć, że masz ptaka pobratymca – poprawiła Alice.

Dziewczyna poprawiła włosy i zmarszczyła brwi.

– Nie mam pobratymca, nie karmię go krwią ani nic takiego.



Nie zadaję się z mrokiem. Jestem ptasią czarownicą. Ptaki to moi przyjaciele. Pomagamy sobie nawzajem. A ty, Alice? Jesteś czarownicą?

Alice pokręciła głową.

– Pochodzę z klanu czarownic z Pendle. Przez dwa lata uczono mnie mrocznych sztuk. Ale nie, nie zaliczam się do wiedźm. To niesprawiedliwe, że nas tu zamknęli, zwłaszcza Toma. Tom jako uczeń stracharza walczy po stronie światła. Mówią, że to mag, ale tak nie jest.

Adriana przyjrzała mi się z poważną miną.

– Róg was wywęszył?

– Tak – odparłem. – Powiedział, że Alice nosi w sobie mrok, ja także kryję w duszy mroczną drzazgę.

– Może więc w istocie nie pomylił się – mruknęła Adriana. – Nikt z nas nie jest doskonały. Lecz to, kim jesteśmy, straci znaczenie jutro, gdy poddadzą nas próbie.

– Co zamierzają? – spytała Alice. – Będą nas pławić? Bo chyba nie przyciskać?

Pławienie to najpopularniejszy sposób sprawdzania, czy ktoś jest czarownicą, czy nie.

Podejrzanej krępuje się ręce za plecami, a następnie wrzuca do stawu. Czasami oprawcy przywiązują prawy kciuk do lewego palca u nogi, lewy zaś kciuk do prawego. Pławienie. Zabawna nazwa, bo po takim związaniu nie da się przecież pływać. Jeśli ofiara idzie pod wodę, najczęściej tonąc, uznaje się ją za niewinną. Jeżeli zdoła się utrzymać na powierzchni, stanowi to dowód winy. Wówczas wyciągają ją i palą na stosie.

Przyciskanie jest jeszcze gorsze. Ofiarę przywiązują łańcuchami do stołu, układając na jej ciele ciężkie kamienie, nawet do trzynastu. Po jakimś czasie ledwie oddycha. Jeśli z bólu przyzna się do winy, płonie. Jeśli nie, zostaje powoli zmiażdżona na śmierć. Jeśli zdoła przeżyć ponad godzinę, uważa się, że ocalił ją Zły. Wtedy i tak trafia na stos.

– Nie, my wyspiarze mamy własne sposoby – odparła Adriana.

– Osobę podejrzaną o czary zabiera się na szczyt Slieau Whallian, wysokiego wzgórze na południe stąd, i zamyka w beczce, w środku nabitej ostrymi, żelaznymi szpikulcami. Następnie spuszcza się beczkę ze zbocza. Jeśli na dole podejrzana wciąż żyje, uznają, że chronił ją mrok, zabierają i... – głos jej się załamał nim dokończyła zdanie, w jej oczach ujrzałem przerażenie.

– Wiele z nich przeżywa? – spytałem.

– Strażnik wspominał mi, że z siedmiu sturlanych wczoraj dwie przeżyły – jedna ciężko poraniona. Próbowałam im wytłumaczyć, jak trzeba postępować. Istnieje sposób dotarcia na dół bez ciężkich okaleczeń. Nie wszystkie beczki są takie same, toteż trzeba liczyć na trochę szczęścia. Ale jeśli zdołacie znaleźć miejsce między szpikulcami, możecie zaprzeć się rękami i nogami wewnątrz. Kiedy beczka się kręci, siła odśrodkowa wciska was na szpikulce, toteż musicie się przytrzymać. Jeśli beczka nie trafi po drodze na duży wybój, zdołacie uniknąć nabicia na kolce.

– Skąd wiesz, jak to działa?

– Znam pewnego człowieka, który pracuje w browarze, gdzie robią beczki na zamówienie. Kiedy przyjmują nowego bednarza, odprawiają pewną ceremonię, Umieszczają go w beczce ze szpikulcami, po czym turlają wolniutko z jednej strony warsztatu na drugą, Pozostali rzemieślnicy tłuką młotkami w stoły i wiwatują. Najpierw jednak pokazują nowemu, jak się zaprzeć. W najgorszym razie kaleczy się parę razy, nic więcej. Lecz nigdy nie miałam okazji pomówić z kimś, kto przeżył drogę na dół Slieau Whallian. Jeśli nawet jacyś skazańcy wciąż żyją, natychmiast ich zabierają,

– To wielka różnica: powolne turlanie i spuszczenie ze zbocza – zauważyła Alice. – Skoro powiedziałaś im, jak to zrobić, czemu nie przeżyło ich więcej?

– Część pewnie za bardzo się bała i denerwowała, by mnie wysłuchać – wyjaśniła Adriana. – Może chciały zginąć w beczce?

– Dlaczego miałyby tego chcieć? – zdumiałem się.

– Przez to, co czeka tych, którzy przeżyją. To jeszcze gorsze niż

turlanie. Zostają rzućeni na pożarcie buganowi...

## ROZDZIAŁ 6

### JESZCZE JEDNA MARTWA

– Na Monie grasuje kilka buganów – ciągnęła Adriana. – Ale tych podejrzanych, którzy przeżyją, oddają najniebezpieczniejszemu. Nawiedza on ruiny kaplicy nieopodal twierdzy Greeba.

– I pożera ludzi? – W wielkich oczach Alice odbiło się przerażenie.

Adriana przytaknęła.

– Zamykają ofiarę w lochach, w południowym skrzydle twierdzy, na skraju terytorium bugana. Bestia powoli wysysa duszę z każdego ciała i przechowuje ją gdzieś pod kaplicą. Ciało wciąż chodzi, oddycha, lecz staje się puste. A bugan, stąpając na dwóch nogach, niczym wielki, włochaty człowiek, przybywa, by w końcu wypić krew oraz pożreć cielesną powłokę. Pochłania nawet kości, miażdżąc je w potężnych zębach – dlatego nazywamy go Zgniataczem. To, co pozostanie, chowają w wapiennym dole na dziedzińcu.

Umilkliśmy, rozmyślając o czekającym nas ponurym losie. Jednak coś zaczęło mnie dręczyć. Adriana mówiła, że próbowała uprzedzić innych więźniów, jak przeżyć sturlanie w beczce ze szpikulcami – ale dlaczego jej samej się upiekło?

– Adriano, czemu wczoraj nie poddali cię próbie z innymi?

– Ponieważ lord Barrule – władca twierdzy Greeba i przywódca rady tej wyspy – dał mi jeszcze jedną szansę, bym zmieniła zdanie: jeśli zrobię, co każe, ocali mnie. W przeciwnym razie pozwoli, by poddano mnie próbie. – Dolna warga Adriany zaczęła drżeć; do jej oczu napłynęły łzy.

– Zmienisz zdanie? W jakiej sprawie?

– Chcę poślubić Simona Sulby'ego, bednarza – to on opowiedział mi o beczkach – lecz lord Barrul pragnie pojąć mnie za żonę. Przez dziesięć lat, odkąd zmarła jego pierwsza żona, żył sam. Od tego czasu nie spojrzał na żadną kobietę, ponoć jednak wyglądam zupełnie jak ona – skóra żywcem zdjęta z żony lorda, powiadają. Dlatego mnie pragnie. Jest bardzo potężny i przywykł, że wszyscy mu ustępują. Odmówiłam raz, drugi, trzeci, aż w końcu stracił cierpliwość. Oskarżył mnie o czary. Gdyby zechciał, wciąż mógłby mnie ocalić: to potężny człowiek. Wystarczy jedno jego słowo, by mnie wypuścili. Ale jest też bardzo dumny, nie ścierpi odmowy. Woli, abym zginęła, niż należała do innego. Wkrótce będzie już za późno. Z początku próby przeprowadzali wieczorami, ściągają jednak wielkie tłumy i robiło się niebezpiecznie. Sturlają nas ze wzgórza, gdy ludzie jeszcze śpią, tuż przed świtem.

Po tych słowach oboje z Alice długi czas się nie odzywaliśmy. Sytuacja wyglądała ponuro. Zastanawiałem się, co teraz robi stracharz. Z pewnością martwił się o mnie i rozważał, czemu nie wróciłem. Bez wątpienia zorientował się, że Alice poszła za mną. Miałem tylko nadzieję, że nie wyprawi się do miasta. Na pewno by go ujęto.

\*

Długą ciszę przerwał nagle ostry, metaliczny zgrzyt klucza obracanego w zamku. Czyżby już po nas przyszli? Od świtu wciąż dzieliło nas kilka godzin.

Drzwi celi otwarły się powoli. Do środka wkroczyła tylko jedna postać. Nie był to strażnik ani gwardzista, lecz Róg, pomiot. Łańcuchy z jego uszu zniknęły, rozebrał się do pasa, odziany jedynie w parę portek i ciężkie buciory. Jego pierś porastały ciemne, splątane kłaki, ręce miał długie, ramiona szerokie, muskularne. Wyglądał na silnego, nawet niebezpiecznego, zdolnego zabić człowieka gołymi rękami.

Kiedy przekroczył próg celi, wstaliśmy, cofając się aż pod ścianę, naprzeciwko drzwi. Czego od nas chciał? Nie podobał mi się wyraz jego twarzy. Nawet bez rogów przypominała oblicze

zwierzęcia.

Pomiot ruszył wprost w stronę Alice. Kiedy próbowałem stanąć między nimi, by ochronić przyjaciółkę, zamachnął się, trafiając mnie w ramię. Zupełnie jakby ktoś rąbnął mnie nogą od stołu. Poleciałem na ziemię, lecz natychmiast zerwałem się z powrotem, znów skoczyłem ku Alice. Pomiot obrócił się ku mnie, jego drapieżne oczy lśniły niebezpiecznie; opuścił głowę, celując we mnie rogami. Zbliżałem się ostrożnie, Alice jednak uniosła rękę, powstrzymując mnie.

– Nie, Tomie! Zostań! – zawołała. – On cię zabije. Pozwól, że się nim zajmę.

Uśluchałem, lecz pozostałem w gotowości, by zaatakować stwora na pierwszy znak, że Alice zagraża niebezpieczeństwo – choć przecież bez laski i łańcucha niewiele mógłbym zdziałać. Miałem dar spowalniania czasu, odziedziczony po mamie, ale niezwykle trudno go użyć, toteż uznałem, że spróbuję jedynie wtedy, gdyby Alice naprawdę znalazła się w poważnych opałach.

Pomiot obrócił się z powrotem ku Alice. Dzielili ich niecała długość ręki.

– Siostrze? – mruknął basem.

– Nie jestem twoją siostrą!

Alice gniewnie pokręciła głową.

Stwór przekrzywił na bok głowę. Trzy razy pociągnął nosem.

– Posiadamy tego samego ojca. Musisz być moją przyrodnią siostrą. Nie zaprzeczaj. W mieście nie byłem pewien, ale teraz jestem. Nie mam żadnych wątpliwości.

Istotnie. Mieli inne ludzkie matki, lecz Zły spłodził oboje.

Nagle Alice uśmiechnęła się lekko.

– Skoro jesteśmy bratem i siostrą, to mi pomożesz, prawda? Nie zechcesz chyba, żebym zginęła? Jesteś taki wielki, taki silny. Nie możesz nas stąd wydostać?

– Nie mogę. Kapitan Stanton by mnie ukarał. Kazałby mnie wychłostać.

– Moglibyśmy wymknąć się stąd i uciec razem – zaproponowała

Alice.

– Nie porzucę mojego pana, lorda Barrule'a. Okazał mi dobroć.

– Dobroć? – wtrąciłem. – Przecież pozwala cię ciągać po mieście z łańcuchami przewleczonymi przez uszy! To nic dobrego.

Pomiot warknął wrogo.

– Kapitan Stanton robi to, bo się mnie boi, ale lord Barrul nigdy mnie nie skrzywdził. Nie, nie on. Mógł kazać mnie zabić, ale zamiast tego pozwolił mi służyć. To dobry pan.

– W takim razie czego chcesz? – spytała ostro Alice. – Musisz czegoś chcieć, inaczej nie przyszedłbyś tutaj.

– Pragnąłem cię zobaczyć. Tylko zobaczyć. Chciałem zobaczyć moją siostrzyczkę.

To rzekłszy odwrócił się na pięcie, ruszając z powrotem do drzwi.

– Mam nadzieję, że mój widok cię ucieszył, bo niedługo zginę! – zawołała Alice. – Świetny z ciebie brat, nie ma co. Bracia i siostry powinni trzymać się razem!

On jednak zamknął za sobą drzwi, po czym usłyszeliśmy zgrzyt klucza w zamku.

– No cóż, warto było spróbować – mruknęła Alice. – Ciekawe, ilu włóczy się po świecie pomiotów... I czy wszyscy pozostali są podobni do niego i do Kła?

Kieł. Syn starej Mateczki Malkin, pomiot o wielkich zębiskach – zbyt wielu, by mogły zmieścić się w ustach, stąd imię. Stracharz zabił go kijem, pchnięciem ostrza w czoło.

Ilu dokładnie nieładzi spłodził Nieprzyjaciół? Interesujące pytanie. Kieł był zły. Pomagał Mateczce Malkin zabijać matki i ich dzieci – stąd właśnie wzięło się miano wiedźmy. Prowadziła dom dla ubogich, samotnych matek. Lecz wiele z nich zniknęło, a gdy miejscowi zebrali się w końcu na odwagę, żeby zbadać sprawę, znaleźli w okolicy domu pole pełne kości. Większość kobiet zmiażdżono na śmierć, zebra miały popekane i połamane – to było dziełem Kła. Pomioty dysponowały niezwykłą siłą, Róg też sprawiał wrażenie niebezpiecznego.

– Nie ma sensu zaprzeczać – podjęła Alice. – Z Kłem także miałam tego samego ojca, ale ani przez moment nie uważałam go za przyrodniego brata.

– Róg nie wydaje się aż tak okropny jak Kieł. Myślę, że miał ciężkie życie – zauważyłem.

– To akurat prawda – wtrąciła Adriana. – Stanton traktuje go okrutnie, nie pojmuję jednak, czemu pozostaje tak wierny lordowi Barrule'owi. Czy nie widzi, że jego mistrz pozwala Stantonowi na wszystko? Niektórzy twierdzą, że Róg jest taki wierny, bo Barrule pozwala mu opiekować się buganem.

– Opiekować? – spytałem.

– Mówią, że Róg współpracuje z buganem. Pomaga mu wybierać ofiary...

\*

Noc mijała szybko. Na długo przed świtem do celi trafiły trzy kolejne więźniarki: dwie uciekinierki z Hrabstwa, młode dziewczyny przed dwudziestką i starsza, miejscowa kobieta.

Adriana natychmiast wyjaśniła im, jak zaprzeć się w beczce. Dziewczęta z Hrabstwa słuchały z zainteresowaniem, lecz miejscowa kobieta jedynie się rozplakała. Słyszała zbyt wiele opowieści na temat tego, co ją czeka. Wizja rzucenia na pożarcie buganowi przerażała ją tak bardzo, że niemal wołała śmierć od szpikulców.

Tuż przed świtem strażnicy – pół tuzina – zjawili się w celi. Powlekli nas po schodach, a później przez wioskę, na południe. Zabrali też Adrianę – najwyraźniej Barrule stracił do niej cierpliwość. Potem zmusili nas do wdrapania się na wielkie wzgórze, zapewne Slieau Whallian. Wspinaczka okazała się długa, ciężka. Czy zamierzali nas sturlać po stromym zboczu? Jeśli tak, niewielkie mieliśmy szanse na przeżycie.

Niebo na wschodzie zaczęło czerwienieć, nisko nad horyzontem jaśniała samotna gwiazda. Wiatr ucichł. Dygotaliśmy z zimna, stojąc w nieruchomym, chłodnym powietrzu, obok rzędu wielkich beczek. Wzdłuż zbocza ciągnął się szereg pochodni na tyczkach,

wyznaczających trasę spuszczenia beczek. Okazały się jednak niepotrzebne – widzieliśmy dostatecznie dobrze. Większość strażników została z nami na szczycie. Na dole, na skraju dużego lasu, czekało zaledwie sześciu: jeden miał miecz u pasa. Domyśliłem się, że to pewnie Stanton dowódca gwardii, który nas aresztował.

– Ta pierwsza! – zawołał jeden ze strażników, wskazując starszą kobietę; gdy ją chwycili, zaczęła histerycznie płakać, cała roztrzęsiona.

– Tchórze! – zawołała gniewnie Adriana, wygrażając im pięścią.  
– Jak możecie tak traktować kobietę – w dodatku jedną ze swoich!

– Zamknij gębę albo cię zakneblujemy! – warknął najroślejszy z gwardzistów.

Kolejny chwycił ją za ramię, ona jednak wyrwała się.

Strażnicy ustawili już beczkę; kiedy unieśli wieko, ujrzałem tkwiące w środku ostre szpikulce. Natychmiast pomyślałem, że Adriana mówiła o szansach przeżycia z przesadnym optymizmem. Jak bowiem zaprzeć się bezpiecznie między ostrzami? Mężczyźni zmusili kobietę do ukłęknięcia przed beczką.

– No, dalej! Do środka! – Biedaczka patrzyła na szpikulce z twarzą wykrzywioną grozą. Nie wątpiła, że spogląda na swoją śmierć.

– Będzie znacznie gorzej, jeżeli sami cię tam wepchniemy! – zagroził ostro strażnik.

W odpowiedzi wczołgała się do środka, krzycząc, gdy ostrza raniły ciało. Kiedy znalazła się wewnątrz beczki, z powrotem nałożyli wieko i przybili je zaledwie dwoma gwoździami.

Łup! Stuk!

Wystarczyło jedno pchnięcie, by beczka zaczęła turlać się po zboczu. Pomyślałem, że gwardziści pracują bardzo szybko, co dodatkowo mnie zaniepokoiło. Będziemy mieli zaledwie parę sekund, by jak najlepiej ułożyć się wewnątrz.

Nim beczka dotarła na dół, uderzyła mocno w pień drzewa i dobiegły z niej trzy straszliwe krzyki. Dwaj mężczyźni podeszli



szybko, jeden trzymał w dłoni łom. Usłyszeliśmy zgrzyt i trzask, gdy podważył wieko.

Byliśmy zbyt daleko, więc nie widzieliśmy wyraźnie. Kiedy jednak wyciągnęli kobietę z beczki, nie poruszała się. Cisnęli jej ciało na bok niczym worek kartofli.

– Ta nie żyje! Poślijcie następną! – zawołał w górę kapitan Stanton.

Dziewczyny z Hrabstwa płakały, całe się trzęsły; trzymały się za ręce, teraz jednak, gdy strażnicy podeszli, przywarły do siebie. Musieli rozerwać je siłą.

Patrzyłem ze zgrozą, jak postępują z pierwszą. Robili z nią to samo, co z poprzedniczką. Biedaczka wrzeszczała i szarpała się, kiedy wepchnęli ją do środka. Tym razem beczka w drodze na dół wpadła na kamień. Na moment podskoczyła, lądując z ciężkim łoskotem. Kiedy się zatrzymała, gwardziści wyciągnęli zwłoki dziewczyny i rzucili obok poprzednich.

Byłem wstrząśnięty tym, co się właśnie wyprawiało, serce tłukło mi się w piersi ze strachu. Czy naprawdę da się zaprzeć w środku i przeżyć?

Lecz trzecia poddana próbie kobieta wciąż żyła, dotarłszy na dół. Kiedy dwaj gwardziści odprowadzili ją na bok, słyszałem szlochy i płacz. Bez wątplenia ucierpiała, ale przynajmniej przeżyła. Zatem to jednak możliwe...

Adriana odwróciła się ku mnie i Alice. Jej dolna warga drżała, niedawna odwaga jakby opuściła dziewczynę; sprawiała wrażenie przerażonej.

– Czy potraficie wyczuć, kiedy zbliża się śmierć? – spytała. – Bo tak właśnie się teraz czuję – jakby niewiele czasu zostało mi na świecie.

– Mój mistrz nie wierzy w takie przeczucia – odparłem. – Nie sądzi, by ktokolwiek umiał przewidzieć własną śmierć.

– Ale czuję ją wyraźnie! – wyszlochała. – Przeczuję, że nadciąga!

Pochyliłem się i wyszeptałem jej do ucha:

– Wszystko będzie dobrze. Po prostu ułóż się w beczce tak, jak nam powiedziałaś.

Nim zdołała odpowiedzieć, przyszli po nią strażnicy. Posłała nam nerwowy uśmiech, po czym podeszła do beczki i bez słowa wczółgała się do środka.

Łup! Stuk!

Beczka ruszyła w dół. Toczyła się gładko, bez podskoków. Czy Adriana przeżyła? Znow usłyszeliśmy trzask pękającego drewna, gdy mężczyźni podważyli wieko.

– Kolejna żywa! Na pewno czarownica! – wykrzyknął Stanton.

Gdy tylko Adriana wypełzła z beczki, dwaj inni strażnicy dźwignęli ją na nogi i odprowadzili. Zauważyłem, że kuleje, ale również ona przeżyła próbę. Nagle poczułem nadzieję. O bugana przyjdzie martwić się później.

Kiedy odciągali Alice, ta uśmiechnęła się do mnie lekko. Wyglądało, że ja będę ostatni. Alice wcisnęła się do beczki szybko, tak jak Adriana. Gdy tylko przybiją wieko, zaprze się o ścianki.

Tym razem beczka dwakroć trafiła na przeszkody po drodze – choć przynajmniej nie wpadła na drzewo. Kiedy dotarła na dół, serce podeszło mi do gardła. Czy Alice zdołała się ułożyć jak należy? Pozostały gwardzista zdjął wieko. Czekałem nerwowo, aż Alice wypełźnie na zewnątrz. Lecz to on po chwili wywlókł ją z beczki.

– Jeszcze jedna martwa! – zawołał dowódca. – Przyślijcie tu małego czarownika; załatwmy sprawę szybko! Mam ochotę na śniadanie!

Gardło mi się ścisnęło, w piersi wezbrała fala płaczu. Na dole mężczyźni układali ciało Alice obok dwóch poprzednich trupów.

## **ROZDZIAŁ 7**

### **ODCIĘTO MU KCIUKI**

Nie mogłem uwierzyć, że nie żyje. Tak wiele razem przeszliśmy, przetrwaliśmy wspólnie tyle niebezpieczeństw. W chwili, gdy do oczu napłynęły mi łzy, strażnicy chwycili mnie, powalając na kolana przed otwartą beczką.

– Właż do środka, chłopcze. Przestań się mazać, nie utrudniaj!

Oślepiiony łzami, zacząłem wciskać się do wnętrza. Szpikulce kłuły mi boleśnie ręce i kolana. Gdy tylko znalazłem się w środku, tamci nałożyli wieko, pogrążając mnie w ciemności.

Łup! Stuk!

Beczka zaczęła się poruszać, w ostatniej chwili zapałem się łokciami i kolanami o zakrzywione ścianki, jakimś cudem zdoławszy odnaleźć szczeliny między morderczymi szpikulcami. Beczka wirowała coraz szybciej, coraz szybciej, siła odśrodkowa popychała mnie na ostrza. Nagle coś szarpnęło beczką, o mało nie wpadłem na szpikulce. Potem zwolniła, w końcu zatrzymała się zupełnie. Nie poruszyłem się, póki nie zerwali wieka, wpuszczając do środka światło.

Z góry spojrzała na mnie twarz. Kapitan Stanton.

– Mamy tu jeszcze jednego żywego! – zawołał. A potem zwrócił się do mnie, ciszej, lecz z morderczą pogardą: – Wyłaż no, ty mały czarowniku! Czeka cię spotkanie z buganem.

Wyczołgałem się, kalecząc boleśnie dłonie i kolana. Nagle usłyszałem głuchy łoskot i krzyk bólu. Podniosłem się chwiejnie na nogi, a tymczasem Stanton obrócił się gwałtownie, sięgając po miecz. Zaczął go dobywać, lecz z kolejnym głuchym odgłosem upadł na kolana. Po czole ściekała mu krew.

– Alice!

Stała naprzeciw mnie, w lewej dłoni trzymała kamień. Używając go, powaliła zarówno Stantona, jak i ostatniego z czekających na dole strażników. Nagle ogarnęła mnie fala sprzecznych uczuć: wstrząsu, ulgi, radości, znów strachu...

Usłyszałem krzyki dobiegające z góry; obejrzawszy się, odkryłem, że kilku strażników zmierza ku nam.

– Biegiem, Tom! – zawołała Alice, odrzucając kamień. Popędziła

między drzewa.

Podążałem prędko za nią. Drzewa były stare, dorodne, rozłożyste, choć rzadko rozrzucone. Obejrawszy się, dostrzegłem biegnące postaci. Dzieliło nas niecałe sto jardów. Z pluskiem przebiegliśmy przez strumień i skręciliśmy w stronę gęściejszego lasu, skąd nie usunięto młodych drzewek. Nim wpadliśmy w gąszcz, raz jeszcze spojrzałem za siebie. Z zadowoleniem odkryłem, że prześladowcy się nie zbliżyli. Teraz pozostawało pytanie: kto wytrzyma dłużej – chyba że uda nam się ich zgubić.

Biegliśmy pięć minut, wątle witki chłostały nas po twarzach suche gałęzie trzaskały pod stopami. Bardzo hałasowaliśmy, ale to samo dotyczyło ścigających nas gwardzistów. Zdawało się, iż odgłosy pościgu oddalają się coraz bardziej.

Nagle Alice zatrzymała się, wskazała w lewo. Opadła na kolana, zaczęła wczolgiwać się w jeszcze gęstszy zagajnik. Przez jakiś czas poruszaliśmy się na czworakach, starając się jak najmniej hałasować. Potem zatrzymaliśmy się, czekając, nasłuchując. Z oddali dobiegały dźwięki, lecz stawały się coraz słabsze i słabsze, aż w końcu zupełnie ucichły.

Alice sięgnęła ku mojej ręce. Chwyciła ją.

– Przepraszam, Tom. Bardzo cię przestraszyłam?

– Myślałem, że nie żyjesz, Alice – znów przepełniły mnie emocje. – Nie wiem, jak strażnik tak bardzo mógł się pomylić.

– Nie pomylił się – no, nie do końca. Zatrzymałam własny oddech i serce. Całkiem łatwe, kiedy wie się, jak postępować. Lizzie kazała mi to ćwiczyć – bo chodzi o umiejętność, która bardzo się przydaje podczas rozmów z duchami. Ale jest niebezpieczna. Niektóre czarownice zapominają znów zacząć oddychać, a wówczas nigdy się nie budzą!

– Żałuję, że nie wiedziałem, co zamierzasz. – Mocniej uścisnąłem jej dłoń.

– Sama nie wiedziałam, póki nie weszłam do beczki. Gdy tylko się zaparłam, zrozumiałam, jak należy działać. Zrobiłam, co trzeba, kiedy beczka zatrzymała się na dole. To lepsze niż trafić do

bugana, prawda? A i tak nie uszliśmy całkiem bez szwanku.

Uśmiechnąłem się. Miała rację: oboje mocno pokaleczyliśmy się o szpikulce, w mojej koszuli i portkach ziały poszarpane dziury, nie lepiej prezentowała się sukienka Alice.

– Teraz oboje wyglądamy jak Mouldheelowie! – zażartowałem, gapiąc się na zabłocone stopy towarzyszki. Klan Mouldheelów znany był wśród czarownic ze swych bosych stóp i obszarpanych strojów.

– No, Tom, ty to potrafisz pochlebić dziewczynie – rzuciła sarkastycznie Alice.

Zrzedła mi mina, ona jednak uśmiechnęła się do mnie ciepło. Znów uścisnęła mi rękę.

– Biedna Adriana – podjęła. – Wyjawiła nam, jak przeżyć, ale jej samej niewiele to dało. Teraz z pewnością rzucą ją na pożarcie buganowi.

Odczekaliśmy godzinę, nim opuściliśmy kryjówkę. Później ruszyliśmy na południowy wschód, w stronę Wzgórza, na którym czekał stracharz. Mogliśmy tylko mieć nadzieję, że wciąż tam jest.

Nie uszliśmy zbyt daleko, gdy dobiegło nas oddalone szczekanie.

– Jakby psy myśliwskie – mruknąłem.

Zwierzęta zbliżały się ku nam od wschodu. A zatem pościg znów się zaczął, właśnie w chwili, gdy uznaliśmy, że jesteśmy bezpieczni. Jeśli po tym, co zrobiła Alice, znów nas złapią, bez wątpienia najpierw solidnie obiją – a potem zabiorą do bugana. Nie mogliśmy liczyć na litość.

Znowu puściliśmy się biegiem, lecz tym razem odgłosy pościgu nieubłaganie się zbliżały. W pewnym momencie zerknąłem przez ramię. Zauważyłem w dali trzech mężczyzn; psy jednak znajdowały się znacznie bliżej.

\*

Nie posiadałem laski ani żadnej broni do walki z psami. Wiedziałem, że za parę minut nas dościgną, wtedy zaś poczujemy na skórze ich zęby. Mogą nas nieźle poturbować, nim zjawią się opiekunowie. I wtedy nagle coś dotarło do mnie poprzez mgłę

strachu. Coś, co uciszyło panikę, sprawiając, że zatrzymałem się, zdyszany. Alice odwróciła się. Patrząc na mnie, także zamarła.

– Już w porządku, Alice! – wykrztusiłem z trudem, ciężko łapiąc oddech. Bo widzicie, w końcu rozpoznałem szczekanie. – To psy Billa Arkwrighta!

Znów usłyszeliśmy charakterystyczne, ostre szczekanie, któremu od czasu do czasu towarzyszyło przeciągłe wycie. Wkrótce okazało się, że mam rację. Poznałem Szpon oraz jej szczeniaki, Krew i Kość. Podbiegły do mnie. Chwilę później na wypródki lizały mi twarz, a także ręce. Lecz co za mężczyźni podążali za nimi? Powinien być tylko jeden – mój mistrz...

Przyjrzałem się uważnie. Istotnie, zauważyłem stracharza; niósł w dłoniach nasze torby i laski. Wkrótce rozpoznałem drugiego mężczyznę: kapitana Bainesa. Musiał znaleźć mistrza, powiedzieć mu o naszym uwięzieniu i o tym, co nas czeka. Ale kim był trzeci? Młody mężczyzna, na oko liczący sobie najwyżej kilkanaście lat, o jasnych włosach i otwartej, szczerzej twarzy.

– No, no – sapnął stracharz, kiedy w końcu do nas dotarli. – Nieźle nas przegoniliście.

– Już wcześniej nas ścigali – wyjaśniłem. – Myśleliśmy, że to znów ludzie z twierdzy Greeba.

– Jak zdołaliście uciec? – spytał kapitan.

– Poddali nas próbie w beczkach, na Slieau Whallian – zaparliśmy się w środku, więc zdołaliśmy ująć cało, potem Alice udała, że nie żyje, a następnie ogłuszyła strażników kamieniem.

Nie mogłem wspomnieć stracharzowi, że posłużyła się czarną magią, by zatrzymać serce, a także oddech, toteż pominąłem tę akurat kwestię. I tak był wściekły, że mimo zakazu poszła ze mną.

– Już was sturlali? – wtrącił ostro jasnowłosy chłopak, odzywając się po raz pierwszy. Sprawiał wrażenie wstrząśniętego. – Mieli przeprowadzić następne próby dopiero późnym wieczorem!

– Zabrali się za robotę wcześniej – tuż przed świtem, by uniknąć obecności gapiów – wyjaśniłem.

– Zatem co spotkało pozostałych? Czy ktoś jeszcze uciekł? Czy

była tam dziewczyna imieniem Adriana? – dopytywał się nerwowo.

Przytaknąłem.

– W sumie zgromadzili nas sześcioro. Adriana żyła, gdy dotarła na dół; zabrali ją wraz z jeszcze jedną dziewczyną. Dwie pozostałe zginęły w beczkach.

– Spóźniłem się. Nie zdołałem jej uratować – jęknął. – Teraz zaciągną ją do bugana w twierdzy Greeba.

– To młody Simon Sulby – przedstawił chłopaka kapitan. – Maszerował właśnie, by próbować ocalić swoją przyjaciółkę, kiedy wywęszyły go psy. Zatem nasze ścieżki się skrzyżowały. Uznaliśmy, że warto połączyć siły. Niestety, chyba się spóźniliśmy.

– Ruszam do twierdzy! – Twarz młodzieńca wykrzywiła desperacja. – Muszę spróbować ją ocalić...

– Nie, to szaleństwo – kapitan Baines złapał go za rękę. – Nie ma sensu ruszać samotnie, bez wsparcia.

– Owszem, zgadzam się – przytaknął stracharz. – Tymczasem jednak wszyscy możemy skierować się do Greeby. Zyskamy czas, by pozbierać myśli. Chcę też opowiedzieć wam wszystkim, co wiem o buganach – może się przyda. I chłopcze, weź to – dość już się nanosiłem! – Co rzekłszy, wręczył mi obie torby oraz moją laskę.

Oczekaliśmy chwilę, aż Alice nałoży trzewiki, a potem ruszyliśmy w stronę twierdzy Greeba.

\*

Najprostszy szlak, którym jeździły wozy, prowadził wąską drogą, my jednak wybraliśmy nieco okrężny, by uniknąć gwardzistów. Ruszyliśmy przez teren pełen wzniesień. W dali dostrzegałem górskie szczyty; zalesione doliny przypominały mi Hrabstwo. Wędrówka byłaby całkiem przyjemna, gdyby nie rzucała na nią cienia rozpacz Simona. Sulby był wyraźnie na skraju załamania. Cóż uratowanie Adriany z lochów twierdzy graniczyłoby z cudem.

Wczesnym wieczorem zatrzymaliśmy się. Spędzaliśmy noc w małym lasku, w cieniu góry Greeba. Rozpaliłem ognisko, Alice upolowała trzy króliki i dużego zająca. Podczas gdy je piekła,

zebraliśmy się wokół ognia, omawiając szczegółowo ostatnie wydarzenia.

– Zatem na wyspę dotarła prawdziwa czarownica z Hrabstwa – stwierdził stracharz. – Jedna czy więcej?

Kapitan Baines wzruszył ramionami.

– Kto wie? Ale ponieważ zginęło dwóch ludzi, rada zyskała niezbędny pretekst. Mogła teraz zgodzić się na próby.

– I powiadasz, że ofiarom odcięto kciuki?

– Owszem, dodatkowo z obu rybaków wysączono krew. Poderżnięto im gardła.

– To sugerowałyby dwie czarownice – mruknął stracharz. – Wiedźmę kości oraz wiedźmę krwi.

– Albo Lizzie. – Alice obróciła zajęcia na rożnie. – Posługuje się obiema magiami, tak kości, jak i krwi. Kiedyś miała też pobratymca, ale zginął. Możliwe, że po ucieczce z jamy rozłączyła się z czarownicami z Pendle, po czym skierowała kroki na zachód, w stronę wybrzeża!

– Przyznaję, dziewczyno, to możliwe. Trzeba zatem bardzo uważać.

Wkrótce kolacja czekała – ja podzieliłem się z Alice zajęcem. Simon co prawda przez długi czas wpatrywał się w swojego królika, lecz w końcu odsunął pieczyście.

– Zjedz, Simonie. Spróbuj, przynajmniej odrobinę. Będziesz potrzebował sił – radził kapitan Baines.

– Nie! – Simon zerwał się z ziemi. – Należy bez zwłoki iść dalej, do twierdzy. Po zmroku bugan zjawi się w lochach i Adriana...

– Usiądź! – rzucił stracharz. – Dziś w nocy nic jej nie grozi. Podobnie jak przez kilka następnych dni. Wierz mi, choć nigdy nie miałem bezpośrednio do czynienia z żadnym buganem, wiem o nich więcej niż ktokolwiek. Bez wątpienia, wciąż da się odkryć coś nowego, ale wiem na pewno, że skupiają się tylko na jednej ofierze, którą zazwyczaj posilają się przez kilka dni. Ilu więźniów zabrano już do twierdzy?

– Od prawie tygodnia przeprowadzają próby – odparł Simon. –



Co najmniej siedem czy osiem osób wyciągnięto z beczek żywych. Możliwe jednak, że kilka skonało z odniesionych ran.

– I zawsze chodzi o uciekinierów z Hrabstwa?

– Stamtąd przybywali wszyscy. Wszyscy, prócz Adriany. Gdyby nie zaloty lorda Barrule'a, wciąż siedziałyby w domu, bezpieczna.

– Przekonałeś mnie – oznajmił stracharz. – Musimy pomóc tym ludziom. Służę Hrabstwu oraz jego mieszkańcom, nieważne, w domu, czy za granicą. Wypełniam wszędzie swój obowiązek.

– Zatem spróbujemy uwolnić ich z lochów? – spytałem.

– Może z czasem, chłopcze. Choć na razie nie mam pojęcia, co w tym celu zrobić. Nie, uchronimy ich przed mrokiem w inny sposób. Nie pójdziemy do twierdzy. Skoro bugan mieszka w ruinach kaplicy, tam właśnie się udamy!

\*

Po kolacji siedzieliśmy przy dogasającym ogniu, wciąż rozważając, co nas czeka. Słońce już zaszło, na niebie rozbłyły gwiazdy. Lecz brakowało wiatru, w lesie panowała niesamowita cisza. Nic nie zagłuszało dyszenia psów.

– Jak bardzo niebezpieczny jest bugan? – spytał kapitan Baines.

– Cóż, bez żadnej szkody mogę was poinformować o najgorszym – odparł stracharz. – A ty, chłopcze, wyciągnij notatnik i zapisz, co powiem. Jest wiele informacji, o które powinienem wzbogacić bestiariusz. Jeszcze nie wiesz wszystkiego. Nastąpi teraz kolejny etap twojego szkolenia.

Zaczekał, aż wyciągnę z torby kałamarz, pióro i notatnik, po czym zaczął...

## **ROZDZIAŁ 8**

### **WIEDZA O BUGANIE**

– Bugany to demony, które zazwyczaj czają się w pobliżu ruin – zaczął stracharz. – Mogą jednak oddalać się znacznie od swej

siedziby. Są odporne na sól i żelazo, przez co trudno się z nimi rozprawić – choć pozostają wrażliwe na ostrze ze stopu srebra. Trzeba takie ostrze wbić w serce w pełni zmaterializowanego stwora. Na szczęście my, stracharze, dysponujemy podobnym ostrzem...

W ramach demonstracji sięgnął po laskę. Nacisnął ukryty guzik, tak że klinga wyskoczyła ze szczęknięciem.

– Jak już wiadomo memu uczniowi, bugany zazwyczaj ograniczają się do występowania w dwóch postaciach – czarnego byka lub potężnego, włochatego mężczyzny.

– Co stanowi największe zagrożenie, kiedy bugan przybiera postać byka? – spytałem.

– Głośny ryk, albowiem dźwięk ów czerpie swą siłę z energii mroku, którą dysponuje demon. Często przepełnia ofiary tak wielką zgrozą, że nie są w stanie nawet drgnąć. Wówczas atakuje, rozszarpując i tratując wszystko, co stanie mu na drodze.

Stracharz umilkł, pogrążony w myślach. Po jakimś czasie nie wytrzymałem.

– A włochaty człowiek? Tu nazywają go Zgniataczem.

– Właściwe miano, chłopcze. Bugan przyjmuje tę postać, by kopać tunele. Jego ostre szpony i zębiska mogą przegryzać pnie czy korzenie drzew, na które natrafia. Szukałem w pamięci jakichkolwiek informacji... Dlatego właśnie spalenie biblioteki okazuje się niepowetowaną stratą. Wiele rzeczy pozostało jedynie w mojej głowie, więc kiedy umrę, stracimy je na zawsze.

– W takim razie będzie pan musiał znów je zapisać, panie Gregory. I to jak najszybciej – wtrąciła Alice.

– Owszem, masz rację, dziewczyno – przyznał stracharz. – I zrobię tak, gdy tylko nadarzy się okazja, – Westchnął, po czym podjął, patrząc w dal. Przywoływał w pamięci szczegóły. – Najniebezpieczniejszy, śmiertelnie niebezpieczny jest jednak bugan w swej niewidzialnej, duchowej postaci.

– To gorsze niż zwykła śmierć! – przerwał mu Simon głosem przepełnionym uczuciem na myśl o losie, jaki czeka Adrianę. –

Bugan wysysa z ciała ofiary duszę!

Stracharz pokręcił głową.

– Nie, bynajmniej – choć większość ludzi tak właśnie sądzi. Dusza przeżywa i odchodzi dalej. To, co bugan wysysa, to animus, siła życiowa, coś zupełnie odmiennego. Bugan żywi się energią, która daje siłę ciału i umysłowi. Pochłania ją do czasu, aż ciało umiera. Tyle że umysł kona wcześniej, dlatego ofiara wydaje się pustą skorupą. Pewni magowie, zwani szamanami, praktykują tę samą odmianę magii, którą w ich przypadku nazywamy animizmem. Bugan może zyskać na siłach, sprzymierzając się z szamanem: w zamian za ludzkie ofiary niszczy jego wrogów, bądź dzieli się własnymi zapasami animusu z magiem. I tego właśnie obawiam się najbardziej: że nie mamy do czynienia z samotnym buganem. Możliwe, że bierze w tym udział również mroczny szaman. Co tu kryć, w owym domniemanym rozprawianiu się z mrokiem – poddawaniu próbom oraz zabijaniu fałszywie pomówionych czarownic – używa się samego mroku: nie tylko bugana, ale i pomiota. Powiedz mi zatem, Simonie, kiedy to wszystko się zaczęło?

– Dobrze ponad dwadzieścia pięć lat temu. Nim jeszcze przyszedłem na świat, na zachodnim brzegu wyspy wylądowała czarownica w towarzystwie owego pomiota. Okazał się wiedźmim synem. Gwardziści oddali ją buganowi, a jego uwięzili, wykorzystując do tropienia innych wiedźm. Kobiety podejrzewane o czary zawsze poddawano próbom w beczkach ze szpikulcami, lecz wcześniej winne palono na stosie. Zawsze też wyszukiwano cudzoziemców – imigrantów, którzy przybywali na wyspę, próbując się na niej osiedlić. Adrianę oskarżono jako jedną z pierwszych miejscowych...

W tym momencie głos Simona załamał się w szlochu. Stracharz czekał cierpliwie, aż chłopak zapanuje nad sobą, po czym wrócił do pytań.

– Wiemy, że ci ciężko, Simonie, ale wszystko, cokolwiek zdołasz mi powiedzieć, zwiększy nasze szanse w walce z tym, z czym

trzeba się zmierzyć. Mówisz „oni”, lecz kto za wszystkim stoi? Kto wszystkim kieruje?

– Głową rady rządzącej wyspą jest lord Barrule z twierdzy Greeba, ten sam, który skazał Adrianę. Właśnie on zdecydował, by zachować pomiota przy życiu, wykorzystując go do wyszukiwania czarownic. Powtarzał też, że w żaden sposób nie da się pozbyć bugana. Jeśli jedna zamiast palić czarownice na stosie, zaczniemy je rzucać buganowi, ten uspokoi się, co ochroni naszych ludzi.

– Cóż, całkiem możliwe, że Barrule jest mrocznym szamanem – wtrącił stracharz. – Trudno wyobrazić sobie gorszą sytuację: to człowiek o wielkiej władzy i wpływach. Ale jeśli zdołamy zniszczyć bugana, szaman porządnie osłabnie. Jak opisałbyś lorda?

– Najlepiej użyć słowa „okrutnik” – odparł Simon. – Zalicza się do ludzi, którzy lubią stawiać na swoim, Poza tym pasjonuje się hazardem. Po wsiach krąży mnóstwo historii o hazardowych przyjęciach w twierdzy. Często obstawiają walki psów. Powiadają, że Barrule sprowadził tu kiedyś niedźwiedzia, po czym zmusił go do walki ze stadem wilków.

Na te słowa umilkliśmy. Nienawidzę okrutnego traktowania zwierząt. Pomyślałem o Szpon i szczeniakach, skazanych na taki los.

– Musi być strasznie, gdy bugan zbliża się pod postacią ducha – rzekłem w końcu.

– Na otwartym terenie jedyną szansą jest uciec przed nim jak najszybciej – poinformował stracharz. – Uwięziony w pobliżu, nie masz żadnych szans, chłopcze. Bugan szepcze do swych ofiar złowieszczym ludzkim głosem, aż w końcu zaczynają widzieć w głowach obrazy – wizerunki najgorszych przeżyć bądź uczynków w życiu. Demon to sadysta: uwielbia zadawać ból; zmusza ofiary do przeżywania owych wydarzeń wciąż na nowo, raz po raz. Ofiary słyszą szepty w środku głowy. Niektóre popadają w obłęd: wciskają sobie w uszy ostre patyki, by się ogłuszyć, lecz daremnie – szepty nie milkną. Przez kilka dni stwór wysysa całą siłę życiową. Animy odebrane ofiarom przechowuje gdzieś w podziemnym labiryncie.

– Ma pan na myśli taki labirynt, jak ten za srebrną bramą pod katedrą w Priestown?

– Nie, chłopcze, ten jest zupełnie inny. W tamtejszym uwięziono Mora, a wykopał go i wyłożył kamieniami sam Mały Lud. Bugan wykopuje własny labirynt, kręty, wijący się pośród korzeni drzew. Demon panuje nad ofiarami, sprawia, że mogą się poruszać – czasami z katastrofalnym skutkiem dla wszystkich, którzy kręcą się w pobliżu. Kiedy za pierwszym razem, jako młody stracharz, spróbowałem rozprawić się z Morem, przywiązałem do srebrnej bramy kłębek sznurka. Zagłębiając się w tunele, rozwiązywałem sznur tak, by móc odnaleźć wyjście. Tu jednak nie da się sztuczki powtórzyć: tunele bugana przesuwają się, zmieniają, czasem w ciągu jednej nocy. Mogą też się zawalić, zasypując wszystkich w środku. Pamiętam relacje stracharza, który zabił bugana daleko na południe od Hrabstwa. Po trzech miesiącach od śmierci demona jego tunele zawaliły się, tworząc w całej okolicy zapadliska.

Nigdy nie należy stawiać czoła buganowi w jego tunelach – podjął stracharz – toteż zejście pod ziemię uważam za ostatnią rzecz, jaką winniśmy planować! W biały dzień nie pokaże swojej twarzy, lecz jeśli po zmroku zapuścimy się w okolice kaplicy, powinno się udać wywabienie stwora na otwartą przestrzeń. Oto więc, co zamierzam zrobić...

\*

Tej nocy spałem smacznie. Mistrz obudził mnie parę godzin przed świtem, żebym pełnił straż. Sądziłem, że wystarczą same psy, ale stracharz wolał nie ryzykować. Oznajmił, iż szaman dysponuje szczególną władzą nad zwierzętami. Niezależnie od wykszolenia może je zmusić do wykonywania swoich rozkazów.

W końcu słońce wzeszło między drzewami na wschodzie, wkrótce wokół rozśpiewały się ptaki. Otaczający las powoli budził się do życia.

Nie wyczuwałem najmniejszego zagrożenia. Trudno uwierzyć, że zaledwie milę na północ od nas zaczynało się terytorium bugana. Zjedliśmy późne śniadanie – grzyby, znów pozbierane przez Alice.

Kupno prowiantu w gospodzie groziło zbyt dużym ryzykiem, zresztą obaj ze stracharzem niewiele jadalіśmy. Należało właśnie rozpocząć post przygotowujący do starcia z mrokiem.

Później we czwórkę pomaszzerowaliśmy ku kaplicy. Kapitan Baines pozostał na miejscu z psami.

– Klucz do sukcesu stanowi cisza i zręczność – poinformował go mój mistrz. – Nie chcę, by zwierzęta kręciły się wokół ruin. Trzeba uważać, bo należy zakładać obecność szamana. Jednakże jestem niemal pewien, że za dnia bugan nikomu nie zagraża. Na razie ograniczymy się wyłącznie do obserwacji, by móc lepiej przygotować się do walki po zmroku.

Nim dotarliśmy do celu, wiatr przygnał z zachodu deszczowe chmury. W szarym świetle kaplica wyglądała złowieszczo, niebezpiecznie. Stała na zboczu wzgórza, z trzech stron otoczona przez las, który ciągnął się niżej. Wciąż miała wszystkie ściany, dach jednak dawno już się zawalił. Drzwi zdjęto z zawiasów, weszliśmy zatem do środka. Zapatrzyliśmy się na pradawne kamienne mury, obecnie pokryte plamami wilgoci i mchu.

– Niektórzy sądzą, iż bugan nawiedza ruiny kaplicy, by nie dopuścić do jej odbudowania – oznajmił stracharz. – Choć nie ma dowodów popierających tę tezę. Jednakże wiele stworów z mroku unika miejsc, w których ludzie gromadzą się na modły. Zdarza się, że boginy uszkadzają fundamenty budowanych kościołów – nie znoszą odgłosów modlitw. Mnie jednak interesuje rozmiar jego terytorium. Jak daleko się zapuszcza?

– Oto twierdza – pokazałem Alice ręką szarą wieżę, ledwie widoczną ponad odległym lasem. Za nią wznosił się złowieszczy masyw góry Greeba.

Alice spojrzała, nie odezwała się jednak.

– W istocie – przytaknął żałobnym tonem Simon. – Lochy, w których trzymają ofiary przeznaczone dla bugana, mieszczą się z tej strony, na południe od fosy.

– Jeśli bugan potrafi docierać tak daleko we wszystkich kierunkach, posiadał całkiem spore terytorium – zauważył

stracharz. – Przejdźmy się w tamtą stronę, powinniśmy lepiej poznać układ terenu.

Poprowadził nas na południe od ruin kaplicy. Zaczęliśmy schodzić ze wzgórza, coraz bardziej zagłębiając się w las; z każdym naszym krokiem pomruk płynącej wody stawał się głośniejszy. Buty zapadały się z młaśnięciem w nasiąkniętą, błotnistą ziemię.

– Tu, w dolinie, powinna płynąć rzeka Greeba – stracharz zatrzymał się nagle. – Zaszliśmy już dość daleko. Niebezpieczna okolica – lepiej nie zapuszczać się dalej po zmierzchu. Jeśli bugan przyjmuje odmienną postać, zapewne dostosowuje ją do tutejszych warunków.

– Czy mógłby przybrać kształt gadźca? – spytałem. Gadźce były naprawdę przerażające. Kiedy pracowałem z Billem Arkwrightem, polowaliśmy na jednego, który zabił dziecko. Wywłókł chłopczyka z łóżka i go pożarł. Po malcu zostało tylko kilka zakrwawionych strzępów koszuli.

– Niewykluczone, chłopcze, lecz miejmy nadzieję, że nie. Gadźce zaliczają się do grupy stworzeń niebezpiecznych; czasami dorównują wielkością koniom pociągowym. Uwielbiają wodę i bagna. Bardzo by im się tu podobało. – Stracharz odwrócił się do Simona. – Ich ciała pokrywają łuski, które trudno przebić klingą. Co więcej, posiadają potężne szczęki, dysponują więc paszczą pełną ostrych zębów. W dodatku na łądzie plują śmiertcioną trucizną, przenikającą przez skórę, tak że ofiara ginie w męczarniach...

Przypomniałem sobie gadźca, którego w końcu odnaleźliśmy. Bestia plunęła na Billa, lecz szczęśliwym trafem jad wylądował na butach Arkwrighta. Powiodłem wzrokiem po drzewach i gęstych roślinach, tak bujnych, że nie widziałem nawet rzeki. Popatrzyliśmy z Alice po sobie. Oboje myśleliśmy o tym samym. To miejsce budziło w nas złe przeczucia.

\*

Powróciliśmy do zagajnika, w którym czekał kapitan Baines z psami. Wkrótce po zmroku rozpoczęliśmy przygotowania do wyprawy na teren kaplicy. Wcześniej padał gęsty deszcz, teraz

jednak od czasu do czasu księżyc błyskał nieśmiało pośród poszarpanych chmur, pędzonych po niebie przez porywisty, zachodni wiatr.

Stracharz wręczył mi swą torbę.

– No, chłopcze, bierzmy się do roboty.

Kapitan oraz Simon Silby mieli zostać z psami. Przypuszczam, iż mój mistrz oczekiwał, że Alice uczyni tak samo, bo gdy ruszyła za nami, najpierw zdumiał się, a potem zmarszczył brwi.

– Zostań, dziewczyno – rzucił. – To stracharska robota.

– W przyszłości często się wam przydawałam – odparła Alice.

Mistrz spojrzał na nią i na mnie podejrzliwym wzrokiem. Nie miał pojęcia o istnieniu słoja krwi, ale spostrzegłem, że wyczuwa coś złego.

– Nierozłączki z was, co? – Zmarszczył czoło.

Uśmiechnąłem się. Wzruszyłem ramionami. Kręcąc głową, stracharz ruszył w stronę kaplicy. Oboje podążyliśmy za nim. Od ruin wciąż dzielił nas spory kawałek, gdy mistrz się zatrzymał.

– Teraz się skup, chłopcze – polecił cicho.

Wędrowaliśmy dalej, lecz znacznie wolniej, znacznie ostrożniej. Każdy krok zbliżał nas do murów kaplicy. W końcu znaleźliśmy się dość blisko, by dotknąć wilgotnych kamieni.

– Chyba jest w pobliżu – mruknął stracharz. – Czuję go w kościach...

Wiedziałem, że ma rację. Po plecach przebiegał mi chłodny dreszcz, ostrzeżenie, że w pobliżu czai się coś z mroku. Stracharz poprowadził nas wzdłuż muru, kierując się w stronę drzew.

W chwilę później znaleźliśmy się pośród nich, wiatr wiał nam w twarz. Za każdym razem, gdy księżyc wyłaniał się zza chmur, cienie tańczyły na ziemi. Postąpiliśmy jeszcze paręnaście kroków, a potem mistrz zatrzymał się nagle. Pośród drzew, jakieś pięćdziesiąt jardów od nas, stało dwóch mężczyzn: jeden wysoki, chudy jak strach na wróble, odziany w długą ciemną szatę, drugi zaś przysadzisty, muskularny, o wielkiej głowie, jakby pozbawiony szyi.



Księżyc znów wyszedł. Oświetlił tych dwóch, ukazując prawdziwą grozę, z jaką przyszło nam się zmierzyć. Wysoki mężczyzna miał twarz okrutną, surową. Lecz dopiero druga postać wzbudziła w moim sercu rozpacz, sprawiając, że ugięły się pod mną kolana. Tam w ogóle nie stał człowiek. Stwór wydawał się przysadzisty, bo uprzednio opadł na czworaki. Teraz nagle wyprostował się, ukazując prawdziwe rozmiary. Twarz miał włochatą, podobnie resztę ciała. Porastała go sierść, przypominająca raczej zwierzęce futro niż ludzkie włosy. Mieliśmy przed sobą bugana w postaci włochatego człowieka – Zgniatacza. Jego towarzyszem musiał być szaman.

Gdy tylko myśli te przemknęły mi przez głowę, bugan ponownie opadł na czworaki. Księżyc zaszedł za chmurę, pogrążając nas w ciemności, w której łyaskała tylko para świecących, czerwonych oczu. Nagle stwór ryknął potężnie – potwornym głosem, od którego zatrzęsła się ziemia i drzewa. Ryk, słyszałem przerażający ryk. Zamarłem, niezdolny do wykonania choćby jednego ruchu.

Usłyszałem szcęk: to stracharz wypuścił klingę z czubka swojej laski. Zdecydowanym krokiem ruszył w stronę wrogów. Gdy jednak księżyc znów wyszedł, zobaczyliśmy jedynie bugana. Szaman zniknął.

Demon przybrał teraz postać potężnego, czarnego byka o olbrzymich rogach. Rozwścieczony rył ziemię racicami, z nozdrzy bestii wydostawały się chmury pary. Gotował się do ataku.

Z ogłuszającym łoskotem pogalopował w stronę stracharza. Mój mistrz przyjął pozycję ochronną, unosząc laskę ukośnie przed ciałem. W porównaniu z buganem wydawał się drobny, kruchy, skazany na rozdarcie rogami, na stratowanie. Serce podeszło mi do gardła. Tkwiałem w miejscu jak sparaliżowany. Wiedziałem, że mistrz zaraz zginie.

## **ROZDZIAŁ 9**

## ATAK BUGANA

Wszystko rozegrało się tak szybko, że z początku nie zarejestrowałem, co się dzieje. Demon nie trafił w stracharza, który dźgając laską, uskoczył w ostatniej chwili. Mijając go, bugan zarzucił głowę i zahaczył mego mistrza lewym rogiem. Odrzucił stracharza na bok, ten zaś upadł ciężko, koziółkując.

Nie poruszał się. Czyżby nie żył? Jeśli nawet tylko stracił przytomność, sytuacja nie przedstawiała się najlepiej. Bugan nie zwrócił uwagi na Alice oraz na mnie. Zatoczył szeroki łuk, zawrócił. Pochylił łeb tak, że ostre rogi celowały wprost w znieruchomiałe ciało mistrza.

Serce ścisnęło mi się ze zgrozy. Zamierzał znów zaatakować!

Przez moment nie mogłem się ruszyć. Wówczas jednak Alice krzyknęła i puściła się biegiem naprzód. Wymachiwała rękami, starając się odwrócić uwagę bugana. Zwabiała go do siebie. Demon zatrzymał się, łypał na nią wielkimi, czerwonymi, wściekłymi ślepiami. A potem zaatakował!

W jednej chwili poczułem, że odzyskuję zdolność ruchu. Cisnąłem torby, pomknąłem ku Alice, próbując osłonić ją przed złowrogim stworem. W biegu wypuściłem klingę z własnego kija, krzycząc głośno.

– Tutaj! – wołałem. – Tutaj! Przecież o mnie ci chodzi!

Bugan nie zwracał uwagi na moje krzyki. Znów groza ścisnęła mi gardło: dopadł Alice, nim zdołałem ją zasłonić. Przez jedną straszliwą chwilę sądziłem, że stratował moją przyjaciółkę. Potem jednak ujrzałem, że opadła na kolana i odturlała się w ostatniej chwili.

Bugan znów zawrócił. Ponownie uderzył racicą o ziemię. Parskał gniewnie przez nozdrza. Tym razem patrzył na mnie. Dostałem to, czego chciałem. Teraz Ja byłem celem!

Ruszył, wbijając we mnie spojrzenie czerwonych ślepi. Pochylał ostre rogi, gotowe mnie przebić. Ja jednak skupiłem się mocno,

wciągnąłem powietrze w płuca i spróbowałem spowolnić upływ czasu. Ów dar odziedziczyłem po mamie – odkryłem tę umiejętność dopiero niedawno. Użyłem jej, by obronić się przed Ordyną – nazwała to „szybkością, która rzuca wyzwanie upływowi czasu”.

Jeśli nawet użyła trafnych słów, z całą pewnością teraz akurat czasu nie wyzywałem. Niełatwo bowiem używa się takiego daru, a ja nie panowałem nad nim w pełni. Starąłem się, jak mogłem, jeśli jednak nawet czas zwolnił, to niekoniecznie ze szkodą dla bugana. Dopadł mnie w mgnieniu oka; gdy uskokczyłem, opadając na kolano, jego prawy róg minął moją głowę ledwie o ułamek cala.

Ledwie zdążyłem zerwać się z ziemi, gdy znów zaatakował. Tym razem potrząsnął głową, zataczając rogami szeroki łuk. Ja jednak przewidziałem, co zrobi, więc uskokczyłem i dźgnąłem kijem. Ostrze raniło go tuż za uchem. Stwór ryknął z bólu, po czym zachwiał się lekko, nim znów zawrócił.

Srebrne ostrze go zraniło. Gdyby demon przyjął postać gadźca, twarde łuski utrudniłyby zakłucie bestii, teraz jednak miałem okazję wbić mu klingę w serce i zakończyć wszystko. Ze wzrastającą pewnością siebie znów zacząłem się koncentrować.

Skup się! Rozciągnij czas. Spowolnij go. Zatrzymaj! Działo. Bagan istotnie zdawał się zwalniać. Wcześniej jego nogi tworzyły jedną, rozmazaną plamę, teraz widziałem, jak się poruszają. Gdy znalazł się w zasięgu laski, niemal zastygł bez ruchu. Łeb otaczał nieruchomy obłok oddechu, czerwone ślepie lśniły niczym szkło. Dostrzegając szansę, uskokczyłem w bok. Uniosłem kij, gotów pchnąć stwora pod ramię, w serce. Niemal już znieruchomiał. Prawie udało mi się zatrzymać czas! Wystarczy pchnięcie klingi, by demon zginął. Dźgnąłem w dół, lecz ku memu głębokiemu zawodowi ostrze natrafiło na pustkę.

Bagan zniknął!

Zaskakujące zniknięcie przełamało moją koncentrację, straciłem panowanie nad czasem. Znów poczułem wiatr na twarzy, usłyszałem, jak świszczce wśród gałęzi; księżyc posyłał na ziemię roztańczone cienie, a potem znów zniknął za chmurą.

Stałem, powoli odzyskując oddech po ciężkiej walce. Czy stwór znów się zmaterializuje? Zraniłem go, ale niezbyt ciężko. Może wyczuł, co próbuję zrobić z czasem, może pojął, jak bardzo mu zagrażam. Czy zatem wróci – tym razem w niebezpieczniejszej postaci? Może zacznie szeptać do mnie w formie duchowej, wysączając mój animus?

Zerknąłem na mistrza. Wciąż się nie poruszał. Jak ciężkie odniósł rany? Dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że nie dostrzegam ani śladu Alice.

– Alice! Alice! – zawołałem, nie usłyszałem jednak odpowiedzi. Przerazenie ścisnęło mi serce. Czyżby schwytał ją szaman? – Alice! – wrzasnąłem ponownie z desperacją w głosie.

Jedyną odpowiedź stanowił jęk stracharza, poszedłem zatem sprawdzić, co z nim.

Kiedy ukląknąłem obok, siadł z bolesnym stęknieniem. – No dalej, chłopcze, pomóż mi wstać.

Odłożyłem kij na ziemię, objąłem ramieniem mistrza, dźwignąłem.

Jak bardzo jest pan ranny? – spytałem niespokojnie. Nie dostrzegłem ani śladu krwi, lecz stracharz śmiertelnie zbladł.

– Na szczęście czubek rogu chybił, ale uderzył mnie mocno w ramię i ogłuszył. Przeżyję, zostanie mi na pamiątkę tylko ból głowy i kilka siniaków. Co się stało?

Opowiedziałem o walce z buganem, a także o tym, jak zniknął.

– Alice zaginęła – podjąłem temat. – Kiedy pan upadł, bugan od razu ponowił atak, lecz ona odwróciła uwagę bestii. Ocaliła panu życie. W tamtej chwili widziałem ją po raz ostatni. Może szaman ją porwał? Bo ten człowiek obok demona to był szaman, prawda?

– Najprawdopodobniej, chłopcze – zwłaszcza że zniknął ot, tak. Nie martw się o dziewczynę. Potrafi o siebie zadbać. Jeśli ma choć cień rozsądku, zdążyła uciec przed buganem. I my też powinniśmy się oddalić.

– Ale co, jeśli szaman odda ją buganowi?

Stracharz nie odpowiedział, obaj jednak wiedzieliśmy, że to

całkiem możliwe. Ostatecznie pomiot wywęszył Alice i odnalazł w jej duszy mrok. Jednak ja z przerażeniem myślałem o czymś innym. Alice znalazła się poza zasięgiem słoja krwi.

Mimo ostrzeżeń stracharza, który podkreślał, że grozi nam niebezpieczeństwo, uparłem się przeszukać okolicę. Niczego jednak nie znalazłem, w końcu musiałem zrezygnować.

Bałem się o Alice – gdy odchodziłem w ślad za mistrzem, czułem ucisk w gardle. Zły mógł się zjawić w każdej chwili, szukając na niej pomsty. Mógł zabić Alice i na zawsze porwać jej duszę w mrok.

\*

Już w obozie, dręczony obawami, nie mogłem zasnąć. Sądziłem, że świt nigdy nie nastanie, w końcu jednak nadszedł – piękny, jasny ranek, całkowicie niepasujący do mego nastroju.

Dzień zaczął się źle. Gdy tylko wstałem, uświadomiłem sobie, że psy zniknęły. Nie widziałem ani śladu Szpon, Krwi ani Kości – nie odpowiadały też na wezwania. Zazwyczaj były posłuszne i nie zdarzało się, by odbiegały na tak długo. Czyżby sprawił to szaman?

Nie zjedliśmy porządnego śniadania, jedynie po kęsie sera. Wszyscy prezentowali ponury nastrój, zwłaszcza Simon Sulby, który rozpaczliwie pragnął cokolwiek zrobić, świadom, że z każdym mijającym dniem niebezpieczeństwo grożące Adrianie rośnie.

– Nie mogę tak tu siedzieć beczynnie! – Jego głos przepęłniała rozpacz. – Co, jeśli dziś w nocy znów się wam nie uda?

– Nie dam żadnych gwarancji – odparł stracharz z wyraźną irytacją. – Ale powiem ci jedno: jeśli pójdziesz sam i podejmiesz niemądrą próbę ocalenia jej z twierdzy, w lochach znajdzie się kolejna osoba czekająca na bugana. Będziesz nią ty!

– Może nie mam szans na ocalenie Adrianie. Lecz jest coś, co wciąż mogę zrobić. Mógłbym pójść do St. John's i zwrócić się do Tynwaldu.

– Tynwaldu? – powtórzyłem. – Czy to rada rządząca wyspą?  
Simon pokręcił głową.

– Nie, to parlament, ciało obieralne, który mianuje radę. Tynwald ma prawo zmieniać wyroki rady. Za kilka dni spotkają się w St. John's – wiosce obok wieży czarownic, w której was uwięziono. Tynwald może nakazać lordowi Barrule'owi, by uwolnił Adrianę.

– I wysłuchają cię?

– Wysłuchają, choć rzadko wtrącają się do spraw wyspy po mianowaniu rady. Lecz co innego mogę uczynić? Obywatele mają prawo wystąpić przed Tynwaldem. Adriana nie jest czarownicą, nigdy nią nie była. Rozumie ptaki, ot, wszystko. Przypadł jej w udziale wyjątkowy talent, który niepokoi część ludzi. Czemu tak musi się dziać? Dlaczego ludzie tacy jak Barrule okropnie utrudniają życie innym? Adriana i ja chcemy po prostu się pobrać, mieć dzieci oraz wieść szczęśliwe życie. Czy żądam zbyt wiele? Jedno wiem na pewno: jeśli zabraknie Adriany, moje istnienie straci sens. Nie będę umiał bez niej żyć.

Stracharz ze smutkiem pokręcił głową. Jakiś czas milczał.

– Posłuchaj – rzekł w końcu. – Daj nam jeszcze jedną noc. Gdybyśmy dziś w nocy zabili bugana, to by ją ocaliło przed bezpośrednim zagrożeniem.

Simon nie odpowiedział. Nie wydawał się przekonany.

– Myśli pan, że szaman schwytał Alice? – spytałem mistrza. Zrobiło mi się smutno z powodu Simona, martwiłem się o Adrianę, ale najbardziej dręczyła mnie obawa o Alice.

– Niewykluczone, chłopcze. Mógł ją zwabić do siebie, używając mrocznej magii, choć nie mógł dziewczyny fizycznie porwać. Bo widzisz, zeszłej nocy wcale go tam nie było. Dlatego właśnie wydawało ci się, że zniknął. Szaman potrafi bowiem wysłać swego ducha poza ciało i dla takich jak my, obdarzonych darem, ów duch wygląda zupełnie jak on sam. Psy to co innego: jak mówiłem, szaman dysponuje szczególną władzą nad zwierzętami. Bill Arkwright dobrze je wytresował; to do nich niepodobne, by tak po prostu zniknęły.

– Ja też chciałbym odwiedzić St. John's, żeby uzupełnić zapasy

– wtrącił kapitan Baines. – Spróbuję powęszyć, co się dzieje.

Wkrótce odszedł. Również Simon, który nie dał się przekonać, wyruszył do St. John's z zamiarem stawienia się na posiedzeniu Tynwaldu. Przed odejściem jednak narysował mapę. Zaznaczył na niej twierdzę Greeba, ruiny kaplic oraz Douglas. Uwzględnił również małe miasteczko Peel na zachodnim wybrzeżu oraz młyn, w którym Adriana mieszkała z rodzicami.

Przyjrzałem się uważnie mapie, zapamiętując wszystkie szczegóły.

\*

Zapadł już zmrok, a kapitan wciąż nie wracał. Zaczęliśmy się martwić. Co go zatrzymało?

Ukryliśmy torby, najlepiej jak potrafiliśmy, by móc swobodniej walczyć z buganem. Sól i żelazo na nic by się zdały w starciu z tym demonem, zabraliśmy jednak nasze srebrne łańcuchy, w nadziei, że zdołamy skrepować go na trochę, co dałoby nam szansę użycia kling ze stopu srebra, ażeby bestię wykończyć.

Kiedy zapadł zmierzch, znowu ruszyliśmy w stronę kaplicy. Zeszej nocy poszło nam źle. Nie wierzyłem, by tym razem stało się inaczej. Bagan okazał się bardzo niebezpieczny, dysponował też potężnym sojusznikiem: szamanem.

Nie zaszliśmy daleko, gdy dobiegło nas szczekanie psów. Przez moment obawiałem się, że słyszymy

Swych prześladowców, potem jednak odprężyłem się. Drugi raz nie zamierzałem dać się nabrać.

– Tak hałasują tylko psy Billa Arkwrighta – poinformowałem stracharza. – Wracają!

Nagle psy zaczęły wyć i ujadać, jakby chwyciły trop zdobyczy.

– Owszem, chłopcze, ale nie wracają same! – zawołał mój mistrz.

Psy pędziły ku nam. Tuż za nimi podążała duża grupa zbrojnych, w sumie może dwudziestu.

– Uciekaj, chłopcze!

Puściliśmy się biegiem najszybciej, jak umieliśmy, nasze stopy

frunęły w szorstkiej trawie, lecz choć gnaliśmy dłuższą chwilę, wciąż nie zdołaliśmy zwiększyć odległości od ścigających.

– Rozdzielmy się! – krzyknął stracharz. – Rozdzielimy wtedy także ich, to może nie złapią nas obu! Posłuchałem, skręcając w lewo, on zaś skierował się w prawo. Dla żadnego z nas schwywanie nie oznaczało niczego dobrego, lecz rada mistrza miała sens. Przez kilka chwil pędziłem naprzód. Ujadanie psów zdawało się cichnąć. Kiedy jednak uznałem, że może mi się powiodło, usłyszałem tuż za sobą ciche warknięcie. Obejrzałem się, zobaczyłem szybko zbliżającą się Szpon. Za nią biegło pół tuzina uzbrojonych w pałki mężczyzn. Oni mnie nie doganiali, ale pies owszem. Potknąłem się o kępę trawy, upadłem na czworaki. Natychmiast poderwałem się na równe nogi. Nim jednak zdążyłem postąpić choć krok, Szpon dopadła zębami portek tuż nad moją kostką.

– Puszczaj, Szpon! Puszczaj! – krzyknąłem, ona jednak warknęła i zaczęła potrząsać moją nogą jak szczurem.

Nie mogłem uwierzyć, że tak się zachowuje. Zawsze dotąd słuchała Billa Akwrighta, a raz ocaliła mi życie, gdy pochwyciła mnie wodna wiedźma, Morwena. Od śmierci Billa myślałem o niej jak o moim własnym psie. Jakim cudem szaman zdołał zwrócić ją przeciwko mnie? Wydawała się zupełnie odmieniona.

Szpon była wielkim, potężnym ogarem; mogłem ją zmusić do wypuszczenia nogawki tylko mocnym ciosem kija – choć nawet to niekoniecznie by wystarczyło. Uniosłem rękę, lecz zawahałem się..nie potrafiłem tego zrobić. A potem było już za późno. Pierwszy z gwardzistów – wielki, barczysty mężczyzna – mnie doścignął.

Zamachnął się pałką, celując w głowę. Psa co prawda nie uderzyłem, lecz gwardzistę – owszem. Z jękiem runął do mych stóp. Powaliłem też drugiego napastnika, pozostali jednak mnie otoczyli. Dalej sprawy potoczyły się bardzo źle. Szpon, warcząc, wypuściła nogawkę i chwyciła mnie za kostkę. Poczułem ostre zęby wbijające się w ciało, wstrząs wywołany jej zachowaniem okazał się jednak gorszy niż fizyczny ból. A potem cios wymierzony w głowę powalił mnie na kolana. Kij wyleciał mi z dłoni. Posypał się



grad uderzeń, ktoś kopnął mnie w brzuch, zgiąłem się wpół z bólu, z trudem chwytając oddech.

Szorstkie ręce dźwignęły mnie z ziemi, związały mi dłonie za plecami, a potem poprowadzono mnie wśród drzew. Od czasu do czasu któryś z gwardzistów wymierzał mi kopniaka w plecy bądź w nogi. Jakby tego było mało, między pniami ujrzałem szary, kamienny mur twierdzy. Wiedziałem, dokąd mnie zabierają – do lochów, buganowi na pożarcie.

\*

Twierdzę Greeba otaczała szeroka fosa, pełna mętnej, mulistej wody. Lecz zamiast mostu zwodzonego, jak w wieży Malkinów, tu do środka wiodła zwykła drewniana rampa, prowadząca do metalowej kraty pomiędzy dwiema strażnicami, nieco tylko wyższymi od murów zewnętrznych. Stałem tam, zasypywany kopniakami, poszturchiwany, czekając na podniesienie kraty. Kiedy znalazłem się wewnątrz, ujrzałem mury otaczające brukowany dziedziniec. Zauważyłem mnóstwo kamiennych budynków. W samym środku wznosiła się wysoka wieża, chroniona kolejną kratą. Dwaj gwardziści, każdy uzbrojony w migoczącą pochodnię, powlekli mnie pod mocną, metalową kratownicą, następnie zaś w dół stromych spiralnych schodów, aż dotarliśmy do wartowni, gdzie pół tuzina mężczyzn spożywało posiłek, podczas gdy inni czyścili buty oraz pancerze.

Mnie zabrano przez drzwi naprzeciwko nich, kolejnymi schodami wiodącymi w wilgotną ciemność. W końcu znaleźliśmy się w wąskim korytarzu. Z sufitu kapiała woda, pod stopami czułem miękkie błoto. W pewnym momencie ujrzałem wodę ściekającą po ścianie – założyłem, że przechodzimy pod fosą, kierując się w stronę głębokich lochów od strony południowej, w zasięgu bugana. Od czasu do czasu z korytarza odchodziły boczne tunele, w prawo i w lewo.

Spodziewałem się, że trafię do pomieszczenia podobnego do tego w wieży czarownic Tynwaldu, wraz z innymi więźniami, w tym z Adrianą. Jednak maszerowaliśmy na wprost, mijając rząd wąskich

cel: nie słyszałem żadnych dźwięków ani poruszeń, nie potrafiłem zatem stwierdzić, czy są zajęte. Jeden z gwardzistów otworzył drzwi na końcu i po przecięciu lin krępujących mi ręce, wepchnął mnie do środka. Gdy metalowe wrota zatrzasnęły się za moimi plecami, otoczyła mnie nieprzenikniona ciemność.

Odczekałem, aż odgłos kroków umilknie, potem sięgnąłem do kieszeni po hubkę i ogarek. Zawsze noszę je ze sobą, bo stracharze często pracują po zmroku lub w podziemnych komorach. Sprawdziłem też słój krwi. Z ulgą przekonałem się, że wciąż jest cały i bezpieczny. Biedna Alice znalazła się jednak poza jego zasięgiem. Nie mogłem znieść myśli o niebezpieczeństwie grożącym mojej przyjaciółce ze strony Złego.

Zdumiewające, lecz mnie nie przeszukali, więc nie odkryli srebrnego łańcucha. Choć przecież łańcuch nie przyda mi się w walce z buganem w duchowej postaci, gdy ten przybędzie, by wysączyć z mojego ciała życie.

Zdołałem zapalić świeczkę. Podziemna cela okazała się jeszcze gorsza, niż oczekiwałem. Nie zauważyłem nawet skrawka słomy, na której można by się położyć. Spostrzegłem za to coś dziwnego: trzy ściany wykonano z wilgotnego kamienia, czwartą natomiast tworzyła ziemia: mocno ubita ziemia. Na ten widok ręce zatrzęsły mi się tak, że płomień świecy zamigotał – bo nisko, pośrodku ściany, widniał ciemny wylot tunelu.

Czy spoglądałem na jeden z tuneli bugana? Schyliłem się nisko, zajrzałem do środka. Jego kraniec pozostawał skryty w mroku, zdawało się jednak, iż tunel liczy sobie zaledwie piętnaście stóp długości. Czyżby ktoś zapragnął uciec, wykopał przejście i został przyłapany? Jeśli tak, czemu strażnicy nie zasypali otworu?

Liczyłem na jeszcze jeden sposób opuszczenia celi, gdyż w kieszeni chowałem pewien użyteczny przedmiot – specjalny klucz. Wykonał go brat stracharza, Andrew. Klucz ów otwierał większość zamków. Nieszczególnie jednak śpieszyło mi się z jego użyciem. Zapewne z łatwością wy dostałbym się z celi, ale do sforsowania pozostawały ciągle dwie kraty, broniące dostępu do twierdzy.

Gwardziści z pewnością pilnowali mechanizmów, które je podnosiły, toteż ucieczka wydawała się niemożliwa.

Oczywiście, obok leżały inne cele, a w jednej z nich być może siedziała Adriana. Jeżeli złapali stracharza, też pewnie go tu sprowadzą – ale wtedy zapewne usłyszałbym rumor w korytarzu. Uznałem zatem, że najlepiej czekać. Kilku współpracującym osobom łatwiej uda się wydostać.

Czekałem bardzo długo, niczego jednak nie usłyszałem. Z pewnością gdyby złapali stracharza, już by go tu doprowadzili. Może więc zdołał uciec? W końcu zdmuchnąłem świeczkę. Trzeba oszczędzać ją na przyszłość. Zwinąłem się w kłębek na ubitej ziemi i próbowałem zasnąć. Było zimno i mokro, wkrótce zacząłem dygotać. Bolało mnie całe ciało, pokryte sińcami po tym, jak pobili mnie gwardziści. Nie miałem obok siebie Alice, która ukołaby ból ziołami – jedynie czas mógł mnie uzdrowić.

Kilka razy przysypiałem i budziłem się gwałtownie. Gdy jednak ocknąłem się po raz ostatni, sprawiło to coś innego niż zimno oraz niewygodność.

Wyłowiłem uchem szelest spadającej ziemi. Ktoś albo coś wyłaniało się z tunelu...

## **ROZDZIAŁ 10**

### **NIEBEZPIECZNY PRZECIWNIK**

Otworzyłem pudełko z hubką. Mimo drżenia rąk, zdołałem zapalić ogarek. Ze zgrozą spojrzałem na ścianę z ubitej ziemi. Z wyjścia tunelu wystawała włochata głowa, ręce oraz górna część korpusu. Stwór patrzył wprost na mnie. Był wielki.

Oto spełniły się moje najgorsze obawy: przybył bugan, ponownie pod postacią Zgniatacza. Demon okazał się rośli, muskularny, praktycznie pozbawiony szyi, górne kończyny kończyły się szerokimi szponami, wyraźnie służącymi do kopania ziemi.

Masywne cielsko porastały długie, czarne włosy, połyskujące w blasku świeczki niczym wysmarowane olejem. Z bliska najbardziej zdumiewała twarz. Bugar miał wielkie, wąsko osadzone oczy okrutnego drapieżcy, kiedy jednak jego wzrok powędrował ku świecy, powieki opadły, pozostawiając szparki. Bugar w tej postaci stworzył najwidoczniej labirynt pogrążonych w ciemności tuneli i obecnie go zamieszkiwał. Zastanawiałem się, czy światło mu nie przeszkadza.

Z oślizłego, mokrego, drżącego ryja skapywały na podłogę krople wilgoci; nagle stwór warknął nisko w głębi gardła, po czym otworzył paszczę, ukazując zęby zdolne odgryźć rękę, nogę czy nawet głowę. Rosły w podwójnych rzędach; te z przodu ostre i trójkątne, niczym zęby piły, te z tyłu szerokie jak ludzkie, lecz znacznie większe: trzonowce, służące do miążdżenia i przeżuwania. Nic dziwnego, że nazwano go Zgniataczem.

Ale dlaczego odwiedził mnie w takiej postaci? Czy nie mówiono, że zakrada się jako duch i szepcząc, wysącza z ofiar siłę życiową? Wsunąłem lewą dłoń do kieszeni, przygotowałem srebrny łańcuch. Zastanawiałem się, czy ogniwa wytrzymają – a jeśli tak, to jak długo. Prześladowcy zabrali mi kij. Nie miałem przy sobie, niczego, czym mógłbym zabić demona.

Bugar wsunął się do celi. Ruszył ku mnie na czworakach, dysząc jak pies. Wielkością dwakroć przewyższał dorosłego męża: Jakim cudem zmieścił się w tunelu? Teraz zauważyłem, że jego futro błyszczący od kropelek wody. Na szczęście, nie zbliżył się za blisko, nadal jednak czułem jego smrodliwy oddech. Ogarnęły mnie mdłości. I podczas gdy walczyłem ze sobą, by nie stracić zawartości żołądka, stwór zataczał wokół mnie powolne kręgi, wciąż na czworakach. Dyszenie ustąpiło miejsca głośnemu węższeniu. Czyżby zamierzał zaatakować? Jeśli tak, na co czekał? A może, sposobem czarownic, węszył z bliska, próbując dowiedzieć się czegoś o mnie?

Obracałem się powoli na kolanach, tak by cały czas mieć go na oku. On zaś wciąż krążył groźnie. Świeczka tańczyła mi w drżącej

dłoni. W pewnym momencie niechcący przesunąłem płomień w stronę demona. Wydało mi się, że się wzdrygnął, jego oczy znów się zwężyły – a może tylko tak sobie wyobraziłem?

Większość mieszkańców mroku boi się i unika światła dnia, ale nie przeszkadza im blask świecy bądź ognia. W tej postaci bugana z całą pewnością raziło światło świecy. Lecz jak poradziłby sobie z ogniem? Czy pochodnia potrafiłaby mu zagrozić? Spróbowałem przesunąć świeczkę ku obliczu stwora. Cofnął się, warknął groźnie, tak nisko, iż dźwięk zdawał się dobiegać z dna brzucha. Potem odsłonił ostre zęby. Natychmiast cofnąłem ogarek.

– Na twoim miejscu bym tego nie robił! – ostrzegł niski głos, dobiegający z wylotu tunelu. – Wystarczy jedno ugryzienie, by oderwał ci rękę. A może głowę: naprawdę niezły kąsek.

Zjawił się zatem i pomiot, Róg. Patrzył na mnie, kręcąc głową.

Znów spojrzałem na bugana. Zatoczył krąg, z całą pewnością zamierzał zaatakować. Czekałem w napięciu, w ustach zaschło mi ze strachu, lewa ręka wciąż ścisnęła srebrny łańcuch. Lecz, ku memu zdumieniu, stwór odczołgał się w stronę ściany z ubitej ziemi. Zatrzymał się obok Roga, który pogłaskał go po czole, a potem wyszeptał coś do ucha i odsunął się na bok. Demon wcisnął swe cielsko do tunelu. Przez chwilę, słyszałem, jak sapie oraz szura, a potem dźwięki ucichły.

Róg wciąż na mnie patrzył.

– On cię chce, chłopcze. Wie, kim jesteś: siódmym synem siódmego syna. Podoba mu się zapach twojej krwi, z radością pożarłby twe ciało, zmiażdżył kości. Nieczęsto widuję go tak rozochoconego!

To rzekłszy, zawrócił. Podążył w ślad za buganem w głąb tunelu. Czekałem, aż odgłosy kroków ucichną i zapadnie nieprzenikniona cisza. Dopiero wtedy dźwignąłem się z ziemi. Podeszedłem do wylotu tunelu. Uniósłszy świeczkę, zajrzałem do środka. Nadal zdawał się kończyć ślepią ścianą. Gdzie zatem zniknęli bugan oraz Róg? Czyżby stwór zasypał za nimi korytarz? Wydawało się to niemożliwe – miałem przed sobą ubitą ziemię!

Mimo obaw poczułem ciekawość. Wyteżyłem słuch, Nie usłyszałem niczego. Czyżby demon czekał na mnie gdzieś w mroku? Rozsądek podpowiadał, że gdyby chciał mnie skrzywdzić, z łatwością poradziłby sobie w celi. Toteż, trzymając świecę w prawej dłoni, wcisnąłem się do tunelu, zacząłem pełznąć naprzód. Gdy tylko dotarłem do miejsca, które z celi wydawało się ślepa ścianą, przekonałem się, że korytarz skręca w lewo pod kątem prostym. Biegł równolegle do innych cel: do tego właśnie służyła ziemna ściana, zapewniała buganowi w postaci fizycznej dostęp do ofiar. Bez wątplenia w każdej z cel znalazłbym podobny krótki tunel łączący ją z głównym ciągiem. Czy zatem odnalazłem drogę ucieczki? Nie dla większości ludzi. Po podobnych odwiedzinach zanadto by się bali, nawet nie śniliby o zapuszczeniu się do środka. Ale czy ja również: Byłem przecież uczniem stracharza, przeżyłem już wiele przerażających przygód. Instykt stracharski podpowiadał mi, bym podążał dalej tunelem. To przecież część mojej pracy. Potem przypomniałem sobie ostrzeżenie mistrza o labiryncie, stworzonym przez bugana pośród korzeni drzew. Korytarze przesuwwały się, poruszały, a czasami waliły bez ostrzeżenia. Ta myśl wzbudziła we mnie panikę. Co, gdyby strop nagle się zapadł? Albo gdybym zabłądził w labiryncie bądź nagle znalazł się twarzą w twarz z buganem albo Rogiem?

Nie, nie byłem jeszcze gotów sprostać podobnemu ryzyku. Powoli zatem wycofałem się. Wkrótce znów siedziałem na podłodze celi. Zdmuchnąłem świecę i spróbowałem zasnąć. Tym razem zadanie okazało się trudniejsze. Wreszcie, gdy już morzył mnie sen, usłyszałem z korytarza zbliżające się kroki. Czyżby schwytali stracharza? Potem jednak w moim zamku zazgrzytał klucz, a do celi weszło dwóch rośłych gwardzistów z pochodniami.

– Wstawaj, chłopcze! – polecił jeden z nich. – Zabieramy cię do sali wspólnej.

Drugi podszedł do wylotu tunelu.

– No, no, co my tu mamy? – zauważył, przyglądając się rozrzuconej wokół ziemi. – Chyba odwiedził cię głodny gość! Lubi

najpierw dobrze się przyjrzeć każdej z ofiar, ale jutro w nocy wróci, żeby zabrać się do dzieła, masz na to moje słowo!

Poprowadzili mnie z powrotem korytarzem z celami po prawej stronie. I znów, z żadnej nie dobiegały jakiegokolwiek dźwięki. Czyżby stały puste? Zastanawiałem się, co spotkało Adrianę? Gdzie ją trzymają? Czy bugan zaczął już pożerać nieszczęsną? Zadrzałem na samą myśl. Biedaczka nie zasłużyła na katusze, Nikt nie powinien podobnie cierpieć. Potem jednak, zamiast skierować się w stronę schodów, skręciliśmy w lewo i jeszcze raz w lewo, w znacznie szerszy, wyłożony kamiennymi płytami korytarz, oświetlony przez pochodnie osadzone w uchwytych na ścianach. Miałem wrażenie, że wciąż znajdujemy się na południe od fosy, na terytorium bugana.

W oddali słyszałem szczekanie psów. Dźwięk wzrastał się, w miarę jak zbliżaliśmy się do drzwi na końcu korytarza. A potem wepchnięto mnie do wielkiej, podłużnej sali. Na ścianach płonęły dziesiątki pochodni, wyraźnie widziałem, co się tam dzieje. Na wiązki słomy pod prawą ścianą siedziało około czterdziestu mężczyzn, kolejnych pięciu, sześciu zbrojnych stało w pobliżu. W wejściu ujrzałem ich dowódcę, Stantona: patrzył na mnie skrzywiony, głowę spowijały mu bandaży – wyraźny dowód obrażeń po uderzeniu kamieniem przez Alice. Na drugim końcu, pod ziemną ścianą, ustawiono wielki, bogato zdobiony drewniany fotel. W nim zaś dostrzegłem wychudzoną postać lorda Barrule'a, szamana, przewodniczącego spotkaniu. Za plecami lorda, po lewej, widniał wylot mrocznego tunelu, o rozmiarach podobnych do tego w mej celi.

Wzdłuż lewej ściany ustawiono duże stalowe klatki – naliczyłem ich czternaście. W każdej, prócz ostatniej, siedział pies. Najróżniejsze rasy, lecz wszystkie bez wyjątku duże i groźne. Przebiegłem po zwierzętach wzrokiem. Wiedziałem, co zobaczę, jednak nie uniknąłem wstrząsu, kiedy ujrzałem Szpon wraz z Krwią oraz Kością. Żołądek ścisnął mi się boleśnie.

Pośrodku sali pozostała duża, pusta przestrzeń wysypana

trocinami, splamionymi świeżą krwią. Najwyraźniej gwardziści urządzali tu walki psów. Zobaczyłem pieniądze przechodzące z rąk do rąk – oto widzowie obstawiali wyniki walk.

Lord Barrule wstał z krzesła i wznosił wysoko ręce. Gdy to uczynił, szczekanie ucichło. Psy umilkły.

Na moich przerażonych oczach gwardziści otwarli dwie klatki i zaciągnęli psy na środek sali. Szarpiąc skórzane obroże, ustawili zwierzęta naprzeciw siebie, tak że ich nosy niemal się stykały. Choć potężne i silne, psy wydawały się przerażone, nawet onieśmiałe, Mężczyźni wycofali się w stronę drzwi. Szaman nagle opuścił ręce, trzy razy klasnął głośno. Po trzecim klaśnięciu w psach zaszła gwałtowna zmiana, strach zastąpiła agresja. Skoczyły ku sobie gwałtownie. Rozpoczęła się walka, szybka, mordercza: psy kąsały się tak, że po paru sekundach połała się pierwsza krew. Okrutne, straszne widowisko. Nie mogłem go znieść, toteż wbiłem wzrok w ziemię. Niestety, uszy wciąż rejestrowały wszystko, co się dzieje. W końcu jeden z psów wydał przeraźliwy skowyt i umilkł. Rozległy się oklaski, kilka okrzyków, kilka zawiedzionych przekleństw. Kiedy uniosłem wzrok, zwycięzcę odprowadzano z powrotem do klatki; przegrany leżał na boku z rozszarpanym gardłem, świeża krew wsiąkała w trociny.

\*

Przyszło mi oglądać jeszcze trzy podobne starcia; Za każdym razem z przerażeniem myślałem, że jednym z walczących zostanie któryś z psów Billa Arkwrighta. A co, gdyby kazali dwóm z nich walczyć ze sobą nawzajem? Nie wątpiłem, iż szaman dysponuje mocą pozwalającą zmuszać zwierzęta, by się pozabijały.

Lecz, ku memu zdumieniu, walki dobiegły wreszcie końca. Gracze podnieśli się z miejsc, ruszyli do wyjścia. Strażnicy odprowadzili mnie do celi i zostawili w ciemności. Zastanawiałem się, dlaczego kazali mi oglądać tak okrutne widowisko? Czy chodziło o zwykły sadyzm – czy raczej chcieli, bym cierpiał na myśl, co może spotkać Szpon, Krew czy Kość? Wkrótce uzyskałem odpowiedź...



W ciemności u wylotu tunelu coś zamigotało, jakiś blask rozjaśnił powietrze. Podniosłem się, zaniepokojony. Czyżby przybywał bugan w postaci duchowej? Lecz migotanie wkrótce nabrało solidniejszych kształtów. Rozpoznałem wysoką, wychudzoną postać o okrutnej twarzy, odzianą w ciemną szatę. Zatem zjawił się szaman, lord Barrule. Choć przebywał gdzieś w twierdzy Greeba, posłał swego ducha do mojej celi.

– Bagan pragnie cię, chłopcze, bez dwóch zdań – rzekła zjawa. – Łaknie kąska, jaki wywęszył, ale to się nie musi tak skończyć. Przypadło ci do gustu dzisiejsze widowisko?

Pokręciłem głową.

– Mogło być znacznie gorzej. Potrafiłbym posłać przeciw sobie twoje własne psy. Nawet matkę przeciwko szczeniakom. Nadal zresztą potrafię...

Nie odpowiedziałem. Rzadko zdarzało mi się widywać w czyjejś twarzy podobne zło i okrucieństwo. Ten człowiek był zdolny do wszystkiego.

– Oszczędzę twoje psy, jeśli zgodzisz się położyć na szali własne życie. Widziałeś moich przyjaciół graczy, chciałbym zaproponować im jutro wyjątkowe widowisko: ucznia stracharza w walce z czarownicą. Kto okaże się zwycięzcą? Wynik jest dostatecznie niepewny, aby wzbudzić zainteresowanie, choć wiedźma ma większe szanse. Będziesz mógł posłużyć się narzędziami swego fachu. Zostawiłem ci srebrny łańcuch, zwrócę też laskę. Pokonaj wiedźmę, a cię wypuszczę. Pozwolę nawet zabrać ze sobą psy. Lecz jeśli przegrasz, zmuszę je do walki na śmierć i życie.

– Chcesz, żebym walczył z Adrianą? – Nie mogłem uwierzyć.

– Nie, młody durniu. Nie z tą głupią dziewczyną, powziąłem co do niej inne plany! Stawisz czoło znacznie niebezpieczniejszej przeciwnicze: pochodzącej z twoich stron. Mówię o Lizzie, kościanej czarownicy!

## **ROZDZIAŁ 11**

## SŁUŻKA CZAROWNICY

– Koścista Lizzie tu jest? – spytałem, wstrząśnięty.

– Jako moja więźniarka, chłopcze. I wkrótce zginie – jeśli starczy ci umiejętności oraz odwagi, by pozbawić ją życia. Co ty na to?

Nie odpowiedziałem. Podstęp, czy prawdziwa szansa odzyskania wolności?

– Oczywiście, jeśli przegrasz, sam stracisz życie. To samo przyrzekłem czarownicy. I pozwolę jej zabrać ze sobą służkę, jeśli zaś przegra, ta zginie wraz z nią. No dalej, decyduj się. Nie każ mi czekać.

– Jej służkę?

– Drugą czarownicę. Tę, nad którą panuje. Bez wątpienia przybyła wraz z nią zza wody. Razem poderzwały gardła nieszczęsnym rybakom. Choćby za to obie zasłużyły na śmierć. Ja sam wszelako stawiam na ciebie. Bo lubię czarne konie...

Jaki miałem wybór? Niemal niedostrzegalnie skinąłem głową, na znak, że przyjmuję warunki. Obraz szamana natychmiast zaczął blednąć, gdy Barrule przywołał swego ducha z powrotem do ciała.

\*

Następnego dnia porządnie mnie nakarmili. Pierwszym posiłkiem okazała się gorąca jagnięcina z pieczonymi ziemniakami i marchewkami.

– Zajadaj, chłopcze! Mój pan chce, żebyś miał dość siły do walki – zadrwił strażnik, który wręczył mi talerz. – Trzeba ci jej sporo, żeby stawić czoło temu, co zaplanował dla ciebie!

Zaśmiewał się głośno, jakby opowiedział przedni dowcip. Następnie wraz z towarzyszem odeszli. Po sześciu godzinach wrócili z pysznym gulaszem z dziczyzny. Jadłem oszczędnie – mimo iż przez ostatnie dni rzadko się posilałem, więc dręczył mnie głód. Musiałem się przygotować do starcia z mrokiem – choć

wiedziałem także, że trzeba nie lada siły, a również zręczności, by pokonać Lizzie. Czekala mnie trudna próba. Mogłem użyć przeciw niej laski i łańcucha, ale bez wątplenia ona też będzie uzbrojona: kościana wiedźma, taka jak Lizzie, umiała świetnie władać nożem. Jeśli wygra, zabierze moje kości...

Lecz kim była owa druga wiedźma, „służka”, którą Lizzie sprowadziła ze sobą z Hrabstwa? Nie miałem pojęcia – zapewne jakaś młoda czarownica, wzięta pod doświadczone skrzydła, wciąż szkolona. Może jedna z wiedźm, które uwolniły ją z jamy w ogrodzie stracharza. Ona też spotęguje niebezpieczeństwo – kolejna służebnica mroku.

Pozostawało mnóstwo czasu do namysłu. Przede wszystkim martwiłem się o Alice. Co się z nią stało? Wyjąłem z kieszeni słój krwi i przez dłuższą chwilę trzymałem go na prawej dłoni. Ile trzeba czasu, by Zły zorientował się, że Alice nie posiada już ochrony? Gdyby coś jej się stało, nie zniósłbym tego.

No i wreszcie mój mistrz. Czy zdołał uciec? Jeśli tak, wiedziałem, że spróbuje mnie ocalić. Raczej beznadziejna sprawa – najpewniej sam zostanie uwięziony. Czy zdołałbym uciec z twierdzy Greeba, nim do tego dojdzie? Czy szaman naprawdę mnie wypuści, jeśli pokonam Lizzie? Czy dotrzyma słowa?

W dodatku biedna Adriana. Co miał na myśli szaman, mówiąc, że „ma co do niej inne plany”? Jak mógłbym po prostu ją tu zostawić?

Moje bezowocne rozmyślenia zakończyło przybycie strażników; tym razem mieli mnie zabrać na spotkanie z Lizzie. Kiedy weszliśmy do sali, zauważyłem, że na wiązkach słomy siedzi znacznie więcej ludzi niż poprzednio. Wielu stało też dokoła, pieniądze wędrowały z rąk do rąk. Kiedy jednak przekroczyłem próg, wszyscy umilkli, taksując mnie wzrokiem.

Psy nadal czekały w klatkach pod lewą ścianą. Były wśród nich Szpon, Krew i Kość. Czy szaman naprawdę pozwoli mi zabrać je ze sobą, jeśli wygram? I tak nie miałem wyboru, musiałem walczyć. Jeśli nic nie zrobię, Lizzie wkrótce mnie zabije.

Wtedy właśnie mój wzrok powędrował ku ostatniej klatce, najbliższej wylotowi tunelu bugana. Wczoraj stała pusta, obecnie coś w niej siedziało – ale nie pies. Na pierwszy rzut oka owo coś wyglądało jak sterta brudnych szmat. Potem jednak dostrzegłem ludzka postać zwiniętą w kłębek, z dłońmi ściskającymi kostki, głową spoczywającą na kolanach.

Lord Barrule podniósł się z krzesła. Ruszył ku mnie po wysypanej trocinami podłodze.

– Jesteś gotów, chłopcze? – spytał. – Muszę rzec, że ludzie rozsądni stawiają na czarownicę. Wszyscy widzieliśmy, do czego jest zdolna, kiedy ją schwytaliśmy. Pięciu moich zginęło, kolejni dwaj postradali rozum. Spróbowaliśmy zatem dać ci pewną szansę. Zrobiliśmy z nią to samo, co z jej służką. Chodź, zobacz.

Ruszył do najdalszej klatki, strażnicy pociągnęli mnie za nim. Zatrzymał się tam i wskazał ręką stosik szmat na brudnej słomie. Nim jeszcze uniosła głowę, zauważyłem szpiczaste trzewiki.

Alice. Na jej widok gardło ścisnęło mi się gwałtownie. Spojrzała na mnie oczami pełnymi łez, jej twarz wyrażała ból i beznadziejną rezygnację. Zaszyli jej usta cienkim brązowym szpagatem. Wargi miała zaciśnięte, nie mogła mówić.

To samo zrobiłem jej pani. Teraz wiedźma nie może rzucać zaklęć, chłopcze! Lecz Lizzie poradzi sobie i tak, bez wątpienia...

Gdybym w tym momencie miał w ręku laskę, bez chwili wahania wbiłbym mu w serce ostrze ze stopu srebra. Wściekłem się, widząc, co spotkało Alice. Potem jednak górę wzięła rozpacz. Jeśli zwycięzę i szaman dotrzyma słowa, będę mógł zabrać ze sobą psy, lecz Lizzie zginie wraz z Alice. Tak czy inaczej, przegram.

Mimo wszystko wiedziałem przynajmniej, że Zły nie pochwycił jej i nie zawlókł w mrok. Sytuacja wyglądała ponuro, lecz jak mawiał mój tato, póki życia, póty nadziei.

– No dobrze! Zaczynamy!

Lord Barrule zajął krzesło. Strażnicy zawlekli mnie na sam środek długiej sali. Do środka wmaszerowało kilkunastu gwardzistów, każdy uzbrojony w długą włócznię; szybko utworzyli

wokół mnie duży krąg, a potem uklękli, zwróceni twarzami w moją stronę, tak by hazardziści nadal widzieli dokładnie, co się dzieje. Ich włócznie celowały do wewnątrz. Pojąłem natychmiast, iż wyznaczają granice areny. Zapobiegną mojej ucieczce bądź wycofaniu się z walki.

Lord Barrule wstał, wznosił rękę. Usłyszałem poruszenie w drzwiach, tych samych, którymi mnie wprowadzono. Strażnicy wepchnęli do środka Kościstą Lizzie, która kopała i szarpała się – trzeba było czterech mężczyzn, by nad nią zapanować.

Dwaj gwardziści odsunęli się na bok, wpuszczając grupę do kręgu, tamci siłą ustawili czarownicę naprzeciw mnie. Oto Lizzie, jaką zapamiętałem – z wyglądu na pozór niemal bliźniaczka Alice, lecz starsza, może przed czterdziestką, o rozbieganych oczach i szyderczej minie. Wargi zeszyto jej, podobnie jak Alice. Gdy tylko czarownica mnie zobaczyła, przestała się szarpać. W jej oczach dostrzegłem dziwny, przebiegły wyraz, chytry i rozważny.

Ktoś stojący za mną wcisnął mi do lewej ręki laskę. Natychmiast przełożyłem ją do prawej. Pomacałem lewą kieszeń płaszcza, sprawdzając, czy nadal tkwi tam srebrny łańcuch. On bowiem dawał mi najlepszą szansę zwycięstwa. Na nieszczęście, wciąż czułem się obolały po tym, jak pobili mnie prześladowcy. Jedzenie wzmocniło mnie fizycznie, ale forma nadal pozostawała daleka od doskonałości.

Jeden z gwardzistów podał Lizzie dwa długie noże, każdy morderczo ostry. Nasze spojrzenia znów się spotkały. Ze szczękiem wypuściłem z końca kija ukryte ostrze, uniosłem broń ukośnie przed sobą. Być może Lizzie nie wiedziała, że mam łańcuch. Na razie wolałem zachować ten fakt w tajemnicy.

Lord Barrule trzykrotnie klasnął w dłonie. Zebrani umilkli. Słyszałem, jak Lizzie oddycha głośno przez nos, niemal parska. Nagle przypomniałem coś sobie: w przeszłości zawsze miała wargi lekko uchylone – bez wątplenia zazwyczaj oddychała ustami. A może dopadło ją przeziębienie? Tak czy inaczej fakt, że oddycha z trudem, pozwalał mi liczyć na pewną przewagę.

– Niechaj rozpocznie się starcie! – zawołał lord Barrule. –  
Walka na śmierć!

Lizzie, nie tracąc czasu, skoczyła ku mnie. Zaatakowała lewą ręką, ja jednak sparowałem cios kijem. Cofnąłem się w prawo, powoli zataczając krąg. Twarz wiedźmy zmieniła się, oczy niemal wyszły z orbit. Teraz zamiast włosów z głowy wyrastał jej pęk czarnych węży, ich rozdwojone języki poruszały się szybko, z kłów tryskała w moją stronę chmura kropelek jadu. Zalała mnie fala strachu, zachwiałem się i cofnąłem o krok, czując, jak chłód ściska mi serce.

Użyła przeciw mnie grozy – czaru, którym posługiwały się bezecne czarownice, aby wzbudzić przerażenie u bezbronych przeciwników. Paraliżowały ich, aż zastygali. Posiadła tak wielką moc, że umiała rzucić czar bez zaklęcia. Czego zdołałaby dokonać, gdyby nie zaszyto jej warg?

Odetchnąłem głęboko, przeciwstawiłem się czarowi. Zeszłego lata w Grecji miałem do czynienia z gorszą magią, gdy próbowałem dostać się do Ord, przerażającej cytadeli Ordyny. Skoro zdołałem wytrzymać owo porażające uderzenie strachu – strachu, który zabił na miejscu wielu dzielnych wojowników, z pewnością poradzę też sobie ze wszystkim, co zdoła posłać przeciw mnie Lizzie.

Uczyniwszy krok naprzód, zamachnąłem się kijem, celując w głowę. Odchyliła się, niemal tracąc równowagę i cofnęła szybko. Węże zniknęły, znów zastąpiły je włosy, twarz wyglądała niemal ludzko. Zaklęcie słabło. A potem w mojej głowie przemówił głos.

*Głupcze! Powinniśmy współpracować!*

Czy to bugan? Lecz głos brzmiał szorstko, sycząco – zupełnie nie przypominał podstępного szeptu, o którym mi opowiadano. Nagle znów go usłyszałem:

*Żadne z nas nie może tu zwyciężyć. On zamierza zabić nas oboje!*

Słyszałem Lizzie. Ale jak jej się udało przekazać myśl? Jakie zaklęcie dało jej taką moc?

Nie słuchając, zawirowałem szybko w miejscu, unikając pchnięcia nożem wiedźmy, po czym wymierzyłem mocny cios w jej prawy przegub, wytrącając ostrze.

Widzowie odpowiedzieli głośnymi okrzykami podniecenia – oraz kilkoma jękami.

Zastanawiałem się, co robi Lizzie. Jak moglibyśmy współpracować? Czyżby oszalała? Jak mielibyśmy razem uciec z tej sali?

*Pomóż mi! Zrób to dla mojej córki, Alice, albo wszyscy tu zginemy!*

Fakt, iż posłużyła się imieniem Alice, rozwścieczył mnie. Wsunąłem lewą rękę do kieszeni, owinałem wokół przegubu srebrny łańcuch. W chwili, gdy to robiłem, Lizzie znów zaatakowała – śmignęła naprzód, zaskakując mnie. Odchyliłem się, ale nie dość szybko. Poczułem ostry ból: czubkiem ostrza rozcięła mi czoło tuż pod linią włosów. Cofnąłem się chwiejnie, z trudem blokując kijem następne pchnięcie; czułem ciepłą krew ściekającą do lewego oka. Jak głęboka była rana? Jak duża?

Grzbietem dłoni otarłem krew z oka, ale to tylko pogorszyło sprawę. Teraz ledwie widziałem. Potrzeba obojga oczu, by właściwie ocenić odległość, uznałem zatem, że należy już użyć łańcucha, inaczej wszystko stracone. Ponownie wepchnąłem lewą rękę do kieszeni. Przygotowałem się szybko do rzutu.

Łatwiej cisnąć łańcuch na czarownicę, która się przemieszcza w prawo, w lewo bądź w tył. Lecz Lizzie znów atakowała, biegnąc wprost ku mnie: czekał mnie zatem najtrudniejszy rzut. Nie miałem wyboru, musiałem spróbować. Strzeliłem z łańcucha i posłałem go spiralą ku niej.

Opadł wiedzmię na głowę, a potem oplótł ciało, powalając Lizzie na kolana. Łańcuch zacisnął się, więc drugi nóż wyleciał jej z dłoni. Rzut nie był najlepszy: oplotłem ją bowiem tylko od ramion po kolana, pozostawiając swobodną głowę. Zazwyczaj stracharz musi skrępować usta czarownicy, by ta nie mogła rzucać mrocznych zaklęć, lecz tym razem nie miało to znaczenia, bo wargi wiedzmy już zaszyto. Odczułem gwałtowną ulgę. W obecnych okolicznościach trudno o lepszy rzut. Zwyciężyłem. Zadecydowała doskonale opanowana umiejętność posługiwania się łańcuchem. Długie godziny ćwiczeń ze słupkiem w ogrodzie stracharza w końcu się opłaciły.

I nagle ogarnęły mnie wątpliwości. Czy aby nie poszło mi zbyt łatwo? Czy ta klęska w jakiś sposób nie służyła celom Lizzie?

– Zabij ją! – krzyknął lord Barrule, powstając z miejsca.

Uniosłem kij, wycelowałem ostrze w serce czarownicy, potem jednak zawahałem się... Nie mogłem tego zrobić. Wcześniej zabijałem już inne stwory z mroku, ale nigdy z zimną krwią, jak należało uczynić teraz.

Zazwyczaj, nawet mimo uwięzienia, nadal mi zagrażały, więc musiałem rozprawić się z nimi szybko. Lecz Koścista Lizzie została skrępowana. Już nie stwarzała zagrożenia. Nie ma mowy, by sama zdołała się uwolnić. I co więcej – była matką Alice. Choć nie

żywiliśmy do siebie ciepłych uczuć, utrudniało to sprawę. Opuściłem zatem laskę...

*Dobra robota, chłopcze!* – usłyszałem syk Lizzie. – *Teraz przekonaj się, co ja zaplanowałam!*

Spojrzałem na lorda Barrule'a, który kręcił głową.

– Nie potrafisz się przemóc? – zawołał. Jego głos odbił się echem od ścian sali. – Zdumiewające. Jakież to mistrz cię wyszkolił? Jakież to z ciebie uczeń stracharza? Tak się przecież umówiliśmy: zabijesz wiedźmę, uzyskasz, co obiecałem. Teraz, aby odzyskać wolność, czeka cię coś jeszcze. Staniesz do walki ze służką czarownicy!

Serce we mnie zastęło. Usiłowałem mnie zmusić do walki z Alice, a ja nie mogłem tego uniknąć. Dwaj gwardziści pomaszerowali do najdalszej klatki. Patrzyłem ze zgrozą, jak ją wyciągają. Na widok przyjaciółki ścisnęły mi się wąpzia, emocje podeszły do gardła. Oczy miała szalone, pełne bólu. Wciąż nie mogłem uwierzyć, jak okrutnie potraktowano jej usta. Nić, która je złączyła, wbijała się w miękkie ciało, które poczerwieniało i opuchło.

Strażnicy zawlekli ją w krąg włóczni, naprzeciw mnie. W rękę Alice wcisnęli noże Lizzie. Pośród hazardzistów rozległy się szmery, ponownie usłyszałem brzęk monet. Usiłowałem znaleźć jakieś wyjście z matni, w której się znaleźliśmy, ale żaden pomysł nie przychodził mi do głowy. Sytuacja wyglądała beznadziejnie. Cokolwiek się zdarzy, jedno z nas zginie.

Nasze spojrzenia się spotkały. Oczy Alice błyszczały od łez. Po czole wciąż ściekała mi krew, starłem ją grzbietem dłoni. Jakże mógłbym walczyć z Alice?

Szaman trzykrotnie klasnął w dłonie, dając znak do rozpoczęcia pojedynku. Nie zgadłbym nigdy, co wówczas nastąpiło. Alice uniosła ostrza. Popędziła ku mnie, jakby chciała wykorzystać efekt zaskoczenia. Nie wierzyłem własnym oczom. Czy naprawdę nie zawaha się mnie zranić? Po wszystkim, co razem przeszliśmy?

Przerażony, odstąpiłem na bok, odruchowo unosząc przed siebie kij, gotów odeprzeć atak.

## ROZDZIAŁ 12

### W OKU KOŚCIŃCA

Powinienem był wiedzieć, że Alice mnie nie zaatakuje. Nie użyłem kija, bo jedynie przemknęła obok i dopadła Lizzie, wciąż



związanej srebrnym łańcuchem. Uklęła obok niej. Nim zdążyłem zareagować, jednym z noży przecięła szpagat spinający wargi matki.

Czyżby Lizzie od początku na to czekała? Jeśli sama spróbowałaby rozciąć usta, gdy toczyliśmy bój, natychmiast zaatakowałbym ją laską. Czy zaplanowała, że Alice zrobi to za nią?

Czarownica wciąż klęczała, nadal skrępowana, lecz jej twarz zmieniła wyraz. Zdumiała mnie, bo mimo ciężkiej sytuacji i otaczających nas zbrojnych, niemal okazywała triumf.

Gwardziści zacieśnili krąg, ruszając ku nam z uniesionymi włóczniami.

– Zabić ich wszystkich! – krzyknął szaman. – Koniec zakładów. Nie ryzykujcie. Zabijcie ich, teraz!

W odpowiedzi Lizzie wypowiedziała tylko jedno słowo, niemal szeptem. Nie usłyszałem wyraźnie, lecz zabrzmiało jak coś w Dawnej Mowie. Natychmiast poczułem biegnącą ku mnie falę lodowatego strachu – choć okazał się on niczym w porównaniu z tym, co spotkało otaczających nas strażników. Rzadko obserwowałem podobną zgrozę, wręcz panikę, na tak wielu twarzach. Niektórzy odrzucili włócznie i uciekli. Inni jedynie padli na kolana, wybuchając płaczem. Wszystkie psy zaczęły chóralnie skomleć, a od strony graczy po prawej usłyszałem wrzaski i jęki strachu.

Nie miałem pojęcia, czy to potężniejsza wersja grozy, czy inne zaklęcie. Lecz jedno słowo Lizzie wystarczyło, by w ciągu paru sekund zamienić gwardzistów w stado rozdygotanych tchórzy. Teraz spoglądała wprost na lorda Barrule'a. Podążyłem za jej wzrokiem. Przekonałem się, że oprócz naszej trójki był on jedyną osobą w sali, która oparła się działaniu czaru. Patrzył na nas gniewnie, jego twarz wykrzywiała złość. Co uczyni? Posłuży się własną mroczną magią? Może wezwie na pomoc bugana? Groźba wisiała w powietrzu. Lizzie jeszcze nie zwyciężyła...

– Uwolnij mnie z łańcucha! – krzyknęła, skupiając uwagę na mnie.

Wydała rozkaz pozbawiony cienia magii. Ja jednak nie zawahałem się. Instynkt podpowiadał mi, że powinienem posłuchać. Tylko Lizzie dawała nadzieję Alice oraz mnie na opuszczenie żywcem twierdzy Greeba, Podbiegłem, chwyciłem koniec łańcucha i szarpnąłem, rozwijając ogniwa z jej ciała. Zerwała się z ziemi, nim jeszcze zdążyłem schować stracharski sprzęt do kieszeni.

Długimi paznokciami lewego palca wskazującego oraz kciuka, Lizzie, niczym ptak wyszarpujący robaki z mokrej ziemi, wydłubała z ciała dwa kawałki szpagatu, najpierw z górnej, potem dolnej wargi. Następnie zlizwała krople krwi, uniosła palec wskazujący ku sufitowi i wygięła plecy. A potem wykrzyknęła trzy słowa. Wreszcie tupnęła.

Natychmiast odpowiedział jej ogłuszający trzask, jakby wewnątrz sali uderzył grom. Wszystkie pochodnie zamigotały i zgasły, spowiła nas nieprzenikniona ciemność. Na moment zapadła cisza, potem w pobliżu zapłonęło światełko: Lizzie trzymała w dłoni czarną świecę. Psy zaczęły szczekać, usłyszałem oddalający się tupot stóp. Gwardziści wraz z graczami uciekali, ile sił w nogach – ale co z lordem Barrule'em? Czy on także umknął, czy wciąż czaił się w mroku?

– Wyjdziemy tunelem, chłopcze. – Lizzie postąpiła krok ku mnie.

– A bugan? – zapytałem.

– To zmartwienie zostaw mnie.

Spojrzałem na Alice. Jednym z noży rozcinała szpagat, którym zszyto jej usta. Wyciągnęła go z jękiem bólu. Z ran pociekły krople krwi.

Lizzie poprowadziła nas do wylotu tunelu. Zastanawiałem się, co się stało z Barrule'em? Czyżby wiedźma tak łatwo go pokonała? Nie widziałem niczego, poza niewielkim kręgiem żółtego światła rzucanego przez świecę. Gdy jednak mijaliśmy klatki z psami Arkwrighta, zawahałem się. Chciałem je uwolnić i zabrać ze sobą.

Kiedy jednak dotarłem do klatki Szpon, ta warknęła, po czym

rzuciła się na mnie z furją; jedynie pręty powstrzymały ją przed zatopieniem kłów w moim ciele.

– Zostaw ją, Tom. – Alice chwyciła mnie za rękę, – Nie warto ryzykować. Później znajdziemy sposób, by je uwolnić.

Przytaknąłem. Podążyłem za nią w stronę tunelu, Psy nadal pozostawały pod kontrolą szamana. Nie przeminęło niebezpieczeństwo, że z zemsty zmusi je do walki na śmierć i życie – zapewne ze sobą nawzajem. Ale jaki miałem wybór?

Zaczęliśmy czołgać się naprzód tunelem. Niewiele widziałem: Lizzie zachowała jedyną świecę, ale wraz z Alice pełzły przede mną, zasłaniając większość światła. W mojej kieszeni nadal tkwił ogarek, lecz brakowało czasu, bym skorzystał z hubki i krzesiwa do skrzescania płomyka. Czarownica umiała zadziałać w mgnieniu oka, korzystając z czarnej magii.

Tunel skręcał i zawracał, opadał i wznosił się, czasami bardzo stromo. Od czasu do czasu korzenie drzew przegradzały nam drogę, niczym wielkie drewniane szpony ściskające ziemię. W którymś momencie wydało mi się, że cienki korzeń poruszył się. Zapewne sprawiła to jedynie wyobraźnia, lecz przypomniałem sobie, co mówił stracharz o tunelach buganów, przesuwających się i zapadających bez ostrzeżenia. Wydało mi się także, że dostrzegam kości – trudno było stwierdzić w słabym, migotliwym blasku świecy. Ale w pewnym momencie byłem niemal pewien, że moje palce natrafiły na zimną ludzką czaszkę.

W końcu korytarz wznosił się ku powierzchni. Wyłoniliśmy się wewnątrz spróchniałego drzewa. Usiedliśmy naprzeciw siebie, oparci plecami o wnętrze pnia. W powietrzu unosił się zapach wilgotnego próchna. Nad nami wisiały zasłony pajęczyn, pełnych martwych much, poniżej owady umykały przed blaskiem świecy. Lizzie najwyraźniej wiedziała, dokąd zmierza.

– Teraz jesteśmy bezpieczni! – rzekła. – Tu nic nie może nas dopaść.

– Nawet bugan? – zdziwiłem się.

Czarownica pokręciła głową, obdarzając mnie złowieszczym

uśmiechem.

– W końcu nas znajdzie, ale dobrze ukryłam to miejsce – w samym środku jego labiryntu. Będzie jeszcze czas, by się z nim rozprawić. Choć najpierw muszę się zająć jego panem. Jesteś głodny, chłopcze?

Zaprzeczyłem. Zjadłem nieco przed walką z Lizzie, teraz jednak znów musiałem pościć, by przygotować się na starcie z mroczną magią, którą mogłaby posłużyć się przeciw mnie.

– A mnie kiszki marsza grają. Mogłabym zjeść byka z kopytami! – Wskazała ręką w ciemność. – Wdrap się tam – poleciała. Poczulem w jej głosie przymus, więc musiałem stawić opór. – Wyjdiesz wprost na gałąź. Sterczy nisko nad ziemią. Przynies mi parę królików – i dopilnuj, by nadal żyły...

– Nie, Tom! – zawołała nerwowo Alice. – Nie słuchaj jej. Stworzyła tu kościńiec, a drzewo stoi w samym jego środku. Gdy tylko dotkniesz ziemi, zginiesz zmiażdżony.

Choć nigdy nie zetknąłem się z kościńcem, z lektury bestiariusza wiedziałem, co to. Stworzony czarną magią sprawiał, że kości każdego stworzenia, które przekraczały jego granicę, stawały się ciężkie. Intruz nie mógł się poruszyć i tkwił uwięziony, póki nie zjawiała się czarownica i albo go pożarła, albo też zabrała kości służące do mrocznych, magicznych celów. W pobliżu środka nacisk był tak wielki, że miażdżył ofiarę na śmierć – choć tylko coś bardzo szybkiego, jak na przykład zając, mogło dotrzeć tak daleko, nim zadziałały magiczne moce. My znajdowaliśmy się w samym środku, w oku – chronieni przed mocą kościńca. Gdybym jednak wyszedł z drzewa...

– Masz za długi język, dziewczyno! – rzuciła gniewnie Lizzie. – Chyba znów trzeba ci zaszyć gębę...

Alice, nie zwracając na nią uwagi, wyjęła z kieszeni spódnicy niewielką skórzaną sakiewkę. Wiedziałem, że trzyma w niej lecznicze zioła. Podpełzła do mnie, obejrzała uważnie moje czoło.

– Paskudne skaleczenie, Tom – mruknęła. We wnętrzu drzewa miejscami zalegała wilgoć. Alice zebrała jej nieco palcem i zwilżyła

liść, po czym szybko przycisnęła go mocno do mej skóry. – To powinno powstrzymać zakażenie, ale pozostanie blizna. Nic nie poradzę.

Zatem naznaczony zostałem kolejną blizną, do kompletu z tą na uchu, w miejscu, gdzie wodna wiedźma Morwena zahaczyła mnie kiedyś palcem, przebijając paznokciem ciało. Cóż, ryzyko zawodowe stracharza – trudno spodziewać się czegoś innego, szkoląc się w tak niebezpiecznym fachu.

Następnie Alice oblizwała wargi i przyłożyła kawałeczki liścia do śladów pozostawionych wokół własnych ust przez szpagat. Gdy skończyła, uniosła liść, oferując go matce. Lecz Koścista Lizzie pokręciła głową.

– Sama się uleczę, dziewczyno, nie potrzebuję twojej pomocy – warknęła. – Pójdę złapać sobie królika. – Podniosła się. – Wy dwoje lepiej zostańcie tutaj, jeśli wiecie, co dla was dobre!

To rzekłszy, zaczęła się wdrapywać po wewnętrznej stronie drzewa, przepychając głowę przez zasłonę pajęczyn. Wkrótce rozplynęła się w ciemności, słyszeliśmy jednak szpiczaste trzewiki skrobiące o korę, a potem miękki łoskot, gdy zeskakiwała na ziemię, Lizzie była bezpieczna na własnym kościńcu: zazwyczaj czarownica pozostawiała tajemną krętą ścieżkę, by móc przedostać się przez niego nietknięta. Mogła też przeprowadzać innych – ale jak zdołamy ją do tego zmusić? Jedyłą możliwością ucieczki zapewniał powrót do tuneli, obawiałem się jednak, że nie mielibyśmy szans w starciu z buganem.

– Och, Tom, czy słoń krwi jest bezpieczny? Nadal go masz? – spytała Alice, patrząc na mnie z lękiem.

– Tak, jest bezpieczny. Nie przeszukali mnie. Barrule pozwolił mi nawet zatrzymać srebrny łańcuch. Ale jakim sposobem schwytał cię, Alice? – zastanawiałem się głośno. – Widziałem, jak się odturlałaś, unikając bugana, ale potem zniknęłaś.

– Schowałam się za drzewem, by znów nie zaatakował. Wtedy jednak Lizzie podkrađła się i zatkała mi ręką usta. Nie wyczułam jej w pobliżu: musiała się posłużyć bardzo potężną magią. Zawłokła

mnie za sobą, sprowadziła tutaj. Wcześniej ukrywała się tu wiele dni. Nigdy by jej nie znaleźli, lecz podjęła ryzyko, bo bardzo chce dopaść starego Gregory'ego. Pożąda jego śmieci, o tak, pragnie odpłaty za to, że uwięził ją w jamie w ogrodzie. Marzy, by umierał długo i w męczarniach. Zatem później tej nocy wyruszyliśmy na łowy. Skrępowała mnie zaklęciem tak, że działała tylko połowa mojej głowy. Nie mogłam protestować, cokolwiek zrobiła bądź rzekła. Była jednak zbyt pewna siebie – nie węszyła nawet w poszukiwaniu zagrożenia. Sądziła, że poradzi sobie ze wszystkim. Kiedy znalazłyśmy się na otwartej przestrzeni, zaatakowali nas ludzie szamana. Użyła grozy, nawet zarżnęła kilku gwardzistów – niektórych nożami, paru kłutwami – zaatakowało nas jednak zbyt wielu. W końcu pobili ją do nieprzytomności drzewcami włóczni i zawlekli nas do twierdzy Greeba.

– Widziałaś tu innych więźniów? – spytałem, myśląc o Adrianie.

Pokręciła głową.

– Nikogo nie widziałam. Umieścili nas w osobnych celach, przyprowadzili mnie tu i zamknęli w klatce tuż przed twoim przyjściem. Nie widziałam Lizzie, póki nie sprowadzili jej, by z tobą walczyła. Było źle, Tom, naprawdę źle – zwłaszcza kiedy zaszyli mi wargi. Ale najgorzej się czułam, kiedy bugan wypełził z tunelu. Obwąchał mnie. Taki wielki, włochaty, szczerzący ogromne, ostre zęby. Myślałam, że zginę i już nigdy cię nie zobaczę...

Rozplakała się, toteż objąłem ją ramieniem, przytuliłem mocno. Po jakimś czasie uspokoiła się. Siedzieliśmy razem, trzymając się za ręce.

– Czy znasz zaklęcie, które kontroluje kościnniec, Alice? – zapytałem w końcu. – Mogłabyś odnaleźć tajemną ścieżkę Lizzie?

– Nie chciałbyś chyba, żebym posłużyła się mroczną magią, Tom, prawda? Nie możesz o to prosić... – W głosie Alice dzwięczała sarkastyczna nuta.

Przez długi czas unikałem jakiegokolwiek posługiwania się mrokiem, nawet w walce o własne życie. Alice z wielkim trudem

przekonała mnie, abym skorzystał ze słoja krwi. Nie musiałem jednak martwić się o nią podczas naszego rozstania. Przebywała blisko Lizzie, a Zły nie mógł zbliżyć się do czarownicy, która miała z nim dziecko.

– To tylko taki pomysł, Alice. Nie widzę żadnej innej drogi ucieczki, chyba że zaryzykujemy tunele...

– To lepsze niż majstrowanie przy kościńcu Lizzie. Istotnie, wiedzie przez niego ścieżka, ale trudno ją znaleźć. To niebezpieczna magia, lepiej przy niej nie mieszać. Wystarczy jeden błąd, a zginiesz...

Nagle usłyszeliśmy dobiegający z zewnątrz hałas. Ktoś zaczął wspinać się na drzewo. W chwilę później ujrzeliśmy szpiczaste trzewiki Lizzie. Czarownica zeskokczyła na ziemię. Stała przed nami, ściskając coś w lewej dłoni.

– Nie mogłam znaleźć królików, toteż obejdziemy się tym. – Splunęła, unosząc za ogony trzy martwe szczury. Jednego cisnęła nam do stóp. – Bez jednego wytrzymam, potrzebuję jednak dwóch pozostałych. Muszę zebrać siły na to, co nas czeka, a szczurza krew nadaje się do tego celu wybornie. Wystarczy, póki nie zabiorę ci kciuków, chłopcze!

## **ROZDZIAŁ 13**

### **MÓJ DAR DLA HRABSTWA**

– Po moim trupie! – krzyknęła Alice, zrywając się gniewnie na równe nogi.

Koścista Lizzie odpowiedziała złośliwym uśmiechem.

– Miejmy nadzieję, że przesadzasz, dziewczyno. Uspokój się. Mam co do chłopaka inne plany, które pozwolą mu pooddychać jeszcze trochę – to znaczy, jeśli wszystko pójdzie dobrze.

Czarownica usiadła, odłożyła na bok jednego szczura, a drugiego uniosła za długi, cienki ogon. Odgryzła mu głowę i

wypluła, po czym zaczęła wysysać krew z szyi gryzonia; kilka kropel wypłynęło jej z ust i ściekło po brodzie. Siorbała głośno. Od nieprzyjemnych dźwięków zrobiło mi się niedobrze. Zadrzałem; Alice sięgnęła dłonią, uścisnęła mi rękę.

Lizzie spojrzała na nasze złączone palce, opuściła szczura i parsknęła.

– Głupia dziewczyno! – rzekła do Alice. – Żaden mężczyzna nie jest wart naszej uwagi. Nigdy się do nich nie zbliżaj. Ten chłopak doprowadzi cię do ruiny. Wiele dobrych czarownic zmiękło z powodu mężczyzn.

– Jesteśmy z Tomem dobrymi przyjaciółmi – odparowała Alice.  
– To coś, o czym nie masz pojęcia. Pożeranie szczurów, zabijanie ludzi – tylko do tego się nadajesz. Dlaczego dostałam taką matkę jak ty? Czego szukałaś u Złego? Nie mogłaś sobie znaleźć normalnego mężczyzny?

Twarz Lizzie stężała, wiedźma spojrzała gniewnie na Alice.

– Miałam wielu mężczyzn, lecz żaden z nich nie wytrzymał długo. Lubią młodziutki ślicznotki i tyle. Wiesz dlaczego? Bo się boją. Lękają się prawdziwej kobiety, kobiety w pełni sił. Patrzą na mnie, widzą, czym jestem, i uciekają do mamusi. Wiesz, ile mam lat, dziewczyno?

Alice pokręciła głową. Znów uścisnęła mi dłoń.

– Tydzień temu, dzień po tym, jak dom starego Gregory'ego spłonął, a ja wydostałam się z jamy, skończyłam czterdzieści lat. Czarownica z Pendle w wieku lat czterdziestu osiąga pełnię rozkwitu i dziedziczy całą swą moc. Teraz mam dość sił, by rozprawić się z każdym. Ty, córko, pewnego dnia staniesz się jeszcze silniejsza. – Lizzie posłała mi zły uśmiech, nie spuszczając ze mnie wzroku. – Wiesz, czym jest Alice, chłopcze? Moim darem dla Hrabstwa...

Uśmiechnęła się, znacząco wymawiając ostatnie słowa. Mama nazwała mnie tak kiedyś w liście do stracharza. Czyżby Lizzie umiała czytać w moich myślach? Wyławiać z nich informacje, jakby grzebała w otwartej szufladzie?



– To mój wyjątkowy dar dla klanów z Pendle – podjęła czarownica po dłuższej przerwie. – Pewnego dnia zjednoczy je raz na zawsze, a wówczas świat niech się strzeże!

Z powrotem skupiła się na wysysaniu szczurzej krwi. Kiedy rozprawiła się z pierwszym gryzoniem, zabrała się do drugiego, siorbiąc i cmokając, aż w końcu nie pozostała ani kropla. Widząc, że nie tknęliśmy trzeciego, jego też wzięła.

\*

Stopniowo wewnątrz pnia zaczęło robić się jaśniej. Wyglądało, że wkrótce nastanie świt.

– Nie chce ci się pić? – spytałem Alice.

Przytaknęła.

– Zaszło mi w gardle.

– Wkrótce spadnie deszcz. – Lizzie zaśmiała się nieprzyjemnie.

– Wówczas dostaniecie tyle wody, ile dusza zapagnie!

Miała rację. Po niecałej godzinie zaczęło padać: najpierw usłyszeliśmy lekkie popukiwanie w pień, potem rozległo się ogłuszające bębnienie ulewy. Trwała całymi godzinami, woda zaczęła przesączać się do środka drzewa, spływając kaskadą po wewnętrznej stronie pnia.

Deszcz ofiarowuje wodę bieżącą, a że Lizzie jej nie lubi, odsunęła się od pnia. Jednak my z Alice złapaliśmy dość w złączone dłonie, by zaspokoić najgorsze pragnienie. Kiedy deszcz ustał, musiało być wczesne popołudnie. Właśnie wtedy usłyszeliśmy psy.

Lizzie uśmiechnęła się triumfalnie i wróciła na swe miejsce przy pniu.

– Psy złapały nasz trop – oznajmiła. – Nic jednak nie Wskórają. Nie, kiedy wpadną na kościńiec.

Wyobraziłem sobie psy pędzące w stronę kościńca, zmierzające wprost ku rosnącemu pośrodku drzewu. Siła rozpędu zaniesie je całkiem blisko, zanim nacisk je zmiażdży.

– Szpon i jej szczeniaki... – Z rozpaczą spojrzałem na Alice.

– Nie użyje ich chłopcze, nie bój się. Przydadzą mu się do czegoś innego – odparła Lizzie. – Będzie chciał, żebyś z nimi walczył – i to

na śmierć.

– Skąd wiesz? – spytałem gniewnie.

Prychnęła.

– Łatwo go odczytać, o tak. To właśnie zaplanował na zesłą noc. Najpierw miałeś walczyć ze mną, potem, jeśli zwyciężysz, z Alice. I w końcu z własnymi psami. Wywęszyłam to, o tak. Nazywają taki typ zakładu triplą. Jeśli wygrasz wszystkie trzy, dostajesz solidną zapłatę. Miałeś niewielkie szanse, ale szamanowi się spodobało. Nie poszło wszakże tak, jak sądził, czyż nie? Lecz dajcie mu szansę, a postawi cię przeciw twoim psom. Zaczekaj, sam się przekonasz...

Szczekanie narastało, lecz gdy pierwszy z psów wpadł na kościńiec i poczuł nacisk czarnej magii Lizzie, z gardła zwierzęcia począł się wydobywać skowyt; przechodzący szybko w wycie.

– Nie zdołają się zbliżyć, więc nie będą wiedzieć, gdzie dokładnie się ukrywamy – podjęła czarownica. – Jesteśmy tu bezpieczni – przynajmniej przed nimi.

Teraz usłyszałem mężczyzn, krzyczących i przeklinających w dali, wzywających do siebie psy. Nagle rozległ się głośniejszy wrzask. Tym razem pochodził z ludzkiego gardła, Lizzie uśmiechnęła się. Krzyki ciągnęły się i ciągnęły, bardzo długo, oboje z Alice zatykaliśmy uszy. W końcu, pomijając lekki szum deszczu, zapadła cisza.

\*

Czas płynął powoli, lecz moje myśli pędziły. Rozpaczliwie próbowałem znaleźć jakieś wyjście. Wciąż zachowałem kij i łańcuch, lecz nawet gdybym znów skrępował Lizzie, jak poradzilibyśmy sobie z Alice z buganem?

Gdy pod wieczór zaczęło chłodnieć, usłyszeliśmy dobiegający z tuneli hałas. Czyżby odnaleźli nas ludzie szamana? Lecz kiedy dźwięki zbliżyły się, zabrzmiały bardziej niepokojąco. Już je słyszałem.

– W końcu nas znalazł – rzekła Lizzie. – Nie spieszył się, to pewne.

Teraz wyławiałem już szmer oraz węszenie, zwiastujące przybycie bugana. Lizzie podczołgała się na środek spróchniałego drzewa, wyciągnęła swoją czarną woskową świecę i wymruczała coś pod nosem. Ogarek zapłonął – akurat w chwili, gdy potworny włochaty łeb wynurzył się z tunelu. Wielkie, okrutne oczy omiotły nas po kolei spojrzeniem, w końcu zatrzymały się na Kościstej Lizzie. Zamiast się cofnąć, czarownica popełzła naprzód na kolanach. Powoli wyciągnęła rękę.

Bugan otworzył szeroko pysk. Warknął, demonstrując dwa rzędy zębów. Lecz dłoń Lizzie zbliżała się nadal.

– No już, no już, grzeczny chłopczyk – rzekła niskim, zmysłowym głosem. – Co z ciebie za piękne, kudłate stworzenie, masz taką śliczną, lśniącą sierść...

Lewą dłonią dotykała bugana, gładziła jego potworny łeb nad mokrym ryjem.

– No już, już mój słodki – nuciła. – Możemy sobie pomóc... – To rzekłszy, Lizzie uniosła lewą rękę i przebiła skórę na przegubie długim ostrym paznokciem prawego palca wskazującego. Ustawiła ranę ponad stworem, krople krwi zaczęły ściekać na ryj. Nagle spomiędzy ostrych trójkątnych zębów wyłonił się długi fioletowy język zlizujący krew z nieprzyjemnym siorbaniem.

Lizzie karmiła bugana, próbując uczynić z niego swojego pobratymca.

– Grzeczny chłopiec, grzeczny chłopiec! Zliż wszystko, o tak. Zostało jeszcze mnóstwo. Teraz wracaj do swego pana, powiedz mu dokładnie, gdzie jesteśmy. Czas, byśmy pogawędzili.

Bugan powoli wycofał się do tunelu, a Lizzie odwróciła ku nam z triumfalnym grymasem.

– Zrobiliśmy dobry początek! Wkrótce to wypróbujemy. Lecz nasz następny gość woli mrok, toteż zrobmy mu przyjemność.

Zdmuchnęła świecę, pogrążając nas w ciemności.

\*

Wkrótce tuż przed tunelem zmaterializowała się świetlista plama. Dostrzegliśmy wysoką, wychudzoną postać szamana.

– W końcu cię znalazłem. – Okrutne oczy patrzyły na Lizzie. – Zapłacisz za to, że tak mnie zwodziłaś!

– Po co te nerwy? – twarz Lizzie przybrała podstępny wyraz.

– Po co? Zginął kolejny porządny człowiek, a także pięć moich najlepszych psów. Odwdzięczę ci się!

– A ty, jak mnie potraktowałaś? – rzuciła oskarżycielsko czarownica. – Zaszyliście mi wargi. Żaden jeszcze mężczyzna tak mnie nie uciszył. Powinnam cię za to zabić, ale jeśli załatwimy sprawę inaczej, zapomnę o wszystkim.

– Załatwimy, o tak. W ciągu godziny pokażę ci, co potrafię. Przyślę bugana: tym razem w postaci duchowej. Zacznę od twojej służki, dziewczyny. Pod koniec nocy będzie jak nieżywa. Potem chłopak. Ciebie zostawię na koniec, żebyś miała czas porozmyślać o tym, co cię spotka.

– A jeśli bugan wysłucha mnie? – krzyknęła Lizzie. – Jeśli to w twojej głowie zaczniesz szeptać? Może wówczas zechcesz pogadać o warunkach!

Szaman skrzywił usta. Wargi wygięły się z niesmakiem. A potem obraz zbladł i zniknął.

– Naprawdę potrafisz to zrobić? – spytała z ciemności Alice. W jej głosie dźwięczał lęk.

– Nie zdołam jeszcze zmusić bugana do szeptania w głowie szamana, ale on o tym nie wie, prawda? Powiedziałam tyle, by dać mu do myślenia. Nie bój się, dziewczyno. Zrobiłam już dosyć, by uchronić nas przed buganem. Jakiś czas nie będzie pewien, co ma począć. Kiedy lord Barrule przekona się, że potwór nie wypełnia jego rozkazów, wróci tu, wspomnicie moje słowa!

Dłoń Alice odnalazła moją w ciemności i uścisnęła, szukając otuchy. Potem długi czas nikt się nie odzywał. Moce Lizzie zostały wystawione na próbę. Zastanawiałem się, czy uda jej się nie dopuścić bugana do Alice.

Po paru godzinach w ciemności znów zaczął pojawiać się obraz szamana.

– Szybko wróciłeś – zadrwiła Lizzie. – Jak dotąd nikt jeszcze

nie szeptał w głowie dziewczyny, prawda moja słodka? – zwróciła się do Alice.

– Niczego nie słyszałam – przyznała Alice.

– Czego chcesz, więdźmo?

– Naszego życia oraz zgody na bezpieczne opuszczenie Mony. Popłyniemy na zachód, do Irlandii, przez morze, na Szmaragdową Wyspę. Tam właśnie chcemy się udać.

– A co ja będę z tego miał? Wspomniałaś o warunkach, co mnie przypadnie?

– Po pierwsze, zachowasz władzę nad buganem. Im dłużej tu zostanę, tym większe prawdopodobieństwo, że będzie mój. Zatem w twoim interesie jest usunięcie mnie z wyspy. Poza tym oddam ci chłopaka. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnę w podróży, jest towarzystwo ucznia stracharza. Lubisz się zakładać, co? Każ mu walczyć z jego własnymi psami – na śmierć, to powinno być ciekawe!

– Nie! – krzyknęła Alice.

– Nie zrobię tego! – zaprotestowałem.

– Zamknij usta, dziewczyno! Cisza! Oboje zamilczcie!

A potem Lizzie wymówiła pod nosem gardłowe słowo w Dawnej Mowie. Moje gardło zacisnęło się, przez moment nie mogłem oddychać. W końcu zdołałem wciągnąć powietrze, nadal jednak nie potrafiłem wykrztusić ani słowa. Zawsze byłem do pewnego stopnia odporny na moce mroku – rzecz całkiem normalna w przypadku siódmego syna siódmego syna – lecz w obliczu potęgi Lizzie moja odporność zawiodła. Próbowałem wstać, lecz kończyny nie zareagowały. Zupełnie jakby wyciosano je z kamienia. Zobaczyłem, jak Alice rusza ku mnie, potem jednak ją także sparaliżowało mroczne zaklęcie.

– W zamian wycofasz wszystkich swoich ludzi z okolicy – podjęła Lizzie, z powrotem skupiając uwagę na duchu szamana. – Wezwij ich do twierdzy. Kiedy chłopak zacznie walczyć, opuszczę to drzewo, ale dopiero gdy bezpiecznie odpłynę z wyspy, bugan znów zacznie cię słuchać. Umowa stoi?

Zjawa długą chwilę przyglądała się gniewnie wiedźmie, po czym niemal niedostrzegalnie skinęła głową.

Lizzie uśmiechnęła się.

– Wiedziałam, że przemówię ci do rozumu. To bardzo rzadkie. Niewielu da się znaleźć rozsądnych mężczyzn. A teraz przyślij jeszcze tunelami dwóch ludzi po chłopaka – jeśli oczywiście jakichś znajdziesz. Bo jeżeli okażą się nierozsądni, zginą. Więc żadnych sztuczek...

\*

Po zaledwie kilku minutach usłyszałem sługusów szamana. Pełzli tunelem w stronę spróchniałego drzewa. Nadal trzymaliśmy się z Alice za ręce, ścisnęła lewą dłońią moje palce, z trudem chwytając oddech.

Lizzie znów zapaliła świeczkę. Uniosła ją wysoko, gdy z tunelu wyłoniła się głowa pierwszego mężczyzny, Sprawiał wrażenie przerażonego, stanął z boku, niepewny, co robić. Lecz czarownica natychmiast zaczęła rozkazywać.

– To jest chłopak, po którego przyszlście – zawołała, wskazując ręką.

Powlekli mnie w stronę ciemnego wylotu tunelu. Paraliż mijał, ustępując miejsca bolesnemu mrowieniu, nadal jednak byłem zbyt słaby, by stawić opór.

– Nie zapomnijcie jego laski! – zawołała Lizzie. – Będzie jej potrzebował, o tak. Martwy chłopak albo martwe psy. Jedno albo drugie, to pewne!

## **ROZDZIAŁ 14**

### **WALKA NA ŚMIERĆ I ŻYCIE**

Ciągnęli mnie i popychali przed sobą, prowadząc klaustrofobiczną płataninę ziemnych tuneli, aż w końcu w dali usłyszałem szczerzenie. Znaleźliśmy się w długiej sali z klatkami.

Czułem przygnębienie i wściekłość. Po wszystkim, co przeżyłem, po pokonaniu Lizzie i ucieczce, trafiłem do punktu wyjścia.

W sali zebrało się sporo gwardzistów, zbrojnych we włócznie i pałki, lecz na wiązkach słomy zauważyłem niewielu graczy. Lord Barrule czekał pośrodku, stojąc na zbryzganych krwią trocinach. Ręce splótł na piersi.

– Gdyby nie moje upodobanie do zakładów, chłopcze, od razu pozbawiłbym cię życia, zresztą bardzo powoli – rzekł. – Lecz, aby dobrze walczyć, potrzebujesz zachęty. Toteż oznajmiam, że jeśli zwyciężysz, pozwolę ci odejść. Tym razem oczywiście nie zabierzesz ze sobą psów – bo wcześniej je zabijesz. Co powiesz?

Zwiesiłem głowę, wstrząśnięty tym, czego ode mnie żądał.

– Myśl, co chcesz, ale sądzę, że i tak podejmiesz walkę w samoobronie. Kto by nie walczył? Zresztą, otrzymujesz dodatkowy czas do namysłu. Czekam na jeszcze kilka osób. Nie mogę oprzeć się pokusie przejęcia ich pieniędzy. Bo dla mnie ważny jest sam fakt wygranej, nie pieniądze jako takie. Jak myślisz, na kogo tym razem postawię?

Znów nie odpowiedziałem. Ich gry i rozrywki nie ustaną. Kolejne żywe istoty zginą w tym miejscu, dołączając do nieszczęśników, których już widziałem. Od jak wielu lat szaman wraz ze swymi poplecznika, mi zabawiali się w ten sposób?

– Większość postawi na ciebie. Widzieli, jak pokonałeś czarownicę. Ale ja się nie zgadzam. Zmieniłem zdanie, jesteś zbyt miękki: teraz to dostrzegam. Skoro nie potrafiłeś zabić wiedźmy, z całą pewnością nie zdołasz zatłuc własnych psów. Rozszarpia ci gardło. Toteż ja stawiam na psy, chłopcze!

Szaman odszedł, a dwaj strażnicy odciągnęli mnie na bok i zmusili, bym przykucnął na podłodze, czekając na rozpoczęcie walki. Oczekiwanie trwało ponad godzinę, kolejni gracze zjawiali się w sali, obstawiali zakłady. Cóż to za ludzie – czyżby szanowani członkowie miejscowej społeczności, skrywający przed innymi swoje grzeszki? Nie wszyscy sprawiali wrażenie zachwyconych. Bez wątplenia większość bała się Barrule'a, ale nie mieli wyjścia:

musieli dołączyć do szamana. Inni jednak promieniowali entuzjazmem, podobnie jak Barrule, ci wyraźnie nie mogli się doczekać walki. Niektórzy poszli oceniać psy, paru zbliżyło się nawet do mnie, szacując wartość zawodnika.

– Każcie mu wstać – rzucił jeden. – Nie jest chyba ranny?

– Rusz się, chłopcze! – polecił gwardzista.

Gdy się zawahałem, chwycił mnie za włosy i podniósł szarpnięciem.

– Będzie uzbrojony tak jak ostatnio? – spytał drugi mężczyzna.

– O tak, w kij i tak dalej, lecz srebrny łańcuch na niewiele mu się zda w starciu z psami! – Strażnik roześmiał się, po czym z powrotem pchnął mnie na kolana. – Odpoczywaj, póki możesz – poradził szyderczo. – Trzeba ci sił. Wkrótce poczujesz na sobie zębiska – począwszy od najwrażliwszych miejsc!

Zamknięte w klatce psy warczały i skamlały. Zerknąłem na trójkę należącą do Arkwrighta. Co miałem zrobić? Dlaczego kazano mi zabijać? Matka, Szpon, w przeszłości ocaliła mi życie. Gdyby nie mroczna moc szamana, pozostałaby u mego boku, podobnie jak jej szczeniaki. Nie miałem złudzeń, co mnie spotka, jeśli zwyciężę. Szaman nie dotrzyma słowa. Albo mnie zabije, albo wymyśli kolejną rozrywkę, w której przeznaczy mi główną, bolesną rolę.

Nie wierzyłem poza tym, iż pozwoli Kościstej Lizzie swobodnie opuścić wyspę. Może wycofa swych ludzi, tak by mogła przejść przez kościńiec i ruszyć na zachód, w stronę wybrzeża. Nim wiedźma dotrze do morza, ponownie ją schwyta. Nie wiedziałem, jaki czeka ją los, lecz biedna Alice niewątpliwie go podzieli. Jeśli oczywiście Zły nie odnajdzie jej pierwszy.

A co ze stracharzem? Gdzie się zagubił? Miałem nadzieję, że nie będzie mnie ratować. Jakie miałyby szanse? A gdyby wpadł w łapy Lizzie, zginąłby najpowszechniejszą, niewyobrażalnie straszną śmiercią.

Bywałem już w rozmaitych opałach, lecz teraz sprawy wyglądały najgorzej: znalazłem się w potrzasku między dwójką mrocznych przeciwników, czarownicą oraz szamanem. I nie



widziałem sposobu, by pokonać którekolwiek z nich.

Z ponurego zamyślenia wyrwał mnie brzęk metalu. Poszczekiwanie ustąpiło miejsca osobliwemu skomleniu. Strażnicy wyciągnęli z klatek Szpon oraz jej dzieci i zawlekli za obroże na środek wysypanej trocinami areny.

– Wstawaj, chłopcze! – warknął jeden z gwardzistów. Znów pociągnął mnie za włosy.

W sali zapadła pełna wyczekiwania cisza. Ja tymczasem, zostałem ustawiony naprzeciw trzech psów. Omiotłem je smutnym spojrzeniem. Sierść miały brudną, potarganą, zwierząt wyraźnie od dawna nie karmiono. Żadne nie patrzyło mi w oczy. Wyglądały na pokorne, pokonane – choć wiedziałem, że oglądam robotę szamana. Za chwilę przygotuje je do walki.

Zauważyłem, że tym razem nie otoczył nas krąg włóczników. Najwyraźniej poprzednio niepokoiła ich czarownica. Psy natomiast stoczą ze mną walkę na śmierć i życie, a poza tym, dokąd zdołałbym uciec?

Barrule znów zasiadł na swym drewnianym tronie. Patrzyłem z rozpaczą, jak wstaje i trzykrotnie klaszcze w dłonie. Przemiana psów nastąpiła natychmiast: wpiły ślepią w moje oczy, zaczęły warczeć. Rozwierały pyski, gotowe gryźć i szarpać. Niespokojni strażnicy wypuścili obroże. Trzy wilczarze natychmiast skoczyły ku mnie niczym furie.

Uskoczyłem szybko, gdy zaatakowały, odganiając je machnięciem kija. Nie wypuściłem ostrza; nie zamierzałem go używać. Krew i Kość skoczyły na mnie i po raz pierwszy musiałem użyć laski. Uderzyłem Krew w kark, a Kość w głowę, starając się oszczędnie zadawać ciosy. Lecz w tym momencie Szpon zaatakowała od tyłu. Jej ciężar powalił mnie na kolana, o mało nie wypuściłem kija. Widząc, co się wyprawia, część widzów jęknęła.

W ułamku sekundy zerwałem się z ziemi. Ponownie, rozpaczliwie zataczając krąg laską, próbowałem odpędzić trzy psy. Były jednak dzielnymi myśliwymi, wyszkolonymi przez Billa Akwrighta do polowań na niebezpieczne wodne stwory żyjące na

bagniskach na północ od Caster. Skoro atakowały wodne wiedźmy, nie zważając na ich śmiertcionośne szpony, z pewnością nie przelekną się i mnie. Rozgorzała walka na śmierć i życie. Ja albo one.

Nagle zaskoczyłem nawet siebie. Ze szczękiem wypuściłem z końca laski klingę. Działalem odruchowo: coś wewnątrz mnie postanowiło, że nie zginę. Nie tutaj. Nie teraz.

Mną samym wstrząsnęła niespodziewana decyzja. Czy naprawdę umiałbym się zmusić do zabicia tych psów? W mojej głowie zaroilo się od myśli usprawiedliwiających odruchowy czyn...

Miałem zadanie do wykonania, musiałem bronić Hrabstwa. I w tym samym momencie ogarnęła mnie nowa fala grozy. Przypomniałem sobie, że gdybym teraz zginął, Zły porwałby moją duszę! Musiałem go zniszczyć, nim do tego dojdzie, inaczej czeka mnie wieczność pełna grozy i męczarni w mroku.

Wszystkie trzy psy zaatakowały wspólnie. Nim zdołałem posłużyć się laską, dopadły mnie. Ich połączony ciężar znów powalił mnie na kolana. Kij wyleciał z ręki, wytracony siłą uderzenia. Kość wbił zęby w kostkę, Szpon chwyciła ramię, a Krew rzuciła się wprost do gardła. Wysunąłem prawą rękę, by obronić się przed potężnymi szczękami, zęby zatrzęsły się wokół nadgarstka. Musiałem się podnieść, inaczej zginę...

Nagle psy mnie wypuściły. Jednocześnie od strony widzów dobiegł jęk przerażenia, światła w długiej sali zamigotały i przygasły. Przykucnąłem szybko, chwyciłem kij.

Wyglądało na to, że pochodnie lada moment zgasną. W gęstniejącej ciemności w pobliżu zaczęła tworzyć się świetlista zjawia. Przybierała kształt człowieka, lecz co najmniej dwukrotnie roślejszego niż inni. Lśniła złowieszczym, krwistoczerwonym blaskiem.

Przyglądałem się ze zgrozą, która szybko ustąpiła miejsca zdumieniu. Przeżyłem nie lada wstrząs. Postać nosiła bowiem strój stracharza, w lewej dłoni trzymała laskę – poczerniałą, zwęgloną, podobnie jak lewa strona jej twarzy, pokryta straszliwymi,

rozległymi oparzeniami, pozbawiona oka. Płaszcz wisiał w strzępach, dłonie pokrywały pęcherze.

Był to duch Billa Arkwrighta!

## ROZDZIAŁ 15

### KOŚCI KCIUKÓW

Ostatni raz widziałem Billa zeszłego lata w Grecji, kiedy został w Ordzie, by zatrzymać stado żywiołaków ognia i umożliwić nam ucieczkę. Założyliśmy wówczas, iż dokonał ostatecznej ofiary stracharza. Czyli zginął. Obecnie okazało się, że mieliśmy rację. Spłonął na śmierć, teraz widziałem to wyraźnie. Ale skąd się tu wziął? Czy kiedy Ord runęła W gąb ognistego portalu, został uwięziony w mroku? A może utkwiał w Limbusie, na granicy pomiędzy życiem i śmiercią, gdzie czasem umęczone duchy przebywają latami, nim odnajdą drogę do światła?

Z początku sądziłem, że duch Arkwrighta patrzy na mnie. Ale nie – jego jedyne oko spoglądało wprost na psy. A choć sala opróżniła się szybko, wypełniona krzykami ludzi doprowadzonych strachem niemal do obłędu, cała trójka wymachiwała ogonami z radości na widok ponurego widma swego byłego pana.

Kątem oka zauważyłem, jak zdumiony szaman powoli podnosi się z miejsca i rusza ku nam.

Postać nagle wysunęła prawą rękę i wskazała wprost na mnie, a potem w sali zadźwięczał władczy głos Arkwrighta, odbijając się echem od ścian.

– Ten chłopak jest waszym przyjacielem, nie wrogiem! – rzekł do psów. Upiorna ręka obróciła się powoli w prawo i wskazała szamana. – Tamten człowiek! To wasz prawdziwy wróg! Zabijcie go, już!

Psy jednocześnie skoczyły naprzód i rzuciły się na szamana z otwartymi pyskami. Uniósł rękę, próbując się bronić, szczęka

opadła mu ze zdumienia, nic to jednak nie dało. Cała jego władza nad zwierzętami zniknęła. Trzy wilczarze powaliły go na posadzkę, zaczęły szarpać, gryźć, rozdzierać ciało. Szaman krzychał – wyraźnie słyszałem długi, przeraźliwy wrzask, zagłuszający warkot zwierząt. Owe odgłosy i oglądany widok sprawiły, że chwyciły mnie torsje.

Gdy później duch Billa Arkwrighta powoli zniknął, pochodnie zamigotały i zgasły, pogrążając nas w nieprzeniknionych ciemnościach. Psy zakończyły swe ponure dzieło. W sali zapanowała cisza, zmacona tylko dyszeniem wilczarzy. Klęczałem rozdygotany, krańcowo wyczerpany. Po jakimś czasie usłyszałem szmer z tunelu. Ktoś się zbliżał. Czyżby nadchodził bugan?

Chwiejnie podniosłem się z ziemi, lecz z tunelu wyłoniła się Koścista Lizzie, ściskająca w dłoni zapalony ogarek. Za nią podążała Alice.

– Dobrze poszło, chłopcze – czarownica z triumfalnym uśmiechem popatrzyła na szamana. – Nie okazał się taki silny, jak sądził, co? Nie oplaca się ze mną zadzierać! No cóż, kto nie marnuje, ten nie potrzebuje, jak mawiała kiedyś stara Mateczka Malkin.

Z tymi słowy Lizzie odstawiła świecę na podłogę i wskazała ręką dwie najbliższe pochodnie, które posłusznie zapłonęły. Następnie z kieszeni na biodrze sukni wyciągnęła nóż i uniosła lewą dłoń szamana. Usłyszałem jęk Alice, oboje odwróciliśmy się plecami, by nie oglądać ponurego widoku czarownicy odcinającej kciuki martwemu wrogowi.

Uświadomiłem sobie, że musiała zaplanować wszystko od początku. Nigdy nie zamierzała uciekać. Szaman ani przez moment nie podejrzewał, że zamiast się wycofać, zaatakuje. Aby osiągnąć swój cel, posłużyła się duchem Billa Arkwrighta. Oznaczało to, że ma nad nim władzę. Ostatecznie chodziło o potężną kościaną czarownicę, zatem nekromancja – panowanie nad zmarłymi – należała do jej mrocznego arsenału.

Gdy Lizzie przykucnęła, aby odciąć palce szamana, stanowiła

idealny cel dla mojego srebrnego łańcucha. Kiedy jednak sięgnąłem po niego, okazało się, że nie zdołałem nawet zbliżyć dłoni do kieszeni. Próbowałem ze wszystkich sił, a choć moja ręka napinała się i dygotała, nie zdołała dosięgnąć łańcucha. Lizzie wciąż miała nade mną władzę.

Spojrzała na mnie i Alice, z ekstatyczną miną ściskając w palcach zakrwawione kciuki.

– Dobrze je mieć, o tak! – wykrzyknęła, chowając trofea do kieszeni wraz z nożem i zrywając się z podłogi. – Kryje się w nich wielka moc! A teraz przejdźmy się na górę, zobaczmy, jak to wygląda. Ale najpierw zamknijmy psy w klatkach...

Trzy razy klasnęła w dłonie, tak jak wcześniej szaman. Szpon, Krew i Kość na odgłos klaskania wyłoniły się z cienia, posłusznie drepzcząc do klatek.

– No dobra, chłopcze, pozamykaj je!

Widziałem wyraźnie, że czarownica potrafi teraz zapanować nad psami, czy jednak dysponowała wszystkimi mocami szamana? Czy przejęła je po śmierci lorda Barrule'a? Niczym we śnie, niezdolny do jakiegokolwiek oporu, ruszyłem naprzód. Zatrzęsnałem drzwi klatek, opuszczając skoble. Kiedy zajmowałem się klatką Szpon, ta zaskomlała cicho. Próbowała polizać mnie przez pręty. Poczułem nagłą nadzieję. Czy to robota Arkwrighta? Choć Lizzie zmusiła go, aby kazał psom zabić szamana, jego duch najpierw wskazał mnie i powiedział: ten chłopak jest waszym przyjacielem, nie wrogiem!

Czy tymi słowami oddał mi je z powrotem? Czy spróbował pomóc?

\*

Wraz z Alice podążyliśmy za Kościstą Lizzie w głąb wilgotnych korytarzy. Gdy dotarliśmy do kamiennych stopni, rozpoczynając wspinaczkę, znów poczułem fale strachu promieniujące od wiedzy. Posługiwała się lękiem niczym bronią, by oczyścić nam drogę ze wszelkich potencjalnych przeciwników. Trzy piętra wyżej znaleźliśmy się w wartowni, którą poznałem, gdy prowadzono mnie do celi. W stojakach wzdłuż ścian ustawiono włócznie, piki i

pałki, na palenisku płonął ogień, na długim stole pozostały na wpół zjedzone, porzucone posiłki. Z talerzy wciąż parowało, Mieszkańcy tego pomieszczenia musieli umknąć bardzo niedawno.

Spodziewałem się, że Lizzie wyprowadzi nas z twierdzy Greeba. Zastanawiałem się, czy wewnętrzna krata została podniesiona. Nawet jeśli wciąż pozostawała zastawa broniąca głównego wejścia. Lecz ku mojemu zdumieniu Lizzie podjęła wspinaczkę. Sprawiała wrażenie absolutnie pewnej siebie, być może po śmierci szamana nic już jej nie zagrażało. Po drodze sprawdzała każde drzwi i zaglądała do pomieszczeń: sypialni, salonów, olbrzymich kuchni. Wszystkie świeciły pustkami. W końcu dotarliśmy do największej komnaty, znajdującej się u szczytu wieży. Wyłożono ją białym marmurem, ściany obwieszono gobelinami. Przez całą długość pomieszczenia biegł wąski szkarłatny dywan, wiodący do podestu wysokiego na siedem stopni; na podeście ustawiono ozdobny nefrytowy tron.

Niewątpliwie, oglądaliśmy salę tronową, w której szaman, lord Barrule, przyjmował petentów i wydawał okrutne wyroki. Wyglądała imponująco – jej przepych zadowoliłby nawet króla, nie tylko zwykłego lorda. Lizzie przez długą chwilę przyglądała się tronowi, potem podeszła do jedyne go okna. Zamontowano pod nim ławeczkę. Usiadła, niespiesznie, bez jednego słowa wyglądała na zewnątrz. Wraz z Alice podeszliśmy i podążyliśmy za wzrokiem czarownicy.

Daleko w dole ludzie wciąż uciekali z twierdzy. Zewnętrzna krata była podniesiona, po drugiej stronie fosy, tuż za mostem zebrały się grupy gwardzistów zapatrzonych w wieżę. Towarzyszył im Stanton, ich dowódca, z mieczem u boku; w żaden sposób nie zdołalibyśmy tamtędy uciec.

Lizzie odwróciła się od okna. Jej twarz rozjaśnił lekki uśmiech. Ruszyła powoli po czerwonym dywanie, kierując się w stronę zielonego tronu. Z każdym krokiem obcasy szpiczastych trzewików zagłębiały się w dywan, a podeszwy pozostawiały plamy z błota przyniesionego z tuneli.

Czarownica z rozmysłem usiadła na tronie. Wezwała nas gestem. Podeszliśmy bliżej z Alice, zatrzymaliśmy się u stóp podestu.

– Mogłabym rządzić tą wyspą – oznajmiła Lizzie. – Zostać jej królową!

– Królową? Ty? Nie jesteś żadną królową – prychnęła Alice. – Wyglądasz, jakby przewlekli cię tyłem przez żywopłot i wytarzali w łajnie.

Istotnie. Ubranie czarownicy pokrywały brudne plamy, włosy oblepiało błoto. Lizzie wykrzywiła się. Wstała, patrząc gniewnie. Alice cofnęła się o krok, wówczas jednak czarownica uśmiechnęła się.

– Jeszcze zobaczymy, dziewczyno. Wkrótce się przekonamy. – Wskazała ręką drzwi za tronem. – Popatrzmy, co tu mamy...

Weszliśmy za nią przez drzwi i odkryliśmy, że mimo wszystko nie jesteśmy jeszcze na samym szczycie wieży. Kolejne schody wiodły do kolistego przedpokoju z ośmiorgiem drzwi. Sprawdzaliśmy je w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. Podobnie jak sala tronowa, każde z pomieszczeń miało wielkie, przesłonięte zasłonami okno, z ławeczką wbudowaną w mur wewnętrzny. W pierwszym, na wyłożonej płytkami posadzce, stała duża drewniana wanna. Lizzie zerknęła na nią i uśmiechnęła się szeroko. Następnych pięć okazało się luksusowymi sypialniami, pełnymi zdobnych lusterek oraz przepysznych gobelinów. W siódmym pomieszczeniu mieścił się gabinet szamana: trzy rzędy półek pełnych książek – głównie grimuarów, a także wielki drewniany stół z dużym otwartym notatnikiem, spoczywającym obok ludzkiej czaszki. Na innych półkach ujrzelśmy flaszki oraz słoje, pełne różnych mikstur. W kącie stała solidna skrzynia. Kiedy jednak Lizzie sprawdziła wieko, odkryła, że jest zamknięta.

– Mogłabym sama ją otworzyć, ale to stanowiłoby stratę czasu i mocy. Po co czekać samemu, skoro potrafi to za nas zrobić pies. Chodź tu, chłopcze, wyciągnij swój klucz, otwórz skrzynię.

Skąd Lizzie wiedziała o moim kluczu? Co jeszcze wiedziała? Czy

umiała czytać w myślach?

Lecz skrzynia należała do szamana, mogła kryć w sobie przedmioty, które wzmocniłyby czarownicę, toteż pokręciłem przecząco głową.

– Odmawiamy, co? Pokażę ci, co spotyka tych, którzy mi się sprzeciwiają...

Twarz Lizzie pociemniała, czarownica zaczęła mamrotać zaklęcie. W ułamku sekundy w pokoju zrobiło się zimno, a strach ścisnął mi gardło. Miałem wrażenie, że w mrocznych kątach coś się porusza – złowieszcze, widmowe postaci. Mocniej ścisnąłem laskę, rozglądając się nerwowo. Kiedy wpatrywałem się bezpośrednio w stwory, znikwały, gdy jednak odwracałem wzrok, rosły i przysuwały bliżej.

– Zrób, co każe, Tom. Proszę – błagała Alice.

Przytaknąłem zatem, wyciągnąłem z kieszeni klucz, Wiedziałem, że wkrótce będę musiał stawić czoło Lizzie, ale wolałem przystąpić do działania dopiero wtedy, gdy straci czujność. Miałem tylko nadzieję, że cokolwiek kryła w sobie skrzynia, na nic się wiedźmie nie zda.

Specjalny klucz, wykuty przez brata stracharza, Andrew, mistrza ślusarskiego, również tym razem mnie nie zawiódł. Uniosłem wieko i przekonałem się, że skrzynia jest pełna pieniędzy. W workach spoczywały stosy srebrnych i złotych monet.

Sądziłem, że Lizzie będzie zawiedziona, ona jednak znów się uśmiechnęła.

– Pieniądze. Pożyteczna rzecz – mruknęła. – Zdołam je dobrze wykorzystać. Zamknij, chłopcze, nie chcemy, by skarby wpadły w czyjeś złodziejskie łapy. – Rozejrzała się po komnacie, przez moment jej wzrok spoczął na butelkach oraz słojach i w końcu na otwartym notatniku.

– Trzeba porządnie tu pogrzebać – wymamrotała – przekonać się, co kombinował. Kto wie, może nauczę się czegoś nowego?

Zastanawiałem się, jak długo Koścista Lizzie zamierza zostać w twierdzy. Czy mówiła poważnie o przejęciu władzy nad wyspą?



Jeśli tak, jak planowała postąpić, skoro jej wrogowie zebrali się poza murami? Porządnie się przestraszyli, ale to nie potrwa wiecznie. Wkrótce wrócą, na pewno z posiłkami. Wcześniej przecież zdołali ją schwytać. Jeśli więc dość wielu zbierze się na odwagę, będą w stanie to powtórzyć. Wówczas Alice i ja zostaniemy uznani za współników czarownicy.

Ósme drzwi prowadziły do dużej garderoby pełnej ubrań – bogatych, misternie zrobionych sukien, stosownych na królewski dwór. Musiały należeć do żony Barrule'a.

– Akurat mój rozmiar – Lizzie uśmiechnęła się złośliwie. – Wicie, co teraz zrobicie oboje?

Nie odpowiedzieliśmy.

– Przygotujecie mi kąpiel! – zawołała. – Nagrzejcie wody w kuchni i przynieście tutaj. Macie się uwinąć w pół godziny!

– Nawet jeśli umyjesz się za uszami, to cię nie zmieni w królową! – warknęła Alice.

Lizzie syknęła wściekle. Alice cofnęła się, wydając okrzyk strachu. Złapałem ją za rękę i poprowadziłem do przedpokoju, a potem schodami do sali tronowej.

– Co teraz poczniemy, Tom? – spytała.

– Uciekniemy, a następnie odszukamy stracharza – odparłem. – Choć jeszcze nie wiem jak. Nie możemy pójść tędy – wskazałem za okno, w dole dziedziniec był pusty. Wyglądało na to, że w murach twierdzy Greeba nie pozostał żaden człowiek, lecz całkiem spora grupa tłoczyła się za otwartą bramą. Rozpalili ogniska, stali bądź siedzieli wokół nich.

– Wolałabym nie ryzykować ucieczki tunelami – mruknęła Alice. – Wiem, do czego jest zdolna Lizzie. Bagan praktycznie należy do niej. Z pewnością posłałaby go za nami.

– Zatem na razie pozostało nam tylko jedno – rzekłem. – Przygotujmy jej kąpiel.

Alice przytaknęła.

– Przynajmniej zacnie lepiej pachnieć – wypaliła.

Zeszliśmy zatem do kuchni i poczęstowawszy się najpierw

kurczęciem na zimno, zajęliśmy się grzaniem wody. Kuchenne ognie wciąż płonęły, a w kącie stały beczki pełne wody. Wkrótce wrzała już w trzech wielkich kotłach. Wykonaliśmy najłatwiejszą część polecenia, pozostawała jednak ciężka harówka: wnoszenie naczyń po schodach aż do łaźni.

Z powrotem w sali tronowej, usiedliśmy na ławeczce. Zerknęliśmy na dwór. Za mostem nic się nie zmieniło poza tym, że nad ogniami obracały się różni: gwardziści obozowali wokół palenisk, szykując się do posiłku. Nie wyglądało, by z ich strony coś nam groziło.

– Alice, czemu Lizzie stała się nagle taka silna? – spytałem. – Wcześniej powstrzymała mnie przed rzuceniem łańcucha: nie mogłem nawet wsunąć ręki do kieszeni. Wydaje się okropnie pewna siebie. Pozwoliła nam krążyć swobodnie, podczas gdy sama się kąpie, jakbyśmy jej nie zagrażali. Ma rację. Czuję jej nową moc.

– Mówiła prawdę, wspomniawszy wcześniej o wieku – odparła Alice. – Czarownice z Pendle osiągają pełnię mocy po ukończeniu czterdziestki. Lecz Lizzie zawsze była potężna i niebezpieczna. Wiem, do czego jest zdolna. A jeszcze przejęła świeże kości, w dodatku kości szamana, one z pewnością jej pomogą. Oszukała go i pokonała jak należy, o tak. Kości szamana to rzadka zdobycz. Nie wiadomo, jak bardzo ją wzmocnią... Spójrz, Tom! – wskazała w stronę kraty. – Coś się tam dzieje. Wygląda, jakby szykowali się do ataku...

Podchodzili jednak tylko dwaj gwardziści; przeprawili się przez most, prowadząc między sobą więźnia, z rękami związanymi z tyłu. Już na dziedzińcu rozcięli więzy i uwolnili go, a potem podali mu coś – laskę.

To był stracharz.

## **ROZDZIAŁ 16**

### **NAJGORSZY KOSZMAR TWOJEGO MISTRZA**

– Szybko, Tom. Zejdź na dół, ostrzeż go! – zawołała Alice, widząc, jak stracharz kieruje się w stronę wieży. – Jakie ma teraz szanse w starciu z Lizzie?

– Chodź ze mną – pociągnąłem ją za rękę.

– Nie, zostanę tutaj, zajmę czymś jej królewską wysokość. Spytałem, czy chce więcej wody. Im dłużej zostanie w wannie, tym większą szansę na przeżycie zyska stary Gregory. Nie martw się, nic mi nie grozi.

Nie podobała mi się myśl o zostawieniu jej samej z Kościstą Lizzie, ale byłem w sytuacji bez wyjścia. Słowa Alice brzmiały sensownie. Może zdoła odwrócić uwagę czarownicy. Wiedziałem, że muszę ostrzec mistrza. Gdyby tu przyszedł, nieświadom tego, jak silna stała się Lizzie, mógłby zginąć bądź trafić do lochu, jako strawa dla bugana.

Zostawiłem zatem Alice i puściłem się pędem na dół. Spotkałem stracharza, gdy wychodził z wartowni. Omal się nie zderzyliśmy.

– Spokojnie, chłopcze! – zawołał.

– Lizzie jest teraz bardzo potężna! – wykrztusiłem, z trudem łapiąc oddech. – Potrafi unieruchomić człowieka jednym słowem. Powstrzymała mnie przed wyjęciem srebrnego łańcucha z kieszeni.

Stracharz oparł laskę o stół strażników. Usiadł.

– Tak mi się zdawało, że się zmieniła. Na zewnątrz zebrała się niewielka armia, a jednak boją się przejść przez bramę, by rozprawić się z czarownicą. Uważają, że szaman nie żyje. Czy to prawda?

Przytaknąłem.

– Lizzie zabrała jego kości.

– Zatem mamy na głowie o jednego sługę mroku mniej... Lizzie wystraszyła gwardzistów, do tego stopnia, że zwrócili się do mnie o pomoc: do obcego stracharza. Ci ludzie zawsze szcycili się swą niezależnością, muszą zatem być faktycznie zdesperowani.

– Stwierdziła, że chce zostać królową Mony... – poinformowałem mistrza.

Słyszając to, uniósł brwi.

– Opowiedz o wszystkim. Nie śpiesz się i niczego nie pomijaj...

– Ale ona w tej chwili się kąpie. Bardziej sprzyjająca sytuacja nam się nie zdarzy!

– Koścista Lizzie się kąpie? Teraz słyszałem już wszystko. – Stracharz obdarzył mnie nieczęsto widywanym uśmiechem. – Lecz nie zamierzam postąpić ani kroku, póki nie dowiem się, jak się sprawy mają. Im wcześniej zaczniesz, chłopcze, tym wcześniej skończysz.

Zrobiłem zatem, jak kazał. Opowiedziałem mu, jak miejscowi zaszyli wargi Lizzie i Alice, i o tunelach bugana, wiodących do każdej z cel. Potem o walce i naszej ucieczce, o tym, jak Lizzie głaskała bugana, i wreszcie o pojedynku z psami, pojawieniu się ducha Billa Arkwrighta i śmierci szamana.

Mój mistrz pokręcił głową.

– Bez wątpienia wbiła się w pychę, choć nie oznacza to, iż nie jest niebezpieczna. Biedny Bill... Przynajmniej on, kiedy rozprawimy się z Lizzie, będzie mógł odejść wolno. Ale sprawy naprawdę stoją źle, chłopcze. Przysłano mnie tutaj, żebym zabił wiedźmę, kiedy jednak to zrobię, nie będę już potrzebny. Władzę w twierdzy Greeba obejmie nowy pan, nastaną dawne porządki. Możliwe, że znów wylądujemy w lochach. Wciąż będą karmić bugana, choć szaman już nie żyje. Powrócą do dawnych nawyków. Niestety, tak się toczy ten świat. Historia zwykle się powtarza. – Mój mistrz westchnął głęboko, przez moment zatopiony w myślach. – Miałem już wcześniej do czynienia z podobnymi sytuacjami. Zaczyna mnie męczyć to wszystko, chłopcze, nużyć moje ciało, umysł i ducha. Ale tym zajmiemy się później. Najpierw musimy rozprawić się z Lizzie – zakończył, wstając z ławy.

– A co, jeśli jest zbyt silna, jeśli...?

– Posłuchaj, chłopcze, nie martw się. Miałem do czynienia z wieloma czarownicami. Zawsze wygrywałem. Ty jesteś młody, wciąż się uczysz. To dlatego zdołała nad tobą zapanować. Chodźmy, załatwmy, co należy! Prowadź do Lizzie...

Wcale mi się to nie podobało, ale zrobiłem, jak kazał mój

Mistrz. Miałem nadzieję, że wiedźma wciąż zażywa kąpeli. Jednak gdy tylko przekroczyliśmy próg sali tronowej, pojąłem, że mój pesymizm miał podstawy.

Koścista Lizzie siedziała na tronie, Alice przycupnęła na stopniach z przerażoną miną. Czarownica nosiła długą purpurową suknię, mokre, rozczesane włosy okalały twarz, wargi pomalowała na czerwono. Wyglądała imponująco – może nie jak królowa, lecz na pewno jak kobieta przywykła do dworskiego zbytku. Naprawdę jednak przeraziło mnie jej zachowanie oraz wyraz twarzy.

Wyglądała na absolutnie pewną siebie. Czułem promieniujące od niej fale lodowatej wrogości. Jednakże stracharz, który nie stracił rezonu, ruszył ku niej szybkim krokiem po dywanie.

Zatrzymał się u podnóża stopni. Podążyłem tuż za nim. Ujrzałem, jak wsuwa lewą dłoń do kieszeni portek, by okręcić wokół przegubu srebrny łańcuch. Przypomniałem sobie ostatnie spotkanie mistrza z Lizzie, na samym początku mojego terminu. Zabił Kła, jej potężnego współnika-pomiota, a potem skrepował czarownicę srebrnym łańcuchem i zaniósł na plecach do jamy w Chipenden. Czy zdoła znów to uczynić? On z pewnością w to nie wątpił. A Lizzie na pewno pamiętała ich ostatnie starcie...

Wkrótce jednak pojąłem, że nie sprawia wrażenia zaniepokojonej. W istocie nawet nie patrzyła na stracharza. Spoglądała wprost na mnie, jej oczy przepełniało zło.

– Nie można ci ufać, co, chłopcze? Gdy tylko odwrócę się plecami, uciekasz po swego mistrza. Powinnam cię zabić, tak jak stoisz....

Nie tracąc czasu, stracharz zakreślił łańcuchem, ciskając go w stronę Lizzie. Wciąż siedziała na tronie; wykonał łatwy rzut, nie mogła uniknąć skrepowania. Patrzyłem, jak łańcuch układa się w migoczącą, śmiercionośną spiralę – lecz ku mej rozpaczy runął na podłogę, nie czyniąc nikomu szkody, stopę w prawo od czarownicy.

Jakim cudem mistrz chybił? Zadziałała jakaś potężna mroczna magia. A może coś innego...

Serce zaciążyło mi w piersi. Alice miała rację, wątpiąc w moce

stracharza. Powoli zaczynałem dostrzegać prawdę. Czasy jego świetności minęły. Stopniowo tracił siły. John Gregory, którego uczniem zostałem, bez kłopotu skrępowałby Lizzie, nieważne, jak silną magią by się broniła.

Teraz zmarszczył brwi, na jego twarzy pojawił się wyraz zdumienia. Zachwiał się, chciał coś powiedzieć, Potem jednak uniósł rękę do gardła i zaczął się dusić. Kolana ugięły się pod nim, runął naprzód, o włos unikając uderzenia o kant stopnia. Szybko ukląknęłam obok niego. Leżał twarzą do dołu, ledwie oddychał. – Jeszcze nie umarł, nie martw się! – zawołała Lizzie, podnosząc się z tronu. – Stary Gergory nie zasługuje na tak łatwą śmierć. Nie po bolesnych latach, jakie spędziłam uwięziona w dole. Jestem mu za to coś winna, więc przed śmiercią czeka go cierpienie. Pokażę mu ból, jakiego nawet sobie nie wyobrażał, przekonasz się! Nadchodzi najgorszy koszmar twojego mistrza.

Jej słowa przypomniały mi o śnie stracharza, o Lizzie zasiadającej na tronie i posadzce spływającej krwią. Teraz sen najwyraźniej się spełniał.

Wiedźma powoli zeszła na podłogę. Uniosła stopę, jakby zamierzała kopnąć mistrza szpicem trzewika. Potem jednak zrezygnowała, kręcąc głową.

– Jaki sens ma kopanie kogoś, kto tego nie czuje – wymamrotała. – A teraz, chłopcze, mam dla ciebie zadanie. Chcę, żebyś wyszedł z twierdzy i porozmawiał z ludźmi za bramą. Oznajmisz, że od dziś pracują dla mnie: powinni wybrać jednego spośród siebie, rozsądnego, doświadczonego człeka, aby został moim seneszalem: sługą, który otrzyma przywilej rozkazywania innym w moim imieniu. Człowiek ów ma przyjść do sali tronowej na audiencję. I jeszcze jedno: nie lubię, kiedy każe mi się czekać. Daję dziesięć minut na podjęcie decyzji. Potem, co pięć minut, jeden z nich będzie umierał. Pośpiesz się zatem, powtórz im moje słowa, chłopcze!

Zerknąłem na mistrza i na Alice. Chwila wahania rozgniewała Lizzie. Postąpiła krok ku mnie, jej oczy niebezpiecznie rozbliły.

– Znów planujesz sprzeciw, chłopcze? Lepiej się zastanów, bo widzisz, wiem o słoju krwi...

– Przepraszam. Tak mi przykro. Zmusiła mnie, żebym jej powiedziała – zapłakała Alice.

– Pozostaje tylko kwestia, po kogo Zły zjawi się pierwszy. Jeśli Alice mnie rozgniewa, wrzucę ją do lochu. Beze mnie u boku nie przeżyje nawet pięciu minut. A co do ciebie, sprawa przedstawia się prosto. Zajmiemy się tym od razu. Wyjmij z kieszeni słów krwi. Roztrzaskaj go o posadzkę! Zrób, co każę! Natychmiast!

Próbowałem się oprzeć, naprawdę, ale odkryłem, że moja ręka słucha czarownicy. Oczy Alice rozszerzyły się ze zgrozy, poczułem, jak po czole ścieka mi pot. Serce waliło w piersi, ale ręka poruszała się niczym obdarzona własną wolą. Wyciągnęła z kieszeni słów, wzniosła go wysoko, gotowa cisnąć nim o posadzkę.

– Stój! – zawołała Lizzie w ostatniej chwili. Obdarzyła mnie złowieszczym uśmiechem. – Teraz możesz już go schować do kieszeni, bo wiesz, do czego jestem zdolna. Kiedy następnym razem mnie nie posłuchasz, każę ci roztrzaskać słów, a potem zamknę cię w najgłębszym, najciemniejszym, najwilgotniejszym lochu. Wówczas przekonamy się, kto zjawi się pierwszy – bugan czy Zły.

Zabrałem laskę, obróciłem się na pięcie. Ruszyłem wykonać jej rozkaz. Jaki inny miałem wybór?

\*

Gdy przeszedłem pod pierwszą kratą i pomaszerowałem przez dziedziniec w stronę drugiej, gwardziści, zebrani tuż za fosą, podnieśli się z ziemi.

– Co my tu mamy? – Kapitan Stanton podszedł bliżej. – Faktycznie cię zaczarowała! Wysłaliśmy starego, wysokiego, a oto wraca młody, o dobrych kilka cali niższy!

Wszyscy roześmiali się, kwitując żarcik, lecz śmiech niektórych wydawał się wymuszony, nienaturalny.

– Mojego mistrza zraniono – poinformowałem, a potem przekazałem przesłanie od Lizzie, pełen obaw, jak zareaguje na

instrukcje Stanton. Nie wyglądał na człowieka, który łatwo pogodziłby się z jej planem zawładnięcia twierdzą Greeba. Wydało mi się także wysoce nieprawdopodobne, by zgodził się zostać jej seneszalem. Miałem tylko nadzieję, że nie wbije sobie do głowy, by ukarać mnie, zwyczajnego posłańca.

Moje słowa nie zrobiły na Stantonie wrażenia.

– Więc chce, byśmy pracowali dla niej, tak? A co, jeśli mamy własne plany?

– Zaznaczyła, że daje wam dziesięć minut. Jeśli w tym czasie nie podejmiecie właściwej decyzji, część z was zginie – po jednym na każde pięć minut czekania.

Część otaczających Stantoną mężczyzn zaczęła szemrać, patrząc po sobie z lękiem. Czułem, jak strach ogarnia ich kolejno niczym choroba.

Z początku Stanton nie odpowiedział. Z zamyśloną miną spojrzał na wieżę. Potem odwrócił się do mnie. – Jesteś uczniem stracharza, więc znasz się na takich sprawach. Czy naprawdę zdołałaby spełnić groźbę? Czy czarownica rzeczywiście potrafi zabić z takiej Odległości?

– Niełatwa rzecz – przyznałem. – Wiedźmy często posługują się klątwami, próbują zabijać nieprzyjaciół z daleka, choć nie zawsze im się udaje. Lecz Koścista Lizzie to naprawdę potężna czarownica. Robiła rzeczy, w które wcześniej sam bym nie uwierzył. Stracharz dysponuje pewną odpornością na czary, a mój mistrz od wielu lat z powodzeniem uprawia fach. Nic mu to jednak nie pomogło – ze smutkiem pokręciłem głową. – Użyła mrocznej magii, a on runął nieprzytomny u jej stóp. Kto zatem wie, do czego jest zdolna?

Stanton przytaknął, popatrzył na swych ludzi.

– No cóż, uważam, że powinniśmy ją poddać próbie. Oczekamy dziesięć minut. Może tylko blefuje?

Nie wszyscy sprawiali wrażenie zachwyconych decyzją, ale nikt nie próbował jej podważyć. Odwróciłem się, aby wrócić za fosę, lecz Stanton złapał mnie za rękę.

– Nie, chłopcze, zostaniesz z nami, póki nie zorientujemy się, co



jest co.

Kazał mi usiąść przy ogniu. Ukląkł obok, ogrzewając ręce.

– Kto jeszcze tam przebywa oprócz wiedzy i twojego mistrza?  
– spytał.

– Moja przyjaciółka Alice.

– Alice? Masz na myśli młodą czarownicę, która przeżyła próbę w beczce? Tę podstępną, która uderzyła mnie kamieniem?

– Ona nie jest czarownicą...

– Barrule uważał, że jest, a on znał się na takich sprawach – przerwał mi.

– Naprawdę nie jest czarownicą – upierałem się.

Stanton posłał mi długie, przeciągłe spojrzenie, jakby próbował podjąć jakąś decyzję.

– Jak się nazywasz, chłopcze? – zapytał w końcu.

– Tom Ward.

– No cóż, Tomie Wardzie, ja nazywam się Daniel Stanton i przewodzę tym ludziom. Przez piętnaście lat służyłem lordowi Barrule'owi, czasami przychodziło mi robić w jego imieniu rzeczy niekoniecznie przypadające mi do gustu. Cóż, trzeba wiedzieć, skąd wieje wiatr. Czasami każdy z nas działa nie do końca w zgodzie z samym sobą. Mimo to nie jestem pewien, czy podoba mi się wizja zostania seneszalem czarownicy. Oto, jak wygląda sytuacja. Barrule nie pozostawił dziedzica. Dziesięć lat temu jego żona zmarła w połogu, dziecko przeżyło zaledwie parę godzin. Zatem w przyszłym tygodniu parlament, Tynwald, musi postanowić kogo mianować na miejsce dotychczasowego lorda, obwołując go przywódcą rady. Sądzę, iż przypadł mi teraz w udziale obowiązek zabezpieczenia twierdzy dla następnego pana, mojego nowego pracodawcy. To oznacza rozprawienie się z czarownicą w ten czy inny sposób...

Nagle od sąsiedniego ogniska dobiegł nas krzyk bólu. Daniel Stanton zerwał się z ziemi. Poszedłem za nim. Zobaczyłem mężczyznę, leżącego na plecach nieopodal płomieni: zwijał się w bólu, unosząc dłonie do gardła, jakby się dusił. Jego twarz

przybierała fioletowy kolor. Ktoś go posadził i próbował pomóc, podsuwając kubek wody do ust. Mężczyzna jednak sapnął nagle, zadygotał i znieruchomiał.

– Nie żyje! – krzyknął ktoś.

Widziałem przed sobą przerażone twarze. Część ludzi Stantona wyglądała na gotowych do ucieczki.

– Oto robota czarownicy! – zawołał ktoś inny.

– Owszem – zgodził się drugi głos. – I co, jeśli zrobi to ponownie? Każdy z nas może stać się następnym!

Gwardziści kręcili się wokół, wyraźnie zdenerwowani. Tylko Stanton nie wyglądał na wystraszonego. Stał bez ruchu, z rękami splecionymi na piersi i wysoko uniesioną głową.

W pięć minut później mężczyzna stojący blisko nas jęknął, przycisnął ręce do gardła, po czym zachwiał się i runął do naszych stóp, martwy jak głaz. Ludzie Stantona zaczęli panikować. A przecież przy fosie zgromadzili się gwardziści, żołnierze przywykli do bliskiego kontaktu ze śmiercią, lecz zawsze z powodów zrozumiałych. Narastało w nich przerażenie.

Stanton uniósł dłonie, by uspokoić podkomendnych. Przemówił donośnym, wyraźnym głosem:

– Zrobimy, jak każe wiedźma! – zawołał. – Pójdę, sam z nią pogadam. – Położył mi dłoń na ramieniu. – No dobrze, chłopcze, zakładam, że chciałbyś rozprawić się z nią raz na zawsze.

Przytaknąłem.

– To czemu jej nie zabiłeś, kiedy tamtej nocy otrzymałeś szansę? Oglądałem wszystko na własne oczy, widziałem, co się stało.

Pokręciłem głową.

– Z różnych powodów... Nie mogłem się zmusić do zamordowania Lizzie z zimną krwią.

– Istotnie, trudna sprawa – przytaknął. – A ty jesteś tylko chłopcem. Jeśli jednak nadarzy się okazja, ja się nie zawaham. Będziemy zatem współpracować, Zgoda?

– Najpierw musimy spróbować uwolnić mojego mistrza. On

wymyśli, co zrobić.

– Chodźmy przekonać się, co ma do powiedzenia czarownica – orzekł Stanton. – Jakiś czas możemy udawać jej sługi. Zaczekamy, aż nadarzy się sposobność.

## **ROZDZIAŁ 17**

### **MARTWY JAK GŁAZ**

Razem przeszliśmy przez bramę do wieży i, po schodach, do sali tronowej. Lizzie czekała na nas na tronie z wyniosłą miną. Nie dostrzegłem ani śladu Alice bądź stracharza.

Daniel Stanton uklonił się nisko.

– Pozostaję do twych usług, o pani – rzekł.

Najwyraźniej idealnie dobrał słowa, bo czarownica rozpromieniła się.

– Jak cię zwa? – spytała.

– Stanton, pani. Pełniłem funkcję dowódcy gwardii Greeba. Piętnaście lat służyłem lordowi Barrule'owi.

– No cóż, mości Stantonie, teraz czynię cię moim seneszalem, choć nadal pozostaniesz dowódcą gwardii. Niech wracają na swe posterunki i to szybko, podobnie jak reszta służby – zwłaszcza kucharze. Jutro wieczór wydamy ucztę na moją cześć. Jaka jest największa sala w twierdzy? Ile osób zdoła pomieścić?

– Wielka sala, pani. Znajduje się w budynku obok wieży. Może się w niej zgromadzić prawie dwieście osób.

– Roześlij zatem zaproszenia – poleciła Lizzie. – Chcę, by sala była pełna. I żadnych szumowin. Mają przyjść właściciele ziemscy – bogaci, ważni ludzie. Sprowadź mi członków rady i Tynwaldu – ilu tylko zdołasz.

– Pójdę zająć się tym natychmiast, pani – powiedział Stanton.

Lizzie odprawiła go. Kiedy zniknął, wstała i zeszła po schodach do mnie.

– Zdecydowałam się rządzić tą wyspą. Wątpisz, chłopcze?  
Przyjrzałam jej się ostrożnie.

– Wygląda, że wszystko układa się zgodnie z planem – przytaknąłem.

– Nawet lepiej, niż sądzisz – wargi Lizzie wygięły się lekko. – I nie myśl, że nie jestem przygotowana na podstępny. Daniel Stanton ma gładki język, ale potrafię przeniknąć jego pochlebstwa. Po jutrzejszej nocy będzie jednak zbyt przerażony, by nawet myśleć o stawieniu oporu. A co do ciebie, jeszcze trochę utrzymam cię przy życiu, bo możesz okazać się użyteczny. Lecz starczy jeden błędny krok, żebym rozbiła słój krwi, a wtedy dopadnie cię Zły. Wyrażam się jasno?

Pokiwałem głową.

– Więc dawaj łaskę. Nie będzie ci potrzebna.

Próbowałem się oprzeć, lecz skuteczny przymus nadal trwał. Położyłem kij u jej stóp. Wiedziałem, że nie zechce go dotknąć. Wiedźmy nienawidziły dotyku jarzębinowego drzewa.

– A teraz zejź mi z oczu – rozkazała – ale nie opuszczaj twierdzy, chyba że ci każe. I trzymaj się z dala od lochów. Zbliź się tylko do swego mistrza, a obaj na tym ucierpicie. Będiesz spał w jednym z pokojów na górze – wskazała ręką schody – żebym mogła mieć na ciebie oko.

\*

W ciągu godziny w twierdzy zaroilo się od ludzi: straż zajęła dawne pozycje, a kucharze szykowali ucztę na następny wieczór.

Nie pozostało mi do zrobienia nic więcej, jak tylko pójść na górę i wybrać sobie jedną z sypialni; następnych kilka godzin spędziłem obserwując krzątanie na dziedzińcu. Usiłowałem przy tym ogarnąć sytuację, by opracować najlepszy plan działania. Sprawy wyglądały źle, martwiłem się też o mistrza. I gdzie jest Alice? Lizzie nie wspomniała o jej nieobecności. Czyżby ją także uwięziła w lochach? Jeśli tak, Alice znalazła się poza zasięgiem słója krwi. Sytuacja nie wyglądała dobrze. Byliśmy niczym muchy w pajęczynie Lizzie, ja zaś nie miałem pojęcia, jak się uwolnić.

Trzeba zaczekać na nadarzącą się sposobność, a kiedy nadejdzie, wykorzystać ją mimo ryzyka.

Ku mojej uldze, tuż przed zmierzchem w otwartych drzwiach pokoju zjawiała się Alice. W rękach trzymała talerz z plastrami szynki, sera i ciasta.

– Pomyślałam, że zechcesz zjeść ze mną kolację – podeszła bliżej.

– Gdzie stracharz? – spytałem.

– Zamknięty w lochu, Tom. Lizzie zmusiła mnie, żebym pomogła jej go zanieść.

Usiedliśmy razem przy oknie, skubiąc jedzenie.

– Nie jedz zbyt wiele – Alice uśmiechnęła się. – Zostaw trochę miejsca na jutrzejszą królewską ucztę.

– Czy Lizzie mówiła poważnie? – spytałem. – Co chce osiągnąć?

– Zamierza uwolnić wszystkich więźniów z twierdzy Greeba i zaprosić ich na ucztę; oczywiście, wszystkich poza starym Gregorym. Nie mam pojęcia, po co jej to. Co ona kombinuje, Tom?

– Trudno orzec, czemu chce zwolnić więźniów, ale jeśli naprawdę zamierza władać wyspą, przypuszczam, że planuje jutro zaimponować swoim gościom i ich przerazić, dowieść, że opór nie ma sensu. Mamy jednak kogoś po naszej stronie: Daniela Stantona, którego właśnie mianowała swoim seneszalem. Zabije ją, jeśli tylko nadarzy się okazja. Przez lata służył Barrule'owi, teraz uznał, że jest winien lojalność jego następcy. Tynwald zapewne mianuje kogoś w przyszłym tygodniu. Ale co z panem Gregorym? Nie zamierza chyba oddać go buganowi, co?

– Na razie nie, Tom. Najpierw Lizzie chce go zranić i to boleśnie. Kiedy już się zabawi, wówczas nadejdzie kolej na bugana.

– Nie potrafię tylko pojąć, dlaczego wciąż mnie nie zabiła – albo nie zamknęła w celi, rzucając na żer buganowi. Dlaczego ryzykuje, trzymając przy sobie ucznia stracharza?

– Nie skrzywdziła cię dotąd, bo ją błagałam – wyjaśniła Alice. – A mnie nie skrzywdziła, ponieważ mówiła poważnie o tym, że pewnego dnia zjednoczę klany z Pendle. Sądzi, że zdoła

przeciągnąć mnie na stronę mroku. Nie uda jej się, ale niech się łudzi. To jedyny powód, dla którego wciąż żyjesz, Tom. Poprosiłam też, żeby wypuściła psy – albo przynajmniej pozwoliła je nakarmić. Nie chciała o tym słyszeć. Zapewne konają już z głodu.

Przytaknąłem ze smutkiem. Szpon, Krew i Kość wiele wycierpiały, ale przynajmniej, w odróżnieniu od innych psów, nadal żyły. Należy coś z nimi zrobić – i to szybko.

\*

Następnego ranka minąłem Stantona na schodach. Podsunął mi pod nos listę gości. Widniało na niej mnóstwo nazwisk.

– Tu są wszyscy, którym wysłaliśmy zaproszenia – ważni ludzie, ale znaczna część nie przyjdzie. Uważają, że Koścista Lizzie to morderczyni i czarownica. Obmyślają własne plany, jak się z nią rozprawić: może nawet organizują siły zbrojne, które zaatakują twierdzę. Oczywiście, niewiele mogą zdziałać, póki parlament nie spotka się w przyszłym tygodniu. Ale są też tacy, którzy zgodzili się przyjść. Nie potrafię pojąć czemu – kapitan pokręcił głową. – Lecz niektórzy – zwłaszcza ci, którzy nie potrafią dogadać się z Tynwaldem – zwęszyli szansę zwiększenia swych wpływów. Inni stawiają się wyłącznie po to, by ocenić zagrożenie. Jeśli spotkanie przebiegnie nie po jej myśli, może skorzystam z zamieszania i utłukę wiedźmę na miejscu. Powiedz mi zatem, chłopcze – jak najlepiej zabić wiedźmę?

– Najskuteczniej zadziałałoby ostrze ze stopu srebra, wbite prosto w serce – odparłem. – Mamy takie w stracharskich laskach, ale Lizzie zabezpieczyła się. Zamknęła gdzieś moją broń i oręż mistrza. Lecz każdy nóż wbity w serce również może zadziałać – przynajmniej na jakiś czas...

Wolałem nie wspominać, że potem należy wyciąć serce: w przeciwnym razie mielibyśmy do czynienia z martwą, być może nawet jeszcze niebezpieczniejszą Kościstą Lizzie. Ale najpierw musi do tego dojść, pomyślałem.

\*

Goście zaczęli przybywać do twierdzy tuż po zachodzie słońca.

Witano ich przy bramie i odprowadzano do wielkiej sali. Większość stanowili mężczyźni, samotni bądź w grupkach, dostrzegłem też jednak kilka par.

Sala okazała się wielka, elegancka, wysoki strop podtrzymywały ciężkie drewniane belki, ułożone w serie trójkątów, podobnych do tych, jakie można oglądać w największych kościołach w Hrabstwie. Choć zbudowana w mniejszej skali, skojarzyła mi się z wnętrzem katedry w Priestown. Na ścianach zawieszono barwne gobeliny przedstawiające sceny z dziejów wyspy: widniały na nich długie okręty i groźni mężowie w rogatych hełmach; statki lądujące na skalistych wybrzeżach; bitwy, płonące domy, pola zasłane trupami. Dziesiątki pochodni osadzonych na ścianach oświetlały obrazy.

Stopniowo w sali zaczął rozbrzmiewać pomruk rozmów, tymczasem służba przyniosła tace pełne wina, ofiarowując kielichy wszystkim gościom. Stoły ustawiono w równoległe rzędy; naprzeciw nich stał stół główny, za którym miała zasiąść Lizzie. Ku naszemu zdumieniu, mnie oraz Alice posadzono tuż po lewicy wiedźmy; Daniel Stanton zasiadł po jej prawicy. Wzdłuż ściany z tyłu pełnili straż uzbrojeni we włócznie gwardziści.

Gdy wszyscy goście już się zjawili, kolejna grupa strażników przyprowadziła więźniów. Wskazano im stół na tyłach przy drzwiach. Zauważyłem, że znajduje się wśród nich Adriana.

Dopiero wtedy Lizzie wkroczyła do sali. Ruszyła powoli na swe miejsce za głównym stołem. Rozmowy ucichły, goście podążali wzrokiem za czarownicą. Najwyraźniej znów buszowała w garderobie nieżyjącej żony lorda Barrule'a, albowiem poczęstowała się klejnotami: jej palce zdobiły złote pierścienie, przeguby obejmowały wąskie lśniące bransoletki, a we włosach, obecnie czystych i lśniących, połyskiwała przebogata, diamentowa tiara.

Kiedy Lizzie dotarła do swego krzesła, zatrzymała się. Powiodła wzrokiem po sali. Następnie uśmiechnęła się, lecz bez krztyny ciepła. Posłała ku zgromadzonym okrutny, triumfalny uśmiech kogoś, kto nie wątpi we własną moc, sadystyczny grymas

prześladowcy, szykującego się do męczenia bezbronnych ofiar.

– Jedzcie do syta! – poleciła. – Najpierw się posilimy, a później porozmawiamy.

Wówczas bez dalszej zwłoki do sali wpadli słudzy, dźwigający tace najlepszych mięsów. Kucharze ciężko pracowali, gdyż istotnie przyszykowali ucztę godną królowej. Lecz goście jedli w milczeniu, zaledwie skubiąc potrawy; wyraźnie czułem dręczący ich strach oraz niepewność. Wiedzieli, do czego jest zdolna Lizzie – jak pokonała potężnego lorda Barrule'a i zabiła z daleka gwardzistów. Poraziła nawet stracharza.

W końcu, gdy ze stołów sprzątnięto naczynia oraz ponownie napełniono kieliszki, Stanton podniósł się z miejsca i poprosił o ciszę. Wszyscy umilkli, a wówczas Koścista Lizzie wstała. Powiodła wzrokiem po swych niespokojnych gościach.

Przyglądała się im bardzo długo, bez słowa, zaciskając pomalowane na czerwono wargi. Nagle poczułem chłód w powietrzu. Zaczęła posługiwać się mroczną magią.

– Dawne zwyczaje już nie wystarczą! – wrzasnęła. – Czas na zmiany!

Głos czarownicy zabrzmiał niezwykle władczo: to już nie była umazana błotem Lizzie, która schroniła się z nami w tunelach bugana, choć nadal wykrzywiała usta i przemawiała z mocnym akcentem z Pendle.

– Macie wrogów za morzem, na wschodzie. Zajęli Hrabstwo, wkrótce zaczną spoglądać w tę stronę. Ostrzą sobie zęby na wasze ziemie, chętnie uczynią z was niewolników, nie łudźcie się. To nie czas na wahanie, nie czas na próżną gadaninę. Parlament nie jest wam teraz potrzebny. Po co komu rozgadana izba, skoro trzeba działać? Potrzebujecie jednej silnej ręki. Zupełnie innej władzy. To mnie wam trzeba! Zostanę waszą królową. Będę was chroniła. Wesprzyjcie mnie, a zachowacie wolność. Wybór należy do was.

Położywszy nacisk na słowa „do was” wyciągnęła lewą rękę. Powoli zatoczyła łuk z lewa w prawo, wskazując palcem słuchaczy. Pierścienie na jej dłoniach i diamenty tiary migotały w blasku



pochodni. Istotnie, zachowywała się jak królowa – władca, wyniosła, potężna. Wmawiała tym ludziom, że mają tylko jeden wybór: muszą jej słuchać.

Wśród zgromadzonych rozległ się niski pomruk protestu, choć paru mężczyzn uśmiechnęło się, kiwając głowami. Czyżby naprawdę widzieli w niej przyszłą przywódczynię, która pociągnie za sobą ogół?

Lizzie nie zwracała uwagi na szmery.

– Od dziś zmieni się życie was wszystkich. Wiedźcie, że wypuściłam więźniów. Uwięził ich lord Barrule, nie ja. Jego czasy minęły, toteż ich uwolniłam. Cele stoją puste – oprócz, rzecz jasna, lochu stracharza. Lecz wkrótce dołączą do niego inni: ci, którzy mi się sprzeciwiają.

Tym razem szmery oraz pomruki zmieniły się w głośny chór, a potem krzyki niezgody.

– Albo jesteście ze mną, albo przeciw mnie! – Głos Lizzie przebił się przez hałas.

W odpowiedzi jeden z mężczyzn wstał z miejsca; obok niego siedziała bogato ubrana kobieta o srebrnoszarych włosach; jej suknia mogła rywalizować ze strojem Lizzie. Żona z niespokojną twarzą chwyciła mężczyznę za rękę, próbując posadzić go z powrotem. On jednak uwolnił się. Pomaszerował naprzód, by stanąć tuż przed najwyższym stołem.

Rumiany, lekko otyły, wyglądał na człeka zamożnego i przywykłego, że liczą się z jego zdaniem. Teraz jednak miał do czynienia z czymś, co wykraczało poza jego doświadczenie.

Wskazał na Lizzie palcem. Dwukrotnie otworzył usta, nim dobyło się z nich pierwsze słowo. Ręce mu drżały, czoło błyszczało od potu.

– Jesteś obca na naszej wyspie – rzekł drżącym głosem. – Uciekinierka, uchodźczyni, w dodatku czarownica. Jak śmiesz stawać przed nami, uzurpując sobie szlachezny tytuł? Jakie masz prawo ogłaszać się naszą władczynią?

Lizzie uśmiechnęła się złowieszczo.

– Władca musi być silny, a ja tu jestem najsilniejsza – odparła, wyginając plecy. – Podajesz w wątpliwość moje prawo do rządzenia, starcze. Zapłacisz za to życiem!

Trzy razy tupnęła nogą, mamrocząc coś pod nosem, po czym wycelowała wskazujący palec lewej ręki wprost w nieznajomego, którego twarz wykrzywił grymas grozy.

Mężczyzna uniósł ręce do gardła, widziałem, jak oczy wychodzą mu z orbit. Nie wydał z siebie najłżejszego dźwięku, lecz z nozdrzy zaczęła wypływać mu krew, ściekając po wargach i brodzie. A potem runął naprzód, uderzając mocno czołem o kamienną posadzkę. Legł bez ruchu.

Lizzie zabiła go. Był martwy jak głaz.

## **ROZDZIAŁ 18**

### **ZABŁĄKANY DUCH**

Siwowłosa kobieta zerwała się z miejsca i z okrzykiem rozpaczony pobiegła mężowi na pomoc. Nie dotarła jednak do ciała.

Lizzie nakreśliła w powietrzu znak, nucąc słowa zaklęcia. Kobieta padła na kolana, unosząc dłonie do twarzy, jakby próbowała odepchnąć coś straszliwego.

Zorientowałem się, że z tyłu sali, gdzie siedzieli więźniowie, wybuchło zamieszanie. Ktoś próbował przecisnąć się ku nam, lecz gwardziści go powstrzymali. Wyglądało, że chodzi o Adrianę. Co się jej stało? Jeśli nie będzie ostrożna, znów trafi do celi.

Ale Lizzie jeszcze nie skończyła. Wyraźnie zamierzała zademonstrować swą moc, przerażając zebranych tak, by nikt już nie ośmielił się jej sprzeciwić. Znów trzy razy tupnęła nogą, a potem donośnym, władczym głosem wymówiła kolejne słowa zaklęcia w Dawnej Mowie. Dopiero uczyłem się prastarego języka, więc nie umiałem zbyt wiele, a ona wyśpiewywała czar tak szybko, że niczego nie rozumiałem. Lecz natychmiast dostrzegłem

straszliwe skutki.

Wszystkie pochodnie w sali zamigotały i zgasły, tak że znaleźliśmy się w niemal nieprzeniknionej ciemności. Od strony zgromadzonych dobiegły mnie krzyki grozy. A potem w powietrzu nad Lizzie zaczęła kształtować się wielka postać mężczyzny. Wyglądała jak uwięziony duch, przywołany z Limbusa. Z początku sądziłem, że znów wezwała Billa Arkwrighta, kiedy jednak zjawa nabrała kształtów, przekonałem się, że wezwała ducha człowieka, którego właśnie zabiła. Wokół niego wirowały ponure, szare limbusowe mgły.

– Zabłądziłem! – krzyknął duch. – Gdzie ja jestem? Co się ze mną stało?

– Nie żyjesz. Odszedłeś już z tego świata – warknęła Lizzie. – To, co cię spotka dalej, zależy wyłącznie ode mnie. Mogę uwięzić cię w tej mgle na zawsze albo pozwolić ci odejść.

– Odejść? Ale dokąd? – spytał duch.

– Albo do światła, albo w mrok, gdziekolwiek doprowadzi cię twe ziemskie życie. Jak się nazywasz? Co robiłeś na tym świecie, gdy jeszcze żyłeś i oddychałeś?

– Jestem głównym młynarzem z Peel, ciężko pracowałem. Nazywam się Patrick Lonan i jestem członkiem Tynwaldu...

Nic dziwnego, że gwardziści musieli przytrzymać Adrianę. Lizzie właśnie zabiła jej ojca.

Czarownica zaśmiała się cicho, okrutnie.

– Byłeś członkiem Tynwaldu. Teraz jesteś tylko zbłąkanym duchem. Służysz mi, wykonujesz moje rozkazy. Wracaj w mgłę. Tam czekaj na wezwanie!

Duch Patricka Lonana odpowiedział przeraźliwym jękiem, potem zaczął znikać. Pochodnie znów ożyły, ukazując przerażone twarze gości. Wielu zerwało się z miejsc, próbując uciec z sali. Gwardziści sprawiali wrażenie równie wystraszonych, nie potrafili zatrzymać kogokolwiek. Ale Lizzie natychmiast zapanowała nad sytuacją.

– Siadajcie! – poleciła. – Wy wszyscy. Róbcie, co każę, albo

dołączycie do młynarza!

W ciągu paru sekund goście zajęli swe miejsca. Zerknąłem w stronę stołu na tyłach, lecz nie zauważyłem ani śladu Adriany. Kobieta, która musiała być jej matką, nadal klęczała, próbując odepchnąć niewidocznego napastnika. Jej twarzą wstrząsały skurcze, ciało zwijało się w męczarniach. Mamrotała, bełkotała, doprowadzona do obłędu magią Lizzie.

Popatrzyłem na Daniela Stantona. Dostrzegłem takie samo przerażenie, jak u reszty zgromadzonych. Wyraźnie brakło mu sił, by spróbować zabić Lizzie.

– Widzieliście, co potrafię! – zawołała czarownica. – Tych, którzy mi się sprzeciwią, czeka śmierć – a także strach i cierpienie sięgające poza grób. Pozwolę Tynwaldowi spotkać się po raz ostatni, by mógł rozwiązać radę i ogłosić mnie władczynią tej wyspy. A teraz odejdźcie! Znikajcie wszyscy! Ci, którzy zechcą mi służyć, mogą powrócić do twierdzy jutro o tej samej porze, a ja przyjmę ich hołd.

Sala opróżniła się szybko. Zauważyłem triumfalny wyraz twarzy Lizzie. Wezwała gestem dwóch strażników, wskazała żonę młynarza.

– Zabierzcie ją do domu, gdzie umrze! – poleciła. – Niech się stanie przykładem. Taki los czeka tych, którzy mnie rozgniewają.

Gwardziści odciągnęli na bok matkę Adriany, wciąż zawodzącą rozpaczliwie.

– Wy dwoje znikajcie mi z oczu – Lizzie wskazała ręką mnie oraz Alice. – Wracajcie do wieży. Chcę na osobności pomówić z seneszalem.

Pomyślałem przez moment, że mógłbym po prostu wyjść z sali w ślad za resztą gości i uciec za fosę. Ale wówczas nigdy nie zdołalibyśmy wrócić do twierdzy, zatem nie ocaliłbym stracharza. Poza tym wątpiłem, by Lizzie nam akurat pozwoliła zbiec – nadal zbyt mocno nade mną panowała. Posłusznie podążyłem za Alice przez dziedziniec do wieży. Wspięliśmy się po schodach. W mej komnacie usiedliśmy razem na okiennej ławeczce. Na zewnątrz

panowała wielka ciemność, nie ujrzelśmy księżyca ani gwiazd, jedynie kilka latarni migotało na odległym murze.

– Człowiek, którego Lizzie zabiła, to ojciec Adriany... – wymamrotałem.

Alice przytaknęła.

– A teraz Adriana z powrotem trafiła do lochu, dołączając do starego Gregory'ego. Lizzie nie potrzebowała zbyt wiele czasu, by znów wziąć się do wypełniania cel, prawda? Nie pozwólmy jej mordować kogo zechce. Musimy coś zrobić, Tom.

– Jeśli ją zaatakujemy, zabije nas jednym ze swych zaklęć. Widziałaś, co zrobiła z młynarzem. Potrafi zmusić mnie do działań wbrew mej woli – nawet do stłuczenia słoja krwi. Za parę dni może zapanuje nad wyspą, wówczas pomyśli o wywarciu zemsty na stracharzu. Musimy wyciągnąć go z celi, nim Lizzie zdąży naprawdę go skrzywdzić. To niebezpieczne, ale jedyną szansę dają nam tunele bugana.

Moje słowa zabrzmiały śmiało, lecz wewnątrz zadrżałem na samą myśl o buganie. Spotkanie twarzą w twarz z demonem w jego własnym królestwie oznaczałoby pewną śmierć.

– Masz rację, Tom. Ale musimy wybrać moment, gdy nie będzie nas pilnowała. Jeśli tylko Lizzie zorientuje się, że zniknęliśmy, pośle za nami bugana. W tej chwili wydaje rozkazy nowemu seneszalowi, więc jest zajęta umacnianiem świeżo zdobytej władzy. Ponieważ wszyscy strażnicy pełnią wartę, wartownia stoi pusta! Oto właściwy moment, by zacząć działać! – zawołała.

Alice miała rację. Musieliśmy uderzyć – i to teraz, kiedy Lizzie najmniej się tego spodziewała. Gdyby nas schwytała, nie okazałaby litości. Starając się nie myśleć o niebezpieczeństwie, poprowadziłem Alice do gabinetu, w którym lord Barrule studiował i praktykował animizm. Otworzyłem drzwi, zabrałem obie laski, moją oraz mistrza.

Kiedy ruszyliśmy do wyjścia, Alice podniosła notatnik szamana.

– Po co ci to, Alice? – spytałem, marszcząc brwi. Chciałem jak najszybciej zniknąć, nim zjawi się Lizzie.

– Kto wie, czego zdołamy się dowiedzieć, Tom? Może się nam przyda. Poza tym, jeśli go zabierzemy, nie wpadnie w ręce Lizzie.

Przytaknąłem – miała rację. Pospieszaliśmy na dół, biegnąc przez salę tronową i dalej, po stopniach, do lochu. Bezpiecznie przeszliśmy przez wartownię. Zabrawszy lampę z haka, pomaszerowaliśmy wilgotnym wąskim korytarzem. Nie musieliśmy sprawdzać każdej z licznych cel, bo stały otworem. W końcu jednak natknęliśmy się na dwie zamknięte. Swoim kluczem szybko otworzyłem pierwszą. Ujrzałem Adrianę, siedzącą na podłodze w kącie, z twarzą ukrytą w dłoniach. Kiedy nas zobaczyła, zerwała się z ziemi i podbiegła.

– Co się stało z moją matką? – Oczy miała pełne łez.

– Zabrali ją do domu – odparłem. – Bardzo mi przykro z powodu twojego ojca, Adriano...

– Czyli go zabiła? Odciągnęli mnie, nim zdążyłam się upewnić. – Spojrzała, a jej ciemne oczy przepełniał głęboki smutek.

– Tak, zabiła go – przyznałem, spuszczać wzrok. Nie wspomniałem, że Lizzie przywoła ducha młynarza z Limbusa; to jedynie sprawiłoby jego córce dodatkowy ból.

– Matce trudno będzie bez niego żyć – zaczęła szlochać cicho. – Ojciec był zawsze śmiały, wygadany.

– Wykazał się nie lada odwagą – przytaknąłem – ale nie miał pojęcia, przeciw czemu staje, jaką potęgą dysponuje Lizzie.

– Zamierzamy uciec z twierdzy tunelami. – Alice ze współczuciem poklepała Adrianę po ramieniu. – Niebezpieczne to przedsięwzięcie, lecz lepsza ucieczka niż czekanie tutaj.

Wyszliśmy z celi. Wsunąłem klucz do zamka następnej. Zaciął się, przez chwilę nie potrafiłem go przekręcić. W końcu ustąpił – otworzyłem drzwi, Alice uniosła lampę i zajrzeliśmy do środka.

Zobaczyłem ziemną ścianę, w której ział tunel. A potem coś się poruszyło. Serce zacisnęło mi się w piersi, nerwowo cofnąłem się o krok. Z początku wydało mi się, że zbliża się bugan, następnie jednak dostrzegłem stracharza: szedł ku nam, szurając nogami, jedną dłonią osłaniał oczy przed blaskiem lampy. Długo przebywał

w ciemności.

– No, chłopcze, doprawdy, miło cię znów widzieć.

Uśmiechnąłem się i oddałem mu laskę.

– Mam panu mnóstwo rzeczy do powiedzenia, ale muszą poczekać. W każdej chwili mogą zjawić się strażnicy. Chcemy spróbować ucieczki tunelami bugana. Możemy też wrócić na górę i stawić czoło Lizzie. A ona kieruje teraz gwardzistami.

Stracharz przytaknął.

– Zatem tak naprawdę nie mamy żadnego wyboru. Nie wiemy, dokąd prowadzą tunele, lecz równie dobrze możemy sprawdzić tutaj – wskazał ręką mroczny wylot w ścianie własnej celi.

Nagle zastanowiłem się, czemu dotąd nie spróbowałem ucieczki. Kiedy ja wcześniej tkwiłem zamknięty w lochu, uznałem, że nie warto ryzykować. Lecz w moim przypadku chodziło o ucznia, nie o doświadczonego stracharza. Mistrz musiał wiedzieć, że tędy wiedzie jedyna droga ucieczki, pozwalająca uniknąć tortur oraz śmierci. Czyżby zabrakło mu sił i odwagi, by samotnie stawić czoło tunelom? Nie miałem czasu na zastanawianie się, bo Alice znów się odezwała:

– Wiemy przecież, dokąd prowadzi jeden z tuneli. Ten z długiej sali, gdzie walczyły psy, wiedzie do spróchniałego drzewa...

– Ale ono stoi pośrodku kościńca – przypomniałem. – To bardzo niebezpieczne, lecz być może uda mi się odnaleźć tajemną ścieżkę Lizzie. Jestem gotowa spróbować.

– Wystarczy jeden błąd, a w ciągu sekundy zostaniesz zmiądzona na śmierć, dziewczyno. – Stracharz pokręcił głową.

– Nie widzę lepszego wyjścia – odparowała Alice. – W przeciwnym razie przyjdzie nam poruszać się na ślepo przez labirynt bugana.

Stracharz westchnął i przytaknął na zgodę.

– No dobrze. Zatem prowadźcie.

Wyszliśmy z celi. Korytarz wkrótce rozszerzył się, pod stopami poczuliśmy suche kamienne płyty. Zabraliśmy jeszcze kilka latarni: wiedzieliśmy, że w tunelach potrzeba jak najwięcej światła. Kiedy

zbliżyliśmy się do sali, usłyszałem głośne szczekanie, w powietrzu unosił się przemożny smród śmierci i zwierzęcych odchodów. Odkryliśmy, że trzy wilczarze wciąż tkwią zamknięte w klatkach; gnijące ciało lorda Barrule'a leżało tam, gdzie padł, obok tronu.

– Powinniśmy wypuścić psy – powiedziałem. – Nikt ich nie nakarmił. Może minąć wiele dni, nim ktoś sobie o nich przypomni.

– Uważaj, chłopcze – ostrzegł stracharz. – Okrutnie je traktowano. Kto wie, jak zareagują?

Ostrożnie wypuszczaliśmy jedno zwierzę po drugim. Lecz psy nie zaatakowały nas ani nie zaczęły ze sobą walczyć. Kilka natychmiast wybiegło z pomieszczenia, większość błąkała się niepewnie. Natomiast Szpon, Krew i Kość ucieszyły się na mój widok. Dobrze było znów je głaskać, oglądać, jak machają ogonami. Psia radość sprawiła, że gardło zacisnęło mi się ze wzruszenia. Były głodne i brudne, na myśl o tym, jak je traktowano, poczułem gniew. Przynajmniej jednak szaman stracił nad nimi władzę i znów zachowywały się jak dawniej. Kiedy weszliśmy do tunelu na końcu sali, podążyły za nami. Ja szedłem na przedzie, tuż za mną Alice, potem Adriana, na końcu stracharz, gotów reagować, gdyby zaatakowano nas od tyłu. Tunel wykopano w ziemi, bez żadnych drewnianych podpór, jak w kopalni, więc myśl o ciężarze nad naszymi głowami przerażała mnie. Z łatwością mogliśmy tu zginać, żywcem pogrzebani; fragmenty tunelu musiały często się zawałać. Widzieliśmy też korzenie, czasem skręcone niczym węże. Aż zacząłem sam siebie przekonywać, że się nie poruszają.

Latarnie okazały się znacznie lepsze niż ogarek, którym oświetlaliśmy drogę, idąc tędy wcześniej z Alice i Lizzie. Wkrótce zobaczyliśmy pierwsze kości: nie leżały w stosach, jak w kryjówce kościanej czarownicy, ale nie zdołaliśmy przejść nawet dwudziestu jardów, by nie dostrzec kolejnego fragmentu ludzkiego szkieletu. Czasami trafiała się czaszka, na wpół zagrzebana w bocznej ścianie tunelu, czy może fragment kości nogi bądź ramienia albo też kilka palców. Nie wyczuwałem jednak obecności żadnych duchów. Spotykaliśmy wyłącznie szczątki. Przystanąłem obok niemal



nietkniętej ludzkiej stopy, brakowało jej tylko małego palca. Po lewej leżała czaszka: korzeń drzewa wcisnął się przez lewy oczodół i wyłonił z prawego, po czym zniknął w ziemi.

– Skąd wzięło się tu aż tyle kości? – zawołałem do stracharza. – Czy należały do więźniów, którzy próbowali uciec ze swych cel?

– Być może niektóre – odparł. – Lecz bugan wypluwa czasem z siebie część pożartych wcześniej szczątków.

Zadrzałem, pojawiwszy, iż stopa i czaszka spędziły jakiś czas w żołądku bugana.

Przez ponad pięć minut posuwaliśmy się całkiem sprawnie, potem jednak natknęliśmy się na przeszkodę. Przed nami grube korzenie drzew całkowicie blokowały główny tunel. Z boku odchodził drugi, wiodący w dół. Tunel nowy, świeżo wykopany. Zupełnie mi się nie spodobał.

## ROZDZIAŁ 19

### SKARBIEC GRIMA

– To robota bugana – powiedziałem. – Co teraz?

– Aby dotrzeć do spróchniałego drzewa, musimy jakoś przedostać się przez korzenie – odparła Alice.

– Moglibyśmy obkopać je kijami, ale to zajęłoby całe wieki. Znam lepszy sposób. – Odwróciłem się, patrząc poza plecy Alice i Adriany. – Korzenie zagradzają nam drogę! – zawołałem do stracharza. – Niech pan cofnie się trochę. Musimy zrobić miejsce dla psów. Szpon! Krew! Kość!

Psy z radością przecisnęły się naprzód. Zacząłem kopać rękami obok kanałów, wskazując przed siebie. Wkrótce trzy ogary z zapalem ryły ziemię, odrzucając ją łapami do tyłu. W istocie uzyskaliśmy dwa tunele miast jednego, bo Szpon pracowała po lewej, a Krew i Kość po prawej. Ten drugi okazał się większy, wraz ze stracharzem poszerzyliśmy go naszymi klingami, tak że w

końcu zdołaliśmy się precyzyjnie przycisnąć.

Wreszcie ruszyliśmy w dalszą drogę. Poczułem przypływ nadziei. Być może uda nam się uciec ze spróchniałego drzewa. Owszem, zagraża nam niebezpieczeństwo, lecz jeśli ktokolwiek zdoła odnaleźć tajemną ścieżkę przez kościńiec, będzie to Alice.

Ale wkrótce pojawiła się kolejna przeszkoda, tym razem gorsza niż wcześniejsze. Korytarz przed nami całkowicie zagradyła ubita twardo ziemia. Bagan wykopał nowe przejście, znów wiodące ostro w dół.

Stracharz, podczołgawszy się naprzód, dołączył do mnie, kręcąc głową.

– Moglibyśmy ponownie spróbować się przebić, ale możliwe, że zapadł się cały tunel – rzekł. – To mi się nie podoba, chłopcze. Zupełnie jakby ktoś zaganiał nas niczym owce, zmuszając, byśmy skierowali się na dół, na spotkanie tego, co nas tam czeka.

– Bagan? – spytałem.

– Możliwe, ale nie wykluczam, iż działa na rozkaz Lizzie. Do tej pory zapewne zorientowała się już, że uciekliśmy z wieży. Albo wycofamy się tam, skąd przyszliśmy, albo pójdziemy tutaj – wskazał ręką nowy tunel.

– Nie wolno się cofać, bo z pewnością już tam czekają. Tym razem Lizzie zamknie w lochach nas wszystkich.

Stracharz wzruszył ramionami.

– Zatem trzeba iść dalej. Zmienię cię, chłopcze, zajmę pozycję na przedzie. Kto wie, z czym przyjdzie nam się zmierzyć?

To rzekłszy, popęzł naprzód tunelem.

Korytarz opadał coraz bardziej stromo, a ja coraz bardziej się niepokoiłem. Wyczuwałem niebezpieczeństwo.

Po jakimś czasie tunel rozszerzył się. Stracharz podniósł się z ziemi, unosząc latarnię. W chwilę później zobaczyliśmy przed sobą rozległe pomieszczenie o ścianach tak odległych, że światło ich nie sięgało. Znajdowaliśmy się w wejściu do olbrzymiej pieczary.

Nawet psy umilkły. Trzymały się za nami, nie chcąc zapuszczać się ani kroku dalej. Może czuły to, co my: Podziw zmieszany z

grozą, wrażenie, że mamy do czynienia z czymś zupełnie nowym, wykraczającym poza nasze doświadczenie.

– Tego się nie spodziewałem – głos stracharza zabrzmiał niewiele donośniej od szeptu. – Chyba wiem, gdzie trafiliśmy. Sądziłem, że owo miejsce istnieje tylko w mitach, w ludzkim bajaniu. Ale okazuje się prawdziwe...

– Co okazuje się prawdziwe? – spytałem. – W czym rzecz?

Lecz stracharz jedynie wymamrotał coś pod nosem i nie odpowiedział.

– Tego nie wykopał bugan – zauważyła Alice. – Trzeba by z dziesięciu żywotów, by stworzyć tak wielką norę, nawet jeśli ma się szpony przebijające skały.

– Miejsce istniało już wcześniej, bugan natknął się na nie przypadkiem – odparł mój mistrz.

– Albo może o nim wiedział – wtrąciła Adriana, wyłaniając się z tunelu. – Może rozmyślnie zdecydował się zbudować tu labirynt, bo wiedział o pieczarze.

– Ale po co mu coś tak wielkiego? – zastanawiałem się głośno.

– Cóż, jak już mówiłem, chłopcze – rzekł stracharz – bugan odbiera ludziom animus, siłę życiową, i przechowuje ją w sercu labiryntu. A że współpracował z szamanem, potrzebował mnóstwo miejsca. Lecz ta pieczara jest olbrzymia – zdecydowanie za duża jak na niego.

– Po co mu ludzkie animy?

– Wiemy, że dla stracharza stanowią źródło magicznej mocy, zapewniając władzę nad zwierzętami i pozwalając posyłać ducha poza ciało. Lecz co do bugana, jak dotąd nikt nie rozmawiał z takim stworzeniem. Bagan szepcze, grozi, a potem wysysa animus i zabija ofiarę. My jednak nie orientujemy się dlaczego. Szaman, lord Barrule, być może wiedział więcej, ale on już nie żyje...

– Cóż, chłopcze – podjął mój mistrz. – Spytałeś, co to za miejsce. Zaraz ci powiem. Natrafiliśmy na coś, czego nigdy nie spodziewałem się ujrzeć, o czym tylko słyszałem. Zwą je „skarbcem Grima” ze względu na jego twórcę. Oglądamy właśnie największe

źródło animizmu na świecie. Najpierw zgromadził go tu szaman, Lucius Grim, wiele stuleci temu. Powiadają, że potrafił posyłać swą duszę w sam mrok, w końcu jednak pochłonął ją demon. Oto jego dziedzictwo, bez wątpienia wzbogacone później przez innych szamanów, z których ostatnim był lord Barrule. Tak czy owak, ruszajmy dalej, lecz trzymajmy się blisko ściany pieczary, Kto wie, może znajdziemy inne wyjście?

Stracharz pomaszerował naprzód, psy podążały za nim, ciche, onieśmiałe. Pod naszymi stopami miękkie błoto ustąpiło miejsca skale. Wkrótce Alice zachłysnęła się ze zdumienia – zauważyła coś przed sobą.

– Coś tam jest – rzekła. – Widzę poruszające się światła. To mi się nie podoba.

Unieśliśmy wzrok, patrząc w stronę, którą wskazywała. Maleńkie drobinki żółtego światła, podobne odległym gwiazdom, łączyły się, tworząc misterne wzory; bardziej przypominały ławicę ryb niż stado ptaków. Próbowałem je policzyć – okazało się to trudne, ale nie niemożliwe. Wydało mi się, iż jest ich siedem. Nagle jedno odłączyło się od reszty i wolno popłynęło w dół. Gdy się zbliżyło, odkryłem, że to rozżarzona kula.

– Żywiolaki ognia! – zawołała Alice. – Takie jak te, które widzieliśmy w Grecji!

W Grecji mieliśmy do czynienia z różnymi odmianami żywiolaków ognia, począwszy od ognistych kul, aż po asteri, przypominających pięcioramienne gwiazdy. Wszystkie śmiertelnie groźne. W mgnieniu oka potrafiły spalić człowieka na popiół. To właśnie spotkało Billa Arkwrighta.

Stracharz pokręcił głową.

– Nie, dziewczyno, cokolwiek nadciąga, nie są to żywiolaki ognia. W pieczarze jest zbyt wilgotno. W istocie cała wyspa charakteryzuje się wilgotnym klimatem, bardzo podobnym do klimatu Hrabstwa. To nie miejsce na podobne stwory. Nie przeżyłyby tutaj.

Jakby na dowód słuszności jego słów, miast nas zaatakować,

lśniaca kula wycofała się, szybując ku górze i ponownie zamieniła się w odległy punkcik światła, dołączywszy do innych, trwających w osobliwym tańcu. Zupełnie jakby przyjrzała nam się bliżej i uznała, że ją nudzimy. W tym momencie stracharz po raz pierwszy zauważył, że Alice dźwiga księgę.

– Skąd to wzięłaś, dziewczyno? – spytał, marszcząc brwi. – Czy należała do szamana?

Alice przytaknęła.

– Zabrałam jego notatnik. Żeby nie dostała go Lizzie i nie nauczyła się nowych rzeczy o mroku. Lepiej, by został z nami, nieprawdaż?

Mój mistrz nie sprawiał wrażenia przekonanego, ale nie odpowiedział. Podążyliśmy dalej wzdłuż zakrzywionej ściany pieczary. I znów zatrzymała nas Alice. Trzy razy głośno pociągnęła nosem.

– Wyczuwam coś przed nami. Zmierza w tę stronę – ostrzegła.  
– Coś z mroku.

Gdy tylko skończyła mówić, wszystkie trzy psy zawarczały; one także zwęszyły niebezpieczeństwo. Unieśliśmy wyżej latarnie i ujrzeliśmy zbliżającą się postać.

– Nadciąga pomiot – stwierdziła Alice, gdy przybysz znalazł się w kręgu światła.

Miała rację. Róg przyszedł sam. Dwa otwory w jego uszach, w miejscu gdzie mocowano łańcuchy, nadal wyglądały na opuchnięte, a ślepe, mlecznobiałe oczy poruszały się, jakby oceniając każde z nas kolejno.

Ze związku Złego i czarownicy przychodzi na świat najróżniejsze potomstwo. Grimalkin, wiedźma zabójczyni, urodziła kiedyś zupełnie normalnego, ludzkiego chłopczyka; Zły zabił go z tego właśnie powodu. Była też Alice, zrodzona w ludzkiej postaci, lecz z potencjałem właściwym potężnym czarownicy. Tu zaś, po przeciwnej stronie sali, znalazła się demoniczna postać, rogata bestia podobna do ojca, który ją spłodził.

Stracharz chwycił mocniej kij. Podszedł do stwora. Pomiot,

syknąwszy nań przez zęby, przemówił szorstkim głosem:

– Za mną.

– A czemu? – spytał mój mistrz, groźnie unosząc łaskę.

– Za mną – powtórzył Róg.

Zawrócił na pięcie i zniknął w ciemności.

Nie podobała mi się wizja porzucenia względnego bezpieczeństwa, jakie zapewniała skalna ściana. Miałem złe przeczucie co do tajemnic ogromnej pieczary – łatwo tu zabłądzić lub dać się pochłonąć ciemności.

– Zaczekaj! – zawołał stracharz, bez wątpienia myśląc o tym samym. – Musisz nam podać dobry powód, byśmy za tobą poszli, w przeciwnym razie zostaniemy tutaj.

Pomiot znów zwrócił się ku nam, jego twarz wykrzywił gniew. Bardziej przypominała pysk dzikiego zwierzęcia niż ludzkie oblicze.

– Musicie pójść za mną. Nie macie wyboru.

– Zawsze istnieje jakiś wybór – nie zgodził się stracharz. – O tak, zawsze. Przypuścmy, że zdecydujemy się zostać tutaj...

– Wtedy pozostaniecie w pieczarze aż do śmierci. Nie zdołacie stąd uciec, chyba że wam pozwolę. Teraz, gdy mój mistrz nie żyje, ja kontroluję bugana. Mimo Wysilków więdzmy wciąż robi, co mu każe – przynajmniej na razie.

– Może kłamać. – Adriana zniżyła głos. – Bezpieczniej zostać tutaj. ,

– Nie, jeśli bugan zakopał wszystkie wejścia i wyjścia – odparłem.

– A podejrzewam, że tak się właśnie sprawy mają – dodał stracharz. – Obawiam się, iż najmądrzejszym wyjściem jest robić, co każe.

Niechętnie zatem podążyliśmy za pomiotem w głąb pieczary. Wkrótce ściany zostały daleko z tyłu, a my wędrowaliśmy dalej w kręgu rzucanego przez latarnie żółtego światła, poza którym nic zdawało się nie istnieć. We wszystkie strony ciągnęła się ciemność. Nasze kroki odbijały się echem w ciszy, a ja czułem coraz większy lęk.

Wkrótce sytuacja pogorszyła się jeszcze bardziej: nasze latarnie zaczęły słabnąć, po paru chwilach ledwie ćmiły. Kolejna sprawka mrocznej magii. Stracharz natychmiast uniósł rękę, nakazując nam się zatrzymać. Gdy tylko przystanęliśmy, latarnie zgasły, pograżając nas w nieprzeniknionej ciemności.

Czy to podstęp?, zastanawiałem się z lękiem. Czy Róg zwabił nas tu na śmierć?

## **ROZDZIAŁ 20**

### **NIEWIARYGODNA MOC**

Stałem tam, szykując się na jakiś atak, ten jednak nie nastąpił.

– Dalej – poleciał z mroku Róg. – Jesteśmy prawie na miejscu...

Podążyliśmy za nim bardzo powoli. Głęboka ciemność sprawiała, że nie widziałem nawet kroczącego przede mną stracharza. Gdyby nie odgłos butów, sądziłbym, że zniknął. I wtedy ujrzałem lekki blask.

Gdy się zbliżyliśmy, blask zaczął się rozrastać, właściwie nadymać. Przypominał lśniąca kulę, która opadła spod sklepienia, by się nam przyjrzeć. Podczas jednak gdy ona była mała i żółta, ten blask był czerwony i olbrzymi. Nie tworzył też prawdziwej kuli. Falował, zmieniał kształty, jakby pod naporem niewidocznych sił wewnętrznych albo napierających z zewnątrz. Z daleka wydawał się mieć wyraźnie określone granice, gdy jednak się zbliżyliśmy, przekonaliśmy się, że kojarzy się z raczej z mgłą zalegającą w leśnej kotlinie, rozproszoną na brzegach, lecz gęstą w centrum. Pomiot wszedł już w krąg blasku, postać stwora rozmyła się przed naszymi oczami. Poszliśmy w jego ślady – ja sam z rosnącą niechęcią – zastanawiałem się, czy inni czują to samo. Skóra rąk i twarzy mrowiła mnie coraz mocniej, z każdym krokiem odczuwałem narastające niebezpieczeństwo. A potem pomiot zatrzymał się i zwrócił ku nam – rogata sylwetka na tle blasku.

– Oglądamy rzeczywisty skarbiec Luciusa Grima. Miałem rację – rzekł stracharz.

– Wam w niczym nie zagraża – oznajmił Róg. – Przynajmniej nie sam w sobie. Trafiliście w miejsce, w którym bugan przechowuje siłę życiową wykradaną żywym. To energia, nic więcej – olbrzymi magazyn anim, zgromadzonych przez wieki.

– Pomyślcie o setkach ludzi, których zabił. – Stracharz z niesmakiem pokręcił głową.

– Nie tylko setkach, raczej o tysiącach tysięcy – odparł pomiot. – Inne bugany też wzbogacały skarbiec, proces gromadzenia trwa bowiem od stuleci. Obecnie pieczara stanowi wielkie źródło energii i miejsce spotkań wszystkich zajmujących się magią animizmu: nie tylko szamanów w postaci duchowej, ale też rumuńskich czarownic. Siedmioosobowa grupa przysłała tu właśnie swe dusze z odległej ojczyzny. Zauważyły, jak wkraczacie do pieczary. To właśnie one poinformowały mnie, gdzie jesteście.

Siedem światła, które obecnie tańczyły wysoko nad naszymi głowami – to musiały być dusze czarownic. Przypomniałem sobie, że czytałem o czymś podobnym w bestiariuszu stracharza. Bardzo niebezpieczne byty: podobna grupa mogła w ciągu paru minut wysssać siłę życiową z człowieka.

– No, dalej! Gadaj! – W głosie stracharza dźwięczała nutka niecierpliwości. – Czego chcesz?

– Zemsty. – Okrutną twarz pomiotu wykrzywił gniew. – Pragnę pomsty na wiedźmie, która zabiła mojego pana, lorda Barrule'a. Chcę, by została zniszczona.

– Owszem, my też chcielibyśmy się z nią rozprawić – przytaknął stracharz. – Ale czy sprowadziłeś nas tu tylko po to, by nam wyznawać własne uczucia? Jeśli tak, lepiej pozwól nam odejść.

– Musiałem pokazać wam to i przekazać bardzo ważne informacje – podjął Róg. – Informacje, które pewnie pomogą wam ją powstrzymać, nim zawładnie całą wyspą. Bo widzicie, czarownica nieświadomie korzysta z kości kciuków mojego



mistrza, żeby czerpać zgromadzoną tu moc. A będzie gorzej, znacznie gorzej. Ja także korzystam z tej samej mocy i próbuję stawić jej opór. Jest jednak silniejsza ode mnie, znacznie silniejsza. Wkrótce zapanuje nad buganem. Wówczas otrzyma ten olbrzymi zapas energii. Na razie nie ma pojęcia o istnieniu podziemnego skarbcza. Kiedy jednak podporządkuje sobie bugana, szybko pozna prawdę. Wówczas zorientuje się, do czego jest zdolna. I nie wystarczy jej wyspa. W końcu zagrozi także nacjom za morzami. Mojego mistrza interesował tylko hazard, nigdy nie próbował czerpać więcej niż ułamek dostępnej tu magii; czarownica bez wątpienia przechwyci całą moc i wykorzysta ją przeciw tym, którzy staną jej na drodze. Musicie działać szybko, nim zrobi się za późno.

Stracharz przytaknął.

– Trzeba odebrać jej te kości. Ba, łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Jak długo potrafisz się jej opierać? Jak długo ochronisz przed nią bugana?

– Nie mnie orzekać. Wiem tylko, że z każdym dniem robi się coraz trudniej – odparł Róg. – Pokażę wam tunel wiodący wprost do lasu. Nie będziecie musieli przeprowiać się przez kościnię.

Pomiot poprowadził nas wśród ciemności. Po chwili nasze latarnie znów płonęły jasno. Wskazał świeżo wykopany tunel, po czym wycofał się w mrok. Korytarz piał się stromo w górę. Nie minęło kilkanaście minut, a już znaleźliśmy się wśród drzew. Wciąż panowała ciemność, ale niebo na wschodnim horyzoncie jaśniało. W dali widzieliśmy twierdzę Greeba, na murach płonęły latarnie, strażnicy z pewnością czuwali.

– Wieża jest zbyt blisko, bym czuł się pewnie – mruknął stracharz. – Im szybciej się oddalimy, tym bardziej będę rad.

– Teraz nigdzie nie jest już bezpiecznie – odparła Adriana. – Ruszam do domu, do Peel, muszę się zobaczyć z matką. Wstrząs towarzyszący śmierci ojca mógł się okazać zbyt silny. Jeśli chcecie, dołączcie do mnie.

– Jesteśmy na tej wyspie obcy, więc chętnie przyjmiemy

zaproszenie – powiedział stracharz. – Najpierw Jednak musimy odszukać nasze torby.

Wciąż leżały tam, gdzie je zostawiliśmy. Odebrałem Alice notatnik szamana i schowałem do własnej torby, którą podniosłem wraz z torbą mistrza. Bez zwłoki ruszyliśmy na zachód. Tym razem Adriana wskazywała drogę. Po jakimś czasie Alice podeszła do niej, zaczęły gawędzić.

Poranek wstawał paskudny, mglisty, z szarego nieba sączyła się lodowata mżawka. Posuwaliśmy się powoli, bo unikaliśmy głównych traktów, gościńców oraz ścieżek, przedzieraliśmy się przez lasy i wzdłuż żywopłotów. Wkrótce zatęskniłem za czymś do jedzenia, a także za ciepłym schronieniem.

– Gdzie leży Rumunia? – spytałem, przyspieszając kroku, zrównawszy się ze stracharzem.

– To lesisty kraj, na północny zachód od ojczyzny twojej mamy, Grecji, chłopcze. A czemu pytasz? Myślisz o siedmiu rumuńskich czarownicach?

Przytaknąłem.

– Przebyły daleką drogę, by odwiedzić tę pieczarę.

– W istocie, chłopcze. Ale nie zjawiły się tu w cielesnej postaci, inaczej czekałyby nas prawdziwe kłopoty. Widziałeś ledwie duchy, uwolnione z ciał dzięki mocy animizmu, zwabione tu przez skarbiec. Współpracowały z pomiotem, toteż nam nie zagrażały. Mamy jednak przed sobą ciężkie zadanie. Nawet jeśli rozprawimy się z Lizzie i buganem, pozostawienie tak wielkiego magazynu mocy stwarza ogromne niebezpieczeństwo. Inny mieszkaniec mroku mógłby go znaleźć, wykorzystując następnie do własnych celów.

– Dlaczego zatem dotąd się to nie zdarzyło?

– Może i się zdarzyło, chłopcze. Trzeba jednak wielkiej wiedzy, by zapanować nad podobnym skarbcem. Nawet Lucius Grim nie do końca pojmował jego potęgę: co w ostatecznym rozrachunku doprowadziło do jego śmierci. Na szczęście, lord Barrule zanadto skupiał się na grze, by w pełni wykorzystać dostępne mu zasoby.

Jednakże z czasem jakiś stwór dysponujący wielką mroczną siłą zacznie ze skarbca czerpać. Na wyspie żyją inne bugany, które mogą zechcieć go uzupełnić; podobnie jak boginy wykorzystują linie mocy, by przemieszczać się z miejsca na miejsce. O tak, należy uważać. Czeka nas wiele pracy.

\*

Wczesnym popołudniem dotarliśmy do młyna w Peel. Gdy wyłoniliśmy się z lasu, ujrzeliśmy przed sobą wielkie koło, powoli obracające się pod naporem wody spływającej z długiego, wspartego na wielu łukach akweduktu. Wkrótce odkryliśmy, że wewnątrz nikt nie miele mąki. Na wieść o śmierci Patricka Lonana, na znak szacunku, pracownicy młyna wrócili do domów.

Obok koła stał obszerny dom młynarza: serdecznie nas tam przyjęto. Adriana najpierw zajęła się matką, potem zaś poleciła służbie przygotować dla nas kąpiele, gorące posiłki i łóżka. Choć jej nieszczęsny ojciec nie żył, uparła się prowadzić dalej interes. Rozesłała wieści do robotników, by następnego ranka stawili się do pracy.

Pomiot nalegał, abyśmy jak najszybciej zaatakowali Lizzie. Zatrzymaliśmy się jednak dwa dni we młynie, odpoczywając i zbierając siły. Sami nie wiedzieliśmy, jak teraz postąpić. Stracharz milczał. Odnosiłem wrażenie, że nie ma dla nas zbyt wielkiej nadziei.

Jak mogliśmy zwyciężyć? Lizzie władała twierdzą Greeba. Nie widziałem powodu, dla którego wkrótce nie miałyby opanować całej wyspy. A jeśli dowie się o pozostającym do jej dyspozycji olbrzymim źródle mocy... Wolałem nawet nie myśleć.

Wiedzieliśmy, że nie powinniśmy zbyt długo pozostawać we młynie. Stanowił zbyt oczywistą kryjówkę, wkrótce kościana czarownica przyśle po nas gwardzistów.

\*

Rankiem trzeciego dnia, obudziwszy się o świcie, poszedłem na spacer z Alice. Dzień wstał piękny, choć chłodny, w nocy złapał lekki przymrozek. Alice szła dziwnie milcząca, wyczułem, że coś ją

gryzie.

– Co się stało? – spytałem. – Widzę, że jakaś sprawa nie daje ci spokoju. Chodzi o Lizzie?

– Lizzie to problem dla nas wszystkich.

Jakiś czas nie odpowiadałem, spacerowaliśmy w milczeniu. Potem jednak postanowiłem ją dalej wypytać.

– Lizzie jest twoją matką, Alice, choć wszyscy życzą jej śmierci. To musi cię martwić... Powiedz mi, nie duś zgryzoty w sobie.

– Nienawidzę jej, o tak. Nie jest moją matką. To morderczyni, oto, czym jest Lizzie. Zabija dzieci, zabiera im kości. Ucieszę się, kiedy zginie.

– Tej nocy, kiedy z nią walczyłem, gdy ciebie zamknęli w klatce, była zdana na moją łaskę. Ale nie potrafiłem jej zabić. Nie tylko dlatego, że nie umiałem się zmusić do zamordowania jej z zimną krwią, ale także dlatego, że to twoja matka. Nie tak powinno być, Alice.

– Posłuchaj, Tom. Posłuchaj bardzo uważnie. Następnym razem, gdy nadarzy się okazja, zabij ją. Nie wahaj się. Gdybyś ją zabił tamtej nocy, oszczędziłbyś wszystkim mnóstwa problemów!

Lecz kiedy tylko Alice wyrzuciła z siebie te słowa, rozplakała się gwałtownie. Objąłem ją, a ona wtuliła mi twarz w ramię. Płakała bardzo długo. Kiedy jednak umilkła, ścisnąłem jej dłoń i poprowadziłem z powrotem do domu.

Gdy wyłoniliśmy się spomiędzy drzew, zobaczyłem Adrianę rzucającą okruszki niewielkiemu stadku ptaków przed drzwiami frontowymi. Na nasz widok klasnęła w dłonie, wtedy zaś ptaki natychmiast wzbiły się w powietrze; większość wylądowała na dachu. Ruszyła ku nam po oszronionej trawie.

Twarz miała poważną: jej matka wciąż cierpiała po spotkaniu z Kościstą Lizzie, nadal nie było też wieści o miejscu pobytu Simona Sulby'ego; zarówno on, jak i kapitan Baines zniknęli bez śladu.

– Jak się dziś miewa twoja matka? – spytałem.

– Wydaje się nieco silniejsza – odparła Adriana. – Zdołałam ją nawet namówić, by rano wypić parę łyków bulionu. Nadal jednak

pozostaje oszołomiona i nie wie nawet, że wróciła do domu. Na szczęście, zapomniała, co spotkało mojego ojca. Wolę nie myśleć o chwili, gdy będę musiała jej to wyjawić... Obawiam się też, że mam złe wieści dla nas wszystkich – dodała, marszcząc brwi. – Ale w sumie tego się spodziewaliśmy od chwili przybycia. Jeden z naszych młynarzy jechał dziś rano do pracy przez pola i zauważył duży oddział gwardzistów. Grupowali się na gościńcu na północny zachód od St. John's. Wyglądali, jakby szykowali się do marszu w tę stronę. Jeśli tak, wkrótce tu dotrą.

## ROZDZIAŁ 21

### GOTOWI DO WALKI

– Musimy się ukryć – oznajmiła Alice. – Albo ruszajmy na południe, w stronę wybrzeża.

– Owszem, musicie się ukryć. Ale ja nie pójdę z wami – odparła Adriana. – Matka jest zbyt słaba, by ją przewieźć. Zostaję tutaj.

– Zobaczmy, co powie pan Gregory – zaproponowałem. Zawróciliśmy do młyna. Nim jednak dotarliśmy na miejsce, Alice zauważyła w oddali jednego z gwardzistów. W tym momencie z domu wyłonił się stracharz i dołączył do nas; pewnie też spostrzegł posłańca. Stanął obok, unosząc kij w pozycji obronnej.

Gwardzista zbliżył się, lecz nie wyglądał na uzbrojonego. Przez chwilę stał z pochyloną głową i rękami na biodrach, głośno chwytając powietrze. Potem sięgnął do kieszeni. Wyciągnął kopertę.

– To do Toma Warda – rzekł.

Wziąłem kopertę i rozdarłem ją, po czym rozłożyłem tkwiący wewnątrz list. Zacząłem czytać.

*Mój drogi mości Wardzie,*

*porzuciłem posadę u wiedźmy. W istocie miałem szczęście, że udało mi się ujść z życiem. Obecnie organizuję oddział, który stawia czoło nowej władczyni twierdzy Greeba.*

*Maszerujemy do Peel. Spotkamy się we młynie. Aby móc pokonać naszego wspólnego wroga, potrzebuję fachowej rady twojej oraz twego mistrza.*

*Z pozdrowieniem*

*Daniel Stanton*

– No chłopcze, nie każ nam czekać – rzucił stracharz. – Przeczytaj na głos.

Zrobiłem, jak kazał. Kiedy skończyłem, mistrz podrapał się po brodzie, patrząc na mnie z namysłem.

– Ufasz temu Danielowi Stantonowi?

Przytaknąłem.

– Jest żołnierzem i zapewne nie prowadził całkiem nieskazitelnego życia, ale to samo można powiedzieć o nas wszystkich. Owszem, ufam mu.

– Doskonale. W takim razie zaczekamy. Przekonamy się, co ma do powiedzenia.

– Ciekawe, skąd wiedział, że mnie tu znajdzie?

– Nietrudno było to odgadnąć, chłopcze – odparł stracharz. – Wie, że uciekliśmy z Adrianą i że dziewczynie musiało bardzo zależeć na spotkaniu z matką.

– Skoro on wie, najpewniej Lizzie także.

– O tak, chłopcze, ona wie to z całą pewnością. Lecz w tej chwili jest pewnie zbyt zaprzęgnięta nowo odkrytą mocą, by zawracać sobie nami głowę. Uważa, że kiedy nadejdzie czas, z łatwością się z nami rozprawi. W tej chwili poświęca całą swą energię przejmowaniu władzy nad wyspą. Ale w końcu zacznie nas szukać, wspomnisz moje słowa.

\*

W godzinę później zjawił się Stanton ze swoimi ludźmi. W sumie przybyło ich najwyżej pięćdziesięciu, lecz uzbrojonych w piki oraz pałki. Wyglądali bardzo groźnie.

Adriana, stracharz, Alice i ja usiedliśmy ze Stantonem przy kuchennym stole, słuchając, jak opisuje sytuację.

– Czarownica ma pod bronią ponad trzystu ludzi, ja dotąd zebrałem zaledwie sześćdziesięciu. Spodziewam się jednak kolejnych – każdy zdatny do walki, wierzcie mi. Dwa dni temu Lizzie poprowadziła wypad przeciw miejscowym gospodarzom, a także posiadaczom ziemskim: zajęła się tymi, którzy odmówili złożenia jej hołdu. Kilka rodzin – mężczyzn, kobiet i dzieci – wymordowano z zimną krwią. Mnie jednak udało się uciec.

Lizzie posłała mnie do St. John's z częścią ludzi, których tu widzicie. Mieliśmy za zadanie zająć okolicę i przygotować posiedzenie Tynwaldu, które odbędzie się za kilka dni. Wiedźma chce rozwiązać parlament, przejmując pełnię władzy. Zamierza osobiście

się tam udać, kiedy ja nad wszystkim zapanuję.

Ja jednak rozmawiałem z częścią chłopaków i kilkoma członkami Tynwaldu. Zdecydowaliśmy, iż spróbujemy stawić jej czoło. Nie będziemy czekać bezczynnie. Nigdy dotąd nikt obcy nami nie rządził i nigdy na to nie pozwolimy. Tu właśnie zaczyna się wasza rola. – Spojrzał na mnie oraz na stracharza. – Bo kiedy znajdowałem się blisko czarownicy, śmiertelnie mnie przerażyła. Zupełnie jakby z ciała uszły wszystkie siły. Zabija ludzi, nawet ich nie dotknąwszy. Jak sobie poradzić z czymś podobnym?

– Sam się zastanawiam – odparł stracharz. – Moc, którą włada – łatwe zabijanie na odległość – wydaje się potężniejsza niż wszystko, z czym dotąd się zetknąłem u samotnej czarownicy. Teraz jednak znamy jej źródło, więc w końcu znajdziemy sposób, by potęgę więdźmy zablokować, nie martw się.

Mistrz sprawiał wrażenie bardziej zdecydowanego niż przez ostatnich kilka dni.

– Jedyne problem w tym, że Lizzie ma popleczników: mnóstwo dobrze uzbrojonych gwardzistów, przekupionych obietnicami złota czy władzy. Niełatwo będzie dopaść ją na osobności – poinformował Stanton.

– Mówił pan, że ledwie uszedł stamtąd z życiem. Co się stało? – spytałem.

– Tej nocy, kiedy więdźma zabiła twojego ojca – skinął głową w stronę Adriany – postanowiłem spróbować ją zabić. Byłem jednak równie bezradny i przerażony, jak reszta zebranych. Krew zamieniła mi się w wodę. A ona coś wyczuła. Zupełnie jakby potrafiła czytać w myślach. Później mnie przesłuchiwała. Chciała wiedzieć, czy jestem lojalny. Oznajmiła, że zaczyna mieć wątpliwości co do mnie, i poleciła wyznać prawdę. Czuję ją wewnątrz swojej głowy, czuję jak napiera, naciska. Zacząłem pocić się, dygotałem. Potrzebowałem całej siły woli, by nie przyznać się, że zamierzałem ją zamordować. Było blisko... Bardzo blisko.

– Cóż, wygląda na to, że wiele zależy od tego, ilu zwolenników uda ci się zebrać – odparł stracharz. – Jeśli zgromadzisz dość ludzi, zdołasz zaatakować podczas posiedzenia Tynwaldu. W zamęcie może uda nam się z nią rozprawić. Jeśli coś odwróci ode mnie uwagę Lizzie, wciąż potrafię się ją skrępować srebrnym łańcuchem.

– Albo przebić jej serce mieczem – dodał Stanton. – Zamierzam wyprawić posłańców do najbliższych miast i wiosek, żeby wezwać wsparcie. Nada się każdy, kto utrzyma w dłoni broń i zechce walczyć o wolność naszej krainy.

\*

Choć wieści dotarły już do okolicznych wiosek, do południa wokół Stantonona zgromadziło się ledwie około tuzina nowych ludzi. Większość stanowili robotnicy rolni,

którzy przynieśli ze sobą głównie pałki – choć trzech szczyliło się pikami, a jeden miał własną włócznię. Ci ostatni służyli kiedyś w gwardii, nie byli już jednak młodzi, a ich broń z czasem pokryła rdza. Lecz Stanton witał każdego ciepło i przyjmował od ochotników przysięgę.

Dopiero kolejny przybysz sprawił, że twarz Adriany rozpromienił uśmiech. Bo oto zjawił się młodzieniec, dzierżący w dłoni solidną laskę. Simon Sulby.

– Doszły cię jakieś wieści o kapitanie Bainesie? – spytał stracharz, gdy chłopak uwolnił się w końcu z objęć Adriany.

– Obawiam się, że aresztowano go w St. John's – odparł Simon. – Zabronili nam opuszczać Douglas, toteż trafił pod strażą na swój statek i tam pozostanie, póki nie rozkażą, by odwiózł uchodźców do Hrabstwa.

\*

Wczesny wieczór przywiódł ze sobą kolejną grupkę dwudziestu zbrojnych gwardzistów, dzięki którym nasze szeregi wzrosły do ponad osiemdziesięciu ludzi. Wraz z nimi do młyna ściągnęło także kilkanaście kobiet podążających za swoimi mężami. Te z kolei przywiodły liczną gromadkę dzieci, w tym co najmniej troje niemowląt.

Słońce zachodziło szybko, jakby czas płynął coraz prędzej i prędzej. Wkrótce obok młyna zapłonęło kilkanaście ognisk, które jaśniały coraz bardziej, w miarę jak zmierzch przeradzał się w noc. Jeden z gwardzistów wywiesił z dachu młyna flagę z emblematem trzech nóg. Falowała w powiewach lekkiego wiatru, a w zaimprovizowanym obozie dźwięczały śmiechy i toczyły się głośne rozmowy. Ktoś wyciągnął skrzypki, kobiety rzuciły buty, na trawie zaroilo się od tancerzy. Simon z Adrianą ochoczo dołączyli do reszty. Część miejscowych przyglądała się nam z daleka. Wyraźnie bali się zbliżyć.

Pod osłoną ciemności Stanton szykował swoich ludzi do marszu na wschód, w stronę St. John's. Zaplanował ukryć ich w lesie, u stóp Slieau Whallian. Zaatakują w południe, kiedy zbierze się parlament. Zwiadowcy donieśli już, że szlak jest czysty, zamierzaliśmy zatem większość trasy pokonać głównym gościńcem.

Stracharz, Alice, Stanton i ja podążaliśmy za zbrojnymi, lecz kobiety z dziećmi pozostały we młynie. Adriana, choć niechętnie, także została, żeby zająć się matką. Po tym, jak przygotowane przez medyka leki nie poprawiły stanu zdrowia wdowy po młynarzu, Alice zastosowała zioła oraz rozmaite mikstury, niewiele to jednak dało.

Stracharz wręczył mi swoją torbę.

– Cóż, szanse mamy niewielkie – rzekł do Stanton, kręcąc głową. – Czarownica taka jak Lizzie potrafi wywęszyć zbliżające się niebezpieczeństwo. Najpewniej pozna, że się



zblizamy i uzyje grozy – zaklęcia przerażającego wrogów. Jeśli to uczyni, twoi ludzie mimo swej odwagi rozbiegną się na wszystkie strony.

Lecz Stanton nie dał się zrazić słowami stracharza.

– Widziałem, do czego jest zdolna, ale musimy spróbować. Jeśli nie podejmiemy walki, ona zwycięży – odparł.

\*

Parę godzin przed świtem ukryliśmy się głęboko w lesie niedaleko St. John's. Stanton rozstawił strażę, reszta z nas skorzystała z okazji, by się przespać.

Świt przyniósł ze sobą mżawkę i szare niebo, nie mogliśmy jednak ryzykować rozpalenia ognisk, toteż musieliśmy się zadowolić zimnym śniadaniem. Dla stracharza i dla mnie oznaczało to ser. Mistrz marudził, zając skromną porcję. Lubił pościć przed walką z mrokiem, lecz zawsze podtrzymywał swe siły odrobiną sera.

– Tutejszy ser nie dorównuje naszemu z Hrabstwa, chłopcze – zauważył. – Wolę, kiedy jest żółty i bardzo kruchy.

Ja sam nie miałem apetytu, zjadłem niewiele. Denerwowałem się, żołądek ścisnął mi się boleśnie. Miałem bardzo złe przeczucia co do rozwoju wydarzeń. Lizzie dysponowała nowo odkrytymi, potężnymi mocami, miała też zbyt wielu ludzi. Nie mogliśmy liczyć, że się do niej zbliżymy. Jeśli nie zginiemy w ataku, znów nas uwięzi. A gdyby do tego doszło, wolałem nie myśleć, jaki los zgotuje nam Lizzie – zwłaszcza stracharzowi.

## **ROZDZIAŁ 22**

### **BITWA O WZGÓRZE TYNWALDU**

Daniel Stanton okazał się zdolnym dowódcą. Ludzie mu ufali. Pierwszy etap ataku poszedł gładko. Podeszliśmy wśród drzew wąskim łukiem w stronę St. John's. Tam gwardziści rozproszyli się, by móc zwalczać rozmaite patrole nieprzyjaciela. Zetknęli się z trzema oddziałami: dwa poddały się bez walki, trzeci stawiał jedynie symboliczny opór. Gdyby chodziło o zwykłe starcie zbrojne, mielibyśmy po swej stronie element zaskoczenia. Ale Lizzie to inna sprawa.

Na początku mego terminu u stracharza Lizzie przeniosła się w

okolice Chipenden i zamieszkała w domku, zaledwie parę mil od wioski. Porwała dziecko, żeby zabrać mu kości. Zdołałem je uwolnić, a wtedy rozwścieczeni miejscowi, uzbrojeni w pałki oraz kije, ruszyli, by ją dopaść. Dzięki zdolności wyławiania węchem zagrożeń na znaczny dystans wyczuła niebezpieczeństwo. Umknęła. Wówczas tłum spalił jej dom do gołej ziemi.

Lecz tym razem Lizzie była silniejsza. Gdy wyczuje zagrożenie, rozprawi się z nami równie łatwo, jak z natrętną muchą.

Aby temu zapobiec, zaplanowaliśmy błyskawiczny wypad, atak na samą czarownicę, który być może zdołają zaskoczyć.

Posłuszni rozkazom Stanton, gwardziści zmienili szyk, formując wąski półksiężyc, który znów zmienił się w ciasny klin, zdolny przełamać każdy opór i dotrzeć wprost do wiedźmy. Kiedy wraz ze stracharzem, Alice oraz Stantonem zbliżyliśmy się do St. John's, maszerowaliśmy na tyłach.

Mój mistrz odwrócił się do mnie i Alice.

– Użyjcie tych młodzieńców jako osłony, póki tylko zdołacie, a potem atakujcie bez wahania! Przytaknąłem. Obaj wypuściliśmy z kijów ostrza. Alice zazwyczaj nie nosiła broni, lecz Simon dał jej nóż. Zatknęła go za pas. Zastanawiałem się, czy zdoła go użyć przeciw własnej matce. Mimo jej ostrzych słów na temat Lizzie jakoś w to wątpiłem.

– Trzymaj się blisko mnie! – poleciłem w obawie, że w bitwie moglibyśmy się rozdzielić, a wówczas znalazłaby się poza ochroną słoja krwi.

W ustach zaschło mi ze strachu i podniecenia. Dotarliśmy już niemal do granicy drzew: widziałem budynki, a także rozległe błonia naprzeciwko nas. Stał tam tłum ludzi; część trzymała w dłoniach włócznie lub piki. Nasi gwardziści unieśli broń.

– Teraz! – zawołał Stanton. On sam poprowadził atak.

Puściliśmy się biegiem, wciąż zachowując formację klina. Niewiele widziałem w tłoku, lecz w dali dostrzegłem czteropoziomowe wzniesienie, porośnięte zieloną trawą, zwane Wzgórzem Tynwaldu, na którym zebrał się już parlament.

Możliwe, że Lizzie właśnie do nich przemawiała; musiała przebywać gdzieś w pobliżu.

Nagle usłyszałem wrzaski i jęki; nasi gwardziści starli się z wrogiem. W miarę, jak narastał opór, musieliśmy zwolnić kroku.

Nigdy się nie dowiem, czy dotarlibyśmy na środek błonia, bo w tym momencie, tak jak oczekiwaliśmy, Lizzie posłużyła się zaklęciem grozy. Poczułem nagły, obezwładniający strach, przemożne pragnienie, by zawrócić i uciec przed straszliwym, niewidocznym zagrożeniem. Oparłem mu się, widząc, że Alice oraz mój mistrz robią to samo. Lecz nasi gwardziści w obliczu podobnego zaklęcia okazali się bezradni. Natychmiast złamali szyk, rozbiegając się na wszystkie strony świata – podobnie jak Simon Sulby. Czy mógł zresztą postąpić inaczej? Nigdy dotąd nie zetknął się z tak przejmującym działaniem grozy.

Ale mimo wszystko nie było jeszcze całkiem źle: podobne zaklęcie działa bowiem bez wybierania ofiary, więc zadziało tylko na nas, co na ludzi z oddziału Lizzie. Czy nie zdawała sobie sprawy, że tak się stanie? Zaklęcie nie pozwoliło jej uzyskać żadnej przewagi, pomyślałem, Może władza uderzyła wiedźmie do głowy?

Zbrojni gnali na oślepi, ciskali się na wszystkie strony, podobnie jak członkowie parlamentu i inni dygnitarze, biegający w łopoczących wokół kostek szatach. Lecz gdzie się podziewała Lizzie?

– Tam jest! – zawołał stracharz, wskazując laską. Stała koło wzgórza, patrząc na nas wrogo. Przez moment zerknęła mi prosto w oczy, a wtedy moim ciałem wstrząsnął znowu dreszcz strachu. Teraz miałem jednak do czynienia z czymś znacznie niebezpieczniejszym niż groza, z której efektów już się otrząsałem. Lizzie dysponowała mocą pozwalającą zabijać z daleka, a ja stanowiłem najbardziej prawdopodobny cel. Nie zabije na miejscu stracharza: zaplanowała dla niego długą, bolesną, pełną cierpienia śmierć. Alice była jej córką, zresztą nie miałem pojęcia, co dla niej planuje. Aleja stanowiłem jedynie zadrę w jej boku, w dodatku odpowiadałem za śmierć Mateczki Malkin, czyli babki

Lizzie.

Wciąż biegliśmy ku niej, przedzierając się pośród rzędnych szeregów gwardzistów, gdy nagle niebo pociemniało. W mgnieniu oka słońce zniknęło, a czarne chmury napłynęły falą z zachodu. Drzewa zaczęły dygotać i jęczeć. W twarze lunął nam deszcz, przesłaniając widoczność. Oto owoce kolejnych mrocznych zaklęć Lizzie.

Pochyliłem głowę, otarłem wodę z oczu, w lewej dłoni ściskając laskę. Byłem już blisko i gdy uniosłem głowę, zobaczyłem, jak twarz czarownicy wykrzywia się w przebiegłym uśmiechu, który wkrótce rozszerzył się, przechodząc w triumfalny grymas. Nagle pojąłem, że od początku tego właśnie pragnęła. Nie obchodziło jej, iż jej własne siły rozbiegły się pod wpływem zaklęcia. Chciała jedynie stanąć do walki ze stracharzem, Alice, no i ze mną. Na nas pragnęła się zemścić. Naprawdę wierzyła, że potrafi dorównać całej naszej trójce.

Biegłem przed stracharzem i Alice; kolejny tuzin kroków miał doprowadzić mnie na odległość ciosu. Uniosłem laskę, dzierżąc ją niczym włócznię. Lizzie ściskała w dłoniach dwie długie klingi, gotując się, by zaatakować pierwszego, kto znajdzie się w ich zasięgu.

Prawie już ją dopadłem, gdy ktoś przemknął obok, unosząc miecz.

– Jest moja! – wykrzyknął Daniel Stanton.

W jakiś sposób jego odwaga przełamała zaklęcie czarownicy. Kiedy jednak do niej dotarł, wymierzając cios prosto w serce, wiedźma odbiła miecz klingą z lewej ręki, rękojeścią zaś drugiej wymierzyła mu potężne uderzenie w tył głowy. Stanton zachwiał się, następnie runął na ziemię, turlając się po zboczu; miecz wyleciał mu z ręki.

Zastanawiałem się, dlaczego Lizzie nie użyła ostrza. Od razu jednak uzyskałem odpowiedź, bo przemówiła wewnątrz mojej głowy:

– Czeka go długa, bolesna śmierć – tak samo jak ciebie i

twojego mistrza!

W mgnieniu oka dopadłem Lizzie. Dźgnąłem w dół laską, lecz w decydującej chwili pośliznąłem się na mokrej trawie, a ona wymierzyła mi potężny cios ręką sztyletu. W głowie rozbłysło mi światło, nie pamiętam, jak upadałem na ziemię. Musiałem na chwilę stracić przytomność, bo następnym, co zobaczyłem, był zbliżający się powoli stracharz. Przed sobą unosił kij w pozycji obronnej. Alice stała z boku; z zaleknioną twarzą obserwowała pojedynek czarownicy z moim mistrzem. Lizzie znów się uśmiechała, niemal ociekała samozadowoleniem. Spojrzałem na stracharza, dostrzegłem jego lęk. Nie, coś więcej. Jego twarzą wstrząsały tiki, oczy mówiły mi, że już został pokonany. Bez wątpienia Lizzie gadała mu w głowie, wmawiając, że nie ma szans w starciu i powtarzając, co mu uczyni, kiedy weźmie już stracharza w niewolę.

Widok mojego mistrza w tak wielkich opałach przeraził mnie, wstrząsając całym moim jestestwem. Stracharz zawsze stanowił opokę siły. Nawet chwilowo pokonany przez mrok, nigdy nie tracił odwagi oraz optymizmu. Teraz wszystko zniknęło. Odwróciłem się, niezdolny znieść widoku takiego upokorzenia.

Nagle mój mistrz opuścił kij. Padł na kolana u stóp Lizzie. Czarownica uśmiechnęła się. Wzniosła wysoko sztylet; zamierzała uderzyć ręką i ogłuszyć pokonanego. Usiadłem, potem dźwignąłem się na nogi, lecz natychmiast załała mnie fala mdłości, a świat przed oczami zawirował. Chciałem się wtrącić, choć wiedziałem, że nie zdążę na czas.

Lecz ktoś inny zdążył. Alice nagle wykrzyknęła coś głośno – słowo w Dawnej Mowie. Nie wiedziałem, co znaczy, ale domyśliłem się, że wypowiada jakieś zaklęcie. Coś przemknęło pomiędzy Alice i Lizzie; coś małego, ciemnego. Alice tego nie rzuciła – cokolwiek to było, wyskoczyło wprost z jej otwartych ust.

Natychmiast ujrzałem skutek, jaki owo coś wywarło na kościanej czarownicy. Lizzie zachwiała się, poleciała do tyłu, sztylet wypadł jej z garści. Wtedy Alice zaatakowała, unosząc

wysoko nóż – choć nie dźgnęła Lizzie. Drugą ręką rozorała paznokciami twarz przeciwniczki. Lizzie krzyknęła. Runęła na ziemię.

Teraz otrzymałem swoją szansę. Wystąpiłem naprzód, unosząc laskę, by wbić klingę prosto w jej serce. Choć jednak starałem się ze wszystkich sił, nie potrafiłem zranić wiedźmy, tak jak uczyniła to Alice. Nie dorównywałem Lizzie mocą. Kij zastygł mi w rękach.

– Szybko, Tom! – zawołała Alice, podnosząc stracharza z ziemi.

Zabrałem jego laskę, chwyciłem go za drugą rękę. Gdy odciągnęliśmy mistrza na bok, obejrzałem się przez ramię. Zauważyłem, że Lizzie wciąż przyciska ręce do twarzy. Cokolwiek jednak sprawiła Alice, wiedziałem, że skutki tego nie potrwają długo.

W jakiś sposób zdołaliśmy uciec pod osłoną przerażonych ludzi. Maszerując między drzewami, widzieliśmy miejscowych, wciąż kręcących się bez celu, zarówno gwardzistów, jak i członków Tynwaldu. Ich twarze wyrażały oszołomienie lub wręcz grozę. Nie dostrzegliśmy ani śladu Simona Sulby'ego.

Kiedy dotarliśmy do lasu, stracharz niemal z gniewem odtrącił nas oboje.

– Sam umiem chodzić! Nie potrzebuję pomocy! – warknął, natychmiast przyspieszając kroku. Maszerował przed nami. Z początku zdawało mi się, że chwieje się lekko, potem jednak zdwoił tempo. Wraz z Alice zostaliśmy nieco z tyłu., by móc porozmawiać.

– Nie jest zły na nas, tylko na samego siebie – mruknąłem.

– Duma starego Gregory'ego ucierpiała – rzekła Alice. – Lizzie znów dała mu radę, bez dwóch zdań.

– Ale ty pokonałaś Lizzie. Jak ci się udało, skoro jest taka silna?

– Posłużyłam się czymś, czego nauczyła mnie kiedyś moja ciotka, Agnes. Użyłam zaklęcia, które czasem nazywają szpon. Odrywasz mały kawałek paznokcia palca wskazującego i wypluwasz w stronę przeciwniczki. Potem drapiesz ją po twarzy, następnie ogłuszasz. Wzięłam Lizzie z zaskoczenia, o tak. Nie wiedziała, że to potrafię. Ale zaklęcie szpon dało nam tylko parę

chwil. Już nigdy zresztą nie zdołam powtórzyć efektu. Następnym razem będzie przygotowana.

Ciotką, o której wspomniała Alice, była Agnes Sowerbutts, z którą Alice mieszkała kiedyś krótko w Pendle.

– Zdawało mi się jednak, że mówiłaś, iż Agnes to zacna czarownica i uzdrowicielka? – zdziwiłem się.

– Bo tak jest, Tom, przecież bym cię nie okłamała. Lecz każda wiedźma mieszkająca w Pendle musi znać zaklęcia służące do obrony. Nigdy nie wiadomo, czego może spróbować inna czarownica. Agnes użyłaby podobnej sztuki jedynie w samoobronie. To samo dotyczy i mnie.

\*

Wkrótce opuściliśmy okolice St. John's. Słońce znów zaświeciło na niebie. Kiedy późnym popołudniem dotarliśmy do młyna, Adriana przeraziła się na wieść o zaginięciu Simona. Lękała się najgorszego.

Jednak, ku jej uldze, Simon zjawił się przed południem następnego dnia – choć przyniósł złe wieści. W ciągu godziny Tynwald zebrał się ponownie i namaścił Lizzie na władczynię wyspy. Następnie został rozwiązany, oddając jej pełnię władzy.

– To się stało tak szybko – dodał Simon. – Wszyscy się jej bali. Zrobili, co kazała, zaraz potem wrócili do domów. Kto ich może winić?

Stracharz przytaknął.

– A co nastąpiło później? Czy Lizzie została w St. John's?

– Nie, ruszyła natychmiast do twierdzy Greeba.

– A oddział Daniela Stantona? Zabrała ze sobą więźniów?

– Tylko jednego: samego Stantona. Bardzo jej się spieszyło z powrotem – sprawiała wrażenie czymś podnieconej. Lecz nie sądzę, by czarownicy chodziło jedynie o władzę nad Moną. Nie zabrała innych jeńców. To jedyna jasna strona tego wszystkiego: wszyscy gwardziści byli kiedyś towarzyszami broni i wcale nie chcieli ze sobą walczyć, toteż nie odnotowaliśmy żadnych poważnych ofiar. Zaledwie pół tuzina odniosło rany, ale lekkie. Ci, którzy nie

pomaszerowali do Greeby z Lizzie, po prostu wrócili do domów.

– Zastanawiam się, czemu tak bardzo jej się spieszyło? – wymamrotał z namysłem stracharz.

– Myśli pan, że dowiedziała się o pieczarze oraz o jej zawartości? – spytałem.

– Prawdopodobna hipoteza, chłopcze. Jeśli tak, niełatwo zdołamy ją powstrzymać, to pewne. – Spojrzał ponad stołem na Simona i Adrianę. – Sądzę, że wy dwoje będziecie tu bezpieczni – dodał. – Lecz gdy tylko Koścista Lizzie dostanie w swe łapska skarbiec mocy, zaczniesz szukać naszej trójki. Zabierzemy psy i wyniesiemy się stąd.

– Na południe stąd, w Glenmaye, jest opuszczony domek – powiedziała Adriana. – Od lat nikt w nim nie mieszkał, ale przynajmniej będziecie mieli jakiś dach nad głową. – Nagle zarumieniła się. – To właśnie tam spotykałam się z Simonem. Ojciec nie miał pojęcia o istnieniu tej kryjówki. Simon skradał się zawsze pierwszy i czekał na mnie, a ja dołączałam do niego, gdy tylko zdołałam wyrwać się z młyna. Wiercie mi, będziecie tam bezpieczni.

## **ROZDZIAŁ 23**

### **KOSZMARY**

Adriana wręczyła nam worek zapasów: szynkę, ziemniaki, marchew oraz ser. W sumie ciężki bagaż. Moją torbę oddałem więc Alice, wór zaś zarzuciłem sobie na ramię. Adriana posłała z nami jednego z pomocników młynarza, młodego chłopaka, by wskazał drogę.

Domek stał na skraju polany, w lesie; choć drzewa straciły liście, był dobrze ukryty. Prowadziła doń jedynie wąska, kręta ścieżka wśród wzgórz. Znaleźliśmy się na miejscu tuż po zmroku i spędziliśmy niewygodną noc na wilgotnej, kamiennej posadzce



kuchni. Następnego ranka zaczęliśmy urządzać się wygodniej. Domek nie miał żadnych luksusów – dwie izby na górze, dwie na dole. A każde pomieszczenie wypełniały śmieci – połamane meble, zapleśniałe koce, sterty liści wdmuchniętych powiewami wiatru przez otwarte drzwi. Frontowe drzwi odpadły z zawiasów.

Alice sporządziła miotłę z gałązek, zamiotła wszystko do czysta. Ja rozpałem ogień w czterech paleniskach, tak że wkrótce ogrzaliśmy się, a sam domek zaczął wysychać. Nie miałem narzędzi, by z powrotem zamontować drzwi, lecz oparłem je o framugę i podsypałem ciężkimi kamieniami. Wciąż przez nie wiało, ale chroniły przed chłodem.

Jednak najlepiej poczuliśmy się w kuchni. Tej nocy, spożywszy posiłek złożony z gotowanej szynki i ziemniaków, usiedliśmy ze skrzyżowanymi nogami na posadzce obok paleniska. Wszystkich nas dopadło zmęczenie, głowa stracharza co chwilę opadała na pierś. Wkrótce zasnął smacznie. Po jakimś czasie zaczął jęczeć, mamrotał pod nosem. Sprawiał wrażenie przerażonego. W końcu otworzył szeroko oczy. Ocknął się z jękiem grozy.

– Co się panu przyśniło? Kolejny koszmar? – spytałem.

– Więcej niż koszmar, chłopcze. Lizzie przemawiała mi w głowie, szydziła, rzucała groźby. Zapowiadała, co mi zrobi, kiedy znów wpadnę w jej szpony.

Widok mojego mistrza w tym stanie – i własna bezsilność – wielce mnie zasmuciły.

– Nie ma się czym przejmować – rzekłem, próbując zachować optymizm. – Może i umie nękać pana umysł, ale przebywa daleko stąd. Tymczasem jesteście tu bezpieczni.

Stracharz popatrzył na mnie gniewnie.

– Nie ma się czym przejmować? – powtórzył. – Mam wszelkie prawo się martwić. Przez całe stracharskie życie nie czułem się tak bezradny, tak bliski klęski. Mój dom i biblioteka stracone, a ja przebywam na wygnaniu na wyspie, którą rządzi czarownica, z każdym upływającym dniem coraz potężniejsza. Nigdy wcześniej nie chybiłem, próbując skrepować wiedźmę. Nigdy nie chybiałem,

rzucając łańcuchem. A teraz zawiodłem, w dodatku nie raz, lecz dwukrotnie. Lizzie okazała się dla mnie zbyt silna. Wszystko, o co walczyłem przez długie lata, zostało zniweczone. Nigdy nie sądziłem, że dojdzie do czegoś takiego.

– Wymyślimy sposób, żeby rozprawić się z Lizzie – wtrąciła Alice. – Może w notatniku szamana znajdzie się coś, co mogłoby pomóc. Ostatecznie szaman współpracował z buganem, wzbogacając magiczny skarbiec.

– Znów mamy użyć mroku do walki z mrokiem? – Mój mistrz ze smutkiem pokręcił głową.

– Nie – nie zgodziła się Alice. – Zupełnie nie o to chodzi. Kiedyś kazał mi pan wyjawić Tomowi wszystko, czego nauczyłam się od Lizzie, by mógł to zapisać. Pamięta pan, co wtedy z pańskich ust usłyszałam, prawda?

Stracharz przytaknął.

– Teraz jest tak samo. Próbuję tylko zdobyć informacje. Zacznę czytać o brzasku.

– Bylebyś ograniczyła się wyłącznie do czytania, dziewczyno – ostrzegł. – Pamiętaj, żadnych zaklęć, inaczej odpowiesz przede mną!

Następnego ranka po śniadaniu Alice zasiadła do lektury notatnika szamana. Lecz tekst okazał się ciężkim orzechem do zgryzienia. Część zapisano szyfrem, którego nie zdołała złamać. Nawet pozostałe fragmenty zanotowane zostały przy użyciu terminów, o których w życiu nie słyszała. Wyglądało, że animizm to zupełnie inna odmiana czarnoksięstwa niż magia, jakiej nauczała Koścista Lizzie. Jednakże Alice nie poddawała się łatwo, raz po raz wracała do lektury notatnika. Czasami sprawiała wrażenie podekscytowanej, jakby poczyniła postępy, kiedy jednak pytałem, jak jej idzie, kręciła tylko głową, odmawiając wszelkiej dyskusji.

\*

Trzy dni po koszmarze stracharza mnie także nawiedził majak. Znajdowałem się w ciemnym lesie, samotny, bezbronny. Mój kij

leżał gdzieś w pobliżu, lecz nie mogłem go znaleźć. Czułem rozpacz, bo wiedziałem, że za parę minut o północy coś po mnie przyjdzie – coś straszliwego.

Potem, gdy się ocknąłem, nie mogłem sobie przypomnieć, o czym śniłem – ze snami czasami tak bywa – ale wiedziałem, że śniłem wizje przesłane przez czarownicę, łaknącą zemsty za to, co jej zrobiłem.

W moim śnie, gdzieś w dali, odezwał się dzwon kościelny. Zamarłem przerażony, lecz po dwunastym uderzeniu zacząłem biec ku dźwiękowi. Gałęzie smagały mi twarz, a ja pędziłem desperacko przez las. Coś mnie ścigało, ale nie kroki słyszałem, lecz uderzenia skrzydeł.

Obejrzałem się przez ramię. Odkryłem, że prześladowuje mnie wielka czarna wrona. Widok ptaszyska przepełnił mnie grozą, ale wiedziałem, że jeśli tylko dotrę do kościoła, uzyskam bezpieczny azyl. Nie rozumiałem dlaczego – kościoły zazwyczaj nie stanowią schronienia przed mrokiem. Stracharze wraz z uczniami polegają na narzędziach swego fachu oraz na zgromadzonej wiedzy. Ale wewnątrz mojego koszmaru wiedziałem, że muszę dotrzeć do kościoła, inaczej zginę.

Nagle potknąłem się o korzeń. Runąłem na ziemię. Zdyszany, dźwignąłem się na kolana. Spojrzałem na wronę, która wylądowała na gałęzi. Powietrze przede mną zamigotało, mrugnąłem gwałtownie, by pozbyć się omamów. Kiedy odzyskałem zdolność widzenia, przede mną stała postać w długiej czarnej sukni. Od szyi w dół była kobietą, miała jednak wielką wronią głowę.

Na moich oczach głowa wrony zaczęła się zmieniać. Dziób zmałał, oczy przybrały ludzki kształt. Znałem tę twarz. Należała do czarownicy, która od dawna już nie żyła.

Budząc się ze snu, zapewne krzyknąłem. Stracharz wciąż spał, lecz kiedy usiadłem rozdygotany, Alice objęła mnie ramieniem.

– Wszystko w porządku, Tom? – wyszeptała.

Skinąłem głową

– To tylko koszmar, nic więcej.

– Opowiesz mi o nim?

Zwięźle zrelacjonowałem Alice, co mi się śniło.

– Myślę, że ta wrona to Morrigan, mroczna bogini, czczona przez celtyckie czarownice. Bez wątpienia przynosi wspomnienie z czasów, kiedy z Billem Arkwrightem walczyliśmy z celtycką wiedźmą, która przybyła do Hrabstwa. Wezwała Morrigan, a ta zaatakowała mnie pod postacią wrony, ja jednak zdołałem ją odpędzić. Wówczas czarownica ostrzegła, żebym nigdy nie odwiedzał Irlandii. Mówiła, że Morrigan jest tam znacznie potężniejsza, więc niewątpliwie zechce się na mnie zemścić.

– No cóż, zyskaliśmy właśnie wyjaśnienie twego koszmarne go snu, Tom. Nie martw się, nie znajdujemy się w Irlandii. Kiedy rozprawimy się z Lizzie, wrócimy do Hrabstwa.

Wiedziałem, że Alice próbuje mnie tylko pocieszyć, ale myśli o przyszłości nie niosły ze sobą otuchy.

– Póki Hrabstwo pozostaje w rękach wroga, niewielkie mamy szanse na powrót – zauważyłem.

– Jak stwierdził kiedyś stary Gregory, wojny nie trwają wiecznie – odparła pogodnie Alice. – A tak w ogóle, to co się stało z celtycką czarownicą?

– Bill Arkwright zabił ją własnym nożem. Pod koniec mojego koszmaru wrona przybrała jej martwą twarz. To było najstraszniejsze.

\*

Stracharz stał się milczący, zamknięty w sobie. Zaledwie godzinę dziennie poświęcał lekcjom, nauce Dawnej Mowy. Resztę czasu spędzał, pisząc w wielkim notatniku, który zawsze nosił w torbie. Zauważyłem także, że coś rysuje.

– Co pan robi? – spytałem, gdy ciekawość przewyciężyła dobre wychowanie.

– Muszę od czegoś zacząć, chłopcze – odparł w rzadkiej chwili gadatliwości. – Z całej mojej biblioteki pozostał jedynie bestiariusz, zamierzam zatem spróbować odtworzyć choć część utraconych książek. Muszę to zrobić, nim wszystko zapomnę. Zaczynam od

„Historii Mroku”. Nauki, jakich udziela nam historia, są bardzo ważne: chronią nas przed powtarzaniem błędów.

Osobiście uważałem, że powinienem wykorzystać ten czas, by obmyślić jakiś sposób, dzięki któremu pokonamy Lizzie. Niemal każdego dnia rozmawialiśmy o tym, lecz stracharz pogrążał się w zamyśleniu. Bardzo rzadko się odzywał. Owszem, należy odtworzyć książki, lecz miałem wrażenie, iż mistrz unika najważniejszego problemu: czarownicy, z każdą chwilą zyskującej coraz większą moc.

\*

Dokładnie siedem dni po naszym przybyciu w domku pojawił się gość. Alice otworzyła kuchenne drzwi, by wyrzucić resztki jedzenia. Wtedy natychmiast do pomieszczenia wleciał ptak – szary gołąb. Lecz zamiast trzepotać się w panice, wylądował na stole.

– Ptak wlatujący do domu przynosi pecha! – rzuciła Alice. – To znaczy, że wkrótce ktoś umrze.

– Cóż, dziewczyno, nie zawsze masz rację. Poza tym myślę, że skrzydlaty zwiastun przyniósł nam raczej wiadomość. – Stracharz wskazał kawałek papieru przywiązany do nóżki gołębia.

Wyciągnął rękę, ptak wskoczył mu na dłoń. Mistrz ostrożnie przytrzymał go w palcach i uniósł ku mnie.

– Odwiąż przesyłkę, chłopcze. Postaraj się zrobić to jak najdelikatniej...

Uczyniłem, jak kazał. Kawałek papieru przywiązano tak, by nie odpadł, lecz wystarczyło lekkie pociągnięcie za koniec sznurka, by papierowa kulka wpadła mi do dłoni. Podczas gdy stracharz karmił ptaka skórkami od chleba oraz poił wodą, ja rozwinąłem niewielką karteczkę. Wyglądziłem papier ułożony na stole. Litery okazały się bardzo małe, niewyraźne.

– Od Adriany – oznajmiłem. – Informuje, że możemy bezpiecznie wrócić. Ale ma też złe wieści.

– Odczytaj głośno, chłopcze. Zrobiłem zatem, jak kazał mistrz.

*Drogi panie Gregory, Tomie i Alice,*

*Wkrótce po waszym odejściu gwardia przeszukała okolicę, ja jednak pozostałam w ukryciu nieopodal domu, a oni mnie nie znaleźli.*

*Czarownica nadal przebywa w twierdzy Greeba: słyszę dziwne historie o tym, co się tam wyprawia, i mam wam wiele do opowiedzenia, proszę zatem, wracacie natychmiast.*

*Mam też złe wieści: Pięć dni temu moja matka umarła. A zatem wiedźma zabita mi oboje rodziców. Jestem jej coś winna i zamierzam w pełni jej zapłacić.*

*Z wyrazami szacunku*

*Adriana*

– Biedna dziewczyna – mruknął stracharz. – No cóż, wracajmy do młyna. Sprawdzimy, co to za wieści. Obawiam się najgorszego.

Nim minęła godzina, ruszyliśmy z powrotem do Peel.

## **ROZDZIAŁ 24**

### **STRASZNE RZECZY**

Zdążyliśmy akurat na wieczerzę. Adriana wcześniej odesłała do domu kucharkę, sama więc przygotowała gulasz z jagnięciny. Simon pomagał przy stole. Poczęstowali nas najsmaczniejszą potrawą, jaką jadłem od tygodni. Adriana każdemu wręczyła dodatkowo duży kubek miodu, przepysznego trunku, którego słodycz łagodziły korzenne przyprawy.

Gdy stracharz składał kondolencje z powodu śmierci matki, Adriana rozplakała się gorzko.

– No cóż – rzekł mój mistrz, sącząc miód z kubka. – Staralem się zachować cierpliwość, ale nie mogę czekać dłużej. Co to za dziwne opowieści dochodzą z twierdzy Greeba, o których wspomniałaś w liście?

– W okolicznych lasach widywano straszliwe rzeczy – najróżniejsze potwory, demony...

– Bugan potrafi przybierać wiele różnych kształtów – przerwał jej stracharz.

– Te stwory pojawiały się poza terytorium bugana – odparła

Adriana – znacznie dalej na północ. Znikały też owce i bydło. Na miejscu pozostawały tylko drobne odłamki kości.

Stracharz szarpnął palcami brodę.

– A świadkowie? Czy można im zaufać?

Adriana wzruszyła ramionami.

– Niektórym bardziej niż innym. Ale wśród wielu znalazł się również pewien leśnik. Jest to, co prawda, ponury prostak, lecz nie daje się ponieść wyobraźni. Widział osobliwe tańczące światła: naliczył siedem. Kiedy się zbliżyły, uciekł. Czyżby te same, które widzieliśmy w pieczarze?

– Dobrze zrobił, że uciekł – rzekł stracharz. – Duchy kręgu czarownic w parę minut wyssałyby z niego siły życiowe. To bardzo złe wieści. Sygnalizują bowiem, że mieszkańcy mroku, odwiedzający skarbiec anim, potrafią teraz, posługując się jego mocą, zapuszczać się znacznie dalej. Zagrożają całej wyspie, możliwe, iż nawet ziemiom poza Moną.

– Czy da się coś zrobić? – spytała Adriana.

– Owszem, zabicie bugana mogłoby ich powstrzymać. Skarbiec przyciąga ich tylko wtedy, kiedy stale rośnie. Bez aktywnego bugana podobna moc wkrótce zaczyna słabnąć. Co jeszcze? – dopytywał się stracharz. – Czy zdobyłaś jakieś wieści o kościanej czarownicy?

– Zabrała swój oddział gwardzistów z powrotem do Greeby, ale potem, po paru dniach, zapłaciła im i odprawiła większość, zatrzymując ledwie pięćdziesięciu.

– Lizzie popełniła tu wielki błąd – zauważył stracharz. – Pod rządami rady ci ludzie mieli stałą pracę. Teraz są bardzo niezadowoleni i mogą stworzyć armię, która stanie przeciw niej.

– To nie błąd – Alice pokręciła głową. – Znam Lizzie lepiej niż ktokolwiek, więc powiem, że oto właśnie usłyszałam najgorszą nowinę ze wszystkich dotąd. Ma mnóstwo pieniędzy, a nawet jeśli opróżniła skrzynie, w razie potrzeby mogłaby podnieść podatki. To znaczy, że jej nie zależy, prawda? Nie potrzebuje pomocników. Oto jawny dowód jej potęgi.

Stracharz nie odpowiedział, lecz jego twarz zdradzała, że słowa Alice nim wstrząsnęły.

– Znaczna część strażników zdezerterowała, przerażona sprawkami dziejącymi się w twierdzy – podjęła Adriana. – Dobiegały ich głosy, mimo że w pobliżu nie spotykali nikogo, słyszeli jakieś kroki, które podążały za nimi trop w trop oraz przystawały, kiedy oni się zatrzymywali. W pobliżu pojawiały się niezwykle cienie, widoczne jedynie kątem oka. Żadne miejsce w twierdzy nie było od nich wolne. Po zmroku robiło się gorzej, lecz słyszeli i widywali te zjawiska także za dnia. Wyczuwali przejmująco zimne miejsca...

Wiedziałem, że otrzymujemy wyjątkowo zły znak. Stracharz i ja, jako siódmi synowie siódmych synów, czujemy osobliwy ziąb, gdy w pobliżu czai się coś z mroku; inni ludzie zazwyczaj niczego nie dostrzegają. Jeśli tamci wyczuwali zimno, musiało chodzić o bardzo potężną mroczną magię.

– Do tej pory przy wieźmie ostał się najwyżej tuzin ludzi – tych, którzy bardziej boją się odejść niż zostać – kontynuowała Adriana. – Zagroziła im: oświadczyła, że kto jeszcze odejdzie bez jej zgody, umrze we śnie. I faktycznie, dwóch znaleziono martwych... Co zatem zrobimy? – zapytała. – Trzeba powstrzymać Lizzie.

– Wysilałem umysł, próbując wymyślić jakiś plan – oznajmił stracharz. – Mniej liczna straż oznacza, że łatwiej się do niej zbliżyć, ale jak skutecznie reagować w obliczu podobnej mocy? Za pierwszym razem nie zdołałem nawet celnie rzucić łańcuchem, a w St. John's powaliła mnie na kolana. Byłem bezradny. – Nigdy jeszcze nie słyszałem, by mój mistrz przemawiał z takim smutkiem i rezygnacją. – Mam jednak obowiązek rozprawić się z nią – westchnął. – Wykonam więc swą misję, nawet gdyby mi przyszło zapłacić własnym życiem.

– Musimy odwrócić uwagę Lizzie – wtrąciła Alice. – Jeśli zdołamy odebrać jej kciuki szamana, wówczas łatwiej z nią sobie poradzimy.

– Róg twierdził, że za ich pośrednictwem może czerpać ze



skarbcza mocy. Ale wszystko się zmienia. Do tej pory mogła już zyskać bezpośredni dostęp – zauważył stracharz. – Możliwe, że już nie potrzebuje kciuków.

– Musimy zabrać się do roboty – stwierdziłem. – Pomysł z odwróceniem uwagi uważam za dobry. Powinniśmy się rozdzielić, atakując z różnych stron. Warto spróbować.

– Z różnych stron? – Stracharz wysączył resztkę miodu. – Mamy do wyboru tylko dwie strony. Główną bramę bądź tunele bugana. Pierwsza będzie strzeżona. Co do drugiej, bugan z pewnością do tej pory poddał się już władzy Lizzie. Osobiście nie mam ochoty stawiać mu tam czoła. Nie musiałby nawet atakować bezpośrednio. Mógłby zawalić tunel i nas podusić.

\*

Wszyscy odczuwaliśmy już zmęczenie. Poszliśmy więc do łóżek bardzo wcześnie, nie opracowawszy konkretnego planu. Ledwie zasnąłem, gdy obudziłem się nagle, świadom, że ktoś stoi obok. Usiadłem na łóżku słysząc szept.

– Ciii! W porządku, Tom. To tylko ja, Alice...

– Coś się stało? – spytałem.

Jej dłoń odnalazła moją w ciemności.

– Chciałam pogadać, to wszystko. Stary Gregory nic już nie zrobi. Utrata domu i książek, a także dwukrotna przegrana z Lizzie praktycznie go wykończyły. Brakuje mu już sił, Tom. Boi się. Uważam, że to ty oraz ja powinniśmy się z nią rozprawić. Lepiej sobie poradzimy bez niego.

Nagle poczułem lodowaty chłód.

– Nie mów tak, Alice. Miał ciężki okres, po prostu. Dojdzie do siebie. Znow stanie się silniejszy niż kiedykolwiek. Zaczekaj, sama się przekonasz!

– Nie, Tom. Należy się pogodzić z faktami: on jest skończony. Wciąż potrafi cię wiele nauczyć, o tak, ale odtąd ty sam, osobiście, zajmiesz się prawdziwą pracą, niebezpieczną pracą.

– Ale co powinniśmy zrobić? Żadne z nas nie ma pojęcia, jak poradzić sobie z Lizzie, nie tylko pan Gregory.

– Ja coś mam, Tom. Znam sposób. Tylko że mój sposób staremu Gregory'emu by się nie spodobał. Nigdy by się na niego nie zgodził.

– Czyli wymaga użycia czarnej magii? – spytałem.

Alice znów uścisnęła moją dłoń.

– Nie użycia, nie tak naprawdę, Tom, jedynie wiedzy, jak się przed nią bronić. Stary Gregory by nie zrozumiał. Dlatego właśnie Adriana wyspała mu coś do kubka. Będzie spał do późnego rana. Do tej pory powinniśmy już wrócić – załatwiwszy sprawę.

– Wsypałyście mu coś do kubka? Czyste szaleństwo! Jak mistrz zareaguje, kiedy odkryje, co się stało? Nie mogę działać za jego plecami, Alice. Nigdy by mi nie wybaczył.

– Musimy śpieszyć z pomocą – w przeciwnym razie Adriana sama spróbuje rozprawić się z Lizzie. Oznajmiła mi to. Bez nas zginie albo trafi wprost w paszczę bugana. Już wyruszyli do twierdzy wraz z Simonem – ona zaatakuje Lizzie. Wszystko jej jedno, czy do nich dołączymy, czy też nie. Nie zaryzykujemy przejścia tunelami bugana. Wejdziemy główną bramą. Adriana potrafi nas wprowadzić.

– Ale jak wyminiemy strażę? Za murami twierdzy nadal znajduje się kilkunastu zbrojnych, a krata będzie opuszczona.

– Strażników pozostało najwyżej pół tuzina: zmieniają się o jedenastej. Nikt z nich nie chce zostawać tam po nocy, toteż się wymieniają. Lizzie się zgodziła. Uderzymy więc po zmianie warty.

– W czym zdoła nam pomóc Adriana?

– Pamiętasz, jak mówiła, że jest ptasią czarownicą? Wówczas myślałam, że to bzdura. Nadal nie sędzę, by była czarownicą. W Pendle nikt by tak nie uważał. Ale nie uwierzyłbyś, co potrafi wyprawiać z ptakami. Posłuży się nimi, by odwrócić uwagę strażników. Zaczekaj, niedługo sam się przekonasz.

– Ale pozostaje jeden ważny problem. Wiemy, że Lizzie nie wywęszy na odległość ciebie ani mnie. Nie zorientuje się, że się zbliżamy. Z pewnością jednak zdoła wywęszyć Adrianę oraz Simona. Wyczuje niebezpieczeństwo, zanim zdążą zbliżyć się do kraty.

– O tym też z nią rozmawiałam. Jeśli wyruszymy pierwsi i jakoś zajmiemy Lizzie, ona z Simonem zostaną na zewnątrz. W przeciwnym razie chcą to zrobić razem: Adriana pała żądzą zemsty na Lizzie. – Alice z westchnieniem pokręciła głową. – Ale nie dadzą jej rady, Tom. Toteż musimy pójść. To nasza jedyna szansa.

– No dobrze, lecz jeśli dostaniemy się do środka, co dokładnie później zrobimy?

– O tym też pomyślałam. Będziemy musieli dotrzeć do komnaty, w której szaman trzymał swoje książki. Spędziłam dużo czasu, próbując zorientować się w zawartości notatnika. Niewiele rozumiałam, ale znalazłam sporo odniesień do stron w grimuarach. Jeśli się wie, gdzie szukać, można znaleźć informacje na temat kierowania buganem. Wspomina nawet o magazynie anim. Wyjaśnia, jak korzystać z mocy stwora.

– Czy zdołasz odczytać te grimuary? Najpewniej zapisano je w Dawnej Mowie. Wiesz, że ja, choć uczyłem się jej od miesięcy, jak dotąd z trudem czynię postępy.

– Ja zaś ćwiczyłam Dawną Mowę niemal dwa lata. Lizzie zgromadziła niewielką biblioteczkę: większość książek zapisano po angielsku, część po łacinie, lecz najpotężniejsze zaklęcia spisano w Dawnej Mowie. Wciąż raczej powoli sobie radzę, ale jeśli będę miała trochę czasu, uda mi się. Warto spróbować, Tom. Co powiesz?

I tak, z wielkim wahaniem, zgodziłem się towarzyszyć Alice. Żegnając się z psami, zdołałem je na szczęście uciszyć. Stracharz nadal chrapał donośnie. Wolałem nie myśleć o tym, co powie, kiedy odkryje nasz podstęp. Lecz – w zaistniałych okolicznościach – jaki miałem wybór?

## **ROZDZIAŁ 25**

### **TRZEPOT SKRZYDEŁ**

Noc była bezchmurna; księżyc jeszcze nie wzeszedł, lecz gwiazdy świeciły jasno. Maszerowaliśmy między drzewami, zbliżając się do twierdzy, gdy usłyszałem dobiegające z przodu trzykrotne hukanie sowy.

– To Adriana – wyszeptała Alice, prowadząc nas w stronę dźwięku.

Gdy się zbliżyliśmy, poczułem nagle, że ktoś nas obserwuje. Wszystko zdawało się osobiwie nieruchome, wiatr zupełnie ucichł. A potem uniosłem wzrok i ujrzałem setki wpatrzonych we mnie oczu. Gałęzie nad naszymi oczami obsiadły stada ptaków. Było zbyt ciemno, bym rozpoznał poszczególne gatunki, ale ich wielkość wahała się od wróbla po duże wrony. O tej porze powinny spać w gniazdach, a jednak siedziały tu, w pełni przytomne. Poczułem dreszcz na widok obserwujących nas stworzeń.

Adriana czekała z Simonem pod drzewem. Przyłożyła palec do ust na znak, byśmy zachowali milczenie. Przez rzadkie drzewa za jej plecami dostrzegłem wejście do twierdzy Greeba. Odnotowałem, iż kratę opuszczono. Pięciu mężczyzn maszerowało w stronę bramy.

Adriana wystąpiła naprzód, położyła lewą dłoń na ramieniu Alice, prawą na moim. Następnie spojrzała w górę, ku czekającym w milczeniu ptakom. Otworzyła usta, wydając z siebie dziwny krzyk, przypominający nieco ptasi trel, choć niepodobny do głosu żadnego znanego mi ptaka. W odpowiedzi stado poruszyło się jednocześnie. Zaszleściły pióra, znów zapadła cisza.

– Teraz pozostaniecie bezpieczni – wyszeptała Adriana. – Już was nie tkną. Żałuję tylko, że nie możemy pójść z wami...

– Nie warto ryzykować – odszepnęła Alice. – Lizzie wywęszyłaby was bez dwóch zdań. Kiedy się z nią rozprawimy, spotkamy się tutaj. Nie wiem, jak długo wszystko potrwa. Możliwe, że kilka godzin – albo nawet cały dzień czy dłużej.

Mężczyźni dotarli już niemal do bramy. Usłyszeliśmy zgrzyt metalu o metal, brzęk łańcuchów podnoszonej z wolna kraty.

– Zaczekamy z Simonem, nieważne, jak długo. I będziemy

obserwować twierdzę. Teraz ruszajcie w stronę muru, dokładnie naprzeciwko – poleciła Adriana, wciąż zniżając głos. – Kiedy ptaki zaatakują, wśliźnijcie się przez bramę.

Zrobiliśmy, jak kazała. Ruszyliśmy w dół zbocza. Krata znalazła się już całkiem w górze, strażnicy szykowali się do przekazania posterunków. W sumie naliczyliśmy ich koło tuzina. Za parę minut poprzednia zmiana ruszy do domu. Jeśli zerkną w naszym kierunku, istnieje niebezpieczeństwo, że nas zauważą.

Jakimś cudem zdołaliśmy dotrzeć do muru bez zwracania czyjejkolwiek uwagi. Połowa gwardzistów maszerowała w stronę drzew. Dobięł nas brzęk łańcuchów: reszta wzięła się do opuszczania kraty. Pozostało nam tylko kilka chwil. Wtedy jednak do hałasujących łańcuchów dołączył kolejny dźwięk – trzepot skrzydeł. Uniosłem głowę i przekonałem się, że coś przesłoniło gwiazdy. Niczym czarna chmura, wielkie stado ptaków opadło na dwie grupy zbrojnych. Usłyszałem przekleństwa, krzyki, a potem donośny wrzask bólu.

Wraz z Alice puściliśmy się pędem wzdłuż umocnień. Adriana wspominała o odwróceniu uwagi strażników, lecz gdy dotarliśmy do bramy, pojąłem, że nie chodziło jej o drobną dywersję, mającą otworzyć nam po prostu drogę do twierdzy. Ci ludzie walczyli o życie. Niektórzy biegali dokoła, rozpaczliwie machając rękami, by odpędzić napastników. Jeden leżał na ziemi, turlając się z desperacją między ptakami; w powietrzu wirowały pióra.

Wszystkich zbyt zajmowała walka o własne przetrwanie, by zauważyli, jak przechodzimy pod unieruchomioną w połowie drogi kratą. Widzieliśmy też wyraźnie, że ptaki odganiają gwardzistów od twierdzy. Oczywiście, strach strażników przed Lizzie pewnie zmusi ich później do powrotu – rzecz jasna, jeśli zdołają wrócić.

Tak jak liczyłem, wewnętrzna krata – ta broniąca dostępu do wieży – także wisiała w górze. Już po chwili znaleźliśmy się z Alice bezpiecznie w środku.

Teraz czyhały na nas jeszcze dwa zagrożenia. Największe niebezpieczeństwo oczywiście groziło ze strony Lizzie: posiadała

moc, aby zabić nas na miejscu lub przynajmniej odebrać słoń krwi, czy nawet zmusić mnie, bym go stłukł. Mogliśmy też zetknąć się z groźnymi stworami, o których słyszeliśmy, ściąganyymi w to miejsce, bo czarownica majstrowała przy skarbcu anim, sprawiając, że stał się niestabilny. Teraz działał niczym złowieszcze wici – ogień rozpalony przez wiedźmy, wzywający potężnych mieszkańców mroku.

Rozpoczęliśmy wspinaczkę po schodach wewnątrz wieży, starając się jak najmniej hałasować. Wiedziałem, że mamy niewielkie szanse dotarcia niepostrzeżenie do gabinetu szamana. W dłoni dzierżyłem wysoko uniesioną laskę z jarzębinowego drzewa z wysuniętą klingą; srebrny łańcuch spoczywał w lewej kieszeni płaszcza, kieszenie portek napełniłem solą i żelazem. Kto wie, na co się natkniemy?

Minąwszy drzwi wiodące do kuchni oraz sypialni, w końcu dotarliśmy do sali tronowej. Czekająca pusta, cicha, pogrążona w półmroku; na ścianie migotały zaledwie dwie pochodnie. Podążyliśmy szkarłatnym dywanem obok tronu, do drzwi i dalej w górę, schodami do okrągłego przedpokoju. Tam przystanęliśmy, raz jeszcze nasłuchując. Znów niczego nie usłyszeliśmy, toteż otworzyliśmy drzwi gabinetu szamana. Przekroczyliśmy próg. W komnacie panowała ciemność, lecz na stole stała świeca. Alice ruszyła, podniosła ją. Knot zapłonął natychmiast, napełniając pokój migotliwym, żółtym blaskiem.

– Alice! – wykrzyknąłem z irytacją.

Posłużyła się mroczną magią, by zapalić świecę; pierwszy raz widziałem, jak to robi.

– Nie ma czasu do stracenia, Tom! Nie martw się – odparła – to błaha, choć użyteczna sztuczka, nie gorsza niż użycie lustra.

Ja jednak się martwiłem: wyglądało, że Alice coraz częściej posługuje się mrokiem. Dokąd nas to wszystko zaprowadzi?

Wokół widzieliśmy ślady wskazujące, czym interesowała się Lizzie. Rzędy książek poruszono, na półkach pozostały luki. Na stole obok czaszki leżały trzy grimuary. Lecz wielka skrzynia

wciąż stała w kącie.

– Szukała czegoś w tych książkach – wymamrotała Alice. – Całe szczęście, że zabrałam notatnik, prawda? Nawet gdybym niczego nie zdołała zdziałać, przynajmniej ona go nie dostała. Lepiej wezmę się do roboty...

To rzekłszy, usiadła przy stole. Kolejno obejrzała okładki trzech książek. Następnie wybrała jedną, otworzyła, zaczęła przerzucać kartki.

– Gdzie masz spis odnośników do stronic? – spytałem.

– Nie bądź głupi, Tom. Nie przyniosłam go tutaj, żeby Lizzie go nie dostała. Czarownicom z Pendle wystarczy jednorazowa lektura, by wszystko zapamiętać. Wszystkich zaklęć uczą się na pamięć. To, czego potrzebuję, tkwi w mojej głowie.

Pozwoliłem jej czytać. Sam podszedłem do okna, wyjrzałem w ciemność. Księżyc już wzeszedł, więc w dole ujrzałem dziedziniec oraz fragment muru. Niestety, akurat to okno nie wychodziło na bramę, nie potrafiłem zatem stwierdzić, czy którykolwiek ze strażników wrócił.

Zastanawiałem się, gdzie się podziewa Lizzie. Skoro nie spotkaliśmy jej w wieży, może przebywała w innym budynku? Nagle uświadomiłem sobie, że lepiej będzie, jak zajmę pozycję na szczycie schodów. Wówczas usłyszę, gdyby ktoś się zbliżał.

– Stanę na straży, Alice – poinformowałem.

Przytaknęła, obróciła kartkę. Podparłszy głowę rękami, w skupieniu zmarszczyła brwi, znów pogrążona w lekturze. Wróciłem do przedpokoju, zostawiając drzwi uchylone. Pozostałych siedmioro zamknięto. Za jednymi przechowywano suknie. Za kolejnymi znalazłbym łazienkę. Pozostało zatem pięć sypialni. Nagle po plecach przebiegł mi dreszcz. Być może Lizzie gdzieś tutaj śpi? Gdyby spała, zyskałbym potrzebną przewagę. Mógłbym ją skrępować srebrnym łańcuchem. Nagle odniosłem wrażenie, jakby w głowie rozbłysło mi światło. Zawsze ufaj instynktowi – niejednokrotnie powtarzał stracharz. Wiedziałem już, która sypialnia należy do Lizzie. I byłem pewien, że znajdę ją w środku.

Oparłem kij o ścianę, owinałem łańcuch wokół lewego przegubu, gotów do rzutu. Drugą dłonią bardzo powoli otworzyłem drzwi. Komnatę spowijała ciemność, lecz pochodnia z zewnątrz oświetliła łóżko. I zobaczyłem Lizzie. Leżała na wznak na pościeli, odziana w purpurową suknię.

Ostrożnie ruszyłem ku niej.

Lecz w chwili, gdy przekroczyłem próg, pojąłem swój błąd...

To nie Lizzie leżała na łóżku. Tylko jej pusta suknia! Ręce i nogi zaciążyły mi jak ołów. Zatem to nie instynkt podpowiedział mi, co robić. Zostałem zwabiony w pułapkę. Jakieś zakłęcie ściągnęło mnie do tej komnaty. Opadłem na kolana. Co to było? Kościeniec? Nie mogłem oddychać, z każdą chwilą moje ciało stawało się coraz cięższe. Miałem wrażenie, że wtapiam się w podłogę. Kiedy straciłem przytomność, poczułem, że coś mnie unosi i dźwiga w dół, w dół, w dół...

\*

W pobliżu usłyszałem jęk i uniosłem powieki. Leżałem bokiem na mokrych kamieniach.

Wokół nóg owinięto mi łańcuchy, zamocowane do żelaznego pierścienia, osadzonego w kamiennej ścianie. Usiadłem powoli, obracając się tak, by oprzeć się plecami o mur. Zupełnie zeszywniałem, głowa pulsowała bólem. Rozejrzałem się dokoła. Siedziałem w celi, znacznie większej od tej, w której zamknął mnie lord Barrule, lecz poza tym bliźniaczej, z identycznymi trzema kamiennymi ścianami oraz jedną wykonaną z ubitej ziemi.

Wysoko na murach, z prawej i z lewej, tkwiły pochodnie, migoczące w lodowatym przeciągu, który wywoływał powiew powietrza ciągnącego z okrągłej dziury w ziemi naprzeciwko. Oto kolejny tunel bugana. Zrozumiałem, że ponownie znalazłem się w lochu.

Gdzie się podziewała Alice? Czy czarownica ją także uwięziła? Czy przyłapała ją w gabinecie szamana? A może bardziej jej zależało na schwytaniu mnie?

Po mojej lewej siedział inny więzień, także przykuty do ściany,



głowę jednak miał zwieszoną, brodą dotykał piersi, toteż nie widziałem jego twarzy. Bez wątpienia jednak przebywał wraz ze mną mężczyzna, nie Alice. Nagle zorientowałem się, że za nim leży jeszcze jedna postać. Na sam jej widok sapnąłem ze zgrozy, żółć podeszła mi do gardła. Zakrztusiłem się, z trudem powstrzymując mdłości. Patrzyłem na trupa gwardzisty w kałuży jego własnej krwi. Brakowało mu ręki, a także obu nóg, twarz miał zapadniętą: bugan wyraźnie go stopniowo pożerał.

Zacisnąłem powieki, mym ciałem wstrząsały dreszcze. Próbując się uspokoić, kilka razy odetchnąłem powoli, głęboko.

Zerknąłem w prawo. Znów przekonałem się, że ktoś kolejny tkwi tam przykuty dokładnie pod pochodnią. Natychmiast rozpoznałem mlecznobiałe oczy i dwa rogi, sterczące ze strzechy czarnych włosów: Róg, Pomiot. Kiedy poczuł na sobie mój wzrok, warknął w głębi gardła jak dzikie zwierzę. Przypomniałem sobie, że mimo ślepych oczu, jakimś cudem jednak widzi.

Spróbowałem się odezwać, lecz w gardle mi zaschło. Wykrztusiłem słowa dopiero za drugim podejściem.

– Nie jestem twoim wrogiem – wychrypiałem. – Marnujesz czas, wygrażając mi.

– Gdybyś tylko miał szansę, zabiłbyś mnie albo uwięził – odparł oskarżycielski niski głos.

– Posłuchaj, tkwimy w tym samym bagnie.

Róg wydał z siebie przeciągły jęk.

– Sądziłem, że dożyję swych dni, służąc lordowi Barrule'owi. Był dobrym panem.

– Czyżby? – zdziwiłem się. – Zabił przecież twoją matkę, prawda? Tak przynajmniej słyszałem.

– Moją matkę? Matkę! – Róg splunął na ubitą ziemię. – Żadna ona dla mnie matka, chyba że jeno z krwi i nazwy. Okrutnie mnie traktowała, zadawała ból nie do zniesienia. Ale Złego nienawidzę jeszcze bardziej niż jej, bo to on mnie spłodził, on kazał mi stąpać po tej ziemi z widocznym dla wszystkich piętnem bestii! Lord Barrule jako jedyny okazał mi dobroć.

Dobroć? Przypomniałem sobie, jak strażnicy Barrule'a kierowali pomiotem za pomocą kawałków srebrnego łańcucha przewleczonych przez uszy. Nie wyglądało mi to na dobroć, ale nie miało sensu jeszcze bardziej go rozwścieczać.

– Sądzisz, że teraz czarownica kieruje buganem? – spytałem.

Przytaknął. Ostre rogi rozbłysły w blasku pochodni.

– Walczyłem ze wszystkich sił, ale bez powodzenia. Władza buganem, lecz wciąż nie może zapanować nad animami z pieczary. Nie w pełni rozumie magię mego pana. Sama władza inną odmianą.

– Wiesz może, kto to? – skinieniem głowy wskazałem drugiego więźnia.

– Kapitan Stanton. On był okrutny. Mój mistrz słuchał jego, nie mnie. Pozwolił mu przebić mi dziury w uszach i wepchnąć w nie srebrne łańcuchy. Stanton tłumaczył, że nie zna innego sposobu, by nade mną zapanować. Według mnie dostał, na co zasłużył. Stracił umysł: jest pusty, bugan wyssał z niego animus. Wkrótce przybędzie po ciało oraz po krew. A potem nadejdzie moja kolej...

Kapitan Stanton! Zatem drogo zapłacił za opór wobec Lizzie.

Moje myśli znów powędrowały ku Alice. Dobrze uczyniła, pozbawiając Lizzie notatnika szamana – to mogło wszystko zmienić. Nie wiedziałem dokładnie, co chce osiągnąć, ale raz już zawarła pakt z Morem, demonem jeszcze potężniejszym niż bugan. O mało jej ów pakt nie zniszczył, lecz przez jakiś czas zdołała nad Morem zapanować. Może z pomocą notatek i grimuarów szamana uda jej się powtórzyć tę sztukę?

Osłabłem z głodu i z pragnienia, choć jeszcze bardziej osłabiała mnie narastająca groza, nad którą panowałem z coraz większym trudem. Jeżeli Alice nie pomoże, wkrótce bugan i ze mnie wysie siły życiowe. Przynajmniej wtedy, pomyślałem ponuro, nie zauważę, jak noże Lizzie obcinają mi kciuki. Straszna to rzecz, zdawać się na Alice, majstrującej przy mocach mroku, lecz przez moment mimo wszystko wróciła do mnie nadzieja. Potem jednak przypomniałem sobie, że ona także mogła zostać schwytana.

Nie skrępowano mi rąk, zdołałem zatem sprawdzić kieszenie.

Odkryłem, że wciąż wypełnia je sól oraz żelazo; nie odebrano mi nawet srebrnego łańcucha. Możliwe, że Koścista Lizzie nie ścierpiała jego dotyku. Albo, ufna w świeżo pozyskane moce, machnęła ręką na groźbę użycia stracharskich narzędzi. Mój specjalny klucz także tkwił w kieszeni. Otworzyłyby niemal każdy zamek, kiedy jednak sprawdziłem kajdany, nie zdołałem wcisnąć go do dziurki. Świeżo zrodzona nadzieja szybko zgasła.

Co najmniej przez godzinę obmyślałem różne plany – wszystko, co stworzyłoby szansę ucieczki bądź ratunku. Wreszcie przyszedł mi do głowy stracharz. W końcu się obudzi, wtedy zaś może odgadnie, co zaszło. Wcześniej co prawda okazał się bezradny w starciu z Lizzie. Prawdę mówiąc, większą wiarę pokładałem w Alice.

Od czasu do czasu Stanton jęczał, jakby z bólu, lecz były to tylko skargi ciała kierowanego odruchami: umysł już dawno umknął, pozostawiając wyłącznie pustą cielesną powłokę. Zapewne dusza także uciekła.

Nagle usłyszałem nowy dźwięk – dźwięk, od którego po plecach przeszedł mi dreszcz strachu. Ktoś lub coś wędrowało ziemnym tunelem w stronę naszej celi.

Zadrzałem, gdy na podłogę posypała się ziemia. A potem z otworu wyłoniła się wielka, kudłata głowa bugana. Jego duże, wąsko osadzone oczy przyjrzały się nam kolejno, wilgotny ryj węszył w powietrzu. Po chwili demon wsunął się do celi. Nie zjawił się jednak sam. Ktoś jeszcze wyczołgał się z tunelu wraz z nim. Do celi wpełzła obszarpana postać o ubłoconych włosach, odziana w brudny strój. Spostrzegłem kobietę. Wyglądała, zaiste, żałośnie. Dopiero kiedy podniosła się z ziemi i ujrzałem szpiczaste trzewiki oraz szaleńczo błyszczące oczy, rozpoznałem w niej Kościstą Lizzie. Na głowie wiedźmy wciąż tkwiła tiara, niemal niewidoczna pod warstwą brudu osiadłego na włosach.

Czarownica, nie zwracając na mnie uwagi, podeszła do Daniela Stantona. Uklękła tuż przed nim. Zobaczyłem w jej dłoni nóż. Odwróciłem szybko wzrok, gdy zaczęła odcinać mu kciuki. Kapitan

krzyknął z bólu. Musiałem powtarzać sobie w duchu, że następuje wyłącznie reakcja ciała, że umysł nie czuje już cierpienia.

A potem Lizzie zbliżyła się i kucnęła naprzeciw mnie. Uśmiechnęła się, jej ręce, wciąż ściskające nóż, pokrywała krew. Twarde oczy przepełniała wrogość.

– Teraz twoja kolej, chłopcze. Właśnie teraz potrzeba mi wszelkiej dostępnej pomocy. Kości siódmego syna siódmego syna potrafią wiele zdziałać.

Musiałem myśleć bardzo szybko.

– Zdawało mi się, że chcesz stać się królową – powiedziałem, próbując odwrócić jej uwagę. Jednocześnie wsunąłem dłonie do kieszeni. Chwyciłem sól i żelazo. – Zdawało mi się, że pragniesz rządzić całą wyspą. Co ci się stało?

Na te słowa Lizzie uniosła oszołomioną twarz, po której na moment przebiegł wyraz bólu i straty. Nagle dostrzegłem w niej Alice: dziewczynę, którą niegdyś była. A potem oblicze czarownicy wykrzywił wzdrgający grymas. Pochyliła się jeszcze bliżej, tak że omiótł mnie jej cuchnący oddech.

– Jest tu moc, chłopcze, moc wykraczająca poza me najśmielsze marzenia. Moc, która mogłaby dać mi cały świat, gdybym tylko zechciała. Ale najpierw muszę załatwić inne sprawy. By zawładnąć powierzchnią, powinienam wpierw opanować to, co ukryte w pieczarze. Potrzeba mi nieco czasu, ale warto go poświęcić. Twoje kości mi w tym pomogą...

## **ROZDZIAŁ 26**

### **SKAŻONY PRZEZ MROK**

Przez moment sądziłem, że Lizzie zamierza od razu odciąć mi palce, więc moje ręce napięły się, gotowe zasypać ją obłokiem soli i żelaza. Zamiast tego jednak schowała nóż do pochwy u pasa. Podniosła się z ziemi. – Najpierw pozwolę, żeby bugan wziął, czego

pragnie – oznajmiła, po czym obróciła się na obcasie. Zawróciła w stronę tunelu.

Odprężyłem się, powoli wypuszczając powietrze. Gdybym nawet użył soli i żelaza, wciąż pozostawałbym skuty, nadal na lasce bugana. Wiedźma zresztą szybko doszłaby do siebie.

Lizzie zniknęła w głębi tunelu, lecz bugan miał do załatwienia niedokończoną sprawę. Zobaczyłem, jak otwiera szeroko paszczę, ukazując ostre, trójkątne zęby. Wgryzł się mocno w gardło Daniela Stantona, łapczywie chłepcząc krew. Kiedy wysssał całą posokę, jął szarpać ciało. Zatkaną uszy, by nie słyszeć upiornych odgłosów rozdzierania, potem jednak bugan począł miażdżyć kości. Miałem wrażenie, że nigdy się to nie skończy, lecz wreszcie, nasycony, odszedł leniwie, pozostawiając na kamieniach krwawe odciski łap. Z powrotem wcisnął się do tunelu i zniknął nam z oczu.

Zastanawiałem się, ile czasu trzeba, by demon powrócił do mnie w postaci duchowej?

Nie musiałem czekać długo. Po paru chwilach w mojej głowie rozbrzmiały szepty. Z początku były zbyt słabe, by je zrozumieć. Stopniowo jednak zacząłem rozróżniać pojedyncze słowa, takie jak gnąć, krew oraz robaki. Potem doświadczyłem odczucia, którego nikt wcześniej nie opisał. Zupełnie jakby czarna chmura opadła spod sklepienia i spowiła mnie niczym gruby, lodowaty koc. Odległy odgłos kapiącej wody ucichł, lecz od utraty słuchu gorsze okazało się błyskawiczne słabnięcie wzroku. Nie widziałem już latarni, wszystko pociemniało. Oślepnęłam.

Serce coraz bardziej ciążyło mi w piersi. Zacząłem dygotać z zimna, gdy bugan powoli wysysał energię z mego ciała, wykradając siłę życiową. Szepty stały się głośniejsze. Wciąż nie rozumiałem słów, ale w mojej głowie zaczęły formować się bolesne obrazy z przeszłości, zupełnie jakbym oglądał je własnymi oczami.

Stałem na górskiej ścieżce. Był wieczór, ściemniało się szybko. Słyszałem szlochanie kobiety, dochodziły do mnie wzniesione gniewnie głosy. Miałem wrażenie, że bardziej sunę, niż idę, nie panowałem nad kierunkiem, w którym zmierzałem. Przede mną

wznosiła się skała, przypominająca olbrzymi szczyt. Wokół zebrała się grupka ludzi, a pośród nich stała jedna z dawnych nieprzyjaciółek mamy, czarownica Wurmalde. Usłyszałem serię ciężkich, rytmicznych łoskotów, zobaczyłem kogoś z młotem w dłoni. Każdemu uderzeniu towarzyszył krzyk bólu.

Rozpacz ścisnęła mi serce. Wiedziałem dokładnie, gdzie jestem i co się dzieje. Byłem świadkiem chwili, gdy nieprzyjaciele mamy przybijają jej lewą dłoń do Skały. Po ręce na trawę spływała krew. Kiedy gwóźdź utkwił głęboko, wrogowie srebrnym łańcuchem przywiązali nagie ciało do skały. Zobaczyłem, jak mama wzdryga się z bólu, jej policzki lśniły od łez.

– Za trzy dni wrócimy – usłyszałem słowa Wurmalde. Głos oprawcy przepełniał zło, pomieszane z okrucieństwem. – A wtedy wytniemy ci serce.

Zostawili ją tam samą w ciemności – czekającą, aż znad morza na wschodzie wynurzy się słońce; słońce, które poparzy jej ciało, pokrywając skórę pęcherzami.

Chciałem zostać z mamą. Pragnąłem ją pocieszyć, zapewnić, że wszystko się odwróci. Że rankiem odnajdzie ją mój ojciec, że osłoni mamę koszulą i skryje we własnym cieniu przed słońcem, a potem pobiorą się. Że spłodzą siedmiu synów. Że będzie szczęśliwa...

Nie mogłem się jednak ruszyć. Ponownie spowiała mnie nieprzenikniona ciemność. Szczęśliwa? W tym świecie szczęście nigdy nie trwa długo. Nawet szczęście mamy.

W mgnieniu oka życie mamy dobiegło końca, obecnie oglądałem jej ostatnie chwile. Znów znalazłem się w Ordzie, patrzyłem na bój z Ordyną. Widziałem, jak mama opada ku przeciwniczce, białe opierzone skrzydła lamii sprawiały, że bardziej przypominała anioła niż owada. Widziałem, jak zmaga się z nieprzyjaciółką pod postacią salamandry. Poleciała mi odejść, a ja posłuchałem, uciekając z Ordy wraz z pozostałymi – wszystkimi prócz Billa Arkwrighta. Z daleka oglądałem zniszczenie cytadeli, wieże walące się w chwili, gdy niepowstrzymana siła wciągała mur, z powrotem przez ognisty portal w czekający za nim mrok, a wraz z nią biedną

mamę i Billa.

Teraz jednak stałem tuż obok, gapiąc się, choć pióra mamy płonęły, słuchałem jej pełnych cierpienia krzyków, gdy trzymała w śmiertelnym uścisku Ordynę.

Otaczał mnie ogień, odczuwałem fizyczny ból. Płomienie trawiły me własne ciało, lecz co gorsza, widziałem czerwieniejącą, a później płonąącą skórę mamy, słuchałem jej przeciągłych, bolesnych okrzyków, gdy konała w męczarniach.

I ponownie runąłem w ciemność.

Nagle światło znów zapłonęło. Odkryłem, że stoję w kuchni na farmie. Z góry dobiegały krzyki. Nim się zorientowałem, znalazłem się na schodach. Trzej mężczyźni trzymali mego brata, Jacka, jeden z nich bił go tak, że krew ochlapywała ściany oraz bryzgała na deski podłogi. Oglądałem, co się stało, kiedy czarownice napadły na farmę. Chciały zdobyć skrzynie mamy, ona jednak ochroniła swój pokój przed mrokiem, więc nie potrafiły dostać się do środka. Zmusiły zatem Jacka, by tam wszedł i wyniósł skrzynie.

Mój brat krzyczał z bólu i grozy, ja jednak nie umiałem mu pomóc. Stałem się jedynie milczącą, niewidzialną obecnością, zmuszoną do oglądania jego cierpienia.

I tak to trwało. Bujan zmuszał mnie, abym powracał do wszystkich najboleśniejszych wspomnień z ostatnich kilku lat. Ponownie patrzyłem na grób taty, ponownie czułem ból po stracie. Nie zdążyłem nawet na jego pogrzeb. Raz po raz odwiedzałem każdą dręczącą scenę. Trwał wir cierpienia: powracałem w te same chwile swego życia, ale nie mogłem zrobić nic, by cokolwiek zmienić.

I znów ciemność; byłem jak odrętwiały, z każdą chwilą robiło mi się coraz zimniej. To bujan wysysał me siły życiowe. Wiedziałem, że znalazłem się blisko śmierci.

I wtedy... Pojawiło się coś nowego. Usłyszałem głos: – „Musisz być twardszy albo nie przeżyjesz. Robienie tego, co każe stary Gregory, nie wystarczy! Zginiesz jak inni!”

Głos Alice. Wypowiedziała te właśnie słowa, kiedy

powstrzymałem ją przed spaleniem starej Mateczki Malkin. Śmierć w płomieniach wydała mi się zbyt straszna. Lecz nie zdołałem nic wskórać.

„Musisz sprzeciwić się mrokowi, Tom. Staw czoło buganowi. Potrafisz to zrobić! Zdołasz zrobić, co trzeba!”

Gdy tylko Alice wykrzyknęła te słowa, nawiedziła mnie nowa wizja: kolejny fragment z mego życia. Po pierwszych tygodniach terminu u stracharza wróciłem na farmę. Mateczka Malkin też tam przybyła, nieumarła, oślizgła, miękka, zmiennokształtna. Wśliznęła się w Ryja, świńskiego rzeźnika i opętała go, opanowując ciało, kierując każdym ruchem. Teraz Ryj trzymał nóż przy gardle maleńkiej córeczki Jacka i Ellie, Mary. Raz jeszcze przeżyłem owe straszne chwile, gdy sądziłem, że dziecko zginie; każdą sekundę rozpaczę oraz grozy. Alice podbiegła naprzód, kopnęła mocno, wbijając Ryjowi w brzuch szpiczasty trzewik tak głęboko, że na zewnątrz pozostał tylko obcas. Z sercem w gardle patrzyłem, jak Ryj upuszcza Mary. Na moment przed upadkiem dziecka na ziemię Alice złapała maleńką, porwała w bezpieczne miejsce. Teraz nadeszła moja kolej: cisnąłem w niego sól oraz żelazo. Kiedy głowę napastnika spowił zmieszany obłok obu substancji, padł bez zmysłów, prosto do mych stóp.

Wszystko znów się powtarzało. Ryj leżał nieprzytomny na ziemi, oczy uciekły mu w tył głowy, fartuch pokrywały plamy krwi świeżo zarżniętych świń. Patrzyłem, jak Mateczka Malkin wylewa mu się z ucha i znów przybiera własną postać. Zmaląła do jednej trzeciej dawnego wzrostu, jej suknia wlokła się po ziemi. Zaczęła uciekać.

Przepęłnił mnie gniew: straszliwa wściekłość na wszystko, co musiałem oglądać raz po raz. Poprzednio pozwoliłem czarownicy odejść. Alice pobiegła za nią z płonąca gałęzią, ja jednak ją złapałem i odciągnąłem. Spalenie Mateczki Malkin wydało mi się zbyt potworne. Nie mogłem na to pozwolić. Tym razem jednak gniew mnie odmienił. Jak wcześniej, złapałem przebiegającą obok Alice, lecz teraz osobiście wyrwałem jej płonąca gałąź i sam



puściłem się w pościg za Mateczką Malkin.

Bez wahania podpaliłem rąbek jej sukni. Zajął się natychmiast. W parę sekund później płonęła, wrzeszcząc, gdy pochłaniał ją ogień. Poważylem się na straszny czyn, ale nie obchodziło mnie to, musiałem stać się twardszy, aby zostać takim stracharzem, jakim było mi pisane. I wtedy usłyszałem czyjś głos. Bynajmniej nie żaden szept, ów ktoś przemawiał głośno, z naciskiem

– We mnie także jest mrok! – zawołał. – Jestem myśliwym, nie ofiarą!

Dopiero po chwili pojąłem, że krzyczę ja sam. I zrozumiałem, że wykrzychałem prawdę. Pomiot miał rację. Zostałem skażony mrokiem, w mojej duszy rzeczywiście tkwiła drzazga ciemności. Stanowiła niebezpieczeństwo, ale też źródło siły. Zgodnie z obietnicą mamy szybko nadchodził czas, kiedy stanę się łowcą. A wówczas na mrok padnie strach. Przede mną.

\*

Zdawało się, iż minął wiek, gdy unosiłem się na skraju świadomości. W końcu otworzyłem oczy.

Moje czoło płonęło gorączką, zaschło mi w gardle. Bugar nie odebrał mi sił życiowych; przeżyłem pierwsze z nim spotkanie, lecz ile czasu minie, nim powróci?

Czułem się słaby, otępiały. Nie potrafiłem myśleć jasno. Bolesne wizje krążyły w mojej głowie niczym wir, który wciągał w głąb mrocznej, spiralnej kipieli. Właśnie wtedy usłyszałem dobiegający z prawej strony głos.

– Ty to masz szczęście – powiedział Róg. – Wkrótce wszystko się skończy. Umrzesz. Mnie przyszło tu tkwić, patrzeć na ciebie i czekać na swoją kolej.

Ze znużeniem odwróciłem głowę, żeby spojrzeć na pomiota. Do pasa nagi, nawet w słabym świetle pochodni ukazywał grające pod skórą potężne mięśnie ramion. Nagle wpadł mi do głowy pewien pomysł.

– Czy żelazne kajdany sprawiają ci ból? – spytałem.

Pokręcił głową.

Nie wszystkie stwory z mroku cechowała wrażliwość na żelazo. Wyglądało, że Róg jest na nie odporny. Tym lepiej...

– Czemu się więc nie uwolnisz? – podsunąłem. – Masz dość sił, by to zrobić.

– Ale po co? – spytał. – Drzwi celi są zbyt mocne, nie zdołam ich wyłamać.

– Kiedy już zerwiesz łańcuchy, uwolnisz też mnie. Wówczas razem zapijemy się w tunel. Mam broń przeciw wszystkiemu, co może nam zagrozić: sól, żelazo, również mój srebrny łańcuch. Lepsze działanie niż bezczynne czekanie na śmierć.

– Uwolnić cię? A czemu miałbym ci zaufać? Jesteś moim wrogiem.

– Chwilowo potrzebujemy siebie nawzajem – przekonywałem. – Razem staniemy się silniejsi. Kiedy już się uwolnimy, każdy może pójść swoją drogą.

Przez długi czas w celi panowała cisza. Róg najwyraźniej przetrwał moją propozycję. Lecz potem usłyszałem przeciągły jęk. Dopiero gdy się powtórzył, pojąłem, że dociera do mnie odgłos towarzyszący wysiłkowi, a nie skomlenie na skutek fizycznego bądź umysłowego bólu. Pomiot rozrywał ogniwa łańcucha.

Oblizalem zaschnięte wargi, serce waliło mi w piersi. Nagle znów poczułem nadzieję.

Róg wstał, podszedł do miejsca, w którym mnie przykuto. Nozdrza wypełnił mi smród zastarzałego potu, zmieszany z ostrym, zwierzęcym odorem. Nie czułem jednak zimna, choć uczucie chłodu ostrzega, że znalazłem się w pobliżu istoty z mroku. Róg okazał się zatem bardziej człowiekiem, niż na to wyglądał. Mimo to musiałem zachować czujność. Niby zawarliśmy porozumienie, lecz jakże kruche. Pozostawaliśmy przecież naturalnymi nieprzyjaciółmi.

Bez wahania chwycił ręką za łańcuch, tuż pod żelaznym pierścieniem w murze. Znów jęknął, gdy jego mięśnie napięły się, ale zaczął ciągnąć. Patrzyłem, jak ogniwa wydłużają się, a potem pękają. Oderwawszy koniec, potrzebował zaledwie paru chwil, by

rozplątać mi nogi.

– Nie jesteś ślepy? – spytałem, pamiętając o jego białych oczach, świadom faktu, że sięgnął wprost do łańcucha.

– Widzę lepiej niż większość, ale nie nimi! – Wskazał mlecznobiałe gałki oczne. – Mam trzecie oko, duchowe. Dzięki niemu widzę ten świat, a także rzeczy poza nim. Potrafię wejrzeć w mrok panujący wewnątrz ludzi.

Zerwałem się z ziemi, serce zabiło mi jeszcze mocniej. Czułem się słaby, roztrzęsiony, ale wolny! Staliśmy twarzą w twarz. Mój nieprzyjaciel z mroku stał się chwilowym sojusznikiem. Razem, z pomocą Alice, być może będziemy mieć szansę w walce z Lizzie.

Hubka została w torbie, nadal jednak zachowałem ogarek. Toteż uniosłem go i zapaliłem od pochodni. Trzymając świeczkę w lewej dłoni, poprowadziłem Roga tunelem. Nagle uświadomiłem sobie, że nie musimy wcale zbyt długo kluczyć korytarzami bugana: przypomniałem sobie, że puste cele zazwyczaj mają uchylone drzwi.

Kiedy dotarłem do końca krótkiego tunelu, skręciłem w prawo. Po jakichś dwudziestu jardach dotarłem do kolejnego, wiodącego do sąsiedniej celi. Znowu skręciłem. W chwili, gdy znalazłem się w pustym pomieszczeniu, nadzieja wezbrała mi w piersi. Drzwi stały otworem! Z łatwością dotrzemy do stopni wiodących w górę wieży.

Oczywiście, oznaczało to przejście przez wartownię. Czy gwardziści już wrócili po ataku ptaków? Jeśli nie, kto zaniósł mnie z pokoju Lizzie aż do lochu?

## **ROZDZIAŁ 27**

### **TERAZ ZABIORĘ CI KOŚCI**

W korytarzach zalegała nieprzenikniona ciemność; nikt nie pilnował pochodni. Bez świeczki trudno byłoby odnaleźć drogę.

Nie zaszliśmy jeszcze zbyt daleko, kiedy nagle poczułem ów

szczególny chłód, informujący, że w pobliżu czai się coś z mroku. Zatrzymałem się, usłyszałem syk Roga. On też wyczuł zagrożenie. Tuż przed nami rozległ się wyraźny dźwięczny grzechot, przechodzący prawie od razu w głęboki, złowieszczy warkot. Coś zbliżało się ku nam. Uniosłem wyżej ogarek. Dostrzegłem nisko na ścianie miejsce, do którego jakby nie docierało światło: cień ciemniejszy niż inne cienie. Ruszył ku nam, znów warcząc.

Co to? Nigdy dotąd nie zetknąłem się z czymś podobnym. Istota znów zawarczała, tym razem jeszcze niżej, groźniej. Wyraźnie zjawił się tu stwór z mroku, zwabiony majstrowaniem Lizzie.

Musiałem działać – i to szybko. Bez wahania oddałem świecę Rogowi, sięgnąłem głęboko do kieszeni portek, nabrałem w garście czekających tam substancji: soli w prawą, opiłków żelaza w lewą. Cisnąłem obie wprost na złowieszczy cień. Mieszanina spowiła go niczym chmura. Usłyszeliśmy nagły, pełen cierpienia wrzask, a potem na podłodze pozostały tylko rozsypane sól i żelazo. Cokolwiek nam zagrażało, zniknęło. Albo umknęło w agonii, albo też zostało zniszczone. Możliwe jednak, że dalej kryły się podobne niebezpieczeństwa.

Z lękiem zerknąłem w górę. Czy ów dźwięk zaalarmował strażników? Z całą pewnością nie brzmiał ludzko. Możliwe, że słysząc straszliwe odgłosy, gwardziści raczej umknęli, niż nabrali ochoty, by zapuszczać się w ciemność i badać sprawę.

Teraz Róg ruszył przodem. Zostawiliśmy za sobą fragment korytarza wiodący pod fosą, gdzie woda ściekała kaskadami po ścianach, kapiąc też z sufitu. Skierowaliśmy się do schodów. Rozpoczęliśmy wspinaczkę, od czasu do czasu przystając, nasłuchując. Gdy w końcu dotarliśmy do drzwi wartowni, przyłożyliśmy do desek uszy, lecz ze środka nie dobiegał najlżejszy dźwięk.

Róg podał mi świecę, sam zaś ostrożnie otworzył drzwi. Pomieszczenie za nimi okazało się puste. Na najdalszym stole stały dzbany wody. Chwyciłem jeden, zaczerpnąłem kilkanaście rozpaczliwych łyków, a potem poczęstowałem się skórką

czerstwego chleba, którą wcześniej lekko namoczyłem. Moje ciało łaknęło energii, pragnęło zastąpić tę, którą odebrał mi uprzednio bogan. Kiedy skończyłem, pomiot podszedł do mnie.

– Czas zaatakować wiedźmę – warknął.

– Lepiej, gdybyśmy najpierw znaleźli Alice – odparłem. – Ona nam pomoże.

Róg przytaknął. Razem wyszliśmy z wartowni. Podjęliśmy wędrówkę w górę.

\*

Lizzie zastaliśmy siedzącą na tronie. Wiedźma przybrała butną, drwiącą minę. Wyraźnie wiedziała o naszej ucieczce, czekała, aż do niej przyjdziemy. Byliśmy niczym dwie schwyte muchy, miotające się w kółko: ani na moment nie wyrwaliśmy się z jej sieci.

Nagle zauważyłem ciało gwardzisty leżące za tronem – oraz krew na wargach Lizzie. Zapewne to on zniósł mnie do lochu. A teraz zabiła go i wypła jego juchę. Choć Lizzie była przede wszystkim kościaną czarownicą, lubiła też ludzką posokę. Wolała dziecięcą, ale gdy dokuczało jej pragnienie, zadowalała się każdą.

Kiedy wraz z Rogiem maszerowaliśmy ku niej po dywanie, przygotowałem łańcuch, choć nie wiedziałem, czy starczy mi sił, by tym razem ją skrepować. Nim jednak zdążyłem zaatakować, Lizzie zerwała się z fotela. Przygwoździła wzrokiem Roga. Sprawiała wrażenie oszalałej, bliskiej obłądu, z ust wyciekała jej mieszanina krwi i śliny, łącząca się z brudem na podbródku.

– O jeden raz za dużo wszedłeś mi w drogę. Miałeś zginąć powolną, bolesną śmiercią, ale teraz umrzesz szybko! – zawołała, wznosząc rozpostartą lewą dłoń, wewnętrzną częścią ku Rogowi. Szeroko rozcapierzyła palce. A potem zacisnęła pięść, jakby chciała coś zmiażdżyć, jednocześnie mamrocząc zaklęcie w Dawnej Mowie.

Pomiot krzyknął, ukrył twarz w dłoniach. Ze zgrozą patrzyłem, jak jego głowa zaczyna kurczyć się i zapadać. Pękała, tryskając wokół strugami krwi. Róg runął na ziemię u mego boku niczym wór kamieni. Przeszywający, bolesny wrzask ustąpił miejsca

ostatniemu jęknięciu. A potem nastąpiła cisza. Głowa nieszczęśnika zmieniła się w krwawą miazgę.

Z trudem powstrzymałem się od wymiotów. Poczulem, jak drżą mi kolana.

– No, teraz gadaj, co się wyprawia z tą moją córcią? – spytała Lizzie, marszcząc brwi.

Trudno mi było uwierzyć, że nie znalazła Alice. Gdzie się podziewała? Odetchnąłem głęboko, by się uspokoić. Wzruszyłem ramionami.

– Nie wiem. Przyszedłem po nią tutaj – oznajmiłem.

Lizzie wyjęła z fałdów sukni ostry nóż.

– Tym razem bugan obejdzie się smakiem – oznajmiła. – Mam już dosyć kłopotów z twoją osobą, więc od razu zabiorę ci kości. Podejdź no tu!

Odkryłem, że wbrew własnej woli zbliżam się ku niej. Próbowałem wyciągnąć z kieszeni płaszcza srebrny łańcuch, ale rękę miałem sparaliżowaną! Zacząłem się pocić, dygotałem ze strachu. Odetchnąłem głęboko, by się uspokoić, lecz nie panowałem już nad własnymi nogami. Postąpiłem kolejny krok, a potem jeszcze jeden i wkrótce znalazłem się tak blisko wiedzy, że czułem na twarzy jej ciepły, cuchnący oddech, od którego o mało znów nie zwymiotowałem.

Lizzie chwyciła mnie prawą ręką za moją lewą i uniosła ją wysoko.

– Przyjrzyj się po raz ostatni swojemu kciukowi, chłopcze. Wkrótce będzie podskakiwał, gotując się w moim kotle!

Czy nadchodził koniec? Po wszystkim, co przeszedłem, miałem tak umrzeć? Lewą ręką czarownica opuściła nóż ku mojemu kciukowi. Próbowałem uwolnić się z uchwytu, nie byłem jednak w stanie nic uczynić. Wzdrygnąłem się, oczekując przeszywającego bólu. Lecz ostrze nie dotarło do skóry. W jednym momencie pochodnie zamigotały, zgasły, a w powietrzu pojawił się znajomy blask. I nagle, ku memu absolutnemu zdumieniu, przed nami stanęła Alice. W rękach trzymała jeden z grimuarów szamana.

Natychmiast zauważyłem charakterystyczne migotanie – tak naprawdę jej tu nie było, przysłała jedynie swego ducha. Sama znajdowała się gdzieś indziej. Ogarnęła mnie nagła nadzieja. Czy nauczyła się sztuczek z ksiąg szamana?

– Jeśli skrzywdzisz Toma, nigdy tego nie dostaniesz! – ostrzegła rozmigotana Alice. – Zabrałam notatnik Barrule'a i przestudiowałam go. Dowiedziałam się, że najużyteczniejsze informacje są spisane w tym grimuarze!

– Powinam zgadnąć, że coś kombinujesz, dziewczyno! – warknęła Lizzie.

– Piszą tu, jak bezpośrednio czerpać moc ze skarbcza, ale szaman użył szyfru. Trzeba połączyć fragmenty z wielu różnych stron, by złożyć razem zakłęcie – oznajmiła Alice. – Bez tej księgi i bez mojej wiedzy nigdy nie odkryjesz, co zrobić. Będziesz studiować latami, lecz do niczego nie dojdiesz. Czyż nie tak?

Twarz Lizzie wykrzywił gniewny grymas, lecz nie odpowiedziała.

– Jeśli chcesz dostać tę książkę i wszystko, co wiem, to po nią przyjdź. Czekam w długiej sali, gdzie kiedyś zabawiał się lord Barrule ze swymi kompanami od hazardu. Przyrowadź Toma, ale nie waż się go tknąć, nawet włos nie może spaść mu z głowy. W przeciwnym razie nigdy nie dostaniesz księgi w swoje brudne łapska! – Alice uniosła tomiszczę ku matce.

Wiedźma zniknęła. Pochodnie ożyły. Lizzie odwróciła się do mnie.

– Wygląda, że jeszcze trochę pożyjesz, chłopcze! Przynajmniej póki nie dostanę tej księgi...

\*

Wiedźma chwyciła mnie mocno za przegub i unosząc w gotowości nóż, powlokła w dół schodami twierdzy. Przeszliśmy przez wartownię i dalej podziemnymi korytarzami. Mijając cele, zauważyłem, że wszystkie drzwi są teraz zamknięte, jakby w środku siedzieli więźniowie.

W długiej sali ledwo co widziałem: w zardzewiałych uchwytach

płonęło tylko kilka pochodni. Lord Barrule nadal leżał na kamiennej posadzce, a samo pomieszczenie cuchnęło śmiercią bardziej niż kiedykolwiek.

Zobaczyłem Alice, która wyłoniła się z cienia naprzeciw Lizzie. W lewej ręce trzymała grimuar, w prawej moją łaskę.

– Wypuść Toma. Dopiero wówczas wyjawię ci, co wiem, i oddam książkę – rzekła spokojnie. Kąciki jej ust uniosły się w uśmiechu.

Lizzie pchnęła mnie szorstko w stronę Alice.

– No, dawaj księgę i gadaj! Byle szybko. Już i tak poważnie nadużyłaś mojej cierpliwości! – warknęła.

– Możesz sobie wziąć księgę! – Alice rzuciła ją ku matce.

Lizzie spróbowała chwycić grimuar, nim jednak jej palce dotknęły okładki, księga z donośnym sykiem stanęła w ogniu. Czarownica odskoczyła, grimuar upadł jej do stóp; widziałem, jak kartki zwijają się, jak czernieją.

Wiedźma miała twarz mroczną. Przypominała gradową chmurę, lecz Alice uśmiechała się triumfalnie. Lizzie wygięła plecy, celując palcem wprost w córkę. Wymamrotała kilka słów w Dawnej Mowie. Przez moment poczułem paralizujący strach o Alice, ale nic się nie stało. Moja przyjaciółka uśmiechnęła się szerzej.

– Użyłam mocy ze skarbcza do ochrony – poinformowała Lizzie.  
– Nic mi nie zrobisz, a teraz, odkąd Tom jest u mego boku, jego także nie skrzywdzisz! Ale ja potrafię zranić ciebie. Jeśli mnie zmusisz, mogę cię zranić bardzo mocno. Gdybyś nie była moją matką, zabiłabym cię na miejscu! Teraz zrobisz to, co ci każę, ale już! Oddasz mi kciuki szamana! Dawaj je, natychmiast!

Lizzie zaczęła dygotać, na jej czoło wystąpiły krople potu. Twarz wykrzywiła z wysiłku, rozpaczliwie próbując oprzeć się poleceniu Alice, nie miała jednak dość sił. Przypomniałem sobie, jak wcześniej nad nami zapanowała, lecz teraz sytuacja się odwróciła. Teraz to Lizzie musiała wypełniać rozkazy Alice. Sięgnęła do kieszeni sukni, wyciągnęła z niej kości odcięte od martwego ciała lorda Barrule'a. Okazały się białe i czyste – mięso



wygotowała wcześniej w ramach rytuału mającego przekazać jej ich pełną moc.

Alice wyciągnęła rękę. Lizzie ponownie próbowała się oprzeć; cała trzęsła się z wysiłku. W końcu jednak z jękiem upuściła kciuki na dłoń córki.

Zaraz potem z wrzaskiem pomknęła w stronę podziemnego tunelu i wcisnęła się do środka.

## ROZDZIAŁ 28

### BUGAN

– Musimy iść za nią, Alice – oznajmiłem, ruszając w stronę wylotu tunelu. – Nie wolno pozwolić jej uciec. Mam obowiązek uwięzienia wiedźmy.

Alice pokręciła głową.

– Przepraszam, że wypuściłam Lizzie, Tom. Mogłam ją zabić, ale wbrew temu, co sama mówiłam, okazałam się nie dość twarda. To w końcu moja matka. Jaka dziewczyna zadałaby śmierć własnej matce...? Niebezpiecznie byłoby pójść teraz za nią tunelem. Choć starczało mi dotąd sił, Lizzie nadal kontroluje bugana. Zdoła więc odnaleźć drogę na powierzchnię. Ale nie uda jej się wrócić do twierdzy. Zamknęłam wszystkie drzwi cel, by mieć pewność, że nie zawróci. Zamknę też tę salę – uniosła klucz.

– W takim razie powinniśmy wrócić w miejsce, w którym zostawiliśmy Adrianę z Simonem, i spróbować odciąć Lizzie drogę.

Alice przytaknęła, lecz w jej oczach dostrzegłem lęk.

– Coś jest nie tak? – spytałem.

– Im bardziej oddalamy się od twierdzy Greeba, tym mniej mocy ze skarbcza potrafię czerpać. Po paru milach zostanę sama, bez wsparcia. Wtedy zaś Lizzie z pewnością okaże się silniejsza.

– Kolejny powód, by się z nią rozprawić, nim ucieknie zbyt daleko – zauważyłem.

Pospiesznie opuściliśmy opustoszałą twierdzę. Pomaszerowaliśmy wprost do Adriany i Simona. Nadal czekali na skraju lasu, szybko zatem wyjaśniliśmy, co zaszło. Ruszyliśmy w kierunku kaplicy, rozglądając się uważnie w poszukiwaniu Lizzie.

Czekaliśmy, lecz daremnie. Minęło dwie godziny, ale wciąż nie dostrzegliśmy śladu czarownicy. Zaczęliśmy tracić wiarę. Czyżby zdążyła już zbiec?

– Dałabyś radę ją wywęszyć, Alice? – spytałem.

Pokręciła głową.

– Była tu już wcześniej, zatem rozsiała wszędzie swój smród. Jest go tak dużo, że nie potrafię stwierdzić, które pasmo woni jest najświeższe.

I wtedy, gdy zaczynało zmierzchać, ujrzałem w dali zbliżającą się postać. Serce ścisnęło mi się gwałtownie. Wiedziałem, że nie unikniemy wyrzutów.

Nadchodził stracharz. Gdy znalazł się bliżej, zobaczyłem gniew na jego twarzy.

Adriana odezwała się pierwsza. Wystąpiła naprzód, stając pomiędzy nim a nami.

– To ja wpadłam na ten pomysł – oznajmiła. – Musieliśmy spróbować rozprawić się z Lizzie. Wiedziałam, że nigdy się pan nie zgodzi. Proszę więc winić tylko mnie.

Stracharz skinął głową.

– O tak – prychnął ze złością. – Z twojego powodu ogarnął mnie trwały niesmak, co zresztą należy rozumieć rozmaicie, ale wszystkim zajmiemy się później. – Odwrócił się do mnie z ponurą miną. – Teraz musimy przejść do rzeczy praktycznych: opowiedz mi, co się wydarzyło, byle szybko.

Kiedy skończyłem, mój mistrz pokręcił głową.

– Źle to wygląda. Musimy pójść za czarownicą, by rozprawić się z nią raz na zawsze. Ale teraz, gdy odeszła i straciła już dostęp do zgromadzonej tu mocy, najpierw trzeba zabić bugana. Długo nad tym myślałem. Jeśli zdołamy go zniszczyć, tunele w końcu się zapadną, grzebiąc pieczarę ze skarbnicą mocy. To powstrzyma

sługi mroku przed odwiedzeniem zbiornika. Nie zdołają nigdy więcej czerpać z niego bezpośrednio. Zresztą ty także, dziewczyno! – Spojrzał oskarżycielsko na Alice. – Pozbędziemy się większości problemów.

– To niesprawiedliwe! – zaprotestowałem. – Gdyby nie Alice, już bym nie żył.

– Mimo wszystko posłużyła się siłą mroku – w dodatku, jak dobrze wiesz, nie po raz pierwszy. Ale dajmy już spokój czczym dyskusjom. Ruszajmy wprost do kaplicy. W niej mieści się samo centrum terytorium bugana. Wyczuje nas tam i zaatakuje.

– A psy? Czy nie mogłyby nam pomóc? – zapytałem mistrza.

– Nie traćmy teraz czasu, chłopcze. Zostawiłem psy we młynie. Sami więc musimy się zająć tym stworem.

Stracharz zawrócił na pięcie. Pomaszerował naprzód. Alice i ja dreptaliśmy tuż za nim, Adriana i Simon nieco dalej. Nagle mistrz znów się zatrzymał.

– To sprawa dla stracharza – oświadczył, unosząc rękę. – Ja z chłopakiem zajmiemy się niebezpieczną robotą. Najlepiej, byście zaczekali tutaj, póki nie rozprawimy się z demonem. I ty także! – popatrzył gniewnie na Alice.

Otworzyła usta, by zaprotestować, potem jednak pokręciła głową. Wiedziała, że po tym, co się stało, nie ma sensu dyskutować z mistrzem.

Pomaszerowaliśmy wraz ze stracharzem wprost do kaplicy. Miałem nadzieję, że Alice nie posłucha polecenia i potrafi trzymać się blisko. Nie mogła sobie pozwolić na odłączenie się od słoja krwi. Dotarłszy do ruin, zczekaliśmy tuż za linią drzew, obserwując rozsypujące się mury z ciemnego kamienia. Mijały minuty, lecz nic się nie działo; pomyślałem, że Lizzie z każdą sekundą oddala się coraz bardziej.

Noc była zimna, jasna i pogodna, trawa pod naszymi stopami pobielała od szronu. Malejący półksiężyc rzucał na ziemię migotliwe cienie. Od czasu do czasu pohukiwała sowa, poza tym jednak wokół panowała cisza, nie wiał nawet najlżejszy wiatr.

- Dlaczego bugan poniechał ataku? – zapytałem stracharza.
- Jest blisko, czuję go w kościach, ale się nie pokazuje – odparł.
- Najpewniej przyczał się w dole zbocza, niedaleko wody: w miejscu, którego wolimy unikać. Na bagnistych terenach przyjmuje postać gadźca, a gadźce trudno się zabija. Jaki jednak mamy wybór? Chodźmy, załatwmy, co trzeba.

Podążyłem za mistrzem w stronę zbocza, nerwowo ściskając w dłoni kij. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnąłem, była kolejna walka z gadźcem. Pamiętałem, że plują jadem i mają rzędy ostrych zębów, zdolnych odgryźć rękę bądź nogę.

Zbocze stawało się coraz bardziej strome, nasze buty zapadały się z mlaskaniem w grząski grunt. Wkrótce z trudem trzymałem się na nogach. Pod nami coraz głośniejsz szumiała rzeka, choć wciąż jeszcze nie dostrzegałem jej pośród drzew. Rosły tu bardzo gęsto, przestrzeń zaś między nimi wypełniały zarośla oraz krzaki, utrudniające nam marsz i zmuszające do bezustannego lawirowania.

– Rozdzielmy się! – polecił stracharz. – Stwórzmy mu więcej niż jeden cel. Straci koncentrację.

Zrobiłem, jak kazał. Posłuszny poleceniu, odsunąłem się w lewo. On był tu mistrzem. Walczyłem już kiedyś z gadźcem, wiedziałem zatem doskonale, że Bill Arkwright poradziłby to samo: Bill specjalizował się w unieszkodliwianiu wszystkich stworów żyjących na bagnach i w wodzie.

Teraz dotarliśmy już bardzo blisko brzegu rzeki. Trzciny i zarośla przesłoniły postać stracharza, choć wydało mi się, że wciąż słyszę towarzyszące jego krokom mlaśnięcia.

Niespodziewanie do plusków pośród trzciny dołączył jakiś nowy dźwięk: ciężki, mokry, oślizgły szelest, zupełnie jakby ktoś upadł na plecy i zsuwał się po stromym zboczu do wody. Dźwięk jednak stawał się coraz głośniejszy, bliższy, wędrując w górę zbocza, wprost ku nam. Serce zabiło mi mocniej ze strachu.

Wtem coś wyskoczyło spomiędzy trzciny wprost przede mną, rzucając się ku mej głowie. Odskoczyłem na bok. Ujrzałem owo

coś, nim błyskawicznie się wycofało: giętkie ciało, podobne do grubego węża, małe, złośliwe oczy i paszczę pełną ostrych kłów.

W żadnym razie nie zaatakował mnie gadziec – a przynajmniej nie z rodzaju tych, z jakim kiedyś walczyłem. Wąż? Z gromady węży znałem dotąd jedynie małe zaskrońce i znacznie rzadsze żmije zygzakowate. Ten jednak okazał się olbrzymem. Z pewnością to bugan, który przybrał postać wielkiego węża.

W ślepej panice z trudem dźwignąłem się na kolana. Zdążyłem w ostatniej chwili. Zaatakował znowu. Tym razem pchnąłem go laską. Stwór syknął, znów się wycofał. Ostrożnie podniosłem się na równe nogi. Usłyszałem szelest po prawej. A potem stracharz krzyknął coś – za pierwszym razem nie zrozumiałem, lecz kiedy powtórzył, pojąłem, że przekazuje mi ostrzeżenie.

– Hydra!

Dzięki naukom mistrza wiedziałem, że wpadliśmy w poważne kłopoty. Istnieje wiele odmian hydry, niektóre prawdziwe, inne będące jedynie fantastycznymi wizjami bajkopisarzy. Egzemplarz opisany w bestiariuszu stracharza nosił nazwę scylla i posiadał siedem głów. Wszystkie hydry mają co najmniej kilka głów, a ta atakowała mojego mistrza i mnie jednocześnie.

I znów usłyszałem charakterystyczny szelest. Wężowata głowa wystrzeliła ku mnie tuż nad ziemią. Rozpychając trzciny, wzniosła się do mego gardła. Tym razem jednak byłem gotowy: posłużyłem się laską jak włócznią. Z całych sił wraziłem klingę między zęby stwora, popychając ostrze w głąb jego gardła. Bugan wrzasnął, szarpnął się, z zębatego pyska trysnęła krew. Cofnął się natychmiast, o mało nie wyrywając mi kija z ręki, ja jednak przytrzymałem sprzęt mocno. Głowa demona zniknęła, a gdy się zanurzała w trzciny, spomiędzy zębów wciąż bił strumień krwi.

Podążyłem za bestią na skraj wody. Ujrzałem bugana na brzegu, oprószonego blaskiem księżyca. Cielsko kryło się pod wodą, lecz wijące się głowy pozostały ponad tonią, starając się mnie sięgnąć. Naliczyłem ich dziewięć, ale potem poddałem się, bo poruszały się zbyt szybko. Najbliższa mnie zwisała bezwładnie, z

otwartej paszczy ściekała unoszona nurtem ciemna krew. Tę głowę przed chwilą przebiłem. Stracharz, który także dotarł na brzeg, wymierzał szaleńcze ciosy laską. Głów jednak było zbyt wiele, atakowały wciąż, zawodząc przenikliwie. Jak poradzić sobie ze wszystkimi?

– Do mnie, chłopcze! – zawołał stracharz, wbiegając do rwącej rzeki. – Serce hydry – musimy dotrzeć do jej serca! Ja zajmę się ciałem, a ty pilnuj głów!

Z pluskiem podbiegłem do boku mistrza. Woda sięgała nam do pasa, w szybkim nurcie z trudem utrzymywałem się na nogach. Szare ciało na moment wynurzyło się z toni, a potem znów zniknęło. Obserwując rozwój wydarzeń, uczułem nadzieję. Wyglądało bowiem, że stwór nie ma twardego łuskowego pancerza gadźca, więc zdołamy przebić go, kłując klingami. Bez wątpienia demon zrezygnował z ochrony w zamian za możliwość dodatkowego ataku, jaką zapewniało wiele zębatach głów. Nieustannie wymachiwałem laską na wszystkie strony, starając się dźgać w każdą zachłanną paszczę, która nieopatrznie się zbliżyła.

Stracharz tymczasem wziął się do atakowania ciała hydry – wbił kij głęboko, oparł się na nim całym ciężarem. Ja broniłem nas przed głowami oraz przed niebezpiecznymi zębami.

Nie mam pojęcia, jak długo trwała ta walka. Pamiętam tylko wodę czarną od krwi i owe połyskujące srebrzyście w promieniach księżycy demoniczne głowy, które usiłowały nas pożreć. W pewnym momencie o mało nie zostałem pokonany – żarłoczne szczęki otoczyły mnie ze wszystkich stron – wtedy stracharz musiał przerwać natarcie na ciało, pomagając mi zwalczyć atakujące łby. Potem usłyszałem krzyk z brzegu. Zobaczyłem Alice. Stała tam, wymachując krótkim nożem. Krzyczała coś do bugana, próbując odciągnąć jego uwagę.

Kilka głów natychmiast skoczyło ku niej. Bałem się o przyjaciółkę, lecz chwila, gdy demon skupił się na niej, stworzyła nam szansę. Stracharz z wściekłością podjął przerwany atak. Po

chwili jego wykuta ze stopu srebra klinga odnalazła serce demona. Rozległ się huk, otoczyła nas chmara smrodliwego powietrza, a potem wezbrana woda zalała mnie wysoką falą. Na moment poszedłem na dno, wciąż ściskając w dłoni laskę. Lecz zaraz wypłynąłem.

W końcu wraz ze stracharzem wyczołgaliśmy się zmęczeni na brzeg rzeki. Twarz Alice zdradzała nieklamana ulgę. Ociekając wodą, stanąłem obok niej. Dygotałem.

– Już po buganie, chłopcze. Nie pozostał nawet ślad. – Stracharz pochylił się, wyczerpany. – A co do ciebie, dziewczyno: czy nigdy nie słuchasz, gdy coś ci każe czynić?

– Gdyby Alice posłuchała, pewnie obaj byśmy zginęli – zauważyłem z oburzeniem.

Mój mistrz przytaknął niechętnie, nie podjął jednak tematu. Wiedział, że mam rację.

– Teraz czas zająć się czarownicą – wymamrotał.

## **ROZDZIAŁ 29**

### **ZWIASTUN SMUTKU**

Gdy tylko dołączyliśmy do Adriany i Simona, stracharz zaczął szukać śladów Kościstej Lizzie. Wiedziałem, że jest świetnym tropicielem, ale czy zdoła odnaleźć trop w słabym blasku księżyca, skoro nawet Alice niczego nie wywęszyła? Patrzyliśmy, jak krąży po lesie, sprawdzając systematycznie każdą piędź ziemi. Od czasu do czasu przystawał, klękał, przyglądał się uważnie. Może trudził się na marne? Może Lizzie wciąż ukrywała się w tunelach?

Minęła niemal godzina, nim mistrz coś znalazł i wezwał nas machnięciem ręki. W błocie widniały trzy odciski stóp, wyciśnięte świeżo w gruncie przez szpiczaste trzewiki...

– Nie należą do mnie, bez dwóch zdań – mruknęła Alice. – Lizzie ma wielkie stopy, o tak. Znacznie większe niż moje.

– A zatem zmierza na południowy zachód – wywnioskował stracharz. – Tam właśnie powinniśmy się udać.

– Chciałabym o coś spytać... – przerwała mu Alice.

– W czym rzecz, dziewczyno? – spytał niecierpliwie mój mistrz.

– Nie ma czasu do stracenia, więc się streszczaj.

– Nie zamierza pan po prostu znów skrępować Lizzie, tylko ją zabić, prawda?

W gruncie rzecz wcale nie pytała. Z wyrazu jej twarzy odczytałem, że zna prawdę i że wcale jej ona nie cieszy.

Stracharz skinął potakująco głową. Minę miał ponurą.

– Nie zostawiła mi wyboru, dziewczyno. Zbyt wielu niewinnych uśmierciła. Nie wolno pozostawić takiej wiedźmy na swobodzie – zwłaszcza biorąc pod uwagę jej ambicje. Gdyby jej się udało, cała tutejsza wyspa pograżyłaby się pod jej władaniem w mroku. Kto wie, na co poważyłaby się w przyszłości? Proponuję, byś zaczekała tu do czasu naszego powrotu. To w końcu twoja matka. Nie musisz nam towarzyszyć. Dość już zrobiłaś, dziewczyno. Wracaj do młyna z Adrianą, razem wyglądajcie końcowego rozstrzygnięcia.

Wiedziałem jednak, że Alice odmówi. Z pewnością nie chciała oglądać śmierci własnej matki, ale gdyby tu została, znalazłaby się poza zasięgiem słońca krwi. Musiała mi towarzyszyć.

Pokręciła głową.

– Muszę tam być – rzekła cicho.

– Ja też przyrzekłam sobie ścigać Lizzie – oznajmiła Adriana. – Chyba jednak przyda się wam moja pomoc. Jesteś z nami, Simonie?

Simon Sulby przytaknął.

– Tak – oświadczył z determinacją. – Resztę życia spędzimy razem, czyli to również winniśmy załatwić wspólnie.

\*

Maszerowaliśmy jak najszybciej, lecz po pół godzinie nie dostrzeżliśmy ani śladu wiedźmy. Mój mistrz zaczął się niepokoić.

– Musimy doścignąć Kościstą Lizzie, chłopcze – rzekł. – I rozprawić się z nią raz na zawsze.



– Może powinniśmy wrócić do młyna po psy? – podsunąłem. – Wkrótce ją wytropią.

– Brakuje czasu. Już i tak zanadto nas wyprzedziła. – Mój mistrz ukląkł ponownie. Zbadał ziemię w pobliżu, po czym pokręcił głową. – Zaczekajcie tutaj. Zobaczę, czy zdołam odnaleźć jej trop.

Ruszył między drzewa. Podobnie jak wcześniej, co chwilę przystawał, przyglądał się uważnie. Niebo zasnuły chmury, księżyc przebłyskiwał zaledwie od czasu do czasu.

– Czy uda mu się znów ją znaleźć? – spytała Adriana. – Jest znakomitym tropicielem, ale to bardzo trudne zadanie – odparłem. – Czarownice z Pendle potrafią się ukryć, maskując ślady za pomocą czarnej magii. Siódmy syn siódmego syna nadal da radę podążać za nimi, lecz solidnie się przy tym namęczy. Jeśli wkrótce stracharz nie odnajdzie tropu, Lizzie ucieknie.

Mój mistrz zniknął nam z oczu. Po paru minutach wychynał znów na skraju zagajnika. Wezwał nas gestem. Gdy doń dotarliśmy, obdarzył nas jednym ze swych rzadkich uśmiechów. Wskazał ręką błotnistą kałużę obok pnia drzewa. W błocie widniały dwa wyraźne ślady. Szpiczaste trzewiki...

– Przynajmniej mamy potwierdzenie co do kierunku. Nadal prze na południowy zachód – oznajmił. – Liczy na ucieczkę za morze. Pewnie zmusi jakiegoś biednego rybaka, by zawiózł ją na zachód, do Irlandii.

Przyspieszyliśmy kroku. Jeszcze dwukrotnie stracharz odnajdywał ślady Lizzie, potem jednak ostatecznie zgubił trop.

Adriana sądziła, że czarownica skieruje się zapewne do Port Erin bądź Port St. Mary – w obu przystaniach cumują statki zdolne dotrzeć do zachodniej wyspy nawet przy wzburzonym morzu.

Maszerowaliśmy dalej w ciemności, ile sił w nogach, gdy nagle odległa błyskawica zamieniła noc w dzień. Po niej nastąpił niski pomruk grzmotu. Wreszcie zerwał się wiatr. Zmierzła ku nam burza. I to jaka! Po kilku minutach strugi ulewnego deszczu zmusiły nas do szukania schronienia w zagajniku. Tymczasem z

chmur nad naszymi głowami wystrzeliwały szalone błyskawice.

– Gdybym nie wiedział, że to niemożliwe, powiedziałbym, iż to Lizzie przysłała burzę, by nas powstrzymać – zauważył stracharz, czekając, aż żywioł się uspokoi.

Mało prawdopodobne, by po odcięciu od skarbcza zdołała odnaleźć w sobie dość mocy, aby wywołać podobny sztorm. Nadal jednak była silna – o czym wkrótce przekonaliśmy się na własnej skórze.

Burza uspokoiła się równie szybko, jak nadeszła. Chmury umykały na wschód. Niespodziewanie zalała nas fala księżycowego blasku.

Mieliśmy właśnie porzucić schronienie wśród drzew, kiedy w ciszy zaległej po burzy usłyszeliśmy kakofonię pisków. Nadciągała z zachodu.

– Szczury! – krzyknął Simon.

W chwilę później okazało się, że miał rację. Wszyscy dostrzeżliśmy stado wielkich, wściekłych szczurów o długich wąsach i giętkich ogonach. Wiedziałem, że czarownice potrafią przywoływać do siebie szczury, by wypijać ich krew, ale nigdy nie słyszałem, aby posłużyły się gryzoniami do ataku na nieprzyjaciół. Cóż, wkrótce musieliśmy walczyć o własne życie. Wymachiwaliśmy kijami, tłukąc o ziemię, miażdżąc kolejnych napastników. Rozpaczliwie odrywaliśmy od siebie szczurze ciała. One zaś wspinały się nam po nogach, gryząc, drapiąc. Próbowwały dostać się do twarzy i gardeł.

Usłyszałem krzyk Alice. Odwróciwszy się, zobaczyłem, że pokrywają ją szczury. Próbowwała osłonić głowę, ale wyglądało, że przegra. Oderwałem od dziewczyny wielkiego szczura, cisnąłem na ziemię, rozdeptałem. Co chwila pojawiały się kolejne fale szarych gryzoni. A potem nagle zaczęły uciekać, pozostawiając za sobą masę martwych i umierających współbraci.

Na szczęście, bardziej utrudziło nas zmęczenie niż rany.

– Robota Lizzie – mruknąłem.

– Owszem, chłopcze, bez dwóch zdań – odparł stracharz. –

Wszelako możemy tylko zgadywać, dlaczego nagle uciekły. Może Lizzie nie chce zużyć zbyt wiele ze swych mocy. Nie wykluczam, że oszczędza resztę na później.

\*

O świcie zatrzymaliśmy się i odpoczęliśmy parę godzin. Simon zaproponował, że obejmie wartę, podczas gdy reszta się zdrzemnie. Tylko stracharz zdołał zasnąć. Jego drzemka nie trwała długo; obudził się z jękiem, zlany potem. Lizzie znów coś szeptała w jego głowie.

Nagle Adriana zaczęła dygotać. Simon obrócił się ku niej, zatroskany. Objął młynarzównę ramieniem.

– Co się stało, najdroższa? – spytał.

– Znów ta sama wizja – rzekła. – Dopadło mnie po raz kolejny przecucie, że mój czas na tym świecie wkrótce upłynie.

– Przecież czułaś już coś takiego, nim sturlali cię ze wzgórza. A jednak przeżyłaś próbę w beczce, prawda? – przypomniałem.

– Owszem, ale tym razem przecucie jeszcze się spotęgowało. Wkrótce umrę, bez dwóch zdań.

By podtrzymać nadwątlone siły, w napotkanym domku kupiliśmy chleb i ser. Właśnie wtedy Adriana zaproponowała, iż ponownie użyje swych mocy. Stracharzowi się to nie spodobało, ale nie znalazł lepszego wyjścia.

Uniosła do ust dłonie i wydała wysoki, piskliwy okrzyk. W odpowiedzi na wezwanie po paru minutach z nieba opadła para krogulców. Ptaki przysiadły jej na ramionach. Pogładziła każdego delikatnie koniuszkiem palca wskazującego. Szeptała coś tak cicho, iż – choć stałem blisko – nie zrozumiałem ani słowa.

Ptaki odfrunęły, lecz po godzinie wróciły. Tym razem zatoczyły krąg nad naszymi głowami. Następnie odleciały w inną stronę. Kiedy powtórzyły ów manewr, Adriana wskazała w kierunku, jaki obrały.

– Znalazły ją – oznajmiła. – Szła tędy, kieruje się do Port Erin.

Adriana okazywała się faktycznie ptasią czarownicą. Jej magia zdołała wytropić Kościstą Lizzie. Wkrótce stracharz natrafił na

kolejny odcisk szpiczastego trzewika w błocie. Znów podążaliśmy tropem czarownicy. Potem zaś Alice potwierdziła, że teraz wyczuwa obecność matki. W końcu o zmierzchu zobaczyliśmy w dali Lizzie. Mimo wyczerpania przyspieszyliśmy kroku.

Maszerowała przed nami w gęstniejącym zmierzchu: dostrzeżliśmy ją raz jeszcze, niecałe pół mili dalej, zapadła już jednak prawie zupełna ciemność, w dodatku z nieba lunął nagły deszcz. Nie minęło pięć minut, gdy przemoczył nas do suchej nitki. I ustał.

Adriana z Simonem biegli obok mnie oraz Alice, stracharz spieszył tuż za nami; z każdym krokiem zbliżaliśmy się do kościanej wieżmy. Wkrótce usłyszałem w dali gniewny ryk morza, któremu towarzyszyły rytmiczne uderzenia fal o skalisty brzeg. Wreszcie księżyc wyłonił się zza chmury, zalewając okolicę srebrzystym blaskiem. Dostrzegłem Lizzie niecałe sto jardów przed nami. Wtedy Simon zauważył coś na ziemi, parę szpiczastych trzewików leżących w trawie.

Lizzie zrzuciła je w rozpaczliwej próbie zwiększenia tempa ucieczki.

– Biegnie wprost na przylądek. Odcieśliśmy ją od portu. Nie wie, dokąd pójść, przed nią słone morze! – zawołał stracharz.

Miał rację. Lizzie pędziła wprost na grzbiet urwiska. Wkrótce stawimy czoła mocom, jakie wciąż jeszcze zachowała. Czy wciąż była silna? Czy nasza piątka zdoła ją pokonać? Nie mieliśmy pewności, ale musieliśmy spróbować.

Lecz wtedy wydarzyła się katastrofa. Alice pośliznęła się na mokrej trawie, upadając ciężko. Zatrzymałem się, pomogłem przyjaciółce. Kiedy jednak spróbowała stanąć na lewej nodze, ta ugięła się pod nią. Dziewczyna runęła na kolana. Stracharz, przebiegając obok, odwrócił się, by krzyknąć do mnie:

– Zostaw Alice, chłopcze! Wrócimy po nią później! Potrzebuję cię przy sobie! Już! – Biegł dalej w kierunku urwiska, jego kroki cichły w dali.

– Tak, zostaw mnie, Tom! Skręciłam nogę w kostce. On ma

rację, będzie potrzebował wszelkiej możliwej pomocy, żeby pokonać Lizzie. Nadal zachowała siłę

– Nie, musimy trzymać się razem – przypomniałem, chwytając ją pod lewe ramię. Podźwignąłem Alice. – Wiesz, dlaczego nie możemy ryzykować rozstania...

Alice kuśtykała naprzód, jęcząc z bólu. Czarownica nie miała już dokąd uciekać. Odwróciła się plecami do morza, stając naprzeciw stracharza, Simona oraz Adriany. Zwolnili kroku, nadal jednak zbliżali się po wąskiej, porośniętej trawą iglicy sterczącej ponad morzem. Fale rozbijały się na skałach w dole i cofały, by znów runąć naprzód.

Z początku nic się nie działo. Nagle, niczym cios wprost w splot słoneczny, znów poczułem moc Lizzie. Wiedźma odebrała mi oddech, o mało nie zatrzymała serca. Nie użyła jednak grozy ani innego zaklęcia, które unieruchomiłoby nas aż do chwili, gdy ona odebrałaby nam życie nożami. Przywołała natomiast zaklęcie-rozkaz. W jednej chwili ogarnęło mnie przemożne pragnienie, by biec naprzód i rzucić się z urwiska. Chciałem runąć na skały, rozpaść się na kawałeczki, stać się nicością – jakbym nigdy się nie urodził.

Walczyłem, lecz jej siła przeważała. Czuję przemożny zew grzywaczy widocznych w dole. Nigdy jeszcze tak bardzo niczego nie pragnąłem.

Daleko z przodu stracharz przykucnął, wciąż ściskając w lewej dłoni laskę. Prawą chwycił się kępy trawy, jakby umiała przytrzymać go na górze. Potem jednak, ku mej rozpacz, Simon puścił się biegiem w stronę przepaści. Pojąłem, że zamierza skoczyć!

Usłyszałem krzyk Adriany, przeciągły skowyt rozpacz, oraz bólu. Simon rzucił się w pustkę. Zniknął. Pod wpływem mrocznej magii Lizzie skoczył z urwiska, wprost w objęcia śmierci.

Przed nami Adriana uniosła ręce nad głowę. Wskazała na niebo, wygięła plecy, tak jak wcześniej Lizzie. Potem zaczęła nucić, posyłając słowa ku firmamentowi. Przemawiała w Dawnej Mowie,

wszelako zbyt szybko, bym cokolwiek zrozumiał.

Odpowiedział jej grzmot i błyskawica. Nagle daleko, w górze, niebo zapełniło się ptakami. Przybywały wrony, kruki, kosy, zięby, jaskółki – i samotna sroka..zwiastun smutku.

Wraz z Alice dotarliśmy już niemal na urwisko. Usłyszałem, jak Adriana bardzo powoli, wyraźnie wymawia trzy kolejne słowa. Mimo kiepskiej znajomości Dawnej Mowy, z łatwością je przetłumaczyłem. Rzuciła rozkaz:

– Wydziobcie jej oczy!

Ptaki, od najmniejszego do największego, bez zwłoki posłuchały: jednocześnie zanurkowały, by zaatakować czarownicę. Przez moment Lizzie zniknęła nam z oczu, popychana bezładnie przez stado oszalałych, wrzeszczących ptaków. Okazało się jednak, że nie tak łatwo ją pokonać. Znów rozbłysło światło, któremu towarzyszyła fala straszliwie gorącego powietrza, aż musiałem zamknąć oczy. Kiedy je otworzyłem, ptaki o płonących skrzydłach krzyczały, sypiąc się z nieba. Niektóre, poczerniałe od ognia, spadały na skały, inne pikowały ku morzu, ciągnąc za sobą smugi dymu. Lizzie strąciła je z nieba.

Adriana z donośnym szlochem pomknęła ku niej, lecz kościana czarownica chwyciła przeciwniczkę za gardło i poderwała z ziemi.

Wiedziałem, co teraz nastąpi: wypuściłem więc Alice i, potykając się, pobiegłem naprzód. Chciałem jakoś pomóc. Lecz świat wciąż wirował wokół mnie. Musiałem opaść na kolana, ze wszystkich sił zmagając się, by nie skoczyć w otchłań, wciąż ogarnięty przemożnym pragnieniem runięcia w przepaść.

Na moich przerażonych oczach Lizzie cisnęła Adrianę z urwiska. Lecąc ku skałom, dziewczyna wydała z siebie przenikliwy, ptasi krzyk. A potem zniknęła.

## **ROZDZIAŁ 30**

### **CAŁA PRAWDA**

Twarz Lizzie rozjaśnił szyderczy uśmiech.

– Wiesz, dlaczego chłopak został z tyłu z dziewczyną? – spytała stracharza. – Wiesz, czemu cię nie posłuchał? Potrzebuje jej bardziej niż kogokolwiek na tym świecie. Twój uczeń zaprzedał duszę Złemu; teraz jedyną rzeczą, jaka chroni jego i dziewczynę, jest słoń krwi. Właśnie dlatego muszą trzymać się razem. Używa mrocznej magii, by ocalić ich oboje. To zaledwie krok od oddania się we władzę mroku!

Stracharz, powstawszy chwiejnie na nogi, spojrzał na mnie. Kiedy nasze oczy się spotkały, spostrzegłem na jego twarzy smutek i zawód. Rozczarowałem go. Nie byłem takim uczniem, za którego mnie uważał. Lizzie roześmiała się głośno, przeciągle. W owym paskudnym śmiechu dźwięczał triumf, a także świadomość, że mrok zwyciężył.

Ale bitwa jeszcze się nie skończyła. Adriana umarła, lecz jej ostatni krzyk nie był jedynie wyrazem bólu i grozy, ale też rozkazem. W górze rozbrzmiały ponownie przenikliwe wrzaski. Nadlatywało wielkie stado mew – dużych, agresywnych ptaków, które Alice nazwała kiedyś „skrzydlatymi szczurami”.

Nagle pomknęły ku czarownicy. Ich przenikliwy skwir rozdarł powietrze. Koścista Lizzie zamachała rękami, by przepłoszyć agresorów. Kręciła ramionami niczym wiatrak podczas huraganu. Może wyczerpała już swoją moc, a może mew przybyło zbyt wiele, więc nie zdołała przygotować się na atak. Mewy zanurkowały wprost ku niej, rozpościerając szpony. Wkrótce widziałem już tylko ptaki, chaotyczne kłębowisko trzepoczących skrzydeł oraz napastliwych dziobów.

Przez moment dostrzegłem jeszcze głowę Lizzie: zasłaniała dłońmi twarz, między palcami wiedzmy ściekała krew. Odchylona pod nieprawdopodobnym kątem, cofnęła się chwiejnie w stronę urwiska. W blasku księżyca zobaczyłem czarne dziury w miejscach oczu, usta szeroko otwarte w krzyku, niemal zagłuszającym ptasie wrzaski. A potem mewy znów ją przesłoniły. Kiedy wzleciały w niebo, Lizzie zniknęła.

Podbiegłem do przepaści, spojrzałem w dół. Przez moment oglądałem strzaskane truchło wiedźmy. Aż nagle zalała ją wielka fala i wciągnęła w słone objęcia morza. Kościana czarownica zniknęła.

– No, chłopcze, z nią już koniec. – Stracharz podszedł, zatrzymał się obok mnie. – Jeśli dotąd nie zginęła, słona woda szybko ją zabije. A niedługo stanie się łupem dla ryb. Zjedzą ją całą, łącznie z sercem. Już nie wróci.

– Biedna Adriana z Simonem też zginęli – powiedziałem ze smutkiem.

Na skałach w dole nie dostrzegłem nawet śladu ich ciał. Morze ich także zabrało.

Mój mistrz przytaknął.

– Tak, bardzo to smutna sprawa, chłopcze, lecz córka młynarza uratowała nam życie. Faktycznie, była czarownicą, bez dwóch zdań!

– Ale jakim rodzajem czarownicy? – spytałem. – Nie używała magii krwi ani kości, nie posiadała pobratymca.

– Spotkałem się w jej osobie z czymś zupełnie dla mnie nowym, chłopcze. Nigdy wcześniej nie natrafiłem na nikogo podobnego. Może po prostu dysponowała szczególnym darem, którego nie da się wyuczyć ani przekazać innym.

– Adriana okazała się złą czarownicą – upierałem się.

Mistrz nie odpowiedział. Wiedziałem, że się nie zgadza. Adriana posłużyła się magią, aby zabić. Według niego fakt, iż ukatrupiła Lizzie, bezecną wiedźmę, nie liczył się. Ważne było, że sięgnęła po pomoc mroku.

Usłyszałem za nami jakiś dźwięk. Obróciwszy się, dostrzegłem kuśtykającą Alice. Stracharz popatrzył na nas kolejno.

– Lizzie mówiła, że zaprzedałeś duszę, że używasz słoja krwi... Proszę, uspokój mnie, zapewnij, że kłamała – rzekł cicho.

– Nie jestem w stanie – zwiesiłem głowę. – Prawda, oddałem Złemu duszę. Alice zrobiła słoje krwi i tylko on nas przed nim chroni. Dlatego właśnie nie mogłem jej zostawić. Gdybym to zrobił,



Zły porwałby ją w zemście za to, że mnie ocaliła.

– Dlaczego zaprzedałeś mu duszę? – Zmarszczył brwi. – Jaki głupiec oddałby duszę Złemu?

– To się stało na Meteorach, w Grecji. Długo by o tym mówić, lecz gdybym się wahał, wszyscy stracilibyśmy życie. Całemu zaś światu – nie tylko Hrabstwu – groziłoby śmiertelne niebezpieczeństwo...

Stracharz westchnął. W westchnieniu owym zadźwięczał smutek zmieszany z nutą rozpacz.

– Poszukajmy jakiegoś miejsca na popas – rzekł cicho. – Jestem znużony. Porozmawiamy rano.

Ze spuszczoną głową zawrócił. Ruszył naprzód, z powrotem w stronę młyna, skąd musieliśmy zabrać torby. Kiedy tylko odwrócił się do nas plecami, Alice wsunęła dłoń do kieszeni sukienki i wyciągnęła z niej dwa małe przedmioty, po czym cisnęła je w przepaść, do morza. Spadając, zaśniły srebrzyście w promieniach księżycy; miały tę samą barwę, co łzy w jej oczach.

To były kciuki szamana.

\*

Na szczęście, szybko natknęliśmy się na zrujnowany domek. Pozostały z niego zaledwie trzy ściany, bez dachu, ale przynajmniej zyskaliśmy pewne schronienie. Szczęśliwie tej nocy już nie padało, toteż zatrzymaliśmy się w domku na noc.

Ocknęliśmy się o świcie, zeszywniali, zmarznięci. Stracharz rozpałił ogień, ja zaś ruszyłem na poszukiwanie królików na śniadanie. Zdołałem złapać tylko jednego, oparłem go, wypatroszyłem, oddałem Alice do upieczenia. Skubnęliśmy ledwie po parę kęsów, ale przynajmniej nieco zaspokoiliśmy głód.

W czasie posiłku zaczęło mżyć, z zachodu napłynęły czarne chmury. Widzieliśmy, że pogoda się pogorszy. W końcu nadeszła chwila na wyznanie całej prawdy.

– No dobrze, czas porozmawiać – polecił stracharz. – Niczego nie pomijaj. Chcę wiedzieć wszystko. Nie obchodzi mnie, jak bardzo jest źle, chcę wiedzieć. Zacznijmy od ciebie, dziewczyno. Opowiedz

o słoju krwi. Ty go zrobiłaś?

Alice przytaknęła.

– Mam rację, sądząc, że umieściłaś w środku własną krew – krew córki Złego, a także krew mego ucznia, Toma?

Alice ponownie przytaknęła. Zwiesiła głowę.

– Cóż, chłopcze, doprawdy, trudno mi uwierzyć. Dałeś jej własną krew, by mogła jej użyć do mrocznego zaklęcia?!

– Nie! – krzyknęła z oburzeniem Alice. – To nieprawda. Tom leżał nieprzytomny, kiedy wzięłam jego krew. Jeszcze w Grecji, gdy znajdowaliśmy się w jaskini, kiedy zawalił się strop. Tom stracił przytomność, toteż wzięłam trzy krople jego krwi, po czym dodałam do mojej w słoju. Nic w ogóle nie wiedział. Dopiero później, kiedy przyszedł po niego Zły, wepchnęłam mu słoje do ręki. Odtąd musiał nosić słoje przy sobie, by powstrzymać Złego od powrotu i porwania w mrok. Ja też muszę przebywać blisko Toma, inaczej Zły zemści się na mnie!

– Wyjaśnij zatem, co dostałeś w zamian za swą duszę? – spytał stracharz.

Wyjaśniłem. Zły zaoferował mi trzy rzeczy: ujawnienie miejsca pobytu naszego straszliwego wroga, Ordyny, jednogodzinną zwłokę, nim ona się przebudzi, wreszcie – życie. To znaczy – życie samego stracharza oraz Alice, gdyż czekała ich nieuchronna śmierć.

– Co więcej, ukazał mi przyszłość – dodałem. – Tego dnia zginęłyby tysiące: mężczyźni, kobiety, dzieci. Gdyby wtedy w Grecji Ordyna zwyciężyła, jako następne, zniszczyłaby Hrabstwo. W przeszłości opierałem się pokusom mroku – nawet gdy w grę wchodziło życie mojej rodziny. Tym razem jednak chodziło o Hrabstwo. A pan zawsze mnie uczył, że mamy je chronić i że obrona Hrabstwa, a także jego mieszkańców stanowi nasz najważniejszy obowiązek. Dlatego właśnie zrobiłem, co zrobiłem. Nie dla Alice, nie dla pana – dla Hrabstwa. Uznałem, że cena warta jest mojej duszy.

– Pokaż – szepnął cicho stracharz.

Sięgnąłem do kieszeni portek, wyciągnąłem niewielki słoje. Uniosłem go na otwartej dłoni, by mógł obejrzeć, jak należy.

– Daj mi to – polecił mój mistrz.

– Rozstanie ze słoje choć na chwilę grozi niebezpieczeństwem...

– Podaj mi słoje, chłopcze! – rozkazał gniewnie, podnosząc głos.

Zareagowałem nerwowo, lecz uczyniłem, jak kazał. Przyjrzał się uważnie, przez moment jego palce obejmowały korek. Wystarczyło szarpnięcie, by otworzyć naczynie i wychlustać krople krwi. Serce podeszło mi do gardła.

– Co by się stało, gdybym go rozbił albo wylał zawartość? Czy dziewczyna zdołałaby zrobić kolejny?

– Nie potrafię zrobić drugiego, by uchronić Toma – odparła Alice. – Takiego zaklęcia można użyć tylko raz. – Czyli nadszedłby koniec dla mnie i dla Alice – dodałem. – Zły przybyłby po nas. Zginęlibyśmy, a nasze dusze trafiłyby w mrok. Pan pewnie także: Zły nie oszczędziłby stracharza.

– Bez pogroźek, proszę, chłopcze. Uczynię, co należy, nie zważając na cenę.

– Ani mi w głowie pana straszyć; po prostu wyjaśniam, jak się rzeczy mają. Dużo o tym myślałem. – odparowałem.

– Czy przybyłby natychmiast? – spytał stracharz, spoglądając z namysłem. – Gadaj, dziewczyno. Ty zrobiłaś mieszankę krwi, więc powinnaś wiedzieć. Ja nigdy nie zetknąłem się z tego rodzaju słoje.

– Nie wykluczam, iż zjawiłby się tu w jednym mgnieniu oka – odparła Alice.

– Jakież żalosne czeka cię życie – stracharz pokręcił głową. – Pozostaniesz w ciągłym strachu, z byle słoiczkiem dzielącym cię od straszliwej przyszłości. A potem, gdy umrzesz, co nieuniknione, Zły będzie na ciebie czekał. Odbierze twą duszę, gdy tylko wydasz ostatnie tchnienie.

– Nie, jeśli Tom zdoła wcześniej uwięzić go bądź zniszczyć.

– A jak, u licha, miałby to zrobić? – spytał ostro stracharz.

Alice wzruszyła ramionami.

– Mama Toma wierzyła, że pewnego dnia tego dokona...

– A wspomniała jakim cudem?

– Być może ów sekret kryje się wśród jej papierów oraz notatników w wieży Malkinów – podsunąłem.

– Cóż, chłopcze, trudno wykluczyć. Lecz kiedy przeglądałem ostatnio tamte szpargały, niczego odpowiedniego nie znalazłem. A wieża Malkinów leży daleko stąd, za morzem, obecnie za linią wroga. Nie mogę jednak powstrzymać myśli, że gdyby twoja mama naprawdę wiedziała, jak uwięzić bądź zniszczyć Złego, wytłumaczyłaby ci to, zanim ruszyliśmy do Grecji. Ostatecznie, jak pisała w listach, sądziła, że będzie musiała poświęcić własne życie, by pokonać nieprzyjaciółkę. Cóż, sądzę raczej, iż miała nadzieję, że sam odkryjesz sposób, jak skutecznie działać.

Zapadła długa cisza. Zastanowiłem się, co ujrzałem wewnątrz siebie. Może to podpowie mi sposób...

A potem odezwała się Alice:

– Znam kogoś, kto rozmyślał nad metodą walki ze Złym bardzo długo. To Grimalkin...

– Wiedźma zabójczyni? – Mój mistrz z irytacją podrapał się po brodzie. – Z każdą chwilą robi się jeszcze gorzej!

– Kiedyś wspomniała mi, jak bardzo nienawidzi Złego. Mówiła, iż sądzi, że da się go skrępować srebrnymi włócznieami – podjęła Alice.

– Jak? W jamie?

– Trzeba go nabić na włócznie – wyjaśniła. – Wówczas moglibyśmy pogrzebać Złego pod kamieniem, tak jak to pan robi z boginami. Czy gadam bzdury?

– Niekoniecznie, dziewczyno. Kiedy demon, taki jak bugan bądź Mór, przyjmuje postać materialną, a ty przebijasz mu serce, zazwyczaj zostaje zniszczony. Wątpię, by to wystarczyło do zabicia Złego: jest zbyt potężny. Tak czy owak, skąd wzięlibyśmy włócznie ze stopu srebra? – Stracharz pokręcił głową.

– Grimalkin by je wykuła. Świetnie zna się na kowalstwie.

Moglibyśmy po nią posłać, sprowadzić tutaj.

– Bez wątpienia użyłabyś w tym celu lustra! – Twarz stracharza spochmurniała jeszcze bardziej. – Znów mroczna magia...

– Co się stało, to się nie odstanie – warknęła Alice. – Ale teraz liczy się przede wszystkim bezpieczeństwo Toma. Zresztą Grimalkin ma głowę na karku. Nieważne, wojna czy nie, znajdzie sposób, by tu dotrzeć.

– Potrzebuję czasu, powinienem wszystko przemyśleć. – Stracharz oddał mi słój. – Na jakiś czas zejdzcie mi z oczu – oboje!

Przytaknąłem. Odeszliśmy powoli między drzewa. Alice nadal kuśtykała ciężko. Ucieszyłem się, że słój tkwi bezpiecznie w mojej kieszeni. Przez długi czas milczała, zaciskając wargi, jej twarz przypominała maskę. Potem rozplakała się, głośny szloch wstrząsał ciałem mojej przyjaciółki. Objąłem ją ramieniem, starając się pocieszyć. Jak najlepiej umiałem.

– Nie płaczę po Lizzie – sapnęła w końcu Alice, gdy jej rozpacz nieco złagodniała. – Ani nawet po biednej Adrianie lub Simonie, choć tak mi przykro, że oboje stracili życie, więc nie mogą cieszyć się szczęściem, na które zasłużyli. Nie, płaczę po darze, którego nigdy nie otrzymałam. Opłakuję taką mamę, którą powinna mieć każda dziewczyna: kogoś, kto by mnie kochał i przejmował się moim losem.

Po jakimś czasie uśmiechnęła się. Otarła z oczu łzy grzbietem dłoni.

– Dziękuję, że uratowałaś mi życie tam, w lochach, Alice – odezwałem się cicho. – Bagan wysysał wszystkie moje siły. Czulem, jak uchodzi ze mnie życie. Byłem taki słaby, taki zmarznięty.

Alice uścisnęła mi dłoń.

– Gdy tylko w gabinecie szamana wymyśliłam, jak zawładnąć skarbcem, moc Lizzie zaczęła słabnąć. Posłużyłam się zaklęciem, by się ukryć. Minęłam ją z bliska, a ona mnie nie zauważyła. Poszłam do tuneli, zaczęłam pracować nad buganem. Przybrał

właśnie postać duchową i szeptał do ciebie, gdy w końcu dotarłam do niego myślami. Zdążyłam w ostatniej chwili, Tom. Zamierzał wyssać z ciebie wszystko za jednym zamachem, tak jak rozkazała Lizzie. Przywołałam cię, wytłumaczyłam, że trzeba walczyć. Posłuchałeś w ostatnim momencie, od razu zacząłeś stawiać opór. Potem znów poszukałam Lizzie, powstrzymałam ją przed zabranie twoich kości. Wtedy już wiedziałam, że wygramy. Okazałam się silniejsza od niej...

– Czy nadal posiadasz tę moc, Alice? – spytałem. – Czy wciąż potrafisz posłużyć się magią mroku?

– Nadal trochę mi zostało, ale szybko słabnie. Moc wciąż tkwi w pieczarze, lecz nie umiem już do niej sięgnąć.

– Jak myślisz, co postanowi stracharz?

– Stary Gregory pośle po Grimalkin, wspomnisz moje słowa. Kiedyś nawet by mu się to nie śniło, ale obecnie nie ma wyboru. Nie jest już tym człowiekiem, którym był dawniej. Zbyt wiele się zdarzyło: jego biblioteka spłonęła, żołnierze splądrowali Hrabstwo, a teraz przegrał walkę z potężną wiedźmą. I to nie raz, ale trzy razy. Gdyby nie Adriana, myślę, że Lizzie zatłukłaby nas wszystkich, łącznie ze starym Gregorym. Od tej pory ty zaczniesz rosnać w siłę, a on stopniowo osłabnie. Wszystkich nas kiedyś to spotyka. Mistrz ma za sobą długie życie poświęcone walce z mrokiem, teraz jednak jego walka dobiega końca. Ty zostaniesz nowym stracharzem, więc porządnie przygotuj się na dzień, gdy go zastąpisz.

Skinąłem głową. Musiałem przyznać, że w jej słowach kryje się sporo prawdy, ale nie czułem się wciąż gotów do zastąpienia mistrza. Objąłem ją mocno, znów przytuliłem. Raz jeszcze wspólnie przeżyliśmy i pokonaliśmy dwójkę kolejnych nieprzyjaciół świata.

Kiedy ruszyliśmy w stronę zrujnowanego domku, zauważyliśmy stracharza czekającego w wejściu. Co postanowił? Twarz miał posępną, obawiałem się, że zwiastuje najgorsze.

Myliłem się jednak.

– Poszukaj lusterka, dziewczyno, i wezwij Grimalkin – polecił mój mistrz. – Teraz nie mamy już wyboru. Musimy podjąć próbę uwięzienia Złego.

\*

Raz jeszcze większość wydarzeń opisałem z pamięci, w razie konieczności podpierając się notatkami. Nadal przebywamy na wyspie Mona, w burzliwym sercu zimy. Mieszkamy w opuszczonym domku, który wskazała nam Adriana. Przez ostatnie dwa miesiące zajmowaliśmy się stracharską robotą. Mój mistrz skończył już niemal odtwarzać książkę o czarownicach z Pendle, a Alice zgłosiła się na ochotnika, by wzbogacić zaczątki nowej biblioteki. Zaczęła spisywać relację z dwóch lat spędzonych na naukach czarów u Kościstej Lizzie; to wzbogaci naszą wiedzę na temat mroku.

Tunele nad kaplicą zawaliły się, odcinając wszelki dostęp do Skarbca Grima, toteż mój mistrz, Alice i ja odnaleźliśmy i zabiliśmy wszystkie inne znane bugany na wyspie – w sumie znaleźliśmy ich pięć – by nie dopuścić, któryś z nich przekopał się tam i znów odnalazł źródło mocy. Mona stała się bezpieczniejszym miejscem dla stronników światła.

Grimalkin zgodziła się do nas dołączyć, by wziąć udział w próbie ostatecznego uwięzienia Złego. Jak dotąd jednak nie przybyła, a Alice nie potrafi już nawiązać z nią kontaktu za pomocą lustra. Teraz obawia się, że coś złego spotkało wiedźmę zabójczynię. Bez niej zaś nic nie zdziałamy. I tylko słój krwi wciąż broni nas przed Złym.

Z Hrabstwa nie nadchodzą dobre wieści. Najwyraźniej ojczyzna wciąż pozostaje w żelaznym uścisku wroga. A tu, na Monie, rada znów się zebrała. Zaczęła odsyłać uchodźców za morze. Nie wiadomo, jakie przyjęcie zgotowano tam wygnańcom. Poza tym nie doszły nas żadne słuchy na temat losów kapitana Bainesa. Gwardziści nadal poszukują tych, którzy wymknęli im się z sieci. Zatem wyspa z każdym dniem staje się dla nas coraz mniej bezpieczna.

Stracharz miał rację. Ludzie powrócili do dawnych nawyków.

Przynajmniej po śmierci Lizzie Bill Arkwright odnalazł w końcu drogę do światła.

Bardzo pragnę wrócić do Hrabstwa, lecz obecnie stracharz zamierza uciec na zachód, do Irlandii. Popłyniemy tam w ciągu tygodnia. Ale gdy tylko myślę o tym kraju, przypominam sobie mój koszmar i groźbę rzuconą przez celtycką czarownicę; dobrze pamiętam Morrigan.

Za nieco ponad dwa lata zakończę naukę fachu. Mistrz obiecuje, że wtedy on sam przestanie pracować tak ciężko jak dotąd, większość zadań zostawiając mnie. Jako młody stracharz pełnił służbę u boku swojego mistrza, Henry'ego Horrocksa aż do jego śmierci i dobrze to posłużyło im obu.

To jego decyzja. On jest stracharzem, ja tylko jego uczniem. Wkrótce poześlujemy jeszcze dalej od wybrzeży Hrabstwa. Bez wątpienia czekają tam nas kolejne niebezpieczeństwa.

Thomas J. Ward

## **TOM 8**

Cień przeznaczenia

The Spook's Destiny



# ROZDZIAŁ 1

## STRZEŻCIE SIĘ BELKACZA

Nasza łódka rybacka, kołysząc się łagodnie, zeglowała powoli na zachód niesiona lekką bryzą w stronę odległego wybrzeża. Spoglądałem ku zielonym wzgórzom Irlandii, próbując jak najwięcej zapamiętać, nim zrobi się ciemno. Za dwadzieścia minut miał zapaść zmierzch. Nagle usłyszeliśmy ogłuszający skowyt, rybak niespokojnie uniósł wzrok. Niespodziewanie zerwał się potężny wicher. Czarne chmury pędziły ku nam z północy, atakując zygzakami błyskawic morze, które wrzało i burzyło się tak, że niewielka łódka podskakiwała niepokojąco. Trzy towarzyszące nam wilczarze zaczęły skomleć. Szpon, Krew i Kość, zwykle nieulekłe, nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach nie przepadały za morskimi podróżami.

Kłęczałem, przytrzymując się rufy. Uszy paliły mnie z zimna, oczy piekły od morskiej piany.

Stracharz i moja przyjaciółka Alice skulili się pod okrężnicami, szukając osłony. Fale nagle urosły – nienaturalnie szybko, tak przynajmniej sądziłem. Wyglądało na to, że zaraz się wywrócimy. Gdy opadaliśmy w kolejną dolinę, znikąd pojawiła się gigantyczna fala: stroma ściana wody wznosiła się nad nami, grożąc, że strzaska naszą łódeczkę w drzazgi i utopi nas wszystkich.

Jakoś jednak udało nam się przetrwać i wspiąć się na jej grzbiet. Wówczas z góry runął grad – odłamki lodu sypiące się na łódź obijały boleśnie głowy i ciała. Kolejna błyskawica rozbłysła niemal dokładnie nad nami. Spojrzałem na skłębione czarne chmury w górze – i nagle ujrzałem dwie kule światła.

Zapatrzyłem się w nie, zdumiony. Wisiały dość blisko siebie i skojarzyły mi się z oczami. A potem zobaczyłem, jak się zmieniają. To rzeczywiście były oczy – i to bardzo charakterystyczne,

spoglądające z czarnej chmury. Lewe zielone, prawe niebieskie, zdawały się płonąć wrogością.

Czyżbym je sobie wyobraził? Przetarłem twarz dłonią, uznawszy, że pewnie mam zwidy. Ale nie – nadal tam były. Już miałem krzyknąć, by zwrócić uwagę Alice, lecz wówczas na moich oczach rozplynęły się i zniknęły.

Wiatr ustał równie nagle, jak wcześniej się zerwał, po niecałej minucie wielkie fale zniknęły. Sztorm pozostawił po sobie nieco bardziej wzburzone morze oraz wiatr, wiejący nam w plecy i szybko niosący ku lądowi.

– Za pięć minut wysadzę was na brzeg! – zawołał rybak. – Wszystko ma swoje dobre strony, nawet sztorm.

Znów pomyślałem o oczach w chmurze. Może tylko je sobie wyobraziłem? Uznałem, że później wspomnę o nich stracharzowi, ale na razie to nie najlepszy moment.

– Dziwne, że burza pojawiła się tak nagle.

Rybak pokręcił głową.

– Ależ nie – nie zgodził się. – Na morzu widzujemy najdziwniejsze rzeczy. To był zwykły szkwał. Często zjawia się bez zapowiedzi. Chociaż takie fale to już coś. Zupełnie jak gigantyczny przyptyw. Ale moja stara łajba jest solidniejsza, niż się wydaje. – Sprawiał wrażenie bardzo zadowolonego z siebie. – Muszę wrócić do domu przed świtem, a teraz niesie nas całkiem porządny wiatr.

Stracharz zapłacił mu sownie, wydając niemal wszystkie pieniądze, co nie zmieniało faktu, że rybak bardzo ryzykował. Osiem godzin wcześniej wypłynęliśmy z wyspy Mona, zmierzając na zachód, ku Irlandii. Jako uciekinierzy z najechanego przez obce wojska Hrabstwa wraz ze stracharzem i Alice spędziliśmy wiele niebezpiecznych miesięcy na tej wyspie. Teraz jednak mieszkańcy Mony zaczęli odsyłać do Hrabstwa wszystkich schwytych uchodźców – wprost w ręce okupantów. Organizowano dokładne poszukiwania. Uznaliśmy, że najwyższy czas ruszać w dalszą drogę.

– Mam nadzieję, że tu przyjmą nas lepiej – mruknęła ponuro

Alice.

– Cóż, dziewczyno, nie będzie raczej gorzej niż ostatnim razem.

Istotnie, na Monie niemal od pierwszej chwili musieliśmy salwować się ucieczką.

– Nie powinniście mieć tu zbyt wielu kłopotów – zawołał rybak, przekrzykując zawroźnienie wiatru. – Niewielu waszych zapuściło się aż tutaj, a to wielka wyspa. Parę dodatkowych gąb do wyżywienia nikomu nie zawadzi. Możliwe też, że znajdziesz tu pracę jako stracharz. Niektórzy nazywają ją „Nawiedzoną Wyspą”. Z całą pewnością nęka ją aż nadto duchów.

Stracharze zajmują się walką z Mrokiem. To niebezpieczny fach; ja właśnie rozpocząłem trzeci rok terminu u mego mistrza, Johna Gregory'ego, który uczył mnie, jak się rozprawić z wiedźmami, boginami i najróżniejszymi stworami nadprzyrodzonymi. Duchy zazwyczaj nie zagrażały żywym i szczególnie się nimi nie przejmowaliśmy. Większość nie wiedziała nawet, że nie żyje, wystarczyło przemówić do nich jak należy, by przekonać je do odejścia w Światło.

– Nie mają tu własnych stracharzy? – spytałem.

– To wymierający fach – odparł rybak. W łodzi zapadła niezręczna cisza. – Słyszałem, że w Dublinie nie ma ani jednego, a miasto z pewnością dręczę bełkacze.

– Bełkacze? – zdziwiłem się. – Co to jest bełkacz?

Rybak zaśmiał się.

– Jesteś uczniem stracharza i nie wiesz, co to bełkacz? Wstydzilibyś się! Musisz bardziej uważać na lekcjach.

Jego uwagi nieco mnie rozdrażniły. Mój mistrz, zatopiony w myślach, wyraźnie nie słuchał rybaka. Nigdy wcześniej nie wspominał o bełkaczu i byłem pewien, że nie ma też o nim wzmianki w bestiariuszu tkwiącym bezpiecznie w torbie mistrza. Sam napisał tę księgę: ilustrowany opis wszystkich stworów, z jakimi się zetknął i o których słyszał, wraz z instrukcjami, jak się z nimi rozprawić. Z całą pewnością o bełkaczu nie wspomniano w rozdziale o duchach. Zastanawiałem się, czy stracharz w ogóle wie,

że istnieją.

– O tak – podjął rybak – nie chciałbym pracować w waszym fachu. Mimo sztormów i swoich kaprysów morze to znacznie bezpieczniejsze miejsce niż kryjówka bełkacza. Strzeżcie się bełkacza! Lepiej już utonąć, niż wpaść w obłąd!

Na tym rozmowa się zakończyła: rybak wysadził nas na niewielkim drewnianym pomoście wychodzącym w morze z kamienistego nabrzeża. Trzy psy natychmiast wyskoczyły z łodzi. My wygramoliliśmy się nieco wolniej. W czasie podróży zmarzliśmy i zeszywnieliśmy.

W chwilę później łódka odbiła od brzegu, a my dotarliśmy do końca pomostu i pomaszerowaliśmy po chrzęszczących głośno kamieniach. Wprawdzie nasze kroki słyhać było w promieniu kilku mil, przynajmniej jednak nikt nie mógł zobaczyć nas w mroku. A poza tym jeśli rybak miał rację, nie groziło nam spotkanie z wściekłymi wyspiarzami.

Niebo zasnuły gęste chmury, było już bardzo ciemno, lecz przed sobą widzieliśmy mroczny kształt budowli, którą z początku wzięliśmy za dom. Okazała się opuszczoną szopą na lodzie i w niej właśnie spędziliśmy noc.

\*

Świt przyniósł ze sobą lepszy dzień. Chmury odpłynęły, wiatr ustał. Choć wciąż zimny, późnolutowy ranek zwiastował nadejście wiosny.

Rybak nazwał to miejsce Nawiedzoną Wyspą, lecz miałem nadzieję, iż trafniejsza okaże się inna nazwa, Szmaragdowa Wyspa – choć po prawdzie w Hrabstwie było równie zielono. Schodziliśmy po trawiastym zboczu, w dole widzieliśmy miasto Dublin, przycupnięte na obu brzegach wielkiej rzeki.

– Co to jest bełkacz? – spytałem stracharza.

Jak zwykle dźwigałem obie nasze torby i własną laskę. Mistrz maszerował szybko obok; razem z Alice ledwie dotrzymywaliśmy mu kroku.

– Przyznam, że nie wiem, chłopcze. – Obejrzał się na mnie

przez ramię. – To pewnie miejscowa nazwa czegoś, co już znamy – takie wyjaśnienie wydaje mi się najprawdopodobniejsze. Na przykład to, co zwiemy boginem, w innych częściach świata znane jest pod nazwą bogie albo nawet bogilec.

Istnieje wiele odmian boginów, począwszy od krwiożerczych rozpruwaczy, aż po względnie nieszkodliwe stukacze, które jedynie tłuką w przedmioty, strasząc ludzi. Zdumiało mnie, iż jacyś ludzie nazywają je inaczej.

Postanowiłem opowiedzieć mistrzowi o tym, co widziałem zeszłej nocy w czasie burzy.

– Pamięta pan szkwał, który nas zaatakował? – spytałem. – W ciemnych chmurach dostrzegłem coś dziwnego: parę obserwujących nas oczu.

Stracharz zatrzymał się, patrząc na mnie uważnie. Większość ludzi zareagowałaby niedowierzaniem, inni wyśmialiby mnie otwarcie. Wiedziałem, że to, co mówię, brzmi nieprawdopodobnie, ale mistrz traktował mnie poważnie.

– Jesteś pewien, chłopcze? Groziło nam niebezpieczeństwo. Nawet rybak się bał – choć później starał się to ukryć. W takich sytuacjach umysł czasami płata nam figle. W chwilach przerażenia wyobraźnia działa na najwyższych obrotach. A jeśli dostatecznie długo wpatrujesz się w chmury, zaczniesz dostrzegać w nich twarze.

– Jestem pewien, że to coś więcej niż wyobraźnia. Oczu było dwoje, jedno zielone, drugie niebieskie, i nie wyglądały przyjaźnie.

Stracharz przytaknął.

– Musimy zachować czujność. Jesteśmy w zupełnie obcym kraju – mogą się tu kryć najróżniejsze nieznane zagrożenia.

To rzekłszy, znów ruszył naprzód. Zdumiało mnie, że Alice nie wtrąciła się do rozmowy; słuchała jedynie z zatroskaną miną.

Nieco ponad godzinę później w powietrzu poczuliśmy zapach ryb i wkrótce maszerowaliśmy już ciasnymi miejskimi uliczkami, zmierzając w stronę rzeki. Mimo wczesnej godziny wokół roило się od ludzi, przepychających się i tłoczących dokoła, na każdym rogu

nagabywali nas handlarze. Spotykaliśmy też muzyków – staruszka ze skrzypcami i kilku chłopców grających na fletach. Lecz mimo zamieszania nikt nie próbował nas zatrzymać albo odmawiać nam prawa pobytu w mieście. Uznałem, że to znacznie lepszy początek niż tamten na Monie.

W mieście nie brakowało gospód, lecz większość wywiesiła w oknach tabliczki informujące, że są przepełnione. W końcu znaleźliśmy kilka z wolnymi miejscami, lecz pierwsza okazała się dla nas za droga. Mistrzowi zostało zaledwie parę groszy, miał nadzieję opłacić za nie trzy czy cztery noclegi i w tym czasie cokolwiek zarobić. W drugiej gospodzie bez słowa wyjaśnienia odmówiono nam noclegu. Mistrz nie protestował. Niektórzy po prostu nie lubią stracharzy; boją się tego, że walczymy z Mrokiem, i myśli, że zło może czaić się w pobliżu.

A potem w wąskiej bocznej uliczce, sto jardów od rzeki, znaleźliśmy trzecią gospodę z wolnymi miejscami. Stracharz przyjrzał jej się z miną pełną powątpiewania.

– Nic dziwnego, że ma puste pokoje – mruknęła Alice, krzywiąc w grymasie urodziwą twarz. – Kto chciałby tu zamieszkać?

Pokiwałem głową, zgadzając się z nią. Frontu gospody od dawna nie malowano, dwa okna na piętrze i jedno na parterze zabito deskami. Nawet szyld wymagał poprawek: zwisał na jednym gwoździu, kołysząc się niebezpiecznie przy każdym powiewie wiatru, jakby lada moment miał runąć na bruk. Gospoda nazywała się Pod Martwym Grajkiem, mocno sfatygowany szyld przedstawiał szkielet ze skrzypcami w dłoniach.

– Cóż, trzeba nam dachu nad głową i nie możemy zbytnio kaprysić – uznał stracharz. – Poszukajmy gospodarza.

Wewnątrz było ciemno i ponuro niczym w środku nocy. Częściowo sprawiały to zabite okna, ale też wysoki budynek naprzeciwko, pochylający się ku nam ponad wąską ulicą, zabierał światło. Na kontuarze naprzeciw drzwi płonęła świeca, obok stał niewielki dzwonek. Stracharz uniósł go i zadzwonił głośno. Z początku odpowiedziała mu jedynie cisza, potem jednak na

schodach usłyszeliśmy kroki, jedne z dwojga wewnętrznych drzwi otwały się i stanął przed nami gospodarz.

Był przysadzystym mężczyzną o posępnej twarzy i długich tłustych włosach, opadających na postrzępiony kołnierz. Krzywił usta jak ktoś, kto czuje się pokonany w starciu ze światem, lecz kiedy ujrzał mego mistrza, jego kaptur, płaszcz i laskę, jego twarz odmieniła się cała.

– Stracharz! – wykrzyknął, radośnie promieniejąc. – Na mą duszę, w końcu moje modły zostały wysłuchane!

– Przyszliśmy spytać o pokoje – odparł mój mistrz. – Dobrze jednak rozumiem, że ma pan problem, w którym mógłbym pomóc?

– Jest pan stracharzem, prawda? – Gospodarz z lekkim powątpiewaniem zerknął na szpiczaste trzewiki Alice.

Kobiety i dziewczyny noszące szpiczaste trzewiki często podejrzewano o to, że są czarownicami. Tak właśnie było z Alice: przez dwa lata pobierała nauki u swej matki, kościanej czarownicy Lizzie. Była moją bliską przyjaciółką i wiele razem przeszliśmy – magia Alice niejednym razem ocaliła mi życie – lecz mój mistrz zawsze obawiał się, że pewnego dnia mogłaby znów zwrócić się ku Mrokowi. Zmarszczył brwi, po czym skupił wzrok na gospodarzu.

– Owszem, jestem stracharzem, a to mój uczeń, Tom Ward. Dziewczyna ma na imię Alice – pracuje dla mnie, przepisuje księgi i wykonuje inne roboty. Proszę mi opowiedzieć, czemu potrzeba panu moich usług.

– Usiądźcie tutaj, psy zostawcie na podwórzu. – Mężczyzna wskazał ręką stół w kącie. – Podam wam śniadanie, a potem powiem, co trzeba zrobić.

Gdy tylko zajęliśmy miejsca, przyniósł drugą świeczkę i umieścił na środku blatu. Potem zniknął w pomieszczeniu na zapleczu i wkrótce usłyszeliśmy skwierczenie tłuszczu, a zza drzwi napłynęła fala smakowitych zapachów. Po chwili zajadaliśmy już parujący bekon, jajka i kielbaski. Gospodarz zaczekał cierpliwie, aż skończymy, a potem dołączył do nas i rozpoczął opowieść.

– Nie mam w tej chwili ani jednego gościa i nie miałem od

niemal sześciu miesięcy. Za bardzo się boją. Odkąd się zjawił, nikt nas nie odwiedza – toteż niestety nie mogę zapłacić pieniędzmi. Jeśli jednak się go pozbędziecie, pozwolę wam bez opłat przez tydzień zajmować trzy pokoje. Co pan na to?

– Pozbędziemy się czego? – spytał stracharz.

– Każdy, kto spotyka go po zmroku, w kilka minut popada w obłąd – poinformował gospodarz. – To bełkacz i to bardzo paskudny.

## **ROZDZIAŁ 2**

### **KREW BYŁA WSZĘDZIE**

– Co to dokładnie jest bełkacz? – spytał mój mistrz.

– A nie wiecie? – zdziwił się gospodarz, na jego twarzy znów odbiło się zważenie.

– W Hrabstwie, z którego pochodzę, nie mamy niczego takiego – wyjaśnił stracharz. – Proszę się zatem nie spieszyć i opowiedzieć o nim – wówczas zorientuję się lepiej, z czym mam do czynienia.

– Bełkacz często pojawia się w ciągu tygodnia po tym, gdy ktoś się zabije. Tak właśnie stało się tutaj – zaczął gospodarz. – To była pokojówka, pracowała u mnie ponad dwa lata: dobra, robotna dziewczyna i śliczna jak z obrazka. Właśnie uroda ją zgubiła. Zwrócił na nią uwagę ktoś z wyższej sfery. Ostrzegałem ją, ale nie słuchała. Cóż, mówiąc w skrócie, ów mężczyzna złożył jej obietnice, których bynajmniej nie zamierzał dotrzymać. A nawet gdyby mówił szczerze, nie ma mowy, by rodzina zgodziła się na ich związek. Był młodzieńcem oczekującym wielkiego spadku i musiał dbać o swoje nazwisko. Pytam zatem – czy podobna, by poślubił biedną posługaczkę bez grosza przy duszy? Mówił jej, że ją kocha. Ona z pewnością kochała jego. Lecz, co łatwo przewidzieć, wszystko źle się skończyło. Pojął za żonę damę z tytułem – ponoć małżeństwo zaaranżowano wiele miesięcy wcześniej. Cały czas



okłamywał biedaczkę i kiedy się dowiedziała, pękło jej serce. Niemądra istota poderżnęła sobie gardło. Niełatwa to śmierć. Usłyszałem, jak dławi się i krztusi i pobiegłem na górę sprawdzić, co się stało. Krew była wszędzie.

– Biedna – wymamrotała Alice i wzdrygnęła się.

Skinąłem głową, starając się przegnać z głowy wizję strasznej śmierci pokojówki. Samobójstwo to ogromny błąd, nieważne jak ciężkie wydaje się życie. Lecz nieszczęsna z pewnością czuła się zdesperowana i nie miała pojęcia, co począć.

– Na deskach podłogi do dziś pozostały plamy – podjął gospodarz. – Mimo szorowania nie zdołaliśmy się ich pozbyć. Dziewczyna umierała bardzo długo. Sprowadziłem medyka, ale nie zdołał pomóc. Medycy są do niczego, dają słowo. Ja tam żadnemu nie wierzę. Trafiłaby z pewnością do żebraczego grobu, ale ciężko dla mnie pracowała, toteż powiedziałem, że sam zapłacę za jej pogrzeb. Nie żyła może od tygodnia, kiedy zjawił się bełkacz. Biedaczka ledwie spoczęła w grobie i...

– Jakie były pierwsze oznaki jego przybycia? – przerwał mu stracharz. – Proszę się dobrze zastanowić. To ważne.

– Słyszeliśmy dziwne stukanie w podłogę – charakterystyczny rytm: dwa szybkie uderzenia, potem trzy powolne. I znowu, raz po raz. Po paru dniach w miejscu, gdzie dziewczyna umarła, zaczęliśmy czuć lodowaty ziąb – dokładnie nad plamami krwi. W dzień później jeden z moich gości oszalał. Wyskoczył przez okno i połamał sobie na bruku obie nogi. Kości się zrosną, ale umysłu nie da się uzdrowić.

– Z pewnością nie spał w tamtym pokoju? Nie wątpię, iż uprzedził go pan o stukaniach i zimnie?

– Nie mieszkał w pokoju, w którym umarła pokojówka – to była służbówka na strychu, pod samym dachem. Bełkacz nawiedza miejsce, w którym doszło do samobójstwa, toteż zakładałem, że tam pozostanie. Teraz mówią mi, że może zapuścić się wszędzie, w całym budynku.

– Dlaczego nazywają go bełkaczem? – wtrąciłem.

– Z powodu hałasu, jaki robi, chłopcze – wyjaśnił gospodarz. – Bełkocze coś nieskładnie, gada i mamrocze do siebie: nie ma w tym sensu, ale brzmi przerażająco. – Z powrotem odwrócił się do mistrza. – To co, zdoła pan się go pozbyć? Księża niczego nie działali. To miasto pełne księży, ale są równie bezużyteczni, jak medycy.

Stracharz zmarszczył brwi.

– Jak mówiłem, pochodzę z innego kraju – Hrabstwa leżącego za morzem, na wschodzie – wyjaśnił. – Muszę przyznać, że nigdy dotąd nie słyszałem o zjawisku, które pan opisuje. Można by sądzić, że wieści o czymś tak dziwnym już by do nas dotarły.

– Ach, ale widzi pan, bełkacze są tu nowe. Pierwsze zaczęły się pojawiać jakiś rok temu. Są jak zaraza. Najpierw widywano je na południowym zachodzie, stamtąd powoli rozprzestrzeniały się na wschód. Pierwszego zauważono w mieście tuż przed Bożym Narodzeniem. Niektórzy twierdzą, że to robota kozich magów z Kerry, bo oni zawsze maczają palce w mrocznej magii. Ale kto wie na pewno?

Niewiele słyszeliśmy o irlandzkich magach – tyle tylko, że toczą nieustające wojny z posiadaczami ziemskimi. W bestiariuszu stracharza znalazła się o nich zaledwie krótka wzmianka. Ponoć oddawali cześć Staremu Bogu, imieniem Pan, w zamian za moc. Krążyły pogłoski, iż składają ofiary z ludzi. Paskudna sprawa.

– Mam rację, domyślając się, że ten bełkacz ożywia się dopiero po zmroku? – spytał stracharz.

Gospodarz przytaknął.

– Cóż, w takim razie spróbujemy rozprawić się z nim dziś wieczorem. Pozwoli pan, że już wcześniej zajmiemy pokoje? Chcielibyśmy się przespać, by mieć dość sił na walkę z bełkaczem.

– Ależ proszę. Jeśli jednak nie zdołacie go przepłoszyć, spodziewam się pełnej zapłaty za każdy spędzony tu dzień. Ja sam nie zostanę tu nawet minuty po zmroku – nocuję u brata. Zatem zapłacicie mi rano.

– To uczciwe postawienie sprawy. – Mistrz uścisnął mu dłoń, by

dobić targu.

Większość ludzi woli trzymać się z dala od nas, lecz ten człowiek wpadł w poważne tarapaty finansowe i był wdzięczny za pomoc stracharza.

Każde z nas wybrało sobie pokój. Przespaliśmy smacznie resztę ranka i popołudnie, umawiając się w kuchni godzinę przed zmierzchem. Ja jednak nie spałem zbyt dobrze: nawiedził mnie straszliwy koszmar.

\*

Byłem w lesie. Na niebie nie świecił księżyc, lecz drzewa jarzyły się niezwykłym srebrnym blaskiem. Samotny, bez broni, pełzałem na czworakach, szukając czegoś, czego bardzo potrzebowałem – mojej laski. I nagle pojąłem, że bez niej będę zgubiony.

Do północy zostało zaledwie kilka minut i wiedziałem, że wówczas coś przybędzie po mnie – coś strasznego. Umysł miałem otumaniony, nie potrafiłem sobie przypomnieć, co to za stwór, ale wiedziałem, że przysłała go czarownica. Chciała się zemścić za coś, co jej zrobiłem.

Ale co się ze mną działo? Czemu niczego nie pamiętałem? Czyżby rzuciła już na mnie urok? Gdzieś w dali zadźwięczał złowieszczo kościelny dzwon. Sparaliżowany strachem, odliczałem każde uderzenie.

Po trzecim w panice zerwałem się z ziemi i puściłem biegiem. Gałęzie chłostały mnie po twarzy, kolczaste krzaki drapały nogi, gdy pędziłem rozpaczliwie wśród drzew w stronę niewidocznego kościoła. Teraz już coś mnie ścigało, ale nie biegło przez poszycie, nie poruszało się na dwóch nogach ani na czterech. Za plecami słyszałem gorączkowy trzepot olbrzymich skrzydeł.

Obejrzałem się przez ramię i krew zamieniła mi się w wodę. Ścigała mnie gigantyczna czarna wrona i jej widok jeszcze wzmógł grozę sytuacji. To była Morrigan, Stara Bogini celtyckich czarownic, krwiożercza istota wydziobująca oczy konającym. Wiedziałem jednak, że jeśli tylko dotrę do kościoła, będę bezpieczny.

Nie miałem pojęcia dlaczego – zazwyczaj kościoły nie dają wcale schronienia przed Mrokiem. Stracharze i ich uczniowie wolą polegać na narzędziach swego fachu i dogłębnej wiedzy dotyczącej praktycznych środków zaradczych, które można podjąć. Mimo to wiedziałem, że muszę dotrzeć do kościoła – inaczej zginę i stracę w Mroku duszę.

Potknąłem się o korzeń, padając na ziemię. Z trudem dźwignąłem się na kolana i spojrzałem na czarną wronę. Przysiadła na gałęzi, która zatrzeszczała i ugięła się pod jej ciężarem. Powietrze przede mną zamigotało; zamrugałem gorączkowo, by odzyskać ostrość widzenia. Gdy w końcu znów zacząłem widzieć, ujrzałem straszliwy obraz.

Przedemną stała wysoka postać w zbryzganej posoką czarnej sukni, opadającej niemal ku ziemi. Od szyi w dół postać miała kobiece kształty, głowa pozostała jednak wronia, o okrutnych, czarnych jak koraliki oczach i olbrzymim dziobie. Na moich oczach głowa zaczęła się zmieniać. Dziób skurczył się, oczy złagodniały, urosły i wkrótce widziałem już ludzką twarz. Nagle pojąłem, że ją znam! Należała do czarownicy, która już nie żyła – celtyckiej wiedźmy zabitej w Hrabstwie przez stracharza, Billa Arkwrighta. W owym czasie terminowałem u niego i widziałem, jak cisnął sztyletem w plecy czarownicy, a potem rzucił jej serce na pożarcie psom, by mieć pewność, że nie powstanie z martwych. Bill traktował czarownice bez litości – znacznie ostrzej niż mój mistrz, John Gregory.

Czy jednak to naprawdę była ona? Widziałem ją wówczas z bliska i byłem pewien, że jej oczy miały tę samą barwę. I w tym momencie zrozumiałem, że to tylko sen, ale z rodzaju najgorszych: koszmar, w którym tkwimy uwięzieni i nie możemy uciec, nie możemy się obudzić. Ten sam sen nawiedzał mnie od miesięcy i za każdym razem wydawał się bardziej przerażający.

Czarownica szła teraz ku mnie, wyciągając rękę, jej szpony lada moment miały rozedrzeć mi ciało.

Walczyłem, by się obudzić. Stoczyłem prawdziwą bitwę, nim

otworzyłem oczy i poczułem, jak strach powoli ustępuje. Minęło jednak dużo czasu, nim się uspokoiłem. Kompletnie rozbudzony, nie mogłem już zasnąć. Przez to nie byłem w najlepszym stanie do walki z bełkaczem – czymkolwiek się on okaże.

\*

Spotkaliśmy się w kuchni, ale nie planowaliśmy sutego posiłku. Wkrótce mieliśmy stanąć do walki z Mrokiem, toteż stracharz nalegał, abyśmy pościli i posilili się jedynie odrobiną sera. Mistrz tęsknił za swym ulubionym kruchym serem z Hrabstwa; gdziekolwiek trafiliśmy, zawsze narzekał, że miejscowe specjały mu nie dorównują. Teraz jednak ugryzł bez słowa kilka kęsów, po czym zwrócił się do mnie.

– I cóż, chłopcze? – spytał. – Co o tym wszystkim myślisz?

Spojrzałem mu w twarz. Wyglądała jak wyciosana z granitu, lecz na czole pojawiły się nowe głębokie bruzdy, a w oczach dostrzegłem zmęczenie. Już kiedy go poznałem, gdy niemal trzy lata temu odwiedził farmę mego ojca, by porozmawiać o terminie, brodę miał siwą. Jednakże wówczas dawało się w niej dostrzec także inne barwy – głównie odcienie rudości, brązu i czerni; teraz była całkowicie biała. Wyglądał starzej – wydarzenia ostatnich trzech lat odcisnęły na nim swe piętno.

– Nie podoba mi się – odparłem. – To coś, z czym nie mieliśmy dotąd do czynienia, a takie starcia zawsze bywają niebezpieczne.

– Zgadza się, chłopcze. Kryje się w nich zbyt wiele niewiadomych. Czym dokładnie jest bełkacz i czy okaże się wrażliwy na sól i żelazo?

– Możliwe, że w ogóle nie ma czegoś takiego jak bełkacz – wtrąciła Alice.

– Co dokładnie masz na myśli, dziewczyno? – spytał mistrz z lekką irytacją. Bez wątpienia uważał, że Alice wtyka nos w nie swoje sprawy, mieszając się do zadań stracharza.

– Co, jeśli to dusze zmarłych, w jakiś sposób uwięzione i powodujące problemy? – spytała. – Magia Mroku mogłaby tego dokonać.

Z twarzy stracharza zniknął grymas, mistrz z namysłem pokiwał głową.

– Czy czarownice z Pendle znają podobne zaklęcie?

– Kościane czarownice znają zaklęcie związujące ducha z jego własnym grobem.

– Niektóre dusze i tak są z nimi powiązane, chłopcze. Nazywamy je zjawami cmentarnymi.

– Ale te nie tylko się pojawiają, ale i straszą ludzi – przypomniała Alice. – Zaklęcia często używa się, aby zniechęcić nieproszonych gości do odwiedzania części cmentarza, by czarownice mogły w spokoju okraść groby.

Kościane czarownice gromadziły ludzkie kości, posługując się nimi w swych czarach. Najbardziej ceniły sobie kości kciuków. Gotowały je w kotle, by zyskać magiczną moc.

– Pójdźmy zatem krok dalej. Jeśli założymy, że chodzi o uwięzione dusze, to w jakiś sposób są zmuszane do tego, by doprowadzać ludzi na skraj obłądu. Wszystko to ma sens, ale od czego się zaczęło i czemu wciąż się powtarza? – spytał mistrz.

– Jeżeli to zaklęcie – odparła Alice – to wyrwało się spod kontroli. Zupełnie jakby przywołało własną energię, szerząc zło i kierując się na wschód. Koścista Lizzie rzuciła raz potężne zaklęcie, które wyrwało się spod kontroli. Wtedy pierwszy raz widziałam, jak się przeraziła.

Stracharz podrapał się po brodzie, jakby kręciło się w niej coś żwawego.

– Owszem, to ma sens – zgodził się. – Cóż, w takim razie powinniśmy najpierw odwiedzić miejsce, w którym biedaczka się zabiła. Potrzebuję pomocy chłopaka, więc bez wątpienia i ty, dziewczyno, pójdziesz z nami.

Ostatnie zdanie wypowiedział z nutą sarkazmu. Oboje z Alice znaleźliśmy się w poważnych tarapatach, a on nie mógł nic na to poradzić. Rok wcześniej, by ocalić życie wielu ludzi, w tym stracharza i Alice, sprzedałem duszę Złemu – diabłu we własnej osobie, ucieleśnieniu Mroku. Połączone klany czarownic z Pendle

weszały go na ziemię i teraz z każdym dniem zyskiwał coraz większą moc; wkrótce na świecie miała zapanować nowa era Mroku.

Tylko mroczna magia Alice powstrzymywała diabła przed przybyciem po moją duszę. Przyjaciółka umieściła w tak zwanym słoju krwi trzy krople swojej krwi i trzy mojej. Dopóki nosiłem słoję w kieszeni, Zły nie mógł się do mnie zbliżyć – ale Alice nie mogła się oddalać, by i ją także obejmowała ochrona.

Zawsze jednak pozostawało niebezpieczeństwo, że w jakiś sposób mogę stracić słoję i znaleźć się poza zasięgiem czaru ochronnego. I nie tylko: kiedy umrę – nieważne czy stanie się to za sześć, czy za sześćdziesiąt lat – Zły będzie czekał, by odebrać to, co do niego należy, i poddać mnie wiekuistym torturom. Istniało tylko jedno wyjście: najpierw musiałbym w jakiś sposób zniszczyć go bądź uwięzić i perspektywa ta niezmiernie mi ciążyła.

Grimalkin, wiedźma zabójczyni klanu Malkinów, była nieprzyjaciółką Złego; wierzyła, że można go uwięzić w jamie po przebiciu szpikulcami ze stopu srebra. Alice skontaktowała się z nią i czarownica zgodziła się do nas dołączyć, by tego spróbować. Upłynęły jednak długie tygodnie, a Grimalkin więcej się nie odezwała; Alice obawiała się, iż mimo jej niezwykłych umiejętności walki spotkało ją coś złego. Hrabstwo zajęły obce wojska – być może wypowiedziały wojnę czarownicom z Pendle, zabijając je i więżąc. Tak czy inaczej, chwilowo jedyną ochronę zapewniał nam słoję krwi.

\*

Niedługo po zmroku stracharz ze świecą w dłoni poprowadził nas schodami na strych – do ciasnego pokoiku na poddaszu, w którym żyła i umarła nieszczęsna służąca.

Z łóżka zdjęto siennik, prześcieradła i poduszki. Z boku pod oknem, na podłodze, dostrzegłem ciemne plamy krwi. Stracharz postawił świecę na niewielkim stoliku i we trójkę rozsiedliśmy się wygodnie na podłodze przed zamkniętymi drzwiami. A potem zaczęliśmy czekać. Mogliśmy założyć, że jeśli bełkacz zapragnie tej

nocy ofiar, przybędzie po nas. Ostatecznie poza nami w gospodzie nie było nikogo.

Napełniłem kieszenie solą i żelazem – substancjami, które zazwyczaj działają niszcząco na boginy i w mniejszym stopniu na czarownice. Jeśli jednak teoria Alice była prawdziwa i mieliśmy do czynienia z uwięzioną niebezpieczną duszą, sól i żelazo na nic się zdadzą.

Nie musieliśmy czekać długo na przybycie bełkacza. Coś niewidzialnego zaczęło stukać w podłogowe deski. Usłyszeliśmy dwa szybkie puknięcia, potem trzy powolne. Ta sekwencja powtarzała się raz po raz i nerwy miałem napięte jak postronki. A potem świeca zamigotała, w powietrzu pojawił się nagły lodowaty chłód. Wewnątrz siebie czułem jeszcze większe zimno – ostrzeżenie, jakie często wyczuwa siódmy syn siódmego syna, gdy zbliża się coś z Mroku.

Dokładnie nad plamami krwi w powietrzu pojawiła się kolumna fioletowego światła; dobiegające z niej dźwięki potwierdziły, iż bełkacz w pełni zasłużył na swe miano. Głos był wysoki, dziewczęcy i syczący. Mamrotał bez sensu, raniąc mi uszy, sprawiając, że zaczynało kręcić mi się w głowie. Zupełnie jakby świat zakolysał się, a ja nie mogłem utrzymać równowagi.

Wyczułem wściekłość bełkacza: bardzo chciał mnie zranić. Pragnął mojej śmierci. Bez wątpienia stracharz i Alice słyszeli te same niepokojące dźwięki, zerknąłem jednak w prawo i w lewo i żadne z nich nawet się nie poruszyło: jak zahipnotyzowani wpatrywali się jedynie wybałuszonymi oczami w kolumnę światła.

Mimo oszołomienia nadal mogłem się poruszać i postanowiłem działać, nim bełkot wnuknie mi do głowy i zmusi, abym robił dokładnie to, co każe. Podniosłem się z ziemi i ruszyłem naprzód, wsuwając ręce do kieszeni portek: prawa chwyciła sól, lewa opiłki żelaza. Cisnąłem nimi jednocześnie wprost w kolumnę światła.

Substancje złączyły się dokładnie u celu. Był to świetny rzut, niestety, jednak nic nie dał. Kolumna nadal migotała, drobinki soli i żelaza opadały nieszkodliwie, rozsypując się po podłodze przy



łóżku.

Bełkot zaczynał sprawiać mi ból. Zupełnie jakby ktoś wbijał mi w oczy ostre szpilki, a wokół czoła zaciskała się stalowa obręcz, powoli miażdżąc czaszkę. Poczułem narastającą panikę. Jak szybko nie będę mógł dłużej znieść bólu? Czy wówczas oszaleję? Czy męki sprawią, że sam także targnę się na własne życie?

I wtedy, wstrząśnięty, coś sobie uświadomiłem. Bełkot nie był bezsensowną gadaniną. To jego szybkość i syczące dźwięki sprawiały takie wrażenie. W istocie jednak była to pradawna mowa, układająca się w słowa. Zaklęcie!

Świeca zgasła, pogrążając nas w ciemności – wciąż jednak widzieliśmy fioletowe światło. Nagle odkryłem, że nie mogę się poruszyć. Chciałem uciec z tego klaustrofobicznie ciasnego poddasza, ale nie mogłem – tkwiłem w miejscu jak przyrośnięty. Zakręciło mi się w głowie i straciłem równowagę. Poleciałem naprzód, lądując ciężko na lewym boku. Poczułem ostry ból, jakbym upadł na kamień.

Podnosząc się z podłogi, usłyszałem drugi głos – kobiecy, także nuący w pradawnej mowie. Ów drugi głos rozbrzmiewał coraz donośniej, podczas gdy pierwszy cichł, aż w końcu zupełnie umilkł. Ku mojej uldze bełkot ucichł także.

I wtedy w uszach zabrzmiał mi nieoczekiwany bolesny krzyk. Zrozumiałem, iż ów drugi głos należał do Alice – użyła własnego zaklęcia, by unicestwić bełkacza. Dusza nieszczęsnej dziewczyny była teraz wolna, ale wciąż cierpiała. Wiedziała, że nie żyje i tkwi uwięziona w Limbusie.

I wtedy przemówił trzeci głos, niższy, męski – dobrze go znałem. To był stracharz.

– Posłuchaj, dziewczyno – rzekł – nie musisz tu tkwić...

Oszołomiony, przez moment sądziłem, że zwraca się do Alice, potem pojąłem, iż przemawia do duszy martwej posługaczki.

– Odejdź do Światła – polecił. – Idź w stronę Światła!

Odpowiedział mu bolesny jęk.

– Nie mogę! – zapłakał duch. – Zabłądziłam we mgle. Nie mogę

odnaleźć drogi.

– Droga jest przed tobą. Patrz uważnie, a dostrzeżesz ścieżkę światła.

– Odebrałam sobie życie. To było złe i teraz odbywam karę!

Samobójcom i tym, którzy zginęli nagłą, gwałtowną śmiercią, zawsze znacznie trudniej jest odnaleźć drogę do Światła. Czasami latami bląkają się pośród mgieł Limbusa. Da się to jednak zrobić. A stracharz może pomóc.

– Karzesz się bez potrzeby – oznajmił mój mistrz. – Nie musisz. Byłaś nieszczęśliwa. Nie wiedziałaś, co robisz. Chcę, żebyś dobrze się zastanowiła. Czy masz jakieś szczęśliwe wspomnienie z wcześniejszego życia?

– Tak. Tak. Mam wiele szczęśliwych wspomnień.

– Jakie jest zatem najszcześniejsze, najszcześniejsze ze wszystkich? – spytał.

– Byłam bardzo mała, miałam najwyżej pięć, może sześć lat. Szłam z mamą przez łąkę w ciepły słoneczny ranek, zbierając stokrotki, słuchając brzęczenia pszczoł i śpiewu ptaków. Wszystko było świeże, jasne, pełne nadziei. Mama uplotła wianek i założyła mi na głowę. Powiedziała, że jestem księżniczką i pewnego dnia spotkam księcia. Ale to tylko niemądre bajki. Prawdziwe życie wygląda inaczej. Może być niewiarygodnie okrutne. Spotkałam mężczyznę, myślałam, że to księżę, ale on mnie zdradził.

– Wróć do tej chwili. Cofnij się do czasu, gdy przyszłość wciąż leżała przed tobą, pełna ciepła, obietnic i nadziei. Skup się – poleciał stracharz. – Teraz tam jesteś. Widzisz? Słyszysz ptaki? Obok stoi matka, trzyma cię za rękę. Czujesz jej dłoń?

– Tak! Tak! – krzyknął duch. – Ściska mi rękę. Zabiera mnie gdzieś...

– Prowadzi cię w stronę Światła! – wykrzyknął stracharz. – Widzisz przed sobą jego jasność?

– Widzę! Widzę Światło! Mgła zniknęła!

– Zatem idź! Wstąp w Światło. Wracasz do domu!

Duch westchnął przeciągle, tęsknie, a potem wybuchnął

śmiechem i był to radosny śmiech, po którym nastąpiła przejmująca cisza. Mój mistrz dokonał tego, co zamierzał. Odesłał zbłąkaną duszę do Światła.

– No cóż – rzekł złowieszczym tonem. – Musimy pomówić o tym, co się tu stało.

Mimo odniesionego sukcesu nie był rad. Alice posłużyła się magią Mroku, by uwolnić od zaklęcia duszę dziewczyny.

## ROZDZIAŁ 3

### GOŚĆ

Po powrocie do kuchni zjedliśmy lekką kolację: pajdy praśnego chleba z wędzoną szynką. Kiedy skończyliśmy, stracharz odsunął talerz i odchrząknął.

– No dobrze, dziewczyno, teraz powiedz mi, co zrobiłaś.

– Dusza pokojówki została uwięziona za pomocą mrocznego zaklęcia nakazu – oznajmiła Alice. – Tkwiła uwiązana w gospodzie, zmuszona do wymawiania zaklęcia oszołomienia, które doprowadza każdego, kto je słyszy, na skraj obłądu. Tak bardzo ich przeraża, że robią wszystko, byle tylko uciec.

– I co dokładnie zrobiłaś? – naciskał niecierpliwie stracharz. – Niczego nie pomijaj!

– Posłużyłam się tym, czego kiedyś nauczyła mnie Koścista Lizzie – wyjaśniła Alice. – Dobrze sobie radziła z kontrolowaniem zmarłych. Kiedy już dostała od nich to, czego chciała – i jeśli wcześniej nie opierali się zbyt mocno – wypuszczała ich. Potrzebowała zaklęcia, aby ich uwolnić. Nazywa je *avaunt* – to stare słowo oznaczające „odejdz”.

– Czyli mimo moich ostrzeżeń znów użyłaś magii Mroku!

– A co innego miałam zrobić? – Alice podniosła gniewnie głos. – Sól i żelazo nie działały! Jak mogły zadziałać, skoro nie mieliście do czynienia ze stworem z Mroku, lecz z udręczoną duszą młodej

dziewczyny? A wkrótce wszystkim nam zagroziłoby niebezpieczeństwo. Zrobiłam zatem to, co musiałam.

– I całe szczęście – poparłem Alice. – Dusza dziewczyny odeszła do Światła, a gospoda znów jest bezpieczna.

Stracharz, choć wyraźnie głęboko poruszony, nie odzywał się więcej. Ostatecznie on sam nagiął już swoje zasady, pozwalając nam zatrzymać słoń krwi. Czując, że to przede wszystkim ona jest powodem jego milczenia, Alice wstała z krzesła i tupiąc głośno, pomaszerowała na górę do swego pokoju.

Spojrzałem na mistrza. Na widok bólu i wyrzutu w jego oczach ogarnął mnie smutek.

Przez ostatnie dwa lata między nami powoli otwierała się przepaść z powodu posługiwania się mroczną magią. Musiałem spróbować to naprawić, ale sam nie wiedziałem, co rzec.

– Przynajmniej rozprawiliśmy się z bełkaczem – powiedziałem. – Chyba opiszę to w notatniku.

– Dobry pomysł, chłopcze. – Twarz stracharza lekko pojaśniała. – Ja też zrobię nowy wpis w bestiariuszu. Cokolwiek się stanie, musimy opisywać przeszłość i wyciągać z niej nauki.

I tak, podczas gdy notowałem krótki opis spotkania w moim zeszycie, stracharz wyciągnął z torby bestiariusz – jedyną księgę pozostałą z biblioteki spalonego domu w Chipenden. Jakiś czas obaj pracowaliśmy w milczeniu; przypadek zrządził, że skończyliśmy niemal w tym samym momencie.

– Ucieszę się, kiedy ta wojna się skończy i będziemy mogli bezpiecznie wrócić do Chipenden – rzekłem. – Czyż nie byłoby miło powrócić do dawnych zwyczajów?

– O tak, chłopcze, byłoby. Bardzo tęsknię za Hrabstwem i chciałbym już odbudować swój dom.

– Bez bogina nie będzie tak samo, prawda? – zauważyłem.

W domu wraz z nami mieszkał też bogin, zazwyczaj niewidzialny, choć czasem pojawiający się pod postacią dużego rudego kocura. Dobrze służył stracharzowi, strzegł też domu i ogrodu. Kiedy dom spłonął i dach się zawalił, kontrakt między

moim mistrzem i boginem dobiegł końca. Bogin mógł stamtąd odejść w każdej chwili.

– Z całą pewnością. Sami będziemy musieli gotować i sprzątać, a ty będziesz przyrządzał śniadania. Nie wiem tylko, jak to zniesie mój biedny stary żołądek.

Stracharz uśmiechnął się lekko. Zawsze żartował z moich kiepskich zdolności kulinarnych. Dobrze było widzieć, że znów tego próbuje.

Odrobinę się rozpogodził i wkrótce potem poszliśmy do łóżek. Przed snem myślałem tęsknie o naszym dawnym życiu i zastanawiałem się, czy utraciliśmy je na zawsze.

Jednakże koszmary tej nocy jeszcze się nie skończyły. Już w pokoju dokonałem przerażającego odkrycia.

Wsunąłem lewą dłoń do kieszeni portek i natychmiast pojąłem, co zadało mi ból, kiedy upadłem na bok. To był sój krwi.

Czy został uszkodzony? Serce zaciążyło mi w piersi. Drżącą ręką ostrożnie wyciągnąłem z kieszeni niewielki słoik, zaniósłem do świecy i obejrzałem. Zadygotałem ze strachu. W ścianie naczynia pojawiła się szczelina, długa na połowę jego wysokości. Czyżby sój mógł teraz pęknąć?

Bliski paniki, przemknąłem do pokoju obok, do Alice, i zastukałem cicho. Kiedy otworzyła, pokazałem jej sój. Z początku wyglądała na równie zaniepokojoną, jak ja, lecz obejrzawszy go starannie, uśmiechnęła się pocieszająco.

– Wydaje się w porządku, Tom. To tylko cieniutkie pęknięcie. Nasza krew wciąż tkwi w środku, co oznacza, że jesteśmy bezpieczni przed Złym. To naprawdę solidne słoje, niełatwo je stłuc. Nic nam nie grozi, więc się nie martw.

Wróciłem do siebie i z ulgą pomyślałem, że jednak dopisało mi szczęście.

\*

Wkrótce po mieście rozeszła się wieść, że pojawił się stracharz, który potrafi pozbyć się bełkaczy. Toteż kiedy napawaliśmy się zapłatą za nasz wyczyn – tygodniowym pobytem w gospodzie –

zaczęli nas odwiedzać inni szukający pomocy.

Stracharz odmówił dalszej współpracy z Alice, niechętnie jednak pozwolił, bym ja się tym zajął. Toteż już w następną noc po pierwszym spotkaniu wyruszyliśmy z Alice zając się kolejnym bełkaczem, tym razem nawiedzającym warsztat na tyłach kramu zegarmistrza. Jego właściciel popadł w długi i zabił się pewnej nocy, wypiwszy zbyt dużo wina. Krewni chcieli sprzedać kram, ale nie mogli, póki nawiedzał go bełkacz.

Spotkanie przebiegło niemal dokładnie tak samo jak to w gospodzie. Po rytmicznych stukotach pojawiła się kolumna światła, a duch rozpoczął swoją śmiertniczną litanię. Jednakże ledwie zaczął mamrotać i bełkotać, Alice odpowiedziała własnym zaklęciem. Spisała się lepiej niż ja, bo załatwiła to szybko, ja natomiast potrzebowałem trzech prób, aby w końcu odesłać duszę zegarmistrza do Światła. Okazało się to niełatwym zadaniem: miał ciężkie życie, nieustannie liczył pieniądze i martwił się, że je straci. Nie potrafił przywołać zbyt wielu szczęśliwych wspomnień, które mógłbym wykorzystać. W końcu mi się udało i odszedł wolno.

Wówczas jednak zdarzyło się coś, co przepełniło mnie grozą. Obok warsztatu zamigotała kolumna szarego światła. Najwyraźniej dołączyła do nas jeszcze jedna dusza. U szczytu kolumny ujrzałem parę oczu, wpatrzonych we mnie z bezbrzeżną wrogością. Jedno było zielone, drugie niebieskie: wyglądały zupełnie jak te, które dostrzegłem w sztormowej chmurze, i cofnąłem się przerażony.

A potem kolumna zamigotała i zamieniła się w kobietę. Nieznajoma nie była obecna ciałem – świeca stojąca na ławie przeświecała przez półprzejrystą ciemną suknię; mieliśmy do czynienia z wysyłanym zdalnie obrazem. Nagle rozpoznałem tę twarz. Patrzyłem na wiedźmę, którą zabił Bill Arkwright.

Spojrzałem ponownie i z ukłuciem strachu uświadomiłem sobie, że jest to czarownica z nawiedzającego mnie koszmaru.

– Mam nadzieję, że spodobał ci się mój sztorm! – zawołała z szyderym wyrazem dwubarwnych oczu. – Mogłam cię wówczas

utopić, ale zachowam cię na później. Przeznaczyłam dla ciebie co innego. Czekałam na ciebie, chłopcze, wiedziałam, że moje bełkacze w końcu cię tu zwabią. Jak ci się podobają? To najlepsze zaklęcie, jakie rzuciłam od wielu długich lat.

Nie odpowiedziałem i czarownica skierowała wzrok ku Alice.

– A to jest Alice. Obserwowałam waszą dwójkę. Widziałam, jak bliskimi jesteście przyjaciółmi. Wkrótce oboje schwytam w swoje szpony.

W nagłym gniewie ruszyłem naprzód, stając między czarownicą i moją towarzyszką.

Zjawa zaśmiała się szyderczo.

– Ach! Widzę, że ci na niej zależy. Dziękuję za to, chłopcze. Potwierdziłeś to, co podejrzewałam. Teraz mam jeszcze jeden sposób, by cię zranić. I to właśnie zamierzam zrobić. Po wielokroć, z nawiązką odpłacę ci za to, co uczyniłeś!

Obraz rozpląnął się nagle i Alice podeszła do mnie.

– Kto to był? – spytała. – Wyglądała, jakby cię znała.

– Pamiętasz te oczy, które widziałem w chmurze podczas burzy? To była ona. Miała twarz celtyckiej wiedźmy zabitej przez Billa Akwrighta.

– Obojgu nam grozi niebezpieczeństwo. Ta czarownica włada nie lada magią, wyczuwam to. – Oczy Alice rozszerzyły się. – To ona odpowiada za przybycie bełkaczy. Żeby tego dokonać, musi być bardzo potężna.

\*

Już w gospodzie opowiedzieliśmy stracharzowi o naszym spotkaniu z wizerunkiem wiedźmy.

– Praca stracharza bywa niebezpieczna – rzekł. – Mógłbyś przestać zajmować się bełkaczami, ale wtedy ucierpiałyby wielu ludzi – niewinnych, których można by ocalić, gdybyś dzielnie wykonał swe zadanie. Wszystko zależy od ciebie. Nie wiemy nic o tej wiedźmie, należy podejść do niej z wielką ostrożnością. Nie miałbym do ciebie pretensji, gdybyś zechciał odejść. Co zatem zrobisz?

– Będziemy pracować dalej. Oboje. – Skinieniem głowy wskazałem Alice.

– Dobry z ciebie chłopak; przypuszczałem, że tak właśnie odpowiesz... Nadal jednak smuci mnie to, że aby pozbyć się bełkaczy, musimy uciekać się do mrocznej magii – dodał mój mistrz. – Świat się zmienia. Może w przyszłości tak właśnie będą postępować stracharze walczący z Mrokiem: wykorzystywać go przeciw samemu sobie. Mnie się to nie podoba, ale pochodzę ze starego pokolenia. Należę do przeszłości, ty jesteś przyszłością, chłopcze. Będziesz miał do czynienia z nowymi zagrożeniami i rozprawisz się z nimi w inny sposób.

Toteż Alice i ja podjęliśmy pracę i w ciągu sześciu dni wspólnie pozbyliśmy się bełkaczy z dwóch gospód, kolejnego kramu i pięciu prywatnych domów. Za każdym razem Alice używała zaklęcia, a ja przemawiałem do wyzwolonej duszy, wyprowadzając ją z Limbusa w Światło. Za każdym razem czuliśmy obawy, lecz wiedźma więcej się nie pojawiła. Czyżby blefowała i próbowała mnie spłoszyć? Niezależnie od jej zamiarów miałem jednak do wykonania robotę.

W odróżnieniu od Hrabstwa w Irlandii najwyraźniej zwyczaj kazał płacić natychmiast za wykonaną pracę, toteż wkrótce nasze kieszenie wypełniły się pieniędzmi. I wtedy pojawił się gość, który przybył siódmego dnia, stawiając przed nami nowy cel.

\*

Siedzieliśmy przy swoim stałym stole, przy śniadaniu. Gospoda nadal świeciła pustkami, lecz właściciel wierzył, że sytuacja wkrótce się zmieni i kilka razy czynił aluzje, iż nasz wyjazd przyspieszyłby przybycie pierwszych klientów. Powszechnie wiadano, że tu właśnie się zatrzymaliśmy, i choć bełkacz nie nawiedzał już gospody, niewielu ludzi gotowych było zamieszkać pod jednym dachem ze stracharzem. Mój mistrz doskonale to rozumiał. Postanowiliśmy, że wyprowadzimy się jeszcze tego samego dnia, zapewne kierując się na południe od rzeki Liffey przepływającej przez miasto.

Właśnie przelykałem ostatni kęs bekonu i zbierałem resztki



żółtka kawałkiem chleba z masłem, gdy w drzwiach wejściowych stanął obcy. Był to wysoki, prosty jak świeca mężczyzna o białych włosach i zaskakująco czarnej brodzie i wąsach. Już samo to wystarczyło, by zwrócić na niego uwagę na ruchliwych dublińskich ulicach, dodajmy jednak strój – elegancki płaszcz do kolan, starannie wyprasowane czarne spodnie i kosztowne buty, świadczące, iż mamy do czynienia z dżentelmenem pierwszej klasy – bez wątpienia przyciągnął spojrzenia wszyscy.ch. W dłoni trzymał laskę z kości słoniowej z białą rączką w kształcie orlej głowy.

Gospodarz pospieszył go powitać, skłonił się nisko, po czym zaprosił w swoje skromne progi, proponując najlepszy pokój. Nieznajomy jednak ledwie go słuchał – cały czas wpatrywał się w nasz stół. Nie tracąc czasu, postąpił parę kroków naprzód i zwrócił się do stracharza:

– Czy mam przyjemność rozmawiać z Johnem Gregorym? – spytał. – A ty musisz być Tomem Wardem – dodał, patrząc na mnie. Alice pozdrowił jedynie szybkim skinieniem głowy.

– Owszem, to ja – stracharz przytaknął. – A to mój uczeń. Przychodzi pan prosić nas o pomoc? Mężczyzna pokręcił głową.

– Przeciwnie, przychodzę zaofiarować wam swoją pomoc. Sukcesy, jakie odnosicie w uwalnianiu miasta od wielu nękających je zjaw, zwróciły uwagę potężnej i niebezpiecznej grupy. Mówię o kozich magach ze Staigue. Mamy własnych szpiegów, którzy poinformowali mnie, że magowie wysłali już zabójców do tego miasta. Jako słudzy Mroku nie mogą znieść waszej obecności w naszym kraju. To dlatego nieliczni pozostali przy życiu irlandzcy stracharze unikają większych miast i nie zatrzymują się nigdzie dłużej niż na parę dni.

Stracharz przytaknął z namysłem.

– Słyszeliśmy, że stracharze są tu wymierającym gatunkiem. Pańskie słowa mają sens, ale po co miałyby nam pan pomagać? Czy nie naraża się pan przez to na niebezpieczeństwo?

– Cały czas żyję w niebezpieczeństwie – odparł mężczyzna. –

Pozwoli pan, że się przedstawię. Jestem Farrell Shey, przywódca Ligi Ziemskiej, stowarzyszenia posiadaczy ziemskich, od wielu lat toczącego wojnę z magami.

Podczas terminu u Billa Arkwrighta spotkałem właściciela ziemskiego, który uciekł z Irlandii przed magami. Niewiele zyskał. Wysłali za nim jedną z celtyckich czarownic, by zabiła go w Hrabstwie, i zrobiła to, mimo że próbowaliśmy go chronić.

– Cóż, w takim razie chętnie przyjmiemy wszelkie wsparcie – oznajmił stracharz.

– A w zamian – odparł Shey – być może użyczy pan nam swej fachowej wiedzy. Czekają nas niebezpieczne miesiące – które części z nas ciężko będzie przeżyć: kozi magowie szykują się do kolejnego rytuału w Killorglin, nie możemy zatem dłużej zwlekać. Zabierzcie swoje rzeczy, a ja natychmiast wywożę was z miasta.

Uczyniliśmy, jak kazał. Po paru minutach pożegnaliśmy się z wdzięcznym gospodarzem i ruszyliśmy w ślad za Sheyern wąskimi alejkami. W końcu dotarliśmy na szerszą ulicę, gdzie czekał wielki powóz. Zaprzężony w szóstkę koni, zdawał się być zbudowany z myślą o szybkości – i rzeczywiście. Na koźle zasiadał woźnica w eleganckiej zielonej liberii, a obok niego rosły, czarnobrody mężczyzna z mieczem u pasa, który skłonił się Sheyowi i otworzył przed nami drzwi powozu, po czym wrócił na swoje miejsce.

Siedząc wygodnie, ukryci przed oczami ciekawskich gapiów za koronkowymi firankami, wkrótce przeprawiliśmy się przez rzekę i ruszyliśmy na zachód; powolny stukot kopyt zamienił się w rytmiczny tętent rozpędzanych koni.

Alice odwróciła się ku mnie, spojrzeliśmy sobie w oczy i odgadłem, iż myśli to samo co ja: wszystko działo się zbyt szybko. Ten Farrell Shey przywykł, że wszyscy go słuchają, nie musiał nas też długo przekonywać, abyśmy poszli za nim. W co właściwie się wpakowaliśmy?

– Dokąd zmierzamy? – spytał stracharz.

– Kierujemy się do Kerry na południowym zachodzie – wyjaśnił Shey.

– Ale czy nie tam właśnie mieszkają kozi magowie? – wtrąciłem z coraz większym niepokojem.

– W istocie – odparł. – Ale i my tam żyjemy. To piękna, lecz niebezpieczna część tej uroczej wyspy. A czasami, aby odeprzeć niebezpieczeństwo, trzeba wystąpić śmiało naprzód i stawić mu czoło. Wolelibyście zginąć w mieście, czekając, aż zjawią się zabójcy, czy też użyć nam swojej siły w próbie wytępienia magów na zawsze?

– Użyczymy wam naszych sił – odparł stracharz. – Proszę w to nie wątpić.

Alice i ja znów spojrzeliśmy po sobie. Stracharz wyraźnie podjął już decyzję.

– Całe życie walczyłem z Mrokiem – poinformował Sheya – i będę to czynić aż do ostatniego dnia.

\*

Przez cały dzień powóz niósł nas na zachód, zatrzymując się tylko dwukrotnie podczas zmiany koni. Podróżujące z nami psy od czasu do czasu biegly obok, by rozprostować łapy. A potem gościniec zwęził się i zwolniliśmy. W dali wznosiły się ośnieżone wierzchołki gór.

– To góry Kerry; mój dom leży na półwyspie Uibh Rathach – oznajmił Shey. – Ale dziś wieczór nie zdążymy tam dotrzeć. Niedaleko leży gospoda, którą zdołamy zabezpieczyć.

– Zatem już teraz grozi nam niebezpieczeństwo? – zdziwił się stracharz.

– Zawsze grozi nam niebezpieczeństwo. Nieprzyjaciele śledzą każdy nasz krok i czają się zarówno przed, jak i za nami. Ale proszę się nie martwić – jesteśmy dobrze przygotowani.

Budynek, w którym mieliśmy zanoćować, stał na skraju lasu, wiódł doń wąski ubity trakt. Na zewnątrz nie dostrzegłem żadnego szyldu i choć Shey nazywał to miejsce gospodą, bardziej przypominało prywatny dom, zajęty na kryjówkę w niebezpiecznej okolicy.

Tej nocy, po spacerze z psami, zjedliśmy suty posiłek złożony z

obfitych porcji gulaszu z cebulą i ziemniakami, pełnego kawałków soczystej jagnięciny. Podczas posiłku mistrz zaczął wypytywać Sheya o kozich magów. Znał już ogólne odpowiedzi na niektóre pytania, ale tak właśnie zawsze postępował: w słowach Sheya mogły kryć się nowe, ważne informacje, decydujące o zwycięstwie bądź klęsce. Nasze przetrwanie mogło zależeć od tego, co tu usłyszymy.

– Wspominał pan, że kozi magowie szykują się do swego rytuału w Killorglin...?

– Zgadza się. – Shey pogładził czarny wąs. – To zawsze wywołuje kryzys.

– Ale nadal mamy zimę, a słyszałem, że ceremonia odbywa się w sierpniu...

– Obecnie zbierają się dwa razy do roku – wyjaśnił Shey. – Kiedyś czynili to raz w roku, późnym latem na Jarmarku Puka. Uwiązują na wysokiej platformie górskiego kozła i zostawiają tam; ich mroczne rytuały kończą się ofiarami z ludzi. Chodzi o to, by przekonać boga Pana, aby wniknął w ciało żywego kozła. Jeśli to uczyni, wzmocni ich magię tak, że mogą ścigać i zabijać nieprzyjaciół. Lecz jeżeli czary zawiodą, my z kolei zaczynamy ich ścigać. Próbując nas pokonać, obecnie starają się przywołać boga dwa razy do roku – zarówno w marcu, jak w sierpniu. W zeszłym roku ani razu im się to nie udało, lecz w całych długich dziejach konszachtów z Mrokiem nigdy trzy razy pod rząd nie ponieśli klęski. Do tego mają nowego przywódcę – niebezpiecznego fanatyka, magistra Doolana, który nie cofnie się przed niczym, by osiągnąć cel. To krwiożerczy łajdak, szcycący się przydomkiem Rzeźnika z Bantry. Urodził się na brzegu Zatoki Bantry na południu i faktycznie terminował u rzeźnika, nim odkrył w sobie powołanie do mrocznych sztuk. Nie zapomniał jednak, jak posługiwać się nożami. Zabija ludzi dla czystej przyjemności, odcinając im kolejno palce u rąk i stóp, zadając setkę ran, by przedłużyć konanie, nim w końcu odrąbie im głowy. Zatem nadchodzi dla nas niebezpieczny czas. Musimy założyć, że za

miesiąc, jeśli ich nie powstrzymamy, wezwą Pana i zdobędą jeszcze więcej mrocznej mocy.

– Przyrzekłem, że pomogę, ale jak zazwyczaj próbowaliście ich powstrzymać? – spytał stracharz.

– Od stuleci toczymy z nimi wojnę: zwykle zmuszamy ich do starć zbrojnych – choć z ograniczonym powodzeniem. W kolistym forcie Staigue wzniesli niezdobytą twierdzę, lecz większość z nich musi zapuszczać się na czas ceremonii do Killorglin. Często zatem nękamy ich po drodze bądź atakujemy już w mieście. W przeszłości podobne metody jedynie opóźniały magów, kiedy jednak czary zawodzą, udaje nam się wybić ich całkiem sporo, nim zdołają wrócić do fortu.

– Czy wiecie, po co udają się do Killorglin? – zastanawiał się głośno mój mistrz. – Dlaczego akurat tam? Czemu po prostu nie odprawiają ceremonii za bezpiecznymi murami twierdzy?

Shey wzruszył ramionami.

– Uważamy, że targowisko w Killorglin musi być dla nich ważne: to miejsce, w którym naturalna moc Mroku wyłania się z ziemi. Z tego, co nam wiadomo, nigdy dotąd nie próbowali przeprowadzać rytuału gdzie indziej.

Brzmiało to sensownie. Istotnie, na ziemi istnieją szczególne miejsca, w których łatwiej uprawiać mroczną magię: całe Hrabstwo przyciąga boginy, w jego granicach można znaleźć miejsca o wielkiej mocy, zwłaszcza wokół Wzgórza Pendle. Mimo licznych strumieni, przez które niełatwo im się przeprawiać, Pendle przyciągnęło kilka potężnych klanów czarownic.

– Czy nie dałoby się wykurzyć magów z kryjówki raz na zawsze? – spytał mój mistrz.

– To niemożliwe – odparł Shey. – Fort Staigue to niezwykle miejsce, wzniesione przez pradawny lud, zamieszkujący tę wyspę ponad dwa tysiące lat temu. Próba przypuszczenia na niego szturmowi zbyt wiele by kosztowała. Praktycznie rzecz biorąc, fort jest nie do zdobycia.

– A celtyckie czarownice, panie Shey? – wtrąciłem. – Czy macie

z nimi jakieś problemy?

Myślałem o oczach w chmurze i wiedźmie, która zagroziła nam wkrótce po tym, jak rozprawiliśmy się z bełkaczem. Celtyckie czarownice bywały podobno sojuszniczkami magów.

– Czasami szpiegują dla magów, ale nie tworzą klanów. Mamy do czynienia jedynie z nielicznymi samotnymi czarownicami – potrafią uprzykrzyć życie, lecz w odróżnieniu od magów nie stanowią poważnego zagrożenia – wyjaśnił Shey.

– Tomowi może grozić z ich strony szczególne niebezpieczeństwo – poinformowała Alice. – W domu pomógł pozbyć się jednej z nich. Przed śmiercią wiedźma zagroziła, że Morrigan go zabije, jeśli odważy się kiedyś postawić stopę na tej wyspie.

– Zapewne to czcze groźby – odparł Shey. – Przez większość czasu Morrigan śpi; budzi się i odwiedza nasz świat tylko wezwana przez czarownice. Zdarza się to bardzo rzadko, bo niełatwo z nią pertraktować i często wyładowuje gniew na swych własnych sługach. Nie zamartwiaj się zatem przesadnie, chłopcze. Teraz najbardziej zagrażają nam magowie. A jutro, gdy ruszymy dalej w stronę Kerry, niebezpieczeństwo jeszcze wzrośnie.

Przyniósł na stół mapę i rozłożył przed nami.

– Tu właśnie zmierzamy – puknął palcem w samo serce. – To mój dom. Nazywamy go Bożą Krainą.

To dobre imię dla miejsca, które się lubi – tu jednak roilo się od złych magów praktykujących magię Mroku i bez wątpienia co najmniej jednej celtyckiej czarownicy. Przyjrzałem się uważnie mapie, starając się zapamiętać wszystko w ramach ćwiczeń pamięci. W pracy stracharza nigdy nie wiadomo, kiedy może się przydać znajomość ukształtowania terenu.

## **ROZDZIAŁ 4**

### **LUSTRO**

Tej nocy nawiedził mnie kolejny wyrazisty sen, odtwarzający przerażające zdarzenie z przeszłości – ostatnią walkę celtyckiej wiedźmy z Billem Arkwrightem i ze mną w dawnych czasach w Hrabstwie.

Teraz widziałem przed sobą czarownicę: biegła wśród drzew, wśród roztańczonych plam księżycowego światła. Ścigałem ją, zbliżałem się szybko, szykując srebrny łańcuch. Byłem pewny, że zdołam ją skrepować. Właśnie miałem rzucić, kiedy skręciła tak, że między mną a moim celem znalazło się drzewo. Nagle przed czarownicą wyrosła barczysta postać Billa Arkwrighta; zderzyli się. Bill upadł, natomiast ona zachwiała się tylko na moment i umknęła jeszcze szybszym krokiem.

Znaleźliśmy na otwartej przestrzeni, za lasem, i pędziliśmy w stronę trawiastego pagórka. Właśnie miałem rzucić srebrnym łańcuchem, gdy prosto w twarz zaświeciło mi jasne światło, oślepiając na moment. Ujrzałem sylwetkę czarownicy na tle okrągłych, żółtych drzwi. A potem nagle zrobiło się ciemno i cicho.

Zatrzymałem się gwałtownie, głośno chwytając powietrze, i rozejrzałem dokoła. Powietrze było ciepłe, stało w całkowitym bezruchu. Wewnątrz, za drzwiami, na skalnych ścianach błyskały światła – czarne wiedźmie świece. Widziałem także niewielki stolik i dwoje drewnianych krzeseł. Ku swej zgrozie uświadomiłem sobie, że znajduję się wewnątrz kurhanu! Podążyłem za czarownicą przez magiczne drzwi, które otwarła – i teraz stała przede mną z twarzą wykrzywioną wściekłością. Kilka razy odetchnąłem głęboko, by się uspokoić i spowolnić bicie oszalałego serca.

– A cóż to za głupca zawiodłam do kopca? – zawołała.

– Czy zawsze gadasz do rymu? – spytałem, starając się zbić ją z pantafyku.

Zadziałało – wiedźma nie zdążyła odpowiedzieć, bo w chwili, gdy się odezwałem, rzuciłem srebrnym łańcuchem, który powalił ją na kolana, oplatając ciasno usta. Idealny rzut. Skrepowałem wiedźmę, lecz teraz miałem prawdziwy problem. Nie widziałem już drzwi. Jak wydam się z kurhanu?

Może pozostanę w nim uwięziony na zawsze i już nigdy się nie obudzę... Przerazająca myśl. Starannie przeszukałem wnętrze komnaty, przesuając palcami po miejscu, przez które najpewniej tam wszedłem. Na kamieniu jednak nie wyczułem nawet najmniejszej skazy. Znajdowałem się w jaskini bez wyjścia. Arkwright wciąż tkwił na zewnątrz, ja zaś znalazłem się w pułapce. Czy zatem to ja uwięziłem czarownicę, czy też ona mnie?

Ukląknęłam obok niej, patrząc jej w oczy, które zdawały się błyskać rozbawieniem. Pod łańcuchem rozchyliła wargi, wyszczerzając zęby w półgrymasie-półuśmiechu.

Musiałem jak najszybciej opuścić to miejsce. Pozostawało mi tylko zdjąć łańcuch z ust wiedźmy, by mogła przemówić.

Ale nie chciałem tego zrobić, bo nagle przypomniałem sobie, co się stało dalej.

Świadoma część mnie – ta część, która wiedziała, że to sen – rozpaczliwie próbowała przejąć kontrolę. W jakiś sposób wiedziałem, że nie powinienem luzować łańcucha. Ale nie mogłem się powstrzymać. Byłem więźniem snu, zmuszonym wędrować tą samą ryzykowną ścieżką. Zsunąłem zatem łańcuch okalający jej usta. Teraz musiałem stawić czoło konsekwencjom.

Uwolniona od łańcucha czarownica mogła rzucać mroczne zaklęcia i natychmiast zaczęła. Przemawiając w pradawnej mowie, wyrzuciła z siebie trzy szybkie frazy, każdą kończącą się rymem. Potem bardzo szeroko otworzyła usta, z których wyleciała gęsta chmura czarnego dymu. Zerwałem się z ziemi i odskoczyłem, patrząc, jak złowieszczą chmura rośnie. Powoli przesłaniała twarz czarownicy, gęstniejąc jeszcze bardziej i nabierając złowieszczonego ciemnego kształtu.

Widziałem teraz czarnopióre skrzydła, rozpostarte szpony i ostry dziób. Chmura zamieniła się w czarną wronę. Otwarte usta czarownicy stały się portalem wiodącym w Mrok! Wezwała swoją boginię, Morrigan!

Nie był to jednak ptak zwykłych rozmiarów i proporcji, lecz olbrzymia, zniekształcona zjawa, zmieniona w coś groteskowego i



złego. Dziób, nogi i szpony, wydłużone i rozciągnięte, sięgały ku mnie. Tymczasem głowa i ciało pozostały w dali, wydając się dziwnie małe.

Wówczas jednak skrzydła także urosły, a potem rozpostarły się po obu stronach potwornego ptaka, wypełniając całą dostępną przestrzeń. Zatrzepotały, uderzając szaleńczo o ściany komnaty, roztrzaskując stół tak, że pękł na dwoje. Szpony śmignęły ku mnie. Uskoczyłem i rozdarły ścianę nad moją głową, pozostawiając w litej skale głębokie rysy.

Zginę tutaj! – pomyślałem. Nagle jednak poczułem w sobie wewnętrzną moc. Pewność siebie wyparła strach, towarzyszył jej gniew.

Zadziałalem odruchowo, nie podejmując świadomej decyzji i z szybkością, która zaskoczyła nawet mnie, ruszyłem naprzód. Zbliżywszy się do Morrigan, wypuściłem z laski ukryte ostrze i ciałem z lewa na prawo. Klinga wbiła się głęboko w pierś ptaka, pozostawiając krwawą czerwoną linię pośród czarnych piór.

Uszy wypełnił mi mrozący krew w żyłach krzyk. Bogini zadygotała i zaczęła się kurczyć, malejąc szybko, aż w końcu stała się nie większa od mojej pięści. Potem zniknęła – choć czarne, poplamione krwią pióra wciąż opadały powoli na ziemię.

Znow ujrzałem czarownicę: pokręciła głową z wyraźnie zaskoczoną miną.

– To niemożliwe! – zawołała. – Czym ty jesteś, skoro potrafisz tego dokonać?

– Nazywam się Tom Ward – odparłem. – Jestem uczniem stracharza i zajmuję się walką z Mrokiem.

Uśmiechnęła się ponuro.

– Cóż, chłopcze, dziś stoczyłeś swą ostatnią walkę. W żaden sposób nie zdołasz umknąć z tego miejsca, a bogini wkrótce powróci. Za drugim razem nie pójdzie ci tak łatwo.

Uśmiechnąłem się, zerkając na zbryzgane krwią pióra zaścielające ziemię. Potem spojrzałem jej prosto w oczy, starając się nie mrugnąć.

– Zobaczymy. Następnym razem może odrąbię jej głowę...

Oczywiście, blefowałem na całego. Staralem się udawać bardziej pewnego siebie, niż byłem w istocie. Musiałem przekonać wiedźmę, by otworzyła wyjście z kurhanu.

– Nigdy nie odwiedzaj mojej krainy, chłopcze! – ostrzegła. – Morrigan jest tam znacznie potężniejsza. I mściwa. Podda cię niewyobrażalnym torturom. Cokolwiek zrobisz, trzymaj się z dala od Irlandii!

\*

Obudziłem się zlany potem, z sercem walącym w piersi i z ulgą odkryłem, że już niemal świta. Przypomniałem sobie mroczne dni na wyspie Mona, gdy z trudem walczyliśmy o przetrwanie. Wtedy to stracharza dręczyły koszmary. Na szczęście już minęły, najwyraźniej jednak ja je odziedziczyłem. Ostatnio rzadko zdarzało mi się przespać spokojnie całą noc. Wróciłem myślami do tego, co wydarzyło się potem w Hrabstwie. Zawarłem pakt z czarownicą. W zamian za otwarcie magicznych drzwi przyrzekłem, że będzie mogła odejść wolno, jeśli tylko opuści Hrabstwo i wróci do Irlandii. Lecz na zewnątrz, gdy tylko uwolniłem ją ze srebrnego łańcucha, Bill Arkwright cisnął jej nożem w plecy, zabijając na miejscu. Później wyciął jej serce i rzucił na pożarcie psom – w ten sposób zyskując pewność, że nie powróci z martwych. Niemożliwe zatem, by ta sama czarownica zjawiała się tu, w Irlandii, szukając zemsty. Próbowałem przekonywać sam siebie, nadal jednak czułem niepokój i zabobonny lęk przed przyszłością – zupełnie jakby coś wyszło ze snu, podążyło za mną i teraz czaiło się w pokoju.

Nagle, w najdalszym kącie mojej sypialni, tuż przy drzwiach, rozległ się cichy szmer. Czyżby była to mysz albo szczur?

Wyteżyłem słuch, ale na próżno. Może się myliłem. I wtedy dźwięk się powtórzył. Tym razem przypominał krok, towarzyszył mu też kolejny odgłos – taki, który wypełnił mnie grozą.

Usłyszałem syk i potrzaskiwanie płonącego drewna. Dźwięk ów przywołał wspomnienie jednego z najgorszych przeżyć w czasie terminu u stracharza. Zazwyczaj zwiastował nadejście Złego,

którego kopyta wypalają ślady w podłodze.

Serce podeszło mi do gardła, gdy jeszcze dwukrotnie usłyszałem to samo. Nozdrza wypełnił mi swąd płonących desek!

Kiedy jednak już myślałem, że Zły lada moment zjawi się u mego boku, syk ucichł, a złowrózba woń rozplynęła się. Zapadła cisza. Czekałem bardzo długo, nim w końcu odważyłem się wstać z łóżka. Wreszcie, przywoławszy na pomoc całą swą odwagę, podniosłem się i ze świecą w dłoni poszedłem obejrzeć podłogę. Kiedy ostatnio widziałem Złego w tej postaci, pozostawił w deskach głębokie wypalone dziury. Tu dostrzegłem tylko słabe ślady na drewnie. Ich wygląd nie pozostawiał jednak wątpliwości: cztery rozszczepione racice, kierujące się od drzwi ku łóżku.

Starając się nie pobudzić wszystkich, poszedłem po mistrza i Alice i przyprowadziłem ich do mojego pokoju. Stracharz pokręcił głową, Alice sprawiała wrażenie przerażonej.

– Nie ma wątpliwości, chłopcze – oznajmił mistrz – to bez wątpienia Zły. Sądziłem, że słój ma go do ciebie nie dopuścić...

– Pokaż mi go jeszcze, Tomie – zażądała Alice, wyciągając rękę.

– Podczas starcia z pierwszym bełkaczem upadłem na słój – wyjaśniłem stracharzowi, podając słój Alice. – Ale pokazałem go jej i uznała, że wszystko w porządku.

– Teraz nie jestem już taka pewna – mruknęła Alice, kręcąc głową z zatroskaną miną.

Ostrożnie przesunęła palcem wzdłuż linii pęknięcia. Kiedy go uniosła, na jej skórze ujrzałem lekką czerwoną smugę.

– Na razie niemal nie cieknie – ale w słoju zamknęłam zaledwie sześć kropel krwi. Jego moc odpędzania Złego powoli słabnie. Kończy nam się czas...

Nie musiała kończyć zdania. W miarę słabnięcia mocy słoja Zły będzie mógł podchodzić coraz bliżej i bliżej. W końcu porwie mnie w Mrok – zniszczy też Alice w zemście za to, że mi pomogła.

– Sądziliśmy, że mamy mnóstwo czasu, by rozprawić się ze Złym – zwróciłem się do mistrza. – Teraz jednak sprawa robi się pilna. Słój w każdej chwili może zawieść. – Odwróciłem się do

Alice. – Spróbuj może raz jeszcze nawiązać kontakt z Grimalkin.

– Postaram się, Tomie. Mam tylko nadzieję, że nic jej się nie stało.

Stracharz milczał, minę miał jednak ponurą. Z jego punktu widzenia wszystko wyglądało źle. Polegając na słoju krwi, już i tak sprzymierzyliśmy się z Mrokiem. Jeśli nie wezwiemy Grimalkin i słoje w końcu pęknie, Zły przybędzie po mnie i Alice – po stracharza także, jeżeli spróbuje mu przeszkodzić. Lecz prosząc Grimalkin o pomoc, ponownie posługiwaliśmy się Mrokiem. Wiedziałem, że mistrz czuje się jak w pułapce – i to przeze mnie.

\*

Noc była zimna i bezwietrzna; kiedy rano ruszyliśmy na zachód do Kerry, ziemię pokrywała gruba warstwa szronu. Promienie porannego słońca odbijały się od nadal odległych zaśnieżonych szczytów. Alice znów nie udało się nawiązać kontaktu z Grimalkin. Posługiwała się lustrem, lecz mimo wszelkich starannych wysiłków wiedźma zabójczyni nie odpowiedziała.

– Będę dalej próbować, Tomie – obiecała. – Ale boję się. Nie wiadomo, ile mamy czasu, zanim słoje zawiedzie.

Stracharz jedynie pokręcił głową, wyglądając przez okno i obserwując biegnące obok psy. Nie mieliśmy sobie nic do powiedzenia. Nic nie mogliśmy zrobić. Jeśli Grimalkin wkrótce nie odpowie, rychło nadejdzie koniec. Czekala nas śmierć i wiekuiste męczarnie.

Po niecałej godzinie dołączył do nas oddział jeźdźców w szmaragdowozielonych tunikach. Eskorta sprawnie zajęła miejsca – dwóch przed powozem, czterech za nim. Cały dzień zmierzaliśmy na południowy zachód, droga stopniowo wznosiła się coraz bardziej; posępne góry przed nami wyrastały coraz wyżej w bezchmurne błękitne niebo. W końcu, gdy słońce zaczęło opadać ku zachodowi, ujrzeliśmy w dole morze i niewielkie miasteczko, przycupnięte u ujścia rzeki.

– Oto Kenmare, moja rodzinna siedziba – oznajmił Shey. – To bezpieczna przystań, wolna od magów. Nigdy nas tu nie

zaatakowali – przynajmniej dotąd. Mój dom stoi na skraju lasu na zachodzie.

Ów dom okazał się elegancką rezydencją, zbudowaną na planie litery E: każde z trzech skrzydeł miało trzy piętra wysokości. Wstępu broniły solidne drzwi, okna na parterze zasłonięto okiennicami. Do tego całe domostwo otaczał wysoki mur. Na teren posiadłości można się było dostać jedynie przez bramę z kutego żelaza, szeroką ledwie na tyle, by przepuścić nasz pojazd. Z całą pewnością ogrodzenie nieźle chroniło przed możliwym atakiem. Zarówno przed, jak i za murem krążyły także patrole zbrojnych strażników.

Nasz gospodarz okazał się niezwykle gościnnie, tej nocy zjedliśmy sutą wieczerzę.

– I co myślicie o naszym zielonym kraju? – spytał.

– Przypomina mi dom – odparłem. – Jest podobny do Hrabstwa, w którym mieszkamy.

Twarz Sheya rozjaśnił uśmiech. Odpowiedziałem jak należy, ale też szczerze. Każde słowo było prawdą. – To udęczone ziemie, które zamieszkuje dumny, lecz pocziwy lud – rzekł. – Lecz Wtórświat zawsze pozostaje tuż obok.

– Wtórświat? – powtórzył stracharz. – Co to znaczy?

– To miejsce, w którym mieszkają martwi irlandzcy bohaterowie, czekający na swe odrodzenie.

Stracharz przytaknął, uprzejmość jednak nie pozwoliła mu ujawnić, co naprawdę myśli. Ostatecznie byliśmy gośćmi, a nasz gospodarz przyjął nas serdecznie. Mówiąc „Wtórświat”, Farrell Shey zapewne miał na myśli Mrok. Nigdy nie słyszałem o irlandzkich bohaterach, lecz niektóre bezecne czarownice z całą pewnością powracały z Mroku i odradzały się na tym świecie.

– W Hrabstwie niewielu mamy bohaterów, żywych czy martwych. – Alice uśmiechnęła się psotnie. – Jedynie stracharzy i ich niemądrych uczniów.

Mistrz zmarszczył brwi, ja jednak tylko się uśmiechnąłem. Wiedziałem, że Alice żartuje.

Mój mistrz odwrócił się do Farrella Sheya.

– Może zechciałby nam pan opowiedzieć coś o waszych irlandzkich bohaterach. Jesteśmy tu obcy i chętnie dowiedzielibyśmy się o nich czegoś więcej.

Shey uśmiechnął się.

– Gdybym miał wspomnieć o wszystkich bohaterach Irlandii, siedzielibyśmy tu wiele dni. Opowiem zatem krótko o największym z nich wszystkich. Na imię miał Cuchulain, nazywano go także Ogarem z Calann. Przydomek ten zdobył, bo jako młodzian gołymi rękami walczył z potężnym i groźnym ogarem. Zabił go, roztrzaskując mu czaszkę o słup bramy. Był niewiarygodnie silny, wspaniale władał mieczem i włócznią, najbardziej jednak słynął z szalu bojowego – graniczącej z obłędem wściekłości, w którą wpadał podczas walki. Jego mięśnie i całe ciało nabrzmiewały, jedno oko cofało się w głąb czaszki, drugie wybałuszało spod ciężkiego czoła. Niektórzy mówią, że w bitwie z każdego pora skóry tryskała krew, inni, że była to jedynie krew zabitych przeciwników. Wiele razy bronił ojczyzny, odnosząc wspaniałe zwycięstwa mimo przeważających sił wroga. Ale zginął młodo.

– Jaki spotkał go koniec? – chciał wiedzieć stracharz.

– Został przeklęty przez czarownice – odparł Shey. – Od ich zaklęcia uszło mu lewe ramię i ręka, ujmując połowę sił. Mimo to nadal walczył i pozbawił życia wielu wrogów. Zginął, gdy Morrigan, bogini rzezi, zwróciła się przeciw niemu. Kochała go, ale on odrzucił jej awanse. W zemście skierowała przeciw niemu swą moc. Osłabiony, odniósł śmiertelną ranę w brzuch i wrogowie obcięli mu głowę. Teraz czeka we Wtórświecie, póki nie nadejdzie czas, by powrócił i znów ocalił Irlandię.

Jakiś czas jedliśmy w milczeniu; Sheya wyraźnie zasmuciło wspomnienie śmierci Cuchuiaina, tymczasem stracharz wyraźnie o czymś rozmyślał. Mnie natomiast poruszyła wzmianka o Morrigan. Spojrzałem w oczy Alice i przekonałem się, że wcześniejsze psotne ogniki zniknęły, zastąpione strachem. Myślała o groźącym mi niebezpieczeństwie.

– Zaintrygowała mnie pańska wzmianka o owym Wtórświecie – rzekł w końcu stracharz, przerywając ciszę. – Wiem, że wasze czarownice potrafią przywoływać magiczne wrota, aby wejść do starożytnych kurhanów. Czy potrafią także odwiedzać ów Wtórświat?

– Potrafią i często to czynią – odparł Shey. – W istocie inna nazwa Wtórświata to Wydrażone Wzgórza. Kopce te stanowią bramę do owej krainy. Lecz nawet wiedźmy nie mogą pozostawać tam zbyt długo. To zabójcze miejsce, można w nim jednak znaleźć bezpieczne kryjówki. Zwą je sidhe i choć zwykłym ludzkim oczom wydają się podobne do kościołów, w istocie są fortami, które mogą przetrzymać nawet atak boga. Ale sidhe to siedziba bohatera: jedynie godni mogą przekroczyć jego próg. Pomniejsze istoty zostałyby zniszczone w jednej chwili – zarówno ich ciało, jak i dusza.

Jego słowa przywołały obraz z powracającego koszmaru. Uciekając przed Morrigan, szukałem schronienia w czymś, co wyglądało jak kościół. Czyżby było to sidhe? Sny powoli zaczynały nabierać sensu. Czyżbym dowiadywał się z nich czegoś, zdobywał wiedzę, która może mi posłużyć w przyszłości?

– Widzicie, tego właśnie pragną magowie – ciągnął Shey. – Czerpiąc dość siły z Pana, mają nadzieję pewnego dnia zawładnąć nad Wtórświatem, który kryje w sobie przedmioty, mogące obdarzyć ich niewiarygodną mocą.

– Jakie przedmioty? – zainteresował się stracharz. – Zaklęcia? Moc magii Mroku?

– Możliwe – mruknął gospodarz. – Ale też broń o wielkiej sile, stworzoną przez samych bogów. Niektórzy wierzą, iż ukryto tam młot bitewny wykuty przez boga kowala, Hefajstosa. Rzucony, nigdy nie chybia celu i zawsze powraca do ręki właściciela. Doolan, Rzeźnik, byłby zachwycony, gdyby zdobył coś podobnego!

Stracharz podziękował naszemu gospodarzowi za informacje i wkrótce rozmowa przeszła na uprawę roli i nadzieję na obfite plony ziemniaków. Przez ostatnie dwa lata niszczyła je zaraza, kolejny

taki rok doprowadziłby wielu ludzi na skraj głodowej śmierci. Ogarnęły mnie wyrzuty sumienia. Podczas naszego pobytu w Irlandii jadaliśmy doskonale, a tymczasem na wsiach ludzie głodowali.

\*

Zmęczeni po podróży, wcześniej poszliśmy spać. Alice zajęła pokój obok mnie, dość blisko, by pozostawać pod ochroną słoja krwi; stracharz kolejny, w głębi korytarza. Miałem właśnie się rozebrać i położyć, gdy usłyszałem stłumiony głos.

Otworzyłem drzwi i wyjrzałem. Nie zobaczyłem nikogo. Przekroczyłem próg, znów usłyszałem głos i pojąłem, iż dobiega z pokoju Alice. Ale z kim rozmawiała? Oparłem się o drzwi, nasłuchując. Niewątpliwie głos należał do niej, była jednak sama. Zdawała się nucić, miast uczestniczyć w rozmowie.

Powoli uchyliłem drzwi i zakradłem się do środka, zamykając je ostrożnie, by nie narobić hałasu. Alice siedziała przed lustrem stojącym na toalecie, wpatrując się w nie w skupieniu. Obok migotała świeca.

Nagle przestała nucić i zobaczyłem, że wymawia coś bezgłośnie w stronę lustra. Niektóre czarownice pisały na powierzchni zwierciadła, lecz te zręczniejsze czytały z ruchu warg. Zapewne próbowała skontaktować się z Grimalkin.

Serce szarpnęło mi się w piersi, bo zamiast odbicia Alice, ujrzałem w lustrze zarys kobiecej głowy. Ze swego miejsca przy drzwiach nie zdołałem dostrzec rysów i na moment poczułem lodowaty chłód. Kiedy jednak zbliżyłem się nieco, chłód minął, bo poznałem twarz Grimalkin.

W końcu Alice zdołała nawiązać kontakt. Nagle ogarnęła mnie nadzieja. Być może wiedźma zabójczyni wkrótce dotrze do Irlandii i pomoże nam uwięzić Złego, abyśmy nareszcie nie musieli polegać wyłącznie na mocy pękającego słoja krwi.

Wiedziałem, że jeśli Alice przebudzi się z transu i zobaczy mnie, przeżyje wstrząs, toteż wyszedłem, zamykając cicho drzwi. W sypialni usiadłem na krześle, czekając na nią. Byłem pewien, że



wkrótce się zjawi i opowie mi o rozmowie z Grimalkin.

Nagle wzdrygnąłem się gwałtownie. Zasnąłem. Był środek nocy, świeczka niemal się już wypaliła. Zdziwiło mnie, że Alice nie złożyła mi wizyty, ale może także zasnęła. Podróżowaliśmy przez dwa dni i byliśmy bardzo zmęczeni. Rozebrałem się zatem i położyłem do łóżka.

\*

Obudziło mnie ciche pukanie. Usiadłem. Przez zasłony do pokoju przenikały promienie porannego słońca. Drzwi uchyliły się lekko i odkryłem, że stoi za nimi Alice. Uśmiechała się do mnie.

– Jeszcze nie wstałeś, śpiochu? – spytała. – Już i tak spóźniliśmy się na śniadanie. Słyszę, jak rozmawiają. Nie czujesz zapachu boczku?

Odpowiedziałem uśmiechem.

– Do zobaczenia na dole! – rzuciłem.

Dopiero kiedy wyszła i zacząłem się ubierać, uświadomiłem sobie, że nie wspomniała o rozmowie z Grimalkin. Zmarszczyłem brwi. Z pewnością sprawa była zbyt ważna, by zostawiać tę informację na później.

Przez chwilę zastanawiałem się, czy wszystko to mi się nie przyśniło, ale mistrz zawsze podkreślał, jak ważne jest rozpoznawanie różnicy pomiędzy snem a jawą. Czasami stracharze miewają problemy ze stanem pomiędzy, wtedy właśnie więdźmy i inni słudzy Mroku czasami próbują wpływać na ludzi i naginać ich do swej woli. Niezwykle ważne jest zatem, by umieć je rozpoznać. Nie – wiedziałem, że to nie był sen.

Zszedłem na śniadanie i wkrótce zjadłem wieprzowe kiełbaski i bekon, a tymczasem mój mistrz wypytywał gospodarza o naszych nieprzyjaciół, kozich magów. Słuchałem tylko jednym uchem – chciałem jak najszybciej pomówić na osobności z Alice i spytać o zeszłą noc. Czy Grimalkin w końcu wyruszyła nam na spotkanie? Czy dotrze tu, nim słoń krwi zawiedzie? Dlaczego Alice nie wspomniała o rozmowie stracharzowi? Kryło się w tym coś dziwnego i niepokojącego.

– Muszę się trochę przewietrzyć – oznajmiłem, wstając z krzesła. – Wyjdę na spacer. Psom też się przyda trochę ruchu.

– Pójdę z tobą – oznajmiła Alice z uśmiechem. Oczywiście, na to właśnie liczyłem: nie mogła sobie pozwolić, by pozostać poza ochroną słoja krwi.

– Lepiej nie zapuszczajcie się zbyt daleko od domu – ostrzegł Shey. – Kenmare to schronienie, ale choć strażnicy obserwują wszystkich przybywających do miasta gości, nie jest tu całkiem bezpiecznie. Nasi wrogowie niemal na pewno nas obserwują.

– Właśnie, chłopcze. Uważaj – dodał stracharz. – Znaleźliśmy się w obcym kraju i mamy do czynienia z nieznanym.

Skinąłem potakująco głową i wyszedłem z jadalni wraz z Alice. Poszliśmy do psiarni po Szpon, Krew i Kość i wkrótce znaleźliśmy się za bramą, maszerując szybko w dół zbocza. Był piękny słoneczny ranek, najlepszy, na jaki można liczyć pod koniec zimy; psy radośnie pobiegły naprzód, podążając tropem jakiegoś zwierzęcia i ujadając głośno.

Wypatrując ostrożnie wszystkiego co nieznanego, zagłębiliśmy się w niewielki las, w którym ziemia wciąż bieląca od szronu. Tam przystanąłem pod nagimi gałęziami jawora i natychmiast przeszedłem do rzeczy.

– Wczoraj w nocy słyszałem, jak nucisz przed lustrem, Alice. Zajrzałem do twojego pokoju i zobaczyłem, że rozmawiasz z Grimalkin. Co powiedziała? Czy ruszyła już w drogę? Dziwię się, że nie wspomniałaś mi o tym sama... – Starąłem się, by mój głos nie zdradzał irytacji.

Alice, na moment zakłopotana, zagryzła wargę.

– Przepraszam, Tom – rzekła. – Zamierzałam ci powiedzieć, ale uznałam, że lepiej będzie trochę poczekać. Nie mam dobrych wieści.

– Chcesz powiedzieć, że nie zdoła do nas dołączyć?

– Zmierza tutaj, ale może minąć nieco czasu, nim uda jej się tu dotrzeć. Żołnierze wroga wtargnęli do Pendle, próbując przegnać wszystkie klany. Z początku powiodło im się, spalili kilka domów i

zabili kilka czarownic. Lecz po zmierzchu klany przywołały gęstą mgłę i przeraziwszy ludzi, zagnały ich do Wiedźmiego Jaru, gdzie wielu spotkała śmierć. Tej nocy czarownice urządziły sobie ucztę. Nie zadowolilo to jednak Malkinów, bo wysłali Grimalkin, by zajęła się dowódcą najeźdźców, który schronił się w zamku Caster. Grimalkin o północy wspięła się na mury i zabiła go w łóżku. Odcięła mu kciuki, a na ścianie sypialni wypisała krwią kłutwę.

Zadrzałem. Wiedźma zabójczyni była bezlitosna i, jeśli wymagała tego sytuacja, okrutna. Nikt nie chciałby się jej narazić.

– Po tym czynie wyznaczono cenę za jej głowę, wszyscy żołnierze wroga na północ od Priestown polują na nią – podjęła Alice. – Ma nadzieję dotrzeć do Szkocji, a tam znaleźć łódź, którą przeprowi się do Irlandii.

– Nadal nie rozumiem, czemu wcześniej mi o tym nie wspomniałaś.

– Przepraszam, Tom, ale naprawdę uważałam, że lepiej na jakiś czas ukryć przed tobą złe wieści.

– Ale przecież nie są takie złe, Alice. Grimalkin uciekła i choć spóźniona, jednak tu zmierza.

Alice spuściła wzrok, wbijając spojrzenie w czubki szpiczastych trzewików.

– To jeszcze nie wszystko, Tomie... Niczego nie potrafię długo przed tobą ukryć, prawda? Widzisz, Grimalkin martwi się o ciebie. Chce zniszczyć Złego, o tak, ale uważa, że może tego dokonać jedynie z twoją pomocą. Wierzy w to, co powiedziała twoja mama – że znajdziesz sposób, by się z nim rozprawić. Teraz jednak widząca ostrzegła ją, że grozi ci niebezpieczeństwo – że zagraża ci śmierć z rąk martwej wiedźmy.

– Co? Masz na myśli...?

– Tak. Celtycką czarownicę, o której wspominałeś – tę, którą zabił stary Arkwright. Grimalkin twierdzi, że wróciła z martwych i cię ściga.

Nagle oczami duszy znów ujrzałem wyraźne obrazy z koszmarne go snu. Czy stanowiły ostrzeżenie? Może dlatego sen

powracał raz po raz.

Ale jak mogła mnie ścigać akurat ta wiedźma?

– To niemożliwe, Alice. Ona nie może wrócić. Bill Arkwright rzucił jej serce na pożarcie psom!

– Jesteś pewien? Grimalkin wydawała się przekonana, że to ta sama.

– Byłem tam, kiedy to zrobił, Alice. Widziałem, jak cisnął je Szpon i szczeniakom.

Jeśli powiesi się czarownicę, może powrócić z martwych. Istnieją jednak dwa sposoby, by zyskać pewność, że już nie wróci. Jeden to spalenie, drugi – wycięcie serca i pożarcie go. Dlatego właśnie Bill Arkwright zawsze rzucał serca wodnych wiedźm swoim psom.

Tak samo postąpił z celtycką czarownicą. Była to stara wypróbowana metoda stracharzy, która zawsze działała. Niemożliwe, by ta właśnie czarownica mogła powstać z martwych.

– Pamiętasz, Alice, jak opowiadałem ci swój sen – ten o Morrigan? – spytałem.

Przytaknęła.

– No cóż, ostatnio co noc mam ten sam koszmar. Ściga mnie wielka czarna wrona. Jestem w lesie, biegnę w stronę kaplicy. To jedyne możliwe schronienie i muszę dostać się tam przed północą – inaczej wiem, że zginę. Ale potem wrona odmienia kształt. Stoi niedaleko, ma ciało kobiety, ale głowę ptaka.

– Nie ma wątpliwości, to na pewno Morrigan – wtrąciła Alice.

– Potem jednak głowa wrony zmienia się w ludzką. I wiem, że widziałem już kiedyś tę twarz. To czarownica, którą zabił Bill Arkwright. Jednak po co Morrigan miałaby przyjmować twarz martwej wiedźmy?

– Może chce się zemścić za to, co zrobiliście z Billem Arkwrightem? – podsunęła Alice. – Oblicze martwej służki ma stanowić ostrzeżenie przed tym, co cię czeka. Wolałabym tego nie mówić, Tom, ale możliwe, że prześladowuje cię coś więcej niż zwykły koszmar.

Przytaknąłem. Choć przerażające, wydawało się to prawdopodobne. Senne majaki mogły być ostrzeżeniem pochodzącym wprost od Morrigan, należącej do grona najbardziej mściwych i krwiożerczych Starych Bogów.

Czułem coraz większą obawę. Nie tylko czekała nas rozprawa z szykującymi się do rytuału kozimi magami, ale też najwyraźniej zagrażała nam Morrigan. Wprawdzie niedługo dołączy do nas Grimalkin – choć wówczas staniemy przed próbą uwięzienia Złego. Możliwe, że wkrótce będziemy musieli rozprawić się jednocześnie z trzema potężnymi istotami z Mroku.

Sięgnąłem do kieszeni i wyciągnąłem słój krwi, unosząc go do światła i oglądając uważnie. Czy pęknięcie nieco się powiększyło? Takie miałem wrażenie. Oddałem go Alice.

– Czy szczelina nie zrobiła się większa? – spytałem nerwowo.

Alice długo oglądała słój, obracając go raz po raz w dłoniach. W końcu oddała mi go.

– Możliwe, że nieco się wydłużyła – przyznała – ale nie wycieka przez nią krew. Nie martw się, Tomie. Kiedy zjawi się Grimalkin, uwięzimy Złego i nie będziemy już potrzebowali słoja.

Powoli ruszyliśmy do domu, psy biegły nam u nogi. Tymczasem z zachodu napłynęły chmury, przysłaniając słońce. Wyglądało na to, że okres dobrej pogody dobiegł końca. W powietrzu pachniało deszczem.

## **ROZDZIAŁ 5**

### **KILLORGLIN**

Kiedy wróciliśmy do domu Farrella Sheya, stracharz krążył nerwowo przed bramą. Minę miał zatroskaną.

– Gdzie się podziewaliście? – spytał ostro. – Spodziewałem się, że wrócicie godzinę temu. Czyż nie ostrzegaliśmy, żebyście nie oddalali się zbyt daleko od domu? Sądziłem już, że spotkało was coś

złego.

– Ale nie odeszliśmy daleko – zaprotestowałem. – Po prostu rozmawialiśmy. Alice nawiązała kontakt z Grimalkin. W końcu ruszyła w drogę. Może to potrwać, ale przybędzie. To chyba dobre wieści, prawda?

Oczywiście, nie wspomniałem stracharzowi o wszystkim. Dostatecznie trudno było mu współpracować z wiedźmą zabójczynią, lepiej, by nie znał szczegółów tego, co spotkało dowódcę żołnierzy wroga.

– Owszem, chłopcze, bez dwóch zdań. – Mistrz odrobinę się rozpogodził. – Ale podczas waszej nieobecności podjęliśmy decyzje. W istocie zapadły one przy stole w jadalni, ty jednak wydawałeś się zaprzątnięty czymś innym. Za parę lat zakończysz szkolenie i sam zostaniesz stracharzem. Czas zacząć zachowywać się i myśleć jak stracharz. Powinieneś się skupić, a nie marzyć o niebieskich migdałach.

– Przepraszam. – Skarcony, pochyliłem głowę. Wiedziałem, że go zawiodłem. – Co zatem zdecydowaliście?

– Do tej pory posiadacze ziemscy atakowali magów tuż przed kozim rytuałem – wyjaśnił mój mistrz. – Zazwyczaj, gdy tamci opuszczali fort, zmierzając do Killorglin. Lecz tym razem postąpią inaczej. Farrell Shey ocenia, że minie tydzień, nim większość magów zbierze się w mieście. Zawsze jednak posyłają przodem kilku swoich, by wynajęli pokoje i zbudowali wieżę, na której umieszczą platformę, gdzie odbędzie się rytuał. Zamierza ukryć swoich ludzi w Killorglin i zaskoczyć tamtych, a my udamy się z nimi. Bo widzisz, spróbujemy schwytać jednego z kozich magów i go przesłuchać. Być może poznamy część tajemnic ceremonii – może nawet dowiemy się, jak ją powstrzymać albo odwrócić.

Oczywiście, najtrudniej będzie dotrzeć do Killorglin tak, by nie dostrzegli nas szpiedzy magów. Shey zatem wzywa dziesiątki zbrojnych. Przez cały dzień będą przeczesywać okolice, usuwając wszelkie zagrożenia.

– Lecz czy choćby z tego powodu magowie nie zorientują się, że

coś się święci? – spytałem.

– Owszem, chłopcze, to możliwe – ale nie będą wiedzieli dokładnie co. Lepsze to, niż pozwolić, by szpiedzy zameldowali w Staigue o naszym wyjeździe i o tym, dokąd się kierujemy.

\*

Ludzie Ligi Ziemskiej powrócili o zmierzchu, oświadczając, że cała okolica jest bezpieczna. Zostawiwszy zatem psy i nasze torby, wraz ze stracharzem i Alice pod osłoną ciemności ruszyliśmy do Killorglin w towarzystwie tuzina rosłych mężów pod dowództwem Sheya.

Podróżowaliśmy pieszo przez góry, zataczając szeroki łuk i kierując się na północny wschód. Gęsta lodowata mżawka powoli zamieniała szlak w błoto. O świcie okrążyliśmy spore jezioro i dotarliśmy do miasteczka Killarney. Schroniliśmy się w stodole na przedmieściu i przespaliśmy cały dzień, a potem znów ruszyliśmy w dalszą drogę. –

Do tej pory deszcz ustał, tak więc maszerowało się łatwiej. Wkrótce podążaliśmy brzegiem zasnutej mgłą rzeki Laune i na długo przed świtem dotarliśmy do granicy Killorglin. Rozbiwszy obóz na wielkim błotnistym polu na skraju miasta, dołączyliśmy do dziesiątków przybyszy, ściągających na Jarmark Puka. Ogrzewając dłonie nad ogniem, spytaliśmy Farrella Sheya, skąd wzięły się takie tłumy.

– Dziwię się, że tak wielu ludzi już się zjawilo – zaczął stracharz. – Sam jarmark zacznie się dopiero za kilka dni.

W szarym świetle przedświtu pole kipiało życiem. Niektórzy rozstawiali kramy i sprzedawali jadło: pęta kielbas, cebulę i marchew. Wielu przyprowadziło zwierzęta – konie galopowały po całym terenie, o mało nie tratując pieszych.

– Ci ludzie nie wyglądają na zagłodzonych – zauważyłem.

– Nawet w najgorszych czasach niektórym wiedzie się lepiej – wyjaśnił Shey. – Wierz mi, we wsiach znajdziesz mnóstwo głodnych gąb. Wielu ludzi będzie zbyt słabych, by przybyć do Killorglin. Mimo to jarmark rozrasta się z każdym rokiem.

Nieważne, zimą czy latem, nawet przy złej pogodzie ściąga setki gości. Przybywają z odległości wielu mil. Część spośród nich to handlarze prowadzący zwierzęta na sprzedaż bądź wymianę, ale zjawiają się także rzemieślnicy oraz wróżbicy, no i oczywiście złodzieje – zwłaszcza rzezimieszki. Miasto zapełnia się szybko i nie może pomieścić wszystkich. To pole jest tylko jednym z wielu, które wkrótce wypełnią się ludźmi aż po brzegi.

– A co z magami? – spytał stracharz.

– Zajmą większość miejsc noclegowych w mieście – zwłaszcza te wokół trójkątnego rynku pośrodku, gdzie zostanie wzniesiona platforma. Na czas trwania głównego festiwalu Killorglin praktycznie należy do nich. Lecz tym razem sprawimy im niespodziankę.

\*

Do miasta ruszyliśmy późnym rankiem, przeciskając się ciasnymi uliczkami w stronę centrum, gdzie urządzano jarmark. Brukowane serce Killorglin ciasno wypełniały kramy. Większość miasteczek ma rynki kwadratowe bądź prostokątne, ten jednak istotnie okazał się trójkątny; opadał ku alejce wiodącej w dół stromego zbocza, ku odległej rzece wraz z mostem.

Shey przywdział płaszcz z szorstkiej wełny, by ukryć swój bogaty strój, toteż nikt nie zwracał na nas uwagi. Zmieszaliśmy się z tłumem ludzi i wynajęliśmy pokój w najwyraźniej najmniejszej i najbiedniejszej gospodzie na skraju ruchliwego rynku. Szybko odkryliśmy, że to doskonały wybór, bo w odróżnieniu od większości innych wchodziło się do niej z ulicy równoległej do zachodniego boku brukowanego trójkąta, toteż mogliśmy wchodzić i wychodzić, nie zwracając niczyjej uwagi.

– To ostatnia gospoda, na jaką zdecydowałiby się magowie. – Shey przyglądał siwe włosy. – Cenią sobie wygody i są bardzo wrażliwi na punkcie swego statusu, toteż zawsze wybierają to co najlepsze. Jeśli w ogóle wynajmują tu pokoje, to wyłącznie dla swej służby.

Wróciliśmy na pole, ludzie Sheya gotowali tam coś nad



ogniskiem. Nim jednak słońce zaszło, dotarły do nas wieści, iż niewielka grupa magów przeprawiła się przez górskie przełęcz na północ od fortu Staigue i maszerując nocą, zmierza wprost w stronę Killorglin. Mieli tu dotrzeć przed świtem. Zjawiliśmy się w samą porę.

Zabrawszy nieco prowiantu, wróciliśmy do pokoju z oknem wychodzącym na rynek, z którego mogliśmy wyglądać przybycia nieprzyjaciół, i rozpoczęliśmy czuwanie. Zaciągnęliśmy zasłony, pozostawiając jedynie wąską szczelinę. Niebo było bezchmurne, a księżyc, trzy dni po pełni, rzucał srebrzyste światło na puste ulice.

Dwie godziny przed zmierzchem usłyszeliśmy stukot kopyt. Po chwili ujrzeliśmy dwóch jeźdźców, a za nimi czterech pieszych dźwigających na ramionach ciężkie toboły.

– Ci konni to magowie – wyjaśnił Shey. – Pozostali to robotnicy, którzy zbudują platformę.

Oba konie były karymi ogierami czystej krwi, hodowanymi z myślą o szybkości. Ich jeźdźcy nosili duże zakrzywione szable, rozszerzające się na końcu – zwane bułatami. Magowie zeskoczyli z siodła i skierowali się ku najwyższemu punktowi brukowanego trójkąta. Byli to wysocy, potężnie zbudowani mężczyźni o ciemnych krzaczastych brwiach i krótkich szpiczastych brodach, zwanych kozimi, bo naśladują kępę włosów na podbródku kozła.

Wskazali miejsca na bruku i czterech cieśli bezzwłocznie zabrało się do wznoszenia wysokiej drewnianej konstrukcji podtrzymującej platformę. W ich tobołach kryły się narzędzia i coś, co wyglądało na specjalnie przygotowane kawałki drewna. Dwóch z nich wkrótce odeszło, po kilku minutach wrócili, dźwigając dwie długie drewniane belki. Te musiano wyprodukować na miejscu, na zamówienie. Gdy tylko złożyli je obok narzędzi, znów odeszli, powracając z kolejnym ciężarem. Wkrótce nocną ciszę zakłócił stukot młotków i wieża zaczęła nabierać kształtów.

Cieśle pracowali cały dzień, tymczasem magowie przykucali na ziemi bądź krążyli wokół rosnącej wieży, wydając polecenia.

Mieszkańcy Killorglin trzymali się z dala od rynku. Tego dnia

nie rozstawiono na nim żadnych kramów.

– Czy oni boją się magów? – spytałem. – Dlatego nie urządzają dziś targu?

– Boją się, o tak – odparł Shey. – Podczas budowy platformy zazwyczaj omijają to miejsce szerokim łukiem. Gdy jednak kozioł znajdzie się na miejscu, wracają i jarmark trwa dalej – choć większość kupuje wówczas dzbany piwa i butelki wina. Wielu ludzi upija się – może po to, by umknąć przed grozą, którą magowie ściągają do miasta. Dla innych to jedno z najważniejszych świąt w roku i bez żenady zażywają wszelkich uciech.

– Kiedy zamierza pan spróbować porwać jednego z magów? – spytał stracharz.

– O zmierzchu – odparł Shey. – Spalimy też drewnianą wieżę. Bez wątpienia ją odbudują, ale będą musieli sprowadzić świeże materiały ze Staigue. W ten sposób przynajmniej nieco opóźnimy ich przygotowania.

– Czy będą się bronić mroczną magią? – zastanawiał się mój mistrz.

– Mogą spróbować. Ale – Shey spojrzał na nas spokojnie – wierzę w naszą połączoną siłę. Jestem przekonany, że nam się powiedzie.

– Cóż, mam swój srebrny łańcuch – oznajmił stracharz. – Chłopak także. On krępuje mocniej niż jakiegokolwiek sznury.

Srebrny łańcuch działa na czarownice i większość magów. Wszystko wydawało się proste: mieliśmy nad magami i ich robotnikami przewagę liczebną, na naszą korzyść przemawiał też element zaskoczenia. Wówczas jednak kątem oka zauważyłem minę Alice. Wyglądała na zaniepokojoną.

– Co się stało, Alice? – spytałem.

– To nie uwięzienie maga mnie trapi – rzekła. – Lecz to, co stanie się potem, gdy pozostali dowiedzą się, co spotkało ich towarzysza. Bo wówczas przyjdą po nas – a jest ich całe mnóstwo.

– Wszystko zostało starannie przemyślane i zaplanowane, dziewczyno – oświadczył stracharz. – Schwytane konie i inni

więźniowie zostaną zabrani na południowy wschód, tam, skąd przyszliśmy. Lecz nasza czwórka wraz z ważnym więźniem skieruje się w inną stronę – w dół wybrzeża. Stoi tam Zamek Ballycarbery, dom jednego z posiadaczy ziemskich. To potężna forteca, w której będziemy mogli bezpiecznie przesłuchać schwytanego maga.

\*

Słońce zaszło i gdy zaczęło robić się ciemno, nadszedł czas działania.

Widoczna w dole budowla została już niemal ukończona: wysoka, kwadratowa, drewniana konstrukcja balansująca na bruku. Liczyła sobie trzydzieści stóp wysokości i górowała nad całym rynkiem. Niezwykłe osiągnięcie jak na jeden dzień pracy. Wyczerpani robotnicy pakowali narzędzia, tymczasem obaj magowie czekali cierpliwie z rękami splecionymi na piersiach, ich konie stały uwiązane do słupka w najdalszym rogu placu. Nasi ludzie donieśli, iż magowie wynajęli pokoje w największej gospodzie naprzeciwko i wkrótce udadzą się na nocleg.

Opuściliśmy swoje stanowisko, zeszliśmy na dół, na ulicę, i ruszyliśmy w stronę rynku, starając się trzymać w cieniu. Stracharz i Shey maszerowali na przedzie. Powoli podkradaliśmy się do magów, wiedząc, że nasi zbrojni nadciągają z tyłu, odcinając im szanse ucieczki.

Nagle spętane konie zaczęły wierzgać i rzeć niespokojnie. Musiały wyczuć nasz zapach. Zaalarmowani magowie dobyli bułatów i zajęli pozycję obronną, zwróceni plecami do siebie. Shey i mój mistrz wyskoczyli z cienia i popędzili ku wrogom, bieглиśmy z Alice tuż za nimi. Słyszałem wykrzykiwane rozkazy i kroki w ciemności – to cały nasz oddział zmierzał do celu.

Najbliższy mag uniósł broń, lecz stracharz w biegu cisnął srebrny łańcuch. Z donośnym brzękiem poszybował w górę, tworząc idealną spiralę. Był to dobry, celny rzut – łańcuch opadł na głowę i ramiona maga, przyciskając mu rękę do boków, tak że bułat z hałasem upadł na bruk. Część łańcucha zacisnęła się wokół

oczu i ust, tak iż schwytany nie mógł widzieć ani mówić. Skrępowanie ust jest bardzo ważne, gdy ma się do czynienia z wiedźmą rzucającą mroczne zaklęcia. Magowie także posługują się zaklęciami, toteż mistrz wolał nie ryzykować.

Drugi mag obrócił się gwałtownie ku Sheyowi, dwie klingi zderzyły się z metalicznym zgrzytem. A potem mag wrzasnął, upuścił bułat i runął na twarz. Pod jego ciałem zbierała się kałuża krwi. Czterej robotnicy padli na kolana, unosząc ręce nad głowy i błagając o życie. Ludzie Sheya okrążali nas i potrzebowali zaledwie paru minut, by związać cieśli sznurami i odprowadzić ich na bok wraz z końmi. Podczas gdy nasza eskorta szykowała się do marszu na południowy wschód, w stronę Killarney, stracharz, Shey, Alice i ja zabraliśmy naszego więźnia w stronę Zamku Ballycarbery nieopodal miasteczka Cahersiveen.

Już poza miastem obejrzałem się i zobaczyłem ponad dachami czarny dym i czerwony blask. Ludzie Sheya spalili drewnianą platformę, robotnicy na próżno się wysilali. Wszystko poszło dobrze, ale nie mogłem powstrzymać obaw, iż pożar zadziała niczym wici, ściągając do Killorglin wszystkich nieprzyjaciół.

## **ROZDZIAŁ 6**

### **NARZĘDZIE TORTUR**

Ballycarbery wyglądało na potężną fortecę, o grubych kamiennych murach, z jedyną, wychodzącą na zachód, bramą. Zamek nie miał jednak fosy ani zwodzonego mostu i doświadczenie w kwestii fortyfikacji podpowiadało mi, że to poważna słabość. Oznaczała, że wrogowie mogą podejść pod same mury. Forteca miała już za sobą dni swojej świetności. Kamienne ściany porastał bluszcz. Zdesperowani najeźdźcy mogliby dzięki niemu wspiąć się na blanki.

Mag, wciąż skrępowany srebrnym łańcuchem stracharza, trafił

do lochu, gdzie miał czekać na poranne przesłuchanie. Nam przydzielono wygodne łóżka w zamku – niewyspani, nie traciliśmy czasu. Sprawdzając przed snem słój krwi, nie mogłem powstrzymać myśli, że w przeszłości sytuacja często wyglądała zupełnie inaczej. Kiedy trafiliśmy do podobnej twierdzy, tkwiliśmy uwięzieni w ciemnych wilgotnych lochach, czekając na śmierć, podczas gdy nasi wrogowie wydawali rozkazy.

Znów miałem sen – ten sam koszmar, w którym ścigała mnie Morrigan pod postacią wrony. Zdawało mi się jednak, że tym razem jest nieco mniej przerażający niż wcześniej. Bogini nadal zbliżała się stopniowo, ja jednak biegłem szybciej, coraz bliżej docierając do niewidocznej kryjówki.

Nagle ocknąłem się, zlany zimnym potem, z walącym sercem czułem jednak nową nadzieję. Czyżbym się uczył i po każdej podobnej nocy zyskiwał więcej sił?

W tym momencie zdarzyło się coś znacznie straszniejszego niż jakikolwiek nocny koszmar. Usłyszałem głucho łup, łup, łup kroków zbliżających się do łóżka, towarzyszył im syk płonącego drewna. Próbowałem otworzyć oczy, powieki jednak zanadto mi ciążyły; krótkimi głośnymi haustami wciągałem powietrze w płuca, serce tłukło mi się boleśnie w piersi. Wyczułem coś wielkiego obok łóżka, coś, co sięgało ku mnie. A potem poczułem na twarzy gorący oddech, nozdrza wypełnił mi ostry smród. Koło mojego lewego ucha przemówił aż nadto znajomy głos. To był Zły.

– Już niemal należysz do mnie, Tomie. Prawie mogę cię dosięgnąć. Jeszcze tylko trochę czasu i słój zawiedzie! Wówczas będziesz mój!

Otworzyłem oczy, spodziewając się, że ujrzę wielki łeb o zakrzywionych rogach i paszczę pełną ostrych zębów. Lecz ku swej uldze nie zobaczyłem nikogo. Wygramoliłem się z łóżka i wkrótce pojąłem, że było to coś więcej niż sen: nocna zjawy pozostawiła w deskach podłogi wypalone ślady kopyt. Tym razem wydawały się głębsze niż owej nocy w gospodzie. Kończył mi się czas. Moc słoja krwi słabła z każdą chwilą.

\*

Nie wspomniałem Alice i stracharzowi o tym, co się stało. Po co jeszcze podsycać ich strach? I tak nic nie mogli poradzić. Pozostawało mi tylko liczyć, że Grimalkin wkrótce się zjawi. Po śniadaniu zeszliśmy z Sheyem i trzema zbrojnymi strażnikami do lochu, by rozpocząć przesłuchiwanie więźnia.

– Nie dostał jadła ani wody – oznajmił Shey, gdy zbliżaliśmy się do drzwi celi. – To powinno nieco rozwiązać mu język.

Dwaj strażnicy dołączyli do nas wewnątrz wilgotnej zimnej celi, trzeci zamknął nas tam z magiem, czuwając na zewnątrz. Shey nie ryzykował i z całą pewnością doceniał moc naszego nieprzyjaciela.

Cela okazała się przestronna, wyraźnie zaprojektowana z myślą o przesłuchiowaniu więźniów. Choć nie było w niej miejsca do spania poza siennikiem w kącie, na środku stał stół i trzy krzesła, jedno z rzemieniami służącymi do przywiązywania przesłuchiwanego. Stracharz zręcznym ruchem odwinął srebrny łańcuch krępujący maga, którego następnie szybko zakneblowano i związano mu ręce za plecami. W końcu strażnicy przypięli go do krzesła, a potem mój mistrz i Shey usiedli naprzeciwko po drugiej stronie stołu.

Na blacie stała świeca, na ścianie obok drzwi płonęła pochodnia, rzucając dość światła do naszych celów. Zauważyłem też duży dzban wody i dwa małe kubki. Wraz z Alice stanęliśmy za plecami stracharza i Sheya, dwaj strażnicy ustawili się obok krzesła więźnia.

– Zadamy ci teraz kilka pytań. – Oddech Sheya parował w blasku świecy. – Mądrze będzie odpowiedzieć szczerze. Inaczej możesz się spodziewać poważnych konsekwencji. Zrozumiałeś?

Mag przytaknął. Na znak Sheya strażnik wyciągnął knebel z ust więźnia, który natychmiast zaczął się krztusić i kasłać. Wyraźnie miał kłopoty z mówieniem.

– Wody... Dajcie mi wody, proszę – wychrypiał w końcu.

– Za chwilę dostaniesz wody – poinformował go Shey. – Ale najpierw musisz odpowiedzieć na nasze pytania.

Odwrócił się do stracharza i skinął głową.

– Dlaczego kozia ceremonia czasami się nie udaje? – spytał bezzwłocznie mój mistrz.

– Nic wam nie powiem! – Mag skrzywił się z pogardą. – Ani słowa!

– Tak czy inaczej, wydobędziemy to z ciebie – rzekł Shey. – Istnieje sposób łatwy albo trudny. Wybór należy do ciebie...

– Nie obchodzi mnie, czy przeżyję, czy umrę.

– W takim razie jesteś albo bardzo odważny, albo głupi! – warknął Shey. – Bez wątpienia to drugie – dodał, sięgając do kieszeni i wyciągając niewielki metalowy przedmiot, który położył na blacie przed magiem. Przypominał szczypcę. – Przed śmiercią czeka cię ból. Straszliwy ból! Czy tego właśnie pragniesz?!

Stracharz skrzywił się, w oczach mu błysnęło.

– Do czego dokładnie to służy? – spytał ostro, wskazując narzędzie.

Farrell Shey podniósł je i przekonałem się, że bardziej przypomina kowalskie cęgi.

– To bardzo wszechstronny instrument – rzekł cicho. – Można go używać na najróżniejsze sposoby, by przekonać do mówienia niechętnego więźnia. Można nim miażdżyć palce albo wyrywać zęby.

– Nie uznaję tortur! – W głosie stracharza dźwięczał gniew. – I tylko głupiec się do nich ucieka. Więzień na mękach powie wszystko, byle tylko je zakończyć. Wiele osób fałszywie oskarżonych o czary, przyznało się na torturach. Tymczasowa ulga trwa krótko, a potem nadchodzi znacznie większy ból egzekucji i śmierci. Odłóż zatem to narzędzie albo nie zostanę tu ani chwili dłużej.

Poczułem się dumny, że jestem stracharzem. Bardzo honorowo podchodziliśmy do swojej pracy.

Shey zacisnął gniewnie usta, lecz schował narzędzie tortur z powrotem do kieszeni. Bez wątpienia długie lata nieustannej walki między magami i posiadaczami ziemskimi podsycaly tylko wrogość i obie strony dokonywały strasznych zbrodni. Mrok wzrastał w siłę

i dotykał wszystkich, nawet tych, którzy mu się sprzeciwiali. W końcu ja także uciekłem się do pomocy Mroku, aby przeżyć, kimże więc byłem, by osądzać innych. Mój mistrz powoli powtórzył pytanie.

– Kozia ceremonia – dlaczego czasem się nie udaje?

Mag zawahał się, w końcu jednak wbił wzrok w stracharza.

– To dlatego – wymamrotał – że to, co czynimy, nie cieszy naszego boga.

– Czy to znaczy, że nie wiecie, co go cieszy? – zdziwił się stracharz. – Od stuleci odprawiacie swe mroczne rytuały. Z pewnością do tej pory już to odkryliście?

– To zależy od wielu czynników. Zmiennych, których nie da się przewidzieć.

– Jakich zmiennych?

– Chce mi się pić. Zaschło mi w gardle. Dajcie mi wody, a powiem wszystko...

Kierując się odruchem i nie czekając na odpowiedź Sheya, wystąpiłem naprzód, podniosłem dzban i nalałem odrobinę wody do bliższego z dwóch kubków, po czym uniosłem go do ust maga i przechyliłem. Jego jabłko Adama podskoczyło, gdy łąpczywie przełykał płyn. Kiedy skończył, odezwałem się po raz pierwszy od chwili, gdy przekroczyłem próg celi.

– Jak masz na imię? – spytałem.

– Cormac – odrzekł mag.

Shey skrzywił się, lecz stracharz skinął mi głową z uśmiechem, jakby spodobało mu się to, że przejawiam inicjatywę.

– Zatem, Cormacu – rzekł – jakie to zmienne?

– Ważny jest wybór właściwego kozła. Staje się uświęconym gospodarzem, do którego ciała wnika nasz bóg Pan. Nie przyjmie ciała, które go nie zadowoli. Początkowo wybieramy siedem kozłów. Potem musimy wyselekcjonować najlepszego. Niełatwe to zadanie. Nasi widzący całymi dniami nad tym dyskutują.

Mój mistrz przytaknął.

– Jakie są inne zmienne? – naciskał.



– Musimy złożyć ofiary z ludzi – w sumie trzy. One także muszą być doskonałe. Jedna to kobieta, która sama wybierze śmierć, z własnej woli poświęcając życie. Pozostałe dwie to magowie, także z własnej woli oferujący życie bogu. Tym razem jedną z ofiar mam być ja. Drugi zginął z waszych rąk obok drewnianej wieży – posłał gniewne spojrzenie Sheyowi.

Stracharz z namysłem pokiwał głową.

– Zatem dwaj magowie, którzy zgłaszają się, by umrzeć, nadzorują budowę platformy?

– Tak. Tak nakazuje pradawny zwyczaj.

– Co więc się stanie teraz, skoro jeden z ochotników zginął?

– Nazywał się Mendace, był dzielnym człowiekiem, jego śmierć z rąk wrogów zadowala Pana, jakby była częścią ceremonii. To nie zaszkodzi naszej sprawie.

– A co z tobą, Cormacu? – spytał mój mistrz. – Gdybyś tu zginął, czy twoja śmierć także zadowoliłaby boga? – Tak. Jeśli mnie zabijecie, przyłożycie ręki do rytuału. – Mag uśmiechnął się po raz pierwszy. – To dlatego się nie boję. Chętnie przyjmę śmierć.

– A gdybyśmy zdecydowali się cię nie zabić?

Cormac nie odpowiedział. Tym razem to stracharz się uśmiechnął.

– Rozumiem, że kiedy rytuał się już rozpocznie, nie można wybrać zastępcy? Aby się powiódł, ofiarą musisz być ty i nikt inny! Jeśli zatem zatrzymamy cię tu w zdrowiu, zapewne nie uda się przywołać Pana...

Mag spuścił głowę. Długi czas bez słowa wbijał wzrok w blat stołu.

– Myślę, że milczenie Cormaca wystarczy za odpowiedź – rzekł w końcu stracharz, odwracając się do Sheya. – Osiągnęliśmy już nasz cel. Teraz musimy tylko zatrzymać tego człowieka tutaj. Czy da się obronić zamek przed atakiem pozostałych magów?

– Każdą twierdzę da się zdobyć – odparł Shey. – A nasi wrogowie są naprawdę zdesperowani. Bardzo prawdopodobne, że przypuszczą szturm.

– W takim razie musisz ściągnąć do obrony zamku jak najwięcej ludzi, a także zaopatrzyć go dobrze przed oblężeniem – poradził mój mistrz. – Wszystko układa się znakomicie. Wytrwajmy tutaj, a potem latem, nim spróbują ponownie i będą słabsi niż kiedykolwiek, ruszcie wprost na Staigue i wyćpście ich raz na zawsze. Oto moja rada.

Shey uśmiechnął się.

– To dobra rada, Johnie Gregory. Tak właśnie uczynimy. Trwająca stulecia wojna być może wreszcie się zakończy i to ich przegraną. Dziękuję ci.

Alice słuchała w milczeniu przesłuchania, teraz jednak spojrzała twardo na więźnia.

– Kim jest kobieta, która zgłosiła się na ofiarę? – spytała.

Przez chwilę sądziłem, że mag nie odpowie, potem jednak popatrzył wprost na nią.

– Jedna z czarownic, które się z nami sprzymierzyły.

Alice przytaknęła, po czym wymieniła ze mną nerwowe spojrzenia. Zatem jedna z celtyckich wiedźm przebywała w okolicy i wybierała się do Killorglin, aby oddać życie w ofierze. Teraz bez wątpienia przybędzie tutaj, dołączając do oblężenia Zamku Ballycarbery.

## **ROZDZIAŁ 7**

### **OBLEŻENIE BALLYCARBERY**

Shey rozesał posłańców z informacją o tym, co się stało, i natychmiast rozpoczął przygotowania do obrony zamku. Z ulgą patrzyłem, jak kilkunastu ludzi oczyszcza mur z bluszczu, tak by wrogowie nie mogli się po nim wspiąć.

Następnego dnia nadciągnęli pierwsi żołnierze Ligi. Było ich niewielu – w sumie najwyżej pięćdziesięciu – lecz każda grupka przynosiła ze sobą spory zapas prowiantu oraz broni i wkrótce

zamek został doskonale zaopatrzony. Teraz mógł tylko czekać na oblężenie – choć jego załoga liczyła niecałe osiemdziesiąt osób.

– Sądziłem, że zdołacie wezwać więcej ludzi do obrony waszej sprawy – zauważył stracharz, gdy z zachodniej blanki obserwowaliśmy przybycie, jak zapowiedział przywódca Ligi Ziemskiej, ostatnich posiłków. Grupa składała się z pięciu zbrojnych i dwóch niewielkich wozów zaprzęzonych w osły, wyraźnie przeciążone i bliskie upadku.

– Nie jest ani lepiej, ani gorzej, niż liczyłem – odparł Shey. – Każdy z naszych członków sam też musi się bronić i pozostawić sobie dość służby.

Stracharz przytaknął, jakiś czas rozważał jego słowa, spoglądając na opadające ku morzu słońce.

– Kiedy zaatakują? – spytał.

– Dziś w nocy bądź jutro – odparł Shey. – Przyjdą ze wschodu przez góry.

– Ilu?

– Według ostatnich szacunków zapewne stu pięćdziesięciu.

– Aż tylu? – stracharz uniósł brwi ze zdumienia. – Jak wielu z nich to magowie?

– Magów jest około piętnastu, plus pół tuzina uczniów. Zapewne dwie trzecie z tej grupy zjawi się tutaj. Reszta pozostanie w forcie Staigue.

– A pozostali? Kim są ich słudzy i poplecznicy?

– Skupiają pod swoimi rozkazami około trzydziestu zbrojnych i kolejnych dziesięciu, którzy pracują dla nich jako kucharze, rzeźnicy, garbarze i kamieniarze. Kiedy jednak dochodzi do bitwy, uzupełniają swoje szeregi zaciągami pochodzącym z grona biedaków – ludzi mających jedynie nędzne chatki i spłachetek ziemi, żyjących na granicy głodu. Walczą u boku magów w zamian za strawę dla swoich rodzin, ale też ze strachu. Kto odmówiłby wezwania, kiedy w chacie zjawia się wysłannik magów? Ich rekruci są jednak kiepsko uzbrojeni i często osłabieni głodem.

– A wy i wasze sługi bez wątpienia przez całą zimę dobrze się

odżywiaście, jesteście silni i zdolni do walki – mruknął stracharz.

Słyszałem dezaprobatę w głosie mistrza, Shey jednak wyraźnie jej nie zauważył. Zgadzałem się ze stracharzem. Musieliśmy stawić czoło Mrokowi i zagrożeniu ze strony magów, lecz, jak to często bywa na tym świecie, możni walczyli o ziemię bądź swą dumę, a tymczasem biedacy cierpieli.

– To niewątpliwie prawda – odparł Shey. – W zamku będziemy mieć strawę i zapasy, tymczasem rekruci na zewnątrz otrzymają jedynie skąpe racje. Oceniam, że jeśli magowie nie zdołają przebić się przez mur, w niecały tydzień będą musieli się wycofać. Będziemy ich nękać całą drogę do fortu. I maże w końcu Staigue upadnie, dając nam zwycięstwo.

\*

Tej nocy spałem dobrze. Alice wyrwała mnie z głębokiego snu, potrząsając za ramię. Na dworze wciąż było ciemno, trzymała w ręku świecę.

– Są tutaj, Tom! – zawołała zatroskanym głosem. – Magowie! I jest ich całe mnóstwo!

Ruszyłem za nią do okna wychodzącego na wschód i wyjrzałem. Jak daleko sięgałem okiem, widziałem zmierzające ku nam światła. Nasi wrogowie zebrali imponującą armię. Nie dało się ich policzyć, lecz sądząc po światłach, była znacznie liczniejsza, niż zapowiadał Shey.

– Nie martw się, Alice – próbowałem ją pocieszyć. – Mamy tu dość prowiantu, by wytrzymać kilka tygodni. A poza tym, kiedy minie pora ceremonii, oblężenie na nic im się nie zda i odejdą.

W milczeniu siedzieliśmy razem przy oknie, trzymając się za ręce. Na dworze zaczęły rozbłyskiwać ogniska, otaczając pierścieniem zamek. Bez wątplenia Alice myślała o tym samym co ja: celtycka wiedźma jest tam teraz, siedzi przy jednym z owych ognisk. Czy to ona łaknie na mnie zemsty? Czy w ogóle wie, że tu jestem? Pocieszałem się myślą, że nie zdoła mnie osiągnąć – powstrzymają ją grube zamkowe mury.

Lecz nadzieja umknęła, gdy świt ukazał nam w pełni sytuację.

Zaprząg wołów powoli ciągnął coś w stronę zamku – wielką metalową rurę na kołach. Mieli działo oblężnicze – potężną osiemnastofuntową armatę!

Wraz z Alice widzieliśmy w akcji jedno z takich dział. Żołnierze użyli go, aby przebić mury Wieży Malkinów. Strzelając niezwykle celnie, trafiali ciężkimi kulami niemal dokładnie w ten sam fragment muru, który w końcu nie wytrzymał, otwierając drogę napastnikom. Wiele jednak zależało od umiejętności puszkarzy. Czy okażą się dość doświadczeni, by pokonać fortyfikacje Zamku Ballycarbery?

Shey i jego ludzie nie wydawali się poruszeni tym, co się stało. Po solidnym śniadaniu z miodu i owsianki dołączyliśmy z Alice do niego i stracharza na murze.

– Wiedzieliście, że mają działo oblężnicze? – spytał mój mistrz.

– Wiedziałem, że takim dysponują. Odlano je w Dublinie ponad pięćdziesiąt lat temu. Od tej pory użyto go dwa razy i okazało się niezwykle groźną bronią. Magowie kupili je i przewieźli tu w zeszłym roku. Lecz nasi szpiedzy donoszą, że brak im doświadczonych puszkarzy.

Działo zawleczono na miejsce od zachodniej strony zamku. Przyjrzałem się uważnie zgromadzonym wokół ludziom. Pamiętałem, że oblężeniu Wieży Malkinów towarzyszył ogłuszający hałas, widziałem jednak umiejętności strzelców – to, jak pracowali razem jako zespół, a każdy z nich oszczędnymi ruchami robił, co do niego należało.

Wśród naszych obrońców znalazło się sześciu czy siedmiu łuczników. Teraz sięgnęli po długie luki i zaczęli celować, jednakże odległość okazała się zbyt wielka, wiał przeciwny wiatr i ich strzały nie dotarły do celu.

Patrzyłem, jak kanonierzy wsuwają do lufy ciężką żelazną kulę i zapalają lont. Zatkali dłońmi uszy. Rozległ się głuchy huk, z wylotu lufy wzniósł się obłok dymu, a żelazna kula rozpoczęła lot. Nie doleciała do zamkowych murów i poturlała się po gęstej trawie, lądując w końcu w kępie ostów. Na ten widok obrońcy zasypali

załogę szyderstwami.

Nieprzyjaciel potrzebował pięciu minut, by znów wystrzelić. Ta kula trafiła bardzo nisko w mur. Uderzeniu towarzyszył ogłuszający trzask, parę odłamków kamienia posypało się w trawę. Nie był to dobry strzał, lecz tym razem nikt już nie drwił. Następny ponownie nie dotarł do celu, potem jednak każda kolejna kula trafiała w kamienne mury zamku. Hałas był ogłuszający, lecz pociski nie poczyniły zbyt wielu szkód.

Shey ruszył pomówić ze swymi ludźmi, każdego po kolei klepał po plecach. Był dobrym dowódcą, dbającym o morale.

– Potrzeba wielkiej precyzji, by za każdym razem trafiać dokładnie w to samo miejsce – pokazałem stracharzowi. – Tym puszkarzom brak umiejętności, by się przebić.

– Miejmy zatem nadzieję, że nie uczą się szybko, chłopcze – odparł. – Bo przywieźli mnóstwo kul i mają tydzień na poprawę celności!

Istotnie. Oprócz beczulek wody służącej do ochładzania lufy i wielu worków prochu obok działa piętrzyły się dziesiątki ułożonych w piramidy kul armatnich, a w dali czekały wozy z dalszą amunicją. Obecnie brakowało im tylko umiejętności pozwalających właściwie posłużyć się potencjalnie niebezpieczną bronią.

Po około godzinie działo umilkło, a do bramy zamku zbliżył się jakiś człowiek. Nie miał broni, wymachiwał białą flagą, trzepoczącą na zachodnim wietrze. Zatrzymał się blisko bramy i wykrzyczał swoją wiadomość. Sprawiał wrażenie przerażonego.

– Moi panowie żądają, byście uwolnili maga Cormaca i natychmiast przekazali go w nasze ręce. Jeśli tak uczynicie, zostawimy was w spokoju. Niezgoda będzie miała poważne konsekwencje. Zburzymy wasze mury i każdy, kogo schwytny, zapłaci głową!

Twarz Sheya wykrzywiła się z gniewu. Patrzyłem, jak łucznicy napinają łuki i celują w posłańca, od śmierci dzieliły go zaledwie sekundy. Lecz dowódca skinął ręką i opuścili broń.

– Wróć i powiedz swoim panom, że odmawiamy! – huknął. – Ich

czas niemal już minął. Wasi głupi puszkarze nie zdołają przebić murów tego zamku. Wkrótce to my urządzimy oblężenie. Zdobędziemy wasz fort i nie zostawimy z niego kamienia na kamieniu.

Posłaniec odwrócił się i pomaszerował z powrotem do obozu wroga. Po pięciu minutach działo znów się odezwało.

\*

Stracharz uznał, że to dobra okazja, bym nadrobił nieco zaległości w nauce. Późnym popołudniem udzielił mi lekcji historii Mroku. Opowiadał właśnie o grupie magów zwanych kobalosami, którzy ponoć mieszkają na północy. Choć wędrują na dwóch nogach, nie są ludźmi, z wyglądu przypominają lisy albo wilki. Brak jednak dowodów na to, że istnieją naprawdę – traktują o nich jedynie zapiski jednego z pierwszych stracharzy, niejakiego Nicholasa Browne'a. Czytałem o nich już wcześniej i nic z tego nie było dla mnie nowiną, próbowałem zatem namówić stracharza, abyśmy zajęli się znacznie ciekawszym tematem. Ostatecznie mieliśmy do czynienia z wrogimi bezecnymi magami, wyznawcami Pana.

– A Pan? – spytałem. – Co o nim wiadomo?

Stracharz wyciągnął z torby bestiariusz i zaczął przerzucać kartki, póki nie dotarł do rozdziału o Starych Bogach. Wręczył mi książkę.

– Najpierw przeczytaj, potem pytaj – polecił.

Zapis o Panu okazał się bardzo krótki, przeczytałem go szybko.

*PAN (ROGATY BÓG)*

*Pan to Stary Bóg, pierwotnie czczony przez Greków, który włada przyrodą i przyjmuje dwie charakterystyczne postaci cielesne. W jednej z nich jest chłopcem grającym na trzciniowych piszczałkach; jego muzyka ma tak wielką moc, że nie może jej dorównać żadna ptasia pieśń, a porusza nawet kamienie.*

*W drugiej postaci jest przerażającym bóstwem przyrody, którego nadejście przepętnia ludzi grozą – to od jego imienia wywodzi się słowo „panika”. Teraz jego strefa wpływów rozszerzyła się i oddają mu cześć także kozi magowie z Irlandii. Po ośmiu dniach, podczas których składają oni ofiary z ludzi, Pan przechodzi przez portal z Mroku i na*

*krótka wnika w ciało kozła. Odmienia kształt owego zwierzęcia, czyniąc z niego przerażającego stwora...*

– To naprawdę krótki opis – zauważyłem. – Niewiele wiemy o Panu, prawda?

– Masz rację, chłopcze – odparł mój mistrz. – Toteż póki tu jesteśmy, musimy dowiedzieć się jak najwięcej. Odkąd poczyniłem te zapiski, wiele się zmieniło. Teraz wiemy, że ceremonia odbywa się dwa razy w roku, nie zaś raz. Lecz mnie zawsze najbardziej fascynowała dwoistość Pana. W jednej postaci to muzyk; wydaje się niemal zacny. Druga, przerażająca, bez wątpienia należy do Mroku.

– Czemu w ogóle istnieje coś takiego jak Mrok? – spytałem. – I skąd się wzięło?

– Nikt nie wie na pewno – możemy jedynie zgadywać. Niewiele mam do dodania do domysłów, które zapisałem wiele lat temu w bestiariuszu. Nadal jednak wierzę, iż Mrok karmi się złem ludzi. Ludzka chciwość i żądza władzy jeszcze go wzmacniają i czynią niebezpieczniejszym. Gdybyśmy tylko potrafili odmienić serca mężczyzn i kobiet, osłabilibyśmy Mrok, jestem tego pewny. Żyję jednak dość długo, by wiedzieć, że łatwiej byłoby powstrzymać przypływ, niż dokonać takich zmian. Pozostaje nam tylko nadzieja.

– Jeśli zdołamy uwięzić Złego, uczynimy jakiś początek – podsunąłem.

– Bez wątpienia, chłopcze – stracharz zmarszczył brwi. – Trudno sobie wyobrazić, by mogło być gorzej niż teraz. Nawet Farrell Shey, nieprzyjaciel Mroku, gotów jest posłużyć się torturami, byle tylko zwyciężyć. Pokazuje to, jak źle dzieje się na świecie.

Nagle zorientowałem się, że działa umilkło.

– Przeszali strzelać – zauważyłem. – Może armata się przegrzała i lufa pękła.

Trzeba mnóstwa wody, by ochłodzić lufę działa. Jeśli puszkarze o tym zapomną, armata może nawet wybuchnąć, zabijając wszystkich dokoła. Ci ludzie nie byli fachowcami. Całkiem prawdopodobne, że do tego właśnie dojdzie.

Nim jednak stracharz zdołał odpowiedzieć, do drzwi zastukał posłaniec i natychmiast wszedł, nie czekając na zaproszenie. Pilnie wzywano nas na mury.

Kiedy wspięliśmy się po schodach, potrącili nas zbrojni, także biegnący na górę. Coś musiało się dziać – czyżby nowe niebezpieczeństwo?

Alice już tam była; podeszła do nas, gdy mrugaliśmy, osłepieni słońcem opadającym ku morzu. Osłaniając oczy, wskazała ręką.

– Magowie zebrali się wokół działa – oznajmiła. – Coś kombinują. Shey naprawdę się martwi.

Gdy tylko wspomniała imię dowódcy, ten ruszył ku nam. Żołnierze na blankach rozstąpili się, by go przepuścić.



– Myślę, że chcą posłużyć się magią – rzekł. – W Killorglin nie zagrażało nam niebezpieczeństwo z Mroku, bo było ich tylko dwóch. Teraz zebrało się dziewięciu i łączą swoje siły.

Spojrzałem w dół, na działo. Magowie ustawili się w krąg. Nagle pojąłem, że nie interesuje ich sama armata: puszkarze klęczeli na ziemi, a magowie kładli dłonie na ich głowach i ramionach. W jakiś sposób przekazywali im moc. Ale jaką? Wiedzę i umiejętności doświadczonych kanonierów? Zapewne tak.

Obrońcy na murach umilkli. Słyszeliśmy wzdychający w oddali wiatr znad morza i ciche śpiewy magów. Po plecach przebiegły mi fale lodowatego zimna. Nawet z tej odległości wyczuwałem działanie magii mroku. Była silna i niebezpieczna.

Jak bardzo niebezpieczna odkryliśmy dziesięć minut później, gdy działo znów ożyło. Pierwsza kula trafiła prosto w mur, nisko, tuż po lewej stronie bramy. Podobnie druga i trzecia. Uderzały niemal dokładnie w to samo miejsce. A choć do zmierzchu została godzina, widzieliśmy już wyraźne uszkodzenia. Mur był gruby, lecz zewnętrzna warstwa kamieni zaczynała pękać. Na dole w trawie zebrał się stosik odłamków.

Noc przyniosła chwilową ulgę. Strzały umilkły. Wiedzieliśmy jednak, że rano wróg bez wątpienia podejmie ostrzał i oceniałem, że do wieczora oblegający zdołają się przebić.

## **ROZDZIAŁ 8**

### **CHUDY SHAUN**

Świt przyniósł ze sobą chmury i zapowiedź deszczu, lecz puszkarze magów prowadzili ostrzał z tą samą nową celnością. Choć wiatr wiał z południa, zamiast jak dotąd dokładnie zza dział, nasi łucznicy zdołali zasypać okolice armaty strzałami, powodując godzinną zwłokę, podczas której nieprzyjaciel przestawiał działo.

Zwiększona odległość nie zmniejszyła jednak celności obsługi i ten sam fragment muru poddawano ciągłemu ostrzałowi. Co pięć minut trafiały weń kolejne kule. Czasem przerwy przedłużały się, gdy puszkarze chłodzili wodą rozgrzaną lufę.

Późnym popołudniem sytuacja zaczęła wyglądać rozpaczliwie: w murze pojawiła się niewielka dziura. Według Sheya jeszcze kilka

trafięń wystarczy, by poruszyć umocnienia w górze, a wówczas z muru pozostanie sterta gruzów, po której napastnicy bez problemu dostaną się do zamku.

W rozpaczy wyprowadził dwudziestoosobowy oddział konnych przez główną bramę. Ruszyli wprost na działo, zamierzając zabić puszkarzy. Najpierw jednak przechwycili ich jeźdźcy wroga, a potem piechota. Mimo oporu wydawało się, że mają szansę: ludzie Sheya zbliżali się i przebijali ku działu. Jeszcze parę minut i osiągnęliby cel, wówczas jednak ktoś wtrącił się do walki.

Rosły, muskularny mężczyzna o ogolonej głowie i koziej bródce skoczył pomiędzy walczących.

W dłoniach trzymał wielki topór bojowy o podwójnym ostrzu i posługiwał się nim z morderczą wprawą. Zwalił z koni dwóch naszych żołnierzy, każdego jednym ciosem, i natychmiast szala się przechyliła. Wrogowie podjęli walkę z nowym zapalem, Shey musiał pospiesznie zaimprovizować odwrót w stronę bramy. Ledwie zdążyliśmy ją zarygłować, nim wróg dotarł do murów.

Nie pozostał tam długo. Łucznicy Ligi zabili i zranili kilku napastników; reszta wycofała się za plecy puszkarzy. Spodziewałem się, że natychmiast rozpoczną ostrzał, zamiast tego potężny mężczyzna sam podszedł do zamku. Nie niósł białej flagi, lecz topór oparty o ramię. W odróżnieniu od posłańca wydawał się pewny siebie i maszerował zawiadackim krokiem.

Shey z powrotem wspiął się na mury i stanął obok stracharza.

– To jest magister Doolan, Rzeźnik, przywódca magów.

Doolan zatrzymał się w dole i spojrzał na nas.

– Kto tu zejdzie i stanie do walki? – huknął drwiąco. Nie uzyskawszy odpowiedzi, zaśmiał się z pogardą. – Co za banda tchórzy! Nie znajdzie się wśród was ani jeden prawdziwy mężczyzna? – zawołał i zaczął przechadzać się przed murem, wyzywająco machając toporem.

– Zabić go! – polecił łucznikom Shey.

Zaczęli strzelać do maga. Nie miał broni i zdawało się, że zaraz zginie. Lecz z jakiejś przyczyny wszystkie strzały chybiały albo nie

docierały do celu. Czyżby odpierał je za pomocą magii? Skoro magowie umieli zaklęciem zamienić nowicjuszy w fachowych kanonierów, bez wątpienia potrafili też osłabić łuczników. Wówczas jednak jedna ze strzał pomknęła wprost ku niemu, wydawało się pewne, że przesyje serce olbrzyma, on jednak zakręcił swym toporem jak piórkiem i odbił pocisk w trawę.

Ze śmiechem odwrócił się do nas plecami i niespiesznie powrócił do swoich. Każda z wypuszczanych za nim strzał spadała na ziemię. Działo natychmiast odezwało się ponownie.

\*

W końcu zaczęło zmierzchać i puszkarze przestali zasypywać pociskami osłabione miejsce w zachodnim murze, wiedzieliśmy jednak, że następny dzień będzie krytyczny: spodziewaliśmy się, że gdy tylko mur runie, nieprzyjaciel przypości atak na zamek.

Niedługo po zmroku spotkaliśmy się z Sheyem.

– Jutro, zapewne wczesnym rankiem, zamek upadnie – przyznał. – Proponuję, byście, gdy tylko przebiją się przez mur, uciekli, zabierając ze sobą więźnia. Mogę przydzielić wam do ochrony czterech żołnierzy. Ja sam zostanę tutaj z resztą moich ludzi. Będziemy walczyć i drogo sprzedamy życie.

Stracharz z powagą pokiwał głową.

– To najlepsze wyjście. Ale czy nas nie zobaczą?

– Od południowej strony w murze zbudowano małe ukryte wyjście, zasłonięte krzakami i przyzmą ziemi. Wróg skupi swą uwagę na wyłomie. Macie spore szanse ucieczki.

– Musimy utrzymać maga przy życiu i z daleka od nich – rzekł stracharz. – Dokąd mamy się udać? Czy istnieje inne schronienie?

– Nie, musicie wrócić do mojego domu w Kenmare. To najbezpieczniejsze miejsce. – Shey pokręcił głową i westchnął. – Ale nie pójdzie wam łatwo. Czeka was niebezpieczna przeprawa. Na południu i wschodzie rozciągają się rozległe bagna. Proponuję, abyście skierowali się w stronę rzeki Inny, a następnie podążyli wzdłuż niej w góry. Moi ludzie znają drogę. Przeprowadzą was, omijając Staigue szerokim łukiem od północy i unikając fortu.

Potem skręcicie na południowy wschód do Kenmare.

– Nie byłoby lepiej, gdybyśmy wymknęli się teraz, na długo przed świtem? – podsunąłem. – Może i wyjście jest dobrze ukryte, ale szpiedzy mogli donieść o nim magom. W ciemności mielibyśmy większe szanse.

Alice uśmiechnęła się z aprobatą, lecz przez moment sądziłem, że stracharz zlekceważył mój pomysł. On jednak podrapał się po brodzie i przytaknął.

– Chłopak może mieć rację – rzekł do Sheya. – Czy byłby to jakiś problem?

– Ależ nie. Za godzinę możecie opuścić zamek.

Rozpoczęliśmy zatem przygotowania. Żołnierze przyprowadzili z lochu maga i obwiązali go sznurami. Założyli mu także przepaskę na oczy i knebel, by nie mógł wezwać pomocy, nogi jednak pozostawili wolne. Wówczas pożegnaliśmy się z Sheyem, życząc mu powodzenia w zbliżającej się bitwie.

Czterej żołnierze przydzieleni do naszej eskorty wskazywali drogę do południowej bramy; wspiąwszy się na kamienne stopnie, nasłuchiwali uważnie odgłosów z zewnątrz. Kiedy uznali, że droga jest wolna, dali sygnał dowódcy niewielkiego oddziału zbrojnych, czekającego obok. Oddział ten stacjonował tu, by zapobiec atakowi na bramę z zewnątrz.

Dowódca przekręcił w zamku wielki klucz. Metalowe drzwi otwierały się do wewnątrz. Uchyliły się powoli, ukazując stertę kamieni i ziemi. Dwaj jego ludzie, uzbrojeni w łopaty, wystąpili naprzód i szybko oczyścili przejście, nagle na policzkach poczuliśmy chłodny powiew.

Podczas gdy pracowali, stracharz powiódł wzrokiem po naszych twarzach i odezwał się głosem niewiele donośniejszym od szeptu:

– Gdyby coś poszło nie tak i musieliśmy się rozdzielić, spotkajmy się nad rzeką.

Było zupełnie ciemno. Ponieważ nie mogliśmy zabrać pochodni ani latarni, musieliśmy trzymać się razem. Jakieś pięć kroków od bramy wznosił się kopiec ziemi, mający ukryć ją przed

obserwatorami – nadal jednak istniała możliwość, że żołnierze wroga czekają na zewnątrz. Co, jeśli magowie odkryli istnienie tajnego wejścia? Potężna wiedźma z Pendle z pewnością zdołałaby je wywęszyć.

To była najniebezpieczniejsza chwila. Czterej żołnierze wyszli pierwsi, wspinając się po stromym zboczu i ukrywając w krzakach na szczycie. Nasłuchiwaliśmy, lecz na zewnątrz panowała cisza. Droga ucieczki zdawała się wolna. Stracharz pchnął przed sobą potykającego się więźnia, Alice i ja ruszyliśmy za nimi. Uklękliśmy w trawie, słuchając cichego odgłosu zamykanych drzwi. Teraz zostaliśmy sami; w razie ataku nie mogliśmy już oczekiwać pomocy żołnierzy z zamku. Wspięliśmy się na zbocze i przykucnęliśmy obok eskorty. W dali, na południu, zachodzie i wschodzie płonęły ogniska. Wróg otaczał nas ze wszystkich stron, lecz między ogniskami ziały luki, niektóre większe niż inne. Część nieprzyjaciół będzie pełnić warty, nasłuchując niebezpieczeństwa, liczyliśmy jednak na to, że większość już zasnęła.

Zaczęliśmy czołgać się w dół wzgórza, jeden za drugim. Na dole podkradliśmy się bliżej, trzej żołnierze szli pierwsi, potem stracharz z czwartym, prowadząc między sobą więźnia. Alice dreptała tuż za nimi, ja zamykałem pochód.

Co kilka minut zatrzymywaliśmy się i zastygaliśmy w bezruchu, przypadając do mokrej ziemi. Po jakimś kwadransie niemal zrównaliśmy się z pierścieniem ognisk okalających zamek. Znajdowaliśmy się w połowie drogi między dwoma z nich, odległymi o pięćdziesiąt kroków. Widziałem wartownika stojącego przed szaląsem ze zwierzęcych skór rozpiętych na drewnianym rusztowaniu. Inni, którzy nie zmieścili się w namiocie, spali na ziemi, grzejąc się przy ognisku.

To była najtrudniejsza część naszej ucieczki. Gdyby nas teraz dostrzeżono, dziesiątki zbrojnych dotarłoby do nas w ciągu paru sekund. Znów ruszyliśmy naprzód, pozostawiając za sobą ogniska. Gościnna ciemność czekała, by nas pochłonąć i ukryć przed okiem nieprzyjaciół.

Po raz kolejny odpoczęliśmy, leżąc twarzami do ziemi. I wówczas, gdy znów zaczęliśmy pełznąć naprzód, jeden z naszych żołnierzy zakasłał. Natychmiast zamarliśmy. Zerknąłem w lewo i przekonałem się, że wartownik pełniący straż przed najbliższym namiotem, zmierza ku nam. Wstrzymałem oddech. Zatrzymał się, ale nadal patrzył w naszą stronę. Słyszałem, jak żołnierz przede mną dławi się i krztusi. Walczył z nieznośnym pragnieniem odkaszlnięcia. Jeśli mu się nie uda, narazi życie nas wszystkich.

Przegrał tę walkę i zakasłał donośnie. Wartownik krzyknął coś i dobywając miecza, rzucił się ku nam. Odpowiedziały mu inne krzyki, dołączyli do niego kolejni żołnierze wroga. Zerwaliśmy się z ziemi i pomknęliśmy pędem naprzód. Teraz pozostawało liczyć na to, że zdołamy w ciemności zgubić prześladowców.

Nasza eskorta uciekała ile sił w nogach, my także. Przez parę chwil Alice pędziła tuż przede mną, potem jednak minąłem stracharza, który zmagał się ze skrępowanym Cormakiem. Złapałem maga za drugie ramię i razem pociągnęliśmy więźnia. Okazało się to jednak beznadziejne. Kiedy się obejrzałem, ujrzałem pochodnie i usłyszałem tupot stóp. Ścigający zbliżali się szybko. Grunt pod stopami stawał się coraz bardziej niepewny, nierówny i pełen kałuż. Znaleźliśmy się na skraju bagna.

Bez wątpienia prowadziły przez nie bezpieczne ścieżki, ale zdążyliśmy się już rozproszyć. Nasi przewodnicy uciekali gdzieś z przodu i obawiałem się, że natrafimy na niebezpieczne trzęsawisko, które wessie nas w toń. Największe zagrożenie deptało nam po piętach, toteż działając równocześnie i instynktownie, wraz ze stracharzem wypuściliśmy więźnia, popychając go na kolana i obróciliśmy się, unosząc w gotowości laski, by stawić czoło napastnikom.

Pamiętam, że zastanawiałem się, gdzie podziała się Alice. Była bez broni, nie mogła stanąć i walczyć, ale też nie mogła sobie pozwolić, by oddalić się zańadto od dającego jej ochronę słoja krwi. Potem jednak musiałem się skupić na chwili obecnej. Brodaty mag unoszący w prawej dłoni miecz, w lewej pochodnię, pędził wprost

na mnie, celując w moją głowę, jego wargi rozciągnęły się, ukazując zęby. Wyglądał niczym dzikie zwierzę.

Nie zwracając uwagi na miecz, pchnąłem końcem laski, celując w jego czoło. Cios dotarł do celu, a siła rozpędu maga dodała mu jeszcze mocy. Mężczyzna runął na ziemię, upuszczając broń. Za nim jednak postępowali kolejni, otaczali nas zewsząd. Przez kilka chwil stałem zwrócony plecami do mistrza. Ponownie niemal w tej samej chwili nacisnęliśmy przyciski i wypuściliśmy ukryte w laskach klingi. Teraz musieliśmy zabijać albo zginąć. Walczyliśmy rozpaczliwie, wirując i dźgając, w końcu jednak po naporem napastników rozdzieliliśmy się.

Zagrożony ze wszystkich stron, bez pomocy i wsparcia, zaczynałem się już męczyć; ataki nie ustępowały. Sądziłem, że już po mnie, nagle jednak dostrzegłem swoją szansę. Trzej żołnierze napierali mocno, ale tylko jeden miał w dłoni pochodnię. Wytrąciłem mu ją i upadła, gasnąc na mokrej ziemi i pograżając nas w ciemności.

W zamęcie pobiegłem na, jak sądziłem, południowy wschód, w stronę rzeki Inny. Stracharz powiedział nam, byśmy się tam spotkali, jeśli coś pójdzie nie tak. Z całą pewnością poszło nie tak i coraz bardziej martwiłem się o Alice. Jeżeli zanadto oddaliła się od słoja krwi, Zły po nią przybędzie.

Próba ucieczki z zakładnikiem okazała się katastrofą. Umykaliśmy rozproszeni, a magowie z pewnością odnaleźli więźnia. Teraz będą mogli przeprowadzić ceremonię. Ligę czekały mroczne czasy.

W pewnym momencie przystanąłem i obejrzałem się, nasłuchując. Nie dostrzegłem ani śladu pościgu, lecz moje oczy przywykły już do ciemności i widziałem odległe ogniska, nie większe niż małe punkciki światła w mroku. Szedłem zatem dalej, nieco ostrożniej, sprawdzając laską głębokość wody przede mną. Raz czy dwa ocaliło mnie to przed utonięciem bądź wciągnięciem w bagno. Mimo to wciąż potykałem się o duże kępy trawy bądź zanurzałem po kolana w lodowatej, cuchnącej wodzie.

To, co zapadło mi w pamięć z mapy Sheya, nie dawało zbyt wielu wskazówek odnośnie tego, jak długo powinna trwać wędrówka i jaka okaże się trudna. Pamiętałem, że aby dotrzeć do rzeki, muszę trzymać się północnej strony gór. Poza tym nieszczęśliwie zapamiętałem okolicę. Wiedziałem jednak, że gdzieś na południowym skraju wzgórz mieści się fort Staigue. Część magów i ich służących pozostała w nim – za wszelką cenę zatem musiałem go unikać.

\*

Trudno było ocenić upływ czasu, wreszcie jednak niebo przede mną zaczęło się rozjaśniać, stąd wiedziałem, że wkrótce nastanie świt. Miałem nadzieję, że wówczas zorientuję się, gdzie leżą góry, i znajdę rzekę, okazało się jednak inaczej. Wkrótce ujrzałem napływające ku mnie smużki mgły, która spowiła mnie szybko. W nieruchomym powietrzu słyszałem jedynie własny oddech i mlaskanie butów w błocie. Poza tym wokół panowała cisza.

Później, w pierwszym brzasku dnia ujrzałem wyrastający z mgły domek. Zza drzwi wyłonił się wysoki chudy mężczyzna ze szpadlem na ramieniu. Miał na sobie kurtkę z kapturem, podobnym do mojego, lecz na jego czole nie dostrzegłem śladu włosów. Z daleka przypominał kopacza torfu szykującego się do ciężkiej pracy i chcącego jak najlepiej wykorzystać krótki zimowy dzień. Ruszył mi naprzeciw i obdarzył szerokim uśmiechem. Wtedy dopiero dostrzegłem, jak bladą i pociągłą ma twarz. Nie była to twarz kogoś, kto pracuje na świeżym powietrzu.

– Wyglądasz, jakbyś zabłądził, chłopcze. Dokąd zmierzasz? – spytał głosem ostrym jak rehot starej ropuchy. Skóra na jego policzkach napinała się mocno, z bliska zdawała się lekko żółta, jakby niedawno chorował. Oczy miał głęboko osadzone, jak gdyby zapadały się w czaszkę, otoczone ciężkimi powiekami i fałdami skóry.

– Idę w stronę rzeki – oznajmiłem. – Mam się tam spotkać z przyjaciółmi.

– Nieco zboczyłeś ze szlaku, powinieneś skręcić o tam – wskazał



ręką nieco bardziej na wschód. – Maszerowałeś całą noc?

Przytaknąłem.

– Cóż, w takim razie pewnie zmarzłeś i zgłodniałeś. Jejmość Scarabek da ci coś do jedzenia i pozwoli ogrzać się przy ogniu – wskazał ręką frontowe drzwi domku. – Zastukaj cicho, by nie obudzić małego i poproś o śniadanie. Powiedz, że przysyła cię Chudy Shaun.

Mężczyzna wyglądał dziwnie, ale bardzo potrzebowałem stawy i schronienia. Podziękowałem skinieniem głowy, zbliżyłem się do domku i zastukałem lekko w drzwi, starając się nie czynić zbyt dużego hałasu.

Z wnętrza dobiegło mnie szuranie bosych stóp, drzwi uchyliły się odrobinę. W środku było ciemno, wydało mi się jednak, że dostrzegam jedno niemrugające oko.

– Przysyła mnie Chudy Shaun – powiedziałem zniżając głos, by nie obudzić dziecka. – Powiedział, że poczęstuje mnie pani śniadaniem. Jeśli to nie kłopot...

Przez chwilę, która zdawała się trwać całe wieki, kobieta nie odpowiadała. Potem jednak drzwi otwarły się bezszelestnie i ujrzałem niewiastę w zielonym wełnianym szalu. To musi być jejmość Scarabek, pomyślałem. Wydawała się smutna i podobnie jak Shaun miała bardzo bladą skórę oraz zaczerwienione oczy sugerujące, że albo niedawno płakała, albo też nie spała całą noc. Zapewne dziecko nie pozwalało jej zasnąć.

– Wejdz – rzekła łagodnie. Pamiętam, że pomyślałem, jak bardzo jej głos różni się od ochrypłego skrzeku Chudego Shauna. – Ale łaskę zostaw na dworze. Nie potrzebujemy tu pomocy stracharza.

Bez zastanowienia posłuchałem i oparłem łaskę o ścianę obok okna, po czym przekroczyłem próg. Domek był niewielki i przytulny, na palenisku płonął torfowy ogień. Obok stały dwa zydle, a pod ścianą niewielka kołyska na biegunach; nim Scarabek zniknęła w kuchni, poruszyła nią, by uspokoić dziecko.

W kilka chwil później powróciła, w dłoniach niosąc niewielką

miskę, którą mi wręczyła.

– Proszę, to wszystko, co mam, odrobina owsianki. Jesteśmy biedni, czasy mamy ciężkie i muszę myśleć o swojej rodzinie.

Podziękowałem jej i zacząłem zjadać palcami cienką owsiankę. Była zimna i nieco oślizgła, ale po tym, co powiedziała gospodyni, starałem się nie okazywać niesmaku. Tak naprawdę nie była najgorsza – jedynie nieco osobliwa i lekko pikantna. O dziwo jednak, zaschło mi po niej w ustach.

– Dziękuję – rzekłem, kiedy skończyłem, zjadając wszystko do ostatniego kęsa. – Czy mógłbym też prosić o kubek wody?

– Nie potrzebujesz wody – odparła tajemniczo Scarabek. – Może położysz się przed ogniem i dasz odpocząć swoim młodym kościom aż do zmroku?

Kamienne płyty mimo bliskości ognia były zimne i twarde, nagle jednak ogarnęło mnie ogromne znużenie i jej propozycja zabrzmiała rozsądnie. Wyciągnąłem się zatem przed kominkiem.

– Zamknij oczy – rozkazała Scarabek. – Tak będzie mądrzej. Wszyscy poczujemy się lepiej, kiedy zapadnie zmrok.

Pamiętam, iż pomyślałem, że to dziwna uwaga. Poczułem w głowie zamęt. Co miała na myśli? Jak mrok mógł sprawić, że „wszyscy poczujemy się lepiej”? Co więcej, słońce wstało zaledwie pół godziny wcześniej. Minie kolejnych dziewięć godzin, nim znów zacznie zmierzchać. Czy oczekiwała, że przeleżę tu cały czas? I czy nie miałem czegoś do załatwienia? Musiałem się z kimś spotkać. Ale nie mogłem sobie przypomnieć z kim ani gdzie.

## **ROZDZIAŁ 9**

### **MAŁE, ZIMNE PALCE**

Otworzyłem oczy; w domku było ciemno, ja sam zmarzłem i zeszywniałem. Ogień zgasł, lecz na kominku płonęła świeca.

Czułem ogromne znużenie, chciałem znów zamknąć oczy i

pograćzyć się w głębokim śnie. Właśnie miałem to zrobić, gdy zobaczyłem coś i sapnąłem z troską. Kołyska dziecka przewróciła się i leżała na boku.

Noworodek wysunął się z niej do połowy, wciąż opatulony w wełniany kocyk. Próbowałem zawołać jego matkę, lecz gdy otworzyłem usta, wydobył się z nich jedynie cichy skrzek. Uświadomiłem sobie nagle, że oddycham bardzo szybko; serce trzepotało mi w piersi przerażająco nieregularnie i bałem się, że lada moment stanie. Nie mogłem poruszyć nawet palcem.

Czyżbym poważnie zachorował? Może złapałem na bagnach jakąś gorączkę?

Nagle wydało mi się, iż kocyk dziecka się poruszył. Wzdrygnął się lekko, a potem zaczął rytmicznie podnosić się i opadać, sugerując, że dziecko nadal oddycha i przeżyło upadek. Ponownie próbowałem wezwać matkę, lecz zdołałem jedynie krzyknąć cicho i wysiłek ten tak bardzo pobudził moje serce, że zacząłem dygotać cały, lękając się, iż zaraz umrę.

Wtem zorientowałem się, że wełniany kocyk porusza się jakby inaczej. Zdawał się powoli do mnie zbliżać. Jak duże było dziecko? Dość duże, by umieć raczkować? Choć koc okrywał je całe i nie mogło widzieć, dokąd zmierza, kierowało się wprost ku mnie. Może słyszało mój oddech? Szukało ciepła i oparcia? Dlaczego Scarabek nie przyszła sprawdzić, co się z nim dzieje?

I wtedy usłyszałem dziwny dźwięk. Dobiegał od strony dziecka. Mimo panującej w pokoju głębokiej ciszy, nie słyszałem oddechu – jedynie rytmiczne postukiwanie. Brzmiało to jak zgrzytanie zębów. Nagle ogarnął mnie lęk. Niemowlęta nie mają zębów!

Nie, to musiało być co innego. W chwili, gdy myśl ta pojawiła się w mojej głowie, po plecach przebiegł mi lodowaty dreszcz, ostrzeżenie, że w pobliżu czai się coś z Mroku. Rozpaczliwie próbowałem poruszyć rękami i nogami, nadal jednak pozostawały sparaliżowane. Leżałem na podłodze, patrząc bezradnie.

Kiedy dziecko podpełzło bliżej, wełniany kocyk jakby zatrząsł się i usłyszałem głośne sapnięcie, jak gdyby coś, co skrywało się

pod nim, długi czas wstrzymywało oddech, a teraz rozpaczliwie łaknęło energii niezbędnej do olbrzymiego wysiłku.

Dotarło do mojej stopy i zatrzymało się na parę chwil. Ponownie usłyszałem dźwięk przywodzący na myśl głęboki oddech, lecz tym razem rozpoznałem ów odgłos: mój pierwszy domysł okazał się błędny.

To było węszenie, jak u wiedzmy, pozwalające zebrać informacje na temat każdego. Stwór zostawił mój but i zaczął przesuwać się wzdłuż ciała, zatrzymując się przy piersi. Ponownie bardzo głośno pociągnął nosem.

Wzdrygnąłem się, gdy rozpoczął wspinaczkę. Czułem przesuwaną się po moim ciele cztery niewielkie kończyny. Nawet przez ubranie wydawały się bardzo zimne, niczym kawałki lodu. Cokolwiek to było, dotarło w końcu do mej twarzy i poczułem narastającą panikę. Serce waliło mi jak oszalałe. Co to było? Jaki straszliwy stwór ukrywał się pod ruchomym kocym?

Próbowałem przekręcić się na bok, ale nie miałem sił. Zdołałem jedynie odrobinę unieść głowę. Nie mogłem też odepchnąć stwora rękami – drżały bezradnie po bokach, podczas gdy po czole ściekały mi strużki potu wpadające do oczu. Nie mogłem się bronić.

Stwór dotarł do mego gardła i uniósł się lekko na małych rączkach, jakby chciał spojrzeć mi w twarz. Kocym zsunął się, toteż ujrzałem oblicze owej istoty.

Spodziewałem się potwora i moje obawy ziściły się w pełni – choć nie tak, jak oczekiwałem.

Głowa była nie większa niż u dwu-trzymiesięcznego dziecka, lecz twarz należała do malutkiego starca: pełna złości i rozpaczliwego pragnienia. I bardzo przypominała Chudego Shauna, kopacza torfu, który przysłał mnie tu na śniadanie. Nagle zrozumiałem, że choć istotnie zostałem nakarmiony owsianką, ja także miałem stać się posiłkiem – strawą dla tego groteskowego stwora. W tym, co zjadłem, musiała kryć się usypiająca mikstura, która osłabiła mnie i pozbawiła mocy. Teraz stwór otworzył szeroko usta, ukazując długie, ostre jak szpilki zęby, celujące w

moje gardło.

Poczułem na szyi małe zimne palce, a potem nagle ukłucie bólu, gdy zęby przebiły skórę. Stwór zaczął chłeptać głośno i czułem, jak wysącza z mego ciała krew – a wraz z nią życie.

Nie miałem siły, żeby stawić opór. Ból nie był wielki, czułem tylko, iż odpływam w stronę śmierci. Nie mam pojęcia, jak długo to trwało, lecz następną rzeczą, jaką ujrzałem, była Scarabek maszerująca przez pokój, jej cień tańczył na suficie w blasku świecy. Podeszła do mnie i ostrożnie oderwała ode mnie stwora. Gdy go uniosła, poczułem szarpnięcie w gardle, kiedy wysunęły się z niego zęby. Zniosła potworka do kołyski nadal leżącej na boku i ponownie opatulila w kocyk.

Zacząła śpiewać niskim głosem – kołysankę, którą ludzka matka mogłaby zanucić swojemu dziecku. Następnie ustawiła kołyskę, umieściła stwora w środku i ostrożnie okryła, by nie zmarł.

Potem wróciła, patrząc na mnie z góry. Przekonałem się, iż jej twarz się zmieniła. Wcześniej musiała posłużyć się zaklęciem maskującym. Teraz ujrzałem, kim była naprawdę, i rozpoznałem ją natychmiast. Nie miałem wątpliwości: to była celtycka wiedźma z moich snów. Te same oczy – jedno zielone, drugie niebieskie – które widziałem w chmurach, gdy zbliżaliśmy się do Irlandii i kiedy rozprawiliśmy się z bełkaczem w Dublinie. Zadrzałem, widząc płonące w nich zło. Ale jak to możliwe? Jak mogła powrócić z martwych, skoro psy pożarły jej serce?

– Tom Ward! O, jakże łatwo wpadłeś w moje ręce! Odkąd zbliżyłeś się do tych brzegów, obserwowałam cię i czekałam! – zawołała. – Wystarczyło najprostsze zaklęcie, żeby zwabić cię do mego domu. Jak pięknie posłuchałeś, zostawiając na progu swą cenną laskę. Teraz znalazłeś się całkowicie w mej mocy. Moje życie wkrótce się skończy, poświęcę duszę na ofiarę dla boga Pana. Ty także zginiesz, najpierw jednak będziesz straszliwie cierpieć za to, co zrobiłeś mojej siostrze.

Siostrze... Czyżby były bliźniaczkami? Wyglądały identycznie.

Chciałem ją spytać, ale brakowało mi sił nawet, żeby zaczerpnąć tchu. Jak wiele krwi wyssał ze mnie potworek? Walczyłem, by nie stracić przytomności, lecz świat zaczął wirować i osunąłem się w ciemność. Czarownica przyrzekła, że będę cierpieć, ja jednak już czułem się bliski śmierci – choć nie odczuwałem strachu, jedynie straszliwe znużenie.

\*

Nie mam pojęcia, jak długo pozostawałem nieprzytomny, ale gdy się ocknąłem, usłyszałem głosy: kobietę i mężczyznę, rozmawiających cicho. Próbowałem zrozumieć, co mówią – coś o kurhanach i podróży na północ. W końcu znalazłem dość sił, by otworzyć oczy. Oboje stali nade mną – czarownica Scarabek i mężczyzna zwany Chudym Shaunem.

Czy jednak naprawdę był mężczyzną, czy czymś innym? Ściągnął kaptur, odsłaniając głowę, wychudzoną niemal jak u trupa. Pod cienką, suchą jak pergamin skórą wyraźnie widziałem zarys czaszki; na łysinie odłaziła całymi płatami.

– W lewej kieszeni płaszcza ukrywa śmiercionośną broń – oznajmiła Scarabek. – Odbierz mu ją, Shaun, ja nie mogę jej dotknąć.

Chudy Shaun sięgnął do mojej kieszeni. Nie miałem siły, by się przeciwstawić, toteż bez trudu wyciągnął mój srebrny łańcuch. Gdy to uczynił, dostrzegłem ból na jego twarzy: wzdrygnął się i upuścił go na ziemię, poza moim zasięgiem.

– Skrępował nim moją siostrę, zanim zginęła. Ale nie będzie go już potrzebował. Jego życie jako ucznia stracharza dobiegło końca. Teraz zabierzemy go na północ, Shaun – oznajmiła wiedźma. – Mam zamiar mocno go zranić i pozwolić, by zakosztował choć po części cierpień, jakich doświadczyłam.

Byłem zrozpaczony utratą łańcucha, przynajmniej jednak Shaun nie odkrył słoja krwi w mojej kieszeni. Chudy Shaun podszedł bliżej, podniósł mnie i zarzucił sobie na ramię, tak jak mój mistrz dźwigał spętane czarownice, zanim umieszczał je w dole. Przytrzymał mnie za nogi, toteż głowa zwisała mi blisko jego

pięt. Nie miałem sił, by stawić opór, czułem też otaczający go osobliwy piżmowy zapach, odór wilgotnych podziemnych jam. Najbardziej jednak zdumiało mnie to, jak niezwykle zimne miał ciało – choć czułem i słyszałem, jak oddycha, miałem wrażenie, że dźwiga mnie nieboszczyk.

Co ciekawe, choć ciało miałem bez sił, umysł dziwnie się przebudził. Posłuszny naukom stracharza, starałem się dokładnie ogarnąć sytuację.

Opuściliśmy domek i skierowaliśmy się na północ. Scarabek maszerowała pierwsza, tuląc do piersi stwora w wełnianym kocyku, jakby było to prawdziwe dziecko. Może to jej pobratymiec? Zazwyczaj czarownice karmiły pobratymców własną krwią, czasami jednak dodawały także krew innych. Najczęstszy pobratymcy to koty, szczury, ptaki i ropuchy, lecz czasami wiedźmy posługiwały się czymś bardziej egzotycznym. Nie potrafiłem nazwać stwora, którego niosła, z pewnością nie było o nim wzmianki w bestiariuszu stracharza. Miałem jednak do czynienia z czarownicą z obcej krainy, nie znałem zatem jej mocy i nawyków.

Na wschodzie niebo zaczynało już jaśnieć. Musiałem przespać cały dzień i noc. Mgła podniosła się, odsłaniając masyw dwóch gór wyrastających przed nami i po prawej. A potem dostrzegłem coś jeszcze – charakterystyczny kształt kurhanu – i odkryłem, że zmierzamy wprost ku niemu. Był niewielki, zaledwie dwakroć wyższy od rosłego mężczyzny i porośnięty trawą. Gdy dzieliło nas od niego pięć jardów, ujrzałem potężny rozbłysk żółtego światła. Kiedy przygasło, zobaczyłem sylwetkę wiedźmy na tle okrągłych drzwi.

W chwilę później wietrzyk ucichł, powietrze natychmiast się ociepliło; otoczyła nas ciemność, znajdowaliśmy się wewnątrz kopca. Nagle błysnęła jasność, to wiedźma trzymała w dłoni czarną świecę, którą właśnie rozpałała zaklęciem. We wnętrzu kurhanu stał stół, cztery krzesła i łóżko, które pokazała ręką.

– Na razie połóż go tam – poleciała i Chudy Shaun

bezceremonialnie rzucił mnie na materac. – Czas znów go nakarmić.

Leżałem tam kilka minut, próbując się poruszyć. Osobliwy paraliż nadal mnie nie opuścił. Czarownica zniknęła w innym pomieszczeniu, Shaun jednak stał bez ruchu, wpatrując się we mnie i ani razu nie mrugając. Czułem, że wracają mi siły, oddech i serce powoli się uspokajały. Domyśliłem się jednak, iż Scarabek poszła przyrządzić kolejną porcję zaprawionej trucizną owsianki. Gdybym tylko zdołał w pełni zapanować nad rękami i nogami!

Po paru chwilach wróciła z niewielką miską w dłoni.

– Unieś mu głowę, Shaun – rozkazała.

Chudy Shaun chwycił mnie za ramię prawą ręką, niemal pionowo unosząc tufów. Tym razem wiedźma miała też małą drewnianą łyżkę. Uniosła ją ku mnie, przytrzymując czoło, a tymczasem Shaun lewą ręką szarpnął mi w dół szczękę, zmuszając do otwarcia ust.

Czarownica pakowała mi do nich łyżkę za łyżką pikantnej owsianki, aż w końcu musiałem przełknąć albo się zadławić. Gdy mikstura zniknęła w moim gardle, wiedźma uśmiechnęła się.

– Na razie wystarczy. Puść go – rzekła. – Zbyt wiele by go zabiło, a mam co do niego inne plany.

Chudy Shaun z powrotem położył mnie na łóżku i stanął obok Scarabek. Wpatrywali się we mnie, ja tymczasem poczułem, jak zasycha mi w ustach, a pomieszczenie zaczęło wirować.

– Chodźmy przyprowadzić dziewczynę – usłyszałem jak przez mgłę. – On będzie tu bezpieczny.

Dziewczynę, jaką dziewczynę? – zastanawiałem się. Czy mieli na myśli Alice? Ale potem serce znów zaczęło mi trzepotać i osunąłem się w ciemność. Na jakiś czas straciłem przytomność, wciąż jednak nawiedzały mnie sny o lataniu i spadaniu. Z dziwnego powodu czułem przymus, by zeskoczyć z urwiska i rozłożyć szeroko ręce, niczym ptasie skrzydła. Wówczas jednak spadałem jak kamień z mrocznego nieba, a niewidoczna ziemia pędziła mi na spotkanie.



\*

Poczułem, jak ktoś potrząsa moim ramieniem, potem zimna woda zalała mi twarz. Otworzyłem oczy i ujrzałem Chudego Shauna: patrzył na mnie z góry, twarz omiótł mi jego cuchnący oddech. Widząc, że się ocknąłem, Shaun cofnął się, ukazując jeszcze dwie osoby. Jedną była czarownica, drugą Alice.

Serce szarpnęło mi się w piersi.

Alice była rozczochrana, ręce miała związane z tyłu.

– Och, Tom! – krzyknęła. – Co oni ci zrobili? Wyglądasz na chorego...

Wiedźma jednak przerwała jej.

– Martw się o siebie, dziecko! – zawołała. – Twój czas na tej ziemi niemal dobiegł końca. W ciągu godziny oddam cię twemu ojcu, Złemu.

## **ROZDZIAŁ 10**

### **W SZPONACH ZŁEGO**

Gdy Chudy Shaun znów mnie podniósł, usłyszałem, jak Scarabek wykrzykuje słowa mrocznej magii. W sekundę później staliśmy na zewnątrz kurhanu. Znów było ciemno, na niebie świecił sierp księżyca, w powietrzu czuło się mróz, na grząskiej ziemi zaczynał już formować się szron.

Ruszyliśmy na północ. Wiedźma chwyciła Alice za włosy, ciągnąc ją obok siebie. Pobratymiec został w kurhanie.

Alice już wcześniej znalazła się poza ochroną słoja krwi, zastanawiałem się zatem, czemu Zły po nią nie przybył. Oboje oczekiwaliśmy, że kiedy tylko nadarzy się sposobność, zemści się na nas.

Czy zatem czarownica zamierzała go teraz przywołać? Jeśli tak, słoń krwi nie pozwoli mu się zbliżyć. Czy wiedziała o jego istnieniu? Czy zamierzała stłuc naczynie i oddać nas oboje Złemu?

Kraina wokół, mroczna i posępna, była pozbawiona drzew, pokrywały ją za to gęsto krzaki i chaszczce. I właśnie do jednego z owych gąszczy doprowadziła nas w końcu wiedźma. Zaciągnęła Alice do rozłożystego ciernistego krzaka i przywiązała za włosy do splecionych gałęzi. Ja tymczasem patrzyłem z ramienia Chudego Shauna, przerażony tym, co widzę. Scarabek trzy razy okrążyła kępę krzaków z prawa na lewo, nucąc mroczne zaklęcia. Alice rozplakała się. Dostatecznie znała się na magii, by wiedzieć dokładnie, co robi czarownica.

– Och, Tomie! – krzyknęła. – Zawarła pakt ze Złym. Ciebie też chce zranić. On wkrótce się tu zjawi.

– I to szybko! – zgodziła się Scarabek. – Czas zatem zabrać cię dalej, by Zły mógł przybyć i zabrać dziewczynę. Odejdź stąd! – poleciła Chudemu Shaunowi.

Spodziewałem się – miałem nadzieję – że przywiążą mnie obok Alice. Wiedźma nie była świadoma faktu, że wciąż miałem w kieszeni słoje krwi, toteż z pewnością Zły by mnie nie zranił.

Zamiast tego jednak Shaun skierował się w górę zbocza, dalej od Alice. Kiedy się zatrzymał, patrzyliśmy na nią z wysoka. Alice wydawała się maleńka, nadal jednak widziałem, jak szamocze się rozpaczliwie, próbując uwolnić uwięzione w gałęziach włosy.

Wkrótce odkryłem, jak bardzo myliłem się co do Scarabek: wiedziała wszystko!

– Jesteśmy już dość daleko – oznajmiła. – A dziewczyna znalazła się poza ochroną zrobionego przez siebie słoja. Oto zatem pierwszy ból, który cię czeka – będziesz patrzył, jak Zły odbiera twojej ładniutkiej przyjaciółeczce życie i duszę! Wielce się ucieszył, mogąc zadać ci cierpienie. Ale nie obawiaj się. Nie pozwolę mu ciebie dopaść. Zamierzam oddać cię Morrigan.

Nagle błyskawica rozdarła niebo na zachodzie, ciemne chmury nabiegły znad morza, przysłaniając gwiazdy. Po sekundzie usłyszeliśmy huk grzmotu, a potem w ciszy rozległ się nowy dźwięk – oddalone, lecz bardzo ciężkie kroki. Każdemu z nich towarzyszył głośny syk.

Choć Zły nadal pozostawał niewidzialny, zaczynał się już materializować. Wkrótce pojawi się pod postacią olbrzyma zwanego przez wiedźmy „Jego Straszliwą Wysokością”, stworzoną po to, by budzić strach i grozę u każdego, kto go ujrzy. Niektórzy mówią, iż sam ów widok wystarcza, by skonać w miejscu ze strachu. Bez wątpienia dotyczyło to ludzi nerwowych, ja jednak oglądałem go już z bliska w tym wcieleniu, podobnie Alice, i oboje przeżyliśmy to spotkanie.

Znajdowaliśmy się zbyt daleko, by ujrzeć zbliżające się odciski stóp. Były gorące jak ogień – rozszczepione kopyta Złego wypalały ślady w drewnianej podłodze, natomiast w zimnym bagnie sprawiały jedynie, że grunt rozstępował się z sykiem, wyrzucając w górę kłęby pary.

Choć chmury zasnuły już niemal połowę nieba, księżyc nadal pozostawał nietknięty przez ciemną nadciągającą zasłonę i w jego blasku ujrzałem, jak Zły materializuje się w pełni. Nawet z tak daleka wydawał się wielki, potężny i muskularny, o torsie masywnym jak beczka. Całe ciało porastały włosy, grube i szorstkie niczym sierść wołu. Z głowy sterczały wielkie zakrzywione rogi, ogon unosił się łukiem nad ziemią.

Serce podeszło mi do gardła, gdy Zły skierował się wprost ku Alice, na próżno usiłującej wyrwać się z kolczastych gałęzi. Słyszałem wyraźnie jej przerażone krzyki. Próbowałem wysliznąć się z uchwytu Chudego Shauna, okazał się jednak bardzo silny. Osłabiony, nie zdołałem sobie poradzić.

Zły, górujący nad Alice, sięgnął potężną lewą łapą i wplótł palce w jej włosy, tak jak wcześniej wiedźma. Jednym szarpnięciem oddzielił dziewczynę od krzaka i uniósł wysoko, aż ich twarze się zrównały. Kiedy oderwał jej włosy od gałęzi, krzyknęła ponownie i zaczęła płakać. Zły pochylił się bliżej, jakby chciał odgryźć jej głowę.

– Tom! Tom! – krzyczała. – Żegnaj, Tomie. Żegnaj! Na te słowa serce zaciążyło mi w piersi, z trudem chwytalem oddech. Czy to już koniec? Czy to naprawdę koniec? Zły chwycił w swe szpony moją

przyjaciółkę, a ja w żaden sposób nie mogłem jej uratować. Jak jednak mam dalej żyć bez Alice? Z oczu popłynęły mi łzy i zaszlochałem gwałtownie. Czułem ból nadchodzącej straty, ale też cierpienie wynikające z więzi, jaka łączyła mnie z Alice.

Byliśmy sobie tak bliscy, że wiedziałem dokładnie, co przeżywa. Czułem to samo, co ona. Alice nigdy już nie powróci do tego przyjaznego świata, wkrótce trafi po wsze czasy w mrok pełen bólu i grozy, gdzie jej dusza pozostanie zdana na łaskę Złego. On już z pewnością wymyśli niekończące się tortury, by odpłacić jej za zdradę i ból, jaki mu zadała. A wszystko przeze mnie. Ta świadomość była dla mnie zbyt ciężka; nie mogłem jej znieść.

W chwilę później wszystko się skończyło. Rozbłysło światło, zagrział grom, w twarze buchnęła nam fala gorącego powietrza. Zacisnąłem powieki, a gdy je otworzyłem, Zły zniknął, zabierając ze sobą Alice.

Poczułem w żołądku kolejne ukłucie bólu. Alice znalazła się teraz poza tym światem i nigdy jeszcze nie czułem się taki samotny. Podczas gdy Chudy Shaun dźwigał mnie w milczeniu, Scarabek maszerowała tuż za mną, zasypując mnie okrutnymi drwinami.

Choć uśmiechała się z zachwytem na widok mych łez, płynących obficie niczym lejący się z nieba deszcz, nie obchodziły mnie bezduszne słowa czarownicy. Płakałem za Alice i za sobą. Teraz świat ogromnie się zmienił. Straciłem mamę i tatę; obie te śmierci wstrząsnęły mną do głębi, ale teraz czułem się inaczej. To był ból wykraczający poza wszystko. Nazywałem Alice przyjaciółką, trzymaliśmy się za ręce, siadaliśmy obok siebie. Lecz dopiero teraz, gdy Zły porwał ją na zawsze, w pełni pojąłem prawdę.

Kochałem Alice i straciłem ją.

\*

Zabrawszy stwora z kurhanu, wróciliśmy do domku i Chudy Shaun cisnął mnie na łóżko niczym worek zgniłych kartofli.

Scarabek obrzuciła mnie pogardliwym spojrzeniem.

– Choćbyś wypłakał całe morze łez – syknęła – twój smutek nawet nie zbliży się do mojego. Kochałam moją siostrę jak siebie samą, bo w istocie była mną, a ja nią!

– Co to znaczy? – spytałem.

Mimo cierpienia w głębi ducha wciąż pozostawałem stracharzem. Mistrz nauczył mnie wykorzystywać każdą sposobność do dowiadywania się czegoś nowego o nieprzyjaciółach, by mieć większe szanse zwycięstwa w walce.

– Byłyśmy bliźniaczkami – odparła. – Czarownicami bliźniaczkami, tak rzadkimi, że w całej krainie wcześniej tylko raz słyszano o podobnych. Miałyśmy wspólny umysł kontrolujący dwa ciała. Patrzyłam na świat jej oczami, a ona moimi.

– Ale twoje oczy różnią się od jej. Jedno jest niebieskie, a drugie zielone. Dlaczego? – spytałem ciekawie.

– Kiedyś miałam zwykłe, niebieskie oczy, lecz po śmierci siostry zapuściłam się na Wydrażone Wzgórze w poszukiwaniu mocy – wyjaśniła wiedźma. – Wszyscy, którzy zostają tam zbyt długo, zmieniają się. Byłyśmy sobie bliższe, niż potrafisz pojąć. Doświadczalam wszystkiego tego, czego ona. Czułam ból, który ona czuła. Byłam tam, kiedy ją zdradziłeś i zabiłeś. Wraz z jej śmiercią utraciłam połowę siebie.

– Skoro tam byłaś, to wiesz, że jej nie zabiłem – zaprotestowałem. – Zrobił to mój mistrz, Bill Arkwright.

– Nie kłam! Współpracowaliście ze sobą. Zaplanowaliście jej śmierć. Oszukałeś ją, to był podstęp.

Słabo pokręciłem głową.

– Nieprawda. Dotrzymałbym swojej części umowy.

– Czemu miałabym wierzyć uczniowi stracharza? A zresztą, to, co mówisz, nie ma znaczenia i w żaden sposób nie wpłynie na moje plany.

– Co teraz zamierzasz ze mną zrobić?

Uznałem, że lepiej dowiedzieć się najgorszego. Mimo rozpaczki wciąż rozważałem swoje szanse – poszukując jakiegokolwiek możliwości ucieczki. Srebrny łańcuch nadal leżał na ziemi, w

miejscu, gdzie upuścił go Chudy Shaun. Kiedy jednak zerknąłem na niego kątem oka, Scarabek posłała mi złośliwy uśmiech.

– Zapomnij o nim. Twoje dni władania podobną bronią już się skończyły. Kiedy nakarmisz Konala, będziesz zbyt słaby, by go unieść. Za godzinę znów zrobi się głodny.

– Konal to twój pobratymiec?

Czarownica pokręciła głową.

– Nie, Konal to mój ukochany syn, a jego ojcem jest Chudy Shaun, strażnik kurhanów, którego czas na tej ziemi dobiega końca. Strażnik ma tylko jednego syna, zrodzonego z wiedźmy – dziecko, które zastąpi go i podejmie jego pracę.

– Strażnik? Czemu go tak zwą?

– To właściwe miano. Strażnicy doglądają licznych kurhanów rozsianych po tej krainie. Kiedyś kryły się w nich kości starożytnych zmarłych, teraz stanowią schronienie celtyckich czarownic. Shaun strzeże ich mocy, nie pozwalając, by wygasła, i zaspokaja głód tych, którzy je wnieśli, bo ich dusze nigdy nie oddalają się od kurhanów. Oddaje im krew.

Nagle przyszła mi do głowy straszliwa myśl. Czy Chudy Shaun potrzebował krwi tak jak jego syn? Zerknąłem na strażnika, który obdarzył mnie złowieszczym uśmiechem.

– Widzę strach na twojej twarzy – rzekł. – Sądzisz, że także chcę wyssać z ciebie krew. Mam rację?

Skuliłem się. Czyżby umiał czytać w myślach?

– Cóż, tego akurat nie musisz się obawiać. Oddaję im krew zwierząt. Strażnik bardzo rzadko potrzebuje ludzkiej krwi. Ale jeśli ogarnie go przemożne pragnienie, wypija ją z ofiar aż do końca.

– Nic z tego jednak ciebie nie dotyczy, bo tobie został najwyżej tydzień życia – wtrąciła wiedźma. – Wkrótce znajdziemy się w Killorglin i tam znów poznasz, co to cierpienie. Dość już rozmawialiśmy. Shaunie, przynieś owsiankę!

Znów nakarmili mnie siłą, tym razem nieco oszczędniej, a potem, gdy leżałem bezradny i spragniony, z zaschniętym gardłem,

a świat wokół zaczynał wirować, czarownica przyniosła do mnie dziecko. Częściowo odwinęła Konala z kocyka i położyła go obok mojej szyi. Po sekundzie poczułem ukłucie ostrych zębów i stwór zaczął powoli wysysać ze mnie krew, tymczasem Scarabek patrzyła uśmiechnięta.

Wciąż myślałem o tym, co spotkało Alice, rozpacz ścisnęła mi pierś i gardło, dławiąc. Ulżyło mi zatem, gdy w miarę upływu krwi i działania zatrutej owsianki osłabłem i osunąłem się w litościwą nieświadomość.

## **ROZDZIAŁ 11**

### **KOZIOŁ Z KILLORGLIN**

Pamiętam bardzo niewiele. Musieliśmy jechać konno – jakby z daleka słyszałem tętent kopyt, i coś podrzucało i potrząsało moim ciałem. Nie wiem, czy leżałem na wozie, czy też przywiązany do końskiego grzbietu, być może jedno i drugie.

Następną rzeczą, jaką pamiętam, jest zakurzony strych. Siedziałem na stercie brudnej słomy. Wokół piętrzyły się śmieci, z sufitu zwisały gęste zasłony olbrzymich pajęczyn pełnych zasuszonych szczątków much; pająki czaiły się w mrocznych kątach, gotowe skoczyć na kolejną ofiarę. Przez jedyne okno – świetlik osadzony w ukośnym suficie nade mną – wpadało światło dnia. Słyszałem skrzeki i piski mew chodzących po dachu. Byłem sam, ręce nadal miałem związane za plecami, natomiast nogi wolne.

Choć oszołomiony, za drugim podejściem zdołałem wstać z miejsca. Słyszałem też inne odgłosy: od czasu do czasu stukot kopyt, krzyczących śpiewnymi głosami handlarzy. Podejrzywałem, że znalazłem się z powrotem w Killorglin. Nacisnąłem klamkę, drzwi okazały się jednak zamknięte, zacząłem zatem krążyć po strychu, szukając czegoś, co pomogłoby mi w ucieczce. Może znajdę

coś ostrego, czym przetnę więzy...

Gdy tylko zacząłem szukać, na strychu pociemniało. Czyżby na zewnątrz ciemna chmura przesłoniła słońce? Może zbliżała się burza? Dźwięki uliczne stopniowo cichły, aż w końcu zza murów mego więzienia nie dobiegał najmniejszy odgłos: tkwiłem uwięziony w kokonie ciszy.

Potem zaczęła spadać temperatura, ostrzegając, że zbliża się coś z Mroku. Usiadłem w kącie, oparty plecami o ścianę, by nic nie dopadło mnie z tyłu. Nie miałem niczego, czym mógłbym się bronić. Gdybym tylko zdołał uwolnić ręce! Siedząc tak skrepowany, czułem się bezbronny i odsłonięty.

Usłyszałem głos szepczący mi do ucha. Z początku przypuszczałem, że to może bełkacz i wzdrygnąłem się ze strachu, potem jednak pojąłem, iż mam do czynienia z innym rodzajem ducha. W słowach, choć nie do końca wyartykułowanych i zrozumiałych, kryła się złowieszcza moc. W chwilę później odezwały się następne duchy – nie miałem pewności jak wiele. Były jednak bardzo blisko i dostrzegałem rozbłyśki gniewnego fioletowego światła, gdy krążyły po mrocznym strychu, zbliżając się coraz bardziej. Chude palce zaczęły szarpać mnie za uszy, a potem potężne dłonie zacisnęły się wokół gardła. To był duch dusiciel i to potężny, a ja nie mogłem z nim walczyć.

Siódmy syn siódmego syna dysponuje pewną odpornością na siły niebezpiecznych duchów, nigdy jednak dotąd nie zetknąłem się z równie mocną zjawą; zacząłem się dławić, gdy niewidzialne palce miażdżyły mi krtań. Nie mogłem zaczerpnąć powietrza i rozpaczliwie próbowałem przypomnieć sobie jakąś część szkolenia, która mogłaby mi pomóc. Sapnąłem, czując, że tracę przytomność.

Niespodziewanie nacisk na gardło osłabł, a szepczące głosy ucichły. Ulga trwała zaledwie sekundy, potem odezwał się niski, przerażający głos – głos Złego:

– Przeprowadziłem twoją przyjaciółkę, Alice – rzucił szyderczo. – Chciałbyś ją usłyszeć?

Nim zdążyłem odpowiedzieć, usłyszałem czyjeś szlochanie.



Dźwięki zdawały się dobiegać z oddali, była to jednak bez wątpienia płacząca dziewczyna. Czy to naprawdę Alice, czy też kolejny podstęp Złego? Nie bez kozery jeden z jego tytułów brzmiał Ojciec Kłamstw.

– Boi się i cierpi, Tomie. Wątpisz w to? Wkrótce do niej dołączysz. Mogę już niemal cię dosięgnąć. Jesteś blisko – bardzo, bardzo blisko.

I rzeczywiście. Choć go nie widziałem, twarz omiatał mi gorący, cuchnący oddech, wyczuwałem też bliskość czegoś wielkiego i straszliwego. Zły pochylał się nade mną, próbując mnie pochwycić.

– Chciałbyś pomówić ze swoją przyjaciółką, Tomie? Może to dźwięk twego głosu złagodzi nieco jej cierpienie... – wychrypiął.

Wbrew rozsądkowi zawołałem ją. Nie mogłem znieść słuchania, jak płacze w ciemności.

– Alice! Alice! To ja, Tom! – zawołałem. – Trzymaj się, bądź silna. W jakiś sposób wyciągnę cię stamtąd! Sprowadzę do domu!

– Kłamca! – odkrzyknęła Alice. – Nie okłamuj mnie. Nie jesteś Tomem. Dość już mnie oszukałeś.

– To ja, Alice, przysięgam.

– Diable! Demonie! Zostaw mnie w spokoju!

Jak miałem ją przekonać, że to naprawdę ja? Co mogłem powiedzieć, by dowieść tego bez cienia wątpliwości? Nim zdołałem cokolwiek wymyślić, Alice zaczęła krzyczeć, jakby cierpiała straszny ból.

– Proszę, przestań mnie ranić, przestań! Przestań! Więcej nie wytrzymam. Proszę, nie rób tego!

Wówczas przestała błagać, lecz znów wybuchnęła płaczem, jęcząc na mękach.

– Dość już słyszałeś, Tomie? – spytał Zły. – Wkrótce ty także doświadczysz podobnych męczarni. To, co teraz cierpi, jest gorsze niż jakiegokolwiek próby, którym poddaję czarownice. Pomyśl o kłuciu ostrymi szpilkami, wyobraź sobie ciężar kamieni przygniatających pierś, poczuj płomienie, coraz mocniej liżące stos. Ciało płonie, krew wrze. Tak, bardzo boli, ale w końcu śmierć

przynosi ukojenie. Dla Alice jednak nie ma podobnej ucieczki: jest uwięziona w Mroku na wieczne cierpienie. Wieczne! To oznacza, że będzie trwać bez końca! A wkrótce wrócę i po ciebie. Moc słowa niemal już się wyczerpała.

Wyczułem, jak Zły się oddala, krzyki Alice stopniowo cichły, aż w końcu znów ogarnęła mnie cisza. Dygotałem, wstrząśnięty. W żaden sposób nie mogłem pomóc Alice i nie potrafiłem znieść tej świadomości. Stopniowo wszystko wróciło do normy: z zewnątrz znów zaczęły dobiegać krzyki ulicznych handlarzy, na strychu robiło się coraz jaśniej. Podniosłem się z miejsca i doprowadzony niemal do obłędu tym, co usłyszałem, zacząłem miotać się od ściany do ściany, póki nie runąłem na ziemię i znów nie straciłem przytomności.

\*

Kiedy ponownie się ocknąłem, Chudy Shaun szarpał mnie za ramię.

Siedziałem oparty plecami o ścianę przy drzwiach. Na podłodze obok stała miska pełna ciemnej parującej cieczy i łyżka. Shaun zanurzył łyżkę i uniósł ją powoli do moich ust. Próbowałem się odwrócić, on jednak wolną ręką przytrzymał mi głowę i przycisnął mocno łyżkę do warg. Większość płynu rozlała się, ale nie poczułem znajomego ostrego smaku – to nie była zatruta owsianka. Smakowało jak zupa ogonowa.

– Nie ma w tym nic, co mogłoby ci zaszkodzić – oznajmił Chudy Shaun. – To tylko posiłek – uśmiechnął się złowieszczo – który ma jeszcze trochę utrzymać cię przy życiu.

Nie byłem pewien, czy mu uwierzyć, ale brakowało mi sił, aby stawić opór i pozwoliłem nakarmić się zupą do końca.

Potem Shaun otworzył kluczem drzwi i wyniósł mnie ze strychu, ponownie zarzuciwszy na ramię niczym wór kartofli. Zapadł już zmierzch, rynek opustoszał, tylko grupka postaci w płaszczach zebrała się wokół wysokiej drewnianej budowli umieszczonej w najwyższym miejscu opadającego trójkątnego placu. Najwyraźniej magowie odbudowali wieżę.

Obok niej stał wielki kamienny blok z dziwnym zakrzywionym zagłębieniem na górze. Widziałem już raz podobny w wiosce Topley, niedaleko farmy, gdzie przyszedłem na świat. Nie używano go od ponad stu lat, lecz nikt nie zapomniał, do czego służył. To był kamień katowski. Ofiara opierała na nim głowę, zanim kat ją ściał.

Chudy Shaun opuścił mnie na ziemię i stanąłem tam, chwiejąc się lekko. Czyjaś dłoń chwyciła mnie za rękę i spojrzałem w oczy więdźmy.

– Przywitaj się z nowym kolegą! – zadrwiła. – Obu was czeka paskudna niespodzianka.

W drugiej dłoni trzymała obrożę wielkiego kozła. Z przodu między rogami kolczastym drutem poplamionym krwią przywiązano mu do głowy koronę z brązu.

– Poznaj króla Puka! – mówiła Scarabek. – Będziecie dzielić między sobą platformę, a także towarzyszący temu zaszczytowi ból i obłąd. Nim noc upłynie, wezwiemy Pana.

Kozła zaprowadzono na platformę z desek i uwiązano srebrnymi łańcuchami okręconymi ciasno wokół tylnych nóg i zamocowanymi do żelaznych pierścieni. Teraz magowie mogli podnieść zwierzę. Mnie także wepchnięto na platformę, zmuszono, bym ukląkł obok kozła, i zawiązano przepaską oczy. Ręce nadal miałem skrępowane za plecami. Deski zaczęły skrzypieć i jęczeć, gdy za pomocą systemu lin i bloków czterej mężczyźni powoli dźwignęli nas w górę. Gdy platforma dotarła na szczyt drewnianego szafotu, tamci uwiązali bezpiecznie liny.

Kozioł zaczął beczeć i szarpać się, nie mógł się jednak uwolnić. Usiadłem, w jakiś sposób zdołałem, kręcąc głową i ramionami, zsunąć przepaskę. Szybko rozejrzałem się dokoła. Jak okiem sięgnąć nie dostrzegłem żadnego strażnika. Spojrzałem na brukowany rynek i otaczające go dachy. W dali majaczył niewyraźny zarys mostu nad rzeką. Stracharz we mnie zaczął oceniać szanse ucieczki.

Z każdą chwilą robiło się coraz ciemniej. Nie licząc magów, a także ich popleczników, miasto zdawało się wyludnione. Bez

wątpienia mieszkańcy ukrywali się za zamkniętymi, dobrze zabarykadowanymi drzwiami. W dole usłyszałem pierwsze śpiewy i po plecach przebiegł mi lodowaty dreszcz.

Magowie rozpoczęli przywołanie.

Pierwsze zaśpiewy nie wywarły pożądanego efektu, zauważyłem jednak, że wiatr najpierw osłabł, a potem w ogóle ucichł, powietrze znieruchomiało. Wydawało mi się też nienaturalnie ciepłe, niemal jak w pogodną letnią noc.

Magowie tymczasem rozstawili na bruku krąg świec otaczający podstawę drewnianej wieży – naliczyłem ich trzynaście; następnie utworzyli linię i zaczęli powoli przesuwać się dokoła w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara, stopniowo nucąc coraz głośniejsze.

Kozioł, dotąd szarpiący łańcuchy i beczący desperacko, teraz znieruchomiał i umilkł – zupełnie jakby zamienił się w posąg. Potem jednak, po dziesięciu minutach dostrzegłem, że cały dygocze. Głosy wznosiły się coraz donośniej, zakończone przenikliwym krzykiem dobiegającym z trzynastu gardeł.

W tym momencie kozioł zadygotał i wypróżnił się nagle; cuchnąca masa rozlała się po deskach, częściowo skapując na bruk w dole. Od smrodu zrobiło mi się niedobrze, cofnąłem się na sam skraj platformy, rad, że brązowa fala zatrzymała się tuż przede mną.

Kiedy znów spojrzałem w dół, magowie odchodzili. Pojąłem, że nie da się ze związanymi rękami zsunąć z wieży, uznałem zatem, iż lepiej będzie oszczędzać siły. Oparłem plecy o szeroki słup, przysunąłem do siebie kolana i próbowałem zasnąć. Na próżno jednak. Pod wpływem zatrutej owsianki przespałem większość poprzednich dwóch dni i obecnie nie czułem senności.

Spędziłem zatem długą, nieprzyjemną noc z kozłem na wysokiej platformie, rozpaczliwie próbując wymyślić plan ucieczki. Trudno jednak było mi się skupić – stale powracałem myślami do tych samych pytań. Co się stało z mistrzem po tym, jak uciekliśmy z zamku? Czy zdołał uniknąć schwytania? Przede wszystkim jednak

gryzła mnie rozpacz po utracie Alice. Myśli te krążyły bez końca w mojej głowie, brakowało wśród nich natomiast strachu. Wiedziałem, że w ciągu najbliższych paru dni czeka mnie śmierć, a jednak z jakiejś przyczyny zupełnie się nie lękałem.

Strach pojawił się tuż przed świtem, w słabym blasku zachodzącego księżyca.

Nagle zauważyłem, że kozioł przypatruje mi się uważnie. Spojrzeliśmy sobie w oczy i przez moment świat zawirował. Pysk zwierzęcia zmieniał się, rozciągał, wykrzywiał w niemożliwym stopniu.

Wówczas zacząłem się bać. Czy ta przemiana świadczyła, że Pan wnika do jego ciała? Wciąż żywiłem nadzieję, że rytuał nie zadziała, teraz jednak z dreszczem zgrozy pojąłem, iż całkiem możliwe, że magom się udało. Być może znalazłem się na jednej platformie ze Starym Bogiem, słynącym z tego, iż sprowadza strach i obłęd na wszystkich, którzy znajdują się w jego pobliżu.

Nagle kozioł zabeczał głośno i chwila grozy minęła. Zerwał się zimny wiatr z północnego wschodu. Zadygotałem.

\*

O świcie magowie wrócili na plac i opuścili platformę na ziemię. Ściągnęli mnie na bruk, a tymczasem, na szczęście, ktoś zmył z desek koźle odchody. Rozwiązano mi ręce, ktoś wcisnął do nich miskę gorącej zupy i dwie grube pajdy chleba.

– Nie chcemy, żebyś umarł nam zbyt szybko – rzucił złośliwie jeden z magów.

Zajadałem łąpczywie, a tymczasem inni magowie nakarmili i napoili kozła. Otoczony dziesiątkami czujnych oczu, nie miałem szansy ucieczki. Odebrawszy mi pustą miskę, magowie cofnęli się, przepuszczając potężnego mężczyznę o ogolonej czaszce, który wystąpił naprzód. Natychmiast go poznałem.

– Pokłoń się, chłopcze! – syknął mi do ucha czyjś głos. – To magister Doolan.

Kiedy się zawahałem, ktoś brutalnie pochwycił moją głowę z tyłu i opuścił siłą. Gdy tylko zdołałem wyprostować szyję,

spojrzałem w twarz najpotężniejszego z kozich magów, tego, którego zwali Rzeźnikiem z Bantry. Patrząc mu w oczy, przekonałem się, że należą do fanatyka: płonęły absolutną pewnością siebie człowieka nieustępliwego, który uczyni wszystko dla swej sprawy.

– Jesteś tu po to, by cierpieć, chłopcze – rzekł, podnosząc głos, aby zebrani usłyszeli każde słowo. – Twój ból to nasz dar dla Scarabek, w podziękowaniu za to, że hojnie zgodziła się oddać życie naszej sprawie. Życie ucznia stracharza powinno stać się godnym dodatkiem do naszych ofiar. Twój los posłuży też jako nauka dla wszystkich, którzy chcieliby się nam sprzeciwić.

Wskazał ręką katowski kamień i uśmiechnął się zimno, a potem znów związano mi ręce i dźwignięto w górę.

Po godzinie trójkątny brukowany plac wypełnił się kramami. Pasterze przeganiali ulicami bydło i zamykali w zagrodach. Z czasem ludzie robili się coraz śmielsi i głośniejsi, siedzieli w drzwiach bądź opierali się o ściany z kuflami piwa w dłoniach. Nastął pierwszy dzień trzydniowego jarmarku i mieszkańcy Killorglin – wraz z tymi, którzy przybyli wiele mil, by się tu znaleźć – rozpoczynali zabawę.

Kiedy słońce zniknęło za domami, rynek znów się wyludnił. Magowie opuścili platformę i ściągnęli mnie na bruk. Magister Doolan czekał tam już ze swym wielkim podwójnym toporem. Teraz ubrany był w czerń jak kat, nosił skórzane rękawice i długi skórzany rzeźnicki fartuch. Lecz jego ciało opasywały liczne rzemienie, do których zamocowano noże i inne metalowe narzędzia. Przypominało mi to Grimalkin, wiedźmę zabójczynię, która w podobny sposób nosiła broń. Mag odwrócił się i zmierzył mnie wzrokiem, jakby oceniał rozmiar potrzebnej trumny, a potem uśmiechnął się złowrogo.

Przez jedną przerażającą chwilę sądziłem już, że zabije mnie tu i teraz. Myliłem się jednak. Nie dostrzegłem ani śladu wiedźmy, lecz obok kata czekał Cormac, mag, którego wcześniej przesłuchiwalismy. Wyglądało na to, że nadeszła chwila jego

śmierci. Zapłonęły świece, magowie zebrali się wokół kamienia.

Cormac ukląkł i oparł szyję w zagłębieniu na górze. Pod jego głową czekał metalowy kubek. Ktoś przyprowadził kozła i postawił obok wiadra. Ku memu zdumieniu zwierzak wysunął język i trzy razy polizał maga po policzku, a potem zabezzał cicho. Słyszając to, pozostali z uśmiechem pokiwali głowami. Wyraźnie sobie gratulowali. Wyglądało na to, że rytuał przebiega jak należy.

Doolan rozpiął kołnierz koszuli Cormaca, odsłaniając kark. Potem uniósł topór o podwójnym ostrzu. Jeden z magów zaczął dmuchać w niewielki instrument składający się z pięciu cienkich metalowych cylindrów związanych w rzędzie. Wydawany przezeń dźwięk, piskliwy i przeciągły, skojarzył mi się z wiatrem świszczącym wśród trzciny na brzegu jeziora. Dźwięczała w nim melancholia – smutek rozstania i nieuchronności śmierci.

Magowie zaczęli nucić chórem, śpiewając przeciągły lament. Nagle zarówno glosy, jak i fletnia umilkły, zobaczyłem, jak topór opada szybkim łukiem. Zamknąłem oczy i usłyszałem brzęk metalu o kamień, potem coś runęło ciężko do wiadra. Kiedy uniosłem powieki, Doolan trzymał za włosy głowę Cormaca i potrząsał nią nad kozłem tak, że z odciętej szyi bryzgały krople krwi. Wkrótce kozioł – zapewne pozostający pod wpływem mrocznego zaklęcia – zaczął łapczywie spijać z wiadra krew nieboszczyka.

W pięć minut później byli gotowi, by znów podnieść platformę. Tym razem już mnie nie karmili. Zresztą i tak nie byłem głodny, czułem mdłości po tym, co obejrzałem. Jednakże gdy unieśli mi do ust kubek wody, zdołałem przełknąć cztery czy pięć łyków.

Znów w górze, obserwowałem magów: procedura wyglądała dokładnie tak samo jak poprzedniej nocy. Raz po raz okrążali świece, wędrując z prawej w lewo. Tym razem, gdy pieśń osiągnęła ogłuszające crescendo, kozioł jedynie odwrócił głowę i spojrzał prosto na mnie.

Czy kozy potrafią się uśmiechać? Mogę tylko rzec, że zdawał się ze mnie drwić i po plecach przebiegł mi dreszcz. Byłem teraz pewien, że rytuał działa. W każdej chwili Pan mógł wniknąć w

ciało kozła, a wówczas siedziałbym na maleńkiej platformie obok niego, czekając, aż dopadną mnie strach i szaleństwo.

Noc zdawała się nie mieć końca. Magowie odeszli, wiatr zawodził po dachach, ciskając mi w twarz fale lodowatego deszczu. Odwróciłem się do niego plecami, pochyliłem głowę i zacząłem kiwać nią gwałtownie, dopóki kaptur nie opadł mi na włosy. Potem skuliłem się, usiłując jak najbardziej osłonić ciało przed gniewem żywiołów. Nic to jednak nie dało i wkrótce przemokłem do suchej nitki. Kozioł zaczął beczeć, coraz głośniejsze i głośniejsze; po jakimś czasie miałem wrażenie, że nawołuje me imię, a potem śmieje się obłąkańczo. Ze związanymi rękami nie mogłem zatkać uszu, by stłumić hałas.

Wreszcie niebo pojaśniało, po paru godzinach na rynku znów zaroilo się od ludzi.

Po raz kolejny zapadła ciemność i deszcz niemal ustał, gdy magowie opuścili platformę. Zszedłem na bruk. Dygotałem z zimna. Byłem przeraźliwie głodny i z radością przyjąłem talerz baraniny i suchego chleba, który wręczyli mi prześladowcy, gdy tylko rozwiązali mi ręce. Pożarłem wszystko łapczywie.

Instynkt podpowiadał mi, że coś się wydarzy. Czy nadeszła kolej na ofiarę czarownicy? Na tę myśl żołądek ścisnął mi się nerwowo. Przed śmiercią bez wątpienia zechce w pełni się na mnie zemścić. Jeżeli jednak to mnie czekała śmierć, po co mieliby mnie karmić? Czas płynął. Magowie wyraźnie się denerwowali. A potem zjawił się Doolan dzwigający na ramieniu topór.

– Scarabek zniknęła – warknął. – Trudno mi uwierzyć, że mogłaby tak nas zawieść.

– A co ze strażnikiem kurhanów, panie? – spytał jeden z magów.

– Jego też nie znaleźliśmy, ale nie możemy się teraz poddać! – zawołał Rzeźnik. – Nie, skoro dotąd wszystko szło tak dobrze. Złożyliśmy już dwie ofiary – zwrócił się ku mnie, patrząc twardymi, okrutnymi oczami. – Najpierw zabijemy chłopaka, by było ich trzy. To pozwoli zyskać nam trochę czasu i ucieszyć Pana,



zanim powróci Scarabek.

Wokół rozeszły się pomruki aprobaty, Doolan zaczął naciągać rękawice. Silne ręce chwyciły mnie i powlokły w stronę katowskiego kamienia.

## ROZDZIAŁ 12

### STARY BÓG PAN

Było ich po prostu zbyt wielu – nie miałem szansy oprzeć się takiej połączonej sile. Magowie pchnęli mnie na kolana, w sekundę później dotknąłem gardłem zimnego mokrego kamienia.

Cały się trząsałem. Od strachu przed toporem jeszcze gorsza była świadomość, iż w chwili śmierci natychmiast znajdę się w mocy Złego. Znów zacząłem się szamotać, ale ktoś trzymał mnie za włosy, naginając głowę w dół i odsłaniając gotową na cios szyję. Wyprostowane ręce naciągnięto tak mocno, że lada moment mogły wyskoczyć ze stawów. Byłem bezbronny.

Poczułem, że topór się unosi. W oczekiwaniu na nieuniknione zacisnąłem powieki. To już koniec. Pomyślałem o stracharzu. Zawiodłem go. I wtedy, dosłownie w ostatniej sekundzie, usłyszałem zbliżające się kroki.

– Czekaście! – wykrzyknął znany mi głos. Należał do Chudego Shauna, strażnika kurhanów.

– Gdzie jest Scarabek? – spytał Rzeźnik.

– Z własnej woli położy głowę na kamieniu, nie lękajcie się – odparł Shaun. – Ręczę za to własnym życiem.. Po co mielibyście zabijać chłopaka? Jeszcze z nim nie skończyła. Nadal pozostał jutrzejszy dzień. Gwarantuję, że do tej pory się tu zjawi.

– Zatem raz jeszcze spytam: gdzie jest teraz?

– Uwięziona, ale wkrótce wyruszę ją uwolnić. Nie zabrano jej daleko...

– Schwytali ją nasi wrogowie? Liga?

– Wrogowie, owszem, lecz nie ci, których znamy – odparł Shaun. – Muszą być jednak potężni, skoro zdołali ją zaskoczyć. Ale pożałują. Wkrótce przyjdzie im stawić czoło mojemu gniewowi. Jestem strażnikiem kurhanów. Pożałują, że w ogóle się urodzili!

Choć mówił o gniewie, Chudy Shaun sprawiał wrażenie bardzo spokojnego, nie okazywał emocji. Zastanawiałem się, czy to w ogóle człowiek.

Silne ręce podniosły mnie z kamienia; stałem dygocząc, podczas gdy magowie odeszli, by omówić przyniesione przez Shauna wieści. Słudzy nadal trzymali mnie za ręce. Zresztą byłem zbyt słaby, by spróbować ucieczki.

Doolan powrócił i stanął przed Chudym Shaunem.

– Masz czas do jutra, do tej samej pory. Wówczas odprawimy ostatni, czwarty rytuał i zabijemy chłopaka zamiast niej. Aby nasze wysiłki się powiodły, Scarabek musi się zjawić i z własnej woli poświęcić życie.

Shaun przytaknął i natychmiast odszedł. Magowie związali mi ręce i znów zawlekli na platformę obok kozła. Szybko dźwignęli nas w powietrze, ja zaś ukląknęłam wstrząśnięty. O włos uniknąłem śmierci; czułem już opadający topór.

Kiedy doszedłem do siebie, zacząłem rozmyślać o tym, co powiedział Chudy Shaun. Kto mógł schwytać Scarabek? Była potężna – niełatwo ją pokonać. Może to stracharz? Ostatecznie Shaun twierdził, że dokonał tego ktoś „nieznany”. Jeśli tak, mojemu mistrzowi zagrażało śmiertelne niebezpieczeństwo.

\*

Noc mijała bardzo wolno i na długo przed świtem kozioł zaczął beczeć żałośnie, jakby cierpiał. W jasnych promieniach księżycy ujrzałem krople krwi wyciekające z ran na głowie zwierzęcia, w miejscu, gdzie wbił się w nią kolczasty drut. Krew spływała strużkami, okalając oczy i ściekając aż do pyska, skąd zlizywał ją językiem.

Teraz krzyki kozła uległy dramatycznej przemianie: stały się donośne, dźwięczało w nich wyzwanie. Pragnąłem odwrócić wzrok,

ale nie zdołałem. Musiałem patrzeć, jak jego pysk zaczyna się odkształcać i zmieniać w coś na poły ludzkiego, na poły zwierzęcego.

Następnie nadeszła groza – uczucie przerażenia przed czymś ohydny i straszny – różniła się jednak od tej wyzwalanej przez czarownice. Miałem już do czynienia z podobnymi zaklęciami i zwykle wiedziałem, jak je pokonać. Teraz jednak działo się coś więcej i zawierało w sobie dodatkowy element: przymus. Nagle zapragnąłem przysunąć się do kozła, dotknąć go. Nie mogąc się powstrzymać, podpełzłem na kolanach i znalazłem się tak blisko, że moją twarz owionął cuchnący oddech stwora.

Kozioł uległ już pełnej przemianie. Klęczałem przed obliczem Pana. Miał ludzką twarz, w której pozostała odrobina zwierzęcia: dziką, pomarszczoną, ogorzałą od wiatru i słońca. Rogi zniknęły, lecz kopyta pozostały, oprócz nich jedynym śladem zwierzęcia były oczy: wąskie czarne szczeliny źrenic połyskiwały szaleńczo.

Pan dźwignął się z czworaków i stanął, górując nade mną, jego kopyta wciąż krępowały srebrne łańcuchy. A potem zaśmiał się głośno i przeciągle – z niepohamowanym gorączkowym rozbawieniem szaleńca. Czyż nie sływał z tego, że doprowadza ofiary do obłędu? Ja jednak nadal myślałem jasno i logicznie. Owszem, bałem się i oddychałem głęboko, by się uspokoić, lecz póki co zdawało się raczej, że to nie ja oszalałem, lecz on.

Czyżby bycie uczniem stracharza pomogło mi zachować rozsądek? Gdy tylko myśl ta zaświtała mi w głowie, wszystko wokół zawirowało i runąłem w nieprzeniknioną ciemność. Poczulem, że spadam. Zupełnie jakby drewniana wieża rozleciała się pode mną, strącając mnie w dół, ku zimnemu, twardemu brukowi.

\*

Usłyszałem wiatr świszczący wśród trzciny i wodę szmerzącą melodyjnie na kamieniach. Leżałem na wznak; natychmiast otworzyłem oczy i usiadłem. Pierwszą rzeczą, jaką zauważyłem, były moje ręce. Krępujący je sznur zniknął.

Znajdowałem się na trawiastym brzegu połyskującej srebrzyście rzeki. Uniosłem głowę, spodziewając się ujrzeć księżyc, niebo jednak było ciemne. I wtedy zauważyłem, że wszystko dookoła jarzy się słabym srebrzystym blaskiem. Na skraju rzeki wysokie trzciny kołysały się rytmicznie w powiewach lekkiego wiatru wiejącego ku mnie wzdłuż jej nurtu. One także połyskiwały srebrzyście.

Gdzie ja byłem? Jak to możliwe? Czy to sen? Jeśli tak, to niezwykle realistyczny: czułem niesiony z wiatrem zapach kwiatów, a ziemia pode mną wydawała się niezwykle twarda. Z lewej strony wyrastał las, który ciągnął się aż na drugi brzeg. Widziałem liściaste drzewa o gałęziach uginających się od kwiatów, w powietrzu rozchodziła się słodka woń. Przypominało to pełnię lata, nie mroźne przedwiośnie w Killorglin.

Podniosłem się i wówczas usłyszałem nowy dźwięk. Z początku sądziłem, że to świst wiatru wśród trzciny, potem jednak rozpoznałem wyraźne nuty, które wzbudziły we mnie tęsknotę. Pragnąłem usłyszeć więcej.

Ruszyłem zatem w górę strumienia, podążając w stronę dźwięku. W końcu dotarłem na dużą kolistą łąkę na skraju rzeki i ujrzałem niezwykle widok. Łąkę wypełniały setki zwierząt – głównie królików i zajęcy, ale dostrzegłem także kilka lisów i parę borsuków. Wydawały się zahipnotyzowane – wszystkie szeroko otwartymi, niemrugającymi oczami wpatrywały się w miejsce, skąd dobiegała muzyka. Drzewa dookoła obsiadły niezliczone różnobarwne ptaki.

Na kamieniu na polanie siedział młody chłopak grający na flecie; instrument, choć zrobiony z pojedynczej trzciny, wydawał z siebie niezwykle dźwięki. Chłopak miał długie włosy, bardzo bladą twarz, ubrany był w strój upleciony z liści i trawy. Po bokach w pełni ludzkiej twarzy wyrastały uszy, wydłużone i nieco szpiczaste. Stopy miał białe, paznokcie tak długie, że zwijały się w spirale.

Z lektury bestiariusza stracharza wiedziałem, że to musi być Pan. W najłagodniejszej, chłopięcej postaci tego boga uważano

czasami za siłę dobra, ucieleśnienie mocy przyrody.

Teraz spojrział na mnie i przestał grać. Zwierzęta z lasu natychmiast rozpierzchły się, uwolnione z czaru muzyki. Po paru sekundach zostaliśmy na polanie sami.

– Gdzie ja jestem? – spytałem. Czułem się spokojny, w ogóle się nie bałem.

– Jakie to ma znaczenie? – zapytał chłopak. Uśmiechnął się miło, lecz jego następne słowa przepełniły mnie nagłą grozą. – Sprowadziłem cię do krainy, w której mieszkam. To miejsce, które nazywasz Mrokiem i którego lękasz się najbardziej!

## ROZDZIAŁ 13

### UKŁAD

Powiodłem wzrokiem po drzewach, wciąż migoczących srebrzystym blaskiem. Czy to naprawdę mógł być Mrok? Z całą pewnością nie wyglądał tak, jak się spodziewałem. Ale Pan miał rację. Oto, czego bałem się najbardziej – że po śmierci trafię w Mrok. Oczekiwałem jednak, iż zawlecze mnie tam Zły.

– Nie sądziłem, że Mrok będzie taki – przyznałem głosem niewiele donośniejszym od szeptu.

– To dlatego, że to nie jest Mrok – odparł słodko Pan.

– Ale przecież sam powiedziałeś...

– Słuchaj mnie uważnie, chłopcze. Powiedziałem, że to miejsce, które wy nazywacie Mrokiem. W istocie to świat cieni leżący pomiędzy Limbusem a samym Mrokiem. To miejsce spoczynku. Dla mnie to Wydrążone Wzgórze, lecz mieszkańcy Irlandii nazywają je Tech Duinn – albo czasami Wtórświatem. Ich bogowie lubią to miejsce, podobnie jak martwi bohaterowie. Lecz większość ludzi nie może pozostać w nim zbyt długo – ich wspomnienia rozpływają się w srebrnym blasku, a oni sami są zagubieni w tej krainie na zawsze. Jedynie bohaterowie mogą przetrwać. Teraz

jednak nie musisz się lękać, bo jest tu wyłącznie twoja dusza. Ciało wciąż tkwi na platformie wraz z cuchnącym zwierzakiem.

– A Morrigan? Czy i ona tu jest? – rozejrzałem się nerwowo wśród drzew.

– Czasami przychodzi, ale nie w tej chwili.

– Czy ja umarłem? – chciałem wiedzieć.

– Jeszcze nie – odparł Pan. – Ale jeśli zostaniesz tu zbyt długo, z pewnością umrzesz. Twoje ciało ledwo oddycha. Musisz do niego wrócić i to jak najszybciej, nie traćmy zatem czasu. Sprowadziłem cię tutaj, byśmy mogli porozmawiać. Potrzebowałem do tego wszystkich swych sił: wciąż czuję zew ciała kozła i coraz trudniej przychodzi mi opierać się mrocznym czarom magów. Pobyt w waszym świecie doprowadza mnie do obłądu, a potem zarazam nim innych.

– O czym chciałeś porozmawiać? – spytałem. Czyżby faktycznie zamierzał odesłać mnie do naszego świata?

– Musisz coś dla mnie zrobić. W nagrodę unikniesz szaleństwa.

Ostrożnie pokiwałem głową. Czego mógł ode mnie chcieć jeden ze Starych Bogów? Co mogłem zdziałać, czego on by nie potrafił?

– Musisz jedynie uwolnić kopyta kozła od krępujących je srebrnych łańcuchów.

– Jak mam to zrobić? Związali mi ręce – przypomniałem.

– Coś wymyślisz, jestem tego pewien. – Pan uśmiechnął się. – A potem, kiedy już mnie uwolnisz, ja dokonam reszty.

– Reszty? Co wówczas zrobisz?

– Opuścę ciało kozła i wymknę się spod panowania magów. Podobne przywołanie to dla mnie okropność.

– Sądziłem, że Starzy Bogowie lubią, gdy oddaje się im cześć.

– Magowie tak naprawdę mnie nie czczą – nie z szacunkiem; po prostu wykorzystują do swoich celów. Za pomocą rytuałów zmuszają mnie, abym wniknął w ciało kozła i krok za krokiem pozbawiają mocy. To mnie osłabia, a ich wzmacnia.

– Czy zyskali już jakąś moc? – zapytałem.

– Trochę, ich mroczna magia przez jakiś czas pozostanie

silniejsza.

– Postaram się – obiecałem – ale chciałbym od ciebie czegoś jeszcze...

Pan uniósł brwi.

– Mam przyjaciółkę, Alice. Została żywcem uwięziona w Mroku. Mógłbyś ją odnaleźć i uwolnić?

– Kto ją tu sprowadził?

– Zły – odparłem.

– W takim razie to beznadziejne – rzekł bóg. – W Mroku istnieje wiele różnych krain. Ja sam mam tam swoje królestwo. Każdy z nas ma własną krainę, tworzoną przez jego moc. Zły władca największą i narzuca w niej własne prawa. To straszne miejsce dla śmiertelnika, żywego czy martwego. Gdybym mógł, pomógłbym jej. Jestem jednak bezradny. A teraz musimy już wracać. Brak mi sił, by utrzymać nas tu dłużej.

Przytaknąłem i Pan znów zaczął grać na flecie. Wokół nas rozległy się szelesty i trzepot skrzydeł, zwierzęta wracały na polanę, wezwane magiczną melodią.

Nagle flet ucichł; wszystko zaczęło się rozplýwać i świat wokół ponownie pociemniał.

\*

Odkryłem, że leżę na platformie. Z trudem usiadłem na deskach i spojrzałem w dół na rynek, sprawdzając, czy nikt nie patrzy. Potem przyjrzałem się kozłu. Zabeczał, toteż odwróciłem się do niego plecami i uniosłem ręce do pyska zwierzęcia. Wymyśliłem, jak uwolnić się z pęt.

Kozioł powąchał linę, a potem zaczął przegryzać ją z zapalem. Raz czy dwa skubnął moją skórę i wzdrygnąłem się, potrzebował jednak zaledwie paru minut, by mnie uwolnić.

Pomasowałem dłonie, by przywrócić krązenie i skupiłem uwagę na problemie uwolnienia kozła. Krępujące go srebrne łańcuchy zaprojektowano tak, by uwięziły nie tylko ziemskie zwierzę, ale i istotę z Mroku. W żaden sposób nie zdołalbym rozgiąć ogniwo gołymi rękami. Owszem, dysponowałem specjalnym kluczem

otwierającym większość zamków. Ponieważ jednak nie wiedziałem, kiedy jeszcze mógłby mi się przydać, uznałem, że choć być może zdołałbym rozgiąć nim ogniwo, nie warto go niszczyć, chyba że nie znajdę innego sposobu.

Skupiłem zatem uwagę na mocowaniach łączących łańcuchy z deskami. Księżyc świecił jasno i wyraźnie wszystko widziałem. Samo drewno było świeże i mocne, nie ma mowy, abym zdołał je oderwać. Potem jednak przekonałem się, iż łańcuch przymocowano do dwóch niewielkich żelaznych pierścieni przykręconych do drewna śrubami. Czy dałoby się je odkręcić? Magowie raczej nie podejrzewali, że ktoś mógłby się pokusić. Może nie dokręcili ich zbyt mocno?

Zastanawiałem się chwilę, po czym znów przeszukałem kieszenie i w końcu znalazłem monetę. Wsunąłem jej krawędź w główkę śruby i nacisnąłem. Nie ustępowała. Naparłem z całych sił, aż w końcu drgnęła. Wkrótce palcami wykręciłem śrubę do końca.

Z drugą poszło znacznie trudniej. Zrozpaczony, już sądziłem, że nie zdołam jej obruszyć, a szczelina w główce zaczęła się wyrabiać, w końcu jednak śruba drgnęła. Wreszcie oderwałem od desek żelazny pierścień, uwalniając kozła.

Zwierzak spojrział na mnie i zabeczał głośno. Wyraźnie się spiął, a potem, ku memu zdumieniu, zeskoczył z platformy.

Patrzyłem ze zgrozą, jak kozioł leci ku ziemi i z głuchym łoskotem uderza o bruk. Nie krzyknął w chwili zderzenia, lecz jego nogi zadygotały parę razy, a na ziemi rozlała się kałuża krwi. Korona spadła mu z głowy i odturlała się w głąb rynku. Nagle pojąłem, że to dzięki śmierci kozła Pan zamierzał się uwolnić.

Bóg nie opuścił naszego świata cicho i spokojnie: znikąd zerwała się skowycząca wichura, która wybijała wszystkie wychodzące na rynek okna i zrywała dachówki, roztrzaskując je o bruk. Drzwi wylatywały z zawiasów, nocne powietrze rozdzierały krzyki.

Przerażony, że lada moment mogę runąć, zacząłem zsuwać się z platformy, wyszukując stopami kolejne podpory drewnianego szafotu. Nie musiałem się obawiać – wiatr atakował magów,



którzy zajęli pokoje przy rynku; praktycznie nie dotykał stojącej spokojnie w samym oku burzy wieży.

Księżyc oświetlał całą okolicę tak, że nie miałem się gdzie ukryć i gdy dotarłem na dół, ujrzałem magów zmierzających ku drewnianej budowli. Na widok truchła kozła jeden z nich krzyknął boleśnie. Puściłem się biegiem przez trójkątny rynek w stronę ulicy na dole, lecz ktoś uzbrojony w długi zakrzywiony nóż zagroził mi drogę. Ominąłem go, zmierzając ku rzece, lśniącej w dali niczym srebrna wstęga. Za nią rosły drzewa rzucające długie cienie. Gdybym przeprawił się przez most, miałbym szansę uciec.

Obejrzałem się i odkryłem, że mnie ścigają. Próbowałem przyspieszyć, lecz ciało nie reagowało, wciąż osłabione niedojadaniem, a także długimi dniami i nocami na platformie wystawionej na ataki żywiołów. Prześladowcy niemal mnie doganiali. Ja jednak zbliżałem się do mostu. Nadal istniała szansa, że zdołam się przeprawić i umknąć między drzewa.

Nadzieja jednak nie przetrwała zbyt długo. Usłyszałem tętent galopujących kopyt i pojąłem, że za moment zostanę schwytany bądź zginę. Pierwszy jeździec zjawiał się z prawej. Dostrzegłem błysk miecza w blasku księżyca i uskokyłem w lewo, gdy opadł ku mojej głowie. Nie potrafiłem stwierdzić, czy cios miał mnie zabić, czy też jeździec chciał ogłuszyć mnie płazem. Jego towarzysze szybko mnie otoczyli i grożąc bronią, czekali, aż zjawią się piesi.

W chwilę później pochwyciły mnie szorstkie ręce i zawlokły z powrotem w stronę rynku. Magister Doolan czekał przy wieży z ponurą miną.

– Zapłacisz za to, co zrobiłeś, chłopcze! – Dwa razy walnął mnie w głowę tak, że zadzwoniło mi w uszach. – Chętnie sam powoli pokroiłbym cię na kawałki, ale zamiast tego oddam cię wiedźmie. Ona najlepiej potrafi zadać ból.

Słudzy szybko związali mi ręce i nogi, po czym rzucili na koński grzbiet. Wokół siebie słyszałem krzątanie – to magowie i ich popiecznicy szykowali się do wyjazdu z Killorglin. Wkrótce ruszyliśmy w drogę, długim orszakiem zmierzając na południe. Bez

wątpienia magowie obawiali się, iż Liga wykorzysta tę sposobność do ataku, toteż pędziliśmy tak szybko, że piesi musieli biec, by dotrzymać koniom kroku.

Przez chwilę zakosztowałem wolności. Teraz wyglądało na to, że zmierzamy do kryjówki magów, fortu Staigue. Według Sheya nie da się go zdobyć. Kiedy znajdę się w środku, to już jakbym był martwy. Oddadzą mnie czarownicy.

Mimo wszystko z pewną satysfakcją pomyślałem, że magowie musieli poniechać ceremonii. Nie udało się. I to ja ją powstrzymałem.

## **ROZDZIAŁ 14**

### **GŁOWA WIEDZMY**

O świcie dotarliśmy daleko pomiędzy południowe wzgórza. Deszcz rozpadał się na dobre, tak więc przemokłem do suchej nitki. Wisiałem twarzą do dołu na końskim grzbiecie, podskakując w rytm kroków zwierzęcia, widziałem zatem głównie błotnistą drogę. Pierwszy raz ujrzałem fort Staigue, kiedy prześladowcy ściągnęli mnie z konia i rozwiązali nogi. Uniosłem głowę, nad nami wznosił się gigantyczny kamienny mur, którego kamienie ułożono zrecznie bez pomocy błota i zaprawy. Nazywano go „kolistym fortem” i słusznie, bo dokładnie tak wyglądał – wielki obronny kamienny krąg. Wszyscy zsiadali z koni, wkrótce odkryłem dlaczego. Do środka można się było dostać jedynie bardzo wąską bramą, stanowczo zbyt ciasną dla konia.

Wewnątrz po raz pierwszy mogłem przyjrzeć się dokładniej twierdzy magów. Nie miała dachu, lecz jej mury wznosiły się bardzo wysoko: na blanki, z których można było odpierać ataki, wiodło dziewięć poziomów kamiennych stopni. Udeptana ziemia wewnątrz przypominał miękkie błoto, tu i ówdzie wznosiły się drewniane budynki. Kamienny fort był wyraźnie bardzo stary,

natomiast owe budowle względnie nowe. Niektóre wyglądały na domy, lecz środkowa, okrągła, zapewne służyła innym celom i właśnie ku niej mnie poprowadzono.

Nie od razu weszliśmy do środka. Musiałem usiąść w błocie, otoczony przez czterech uzbrojonych w miecze strażników. Czekaliśmy, a tymczasem wąską szczelinę, przez którą dostaliśmy się do fortu, założono kamieniami. Zrobiono to tak fachowo, iż po wejściu nie pozostał żaden ślad. Zakładałem, że ktoś pozostał na zewnątrz, by zabrać konie w bezpieczne miejsce.

W końcu strażnicy dźwignęli mnie z ziemi, Rzeźnik jako pierwszy wszedł do obszernego budynku. Wewnątrz stał okrągły postument, bejcowany i błyszczący, a na jego powierzchni wyryto wielki pentagram z rodzaju tych, za pomocą których magowie przyzywają demony bądź inne nadprzyrodzone stwory. Pośrodku ustawiono kilka krzeseł i stół. Postument otaczało głębokie blocko, dostrzegłem co najmniej dziewięciu zbrojnych strażników stojących w nim po kostki. Na podeście czekało siedmiu bosych magów, a przy krawędzi przystanął Chudy Shaun. Tulił do siebie swego syna Konala, nadal opatulonego w koc. Na twarz naciągnął kaptur, pochylał głowę, kryjąc ją w cieniu.

Doolan podszedł na skraj drewnianej konstrukcji.

– Gdzie jest Scarabek? – warknął do Shauna.

– Nie udało mi się: mimo moich starań wciąż pozostaje więźniem. Lecz uzyskałem zgodę na wymianę jej na chłopaka. Radzę, abyście go wypuścili. – Shaun wskazał mnie skinieniem głowy. – Wówczas odzyskacie Scarabek, która będzie mogła się poświęcić podczas następnej próby rytuału.

– Ale kto ją schwytał? – spytał gniewnie wódz magów.

Chudy Shaun uniósł głowę i lewą ręką odciągnął kaptur, odsłaniając twarz. Nim jeszcze przemówił, zrozumiałem, kim jest nieprzyjaciel, który go pokonał. Wyciął na czole strażnika swój znak, z którego nadal sączyła się krew.

– Nazywa się Grimalkin: to zabójczyni z potężnego klanu czarownic zza wody. Nigdy dotąd nie spotkałem się z kimś tak

niebezpiecznym. W starciu z nią cała moja siła i magia na nic się zdały. Byłem skazany na jej łaskę – przyznał Shaun.

Nagle poczułem nową nadzieję. Zjawiała się Grimalkin!

– Jest sama – spytał Doolan – czy też ma wsparcie innych członków klanu?

– Sama.

– W takim razie można się z nią rozprawić.

Shaun odwrócił wzrok.

– Choć nie udało nam się wywołać boga, próba wydała owoce – w głosie Rzeźnika dźwięczała głęboka pewność siebie. – Wzmocniła naszą magię. Zabójczyni jest sama; jeśli napełnimy maga naszą połączoną siłą, wystarczy jeden z nas, by ją zabić. Osobiście stanę się jej katem!

Doolan skłonił głowę i zaczął mamrotać pod nosem. Przemawiał w pradawnej mowie – posługiwał się mroczną magią. Gdy się odezwał, siedmiu innych magów uklękło w ciasnej grupce na skraju postumentu i nuciło przez jakąś minutę, po czym wszyscy umilkli.

Następnie kolejno podchodzi do Doolana i wyciągali ręce, kładąc dłonie na jego głowie, ramionach, górze pleców i piersi. Znów zaczęli nucić. W odpowiedzi człowiek zwany Rzeźnikiem zamknął oczy i zadygotał.

Przypomniałem sobie, jak odprawiali podobny rytuał z puszkarzami podczas oblężenia Zamku Ballycarbery. Nim magowie nasycili ich mocą, strzelcy radzili sobie kiepsko, potem stali się morderczo celni i przebili mur zamku. Doolan sam w sobie był niezwykle groźnym przeciwnikiem. Jak bardzo niebezpieczny się stanie? Czy naprawdę zdoła zagrozić Grimalkin?

W końcu magowie umilkli i cofnęli ręce.

– Teraz ruszę w drogę! – Rzeźnik wyszczerzył zęby. – Przyniosę nam głowę naszej nieprzyjaciółki. Wyszedł, a mnie wywleczono za nim. Zastanawiałem się, jak opuści fort. Z pewnością nie będą usuwali kamieni blokujących wejście? Mag skierował się ku najbliższymi stopniom wiodącym na blanki na szczycie muru. Obok

nich stała żelazna kolumna. Przywiązano do niej długą, mocną linę. Doolan chwycił jej koniec i pociągnął za sobą na górę. Patrzyłem, jak zrzuca ją z muru, potem chwycił sznur i zniknął mi z oczu. Zjechał tak aż na ziemię. Po paru chwilach krzyknął; wówczas jeden ze strażników podbiegł do kolumny i wciągnął linę. Wkrótce na murze pojawił się jej koniec i zsunął po stopniach niczym wąż. W tym momencie zmuszono mnie, bym znów przykucnął w mokrym błocie. Rozpoczęło się czekanie.

\*

Czekaliśmy cały dzień, na próżno. Pilnujący mnie strażnicy zmieniali się dwukrotnie. Znów cały przemokłem, dygotałem z zimna i wilgoci i konałem z głodu. W końcu o zmierzchu usłyszałem odległy krzyk. Brzmiał, jakby ktoś bardzo cierpiał.

– To tylko zwierzę – mruknął strażnik i splunął.

Jednakże doświadczenie ucznia stracharza podpowiadało mi, że był to raczej człowiek.

Od czasu do czasu któryś z magów wspinał się na mury i wyglądał w noc. Do tej pory, nawet biorąc pod uwagę okoliczne wzniesienia, na wschodzie powinien pojawić się księżyc. Lecz ciężkie chmury zapowiadały nowy deszcz i zrobiło się jeszcze ciemniej. Choć na wbitych w mur hakach wisiały latarnie; z jakichś powodów rzucały bardzo słabe światło, zupełnie jakby otaczająca je ciemność była gęsta i lepka. Słyszałem rozmowy magów, lecz stłumione i niewyraźne.

Nagle za murem zagrzemiał niski donośny głos.

– Opuśćcie linę!

Natychmiast go rozpoznałem. Należał do Rzeźnika. Czyżby mu się udało?

Strażnik zrzucił koniec liny i w chwilę później na murze pojawił się Doolan; żołnierz przysunął lampę tuż do jego twarzy. Doolan pierwszy ruszył na dół. Kiedy zeskoczył na ziemię i zbliżył się do pierwszej latarni na murze, zorientowałem się, że trzyma coś w lewej dłoni. Z okrągłej chaty wyłonił się Chudy Shaun, za którym dreptało pół tuzina magów.

Czekali za moimi plecami, a tymczasem Doolan maszerował w błocie. Prawą dłonią dobył zza pasa długiego zakrwawionego noża; w lewej tkwiła trzymana za włosy odcięta głowa.

Poczułem nagłe mdłości. Rzeźnik uniósł ją wysoko, tak by magowie mogli się przyjrzeć.

Rozpoznałem tę twarz – piękną i okrutną, o wydatnych kościach policzkowych i pomalowanych na czarno wargach.

– Patrzcie! Oto głowa czarownicy! – huknął.

Spoglądałem w twarz wiedźmy zabójczyni.

Grimalkin nie żyła.

## ROZDZIAŁ 15

### MRO CZNY ANIOŁ

Serce uciekło mi w pięty. A zatem wszystko stracone. Nie miałem już nadziei na ucieczkę. Grimalkin stanowiła także naszą jedyną szansę uwięzienia Złego. Poczułem głęboki smutek. Owszem, była bezecną wiedźmą, zabójczynią klanu Malkinów, ale walczyliśmy ramię w ramię. Bez pomocy Grimalkin już nie żyłem.

– Gdzie jest Scarabek? – spytał Chudy Shaun.

– Zupełnie bezpieczna – odparł Doolan. – Ale została ranna w czasie walki. Poszedłem przodem, aby powiadomić was o wszystkim. Zgodziła się, bym to ja rozprawił się z chłopakiem i zabił go powoli, tak jak na to zasłużył. Zacznę już teraz – dodał, unosząc nóż i zlizując krew z długiej klingi.

Podniesiono mnie z ziemi i rozcięto więzy. A potem Shaun chwycił mnie za włosy i zawlókł w stronę wodza magów.

– Śmierć przyszła po ciebie, chłopcze! – krzyknął. – Spójrz w jej złowieszcze oblicze!

Rzeźnik Doolan uśmiechnął się ponuro. A potem powiedział coś bardzo dziwnego.

– Śmierć przysłała w zastępstwie swego mrocznego anioła.

Mrocznego anioła? Co to miało znaczyć? Spojrzałem na Doolana i przekonałem się, że dzieje się z nim coś dziwnego. Wokół głowy jarzyła się fioletowa aureola, a jego twarz zdawała się topnieć. Zmieniał się. Teraz wargi miał czarne, jego czoło zdawało się węższe, kości policzkowe wydatniejsze. Twarz nie przypominała już oblicza wodza magów.

To była Grimalkin.

Jak zwykle nawet strój więdźmy zabójczyni służył do zadawania śmierci: jej ciało oplatały krzyżujące się skórzane pasy, każdy z kilkoma pochwami kryjącymi w sobie noże i nożyczki, którymi odcinała kciuki pokonanych wrogów. Z lewego ramienia zwisał niewielki jutowy worek. Zastanawiałem się, jaką nową broń w sobie kryje? Wargi umalowała na czarno, a kiedy je rozchyliła, ujrzałem przerażające spiłowane w szpic zęby. Wyglądała niebezpiecznie: zabójczyni w każdym calu.

Najwyraźniej posłużyła się magią Mroku, by oszukać oczy nieprzyjaciół. Ogarnęła mnie nagła radość: jeszcze nie zginąłem. W lewej dłoni Grimalkin dzierżyła odrąbaną głowę Doolana; obecnie cisnęła ją z pogardą w błoto u swych stóp. Jednym płynnym ruchem, ze straszliwą siłą rzuciła w moją stronę długim nożem. Lecz nie ja stanowiłem cel, a Grimalkin rzadko chybiała.

Chudy Shaun krzyknął, jego ręka podskoczyła, po czym wypuściła moje włosy. Odwróciłem się, patrząc jak pada na kolana w błocie, w jego piersi tkwił wbity po rękojeść nóż. Magowie dokoła zaczęli cofać się w panice, byle dalej od czarownicy.

Grimalkin pobiegła naprzód, chwyciła mnie za lewe ramię i przesunęła za siebie. Pośliznąłem się w błocie i upadłem na czworaki. Teraz stała między mną a nieprzyjaciółmi, na ugiętych nogach, gotowa do ataku.

Jeden ze strażników cisnął włócznią w jej pierś. Celował dobrze i działał szybko, lecz w ostatniej chwili Grimalkin odtrąciła grot krawędzią dłoni, jednocześnie rzucając kolejnym nożem. Strażnik zginął, nim jeszcze odbita włócznia upadła na ziemię. Podniosłem się szybko.

– Biegnij na schody! Użyj liny! – zawołała czarownica, wskazując mur.

Zrobiłem, jak kazała, lecz po długich dniach i nocach niewoli i złego traktowania brakowało mi sił. Nogi poruszały się ciężko, błoto więziło stopy, jeszcze mnie spowalniając. Obejrzałem się przez ramię i przekonałem, że jak dotąd Grimalkin nie próbowała nawet pójść w moje ślady. Walczyła z kilkunastoma magami i strażnikami, wirując w miejscu i zadając ciosy. Słyszałem krzyki i jęki agonii, gdy jej klingi raniły i wbijały się w ciała, odpierając przeciwników.

Dotarłem do schodów i zacząłem się wspinać, jak najszybciej mogłem; nogi ciążyły mi jak ołów. Już na blankach ponownie spojrzałem za siebie. Grimalkin wycofała się i walczyła przy żelaznej kolumnie, do której uwiązano linę.

Nagle dostrzegłem ogromne niebezpieczeństwo. Kiedy opuści to miejsce i sama spróbuje uciec, magowie przetną sznur. Z pewnością była świadoma zagrożenia. Wgramoliłem się na szczyt muru i rozpocząłem zjazd w dół. Kręciło mi się w głowie. Raz po raz obracałem się na linie, z trudem utrzymując ją w dłoniach. W końcu, zdyszany i osłabiony wysiłkiem, dotarłem na ziemię i spojrzałem w górę. Zza umocnień dobiegały krzyki. Potem na szczycie muru pojawiła się Grimalkin i rozpoczęła szybki zjazd. Serce podeszło mi do gardła, nagle jednak stanęła u mego boku, wskazując na wschód.

– Nasza najlepsza szansa to podążyć w tę stronę, wzdłuż wybrzeża! – rzuciła.

Nie czekając na odpowiedź, pobiegła naprzód. Staralem się dotrzymać jej kroku, lecz coraz bardziej mnie wyprzedzała. W końcu zatrzymała się i cofnęła ku mnie. Obejrzałem się, w dali migały pochodnie.

– Jest ich zbyt wielu, aby walczyć – rzekła. – Wkrótce poślą też po konie. Musisz poruszać się szybciej. Zależy od tego nasze życie.

Mój umysł starał się, jak mógł, lecz ciało nie było w stanie sprostać wymogom.



– Nie mogę – odparłem. – Całymi dniami trzymali mnie związanego i bardzo mało jadłem. Żałuję, ale po prostu brak mi sił.

Bez jednego słowa czarownica chwyciła mnie za nogi i zarzuciła sobie na ramiona, niczym worek pierza. A potem skierowała się na wschód.

\*

Grimalkin biegła co najmniej godzinę. Raz przeskoczyła przez strumień, innym razem na zboczu pośliznęła się i upadła na kolana. Nim się obejrzałem, wniosła mnie do kryjówki i opuściła na ziemię. Wówczas zapadłem w głęboki sen. Kiedy się ocknąłem, Grimalkin gotowała coś nad ogniem, dym ulatywał w górę kominem.

Usiadłem i rozejrzałem się dokoła. Był dzień, a my schroniliśmy się w opuszczonej chacie. Nie dostrzegłem żadnych mebli, przed nami z kryjówki wyraźnie korzystały zwierzęta. Na kamiennej posadzce przy drzwiach walało się owcze łajno. Chata nie miała drzwi, jedyne okno było wybite. W środku wiało, lecz dach pozostał cały i przynajmniej chronił przed deszczem.

Wiedźma zabójczyni przykucnęła przy palenisku, powoli obracając dwa nabite na różny króliki. Uśmiechnęła się do mnie, odsłaniając ostre zęby. Nagle, zdumiony, zobaczyłem, że pod ścianą w kącie naprzeciwko stoi moja laska.

– Zabrałam ją z domku Scarabek i zostawiłam tu po drodze do Staigue – wyjaśniła Grimalkin. – Czujesz się lepiej?

Przytaknąłem.

– Tak. I dziękuję, że ocaliłaś mi życie. Ponownie. – Skinąłem dłonią w stronę ognia. – Nie martwi cię lecący z komina dym? Czy oni wciąż nas szukają?

– Tak, ale tu nas nie znajdą – osłoniłam to miejsce magią. Kiedy zapadnie noc, ruszymy w dalszą drogę.

– Dokąd zmierzamy? – zastanawiałem się głośno.

– Do Kenmare, na spotkanie twojego mistrza.

– Rozmawiałaś z nim już?

– Tak. Zdołał tam wrócić – choć Alice mu nie towarzyszyła i nie

odzywała się do mnie więcej. Znalazła się daleko poza osłoną słoja krwi.

Pochyliłem głowę.

– Słój krwi już jej nie pomoże – rzekłem ze smutkiem. – Celtycka czarownica Scarabek oddała Alice Złemu, który porwał ją do swego królestwa.

– Biedna dziewczyna – mruknęła Grimalkin. – A zatem straciliśmy ją. Nic już nie możemy dla niej zrobić. Szkoda, że o tym nie wiedziałam. Wypuściłam Scarabek. Wypełniła swoje zadanie – użyłam jej po to, by cię uwolnić. Trzeba ją było zabić.

Słyszając te słowa, poczułem ukłucie w sercu. Potwierdziły to, co myślałem o Alice, lecz powiedziane ustami zabójczynie miały w sobie coś nieodwracalnego.

– Scarabek znów będzie mnie szukać – poinformowałem ją. – Byłem z Billem Arkwrightem, kiedy zabił jej siostrę bliźniaczkę. Chce się zemścić, nim odda mnie Złemu.

– Nie musisz się obawiać, przy moim boku będziesz bezpieczny – odparła Grimalkin. – Poza tym zabrałam z domu więdźmy coś jeszcze.

Wręczyła mi jutowy worek, który wcześniej zauważyłem. Otworzyłem go i ku swej radości przekonałem się, że kryje w sobie mój srebrny łańcuch.

– Schowaj go – poleciła Grimalkin. – Nawet niesiony w worku oparzył mi palce. Nie mogę znieść jego bliskości. No, jedz. Musisz odzyskać siły. – Podała mi rożen ze smakowitym mięsiwem.

Jakiś czas posilaliśmy się w milczeniu. Królik był przepyszny. Konałem z głodu i tak niecierpliwie wgryzałem się w mięso, że poparzyłem sobie wargi.

– Jak twój mistrz przyjął wieści o słoju krwi? – spytała Grimalkin. – Nie mówił do mnie zbyt wiele, wydawał się przygaszony i zatopiony w myślach. Z pewnością niełatwo mu znieść fakt, iż jego ucznia chroni mroczna magia.

– Przyjął to bardzo źle – odparłem, odruchowo sprawdzając, czy słój nadal tkwi w kieszeni. – Przez chwilę sądziłem, że

natychmiast go rozbije – na zawsze skazując nas na uwięzienie w Mroku. Potem jednak ustąpił, zupełnie jakby twój plan natchnął go nową nadzieją. Życie ostatnio źle go traktowało, dom i biblioteka spłonęły do gołej ziemi – stracił dziedzictwo, którego miał strzec. Od tej pory nie jest już sobą.

– Cóż, z pewnością nie oczekiwał, że po wydarzeniach w Grecji znów zostaniemy sojusznikami. To też musi być dla niego niełatwe – zauważyła.

– Czy Alice wspominała ci, że słoń pękł i jego moc zaczęła słabnąć?

– Owszem, ważne zatem, byśmy jak najszybciej rozprawili się ze Złym – przytaknęła Grimalkin.

– Jak zdołałaś uciec ze Szkocji?

– Przeraziłam biednego rybaka i nastraszyłam go tak, że mnie tu przywiózł – odparła z groźnym uśmiechem. – Zapłaciłam, darując mu życie.

– A co słyhać w Hrabstwie? – Zlizalem z palców resztki smakowitych króliczych soków.

– W tej chwili sytuacja wygląda bardzo źle. Ludzie nie mają niczego – żołnierze wroga odebrali im wszystko. Ale przecież wojsko nie zostanie tam na zawsze.

– Nadal jednak musimy czekać, nim wrócimy do domu – domyśliłem się.

Pomyślałem o rodzinie mieszkającej w Hrabstwie. Jak radzili sobie z okupacją wroga? Całkiem możliwe, że żołnierze splądrowali farmę i odebrali zwierzęta, by posłużyły im za strawę. Czy moi bracia, Jack i James, próbowali stawić opór? Jeśli tak, mogli nawet zginąć.

– Nieprzyjaciel zapuścił się za daleko; zanadto rozproszył swe siły, zaczyna brakować mu zapasów, a nie podbił jeszcze północnych Hrabstw. Za ich plecami gromadzą się Szkoci z nizin, wiosną dołączą do nich górale. Wówczas przypuszczą wspólny atak, a mieszkańcy Hrabstwa znów powstaną – my, czarownice, też zrobimy swoje. Wielu zginie. Odeprzemy nieprzyjaciela na

południe, a potem do morza. Nasze widzące to przepowiedziały.

Widzące czarownice naprawdę potrafiły przewidzieć przyszłość, wiedziałem jednak, że czasami się mylą, toteż nie skomentowałem. Zamiast tego skierowałem myśli Grimalkin ku najpotężniejszemu wrogowi.

– Naprawdę wierzysz, że zdołamy uwięzić Złego?

– Czy gdyby było inaczej, przybyłabym aż tutaj? – Obdarzyła mnie krótkim uśmiechem. – Musimy jednak omówić wszystko z Johnem Gregorym. Próba będzie bardzo niebezpieczna i może zakończyć się śmiercią nas wszystkich. Podejmujemy wielkie ryzyko, owszem, lecz wierzę, że nie na darmo. Ważne jest jednak także miejsce uwięzienia Złego. Musi być możliwe do ukrycia przed tymi, którzy zechcieliby go uwolnić.

– Z pomocą mrocznej magii?

– Tak, osłonię to miejsce płaszczem magii mroku – przytaknęła wiedźma zabójczyni. – Musi jednak leżeć na uboczu. Nie możemy pozwolić, by ktoś natknął się na nie przypadkiem.

\*

Po zmroku ruszyliśmy w kierunku Kenmare. Czułem się znacznie lepiej, cieszyłem się też, że mam w dłoni laskę, a w kieszeni znajomo pobrzękuje srebrny łańcuch. Większość drogi przebyliśmy w milczeniu, zaprzętały mnie jednak myśli o nieszczęściu Alice i w końcu znów poruszyłem ten temat.

– Czy naprawdę dla Alice nie ma już nadziei? Nie da się jej uwolnić?

– Obawiam się, że niczego nie zdołamy. Chciałabym, by było inaczej.

– Ale co, jeśli zdołamy uwięzić Złego? Czy to niczego nie zmieni?

– Kiedy zniszczymy słój krwi, przybędzie, by cię pochwycić. Alice porzuci w Mroku i dziewczyna tam pozostanie. Wiem, że trudno się z tym pogodzić – pociesz się jednak myślą, że gdy uwięzimy go i odetniemy od królestwa, jej cierpienia z pewnością zmaleją. Zły nie będzie już torturował jej osobiście.

Grimalkin nie zdołała mnie pocieszyć. Pomyślałem o Alice,

uwięzionej w Mroku, samotnej, przerażonej, cierpiącej katusze. Przypomniałem sobie słowa Pana:

„Zły włada największą krainą i narzuca w niej własne prawa. To straszne miejsce dla śmiertelnika, żywego czy martwego.”

## **ROZDZIAŁ 16**

### **SMOCZE GNIAZDO**

Do Kenmare dotarliśmy na dwie godziny przed świtem i stanęliśmy pod wysokim murem okalającym ufortyfikowaną siedzibę Sheya. Grimalkin, zatrzymana przez kilku agresywnych strażników przy bramie, dobyła noża i wyszczerzyła zaostrome zęby. W świetle latarni wyglądała jak prawdziwa przerażająca czarownica, więc ludzie, chociaż mnie poznali, obawiali się jej i szykowali do ataku.

Było ich pięciu, nie sadiłem jednak, by mieli większe szanse w starciu z Grimalkin. Jednakże rozsądek zwyciężył i przekonałem ich, by jeden pobiegł do domu obudzić Sheya i stracharza. Strażnik wrócił szybko, mamrocząc przeprosiny, po czym zaprowadzono nas do środka.

Przez krótką chwilę rozmawiałem w cztery oczy z mistrzem, opowiadając mu, co się stało. Kiedy dotarłem do miejsca, w którym Zły zniknął, unosząc ze sobą w Mrok przerażoną Alice, poczułem ucisk w gardle i do oczu napłynęły mi łzy.

Stracharz położył mi dłoń na ramieniu i poklepał lekko.

– Żadne słowa nie mogłyby cię pocieszyć, chłopcze. Postaraj się być silny.

Wraz z Grimalkin dołączyliśmy do stracharza i Sheya w gabinecie we wschodnim skrzydle, gdzie na kominku płonął torfowy ogień.

Nie spodziewałem się, że jeszcze kiedyś zobaczę przywódcę Ligi Ziemskiej żywego – sądziłem, że z pewnością zginął, gdy magowie

przebili mur zamku Ballycarbery. Wyjaśnił jednak, iż siły wroga chciały jedynie uwolnić uwięzionego przez nas maga, by móc go złożyć w ofierze. Kiedy osiągnęli swój cel, natychmiast zakończyli oblężenie.

– Dobrze się spisałeś, chłopcze! – pogratulował mi Shey. – Jeden z naszych szpiegów przyniósł wieści. Magister Doolan nie żyje. Sam jeden powstrzymałeś rytuał. Trzeba było odwagi, by uwolnić kozła i zepchnąć go z platformy.

– Tak naprawdę nie byłem sam – odparłem, po czym opowiedziałem o wizycie na Wydrążonych Wzgórzach i o tym, jaką rolę odegrał Pan.

Wszyscy słuchali w milczeniu, ale kiedy skończyłem, Shey poklepał mnie po plecach.

– Byłeś niewiarygodnie dzielny. Większość ludzi na sam jego widok straciłaby zmysły.

– Istotnie, ale my jesteśmy siódmymi synami siódmych synów – wyjaśnił stracharz. – W podobnych sytuacjach fakt ten daje nam moc, której innym braknie.

– Może – mruknęła Grimalkin. – Ale Tom jest kimś jeszcze. Pamiętaj, w jego żyłach płynie także krew matki. Naprawdę wierzysz, że Pan zniżyłby się do współpracy z tobą, Johnie Gregory? Poważnie wątpię.

Stracharz nie odpowiedział, ale też nie zaprotestował. Zamiast tego podniósł z półki należąca do Sheya mapę Kerry. Rozwinął ją i rozłożył na blacie.

– Czy mam rację, sądząc, że ponownie znaleźliście się w impasie? – spytał, patrząc wprost na przywódcę Ligi Ziemskiej.

Shey przytaknął.

– Niestety tak. Owszem, rytuał zakończył się przedwcześnie, ale magowie zyskali nieco mocy i każdy kolejny atak na nich byłby wielce ryzykowny.

– Zamierzamy spróbować czegoś bardzo niebezpiecznego, lecz jeśli nam się uda, pomożemy też waszej sprawie – oznajmił stracharz. – Chcemy spróbować uwięzić Złego – diabła we własnej

osobie. Jeżeli nam się powiedzie, moc Mroku i wszystkich jego sług osłabnie. I owszem, to dotyczy także magów. Potrzebne nam teraz ustronne miejsce – odpowiednie do uwięzienia Złego. To twój kraj – co proponujesz? – Wskazał palcem mapę.

Shey podniósł się z miejsca, oparł dłonie o stół i zaczął uważnie oglądać mapę, przesuając palcem wskazującym wzdłuż południowozachodniego wybrzeża w stronę Cahersiveen, a potem skręcając w głąb lądu.

– W tym miejscu stoją ruiny kościoła – puknął palcem o papier.  
– Kealnagore. Miejscowi uważają, że są nawiedzone, toteż trzymają się z daleka. Lepsze miejsce trudno znaleźć.

– Trochę za blisko fortu Staigue – zaprotestował stracharz. – Z całą pewnością nie życzymy sobie, by jeden z magów zabląkał się w okolicy – zwłaszcza w trakcie próby uwięzienia!

Shey przesunął palec na wschód i postukał w Kenmare.

– Może zatem tutaj? To chyba najbezpieczniejszy obszar, jeśli chodzi o magów. Istnieje też miejsce, którego unika większość miejscowych: kamienny krąg tuż za wioską.

– Także jest nawiedzony? – spytał stracharz.

Gospodarz pokręcił głową.

– Coś z pewnością się tam kryje, ale chyba nie duch. Raz odwiedziłem Kenmare w ramach zakładu i sam to poczułem – choć niczego nie dostrzegłem. Jest tam bardzo strasznie, zwłaszcza po zmroku. Cały się trząsałem – wiedziałem, że w pobliżu coś się czai, coś wielkiego i przerażającego. Nawet za dnia ludzie omijają to miejsce szerokim łukiem.

– W takim razie proponuję, abyśmy poszli obejrzeć ów nawiedzony kamienny krąg. – Stracharz uśmiechnął się. – Być może tego właśnie szukamy!

\*

Był jasny, pogodny ranek, ziemię pokrywał lekki nalot szronu. Jak dotąd słońce wciąż nie przygrzewało i nasze oddechy parowały w rześkim powietrzu. Ponieważ kamienny krąg leżał niedaleko domu Sheya, ruszyliśmy w drogę przed śniadaniem, gdy tylko

zrobiło się jasno. Pogoda idealnie nadawała się na spacer, zabraliśmy zatem psy. Biegły naprzód, ujadając radośnie, ciesząc się, że mogły wyjść z domu i że znów jesteście razem.

Wkrótce w dali ujrzeliliśmy kamienny krąg. Został wzniesiony na niewielkim wzgórzu, z trzech stron otoczonym lasem. W czasie podróży ze stracharzem widywałem już podobne kręgi, ułożone ze znacznie większych kamiennych monolitów. Tutejsze przypominały zwykłe głazy. Naliczyłem dwanaście.

Kiedy dotarliśmy do kręgu, wilczarze nagle zaczęły skomleć; ułożyły się na jego skraju i nie chciały iść dalej. Natychmiast coś wyczułem. Po plecach przebiegł mi lodowaty dreszcz. W pobliżu czaił się stwór z Mroku. Lecz ku memu zdumieniu mistrz obdarzył mnie rzadkim uśmiechem.

– Lepiej być nie mogło, chłopcze! – rzucił. – Mamy tu smoka i to wyjątkowego! To smocze gniazdo!

Ruszyliśmy za nim między kamienie. Shey oglądał się nerwowo. Nawet Grimalkin sprawiała wrażenie spiętej, położyła dłoń na rękojeści największego noża. Jak przez mgłę przypominałem sobie, że czytałem o podobnych stworach w bestiariuszu mojego mistrza.

– Większość ludzi sądzi, że smok to olbrzymi jaszczur zionący ogniem i dymem, lecz prawdziwy smok to żywiołak – wyjaśnił stracharz. – To duchy powietrza, niewidzialne, lecz niewiarygodnie wielkie. Ten zapewne ułożył się wewnątrz tego wzgórza. Ich życie mija w innym tempie niż nasze, ludzkie. Dla nich nasze życie trwa zaledwie mgnienie oka. Większość ludzi ledwie wyczuwa obecność smoka, ten jednak jest wyjątkowo silny. Czujecie promieniujące z niego zło? Wystarczy, by odstraszyć ciekawskich – a tego dokładnie pragniemy.

– Jednakże jego obecność nie przeszkodziłaby prawdziwemu słudze Mroku – dodał, marszcząc brwi i odwrócił się do Sheya. – Nie możemy zagwarantować, że obszar ten na zawsze pozostanie bezpieczny i w waszych rękach.

– Mogę go zamaskować – wtrąciła Grimalkin. – Nawet gdyby magowie obozowali tuż przy kamieniach, nie podejrzewaliby, co się



kryje w kręgu. Oczywiście istnieją inni potężni słudzy Mroku, którzy zdołaliby przeniknąć moją magię. Ale zacznijmy od najważniejszego...

– Tak, nie ma sensu zwlekać. Zabierzmy się do przygotowań – zgodził się stracharz. – Spróbujemy uwięzić go tutaj, w samym środku kręgu, w splotach smoka. Potrzebna mi pomoc kamieniarzy, a także dobrego robotnika znajdującego się na linach. I muszą to być ludzie, którzy potrafią trzymać później język za zębami. Zdołasz takich dla mnie znaleźć? – spytał Sheya.

– Znam doskonałego miejscowego kamieniarza – odparł gospodarz. – Liniarz może okazać się trudniejszy do znalezienia, ale popytam.

– Ja także czegoś potrzebuję – oświadczyła Grimalkin. – Muszę przygotować włócznie i ćwieki, którymi skrępujemy Złego. Zauważyłam, że za domem macie obszerne stajnie – czy jest tam także kuźnia?

– Tak oraz znakomity kowal. Każę mu, by ci pomógł.

– Kuźnia wystarczy. Pracuję sama – Grimalkin zmarszczyła czoło. – Chciałabym zacząć jak najszybciej.

– Oczywiście, zabiorę cię tam natychmiast – odparł nerwowo Shey; wyraźnie nie czuł się dobrze w obecności wiedźmy.

– Doskonale – mruknął stracharz. – A tymczasem ja i chłopak zaczniemy szykować dół.

\*

Już w domu, po lekkim śniadaniu, zabraliśmy torby i parę solidnych szpadli. Wyglądało na to, że pogoda raczej się pogorszy, zatem lepiej było jak najszybciej rozpocząć przygotowania. Kopanie w deszczu to mało przyjemna rozrywka.

– No cóż – mruknął stracharz, gdy postawiłem nasze torby i szpadle w kręgu. – To dobre miejsce. Daj mi łopatę, chłopcze!

Wbił ją z satysfakcją głęboko w ziemię i sapnął.

– Kopanie powinno pójść względnie łatwo. Najpierw jednak wyznaczę granice jamy. – Wyjął z torby składany pręt mierniczy. – Lepiej niech będzie duża: bez wątpienia Zły zjawi się w tej samej

postaci jak ostatnio, dół musi być zatem trzy razy większy niż zwykły na bogina. Mam nadzieję, że odzyskałeś już siły po ostatnich przeżyciach, chłopcze.

Oznaczało to, że będziemy musieli przerzucić mnóstwo ziemi. Bez wątpienia to mnie przypadnie większość pracy, choć nadal czułem się osłabiony i wiedziałem, że czekają mnie potem bóle mięśni i pleców.

Patrzyłem, jak stracharz za pomocą drewnianych kołków i szpagatu bardzo precyzyjnie wytycza zarys jamy w miękkiej ziemi. Kiedy skończył, sięgnąłem po największy szpadel i zabrałem się do roboty. Miałem przed sobą długi dzień. Mistrz głównie patrzył, lecz co jakąś godzinę pozwalał mi odpocząć i sam zaczynał kopać.

Z początku myślałem o biednej Alice, lecz po jakimś czasie moje myśli umknęły w obliczu otępiającej monotonii ciężkiego kopania. W pewnym momencie przerwałem, by chwilę odetchnąć i oparłem się ciężko o stylisko łopaty.

– A co z kamiennym wiekiem? – spytałem. – Będzie znacznie cięższe niż zwykle, a nie ma tu żadnych gałęzi, z których można by je spuścić.

Kiedy więziliśmy boginy, robotnik zazwyczaj mocował swój bloczek i liny do gałęzi i z ich pomocą opuszczał kamień. To dlatego zawsze kopaliśmy jamy pod dużymi drzewami.

– Robotnik będzie musiał zbudować mocny drewniany żuraw, chłopcze. Z belką, na której zawisnie wieko. To utrudni pracę i wymaga dodatkowego czasu. Nie tylko będzie musiał być dobry w swym fachu i trzymać gębę na kłódkę, ale też wraz z pomocnikiem musi wyróżniać się odwagą. Pamiętasz, co spotkało biednego Billy'ego Bradleya?

Bill przede mną terminował u Johna Gregory'ego. Stracharz zachorował i musiał wysłać go samego, by uwięził niebezpiecznego bogina rozpruwacza. Niestety, coś poszło nie tak. Kamienne wieko przygniotło palce Billy'ego i bogin, kiedy wypił już krew z zanęty, odgryzł mu je. Billy zmarł z powodu wstrząsu i utraty krwi.

Ze smutkiem skinąłem głową.

– Robotnicy wpadli w panikę – przypomniałem.

– Zgadza się, chłopcze. Gdyby zachowali spokój, mogliby w parę sekund podnieść wieko i uwolnić Billy'ego, który wciąż by żył. Potrzebni nam doświadczeni ludzie, których niełatwo wystraszyć.

Nagle przyszła mi do głowy nowa myśl – napis na kamieniu...

– Gdzie pozostawimy po wszystkim znak? – spytałem. – Wyrzemy go na wierzchu i pod spodem umieścimy nasze imiona, by wszyscy wiedzieli, kto uwięził samego Złego?

– Z pewnością stanowiłoby to największe osiągnięcie mojego życia – odparł mistrz. – Ale tym razem nie zostawimy znaku. Nikt nie może wiedzieć, że on tu jest. Wieko przygnieciemy głazem. Dzięki temu w przyszłości ludzie uznają, iż stanowi on część kamiennego kręgu i nie zechcą go ruszyć.

– W każdym razie, chłopcze – podjął – dość już odpoczywałeś; skończmy z próżnymi rozmyślaniami i wracajmy do pracy! Zamiast pogłębiać cały zarys jamy, może spróbujesz pokopać w miejscu, gdzie teraz stoisz. Sprawdźmy, jak ci idzie głębiej.

Dotąd pracowałem metodycznie, zgodnie ze znakami pozostawionymi przez stracharza, mniej więcej na równym poziomie. Lecz jego słowa miały sens. To dobra rada, postanowiłem zapisać ją na przyszłość; bez wątpienia mój mistrz wiedział to z doświadczenia. Musieliśmy sprawdzić, czy zdołamy osiągnąć niezbędną głębokość. Zacząłem zatem wkopywać się w głąb.

Nagle ogarnął mnie chłód: czyżby smok wyczuł, że naruszam jego gniazdo?

## **ROZDZIAŁ 17**

### **SŁOWA W LUSTRZE**

Następnego dnia natrafiliśmy na warstwę skały i nie mogliśmy wkopać się głębiej. Miałem nadzieję, że dół będzie dostatecznie duży, by posłużyć naszym celom. Późnym popołudniem, kiedy

skończyłem, odwiedziła nas Grimalkin. Na ramieniu dźwigała coś owiniętego w worek – bez wątpienia wykute przez siebie włócznie.

– Czy ten dół jest wystarczająco duży? – spojrzała z powątpiewaniem na jamę.

– Mam nadzieję. Planowaliśmy głębszy, ale przeszkodziła nam skała.

– Widywałam już Złego w znacznie większej postaci. – Grimalkin poważnie się martwiła. – Był olbrzymem, potworem.

– Jeśli będzie aż tak duży, być może nic nie zdziałamy – rzekłem.

– Pamiętaj, że urodziłam jego dziecko – dziecko, które zabił. Nie może się do mnie zbliżyć, chyba że sama zechcę. To może być naszą ostatnią linią obrony. – Uśmiechnęła się, wyginając wargi i odsłaniając ostre jak igły zęby. – Możliwe też, iż warstwa skalna jeszcze nam pomoże – dodała. – Wykułam włócznie, a także krótsze ćwieki. Kamień stanowi dobrą podstawę do uwięzienia.

– Cóż – mruknął stracharz – jesteście gotowi, bardziej już nie będziemy. Teraz możemy odpocząć i zebrać siły na czekające nas dziś starcie.

Grimalkin pokręciła głową.

– Nie, najpierw trzeba zrobić coś jeszcze.

Uklękła i rozłożyła na ziemi worek, ukazując paliki i ćwieki. Nie dostrzegłem nawet śladu stopu srebra. Wydawały się wykute ze zwykłej stali.

– Potrzebuję srebra, żeby połączyć je ze stalą – oznajmiła.

Wiedziałem, że nie mam wyboru. Będę musiał ofiarować jej swój łańcuch. Co prawda był kluczowym narzędziem stracharza, a także prezentem od mamy, lecz oddając go, umożliwiłbym uwięzienie Złego.

– Możesz użyć tego – rzekłem, podając jej łańcuch.

Stracharz jednak zmarszczył brwi.

– Nie, chłopcze, pewnego dnia będzie ci jeszcze potrzebny. Weźmiemy mój. Czy można zrobić z niego lepszy użytek? Poza tym mój dawny mistrz, Henry Horrocks, miał własny łańcuch i

odziedziczyłem go po jego śmierci. Teraz spoczywa w bezpiecznym ukryciu u mego brata Andrew w Adlington – w jego warsztacie ślusarskim. Pewnego dnia, gdy będziemy mogli wrócić do Hrabstwa, odbiorę go.

Na twarzy stracharza dostrzegłem cień smutku. Łańcuch dobrze mu służył przez wiele lat. Ciężko było się z nim rozstać.

\*

Grimalkin potrzebowała niemal dwóch dni, by przygotować właściwą broń. Z kuźni za domem dobiegał nieustanny brzęk i rytmiczne uderzenia młota. Stopiła srebrny łańcuch mego mistrza, a potem odlała z niego pasma, które zręcznie skuła z żelazem palików i ćwieków o szerokich główkach.

Po południu drugiego dnia jeden ze służących Sheya przyniósł wiadomość, że Grimalkin chce pomówić ze mną na osobności. Wszedłem do szopy, w której mieściła się kuźnia. Nie chcąc przeszkadzać, nie odezwałem się i czekałem cierpliwie w kącie, przyglądając się, jak wykuwa włócznie. Czarownica nosiła grube skórzane rękawice chroniące skórę przed żelazem i srebrem. Długa ostra włócznia w jej dłoniach miała kształt smukłej spirali, skręconej ciasno ze stopu srebra i żelaza. Była ostatnia z kompletu czterech, a już wcześniej Grimalkin ukończyła ćwieki.

W końcu zadowolona odłożyła gotową broń na ławę, obok kowadła, po czym odwróciła się, przygważdżając mnie wzrokiem.

– Posłuchaj – jej oczy lśniły ognistą czerwienią, odbijając blask kuźni – dziś w nocy go uwięzimy – niezależnie od ceny. W razie potrzeby chętnie oddam własne życie.

Skinąłem głową.

– Obawiam się, że w chwili gdy Zły pojmie, że znalazł się w dole, zatrzyma czas. A ja nie będę dość silna, by go powstrzymać. Choć przysięgam, że się postaram.

Zmarszczyła brwi.

– Często rozmyślałam o Złym i o jego mocach. Kiedy w przeszłości zatrzymywał czas, zawsze czynił to jako pierwszy. Może zatem zamiast się bronić i próbować mu przeszkodzić,

zaatakujesz i sam powstrzymasz czas, gdy tylko Zły się zjawi.

– Parę razy w przeszłości mi się udało, lecz raczej nie na długo. Mimo to dołożę wszelkich starań – zapewniłem.

– Jeśli ci się uda i tym razem, czas w okolicy dołu zatrzyma się dla wszystkich – oprócz ciebie. Zły szybko zrozumie sytuację, lecz wtedy zdążysz już wbić włócznię głęboko w jego brudny brzuch.

Przytaknąłem. To mogło zadziałać. Grimalkin miała rację. Przejmę inicjatywę i uderzę pierwszy.

\*

Staraliśmy się usilnie przespać choć kilka godzin przed zmierzchem. Musieliśmy być silni, czujni i wypoczęci, aby zmierzyć się z czekającym nas zadaniem. Uznałem, że nie warto się rozbierać – sprawdziłem jednak szybko słój krwi tkwiący w kieszeni; mimo pęknięcia nadal nie dopuszczał do mnie Złego. Potem położyłem się na zasłanym łóżku i zamknąłem oczy.

Wkrótce zapadłem w głęboki, pozbawiony majaków sen. Nagle jednak wyczułem coś dziwnego i ocknąłem się gwałtownie, siadając na łóżku.

Lustro na stoliku obok migotało. Pojawiła się w nim twarz. To była Alice! W jej okrągłych oczach odbijała się groza, na ten widok boleśnie ścisnęło mi się serce.

Lustro zaszło mgłą. Alice wyraźnie chuchnęła na powierzchnię swojego. Potem zaczęła pisać i powoli zobaczyłem jej wiadomość.

Litery w lustrze były odwrócone: Pomóż mi, Tom! Mogę wrócić z twoją pomocą!

Czy naprawdę zdołałaby uciec z Mroku? Nagle przepełniła mnie nowa nadzieja. Szybko chuchnąłem na lustro i na zamglonej powierzchni wypisałem odpowiedź:

Jak mogę pomóc?

Alice znów zaczęła pisać, lecz słowa pojawiały się bardzo wolno. Czyżby cierpiała? Co było nie tak?

Odczytałem to z łatwością, szybciej, niż jej zabrało napisanie: Pan znalazł dla mnie przejście. Ale nie mogę przedostać się sama, prawda? Potrzebuję twojej pomocy, Tom.

Czy naprawdę istniało przejście do naszego świata? Pan zapewne odszukał Alice w podzięce za moją pomoc. Ale przecież twierdził, że nic nie poradzi – że Zły jest zbyt silny. I jak to możliwe, by użyła lustra do nawiązania kontaktu z Mroku? Czy to dlatego wypisanie każdej wiadomości zabierało jej tak wiele czasu? Szybko chuchnąłem na lustro.

Gdzie jest to przejście, Alice?

Tym razem odpowiedź pojawiła się szybciej. Gniazda smoka? Tak właśnie stracharz nazwał kamienny krąg, w którym zamierzaliśmy uwięzić Złego.

Masz na myśli kamienny krąg w Kenmore?

Lustro zamigotało i pociemniało. Serce ścisnęło mi się w piersi. Alice zniknęła, nim zdołała mi przekazać najważniejszą informację. Lecz w chwili, gdy ogarnęła mnie rozpacz, lustro ponownie wypełniło światło i palec Alice zaczął pisać bardzo powoli.

Prosiła, żebym przybył sam – to miało sens. Grimalkin mówiła stracharzowi, że Pan ułożył się ze mną wyłącznie z powodu mojej mamy. Pójście samopas było niebezpieczne, ale jeśli to jedyne wyjście, nie miałem wyboru.

Odsunąłem zasłonę i wyjrzałem przez okno. Zapadał zmierzch; wkrótce zrobi się zupełnie ciemno. Słyszałem, jak stracharz porusza się w sąsiednim pokoju. Z sakiewek ukrytych w torbie zacerpnałem szybko soli i żelaza. Następnie wziąłem srebrny łańcuch i okręciłem się nim w pasie, ukrywając pod koszulą. Niosąc w jednej dłoni buty, a w drugiej laskę, na palcach wykradłem się przez drzwi pokoju i zdołałem zejść na dół, nie spotykając nikogo. Jeden ze służących zobaczył, jak siadam na stopniu i naciągam buty. Skinął głową, ja także pozdrowiłem go skinieniem, po czym ruszyłem ścieżką w stronę głównej bramy.

Nie dostrzegalem żadnych strażników Sheya, zazwyczaj jednak nie czuwali na widoku. Zapewne ukryli się wśród drzew, obserwując każdy mój krok, ale nie miało to znaczenia. Dano im do zrozumienia, co zamierzamy uczynić w kamiennym kręgu, ale nie dość, by ich przerazić. Sądzieli, że to rytuał mający osłabić mroczną

moc magów; kiedy zobaczyli, że zmierzam w tamtą stronę, uznali zapewne, iż po prostu wyruszyłem przed innymi.

Wkrótce znalazłem się w lesie, coraz bliżej kamieni – smoczego gniazda. Wędrowałem ostrożnie po mokrym gruncie, od czasu do czasu pod moją stopą trzaskała gałązka. Tuż przy ziemi zalegała biała mgła, nadal jednak pozostało dość światła, bym nie musiał się obawiać zderzenia z pnem bądź potknięcia o zwalone drzewo. W końcu wyłoniłem się u stóp wzgórza i spojrzałem w górę na kamienie, ledwo widoczne na tle bezchmurnego nieba. Najjaśniejsze gwiazdy już wzeszły, lecz księżyc miał pojawić się dopiero za kilka godzin.

Serce waliło mi w piersi. Czy naprawdę zdołam odzyskać Alice?

## **ROZDZIAŁ 18**

### **SZPONY MORRIGAN**

Maszerowałem w górę wzgórza, dygocząc, gdy po plecach przebiegł mi lodowaty dreszcz. Było to zwykłe ostrzeżenie, że w pobliżu czai się istota z Mroku, ale skupiony na zadaniu, nie zwracałem na nie uwagi.

W chwilę później stałem już w kamiennym kręgu, obok jamy wykopanej dla Złego. Słyszałem jedynie bicie własnego serca i szybki oddech. Mgła zdawała się gęstnieć i unosić węzowymi splotami. Powoli obróciłem się na pięcie, starannie sprawdzając otoczenie. Opary wypływały z ziemi, obficie się kłębiąc. Wydało mi się to niezwykle. Czy mógł to być oddech smoka?

Nie, to przecież bzdura. Smoki nie są ognistymi jaszczurami o gorącym oddechu, lecz olbrzymimi duchami, żywiołakami powietrza. To tylko zwykła mgła.

Nagle naprzeciwko jamy coś zamigotało. Znalazłem się twarzą w twarz z Alice. Serce zatrzepotało mi się w piersi, wówczas jednak odkryłem, że Alice się nie uśmiecha; wcale nie ucieszyła się



na mój widok, wyglądała na przerażoną. Twarz miała umazaną błotem, widziałem białka oszalałych oczu błyskające spod potarganych włosów, wargi wykrzywiały się w grymasie grozy. Wyglądała, jakby stała za migoczącą zasłoną, kusząco zwiewną i cienką. Z pewnością łatwo byłoby ją przekroczyć...

W tym momencie Alice wyciągnęła ku mnie lewą rękę, która przeniknęła do mojego świata.

– Pomóż mi, Tom! – zawołała, zdawało się, że krzyczy, lecz jej głos był stłumiony i słaby. – Musisz mnie przeciągnąć. Sama nie dam rady!

Bez wahania chwyciłem ją mocno, lewą ręką ściskając dłoń Alice. Zdawała się bardzo zimna, zupełnie jakbym trzymał dłoń trupa.

Szarpnąłem mocno, lecz Alice stawiała opór. Czyżby utknęła? Czy coś ją zatrzymywało? Pociągnąłem jeszcze mocniej, wówczas jednak ucisk na mojej dłoni wzmógł się i stał bolesny. Zupełnie jakby Alice usiłowała zmiążdżyć mi palce. I wtedy, gdy poczułem, że wlecze mnie ku sobie wbrew mej woli, twarz Alice zaczęła się zmieniać. To nie była ona. Trzymałem za rękę Scarabek!

Próbowałem stawić opór, lecz trawa okazała się śliska, moje stopy nie znalazły oparcia, laska wypadła mi z ręki – i zostałem wciągnięty w migotliwą zasłonę, przejście do Mroku.

Rozbłysło oślepiające żółte światło, Scarabek szarpnęła mnie za rękę, a potem nagle zwolniła uchwyt tak, że poleciałem na bok. Mocno uderzyłem o ziemię i przeturlałem się kilka razy, aż w końcu zatrzymałem się pod pnem. Uderzenie sprawiło, że nie mogłem złapać tchu. Szybko podniosłem się na kolana, dysząc, i rozejrzałem dokoła. Byłem w lesie, pośród olbrzymich drzew. Już to samo w sobie wyglądało dziwnie, wszystko jednak jarzyło się srebrzystą poświatą – zupełnie jakby promieniowała zewsząd – z drzew, ziemi i nieba – i jedno pojąłem na pewno: opuściłem znany mi świat.

Nagle zrozumiałem. To nie był Mrok. Znów znalazłem się w Tech Duinn, Wydrążonych Wzgórzach – miejscu, do którego zabrał

moją duszę Pan.

Spojrzałem na Scarabek. Obdarzyła mnie złośliwym uśmiechem, wyglądała jednak, jakby się rozpływała. Przypomniałem sobie słowa Sheya. Czarownice nie mogły tu zostać zbyt długo.

– Zostawię cię tu, chłopcze! Oddaję cię Morrigan. Przyjdzie po ciebie o północy, wraz z dwunastym uderzeniem dzwonu. Tego z pewnością nie zapomnisz! I postaraj się też nie zapomnieć, kim jesteś! – zawołała drwiąco.

A potem zniknęła, pozostawiając mnie mojemu losowi.

Wstałem z ziemi, echo jej ostatnich słów wciąż rozbrzmiewało mi w głowie. Zapomnienie – oto największe niebezpieczeństwo. Co takiego powiedział mi Pan?

„Wspomnienia rozpływają się w srebrnym blasku, a oni sami błakają się tu na zawsze. Jedynie bohaterowie mogą przetrwać...”

Miał na myśli bohaterów Irlandii – starożytnych wojowników, takich jak Cuchulain. Mimo swej magii nawet celtycka wiedźma nie mogła pozostać tu długo. Jaką zatem ja miałem szansę? Znalazłem się we Wtórświecie – zarówno ciałem, jak i duchem. Jak mógłbym przetrwać walkę z Morrigan? Owszem, miałem w kieszeniach sól i żelazo oraz srebrny łańcuch obwiązany wokół pasa. Jednakże nic z tych rzeczy nie mogło zaszkodzić bogini. Przypomniałem sobie walkę z Ordyną w Grecji i to, jak po prostu strząsnęła z siebie łańcuch, który na nią rzuciłem.

Nie jestem do końca pewien, co się wtedy stało – nagle jednak poczułem, że pełnę na czworakach. Czułem się oszołomiony i zdezorientowany. Szukałem laski, która wypadła mi z dłoni. Gdzie się podziewała? Rozpaczliwie potrzebowałem broni, wiedziałem instynktownie, że bez niej nie przeżyję.

Północ zbliżała się z każdą chwilą, a wówczas przyjdzie po mnie straszliwy potwór. Ale jaki? Jakiś demon? Pamiętałem tylko, że przysłała go czarownica. Pragnęła zemsty za coś, co jej zrobiłem. Ale co takiego? Co to było?

Dlaczego nie mogłem sobie tego przypomnieć? W moim umyśle

wirowały fragmenty wspomnień – odłamki, których nie mogłem do siebie dopasować. Czyżby rzucono na mnie mroczny czar? Nagle poczułem zimno, przejmujące zimno. Coś nadciągało z Mroku.

W panice zerwałem się na równe nogi i rozpaczliwie rzuciłem się pomiędzy drzewa, nie zważając na chłoszczące mnie gałęzie i cierniste krzaki, drapiące i rozdzierające skórę. Musiałem uciec.

Słyszałem, jak coś mnie ściga, ale nie po ziemi.. Powietrze wypełniał gorączkowy trzepot olbrzymich skrzydeł. Obejrzałem się przez ramię i pożałowałem, że to zrobiłem, bo widok, który ujrzałem, wzmógł tylko grozę i panikę.

Ścigała mnie niewiarygodnie wielka, czarna wrona.

*Strzep wspomnień zaskoczył na miejscu.*

Wrona to była Morrigan, krwiożercza Stara Bogini celtyckich czarownic. Drapała swoje ofiary, skazując je na śmierć. Nawiedzała pola bitew i wydziobywała oczy umierającym.

*Drugi fragment wspomnień odnalazł właściwe miejsce.*

I ten przyniósł ze sobą nadzieję. Wiedziałem, że wciąż jeszcze mam niewielką szansę ucieczki. Przede mną leżał jakiś kościół; kiedy znajdę się w środku, będę bezpieczny przed gniewem bogini. Czy zdołam jednak do niego dotrzeć, nim Morrigan mnie pochwyti? Tak wiele razy śniłem o tym, teraz jednak wszystko działa się naprawdę. Gdyby nie ów powracający koszmar, skąpany w srebrzystym blasku, świat Wydrażonych Wzgórz pochłonięłyby wszystkie moje wspomnienia. Zastanawiałem się, czy umiejętność czerpania wiedzy ze snów to kolejny dar odziedziczony po mamie.

Kościół zazwyczaj nie stanowi schronienia przed Mrokiem. Owszem, księża tak sądzą, lecz stracharze nie. Mimo to w jakiś sposób wiedziałem, że muszę dotrzeć do tego kościoła – inaczej czeka mnie śmierć.

Biegłem, ile sił w nogach, nie zważając na przeszkody, takie jak zwalone pnie czy korzenie. W końcu potknąłem się i upadłem. Podniosłem się na kolana, patrząc na prześladowczynię. Przede mną stała straszliwa istota w czarnej zakrwawionej sukni sięgającej do kostek, pół kobieta, pół wrona. Stopy miała bose, palce zamiast paznokciami kończyły się szponami – podobnie te u dłoni – a na szyi tkwiła wielka opierzona głowa ze śmiercionośnym dziobem.

Powoli zaczęła się zmieniać. Dziób zmalął, ptasie oczy odmieniły się, aż w końcu głowa stała się ludzka.

*Trzeci fragment wspomnień zaskoczył na miejsce.*

Znałem tę twarz. Należała do celtyckiej wiedźmy Scarabek. Bez wątpienia Morrigan przybrała jej postać, by mi przypomnieć o zbrodni przeciw czarownicy, która ją czciła.

I wówczas w dali usłyszałem uderzenie dzwonu. Czy był to dzwon kościelny? Jeśli tak, mogłem podążyć za owym dźwiękiem do źródła i poszukać schronienia!

Uznałem, że warto spróbować, toteż przy drugim uderzeniu zerwałem się z ziemi i puściłem biegiem w stronę dźwięku. Nagle zastanowiłem się, z jak daleka dobiega. Czy dotrę tam na czas? Trzecie uderzenie zabrzmiało bardzo blisko, czułem jednak za sobą Morrigan, zbliżającą się coraz bardziej, z każdym szybkim krokiem. Zerknąłem przez ramię i odkryłem, iż jej twarz znów zastąpiła wielka wronia głowa. Ostry dziób otwierał się szeroko, szpiczaste szpony sięgały ku mnie, gotowe rozdrzeć mi skórę, okaleczyć ciało i rozrzucić połamane kości.

Teraz jednak wśród drzew dostrzegłem srebrzysty zarys budynku, zaledwie kaplicy z niewielką dzwonnica. Obym tylko dotarł do niej na czas!

Kiedy jednak się zbliżyłem, kształt budynku zaczął migotać i zmieniać się powoli. Ostre kąty zaokrągliły się, wieża zniknęła i zobaczyłem przed sobą kurhan, tyle że pod kopułą porośniętego trawą dachu kryła się budowla z lśniącego białego kamienia. Teraz widziałem otwarte drzwi pod misternie rzeźbionym nadprożem; wewnątrz zalegała nieprzenikniona ciemność.

Szpony Morrigan sięgnęły ku memu lewemu ramieniu, ja jednak odskoczyłem i zanurkowałem przez niewielkie kwadratowe wejście do owej mrocznej kryjówki. Gdy wylądowałem, ziemia wydała mi się miękka; pokrywała ją żółta słoma, przeturlałem się parę razy, nim w końcu zamarłem. Zaczekałem, aż oczy przywykną mi do ciemności, i wkrótce mogłem obejrzeć otoczenie.

Parę razy odetchnąłem głęboko, a potem przykucnąłem, rozglądając się dokoła. Pośrodku wysokiego sklepienia tajemniczej kaplicy wisiał siedmioramienny złocisty kandelabr, osadzone w nim wysmukłe świece były błękitne i niemal przezroczyste. Lecz ich słaby blask nie dosięgał czterech kątów pomieszczenia, w których zebrały się kałuże nieprzeniknionej ciemności.

Jednakże, co najdziwniejsze, tajemniczy srebrzysty blask zniknął bez śladu. Kaplica istotnie stanowiła schronienie przed Wtórświatem i mój umysł, wcześniej poważnie otępiały, znów zaczął działać sprawnie. Przypomniałem sobie wszystko, co mnie spotkało.

Nagle usłyszałem cichy warkot, a potem ciężkie kroki. Spośród cieni wyłonił się

potwornych rozmiarów ogar. Zacząłem się trząść. Szpon i dorosłe szczeniaki, Krew i Kość, były groźnymi bestiami, lecz ten pies wzrostem dorównywał koniom pociagowym z Hrabstwa. Sam był równie wielki i silny, jak trzy wilczarze razem wzięte.

Czyżby strzegł tego miejsca? Jeśli tak, nie miałem większych szans w walce z podobną istotą. Nie musiałem się jednak bronić, bo wówczas z cienia wyłonił się jeszcze większy potwór i położył gigantyczną dłoń na głowie ogara, uspokajając go.

## ROZDZIAŁ 19

### OGAR Z CALANN

Był to prawdziwy olbrzym o głowie zwieńczonej wzburzoną grzywą szorstkich rudych włosów. W prawej dłoni trzymał włócznię, u pasa zwisał mu miecz. Nagle moją uwagę znów przyciągnęły jego płomiennorude włosy. Choć nie wiał nawet najśłabszy wiatr, zdawały się poruszać. Zjeżone, falowały lekko niczym podwodne rośliny, kołysane słabym prądem.

– Jesteś tu bezpieczny, chłopcze – rzekł nieznajomy niskim, donośnym głosem, siadając obok niezwykłego psa. – Ta bestia cię nie tknie. To tego, co zostało na zewnątrz, musisz się lękać. Ja także obawiam się Morrigan, ale nie może tutaj wejść. To jest sidhe – azyl. Masz jakieś imię?

Zaschło mi w gardle, musiałem przełknąć ślinę, nim zdołałem odpowiedzieć.

– Tom Ward.

– A czymże się zajmujesz, Tomie? Co cię tu sprowadza?

– Jestem uczniem stracharza. Mój mistrz i ja walczyliśmy z Mrokiem. Czarownica podstępem wciągnęła mnie do tego Wtórświata – chce, bym stał się łupem Morrigan.

– Cóż, dopóki pozostaniesz w sidhe, Morrigan nie zdoła cię tknąć. Nawet bogini nie może przekroczyć tego progu. Niemądrze jednak byłoby zostawać tu zbyt długo. Tu czas płynie inaczej. Nie mija w tym samym tempie jak na ziemi, lecz porusza się naprzód

wielkimi skokami. Zbliża się północ. Wkrótce dzwony wybiją godzinę. Po dwunastym uderzeniu czas nagle skoczy naprzód: jedna spędzona tu sekunda może równać się wielu długim latom w twoim świecie. Wszyscy, których znasz, zdążą umrzeć. Idź szybko, póki wciąż masz do czego wracać.

– Bardzo chcę wrócić, ale nie znam drogi. I jak mam wymknąć się Morrigan?

– Mógłbyś stanąć naprzeciw niej. Ja sam walczyłem z nią już wcześniej, zawsze jednak kończy się to bólem i budzę się tutaj, czekając, aż wrócą mi siły.

– Kim jesteś? – spytałem.

– Kiedyś nazywali mnie Ogarem z Calann, bo zabiłem tego tu psa gołymi rękami. Teraz, w zaświatach, jesteśmy ze sobą złączeni.

Przypomniałem sobie opowieść Sheya.

– A zatem ty jesteś Cuchulainem – jednym z największych bohaterów Irlandii!

Słyszając moje słowa, olbrzym uśmiechnął się.

– Czy tak mnie opisują, Tomie? To mi się podoba. Co jeszcze o mnie mówią?

– Powiadają, że spoczywasz tutaj i powrócisz, gdy Irlandia będzie cię potrzebować.

Cuchulain zaśmiał się.

– Ja miałbym wrócić? Nie sądzę! Jedno życie, choć krótkie, w zupełności mi wystarczy. Skończyłem już z zabijaniem ludzi. Nie, nie wrócę, to pewne. Ale mam szczerzy zamiar pomóc wrócić tobie. Naszła mnie ochota do walki – choć muszę cię ostrzec, że mogę nie być najlepszym towarzyszem. Podczas bitwy ogarnia mnie wielki szal, czerwona mgła zaćmiewa mi oczy. W tym stanie zabijałem nie tylko wrogów, ale i przyjaciół. Potem żałowałem, lecz nie odwracało to wcześniejszych wydarzeń. Nie ożywiało zmarłych. Strzeż się zatem! Moja propozycja jest szczerą – możesz ją przyjąć bądź nie. Lecz nie zwlekaj z podjęciem decyzji.

Olbrzymi ogar położył się na ziemi i zasnął. Wewnątrz sidhe

zapadła cisza. Po paru chwilach głowa Cuchulaina opadła na pierś, jego oczy zamknęły się.

Jeśli przyjmę pomoc bohatera, nie mam gwarancji, że naprawdę zdoła mnie ochronić przed Morrigan. Czyż sam nie powiedział, że każda ich walka kończyła się bólem i cierpieniem? Zawsze przegrywał. Musiałem też pamiętać o szale bitewnym – walcząc z nią, równie łatwo mógłby zabić mnie. Ale jeśli tu zostanę, pomyślałem, równie dobrze mógłbym już nie żyć. Nigdy więcej nie zobaczę nikogo, na kim mi zależy. Choć zrozumiałem już, że straciłem Alice na zawsze, nadal pozostawała rodzina. A także stracharz i Grimalkin. Stracę nawet szansę uwięzienia Złego i stanę się obcy w nieznanym świecie. Miałem obowiązek walczyć z Mrokiem. Musiałem ukończyć szkolenie i zostać stracharzem. Nie, muszę opuścić sidhe – i to jak najszybciej, nie zważając na ryzyko.

– Znasz drogę powrotną do mojego świata? – spytał Cuchulaina.

Pies warknął przez sen, bohater poklepał go po głowie, wciąż nie otwierając oczu.

– Znam kilka przejść, które tam wiodą; najbliższe leży nieopodal. Zdołamy pokonać połowę drogi, nim bogini zorientuje się, że opuściliśmy schronienie.

– Muszę stąd uciec – oznajmiłem. – Pomożesz mi?

Cuchulain otworzył jedno oko i obdarzył mnie krzywym uśmiechem.

– Serce bije mi żywiej! – wykrzyknął. – Czuję w powietrzu zapach krwi Morrigan. Warto spróbować. Tym razem mógłbym wygrać. Tym razem mógłbym odrąbać jej głowę! – roześmiał się. – Widzisz, jestem wiecznym optymistą. Nigdy się nie poddaję. To najważniejsza cecha, która czyni z nas bohaterów. Nigdy się nie poddawać, nawet gdy wszystko wydaje się beznadziejne! I sądzę, że ty także ją masz, chłopcze. Ty też jesteś bohaterem!

– Nie wydaje mi się – pokręciłem głową. – Jestem zwykłym uczniem stracharza, często się boję w obliczu Mroku.

Cuchulain uśmiechnął się.

– Nawet bohaterowie czasami się boją, Tomie. Potrzeba odwagi bohatera, by to przyznać. Poza tym jesteś tu, w sidhe, i wciąż oddychasz. Gdybyś był słabszy, zostałbyś zniszczony w momencie, w którym przekroczyłeś próg tego miejsca.

Podniósł się z ziemi i wziął długą włócznię.

– Nie masz żadnej broni, Tomie? – spytał ostro.

– Zwykle używam laski stracharza, ale zgubiłem ją, gdy przeciągnięto mnie przez przejście do tego świata. Mam tylko sól, żelazo i swój srebrny łańcuch...

– Sól i żelazo nie zaszkodzą Morrigan, a łańcuch skrępuje ją jedynie na chwilę. Odmieni swą postać i wyśliznie z niego w mgnieniu oka. Proszę, weź ten sztylet – rzekł, sięgając za pazuchę skórzanego kaftana i wręczając mi broń. – Uderz ją mocno. Poczuj go, zważ na moje słowa.

Cuchulain uważał tę klingę za sztylet, był jednak potężnym mężczyzną, dwakroć wyższym od kowala z Chipenden. Tak naprawdę wręczył mi miecz, bardzo niezwykły, bez wątpienia wykuty dla króla. Miał ozdobną rękojeść w kształcie głowy jakiejś bestii. To był skelt, stwór kryjący się w szczelinach nieopodał wody i wysysający krew swych ofiar. Jego długi pysk tworzył ząbkowane ostrze miecza; w miejscu oczu tkwiły dwa duże rubiny. Miało to sens – w Irlandii było pełno bagien i wody, z pewnością mieszkały w nich skelty, toteż miecz wykuto na ich podobieństwo.

Ująłem rękojeść w lewą dłoń i sprawdziłem równowagę. Tkwił pewnie w mojej ręce – niemal jakby zrobiono go dla mnie.

I wtedy odkryłem, że klingę wykuto ze stopu srebra. Podobna broń mogła zniszczyć demona. Choć nie sprawdzała się w walce ze Starymi Bogami, mogła zranić Morrigan i zyskać dla mnie chwilę cennego czasu, umożliwiając ucieczkę.

Nagle ujrzałem ściekającą z miecza krew, tworzącą na ziemi niewielką czerwoną kałużę. Przez moment sądziłem, że skaleczyłem się o ostrą klingę, potem jednak ku swemu zdumieniu pojąłem, iż to łzy wypływające z dwojga rubinowych oczu.

Cuchulain uśmiechnął się szeroko.



– Polubił cię, chłopcze! – wykrzyknął. – Bardzo cię polubił! Kiedy pierwszy raz go ująłem, też zapłakał krwią, ale tylko odrobinę, nie tak jak teraz! Należysz do tej klingi. Jesteś jej własnością. Będziesz do niej należał do dnia swej śmierci.

Jak mogłem należeć do miecza? Z pewnością to ja byłem jego właścicielem. Jednakże uznałem, że szkoda czasu na sprzeciwianie się Cuchulainowi.

– Jesteś gotów, Tomie? – spytał. Przytaknąłem.

– Musimy poruszać się szybko. Gdy tylko wyjdziemy z sidhe, skreć ostro w lewo. Po pięćdziesięciu krokach dotrzemy do brodu. Niełatwa to przeprawa, lecz po drugiej stronie leży jaskinia. Wbiegnij wprost do środka i nie zwalnij. W zamykającej ją ścianie jest przejście do świata ludzi – lecz by przez nie przeniknąć, musisz biec ile sił w nogach, najszybciej, jak potrafisz. Zrozumiałeś?

Znow przytaknąłem.

– Jestem gotów – oznajmiłem.

Cuchulain chwycił włócznię i wypadł biegiem z sidhe. Olbrzymi ogar pędził u jego boku. Ja puściłem się za nim, unosząc miecz. Ponownie zalało nas owe mdlące srebrzyste światło. Natychmiast skupiłem myśli w obawie o swą pamięć.

Na zewnątrz nie dostrzegłem ani śladu Morrigan. Cuchulain i jego pies oddalali się ode mnie, z trudem dotrzymywałem im kroku. Potem jednak zobaczyłem przed sobą rzekę, grubego srebrnego węża, wijącego się między drzewami. Nagle znalazłem się obok Cuchulaina. Czyżbym zdołał przyspieszyć, czy też on zwolnił kroku?

Zerknąłem w prawo i przekonałem się, że bohater się chwieje. Kiedy wychodziliśmy z sidhe, jego lewe ramię i ręka były silne i muskularne. Teraz uschły, osłabły tak, że ledwie ścisnął w nich włócznię. Na moich oczach przerzucił ją do prawej ręki i potykając się, ruszył naprzód, coraz wolniej, jakby miał zaraz upaść. Przypomniałem sobie opowieść Sheya: za życia Cuchulain został dotknięty klątwą czarownicy. Czy teraz Morrigan odnowiła zaklęcie, porażając go swą mocą?

W tym momencie usłyszałem nowy dźwięk – ochryple krakanie wron. Gałęzie drzew przed nami uginały się pod ich ciężarem. Czy pośród nich znajdowała się Morrigan? Odpowiedź nadeszła szybko.

Potworna wrona, dorównująca wzrostem Cuchulainowi, leciała wprost ku nam, otwierając dziób i rozcapierzając szpony. Gdy Morrigan śmignęła pośród drzew, uskoczyłem w lewo, lecz Cuchulain uniósł włócznię i dźgnął. Wokół posypały się pióra, bogini krzyknęła. Zranił ją i wylądowała ciężko. Potem jednak znowu pofrunęła ku niemu, rozcapierzając szpony.

Odwrociłem się, gotów przyjść mu z pomocą i mocniej ścisnąłem w dłoni miecz. Teraz zmagali się ze sobą, szpony bogini szarpały ciało, dostrzegłem jednak także sypiące się na ziemię splamione posoką pióra. Oboje krwawili. Morrigan wrzeszczała niczym wiedźma banshee, Cuchulain ryczał i wył jak zwierz.

Przysunąłem się bliżej, czekając na okazję, by dźgnąć nożem. Zobaczyłem, że pies także ich obserwuje. Czemu nie pomagał swemu panu? Przyjrzałem się uważnie Cuchulainowi i dostrzegłem, że zaczyna się zmieniać. Ogarniała go furia bitewna. Jedno oko wybałuszyło się mocno, zjeżone włosy pogrubiały niczym ostre kolce jeża. Skóra na twarzy falowała, zęby szczyrzyły się we wściekłym grymasie, jakby pragnął odgryźć głowę walczącej z nim wronie.

Pobiegłem naprzód, unosząc miecz, by uderzyć boginię. Na szczęście, nie dotarłem dość blisko – bo oznaczałoby to mój koniec. Oszałały z wściekłości Cuchulain sięgnął lewą ręką i chwycił ogara za kark. Mimo że ręka uschła, szaleńczy gniew dodał jej sił. Uderzył psem o najbliższe drzewo. Masywny pień zadygotał od siły zderzenia, a czaszka ogara pękła niczym skorupka jajka, obryzgując ziemię i drzewa krwią oraz kawałkami mózgu.

Cuchulain odrzucił na bok psie truchło, po czym spojrzał za nim. Przez moment jego oczy spoczęły na mnie, groza przymurowała mnie do ziemi. Potem obrócił się dalej, zamiast jednak z nową siłą rzucić się na Morrigan, zaatakował olbrzymi dąb! Raz po raz kłuł go włócznią, cały las rozbrzmiewał odgłosami

kolejnych ciosów. Połamane gałęzie sypały się na srebrzystą trawę. Potem zaczął wbijać w pień ostry grot. Z każdym trafieniem zagłębiał się coraz bardziej, w powietrzu fruwały dębowe drzazgi. Ja jednak nie patrzyłem już na Cuchulain. Przyglądałem się olbrzymiej wronie, która zmieniała się na moich oczach.

Raz jeszcze Morrigan przybrała postać Scarabek. Z uśmiechem ruszyła ku mnie. Oślepiiony furją, Cuchulain już jej nie zagrażał. Teraz to ja byłem celem!

Obróciłem się i tak jak kazał, pomknąłem biegiem ku rzece. Kiedy dotarłem na brzeg, z rozpaczą odkryłem, że głęboka woda rwie szybko naprzód. Nie zdołałbym przepawić się przez ten nurt. Gdzie się podział bród? Morrigan szła ku mnie niemal leniwie, jakby miała do dyspozycji cały czas tego świata...

Cały czas tego świata? To coś, czego mnie brakowało. Zbliżała się północ; gdy tylko dzwon uderzy dwanaście razy, w naszym świecie upłyną lata. Powiodłem wzrokiem po brzegu rzeki i zauważyłem kamienie. Sterczały po mojej lewej stronie – w sumie osiem, ledwie widoczne nad powierzchnią wody.

Morrigan zobaczyła, dokąd zmierzam, i puściła się biegiem, ja jednak pierwszy dotarłem do brodu i skoczyłem ze wszystkich sił ku pierwszemu kamieniowi.

Był mokry i śliski, omal nie straciłem równowagi. Zdołałem jednak przeskoczyć na drugi, a potem trzeci. Gdy dotarłem do piątego, obejrzałem się. Morrigan także skakała z kamienia na kamień. Miałem nadzieję, że nie zdoła przepawić się przez płynącą wodę. Lecz choć przybrała postać czarownicy, była boginią, tak więc rzeka nie stanowiła dla niej przeszkody. Został jeszcze tylko jeden kamień, z niego dotrę na brzeg. Jednakże Morrigan była już bardzo blisko. Nie uda mi się. Odwróciłem się zatem i uniosłem miecz, szykując się do obrony.

Rzuciła się na mnie, wyciągając ręce, jej szpony zalśniły srebrzyście. Z całej siły zamachnąłem się mieczem. Trafił ją mocno w prawe ramię. Trysnęła krew, bogini krzyknęła i z ogłuszającym pluskiem runęła do wody. Teraz miałem szansę. Przeskoczyłem na

ostatni śliski kamień, a z niego z walącym sercem na brzeg.

Widziałem już przed sobą wejście do jaskini, ciemny otwór w srebrzystym urwisku. Pospieszyłem ku niemu. W pewnym momencie obejrzałem się. Morrigan powstała i znów mnie ścigała. Nawet nie biegła. Czy sądziła, że nie zdołam uciec? W jaskini panował mrok, ale nie była tak ciemna, jak z początku sądziłem – połyskiwała tym samym tajemniczym srebrzystym światłem, blaskiem oświetlającym cały Wtórświat oprócz sidhe. Obejrzałem uważnie zamykając ją ścianę. Wydawała się twarda – i solidna. Pobiegnąłem ku niej, tak jak kazał Cuchulain, lecz w ostatniej chwili odrobinę zwolniłem i wzdrygnąłem się z obawą.

Uderzyłem o twardą skałę – potężny cios wstrząsnął całym moim ciałem. Poleciałem do tyłu, miecz wyśliznął mi się z palców i przez chwilę leżałem oszołomiony. Bolała mnie głowa i kolana. W ustach czułem smak krwi.

Co poszło nie tak? Może Morrigan rzuciła jakiś czar? Czy dlatego szła za mną spokojnie, nie próbując nawet pobiec? Podniosłem się na kolana i poczołgałem do miecza. Chwyciłem go lewą ręką i zdołałem wstać ciężko, po czym, zbolały, ruszyłem powoli do wylotu jaskini. Kiedy tam dotarłem, boginię dzieliło ode mnie zaledwie kilkanaście kroków. Zbliżała się z każdą chwilą.

Odetchnąłem głęboko, by uspokoić nerwy, i uniosłem miecz w gotowości. Im bardziej się jednak zbliżała, tym bardziej traciłem pewność siebie. Przekonałem się, że suknię ma nietkniętą – nie pozostał na niej żaden ślad zadanej przeze mnie rany. Tak potężna bogini umiała się szybko uzdrowić. Srebrne ostrze mogło ją zranić i spowolnić – ale nie zniszczyć. Pozwalało jedynie zyskać nieco czasu...

Czas!

Gdy tylko myśl ta pojawiła się w mojej głowie, w oddali zabrzmiał pierwszy dzwon północy. Wiedziałem, że kiedy odezwie się dwunasty, czas w moim świecie skoczy naprzód. Rozpaczliwie zastanawiałem się, co począć dalej, i przypomniałem sobie słowa Cuchulaina o przejściu.

Zabrzmiał drugi dzwon.

Ruszyłem w pełnym pędzie – na ścianę trzeba było wpaść szybkim biegiem. W ostatnim momencie zwolniłem i wzdrygnąłem się. Choć trudno mi było wyobrazić sobie zderzenie mocniejsze niż ostatnie, musiałem spróbować. To moja jedyna szansa powrotu do znanego mi świata. Najpierw jednak trzeba rozprawić się z Morrigan...

Teraz biegła ku mnie, wyciągając szpony, w jej oczach płonął dziki ogień. Kiedy skoczyła, dzwon odezwał się po raz trzeci. Umknąłem w lewo, a ona chybiła, rozdzierając szponami skałę obok mojej głowy. Teraz ja uderzyłem mieczem, cios jednak zadałem niezgrabnie i w pośpiechu. Klinga odbiła się od kamienia, siłę zderzenia poczułem w całej ręce. Dzwon znów zadzwieczał.

Następnych kilka sekund upłynęło jak we mgle. Wiedziałem, że muszę szybko zakończyć walkę. Wśród własnych ciężkich oddechów, warkotów Morrigan i szurania butów o kamień słyszałem powolne, miarowe dźwięki dzwonu. Do tej pory straciłem już rachubę. Ile zostało do dwunastego?

Powróciłem myślami do skalnej ściany. Musiałem wierzyć, że zdołam przez nią przeniknąć. Zacząłem skupiać myśli. O dziwo, gdy to uczyniłem, poczułem, jak miecz wibruje mi w dłoni, z lewego rubinowego oka wypłynęła kropla krwi.

Kiedy bogini znów pomknęła ku mnie, udałem, że atakuję z lewej, po czym w ostatniej chwili zmieniłem kierunek, zadając szybkie, niemal poziome cięcie. Cios okazał się idealnie wymierzony. Miecz wbił się gładko niczym w masło i odciął jej głowę, która uderzyła o ziemię z obrzydliwym chrzęstem, a następnie poturlała się, podskakując po zboczu w stronę srebrnej rzeki.

Przez moment bezgłowe ciało Morrigan stało, kołysząc się, z kikuta szyi tryskała krew. Potem, zamiast upaść, bogini ruszyła, potykając się, w dół zbocza, w ślad za swą głową. Uznałem jednak, iż jest mało prawdopodobne, by złapała ją, nim wpadnie do rzeki.

Nie tracąc czasu, pospieszyłem do jaskini. Biegłem coraz

szybciej i szybciej, wprost na kamienną ścianę. Potrzebowałem całej siły woli, by nie zwolnić, nie wzdrygnąć się, nie uskoczyć. Poczułem potężny cios, a potem wszystko poczerwiano.

W dali usłyszałem odległe uderzenie dzwonu. A potem zapadła cisza.

## **ROZDZIAŁ 20**

### **NIKT NIE USŁYSZY TWOJEGO KRZYKU**

Nim jeszcze otworzyłem oczy, poczułem na twarzy chłodny wietrzyk i trawę pod zeszywniałym ciałem.

Usiadłem i rozejrzałem się dokoła; w dłoni wciąż ściskałem zakrwawiony miecz. Było niemal zupełnie ciemno. Znajdowałem się pośrodku kamiennego kręgu w Kenmare. Ale czy zdążyłem z powrotem? Ile minęło czasu – stulecie?

Wstałem z ziemi i ruszyłem w stronę dołu. W słabym świetle trudno było orzec, lecz wyglądał tak samo. Gdyby został porzucony, po zaledwie paru miesiącach zarósłby trawą i chaszczami. Potem dostrzegłem leżącą na ziemi laskę i jej widok dał mi prawdziwą nadzieję. Stracharz przyszedłby mnie szukać. Znalazłby laskę i zabrał ją – nie zostawił na ziemi.

Podniosłem zatem kij i ruszyłem do domu Sheya. Kiedy dotarłem do bramy, wokół krążyło dwóch strażników, pozdrowili mnie jednak skinieniem głowy, jak gdyby nic się nie stało.

W korytarzu czekali stracharz i Grimalkin: Wiedźma zabójczyni dźwigała paliki owinięte w worek, stracharz ścisnął w dłoni laskę. Poczułem ogromną ulgę. Najwyraźniej w naszym świecie minęło mniej czasu niż we Wtórświecie. Oboje spojrzeli na mnie ze zdumieniem.

– Jesteś ranny, chłopcze? – spytał mistrz.

Pokręciłem głową.

– Kilka siniaków i skaleczeń, ale nic poważnego.

– Co się stało? Gdzie się podziewałeś? – naciskał.

– Ten miecz! – wykrzyknęła Grimalkin i nim zdążyłem odpowiedzieć, w jej oczach błysnęło zdumienie. – Pokaż mi go!

Odłożyła narecze włóczy, a ja wręczyłem jej swoją broń. Wiedźma zabójczynie obejrzała ją uważnie, unikała jednak dotknięcia klingi ze stopu srebra.

Spojrzała na mnie.

– Wiesz, co to jest? – zawołała, przyglądając się osobliwym znakom wygrawerowanym na rękojeści i dotykając rzeźbionego ła skelta.

Pokręciłem głową. Co miała na myśli?

– To miecz bohatera wykuty przez jednego ze Starych Bogów, zwanego Hefajstosem – wyjaśniła. – Stworzył tylko trzy takie, a ten jest z nich najlepszy!

Uśmiechnąłem się do niej.

– Spotkałem bohatera! – potwierdziłem. – To było we Wtórświecie. Dał mi ten miecz. Bez niego nie wróciłbym tutaj. Zaatakowała mnie Morrigan, a ja odciąłem jej głowę.

– Morrigan się uleczy – powiedziała Grimalkin. – Możesz na to liczyć. Myślałam jednak o czekającej nas walce ze Złym. Ta broń daje nam znacznie większą szansę powodzenia. Znana jest pod innym mianem, właściwym tylko jej – i być może lepiej określającym, czemu służy. Nazywano ją „Klingą Przeznaczenia”. Ten, kto nią włada, dokona tego, do czego się urodził.

– Ja w to nie wierzę – przerwał stracharz. – Sami kształtujemy swą przyszłość naszymi czynami. Nie istnieje coś takiego jak przeznaczenie. To tylko złudzenie – z perspektywy czasu wydaje nam się, że je widzimy.

– Nie zgadzam się – upierała się Grimalkin.

– Tak też sądziłem, więc możemy tylko pozostać przy swoich zdaniach – rzekł mój mistrz. – Chłopak jest obolały i zmęczony. Jeśli chcemy uwięzić Złego, musimy być w jak najlepszej formie. Zaczekamy z tym do jutra.

Grimalkin przytaknęła.

– Idź zatem do łóżka, chłopcze. – Stracharz spojrział na mnie surowo. – Opowiesz nam o wszystkim rano.

\*

Gdy się ocknąłem, poczułem, że ktoś – albo coś – jest w moim pokoju. Widziałem wysoką sylwetkę na tle szarego światła świtu przenikającego przez zasłony. Usiadłem szybko i wtedy pojąłem, że to Grimalkin.

– Wstawaj, chłopcze! – poleciła. – Mamy dziś wiele do zrobienia.

Zasnąłem na zasłanym łóżku, ubrany w koszulę i portki. Teraz podniosłem się posłusznie. Czarownica podeszła bliżej; górowała nade mną, wyższa o całą głowę.

– Zdejmij koszulę.

Gdy się zawahałem, Grimalkin uśmiechnęła się, czarne wargi rozchyliły się, ukazując ostre zęby.

– Widywałam już cherlawe żebra – zadrwiła.

Wówczas dostrzegłem, że w lewej dłoni trzyma szary strój.

Rozpiąłem koszulę i zsunąłem ją. Grimalkin zaczęła starannie dopasowywać przyniesione okrycie. Nagle zatrzymała się, zauważywszy znak na moim ramieniu, w miejscu, gdzie Alice wbiła mi w ciało paznokcie.

– To znak Alice, prawda? – spytała.

Przytaknąłem i serce ścisnęło mi się na myśl, że nigdy już nie zobaczę przyjaciółki.

Skupiłem uwagę na okryciu, które dopasowywała Grimalkin. Była to jakby koszula, tyle że wyściełana na ramionach. Kolejny wyściełany fragment biegł ukośnie, od prawego ramienia ku lewemu biodru. Czarownica zapięła ją szybko zręcznymi palcami, a potem z pochwy przy jednym z pasów przecinających jej ciało wyciągnęła parę nożyczek.

Wzdrygnąłem się i cofnąłem o krok. Właśnie tymi nożyczkami odcinała kciuki swym nieprzyjaciołom. Niektórzy mówili, że robiła tak, kiedy jeszcze oddychali.

Ale to nie mych kości chciała. Szybko odcięła nieco materiału, skracając dół koszuli, a potem rękawy, tak że sięgały mi ponad



łokcie.

– To jest koszula ochronna – wyjaśniła. – Nosisz ją, aby rzemienie i pochwa nie ocierały ci skóry.

Teraz uniosła w dłoni długi pas; zamocowała do niego pochwę, podobną do tych, które nosiła sama. Szybko zabrała się do roboty. Skróciła go nożyczkami, a potem za pomocą igły i nici kilkoma zręcznymi szwami przyczepiła pas do koszuli.

Kiedy skończyła, uniosła miecz i wręczyła mi go.

– Wsuń go do pochwy! – poleciła.

– Mam to zrobić prawą ręką? – spytałem.

– Którąkolwiek, lecz ponieważ swoją główną broń, laskę, trzymasz w lewej, miecza powinieneś dobywać drugą.

Uczyniłem posłusznie, jak kazała.

– Teraz wyciągnij go, jak najszybciej potrafisz.

Posłuchałem.

– Schowaj i wyciągnij ponownie...

Gdy to zrobiłem, Grimalkin przesunęła nieco skórzany pas i tym razem kilkunastoma szwami przyszyła go mocno do koszuli.

– A teraz – rzekła z ponurym uśmiechem – czas zejść do piwnicy...

\*

Piwnica mieściła się głęboko pod mieszkalną częścią domu. Podążyłem za wiedźmą długimi spiralnymi kamiennymi schodami. Piwnica okazała się pusta, nie licząc stołu odsuniętego pod najbliższą ścianę. Oświetlał ją tuzin pochodni, osadzonych w uchwytych na ścianach. Kamienna podłoga wyglądała na niedawno zamiecioną.

Grimalkin zamknęła pośpiesznie ciężkie drewniane drzwi, przekręciła klucz w zamku, wyjęła go i cisnęła na stół.

– Po co tu przyszliśmy? – Poczulem nagłą suchość w ustach.

– Po pierwsze, mamy tu mnóstwo miejsca – odparła. – Ale nie tylko to – tu, w piwnicy, nikt nie usłyszy twojego krzyku.

Cofnąłem się szybko. Grimalkin postąpiła krok ku mnie.

– Nie masz dokąd uciec, Thomasie Wardzie. – W jej cichym

głosie dźwięczała groźba. – Raz przebiłeś mnie swą laską. Musisz za to zapłacić – a ja zawsze odbieram długi. Nie zadowolili mnie nic poza twoim życiem, doładź zatem miecza i broń się – jeśli potrafisz!

Istotnie, kiedyś przebiłem jej ramię ostrzem z laski, przyszpilając ją do drzewa. Działąłem wówczas w samoobronie – ścigała mnie, gotowa pozbawić życia. Od tej pory jednak walczyliśmy ramię w ramię; sądziłem, że jesteśmy sojusznikami i że Grimalkin przybyła do Kenmare pomóc nam uwięzić Złego. Czyżby wszystko to było kłamstwem? Czy naprawdę tak bardzo łaknęła zemsty? Czy uratowała mnie z fortu tylko po to, by własnoręcznie zabić w tej piwnicy?

Balem się tak bardzo, że trzęsły mi się kolana. Ledwie zdołałem wyciągnąć z pochwy miecz, nim zaatakowała. Dobywszy dwóch noży jednocześnie, Grimalkin skoczyła ku mnie. Uniosłem Klingę Przeznaczenia i zdołałem odbić ten trzymany w lewej dłoni, obracając się tak, iż drugi o niecały cal minął moje lewe ucho.

Nim zdążyłem odzyskać równowagę, wiedźma znów śmignęła ku mnie. W panice ciąłem, celując w jej głowę, ona jednak odskoczyła i uśmiechnęła się ponuro, po czym wyprowadziła pchnięcie w moje lewe ramię. Okazałem się nie dość szybki i poczułem ostry ból, gdy nóż przeciął skórę. Jak ciężko zostałem ranny? Zerknąłem tam i ujrzałem krew ściekającą w dół ręki.

Sprawdzenie rany okazało się poważnym błędem – który o mało nie kosztował mnie życia. Gdy tylko spuściłem z oka Grimalkin, ta wykorzystwała sposobność i przypuściła wściekły atak. Potknąłem się pod jego naporem, jakimś cudem jednak żaden z noży nie dotarł do celu.

Odturlałem się i zerwałem z podłogi. Grimalkin znów się zbliżyła, jej oczy lśniły, otworzyła szeroko usta, jakby zamierzała wgryźć się w moje ciało. Śmiertelnie groźne, spiłowane na szpiczasto zęby stanowiły jedną z najbardziej przerażających cech wiedźmy zabójczyni.

Zaczynała ogarniać mnie czarna rozpacz. Jaką miałem szansę

w starciu z Grimalkin? Jak mogę liczyć na to, że pokonam najgroźniejszą zabójczynię, jaką wydał klan Malkinów? Pojąłem, że pozostała mi tylko jedna słaba nadzieja. W jakiś sposób w ogniu bitwy będę musiał się skupić i spróbować spowolnić czas. Ów dar odziedziczony po mamie więcej niż raz ocalił mi już życie. Teraz znów musiałem spróbować.

Nim jednak zdołałem wcielić plan w życie, Grimalkin zaatakowała. Nagle wezbrał we mnie gniew. Co ona wyprawiała? Nie zasłużyłem na śmierć w tej piwnicy. A jeśli zabije mnie teraz, Zły będzie czekał, by pochwycić moją duszę. Z nowo odkrytą pewnością siebie postąpiłem krok naprzód i zamachnąłem się z całych sił mieczem, zmuszając czarownicę, by odchyliła się szybko, a potem uskoczyła na bok. Znów zaatakowałem, tym razem przerzucając broń z prawej ręki do lewej.

To stracharz nauczył mnie tej sztuczki, gdy ćwiczyliśmy walkę na kije. Tak właśnie zraniłem ją poprzednio. Teraz o mało znów jej nie zaskoczyłem, uskoczyła jednak w bezpieczne miejsce i znów rzuciła się ku mnie. Odetchnąłem głęboko i zacząłem się skupiać, sięgając po skrytą głęboko moc.

*Skup się! Ściśnij czas. Spowolnij. Niech się zatrzyma!*

Grimalkin zbliżała się ku mnie krokami lekkimi, niemal jak w tańcu. Balansowała na palcach, uginając kolana, po czym uskoczyła w lewo i uniosła rękę, aby zadać śmiertelny cios w serce. Lecz poruszała się coraz wolniej, a ja zareagowałem szybciej. Moja klinga przechwyciła jej ostrze i wytrąciła je z dłoni czarownicy.

Połykując w blasku pochodni, sztylet zabójczyni raz po raz wirował w powietrzu, powolny jak piórko, spadając leniwie na posadzkę. Wówczas jednak zatrzymał się. Zastygł, zamrożony w przestrzeni, wisząc nad podłogą. Zdołałem zatrzymać czas!

Cofnąłem miecz, celując w szyję czarownicy. Grimalkin była bezradna. Wygrałem.

Patrzyłem, jak klinga opada ku odsłoniętemu gardłu czarownicy. I wtedy zauważyłem coś jeszcze. Grimalkin tkwiła uwięziona w czasie, bezradna, ale też patrzyła mi w oczy – i uśmiechała się. Uśmiechała się, z moim mieczem zaledwie kilka cali od szyi!

W ostatniej chwili szarpnąłem broń do góry, omijając cel. Potem cofnąłem się i przykucnąłem. Dlaczego jej nie zabiłem, kiedy miałem okazję? Co było ze mną nie tak? Na wyspie Mona nie zdołałem zabić Kościstej Lizzie, gdy nadarzyła się sposobność.

Wówczas powstrzymało mnie to, że wiedźma była matką Alice. Ale co działo się tutaj?

I nagle zrozumiałem. Odprężyłem się, pozwalając, by czas znów zaczął płynąć. Grimalkin szybko schowała drugi sztylet i ruszyła ku mnie. Wciąż się uśmiechała.

Pojąłem, że wszystko to było próbą. Czarownica mnie sprawdzała. Po chwili przemówiła:

– Kiedyś zwróciłam się do Marthy Ribstak, najlepszej z widzających w Pendle, a ona powiedziała mi, że właśnie przyszło na świat dziecko kryjące w sobie moc, która może w jakiś sposób zniweczyć władzę Złego. Mimo potężnej mocy Marthy ktoś ukrywał to dziecko przed jej wzrokiem. Teraz sądzę, że była to twoja matka, a ty jesteś dzieckiem – i moim sprzymierzeńcem w walce z zaprzysiężonym wrogiem. Razem nam się uda. Tak właśnie ma być. Naszym przeznaczeniem jest zniszczyć Złego.

Ręce zaczęły mi się trząść. Teraz, gdy walka dobiegła końca, poczułem głęboką ulgę.

– Chciałam zasiać w tobie lęk. Chciałam wywrzeć nacisk tak, byś musiał walczyć, jakby chodziło o twoje życie. Dzięki temu mogłam sprawdzić, jak władasz mieczem, i zorientować się, co trzeba zrobić, byś zapanował nad nim lepiej. Rozmawiałam z Johnem Gregorym i wyjaśniłam, że potrzebuję co najmniej tygodnia, by cię wyszkolić. Zgodził się. Kiedy osiągniesz wymagany poziom, spróbujemy uwięzić Złego. To nasza najlepsza szansa.

– Będę walczył ze Złym tym mieczem?

Grimalkin znów się uśmiechnęła.

– Nie do końca. Ale musisz bardzo przyłożyć się do nauki, bo mieszkańcy Mroku, sługi Złego, będą cię szukać. Będą próbowali cię zabić, toteż musisz nauczyć się jak najlepiej władać tym mieczem. To może przeważać szalę pomiędzy życiem a śmiercią. Jak mówiłam, miecz nosi inne miano – Klinga Przeznaczenia – i mimo tego, co twierdzi twój mistrz, każdy jego powiernik, póki ma go w swej pieczy, wypełnia swoje przeznaczenie – to, czego miał dokonać w tym życiu.

– To brzmi zupełnie jak predestynacja – zaprotestowałem. – Przekonanie, że przyszłość jest ustalona i niezmienna. Tu akurat zgadzam się ze stracharzem. Wierzę, że każdy z nas dysponuje wolną wolą, swobodą wyboru.

– Moje dziecko, być może to prawda, ja jednak wierzę, że masz przeznaczenie. Urodziłeś się, by zniszczyć Złego. Do tego walczysz z Mrokiem. Teraz zaś, gdy zdobyłeś tę klingę, wzbudisz w nim prawdziwy lęk! Pamiętasz, jak odrąbałeś głowę Morrigan?

Nagle pojąłem, czego Grimalkin ode mnie oczekuje.

– Chcesz, żebyśmy to samo zrobili ze Złym?

– Przebijemy go włóczniami, a potem zetniemy mu głowę. Następnie pogrzebię ją gdzie indziej. To da nam czas, by znaleźć trwałe rozwiązanie i zniszczyć go raz na zawsze.

– Przed chwilą o mało cię nie zabiłem – przypomniałem. – Próba posunęła się za daleko.

Grimalkin pokręciła głową.

– Dobrze wiem, kiedy umrę. Martha Ribstalk przewidziała także to. Nie czeka mnie śmierć z twojej ręki.

Skinąłem głową. Wiedziałem, że stracharz uznałby wiarę Grimalkin w przepowiednie za wyjątkową głupotę.

## **ROZDZIAŁ 21**

### **ZATRZYMANI W CZASIE**

Bill Arkwright szkolił mnie kiedyś przez pół roku, przykładając szczególną wagę do fizycznej strony fachu stracharza, zwłaszcza walki – pojedynków na kije. Był wymagającym nauczycielem, czasami niemal okrutnym i każde starcie kończyłem z nowymi guzami i sińcami. Było to bolesne, wyczerpujące doświadczenie.

Lecz okazało się drobnostką w porównaniu z tym, co przeszedłem przez tydzień, jakiego zażądała Grimalkin. Najbardziej doskwierała mi czysta żywa groza, jaką czułem, walcząc z wiedźmą zabójczynią. Nie tylko wyglądała złowrogo, ale też w jej oczach błyskała przerażająca dzikość i nigdy nie wiedziałem, której klingi dobędzie z niezliczonych pochw.

Dysponowała także siłą fizyczną. Musiałem trzymać się poza jej zasięgiem. Gdy tylko mnie złapała, nieodmiennie lądowałem na plecach, pozbawiony tchu, z ostrzem przy gardle.

Kilka razy także mnie zraniła – dobrze byłoby mieć pod ręką Alice z jej leczniczymi ziołami i okładami. Ból towarzyszący utracie najlepszej przyjaciółki bynajmniej nie zmalął, nie mogły się z nim równać nawet rany zadawane przez ostre noże Grimalkin.

Wkrótce całkiem nieźle radziłem sobie z mieczem – obecnie

będącym niemal przedłużeniem mego ciała – lecz wiedźma zabójczyni szybko oznajmiła, że to zaledwie początek tego, czego muszę się nauczyć. Dodała, iż po każdej walce na śmierć i życie z przeciwnikiem zamierzającym mnie zabić, stanę się lepszy – oczywiście, zakładając, że przeżyję.

Jedną z umiejętności, które musiałem powtarzać raz po raz, było zatrzymywanie czasu w trakcie walki. Z każdym dniem radziłem sobie coraz lepiej. Dowiodłem już, że z pomocą tej sztuczki mogłem podołać przeciwnikowi nawet tak groźnemu jak Grimalkin.

Ów tydzień intensywnej nauki aż nazbyt szybko dobiegł końca i byliśmy gotowi stawić czoło największemu wyzwaniu ze wszystkich.

\*

Po zachodzie słońca opuściliśmy dom Sheya i wkrótce stanęliśmy nad jamą. Wyruszyliśmy w trójkę – stracharz, Grimalkin i ja. Miałem na sobie płaszcz, pod którym skrywałem tkwiącą w pochwie Klingę Przeznaczenia. W kieszeni portek tkwił słój krwi. W czasie gdy pobierałem nauki u czarownicy, stracharz uzupełniał swój bestiariusz, uaktualniając stare informacje i dodając nowy rozdział, opisujący przygotowania do walki ze Złym.

Przez wszystkie lata spędzone u mego mistrza sądziłem, że Alice weźmie udział w tym zadaniu – lecz stało się inaczej. Odeszła na zawsze i musiałem się z tym pogodzić.

Liniaż wraz z pomocnikiem czekali obok wielkiej drewnianej ramy, którą wzniesli nad dołem. Obaj wyglądali na przerażonych, lecz jak dotąd spisali się świetnie: na bloczku i olinowaniu wisiał poziomo wielki płaski kamień, który miał zamknąć jamę. Z boku spoczywał drugi, który mieliśmy umieścić na wieku. W skałę wbito pierścień, by łatwiej dało się go podnieść.

Obok dołu piętrzyła się sterta ziemi, którą z takim trudem wykopałem. Zmieszaliśmy ją z mnóstwem soli i żelaza – mało prawdopodobne, by zadziałały na Złego, stracharz jednak uznał, że jeśli osłabią go choć odrobinę, warto spróbować. Jeżeli uda nam się

uwięzić wroga, zasypiemy mieszaniną dół.

A jeżeli się nie uda... Zły szybko zemści się za to, co zrobiłem; najpierw zajmie się mną, potem zabije stracharza i Grimalkin. A wówczas nasze dusze będą czekały wiekuiste męki.

Zauważyłem, że Grimalkin niesie dwa worki: w jednym tkwiły ćwieki i włócznie, drugi, skórzany, wyglądał na pusty. Położyła oba na ziemi i przywdziawszy skórzane rękawice, starannie odpakowała cztery długie włócznie. Obok nich leżało kilkanaście długich, srebrnych ćwieków z szerokimi główkami oraz dwa krótkie młotki, którymi mieliśmy wbić je w ciało Złego. Jeden z nich wręczyła stracharzowi.

Uzgodniliśmy, że mój mistrz i ja zajmiemy pozycje w jamie, gotowi zaatakować Złego z dołu, a Grimalkin spróbuje z góry przeszyć mu włócznią serce. Wówczas, jeśli nam się powiedzie, przybijemy go do skały.

Do tej pory słońce już zaszło i zaczął zapadać zmrok, lecz dół oświetlało siedem lamp: trzy zawieszono na drewnianym rusztowaniu, pozostałe ustawiono na ziemi w czterech narożnikach.

Stracharz zsunął się na dno jamy, ja podążyłem za nim. Mimo skalnej warstwy, która przeszkodziła nam w kopaniu, dół był bardzo głęboki: głowa mistrza ledwie sięgała krawędzi. Wiedźma zabójczynie wręczyła każdemu z nas po włóczni. Były smukłe i giętke, zakończone ostro. Zajęliśmy ze stracharzem miejsca w przeciwległych kątach doku. Nad nami Grimalkin chwyciła oburącz trzecią włócznię – czwarta leżała na ziemi obok – i w napięciu spojrzała w dół. Stracharz odchrząknął.

– Oto chwila, na którą tak długo czekaliśmy – rzekł uroczyście.  
– Jedno bądź więcej z nas może stracić życie. Warto jednak zapłacić tę cenę, jeśli tylko uda nam się uwięzić Złego. Dążymy do tego samego celu i dziękuję wam obojgu, że stoicie u mego boku.

Słowa mistrza zdumiały mnie. Naprawdę podziękował czarownicy za jej pomoc! Grimalkin obdarzyła go lekkim uśmiechem i pozdrowiła skinieniem głowy.

– Już czas. – Stracharz popatrzył na mnie. – Daj mi słoń krwi.

Zaschło mi w ustach, ręce drżały, byłem jednak zdecydowany zrobić to, co trzeba. Skupiłem się na opanowaniu oddechu i uspokojeniu się. Nerwowo wyciągnąłem z kieszeni słoń, przeszedłem przez jamę i wręczyłem go mojemu mistrzowi. To dziwne, pomyślałem, że Alice i ja tak bardzo się zamartwialiśmy, iż pęknięty słoń może stracić moc i pozwolić, by Zły nas porwał. A teraz stracharz miał go zniszczyć.

Szybko wróciłem na swoje miejsce. Przez chwilę stracharz patrzył z niesmakiem na niewielkie gliniane naczynko, po czym uniósł je wysoko.

– Pęknięcie słońca pozwoliło Złemu wiele razy zbliżyć się do ciebie – rzekł. – Podejrzewam, że stale czai się w pobliżu, czekając, aż będzie mógł się zemścić. Spodziewam się zatem, iż zjawi się tu, gdy tylko słoń pęknie. Bądźcie gotowi.

Nagłym konwulsyjnym ruchem stracharz wyrzucił słoń z jamy, trafiając w jeden z solidnych drewnianych słupów podtrzymujących żuraw. Słoń pękł z głośnym trzaskiem i o mało nie ugięły się pod mną kolana.

Stało się. Zły zjawi się w parę sekund. Alice wierzyła, że kiedy stracimy ochronę, zareaguje natychmiast. Jednakże sekundy zamieniały się w minuty..i nic się nie działo. Ogarnął mnie niepokój. Może minie wiele dni, nim Zły się pojawi? W takim przypadku trudno będzie zachować czujność. Nie tego się spodziewaliśmy.

A potem poczułem mocne drżenie pod stopami. Ziemia się poruszała. Nagle lampy zamigotały złowieszcza i ich blask zaczął słabnąć. Wkrótce jarzyły się już słabo, jeden z – robotników krzyknął głośno ze strachu. Dokładnie nad nami rozbrzmiał odgłos przypominający huk gromu i na moment pograżyliśmy się w nieprzeniknionej ciemności.

Nadciągał Zły.

Zacząłem się koncentrować, zbierając siły. Jeśli za szybko zatrzymam czas, Zły nie zdoła wejść do jamy. Jeśli zrobię to za



późno, sam przejmie kontrolę – i to ja stanę się jego więźniem, zastygłym w czasie niczym mucha w bursztynie, on zaś będzie mógł robić, co zechce.

Lampy ponownie rozbłysły i w jamie między mną a stracharzem z ogłuszającym hukiem, od którego świat zadrżał w posadach, pojawił się Zły. Promieniował ostrym czerwonym światłem. Mimo przerażenia poczułem nadzieję. Przybył. Zdołamy to zrobić.

*Skup się! Ściśnij czas! Zatrzymaj!*

Zły trzykrotnie przerastał stracharza, miał szeroką pierś, długi ogon, nogi zakończone kopytami i zakrzywione baranie rogi. Porastały go gęste czarne włosy. Jego źrenice wyglądały jak dwie pionowe szczeliny, otaczała go chmura ostrego zwierzęcego smrodu, od którego ścisnął mi się żołądek. Lecz mimo zgrozy stwierdziłem z ulgą, że jama jest jednak wystarczająco duża.

Zły nie poruszał się – do tej pory panowanie nad czasem stało się dla mnie niemal drugą naturą – to samo jednak dotyczyło stracharza i Grimalkin. Wszystko tkwiło w bezruchu i ciszy. Serce nadal mi biło, wciąż oddychałem. Zatrzymałem czas. Teraz musiałem przebić Złego...

Ruszyłem, by pchnąć go włócznią, ta jednak poruszała się bardzo powoli. Co gorsza, moje serce zwalniało biegu: każde wysilone uderzenie trwało dłużej niż poprzednie. Zły walczył, próbując unieruchomić mnie w czasie i uwolnić siebie.

Czyżbym czekał zbyt długo? Jak mogę liczyć na to, że dorównam jego sile? Musiałem jednak spróbować. Nie mogłem się teraz poddać.

Zaciskając zęby, pchnąłem srebrną włócznią wprost w jego brzuch – przekonałem się jednak, iż przesuwana się jeszcze wolniej. Jeżeli zawiodę, Zły zabije całą naszą trójkę. Będzie to koniec wszystkiego, co próbowaliśmy osiągnąć. Z całych sił pchałem broń w jego stronę, próbując się skoncentrować. Czułem się jednak jak sparaliżowany.

Grimalkin..pomyślałem. Czy nie mogłaby po prostu zapragnąć, by odszedł?

Nadzieja ta jednak minęła natychmiast. Bo niby jak? Była jak ja, uwięziona w ułamku chwili, rozpaczliwie zastanawiająca się, co począć. Nie mogła odpędzić Złego, bo wówczas uniknąłby jej włóczni. Grimalkin we mnie wierzyła: ufała, że pokonam diabła. Ale co, jeśli mi się nie uda?

I wtedy świat przed moimi oczami zaczął ciemnieć.

## ROZDZIAŁ 22

### KLINGA PRZEZNACZENIA

Choć mrok zasnuwał mi oczy, wciąż walczyłem, ponownie próbując skupić się na zadaniu. Nawet w obliczu klęski nie mogłem się poddać. Nie teraz. Przypomniałem sobie radę, której udzielił mi Cuchulain: muszę walczyć dalej, nieważne, jak beznadziejnie wyglądają sprawy. A myśl o tym, co Zły zrobił Alice, dodała mi energii. Nawet jeśli nie zdołam odzyskać przyjaciółki, mogę przynajmniej zranić Złego. Choć przegram, będę walczył do samego końca.

I wtedy, w chwili, gdy zdawało się, że nie ma już nadziei, nagle coś się zmieniło. Poczułem, jak coś odrobinę ustępuje. Serce zabiło mi w piersi – z początku powoli, potem coraz szybciej i szybciej! Znow panowałem nad czasem, krew pulsowała mi w żyłach. Zły stał przede mną, wielki, przerażający – ale nieruchomy. Teraz to on zastygł, a ja się ruszałem.

Wbiłem srebrną włócznię w jego bok. Przez moment poczułem opór, potem z rany wytrysnęła czarna krew. Pchnąłem w górę jeszcze mocniej, głębiej we włochate cielsko. Zły wrzasnął tak głośno, że ów dźwięk niemal przebił mi bębenki; krzyk bólu i wściekłości niósł w sobie moc, która mogła rozedrzyć ziemię i wycisnąć krew z kamieni. Uderzył mnie z taką siłą, że straciłem panowanie nad sobą – i nad czasem.

W tym momencie Zły wyrwał się z paraliżu, obrócił ku mnie i zamachnął olbrzymią pięścią. Uskoczyłem, poczułem, jak pięść przelatuje obok, muskając moje włosy.

Czas znow płynął swobodnie i moi towarzysze mogli zaatakować. Zły ryknął po raz drugi, gdy stracharz wraził włócznię w kudłaty brzuch, powalając go na kolana.

Nad nami rozbłysła rozdwojona błyskawica, której natychmiast

zawtórował niski huk gromu. Rozpętała się burza, ulewny deszcz smagał ziemię. Zdawało się, że przybyła znikąd.

Uniosłem głowę i zobaczyłem Grimalkin, balansującą na palcach. Celowała starannie. Wiedźma zabójczyni nigdy nie chybiała – czy i tym razem trafi? Serce znów podeszło mi do gardła, lecz nie musiałem się obawiać.

Z całych sił pchnęła w dół i jej włócznia przebiła plecy Złego, przeszła całe ciało, po czym w fontannie czarnej juchy jej zakrwawiony koniec wyłonił się z piersi. Grimalkin przebiła mu serce na wylot srebrnym grotem. Ale czy to wystarczy?

Błyskawica znów zajaśniała, rozdzierając niebo, wściekle potoki deszczu wlewały się do jamy, gdy wiedźma zabójczyni drugą włócznią przeszła ciało Złego o cal od pierwszej. Teraz w jego sercu tkwiły dwa srebrne ostrza. Z przeraźliwym, bolesnym jękiem Zły pochylił się, z otwartego pyska wyciekły mu krew i ślina. Grimalkin zeskoczyła do jamy z lewej strony. W jednej dłoni trzymała młotek, w drugiej, okrytej rękawicą, garść srebrnych ćwieków. Tymczasem stracharz skierował się ku prawej ręce Złego.

Potwór klęczał, zarzucając głową niczym zraniony byk i rycząc z bólu. Czarownica wykorzystała okazję i wbiła ćwiek w jego lewą dłoń, po czym trzy razy uderzyła w główkę młotkiem, przyszpilając wielką włochatą łapę do skały. Diabeł obrócił łeb, otworzył szeroko paszczę i pochylił się ku niej, jakby chciał odgryźć jej głowę. Ona jednak, gibka niczym kot, uniknęła morderczej paszczy i rąbnęła go młotkiem prosto w twarz, roztrzaskując przednie zęby, tak że pozostały jedynie zakrwawione, połamane pieńki.

Patrzyłem, jak mój mistrz szybko wbija ćwiek w prawą dłoń Złego; mięśnie jego ramion napięły się, gdy zaczął uderzać ciężkim młotkiem z siłą i szybkością, zadającą kłam jego wiekowi. W parę sekund później, działając wspólnie, stracharz i Grimalkin zdołali przyszpilić także kostki Złego. Gdy znów ryknął z bólu, czarownica skinęła na mnie.

– Jego głowa! – krzyknęła. – Teraz! Odrąb mu głowę! Zrób to!

Dobyłem miecza bohatera i zbliżyłem się do Złego; gdy to

uczynilem, z obojga rubinowych oczu zaczęła ściekać krew. Uniosłem wysoko klingę, odetchnąłem głęboko, napiąłem mięśnie i z całych sił zadałem cios w szyję diabła. Bryznęła czarna krew, gdy ostrze wgrzyzło się w ciało. Lecz kiedy uderzyło o kość i ścięgno, poczułem przeszywający ból ręki. Zły wrzasnął, miecz utknął w ranie i potrzebowałem paru sekund, by go wyszarpnąć.

– Jeszcze raz! – huknęła Grimalkin. – Już! Ponownie obróciłem miecz w to samo miejsce. Tym razem opór okazał się słaby i klinga oddzieliła od szyi wielki łeb Złego. Głowa runęła do jamy i potoczyła się aż do stóp Grimalkin.

Spojrzałem w oczy stracharzowi, nie dostrzegłem w nich zwycięskiego błysku. Jedynie skinął głową. Grimalkin chwyciła odrąbany łeb za zakrzywione rogi i uniosła wysoko. Z kikuta szyi ściekała czarna krew, napuchnięte wargi Złego poruszyły się nad połamanymi zębami, jakby próbował coś powiedzieć. Potem jednak oczy uciekły w głąb czaszki i widać było tylko białka. Grimalkin wyskoczyła z dołu i wepchnęła głowę do nowego skórzanego worka. Zawiazawszy go bezpiecznie, wróciła do nas. Tymczasem bezgłowe ciało Złego wciąż dygotało i zwijało się w drgawkach.

Wraz ze stracharzem sięgnęliśmy po szpadle i szybko zaczęliśmy zasypywać jamę stertą ziemi, zmieszanej z solą i żelazem. Zerknąłem na żuraw. Obaj robotnicy zniknęli. Uciekli.

Wciąż w strugach deszczu, we trójkę, jak najszybciej zasypywaliśmy jamę. Przemoczeni do suchej nitki, pracowaliśmy gorączkowo, pragnąc ukryć przed światem potworną bestię, bo wciąż nie wiedzieliśmy, do czego jest zdolna. Zastanawiałem się, czy nawet pozbawiona głowy nie zdoła się uwolnić. Stopniowo jednak Zły poruszał się coraz słabiej, jęki dobiegające z głębi worka także cichły.

Jakiś czas później liniarz z pomocnikiem wrócili. Do tej pory niemal zasypaliśmy już truchło Złego, choć ziemia wciąż poruszała się i kołysała. Obaj mężczyźni, zawstydzeni, wymamrotali słowa przeprosin. Stracharz jedynie poklepał ich po plecach. Dwie dodatkowe pary rąk przydały się do pracy – choć dokładne

zasypanie dołu i udeptanie ziemi zabrało nam niemal kolejną godzinę. Wreszcie stanęliśmy obok ze spuszczoneymi głowami, piersi unosiły nam się i opadały ciężko z wysiłku. Nadszedł czas, by opuścić na jamę płaskie kamienne wieko.

Do tej pory deszcz już ustał, lecz nasze stopy ślizgały się w błocie, toteż musieliśmy bardzo uważać. Sam liniarz obsługiwał łańcuch. Wraz z Grimalkin chwyciliśmy jedną stronę kamiennej płyty, tymczasem stracharz i pomocnik zajęli się drugą. Wieko opadło gładko, w ostatniej chwili cofnęliśmy ręce i runęło na miejsce, idealnie dopasowane.

Następnie pomocnik przewlókł łańcuch i zahaczył go o pierścień osadzony w głazie. Wkrótce unieśli go w powietrze i położyli pośrodku kamiennego wieka. W końcu robotnik odkręcił żelazny pierścień, a my zgarnęliśmy pozostałą ziemię, pokrywając nią wieko i usypując resztę wokół głazu. Kiedy wyrośnie trawa, będzie wyglądał jak kamień stojący w środku pierścienia dwunastu. Ludzie nigdy się nie domyślą, że w kamiennym kręgu Kenmare spoczywa uwięziony Zły.

Grimalkin jednak jeszcze nie skończyła. Do grozy smoka dorzuciła własne zaklęcie maskujące ukrywające obecność Złego przed sługami Mroku. Stracharz odwrócił się plecami, nie patrząc, jak dokańcza rytuał, okrążając trzy razy kamienie; wędrując, nuciła potężne zaklęcie.

Wreszcie przystanęła obok. Najwyraźniej jednak nam się udało. Wielka bestia spoczywała uwięziona, mimo wysiłków nie zdołała się uwolnić. Jakiś czas staliśmy tam bez słowa, nie mogąc uwierzyć, czego dokonaliśmy.

– Zły nie został uwięziony na zawsze, prawda? – odważyłem się spytać niewiele głośniej od szeptu. – Pewnego dnia tak czy inaczej się uwolni.

– Nic nie trwa wiecznie, chłopcze. – Stracharz zmarszczył brwi. – Ale teraz nie może opuścić tej powłoki, bo przebiliśmy mu ciało srebrem i został przygwoźdzony do skały. A odcięcie głowy jeszcze wzmacnia moc uwięzienia. Pozostanie tu, póki nie znajdziemy

sposobu, by unicestwić go na dobre. Najbardziej obawiam się tego, że ktoś inny może go uwolnić. To w tej chwili największe zagrożenie.

– Tak się nie stanie – wtrąciła Grimalkin. – Jak powiadasz, dopóki głowa i ciało się nie złączą, Zły pozostanie uwięziony. Z początku zamierzałam pogrzebać głowę w innym miejscu – może daleko za morzem. Teraz jednak znalazłam lepszy sposób. Głowa należy do mnie. Będę jej strzegła. Zamierzam wrócić do Hrabstwa i cały czas trzymać ją przy sobie. Mieszkańcy Mroku będą mnie ścigać. Pojawią się, próbując odzyskać głowę i dostarczyć ją tutaj, ja jednak zabiję ich, jednego za drugim. Będę to czynić, póki zdołam – spuściła wzrok – choć to prawda, że nie mogę wiecznie uciekać i walczyć. W końcu przybędzie ich zbyt wielu i kiedyś mnie dopadną. – Popatrzyła wprost na mnie. – Zatem gdy ja będę z nimi walczyć, ty wykorzystaj ten czas i znajdź sposób, by zabić go na zawsze.

Dobyłem miecza i uniosłem go ku niej rękojeścią naprzód.

– Weź go – rzekłem. – Pomoże.

Grimalkin pokręciła głową.

– Nie. Mam własną broń, a ty potrzebujesz go bardziej. Pamiętaj, słudzy Złego ciebie także zaczną ścigać. Dowiedzą się, co tu się stało i jaką rolę odegrałeś. Poza tym jesteś teraz powiernikiem Klingi Przeznaczenia. Zorientujesz się, gdy nadejdzie czas, by przekazać ją innemu. Wbijając srebrne włócznie w ciało Złego, zasialiśmy lęk we wszystkich mieszkańcach Mroku, nieważne jak potężnych. Teraz wiedzą, co to znaczy strach. A w chwili, gdy odrąbałeś mu głowę, zmieniłeś swoje przeznaczenie. Kiedyś byłeś ściganym, zwierzyną, teraz stałeś się łowcą Mroku.

To rzekłszy, nie oglądając się za siebie, chwyciła skórzany worek, zarzuciła go sobie na lewe ramię i odbiegła w noc.

Stracharz spojrział na mnie surowo.

– Lepiej do końca nie wierzyć jej słowom. Tak naprawdę po zawarciu owego głupiego paktu miałeś szczęście, że zyskałeś jeszcze jedną szansę, chłopcze. – Pokręcił głową. – Ale w jednym

ma rację: czeka nas jeszcze ostateczna rozprawa ze Złym. Na razie zyskaliśmy tylko nieco czasu. Musimy go dobrze wykorzystać.

## ROZDZIAŁ 23

### PLAMY KRWI

Zostaliśmy w domu Sheya; tymczasem pączki na głogowych żywopłotach rozwinęły się w liście, a w ciepłych promieniach słońca rozkwitły pierwsze nieśmiałe wiosenne kwiaty. Od czasu do czasu porywiste wiatry nadal przynosiły deszcze z zachodu, kiedy jednak znikwały chmury, słońce grzało naprawdę.

Wkrótce z domu dotarły dobre wieści. Tak jak przewidywała Grimalkin, Szkoci z nizin i gór dołączyli do sojuszu wolnych północnych hrabstw. Na północ od Kendal doszło do wielkiej bitwy. Wróg został odparty na południe, ale wojna jeszcze się nie zakończyła.

Wojska nieprzyjaciela przegrupowały się nieopodal Priestown i kolejna bitwa wydawała się nieunikniona. Każdego dnia czekałem niecierpliwie na wieści. Bardzo chciałem wrócić do domu.

Odkąd jeden ze strażników strzegących rezydencji zniknął tajemniczo bez śladu, ich liczbę podwojono. Pamiętałem ostrzeżenie Grimalkin, nie dostrzegłem jednak ani śladu sług Mroku. W długiej wojnie między magami i posiadaczami ziemskimi ponownie zapanował niespokojny impas, trwający od stuleci. Mimo najszczerzych wysiłków, tak naprawdę niczego nie zmieniliśmy.

Pewnego dnia rankiem, gdy na bezchmurnym niebie świeciło słońce, wyszedłem na spacer z psami. Poprzedniej nocy nie spałem dobrze. Rozmyślałem o Alice. Ból z powodu jej straty nie pozwalał mi zasnąć.

Psy wyczuły coś pierwsze. Cała trójka przestała szczeleć i zatrzymała się gwałtownie. Spoglądały w stronę lasu, pół mili na zachód. Nagle, ze Szpon na przedzie, pomknęły w tamtym

kierunku, ujadając radośnie. Zawołałem je, ale nie posłuchały, nie miałem zatem wyboru i musiałem pobiec za nimi.

Wątpiłem, by chodziło o królika czy zająca. Zazwyczaj Szpon, Krew i Kość słuchały rozkazów i nieważne, jak wyraźny znalazły trop, przywołane przybiegały do nogi. Co się z nimi działo?

Gdy dotarłem do lasu, psy wyprzedzały mnie znacznie, pędząc wśród drzew. Słyszałem coraz słabsze szczekanie. Zirytowany, zwolniłem kroku. Natychmiast zauważyłem, że pod sklepieniem młodych zielonych liści panuje dziwna cisza. Wiatr ucichł, nie odzywał się żaden ptak. Nic się nie poruszało. I wtedy usłyszałem odległy dźwięk fletni. Znałem już tę muzykę. To był Pan!

Zacząłem biec. Z każdym krokiem muzyka stawała się coraz głośniejsza. W chwilę później wypadłem na polanę. Bóg, ponownie pod postacią chłopca odzianego w zieleń, siedział na pniu z uśmiechem na twarzy. Wokół niego zebrał się krąg oczarowanych zwierząt: gronostajów, fretek, królików, zające, a także trzy psy. Wszystkie wpatrywały się w niego, zafascynowane. Gałęzie w górze uginały się pod ciężarem ptaków. A u jego stóp ujrzałem dziewczynę w zabłoconej białej sukience.

Leżała na wznak, z głową opartą o pień. Choć młoda, włosy miała zupełnie białe. Nie popielatozłociste, lecz białe jak u staruszki. Jej stopy okrywały szpiczaste trzewiki. Wstrząśnięty, rozpoznałem ją nagle: to była Alice.

Pan przestał grać i opuścił fletnię. Wszystkie zwierzęta, oprócz moich psów, natychmiast umknęły między drzewa. Nad głową usłyszałem trzepot skrzydeł odfruwających ptaków. Szpon, Krew i Kość ruszyły ku mnie i zaskomliły cicho. Teraz, gdy muzyka ucichła, zaczęły się bać.

Wpatrywałem się w Alice, głowę wypełniał mi wir oszołomionych myśli i emocji. Po części przepelniała mnie radość. Alice wróciła, a nie sądziłem już, że kiedykolwiek ją zobaczę. Lecz coś wyraźnie było nie tak i poczułem lęk.

Nim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, Pan przemówił pierwszy.

– Nie zapomniałem o tobie ani o twojej prośbie. Z wdzięczności



za to, że uwolniłeś mnie z ciała kozła, sprowadziłem twoją przyjaciółkę – rzekł melodyjnym głosem. – Kiedy uwięziłeś Złego, mury otaczające jego królestwo osłabły i zdołałem się tam dostać. To, co uczyniłeś, było odważne, ale głupie. Jego słudzy pragną teraz twojej głowy. Wcześniej czy później ją dostaną.

Przepełniały mnie sprzeczne odczucia, radość z powodu odzyskania Alice i zgroza po tym, co ją spotkało.

– Co jest z nią nie tak? – wymamrotałem, klękając obok.

Wstrząsnęła mną zmiana, jaka w niej zaszła. Pogłodziłem twarz dziewczyny, ona jednak cofnęła się niczym dzikie zwierzę, z oczami przepełnionymi paniką.

– Przebywała w królestwie Złego i oglądała rzeczy, których nie powinien widzieć żaden żyjący śmiertelnik. Bez wątplenia poddano ją też licznym męczarniom. Obawiam się, że mogła stracić rozum.

– Czy kiedykolwiek dojdzie do siebie?

– Kto wie? – Pan uśmiechnął się lekko. – Zrobiłem wszystko, co w mojej mocy. Muszę ci jednak podziękować za to, że rozprawiłeś się ze Złym. Dzięki temu osłabiłeś wyznawców magii Mroku na całym świecie. Magom brak teraz sił, by mnie przywoływać. Będę mógł zachować swą magię dla siebie!

Uśmiechnął się ponownie i zaczął powoli znikać. Przez parę sekund widziałem jeszcze widmową przejrzystą postać, potem rozplynęła się bez śladu. Po sekundzie ptaki zaczęły śpiewać, a wśród drzew zaszumiał wietrzyk.

Obróciłem się do leżącej przede mną postaci.

– Alice! To ja, Tom. Co ci się stało? – zawołałem. Ona jednak nie odpowiedziała, patrzyła tylko na mnie wielkimi oczami, pełnymi strachu i oszołomienia. Próbowałem pomóc jej wstać, lecz wyrwała mi rękę i skuliła się za pnem. Pomijając białe włosy, wyglądała jak moja przyjaciółka, Alice, którą pamiętałem, lecz jej umysł wyraźnie uległ przemianie. Czy w ogóle mnie sobie przypominała? Czy знаła swoje własne imię? Nie wyglądało na to.

Pochyliłem się, chwyciłem ją za przegub i spróbowałem postawić na nogach. Chlasnęła mnie paznokciami lewej dłoni,

drapiąc policzek i ledwie chybiając celu w postaci mojego oka. Zerknąłem na nią czujnie. Co miałem robić?

– Chodź, Alice! – Wskazałem ręką drzewa. – Nie możesz tu zostać. Wracajmy do domu. Już w porządku – wróciłaś z Mroku. Teraz jesteś bezpieczna. I posłuchaj – udało nam się! Zdołaliśmy uwięzić Złego!

Alice wpatrywała się we mnie ponuro, lecz nie odpowiadała. Jeśli nie chciałem zawlec jej siłą, pozostawało tylko jedno wyjście. Zawołałem psy.

– Przeprowadźcie Alice do domu. Przeprowadźcie Alice! – zawołałem, wskazując ją, a potem w stronę siedziby Sheya.

Trzy wilczarze podbiegły do niej szybko i warknęły. Alice obejrzała się na nie z twarzą wykrzywioną lękiem. Bardzo nie chciałem jej tego robić, ale nie miałem wyboru. W żaden sposób nie zdołałbym jej przekonać, a musiałem jakoś zaprowadzić ją do domu. Przez chwilę pozostawała w miejscu jak przymurowana. Dopiero gdy Szpon warknęła ostrzegawczo i wyszczerzyła zęby, Alice ruszyła naprzód. I tak psy zaczęły popędzać ją przed sobą niczym zbląkaną owcę. Trwało to bardzo długo, bo Alice co chwilę próbowała umknąć i wilczarze musiały zaganiać ją we właściwym kierunku. Nie szło to łatwo, im samym także groziło niebezpieczeństwo. Od czasu do czasu rzucała się na nie, warcząc i machając ostrymi jak brzytwa paznokciami. Powrót do domu, piętnastominutowy spacer, zabrał nam ponad godzinę. Już na miejscu pojąłem, że moje kłopoty dopiero się zaczęły.

\*

– Straciła rozum – oznajmił stracharz. – I nie ma gwarancji, że kiedykolwiek go odzyska. Trudno się zresztą dziwić. Niektórym wystarczyło jedno spojrzenie na stwory z Mroku, by popaść w obłąd, zaś ta biedaczka spędziła dużo czasu w królestwie Złego.

Alice kuliła się w kącie podwórka otoczona przez trzy psy. Od czasu do czasu jej oczy błyskały przebiegle i atakowała. Nad prawym okiem Szpon widniało już głębokie krwawe zadrapanie.

– Musi istnieć jakiś sposób, by ją uleczyć – upierałem się.

Stracharz wzruszył ramionami.

– Shey posłał po miejscowego medyka, podejrzewam jednak, że na nic się nam nie zda, chłopcze. Cóż lekarze wiedzą o Mroku i jego mocy?

– Może mogłaby pomóc czarownica? – podsunąłem.

Tak jak oczekiwałem, stracharz zmarszczył gniewnie czoło.

– Mam na myśli zacną czarownicę, uzdrowicielkę – poprawiłem się szybko. – W Hrabstwie jest takich parę. Choćby jej ciotka, Agnes Sowerbutts.

– Najpierw musielibyśmy wrócić do Hrabstwa – przypomniał stracharz.

Przytaknąłem. Na razie nie było to możliwe. Miałem tylko nadzieję, że bitwa odbędzie się szybko i będziemy mogli wkrótce popłynąć do domu.

Tak jak przewidział stracharz, medyk w niczym nie pomógł. Zostawił tylko leki, które miały sprowadzić sen. O zmierzchu spróbowaliśmy podać je Alice, okazało się to jednak niełatwe. Potrzebowaliśmy pomocy trzech służących Sheya, by ją przytrzymać. Mimo to wypluła pierwsze trzy łyki. Dopiero gdy zatkali jej nos, została zmuszona, by przełknąć. Kiedy zasnęła, położyliśmy ją do łóżka i zamknęliśmy na klucz drzwi pokoju.

\*

Obudziłem się nagle, czując, że coś jest nie tak. Natychmiast usłyszałem tupot szpiczastych trzewików na drewnianej podłodze i usiadłem gwałtownie. Pokój Alice mieścił się tuż obok mojego.

Szybko wygramoliłem się z łóżka, naciągnąłem koszulę, portki i buty. Zastukałem do drzwi Alice, a potem przekręciłem klucz tkwiący w zamku. Łóżko było puste, przesuwane okno otwarte szeroko, tak że zimny powiew wydymał zasłony, wpadając do pokoju.

Pobiegłem do okna i wyjrzałem. Ani śladu Alice. Sypialnia leżała na pierwszym piętrze, toteż precyzyjnie się przez okno, zeskoczyłem na żwirową ścieżkę i pobiegłem przez ogród. Zacząłem wołać ją cicho, by nie obudzić całego domostwa. Jej obłęd i tak już

mocno nam zaszkodził, wolałem nie wykorzystywać przesadnie gościnności Sheya.

I wtedy w dali dostrzegłem sylwetkę dziewczyny – ale zupełnie nie tam, gdzie tego oczekiwałem. Alice nie skierowała się ku bramie. Wspięła się na otaczający ogród mur i już prawie go pokonała.

Pobiegłem ku niej, lecz na długo przed tym, nim dotarłem na miejsce, zniknęła mi z oczu. Zastanawiałem się, gdzie się podziała. Czy chciała po prostu uciec? Dotarłem do muru i zacząłem się wspinać. Za pierwszym razem nie udało mi się. Nie znalazłem zbyt wielu uchwytów, a kamienie były śliskie od deszczu, toteż spadłem, lądując ciężko. W wydaniu Alice wydawało się to takie łatwe. Za drugim razem zdołałem wgramolić się szybko na szczyt muru. O mało nie skręciłem sobie kostki, toteż nie ryzykowałem: obróciłem się ostrożnie, nie wypuszczając z rąk kamieni i opuściłem się na rękach, po czym zeskoczyłem na brukowany dziedziniec. Raz jeden przeturlałem się, ale szybko skoczyłem na nogi i spojrzałem w ciemność, próbując odnaleźć Alice.

Księżyc nie świecił i musiałem polegać wyłącznie na blasku gwiazd. Jednak choć widzę w ciemności lepiej niż większość ludzi, nie dostrzegłem ani śladu uciekinierki. Skupiłem się zatem, zamknąłem oczy i wyteżyłem słuch.

Dokładnie przed sobą usłyszałem pisk, a potem głośny szelest i trzepot. Pobiegłem w stronę dźwięku. Usłyszałem kolejne wrzaski i pojąłem, że dobiegają z dużej drewnianej zagrody, w której Shey trzymał kury.

Im bardziej się zbliżałem, tym głośniejsze dźwięki dobiegały z zagrody. Ptaki trzepotały, gdacząc w panice. Z głęboką obawą przywołałem mroczne wspomnienie z dzieciństwa. Pewnej nocy do kurnika ojca dostał się lis. Gdy zjawiliśmy się, zaspani, wyrwani z łóżek ogłuszającą kakofonią, pięć kur już nie żyło. Wszędzie walały się krew i pióra.

Lecz tym razem to nie lis przeraził kury, tylko Alice. Nie widziałem jej, ale pośród wrzasków oszalałych ptaków słyszałem

coś tak groteskowego, że z początku mój umysł nie chciał się z tym pogodzić. Jak sparaliżowany, przykucnąłem niedaleko drewnianej zagrody. Potem dobiegły mnie krzyki i tupot ciężkich butów. Nim się zorientowałem, ktoś uniósł płonąca pochodnię, ukazując przerażający obraz.

Alice klęczała pośrodku zagrody, otaczały ją martwe i konające ptaki. Niektóre miały poodrywane głowy bądź skrzydła. Jedna bezgłowa kura wciąż ganiała dokoła. Alice w obu dłoniach trzymała martwe ptaki. Pożerała je na surowo, jej usta pokrywały plamy krwi.

## **ROZDZIAŁ 24**

### **BIEDNY TOM**

Alice stała się drapieżnikiem, nie lepszym niż dzikie zwierzę ogarnięte żądzą krwi. Jej widok w takim stanie wstrząsnął mną do głębi. Stracharz miał rację: całkowicie straciła rozum. Czy pozostała w niej choćby cząstka znanej mi Alice, czy też zmieniła się w kogoś zupełnie obcego?

Strażnik trzymający pochodnię zaklął. Kolejny uniósł pałkę i ruszył w stronę wejścia do zagrody. Alice zerwała się z ziemi, przez moment sądziłem, że go zaatakuje. Potem jednak skoczyła. Był to niewiarygodny skok, który przeniósł ją wysoko nad głowę mężczyzny i furtką za jego plecami. Wylądowała w błocie przed zagrodą. A potem, nie oglądając się za siebie, odbiegła w ciemność.

Raz jeden spojrzałem na zdumione twarze strażników, po czym odwróciłem się na pięcie i rzuciłem za nią. Zmierzała w stronę niestrzeżonej bramy i choć biegłem ile sił w nogach, rozpaczliwie pragnąc ją doścignąć, zdawała się dysponować nienaturalną siłą. Oddalała się ode mnie z każdym krokiem, a tupot jej szpiczastych trzewików uderzających o ziemię stawał się coraz cichszy.

Wkrótce z trudem chwytałem oddech i zacząłem odczuwać

zmęczenie. Zwolniłem, zmierzając w tę samą stronę. Z pewnością Alice nie zdoła długo utrzymać podobnego tempa. Od czasu do czasu przystawałem, nasłuchując. Niczego jednak nie słyszałem – jedynie westchnienia wiatru pośród drzew i od czasu do czasu niesamowite krzyki nocnych stworzeń. W końcu na niebo wzeszedł sierp księżyca, a wtedy, wykorzystując wpojone mi przez stracharza umiejętności tropicielskie, wkrótce odnalazłem ślady stóp Alice na skraju zagajnika; potwierdzały, że wciąż podążam jej śladem.

Powoli zaczął ogarniać mnie niepokój. W zwykłych okolicznościach nigdy nie opuściłbym domu bez laski, lecz tak bardzo martwiłem się o Alice, że pobiegłem za nią instynktownie, bez namysłu. Co do Klingi Przeznaczenia, zostawiłem ją w pochwie zrobionej przez Grimalkin. Mój srebrny łańcuch tkwił w torbie, nie napełniłem nawet kieszeni solą i żelazem. Byłem zupełnie bezbronny – przemarznięty do szpiku kości, w samych portkach i koszuli. Nieprzygotowany do walki, z każdym krokiem oddalałem się od domu, wychodząc naprzeciw niebezpieczeństwu. Czyż nie ostrzeżono mnie, że mieszkańcy Mroku zechcą się zemścić za rolę, jaką odegrałem w uwięzieniu Złego? Podczas gdy ja tropiłem Alice, coś mogło polować na mnie.

Poruszony tą możliwością, zatrzymałem się i powoli obróciłem dookoła, przeszukując wzrokiem okolicę. Niczego nie zauważyłem ani nie wyczułem. Nie ogarnął mnie chłód, który zazwyczaj ostrzegał przed bliskością istot z Mroku. Toteż, nadal zdenerwowany i bardzo czujny, ruszyłem dalej. Nie mogłem zostawić tu Alice samej, niezależnie od ryzyka.

Minęła kolejna godzina i znalazłem więcej wskazówek świadczących, że nadal podążam we właściwą stronę. Oprócz odcisków stóp wypatrzyłem strzęp oddarty od sukienki Alice, gdy przeciskała się przez gąszcz ciernistych krzaków. Kształt i głębokość śladów świadczyły o tym, że już nie biegła, toteż przyspieszyłem kroku w nadziei, że w końcu zdołam ją doścignąć. Maszerowałem tak, póki nie dotarłem na skraj lesistego wzgórza.

Następne odnalezione tropy sprawiły, że serce ścisnęło mi się z lęku. Część z nich nie należała do Alice. Dostrzegłem także ślady walki, ziemię zdeptaną na błoto – i zbryzganą krwią. Oceniałem, że Alice została schwytana przez grupkę ludzi.

Czułem się strasznie głupio – uczeń stracharza pozbawiony broni! – ale jak mogłem teraz porzucić przyjaciółkę? Ostrożnie zatem zagłębiłem się między drzewa, przystanąłem i wyteżyłem słuch. Wokół zalegała głęboka, przejmująca cisza. Zupełnie jakby wszystko wstrzymywało oddech. Powoli, starając się nie hałasować, postąpiłem kilka kolejnych kroków i znów zacząłem nasłuchiwać. Cisza. Mój niepokój rósł z każdą chwilą.

Musiałem działać szybko. Improwizować. Na ziemi po lewej dostrzegłem złamaną gałąź. Podniosłem ją i z radością stwierdziłem, że jest mocna, nieco grubsza i dłuższa niż moja laska. Lepsze to niż nic, uznałem. Pospieszyłem dalej, z każdym krokiem grunt pod nogami stawał się coraz bardziej stromy.

Gdy zbliżyłem się do wierzchołka wzgórza, wyczułem, że ktoś mnie obserwuje. Jednakże pierwsze dostrzeżone oczy nie należały do człowieka. Uniosłem głowę. Drzewa w górze obsiadło stado wron. Zauważyłem szpiczaste dzioby i lśniące czarne pióra, ostre jak brzytwy szpony obejmujące gałęzie. Serce zabiło mi szybciej. Czy była tu Morrigan? Ptaki siedziały bez ruchu, kiedy jednak opuściłem wzrok, zobaczyłem coś, od czego ze strachu zaschło mi w ustach.

Dokładnie przede mną, na ziemi, siedział mężczyzna, oparty plecami o pień drzewa. Wyglądał, jakby na mnie patrzył, lecz w miejscu oczu ziały czarne dziury. Zbliżyłem się o krok, potem kolejny. Nagle, wstrząśnięty, odkryłem, że to trup. Zielona barwa wilgotnego, spleśniałego ubrania świadczyła o tym, że był jednym ze strażników Sheya. Zapewne znalazłem mężczyznę, który zaginął jakiś tydzień wcześniej. Tkwił przywiązany do drzewa, nie miał oczu. Wrony już się pożywiły.

Przynajmniej umarł i nie będzie dłużej cierpieć. Nie czułem także chłodu, który świadczyłby, że jego duch pozostał w pobliżu.

Nie, chłód ogarnął mnie dopiero, gdy wyminąłem go i ruszyłem ku kolejnemu drzewu. Siedziała tam Alice, w tej samej pozycji, oparta plecami o pień, z rękami przywiązanymi do niego szpagatem, uniesionymi do góry pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Skrępowano ją bardzo mocno – widziałem, jak więzy wpijają się w ciało. Do tego jej śnieżnobiałe włosy skręcono w węzeł i przybito do drzewa, odginając szyję pod nienaturalnym kątem. Jęczała cicho.

Pobiegłem ku niej i ujrzałem krew zaschniętą na szpagacie. Wówczas Alice spojrzała na mnie. Wciąż miała oczy, ale widziały nie więcej niż puste dziury w twarzy nieboszczyka. Przeniknęła przeze mnie wzrokiem, jakbym w ogóle nie istniał. Kiedy ukląknę przed nią, jęknęła. Cała się trzęsła. Łagodnie dotknąłem jej czoła. Jak miałem rozwiązać ręce Alice, nie sprawiając jej bólu?

– Alice – zagadnąłem cicho. – Tak mi przykro. Spróbuję ci pomóc, ale to może trochę boleć.

Nagle po plecach przebiegł mi lodowaty dreszcz. Zbliżało się coś z Mroku.

– Spróbuj pożałować samego siebie, chłopcze! – krzyknął ktoś za mną. – Wkrótce to ty poczujesz ból. Obróciłem się gwałtownie, rozpoznając ten głos i stanąłem twarzą w twarz z czarownicą Scarabek. Konal tkwił w nosilkach na jej plecach, znad ramienia wiedźmy wyglądała jego niesamowicie stara twarz. Nieco dalej czekało pół tuzina brodatych magów uzbrojonych w szable. Z prawej i z lewej dobiegały szelesty: kolejni zbrojni wyłaniali się spomiędzy drzew. Zostałem otoczony.

– Łapcie go! – poleciła czarownica.

Magowie rzucili się naprzód. Uderzyłem najbliższego gałęzią, wymachując nią rozpaczliwie, by ich do siebie nie dopuścić. Lecz w starciu ze zbrojnymi na nic mi się nie zdała. Dwa cięcia i w mojej dłoni pozostał tylko krótki drewniany kikut.

– Rzuć to albo następny cios odetnie ci rękę! – ostrzegł najbliższy mag.

Posłuchałem i odrzuciłem odłamek gałęzi. Magowie natychmiast pochwycili mnie brutalnie, wykręcając boleśnie ręce



za plecy. Potem zawlekli mnie w stronę drzewa naprzeciw Alice i posadzili na ziemi twarzą do niej. Scarabek stanęła nade mną.

– Bogini Morrigan gniewa się! – zawołała. – Na zbyt wiele sobie pozwoliłeś! Osłabiłeś ją na Wydrażonych Wzgórzach, nie zapomni ci tego. Potem uwięziłeś Złego – w ten sposób szkodząc wszystkim nam, służącym Mrokowi. Rozkazała, byś za to zginął w powolnych męczarniach. Nie dla ciebie szybka śmierć mego wiernego męża, Shauna. Przywiążemy cię do tego drzewa i pozwolimy, by wrony Morrigan wydziobały ci oczy. A potem pokroimy cię na kawałki, powoli, poczynając od palców. Odetniemy je staw po stawie, rzucając kolejne kęsy wygłodniałym dziobom tam, w górze. Zedrzymy ci mięso z kości, tak że pozostanie tylko szkielet. Przywiązać go! – rozkazała.

Walczyłem ze wszystkich sił, zebranych było jednak zbyt wielu. Oddarli rękawy mojej koszuli, po czym przycisnęli mnie do pnia i znów wykręcili ręce. Magowie szybko i boleśnie omotali mi przeguby szpagatem, o mało nie wrywając rąk ze stawów, gdy związywali oba końce. Nie chciałem dać Scarabek satysfakcji i pokazać po sobie, że cierpię.

Uniosłem głowę i ujrzałem przed sobą wiedźmę.

– Przez ciebie zginął mój Shaun. – Lewą dłoń unosiła niczym sokolnik. Lecz nie sokół na niej przysiadł, ale wielka czarna wrona o zachłannych oczach, otwierająca szeroko dziób. – Zaczniemy od lewego oka – oznajmiła czarownica.

I wtedy za jej plecami ktoś przemówił. Alice.

– Biedny Tom! – zawołała. – Biedny Tom cierpi.

– Owszem, dziewczyno. – Scarabek odwróciła się ku niej z szyderczym uśmiechem. – Cierpi bez dwóch zdań, lecz to dopiero początek.

Wrona rozpostarła skrzydła i przyfrunęła mi na lewe ramię. Poczułem ostry nacisk szponów, okrutne oczy spojrzały w moje. Starąłem się odwrócić głowę, ptak jednak podskoczył bliżej i wycelował dziobem w moje lewe oko.

## ROZDZIAŁ 25

### I WSZYSCY UPADNĄ!

Zacisnąłem powieki, odchylając się, ile to tylko możliwe, i przekrzywiając głowę, by utrudnić wronie dosięgnięcie celu. Wiedziałem jednak, że to na nic. Za moment zostanę ślepcem.

Nagle Scarabek wrzasnęła. Poczułem, jak wrona rozluźnia szpony zaciśnięte na moim ramieniu. Teraz nacisk zniknął. Czyżby paskudny ptak odleciał?

Ostrożnie uniosłem powieki i ku swemu zdumieniu zobaczyłem wronę leżącą na ziemi obok mnie. Nie poruszała się. Szeroko otwarte oczy lśniły jak szkło. Co się z nią stało? Czyżby nie żyła?

– Tom cierpi! – krzyknęła Alice. – Nie rań go więcej! Czarownica z miną pełną niedowierzania przyglądała się martwej wronie. W końcu odwróciła się do Alice. – Ty! – wrzasnęła. – Ty to zrobiłaś!

– Nie powinnaś ranić Toma – odparowała Alice. – Nie zasłużył na to. Może zamiast tego spróbujesz ze mną?

Scarabek dobyteła z za pasa noża i postąpiła krok ku niej.

– Tak właśnie zrobię, dziewczyno – warknęła szyderczo. – Sama się tobą zajmę.

– Nie możesz mnie skrzywdzić – oznajmiła Alice. – Nie masz dość sił.

Paru magów zaśmiało się, lecz niezbyt głośno. Słowa Alice, przywiązanej do drzewa i bezradnej w obliczu uzbrojonej w nóż czarownicy, wydały się obłąkańcze. Jej śliczną twarz wykrzywił grymas – widziałem podobny na twarzy jej matki, Kościstej Lizzie, nim rzuciła mroczne, złowieszcze zaklęcie.

I wtedy to poczułem. Zupełnie jak gdyby ktoś wbił mi w kręgosłup odłamek lodu. Chłód zawsze ostrzegał mnie, że zbliża się coś z Mroku – poczułem go, kiedy znalazłem się blisko wiedźmy i

magów. Lecz to ostrzeżenie miało w sobie siłę i intensywność przerastającą wszystko, czego dotąd doświadczyłem.

I wtedy, ku memu zdumieniu, Alice rozerwała szpagat wiążący jej ręce, szarpnięciem uwolniła przybite do pnia włosy i stanęła naprzeciw czarownicy. Z jej pokaleczonych przegubów ściekała krew, zdawała się jednak nie czuć bólu. Uśmiechała się i nie był to ładny uśmiech. Przepęłniała go wrogość. Scarabek zawahała się i opuściła klingę.

Wówczas Alice odwróciła się, skłaniając głowę ku drzewu. Co chciała zrobić? Kiedy znów obróciła się w stronę czarownicy, jej twarz przypominała wykrzywioną maskę.

Scarabek z nagłym gniewnym wrzaskiem skoczyła, unosząc nóż. Nie widziałem, co się wówczas stało, bo zasłaniała mi Alice. Nagle jednak napastniczka uniosła rękę i z okrzykiem bólu osunęła się na kolana. Alice zaśmiała się histerycznie, gdy Scarabek przekreśliła się ku mnie i ponownie dźwignęła z ziemi.

Czarownica jakby zapomniała o swej przeciwniczce. Teraz zbliżała się do mnie, bardzo wolno, chwiejnie. Nadal jednak trzymała w ręce nóż i wyraźnie widziałem, co zamierza. Zauważyłem, że magowie wpatrują się w nią, pobladli z przerażenia. Chciała pokroić mnie na kawałki – bez wątpienia zatrzymując dla siebie kości kciuków. Poczułem panikę.

Wówczas jednak zerknąłem na jej twarz i natychmiast pojąłem, czemu krzyknęła. W zielonym oku tkwił gwóźdź, po policzku spływała krew. Alice musiała wyrwać go z pnia zębami i z wielką siłą i celnością splunąć nim prosto w oko czarownicy.

Scarabek znów się zachwiała, nadal zmierzając ku mnie. Gdy to zrobiła, Konal wydał z siebie mrożący krew w żyłach pisk. Nawet śmiertelnie ranna, czarownica wciąż miała w sobie dość życia, żeby władać nożem. Wyglądało na to, że nic mnie nie uratuje.

I wtedy usłyszałem huk dobiegający z trzewi ziemi, a cały świat nagle ożył. Nad głową gałęzie podskakiwały i zwijały się, jakby olbrzymia dłoń potrząsała i kręciła pniem. Czarownica z lękiem zerknęła w górę. Niebezpieczeństwo jednak nadeszło z przeciwnej

strony.

Niespodziewanie w ziemi otwarła się szeroka szczelina. Z ogłuszającym, zgrzytliwym rykiem rozszerzała się, zmierzając ku Scarabek szybciej niż biegnący człowiek. W ostatniej chwili wiedźma próbowała odskoczyć, za późno jednak. Ziemia pochłonęła ją i zatrzęsnęła się z niskim wibrującym hukiem; teraz wystawały z niej jedynie palce lewej dłoni czarownicy.

Stado wron zerwało się do lotu, wrzeszcząc ochryple. A potem ziemia pod moimi stopami zaczęła kołysać się i szarpać, poszycie leśne zamieniło się w ocean, po którym przepływały kolejne fale. Zdawały się promieniować z miejsca, w którym stała Alice, pośród hałasu słyszałem, jak nuci zaklęcie w pradawnej mowie. Magowie i ich słudzy rozbiegli się na wszystkie strony.

Drzewa pochylały się pod osobliwymi kątaami, gwałtowne ruchy wyrywały z ziemi korzenie. A potem nagle wszystko ucichło i znieruchomiało, zupełnie jakby cały świat wstrzymał oddech, wstrząśnięty tym, co ma nastąpić. Teraz poruszała się tylko jedna postać, jeden nowy dźwięk zakłócił ciszę.

Alice wirowała, tańcząc w trawie z wyciągniętymi rękami. Poranione przeguby nadal krwawiły. Oczy miała zamknięte, uśmiechała się i nuciła coś pod nosem. Obracała się coraz szybciej i szybciej i śpiewała, dostatecznie głośno, bym zrozumiał słowa.

*Krąg, różany krąg, pełna cierni dłoń.*

*Krąg, różany krąg, pełna cierni dłoń.*

*Zaśmieję się w głos i zatańczę doń.*

*I wszyscy upadną!*

Zachichotała i powtórzyła ostatnią linijkę, jakby szczególnie jej się spodobała.

– I wszyscy upadną!

W tym momencie, jak gdyby straciła równowagę, runęła ciężko na ziemię, rozchichotana. Potem uniosła głowę i roześmiała się głośno; minęła długa chwila, nim umilkła. W końcu jej twarz przybrała poważny wyraz. Alice popęzła ku mnie i wkrótce dotarła tak blisko, że nasze nosy niemal się stykały.

– Mogę sprawić, że wszyscy upadną, Tom. Czy nie tak? Nawet Grimalkin, najsilniejsza z nich wszystkich. Jej także mogłabym to zrobić. Nie wierzysz mi?

Patrzyła mi w oczy z napięciem. Przytaknąłem, tylko po to, by ją ugłaskać. Maje przeguby piekły i pulsowały, miałem wrażenie, że zaraz zwymiotuję, w gardle wzbierała mi żółć.

Teraz Alice przesunęła głowę i uniosła usta do mojej lewej dłoni. Chwyliła zębami okalający rękę szpagat i przegryzła. Sapałem z bólu. Następnie uczyniła to samo z drugą ręką.

Opuściłem je, ciesząc się, że jestem wolny. Nieważne, jakie mroczne moce przywołała Alice, w tym momencie naprawdę mnie to nie obchodziło. Odzyskałem swoje życie, choć sądziłem już, że straciłem wszystko.

Alice opasała palcami i kciukami mój lewy przegub. Poczulem nagły ostry ból, a potem mrowienie promieniujące z jej kciuków do moich palców i dalej, w górę ręki, do łokcia. Pulsujący ból zaczął słabnąć. To samo uczyniła z drugą ręką, a potem pochyliła się i objęła mnie mocno, pomagając wstać.

– Myślisz, że dasz radę iść, Tom? – spytała.

Przytaknąłem.

– W takim razie lepiej będzie, jeśli stąd pójdziemy. Ci, którzy uciekli, w końcu dojdą do siebie. To magowie, przywykli do obcowania z Mrokiem.

Spojrzałem na Alice. Poza barwą włosów wydawała się niemal sobą.

– Czujesz się lepiej, Alice? – spytałem.

Zagryzła górną wargę i pokręciła głową. W jej oczach zalśniły łzy.

– Lepiej? Nigdy już nie będzie ze mną lepiej, Tomie. Ale chcę być z tobą. Pragnę tego bardziej niż czegokolwiek na tym świecie. I to właśnie ocaliło nas oboje.

Westchnąłem ciężko.

– Musimy pomówić o tym wszystkim. Skąd wzięłaś tyle mocy?

– Nie teraz, Tomie. Potrzebuję trochę czasu. Po powrocie nie znajdziemy chwili spokoju – nie po tym, co się wydarzyło – ale przyjdź jutro w nocy do mego pokoju, a powiem ci tyle, ile mogę. Czy wczoraj mówiłeś prawdę? Rzeczywiście zdołaliście uwięzić Złego?

Przytaknąłem.

– Tak, to prawda. Znów jesteśmy wolni, Alice.

Uśmiechnęła się i ujęła moją dłoń.

– W takim razie mamy trochę czasu, Tom – odrobinę oddechu, by móc wymyślić, jak rozprawić się z nim na zawsze.

Zmarszczyłem brwi.

– Najpierw jednak musimy wrócić do domu Sheya. Choć po tym, co się zdarzyło w kurniku, wątpię, czy będziemy tam mile widziani. Pamiętasz, co się stało?

– Pamiętam wszystko – odparła ze smutkiem Alice. – Jutro spróbuję ci to wyjaśnić.

Kiedy ruszyliśmy w drogę, obejrzałem się za siebie. Cztery czy pięć wron dziobało coś w trawie. Jedna zerwała się do lotu, przepływając nisko nad nami, a potem wzbijała się i usiadła na gałęzi. W dziobie trzymała palec martwej wiedźmy.

Jeszcze mocniej ścisnąłem dłoń Alice. Jak dobrze znów być razem.

\*

Już w domu potrzebowałem całej siły perswazji, by uchronić Alice przed gniewem Sheya. W końcu jednak, z pomocą stracharza, zdołałem przekonać jego i jego ludzi, że pozostawała pod wpływem zaklęcia, teraz jednak odzyskała zmysły.

Zażegnawszy pierwszy kryzys, postanowiliśmy na razie nic nie mówić stracharzowi. Wiedziałem, że mistrz zastanawia się, co naprawdę zaszło, rozumiał jednak, iż to nie najlepsza chwila, by nas wypytywać.

Nie musieliśmy nawet tłumaczyć, skąd wzięły się skaleczenia wokół naszych przegubów. Nim dotarliśmy do domu, niemal kompletnie się zagoiły – nie pozostawiając żadnych blizn świadczących o tym, co nas spotkało. Uzdrowienie to akt dobra, lecz tak potężna moc mogła pochodzić wyłącznie z Mroku. Mimo wyczerpania niewiele spałem tej nocy.

Rankiem kurier z Dublina przyniósł nam wieści o wojnie.

Stracharz zjawił się osobiście, by mi je powtórzyć.

– Dobre nowiny, chłopcze, naprawdę dobre nowiny. Wróg poniósł klęskę w wielkiej bitwie na północ od Priestown i uciekł w pośpiechu do południowej granicy Hrabstwa. Teraz wycofuje się na całego. Możemy wracać do domu, chłopcze, do Hrabstwa. Będę mógł odbudować dom, znowu zbierać i pisać księgi do nowej biblioteki.

W jego oczach lśniły łzy, łzy radości i nadziei.

Lecz mimo dobrych wieści z przerażeniem myślałem o czekającej mnie rozmowie z Alice. Co spotkało ją w Mroku? Czym się stała? Czy już nigdy nie dojdzie do siebie? Czy w końcu stała się bezpieczną czarownicą? Sposób, w jaki poprzedniej nocy zabiła naszych wrogów, wyraźnie to sugerował.

\*

Gdy wszyscy poszli już spać i w domu zapadła cisza, poszedłem pomówić z Alice. Tym razem nie zastukałem nawet do drzwi sypialni. Spodziewała się mnie, a poza tym nie chciałem ryzykować, że obudzę stracharza, którego pokój leżał nieco dalej, w głębi

korytarza.

Alice siedziała na brzeжку łóżka, wyglądała przez okno w ciemność. Kiedy wszedłem, cicho zamykając za sobą drzwi, obróciła się ku mnie i uśmiechnęła. Uniosłem świecę z toaletki i postawiłem na parapecie. Potem przysunąłem sobie krzesło i usiadłem naprzeciw niej.

– Jak się czujesz? – spytałem.

– W porządku, Tom. A przynajmniej nie tak źle, póki nie myślę o tym, co mnie spotkało.

– Chcesz porozmawiać? Czy to pomoże, czy tylko pogorszy sprawę?

– Nie chodzi o to, czy chcę o tym mówić, Tomie. Zasłużyłeś, by dowiedzieć się wszystkiego. Potem zdecydujesz, czy nadal chcesz być moim przyjacielem.

– Cokolwiek mi powiesz, pozostanę nim – oznajmiłem. – Zbyt wiele razem przeszliśmy, by teraz się rozstać. I potrzebujemy się nawzajem, aby przetrwać. Bez ciebie już bym nie żył – czarownica pokroiła mnie na kawałeczki i rzuciła na żer wronom.

– Nie mogę odwrócić tego, co zrobiłam. I nie uczyniłabym tego, nawet gdybym mogła – w przeciwnym razie straciłabym cię na zawsze, a wraz z tobą własne życie. Ale...mnie się to podoba, Tom. To jest właśnie najgorsze. Cieszyłam się, gdy zniszczyłam tamtą wiedzę. Wcześniej, kiedy raniłam bądź zabijałam coś z Mroku, po wszystkim czułam się źle, ale nie tym razem. Podobało mi się, że mogłam wypróbować swoje siły. Podobało mi się zwycięstwo. Zmieniłam się. Teraz jestem jak Grimalkin. Ona tak właśnie się czuje. Uwielbia walczyć. Zabiłam – i nie przejęłam się tym!

– Sądysz, że to dlatego, że spędziłaś tak wiele czasu w Mroku? – spytałem, nie podnosząc głosu. – Czy właśnie pobyt tam cię zmienił?

– Na pewno, Tomie, i nic nie mogę na to poradzić. Kiedy wróciłam z Mroku, z początku nie sądziłam, że jestem tutaj naprawdę. Myślałam, że nadal jestem tam. To dlatego się bałam i uciekałam przed tobą. Ci, którzy służą Złemu, często tak właśnie mnie nabierali. Raz już sądziłam, że odesłali mnie do naszego świata. Zobaczyłam cię na skraju lasu. Naprawdę myślałam, że to ty. Uśmiechnąłeś się do mnie i uścisnąłeś mi dłoń. Ale to była tylko sztuczka. Powoli zamieniłeś się w diabła. Patrzyłam, jak twoja twarz się zmienia, a z czoła wyrastają kręcone rogi. I zrozumiałam, że tak naprawdę nie opuściłam Mroku. Sądziłam zatem, że słowa Pana to kolejny podstęp i że znów stanie się to samo. Myślałam, że jesteś diabłem o ludzkiej twarzy.

Przytaknąłem. Uważałem, że Alice oszalała, lecz jej słowa miały głęboki sens. To naturalna reakcja kogoś, kto sądził, że świat nie jest prawdziwy, że to tylko złudzenie

przywołane przez Mrok, by go torturować.

– Ale jak się zorientowałaś, że tym razem to ja? – spytałem. – Choć przywiązali mnie do drzewa i mieli zabić, to nadal mógł być podstęp.

– Kiedy tkwiłam uwięziona w Mroku, diabeł udający ciebie nie odsłonił rąk. Tam jednak, gdy tylko oderwali rękawy od twojej koszuli, zobaczyłam na twej skórze mój znak. Jest on czymś bardzo wyjątkowym dla mnie i dla ciebie – nawet Zły we własnej osobie nie zdołałby go podrobić!

Blizny, które pozostawiła na mej ręce, nigdy nie zniknęły. Było to piętno Alice, oznaczało, że należę tylko do niej i do żadnej innej czarownicy.

Pokiwałem głową, ale pomyślałem o czymś jeszcze.

– A co z kurnikiem, Alice? Co się wtedy stało? Dlaczego to zrobiłaś?

Alice zadrżała, pochyliłem się ku niej i objąłem ją za ramiona. Dopiero po długiej chwili odpowiedziała.

– Chciałam jedynie uciec i kierowałam się do muru. Ale potem poczułam ciepłą krew krążącą w ich żyłach i nic nie mogłam na to poradzić. Tak bardzo zapragnęłam napić się krwi! Pobyt w Mroku mnie zmienił, Tomie. Nie jestem już taka sama, prawda? Chyba teraz należę do Mroku. Co, jeśli nie zdołam przeprowić się przez płynącą wodę? Stary Gregory natychmiast zorientuje się, czym się stałam.

To była naprawdę niepokojąca perspektywa. Gdyby mistrz zdobył niezbity dowód, że Alice jest teraz mroczną wiedźmą, uwięziłby ją w jamie na resztę życia. Nieważne, jak dobrą przyjaciółką się okazała, uczyniłby to, wiedziony poczuciem stracharskiego obowiązku.

Powróciłem myślami do słów wypowiedzianych kiedyś przez mamę:

„Przyszła na świat z sercem czarownicy i nie ma wyboru, musi podążać tą ścieżką.”

Potem jednak mama dodała, że istnieje wiele różnych rodzajów czarownic: Alice mogła okazać się zacna, nie bezecna. Istniała też trzecia możliwość, że znajdzie się gdzieś pomiędzy dobrem i złem.

„Ta dziewczyna może stać się utrapieniem twojego życia, klątwą, trucizną niszczącą wszystko, co zrobisz” – powiedziała. – „Albo też może okazać się najlepszym, najsilniejszym przyjacielem, jakiego kiedykolwiek poznasz.”

Ja sam nie miałem wątpliwości, że prawdziwe jest to drugie. Ale czy to możliwe, by Alice stała się bezecną wiedźmą i nadal pozostała moją sojuszniczką? Miałem jeszcze jedno pytanie:

– Alice, skąd wzięłaś tę całą moc? Czy zdobyłaś ją, bo tak długo przebywałaś w



Mroku?

Alice przytaknęła, lecz jej mina zdradzała powątpiewanie. Sądziłem, że próbuje coś przede mną ukryć. Potem powoli przemówiła:

– Myślę, że przyniosłam ze sobą moc z Mroku – zawiesiła głos i spojrzała na mnie. – Ale zawsze miałam jej w sobie więcej, niż ci pokazywałam, Tom. Ktoś mnie ostrzegł, by jej nie używać – by pogrzebać ją głęboko i spróbować o niej zapomnieć. Wiesz czemu, Tom?

Pokręciłem głową.

– Bo za każdym razem, gdy posługujesz się mroczną mocą, ona cię odmienia. Krok za krokiem zbliżasz się do Mroku, aż w końcu stajesz się jego częścią. Wówczas zatracasz siebie i nigdy już nie możesz powrócić do tego kogoś, kim byłeś dawniej.

Doskonale to rozumiałam. Dlatego właśnie stracharz tak bardzo bał się o nas oboje. Przypomniałem sobie coś jeszcze. Coś, co powiedziała mi kiedyś mama, gdy wspomniałem, jak samotny czuję się w roli stracharza.

„Jak możesz być samotny? Masz przecież siebie. Jeżeli kiedyś zatracisz samego siebie, wówczas naprawdę będziesz sam.”

Niedokładnie pojąłem jej słowa, teraz jednak rozumiałem. Chodziło jej o wierność samemu sobie, iskrę dobra, która czyni z nas tych, kim naprawdę jesteśmy. Gdy ta iskra zgaśnie, wówczas gubimy się i stajemy się naprawdę sami. Towarzyszy nam tylko Mrok.

\*

Większość wydarzeń opisałem z pamięci, w razie konieczności sięgając do notatnika.

Jutro ruszamy w drogę powrotną do Hrabstwa. Pierwszy etap to wędrówka przez Irlandię. Lecz drogę przecina nam wiele rzek i strumieni. Czy Alice zdoła się przez nie przeprawić? Czas pokaże.

Stracharz nic o tym nie wie, wydaje się też silniejszy, sprawniejszy i pogodniejszy niż przez ostatnie dwa lata. Wciąż dysponujemy większością pieniędzy, które zarobiliśmy, rozprawiając się z bełkaczami w Dublinie. Mistrz mówi, że przydadzą się do rozpoczęcia budowy domu, począwszy od dachu, kuchni i biblioteki.

Co do Grimalkin, jak dotąd się nie odzywała. Pozostaje nam tylko mieć nadzieję, że zdołała uniknąć bądź zabić prześladowców i że wciąż chroni głowę Złego.

Oprócz laski i srebrnego łańcucha dysponuję teraz trzecią bronią – mieczem podarowanym przez Cuchulaina, Klingą Przeznaczenia. Będę potrzebować jej ostrza, by się bronić przed mieszkańcami Mroku, którzy zaczną mnie ścigać w zemście za uwięzienie Złego.

Szybko zbliża się czas, gdy przestanę być tylko uczniem; stanę się stracharzem i

zamierzam być równie dobry, jak mój mistrz. Prócz tego jestem też synem swojej matki, która przekazała mi wyjątkowe dary. Mrok może mnie ścigać, nadejdzie jednak chwila, gdy stanie się, jak przepowiedziała matka. Tak jak mówiły mama i Grimalkin, to ja stanę się myśliwym, a Mrok będzie umykał przede mną. Zbliża się mój czas, nadchodzi bardzo szybko.

Wojna na zawsze odmieniła Hrabstwo, lecz nadal pozostaje w nim Mrok, z którym trzeba walczyć. Mam tylko nadzieję, że moja rodzina nie zginęła.

Mimo wszystkiego, co się stało, wciąż jestem uczniem stracharza i zmierzamy z powrotem do Chipenden. W końcu wracamy do domu.

Thomas J. Ward

## **TOM 9**

Jestem Grimalkin

I Am Grimalkin

# ROZDZIAŁ 1

## DUŻE, ZIELONE, GORZKIE JABŁKO

*Przyjrzyj się uważnie stojącemu przed tobą wrogowi.  
Czy widzisz te wybałuszone oczy i wykrzywioną furią twarz?  
Widzisz włóchatą pierś?  
Czujesz odór niemytego ciała?  
Zachowaj spokój. Po co się bać?  
Możesz z nim wygrać. To w końcu tylko człowiek.  
Lepiej mi uwierz. Ja jestem Grimalkin.*

Kiedy dotarłam do serca lasu, zsunęłam z ramienia ciężki skórzany worek i położyłam go na ziemi przed sobą. Następnie uklęknęłam i rozplątałam zasupłany rzemień. Nozdrza natychmiast wypełnił mi ostry smród tego, co kryło się wewnątrz. Skrzywiłam się i uniosłam zawartość worka za włosy, tłuste i pokryte zaschniętym błotem.

Pod koronami drzew zalegał mrok, księżyc miał wzejść dopiero za godzinę. Lecz moje wiedźmie oczy dobrze widzą w ciemności, spojrzałam zatem na odrąbaną głowę Złego, diabła we własnej osobie.

Straszliwy był to widok. Wcześniej zaszyłam mu powieki, by nic nie widział; usta wypchałam dużym, zielonym, gorzkim jabłkiem, owiniętym kolczastymi pędami róży, aby nie mógł mówić. Dobrze zajęłam się moim wrogiem; dostał dokładnie to, na co zasłużył. Wbrew temu, co sugerował smród, ani głowa, ani też jabłko nie zaczęły gnić; pierwsze sprawiła jego moc, drugie – moja magia.

Rozłożyłam worek na ziemi i położyłam na nim głowę. Potem usiadłam naprzeciwko, krzyżując nogi. Uważnie przyjrzałam się nieprzyjacielowi.

O dziwo, wydawał się mniejszy niż wówczas, gdy cios miecza Toma Warda odrąbał mu głowę. Nadal jednak niemal dwukrotnie przewyższał rozmiarami przeciętnego człowieka. Czyżby kurczył się po odłączeniu od ciała? Sterczące z czoła rogi zakrzywiały się jak u barana; nos przypominał orli dziób. Okrutna to była twarz i zasłużyła na okrucieństwo, z jakim ją potraktowałam.

Całe moje ciało opasywały niezliczone rzemieńce z pochwami, w których kryją się moje narzędzia i broń. Z najmniejszej pochewki wyciągnęłam wąski, ostry haczyk

osadzony na długiej rękojeści. Wepchnęłam go w otwarte usta Złego, wbiłam głęboko w zielone jabłko, a potem obróciłam i szarpnęłam. Przez sekundę poczułam opór, później jednak wyciągnęłam owoc, a wraz z nim kłęb różanych cierni. Opróżnione usta zamknęły się powoli. Widziałam tkwiące wewnątrz połamane zęby: sama strzaskałam je młotkiem, gdy wraz ze stracharzem i Tomem Wardem uwięziliśmy Złego. Wspomnienie to wciąż żyło w mej głowie i teraz oczyma duszy znów ujrzałam całą scenę.

\*

Bardzo długo czekałam na okazję skrepowania bądź zniszczenia Złego, mojego największego nieprzyjaciela. Już w dzieciństwie serdecznie go nie znosiłam: widziałam, jak subtelnie opanowuje mój klan, jak członkinie kręgu spełniają każdą jego zachciankę. Przez cały rok wypatrywały sabatu w wigilię Wszystkich Świętych, kiedy to odwiedzał nas najczęściej. Czasami pojawiał się w samym sercu ogniska; wówczas sięgały ku niemu, rozpaczliwie pragnąc dotknąć kudłatej skóry, nie zważając na płomienie, liżące nagie ręce.

Narastała we mnie instynktowna odraza, wrodzona nienawiść – i wiedziałam, że jeśli czegoś nie zrobię, Zły stanie się skazą na moim życiu, mrocznym cieniem, padającym na wszystko, co uczynię. Był przebiegły, subtelny i chytry, często powoli osiągał swe cele. Nade wszystko lękałam się, że jak wiele innych czarownic, które kiedyś mu się sprzeciwiały, w końcu i ja znajdę się pod jego urokiem. Tego bym nie zniosła, musiałam zatem coś zrobić, by nie wpaść w jego sidła.

I wiedziałam dokładnie co: istnieje jedyny pewny sposób, pozwalający czarownicy utrzymać Złego na dystans. To bardzo drastyczna metoda, lecz dzięki niej może uwolnić się na zawsze spod jego złowieszczej władzy. Raz jeden musi legnąć z nim w łożu i urodzić mu dziecko. Po tym, gdy Zły zbada potomka, nigdy już nie wolno mu się do niej zbliżyć – chyba że sama tego zechce.

Większość dzieci Złego to pomioty, ohydne stwory Mroku, obdarzone ogromną siłą. Inne wyrastają na potężne czarownice. Lecz nieliczne, bardzo nieliczne, rodzą się jako zwykli ludzie, nieskażeni złem. Wiedziałam, że ryzykuję – mogłam urodzić mroczną istotę, uznałam jednak, iż warto, byle tylko pozbyć się Złego.

Miałam niezwykle szczęście. Urodziłam pięknego, kruchego chłopczyka, doskonałego pod każdym względem.

Nigdy wcześniej nie zaznałam podobnej miłości. Gdy tuliłam jego ciepłe ciało przy swoim, tak ufne, całkiem zależne ode mnie, czułam się cudownie – to była rozkosz większa niż cokolwiek, o czym śniłam. Nigdy nie wyobrażałam sobie i nie oczekiwałam

podobnego szczęścia. To małe dziecko mnie kochało, a ja kochałam je. Zawdzięczało mi życie i po raz pierwszy byłam naprawdę szczęśliwa. Lecz na tym świecie podobne szczęście rzadko trwa długo.

Dobrze pamiętam noc, gdy moje się skończyło. Słońce właśnie zaszło, był ciepły letni wieczór, wyszłam zatem do ogrodzonego murem ogrodu na tyłach mojej chaty, tuląc w ramionach dziecko i nucąc mu cicho kołysankę. Nagle nad moją głową zajaśniała błyskawica, poczułam drzenie ziemi pod stopami. Choć od pewnego czasu spodziewałam się odwiedzin Złego, nagle pojęłam, że zaraz przybędzie i serce ścisnęło mi się strachem. Jednocześnie jednak ucieszyłam się, bo wiedziałam, że kiedy ujrzy swego syna, odejdzie i nigdy już nie będzie mnie mógł odwiedzić. Pozbędę się go do końca życia.

Wcześniej Zły zawsze objawiał mi się jako przystojny młodzieniec o ciemnych kręconych włosach, błękitnych oczach i ustach, których kąciki unosiły się często w ciepłym, przyjaznym uśmiechu. Przybiera jednak wiele postaci, tym razem pojawił się w tej, którą czarownice z Pendle nazywają „Jego Złowieszczą Wysokością”; ma ona budzić strach i grozę.

Zmaterializował się bardzo blisko miejsca, w którym stałam, i kiedy twarz omiótł mi jego cuchnący oddech, z trudem powstrzymałam mdłości. Był wielki – trzykroć wyższy ode mnie – miał zakrzywione baranie rogi, a olbrzymie nagie ciało porastały zlepione potem czarne kudły. Gdy tylko się pojawił, z wściekłym rykiem chwycił swego niewinnego synka i uniósł wysoko, gotów roztrzaskać go o ziemię.

– Proszę! – błagałam. – Nie krzywdź go. Zrobię wszystko, ale proszę, daruj mu życie. Zamiast tego weź moje!

Zły nawet na mnie nie spojrzał. Przepełniała go wściekłość i okrucieństwo. Strzaskał kruchą główkę dziecka o kamień. A potem zniknął.

Długi czas szalałam z rozpacz. Później jednak, po wielu dniach i bezsennych nocach ciągnących się niemiłosiernie, w mojej głowie pojawiła się myśl o zemście. Czy to możliwe? Czy zdołam zniszczyć Złego?

Niemożliwe czy nie, taki właśnie cel sobie obrałam i tylko on pozwolił mi żyć dalej.

Zaledwie miesiąc temu częściowo go osiągnęłam. Zły nie został zniszczony, ale przynajmniej na jakiś czas uwięziony. Dokonałam tego z pomocą starego stracharza, Johna Gregory'ego, i jego młodego ucznia, Thomasa Warda. Przebiliśmy Złego srebrnymi włóczniami, a potem przyszpiliśmy mu dłonie i stopy do skały w głębokiej jamie w Kenmare, w południowozachodniej Irlandii. Tam właśnie zostało pogrzebane jego ciało.

Nadal z radością wspominam ową chwilę naszego zwycięstwa. Zły stał na czworakach,

szarpiąc głową niczym wściekły byk i rycząc z bólu. Przyłożyłam pierwszy gwóźdź do jego lewej dłoni, trzy razy uderzyłam szeroką główkę młotkiem, przebijając ciało i przytwierdzając wielką włochatą łapę do skały. Jednak skupiona na swym zadaniu, zapomniałam o ostrożności. Wówczas to o mało nie zginęłam.

Zły przekręcił łeb, szeroko otworzył usta i szarpnął się ku mnie, jakby chciał odgryźć mi głowę. Uniknęłam jednak śmiercionośnych szczęk i zamachnąwszy się młotkiem, rąbnęłam mocno, roztrzaskując jego przednie zęby na kawałki i pozostawiając jedynie zakrwawione pieńki. Niewiele rzeczy w życiu sprawiło mi podobną satysfakcję!

Potem Tom Ward użył Miecza Losu, podarowanego mu przez Cuchulaina, największego z nieżyjących bohaterów Irlandii. Dwoma potężnymi ciosami uczeń stracharza przeciął szyję Złego, a ja zabrałam ze sobą odrąbaną głowę.

\*

Póki głowa i ciało nie złączą się ze sobą, diabeł pozostaje uwięziony. Lecz jego mroczni słudzy wciąż mnie ścigają. Chcą złączyć głowę z ciałem, wyciągnąć gwoździe i srebrne włócznie, by znów mógł swobodnie krążyć po świecie.

Aby do tego nie dopuścić, pozostaję w ruchu; jednocześnie zyskuję na czasie, tak by stracharz i jego uczeń mogli odkryć sposób pozwalający ostatecznie zniszczyć Złego bądź odesłać go w Mrok. Nie mogę jednak uciekać wiecznie, moja siła nie jest niewyczerpana. Poza tym w mojej naturze leży walka, nie ucieczka. W tym konflikcie nie zdołam zwyciężyć – przeciwników jest zbyt wielu: zbyt wielu potężnych mieszkańców Mroku, by mogła ich pokonać nawet wiedźma zabójczyni klanu Malkinów.

– Jak dobrze jest mieć cię w mojej władzy! – powiedziałam Złemu, siedząc przed nim.

Przez moment odcięta głowa nie odpowiedziała, potem jednak usta otworzyły się powoli i po brodzie pociekła strużka krwawej śliny.

– Rozpruj mi powieki! – ryknął basem. Jego wargi poruszyły się, lecz słowa zdawały się dobiegać z ziemi pod nami.

– Niby czemu? Gdybyś widział, poinformowałbyś swoje sługi, gdzie mnie znaleźć. Poza tym twoje cierpienie mnie cieszy.

– Nie wygrasz, wiedźmo! – warknął, odsłaniając połamane zęby. – Jestem nieśmiertelny, przetrwam dłużej niż sam czas. Pewnego dnia umrzesz, a wówczas będę czekał. Po tysiącokroć odpłacę ci za to, co mi zrobiłaś. Nie wyobrażasz sobie męczarni, jakie cię czekają.

– Posłuchaj, głupcze. Słuchaj mnie dobrze! Nie rozważam dawnych klęsk, nie sięgam też myślami w przyszłość dalej, niż to konieczne. Żyję chwilą, interesuje mnie

teraźniejszość. A ty przebywasz w niej, uwięziony przeze mnie. Teraz to ty cierpisz. Podlegasz mojej władzy!

– Silna jesteś, wiedźmo – odparł cicho Zły. – Ale teraz ściga cię coś silniejszego i groźniejszego od ciebie. Twoje dni są policzone.

Nagle wszystko wokół ucichło i znieruchomiało. Wzmianka o czasie podsunęła mi pomysł kolejnej próby czegoś, co usiłował osiągnąć bez powodzenia, kiedy poprzednio wyciągnęłam go z worka. Zły dysponuje zdolnością spowalniania bądź zatrzymywania czasu – choć rozłączenie z ciałem ograniczyło jego zwykle moce. Jednakże wolałam nie ryzykować. Wepchnęłam mu w usta okręcone ciernistymi gałązkami jabłko, a potem przekręciłam haczyk i wyciągnęłam.

Twarcz Złego wykrzywił bolesny grymas, pod zaszytymi powiekami ujrzałam oczy wybałuszające się w spazmie cierpienia. Znów jednak usłyszałam szmer wietrzyku wśród liści nad głową. Czas płynął dalej. Niebezpieczna chwila minęła.

Z powrotem schowałam głowę do skórzanego worka, wbiłam wzrok w liściastą ciemność i skupiłam się. Jedno szybkie pociągnięcie nosem potwierdziło, że nadal jestem tu bezpieczna. W zagajniku porastającym wierzchołek wzgórza, tak idealnie położonym, nie czaiło się nic groźnego. Moi nieprzyjaciele nie mogli podejść niepostrzeżenie.

Stopniowo liczba prześladowców rosła, zgubiłam ich jednak późnym wieczorem, a wkrótce potem sięgnęłam do resztek mojej cennej magii, by się nią osłonić. Musiałam korzystać z zapasów oszczędnie, bo były już na wyczerpaniu. Teraz dochodziła północ, zamierzałam tu odpocząć i odzyskać siły, śpiąc aż do świtu.

\*

Jakiś czas potem ocknęłam się nagle, wyczuwając niebezpieczeństwo. Ścigający wspinali się na wzgórze, zmierzając ku mnie; rozproszyli się tak, by okrążyć cały las.

Jak to możliwe? Dobrze się zamaskowałam: nie powinni mnie byli odnaleźć. Zerwałam się z ziemi i zarzuciłam na ramiona skórzany worek. Zbyt długo uciekałam. Teraz, w końcu, nadszedł czas walki. Myśl ta dodała mi ducha. Po to właśnie żyłam: by sprawdzać siły w starciu z wrogiem, walczyć i zabijać.

Ilu ich było? Przesunęłam palcami po kościach kciuków w moim naszyjniku i zacerpnęłam z nich magiczną moc, a potem posłałam myśli w ciemność.

Otaczało mnie dziewięć istot. Powęszyłam trzy razy, aby dowiedzieć się czegoś więcej. Dalej, niemal milę od wzgórza, wyczułam innych – może dwudziestu. Coś mnie zaskoczyło, znów powęszyłam. W dużej grupie pojawił się ktoś nowy, ktoś bądź coś, czego nie potrafiłam rozpoznać. Coś dziwnego. Co to takiego?

Przypomniałam sobie słowa Złego: „coś silniejszego i groźniejszego od ciebie”. Czy to właśnie miał na myśli? Może i tak, lecz chwilowo mogłam zapomnieć o większej grupie. Najpierw musiałam się rozprawić z bliższym zagrożeniem, zaczęłam zatem oceniać, jak wielkie niebezpieczeństwo stanowi owa dziewiątka.

Naliczyłam wśród niej siedem czarownic. Co najmniej jedna z nich należała do najwyższej klasy i posługiwała się magią pobratymców. Być może tak właśnie mnie znaleźli. Czarownica mogła wybrać sobie na pobratymca dowolną istotę, od ropuchy aż po orła. Czasami decyduje się nawet na potężnego stwora z Mroku, choć nad nimi trudno zapanować. Możliwe zatem, że pobratymiec zdołał odnaleźć mój ślad, mimo spowijającego mnie płaszcza magii.

Wyczułam też, że jeden z członków grupy wspinającej się na wzgórze to pomiot – dziewiąty zaś to człowiek, mroczny mag.

Łatwo było uciec, idąc po linii najmniejszego oporu. Dwie z czarownic to młódki, ledwie nowicjuszki. Mogłam po prostu przebić się przez krąg między nimi i umknąć w ciemność. Ale tak nie postępuję. Musiałam im przypomnieć, kim jestem. Posłać wyraźną wiadomość wszystkim, którzy mnie ścigają, że mają do czynienia z Grimalkin, wiedźmą zabójczynią klanu Malkinów. Uciekałam tak długo, że przestali mnie szanować. Znów musiałam nauczyć ich strachu. Zawołałam zatem w dół ku moim wrogom:

– Jestem Grimalkin i mogłabym wymordować was wszystkich! Ale zabiję tylko trójkę – tę najsilniejszą!

Nikt nie odpowiedział, lecz las wokół jakby wstrzymał oddech. Oto cisza. Ja byłam burzą.

\*

Teraz dobywam dwóch noży. W lewej dłoni ściskam długą klingę, która służy do walki wręcz; w prawej sztylet do rzucania. Wrogowie dotarli już do linii drzew, schodzę zatem ze wzgórza, wychodzę im na spotkanie. Najpierw zabiję maga, potem pomiota i w końcu wiedźmę z pobratymcem, najsilniejszą z nich wszystkich.

Stąпам powoli, starając się nie hałasować. Niektórym z moich wrogów brak podobnych umiejętności albo może po prostu są nieostrożni. Mam doskonały słuch i moje uszy wychwytyją odległe trzaski gałązek bądź słaby szelest spódnicy wśród poszycia. Zająwszy pozycję ponad magiem, zatrzymuję się. To tylko człowiek, najłatwiej będzie go pokonać spośród wybranej przeze mnie trójki. Mimo to bez wątplenia dysponuje mocą większą niż sześć zbliżających się czarownic. Wiedźma zabójczyni nie może sobie pozwolić na niedocenianie przeciwnika. Zabiję go szybko, potem zajmę się następnym.



Spinam się niczym ostra metalowa sprężyna i skupiam na ataku, szukając maga, przenikając ciemność bystrymi oczami. To jeszcze młodzieniec, choć jednak dysponuje silną magią, fizycznie jest słaby i otyły. Dyszy ciężko po wspinacze. Rzucam się do działania. Po trzech szybkich krokach, nie zwalniając biegu, ciskam sztyletem. Ostrze trafia maga prosto w serce. Mężczyzna pada do tyłu, ginie, nie zdążywszy nawet krzyknąć. Jego magiczna osłona okazała się zbyt słaba.

Następny cel to pomiot. Widzę go: wielki, o szeroko osadzonych oczach i ostrych żółtych kłach, sterczących nad górną wargą. Podobne stwory, dzieci Złego i czarownicy, dysponują ogromną siłą, trzeba zatem zachowywać bezpieczną odległość, atakując z daleka. Jeśli chwycą nas w objęcia, mogą rozszarpać na kawałki. Każdy pomiot to brutalny osiłek, moralnie zepsuty, najgorsi bywają zdolni do wszystkiego. Gdyby moje dziecko okazało się podobnym potworem, utopiłabym je tuż po urodzeniu.

Pędzę ku niemu ile sił w nogach, wyciągając ze skórzanej pochwy kolejny nóż. Rzucam bezbłędnie i trafiłabym go w gardło, okazuje się jednak, że jest chroniony. Czarownice wzmocniły go swą mocą, tworząc blokady, które odbiły klingę. Nóż odlatuje na bok, a pomiot rzuca się ku mnie, rycząc wściekle, w jednej dłoni dzierży wielką pałkę, w drugiej zębata włócznię. Wymachuje pałką i dźga włócznią. Ja jednak odskakuję, zanim zdoła mnie dosięgnąć.

Ciężki worek obija mi się o plecy, gdy znów zmieniam kierunek biegu. A potem długą klingą przecinam gardło pomiota; pada na ziemię dławiąc się, z rany na szyi tryska strumień krwi. Wciąż nie zwalniając, biegnę dalej.

Teraz muszę zająć się trzecim przeciwnikiem – czarownicą z pobratymcem.

Biegnę z lewej, z lewą, groźniejszą ręką od strony zbocza i wciąż zmierzających ku mnie pozostałych czarownic. Atakuje mnie wiedźma, lecz nie ta, której szukam. Uderzam ją w twarz ręką noża i upada. Przeżyje, ale bez przednich zębów.

Potężna czarownica wyczuła już mój atak. Obraca się ku mnie, posyłając wprost w me serce zatrute włócznie mrocznych czarów. Odtrącam je i kieruję się wprost ku niej. Słyszę łopot skrzydeł, coś opada mi na twarz z rozpostartymi szponami. To mały sokół – pustułka. Unoszę gwałtownie klingę, sokół wrzeszczy, pióra sypią się na mnie niczym zbryzgany krwią śnieg.

Kiedy jej pobratymiec ginie, wiedźma krzyczy; krzyczy ponownie, gdy ranię ją po raz pierwszy. Drugi cios pozbawia ją życia i słyszę już tylko uderzenia własnych stóp o ziemię i świst oddechu, kiedy przyspieszam, zbiegając ze wzgórza i zrzucając osłonę drzew.

Pędzę na wschód, pozostawiając nieprzyjaciół z ich martwymi towarzyszami. Biegając, odtwarzam w myślach wydarzenia ostatnich chwil. Zabójczyni zawsze musi oceniać zarówno swe zwycięstwa, jak i klęski; musi czerpać naukę z przeszłości.

Ponownie zastanawiam się, w jaki sposób mnie odnaleźli. Czarownica była potężna, lecz za pobratymca miała tylko małą pustułkę. Ich połączona magia nie mogła przebić płaszcza, który utkałam wokół siebie. Nie, musiało to sprawić coś innego.

I co to za dziwna istota, zbliżająca się ku mnie wraz z większą grupą prześladowców? Czy to ona mnie odkryła? Jeśli tak, musi być potężna. I to coś, z czym nigdy dotąd się nie zetknęłam. Coś nowego.

Mądrze jest strzec się nieznanego. To właśnie nowe i nieznanne zwiększa zagrożenie. Wkrótce jednak tamten stwór zginie. Jak mógłby liczyć na to, że mnie pokona? Jestem Grimalkin.

## ROZDZIAŁ 2

### NIEZNANE ZAGROŻENIE

*Każdego dnia powtarzaj sobie, że jesteś najlepsza, najsilniejsza i najniebezpieczniejsza.*

*Z czasem sama zaczniesz w to wierzyć.*

*I w końcu tak się stanie.*

*Tak było ze mną.*

*Jestem Grimalkin.*

Tuż przed świtem odpoczęłam godzinę, napiłam się zimnej wody ze strumienia i przelknęłam kilka ostatnich kęsów suszonego mięsa. Tak posilona, mogłam zacząć dzień.

Nie miałam już prawie żadnych zapasów, potrzebowałam świeżej strawy, by nie stracić sił. Łatwo byłoby schwytać królika, prześladowcy jednak nadal mnie ścigali, nie mogłam sobie pozwolić na dłuższą chwilę odpoczynku. Większość nieprzyjaciół pozostała dwie mile z tyłu, lecz jeden wysforował się przed grupę i zbliżał coraz bardziej. Był to nieznan stwór, którego pierwszy raz wywęszyłam w lasku.

Poruszał się szybciej niż ja. Choć nie wiedziałam, co grozi mi z jego strony, wkrótce będę musiała się zatrzymać i stawić mu czoło. Najpierw jednak spróbuję dowiedzieć się czegoś więcej. Wyjęłam zatem z futerału na ramieniu niewielkie lusterko, wymamrotałam zaklęcie i chuchnęłam na szklaną taflę.

Po sekundzie w lustrze pojawiła się twarz. Należała do Agnes Sowerbutts. Agnes, choć pochodzi z Deane'ów, nie darzy swego klanu zbyt wielką miłością. Jakiś czas mieszkała z dala od Pendle i pomagała mi już wcześniej. Łączy nas pewna więź – wspólnota interesów. Agnes Sowerbutts jest ciotką Alice Deane, bliskiej przyjaciółki Toma Warda, ucznia stracharza.

Znakomicie umie posługiwać się lustrem. Niewiele czarownic może jej dorównać, jeśli chodzi o odnajdywanie ludzi, przedmiotów i istot z Mroku. Trzyma się jednak na uboczu i tylko nieliczni wiedzą, że jest również potężną widzącą – znacznie lepszą niż Martha Ribstalk, największa widząca Malkinów, obecnie już nieżyjąca.

Było zbyt ciemno, by Agnes mogła odczytać słowa z ruchu moich warg, chuchnęłam zatem na lustro i wyraziłam swą prośbę, pisząc na jego powierzchni. Chciałam dowiedzieć się czegoś o ścigającym mnie stworze.

Co mnie ściga?

Co się wydarzy, kiedy się spotkamy?

Możesz mi pomóc?

Wytałam lustro. Agnes jedynie uśmiechnęła się i przytaknęła. Uczyni, co w jej mocy.

Pobiegłam zatem dalej, starając się utrzymać stały dystans między sobą i prześladowcą. Przy każdym kroku skórzany worek obijał mi się o plecy. Zdawało się, że głowa Złego z każdą godziną ciąży mi bardziej. Bez wątpienia mnie spowalniała. Ścigający nie ustępował, doganiając mnie stopniowo. Fakt ten bynajmniej mnie nie zmartwił. Nie zachwycała mnie ucieczka. Nie mogłam się już doczekać chwili, gdy stanę do walki.

Nadszedł świt, a wraz z nim szare niebo i mroźna mżawka, chłuszcząca mi twarz. Po jakiejś godzinie poczułam, że lustro porusza się w futerale. Agnes próbowała nawiązać kontakt, zatrzymałam się zatem pod osłoną rozłożystego drzewa, wyciągnęłam lustro i ujrzałam w nim twarz Agnes. Była to miła twarz o krągłych policzkach i pulchnym podbródku, lecz wystarczyło spojrzeć jej w oczy, by pojąć, że to dzielna kobieta, której nie wolno lekceważyć.

Nazywa się Sowerbutts, bo wyszła za mąż za mężczyznę z Whalley i opuściła Roughlee, wioskę Deane'ów. W dziesięć lat później jej mąż zmarł i Agnes wróciła do domu, tym razem jednak zamieszkała w domku na obrzeżach wsi. Choć nie mieszkała się w sprawie klanu, wiedziała o nich wszystko. Niewiele rzeczy w Pendle umykało uwadze Agnes i jej lusterka.

Teraz obdarzyła mnie powitalnym uśmiechem, lecz nim jeszcze przemówiła, dostrzegłam w jej oczach ostrzeżenie. Wiedziałam, że nie ma dla mnie dobrych wieści. Skupiłam się, wbijając wzrok w jej wargi, by odczytać, co do mnie mówi.

– To, co cię ściga, to krecz. Stworzył go sojusz czarownic, pomiotów i magów, wyłącznie po to, by cię odnalazł i zabił. Jego matka to wilczyca, ojcem był demon.

– Znasz może jego imię?

Wiedza ta miała kluczowe znaczenie. Musiałam się dowiedzieć, jaką mocą dysponuje krecz. Z pewnością był podobny do wilka, lecz najważniejsze będą dary odziedziczone po ojcu. Mój własny klan, Malkinowie, także tworzył krecze. Ostatniego nazwaliśmy Tibb. Miał nam posłużyć do zniweczenia rosnącej mocy widzącej z klanu Mouldheelów. Krecze zazwyczaj powołuje się do życia w konkretnym celu. Ten miał zabić mnie.

Agnes pokręciła głową.

– Przykro mi – wymówiła bezgłośnie. – Informacje te skrywa silna magia. Ale jeszcze spróbuję.

– Tak, będę wdzięczna. A czy wejrzałaś też w przyszłość? Czy zobaczyłaś wynik mojej walki z kreczem?

– Jeśli wkrótce staniesz do walki, odniesiesz śmiertelną ranę. To jest pewne – poinformowała Agnes z ponurą miną.

– A jeśli opóźnię starcie?

– Wynik jest mniej jasny. Lecz twoje szanse przetrwania rosną wraz z upływem czasu.

Podziękowałam jej, schowałam lusterko i ponownie ruszyłam biegiem, starając się wyprzedzić krecza. W głowie odtwarzałam słowa Agnes. Fakt, że mam do czynienia z kreczem, przekonał mnie, bym unikała go jak najdłużej. Podobne stwory nie żyją zbyt długo. Wiedziałam, że szybko się zestarzeje, po co zatem walczyć z nim, gdy jest w pełni sił. Nie mogłam dopuścić, by głowa Złego wpadła w łapy jego sług. To ważniejsze niż rosnące pragnienie, by walczyć z wrogiem.

Wierzyłam w moc postrzegania, lecz nie zawsze widzące przepowiadają prawdę. Czasami, choć rzadko, zdarza się, że się mylą.

\*

Pamiętam pierwszą wizytę u widzącej, Marthy Ribstalk. Zamiast lustra spoglądała w parę nad pełnym krwi kotłem, w którym gotowała kości kciuków i palców, by pozbawić je martwego ciała. W owym czasie była najpotężniejszą adeptką tej odmiany mrocznych sztuk.

Tak jak ustaliłyśmy, odwiedziłam ją godzinę po północy. Ribstalk zdążyła już wypić

krw wroga i odprawić niezbędne rytuały.

– Przyjmiesz moje pieniądze? – spytałam ostro. Spojrzała na mnie z pogardą, lecz przytaknęła, toteż wrzuciłam jej do kotła trzy monety.

– Siadaj – poleciła surowo, wskazując zimne kamienne płyty przed bulgoczącym kotłem.

W powietrzu wisiała ciężka woń krwi, z każdym oddechem metaliczny posmak na języku stawał się odczuwalny coraz wyraźniej.

Posłusznie usiadłam, krzyżując nogi, i spojrzałam na nią przez kłęby pary. Ona sama wciąż stała po drugiej stronie kotła, tak że jej ciało górowało nad moim – taktyki tej często używają ludzie, pragnący dominować nad innymi. Ja jednak nie dałam się onieśmielić i spokojnie patrzyłam jej w oczy.

– Co widzisz? – spytałam beznamiętnie. – Jaka jest moja przyszłość?

Ribstalk długi czas milczała. Wyraźnie czerpała przyjemność z tego, że każe mi czekać. Chyba zirytowało ją, że zadałam pytanie, miast cierpliwie wysłuchać tego, co postrzegła.

– Wybrałaś sobie wroga – oznajmiła w końcu. – Zły to najpotężniejszy wróg, z jakim może zmierzyć się śmiertelnik. Wynik tego starcia powinien być oczywisty. Zły nie ma do ciebie dostępu, jeśli tego nie zechcesz, ale będzie czekać na twą śmierć, a potem pochwyci duszę i podda wiekuistym torturom. Jest jednak coś jeszcze, coś, czego nie widzę wyraźnie. Niepewność... Inna moc, która może się wtrącić. Dla ciebie to isierka nadziei...

Zawiesiła głos, postąpiła krok naprzód i spojrzała w kłęb pary. Ponownie zapadła długa cisza.

– Jest ktoś jeszcze. Niedawno zrodzone dziecko...

– Co to za dziecko? – wtrąciłam.

– Nie widzę go wyraźnie – przyznała Martha Ribstalk. – Ktoś kryje je przed moim wzrokiem. A co do ciebie, nawet z jego pomocą jedynie ktoś świetnie władający bronią mógłby przeżyć, mając za wroga Złego. Tylko ktoś obdarzony szybkością i bezwzględnością więdzmy zabójczyni. Jedyne najpotężniejsza ze wszystkich zabójczyń, bardziej mordercza nawet od Kernolde, zdołałaby tego dokonać. Nikomu innemu się nie uda. Na co zatem możesz liczyć ty? – zadrwiła.

W owym czasie Kernolde była zabójczynią Malkinów, mocarną kobietą o niezwyklej sile i szybkości, która zabiła dwadzieścia siedem kandydatek, próbujących ją zastąpić – po trzy każdego roku, nastał bowiem właśnie dziesiąty rok jej panowania.

Wstałam i uśmiechnęłam z góry do Marthy.

– Zabiję Kernolde i zajmę jej miejsce. Zostanę wiedźmą zabójczynią Malkinów. Najpotężniejszą z nich wszystkich.

Odwrociłam się i odeszłam, żegnana szyderczym chichotem widzącej. Lecz nie były to czcze przechwałki. Wiedziałam, że aby pokonać Złego, będę musiała nauczyć się jeszcze lepiej walczyć i zostać zabójczynią klanu Malkinów. A potem zawiązać sojusz z nieznanym mi dzieckiem.

W końcu poznałam jego imię i nazwisko.

Tom Ward.

\*

Biegłam dalej, starając się przyspieszyć kroku. Mżawka zamieniła się w ulewę, siekącą mi twarz i przemaczającą do suchej nitki.

Gdy tak biegłam, zastanawiałam się nad sztuką widzenia. Zwykle czarownica posługuje się w niej lustrem, niektóre jednak zapadają w głęboki trans i oglądają urywki przyszłości w snach. Inne rzucają kości na północny wiatr i patrzą, w jakim ułożeniu wylądują. Można też rozpruć truchło martwego zwierzęcia i obejrzeć jego wnętrze. Lecz spoglądanie w przyszłość to sztuka niepewna, choć wiele widzących twierdzi inaczej. Zawsze kryje się w niej element przypadku. Nie wszystko da się przewidzieć – a czarownica nigdy nie potrafi ujrzeć własnej śmierci: kto inny musi to zrobić za nią.

Nie przepadałam za Martha Ribstalk, była jednak dobra w tym co robiła i po owym pierwszym spotkaniu wiele razy zasięgałam jej rady. Podczas ostatniej rozmowy przepowiedziała czas i sposób mojej śmierci – upierała się, że nadejdzie za wiele lat, ale nie mogłam na tym polegać. Czas biegnie różnymi ścieżkami: być może skręciłam już w tę, która unieważniała prorocstwo. Jeśli tak, wiem dokładnie, w którym miejscu.

Sprzymierzyłam się z Johnem Gregorym i Thomasem Wardem. Zdecydowałam się posłużyć własnymi mrocznymi mocami do walki z Mrokiem i do zniszczenia Złego. To mogło odmienić wszystko.

Teraz zaczęłam się wspinać i zwolniłam nieco. Dotarłam na szczyt wzgórza i obejrzałam się w stronę prześladowcy. Przykucnięta nisko, by krecz nie dostrzegł mojej sylwetki na tle nieba, nie mogłam się już doczekać chwili, gdy ujrzę go po raz pierwszy.

Nie musiałam czekać długo. Wkrótce zobaczyłam, jak bestia stworzona przez mych wrogów wylania się z kępy jaworów i przeskakuje przez rów, po czym znika w żywopłocie. Widziałam ją zaledwie przez sekundę, lecz to wystarczyło, bym pojęła, że mam do czynienia z czymś niebezpiecznym i śmiertelnie groźnym. Tak jak

podejrzewałam, z daleka krecz przypominał olbrzymiego wilka. Wyglądało na to, że biegnie na czterech łapach, porastało go czarne futro, na grzbiecie mieniące się srebrem. Potem jednak pojęłam, że dwie przednie łapy to w istocie potężne muskularne ręce. Stworza zaprojektowano do walki i zabijania. Miał tylko jeden cel – moją śmierć.

W walce będzie szybki i bardzo silny. Ręce upodabniały go do pomioty – mogły miażdżyć kości i odrywać członki. Bez wątpienia miał zatrute zęby i szpony. Jedno ugryzienie, nawet zadrapanie mogło wystarczyć, by sprowadzić na mnie powolną, bolesną śmierć. Może to właśnie miała na myśli Agnes Sowerbutts, wspominając o groźbie „śmiertelnej rany”.

Instynkt nakazywał mi zawrócić i stanąć do walki, załatwić sprawę raz na zawsze i zabić krecza. Duma podpowiadała to samo. Chciałam sprawdzić się w pojedynku. Dowieść, że jestem silniejsza i lepsza od wszystkiego, co mogą posłać przeciw mnie.

Och, panie Wilku! Czy jesteś gotów na śmierć? Lecz gra toczyła się o stawkę wyższą niż moje przeżycie i duma. W bitwie często ważną rolę odgrywa przypadek. Na ukrytym w trawie kamieniu można skręcić kostkę; wróg mniej zręczny ode mnie może szczęśliwie zadać morderczy cios. Zdarzało się już, że zabójczynie Malkinów ginęły w ten sposób – pokonane przez słabszych przeciwników. Bardzo trudno mi było wyobrazić sobie, bym w jakichkolwiek okolicznościach mogła ponieść klęskę, gdybym jednak przegrała, głowa Złego wpadłaby w ręce nieprzyjaciół i wkrótce znów krążyłby swobodnie po ziemi.

Przyrzekłam ochronić głowę Złego przed jego sługami, toteż mimo żądzy walki postanowiłam uciekać, tak długo, jak tylko zdołam.

## ROZDZIAŁ 3

### TY KRWAWISZ

*Spójrz – ty krwawisz! Może jesteś bliska śmierci.*

*Co za straszny ból! Teraz wróg zbliża się, gotów odebrać ci życie.*

*Czy to już koniec? Czy wreszcie cię pokonano?*

*Nie! Dopiero zaczęłaś walczyć!*

*Wierz mi, ja to wiem.*

*Jestem Grimalkin.*

Gdy tak biegłam, raz jeszcze rozważyłam w myślach wszystkie możliwości.

Na walkę przyjdzie czas, teraz muszę uciekać.

W którą stronę powinnam się udać? Jak dotąd nie planowałam swojej trasy.

Po długiej, pełnej meandrów wędrówce przez Irlandię bezpiecznie przeprowiłam się z jej wschodniego wybrzeża do Hrabstwa, zastraszając samotnego rybaka. Po podróży większość z czarownic z Pendle zabiłaby go i zabrała mu krew bądź kciuki. Lecz ja, najniebezpieczniejsza z nich wszystkich, darowałam mu życie.

– Nigdy nie znajdziesz się bliżej nagłej śmierci niż przez ostatnich kilka godzin – powiedziałam do niego, zeskakując na ląd w Hrabstwie. – Wracaj do swojej rodziny, żyj długo i szczęśliwie.

Czemu tak się zachowałam? Moi wrogowie uznaliby to za słabość, dowód, że robię się miękka i gotowa do zastąpienia – że nie nadaję się już na wiedźmę zabójczynię klanu Malkinów. Jakże by się mylili! On mi nie zagrażał. Kiedy zabija się tak często jak ja, człowiek zaczyna się męczyć odbieraniem życia – zwłaszcza łatwym. Poza tym rybak błagał. Opowiadał mi o swej żonie, niedorosłych dzieciach, codziennych zmaganiach, by uchronić je przed głodem. Twierdził, że bez niego umrą. Wypuściłam go zatem i ruszyłam swoją drogą.

Dokąd powinnam udać się teraz? Mogłabym ruszyć na północ, do krainy nieprzyjaznych wodnych wiedźm, krążących wśród wzgórz i jezior, lecz owe oślizgłe bandy wiernie służyły Złemu. Było też południe, tam jednak czaiło się inne niebezpieczeństwo. Wojska, które najechały Hrabstwo, dopiero niedawno zostały odparte w tamtym kierunku. Niemądrze byłoby skierować się ku nim.

Aby uchronić głowę przed wpadnięciem w łapy sług Złego, musiałam pozostawać w ruchu, ale potrzebowałam też odpoczynku. Istniało tylko jedno miejsce, w którym nie spodziewaliby się mnie prześladowcy. Mogłam wrócić do Pendle, siedziby mojego klanu. Czekali tam na mnie zarówno przyjaciele, jak i wrogowie. Niektóre czarownice uradowałyby się, gdyby Zły zaczął krążyć swobodnie po świecie, inne wolałyby go zniszczyć bądź odesłać w Mrok. Tak, ruszę do Pendle – w miejsce, gdzie będę mogła się schronić i odpocząć, odzyskać siły, uzupełnić magiczne zapasy. Wieżę Malkinów, niegdyś twierdzę mego klanu, obecnie zajęły dwie dzikie lamie – „siostry” nieżyjącej matki Toma Warda.

Czy mnie wpuszczą? Były nieprzyjaciółkami Złego, może zatem zdołam je przekonać, by udzieliły mi schronienia.

Warto było spróbować, skręciłam zatem i pobiegłam wprost ku Pendle.

\*



Jednakże na długo, nim tam dotarłam, pojęłam, że najpierw będę musiała stanąć do walki z kreczem. Nie miałam wyboru. Lepiej zawrócić i stawić czoło nieprzyjacielowi, niż dać się powalić od tyłu. Dalsza ucieczka nie wchodziła w grę – stwora oddzielało ode mnie zaledwie sto jardów i zbliżał się szybko.

Na myśl o walce serce zabiło mi mocniej. To dla niej żyłam...

Przystanąłam na szczycie niewielkiego wzniesienia i obejrzałam się. Krecz przeprawił się właśnie przez wąską dolinkę i zaczął wbiegać na zbocze, czarne futro lśniło od deszczu. Spojrzał mi w oczy i dostrzegłam w nich nie tylko zapał. Rozpaczliwie pragnął zatopić we mnie kły, rozdrzeć moje ciało, rozgryźć kości. Tylko po to żył i desperackie pragnienie zwycięstwa doda pieprzyku naszemu pojedynkowi.

Położyłam worek na ziemi. Nie chciałam zostawiać go nawet na chwilę bez ochrony, ale wiedziałam, że bez obciążenia będę walczyć lepiej. Teraz musiałam zrobić wszystko jak należy – najlepiej, jak potrafię. Mój atak musi przebiec doskonale. Będę potrzebowała nie tylko umiejętności walki, ale i magii.

Sięgnęłam do naszyjnika i zaczęłam kolejno dotykać kości kciuków, z lewej do prawej. Gdy mnich przesuwając palcami po paciorkach różańca, wspomaga swą pamięć, odmawiając modlitwy; mój rytuał to recytowanie zaklęć i wciąganie w głąb ciała mocy ukrytej w kościach. Każda pochodziła z ciała wroga zabitego w walce. Każdą wygotowałam starannie, póki mięso nie odeszło od kości.

Wstępne zaklęcia – zaklęcia tworzenia – należy wyrecytować dokładnie, z idealną intonacją. Jeśli odmówi się je jak należy, kości wypływają na powierzchnię cieczy i tańczą wśród bąbelków, jakby pragnęły wyskoczyć. Każdą wyciąga się gołą ręką mimo bólu, nie może upaść na ziemię. Potem przewierca się i dodaje do naszyjnika.

Im silniejszy nieprzyjaciel, tym większa moc ukryta w jego kości. Lecz moc owa nie jest nieskończona. Po jej wyczerpaniu kość trzeba zastąpić.

Najpierw dotknęłam kciuka Janet Fox: była silna, walczyłyśmy dwie godziny w promieniach popołudniowego słońca. Zacerpnęłam z niej resztki mocy; teraz będę musiała zastąpić kość nową. Kości Lydii Yellowtooth nie opróżniłam do końca. Lydia walczyła subtelnie – potrzebowałam nieco jej subtelności, uznałam jednak, że porcję zachowam na później. Dotykałam zatem dalej, wybierając kciuki. W końcu zebrałam to, czego potrzebowałam.

Byłam gotowa.

\*

Pędzę w stronę krecza, ile sił w nogach. Z każdym krokiem rozsądna, rozważna część

mego umysłu ostrzega, jak trudno będzie zwyciężyć. Stwór jest znacznie większy, niż oceniałam. Choć z kształtów przypomina wilka, rozmiarami przewyższa małego konia. Prócz muskularnych rąk o palcach zakończonych długimi szponami, na jego kudłatym ciele dostrzegam wypukłości. Nie są to skórzane pasy i pochwy; tworzy je jego ciało, ze środka wystaje różnego rodzaju broń.

Ja jednak dysponuję instynktem wojowniczką i wielką wiarą w siebie. Nieważne, jakie mam szanse, i tak zwyciężę. Jestem Grimalkini

Nie zwalniając kroku, nakazuję sercu przestać bić. To sztuka, którą ćwiczyłam przez wiele długich lat. Moja krew cichnie, nie pulsuje, nie przepływa mocniej, przeszkadzając mi w celnym rzucie. Dobywam z pochwy noża i ciskam wprost w głowę stwora.

Rzut jest bezbłędny, ostrze odnajduje cel. Jednakże, ku mej irytacji, klinga nie przebija skóry, lecz odbija się od kudłatej głowy i odlatuje na bok w wysoką trawę. Metalowy hełm nie mógłby ochronić krecza lepiej.

I wtedy dostrzegam błysk krwi pośród czarnego futra. Skaleczyłam ciało, lecz czaszka pod nim jest mocna i gruba, chroniona kościaną barierą.

Z pewnością reszta ciała nie jest aż tak dobrze broniona. Świadczy o tym płynność i gibkość ruchów stworzenia, które biegnie ku mnie z taką zręcznością i gracją. Musi mieć jakieś słabe punkty. Znajdę je i stwór zginie.

Poddaję jego ciało kolejnej próbie, ciskając drugim nożem prosto w bok. Reaguje szybko, obraca się, i klinga chybia. Nakazuję sercu znów zacząć bić.

Teraz krecz pędzi na mnie pod innym kątem. Nadal biegnę ku niemu, w lewej dłoni trzymam długie ostrze; to nim posługuję się w walce wręcz.

Dopasowując się do moich ruchów, krecz także dobywa klingi z kieszeni na ramieniu. Również chwytą ją w lewą dłoń. Szpony prawej rozcapierza na moje przyjęcie. Ja jednak postanowiłam już, co dokładnie zrobię. Wiem, jak szybko wygrać w tej walce i podjąć ucieczkę z głową Złego.

Zderzamy się z ogłuszającym szczękiem; krecz warczy, szczerząc ostre kły, i dźga mnie w głowę. Smród jego oddechu wypełnia mi nozdrza, gdy uskakuję przed klingą i wślizguję się pod niego stopami naprzód. Jadąc po mokrym trawiastym zboczku pod kudłatym ciałem, zadaję ciosy – w prawo, w lewo – trafiając obie tylne łapy, przecinając ścięgna.

Stwór z krzykiem pada na zad; na trawę tryska krew. Ja jednak zdążyłam się już odturlać, wbiegam na zbocze w stronę skózanego worka, który zdecydowanym gestem zarzucam na ramię. Patrzę w dół i uśmiecham się tryumfalnie. Stwór wyje, rozpaczliwie

próbując wciągnąć się po zboczu w moją stronę na mocarnych przednich łapach.

Och, panie Wilku! Teraz kulejesz!

Tylne łapy ciągnie za sobą. Okaleczony nigdy mnie nie doścignie. Bez wątpienia stwórcy odnajdą stwora i zakończą jego męki. Cieszę się z tego, co osiągnęłam, spodziewałam się jednak trudniejszej walki. Mimo to dobrze jest zwyciężyć w starciu z wrogiem.

Z lekkim sercem biegnę w stronę Pendle. Przepelnia mnie radość zwycięstwa. Nawet deszcz przestał padać. W chmurach pojawiają się przerwy, wkrótce zaświeci słońce. Co do innych prześladowców, pozostawiłam ich daleko w tyle.

\*

Usiadłam wygodnie na trawie, krzyżując nogi. Wyciągnęłam z worka głowę Złego i trzymając za rogi ułożyłam na zboczu, tak że znalazła się niemal na wysokości mej własnej.

Wyrwałam z paszczy zielone jabłko i ciernie, czekając cierpliwie, aż podejmie rozmowę. Zawsze zaczynał dokładnie w ten sam sposób.

– Rozpruj mi powieki! – ryknął niski, wibrujący głos, zdający się dobiegać z głębi trawiastego zbocza.

– Po co znów się powtarzasz? Czy nigdy nie pogodzisz się ze swym losem? Twoje oczy pozostaną zaszyte. Ciesz się, że daję ci chwilę na rozmowę. Nie marnuj jej. Masz mi coś do powiedzenia? Coś, czego warto posłuchać?

Zły nie odpowiedział, oczy pod powiekami poruszały się gorączkowo. W końcu usta otwarły się, jakby mówił do kogoś, niczego jednak nie słyszałam.

– Rozmawiasz z kimś? – spytałam ostro. – Porozumiewasz się z jednym ze swych sług? Jeśli tak, trafisz z powrotem do worka!

– Moi słudzy cały czas przemawiają do mnie, niezależnie do tego, czy mogę im odpowiedzieć. Mówią mi różne rzeczy. Właśnie dowiedziałem się czegoś bardzo ciekawego.

Wargi wykrzywiły się złośliwie, jakby uradowały je te wieści, po brodzie pociekły krople posoki i śliny. Nie dałam Złemu satysfakcji i nie spytałam, czego się dowiedział – wiedziałam, że i tak mi powie. Musiałam tylko zachować cierpliwość.

– Stało się – rzekł wreszcie. – Z tobą koniec – już jesteś martwa. Wkrótce odzyskam wolność.

– Okaleczyłam krecza, którego stworzyli twoi słudzy. Nie rób sobie zatem nadziei.

– Niedługo poznasz prawdę, wiedźmo – w istocie bardzo niedługo!

– Co? Prawdę z ust Ojca Kłamstw? – roześmiałam się z pogardą.

Pamiętając o wygodach Złego, zerwałam pęk pokrzyw i rozłożyłam w worku, szykując mu łożo. Potem wcisnęłam mu do ust zielone jabłko i cierniste pędy.

– Śpij dobrze! Słodkich snów! – zawołałam i zawiązałam sznurek worka.

Godzinę przed zachodem słońca zatrzymałam się i rozstawiłam pułapki na króliki. Był ciepły, miły wieczór, trawa już wyschła. Dotarłam do granic okręgu Pendle, na północnym wschodzie wyraźnie widziałam wzgórze.

Postanowiłam użyć lustra, by nawiązać kontakt z Alice Deane i sprawdzić, czy wraz z Tomem Wardem i stracharzem dotarli bezpiecznie do Hrabstwa. Ostatni raz rozmawiałam z nią tydzień wcześniej. Mieli właśnie opuścić południowozachodnią Irlandię i ruszyć łodem do Dublina, a stamtąd popłynąć do domu. Mocno ich wyprzedziłam: wówczas wylądowałam już na południe od Liverpoolu i zmierzałam na północ, trzymając się blisko brzegu. W Ormskirk po raz pierwszy natknęłam się na sługi Złego.

Wyciągnęłam zatem lusterko, wymówiłam magiczne słowa i czekałam cierpliwie, aż pojawi się Alice. Tafla pojaśniała i ujrzałam uśmiechniętą twarz.

– Ufam, że wszystko dobrze? – spytałam.

Alice przytaknęła.

– Od trzech dni jesteśmy na miejscu. Stary Gregory zatrudnił już ludzi do odbudowy domu. Chwilowo śpimy pod gwiazdami. A co z tobą? Czy głowa wciąż jest bezpieczna? – wymówiła.

– Tak, dziecko – odarłam. – Mimo niebezpieczeństwa przeżyłam. Głowa jest nadal bezpieczna w moich rękach – ale nie mogę uciekać wiecznie. Powiedz Thomasowi Wardowi, by wyteżył umysł! Musimy zniszczyć Złego – załatwić to raz na zawsze.

Uśmiechnęłam się do Alice i odłożyłam lusterko, patrząc w stronę masywu wzgórz Pendle. Byłam już niemal w domu. Czy kiedy dotrę do Wieży Malkinów, lamie pozwolą mi się tam schronić? Jeśli nie, czy zdołam odebrać im wieżę siłą? Trudno byłoby pokonać dwie naraz, gdybym jednak weszła tunelem, może zdołałabym zwabić jedną do lochów. W teorii były moimi sojuszniczkami, lecz w razie konieczności zabiłabym obie.

Poczułam, jak lusterko porusza się ponownie w skórzanym futerale. Kiedy je wyciągnęłam, ujrzałam patrzącą na mnie twarz Agnes Sowerbutts. Sprawiała wrażenie zatroskanej.

– Okaleczyłam krecza – oznajmiłam. – To niebezpieczeństwo minęło.

– Bardzo chciałabym, by tak było – wymówiła bezgłośnie Agnes. – Wypatrzyłam

stwora, odbitego w tafli niewielkiego jeziora, gdzie przystanął, by zaspokoić pragnienie. Znów cię ściga, jedynie lekko kuleje. Wkrótce będzie mógł biec swobodnie.

Zdołałam też postrzec imię jego ojca. Krecza spłodził Tanaki, jeden z ukrytych demonów przywoływanych z rzadka i z wielkim trudem. Niewiele o nim wiadomo poza tym, że obdarzony jest niezwykłą wytrzymałością. Gdy raz obierze kurs, nigdy z niego nie zbacza, póki nie osiągnie celu. I jeszcze jedno: każda klęska jedynie go wzmacnia. Po każdej walce staje się jeszcze groźniejszy. Krecz z pewnością odziedziczył po nim te cechy. Zyskał też wielką moc samouzdrawiania.

Zmarszczyłam brwi i skinęłam głową. Okaleczenie powinno być trwałe – przecięte ścięgna się nie zrastają. Trudno będzie pokonać tego stwora. Nie mogłam już sobie pozwolić na luksus całonocnego snu.

– Nie to jest jednak najgorsze – dodała Agnes, patrząc wprost na mnie, jej wargi poruszały się bezdźwięcznie. – Masz skaleczone czoło...

Sięgnęłam palcem ku twarzy i ku swemu zdumieniu wymacałam ranę. Gdy cofnęłam rękę, na palcu ujrzałam smużkę krwi. Było to zaledwie zadrapanie, niewątpliwie pozostawione przez jeden ze szponów krecza. W ogniu walki niczego nie poczułam. Przypomniałam sobie słowa Agnes, że odniosę „śmiertelną ranę”.

– Ale przecież to tylko zadrapanie, nie poważnego? – rzekłam.

– Rana jest drobna, lecz do krwi mogła dostać się trucizna. Chciałabyś, bym znów postrzegła i sprawdziła, co się stanie?

Czułam się dobrze i nie sądziłam, że to konieczne, lecz przytaknęłam, by zadowolić Agnes i obraz w lusterku zniknął. Przez następną godzinę przyrządziłam i zjadłam dwa pulchne króliki, rozmyślając o kreczu. Jak sprytnie przygotowali go moi wrogowie? Może gruczoł u podstawy szponów wydzieliał z siebie substancję, która nie pozwalała ofierze poczuć bólu? To sztuczka stosowana przez pewnych drapieżców, po to, by ofiara nie opatrzyła zatrutej rany..aż będzie za późno. Nadal jednak niezbyt się martwiłam. Pełna nowej energii pobiegłam w noc ku Pendle. Czułam się silna. Nie miałam żadnych objawów zatrucia.

Jeszcze nie.

Zaczęły się, gdy wyniosły kształt Wzgórza Pendle wyłonił się z mroku przedświt.

\*

Najpierw odczułam zakłócenia wzroku. W kąciach oczu pojawiły się błyski. Nigdy wcześniej nie doświadczyłam niczego podobnego i z początku nie zwracałam na to uwagi. Stopniowo jednak błyski stawały się coraz gorsze: potem zaczęłam tracić oddech, a tętno

przyspieszyło gwałtownie. Staralam się nie zwracać uwagi na objawy – a także na worek, który z każdym krokiem zdawał się coraz cięższy. Wkrótce zaczęły uginać się pode mną nogi.

Nagle odkryłam, że klęczę, wstrząsnęła mną fala mdłości. Zwymiotowałam kolację na trawę i pozostałam tak skulona, wymiotując i chwytając powietrze. Po paru minutach oddech mniej więcej powrócił do normy, z trudem dźwignęłam się z ziemi. Kiedy jednak spróbowałam pobiec, odkryłam, że nogi mam jak z ołowiu – mogłam jedynie iść, potykając się i przystając co parę kroków.

W ciągu kilku minut mój stan jeszcze się pogorszył. Każdy urywany oddech, rozpaczliwie wciągany w płuca, niósł ze sobą ostry ból. Nie mogłam jednak pozwolić sobie na popas. Oczyma duszy widziałam krecza, jak przyspiesza i pędzi za mną. Nawet jeśli będę poruszać się powoli, każdy bolesny krok doprowadzi mnie bliżej Pendle. Fizycznie byłam niezwykle silna i odporna. Nadal też wierzyłam w siebie: byłam pewna, że zdołam pokonać działanie trucizny.

Lusterko poruszyło się: wyjęłam je i znów spojrzałam w twarz Agnes Sowerbutts. Minę miała nietęgą, powoli pokręciła głową.

– Trucizna działa powoli, lecz niesie niechybną śmierć – wymówiła. – Bez pomocy zapewne wkrótce umrzesz. Nie potrafię jednak orzec, co cię spotka: kiedy postrzegalam, lustro pociemniało.

Pomyślałam, że nadal pozostała iskierka nadziei – ciemne lustro znaczyło jedynie, że przyszłość jest niepewna.

– Potrafisz mi pomóc? – spytałam.

– Jestem już stara, nie mogę wyjść ci na spotkanie. Jeśli jednak przybędziesz tutaj, dołożę wszelkich starań, by ci pomóc.

Agnes była potężną uzdrowicielką. Gdybym tylko dotarła do jej chaty...

Podziękowałam i schowałam lusterko do futerału. Cała dygotałam. Choć próbowałam zaprzeczać, nie mogłam dłużej odrzucać prawdy. Wiedziałam, że brak mi sił, by samodzielnie dotrzeć do wioski Deane'ów.

Zawsze polegałam tylko na sobie; zazwyczaj też wędrowałam samotnie. Teraz wezbrała we mnie duma, stając pomiędzy mną i niezbędną pomocą. A zresztą kogo mogłabym poprosić? Komu zaufać? Nade wszystko potrzebowałam, by ktoś poniósł głowę Złego, nie pozwalając, żeby wpadła w łapy krecza.

Nie miałam wśród klanów prawdziwych przyjaciół, pomogłam jednak kilku osobom bądź zawiązałam z nimi tymczasowy sojusz, jak z Alice Deane. Niestety, Alice przebywała

zbyt daleko. Wróciła do Chipenden z Johnem Gregorym i Tomem Wardem.

Przejrzałam w myślach listę osób, którym mogłabym zaufać, szybko jednak skreśliłam je wszystkie. Kiedy klany Pendle przywołały Złego, by znów krążył po ziemi, podzieliły się na trzy grupy: tych, którzy mu służą, tych, którzy mu się sprzeciwiają i w końcu tych, którzy czekają i obserwują, być może zamierzając sprzymierzyć się ze zwycięzcami konfliktu.

Przez wiele miesięcy nie wracałam do Pendle i nie mogłam być pewna nikogo. Ruszyłam w stronę szarego masywu Wzgórza Pendle, moje myśli krążyły niczym ćma wokół świecy, powracając raz po raz do jednej i tej samej osoby.

Istniał ktoś, kogo mogłam poprosić o pomoc. Była bardzo młoda, ale też silna i wiedziałam, że zdoła mnie wesprzeć.

Wiedźmy zabójczynie różnią się od stracharzy: tradycyjnie nie przyjmują uczniów. Ja jednak nie przypominam moich poprzedniczek. W sekrecie wyszkoliłam pewną dziewczynę. Jak się nazywa?

Thorne.

## ROZDZIAŁ 4

### ZABIJ NIEDŹWIEDZIA

*Bestia ma łapy dość długie, by powyrywać ci ręce i nogi,  
zębatą paszczę tak wielką, że z łatwością może odgryźć głowę.*

*Jakie masz szanse w starciu z takim wrogiem?*

*Żadnych; już jesteś martwa.*

*Ja znam odpowiedź – to bardzo proste:*

*zabij ją z daleka.*

Thorne odnalazła mnie pięć lat temu, gdy miała zaledwie dziesięć lat. Siedziałam ze skrzyżowanymi nogami pod dębem, nieopodal wioski Barelight, rozmyślając nad następnym zadaniem: miałam znaleźć i uśmiercić coś, co nie było człowiekiem. W lesie na północny wschód od Pendle pojawił się zdziczały niedźwiedź, w ostatnim miesiącu zabił troje ludzi. W Hrabstwie nie zostało zbyt wiele niedźwiedzi, ten jednak musiał zginąć.

Nie dostrzegłam zbliżającego się zagrożenia, bo nie sądziłam, że może je stanowić ktoś tak młody. Dziewczynka podeszła bardzo blisko i kopnęła mnie mocno w udo czubkiem szpiczastego trzewika.

W mgnieniu oka zerwałam się z ziemi. Podniosłam ją za włosy i zakołysałam, tak że jej twarz znalazła się blisko mojej.

– Jeżeli jeszcze raz to zrobisz – ostrzegłam – odetnę ci stopę.

– Jestem odważna – odparła. – Zgadzasz się? Kto inny odważyłby się kopnąć wiedźmę zabójczynię?

Przyjrzałam się jej bliżej. Mała kruszynka, sama skóra i kości, lecz w jej oczach dostrzegłam zdecydowanie rzadko spotykane u kogoś tak młodego. Zupełnie jakby z owej twarzyczki spoglądało na mnie coś znacznie starszego i potężniejszego. Nie zamierzałam jednak słuchać tych bzdur.

– Nie jesteś odważna, tylko głupia! – odparłam. – A teraz uciekaj. Wracaj do matki, na pewno znajdzie ci robotę.

– Nie mam matki ani ojca. Mieszkam z brzydkim wujkiem, który codziennie mnie bije.

– A ty go kopiesz?

– Tak, i wtedy bije mnie jeszcze mocniej.

Znów przyjrzałam się dziewczynce, po raz pierwszy dostrzegając sińce na jej rękach i ciemną śliwę pod lewym okiem.

– Czego ode mnie chcesz, dziecko?

– Chciałabym, żebyś zabiła mojego wujka.

Roześmiałam się i postawiłam ją na ziemi, potem uklęknęłam, by móc znów spojrzeć jej prosto w oczy.

– Gdybym go zabiła, kto by cię karmił i ubierał?

– Będę pracować. Sama się wykarmię. Zostanę wiedźmą zabójczynią, jak ty.

– Aby zostać wiedźmą zabójczynią naszego klanu, musiałabyś mnie zabić. Potrafisz to zrobić? Jesteś tylko dzieckiem.

Tradycja nakazywała, by każdego roku trzy wyszkolone czarownice rzucały wyzwanie aktualnej zabójczyni klanu. Lecz od wielu lat nikt nie wyzwał mnie do walki. Po zabiciu piętnastej kandydatki położyłam kres tym praktykom, bo zmęczyło mnie i znudziło zabijanie. Uznałam to za niemądre marnotrawstwo, powoli pozbawiające sił klan Malkinów.

– Niedługo będę tak duża jak ty, ale cię nie zabiję – oznajmiła dziewczynka. – Pewnego dnia zginiesz, wtedy będę gotowa cię zastąpić. Klan będzie potrzebował mocnej zabójczyni. Naucz mnie!

– Wracaj do domu, dziecko. Wracaj i jeszcze mocniej kopnij swego wuja. Ja cię nie wyszkolę.



– W takim razie jutro wrócę i znowu cię kopnę!

To rzekłszy, odeszła i więcej o niej nie myślałam. Następnego dnia jednak pojawiła się ponownie i stanęła obok mnie. Właśnie ostrzyłam w kuźni nową klingę.

– Czy znów kopnęłaś swego wuja brzydala?

Nie potrafiłam powstrzymać uśmiechu, który rozjaśnił mi twarz, gdy oparłam na kowadle gotowy nóż.

Dziewczynka nie odpowiedziała. Postąpiła krok naprzód i spróbowała mnie kopnąć, ja jednak byłam gotowa. Trzepnęłam ją mocno i wywróciłam. Nie rozzłościła mnie, lecz miałam dosyć jej wybryków i zamierzałam pokazać, że nie ma ze mną żartów. Ona jednak okazała się uparta i – owszem – odważna. Znów spróbowała kopnąć. Tym razem chwyciłam nóż i wycelowałam w jej gardło.

– Jeszcze przed wieczorem, dziecko, ta nowa klinga zakosztuje krwi! Uważaj, żeby nie twojej.

Potem zarzuciłam sobie dziewczynkę na ramię i poniosłam do lasu. Późnym popołudniem odnalazłam tropy niedźwiedzia; o zmierzchu dotarłam do jego jamy, jaskini na lesistym wzgórzu. Na zewnątrz, na ziemi wały się kości. Niektóre należały do ludzi.

Słyszałam, jak zwierzę porusza się w swej norze. Wkrótce wyczuło nasz zapach i w chwilę później wyłoniło się na czterech łapach. Niedźwiedź był wielki, brązowy i wściekły; jego pysk i łapy pokrywały plamy krwi. Choć niedawno się posilił, wciąż wyglądał na wygłodniałego. Chwilę gapił się na nas, ja odpowiedziałam spokojnym spojrzeniem i syknęłam, by go sprowokować. Uniósł się na tylnych łapach i wydał z siebie wściekły ryk. Postawiłam dziewczynkę na ziemi obok mnie.

– Jak się nazywasz? – spytałam.

– Thorne Malkin.

Wręczyłam jej nóż, który tego ranka wykułam.

– No dobrze, Thorne, idź, zabij dla mnie tego niedźwiedzia! – poleciłam.

Thorne spojrzała na zwierza, który zbliżał się ku nam, otwierając pysk, gotów do ataku. Po raz pierwszy dostrzegłam lęk w jej oczach.

– Jest za duży – odparła.

– Nic nie jest za duże, by móc zginąć z ręki wiedzy zabójczynie. Zabij dla mnie niedźwiedzia, a zgodzę się cię szkolić. Wówczas pewnego dnia zajmiesz moje miejsce.

– A jeśli on zabije mnie?

Uśmiechnęłam się. Niedźwiedź był już bardzo blisko.

– Wówczas odczekam, póki nie zaczniesz cię pożerać. Kiedy skupi się na tym, sama go

zabiję.

I wtedy zdarzyło się coś, czego nie oczekiwałam. Dziewczynka dygotała ze strachu, wyglądało na to, że lada moment rzuci się do ucieczki. I tego właśnie chciałam. Zamierzałam wyleczyć ją z głupich pomysłów i marzeń o zostaniu wiedźmą zabójczynią.

I rzeczywiście pobiegła, lecz nie w tę stronę, w którą myślałam.

Thorne uniosła nóż, krzyknęła i rzuciła się wprost na niedźwiedzia.

Kiedy dobyłam drugiej klingi i cisnęłam, zaledwie sekundy dzieliły ją od śmierci. Rzadko chybiam i tym razem trafiłam doskonale, sztylet wbił się aż po rękojeść w lewe oko niedźwiedzia. Zwierz zachwiał się i zaczął upadać – lecz Thorne wciąż biegła ku niemu. W chwili, gdy dźgnęła go w lewą tylną łapę, martwy niedźwiedź runął na nią. Miała szczęście, że nie zginęła na miejscu, przygnieciona jego ciężarem ani nie została ranna. Kiedy ją wyciągnęłam, była umazana niedźwiedzią krwią, lecz poza tym nietknięta. Zaimponowała mi swoją odwagą; zasłużyła, by ujść z tego cało.

– Zabiłam go! – krzyknęła tryumfalnie. – Teraz musisz mnie wyszkolić.

Uniosłam głowę niedźwiedzia i wskazałam ręką sztylet, wbity w lewe oko.

– To ja go zabiłam – odparłam. – Ciebie tylko zjadłby na kolację. Ale teraz to my go zjemy. Ten niedźwiedź od dawna żywił się ludzkim mięsem; dziś my zjemy jego serce.

I rzeczywiście – podczas gdy Thorne zbierała chrust, ja wycięłam z truchła niedźwiedzia to, czego potrzebowałam: serce i dwa miękkie kawałki mięsa z zadu. Wkrótce rozpaliłam ogień, a mięso skwierczało na rożnie. Kiedy się upiekło, przekroiłam serce na pół i jedną połówkę wręczyłam dziewczynce.

– Dobrze – zauważyła. – Nigdy wcześniej nie próbowałam niedźwiedziego mięsa.

– Niewiele zostało ich w Hrabstwie, lecz na wypadek, gdybyś kiedyś jakiegoś spotkała, powinnaś wiedzieć parę rzeczy. Nigdy nie dźgaj go w łapę – w ten sposób tylko go rozżłóścisz. I nigdy nie podchodź blisko. Takie zwierzę należy zabijać z daleka. Są niezwykle silne: kiedy niedźwiedź raz cię pochwyci, już nie żyjesz. Może wyrwać ci ręce i nogi bądź jednym kłapnięciem zmiażdżyć czaszkę.

Thorne z namysłem przeżuwała mięso.

– Będę o tym pamiętać, kiedy następnym razem wyruszymy na polowanie na niedźwiedzia.

O mało się nie roześmiałam, słysząc owo „my”, i uśmiechnęłam się do niej.

– Bałaś się, dziecko, a jednak mnie posłuchałaś i zaatakowałaś niedźwiedzia. Zatem owszem, zacznę cię szkolić. Dam ci miesiąc, byś mogła dowieść swej wartości.

Uniosłam nowy nóż, którym Thorne zraniła niedźwiedzia.

– Proszę – wręczyłam jej go. – Teraz należy do ciebie. Zasłużyłaś sobie. To twoja pierwsza broń.

I tak zaczęłam uczyć Thorne, czyniłam to jednak w sekrecie. Istniały po temu trzy powody. Po pierwsze, gdyby ktokolwiek z moich wrogów dowiedział się o tym, dziewczynka stałaby się celem. Chwyając bądź raniąc Thorne, mogliby próbować wyrzucić nacisk na mnie.

Po drugie, byłam zazdrosna o swoją reputację: nadal chciałam budzić strach i uchodzić za bezwzględna i niezależną. Właśnie dlatego wycinałam na pniach drzew znak nożyczek.

Po trzecie, tradycja nakazuje, by następczynię wiedźmy zabójczynie wybierać w walce. Uznałam, iż najlepiej będzie, jeśli po mojej śmierci tradycja ta przetrwa: czarownice będą mogły wówczas walczyć ze sobą o ów tytuł. Nie chciałam, by wyglądało na to, że osobiście wybieram protegowaną. Jeśli Thorne miała zostać następną zabójczynią, będzie musiała zasłużyć na to w zwykły sposób. Nie wątpiłam, że sobie poradzi.

Miesiące płynęły szybko, wszystko szło jak należy. Dziewczyna była odważna i posłuszna – a to też bardzo ważne. Wolę pracować sama, lecz jeśli mam współpracowniczkę, ja muszę wszystkim rządzić, nie ma miejsca na jakiegokolwiek wątpliwości.

\*

Pamiętam, jak Thorne pierwszy raz zademonstrowała swą prawdziwą wartość i pojęłam, jak dobrą stanie się kiedyś zabójczynią. Na północnym krańcu Hrabstwa mieszkają wodne wiedźmy. Nie darzą przyjaźnią klanów z Pendle, niedawno zamordowały jedną z Malkinów, która podróżowała na południe przez ich terytorium. Klan posłał mnie, bym w odwecie zabiła trzy z nich.

Thorne nie brała udziału w walce z wodnymi wiedźmami. Była tam, by obserwować i się uczyć. Zabiłam trzy, zgodnie z rozkazem; potem, wybrawszy polanę w lesie, nabiłam ich głowy na tyczki, pozostawiając na okolicznych drzewach swój znak. To była wiadomość: nie tylko zemsta, ale i ostrzeżenie.

Teraz wiem, że po wszystkim winnam była natychmiast ruszyć z powrotem do Pendle. Zamiast tego spędziłyśmy z Thorne owocny dzień na brzegach jeziora, które niektórzy nazywają Coniston. Nadal ją uczyłam, trenowałyśmy intensywnie. Słońce zaszło właśnie za drzewa, gdy zaczęłyśmy ćwiczenia z nożem. Próbowałam nauczyć ją, jak zachować spokój i zapanować nad gniewem. Ona miała klingi; ja walczyłam gołymi rękami.

– Zrań mnie! – krzyknęłam i uderzyłam ją w twarz, po czym odskoczyłam.

Thorne, z twarzą wykrzywioną wściekłością, zawirowała ku mnie, unosząc ostrza, próbując mnie zranić. Podeszłam bliżej i trzepnęłam ją jeszcze mocniej, tym razem dwa

razy, w oba policzki, tak że do oczu napłynęły jej łzy.

– Zachowaj spokój, dziewczyno! To tylko ból! – zadrwiłam. – Myśl! Skup się! Zrań mnie!

Znów chybiła i ponownie ją spoliczkowałam. Walczyłyśmy na brzegu jeziora, zapadał już zmierzch; z powierzchni wody wznosiły się ku nam smużki mgły.

Thorne odetchnęła głęboko, zobaczyłam, jak jej rysi się odprężają. Tym razem wyprowadziła fintę i pierwszy nóż zbliżył się tak bardzo, iż poczułam jego oddech na skórze ramienia. Uśmiechnęłam się z uznaniem, cofając szybko, by uniknąć następnego pchnięcia. Stałam zaledwie kilka cali od brzegu; jezioro było głębokie.

Atak nastąpił nagle, zaskakując nas obie. Walczyłam zwrócona plecami do wody i Thorne pierwsza dostrzegła stwora. Jej oczy rozszerzyły się wstrząśnięte, obróciłam się zatem i zerknęłam przez ramię, widząc pędzącą ku mnie śmierć.

Bestia miała ręce i długie palce o ostrych szponach, bardziej przypominała rybę niż człowieka: z koszarnej twarzy spoglądały zimne oczy dorsza, w otwartej paszczy ujrzałam ostre zęby, ciało miała długie, giętkie jak u węgorza, zakończone wąską płetwą. Próbowałam się uchylić, stwór jednak wyłonił się z wody, uniesiony na ogonie, chwycił mnie za ramię i szarpnął w tył. Gdy moja głowa zanurzyła się w chłodną toń, pojęłam, że nie mam pod ręką noża. Walczyłam z Thorne bez broni, moje rzemienie, pochwy i klingi leżały na trawiastym brzegu.

Jeszcze jednak nie zginęłam – paznokciami lewej dłoni wydłubałam prawe oko stwora; potem wgryzłam mu się w palce aż do kości. Okazał się jednak niewiarygodnie silny i wciągał mnie coraz głębiej w mętną wodę. Nie miałam czasu, by nabrać głęboko powietrza, zrozumiałam, że znalazłam się w prawdziwych tarapatach.

Wówczas jednak ujrzałam inną postać w wodzie obok i poczułam, jak ktoś wciska mi w dłoń nóż. Użyłam broni szybko – i bardzo skutecznie. Nie byłam też sama. Obok mnie walczyła Thorne; razem poszatkowałyśmy stwora na kawałki.

O świcie zebrałyśmy szczątki na brzegu jeziora. Nigdy wcześniej nie oglądałam niczego podobnego, bez wątpienia jednak był to pomiot. Przybierają najróżniejsze postaci; ten wyraźnie przystosował się do życia w wodzie. Zły posługuje się czasami podobnymi istotami, aby zniszczyć swoich wrogów. Sam nie mógł się do mnie zbliżyć, toteż posłał jedno ze swych dzieci.

Bez wątpienia owego dnia Thorne ocaliła mi życie; dołączenie do mnie w wodzie wymagało ogromnej odwagi. W nagrodę wygotowałam kciuki stwora i oddałam jej. Były to pierwsze kości, jakie zawiesiła na swym naszyjniku.

\*

Po powrocie do Pendle odbywałyśmy lekcje kilka razy w tygodniu, od czasu do czasu zabierałam też Thorne na dłuższe wyprawy, podczas których szukałam tych, których nasz klan skazał na śmierć.

Patrzyłam, jak z młodej, zapalczywej dziewczynki wyrasta na potencjalną wiedźmę zabójczynię, która pewnego dnia zajmie moje miejsce. Wojna i wyprawa do Irlandii sprawiły, że nie widziałam jej od kilku miesięcy, jednak byłam przekonana, iż natychmiast odpowie na moje wezwanie.

Spojrzałam zatem w lustro i zanuciłam zaklęcie. Po chwili ujrzałam twarz Thorne. Dziecko, które rzuciło się na niedźwiedzia, już dawno zniknęło. Wciąż zachowała łagodne oczy o szafirowych tęczęwkach, lecz jej pociągła twarz o ostrym nosie i szerokich wargach należała do wojowniczk. Ciemne włosy przycinała krótko, na lewym policzku miała niewielki tatuaż: sylwetkę niedźwiedzia. Zrobiła go na pamiątkę owego dnia, kiedy zgodziłam się ją szkolić.

– Jesteś ranna! – wymówiła, odsłaniając zęby. – Co się stało?

Zabroniłam jej je spiłować przed końcem szkolenia, toteż jej rzadkie uśmiechy nie budziły grozy. Opowiedziałam o kreczu i truciźnie, lecz to odcięta głowa Złego martwiła mnie najbardziej, toteż wyjaśniłam, co dzwigram w skórzanym worku. Dlatego właśnie wezwałam Thorne.

– Cokolwiek się wydarzy, nie można pozwolić, by głowa wpadła w łapy sług Złego – zakończyłam. – Jeśli umrę, będziesz musiała ponieść za mnie to brzemię.

– Oczywiście, ale ty nie umrzesz. Gdzie jesteś?

– Na południowy zachód od Pendle, jakieś pięć mil od wzgórza.

– Wytrzymaj jeszcze trochę – wkrótce do ciebie dołączę. Jak daleko za tobą jest krecz?

– Trudno stwierdzić – odparłam. – Najwyżej parę godzin.

– W takim razie staraj się pozostać w ruchu. Pamiętaj, co mi kiedyś powiedziałaś – „dopiero zaczęłaś walczyć”.

Po tych słowach lustro pociemniało i Thorne zniknęła. Walcząc z bólem, z trudem dźwignęłam się z ziemi i ruszyłam chwiejnie na wschód, dysząc ciężko. Posuwałam się bardzo powoli i po jakimś czasie wyobraźnia zaczęła płatać mi figle: zdawało mi się, że słyszę krecza, biegnącego wśród drzew, zbliżającego się z każdą chwilą, gotowego do ataku.

W pewnym momencie obróciłam się gwałtownie, by na niego spojrzeć, ale niczego nie zobaczyłam. Potem ocknęłam się, leżąc na wznak, deszcz padał mi na twarz. W panice

otworzyłam oczy.

Gdzie się podział skórzany worek? Sięgnęłam ku niemu, lecz go nie znalazłam.

– Jest bezpieczny. Mam go u siebie – oznajmił znajomy głos.

Thorne klęczała koło mnie z zatroskaną miną. Spróbowałam usiąść, ona jednak łagodnie pchnęła mnie na ziemię.

– Odpoczywaj – poleciła stanowczo. – Daj miksturze czas, by zadziałała. Po drodze tutaj wstąpiłam do Agnes. Choć to nie lek, powinien dać ci trochę czasu. Po tym, jak wypłułaś pierwszy łyk, zdołałam wlać ci większość do gardła.

– A krecz? Jest blisko?

Thorne pokręciła głową.

– Nie wyczuwam jego nadejścia.

– Jeśli zdołamy dotrzeć do Pendle, jakiś czas będziemy bezpieczne. Czarownice, które stworzyły stwora, pochodzą z południowozachodniej części Hrabstwa. Nie odważą się zapuścić na nasz teren.

– Obyś miała rację – odparła Thorne. – Lecz klany są podzielone. Część z nich może je wpuścić. A teraz spróbuj wstać.

Pomogła mi się podnieść, zachwiałam się jednak i musiała mnie podtrzymać. Choć miała zaledwie piętnaście lat i nie do końca jeszcze dorosła, niemal dorównywała mi wzrostem i w każdym calu wyglądała na wiedźmę zabójczynię. Ubierała się podobnie do mnie – jej ciało okalały rzemienne pasy z pochwami, w których kryła się broń.

Uśmiechnęłam się do niej.

– Wciąż jestem za słaba, by podróżować. Zostaw mnie i zabierz worek. To on jest najważniejszy.

– Zrobimy to razem – odparła stanowczo Thorne. – Pamiętasz, jak kiedyś mnie niosłaś?

– Kiedy polowałyśmy na niedźwiedzia? Tak, doskonale pamiętam. Myślałam o tym wcześniej.

– Teraz ja poniosę ciebie.

To rzekłszy, Thorne zarzuciła mnie sobie na ramię i dźwigając w lewej dłoni skórzany worek, ruszyła biegiem na wschód. Zmierzałyśmy w stronę chaty Agnes Sowerbutts na obrzeżach Roughlee, wioski Deane'ów. Dziwnie się czułam, kiedy mnie tak niosła. Walczyłam sama z sobą: jakaś część mnie wściekała się na myśl o słabości i czuła niechęć do Thorne, że tak mnie traktuje; inna z wdzięcznością przyjmowała pomoc, świadoma faktu, iż umiejętności Agnes Sowerbutts to teraz jedyna szansa przeżycia.

Po jakimś czasie ostry ból w płucach powrócił, gdy mikstura przestała działać. Męczarnie narastały, aż w końcu ledwie mogłam oddychać i znów straciłam przytomność.

\*

Następne, co pamiętam, to niesamowity krzyk, jakby w pobliżu krążył ptak trupiarz. Poczułam zmianę temperatury, powietrze znieruchomiało. Thorne już mnie nie niosła; znalazłam się pod dachem, osłonięta od deszczu. Leżałam na łóżku, ktoś pochyłał się nade mną; jak przez mgłę ujrzałam zatroskaną twarz Agnes Sowerbutts.

Poczułam, jak unosi mi głowę, nagle usta wypełnił paskudny płyn. Przełknęłam odrobinę i omal nie zwymiotowałam. Bardzo chciałam wypluć resztę, zwalczyłam jednak to pragnienie. Agnes usiłowała mi pomóc. Była moją jedyną nadzieją. Zmusiłam się zatem, by przełknąć kilka łyków. Po jakimś czasie poczułam, jak z żołądka powoli rozchodzi się ciepło, sięgając palców. Ból minął. Chyba na krótko zasnęłam.

Potem jednak znów się obudziłam, moim ciałem wstrząsały drgawki. Pierś przeszywały błyskawice bólu, każdy oddech był niczym sztylet dźgający w serce. Ręce i nogi pulsowały, ciążyły jak ołów. Lekarstwo, które podała Agnes, nie działało zbyt długo. Otworzyłam oczy, niczego jednak nie ujrzałam. Wokół zalegała ciemność. Czyżby jad odebrał mi wzrok?

I wtedy usłyszałam głos Agnes.

– Trucizna jest zbyt potężna. Ona umiera. Przykro mi, nic więcej nie mogę zrobić.

## ROZDZIAŁ 5

### WIEŻA MALKINÓW

*Krew, kość i pobratymcy dobrze służą większości czarownic,  
lecz stare sposoby to nie jedyna droga ku mocy.*

*Nie ma nic złego w tradycji,  
ja jednak wolę zachować otwarty umysł.*

*Jestem Grimalkin.*

– Proszę, spróbuj jeszcze raz – błagała Thorne. – Ona nadal walczy, wciąż jest silna. Grimalkin zasłużyła na jeszcze jedną szansę.

Jej głos słyszałam jak z wielkiej oddali.

Zmagałam się z sennością, w końcu jednak znów straciłam przytomność, odpływając

powoli w sen, mroczniejszy i głębszy niż jakiegokolwiek przedtem.

Czy to była śmierć? Jeśli tak, Thorne została sama. Jak długo zdoła chronić głowę Złego przed jego zwolennikami? Opowiedziałam jej co nieco o przymierzu z Alice Deane, Tomem Wardem i Johnem Gregorym. Czy zrozumie, że musi zwrócić się wprost do nich i poprosić o pomoc?

Próbowałam zawołać Thorne, wyjaśnić, co należy zrobić, nie byłam jednak w stanie mówić. Tkwiłam uwięziona w swoim ciele, zmuszona znosić ból, który rósł z każdą chwilą.

Nie zamierzałam leżeć w agonii i czekać, aż ciało powoli wyzionie ducha. Istniał sposób, pozwalający umknąć bólowi. Mogłam oderwać się od ciała i wyjść na spotkanie śmierci. Znam się nieco na magii szamanów.

Większość czarownic w Pendle to prawdziwe konserwatystki: we wczesnym wieku klan poddaje je próbom, sprawdzając, do którego rodzaju magii Mroku – krwi, kości bądź pobratymców – nadają się najlepiej. Później nigdy już nie przychodzi im nawet do głowy, że mogłyby spróbować czegoś innego. Ja jednak jestem inna. Mój umysł pozostaje elastyczny, otwarty na wszelkie nowości. Zawsze chętnie uczę się nowych sztuczek.

Może to dlatego, iż jako wiedźma zabójczyni wiele podróżowałam i spotykałam się z innymi kulturami i metodami korzystania z Mroku. Między innymi poznałam rumuńską wiedźmę, mieszkającą w północnowschodniej części Hrabstwa. To ona nauczyła mnie nieco szamanizmu.

Oczywiście nauka jego sekretów i ćwiczenie praktyczne mogą zabrać całe życie. Ja miałam na to zaledwie kilka miesięcy, skupiałam się zatem na jednym aspekcie owej sztuki – umiejętności odłączania duszy od ciała.

Podobny proces wiąże się z ryzykiem. Pewien mag posłał duszę w Mrok i został pożarty przez demona. Zdarza się też, że nie potrafimy odnaleźć powrotnej drogi do ciała. Z tej przyczyny rzadko posługiwałam się ową umiejętnością i zawsze zachowując wielką ostrożność.

Teraz jednak jakie to miało znaczenie? Umierałam. Wkrótce wokół mnie zamkną się mgły Limbusa, nieważne, czy opuszczę ciało, czy też nie. Tak przynajmniej znów będę widzieć – w pewnym sensie.

Proces wymaga zazwyczaj wymówienia kilku kluczowych słów z odpowiednią intonacją, równie ważne jednak jest pragnienie ucieczki.

Nie panowałam już nad swym ciałem, nie mogłam nawet poruszyć wargami, by wymówić słowa zaklęcia. Okazało się jednak, że sama wola, podsycana desperacją,



wystarczyła. Chwilę później unosiłam się nad łóżkiem, na którym leżało moje ciało. Thorne siedziała na krześle, ukrywając twarz w dłoniach. Obok spoczywał skórzany worek. Na niewielkim stoliku obok migotała świeca.

Spojrzałam z góry na swą znużoną twarz, otwarte usta, wciągające szybkie, płytkie oddechy. Nigdy nie przypuszczałam, że tak się to zakończy. Nie powinno tak być. Grimalkin nie powinna umrzeć w ciepłym łóżku – powinna odnaleźć śmierć w bitwie, jak przystało wojownicze. Po namyśle jednak zrozumiałam, że tak właśnie się stało. To krecz mnie zabił. Zadrapanie zatrutym szponem stało się moją klęską – początkiem śmierci.

Odplynęłam dalej, przenikając przez zamknięte drzwi. Byłam teraz jedynie niewielką lśniącą kulą światła, niewidzialną dla większości ludzi. Najsilniejsze czarownice i stracharze mogliby mnie dostrzec, lecz tylko w ciemnych miejscach. Nawet blask świecy sprawiał, że stawałam się niewidoczna.

Ja jednak widziałam wyraźnie nawet w mroku – choć dostrzegałam tylko jeden kolor. Wszystko miało odcień zieleni, żywe istoty jaśniały, rozświetlone energią życiową. Frontowa izba chaty Agnes wyglądała dokładnie tak, jak ją zapamiętałam: przytulna, czysta, lecz zagracona. Wzdłuż ścian ustawiono półki pełne książek i rzędów słoików z maściami, suszonymi ziołami, korzeniami. Przede wszystkim bowiem Agnes była uzdrowicielką.

Siedziała na stołku przy kominku w niewielkiej izbie, czytając książkę. Podplynęłam bliżej i odszyfrowałam tytuł na grzbiecie: „Antidota na śmiertelne trucizny”.

A zatem posłuchała Thorne i jeszcze się nie poddała. Choć wrogowie stworzyli krecza specjalnie po to, by mnie zabił, nie oznaczało to, że wymyślili całkiem nową truciznę. Przywołanie samego stwora i tak wymagało ogromnej siły i zasobów, drogo za to zapłacili. Wyposażyli go w wiele metod, pozwalających mnie zabić, trucizna była tylko jedną z nich, mogli zatem po prostu wybrać najbardziej zabójczą ze wszystkich. Jeśli Agnes uda się ustalić jaką, być może miałam jeszcze szansę.

Płynęłam dalej, z łatwością przenikając przez ścianę chaty. Przede mną wznosił się długi, potężny masyw Wzgórza Pendle. Pomknęłam ku niemu, przyspieszając. W każdej chwili mogłam umrzeć, nie wolno mi jednak tracić nadziei. Nadal mogłam jeszcze coś zrobić i jeśli wyzdrowieję, być może pomoże mi to uchronić głowę Złego.

Postanowiłam odwiedzić Wieżę Malkinów i przekonać się, jak się tam sprawy mają – gdzie dokładnie zamieszkały obie lamie. Pofrunęłam w stronę Wroniego Lasu i wkrótce przemykałam już nisko nad wierzchołkami drzew. Byłam niewidzialna, toteż groźne

padlinożerne ptaki, gniazdujące pośród liściastych gałęzi, nie dostrzegły mnie.

Jasny zielony półksiężyc rzucał na wieżę mizerne promienie. Posępną twierdzę okalała fosa, mury wieńczyły blanki, a dostępu do środka strzegły wielkie, nabijane żelazem odrzwia. Niegdyś miał w niej swoją siedzibę krąg Malkinów, teraz jednak w wieży zamieszkały dwie dzikie lamie. Przed wojną i okupacją przez siły wroga, krąg polecił mi je zabić i odzyskać wieżę. Odmówiłam, oznajmiając, że lamie są zbyt silne i każda próba niechybnie doprowadzi do mej śmierci.

Jedna z członkiń kręgu wykrzywiła się pogardliwie.

– Nigdy nie sądziłam, że nadejdzie dzień, kiedy Grimalkin uzna przeciwnika za zbyt potężnego! – zadrwiła.

W odwecie złamałam jej rękę i powiodłam gniewnym spojrzeniem po twarzach pozostałych wiedźm. Bały się mnie i szybko odwróciły wzrok.

Tak naprawdę jednak skłamałam. Byłam pewna, że uzbrojona i wypoczęta zdołałabym pokonać lamie – zwłaszcza gdybym mogła zaaranżować walkę tak, by walczyć z nimi kolejno, w wybranym przez siebie miejscu. Jednakże chwilowo ich obecność w wieży służyła moim celom. Wewnątrz bowiem stały skrzynie, własność mojego sprzymierzeńca, Thomasa Warda, a jedna z nich kryła w sobie wiedzę i przedmioty należące do jego matki: pewnego dnia mogły one wspomóc nas w walce ze Złym i jego sługami. Pod strażą lamii skrzynie były bezpieczne.

Gdybym zbliżyła się, odziana w ciało, skierowałabym kroki do tunelu wiodącego do lochów, głęboko pod wieżą i stamtąd wdrapałabym się do środka. Spotkanie groźnej lamii w ciasnym zamkniętym pomieszczeniu dawałoby mi przewagę. Obie strażniczki umiały latać, niemądrze byłoby wyjść im na spotkanie pod gołym niebem.

Wkrótce po tym, jak krąg odprawił rytuał przywoływania Złego, brałam udział w bitwie na szczycie Wzgórza Pendle. Zaatakowała nas banda wieśniaków z Downham i szybko byśmy się z nimi rozprawili – lecz interwencja lamii przechyliła szalę. Mimo celności moich rzutów, nie ustępowały. Co najmniej pół tuzina razy trafiłam je nożami, lecz łuski lamii okazały się lepszą osłoną niż najtwardsza zbroja. Tej nocy zginęło wiele czarownic.

Zbliżając się do fosy, poczułam szarpnięcie, jakby coś ciągnęło mnie z powrotem do ciała. Nigdy jeszcze nie zapuszczałam się tak daleko. Cienka, niewidzialna nić łącząca mnie z ciałem w każdej chwili mogła pęknąć, powodując natychmiastową śmierć. Zawsze się tego obawiałam. Może to dlatego niektórym szamanom nie udaje się odnaleźć drogi powrotnej i giną: oddalają się za bardzo i nić pęka. Lecz teraz jakie to miało znaczenie? I

tak byłam bliska śmierci. Jeśli Agnes nie znajdzie lekarstwa, pozostało mi niewiele czasu.

Przeleciałam nad fosą, przeniknęłam przez grube kamienne mury wieży i ujrzałam komnaty mieszkalne. Panował w nich bałagan jak wtedy, gdy żołnierze posłużyli się osiemnastofuntową armatą, aby przebić mur.

Mój klan uciekł wówczas tunelami, porzucając niedokończone posiłki. Później Mouldheelowie podczas krótkiej okupacji wieży załatali wyrwę – a potem ich z kolei przegnały lamie. Posadzkę zaścielały gruzy, w sąsiednim magazynie ujrzałam stosy gnijących ziemniaków i zapleśniałej marchwi, uznałam zatem, że mam szczęście, iż moja dusza nie czuje zapachu. W każdym kącie wisiały pajęczyny, uginające się pod ciężarem zaschniętych muszych trucheł. Po kamiennych płytach biegały żuki i karaluchy.

Zaś w samym środku śmietnika ujrzałam wielką, zamkniętą na klucz skrzynię, należącą do matki Toma. Była bezpieczna. W tym momencie dostrzegłam coś, co mnie zdumiało. Na skrzyni nie było żadnych pajęczyn. Wyglądała nawet na odkurzoną. Obok zaś piętrzył się niewielki stosik książek. Czy wyjęto je ze środka? Jeśli tak, kto je czytał?

Ponieważ lamie strzegły skrzyni, Tom Ward zostawił ją otwartą. Lecz niedawno odwiedził ją ktoś jeszcze i bez wątpienia grzebał w środku. Ogarnął mnie gniew. Gdzie się podziewały lamie? Jak mogły na to pozwolić?

Poszybowałam w górę schodów i na blanki, gdzie ujrzałam kolejne dwie skrzynie: niegdyś kryły w sobie uspione lamie. Teraz stały wydane na pastwę żywiołów, podobnie jak kamienie dokoła, porastał je mech. Ponieważ widziałam wszystko w odcieniach zieleni, nie mogłam stwierdzić, czy drewno gnije, czy też nie. Rozejrzałam się po okolicy. Ze wszystkich stron wieżę otaczały drzewa Wroniego Lasu. Wszystko wokół trwało w ciszy i bezruchu. Nagle jednak usłyszałam odległy krzyk, przypominający wrzask ptaka trupiarza, tyle że niższy – zupełnie jakby wyrwał się z gardła znacznie większego stworzenia. A potem przed zieloną tarczą księżyca przemknęła sylwetka. To była lamia, zmierzająca z powrotem ku wieży.

Śmignęła ku mnie – czworo pierzastych skrzydeł, pokryte czarnymi łuskami ciało. Zauważyłam, że trzyma coś w szponach. Dwakroć okrążyła wieżę, po czym upuściła ofiarę na blanki, obok miejsca, gdzie się unosiłam. Jej łup z głuchym odgłosem uderzył o kamienne płyty, wokół bryznęła krew. To była martwa owca. Lamia polowała. Ale gdzie się podziewała jej siostra?

Lamia ponownie pomknęła ku wieży, odruchowo sięgnęłam po noże. Wówczas dopiero przypomniałam sobie, w jakim jestem stanie. Nawet gdybym wciąż nosiła ciało,

nie było to najlepsze miejsce na potyczkę.

Lamia wylądowała na skrzyni, wbijając w drewno – wyraźnie nie zgniłe ani spróchniałe – zakrzywione szpony. Wyglądała przerażająco; nawet gdyby nie umiała latać, trudno byłoby ją pokonać. Była większa ode mnie – gdyby stanęła prosto, mogła sobie liczyć dziewięć, nawet dziesięć stóp. Tylne kończyny miała mocarne, mogła w nich unosić wielki ciężar, owce, nawet krowy, przednie bardziej przypominały ludzkie ręce, delikatne, mogące chwycić broń; szpony na nich były tylko nieco dłuższe niż zwykle paznokcie, lecz niewiarygodnie ostre, zdolne wbić się w czyjaś twarz albo poderznąć gardło.

Lamia spojrzała wprost na mnie i nagle pojęłam, że mnie widzi. Była noc, lecz księżyc z pewnością rzucał dość światła, by mnie ukryć. Musiała zatem dysponować niezwykle bystrym wzrokiem albo też posługiwała się potężną magią Mroku.

Otworzyła usta, ukazując ostre kły i przemówiła do mnie ochryplym, głuchym szeptem.

– Kim jesteś, wiedzmo? Czego tu szukasz?

Nie mogłam odpowiedzieć. Być może istniał sposób, w jaki bezcielesna dusza może porozumiewać się z innymi, lecz tej szamańskiej sztuczki nigdy nie poznałam. Zdumiał mnie także fakt, że dzika lamia potrafi mówić. Sugerowało to, że zaczyna powolną przemianę w postać „udomowioną”, niemal ludzką; wówczas jedynie linia żółtozielonych łusek, biegnących wzdłuż kręgosłupa, zdradzałyby jej prawdziwą naturę.

– Siostró, chyba mamy tu szpiega. Odpraw ją!

Dzika lamia nie patrzyła już na mnie; przekrzywiła głowę i przymrużonymi oczami popatrzyła na drzwi. Obróciłam się, podążając za jej wzrokiem. W drzwiach stała kobieta, patrzyła wprost na mnie. Przyjrzałam się jej uważnie i pojęłam, że w istocie to bardziej zwierzę niż człowiek. Druga lamia zmieniła się już do tego stopnia, że miała ręce oraz nogi i stała wyprostowana. Nadal jednak pozostawała potworem i potrzebowała jeszcze czasu, by dokończyć przemiany. Dychała ciężko, niczym drapieżnik gotów do skoku, ręce miała zbyt długie, sięgające dobrze poniżej kolan. W spoglądających z dzikiej twarzy oczach ujrzałam inteligencję, mocne kości policzkowe zdradzały zaczątki urody.

Wykrzyknęła tylko jedno słowo: Avaunt! – ciskając je ku mnie z namacalną mocą.

Było to słowo z pradawnej mowy; zaklęcie. To samo można wyrazić mrocznym zaklęciem Precz. Przeganiała mnie i w postaci duchowej brakło mi mocy, żeby stawić opór.

Poczułam, jak niewidzialna nić, wiążąca mnie z umierającym ciałem, napina się i

szarpie, ściągnając mnie z blanków. Wcześniej jednak zobaczyłam coś jeszcze.

Druga lamia trzymała w lewej dłoni oprawną w skórę księgę. Czyżby zabrała ją ze skrzyni matki Toma? I nagle leciałam ponad Wronim Lasem, ściągnana ku chacie. Wszystko wokół rozmazało się, z łoskotem wylądowałam wprost we własnym ciele i znów poczułam ból. Próbowałam otworzyć oczy, byłam jednak zbyt zmęczona. Potem usłyszałam kolejny łoskot i pojęłam, że to moje serce. Biło powoli, z wysiłkiem; miałam wrażenie, że zaraz się zatrzyma, znużone pompowaniem krwi krążącej po umierającym ciele.

Moje życie wiedźmy zabójczyni dobiegło końca. Dobrze jednak wyszkoliłam Thorne. Pozostał ktoś, kto zajmie moje miejsce.

Zamknęłam oczy i osunęłam się w głęboką ciemność, przyjmując śmierć. To już koniec, nic więcej nie mogłam zrobić.

## ROZDZIAŁ 6

### SZAFOT LAMII

*Wieża Malkinów to mroczny duchowy dom naszego klanu.  
Wiele z nas opłakuje jej utratę, ja jednak o to nie dbam,  
bo każde miejsce, w którym walczę, jest dla mnie domem.  
Moje noże też mają dom  
– w sercach moich wrogów.*

Nie była to jednak chwila mojej śmierci. Ocknęłam się i poczułam, że Agnes obmywa moje czoło.

Uśmiechając się, pomogła mi usiąść i podparła plecy poduszkami.

– Bardzo mocno spałam – rzekłam.

– Owszem – leżałaś w śpiączce prawie trzy dni.

– Jestem uleczona? – spytałam.

Czułam się słaba, kręciło mi się w głowie, ale gorączka minęła i znów oddychałam normalnie. Umysł miałam ostry, sprawny i czujny.

Uśmiech zniknął z jej twarzy.

– Nie jestem pewna, czy „uleczona” to właściwe określenie. Po wielu próbach i błędach w końcu znalazłam antidotum, które ocaliło cię od śmierci. Nie mam jednak pewności, czy w pełni odzyskasz zdrowie.

– Co to dokładnie znaczy? – spytałam ostro. Nagle dosłyszałam gniew i wrogość w moim głosie. – Wybacz – dodałam – dziękuję, że uratowałaś mi życie.

Agnes przytaknęła.

– Zrobiłam, co w mojej mocy – podjęła – lecz czasami, choć usuwamy truciznę z ciała, pozostają wyrządzone przez nią szkody. Możesz cierpieć na trwałe osłabienie. Jad mógł uszkodzić płuca, serce bądź inne narządy wewnętrzne. Czasami uszkodzenia są trwałe; mogą pojawiać się okresy choroby, poza tym jednak ofiara czuje się dobrze.

Odetchnęłam głęboko, starając się przyswoić to, co mówiła Agnes. Znaczenie tych słów było jasne. W pracy wiedźmy zabójczynie musiałam polegać na własnej sile i sprawności fizycznej. Bez tego będę narażona na ataki, które wcześniej by mi nie zagrażały.

– Uważasz zatem, że zostałam trwałe okaleczona?

Agnes westchnęła. Widziałam, że bardzo starannie dobiera słowa.

– Myślę, że to prawdopodobne. Nigdy nie widziałam, by ktoś tak bardzo jak ty ucierpiał od trucizny i w pełni doszedł do siebie.

Skinęłam głową.

– Dziękuję ci za szczerość. Pozostaje mi tylko liczyć, że ja będę pierwsza. Z całą pewnością postaram się odzyskać dawną sprawność. A teraz powiedz – gdzie jest Thorne? Ufam, że głowa nadal pozostaje bezpieczna w jej rękach?

– Jest bezpieczna. Teraz leży w swojej izbie, śpi, lewą ręką ściskając worek, jak zawsze. Lecz poza tymi czterema ścianami kryją się zagrożenia. Nie możecie zostać tu zbyt długo. Czarownice kierujące kreczem zażądały prawa wejścia do Pendle, ale im odmówiono. Jednakże niektórzy je wspierają i doszło już do potyczek między rywalizującymi grupami. Zbliża się wielka bitwa; jeśli przeciwnicy Złego przegrają, krecz przybędzie tu po ciebie.

Skinęłam głową.

– Lepiej zatem, bym odeszła jak najszybciej.

– Dokąd pójdziesz?

– Do Wieży Malkinów, gdzie nawet krecz nie zdoła mnie osiągnąć. Kiedy głowa Złego znajdzie się za tymi murami, będzie bezpieczna, poza zasięgiem wrogów.

– A co z tymi, które jej strzegą?

– W razie konieczności rozprawimy się z nimi.

– Zabierzesz ze sobą Thorne?

– Tak. To ledwie dziewczyna, niechętnie narażam ją na takie niebezpieczeństwo, lecz

jaki mam wybór? Zawartość tego worka jest najważniejsza. Poza tym być może lamie mnie wpuszczą. Ostatecznie jestem ich sojuszniczką.

– Będziesz musiała je o tym przekonać. Dzikie lamie kierują się własnymi zasadami i nie zawsze myślą logicznie.

– Sytuacja uległa zmianie. Jedna z nich jest bliższa ludzkiej niż dzikiej postaci. Druga, choć wciąż lata, może już mówić. Obie odmieniają postać na udomowioną.

– Skąd to wiesz? – spytała Agnes. – Widziałam lamię krążącą wokół wieży, nie zdołałam jednak przeniknąć jej osłony. Wzniosły potężne magiczne bariery.

Nie odpowiedziałam. Wiedźma strzeże własnych sekretów, nigdy nie zdradza innym więcej, niż to konieczne. Bez wątpienia Agnes także miała własne tajemnice.

Spuściłam nogi z łóżka, Agnes pomogła mi wstać. Choć chwiejnie, zdołałam bez pomocy podejść do drzwi frontowych. Usiadłam na stołku przy kominku, Agnes przyrządziła rosół. Po paru minutach Thorne wyłoniła się z izby, trzymając w dłoniach skórzany worek. Na mój widok otworzyła ze zdumienia usta, potem uśmiechnęła się i usiadła na podłodze u mych stóp.

– Dobrze cię widzieć całą i zdrową – rzekła.

– Ależ nie, dziecko. W tej chwili mam zaledwie dość sił, by usiedzieć na tym stołku. Lecz owszem, śmierć będzie musiała przyjść do mnie kiedy indziej.

– Kiedy wlejesz go w siebie, poczujesz się lepiej. – Agnes wręczyła mi miskę bulionu. – Uważam jednak, że musisz spędzić tu jeszcze co najmniej dzień, nim gdziekolwiek wyruszysz.

Przytaknęłam. Miała rację. Choć rozpaczliwie pragnęłam dotrzeć do schronienia w Wieży Malkinów, niemądrze byłoby podjąć tę próbę w moim obecnym stanie.

\*

Następnego wieczoru, raz jeszcze podziękowawszy Agnes, pożegnałyśmy się i poprowadziłam Thorne do Wieży Malkinów. Szłyśmy powoli, bo nadal czułam się słabo, lecz oddychałam już swobodnie i nie doskwierał mi ból.

Wkrótce zostawiłyśmy daleko za sobą wioskę Roughlee, w oddali widziałyśmy Wroni Las. Nie tam jednak zmierzałyśmy – a przynajmniej nie od razu.

Naszym pierwszym celem było wejście do tunelu, wiodącego do lochów wieży. Kiedyś znała je tylko przywódczyni klanu, obecnie wiedziało o nim całe Pendle, lecz obecność lamii utrzymywała z daleka nawet najpotężniejsze czarownice. Wkrótce znalazłyśmy się w zagajniku, okalającym dawny cmentarz. Nagrobki pochylały się pod dziwacznymi kątami, w ziemi ziały zdradzieckie jamy, ukryte w poszyciu – puste groby, z których

usunięto ciała.

Przed nami, skąpana w jasnych promieniach księżyca, wznosiła się ruina grobowca; korzenie młodego jawora przebiły sklepienie, cień drzewa padał na dach i wejście. Z kieszeni na udzie wyciągnęłam małą świeczkę z czarnego wosku, wymamrotałam zaklęcie i na końcu knota zamigotał płomyk. Thorne uczyniła podobnie; poprowadziłam ją do wnętrza mauzoleum, przeciskając się przez gęste zasłony pajęczyn. Na podłodze leżały ludzkie kości, wyrzucone z miejsca ostatniego spoczynku przez tych, którzy dostali się do tunelu; nad nimi, na sześciu kamiennych półkach, spoczywały szczątki umarłych – niegdyś członków bogatej rodziny. Teraz współdzielili wygody i bogactwa śmierci.

Wczołgałam się na najniższą półkę, przeciskając między płytami i znalazłam w tunelu. Pachniało w nim wilgotną ziemią, sklepienie było bardzo niskie, zmuszając mnie do pełznięcia na czworakach. Zerknęłam przez ramię, Thorne uśmiechnęła się szeroko. Od dawna pragnęła zwiedzić te tunele i dotrzeć do wieży. Teraz jej życzenie miało się spełnić. Oby tylko koszt nie okazał się zbyt wysoki. Przez długie minuty powoli skradałyśmy się naprzód. Szło nam ciężko, bo musiałam popychać przed sobą skórzany worek i unosić świeczkę, w końcu jednak znalazłyśmy się w komorze o ścianach z ubitej ziemi. Naprzeciwko nas otwierał się wylot kolejnego tunelu, tym razem znacznie większego, o sklepieniu wspartym na podporach.

– Czy chcesz, żebym teraz poszła przodem i poniosła worek? – spytała Thorne.

– Ależ proszę, dziecko, idź pierwsza. Worek jednak to moje brzemię.

Moja towarzyszka wystąpiła naprzód, powęszyła, wypatrując zagrożenia, a potem skinęła szybko głową i ruszyła naprzód.

Bez wahania podążyłam za nią. Ufałam jej ocenie, a w chwili obecnej była zapewne sprawniejsza, silniejsza i bardziej wyczulona na niebezpieczeństwo.

Po jakimś czasie dotarłyśmy do sadzawki, pełnej stęchłej wody barwy błota. Mieszkał w niej niegdyś mroczny stwór, utopiec, stworzony przez krąg Malkinów, aby strzegł tunelu. Utopiec to wielkie, napuchnięte ciało utopionego marynarza; ożywia je dusza, uwięziona w nim wołą stwórców. Podobny stwór zazwyczaj bywa ślepy, bo zanim ciało zostanie wyciągnięte z wody, ryby zwykle zdążą wyjeść mu oczy. Ukrywa się pod powierzchnią i wyczuwszy nadejście intruza, sięga, chwytając ofiarę za kostki, a potem wciąga ją do wody i topi.

Utopce są silne i niebezpieczne, ten jednak zginął, zabity przez jedną z lamii, która rozdarła go na strzępy. Teraz pozostał po nim jedynie słaby smród zgnilizny i śmierci.

Ostrożnie wędrowałyśmy okalającą staw wąską, śliską ścieżką i dalej, w głąb tunelu.



Nadal nie wyczuwałyśmy niebezpieczeństwa, choć lamie mogły kryć się gdzieś przed nami, poza zasięgiem węszenia. Mogłam użyć kości z naszyjnika, aby to zbadać, uznałam jednak, że lepiej nie naruszać i tak niewielkich zapasów magii.

W końcu dotarłyśmy do solidnych drewnianych drzwi, osadzonych w kamieniu i zwisających luźno na zawiasach. To było wejście do lochu. W dniach, kiedy żył tu klan Malkinów, pozostawało zamknięte na klucz.

Thorne znów powęszyła, po czym przekroczyła próg i znalazłyśmy się w mrocznym, wilgotnym korytarzu. Po obu stronach ciągnęły się cele. Z sufitu ściekała woda, nasze kroki odbijały się echem od mokrych kamiennych płyt. Wszystkie drzwi stały otworem, wewnątrz nie pozostał żaden żywy więzień, lecz w migotliwym blasku świec ujrzałyśmy ludzkie kości, części szkieletów, odziane w przegniłe szmaty, wciąż przykute do ścian. Wielu brakowało kończyn, odgryzionych i odciągniętych w kąt przez stada szczurów, które niegdyś nawiedzały lochy. Teraz nie było po nich śladu i wkrótce odkryłam dlaczego.

Po chwili znalazłyśmy się w dużej okrągłej komnacie o wysokim sklepieniu, kamienne stopnie biegly ku poszarpanej dziurze. Niegdyś mieściła się tam kłapa, dająca dostęp do piętra wyżej, lecz lamie powiększyły otwór, by zapewnić sobie łatwy dostęp. Mój wzrok szybko powędrował od niej do kręgu pięciu kamiennych filarów. Każdy obwieszono kajdanami i łańcuchami – to tu torturowano więźniów. Najdalszy filar – ten obok drewnianego stołu, pełnego narzędzi, takich jak noże i cęgi – wyglądał jednak inaczej.

U jego stóp stał duży drewniany kubeł, do którego ściekała krew. Z mroku w górze zwisało trzynaście łańcuchów, każdy kończył się na różnej wysokości i na każdym wisiało martwe zwierzę. Były tam szczury, króliki, zające, tłusty borsuk, pustułka oraz czarnobiały kot. Większość nie żyła i ich krew już dawno ściekła do kubła. Lecz dwa, wielkie szare szczury o długich wąsikach, nadal poruszały się, gdy krew spływała z nich kropla za kroplą.

– Czemu lamie zrobiły coś takiego? – wyszeptała Thorne, patrząc okrągłymi oczami.

– To jest szafot lamii... Nikt nie wie, do czego naprawdę służy. Niektórzy sądzą, że to ostrzeżenie, być może ma inne znaczenie. Bez wątpienia w wiadrze w końcu zbiera się dość krwi, by im się to opłaciło – odparłam. – Ale lamie potrafią upolować i zabić znacznie większą zdobycz – na przykład owcę. Może po prostu lubią smak małych stworzeń? Niektóre wiedźmy z Pendle wołają krew szczurzą od ludzkiej. Jeśli jednak tak, czemu akurat trzynaście łańcuchów? To sugeruje jakiś rytuał. Być może to rodzaj magii lamii – zastanawiałam się głośno.

Wpatrzona w upiorny obraz, nagle obie wyczułyśmy niebezpieczeństwo i uniosłyśmy wzrok ku dziurze w suficie. Powęszyłam szybko.

– Lamia – ta skrzydlata! – ostrzegłam.

W sekundę później z góry opadło ku nam coś wielkiego. Spadało szybko, przyciskając skrzydła do ciała, niczym jastrzęb nurkujący ku ofierze.

## ROZDZIAŁ 7

### PRYZRZEKNIJ MI

*Po co zabijać słabych, skoro można walczyć z silnymi?  
Po co kłamać, kiedy można mówić prawdę?  
Wiedźma zabójczyni musi mieć swój honor  
i zawsze dotrzymywać słowa.*

W ostatniej chwili lamia rozpostarła szeroko skrzydła, poszybowała, oddalając się od ściany, i zaczęła okrążyć komnatę. Potem znów opadła ku nam.

Thorne dobyła noża. Pokręciłam głową.

– Nie bądź głupia! – zawołałam, chwytając ją za rękę i ciągnąc w stronę wąskiego korytarza.

Tam miałybyśmy większe szanse niż w obszernej sali, gdzie lamia mogła atakować z góry. Przypomniałam sobie, jak moje klingi odbiły się od jej łusek w czasie bitwy na Wzgórzu Pendle.

Szybko dotarliśmy do wylotu korytarza. Lamia wylądowała pośrodku komnaty i pomknęła ku nam na czterech nogach. Ta odmiana skrzydlatej lamii, zwana wengirą, występuje stosunkowo rzadko, lecz jest niezwykle niebezpieczna. Łatwiej byłoby negocjować niż walczyć, wiedziałam jednak, że w razie potrzeby zabiję ją.

Zatrzymała się niecałe sześć stóp od nas i stanęła na uniesionych tylnych łapach, groźnym gestem wyciągając ku nam przednie. Wiedziałam, że podobne stwory poruszają się bardzo szybko. Za sekundę mogła na nas skoczyć. Odłożyłam zatem worek, zasłoniłam sobą Thorne i dobyłam długiej klingi.

Zamiast jednak nas zaatakować, lamia przemówiła:

– Kim jesteś, wiedźmo? To głupota z twojej strony po raz drugi wkraczać do naszej siedziby!

Thorne spojrzała na mnie ze zdumieniem. Nie wspominałam jej, że wcześniej

odwiedziłam wieżę w postaci duchowej.

– Jestem Grimalkin, zabójczyni mego klanu, dawnych właścicieli tej wieży. Przybywam w pokoju. Jestem sojuszniczką Thomasa Warda, a zatem waszą także. Walczymy ze Złym: to nasz wspólny wróg.

– A co to za dziecko, które kuli ci się za plecami?

Thorne wystąpiła naprzód i wycelowała nożem w lamie.

– Nazywam się Thorne, służę Grimalkin. Jej wola to moja wola. Jej wrogowie to moi wrogowie, sojusznicy – moimi sojusznikami. Nie kulę się przed nikim i niczego się nie boję!

– Odważne słowa, dziecko. Lecz sama odwaga nie ochroni cię przed moimi szponami i zębami.

– Nie groziłabyś nam, gdybyś wiedziała, kim naprawdę jest Grimalkin – warknęła Thorne. – To największa zabójczyni Malkinów, jaka kiedykolwiek żyła. Nikt z klanu nie śmie rzucić jej wyzwania. Niektórzy wrogowie konali ze strachu w łózkach, słysząc, że na nich poluje.

– Doszły mnie już słuchy o jej niezwykłej reputacji – odparła lamia. – Ale sama przeżyłam wiele stuleci i opowieść o moich czynach pozbawiłaby tchu tysiąc minstrelów. Co was sprowadza do tej wieży?

– Szukamy chwilowego schronienia – odparłam. – Wrogowie nas ścigają. Nie boimy się jednak o siebie, a o to, że nasze brzemię mogłoby wpaść w ich ręce – uniosłam worek. – W środku tkwi odrąbana głowa Złego. Przebiłam jego ciało i pogrzebałam w jamie za morzem, daleko stąd. Nasi wrogowie pragną połączyć obie części jego ciała i przywrócić mu siłę. Tom Ward szuka sposobu, który pozwoli nam zniszczyć go raz na zawsze, potrzebujemy jednak czasu, by zdążyć tego dokonać. Głowa musi pozostać bezpieczna.

Lamia na moment przytknęła oczy, jakby zamyślona. Potem przytaknęła powoli i wskazała szponiastym palcem dziurę w suficie.

– Wyczułyśmy uwięzienie Złego i jego ból. Wszyscy słudzy Mroku poczuli to w chwili, gdy się stało. Chciałabym zobaczyć tę głowę, podobnie moja siostra. Chodźcie za mną do wieży.

To rzekłszy, wyskoczyła w powietrze i poszybowała w górę. Chwilę później zniknęła w dziurze.

– To może być podstęp – mruknęła Thorne. – Kiedy znajdziemy się na otwartej przestrzeni, znów może zaatakować.

Skinęłam głowę.

– Musimy jednak podjąć ryzyko.

Uniosłam worek i świecę, minęłam dwie najbliższe kolumny i rozpoczęłam wspinaczkę po kręconych schodach.

Przecisnąwszy się przez nierówną dziurę w sklepieniu, ujrzałyśmy wielką podziemną podstawę wieży w kształcie walca. Nie zauważyłam ani śladu lamii. Z góry kapłała woda, bez wątplenia przesiąkająca między kamieniami fosy. Ostrożnie ruszyliśmy dalej wąskimi, krętymi schodami, śliskimi i zdradzieckimi. Po lewej miałyśmy szyb; upadek oznaczałby pewną śmierć, po prawej zakrzywioną ścianę, w równych odstępach osadzono w niej drzwi, za którymi kryły się ciemne wilgotne cele dla więźniów. Zaglądałam do wszystkich, okazały się jednak zupełnie puste. Nie było w nich nawet kości.

W końcu dotarłyśmy do niegdysiejszej głównej klapy; ona także zamieniła się w poszarpaną dziurę w kamieniach, by ułatwić przejście lamiom. Za dziurą krył się magazyn. Powiodłam wzrokiem po rzędach worków gnijących ziemniaków i cuchnącym, oślizgłym stosie czegoś, co kiedyś było rzepą. Kiedy odwiedziłam wieżę w postaci duchowej, nie czułam smrodu, teraz jednak porażał, jeszcze gorszy niż wówczas, gdy mieszkał tu krąg Malkinów. Za drzwiami wiodącymi do rozległej sali migotała pochodnia.

Unosząc świecę, przekroczyłyśmy próg. Skrzydlata lamia przysiadła na zamkniętej skrzyni; na stołku obok siedziała jej siostra, w dłoni trzymająca książkę. Pochodnia osadzona w uchwycie na ścianie oświetlała lewe części ciał obu czarownic; ich długie cienie sięgały niemal do muru. Większość sali spowijała ciemność.

– Oto nasi goście, sestro – wychrypiała skrzydlata lamia. – Ta młoda nazywa się Thorne. Wyższa, ze śmiercią w oczach i okrutnymi ustami, to Grimalkin, wiedźma zabójczyni.

Czarownica na stołku spróbowała powitać nas uśmiechem, zdołała jednak tylko wykrzywić twarz w grymasie. Zęby miała nieco zbyt długie, by mieściły się w ustach, oddychała głośno.

Kiedy jednak przemówiła, jej głos zabrzmiał miękko, nie ochryple.

– Nazywam się Slake – oznajmiła. – Moja siostra to Wynde, na pamiątkę naszej matki. Zdaje się, że macie nam coś do pokazania.

Położyłam na posadzce skórzany worek i rozwiązałam go. Potem powoli wyciągnęłam głowę Złego i uniosłam za rogi, zwróconą twarzą do lamii. Na jej widok obie uśmiechnęły się groteskowo.

– Zielone jabłko to sprytny sposób uciszenia go – zauważyła z aprobatą Slake.

– Podoba mi się, jak owinęłaś je cierniami – dodała Wynde.

– Ale dlaczego po prostu nie zniszczyłaś głowy? – chciała wiedzieć Slake. – Mogłybyśmy ugotować ją w kotle i zjeść.

– Lepiej na surowo – wychrypiała Wynde, trzepocząc skrzydłami, jej zwierzęcą twarz rozjaśniło nagle podniecenie. – Ja wezmę język, siostró. Ty możesz zjeść oczy!

– Już wcześniej zastanawiałam się, czy nie zniszczyć głowy, ale nie odważyłabym się – przerwałam im. – Kto wie, co by się wówczas stało? Jakie byłyby konsekwencje? Nie jest to zwykła czarownica, którą można odesłać w Mrok na zawsze, po prostu zjadając jej ciało. Mamy do czynienia z uosobieniem Mroku, diabłem we własnej osobie. Pożerając głowę, mogłybyśmy go uwolnić. Zły umie zmieniać kształt, wedle woli rosnąć i maleć. Na swobodzie dysponuje straszliwymi mocami – części zapewne wciąż nie znamy. Przebiłam jego ciało srebrnymi włócznie, został zatem uwięziony i pozbawiony mocy. Bezpieczniej zachować głowę osobno, by sługi nie mogły wyciągnąć włóczy i go ożywić.

– Masz rację – przyznała Slake. – Głupio byłoby ryzykować, gdy gra toczy się o tak wysoką stawkę. Bardzo kochałyśmy naszą nieżyjącą siostrę i przyrzekłyśmy chronić jej syna, Thomasa Warda, o którym wspominałaś. Powiedz mi jednak – czy jest już bliższy odkrycia pewnego sposobu zniszczenia Złego?

Pokręciłam głową.

– Nadal szuka odpowiedzi. Zastanawiał się, czy w tej skrzyni kryje się coś, co mogłoby mu pomóc.

Slake uśmiechnęła się, wyszczerzając zęby i postukała palcem w trzymaną w dłoni książkę.

– W tym samym celu przeglądałam skrzynię – aby na zawsze wyeliminować Złego. Jak dotąd niczego nie znalazłam. Może podczas pobytu tutaj zechcecie nam pomóc?

Uśmiechnęłam się i przytaknęłam. Lamie właśnie zaoferowały nam schronienie.

– Chętnie pomogę – rzekłam. – Lecz bez wątpienia za murami wkrótce pojawią się wrogowie.

– Niech sobie przychodzą i wkraczają na moje tereny łowieckie poza murami wieży – wtrąciła Wynde. – Czeka mnie świetna zabawa – najlepsze łowy od wielu lat.

\*

Tego wieczoru zjadłyśmy z Thorne do syta. Wynde, skrzydlata lamia, złapała kolejną owcę i upuściła ją dla nas na blanki – już wcześniej wysączyła z niej krew. Zarznęłam zwierzę i zaniósłam do środka najsoczystsze kawałki, by upiec na rożnie.

Wentylacja w komnacie była kiepska i dym rozszedł się dookoła. Nie przeszkadzał mi jednak: piekące oczy przywiodły na myśl szczęśliwe czasy dzieciństwa, gdy przez wiele

godzin patrzyłam, jak służba kręgu szykuje i przyrządza posiłki.

– Kim był pierwszy człowiek, którego zabiłaś? – spytała Thorne, gdy zajadałyśmy późną wieczerzę.

– Przecież już to wiesz, dziecko. Opowiadałam ci wcześniej tę historię – wiele razy.

– No to opowiedz jeszcze raz, proszę. Nigdy mnie nie nudzi.

Jak mogłam odmówić? Bez pomocy Thorne leżałabym martwa na zachód od Pendle. Zaczęłam zatem opowieść.

– Po tym, co Zły zrobił memu dziecku, pragnęłam go zranić i wiedziałam, gdzie go znajdę. W owym czasie upodobał sobie klan Deane'ów, toteż w wigilię Wszystkich Świętych zlekceważyłam świętujących Malkinków i ruszyłam do Roughlee, wioski tego klanu.

Przybyłam o zmierzchu i ukryłam się w niewielkim zagajniku, z którego roztaczał się widok na miejsce ich sabatów. Nie obawiałam się, że mnie wykryją: wiedziałam, że będą podniecone, zaprzątnięte przygotowaniami, a poza tym osłoniłam się najsilniejszym znanym mi zaklęciem. Łącząc magię, czarownice Deane'ów z głośnym trzaskiem rozpały ognisko. A potem krąg, trzynastcie najpotężniejszych wiedźm, ustawił się wokół ognia; ich słabsze siostry czekały nieco dalej.

W chwili, gdy dotarł do mnie smród płonących kości, czarownice Deane'ów zaczęły przeklinać swoich wrogów, zsyłając śmierć i zniszczenie na wszystkich, których wymieniły. Ludzie słabi i starsi bądź nieostrożne wiedźmy mogą paść ofiarą podobnych klątw, w większości jednak to strata czasu, bo wszystkie czarownice potrafią się bronić przed podobną mroczną magią.

Wkrótce ogień się zmienił: żółte i pomarańczowe płomienie przybrały barwę jaskrawej czerwieni – pierwszy znak, że wkrótce przybędzie Zły. Usłyszałam pełne wyczekiwania westchnienia zebranych i skupiłam całą swą uwagę na ogniu, wśród którego zaczął się materializować.

Choć Zły potrafi stawać się większy bądź mniejszy, tym razem przybrał postać pełną złowieszczonego majestatu, by wyrzucić wrażenie na swych wyznawczyniach. Stał pośrodku ogniska, płomienie lizały mu kolana – wysoka, barczysta postać, trzy razy większa od przeciętnego mężczyzny, o długim giętym ogonie i zakrzywionych baranich rogach. Ciało porastały gęste czarne kudły i ujrzałam, jak wiedźmy z kręgu sięgają przez płomienie, pragnąc dotknąć mrocznego pana.

– Jak się czułaś? – spytała podniecona Thorne. – Denerwowałaś się, choć trochę bałaś? Ja z pewnością bym się bała! Teraz mówisz, że niczego się nie lękasz, ale wtedy

byłaś młoda, miałaś najwyżej siedemnaście lat i zamierzałaś zaatakować Złego na oczach wrogiego klanu.

– Z całą pewnością się denerwowałam, dziecko, ale też przepełniało mnie podniecenie i gniew. Jeśli towarzyszył mi strach, to ukryty tak głęboko pod innymi emocjami, że sama go nie wyczuwałam. Wiedziałam, że diabeł nie pozostanie długo wśród płomieni. Musiałam uderzyć natychmiast! Porzuciłam zatem kryjówkę pośród drzew i puściłam się biegiem prosto ku ognisku. Wypadłam z ciemności, w obu dłoniach dzierżąc klingi; trzecią ścisnęłam w zębach. Nienawidziłam Złego i byłam gotowa na śmierć, porażona jego mocą bądź rozszarpana na strzępy przez Deane'ów.

Posłałam ku niemu myśli, wytężając wolę. Choć dysponowałam mocą odegnania go, tym razem uczyniłam coś przeciwnego: nakazałam mu zostać. Wbiegłam w lukę pomiędzy wiedźmami na skraju zgromadzenia. W miarę jak tłum się zacieśniał, zaczęłam odpychać najbliższe łokciami i ramionami; widziałam zwracające się ku mnie gniewne, zaskoczone twarze. W końcu dotarłam do kręgu i cisnęłam pierwszym sztyletem. Trafił Złego w pierś, wbijając się po rękojeść. Zły wrzasnął przeciągle i głośno. Boleśnie go zraniłam i jego krzyk cierpienia brzmiał w moich uszach niczym muzyka. On jednak obrócił się w płomieniach, toteż następne dwa noże, mimo że utkwily głęboko w jego ciele, nie do końca dotarły do planowanego celu.

Przez moment patrzył wprost na mnie, widziałam jego pionowe czerwone źrenice. Nie dysponowałam niczym, czym mogłabym się obronić przed mocą, jaką władał. Co gorsza, wiedziałam, że po śmierci znajdzie mnie, na wieki poddając moją duszę męczarniom. Teraz w myślach kazałam mu odejść. Zastanawiałam się, czy to uczyni, czy też najpierw mnie zniszczy? On jednak po prostu zniknął, zabierając ze sobą płomienie, tak że wokół zapadła nieprzenikniona ciemność. Zakaz okazał się prawdziwy. Nosiłam jego dziecko, toteż nie mogłam pozostawać w mojej obecności, chyba że sama sobie tego życzyłam.

Wokół mnie wybuchł zamęt, wrzaski wściekłości i strachu; wiedźmy uganiały się we wszystkie strony. W ciemności wyśliznęłam się z tłumu i uciekłam. Oczywiście wiedziałam, że poślą za mną zabójczynie. Oznaczało to, że będę musiała zabić albo zginąć.

Biegłam na północ, poza Wzgórze Pendle, potem skręciłam na zachód, w kierunku odległego morza, nadal pędząc ile sił w nogach. Wiedziałam dokładnie, dokąd zmierzam, z góry zaplanowałam całą trasę: stawię czoło przeciwnikom na równinach na wschód od ujścia rzeki Wyre. Spowiłam się w płaszcz mrocznej magii, lecz zdawałam sobie sprawę, że nie starczy mi mocy, by ukryć się przed wszystkimi, którzy za mną podążą. Niektóre czarownice dysponują szczególną siłą, pozwalającą przeniknąć podobne maskowanie.

Musiałam zatem podjąć walkę w miejscu, gdzie mogłabym zyskać przewagę.

W okolicy tej leżą trzy wioski, ułożone w jednej linii, biegnącej mniej więcej z południa na północ, i połączone wąskim traktem, czasami nieprzejezdnym z powodu przypływów. Ze wszystkich stron ciągną się bagniste moczary. Podczas przypływu do rzeki wpada morska woda, okalają ją rozległe słone bagniska, a na północny wschód od Staumin, na morskim brzegu sterczy wzgórze Arm, niewielkie suche wzniesienie pośród kęp traw i zdradzieckich kanalików, które wypełniały się słoną wodą, chwytając w pułapkę nieostrożnych podróżnych.

Po jednej stronie płynie rzeka, po drugiej rozciągają się bagna i nikt nie może ich przebyć, nie będąc widzianym. Każda wiedźma, która zapuszcza się w te okolice, cierpi nieznosny ból, ja jednak zacisnęłam tylko zęby i dotarłam na wzgórze, po czym zaczęłam czekać na prześladowczynię, wiedząc, że będzie ich więcej niż jedna.

W oczach klanu Deane'ów popełniłam straszliwą zbrodnię. Wiedziałam, że jeśli mnie schwytają, umrę powoli, w wielkich męczarniach.

Pierwsza nieprzyjaciółka zjawiała się o zmierzchu, powoli wędrując po trawiastych bagnach. Jako czarownica dysponuję wieloma umiejętnościami i talentami. Jeden z nich okazał się teraz bardzo użyteczny. To dar, który ze mną dzielisz, Thorne. Gdy zbliża się nieprzyjaciół, natychmiast wiem, ile jest wart: znam jego siłę i zdolności walki. Czarownica wędrująca ku mnie była niezła, ale nie należała do pierwszej ligi. Bez wątplenia talenty tropicielskie i zdolność przenikania magicznej zasłony doprowadziły ją do mnie jako pierwszą.

Zaczekałam, aż się zbliży, a potem pokazałam się jej. Stałam na owym niewielkim pagórku, wyraźnie widoczna na tle gasnących czerwonych lun zachodniego nieba. Wiedźma puściła się ku mnie, w obu dłoniach ścisnęła noże. Nie uskakiwała, nawet nie próbowała uniknąć trafienia. Nadeszła decydująca chwila: ona albo ja. Jedna z nas musiała zginąć. Wyciągnęłam zatem zza pasa ulubiony nóż do rzucania i cisnęłam w nią. Nie chybiłam. Klinga trafiła ją w gardło. Czarownica wydała cichy gulgot, osunęła się na kolana i runęła twarzą w trawę.

Tak, dziecko, była pierwszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek zabiłam, i przez moment poczułam ukłucie żalu. Szybko jednak minęło, bo skupiłam się na własnym przetrwaniu. Ukryłam ciało czarownicy za wysoką kępą traw, wciskając je w błoto. Nie wycięłam jej serca. Starłyśmy się w honorowej walce i przegrała. Pewnej nocy miała powrócić z martwych i zacząć czołgać się po bagnach w poszukiwaniu ofiary. Ponieważ już mi nie zagrażała, nie zamierzałam jej tego odmawiać.



– Jeżeli zginę przed tobą – wtrąciła Thorne – przyrzeknij mi, że wytniesz mi serce. Wolę odejść prosto w Mrok. Nie chcę trwać dalej jako martwa wiedźma, kręcąc się po jarze i czekając, aż odpadnie kolejny kawałek mego ciała.

Skinęłam głowę.

– Jeśli takie jest twoje życzenie, nie odmówię. Gdybym ja jednak zginęła pierwsza, pozostaw moje serce nietknięte. Trwanie w jarze jest lepsze niż znoszenie wiecznych męczarni w Mroku z rąk Złego. Jeśli go nie zniszczymy, będzie na mnie czekał – i na ciebie także, Thorne. Jesteś pewna, że nie zmienisz zdania?

Thorne pokręciła głowę.

– Znajdziemy sposób, by go zniszczyć i wtedy będziemy mogli bezpiecznie odejść w Mrok, gdzie nasze miejsce. Pewnego dnia odrodzę się w nowym ciele: znów zostanę wiedźmą zabójczynią i spróbuję osiągnąć jeszcze więcej niż w tym życiu!

Uśmiechnęłam się. Czarownice powracają nie tylko jako mroczne, wampirze stwory. Czasami odradzają się także w zupełnie nowym ciele i żyją po raz drugi, a nawet trzeci.

– A teraz proszę, dokończ historię – nalegała Thorne. – Posłały też za tobą inne, prawda?

Przytaknęłam.

– Tak, na nadejście kolejnych czekałam niemal trzy dni. Były dwie, nadeszły razem. Walczyłyśmy w promieniach zachodzącego słońca: pamiętam, że w jego świetle rzeka poczerwieniała niczym krew. Byłam młoda, silna i szybka, miałam jednak do czynienia z weterankami podobnych walk, dysponującymi mnóstwem sztuczek, których nie znałam. Zraniły mnie ciężko i do dziś noszę blizny pozostałe po owym spotkaniu, wiele się jednak nauczyłam. Walka trwała ponad godzinę, było groźnie, w końcu jednak zwycięstwo przypadło mnie i bagno pochłonęło ciała kolejnych dwóch czarownic klanu Deane'ów.

Dopiero po trzech tygodniach odzyskałam dość sił, by móc podróżować, w owym czasie jednak klan nie przysłał kolejnych mścicielek. Ślad ostygł, mało też prawdopodobne, by ktokolwiek rozpoznał mnie owej nocy, kiedy zaatakowałam Złego.

– Do dziś dnia Deane'owie nie wiedzą, że to byłaś ty, prawda? – spytała Thorne.

– Zgadza się, dziecko – tylko tobie opowiadałam tę historię. Miejmy nadzieję, że nigdy się nie dowiedzą, inaczej moje dni jako wiedźmy zabójczyni byłyby policzone. Cały klan polowałby na mnie. Nigdy by nie zapomniały.

## ROZDZIAŁ 8

## CO CIĘ TRAPI, AGNES?

*Wiedźma zabójczyni z konieczności wędruje sama.  
Rzadko zawiera sojusze, lecz wysoce je sobie ceni  
i boleśnie odczuwa ich utratę.*

Wkrótce Thorne zasnęła przy palenisku. Po siostrach lamiach nie pozostał nawet ślad. Udały się w podziemia wieży – nie potrafiłam odgadnąć w jakim celu. Wdrapałam się zatem po schodach na blanki. Księżyc nie świecił i wiał porywisty wiatr; ciemne chmury przepływały po niebie z zachodu. Przeniknęłam wzrokiem ciemność, spoglądając wiedźmimi oczami na drzewa Wroniego Lasu. Widziałam wrony w gniazdach i borsuka, drzemiącego nieopodal nory, poza tym jednak nic się nie poruszało. Powęszyłam trzy razy, by mieć pewność, lecz nie wyczułam zagrożenia.

Dziwne. Spodziewałam się, że wypatrzę co najmniej jednego szpiega.

Zadowolona wróciłam na schody, gdy nagle w kąciakach oczu rozbłysły mi światełka. Zrobiło mi się słabo, worek z głową Złego nagle wydał się bardzo ciężki. Świat wokół zawirował, o mało nie upadłam głową naprzód, zdołałam jednak osunąć się na kolana. Wszystko spowiła ciemność, serce waliło mi ciężko. Zaczęłam oddychać powoli, miarowo i w końcu odzyskałam wzrok.

Kiedy chwila słabości minęła, wolno podniosłam się z ziemi. Czy były to właśnie owe skutki otrucia przez krecza, przed którymi ostrzegła mnie Agnes Sowerbutts? Gdybym dostała podobnego ataku podczas walki z wrogiem, z pewnością bym zginęła. Co za straszne osłabienie. Zawsze pokładałam ogromną wiarę we własne zdolności i umiejętność pokonania każdego wroga oraz zapanowania nad każdą sytuacją. Nagle mój świat wywrócił się do góry nogami. Nie do końca nad wszystkim panowałam.

Wstrząśnięta, usiadłam u stóp schodów i jakiś czas odpoczywałam z głową opartą na kolanach. Musiałam zasnąć, bo następne, co pamiętam, to ruch lusterka w futerale. Nim jeszcze otworzyłam oczy, trzymałam je w dłoniach.

W lusterku ujrzałam twarz Agnes. Przez moment sądziłam, że postrzegła to, co mnie spotkało, i chce udzielić porady, potem jednak dostrzegłam strach na jej twarzy i pojęłam, że dzieje się coś złego. Zaczęła mówić bezdźwięcznie tak szybko, że musiałam skupić się całkowicie, by odczytać ruch warg.

– Na południe od Roughlee doszło do gwałtownej bitwy. Zwolennicy Złego zwyciężyli. Zaprosili do Pendle krecza i tych, którzy go stworzyli, wkrótce połączą siły, by cię

zniszczyć. Nawet Wieża Malkinów nie będzie bezpieczna. Uciekaj na północ, póki jeszcze możesz!

– Ale co z tobą? Co cię trapi, Agnes? – spytałam cicho. – Widzę, że wargi drżą ci ze strachu.

– Idą po mnie, Grimalkin. Nie potrafię postrzec, w jakim celu. Kiedy próbuję, mimo moich mocy lustro gaśnie. Wiadomo powszechnie, że wiedźma nie może przewidzieć swojej własnej śmierci. Kiedy mój nieszczęsny mąż zginął, szalałam z rozpacz i nigdy nie będę tak szczęśliwa, jak wtedy, gdy żyliśmy razem. Przywykłam jednak do tego życia – przynajmniej jest mi ciepło i wygodnie. Miałam nadzieję, że spędzę tak jeszcze wiele lat. Nie jestem gotowa na śmierć.

– Posłuchaj, Agnes, natychmiast uciekaj ze swej chaty i skieruj się w stronę wieży. Nieważne jak powoli to zrobisz. Znajdę cię i bezpiecznie zabiorę do środka.

– Już za późno! Za późno dla mnie! Słyszę, jak walą do drzwi. Na zewnątrz zebrało się wiele czarownic. Słyszę ich gniewne wrzaski! Zaraz zginę!

Nagle lusterko pociemniało. Agnes znalazła się w rękach wroga i nie mogłam jej już pomóc. Wiedziałam jednak, że pomszczę Agnes i odpłacę nieprzyjaciołom po trzykroć za wszystko, co jej uczynią.

\*

O świcie na murach opowiedziałam pozostałym o Agnes i o wszystkim, czego się dowiedziałam. Zaczynał padać deszcz, teraz czułam już zapach wrogich wiedźm, czających się wśród drzew.

– Dlaczego ruszyli wprost do domku Agnes, by ją schwytać? – spytała Thorne.

– Mimo iż Agnes trzymała się na uboczu, wiadomo powszechnie, że nie popiera Złego. Deane'owie jednak mogli najpierw pochwycić innych, czynnie działających w tej sprawie. Podejrzewam, iż posłużyli się widzącą i powiązali ją ze mną. Może wiedzą, że odwiedziłyśmy jej chatę i że mi pomogła. Jeśli tak, dowiedzą się też o tobie.

Thorne wzruszyła ramionami.

– To i tak była tylko kwestia czasu. Nie da się wiecznie skrywać sekretu – a z pewnością nie wśród czarownic. Ale przecież możemy coś zrobić? – nalegała. – Wiele zawdzięczamy Agnes. Przez ostatnie cztery lata była dla mnie jak babcia – i prawdziwa przyjaciółka. Musimy jej pomóc. Nie zniosę myśli, że jest sama, przerażona, w okrutnych rękach bezlitosnych wrogów! Jak możemy na to pozwolić?

Pokręciłam głową.

– Będzie ich zbyt wiele. I możliwe, że Agnes już nie żyje. Przykro mi z jej powodu –

była także moją przyjaciółką – przede wszystkim jednak musimy chronić głowę Złego przed wpadnięciem w ich łapy. To nasze główne zmartwienie.

– Ale Agnes też jest naszym zmartwieniem! Tak wiele jej zawdzięczamy. Nie mogę uwierzyć, że pozwolisz, by zginęła. Jesteś Grimalkin! Nie zapominaj o tym. A może trucizna krecza tak bardzo cię zmieniła?

– Zamilcz! – poleciłam. – Owszem, jesteśmy jej wiele winne, ale mamy ważniejszy cel. Bądź mi posłuszna, inaczej przestanę cię szkolić.

– Wkrótce nadejdzie czas, kiedy nauczysz mnie już wszystkiego!

Uśmiechnęłam się drwiąco, wyszczerzając zęby. Czasami Thorne tak bardzo się nakręcała, że eksplodowała wściekłością. Taką miała naturę, musiała jednak nauczyć się dyscypliny i pamiętać, gdzie jej miejsce.

W tym momencie zaatakowała.

Skoczyła na równe nogi i kopnęła mnie w lewe ramię. Chwyciłam ją za stopę i przekręciłam, tak że runęła ciężko na ziemię. Zerwała się jednak w mgnieniu oka. Przeturlaliśmy się po kamiennych płytach, Thorne walczyła niczym dzika kotka, drapiąc i gryząc.

Odczekałam kilka chwil, by wyładowała gniew i napięcie, a potem zakończyłam tę bzdurę. Wbiłam mocno palce w oba jej nozdrza i dźwignęłam ją z ziemi. Nie zwalniając uchwytu, rzuciłam Thorne mocno o mur wieży obok stopni, tak że głośno wypuściła powietrze. Przekręciłam jej głowę na bok, otworzyłam szeroko usta, gotowa ugryźć ją w gardło. Nie zamierzałam ciężko jej zranić, lecz odrobina bólu będzie stosowną nauką.

W ostatniej możliwej chwili Thorne trzy razy uderzyła stopą o ścianę. To był znak, że się poddaje, więc ją wypuściłam. Stała tam chwiejąc się, blada, z lewego nozdrza ściekała jej krew zmieszana ze śluzem. Lecz jak zwykle po podobnym starciu oczy jej lśniły. Wpatrywałyśmy się w siebie i w końcu po paru sekundach kąci jej ust uniosły się w uśmiechu.

Pozdrowiłam ją skinieniem głowy i znów usiadłam. Obie łamy wpatrywały się w nas zdumione, dla mnie jednak nie było to nic nowego. Wiele razy walczyłyśmy; stanowiło to część szkolenia Thorne. Od czasu do czasu musiałam jej przypomnieć, gdzie jest jej miejsce. Dziewczyna nie tylko bywała nieostrożna, ale czasami miała zbyt wysokie mniemanie o sobie.

– Pójdę sprawdzić, co się święci – oznajmiła Wynde. Wystartowała z muru i opadła ku drzewom. Trzy razy okrążyła wieżę, a potem nabrała wysokości i pofrunęła na południe w stronę Roughlee.

Czekałyśmy w milczeniu, z włosów ściekała nam woda. Kiedy Wynde wróciła dziesięć minut później, nie przyniosła dobrych wieści. Wylądowała wdzięcznie, po czym pomknęła po schodach, chroniąc się przed deszczem i przycupnęła na swej skrzyni, czekając, aż do niej dołączymy.

– Co widziałaś, siostró? – spytała Slake.

– Wiele czarownic zmierzających w stronę Wroniego Lasu. Wszystkie niosą broń, lecz przychodzą tu na śmierć – oznajmiła Wynde, woda spływała jej ze skrzydeł, tworząc wielką kałużę na posadzce. – Zdążyłam się już zabawić.

Zerknęłam w dół i przekonałam się, że tylne nogi lamii pokrywają świeże plamy krwi. Jucha spłynęła też do kałuży pod skrzynią. Wynde zabiła już co najmniej jednego z naszych wrogów. Zirykowało mnie, że sama nie mogłam tego zrobić. Posiadanie skrzydeł daje wielką przewagę.

– Sądziś, że zamierzają zaatakować? Może przyjdą tunelami? – spytała Thorne.

– Najpierw musiałyby dotrzeć do wejścia – odparła Wynde.

– Parę z nich mogłoby się przedostać. Zagajnik wokół grobowca to niezła zasłona – wtrąciłam. – Ale z łatwością możemy bronić tunelu. Wystarczy jedna z nas, by powstrzymać napastników. Na razie nie grozi nam niebezpieczeństwo.

– W takim razie zejdę teraz do tuneli – oświadczyła Slake. – Zostanę do zmroku, potem któraś z was mnie zastąpi.

Przytaknęłam i lamia przecięła magazyn, znikając na schodach wiodących do dolnych części wieży.

– Gdyby tylko Agnes zdołała tu dotrzeć – Thorne westchnęła. – Zastanawiam się, co ją spotkało. Nie umiem przestać myśleć o tym, co mogą jej zrobić.

\*

Dowiedziałyśmy się tuż przed południem. Obserwowałyśmy z murów grupę czarownic, która wymaszerowała spomiędzy drzew i ruszyła wprost ku nam. Wynde szykowała się już do startu i ataku, poprosiłam jednak, by zaczekała.

– Ale dlaczego? – spytała, przygważdżając mnie spojrzeniem dzikich oczu.

– Ponieważ mają ze sobą Agnes, która nadal żyje – odparłam, wskazując ręką postać na czele grupy zbliżającej się do wieży.

Zerknęłam z ukosa na Thorne i dostrzegłam, że jej oczy rozszerzyły się z troski na te słowa. Wiedziałam, że cokolwiek nastąpi, nie będzie przyjemne, a nam przypadnie tylko patrzeć.

Agnes miała ręce związane na plecach, jej szyję okalał stryczek, którego drugi koniec

tkwił w rękach maszerującego przodem, czarnobrodego maga. Oczekiwałam, że na jej twarzy ujrzę grozę, wydawała się jednak spokojna. Czy była świadoma bliskości własnej śmierci i pogodziła się z nią? A może wciąż liczyła na ratunek – choćby ze strony skrzydlatej lamii?

Skupiłam uwagę na magu. Powęszyłam szybko trzy razy. Natychmiast wiele się o nim dowiedziałam. Władał potężną magią Mroku i był przywódcą tych, którzy stworzyli krecza. W dodatku umiał sobie radzić w walce i dysponował taką mocą, że powinien na niego uważać. Tylko głupiec zlekceważyłby podobnego maga.

– Tego zabiję jako następnego! – oznajmiła Wynde.

– Gdybym miała twoje skrzydła, już bym to zrobiła – syknęła Thorne.

– Zamilczcie! – uciszyłam je obie. – Posłuchajmy, co ma nam do powiedzenia.

Grupa podeszła do skraju fosy i zatrzymała się. Natychmiast mag uniósł głowę i wykrzyknął swe żądania donośnym, wyniosłym głosem.

– Jestem Bowker – oznajmił. – Wybrany przywódcą sług Złego. Macie czas do zachodu słońca, by oddać nam to, co nasze. Jeśli odmówicie, jako pierwsza zginie wasza przyjaciółka i sojuszniczka, ta stara czarownica. Za bardzo lubi zaglądać w lustra! Jej śmierć nie będzie lekka.

Obrócił się na pięcie i poprowadził swoją grupę z powrotem między drzewa, szarpiąc szorstko sznur okalający szyję biednej Agnes – wyraźnie usłyszałam jej jęk bólu. Wynde zatrzepotała skrzydłami, szykując się do ataku.

– Nie! – ostrzegłam. – Jeśli to zrobisz, natychmiast zabiją Agnes.

Lamia pokręciła głową.

– On i tak ją zabije. Kiedy znajdą się między drzewami, odzyskają przewagę. Muszę uderzyć teraz, póki są na otwartej przestrzeni!

Wystartowała z muru, nabrała wysokości, po czym runęła ku grupie czarownic, atakując od tyłu. Usłyszałyśmy krzyk bólu i Wynde znów wleciała wysoko. W szponach trzymała jedną z wrogich wiedźm; kiedy wleciała na wysokość dwakroć wyższą od otaczających drzew, wypuściła ją. Nie umiałam stwierdzić, czyjej ofiara już nie żyła, ale spadając, nie krzyknęła, a ciało uderzyło ciężko o ziemię.

Atak lamii był bardzo nieostrożny. Do tej pory mag mógł poderżnąć Agnes gardło. Jasne, dzikie stworzenia rządzą się własnymi prawami, a ona sama, w odróżnieniu ode mnie, nie żywiła ciepłych uczuć wobec Agnes, która dopiero co ocaliła mi życie.

Lamia zabiła jeszcze dwukrotnie, nim grupa dotarła pod osłonę drzew. Tracąc przewagę lotu, Wynde pofrunęła ku nam i wylądowała na blankach.

– Czemu nie zaatakowałaś maga? – spytałam. – Po jego śmierci może udałoby ci się unieść Agnes w bezpieczne miejsce.

Lamia przyjrzała mi się zmrużonymi, okrutnymi oczami, na wargach miała krew.

– Mag przyniósł ze sobą broń – coś, z czym nigdy dotąd się nie zetknęłam. Trzymał w garści czaszkę małego gryzonia i kiedy ją we mnie wycelował, na moment straciłam równowagę i o mało nie runęłam na ziemię. Nie mogłam się do niego zbliżyć, nie ryzykując upadku z nieba.

Przytaknęłam bez słowa. Najgorsze już się stało. Trudno powiedzieć, czy Agnes Sowerbutts zapłaci za to życiem. Spodziewałam się, że i tak ją zabiją.

O zmierzchu zaczęły się krzyki.

## ROZDZIAŁ 9

### CZY ONA TEŻ TCHÓRZY?

*Czarownica nie powinna lękać się własnej śmierci.  
To tylko zachód słońca  
i obietnica Mroku,  
naszego prawdziwego domu.*

Torturowali Agnes, a ja nic nie mogłam zrobić. Thorne zatkała dłońmi uszy i zaczęła jęczeć.

– Biedna Agnes! – wykrzyknęła. – Czym sobie na to zasłużyła?

– Niczym, dziecko. Nie słuchaj. Zejdź do tuneli i zastąp Slake na warcie. Ja zamienię się z tobą po świetle.

Resztę nocy spędziłam, patrząc z murów wraz z dwiema siostrami lamiami. Sfrustrowana Wynde skrobała szponami kamienie. Tuż po świetle krzyki ucichły. A potem spomiędzy drzew wyleciało ciało. Wylądowało na skraju polany. Nawet z tej odległości rozpoznałam Agnes.

– Polecę ją zabrać – oznajmiła Wynde.

– Uwważaj, to może być pułapka! – ostrzegłam, jednocześnie żałując, że sama nie mogę czegoś zrobić – czegokolwiek, zamiast tkwić tu i patrzeć. Nade wszystko chciałam stanąć do walki i pomścić śmierć Agnes. Bardzo prawdopodobne jednak, że nasi wrogowie czekali tuż za linią drzew. Gdyby mag użył swojej broni – czaszki i sprawił, że Wynde runie z nieba, dziesiątki z nich mogłyby wyroić się dokoła w parę sekund.

Ale lamia ze swą zwykłą porywcznością sfrunęła z muru i chwyciła ciało. Potem pomknęła ku nam i delikatnie złożyła je u mych stóp.

Agnes nie żyła, oczy miała szeroko otwarte. Jej ubranie wisiało w strzępach, prześladowcy pozostawili ślady na nieszczęsnym, starym ciele.

– Nie wycięli jej serca – zauważyła Wynde. – Mogłabym ją zanieść do jaru. Czy tego właśnie chciała?

Nie wiedziałam, czego pragnęła Agnes, bo nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Pośmiertne łowy z Wiedźmiego Jaru odpowiadały niektórym czarownicom. Inne, tak jak Thorne, uważały je za okropne i wołały odejść wprost w Mrok. Nie byłam pewna, musiałam jednak podjąć decyzję, toteż zdecydowałam się na jar. Miałam nadzieję, że postępuję właściwie.

– Tak, proszę, zanieś tam jej ciało i pogrzeb gdzieś w centrum dolinki. Wykop płytki grób i zasyp liśćmi.

Wynde, uderzając mocnymi skrzydłami, wzleciała nad wieżę powolną spiralą, po czym skierowała się na północ, w stronę Wiedźmiego Jaru. Wkrótce widziałam już tylko ciemną plamkę na szarym niebie, malejącą powoli. Po godzinie wróciła i poinformowała, że pogrzebała Agnes pod rozłożystym dębem w samym sercu dolinki.

Podziękowałam jej i zesłam do tuneli, by zastąpić Thorne.

– Zabili Agnes – powiedziałam łagodnie. – Przynajmniej teraz nasi wrogowie nic już jej nie zrobią. Thorne nie odpowiedziała, jedynie skinęła głową, kiedy jednak mijala mnie, wracając na górę, dostrzegłam, że oczy ma pełne łez.

Po tych wydarzeniach spędziłam na straży cały długi dzień. Czas płynął bardzo powoli. W pewnym momencie zapuściłam się aż nad niewielki staw, niegdyś strzeżony przez utopca. Nie dostrzegłam jednak ani śladu nieprzyjaciół. Może pojęli, że z łatwością zdołamy obronić wieżę. W tej zamkniętej przestrzeni mogliśmy zabić ich całe mnóstwo. A krecz był za duży, by zmieścić się w tunelu.

Nie mogliśmy jednak tkwić tu wiecznie, oblężone. W pewnym momencie, i to niedługo, będziemy musiały wyrwać się z zamknięcia i pokazać naszym przeciwnikom, co oznacza walka.

Wracając do lochów, raz jeszcze zatrzymałam się pod szafotem lamii, zastanawiając się, do czego służy. Postanowiłam, że kiedy nadarzy się sprzyjająca chwila, zapytam jedną z nich.

Niedługo potem zjawiła się Slake i zajęła moje miejsce, toteż znów wróciłam na wieżę. Choć nie miałam apetytu, zjadłam parę plasterów zimnego mięsa, by nie stracić sił, a



potem wspierałam się na mury.

Ciężarny księżyc zalał polanę srebrzystym światłem. Wszystko wyglądało spokojnie, wywęszyłam jednak kilkanaście nowych wiedźm, przyczajonych wśród drzew, a także krecza. Pojawił się również Bowker, mag, wyszedł z lasu i spojrzał ku nam. Zauważyłam, że zatrzymał się zaledwie sześć kroków od granicy drzew. Z łatwością mógł się wśród nich schronić, nim Wynde do niego dotrze.

– Powiadają, że jesteś odważna, Grimalkin! Nazywają cię największą wiedźmą zabójczynią, jaka kiedykolwiek żyła! – zawołał, a jego drwiący głos odbijał się echem od drzew i murów. – Jak to jednak możliwe, skoro chowasz się w tych murach? Tchórzysz i nie śmiesz stanąć do walki z kimś mocniejszym od siebie. Spójrz! Oto twoja śmierć!

Krecz wybiegł z lasu niczym olbrzymi wilk. Szeroko otworzył szczęki, jego futro odbijało się ciemną plamą od srebrzystej trawy. Wydawał się jeszcze większy i potężniejszy niż wówczas, kiedy z nim walczyłam. Zatrzymał się niedaleko fosy i wspiął na tylne łapy, balansując na nich. A potem sięgnął lewą ręką do fałdy skórnej na ramieniu i dobył długiej wąskiej klingi. Nie przypominał już wilka; stojąc tak, wyprostowany, ze lśniącoymi zębami i mieczem w dłoni, wyglądał jak demon, stwór z koszmarnych snów. A potem, ku memu zdumieniu, przemówił. Wcześniej nie przypuszczałam, że jego złowieszczy twórcy obdarzyli go zdolnością mowy.

– Chodź i zmierz się ze mną na trawie, jeśli się odważysz, Grimalkin! – huknął niskim, grzmącym głosem. – Zatańczmy razem, klinga przeciw klindze. Dołącz do mnie w śmiertelnym tańcu.

– Pewnego dnia cię zabiję! – zawołałam. – Ale nie dzisiaj. Teraz jednak mam ważniejsze sprawy. – Uniosłam skórzany worek. – Oto głowa waszego pana! Każdej nocy rozmawiamy. Każdej nocy uczę go czegoś nowego o bólu. Z powodu waszej beczelności tej nocy będzie cierpiał trzykroć mocniej!

Na moje słowa z gardeł wiedźm ukrytych w lesie wyrwał się chóralny jęk.

– A ta skrzydlata wiedźma u twego boku? – warknął krecz, dobywając drugiej klingi. – Czy ona też tchórzy? Zabiła wielu z nas, porywając z powietrza, korzystając z przewagi, jaką dają skrzydła. Ale czy się odważy stanąć do walki ze mną?

Stojąca obok Wynde warknęła gniewnie i zatrzepotała skrzydłami.

– Nie słuchaj – poradziłam cicho. – Musimy oszczędzać siły na właściwy moment.

– Te słowa nie powinny pozostać bez odpowiedzi – syknęła lamia.

– Sama powiedziałaś – to tylko słowa – odparłam cicho. – Nie słuchaj. Ten stwór stara się nas sprowokować do nieostrożnego ataku: „tchórzostwo” i „odwaga” to tylko etykiety

– słowa wymyślone przez niemądrych ludzi, by podbudować sobie ego i poniżyć przeciwników. W walce musimy myśleć chłodno, beznamiętnie i trzeźwo. Tak postępuje zabójczyni i to ci doradzam. Kiedy nadejdzie właściwa chwila, zabijemy krecza. Ty wypijesz jego krew, a ja zabiorę mu kciuki i powieszę sobie na szyi.

– Proszę, Grimalkin, daj mi jeden – błagała Thorne.

– Zobaczymy, dziecko – uśmiechnęłam się ponuro. – Dostaniesz to, na co zasłużysz.

– Szepczecie między sobą niczym słabeusze! – Krecz wzniosł ku nam klingi. – Grupka słabych kobiet, nie zasługujących na miano czarownic.

– Zabiję dla ciebie tego stwora, Grimalkin! – syknęła Wynde.

– Nie ryzykuj – ostrzegłam. – Jest bardzo silny i szybki, a jego szpony wydzielają śmiertelną truciznę. Co więcej, kości ma twarde jak zbroja, a głowę dobrze chronioną.

Nim jednak zdołałam rzec coś więcej, Wynde wzbiła się z muru i zaczęła krążyć wokół wieży, miarowo uderzając skrzydłami. Kiedy zbliżyła się do miejsca, w którym stał mag, skręciła i opadła ku niemu, rozcapierzając szpony. Sądziłam, że mężczyzna posłuży się swą tajemniczą kościaną bronią, on jednak po prostu wycofał się między drzewa i Wynde znów zaczęła nabierać wysokości, gotowa zaatakować krecza. Pojęłam, że pragnęła po prostu przegonić Bowkera z polany, by móc bez przeszkód rozprawić się ze stworem.

Krecz czekał, wpatrzony w lamie, trzymając w górze obie klingi. Wynde wisiała teraz bardzo wysoko, z ziemi zdawała się nie większa niż paznokiec. Nagle runęła niczym kamień, prosto ku przeciwnikowi, wszystko rozegrało się bardzo szybko: dostrzegłam błysk ostrzy, wyciągnięte szpony lamii, a potem w powietrze wzbił się kłęb futra i piór. Wynde rozpostarła skrzydła i odpłynęła, ponownie nabierając wysokości.

Na czole krecza, tuż nad oczami, widniały dwie jaskrawe szramy. Lamia zraniła go do krwi, wiedziałam jednak, że czaszka pod futrem jest bardzo twarda. Przypomniałam sobie, jak odbił się od niej mój nóż. Cisnęłam nim celnie, z dostateczną siłą, by przebił ludzką czaszkę i utkwiał po rękojeść w mózgu. Gruba kość krecza odbiła go równie łatwo, jak świeżo wykuty hełm, wprost z kowadła doświadczanego zbrojmistrza. Stwór dysponował też zdolnością szybkiego uzdrawiania. Wynde musiałaby go zabić, a potem rozedrzeć na strzępy – może nawet pożreć serce, by się nie odrodził.

Zerknęłam na lamie, znów pikującą w stronę krecza. W pierwszym ataku straciła parę piór, wiedziałam jednak, że jej ciało chronią twarde łuski. W bitwie na Wzgórzu Pendle moje własne klingi nic przeciw niej nie działały, a przecież w płatnerstwie przewyższają mnie tylko starzy bogowie, tacy jak Hefajstos. Broń krecza nie zdoła przebić brzucha Wynde. Będzie musiał zaatakować wrażliwsze miejsce, choćby gardło.

Trudno jednak osiągnąć podobnego celu i stwór musiałby zaryzykować, jednocześnie się odsłaniając.

Tym razem Wynde zaatakowała wolniej, opadając na krecza pod znacznie mniej stromym kątem, bliższym raczej czterdziestu pięciu stopniom. Natychmiast zrozumiałam, że celuje w brzuch. Krecz także to dostrzegł, opadł na cztery łapy i obrócił się. Nie do końca uniknął lamii, która rozdarła mu bok szponami, pozostawiając pięć długich, czerwonych ran. Nadal jednak nie były to poważne obrażenia i stwór wstał ponownie, dobywając kling. Jak dotąd żadne z przeciwników nie odniosło poważniejszych ran. Bardzo bałam się o Wynde. To, czego próbowała, wiązało się z ogromnym niebezpieczeństwem. Jakże pragnęłam dołączyć do niej w walce, wiedziałam jednak, że zejście z murów zabierze mi mnóstwo czasu, a na dole czeka jedynie śmierć. Miałam obowiązek chronić głowę Złego, nie zaś składać własną w bezsensownej ofierze.

Następny atak lamii przebiegł tak samo jak poprzedni. To był błąd, bo krecz się przygotował. Tym razem opadł na cztery łapy, kiedy jednak Wynde uderzyła szponami, wstał i pchnął ją w gardło lewym ostrzem.

Wynde jakby zawahała się, niepewna, co robić. Potem zadrzała i znów wleciała w górę. Unosiła się jednak z wysiłkiem.

– Jest ranna! – wykrzyknęła Thorne. – Mocno ją zranił.

Miała rację. Widziałam krew kapiącą z lamii i plamiącą trawę. Sądziłam, że wycofa się na mury. Lecz Wynde, podobnie jak Thorne, nie zważała na ryzyko i natychmiast znów zaatakowała.

Tym razem się nie patyczkowała. Zamiast uderzyć szybko i odlecieć w bezpieczne miejsce, zderzyła się z kreczem z wielką siłą i zaczęła chlastać i szarpać szponami, walcząc z bliska. Prawą ręką ścisnęła ramię stwora, przytrzymując go i raz po raz atakując drugą. On jednak też nie próżnował, widziałam błysk jego ostrzy w promieniach księżyca, czerwonych od krwi, gdy raz po raz wbijał je w jej ciało. Wokół sypały się zbryzgane krwią pióra.

Jęknęłam w duchu, świadoma, że lamia przegrywa.

Czemu nie wypuściła wroga i nie uciekła, póki wciąż miała dość sił? Lepiej się wycofać i wrócić do walki kolejnego dnia. Niektóre klęski są tymczasowe. Liczy się tylko ostateczne zwycięstwo.

A potem brodaty mag Bowker wypadł spośród drzew, biegnąc ku walczącym. Z odległości sześciu kroków wycelował w lamie swą czaszką gryzonia: powietrze zamigotało, a Wynde zadrzała.

Teraz było już za późno na ucieczkę. Krecz powalił ją na trawę obok siebie; jedno ze skrzydeł wygięło się pod nienaturalnym kątem i wiedziałam, że nawet gdyby chciała, nie zdołałaby już wzlecieć. Jakiś czas walczyła i wyglądało na to, że krecz nie wie, co z nią począć, obawiając się zębów i szponów lamii.

Potem jednak z lasu wybiegła horda czarownic. Wrzeszczały z radości, unosząc noże. Trzy niosły długie tyczki, do których przywiązały sznurami klingi; najpierw posłużyły się nimi, dźgając raz po raz odsłonięte części ciała lamii, szarpiąc się w uścisku krecza.

To były wiedźmy z klanu Deane'ów. Szybko wywęszyłam ich imiona: Lisa Dugdale, Jenny Croston i Maggie Lunt. Wiedziałam, że ich nie zapomnę. Wkrótce zapłacą mi własnym życiem.

Wynde raz po raz dygotała, była jednak dzielna i mimo straszliwych cierpień nie wydała z siebie żadnego dźwięku. Patrzyłyśmy w milczeniu z murów wraz z Thorne. Pomyślałam ojej siostrze, Slake, strzegącej tuneli, nieświadomej tego, co spotkało Wynde. Co za szczęście, że tego nie widziała – z pewnością rzuciłaby się na pomoc siostrze i również zginęła.

Czarownice były już blisko, nie potrzebowały swych tyczek, bo lamia znieruchomiała – pewnie już nie żyła. One jednak nie ryzykowały i nadal siekały jej ciało. W chwilę później pojęłyśmy dlaczego.

Krecz stanął na tylnych łapach. Ręce, czerwone od krwi, nie dzierżyły już kling. W lewej tkwiło nadal bijące serce Wynde. Na moich oczach stwór rozdarł je na dwoje i zaczął pożerać. Krew plamiła mu zęby i ściekała z otwartego pyska.

## ROZDZIAŁ 10

### JEJ DUCH WCIĄŻ ŻYJE

*Jedni oddają cześć mrocznym bogom; inni służą światłu.*

*Ja jednak stąпам samotnie.*

*Jestem Grimalkin.*

Patrzyłam w milczeniu, bezsilna, i w moim sercu narastał gniew. Krecz dopilnował, by lamia nie powróciła. Nie dla Wynde było trwanie martwej wiedźmy. Odesłał ją prosto w Mrok.

Kiedy skończył pożerać serce lamii, krzyknął do nas doniośle:

– Wkrótce to samo uczynię z tobą! Twoje dni są policzone. Twoje serce jest moje,

Grimalkin. Oto los, który czeka wrogów mego pana!

– Za to, co uczyniliście, zabiję was wszystkich! – zawołałam. – Każde z was, co do jednego, zginie z mojej ręki. Uciekajcie i kryjcie się – ja jednak będę na was polować aż do końca świata. Przysięgam!

Krecz i mag jedynie wybuchnęli śmiechem i czarownice natychmiast dołączyły do nich – na polanie zabrzmiała kakofonia dzikich chichotów i szaleńczych okrzyków rozbawienia.

Uznałam, że nadszedł czas na odpowiedź, którą rozumiem, toteż schyliłam się, rozwiązałam skórzany worek i wyciągnęłam głowę Złego. Uniosłam ją za rogi twarzą do muru.

– Teraz zranię tego, którego kochacie najbardziej; tego, któremu wszyscy służycie! Oto cena, jaką wasz pan zapłaci za wasze czyny! I sam się z wami rozliczy!

Dobylałam sztyletu i wbiłam go w prawe oko Złego, gwałtownie obracając ostrze.

Głowa nie mogła krzyknąć, bo usta miała wypchane zielonym jabłkiem i różanymi cierniami. Mimo to usłyszałam straszliwy ryk, dobiegający z ziemi pod naszymi stopami. A potem z jej wnętrza zagrzmiął głos.

– Zawiedliście mnie! Biada wam wszystkim! Tych, którzy zawiodą mnie po raz drugi, czekają wiekuiste męki! Każde z was będzie po tysiakkroć znosić moje cierpienia!

Ziemia zadygotała, wieża zadrżała. Jaskrawa błyskawica rozdarła niebo z północy na południe, towarzyszący jej grzmot był tak głośny, że zagłuszył przerażone krzyki czarownic. Ja jednak widziałam ich otwarte usta, oczy przepełnione grozą z powodu tego, co uczyniłam i co powiedział Zły. Uganiały się dokoła niczym bezgłowe kury, a tymczasem potężna wichura smagała drzewa, uginając i trzęsąc ich gałęziami.

W końcu zapanował spokój. Spojrzałam z góry kolejno na każdą wiedźmę, tak by dostrzegły śmierć w moich oczach.

– Opuśćcie to miejsce! Odejdźcie daleko! – krzyknęłam. – Jutro w nocy, o tej samej porze wrócę na mury. Jeśli zobaczę bądź wywęszę kogokolwiek w tym lesie, wyłupię waszemu panu drugie oko. Czy wyrażam się jasno?

Z dołu nikt nie odpowiedział. Wszyscy milczeli – nawet brodaty mag i krecz. Z pochylonymi głowami odwrócili się i wycofali powoli pod osłonę drzew.

Thorne patrzyła na mnie lśnącymi oczami.

– Pokazałaś im! To ich uciszyło! – wykrzyknęła.

Przytaknęłam ponuro.

– Ale na jak długo? – spytałam.

Z oczodołu Złego ściekała czarna posoka. Splunęłam mu na czoło, a potem z powrotem schowałam odrażającą głowę do worka.

– Jeśli do jutrzejszej nocy znikną stąd, odejdziemy – oznajmiłam.

– Czy nie jesteśmy tu bezpieczniejsze niż gdziekolwiek indziej? – spytała Thorne.

– Nie w tym rzecz, dziecko. Bez skrzydlatej lamii, która mogłaby polować, w końcu pomrzemy z głodu. I nie tylko – wrogowie zbiorą się tu coraz liczniej i liczniej. Żadne oblężenie nie może trwać wiecznie.

Skrzywiła się.

– To dokąd pójdziemy?

– Jest kilka możliwości, żadna z nich jednak nie dorównuje wieży. Pozwól, że się zastanowię. Tymczasem powinniśmy zejść do lochów i powiedzieć Slake, co spotkało jej siostrę.

Ruszyliśmy do magazynu i dalej przez klapę, spiralnymi stopniami do wilgotnych i chłodnych podziemi. Kiedy tam dotarliśmy, wyczułam obecność lamii. Wyszła już z tuneli.

Zastałyśmy ją klęczącą u stóp szafotu. Martwe zwierzęta nadal wisiały na łańcuchach, lecz krew nie kapiała już do kubła pełnego po wręby. Nieopodal płonęła samotna pochodnia. Nie wyczuwałam niebezpieczeństwa. W mroku poruszało się tylko kilka szczurów.

Slake mamrotała coś do siebie, kołysząc się rytmicznie z boku na bok. Z początku sądziłam, że rzuca zaklęcie, nucąc magiczne formuły, lecz jej głos nagle zabrzmiał gorączkowo, jakby rozpaczliwie pragnęła, by jej wysłuchano. Uniosła ręce ku szafotowi i trzy razy skłoniła się głęboko. Czy była to jakaś ceremonia? Czy modliła się do swego boga? A jeśli tak, jakiego?

Skinęłam na Thorne i cofnęliśmy się między cienie za kolumnami.

– Niech najpierw zrobi, co musi. Pomówimy z nią, gdy będzie gotowa – wyszeptałam.

Po paru minutach Slake pokłoniła się nisko, a potem wstała. Sięgnęła po kubek zwierzęcej krwi i z gardłowym krzykiem uniosła go do ust, pijąc łapczywie. Trzy razy wykrzyknęła, natychmiast potem złopiąc krew. Za trzecim razem pojęłam, że to jakies słowo – może czyjeś imię.

Opróżniwszy kubek, odstawiła go do stóp szafotu, odwróciła się i ruszyła ku nam. Pojęłam, iż mimo skupienia na dziwnym rytuale, lamia cały czas była świadoma naszej obecności.

Ukloniła się nam, choć nie tak głęboko jak szafotowi. Przód jej sukni nasiąkł krwią

wyciekającą z kubła. O dziwo, jej twarz wyglądała mniej ludzko niż wtedy, gdy po raz ostatni widziałam ją na murach. Dzikie oczy spoglądały znad ust przypominających czerwoną ranę, zadaną przez jej własne, ostre zęby.

– Przykro mi, że muszę przekazać ci złe wieści – powiedziałam cicho. – Twoja siostra zginęła, dzielnie walcząc z kreczem. A potem bezlitosny stwór pożarł jej serce.

Na twarzy lamii nie odbił się nawet ślad emocji.

– Ja już wiedziałam – odparła. – Wyczułam chwilę jej śmierci. Dlatego właśnie się modliłam.

– Do kogo się modlisz? – spytałam.

– Oczywiście do bogini wszystkich lamii.

Zmarszczyłam brwi.

– Nie słyszałam o takiej.

– Nazywamy ją Zenobią. Była z nas pierwsza – przodkini nas wszystkich. Wyruszyła z nią do Grecji. To matka Thomasa Warda, ucznia stracharza.

– Ale przecież została unicestwiona, podczas walki z Ordyną.

Choć nie byłam świadkiem owego wydarzenia, Tom Ward opowiedział mi o tym, jak matka w skrzydlatej postaci trzymała Ordynę w śmiertelnym uścisku. Podczas tej walki cytadelę pochłonęła kolumna ognia i poniosła w Mrok.

– Nie unicestwiona – jej duch nadal żyje. Przemawia do nas. Podczas modlitwy udzieliła mi instrukcji.

Przypomniałam sobie, jak bliskie więzi łączyły Toma Warda z matką. Skoro przemówiła do tej lamii, to z pewnością do niego także?

– Instrukcji..co do czego? – spytałam.

– Poleciała mi zostać tu bez siostry i bronić wieży przed wrogami. Nade wszystko muszę strzec skrzyni, która zawiera informacje mogące wspomóc jej syna w próbie zniszczenia Złego.

– Przeszukałaś już przecież skrzynię i odczytałaś księgi. Czego się dowiedziałaś? Powiedz mi, a ja mu przekażę.

– To nie takie proste, wręcz przeciwnie. Wiele stuleci temu Zenobia spierała się ze Złym. Na próżno próbowała go zniszczyć, choć zdołała spętać za pomocą czarnej magii, w ten sposób ograniczając jego moc. Oto warunki owego ograniczenia: jeśli Zły sam zabije Thomasa Warda, będzie władał tym światem sto lat, a potem musi odejść tam, skąd przyszedł. Jeżeli jednak zyska pomoc jednego ze swych dzieci, które go zastąpi – syna bądź córki więdźmy – wówczas będzie mógł rządzić tym światem bez końca. Istnieje też

trzeci sposób: gdyby zdołał przeciągnąć chłopaka na stronę Mroku, jego królestwo także będzie trwać do kresu świata. Badając sposób, w jaki zdołała go spętać, być może uda nam się zrozumieć, co uczynić dalej – w jaki sposób można w końcu ostatecznie zniszczyć Złego – ciągnęła Slake. – Zenobia wierzy, że jej synowi uda się dostrzec coś, co sama przeoczyła. Być może istnieje jakiś haczyk, luka, którą można uzupełnić czymś nowym i skutecznym.

Już wcześniej słyszałam o tym spętaniu od Alice Deane. Teraz po raz pierwszy zyskałam potwierdzenie, że to dzieło matki Toma. Ograniczenie mocy Złego okazało się kluczowe – w przeciwnym razie zabiłby Toma Warda lata temu. Podejrzywałam, że Zły nadal ma nadzieję przekabacić chłopaka. Z całą pewnością uczeń powoli zmierzał w stronę Mroku: wystawiając na próbę swoje przekonania, używał słoja krwi i sprzymierzał się z czarownicami. Podejrzywałam jednak, iż nienawiść, jaką darzy go diabeł, i żądza zemsty każą mu zabić chłopaka, gdy tylko uwolni się ze swych pęt.

– Jeżeli zostaniesz tu, w tej wieży, jak przeżyjesz bez zapasów? – spytała Thorne.

– Będę polować – odparła lamia. – Siostra i ja miałyśmy nadzieję, że dowiemy się tego, czego trzeba, a potem umkniemy z tego schronienia w ludzkiej postaci, zanosząc wiadomość uczniowi. Teraz jednak wszystko się zmieniło. To, czego szukamy, wykracza poza nasze rozumienie. Wkrótce chłopak będzie musiał tu wrócić i sam odczytać księgi. Rozpoczęłam już proces powrotu do dzikiej postaci. Przez kilka tygodni będę musiała zadowalać się krwią i mięsem szczurów, kiedy jednak wyrosną mi skrzydła, pofrunę w niebo, polując na większą zdobycz – najpierw na zwierzęta, a potem na tych, którzy zabili mi siostrę.

Skinęłam głowę.

– Ale czy zdołasz samotnie bronić wieży?

– Z początku będzie ciężko, ale tak. Później, kiedy w pełni się przemienię, nie odważą się zaatakować. Krecz zaś jest za duży, żeby wejść do tuneli.

– W takim razie najlepiej będzie, jeśli odejdziemy z Thorne, póki możemy. Poza tym – dodałam z ponurym uśmiechem – nie podzielam twojego upodobania do szczurów.

Slake przytaknęła.

– Wyruszyście natychmiast?

– Nie, dopiero jutro o tej samej porze. Najpierw okrążę mury z głową Złego. Tuż po śmierci twojej siostry w zemście wyłupałam mu sztyletem oko. Jeśli wrogowie pozostaną w pobliżu, to samo uczynię z drugim, tak jak im przyrzekłam. Wiedzą jednak, że pan rozliczy ich za swoje cierpienia. Spodziewam się, że las będzie pusty, co pozwoli nam



oddalić się nieco, nim wyruszą w pościg.

– Dokąd się udamy? – wtrąciła Thorne. – Sądzę, że najlepsze będzie Clitheroe.

– Mówią, że to zrujnowane miasto pełne bandytów i rzezimieszków – zauważyła Thorne.

– W takim razie czy istnieje lepsze miejsce? – odparłam ze słabym uśmiechem.

Przez długi czas zamek Clitheroe opierał się armiom najeźdźców. Kiedy w końcu zagłodzeni obrońcy poddali się, wróg w zemście ściął ich wszystkich i spalił miasto. Teraz pozostała z niego tylko ruina, lecz fortyfikacje wciąż stały.

Wróg został już pokonany i odparty na południe, lecz niewielu dawnych mieszkańców powróciło do Clitheroe, by odbudować domy. Zamiast tego ruiny stały się kryjówką morderców i rabusiów, plądrujących ziemię na zachód od Pendle. Bez wątpienia z czasem wojska położą kres podobnym niecnym praktykom, obecnie jednak zrujnowany zamek był tym, czego potrzebowałyśmy. Całkiem możliwe, że zdołamy dostać się do Clitheroe, przejąc go od tych, którzy go zajmują i schronić się w jego murach.

Najpierw jednak musiałyśmy opuścić niepostrzeżenie Wieżę Malkinów i uciec na północ przez las.

## ROZDZIAŁ 11

### DAR Z PIEKŁA

*Prawdziwy rycerz kieruje się ścisłym kodeksem honorowym, według którego żyje.*

*Nie może odrzucić wyzwania i zawsze dotrzymuje słowa.*

*Ja także mam własny kodeks, ale bardziej elastyczny.*

Przez resztę czasu spędzonego w wieży odpoczywałyśmy, by zebrać siły na czekającą nas wyprawę, lecz posiłowałyśmy się bardzo oszczędnie kawałkami upolowanej przez Wynde owcy. Slake będzie jej potrzebowała bardziej niż my; wkrótce, aby przeżyć, będzie musiała chwycić szczury.

Podczas gdy Thorne strzegła tuneli, a Slake pełniła wartę na murach, postanowiłam raz jeszcze pomówić ze Złym. Miałam zamiar wyrzeć na niego nacisk i ułatwić nam ucieczkę z wieży, wyciągnęłam zatem głowę ze skórzanego worka i położyłam na niskim stoliku. Potem, wyjąwszy jabłko i ciernie, usiadłam przed nim, krzyżując nogi, by nasze twarze znalazły się na tej samej wysokości.

– Jeśli możesz mówić, przemów teraz do swych sług. Każ im odejść! Jeżeli nie opuszczą tego lasu, wyłupię ci drugie oko.

– Czym jest zło? – spytał, całkowicie lekceważąc moje słowa.

– Sam mi powiedz! – odparowałam. – To ty powinieneś wiedzieć!

Usta wygięły się, odsłaniając pieńki połamanych zębów.

– Jedynym złem jest odmawianie sobie tego, czego naprawdę pragniesz. Co oznacza, że ja nie czynię zła, bo zawsze narzucam innym swoją wolę. Biorę to, czego zapragnę!

– Wszystko przekręcasz – rzuciłam oskarżycielsko. – Nic dziwnego, że nazywają cię ojcem kłamstw.

– Cóż jest lepsze – korzystać z własnych mocy aż do ich granic i poddawać się nieustannym próbom, czy też hamować naturalne pragnienia? Lepiej czynić to pierwsze, rozwijać się i dorastać. A ty, Grimalkin? Co różni ciebie ode mnie? Ty także wyznajesz tę zasadę.

Pokręciłam głową.

– Lubię poddawać się próbom i rozwijać własne zdolności oraz siłę, lecz nie kosztem słabych. Ty zawsze ranisz innych dla czystej przyjemności. Co to za rozkosz – krzywdzić tych, którzy nie mogą się bronić?

– Największa rozkosz ze wszystkich! – ryknął Zły.

Istniało jedno pytanie, którego nigdy mu nie zadałam, bo trudno mi było ująć je w słowa. Teraz jednak spytałam i emocje ścisnęły mi gardło tak mocno, że ledwie zdołałam to wykrztusić.

– Dlaczego zabiłeś moje dziecko? – rzuciłam.

Miałam wrażenie, że rozpacz zaraz mnie zadławi.

– Nasze dziecko, Grimalkin! Nasze dziecko! Zrobiłem to, bo mogłem. A także po to, by cię zranić! Zrobiłem to, bo nie mogłem go ścierpieć! Osiągnąwszy wiek męski, to dziecko stałoby się moim śmiertelnym wrogiem, i to bardzo niebezpiecznym. Teraz jednak zastąpił go inny chłopak, Thomas Ward. I jego także zniszczę. Nie mogę pozwolić, by wyrósł na mężczyznę. On również musi zginąć, tak jak twoje dziecko. Po pierwsze, zrobię to, bo mogę! Po drugie, by nie dopuścić, aby zniszczył mnie. Po trzecie, by cię zranić, Grimalkin. Bo bez niego stracisz ostatnią nadzieję na zemstę!

Bez jednego słowa wepchnęłam do paskudnych ust jabłko i ciernie i ukryłam głowę w worku. Cała dygotałam z wściekłości.

Później, wraz z Thorne, zaczęliśmy grzebać w książkach ukrytych w dużej skrzyni, nie znalazłyśmy jednak niczego ciekawego. Przeczytałam coś zapisanego na pojedynczej

kartce – relację matki Toma z tego, jak spętała Złego. Lecz w odróżnieniu od wyblakłego inkaustu innych ksiąg, ten tekst wyglądał jak napisany niedawno – z pewnością nie jej ręką.

*Mroczny władca życzył sobie, bym powróciła na jego łono i znów oddała mu hołd. Długi czas opierałam się, cały czas zasięgając porad swych przyjaciół i sprzymierzeńców. Niektórzy radzili, bym urodziła mu dziecko – w ten sposób czarownice pozbywają się go na zawsze. Lecz nawet myśl o tym była zbyt odrażająca.*

*W tym czasie dręczyła mnie świadomość, że muszę wkrótce podjąć kluczową decyzję. Wrogowie moi pochwycili mnie z zaskoczenia, skrępowali srebrnym łańcuchem i przykuli do skały, by o świcie zniszczyły mnie żarłoczne promienie słońca. Życie uratował mi marynarz, John Ward, który osłonił mnie przed nim i uwolnił ze srebrnego łańcucha.*

*Później schroniliśmy się w moim domu i wkrótce pojęłam, że mój zbawca darzy mnie uczuciem. Mimo wdzięczności za to, co zrobił, nie pociągał mnie – był tylko zwykłym człowiekiem. Jednakże kiedy dowiedziałam się, że to siódmy syn, w moim umyśle powstał zarys planu. Gdybym zrodziła mu synów, siódmy dysponowałby niezwykłymi mocami w walce z Mrokiem. I jeszcze więcej: dziecko to odziedziczyłoby także pewne moje atrybuty i dary, które wzmocniłyby jego własną siłę. Dzięki temu dziecko to pewnego dnia być może zdołałoby zniszczyć Złego. Niełatwo było się zdecydować. Gdybym urodziła siódmego syna, być może w końcu udałoby mi się zniszczyć wroga. Ale John Ward był tylko biednym marynarzem. Pochodził z rodziny farmerów. Nawet gdybym kupiła mu własną farmę, nadal musiałabym żyć tam wraz z nim i stale znosić smród jego obejścia.*

*Moje siostry doradzały, bym go zabiła albo im oddała. Odmówiłam, bo zawdzięczałam mu życie. Miałam do wyboru, przepędzić go z mego domu, tak by znalazł sobie statek i wrócił do siebie, albo też wrócić wraz z nim.*

*Lecz aby umożliwić to drugie, najpierw musiałam spętać mego wroga, Złego. Uczyniłam to podstępem. Zaaranżowałam spotkanie w święto sierpniowe – miałam tam być tylko ja i Zły. Starannie wybrawszy miejsce, rozpałam wielkie ognisko i o północy wypowiedziałam stosowne formułki, sprowadzające go tymczasem do naszego świata. Pojawił się w samym sercu płomieni, a ja skłoniłam się przed nim i udałam posłuszeństwo – w sekrecie jednak mamrotałam słowa potężnego zaklęcia, a w dłoni trzymałam dwa święte przedmioty.*

Gdy czytałam te słowa, odniosłam wrażenie, iż Zenobia nienawidziła Złego równie mocno jak ja i przywołując go, podjęła podobne do mego ryzyko. Dobrze było walczyć u jej boku w Grecji. A teraz, choć pozbawiona ciała, nadal pozostawała liczącą się postacią.

Cieszyłam się, że mam ją po swej stronie.

Czytałam dalej.

*Mimo jego zmagañ, z powodzeniem zdołałam go spętać, w ten sposób przygotowując następny etap mojego planu – planu, który rozpoczął się od wyjazdu do Hrabstwa i zakupu farmy.*

*I tak zostałam żoną rolnika i urodziłam mu sześciu synów, a po nich siódmego, którego nazwaliśmy Thomas Jason Ward; pierwsze imię wybrał mu ojciec, drugie ja, na pamiątkę bohatera mej ojczyzny, którego niegdyś darzyłam uczuciem.*

*My, lamie, przywykłyśmy do odmieniania naszej postaci, lecz zmian, jakie niesie ze sobą czas, nie da się przewidzieć. W miarę upływu lat pogodziłam się ze swym losem i pokochałam męża. Coraz bardziej zbliżałam się do Światła, aż w końcu zostałam uzdrowicielką i położną, pomagającą sąsiadom. I stało się, iż człowiek – John Ward – który mnie ocalił, wskazał mi drogę, jakiej nie przewidziałam.*

\*

Nie pojmowałam, jak te informacje mogłyby pomóc Thomasowi Wardowi w zniszczeniu Złego, lecz w połączeniu z innymi zapiskami w skrzyni mogły mieć jakieś znaczenie. Najważniejsze, by uczeń stracharza zjawił się tu i sam dokładnie przeszukał pamiątki po matce. Postanowiłam znów nawiązać kontakt z Alice, kiedy nadarzy się okazja, i polecić jej, by sprowadziła go do wieży.

– Kto to napisał? – spytałam Slake.

– Ten tekst wyszedł spod mojej ręki – odparła. – Pierwotnie Zenobia zapisała go szyfrem i rozrzuciła po różnych notatnikach. Objawiła się nam obu w wizji i przekazała mi klucz do owego szyfru.

– Co to za święte przedmioty, o których wspomina?

– Jeden z nich znajduje się w skrzyni – odparła.

– Gdzie jest ten drugi? – Nie wiem.

– A ten w skrzyni? Co to? Pokaż mi go! – zażądałam.

Slake pokręciła głową i spojrzała na mnie z ukosa.

– Nie mogę. Zenobia rozkazała, by pokazać go jedynie Thomasowi Wardowi.

Skinęłam głową.

– W takim razie strzeż go pilnie aż do chwili, gdy Tom powróci w to miejsce. Mówiłaś, że musi zjawić się wkrótce. Jak bardzo to pilne?

– Musi mnie odwiedzić jeszcze przed Świętem Zmarłych. W przeciwnym razie może być za późno.

– Istotnie, sprawa zniszczenia Złego jest bardzo pilna – odparłam. – Ale dlaczego w to Święto Zmarłych? Czemu jest takie ważne?

– Podobne święta tworzą pewien cykl. Najpomyślniejsze następuje co siedemnaście lat. W październiku miną trzydzieści cztery – dwakroć po siedemnaście – odkąd Zenobia spętała Złego.

– Mamy zatem czas do święta.

Slake przytaknęła.

– I tylko tyle.

Gdyby nie drobny problem ścigającego nas krecza i innych nieprzyjaciół, udałabym się prosto do Chipenden i sprowadziła Thomasa Warda do wieży, by rozpoczął przeszukiwanie skrzyni. Jak jednak miałam ich tu ściągnąć i narazić na niebezpieczeństwo?

Najpierw muszę zniszczyć nieprzyjaciół. A czasu zostało niewiele. Zbliżał się już koniec kwietnia.

\*

W końcu nadeszła pora ucieczki na północ. Wdrapałam się na mury, niosąc w dłoni skórzany worek, Thorne i Slake stąpały po bokach. Spojrzałam ponad polaną w stronę ciemnej linii otaczającego nas lasu. Na niebie wisiały ciężkie chmury, z zachodu wiał słaby wietrzyk. Gęsty mrok pozwoli nam uciec niepostrzeżenie. Powęszyłam szybko trzy razy.

Krecz i mag odeszli, lecz jedna wiedźma pozostała – może szpieg? Dam ja jej do myślenia! Rozwiązałam worek, wyciągnęłam odrąbaną głowę Złego i uniosłam wysoko, kierując jego twarz w stronę miejsca, w którym, jak wiedziałam, ukrywała się czarownica.

– Czuję krew wiedźmy! – zawołałam. – Czy nie słyszałaś mojego wczorajszego ostrzeżenia? Wina za to, co zaraz uczynię, spadnie na ciebie i tylko na ciebie. Wyobraź sobie, jakie męki zgotuje ci Zły, by zapłacić za to, co zrobiłaś.

To rzekłszy, dobyłam sztyletu i przygotowałam się do wbicia ostrza w nietknięte oko Złego. Spomiędzy drzew dobiegł rozpaczliwy krzyk, a potem tupot biegnących stóp niknący w dali. Uśmiechnęłam się i znów splunęłam na czoło Złego.

– Na jakiś czas możesz zachować swoje drugie oko – oznajmiłam i schowałam go do worka.

Następnie wraz z Thorne podziękowałyśmy Slake i pożegnałyśmy się, czując jej smutek. Przez stulecia dzieliła życie z siostrą; teraz pozostała sama.

Uciekłyśmy tunelami. Przy wyjściu nie wyczułyśmy żadnych zaczajonych wrogów, toteż skierowałyśmy się na północ, blisko Wzgórza Pendle, na zachód od Wiedźmiego Jaru. Martwa czarownica odzyskuje świadomość, dopiero kiedy promienie księżyca w pełni padną na jej zasypany liśćmi grób. Od tej chwili dzieliło nas jeszcze kilka dni – w przeciwnym razie skręciłabym do jaru i przywitała się z Agnes Sowerbutts.

Na południe od wioski Downham zboczyłyśmy na zachód, zmierzając w dół, ku Clitheroe. W mieście nie dostrzegłyśmy żadnych świateł, lecz na murach zamku płonęło ognisko, potwierdzając, że istotnie, jest zamieszkaany.

Nagle ujrzałam błyski, pochodziły jednak z wnętrza mojej głowy: migotliwe ostrzeżenia w kącikach oczu. Tym razem minęło pięć minut, nim pojawiły się inne objawy.

Straciłam równowagę, potknęłam się i upadłam na kolana. Poczułam ostry ból w piersi, z trudem chwyciłam oddech.

Thorne próbowała pomóc mi wstać, ale ją odepchnęłam.

– Nie, dziecko, zostaw mnie – za chwilę mi przejdzie.

Minęła jednak długa godzina, nim świat przestał wirować wokół mnie i zdenerwowana Thorne zdołała dźwignąć mnie z ziemi. Lepiej byłoby odpocząć jeszcze przed wkroczeniem w ruiny miasta, lecz nie mogłyśmy sobie pozwolić na dalsze opóźnienie. Wkrótce nieprzyjaciele wywęszą, w jakim kierunku odeszłam, i krecz znów podąży naszym śladem.

Dyszając ciężko, poprowadziłam Thorne w stronę przedmieść. Budynki okalające zamek wciąż spowijała ciemność, lecz w pobliżu mogli czaić się bandyci. Zatrzymałam się i uklękłam w trawie, dając sygnał, by Thorne przykucnęła obok.

– Słyszałam pogłoski, iż Clitheroe zajęła więcej niż jedna banda – oznajmiłam. – Najsilniejsza z nich zapewne zamieszkała w zamku, słabsze chronią się w ruinach miasta.

– Bez wątplenia spierają się i walczą ze sobą – zauważyła Thorne.

– Tak – i to daje nam przewagę, bo oznacza, że nie zdołają zebrać wszystkich sił.

Zaczęłam węszyć na przedmieściach, wypatrując zagrożenia, wyczułam jednak tylko śpiących ludzi. Ruszyłyśmy ostrożnie naprzód, mijając pierwsze budynki i zagłębiłyśmy się w wąskie, zasypane gruzami uliczki.

Większość domów nie miała dachów, wokół cuchnęło brudem i zgnilizną. Zaczęłyśmy wspinać się na wzgórze, na którym stał zamek, bez przeszkód wędrując ulicami, w końcu jednak dotarłyśmy do wysokiego, zewnętrznego muru fortyfikacji. Nie było fosy, brama stała otworem. Tuż przed nią, na ławce obok żarnika pełnego płonących węgli, siedział

mężczyzna. Zerwał się chwiejnie na nogi, patrząc na mnie ze zdumieniem. A potem z cieni za jego plecami wyłoniła się barczysta postać.

– Patrzcie, chłopcy! Kobiety! – zawołał rosły mężczyzna. – Cóż za dar od niebios!

Otworzyłam usta i uśmiechnęłam się szeroko, wyszczerzając szpiczaste zęby.

Zrzedła mu mina.

– Jest takie stare powiedzenie – darowanemu koniowi nie zagląda się w zęby. Ale lepiej znać prawdę – pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Tak – odparłam cicho. – Jesteśmy darem z piekła.

Thorne podeszła do mnie bliżej i dobyteła sztyletów.

– Zwyczajni mężczyźni! Jaką mielibyście szansę w walce z nami? – zadrwiłam, także dobywając ostrzy, z nadzieją, że sprowokuję dwóch bandytów do nieostrożnego ataku. Wyczułam innych, ukrywających się w pobliżu.

Wielkolud uniósł ciężką włócznię i wycelował w nas, z cienia wybiegło kilku innych, dołączając do niego szybko. Zbili się w ciasną grupkę za jego plecami, każdy uzbrojony w inną broń. Niektórzy wyglądali jak dawni żołnierze – zapewne dezercerzy, bo na południu Hrabstwa wciąż toczyła się wojna. Jeden nosił nawet postrzępiony mundur z epoletem z czerwoną różą. W sumie było ich zaledwie dziewięciu, a wysoki bandzior z włócznią niewątpliwie im przewodził.

– Trzymaj się blisko mnie, dziecko, i strzeż moich pleców – wyszeptałam do ucha Thorne. – Najpierw zabiję tego z włócznią.

Pobiegłam wprost ku niemu. Był wielki i silny, ale niezgrabny, i z łatwością odparowałam jego pchnięcie. Gdy moja klinga przebiła mu serce, otworzył szeroko oczy w bolesnym zdumieniu i runął do mych stóp. Thorne załatwiła dwóch z tyłu, ja skupiłam się na ranieniu jak największej liczby pozostałych. Zabiłam ich przywódcę i to wystarczyło. Chciałam jedynie przepędzić ich z zamku. Chwilę później uciekli, większość krwawiła.

– A teraz na mury – rzuciłam.

Weszliśmy do środka i ostrożnie wspięliśmy się wąskimi spiralnymi schodami, wypatrując zagrożenia. Mury wyglądały na opuszczone, lecz ognisko wciąż płonęło i czułam czyjąś obecność – jednej osoby: mężczyzny, młodego.

Czy czekał na nas w zasadzce? Kiedy zbliżyliśmy się do ogniska, pojęłam, że nie byłby do tego zdolny. Leżał pod murem, zakneblowany i związany jak prosiak – najwyżej piętnastolatek. Uklękłam obok, a on wzdrygnął się, patrząc na mnie wielkimi, przerażonymi oczami, gdy przecinałam mu więzy.

Schowałam nóż do pochwy, posadziłam chłopca i wyjęłam mu z ust knebel. Twarz miał brudną, pokrytą siniakami, lewe oko zapuchnięte. Lecz mimo dowodów złego traktowania okazał się całkiem przystojny, miał jasne włosy i błękitne oczy.

– Jak się nazywasz, chłopcze? – spytałam.

Kiedy przemówiłam, znów się wzdrygnął. Wpatrywał mi się w usta, pewnie wstrząsnął nim widok moich zębów.

Nie miałam wobec niego złych zamiarów, lecz z satysfakcją dostrzegłam strach w czyichś oczach. Stanowił potwierdzenie tego, kim byłam. Lubiłam budzić grozę i szacunek.

– W-Will – odparł, zająkując się lekko.

– No cóż, Willu, co uczyniłeś, by zasłużyć sobie na takie traktowanie?

– Mój ojciec jest rycerzem. Ci bandyci porwali mnie i zabili moją eskortę. Próbuja wymienić mnie na okup, ale ojciec nie może sobie pozwolić na żadaną sumę. Ma rozległe włości, zamieszkuje je jednak wielu biednych farmerów i brak mu pieniędzy. Jutro zamierzali odciąć mi palec i mu posłać.

– Twoi rodzice muszą bardzo się martwić. To straszna rzecz, kiedy ktoś porywa dziecko.

– Mama zmarła trzy lata temu na zarazę, która szalała w północnych krainach. Lecz owszem, ojciec bardzo mnie kocha.

– Cóż, jesteś wolny, możesz do niego wrócić, chłopcze – oznajmiłam. – Ale w tej chwili opuszczenie twierdzy to nie najlepszy pomysł. Na dole kręcą się ludzie, którzy bez namysłu poderzneliby ci gardło. Gdzie leży twój dom?

– Na północy, na granicy Hrabstwa. Najwyżej pięć godzin marszu stąd.

– Ojciec wie, gdzie cię przetrzymują?

– Możliwe, ale oznajmili, że mnie zabiją, gdyby on lub jego ludzie spróbowali mnie odbić. Przytaknęłam, po czym zerknęłam z murów na otwartą bramę. Tuż za nią zebrała się grupa zbrojnych, patrzących ku nam. Czas zamknąć wrota i odstraszyć wszystkich dość głupich, by mogli chcieć zapuścić się za nie.

– Zostań z chłopcem, Thorne – poleciłam.

Zesłam po schodach i dalej przez dziedziniec, przeskakując ciała trzech zabitych bandytów. Wiedziałam, że słowa stanowiłyby tylko stratę czasu. Mimo śmierci przywódcy, bez wątpienia bandyci wzbudzą w sobie pijacką odwagę i zaatakują przed świtem. Możliwe jednak, że zdołam ich przepłoszyć, toteż nie zwalniając, pomacałam kości naszyjnika i zaczęłam nucić pod nosem słowa zaklęcia.



Szkoda, że musiałam znów sięgnąć do magicznych zapasów, bo wiedziałam, że będą mi potrzebne później, lecz zaklęcia ułudy nie kosztują zbyt wiele. Poza tym dobrze je znałam, a to dodatkowa oszczędność. Było to zaklęcie zwane Grozą, ujrzałam, jak oczy bandytów rozszerzają się, a ich twarze wykrzywia przerażenie. Moje oblicze wyglądało dla nich teraz jak maska demona, włosy zamieniły się w wijące węże o rozdwojonych językach zmi.

Uciekli, nim dotarłam do nich, zatem wrzasnęłam coś pod adresem ich oddalających się pleców i zamknęłam bramę. Nie miałam niczego, czym mogłabym ją zaryglować, toteż chwyciłam oba skrzydła mocno i wymówiłam kolejne krótkie zaklęcie, by je ze sobą połączyć, przynajmniej na jakiś czas. Wiedziałam, że nie zatrzymam w ten sposób potężnego krecza ani bandy zawziętych czarownic. Lecz pierwszy był zbyt wielki, by wspiąć się wąskimi schodami na mury, a pozostałe mogłam zabijać pojedynczo podczas wspinaczki.

To uczyniwszy, wróciłam do zamku. Spodziewałam się, że krecz przybędzie przed świtem.

## ROZDZIAŁ 12

### SPEŁNIĄ SIĘ DLA MNIE

*Zabijam każdą ofiarę, na którą poluję.  
Jeśli wciąż nosi ciało, rozetnę je.  
Jeśli oddycha, powstrzymam ów oddech.*

Tej nocy nie spałyśmy – cały czas czuwałam, węsząc w ciemności, wypatrując zagrożenia. Nie musiałyśmy jednak głodować. Na murach znalazłyśmy świeże truchła zwierząt i upiekłyśmy pół świniaka na rożnie nad ogniskiem, a potem podzieliłyśmy mięsiwo na trzy porcje. Byłam jednak świadoma, że od tej pory trzeba będzie racjonować jedło i szykować się do oblężenia. Chwilowo trudno było ocenić, jak długo będziemy musiały tu zostać.

Chłopiec był nerwowy, nieśmiały i milczący, nie osłabiło to jednak jego apetytu. Choć sam się nie odzywał, słuchał z uwagą naszej rozmowy, a jego twarzą nadal wstrząsały nerwowe tiki. Wzrok co chwila wędrował ku skórczanemu workowi, który wyraźnie

straszliwie go fascynował. Możliwe, że sprawiły to dobiegające z niego dziwne dźwięki. Mimo wielkiego zielonego jabłka i różanych cierni, Zły od czasu do czasu jęczał cicho bądź syczał, jakby wypuszczał z ust powietrze.

– I co, Thorne? – spytałam. – Czy pod moją nieobecność kontynuowałaś ćwiczenia?

Thorne uśmiechnęła się do mnie.

– Każdego dnia, bez wyjątku, powtarzam mantrę, której mnie nauczyłaś. Jestem najlepsza, najsilniejsza i najgroźniejsza – oznajmiła niewiele głośniejszym głosem niż szept. – W końcu w to uwierzę. Te słowa spełniły się dla ciebie – pewnego dnia spełnią się też dla mnie!

– Czy nadal ćwiczysz co dzień z nożami? – zerknęłam na chłopca i dostrzegłam z zachwytem strach, który błysnął mu w oczach, gdy usłyszał moje pytanie. Przytaknęła, po czym przełknęła kęs wieprzowiny.

– Ostatnio trenowałam rzucanie. Nadal brakuje mi kilku lat, bym osiągnęła pełnię sił. Do tej pory będę zabijać nieprzyjaciół na odległość. Kiedy stanę się wyższa i cięższa, podejść bliżej! Tego też mnie nauczyłaś!

– To rozsądne. Słuchasz tego, co ci każę, i postępujesz właściwie. Nie mogłam sobie wymarzyć lepszej uczennicy.

– Twoje wczesne szkolenie nie było tak szczęśliwe – zauważyła Thorne, wyraźnie rada z pochwały, bo też i rzadko jej udzielałam.

– To prawda.

– W takim razie opowiedz mi jeszcze raz tę historię. Z pewnością Will też chciałby posłuchać – prawda?

Chłopak przytaknął, rozpaczliwie próbując zgadzać się z każdym jej słowem.

– Dlaczego zatem ty mu nie opowiesz? – podsunęłam. – Dość często mnie o nią prosiłaś. Do tej pory powinnaś znać wszystko na pamięć!

Thorne wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się.

– Czemu nie – rzekła i obróciła się do Willa. – Po pierwsze, lepiej najpierw wyjaśnię, że wiedźmę zabójczynię klanu Malkinów zazwyczaj wybiera się w walce. Kandydatki muszą stawić czoło obecnej zabójczyni w starciu na śmierć i życie. Lecz te, które chcą zyskać sobie prawo walki, muszą najpierw przejść okres intensywnego szkolenia. Grimalkin postanowiła zostać zabójczynią Malkinów dość późno. Dołączyła do dwóch kandydatek, uczących się od sześciu miesięcy. Co gorsza, tylko pół roku pozostało do trzech dni wyznaczonych na wyzwania. Miała zatem bardzo mało czasu, by poznać podstawy fachu zabójczyni. Pierwszy dzień szkolenia okazał się katastrofą. Pozostałe

dwie uczennice były słabe – skazane na śmierć z rąk Kernolde, ówczesnej zabójczyni klanu Malkinów. W miarę upływu dnia Grimalkin coraz bardziej się irytowała. W końcu tuż przed zmierzchem dała ujście swoim odczuciom. Siedziała na podłodze, patrząc na Grista Malkina, niezdarnego nauczyciela, który głądził coś o walce nożem, każdym słowem dowodząc swej głupoty i bezużyteczności – nie miał o tym pojęcia. Za nim stały dwie najpaskudniejsze stare wiedźmy z klanu. Obie były czarownicami, i to tak brzydkimi, że na ich brodawkach wyrastały brodawki, a na brodach więcej szczeciny niż na tyłku jeża!

Mówiąc to, Thorne zaśmiała się głęboko, w gardle, w odpowiedzi Will obdarzył ją słabym uśmiechem i zarumienił się aż po korzonki jasnych włosów.

– Wiedźmy miały dopilnować, by uczennice nie posłużyły się magią przeciw Gristowi Malkinowi – podjęła Thorne. – W końcu Grimalkin straciła cierpliwość, wstała z ziemi i krzyknęła do niego.

Uśmiechnęłam się, patrząc, jak Thorne zrywa się na równe nogi i wykrzykuje słowa, zupełnie jakby ona była mną, a Will – Gristem.

– „Jesteś głupcem, Grist! Przygotowałeś już przed nami dwadzieścia siedem pokonanych kandydatek. Czego zatem potrafisz nas nauczyć, prócz tego, jak przegrać i zginąć?” – Wykrzyczała te słowa tak gwałtownie, że Will autentycznie się wzdrygnął.

Thorne posłała mu złośliwy uśmiech.

– Szkoda, że nie widziałeś Grista teraz. Pod koniec tamtego roku przestał uczyć, postarzał się i obrósł sadłem. To starcie z Grimalkin go wykończyło. Przez długi czas milczał – podjęła i znów usiadła – patrzył w oczy Grimalkin, a jego durną, tłustą twarzą wstrząsał gniewny tik. Ale Grimalkin w ogóle się nie bała, spokojnie wytrzymała jego spojrzenie. To on pierwszy odwrócił wzrok. W głębi ducha bał się, choć starał się tego nie okazywać.

„Wstawaj, dziewczyno!” – polecił Grist. Grimalkin posłuchała, uśmiechała się jednak i patrzyła na niego szyderczo. – „Zetrzyj z twarzy ten uśmiech. Nie patrz na mnie!” – ryknął. – „Spójrz prosto przed siebie. Okaż szacunek swojemu nauczycielowi!” – Zaczął powoli okrażać Grimalkin. Nagle chwycił ją w potężny, niedźwiedzi uścisk, tak mocny, że jedno z jej żeber pękło z ostrym trzaskiem. Potem cisnął nią mocno na ziemię, uważając, że to zakończy sprawę.

Lecz co uczyniła Grimalkin? Czy leżała tam, jęcząc z bólu? Nie! W mgnieniu oka zerwała się z ziemi i lewą pięścią złamała mu nos, uderzając tak mocno, że zwała go z nóg. Potem walczyła jak zabójczyni. Nie wolno pozwolić roślejszemu przeciwnikowi

zbliżyć się do siebie, toteż utrzymywała go na dystans. Walka szybko dobiegła końca. Każdy cios padał zręcznie i z precyzją. Po chwili zabiła Grista Malkina na kwaśne jabłko. Jedno oko, napuchnięte, zamknęło się, w sekundę później na czole pojawiła się głęboka szrama, z której krew popłynęła do drugiego oka. Grimalkin powaliła go na kolana.

– Mogłabym cię teraz zabić! – zawołała. – Ale jesteś tylko mężczyzną, niewartym fatygi.

I tak Grimalkin musiała uczyć się sama. Oczywiście już wcześniej dobrze poznała las i tajniki wykuwania broni. Pracowała jednak ciężko, jadła do syta i stopniowo nabierała sił, co dzień pływając, by zwiększyć własną wytrzymałość – choć zima była długa i mroźna, najgorsza od wielu lat. Wykuła także sobie najlepsze ostrza, jakie umiała, i nosiła je w pochwach na własnym ciele. Potem, w mroźnym lesie daleko na północy, w samym środku zimy stawiała czoło watasze wygłodniałych wilków. Okrążyły ją, zbliżając się powoli; z ich pysków ciekła ślina, w głodnych oczach lśniła śmierć. Grimalkin trzymała w obu dłoniach noże do rzucania. Kiedy pierwszy wilk skoczył, klinga odnalazła jego krtań. Drugi także zginął. W końcu dożyła długiego ostrza, gdy trzeci wilk rzucił się ku niej. Tak łatwo, jakby strącała główkę mlecza patykiem, odrąbała mu łeb. Nim wataha podkułiła w końcu ogony i umknęła, przed Grimalkin leżało siedem martwych wilków, a ich krew plamiła czerwienią biały śnieg.

Wreszcie nadszedł dzień starcia Grimalkin z Kernolde, toteż wróciła do Pendle. Kernolde z łatwością zabiła pierwsze dwie kandydatki – w niecałą godzinę, nawet się nie spociła. W końcu nadeszła pora Grimalkin...

– Skoro jesteście takie silne i dzielne, dlaczego schroniłyście się w tym zamku? – przerwał Will. – Myślę, że mój tato jest odważniejszy od was obu!

Obie spojrzałyśmy na niego ze zdumieniem. Kątem oka dostrzegłam grymas gniewu, przebiegający po twarzy Thorne. W uspokajającym geście położyłam jej dłoń na ramieniu. Potem odpowiedziałam chłopcu.

– Oczywiście, że twój ojciec jest dzielny – zgodziłam się i uśmiechnęłam, nie otwierając ust – bo jakież syn nie myślałby tak o ojcu, który dobrze go traktuje? To rycerz, odwaga stanowi część jego natury. Czy minstrele wyśpiewują na jego cześć pochwalne pieśni?

– Owszem! Walczył i pokonał wielu wrogów, lecz jego największym wyczynem było zabicie Wielkiego Gadźca, który oblegał nasz zamek.

– To gadźce są prawdziwe? – spytała Thorne. – Sądziłam, że to tylko bajeczki opowiadane o zmroku, by nastraszyć dzieci.

– Owszem, są – odparłam. – Gadźce to niebezpieczne stwory, porośnięte twardą łuską, o paszczach pełnych potężnych kłów. Wiele z nich ma długie węzowe ogony, którymi oplatają ofiary i wyciskają z nich życie. Zazwyczaj wysysają krew bydła, lubią też jednak pożerać ludzi w całości – krew, ciało i kość. W Hrabstwie występują bardzo rzadko – podjęłam – i w całym swym życiu widziałam tylko jednego. Czaił się w długiej trawie na brzegu jeziora; zaciekawiał mnie i chciałam przyjrzeć się mu z bliska. Gdy się zbliżyłam, umknął do wody i szybko odpłynął. Był nie większy od psa – ale niektóre gadźce bywają większe, tak przynajmniej słyszałam – nazwałeś go wielkim gadźcem: czy był wyjątkowo duży? – spytałam chłopca.

– Większy niż jakikolwiek dotąd widziany – odparł. – Znacznie większy od konia. Ojciec kazał wykuć sobie specjalną zbroję – pokrytą ostrymi metalowymi szpikulcami. Kiedy gadziec oplótł się wokół niego, przebiły mu ciało, a potem ojciec rozsiekał go na kawałki swoim mieczem.

Uśmiechnęłam się, ukazując zęby. Ponownie się wzdrygnął.

– Mówiłeś, że choć twój ojciec jest rycerzem, nie ma bogactw. Ilu ludźmi dysponuje?

– Ma kilku ludzi, lecz ci, którymi dowodzi, zostali dobrze wyszkoleni. Jest wśród nich ośmiu mistrzów łuczników, uzbrojonych w długie łuki.

Spodobało mi się to, co mówił. Pojęłam, iż ów rycerz w kolczastej zbroi i jego łucznicy mogliby znacznie ułatwić mi zabicie krecza.

– Posłuchaj, chłopcze – rzekłam do Willa. – Ja także jestem dzielna, podobnie Thorne. Schroniliśmy się w tych murach, bo ściga nas wielu potężnych nieprzyjaciół. Samo to nie przeszkodziłoby mi stawić im czoła w walce, lecz za pomocą magii Mroku stworzyli straszliwego potwora, pół człowieka, pół wilka. Póki nie znajdę sposobu, by go zniszczyć, muszę ukrywać się w podobnych twierdzach. Sądzę jednak, iż zamek twego ojca mógłby okazać się dla nas lepszy. Co więcej, twój dzielny ojciec i jego łucznicy mogliby mnie wesprzeć w walce z wrogami. Jeśli pomogę ci stąd uciec i dostarczę bezpiecznie do niego, sądzisz, że udzieli nam schronienia? Czy połączy z nami swe siły i pomoże nam zwyciężyć?

– Jestem tego pewien! – zawołał Will, jego oczy zalśniły. – Dostarcz mnie bezpiecznie do niego, a przyrzekam, że ci pomoże.

Obróciłam się do Thorne.

– Przyszliśmy tu kierowane desperacją. Trudno byłoby bronić tego zamku – słudzy Złego mogliby oblegać go tygodniami i nas zagłodzić. Teraz mamy szansę zyskać prawdziwe schronienie. Podróż nie będzie łatwa, lecz kiedy tam dotrzemy, będziemy

znacznie bezpieczniejsze niżli tutaj. Co powiesz?

Thorne zgodziła się, toteż obróciłam się do chłopca, patrząc mu prosto w oczy.

– Nawet jeśli cię uratujemy, pozostaniemy czarownicami. Większość ludzi, zwłaszcza mężczyzn, nienawidzi nas i boi się, nie mamy pewności, czy twój ojciec dotrzyma przyrzeczenia złożonego przez jego syna.

– Daję wam moje słowo – odparł Will. – Mój ojciec to człowiek honoru, będzie związany tym, co przyrzekłem.

Zastanowiłam się szybko. Czy chłopak naprawdę mógł przekonać ojca, by dotrzymał jego obietnicy? Możliwe. Rycerze – podobnie jak inni mężczyźni – różnili się charakterami: niektórzy byli dobrzy, inni źli, większość balansowała gdzieś na granicy. Jednakże zazwyczaj trzymali się swojego rycerskiego kodeksu. Nade wszystko wierzyli w honor i dotrzymywali słowa. Spojrzałam na bramę. Wkrótce przybędzie krecz. Mimo mej magii, w końcu wyważy wrota, a wówczas ludzcy słudzy Złego zaatakują. Z początku ich odeprzemy, ale jak wielu się tu zjawi z najdalszych stron świata, by odzyskać jego głowę? W końcu z nimi przegramy.

\*

Jakiś czas przysnęłam, pozostawiając Thorne na straży. Obudził mnie szmer głosów. Powoli uniosłam powiekę.

Thorne i chłopak siedzieli bardzo blisko siebie, niemal się stykając, i rozmawiali cicho, z ożywieniem, zatopieni w swym własnym, prywatnym świecie. Po raz pierwszy widziałam, by Thorne okazywała zainteresowanie jakiemuś chłopcu, osiągnęła jednak wiek, w którym właściwy mógł ją zafascynować. Wyraźnie się polubili i ich widok przypominał mi moje pierwsze spotkanie ze Złym.

Byłam wtedy młoda, niedawno skończyłam szesnaście lat. Oczywiście nie wiedziałam, że spotkam Złego. Mijałam ruiny kaplicy – porzuconej przez kościół po tym, jak miejscowi mieszkańcy odeszli bądź wymarli; biskup desakralizował ziemię dziesięć lat wcześniej i obecnie rozpościerał się tam tylko gąszcz roślin pomiędzy pustymi grobami.

Młody mężczyzna stał w cieniu i przyglądał mi się. Zirykowało mnie to i szykowałam się już do rzucenia drobnego zaklęcia – niezbyt dotkliwego, czegoś, co sprawiłoby, by nagle wypróżnił się w portki bądź by wymiociny podeszły mu do gardła. Wówczas jednak zrobił coś, co sprawiło, że zapomniałam o irytacji.

Uśmiechnął się do mnie.

Nigdy jeszcze nikt nie uśmiechał się do mnie w taki sposób, z podobnym ciepłem i wyraźną sympatią. W dodatku był przystojny, wysoki – zawsze lubiłam wysokich

mężczyzn – i nim jeszcze nastał świt, pocałowaliśmy się i tuliliśmy w swoich ramionach.

Dopiero Agnes Sowerbutts mnie oświeciła. Powiedziała, że towarzyszył mi diabeł! Z początku trudno mi było uwierzyć. Z pewnością to nie Zły! Jak ten piękny i łagodny młodzian mógł pasować do straszliwej bestii, pojawiającej się płomieniach kościanego ogniska w wigilię Wszystkich Świętych? I jak mogłam być taka głupia i równie łatwo dać mu się oczarować? Czułam niesmak i wściekłość na samą siebie – darzyłam Złego głęboką nienawiścią i nie chciałam uwierzyć w słowa Agnes.

Kiedy jednak pogodziłam się z prawdą, pojęłam, co muszę zrobić: urodzić mu dziecko. Wówczas na zawsze uwolnię się od niego.

Spojrzałam na Thorne, gawędzącą radośnie z nowym przyjacielem. Nie wiedziała, że ją obserwuję – w przeciwnym razie nie siedziałyby tak blisko niego.

Niemądre dziecko, nie wiesz, że większość mężczyzn kryje w sobie diabła?

Nie powiedziałam tego jednak głośno. Musimy chwycić chwile szczęścia, gdzie tylko zdołamy. Nie zamierzałam odmawiać jej tych paru uroczych chwil.

\*

Chmury odpłynęły, niebo na wschodzie szybko jaśniało. Wiedziałam, że wkrótce wszędzie słońce. Lepiej odejść teraz, pod osłoną resztek ciemności.

– No dobrze, chłopcze – w zamian za to, co nam przyrzekłeś, odstawimy cię do zamku ojca! – oznajmiłam nagle.

Oboje, Thorne i Will, wzdrygnęli się, gdy tak gwałtownie przerwałam im miłą rozmowę. Zaskoczeni, szybko, z zakłopotaniem odsunęli się od siebie.

Kiedy wstaliśmy z ziemi, wbiłam wzrok w chłopca i ponownie wyszczerzyłam zęby.

– Cały czas idź między nami i bez pytania słuchaj moich poleceń. Zrozumiano?

Will przytaknął, toteż zarzuciłam na ramię skórzany worek i pierwsza ruszyłam stopniami. Thorne podążała z tyłu. Przebiegliśmy przez dziedziniec do bramy. Wymówiłam słowa zwalniające zakłęcie i otworzyłam ją. Czy ktoś nas obserwował? Powęszyłam szybko i w moje nozdrza uderzyły fale strachu, pijaństwa i rosnącego podniecenia. Bandyci nie byli jeszcze gotowi do ataku. Za bardzo zajęła ich gorzałka, by mieli pilnować bramy.

Pomknęłam na północ w dół wzgórza, pozostała dwójka podążała tuż za mną. Wkrótce znaleźliśmy się w labiryncie ciemnych wąskich uliczek. Większość była opuszczona, lecz na rogu jednej zastąpił nam drogę pijak, otwierając ze zdumienia usta. Pchnęłam go mocno i wpadł w sąsiednie drzwi, a my biegliśmy dalej.

I wtedy to poczułam.

Nozdrza wypełnił mi charakterystyczny smród krecza. Stwór dotarł już do miasta.

## ROZDZIAŁ 13

### W TOWARZYSTWIE CZAROWNIC

*Ten, kto jada z diabłem, musi mieć długą łyżkę.*

*Ten, kto wędruje z wiedźmą, też powinien trzymać się z daleka.*

Zatrzymałam się gwałtownie i znów powęszyłam. Stwór nadciągał z północy i podążał naszym śladem.

Thorne pociągnęła nosem, jej twarz rozjaśnił uśmiech.

– Bandyci są między nami i naszymi nieprzyjaciółmi. To powinno być ciekawe! Zleją się w portki!

Biegliśmy dalej i wkrótce usłyszeliśmy odległy zwierzęcy ryk, a po nim krzyki i wrzaski strachu i wściekłości. Pijani mężczyźni nie mieli żadnych szans w starciu z naszymi wrogami, ale mogli nieco spowolnić pościg. Obejrzałam się na chłopca: dyszał ciężko z wysiłku. Nawet jeśli był sprawny, uwięzienie go osłabiło.

Znów się zatrzymałam, oddałam worek Thorne i chwyciłam chłopaka. Szarpnął się, ale nie stawiał oporu, gdy zarzuciłam go sobie na ramię. Uciekałyśmy dalej, odrobinę wolniej. Słabość nie powróciła, brakowało mi jednak zwykłej energii. Staralam się odrzucić wszelkie wątpliwości co do własnej formy, dręczyły mnie jednak niczym ból zęba. Mimo to próbowałam z optymizmem patrzeć w przyszłość. Jak dotąd ataki słabości nie następowały w chwilach bezpośredniego zagrożenia. Mimo obaw Agnes, że trucizna mogła trwale uszkodzić mi ciało, nadal miałam nadzieję w pełni dojść do siebie.

Późnym rankiem jeszcze bardziej zwolniłyśmy i maszerowałyśmy szybko naprzód. Wyglądało na to, że krecz został z tyłu, choć bez wątpienia nadal nas ścigał. Teraz zagrożenie pojawiło się przed nami. Podążaliśmy ziemnym traktem, środkiem wąskiej, pozbawionej drzew doliny, po obu stronach ciągnęły się niskie wzgórza. Dwakroć dostrzegłam sylwetkę na tle nieba. Obserwowano nas.

Zatrzymałam się i postawiłam Willa na ziemi.

– Jak daleko stąd do zamku, chłopcze? – spytałam.

– Niecała godzina. Ludzie mojego ojca już teraz nas eskortują – machnął ręką w stronę



wzgórz.

– Widziałam ich – odparłam. – Bez wątpienia posłali już wieści, że przybywasz w towarzystwie czarownic. W dziesięć minut później na horyzoncie przed nami ujrzeliśmy chmurę kurzu. To był konny, galopujący wprost ku nam. Wywęszyłam troskę zabarwioną lekką obawą.

– To mój ojciec! – wykrzyknął Will, gdy jeździec się zbliżył.

Rycerz miał na sobie lekką kolczugę, dosiadał jabłkowitej klaczy. Nie nosił hełmu, u pasa wisiał mu jednak miecz, a na ramieniu tarcza. Zatrzymał wierzchowca przed nami, zagradzając nam drogę, i dobył broni, celując prosto w nas.

– Cofnijcie się i przepuście mojego syna! – polecił. Był w średnim wieku i, wedle mej oceny, miał lekką nadwagę. Tak naprawdę nie zagrażał ani mnie, ani Thorne. Bez wątpienia od czasu wyczynów młodości nieco się zapuścił, nadal jednak nie brakło mu odwagi.

Niewielu mężczyzn śmiałoby stanąć naprzeciw dwóch czarownic uzbrojonych jedynie w miecz.

– Jest wolny, może iść, dokąd zechce – odparłam. – Opuść miecz!

– Nie próbuj mi rozkazywać, wiedźmo! – warknął.

– Ale one mnie uwolniły, ojcze, i pomogły uciec prześladowcom – wtrącił Will. – Teraz ich wrogowie je ścigają, a ja zaproponowałem im schronienie w naszym domu. Obiecałem, że pomożesz im walczyć z niebezpiecznym wrogiem, który je prześladowuje. Dałem słowo.

Po twarzy rycerza przebiegł grymas gniewu. Czułam, że to człek uczciwy, lecz bynajmniej nie zachwycony przyrzeczeniem syna.

– Dziękuję za to, że go uwolniłyście – odparł, opuszczając miecz i chowając do pochwy.

– Za to jestem waszym dłużnikiem. Lecz stawia mnie to w mocno niezręcznej sytuacji. Jestem człowiekiem bogobojnym; w zamku mam kaplicę, w której co niedziela odprawiają mszę. Sam biskup odwiedza mnie dwa razy do roku, by pobłogosławić ołtarz i modlić się za chorych. Mój kapelan będzie oburzony.

– Słowo honoru, ojcze! – zawołał Will piskliwym głosem. – Dałem im słowo!

Rycerz przytaknął.

– Co się stało, to się stało. Pojadę z moim synem. Mój dom znajdziecie, maszerując dalej prosto. Otworzymy przed wami bramę. Jestem sir Gilbert Martin, a wy jak się nazywacie?

– Ja jestem Grimalkin, a to jest Thorne – oświadczyłam.

Dostrzegłam strach na jego twarzy i ucieszyłam się, że sława mnie wyprzedziła.

Chciałam, żeby się bał, bo dzięki temu będzie skłonniejszy do współpracy.

– Jedź z ojcem, chłopcze – dodałam, odwracając się do Willa. – Wkrótce do was dołączymy.

Słyszając to, chłopak pobiegł naprzód, ojciec pochylił się, chwycił go za rękę i pomógł mu wsiąść na konia. Potem bez słowa pogalopowali w dal.

– Sądysz, że wpuści nas do zamku? – spytała Thorne.

Wzruszyłam ramionami.

– Mam pewne wątpliwości. Wkrótce się dowiemy, ile jest wart honor dla takiego człeka. Myślę jednak, że to, co nas tam czeka, będzie lepsze niż to, co podąża za nami.

Ruszyliśmy zatem dalej wąskim traktem, póki nie ujrzałyśmy przed sobą zamku; przed nim płynęła wąska, rwąca rzeka. Umocnienia miały dość skromne, składała się na nie jedynie wewnętrzna twierdza, zobaczyłam jednak fosę i most zwodzony, a także niewielką obronną wieżę zwieńczoną blankami. Wokół rozciągały się pola uprawne miejscowych farmerów, tu i ówdzie widziałam chaty, ale nikt dokoła nie pracował. Z dwóch domów pozostały tylko poczerniałe zgliszcza. Wojna dotarła nawet do tego odległego zakątka Hrabstwa.

Przeprawiłyśmy się przez rzekę, brodząc w sięgającej kolan wodzie. Kiedy mijałyśmy pierwszą chatę, zajrzałam przez okno, by potwierdzić swoje podejrzenia.

Miałam rację: na stole pozostał niedokończony posiłek. Mieszkańcy uciekli w pośpiechu. W chwilach zagrożenia farmerzy, robotnicy i służba rycerzy chronili się za murami zamku. Ale co takiego rycerz uznał za zagrożenie? Czy obawiał się dwóch czarownic, czy też tego, co je ścigało? Być może jednego i drugiego? Wkrótce się dowiemy.

Kiedy się zbliżyłyśmy, dostrzegłam postaci obserwujące nas z murów. W górze zabrzączał i zazgrzytał podciągany na kołowrocie łańcuch i most zwodzony opuścił się powoli, kiedy jednak na niego wkroczyłyśmy, przekonałyśmy się, że krata i widoczne za nią solidne, nabijane żelazem wrota wciąż pozostają zamknięte.

Wówczas z góry dobiegł nas głos. Nie należał do rycerza, lecz do jednego z jego sług. Powęszyłam i pojęłam, że to chwalipięta – ale też człek, który umiał zabić z zimną krwią i zarabiał na życie przemocą.

– Zdejmijcie broń! Połóżcie u swych stóp!

Pokręciłam głową.

– Moje noże zostają pod ręką.

Znów powęszyłam, wyczułam zagrożenie. To byli zbrojni, silnie podenerwowani. Ale

poczułam też dyscyplinę. Posłuszni rycerzowi, czekali na rozkazy.

Nikt nie odpowiedział, lecz usłyszałam dobiegające z góry szmery. Najwyraźniej dyskutowali na temat mej odmowy.

W sekundę później zadźwięczały łańcuchy, krata zaczęła się podnosić. Thorne pochyliła się ku mnie.

– To może być pułapka – wyszeptała mi do ucha.

Przytaknęłam, ale nie odpowiedziałam. Czy mogłyśmy zaufać temu rycerzowi? Powęszyłam – tym razem dalekosiędnie, próbując odczytać przyszłość, zwłaszcza groźbę śmierci. Węszyłam w imieniu Thorne. Nie umrze tutaj – byłam tego pewna.

Ciężkie drewniane wrota otwarły się do środka, skrzypiąc na zawiasach. Jakieś dziesięć kroków dalej stał rycerz, za plecami miał kolejną zamkniętą kratę. Wciąż nie zdjął z siebie kolczugi, ale zostawił gdzieś miecz. Gestem wezwał nas do siebie, wraz z Thorne przekroczyłyśmy próg i pokonałyśmy pięć kroków. Gdy się zatrzymałyśmy, krata za nami zaczęła opadać. Obejrzałam się szybko i przekonałam, że brama wciąż stoi otworem.

– Witam was w moim domu – powiedział sir Gilbert łagodnym, uprzejmym tonem. – Wewnątrz murów nie noszę broni, proszę więc, abyście uczyniły tak samo. Zdejmijcie noże i połóżcie u swych stóp.

– Twoje zwyczaje nie są moimi – odparłam. – Moje nakazują mi zawsze mieć pod ręką ostrza.

– Ofiaruję wam schronienie, ale na swoich warunkach!

Dobyłam jednego z noży i wycelowałam w niego. Gdy tylko to uczyniłam, dwaj łucznicy zajęli miejsca za nim, wsuwając groty strzał między kraty. Zerknęłam w lewo i w prawo. W kamiennych ścianach ziały szczeliny. Celowali do nas z trzech stron. Strzały wystrzelone z długich łuków poruszają się bardzo szybko i z wielką siłą. Potrafią nawet przebijać zbroje. Lecz mimo wielkiego zagrożenia zachowałam spokój, analizując sytuację i rozważając możliwe wyjścia.

– Zanim dosięgnie mnie strzała – zagroziłam – mój nóż utkwi w twojej szyi.

Istotnie, mogłam zabić rycerza równie łatwo, jak przegonić muchę z czoła. Od śmierci dzieliła go niecała sekunda. Mogłyśmy także zabić łuczników za jego plecami. Nie byłam jednak pewna, czy zdołamy uczynić to samo z ludźmi ukrytymi za murami. A nawet gdyby mi się udało, wciąż tkwiłybyśmy uwięzione między kratami, bez drogi ucieczki.

– Wówczas cała nasza trójka zginie – odparł rycerz. – Byłaby to wielka strata i zupełnie niepotrzebna. Uratowałyście mi syna, za to jestem wdzięczny i dotrzymam jego

słowa. Ofiaruję wam schronienie w naszych murach. Czekają na was napoje, strawa i czyste ubrania. Błagam, odłóżcie broń, a wszystko będzie dobrze.

Spojrzelśmy sobie w oczy i odczytałam jego zamiary – mówił szczerze – w odpowiedzi zatem uklęknęłam, zaczęłam wyjmować noże i układać na ziemi. Po chwili wahania Thorne poszła w moje ślady. Kiedy znów się podniosłam, sir Gilbert się uśmiechał.

– To wszystko? – spytał. – Mam twoje słowo, że w worku na ramieniu nie ukrywasz broni?

– Nie ma w nim broni, daję słowo – odparłam.

– A co w sobie kryje?

– Coś, co cały czas musi być przy mnie. Jeśli zechcesz, pokażę ci później. Ale wówczas pożałujesz.

Rycerz uniósł rękę, łucznicy za jego plecami cofnęli się na bok i krata zaczęła się unosić. Gestem polecił nam pójść za sobą i znalazłyśmy się na zamkowym dziedzińcu. Po lewej, na obszernym placu, najdalszym od wieży wewnętrznej, zebrali się robotnicy i farmerzy z rodzinami; piekli coś nad żarnikami. Towarzyszyły im owce, krowy i kozy; najwidoczniej zabrali ze sobą całą swą żywność.

Zauważyłam niewielu żołnierzy, lecz ośmiu łuczników pozostało przy bramie, tyle że pochowali strzały do kołczanów. Potem zauważyłam postać w dali. Odziany w czarną księżą sutannę mężczyzna patrzył na nas, marszcząc brwi. On z pewnością nie powita nas z otwartymi ramionami.

Podążyłyśmy za sir Gilbertem do wewnętrznej wieży. Tuż za progiem czekała na nas służka. Starsza i dostojna, miała na sobie szarą sukienkę, siwiejące włosy ściągnęła w ciasny kok.

– Oto Mathilde – przedstawił rycerz. – Zaprowadzi was do komnaty. Kiedy umyjecie się i odziejecie stosownie, wskaże wam drogę do sali bankietowej.

To rzekłszy uśmiechnął się, skłonił i odszedł.

– Tędy, proszę – Mathilde podreptała korytarzem. Podążyłyśmy posłusznie za nią.

Zauważyłam, że unika naszego wzroku, bez wątpienia lękała się złego oka. Otworzyła nam drzwi i pospiesznie odeszła.

Oczy Thorne otworzyły się szeroko na widok bogactwa otoczenia; wcześniej znała jedynie wiedzmię chaty i domy biedoty. Komnata była obszerna, ściany zawieszono gobelinami opowiadającymi jakąś historię: rycerz walczył z wielkim zębatym stworem pośrodku rwącej rzeki. Bez wątpienia miał to być sir Gilbert, pokonujący gadźca. Rozejrzałam się szybko: dwa łóża, dwa wysokie krzesła i stół z dużym dzbanem wody.

Na obu łózkach ułożono jasnozielone suknie.

– Stosownie odziane! – uniosłam brwi i uśmiechnęłam się do Thorne. – Nosiłaś kiedyś w życiu podobną sukienkę?

Thorne pokręciła głową. Nie uśmiechała się.

– Najpierw oddałyśmy broń, teraz mamy się przebrać za niemądre dwórki. Nie ma tu łuczników, którzy zmusiliby nas do wypełnienia woli sir Gilberta. Czemu miałybyśmy posłuchać?

– Nie zaszkodzi ci zobaczyć, jak żyją inni. Powinnyśmy zmyć smród z naszych ciał i przebrać się w czyste stroje. Wkrótce zjawi się krecz, toteż raduj się chwilą oddechu. A poza tym chłopcu spodoba się sukienka!

Thorne pokraśniała po korzonki włosów, zbyt jednak się zawstydziła, by odpowiedzieć, odwróciłam się zatem i ułożyłam pochwy i rzemienie obok łóżka. Zdjęłam z siebie brudny strój i umyłam się, a tymczasem Thorne się dąsała. Potem przywdziałam dłuższą z dwóch sukien. Kiedy skończyłam, dziewczyna niechętnie rozpoczęła własne ablucje. W końcu stanęła przede mną w zielonej sukience.

– Cóż z ciebie za piękna dama! – zadrwiłam. – I bardziej niż gotowa zająć miejsce na dworze!

Twarc Thorne wykrzywiła furia. Rzuciła się ku mnie, gotowa wydrapać mi oczy.

Cofnęłam się o krok i uśmiechnęłam, wyciągając rękę, by ją powstrzymać.

– Tylko żartuję, dziecko. Nie obrażaj się. A teraz przywołaj swój najlepszy uśmiech, abyśmy zdołały oczarować tego rycerza i nagiąć do naszej woli.

Kiedy wyszłyśmy z komnaty, Mathilde czekała nerwowo na korytarzu; poprowadziła nas wprost do sali bankietowej. Raz jeden zerknęła na skórzany worek, który dźwigałam w lewej dłoni. Ujrzałam, jak wstrząsa nią dreszcz. Może wyczuła ukryte wewnątrz zło. Niektórzy ludzie są wrażliwi na takie sprawy.

Wreszcie dotarliśmy na miejsce.

Sala okazała się wielka, o belkowanym suficie, zapewne mogłaby pomieścić setkę ludzi. Stało w niej sześć długich stołów. Tylko przy jednym z nich, owalnym, stojącym naprzeciw głównego wejścia, zasiadali ludzie – dwie osoby: sir Gilbert i jego syn. Mieli na sobie eleganckie stroje z ciemnoniebieskiego jedwabiu, jak przystało dworskim panom. Jednak ojciec wyglądał lepiej w kolczudze. Teraz doskonale widziałyśmy jego spory brzuch – najwyraźniej z upływem lat przywykł do wygod i łatwego życia.

Gdy się zbliżyłyśmy, obaj powstali z uśmiechem, zauważyłam jednak, że ich wzrok wędruje ku workowi, który postawiłam obok krzesła. Zastanawiałam się, gdzie się

podziewa krecz i reszta sługusów Złego. W każdej chwili mogli dotrzeć do zamku.

– Witajcie. Siądźcie, proszę – powiedział sir Gilbert; wraz z synem zaczęli, aż zajęliśmy z Thorne miejsca, po czym uczynili to samo.

Zjawiała się służba, stawiając na stole półmiski z mięsiami i chlebem.

– Mamy wiele do omówienia, ale musicie być głodne. Najpierw zatem zjedzmy, później porozmawiamy. Nie potrzebowałam dodatkowego zaproszenia. Gdy jedliśmy, służba nalewała nam wielkie kielichy miodu, lecz obie z Thorne sączyłyśmy go powoli. Musiałyśmy zachować trzeźwe głowy, by móc negocjować z rycerzem. Udzielił nam schronienia – ale na jak długo? To wciąż pozostawało nierozstrzygnięte.

Kiedy skończyliśmy, służba zebrała talerze, pozostawiła jednak kielichy. Sir Gilbert splótł przed sobą palce i przyjrzał się nam kolejno.

– Raz jeszcze muszę wam podziękować za to, że ocaliłyście mi syna i przywiodłyście do domu. Mówi, że ściga was dziwny stwór, o jakim wcześniej nie słyszałem. Chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej.

– Ów stwór to krecz, hybryda człowieka i wilka, stworzony mroczną magią tylko po to, by mnie ścigać. Jest sprytny i drapieżny, dysponuje wielką siłą. Potrafi posługiwać się bronią, a jego szpony powleka śmiertelna trucizna. Dodatkowo jego głowę i górę tułowia chronią grube kościane grzebienie, a ranny potrafi się uzdrowić.

– Jak można go zabić? – spytał rycerz.

– Możliwe, iż wystarczyłoby wycięcie serca i zniszczenie go w ogniu bądź zjedzenie. Lecz aby mieć pewność, trzeba też go rozczłonkować i posiekać na kawałki.

– Nie jest sam?

– Towarzyszy mu banda czarownic i potężny mroczny mag, Bowker. Ich połączone siły czynią z nich groźnego przeciwnika.

– A cóż takiego uczyniłaś, że tak na ciebie polują?

Wyciągnęłam rękę i postawiłam worek na blacie.

– W tym worku kryje się głowa Złego – oznajmiłam. – Został tymczasowo uwięziony, a my szukamy sposobu, który pozwoli zniszczyć go na zawsze. Nasi wrogowie pragną połączyć głowę z ciałem i uwolnić go.

– Trudno mi w to uwierzyć – rzekł rycerz z wyrazem niedowierzania na twarzy. – Twierdzisz, że nosisz w worku głowę diabła we własnej osobie? To właśnie chcesz mi powiedzieć?

– Został wezwany na ten świat przez kręgi czarownic z Pendle. Teraz tkwi uwięziony w ciele i cierpi męczarnie. Nie wierzysz mi? Potrzebujesz dowodu? – spytałam ostro.

Z worka dobiegł słaby jęk i coś, co zabrzmiało jak sapnięcie. Will i jego ojciec wzdygnęli się, rycerz jednak natychmiast zapanował nad sobą.

– Jestem człowiekiem żyjącym spokojnie, zajmuję się własnymi sprawami. Chwytam za broń tylko w słusznej sprawie. Niewiele wiem o wiedźmach i magii Mroku i wierzę, że wiele z tego można przypisać ignorancji i zabobonom. Mam jednak otwarty umysł i bardzo chciałbym zobaczyć zawartość worka.

– W takim razie spełnię twe życzenie.

Rozwiązałam rzemienie, chwyciłam głowę Złego za rogi i uniosłam, demonstrując rycerzowi i jego synowi. Obaj zerwali się z krzesel, wstrząśnięci. Chłopak wyglądał, jakby chciał uciec z sali. Głowa raz jeszcze jęknęła słabo, ciało wokół zranionego oka poruszyło się. Z oczodołu do szeroko otwartych ust biegła szeroka smuga zaschniętej juchy. Jeśli to możliwe, głowa wyglądała jeszcze ohydniej niż wcześniej.

## ROZDZIAŁ 14

### ATAK

*Wasza magia mnie nie przeraża, bo dysponuję własną.  
A boginy, duchy i widma nie zagrażają mi bardziej niżli stracharzowi.*

– Ona wciąż żyje! Jak to możliwe?! – Sir Gilbert pobladł gwałtownie.

– Ciało to tylko powłoka – odparłam. – Dla Złego przyjęta postać jest niczym nałożony strój. Potrafi przybierać ich wiele, a jego duch przetrwa najgorsze rany; teraz mieszka w dwóch częściach ciała. I musi pozostać w nich uwięziony. Jeśli jego sługi połączą głowę ze skrępowanym ciałem, odzyska wolność i wyrze straszliwą zemstę, tak w tym życiu, jak i poza nim. Niedawno krążył po ziemi i świat zbliżył się do Mroku bardziej, niż ktokolwiek pamięta. Jednym z objawów była wojna nękająca Hrabstwo i niosąca ze sobą śmierć, głód i okrucieństwa. Jego tymczasowe uwięzienie już i tak poprawiło sytuację. Toteż utrzymanie go w takim stanie leży również w waszym interesie.

Sir Gilbert wpatrywał się w głowę Złego.

– Błagam, ukryj tę ohydę w worku. Nie jest to widok, który winny oglądać oczy śmiertelników.

Uczyniłam, jak prosił, i wszyscy usiedliśmy.

– Walczyłeś na wojnie? – spytałam.

Rycerz pokręcił głową.

– Nie jestem już młodzieniaszkiem i mnie nie wezwano. Zostałem w domu, próbując chronić swoich ludzi. Mieliśmy szczęście – żyjemy na uboczu i odwiedził nas tylko jeden patrol, pod koniec kampanii. Z początku moi ludzie schronili się w zamku, kiedy jednak żołnierze wroga zaczęli palić ich chaty, zorganizowałem wycieczkę na czele niewielkiego, zawziętego oddziału. Straciliśmy dwóch z naszych, ale zabiliśmy wszystkich wrogów – jedenastu z nich leży w nieoznaczonych grobach. Żaden nie umknął, by złożyć raport.

– Czy mamy wystarczające zapasy? – spytałam.

– W tych murach chroni się wiele gąb do wyżywienia, ale głodować zaczęlibyśmy dopiero po kilkutygodniowym oblężeniu. Jednak nie byłoby to przyjemne i po powrocie do zwykłego życia spowodowałyby poważne reperkusje. W zamku możemy utrzymać ograniczoną liczbę bydła i musielibyśmy zacząć je zabijać. Biorąc pod uwagę zniszczenia wojenne, trudno byłoby uzupełnić stado.

– Sądzę, że możemy to zakończyć względnie szybko – oznajmiłam, bo podczas podróży do zamku w mojej głowie powstały zarysy planu; teraz ujęłam go w słowa. – Z twoją pomocą moglibyśmy przenieść bitwę na teren wroga. Część z tej grupy to czarownice, lecz twój syn mówi, że wasi łucznicy są mistrzami w swoim fachu, a mroczna magia nie zdoła odbić wszystkich strzał. Co do krecza, możliwe, że sam zdołasz tego dokonać – w ten sam sposób, w jaki zabiłeś Wielkiego Gadźca.

Will uśmiechnął się, jego twarz jaśniała dumą.

– Obejrzyjcie gobeliny, zdobiące waszą komnatę – rzekł. – Opowiadają historię tego, co się wydarzyło piętnaście lat temu. Pokazują, jak mój ojciec zabił Wielkiego Gadźca, który pustoszył okoliczne ziemie. Czego raz dokonał, może powtórzyć w ten sam sposób.

Thorne odwróciła się do niego i także uśmiechnęła. Kiedy spojrzeli sobie w oczy, dostrzegłam, że rodzi się między nimi więź.

Ojciec przytaknął, podejrzewam jednak, że z mniejszym entuzjazmem niż syn.

\*

Dopiero po zmierzchu wróciliśmy z Thorne do naszego pokoju. W lichtarzach obok łóżek migotały świece. Uniosłam jedną i podeszłam do pierwszego gobelinu; w sumie było ich pięć.

Przedstawiono na nim gadźca plądrującego obejście – na polu leżały rozrzucone truchła owiec. W paszczy trzymał człowieka, widziałam tylko jego nogi. Sam gadziec był



olbrzymi. Nigdy nie słyszałam historii o tak wielkim. Bez wątpienia hafciarka dla lepszego efektu mocno przesadziła z rozmiarami.

Na drugim gobelinie gadziec zbliżał się do zamku, a rycerz wyjeżdżał mu na spotkanie. Między nimi płynęła rzeka. Na trzecim rycerz zsiadł z konia i wszedł do wody, brodząc w niej w pełnej zbroi; gadziec pędził ku niemu, szeroko rozdziawiając paszczę.

Czwarty gobelin przedstawiał obu zwartych w walce i wyraźnie widziałam, czemu rycerz zawdzięczał swe ostateczne zwycięstwo. Walczące postaci zapełniały cały gobelin: ujrzałam szpikulce, pokrywające zbroję sir Gilberta. Gadziec oplótł go ciasno cielskiem i ogonem, szpikulce przebijały stwora i rozdierały na strzępy, krwawił z kilkunastu miejsc, a tymczasem rycerz rąbał go trzymanym oburącz mieczem. Na ostatnim gobelinie sir Gilbert tryumfalnie dźwignął w górę łeb potwora, a strumień unosił w dal fragmenty jego ciała.

– Czy naprawdę mógłby tak samo rozprawić się z kreczem? – spytała Thorne.

– Możliwe, dziecko. Warto spróbować. Jeśli wraz z ludźmi rycerza zajmiemy pozostałych, jego ochronna zbroja może pozwolić mu rozsiekać krecza na kawałki. Wygląda na to, że pod naciskiem syna gotów jest spróbować, a ja jestem skłonna go do tego zachęcić.

\*

Nasi wrogowie przybyli następnego ranka – około dwudziestu, w towarzystwie krecza i Bowkera. Nie przeprawili się przez rzekę, przez chwilę przyglądali się zamkowi, a potem rozbili obóz przy największym z farmerskich domów i rozpalili ogniska.

Całe przedpołudnie trzymali się z daleka, a my obserwowaliśmy ich z murów. Lecz co godzinę zjawiały się nowe bandy czarownic. Wieczorem oceniłam, że ich liczba wzrosła do ponad setki. Oprócz zagrożenia zewnętrznego, w zamku narastało też napięcie.

– To ten ksiądz. Widziałam, jak podburzał ludzi – Thorne wskazała ręką miejsce, gdzie farmerzy obozowali ze swymi zwierzętami. – Stałam przy bramie, a on wytykał mnie palcem.

– To ksiądz, dziecko, niczego innego nie możemy oczekiwać. A ci ludzie z naszego powodu musieli schronić się za murami. Nic dziwnego, że darzą nas niechęcią.

Tego wieczoru ponownie spożyliśmy posiłek z rycerzem i jego synem i Thorne opowiedziała gospodarzowi o księdzu.

– Nie musicie się nim martwić – odparł sir Gilbert. – Ojciec Hewitt już ze mną rozmawiał i domagał się, abym przepędził was z zamku. Odmówiłem, sprawa zamknięta. To mój kapelan, towarzyszy nam od wielu lat. W istocie, gdybym zmarł przed czasem,

ojciec Hewitt zostałby opiekunem mojego syna, póki ten nie osiągnie wieku męskiego. Jest jednak księdzem, a wy czarownicami, toteż dzieli was naturalna wrogość. Niewiele może działać prócz podburzenia swojej trzódki. Ja jednak jestem ich panem i są mi posłuszni we wszystkim. Nic wam tu nie grozi.

– Jesteśmy za to wdzięczne – odparłam. – Z niezwykłym zainteresowaniem obejrzałam gobeliny w naszej komnacie. Zakładam, że wciąż masz tę zbroję.

– W rzeczy samej. Kazałem wykuć ją specjalnie na tę okazję i okazała się niezwykle skuteczna w starciu z gadźcem. Po prawdzie stwór nie był aż tak wielki, jak sugerują hafty – dodał z uśmiechem – ale nadal niebezpieczny i zabił wielu ludzi, jak również mnóstwo sztuk bydła.

– Ojciec jest mądry i bardzo dzielny – oznajmił z dumą Will. – Minstrele wciąż opiewają jego czyny.

– Musisz być bardzo dumny z ojca – uśmiechnęłam się do chłopca, potem jednak z powrotem zwróciłam się do sir Gilberta: – Podobna zbroja może okazać się nie tak skuteczna w walce z kreczem, bo on sam dysponuje własną kościaną zbroją. Jeśli go zaatakujemy, musimy działać wspólnie i uczynić to, nim przybędzie jeszcze więcej sług Złego. Ich liczba będzie rosła z każdym dniem. Jeżeli jednak zniszczymy krecza, będziemy mogli opuścić wasz dom, a oni pójdą za nami. Wasze życie wróci do normy.

– W takim razie uczynimy to jutro – oznajmił rycerz. – Musimy znaleźć sposób, by zwabić ich bliżej zamku, w zasięg strzał moich łuczników.

Pokiwałam głową.

– Coś wymyślę. Jutro zakończymy sprawę. Zwróćcie nam noże?

– Oczywiście. Razem opuścimy zamek, z bronią niezbędną do odniesienia zwycięstwa. Jednakże myliłam się i wydarzenia wcale nie potoczyły się tak, jak oczekiwałam.

## ROZDZIAŁ 15

### WALKA NA ŚMIERĆ I ŻYCIE

*Lepiej walczyć, niż być jedynie widzem.*

*Wiedźma zabójczyni łaknie walki.*

Przed świtem zjadłyśmy śniadanie, a potem ku uldze Thorne zdjęłyśmy z siebie

zielone suknie i ponownie przywdziałyśmy stroje zabójczyń. Nie mogłam się już doczekać nadchodzącej bitwy i czułam się lepiej w stroju swego fachu.

Nie mogłam ryzykować i zabrać ze sobą głowy Złego, należało zatem ją ukryć. W tym celu znów sięgnęłam do resztek zapasów magii. Za pomocą wielu bawełnianych nici, które wyskubałam z rąbka sukni, zawiesiłam skórzany worek na belce sufitowej w najciemniejszym kącie komnaty. Następnie dokładnie go zamaskowałam. Teraz tylko potężna czarownica lub mag zdołaliby go znaleźć; a nawet im nie poszłoby łatwo.

Sir Gilbert, odziany w kolczastą zbroję, czekał na nas na dziedzińcu w otoczeniu swych ludzi. Podobnie nasze noże. Jak dobrze było wsunąć każdy z nich do właściwej pochwy!

Ranek był szary i mglisty, powietrze chłodne i wilgotne. Przyjrzałam się naszemu oddziałkowi, oceniając szanse zwycięstwa. Mężczyźni wyglądali na pewnych siebie i zdyscyplinowanych. Oprócz rycerza w śmiercionośnej zbroi, naliczyłam ośmiu mistrzów łuczników i kolejnych piętnastu zbrojnych. Wszyscy poruszali się pieszo. Sir Gilbert oznajmił, że nie będą narażać swoich koni. Wróg miał olbrzymią przewagę liczebną, jednak istniała spora szansa, że zdołamy osiągnąć tymczasowe zwycięstwo.

Opisałam swój plan rycerzowi, a on go zaakceptował. Chodziło o to, by zniszczyć krecza i zabić jak najwięcej czarownic, a potem wycofać się do zamku. Później, pod osłoną nocy, uciekniemy wraz z Thorne; reszta czarownic ruszy za nami, a mieszkańcy zamku i otaczających go ziem powrócą do swej spokojnej egzystencji.

Wtedy jednak wszystko zaczęło iść nie tak. Żołnierz czuwający na blankach wydał ostrzegawczy okrzyk. Nieprzyjaciel się zbliżał.

Z daleka oceniłam ich liczbę. Istotnie, było ich dobrze ponad setkę, na czele maszerowali krecz i mroczny mag. Zatrzymali się dwieście jardów od fosy, krecz samotnie wystąpił naprzód. Kiedy znalazł się wprost pod nami, dźwignął się na tylne łapy, dobył klingi i grzmiącym głosem wykrzyknął słowa wyzwania.

Serce ścisnęło mi się w piersi. Nie wyzywał do walki mnie, lecz rycerza.

– Sir Gilberte Martinie, pozdrawiam cię! Jako zabójca Wielkiego Gadźca słyniesz ze swych tryumfów. Mam życzenie zetrzeć się w pojedynku z kimś o podobnej sławie. Pokonaj mnie, a ludzie ci rozejdą się i nie będą cię już kłopotać.

– A co, jeśli przegram walkę? – zawołał rycerz. – Chcę poznać wszystkie warunki.

– Stracisz życie, a oblężenie będzie trwać dalej. To wszystko. Przyjmujesz moje wyzwanie?

– Przyjmuję i stanę z tobą do walki przed murami. Zgadzasz się? Mam twoje słowo?

– Masz moje słowo. Będziemy walczyć na brzegu rzeki, tam gdzie pokonałeś Wielkiego Gadźca. Twoi ludzie muszą pozostać za murami zamku. Moi wycofają się daleko za rzekę.

– A zatem zgoda! – odparł sir Gilbert.

Słyszając to, krecz lekko skłonił głowę, wyszczerzył zęby w złośliwym uśmiechu i pobiegł szybko ku rzece.

O mało nie wykrzyknęłam własnego wyzwania pod jego adresem, lecz rycerz dał już słowo: nie mogłam ingerować. Mimo to jednak próbowałam go przekonać:

– To podstęp! – ostrzegłam. – Taki stwór nie myśli jak ty. Podobnie jego towarzysze, słudzy Złego – Ojca Kłamstw. Nie mają pojęcia o honorze. Jeśli zejdziesz tam sam, zginiesz. Chcą odzyskać głowę Złego i nie zamierzają się rozchodzić, póki jej nie zdobędą.

– Może i tak – odparł sir Gilbert, obracając się ku mnie. – Ale jestem rycerzem i nie wolno mi odrzucić wyzwania na pojedynek. To kodeks, wedle którego żyję. Nawet jeśli stwór zamierza mnie oszukać, nie wszystko stracone. Kiedy wyjdę, zamkniecie główną bramę, ale nie na klucz. Nie podnoście też mostu. Na pierwszą oznakę zdrady przyjdźcie mi z pomocą. Niewiele się to różni od tego, co zaplanowaliśmy.

– Nie mogę się zgodzić – ostrzegłam. – Plan zakładał, że opuścimy zamek jako zwarty oddział i będziemy chronić twój tył i flanki, podczas gdy ty zaatakujesz krecza. Teraz masz walczyć sam, z daleka od nas. Jeśli dojdzie do zdrady, możliwe, że nie zdążymy na czas z pomocą.

Sir Gilbert skłonił głowę, przyjmując moje uwagi, nie zmienił jednak zdania i bez słowa zszedł na dół, czekając na otwarcie bramy i opuszczenie zwodzonego mostu.

Kiedy wrota stanęły otworem, rycerz uściśnął dłoń syna w krótkim pożegnaniu. Will wyglądał na bardzo dumnego z ojca, lecz dolna warga drżała mu nerwowo i wiedziałam, że boi się o niego. Sir Gilbert opuścił przyłbicę hełmu i ruszył w stronę rzeki. Drzwi zamknęły się powoli, lecz nie na klucz. Łucznicy i zbrojni czekali tuż za nimi, unosząc w pogotowiu broń. Ja jednak poprowadziłam Thorne z powrotem na mury, skąd mogłyśmy lepiej obserwować pojedynek.

Sir Gilbert zbliżał się do brodu, widziałam krecza czekającego na przeciwległym brzegu. Po magu i czarownicach nie pozostał nawet ślad, lecz sto jardów dalej pojawiła się ściana gęstej mgły, zasnuwająca oba brzegi rzeki, bez wątpienia przywołana magią – czarownice mogły z łatwością się w niej ukryć i czekać znacznie bliżej walczących niż my. Powęszyłam i natychmiast wyczułam niebezpieczeństwo. To była pułapka – nie wątpiłam w to ani przez chwilę. Ale co mogłam zrobić? Ostrzegłam rycerza, lecz on mnie nie

posłuchał.

Gdy tylko opuścił błotnisty brzeg i wkroczył do płytkiej rzeki, krecz skoczył ku niemu, pędząc na czterech łapach niczym olbrzymi wilk, wzbijając wokół siebie zasłonę wody. Sir Gilbert nie przewidział jego szybkości i zbyt późno dobył miecza. Olbrzymia bestia zacisnęła szczęki na jego prawej ręce i mocno ugryzła. Nawet z daleka usłyszałam krzyk bólu rycerza.

A co z kreczem? Z metalowych płyt otaczających rękę sir Gilberta sterczały ostre szpikulce. Teraz z pewnością wbiły się w szczęki potwora. Stopniowo zmieniał się i zyskiwał na sile. Czy stał się niewrażliwy na ból? A może potrafi go pokonać i narzucić sobie swą wolę, mimo znoszonych cierpień? To uczyniłoby go niezwykle niebezpiecznym. Tylko śmierć by go powstrzymała.

Z wielkim wysiłkiem rycerz uwolnił rękę. Gdy to uczynił, z otwartego pyska bestii pociekła krew, plamiąc wodę. Na zbroi też dostrzegłam plamy krwi – czy jednak należała do sir Gilberta, czy do krecza?

Nawet z tej odległości widziałam wgięty metal, otaczający rękę rycerza, który próbował unieść miecz, gdy krecz znów zaatakował. Stwór wydawał się jeszcze większy: dźwignął się na tylnych łapach, górując nad przeciwnikiem. Z każdym mijającym dniem stawał się coraz potężniejszy.

Choć ranny, sir Gilbert nie stracił odwagi i wytrwał w miejscu, przekładając miecz do drugiej ręki. Broń była ciężka, tak naprawdę powinien posługiwać się nią oburącz. Mimo to lewą ręką – bez wątpienia słabszą – wyprowadził pchnięcie prosto w brzuch stwora. Tym razem krecz poczuł ból i wydał z siebie przenikliwy wrzask, a tuż po nim ryk wściekłości.

Wrzask ów sprawił, że poczułam się znacznie lepiej. Krecza można było zranić. Owszem, chciałam, by rycerz z nim skończył, lecz tak naprawdę pragnęłam sama go zabić. Od bardzo dawna nie łaknęłam już tak bardzo czyjegoś bólu i śmierci. A jednak nie mogłam ruszyć przeciw niemu, dopóki rycerz nie ustąpił. Dzielny był z niego człek i nie mogłam pozbawić go szansy zwycięstwa.

Sir Gilbert i krecz zderzyli się mocno: spleceni w walce runęli do płytkiej wody, turlając się raz po raz, aż w końcu dotarli na dalszy brzeg, gdzie wciąż zmagali się w błocie. Tego dokładnie pragnął sir Gilbert: teraz bestia nabiła się na szpikulce, podobnie jak wcześniej gadziec – oby spotkał ją ten sam los! Lecz kiedy tak walczyli, odniosłam wrażenie, że rycerz przegrywa.

Próbował użyć miecza przeciw kreczowi, był jednak zbyt blisko i jego ciosy odbijały się

od twardego grzbietu bestii, nie czyniąc jej szkody. Sir Gilbert nie był już młodzieniaszkiem. Zaczynało brakować mu sił. W dodatku kolce jego zbroi nie działały na bestię tak dobrze jak na gadźca. Nagle, ku swej rozpacz, zobaczyłam, jak krecz zaciska szczęki na głowie rycerza i zagryza mocno; usłyszałam zgrzyt zgmiotanej zbroi. Szczęki miał mocarne, zdolne do potężnego nacisku; teraz jego zęby wbiły się w czaszkę mężczyzny. Usłyszałam jęki rozpacz z ust zbrojnych rycerza, wiedziałam, że Will z przerażeniem ogląda porażkę ojca.

I wtedy zdarzyło się to, czego obawiałam się i oczekiwałam. Czarownice pod wodzą Bowkera wypadły z mgły i wrzeszcząc oraz wiwatując puściły się biegiem ku brzegowi i wciąż zmagającym się przeciwnikom. Większość dzierżyła w dłoni noże. Tak jak wcześniej, trzy na przedzie uzbrojone były w klingi przywiązane do długich tyczek, by móc dźgać i ciąć z daleka. Rycerza czekał ten sam los, który spotkał lamię; różnica była taka, że tym razem dysponowaliśmy zawziętym i całkiem sporym oddziałem, który mógł interweniować. Jeszcze nie wszystko stracone.

Strażnik krzyknął ostrzegawczo do tych w dole; usłyszałam zgrzyt otwieranej bramy.

– Trzymaj się blisko mnie i nie próbuj niczego głupiego! – ostrzegłam Thorne.

Gdy dotarliśmy do bramy, ta stała już otworem, a ludzie rycerza pędzili w stronę rzeki. Will stał obok z dwoma zbrojnymi, patrząc tęsknie w stronę bitwy. Jako jedyny spadkobierca zamku i ziem nie mógł dołączyć do walki.

Szybko zbliżyliśmy się do oddziału, gestem jednak poleciłam Thorne, by została z tyłu. Kiedy obie grupy się zderzą, lepiej zdołamy ocenić, w którym miejscu najskuteczniej podjąć walkę.

Spojrzałam przed siebie i przekonałam się, że z mgły po naszej stronie rzeki wyłoniły się kolejne czarownice. Pędziły nam na spotkanie, wymachując bronią. Te na przeciwległym brzegu otaczały rycerza i krecza – bez wątpienia próbowały zabić sir Gilberta, podczas gdy bestia wciąż ścisnęła w szczękach jego głowę, powtarzając to, co spotkało Wynde. Już dwukrotnie nie mogłam zapobiec śmierci, teraz jednak wciąż istniała szansa uratowania rycerza. Będą musiały zdjąć mu zbroję, żeby zabić. To potrwa, dając nam trochę czasu. Ludzie rycerza zatrzymali się gwałtownie. Przez moment sądziłam, że zamierzają zawrócić i uciec – zbliżająca się horda wyglądała przerażająco i wielokrotnie przewyższała nas swą liczebnością. Lecz nasz oddział był naprawdę zdyscyplinowany, usłyszałam głos wykrzykujący rozkaz:

– Strzelać!

Ośmiu łuczników napięło łuki i wypuściło strzały, które pomknęły wprost ku swym

celom. Każda trafiła wiedźmę. Zobaczyłam, jak co najmniej trzy padły, kolejne dwie potknęły się i obróciły. A tymczasem łucznicy zdążyli już nałożyć nowe strzały z kołczanów na ramionach i ponownie napinali łuki.

Znów padł rozkaz i ze świstem kolejna salwa strzał trafiła naszych wrogów, z jeszcze lepszym skutkiem. Do tej pory czarownice niemal już do nas dotarły – dzieliło nas niecałe trzydzieści jardów – lecz trzecia salwa załamała ich atak i wiedźmy rozproszyły się. Nie uciekły jednak, lecz zaczęły nas okrążać, rozpraszając się, by stanowić trudniejszy cel. Pierwsze strzały padły jednocześnie, teraz padło inne polecenie.

– Strzelajcie bez rozkazu!

Na te słowa każdy z łuczników zaczął wybierać własne cele – to mniej skuteczna taktyka, bo czarownice sięgnęły już po mroczną magię. Nucily zaklęcia w Pradawnej Mowie, najczęstszym była Groza. Jej moc nie zadziałała na mnie i Thorne, byliśmy bowiem chronione przed podobnymi czarami – lecz w oczach łuczników i zbrojnych przeciwniczki przybrały teraz odrażające kształty, ich twarze zamieniły się w demoniczne karykatury, ubłocone włosy w gniazda wijących się, jadowitych węży.

Zaklęcie działało aż nazbyt dobrze: zobaczyłam, jak oczy najbliższego łucznika rozszerzają się ze strachu, luk dygotał mu w dłoniach tak mocno, że wystrzelona strzała runęła na ziemię. Musiałam działać szybko, inaczej wszystko będzie stracone. Teraz potrzebowałam całej swej siły, by przenieść walkę na teren wroga. Krecz i mag musieli zginąć!

## ROZDZIAŁ 16

### CZY ZAWSZE MUSIMY UCIEKAĆ?

*Z ostrą klingą w dłoni wiedźma zabójczyni ginie w walce z wrogami.*

*Czemu ja miałabym skończyć inaczej?*

Przesuwając palcami po kościanym naszyjniku, użyłam zaklęcia, które po łacinie nazywają Imperium, lecz klanowi Mouldheelów, którzy zawsze lubią robić wszystko po swojemu, znane jest jako Posłuch. Częściowo stanowi narzucenie woli, toteż ważne jest, by wypowiedzieć je odpowiednim tonem. Jeśli jednak czyni się to właściwie, inni

słuchają natychmiast.

Wokół mnie rozpełtał się chaos i strach, i to pomogło. Mój głos przeciął niepewność, skierowałam go ku najbliższym walczącym: trzem łucznikom, dwóm żołnierzom i Thorne.

– Chodźcie za mną! – poleciłam, idealnie dostrajając głos.

Odwrócili się jak jeden mąż i spojrzeli mi w oczy. Tylko Thorne próbowała stawić opór, ale ona poniuchałaby mnie bez żadnej magii. Pozostali byli czujni, elastyczni i całkowicie posłuszni.

Puściłam się biegiem ku rzece, gdzie rycerz wciąż zmagał się z kreczem na przeciwległym brzegu. Pozostali biegli tuż za mną, gdy jednak dotarłam do pierwszej z otaczających nas czarownic, Thorne podsunęła się do mnie z prawej. Walczyłyśmy razem, jak jedna istota, zmierzająca wprost do celu: cztery nogi i cztery ręce, kierowane jednym umysłem. W lewej dłoni trzymałam nóż, zamachnęłam się nim krótkim śmiercionośnym ciosem – i najbliższa przeciwniczka zginęła. Kącikiem oka zobaczyłam, jak Thorne zabija drugą wiedźmę.

Nasz śmiercionośny oddziałek z łatwością przebił się przez cienki krąg nieprzyjaciół. Kiedy jednak przeprawiliśmy się przez bród, ujrzeliśmy co najmniej dziewięć czarownic, stłoczonych wokół miejsca walki i dżgających rycerza. Lisa Dugdale opierała się na swej tyczce, próbując wrazić ostrze w miejsce, w którym hełm łączył się z szyją, stanowiące zawsze słaby punkt zbroi. Sir Gilbert jednak pod spodem nosił kolczugę, która dodatkowo go chroniła. Największą groźbę nadal stanowił krecz, wciąż ściskający w szczękach głowę rycerza; jego zęby wgniotły metal hełmu. Sir Gilbert jęczał z bólu, wciąż próbując się uwolnić. Miecz wypadł mu z garści, lecz uzbrojoną pięścią raz po raz tłukł krecza w łeb.

Wiedziałam, że muszę działać szybko, bo czarownice za nami wkrótce się przegrupują i odetną nas od zamku.

– Użyjcie luków! – poleciłam i trzej łucznicy posłuchali natychmiast, wypuszczając trzy strzały w tłumek. Jedna wbiła się w najbliższą czarownicę, powalając ją na plecy w błoto. Po drugiej salwie krecz potrząsnął ciałem rycerza niczym pies szczurem, a potem uwolnił ofiarę i pobiegł prosto ku nam. Spojrzałam mu w oczy i odkryłam, że nadal stanowię główny cel.

Wybrałam nóż i cisnęłam nim prosto w bestię; wbił się aż po rękojeść w prawe oko potwora. Dwie strzały także dosięgły celu. Jedna odbiła się od ramienia, lecz druga wleciała wprost w otwartą paszczę krecza i przebiła gardło. Ale to Thorne ostatecznie rozstrzygnęła sprawę. Niezwykle celnie cisnęła nożem i trafiła stwora w lewe oko. Teraz



był ślepy.

Krecz skręcił nagle i umknął między drzewa, skomląc niczym zbity pies. W parę sekund później dotarliśmy do sir Gilberta. Dwaj żołnierze dźwignęli go z błota i ponieśli. Nie było czasu sprawdzać, w jakim jest stanie, ale nie wyglądał dobrze. Ze zgniecionego hełmu kapiała krew. Ruszyliśmy z powrotem przez rzekę i dołączyliśmy do tych z oddziału, którzy przeżyli walkę. Sierżant wydał rozkaz i zbrojni utworzyli ciasny kordon wokół łuczników i żołnierzy dźwigających rannego rycerza. Lecz my z Thorne walczyliśmy obok, powoli wycofując się w stronę bramy zamku.

Nie dostrzegłam ani śladu maga i to w połączeniu z ucieczką krecza wyraźnie odebrało ducha przeciwnikom. Choć wciąż miały ogromną przewagę liczebną, niewiele atakowało bezpośrednio, a te, które to czyniły, ginęły z ręki mojej bądź Thorne; czterej łucznicy, którzy przeżyli bitwę, również nie próżnowali, zabijając kolejne podążające w oddali wiedzmy.

W końcu dotarliśmy do zamku; obrońcy zatrzasnęli za nami kratę i podnieśli most. Straciliśmy trzecią część naszego oddziału; ci, co przeżyli, odnieśli wiele ran.

Mimo to przede wszystkim musieliśmy zająć się zdrowiem sir Gilberta. Żołnierze zanieśli go do wielkiej sali i ułożyli ostrożnie na stole, gdzie służba zaczęła zdejmować kolczastą zbroję. Will patrzył z rozpaczą na jęczącego z bólu ojca; z pogniecionego hełmu wciąż wypływała krew. Rękę także miał mocno okaleczoną i zdjęcie rękawa kolczugi okazało się zbyt trudnym zadaniem.

Pozostawiając kolczugę w spokoju, spróbowali ściągnąć hełm, on jednak krzyknął boleśnie. Uniosłam rękę uprzedzając, by przestali, i precyzyjnie się przez zebranych, by obejrzeć go z bliska. Potem pokręciłam głową.

– Hełmu nie da się zdjąć – oznajmiłam. – On umiera. Możecie tylko podać mu coś, co ukoi ból.

Zęby krecza wbiły metal głęboko w czaszkę rycerza. Hełm naciskał na mózg, który wkrótce spuchnie i go zabije. Oceniałam, że pozostało mu najwyżej kilka godzin życia.

– Nie! Nie! To niemożliwe! – zawołał jego syn i wybuchnął płaczem.

Thorne podeszła do niego i objęła go pocieszająco ramieniem, on jednak odepchnął gniewnie jej rękę, patrząc na nią oczyma pełnymi nienawiści. Cofnęła się, na jej twarzy odbiło się zdumienie i ból.

Wystąpiłam naprzód, sama położyłam dłoń na ramieniu chłopaka i przemówiłam do niego łagodnie:

– Twój ojciec był dzielnym człowiekiem, Willu, i jego czyny nie zostaną zapomniane.

Musisz być silny. Z czasem ty obejmiesz tu rządy.

Chłopak cofnął się przede mną, znów ujrzałam na jego obliczu gniew.

– Obym nigdy was tu nie sprowadził! – krzyknął. – To przez was zginął mój ojciec!

– Żałuję, że tak się stało – odparłam łagodnie. – Ale nie możemy zmienić przeszłości.

Odwróciłam się i wezwałam Thorne. Razem wyszliśmy z sali, kierując się do naszej komnaty. W korytarzu na zewnątrz spotkałyśmy księdza w towarzystwie dwóch żołnierzy. Bez wątpienia wezwano go, by modlił się za sir Gilberta. Mijając nas, posłał mi spojrzenie przesycone nienawiścią, ja jednak ledwie na niego zerknęłam.

Już w pokoju wyjaśniłam Thorne nową sytuację.

– Grozi nam niebezpieczeństwo – ostrzegłam – i możliwe, że wkrótce znów będziemy musiały walczyć na śmierć i życie z tymi, którzy zaledwie chwilę temu byli naszymi sojusznikami.

Dziewczyna popatrzyła na mnie ze smutkiem.

– Will wyglądał na wściekłego. Sądziłam, że jesteśmy przyjaciółmi – rzekła z goryczą.

– Myślisz, że zwróci się przeciwko nam?

– Jego życzenia nie mają tu znaczenia, Thorne. Jest jeszcze chłopcem, zbyt młodym, by objąć rolę ojca. Nie pamiętasz, co mówił sir Gilbert? Po jego śmierci, do dnia osiągnięcia pełnoletności przez chłopaka, jego opiekunem zostanie ksiądz. To opiekun będzie rządził zamkiem. Czas zatem, abyśmy stąd uciekły, inaczej schronienie zamieni się w więzienie, które zdołamy opuścić dopiero po śmierci. Istnieje jeszcze jeden powód do ucieczki – dodałam. – Krecz został oślepiiony. Sądzę, że znów się uleczy, ale to trochę potrwa. Powinnyśmy zatem ruszać natychmiast i jak najbardziej oddalić się od niego.

– Ale dokąd mamy się skierować? – Thorne wyglądała na bliską rozpacz. – Czy zawsze musimy uciekać? Will był pierwszym chłopcem, którego polubiłam. Ciężko mi rozstać się z nim w gniewie. Może powinnam z nim pomówić, kiedy się nieco uspokoi?

– Zmarnowałabyś tylko czas, Thorne. Niebezpiecznie jest zostać tu nawet chwilę dłużej. Kiedy znajdziemy się poza murami zamku, powinnyśmy się rozdzielić – poradziłam. – Nasi wrogowie są zbyt liczni i nigdy nie zrezygnują. W końcu mnie dościgną i zabiją. Ale po co ty także miałabyś ginąć? Klan będzie potrzebował dobrej zabójczyni, która mnie zastąpi. To właśnie ty, dziecko.

Thorne pokręciła głową.

– Nie, nie zostawię cię. Jeśli zginiesz, ja zaopiekuję się głową. Czy nie na to właśnie liczyłaś?

Przytaknęłam, pojmując, że podjęła już decyzję. Przygotowałam się do zabrania

worka, natychmiast jednak wyczułam niebezpieczeństwo. Ostrzeżenie nadeszło jednak zbyt późno. Drzwi się otwarły, do środka wkroczyło czterech łuczników z uniesionymi łukami. Za nimi stąpiło kolejnych czterech zbrojnych i ksiądz, ojciec Hewitt.

– Odłóżcie broń albo zginiecie! – polecił.

Był roslym, barczystym mężczyzną o rumianej twarzy. Fizycznie bardziej przypominałby farmera niż księdza, gdyby nie czarna sutanna, nowiutka, z lśniącymi srebrnymi guzikami, i buty uszyte z najlepszej skóry.

Nagle ujrzałam błyski w kąciakach oczu, ostrzeżenie, że znów dopadnie mnie słabość. Musiałam szybko wydostać nas z zamku.

– Czy w ten sposób przemawiacie do sojuszniczek, które jeszcze niedawno walczyły u waszego boku? – spytałam ostro.

– Sir Gilbert właśnie zmarł, teraz ja tu rządę. Nie można zawierać sojuszu z czarownicami. Czarownicy żyć nie dozwolisz! – zawołał.

– Jeśli zatem złożymy broń i tak zginiemy później? Co to niby za wybór? Wolę umrzeć tutaj i powiadam wam – nie wszyscy z was przeżyją. Jestem Grimalkin i wybrałam już tych, których zabiję.

– Poddajcie się nam – rzekł ksiądz, nagle łagodniejszym, rozsądniejszym tonem – a Święty Kościół urządzi wam sprawiedliwy proces.

Błyski w moich oczach stawały się coraz jaśniejsze. Jeśli miałyśmy uciec, musiałam działać natychmiast.

– Słyszałam już o podobnych „uczciwych procesach” – prychnęłam. – Co dokładnie zrobicie? Zmiażdżycie nam ciała kamieniami, czy też utopicie w najbliższym głębokim stawie? Oto moja odpowiedź!

To rzekłszy, dobyłam dwóch ostrzy i wycelowałam w księdza. On jednak uśmiechnął się ponuro z pewną siebie miną i wymówił tylko jedno słowo.

– Strzelać!

Czterej łucznicy wycelowali w nas i wypuścili strzały.

## ROZDZIAŁ 17

### TO WIELKI DYSHONOR

*Moja szybkość w walce to nie mroczna magia;*

*to magia tego, kim jestem, magia mojej istoty.  
Jestem Grimalkin!*

Wiedźma zabójczynie musi być szybka. Dysponuję tą szybkością. Ale czy wystarczy w starciu z mistrzami łucznictwa z tak bliska? A co z Thorne, której brak jeszcze paru lat do osiągnięcia pełni sił?

Wszystkie te myśli przebiegają mi przez głowę, podczas gdy ciało reaguje instynktownie.

Jak doskonale zaprojektowany mechanizm.

Wyszkoliłam je tak, że samo stało się bronią: każde ścięgno, mięsień i kość współpracuje z innymi; w podobnych sytuacjach nie potrzebuje mózgu, by mu rozkazywał.

Myśl jest zbyt wolna. Nurkuję naprzód, turlając się po ziemi. Zatrzymuję serce. Unoszę klingę w lewej dłoni i odbijam nią strzałę. Czas zdaje się płynąć bardzo powoli. Myślę o Tomie Wardzie, który ma moc spowalniania czasu i wybucham śmiechem! Wiedźma zabójczynie też to potrafi – lecz w inny sposób. Zabójczynie porusza się tak szybko, że to ruchy innych wydają się spowolnione.

Lecz to nie magia Mroku. To magia mojej istoty, magia tego, kim jestem, magia tego, jak wytrwale się szkoliłam. Jestem Grimalkin!

Istnieję w chwili obecnej i zadaję śmierć.

Odbijam kolejną strzałę i zerkam w prawo. Thorne idealnie mnie naśladuje. Nurkujemy, rozdzielamy się, łączymy i znów dzielimy, niczym woda płynąca wśród ostrych skał. Dobrze ją wyszkoliłam, nie mogłam marzyć o lepszej uczennicy. Kiedy umrę, zastąpi mnie. Nikt z Malkinów nie zdoła pokonać jej w walce.

Teraz jestem wśród wrogów i moje noże odnajdują ich ciała. Łucznik krzyczy i umiera. Muszę zapomnieć, że tak niedawno walczyłam u ich boku. Zwarliłmy się i nie mogą użyć łuków. Sytuacja się zmieniła. Przeżyjemy my albo oni. Oni także to wiedzą. Na tym polega walka. Musimy zabijać albo ginąć. Toteż zabijam. Zabijam raz po raz, krzyki umierających wydają się bardzo odległe.

Pozwalam sercu uderzyć raz jeden, krew przepływa moimi żyłami.

Obracam się, idę, wiruję i znów tnę. Wokół bryzga krew nieprzyjaciół; jeszcze parę sekund i dotrę do księdza. Przekroczywszy jego trupa, ruszymy ku bramie. To wykonalne. Możemy zwyciężyć. Możemy uciec.

Wtedy jednak, zbyt szybko, oddech więźnie mi w gardle, a w piersi rozkwita ból. Słabość powala mnie na kolana. To trucizna krecza. Walczę z nią, ale świat wokół

ciemnieje.

Czy to śmierć?

Ostatkiem sił myślę o Thorne. Jest taka młoda, a teraz także umrze. Przez moment czuję żal, że naraziłam ją na to niebezpieczeństwo. A potem zapada ciemność i zapominam o wszystkim.

\*

A jednak nie umarłam. Ocknęłam się, czując w ustach smak krwi, mocno skrępowana w mrocznym miejscu. Moje dłonie i stopy uwięziono w żelaznych kajdanach; metal sprawiał mi ból, czułam, jak pali skórę. Leżałam na wznak, rozciągnięta pod wilgotną ścianą. Przekręciłam się w lewo, lecz w połowie obrotu coś mnie zatrzymało. Kolejny łańcuch ciągnął się od moich stóp do żelaznego pierścienia w kamiennej posadzce.

Zdołałam usiąść i oprzeć się plecami o mur. Było bardzo ciemno, lecz moje oczy czarownicy przenikały nawet najgęstszy mrok. Wokół cuchnęło śmiercią. W ciągu lat zginął tu co najmniej tuzin ludzi. Sir Gilbert wyglądał na dobrotliwego, wyraźnie jednak zdarzało mu się kogoś uwięzić i niektórzy stracili życie w tym podziemnym lochu. Ciekawe, jakie popełnili zbrodnie?

Nie miało to jednak znaczenia. Moją zbrodnię stanowił fakt, że byłam czarownicą. Ze strony księdza mogłam spodziewać się jedynie bólu i śmierci. Widząca kiedyś przewidziała moją śmierć, miałam zginąć w walce, z nożem w dłoni, nie bezradna, zakuta w łańcuchy. Ale widzące czasami się mylą – ich proroctwa nie zawsze się sprawdzają.

Pocieszałam się myślą, że przynajmniej nie znajdą głowy Złego. Za dobrze ją ukryłam. Tylko bardzo potężni wyznawcy mrocznej magii mogli odkryć jej położenie, a najpierw musieliby dostać się do zamku. Tak jak mówił rycerz, jego mury mogły znieść wiele tygodni oblężenia. Każdy dzień rozłąki głowy Złego z ciałem dawał Tomowi Wardowi więcej czasu na znalezienie sposobu, by zniszczyć go na zawsze.

Atak słabości najwyraźniej minął, teraz jednak nie miało to już znaczenia. Zakuta w żelazne łańcuchy, nie mogłam raczej liczyć na ucieczkę. Nadal nosiłam rzemienie, lecz pochwy były puste; odebrano mi broń. Wciąż jednak pozostała mi jedna – a także resztką magii. Zachowałam je na czarną godzinę. Musiałam starannie wybrać moment ich użycia. Potem bowiem stanę się bezradna.

I wtedy usłyszałam pierwszy krzyk. Był słaby, piskliwy i zawisł w powietrzu: krzyk kobiety – kogoś cierpiącego nieznośny ból.

Znów się powtórzył i na jego dźwięk włosy na karku zjeżyły mi się ze zgrozy. Kogoś poddawano torturom. Czy to była Thorne?

W sekundę później serce zaciężło mi w piersi, bo moje przypuszczenia się potwierdziły.

– Proszę! Proszę! – błagała. – Nie rób tego! Wszystka tylko nie to!

Thorne była odważna i nieulekła. Jakie tortury sprawiły, że zaczęła błagać tak przenikliwym, drżącym głosem?

Nie mogłam stać z boku i słuchać, jak cierpi. Najpierw jednak musiałam sprawdzić dokładnie, jak wygląda sytuacja, a dysponowałam środkami, by to uczynić bez zbytecznego nadwerężania resztek zapasów mocy. Mogłam użyć magii szamanów i ponownie oddzielić duszę od ciała.

Zanuciłam niezbędne słowa, idealnie odtwarzając ich kadencję, i skupiłam wolę. Przez sekundę wszystko dokoła pociemniało, a potem unosiłam się w powietrzu nad uwięzionym ciałem, w świetle mieniącym się odcieniami zieleni. Spojrzałam na samą siebie, na zamknięte oczy i ciało, oddychające powoli, miarowo, a potem popłynęłam ku drzwiom lochu; mój duch bez trudu przez nie przeniknął.

Znalazłam się w korytarzu, z łatwością odnalazłam pomieszczenie, w którym torturowano Thorne. Była to następna cela po lewej. Drzwi stały otworem, wartownik jaśniejący zielenią sił życiowych stał na zewnątrz, zwrócony plecami do ściany. Gdy tylko znalazłam się w środku, jednym spojrzeniem ogarnęłam sytuację.

Thorne leżała na wznak, przywiązana grubymi sznurami do metalowego stołu. Na nagich ramionach i rękach ujrzałam krew. Rosły mężczyzna, nagi do pasa, pochylał się nad nią – pierś miał włochatą, skóra lśniła od potu. W prawej dłoni trzymał szpikulcec – wbijał wąskie ostrze raz po raz w ciało Thorne. Próbowali odnaleźć miejsce, w którym miał dotknąć jej Zły; miejsce nie czujące bólu, dowodzące, że jest czarownicą.

Wszystko to było zupełnie zbędne – niewątpliwie byliśmy czarownicami, nie zaprzeczałyśmy. Lecz ksiądz trzymał się blisko z uśmiechem na wąskich wargach. Wyraźnie świetnie się bawił.

I nagle zrozumiałam, co sprawiło, że Thorne zaczęła krzyczeć i błagać. Nie miało to nic wspólnego ze szpikulcem ani znoszonym przez nią ogromnym bólem. Jej przerażenie wzbudziło coś, co trzymał ksiądz.

To była para nożyczek należących do mnie; tych samych, którymi odcinałam kciuki martwych wrogów. Reszta mojej broni leżała w równym rzędzie na drewnianym stoliku w najdalszym kącie pomieszczenia. Ksiądz jednak musiał wiedzieć coś o zwyczajach czarownic, bo wybrał właśnie nożyczki.

Kości kciuków, wygotowane w kotle, po odprawieniu właściwych rytuałów obdarzają

swojego właściciela mroczną magią. Utrata kciuków to jedna z najgorszych rzeczy, jakie mogą spotkać czarownicę. To wielki dyshonor: jej wszelkie dotychczasowe osiągnięcia natychmiast tracą znaczenie. Dla wiedźmy zabójczynie to straszliwy los. Z osoby stojącej ponad innymi, natychmiast staje się pośmiewiskiem.

Choć czarownica może przeżyć odcięcie kciuków, większość ginie od wstrząsu. Lecz nawet jeśli straci je po śmierci, ma to swoje skutki. Powszechnie wierzy się, iż tak okaleczona martwa wiedźma nie może się odrodzić i powrócić, by znów stąpać po ziemi. Na zawsze musi pozostać w Mroku.

Nic dziwnego, że Thorne krzyknęła z przerażenia na podobną groźbę. Dla niej hańba i utrata szacunku były czymś najgorszym. Nie tylko miała nadzieję zostać największą zabójczynią Malkinów; pragnęła, by jej sława przetrwała po śmierci. Dwa cięcia nożyczek księdza mogły jej to odebrać.

Szybko zorientowałam się w sytuacji, dostrzegając kolejnych dwóch wartowników stojących pod ścianą. Musiałam zatem rozprawić się z czterema mężczyznami w celi i jednym na korytarzu.

Wycofałam się szybko, odsyłając duszę do ciała, jak najprędzej umiałam. Otworzyłam oczy i sięgnęłam do ostatnich zasobów magii, przekręcając szyję i wysuwając język jak najdalej. Owinęłam go wokół naszyjnika i wciągnęłam do ust ostatnie pełne mocy kości. Zaczęłam je ssać, powoli wchłaniając w ciało resztki magii. Potem wypuściłam je i skupiłam się na samotnym wartowniku przed drzwiami celi.

Resztki mojej magii nie wystarczyłyby, by zmusić go do wejścia i uwolnienia mnie z łańcuchów. Mogłam go jednak sprowadzić w inny sposób – budząc w nim wątpliwości. Miał obowiązek strzec korytarza i bronić wstępu do sali tortur, jednocześnie jednak pilnując, bym pozostała bezpiecznie uwięziona. Użyłam prostego zaklęcia, które wzbudziło w nim niepokój co do mej osoby.

W sekundę później wsunął klucz w zamek, przekręcił, otworzył drzwi i wszedł do celi. Postąpił dwa kroki, wpatrując się we mnie uważnie. Wstrzymałam oddech. To, czego zamierzałam spróbować, było bardzo trudne i wiedziałam, że będę mieć tylko jedną szansę.

Mój lewy dolny ząb mądrości jest pusty w środku. Sama wywierciłam w nim głęboką, wąską dziurę narzędziem wykutym specjalnie do tego celu. W zębie tym kryje się maleńka igła, pokryta trucizną, która osłabia ludzką wolę, sprawiając, że dany człowiek poddaje się rozkazom innych. Przez wiele lat wyrabiałam w sobie odporność na tę truciznę, zażywając ją w niewielkich dawkach i stopniowo je powiększając; dzięki temu

mogę przechowywać w ustach zatrutą igłę bez żadnych skutków ubocznych.

Końcem języka odsunęłam sztuczną górę zęba i wyssałam z dziury igłę. W sekundę później trzymałam ją między wargami. Wiele razy ćwiczyłam ten manewr, lecz igła była maleńka, a wartownik wciąż stał daleko i nie mogłam być pewna powodzenia.

W ostatniej chwili zaczął się odwracać. Jakiś instynkt samozachowawczy musiał ostrzec go przed niebezpieczeństwem. Spóźnił się jednak. Z wielką siłą wyplułam ku niemu igłę, która wbiła się w bok szyi, tuż pod prawym uchem. Mężczyzna zachwiał się i o mało nie upadł, na jego twarzy odbiło się oszołomienie.

– Spójrz na mnie! – poleciłam. – Słuchaj wszystkiego, co mówię, i bez pytania bądź posłuszny każdemu słowu!

Strażnik popatrzył na mnie. Trucizna zaczynała już działać. Oddychał ciężko przez otwarte usta, z dolnej wargi kapała ślina, ściekając po brodzie.

– Uwolnij mnie z łańcuchów! – poleciłam i zrobił to, co kazałam, trucizna jednak sprawiała, że poruszał się powoli i niezgrabnie grzebał kluczem w zamku. W każdej chwili ksiądz mógł odciąć Thorne kciuki, musiałam jednak zachować spokój i cierpliwie czekać na wyswobodzenie.

W końcu byłam wolna. Odebrałam strażnikowi broń – dwa sztylety i ciężką pałkę. Teraz mogłam go zabić, ale nie było takiej potrzeby. Zamiast tego kazałam mu się położyć i zasnąć głęboko. Nim wyszłam z celi, już chrapał.

Licząc, że nie usłyszę krzyku Thorne, na palcach przemknęłam przez korytarz. Gdy tylko stanęłam w drzwiach celi, zaatakowałam. Ksiądz ścisnął lewą dłoń Thorne, rozchylając nożyce i szykując się do odcięcia pierwszego kciuka.

Szybciej niż myśl cisnęłam nożem trzymanym w lewej dłoni. Moja własna broń, zwłaszcza ta przeznaczona do rzucania, idealnie nadaje się do tego – jest doskonale wyważona. Nieustannie też ćwiczę. To była obca broń, przeznaczona do walki wręcz, nie do rzutów, toteż nie ryzykowałam.

Zwykle celuję w gardło bądź oko – jedno i drugie zabiłoby księdza na miejscu. Tym razem wbiłam mu klingę głęboko w ramię – to łatwy cel, a ból sprawił, że upuścił nożyczki. Poza tym jednak miałam co do niego inne plany – w razie konieczności zawsze mogłam zabić go później.

Drugim sztyletem i pałką zaatakowałam strażników. Nie myślałam; moje ciało działało samo, kierując się długimi latami szkolenia, a tymczasem mózg wibrował ekstazą walki. Poruszałam się tak szybko, że pierwszy zginął, nim zdążył krzyknąć; drugi prawdopodobnie przeżył, lecz cios w skroń ogłuszył go z miejsca. Wszystko trwało



zaledwie dwie sekundy. Za nimi stal barczysty kat, wciaż ściskajacy w dloni szpikulec, ktorzym torturowal Thorne. Teraz dzgnal nim ku mnie, ja jednak odtracilam ostrze palka i zabilam go, wbijajac sztylet pod zebra, prosto w serce.

Ksiadz klęczal na podlodze, jęcząc z bólu. Odrzucilam palke i kiedy wyrwalam mu z rany noz, wrzasnal; posluzylam sie nim, by przeciac krępujace Thorne sznury. Krzyk księdza mnie nie zaniepokoil – byl wysoki, piskliwy i przypominal wrzaski torturowanej dziewczyny. Wiedzialam, ze nie zwróci niczyjej uwagi.

Musialysmy wydostac sie z zamku i zamierzalam uzyć księdza jako zakladnika. Glowna przeszkode w ucieczce stanowili pozostajacy przy zyciu łucznicy. Mogli nas zabic z daleka.

– Jesteś bezpieczna – powiedzialam Thorne, pomagajac jej wstac ze stołu. – Wiem, ze cie zranili i ze to, co przeżylas, mogloby zlamac umysl nawet bardzo silnej wiedzmy. Musisz jednak zebrać sie do kupy i przygotowac do walki. Jesteś gotowa, czy moze potrzebujesz paru chwil, by sie opanowac?

– Jestem juz gotowa – odparla Thorne, posylajac mi odwazny usmiech, jej głos zabrzmial ochryple i slabo.

W tym momencie bylam z niej dumna; stala sie kims wiecej, niz moglam kiedykolwiek przypuszczac.

– W takim razie najpierw musimy zabrac glowe Zlego.

Poutykawszy w pochwach noze i nozyczki, oddarlam rabeł sutanny księdza i zakneblowalam go. Gdy pociagnelam kleche za soba, nie probowal stawiac oporu; sprawial wrazenie przerazonego. Bez przygod dotarlysmy do naszej komnaty i wkrótce skorzany worek tkwil bezpiecznie na moim ramieniu.

Popychajac przed soba księdza, wyszlysmy na dziedziniec. Na dworze bylo ciemno, niebo zasnuły ciezkie chmury, do switu pozostaly co najmniej trzy godziny. To utrudniloby strzal łucznikom.

Przed kratą, zwrócony do niej plecami, pelnil wartę żołnierz. Gdy sie zblizylsmy, uniosl migoczącą pochodnię. Najpierw oswietlila postac księdza i ujrzalam, jak wyraz twarzy mężczyzny zmienia sie, gdy szacunek i posluszeństwo zastapily niedowierzanie i strach na widok przerazonej miny zakladnika i zakrwawionego rękawa sutanny.

Przycisnelam mu ostrze do gardla.

– Opuszczamy zamek. Przygotuj nam droge albo on zginie!

Żołnierz drzącymi rękami zaczal podnosic kratę, kręcąc kołowrotem. Brzeki lancucha rozbrzmiewaly donośnie w ciemności. Wiedzialam, ze zwróca czyjas uwage. Inni zaczna

się zastanawiać, czemu ktoś opuszcza zamek lub przybywa do niego o tej porze.

– Kto idzie? – zawołał głos z murów. – Pokażcie się!

Podeszłyśmy bliżej muru i ukryłyśmy się w cieniu. Krata unosiła się bardzo powoli. W końcu zawisała dość wysoko, abyśmy zdołały pod nią przejść.

– Wystarczy. Teraz otwieraj bramę. Zrób to szybko! – rzuciłam, chwytając księdza za włosy i przyciskając mu nóż do gardła.

Przerazony żołnierz posłuchał pospiesznie i szybko otworzył wrota, ciągnąc je do siebie, tak że stanęły otworem, ukazując zewnętrzną kratę i most zwodzony. Nie czekając, zabrał się za drugi kołowrót; tym razem krata uniosła się szybciej.

Moich uszu jednak dobiegły wykrzyczane rozkazy i kroki biegnące ku nam po ciemnym dziedzińcu. Nie weszłyśmy w bramę w obawie, że łucznicy mogą wycelować do nas z boków, tak jak to uczynili, kiedy tu przybyłyśmy. Przygotowałyśmy się na atak, moje bystre oczy wypatrzyły napastników. To nie byli łucznicy, jedynie trzech żołnierze zbrojni w piki.

– Są twoi, Thorne! – syknęłam.

Wiedziałam, że po torturach dobrze będzie, jeśli jak najszybciej znów zacnie działać.

– Cała trójka?

– Tak, ale załatw ich szybko.

Thorne skoczyła im na spotkanie, tak jak ją nauczyłam. Była szybka i walczyła niemal doskonale. Częściowo nabyła tych umiejętności podczas długich godzin ćwiczeń, istniały jednak rzeczy, których nie da się nauczyć; Thorne urodziła się z tym talentem i z gracją uniknęła pospiesznych pchnięć pik żołnierzy. Jej noże błysnęły, w parę sekund niosąc śmierć całej trójce.

Widziałam, że w niecałe dwa lata Thorne mi dorówna.

A co potem?

W końcu zdoła mnie pokonać, tak jak ja pokonałam Kernolde. Myśl ta nie budziła we mnie lęku, lecz radość. Nie chciałam żyć, kiedy zaczną zawodzić mnie moce. Dobrze wiedzieć, że mam godną następczynię.

Żołnierz opuszczał już most zwodzony, lecz w ciemności pędziły ku nam kolejne kroki. Tym razem nie kazałam Thorne atakować. Jeden z nadchodzących był niższy niż pozostali. To był Will, syn nieżyjącego rycerza.

Grupa zatrzymała się dwadzieścia kroków od nas – pięciu mężczyzn, u boków chłopca stąpało dwóch pozostałych przy życiu łuczników.

– Uwolnijcie ojca Hewitta! – krzyknął chłopak. – To grzech ranić księdza!

– Każ swoim ludziom odłożyć broń, a daruję mu życie – odparłam cicho. – Jeśli odmówisz, zabiję tego żalosego księżynę i jego śmierć obciąży twoje sumienie.

– To przez ciebie zginął mój ojciec! – wrzasnął histerycznie Will. – Teraz ty także zginiesz!

Położył dłonie na ramionach łuczników.

– Celujcie nisko! – zawołał. – Spróbują uchylić się przed strzałami!

Łucznicy unieśli łuki i wystrzelili.

## ROZDZIAŁ 18

### JESTEŚ TYLKO DZIEWCZYNA

*Postanowiłam urodzić Złemu dziecko, by uwolnić się od niego na zawsze; a kiedy podjęłam już tę decyzję, nic nie mogło mnie powstrzymać.*

*Teraz mam zamiar go zniszczyć i nic mnie nie powstrzyma.*

Pchnęłam księdza przed siebie, jak tarczę, powalając go na kolana. Zgodnie z rozkazem żołnierze wystrzelili nisko i strzała wbiła mu się w pierś. Jęknął z bólu i runął na ziemię, martwy jak kamień.

Zerknęłam w lewo i przekonałam się, że Thorne odbiła drugi pocisk nożem.

Nim łucznicy zdolali sięgnąć do kołczanów, nasze noże wbiły się w ich lewe oczodoły i łuki wysunęły się z martwych palców, gdy padli na ziemię u stóp chłopca.

Cofnął się o krok, jego twarz wykrzywiła groza. Co jednak byśmy zyskały na jego śmierci? Był tylko dzieckiem i jego świat właśnie stanął na głowie. Na obliczu Thorne odbiła się cała gama uczuć. Gniew i oburzenie na Willa, który próbował nas zabić, ale też smutek i żal. Wiedziałam, że czuje się zdradzona.

– Ksiądz nie żyje, Willu – oznajmiłam z ponurym uśmiechem. – Twój opiekun porzucił swoje obowiązki. Teraz ty tu rządzisz. Czyń to mądrze i godnie!

Will spojrzął na Thorne; próbował coś powiedzieć, lecz most prawie już opadł i nie mogliśmy czekać. Pobiegłam po śliskim drewnie, Thorne pędziła tuż za mną. Przeskoczyłam pozostałą szczelinę, lądując na miękkiej ziemi na brzegu fosy. Z murów ze świstem pomknęły ku nam strzały, my jednak biegłyśmy szybko, klucząc, a ci ludzie

kiepsko radzili sobie z łukami. Po paru sekundach rozpląnęliśmy się w ciemności.

Prawdziwe niebezpieczeństwo kryło się teraz przed nami. Czy krecz zdołał już odzyskać siły? Czy mag i czarownice zorientują się, że opuściliśmy zamek?

Nie znałam odpowiedzi na pierwsze pytanie, najpewniej jednak szpiedzy obserwowali twierdzą. Z pewnością usłyszeli strzały i widzieli opuszczany most. Już teraz alarmują inne wiedźmy.

Puściliśmy się zatem biegiem, zmierzając na wschód, w stronę słońca. Dokąd mamy uciec, zastanawiałam się gorączkowo, jaka jeszcze kryjówka pozostała?

Moje myśli szarpały się na wszystkie strony, szukając czegoś, co nie istnieje. Owszem, pozostało jeszcze jedno miejsce, które mogłyśmy wykorzystać, choć możliwe, że napotkamy tam więcej wrogów niż przyjaciół. Skręciłam zatem i przyspieszyłam kroku.

– Dokładnie przed nami leży Wiedźmi Jar! – zawołała Thorne, biegnąc obok mnie.

– Tak, tam właśnie zmierzamy, dziecko. Może okazać się dobrym miejscem do walki.

\*

Wkrótce na horyzoncie wyrosło Wzgórze Pendle. Kształtem przypominało olbrzymiego wieloryba – gigantycznego morskiego ssaka, którego dostrzegłam kiedyś podczas jednej ze swych podróży przez wielkie północne morze, leżące za granicami Hrabstwa.

Jakiś czas odpoczęliśmy w lesie, przekonane, że zdołałyśmy dostatecznie oddalić się od prześladowców. Nie zamierzałyśmy zbliżyć się do jaru przed nocą. Odwróciłam się do Thorne.

– Jak się czujesz, dziecko? – spytałam.

Zastanawiałam się, czy to, co przeżyła w lochu, nie wpłynęło na jej zdolność walki.

– Czuję? – warknęła. – O co ci chodzi? – O chłopaka?

– Tak, o chłopaka, a także o tortury fizyczne, jakie ci zadali.

– Chłopak jest dla mnie nikim. Czy wszyscy mężczyźni to podobni głupcy?

– Nie wszyscy, ale znajdzie się wśród nich aż nadto durniów dla kobiet, które ich pragną. Nie myśl jednak zbyt źle o Willu. Stracił ojca – przez to, że zawarł z nami umowę, zapoczątkował łańcuch wydarzeń, który doprowadził do jego śmierci. Zapomnij o nim. To już przeszłość, a zresztą nigdy nie mogłby stać się częścią twojego życia. Jesteś czarownicą, niedługo zostaniesz pełnoprawną zabójczynią. On ma zostać rycerzem. Pochodzicie z dwóch różnych światów.

– Tak, spróbuję o nim zapomnieć. Wyrzucę go z pamięci.

Thorne umilkła, więc po jakimś czasie znów się odezwałam:

– A tortury?

– Z początku ból, jaki zadawał mi szpikulec, był straszny – odparła Thorne. – Lecząc po jakimś czasie straciłam wrażliwość i radziłam sobie z nim lepiej. Ksiądz się zorientował i zagroził, że odetnie mi kciuki. Napawał się moim strachem, naprawdę zamierzał mi je odciąć. Widziałam to w jego oczach. Nie mogłam znieść tej myśli. Nigdy w życiu nie czułam podobnej grozy i rozpacz. Odebrałby mi wszystko, czym byłam i mogłam zostać. Stałabym się niczym – zhańbionym obiektem wyzwisk i kpin.

– No cóż, na szczęście do tego nie doszło, dziecko. Byłaś dzielna, doskonale znosiłaś ból. Ksiądz nie żyje, a ty wciąż możesz walczyć. Zniszczymy naszych wrogów i zwyciężymy.

– Czy w jarze będziemy bezpieczne? Czy znajdziemy tam sojuszniczki?

– Żadne miejsce na świecie nie jest dla nas bezpieczne, dziecko. Wszystko zależy od tego, kogo spotkamy najpierw. Niektóre z martwych wiedźm mogą darzyć nas sympatią; większość po prostu zapagnie naszej krwi. Ale będą bronić swojego terytorium. Jeśli zdołamy dostać się w serce jaru, obronią go przed zagrożeniem ze strony tych, którzy nas ścigają.

– To w Wiedźmim Jarze walczyłaś z Kernolde i zostałaś zabójczynią, prawda? – spytała Thorne.

– W rzeczy samej, dziecko. Minęło wiele lat, lecz wciąż mam wrażenie, jakby to było wczoraj.

– Opowiedz mi o tym – poprosiła.

– Dobrze znasz tę historię. Kilka razy wysłuchałaś jej z mych własnych ust.

Wiatr wzdychał wśród drzew. Wyteżyłam słuch, szukając niebezpieczeństwa. Niczego nie znalazłam. Nasi wrogowie wciąż przebywali daleko.

– W takim razie opowiedz mi ją jeszcze raz, proszę. Niektóre historie zmieniają się za każdym razem. Dobry gawędziarz przypomina sobie nowe rzeczy i zapomina o tym, co najmniej istotne.

Westchnęłam, ale rozpoczęłam opowieść. Bo czemuż by nie? Przynajmniej na jakiś czas dzięki niej mogłyśmy zapomnieć o niebezpieczeństwie, które czyhało tak przed, jak i za nami.

– Pojedynek zawsze odbywał się na północ od trzech wiosek: Malkinów, Deane'ów i Mouldheelów; dokładne miejsce walki wybierała zabójczyni. Kernolde wybrała Wiedźmi Jar, zazwyczaj wykorzystywała do pomocy zmarłe czarownice; jej jako jedynej udało się to osiągnąć. Wyssały krew wielu kandydatkom, nim Kernolde obcięła im kciuki na dowód

zwycięstwa.

– Czy to nie było oszustwo? Mogła wykorzystywać w ten sposób martwe czarownice? – spytała Thorne.

– Niektórzy może tak sądzili, lecz Kernolde od wielu lat była zabójczynią Malkinów. Budziła strach w klanie. Kto ośmieliłby się kwestionować jej metody?

– Słyszałam, że niektóre z martwych wiedźm są naprawdę silne, mogą zapuszczać się na odległość wielu mil w poszukiwaniu ofiary. Ile takich mieszka w tej chwili w jarze?

– Do jesieni było ich pięć, lecz jak wiesz, nawet martwe wiedźmy nie trwają wiecznie na tym świecie. Stopniowo słabną, części ich ciał zaczynają gnić i odpadać. Dowiedziałam się od Agnes, że zima zebrała swoje żniwo; teraz pozostały już tylko trzy naprawdę silne.

– Z kim się sprzymierzą – z tobą, czy z naszym wrogiem?

– To nie jest pewne, dziecko. Ale jeśli co najmniej dwie staną u naszego boku, szala zwycięstwa przechyli się na naszą stronę.

Thorne przytaknęła, głęboko zamyślona. – Opowiedz mi więcej o Kernolde.

– Kernolde często zwyciężała bez pomocy martwych sojuszniczek. Świetnie posługiwała się nożami, linami, pułapkami i dołami pełnymi zaostrzonych palików. Gdy pokonała bądź zraniła przeciwniczkę, nieodmiennie ją dusiła. Lubiła powoli zadawać śmierć pokonanym.

Wiedziałam o tym wszystkim, nim rozpoczęła się moja walka; rozmyślałam o niej bardzo długo i w ciągu ostatnich miesięcy wiele razy odwiedzałam jar. Zazwyczaj czyniłam to za dnia, kiedy martwe czarownice spały, a Kernolde polowała na swe ofiary. Obwąchałam każdy cal tego lasu; znałam każde drzewo, każde źdźbło trawy; położenie każdej jamy i pułapki. A było ich mnóstwo. Niektóre pretendenci, stojące do walki z Kernolde, ginęły, nim jeszcze do niej dotarły.

Byłam zatem gotowa: stałam niedaleko jaru w cieniu drzew, tuż przed północą, kiedy miał się rozpocząć pojedynek. Wysoko po mojej lewej wznosił się potężny masyw Wzgórza Pendle, jego wschodnie zbocza zalewał blask księżyca w pełni, wiszącego wysoko na południowym niebie. Po chwili na szczycie zapłonęło ognisko, iskry wystrzeliły w powietrze, dając znać, że nadeszła pora pojedynku.

Natychmiast zrobiłam coś, czego nie uczyniła przede mną żadna kandydatka. Większość zakradała się do dolinki z lękiem, niespokojna, w obawie przed tym, co ją czeka. Niektóre okazywały większą odwagę, lecz nadal postępowały ostrożnie. Ja jednak byłam inna. Ja wyraźnie zaanonsowałam swoją obecność donośnym głosem.

– Pozwól, że ja to powiem, Grimalkin. Proszę! – przerwała mi Thorne.

Skinęłam głową, a ona wstała, przybrała bardzo poważną minę i wykrzyknęła słowa wypowiedziane przeze mnie wiele lat wcześniej:

– „Jestem tutaj, Kernolde! Na imię mam Grimalkin i przynoszę ci śmierć!” – zawołała ile sił w płucach. – „Przybywam po ciebie, Kernolde! Przybywam po ciebie! I nikt, żywy ani umarły, nie zdoła mnie powstrzymać!”

Usiadła i przez chwilę obie śmiałyśmy się głośno.

– Mówiłaś poważnie? – spytała w końcu. – Naprawdę wierzyłaś we własne słowa?

– Do pewnego stopnia wierzyłam. Nie były to do końca czcze przechwałki, choć oczywiście częściowo się popisywałam. Moje zachowanie stanowiło efekt długich rozważań i kalkulacji. Wiedziałam, że krzyki ściągną ku mnie martwe czarownice i tego właśnie pragnęłam. Teraz wiedziałam, gdzie ich szukać. Zawsze należy zbadać miejsce walki i zlokalizować wszelkie zagrożenia. Większość martwych czarownic porusza się powoli i byłam pewna, że zdołam je wyprzedzić. To najpotężniejszych musiałam się obawiać. Jedną z nich nazywano Grobową Gertrude, ze względu na przerażający i ohydny wygląd; jak na kogoś nieżyjącego od ponad stulecia, była zarówno silna, jak i szybka. Wędrowała daleko poza jar w poszukiwaniu krwi. Lecz tej nocy czekała w jego granicach, była bowiem najbliższą współpracowniczką Kernolde, hojnie nagradzaną krwią za pomoc w każdym kolejnym zwycięstwie. Odczekałam około kwadransa, dość długo, by nawet najpowolniejsze czarownice zdążyły się zbliżyć. Wywęszyłam już starą Gertrude. Od pewnego czasu znajdowała się blisko granicy jaru, wołała jednak nie zapuszczać się na otwartą przestrzeń – cofnęła się między drzewa, by wolniejsze siostry zaatakowały mnie pierwsze. Słyszałam szelest liści i kilka cichych trzasków gałązek pod szurającymi stopami. Były powolne, ale nigdy nie wolno lekceważyć martwej wiedźmy. Dysponują wielką siłą i gdy raz cię chwycą, niełatwo się od nich uwolnić. Wkrótce zaczynają wysysać krew, póki nie osłabniesz i nie możesz już dłużej walczyć. Wiedziałam, że niektóre będą leżały na ziemi, ukryte wśród suchych liści i błota, gotowe wyciągnąć rękę i złapać mnie w biegu za kostkę. Wpadłam między drzewa. Wywęszyłam już Kernolde – czekała dokładnie tam, gdzie się spodziewałam, pod gałęziami najstarszego dębu w dolinie. To było jej drzewo; w nim przechowywała swoją magię – ośrodek jej mocy.

Z radością opowiadałam tę historię Thorne i raz jeszcze przeżywałam walkę, dzięki której zostałam wiedźmą zabójczynią. Od tej pory zwyciężyłam w wielu bojach. Lecz owa pierwsza wygrana sprawiła mi największą radość, bo wówczas tak naprawdę zaczęła się historia Grimalkin.

– Z liści wyłoniła się sięgająca ku mnie ręka. Nie zwalniając kroku, wyrwałam sztylet

z pochwy na lewym udzie i przyszpiliłam martwą wiedźmę do grubego, poskręcane go korzenia drzewa. Zapamiętaj moją radę, Thorne. Nigdy nie przybijaj czarownicy za jej dłoń – wówczas będzie mogła ją oderwać. Zawsze wbijaj klingę w przegub, pamiętaj. Tak właśnie uczyniłam.

Następna zjawiała się z prawej, szurając, promień księżyca oświetlił jej twarz. Po brodzie ściekały strużki śliny, kapiąc na poszarpaną suknię, pokrytą ciemnymi plamami. Wiedźma zaczęła bełkotać przekleństwa, złąkniona mojej krwi. Zamiast niej jednak doczekała się noża, który wyszarpnęłam z pochwy na prawym ramieniu i cisnęłam ku niej. Ostrze trafiło ją prosto w gardło, odrzucając do tyłu. Przyspieszyłam kroku.

Czterokroć jeszcze moje klingi wbijały się w martwe ciała. Do tej pory musiałam już zostawić za sobą pozostałe czarownice; te wolniejsze i okaleczone przeze mnie. Lecz Kernolde i jej potężna stara sojuszniczka wciąż czekały. Owego dnia nosiłam zaledwie osiem pochew, każdą z ostrym nożem. Teraz pozostały mi tylko dwa.

Przeskoczyłam przez wilczy dół, potem drugi. Choć przysypano je liśćmi i błotem, wiedziałam, że tam są. W końcu drogę zagrodziła mi Grobowa Gertrude. Zatrzymałam się, czekając na jej atak. Niechaj przyjdzie do mnie! Splątane włosy opadały jej aż do kolan. Istotnie wyglądała jak grobowa mara – doskonale ją nazwano! Z lewego nozdrza wysunął się robak i upadł na ziemię. W oślizgłym gąszczu przesłaniającym jej całą twarz, prócz jednego złowieszczonego oka, roiły się żuki i larwy. Dostrzegłam pojedynczy długi ząb, sterzcący ponad górną wargą i niemal sięgający lewego nozdrza.

Pobiegła ku mnie, roztrzaskując liście i wyciągając ręce, by rozszarpać mi twarz bądź ścisnąć za gardło. Jak na nieboszczkę była szybka, bardzo szybka. Ale nie dość szybka. Z pochwy na biodrze lewą ręką dobyłam największej klingi. Jak wiesz, to ostrze nie zostało wykute do rzucania; bardziej przypomina krótki, ostry jak brzytwa miecz. Skoczyłam naprzód na spotkanie Grobowej Gertrude i jednym cięciem odrąbałam jej głowę.

Czerep odbił się od korzenia i odturlał na bok. Pobiegłam dalej, raz jeden oglądając się przez ramię: czarownica macała wśród stert gnijących liści, między którymi wylądowała jej głowa.

– Czy wciąż można ją spotkać w jarze? – spytała Thorne.

– Od czasu do czasu ktoś ją widuje – odparłam. – Słabnie już, a rozum opuszcza ją szybciej niż siły. Bez wątplenia przyspieszyłam ten proces. Ale wracając do mojej historii: po załatwieniu Gertrude byłam gotowa na spotkanie z Kernolde. Czekwała na mnie pod swoim drzewem; z jego gałęzi zwieszały się sznury, gotowe, by przyjąć moje związane ciało. Ocierała się plecami o korę, czerpiąc siłę niezbędną do walki. Ja jednak się nie



bałam – bardziej kojarzyła mi się ze starą niedźwiedzicą czochrającą pchły niż morderczą wiedźmą zabójczynią, budzącą lęk w sercach wszystkich. Biegając ile sił w nogach, dobyte ostatniego noża do rzucania i cisnęłam wprost w jej gardło. Obrócił się w powietrzu, zmierzając pewnie do celu, ale Kernolde lekceważącym machnięciem ręki odtrąciła go na bok. Niezrażona, przyspieszyłam jeszcze kroku, szykując się do zadania ciosu długą klingą. Wtedy jednak ziemia otworzyła mi się pod stopami, serce szarpnęło w piersi i runęłam w głąb wilczego dołu.

Pamiętam, jak bardzo to mną wstrząsnęło. Byłam tak pewna siebie, lecz spadając, pojęłam, że nie doceniłam przeciwniczki. Nie miałam już szansy na szybkie zwycięstwo – byłam jednak wytrwała oraz wciąż zdecydowana przeżyć i walczyć dalej.

Księżyc świecił wysoko na niebie. Spadając, ujrzałam sterczące w dole ostre paliki, czekające, by mnie przebić. Rozpaczliwie obróciłam się w powietrzu, próbując ich uniknąć, ale okazało się to niemożliwe. Zdołałam jedynie przyjąć pozycję, w której miałam najmniej ucierpieć.

Powiedziałam najmniej? I tak okropnie bolało. Palik mocno mnie zranił – przebił zewnętrzną część uda; do dziś dnia pozostała mi blizna. Zsunęłam się po nim i uderzyłam ciężko o ziemię, a powietrze umknęło mi z płuc. Długa klinga wyleciała z dłoni, lądując poza zasięgiem. Leżałam tam, próbując chwycić oddech i opanować palący ból nogi. Paliki były ostre, cienkie i bardzo długie – miały ponad sześć stóp – w żaden sposób zatem nie zdołałabym zsunąć z niego nogi i się uwolnić. Przeklełam własną głupotę. Sądziłam, że jestem bezpieczna, lecz Kernolde wykopała kolejną pułapkę – zapewne poprzedniej nocy. Bez wątpienia wiedziała o moich wycieczkach do jaru i zaczęła do ostatniej chwili.

Wiedźma zabójczyni musi stale adaptować się do sytuacji i uczyć się na własnych błędach. Nawet leżąc tam, w obliczu niechybnej śmierci, pojęłam swoją głupotę. Byłam zbyt pewna siebie. Przysięgłam, że jeśli przeżyję, zawsze będę pamiętać o zachowaniu podstawowej ostrożności.

W górze pojawiła się szeroka, okrągła jak tarcza księżycowa twarz Kernolde. Spojrzała na mnie bez słowa. Byłam szybka i znakomicie władałam nożami, a także silna, lecz nie tak silna jak ona. Nie bez kozery nazywano ją Kernolde Dusicielką. Jak już wspominałam, po odniesionym zwycięstwie zazwyczaj zawieszała ofiary za kciuki i powoli je dławiała. Lecz nie tym razem. Widziała, czego już dokonałam, i nie zamierzała ryzykować. Byłam przeświadczona, że tu zginę.

Zacząła zsuwać się w głąb dołu, by chwycić potężnymi dłońmi moje gardło i wycisnąć z ciała oddech i życie. Byłam spokojna, jeśli trzeba, gotowa na śmierć – ale wymyśliłam już

pewien plan. Wciąż miałam niewielką szansę przetrwania.

Kiedy Kernolde dotarła na dno jamy i ruszyła ku mnie, lawirując między palikami, rozprostowując i zaciskając potężne, umięśnione dłonie, przygotowałam się na ból – nie ten, który mi zada, lecz ten, który zadam sobie sama. Ręce i ramiona miałam bardzo silne. Paliki były cienkie, lecz solidne, giętkie, nie kruche. Ale musiałam spróbować. Chwyciłam ten, który przebił mi nogę, i zaczęłam go zginać tam i z powrotem, tam i z powrotem, uginałam i obracałam palik, a każdy ruch budził w ciele nowe fale bólu. Zacisnęłam jednak zęby, pracując jeszcze, szybciej, aż w końcu ustąpił i pękł, łamiąc mi się w rękach.

Szybko podniosłam nogę ponad odłamek i uklękłam, by stawić czoło Kernolde. Krew spływała mi po udzie, wsiąkając w ubitą ziemię wilczego dołu. W dłoniach trzymałam palik, niczym włócznię, celując wprost w jej ciało. Zanim dosięgnie rękami mego gardła, przebiję jej serce.

Widząc, że się uwolniłam i jestem gotowa do walki, Kernolde zatrzymała się zdumiona, szybko jednak doszła do siebie i zaatakowała mnie w inny sposób. Zaczepnęła wiele mocy zgromadzonej w drzewie, teraz zatem skupiła się, po czym zaczęła ciskać we mnie odłamkami Mroku. Najpierw spróbowała Grozy. Zaczęłam szczekać zębami, jak nieboszczka podczas sabatu w Święto Zmarłych. Jej magia była silna, ale nie dość silna. Zebrałam się w sobie i odtrąciłam zaklęcie. Wkrótce jego skutki ustąpiły i teraz wadziło mi nie bardziej niż zimny wiatr, wiejący z arktycznych lodowców, kiedy zabiłam wilki i porzuciłam ich krwawiące truchła w śniegu.

Następnie przywołała niespokojnych zmarłych, posyłając przeciwko mnie duchy, które uwięziła w Limbusie. Przywarły do mojego ciała, ciągnąc rękę do ziemi; tylko z najwyższym trudem utrzymałam w dłoniach palik.

– Czy kiedykolwiek zdarzyło ci się uwięzić duszę w Limbusie? – zaintrygowała się Thorne.

– W przeszłości owszem, ale już tego nie robię. To dlatego nie nauczyłam cię tej sztuki. Jako zabójczynie jesteśmy kimś lepszym od zwykłych kościanych czarownic. Owszem, posługujemy się magią, lecz nasza największa siła kryje się w umiejętnościach walki i w potędze umysłu. To właśnie ona pozwoliła mi zwalczyć duchy Kernolde. Były silne, wzmocnione magią Mroku; jeden z nich, dusiciel, ścisnął mnie za gardło tak mocno, jakby sama Kernolde je chwyciła. Najgorszy okazał się duch pomiota, stwora spłodzonego przez Złego i czarownicę. Przesłonił mi oczy i wepchnął do uszu długie, lodowate palce, tak iż miałam wrażenie, że głowa zaraz mi się rozpuknie. Ja jednak walczyłam,

krzyknęłam w ciemność i ciszę:

– Wciąż tu jestem, Kernolde! Nadal musisz się ze mną zmierzyć. Jestem Grimalkin, twoja śmierć!

Wzrok przejaśnił mi się natychmiast, palce pomiotła zniknęły z uszu z lekkim puknięciem, po którym dźwięki powróciły. Ciężar napierający na ręce zniknął i z trudem podniosłam się z ziemi, celując szpikulcem. Wówczas Kernolde rzuciła się na mnie – wielka, paskudna kobieta-niedźwiedzica o dłoniach dusicielki. Ja jednak nie chybiłam. Wbiłam włócznię prosto w jej serce i padła u mych stóp, a jej krew wsiąkała w ziemię, mieszając się z moją. Kernolde krztusiła się, próbując coś powiedzieć, pochyliłam się zatem i przyłożyłam ucho do jej ust.

– Jesteś tylko dziewczyną – wyskrzeczwała. – Po tylu latach pokonała mnie zwykła dziewczyna. Jak to możliwe?

– Twój czas minął, mój właśnie się zaczyna – odparłam. – Ta dziewczyna pozbawiła cię życia, a teraz zabierze twoje kości.

Patrzyłam, jak umiera; potem, odciawszy jej kciuki, bardzo potężne i przez wiele miesięcy dostarczające mi magicznej mocy, podniosłam ciało z jamy, używając do tego jej własnych sznurów. Wreszcie zawiesiłam ją za stopy, by o świcie ptaki obdziobały ją do kości. To uczyniwszy, bez przeszkód przeszłam przez jar – martwe czarownice trzymały się z daleka. Grobowa Getrude pełzała na czworakach, wciąż grzebiąc wśród gnijących liści w poszukiwaniu swojej głowy. Bez oczu mogło się to okazać trudne i zapewnić jej zajęcie na długi czas.

Gdy wyłoniłam się spośród drzew, klan czekał, by mnie powitać. Uniosłam kciuki Kernolde, a oni skłonili głowy w uznaniu tego, czego dokonałam; nawet Katrise, przywódczyni trzynastoosobowego kręgu, pokłoniła się przede mną. Kiedy unieśli głowy, dostrzegłam w ich oczach nowy szacunek, a także lęk.

Po tym zwycięstwie mogłam rozpocząć prawdziwą misję zniszczenia mojego wroga, Złego. Paliki w dole podsunęły mi pewien pomysł. A gdybym tak wykuła ostry szpikuliec ze stopu srebra i w jakiś sposób nabiła na niego Złego?

– Czy tak właśnie z nim postąpiłaś, zanim odrąbałaś mu głowę? – spytała Thorne.

Przytaknęłam.

– Owszem, dziecko – z pomocą Toma Warda i jego mistrza, Johna Gregory'ego, przebiłam Złego srebrnymi włóczniami, a potem przyszpiliłam mu dłonie i stopy do skały. Potem uczeń stracharza odciął mu głowę, a ja umieściłam ją w skórzanym worku. Jamę zasypaliśmy ziemią, a potem przykryliśmy wielkim płaskim kamieniem, na nim zaś

ustawiliśmy głaz. Dopóki głowa nie połączy się z ciałem, Zły pozostaje uwięziony.

– Nigdy się nie połączy – oznajmiła Thorne. – Nawet jeśli jedna z nas zginie, druga nadal będzie jej strzegła. Aż w końcu pewnego dnia na zawsze zniszczymy Złego.

Z worka dobiegł głuchy jęk. Zły słuchał naszej rozmowy i wcale mu się nie spodobała. W długiej ciszy niemal słyszałam myśli Thorne. Gdy w końcu się odezwała, przemówiła z napięciem.

– Czy kiedykolwiek odciąłś kciuki wrogowi jeszcze za jego życia?

Bez wątpienia wciąż pamiętała o groźbie utraty własnych, nim jednak zdołałam się opanować, syknęłam gniewnie.

– Po prostu niektórzy mówią, że robisz to z tymi, których nienawidzisz najbardziej – wyjaśniła szybko Thorne.

– Moi wrogowie muszą się mnie bać – odparłam. – Nożyczkami odcinam ciało trupów; wrogów klanu, zabitych w walce. Potem zabieram im kciuki, które noszę wokół szyi jako ostrzeżenie dla innych. Co jeszcze mogłabym zrobić? Gdybym nie była groźna i bezlitosna, nie przetrwałabym nawet tygodnia w moim fachu.

– Ale co z żywymi? Czy kiedykolwiek zrobiłaś to żywym? – nalegała Thorne.

Drażnienie tematu wymagało odwagi, bo wyraźnie okazałam jej złość, ale też odwaga stanowiła jedną z zalet Thorne. Pytanie to jednak ukazało co innego: jej wadę. Bywała nieostrożna. Nie wiedziała, kiedy się wycofać.

– Nie życzę sobie o tym mówić – odparłam cicho. – Koniec tematu.

## ROZDZIAŁ 19

### WIEDŹMI JAR

*Wejrzałam w Ciemność, w największy Mrok,  
i teraz nie boję się już niczego.*

Godzinę po zmierzchu dotarliśmy do jaru, lecz ;trzymałyśmy zatrzymałyśmy się pod rozłożystymi konarami samotnego dębu, sto jardów od najbliższych drzew.

– Zawołaj ją – wyszeptałam.

Pierwsza pełnia już minęła. Gdzieś pomiędzy drzewami Agnes Sowerbutts ocknęła się i rozpoczęła swoją nową egzystencję jako martwa czarownica. Z czasem, gdy ciało

wiedźmy powoli gnije, zdarza się, że ona sama gorzknieje i zaczyna nienawidzić wszystkich, z którymi przyjaźniła się i których kochała za życia. Lecz te pogrzebane w jarze nie od razu zapominają o swych miłościach, nienawiściach i przyjaźniach. Do pewnego stopnia wciąż będzie to dawna Agnes i miałam nadzieję, że pomoże nam wejść bezpiecznie do jaru – a przynajmniej opíše obecną sytuację.

Thorne wydała z siebie przeciągły, żalony krzyk – podobny do głosu ptaka trupiarza, lecz subtelnie odmieniony, sygnał, którym posługiwała się zawsze, podchodząc do chaty Agnes. Przedstawiłam je sobie niedługo po rozpoczęciu szkolenia i Agnes wzięła małą pod swe skrzydła, ucząc ją przyrządzania eliksirów, a od czasu do czasu, gdy opuszczałam Pendle, ofiarując dach nad głową.

Czekałyśmy w milczeniu. Odległe drzewa szeleściły cicho, lecz nic żywego bądź martwego nie zapuściło się na otwartą przestrzeń. Po pięciu minutach poleciłam Thorne, by znów spróbowała. Ponownie zaczekałyśmy, a tymczasem wiatr wzdychał wśród konarów dębu. To była noc nagłych deszczy, w tym momencie padało szczególnie mocno; przez jakiś czas słyszałyśmy jedynie bębnienie kropel o ziemię. Potem deszcz minął, równie szybko, jak się pojawił, i na niebie zaświecił księżyc. Wówczas to ujrzałam ciemną postać, pełznącą ku nam przez polanę. Bez wątpienia była to martwa czarownica. Słyszałam, jak węszy i siorbie, nosem dotykając niemal mokrej trawy, suknią wlokła się za nią niczym śliski cień. Dopiero gdy uniosła głowę, w promieniach księżyca rozpoznałam Agnes. Śmierć już zdołała odmienić ją na gorsze.

W końcu dotarła pod osłonę dębu, sapiąc i chrypiąc, i usiadła z trudem, opierając plecy o gruby pień. Przez chwilę żadna z nas się nie odzywała; słuchałam kropel wody, ściekających z liścia na liść podczas długiej, powolnej wędrówki ku ziemi.

Przyjrzałam się Agnes uważnie – wyglądała zaiste żałośnie. Niektóre martwe czarownice zachowują siłę – mogą biec wiele mil, polując na ludzi; inne są słabe, te prowadzą żalonną egzystencję, czołgając się w błocie i zgniliznie, szukając małych stworzeń, takich jak szcury i myszy. Jeśli istotnie tak właśnie stało się z Agnes, pożałowałam jej. Zawsze była z niej dumna kobieta; choć na pierwszy rzut oka jej domek wydawał się zagracony, w istocie flaszki i słoje stały na półkach w idealnym porządku, a wewnątrz panowała nieskazitelna czystość – nawet jednej drobinki kurzu. Niewiele czarownic dbało o porządek; Agnes stanowiła wyjątek. Przebierała się co dzień, a jej szpiczaste trzewiki lśniły tak bardzo, że można w nich było zobaczyć swoje odbicie.

Thorne, wstrząśnięta, na moment ukryła twarz w dłoniach. Mną także poruszyła zmiana, jaka zaszła w Agnes w tak krótkim czasie. Postrzępioną suknię pokrywała

warstwa błota. Bez wątpienia Agnes czołgała się wśród chaszczy w poszukiwaniu ofiary. Niegdyś czyste i lśniące włosy obecnie wisiały w tłustych strąkach, roilo się w nich od białych, tłustych robali, wychudzoną twarz pokrywały smugi błota i krwi.

Nie było sensu udawać, że wygląda lepiej niż w istocie. Agnes zawsze była miła, lecz bezpośrednia i szczerza, toteż nie przebierałam w słowach.

– Wielce mnie smuci twój widok w takim stanie, Agnes – powiedziałam łagodnie. – Czy możemy ci jakoś pomóc?

– Nigdy nie sądziłam, że upadnę tak nisko – odparła, kręcąc głową, tak że robaki posypały jej się na kolana. – Za życia byłam silna, miałam nadzieję, że pozostanę taka po śmierci. Lecz dręczy mnie pragnienie! Dręczy i dręczy, a nie mogę zdobyć dosyć krwi. Nie jestem dość silna, by polować na większe stworzenia bądź ludzi. Radzę sobie tylko z małymi gryzoniami. Króliki są dla mnie za szybkie.

– Czy inne ci nie pomagają? Czy silniejsze nie wspierają słabszych od siebie? – spytała Thorne.

Agnes pokręciła głową.

– Martwe czarownice polują samotnie i dbają wyłącznie o siebie.

– Zatem przynajmniej dziś zaspokoisz pragnienie do syta – oznajmiłam. Obróciłam się do Thorne. – Przynieś Agnes coś dużego.

W mgnieniu oka dziewczyna odbiegła.

– Wciąż mam przy sobie głowę Złego – poinformowałam Agnes. – W naszym najlepszym interesie leży, by pozostała oddzielona od ciała. Pomożesz? Zbliżają się nieprzyjaciele i musimy się schronić w jarze. Potrzebujemy, by część martwych sióstr walczyła wraz z nami.

– Inne tu rządzą – wychrypiała Agnes. – Ja jestem słaba, moje słowo niewiele się liczy w tym mrocznym miejscu.

– Czy więdmy z jaru są za Złym czy też przeciw niemu?

– Martwe więdmy, czy to silne, czy słabe, dbają jedynie o krew. Jeśli w ogóle o czymś myślą, to o krwi, która wypełnia im umysł. Mam nadzieję, że nigdy się taka nie stanę. Wspomnienia z życia są dla mnie cenne i chcę je zachować możliwie jak najdłużej. Jednak lepiej nie próbuj przeciągnąć ich na swą stronę. Zabiją każdą żywą istotę, która wkroczy do jaru – ciebie także, jeżeli cię złapią.

– Ile z tych silnych kręci się w pobliżu? – Nasłuchiwałam szelestów i trzasków, dobiegających z jaru, świadczących o zbliżaniu się słabszych czarownic.

– Tylko dwie. Trzecia odeszła dwie noce temu, lada chwila jednak może wrócić.

– Tak też sądziłam. Jeśli zatem zdołamy się dostać do serca jaru przed przybyciem wrogów, martwe czarownice zostaną naszymi sojusznikami, czy tego zechcą, czy nie.

Uniosłam wzrok i ujrzałam Thorne, maszerującą przez polanę. W każdej dłoni trzymała dużego, szarpiącego się zająca. Dotarła do nas i podała je Agnes. Martwa wiedźma chwyciła jedno z przerażonych zwierząt, natychmiast wbiła mu zęby w szyję i zaczęła wysysać krew. Po chwili zając przestał się szarpać; był martwy. Wówczas zabrała się za drugiego.

– Dobra z ciebie dziewczyna, Thorne! – zawołała Agnes, kiedy skończyła. – To najśladzsa krew, jaką piłam, odkąd przybyłam do tej ponurej doliny.

– Żałuję, że nie mogę zrobić nic więcej – odparła Thorne. – Zawsze byłeś dla mnie dobra, Agnes, i twój widok sprawia mi ból.

Nagle wyczułam zagrożenie, powęszyłam z wiatrem. W pobliżu czaili się wrogowie.

– Są najwyżej dziesięć minut stąd – poinformowałam Thorne. – To ryzyko, ale musimy schronić się w jarze już teraz, nim będzie za późno. – Odwróciłam się do Agnes. – Idź za nami najszybciej, jak zdołasz.

Poprowadziłam Thorne na skraj dolinki. Wewnątrz wciąż pozostały jamy i wilcze doły – dzieła Kernolde sprzed wielu lat. Niektóre wyminęłam, przez inne przeskakiwałam.

– Musimy poruszać się szybko. Rób dokładnie to co ja.

Wbiegłam do jaru, podążając tą samą trasą, co wiele lat temu, gdy walczyłam z Kernolde. Tym razem jednak nie sięgały ku mnie martwe dłonie, chwytające za kostki. Poprzednim razem wykrzyczałam wyzwanie i zwabiłam ku sobie czarownice; teraz zdołałyśmy je zaskoczyć i pozostawały rozproszone wśród drzew. Tylko dwie najszybsze i najsilniejsze być może zdołają nas doścignąć. Miałyśmy szczęście, bo trzecia opuściła już jar, wyruszając na łowy. Może zapuścić się wiele mil dalej i wrócić dopiero za kilka dni. Albo też pojawić się w każdej chwili.

Wciąż wyraźnie widziałam w myślach położenie każdej pułapki i wkrótce przeskoczyłam nad pierwszą. Nawet nie oglądałam się, by sprawdzić, czy Thorne jest bezpieczna. Dziewczyna biegła równie pewnie jak ja, reagowała tak samo szybko. Niedługo potem przeskoczyłam nad drugim i trzecim wilczym dołem, w pewnym momencie jednak odbiłam w lewo, by uniknąć długiej wąskiej jamy, której nie dałoby się przeskoczyć: na jej końcu pień drzewa tworzył barierę. Przypomniałam sobie, jak Kernolde mnie oszukała i o mało nie pokonała – wykopując dodatkowy dół, o którym nie wiedziałam, i wypełniając go ostrymi palikami. Nagle uderzyła mnie pewna myśl.

A co, jeśli wykopała inne jamy? Co, jeśli były tu takie, o których nie wiedziałam?

Uspokoiliam się, biegnąc ostrożnie przez jar. Możliwe, że inne pułapki też istniały. Lecz dopóki podążam tą samą trasą co ostatnio, z pewnością nic mi się nie stanie.

Wkrótce ujrzałam przed sobą drzewo Kernolde, pradawny dąb, w którym gromadziła swoją magię. Mimo niszczyielskiego działania żywiołów część sznurów wciąż dyndała na gałęziach. Kiedyś Kernolde wieszala na nich pokonanych wrogów.

Skinęłam na Thorne i obie zatrzymałyśmy się gwałtownie. Wskazującym palcem pokazałam jej jamę. Nadal częściowo przesłaniały ją chaszczce i gałęzie, na których wiele jesieni pozostawiło grubą warstwę czarnych, gnijących liści. Na skraju jednak dostrzegłam dużą dziurę, przez którą przeleciałam niegdyś na spotkanie palików w dole. Okrążyłyśmy pułapkę i oparłyśmy plecy o potężny pień drzewa, jak kiedyś Kernolde. Dziwnie się czułam, wracając w to miejsce po tak wielu latach. Moje życie zatoczyło krąg, doprowadzając mnie tutaj; w jakiś sposób wyczułam, że wkrótce czeka mnie kolejne kluczowe starcie.

Po prawej coś zaszeleściło. Ktoś się zbliżał – bez wątpienia jedna ze słabszych czarownic, nikt groźny. Po paru chwilach usłyszałam nowe dźwięki: trzask gałązek pod stopami, ciężkie, pewne kroki kogoś, kto nie obawia się ujawnić swojej obecności.

Wkrótce ujrzałam martwą czarownicę. Była wysoka, lecz nawet gdybym znała ją za życia, teraz wyglądałaby jak ktoś obcy. W miejscu prawego oka ziała czarna dziura, brakowało jej też ciała po tej stronie twarzy, tak że widziałam czaszkę i kości. Pozostałe oko spoglądało na mnie z nienawiścią. Było w niej coś niezwykłego. Za skórzanym pasem, podtrzymującym zbryzganą krwią spódnice, tkwił długi nóż o zakrzywionej rękojeści w kształcie baraniego rogu. W dłoni ścisłała długą, cienką włócznię.

Martwe wiedźmy zazwyczaj nie używają broni. Wystarcza im niezwykła siła, pazury i zęby. Nagle pojęłam, kto to, i wszystko zrozumiałam. To była Igła, jedna z moich poprzedniczek, wiedźma zabójczyni, pokonana przez Kernolde. Siostra z klanu powinna stać się cenną sojuszniczką, lecz nienawistne spojrzenie sugerowało coś innego. Przepelniał je obłąd.

– Przekroczyłaś granice – syknęła Igła. – Tutaj ja rządę. To miejsce umarłych, nie żywych. Przybywasz rzucić mi wyzwanie, Grimalkin?

– Po co żywi mieliby wyzywać umarłych? – spytałam ostro. – Twój czas przeminął. Kernolde cię pokonała, a ja pokonałam ją. Pewnego dnia mój czas także dobiegnie końca i zajmę swoje miejsce obok ciebie. Powinnyśmy się sprzymierzyć. Nadciąga niebezpieczny wróg.

– Kernolde użyła podstępu. Wykorzystała do walki umarłe. Gdyby walczyła uczciwie,



pokonałabym ją i z czasem ty także zginęłabyś z mojej ręki. Sprawdźmy się zatem. Walczmy teraz. Tylko my dwie.

– Najpierw pomóż mi pokonać wspólnego wroga – poprosiłam. – Co powiesz?

– Co to za wróg?

– Słudzy Złego. Pragną tego, co dźwigam w worku.

Rozwiązałam go, uniosłam głowę Złego i pokazałam Igle.

Czarownica uśmiechnęła się groteskowo, jej biała czaszka zalśniła w promieniu księżyca.

– Nie darzę Złego miłością – rzekła. – Ale też nie darzę nią ciebie! Nazywają cię największą zabójczynią Malkinów. To kłamstwo!

Schowałam z powrotem głowę Złego i właśnie miałam zawiązać rzemienie, gdy w jedynym oku Igły zapłonął ogień szaleństwa i pobiegła ku mnie, mierząc włócznią w moje serce.

Upuściłam worek z głową i szykowałam się do walki. Najpotężniejsze martwe wiedźmy są szybkie i bardzo silne, znacznie silniejsze niż ktokolwiek z żywych. Mogłyby rozerwać mnie na sztuki gołymi rękami. Tu jednak miałam do czynienia z kimś jeszcze gorszym: Igła była kiedyś wyszkoloną zabójczynią, cieszącą się niezwykłą reputacją. Niełatwo ją będzie pokonać.

Thorne dobyła noża, ruszyła do mego boku, ja jednak powstrzymałam ją gestem – duma nakazywała mi w pojedynkę rozprawić się z martwą zabójczynią. W ostatniej chwili wygięłam ciało i ostrze włóczni minęło mnie o cal. Moja klinga tkwiła w dłoni, nie użyłam jej jednak. Kiedyś w tym samym jarze odrąbałam głowę martwej czarownicy. Aby powstrzymać Igłę, musiałabym zrobić coś podobnego – może nawet posiekać ją na strzępy. Postanowiłam raz jeszcze spróbować ją przekonać. Nadal miałam nadzieję, że się sprzymierzemy.

– Pomóż mi pokonać naszych wrogów, a wówczas będziemy walczyć – zaproponowałam.

– Walczmy teraz! – wykrzyknęła. – Zabiję cię, potem wytnę ci serce i odprawię w Mrok. Twoje kciuki także zabiorę. Stracisz honor i zostaniesz wymazana z dziejów zabójczyń Malkinów. Będziesz niczym.

Pobiegła ku mnie, znów unosząc włócznię. Widziałam, że nie zdołam przemówić jej do rozsądku – przez długie lata spędzone wśród umarłych pielęgnowała w sobie gniew. Stałam zwrócona plecami do jamy, dokładnie wiedziałam, co zrobić. Ponownie uskokczyłam przed pchnięciem włóczni, lecz tym razem sama wymierzyłam cios pięścią w

tył jej głowy. Igła bez jednego krzyku runęła do jamy. Kiedy jednak nabiła się na paliki Kernolde, zaczęła zawodzić jak upiór.

– Słyszałam, że martwe czarownice nie czują bólu.

Thorne zerknęła na Igłę, nadzianą na długie, wąskie szpikulce. Każdy miał ponad sześć stóp długości. Cztery przebiły jej ciało i zsunęła się na nich na samo dno wilczego dołu. Jeden wraził się w lewe ramię, drugi przeszył gardło, trzeci pierś, czwarty brzuch.

Zauważyłam złamany palik, z którego się uwolniłam. Przez moment znów poczułam dawny ból.

– To, co słyszałaś, nie jest prawdą – odparłam. – Ona wciąż cierpi, przede wszystkim jednak krzyczy z wściekłości, że nie zdołała mnie zabić. Wie, że przegrała i co gorsza, że pokonałam ją z wielką łatwością. Ciało ma wciąż silne, lecz jej umysł gnije i pogrzyżyła się w obłędzie. Przeceniłam ją – jest tylko cieniem dawnej siebie.

Niemal jej żalowałam, bo nisko upadła z wyżyn, po których kiedyś stąpała jako zabójczyni. Miałam tylko nadzieję, że ja sama nigdy się tak nie stoczę.

Teraz w przerwach między krzykami usłyszałam inne dźwięki – szelesty w poszyciu. Zbliżały się pozostałe martwe wiedźmy, zwabione wrzaskiem Igły.

Potem jednak usłyszałam coś jeszcze. Thorne i ja powęszyłyśmy, tym razem jednak nie magicznie – próbując odkryć zagrożenie bądź ocenić siłę wroga. Było to coś, co rozpoznałby nawet zwykły człowiek, coś, co przepełnia strachem każdego gajowego.

Czułam dym, płonące drewno i nagle pojęłam, co zrobili wrogowie.

– Podpalili jar! – krzyknęła Thorne.

Zarzuciłam worek na ramię. Gdy tak uczyniłam, z zachodu powiał silny wiatr, skowycząc wśród drzew. Nasi przeciwnicy z pomocą mrocznej magii przywołali ogień i wicherę, mokre poszycie go nie powstrzyma. Teraz płomienie ogarną jar, pochłaniając wszystko na swej drodze.

Wrogowie nie będą musieli wchodzić do środka i walczyć z martwymi wiedźmami. Zostaną na polanie na wschód od jaru, czekając, aż uciekniemy przed ognistym piekłem.

## **ROZDZIAŁ 20**

### **GRIMALKIN NIE PŁACZE**

*Spodziewam się gwałtownej śmierci,*

## *ale zabiorę ze sobą wielu wrogów!*

Jakie miałyśmy wyjście poza ucieczką na wschód? Już słyszałam trzask płonącego drewna. Kłęby ciemnego dymu przesłoniły tarczę księżyca.

– Pobiegniemy tuż przed linią ognia, potem opuścimy jar i zabijemy każdego, kto stanie nam na drodze – poinformowałam Thorne.

Łatwo powiedzieć, lecz trzymanie się tuż przed ogniem okazało się ciężkim zadaniem. Po pierwsze, od dymu oczy piekły nas i zaczęły łzawić, wstrząsały nami gwałtowne ataki kaszlu. Po drugie, ogień przesuwiał się bardzo szybko, przeskakując z rykiem z drzewa na drzewo, z gałęzi na gałąź; w każdej chwili mógł nas ogarnąć i powolny bieg wkrótce zamienił się w szybki sprint.

Wraz z nami uciekały zwierzęta, parę zajęcy, dziesiątki piszczących szczurów, niektóre przypalone, inne płonące w biegu. Pomyślałam o biednej Agnes. Jeśli ogień ją ogarnął, przynajmniej będzie cierpieć krótko i jej żałosna egzystencja w jarze dobiegnie końca. Wiedziałam jednak, że część mieszkańek przetrwa – ostrymi szponami przekopie się przez liście i głębiej, w miękką, mokrą ziemię. Miały środki i doświadczenie wielu lat w podobnym stanie. My nie mogłyśmy na to liczyć – brakowało nam czasu.

Drzewa zaczynały się przerzedzać, lecz dym przesłaniał nam widok. Nagle wyczułam coś zbliżającego się z tyłu i obróciłam się na spotkanie nowego zagrożenia. To była martwa wiedźma – druga najsilniejsza; jej oczy i strój płonęły, gdy przemykała obok, nie zwracając na nas uwagi. W biegu wrzeszczała – płomienie ją pochłaniały i pojęła, że jej czas na Ziemi dobiegł końca. Wkrótce jej dusza odejdzie w Mrok.

Gdzie się podziewał krecz? Bez wątpienia czekał gdzieś przed nami. Gdy opuściłyśmy osłonę drzew, z lewej zaatakowała nas czarownica – tym razem żywa, z oddziału wroga. Thorne powaliła ją, nie zwalniając kroku i jeszcze przyśpieszyłyśmy.

Mimo skowytu wiatru i ryku ognia usłyszałam upiorne wycie krecza za plecami. Potem zaczął ujadać, złakniony naszej krwi; krzyczał głośno, rytmicznie, jakby ścigała nas sfora wygłodniałych psów.

– Jesteście moje! – ryknął głosem grzmącym pośród nocy. – Nie zdołacie uciec! Wypiję waszą krew i rozszarpię ciała na strzępy! Pożrę wasze serca i będę wysysał szpik z potrzaskanych kości!

Teraz skręcałyśmy na południe – nasza ścieżka zaprowadzi nas na wschód od Wroniego Lasu. Pomyślałam o lamii, wciąż strzegącej wieży. Gdyby tylko miała dość czasu, by odmienić postać, może by nas dostrzegła i przyleciała na ratunek. Ale było na to

za wcześniej. Nie mogłam liczyć na jej pomoc.

I nagle, w biegu, kątem oczu znów ujrzałam ostrzegawcze błyski. Czy starczy mi czasu, by doprowadzić Thorne w bezpieczne miejsce? Zbyt szybko jednak ogarnęła mnie słabość; poczułam trzepot w piersi, oddech stał się płytki, urywany. Zaczęłam zwalniać, Thorne obejrzała się na mnie z troską. Zatrzymałam się łapiąc za boki, świadoma nieregularnych uderzeń serca i dygotania nóg. Teraz trzęsło się całe moje ciało. Trucizna krecza znowu dawała o sobie znać.

– Nie! Nie! Nie teraz! – krzyknęłam, zmuszając się do ruszenia naprzód, czerpiąc z ostatnich zasobów sił i wytężając do granic wolę. Nic z tego jednak. Zdołałam uczynić zaledwie kilkanaście chwiejnych kroków, potem znów się zatrzymałam. Thorne przystanąła i zawróciła, stając przy mnie.

– Biegnij dalej! – krzyknęłam. – Możesz ich prześcignąć, ja nie. To skutki działania trucizny.

Pokręciła głową.

– Nie odejdę bez ciebie.

Zsunęłam z ramienia worek i podałam jej.

– To jest najważniejsze. Weź go i uciekaj. Za żadną cenę nie pozwól, by wpadł w ręce wroga.

– Nie mogę cię zostawić na śmierć.

– Możesz i musisz – wepchnęłam jej w ręce worek. – A teraz biegnij!

Byłam pewna, że umrę. Nic więcej nie mogłam począć. Wyczerpałam do cna zapas sił.

Thorne zarzuciła worek na ramię – było już jednak za późno.

Tuż za nami rozległo się wycie i z dymu wybiegł krecz.

Bestia znów się zmieniła od naszego ostatniego spotkania. Jej oczy wyglądały jakoś inaczej. Choć przebite przeze mnie i Thorne nożami, odrosły, ale nie takie same. Nad każdym z nich jaśniał cienki grzebień białej kości.

Co gorsza, sam krecz stał się jeszcze większy. Jego przedramiona wydawały się silniejsze, szpony ostrzejsze i dłuższe. W czarnym futrze dostrzegłam więcej siwych plamek. Czyżby już się starzał? Krecze zazwyczaj żyły bardzo krótko. Tibb, ostatni stworzony przez Malkinów, przeżył zaledwie kilka miesięcy.

Jednym płynnym ruchem Thorne dobyła noża z pochwy na ramieniu i cisnęła wprost w prawe oko bestii. To był dobry rzut, idealnie celny. Nim jednak klinga dosięgła celu, kościany grzebień się poruszył. Opadł w dół, zasłaniając i chroniąc oko, tak że ostrze odbiło się, nie czyniąc mu szkody.

Dzięki mocy odziedziczonej po ojcu demonie, bestia cały czas się uczyła i rozwijała. Wystarczyło raz wykorzystać słabość podczas walki, a przy następnym spotkaniu już jej nie było. Chronione przez kościane powieki oczy nie stanowiły już łatwego celu.

Odetchnęłam głęboko, próbując uspokoić rozdygotane ciało i cisnęłam nożem w gardło krecza, w miejsce tuż pod lewym uchem. Stwór wydawał się szybszy niż kiedykolwiek: uniósł lewą rękę i odtrącił pocisk. Znowu się zachwiałam, w oczach rozblęły mi ogniste plamy, do gardła podeszła żółć. Wówczas zobaczyłam, co zamierza zrobić Thorne.

– Nie! – krzyknęłam.

Na próżno. Była dzielna, lecz czasem nieostrożna i ta niebezpieczna słabość teraz ją zgubiła. Znowu widziałam dziesięciolatkę, biegnącą na niedźwiedzia, z nożem w lewej dłoni. Był to ten sam nóż, jej pierwszy; ten, który jej podarowałam, kiedy siedziałyśmy przy ognisku, zjadając niedźwiedzie mięso.

Była szybsza i znacznie groźniejsza niż dziecko, które zraniło niedźwiedzia w tylną łapę. Krecz jednak przewyższał siłą każdego niedźwiedzia. Ja zaś nie mogłam powtórzyć rzutu, który zabił bestię, nim ta zabiła Thorne. Klęczałam na ziemi, świat dokoła wirował, mój umysł osuwał się w ciemność.

Ostatnią rzeczą, jaką zobaczyłam, był krecz, otwierający szeroko paszczę i wgryzający się dziko w lewe ramię Thorne. Walczyła, dobywając prawą ręką drugiego ostrza i wbijając je raz po raz w głowę i ramię stwora.

A potem wszystko zniknęło.

\*

Nie wiem, jak długo tak leżę, ale oceniam, że nie dłużej niż godzinę. Powoli dźwigam się na kolana i natychmiast wstrząsają mną mdłości; raz po raz wymiotuję, aż w końcu z ust cieknie mi jedynie żółć.

Krecz zniknął. Co się stało? Dlaczego mnie nie zabił, gdy leżałam tam bezbronna? Wstaję chwiejnie i zaczynam szukać śladów. Nic nie świadczy o obecności innych czarownic – znajduję jedynie zabłocony krąg, w którym Thorne walczyła z bestią, a potem tropy krecza wiodące na północ.

Czy poniósł Thorne w paszczy...?

Ruszam jego śladem. Stopniowo wracają mi siły, a oddech zaczyna spowalniać, odzyskując normalny rytm. Idę śladem krecza niemal na skraj Wiedźmiego Jaru. Drzewa wciąż płoną, ale czar minął i wiatr zmienił kierunek. Wyraźnie widzę, że ponad połowa jaru została nietknięta pożarem. Środkiem jednak biegnie szeroki, czarny pas

zwęglonych drzew.

I wtedy widzę coś na ziemi, nieopodal płonącego pniaka. To ludzkie ciało.

Czy należy do martwej wiedźmy, która uciekła z dolinki? Ruszam ku niemu, z każdym krokiem zwalniając. Tak naprawdę nie chcę podejść bliżej, bo w głębi ducha wiem już, do kogo należy. Stratowane błoto klei się do nóg. Zebrało się tu wiele czarownic.

W chwilę później potwierdzają się moje najgorsze obawy.

To ciało Thorne.

Nie ma wątpliwości. Nie ma nadziei.

Leży na wznak, martwa jak głaz. Otwarte oczy patrzą przed siebie, twarz wykrzywia grymas grozy i bólu. Trawa jest mokra od krwi. Okaleczono jej dłonie. Zabrali jej kciuki, odcięli od ciała, kiedy jeszcze żyła. Klękam obok niej ze łzami w oczach. Grimalkin nie płacze.

Ale teraz płaczę.

Mija czas. Nie wiem, jak dużo.

Kucam przy ogniu, piekąc mięso na rożnie. Obracam je powoli, by dobrze się wysmażyło. Potem rozłamuję na dwoje palcami i zaczynam powoli jeść.

Istnieją dwa sposoby, pozwalające zyskać pewność, że czarownica nie powróci z martwych. Pierwsze to spalenie, drugie zjedzenie jej serca. Dopilnowałam zatem podwójnie, by życzenie Thorne się spełniło.

Spaliłam już jej ciało. Teraz zjadam serce. I wciąż płaczę.

Skończywszy, zaczynam mówić, wiatr porywa moje słowa, unosząc je między drzewa na cztery krańce Ziemi.

– Za życia byłaś dzielna, bądź też taka po śmierci. Nie zważaj na szyderstwa czarownic. Twoje kciuki nie mają znaczenia. Zabrały ci je, ale nie mogły odebrać odwagi; nie mogły zniweczyć tego, kim byłaś. Gdybyś przeżyła, stałabyś się największą wiedźmą zabójczynią klanu Malkinów. Zająłabyś moje miejsce, przewyższyła wyczyny, twoje imię budziłoby trwogę wśród wrogów.

Jeśli martwisz się reputacją, nie warto. Kto zdoła rzec: „Zabraliśmy jej kości”? Nie zostanie nikt taki, bo nikt nie przeżyje. Zabiję ich wszystkich. Zabiję każdego z nich.

Spoczywaj zatem w spokoju, Thorne, bo nie rzucam słów na wiatr.

Dotrzymam obietnicy. Jestem Grimalkin.

## ROZDZIAŁ 21

## JEDYNA SOJUSZNICZKA

*Jestem łowczynią, a także kowalem,  
poznałam sztukę wykuwania broni.  
Mogę wykuć ostrze specjalnie dla ciebie:  
stalową klingę, która niechybnie odbierze ci życie.*

O świecie raz jeszcze ogarniam sytuację i otrząsam się z żalu i gniewu. Muszę zachować chłodny, logiczny umysł. Muszę myśleć i planować.

Dlaczego krecz mnie nie zabił? Może przed śmiercią Thorne walczyła tak zawzięcie, tak mocno go poraniła, że nie mógł się rozprawić z nami obiema? Lecz, gdy tylko pomyślałam te słowa, wiedziałam, że to niemożliwe. Byłam nieprzytomna. Krecz mógł ją zabić, a potem spokojnie rozprawić się ze mną.

Nie – odpowiedź była jasna – od mojej śmierci jeszcze ważniejsze było odzyskanie worka z głową Złego. To stanowiło podstawowy cel potwora. Stworzono go, by mnie zabił, lecz miałam stanowić jedynie środek wiodący do celu – zdobycia głowy i wskrzeszenia Złego. Thorne niosła worek na ramieniu. Kiedy krecz chwycił ją w swe szczęki, dopadł także worek.

Zatem zabrał głowę Złego wprost do swych stwórców. Ci szybko odcięli Thorne kciuki i porzucili ją na pewną śmierć. Teraz zmierzali na wybrzeże. Muszą wrócić do Irlandii, by połączyć głowę z ciałem.

Co zatem mogłam począć? Musiałam podążyć za nimi i spróbować ich powstrzymać. Lecz siedząc tak w szarym świetle poranka, odrzuciwszy gniew, wiedziałam, że mam niewielkie szanse powodzenia. Zużyłam już całą magię, wyczerpałam wszelkie zapasy. Niełatwo będzie je uzupełnić. Nie mogłam ufać własnemu zdrowiu. W każdej chwili mógł mnie nawiedzić kolejny atak słabości. I byłam sama. Sama przeciw tak wielu.

Potrzebowałam pomocy, ale do kogo mogłam się zwrócić? Odpowiedź nadeszła natychmiast:

Alice Deane.

Była jedyną sojuszniczką, jaka mi pozostała. Ostatnio wszyscy, którzy mi pomagali, zginęli. Zwróciłam się do Agnes i Thorne i obie zapłaciły za to życiem. Tak wielu umarło, łącznie z lamią Wynde i rycerzem, którego przekonałam, by wspomógł moją sprawę. Czy mogłam uczynić to ponownie i tym samym narazić Alice? Czy mam prawo żądać, by

kolejna przyjaciółka ryzykowała dla mnie życiem?

Grimalkin nie powinna zadawać podobnych pytań. Takie myślenie to oznaka słabości. Muszę działać i nie zastanawiać się zbyt wiele nad możliwymi konsekwencjami.

Nie zamierzałam jednak prosić o pomoc Thomasa Warda ani Johna Gregory'ego. Uczeń był zbyt cenny, by go narażać. Możliwe, że tylko on zdoła w końcu zniszczyć Złego. Nie, nie mogłam go w to angażować. Kiedy odzyskam głowę i zabiję krecza, odprowadzę Toma Warda do Wieży Malkinów. Im szybciej, tym lepiej.

Co do stracharza, czasy jego świetności minęły, a poza tym miał zbyt wiele skrupułów. Nie zdobyłby się na to, co musiałam zrobić. Zatem poproszę Alice. Dwie czarownice działające razem – oto najlepsze rozwiązanie. Może też zechce mi użyczyć swojej siły.

Wyciągnęłam z futerału lustro i przygotowałam się do nawiązania kontaktu. Trzykroć próbowałam, lecz nie zdołałam jej wywołać. Nawet tak słaba magia przekraczała moje możliwości. Straciłam całą moc, musiałam ją uzupełnić.

Pozostawało mi zatem tylko jedno – pójść do niej. Ruszę do Chipenden, gdzie stracharz zaczął odbudowywać swój dom.

\*

Podążałam śladami nieprzyjaciół, od północy mijając Pendle i zmierzając w stronę doliny Ribble. Tam ślady skręcały na zachód, lecz nie przeprowadzały się przez bród; podążały południowym brzegiem rzeki. To oznaczało, że nie kierują się do Sunderland Point. Wrogowie zmierzali do Liverpoolu, tam zamierzali zdobyć łódź.

Poruszając się najszybciej, jak mogłam, niechętnie porzuciłam trop i przeprowadziłam się przez Ribble, zmierzając na północny zachód. Najpierw musiałam odwiedzić Chipenden. Traciłam wprawdzie połowę dnia, nadal jednak powinnam doścignąć czarownice, nim poześlą do Irlandii.

Ominęłam łukiem wioskę i zaczęłam się wspinać dróżką, wiodącą do granicy posiadłości stracharza. Kiedyś nie ryzykowałabym wejścia do ogrodu. Lecz Alice wspomniała, że strzegący go bogin odszedł, bo kontrakt, wiążący go z Johnem Gregorym, zakończył się z chwilą pożaru domu i zawalenia dachu.

Mimo to powoli i ostrożnie wkroczyłam między drzewa zachodniego ogrodu. W dali widziałam dom stracharza. Gdy się zbliżyłam, dostrzegłam też stoły na koziołkach, sterty desek i inne materiały budowlane. Ktoś niewidoczny piłował drewno. Położono już dach, z komina ulatywała cienka spirala dymu. Nagle usłyszałam odległe głosy; głosy, które rozpoznałam.

Choć brakowało mi magii, pewne umiejętności więdźmy są wrodzone – zwłaszcza



węszenie. To byli Alice i Tom Ward, uczeń stracharza. Jego mistrz im nie towarzyszył. Bez wątpienia ogrzewał stare kości przy ogniu.

Podkrađłam się zatem bliżej i przykucnęłam za pniem dużego drzewa.

– To nie w porządku, Tom – poskarżyła się Alice. – Nic się nie zmieniło. Nieważne, co robię, stary Gregory nigdy mi nie zaufa. Dlaczego nie mogę pójść z wami? Spróbuj znów z nim pogadać.

– Postaram się – odparł Tom – ale wiesz, jaki bywa uparty. Chce ruszyć jutro wczesnym rankiem, ale pewnie nie będzie nas tylko kilka dni, Alice. Możesz wygodnie zaczekać tutaj.

– Pewnie i tak będzie mi tu lepiej! – odparowała Alice. – Wy dwaj idźcie sobie i grzebcie w stosach zapleśniałych książek. A teraz wracaj do domu, Tom. Ja pójdę na spacer, żeby wszystko przemyśleć. Po przechadzce poczuję się lepiej.

– Nie bądź taka, Alice. To nie moja wina i dobrze o tym wiesz.

Alice jednak nie słuchała: ruszyła powoli w moją stronę i po chwili Tom skłonił głowę, zawracając do domu. Przechodząc obok, Alice zerknęła w moim kierunku. Znów wstrząsnął mną widok jej siwych włosów – pozostałości po porwaniu w Mrok i męczarniach, jakich zaznała z rąk Złego i jego sług. Uśmiechnęła się i powędrowała dalej, opuszczając ogród i przeprawiając się przez pola w stronę dróżki. Wywęszyła moją obecność i domyśliła się, że nie chcę, by Tom mnie zobaczył.

Podążyłam za nią w stronę drogi i dalej, w cień drzew. Przed opuszczeniem Irlandii Alice nawiązała ze mną kontakt i opowiedziała o swoich przeżyciach w Mroku. Wciąż nie mogłam przywyknąć do widoku jej siwych włosów.

Kiedy się zbliżyłam, oczy Alice rozszerzyły się.

– Gdzie jest głowa Złego? – spytała ostro.

– Mają ją nasi wrogowie, Alice. Zdobyli ją wczoraj, a teraz zmierzają z nią na wybrzeże – najpewniej do Liverpoolu. Potrzebuję twojej pomocy!

Alice wyglądała na przestraszoną – i nie bez powodu. Gdyby sługom Złego udało się połączyć głowę z ciałem, ich pan znów wędrowałby po Ziemi. Tom i Alice nie mogli już liczyć na ochronę słoja krwi. Przede wszystkim chwyciłby ich i zawłókł w Mrok, gdzie czekałyby ich wiekuiście męki.

– Jakiej pomocy? Co mogę zrobić?

– Chodzi o moją magię, Alice. Zużyłam ją całą.

– Magia to nie wszystko. Jesteś Grimalkin. Możesz posłużyć się nożami. Polować na nich kolejno. Co z tobą nie tak? Nigdy nie widziałam cię takiej! Czego ode mnie chcesz?

– Noże nie wystarczą, Alice. Nieprzyjaciół jest zbyt wielu. Potrzebuję własnej magii, by odbić ich czary, zamaskować się i zachować element zaskoczenia. I pozostaje jeszcze krecz – stworzony specjalnie, by mnie zabić i odebrać głowę. To potężny przeciwnik. Zabił już jedną z lamii strzegących Wieży Malkinów. Jego szpony powleka śmiertelna trucizna. Ciężko mnie zranił, Alice; i wciąż mam napady słabości.

– Moja ciotka, Agnes Sowerbutts, może ci pomóc. Niektórzy pewnie się nie zgodzą, ja jednak uważam, że to najlepsza uzdrowicielka w Pendle.

– Próbowала. Zawróciła mnie z progu śmierci, lecz trucizna pozostawiła trwałe spustoszenia. Nie uwierzysz, jak bardzo jest źle. Agnes nie żyje. Oni ją zabili. Zabili też Thorne i odcięli jej kciuki, kiedy jeszcze żyła i...

Zamierzałam powiedzieć coś jeszcze o odwadze Thorne i o tym, jak mnie ocaliła po walce z kreczem, ale nie mogłam, bo gardło ścisnął mi żal.

Kiedy do Alice dotarło pełne znaczenie moich słów, jej oczy zaokrągliły się ze zgrozy.

– Potrzebuję więc trochę twojej magii, Alice. Masz jej mnóstwo. Przelej część we mnie.

– Nie! – wykrzyknęła, zaciskając pięści. – Nie zrobię tego. Sama odbuduj swoje zapasy! Poradzisz sobie.

Alice miała na myśli, że powinnam kogoś zabić, odciąć kciuki ofiarom i odprawić stosowne rytuały. Owszem, to było możliwe, ale brakowało czasu.

– Jeszcze dzień i tamci pożegną do Irlandii z głową Złego. Nie zdążę uzupełnić zapasów magii zwykłymi metodami. Przekaż mi część swojej mocy, Alice. Uzdrów mnie. Masz jej więcej, niż potrzebujesz. Potrafisz to zrobić.

Alice była wyjątkową czarownicą – z rzadko spotykanego rodzaju. Choć nie praktykowała rytuałów krwi, kości bądź pobratymców, dysponowała własną, wrodzoną mocą – olbrzymią wrodzoną mocą, stanowiącą część jej istoty, część bycia Alice.

– Nie mogę jej tknąć i dobrze o tym wiesz! – odpaliła Alice. – Jeśli użyję Mroku, sama stanę się jego częścią. A przecież tego nie chcę, prawda?

– Już wcześniej z niej korzystałaś – rzuciłam oskarżycielsko.

– To prawda. Zrobiłam to w Irlandii, by ocalić Toma, i nie mogę ryzykować powtórki.

– Musisz zaryzykować. W przeciwnym razie Zły przyjdzie po ciebie, i to wkrótce. Jak długo zajmie im odkopanie go z jamy i połączenie głowy z ciałem? Nawet licząc podróż morską i jazdę przez Irlandię do Kerry, może się tu zjawić w ciągu tygodnia. Przyjdzie też po Toma! Oto, ile czasu ci pozostało, Alice, jeśli mi nie pomożesz.

Długi czas Alice milczała; w końcu przemówiła, niewiele głośniejszym szeptem:

– No dobrze, pójdę z tobą. Ruszmy za nimi i zobaczymy, jak się sprawy mają, ale

niczego nie obiecuję. Zaczekaj tutaj – pójde uprzedzić Toma.

– Nie, to byłby błąd. Nie chcemy narażać jego ani jego mistrza. Poza tym jutro dokądś się wybierają. Podśluchałam waszą rozmowę w ogrodzie. Nie będzie ich parę dni; zanim wrócą, wszystko i tak się zakończy.

– Chcą się udać na wschód, na granicę Hrabstwa – wyjaśniła Alice. – Stary Gregory słyszał o zbiorze ksiąg na temat Mroku. Ma nadzieję zdobyć ich część i odtworzyć swoją bibliotekę. Masz rację. Nie mieszajmy do tego Toma ani starego Gregory'ego.

I tak bez dalszych ceregieli ruszyliśmy na zachód. Po paru godzinach odnalazliśmy ślad nieprzyjaciół i maszerowaliśmy w stronę wybrzeża.

## ROZDZIAŁ 22

### BEZECNA WIEDZMA

*Alice Deane ma potencjał,  
by zostać najpotężniejszą czarownicą w dziejach.*

Bardzo ostrożnie podążaliśmy za naszymi wrogami, stopniowo ich dościgając; kiedy wywęszyliśmy, że rozbili na noc obóz, dzieliły nas od nich zaledwie dwie mile.

Zatrzymaaliśmy się w niewielkim zagajniku, patrząc, jak ich ogniska rozbłyskają niczym świetliki. Byliśmy blisko, już teraz groziło nam niebezpieczeństwo. Skoro my mogliśmy ich wywęszyć, to oni nas także. Całkiem możliwe, że wyślą część oddziału, by się z nami rozprawiła.

– Alice, musisz posłużyć się swoją magią, by nas osłonić. Mimo moich wysiłków, krecz zdołał mnie odnaleźć, toteż zaklęcie musi być najsilniejsze, jakie zdołasz rzucić.

Alice przytaknęła, po czym usiadła oparta plecami o pień drzewa, zamknęła oczy i zaczęła mamrotać do siebie. Księżyc świecił na niebie, rzucając na ziemię rozedrgane cienie. W jego blasku przyjrzałam się twarzy towarzyszki. Nawet bez siwych włosów wyglądała starzej. Wciąż należała do dziewczyny, lecz kryła się w niej dojrzałość wykraczająca poza jej wiek. Zbyt wiele widziała.

Kiedy otworzyła oczy, na moment przeżyłam wstrząs. Wciąż były młodzińcze i ładne, odniosłam jednak wrażenie, jakby spoglądała na mnie starożytna, potężna istota; coś nieludzkiego, żyjącego na Ziemi od zarania czasu. Trwało to zaledwie sekundę i zniknęło,

gdy się uśmiechnęła, mimo to jednak zadrżałam.

– Zrobione – oznajmiła. – Już nas nie znajdą.

– W takim razie musisz spróbować mnie uleczyć – oznajmiłam. – Zrób to teraz. Najpierw mnie ulecz, a potem przekaż część magii.

Uśmiech zniknął z jej twarzy.

– Nie jestem pewna, czy sobie poradzę – odparła.

Przekazanie mi mocy było możliwe. Czarownice z Pendle robią to czasem – choć niechętnie; są jak lichwiarze, oczekują, że później zyskają trzy razy więcej. Możliwe jednak, że Alice nie zdoła mnie uzdrowić. Agnes się nie udało, a leczenie stanowiło jej specjalność. Czasami sama moc po prostu nie wystarczy. Jak się jednak okazało, Alice nie wątpiła w swoje zdolności – bała się skutków.

– To prawdziwa mroczna magia, zbyt wiele może mnie kosztować. – Tym razem to ona zadrżała. – Mogę stać się w pełni bezecną wiedźmą. To dlatego stary Gregory mi nie ufa. Zawsze wierzył, że tak skończę.

Wzruszyłam ramionami.

– Bycie bezecną wiedźmą nie jest takie złe, Alice. Ja sama nią jestem. Nie będziesz gorsza ode mnie. Nie możesz walczyć z własną naturą. Może do tego się urodziłaś.

– Istnieją gorsze czarownice od ciebie, Grimalkin. Ty kierujesz się kodeksem honorowym. Nie zabijasz dla zabawy, lecz tylko tych, którzy zasłużyli na śmierć. Uwielbiasz polować na silnych przeciwników, którzy nie poddadzą się bez walki, ale nie tłamsisz słabszych.

Inne czarownice tak robią, napawają się własną mocą i uwielbiają krzywdzić ludzi. Nie chcę stać się jedną z nich. Boję się, że czerpiąc z mocy, którymi mnie obdarzono, tak właśnie skończę. Lepiej nie zapominaj, kim jestem – córką Złego!

– Zawsze będziesz tym, co ci przeznaczył los, Alice. Tak jak Tom Ward, masz przed sobą drogę, którą musisz podążać, wykonać niezbędne kroki, inaczej nigdy nie spełnisz swoich możliwości. A teraz mnie ulecz i przekaż część mocy. Zrób to, proszę – w przeciwnym razie Zły znów zacznie krążyć po Ziemi. Przyjdzie po ciebie, a potem po Toma.

Alice zadygotała, w końcu jednak skinęła głową.

– Nie mam wyboru, prawda? Uklęknij z twarzą na północ, a ja zrobię, co mogę.

Posłuchałam, padając na kolana i zwracając się ku północy – w stronę świata, najkorzystniej wpływającą na uzdrawianie i przekaz magii.

Alice położyła mi dłonie na czole.

– Najpierw spróbuję cię uleczyć – oznajmiła niewiele głośniejszym głosem niż szept.

Sama nie wiem, czego oczekiwałam.

Dla uzdrowicielek, takich jak Agnes Sowerbutts, zioła i wyciągi z roślin są równie ważne, jak słowa i rytuały. Wiedziałam, że Alice także podaje ludziom leki i nosi je w skórzanej sakwie, teraz jednak przyłożyła mi tylko dłonie do głowy. Nawet nie zanuciła zaklęcia.

– To naprawdę trudne – rzekła po chwili. – Trucizna wniknęła głęboko. Dostała się do każdej cząstki twego ciała. W niektórych miejscach uszkodzenia są subtelne, w innych wyraźne i bardzo rozległe. Będę musiała użyć więcej magii, ale boję się, że cię zranię. Istnieje nawet możliwość, że proces mógłby cię zabić – uprzedziła.

– Nie troszcz się o to – odparłam. – Wolę zginąć, niż pozostać słabszą wersją siebie.

– To twój wybór. Ale jeśli umrzesz, kto odzyska głowę Złego?

– W obecnym stanie i tak nie zdołam jej odzyskać, więc jaka to różnica? Jeśli umrę, idź, sprowadź Thomasa Warda. Działajcie razem. Tylko we dwoje macie szansę w walce z naszymi wrogami.

Poczułam, jak palce Alice zadrżały lekko, potem wpiła je w moją czaszkę i świat wokół zawirował. Mój oddech stopniowo przyspieszał, podobnie tętno. Zaczęłam się trząść. W brzuchu i piersi czułam ostre bóle, jakby coś niewidzialnego wbijało mi raz po raz igłę w ciało.

Szybko proces osiągnął punkt krytyczny. Serce waliło mi tak szybko, że poszczególne uderzenia zlewały się w jedno, krew zdawała się wibrować w żyłach. Miałam wrażenie, że umieram. Potem jednak z czubków palców Alice wypłynęła fala ciepła i upadłam na twarz, na moment tracąc przytomność.

Poczułam, jak Alice podnosi mnie na klęczki i otworzyłam oczy.

– Jak się czujesz? – spytała.

– Słabo – odparłam, świadoma, że serce znów bije mi wolno i miarowo. – Udało ci się?

– Tak, jestem tego pewna – Alice uśmiechnęła się z dumą. – Ostatnie ślady trucizny i jej skutków zniknęły z twego ciała.

Jej wyczyn był doprawdy imponujący – więcej, zdumiewający. Tam, gdzie Agnes, mimo swych zdolności i wiedzy, nie zdołała znaleźć lekarstwa, Alice się udało. Wciąż była dziewczyną – lecz jak potężna się stanie, gdy dorośnie i osiągnie pełnię sił czarownicy? Czy mogłam mieć u boku lepszą sojuszniczkę? Poczułam, że jest nadzieja, by pokonać Złego.

– Dziękuję ci za to, Alice. Teraz użyj mi niezbędnej magicznej mocy – mocy

odzyskania głowy Złego i rozprawienia się z wrogami.

Ponownie Alice położyła na mnie dłonie. Przez moment zwlekała, wyczułam jej wahanie i spjrzałam gniewnie. Potem odetchnęła głośno i zaczęła nucić zaklęcie przekazania; po kilku sekundach poczułam mrowienie, które z głowy pobiegło w dół szyi, aż do serca, a potem kończyn. Oddała mi część swojej magii – całe mnóstwo magii. Moc wlewała się wprost w moje ciało. Nie będę musiała czerpać jej z naszyjnika; będzie dostępna, kiedy tylko zechcę. Proces ten trwał bardzo długo. Czułam się wspaniale.

Przepełniła mnie nowa nadzieja. W końcu uwierzyłam, że nam się uda.

\*

O pierwszym brzasku znów podążyliśmy tropem nieprzyjaciół, teraz widziałam już jasno, że nie zmierzają jednak do Liverpoolu. Ich szlak wiódł bardziej na zachód. Kierowali się wprost ku morzu, wiele mil na północ od miasta.

– Nie chcą zwracać na siebie niepotrzebnej uwagi, prawda? – rzuciła Alice. – Tak wiele czarownic i krecz – lepiej dla nich nie wchodzić nikomu w paradę. Liverpool to bardzo ruchliwy morski port. Ma własną milicję, która dba o interesy bogatych kupców. Ci żołnierze amatorzy nie przyjęliby mile bandy czarownic, wchodzących do miasta. Szukają zatem spokojniejszego miejsca. Może jednej z wiosek na północy? Stamtąd pošłą parę wiedźm do Liverpoolu, by zastraszyły kapitana i załogę.

– A jeśli odeślą tych parę czarownic prosto do Irlandii z głową? W takim razie będą potrzebować jedynie niewielkiej rybackiej łodzi – wtrąciłam.

– Podążyłabyś za nimi? – spytała Alice.

– Jeśli trzeba, owszem – odparłam. – Ale miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie.

Jak się okazało, obie się pomyliłyśmy. Wędrowaliśmy teraz po porośniętej mchami równinie i mimo magii Alice było nas widać na tle nieba, toteż pozwoliłyśmy, by ścigani oddalili się o kolejną milę.

Wówczas w dali ujrzeliśmy kotwiczący u brzegu statek – duży trójmasztowiec pod pełnymi żaglami. Właśnie zmieniał się przyływ i żaglowiec był gotów do drogi. Wrogowie przygotowali wszystko z góry, wynajęli statek i musieli za pomocą lustra przekazać wiadomość innym wiedźmom, czekającym na pokładzie.

Ruszyliśmy biegiem, kiedy jednak dotarliśmy do brzegu, ujrzeliśmy w oddali krecza i parę czarownic.

Stali na piasku, przyglądając się statkowi – który zaczynał już zawracać, a wiatr wydymał żagle. Większość wrogów znalazła się na pokładzie. Mieli ze sobą głowę Złego. Przybyliśmy za późno.

– Będę musiała ruszyć za nimi. Potrzebujemy własnej łodzi – wskazałam ręką odległą wioskę. – To Formby; znajdziemy tam rybaków.

Alice pokręciła głową.

– Mają wielki statek i mnóstwo żagli. Dopłyną do Irlandii na długo przed rybacką łodzią. Przygotowali wszystko, o tak. Szybkie zaprzęgi koni już czekają, żeby zabrać ich na południowy zachód. Dotrą do Kenmare na długo przed tobą.

Oczami duszy znów ujrzałam wioskę Kenmare: kamienny krąg, wielki głaz w jego sercu i ziemię skrywającą płaski kamień, pod którym spoczywało ciało Złego, nabite na srebrne włócznie. Zobaczyłam, jak nieprzyjaciele wykopują je, uwalniają i łączą z głową. Ujrzałam wściekłość na twarzy potwora, trawiącą go żądzę zemsty. Urodziłam mu dziecko, więc nie mógł do mnie przyjść, jeśli sama się nie zgodzę. Ale Alice i Tom jako pierwsi padną ofiarą jego gniewu, a wraz ze śmiercią Toma na zawsze stracę ostatnią szansę zniszczenia Złego. W końcu ja także umrę, a nawet martwa wiedźma nie może wiecznie kryć się w jarze. Z czasem trafię w Mrok, on zaś będzie na mnie czekał – dla nieśmiertelnych czas nie ma znaczenia.

– Musisz użyć swojej magii, Alice. Nie możemy pozwolić im uciec. To oznaczałoby koniec dla nas wszystkich: ciebie, mnie, Toma i Johna Gregory'ego. Z pewnością coś zdołasz poradzić.

– Istnieje sposób, ale słono za niego zapłacę! – Głos Alice ociekał goryczą. – Lecz jaki mam wybór? Wszystko zmawia się przeciw mnie. Zupełnie jakby z góry miało się wydarzyć. Nie mam wyboru, muszę podążać wyznaczonym szlakiem.

Uniosła ręce i wycelowała w niebo; potem zaczęła nucić. Z początku brzmiało to tylko jak zwykła piosnka, śpiewana pod nosem, kiedy jednak zaczęła wirować, jej głos stopniowo wznosił się coraz wyżej i wyżej.

Z południowego wschodu wiał wiatr, wypełniający żagle statku, teraz jednak nagle ucichł. Patrzyłam, jak żagle opadają.

Czy to właśnie próbowała osiągnąć Alice Deane? Za pomocą magii uwięzić statek i nie pozwolić mu pożegłować do Irlandii? Jeśli tak, jak długo zamierzała go tu utrzymywać?

– Co chcesz zrobić, Alice? – spytałam ostro.

Musiał istnieć lepszy sposób rozprawienia się z naszymi wrogami.

Alice jednak nie odpowiedziała; pogrążona w głębokim magicznym transie, zbierała swe moce.

Nie musiałam się martwić, bo po paru sekundach nastąpiła dramatyczna zmiana. Wiatr znów się zerwał, lecz tym razem z innego kierunku. Od zachodu, od morza, wiejący

nam wprost w twarze. Wzbił z plaży tumany piasku i posłał ku mnie morską pianę, parząc mi policzki – zasłoniłam je dłońmi, zerkając przez rozcapierzone palce.

Ujrzałam, jak czarownice i krecz obracają się i kulą na piasku, zwróceni plecami do fal – byli znacznie bliżej morza, słony pył wodny palił ich jak ogień. Słona woda jest dla czarownic śmiertelnie groźna. Te na pokładzie nosiły ochronne kapelusze i rękawiczki – może też wydziergane na drutach maski, kryjące twarze – i ukrywały się w ładowni. Mimo gorączkowych wysiłków załogi, statek zawracał, coraz szybciej i szybciej, a wzbierające fale zaczęły unosić go ku brzegowi.

Alice nadal nuciła i wirowała, przenikliwy skowyt wiatru niemal zagłuszał jej słowa. Znad morza napływały czarne chmury, huragan wciąż popychał statek.

Nie ma mowy, by załoga zdołała zawrócić. Wkrótce wpadną na mieliznę.

Lecz czarownice czekała gorsza niespodzianka. Niebo na zachodzie rozdarła rozwidlona błyskawica, po niecałej sekundzie moich uszu dobiegł niski grzmot, niczym warkot olbrzymiej, mściwej bestii. Drugi rozbłysk nastąpił dokładnie w tym samym momencie. Trzeci piorun rozświetlił całe niebo i trafił w środkowy maszt statku, który natychmiast stanął w ogniu. Zapłonął cały żagiel, a potem, chwilę później, drugi i trzeci. Słyszałyśmy krzyki i wrzaski ludzi na pokładzie, niesione ku nam wiatrem.

Co będzie pierwsze? Czy statek wpadnie na mieliznę, czy też spłonie? Tak czy inaczej, nie było to zdecydowanie miejsce dla czarownic. Albo zginą w płomieniach, albo też zanurzą się w słonej wodzie.

I wtedy ujrzałam postaci zsuwające się po linowej drabince do dwóch małych szalup, uczepionych rufy statku. Jedna z czarownic wrzasnęła, wpadając w fale. Szarpała się gwałtownie, po sekundzie utonęła. Pozostałe zdołały stłoczyć się w łodziach. Niektóre może nawet przeżyją.

Zerknęłam na Alice i ujrzałam uniesienie na jej twarzy. Radowała się swoją mocą, napawała nią. I czemuż by nie? Dała właśnie niewiarygodny pokaz magii. Nawet po tygodniach przygotowań cały klan Malkinów zapewne nie zdołałby dorównać temu spontanicznemu pokazowi czystej mocy.

Teraz nadeszła najlepsza pora do ataku. Powinam wybić wiedźmy, gdy będą schodzić na brzeg – krecza także, jeśli wejdzie mi w drogę. W tym momencie jednak Alice przestała się kręcić i runęła na ziemię. Szybko podbiegłam i uklęknęłam obok.

Przez jedną straszną chwilę sądziłam, że jej duch opuścił ciało. Zdarza się czasem, że czarownica zanadto się wysili i zużyje tak wiele mocy, iż jej ciało przestaje funkcjonować. Choć Alice ledwie oddychała i była o włos od śmierci, w jakiś sposób zdołała ucześcić się



życia. Westchnęłam z ulgą.

Najbliższy kryzys został zażegnany. Chwilowo nasi wrogowie nigdzie nie odejdą. Podniosłam zatem Alice, zarzuciłam na ramię i wycofałam się z wybrzeża.

Schroniłam się na porzuconej farmie. Z domu zostały tylko trzy ściany, zapewnią jednak osłonę przed zimnym zachodnim wiatrem. Dach nie ochroni nas przed deszczem – pozostały z niego jedynie drewniane belki, żebra, nad którymi księżyc w trzeciej kwadrze przeświecał pomiędzy rozpędzonymi plamami chmur.

Jeśli wrogowie wciąż mają głowę Złego, odbiorę im ją później. Być może zatoneła na dnie morza. To przynajmniej ochroni ją przed czarownicami. Bez wątpienia jednak z czasem zdołają ściągnąć kogoś, kto zanurkuje i ją odzyska. Tymczasem jednak niebezpieczeństwo minęło: mogłam rozprawić się z nimi spokojnie, zabijając kolejno. Zadrzałam z rozkoszy. Długo na to czekałam i zamierzałam się rozkoszować każdym kęsem zemsty.

Postanowiłam zająć się Alice i wrócić do nich po zmroku. Otworzyła oczy i spojrzała na mnie, potem spróbowała usiąść. Wysiłek okazał się zbyt wielki, toteż dodającym otuchy gestem położyłam jej dłoń na ramieniu. Powieki Alice opadły.

– Śpij – poleciłam cicho. – Jesteś wyczerpana.

Stawiła opór, na próżno usiłując znów otworzyć oczy; po kilku chwilach po rytmie oddechu oceniłam, że zapadła w głęboki sen. Istotnie, tak potężna magia musiała ją zmęczyć, ale też podałam jej coś, co miało sprawić, że pośpi co najmniej do świtu. Wykorzystałam mieszankę dwóch ziół. Wypiła trzy łyki, to wszystko, lecz dość do moich celów.

Spojrzałam na jej włosy i uśmiechnęłam się. Przy skórze robiły się ciemne. Wkrótce odrosną równie czarne, jak wcześniej. Ale czy jej umysł ozdrowieje równie szybko? Poważnie w to wątpiałam. Niewiele osób ucierpiało z rąk Złego tak bardzo jak Alice.

\*

Rozbitkowie ze statku zebrali się w lesie, trzy mile na południe od nas. Niepostrzeżenie podeszłam do nich blisko i wywęszyłam, jak się sprawy mają. Teraz przeprowadzałam ostatni zwiad, tym razem osłaniając się potężną magią. Zbliżyłam się. W sumie z ich grupy pozostała najwyżej trzydziestka, lecz ku mej radości ujrzałam, że osiem czarownic cierpiało na skutek zetknięcia ze słońną wodą, dwie zatrute tak mocno, że czekała je niechybna śmierć. Węszyłam wielokrotnie, by dowiedzieć się jak najwięcej. Cudownie się czułam, odbierając przygnębienie i zniechęcenie wrogów. Większość czarownic wyraźnie się bała; ostatecznie zawiodły swego pana, Złego. Obawiały się jego

gniewu.

Z pomocą swej magii odkryły już, w jaki sposób został zniszczony statek, i bały się Alice oraz mocy, którą dysponowała. Lecz mnie lękały się także.

Tylko mag i krecz wciąż wierzyli, że zdołają mnie pokonać. Co jednak najważniejsze, dowiedziałam się, że nadal mieli przy sobie głowę Złego. Zabrał ją mag, Bowker. Zależało mu przede wszystkim na niej. Uśpiłam Alice, bo chciałam ją chronić; gdyby ze mną poszła, istniała możliwość, że ktoś ją zrani. Ale też pragnęłam osobiście zemścić się na wrogach. Poza tym zawsze wolałam pracować sama.

## ROZDZIAŁ 23

### OCH , PANIE WILKU!

*Czy jesteś moim wrogiem?*

*Człkiem silnym, zręcznym i szybkim?*

*Wyszkolonym wojownikiem?*

*Dla mnie to bez znaczenia. Uciekaj! Biegnij do lasu!*

*Dam ci parę chwil wyprzedzenia – godzinę, jeśli zechcesz.*

*Ale nigdy nie okażesz się dość szybki.*

*Wkrótce doścignę cię i zabiję.*

Nim zostawię śpiącą Alice, znów myślę o biednej Thorne i żal ściska mi żołądek. Konstruję go jednak, wspominając szczęśliwe chwile, które ze sobą dzieliłyśmy, to, jak stawała się coraz silniejsza, zręczniejsza, lepsza, niż śmiałam oczekiwać. W końcu, zanim porzucę wspomnienia, mój umysł powraca do pytania, które kiedyś mi zadała:

– Czy kiedykolwiek odcięłaś kciuki wrogom, którzy jeszcze żyli?

Wówczas odmówiłam odpowiedzi. To moja sprawa, nie powinna zajmować innych. Odpowiada mi jednak, jeśli wrogowie tak myślą. To dlatego wycinam symbol nożyczek na drzewach, by ich ostrzec.

Teraz jestem gotowa – gotowa zabić, zabić ich wszystkich. Stałam się matką śmierci. Drepcze tuż za mną, uczepiona spódnicy, chichocze radośnie, pozostawiając na zielonej trawie czerwone, krwawe ślady stóp. Czy słyszycie jej śmiech? Nasłuchujcie go w krakaniu wron i kruków, które wkrótce posilą się ciałem moich ofiar!

Stoję na skraju lasu. Dzięki uleczeniu i zastrzykowi magii Alice jestem silna; być może silniejsza niż kiedykolwiek przedtem. Osłoniłam się tak dobrze, że wrogowie nie mają pojęcia o mojej obecności. Perspektywa bitwy mnie podnieca; jestem gotowa walczyć i zabijać. Choć oczekują ataku, nie znają dokładnie chwili, gdy nadejdzie, ani kierunku, z którego nastąpi. Dzięki temu zachowuję element zaskoczenia.

Noże czekają gotowe w pochwach, podobnie nożyczki. Kiedy zabiję nieprzyjaciół, odbiorę im kciuki. Dzięki temu jeszcze bardziej zwiększę zapas mocy. Muszę odzyskać głowę Złego i ochronić przed tymi, którzy pragną ją zdobyć. Potrzebuję zatem wszelkiej dostępnej magii. Muszę też zwrócić Alice to, co pożyczyłam. Bez wątpienia któregoś dnia będzie jej potrzebne.

Atakuję. Jestem szybka, och, jakże szybka. Nigdy jeszcze nie byłam szybsza.

Jedna z czarownic biegnie ku mnie z lewej. Dobywam noża i ciskam płynnym ruchem. Klinga trafia wiedźmę w gardło, a ta pada ciężko – pierwszy zabity wróg.

Gdzie się podziewa krecz?

Węszę i natychmiast pojmuję, że jest daleko w dole, po lewej. Rozdziela nas wielu nieprzyjaciół. Nieważne. Zabiję ich wcześniej. W lewej dłoni ściskam długą klingę. Wymierzam cios i zabijam pędzącą ku mnie wiedźmę. Do tej pory wszystkie mnie już wywęszyły. Gromadzą się, zagradzając mi drogę między drzewami. Zwalniam zatem i skręcam lekko, by pociągnąć je za sobą.

W końcu zatrzymuję się na niewielkiej polanie, czekając, aż zaatakują. Okrążają mnie i zbliżają się szybko między drzewami. Nie mogą się już doczekać chwili, gdy mnie dopadną. Krąg staje się coraz ciasniejszy, słyszę tupot stóp, rozbrzmiewający coraz głośniej i głośniej. Po sekundach pierwsze wypadną spośród drzew i znajdują się na polanie.

Jestem gotowa.

Oto miejsce kaźni.

Daleko poza kręgiem noży krecz nadal czeka, z magiem u boku.

Och, panie Wilku! Wkrótce nadejdzie kolej na ciebie!

Najodważniejsze z czarownic podbiegają szybko.

I giną jako pierwsze. Wiruję w piruecie, tnę i tańczę, dźgam i pcham, aż powietrze wypełnia się wrzaskami, przekleństwami i krzykami nieprzyjaciół; a moje stopy ślizgają się w ich krwi.

Za nimi pojawiają się kolejne: Lisa Dugdale, Jenny Croston i Maggie Lunt. To trójka z Pendle, która przywiązała noże do długich tyczek. Próbują dźgać z daleka – tak by nie

ryzykować własnym zdrowiem. To one zabiły lamię Wynde, gdy leżała bezbronna ze złamanym skrzydłem w szczękach krecza; to one tchórzliwie próbowały przebić zbroję rycerza, kiedy leżał powalony, zdany na ich łaskę. Z głęboką radością tysiącrotnie odplacę im tym samym. Je zatem okaleczam, zamiast zabić z miejsca. Uciekają, kuśtykając, w nadziei, że ukryją się w bezpiecznym miejscu. Później na nie zapoluję. To będzie smakowita zemsta.

Czarownice wycofują się i zaczynają uciekać. Teraz pozostali już tylko mag i krecz. Bowker występuje naprzód, z workiem na ramieniu, i celuje w moją głowę czaszką małego gryzonia. Nuci i coś niewidzialnego, lecz śmiertelnoścnego przepływa ku mnie; dzwoni mi w uszach.

Chwieję się i omal nie padam, nagle robię się słaba i bezbronna. Bowker ze śmiechem rusza ku mnie, wciąż celując bronią w moją głowę; w drugiej dłoni unosi nóż.

– To ja odciąłem kciuki dziewczynie, Grimalkin! A teraz zabiorę i twoje! – krzyczy.

Jest dziesięć kroków ode mnie, kiedy zbieram siły, czerpiąc z magii, którą przelała we mnie Alice. Jest mocniejsza od jego broni, potężniejsza niż wszystko, czym dysponuje. Wyszczierzam zęby, dobywam z pochwy sztylet i ciskam nim w maga. Ostrze wbija się w jego nogę, a on pada na kolana. Widząc śmierć w moich oczach, obraca się i ucieka, kuśtykając między drzewa, pozostawiając za sobą na trawie ślad krwi. Wciąż dźwiga głowę Złego, lecz nie ucieknie daleko. Wkrótce będzie mój.

– Panie Wilku! – krzyczę. – Teraz kolej na ciebie! Jestem tutaj! Jestem Grimalkin! Teraz będziemy walczyć na śmierć i życie!

Krecz biegnie ku mnie, wyciągając przednie łapy, zamierza rozedrzeć mnie na sztuki. Unosi się na tylnych nogach i z góry tnie pazurami.

Obracam się i uskakuję, unikając ostrych, zatrutych szponów. Rękojeść mojego noża trafia go mocno w pysk, zamieniając go w krwawą miazgę. Przypominam sobie, że to samo uczyniłam ze Złym, i uśmiecham się.

– Och, panie Wilku! Jakie miałeś wielkie zęby!

Śmieję się, a on potrząsa głową, z pyska sypią się połamane zęby, niektóre czerwone od krwi. Kipi wściekłością, ja zaś odbiegam; teraz warczy i obraca się, niczym wściekły pies, próbujący złapać własny nieuchwytny ogon. Jest jednak powolny, taki powolny, a ja zręczna i gibka. Tańczymy razem; to taniec śmierci, który mi przyrzekł.

– Och, panie Wilku! Jakie miałeś wielkie oczy! Mówię prawdę, bo moje noże odebrały mu je, wnikając szybciej niż myśl prosto pod kościane osłony. Teraz krecz znów jest ślepy. Tym razem nie będzie miał czasu, aby dojść do siebie. Tym razem czeka go jedynie

śmierć.

Tnę i dźgam, niczym w szale. Lecz każdy cios jest starannie wymierzony, każde cięcie wyliczone i precyzyjne – aż w końcu krecz słabnie, a jego krew wsiąka w ziemię.

– Och, panie Wilku! Jakie miałeś wielkie serce! Teraz trzymam w dłoni serce krecza. Z początku wciąż bije, wkrótce jednak milknie i zaczyna stygnąć. Siekam je na kawałeczki i rozrzucam po ziemi krwiste strzępy. Potem ćwiartuję ciało i rozrzucam z wiatrem.

Kruki i wrony porządnie się posilą.

Lecz jego kciuki zatrzymuję. Później dołączą do innych wokół mojej szyi.

## ROZDZIAŁ 24

### ŁOWY

*Moja ulubiona broń to długi nóż; używam go do walki z bliska.  
Sądziysz, że zdołasz mnie pokonać?  
Już tkwi w twoim sercu!*

Krecz już nie żyje, a ja dotrzymuję słowa; Zabójcy Thorne także muszą umrzeć.

Zaczynam zatem łowy.

Łamię kręgosłup Lisy Dugdale.

Zawieszam ją na dębie za palce u nóg; Wysączam z niej krew; zabieram kości.

Topię Jenny Kronston w głębokim, zimnym stawie.

Przytrzymuję jej głowę pod wodą, patrzę, jak się szarpie.

Wysączam z niej krew i zabieram kości.

Maggie Lunt błaga niczym przerażone dziecko.

Zabijam ją szybko; mój nóż przebija jej serce.

Wysączam z niej krew i zabieram kości.

W końcu chwytam i zabijam maga Bowkera; Zabieram mu kości; wysączam zeń krew.

I tak Thorne zostaje pomszczona – któż bowiem pozostał, by rzec: „Zabraliśmy jej kości”?

Nikt, bo wszyscy nie żyją.

A ja odcięłam im kciuki.

Jestem Grimalkin.

## ROZDZIAŁ 25

### ŻAŁOSNY TO WIDOK

*Wyczuwam twoją groźbę!  
Jak jesteś silny?  
Godzien mojego czasu?  
Czy mam cię poszukać w lustrze?*

Siadam na ziemi, krzyżując nogi, pod osłoną głogowego żywopłotu, i wyciągam głowę Złego z worka ze skóry. Kładę ją przed sobą na trawie.

Wiedźmy nie próbowały przeciąć szwów na jego oku, wyciągnęły jednak z ust zielone jabłko i różane ciernie. Głowa jęczy, odsłaniając żółte pieńki zębów.

– Znów zwyciężyłam! – krzyczę. – Mimo wysiłków twoich sług nadal pozostajesz w moich rękach. Krecz i reszta bandy nie żyją!

Zły nie odpowiada. Nawet kiedy trącam mocno kijkiem powiekę zaszytego oka, nie reaguje. Głowa jest zimna, nieruchoma, cicha, zupełnie jakby Zły ją porzucił i powrócił w Mrok. Ale to niemożliwe, bo tkwi w niej uwięziony.

Nie odpowiada, bo chwilowo został pokonany. Zwyciężyłam, jego ludzie zginęli, a on nie może znieść rozmowy ze zwycięzcą. Głęboko go zraniłam i bardzo mnie to cieszy.

Nie mam już pod ręką jabłka ani cierni; zamiast tego zbieram garść pokrzyw oraz gałązek głogu i bardzo mocno wpycham wszystko do ust Złego. A potem z uśmiechem tryumfu znów chowam głowę do worka.

Ta część walki ze sługami Złego już się zakończyła. Bez wątpienia wkrótce pojawi się nowa groźba. Najważniejsze zatem, by Tom Ward wyruszył do Wieży Malkinów i zbadał to, co pozostawiła mu w spadku matka. Udzielę mu wszelkiej pomocy, aby zdołał odkryć sposób, w jaki na zawsze zdołamy zniszczyć Złego!

## Krew stracharza

### Spook's Blood

# ROZDZIAŁ 1

## CZAS ODBUDOWY

Stracharz przysiadł na zwalonym pniu w swym ogrodzie w Chipenden. Przez gałęzie drzew przeświecały roztańczone promienie słońca, powietrze wibrowało od ptasich śpiewów. Był ciepły wiosenny poranek pod koniec maja – najpiękniejszy okres w Hrabstwie. Wyglądało na to, że sytuacja się poprawia. Ja siedziałem na trawie, łapczywie pochłaniając śniadanie, a tymczasem mój mistrz, dla odmiany wyraźnie zadowolony, uśmiechał się do siebie, patrząc w stronę domu.

Dochodziły stamtąd odgłosy piłowania; czułem zapach trocin. Robotnicy odbudowywali dom, poczynając od dachu. Budynek spalili żołnierze wroga, teraz jednak wojna w Hrabstwie dobiegła końca i nastał czas odbudowy, mogliśmy wrócić do swego życia stracharza i jego ucznia, walczących z najróżniejszymi stworami z Mroku – boginami, duchami, widmami i czarownicami.

– Nie pojmuję, czemu Alice odeszła ot tak, bez słowa – poskarżyłem się. – To do niej niepodobne. Zwłaszcza że wie, iż wkrótce ruszymy na wschód i nie będzie nas co najmniej parę dni.

Moja przyjaciółka Alice zniknęła trzy dni wcześniej. Rozmawiałem z nią w ogrodzie, na moment odszedłem, by powtórzyć coś stracharzowi, uprzedzając, że wrócę za kilka chwil. Kiedy się zjawiłem, jej już nie było. Z początku się nie martwiłem, potem jednak nie przyszła na kolację i od tej pory jej nie widziałem.

Stracharz westchnął.

– Wiem, że niełatwo ci się z tym pogodzić, chłopcze, ale możliwe, że odeszła na dobre. Ostatecznie przez dłuższy czas pozostawaliście razem, związani koniecznością użycia słoja krwi. Teraz Alice może wędrować swobodnie. A po tym, jak została zaciągnięta w Mrok i tam uwięziona, bardzo się zmieniła.

Słowa mistrza zabrzmiały surowo. Mimo faktu, że Alice od lat nam pomagała, nadal jej nie ufał. Urodziła się w Pendle i przez dwa lata pobierała nauki u wiedźmy; John Gregory byłby zadowolony, gdyby już więcej jej nie spotkał. Podczas wyprawy do Grecji Alice sporządziła słoje krwi, by nie dopuścić do nas Złego; w przeciwnym razie porwałby nas oboje w Mrok. Teraz już go nie potrzebowaliśmy. Uwięziliśmy Złego i odcięliśmy mu głowę – obecnie pozostającą pod pieczęcią Grimalkin, wiedźmy zabójczynie. Grimalkin uciekała przed sługami Złego. Gdyby udało im się połączyć głowę swego pana z jego ciałem, znów mógłby swobodnie krążyć po ziemi i z pewnością zemściłby się straszliwie. Skutki tego byłyby potworne nie tylko dla Hrabstwa lecz i dla całego świata: zaczęłaby się nowa era Ciemności. Ale na razie zyskaliśmy nieco czasu, by znaleźć sposób, który zniszczyłby Złego raz na zawsze.

Ostatnie słowa mistrza zabolowały mnie najbardziej. Zły zaciągnął Alice w Mrok; po powrocie uległa dramatycznej przemianie. Jej włosy zbielały, lecz prócz zmiany fizycznej obawiałem się też, że ucierpiała jej dusza – że bardziej zbliżyła się do Mroku. Alice lękała się tego samego. Może naprawdę już nie wróci? Może nie potrafi już przebywać w pobliżu ucznia stracharza? Po czterech latach wspólnego stawiania czoła niebezpieczeństwom bardzo się zaprzyjaźniliśmy i myśl o tym, że nasze drogi zaczynają się rozchodzić, bardzo mnie zasmuciła. Przypomniałem sobie coś, co powiedział mi kiedyś ojciec – choć był tylko zwyczajnym farmerem, nie brakło mu mądrości i gdy dorastałem, przekazał mi wiele prawd o życiu.

– Posłuchaj, Tomie – rzekł pewnego razu. – Musisz pogodzić się



z faktem, że na tym świecie wszystko podlega nieustannym zmianom. Nic nie pozostaje wiecznie takie samo. Musimy nauczyć się z tym żyć.

Miał rację: byłem szczęśliwy, mieszkając w domu z rodziną. Teraz mama i tato umarli i nie zdołałbym już powrócić do swego dawnego życia. Miałem jednak nadzieję, że moja przyjaźń z Alice jeszcze nie dobiega końca.

– Co to za miejsce: Todmorden? – spytałem, zmieniając temat. Dyskusje z mistrzem na temat Alice nie miały sensu.

– Cóż, chłopcze, obowiązki nigdy nie zawiodły mnie do tego miasta, ale wiem o nim co nieco. Todmorden leży dokładnie na wschodniej granicy Hrabstwa, wyznaczonej przez rzekę Calder. Połowa miasta należy do Hrabstwa, połowa pozostaje poza nim. Bez wątpienia ludzie zza rzeki mają inne zwyczaje i tradycje. Przez ostatnie dwa lata sporo podróżowaliśmy – najpierw do Grecji, potem na wyspę Monę i w końcu do Irlandii.

Każda z tych krain oznaczała nowe problemy i trudności do pokonania. Fakt, iż tym razem nasz cel nie jest aż tak odległy od domu, nie oznacza, że możemy pozwolić sobie na brak czujności.

Pożar, prócz domu, strawił też bibliotekę mistrza – dziedzictwo wielu pokoleń stracharzy, pełne wiedzy o tym, jak walczyć z Mrokiem. Teraz zaś otrzymaliśmy wiadomość, że w Todmorden można znaleźć zbiór ksiąg na temat Mroku. Tydzień wcześniej tajemniczy gość uderzył późnym wieczorem w dzwon na wierzbowych rozstajach i pozostawił nam liścik. Choć krótki, okazał się nader treściwy:

*Szanowny panie Gregory,*

*z wielkim smutkiem dowiedziałam się o zniszczeniu pańskiej biblioteki w Chipenden. Proszę przyjąć wyrazy współczucia. Jednakże mam nadzieję, że zdołam jakoś panu pomóc, dysponuję bowiem bogatym zbiorem ksiąg na temat Mroku. Może niektóre przydałyby się panu? Jestem gotowa sprzedać je za rozsądną cenę. Gdyby był pan zainteresowany, proszę odwiedzić mnie wkrótce w Todmorden. Mieszkam w domu na końcu ulicy Krzywej.*

*Jejmość Fresque*

Z całej biblioteki mojego mistrza pozostała tylko jedna księga – Bestiariusz, który własnoręcznie napisał i zilustrował. Było to jednak coś więcej niż książka – żywy, stale uzupełniany dokument, spisywany przez jego uczniów, w tym także moją ręką. Stanowił zapis jego pracy i tego, co odkrył z pomocą innych. Teraz mistrz miał nadzieję uzupełnić bibliotekę. Odmówił jednak zabrania książek z niewielkiego zbioru we młynie na północ od Caster, w którym niegdyś mieszkał Bill Arkwright, jego dawny uczeń. Mistrz miał nadzieję, że pewnego dnia znów osiadzie tam jakiś stracharz; wówczas nowy mieszkaniec także potrzebowałby owych ksiąg. John Gregory spodziewał się, iż wizyta w Todmorden stanie się pierwszym krokiem wiodącym do odnowy biblioteki.

Początkowo mistrz zamierzał wyruszyć natychmiast, lecz przede wszystkim zależało mu na odbudowie domu, toteż godzinami ślęczał nad planami i rozpiskami robót z majstrem. Miał wykaz najważniejszych spraw do załatwienia i ukończenie nowej biblioteki było jedną z nich. Zachęcałem go, bo chciałem opóźnić wymarsz, by dać Alice szansę powrotu.

– Jaki sens ma kupowanie nowych książek, skoro brak nam biblioteki, by je tam umieścić? – spytałem.

Stracharz zgodził się, dzięki czemu zyskałem więcej czasu. W końcu jednak nadeszła chwila, gdy mieliśmy wyruszyć na spotkanie z jejmość Fresque.

Po południu, godzinę przed ruszeniem w drogę, ja też napisałem liścik. Zaadresowałem go do nieobecnej Alice.

*Kochana Alice,*

*dłaczego odeszłaś tak bez słowa? Martwię się o ciebie. Jeszcze dziś wyruszamy z mistrzem do Todmorden, by sprawdzić kolekcję książek, o której usłyszeliśmy. Powinniśmy wrócić za parę dni.*

*Uważaj na siebie. Tęsknię za tobą.*

*Tom*

Gdy przypiąłem list do tylnych drzwi, poczułem chłód – pojawiające się czasami ostrzeżenie, że w pobliżu kręci się stworzenie z Mroku. Usłyszałem, jak ktoś się zbliża. Laskę odstawiłem wcześniej pod ścianę, toteż chwyciłem ją i obróciłem się twarzą do niebezpieczeństwa, unosząc broń w obronnej pozycji na ukos.

Ku swemu zdumieniu ujrzałem przed sobą Alice. Uśmiechała się, sprawiała jednak wrażenie zmęczonej i wymizerowanej, jakby odbyła właśnie długą męczącą podróż. Chłód szybko zniknął. Alice nie była wrogiem, lecz to krótkie ostrzeżenie mnie zaniepokoiło. Zastanawiałem się, w jakim stopniu została skażona Mrokiem.

– Alice! Bardzo się o ciebie martwiłem. Dlaczego odeszłaś bez uprzedzenia?

Postąpiła krok naprzód i bez słowa uściśnęła mnie mocno. Po paru chwilach odsunąłem ją.

– Wyglądasz na porządnie zmęczoną, ale bardzo się cieszę, że cię widzę – oznajmiłem.

– Twoje włosy odzyskują dawną barwę. Wkrótce staną się takie jak przedtem.

Przytaknęła, lecz uśmiech zniknął z jej twarzy. Wyglądała teraz na bardzo poważną.

– Mam ci coś bardzo ważnego do powiedzenia, Tomie. Najlepiej, żeby stary Gregory też tego wysłuchał.

Wolałbym jeszcze chwilę porozmawiać z nią sam na sam, Alice jednak uparła się, że musimy natychmiast zobaczyć się ze stracharzem. Poszedłem po niego. Popołudnie było słoneczne, więc mój mistrz skierował się w stronę ławki w zachodnim ogrodzie.

Obaj usiedliśmy, Alice natomiast stała. Z trudem powstrzymałem śmiech, bo przypomniało mi się, jak wiele razy stracharz stał tam, udzielając mi nauk, podczas gdy ja notowałem. Teraz wraz z mistrzem zamieniliśmy się w dwóch uczniów.

Lecz to, co miała nam do powiedzenia Alice, wkrótce przegnało uśmiech z mojej twarzy.

– Uciekając z głową Złego, Grimalkin schroniła się w Wieży Malkinów – oznajmiła. – To długa historia, bez wątpienia sama opowie wam dokładnie, co ją spotkało...

– Czy głowa Złego wciąż pozostaje przy niej, bezpieczna? – wtrącił stracharz.

– Było ciężko, lecz Grimalkin jak dotąd zdołała ją ochronić. Łatwo jej jednak nie będzie. Mam złe wieści. Wyznawcy Złego zabili Agnes Sowerbutts.

– Biedna Agnes – ze smutkiem pokręciłem głową. – Bardzo mi przykro.

Agnes była ciotką Alice i w przeszłości kilka razy nam pomogła.

– Jedna z sióstr lamii także zginęła, pozostała jedynie druga, Slake. Tylko ona broni wieży. Oblegają ją i nie zdoła opierać się wiecznie. Z tego, co mówi Grimalkin, musisz się tam udać jak najszybciej. To bardzo ważne, Tomie. Lamie przestudiowały księgi twojej mamy i dowiedziały się, że to ona spętała Złego. Slake uważa, że analizując uważnie proces spętania, może zdołasz wymyślić, jak wykończyć go na dobre.

Pęta w pewien sposób ograniczały moc Złego. Gdyby jednak udało mu się mnie zabić, rządziłby naszym światem przez sto lat, a potem musiałyby powrócić w Mrok. Oczywiście dla istoty nieśmiertelnej to bardzo krótki czas. A gdyby udało mu się namówić do tego jedno ze swych dzieci, syna bądź córkę czarownicy, wówczas Zły mógłby przez wieczność władać światem. Istniał jeszcze trzeci sposób, który na to pozwalał: musiałyby jedynie przeciągnąć mnie na stronę Mroku.

– Zawsze podejrzewałem, iż to mama mogła go spętać – mruknąłem.

Ostatecznie byłem jej siódmym synem spłodzonym z tatą, także siódmym synem i tym samym byłem wybrańcem – bronią w walce ze Złym. Pęta dotyczyły właśnie mnie, a jaki inny wróg Złego był dość potężny, by tego dokonać?

Stracharz pokiwał potakująco głową, lecz nie sprawiał wrażenia zachwyconego. Każde użycie magii budziło w nim niepokój. W chwili obecnej sojusz z Mrokiem stanowił konieczność, ale mistrzowi się to nie podobało.

– Też tak myślałam – przyznała Alice. – Ale jest jeszcze coś, Tomie. Niezależnie od tego, czego trzeba i niezależnie od innych wymagań, musisz to zrobić w wigilię Wszystkich Świętych. Wchodzi tu w grę siedemnastoletni cykl. To musi się stać w następane Halloween – trzydziestą czwartą rocznicę pęt narzuconych przez twoją mamę. To zaś oznacza, że zostało nam niewiele ponad pięć miesięcy...

– Cóż, chłopcze – rzekł stracharz – lepiej udaj się jak najszybciej do Wieży Malkinów. To znacznie ważniejsze niż książki do nowej biblioteki. Z wizytą w Todmorden możemy zaczekać do twojego powrotu.

– A pan nie idzie? – spytałem.

Mistrz pokręcił głową.

– Nie, chłopcze, nie tym razem. W moim wieku wilgoć Hrabstwa zaczyna niszczyć stawy i stare kolana bolą mnie bardziej niż kiedykolwiek. Tylko bym cię spowolnił. Z pomocą dziewczyny zdołasz dotrzeć niepostrzeżenie do wieży. Poza tym masz już za sobą lata nauki; czas, byś zaczął myśleć i zachowywać się jak stracharz, którym wkrótce zostaniesz. Wierzę w ciebie, chłopcze. Nie wysłałbym cię samego, gdybym sądził, że sobie nie poradzisz.

## **ROZDZIAŁ 2**

### **ŚWIĘTE PRZEDMIOTY**

Po tej rozmowie spędziłem godzinę z psami. Szpon i jej dwa dorosłe szczeniaki, Krew i Kość, to wilczarze, szkolone do polowań na wodne wiedźmy. Należały do Billa Arkwrighta, stracharza, który zniknął, walcząc u naszego boku z Mrokiem w Grecji. Teraz uważałem je za własne – choć mój mistrz wciąż nie zgodził się dać

im stałego domu. Obiecał, że zwróci uwagę na psy podczas naszej nieobecności, wiedziałem jednak, że jest zajęty planowaniem remontu domu; co więcej, dolegały mu kolana, toteż bez wątpienia przez większość czasu pozostawi je na łańcuchach. Zabrałem je na długi spacer, pozwalając, by się wyhasały.

Po godzinie od powrotu ruszyliśmy w drogę. Maszerowaliśmy szybko. Dźwigając torbę i laskę, podążałem w ślad za Alice na wschód, w stronę Pendle. Zamierzaliśmy dotrzeć tam tuż przed zachodem słońca, przekroczyć granicę pod osłoną ciemności, po czym skierować się wprost do Wieży Malkinów.

Pod ubraniem, w pochwie wykutej dla mnie przez Grimalkin, dźwigałem Klingę Przeznaczenia, broń, którą podarował mi jeden z największych bohaterów Irlandii, Cuchulain. Wiedźma zabójczyni nauczyła mnie, jak się nią posługiwać, teraz miecz stanowił ceną dodatkową broń.

Z parogodzinnym zapasem przeprawiliśmy się przez rzekę Ribble i zmierzając na północ, od zachodniej strony okrążyliśmy wielkie złowieszcze wzgórze, czując otaczający je chłód. Pendle to miejsce szczególnie podatne do uprawiania magii Mroku. To dlatego mieszka tam tak wiele czarownic.

My jednakże znajdowaliśmy się w bezpieczniejszej części Pendle: wioski trzech głównych wiedźmich klanów leżały na południowym wschodzie, za wzgórzem. Wiedzieliśmy, że klany są podzielone: część z nich popierała Złego, część się mu sprzeciwiała. Sytuacja była wielce skomplikowana, lecz jedno pozostawało pewne – uczeń stracharza nie byłby mile widziany w tym okręgu.

Okrążyliśmy Downham, a potem północną stronę wzgórza i znów skręciliśmy na południe. Teraz z każdym krokiem zbliżaliśmy się do niebezpieczeństwa, toteż postanowiliśmy ukryć się w niewielkim zagajniku i zaczekać, aż zapadnie zmrok.

Alice obróciła się do mnie, jej blada twarz jaśniała w półmroku.

– Mam ci więcej do powiedzenia, Tomie – oznajmiła. – Równie dobrze mogę zrobić to teraz.

– Zachowujesz się okropnie tajemniczo. Czy to coś złego? –

spytałem.

– Pierwsza część nie – choć druga może cię zmartwić, więc zacznę od łatwiejszej. Kiedy twoja mama spętała Złego, użyła dwóch świętych przedmiotów. Jeden z nich leży w skrzyni w Wieży Malkinów. Drugi może być wszędzie, musimy go odnaleźć.

– Zatem jeden już mamy, to jakiś początek. Co to?

– Grimalkin nie wie. Slake jej go nie pokazała.

– Czemu nie? Dlaczego lamia miałyby o tym decydować? Jest strażniczką skrzyni, nie jej właścicielką.

Alice zawahała się przez chwilę.

– To nie był pomysł Slake, tylko twojej mamy. Nakazała, by nikt prócz ciebie nie wiedział co to ani tego nie oglądał.

– Slake znalazła to w zapiskach mamy w skrzyni?

– Nie, Tomie. – Alice ze smutkiem pokręciła głową. – Twoja mama objawiła się lamii i jej to powiedziała.

Ze zdumieniem spojrzałem na Alice. Od śmierci mamy raz jeden miałem z nią kontakt, na statku w drodze powrotnej z Grecji – ale jej nie widziałem, poczułem jedynie ciepło. W owym czasie byłem pewien, że zjawiała się, by pożegnać się z synem. Lecz w miarę upływu czasu coraz bardziej wątpiłem, czy faktycznie takie zdarzenie miało miejsce. Teraz całe spotkanie wydawało mi się raczej snem niż jawą. Ale czy naprawdę mogła rozmawiać ze Slake? Po co miałyby mówić coś Slake? Czemu nie mnie bezpośrednio? Muszę to wiedzieć – jestem jej synem! Nagle poczułem gniew, usiłowałem nad nim zapanować, lecz oczy zapiekły mnie od napływających łez. Okropnie tęskniłem za mamą. Dlaczego nie skontaktowała się ze mną?

– Wiedziałaś, że to cię zmartwi, Tomie, ale proszę, postaraj się nie myśleć w taki sposób. Być może łatwiej jej przyszło nawiązać kontakt ze Slake. Ostatecznie obie są lamiami. I powinnam powiedzieć ci coś jeszcze. Grimalkin wspomniała, że siostry lamie mówiły o niej, jakby wciąż żyła. I że oddawały jej cześć. Nazywały ją Zenobią.

Odetchnąłem głęboko, by się uspokoić. To miało sens. Mama

była pierwszą z lamii – potężną i złą służką Mroku. Zmieniła się jednak: po ślubie z tatą w końcu odwróciła się od swojego dawnego życia i została nieprzyjaciółką Złego.

– Może pomówi ze mną, kiedy dotrzemy do wieży? – rozważałem.

– Niedobrze jest rozbudzać w sobie płonne nadzieje, Tomie. Ale owszem, to możliwe. Chciałabym cię prosić o coś jeszcze. To dla mnie ważne, ale zrozumieć, jeśli odmówisz.

– Jeżeli to dla ciebie ważne, Alice, nie odmówię. Znasz mnie przecież.

– Po prostu... W drodze do wieży będziemy przechodzić obok Wiedźmiego Jaru. Grimalkin mówiła, że jego część spłonęła od ognia podłożonego przez popleczników Złego, którzy ją ścigali, ale Agnes Sowerbutts mogła przetrwać. Była nie tylko moją ciotką, ale też przyjaciółką, Tomie. Bardzo mi pomogła. Jeśli wciąż tam jest, chciałabym porozmawiać z nią po raz ostatni.

– Sądziłem, że lepiej jest trzymać się z dala od martwych czarownic; im dłużej zostają w jarze, tym bardziej się zmieniają, zapominają o dawnym życiu, rodzinie i przyjaciółach.

– W większości to prawda, Tomie – ich charakter zmienia się na gorsze, co oznacza, że żywe i martwe wiedźmy rzadko zadają się ze sobą. Ale Agnes umarła całkiem niedawno i jestem pewna, że wciąż mnie pamięta.

– A co, jeśli jednak przeżyła? Nie możemy tak po prostu zapuścić się w dolinę pełną martwych czarownic. Niektóre są naprawdę silne i niebezpieczne.

– Grimalkin mówiła, że w tej chwili najpewniej pozostała tylko jedna. Ale miałyśmy z Agnes sygnał, używałam go, gdy chciałam się z nią spotkać. Sama mnie go nauczyła. To krzyk ptaka trupiarza. On ją sprowadzi.

Słońce zaszło, w zagajniku zapadł mrok. Noc była pogodna, księżyc miał wzejść dopiero za kilka godzin, lecz niebo iskrzyło się od gwiazd. Trzymając się osłony żywopłotów, rozpoczęliśmy powolny marsz na południe, w stronę wieży i w końcu dotarliśmy

do wschodniej granicy Wiedźmiego Jaru. Widzieliśmy stąd zniszczenia poczynione przez ogień – szerokie pasmo spalonych drzew przecinało jar na pół. Pożar musiał strawić mnóstwo martwych wiedźm, wiele sprzymierzonych ze Złym. Pojąłem, iż jego wyznawcy uczynią wszystko, byle tylko odzyskać głowę.

Zatrzymaliśmy się pięćdziesiąt jardów od południowego krańca dolinki. Dostrzegłem tu ślady straszliwej bitwy stoczonej przez Grimalkin z czarownicami wroga. Wiedźma zabójczyni była niezwykle groźna, zastanowiły mnie jednak rozmiary ścigającej ją grupy – a także rola, jaką odegrała w tych wydarzeniach Alice.

Moja towarzyszka uniosła dłonie do ust i posłała w ciemność upiorny krzyk. Trupiarz – albo kozodój – lata nocą, a jego okrzyk sprawił, że po plecach przebiegł mi dreszcz. Potężna wodna wiedźma Morwena używała jednego z tych ptaków jako swego pobratymca i pozostały mi po niej przerażające wspomnienia. Przypomniałem sobie, jak wyłoniła się z moczarów, zahaczyła mnie szponem i próbowała wciągnąć pod wodę, by wysączyć ze mnie krew.

Nie potrafiłem odróżnić krzyku Alice od prawdziwego głosu ptaka, wyjaśniła jednak, iż lekko go zmodulowała, by Agnes poznała, że to ona. Co pięć minut powtarzała krzyk. Za każdym razem drżałem, słysząc jego upiorne echo wśród drzew. Za każdym razem, gdy rozpływał się w ciemności, serce biło mi mocniej: złe wspomnienia powracały falą. Szpon odgryzła palec wiedźmy i ocaliła mi życie. W przeciwnym razie czarownica zawlokłaby mnie w głąb bagna i zanim zdążyłbym utonąć, wysałaby mi krew. Odepchnąłem od siebie te myśli i próbowałem zachować spokój, spowalniając oddech, tak jak nauczył mnie mistrz. Alice już miała się poddać, gdy po ósmej próbie poczułem nagły chłód. Było to ostrzeżenie, że zbliża się coś z Mroku. Wokół zapadła nienaturalna cisza. Potem zaszleściła trawa, coś cicho mlaskało. Jakiś stwór przesuwiał się ku nam po błotnistej ziemi. Wkrótce usłyszałem szuranie i sapanie.

Po chwili ujrzeliśmy pełznącą ku nam martwą wiedźmę. To



mogła być każda z nich, łaknąca krwi, biorąca nas za łatwą zdobycz, toteż zacisnąłem mocniej dłoń wokół laski.

Alice szybko powęszyła dwukrotnie, szukając zagrożenia.

– To Agnes – wyszeptała.

Słyszałem, jak wiedźma obwąchuje ziemię, odnajdując drogę ku nam. A potem ją zobaczyłem: żałosne stworzenie, na widok którego żal ścisnął mi gardło. Zawsze była z niej czysta i porządna kobieta, dumna gospodyni; teraz miała na sobie poszarpaną suknię pokrytą błockiem, w tłustych włosach wiły się robaki. Cuchnęła zgniłymi liśćmi. Nie musiałem się martwić, że zapomniała; gdy tylko dotarła bliżej, zaczęła płakać, łzy ściekały jej po policzkach i skapywały w trawę. W końcu usiadła i ukryła twarz w dłoniach.

– Wybacz, że tak się wlokłam, Alice! – zawołała, ocierając łzy grzbietem dłoni. – Kiedy zmarł mój mąż, sądziłam, że gorzej być nie może – tak bardzo za nim tęskniłam wiele długich lat – ale teraz widzę, że się myliłam. Nie mogę przywyknąć do takiego trwania. Żałuję, że ogień mnie nie strawił. Nigdy już nie wrócę do swojego domu, by wieść dawne wygodne życie. Nigdy już nie będę szczęśliwa. Gdybym choć zachowała siły. Mogłabym wówczas nocą wędrować i polować z dala od tego paskudnego jaru. Ale jestem za słaba, by schwytać cokolwiek większego. Mogę liczyć jedynie na chrząszcze, krety i myszy!

Alice długą chwilę milczała. Mnie też nie przyszła do głowy żadna odpowiedź. Jak mógłbym pocieszyć nieszczęsną Agnes? Nic dziwnego, że większość żywych czarownic trzymała się z dala od martwych krewniaczek. Widok kogoś w tak opłakanym stanie mógł sprawić wyłącznie ból. Żadne słowa nie zdołałyby jej pomóc.

– Posłuchaj, Tomie, chciałabym zamienić parę słów tylko z Agnes. Nie wadzi ci to? – spytała w końcu Alice.

– Oczywiście, że nie. – Wstałem szybko. – Zaczekam tam.

Oddaliłem się, dając Alice kilka chwil na osobności z ciotką. Po prawdzie chętnie stamtąd odszedłem. Bliskość Agnes budziła we mnie smutek i niepokój.

Po pięciu minutach Alice zbliżyła się ku mnie, jej oczy lśniły w

blasku gwiazd.

– A co, gdyby Agnes była naprawdę silna, Tomie... Zastanów się, co by to oznaczało? Nie tylko trwałoby jej się lepiej, na co zasłużyła, ale też byłaby bardzo użyteczną sojuszniczką.

– O czym ty mówisz, Alice? – spytałem nerwowo, wiedząc, że moja przyjaciółka nie jest skłonna do próżnych rozważań.

– A gdybym uczyniła ją silną?

– Z pomocą magii Mroku?

– Tak. Mogłabym to zrobić... Pytanie brzmi, czy powinnam. Jak sądzisz?

## **ROZDZIAŁ 3**

### **MNÓSTWO KRWI**

– Sądziłem, że po śmierci czarownicę opuszcza cała magia, pozostawiając jedynie żądzę krwi. Jak więc mogą jej pomóc twoje czary? – spytałem Alice.

– To prawda, martwa wiedźma nie ma już magii w kościach. Ale mogę posłużyć się moją i na jakiś czas dodać jej sił – odparła. – Z czasem nowa moc osłabnie, lecz przez wiele lat ulżę jej trwaniu w jarze. Kiedy siły znów ją opuszczą, umysł i tak zacznie słabnąć, toteż nie będzie tęskniła za dawnym życiem. Nie ma w tym niczego złego.

Alice nie przekonała mnie jednak do końca.

– Ale co z jej ofiarami? Co z tymi, których zabije, pragnąc krwi? Teraz przynajmniej karmi się owadami i małymi zwierzątkami – nie ludźmi!

– Będzie piła wyłącznie krew sług Złego: starczy jej na długo! A każdy zabity zmniejszy grożące nam niebezpieczeństwo i zwiększy prawdopodobieństwo, że uda nam się zniszczyć Złego po kres czasów.

– Możesz być pewna, że ograniczy się tylko do nich?

– Znam Agnes. Dotrzyma złożonej obietnicy – każę jej to przyrzec, nim cokolwiek uczynię.

– Ale co z tobą, Alice? Co z tobą? – zaprotestowałem, lekko podnosząc głos. – Za każdym razem, gdy korzystasz ze swych magicznych mocy, przybliżasz się do Mroku.

Dokładnie ten sam argument przywalałby mój mistrz. Byłem przyjacielem Alice i martwiłem się o nią; musiałem to rzec.

– Korzystam z moich mocy, abyśmy przeżyli, żebyśmy mogli wygrać. Ocaliłam cię przecież przed czarownicą Scarabek i koźlimi magami z Irlandii, prawda? To magią powstrzymałam wiedźmy uciekające z głową Złego, przekazałam jej część Grimalkin, by mogła zabić naszych nieprzyjaciół. Gdybym tak nie zrobiła, ona by zginęła, ja także, a głowa Złego połączyłaby się z ciałem. To było konieczne, Tomie. Zrobiłam to, co niezbędne. Ta sprawa jest równie ważna.

– Równie ważna? Na pewno nie chcesz pomóc Agnes, bo ci jej żal?

– A jeśli nawet, to co? – odparowała gniewnie Alice, jej oczy załśniły. – Czemu nie miałabym pomagać przyjaciołom tak jak tobie, Tomie? Ale uwierz mi, to coś więcej, znacznie więcej. Coś się wydarzy, jestem tego pewna. Wyczuwam, jak coś zbliża się ku nam z przyszłości – coś mrocznego i strasznego. Być może Agnes zdoła nam pomóc. Żeby przeżyć, będziemy potrzebowali silnej Agnes. Zaufaj mi, Tomie, tak będzie najlepiej.

Umilkłem, przepełniony straszliwym niepokojem. Alice coraz swobodniej posługiwała się magią Mroku. Przełała moc w Grimalkin, teraz chciała dodać sił martwej wiedźmie. Czym to się skończy? Wiedziałem, że cokolwiek powiem i tak nie posłucha. Nasza przyjaźń zmieniała się na gorsze. Alice nie ceniła już sobie moich rad.

Przez chwilę patrzyliśmy po sobie gniewnie, lecz po kilku sekundach moja towarzyszka obróciła się na pięcie i wróciła do Agnes. Przykucnęła, położyła lewą dłoń na głowie martwej czarownicy i przemówiła do niej cicho. Nie słyszałem, co mówi, ale

odpowieź Agnes zabrzmiała głośno jak dzwon. Składały się na nią zaledwie dwa słowa:

– Tak, przyrzekam.

Alice zaczęła mówić śpiewnym głosem. Wypowiadała mroczne zaklęcie. Nuciała coraz głośniej i głośniej, szybciej i szybciej – aż w końcu rozejrzałem się nerwowo, pewien, że wszystkie martwe wiemy z jaru usłyszą ją i przyjdą po nas. Przebywaliśmy teraz na ich terenie: zaledwie parę mil na południe leżały trzy wioski tworzące Diabelski Trójkąt. W pobliżu mogli kręcić się szpiedzy, hałas z pewnością zdradzi im naszą obecność.

Nagle Agnes wydała z siebie mroźny krew w żyłach wrzask i szarpnęła się do tyłu, odrywając od Alice. Padła na trawę, jęcząc i skomląc, młóciła dokoła rękami i nogami, jej ciałem wstrząsały spazmy. Zaniepokojony, podszedłem do Alice. Czyżby zaklęcie poszło nie tak?

– Za parę chwil się uspokoi – oznajmiła pocieszająco Alice. – Bardzo boli, bo to potężna magia, ale uprzedziłam ją, nim zaczęłyśmy. Pogodziła się z tym, o tak. Agnes jest bardzo dzielna. Zawsze była.

Po paru chwilach Agnes przestała się zwijać i podniosła na czworaki. Kilka minut kasłała i krztusiła się, po czym wstała z ziemi i uśmiechnęła się do nas po kolei. W jej twarzy dostrzegłem ślad dawnej Agnes. Mimo brudnej skóry i obszarpanych, poplamionych krwią łachmanów wydawała się spokojna i pewna siebie. Lecz w jej oczach płonął głód, którego nigdy nie widziałem u żywej Agnes.

– Chce mi się pić! – Rozglądała się dokoła zachłannym, skupionym wzrokiem; wyglądało to bardzo przerażająco. – Potrzebuję krwi! Potrzebuję mnóstwa, mnóstwa krwi!

Ruszyliśmy na południe. Alice szła przodem, tuż za nią dreptała Agnes, ja zamykałem pochód. Co i rusz rozglądałem się dokoła i zerkąłem za siebie. W każdej chwili spodziewałem się ataku. Nasi wrogowie – czarownice służące Złemu – mogli podążać za nami albo też przyczaić się na naszej drodze; mimo swego stanu, Zły

nadal mógł się z nimi porozumiewać. Wykorzysta każdą sposobność, byle nas dopaść. A Pendle nawet w najlepszych czasach pozostawało miejscem bardzo niebezpiecznym.

Maszerowaliśmy w całkiem niezłym tempie, a Agnes, która wcześniej jedynie mozolnie pełzała, teraz z łatwością dotrzymywała kroku Alice. Księżyc miał wkrótce wzejść – wiedziałem, że musimy dotrzeć do tunelu pod wieżą, nim jego światło ukaże naszą obecność wszystkim w okolicy.

Zastanawiałem się, jak się miewa Slake, jedyna pozostała przy życiu lamia. W jakim stopniu przekształciła się w swoją skrzydlatą postać? Możliwe, że nie potrafi już mówić – co oznacza, że nie będę mógł porządnie jej wypytać. Musiałem dowiedzieć się jak najwięcej o owych świętych przedmiotach. Liczyłem też, że w jakiś sposób zdołam nawiązać kontakt z mamą.

Wkrótce nasza trójka maszerowała już skrajem Wroniego Lasu. Nasz cel był blisko: gęsty zagajnik, który wyrósł na starym opuszczonym cmentarzu. Wejście do tunelu mieściło się mniej więcej pośrodku. Docierało się do niego przez ossuarium, zbudowane dla nieboszczyków wywodzących się z majątnej rodziny. Choć większość kości usunięto, gdy cmentarz został zdesakralizowany, ich szczątki pozostały.

Alice zatrzymała się nagle i ostrzegawczo uniosła rękę. Widziałem jedynie kilka nagrobków pośród chaszczy, usłyszałem jednak, jak węszy szybko trzy razy, szukając zagrożenia.

– Przed sobą mamy czarownice, czekają na nas, to zasadzka. Musiały zauważyć nasze przybycie.

– Jak wiele? – spytałem, ściskając mocniej laskę.

– Są trzy, Tomie. Ale wkrótce wywęszą naszą obecność i dadzą znać pozostałym.

– W takim razie muszą umrzeć szybko! – oznajmiła Agnes. – Są moje!

Nim zdążyliśmy zareagować, pomknęła naprzód, przedzierając się przez gąszcz ku niewielkiej polanie otaczającej ossuarium. Czarownice w różnym stopniu radzą sobie z węszeniem

niebezpieczeństwa; o ile Alice jest w tym bardzo dobra, niektórym idzie to całkiem kiepsko. Co więcej, atak zaimprovizowany i natychmiastowy może kompletnie zaskoczyć wroga.

Wkrótce na polanie rozległy się krzyki, piskliwe, rozdzierające, przepełnione grozą i bólem. Gdy doścignęliśmy Agnes, dwie czarownice już nie żyły, a ona pochylała się nad trzecią: ręce i nogi kobiety szarpały się spazmatycznie, a tymczasem ciotka Alice wysysała z jej szyi krew wielkimi haustami.

Wstrząsnęła mną szybkość, z jaką Agnes się zmieniła: nie przypominała już wcale łagodnej, życzliwej kobiety, która tak często pomagała nam w przeszłości. Patrzyłem ze zgrozą, Alice jednak na widok mojego niesmaku wzruszyła tylko ramionami.

– Zgłodniała, Tomie. Kimże jesteśmy, by ją osądzać? Na jej miejscu zachowalibyśmy się tak samo.

Po paru chwilach Agnes uniosła głowę i uśmiechnęła się szeroko wargami splamionymi krwią.

– Zostanę tu i dokończę – oświadczyła. – Wy ukryjcie się bezpiecznie w tunelu.

– Wkrótce zjawi się więcej nieprzyjaciół, Agnes – przypomniała Alice. – Nie zostawaj zbyt długo.

– Nie obawiaj się, dziecko, wkrótce was dogonię. A jeśli po nich przyjdą następne, tym lepiej!

Z wielką niechęcią zostawiliśmy ją przy posiłku i ruszyliśmy w stronę ossuarium. Budynek wyglądał niemal tak, jak go zapamiętałem z ostatniej wizyty, niecałe dwa lata wcześniej, tyle że młodziutki jawor, który przebił jego dach, był teraz wyższy i szerszy, a liściasta kopuła okrywająca dom umarłych jeszcze grubsza, tak że wewnątrz zalegał gęsty mrok.

Alice wyciągnęła z kieszeni spódnicy ogarek i gdy razem weszliśmy w mrok ossuarium, na końcu knota zamigotał płomyk, ukazując pokryte pajęczynami płaskie nagrobki, a także ciemną dziurę w ziemi prowadzącą do tunelu. Przyjaciółka ruszyła przodem, zaczęliśmy się czołgać. Po jakimś czasie tunel rozszerzył się i mogliśmy wstać, przyspieszając kroku.

Dwukroć przystawaliśmy, by Alice mogła powęszyć, wkrótce jednak minęliśmy niewielkie jeziorko, niegdyś strzeżone przez zabójczego utopca – bezokiego trupa utopionego marynarza, zaklętego magią Mroku. Zniszczyła go jedna z lamii i nie pozostał po nim żaden ślad – rozczłonkowane ciało już dawno zatoneło w mule na dnie. Jedynie słaba nieprzyjemna woń przypominała, że kiedyś było to bardzo niebezpieczne miejsce.

Wkrótce dotarliśmy do podziemnych wrót starożytnej wieży. Szybkim krokiem mijaliśmy ciemne, wilgotne lochy, w niektórych z nich wciąż pozostały szkielety ofiar torturowanych przez klan Malkinów. Teraz nie było tu już żadnych dusz: podczas poprzedniej wizyty mój mistrz dołożył wszelkich starań, by odesłać je wszystkie do światła.

Niedługo znaleźliśmy się w olbrzymiej cylindrycznej podziemnej sali i ujrzelśmy filar obwieszony łańcuchami: w sumie było ich trzynaście, do każdego uczepiono małe martwe zwierzę: szczury, króliki, kota, psa i dwa borsuki. Pamiętałem ich krew skapującą do zardzewiałego wiadra, teraz jednak stało obok puste, a martwe stworzenia skurczyły się i zaschły.

– Grimalkin twierdziła, że lamie zbudowały ten szafot podczas rytuału – głos Alice zabrzmiał niewiele głośniejszy od szeptu. – To ofiara dla twojej mamy.

Skinąłem głową. Podczas naszych poprzednich odwiedzin zastanawialiśmy się ze stracharzem, do czego miał służyć ów szafot. Teraz już wiedziałem. Miałem do czynienia z czymś, co zupełnie nie przypominało cieplej, troskliwej osoby, którą zapamiętałem. Mama żyła znacznie dłużej niż zwykły człowiek i czas spędzony na farmie w roli kochającej żony i matki siedmiu chłopców był dla niej względnie krótki. Wcześniej była pierwszą z lamii; robiła rzeczy, o których wolałem nie myśleć. Dlatego właśnie nigdy nie zdradziłem mistrzowi jej prawdziwej tożsamości. Nie mógłbym znieść świadomości, iż wie o tym, czego dokonała, i że źle o niej myśli.

## ROZDZIAŁ 4

### TA, KTÓRĄ KOCHASZ NAJBARDZIEJ

Nie dostrzeżliśmy ani śladu lamii, toteż rozpoczęliśmy wspinaczkę po spiralnych schodach wznoszących się wzdłuż ściany. Wysoko nad nami, na suficie, lamie powiększyły wylot klapy, zamieniając go w nieregularną dziurę, by móc łatwiej się przez nią przedostać. Wdrapaliśmy się wyżej i znów ruszyliśmy w górę po stopniach, w których szpiczaste trzewiki wielu pokoleń czarownic Malkinów wyłobiły wyraźne zagłębienia. Echo naszych kroków odbijało się od murów. Wciąż przebywaliśmy pod ziemią, z ciemności w górze kapąła woda. Powietrze było wilgotne, płomyk świecy Alice migotał w chłodnych przeciągach.

Zaczęliśmy mijać cele, w których czarownice więziły niegdyś swoich nieprzyjaciół. Podczas ostatnich odwiedzin w wieży spędziliśmy w jednej z nich nieco czasu, wówczas lękaliśmy się o własne życie. Lecz kiedy dwie wiedźmy Malkinów przyszły nas zabić, Alice i Mab Mouldheel zepchnęły je ze schodów na spotkanie śmierci.

Z wnętrza dobiegł jakiś dźwięk, zobaczyłem, jak Alice zerka na drzwi naszego dawnego więzienia. Uniosła świeczkę i skierowała się ku wejściu. Podążyłem za nią, dzierżąc w gotowości laskę, lecz to był jedynie szczur – śmignął koło nas i zbiegł po stopniach, wlokąc za sobą długi zmijowaty ogon. Gdy znów podjęliśmy wspinaczkę, Alice obejrzała się w miejsce, gdzie zginęła jej przeciwniczka. Zadrżała na to wspomnienie.

O dziwo, owa naturalna reakcja uradowała mnie. Może i Alice, czerpiąc ze swych magicznych mocy, zbliżyła się do Mroku, nadal jednak odczuwała emocje i nie zhardziała tak bardzo, by zagubić samą siebie i w końcu porzucić swe wewnętrzne dobro.

– Paskudne to były czasy – pokręciła głową. – Nie lubię



wspominać tego, co tu uczyniłam.

Mój brat, Jack, jego żona Ellie i ich maleńka córeczka Mary także tkwili uwięzieni w tej celi. Otwierając drzwi, czarownica wypowiedziała słowa, które zmroziły mnie do szpiku kości.

„Małą zostaw mnie. Jest moja...”

W tym momencie Alice i Mab zaatakowały.

– Zrobiłaś, co musiałaś, Alice – pocieszyłem ją. – One albo my. I nie zapominaj, że przyszły zabić dziecko!

Na szczycie schodów mieścił się magazyn. Za nim znajdowały się pokoje mieszkalne, niegdyś siedziba kręgu Malkinów i ich służby. Tam właśnie czekała skrzynia mamy – ta z notatnikami i przedmiotami. Była otwarta, obok niej stała lamia – Slake. Czarownice Malkinów wykradły skrzynie z naszej farmy i sprowadziły tutaj. W pozostałych dwóch ukrywały się dwie siostry mamy, lamie. Uwolniłem je, a one przepędziły wiedźmy z wieży. Od tego czasu najbezpieczniej było zostawić skrzynie pod ich strażą. Twarz Slake wyglądała teraz zwierzęco, jej ciało porastały zielonożółte łuski. Skrzydła miała niemal w pełni uformowane i złożone na ramionach. Czy nadal mogła mówić?

W tym momencie, jak gdyby odczytując moje myśli, przemówiła chrapliwym gardłowym tonem.

– Witaj, Thomasie Wardzie. Dobrze znów cię widzieć. Kiedy spotkaliśmy się ostatnio, nie mówiłam; wkrótce znów stracę tę zdolność. Mam ci wiele do powiedzenia, a zostało mało czasu.

Nim udzieliłem odpowiedzi, ukłoniłem się.

– Dziękuję bardzo za to, że strzegłaś skrzyni i jej zawartości, chroniąc je dla mnie. Ze smutkiem przyjąłem wiadomość o śmierci Wynde, twojej siostry. Teraz musisz się czuć okropnie samotna.

– Wynde zginęła dzielnie – wychrypiała lamia. – To prawda, zostałam sama po tak wielu szczęśliwych latach w towarzystwie siostry. Jestem gotowa opuścić wieżę i poszukać innej krewniaczki, lecz twoja matka poleciła mi, bym została, póki nie dowiesz się wszystkiego, czego możesz. Dopiero kiedy zniszczysz Złego, będę mogła swobodnie odlecieć.

– Mówiono mi, że w skrzyni coś jest – święty przedmiot, który mógłby wspomóc mnie w mojej misji. Czy mógłbym go zobaczyć?

– Przeznaczony jest wyłącznie dla twoich oczu. Nim ci go pokażę, dziewczyna musi wyjść.

Już miałem zaprotestować, gdy odezwała się Alice:

– W porządku, Tomie. Pójdę na spotkanie Agnes – oznajmiła z uśmiechem.

– Jest z wami ktoś jeszcze? – Slake rozcapierzyła szpony.

– Pamiętasz czarownicę zabitą u podnóża wieży? Nazywała się Agnes Sowerbutts, twoja siostra zaniósł jej ciało do Wiedźmiego Jaru – wyjaśniła Alice. – Wciąż pozostaje nieprzyjaciółką Złego. Jako potężna martwa czarownica będzie silną i użyteczną sojuszniczką.

– W takim razie przyprowadź ją do nas – rozkazała lamia.

Alice wyszła z pokoju, usłyszałem tupot szpiczastych trzewików na kamiennych stopniach. Sam na sam z lamią poczułem nagły niepokój, wyteżyłem zmysły. Slake była niebezpieczna i złowroga, trudno odprężyć się w obecności podobnego stworu.

– W sumie istnieją trzy święte przedmioty, których trzeba użyć, by zniszczyć Złego – wysyczała lamia. – Pierwszy już masz: Klingę Przeznaczenia, podarowaną ci przez Cuchulaina. To wielkie szczęście, że wpadła w twoje ręce, w przeciwnym razie musiałbyś znów wyruszyć do Irlandii, by ją odnaleźć.

Slake posłużyła się słowem „szczęście”, sugerującym, iż miecz trafił do mnie czystym przypadkiem. Ale sama jego nazwa świadczyła o czymś przeciwnym. To przeznaczenie złączyło mnie z nim. Mieliśmy być razem, razem mieliśmy doprowadzić do ostatecznego zniszczenia Złego. Albo też zginąć, próbując tego dokonać.

– Oto drugi przedmiot – podjęła, sięgając do skrzyni. Jej szponiasta dłoń wyłoniła się, ściskając sztylet. Jedno spojrzenie wystarczyło, bym stwierdził, że jego smukłą klingę wykuto ze stopu srebra, metalu wyjątkowo skutecznego w walce z mieszkańcami Mroku.

Lamia podała go mi rękojeścią naprzód i w chwili, gdy moje palce dotknęły broni, pojąłem instynktownie, że urodziłem się także po to, by ją nosić. Choć znacznie mniejszy, z wyglądu sztylet przypominał bliźniaka Klingi Przeznaczenia: jego rękojeść wykuto na kształt głowy skelta, ostrze zajmowało miejsce kościanej rurki, za pomocą której stwór wysysał krew ofiar. Skelt był śmiertelnie groźnym potworem mieszkającym w wąskich szczelinach w pobliżu wody. Gdy ktoś przechodził obok, wyskakiwał z nich i wbijał mu w szyję długą kościaną ssawkę. Kiedy odbywałem praktyki u stracharza Billa Arkwrighta, podobny stwór mnie zaatakował i Bill uratował mi życie, miażdżąc mu łeb kamieniem.

Gdy tylko chwyciłem rękojeść sztyletu, z bliźniaczych rubinowych oczu poczęła kapać krew.

– Czy jego także wykuł Hefajstos? – spytałem.

Hefajstos był jednym ze Starych Bogów, tworzącym broń dla swych pobratymców – największym kowalem, jaki kiedykolwiek istniał.

Slake pokiwała upiorną głową.

– Tak, spod jego ręki wyszły wszystkie trzy święte przedmioty. Znane są pod nazwą „Miecze bohaterów”, choć po prawdzie dwa z nich to zaledwie sztylety. Niektórzy mówią, iż niegdyś służyły za miecze Segantiim, małemu ludowi, który zamieszkiwał północną część Hrabstwa.

Przypomniałem sobie małe kamienne groby wyciosane w skałach i kryjące w sobie ciała Segantiich. W ich dłoniach sztylety w istocie zdawałyby się wielkie jak miecze.

– Czy potrzebuję wszystkich trzech? – spytałem.

– Wszystkich trzech trzeba użyć razem. Wiem, gdzie można znaleźć ostatni – choć spoczywa w miejscu niedostępnym śmiertelnikom. Został ukryty w Mroku i może go wynieść tylko ktoś dzielny, potężny i pomysłowy.

– Nie jestem aż tak dzielny – mruknąłem – i wątpię, by starczyło mi mocy, lecz jeśli ktoś ma się zapuścić w Mrok, to muszę być ja.

Powiedział mi to stary bóg Pan. Każdy potężny stwór w Mroku ma w nim własną siedzibę. Mrok to olbrzymie miejsce z wieloma królestwami, najpotężniejsze i najniebezpieczniejsze należy do Złego.

– Twoja matka, Zenobia, wie dokładnie, gdzie można znaleźć ów przedmiot. Powie ci to sama i wyjaśni, co musisz uczynić.

– Co takiego? Mama ze mną porozmawia? Kiedy? – dopytywałem się, podniecony. – Kiedy to nastąpi?

– Pojawi się dziś w nocy w tej komnacie, lecz tylko ty ją ujrzysz. Jej słowa są przeznaczone wyłącznie dla twoich uszu.

\*

Tej nocy czekałem niespokojnie, siedząc obok skrzyni mamy. Pojedynczy płomyk świecy tańczył na pobliskim stole, rzucając na ściany trzepoczące cienie.

Wcześniej rozmawiałem z Alice i wyjaśniłem jej sytuację. Nie wydawała się urażona.

– To naturalne, Tomie, że po tak długiej rozłące twoja mama zechce rozmawiać tylko z tobą – rzekła. – W końcu to sprawa rodzinna, prawda? Posiedzę sobie tu z Agnes. Rano opowiesz mi o wszystkim.

I tak Alice, Agnes i Slake ukryły się gdzieś w dolnej części wieży, pozostawiając mnie na samotnym, niecierpliwym i nerwowym czuwaniu. Zastanawiałem się, jaką postać przybierze mama. Czy ujrzę potężną lamie o śnieżnobiałych skrzydłach, jak u mitycznych aniołów, czy też ciepłą, wyrozumiałą kobietę, która opiekowała się mną w dzieciństwie?

Wcześniej czekała mnie jeszcze jedna niespodzianka. Byłem gotów natychmiast przeglądać materiały ukryte w skrzyni w nadziei, że dowiem się czegoś więcej na temat rytuału, który muszę odprawić – jak można wykorzystać spętanie Złego do zniszczenia go na zawsze. Lecz Slake oznajmiła, że to już nie będzie konieczne. Najwyraźniej kierując się wskazówkami mamy, odszyfrowała, co trzeba, i zapisała instrukcje, które miała mi wręczyć po rozmowie z mamą.

Z początku podniecenie i tęsknota nie pozwalały mi zasnąć. Stopniowo jednak zaczynałem odczuwać zmęczenie, głowa opadała mi coraz częściej. Co chwilę budziłem się gwałtownie, otwierając z trudem oczy, w końcu jednak musiałem głęboko zasnąć.

A potem, niespodziewanie, ocknąłem się z sercem walącym w piersi. Świeca zgasła, ale w pokoju obok mnie płonęło inne światło – jasna kolumna. Przede mną stała mama – w postaci, jaką przyjęła w Grecji tuż przed ostatnią bitwą z jej straszliwą nieprzyjaciółką Ordyną. Znad wydatnych, ostro zarysowanych kości policzkowych spoglądały okrutne oczy drapieżcy. Poczulem nagły żal i z ust wyrwał mi się cichy krzyk, gdy serce jeszcze przyspieszyło biegu – nie podobała mi się w tej postaci. Zupełnie nie przypominała kobiety będącej matką mnie i moim braciom. Jej ciało pokrywały łuski podobne do tych Slake, z palców u rąk i nóg wyrastały ostre szpony, lecz złożone skrzydła wyglądały dokładnie tak, jak je zapamiętałem – białe i pierzaste. A potem, ku mojej uldze, zaczęła się zmieniać.

Skrzydła skurczyły się gwałtownie, znikając w głębi ramion, łuski rozpląły się, zastąpione przez długą ciemną spódnicę i bluzkę oraz zielony szal. Największa zmiana zaszła w oczach: złagodniały, zniknęło z nich okrucieństwo, pojawiło się ciepło. W końcu uśmiechnęła się, promieniejąc miłością.

To była mama, taka jak na farmie: kobieta, która kochała mego ojca, wychowała siedmiu synów i służyła miejscowym jako akuszerka i uzdrowicielka. Zdawało mi się też, że jest czymś więcej niż zjawą: wydawała się równie cielesna jak wtedy, w kuchni naszego domu.

Po policzkach ściekały mi łzy, wystąpiłem naprzód, by ją objąć. Uśmiech zniknął z jej twarzy; mama cofnęła się i uniosła rękę, jakby chciała mnie powstrzymać. Patrzyłem na nią oszołomiony, łzy radości zniknęły, zastąpione łzami odrzucenia i bólu.

Mama znów się uśmiechnęła.

– Otrzyj oczy, synu – rzekła miękko. – Najbardziej na tym świecie pragnęłabym cię uścisnąć, ale to po prostu niemożliwe.

Twoją duszę nadal spowija ludzkie ciało, moja ma już inną powłokę. Gdybyśmy się dotknęli, twoje życie dobiegłoby końca. A jesteś potrzebny na tym świecie. Wciąż masz przed sobą wiele pracy. Może nawet więcej, niż sądzisz.

Otarłem oczy grzbietem dłoni i postarałem się uśmiechnąć.

– Przepraszam, mamó, już rozumiem. Jak dobrze znów cię widzieć.

– I ciebie także, synu. Teraz jednak musimy przejść do ważniejszych spraw. Nie mogę tu pozostać dłużej niż kilka minut.

– Dobrze, mamó. Po prostu powiedz mi, co muszę zrobić.

– Masz teraz sztylet, a także dzięki własnym staraniom miecz. Trzeci przedmiot znajdziesz w Mroku. Leży ukryty w samym sercu kryjówki Złego – pod tronem w jego cytadeli. Slake pokaże ci, jak odprawić rytuał. Mając owe trzy święte przedmioty, będziesz mógł zniszczyć Złego po wsze czasy. Ja dysponowałam tylko dwoma, lecz i tak zdołałam go spętać. Ty dokończysz to, co zaczęłam.

– Dołożę wszelkich starań – obiecałem. – Chcę, żebyś była ze mnie dumna.

– Cokolwiek się stanie, Tomie, zawsze będę cię kochać i będę z ciebie dumna – ale teraz czas na najtrudniejsze... Nawet gdybym miała wszystkie trzy przedmioty, poniosłabym klęskę – bo najistotniejszą częścią rytuału jest ofiara z człowieka, którego kochasz najmocniej na tym świecie.

Wstrząśnięty, otworzyłem usta, lecz nie wydostał się z nich żaden dźwięk. W końcu zdołałem przemówić.

– Ciebie, mamó? Muszę złożyć w ofierze ciebie?

– Nie, Tomie – odparła. – To musi być ktoś żyjący, a choć wiem, że wciąż mnie kochasz, jest ktoś żywy na tym świecie, kogo kochasz jeszcze bardziej.

– Nie, mamó! – krzyknąłem. – To nieprawda!

– Wejrzyj w swoje serce, synu, przekonasz się, że to prawda. Każda matka musi stawić czoło chwili, gdy jej syn pokocha mocniej inną kobietę.

Mówiła coś, co w głębi ducha już wiedziałem. W końcu dotarło

do mnie prawdziwe znaczenie jej słów.

– Nie! Nie możesz tego żądać! – zaprotestowałem.

– Tak, synu, mówię to ze smutkiem, ale nie ma innego sposobu. Aby zniszczyć Złego, musisz poświęcić Alice.

## **ROZDZIAŁ 5**

### **DZIEWCZYNA JESZCZE NAM SIĘ PRZYDA**

– Mam odebrać Alice życie?! – zawołałem. – Czy nie ma innego sposobu?

– To jedyne wyjście, Tomie. Cena, którą trzeba zapłacić. Dziewczyna musi sama, z własnej woli poświęcić życie. Pozostawiam zatem twojemu osądowi, kiedy powiesz jej, co trzeba uczynić. Ja miałam przed sobą podobny wybór, lecz nie zdołałam go dokonać – ciągnęła mama. – Siostry próbowały mnie przekonać, żebym zabiła twojego ojca albo oddała im go na pożarcie. Później błagały, bym złożyła go w ofierze, aby wzmocnić magię. Bez wszystkich trzech świętych przedmiotów nie zdołałabym zniszczyć Złego, ale zwiększyłabym narzucone mu ograniczenia. Zdecydowałam inaczej, bo między mną a twoim ojcem rozkwitła już iskra miłości i ujrzałam przyszłość: to, że urodzę cię, siódmego syna siódmego syna, i uczynię z ciebie broń do zniszczenia Złego.

Słowa mamy wstrząsnęły mną. Opisywała mnie jak przedmiot, coś do użycia w walce z wrogiem, nie umiłowanego syna.

– Sądzę jednak, że ty okażesz się bardziej zdyscyplinowany – masz w sobie mocne poczucie obowiązku, jego nasienie zasadził twój ojciec, a pielęgnował John Gregory. I nie tylko: moja potężna krew płynie w twoich żyłach wraz z moimi darami. Użyj wszystkiego, co ci przekazałam. Musisz zniszczyć Złego niezależnie od ceny, inaczej skutki będą oplakane. Wyobraź sobie świat całkowicie podległy Mrokowi! Zapanują na nim głód, choroby,

bezprawie. Rodziny podzielą się: brat będzie zabijał brata. Sługi Złego będą wędrować swobodnie, dręcząc mężczyzn, kobiety i dzieci, pożerając ich ciała i wysysając krew. A gdzie ty się znajdziesz, synu? Będziesz wiedział, że doszło do tego wszystkiego, bo zawiodłeś, i jeszcze gorzej – przestaniesz się tym przejmować, bo zatracisz samego siebie, oddasz swą duszę Złemu. Wszystko to się stanie, jeśli nie zaczniesz działać. Mieszkańcy Hrabstwa i całego wielkiego świata potrzebują cię, musisz dokonać tego dla nich. Jestem pewna, że ich nie zawiedziesz – mimo osobistej ceny, jaką przyjdzie ci zapłacić. Przykro mi, synu, ale nie mogę zostać dłużej. Zniszcz Złego – to jest najważniejsze. To twoje przeznaczenie! Do tego się urodziłeś!

Postać mamy zaczęła blednąć.

– Proszę, mamó! – zawołałem z rozpaczą. – Jeszcze nie odchodź! Porozmawiajmy jeszcze. Musi istnieć inny sposób. Tak nie może być! Nie wierzę, że tego ode mnie żadasz! – Rozpływając się, mama zmieniła się z powrotem w złowrogą lamię o pierzastych skrzydłach. Ostatnią rzeczą, jaką ujrzałem, były jej okrutne oczy. A potem zniknęła.

W komnacie natychmiast zapanowała ciemność, toteż drżącymi rękami wysunąłem z kieszeni hubkę oraz krzesiwo i zapaliłem świeczkę. Następnie usiadłem na podłodze obok skrzyni, oglądając hubkę, obracając ją raz po raz w palcach. Był to ostatni przedmiot, jaki podarował mi ojciec, gdy odchodziłem z domu, by wstąpić do terminu u Johna Gregory'ego. Ujrzałem teraz ojca oczyma duszy i wspomniałem dokładnie jego słowa:

„Chcę, żebyś to wziął, synu. Może przyda ci się w nowej pracy. I wróć do nas niedługo. Owszem, opuszczasz dom, ale nie znaczy to, że nie możesz złożyć nam wizyty.”

Hubka z całą pewnością okazała się przydatna w mojej pracy, wiele razy mi służyła.

Biedny tato! Tak ciężko pracował na farmie, lecz nie mógł cieszyć się odpoczynkiem na starość. Przypomniałem sobie historię o tym, jak spotkał mamę w Grecji. Był wówczas marynarzem,



znalazł ją przywiązaną do skały srebrnym łańcuchem. Mama zawsze była wrażliwa na słońce, nieprzyjaciele zostawili ją tam, by zginęła na górskim zboczu. Ale tato ją ocalił, osłonił przed blaskiem.

Przed powrotem do Hrabstwa i rozpoczęciem nowego życia na farmie, tato mieszkał w jej domu, w Grecji. Nagle zrozumiałem coś, o czym wspomniał, opowiadając mi o tamtych czasach. Czasami po zmroku odwiedzały ich dwie siostry mamy, we trzy tańczyły wokół ogniska w osłoniętym murem ogrodzie; słyszał, jak się spierają, i przypuszczał, że siostry są mu przeciwne: patrzyły na niego ze złością przez okno, bardzo rozgniewane, a mama odprawiała go gestem dłoni.

Owymi siostrami były lamie, Wynde i Slake, które mama przewiozła do Hrabstwa w swoich skrzyniach. Ciągłe spierały się z nią i teraz pojąłem dlaczego. Próbowaly ją przekonać, by wzmacniła pęta nałożone Złemu, składając w ofierze tatę

Z zamyślenia wyrwały mnie czyjeś kroki, dźwięczące na schodach. Zorientowałem się, że to Slake, która nie chodziła już i nie poruszała się jak istota ludzka. Jej widok w migotliwym blasku świecy zmroził mnie do kości. Skrzydła miała złożone, lecz szpony rozcapierzone, jakby gotowe do ataku. Zamiast tego uśmiechnęła się, a ja wstałem z podłogi.

– Czy Zenobia rozmawiała z tobą? – spytała głosem bardziej ochrypłym niż przedtem.

Musiałem mocno się skupić, by zrozumieć, co mówi.

– Tak, ale nie podoba mi się to, czego ode mnie żąda!

– Ach! Masz na myśli ofiarę. Wspominała, że będzie to dla ciebie ciężkie, ale że jesteś posłusznym synem i nie braknie ci sił, by uczynić to, co konieczne.

– Siła, obowiązek – to tylko słowa! – rzuciłem z goryczą. – Mama nie potrafiła tego dokonać. Czemu ja miałbym być lepszy?

Patrzyłem na Slake, próbując opanować gniew. Gdyby mama uczyniła to, czego żądały lamia i jej siostra, tato zginąłby w Grecji, a moi bracia i ja nigdy byśmy się nie narodzili.

– Uspokój się – rzekła. – Potrzebujesz czasu do namysłu: czasu, by rozważyć to, co trzeba uczynić. Zresztą nie możesz rozprawić się ze Złym, dopóki nie zdobędziesz trzeciego świętego przedmiotu. Jego odnalezienie to teraz najważniejsza sprawa.

– Ów przedmiot spoczywa w Mroku; co więcej, pod samym tronem Złego – odparłem z wściekłością. – Jak niby mam go dostać w swoje ręce?

– To nie ty musisz to zrobić. Dziewczyna jeszcze nam się przyda. Alice już spędziła jakiś czas w Mroku. Nie tylko względnie łatwo będzie jej tam powrócić, ale też poznała królestwo Złego. A dopóki jego głowa pozostaje rozłączona z ciałem, niebezpieczeństwo nie jest aż tak wielkie.

– Nie! – krzyknąłem. – Nie mogę jej o to prosić. Po pierwszej wizycie w Mroku o mało nie postradała zmysłów.

– Druga będzie łatwiejsza – nalegała Slake. – Dziewczyna stopniowo uodporni się na jego zły wpływ.

– Ale jakim kosztem? – odparłem. – Coraz bardziej zbliżając się do Mroku, aż w końcu całkiem się mu odda?

Lamia nie odpowiedziała. Zamiast tego sięgnęła do skrzyni i wyciągnęła kartkę papieru.

– Najpierw to przeczytaj – rzekła. – Choć napisane moją ręką, zostało podyktowane przez twą matkę.

Przyjąłem kartkę i unosząc ją w drżących dłoniach, zacząłem czytać.

*Mroczny Pan pragnął, bym powróciła na jego łono i ponownie się przed nim ukorzyła. Długi czas stawiałam opór, jednocześnie zasięgając regularnie rady przyjaciół i zwolenników. Niektórzy doradzali, bym urodziła mu dziecko – w ten właśnie sposób zazwyczaj czarownice pozbywają się go na zawsze. Lecz myśl ta wzbudziła we mnie odrazę.*

*W owym czasie dręczyła mnie świadomość, że muszę wkrótce podjąć decyzję. Pewnego dnia nieprzyjaciele zaskoczyli mnie i schwytali...*

Następnie mama ponownie opisała to, co już wiedziałem – jak przywiązali ją do skały srebrnym łańcuchem i jak uratował ją marynarz. Tym marynarzem był oczywiście tato – on sam opowiedział mi tę historię niedługo przed śmiercią. Resztę także znałem – to jak

schronił się w jej domu. Lecz następne słowa zmroziły mnie do szpiku kości.

*...Wkrótce zorientowałam się, iż mój zbawca darzy mnie miłością. Czułam wdzięczność za to, co uczynił, lecz był zwykłym człowiekiem i zupełnie mnie nie pociągał.*

Na te słowa poczułem ból w sercu. Sądziłem, że mama i tato kochali się od początku. W każdym razie w ustach taty tak to brzmiało. On sam w to wierzył. Musiałem się zmusić, by czytać dalej.

*Jednakże odkrywszy, że to siódmy syn siódmego syna, zaczęłam tworzyć w głowie plan. Gdybym zrodziła mu synów, siódmy dysponowałby szczególną mocą w walce z Mrokiem. I nie tylko: dziecko odziedziczyłoby także część moich atrybutów, darów, które jeszcze by je wzmocniły. Dzięki temu dziecko to mogłoby zniszczyć Złego. Niełatwo było podjąć decyzję. Gdybym urodziła mu siódme dziecko, może w końcu zdołałabym zniszczyć wroga. Ale przecież John Ward był tylko biednym marynarzem. Pochodził z rodu rolników, lecz nawet gdybym kupiła mu własną farmę, wciąż musiałabym żyć tam z nim, na zawsze czuć w nozdrzach smród obejścia.*

Pomyślałem o biednym tacie i zdusiłem szloch. Mama ani słowem nie wspomniała o miłości. Obchodziło ją tylko zniszczenie Złego. Tato stanowił jedynie środek wiodący do owego celu. Może ja także?

*Siostry doradzały, żebym go zabiła albo oddała im. Odmówiłam, bo zawdzięczałam mu życie. Musiałam wybrać: czy wypędzić go z mojego domu, by znalazł statek i powrócił w swoje strony, czy też odpłynąć wraz z nim.*

Uniosłem wzrok znad kartki papieru i posłałem gniewne spojrzenie Slake, która w odpowiedzi rozcapierzyła z wściekłością szpony. To przecież jedna z dwóch lamii, które należały, by mama zabiła ojca!

*Lecz aby drugie wyjście stało się możliwe, najpierw musiałam spętać mego wroga, Złego. Dokonałam tego podstępem. Umówiłam spotkanie w Święto Plonów – tylko Zły i ja. Starannie wybrawszy miejsce, rozpałiłam wielki ogień i o północy odprawiłam niezbędną inwokację, by sprowadzić go czasowo do naszego świata.*

*Pojawił się w sercu płomieni, a ja pokłoniłam się przed nim i z pozoru ukorzyłam – pod nosem jednak mamrotałam już słowa potężnego zaklęcia, a w dłoni trzymałam dwa święte przedmioty. Mimo iż próbował mnie powstrzymać, z powodzeniem dokończyłam czaru, otwierając drogę do następnej części planu – która rozpoczęła się od podróży do Hrabstwa i zakupu farmy.*

*I tak zostałam żoną farmera i urodziłam mu sześciu synów, a potem w końcu siódmego, którego nazwaliśmy Thomas Jason Ward; pierwsze imię wybrał ojciec, drugie*

*ja, na pamiątkę Jazona, bohatera z mojej ojczyzny, którego niegdyś bardzo lubiłam.*

*My, lamie, przywykłyśmy do odmiany postaci, lecz nie potrafimy przewidzieć zmian, jakie odcisnie na nas czas. W miarę upływu lat pogodziłam się ze swym losem i pokochałam mojego męża. Coraz bardziej zbliżałam się do Światła i w końcu stałam się uzdrowicielką i położną, zawsze gotową do pomocy sąsiadom. I tak ów człowiek, John Ward, mężczyzna, który ocalił mi życie, poprowadził mnie ścieżką, której nie przewidziałam.*

Końcówka listu sprawiła, że poczułem się nieco lepiej. Przynajmniej mama pisała, że kochała tatę. Stopniowo się zmieniała i stała niemal człowiekiem. Nagle zadrzałem, pojmując, że teraz dzieje się coś odwrotnego: pozostawiała za sobą człowieczeństwo, zmieniając się w coś zupełnie innego od matki, którą pamiętałem. To, czego ode mnie wymagała, było nie do pomyślenia.

– Mama mówiła, że trzymała w dłoniach dwa święte przedmioty – rzekłem do Slake. – Dlaczego drugi znalazł się teraz w Mroku?

– Sądysz, że łatwo było spętać Złego? – syknęła lamia, ponownie rozcapierzając szpony. Bardzo szeroko otworzyła usta, szczerząc zęby, z jej szczęk zaczęła kapać ślina. Przez moment sądziłem, że zamierza zaatakować, potem jednak powoli wypuściła powietrze i znów przemówiła: – Mimo magii Zenobii doszło do ciężkiej walki. Zły, ciśnięty w Mrok, wyrwał jej jeden z przedmiotów. Oto instrukcje Zenobii dotyczące rytuału... Przeczytaj je teraz! – poleciła, wręczając mi drugą kartkę.

Zabrałem ją, złożyłem i schowałem do kieszeni.

– Przeczytam jutro – oznajmiłem. – Już i tak dowiedziałem się zbyt wielu rzeczy, które nie przypadły mi do gustu.

Slake warknęła nisko w głębi gardła, ja jednak odwróciłem się do niej plecami i wspiąłem po schodach na blanki. Nie chciałem jeszcze rozmawiać z Alice. Najpierw musiałem się zastanowić.

## **ROZDZIAŁ 6**

### **PÓŁ HISTORII**

Krążyłem po blankach Wieży Malkinów, tam i z powrotem, tam i z powrotem, niczym obłąkany. I gdy tak chodziłem, moje myśli

miotwały się tu i tam, uwięzione w labiryncie: nieważne, którą drogę ucieczki badały, zawsze powracały do dręczących mnie pytań.

Czy powinienem powiedzieć Alice, że będzie musiała wrócić w Mrok? A potem, czy będę gotów do podobnej ofiary? Czy naprawdę mógłbym pozbawić Alice życia?

Noc upływała powoli, a ja rozmyślałem, co muszę zrobić. W końcu oparłem się o mur, patrząc na zachód ponad drzewami Wroniego Lasu. Niebo stopniowo zaczęło jaśnieć, aż w końcu ujrzałem masyw Wzgórza Pendle. I wtedy w słabym świetle brzasku zacząłem czytać list opisujący rytuał, dzięki któremu być może w końcu zniszczymy Złego.

*Zniszczenie Złego można osiągnąć w następujący sposób: po pierwsze, trzeba mieć przy sobie trzy święte przedmioty. To miecze bohaterów, wykute przez Hefajstosa. Najpotężniejszym z nich jest Klinga Przeznaczenia, drugim – sztylet zwany Rębaczem Kości, który oddała ci Slake. Trzeci to sztylet Posepny, czasem zwany Brzeszczotem Smutków, który musisz odzyskać z Mroku.*

*Miejsce także jest ważne: musi szczególnie wzmacniać użycie magii. Co oznacza, iż rytuał należy odprawić na wysokim wzgórzu na wschód od Caster, znanym jako Wardstone, Kamień Strażniczy.*

Doprawdy, dziwny zbieg okoliczności. Miałem spróbować zniszczyć Złego na wzgórzu nazywanym się tak jak ja! Zadrzałem, jakby ktoś przeszedł po moim grobie, i podjąłem przerwana lekturę.

*Najpierw należy złożyć ofiarę krwi, dokładnie w następujący sposób: trzeba rozpalic ogień, zdolny do dania potężnego ciepła. W tym celu należy zbudować kuźnię.*

*Podczas rytuału wybrana ofiara musi wykazać się ogromną odwagą. Jeśli choć raz krzyknie bądź okaże ból, wszystko na nic – rytuał się nie powiedzie.*

*Z pomocą Rębacza Kości należy odciąć kciuk z prawej dłoni ofiary i cisnąć w ogień. Tylko jeśli nie krzyknie, możesz dokonać drugiego cięcia i usunąć kości z lewej dłoni. Je także wrzucasz do ognia.*

*Następnie z pomocą Posepnego trzeba wyciąć ofierze serce i wciąż bijące rzucić w płomień.*

Nagle pojąłem pełne znaczenie tego, czego ode mnie żądała. Alice miała odzyskać z Mroku Brzeszczot Smutków, który następnie posłużyłby w ohydnej ceremonii do wycięcia jej serca. Miała zapuścić się w Mrok, aby zdobyć broń, która pozbawi ją życia! To

obrzydliwe! Zadrzałem na myśl o czymś takim.

I wtedy usłyszałem, jak ktoś wspina się ku mnie po stopniach. Rozpoznałem stukot szpiczastych trzewików Alice i pospiesznie ukryłem list w kieszeni portek. W parę sekund później znalazła się na blankach obok mnie.

– Widziałeś się z mamą? – spytała, kładąc mi dłoń na ramieniu. – Jak poszło? Sprawiasz wrażenie zmartwionego. Czuję, jak drżysz.

– Jestem zmartwiony – przyznałem. – Strasznie się zmieniła. Zupełnie nie przypomina już mojej mamy.

– Och, Tomie! – krzyknęła Alice. – Każdy się zmienia. Gdybyś miał nagle znaleźć się w głowie samego siebie z przyszłości, bez wątpienia wstrząsnęłoby tobą to, jak bardzo różnisz się od siebie sprzed lat, w jakim stopniu czas odmienił twoje myśli i uczucia. Nieustannie się zmieniamy, lecz na tyle stopniowo, że sami tego nie dostrzegamy. U lamii zmiana przebiega po prostu znacznie szybciej i wyraźniej. Twoja mama nic na to nie poradzi, Tomie. Taką ma naturę – ale nadal cię kocha.

– Naprawdę? – obróciłem się ku niej.

Wbiła we mnie wzrok.

– O co chodzi, Tomie? Coś jest nie tak, prawda? Coś, o czym mi nie wspomniałeś.

Patrząc w oczy Alice, podjąłem decyzję. Opowiem jej część tego, co wiem – to, że chcę, aby znów zapuściła się w Mrok. Ale nie ma mowy, abym zdradził, że do całkowitego zniszczenia Złego musiałbym złożyć ją w ofierze. To niemożliwe. Rytuał był koszmarem i wiedziałem, że nie zdołałbym potraktować tak nawet najgorszego wroga, a co dopiero najlepszą przyjaciółkę.

Zatem tam, na blankach, w szarym świetle brzasku, pośród ochrypłych krzyków wron, powtórzyłem jej pół historii.

– Jest coś, co muszę ci powiedzieć, Alice – zacząłem. – To straszne, ale musisz wiedzieć. Istnieją trzy święte przedmioty niezbędne do uwięzienia Złego po wsze czasy. Mam już pierwsze dwa – mój miecz i sztylet, Rębacza Kości. Lecz trzeci z mieczy bohaterów, także sztylet, ukryty jest w Mroku pod tronem Złego. Chcę, żebyś to ty wyprawiła się w Mrok i go zdobyła, Alice – ale zapowiedziałem, że ci nie pozwolę.

Przez moment moja towarzyska milczała, cały czas patrząc mi głęboko w oczy.

– Co ci wiadomo o samym rytuale, Tomie? Czego wymaga?

– Dowiem się później, kiedy zdobędziemy już trzy przedmioty – skłamałem.

Potem długi czas milczeliśmy oboje. Patrzyłem w niebo, obserwując obłoczki pędzące na wschód, ich krawędzie zabarwiały się różem i czerwienią od wschodzącego słońca. I

nagle Alice wpadła mi w ramiona i uścisnęliśmy się mocno. W tym momencie zrozumiałem, że nigdy jej nie poświęcę. Musiał istnieć inny sposób.

Kiedy w końcu się rozłączyliśmy, spojrzała na mnie.

– Jeśli nie da się inaczej, pójdę w Mrok i zdobędę to, czego potrzebujemy – oznajmiła.

– Nawet o tym nie myśl! Musi być inne wyjście.

– A co, jeśli nie ma, Tomie? Grimalkin nie zdoła po wsze czasy chronić głowy Złego przed naszymi wrogami. Oni nigdy się nie poddadzą. Wszędzie, gdzie się udamy, będzie niebezpiecznie, bo zawsze będą nas tropić. Czekali przecież na nas i tutaj, prawda? W końcu Zły powróci w pełni mocy. Wówczas porwie nas w Mrok na wiekiście tortury. Teraz przynajmniej tylko jedno z nas musi tam pójść. Muszę udać się w Mrok, niezależnie od ceny, jaką przyjdzie mi zapłacić. I powrócę. Nie zostanę tam przecież na zawsze, prawda?

– Nie, nie możesz odejść w Mrok – upierałem się. – Nie puszczę cię.

– To moja decyzja, Tomie, nie twoja. Do Święta Zmarłych pozostało jeszcze ponad pięć miesięcy, lecz im wcześniej zdobędę sztylet, tym lepiej.

– Nie możesz tam wrócić, Alice! – zawołałem. – Pamiętaj, jak to na ciebie wpłynęło poprzednio.

– Wtedy było inaczej, Tomie. Wówczas porwał mnie Zły. Teraz go tam nie ma i dzięki temu Mrok osłabł. A ja dysponuję własną mocą. Dam sobie radę, nie martw się o mnie.

Nie odpowiedziałem. Nawet gdyby Alice się udało, jedynie zbliżyłaby się do chwili, w której miała zginąć. Drugi list mamy tkwił w mojej kieszeni i wiedziałem, że tam pozostanie.

\*

Przez resztę dnia pozostaliśmy w wieży, planując wyruszyć w drogę po zmroku, kiedy łatwiej będzie przemknąć się niepostrzeżenie.

Gdy Alice zeszła do tuneli, by znów odwiedzić Agnes, odbyłem krótką rozmowę ze Slake. W jej obecności przeczytałem resztę listu mamy i zdołałem wypytać ją o wszystkie niejasne punkty. Im więcej się dowiadywałem, tym gorzej to wyglądało. Pod koniec dyskusji byłem bliski rozpaczy.

W końcu nadeszła chwila rozstania. Alice czekała na mnie w pobliżu, a ja odwróciłem się do lamii.

– Być może nigdy już tu nie wrócę – oznajmiłem. – Możesz odejść wolno.

– Nie twoją rzeczą jest mnie odprawiać – syknęła Slake. – Zostanę tu aż do Święta Zmarłych. Wówczas, gdy rozprawisz się już ze Złym, spalę skrzynię i odejdę poszukać

swoich sióstr.

– A jeśli się z nim nie rozprawię?

– To by oznaczało nieszczęście dla nas wszystkich. Jeśli zawiedziesz, lepiej nie myśleć o skutkach. Musisz uczynić to, co konieczne.

– Nie tobie mówić mi, co mam robić! – odparłem. – Sam podejmuję decyzje. Jednakże masz moją wdzięczność. Gdybyś kiedykolwiek potrzebowała pomocy, wezwij mnie, a stanę u twego boku.

Pożegnaliśmy się z lamią, Alice patrzyła na mnie ze zdumieniem, wiedziałem dlaczego: te ostatnie słowa wyrwały się z mych ust bez namysłu, pojąłem jednak, iż mówiłem szczerze. Owej nocy na Wzgórzu Pendle, gdy kręgi przywołały Złego, Slake i jej siostra walczyły, by nas ocalić. Gdyby nie ich interwencja, zginęlibyśmy. Potem Wynde oddała życie, strzegąc wieży. A choć trudno przyszło mi się z tym pogodzić, Slake była też mą krewną – toteż byłem jej winien podobne przyrzeczenie.

– Wiesz, co sobie pomyślałam, Tomie? – spytała Alice, gdy ruszyliśmy w dół schodów. – Mówiłeś o tym, jak bardzo zmieniła się twoja mama, ale ty też się zmieniłeś. Złożyłeś Slake obietnicę, nie myśląc nawet o tym, co mógłby rzec stary Gregory. Jesteś teraz bardziej stracharzem niż on sam.

Nie odpowiedziałem. Myśl o słabnącym mistrzu smuciła mnie, lecz wiedziałem, że Alice ma rację. Jak sam powiedział mi zeszłego dnia, musiałem zachowywać się i myśleć jak stracharz, którym się stanę. Zmierzaliśmy w niepewną przyszłość, lecz zbliżała się chwila przesilenia. Wkrótce wszystko się zakończy – na dobre albo złe.

Agnes czekała na nas przy wylocie tunelu. Wokół jej głowy brzęczały muchy, usta okalały smugi zaschniętej krwi. Pachniała ziemią i stworami, które wiją się pod nią.

– Wracamy do Chipenden – poinformowała martwą wiedźmę Alice. – Gdy tylko będę mogła, wrócę zobaczyć się z tobą. – Agnes skinęła głową, z włosów wypadła jej wijąca się szara larwa.

– Jeśli będziesz w potrzebie, przyjdź do mnie do jaru. Ty także, Thomasie Wardzie. Ty też masz przyjaciółkę wśród martwych.

Alice czule poklepała ją po ramieniu i ostrożnie ruszyliśmy w głąb tunelu, przechodząc przez ossuarium do zagajnika porastającego cmentarz.

Alice powęszyła trzy razy.

– Jest tu pół tuzina czarownic, ale wszystkie martwe. Agnes nie próżnowała!

Pospieszaliśmy zatem na północ, a potem na zachód, okrążając Pendle i kierując się wprost do Chipenden. Agnes była naszą sojuszniczką i przyjaciółką, zauważyłem jednak,



iż Alice nie wspomniała jej o planowanej wyprawie w Mrok. Martwe czarownice się zmieniały, pozostawiając za sobą troski ludzkiego życia, i Agnes nie była już kimś, komu Alice mogłaby się zwierzyć.

## ROZDZIAŁ 7

### PRZEPRAWA JEST NIEBEZPIECZNA

Kiedy przechodziliśmy przez ogród stracharza, psy pomknęły ku nam, szczekając z podnieceniem, i musiałem poświęcić parę minut, głaszcząc je i dając się lizać. Sądziłem, że hałas zwabi mojego mistrza, ale nie dostrzegłem po nim ani śladu. Czyżby coś się stało? Może wyruszył gdzieś w sprawach stracharskich? Potem jednak ujrzałem dym wznoszący się z kuchennego komina i widok ten dodał mi otuchy. Kiedy wszedłem do środka, ujrzałem siedzącego przy ogniu nieznanego, rozmawiał z Johnem Gregorym. Obaj mężczyźni wstali i obrócili się ku mnie.

– To jest Tom Ward, mój uczeń – oznajmił stracharz. – A to dziewczyna, Alice, o której ci opowiadałem. Chłopcze, poznaj Judda Brinscalla, jednego z moich dawnych uczniów. Przybył tu aż z Todmorden, by nas tam odprowadzić.

– Jejmość Fresque to moja przyjaciółka, Tomie – wyjaśnił z uśmiechem Judd. – Pochodzi z Rumunii, lecz teraz mieszka w Todmorden i przysłała mnie, bym się dowiedział, co opóźniło wizytę twego mistrza w jej bibliotece.

Judd Brinscall był niższy od mistrza i drobniejszej budowy. Wyglądał na mężczyznę po czterdziestce, twarz miał jednak ogorzałą i pomarszczoną, co sugerowało, że większą część życia spędził na dworze. Jasne włosy zaczynały mu rzednąć, brwi jednak miał czarne, dziwnie kontrastujące z nimi. Nosił kaptur i płaszcz stracharza, lecz w odróżnieniu od naszych, jego był zielony z pasmami brązu i żółci.

Pamiętałem jego imię i nazwisko – były jednymi z większych

wydrapanych na ścianie mojego pokoju tu, w Chipenden – pokoju, który służył wszystkim chłopcom odbywającym termin u mistrza.

– Patrzysz na mój strój – rzekł ze słabym uśmiechem Judd. – Kiedyś nosiłem niemal identyczny jak wasze, Tomie. Ale istnieje po temu powód. Kiedy zakończyłem naukę u pana Gregory'ego, zaproponował mi, bym popracował z nim jeszcze kilka miesięcy, szlifując umiejętności stracharza. Byłoby to niewątpliwie rozsądne, lecz wytrzymałem pięć długich lat nauki fachu w Hrabstwie i ogarnęła mnie gorączka podróży. Musiałem odwiedzić nowe miejsca, gdy wciąż byłem młody – zwłaszcza Rumunię, skąd pochodziła rodzina mojej matki. Podróżowałem daleko, przepłynąłem się przez morze i w końcu tam dotarłem. Dwa lata spędziłem, studiując u miejscowych stracharzy w prowincji Transylwania. Wówczas to zastąpiłem tą szatą moją własną. Zapewnia mi niezbędne maskowanie podczas wędrówek po lesie.

– No dobrze, chłopcze – przerwał stracharz, odwracając się ku mnie z twarzą pełną troski. – Jak wam poszło w Wieży Malkinów? Usiądź i opowiedz mi o wszystkim.

Toteż, podczas gdy Alice wciąż stała, zająłem miejsce przy stole i rozpocząłem opowieść. Z początku się wahałem, niepewny, czy mogę ujawniać tak wiele w obecności nieznajomego.

Mistrz musiał dostrzec moje wahanie.

– Wyrzuć to z siebie, chłopcze! Nie musisz niczego ukrywać w obecności Judda. Łączy nas długa historia.

Opowiedziałem zatem mistrzowi część tego, czego się dowiedziałem – choć nie wspomniałem słowem o samym rytuale, na który z pewnością by się nie zgodził, powtórzyłem to samo kłamstwo, którym zwiodłem Alice – udawałem, że dowiem się, jak dalej postąpić, dopiero gdy w moich rękach znajdą się wszystkie trzy miecze bohaterów. I oczywiście nie ujawniłem najgorszego – że aby osiągnąć swój cel, musiałbym złożyć Alice w ofierze.

Konieczność podobnego kłamstwa zasmuciła mnie, ale może nie tak bardzo jak kiedyś. Stawałem się twardszy i wiedziałem, że postępuję słusznie. Na moich barkach spoczywało wielkie brzemię

odpowiedzialności, musiałem nauczyć się dźwigać je sam.

Kiedy skończyłem, obaj stracharze wbili wzrok w Alice.

– I co, dziewczyno? – spytał mój mistrz. – Wiem, że prosimy o wiele, ale czy jesteś gotowa podjąć niezbędną próbę? Czy wrócisz w Mrok?

– Musi istnieć inny sposób! – rzuciłem gniewnie. – Nie możemy żądać tego od Alice.

Żaden z nich nie odpowiedział, obaj spuścili wzrok, wpatrując się w blat stołu. Ich milczenie mówiło wszystko. Ogarnęła mnie gorycz. Alice nic dla nich nie znaczyła, Judd Brinscall zaledwie ją poznał, a mój mistrz nigdy w pełni jej nie zaufał, mimo wszystkiego, co z nami przeszła, mimo tego, jak wiele razy ratowała nam życie.

– Zrobię, co będzie trzeba – odparła cicho Alice. – Ale chcę mieć pewność, że to jedyna droga. Potrzebuję czasu do namysłu. I muszę pomówić z Grimalkin. Nie jest zbyt daleko, toteż pójde jej poszukać. Powinnam wrócić za kilka dni.

\*

Następnego ranka Alice ruszyła na północ, by odnaleźć wiedźmę zabójczynię. Na skraju ogrodu pożegnałem ją uściskiem.

– Cokolwiek zdecydujesz, Alice, nie odchodź w Mrok, póki się nie spotkamy. Przysięgasz?

– Przysięgam, Tomie. Nie poszłabym przecież bez pożegnania, prawda?

Patrzyłem, jak odchodzi w dal, gardło ścisnęło mi się od emocji.

Po godzinie, zostawiwszy trzy psy pod opieką wioskowego kowala, wraz z mistrzem i Juddem Brinscallem także ruszyłem w drogę. Choć stracharz zrezygnował z wędrówki do Pendle, teraz, w drodze do Todmorden, sprawiał wrażenie radosnego. Kolana już mu nie dolegały i stąpał ze swą dawną energią. Podczas marszu rozmawialiśmy.

– Wie pan, czego najbardziej mi brak ze starego domu? – spytał Judd.

– Mnie dachu i biblioteki – zazartował stracharz. – I cieszy

moje serce świadomość, że wkrótce mogę odzyskać jedno i drugie.

– A mnie brak bogina! – wykrzyknął Judd. – Może i od czasu do czasu przypalał bekon, ale zawsze zmywał i chronił ogród przed intruzami. Z początku mnie przeraził, ale potem całkiem go polubiłem.

– Mnie też przestraszył – dodałem. – Kiedy pierwszego dnia za wcześnie zszedłem na śniadanie, trzepnął mnie w ucho. Ale poza tym mam głównie miłe wspomnienia.

– O tak – zgodził się mój mistrz. – Bogin ostrzegał nas przed zagrożeniem i kilka razy ocalił nam życie. Będę za nim tęsknił.

Zatrzymaliśmy się na popas w wiosce Oswaldtwistle. Stracharz poprowadził nas wprost do jedynej gospody, „Pod szarym człowiekiem”.

– Chwilowo nie opływam w dostatki, lecz moje stare kości domagają się noclegu w ciepłym łóżku – oznajmił.

– Mogę za was zapłacić – wtrącił Judd. – Wiem, że ostatnio nie najlepiej się wam powodziło.

– Nie, Judd, schowaj pieniądze, nie chcę nawet słyszeć.

Nasze finanse były dość ograniczone, bo mistrz potrzebował większości zgromadzonych pieniędzy, by opłacić remont domu. Kiedy dostawał zlecenie, często sam musiał czekać na zapłatę, czasami aż do następnych żniw. Fakt, iż był teraz gotów zapłacić za nocleg, świadczył o tym, jak wielkie musiał czuć zmęczenie. Przez ostatnich parę lat walka z Mrokiem wiele go kosztowała. Był też jednak człowiekiem dumnym i nie pozwoliłby, by dawny uczeń płacił za jego utrzymanie.

Paru miejscowych siedziało w kącie, plotkując przy wielkim palenisku i sącząc piwo z wysokich kufli, ale tylko my zamówiliśmy obiad. Łapczywie rzuciliśmy się na wielkie talerze wołowiny i pieczonych kartofli pływających w pysznym sosie.

Spojrzałem na stracharza.

– Mówił pan, że pańska praca nigdy nie zawiodła go do Todmorden... Zastanawiam się zatem, skąd jejmość Fresque wiedziała o tym, co spotkało pańską bibliotekę. Ty jej o tym

powiedziałaś, Judd?

– Owszem, ja. Zaledwie od paru tygodni jestem w Hrabstwie. Chciałem wrócić wiele miesięcy temu, lecz wciąż było okupowane przez wojska wroga. Gdy tylko się zjawiłem, sprawdziłem, co słyhać u Cosminy Fresque, starej przyjaciółki z Rumunii, która była tak miła, by dać mi dach nad głową, dopóki nie stanę na nogi. Wspomniała, że ma do sprzedania trochę książek – toteż rzecz jasna opowiedziałem jej o panu. Natychmiast wyruszyła do Chipenden i po drodze dowiedziała się, co spotkało pańską bibliotekę.

– Powinna była nas odwiedzić, zamiast tylko zostawiać liścik – mruknął stracharz.

– Nie chciała panu przeszkadzać w czasie odbudowy – wyjaśnił Judd.

– Byłaby mile widziana – nalegał mój mistrz. – I ty także, Judd. Czemu nie przyprowadziłeś jej do domu?

– Choć z radością bym was odwiedził, nie mogę sobie pozwolić na odrzucenie płatnych zleceń. Tuż za granicą Hrabstwa pojawił się bogin. Wezwał mnie obowiązek.

– Todmorden to dziwna nazwa – zauważyłem. – Zastanawiam się, skąd się wzięła. Czy cokolwiek znaczy?

– Wszystkie nazwy coś znaczą – odparł stracharz. – Po prostu niektóre są tak stare, że ich pochodzenie już dawno zostało zapomniane. Są tacy, którzy twierdzą, iż imię to wywodzi się z dwóch słów w dawnej mowie: tod – oznaczającego śmierć, i mor – także oznaczającego śmierć.

– Ale inni temu przeczą – dodał Judd. – Twierdzą, iż ta nazwa znaczy: wioska bagiennego lisa.

Stracharz uśmiechnął się.

– Pamięć ludzka jest zawodna, prawda czasami ginie na zawsze, chłopcze.

– Czy twój ojciec pochodził z Hrabstwa, Judd? – spytałem.

– Istotnie, Tomie, ale umarł podczas pierwszego roku mojego terminu. A potem matka wróciła do Rumunii, by zamieszkać z

rodziną.

Przytaknąłem ze zrozumieniem. Mój własny tato także zmarł podczas pierwszego roku mojego terminu, a mama wróciła do Grecji. Przeżyliśmy podobną stratę i dobrze wiedziałem, jakie to uczucie.

Wcześniej poznałem trzech dawnych uczniów mojego mistrza. Teraz wszyscy już nie żyli. Najpierw Morgan, który służył Mrokowi i został zabity przez Golgotha, jednego ze Starych Bogów. Potem ojciec Stocks, zamordowany przez wiedźmę Wurmalde. I wreszcie w Grecji Bill Arkwright, który zginął bohatersko, osłaniając nasz odwrót.

Nienawidziłem Morgana, który prześladował innych, polubiłem jednak ojca Stocksa – a nawet Billa, choć z początku nie było mi łatwo. Teraz czułem to samo wobec Judda. Sprawiał wrażenie miłego człowieka. Życie stracharza bywa bardzo samotne. Miałem nadzieję, że zyskam nowego przyjaciela.

\*

Następnego dnia maszerowaliśmy na wschód przez wrzosowiska, aż do późnego popołudnia. Wreszcie, po tym jak minęliśmy kolejną niewielką wieś, w dole pod sobą ujrzeliśmy trzy doliny o stromych zboczach. W środkowej leżało miasteczko Todmorden. Przekonałem się, iż otacza je gęsty las, ciągnący się w górę zboczy. Stracharz poinformował, iż płynie tędy rzeka: jej drugi brzeg leżał poza granicą Hrabstwa. Sam układ miasta miał w sobie jednak coś dziwnego. Dzieliła je nie tylko rzeka, ale też pasmo drzew po obu stronach, jakby nikt nie chciał budować domu zbyt blisko wody.

– Przykro mi, ale tu się rozstaniemy – oznajmił Judd.

– Skoro przebyliśmy razem całą drogę, sądziłem, że poprowadzisz nas do drzwi jejmości Fresque i przedstawiś – odparł wyraźnie zaskoczony stracharz.

– Niestety muszę odmówić. Widzi pan, mam niedokończoną sprawę na południe stąd. To bogin, o którym wspominałem. Przepędziłem go z jednej farmy, a on natychmiast zadomowił się

na drugiej. Ale bez trudu znajdziecie dom pani Fresque. Spytajcie kogokolwiek o ulicę Krzywą. Jejmość was oczekuje.

– Jaka ona jest, ta jejmość Fresque? – spytał stracharz. – Skąd ją znasz?

– To miła kobieta, ale ma głowę do interesów i spraw praktycznych – odparł Judd. – Z pewnością się dogadacie. Poznałem ją podczas podróży. Ona pierwsza dała mi zakosztować rumuńskiej gościnności.

– No cóż, obowiązki stracharza przede wszystkim – oznajmił mój mistrz. – Mamy jednak nadzieję, że zobaczymy się jeszcze przed wyjazdem. Spodziewam się, że spędzimy tu co najmniej jedną noc.

– Oczywiście, spotkamy się jutro. Pozdrówcie ode mnie jejmość Fresque!

Judd pożegnał nas skinieniem głowy i pomaszerował na południe. Bez dalszych ceregieli stracharz poprowadził mnie stromą dróżką w stronę miasta.

Na wąskich brukowanych uliczkach roiło się od śpieszących gdzieś ludzi. Widziałem uliczne kramy i handlarzy sprzedających jadło i błyskotki z tac. Todmorden wyglądało zupełnie jak każde inne miasteczko w Hrabstwie, lecz z jedną różnicą: wszyscy jego mieszkańcy mieli ponure, nieprzyjazne miny.

Pierwszy człowiek, którego mistrz spytał o drogę, zignorował go całkowicie i minął bez słowa, unosząc kołnierz kurtki dla ochrony przed wiatrem. Druga próba zakończyła się nieco lepiej. Mistrz podszedł do starszego dżentelmena o rumianej twarzy, wspierającego się na lasce. Wyglądał jak farmer, miał szeroki pas i ciężkie wielkie buciory.

– Mógłby nam pan wskazać drogę do ulicy Krzywej? – spytał mistrz.

– Mógłbym, lecz nie jestem pewien, czy powinienem – odparł tamten. – Widzi pan, leży ona za mostem, na drugim brzegu rzeki. Tamtejsi ludzie to cudzoziemcy, lepiej trzymać się od nich z daleka! – To rzekłszy, skinął głową i odszedł.

Stracharz z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Trudno to pojąć, chłopcze – rzekł. – Zaledwie parę kroków przez rzekę i stajesz się „cudzoziemcem"! To przecież tylko ludzie, tacy sami jak my, pochodzący z innego hrabstwa!

Dotarliśmy aż do wąskiego drewnianego mostu, stanowiącego jedyną widoczną przeprawę przez rzekę. Most wyraźnie się sypał – paru desek brakowało, inne częściowo spróchniały; był dość szeroki, by pomieścić konia i wóz, lecz tylko głupiec zaryzykowałby przejazd nim. Uznałem za dziwne, że nikt nie zechciał go na, prawić.

Z tego miejsca część miasta za rzeką wyglądała zupełnie tak samo, jak ta w Hrabstwie. Za drzewami ujrzałem te same małe kamienne domy i brukowane uliczki, choć sprawiały wrażenie opuszczonych. Pomyślałem, że teraz się przeprawimy, ale stracharz wskazał gospodę po stronie Hrabstwa.

– Oszczędźmy sobie kłopotu, chłopcze i poszukajmy kogoś, kto może nam udzielić dokładniejszych wskazówek. Jeśli przy okazji zapewnimy sobie nocleg, upieczemy dwie pieczenie przy jednym ogniu.

Weszliśmy do niewielkiej gospody, na której szyldzie widniała nazwa „Rudy lis". Sala była pusta, lecz na kominku płonął ogień, a za barem łysiejący, skrzywiony mężczyzna w skórzanym fartuchu mył cynowe kufle.

– Szukamy domu jejmości Fresque – oznajmił stracharz. – Mieszka na końcu ulicy Krzywej gdzieś za rzeką. Zechciałby nam pan łaskawie wskazać drogę?

– To istotnie po drugiej stronie rzeki – odparł mężczyzna, nie odpowiadając na pytanie. – A przeprawa przez rzekę jest niebezpieczna. Niewielu z tej strony to robi. Będziecie pierwsi w tym roku.

– Most z pewnością wymaga pilnych napraw – przyznał stracharz – ale nie wygląda, jakby miał zwalić się do rzeki. Czy pan jest karczmarzem?

Mężczyzna odstawił wycierany kufel i kilka chwil wpatrywał



się w stracharza ciężkim wzrokiem. Mój mistrz odpowiedział spokojnym spojrzeniem.

– Tak, jestem karczmarzem. Potrzebujecie stawy i napoju, albo może łóżek na noc?

– Może nawet wszystkiego naraz – odparł stracharz. – Wiele zależy od tego, jak się ułoży nasz interes.

– Przejdźcie przez most – rzekł w końcu mężczyzna. – Potem skręćcie w trzecią ulicę po lewej. Prowadzi na Krzywą. Dom jejmości Fresque to ten duży na samym końcu, pod lasem. Osłaniają go drzewa, więc nie zobaczycie go, póki się nie zbliżycie. I trzymajcie się ścieżki. W okolicy żyją niedźwiedzie.

– Dziękuję za wskazówki – stracharz obrócił się do wyjścia. – Możliwe, że zobaczymy się później.

– Gdybyście potrzebowali pokojów, pamiętajcie, by wrócić przed zachodem słońca! – zawołał za nami gospodarz. – Wówczas zamykam i rygluję drzwi i jeszcze przed zmierzchem leżę bezpiecznie w łóżku. Jeśli macie dość rozumu, postąpicie tak samo.

## **ROZDZIAŁ 8**

### **ROZPRAWA NA TEMAT MOROII**

– Jaka gospoda zamyka drzwi tak wcześnie? – spytałem mistrza w czasie marszu do mostu.

– Najwyraźniej taka, która niechętnie wita obcych przybyszów, chłopcze. Dał nam to do zrozumienia.

– Nie sądziłem, że w Hrabstwie zostały jeszcze jakieś niedźwiedzie – mruknąłem.

– Są rzadkie. Ostatnio widziałem jakiegoś dwadzieścia lat temu. Najwyraźniej większość przeszła przez granicę i zamieszkała tutaj! – Stracharz uśmiechnął się.

– W takim razie czego się boi karczmarz? – spytałem. – Dlaczego musi kłaść się do łóżka przed zachodem słońca i tak

bardzo podkreślał, że zamyka wszystkie drzwi?

– Wiem tyle, co i ty. Ale to miasteczko nie wydaje się zbyt przyjazne. Może po zmroku kręcą się tu rabusie? Może mieszkańcy nie dogadują się z ludźmi z za rzeki? Czasami rodziny dzielą spory i kłótnie. Niewiele trzeba, by mieszkańcy dwóch różnych hrabstw wyimaginowali sobie najróżniejsze punkty zapalne.

Skręciliśmy w ulicę Krzywą i grunt pod naszymi stopami wkrótce zaczął podnosić się stromo. Nieliczne domy bez wyjątku stały puste, okna miały zabite deskami dla ochrony przed żywiołami. Wkrótce po obu stronach pojawiły się drzewa i im dalej szliśmy, tym bardziej się zagęszczały, w końcu utworzyły klaustrofobiczny liściany łuk nad naszymi głowami, przesłaniający słońce i rzucający mroczny cień na ziemię.

– Zastanawiam się, czemu nazywają to miejsce ulicą Krzywą – mruknąłem. – Nie jest ani trochę przekrzywiona.

Stracharz przytaknął.

– Wydajesz się bardzo dziś zainteresowany słowami i ich znaczeniem, chłopcze.

– Owszem, ciekawią mnie nazwy różnych miejsc – przyznałem. – Zwłaszcza te w Hrabstwie i sposób, w jaki ich znaczenie zmienia się z czasem. Czy to nie zabawne, że kiedyś słowo „pendle” oznaczało wzgórze, a w dzisiejszych czasach łączymy je ze sobą i mówimy o „Wzgórzu Pendle”?

Jeszcze jedna nazwa miejsca skryła mi się w głowie, odkąd pierwszy raz przeczytałem o nim w instrukcjach mamy – Kamień Strażniczy, Wardstone, wzgórze leżące na wschód od Caster, o którego istnieniu wcześniej nie wiedziałem. Dlaczego nosiło moje miano? Czy to tylko zbieg okoliczności, że rytuał zniszczenia Złego musiał odbyć się właśnie tam? Moje myśli natychmiast powędrowały ku Alice i wszystkim strasznym rzeczom, jakie miałem jej zrobić. Drżąc, odepchnąłem od siebie tę myśl i zmusiłem się do skupienia na słowach stracharza.

– Istotnie, to prawda. I masz rację, czasami miejsca noszą bardzo dawne nazwy, wywodzące się z ery, kiedy słowa te miały

zupełnie inne znaczenie. Ich pochodzenie niknie pośród mgieł czasu.

Nagle pojąłem, że wokół panuje głęboka, nienaturalna cisza. Już miałem wspomnieć o tym mistrzowi, nim jednak zdołałem się odezwać, przystanął i wskazał przed siebie – na budynek będący bez wątpienia siedzibą jejmości Fresque.

– No cóż, chłopcze, nigdy odtąd niczego takiego nie widziałem. Nie jestem architektem, ale wiem, co cieszy oko, a ten dom to jakaś dziwna mieszanina stylów.

Budynek był wielki, jego środkowa część miała kształt litery E, jak w przypadku wielu innych dworów z Hrabstwa. Kolejne fragmenty dodawano jednak w sposób wielce chaotyczny, jakby każdy nowy właściciel czuł przymus budowania dalej, nie zważając na już istniejące różnorakie rodzaje kamieni i cegieł, a także na to, by wieże i wieżyczki miały w sobie choć odrobinę symetrii – budynkowi brakowało jakiegokolwiek wyczucia harmonii i równowagi. Lecz coś jeszcze pogłębiło mój niepokój.

Drzewa tłoczyły się wokół domu, jakby żądały, by je doń wpuścić. Większość ludzi wykarczowałaby młode drzewka, gdy tylko zaczęły rosnać, albo przynajmniej je przycięła. Tu jednak niczego takiego nie zrobiono. Drzewa zwieszały gałęzie na dach bądź też opierały się o ściany, jakby próbowały je powalić. Jedno wyrosło nawet na środku ścieżki przed frontowymi drzwiami. Każdy, kto wchodził bądź wychodził z domu, musiał je wymijać. Do tego wszędzie panował półmrok; promienie słońca nie zdołały przeniknąć liściastego sklepienia.

– Ktoś bardzo zaniedbał ten dom – zauważył stracharz. – Mam nadzieję, że biblioteka jest w lepszym stanie; zresztą wkrótce sami się przekonamy.

Muszę przyznać, że zdumiał mnie ten widok. Judd twierdził, iż jejmość Fresque to niewiasta praktyczna. Dlaczego zatem pozwoliła tak bardzo rozrosnąć się drzewom? To nie miało sensu.

Domu nie okalał mur ani płot, ścieżka wiodła wprost do wejścia. Okrążając drzewo blokujące drzwi, stracharz podszedł do nich i

zastukał dwa razy.

Nikt nie odpowiedział, toteż spróbował ponownie. Znowu zauważyłem, jak bardzo zrobiło się cicho. Zupełnie jakby w pobliżu przyczaiło się coś wielkiego i groźnego, tak że wszystkie leśne stworzenia uciekły. Dom mego mistrza w Chipenden wyglądał zupełnie inaczej – tam o tej porze roku w powietrzu rozbrzmiewały niezliczone ptasie trele.

Już miałem wspomnieć o tym mistrzowi, gdy usłyszałem zbliżające się kroki. W zamku zazgrzytał klucz i drzwi powoli otwały się do wewnątrz. Przed sobą ujrzelśmy dziewczynę, w jednej dłoni trzymała świecę, w drugiej wielki pęk kluczy. Była smukła i urodziwa, liczyła sobie najwyżej osiemnaście, dziewiętnaście wiosen. Nosiła prostą czarną suknię opadającą do kostek, kontrastującą z długimi złocistorudymi włosami, splecionymi nad czołem w koronę, zgodnie z obecną modą panującą wśród zamożnych mieszkanek Hrabstwa. W bladej twarzy ujrzałem usta pomalowane na czerwono, które na nasz widok wygięły się w uśmiechu. Mój wcześniejszy niepokój zniknął bez śladu.

– Dzień dobry – powitała nas. – Pan musi być Johnem Gregorym, a ty jego uczniem, Thomasem Wardem. Tak wiele o was słyszałam. Jestem jejmość Fresque, lecz proszę, mówcie mi po imieniu. Nazywam się Cosmina.

Natychmiast uderzył mnie jej akcent. Mówiła płynnie po angielsku, lecz bez wątpliwej pochodziła z Rumunii, tak jak wspomniał Judd. I mimo niewątpliwej młodości, w jej oczach kryła się pewność i doświadczenie pasujące do znacznie starszej kobiety.

– Radzi jesteście, że mogliśmy tu przyjść – odparł stracharz. – I nie możemy się już doczekać przejrzenia pani zbioru ksiąg. Judd Brinscall wskazał nam drogę, ale musiał odejść w ważnych sprawach.

– Cóż, jest moim gościem, toteż zobaczymy się z nim później. Serdecznie zapraszam. Wejdźcie, proszę... – Z tymi słowy cofnęła się o krok, a my przekroczyliśmy próg ponurego domostwa.

– Chodźcie za mną – poleciła. – Zaprowadzę was do biblioteki.

Zawróciła na pięcie i ruszyła w głąb korytarza, wyłożonego boazerią pomalowaną na ciemny, lśniący brąz. Na samym końcu, dokładnie naprzeciw nas, widniały owalne drzwi. Jejmość Fresque wybrała z pęku klucz i przekręciła w zamku. Podążyliśmy za nią do środka. Natychmiast usłyszałem, jak stracharz wzdycha zdumiony.

Znaleźliśmy się w obszernej okrągłej wieży. Wokół ścian zbudowano półkoliste drewniane regały, których każdy cal zajmowały książki. Pośrodku stał okrągły dębowy stół o lśniącym blacie oraz trzy krzesła. Naprzeciw wejścia znajdowała się druga para drzwi.

To było atrium, koliste pomieszczenie sięgające aż do stożkowego dachu. Dostrzegłem inne piętra – może sześć czy siedem – każde tak samo wypełnione książkami. Biblioteka musiała liczyć sobie tysiące tomów, była znacznie większa niż zbiór stracharza w Chipenden.

– Jest pani właścicielką tego wielkiego księgozbioru? – spytał ze zdumieniem mistrz.

– Podobno biblioteka tak naprawdę do nikogo nie należy – odparła. – To dziedzictwo z przeszłości. Jestem jedynie jej powierniczką i strażniczką.

Stracharz przytaknął. Doskonale to rozumiał. Tak samo traktował własny księgozbiór. Nie była to kwestia własności, lecz zachowania dla przyszłych pokoleń stracharzy. Teraz jednak księgi spłonęły i boleśnie odczuł ich stratę. Ucieszyłem się: być może mój mistrz będzie mógł teraz uzupełnić zbiory.

– Jestem bibliotekarką, lecz mam prawo wypożyczać księgi bądź sprzedawać te, które uznam za nieodpowiadające naszym wymagom – podjęła dziewczyna.

– Czy mogę spytać, jak duży procent tego zbioru dotyczy Mroku? – zaciekawiał się mistrz.

– Około siódmej części – wyjaśniła jejmość Fresque. – W istocie całe najniższe piętro. Może obejrzycie je spokojnie? Przyniosę wam

drobną przekąskę.

To rzekłszy, skłoniła się i wyszła drugimi drzwiami, zamykając je za sobą.

– No chłopcze – rzekł z entuzjazmem stracharz – bierzmy się do pracy.

Rozeszliśmy się zatem w przeciwne strony kolistego pomieszczenia i zaczęliśmy przeglądać tytuły po grzbietach. Wiele brzmiało intrygująco, mój wzrok przyciągnął wielki, oprawny w skórę tom zatytułowany: „Rozważania nad Mrokiem: jego pięta Achillesowa”.

Wiedziałem, że Achilles to bohater z greckiej historii. Tuż po narodzinach matka zanurzyła go w kotle, by przekazać mu dar odporności na rany. Niestety, trzymała go za piętę i ta część ciała nie zanurzyła się w miksturze. Później wróg trafił go strzałą w ową piętę i Achilles zginął. Księga ta zatem najpewniej miała informować czytelnika o tym, jak znaleźć ukryte słabe punkty stworów z Mroku, co może doprowadzić do ich zniszczenia. Pomyślałem, że warto by to zgłębić.

Właśnie miałem zdjąć ją z półki, gdy stracharz wezwał mnie do siebie.

– Chodź tu i zobacz, co znalazłem, chłopcze.

W dłoni trzymał otwartą książkę, choć skromnych rozmiarów, najwyraźniej nader ważną. Zamknął ją i wskazał okładkę. Wysoko na brązowej skórze srebrnymi literami wytłoczono jedno słowo:

Doomdryte

Pod nim także wytłoczony w srebrze widniał obraz, który natychmiast rozpoznałem. Przedstawiał głowę i przednie łapy skelta.

– To grimoire, chłopcze – wyjaśnił mistrz. – W teorii najniebezpieczniejszy, jaki kiedykolwiek istniał. Bez wątpienia to tylko kopia, lecz jeśli sporządzono ją wiernie, jej tekst nadal mógłby obdarzyć niewiarygodną mocą kogoś zajmującego się magią Mroku. Niektórzy twierdzą, iż Zły podyktował ją magowi, który później spróbował użyć jej magii, lecz przy tym zginął. Jeśli choć

jedno słowo zaklęcia zostanie błędnie wymówione, mówiący ginie natychmiast. Gdyby jednak jakimkolwiek magowi udało się kiedyś odczytać wszystko jak należy – a trwałoby to wiele godzin – zdobyłby moce równe bogom. Byłby odporny na wszelkie rany i mógł czynić bezkarnie największe zło.

– Dlaczego na okładce widnieje głowa skelta? – spytałem.

Rękojeści mojego miecza, Klingi Przeznaczenia i Rębacza Kości, sztyletu, który wręczyła mi Slake, wykuto na podobieństwo łbów skeltów. Widok podobnego obrazu na okładce najniebezpieczniejszego ze wszystkich grimoire'ów poruszył mnie i niespokojnie pomyślałem o mieczu. Czasami wydawał mi się niemal rozumny. Tuż przed walką z jego rubinowych oczu kapłała krew. Choć nazywano go „mieczem bohatera”, miał w sobie coś z Mroku, bo wykuł go jeden ze Starych Bogów.

– Cóż, jak wiesz, chłopcze, skelty od dawna kojarzono z wiedźmami posługującymi się magią krwi – zwłaszcza wodnymi. Często trzymają te stwory w klatce i wypuszczają, by wysały krew więźniów. Gdy stwór opije się do syta, rozszarpują go żywcem na kawałki gołymi rękami i pożerają. To potraja moc magii krwi. Zawsze uważałem to za wyjątkowo odrażający rytuał, zatem ów stwór bez wątpienia nadaje się na ozdobę najgorszego z grimoire'ów.

– Można by sądzić; że podobnie niebezpieczna książka tkwiłaby gdzieś w ukryciu – nie stała ot tak, na półce. Zastanawiam się, czy jejmość Fresque wie co to.

– Bibliotekarka niekoniecznie musi czytać wszystkie swoje książki, chłopcze.

– Zatem chciałby pan zakupić ten tom do własnej kolekcji? – spytałem z jeszcze większym niepokojem.

– Nie, chłopcze, nie do kolekcji. Chcę kupić tę książkę, by móc ją zniszczyć i tym samym nie pozwolić, aby wpadła w niepowołane ręce.

W tym momencie drzwi naprzeciwko otwarły się i nasza gospodyni wróciła do pokoju, dźwigając tacę, którą ustawiła na

stole. Były na niej nóż, trzy kufle wody i duży talerz z grubymi pajdami chleba oraz kurczęciem na zimno, a także dwa kawałki sera – jeden pochodził z Hrabstwa, drugiego nie rozpoznałem.

Dostrzegłem, jak jejmość Fresque zerka na książkę w dłoniach stracharza i odniosłem wrażenie, że przez sekundę jej urocze rysy wykrzywił grymas irytacji, zniknął jednak tak szybko, że nie byłem pewien, czy go sobie nie wyobraziłem. Mistrz niczego nie zauważył; odwrócił się i właśnie odstawiał „Doomdryte” na półkę.

– Musicie być głodni po podróży, częstujcie się, proszę. – Jejmość Fresque wskazała tacę.

Usiadłem obok stracharza; nasza gospodyni zajęła miejsce naprzeciwko, po drugiej stronie stołu.

– Nie dołączy pani do nas? – spytał mistrz.

Z uśmiechem pokręciła głową.

– Już jadłam. Później przygotuję kolację. Jeśli chcecie, możecie tu zanoćować.

Stracharz nie przyjął zaproszenia ani też go nie odrzucił. Uśmiechnął się tylko, skinął głową i ukroił sobie kawałek sera z Hrabstwa. Ja poczęstowałem się kurczęciem. Często nie mogłem już patrzeć na ser – gdy szykowaliśmy się do walki z Mrokiem, stracharz nie pozwalał mi jeść niczego innego.

– I co pan myśli o mojej bibliotece po pierwszym krótkim spojrzeniu? – spytała.

– To niezwykła kolekcja – odparł mój mistrz. – Jest tu tak wiele książek, z których można wybierać – co prowadzi mnie do dwóch pytań. Po pierwsze, z jak wieloma z nich jest pani gotowa się rozstać i po drugie, czy przyjmie pani zapłatę w ratach? W tej chwili mam na głowie kosztowne naprawy mojego domu.

– Liczba tomów, które możecie zabrać, jest z konieczności ograniczona. Mogłabym się jednak zgodzić na sprzedaż około trzystu z nich. Cena zależy od książek – niektóre są bardzo rzadkie, inne można zastąpić z pewnych źródeł. Jest też kilka, z którymi nie mogę się rozstać, dokonajcie jednak wyboru i zobaczymy. Możliwe, że to nie będzie problem. Co do ceny,



oczywiście, będziemy negocjować, lecz z pewnością zdołamy osiągnąć kompromis, który zadowoli obie strony. Nie musi się pan martwić zapłatą za wszystkie z góry. W istocie, jeśli pan woli, mogę przyjąć pieniądze w ratach przez kilka lat.

Jedna kwestia nie dawała mi spokoju. Księgozbiór był doprawdy imponujący, czemu zatem jejmość Fresque chciała go zmniejszyć?

Postanowiłem zapytać ją o to wprost.

– Mógłbym się dowiedzieć, dlaczego sprzedaje pani część książek? Czy tylko po to, by pomóc panu Gregory'emu? – spytałem.

Jejmość Fresque uśmiechnęła się i przytaknęła.

– Częściowo po to, by pomóc twemu mistrzowi w odbudowaniu jego zbioru. Dokonał wiele dobrego i zasługuje na wsparcie w odtworzeniu kolekcji dla swoich spadkobierców. Muszę jednak przyznać, że ja sama także będę musiała dokonać napraw domu. Odziedziczyłam go zaledwie pięć lat temu, po śmierci wuja. Był człowiekiem starym i bardzo tradycyjnym oraz ogromnie kochał drzewa. Nie potrafił odłamać nawet gałązki, a co dopiero wyciąć tych, które zarosły teren wokół domu. Korzenie niektórych z nich uszkodziły fundamenty, toteż muszę zatrudnić leśnika, by się tym zajął. Będę też potrzebowała kamieniarza, by dokonał napraw samego budynku.

– Dziękuję, jejmość Fresque. Pani propozycja podziału zapłaty na raty jest niezwykle szczodra i z konieczności muszę ją przyjąć – oznajmił stracharz – ale mogę zapłacić część z góry: dość dużo, by zdołała pani rozpocząć własne naprawy.

Zauważyłem, że mistrz nie zwracał się do niej po imieniu, Cosmina, choć zachęcała nas do tego. Jej wyniosłe zachowanie i pewność siebie sprawiały, że podobna poufałość wyglądałaby dość niestosownie.

Kiedy skończyliśmy posiłek, jejmość Fresque zabrała tacę i ruszyła do drzwi, byśmy mogli w spokoju podjąć przegląd książek. Gdy do nich dotarła, wskazała ręką sznur wiszący obok jednego z regałów.

– Wystarczy go pociągnąć, a w moich pokojach zadzwoni dzwonek. Proszę, wezwijcie mnie bez wahania, gdybyście czegoś potrzebowali – dodała z uśmiechem i wyszła.

– Cóż, chłopcze, proponuję, abyśmy odkładali na stół wszystkie książki, które nam się spodobają. Nieważne, jeśli wybierzemy zbyt wiele. Później dokonamy ostatecznego wyboru, a resztę odstawimy na półki.

Mistrz westchnął i pokręcił głową.

– O co chodzi? – spytałem. – Nie cieszy się pan, mogąc wybierać z tak wielu?

– Owszem, chłopcze, to wspaniale – ale wiem, że pewnych rzeczy nie da się odtworzyć. Pomyśl o wszystkich notatnikach zapisanych przez dawnych stracharzy, które trzymałem w Chipenden: historiach ich zmagania, opisach, jak rozwiązywali problemy i odkrywali nowe fakty dotyczące Mroku... To wszystko przepadło na zawsze. Nie znajdziemy tu podobnych materiałów.

Okazało się jednak, iż stracharz się mylił, bo wkrótce znalazłem na półce książkę jednego z jego dawnych uczniów – w istocie samego Judda Brinscalla!

– Proszę spojrzeć! – zawołałem, wręczając mu ją. Był to cienki tomik zatytułowany „Rozprawa na temat moroii”.

Mistrz przytaknął z aprobatą.

– Był dobrym uczniem, chłopcze, jednym z nielicznych, którzy z zadowoleniem dokończyli terminu. A podczas swych podróży uzupełnił naszą wiedzę. Moroii to rumuńskie żywiołaki. Widzę też, że zna się na rzeczy, bo napisał słowo przez dwa „i” na końcu, to właściwa forma liczby mnogiej. Musiał podarować tę książkę jejmości Fresque. Zdecydowanie chciałbym mieć ją w nowej bibliotece w Chipenden.

Po trzech godzinach rozważań i wyborów zgromadziliśmy na stole około trzystu pięćdziesięciu tomów.

– Robi się późno, chłopcze. Czas już, byśmy ruszali w drogę. Wrócimy jutro wczesnym rankiem – oznajmił stracharz, kładąc mi dłoń na ramieniu.

- Nie skorzystamy z oferty jejmości Fresque i nie zanocujemy?
- Uważam, że najlepiej będzie wrócić do gospody. Jest kilka rzeczy, które muszę przemyśleć.

Stracharz dwa razy szarpnął za sznur. Niczego nie usłyszałem, wiedziałem jednak, że gdzieś w głębi domu rozdźwięczy się dzwonek.

Po minucie dołączyła do nas jejmość Fresque, na widok ksiąg na stole uśmiechnęła się.

- Widzę, że nie próżnowaliście.
- W istocie, teraz jednak jesteśmy zmęczeni – odparł stracharz.
- Wrócimy zatem rankiem, jeśli można.
- Nie zostaniecie na noc? – spytała z zawiedzioną miną. – Bylibyście mile widziani. Bardzo rzadko miewam gości i chętnie zaoferuję wam swój dom.

– To bardzo miło z pani strony, ale nie chcemy robić kłopotów. Nim jednak wrócimy, jest jedna rzecz, o którą chciałbym spytać...

Stracharz podszedł do stołu i uniósł książkę pióra Judda Brinscalla.

- To dzieło Judda – czy mógłbym je kupić?
- Judd dał mi książkę, wiedząc, że będzie tu bezpieczna. Myślę jednak, że lepiej pasowałaby do pańskich nowych zbiorów – odparła. – Przejrzałam ją: to doskonała praca na temat żywiołaków z mojej ojczyzny.

– Większość życia spędziła pani w Rumunii? – spytał mój mistrz.

– Tak, tam się wychowałam. Ale mój wuj opuścił kraj jako chłopiec i większą część życia przeżył w waszym Hrabstwie. Po jego śmierci przybyłam tu po spadek – dom, bibliotekę i skromny dochód z majątku. Nie mogę naruszyć kapitału, stąd konieczność sprzedaży książek.

\*

Pożegnawszy się, wyszliśmy i ruszyliśmy między drzewami ku rzece. Mój mistrz sprawiał wrażenie zatopionego w myślach.

- Czy coś się stało? – spytałem.

Stracharz przytaknął.

– To tylko instynkt każe mi zachować ostrożność. Powiedz mi, chłopcze, gdy rozmawialiśmy z jejmością Fresque, czy czułeś choćby cień ostrzegawczego chłodu? Cokolwiek?

Stracharz pytał, czy poczułem ziąb zwiastujący, iż w pobliżu czai się coś z Mroku. Jako siódmi synowie siódmych synów dysponujemy zdolnością wyczuwania czarownic, magów i innych sług Mroku.

Pokręciłem głową.

– Niczego nie czułem. Nawet najmniejszej wskazówki.

– Ja także, chłopcze. Lecz pewne odmiany czarownic dysponują zdolnością blokowania naszej wrażliwości na te sprawy.

– Ale wcześniej, tuż przed wejściem do domu, wyczułem coś złego. Miałem wrażenie, że jesteśmy obserwowani, że w pobliżu czai się coś groźnego – oświadczyłem.

– Cóż, jeszcze jeden powód, by zachować ostrożność i przygotować się na wszystko.

– Myśli pan, że ona może być wiedźmą?

– Nie wyciągam pochopnych wniosków, chłopcze, ale parę rzeczy nie daje mi spokoju. Dlaczego w bibliotece zgromadzono tak wiele ksiąg na temat Mroku? Po co ktoś miałby je skupować? Czyżby jej wuja interesowały podobne sprawy? Gdyby nie fakt, że Judd się z nią przyjaźni, byłbym bardziej podejrzliwy.

– Ufa pan Juddowi?

Stracharz skinął głową.

– Był dobrym uczniem i kiedyś powierzyłbym mu własne życie. Ale ludzie się zmieniają...

– I jest coś jeszcze – dodałem. – Widziała, jak trzyma pan „Doomdryte” i przysięgłbym, że przez moment była wściekła.

– W takim razie zobaczymy, jak zareaguje jutro, gdy powiemy, że to jedna z ksiąg, które wybraliśmy.

## **ROZDZIAŁ 9**

## SIÓDMI SYNOWIE

Zostawiwszy za sobą uliczkę Krzywą, dotarliśmy do brzegu rzeki, przeprawiliśmy się przez most i pomaszerowaliśmy wprost do gospody. Pomarańczowa kula słońca wisiała tuż nad horyzontem, lecz drzwi były już zamknięte i zaryglowane. Stracharz kilka razy stuknął w nie swoją laską, ale gospodarz otworzył dopiero po chwili. Zerknął na zachodzące słońce.

– Jeszcze pięć minut i przyszlibyście za późno – zauważył. – Z całą pewnością nie dostaniecie też kolacji.

– Już jedliśmy – odparł mój mistrz. – Wystarczą nam dwa pokoje i śniadanie o pierwszym brzasku.

Mamrocząc coś pod nosem, karczmarz zamknął i zaryglował za nami drzwi, a potem zaprowadził nas do izb. Już wychodził, gdy stracharz zadał mu pytanie.

– Mamy nadzieję dobić jutro targu z jejmością Fresque i będziemy musieli przewieźć sporą liczbę książek. Zna pan kogoś, kto ma do wynajęcia konia z wozem?

Mężczyzna skrzywił się i pokręcił głową.

– Nikt po tej stronie rzeki nie zechce przeprowadzić się przez most. Trzymamy się swojego brzegu.

Nim zdążyliśmy spytać o coś jeszcze, odszedł, nadal mamrocząc pod nosem.

– Cóż, chłopcze, to będzie jutro zadanie dla ciebie. Ale najpierw pójdziesz ze mną do pani Fresque i pomożesz mi dokonać ostatecznego wyboru.

Pożegnaliśmy się i rozeszliśmy do pokojów. Wkrótce odpłynąłem w pozbawiony marzeń sen. Z jakichś powodów jednak co i raz się budziłem. Noc wydawała się bardzo długa.

\*

Na śniadanie musieliśmy czekać ponad godzinę, bo karczmarz nie wstał, póki słońce nie wzniosło się nad horyzontem.

Stracharz nie był zachwycony, ale nie narzekał. Zostawiliśmy

torby w pokojach i ściskając w dłoniach laski, wkrótce znów maszerowaliśmy ulicą Krzywą.

– Obsługa w tej gospodzie nie jest najlepsza – zauważyłem.

– To prawda, chłopcze – odparł mój mistrz. – Ale musimy wziąć poprawkę na kilka rzeczy. Karczmarz jest wyraźnie przerażony. Zaczynam podejrzewać, że po tej stronie rzeki kryje się jakaś groźba z Mroku. Albo może coś żyło tu w przeszłości. Chciałbym jak najszybciej wrócić do Chipenden z książkami, myślę jednak, że w bliskiej przyszłości winniśmy znów odwiedzić Todmorden.

Kiedy jejmość Fresque zaprowadziła nas do biblioteki, zachowywała się nieco chłodniej, czy może z większym wahaniem. Rozejrzałem się dokoła i na moment zakręciło mi się w głowie. Uczucie to minęło szybko, lecz przez chwilę kształt pomieszczenia jakby się zmienił – wraz z atrium. Wczoraj przysięgłbym, że pokój wyglądał na idealnie kolisty. Dziś wydawał się bardziej owalny. Czyżbym to sobie wyobraził? Pewnie to po prostu zmęczenie, pomyślałem – w końcu niezbyt dobrze spałem.

Nasza towarzyszka wskazała gestem stół.

– To spośród nich zamierzacie dokonać ostatecznego wyboru? – spytała.

– Głównie tak – odparł stracharz. – Lecz raz jeszcze przejrzymy półki na wypadek, gdybyśmy coś przeoczyli. – Przykro mi, lecz jest tu książka, która nie może opuścić biblioteki – pokazała na „Doomdryte”, którą odłożyła osobno.

– Mnie też przykro – mistrz zmarszczył brwi. – Lecz muszę ją zdobyć. „Doomdryte” to niezwykle niebezpieczna księga, nie może wpaść w niepowołane ręce. Kupiłbym ją wyłącznie po to, by ją zniszczyć. Jestem gotów zapłacić naprawdę dużo, byle tylko ją stąd zabrać. Lecz znów musiałbym podzielić zapłatę na raty.

Jejmość Fresque uśmiechnęła się.

– Jeśli chodzi o tę książkę, mam związane ręce. W testamencie mojego wuja zawarto kodycył wymieniający księgi, które muszą pozostać w zbiorze. Wśród nich wymienia i tę. Co roku zjawia się tu prawnik sprawdzający, czy książki nadal stoją na półkach.

Gdyby zniknęły, straciłabym dom.

W jej słowach zabrzmiała ostateczna nuta, niepozostawiająca mistrzowi pola do manewru.

– Czy Judd już się zjawił? – spytał zatem. – Chciałbym zamienić z nim kilka słów.

– Wczesnie rano wyruszył w drogę w interesach – odparła, odstawiając zakazaną książkę na półkę, po czym odeszła bez słowa.

W milczeniu podjęliśmy pracę. Wiedziałem, że mistrz rozmyśla gorączkowo, lecz nic nie mogliśmy zrobić, chyba że ukradlibyśmy książkę. John Gregory był zaś człowiekiem honoru, z pewnością nie złodziejem.

W końcu, raz jeszcze przejrawszy półki, zawężiliśmy nasz wybór do trzystu pięciu tomów.

– No dobrze, chłopcze, tu już skończyliśmy, zmykaj zatem za rzekę i znajdź nam kogoś, kto zechce przewieźć te księgi do Chipenden.

Przytaknąłem i ściskając w dłoni kij, ruszyłem między drzewa, zmierzając w stronę mostu. Było późne popołudnie, w ciepłym powietrzu głośno brzęczały senne owady. Ucieszyłem się, wychodząc spod liściastego sklepienia na otwartą przestrzeń. Niebo było bezchmurne, wiał lekki wietrzyk z zachodu.

Przeprawiwszy się przez most z powrotem do Hrabstwa, zauważyłem, że w miasteczku, jeszcze wczoraj tak ruchliwym, zrobiło się niemal pusto. Nagle uderzyła mnie myśl, iż gospodarz mógł mieć rację – wynajęcie konia i wozu może być wcale niełatwym zadaniem. Okazało się jednak trudniejsze, niż sądziłem. Pierwsi dwaj mężczyźni, których zagadnąłem, pospieszyli naprzód bez słowa, w ich oczach dostrzegłem dezaprobatę. Wyraźnie niechętnie witano tu obcych. A może chodziło o to, że noszę kaptur i płaszcz stracharza oraz trzymam w dłoni laskę? Stracharze rozprawiali się z Mrokiem, toteż zawsze budzili niepokój w ludziach, niektórzy przechodzili nawet na drugą stronę drogi, byle nas uniknąć. Choć jednak przywykłem do podobnych reakcji, ta wydawała się nieco przesadna. Byłem pewien, że coś tu jest nie

tak.

W warsztacie stolarza po raz pierwszy dopisało mi szczęście. Właściciel odłożył na chwilę piłę i wysłuchał mojej prośby. Potem pokiwał głową.

– Nikt z miejscowych nie zajmuje się czymś takim, ale stary Billy Benson ma konia z wozem i zawsze brak mu pieniędzy. Może się zgodzi za stosowną cenę.

– Dziękuję. Gdzie go znaleźć? – spytałem.

– Oczywiście na farmie Bensonów – odparł tamten tonem sugerującym, że wszyscy to wiedzą. – Idź na północ, za miasto. Farma leży na granicy wrzosowisk. Sam zobaczysz ślady. Benson hoduje kilka mizernych owiec.

– Jak to daleko? – spytałem.

– Jesteś młody i silny. Jeśli się przyłożysz, obrócisz tam i z powrotem do zachodu słońca.

Po raz drugi dziękując stolarzowi, opuściłem warsztat i pobiegłem przed siebie. Jaki miałem wybór? Bez wątpienia stracharz nie ucieszy się, że nie było mnie tak długo, ale naprawdę potrzebowaliśmy środka transportu.

Wkrótce zrozumiałem, iż raczej nie zdołam wrócić przed zmierzchem do Todmorden. Dotarcie na koniec krętej dróżki wiodącej przez wrzosowiska zajęło mi dobre dwie godziny. W czasie marszu znów przypomniałem sobie Alice i kłamstwa, którymi ją uraczyłem. Serce zaciążyło mi w piersi, ze zgrozą myślałem o przyszłości. Miałem wrażenie, że stajemy się sobie obcy. Odkąd coraz częściej zaczęła używać magii Mroku, podążaliśmy dwiema różnymi ścieżkami.

Dom, do którego w końcu dotarłem, był niewielki i podniszczony, na dachu brakowało dachówek. Gdy zastukałem do drzwi, nikt nie odpowiedział, ucieszyłem się jednak na widok dwóch koni uwiązanych za domem oraz wozu, który, choć widział już lepsze czasy, miał przynajmniej cztery koła. Pan Benson bez wątpienia krzątał się przy owcach.

Czekałem niemal godzinę, już miałem zrezygnować i wrócić do



Todmorden, gdy ujrzałem starego żylastego farmera z owczarkiem collie przy nodze.

– Znikaj stąd! – zawołał, wymachując kijaszkiem, – Nie lubimy tu nieznajomych! Znikaj albo poszczuję cię psem!

Spokojnie czekałem, aż się zbliży. Pies nie wyglądał na szczególnie groźnego, lecz na wszelki wypadek uniosłem laskę.

– Przychodzę zaproponować panu pracę – oznajmiłem. – Dobrze zapłacimy. Musimy przewieźć książki do Chipenden. Podobno ma pan wóz.

– Owszem, mam i bez wątpienia przydałoby mi się trochę grosza. Ale książki? Książki, powiadasz? Różne już rzeczy przewoziłem w swym życiu: węgiel, łajno, baraninę, nawet ludzi, ale nigdy książki. Do czegoż to zmierza ten świat! Gdzie są te książki? – spytał, rozglądając się, jakby sądził, że leżą gdzieś w pobliżu.

– W domu na końcu ulicy Krzywej – wyjaśniłem.

– Krzywej? Ale to po drugiej stronie rzeki. Za żadne pieniądze tego świata nie zmusisz mnie do przejazdu tym mostem.

– Czy to most pana trapi? W razie konieczności możemy przenieść książki na tę stronę.

– Most jest solidniejszy, niż się zdaje, to stwory z drugiego brzegu mnie martwią. Zresztą i tak nie zdołałbym przeprowadzić tam koni. Bałyby się, że je pożrą.

– Niedźwiedzie? – spytałem.

– Owszem, może niedźwiedzie – ale może inni, o których lepiej nie myśleć. Cudzoziemcy!

Wiedziałem, że dyskusja z kimś takim to strata czasu, toteż pośpiesznie zaproponowałem kompromis.

– Czy przyjmie pan robotę, jeśli przeniesiemy książki przez most?

– Owszem, przyjmę, byle tylko słońce świeciło wysoko na niebie – odparł pan Benson. – Będę tam jutro w południe. Ile zapłacicie?

– To już zależy od mego mistrza, Johna Gregory'ego, mówił jednak, że będzie hojny, więc nie musi się pan martwić.

Uścisnęliśmy dłonie i ruszyłem z powrotem do Todmorden. Wiedziałem, że będziemy musieli obrócić z książkami kilka razy, ale nie mogłem liczyć na lepszą umowę. A potem w głowie zabrzmiało mi słowo „cudzoziemcy” i po plecach przebiegł mi lodowaty dreszcz.

W Hrabstwie ludzie nazywali czasem tym słowem przybyszów – nawet obcych z sąsiedniego hrabstwa. Pomyślałem jednak o jejmości Fresque. Przyjechała z Rumunii, naprawdę była cudzoziemką w naszym kraju, jak wcześniej jej wuj. Czyżby stracharza nie mylił instynkt? Czy naprawdę była groźna? Czy to jej bali się ludzie z tego brzegu rzeki?

Nagle uświadomiłem sobie, że słońce zajdzie za niecałe pół godziny. Dotrę do domu już po zmierzchu! Czy mojemu mistrzowi może cokolwiek zagrażać?

Puściłem się biegiem. Z pewnością stracharz nie został w bibliotece. Nie, na pewno wrócił do gospody. Jeśli jednak dotrę tam po zmroku, karczmarz mnie nie wpuści – a może zrobi to mistrz mimo protestów gospodarza?

Słońce zaszło, nim jeszcze ruszyłem w dół, w stronę Todmorden. Gdy ujrzałem gospodę, było już zupełnie ciemno. Zacząłem walić do drzwi. Dźwięk odbijał się echem wzdłuż ulic i znów ogarnęło mnie dziwne uczucie – identyczne jak wtedy, gdy zbliżaliśmy się do domu Cosminy: jakby w pobliżu czaiło się coś niebezpiecznego, lecz niewidzialnego, jak gdyby cały świat wstrzymywał oddech.

Teraz naprawdę się bałem. Ponownie walnąłem w drzwi, tym razem laską. Tłukłem w nie i tłukłem, aż w końcu doczekałem się odpowiedzi, tyle że nie takiej, na jaką liczyłem. Spodziewałem się, że mistrz zejdzie na dół i mnie wpuści. Zamiast tego okno nad drzwiami otwarło się i odezwał się głos.

– Znikaj stąd! I nie hałasuj, bo przyciągniesz kłopoty.

To był gospodarz, lecz z otwartego okna nie padł nawet płomyczek światła; jego twarz kryła ciemność.

– Proszę mnie wpuścić! – zawołałem.

– Uprzedzałem przecież: nikt nie wejdzie po zmierzchu! –

syknał na mnie. – Wróc jutro rano – jeśli wciąż będziesz dychał.

– Proszę zatem powiedzieć mistrzowi, że tu jestem – błagałem, poruszony jego słowami. – Proszę powtórzyć, by zszedł i pomówił ze mną.

– Marnujesz czas. Twojego mistrza tu nie ma. Nie wrócił. Jeśli wciąż przebywa w domu jejmości Fresque, już go nie zobaczymy. Najlepsze, co możesz zrobić, chłopcze, to zostać do świtu na tym brzegu rzeki!

Na te słowa serce ścisnęło mi się w piersi; potwierdzały się moje najgorsze obawy. Stracharzowi groziło niebezpieczeństwo.

Gospodarz zatrzasnął okno, zostawiając mnie samemu sobie. Zacząłem cały dygotać, nagle poczułem przemożne pragnienie, by posłuchać jego rady i zostać po tej stronie mostu. Ale jak mogłem zostawić mistrza? Może już było za późno, lecz musiałem spróbować go ocalić, niezależnie od ceny. Jak bardzo groźna mogła okazać się Fresque? Farmer Benson mówił – o „cudzoziemcach” pożerających jego konie. Wówczas zabrzmiało to wariacko, ale teraz rozważyłem znaczenie tych słów. Czy jedli też ludzi? Czy mogli być kanibalami?

Przeprawiłem się przez rzekę i ruszyłem w stronę ulicy Krzywej; tam zatrzymałem się, nasłuchując. Słyszałem tylko wiatr wzdychający wśród drzew. A potem gdzieś w dali dwa razy zahukała sowa. Sierp księżycy wisiał tuż nad horyzontem, lecz jego światło nie mogło przeniknąć gęstego liściastego sklepienia, osłaniającego uliczkę. Przywodziła na myśli mroczny tunel, pełen nieznanych zagrożeń. Ściskając mocno w dłoni laskę, ruszyłem w stronę domu. Może stracharz przyjął zaproszenie i zdecydował się zanocować u jejmości Fresque. Jeśli tak, czy był tylko gościem, czy faktycznie coś mu groziło? Czy zamartwiałem się na próżno, dając się ponieść wyobraźni? Judd także mieszkał w tym domu, dwóch stracharzy powinno poradzić sobie z każdym zagrożeniem. Cóż, rzekłem do siebie, wkrótce się przekonam.

Byłem w połowie drogi, gdy usłyszałem, jak po prawej coś się porusza. Coś wielkiego dreptało wśród drzew. Zatrzymałem się z

wałącym sercem, wypatrując zagrożenia, i uniosłem przed sobą ukośnie laskę.

Dźwięki ustały. Gdy znów ruszyłem, zabrzmiały ponownie. Miałem wrażenie, że obok mnie stąpa wielkie zwierzę, jakby mnie odprowadzało. Czy to niedźwiedź? Jeśli tak, przynajmniej się nie zbliżał.

Nagle wśród drzew ujrzałem dom i istota, która mi towarzyszyła, zniknęła bez śladu, zupełnie jakby rozplynęła się w powietrzu.

Mimo ciemnych okien dało się dostrzec zarysy budynku. Okrążyłem drzewo i podszedłem do frontowych drzwi. Ku memu zdumieniu stały otworem, wisząc na jednym zawiasie. Za nimi niczego nie widziałem. Wewnątrz zalegała nieprzenikniona ciemność. Oparłem laskę o ścianę, sięgnąłem do kieszeni portek i wyciągnąłem ogarek, który zapaliłem z pomocą hubki i krzesiwa. Dzierżąc go w prawej dłoni, a w lewej laskę, przekroczyłem próg.

Natychmiast pojąłem, że coś jest bardzo nie tak. W powietrzu unosiła się silna woń zgnilizny i rozkładu, na boazerii dostrzegłem grubą warstwę kurzu. Co więcej, z framugi płatami złaziła farba. Wcześniej wszystko wewnątrz domu było czyste, wypolerowane i dobrze utrzymane. To nie miało sensu.

Podszedłem do owalnych drzwi na końcu korytarza. Nacisnąłem klamkę, okazały się jednak zamknięte. Żaden problem, bo w kieszeni miałem specjalny klucz zrobiony przez brata stracharza Andrew, znakomitego ślusarza, otwierający większość drzwi. Wsunąłem go do zamka, po sekundzie ustąpił. Schowałem klucz do kieszeni, po czym uchyliłem drzwi i uniosłem świecę, by oświetlić najniższy poziom biblioteki.

To, co ujrzałem, wydawało się niemożliwe..niewiarygodne: półki były puste, wiele regałów zawaliło się. Nieliczne, które przetrwały, pokrywały grube warstwy pajęczyn. Zerknąłem w dół i ujrzałem odciski własnych stóp w grubej warstwie kurzu. Wyglądało to, jakby od wielu długich lat nikt nie przekraczał progu tego pomieszczenia. Po stole, na którym wcześniej ułożyliśmy wybrane

tomy, nie pozostał żaden ślad. Jak to możliwe, zastanawiałem się, przecież byłem tu z mistrzem zaledwie dziś rano?

Powiodłem wzrokiem po górnych piętrach biblioteki. Światło świecy sięgało jedynie do pierwszego, ono wyglądało jednak równie żałośnie i nędznie, jak parter.

Nagle po plecach przebiegł mi lodowaty dreszcz – ostrzeżenie, które często odbiera siódmy syn siódmego syna, gdy zbliża się coś z Mroku. Znikąd powiał silny wiatr. Płomyk świecy zamigotał i zgasł, pogrążając mnie w ciemności.

## **ROZDZIAŁ 10**

### **TCHÓRZLIWA PANIKA**

Przez moment ciemność zdawała się absolutna. Księżyc nie był w stanie przeniknąć zasłony drzew okrywającej dom i przez drzwi ani okna nie wpadał nawet najsłabszy promyk światła.

Serce zabiło mi szybciej. Odetchnąłem głęboko, by się uspokoić i pojąłem, że się mylę – w pokoju było słabe źródło światła. Padało ono z jednego ze zniszczonych regaliów stojących obok owalnych drzwi. Oparta na nim samotna książka żarzyła się ostrym czerwonym blaskiem.

Podszedłem krok bliżej. Tom oparto o tył regału, toteż wyraźnie widziałem tytuł. To była „Doomdryte”, niebezpieczny grimoire, który mistrz pragnął zniszczyć.

Po prawej usłyszałem niskie warknięcie, obróciłem się gwałtownie. To, co ujrzałem, sprawiło, że odruchowo cofnąłem się o krok. Z twarzy bestii spoglądały na mnie przerażające, złowrogie oczy. Stwór był całkiem łysy, miał wielkie szpiczaste uszy porośnięte długimi cienkimi włosami. Nad dolną wargą sterczały długie zakrzywione kły. Z całego ciała, z kształtu podobnego do ludzkiego i wysokiego na sześć stóp, promieniował pomarańczowy blask. Stwór nosił ciężkie buty i brudne, umazane błotem

łachmany. Dłonie miał dwa razy większe od moich, każdy palec kończył się długim ostrym szponem.

Potwór znów warknął i postąpił krok ku mnie. Cofnąłem się, unosząc kij w pozycji obronnej. Nie pamiętałem, bym kiedykolwiek wcześniej widział coś podobnego. Czy oglądałem choćby obrazek w bestiariuszu stracharza? Szkic z cudzego opisu? Jak przez mgłę coś sobie przypominałem. Ale co...?

Ze szczękiem wypuściłem z końca laski ukrytą klingę – wykutą ze stopu srebra i skuteczną w walce z większością stworów z Mroku. Byłem gotów do odparcia ataku, lecz nic to nie dało. Stwór okazał się niewiarygodnie szybki. W jednej chwili patrzył na mnie wściekle złowrogimi oczami, w następnej przemknął obok w pędzie, wyrywając mi z rąk laskę. Straciłem równowagę i runąwszy na kolana, ujrzałem go po drugiej stronie pomieszczenia. Oglądał uważnie kij. Nagle przełamał go na pół i odrzucił kawałki.

– Ta mizerna broń w ogóle mi nie zagraża – warknął. – Jesteś młody, będziesz smakował lepiej niż twój mistrz!

Na te słowa zadrżałem. Smakował? Czyżby ten stwór zabił i pożarł stracharza? Czy to miał na myśli? A zatem się spóźniłem? Na sekundę ogarnęła mnie rozpacz, potem jednak odepchnąłem uczucia i zmusiłem się do skupienia, tak jak uczył mnie mistrz.

Nagle przypominałem sobie jejmość Fresque. Dom i biblioteka wyglądały teraz inaczej. Czy dziewczyna, którą widziałem, to była jej prawdziwa postać? Czy umiała odmieniać kształty? A może chodziło tu o coś zupełnie innego?

Stwór powoli ruszył ku mnie: w każdej chwili mógł zaatakować.

Toteż zadziałałem pierwszy, sięgając lewą dłonią pod szatę.

Dobyłem Klingi Przeznaczenia.

W pokoju natychmiast pojawiło się trzecie źródło światła, dołączając do „Doomdryte” i grożącego mi, zębatego stwora. Źródłem tym był miecz.

Zerknąłem na niego. Rubinowe oczy skelta płonęły, ściekały z nich krople krwi, kapiąc na podłogę. Klinga była głodna.

Uniosłem miecz, a tymczasem potworny stwór patrzył na mnie

ognistymi oczami. Nagle pomknęła ku mnie plama pomarańczowego światła. Ciąłem ją poziomo, kierując się bardziej instynktem niż umiejętnościami. Może mi się poszczęściło – nieważne, w każdym razie poczułem wstrząs i miecz o mało nie wyleciał mi z dłoni. W jakiś sposób zdołałem go utrzymać i ścisnąłem mocniej. Z rubinowych oczu wciąż wypływała krew, teraz jednak na ostrzu ujrzałem świeżą plamę.

Stwór pojawił się za mną, zwrócony plecami do regałów. Przykucnął, pochylając głowę, jedną dłoń przyciskał do ramienia, z którego wylewała się krew. Zraniłem go, ale czy wystarczająco, by zyskać przewagę?

– Gdzie mój mistrz? – rzuciłem.

Odpowiedział niskim warknięciem. Czas słów już minął. Jeden z nas musiał tu zginąć.

Postąpiłem ostrożny krok w stronę stwora, potem następny. Być może nadal mógł poruszać się szybciej, niż zdołałem zareagować i rozszarpie mi gardło, nim się obronię.

Przywołałem jeden ze swych darów – niezwykłą umiejętność odziedziczoną po matce. Umiałem spowalniać czas..zatrzymywać go. Było to trudne, lecz w walce szkolili mnie Grimalkin, wiedźma zabójczyni, i kazała mi ćwiczyć tę umiejętność w warunkach bojowych. Skup się! Ściśnij czas! Zatrzymaj go!

Stwór znów zaatakował, lecz serce biło mi miarowo i koncentrowałem się coraz mocniej. Plama pomarańczowego światła nabrała kształtów. Wyraźnie zdradzała swe zamiary, stwór bowiem szeroko otworzył paszczę, ukazując dwie pary zębów. Górne, długie zakrzywione kły, dolne mniejsze i cieńsze, niczym igły. Rozłożył szeroko ramiona, gotów uchwycić mnie w śmiertelny uścisk. Skup się! Ściśnij czas! Zatrzymaj go!

Działało. Zaczynałem kontrolować czas. Każdy krok stwora stawał się coraz wolniejszy. Całe jego ciało kipiało nerwową energią, lecz mimo to ledwie się ruszał. Teraz ja biegłem ku niemu. Uniosłem miecz, wkładając w cios całą dostępną mi siłę – a także wściekłość i rozpacz, którą poczułem na wieść o moim mistrzu.

Klinga przecięła szyję stwora, odrąbując mu głowę, która wylądowała ciężko na podłodze i odturlała się w kurz między regałami. Ciało przeszło chwiejnie jeszcze krok, z kikuta szyi tryskała czarna krew. A potem runęło mi do stóp, krew rozlała się wokół, tworząc szeroką kałużę.

Zadawszy cios, poczułem dziwną satysfakcję. Zupełnie jakby miecz poruszał się ze mną: złączyliśmy się, by zadać idealny sztych. Grimalkin uczyła mnie nim władać, lecz najwyraźniej osiągnąłem coś więcej. To naprawdę była Klinga Przeznaczenia i nasze losy właśnie splotły się ostatecznie.

Cofnąłem się, by uniknąć krwi, lecz nie schowałem miecza. Niektóre stwory z Mroku dysponują niewiarygodną mocą żywotną, musiałem zatem zachować czujność. Ten jednak zrobił coś innego.

Pomarańczowe światło oświetlające stwora od wewnątrz nagle uniosło się, tworząc powolną krętą spiralę, która zawisła tuż nad ciałem, a potem umknęła, przenikając przez ścianę po lewej i znikając mi z oczu.

Pomieszczenie wypełnił odrażający odór rozkładu. W blasku rubinowych oczu miecza nadal widziałem ciało leżące u stóp. Zaczęło bulgotać, otoczone obłokiem żrącej pary. Cofnąłem się, przyciskając dłoń do ust. Trup rozkładał się błyskawicznie. Co go opuściło? Dusza? Z jakim stworem miałem tu do czynienia`

Z ciężkim sercem przypomniałem sobie, co mówił o stracharzu. Czyżby mój mistrz naprawdę nie żył? Trudno się z tym pogodzić. Gardło ścisnęło mi się mocno. Nie mogłem opuścić domu, nie uzyskawszy pewności. Musiałem go poszukać.

Zapaliłem ogarek i podszedłem do drugich drzwi; tych, których używała jejmość Fresque. Zakładałem, że prowadzą do jej pokojów, lecz ku swemu zdumieniu znalazłem się w ciasnym pomieszczeniu, z którego kamienne schody wiodły w dół, w mrok.

Co się tam mieściło? Piwnica? Czy tam właśnie udawała się za każdym razem, gdy nas opuszczała? Czy to tam odzywał się dzwonek?

Ruszyłem w dół po stopniach, początkowo w prawej dłoni



ściskałem miecz, w lewej unosiłem wysoko świecę. Potem przełożyłem miecz, bo schody skręcały w lewo, w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara, i w ten sposób dysponowałem większą swobodą manewru. Liczyłem stopnie i wkrótce pojąłem, że piwnica musi leżeć bardzo głęboko. Dotarłem już do czterdziestu, gdy schody się wyprostowały i ujrzałem przed sobą coś jakby podłogę. Po kolejnych dwóch stopniach zatrzymałem się. W niewielkim kręgu żółtego światła, rzucanego przez świecę, widziałem kości rozrzucone po posadzce. Jedno spojrzenie wystarczyło, by stwierdzić, że są ludzkie: niektóre pokrywała krew. Wśród innych szczątków dostrzegłem czaszkę i fragment przedramienia. To była kryjówka stwora karmiącego się ludzkim ciałem i krwią. Zastanawiałem się, czy któreś z nich należą do mego mistrza.

Nagle pojąłem, że może się tu kryć jeszcze jeden podobny stwór. Być może jejmość Fresque czeka tu na mnie w ciemności, gotowa do skoku.

A potem usłyszałem dziwny świst, zimny wiatr znów zdmuchnął świecę. Czekałem, oddychając cicho, ogarek schowałem do kieszeni. Uchwyciłem oburącz miecz i przykucnąłem, gotów się bronić. Klinga znów rozjarzyła się światłem i gdy moje oczy przywykły do mroku, ujrzałem zbliżające się czerwone punkciki. Było ich co najmniej tuzin. Usłyszałem niskie warknięcie po prawej; kolejne wprost przede mną. Zacząłem drżeć i rubinowy blask miecza szybko przygasł. To były oczy – zbyt wiele oczu! Ile tych stworów tu żyło?

W panice obróciłem się i pobiegłem po schodach, byle dalej od niebezpieczeństwa. Przemknąłem przez bibliotekę, wpadając na półki, czując spróchniałe drewno pękające pod stopami. Gdy nie mogłem znaleźć drzwi, znów ogarnęła mnie jeszcze mocniejsza groza. Lecz miecz rozbłysł przez moment, oświetlając mi drogę, pospieszyłem korytarzem i wypadłem z domu.

Już na ścieżce puściłem się pędem. Ponownie usłyszałem hałas, jakby kroku dotrzymywał mi wielki stwór. To sprawiło, że jeszcze

przyspieszyłem i wkrótce zostawiłem za sobą uliczkę Krzywą, mknąc przez wyludnione miasteczko. Nie zatrzymywałem się, póki nie dotarłem na drugi brzeg. Nawet tam nie czułem się bezpieczny, toteż odzyskawszy oddech, ruszyłem dalej, póki Todmorden nie zostało w dali. Maszerując, rozmyślałem o Juddzie. Jaką rolę odegrał w tym wszystkim? Odwiedził Chipenden, by przyspieszyć nasze przybycie do Todmorden. Z pewnością musiał wiedzieć, w co nas pakuje. Czułem wściekłość i gorycz. Czyżby jako kolejny uczeń stracharza przeszedł na stronę Mroku?

Wreszcie na skraju wrzosowisk schowałem miecz do pochwy, wczółgałem się pod głógowy żywopłot i kompletnie wyczerpany zapadłem w głęboki sen bez marzeń.

\*

Ocknąwszy się, ujrzałem słońce wysoko na niebie. W ustach mi zaschło, ręce i nogi bolały, lecz najgorszy był wstyd. Uciekłem przed niebezpieczeństwem w piwnicy. Nie, nie tylko uciekłem: umknąłem w tchórzliwej panice. Od ponad trzech lat byłem uczniem stracharza, lecz nie przypominałem sobie, bym kiedykolwiek wcześniej zachował się tak haniebnie. Wcześniej stawałem naprzeciw straszliwych stworzeń z Mroku i w jakiś sposób znajdowałem w sobie dość odwagi, by z nimi walczyć. Co zatem zmieniło się tym razem? Najwyraźniej lata strachu, walki z Mrokiem i nieustannego zagrożenia w końcu mnie złamały. Czyżbym stracił odwagę? W takim razie jak miałem pracować jako stracharz?

I musiałem rozważyć coś jeszcze gorszego. Co, jeśli mój mistrz nadal żył? To oznacza, że go porzuciłem. Zasłużył sobie na lepszy los – znacznie lepszy. Wstałem z ziemi i ruszyłem powoli w stronę Todmorden. Tym razem stanę do walki.

## **ROZDZIAŁ 11**

### **KŁĄTWA CZAROWNIC Z PENDLE**

Dochodziło południe, lecz na ulicach nie dostrzegłem handlarzy ani kramów; w zachodniej części miasta kręciło się niewielu ludzi. Wędrując wąskimi uliczkami, naliczyłem najwyżej pół tuzina przechodniów. Starszy dżentelmen z laską, z którym rozmawialiśmy wcześniej, na mój widok przekuśtykał na drugą stronę ulicy. Blżej rzeki ujrzałem pana Bensona siedzącego na wozie wśród drzew, kawałek drogi od mostu.

– Gdzie te wasze książki? – spytał ostro. – Nie mam całego dnia. Powinny leżeć tu na stercie i czekać na załadunek. Moje konie zaczynają się niepokoić.

Przez moment zastanawiałem się, czy nie poprosić by zaczekał, na wypadek, gdyby mistrz był ranny i potrzebował pomocy, natychmiast jednak pojąłem, że to strata czasu. Oba konie wywracały oczami i pociły się mocno. Musiałem radzić sobie sam.

– Przykro mi – odparłem – ale nie będzie dziś żadnych książek. Oto coś za fatygę.

Sięgnąłem do kieszeni portek, wyciągnąłem parę monet i podałem mu.

– To wszystko? – spytał gniewnie, wyrywając mi je z ręki. – Za tyle nie warto nawet wstawać z łóżka! Dwa razy smagnął konie batem, zawrócił wóz i odjechał, nie oglądając się za siebie.

Pomaszerowałem w stronę rzeki, gdy jednak dotarłem do chwiejnego drewnianego mostu, wstrząsnął mną dreszcz grozy. Po drugiej stronie czekali na mnie słudzy Mroku, a sądząc z płonących oczu w piwnicy, było ich mnóstwo – stanowczo zbyt wielu, bym poradził sobie z nimi sam. A przecież musiałem. Musiałem się dowiedzieć, co spotkało mojego mistrza, inaczej nie zdołam ze sobą żyć.

Postąpiłem krok, potem kolejny. Stawiałem tak stopę przed stopą, póki nie znalazłem się na wschodnim brzegu rzeki. Jest dzień, rzekłem do siebie, świeci słońce. Moi wrogowie będą musieli skryć się w ciemności, gdzieś pod ziemią i będę bezpieczny, póki pozostanę w świetle słońca. Ale szukałem przecież stracharza w pewnym momencie będę musiał wejść do piwnicy.

Rozpocząłem wspinaczkę ulicą Krzywą w stronę domu jejmości Fresque. Idąc tak, przypomniałem sobie coś jeszcze – kolejny błąd, dalsze zaniedbanie obowiązków. Uciekając z domu, powinienem był zabrać ze sobą „Doomdryte” i zniszczyć ją. Mój mistrz z pewnością by tak postąpił. Wyobraziłem go sobie teraz, jak upomina mnie za ten błąd. Czy jeszcze kiedyś usłyszę jego głos?

Pod drzewami panował półmrok, lecz tym razem nie słyszałem, by coś za mną podążało. Kiedy ujrzałem dom, pojąłem, że drzwi nie stoją już otworem. Okrążyłem drzewo, dobyłem Klingi Przeznaczenia i postukałem rękojęścią w drzwi.

Niemal natychmiast usłyszałem zbliżające się kroki. Drzwi się otwarły, zobaczyłem jejmość Fresque. Marszcząc brwi, wskazała mój miecz.

– Schowaj go! – poleciła. – Póki jestem u twego boku, nie będziesz go potrzebował.

Gdy się zawahałem, jej wargi wygięły się w uśmiechu, lecz oczy pozostały zimne. Wciąż była młoda i ładna, teraz jednak zachowywała się wyniośle – coś, co wcześniej ukrywała.

– Zaufaj mi – dodała nieco łagodniejszym tonem. – Zapraszam cię do środka. Kiedy z własnej woli przekroczysz ten próg, znajdziesz się pod moją ochroną.

Cóż miałem robić? Choć była piękną młodą kobietą, wiedziałem, że z pewnością sprzymierzyła się z siłami Mroku. Jakaś część mnie pragnęła odepchnąć ją z wdrzeć się do domu; inna uznała, że rozsądniej będzie przyjąć ofertę ochrony. Czyniąc tak, być może znajdę odpowiedzi na pytania, które wirowały mi w głowie.

Kiedy schowałem miecz, uśmiech sięgnął także jej oczu.

– Wejdz swobodnie i nie lękaj się! – Odsunęła się na bok, przepuszczając mnie. – Chodź za mną – poleciła, zmierzając korytarzem w stronę biblioteki.

Boazeria była teraz czysta i lśniąca, dom pachniał słodyczą. Biblioteka znów wyglądała jak wtedy, gdy znalazłem się w niej ze stracharzem, na prostych półkach stały rzędami książki. A wybrane przez nas tomy znów spoczywały na stole. Najwyraźniej

działała tu niezwykle potężna mroczna magia.

Lecz jedna zmiana sprawiła, że zatrzymałem się tuż za progiem. Pośrodku posadzki leżał szkielet. Kości były stare, żółtobrązowe, brakowało też głowy. Zerknąłem w prawo i ujrzałem czaszkę leżącą pod regałem. Obok niej spoczywały kawałki mojej laski. To musiały być szczątki zabitego przeze mnie stwora.

– To był mój towarzysz – jejmość Fresque gestem wskazała szkielet. – Przeżyliśmy razem szczęśliwie wiele długich lat, póki nie spotkał się z tobą zeszłej nocy!

– Przykro mi, że go straciłaś – odparłem spokojnym głosem – ale to musiał być on albo ja. Myślę też, że zabił mojego mistrza, Johna Gregory'ego.

– Owszem, istotnie by cię zabił, mylisz się jednak, sądząc, że przestał istnieć. Nie straciłam go – jedynie ciało, które zamieszkiwał od wielu lat. Wkrótce znajdzie kolejnego nosiciela. Mam nadzieję, że przypadnie mi do gustu! – rzekła z uśmiechem. – Potem w zemście za to, co uczyniłeś, zaczniesz cię szukać, by odebrać ci głowę.

– Co z was za stwory? – spytałem.

– Jestem strigoica, przez was zwana strzygą – odparła. – Kobieta z naszego ludu. Mój towarzysz to strzygoń. Pochodzimy z rumuńskiej prowincji Transylwanii, co oznacza „Ziemie za lasem”. Jesteśmy demonami.

– Gdzie jest Judd Brinscall? – spytałem. – Jaką rolę odegrał w tym wszystkim? Kiedy wstąpił na służbę Mroku?

– Nie zaprzataj nim sobie głowy. Jest bardzo bliski śmierci. Jego życie można mierzyć dniami, może nawet godzinami.

– To jego nagroda za to, że nas zdradził?

Jejmość Fresque zmarszczyła brwi i zacisnęła wargi. Najwyraźniej nie zamierzała odpowiedzieć. Zatem, mimo obaw o stracharza, zachowałem spokój i zadałem kolejne pytanie, zdecydowany dowiedzieć się wszystkiego, co zdołam, gromadząc wiedzę, tak jak uczyniłby to mój mistrz.

– Po co tu przybyliście?

– Istniało wiele powodów, lecz trzymaliśmy się na uboczu i jakiś czas żyliśmy tu szczęśliwie, starając się jak najmniej zakłócać żywoty innych. Potem polecono mi zwabić w to miejsce ciebie i twego mistrza.

– Polecono? Kto ci to kazał?

– Nie mogę rzec. Wiele istot z Rumunii obecnie mieszka tutaj. Większość przybyła całkiem niedawno. Niektóre są bardzo potężne. Nie mam wyboru, muszę ich słuchać. Mogą przywołać straszliwą istotę, która w mgnieniu oka by mnie unicestwiła.

– Dlaczego nas tu zwabiliście? Żeby nas zabić? Zabiliście mojego mistrza, a teraz nadeszła moja kolej! – krzyknąłem, sięgając po miecz.

– Jeśli dobędziesz klingi, stracisz moją ochronę! – warknęła jejmość Fresque. – Twój mistrz nie umarł, lecz rozpaczliwie potrzebuje pomocy. Uspokój się, a zaprowadzę cię do niego.

Wypuściłem rękojeść miecza i przytaknąłem. Strzyga wskazała drzwi wiodące do piwnicznych schodów.

– Jest tam, na dole – oznajmiła, ruszając ku nim. Otworzyła drzwi, a ja bardzo ostrożnie podążyłem w ślad za nią do niewielkiego pomieszczenia. Od zeszłej nocy mnóstwo się tu zmieniło. Stopnie były czyste, ściany pomalowane na zielono i omiecione z pajęczyn. W uchwytych zamontowanych w równych odstępach tkwiły pochodnie, oświetlając nam drogę. Czy stracharz był tu zeszłej nocy, uwięziony w ciemności i otoczony przez stwory z Mroku? Mogłem zostać i mu pomóc, lecz zamiast tego wpadłem w panikę i uciekłem. Wstydzilem się swego zachowania, trudno przychodziło mi je wyjaśnić. Nagle przypomniałem sobie klątwę czarownic z Pendle, którą kiedyś rzuciły na stracharza i coś ścisnęło mnie w gardle:

„Umrzesz w mrocznym miejscu, głęboko pod ziemią, bez przyjaciela u boku.”

Stanęliśmy na kamiennych płytach posadzki. W piwnicy widziałem tylko jeden mebel, drewniany stół, na którym ustawiono dużą czarną skrzynkę z wiekiem na zawiasach. Na owym wieku

wytłoczono w srebrze podobiznę stwora, którego natychmiast rozpoznałem, Na jego widok ogarnął mnie chłód.

To był skelt. Czemu jednak jego łeb umieszczono na skrzynce? Przypomniałem sobie okładkę „Doomdryte” i rękojeść mego miecza.

Zadrzałem. Wszystko to miało w sobie coś złowrogiego i serce zaczęło mi tłuc się w piersi. Jejmość F'resque podeszła wprost do stołu i uniosła wieko.

– Oto twój mistrz – oznajmiła.

W skrzynce tkwiła głowa stracharza.

## **ROZDZIAŁ 12**

### **GORSZY OD ŚMIERCI**

Serce zaciążyło mi gwałtownie, a umysł zalała fala rozpacz. Byłem zbyt wstrząśnięty, by odpowiedzieć. Czułem się odrętwiały, niezdolny pojąć to, co widziałem. Strzyga skłamała. Zabili mojego mistrza.

– Wciąż może mówić – oznajmiła. – Lecz cierpi męczarnie i bez wątpienia nieustannie modli się o wyzwolenie. Może sam go spytasz?

Powieki stracharza zatrzepotały. Spojrzał na mnie. Jego usta otwarły się, spróbował coś powiedzieć, jednak tylko chrypiał, a po brodzie spłynęła mu strużka krwi. Rysy wykrzywił ból, po czym powieki znów opadły.

– Uczyniono to w zemście za to, co wraz ze sprzymierzeńcami zrobiliście Złemu – oświadczyła Fresque, – Twój mistrz nie zazna spokoju, póki nie spełnisz naszych żądań. By uwolnić jego duszę, należy spalić głowę. Jestem gotowa ci ją oddać – najpierw jednak musisz mi przynieść głowę Złego.

Stracharz jęknął i znów otworzył oczy. Wymamrotał coś niezrozumiałego, toteż pochyliłem się naprzód, przysuwając prawe ucho do jego ust.

Przez chwilę jakby się dławiał, wywracając oczami, potem odchrząknął i znów spróbował.

– Pomóż mi, chłopcze! – wyskrzypiał. – Uwolnij mnie stąd. To nieznośne – gorsze od śmierci. Co za ból. Straszliwy ból. Proszę, uwolnij mnie!

Świat zawirował dookoła mnie. Oszalały z rozpaczy o mało nie upadłem.

– Czy zdołasz znieść myśl, że twój mistrz pozostaje w tym żalonym stanie dłużej niż to konieczne? – spytała jejmość Fresque. – Wiadomo nam o czarownicy noszącej głowę Złego. Nazywa się Grimalkin. Wezwij ją. Zwab w to miejsce, a w zamian pozwolimy ci wyzwolić mistrza z męczarni.

Na jej słowa ogarnęły mnie mdłości. Aby zniszczyć Złego, miałem poświęcić życie Alice; teraz jego poplecznicy chcieli, bym doprowadził do śmierci Grimalkin, kolejnej sojuszniczki. Lecz zdradzenie Grimalkin byłoby tylko pierwszym skutkiem oddania głowy Złego jego sługom. Natychmiast zawieźliby głowę do Irlandii i złączyli z ciałem Złego, uwalniając go z jamy w Kenmare. Wówczas przyszedłby po mnie i Alice i porwał nas w Mrok, żywych bądź martwych. Perspektywa ta mnie przerażała, lecz wiedziałem wyraźnie, co muszę zrobić: przede wszystkim służyłem mieszkańcom Hrabstwa. Nie mogłem pozwolić, by Zły powrócił na ten świat – który wkrótce stałby się miejscem mrocznym i strasznym. Nie, nie mogłem tego zrobić. Mogłem jednak odebrać im siłą głowę mistrza i zapewnić mu spokój. Dobyłem miecza.

W piwnicy powiał lodowaty wiatr, wszystkie pochodnie zgasły. W ciemności ujrzałem patrzące na mnie oczy. Każda para płonęła czerwienią, tak jak poprzedniej nocy – lecz tym razem było ich jeszcze więcej, usłyszałem też groźne pomruki i dźwięki brzmiące jak stukot szponów o kamienie. Obróciłem się, gotów się bronić – odkryłem jednak, że jestem otoczony. Skąd się tu wzięły?

Bąłem się. Było ich zbyt wiele. Jakie szanse miałem w tym starciu?

– Nie jest jeszcze za późno – syknęła na mnie w ciemności



Fresque. – Natychmiast schowaj miecz, a znów znajdziesz się pod moją ochroną.

Drżącymi rękami spróbowałem wsunąć Klingę Przeznaczenia do pochwy. Potrzebowałem trzech podejść, by w końcu to zrobić, wówczas jednak czerwone oczy zgasły, skrobanie ustało, a pochodnie ożyły, znów zalewając piwnicę żółtym światłem.

– Jeszcze sekunda, a byłoby za późno. – Jejmość Fresque zatrzasnęła wieko skrzynki i obróciła się do wyjścia. – Chodź za mną. Teraz, kiedy dobyłeś miecza, nie możesz pozostać bezpiecznie pod ziemią. Moja ochrona ma swoje granice.

Poprowadziła nas schodami do biblioteki.

– Nie opóźniaj się z wezwaniem wiedźmy zabójczynie – ostrzegła. – Uwolnimy twojego mistrza w zamian za głowę Złego, lecz musi się to stać szybko. Każdy dzień opóźnienia oznacza dla niego coraz gorsze męki. Możemy mu zadać niewyobrażalny ból.

– Gdzie jest reszta jego ciała? – spytałem, czując chłód wewnątrz na myśl o tym, co uczynili mistrzowi. – Chciałbym je pogrzebać.

Wiedziałem, że będę musiał spalić głowę mojego mistrza, by uwolnić jego duszę z okowów mrocznej magii, lecz pogrzebawszy resztę ciała, poczułbym się lepiej. Kościół nie pozwalał, by stracharz spoczął w poświęconej ziemi, może jednak znalazłbym życzliwego księdza, który odmówiłby kilka słów i pozwolił pochować mistrza obok cmentarza. Szybko straciłem nadzieję.

– To niemożliwe – odparła zimno jejmość Fresque. – Nie potrzebowaliśmy reszty jego ciała, toteż rzuciliśmy je moroiim. To niezwykle głodne żywołaki, które trzeba ugłaskać.

Z gniewem i obrzydzeniem obróciłem się na pięcie i wyszedłem z domu. Skierowałem się w stronę rzeki, przepравиłem przez most i usiadłem pod drzewami, by wszystko przemyśleć i rozważyć, co czynić dalej.

Nie mogłem znieść myśli o tym, że mój mistrz tak bardzo cierpi – że zadają mu tak straszne męczarnie. Jednakże wiedziałem dokładnie, jaki mam obowiązek: na razie musiałem go opuścić. Jak

mógłbym oszukać Grimalkin i zwabić ją tutaj, pozwalając, by głowa Złego wpadła w ręce strzygi i jej towarzyszy? To właśnie przed nimi ją chroniliśmy, zatem musiałem wykorzystać ten czas i znaleźć sposób, aby zniszczyć go na zawsze.

Nie wiem, jak długo tam siedziałem, rozważając różne wyjścia, w pewnym momencie jednak zapłakałem, myśląc o stracharzu, który wiernie służył Hrabstwu i tak wiele wycierpiał, by je chronić. Był też dla mnie kimś więcej niż mistrzem; stał się przyjacielem. Zasłużył sobie na lepszy koniec. Miałem nadzieję, że kiedy ukończę termin, przestanie tak ciężko pracować, a ja przyjmę na siebie większe brzemie, póki w końcu mistrz się nie wycofa. Teraz odebrano nam wspólną przyszłość. Zostałem sam i było to smutne i przerażające uczucie. W końcu podjąłem decyzję i ruszyłem do gospody. Udałem się do siebie i z torby stracharza wyjąłem niewielki kawałek sera oraz dość pieniędzy, by zapłacić karczmarzowi. Obie torby zostawiłem w mojej izbie, zamknąłem ją na klucz i wróciłem na dół.

Na mój widok gospodarz skrzywił się, lecz wkrótce wyjaśniał, gdy wcisnąłem mu w dłoń srebrną monetę.

– To za jeszcze dwie noce – oznajmiłem.

– Znalazłeś swojego mistrza? – spytał.

Nie odpowiedziałem, lecz kiedy odchodziłem, zawołał za mną:

– Skoro do tej pory się nie zjawił, to z pewnością już nie żyje, chłopcze! Jeśli nie wrócisz do domu, skończysz tak samo!

Skierowałem się w stronę mostu, skubiąc ser, który popiłem kilkoma haustami zimnej rzecznej wody. Pomyślałem o domu jejmości Fresque. Jak mógł być czysty i porządny za dnia, z biblioteką pełną książek, a w nocy zamieniać się w ruinę? Musiała tam działać potężna magia Mroku – zakłęcie ułudy.

Zatem jakie było prawdziwe oblicze domu – dzienne czy nocne? Każdy stracharz musi rozwijać swój instynkt i ufać mu, mój podpowiadał mi, że to nocna ruina odpowiadała prawdzie.

Zapytałem sam siebie: co doradziłby mi mistrz? Natychmiast pojąłem: radziłby, by mieć odwagę i zachować się jak stracharz!

Odrzucę od siebie lęki. Siłą odbiorę głowę mistrza i w ten sposób zapewnię mu spokój, na który zasłużył. Miałem Klingę Przeznaczenia i byłem zdecydowany jej użyć. Oczyszczę tę ohydną piwnicę, zabiję wszystkie stwory Mroku. I zaatakuję nocą, gdy wszystko jest takie, jakim się zdaje.

Czas przestać się bać. Teraz ja stanę się myśliwym.

## **ROZDZIAŁ 13**

### **NIE UJRZĘ ŚWITU**

Wkrótce po zmroku zacząłem raz jeszcze wspinać się ulicą Krzywą. Po drodze rozważałem z czym przyjdzie mi się zmierzyć. Bestiariusz stracharza został w Chipenden – była to pierwsza książka umieszczona w nowej bibliotece – toteż nie mogłem sięgnąć do źródła. Rozpaczliwie przeczesywałem pamięć w poszukiwaniu wspomnień o tym, co przeczytałem na temat rumuńskich stworów Mroku.

Strzygoń i strzyga to demony, odpowiednio męski i żeński. Działały i żyły parami. Mężczyzna opętywał ciało nieboszczyka. Za dnia musiał ukrywać się przed słońcem, które mogło go zniszczyć. Kobieta zajmowała ciało żywej istoty i strzegła go za dnia. Bez wątplenia jejmość Fresque była kiedyś zwyczajną, miłą młodą kobietą, teraz jednak jej ciało zajął złowieszczy stwór z Mroku. Odrąbałem głowę jej towarzyszowi, twierdziła jednak, że go nie zniszczyłem. Zazwyczaj zabicie demona srebrną klingą unicestwiało go na dobre, lecz ci Rumuni wydawali się bardzo potężni. Widziałem, jak strzygoń opuszcza martwego, nosiciela; teraz będzie szukał kolejnego. Gdy go znajdzie, zabierze się za mnie.

Inna rzecz martwiła mnie bardziej. Jejmość Fresque twierdziła, iż rozkazano jej zwabić nas w to miejsce – polecili jej to inni, którzy mogli przywołać istotę tak potężną, że zdołałaby „unicestwić

ją w mgnieniu oka". Cóż to takiego? Czy w bestiariuszu stracharza czytałem o podobnym stworze? Niczego nie pamiętałem. Rumunia wydawała mi się taka odległa i nie wierzyłem, by zagrażali nam jej mieszkańcy Mroku. Ten rozdział zatem przeczytałem bardzo pobieżnie – przebiegając po nim wzrokiem, miał zapamiętać wszystko do wykorzystania w przyszłości. Pokręciłem głową, zirytowany na samego siebie. Od tej chwili muszę być bardziej dokładny; myśleć i zachowywać się jak stracharz, nie jak uczeń.

Zbliżałem się już do mrocznego drzewnego korytarza. Po zaledwie kilku krokach usłyszałem niepokojące odgłosy po prawej.

Zatrzymałem się, a cokolwiek to było, także przystanęło, wciąż jednak słyszałem powolny ciężki oddech. Miałem wybór: albo wędrować dalej ścieżką, póki nie dotrę do frontowych drzwi siedziby strzygi, albo też zatrzymać się i rozprawić z tym stworem raz na zawsze.

Bez zwłoki dobyłem miecza. Rubinowe oczy Klingi Przeznaczenia natychmiast rozbłysły czerwienią, oświetlając to, z czym miałem do czynienia. Spomiędzy drzew zbliżał się ku mnie na czterech łapach olbrzymi niedźwiedź. Nagle wspiął się na tylne, górując nade mną i po raz pierwszy ujrzałem wyraźnie jego pazury. Przypominały długie zakrzywione sztylety i wydawały mi się ostre jak brzytwy, gotowe rozszarpać ludzkie ciało w strzępy. Niedźwiedź był niewiarygodnie silny, bez wątpienia w ciągu kilku sekund mógłby pozbawić mnie życia. Otworzył szeroko paszczę i ryknął, z jego zębów ściekała ślina. Zalał mnie gorący smród oddechu. Uniosłem miecz, gotów do walki.

Nagle przyszedł mi do głowy inny pomysł. Cofnąłem się trzy kroki i znów znalazłem na ścieżce. Niedźwiedź natychmiast opadł na cztery łapy. Przyglądał mi się z uwagą, lecz nie atakował. Przypomniałem sobie udzielone ostrzeżenie – nie zbaczać ze ścieżki z powodu niedźwiedzi. Czy zatem byłem bezpieczny, pozostając na niej?

Schowałem miecz i znów ruszyłem w stronę domu; niedźwiedź podążał za mną, ale nie próbował atakować. To musiał być strażnik

patrolujący teren dokoła domu w służbie jejmości Fresque, tak samo jak bogin stracharza strzegł kiedyś jego ogrodu w Chipenden. I wtedy w mojej głowie rozbrzmiało słowo: moroii! Jejmość Fresque mówiła, że rzucili ciało stracharza na pożarcie moroiiim. Jak przez mgłę przypomniałem sobie, że czytałem o nich w bestiariuszu mistrza. Były to wampiryczne żywiolaki, czasami żyjące wewnątrz wydrążonych drzew. Potrafiły jednak opętać zwierzęta – najbardziej lubiły niedźwiedzie. Polowały na ludzi, miażdżąc ich na śmierć, a potem zawlekając do swej nory. Światło słońca mogło je zabić, toteż nie pokazywały się za dnia. I wtedy przypomniałem sobie coś jeszcze: moroii często służył strzydze i strzygoniowi. Słusznie zatem odgadłem: jejmość Fresque postawiła go na straży.

Dlaczego jednak nie atakował ludzi na ścieżce? Odpowiedź pojawiła się w mojej głowie natychmiast: to dlatego, że samej ścieżki nie trzeba było strzec. Każdy, kto się na niej znalazł, był natychmiast widoczny dla osób w domu. Stanowiła też bezpieczne przejście dla mile widzianych gości. Pojąłem, że nie muszę walczyć z moroii. Wewnątrz domu czekało na mnie mnóstwo innych wrogów. Pozostanę bezpieczny, trzymając się ścieżki, mogę zatem oszczędzić sił. Pospieszyłem naprzód i gdy zbliżyłem się do domu, usłyszałem, jak niedźwiedź odchodzi między drzewa.

Drzwi stały otworem, toteż dobyłem miecza i przekroczyłem próg. Tym razem nie zadałem sobie trudu z hubką i krzesiwem – byłem gotów do starcia z wrogami. Przepęłniała mnie odwaga i to wystarczyło, by rubinowe oczy Klingi Przeznaczenia ożyły, rzucając czerwony promień oświetlający korytarz.

Przeszedłem przez drugie drzwi, oczekując, że ujrę zrujnowaną bibliotekę, pozbawioną książek – pokrytą płachtami pajęczyn. Zamiast tego z ciemności wyrzały na mnie dziesiątki czerwonych punkcików.

Przez sekundę sądziłem, że to pary oczu – stwory z Mroku, szykujące się do ataku. Potem jednak zauważyłem, że patrzę na własne odbicia – czy raczej odbicia rubinowych oczu z rękojeści miecza. Biblioteka zniknęła; znalazłem się w sali pełnej luster,

osadzonych w ozdobnych metalowych ramach i co najmniej trzykrotnie większych ode mnie.

Ostrożnie postąpiłem krok w głąb sali, potem kolejny, Wszystkie lustra stały naprzeciw mnie, ustawione za sobą niczym talia kart opartych o ściany po obu stronach. Z początku odbijały ten sam obraz. Patrzyłem na młodego człowieka w kapturze i płaszczu ucznia stracharza, który zamiast zwykłej laski, uginając nogi, unosił przed sobą oburącz miecz, gotów do ataku.

Potem, na moich oczach, tafle zwierciadeł zamigotały i obrazy zaczęły się zmieniać. Teraz wyjrzały z nich na mnie okrutne, wrogie twarze, gotowe na mnie skoczyć i pożreć mnie natychmiast. Niektóre zdawały się coś nucić; inne otwierały usta, jak gdyby wydawały z siebie zwierzęce ryki. Pozostawały jednak wyłącznie obrazami, w atrium panowała absolutna cisza. Nagle faktycznie coś usłyszałem, obróciłem się gwałtownie, oczekując niebezpiecznego potwora, ale to była tylko mysz, która machnęła ogonem i odbiegła w ciemność.

Z powrotem popatrzyłem na lustra, odetchnąłem głęboko i przyjrzałem się odbiciom. Teraz patrzyły na mnie złowieszcze niewiasty, z ich potarganych włosów sterczały ciernie, miały ponure, wychudzone twarze istot, które wyczołgały się wprost z grobu. Czy to strzygi? Jeśli tak, czemu nie wybrały sobie młodszych nosicielek, tak jak jejmość Fresque? Łączyło je tylko jedno – wszystkie miały wargi czerwone od krwi. Zastanawiałem się, czy to może nie inny rodzaj mrocznych stworzeń. Przypominały wiedźmy.

Jednego byłem pewien: już się nie bałem. Byłem wściekły! Wcześniej z luster wyglądały na mnie złowieszcze oczy, żałowałem tylko, że brak im ciał materialnych, bym mógł je rozrąbać mieczem. Uczyniłem zatem to, co mogłem – może nie osiągnąłem zbyt wiele, ale przynajmniej dałem ujście furii i poczułem się lepiej.

Zacząłem wymachiwać rękojeścią miecza, idąc naprzód i obracając się w lewo, prawo i znów lewo, rozbijając każde napotkane lustro. Rozległ się brzęk i trzask tłuczonego szkła,

odłamki eksplodowały, sypiąc się do mych stóp srebrnym deszczem, ciemność połykała kolejne rozmigotane obrazy. Wkrótce strzaskalem ostatnie zwierciadło, a rubinowe oczy Klingi Przeznaczenia nadal płonęły czerwienią. Lecz wyminawszy pustą, ciemną ramę ostatniego lustra, poczułem nagłą rozpacz.

Zamiast drzwi wiodących do piwnicy zobaczyłem gładką ścianę. Byłem gotów przebić się na dół i uwolnić cierpiącego mistrza. W razie konieczności oddałbym własne życie.

Lecz pomyliłem się co do domu. Zakładałem, że po zachodzie słońca ukazuje swoje prawdziwe oblicze. Teraz zrozumiałem, że maskująca go magia jest znacznie bardziej skomplikowana. Dom potrafił się zmieniać, i to wielokrotnie. Szczątki mistrza zostały ukryte; w żaden sposób nie mogłem go uwolnić.

Oszołomiony i wściekły, odwróciłem się, podążając po własnych śladach. Opuściłem zmienny dom i pomaszerowałem ścieżką wśród drzew. Tym razem niedźwiedź opętany przez moroii nie zbliżał się. Wędrowałem ulicami, lecz nie przepравиłem się przez rzekę. Zamiast tego usiadłem pod drzewem przy moście.

Mieczem lub laską można walczyć z wrogiem, gdy stanie przed nami, lecz podobna broń w tej chwili na nic by mi się nie zdała. Musiałem ruszyć głową. Musiałem się zastanowić.

To jednak okazało się niemożliwe. Na myśl o straszliwym stanie mistrza kipiały we mnie emocje. Nie mogłem pozbyć się widoku jego odciętej głowy. Za każdym razem, gdy zamykałem oczy, obraz powracał, by mnie dręczyć. Czułem ucisk w piersi i z trudem powstrzymywałem łzy. John Gregory nie zasłużył sobie na taki koniec. Musiałem mu pomóc. Musiałem coś zrobić, by go ocalić.

Poruszony, zerwałem się na równe nogi. Byłem już na wrzosowiskach na zachód od Todmorden, lecz po niewłaściwej stronie. Może warto będzie spojrzeć z góry na tę część miasta. Co, jeśli istniała inna droga wiodąca do domu – może inne wejście? Albo może kolejny budynek, którego nie widziałem, a w którym trzymają teraz mojego mistrza?

Wróciłem wąskimi ulicami i odszukałem drogę wiodącą na

wzgórzu. Minąłem drzewa i dotarłem do zamkniętej na trzy spusty bramy. Wspiąłem się na nią, zeskoczyłem po drugiej stronie i maszerowałem dalej przez pastwiska, zmierzając na północ. W końcu znalazłem się wysoko na skraju wrzosowisk.

Wybrałem doskonałe miejsce. Na czystym niebie płonęły gwiazdy, dając dość światła, bym mógł wszystko ujrzeć. Daleko w dole widziałem uliczkę wiodącą do domu jejmości Fresque, ukrytą pod drzewami – o niej nie dowiem się nic więcej. Nie było innej ścieżki prowadzącej do domu; jedynie gęste zarośla, napierające ze wszystkich stron.

Poszukałem wzrokiem niżej. Nic się nie poruszało; ulice były puste, domy przycupnęły blisko siebie, jakby szukały ochrony – potem jednak zauważyłem inne wielkie budynki na zboczu, każdy otoczony drzewami. Czy były to siedziby innych strzyg i strzygoni? Policzyłem je starannie: co najmniej trzydzieści, a być może wśród drzew kryły się też inne. Czekałem i patrzyłem. W pewnym momencie zahukała sowa, odpowiedział jej dobiegający z głębi lasu ryk niedźwiedzia. Wiatr znów się zrywał, gnając z zachodu ławicę chmur, która przesłaniała kolejne gwiazdy. Robiło się coraz ciemniej; teraz ledwie widziałem budynki. Nagle jednak zauważyłem cienką kolumnę żółtego światła, bijącą od ziemi wysoko w niebo. Na moich oczach światło pojaśniało i zmieniło kolor, najpierw na fioletowy, a potem ciemnoczerwony. Co było jego źródłem? Promieniowało z gęstej kępy drzew nieopodal najbliższych budynków. I wtedy ujrzałem pierwszą żółtą kulę światła szybującą z domu na wschód od niej. Natychmiast podążyła za nią druga, potem trzecia. Każda najpierw pojawiała się nad jednym z wielkich domostw. Policzyłem szybko, w sumie było ich dziewięć – zebrały się razem, tworząc grupę tańczących świetlnych kul, które okręzały kolumnę ciemnoczerwonego światła. Poruszały się niczym letnie meszki, wisząc w powietrzu, a potem śmigając naprzód, by zamienić się miejscami.

Nagle odniosłem wrażenie, jakby coś sięgnęło w głąb mojego umysłu i szarpnęło mocno. Potem wrażenie powtórzyło się i wraz z



owym dziwnym szarpnięciem ogarnął mnie przemożny przymus, by ruszyć w stronę lśniących kul. Jęknąłem ze strachu i zerwałem się na równe nogi. Widziałem już podobne istoty – wiedziałem, czym są i jakie straszliwe stanowią zagrożenie.

Rumuńskie wiedźmy żyją samotnie, w ludzkiej postaci zazwyczaj nie tworzą kręgów, w odróżnieniu od innych rodzajów czarownic. Owe kule to były ich dusze, odłączone od ciał z pomocą magii animizmu; tylko w ten sposób zbierały się razem. Według bestiariusza mojego mistrza, w odróżnieniu od innych rumuńskich istot z Mroku, czarownice nie piły ludzkiej krwi, jeśli jednak napotkały człowieka, mogły w ciągu kilku sekund wysączyć zeń animus, siłę życiową. Oznaczało to szybką, pewną śmierć. Czułem ich moc. Wiedziały, że przybyłem do Todmorden wraz z mistrzem i że wciąż jestem gdzieś w okolicy. Nie znały jednak mego dokładnego położenia i próbowały mnie przywołać z pomocą mrocznej magii.

Z początku przypominało to osobliwą, potężną muzykę w mojej głowie – nieco podobną do śpiewów syren przy wybrzeżu Grecji, które za pomocą melodyjnych krzyków wabiły nasz statek ku skałom. Zdołałem im się oprzeć: siódmy syn siódmego syna dysponuje pewną odpornością na moc czarownic i innych mrocznych istot. Teraz uczyniłem to samo, aż w końcu muzyka w mojej głowie ucichła i zniknęła.

Może wyczuły moją rosnącą siłę, bo następne wezwanie użyło obrazów. Kule światła poruszały się znacznie szybciej, pulsując i zmieniając barwy w złożonym tańcu i poczułem, jak opuszcza mnie siła woli; mój umysł przypominał ćmę frunącą ku płomykowi świecy, który ją spali.

Skuliłem się na czworakach, walcząc z wezwaniem; po czole ściekały mi strużki potu. Stopniowo przymus, by pójść ku nim, osłabł i minął. Nadal jednak groziło mi niebezpieczeństwo – jeśli mnie zauważyły, już po mnie.

Po dziesięciu minutach wspólnego tańca w górze, wokół i we wnętrzu czerwonej kolumny, dziewięć kul złączyło się, tworząc

jedną wielką, która następnie pomknęła na północ i zniknęła.

Dokąd odeszły? Czy polowały na wybraną ofiarę? Uderzyła mnie myśl, że zapewne unikały raczej zabijania zbyt blisko własnych domów, bo to przyciągałoby uwagę. Todmorden szybko by się wyludniło i zachodnią część Hrabstwa ogarnęłaby groza.

Wiatr najpierw osłabł, a potem całkowicie ucichł, W rzecznej dolinie zapadła głęboka cisza. Nieliczne dźwięki wydawały się dziwnie wzmocnione. Usłyszałem upiorny skrzek trupiarza, wkrótce potem pohukiwanie sowy. W dali za rzeką zapłakało dziecko; potem ktoś zakasłał i zaklął. Po kilku chwilach dziecko umilkło – bez wątpienia matka zaczęła je karmić. To były naturalne odgłosy nocy – ale usłyszałem coś jeszcze. Najpierw niski jęk, a po nim piskliwy krzyk, od którego zjeżyły mi się włosy na karku. Dźwięki dobiegały z dwóch różnych źródeł. Następnie dokładnie przede mną czyjś głos zaczął błagać:

– Proszę, zostaw mnie dzisiaj! Tylko nie to, nie tak szybko. Jeśli znów to zrobisz, nie ujrzę świtu. Proszę, proszę, zostaw mnie!

Zwabiony tym wezwaniem pomocy, w mgnieniu oka zerwałem się z ziemi i ruszyłem w dół zbocza. Wkrótce wspiałem się na drewniany płot i znalazłem pod drzewami. Głos rozbrzmiewał bliżej i znacznie głośniej.

– Och nie, błagam, nie. Już wystarczy. Nie bierz tak dużo. Proszę, przestań, bo moje serce nie wytrzyma! Błagam, nie zatrzymuj mi serca! Nie chcę umrzeć...

Teraz biegłem i w biegu dobyłem miecza. Rubinowe oczy natychmiast rzuciły blask na mą ścieżkę i ujrzałem przed sobą koszmar. To był strzygón, mógł być bliźniakiem tego, z którym walczyłem w domu Fresque; jarzył się nieprzyjemnym pomarańczowym blaskiem, głowę miał łysą, uszy wielkie i szpiczaste.

Przykucnął nad mężczyzną odzianym w poszarpaną szatę; do połowy wyciągnął go z ciemnej dziury w ziemi, obok której leżał wielki głaz. Zęby wbił w szyję ofiary i wysysał jej krew.

## ROZDZIAŁ 14

### RUSZAM NA ZACHÓD

Strzygoń odwrócił się, zobaczył, że biegnę ku niemu i odepchnął ofiarę na trawę. Zawirował na pięcie i zaatakował, rozdziawiając szeroko pysk gotów mnie ugryźć i rozcapierzając szpony, by rozedrzeć mi ciało. Nawet nie zwolniłem. Kierowała mną wściekłość, wszystkie tłumione dotąd emocje ostatnich dwudziestu czterech godzin przerodzone w płomienną furję.

Skoczyłem na demona, ten jednak cofnął się szybko i koniuszek miecza chybił o niecały cal. Zamachnąłem się ponownie, lecz strzygoń uniknął i tego ciosu. Warknął, po czym postąpił krok naprzód, szykując się do ataku. Przypomniałem sobie szybkość, z jaką rzucił się na mnie demon w bibliotece i natychmiast zacząłem się skupiać, by spowolnić czas. Nagle poczułem, jak miecz porusza mi się w dłoni, z rubinowych oczu rękojeści zaczęła kapać krew. Ściskając go oburącz, ruszyłem krok w lewo, dwa w prawo, a potem z całych sił ciałem pionowo wprost w głowę strzygonia. Klinga rozszczepiła czaszkę aż do szczęki i stwór runął mi do stóp. Z ogromną satysfakcją wyrwałem z niego miecz.

Tak jak oczekiwałem, że zwłok demona wypłynęło pomarańczowe spiralne światło, kilka sekund wirowało w miejscu, a potem wystrzeliło w niebo, znikając nad wierzchołkami drzew. Zabiłem ciało, ale dusza wciąż była wolna. Czy teraz, jak towarzysz jejmości Fresque, także uda się na poszukiwanie innego nosiciela? Wciąż dygocząc z wściekłości, wsunąłem Klingę Przeznaczenia do pochwy i zawróciłem, by przyjrzeć się pełzającemu na kolanach człowiekowi. Patrzył na mnie oczami okrągłymi ze zdumienia. Lecz jego zdumienie nie dorównywało mojemu – to był Judd Brinscall!

– Zdradziłeś nas! – krzyknąłem. – Poprowadziłeś prosto w

szpony demonów!

Próbował coś powiedzieć, otwierając usta, lecz nie dobiły się z nich żadne słowa. Pochyliłem się, położyłem mu dłoń na ramieniu i szarpnięciem podniosłem. Oparł się o mnie ciężko, bezwładnie, cały dygotał. Cuchnął krwią i ziemią, w której go uwięziono, Pamiętny tego, co spotkało mojego mistrza, przez moment zapragnąłem wepchnąć Judda z powrotem do jamy i zakryć ją głazem. Bez wątpienia inny strzygoń znalazłby go i wykończył. Zasłużył sobie na to!

Zacząłem popychać go w kierunku dziury, nagle jednak przypomniałem sobie tatę i to, jak uczył mnie odróżniać dobro od zła. Nieważne, co zrobił Judd Brinscall, oddanie go strzygoniom byłoby złe. Zastanawiałem się też nad sytuacją samego Judda: czy za to, że nas zdradził, demony nagrodziłyby go, wypijając z niego krew? To nie miało sensu. I jeszcze coś... Ja sam uciekłem jak tchórz. Kimże byłem, by go osądzać?

Ale tym mogłem martwić się później – najpierw musieliśmy uciec, zanim znajdzie nas coś innego.

– Musimy stąd zniknąć – poinformowałem go. – Przeprowadzić się przez rzekę.

Bardzo powoli ruszyliśmy w dół zbocza. Denerwowałem się, w każdej chwili oczekując ataku – może strzygi, towarzyszki stwora, którego właśnie zabiłem. Albo może czarownice wrócą – dziewięć kul opadnie na nas i wyssie z nas życie, nie przelawszy nawet kropli krwi. Przed podobnym atakiem nie zdołałbym się obronić.

Od czasu do czasu Judd pojękiwał jakby z bólu i wciąż musiałem zatrzymywać się, by odpocząć, bo szło się nam bardzo ciężko: praktycznie go niosłem. W końcu dotarliśmy do rzeki, a ja wiedziałem, że musimy przez nią przejść. Na drugim brzegu będzie bezpieczniej. Może stwory nie mogły przeprowadzić się przez płynącą wodę – choć dla czarownic w postaci kul nie stanowiłaby przeszkody: potrafiły bez żadnych kłopotów nad nią przelecieć.

Byłem już kompletnie wyczerpany, w końcu jednak zdołałem przeciągnąć Judda przez most i razem padliśmy na ziemię na

drugim brzegu. Mój towarzysz natychmiast zasnął.

Zacząłem rozmyślać gorączkowo, próbując ustalić następny ruch. Musiałem skontaktować się z Alice, dać jej znać, co zaszło. Koniecznie też trzeba będzie ostrzec Grimalkin. Za wszelką cenę musiała utrzymać głowę Złego z dala od tego przeklętego miejsca. Lecz by to uczynić, potrzebowałem lustra. Będę musiał poczekać do świtu, kiedy wrócę do gospody.

Najwyraźniej zasnąłem, bo gdy otworzyłem oczy, słońce wznosiło się tuż nad wschodnimi wrzosowiskami. Wstałem z ziemi i ziewnąłem, przeciągając się, by rozluźnić zeszywniałe członki.

Spojrzałem gniewnie na Judda leżącego u mych stóp; szatę miał podartą i poplamioną krwią w miejscu, gdzie wgryzł się strzygoń. Na jego szyi widniały jaskrawe fioletowe ślady nakłuc.

Nagle otworzył oczy i usiadł, po czym jęknął i ścisnął dłońmi głowę. Cały drżał, oddychając głęboko. W końcu uniósł wzrok.

– Gdzie jest twój mistrz?! – zawołał.

– Nie żyje – odparłem szorstko, czując, jak gardło mi się zaciska. – Nie, jeszcze gorzej. Odcięli mu głowę, ale ona wciąż mówi. Użyli potężnej magii Mroku, jego dusza została uwięziona w głowie – i cierpi straszne katusze. Muszę go uwolnić. Musi odzyskać spokój. A wszystko to stało się przez ciebie! Czemu poprowadziłeś nas wprost w pułapkę? Twierdziłeś, że znasz jejmość Fresque. Z pewnością wiedziałeś, że to demon?

Judd wpatrywał się we mnie bez słowa.

– Jakież to wygodne, że akurat musiałeś odejść i rozprawić się z jakimś boginem, tak że sami odwiedziliśmy jej dom. Wiedziałeś co się stanie, prawda?

– Owszem, wiedziałem. To długa historia, ale nie miałem wyboru. Wierz mi: nie chciałem tego robić. Przykro mi, że tak się stało.

– Przykro! – wykrzyknąłem. – Łatwo powiedzieć, ale to nic nie znaczy.

Przez kilka chwil przyglądał mi się w milczeniu, a potem odwrócił głowę. W końcu sięgnął ku mnie lewą ręką.

– Pomóż mi wstać, Tomie!

Już na nogach zachwiał się, jakby miał upaść. Nie próbowałem go przytrzymać. W tym momencie, jeśli o mnie chodziło, mógł runąć na twarz i powybić sobie wszystkie zęby.

– Muszę coś zjeść. Jestem słaby, wyszał ze mnie zbyt wiele krwi – wymamrotał.

Czy mogłem mu zaufać? Z całą pewnością nie działał już w zмовie z demonami. Musiałem zaryzykować.

– Mam pokoje w gospodzie, o tam – wskazałem ręką. – A także pieniądze. Mogę nam kupić śniadanie.

Judd przytaknął.

– Będę wdzięczny, ale idź powoli. Jestem słaby jak nowo narodzony kociak.

Dziś w mieście kręciło się mniej ludzi, poprowadziłem go w stronę gospody niemal pustymi uliczkami. Długo musiałem stukać do drzwi, nim karczmarz w końcu je otworzył. Pochylony naprzód, skrzywił się wrogo, jakby chciał mnie zastraszyć.

– Dziwię się, że znów cię widzę, chłopcze! Musisz mieć więcej żywotów niż kot.

– Tu obecny pan Brinscall skorzysta z pokoju mojego mistrza – oznajmiłem, wchodząc do środka. – Najpierw jednak prosimy o obfite śniadanie.

– O tak, proszę podać grube plastry szynki, jajka, kiełbasę i mnóstwo chleba z masłem. Och, i duży czajnik herbaty oraz cukier – wtrącił Judd.

– Najpierw zobaczmy pańskie pieniądze! – warknął gniewnie gospodarz, mierząc wzrokiem okrywające Judda łachmany.

– Ja zapłacę rachunek, i to srebrem – oznajmiłem.

– W takim razie zapłać, nim znów przeprawisz się przez most! – rzucił, a potem bez słowa odmaszerował, by zająć się śniadaniem.

– Mamy sobie wiele do wyjaśnienia, ale jestem wykończony. Co powiesz na to, byśmy najpierw zjedli, a porozmawiali później? – zaproponował Judd.

Skinąłem głową. Nie mogłem na niego patrzeć, toteż jedliśmy w

milczeniu. Judd wsypał do herbaty trzy duże czubate łyżki cukru, pociągnął łyk i uśmiechnął się.

– Zawsze lubiłem słodczyce, Tomie, ale teraz naprawdę tego potrzebuję.

Nie odpowiedziałem uśmiechem; nie podobało mi się, że zwraca się do mnie po imieniu. Cukier wyraźnie nie pomagał; wkrótce Judd zaczął zasypiać przy stole, toteż poklepałem go po ramieniu i zaproponowałem, by poszedł na górę i trochę się przespał.

Gdy tak uczynił, dobrze wykorzystałem ów czas. Najpierw spróbowałem skontaktować się z Alice z pomocą niewielkiego lusterka w pokoju. Po niemal godzinie poddałem się. Uznawszy, że spróbuję później, wyciągnąłem z torby notatnik, przeprawiłem się przez most i wróciłem na wschodnie wrzosowiska.

W promieniach słońca czułem się względnie bezpiecznie, toteż spokojnie naszkicowałem uproszczoną mapę Todmorden, skupiając się na położeniu wielkich domów wśród drzew po tej stronie rzeki. Na budynkach, z których w nocy wyleciały kule, postawiłem krzyżyki. Czterech byłem pewien, co do pozostałych pięciu miałem wątpliwości. Próbowałem też odnaleźć miejsce, gdzie ujrzałem ową dziwną kolumnę czerwonego światła. Trudno było dokładnie ustalić jej źródło, zaznaczyłem jednak ogólny obszar. Cokolwiek to było, bardzo zainteresowało czarownice.

Potem wróciłem do siebie i znów spróbowałem porozumieć się z Alice. Bez powodzenia. Co się tam działo? Zazwyczaj odpowiadała znacznie szybciej. Zdrzemnąłem się na łóżku, myśląc o wszystkim, co zaszło. Dochodziło południe, gdy Judd zastukał do moich drzwi. Wyszliśmy z gospody, kierując się ku drzewom nad rzeką. To, co miał mi do powiedzenia, nie było przeznaczone dla uszu karczmarza ani czyichkolwiek innych.

Usiedliśmy wygodnie, wpatrując się w wodę. Czekałem, aż zacznie.

– Najpierw muszę podziękować ci za ocalenie życia, Tomie. Zeszłej nocy zginąłbym. Z początku wysysali jedynie odrobinę krwi co siódmą noc – moje ciało ledwie sobie z tym radziło. Lecz tej nocy

pożywiali się już po raz trzeci, odkąd widzieliśmy się ostatnio.

– Chcesz powiedzieć, że trzymali cię w jamie, zanim ruszyłeś do Chipenden?

– Wypuścili mnie, żebym was tu sprowadził – wyjaśnił Judd.

– Jak długo tam tkwiłeś? – spytałem.

– Mniej więcej parę miesięcy. Dziwne, prawda? My, stracharze, umieszczamy w jamach czarownice. Nigdy nie sądziłem, że sam trafię do jednej z nich! – Jak udało ci się przeżyć? Co jadłeś?

– Na szczęście nie działo się to zimą, inaczej zamarzyłbym na śmierć – wyjaśnił Judd. – Ale karmili mnie, o tak. Musieli utrzymać mnie przy życiu, by móc zdobyć niezbędną krew. Każda para – strzygoń i strzyga – ma własnych więźniów, którymi się żywi. Tak naprawdę woleliby polować i zabijać ofiary w okolicy, lecz to zwróciłoby na nich uwagę i miejscowi mogliby wezwać wojsko. A co do strawy, wrzucali do jamy surowe mięso. Żywiłem się surową baraniną, a czasem flakami.

Skrzywiłem się na myśl o jedzeniu surowych wnętrzności.

– Co ty byś zrobił, Tomie? – spytał, widząc grymas obrzydzenia na mojej twarzy. – Nie miałem wyboru: mogłem jeść albo umrzeć. Bez strawy, która uzupełniłaby straconą krew, zginąłbym po paru dniach.

Przytaknąłem.

– To prawda – zgodziłem się. – Robimy to co konieczne, byle tylko przetrwać. Postąpiłbym dokładnie tak samo.

Wiedziałem, że ja także nie jestem bez winy. W ciągu trzech lat terminu u stracharza stopniowo wykraczałem daleko poza granice moralności i zasad wpojonych mi przez tatę i mamę. Nie byłem szczery z mistrzem i posługiwałem się magią Mroku, by powstrzymać Złego.

– O tak, kręta to i długa droga, która doprowadza człowieka do takiej sytuacji – wymamrotał z goryczą Judd. – Jak mówiłem, podczas swych podróży zawędrowałem w końcu do Rumunii, gdzie dowiedziałem się wiele o wszystkich transylwańskich stworach z Mroku i o tym, jak z nimi walczyć. Tyle że w ostatecznym



rozhanku na nic mi się to zdało! Bo widzisz, w tamtym kraju wszystkie stwory współpracują ze sobą – żywiołaki, demony i czarownice knują piski i działają aktywnie, zabijając stracharzy. Wkrótce ja także stałem się ich celem. Czekają i obserwują, opracowując najlepszy sposób, jak cię zranić bądź niszczyć. Stanowiłem łatwą zdobycz. Bo wiesz, zakochałem się. Stracharze w Hrabstwie zazwyczaj się nie żenią, lecz w Rumunii panują inne zwyczaje. Poprosiłem o rękę pewną młodą kobietę, która się zgodziła. Kochaliśmy się i nie mogliśmy doczekać ślubu. Ale los chciał inaczej. Jej ciało opętała strzyga; te demony wolą żywych nosicieli niż umarłych. Poznałeś ją zresztą – zajęła ciało Cosminy Fresque.

– Jejmość Fresque to kobieta, którą kochasz? I nosi w sobie demona? – Przypomniałem sobie urodę Cominy i pojąłem, dlaczego Judd tak bardzo ją pokochał. – Czy możemy cokolwiek zrobić? Czy da się jakoś Wypędzić z jej ciała strzygę?

– Bardzo bym chciał, lecz opętanie przez rumuńskiego demona nie przypomina..nie jest takie samo, jak w Hrabstwie. Nie da się go odwrócić. Demon wypędza duszę, która nie może już wrócić. – Judd ze smutkiem pokręcił głową. – Uważaj ją zatem za zmarłą; ja też tak robię i muszę się nauczyć żyć ze swym bólem. Odeszła do Limbusa. Mam tylko nadzieję, że odnajdzie drogę do światła. Straciłem ją i miałem bardzo dużo czasu, by rozmyślać o swym szaleństwie i o tym, jak łatwo dałem się oszukać.

– Jak zatem znalazłeś się tutaj, w Hrabstwie? – spytałem.

– Z początku byłem zrozpaczony – odparł. – Przez niemal rok włączyłem się niczym szaleniec, niezdolny pracować. Mogli mnie wówczas zabić – i zrobiliby to, gdyby nie rumuński stracharz, który mnie szkolił. Nie wiedziałem nawet, że tam był, lecz gdziekolwiek się udawałem, podążał tuż za mną i bronił mnie przed sługami Mroku pragnącymi odebrać mi życie. W końcu odzyskałem rozum, wówczas jednak skupiłem się wyłącznie na zemście. Chciałem zabić tę strzygę, a przynajmniej wypędzić ją z ciała ukochanej Cosminy. Szukałem jej wszędzie, w końcu

dowiedziałem się, że wyjechała za granicę wraz ze swym towarzyszem. Ruszyłem zatem za nią. Czarownice – mówiłem ci, że ze sobą współpracują! – ostrzegły ich o moim przybyciu i byli gotowi. Jak głupiec wmaszerowałem wprost w pułapkę i wylądowałem w jamie jako strawa strzygonia. Po jakimś tygodniu przekazali mnie sąsiadom w głębi doliny. Często handlują między sobą ofiarami. Myślę, że chodzi o różne smaki krwi – od czasu do czasu lubią odmianę.

– Czy zatem przyrzekli ci wolność w zamian za zwabienie tu mnie i stracharza? – zapytałem.

– To oraz coś znacznie cenniejszego – odparł Judd. – Bo widzisz, jestem w połowie Rumunem i, jak mówiłem, nadal mam w tym kraju rodzinę: matkę i jej krewnych. Zagrozili, że jeśli nie posłucham, odbiorą im krew – pozabijają wszystkich. Oczywiście, nie mieli zamiaru mnie wypuścić. Po rozstaniu z wami ruszyłem na północ, starając się jak najbardziej oddalić od tego przeklętego miejsca. Zaledwie godzinę po zmroku doścignęli mnie i zawlekli z powrotem do jamy. Mam tylko nadzieję, że mojej rodzinie nic się nie stało.

Dobrze rozumiałem nacisk, jaki na niego wywarli i współczułem mu, ale wciąż nie byłem zadowolony

Zdarzało się, że Mrok mnie także groził czymś podobnym. Lecz stracharz wpoił mi potężne poczucie obowiązku i oparłem się. Jak mógłbym zapomnieć, że zdrada Judda Brinscalla doprowadziła do śmierci mego mistrza?

Przez chwilę obaj milczeliśmy, w końcu przerwałem krępującą ciszę.

– Skąd tu, w Todmorden, wzięło się tak wiele rumuńskich stworów z Mroku?

– Przybyły tu w poszukiwaniu miejsca i świeżych ofiar – wyjaśnił Judd. – W Rumunii jest ich tak wiele, że całe obszary, zwłaszcza w Transylwanii, pozostają pod ich panowaniem. Od lat rosły w siłę na granicy Hrabstwa, lecz ukrywały się, by nie zwracać na siebie uwagi. Kiedy zbierze się ich dostatecznie dużo i

zyskają więcej sił, krew ofiar uwięzionych w jamach przestanie im wystarczać. Wówczas ruszą na zachód, W głąb Hrabstwa, zabijając do woli.

## ROZDZIAŁ 15

### WAMPIRZY BÓG

Wizyta w Todmorden kosztowała mojego mistrza życie, ale nie zginął na darmo. Teraz, gdy dowiedziałem się o rosnącym niebezpieczeństwie i zagrożeniu dla całego Hrabstwa, może zdołam im przeciwdziałać. W przeciwnym razie mogłyby narastać niepostrzeżenie przez wiele lat. Najpierw jednak musiałem odzyskać głowę stracharza i spalić ją, by uwolnić jego duszę. Może wiedza Judda Brinscalla na temat rumuńskich istot z Mroku zdoła mi w tym dopomóc.

– W jaki sposób da się zniszczyć strzygę? – spytałem, – To znaczy trwale, by nie mogła wrócić i opętać innego ciała. Zabiłem już dwóch nosicieli strzygoni, ale jejmość Fresque powiedziała mi, że pierwszy strzygoń, którego przegnałem z ciała, szybko znajdzie sobie nowe i wróci, by na mnie zapolować.

– Dwa? Zabiłeś aż dwa? Który był pierwszy?

– Towarzysz twojej nieprzyjaciółki.

– Dobra robota, Tomie. – Judd uśmiechnął się ponuro. – Zatem Cosmina została już częściowo pomszczona. Istnieje wiele sposobów rozprawiania się ze strzygoniami i strzygami, lecz jedynie nieliczne dają trwale skutki: nawet odcięcie głowy bądź przebicie kołkiem lewego oka wypędza ich tylko z ciała. Czosnek bądź róże mogą posłużyć do obrony, a choć sól zbytnio im nie szkodzi, fosa pełna słonej wody nie dopuszcza ich do domu.

– Ta sama metoda, której używaliśmy przeciw wodnym wiedźmom – przypomniałem sobie.

– Zgadza się, Tomie. Bez wątplenia spędziłeś ciężkich sześć

miesiący, obrywając po uszach od Billa Arkwrighta. Ja sam miałem dosyć i uciekłem do Chipenden przed upływem mojego pół roku – dodał Judd.

Ze smutkiem pokiwałem głową.

– Bill nie żyje. Zginął w Grecji w walce z Mrokiem.

– Cóż, nie mogę rzec, bym go lubił, ale przykro mi słyszeć, że umarł. Teraz północna część Hrabstwa stanie się znacznie niebezpieczniejszym miejscem. A co się stało ze Szpon i Kłem? Dobrze to były psy, choć Kieł niezbyt mnie polubił: stosownie go nazwano. Pewnej nocy odgryzł mi kawał nogi, wciąż mam na niej bliznę!

– Kieł nie żyje, zabiły go wodne wiedźmy. Ale Szpon ma się dobrze, urodziła dwa szczeniaki, Krew i Kość. Zostawiliśmy je w Chipenden u miejscowego kowala – wyjaśniłem.

– Wielka szkoda, bardzo by nam się przydały do walki z czarownicami – odrzekł Judd. – Wracając jednak do naszej rozmowy, aby na zawsze skończyć ze strzygą, która opętała żywe ciało, należy spalić je, nim demon opuści powłokę. Co do strzygonia w martwym ciele, jedyna pewna metoda to wystawić go na promienie słońca. Wiem sporo o walce z podobnymi stworami. Teraz musimy współpracować – chcę zadośćuczynić to, co zrobiłem, i wiele cię mogę nauczyć. Jedno jednak wyjaśnię od razu: nie musisz się obawiać, że strzygoń wróci, by cię zabić. W końcu znajdzie sobie następnego nosiciela, w którym zacznie kolejny etap swego istnienia i zapomni o Todmorden i poprzedniej towarzyszce. Cosmina po prostu próbowała cię przerazić, to wszystko.

– Widziałem twoją książkę w bibliotece demonów – tę o moroiich – zauważyłem.

– Napisałem ją w radośniejszych czasach. Demony odebrały mi ją, by biblioteka wyglądała bardziej przekonująco. Bo widzisz, siedziba każdej strzygi i strzygonia to złudne miejsce, dom iluzji. Za źródło iluzji służy im grimoire. On oraz moja książka to pewnie jedyne prawdziwe tomy. Teraz wytłumacz mi, po co chcieli tu ściągnąć ciebie i Johna Gregory'ego. Nigdy mi tego nie wyjaśnili.

Opowiedziałem o naszej walce ze Złym i o tym, jak czasowo go uwięziliśmy. Potem dodałem, że Grimalkin ucieka z głową Złego, próbując uchronić ją przed wpadnięciem w ręce nieprzyjaciół.

– Ponieważ wybrałeś się z nami, nie podejrzewaliśmy niczego złego. Dopiero po zabiciu mistrza strzyga wyjaśniła, czego żądają. Wywarto na nią nacisk, by zwabiła nas do Todmorden. Mówiłeś, że wszystkie rumuńskie stwory współpracują ze sobą i to zмирzając do wspólnego celu. Zabiły mego mistrza i uwięziły Jego duszę w głowie, by móc mnie szantażować. Chcą, abym wezwał Grimalkin, by mogły ją zabić i odebrać głowę Złego. Z całą pewnością tego nie zrobię, muszę więc odnaleźć głowę mistrza i ją spalić. Na pewno gdzieś ją ukryły. Pozostaje nam zatem przeszukać całą okolicę, sprawdzić domy wszystkich demonów.

– Przykro mi, Tomie. Jeśli spróbujemy, zorientują się w naszych planach nim dotrzemy do pierwszego. Dniami i nocami jedna para oczu stale czuwa, wypatrując zagrożenia. Wyczują nas niemal natychmiast i wezwą czarownice, by pomogły im się bronić. Rumuńskie wiedźmy posługują się magią animizmu. W odróżnieniu od tych z Pendle, zazwyczaj używających krwi, kości bądź magii pobratymców, czerpią siłę życiową z ofiar, nawet ich nie dotykając. Ich kule znalazłyby nas w mgnieniu oka. Po kilku sekundach zginęlibyśmy, pozbawieni animusu. Później wiedźmy wykorzystają go do swych rytuałów i zaklęć, a Mrok jeszcze urósłby w siłę.

– Co zatem możemy zrobić? – spytałem. Wiedziałem już większość z tego, co mi mówił, i wiedza ta mnie nie zniechęcała. Musiałem uwolnić duszę mistrza. Byłem zdecydowany spróbować.

– Najpierw rozprawimy się z czarownicami – podjął Judd – eliminując je kolejno. To może dać nam chociaż cień szansy. W odróżnieniu od kobiet-demonów wiedźmy za dnia śpią, wtedy zatem należy uderzyć. Nie mają towarzysza, który nad nimi czuwa.

– Czy czarownice są potężniejsze od demonów? – spytałem.

– Tak, bez wątplenia – najniżej w hierarchii stoją moroii.

Spróbujmy zatem najpierw zabić wiedźmy, zaskoczyć je we śnie.

– No cóż, znam przynajmniej cztery domy tych czarownic – poinformowałem Judda. – Kiedy spałeś, wróciłem na wrzosowiska i zaznaczyłem je na mapie. Są tutaj – sięgnąłem do kieszeni portek, wyciągnąłem szkic i oddałem mu.

Judd przyglądał mu się uważnie kilka minut, po czym posłał mi przenikliwe spojrzenie.

– Co to? – spytał, wskazując znak na mapie.

– W nocy widziałem dziwną kolumnę światła o nietypowym, ciemnoczerwonym odcieniu. Wypływała z ziemi pod drzewami, strzelając wysoko w niebo. Nigdy czegoś podobnego nie widziałem. Czarownice wyfrunęły z domu w postaci kul i krążyły wokół niej jakby w tańcu, co chwila wnikając w światło. Po jakimś czasie odleciały. Wkrótce potem strzygoń zaczął pić twoją krew i zszedłem ze wzgórza, żeby sprawdzić, czy mogę jakoś pomóc.

Judd pokręcił głową, długi czas w milczeniu wbijał wzrok w ziemię. Najwyraźniej moje słowa nim wstrząsnęły. Zerknąłem na jego dłonie – drżały mocno.

– Co się stało? – spytałem.

– Robi się coraz gorzej. Z tego, co właśnie rzekłeś, wnioskuję, iż czarownice próbują przywołać Siscoi, największego i najpotężniejszego z rumuńskich Starych Bogów. Stracharze znają wiele skutecznych metod rozprawiania się ze zwykłymi stworami wampirycznymi, takimi jak wiedźmy, żywiołaki i demony, lecz bóg wampirów jest niezwykle niebezpieczny – w walce z nim pozostajemy bezradni.

Imię to zabrzmiało znajomo. Znów zirytowałem się na samego siebie, że niezbyt uważnie czytałem bestiariusz stracharza. Byłem pewien, że natrafiłem tam na wzmiankę o Siscoi.

– Czy łatwo go wezwać? – spytałem. – Niektórych Starych Bogów bardzo trudno sprowadzić na nasz świat.

– Istotnie, Tomie, i mogą zaatakować tych, którzy ich wezwali – odparł Judd. – Niektórzy chętnie korzystają z okazji zniszczenia osób sięgających w Mrok. Niestety, Siscoi jest inny: uwielbia, kiedy

oddają mu cześć, i łaskawie spogląda na tych, którzy przez portal sprowadzają go na ten świat. Rumuńskie wiedźmy wzywają go o północy, może jednak zostać tylko do świtu. To dobra nowina. Zła jest taka, że choć jego królestwem jest Mrok, Siscoi może na jakiś czas wysłać swego ducha, by ożywił zmarłego bądź opętał żywego. Możesz zatem sądzić, że masz do czynienia ze strzygoniem, a potem zbyt późno zorientować się, że srebrna klinga na końcu twojej laski nie działa, bo to Siscoi. To byłby twój koniec. Nie pozostałoby już nic do zrobienia.

– A co z tym? – spytałem, dobywając Klingi Przeznaczenia.

Judd zagwizdał przez zęby, jego twarz rozjaśnił podziw.

– Mogę obejrzeć? – spytał.

Skinąłem głową i oddałem mu broń.

– A zatem to tym mieczem zabiłeś dwóch nosicieli strzygoni – uważnie obejrzał rękojeść. – Co za zręcznie wykuty skelt, a te rubiny są przecież bezcenne. W jaki sposób zdobyłeś podobną broń?

– Dostałem go na Wydrażonych Wzgórzach od Cuchulaina, jednego ze starożytnych irlandzkich bohaterów. Wykuł go Stary Bóg Hefajstos. Sporządził tylko trzy miecze, ten jest ponoć najlepszy.

– Cóż, Tomie, obracasz się w wyrafinowanych kręgach. Powiadasz, że to dzieło jednego ze Starych Bogów? Zastanawiam się, czy ma dość mocy, by zabić któregoś z nich.

– Użyłem go w walce z Morrigan. Nie zniszczył jej ale spowolnił, dając mi szansę ucieczki.

– Walczyłeś z Morrigan?

– Na Wydrażonych Wzgórzach, tuż po tym, jak Cuchulain dał mi miecz.

– Wygląda na to, że miałeś termin pełen przygód. Ja nigdy nie opuściłem Hrabstwa. Nic dziwnego, że potem zapragnąłem podróżować i tak marnie skończyłem – Judd oddał mi miecz. – Ale nawet gdyby broń mogła zranić Siscoi, nie zdołałbyś się doń zbliżyć. Wampiryczne stwory bywają szybkie, lecz nic nie może się równać z nim. Zginałbyś, zanim byś się obejrzał.

Umiejętność spowalniania czasu być może umożliwiłaby mi zranienie Siscoi mieczem, nie oznaczało to jednak, że zdołałbym go zabić. Starzy Bogowie dysponują wielką mocą uzdrawiania. Klinga użyta w walce z Morrigan dała mi jedynie dość czasu, bym mógł uciec. Nie poprawiałem jednak Judda – uznałem, że niemądrze będzie zdradzać mu zbyt wiele. Nie wspomniałem też o Rębaczu Kości. Gdyby w przyszłości demony znów wywarły na niego nacisk, Judd mógłby im ujawnić wszystko, co o mnie wie. Zamiast tego zadałem pytanie:

– Czym było światło świecące z ziemi? Jak więdźmy wzywają Siscoi?

– Tworzą wędźpiodół – wyjaśnił Judd. – Najpierw szukają głębokiej szczeliny w ziemi. Musi leżeć w odpowiednim miejscu, w którym mroczna magia mocniej działa. Potem tygodniami wrzucają do środka krew i wnętrzności – głównie kawałki surowej wędźroby. Połączone z rytuałami i mrocznymi zaklęciami, sprawiają one, że w dole gromadzi się potężna moc – owa kolumna to zaledwie jej ułamek, wymykający się na zewnątrz. Siscoi, pożerając wędźpia i krew, hoduje sobie ciało. Gdy jest gotów, o północy przybywają czarownice, by odprawić ostatni rytuał. Potem Siscoi wychodzi z dołu odziany w ciało, rzeczywisty, tak samo jak Zły. Z tego, co opisałeś, wynika, iż czary więdźm dotarły już do etapu, w którym Siscoi jest niemal gotów. Może wyłonić się w każdej chwili – być może nawet dziś o północy.

– Po co miałyby wezwać go właśnie teraz? – spytałem.

– Możliwe, że po prostu chcą oddać mu cześć. W zamian obdarzy je mocą. Ale naciskały już na ciebie, abyś sprowadził tu Grimalkin. Bardzo chcą odzyskać głowę Złego. Siscoi jest szybki, a obleczony w ciało może pokonywać wielkie odległości. Możliwe, że sam ruszy w ślad za Grimalkin. Ty możesz być następny na jego liście.

## **ROZDZIAŁ 16**



## WĄTPIODÓŁ

– Musimy zatem znaleźć sposób powstrzymania Siscoi – oznajmiłem.

Judd obdarzył mnie ponurym uśmiechem.

– Niczego bardziej nie pragnę. O tej porze roku od północy do świtu mija cztery i pół godziny. W tym czasie mógłby wyrządzić olbrzymie szkody. Lecz mimo gruntownego szkolenia w Rumunii, nie mam najbledszego pojęcia, w jaki sposób można by z nim walczyć. A nawet gdybyśmy dysponowali odpowiednimi środkami, w parę sekund zjawilyby się czarownice.

Nie chciałem się jednak poddać.

– Nie, gdybyśmy zrobili to za dnia. Wówczas więdźmy śpią. Czy ostrzeżone, nadal mogłyby odłączyć od ciał dusze w świetle słońca?

– Nigdy o czymś takim nie słyżałem – choć to możliwe. Zakładam, że myślisz o tym, by zaatakować Siscoi, gdy wciąż kształtuje się w jamie. Co dokładnie masz na myśli, Tomie?

– Chciałbym spróbować jednej z najstarszych sztuczek w arsenale stracharza – soli i żelaza.

Judd pokręcił głową.

– Najpewniej tylko zmarnujemy czas. Sól i żelazo nie działają na rumuńskie więdźmy, żywiolaki i demony. – Zazwyczaj nie działają także na Starych Bogów. Ale ma to miejsce wtedy, gdy są w pełni przebudzeni i gotowi rozszarpać ci ciało i kości. Siscoi nadal hoduje sobie nosiciela z krwi i wnętrzości w dole. Jestem pewien, że sól mogłaby poparzyć owo cenne, na wpół ukształtowane ciało, a żelazo pozbawić je sił. Może go nie powstrzymają, ale przynajmniej spowolnią, dając nam czas, byśmy odnaleźli mistrza. Co powiesz? Czyż nie warto spróbować? Załatwmy to teraz, póki słońce wciąż świeci! Możemy wsypać sól i żelazo do wątpiodołu, a potem rozprawić się kolejno ze śpiącymi więdźmami.

– Ale musisz pamiętać o jeszcze jednym zagrożeniu, Tomie – ostrzegł Judd. – Strzygi już się przebudziły i strzegą swych

towarzyszy. Nawet jeśli nie zagrażą nam kule czarownic, to one z pewnością tak. A są równie szybkie i groźne, jak strzygonie.

– Ja też poruszam się szybko. I mam miecz – przypomniałem.

Judd zmarszczył brwi.

– Jeśli mam się na coś przydać, również potrzebuję broni.

Za pasem pod płaszczem ukrywałem Rębacza Kości, sztylet, który dostałem od Slake. Nie zamierzałem jednak wypożyczać go Juddowi – był jednym z trzech świętych przedmiotów i nie mogłem ryzykować jego utraty. Toteż milczałem. Nie byłem pewien, czy w Todmorden znajdziemy skłonnego do pomocy kowala. Sądząc z dotychczasowego przyjęcia, nie oczekiwałem zbytnej życzliwości. Potem jednak przypomniałem sobie wioskę. Zerknąłem na słońce.

– Zostało nam około siedmiu godzin – oznajmiłem. – Pamiętasz wioskę, przez którą przechodziliśmy po drodze? Był tam kowal i kram z jedzeniem, a dzieli nas od niej niecała godzina marszu. Moglibyśmy kupić w kramie worki soli – trzeba nam więcej niż trochę soli w kieszeniach – a u kowala opiłki żelaza i może też jakąś broń dla ciebie?

Judd wstał z ziemi.

– Doskonale, ruszajmy.

\*

Maszerowaliśmy szybko pustymi ulicami. Czemu w mieście panował taki spokój? Zauważyłem, że gdy przechodziliśmy, parę zasłon poruszyło się w oknach.

Wspięliśmy się po zboczu na zachodnie wrzosowiska i po trzech kwadransach dotarliśmy do kuźni. Z łatwością dostaliśmy duży wór opiłków żelaza, natomiast broń dla Judda okazała się problemem. Kowal zajmował się głównie podkuwaniem koni, naprawą pługów i wykuwaniem narzędzi. Nigdy w życiu nie pracował nad mieczem. Miał jednak kilkanaście siekier i toporów, farmerzy oczyszczali nimi swoje ziemie z drzew i krzewów. Nie miały co prawda podwójnego ostrza toporów bojowych, nie zrobiono ich też ze stopu srebra, ale we wprawnych rękach mogły zadać poważne rany.

Judd wypróbował kilka, lecz nie wybrał największego. Oczywiście, nie rozmawialiśmy przy kowalu o naszych wymogach, zauważyłem jednak, że Judd zdecydował się na lekki, ostry i poręczny topór.

Następnie odwiedziliśmy wiejski sklepik i wykupiliśmy niemal cały zapas soli. Wkrótce Judd zarzucił sobie topór na ramię i dźwigając worki, wróciliśmy do Todmorden. Gdy przeprawiliśmy się przez rzekę, poczułem, jak most dygocze i z niepokojem zerknąłem w dół. Wydawał się bardziej rozchybotany niż wcześniej, gotów zwalić się do rzeki. Miałem nadzieję, że nie będziemy musieli przeprawiać się po nim zbyt wiele razy.

Słońce wciąż świeciło na czystym niebie, oceniałem, że pozostało nam pięć godzin dnia – dość czasu, by rozprawić się z Siscoi i zabić jak najwięcej, wiedząc, powtarzałem w duchu, próbując dodać sobie odwagi.

Nie rozmyślałem nad szczegółami tego, co musimy zrobić. Nasze zadanie było niezwykle niebezpieczne. Wrogowie współpracowali ze sobą i atak na jednego oznaczał atak na wszystkich. Gdyby zdołali szybko się zebrać, mieliby ogromną przewagę liczebną. Ja jednak odepchnąłem te myśli, kierowany poczuciem obowiązku wobec Hrabstwa i nadzieją, że w jakiś sposób zdołam uwolnić duszę mego mistrza.

Wspięliśmy się na skraj wschodniego wrzosowiska i ponownie przycupnęliśmy wśród krzewów.

– Popatrz, o tam – wskazałem. – To tam widziałem promień światła przeświecający przez drzewa.

Judd skinął głową.

– Które to domy czarownic?

Wyciągnąłem mapę i wskazałem cztery zaznaczone budynki.

– Myślisz, że to właśnie te? Musimy mieć pewność.

– Tak, z całą pewnością widziałem wylatujące z nich kule. Są jeszcze inne możliwe, ale zazaczyłem tylko te, co do których nie mam wątpliwości.

– Gdy już uwiniemy się z tym – Judd wskazał ręką worki u

naszych stóp – będziemy musieli zabić tę czwórkę czarownic, a potem szybko wrócić za rzekę i spróbować przeżyć noc.

Przytaknąłem, po czym podnieśliśmy wory i ruszyliśmy w dół zbocza, zmierzając w stronę kępy drzew ocieniającej wąpiodół. Gdy tylko znalazłem się w półmroku, poczułem to – chłód ostrzegający siódmego syna siódmego syna, że w pobliżu czai się potężny stwór z Mroku.

Judd zerknął na mnie z ukosa.

– Ja też to czuję – zauważył. – Ale co, Siscoi hodującego nowe ciało? Czy coś jeszcze, na ziemi, co strzeże go przed intruzami?

– Wkrótce się przekonamy – odparłem, maszerując naprzód.

Dowiedziałem się nawet szybciej, niż sądziłem. Nie ostrzegło mnie nawet warknięcie. Atak nastąpił tak szybko, że, kompletnie zaskoczony, zdążyłem jedynie upuścić worek i sięgnąć po miecz. Z naprzeciwnika biegł ku nam na czworakach wielki niedźwiedź, wyszczerzając zęby. Tuż przed nami wspiął się na tylne łapy, olbrzymia góra mięśni, futra i wściekłych oczu, gotowa nas rozszarpać. Nim jeszcze wyrwałem z pochwy klingę, Judd przecisnął się obok i zamachnął potężnie toporem.

Ostrze trafiło w cel z mdlącym chrzęstem. Pierwszy cios wylądował wysoko na ramieniu niedźwiedzia. Zraniony stwór ryknął z wściekłości i bólu. Gdy Judd kolejnym zamachem wbił mu ostrze w szyję, niedźwiedź wrzasnął – ów piskliwy dźwięk równie dobrze mógłby wyrwać się z ludzkiego gardła. Judd zadał jeszcze trzy ciosy i wtedy niedźwiedź runął na bok, niczym wielkie drzewo powalone przez drwala.

Mój towarzysz cofnął się o krok.

– Szybki? – zerknął z uśmiechem na mój do połowy dobyty miecz. – Ja byłem szybszy! Kiedy zjawi się pierwsza strzyga, musisz spisać się lepiej!

– Nie martw się, tak właśnie będzie – schowałem miecz. – To moroi, prawda? – Wskazałem gestem martwego niedźwiedzia. – Kiedy ostatnio go widziałem, pilnował ścieżki do domu Fresque.

– Może i tak, lecz najpewniej jest ich tu więcej, Tomie –

oznajmił Judd. – Temu polecono strzec i patrolować teren wokół dołu. Choć drzewa dają mocny cień, a gałęzie chronią przed słońcem, moroii zazwyczaj nie wychodzą za dnia. Trzeba potężnej magii, by go tu sprowadzić. Rozmyślałem nad tym i uświadomiłem sobie, że istnieje znacznie łatwiejszy sposób rozprawienia się z moroii: to stwory, którymi rządzi przymus. Jeśli rzucisz przed nimi na ziemię orzechy, nasiona, jagody, gałązki czy nawet źdźbła trawy, natychmiast padną na czworaki jak w transie. Muszą przeliczyć i odnaleźć każde z nich, póki tego nie dokonają, niczego nie mogą zrobić. Do tego jedno przeliczenie nie wystarczy. Muszą powtórzyć całą procedurę, sprawdzając, czy otrzymają ten sam wynik. Wszystko to trwa czasem wiele godzin. My możemy wówczas uciec bądź zadać morderczy cios!

Przytaknąłem z uśmiechem. Warto to wiedzieć na przyszłość. Uświadomiłem sobie, jak wiele wciąż muszę się nauczyć. Teraz, po śmierci mistrza, mój termin dobiegł przedwczesnego końca: musiałem zdobywać wiedzę wszędzie, gdy tylko nadarzy się sposobność – nawet od Judda. Nie mogłem pozwolić, by moje uczucia przeszkodziły w osiągnięciu celu. Musiałem stale uzupełniać bestiariusz, a nawet pisać własne księgi, Kontynuować dzieło mistrza.

Wraz z Juddem ostrożnie wędrowaliśmy naprzód, szukając wylotu wątpiodołu. Nasze nosy odnalazły go wcześniej niż oczy. Wokół dołu panował morderczy smród, odór wnętrzości, gnijącego mięsa i ostra metaliczna woń krwi. Pod korzeniami wielkiego dębu leżał duży, nieregularny płaski kamień. Niemal pośrodku niego widniała owalna dziura o brzegach wciąż mokrych od krwi. Razem podeszliśmy bliżej i zerknęliśmy w mrok. Zadrzałem ze strachu i odetchnąłem głęboko, by się uspokoić. Miałem jednak powody, by się obawiać. Jeśli nie powstrzymamy go trwale, i to szybko, wkrótce Stary Bóg Siscoi wygramoli się z dołu.

– Niczego nie widzę – powiedziałem.

– Uwierz mi, Tomie, żaden z nas nie chce ujrzeć tego, co się tam kształtuje, ale wyteż słuch, a być może to usłyszysz.

Nasłuchiwaaliśmy. Z głębi skalnej szczeliny dobiegały słabe złowieszcze odgłosy. Wstrzymałem oddech, by usłyszeć je lepiej, i nagle niemal pożałowałem. Głęboko w dole, na szczęście ukryte przed naszymi oczami zasłoną ciemności, coś oddychało. Rytm był powolny, miarowy, sugerował ogromnego stwora.

– Nosiciel faktycznie tam tkwi – zauważył Judd. – Ale nie martw się, w żaden sposób nie zdoła wyjść, póki Siscoi nie przejmie władzy nad jego ciałem. Może to nastąpić jedynie o północy, z pomocą wieźm odprawiających zaklęcia i rytuały.

– Z iloma musimy się rozprawić, by to powstrzymać? – spytałem.

– Trudno orzec: nawet trzy ocalałe mogą utworzyć krąg. Lecz jedno jest pewne. Im mniej ich będzie, tym trudniej im to przyjdzie.

Bez dalszych namysłów ostrożnie przechyliliśmy worki soli i żelaza, tworząc stosiki obok otworu. Potem, działając szybko, zmieszaliśmy ze sobą dłońmi obie substancje.

– Gotów? – spytał Judd.

Przytaknąłem, czekając, by zepchnąć mieszaninę w ciemność.

– Cóż, zaraz przekonamy się, czy miałeś rację. Zrobimy to na trzy. Raz, dwa, trzy!

Działając wspólnie, zgarnęliśmy sól i żelazo, które kaskadą posypały się w głąb dołu. Przez chwilę nic się nie działo, potem z głębi ziemi dobiegł nas wrzask bólu, a po nim ciche jęki.

Judd uśmiechnął się szeroko.

– Dobra robota, Tomie! Czasami stare zaufane metody faktycznie działają najlepiej. Siscoi nie będzie zachwycony, gdy odkryje, że uszkodziliśmy mu nosiciela. A teraz zajmijmy się pierwszą z czarownic; najpierw jednak opowiem ci o nich coś więcej. – Wstał z ziemi. – Gromadzą siłę życiową ludzi, by osiągnąć pewne cele, jednym z nich jest zdobycie bogactwa. Lubią mieszkać w wielkich domach i rządzić miejscowymi.

– A zatem to dlatego tutejsi ludzie unikają stracharzy i nie są skłonni do współpracy. Boją się. Wiedzą, z czym mają do czynienia

– pojąłem.

– Zgadza się, Tomie. Bez wątpienia całe miasto jest przerażone.

– Wiem o kulach i tym, że używają magii animizmu. Ale co dzieje się, gdy ich dusze wrócą do ciał? Czy przypominają czarownice z Pendle bądź lamie?

– Podobnie jak inne czarownice, próbują postrzegać przyszłość, zniszczyć wrogów. Lecz najważniejsze jest wzywanie ich wampirzego boga, Siscoi. On obdarza je mocą i czyni jeszcze groźniejszymi. Jedno łączy je z lamiami – one także odmieniają swą postać. O ile jednak lamie zmieniają się z udomowionych w dzikie w czasie tygodni czy nawet miesięcy, rumuńskie wiedźmy potrafią to robić w mgnieniu oka. W jednej chwili patrzysz na kobietę odzianą w piękne szaty, w następnej zębata zmora w łachmanach rzuca się na ciebie ze szponami. Tu właśnie trzeba uzupełnić bestiariusz Johna Gregory'ego: to prawda, że rumuńskie czarownice nie posługują się magią krwi, nie powstrzymuje ich to jednak przed pożeraniem ciał i jej wysysaniem. Większość ofiar pada bez życia, nim zdążą zareagować na niebezpieczeństwo. W chwilę później zostają rozdarte na strzępy.

Zmarszczyłem brwi, w głowie kręciło mi się od tych wszystkich informacji.

– Chodźmy i rozprawmy się z pierwszą... – zaproponował Judd.

Opuściliśmy osłonę drzew i ruszyliśmy słoneczną łąką w stronę najbliższego z wielkich domów, z których wyłoniły się kule. Z tego co widziałem, prócz samotnego myszołowa szybującego na zachodzie, na całym wzgórzu nic się nie poruszało, słyszałem jednak odległe odgłosy ludzkiej działalności dobiegające z drugiego, należącego do Hrabstwa, brzegu rzeki.

Wspięliśmy się na stopień nad ogrodzeniem i znów ruszyliśmy na dół. Każdy z dużych domów otaczała jego własna ochronna kępa drzew i gdy zbliżyliśmy się do celu, ich korony znów przesłoniły słońce. Judd dał znak byśmy się zatrzymali, przyłożył palec do ust i nachylił się blisko, szepcząc mi do ucha.

– Tu nie powinniśmy się natknąć na żadne ułudy – domy

czarownic nie zmieniają kształtów – mogła jednak zastawić ostrzegawcze pułapki. Gdy tylko przekroczyliśmy próg, przebudzi się. Nie ma zatem po co się skradać – i tak jej nie zaskoczymy. Wejdziemy szybko. Ja pójdę przodem; ty osłaniaj mi plecy – zgoda, Tomie?

Przytaknąłem.

– Ty tu jesteś fachowcem – ustąpiłem cicho.

Musiałem podejść do sprawy praktycznie i zmusić się, by zaufać Juddowi. Z konieczności działaliśmy razem.

Dom był spory, mieliśmy do przeszukania mnóstwo izb. Judd nie tracił czasu. Pomaszerował wprost do drzwi frontowych i wyważył je kopniakiem. Dobywszy miecza, podążyłem za nim do środka. Znaleźliśmy się w niewielkim holu, z którego odchodziło troje drzwi. Wybrał środkowe. Mimo faktu, że nie dostrzegłem zamka, ponownie kopnął je lewym buciorem i wpadł do środka. Ujrzelśmy obszerny salon. Rozejrzałem się zdumiony: wiedźmy z Hrabstwa zazwyczaj mieszkały w paskudnych norach pełnych brudnych naczyń, o sufitach zasnutych pajęczynami, brudnych posadzkach i walających się w kątach stertach kości, także ludzkich. Ten pokój jednak starannie wysprzątało i urządzono kosztownymi meblami. Na ścianach ujrzałem obrazy przedstawiające obce widoki – być może rumuńskie: na jednym wymalowano zamek na wysokim wzgórzu, górujący ponad zieloną puszcza. Przy kominku ustawiono dwa wygodne fotele i niewielką sofę, na palenisku wciąż żarzyły się węgle. Na półce nad nim stały trzy lichtarze: świece były zrobione z najlepszego pszczelego wosku, nie jak w Pendle czarne, z krwi ofiar zmieszanej z tanim zwierzęcym łojem.

Ale w domu tym nadal mieszkały czarownice – stwory Mroku – i po plecach przebiegł mi znajomy lodowaty dreszcz.

Na drugim końcu pokoju, po prawej, ujrzałem drzwi. Judd podszedł do nich i otworzył kopniakiem. Mimo półmroku nad jego ramieniem ujrzałem wielkie łoże pokryte fioletową jedwabną kapą. Ktoś w nim spał. Judd uniósł topór, szykując się do zadania



szybkiego, mocnego ciosu.

Nagle wyczułem, że coś jest nie tak.

Czarownica nie leżała w łóżku; kryła się pod nim. W mgnieniu oka rzuciła się na nas z zębami i pazurami.

## **ROZDZIAŁ 17**

### **PAKT**

Jej szpony niemal już sięgnęły lewej nogi Judda, gdy dźgnąłem w dół mieczem, przebijając jej serce i przyszpilając twarzą w dół do drewnianej podłogi. Wiedźma szarpała się rozpaczliwie, próbując się uwolnić, warczała w głębi gardła, plując krwią i potrząsała z boku na bok długimi spletanymi włosami. Jej szponiaste dłonie zaciskały się i rozluźniały, przekreśliła głowę, patrząc na mnie jadowicie ponurymi oczami.

Oglądałem już paskudne wodne wiedźmy i drżałem na widok najohydniejszych staruch z Pendle, lecz ta czarownica okazała się doprawdy przerażająca. Skórę miała szorstką z pękami włochatych brodawek, porastającymi całą twarz niczym grzyby, a kiedy otworzyła usta, przekonałem się, że z jej szczęki wyrastają dwa czarne kły wystające poniżej dolnej wargi. Sięgnęła w tył, chwytając klingę i rozcinając sobie palce do kości, gdy próbowała ją wyrwać. Warkoty ustąpiły miejsca zdławionym bulgotom i krztuszeniu, z ust wytrysnęła krew, rozbryzgując się na podłodze. Cały czas trzymałem miecz, wbijając go coraz mocniej w deskę. Judd ostatecznie rozstrzygnął sprawę, gdy cięciem topora odrąbał jej głowę od ciała.

– Dobra robota! – wykrzyknął. – Tym razem okazałeś się dość szybki. Najstarsza możliwa sztuczka! – Odrzucił kołdrę, ukazując dwie poduszki starannie ułożone tak, by przypominały zarysy ludzkiego ciała. – Musiała się obudzić, nim jeszcze wyważyłem pierwsze drzwi.

Wyciągnąłem z podłogi miecz i otarłem go o kapę, po czym schowałem do pochwy. Judd walczył toporem, ja klingą i nagle przyszło mi do głowy, że to rzadkość, by dwóch stracharzy nie używało lasek. Musieliśmy jednak przystosować się do sytuacji.

– Trzeba dopilnować, by na pewno nie powróciła z martwych – oznajmiłem. – Czy zwykłe metody działają na rumuńskie wiedźmy?

Judd pokręcił głową.

– U nich pożarcie serca na nic się nie zdaje, ale spalenie owszem. Zazwyczaj jednak mija co najmniej miesiąc, nim zdążą ożywić ciało. Jeśli zabijemy wszystkie, zdążymy potem spalić je w ich domach.

Nagle w pokoju zrobiło się jeszcze mroczniej, zerknęliśmy w okno. Judd podbiegł do niego i odciągnął zasłonę. Kiedy przekraczaliśmy próg domu, niebo było czyste, teraz jednak pędziły po nim deszczowe chmury. Z każdą minutą robiło się coraz ciemniej.

Wypadliśmy z sypialni wiedźmy i zatrzymaliśmy się tuż za drzwiami. Niebo na północy rozświetliła błyskawica, w parę sekund później odpowiedział jej głuchy ryk gromu.

– To nie jest naturalna burza – oznajmił Judd. – Do tej pory musiały się już pobudzić. Współpracując ze sobą, rumuńskie czarownice potrafią wezwać wiatr i zaciemnić niebo. Zapewne wiedzą, co zrobiliśmy.

W następnej chwili rozwidlona błyskawica rozdarła nieboskłon; grzmot zabrzmiał ogłuszająco i niemal natychmiast. Potem w niesamowitej ciszy usłyszeliśmy odgłosy – trzask gałązek, szuranie stóp w trawie. Między drzewami ze wszystkich stron zbliżały się do nas niewidoczne istoty.

– Biegnij, Tom – tędy! – zawołał Judd, pędząc w dół zbocza w stronę rzeki.

Posłuchałem bez słowa protestu, depcząc mu po piętach. Czulem, że wrogowie zbliżają się ze wszystkich kierunków. Najbardziej przerażała mnie myśl, że pozostałe czarownice

mogłyby zapuścić się za nami pod postacią kul. Choć noc jeszcze nie zapadła, mogło być dość ciemno, by im to umożliwić.

Wkrótce jednak bieглиśmy już wąskimi ulicami, deszcz zaczął bębnić o bruk. Od strony mostu dobiegały inne dźwięki. Gdy dotarliśmy do drzew, ujrzeliśmy na przeciwnym brzegu pół tuzina mężczyzn zbrojnych w siekiery. Atakowali podpory mostu.

– Przestańcie! – zawołał Judd. – Przestańcie, ale już!

Oni jednak pracowali dalej. Przyspieszyliśmy kroku, lecz nim dotarliśmy do brzegu, most z jękiem i trzaskiem runął do rzeki. Przez moment po naszej stronie pozostał jeszcze fragment, ale potem cała spróchniała konstrukcja zwała się do wody, gdzie natychmiast rozpadła się na kawałki i popłynęła w dół.

Mężczyźni na drugim brzegu groźnie unieśli siekiery.

– Zostańcie po tamtej stronie! – huknął jeden z nich. – Zagrażacie nam wszystkim. Nie jesteście tu mile widziani. Przeprowadźcie się na własną odpowiedzialność.

Dlaczego akurat teraz zwalili most? Czy to pułapka, by uwięzić nas na wschodnim brzegu, tak aby łatwiej przyszło nas schwytać wiedźmom i demonom? Czyżby próbowali je ugłaskać?

– Wkrótce się znudzą i odejdą – wyszeptał mi do ucha Judd. – Musimy zachować cierpliwość. Nie ma potrzeby nikogo ranić. Boją się, to wszystko.

Miał rację. Gdybyśmy teraz przeprowili się przez rzekę, mężczyźni sprawiali wrażenie wystarczająco zdesperowanych, by stanąć do walki. Toteż usiedliśmy na pniu, zatopieni w myślach, a oni patrzyli na nas gniewnie ponad wodą.

Na razie uciekliśmy, ale nastrój miałem ponury, W żaden sposób nie pomogłem mistrzowi, a teraz zaalarmowaliśmy czarownice. Następnym razem będą gotowe na nasze przybycie.

Po jakimś czasie przepowiednia Judda się sprawdziła. Mężczyźni posłali pod naszym adresem kilka przekleństw, a potem odeszli między drzewa w stronę skupisk domów. Oczekaliśmy jeszcze pięć minut, po czym zsunęliśmy się po błotnistym brzegu i znaleźliśmy płytsze miejsce: bez wątplenia w dawnych czasach

mieścił się tam bród. Potem, w portkach przemoczonych do kolan, pomaszerowaliśmy wprost do gospody, gotowi na kłopoty. Wątpiłem, by było to nasze ostatnie spotkanie z mieszkańcami miasteczka.

– Prześpij się przed kolacją, Tomie – poradził Judd. – Kiedy zrobi się ciemno, możemy spodziewać się wszystkiego. Możliwe, że nie będziemy bezpieczni nawet na tym brzegu rzeki.

Próbowałem zasnąć, lecz jedynie drzemałem niespokojnie. W myślach wirowały mi obrazy wszystkiego, co wydarzyło się przez ostatnich kilka dni. Nie dostrzegałem żadnego dobrego wyjścia z sytuacji.

I wtedy nagle znów zacząłem myśleć o Alice. Zastanawiałem się, czy zdołała odnaleźć Grimalkin. Miałem tylko nadzieję, że dotrzymała słowa i nie wyruszyła bez pożegnania w Mrok. Lecz jakaś część mnie cieszyła się, że nie przyszła z nami do Todmorden: groziłoby jej tu straszliwe niebezpieczeństwo. Inna część rozpaczliwie łaknęła jej pomocy i wsparcia. Wcześniej już wielokrotnie pomagała mi wykaraskać się z ciężkich tarapatów i kilka razy ocaliła życie.

Postanowiłem użyć lustra na stoliku, by znów spróbować się z nią skontaktować. Gdy tylko przyszło mi to do głowy, jego tafla pojaśniała. Zrozumiałem, czemu zacząłem myśleć o Alice. Ona też próbowała się ze mną porozumieć. W chwilę później jej twarz uśmiechała się do mnie z lustra, potem jednak przybrała zatroskaną minę i zaczęła szybko pisać palcem. Tekst pojawiał się odwrócony, lecz wcześniej już wiele razy rozmawialiśmy w ten sposób i przywykłem do jego odczytywania.

*Czy coś się stało. Tom?*

*Spodziewałam się, że już dawno wrócisz do domu.*

Zgadła, że mam kłopoty, bo spóźniliśmy się z powrotem do Chipenden. Powinniśmy byli tam dotrzeć dwa dni temu. Nagle pragnienie jej towarzystwa przewyciężyło niechęć przed wciąganiem Alice w niebezpieczeństwo, toteż ukląknęm przed stolikiem, chuchnąłem na lustro i zacząłem pisać palcem wskazującym. Robiłem to bardzo powoli, starając się czytelnie kreślić litery. Starannie też doбираłem słowa. Nie powiedziałem,

że mój mistrz nie żyje, bo chciałem jej to rzec osobiście. Później przyjdzie czas na wyjaśnienia.

*Demon porwał mego mistrza...*

A potem oszczędzając czasu otarłem taflę grzbietem dłoni, przysunąłem do niego twarz i zacząłem wyraźnie wymawiać słowa. Robiłem to przesadnie i powoli, by łatwiej zrozumiała:

– Demon jest potężny, ma wielu sojuszników. Grozi nam wielkie niebezpieczeństwo. Jeśli możesz, pomóż. Przybądź tu najszybciej, jak zdołasz, inaczej będzie za późno...

Bardzo nie chciałem narażać Alice, lecz wiedziałem, że jej obecność może wszystko zmienić. Pomyślałem także o jej mrocznej magii. W czasie powrotnej podróży przez Irlandię, za każdym razem, gdy przeprawialiśmy się mostem nad płynącą wodą, czuła ból i z trudem ukrywała ten fakt przed moim mistrzem. Protestowałem, gdy dodała sił Agnes Sowerbutts, toteż prosząc teraz o pomoc, czułem się jak hipokryta i wiedziałem, że mistrzowi by się to nie spodobało. Czasami jednak, aby przeżyć, musimy w walce z Mrokiem posługiwać się jego mocami.

Nim Alice zdążyła odpowiedzieć, lustro nagle pociemniało. Czekałem, spodziewając się, że znów nawiąże kontakt – ale na próżno. Nagle przyszła mi do głowy przerażająca myśl. Co, jeśli Alice znalazła już Grimalkin i sprowadzi ze sobą wiedźmę zabójczynię? Rumuńskie upiory pragnęły odzyskać głowę Złego. Gdyby worek znalazł się tutaj, bardzo ułatwiłoby im to zadanie. Powinienem był o tym pamiętać i ostrzec Alice, spodziewałem się jednak, że będziemy rozmawiać dłużej, Uniosłem lustro i wykrzyknąłem jej imię, ale nie odpowiedziała.

Po jakimś czasie poddałem się i poszedłem zastukać do drzwi Judda. Wyszedł rozziewany, ocierając oczy.

– Pora na kolację? – spytał.

Zmarszczyłem brwi.

– Nie jestem głodny.

– Ja też nie, Tomie – odparł Judd – ale musimy zachować siły. To może być długa, niebezpieczna noc.

– Mistrz nigdy nie jadł zbyt wiele, gdy miał walczyć z Mrokiem – przypomniałem.

Judd przytaknął i obdarzył mnie cierpkim uśmiechem.

– Doskonale to pamiętam: pozwalał nam tylko na parę kęsów sera z Hrabstwa. Czasami byłem tak głodny, iż mój brzuch sądził już, że poderżnięto mi gardło.

Wróciliśmy na dół i nadąsany karczmarz podał nam posiłek do stołu przy kominku.

Składała się na niego zimna baranina i czerstwy chleb, z trudem cokolwiek przełknąłem. Martwiłem się, co się stanie, gdy zapadnie noc. Judd też nie miał apetytu. Po jakimś czasie gospodarz zjawiał się, by zebrać talerze.

– Od jak dawna mieszka pan w Todmorden? – spytałem, próbując wciągnąć go w rozmowę i dowiedzieć się czegoś więcej o miasteczku.

Wzruszył ramionami.

– Dłużej, niż sięgam pamięcią. Urodziłem się tutaj i bez wątpienia tu umrę. Ale nie wtykam nosa w cudze sprawy – i wy powinniście robić tak samo. Teraz idę do łóżka – zakończył, krzywiąc się.

Zrozumiałem, że nie wyciągniemy z niego żadnych informacji, toteż ucieszyłem się, że odszedł. Gdy tylko wspiał się na piętro, wraz z Juddem mogliśmy rozmawiać swobodnie. Zacząłem mu opowiadać o Alice i niektórych jej wyczynach z przeszłości.

– Założę się, że Johnowi Gregory'emu z trudem przyszło to przełknąć – prawie jak nam dzisiejszą kolację! – zażartował. – Mnie samemu niełatwo uwierzyć, że sprzymierzył się z Mrokiem. Nigdy nie znałem równie jak on zasadniczego człowieka.

– Nie miał zbyt wielkiego wyboru – wyjaśniłem. – Chodziło o przetrwanie – ale i tak było mu ciężko. Możliwe jednak, że Alice zdoła znaleźć to, czego szukamy. Potrafi wywęszyć mojego mistrza, poprowadzić nas wprosi w miejsce, gdzie trzymają jego głowę.

Judd zgodził się ze mną.

– To bez wątpienia prawda. Będą gotowi na nasze przybycie. Jeśli jednak dowiemy się dokładnie, gdzie go szukać, będziemy mogli załatwić wszystko szybko,

Godziny mijały i nadal nic nie zapowiadało ataku. Lecz tuż przed świtem usłyszeliśmy głośne walenie do frontowych drzwi.

Judd podniósł się z miejsca i naszykował topór. Dobyłem miecza, zastanawiając się, co teraz robić. Nie mieliśmy zamiaru otwierać drzwi, byłem też pewien, że gospodarz tego nie zrobi przed wschodem słońca. Czy lepiej zatem zaczekać, aż je wyważą, czy też przenieść walkę do nich, na zewnątrz? I wtedy usłyszałem zgrzyt podnoszonego okna.

– Gościsz w swoich progach dwóch łotrów, którzy popełnili zbrodnie przeciw mojemu ludowi! – wykrzyknął kobiecy głos. – Oddaj ich nam, byśmy mogli ich ukarać.

Ujrzałem grymas bólu przebiegający po twarzy Judda i nagle rozpoznałem ów głos zza okna. To była jejmość Fresque. Zrozumiałem, że Judd jest gotów wyjść z gospody i stawić czoło demonowi posługującemu się jej ciałem.

– Nie! – Chwyciłem go za rękę, zatrzymując. – W pobliżu mogą ukrywać się inne strzygi.

Przytaknął i odprężył się odrobinę. I wtedy z góry dobiegł głos karczmarza.

– Załatwię to przed zmierzchem. Dotrzymamy warunków paktu, nie martw się.

– Paktu? – Judd uniósł brwi. – Zastanawiam się, o co w tym chodzi... Coś czuję, że jegomość z góry powinien nam odpowiedzieć na kilka pytań.

Usłyszeliśmy, jak gospodarz zatrzaskuje okno i zaczekaliśmy przy dogasającym ogniu, aż zejdzie.

Gdy się zjawił, miał na sobie kurtkę i szalik. Nasz widok wyraźnie go zaskoczył. Bez wątpienia sądził, że smacznie śpimy w łózkach.

– Muszę wyjść – wypalił. – Wróć w ciągu godziny i zajmę się śniadaniem.

Nim jednak dotarł do drzwi, Judd zastąpił mu drogę, położył dłoń na ramieniu i stanowczo poprowadził w stronę kominka.

– Na razie nigdzie pan nie wyjdzie. Mamy do pana kilka pytań! – rzucił i pchnięciem posadził mężczyznę w fotelu.

Gospodarz patrzył na niego przerażonymi oczami. – Słyszeliśmy, jak rozmawiał pan z demonem! – rzucił oskarżycielsko Judd.

– Z demonem? Nie wiem, o czym pan mówi.

– Zaprzecza pan, że rozmawiał z jejmością Fresque? Słyszeliśmy każde słowo. Powiedz nam zatem, mój dobry człowieku, co to za „pakt”, który z nią zawarłeś?

Gospodarz patrzył na niego bez słowa.

Judd uniósł topór, jakby zamierzał ciąć go nim prosto w głowę.

– Gadaj albo giń – rozkazał. – Jestem człowiekiem zdesperowanym i zważywszy, jak się sprawy mają, nie oczekuję, że pożyję zbyt długo. Jeśli będzie trzeba, zabiorę cię ze sobą. Co to za pakt?

– To układ, który zawarliśmy z cudzoziemcami z drugiej strony rzeki. To on nas chroni i nie pozwala im nas pożreć.

– No dalej, powiedz wszystko – naciskał Judd, kiedy tamten się zawahał. – Do czego się w nim zobowiązaliście?

– Co tydzień dostarczamy im trzy wozy zwierzęcych flaków i krwi z okolicznych farm. Zostawiamy je w workach i beczkach na tym brzegu rzeki, a oni przychodzą po zmierzchu, by je zabrać.

A zatem stąd brali zapasy do wątpiodołu. Bez wątpienia z tego samego źródła pochodziło pożywienie dla nich i dla więźniów. Pakt wyjaśniał także, czemu czarownice w postaci kul nie ściagały nas za most.

– A w zamian zostawiają was w spokoju? – spytałem.

– Tak, nie zabijają ludzi po tej stronie rzeki. Ale musimy zamykać się w domach po zmierzchu: czasami przechodzą naszymi ulicami, zmierzając gdzieś dalej. Przygotowują mapy Hrabstwa na zachód stąd.

– Mapy! – wykrzyknął Judd. – Ty głupcze! Nie rozumiesz, co się dzieje? Badają Hrabstwo, by zdecydować, jak najlepiej wyszukiwać kolejne ofiary! Nie rozumiesz, co robicie? Sprzedajecie innych ludzi, byle tylko pożyć dłużej. A teraz z tych samych samolubnych pobudek chcecie im oddać nas. Nie zaprzeczaj, słyszeliśmy każde słowo! Nigdzie nie pójdziesz. Możesz zostać tutaj i przyrządzić nam śniadanie – i oby było lepsze niż wczorajsza wieczerza!

– Ale jeśli niczego nie zrobimy przed zmierzchem, pakt zostanie zerwany. Wymordują nas wszystkich! – wykrzyknął gospodarz.

– My będziemy się tym martwić – odparł Judd. – Część mieszkańców miasta zniszczyła most – czy zatem i tak nie zerwali paktu? Jeśli istotnie, czas walczyć o wasze życie.

– Most można odbudować. Kiedy was dostaną, wszystko wróci do normy. Przyrzekli nam to.

– Normy? Nazywasz to normą, głupcze? – ryknął Judd. – Wynoś mi się z oczu. Śniadanie – tylko tym musisz się teraz zająć, byle szybko.

Karczmarz odbiegł, oglądając się z lękiem na Judda, który natychmiast zniżył głos, przemawiając mi do ucha.

– Jak myślisz, kiedy zjawi się tu dziewczyna?

– Na długo przed zachodem słońca – odparłem. – Zapewne podróżowała całą noc.

– W takim razie widzę to tak, Tomie. Gdy tylko przybędzie, poprosimy, by wywęszyła to, co zostało z twojego nieszczęsnego mistrza. Odbijemy jego szczątki i ruszymy wprost do Chipenden, tam poszukamy pomocy. Może nawet będziemy musieli zwrócić się do wojska.

Słowa Judda miały sporo sensu. Wróg dysponował ogromną przewagą liczebną. Będziemy potrzebowali wojska. Ale czy nas posłuchają i zechcą interweniować?

Gospodarz właśnie zaczął smażyć śniadanie, gdy ktoś znów załomotał do drzwi. Podeszliśmy do okna i ujrzeliśmy na zewnątrz dwa tuziny miejscowych. Sprawiali wrażenie wściekłych i zdesperowanych; niektórzy trzymali w dłoniach pałki. Bez wątplenia jejmość Fresque uprzedziła ich o sytuacji. Albo może usłyszeli, jak krzyczała za oknem.

– Otwierajcie! – ryknęli. – Natychmiast albo wyłamiemy drzwi!



Nie odpowiedzieliśmy. Próby negocjacji z przerażonym tłumem nie miały sensu. Po jakimś czasie wycofali się w głąb ulicy, potem jednak znów się zbliżyli. Tym razem nieśli ciężki taran – solidny cylindryczny pień, okuty mosiądzem. Wątpiłem, czy drzwi wytrzymają i szybko okazało się, że mam rację.

– Raz! Dwa! Trzy! – krzyknął ktoś i na trzy rozległ się ogłuszający trzask, gdy taran uderzył w drzwi. Te wygięły się pod jego ciosem, a karczmarz przybiegł pędem z kuchni.

Wiedziałem, że zamek wkrótce ustąpi. Co wtedy? Walka mieczem ze stworami Mroku to jedno, lecz zaatakowanie przerażonych ludzi, mających ojców, braci i synów – coś zupełnie innego.

Gospodarz ruszył naprzód, jakby zamierzał otworzyć drzwi i wpuścić tamtych do środka, ale Judd chwycił go za kołnierz i unieruchomił mocnym chwytem.

Toczyłem walkę z samym sobą, niepewny jak postąpić. W każdym razie dobytek miecza. Jeśli nas pojماją, trafimy do jam jako strawa strzyg.

Drugie uderzenie zabrzmiało głośniejsze niż pierwsze, drzwi zajęczały, z sufitu posypał się deszcz tynku.

– Niezbyt szanują twoją własność, co? – zauważył Judd, lecz gospodarz milczał.

W przerwach między kolejnymi uderzeniami powietrze wypełniały krzyki i przekleństwa. W głosach zebranych dzwięczała determinacja. Wiedziałem, że drzwi ustąpią – to tylko kwestia czasu.

Przy piątej próbie wpadły do wewnątrz i stanęliśmy naprzeciw napastników. Patrzyliśmy na nich w milczeniu, nagle jednak w oddali usłyszałem szczekanie psów. Było w nim coś znajomego, co zwróciło moją uwagę: coś, co rozpoznałem. Uszy wypełniało mi charakterystyczne ujadanie Szpon, Krwi i Kości.

To musiała być Alice. Przyprowdziła ze sobą psy! Napastnicy odwrócili się nerwowo i nagle rozbiegli. Wiedziałem, że trzy wilczarze to przerażający widok, tamci jednak sprawiali wrażenie oszalałych z paniki. Wyszliśmy na brukowaną ulicę i w chwilę później pojąłem dlaczego.

Alice towarzyszył ktoś jeszcze – Grimalkin., wiedźma zabójczyni. Biegła ku nam z otwartymi czarnymi ustami, odsłaniając spiłowane na ostro zęby. Z rzemieni okalających jej smukłe gibkie ciało zwisały klingi, w obu dłoniach ścisnęła sztylety. Co za szczęście, że mieszkańcy uciekli! Wiedziałem, że jest gotowa zabić.

W zwykłych okolicznościach powitałbym ją chętnie, bo była potężnym sojusznikiem, teraz jednak na ramieniu dźwigała w skórzanym worku głowę Złego. Przybyła w jedyne miejsce, którego powinna unikać za wszelką cenę.

Dokładnie tego pragnęły mroczne stwory z Rumunii.

To była pułapka.

## ROZDZIAŁ 18

### NAJNIEBEZPIECZNIEJSZE MIEJSCE

Odstąpiliśmy na bok, wpuszczając obie do środka, za nimi wbiegły psy. Potem jak najlepiej się dało zamknęliśmy drzwi i usiedliśmy przy największym stole w gospodzie.

Karczmarz cały czas zerkał na Grimalkin, wyraźnie przerażony, podał nam jednak gorące śniadanie, nakładając hojnie na talerze szynkę, jajka i smażony chleb, aż w końcu nie byliśmy już w stanie zjeść nic więcej.

– Co z psami? – spytałem. – Przebyły długą drogę, je też trzeba nakarmić.

Przez chwilę zawahał się, wówczas jednak Grimalkin spojrzała na niego gniewnie i otworzyła usta, demonstrując ostre, szpiczaste zęby. Karczmarzowi zaczęły drżeć ręce, pospieszył do kuchni i wrócił z okrawkami mięsa dla psów.

Podczas posiłku przedstawiłem sobie wszystkich i wyjaśniłem, jak wygląda sytuacja w Todmorden, relacjonując wszystko, co się zdarzyło, odkąd wraz z mistrzem i Juddem wyruszyliśmy z Chipenden.

Gdy doszedłem do stanu, w jakim zastałem mistrza, słowa uwięzły mi w gardle i nie mogłem mówić dalej. Alice sięgnęła nad stołem i ze współczuciem położyła mi dłoń na ramieniu. Poczulem promieniujące z niej ciepło. Mimo ostatnich sporów, bardzo za nią tęskniłem. W tym momencie wtrącił się Judd Brinscall.

– Proszę, zanim Tom podejmie swą historię, muszę ujawnić, jaką rolę sam w niej odegrałem. Nie będzie to przyjemne – naprawdę jest mi przykro i wstydzę się tego, co zrobiłem.

Poczulem ulgę – oszczędził mi konieczności opowiedzenia

wszystkim o jego zdradzie. I tak drżącym głosem Judd zrelacjonował swoją historię, nie próbując: się tłumaczyć, jedynie wyjaśniając, czym grożono jego matce i krewnym; opisał także, jak demon opętał ciało Cosminy Fresque. Kiedy skończył, pochylił głowę, wbijając wzrok w stół. Nikt nie próbował go pocieszać. Wciąż nie potrafiłem mu wybaczyć, Grimalkin patrzyła na niego, w oczach miała śmierć. Wówczas jednak sumienie kazało mi wyznać mój własny grzech.

– Ja też nie mam się czym szczycić – przyznałem. – W pewnym momencie znalazłem się w piwnicy i próbowałem znaleźć mistrza. Nagle ujrzałem przed sobą demony. Było ciemno, a ich zjawilo się mnóstwo. Wpadłem w panikę... Uciekłem.

I znów odpowiedziała mi cisza, aż w końcu Alice przemówiła i napięcie w pokoju zelzało. Zwracała się do mnie.

– Co zobaczyłeś za drugim razem w piwnicy, Tomie? Co dokładnie pokazała ci strzyga?

Poczułem ucisk w gardle i przez kilka sekund nie mogłem mówić. Oczyma duszy ujrzałem, jak Fresque unosi wieko skrzynki, ukazując tkwiącą wewnątrz grozę

– Mieli w skrzynce głowę mojego mistrza. Dzięki mrocznej magii nadal żyła. Strzyga oznajmiła, że resztę jego ciała rzucili na pożarcie moroii. Mistrz rozmawiał ze mną, mówił, że cierpi nieznośny ból. Błagał bym uwolnił go od tych męczarni.

Judd nagle uniósł głowę, spojrzał na mnie, po czym wstał i chwycił mnie za ramiona.

– Powiadasz, że gdzie widziałeś tę głowę? – W domu Fresque.

Judd trzy razy klepnął się mocno dłonią w czoło, jego oczy otwarły się szerzej.

– Teraz rozumiem! – wykrzyknął. – Ile razy odwiedzałeś ten dom, Tomie?

– Trzy... Nie, cztery razy – odparłem.

– I czy mam rację sądząc, że jego wygląd zmieniał się za każdym razem?

– Tak. Podczas ostatniej wizyty drzwi do piwnicy zniknęły.

Ujrzałem tylko gładką ścianę.

– Posłuchaj mnie, Tomie. W tym domu nic nie pozostaje długo takie samo. Pamiętasz, co ci mówiłem o siedzibach strzyg i strzygoni? Demony czerpią moc z grimoire'u, by podtrzymać złudzenie. Nie chcę budzić niepotrzebnej nadziei, ale... Wiesz chyba, do czego zmierzam, prawda?

Serce zatrzepotało mi w piersi i mimo ostrzeżenia przepełniła mnie nowa nadzieja.

– Widziałem ich grimoire. Używali „Doomdryte”, jednej z najpotężniejszych i najniebezpieczniejszych ksiąg. Chcesz zatem powiedzieć, że głowa w skrzynce mogła być złudzeniem... Że mój mistrz wcale nie zginął? Czy to naprawdę możliwe?

– Jak już mówiłem, nie licz na zbyt wiele, ale owszem, to możliwe. Może on nadal żyje. Mogli uwięzić go w jednej z jam rozrzuconych na zboczu wzgórza, Jest silny jak na swój wiek, ale nie wytrzyma długo, jeśli zbyt często będą się nim karmić. Może już umarł. Ale powiem ci jedno: nie wiadomo mi o żadnym rumuńskim demonie ani czarownicy, którzy zdołaliby magią utrzymać żywą duszę w odrąbanej głowie.

– Czemu wcześniej mi o tym nie powiedziałaś? – spytałem z nagłą złością.

– Nie myślałem jasno, Tomie. Przepraszam. W owym czasie wiele myśli krążyło mi po głowie.

– A co ze Złym? – Wskazałem worek u boku Grimalkin. – Odcieśliśmy mu głowę, ale ona wciąż mówi.

– To co innego, Tomie. Moc pochodzi z jego wnętrza, to część jego jestestwa. Uczynienie czegoś podobnego z Johnem Gregorym byłoby niemal niemożliwe.

– Niemal?

– Kto wie, co zdoła osiągnąć Mrok, gdy jego słudzy złączą swoje siły. Naprawdę musi im rozpaczliwie zależeć, by przywrócić Złego do dawnego stanu... – Judd urwał, marszcząc czoło.

Podjąłem przerwana historię, pod koniec z goryczą kręcąc głową. Obróciłem się do Grimalkin, siedzącej obok Alice, naprzeciw

Judda i mnie.

– Tego właśnie pragnęli – zakończyłem. – Żebyś zwabił cię tutaj, tak by mogli odzyskać głowę Złego. To najniebezpieczniejsze miejsce, w jakim mogłaś się znaleźć.

– Wyczułyśmy, że masz kłopoty, więc się nie obwiniaj. I tak tu zmierzałyśmy – odparła. – Od naszego ostatniego spotkania wiele razy zagrażało mi niebezpieczeństwo, dziecko, lecz zawsze udawało mi się je pokonać, czasem z pomocą innych – skinieniem głowy wskazała Alice. – Ale zgadzam się, że najważniejsze jest, by to – poklepała skórzany worek – nie trafiło w ręce naszych wrogów. Z tego, co mi mówiłeś, Stary Bóg, Siscoi, stanowi największe zagrożenie, nie powinniśmy zatem pozostawać tu dłużej niż to konieczne.

– Nie mogę stąd odejść. Najpierw muszę spróbować uratować mistrza albo przynajmniej zyskać pewność, że istotnie nie żyje i odnalazł spokój. Alice, spróbujesz go dla mnie znaleźć? Nie prosiłbym cię o to, ale nie znam innego sposobu.

– Oczywiście, że tak, Tomie – odparła. – To żaden kłopot. Mogę to zrobić teraz...

Zamknęła oczy, odetchnęła głęboko i zaczęła mamrotać pod nosem. Zaskoczyła mnie. Spodziewałem się, że wejdzie na wzgórze i tam zacznie węszyć. Ona jednak niemal od niechcienia sięgnęła po magię Mroku; stało się to dla niej niemal drugą naturą.

Po chwili otworzyła oczy i spojrzała na mnie. Gdy przemówiła, jej głos zabrzmiał lekko.

– Trzymają go w jamie na północnym wschodzie,

– Tylko jego głowę? – Z trudem wyrzucałem z siebie słowa. – Czy może całego?

– Nie potrafię stwierdzić, Tomie. Wyczuwam jego ducha, to wszystko. Jedno i drugie jest możliwe. Tak czy inaczej najlepiej, abyśmy tam poszli i zabrali go, nim będzie za późno.

Grimalkin jednak pokręciła głową.

– Nie, Alice. Ja pójdę z Tomem. Ty weź worek i w razie potrzeby broń go swoją magią. – Wstała z miejsca i wręczyła go

Alice. Potem obróciła się do Judda.

– Idź z nią. Oboje zaczekajcie na szczycie zachodniego wrzosowiska. Postaramy się dołączyć do was jak najszybciej.

Judd zgodził się bez słowa. Potężna Grimalkin przejęła stery, posłuszeństwo wydawało się czymś naturalnym.

– Na wrzosowiskach mieszka farmer – wtrąciłem. – Nazywa się Benson. Ma konie i wóz. Zatrudniłem go, aby zawiózł książki do Chipenden – wściekł się, kiedy ich nie zastał i nie był zadowolony z zaoferowanej sumy. Lecz jeśli opłacicie go hojnie, moglibyśmy jego wozem zawieźć mistrza w bezpieczne miejsce. Zaczekajcie na nas na skraju wrzosowiska.

Wszyscy szybko zgodzili się na ten plan, toteż poszedłem na górę i przyniosłem obie torby, moją i stracharza. Jedną wręczyłem Alice, drugą Juddowi na przechowanie.

– A co z karczmarzem? – spytałem.

Grimalkin uśmiechnęła się złośliwie.

– Jest przerażony, tak samo jak reszta mieszkańców tego miasta. W niczym nam nie zagraża. Niebezpieczeństwo kryje się na wzgórzu.

Zatem bez dalszych ceregieli Alice i Judd ruszyli na zachód, a tymczasem my z Grimalkin pomaszrowaliśmy w stronę rzeki. Ulice były opuszczone, wokół panowała cisza, lecz wiedziałem, że zamknięte drzwi i okna nie pomogą tutejszym mieszkańcom. Gdyby mieli dość rozumu, powinni odejść.

– Bez wątpienia tamci zauważą nasze przybycie – oznajmiła Grimalkin. – Po waszych wyczynach musieli zrobić się czujni. Lepszy byłby atak nocą, ale groźba wisząca nad twoim mistrzem sprawia, że nie marny wyboru. Musimy działać śmiało i szybko. Gdy tylko przeprawimy się przez rzekę, zacznij biec – i pamiętaj, by najpierw dobyć miecza.

Do tej pory znaleźliśmy się pod drzewami i niemal dotarliśmy do brodu. Wbrew zdrowemu rozsądkowi liczyłem na to, że znajdziemy mistrza żywego. Nie mogłem znieść myśli o tym, co czeka na nas w jamie. Co, jeśli znajdziemy tylko głowę, nadal

świadomą, i będę musiał ją spalić, by uwolnić jego duszę? Straszliwa to perspektywa.

– Kiedy znajdziemy się w pobliżu wskazanego przez Alice miejsca, wywęszę jego dokładne położenie – oświadczyła Grimalkin. – Nasi nieprzyjaciele mogą zjawić się bardzo szybko. Gdy zaatakują, trzymaj się za mną i nie wchodź mi w drogę. Ty masz pilnować moich pleców. Zrozumiano?

Przytaknąłem. W sekundę później przeprawiliśmy się przez rzekę i Grimalkin puściła się pędem naprzód. Biegłem tuż za nią, z trudem dotrzymując jej kroku. Wkrótce zostawiliśmy za sobą brukowane ulice i zaczęliśmy się wspinać. Nawet teraz ledwie zwolniła, mimo stromizny zbocza.

Pogoda, wcześniej ładna i słoneczna, zaczynała się zmieniać. Ponownie stwory z Mroku wykorzystywały ją przeciw nam. Lecz tym razem zamiast burzy na Wzgórzu zaczęły snuć się pasma mgły.

Gdy znaleźliśmy się niedaleko celu, Grimalkin przystanąła i powęszyła trzy razy, ja tymczasem czekałem za nią z dobytym mieczem, dysząc ciężko. Wskazała kępę drzew otaczających jeden z domów i natychmiast pomknęła ku niemu. Okazało się, że to głóg: zarośnięty żywopłot niegdyś oznaczający granice pola, za którym ciągnął się głęboki rów. Do tej pory mgła dotarła już do nas. Wkrótce zaczęła gęstnieć i zrobiło się ciemno.

W żadnym razie nie przeszkodziło to talentom wiedźmy zabójczyni. Grimalkin podbiegła do najdalszego z drzew – tego najbliższego domu – i natychmiast znalazła jamę. Zamykał ją ciężki gład, ona jednak chwyciła go mocno i odsunęła szarpnięciem, ukazując czarną, cuchnącą dziurę. Całkiem dobrze widzę w ciemności, ale niczego w niej nie dostrzegłem.

– Możesz wstać, Johnie Gregory? – zawołała w mrok czarownica. – Jeśli tak, wyciągnij ręce w górę, jak najdalej zdołasz. To ja, Grimalkin, i mam ze sobą twojego ucznia, Toma.

Czyżby widziała go swymi wiedźmimi oczami? Czy był cały? A może jedynie zawołała, by przekonać się, czy tam tkwi?

Z dołu dobiegła mnie seria kaszlnięć; brzmiało to, jakby starzec próbował przeczyścić gardło i chwycić w płuca powietrze. Przypomniałem sobie jednak, że głowa w skrzynce także kasłała i krztusiła się. Za chwilę poznamy prawdę. Teraz słyszałem już inne dźwięki, dobiegające od strony domu: kobiecy głos zawołał coś gniewnie w języku, którego nie rozpoznałem – to musiał być rumuński.

– Szybko! Nie mamy wiele czasu – syknęła Grimalkin.

Odpowiedział jej kolejny atak kaszlu z dołu, tym razem jednak mój mistrz przemówił. Ucieszyłem się, że wciąż żyje, lecz nie na takie słowa liczyłem.

– Zostaw mnie w spokoju, wiedźmo! – zawołał drżącym głosem.  
– Nadszedł mój czas. Wolę umrzeć tutaj.

Strasznie było słyszeć go w takim stanie, brzmiał jak słaby staruszek. Zajrzałem do jamy, moje oczy powoli przywykały do ciemności. Teraz w końcu go zobaczyłem i zalała mnie fala ulgi. Mistrz opierał się o ścianę szybu, patrząc na nas w górę. Sprawiał wrażenie przerażonego i pokonanego, lecz jego głowa wciąż tkwiła na szyi.

– Twoja praca nie dobiegła jeszcze końca! – rzuciła Grirnalkin.  
– Podnieś ręce. Zbliżają się nieprzyjaciele – każda sekunda jeszcze bardziej naraża nas wszystkich.

– Proszę, mistrzu! – zawołałem. – Całemu Hrabstwu grozi wielkie niebezpieczeństwo. Mordercze demony i wiedźmy zamierzają wyruszyć na zachód. Próbują także wywołać Siscoi. Potrzebujemy twojej pomocy. Sarni sobie nie poradzimy. Nie zawieź nas. Nie pozwól, by tak się to skończyło.

Przez chwilę John Gregory milczał. Potem usłyszałem, jak wzdycha ciężko, ze znużeniem. Wyciągnął ręce ku górze. W następnej chwili Grimalkin sięgnęła do jamy i dźwignęła go, tak że stanął obok nas.

Nigdy nie widziałem go tak starym i słabym. Cały dygotał, ledwie trzymał się na nogach. Szatę miał poplamioną – zakładałem, że własną krwią – a na jego szyi dostrzegłem głębokie



ślady zębów. W oczach malowało się tak przejmujące znużenie i cierpienie, że serce ścisnęło mi się z bólu. Grimalkin bez słowa zarzuciła go sobie na ramię, jego ręce i głowa zwisały jej na plecach.

W tym momencie usłyszałem kroki pędzące ku nam przez gęstniejącą mgłę, lecz szybkość ataku kompletnie mnie zaskoczyła. W rowie, który minęliśmy, czaiła się strzyga: nagle ujrzałem szponiaste palce sięgające ku mej twarzy.

Pospiesznie ciąłem mieczem, tracąc równowagę i osuwając się na kolana w mokrej trawie. Przez sekundę sądziłem już, że nadszedł mój koniec, ale tym razem to demon upadł: w lewym oku strzygi tkwił wbity sztylet, po policzku spływała krew. Po pierwszym rzucie Grimalkin przyszykowała już drugie ostrze. Znow się odwróciła, przytrzymując stracharza za nogi i pobięła w dół zbocza. Szybko podniosłem się z ziemi i ruszyłem w ślad za nią.

Gdy uciekałem z Juddem, nic nam nie przeszkadzało, teraz jednak demony czekały na nas w gęstej mgłę. Przebiliśmy się przez pierwszą linię, Grimalkin powaliła po drodze jakąś mroczną postać. Dostrzegłem coś wielkiego po prawej i ciąłem, czując nagły wstrząs., gdy klinga trafiła w cel. Stwór odskoczył z okrzykiem bólu – kolejny niedźwiedź opętany przez moroi.

Wówczas jednak zaczęły się prawdziwe kłopoty. Wrogowie byli wszędzie, z mgły atakowały nas szpony i kły. Były tam nie tylko strzygi, ale i strzygonie; gęsta mgła przywołana mroczną magią pozwalała tym drugim atakować nawet za dnia.

– Moje plecy! – krzyknęła Grimalkin. – Pamiętaj, co ci mówiłam. Pilnuj moich pleców, ja załatwię resztę.

Zaczęła walczyć serio, płynnie i z wdziękiem, każdy cios przelewał krew wrogów. Lecz pilnowanie jej pleców okazało się trudnym zadaniem, bo ani na moment nie pozostawała w bezruchu. Z początku ciąłem na oślep mieczem, walcząc, by utrzymać się na nogach na śliskim zboczu i nie dopuścić zbyt blisko napastników. W samą porę dobyte sztyletu i zdołałem dźgnąć zębatego strzygonia, który zanurkował pod Klingą Przeznaczenia. Stwór uniósł prawą rękę, by osłonić twarz. Kosztowało go to trzy

palce. Nie na darmo sztylet nazwano Rębaczem Kości.

Mimo iż Grimalkin dźwigała na ramionach stracharza, co oznaczało, że mogła walczyć tylko jednym ostrzem naraz, bez przerwy wirowała i uskakiwała, a każdy jej cios kończył się okrzykiem bólu. Nadal starałem się strzec jej pleców, unosząc obie klingi. W pewnym momencie spróbowałem też spowolnić czas, lecz walka toczyła się tak szybko i gwałtownie, że nie zdołałem się skupić.

W końcu nie mogłem dłużej dotrzymać kroku Grimalkin: napastnicy nacierali ze wszystkich stron i z najwyższym trudem ich odpierałem. Ciężyły mi ręce; byłem wyczerpany. Wtedy jednak czarownica znów znalazła się u mego boku.

– Tędy! – rozkazała. – Chodź za mną.

Wyrażała nam drogę ucieczki pomiędzy nieprzyjaciółmi i wkrótce pędziliśmy w dół zbocza, zostawiając za sobą we mgle wrogów.

Potem nie natrafiliśmy już na żadne stwory z Mroku i w jakiś sposób zdołaliśmy przeprowić się przez bród. Wiedziałem jednak, że nie jesteśmy już bezpieczni na tym brzegu rzeki. Pakt przestał obowiązywać.

Ulice były puste i ciche. W milczeniu wspinaliśmy się na zachodnie wrzosowisko. Czyżby mieszkańcy pozamykali i zabarykadowali drzwi, mimo że wciąż nie zaszło słońce? A może uciekli na zachód?

– Postaw mnie – zawołał słabo stracharz. – Nie chcę być ciężarem. Daj mi iść.

Grimalkin nawet nie odpowiedziała, jedynie przyspieszyła kroku. Gdy zostawiliśmy za sobą domy i znaleźliśmy się na przecinającym wrzosowisko trakcie, mgła zaczęła rzednąć i wkrótce zaświeciło jasne słońce. Obejrzałem się za siebie, lecz szary woal wciąż przesłaniał miasteczko i rzekę. Nie widziałem ani śladu Alice i Judda. Właśnie zaczynałem się martwić, gdy pojawili się w oddali. Czekali na nas obok wozu.

Kiedy się zbliżyli, zobaczyłem, jak oczy Bensona otwierają się

szerzej ze strachu na widok Grimalkin. Dostał jednak sutą zapłatę i gdy ostrożnie posadziliśmy stracharza na wozie, zaciął konie, zachęcając je do biegu. Alice szybko oddała Grimalkin skórzany worek, ta zaś zarzuciła go sobie na ramię. Potem pobiegliśmy za wozem. Wycofywaliśmy się, lecz tylko tymczasowo. Mieliśmy obowiązek wrócić do Todmorden, by rozprawić się z tym zagrożeniem.

Przez pierwsze pół godziny Grimalkin, Alice, Judd i ja biegliliśmy obok wozu, wypatrując niebezpieczeństwa, potem jednak Benson obrócił się ku nam.

– Jeśli dalej będę utrzymywał takie tempo, pozabijam konie! – zawołał, kręcąc głową.

Zwierzęta pociły się, toteż na znak Grimalkin poluzował wodze, pozwalając, by zwolniły. Po zmroku odpoczęliśmy kilka godzin, na zmianę pełniąc wartę: Wkrótce znów ruszyliśmy w drogę. Spodziewany atak nie nastąpił i w miarę upływu godzin Chipenden zbliżało się coraz bardziej. Zazwyczaj fakt ten mnie uspokajał, lecz Połączona moc rumuńskich stworów mogła osiągnąć nas nawet tutaj. Nigdzie nie było bezpiecznie.

## **ROZDZIAŁ 19**

### **WARUNKI UMOWY**

Pierwsza noc w Chipenden minęła bez żadnych incydentów, byliśmy jednak pewni, że wrogowie wkrótce zaatakują, toteż zachowaliśmy czujność. Mój mistrz nie czuł się dobrze – jakąś godzinę przed świtem słyszałem, jak krzyczy z bólu.

Jak dotąd w domu brakowało łóżek, toteż ułożyliśmy stracharza możliwie najwygodniej na kuchennej podłodze. Opatulony w koce leżał na słomianym sienniku, chroniącym przed zimnem kamiennych płyt. Podbiegłem i odkryłem, że jęczy przez sen. Bez wątplenia dręczył go koszmar, w którym odtwarzał grozę

uwięzienia i wysysania krwi. Zastanawiałem się, czy go nie obudzić, lecz po paru chwilach ucichł i oddech mu się uspokoił.

Mnie natomiast trudno było zasnąć. Wkrótce po pierwszym brzasku wyszedłem na dwór, by rozruszać nogi i zbadać, jak daleko posunęły się prace nad domem. Robotnicy zamontowali już nowy dach i wymienili drzwi i okna, mieliśmy zatem przynajmniej schronienie przed żywiołami.

Wewnątrz pozostawało jeszcze wiele do zrobienia. Sypialnie na górze nie nadawały się do użytku, bo podłogi albo całkiem spłonęły, albo też mogły runąć w każdej chwili. Tym właśnie miał teraz zająć się cieśla. Na razie odbudował podłogę w bibliotece, pomieszczenie to bowiem widniało wysoko na liście priorytetów mistrza.

Później, gdy przed śniadaniem poszedłem sprawdzić, co ze stracharzem, ujrzałem, jak siedzi wsparty plecami o ścianę, patrząc na kominek. Po jednej jego stronie stało pół miski bulionu z kurczaka. Po drugiej, bardzo blisko, leżał jego bestiariusz.

Na palenisku płonęły drwa; choć skromnie urządzona, kuchnia była pogodna i ciepła, lecz twarz mistrza wyrażała smutek i niepokój. Mimo ognia dygotał cały.

– Czujecie się pan choć trochę lepiej? – spytałem.

– Lepiej niż przedtem, chłopcze – odparł słabym, drżącym głosem. – Ale brak mi apetytu i w nocy ledwie zdołałem się zdrzemnąć. Kiedy zaś przysnąłem, natychmiast powróciłem w objęcia wcześniejszego koszmaru. Zastanawiam się, czy kiedykolwiek jeszcze się wyśpię,

– Teraz przynajmniej jest pan bezpieczny. Naprawdę sądziłem, że pan nie żyje.

Po raz pierwszy od chwili, gdy rozstaliśmy się w bibliotece domu jejmości Fresque, mieliśmy okazję naprawdę porozmawiać. Szybko zrelacjonowałem mu wszystko co zaszło – łącznie z rozmową z, jak sądziłem, jego głową.

– Myślałem to samo, chłopcze – że naprawdę to zrobili. Poczulem straszliwy ból, gdy odcinali mi głowę, a potem tkwiłem

uwięziony w skrzynce. Dławiłem się, walcząc o oddech. Było to najgorsze doświadczenie, jakie pamiętam z długich lat walki z Mrokiem.

Potem znalazłem się w jamie i pojąłem, że nadal mam głowę na karku. Powinienem być poczuć ulgę, lecz wysysanie krwi okazało się niemal równie ohydne. Przy pierwszym ugryzieniu zbytnio nie boli, ale straszne to przeżycie tkwić w uścisku odrażającego stwora, tak bezradny i słaby, i czuć mozolne bicie serca w miarę, jak życie opuszcza ciało.

Stracharz na moment przymknął oczy i odetchnął głęboko.

– Sądziłem, że uwięziwszy Złego, poważnie osłabimy Mrok, okazał się jednak odporny. Jest równie silny jak przedtem – może nawet bardziej. Na wyspie Mona rozprawiliśmy się z Kościstą Lizzie, potem w Irlandii powstrzymaliśmy kozlich magów przed wywołaniem Pana i odcięliśmy głowę Złemu. Lecz na miejsce pokonanych zawsze znajduje się coś nowego. Teraz to rumuńskie stwory zagrażające Hrabstwu. Wygląda jednak na to, że dobrze się spisalesz, chłopcze. Jestem z Ciebie dumny. Okazałeś się najlepszym uczniem, jakiego kiedykolwiek miałem – choć lepiej, by Judd Brinscall tego nie usłyszał – dodał z uśmiechem.

Teraz ja szczerzyłem się od ucha do ucha: rzadko się zdarzało, by mistrz mnie pochwalił.

Widząc moją radość, zmarszczył brwi.

– Nie pozwól, by moje słowa uderzyły ci do głowy, chłopcze – wciąż masz przed sobą długą drogę. A teraz posłuchaj uważnie: możemy zrobić kilka rzeczy, by zwiększyć nasze szanse przeżycia.

Starłem uśmiech z twarzy i przytaknąłem.

– Atak demonów i czarownic niemal na pewno nastąpi nocą – dysponujemy zatem całym dniem, nim nam zagrożą. Zejdź do wioski, chłopcze i poproś, by kowal sporządził trzy laski z chowanymi ostrzami ze stopu srebra – jedną dla Ciebie, jedną dla mnie, jedną dla Judda. Powiedz, że to pilne i że odbierzesz je przed zmrokiem. Jeśli mam umrzeć, chcę zginąć w walce! Potem złożysz wizytę kramarzowi, piekarzowi oraz rzeźnikowi i przyniesiesz

zwykle zamówienie. I możesz zrobić jeszcze jedno. To nic pewnego, ale warto spróbować. Pamiętasz bogina? Odnajdź go i spróbuj przekonać, by wrócił. Zawrzyj z nim nowy pakt.

Jeszcze w młodości mój mistrz ułożył się z boginem, o którym z Juddem rozmawialiśmy w drodze do Todmorden; pakt trwający, dopóki dom wciąż miał dach, Zatem pożar uwolnił stwora.

– Jak go znajdzie? – spytałem.

– Z trudem, chłopcze, ale zapewne nie odszedł zbyt daleko. Musisz sprawdzić miejsca leżące na liniach mocy. Mam przecucie, że wybrał tę biegnącą na południe. Nikt nie zwrócił się do mnie, bym rozprawił się z boginem, przypuszczam zatem, iż ukrył się w opuszczonym budynku na południe stąd – albo może gdzieś, gdzie ludzie je wznoszą. Kto wie, chłopcze – może przyrządza już śniadanie komuś innemu! Pójdź wzdłuż linii i sprawdź to. Możliwe też, że wrócił do starego tartaku, w którym pierwszy raz go spotkałem. Boginy to istoty kierujące się nawykami, często powracają w miejsce, gdzie kiedyś czuły się dobrze.

Linie mocy to niewidzialne linie, wzdłuż których bogin przenosi się z miejsca na miejsce. Stracharz mógł mieć rację. Mówił, że tylko zgaduje, lecz jego instynkt rzadko się mylił.

– Sądzisz, że zdołasz podążać wzdłuż linii bez mapy? A może wolałbyś, bym ci ją naszkicował?

Mapy stracharza spłonęły w pożarze, lecz już dwa razy wcześniej wędrowałem z mistrzem wzdłuż linii mocy.

– Pamiętam drogę – oznajmiłem.

– Czytałeś kiedyś w bestiariuszu, jak ja sam dobiłem targu z boginem?

– Przejrzałem kiedyś pobieżnie tę historię, ale nie czytałem uważnie – przyznałem.

– Za często coś przeglądasz, za rzadko skupiasz się na lekturze, chłopcze. To jedna z twoich wad! Cóż, przeczytaj ją teraz. Może pomóc – wręczył mi książkę.

Szybko znalazłem rozdział o boginach.

Istnieją cztery etapy rozprawiania się z boginem: negocjacje,

zastraszenie, uwięzienie i zabicie. W przypadku tego szczególnego bogina już pierwszy okazał się najlepszy. Po kilku wczesnych utarczkach, gdy mistrz zarobił potężny cios w głowę i zadrapania na policzku, w końcu zawarł umowę z boginem. Bardzo starannie odczytałem warunki ich kontraktu:

„Następnej nocy z lekką obawą przekroczyłem próg kuchni i przemówiłem do niewidzialnego bogina.

– Twoją nagrodą będzie mój ogród! – zawołałem. – Prócz gotowania, zmywania, sprzątanania i porządkowania będziesz także strzegł domu i ogrodu, broniąc go przed wszelkimi zagrożeniami.

Bogin zawył, rozwścieczony. Jak śmiałem domagać się od niego jeszcze więcej pracy i powierzyć mu także opiekę nad ogrodem? Szybko zacząłem mówić dalej, wyjaśniając, na czym polega nagroda.

– W zamian jednak za to ogród stanie się także twoim królestwem. Z wyjątkiem stworzeń uwięzionych w jamach i łańcuchach oraz moich przyszłych uczniów, krew każdego stworzenia znalezionego tam po zmroku będzie należała do ciebie. Jeśli jednak intruz będzie człowiekiem, najpierw będziesz musiał ostrzec go, wyjąc trzy razy. Oto umowa między nami, która przetrwa, dopóki ten dom nie straci dachu!"

– Myśli pan, że jeśli znajdę bogina, zechce przyjąć te same warunki? – spytałem.

Stracharz podrapał się po brodzie.

– Co do boginów, im więcej im dajesz, tym więcej oczekują, musisz zatem wymyślić coś jeszcze. Negocjacje to zawsze pierwszy logiczny krok podczas rozprawy a boginem. Gdybyśmy jednak zdołali go przekonać, by znów strzegł domu i ogrodu, z pewnością rozprawiłby się z kilkoma strzygami i strzygoniami, gdyby tu przybyły. W odróżnieniu od znanych mi dotąd demonów, gdy strzyga i strzygoń wnuknie w ludzkie ciało, zostaje tam uwięziony. To czyni je bardziej podatnymi na ciosy.

– A więdźmy? – spytałem.

– Jeśli zbliżą się do nas pod postacią kul, mogą okazać się

twardszym orzechem do zgryzienia – i oczywiście pozostaje jeszcze Siscoi. W starciu ze Starym Bogiem bogin nie miałby żadnych szans.

Trzy lata wcześniej bogin bronił ogrodu przed złą istotą zwaną Morem. W tym czasie został ranny, ale przeżył. W owym czasie Mór stawał się coraz silniejszy, lecz swą mocą nie dorównywał jeszcze Starym Bogom.

– Nadal warto spróbować – podjął mój mistrz. – Potrzebujemy wszelkiej dostępnej pomocy.

– Zaraz po śniadaniu zejdę do wsi i poproszę kowala, żeby zabrał się do roboty i sporządził dla nas trzy laski – obiecałem. – Potem ruszę poszukać bogina.

Stracharz pokręcił głową.

– Przykro mi, chłopcze, ale wkrótce będziesz miał do czynienia z Mrokiem. Weź ze sobą kawałek sera z Hrabstwa – na razie będzie ci musiał wystarczyć.

W brzuchu zaburczało mi z głodu. Jęknąłem w duchu.

– Wiesz, chłopcze, kiedy tkwiłem uwięziony w jamie, modląc się o śmierć, by mnie wyzwoliła, miałem wiele czasu do namysłu. Choć w przeszłości winiłem cię za to, że zanadto zbliżyłeś się do Mroku, ja sam okazałem się nie lepszy. Zawsze byłem podejrzliwy w stosunku do młodej Alice i ostrzegałem cię przed nią, lecz przecież sam, wiążąc się z Meg, nie dopełniłem własnych obowiązków – mistrz umilkł. Meg była lamią: miłością jego życia. Mieszkał z nią przez wiele lat, obecnie wróciła do Grecji. – Zamknąłem umysł i nie dopuszczałem do siebie wielu spraw – podjął. – Muszę jednak przyznać, że moje kontakty z Mrokiem zaczęły się znacznie wcześniej. Początek stanowił pakt zawarty z boginem. To był mój pierwszy sojusznik z tamtej strony, pierwszy krok, który w końcu doprowadził do przymierza z Grimalkin.

Słuchałem oszołomiony. Do czego on zmierzał?

– W takim razie nie chce pan, żebym poszukał bogina? Zmienił pan zdanie?

– Nie, chłopcze, to bardzo ważne, byś go odnalazł i zawarł



kolejną umowę. Posłużenie się Mrokiem to jeden ze sposobów walki z Mrokiem i tak właśnie musimy uczynić. Po prostu wcale mnie to nie cieszy. Stare zasady, według których próbowałem żyć – musieliśmy je złamać, by przetrwać. Bardzo to smutne i niedobre. No dobrze, ruszaj już – lecz cokolwiek się stanie, pamiętaj, by wrócić na długo przed zmierzchem.

Nagle jego twarz spoważniała.

– Wybaczyłem Juddowi i mam nadzieję, że zdołasz uczynić to samo. Nikt nie jest doskonały, a on wiele przeszedł. Wiem o tym, bo ja także siedziałem w jamie strzygoni, pamiętajmy też o groźbach pod adresem rodziny. Zapomnijmy o całej sprawie, dobrze?

Przytaknąłem. Wiedziałem, że to już przeszłość. Bardzo się starałem wybaczyć Juddowi, choć przychodziło mi to z trudem.

– Po śniadaniu Judd wyruszy do koszar w Burnley, by powiadomić wojsko o zagrożeniu dla Todmorden – podjął stracharz.  
– Przy odrobinie szczęścia wysłuchają, co ma do powiedzenia i pošlą tam oddział. Musimy coś zrobić, by móc spokojnie zebrać siły. Może przynajmniej wrogowie przyczają się na jakiś czas, a to ocali życie kilku osób.

\*

Grimalkin, Judd i Alice siedzieli w ogrodzie, pałaszując bekon i jajka usmażone nad ogniem. Spojrzałem na nie tęsknie. Psy podbiegły radośnie, ciesząc się na mój widok. Kiedy już je pogłaskałem, usiadłem przy ogniu i poinformowałem pozostałych, o co prosi mistrz.

– Warto spróbować – odrzekł Judd. – Brakuje mi bogina, to jedno z najsilniejszych wspomnień z terminu w Chipenden. Ten dom to jego miejsce i bez wątpienia bogin pomogłyby nam go bronić.

– Pójdę z tobą, Tomie – zaproponowała Alice.

– Owszem, we dwójkę będziecie bezpieczniejsi. – Grimalkin wstała i zarzuciła na ramię worek. – Później przeszukam okolicę, wyglądając śladów możliwego ataku. Mogli wysłać przodem zwiadowców, aby sprawdzić, gdzie się zatrzymaliśmy.

– To oznacza, że postaram się jak najszybciej wrócić z Burnley, by mieć oko na Johna Gregory'ego – dodał Judd. – Zobaczę, może któryś z miejscowych pożyczy mi konia. Zgadzą się jednak, że wszyscy powinni wrócić tu co najmniej parę godzin przed zachodem słońca? Jeśli ja sam nie zdążę, czy mogę na was polegać?

Obiecaliśmy mu to i pomaszerowałem do wioski z Alice. Chętnie zabrałbym też psy, ale nie byłoby to mądre – psy i boginy nie dogadują się najlepiej i ich życiu groziłoby niebezpieczeństwo.

Zazwyczaj czułem się swobodnie w obecności Alice, nawet gdy jedynie szliśmy w milczeniu. Nigdy nie czułem potrzeby sztucznego zapełniania ciszy. Teraz jednak coś mnie gryzło. Kończył się nam czas – za niecałe pięć miesięcy musiałem odprawić rytuał, który zniszczy Złego. Myśl o tym, że miałyby udać się w Mrok, sprawiała mi ból, lecz jeszcze gorsza była prawda, którą przed nią ukryłem: fakt, iż święty przedmiot, który miała odszukać – trzeci miecz bohatera, sztylet zwany Żałobnym – miał odebrać jej życie.

Alice co chwila zerkała na mnie dziwnie. Czyżby w jakiś sposób dowiedziała się, że aby zniszczyć Złego, muszę ją złożyć w ofierze? Kto wie, co mogła teraz osiągnąć z pomocą swojej magii. Kiedy dotarliśmy do wioski, poczułem ulgę.

W czasie wojny Chipenden odwiedził patrol nieprzyjaciół. Żołnierze spalili domy, pozabijali ludzi, reszta wieśniaków uciekła. Dobrze było widzieć, że wiele budynków już odbudowano i że znów zamieszkali w nich miejscowi. Odwiedziłem kowala, który obiecał, że po południu będę mógł odebrać trzy laski. Potem zajrzałem kolejno do sklepiku, do piekarza i do rzeźnika, uprzedzając, że stracharz wrócił, i prosząc o przygotowanie naszego zwyczajowego zamówienia. Załatwiwszy sprawy we wsi, mogliśmy się zająć kolejnym poleceniem mistrza. Teraz musiałem odszukać bogina oraz w jakiś sposób przekonać go, by powrócił do Chipenden i znowu zajął się strażeniem domu i ogrodu.

## **ROZDZIAŁ 20**

## JAK ZA DAWNYCH CZASÓW

Ufając przeczuciu stracharza, że znajdziemy bogina gdzieś na wskazanej przez niego linii mocy, pomaszerowaliśmy z Alice na wschód od Chipenden, kierując się wprost na południe od domu. Był słoneczny wiosenny ranek, szło się bardzo miło, choć nadal do pewnego stopnia krępowała mnie obecność dziewczyny. Dwakroć przeprawiliśmy się przez niewielką krętą rzeczkę, z pluskiem maszerując przez brody i w końcu dotarliśmy do pierwszej możliwej siedziby bogina: starej stodoły, która wciąż miała dach, choć zapadał się niepokojąco.

– Od dłuższego czasu nikt z niej nie korzystał – zauważyła Alice. – Według mnie wygląda obiecująco. To niezłe miejsce na dom dla bogina.

– Przyjrzyjmy się mu bliżej – zaproponowałem.

Okrążyliśmy budynek, po czym weszliśmy do środka. Na belkach pod dachem gnieździły się ptaki, lecz jedynie ich świergot zakłócał ciszę. Nie wyczuwałem bliskiej obecności niczego z Mroku.

Ruszyliśmy dalej na południe i w końcu dotarliśmy do niewielkiej chaty. Przypomniałem ją sobie z ostatniej przechadzki wzdłuż linii mocy. Wówczas mieszkał w niej robotnik rolny z żoną i dzieckiem, ale od tego czasu po Hrabstwie przetoczyła się wojna. Drzwi i okna zniknęły, z chaty pozostała jedynie skorupa. Dach wyglądał, jakby miał zawalić się do środka podczas najbliższej burzy.

Poprowadziłem Alice do wnętrza, zerkając nerwowo na poczerńiałe belki. I znów nie wyczułem niczego, co by wskazywało, że zamieszkał tu bogin – znalazłem jednak coś innego. W kącie dostrzegłem słabe migotanie, a potem zjawił się duch dziecka, dziewczynki, najwyżej pięcioletniej. Miała na sobie białą sukienkę zbryzganą krwią. Po policzkach płynęły jej łzy, wyciągając ręce, wzywała żałośnie mamę i tatę.

Możliwe, że jej rodzice ginęli w pożarze albo też zamordowali

ich żołnierze. Ona jednak wróciła w miejsce, gdzie była kiedyś szczęśliwa, szukając mamy i taty, którzy opiekowali się nią i kochali, aż do straszego dnia, gdy i do tego zakątka dotarła wojna.

– Och, pomóż jej, Tom, proszę! – krzyknęła Alice, gwałtownie ściskając mi dłoń, z jej oczu polały się łzy. Może i coraz częściej korzystała ze swych mocy czarownicy, nadal jednak zachowała dobre serce. W tym momencie zupełnie nie przypominała bezpiecznej wiźmy.

Podszedłem do zjawy, uklęknąłem tak, że moja twarz zrównała się z jej twarzą.

– Posłuchaj mnie – rzekłem łagodnie. – Proszę, przestań płakać i posłuchaj uważnie. Przyszedłem ci pomóc. Wszystko będzie dobrze, naprawdę.

Dziewczynka nadal płakała gorzko, toteż spróbowałem ponownie:

– Nie chciałabyś znów spotkać mamy i taty? Nie pragnęłabyś zostać z nimi już na zawsze? Mogę ci powiedzieć jak. To łatwe.

Duch dziecka otarł oczy grzbietem dłoni.

– Jak? – spytał.

Dolna warga dziewczynki wciąż drżała, lecz jej buzię rozjaśniła nowa nadzieja.

– Musisz jedynie pomyśleć o szczęśliwym wspomnieniu z przeszłości.

– Ale którym? Którym? Było ich tak wiele. Żyliśmy szczęśliwie, nim przyszli żołnierze – odparła. – Szczęśliwi, szczęśliwi – cały czas byliśmy szczęśliwi.

– Musisz mieć jakieś wyjątkowe wspomnienie. Zastanów się. Czy nie masz jednego, lepszego od innych? – nalegałem.

Dziewczynka przytaknęła.

– Dzień, kiedy mama dała mi na urodziny białą sukienkę. Tato niósł mnie na barana!

– Czy to ta sukienka? – zapytałem. – Ta, którą nosisz teraz?

– Tak! Tak! Mama mówiła, że wyglądam ślicznie, jak

księżniczka, a tato śmiał się i obracał mnie dookoła, aż zakreśliło mi się w głowie.

I kiedy dziecko zaśmiało się na to wspomnienie, plamy krwi zniknęły i sukienka zajaśniała taką bielą, że zabolęły mnie oczy.

– Widzisz teraz mamę i tatę? – powiedziałem łagodnie. – Spójrz w światło!

Po jej policzkach znów popłynęły łzy, ale były to łzy szczęścia. Wiedziałem, że rodzice są tam i czekają na nią, wyciągając ręce i wzywając ją do siebie.

Dziewczynka obróciła się do mnie plecami i odeszła. Wkrótce zbladła i zniknęła.

\*

Wraz z Alice bez słowa ruszyliśmy w dalszą drogę. Czułem się szczęśliwy, panujące między nami napięcie najwyraźniej zniknęło. Czasami dobrze jest być uczniem stracharza – czułem, że naprawdę coś osiągnąłem.

W dziesięć minut później dotarliśmy do tartaku. Jak zauważył stracharz, boginy istotnie kierują się nawykami. Kiedyś dobrze mu się tu żyło i istniała spora szansa, że powrócił.

Główne drzwi budynku spadły z zawiasów, wewnątrz nie było nikogo. Nie dostrzegłem żadnych śladów walki ani bezsensownych zniszczeń. Tartak po prostu opuszczono – zapewne dotarli tu wieści o zbliżającym się patrolu nieprzyjaciela, który zaatakował Chipenden. Robotnicy już nie wrócili. Trzeba będzie dużo czasu, nim wszystko w Hrabstwie wróci do normy.

Gdy zbliżyłem się do długiego roboczego stołu, po plecach przebiegł mi nagły lodowaty dreszcz – wiedziałem, że zbliża się coś z Mroku. W następnej chwili usłyszałem mruczenie, tak głośne, że pilniki i dłuta zadrżały na swych stojakach. To był koci bogin, a fakt, że mruczał, stanowił dobry znak. Wyraźnie mnie pamiętał. Toteż, nie tracąc czasu, rozpocząłem negocjacje, przemawiając głośno i wyraźnie.

– Mój mistrz, John Gregory, prosi, abys wrócił do Chipenden. Naprawiamy dom, ma już nowy dach. Dziękujemy ci za twą

dotychczasową pracę i mamy nadzieję, że w przyszłości będziemy ją kontynuować na tych samych warunkach, jak przedtem.

Zapadła długa cisza, potem jednak usłyszałem skrobanie bogina. Niewidzialnymi pazurami wydrapywał swoją odpowiedź w wielkim kawale drewna opartym o ścianę. Gdy dźwięki ucichły, podszedłem bliżej i odczytałem ją.

*– Gregory jest stary i zmęczony. Przyszłość należy do ciebie. To my zawrzyjmy pakt.*

Nie wiedziałem, jak zareagowałby na to mój mistrz i zawahałem się.

– Zgódź się, Tomie! – rzuciła Alice. – Naprawdę jesteś przyszłością: wkrótce to ty zostaniesz stracharzem z Chipenden. Nie ma wątpliwości, bogin słusznie prawi.

W odpowiedzi na jej słowa znów zabrzmiało mruczenie. Wzruszyłem ramionami. Najważniejsze było ściągnięcie bogina z powrotem do Chipenden, by pomógł nam odeprzeć nieuchronny atak.

– Zgadza się! – wykrzyknąłem. – To my dwaj zawrzemy pakt.

Ponownie rozległo się skrobanie niewidocznych pazurów o drewno. Kiedy odczytałem słowa, przepełnił mnie niepokój.

*Tym razem moja cena jest wyższa. Musisz dać mi więcej.*

Stracharz miał rację. Bogina nie zadowalały już warunki poprzedniego paktu. Zastanowiłem się szybko. Co jeszcze mógłbym zaproponować? Nagle ogarnęło mnie natchnienie. Bogin mógł przemieszczać się wzdłuż linii mocy, a wiele z nich przebiegało przez dom; wiodły w niemal wszystkich kierunkach.

– Oprócz zabijania stworów z Mroku, które próbują dostać się do ogrodu – oznajmiłem – mam dla ciebie jeszcze jedno zadanie. Czasami, gdy poluję na podobne istoty, grozi mi śmiertelne niebezpieczeństwo; wówczas wezwę cię, byś walczył u mego boku. Będziesz mógł zabijać moich wrogów i wypijać ich krew! Jak masz na imię? Muszę je znać, by móc cię wezwać!

Dopiero po długiej chwili pazury bogina zaskrobały o deskę. Może nie miał ochoty nikomu zdradzać imienia? W końcu jednak je ujawnił:

*Kratch.*

– Kiedy znajdę się w niebezpieczeństwie, trzy razy zawołam twoje imię! – obiecałem.

Odpowiedziało mi niskie mruczenie. Pojąłem, że powinienem postawić jeszcze jeden warunek.

– Oprócz tego, co już chronisz w ogrodzie, mamy jeszcze trzy wilczarze. Nie wolno ci ich tknąć. To nasi sprzymierzeńcy. Nie możesz też krzywdzić gości, których sam zaproszę

do ogrodu. Zgadzasz się?

Mruczenie stało się jeszcze głośniejsze i znów usłyszałem drapanie.

*Jak długo będzie trwał nasz pakt?*

Odpowiedź zabrzmiała mi prosto w głowie. Nie musiałem się nawet zastanawiać. Zupełnie jakby przemówił przede mną ktoś inny.

– Pakt będzie trwać aż do trzech dni po mojej śmierci. W tym czasie musisz strzec moich sojuszników i wypijać krew nieprzyjaciół. Potem będziesz mógł odejść wolno!

Nagle w półmroku przed nami pojawił się bogin, przyjmując postać wielkiego rudego kocura. Jedno ślepe oko przecinała pionowa blizna; zakładałem, że był to ślad po ranie, którą odniósł, walcząc z Morem. Kot podbiegł naprzód i otarł mi się o nogę, cały czas mruczając, a potem nagle zniknął.

– Udało ci się, Tomie! – wykrzyknęła Alice.

Uśmiechnąłem się do niej, mocno zadowolony z siebie.

– No cóż, Alice, nie będziemy mieli pewności, póki nie wrócimy do domu, ale mam nadzieję, że tak!

– Czy naprawdę wezwałeś bogina do pomocy? – spytała Alice. – To oznaczałoby, że nikt nie chroniłby domu.

– Zgadza się – przytaknąłem. – Uczyniłbym to jedynie w największym niebezpieczeństwie. I z całą pewnością nie wezwałbym go do walki z Siscoi.

\*

Natychmiast pomaszerowaliśmy do wsi i odebraliśmy od kowala laski. Jak zwykle spisał się znakomicie i zapłaciłem mu z miejsca. Potem odwiedziłem trzy kramy, by zabrać zakupy – solidny zapas warzyw, boczku, szynki i jajek, nie wspominając już o świeżym gorącym chlebie. W drodze do domu ja dźwigałem ciężki jutowy worek pełen jedzenia, a Alice niosła, trzy laski.

Tak blisko Chipenden powinienem czuć się bezpieczny, nadal jednak dręczył mnie niepokój. Z pewnością nieprzyjaciele wyruszyli za nami z Todmorden; słudzy Złego musieli być blisko.

Na dróżce wiodącej do domu wypatrzyliśmy czyjąś postać i serce szarpnęło mi się w piersi. Potem jednak stwierdziłem, że to wysoka kobieta niosąca worek. Grimalkin! Wiedźma zabójczyni oparła się o bramę. Na ramię zarzuciła skórzany wór z głową Złego – ani na moment nie spuszczała go z oka. Uśmiechnęła się, ukazując szpiczaste zęby.

– Udało ci się. Poszłam wywęszyć naszych wrogów, lecz po powrocie, gdy tylko postawiłam stopę w ogrodzie, usłyszałam ostrzegawczy warkot. Bogin wrócił i pragnie

krwi! Chyba nie jestem tu mile widziana.

Wspięliśmy się na bramę i pomaszzerowaliśmy w głąb zbocza, w końcu dotarliśmy do granicy ogrodu. Tam przystanęliśmy. Spojrzałem między drzewa.

– Obok mnie stoi mój gość, Grimalkin – zawołałem. – Pozwól jej bezpiecznie przejść, traktując tak samo uprzejmie jak mnie!

Umilkłem, po czym ostrożnie poprowadziłem moje towarzyszki do ogrodu. Nie odpowiedział mi ostrzegawczy warkot. Bogin dotrzymał warunków umowy.

Nie musiałem wstawiać się za Alice – stracharz uczynił to jakiś czas temu. A Judd też był bezpieczny – dawni uczniowie, którzy ukończyli naukę u stracharza, zazwyczaj mogli bezkarnie odwiedzać jego dom.

– Znalazaś jakieś ślady wrogów? – spytałem Grimalkin.

Pokręciła głową.

– Zapuściłam się na południowy wschód, niemal na skraj Accrington, ale niczego nie znalazłam. O ile czarownice nie zjawią się w postaci kul, istnieje niewielka szansa, by ktoś zaatakował nas przed świtem.

W kuchni przekonałem się, że stracharz przyjął dostawę nowego stołu i sześciu krzeseł, które ustawiono naprzeciw paleniska. Wstał już z ziemi, jedną ręką wsparty o oparcie krzesła, jego twarz rozjaśniał lekki uśmiech.

– Czuje się pan lepiej? – spytałem.

– Owszem, chłopcze – odparł. – Dobrze się spisałeś, ściągając tu bogina. I widzę, że przyniosłeś też zapasy – skinieniem głowy wskazał worek, który postawiłem na posadzce. – Miejmy nadzieję, że jutro rano przyrządzi nam śniadanie. Będzie jak za dawnych czasów!

\*

Judd Brinscall wrócił godzinę przed zmierzchem. Jego misja w koszarach w Burnley zakończyła się powodzeniem. Najwyraźniej do uszu dowódcy dotarły już meldunki o dziwnych zgonach w ciągu ostatnich kilku miesięcy i gdy usłyszał raport stracharza, bezzwłocznie podjął decyzję. Postanowił wysłać do Todmorden spory oddział – choć miał on wyruszyć z parodniowym opóźnieniem. Najwyraźniej wszyscy dostępni żołnierze byli zajęci likwidacją gangów rabusiów, którzy po zakończeniu wojny zajęli Clitheroe. Bez wątplenia przywrócą tam prawo i porządek, brakowało im jednak doświadczenia w walce z mrocznymi stworami. Obawiałem się trochę, jak sobie poradzą z tym, co czeka na nich w Todmorden, lecz zachowałem to dla siebie. Jeden z nas powinien wcześniej porozumieć się z żołnierzami – ale najpierw musieliśmy przeżyć noc.



Spędziliśmy ją w ogrodzie. Trudno to nazwać uciążliwością – pogoda dopisywała i było tak ciepło, jak tylko bywa w Hrabstwie po zmroku. Choć wciąż słaby, stracharz mógł już trochę chodzić i znów pogratulował mi, że zdołałem namówić bogina do powrotu. Nie miałem serca wspomnieć, iż bogin uparł się, by zawrzeć pakt ze mną. Nie zmieniłoby to niczego i mistrz nie musiał o tym wiedzieć.

Na zmianę pełniliśmy straż, lecz stracharz, Judd i ja spaliśmy z laskami pod ręką. Mnie przypadła pierwsza warta. Cały czas patrolowałem wewnętrzne granice ogrodu, miejsca, gdzie z trawnika zaczynały wyrastać drzewa. Aby zabić czas, sprawdziłem też wschodni ogród, upewniając się, czy martwe wiedźmy nadal tkwią bezpiecznie uwięzione w swoich grobach; zajrzałem też do boginów. Zostałem wszystko w najlepszym porządku.

Byłem spokojny, pewny, że nasz bogin poradzi sobie z każdym nieproszonym strzygoniem. Najbardziej obawiałem się, że czarownice mogły sprowadzić już na ten świat Siscoi, który przybędzie po głowę Złego. Liczyłem, że wsypanie do wąpiodołu soli i żelaza trochę to opóźni.

Po mnie wartę objęła Grimalkin, a ja spróbowałem zasnąć. Co chwila przysypiałem tylko po to, by zbudzić się z nagłym szarpnięciem. Jak przez mgłę zorientowałem się, że warty się zmieniły, a potem straszliwe wycie sprawiło, że zerwałem się na kolana.

Coś wtargnęło do ogrodu i bogin rzucił mu wyzwanie.

## **ROZDZIAŁ 21**

### **PUSTE OCZODOŁY**

W sekundę później zerwałem się na równe nogi, unosząc w dłoni laskę. Obok mnie mój mistrz próbował się podnieść, chwyciłem go pod pachę i podtrzymałem. Ktoś biegł między drzewami. Rozpoznałem krok – to była Grimalkin, pędząca ku źródłu zagrożenia. Tymczasem bogin znów zawył ostrzegawczo.

Alice stała obok mnie, nie dostrzegłem natomiast ani śladu Judda Brinscalla. To on pełnił straż, mógł być wszędzie w ogrodzie.

– Pójdę sprawdzić, czy Juddowi nic się nie stało – oznajmiłem.

– Nie, chłopcze, zostań tutaj. Jeśli ma kłopoty, bogin jest na miejscu, a za moment dołączy do niego czarownica.

– Owszem, Tomie. – Alice choć raz zgodziła się ze stracharzem.  
– Najlepiej poczekać tutaj.

Bogin ryknął po raz trzeci – i niemal natychmiast odpowiedział mu piskliwy krzyk, który nagle ucichł. W chwilę później ktoś ruszył biegiem ku nam. Uniosłem wyżej laskę, stracharz uczynił to samo. Odprężyliśmy się, widząc, że to Judd.

– Byłem w zachodnim ogrodzie – oświadczył. – Wszędzie czysto. Uznałem, że najlepiej będzie, jak zostawię walkę boginowi.

– Owszem, to najrozsądniejsze wyjście – przyznał stracharz. – Dobrze cię wyszkoliłem. Wiedźma z pewnością nie mogła się doczekać. Atak nastąpił z południa. Za parę chwil dowiemy się, co to było.

Umilkliśmy, nawet wietrzyk ucichł. Staliśmy tam czujni, gotowi do walki. Po pięciu minutach Grimalkin wyłoniła się spośród drzew.

– To był strzygoń – potwierdziła. – Bogin rozprawił się z nim, nim tam dotarłam. Nie zachwyciło go to, co schwytał, i rozszarpał go na strzępy.

Wszyscy odetchnęliśmy z ulgą.

Usiedliśmy przy dogasającym ognisku, lecz żadne z nas nie miało ochoty na sen. Przypuszczam, że wszyscy wyczuwaliśmy zbliżający się kolejny atak.

Doszło do niego w niecałą godzinę. Alice nagle powęszyła dwa razy, bardzo głośno.

– Czarownice, są prawie tutaj! – zawołała, zrywając się z ziemi i wskazując na wschód.

Wszyscy wstaliśmy, przeszukując wzrokiem niebo. Noc była pogodna, na nieboskłonie lśniły setki gwiazd. Teraz kilka punkcików światła poruszało się. Naliczyłem osiem pędzących ku nam. Wkrótce zamieniły się w wyraźne kule, które przystanąły nad drzewami wschodniego ogrodu i rozpoczęły taniec, krążąc, wirując i zamieniając się miejscami.

Stracharz i Judd mieli ponure miny. Unosili laski ukośnie, choć podobna broń na nic by się zdała w starciu z animistyczną magią

rumuńskich wiedźm, które wkrótce zbliżą się, próbując wyssać z naszych ciał siłę życiową.

Grimalkin szeptała coś Alice do ucha; ta przytaknęła, jakby zgadzała się z nią. Podejrzywałem, że zamierzają odeprzeć nieprzyjaciół magią. W Irlandii widziałem, jak ogromną, przerażającą mocą dysponuje Alice. Niechętnie jej używała, gdyż zbyt częste posługiwanie się magią przyspieszało jej przemianę w bezecną wiedźmą. Poza tym stracharz nie pochwałiał takich działań.

Kule zakończyły taniec i pomknęły ku nam, w tym momencie jednak bogin ryknął wściekle, rzucając upiorne wyzwanie czarownicom. Coś czerwonego śmignęło ku nim, a one rozproszyły się, ale za moment znów zebrały i zaatakowały. Ponownie odpowiedziało im wyzywające wycie i bogin znów pomknął w górę. Tym razem zabrzmiało kilka rozdzierających krzyków, a po nich błysnęło światło. Kule po raz kolejny zebrały się nad drzewami – teraz jednak było ich tylko pięć – i po sekundzie rozproszyły się na wszystkie strony.

– Poszło trochę za łatwo – zauważył stracharz. – Bez wątpienia je zaskoczył. Bogin rozprawił się z kilkoma, musimy jednak zachować czujność. Reszta w każdej chwili znów może spróbować. W końcu wymyślą jakiś sposób obrony przed nim.

Ponownie usiedliśmy niespokojnie przy ognisku, lecz atak nie nadszedł i wkrótce niebo na wschodzie zabarwiły pierwsze łuny przedświtu. Cała nasza piątka ruszyła do południowego ogrodu, by zbadać miejsce walki. Szczątki nosiciela strzygonia wały się rozrzucone po całym ogrodzie – czaszkę znaleźliśmy na drzewie, nabitą na cienką gałąź, z pustych oczodołów wystawały pędy. Oczywiście demon za jakiś czas znajdzie kolejnego gospodarza.

– Musimy zebrać jak najwięcej kości i je pogrzebać – oznajmił w końcu mój mistrz. – To przecież szczątki niewinnego człowieka.

Uczyniliśmy, jak kazał. Wróciłem do domu i po dłuższych poszukiwaniach znalazłem szpadel, który przetrwał pożar. Był mocno przypalony, ale cały, więc z jego pomocą wykopałem płytki

grób pod drzewami. W mogile złożyliśmy wszystkie znalezione kości, a potem starannie zasypałem ją ziemią. Kiedy skończyłem, wbiliśmy wzrok w świeży pagórek.

– Spoczywaj w spokoju – powiedział bardzo cicho stracharz.

W jego ustach były to słowa najbliższe modlitwie. – Z pewnością bogin rozerwał go, bo poczuł się oszukany – dodał. – Krew w ciele strygonia nie należała do niego, pochodziła wyłącznie z ofiar. Mój bogin woli świeżą krew! Miejmy nadzieję, że będzie w wystarczająco dobrym humorze, by podać nam śniadanie! Kiedy weszliśmy do kuchni, na stole czekało pięć parujących talerzy z szynką i jajkami oraz półmisek, na którym piętrzyła się wysoka sterta grubych pająd chleba z masłem. Bez zwłoki zasiedliśmy do posiłku. Boczek był nieco przepieczony, ale nikt z nas nie narzekał, wszyscy zajadaliśmy z apetytem.

Wreszcie stracharz odsunął talerz i powiódł wzrokiem po zebranych, w końcu skupiając uwagę na mnie.

– Czas porozmawiać – oznajmił. – Musimy przedyskutować nasze dalsze plany. – Obrócił się do Alice. – Pytałem cię już raz, dziewczyno, teraz muszę ponownie zadać to pytanie. Czy jesteś gotowa wyruszyć w Mrok i przynieść nam to, czego potrzebujemy?

– Musi istnieć inny sposób! – zawołałem, nim Alice zdążyła odpowiedzieć. – Nie pozwolę na to.

– Nie winię cię, chłopcze, że próbujesz ją chronić. Ale wiemy, co trzeba zrobić. Jak daleko jesteśmy gotowi się posunąć, by osiągnąć nasz cel?

– Musimy zrobić to, co niezbędne. Ile jeszcze mam to nosić? – Grimalkin wstała z krzesła i poklepała skórzany worek. – Chodź ze mną, Alice. Chcę z tobą pomówić na osobności.

Alice podążyła za wiedźmą zabójczynią do ogrodu, pozostawiając Judda, stracharza i mnie nad pustymi talerzami.

– Zanim zajmiemy się Złym, musimy rozwiązać obecny problem – oznajmił stracharz. – To bardzo pilna sprawa. W tym ogrodzie jesteśmy względnie bezpieczni, ale co z biednymi ludźmi poza nim? Ci na wschód od Todmorden może stracili już życie. Musimy pomóc

tym, którzy żyją. To nasz obowiązek.

– Chce pan wrócić do Todmorden? – spytał Judd. – Wiedziałem, że w końcu będziemy musieli, ale chyba nie od razu!

– Miną tygodnie, nim odzyskam dość sił, by podróżować, nie mówiąc już o skutecznej walce. – Stracharz pokręcił głową. – Boli mnie, że muszę prosić innych, by wykonali to zadanie, ale nie mam innego wyjścia. Żołnierze z Burnley zapewne wyruszają już w drogę, aby zbadać Todmorden, walczyli jednak tylko w wojnach z innymi ludźmi, nie mają doświadczenia w starciach z Mrokiem. Musimy zapewnić im fachową pomoc. Judd, czy zechcesz pójść i zabrać ze sobą chłopaka? Nie oczekuję, że przekroczycie rzekę, ale przynajmniej pomóżcie tym po stronie Hrabstwa. Nasi nieprzyjaciele na początek zapewne zaatakują samotne domy za miastem. Ich mieszkańcy będą was potrzebować.

– Oczywiście – odparł Judd. – Choć ludzie z miasteczka nie przyjmą nas chętnie. Będą się bali o własne życie. Mimo wszystko trzeba to zrobić. Natychmiast ruszamy.

Przytaknąłem. Wiedziałem, że lepiej będzie stawić czoło wrogowi niż czekać, co przeciw nam pośle.

W kuchni znów zapanowała cisza. Zastanawiałem się właśnie, dokąd poszły Alice i Grimalkin i co sobie powiedziały, gdy nagle usłyszałem odległy dźwięk dzwonu. Ktoś był na rozstajach i uderzał w niego, aby wezwać stracharza. Zazwyczaj sam chodziłem sprawdzić, w czym rzecz. To mogło być cokolwiek, począwszy od zbłąkanego bogina, a skończywszy na cmentarnym widmie. Czasami ludzie po prostu się bali bez żadnego powodu; czasem niebezpieczeństwo groziło całej rodzinie i mój mistrz natychmiast ruszał w drogę, by się z nim rozprawić.

– Wygląda na to, że ktoś ma kłopoty – zauważył stracharz. – Lepiej idź i zobacz, o co chodzi, chłopcze.

– Dotrzymam ci towarzystwa – dodał Judd. – To może być podstęp mający wywabić jednego z nas z ogrodu.

– Owszem, masz rację. Bezpieczniej wam będzie we dwóch – zgodził się mistrz.

Zostawiliśmy za sobą ogród, zmierzając na rozstaje.

– Zupełnie jak za dawnych czasów – zażartował Judd. – Kiedy schodziłem tu jako młody uczeń, zazwyczaj trząsałem się ze zdenerwowania: wiedziałem, że w ciągu godziny ruszymy z kolejnym zadaniem.

– Ja także – przyznałem.

Przecieliśmy łąkę i znów znaleźliśmy się wśród drzew. Rozstaje były już blisko, z zachodu napływały ciężkie deszczowe chmury. Z każdym krokiem robiło się coraz ciemniej. Nagle dzwon znów się odezwał.

– Przynajmniej nadal tu są – mruknął Judd. – Czasami zdarzało się, że tracili odwagę i wracali tam, skąd przyszli.

– Niektórzy ludzie bardziej boją się stracharza niż bogina! – dodałem.

Obaj roześmialiśmy się i natychmiast umilkliśmy. Mimo półmroku widzieliśmy już, kto uderza w dzwon. Była to ładna młoda kobieta. Doskonale ją pamiętałem – wcześniej zwabiła nas do Todmorden, obiecując książki do nowej biblioteki stracharza.

Jejmość Cosmina Fresque. Czy, dokładniej rzecz biorąc, demon odziany w jej ciało.

– Przynoszę wam wiadomość – szansę przeżycia! – zawołała, wypuszczając sznur.

Dzwon nadal tańczył na wietrze, dźwięcząc jeszcze kilka razy, zanim w końcu umilkł.

Podeszliśmy, czujnie unosząc przed sobą ukośnie laski. Metal szczęknął dwukrotnie, gdy wysunęliśmy ukryte ostrza.

– Dajcie nam to, czego chcemy! Oddajcie nam głowę naszego pana, Złego! – ciągnął demon. – Jeśli to zrobicie, powrócimy do naszego kraju, wasze domy będą bezpieczne, wasi ludzie w spokoju dożyją swych dni.

– A co, jeśli jej wam nie oddamy? – spytał Judd. Wciąż zbliżaliśmy się do Cosminy – teraz dzieliło nas najwyżej dziesięć kroków. Stała pod dzwonem, zwrócona plecami do drzewa. Zerknąłem z ukosa na Judda i ujrzałem łzy, lśniące na jego

policzkach. Może i była demonem, lecz miała twarz i ciało dziewczyny – dziewczyny, którą kochał.

– Wówczas ziemie te zamienią się w krainę nieumarłych: będziemy tu rządzić, wysysając krew, kiedy tylko zapagniemy.

– Oto nasza odpowiedź! – huknął Judd i pchnął klingą prosto w jej pierś.

Uskoczyła na bok, by uniknąć ciosu, wówczas jednak zastosował manewr, którego nauczył nas stracharz. Przerzucił laskę z lewej dłoni do prawej i przebił ostrzem serce demona, przyszpilając go do pnia.

Fresque wydała z siebie ogłuszający wrzask, z jej ust trysnęła krew, ściekając aż na buty. Potem wywróciła oczami, cała zadygotała i opadła bezwładnie. Runęłaby na ziemię, gdyby nie przytrzymała ją klinga.

Stop srebra musiał przebić jej serce: niemal natychmiast z ciała wyłoniła się lśniąca pomarańczowa kula, na moment zawisła nad nami, a potem nabrała wysokości i pomknęła na wschód.

Obaj staliśmy bez ruchu, wpatrując się w ciało Cosminy. W końcu Judd odwrócił się do mnie, z jego oczu płynęły łzy.

– Zrób coś dla mnie, Tomie – rzekł. – Wróć do domu i przynieś mi szpadel. Muszę pogrzebać jej szczątki.

Pobiegłem, krótko informując stracharza, co się wydarzyło, po czym zabrałem poczerniały szpadel z nowej szopy przy domu. Gdy dotarłem na rozstaje, Judd klęczał, trzymając dłoń trupa.

– Jeśli chcesz, ja będę kopał – zaproponowałem.

Powoli podniósł się z ziemi i pokręcił głową.

– Nie, Tomie, to moje zadanie. Dzięki, że mi go przyniosłeś. Teraz wracaj do domu. Dołączę do was, gdy tylko będę mógł.

Nie wróciłem jednak natychmiast. Istniała możliwość, że demon nie przybył sam na rozstaje, toteż wróciłem między drzewa, obserwując z daleka Judda. Wykopał grób pod pniem i złożył w nim ciało Cosminy Nagle z jego ust wydarł się przeraźliwy krzyk cierpienia. Judd z całych sił uderzył w grób laską.

Odciał głowę trupa – tylko w ten sposób mógł zyskać pewność,

że żaden demon bądź inny stwór już go nie opęta. Słyszałem, jak szłocha, gdy zasypywał dziurę w ziemi, a potem zebrał kamienie i ułożył na wierzchu, tak by żaden pies bądź dzikie zwierzę nie wykopało ciała. Dopiero wtedy, gdy ukląkł z pochyloną głową, wpatrując się w swoje dzieło, zawróciłem do domu.

Wykonał ciężkie zadanie. Jak ja bym sobie poradził, gdybym musiał złożyć w ofierze Alice? Nie mogłem o tym myśleć. Kończył nam się czas. Musiałem znaleźć inną metodę zniszczenia Złego, taką, która nie doprowadzi do jej śmierci. Ale mama, choć potężna, z trudem znalazła sposób, który mi przedstawiła. Jak mogłem liczyć, że mnie uda się lepiej?

Niech oni przyjdą do nas!

Następnego dnia, kilka minut po południu, byliśmy gotowi wypełnić życzenie stracharza. Zostawiając go w domu z psami i boginem, Grimalkin, Alice, Judd i ja ruszyliśmy raz jeszcze do Todmorden.

Gdy opuszczaliśmy ogród, Alice podeszła do mnie. W ręce trzymała książkę.

– Proszę – oznajmiła. – To dla starego Gregory'ego. Sama ją napisałam.

Z uśmiechem odebrałem tomik i odczytałem tytuł; „Sekrety kręgów z Pendle”.

– Piszę w niej o najmroczniejszych tajemnicach znanych jedynie czarownicom. Nawet stracharze nie mają o nich pojęcia. Powinny się wam przydać. Twój mistrz nie przyjmie jej ode mnie, ale jeśli mu ją przekażesz, może umieści ją w nowej bibliotece.

– Dziękuję, Alice. Oddam mu ją po powrocie. – Schowałem książkę do torby. – Dam mu też moje notatniki. Wszystko może pomóc. Ale chciałbym cię o coś spytać. O czym rozmawiałaś wczoraj z Grimalkin, kiedy odeszłyście na bok?

– Takie dziewczynskie sprawy, Tomie. Nic, co by cię interesowało.

Spojrzałem na nią zirytowany, ale też urażony.

– Nie spodobało ci się to, co? Nie lubisz, kiedy mam przed tobą



tajemnice. A ty wszystko mi mówisz?

Wstrząśnięty, otworzyłem usta. Czyżby w jakiś sposób dowiedziała się o wymaganej ofierze?

Nim jednak zdążyłem odpowiedzieć, Alice odeszła, zostawiając mnie z Grimalkin. Nasza rozmowa mnie zasmuciła, uznałem jednak, że lepiej będzie nie zadawać dalszych pytań.

Czułem się podle, oszukując Alice.

Z szarego nieba siąpiła napływająca z zachodu mżawka, lecz w powietrzu nie czuło się chłodu. W Hrabstwie nazywamy taką pogodę latem.

Obejrzałem się na Judda, wyraźnie nadal przygnębionego. Po jakimś czasie zrównał się ze mną i poklepał po plecach.

– Ciało Cosminy spoczęło w grobie. Od bardzo dawna pragnąłem to uczynić. Czuję się, jakbym w końcu mógł zamknąć za sobą pewne drzwi.

– Co teraz zrobisz? Wrócisz do Rumunii? – spytałem.

– Nie, Tomie. Na jakiś czas mam dość podróży. Może powinienem przejąć działkę nieszczęsnego Billa Arkwrighta na północ od Caster?

– Znakomity pomysł! – wykrzyknąłem. – Z pewnością nie brakowałoby ci zajęć wśród tylu wodnych wiedźm. A z tego co wiem, od ponad roku nie odwiedzał tamtych okolic nikt z naszego fachu. Mistrz mówił mi, że Bill zapisał w spadku młyn przyszłym stracharzom. Będziesz miał zatem dach nad głową.

Maszerujące przed nami Alice i Grimalkin rozmawiały o czymś z przejęciem. Najwyraźniej szykowały jakiś plan, o którym mi nie wspomniały. Potem, gdy nadal zmierzaliśmy na północny wschód, okrążając Acklington, zwolniły nieco i zrównały się z nami.

– Grimalkin musi z tobą porozmawiać w cztery oczy, Tomie – oznajmiła Alice.

Zerknąłem na wiedźmę zabójczynię, która skinęła głową i wskazała kępę drzew po lewej. Ruszyła ku niej, ja podążyłem w jej ślady.

– Zaczekamy tu na was! – zawołała Alice. Zastanawiałem się,

dlaczego Grimalkin nie chce mówić przy niej i Juddzie. Bez wątpienia to on stanowił problem. Może po tym, jak zdradził stracharza, już mu nie ufała... Zresztą wkrótce się dowiem.

Wiedźma zabójczyni zatrzymała się wśród drzew i obróciła ku mnie. Zsunęła z ramienia skórzany worek i położyła na ziemi między nami.

– Zły chciał z tobą pomówić – oznajmiła. – Lecz sam musisz zdecydować, czy się na to zgodzisz, czy nie. Bez wątpienia zamierza cię zastraszyć albo zagrozić czymś nowym. Uważam jednak, że z jego słów możemy dowiedzieć się czegoś użytecznego.

– A ty z nim rozmawiasz? – spytałem.

Grimalkin przytaknęła.

– Od czasu do czasu wymieniamy parę zdań. Ostatnio jednak mimo wszelkich zachęt nie chciał się odezwać. Twierdzi natomiast, że chętnie pomówi z tobą.

– W takim razie wysłuchajmy, co ma do powiedzenia!

Usiedliśmy na trawie, Grimalkin rozplątała rzemienie i wyciągnęła z worka głowę Złego, łapiąc ją za rogi i kładąc na ziemi naprzeciw mnie. Jej wygląd wstrząsnął mną. Wydawała się mniejsza niż wtedy, gdy odcięliśmy ją od ciała, twarz pokrywała zaschnięta krew. Jedno oko zniknęło – pozostała tylko okolona czerwienią, zaropiała dziura, powieki drugiego zszyto razem. Usta wypełniały pokrzywy i gałązki.

– Go się stało z jego okiem? – spytałem.

– Odebrałam mu je w zemście za śmierć moich towarzyszy – odparła Grimalkin. – Drugie na razie pozwoliłam mu zatrzymać.

Sięgnęła naprzód i wyciągnęła z ust pokrzywy i gałęzie. Głowa, która wcześniej wydawała się martwa i nieruchoma, natychmiast ożyła. Zszyte powieki zadrgały, szczęka i wargi zaczęły się poruszać, odsłaniając pieńki pozółkłych zębów.

– Wszystko mogło wyglądać zupełnie inaczej, Thomasie Wardzie – powiedział Zły niewiele głośniej od Szeptu. – Mogliśmy działać razem, ty jednak mnie odrzuciłeś i doprowadziłeś do takiego stanu. Teraz zapłacisz za to straszliwą cenę.

– Jesteś moim wrogiem – odparłem. – Urodziłem się, by móc z tobą skończyć.

– Oczywiście – głos Złego nabierał siły. – To twoje „przeznaczenie”, a przynajmniej tak ci powiedziano, Wierz mi jednak, czeka na ciebie zupełnie inna przyszłość. Sądzisz, że jestem bezradny? Cóż, mylisz się. Uważasz, że skoro straciłem jedno oko i zaszyliście mi drugie, oślepiłem? Mój duch widzi wszystko, co zechce. Znam dokładnie twój najczulszy punkt. Widzę tych, których kochasz, i sposób, w jaki można ich zranić. Sądzisz, że zatkanie ust odbiera mi głos? Cały czas rozmawiam ze swymi sługami, są równie liczni, jak gwiazdy na niebie. Z zapalem wykonują moje rozkazy. Pokonaj jednego, a inny natychmiast powstanie, by podjąć walkę. W końcu znajdziesz równego sobie – i to znacznie szybciej, niż przypuszczasz!

– To tylko pusta gadanina – syknęła Grimalkin, chwytając głowę za rogi.

– Przekonamy się! – zawołał Zły. – Jesteś siódmym synem i masz sześciu braci. Dziś jeden z nich zginie. A będzie tylko pierwszym, którego spotka ten los. Wkrótce staniesz się ostatnim z synów swojej matki!

Zerwałem się z miejsca, w głowie wirowało mi od myśli o tym, co może spotkać moich braci. Tymczasem Grimalkin znów zapchała mu usta i schowała głowę do worka.

– Nie przejmuj się – rzekła. – Myliłam się, narażając cię na to. I nie dowiedzieliśmy się niczego nowego. W każdej chwili mógł posłać swe sługi przeciwko twojej rodzinie. Grozi ci teraz, by tobą wstrząsnąć i nie pozwolić ci się skupić na najbliższym zadaniu.

Przytaknąłem. Po powrocie z Irlandii dwa tygodnie wcześniej wysłałem list na farmę, pytając o zdrowie najstarszego brata Jacka, jego żony Ellie i ich dziecka; pytałem też o mojego brata Jamesa, który zamieszkał z nimi, by pomóc na farmie i zbudować sobie kuźnię. Odpowiedź brzmiała pocieszająco. Wszyscy miewali się dobrze i prócz utraty kilku zwierząt wojna jakoś ich ominęła.

Od farmy dzieliła nas teraz daleka droga. A co do reszty braci,

rozproszyli się po całym Hrabstwie. W żaden sposób nie zdołałbym im pomóc – musiałem po prostu odsunąć na bok troski.

Z powrotem dołączyliśmy do Alice i Judda. Powtórzyłem im, co mówił Zły i czym groził. Judd ze współczuciem pokiwał głową, Alice uścisnęła mi rękę. Chwilowo żadne z nas nie mogło niczego poradzić.

– Gdzie zamierzałeś się zatrzymać? – spytała Judda Grimalkin.  
Judd zmarszczył czoło.

– Moglibyśmy zostać na zachód od Todmorden, z dala od wioski – odparł. – W ten sposób nie będziemy rzucać się w oczy.

– Ale przecież tego właśnie pragniemy: chcemy rzucać się w oczy! – wykrzyknęła wiedźma zabójczyni, jej oczy rozbłysły. – Powinniśmy zamieszkać w gospodzie. Niech oni przyjdą do nas. Kiedy przeredzimy ich szeregi, ruszemy do ataku. Zupełnie jakbyśmy likwidowali gniazdo szcurów!

– Czy to nie ryzykowne? – spytał Judd. – Utrzymując niezbędny dystans, zdołalibyśmy coś zrobić, nim w ogóle zorientowaliby się, że tam jesteśmy.

– Owszem, może pomogliśmy kilku ludziom – odparła Grimalkin. – Lecz wkrótce i tak nadejdzie kryzys. Wykrycie nas to kwestia kilku godzin. A jeśli ujawnimy od samego początku swoją obecność, sami wybierzemy pole walki. Przestaną szukać innych ofiar i przyjdą do nas. – Uniosła skórzany worek. – Przyjdą po niego i zginą. Nasza walka z rumuńskimi stworami to tylko jedna z serii bitew, które toczyliśmy ze sługami Złego. Chcę załatwić to jak najszybciej, by móc zająć się prawdziwym problemem: jego ostatecznym zniszczeniem. Co powiesz, Tomie Wardzie? Zgadzasz się ze mną?

Spojrzałem na Judda i wzruszyłem ramionami.

– Przykro mi, ale muszę się zgodzić z Grimalkin – oznajmiłem.

– Ja także – dodała Alice.

Judd uśmiechnął się.

– Wygląda na to, że zostałem przegłosowany. Zatem niechaj rozpocznie się bitwa.

Maszerowaliśmy dalej jeszcze parę godzin. Tymczasem chmury odpłynęły, zapowiadając pogodną noc. Gdy słońce zaczęło znikać za horyzontem, rozbiliśmy obóz obok drogi. Alice złapała trzy króliki, za krótką chwilę obracały się już na roznach nad ogniem, a na ich zapach ślinka napłynęła mi do ust.

Nagle w oddali usłyszałem miarowe bicie werbla. Dźwięk zbliżał się i wkrótce odezwała się także piszczałka. Grano muzykę marszową. Przybyli żołnierze z Burnley.

Zorientowawszy się, że nadciągają tą samą drogą i przejdą tuż obok, Alice i Grimalkin wycofały się między drzewa. W przeszłości dochodziło do starć między czarownicami z Pendle i wojskiem, toteż żołnierze z pewnością rozpoznaliby wiedźmę zabójczynię.

– Nigdy nie pojmem, czemu noszą tak kolorowe kurtki! – zawołał Judd. – Nauczono mnie nosić szatę w stosownych barwach, by móc ukryć się w lesie. Oni dokładają wszelkich starań, by być widziani!

Musiałem się zgodzić. Kurtki wojskowe w jaskrawym odcieniu czerwieni Hrabstwa sprawiały, że wyraźnie widzieliśmy oddział wśród drzew. Podeszliśmy do ścieżki.

W sumie było ich trzydziestu, prócz jednego wszyscy maszerowali pieszo. Kolumną kierował konny oficer i gdy się zbliżyli, zauważyłem, że wygląda znajomo. Rumiana cera, przysadzista budowa..i czarny wąsik, który wszystko potwierdził – to był kapitan Horrocks, oficer, który dowodził oddziałem żołnierzy oblegającym Wieżę Malkinów. Uwięzili mnie wówczas pod fałszywym zarzutem zabójstwa ojca Stocksa. Czy on też mnie zapamiętał? Mieliśmy za sobą wojnę, a po mojej ucieczce z pewnością już o mnie zapomniał. Poza tym byłem teraz starszy i wyższy.

Zrównawszy się z nami, kapitan uniósł rękę, zatrzymując kolumnę. Piszczałka i werbel ucichły. Słyszeliśmy jedynie oddech konia. Spuściłem wzrok, unikając jego oczu.

– My się znamy... – rzekł cicho.

Serce zatrzepotało mi w piersi. Czy powinienem uciekać? Księża zabiła czarownica, Wurmalde, teraz jednak sama nie żyła

i nie dysponowałem żadnymi dowodami, potwierdzającymi moją niewinność. Wciąż mogłem Zawisnąć za morderstwo, którego nie popełniłem.

– Owszem. Jestem Judd Brinscall. To ja ostrzegłem pańskiego dowódcę o tym, co się święci w Todmorden.

Gdy Judd przemówił, pojałem swoją pomyłkę i odetchnąłem z ulgą.

– Tak naprawdę ściągnał nas pan tu na walkę z cieniem – odparł cierpko kapitan. – Wy, stracharze, przyjmujecie pieniądze od łatwowiernych naiwniaków, twierdząc, że ponoć walczyacie z Mrokiem, ale mnie nie oszukacie. Czarownice to jedynie żebraczki i łajdaczki. A co do ostatniej historii – zaśmiał się wzgardliwie – jest zupełnie niewiarygodna. Słucham rozkazów, więc muszę to zbadać. Lecz jeśli znajdę choćby najmniejszy dowód wskazujący, że sprowadził nas pan tutaj pod fałszywym pretekstem, zawlokę was obu do Burnley w kajdanach! Czy wyrażam się jasno?

– Zginęło wielu ludzi, kapitanie – odparł spokojnie Judd. – A zabójców znajdzie pan w ukryciu po drugiej stronie rzeki, tak jak tłumaczyłem. Jeśli jednak posłucha pan mej rady, rozbijecie na noc obóz i przeprowicie się o świcie. Nasi nieprzyjaciele są najsilniejsi w ciemności.

– Tak pan przynajmniej twierdzi. Nie wątpię, że kilku mieszkańców zginęło i jeśli znajdziemy sprawców, szybko wymierzmy im sprawiedliwość. Ale nie przerazicie mnie chłopskimi bajaniami. Niedawno toczyliśmy wojnę, widziałem wiele śmierci – sceny rzezi, które zabiorę ze sobą do grobu. Po tym, cokolwiek czeka na nas w Todmorden, to drobnostka! Wyrażam się jasno?

Judd nie odpowiedział i kapitan Harrocks, pogardliwie kręcąc głową, poprowadził naprzód swych ludzi. Część piechurów uśmiechała się, inni sprawiali wrażenie przerażonych, zwłaszcza biedny mały doboz, maszerujący na tyłach. Po paru chwilach werbel i piszczałka znów się odezwały. Patrzyliśmy, jak kolumna znika pośród drzew, a potem wróciliśmy do przerwanej wieczerzy.

\*

Wstaliśmy wkrótce po wschodzie słońca i bez śniadania ruszyliśmy do Todmorden.

Na wschodnim wrzosowisku wznoszącym się nad miasteczkiem zaczęliśmy mijać ludzi, zmierzających w przeciwnym kierunku – zwykle samotnych, lecz od czasu do czasu pojawiały się całe rodziny dźwigające tłumoki ze swym dobytkiem. To byli uciekinierzy opuszczający należącą do Hrabstwa część miasteczka. Żadnego z nich nie ucieszył nasz widok. Niektórzy mogli pochodzić z samego Todmorden i może wiedzieli, jaką rolę odegraliśmy w nadciągającym kryzysie; inni po prostu dostrzegli strój stracharza i zareagowali jak większość ludzi.

Każdy, kogo próbowaliśmy zatrzymać, zbywał nas gniewnie.

– Jak bardzo jest źle? – spytał Judd, zagradzając w końcu drogę starcowi, który z trudem maszerował błotnistą ścieżką, podpierając się kijem.

– Mordują nasze dzieci! Co mogłoby być gorszego? Zabili też zbrojnych żołnierzy. Kto nas teraz ochroni?

Wymieniliśmy z Juddem spojrzenia. Bez wątpienia jak ja miał nadzieję, że wrogowie dopadli najwyżej kilku mężczyzn z Burnley – może zwabili w pułapkę niewielki oddziałek zwiadowczy wysłany przez kapitana. Rzeczywistość okazała się jednak gorsza – znacznie gorsza!

Żołnierze rozbili obóz na szczycie zachodniego wrzosowiska, niedaleko Todmorden. Teraz wszyscy nie żyli. Kapitanowi Horrockswi obcięto głowę. Leżał na wznak, a odrąbany czerep tkwił wciśnięty między buty. Ognisko wciąż dymiło, a oni pozostali w miejscu, gdzie ich wyrznięto, z rozszarpanymi gardłami. Niektórzy leżeli na wznak, zamordowani we śnie. Inni próbowali uciekać, żaden nie zdołał się oddalić. Wokół ich trupów roiło się od much. Od smrodu krwi poczułem mdłości.

Minęliśmy ich bez słowa. Wymieniłem ponure spojrzenia z Alice i Juddem, jedynie Grimalkin patrzyła spokojnie przed siebie, twarz miała zaciętą. Wiele razy oglądała śmierć i bez wątpienia do niej

przywykła. Zresztą tak czy inaczej, niczego byśmy tu nie działali, zabitych było też zbyt wielu, abyśmy mogli pogrzebać wszystkich. Wkrótce maszerowaliśmy już w kierunku gospody. Przybyliśmy w chwili, gdy karczmarz miał właśnie zamknąć na klucz frontowe drzwi. Od naszej ostatniej wizyty zdążył je naprawić.

– Nigdzie nie pójdziesz! – Judd wepchnął go do środka.

– Macie czelność tu wracać? – odparł mężczyzna. – To przez was pakt został zerwany. Dotrzymując warunków umowy, wiele lat przeżyliśmy bezpiecznie. Teraz jesteśmy dla nich tylko strawą!

– A którzy z mieszkańców zawarli ów pakt? – spytał Judd. – Byłeś jednym z nich?

Tamten przytaknął.

– Poszło nas trzech: burmistrz, sklepikarz i ja – trzech najbogatsi obywatele. Wówczas, ponad dwa lata temu, wszystko wyglądało inaczej. Nie mieliśmy pojęcia, jak szybko sytuacja zacznie się pogarszać i ilu ludzi odejdzie. Zrobiliśmy to dla nich wszystkich – by ratować im życie. Większość bała się nawet zbliżyć do cudzoziemców, ale my przeprawiliśmy się przez rzekę i podpisaliśmy pakt własną krwią. Zważywszy na okoliczności, było to najlepsze wyjście. Obiecali dać nam spokój, jeśli tylko dostaną to, czego potrzebują. Teraz jednak pakt został zerwany, a oni łakną zemsty. Muszę stąd uciekać. Kiedy zapadnie zmrok, już jakbym nie żył! Jejmość Fresque twierdziła, że jestem następny na liście!

Judd powiódł po nas wzrokiem i uniósł brwi. Wszyscy przytaknęliśmy. Nie było sensu zatrzymywać tu przerażonego karczmarza. Wystawiliśmy go na dwór i wyrzuciliśmy za nim bagaż. Potem zabarykowaliśmy drzwi, czekając na pierwszy atak.

Na zewnątrz wietrzyk niemal zupełnie ucichł, noc była ciepła. Nie roznieciliśmy zatem ognia, lecz usiedliśmy w niewielkiej salce jadalnej obok baru. Nie zapaliliśmy nawet świecy, pozwalając, by nasze oczy przywykły do ciemności.

Po jakiejś godzinie usłyszeliśmy dobiegające z zewnątrz dźwięki



– słabe węszenie i skrobanie do drzwi, jakby do środka chciało się dostać jakieś zwierzę. Czekaliśmy bez słowa. Potem naszych uszu dobiegł warkot, jakby stwór stracił cierpliwość i żądał, aby wpuścić go natychmiast.

Nagle drzwi wygięły się do wewnątrz, trzeszcząc i skrzypiąc w zawiasach. Napastnikiem niemal na pewno był jeden z moroii, zajmujący ciało niedźwiedzia. A więc w taki sposób nasi wrogowie wedrą się do środka.

Grimalkin poluzowała w pochwie sztylet do rzucania. Gdy w otworze pojawi się głowa niedźwiedzia, stwór zginie. Jej klinga przeszyje jedno z jego oczu. Lecz kiedy tylko drzwi pękły, niedźwiedź opadł na cztery łapy i odbiegł, nie czekając na cios. Usłyszałem, jak Grimalkin, poirytowana, gwizdże przez szpiczaste zęby.

Wokół znów panowała cisza, tyle że przez rozwalone drzwi widzieliśmy brukowaną ulicę. Niedaleko poruszały się jakieś postaci. Było ich trzy – dwie nosiły peleryny i wyglądały na kobiety; najbliższa trzymała w dłoni pochodnię i w jej migotliwym blasku ujrzałem okrutne usta i szponiaste palce. Bez wątplenia mieliśmy do czynienia z czarownicami. Lecz trzecia postać należała do mężczyzny, którego rozpoznałem: do karczmarza. A zatem nie zdołał uciec z miasteczka. Teraz był ich więźniem, ręce miał związane za plecami. Przypominało to niemal sztukę odegraną specjalnie dla nas, wkrótce jednak zrozumiałem, że to nie przedstawienie, ale kwestia życia i śmierci.

– Teraz zobaczycie, co spotyka tych, którzy się nam sprzeciwiają! – wrzasnęła wiedźma dzierzżąca pochodnię.

Nie mogłem zrozumieć, co się wówczas stało. Coś jakby spłynęło z nieba i wylądowało dokładnie przed karczmarzem. Ale jak to możliwe? Czarownice nie potrafią latać. Pomysł, że miałyby fruwać na miotłach, to wyłącznie niemądry przesąd. Postać zbliżyła się do ofiary.

– Nie! To nie moja wina! – krzyknął karczmarz głosem piskliwym ze zgrozy. – Oszczędź mnie, proszę, nie odbieraj mi

życia, panie! Zawsze robiłem, co kazałeś, byłem szczodry, dawałem...

Nagle rozległ się przeszywający pisk – brzmiał jak wrzask jednej ze świń, zarzynanych przez Ryja, rzeźnika z farmy. Zawisł w powietrzu, coraz słabszy i słabszy. Gospodarz osunął się na kolana, a potem runął na twarz.

Grimalkin dobyła noża do rzucania i wystąpiła naprzód, jakby zamierzała zaatakować czarownice. Byliśmy gotowi pójść za nią, nim jednak cokolwiek zrobiliśmy, wrogowie przejęli inicjatywę.

Jedna z postaci – ta, która spadła z nieba – skierowała się ku nam. W jej kroku było coś dziwnego. Zdawała się płynąć, nie maszerować. Podchodziła coraz bliżej i bliżej, aż w końcu wypełniła całe otwarte drzwi i zaczęła wsuwać się do środka.

Po mojej lewej Alice uniosła ogarek i wymamrotała pod nosem zaklęcie, zapalając knot. W czasie terminu u stracharza oglądałem wiele koszmarnych widoków, lecz to, co ujrzałem w migotliwym żółtym świetle, przebiło je wszystkie. Ja sam zacząłem dygotać, serce próbowało wyrwać mi się z piersi – lecz Judd musiał być naprawdę przerażony tym, co objawiło się naszym oczom.

Przed nami unosiła się kobieta. Patrzyliśmy na jej nagie ciało, ale coś było z nim strasznie nie tak. Skórę miała przejrzystą – płomyk świecy ukazywał to, co kryło się wewnątrz. Wydawała się niewypełniona do końca; brakowało ciała i kości, zamiast nich była pełna – może lepiej rzec: rozdęta – od krwi. Skóra pozostała w całości poza dwoma śladami: poziomą blizną wokół szyi, w miejscu gdzie głowę przymocowano do ciała, i wypukłym szwem nad sercem.

Należała do Cosminy.

Wargi poruszyły się i stwór przemówił niskim męskim głosem:

– Jestem Siscoi, władca krwi, pochłaniacz dusz! Bądźcie mi posłuszni albo czekają was cierpienia, jakich niewielu zaznało. Oddajcie nam to, czego szukamy, a okażę łaskę! Zabiję was szybko! Prawie bez bólu.

Grimalkin cisnęła sztyletem wprost w gardło groteskowej

postaci, lecz klinga poleciała w bok, jakby odbiła się od niewidzialnej tarczy.

## **ROZDZIAŁ 22**

### **OD PÓŁNOCY DO ŚWITU**

Jeśli istotnie był to Siscoi, wyglądał zupełnie inaczej, i niż go sobie wyobrażałem. Nie posługiwał się nosicielem wyhodowanym z krwi i wnętrzości w dole. To bardziej przypominało osobliwe opętanie – a jednak skórę wypełniała krew i zważywszy na to, jak przed chwilą zginął karczmarz, część z niej najpewniej należała do niego. Bóg mógł zapewne wyssać i naszą krew – wszystkim nam groziło niebezpieczeństwo.

Uniosłem laskę, szykując się do ataku. Zacząłem się skupiać. Posłużę się najpotężniejszym darem – zdolnością spowalniania czasu. Wcześniej zastosowałem go

Z powodzeniem, gdy uwięziliśmy Złego, a był on znacznie potężniejszy od innych Starszych Bogów, toteż nie wątpiłem, że i teraz się uda. Ledwie jednak zacząłem, gdy Grimalkin warknęła ostro:

– Ty się tym zajmij, Alice!

W odpowiedzi Alice uniosła lewą dłoń i zaczęła mamrotać zaklęcie; wówczas jednak, zaskakując nas wszystkich, Judd przebiegł obok i z mrożącym krew krzykiem wbił klingę laski w ciało – dokładnie w miejsce, gdzie wcześniej przeszył serce Cosminy. Spodziewałem się, że i jego cios zostanie odbity, lecz ku memu zdumieniu przedziurawił skórę.

Wokół niego eksplodowała krew. Tryskała wszędzie i przez chwilę zupełnie mnie oślepiła. Kiedy otarłem ją z oczu, choć nadal kapiała z sufitu, zobaczyłem, że Judd klęczy na podłodze i szlocha. Patrzył na coś – wstęgę zakrwawionej skóry, niegdyś należącą do Cosminy.

Dwie czarownice towarzyszące Siscoi natychmiast umknęły i nikt więcej już nas nie zaatakował. Reszta nocy upłynęła spokojnie.

\*

O świcie znaleźliśmy olej do lamp i z jego pomocą spaliliśmy skórę. Przez chwilę skwierczała na mokrych kamieniach, roztaczając wokół straszliwy smród, ale musieliśmy to zrobić. Judd nie miał sił, by ponownie pogrzebać ukochaną.

Czekaliśmy w milczeniu aż do końca. Z szarego nieba siąpił deszcz, zmywając krew z naszych twarzy i włosów.

– Możesz już o tym porozmawiać? – spytałem w końcu. – Czy to naprawdę był Siscoi? Jakiś rodzaj opętania?

Judd przytaknął.

– Owszem, to było opętanie. Siscoi umie ożywić skórę świeżo pogrzebanego trupa. Najpierw jednak jego sługi usuwają kości i odcinają skórę od mięśni. Potem bóg może odwiedzić bliskich krewnych nieboszczyka, rozkoszując się ich rozpaczą. Z początku skórę wypełnia jedynie powietrze. W miarę jak Siscoi zaczyna się posilać, skóra zmienia kolor na czerwony, od krwi ofiar. Proces ten wymaga potężnej mrocznej magii. Niezależnie jednak od tego, czy rozprawiłbym się z nim, czy nie, nie mógł pozostać długo w tej postaci. Ten rodzaj opętania trwa zazwyczaj ledwie kilka minut.

Na myśl o tym, co nasi wrogowie uczynili z trupem, zrobiło mi się słabo. Po tym jak Judd pogrzebał ciało Cosminy, znów je wykopali, niemal na pewno tej samej nocy, i dokonali wszystkiego, co opisał.

– Jakim cudem twoja klinga zadziałała, a moja nie? – spytała Grimalkin.

– Bliscy, krewni i ci, którzy kochali ofiarę, mają moc zakończenia opętania ostrzem; oszalałe z rozpacz i oburzone wdowy używały do tego czasem nawet drutów do robótek. Oczywiście zazwyczaj ofiary nie walczą. Siscoi po prostu wysysa im krew i umierają.

– Czy zraniłeś go klingą? – spytała Alice. – Czy teraz osłabnie?

Judd pokręcił głową.

– Bez wątpienia poczuł jakiś ból, ale tylko go rozżłościem i stał się jeszcze bardziej zdeterminowany. Może na krótko opętywać zarówno żywych, jak i umarłych, bez pomocy portalu oraz magii czarownic. Najniebezpieczniejszy jest jednak, gdy ożywia nosiciela wyhodowanego z pomocą wiedźm. Wówczas ma czas od północy do świtu, by siać zamęt. Gdy do tego dojdzie, wolałbym nie być w pobliżu.

– W takim razie powinieneś wracać do Chipenden – oznajmiła Grimalkin.

Judd spojrział na nią ze zdumieniem, jego rysy stwardniały.

– Posłuchaj! Nie jestem tchórzem! – wykrzyknął gniewnie. – Po prostu opisuję fakty, to wszystko. Chcę zostać tutaj i odegrać swoją rolę, lecz jestem pewien, że wszyscy zginiemy.

Grimalkin uśmiechnęła się do niego, nie pokazując zębów.

– Nikt nie wątpi w twoją odwagę, mimo iż zdradziłeś Johna Gregory'ego. Doświadczyłeś rzeczy, które złamałyby większość ludzi. Ale dość już wycierpiałeś. Wróć i przez jakiś czas pomóż Johnowi Gregory'emu. Nieprzyjaciele wciąż mogą zaatakować jego dom i ogród.

Judd otworzył usta, by znów zaprotestować, nagle jednak umilkł. Kątem oka dostrzegłem Alice mamroczącą coś do siebie.

– Tak, masz rację – rzekł, wstając z miejsca z oszołomioną miną. – Pan Gregory potrzebuje mojej pomocy. Możliwe, że mu grozi śmiertelne niebezpieczeństwo. Powiniennem ruszać natychmiast – muszę wrócić do niego jak najszybciej.

Zirykowało mnie to: Alice posłużyła się mroczną magią, by na niego wpłynąć. Gdy jednak otworzyłem usta, przyłożyła do warg palec i uśmiechnęła się słodko. Jakaś część mnie pragnęła zaprotestować – uważałem, że Judd bardziej się przyda tutaj. Wiedziałem jednak, że Alice musi mieć dobry powód. Milczałem zatem. Po pięciu minutach Brinscall zebrał swoje rzeczy, pożegnał się z nami zwięźle i wyruszył do Chipenden.

– Dlaczego? – spytałem, kiedy wróciliśmy do gospody. – Potrzebujemy wszelkiej możliwej pomocy.

– We troje jesteśmy wystarczająco szybcy, zręczni i silni, by uczynić to, co niezbędne – odparła Grimalkin. – Ty masz Klingę Przeznaczenia i Rębacza Kości – a także zdolności odziedziczone po matce. Alice włada potężną mocą, a ja jestem Grimalkin. Odesłanie go to przejaw litości, którą rzadko zdarza mi się okazywać. Mimo dawnych niepowodzeń, Judd to zręczny stracharz i potężny wróg Złego, a my potrzebujemy wszelkich dostępnych sojuszników. Musi przeżyć, by znów służyć naszej sprawie, gdyby okazało się to konieczne. Jeśli zostanie z nami, z pewnością zginie. Dziś w nocy musimy zaatakować wrogów i nie pozwolić, by Siscoi przybył na ten świat.

– Dziś w nocy? Sądziłem, że zaczekamy, aż oni zaatakują nas i w ten sposób ich osłabimy?

– W wątpiodole jest już nowe ciało, Tomie – wyjaśniła Alice. – I jeszcze dziś w nocy pozostałe przy życiu czarownice złączą siły, by otworzyć portal, pozwalając Siscoi je ożywić.

– Skąd to wiecie? – spytałem.

– Alice postrzegła – wyjaśniła Grimalkin.

– Umiesz postrzegać?

Alice przytaknęła z poważną miną.

– To tylko jeden z talentów, które tak długo skrywała – wyjaśniła Grimalkin. – Postrzeganie nigdy nie jest do końca pewne: istnieje mnóstwo zmiennych, które mogą wpłynąć na ostateczny bieg wydarzeń – wierzę jednak w informacje od niej. Te czarownice rzadko spotykają się w cielesnej postaci. Wolą szybować nad drzewami jako kule światła. Lecz dziś w nocy będzie inaczej: by otworzyć portal, muszą się spotkać, a Alice odkryła gdzie. Pozabijamy je wszystkie.

– Skorzystają z domu, w którym mieszkała jejmość Fresque i jej towarzysz strzygoń – dodała Alice.

To miało sens. Dzięki Juddowi wiedziałem, że rumuńskie czarownice bardzo strzegą swej prywatności i nie lubią wpuszczać do siebie innych wiedźm.

– Ten dom nieustannie zmienia kształty – przypomniałem. – To

może stanowić problem. Wewnątrz niczego nie można być pewnym.

– My się tym zajmiemy – odparła Grimalkin. – Przekonamy się, kto włada silniejszą magią – przybysze z Rumunii czy czarownice z Pendle.

Alice milczała, lecz jej wargi wygięły się w lekkim uśmiechu.

\*

Przez resztę dnia szykowaliśmy się do ataku. Miasto było wyludnione, tymczasem zamieszkaliśmy w kuźni. Tam Grimalkin naostrzyła swe sztylety i wykuła jeszcze trzy, zastępując te, których nie zdołała odzyskać.

Ja nie musiałem ostrzyć Klingi Przeznaczenia – zawsze była gotowa i spragniona krwi – oczyściłem ją jednak starannie, a rubinowe oczy osadzone w rękojeści rozbłysły. Sztylet też nie wymagał ostrzenia, ale zająłem się srebrną klingą z nowej laski.

Pokazałem Rębacza Kości Grimalkin; raz po raz obracała go w dłoniach, badając uważnie.

– Potężna to broń – rzekła w końcu. – Mniejsza wersja miecza. Zastanawiam się, czy sztylet spoczywający w Mroku jest jego bliźniakiem.

Gdy wymówiła te słowa, zerknąłem na Alice, serce ścisnęło mi się na myśl, że to ona ma go odnaleźć. Lecz Alice nie słuchała. Przez większość popołudnia siedziała ze skrzyżowanymi nogami na kamiennej posadzce, nie zważając na brzęki i huki z kuźni, oczy miała zamknięte. Gdy próbowałem coś do niej powiedzieć, nie odpowiadała. Zdawało mi się, że choć jej ciało przebywa z nami, umysł, a może też dusza, jest gdzieś daleko. W tajemniczy sposób skupiała swoje moce, szykując się do czekającej nas walki.

W końcu niebo zaczęło ciemnieć. Byliśmy gotowi ruszyć do złowieszczego domostwa przy ulicy Krzywej.

## **ROZDZIAŁ 23**

# TCHÓRZ

– Alice, zechcesz schować dla mnie ten worek? – poprosiła Grimalkin. – Jeśli wydarzy się najgorsze, wolałabym jak najbardziej utrudnić naszym wrogom jego odkrycie. Twoja magia jest silniejsza od mojej.

W ustach wiedźmy zabójczyni był to prawdziwy komplement. Grimalkin nie tylko znakomicie władała wszelką bronią, ale też dysponowała silną magią. Widziałem jednak na własne oczy, do czego zdolna jest Alice i zastanawiałem się, jak wielką potęgą dysponuje. Świadomość, iż tak wiele przede mną ukrywała, mimo że od lat blisko się przyjaźniliśmy, sprawiała mi ból.

Alice skinęła głową i sięgnęła po skórzany worek. Gdy to uczyniła, usłyszeliśmy ochrypy śmiech. Dźwięk jednak zdawał się dobiegać z ziemi pod naszymi stopami. Kamienne płyty wibrowały.

– Przekonajmy się, co tak bawi starego durnia! – rzuciła Grimalkin.

Rozplątała rzemień, uniosła głowę za rogi i umieściła na kowadle. Zły przedstawiał sobą okropny widok – gorszy jeszcze niż ostatnio. Jedno oko wciąż miał zaszyte, w miejscu drugiego ział gnijący oczodół. Z czoła złaziła płatami skóra, całą twarz pokrywały wrzody, jakby ukryte wewnątrz zło próbowało wydostać się na powierzchnię.

Grimalkin wyszarpnęła pokrzywy i gałązki, pozwalając mu przemówić. Tym razem śmiech dobiegł z ust, nie z ziemi. Trwał bardzo długo. Przyjrzałem się pieńkom zębów, które wiedźma strzaskała młotem, i zaschniętej krwi na twarzy. Znalazł się w ciężkich opalach – co mogło tak go rozbawić?

– Wydajesz się mieć dobry humor, w istocie jednak nigdy nie byłeś słabszy ani bliższy ostatecznej klęski – rzekła Grimalkin, gdy śmiech w końcu ucichł.

– Jesteś dumna i arogancka, wiedźmo! – warknął Zły. – Mimo dwojga oczu, dostrzegasz mniej niż ja. Siscoi to najpotężniejszy z



mych obecnych sług – wkrótce uwolni mnie z niewoli i odbierze wam krew. Cóż za nierozwaga, sprowadzać mnie tak blisko niego. Nie mogłaś bardziej ułatwić mu zadania!

– Straciłeś już wiele sług, głupcze – odparowała Grimalkin. – Szykuj się na utratę kolejnego. Zginęli bądź zostali pokonani przez tych, którzy stoją przed tobą. Jesteśmy najpotężniejszymi z wielu twoich wrogów. Nim ta noc dobiegnie końca, Siscoi zostanie zniszczony bądź zraniony tak mocno, że więcej nie przyda się twojej sprawie.

Zły znów się roześmiał.

– Nie dojdzie do tego, więdźmo, bo chłopak, na którego chuderlawych barkach spoczywa wasza wąła nadzieja zwycięstwa, to tchórz. Raz już umknął w panice przed moimi sługami i robi to ponownie!

Czy miał na myśli spotkanie w piwnicy domu Fresque? To prawda, wówczas wpadłem w panikę i uciekłem – później jednak zebrałem się na odwagę i wróciłem. Już miałem zaprotestować, gdy Grimalkin uśmiechnęła się do mnie i przyłożyła palec do ust, nakazując mi milczenie.

– Dziś o północy chłopak robi to, co trzeba! – oznajmiła.

– W takim razie dam mu do myślenia. Tak jak cię ostrzegałem, Thomasie Wardzie, twój brat James nie żyje. Moi słudzy poderżnęli mu gardło i wrzucili do rowu. Nigdy już go nie zobaczysz na tym świecie.

Zły był ojcem kłamstw, lecz instynkt podpowiadał mi, że tym razem mówi prawdę. Serce zaciążyło mi w piersi jak ołów. Straciłem brata.

Grimalkin uniosła głowę za rogi, po czym podeszła do kuźni i przytrzymała ją nad płonącymi węglami. Wkrótce Zły zaczął wrzeszczeć, a nozdrza wypełnił mi swąd palonego mięsa. Dopiero po długim czasie napchała mu w usta pokrzyw i gałązek i schowała łeb do worka. W końcu wręczyła go Alice, by ta ukryła Złego swymi czarami.

\*

Niedługo po jedenastej wyruszyliśmy do domu „jejmości Fresque. Zamierzaliśmy zakłócić rytuał czarownic i jeśli się uda, zabić je wszystkie.

Przecieliśmy miasto i ruszyliśmy w głąb uliczki Krzywej, pod sklepieniem drzew. Było bardzo ciemno, lecz oczy przywykły mi stopniowo do otoczenia.

– Nie wywęszą nas? – wyszeptalem.

Czarownice z Pendle potrafią bronić się przed wykryciem; siódmi synowie siódmych synów też pozostają odporni, ale rumuńskie wiedźmy różniły się od naszych. Kto wie, jakimi mocami dysponują?

– Alice wkrótce się tym zajmie – poinformowała mnie Grimalkin. – Osłoni nas. Nasz atak kompletnie ich zaskoczy.

Zadrzałem. Dobrze było mieć po swej stronie kogoś tak potężnego, lecz myśl o mocach Alice coraz bardziej mnie martwiła.

Nagle usłyszeliśmy w krzakach coś dużego. Zbliżało się ku nam.

– To moroii! – Grimalkin dobyła noża.

– Dopóki pozostaniemy na ścieżce, będziemy bezpieczni – wyjaśniłem. – Oszczędź klingi. Mam własną broń, ale nie wykutą z metalu. Judd Brinscall nauczył mnie łatwego sposobu rozprawienia się z moroii.

To rzekłszy, schyliłem się i zerwałem dwie duże garście trawy, po czym cisnąłem je w stronę wielkiego niedźwiedzia. Natychmiast opadł na cztery łapy i zaczął węszyć dokoła.

– Liczy! – wyjaśniłem. – Rumuńskie żywiołaki mają obsesję: muszą liczyć i przeliczać każde źdźbło trawy. Dopóki nie skończy, nie może się stąd ruszyć.

Zostawiliśmy unieruchomionego moroii i znów ruszyliśmy ścieżką, aż w końcu wyrósł przed nami dom. Alice uniosła rękę, nakazując nam przystanąć. Potem zaczęła mamrotać pod nosem zaklęcie. Po plecach przebiegł mi lodowaty dreszcz.

W końcu umilkła, głośno wciągnęła powietrze i wskazała palcem drzwi.

– Gotowe – rzekła cicho. – Jesteśmy osłonięci – ukryci przed

oczami wrogów.

Unikając drzewa rosnącego pośrodku ścieżki, zbliżyliśmy się do wejścia. Przypomniałem sobie, jak postąpił Judd, wyłamując je kopniakiem. To był jednak dom, w którym mieszkały demony, spowity woalem ułudy. Ostrożność posłuży nam lepiej. Mieliśmy nadzieję zaskoczyć czarownice.

Drzwi były zamknięte, lecz mój specjalny klucz szybko to załatwił i w chwilę później znaleźliśmy się w bibliotece. Wyglądała tak jak wtedy, gdy ujrzałem ją po raz pierwszy, przychodząc z mistrzem. Nad nami ciągnęło się atrium o ścianach wyłożonych książkami aż po imponujący, stożkowy dach. Na parterze jedna księga natychmiast przyciągnęła mój wzrok. Podeszedłem do półki i wskazałem ją Grimalkin i Alice. To była „Doomdryte”.

– Musimy zniszczyć ją teraz – oznajmiłem. – Według Judda stanowi źródło mocy domu – to ona umożliwia złudzenia.

– Nie – ucięła stanowczo Grimalkin. – Nie mamy czasu. Tej księgi bronią potężne zaklęcia. Chcesz zaalarmować wrogów? Alice unieszkodliwi złudzenia. Później przeniknę ich obronę i spalę ten dom aż do fundamentów.

– Jeśli tak, zabierz najpierw „Doomdryte” i oddaj mnie albo mojemu mistrzowi, abyśmy ją spalili. Musimy mieć pewność. Na własne oczy musimy oglądać jej zniszczenie.

– Zrobię, jak prosisz – odparła Grimalkin. – Ale najpierw zajmijmy się nieprzyjaciółmi.

Otworzyłem drzwi naprzeciwko. Zamiast schodów wiodących w dół, ujrzałem niewielki pusty przedpokój, a po drugiej stronie kolejne uchylone drzwi.

Przez szczelinę dostrzegliśmy pięć czarownic siedzących w sporym pomieszczeniu. Meble odsunięto pod przeciwległą ścianę, odsłaniając deski podłogi. Dwie stały na straży, ręce splotły na piersiach, jedna patrzyła wprost na nas, szczęśliwie się zatem złożyło, że Alice osłoniła nas magią. Pozostałe trzy, głęboko skupione, zachowywały się nader osobliwie. Skulone na czworakach naprzeciwko siebie, niemal stykały się nosami. We

włosy wplotły gałązki, ale nie przypadkowo; w ich układzie dostrzegłem porządek. Głowę każdej wiedźmy ozdobił nastroszony pentagram. Między włosami była krew – dowód, że wbiły je sobie w czaszki w ramach rytuału przywołującego Siscoi.

Grimalkin ruszyła naprzód, szykując się do ataku, potem jednak przystanęła i wyciągnęła prawą rękę, jakby natknęła się na niewidzialną przeszkodę. Wyraźnie poirytowana, obróciła się ku nam.

– Mają barierę ochronną – wyszeptała.

Alice podeszła do niej i sięgnęła oburącz.

– Jest mocna – bardzo mocna. – Nie zatrzyma nas, ale to potrwa. – Zaczęła nucić cicho, ale nie tylko ona. Usta trzech skulonych czarownic także się poruszały, choć nie dobiegał z nich żaden dźwięk. W istocie wyłaniało się z nich coś białego i cienkiego – trzy ostre jak igły kawałki białej kości. Nagle czarownice wycofały się jednocześnie, jakby kierowane jednym umysłem. Wypluły kawałki kości, które upadły w taki sposób, że ich sześć końców utworzyło trójkąt. Wydawało się niemożliwe, by wiedźmy pomieściły w ustach tak wielkie kawałki. Natychmiast powtórzyły cały proces i na deskach spoczął drugi trójkąt, stykający się z pierwszym.

Gdy uczyniły to po raz trzeci, pojąłem ich zamiary: chciały ułożyć pięcioramienną gwiazdę, magiczny pentagram.

– Szybko! – syknąłem do Alice. – Musimy je powstrzymać, nim będzie za późno!

Przytaknęła. Mimo jej mocy, połączone zaklęcia rumuńskich czarownic okazały się prawdziwym wyzwaniem. Na jej czoło wystąpiły krople potu. Grimalkin w obu dłoniach ścisnęła sztylety, spięta do ataku. Musiała jednak zaczekać.

Gdy piąty kościany trójkąt wylądował na podłodze, trzy czarownice zakrzyknęły tryumfalnie. Potem kostkami lewych dłoni postukały jednocześnie trzy razy w deski. Kościany pentagram rozbłysnął; poszybował w górę, wirując, coraz większy i większy.

To on musiał być portalem. Lada chwila Siscoi wtargnie do

naszego świata!

W tym momencie Alice przełamała w końcu powstrzymującą nas barierę i Grimalkin pomknęła naprzód. W tej samej chwili osłona, ukrywająca nas przed wzrokiem czarownic, także ustąpiła i dwie strażniczki rzuciły się pomiędzy zabójczynię a swoje siostry. Były silne i groźne, lecz żadna z nich nie mogła się równać z Grimalkin. Krew bryznęła w górę, gdy wiedźma zabójczyni cięła i dźgała; rozległy się krótkie krzyki, a potem zapadła cisza.

Ja sam deptałem jej po piętach. Zamiast wstać nam na spotkanie, trzy pozostałe przy życiu czarownice pobiegły ku nam na czworakach, szczerząc zęby i szpony, gotowe nas rozszarpać. Dźgnąłem w dół laską, przeszywając serce najbliższej i przygważdżając ją mocno do drewna pod wstrząsanym drgawkami ciałem.

Uniosłem wzrok. Grimalkin zabiła jedną czarownicę i właśnie zajmowała się drugą, lecz wirujący pentagram znajdował się już dokładnie nad nią. Wewnątrz ujrzałem zwierzęcą, porośniętą łuskami twarz i ręce wampirzego boga, jego wargi wykrzywiały się w grymasie, ukazując ostre jak szpilki zęby i długie kły. Wydawał się zanurzony w gęstej, lepkiej czerwonej cieczy. Czy mogło to być coś poza jego ulubioną krwią? W Mroku kryje się wiele krain, każda ukształtowana i przystosowana do potrzeb i rozkoszy jej właściciela. Cóż zatem mogło odpowiadać mu bardziej, niżli ocean krwi?

A potem rozległ się dźwięk przypominający szum wody, spadającej z wielkiego wodospadu na skały – tyle że to była krew. Wylała się z wylotu pentagramu, zachlapując podłogę tuż przed Grimalkin. Widzieliśmy, jak Siscoi obraca się zręcznie, otwierając szeroko paszczę; ostre jak brzytwa kły były gotowe rozszarpać wiedźmę zabójczynię.

## **ROZDZIAŁ 24**

## PÓLNOC

Na chwilę serce podeszło mi do gardła. Wyglądało na to, że Grimalkin już nie żyje. Lecz Siscoi przeniknął wprost przez nią, a potem uniósł się i zniknął po drugiej stronie ściany. Zrozumiałem, że nadal pozostaje w postaci duchowej i na razie niczego nie może zrobić. Zmierzał jednak do wąpiodołu, gdzie czekało na niego nowe ciało, gotowe do opętania. Do północy zostało niecałych dwadzieścia minut.

– Spóźniliśmy się! – krzyknąłem.

Grimalkin stała tam zlaną krwią, jak przymurowana. Nawet ona wiedziała, że przegraliśmy.

Nagle usłyszałem w głowie głos. Natychmiast rozpoznałem do kogo należy. To był głos mamy!

– Jeśli się zawahasz, wszyscy zostanieie zniszczeni! Ty rozpocznij walkę z bogiem! Rozpraw się z nim, zanim wyjdzie z jamy! To twoja jedyna szansa! Ale tylko ty możesz tego dokonać, synu. Tylko ty możesz zabić wampirzego boga i przeżyć!

Oczywiście nie mógłbym tak naprawdę zabić jednego ze Starych Bogów. Jakież człowiek zdołałby to uczynić? Wiedziałem jednak, co ma na myśli mama. Gdybym zabił nosiciela, Siscoi nie mógłby się nim posłużyć i zagrożenie by minęło.

– Musimy zabić ciało w dole, nim się wydostanie! – krzyknąłem.

A potem bez dalszych wyjaśnień odwróciłem się i wypadłem z domu, Grimalkin i Alice biegły tuż za mną. Pędząc ścieżką, ujrzeliśmy moroii z pyskiem przy ziemi, nadal liczącego źdźbła trawy. Wkrótce skręciłem między drzewa i pojąłem, że bez najmniejszego trudu odnajdę wąpiodół: między pniami przed sobą widziałem promień ciemnoczerwonego światła. Gdy tam dotarłem, przekonałem się, że ktoś odciągnął na bok kamienne wieko jamy. To nam oszczędzi czasu i wysiłku. Odrzuciłem laskę i ściągnąłem płaszcz. W walce z Siscoi posłużę się Klingą Przeznaczenia i Rębaczem Kości.

Grimalkin położyła mi dłoń na ramieniu.

– Nie! – rzuciła. – Ja go zabiję, nie ty.

– Słyszałem głos mamy – odparłem. – Powiedziała, że tylko ja mogę tego dokonać i liczyć na to, że przeżyję.

– I tak pójdę z tobą. Nie mogę pozwolić, byś sam stawiał czoło Siscoi. Nawet twoja matka nie będzie rozkazywać Grimalkin.

Pokręciłem głową.

– Nie. Jeśli zginę, musisz walczyć dalej. Wciąż musisz chronić głowę Złego przed jego sługami, najdłużej jak to możliwe. Z pomocą Alice być może uda ci się znaleźć sposób pozwalający go zniszczyć.

– Tylko nasza trójka razem może na to liczyć – oznajmiła stanowczo Grimalkin. – Musimy przeżyć, a w tym celu musimy trzymać się razem. Alice będzie strzegła wylotu jamy i jeśli Siscoi przejdzie obok nas, spróbuje powalić go swoją magią. My dwoje zejdziemy, lecz pozostawię go tobie. Tu, na górze, szczeliny strzegą moroii, możliwe, że na dole czekają inni strażnicy. Ktoś w końcu zdjął ten kamień.

Pokiwałem głową. Jej słowa brzmiały sensownie. Alice podeszła do mnie i uściśnęła mnie mocno.

– Och, proszę, bądź ostrożny, Tomie. Co bym poczęła, gdyby coś ci się stało?

– Bądź gotowa, Alice, na wypadek gdybym zawiódł. Nade wszystko musisz powstrzymać Siscoi. Nie pozwól, by dostał w swoje ręce głowę Złego – nalegałem. To najważniejsze.

– Wątpię, czy zdołam go powstrzymać, ale spróbuję – odparła.

Podszedłem na skraj wątpiodołu i spojrzałem w dół. Jakaś część mnie sądziła, że idę na spotkanie śmierci, lecz w tym momencie pogodziłem się z tym. To był mój obowiązek: do niego przygotowywał mnie mistrz, całe moje szkolenie zmierzało do tej chwili. Wiedziałem, że czasami, aby ochronić innych, stracharz musi złożyć ostateczną ofiarę.

Światło świeciło mi w oczy, oślepiając, i szybko odwróciłem głowę. Pomyślałem, że nie wolno mi patrzeć prosto w nie.

Zerknąłem w górę, posłałem Alice uśmiech, skinąłem na

Grimalkin, po czym wskoczyłem do dołu stopami naprzód. Z jednej strony otwór był szeroki, ja wybrałem drugi, węższy. Przypominało to zsuwanie się w dół kominem, mogłem kontrolować tempo stopami i łokciami. Zadanie jednak utrudniał śluz pokrywający kamienie – pozostałości krwi i wątpi wrzucanych do dołu przez czarownice. W powietrzu unosiła się ohydna metaliczna woń krwi, zmieszana ze smrodem zgnilizny, rozkładu i zepsutego mięsa. Do gardła podeszła mi żółć, o mało nie zwymiotowałem. Na moment musiałem się zatrzymać, czekając, aż żołądek się uspokoi. Pożałowałem, że nie odciąłem kawałka płaszcza, by omotać wokół nosa i ust, ale teraz było już za późno.

Na ramiona posypał mi się grad kamyków i ziemi, strącony stopami Grimalkin, która podążyla za mną. Znów ruszyłem w dół i wkrótce pod sobą usłyszałem oddechy, a potem jęki, jakby cierpiało tam coś wielkiego.

Daleko pode mną skalny występ częściowo przysłonił ciemnoczerwone światło, toteż mogłem spojrzeć w dół. Uczyniłem tak i natychmiast pożałowałem. Zobaczyłem pod sobą olbrzymią postać, ludzką z kształtu, lecz dwakroć wyższą ode mnie. Leżała na skalnej półce, zwijając się i wciągając chrapliwie powietrze – szybko zorientowałem się dlaczego. Olbrzymia twarz była przeżarta rozkładem, z pustych oczodołów wypływała maź. To był pierwszy, dawny nosiciel – ten, którego uszkodziliśmy z Juddem, wsypując w szczelinę sól i żelazo.

Czy jego ruchy stanowiły bezrozumną reakcję pustego ciała, czy też w jakimś sensie był świadom? Czy odczuwał swe obrażenia niczym rozumna istota? Byłem pewien, że tak.

Każda minuta zbliżała nas do północy. Nowy nosiciel musiał leżeć jeszcze niżej, głębiej w dole. Chciałem jedynie wykonać zadanie, lecz coś wewnątrz mnie nie mogło znieść widoku podobnego cierpienia. Kiedy zrównałem się z olbrzymią postacią, zaparłem się kolanami o skałę. Wiedziałem, że nie sięgnę sztyletem, toteż wysunąłem z pochwy Klingę Przeznaczenia. Starannie oceniłem odległość i choć w ostatniej chwili musiałem



zamknąć oczy, zdołałem zrobić to, co konieczne, rozcinając gardło stwora. Kiedy uniosłem powieki, krew ściekała mu po piersi, spływając kaskadą w dół szczeliny.

Olbrzymie ciało szarpnęło się, dygocząc, jakby próbowało zerwać niewidoczne łańcuchy, a potem z westchnieniem opadło na kamień i znieruchomiało. Tłące się w nim życie opuściło je. Dokonałem aktu łaski – ale czy także zmarnowałem cenne sekundy, potrzebne do rozprawienia się z Siscoi?

Schowałem miecz i znów ruszyłem w dół. Tu skały były jeszcze bardziej zdradliwe, umazane świeżą krwią. Nagle, oślepiiony światłem, pośliznąłem się i na moment straciłem uchwyt. Zamarłem na dłuższą chwilę, dygocząc ze strachu. Katastrofa była bardzo blisko, zdawało się, że jest nieunikniona. Potem zebrałem się na odwagę i podjąłem wędrówkę.

Wkrótce znalazłem się na szerokiej półce, gdzie mogłem stanąć oparty plecami o skałę i rozprostować dygoczące ręce i nogi. Pod sobą widziałem kolejny etap, a z trzech stron wokół mnie mieściły się okryte zasłoną ciemności otwory, przypominające wyloty licznych jaskiń. Nagle zrozumiałem, że Grimalkin miała rację: istotnie umieszczono tu na straży inne stworzenia. Teraz słyszałem nowe dźwięki – miarowe zbliżające się kroki, ciężkie oddechy i w końcu gniewny warkot. W sekundę później pojawili się wrogowie, ich oczy błyszczały w mroku niczym morze czerwonych punkcików. Na moment sytuacja skojarzyła mi się z piwnicą, w której, w obliczu przeważających sił nieprzyjaciela, umknąłem niczym tchórz.

Lecz tym razem nie ucieknę. Dobyłem Rębacza Kości, ściskając go w prawej dłoni, w lewej trzymałem Klingę Przeznaczenia. Grimalkin zeskoczyła obok mnie, w obu rękach unosiła sztylety i razem wyszliśmy im na spotkanie. Dostrzegłem zęby i szpony, twarz zalał mi odrażający oddech strzygonia, pchnąłem jednak klingami i z satysfakcją poczułem, jak sztylet wbija się w ciało – choć było to martwe ciało demona. Mój miecz, z dłuższym ostrzem, spisywał się lepiej: odrąbałem nim głowę najbliższego strzygonia,

która poturlała się po ziemi i wpadła do jamy. U mego boku Grimalkin cięła w prawo i lewo ze śmiertcionołą precyzją, kosząc głowy i odpierając nieprzyjaciół z gwałtownością, która przeraziła nawet ich.

Strzygonie były szybkie, lecz walcząc z tak bliska, straciły większość przewagi. Wymierzałem kolejne ciosy, aż w końcu napór zelżał. Wówczas Grimalkin pchnęła mnie w stronę jamy i stanęła na straży, unosząc sztylety w oczekiwaniu kolejnego ataku.

– Schodź tam! – poleciła. – Zostało niewiele czasu. Ja ich powstrzymam!

Nie protestowałem, z pewnością dochodziła już północ. Możliwe, że się spóźniłem, może Siscoi przejął już władanie nad nosicielem. Schowałem miecz i Rębacza Kości, a potem znów zacząłem zsuwać się w dół szybu.

W miarę, jak się obniżałem, metaliczne szczęki, sapnięcia i krzyki bitwy w górze słabły; wkrótce ustąpiły miejsca innemu odgłosowi. Znów usłyszałem oddech... To był nowy nosiciel. Tym razem nie będzie ślepy. Wampirzy bóg z pewnością już go opętał i kiedy wybiję północ, wyłoni się z dołu.

Dźwięk stawał się coraz głośniejszy, aż w końcu poczułem na twarzy i dłoniach ów oddech. Zalała mnie fala ostrego odoru. A potem stopy odnalazły podłoże: stałem na dnie jamy.

Obróciłem się i ujrzałem naprzeciw siebie Siscoi. Poprzedniego nosiciela trudno było dostrzec, bo oślepiało mnie światło bijące z dołu. Teraz ujrzałem jego źródło. Promieniowało z wielkiej postaci, którą teraz widziałem wyraźnie: pojąłem natychmiast, iż wampirzy bóg już ją opanował. Oczy miał szeroko otwarte i patrzył wprost na mnie.

Ten nosiciel pozostał nietknięty. Siedział z nogami wyciągniętymi przed siebie, plecami oparty o skalną ścianę. Wielkie ciało pokrywały czerwone łuski, z każdego jaszczurczego palca u rąk i nóg wyrastały ostre szpony. Choć większy niż poprzedni, był dość szczupły, bardziej szybki niż silny. Głowę miał bezwłosą, wydłużoną, niemal trójkątną ze spłaszczonym nosem,

sponad którego spoglądały szeroko rozstawione oczy drapieżcy.

Zastanawiałem się, ile czasu zostało do północy? Jak długo, nim ten leniwy stwór zamieni się w oszalałą bestię poruszającą się szybciej niżli ogarnia oko?

Odpowiedź nadeszła natychmiast. Bóg wciągnął w siebie głęboki chrapliwy oddech, po czym uniósł się na kolana i otworzył usta, odsłaniając zęby. Zaciskał je, napinając mięśnie gardła i szczęki. Miał cztery długie kły, reszta przypominała igły – ten stwór nie potrzebował przeżuwać pokarmu. A potem wargi poruszyły się i Siscoi przemówił nisko, przeciągle, jakby wciąż na wpół spał.

– To dobrze, że przyszedłeś do mnie – rzekł. – Krew z twojego mizernego ciała stanie się dla mnie przekąską przed główną ucztą.

Nie odpowiedziałem. Zamiast tego dobyteм Klingi Przeznaczenia i ruszyłem ku klęczącej postaci.

Teraz miałem okazję wykorzystać dar spowalniania czasu.

*Skup się! Ściśnij czas! Zatrzymaj go!*

Postąpiłem kolejny krok, usiłując się skoncentrować.

*Skup się! Ściśnij czas! Zatrzymaj go!*

Wampirzy bóg roześmiał się, dźwięk ów odbił się echem od ścian szczeliny.

Ogarnęła mnie rozpacz; całym swym jestestwem skoncentrowałem się na zatrzymaniu czasu. Lecz dar mamy najwyraźniej mnie opuścił. Jeśli szybko z niego nie skorzystam, moje życie dobiegnie końca.

– Sądzisz, że twoje żalodne moce na mnie zadziałają? – spytał bóg. – Jestem Siscoi, dysponuję siłą i szybkością zdolną odparować wszystko, czym mnie zaatakujesz. Naprawdę wierzysz, że mój mistrz posłałby mnie przeciw tobie, nie dając mi środków do skontrolowania twoich sztuczek? Jego słudzy złączyli swe siły i przelali we mnie moc.

Czyżby faktycznie był odporny na mój dar? Czy to w ogóle możliwe? Zły także manipulował czasem i kiedy zwabiliśmy go do jamy, aby przeszyć srebrnymi włócznie i gwoździami, jedynie dzięki zaskoczeniu zyskałem przewagę. Jeśli inni słudzy Mroku dysponowali podobną mocą i w jakiś sposób przelali ją w Siscoi, moja sytuacja wyglądała beznadziejnie.

Wtedy jednak w mojej głowie znów odezwała się mama.

– Wpadnij w rozpacz, a zostaniesz pokonany i zniszczony. Nade wszystko musisz

wierzyć w siebie. Jeśli naprawdę jesteś bronią, którą wykułam, by unicestwić Złego, teraz musisz tego dowieść. W przeciwnym razie wszystkie moje wysiłki spełzną na niczym i nie będziesz godzien nazywać się moim synem!

Słowa te niczym sztylet wbiły mi się w serce. Jak mama mogła być tak okrutna? Czy rzeczywiście byłem tylko bronią – przedmiotem służącym do odniesienia zwycięstwa? Po wszystkich zmaganiach z Mrokiem, jak mogła sugerować, że nie jestem godzien? Oprócz niedawnej ucieczki z piwnicy, po ponad trzech latach walki z Mrokiem, zawsze dokładałem wszelkich starań, nie zważając na swoje szanse. Nie potrafiła tego docenić? Bardzo się różniła od ciepłej, czulej matki, którą znałem na farmie. Nagle przepełnił mnie gniew. Odetchnąłem głęboko i skierowałem go nie na mamę, lecz na Siscoi.

Znów zacząłem się koncentrować i teraz poczułem, że czas spowalnia. Oczy boga zamigotały złowieszczo, ja jednak zrobiłem kolejny krok, unosząc miecz. Skupiłem się jeszcze bardziej. Oczy boga się poruszały, lecz migotanie zamieniło się w powolny ruch górnych powiek.

A teraz z rubinowych oczu Klingi Przeznaczenia zaczęła kapać krew. Miecz był równie spragniony jak sam wampirzy bóg! Nagle poczułem ruch u pasa. Rębacz Kości poruszył się i obrócił, jakby chwyciła go niewidzialna ręka. On także pragnął dołączyć do bitwy.

Właśnie miałem go dobyć, wówczas jednak zobaczyłem, jak wzrok Siscoi skupia się na kroplach krwi ściekających z Klingi Przeznaczenia. Krew fascynowała boga; odciągała jego uwagę.

Wykorzystując to, zamachnąłem się mieczem w stronę olbrzymiej głowy. Wycelowałem dobrze i gdyby klinga dotarła do celu, rozszczepiłbym bezwłosą czaszkę Siscoi. Lecz nie do końca panowałem nad czasem. Bóg wciąż ze mną walczył i w chwili gdy miecz opadał, obrócił łeb.

Odciałem mu lewe ucho, które powoli poleciało na kamienie, obracając się niczym czerwony jesienny liść na wilgotnym mroźnym wietrze, który w Hrabstwie zwiastuje nadejście zimy.

Bóg krzyknął. Jego ryk bólu i gniewu był tak donośny, że ściany jamy zadrżały i z góry posypały się niewielkie kamyki, ziemia i kurz.

Odetchnąłem głęboko i poprawiłem postawę tak, jak uczyła mnie Grimalkin. Ponownie spróbowałem skupić umysł, teraz jednak Siscoi powstał z miejsca, górując nade mną.

Zamachnąłem się mieczem w górę, z prawej w lewo; celowałem w szyję, z nadzieją, że zdołam odciąć głowę. Lecz nasza walka wkroczyła w nową fazę: moc Siscoi rosła, podczas

gdy moja mała. Moja klinga poruszała się powoli, a tymczasem szponiasta dłoń opadała błyskawicznie ku mej twarzy. Bóg z łatwością uniknął miecza, poczułem palący ból, gdy szpony rozorały mi czoło. Opadłem na kolana, a on znów rzucił się na mnie. Ponownie nie zdołałem go uniknąć, choć udało mi się przeżyć. Tym razem rąbnął mnie pięścią, usiłując strzaskać mi czaszkę i ogłuszyć, by w spokoju wysączyć ze mnie krew. Jednak zdołałem się przekreślić, choć cios zbił mnie z nóg, i odturlałem się aż pod kamienną ścianę.

Podniosłem się z trudem, świat wokół wirował, zalewały mnie fale mdłości. Próbowałem wstać, lecz nogi miałem zbyt słabe, by mnie utrzymały. Siscoi mógłby mnie wykończyć zanim bym się zorientował, nie śpieszył się jednak. Wiedział, że to już koniec. Zwyciężył. Przestałem panować nad czasem.

Wówczas jednak usłyszałem kolejny głos. Nie zabrzmiał w mojej głowie, jak ten mamy. To był głos z przeszłości – głos Grimalkin, wiedźmy zabójczynie.

– Czy to już koniec? Czy wreszcie cię pokonano? Nie! Dopiero zacząłeś walczyć! Wierz mi ja to wiem. Jestem Grimalkin.

Słowa te ciskała we mnie raz po raz, gdy uczyła mnie władać Klingą Przeznaczenia. Przypomniałem sobie piwnicę w Irlandii, gdzie po raz pierwszy stanęliśmy do walki – byłem pewien, że zamierza mnie zabić; potem, w ciągu tygodnia nauczyła mnie walczyć w sposób, któremu nie zdołałby dorównać nawet twardy, zaprawiony w bojach Bill Arkwright. Słowa te podjudzały mnie, nakazywały nie ustępować, gdy byłem zbyt zmęczony. Raz jeszcze przypomniałem sobie jej głos.

– Wstawaj i walcz! Teraz! Zabij swojego wroga! Zabij go, zanim on zabije ciebie! Bądź jak ja! Jak Grimalkin! Nigdy nie trać wiary! Nigdy się nie poddawaj! Zmusiłem się, by wstać i uniosłem oburącz ostrze.

## **ROZDZIAŁ 25**

### **KREW STRACHARZA**

Znów zacząłem koncentrować się na spowalnianiu czasu. Oczy zalewały mi pot i krew, ledwie widziałem. Otarłem je grzbietem prawej dłoni, a potem uchwyciłem mocniej miecz.

Siscoi wpatrywał się we mnie, lecz czas znów zaczął zwalniać. Ja się poruszałem, on stał bez ruchu. Teraz naprawdę rozrąbię mu

czaszkę – mogłem to zrobić. Postąpiłem krok, by cel znalazł się w zasięgu. Wówczas jednak, gdy zacząłem opuszczać ostrze, otworzył szeroko paszczę. Ponownie rzucił wyzwanie mojemu panowaniu nad czasem, narzucając mu własną wolę.

Zerknąłem na ostre kły, nie stanowiły jednak natychmiastowego zagrożenia. Coś wysunęło się z ust Siscoi, tak szybko, że ledwie zdążyłem zareagować. Uskoczyłem w lewo i owo coś o włos chybiło mojej prawej skroni.

Z początku sądziłem, że czymś we mnie splunął, wkrótce jednak pojąłem, że był to jego język. Długi na co najmniej sześć stóp, gruby i fioletowy, pokryty ostrymi kolcami przypominającymi cienkie haczyki, otarł się o skałę po mojej prawej, zamieniając górną warstwę w kamyki i pył. Gdyby trafił mnie w twarz, bez trudu oderwałby ciało od kości.

Cofnąłem się szybko o trzy kroki. Język boga wycofał się do ust, Siscoi wykrzywił się wściekle. Ruszył ku mnie, sięgając mi do gardła, ja jednak machnąłem w górę mieczem i trafiłem go w lewe ramię. Ponownie wrzasnął z bólu.

Tym razem został ranny. Klinga Przeznaczenia przeniknęła ochronne łuski. Po ręce ściekała mu czarna krew, kapiąc na ziemię.

Okazało się, że mogę się skutecznie bronić i to mnie zdziwiło. Do mocy Siscoi zaliczała się niewiarygodna szybkość, czemu zatem z niej nie skorzystał? Mogło to oznaczać tylko jedno – nie mógł! Do pewnego stopnia nadal panowałem nad czasem. W obliczu podobnego wroga nie zdołałem go zatrzymać, uczyniłem jednak dosyć, by móc walczyć.

Naszykowałem miecz. Siscoi ponownie zaatakował i kierując się instynktem, skoczyłem naprzód, tnąc mocno. Tym razem nie trafiłem, ale zdołałem odeprzeć go o parę kroków. Potem wycofałem się tak szybko, jak mogłem, uskakując przed długim językiem pełnym śmiercionośnych haczyków. Nagle znalazłem się w skalnym pęknięciu; ucieczka na boki była niemożliwa. Wargi Siscoi wygięły się w uśmiechu, otworzył je szeroko. Język wystrzelił ku mnie niczym fioletowa rozmazana plama. Bóg

zapędził mnie w pułapkę, nie miałem dokąd uciec.

Pozostało tylko jedno: ruszyć naprzód! Uniknąłem języka i podszedłem tak blisko, że znalazłem się niecałą stopę od wroga. A potem, nim zdążył wycofać język, machnąłem mieczem w szerokim łuku, odrąbując go. Runął na ziemię, gdzie zwijał się i skręcał niczym olbrzymi wąż, a tymczasem z ust Siscoi wytrysnął czarny wodospad krwi, rozbryzgując się u stóp. Od wycia boga zadygotała ziemia, same kamienie zdawały się krzyczeć.

Teraz miałem okazję go wykończyć. Kiedy skręcał się z bólu, znów ciąłem w szyję. Lecz w chwili, gdy sądziłem już, że wygrałem, wszystko poszło nie tak. Jedyne go osłabiłem – i odkryłem to na własnej skórze. Szponiasta stopa wystrzeliła w górę, jakby chciała mnie wypatroszyć. Unikając ciosu, odsłoniłem się na uderzenie lewej dłoni, która o mało nie wyrwała mi ręki ze stawu. Ból powalił mnie na kolana. Co gorsza, Klinga Przeznaczenia wyleciała mi z palców.

Siscoi rzucił się na mnie, wciąż plując krwią. Zdążyłem jedynie dobyć Rębacza Kości i dźgnąć go. Przebiłem mu pierś w dwóch miejscach, on jednak podniósł mnie jak dziecko, wprost ku otwartej paszczy.

Jego kły wbiły mi się w szyję. Nie czułem bólu. Zaczął wysysać mi krew; pulsowała mi w żyłach, a serce biło coraz wolniej.

Sytuacja wyglądała beznadziejnie, pamiętny jednak słów Grimalkin nadal walczyłem. Nie chciałem umrzeć. Pragnąłem znów zobaczyć Alice i swoją rodzinę. Siscoi odbierał mi przyszłość, której wyczekiwałem – życie stracharza. Szamotałem się, próbując się wyrwać i rozpaczliwie dźgałem wampirzego boga, lecz sztylet najwyraźniej nie działał i wkrótce zanadto osłabiłem, by go utrzymać. Wyśliznął mi się z palców i poczułem jak serce bije jeszcze leniwiej. Opadałem w mrok, ku śmierci.

I wtedy uszy wypełnił mi głośny krzyk. Czyżby to był mój głos? A może wydarł się z gardła Siscoi? Nigdy nie słyszałem dźwięku tak pełnego rozpacz. Zupełnie jakby sama ziemia krzyczała w cierpieniu.

A potem poleciałem w nieprzeniknioną ciemność. Moja ostatnia myśl dotyczyła Alice.

Ostatnie słowa wypowiedziane w głowie przeznaczyłem dla mamy.

– Przykro mi, mamó. Przepraszam, że cię zawiodłem. Starałem się jak mogłem. Spróbuj nie myśleć o mnie źle.

\*

Czekałem w ciemności, zdawało się, że całą wieczność. Serce już mi nie biło; nie oddychałem – ale nie czułem strachu. Odnalazłem spokój, pozostawiając za sobą wszelkie troski i zmagania.

A potem usłyszałem dźwięk, który zapamiętałem z dzieciństwa: skrzypienie fotela na biegunach. Ujrzałem, jak w ciemności nabiera kształtów lśniąca sylwetka.

To była mama – nie straszliwa lamia, lecz czuła, kochająca matka, którą tak dobrze znałem. Siedziała w fotelu i uśmiechała się do mnie, kołysząc w przód i w tył, jak wtedy, gdy była szczęśliwa i odprężona.

– Jesteś wszystkim, na co mogłam liczyć – oznajmiła. – Wybacz mi moje wcześniejsze ostre słowa. Wówczas były konieczne. Jestem z ciebie dumna, synu.

Jakie „ostre słowa” miała na myśli? Nic nie rozumiałem. Gdzie ja byłem? Umarłem?

Wciąż z uśmiechem mama zaczęła rozpływać się w ciemności. Teraz ujrzałem kolejną postać: dziewczynę w szpiczastych trzewikach, w czarnej sukience przewiązanej w pasie kawałkiem sznurka. Alice.

– Przyszłam się pożegnać, Tomie. Tak naprawdę nie chcę iść, ale nie mam zbytniego wyboru, prawda? Zaczekaj na mnie, Tomie, proszę. Nie poddawaj się. Nigdy się nie poddawaj – rzekła.

Dokąd się wybierała? Próbowałem spytać, lecz zniknęła, nim zdołałem wydobyć z siebie choć słowo.

I nagle leżałem w łóżku. Znów oddychałem, serce biło mi miarowo. Między rozsuniętymi zasłonami ujrzałem ciemność.



Pojałem, że znalazłem się w swoim pokoju w gospodzie w Todmorden. Na stoliku obok stała świeca, w jej migotliwym blasku zobaczyłem kogoś siedzącego obok łóżka. Postać patrzyła na mnie. To była Grimalkin.

– No, w końcu wróciłeś – rzekła. – Trzy dni i noce leżałeś nieprzytomny. Mimo starań Alice, która uleczyła ci ciało, obawiałam się, że twój umysł mógł zostać nieodwracalnie zniszczony.

Z trudem usiadłem na łóżku. Czułem się słaby, zlany potem. Ale żyłem.

– Co się stało? – spytałem. – Starałem się, jak mogłem. Przykro mi, ale nie byłem dość silny. Czy sama zdołałaś go wykończyć?

Wiedźma zabójczyni pokręciła głową.

– Nie, kiedy zeszałam tam, by cię wynieść, już nie żył.

– Wysysał ze mnie krew, ale walczyłem do końca. Może przebiłem mu sztyletem serce?

– To go nie zabiło – odparła Grimalkin – zrobiła to twoja krew.

Pokręciłem głową.

– Nie rozumiem...

– Twoja krew okazała się bronią – bardzo specjalną bronią. Krew stracharza, siódmego syna siódmego syna, połączona z krwią twojej matki, pierwszej i najpotężniejszej ze wszystkich lamii. Dla wampirzego boga okazała się śmiertelną trucizną – tak jak przewidziała twoja matka. Objawiła się Alice wkrótce po śmierci Siscoi i jej to powiedziała.

Nagle przypomniałem sobie, jak bóg przybył odziany w skórę Cosminy – wciąż mógł na krótko opętywać innych.

– Będzie pragnął zemsty! – powiedziałem do Grimalkin. – Wróci tu. Wciąż nam zagraża.

Zabójczyni pokręciła głową.

– Siscoi nikomu już nie zagraża. Nie tylko zniszczyłeś nosiciela; zabiłeś samego wampirzego boga. Straszliwy krzyk wzniósł się z ziemi aż po niebiosa. Twoja matka powiedziała Alice, że był to sam Mrok, wrzeszczący z rozpaczą po utracie jednego z

najpotężniejszych Starych Bogów. Osłabiłeś naszych nieprzyjaciół. Głowa Złego znów umilkła i nie da się z niej wyciągnąć żadnej odpowiedzi – a wierz mi, próbowałam, i to bynajmniej nie delikatnie.

Zdumiała mnie wiadomość, że moja krew doprowadziła do śmierci Siscoi. Mama z pewnością wiedziała to od początku. Ale zapłaciliśmy wysoką cenę. James zapewne nie żył, a Zły polecił swym sługom zabić innych moich braci.

– On znów spróbuje – rzekłam. – Mówił, że ma więcej sług niż gwiazd na niebie. Nigdy się nie podda!

– Zatem my musimy to zakończyć.

Przytaknąłam.

– Zabrałaś „Doomdryte”? – spytałam.

– Kiedy poszłam spalić dom Fresque, biblioteka była pusta. Nie znalazłam ani śladu książek. Także „Doomdryte”. Ale i tak go spaliłam.

– W takim razie muszą ją mieć nasi wrogowie.

– Należy tak założyć.

Oto kolejne zagrożenie; coś, czemu będę musiał stawić czoło w przyszłości.

– Gdzie jest Alice? – spytałam.

– Wyruszyła w Mrok – odparła Grimalkin. – Na poszukiwanie trzeciego świętego przedmiotu.

\*

Dopiero po dwóch tygodniach odzyskałem dość sił, by wrócić do Chipenden. W tym czasie Grimalkin oczyściła wzgórze z pozostałych rumuńskich stworów. Spaliła też ich domy. Żadne z nich nie powróci z martwych. Lecz choć szukała „Doomdryte”, nie znalazła go.

Należąca do Hrabstwa część Todmorden także pozostała pusta, wszyscy mieszkańcy zniknęli. Poważnie wątpię, by śpieszyło im się do powrotu.

Mogliśmy znów skorzystać z pomocy Bensona i jego wozu, wolałem jednak pójść pieszo, by stopniowo odbudować siły. Powrót

do domu zabrał mi niemal trzy dni.

Grimalkin mi towarzyszyła, każdego wieczoru rozmawialiśmy, kreśląc plany na przyszłość. Wszystko zależało od tego, czy Alice powróci z Mroku, przynosząc trzeci święty przedmiot. Nieustannie niepokoiłem się, myśląc o niej. Najgorsze było poczucie niemocy – w żaden sposób nie zdołałbym jej pomóc.

Podczas pierwszej naszej rozmowy wiedźma zabójczyni wstrząsnęła mną do głębi.

– Alice wie, że musisz ją złożyć w ofierze, Tomie – oznajmiła bez ogródek.

Przez kilka chwil oddech zamarł mi w piersi, wbiłem wzrok w dogasający żar.

– Skąd może wiedzieć? – spytałem w końcu.

– Jak ci mówiłam, dysponuje bardzo silną magią. Postrzegła to.

– Czy widziała własną śmierć? – spytałem z walącym w piersi sercem.

– Widziała, jak szykujesz się, by odebrać jej życie, potem jednak lustro pociemniało.

– Pociemniało? To chyba dobrze, prawda? To oznacza, że przyszłość wciąż pozostaje niepewna. Alice wspominała mi kiedyś o tym – mówiła, że przy zbyt wielu zmiennych przyszłości nie da się przewidzieć, więc lustro ciemnieje.

– Istnieje jeszcze inny powód. Czarownica nie może postrzec własnej śmierci. Muszę jednak wiedzieć – czy jesteś gotów złożyć Alice w ofierze, aby zniszczyć Złego?

– Nie wiem, czy potrafię – przyznałem szczerze. – Za bardzo zależy mi na Alice. Jak mógłbym ją poświęcić?

– Rozmawiałam o tym z Alice. Jeśli nie znajdziemy innego sposobu, jest gotowa zginąć z twoich rąk.

– Musimy znaleźć inne wyjście!

– Na pewno spróbujemy, ale kończy nam się czas. Już mamy czerwiec.

\*

W Chipenden zastaliśmy stracharza w nieco lepszym zdrowiu.

Chodziło mu się łatwiej, nadal jednak wyglądał krucho i był cieniem mężczyzny, który cztery lata wcześniej przyjął mnie do terminu.

Późnym popołudniem rozmawialiśmy przy kuchennym stole, patrząc, jak ogień migocze na palenisku. Uważałem, że jest za ciepło, lecz mistrz ciasniej opatulił się płaszczem, jakby dla ochrony przed chłodem.

Najpierw rozmawialiśmy o „Doomdryte”.

– Kto wie, gdzie jest teraz – rzekł ponuro. – Bez wątplenia w rękach sług Złego. Problem w tym, że ktoś może spróbować zaklęcia.

– Mało jednak prawdopodobne, by mu się udało – odparłem, próbując dodać stracharzowi otuchy, choć po prawdzie także czułem przygnębienie; mój brat z pewnością nie żył i nie miałem pewności, że kiedykolwiek jeszcze zobaczę Alice. Nawet jeżeli wróci, czekał nas dalszy ból i groza.

– To prawda, chłopcze. Pamiętasz, co napisałem o niej w bestiariuszu?

– Częściowo – rzekłem niepewnie. – Wiem, że zaklęcie trudno jest dokończyć.

– Częściowo! To nie wystarczy, chłopcze! Musisz lepiej się spisać. Najważniejsze, byś zaczął myśleć i zachowywać się jak stracharz. Chodź ze mną! – polecił.

Mistrz poprowadził mnie do nowej biblioteki. Powoli wspinał się po schodach i nim dotarliśmy do drzwi, zabrakło mu tchu.

– Proszę! – Pchnięciem otworzył drzwi, ukazując, co kryje się w środku. – I co o tym myślisz? Poczulem woń świeżego drewna i zobaczyłem rzędy pustych półek.

– Wspaniała – odparłem. – Pełna obietnic. Teraz potrzebuje tylko nowych książek, i to całego mnóstwa. Wówczas zasłuży na miano biblioteki.

Mówiąc to, uśmiechałem się. Stracharz odpowiedział uśmiechem; nie stracił poczucia humoru. Poprowadził mnie do regału naprzeciw okna. Na środkowej półce, oparte o siebie, stały

trzy pierwsze tomy w nowej bibliotece. Odczytałem tytuły: „Bestiariusz stracharza”, „Dzieje Mroku”, „Czarownice z Pendle”.

Mistrz zaczął pracę nad dwiema pozostałymi, gdy ukrywaliśmy się na wyspie Mona. Ukończył, nim opuściliśmy Irlandię, by powrócić do Hrabstwa.

Teraz uniósł bestiariusz i umieścił mi w dłoni.

– Przeczytaj, co napisałem na temat „Doomdryte”!

Zacząłem szybko przerzucać kartki, w końcu znalazłem właściwe miejsce.

– Niewiele tego – zauważyłem.

– Wystarczy, chłopcze, przeczytaj na głos cały fragment o grimoire'ach.

– Są to starożytne księgi pełne zaklęć i opisów rytuałów, służących do przywoływania Mroku – zacząłem. – Czasami używają ich czarownice, zwykle jednak służą magom. Zawarte w nich zaklęcia trzeba powtórzyć co do joty, inaczej można zapłacić życiem.

Wiele owych sławnych ksiąg zaginęło bez śladu, na przykład „Patrixa” i „Klucz Salomona”. Najniebezpieczniejsze i najpotężniejsze grimoiry zapisali jednak w Dawnej Mowie pierwsi mieszkańcy Hrabstwa. Pierwotnie służące do przywoływania demonów, księgi te kryją w sobie straszliwą mroczną magię. Większość z rozmysłem zniszczono bądź ukryto przed ludzkim okiem.

Najbardziej tajemniczą i ponoć najniebezpieczniejszą z owych ksiąg jest „Doomdryte”. Niektórzy wierzą, że została słowo po słowie podyktowana przez Złego magowi imieniem Lukrasta. Grimoire ów zawiera tylko jedno długie zaklęcie mrocznej magii. Jeśli ktoś wypowie je dokładnie (w połączeniu z pewnymi rytuałami), obdarzy ona maga boskimi mocami, odpornością na ciosy i nieśmiertelnością.

Na szczęście nikomu jak dotąd się to nie udało, zadanie wymaga bowiem całkowitego skupienia i wielkiej wytrzymałości: odczytanie księgi na głos trwa trzynaście godzin i ani razu nie

można przerwać.

Wystarczy jedno źle wymówione słowo, by sprowadzić na maga natychmiastową śmierć. Lukrasta jako pierwszy usiłował odprawić rytuał i jako pierwszy zginął. Wielu innych głupców podążyło później w jego ślady.

Musimy mieć nadzieję, że „Doomdryte” nigdy nie zostanie odnaleziona.

– Wystarczy, chłopcze – przerwał mi stracharz. – Dostrzegasz zatem niebezpieczeństwo? Rumuńskie stwory korzystały jedynie z mocy promieniującej z księgi, by karmić swoje złudzenia. Co jednak, jeśli ktoś użyje jej zgodnie z przeznaczeniem?

Wzruszyłem ramionami.

– Wydaje mi się mało prawdopodobne, by ktokolwiek mógł z powodzeniem ukończyć rytuał.

– Jak bardzo nieprawdopodobne? Zły i jego słudzy wpadają w desperację, a to oznacza, że zastosują rozpaczliwe środki. Martwi mnie ta księga i ciebie też powinna, chłopcze! Może przebywać gdzieś w Hrabstwie. Zagrożenie jest bardzo bliskie.

– A skoro mowa o książkach, mam coś do pana zbiorów! – oznajmiłem.

Otworzyłem torbę i wyjąłem trzy tomy. Były to notatniki, które prowadziłem podczas trzech lat terminu.

– Dziękuję, chłopcze – rzekł. – To dla nich najlepsze miejsce. Będiesz mógł przychodzić tutaj i sięgać do nich, gdy tylko pojawi się taka potrzeba.

– I jeszcze jedną – dodałem lekko nerwowo, znów sięgając do torby. Nie miałem pewności, jak zareaguje stracharz. – Alice zamierzała złożyć relację z dwóch lat nauki u Kościstej Lizzie; zamiast tego napisała to, uznawszy, że bardziej nam się przyda.

Stracharz wziął ode mnie książkę i odczytał tytuł z grzbietu – „Sekrety kręgów z Pendle”. Otworzył na pierwszej stronie i przebiegł wzrokiem po równych rzędach pisma Alice.

Nagle zatrzasnął książkę, patrząc na mnie twardo.

– Uważasz, że jej miejsce jest na półkach tej biblioteki? – spytał

ostro.

– Traktuje o magii używanej przez czarownice, o ich mocnych i słabych punktach. Powinna bardzo nam pomóc! – nalegałem.

– Cóż, chłopcze, to twoja decyzja – mruknął stracharz – bo to już twoja biblioteka. Póki nie oddasz jej następnemu stracharzowi. Tymczasem sam zadecydujesz, co znajdzie się na tych półkach. Kolana odmówiły mi posłuszeństwa, straciłem wiatr w żaglach – dodał ze smutkiem. – Został ci jeszcze rok do ukończenia terminu, lecz we wszystkim prócz nazwy od tej chwili zostałeś stracharzem z Chipenden. Więc zacznij myśleć jak stracharz! Wciąż będę ci doradzać, ale od tej pory brzemię tej pracy musi spocząć na twoich barkach. Co powiesz?

– Dołożę wszelkich starań – odparłem.

– Owszem, chłopcze, dołóż wszelkich starań. To wszystko, co każdy z nas może zrobić.

\*

Ponownie większość z tych wydarzeń opisałem z pamięci, jedynie w razie konieczności sięgając do notatników.

Wczoraj otrzymałem list od najstarszego brata, Jacka. Pisał, że James zaginął, ale jeszcze nie tracą nadziei. Jack był pewien, że któregoś dnia wróci. Nie wiem, co odpowiedzieć. Czy lepiej pozwolić, aby na razie żył nadzieją? Gdybym powtórzył mu, co wiem, Jack i tak by mnie obwinił. Uważa, że moja praca ucznia stracharza ściągnęła na naszą rodzinę wyłącznie nieszczęścia. Ma rację. Sądzę, że James nie żyje, zabity przez sługi Złego: gdyby nie to, że był moim bratem, nie pozbawiliby go życia.

Codzienna praca stracharza trwa dalej, kiedy jednak na rozstajach rozlega się dzwon, teraz to ja rozwiązuję problemy. Sam rozprawiam się z duchami, boginami i od czasu do czasu wiedźmami. Mistrz wiele czasu spędza w ogrodzie. Wydaje się starszy, broda zupełnie mu posiwiała. Przypomina mi starców oglądanych w dzieciństwie – tych, którzy siadali na rynku w wiosce Topley. Wyglądali, jakby wycofali się z życia i czekali na śmierć, zadowalając się wspomnieniami i obserwowaniem innych.

Myślę, że John Gregory także czeka na śmierć, i to mnie smuci. To kolejne brzemię, które muszę dźwigać.

Judd Brinscall zabrał ze sobą trzy psy i odszedł na północ od Caster, by urządzić się w wodnym młynie. Przejął terytorium strzeżone niegdyś przez Billa Arkwrighta i z zapalem oczyszcza je z niezliczonych wodnych wiedźm. Bardzo starałem się mu wybaczyć zdradę stracharza, nadal jednak nie mogę o niej zapomnieć. Potrzebuję więcej czasu.

Co do Grimalkin, znów ucieka z głową Złego, nadal ścigana przez jego sługi. Zaproponowałem, że wypożyczę jej sztylet: kiedyś już odmówiła przyjęcia Klingi Przeznaczenia, teraz jednak zgodziła się wziąć Rębacza Kości. Odda go, kiedy Alice wróci z Mroku z trzecią bronią, by trzy święte przedmioty znalazły się w końcu w moim posiadaniu.

Nasza walka z Mrokiem trwa dalej – ale tęsknię za Alice. Obecnie mamy początek sierpnia, właśnie skończyłem szesnaście lat. Rozpocząłem czwarty rok terminu u stracharza. Do Święta Zmarłych pozostały niecałe trzy miesiące, wówczas być może zdołamy dokończyć rytuał i raz na zawsze zniszczyć Złego. Każdego ranka budzę się z nadzieją, myśląc, że może nastał dzień, kiedy Alice powróci z wyprawy w Mrok. W miarę upływu godzin mój humor powoli się zmienia. Nadzieja stopniowo ustępuje miejsca rozpacz. O zmierzchu dławi mnie żal i wierzę, że więcej jej już nie zobaczę.

Nawet jeśli jej się powiedzie, dopiero wtedy rozpocznie się prawdziwa groza. List mamy nie tylko wyjaśniał, jak mam złożyć w ofierze Alice; opisał też inne aspekty rytuału. Wymaga on użycia żywego skelta. Stwory te budzą we mnie silne złowieszcze przeczucie – co i rusz natrafiam na ich wizerunki i wzmianki o nich. I dręczy mnie fakt, że głowa jednego zdobi rękojeści sztyletu i miecza.

Wiele rozmyślałem o czekającym nas zadaniu. Jeśli się nie uda, Zły w końcu zwycięży i rozpocznie się nowa era Mroku.

Mistrz, niemający pojęcia o rytuale i jego wymogach, martwi



się przede wszystkim zaginięciem „Doomdryte”, złowieszczonego grimoire'u, który widzieliśmy w bibliotece jejmości Fresque. Ma rację, że się tym trapi.

W rękach naszych wrogów księga ta może okazać się niezwykle niebezpieczna.

Mimo wszystkich wydarzeń nadal jestem uczniem stracharza – choć muszę zacząć myśleć i zachowywać się jak stracharz z Chipenden. Muszę przygotować się na czasy, kiedy Johna Gregory'ego już tu nie będzie – nawet jako doradcy.

Thomas J. Ward

## **TOM 11**

Wijec

Slighter's Tale

## PROLOG KOSZMAR NESSY

W moim pokoju jest bardzo ciemno. Świeca stopniała, płomień zamigotał i zgasł. Jest też zimno, mimo dodatkowych koców. Mieliśmy bardzo długą zimę, jedną z najgorszych, jakie pamiętam. Teraz nadeszła już wiosna, ale pola i wyłożone kamiennymi płytami podwórze wciąż pokrywa skorupa zamarznętego śniegu, a na szybach mojego okna nadal kwitną mrozowe kwiaty.

Jutro przypadają moje urodziny. Skończę dziesięć lat. Nie mogę się już doczekać tortu. Będę musiała zgasić wszystkie świece jednym potężnym dmuchnięciem. Jeśli to zrobię, ojciec da mi prezent. To sukienka – czerwona sukienka z białą koronką wokół szyi i rąbka spódnicy.

Chcę zasnąć. Z całych sił zaciskam powieki i próbuję. Lepiej spać, bo wtedy noc mija szybko. Otworzę oczy i ujrzę promienie słońca, wpadające przez okno, drobinki kurzu lśniące niczym maleńkie gwiazdy.

Nagle słyszę hałas. Co to takiego? Brzmi, jakby coś drapało o podłogę przy boazerii. Może to szczur? Boję się wielkich szarych szczurów o małych oczkach i długich wąsikach. Najbardziej ze wszystkiego przeraża mnie myśl, że któryś z nich mógłby trafić do mojego łóżka.

Serce zaczyna mi walić ze strachu, zastanawiam się, czy nie zawołać ojca. Ale dwa lata temu umarła matka i odtąd sam zajmuje się całą farmą. Każdego dnia długo i ciężko pracuje, więc potrzebuje snu. Nie, muszę być odważna. Szczur wkrótce sobie pójdzie. Po co miałby wlażyć mi do łóżka? Nie znajdzie tu nic do jedzenia.

I znów słyszę drapanie ostrych pazurków o drewno. Serce trzepocze mi z lęku. Odgłosy są teraz bliższe, w połowie drogi między oknem i moim łóżkiem. Wstrzymuję oddech, nasłuchując kolejnych dźwięków. Nagle rozbrzmiewają obok. Gdybym spojrzała w dół, być może ujrzałabym szczura, patrzącego na mnie małymi,

paciorkowymi oczkami.

Muszę wstać. Pobiegnę do pokoju ojca. Co jednak, jeśli szczur muśnie wąsiskiem moje stopy? Co, jeśli nadepnę na jego długi, cienki ogon? Dźwięk robi się coraz głośniejszy. Czuję, jak coś ciągnie moją pościel, i dygoczę ze strachu. Szczur wspina się na łóżko, pazurkami wbijając się w koc. W panice próbuję usiąść. Ale nie mogę. Zupełnie jakby coś mnie sparaliżowało. Otwieram usta, lecz kiedy krzyczę, nie wydobywa się z nich żaden dźwięk.

Szczur wpęła teraz na mnie. Czuję jego małe, ostre pazurki, kłujące skórę przez koc. Siedzi mi na piersi. Jego ogon tłucze o nakrycie, łup, łup, coraz szybciej, idealnie dotrzymując kroku kołaczącemu sercu.

I nagle dzieje się coś nowego, jeszcze bardziej przerażającego. Szczur z każdą sekundą staje się coraz cięższy. Jego masa napiera mi na pierś, z trudem oddycham. Jak to możliwe? Jak szczur może być tak wielki i ciężki?

W pewnej chwili jego pysk zbliża się do mojej twarzy. Jest wielki, ciepły oddech owiewa mi skórę. Ale dostrzegam coś jeszcze dziwniejszego niż rozmiar i ciężar szczura. Jego oczy świecą w ciemności, są wielkie i czerwone, w ich ostrym blasku mogę teraz obejrzeć, z czym mam do czynienia.

I okazuje się, że to jednak nie szczur. Z pyska bardziej przypomina lisa bądź wilka z długą szczęką i wielkimi, ostrymi zębami. Zęby te w gryzają mi się w szyję. Moje gardło przebijają długie, cienkie, rozpalone igły bólu.

Krzyczę. Raz po raz, bez przerwy. Krzyczę bezdźwięcznie. Czuję się, jakbym umierała, osuwała się w najgłębszą ciemność, coraz dalej od tego świata.

A potem budzę się, ciężar znika mi z piersi. Znowu mogę się poruszyć, siadam na łóżku i wybucham płaczem. Wkrótce słyszę tupot ciężkich butów na drewnianej podłodze korytarza. Drzwi otwierają się gwałtownie i do środka wbiega ojciec, niosący świecę w dłoni.

Stawia ją na stoliku obok łóżka, chwilę później tuli mnie w

ramionach. Nie mogę przestać szlochać, a on gładzi mnie po włosach i dodającym otuchy gestem klepie po plecach.

– Już w porządku. Już dobrze, córko – mamrocze. – To był tylko sen, straszliwy, koszmarny sen.

Później jednak odsuwa mnie od siebie i uważnie ogląda moją twarz, szyję i ramiona. Wyciąga z kieszeni nocnej koszuli białą chustkę i delikatnie ociera mi szyję. Potem mnie ją w dłoni i szybko chowa z powrotem. Ale niedostatecznie szybko: dostrzegam na niej krople krwi.

Czy koszmar już się skończył? Czy się obudziłam? A może wciąż śnię?

## **ROZDZIAŁ 1**

### **UMOWA STOI**

Obudziłem się dręczony ogromnym pragnieniem.

Zawsze chce mi się pić, gdy się budzę, toteż nie było w tym nic nowego. Ani śladu wskazówki, iż czeka mnie pamiętny dzień.

Przecisnąłem się przez szczelinę wysoko w pniu mojego starego drzewa ghanbala i powiodłem wzrokiem po białej, mroźnej połaci w dole.

Słońce miało wzejść w pełni dopiero za godzinę i niebo wciąż jeszcze usiane było gwiazdami. Znałem nazwy wszystkich pięciu tysięcy, lecz moją ulubioną była Cougis, Psia Gwiazda. Niczym czerwone, przekrwione oko spoglądała przez czarną aksamitną zasłonę, którą Władca Nocy zarzuca na niebo.

Spałem prawie trzy miesiące. Zawsze przesypiam tę porę roku – najciemniejszą i najzimniejszą część zimy, którą nazywamy shudru. Teraz jednak obudziłem się i czułem pragnienie.

Świt był zbyt blisko, bym mógł wyssać krew ludziom z mojej haizdy – tym, których hoduję. Mogłem też wyruszyć na polowanie, ale nic, co mogłoby zaspokoić moje pragnienie, jeszcze nie obudziło

się ze snu. Na szczęście istniał inny sposób. Zawsze mogłem pójść i zastraszyć starego Rowlera, a potem zmusić go do handlu.

Wcisnąłem się z powrotem do środka drzewa i wsunąłem do pochew na piersi dwie najostrzejsze klingi. Potem naciągnąłem długi, gruby, czarny płaszcz z trzynastoma guzikami, wyrzeźbionymi z najlepszej kości. Płaszcz sięga mi do brązowych skórzanych butów, rękawy są wystarczająco długie, by ukryć włochate ręce.

Cały jestem włochaty – i powinienem wspomnieć o czymś jeszcze. O czymś, co różni mnie od was.

Mam ogon.

Nie śmiecie się – nie róbcie min ani nie kręćcie głowami. Zachowajcie rozsądek, właściwie to powinniście żałować, że nie macie ogonów. Bo widzicie, mój ogon jest długi i silny, lepszy niż trzecia ręka.

I jeszcze jedno – na imię mam Wijec i nim zakończę swą opowieść, dowiecie się dlaczego.

W końcu zasznurowałem buty i znów prześliznąłem się przez szczelinę, stając na gałęzi. A potem postąpiłem krok w pustkę.

Policzyłem do dwóch i machnąłem śliskim ogonem. Zwinął się i napiął, skóra otarła się z szelestem o najniższą gałąź, odrywając kawałki kory, które posypały się na śnieg czarnymi płatkami. Przez parę sekund wisiałem tak na ogonie, a tymczasem moje bystre oczy przeszukiwały ziemię w dole. Na zamarzniętym śniegu nie dostrzegłem żadnych śladów. Nie żebym się ich spodziewał – słuch mam bystry i budzi mnie nawet najlżejszy dźwięk, ale zawsze lepiej się najpierw upewnić, niż potem żałować.

Znów skoczyłem, lądując na twardej, zimnej ziemi. A potem puściłem się biegiem, patrząc, jak grunt umyka mi spod nóg. Wiedziałem, że za parę minut dotrę na farmę Starego Rowlera.

Szanowałem Starego Rowlera.

Szanowałem go na tyle, by zastąpić okrucieństwo ostrożną umową. Jak na człowieka wyróżniał się wielką odwagą. Był dość dzielny, by zamieszkać w pobliżu mojego drzewa. Wielu innych

stąd uciekło. Starczyło mu nawet odwagi, aby ze mną handlować.

Przeszedłem spacerkiem wzdłuż jego drewnianego płotu, lecz gdy dotarłem na wykładany kamiennymi płytami dziedziniec, urosłem do rozmiaru, który sprawdzał się najlepiej w kontaktach z większością ludzi: nie tak wielkiego, by wydał się zbyt groźny, ale też nie tak małego, by podsunąć Staremu Rowlerowi jakiś niecny pomysł. W istocie byłem dokładnie tego samego wzrostu co stary farmer, nim jego kości zaczęły słabnąć, a kark się zgarbił.

Zastukałem cicho do drzwi – w specjalnym, charakterystycznym rytmie. Staralam się, aby stukanie nie było tak głośne, by obudzić trzy córki gospodarza, lecz dostatecznie donośne, aby on sam, sapiąc, zbiegł po schodach.

Uchylił drzwi na szerokość pokrytej odciskami dłoni. Potem przysunął do szczeliny świecę, oświetlając moją twarz.

– O co chodzi tym razem? – rzucił z oburzeniem. – Miałem nadzieję, że więcej cię już nie zobaczę. Od miesiący nie zawracałeś mi głowy. Liczyłem na to, że już się nie obudzisz!

– Chce mi się pić – oznajmiłem – a jest za wcześnie na łowy. Potrzebuję czegoś, co ogrzałoby mi brzuch na kilka godzin.

A potem uśmiechnąłem się, demonstrując ostre zęby i pozwalając, by gorący oddech parował w mroźnym powietrzu.

– Nie mam niczego na zbyciu. Czasy są ciężkie – zaprotestował farmer. – To była jedna z najsroźszych zim, jakie pamiętam, straciłem bydło – nawet owce.

– A jak się miewają twoje trzy córki? Mam nadzieję, że dobrze?  
– Jeszcze szerzej otworzyłem usta.

Tak jak oczekiwałem, świeca zaczęła tańczyć i dygotać w dłoniach Starego Rowlera.

– Trzymaj się z daleka od moich córek, Wijcu. Słyszysz? Z daleka.

– Pytałem tylko o ich zdrowie – złagodziłem ton głosu. – Co słyhać u najmłodszej? Mam nadzieję, że już tak nie kaszle.

– Nie marnuj mojego czasu – warknął. – Po co przyszedłeś?

– Potrzebuję krwi. Daj mi krwi wółka – tylko odrobinę. Możesz

sobie pozwolić na pół kubka.

– Już mówiłem, to była długa, ciężka zima. Zły to czas i zwierzęta potrzebują wszelkich sił, by go przetrwać.

Widząc, że nie dostanę niczego za darmo, wyciągnąłem z kieszeni płaszcz monetę i uniosłem ją, tak że rozbłysła w płomieniu świecy.

Stary Rowler patrzył, jak sopluję na zad wółka, pozbawiając go w tym miejscu czucia, tak aby zwierzę nie zareagowało, kiedy je skaleczę. Wkrótce popłynęła krew, a ja łapałem ją do metalowego kubka, dostarczonego przez farmera, nie roniąc ani kropli.

– Wiesz chyba, że tak naprawdę nie skrzywdziłbym twoich córek – oznajmiłem. – Stały się dla mnie niemal jak rodzina.

– Twój lud nie ma pojęcia, czym jest rodzina – wymamrotał. – Gdyby doskwierał wam głód, pożarlibyście własne matki. A co z córką Briana Jensoną z farmy nad rzeką? Zniknęła w zeszłym roku na przednówku i nigdy jej już nie widziano. Zbyt wielu moich sąsiadów ucierpiało z twoich rąk.

Nawet nie próbowałem zaprzeczać jego oskarżeniom, ale też ich nie potwierdziłem. Czasami wypadki się zdarzają. Zazwyczaj panuję nad swoją zachłannością, pielęgnując zasoby mojej haizdy, lecz od czasu do czasu pragnienie zwycięża i wypijam zbyt wiele krwi.

– Hej! Jedną chwilkę! Umówiliśmy się na pół kubka! – zaprotestował Stary Rowler.

Uśmiechnąłem się i przycisnąłem palce do rany, tak że krew natychmiast przestała płynąć.

– Istotnie – zgodziłem się. – Choć trzy ćwierci kubka to nie tak wiele. Niezły kompromis.

Pociągnąłem długi łyk, nie spuszczając wzroku z twarzy farmera. Miał na sobie płaszcz i wiedziałem, że w podszewce ukrywa paskudnie ostrą szablę. W razie zbyt wielkiej prowokacji lub zagrożenia starzec użyłby jej bez wahania. Nie żeby Rowler, nawet uzbrojony w szablę, w jakikolwiek sposób mi zagrażał, ale to oznaczałoby koniec handlu. Żałowałbym, bo ludzie tacy jak on

nieraz mi się przydawali. Oczywiście wolałem polowania, lecz hodowla bydła – zwłaszcza moich ulubionych wólków – ułatwiała mi życie, gdy nadchodziły ciężkie czasy. Nie byłem gotów, by zajmować się nimi sam, toteż doceniałem odgrywaną przez farmera rolę. Z całej haizdy tylko z nim handlowałem.

Może zaczynałem się starzeć. Kiedyś rozszarpałbym gardło człowiekowi takiemu jak Rowler – rozszarpałbym bez najmniejszego wahania. Ale lata mojej młodości już minęły, poczyniłem spore postępy w magii haizdan. Stałem się adeptem.

Lecz to lato, moje dwusetne, to niebezpieczny czas dla maga haizdana – czas, gdy zdarza nam się paść ofiarą czegoś, co nazywamy skaiium. Bo widzicie, tak długie życie zmienia nasz sposób myślenia. Stajemy się łagodniejsi, bardziej wyrozumiali wobec uczuć i potrzeb innych. To niedobre dla haizdana i wielu z nas nie przeżywa owych niebezpiecznych lat: osłabienia żądzы krwi, stępienia zębów.

Wiedziałem zatem, że muszę zachować ostrożność.

Ciepła krew spływała mi w głąb gardła i do żołądka, napełniając nową siłą. Uśmiechnąłem się i oblizałem wargi.

Nie musiałem polować przez co najmniej dzień, więc oddałem kubek Staremu Rowlerowi i ruszyłem wprost w swoje ulubione miejsce. Była to polana w niewielkim lasku na południowych zboczach wzgórz nad farmą. Zmalałem wraz z płaszczem i butami do najmniejszej postaci, tej, w której często sypiam. Stałem się nie większy od żyjącego w kanałach szczura o siwych wąsikach.

Wola krew natomiast zachowała swój rozmiar, toteż brzuch miałem teraz bardzo pełny. Mimo iż dopiero co się ocknąłem, połączenie pełnego żołądka i porannego słońca sprawiło, że ogarnęła mnie trudna do opanowania senność.

Położyłem się zatem na grzbiecie i wyciągnąłem wygodnie. Mój płaszcz ma specjalne rozcięcie, coś jakby bardzo krótki rękaw wypuszczający ogon. Kiedy biegnę, poluję lub walczę, mocno przywiera mi do grzbietu, lecz czasami latem, gdy świeci słońce, a mnie ogarnia senność, kładę się na ciepłej trawie i rozciągam go za



sobą. Szczęśliwy, odprężony, uczyniłem tak teraz i w mgnieniu oka zapadłem w sen.

Zazwyczaj przy tak pełnym brzuchu spałbym smacznie całą dzień i noc, ale tuż przed zachodem słońca krzyk przeciął powietrze niczym klinga i obudził mnie.

Usiadłem i zastygłem w bezruchu, moje nozdrza rozszerzyły się i zadrżały. Zacząłem węszyć w powietrzu.

Krew...

Uniosłem ogon i z jego pomocą zgromadziłem więcej informacji. Nie mogło być lepiej. Do ust napłynęła mi ślinka. Bycza krew jest słodka i pyszna, ale teraz czułem zapach najsmaczniejszej ze wszystkich, świeżo przelanej ludzkiej krwi. Dochodził od strony farmy Starego Rowlera.

Pragnienie natychmiast powróciło: szybko zerwałem się na równe nogi i puściłem biegiem w kierunku odległego ogrodzenia. Długie susy szybko doprowadziły mnie do granicy farmy i przemknąwszy pod płotem, natychmiast urosłem do ludzkich rozmiarów. Znów posłużyłem się ogonem, szukając źródła krwi. Znajdowało się na północnym pastwisku, teraz wiedziałem już dokładnie, do kogo należy.

Bywałem dość blisko staruszka, by czuć, jak woń jego krwi pulsuje w węzłach żył. Owszem, to stara jucha, ale w końcu ludzka. Nie powinienem wybrzydzać.

Stary Rowler krwawił.

A potem wyczułem kolejne źródło krwi, tyle że znacznie słabsze. Otaczała je woń młodej ludzkiej samicy.

Znów zacząłem biec, serce waliło mi z podniecenia.

Gdy dotarłem na północne pastwisko, pomarańczowa kula słońca tkwiła dokładnie na linii horyzontu. Jeden rzut oka wystarczył, bym wszystko zrozumiał.

Stary Rowler leżał bezwładnie niczym połamana lalka obok pnia cisu. Nawet z tej odległości widziałem na trawie czerwoną plamę. Nad farmerem pochylała się druga postać: dziewczyna w brązowej sukience, dziewczyna o długich włosach barwy nocnego

nieba. Czuję jej młodą krew, słodsza i znacznie bardziej kusząca niż posoka Starego Rowlera.

To była Nessa, jego najstarsza córka. Słyszałem jej szlochanie, a potem dostrzegłem byka na sąsiednim polu. Uderzał ze złością racią i unosił łeb. To on musiał rozpruć rogami farmera, który mimo obrażeń zdołał przecisnąć się przez bramę i zamknąć ją za sobą.

Nagle dziewczyna obejrzała się przez ramię i zobaczyła mnie. Z cichym okrzykiem zgrozy zerwała się z ziemi, podciągnęła długą spódnicę nad kolana i umknęła w stronę domu. Z łatwością mógłbym ją doścignąć, ale miałem do dyspozycji cały czas tego świata, toteż ruszyłem spacerkiem ku nieruchomemu ciału.

Z początku zdawało mi się, że staruszek nie żyje, lecz moje bystre uszy wychwyciły zamierający rytm słabnącego serca. Stary Rowler umierał: pod jego żebrami ziała ogromna rana, a krew wciąż z bulgotem wypływała na trawę.

Kiedy ukląknęłam obok niego, otworzył oczy. Jego twarz wykrzywił grymas bólu, mimo to jednak próbował coś powiedzieć. Musiałem pochylić się bliżej, tak że lewym uchem niemal dotknąłem poplamionych krwią warg farmera.

– Moje córki... – wyszeptał.

– Nie martw się o swoje córki – odparłem.

– A jednak się martwię – rzekł umierający. – Pamiętasz warunki naszej pierwszej umowy?

Nie odpowiedziałem, choć pamiętałem doskonale. Doszło do niej siedem lat wcześniej, gdy Nessa skończyła dziesięć lat.

– Dopóki żyję, masz trzymać się z dala od moich trzech córek – ostrzegł. – Lecz gdyby cokolwiek mnie spotkało, możesz wziąć sobie najstarszą, Nessę. W zamian za to musisz dostarczyć dwie pozostałe do ich ciotki i wuja w Pwodente. Mieszkają w wiosce Stoneleigh, nieopodal ostatniego mostu przed ujściem rzeki do Morza Zachodniego...

– Zaopiekuję się nimi – przyrzekłem, pojawiając się, iż może to oznaczać początek wielu lat użytecznego handlu z farmerem. –

Będę je traktował jak własną rodzinę.

– Umowa – nalegał starzec. – Czy umowa stoi?

– Tak – zgodziłem się. – Stoi.

To był dobry układ, bo wedle prawa Bindos każdy kobaloski obywatel co czterdzieści lat musi sprzedać na targach niewolników co najmniej jedną purrę – ludzką dziewczynę. Inaczej staje się wyrzutkiem, a rodacy gardzą nim i mogą zabić, gdy tylko się zbliży. Jako mag haizdan zazwyczaj nie zajmowałem się handlem na targowiskach, nie chciałem też posiadać własnych niewolnic. Wiedziałem jednak, że wkrótce nadejdzie dzień, gdy będę musiał po raz kolejny wypełnić obowiązek albo przyjąć na siebie konsekwencje: zostałem banitą, ściganym przez własnych rodaków. Rowler był stary: po jego śmierci mogłem sprzedać Nessę.

Teraz umierał, a Nessa należała do mnie.

Farmer rozkasłał się i wykrztusił ciemny kawał śluzu zabarwionego krwią. Nie zostało mu wiele czasu. Za kilka chwil umrze.

Doprowadzenie dwóch młodszych córek do krewnych mogło zabrać najwyżej tydzień. Potem Nessa stanie się moją własnością. Będę mógł bez pośpiechu zaciągnąć ją na północ, na targi niewolników, po drodze kosztując jej krwi.

Nagle starzec zaczął grzebać w kieszeni płaszcza. Pomyślałem, że może szuka broni.

On jednak wyciągnął mały brązowy notes i ołówek. Drżącymi rękami, nie patrząc na kartkę, zaczął coś bazgrać. Jak na umierającego, napisał całkiem sporo. Kiedy skończył, wyrwał stroniczkę i podał mi ją. Ostrożnie podszedłem bliżej i przyjąłem liścik.

– To do Nessy – wyszeptał Rowler. – Napisałem jej, co musi zrobić. Możesz wziąć sobie wszystko – farmę, zwierzęta i Nessę. Pamiętasz, jak się umówiliśmy? Musisz tylko dostarczyć Susan i Bryony do ciotki i wuja. Dotrzymasz warunków umowy? Zrobisz to?

Szybko przeczytałem liścik. Potem złożyłem go w pół i

wcisnąłem do kieszeni płaszcza. Następnie uśmiechnąłem się odrobinę, odsłaniając zęby.

– Dobiliśmy targu i honor nakazuje mi dotrzymać umowy – oznajmiłem.

A później czekałem, aż Stary Rowler skona. Trwało to dłużej, niż się spodziewałem. Walczył o każdy oddech, wyraźnie nie chcąc odejść, choć ogromnie cierpiał. Słońce zaszło już za horyzont, nim zadrżał po raz ostatni.

Obserwowałem go bardzo uważnie, z zaciekawionym. Od siedmiu lat handlowałem ze Starym Rowlerem, ale krew i ciało dobrze skrywają prawdziwą naturę ukrytej w nich duszy. Często zastanawiałem się, jaki jest naprawdę ten odważny, uparty lecz czasem marudny staruszek. Teraz w końcu mogłem się tego dowiedzieć.

Czekałem na chwilę, aż jego dusza opuści ciało i nie zawiodłem się. Nad zgniecionym płaszczem zaczął się materializować szary kształt. Był bardzo słaby i jarzył się niemal niedostrzeganym blaskiem, przybierając formę niewidzialnej spirali, znacznie, znacznie mniejszej niż Stary Rowler. Wcześniej często oglądałem ludzkie dusze, lubiłem poczekać i sprawdzić, dokąd odejdą.

Gdzie teraz skieruje się Stary Rowler? Czy ruszy „w górę” czy też „w dół”?

Ja sam także zbieram dusze, czerpiąc z nich moc i wchłaniając własnego ducha. Przygotowałem się zatem, by pochwycić duszę farmera. Niełatwo tego dokonać i mimo absolutnego skupienia udaje się tylko wtedy, gdy dusza nieco zwleka. Ta jednak nie czekała.

Z cichym świstem zaczęła odpływać wirując, unosząc się w niebo. Niewiele dusz tak robi. Zazwyczaj wydają z siebie jakby jęk i skowyt i zagłębiają się w ziemię. Zatem Stary Rowler odszedł w Górę. Nie zdołałem schwytać nowej duszy, ale czy to ważne? Odszedł już, a ja zaspokoilem ciekawość.

Zacząłem przeszukiwać trupa. Znalazłem tylko jedną monetę – zapewne tę samą, którą zapłaciłem mu wcześniej za krew wółka.

Potem wyciągnąłem szablę. Rękojeść nieco zardzewiała, ale spodobało mi się wyważenie broni. Klingę miała ostrą.

Kilka razy przeciąłem nią powietrze. Dobrze leżała w dłoni, toteż wsunąłem ją bezpiecznie w poszewkę własnego płaszcza.

Teraz mogłem się zająć najważniejszą sprawą.

Córkami Starego Rowlera...

## **ROZDZIAŁ 2**

### **CÓŻ ZA BRAK WYCHOWANIA**

Robiło się ciemno, gdy dotarłem do domu. Noc była bezksiężycowa, jedyne światło padało z wnętrza budynku – słabe, kapryśne migotanie świecy zza postrzępionych zasłon frontowej sypialni.

Podbiegłem do drzwi i zastukałem głośno trzy razy. Użyłem czarnej kołatki ozdobionej głową jednookiego gargulca, która ponoć miała odstraszać niebezpieczne, nocne stwory. Oczywiście, to tylko głupi przesąd. Echo mojego stukania rozeszło się po domu.

Nikt nie odpowiedział. Cóż za brak wychowania ze strony tych panien?! Oburzające.

Rozgniewany, opadłem na czworaki i trzy razy okrążyłem dom z prawa na lewo. Mijając drzwi frontowe, za każdym razem wydawałem z siebie donośne, złowieszcze wycie.

Potem wróciłem przed dom i powiększyłem się do rozmiaru trzykrotnie przekraczającego ludzki. Oparłem czoło o zimną szybę okna sypialni i zamknąłem jedno oko. Lewym przez wąską szparę w miejscu, gdzie stykały się zasłony, dostrzegłem Nessę, mój spadek, oraz jej dwie siostry skulone razem na łóżku.

Nessa siedziała pośrodku, obejmując ramionami młodsze dziewczynki, Susan i Bryony. Wiele razy je obserwowałem. I mało było rzeczy, których bym o nich nie wiedział.

Nessa miała siedemnaście lat, Susan rok mniej, była

pulchniejsza od Nessay, jej włosy przypominały barwą dojrzałe zboże. Zyskałaby najlepszą cenę na targu niewolników. Bryony wciąż była dzieckiem, najwyżej ośmioletnim. Gotowane na wolnym ogniu, jej ciało smakowałoby soczyście, nawet lepiej niż jednodniowe kurczęta – choć wielu Kobalosów wolałoby pożreć taką młódkę na surowo.

W istocie Nessa była warta najmniej z całej trójki, lecz jej sprzedaż pozwoliłaby mi wypełnić obowiązek nałożony przez prawo Bindos. Umowa to umowa, a ja zawsze dotrzymuję słowa. Zmalałem zatem do ludzkich rozmiarów i jednym potężnym ciosem lewej dłoni uderzyłem we frontowe drzwi.

Drewno pękło, dom zatrzęsł się w posadach, zamek trzasnął i stare wrota otwarły się z jękiem do środka na skrzypiących zawiasach. Wówczas, nie czekając na zaproszenie, przekroczyłem próg i wspiałem się po drewnianych stopniach. *NESSA*

Wstyd mi było, że tak porzuciłam ojca. Zostawiłam go, by umarł samotnie. Lecz widok bestii z tak bliska przepelniał mnie grozą.

Dotarłszy do bezpiecznego schronienia, zamknęłam na klucz wszystkie drzwi, a potem zaprowadziłam Susan i Bryony do mojego pokoju. Rozpacz i przerażenie niemal odebrały mi mowę, ale gdy już się tam znalazłyśmy, nie mogłam dłużej milczeć.

– Ojciec nie żyje! – krzyknęłam. – Zginął rozpruty przez byka!

Obie siostry zakrzyknęły z żalu. Usiadłyśmy na łóżku, objęłam je ramionami, próbując dodać choć odrobinę otuchy. Wówczas jednak usłyszałyśmy złowieszcze dźwięki sprzed domu. Zaczęły się od trzech głośnych stuknięć, po których szybko nastąpiła seria mrożących krew w żyłach skowytów, od których zjeżyły mi się włoski na karku.

– Zatkajcie uszy! Nie słuchajcie! – poleciłam siostrom.

Oczywiście, nadal je obejmowałam, toteż sama musiałam znosić owe straszliwe dźwięki. Wydało mi się, że słyszę dobiegający zza okna ciężki oddech i przez jedną okropną chwilę miałam wrażenie, że przez szparę w zasłonach patrzy na nas gigantyczne oko.

Ale jak to możliwe? Potwór nie był aż tak wielki. Widywałam go, kiedy składał wizyty na farmie i wydawał się niewiele wyższy od mojego nieszczęsnego ojca.

Następnie na dole rozległ się ogłuszający trzask. Wiedziałam dokładnie co to i serce jeszcze szybciej zabiło mi w piersi.

Bestia strzaskała frontowe drzwi.

Usłyszałam ciężkie kroki, zbliżające się po schodach do sypialni. Zamknęłam drzwi, lecz nie były tak solidne jak te, które potwór dopiero co wyważył – wiedziałam, że nie zapewnią nam żadnej ochrony. Zaczęłam dygotać.

Klamka poruszyła się powoli, a ja gapiłam się przerażona.

– Nesso – warknął potwór – otwórz drzwi i wpuść mnie. Teraz ja jestem waszym ojcem. Bądź posłuszną córką i wpuść mnie do środka.

Na dźwięk tych słów ogarnęło mnie oburzenie. Jak taki stwór mógł podawać się za mojego ojca?

– Wasz dawny ojciec zostawił mi farmę, Nesso – ciągnęła bestia. – I oddał mi ciebie. Jeśli będziesz miła, to ja potraktuję łagodnie twoje dwie tłuściutkie siostry. Prosił, bym zabrał je w długą podróż. Zamieszkają z waszą ciotką i wujem, bezpieczne i szczęśliwe. Przrzekłem mu, że to zrobię, a zawsze dotrzymuję obietnic złożonych nieboszczykom. Ty jednak, Nesso, należysz do mnie. Zatem musisz być posłuszną. Dlaczego nie odpowiadasz? Nie wierzysz mi? W takim razie przeczytaj, to testament twojego ojca.

Nie mogłam uwierzyć w to, co słyszę. Siostry jęczały cicho, wstrząśnięte. Jak ojciec mógł się zgodzić na coś tak strasznego? Myślałam, że mnie kochał. Czy w ogóle go nie obchodziłam?

Potwór przepchnął pod drzwiami kawałek papieru. Zeskoczyłam z łóżka, podniosłam go i zaczęłam czytać.

*Do Nussy.*

*Obiecałem bestii farmę i ciebie. W zamian przrzekłem dostarczyć Bryony i Susan do twojej ciotki i wuja. Staralem się być dobrym ojcem i w razie konieczności oddałbym za ciebie własne życie. Teraz ty musisz się poświęcić dla swych młodszych sióstr.*

*Twój kochający ojciec.*

Mimo chwiejnych liter, rozpoznałam pismo ojca. Musiałam jednak odczytać list trzykrotnie, nim do mojego oszołomionego mózgu w pełni dotarło jego znaczenie. Na papierze widniały plamy krwi – musiał pisać w ostatnich chwilach przed śmiercią.

Nie byłam w stanie myśleć jasno, wiedziałam jednak, że muszę pozbyć się bestii z naszego domu. Gdybym nie zgodziła się na to, co zapisał ojciec, straszliwy stwór strzaskałby drzwi sypialni i zapewne zabił całą naszą trójkę. Odetchnęłam zatem głęboko, by się uspokoić.

– Przyjmuję warunki testamentu ojca – oznajmiłam. – Ale moje siostry są przerażone. Chciałabym, żebyś odszedł i na trochę zostawił nas same. Proszę, trzymaj się z dala od

farmy.

– Tak też uczynię, Nesso – odparł potwór; jego zgoda zupełnie mnie zaskoczyła. – Bez wątpienia będziecie potrzebowały trochę czasu, by oswoić się ze śmiercią ojca. Musisz jednak przyjść i odwiedzić mnie jutro tuż przed zachodem słońca. Mieszkam w największym drzewie ghanbala na drugim brzegu rzeki. Z łatwością je znajdziesz. Wówczas pomówimy o tym, co trzeba zrobić.

\*

Następnego dnia wyruszyłam, by dotrzymać słowa. Byłam przerażona, a konieczność odwiedzenia bestii po zmroku jedynie pogarszała sytuację. Przez cały dzień jak zwykle pracowałam na farmie, dodatkowo zajęta czynnościami, które zwykle wykonywał ojciec. Mimo to nie zdołałam opanować strachu przed tym, co ma nastąpić – wkrótce zapadnie ciemność, a ja stanę sama naprzeciw potwora, zdana na jego łaskę.

Od czasu do czasu ktoś z sąsiedztwa znikał – mój ojciec nigdy tego nie komentował. Raz jeden spytałam, czy sądzi, że to sprawka potwora.

– Nigdy więcej nie mów o podobnych rzeczach, córko! – ostrzegł. – Jesteśmy bezpieczni w naszym domu i dziękuj za to.

Teraz jednak nie byłyśmy już bezpieczne w swoim domu. Gdybym nie przybyła do jamy bestii, stwór powróciłby na farmę. Czy mogło być coś straszniejszego?

Może pożre mnie na miejscu? Ostatecznie ojciec przekazał mu mnie na własność w zamian za bezpieczeństwo młodszych sióstr. Uprzedziłam Bryony i Susan, że gdybym do świtu nie wróciła, powinny uciec do domu sąsiada po drugiej stronie doliny. Lecz nawet tam nie byłyby bezpieczne, gdyby bestia złamała dane ojcu słowo.

Dotarłam na brzeg rzeki i zbliżyłam się do brodu. Natychmiast zorientowałam się, gdzie szukać jego jamy. Miał rację. Znalazłam ją z łatwością. Drzewo było dwukrotnie większe od innych w okolicy – gigantyczna ghanbala o olbrzymim pniu. Powykręcane konary odcinały się ostro na tle ciemniejszego nieba.

Podchodziłam do drzewa i w miarę jak się zbliżałam, pień stawał się coraz ciemniejszy, a gałęzie rozkładały się nade mną, zasłaniając resztki światła. Nagle za plecami usłyszałam miękki odgłos uderzenia. Obróciłam się ze zgrozą i ujrzałam potwora.

– Witaj, Nesso – rzekł, obdarzając mnie odrażającym uśmiechem, ukazującym ostre zęby. – Cóż z ciebie za grzeczna i posłuszna córka, dotrzymałaś obietnicy. Jutro, by dowieść swojej wdzięczności, pogrzebię ciało twego nieszczęsnego ojca, nim zanadto okaleczą je szczury. Obawiam się, że stracił już oczy, choć przecież nie są mu potrzebne.



To jednak niestety nie koniec: szczury obgryzły mu już dwa palce u stóp i trzy u rąk. Ale wkrótce ciało spocznie w ziemi, a ja przykryję grób kamieniami, by nie wykopało go żadne wygłodniałe zwierzę. Nie martw się. Będzie leżał bezpiecznie w mroku, powoli pożerany przez robaki, tak jak trzeba.

Słyszając te okrutne, bezduszne słowa na temat ojca, poczułam, jak ściska mi się gardło, z trudem chwytając powietrze. Pochyliłam głowę, niezdolna patrzeć w oczy potwora, zawstydzona, że zabrakło mi odwagi, by pójść i samej pogrzebać ojca. Kiedy uniosłam wzrok, stwór znów wyszczerzył się w groteskowym uśmiechu, wyciągnął z kieszeni klucz, splunął na niego trzy razy i wsunął w zamek w pniu drzewa.

– Rzadko korzystam z tych drzwi – oznajmił – ale tylko w ten sposób dostaniesz się do środka w jednym kawałku. Idź pierwsza. Jesteś moim gościem!

Choć bałam się, że mógłby uderzyć mnie w plecy, odwróciłam się i przez otwarte drzwi wkroczyłam w głąb drzewa.

– Kiedy zawlekam tu moich gości, zazwyczaj są już martwi, ty jednak jesteś dla mnie kimś wyjątkowym, Nesso, i dołożyłem wszelkich starań, by spodobało ci się u mnie.

Jego słowa mnie przeraziły, serce zaczęło trzepotać w piersi, rozejrzałam się jednak zdumiona. Niewiarygodne, że wewnątrz drzewa znajdował się świetnie urządzonej pokój. Na stole tak wypolerowanym, że widziałam w nim własne odbicie, stało trzynaście świec, każda w ozdobnym lichtarzu.

– Napijesz się kieliszek wina, Nesso? – spytał potwór swym szorstkim głosem. – Życie, oglądane przez kieliszek, zawsze wydaje się łatwiejsze.

Chciałam odmówić, lecz kiedy otworzyłam usta, zdołałam tylko jęknąć ze strachu. Zadrżałam na te słowa, bo było to jedno z powiedzonek ojca. W istocie wiedziałam, że wino także należało do niego. Wiedziałam, że zeszłej jesieni sprzedał potworowi dziesięć butelek: teraz stały w szeregu na stole za dwoma kieliszkami.

– Wino jest prawie tak dobre jak krew! – oznajmił stwór, znowu szczerząc zęby. Już wcześniej otworzył wszystkie flaszki, korki luźno tkwiły w szybkach. – Bardzo chce mi się pić, toteż mam nadzieję, że nie oczekujesz więcej niż sprawiedliwej działki. Cztery butelki powinny wystarczyć dla człowieka, zgodzisz się?

Pokręciłam głową, odmawiając wina, nagle jednak rozkwitła we mnie iskra nadziei. Skoro częstował mnie winem, może jednak nie zamierzał mnie zabić?

– To dobre wino – zauważył potwór. – Twój stary ojciec zrobił je własnymi rękami. Chętnie zatem wypiję też twoją część. Nie chcielibyśmy przecież go zmarnować, prawda, mała Nesso?

I znów się nie odezwałam, zaczęłam jednak rozglądać się uważnie po pokoju, moje oczy chłoneły wszystko: liczne butelki i słoje ustawione w rzędach na półkach; długi stół w przeciwległym kącie, ozdobiony czymś, co wyglądało jak czaszki małych zwierząt i ptaków. Moje spojrzenie przyciągnęły trzy baranie kozuchy, zdobiące podłogę. Każdy z nich miał barwę jaskrawej czerwieni. Z pewnością nie tylko była farba... Czyżby krew?

– Widzę, że podziwiasz moje dywany, mała Nesso. Potrzeba sporych zdolności, by tak wyglądały. Krew nie chce długo pozostawać czerwona poza ciałem. – Na te słowa zaczęłam dygotać od stóp do głów.

– Prawda jest taka, Nesso, że bardzo chciałbym skosztować odrobinę twojej krwi. – Wzdrygnęłam się i cofnęłam w lęku, on jednak mówił dalej. – Jednakże dowiodłaś swojej dobrej woli, przychodząc tutaj i dowodząc, że zamierzasz dotrzymać warunków umowy, zawartej z twoim ojcem. Dlatego właśnie cię zaprosiłem. A ty przeszłaś próbę, pokazując, że masz swój honor i umiesz dotrzymać słowa. Zachowałaś się też szlachetnie, odmawiając wina, tak że sam mogę wypić wszystkie dziesięć flaszek. Zatem wypuszczę cię do domu. Bądź gotowa jutro o zachodzie słońca – dodał, a ja zaczęłam nieco lżej oddychać. – Zabij i zasól trzy świny, lecz zbierz całą krew, do ostatniej kropli, i napełnij nią skopek na mleko – w czasie podróży będzie doskwierać mi pragnienie. Spakuj ser, chleb i świece, a także dwa duże kociołki. Naoliw koła waszego największego wozu. Ja sprowadzę konie, lecz ty musisz im znaleźć owies. I zabierz ciepłe ubrania i koce. Przed końcem tygodnia może spaść śnieg. Tak jak obiecałem, zawieziemy twoje dwie siostry do ich krewnych. Potem zabiorę cię na północ i sprzedam na targu niewolników. Twoje życie będzie krótkie, lecz przysłużysz się moim pobratymcom.

Powoli szłam do domu, ogłuszona tym, co usłyszałam. Musiałam jednak rozważyć kilka kwestii praktycznych, na przykład to, co zrobić z bydłem. Najlepiej, jeśli oddam je jednemu z sąsiadów. Trzeba załatwić mnóstwo spraw, nim moje życie zmieni się całkowicie. Miałam zostać niewolnicą bestii – z pewnością nie przetrwam zbyt długo.

## **ROZDZIAŁ 3**

### **MROczNA WIEŻA**

Zgodnie z zapowiedzią przybyłem na farmę o zachodzie słońca i ucieszyłem się, widząc trzy siostry Rowler gotowe do drogi.

Na podwórzu czekały trzy solidne kufry, na najmniejszym siedziała Bryony, nerwowo skubiąca nitki sterczące z wełnianych rękawiczek. Susan stała obok, usta wygięła w nadąsany dzióbek, a Nessa niecierpliwie krążyła tam i z powrotem. Z każdą chwilą robiło się coraz zimniej. Rozsądnie wybrały najcieplejsze wełniane sukienki, lecz płaszcze miały cienkie i wyświecone, kiepsko chroniące przed chłodem.

Zatrzymałem się przy otwartej bramie i na widok dziewcząt do ust napłynęła mi ślinka. Przyjrzawszy się uważniej, uznałem, że ciało najmłodszej byłoby bardzo miękkie i delikatne, najlepsze na surowo: nawet w takim stanie samo odchodziłoby od kości. Co do Susan, miała sporo mięsa na swych starszych kościach, wiedziałem jednak, że jej krew będzie smakować jeszcze lepiej. Będę potrzebował całej dostępnej mi dyscypliny, by dotrzymać warunków umowy z nieżyjącym farmerem.

Przeganiając podobne myśli, skierowałem karego ogiera na podwórze, jego kopyta z łoskotem uderzały o kamienne płyty. Za sobą wiodłem siwą klacz i ciężkiego roboczego perszerona, który miał ciągnąć wóz z dwiema młodszymi siostrami. Wszystkie konie ukradłem wcześniej tego samego dnia.

Trzy razy okrążyłem podwórze, nim w końcu zatrzymałem się, pochyliłem i wyszczerzyłem zęby w szerokim uśmiechu. Po twarzach Bryony i Susan przebiegły grymasy zgrozy, lecz Nessa podeszła do mnie śmiało, wskazując ręką szopę tuż za stajnię.

– Wóz jest tam – oznajmiła wyzywająco, zadzierając podbródek.  
– Załadowaliśmy zapasy, lecz skrzynie są dla nas za ciężkie...

Zeskoczyłem z konia i rozprostowałem włochate palce tuż przed twarzą Nessay, tak że stawy zaskrzypiały. Potem w mgnieniu oka zaprząłem konia do wozu i wrzuciłem na niego trzy skrzynie – mizerne ludzkie istoty: ich bagaż ważył tyle co nic.

Uśmiechnąłem się złośliwie, kiedy Nessa zauważyła świeżo naostrzoną szablę wiszącą mi u pasa, tę należącą wcześniej do starego farmera.

– To broń mojego ojca! – zaprotestowała, a jej oczy rozszerzyły

się gwałtownie.

– Teraz nie jest mu już potrzebna, mała Nesso – odparłem. – Poza tym nie marnujemy czasu na rozważania o przeszłości. Siwa klacz jest dla ciebie. Wybrałem ją specjalnie.

– Czy moje siostry mają jechać wozem?

– Oczywiście, będzie im znacznie wygodniej niż pieszo! – oznajmiłem.

– Ale Susan nie ma wprawy w powożeniu, a droga może okazać się niełatwa – zaprotestowała dziewczyna.

– Nie lękaj się, mała Nesso: koń będzie posłuszny mej woli, twoim siostrom nic nie grozi. Mogą po prostu siedzieć na wozie.

Potrzebowałem zaledwie minuty, by chuchnąć w nozdrza wielkiego zwierzęcia i za pomocą magii zdobyć jego posłuszeństwo. Będzie podążał za mną, poruszając się wtedy kiedy ja i zatrzymując, gdy sam wstrzymam wierzchowca.

– Obiecałeś, że pogrzebiesz mojego ojca – rzuciła oskarżycielsko Nessa. – Lecz jego ciało wciąż tam leżało, sama to zrobiłam z pomocą sióstr. Jednakże sugeruje to, że mimo zapewnień, nie dotrzymujesz słowa.

– Zawsze dotrzymuję warunków umowy, Nesso – to jednak nie była umowa, jedynie uprzejmość, której zamierzałem dopełnić. Niestety byłem zajęty zdobyciem koni i zabrakło mi czasu. Ale lepiej, że to ty go pochowałaś. Może w ten sposób choć w części odpokutowałaś za to, że uciekłaś, zostawiając go, by umarł samotnie.

Nessa nie odpowiedziała, lecz po jej policzkach spłynęły gorzkie łzy. Szybko odwróciła się do mnie plecami i z trudem dosiadła klaczy, tymczasem jej siostry wdrapały się na wóz. Gdy jechaliśmy drogą w stronę rozstajów, powietrze stało się jeszcze zimniejsze, a trawa pobielała od szronu.

Trudno było zdobyć w tak krótkim czasie trzy konie. Unikam kradzieży i zabijania we własnej haiździe, musiałem zatem zapuścić się daleko, by je znaleźć.

Miałem nadzieję, że Nessa nie zauważy ciemnej plamy krwi na

lewym boku siwej klaczy.

Od co najmniej pięciu tysięcy lat trwa konflikt pomiędzy moim plemieniem i ludźmi. Czasami, w okresach ekspansji Kobalosów przemieniał się w otwartą wojnę. Teraz jedynie się tlił.

Moje prywatne królestwo, haizda, jest wielkie, obejmuje wiele farm i liczne osady, którymi opiekuję się i kontroluję. Lecz poza jej granicą staję się samotnym wrogiem, narażonym na nieprzychylną uwagę najróżniejszych nieprzyjaciół. Bez wątpienia, widząc towarzyszące mi purrai, ludzie zbiorą się do kupy i spróbują odebrać mi je siłą. Z tego powodu musiałem zachować czujność i podróżować głównie nocą.

Tuż przed świtem trzeciego dnia zaczął padać śnieg.

Z początku bardzo lekki, tak że tylko odrobinę pogrubiał białą warstewkę szronu. Wciąż jednak prószył i stopniowo stawał się coraz gęstszy. Z zachodu powiał silny wiatr.

– Nie możemy podróżować w takich warunkach – zaprotestowała Nessa. – Ugrzęźniemy w zaspie i zamarzniemy na śmierć!

– Nie ma wyboru – nalegałem. – Musimy jechać dalej. Ja jestem twardy i wiele zniosę, jeśli jednak teraz się zatrzymamy, wy, biedne, słabe ludzkie istoty, pomrzecie!

Mimo tych słów wiedziałem, że pogoda wkrótce i tak nas zatrzyma. Dziewczęta nie wytrzymałyby dłużej niż kilka dni w takich warunkach, toteż musiałem zmienić plany.

Choć niebiosa rozświetlał obecnie szary blask przedświtu, postanowiłem zaryzykować i po krótkim popasie znów ruszyliśmy w drogę. Teraz zmierzaliśmy na zachód, nie na południe, prosto w paszczę śnieżycy.

Z początku Susan i Bryony siedziały skulone pod plandeką na tyle otwartego wozu; obie nieustannie uskarżały się na mróz, w sumie jednak trudno je winić. Potem, po jakiejś godzinie oznajmiły, że kiedy chronią się przed pogodą pod płachtą, od ruchów wozu robi im się niedobrze, więc przez resztę dnia wystawiały głowy, narażając je na ostry chłód i wilgoć. Wiedziałem, że to tylko

kwestia czasu, jak zamarzną.

Gdy światło dnia zaczęło gasnąć, jechaliśmy właśnie przez gęsty, świerkowososnowy las, zmierzając w dół ku zamarzniętemu strumieniowi, za którym wznosiło się jeszcze bardziej strome zbocze.

– Nie zdołamy wprowadzić koni na górę! – wykrzyknęła Nessa. Miała rację.

Na dole po lewej stała brama z pięciu prętów. Posławszy purre złośliwy uśmiech, zeskoczyłem z rumaka. Po długiej chwili grzebania w śniegu, ciągnięcia i szarpania, zdołałem otworzyć ją dość szeroko, by zmieścił się koń z wozem.

Wysypany popiołem trakt ciągnął się wzdłuż strumienia. Śnieg nie zdołał nim zawładnąć: każdy płatek topił się natychmiast, gdy tylko opadł na ziemię. Cała droga parowała.

Patrzyłem, jak Nessa zsiada i prowadzi swoją klacz przez bramę. Przykucnęła, muskając trakt palcami. – Jest gorący! – pisnęła, szybko cofając dłoń.

– Oczywiście, że tak! – odparłem ze śmiechem. – Jak inaczej mógłby pozostać czarny?

Nessa wróciła do wozu i zagadnęła siostry.

– Jak się czujecie?

– Strasznie mi zimno – poskarżyła się Susan. – Ledwie czuję własne ręce czy nos.

– Niedobrze mi, Nesso. Czy możemy niedługo się zatrzymać? – spytała Bryony.

Nessa nie odpowiedziała, jedynie zerknęła w moją stronę.

– Dokąd jedziemy?

– Do zajazdu – odparłem i nie rozwijając tematu, z powrotem wskoczyłem na siodło i ruszyłem przodem. Świerki i sosny ustąpiły miejsca liściastym jaworom, jesionom i dębom, bezlistnym i czekającym na nastanie krótkiego lata. Drzewa napierały na nas, ciemne i gęste, ich nagie gałęzie orały szare niebo niczym szpony, Dziwnie było widzieć te gatunki tak daleko na północy. Wkrótce wokół nas zapadła przejmująca cisza: wiatr nagle ucichł i nawet

stukot kopyt i skrzypienie kół były tłumione przez pokrywający drogę popiół. Bryony, najmłodsza z sióstr, zaczęła płakać z zimna. Nim Nessa zdążyła podjechać bliżej i ją pocieszyć, odwróciłem się i syknąłem, by umilkła, przyciskając palec do ust.

Po kolejnych kilku chwilach między drzewami dostrzegłem słabą fioletową łunę, która rozjarzała się i gasła niczym otwierające się i zamykające olbrzymie oko. I w końcu pojawił się budynek.

To była mroczna wieża, otoczona wysokim, kolistym murem, zwieńczonym blankami; do bramy dało się dotrzeć jedynie przez zwodzony most przerzucony ponad szeroką fosą.

– I to nazywasz zajazdem? – spytała gniewnie Nessa. – Miałam nadzieję na gospodę, przyjazny ogień i czyste pokoje, w których mogłybyśmy schronić się przed śnieżycą i przespać wygodnie. Moje siostry niemal zamarły na śmierć. Co to za dziwna, złowieszcza wieża? Nie wygląda na dzieło ludzkich rąk.

Sama wieża miała około dziewięciu pięter i przewyższała rozmiarami trzy spore farmerskie domy. Wzniesiono ją z ciemnofioletowego kamienia, cała budowla połyskiwała od spływających po ścianach strużek wody. Bo choć z ciemniejącego nieba wciąż sypał gęsty śnieg, dookoła wieży ziemia pozostawała odsłonięta. Zarówno ona, jak i mury parowały, jakby głęboko wewnątrz ziemi płonął olbrzymi ogień. Fortecę wzniesiono nad gorącym źródłem, podziemnym gejzerem ogrzewającym kamienne mury.

– Niemal czterdzieści lat wcześniej spędziłem noc w tej wieży, w drodze na targ niewolników, gdzie musiałem sprzedać niewolnicę i wypełnić obowiązek narzucony przez prawo Bindos. Jednakże w owym czasie rządził tu ktoś inny. Później zginął on z ręki Nunca, wysokiego maga, obecnie zawiadującego tym miejscem.

Uśmiechnąłem się do Nessy.

– Nie jest to zajazd dla twego gatunku, ale biedacy nie mogą grymasić. To kulad, forteca wzniesiona przez mój lud. Jeśli chcecie przetrwać tę noc, trzymajcie się blisko mnie.

Gdy ruszyliśmy naprzód, usłyszałem sapnięcia dwóch młodszych sióstr. Krata zaczęła się podnosić. Wyraźnie słyszeliśmy szcęk łańcucha oraz zapadek, ale nie dostrzegliśmy ani śladu odzwiernego i nikt nie wyszedł, by nas powitać bądź rzucić nam wyzwanie.

Poprowadziłem purrai przez okrągły wewnętrzny dziedziniec w stronę stajni, gdzie na konie czekało już świeże siano i zadaszanie, pod którym mogliśmy osłonić również wóz przed najgorszą pogodą. Potem powiodłem siostry wąskimi drzwiami na spiralne schody, które wznosiły się z prawej na lewą, w górę i w górę mrocznej wieży. Co dziesięć stopni w żelaznych uchwytych przyśrubowanych do ścian osadzono pochodnie. Ich żółte płomienie tańczyły i migotały, choć powietrze było zupełnie nieruchome. Płomienie nie wystarczyły jednak, by rozproszyć gromadzące się wyżej cienie.

– Nie podoba mi się tutaj – jęknęła Bryony. – Czuję obserwujące nas oczy. Straszliwe istoty skrywają się w ciemności!

– Nie ma się czego bać – odparła Nessa. – To tylko twoja wyobraźnia.

– Ale mogą tu być robaki i myszy – poskarżyła się Susan.

Choć wyglądała smakowicie, jej głos zaczynał mnie drażnić. Zaczęliśmy wspinać się po schodach, od czasu do czasu mijając drewniane drzwi. Po chwili dotarliśmy do trojga drzwi niedaleko siebie. Wybrałem je dla sióstr. Każde zamknięto na zardzewiały żelazny zamek, w którym tkwił wielki stalowy klucz.

– Oto ciepłe pokoje dla każdej z was. – Z irytacją machnąłem ogonem. – Jeśli zamknę drzwi, będziecie tu bezpieczne. Spróbujcie się przespać. Kolacji nie dostaniecie, lecz tuż po brzasku podadzą śniadanie.

– Czemu nie możemy zostać razem w jednej komnacie? – spytała Nessa.

– Są za małe – wyjaśniłem, otwierając pierwsze drzwi. – I w każdej jest tylko jedno posłanie. Jesteście młode i wciąż rośniecie, musicie wypocząć.

Nessa zajrzała do środka i dostrzegłem zgrozę na jej twarzy.



Istotnie, pomieszczenie było ciasne.

– Tam jest brudno. – Susan wyduła wargi.

Bryony rozpląkała się cicho.

– Chcę zostać z Nessa! Chcę zostać z Nessa!

– Proszę, pozwól, żeby Bryony nocowała u mnie. – Nessa jeszcze raz desperacko spróbowała mnie przekonać. – Jest za mała, by zostać sama w takim miejscu...

Ja jednak nie zwracałem uwagi na jej słowa. Wykrzywiwszy rysy w złowieszczą maskę, wepchnąłem ją szorstko do środka. Szybko zatrzasnąłem za jej plecami drzwi i przekręciłem klucz w zamku. Potem to samo zrobiłem z dwiema pozostałymi siostrami.

Lecz choć okrucieństwo to część mej natury, tym razem nie ono mną kierowało. Zrobiłem to dla ich własnego bezpieczeństwa, zamykając je osobno na znak, że każda należy do mnie, wedle zwyczajów naszego ludu.

Nie miałem wyboru, musiałem sprowadzić tu dziewczęta – na dworze szybko pomarłyby z zimna. Znajdowaliśmy się teraz daleko poza ostatnimi ludzkimi osiedlami i w okolicy nie było innego schronienia. Nawet mag haizdan nie mógł się tu czuć bezpiecznie i nie miałem pewności, jak mnie przyjmą. Teraz, jak nakazywał zwyczaj, musiałem wspiąć się na szczyt wieży i pokłonić jej panu, Nuncowi. Cieszył się niezwykłą reputacją i budził strach w sercach wszystkich.

Był wysokim magiem, najwyższym rangą z Kobalosów. My, haizdanowie, zamieszkujący nasze własne terytoria daleko od Valkarky, nie mieścimy się w hierarchii magów. Nie obawiam się wysokiego maga, ale w razie konieczności jestem gotów mu się pokłonić. Gdybym musiał z nim walczyć, nie wiem, jak by się to skończyło. Mimo wszystko byłem ciekaw, jak wygląda Nunc i czy jego osoba dorównuje historiom, które o nim opowiadano. Mówiono, że podczas wypadu w głąb królestwa ludzi, na oczach władcy pożarł jego siedmiu synów, a potem gołymi rękami oderwał nieszczęsnemu królowi głowę.

W miarę jak wdrapywałem się po spiralnych schodach,

powietrze robiło się coraz cieplejsze, coraz bardziej wilgotne i coraz mniej przyjemne. Wysocy magowie mają tę osobliwą cechę, że niekiedy decydują się żyć w surowych warunkach, by dowieść swych sił.

Choć widziałem już górny podest, nie dostrzegłem żadnych strażników. Jednak ogon podpowiadał, że wiele sług Nunca kryje się w pobliżu, w podziemnych komnatach pod wieżą.

Na podeście ujrzałem tylko jedne drzwi; otworzyłem je pchnięciem. Odkryłem, że znajduję się w przedsionku, w którym mieściła się łaźnia: słudzy i goście Nunca mogli oczyścić tu swe ciała, zanim pójdą dalej. Nigdy jednak nie widziałem takiej jak ta: zazwyczaj w łaźniach woda bywa nieprzyjemnie ciepła – tu panował nieznośny upał. Powietrze wypełniały kłęby duszącej pary i natychmiast zacząłem walczyć o każdy oddech.

Całe pomieszczenie, prócz wąskiego kamiennego pasa i łuku wiodącego niczym most na drugą stronę, wypełniała wielka, wpuszczona w podłogę wanna, pełna gorącej, parującej wody.

Nunc, wysoki mag, siedział w niej zanurzony po pachy. Widziałem jednak jego kolana – na obu spoczywała wielka włochata dłoń. Twarz miał krągłą, ogoloną zgodnie ze zwyczajem kobaloskich magów. Głowę pokrywała krótka szczecina, czarna prócz miejsca, w którym widniała długa, szara plama nisko na czole – odniesiona w pojedynku rana pozostawiła bliznę, którą bardzo się szczylił.

Choć Nunc był potężny – o połowę wyższy ode mnie – wcale nie czułem się zagrożony. Wielkość jest rzeczą względną, a jako haizdan w jednej chwili mógłbym urosnąć do jego rozmiaru.

– Wejdz do wody, gościu – zagrzmiał Nunc. – Mój dom jest twoim domem. Moje purrai są twoimi purrai. Zwrócił się do mnie po baelicku, w codziennym, nieformalnym języku Kobalosów: od lat go nie słyszałem i w moich uszach zabrzmiał dziwnie. Zupełnie jakby czas spędzony w pobliżu ludzi sprawił, że moi własni pobratymcy stali się dla mnie obcy. Natychmiast spałem się czujnie. Nigdy wcześniej nie spotkałem Nunca, a jeśli Kobalos

zwraca się do obcego po baelicku, sugeruje to ciepło i przyjaźń, ale też, co niepokojące, często stanowi wstęp do handlu. Ja zaś nie miałem niczego na wymianę.

Ukloniłem się zatem i zdjęwszy pas oraz szablę, które starannie ulokowałem pod ścianą, rozpiąłem trzynaście guzików płaszcza, po czym powiesiłem go na jednym z haków wbitych w drzwi. Był nieco cięższy niż zwykle, bo w podszewce tkwiły trzy klucze do komnat dziewcząt. Następnie zsunąłem ukośne rzemienie i przytrzymywaną przez nią pochwę z dwiema krótszymi klingami odstawiłem obok szabli. W końcu zzułem buty, szykując się do wejścia do wody. Zniesienie tak wysokiej temperatury wymagało ode mnie wielkiego skupienia i siły woli, musiałem się jednak zanurzyć, choćby na krótko, by dopełnić nakazu gościnności. Nie mogłem dać Nuncowi żadnego pretekstu, by wystąpił przeciwko mnie.

Woda okazała się bardzo nieprzyjemna, lecz zmusiłem się, by to wytrzymać. Inne myśli jednak zagrażały mojemu skupieniu: przypomniałem sobie powitanie Nunca i nagle bardzo zaniepokoiła mnie jego wzmianka o purrai.

Purrai to ludzkie samice, zazwyczaj hodowane w zagrodach skleech w Valkarky – czasem, by służyć w niewoli, lecz zazwyczaj do zjedzenia. Określenie to można także stosować do ludzkich niewiast. Nie zdziwiło mnie, że Nunc trzyma purrai w swojej wieży, ale fakt, iż tak szybko zaproponował je gościowi, świadczył o braku szacunku. To zaś w połączeniu z użyciem bealickiego podkreślało, że zamierzał handlować.

Jego następne słowa natychmiast to potwierdziły.

– Proponuję ci trzy moje najlepsze purrai, wymagam jednak czegoś w zamian – handlu. Musisz oddać mi swoje własne purrai.

– Z największym szacunkiem i uprzejmością muszę odrzucić tę hojną ofertę – odparłem. – Obowiązuje mnie złożona obietnica. Muszę dostarczyć moje trzy purrai do ich krewnych w Pwodente.

Nunc warknął w głębi gardła.

– Wszelkie obietnice złożone ludziom tu nie obowiązują, a jako

wysoki mag wymagam twojego posłuszeństwa. Jeszcze dziś w nocy potrzebuję najmłodszej na ucztę ku czci Talkusa Nienarodzonego. Młode, smakowite ciało uświetni tę okazję.

– Choć szanuję twoje zdanie, panie – odparłem, wciąż przemawiając uprzejmie i uniżenie – sam nie jestem twoim poddanym. Purrai należą do mnie i wedle prawa Kobalosów tylko ja decyduję o ich losie. Przykro mi zatem, lecz muszę odmówić.

Istotnie, musiałem szanować Nunca jako wysokiego maga, ale mogłem swobodnie odrzucić jego żądania. Na tym dyskusja powinna się zakończyć, lecz gdy tylko przemówiłem, lewą nogę przy kostce przeszył mi nagły ostry ból. Zupełnie jakby ktoś nakłuł ciało czubkiem klingi i przekręcił.

Instynktownie sięgnąłem tam i poczułem coś, co wymknęło mi się z palców i odpłynęło, zwijając się szybko w wodzie.

Przekląwszy własną głupotę, pojąłem, że ukąsił mnie wodny wąż. Gorąco i para stępiły mi zmysły: w zwykłych okolicznościach wyczułbym stwora tuż po przekroczeniu progu. Gdybym uniósł ogon, wykryłbym go na pewno, ale podobny gest był nie do pomyślenia: stanowiłby poważne naruszenie etykiety i wielką obrazę wobec gospodarza. Nie spodziewałem się jednak podobnej zdrady.

Lękając się o własne życie, odwróciłem się i spróbowałem wynurzyć z wanny.

Było już jednak za późno. Wpadłem z powrotem do wody świadom, że moje ciało ogarnia drętwota. Już teraz miałem problem z oddychaniem i pierś zaciskała mi się coraz mocniej.

– Umierasz – niski głos Nunca odbił się echem od ścian. – Powinieneś być przyjąć moją propozycję. Teraz twoje purrai są moje i nie muszę niczego ci za nie dawać.

Dygocząc z bólu runąłem w głęboką ciemność. Nie bałem się śmierci, czułem jednak przejmujący wstyd, że tak łatwo dałem się pokonać. Popełniłem błąd, nie doceniając Nunca. Niepostrzeżenie dopadł mnie skaiium: naprawdę stałem się miękki i niegodny miana maga haizdana.

## ROZDZIAŁ 4

### KOBALOSKA BESTIA *NESSA*

Musisz być dzielna, Nesso, rzekłam do siebie. Jeśli kiedykolwiek potrzebowałam odwagi, to właśnie teraz – nie tylko dla własnego dobra, lecz przede wszystkim dla swych sióstr!

Siedziałam zamknięta w niewielkim owalnym pomieszczeniu bez okna. Wokół panował półmrok. Na zardzewiały szpikulec sterczący ze ściany nabito ogarek, w jego słabym, migotliwym świetle spróbowałam obejrzeć otoczenie.

Serce ścisnęło mi się z rozpaczy, bo w istocie była to zwykła cela: pozbawiona mebli, ze stertą brudnej słomy w kącie.

Ciemne plamy na kamiennych murach wyglądały, jakby ktoś zbryzgał je krwią. Z drzeniem podeszłam bliżej i natychmiast poczułam promieniujące ze ścian ciepło. Przynajmniej nie zmarznę. Chociaż tyle.

Dziura w podłodze z zardzewiałą metalową pokrywą służyła do zaspokajania potrzeb fizjologicznych, na podłodze stał też dzbanek wody, ale nie dostrzegłam niczego do jedzenia.

Przez chwilę, gdy oglądałam pomieszczenie, ogarnęła mnie rozpacz, szybko jednak wyparł ją gniew. Dlaczego moje życie ma się zakończyć, nim jeszcze właściwie się zaczęło?

Głęboki smutek, jaki poczułam po nagłej śmierci ojca, przemienił się w dotkliwy, głuchy ból. Kochałam go, ale byłam wściekła. Czy w ogóle nie zważał na moje uczucia? Co takiego napisał w swym liście?

*W razie konieczności oddałbym za ciebie własne życie. Teraz ty musisz się poświęcić dla swych młodszych sióstr.*

Cóż za bezczelność z jego strony: rozkazać, bym poświęciła siebie dla dobra sióstr! Łatwo powiedzieć! Od niego nikt nie domagał się podobnej ofiary. Teraz nie żył już i uwolnił się od tego straszliwego świata. Mój ból dopiero się zaczynał. Zostanę niewolnicą

tych bestii. Nigdy nie założę własnej rodziny – nie czeka na mnie mąż ani dzieci.

Sprawdziłam drzwi, ale wewnątrz brakowało klamki, a wcześniej słyszałam zgrzyt obracanego w zamku klucza. W żaden sposób nie zdołam wydostać się z celi. Zaczęłam płakać cicho, ale nie z żalu nad samą sobą; oplakiwałam siostry – biedna Bryony z pewnością jest przerażona, tkwiąc samotnie w swojej celi. Jakże szybko utraciliśmy nasze względne szczęście! Matka zmarła w połogu, rodząc Bryony, i od tego smutnego dnia ojciec dokładał wszelkich starań, opiekując się nami i dzielnie handlując z kobaloskim potworem – nazywał go Wijcem – by nas ochronić. Rzadko kontaktowałyśmy się z mieszkańcami sąsiednich farm i wioski, wystarczyło jednak, byśmy zdały sobie sprawę z rządów strachu bestii i pojęły, że nam oszczędzono strachu i cierpienia, które spotykały innych.

Wydało mi się, że słyszę płacz Bryony, kiedy jednak przycisnęłam ucho do muru, usłyszałam tylko ciszę.

Krzyknęłam jej imię najgłośniejszym, jak mogłam – raz, potem drugi. Po każdej próbie nasłuchiwałam uważnie, przyciskając ucho do ściany. Nikt jednak nie odpowiedział.

Po jakimś czasie moja świeca zgasła, pograżając celę w mroku. Znowu pomyślałam o Bryony. Bez wątplenia z jej ogarkiem stanie się to samo i moja siostra będzie przerażona. Zawsze bała się ciemności.

W końcu zasnęłam, nagle jednak obudził mnie szczepek klucza przekręcanego w zamku. Drzwi zajęczały na zawiasach i otworzyły się powoli, wypełniając celę żółtawym światłem.

Spodziewając się ujrzeć Wijca, cała się spięłam, gotowa przyjąć to, co nastąpi. Jednakże w otwartych drzwiach stanęła kobieta. Trzymała w dłoni pochodnię i wzywała mnie gestem drugiej ręki.

Oprócz moich sióstr, była pierwszym człowiekiem, jakiego ujrzałam od chwili opuszczenia farmy.

– Och, dziękuję! – wykrzyknęłam. – Moje siostry...

Lecz uśmiech ulgi zamarł mi na twarzy, gdy ujrzałam ostry wyraz jej oczu. Nie była moją przyjaciółką.

Nagie ramiona nieznajomej pokrywały blizny, niektóre jadowicie czerwone i świeże; za jej plecami stały cztery inne kobiety, dwie miały podobne blizny na policzkach. Co to takiego? Czyżby walczyły ze sobą? Trzy były uzbrojone w pałki, jedna ścisnęła w dłoni bat. Wszystkie były dość młode, ich oczy przepełniał gniew, a twarze powlekała bladość, jakby nigdy nie oglądały słońca.

Podniosłam się z ziemi, kobieta znów na mnie skinęła, a gdy się zawahałam, weszła do celi, chwyciła mnie za przedramię i pociągnęła brutalnie ku drzwiom. Krzyknęłam, próbując stawić opór, okazała się jednak za silna.

Dokąd mnie zabierały? Nie mogłam pozwolić, by rozdzieliły mnie z siostrami.

– Susan! Bryony! – krzyknęłam.

Na zewnątrz kobiety wykręciły mi obie ręce za plecy i popychając, zmusiły do wspięcia się na strome, kamienne stopnie. Na samym szczycie dotarłyśmy do drzwi. Kobiety wepchnęły mnie za nie gwałtownie, tak że straciłam równowagę i upadłam na podłogę, gładką i ciepłą w dotyku. Pokrywały ją zdobne kafle, każdy przedstawiał egzotyczne stworzenie, z pewnością zrodzone z wyobraźni artysty. W pomieszczeniu było gorąco i mokro, w powietrzu kłębiła się para, lecz kiedy dźwignęłam się na kolana, ujrzałam przed sobą wielką, wpuszczoną w podłogę wannę.

Wepchnąwszy mnie przez próg, kobiety wycofały się po schodach, zamykając za sobą drzwi na klucz. Wstałam z ziemi na rozdygotanych nogach, zastanawiając się, co się dalej stanie. Po co mnie tu sprowadziły?

Próbując przeniknąć wzrokiem opary, dostrzegłam wąski most, wiodący nad wanną do stóp wielkich drzwi z zardzewiałego żelaza po drugiej stronie sali. A potem usłyszałam czyjś krzyk bólu. Widok drzwi napełnił mnie grozą. Co się za nimi kryło?

Dygotałam coraz gwałtowniej, serce ścisnęło mi się, bo głos przypominał Susan. Ale przecież to nie mogła być ona? W mojej celi niczego nie słyszałam. Kiedy jednak krzyk zabrzmiał ponownie, byłam już pewna. Co się z nią działo? Ktoś robił jej krzywdę. Ją także kobiety musiały zaciągnąć tutaj.

Ale po co, skoro potwór przyrzekł nas chronić? Ojciec zawsze twierdził, że stwór nigdy nie łamie danego słowa – że kiedy zawierał umowę, zawsze dotrzymywał jej warunków. Skoro tak, jak mógł na to pozwolić? A może skłamał? Może to on zadawał jej ból?

Ruszyłam brzegiem wanny. Nagle zatrzymałam się i ponieważ zauważyłam na haku za drzwiami czarny płaszcz, a pod nim, oparte o ścianę, pas i szablę, kiedyś należące do ojca. Czy Wijec znajdował się teraz po drugiej stronie drzwi i ranił Susan?

Musiałam coś zrobić. Rozglądałam się gorączkowo tam i z powrotem po całej sali, byle tylko nie patrzeć na drzwi. I wtedy zobaczyłam coś ciemnego w wannie, niedaleko ściany po mej lewej. Co to było? Wyglądało jak ciemne, kudłate zwierzę, pływające w wodzie brzuchem do dołu.

Stwór wydawał się zdecydowanie za mały, by mógł to być Wijec – miał najwyżej

ćwierć jego wzrostu – ale przypomniałam sobie, jak ojciec wyjaśnił kiedyś, że za pomocą magii Mroku haizdan potrafi zmieniać swą wielkość. Kiedy odwiedził naszą farmę, wyrzałam zza zasłony i sama się o tym przekonałam, bo potwór w istocie z dnia na dzień miewał różny wzrost. Przypomniałam sobie także olbrzymie oko, które dostrzegłam w szparze między zasłonami, gdy Wijec przybył do domu po śmierci ojca. Zakładałam, że to tylko moja wyobraźnia pobudzona przerażeniem. Co jednak, jeśli naprawdę był to potwór? Czy rzeczywiście mógł stać się aż tak ogromny? Skoro tak, z pewnością umiał też maleć.

Jeśli jednak ciało należało do Wijca, kto mu to zrobił? Jak mógł utonąć w kąpielu? Nagle wydało mi się, że lewa stopa bestii porusza się odrobinę. Podeszłam bliżej.

Czyżby nadal żył? Jeśli tak, jakaś część mnie pragnęła wepchnąć go pod wodę i utopić. Nic nie sprawiłoby mi większej radości, a on był teraz bezbronny. Nigdy nie nadarzy się lepsza okazja, by go wykończyć. Ale to niemożliwe. Znajdowałyśmy się w niebezpiecznym miejscu, zamieszkanym przez więcej bestii. Bez jego ochrony cała nasza trójka tu zginie.

Zatem bez większego namysłu uklękłam tuż przy wodzie i pochyliwszy się, chwyciłam go mocno za futro na karku.

W chwili, gdy to uczyniłam, zobaczyłam, jak coś bardzo szybko płynie w wodzie wprost ku mojej ręce; instynktownie wypuściłam brzemię i cofnęłam się. To był mały, czarny wąż z trzema jaskrawożółtymi plamkami na szczycie głowy. Widywałam już węże na polu, ale nigdy takiego.

Patrzyłam, jak odpływa, teraz poruszał się wolniej, z trudem jednak widziałam go przez kłęby pary. Wiedząc, że lada moment może zawrócić, nie traciłam czasu. Teraz chwyciłam potwora oburącz – u podstawy karku i nisko na plecach – wplatając palce w gęste futro.

– No dalej! – rzekłam do siebie, a potem spięłam się i z całych sił pociągnęłam.

Wanna była pełna niemal po wręby, lecz mimo to z trudem wywlokłam stwora z wody. Ostatnim wysiłkiem zdołałam wyciągnąć go na podłogę i uklękłam obok, dygocząc z wyczerpania. Zza drzwi dobiegł kolejny krzyk – tym razem byłam pewna, że to głos męczzonej Susan.

– Proszę! Proszę! – wołała. – Nie rób tego! Tak bardzo boli! Pomocy! Proszę, pomóżcie mi, bo umrę! Gardło zacisnęło mi się z żalu. Nie mogłam znieść myśli, że jeden z tych stworów ją męczy.

Wijec przyrzekł nas chronić: i przyrzeczenie to wciąż obowiązywało – bez niego byłybyśmy całkowicie zdane na łaskę pozostałych mieszkańców wieży. Kiedy jednak



spojrzałam na żałosne ciało, nie dostrzegłam żadnych oznak życia i przepelniła mnie najgłębsza rozpacz. Susan znów krzyknęła z bólu i grozy, w odpowiedzi, z nagłym gniewem wobec beznadziei wszystkiego i cierpienia siostry, zaczęłam tłuc w Wijca pięściami. Gdy to uczyniłam, z jego ust wypłynęła struga wody, tworząc niewielką, brązową kałużę obok głowy.

Barwa płynu podsunęła mi pewien pomysł. Nagle pojęłam, że istnieje jeszcze coś, czego mogłabym spróbować, ostatni sposób, dzięki któremu być może da się go ożywić.

Krew! Ludzka krew! Ojciec powiedział kiedyś, że stanowi ona główne źródło mocy Wijca.

Szybko zerwałam się z ziemi i podeszłam do drzwi, gdzie wisiał długi, czarny płaszcz potwora. Tam pochyliłam się i podniosłam szablę niegdyś należącą do ojca. Zaniósłam ją w miejsce, gdzie leżał stwór, potem uklękłam i obróciłam go.

Omiotłam go wzrokiem od stóp do głów; poczułam niesmak patrząc na gąszcz czarnego futra. Usta miał otwarte, język wysunął się z boku między zębami, sięgając niemal do lewego ucha. Widok ten budził we mnie odrazę.

Nerwowo, spodziewając się bólu, uniosłam rękę tuż nad usta Wijca i szablą szybko nacięłam własne ciało. Naostrzona klinga zraniła mnie głębiej, niż zamierzałam. Poczułam ostry ból i pieczenie. A potem moja krew ciemnym deszczem popłynęła wprost w otwartą paszczę bestii.

## **ROZDZIAŁ 5**

### **MUSIAŁEM SIĘ POSILIĆ**

To mój piąty zmysł, zmysł smaku, wywołał mnie z mrocznej otchłani, do której runąłem. Usta wypełniała mi ciepła, słodka krew.

Zakrztusiłem się i zachłysnąłem, potem jednak zdołałem przełknąć i przepyszny płyn spłynął mi do brzucha, przywracając życie. W następnej kolejności odzyskałem węch. Nozdrza wypełniała mi kusząca woń krwi ludzkiej kobiety. Była bardzo blisko, pełna tej samej przepysznej krwi, którą wciąż czułem w ustach.

Następnym powracającym zmysłem okazał się dotyk. Zaczęło się od ukłuc i mrowienia w kończynach, które szybko przerodziło się w palący ogień, zupełnie jakby całe moje ciało płonęło. Wtedy nagle odzyskałem słuch i słysząc czyjś płacz, otworzyłem oczy, i ujrzałem Nessę, która kucała nade mną. Po jej twarzy płynęły łzy. Dostrzegłem szablę, którą ściskała w prawej dłoni. Mój umysł wciąż działał ospale i przez chwilę sądziłem, że zamierza mnie nią uderzyć.

Próbowałem unieść ręce, by się obronić, byłem jednak zbyt słaby i nie zdołałem nawet się odtoczyć. Lecz ku memu zdumieniu nie cięła; leżałem tam, patrząc na nią i próbując pojąć, co się dzieje.

Zacząłem rozumieć, dlaczego trzyma broń, aż w końcu skojarzyłem jej ostrą klingę z krwią ściekającą z głębokiego nacięcia na przedramieniu dziewczyny.

A potem, gdy pamięć powróciła, przypomniałem sobie zdradę Nunca..ukąszenie wodnego węża. Umarłem. Albo przynajmniej na to wyglądało. Krew wciąż wpływała mi do ust, ale było jej znacznie mniej. Znów przełknąłem, po czym spróbowałem chwycić rękę Nessy, przyciągnąć ją do ust. Potrzebowałem więcej krwi, lecz poruszałem się zbyt wolno i skrzywiona z odrazy zdążyła cofnąć się gwałtownie.

Tymczasem jednak krew zrobiła swoje: zdołałem się odturlać i dźwignąć na kolana. Otrząsnąłem się mocno jak pies, chlapiąc wodą dookoła. Mój umysł działał coraz szybciej, zaczynałem myśleć. I pojmować ogrom tego, co uczyniła dla mnie Nessa.

Oddała mi swoją krew. A ta ludzka krew wzmocniła moją magię shakamure, niwelując działanie jadu węża i przywołała mnie z powrotem ze skraju śmierci. Dlaczego jednak Nessa to zrobiła? I czemu w ogóle była tutaj, a nie zamknięta w celi?

– Moja siostra. Ktoś robi jej tam krzywdę. Pomóż jej, proszę! – błagała Nessa, wskazując drzwi po drugiej stronie mostku. – Obiecałeś, że będziemy bezpieczne...

I wtedy usłyszałem inny dźwięk. Był to odległy jęk dziewczyny, dochodził zza drzwi prywatnych komnat Nunca.

– Zabrali ją tam! – ciągnęła dalej Nessa coraz bardziej gorączkowo. – I gdzie jest Bryony? Jakież okropne kobiety wepchnęły mnie tutaj i zamknęły drzwi. Właśnie ocaliłam ci życie, więc jesteś mi coś winien! Pomóż nam, proszę!

Wstałem chwiejnie i uniosłem ogon. Dzięki niemu wyczułem Nunca i zrozumiałem, dlaczego Susan krzyczała, pił jej krew. Byłem oburzony tym, że Nunc złamał wszystkie zwyczaje Kobalosów i ot tak przywłaszczył sobie moją własność. Ale przepełniało mnie także poczucie wdzięczności wobec Nessy. Miała rację: zawdzięczałem jej życie.

Dziwnie się czułem, przyznając coś podobnego. Ludzka samica nic nie znaczy. W mieście Valkarky jest tylko własnością. Dlaczego zatem odczuwałem coś takiego? Czy to naprawdę skaiium, łagodnienie mojej drapieżnej natury? Trudno byłoby mi to znieść.

Obróciłem się ku Nessie. Zabiję Nunca i znów wzmocnię swą naturę. Nic innego się nie liczyło.

– Daj mi szablę! – poleciłem, jednocześnie rosnąc tak, by o głowę przerastać dziewczynę.

Zapłakana Nessa uniosła ją ku mnie. Trzęsła jej się ręka, zobaczyłem jednak, że krew niemal przestała już płynąć i zaczynała krzepnąć. Zamiast odebrać klingę dziewczynie, odwróciłem się do niej plecami i poszedłem po płaszcz i buty.

Najpierw naciągnąłem te drugie, sznurując je starannie, potem zapiąłem rzemienie na ramionach i piersi, sprawdzając czy krótsze klingi tkwią we właściwych miejscach w swoich pochwach. Następnie włożyłem płaszcz i zorientowałem się, że ktoś zabrał z niego trzy klucze. Gdy zapinałem trzynaście guzików, Susan znów krzyknęła za drzwiami.

– Błagam, pospiesz się! – prosiła Nessa.

Ja jednak wiedziałem, że nie mogę sobie pozwolić na bezmyślny pośpiech. Mimo gniewu muszę działać ostrożnie, wybierając właściwą chwilę i atakując tylko, gdy nadarzy się sposobność. Nunc był sam z dziewczyną, lecz pod wieżą mogło stacjonować nawet pięć tuzinów wojowników, gotowych bronić Wysokiego Maga.

– Kto cię tu przyprowadził? – spytałem, zapinając pas. – Nie wojownicy Kobalosów?

– Nie. Kobiety.

– Ile?

– Było ich pięć.

Wyciągnąłem rękę po szablę. Zatem purrai przyprowadziły Nuncowi Susan, by mógł powoli pić jej krew, rozkoszując się każdym łykiem. Bez wątpienia co do Nessy miał inne zamiary, była bowiem zbyt chuda i miała wodnistą krew. Użyłby jej do ćwiczeń z klingą, próbując zranić jak najwięcej razy bez zabijania. W końcu umarłaby od wstrząsu i z utraty krwi. Byłem niemal pewien, że najmłodsza, Bryony, trafiła już do wojowników, by przygotowali ucztę.

Poczułem się lepiej. Byłem silniejszy, lecz wciąż nie dość silny. Pomogłoby mi więcej krwi – wiedziałem, że najrozsądniej byłoby siłą odebrać ją Nessie, lecz coś wewnątrz mnie stawiało opór. I wtedy przypomniałem sobie o wężu!

Podszedłem na skraj wanny i ukląknę, zanurzając dłoń w parującej wodzie.

– Bądź ostrożny! – wykrzyknęła Nessa. – Tam jest wąż!

– Wiem o tym, mała Nesso i słono zapłaciłem za tę wiedzę. To przez niego popadłem w stan, w którym szczęśliwie mnie znalazłaś. Teraz nadeszła kolej węża!

Prawdopodobnie ukąsił mnie mały czarny gad zwany skulką, budzący powszechny lęk, bo jego jad wywołuje błyskawiczny paraliż. Ma też przewagę nad zabójcą, ponieważ po śmierci praktycznie nie da się wykryć obecności jadu w ciele. Ofiara staje się bezbronna w chwili, gdy trucizna wnika do krwi. Potem umiera w męczarniach. Bez wątpienia Nunc wyrobił sobie odporność, stopniowo zażywając coraz większe dawki toksyny – wąż to zapewne jego pobratymiec.

Mój ogon unosił się prosto za plecami i znacznie dokładniej niż oczy czy uszy wyczuwał, gdzie znajduje się wąż. Teraz płynął szybko w stronę mojej ręki.

Lecz w chwili, gdy skulka otworzył pysk, gotów zatopić we mnie kły, chwyciłem go błyskawicznie i wyciągnąłem z wody. Uniosłem gada wysoko, ściskając tuż pod łbem, tak że nie mógł mnie ukąsić. A potem, nie zważając na jęki zgrozy Nessay, odgryzłem mu głowę i wyplułem do wody, po czym wyssałem krew z ciała.

Było jej zdecydowanie za mało, toteż oderwałem kolejny kawałek węża i zacząłem przeżuwać ostrożnie. Niemądra dziewczyna z trudem powstrzymała mdłości. Czy nie rozumiała, że robię tylko to, co konieczne, by ocalić jej siostrę? Gdy przełknąłem mięso, Susan ponownie krzyknęła za drzwiami.

Odwróciłem się i uśmiechnąłem do Nessay.

– Bądź cierpliwa, mała Nesso, potrzebuję sił. Jeśli będę słaby, zginiemy wszyscy.

Dopiero gdy skończyłem jeść całego węża, przekroczyłem wąską kładkę, zmierzając do zardzewiałych żelaznych drzwi. Tak jak oczekiwałem, nie były zamknięte na klucz, więc otwarłem je szarpnięciem i znalazłem się w wąskim korytarzyku zakończonym pojedynczymi drzwiami. Te także otwarłem i z Nessą depczącą mi po piętach wmaszerowałem śmiało do prywatnej komnaty Nunca.

Ten przestronny pokój służący za gabinet, prywatną zbrojownię i sypialnię kobaloskiego wysokiego maga stanowił osobliwą mieszaninę spartańskiej surowości i luksusu. Na nagiej kamiennej posadzce stało wielkie, ozdobne, dębowe biurko o krawędziach okutych najwyższej klasy srebrem, które natychmiast rozpoznałem. To było combe – srebro wysokiej jakości zdobyte pięćdziesiąt trzy lata wcześniej podczas śmiałego wypadu daleko w głąb terytorium ludzi na południu. Wszyscy słyszeli o wyczynach Nunca. Osiągnął wiele, lecz słynął ze swej próżności, toteż postarał się, by jego sława dosięgła jak najdalej.

Na przeciwnej ścianie wisiały tarcze, topory, włócznie i najróżniejsze klingi, niektóre bardzo egzotyczne, pod nimi ujrzałem duży stół zasłany mapami i stertami papierów, zabezpieczonymi wielkimi przyciskami z błękitnego agatu.

W mojej ghanbali także zgromadziłem przedmioty miłe dla oka, lecz miast ostentacyjnych map i kolekcji broni wybierałem takie, które odpowiadały moim własnym zainteresowaniom: słoje ziół, maści i zakonserwowanej fauny i flory, wzbogacające wiedzę o świecie naturalnym i przydatne w magii.

Tu ściany wyłożono boazerią tak szczelnie, że nie dostrzegłem ani skrawka kamienia; na niektórych deskach wyrzeźbiono wojowników w pełnych bojowych zbrojach, a wśród nich ostatniego króla Valkarky, który zginął z rąk zabójcy.

Dostrzegłem Nunca, trzymającego w uścisku Susan i wbijającego zęby w jej szyję. Dziewczyna straciła już przytomność i Nessa krzyknęła nagle za mymi plecami, uprzedzając tym samym maga o zbliżającym się niebezpieczeństwie.

Natychmiast wypuścił dziecko i odskoczył. Susan runęła na ziemię, on tymczasem chwycił ze ściany wielką włócznię i uniósł ją przed sobą, kierując ku mnie. Był ubrany uroczyście, gotów do uczty i niestety strój ów obejmował też kosztowną kolczugę, jak oceniałem, dość grubą, by odbić cios szabli. Zamierzał jednak się posilić, nie walczyć, toteż jego głowa i szyja pozostawały odsłonięte na cięcia ostrej stali.

– Panie Nuncu! – wykrzyknąłem głosem pełnym gniewu. – Masz coś, co należy do mnie i musisz to zwrócić!

Mówiąc to, zadarłem ogon, tak że unosił mi się za plecami i ostrzegał przed zamiarami wroga. Miałem szczęście, że to zrobiłem. Z pozoru nic nie wskazywało, że Nunc zaatakuje – nawet drgnięcie czy napięcie mięśnia – lecz w odpowiedzi cisnął włócznią prosto w moją głowę. Jak powiedziałem, ogon uprzedził mnie o tym i byłem gotów. Gdy broń pomknęła ku mnie, poruszyłem tylko jedną część ciała. Uniosłem rękę i szerokim płazem szabli zręcznie odbiłem włócznię, tak że trafiła w ścianę przy drzwiach i nie czyniąc nikomu krzywdy, spadła na podłogę.

W tym momencie Susan uniosła powieki i z trudem uklękła na kamieniach. Wpatrywała się oszołomiona w rozgrywającą się przed nią scenę. Gdy tylko zaczęła krzyczeć, Nunc podbiegł do

przeciwległej ścianie, złapał szablę i tarczę i odwrócił się ku mnie.

Był silny: mięśnie jego torsu, choć nieco brzuchatego, świadczyły o codziennych treningach w sztukach walki.

Ja sam ćwiczyłem co dzień w młodości, nim zostałem haizdanem. Teraz łowy pozwalały mi zachować formę, wolałem też polegać w walce na własnym instynkcie niż na wyćwiczonych sekwencjach ruchu.

Możliwe, że Nunc nieco się postarzał, nadal jednak był bardzo niebezpieczny, a dobrze wiedziałem, że bolesna przygoda w wodzie znacznie mnie osłabiła. Nie mogłem zatem liczyć na to, że zniosę długą walkę. Aby zwyciężyć, musiałem zakończyć ją szybko.

Lewą ręką rozpiąłem trzy górne guziki płaszcza i sięgnąłem za pazuchę, dobywając krótkiej klingi. Teraz z dwoma ostrzami okrążyłem biurko i zacząłem powoli zbliżać się do maga.

Kącikiem oka zobaczyłem Nessę, biegnącą do Susan. Sądziłem, że zamierza pocieszyć siostrę, potem jednak ku swemu zdumieniu ujrzałem, że podnosi leżącą na posadzce włócznię i rzuca się wprost na Nunca.

W chwili gdy włócznia złamała się o tarczę, Nunc posłużył się nią jak maczugą, uderzając w bok dziewczyny. Tarcza trafiła ją w ramię i odrzuciła na obitą boazerią ścianę.

Natychmiast dostrzegłem szansę. Nunc popełnił błąd, który będzie kosztował go życie. Wykorzystując sposobność, jaką dał mi szaleńczy atak Nessy, podążyłem szybko jej śladem i jednym ciosem szabli przeciąłem gardło maga.

Widząc mnie, próbował unieść tarczę, by osłonić ciało, spóźnił się jednak. Ciąłem tak szybko i silnie, że niemal zupełnie odrąbałem mu głowę. Gdy padł na kamienną posadzkę, odłożyłem na bok obie klingi i osunąłem się na kolana obok konającego wysokiego maga.

Musiałem się posilić. Jego krew oznaczała siłę. Obiecywała szansę ucieczki z tej fortecy.

Zacząłem chłeptać łapczywie gorącą, słodką krew wypływającą falami z szyi Nunca, przełykając pospiesznie wielkie hausty i

czując, jak siła życiowa napełnia moje ciało nową mocą.

## ROZDZIAŁ 6

### ZABÓJCA SHAIKS

Kiedy skończyłem, wstałem i beknąłem głośno. Lepiej wypuścić gazy niż trzymać je w sobie! Nessa tymczasem zdążyła podnieść się z podłogi i skrzywiona z bólu przyciskała dłoń do ramienia. Zaimponowała mi jej odwaga – atak dziewczyny ułatwił mi pokonanie Nunca. Twarz miała bladą, widziałem, że drży, lecz prócz kilku sińców nie odniosła uszczerbku na zdrowiu. Purrai są bardzo odporne. Uśmiechnąłem się do niej, ona jednak gapiała się na mnie z wyrazem zgrozy i obrzydzenia. Oblizałem zatem wargi, wróciłem do łaźni i ukląknęłem przy wannie. Pochyliłem się tak, że niemal dotknąłem parującej powierzchni wody i obiema rękami zacząłem zmywać krew z twarzy i włosów.

Właśnie skończyłem, gdy za moimi plecami do komnaty wmaszerowały Nessa i Susan, trzymające się za ręce. Obróciłem się do sióstr i znów uśmiechnąłem, lecz one patrzyły na mnie, jakbym je skrzywdził, a nie ocalił przed pewną śmiercią. Oczywiście, musiałem wziąć pod uwagę ich stan. Prócz stłuczonego ramienia Nessa miała też mocno otartą twarz z jednej strony. Musiała się zranić, gdy Nunc odtrącił ją tarczą. A Susan była śmiertelnie blada: straciła niemal całą krew.

– Znajdę dla was ubrania – oznajmiłem. – Ciepłe ubrania purrai, które ochronią was przed śnieżycą. Potem stąd odejdziemy.

Susan otworzyła usta, nie wydobyło się z nich jednak żadne słowo. Cała dygotała po spotkaniu z Nuncem. Lecz Nessa była wyraźnie zła i zdeterminowana.

– A co z Bryony? – spytała ostro.

– Oczywiście, Nesso, dla niej także poszukam ubrania. Teraz jednak musimy uciekać z tej fortecy. Jeśli macie mieć choć szansę



przeżycia, róbcie dokładnie to, co wam powiem.

Uznałem, że nie ma sensu jej zasmucać informacją, że Bryony zapewne już nie żyje. Wkrótce i tak się dowie.

Ruszyłem pierwszy w dół kamiennych stopni. Przed sobą niosłem szablę i krótką klingę, za mną ogon prężył się jak chorągiew, drżąc lekko, gdy starał się wyczuć wszelkie możliwe zagrożenia.

Z pomieszczenia, w którym przechowywano ubrania dla miejscowej służby, zabrałem stroje dla dwóch dziewcząt: ciepłe konopne portki, grube wełniane bluzy i nieprzemakalne peleryny z kapturami, noszone przez purrai, które pracowały na dziedzińcu wewnętrznym. Dzierżąc je w objęciach, pomaszerowałem na dół. Nie zaprzątałem sobie głowy szukaniem ubrania dla Bryony – zresztą i tak nie było tam dość małych – Nessa jednak bez cienia podejrzeń przyjęła naręcze strojów,

W końcu dotarliśmy do trzech cel. Klucze znów tkwiły w zamkach, lecz wszystkie drzwi stały otworem. Przystanąłem, gdy Nessa z krzykiem wbiegała kolejno do cel, szukając siostry. W końcu z oczami oszalałymi z żalu ruszyła wprost ku mnie.

– Gdzie ona jest? Dokąd ją zabrali?

– Najlepiej o niej zapomnij, mała Nesso. Znalazła już spokój.

– To tylko dziecko! – zawołała Nessa, przysuwając twarz do mojej. – Obiecałeś, że nic jej się nie stanie!

– Zapomnij o niej. Musimy już odejść. Musimy ruszać, inaczej wszyscy zginiemy. Jeśli nadal chcesz przeżyć, chodź ze mną. Wkrótce będzie za późno.

– Nie odejdę bez niej.

Zaczynało mi brakować cierpliwości.

– W takim razie umrzesz tutaj, mała Nesso. Zmienisz zdanie, gdy poczujesz, jak klingi tną twoje ciało. Zabiją cię bardzo powoli...

– Ocaliłam cię – niemal wyszeptała, potem nagle wplotła mi palce we włosy i pociągnęła w dół ku niej, tak że nasze czoła się zetknęły. – Zawdzięczasz mi życie. Uratowałam cię, żebyś mógł ocalić moje siostry.

Poczułem się bardzo dziwnie. Jej słowa nie powinny mnie wzruszyć, a jednak tak się stało. Dźwięczała w nich prawda, której nie mogłem odrzucić, nie powinny jednak w żaden sposób nade mną zapanować. Dziwnie się czułem, gdy była tak blisko i ciągnęła mnie za włosy.

W jakiś osobliwy sposób podobało mi się to. Podobało mi się też, jak nasze czoła się stykały. Żaden człowiek nigdy dotąd tak bardzo się do mnie nie zbliżył. Żaden nie śmiał. Większość starała się utrzymywać możliwie jak największy dystans. A jednak ta dziewczyna przyciskała moją głowę do swojej i patrzyła mi głęboko w oczy.

Z nagłym szarpnięciem Nessa wypuściła mnie i cofnęła się, ukrywając twarz w dłoniach.

Przez moment nie mogłem skupić myśli. Potem usłyszałem własny głos, zdawał się dobiegać z bardzo daleka, jakby należał do kogoś innego.

– Idźcie i zabierzcie nasze konie ze stajni. Osiodłajcie je, ale zostawcie wóz – śnieg będzie zbyt głęboki. Jeśli wasza siostra żyje, przyprowadzę ją do zewnętrznej bramy. Jeśli nie zjawię się, nim skończycie szykować wierzchowce, odjedźcie beze mnie i skierujcie się na południe. W ciągu niecałych dwóch dni zmieni się pogoda, wtedy was dogonię.

To rzekłszy, poprowadziłem siostry do drzwi wiodących na duży wewnętrzny dziedziniec. Gdy je otwarłem, śnieg nadal sypał się z nieba. W dali widziałem stajnie, żółte światło lampy odbijało się od mokrych kamiennych płyt. Odwróciłem się i wcisnąłem Nessie w dłoń krótszą klingę.

– Jeśli jakaś purra spróbuje cię zatrzymać, zagroź jej tym. Boją się tego ostrza bardziej niż czegokolwiek. Dorastają, znając jego ukąszenia. To podstawowe narzędzie ich tresury.

Nessa przytaknęła z determinacją i wyszła na śnieżyce, siostra dreptała tuż za nią. Obejrzała się raz jeden i zobaczyłem jej oczy, błyszczące w ciemności jak dwie odległe gwiazdy. Ponownie zdumiało mnie, co właściwie robię, jak reaguję na tę purrę.

Podczas wcześniejszej wizyty poznałem rozkład wieży. Duża piwnica służyła za miejsce uczt, zszedłem zatem po schodach aż do solidnych dębowych drzwi. Nie zamknięto ich na klucz. Siedzący w środku nie obawiali się intruzów. Wystarczyło jedynie przekręcić wielki żelazny pierścień po środku i pchnąć.

Mocno ścisnąłem szablę w prawej dłoni i uniosłem ogon wysoko za plecami, szukając tego, co kryje się po drugiej stronie. Najpierw znalazłem dziecko – ku memu zdziwieniu wciąż żyła, lecz za moment miało się to zmienić. Właśnie szykowali się, by poderżnąć jej gardło.

Zacząłem oceniać swoje szanse: część zebranych to kucharze, inni – zbrojmistrze bądź zwykli robotnicy. Nadal jednak pozostawało trzydziestu dziewięciu twardych, wyszkolonych wojowników. Nie będzie łatwo.

Choć ani przez moment nie wątpiłem, że zwyciężę, perspektywa ocalenia dziewczynki nie wyglądała najlepiej: w wirze walki nic nie jest pewne.

Lewą ręką powoli przekręciłem pierścień w prawo. Potem równie wolno pchnąłem lekko skrzydło, tak że otwarło się stopniowo, skrzypiąc na starożytnych zawiasach.

Najważniejszym elementem obszernej sali był wielki otwarty kominek, osadzony w przeciwległej ścianie, toteż niemal wszyscy zebrani – kobalocy wojownicy i słudzy – zgromadzili się wokół niego, zwrócenii do mnie plecami. Słyszałem szmer ożywionych rozmów. Między drzwiami i kominkiem ustawiono kilka długich stołów, na których piętrzyły się półmiski i kufle, choć jednak na talerzach czekała strawa, jak dotąd goście skupili się głównie na picciu dużych ilości mocnego piwa. Alkohol przytępia zmysły – mag haizdan nigdy nie zbezczesciłby tak swego ciała. Ich głupota mnie ucieszyła, bo zwiększała moje szanse.

Dania głównego jeszcze nie podano. W istocie nie zostało nawet przyrządzone. Na rożnie brakowało mięsa, nie miał jednak czekać długo, bo Bryony zmuszono, by uklękała przy palenisku nad drewnianym cebrzykiem, który, ustawiony dokładnie pod jej głową,

miał złapać całą krew. Zawiazali płaczącej purre oczy, by nie widziała, co ją spotka – bardziej dla własnej wygody niż z litości. Ostra klinga, która miała podciąć jej gardło, błysnęła w półmroku. A potem ujrzałem kata i dostrzegłem trzy długie czarne warkocze, świadczące o tym, iż mam do czynienia z wyjątkowo niebezpiecznym przeciwnikiem. Owe warkocze stanowiły oznakę Shaiksa, bractwa elitarnych zabójców posłusznych jedynie rozkazom Triumwiratu Wysokich Magów, rządzących Valkarky.

Ocalenie dziewczynki mogło się okazać znacznie trudniejszym zadaniem, niż przewidywałem. Skrzypienie drzwi rozpląnęło się pośród zgiełku głosów, teraz jednak wzmocniłem je szybko, tak że wypełniło całą komnatę dźwiękiem gromu. Wszyscy zebrani bez wyjątku obrócili się, szukając wzrokiem źródła owego niezwykłego dźwięku.

Śmiało przekroczyłem próg komnaty i wykrzyknąłem głośno, wyzywająco, aby znaczenie mych słów nie umknęło nikomu.

– Oddajcie mi dziecko! – zażądałem. – To moja prawowita własność, odebrano mi ją wbrew mojej woli i wbrew wszelkim zwyczajom gościnności i prawom własności!

## **ROZDZIAŁ 7**

### **UKĄSZENIE KLINGI *NESSA***

Poprowadziłam moją siostrę, dygoczącą z zimna i strachu, w stronę stajni. Wiatr obsypywał nam twarze płatkami śniegu, lecz kamienie pod stopami były ciepłe i parowały.

– Jak mogłaś go dotknąć, Nesso? – spytała Susan. – Jak zdołałaś znieść jego bliskość?

– Zrobiłam wszystko, by ocalić Bryony – odparłam.

Po prawdzie, sama nie mogłam uwierzyć w to, co właśnie uczyniłam – a przecież faktycznie chwyciłam go za włosy i przyciągnęłam tak blisko, że nasze czoła się zetknęły... Mógł mnie

zabić bez wahania. Zrobiłam to impulsywnie, doprowadzona do takiej śmiałości strachem o najmłodszą siostrę. Jakimś cudem udało mi się i przeżyłam tę rozmowę.

Od dnia, gdy matka ją urodziła, Bryony była dla mnie jak moje własne dziecko. Musiałam ją uratować.

Do stajni wiodło dwoje drzwi i gdy podeszłyśmy do bliższych, Susan zaczęła jęczeć ze zgrozy. Odwróciłam się gniewnie i uciszyłam ją. Natychmiast ogarnęły mnie wyrzuty sumienia – zachowałam się dokładnie tak samo, jak uczyniłby to potwór. Gdyby jednak któryś z Kobalosów nas usłyszał, zginęłybyśmy tutaj. Pomyślałam o biednej Bryony i wbrew wszystkiemu poczułam nadzieję, że Wijec zdąży ją ocalić. Ostrożnie wkroczyłam w plamę żółtego światła rzucanego przez latarnie i zajrzałam do środka. Powietrze w stajni było znacznie cieplejsze, pachniało sianem i końskim łajnem.

Ujrzałam ponad trzydzieści boksów, wszystkie zajęte. Zaczęłam wędrować powoli naprzód, zaglądając do nich kolejno w poszukiwaniu naszych wierzchowców. Nie byłam pewna, czy weszłam tymi drzwiami co wcześniej, może umieszczono je na drugim końcu? Ruszyłam szybciej naprzód. I wtedy wydarzyły się dwie rzeczy, które sprawiły, że zamarłam. Z drugiego końca stajni usłyszałam szorstkie, gardłowe głosy. Nie widziałam nikogo i nie potrafiłam zrozumieć, co mówią, ale brzmiali jak Kobalosi. Tuż potem uświadomiłam sobie coś jeszcze: pierwszych pięć czy sześć koni miało już na sobie siodła, do każdego doczepiono dwie niewielkie torby wyglądające na zapasy. Czemu zatem nie wziąć tych, unikając ryzyka, związanego z odszukaniem naszych własnych wierzchowców?

Szybko odsunęłam drzwi boksu i chwytając uzdę wprowadziłam pierwszego konia.

– Weź go! – poleciłam, podając lejce Susan.

– A co z wozem i naszymi skrzyniami? – poskarżyła się. – Spakowałam tam najlepsze stroje.

– Nie mamy czasu ich szukać, Susan. Tu chodzi o nasze życie! –

warknęłam, odwracając się do niej plecami. Potrzebowałam zaledwie kilku chwil, by wyprowadzić z boksów jeszcze dwa wierzchowce – srokacze, tak samo jak pierwszy. Właśnie miałam zająć się czwartym, gdy usłyszałam czyjeś kroki na mokrych kamiennych płytach, zbliżające się do drzwi stajni.

Serce zaczęło walić mi w piersi. Byłam przerażona. Co, jeśli to kolejny złowieszczy Kobalos, taki jak bestia, która napadła Susan? Jakie miałyśmy szanse w walce z czymś takim? Przez chwilę, ogarnięta paniką, byłam gotowa uciec, ratować się, potem z nagłym wstydem przypomniałam sobie o Susan i Bryony. Jak mogłabym je zostawić?

Odetchnęłam zatem głęboko, by się uspokoić, odwróciłam i mocniej zacisnęłam dłoń na rękojeści tkwiącego za pasem noża.

Ku memu zdumieniu przekonałam się, że maszeruje ku nam jedna z groźnych kobiet, które zaciągnęły mnie do łaźni, gdzie znalazłam Wijca. W ręku niosła pałkę, w jej oczach dostrzegłam gniew i zdecydowanie. Drżącą ręką wyszarpnęłam nóż z za pasa i wycelowałam w nią. Na widok ostrza zastygła w miejscu, pięć kroków ode mnie.

Obawiałam się pałki kobiety, widziałam jednak, że moja klinga przeraża ją bardziej. Postąpiłam krok ku niej, jakbym zamierzała zaatakować; ona także wykonała krok – w tył, byle dalej ode mnie.

– Susan, wyprowadź konie na dwór – poleciłam, cały czas trzymając dystans między niewolnicą a moją siostrą.

Susan przez chwilę majstrowała przy wodzach, W końcu jednak zdołała wyprowadzić na dziedziniec trzy srokate klacze. Podążyłam za nią, cofając się powoli, ostrożnie, ani na moment nie odrywając wzroku od kobiety z pałką. Teraz dotrzymywała mi kroku i wydało mi się, że w jej oczach dostrzegam nową determinację.

Twarz kobiety pokrywały blizny, podobnie jej ramiona. Ukąszenia klingi stanowiły podstawę tresury i szkolenia niewolnic – tak przynajmniej twierdził Wijec. Bez wątpienia, kiedy stwór sprzeda mnie w niewolę, ja także tego doświadczę.

Spróbowałam nowej taktyki.

– Może pojedziesz z nami? – zaproponowałam, zmuszając się do uśmiechu. – Nie musisz tu żyć i znosić męczarni. Ucieknij z nami!

Kobieta milczała, jedynie skrzywiła się w odpowiedzi. Nagle zrozumiałam. Gdyby pozwoliła mi uciec z końmi, zostałaaby ukarana – może nawet zabita. Bała się swych panów bardziej niż mnie. Teraz jednak znajdowałam się już na dziedzińcu i musiałam chronić swoją rodzinę.

– Brama! Poprowadź je do bramy! – krzyknęłam do Susan, wskazując ręką.

Niewolnica nadal dotrzymywała mi kroku, ale jak dotąd nie zaatakowała. Nagle usłyszałam kolejne kobiece głosy. Inne niewolnice biegły ku nam, w tym ich przywódczyni, ta z pochodnią.

– Nie chcę umierać! Nie chcę tu umierać! – krzyknęła Susan. – Czym sobie na to zasłużyłyśmy? Och, jakbym chciała znów być na farmie!

Wiedziałam, że to już koniec. Susan miała rację: prawdopodobnie tu zginiemy. Nie miałam jednak zamiaru zdradzać się z własnym przerażeniem i rozpaczą. Po co dawać im satysfakcję.

Uniosłam klingę na znak, że nie poddam się bez walki. Kobieta z pałką machnęła nią nad głową i puściła się biegiem wprost ku mnie. Bałam się, ale kierowana desperacją, gdy zamachnęła się, próbując roztrzaskać mi czaszkę, chlasnęłam jej ramię sztyletem.

Klinga wgryzła się jej w rękę. Kobieta wrzasnęła upuszczając pałkę. Teraz patrzyła na mnie oczami pełnymi bólu, a z jej przedramienia na kamienne płyty skapywała krew. Przez moment widok ten powstrzymał też inne. Potem jednak znów ruszyły naprzód.

Gdzie się podziewał Wijec? Czy zdołał ocalić biedną Bryony?

## **ROZDZIAŁ 8**

### **TYLKO JEDNA SZANSA**

Przede mną w piwnicy stało trzydziestu dziewięciu kobaloskich wojowników. Trzydziestu dziewięciu wojowników dzieliło mnie od ludzkiej dziewczynki, po którą przybyłem. Nosili zbroje, ale nie mieli hełmów, jak nakazywał zwyczaj przy podobnych okazjach. Długie włosy na twarzach zasłaniały usta.

I pozostawał jeszcze najgroźniejszy przeciwnik: zabójca Shaiksa o trzech warkoczach, teraz przyciskający klingę do gardła Bryony.

Na chwilę w sali zapadła niemal całkowita cisza; słychać było tylko trzask szczap na palenisku. Potem z rykiem wściekłości jeden z wojowników rzucił się ku mnie, unosząc wielki, obosieczny miecz, gotów do walki.

Nie cofnąłem się i poruszyłem dopiero w ostatniej sekundzie. Uskoczyłem w prawo, zanurkowałem pod opadającą klingą i ciałem w bok szablą. Moje ostrze wbiło mu się w szyję, rozrąbując rdzeń kręgowy, tak że niedoszły zabójca runął martwy u mych stóp.

Potem powoli rozprostowałem palce lewej dłoni, aż kostki zatrzeszczały i z szerokim, okrutnym uśmiechem sięgnąłem za pazuchę, wyciągając drugą klingę, sztylet. Teraz stałem naprzeciw nieprzyjaciół z ostrą bronią w obu dłoniach.

– Oddajcie mi to, co prawnie mi się należy. Oddajcie mi to, czego żądam. Zróbcie to szybko, a może część z was ujdzie z życiem! – krzyknąłem, wzmacniając własny głos, tak by półmiski zagrzechotały, a noże i widelce zatańczyły na blatach.

Słowa te miały tylko odciągnąć ich uwagę – bo natychmiast, nie czekając na odpowiedź, wskoczyłem na jeden z najbliższych stołów. A potem puściłem się pędem w stronę kominka, roztrącając stopami srebrne półmiski i złote kielichy. Całą wolę skupiałem na jednym: niedopuszczeniu, by przykucnięty nad dziewczynką zabójca ją zamordował.

Panowanie nad zabójcą i jednoczesne uskakiwanie przed wrogami okazało się niełatwe. Zabójcy Shaiksa przechodzą szkolenie w wielu dyscyplinach umysłowych, czasami potrafią oprzeć się nawet woli maga.

Toteż w chwili, gdy zeskakiwałem z ostatniego stołu, zabójca



uniósł klingę ku gardłu dziewczynki. Przepaska z jej oczu spadła i mała na jego widok wrzasnęła rozdzierająco. Ja jednak uderzyłem rękojeścią własnej szabli, wymierzając mocny cios w skroń przeciwnika, który runął do tyłu, ogłuszony. Broń wypadła mu z dłoni.

Nie opłaca się zabijać zbyt lekko jemu podobnych. Shaiksa nigdy nie zapominają i nawet bliski śmierci umierający umysł zabójcy potrafi przebyć wielką odległość, by przekazać braciom imię i miejsce pobytu przeciwnika. Toteż pragmatyzm, nie litość, kierował moją ręką.

Chwyciłem małą. Gdy ją podnosiłem, krzyczała, ja jednak posłużyłem się magiczną umiejętnością zwaną bosk: zmienianiem składu chemicznego powietrza w moich płucach. Chuchnąłem jej szybko w twarz i natychmiast pogrążyła się w głębokim śnie.

Następnie zwróciłem się ku przeciwnikom, którzy zbliżali się szybko z dobytą bronią; ich twarze przepełniała wściekłość. Zacząłem rosnać, jednocześnie siłą woli ciskając im w oblicza pulsujące fale niepowstrzymanego strachu, tak że na mój widok wyrócili oczami, a ich usta otwarły się ze zgrozy. Potem ostatnim wysiłkiem woli sięgnąłem umysłem i zgasilem trzynaście pochodni oświetlających podziemną salę bankietową. Komnata natychmiast pogrążyła się w ciemności, lecz ja, dzięki magicznemu wzrokowi, wciąż widziałem: dla mnie oświetlał ją srebrzysty, widmowy blask. Dzięki temu zdołałem uciec spośród nich, bezpiecznie przebiegając między wrogami.

Dotarłem już niemal do drzwi, gdy wyczułem za sobą zagrożenie. To był zabójca Shaiksa. Szybko doszedł do siebie i w odróżnieniu od wojowników opierał się mojej magii. Teraz pędził ku mnie, wymachując klingą w lewej dłoni i toporem wojennym w prawej. Każda cząstka jego istoty skupiała się na zabiciu mnie.

Gdyby się dało, zatrzymałbym go, używając minimalnej siły. W walce zazwyczaj istnieje wybór możliwego ataku bądź kontrataku. Teraz jednak zbliżał się do mnie z taką koncentracją i zdecydowaniem, że nie miałem wyjścia, pozostało mi tylko jedno.

Uchyliłem się przed pierwszą klingą, wiedziałem jednak, że drugiej nie ucieknę: topór opadał ku mojej głowie, grożąc oddzieleniem jej od karku. Przeszyłem zatem serce zabójcy własną szablą. Efekt był natychmiastowy: topór wypadł mu z pozbawionych czucia palców, lądując na ziemi ułamek sekundy przed ciałem.

Zwycięstwo ocaliło mi życie, ale też odmieniło je na zawsze. Zabijając wysokiego maga, stałem się wyrzutkiem w oczach Triumwiratu, zaś śmierć zabójcy skierowała na moją głowę gniew całego jego bractwa. Będą szukać zemsty i polować na mnie aż po kres ziemi, póki ja także nie umrę.

W ostatniej chwili wybiegłem na dziedziniec. Nessa i Susan wyprowadziły ze stajni trzy wierzchowce. Nessa niepewnie trzymała nóż, próbując odpędzić cztery biegnące ku niej purrai. Susan wrzeszczała histerycznie.

Potem jednak zauważyłem piątą niewolnicę. Tuliła do siebie zgietą, krwawiącą obficie rękę. Zatem Nessa wykazała się jednak odwagą i zadała co najmniej jeden cios! Ale jeszcze kilka chwil i zginęłyby obie. Puściłem się pędem ku nim, miejscowe purrai wrzasnęły i na mój widok umknęły do stajni. Ocenilem szybko wzrokiem trzy srokate klacze – w żadnej nie rozpoznałem wierzchowca, na których przybyliśmy do wieży. Z jednej strony to dobrze, bo okuto je na sposób kobaloski szerokimi podkowami, zapewniającymi większą stabilność i zapobiegającymi zapadaniu się w każdy śnieg, prócz świeżo spadłego. Reszta jednak wyglądała źle – bardzo źle. Miały siodła, lecz brakowało im juków i zapasów. Nie widziałem owsa dla koni, jedynie dwa zwyczajowe niewielkie worki oszeru, którym w ostateczności można je karmić. Robiono go z owsa z dodatkiem specjalnych chemikaliów, które mogły wystarczyć jucznemu zwierzęciu na długą podróż. Oczywiście, potem koń zdychał, zatem z oszeru korzystano tylko w ostateczności. Ale jaki inny wybór dała mi Nessa?

Z przekleństwem wskoczyłem na grzbiet najbliższego konia i złożyłem na łęku nieprzytomną dziewczynkę.

– Dzięki Bogu! – zawołała Nessa, wiedziałem jednak, że wojownicy zapewne biegną już, by opuścić kratę i zapobiec naszej ucieczce z dziedzińca, wskazałem ręką wyjście, kierując ku niemu wierzchowca po mokrych, kamiennych płytach.

Nessa z trudem wsadziła nadal zapłakaną siostrę na jedną klacz, potem szybko dosiadła drugiej. Po chwili znaleźliśmy się już za otwartą bramą i galopowaliśmy wysypaną popiołem ścieżką wprost w tabuny śniegu.

Przez jakiś czas jechaliśmy w ciszy, zakłócaną jedynie rozdzierającymi szlochami Susan. Analizowałem w myślach konsekwencje ostatnich wydarzeń.

– Dlaczego zmierzamy na północ?! – zawołała w końcu Nessa.

Nie zaszczyciłem jej odpowiedzią. Tylko jeden kierunek dawał mi szansę przeżycia, a i to niewielką. Pozostały mi tylko dwa wyjścia – pierwsze: zostać banitą i wymykać się wrogom póki zdołam, drugie: wyruszyć wprost do źródła zagrożenia i stawić mu czoło – w samym sercu Valkarky.

## **ROZDZIAŁ 9**

### **NA PÓŁNOC, DO VALKARKY**

Prowadziłem nas na północ, ku najlepszej pozostającej szansie ocalenia. Po dwóch godzinach dotarliśmy do ruin farmy. Była bardzo stara i kiedy ponad dwa tysiąclecia wcześniej klimat uległ zmianie, opanowały ją żywioły. W owym czasie mój lud przesunął granice dalej na południe, nie napotykając na zbyt ni opór małych, słabych królestw podzielonych ludzi.

Teraz z budynku pozostały tylko dwie nagie, kamienne ściany pod osłoną stromego zbocza. Zbliżywszy się do ruin, wyczułem coś niewidocznego i wrogiego. Zatrzymałem się szybko.

– Dlaczego stajemy? – spytała Nessa. – Musimy się tam schować!

Ja jednak nie zważając na jej słowa, zadarłem ogon, szukając źródła niepokoju. Gdy tak uczyniłem, na moje ramiona i głowę posypał się grad drobnych kamieni.

Po chwili znalazłem. To był bychon, duch zdolny manipulować materią. Niektóre z nich są bardzo groźne, potrafią niezwykle celnie ciskać wielkimi głazami i miażdżyć nimi ofiary, ten jednak sprawiał wrażenie względnie słabego. Trąciłem go umysłem, a on wycofał się w najmroczniejszy zakamarek. Potem zacząłem szeptać do niego cicho, by purrai nie usłyszały mych słów:

*Wkrótce stąd odejdziemy i znów będziesz mógł zająć swój dom. Nie rób niczego, co zmusiłoby mnie do przegnania cię stąd na zawsze. Bądź spokojny i pozostań w ukryciu. Czy przyjmujesz moją propozycję?*

Na głowę nie spadł mi żaden kamyk, uznałem więc milczenie bychona za znak zgody. Natychmiast wykorzystałem walające się wszędzie wokół stare drewno. Najpierw zbudowałem prosty daszek osłaniający przed śnieżycą, część pozostałego drewna podpałem siłą woli, bo potrzebowaliśmy ognia, by zaczerpnąć nieco życiodajnego ciepła.

Odziane w praktyczne stroje purrai dwie starsze dziewczynki nie zmarzły zbyt, najmłodszą jednak porwałem w chwili, gdy szykowano ją na rzeź i była niemal naga. Bosk pograżył ją w głębokim śnie, ale zbyt długie utrzymywanie jej w tym stanie byłoby niebezpieczne, toteż musiałem ją ocucić. Obudziwszy się, natychmiast zaczęła dygotać i rozplakała się słabo, a ja wiedziałem, iż brak jej sił, by mogła przetrwać zbyt długo.

Ja dobrze sobie radzę nawet w największe mrozy, toteż nie potrzebowałem długiego, czarnego płaszcza. Jednakże nie nosiłem go dla ochrony przed chłodem, stanowił oznakę mego powołania i stanowiska haizdana, trzynaście guzików symbolizowało trzynaście prawd, których poznanie zajęło mi wiele długich lat. Niechętnie go zdejmowałem, wiedziałem jednak, że bez osłony dziecko wkrótce umrze, a wciąż obowiązywały mnie warunki umowy ze Starym Rowlerem. Ściągnąłem zatem płaszcz i opatuliłem Bryony, oddając ją Nessie, która przycupnęła z siostrą przy ognisku, szepcząc do niej kojąco.

– Mała Nesso – spytałem łagodnie – gdzie są nasze juki? Gdzie prowiant, który utrzyma nas przy życiu?

Nessa zwiesiła głowę.

– Bałam się – przyznała. – Wzięłyśmy pierwsze napotkane konie. Słyszałam głosy Kobalosów, dobiegające z głębi stajni, a potem przeszkodziły nam tamte szalone kobiety – zagroziłam im nożem i jedną skaleczyłam, lecz wciąż się zbliżały. Moja siostra płakała ze

strachu. Uznałam, że działam w naszym najlepszym interesie.

Widziałem, że ostatnie wydarzenia nie dają jej spokoju.

– W takim razie zrobię, co będę mógł – oznajmiłem. – Czy nadal masz mój nóż?

Nessa przytaknęła i wyciągnęła nóż spod peleryny, podając mi go rękojeścią naprzód. Przyjąłem klingę z cieniem uśmiechu, szykując się na to, co konieczne.

Zdjąłem buty i odziany jedynie w wąski, ukośny pas z pochwami, w których tkwiły dwa krótsze sztylety, wspiałem się na wzgórze w samą paszczę śnieżycy. Prawdę mówiąc, podobała mi się ta pogoda: na Kobalosa podobna burza działa ożywczo.

Wkrótce dotarłem na spory płaskowyż, wysokie wrzosowiska; tam opadłem na czworaki i pomknąłem ręczo, unosząc ogon wysoko nad grzbietem w poszukiwaniu ofiary.

W śnieżycy nie dostrzegałem zbyt wielu poruszeń, w dali wyczułem polarne lisy, gryzonie i kilka drapieżnych ptaków, ale wszystkie były zbyt odległe. I wtedy natknąłem się na wilki.

To była duża wataha, zmierzająca na północ wraz z wichurą. Minęłyby mnie w odległości co najmniej trzech staj na zachód, wysiliłem jednak wolę i je przywołałem: pomknęły ku mnie, węsząc łatwą zdobycz. By jeszcze bardziej je zachęcić, odwróciłem się i zacząłem uciekać, brnąc w śniegu.

Dopiero gdy niemal mnie dopadły, przyspieszyłem. Pędziłem coraz szybciej i szybciej, aż w końcu pozostał tylko przewodnik stada, wielki, biały wilk – smukły, muskularny, w kwiecie wieku. Razem oddalaliśmy się od reszty, która pozbawiona przywódcy wkrótce zmęczyła się pościgiem i została daleko w tyle, krążąc bez celu i wyjąc do niewidzialnego księżycy.

Kiedy wilk niemal mnie doścignął, odwróciłem się na spotkanie. Zaatakowaliśmy równocześnie, szczerząc kły, futro uderzyło o futro i po sekundzie tarzaliśmy się w głębokim śniegu, ściskając się nawzajem w śmiertelnych objęciach. Wilk wgryzł się głęboko w moje ramię, lecz dla mnie ból to nic; własnymi zębami rozdzierałem mu gardło, rozszarpując ciało, tak że krew tryskała z ran, jaskrawoczerwona na tle białego śniegu.

Napiłem się do syta, a tymczasem wielki zwierz szamotał się pode mną w śmiertelnych drgawkach. Nie zmarnowałem nawet kropli gorącej, słodkiej, gęstej krwi. Zaspokoiwszy pragnienie, dobyłem szabli i odrąbałem bestii łeb, ogon i łapy, potem, wędrując na dwóch nogach, zarzuciłem sobie na ramiona truchło i zawróciłem na zrujnowaną farmę.

Niedaleko ognia, czując na sobie spojrzenie wielkich oczu dziewcząt, obdarłem wilka ze skóry i wypatroszyłem, a potem pociąłem na małe kawałki i zakopałem w gorącym popiele.

Tej nocy wszystkie trzy siostry najadły się do syta, tylko Susan narzekała, próbując z jękiem przeżuć częściowo przypalone, częściowo upieczone mięso. Nessa jednak uciszyła ją szybko, bo dobrze rozumiała, że dałem im nadzieję na przeżycie.

Tuż przed świtem dorzuciłem dREW do ognia i ów dźwięk obudził Nessę. Przyszła i usiadła naprzeciw mnie, nasze spojrzenia spotkały się ponad płomieniami. O dziwo, tej nocy nie wydawała się aż tak chuda. Jej szyja wyglądała zachęcająco i do ust napłynęła mi ślinka, aż musiałem ją przełknąć.

– Nie podoba mi się tutaj – oznajmiła Nessa. – Wciąż mam wrażenie, jakby coś nas obserwowało. Słyszałam dźwięk, wywołany gradem spadających kamyków. To może być niebezpieczny bogin. Może obrał sobie to miejsce za siedzibę.

– Czym jest bogin? – spytałem przepełniony ciekawością.

– To zły duch. Niektóre ciskają kamieniami, a nawet wielkimi głazami. Są niebezpieczne, czasem zabijają ludzi.

– Jak rozprawiłabyś się z podobnym zagrożeniem? – zapytałem ostro.

– Nawet bym nie próbowała – wyjaśniła Nessa. – Ale daleko na południu, za morzem, podobno żyją stracharze – mężczyźni, którzy potrafią radzić sobie z podobnymi istotami.

Z tego, co opisała, wydawało się całkiem prawdopodobne, iż „bogin” to ludzka nazwa bychona. Lecz choć długo żyję na tym świecie i wiele lat poświęciłem nauce, nigdy wcześniej nie słyszałem o ludzkich stracharach. Zastanawiałem się, jakim rodzajem magii się posługują.

– Cóż, nie martw się, mała Nesso, stracharz nie jest tu potrzebny. W mrocznych miejscach często czyhają niewidzialne istoty, które tylko czekają i patrzą. Ale ze mną jesteś bezpieczna.

– Ile potrzebujemy czasu, by znów wyruszyć w drogę? – spytała. – I dlaczego jedziemy na północ?

– Być może zdołamy wyruszyć jutro o świcie, a najpóźniej po południu – odparłem. – Lecz bez owsa konie nie zajadą daleko. W małych workach mamy oszer, który na krótko doda im sił – ale potem zabije. Przed końcem tygodnia będziecie jadły koninę. Łatwiej je pogryźć niż wilcze mięso, więc może twoja siostra nie będzie aż tak marudzić. Być może po to, by przetrwać, będziemy też zmuszeni zjeść jedną z twoich sióstr – najlepiej Susan, bo jest większa i ma więcej mięsa na swych kościach.

Nessa sapnęła.

– Jak możesz nawet myśleć o czymś tak okropnym?

– Bo lepiej, by jedno umarło, aby inni przetrwali. Tak postępujemy w świecie Kobalosów, więc powinnaś do tego przywyknąć, mała Nesso.

– A co z twoją obietnicą?! – wykrzyknęła. – Zgodziłeś się zaprowadzić moje siostry w bezpieczne miejsce!

– Owszem, i dołożę wszelkich sił i dostępnych mi mocy, by dotrzymać warunków umowy z twym nieszczęsnym ojcem.

Przez chwilę Nessa milczała, potem jednak spojrzała mi prosto w oczy.

– W razie konieczności zjedźcie mnie.

I znów zdumiała mnie jej odwaga.

– Nie mogę się zgodzić – rzekłem jednak. – Bo widzisz, ty należysz do mnie i nie zmarnuję swojej własności. A zresztą zmienmy temat, wrócimy do tego, jeśli pojawi się taka konieczność. Czeka nas długa podróż na północ. A teraz wyjaśnię ci, dlaczego tam zmierzamy. Jedziemy do Valkarky, gdzie muszę bronić swojej sprawy – to moja jedyna nadzieja na przeżycie. By ocalić twoje siostry, zabiłem wysokiego maga a także zabójcę, którego bractwo będzie się mścić i polować na mnie aż do śmierci. Lecz ci, których zabiłem, złamali prawo dotyczące własności. Jeżeli zatem z powodzeniem przedstawię swą sprawę rządzącemu Triumwiratowi, nie będą mogli mnie tknąć.

– Co to jest Valkarky? Jeszcze jedna forteca?

– Nie, Nesso, to miasto. Nasze miasto! Najpiękniejsze i najniebezpieczniejsze miejsce na całym wielkim świecie – odparłem. – Nawet człowiek, jak ty, obdarzony słabymi, na wpeł ślepyimi oczami, nie może nie dostrzec jego piękna. Ale nie lękaj się, będę cię chronić przed jego niebezpieczeństwami.

– Lepiej byłoby mi tu umrzeć – rzekła z goryczą Nessa – niż jechać do miasta pełnego takich jak ty.

– Umrzeć? Umrzeć, moja Nesso? Kto mówi o umieraniu? Zwróciłaś mi życie, a ja w zamian będę chronił cię i twoje dwie pulchne siostry, tak jak obiecałem. Jedynie w razie absolutnej konieczności zjem jedną z nich i tylko po to, by druga mogła przeżyć. Złożyłem obietnicę, ale nie dokonam niemożliwego. Gdybyś tylko wyprowadziła nasze konie z zapasami, tak jak ci rozkazałem!

Po twarzy Nessy przebiegł cień wstydu, milczała jednak, wyraźnie zatopiona w myślach.

– Czy kiedy dokończysz swoje sprawy, zaprowadzisz je w bezpieczne miejsce?

Uśmiechnąłem się, choć nie odsłoniłem zębów.

– Oczywiście. Czyż tego nie przyrzekłem? A teraz idź spać. Co innego możecie robić, poza spaniem, podczas tak mocnej śnieżycy?

– Mój ojciec mówił, że to ty przesypiasz najgorszą zimę. Mówił, że hibernujesz. Dlaczego to robisz, skoro tak bardzo lubisz mróz?

Wzruszyłem ramionami.

– Mag haizdan sypia w shudru, sercu zimy po to, by się uczyć. To czas, gdy gromadzi myśli w głębokich snach i ze swych doświadczeń wysnuwa nową wiedzę. Śnimy, by ujrzyć prawdę w sercu życia.

Nessa odwróciła się i obejrzała w miejsce, gdzie drzemały jej siostry. Bryony wciąż ciasno opatulął mój płaszcz – widać było tylko jej mysiobrazowe włosy.

– Jak wygląda Valkarky? – spytała, odwracając się ku mnie.

– Jest ogromna – wyjaśniłem. – Wierzmy, że nasze miasto nie przestanie się rozrastać, póki nie pokryje całego świata. Wówczas nie pozostanie na nim żadna skała, drzewo ani nawet źdźbło trawy. Wszystkie inne miasta zostaną zmiażdżone pod rozrastającymi się murami!

– To okropne! – wykrzyknęła. – Nienaturalne. Przez was cały świat stanie się odrażający.

– Nie rozumiesz, mała Nesso, więc nie osądzaj, póki nie zobaczysz na własne oczy.

– Ale to przecież i tak bzdura. Jak miasto mogłoby stać się aż tak wielkie? Zabrakłoby budowniczych, by stworzyć podobny koszmar.

– Mury Valkarky stale rozbudowują i naprawiają stworzenia nie potrzebujące snu. Wypluwają z ust miękki kamień, który służy za materiał budowlany. Z początku przypomina drzewną pulpę, ale wkrótce, po zetknięciu z powietrzem twardnieje. Stąd nazwa Valkarky – oznacza ona Miasto Skamieniałego Drzewa. To cudowne miejsce, pełne istot stworzonych przez magię – stworzeń, których nie zobaczysz nigdzie indziej. Bądź wdzięczna, że ujrzysz je na własne oczy. Wszyscy inni ludzie, którzy tam trafiają, to niewolnicy albo skazani na śmierć. Ty masz nadzieję opuścić je żywa.

– Zapominasz, że i ja jestem niewolnicą – odparła gniewnie Nessa.

– Oczywiście, że tak, mała Nesso. Ale w zamian za swą niewolę zapewnisz wolność dwóm siostrze. Czy to cię nie raduje?

– Jestem winna posłuszeństwo ojcu i gotowa poświęcić życie, by siostry przeżyły bezpiecznie. Ale z pewnością mnie to nie raduje. Miałam wiele planów co do swego życia, teraz mi je odebrano. Czy mam się tym cieszyć?



Nie odpowiedziałem. Nie warto było debatować na temat przyszłości Nessy albo jej braku. Nie uprzedziłem jej, jak źle sprawy stoją. Miałem niewielkie szanse, pewnie zostanę pojmany i zabity albo w czasie podróży, albo natychmiast po przybyciu do miasta. Mało prawdopodobne, bym dożył chwili, gdy będę mógł z powodzeniem zwrócić się do rządzącej rady, Jeśli zginę, trzy dziewczyny w najlepszym razie trafią w niewolę, w najgorszym zostaną pozbawione krwi i pożarte.

Po naszej rozmowie Nessa umilkła. Nie życząc mi nawet dobrej nocy, poszła się położyć. Ludziom takim jak ona często brak dobrych manier, więc nieszczególnie mnie to zdziwiło.

## ROZDZIAŁ 10

### WOJOWNIK HYB

Jakąś godzinę przed świtem wiatr ucichł i śnieżycą zamieniła się w lekki taniec płatków, opadających leniwie z szarej kopuły nieba.

– Potrzebny mi mój płaszcz, mała Nesso – oznajmiłem. – Będziesz musiała podzielić się swoimi ubraniami z najmłodszą siostrą.

Wcześniej czy później czekała mnie walka i chciałem mieć wówczas na sobie długi, czarny płaszcz, oznakę urzędu, by nieprzyjaciel docenił siłę tego, z kim przyjdzie mu się zmierzyć. Zauważyłem, że to Nessa oddała część strojów małej, także swą nieprzemakalną pelerynę. Ubrania były o wiele za duże, ale zapewnią Bryony niezbędną ochronę przed żywiołami. Nessie natomiast będzie teraz ciężiej. Susan nie oddała ani skrawka odzieży.

Jak to miałem w zwyczaju, zanim dosiadłem konia; stanąłem przed nim i chuchnąłem mu szybko trzy razy w nozdrza.

– Co robisz? – spytała Nessa z twarzą jaśniejącą ciekawością.

Najwyraźniej rozsądnie postanowiła nie sprzeciwiać się moim życzeniom.

– Używam czegoś, co my, magowie, nazywamy bosk Zanim wdmuchnąłem mu w nozdrza powietrze, zmieniłem jego skład w swoich płucach. W ten sposób zaszczepiłem w zwierzęciu posłuszeństwo i odwagę. Teraz, jeśli będę musiał walczyć, mój koń nie umknie przed czekającym go wrogiem!

– A będziesz musiał walczyć? Czy grozi nam niebezpieczeństwo?

– Tak, mała Nesso, to bardzo prawdopodobne. Ale nie mamy wyjścia. Musimy zatem jechać dalej i liczyć na najlepsze.

– Jak daleka jeszcze to droga? Każdy dzień wydaje się taki sam. Zaczynam tracić rachubę czasu, mam wrażenie, że minęły już tygodnie.

– To zaledwie nasz piąty poranek. Lepiej nie myśleć o reszcie podróży. Po prostu przyjmuj każdy nowy dzień.

Zostawiliśmy za sobą starą farmę. Wkrótce znaleźliśmy się na skalistym pustkowiu, gdzie śnieg już stopniał. Ze szczelin w ziemi wznosiła się para, od czasu do czasu ziemia drżała, a wietrzyk przynosił ze sobą swąd spalenizny.

– Co to za miejsce? – Nessa podjechała do mnie.

– To Uskok Fittzanda, okolica znana z niestabilności i trzęsień ziemi. Stanowi południową granicę naszego królestwa. Wkrótce znajdziemy się w kraju mego ludu.

Nadal jechaliśmy na północ po parującej i drżącej ziemi; konie denerwowały się jeszcze bardziej niż trzy załęcznione purrai. Okolica była rozległa, a ruchome skały sprawiały, że trudno by nas tu wytropić. Ci, którzy ścigali nas z fortecy, z pewnością oczekiwali, że umknę na południe – nie na północ, ku prawdopodobnemu spotkaniu z katem – i to mi dawało przewagę. Wkrótce inni także zaczną nas ścigać. Zabójca przed śmiercią posłał z pewnością swą ostatnią myśl do bractwa. Wiedzą, kto go zabił, niektórzy zapewne już wyruszyli na śnieżne pustkowia, może są blisko i kiedy wyczują moją obecność, pomaszerują nam na spotkanie. Triumwirat wysokich magów mógł też wysłać kolejnych zabójców z Valkarky.

Tu, na pustkowiach, próbowaliby zabić mnie od razu. Musiałem

dotrzeć cało do miasta, by zdobyć prawo odwołania się do rady.

Dręczyła mnie tylko jedna myśl. Czy starczy mi odwagi i bezwzględności, by pokonać wrogów? A może skaził mnie już skaiium, na co wskazywała łagodność, z jaką traktowałem Nessę?

I rzeczywiście, nieprzyjaciel wkrótce mnie odnalazł. Nie był to jednak zabójca Shaiksa, którego oczekiwałem. Najwyżsi magowie wysłali zupełnie inną istotę.

Zamachowiec stał nieruchomo dokładnie przed nami. Na pierwszy rzut oka wyglądał jak zbrojny Kobalos dosiadający rumaka, lecz miejsce, gdzie jeździec spotykał się z koniem, wyglądało nie tak, jak powinno. Nie chodziło jedynie o to, że brakowało siodła – absolutnie nic nie oddzielało jednego od drugiego. Nie patrzyłem na dwie istoty, lecz jedną śmiercionośną całość.

– Co to za okropieństwo? – Nessa zadrżała.

Susan zaczęła jęczeć, a Bryony milczała, dygocąc Ze zgrozy.

– Być może nasza śmierć – odparłem. – Trzymajcie się z tyłu, ja zrobię, co w mojej mocy.

Miałem do czynienia z hybem, krzyżówką Kobalosa i konia, stworzoną do walki. Górna część ciała stwora była kudłata i umięśniona, łącząca w sobie niezwykłą siłę z szybkością i zręcznością, pozwalającymi rozedrzeć przeciwnika na strzępy. Dłonie miał także specjalnie przystosowane do walki. Wyglądało to, jakby w prawej hyb ścisnął pięć długich, cienkich kling, ja jednak wiedziałem, że to szpony, które może cofać w głąb muskularnej ręki, bądź wysuwać wedle uznania. W prawej trzymał maczugę – wielką pałkę pokrytą ostrymi szpikulcami, podobnymi do kolców jeżozwierza.

Dolna połowa ciała hyba jest szybsza od konia, z przednich nóg wyrastają kościane ostrogi, często pozwalające mu rozpruć wierzchowca przeciwnika. W dodatku ten hyb miał na sobie zbroję: metalowy hełm, osłaniający całą twarz prócz wściekłych, czerwonych oczu, oraz żebrowany pancerz najwyższej klasy, który chronił górną i dolną część ciała.

Hełm z wydłużoną szczęką zdradzał prawdziwy kształt górnej głowy, bliższy koniom niż Kobalosom. Obie paszcze otwierały się, wyrzucając w mroźne powietrze kłęby pary. A potem z obu gardeł wyrwało się wyzwanie, niski, gardłowy ryk, który odbił się echem od horyzontu po horyzont. Bez dalszych wstępów stwór pomknął ku mnie wąską szczeliną pomiędzy słupami pary, tryskającymi z wulkanicznych skał.

Usłyszałem za plecami paniczne rzenie – to klacze niosące purrai, wyczuwszy złowieszczą, obcą naturę hyba, umknęły, unosząc ze sobą dziewczyny. Lecz mój koń, wzmocniony magią bosk, nawet nie drgnął.

Hyb zakręcił maczugą wysoko nad głową, ja jednak przejrzałem jego podstęp. Zamierzał odciągnąć moją uwagę – gdy uniosę głowę, długie, cienkie szpony uderzą szybko i nisko, jak języki żmii.

Stało się tak, jak przewidziałem, a ja byłem gotów. Ruszyłem naprzód, na spotkanie napastnika, wyciągając ogon, i minęliśmy się w odległości zaledwie stopy. Gdy hyb pochylił się ku mnie, uniósł ostre szpony, próbując wbić mi je pod żebra, prosto w serce. Ja jednak skupiłem umysł, przywołując małą, jasną, magiczną tarczę, która zmaterializowała się w powietrzu i poruszała wraz ze mną.

Ustawiłem ją tak, by odbiła pięć śmiertelnych szponów. Sam nie od razu zadałem cios – kierując wierzchowcem kolanami, dobyłem szabli i wykorzystując przewagę, zaatakowałem, nim stwór zdążył w pełni się obrócić.

Wymierzyłem mu cios w głowę rękojeścią szabli, metalowy hełm zadźwięczał. Potem sztyletem spróbowałem przebić szyję we względnie słabym miejscu, w którym pancerz styka się z hełmem.

To mi się nie udało i rozłączyliśmy się, galopując w przeciwną stronę.

Hyb błyskawicznie zawrócił i po raz drugi runął do ataku. Tym razem jednak, mimo jego zręczności i szybkości, byłem jeszcze lepiej przygotowany i po raz drugi odbijając szpony tarczą, sam zadałem cios.

Brakło mi miejsca, by włożyć pełnię sił w poziome cięcie klingi, ale dopisywało mi szczęście.

W chwili gdy uderzyłem, z ziemi niemal dokładnie pod przeciwnikiem wytrysnął strumień pary. Koński łeb ryknął z bólu, górna część tułowia hyba pochyliła się ku mnie, by uniknąć oparzeń. Moja szabla trafiła zdekcentrowanego wroga wysoko w ramię, gdzie odbiła się od zębrowanej zbroi i odnalazła wąską szczelinę między hełmem i naramiennikiem, wgryzając się w szyję, tak że hyb zakołysał się mocno.

Gdy oszołomiony stwór chwiał się w siodle, wypuszczając z odrętwiałych palców maczugę, uderzyłem go magiczną tarczą niczym młotem; potworny cios powalił go na bok, cztery nogi ugięły się pod ciałem. Z ciężkim łoskotem uderzył o ziemię, przeturlał się w śniegu i znieruchomiał.

Zeskoczyłem z siodła i ostrożnie podszedłem do nieprzyjaciela. Spodziewałem się, że trudniej będzie pokonać hyba zabójcę i wciąż obawiałem się podstępu. Zerknąłem na dolną część ciała wroga i ujrzałem najróżniejsze klingi i tkwiące w pochwach. Teraz leżał zdany na moją łaskę, ściągnąłem mu zatem hełm i przycisnąłem klingę do gardła.

Hyb był nieprzytomny, oczy miał zamknięte. Nie chciałem tracić czasu, toteż posłałem magiczny cień prosto w jego mózg i ocknął się z krzykiem. Powieki nagle uniosły się, a jego oczy zapłonęły złowieszczą czerwienią. Przez moment zakręciło mi się w głowie, świat zdawał się wirować; ściskające szablę palce rozluźniły się. Co się ze mną dzieje?

W ostatniej chwili uświadomiłem sobie, że zagrożenie kryje się w oczach stwora. Ledwie zdołałem odwrócić wzrok: przymus, by w nie patrzeć, był bardzo silny, a one same działały hipnotyzująco i miały moc pozbawiania woli, tak że czas tracił jakiegokolwiek znaczenie.

Znów się skoncentrowałem i tym razem skupiłem wzrok na jego paszczy pełnej wielkich zębów. Zacząłem mówić wolno, na wypadek gdyby stwór wciąż pozostawał ogłupiały po ostatnim

straszliwym ciosie.

– Posłuchaj bardzo uważnie – ostrzegłem, przyciskając klingę do gardła stwora, tak że popłynęło z niego kilka kropel krwi. – Skrzywdzono mnie i jadę zwrócić się wprost do Triumwiratu Valkarky. Mam takie prawo.

– Nie masz żadnych praw, magu! – ryknął hyb, wypluwając mi te słowa prosto w twarz i zgrzytając wielkimi końskimi zębami. – Zamordowałeś jednego z wysokich magów i rozkazano cię zabić na miejscu.

– Próbował mi przeszkodzić, gdy zgodnie z prawem odbierałem swoją własność. Popełnił zbrodnię, atakując mnie, w samoobronie musiałem go zabić. Ale nie pozostaję w sporze ani z tobą, ani z żadnym z wysokich magów. Daj mi słowo, że nie będziesz mi dalej przeszkadzał, a puszczę cię wolno. Wówczas będziesz mógł dać świadectwo w mej sprawie w Valkarky. Jeśli zechcesz, możesz świadczyć przeciw mnie.

– Już jesteś martwy, magu, nieważne, czy polegniesz z mojej, czy też z innej ręki. Gdy tylko mnie wypuścisz, rozpruję twoje ciało i wypiję krew.

– Dla ciebie dni walki dobiegły końca – oznajmiłem, patrząc z góry na stwora. – To ja trzymam w ręku szablę. To ja mogę cię rozpruć i wykrwawić. Wkrótce wypiję twoją krew. Tak wygląda sytuacja. Teraz pozostał ci już tylko ból.

Gdy go zabijałem, słyszałem krzyki, ale nie z ust hyba: stwór umarł dzielnie, tak jak przypuszczałem. Nie mógł postąpić inaczej. Źródło krzyków stanowiły Nessa i siostry, które opanowały swe konie i wróciły, widząc, że niebezpieczeństwo minęło. Bryony przestała płakać dopiero po godzinie.

Poleciwszy dziewczętom się uspokoić, poprowadziłem je w milczeniu. W myślach odtwarzałem pojedynki z hybem. Co było z nim nie tak? Może nie docenił moich zdolności? A może szczęście odegrało w tym wszystkim pewną rolę?

Pojałem, iż tak się w istocie stało. Strumień pary zaskoczył hyba, dając mi przewagę. To umniejszyło dumę, jaką powinienem

odczuwać po zwycięstwie nad tak groźnym przeciwnikiem. Wciąż zagrażał mi skaiium. Będę musiał starać się jeszcze bardziej, by uniknąć jego szponów i zachować siłę magawojownika.

Trzy purrai unikały mego wzroku, ich twarze wykrzywiały grymasy odraży. Czyż nie rozumiały, że musiałem zabić i że czyniąc to, ocaliłem nam wszystkim życie?

Tej nocy znalazłem dla nas jaskinię. Nie mieliśmy drewna na opał, toteż mogliśmy jedynie przeżuwać resztę wczorajszego wilczego, pociętego w paski mięsa.

– Co to za życie! – narzekała Susan. – Och, jakbym chciała, żeby ojciec wciąż żył, żeby to wszystko to był tylko zły sen. Obudziłabym się ciepła i bezpieczna we własnym łóżku!

– Nie możemy zmienić tego, co się stało – odparła Nessa. – Postaraj się być odważna, Susan. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, za parę tygodni rozpoczniesz nowe życie. Wówczas dzisiejszy dzień będzie ci się wydawał jedynie złym snem.

Nessa przemawiała pewnym siebie tonem. Objęła ramieniem Susan, by dodać jej otuchy, ja jednak dostrzegłem smutek w jej oczach. Ją też czekało nowe życie – w niewoli.

Po jakimś czasie zostawiłem siostry same, by się nawzajem pocieszały i usiadłem u wylotu jaskini, spoglądając w gwiazdy. Noc była bardzo jasna i pogodna, na niebie widziałem wszystkich pięć tysięcy – a wśród nich czerwone, przekrwione oko Cougisa, Psiej Gwiazdy, mojego ulubieńca.

Nagle północne niebo przeciął błysk mknący szybko ze wschodu na zachód. Ocenilem, że rozbłyska gdzieś nad Valkarky. Istniał przesąd, że podobna spadająca gwiazda zapowiada śmierć bądź obalenie maga. Inni na moim miejscu uznaliby to za zwiastuna własnego zgonu, ja jednak nie wierzę w podobne głupstwa, toteż odepchnąłem tę myśl i zacząłem skupiać wolę.

Medytowałem, próbując wzmocnić swój umysł na wypadek nadejścia skaiium, gdy z jaskini wyłoniła się Nessa i usiadła obok mnie. Choć owinęła ramiona kocem, dygotała gwałtownie.

– Powinnaś zostać w środku, mała Nesso. Tu jest za zimno dla

biednego, słabego człowieka.

– Jest zimno – zgodziła się niewiele głośniej od szeptu – ale to nie dlatego się trzęsę. Jak mogłeś? Jak mogłeś to zrobić na oczach moich siostr i moich?

– Co zrobić? – Zastanawiałem się, czy może zbyt głośno przeżuwałem wilcze mięso. Może niechcący beknąłem albo puściłem wiatry.

– To, jak zabiłeś tego stwora i wypijeś jego krew – to było straszne. Jeszcze straszniejsze niż to, co zabiłeś w wieży. A ty się tym rozkoszowałeś!

– Muszę być z tobą szczery, mała Nesso i wyjaśnić ci, że owszem, zwycięstwo nad śmiercionośnym hybem sprawiło mi niezwykłą radość. W ciągu ostatnich kilku dni zabiłem wysokiego maga, zabójcę Shaiksa i wojownika hyba – niewielu Kobalosów może się poszczycić podobnym osiągnięciem! Proponowałem mu wolność, ale odmówił i nadal próbowałby pozbawić mnie życia – a potem ciebie i twe siostry. Co zatem miałem uczynić? Przyznaję, jego krew smakowała wybornie i wybaczcie, jeśli chleptałem ją zbyt łapczywie. Poza tym jednak zachowałem się całkiem stosownie.

– Stosownie? – wykrzyknęła Nessa. – To było potworne! A teraz prowadzisz nas do miasta, w którym mieszkają tysiące stworów takich jak ty!

– Mylisz się – oznajmiłem. – Jestem magiem haizdanem. Obecnie jest nas na świecie najwyżej dwudziestu. Nie lubimy miast – mieszkamy na najdalszych kresach ziem Kobalosów. Hodujemy ludzi, pilnując, by byli szczęśliwi i zadowoleni.

– Hodujecie! Co to znaczy hodujecie ludzi?

– Nie musisz się tym przejmować, Nesso. Dlaczego tak cię to poruszyło? Owszem, twój ojciec i siostry byli częścią mojej farmy zwanej haizdą – to od niej nazywają mnie haizdanem. Zbieramy krew, by się odżywiać – oraz inne użyteczne materiały. Twój nieżyjący ojciec wiedział, jak się rzeczy mają, ale nie chciał was niepokoić. Dobił ze mną targu, bym trzymał się z daleka. Ty



sądziłaś, że jestem tylko niebezpieczną istotą mieszkającą nieopodal, lecz w rzeczywistości należeliście do mnie.

– Co? – Nessa, wstrząśnięta, uniosła dłonie do twarzy. – Wypijałeś krew mojego ojca i sióstr? I moją?

– Z początku owszem, później jednak postanowiłem tego zaprzestać. Szanowałem waszego ojca, uznałem, że lepiej będzie z nim handlować niż tylko brać. Dostarczał mi czerwonego wina i krwi wołków, za jednym i drugim przepadam. Zawarliśmy umowę, która odpowiadała nam obu. Lecz owszem, inni ludzie z haizdy dostarczają mi krwi. Większość jednak nie ma o tym pojęcia – zazwyczaj wypijam ją nocą, kiedy śpią. Staję się bardzo mały i wślizguję do ich domów przez małe dziurki w dachu bądź w ścianie. Potem przybieram wygodniejszy rozmiar i wdrapuję się na ich łóżka. Siadam na piersi śpiącego, pochylam się naprzód i ostrożnie nakłuwam mu szyję. Potem wysysam nieco krwi – nigdy nie dość, by zaszkodzić ich zdrowiu. Tak jak farmer-człowiek troszczy się o zdrowie i dobrobyt bydła, ja również oszczędzam swoje zasoby. Najgorsze, czego doświadczają, to nocny koszmar – sen, w którym demon siada im na piersi, utrudniając oddychanie. Bardzo rzadko odczuwają rano lekkie zawroty głowy – zwykle ci, którzy zbyt szybko wyskakują z łóżka. Nakłucia na szyi goją się błyskawicznie i o pierwszym brzasku łatwo je wziąć za ukąszenia owadów. Większość ludzi na farmie nie ma pojęcia, co się dzieje.

Nessa umilkła – kiedy na nią zerknąłem, przekonałem się, że wpatruje się we mnie okrągłymi oczami. Odezwała się dopiero po dłuższej chwili.

– Mówiłeś o „innych materiałach”. Co jeszcze od nas bierzesz?

– Dusze, mała Nesso. Czasami używam dusz was, ludzi.

Obejrzała się w stronę jaskini, zapewne by sprawdzić, czy siostry nadal śpią.

– Jak możesz „używać” duszy? – zdołała w końcu wykrztusić. – To brzmi potwornie.

– Właściciele nie mają nic przeciw temu, bo dzieje się to po ich śmierci. Dusze są zwykle dość oszołomione, dopiero później

odnajdują drogę do domu. Wykorzystuję jedynie nieco ich energii, dopóki im się nie uda, tak naprawdę więc tylko je sobie pożyczam.

– A ten ich dom? Gdzie właściwie jest?

– To zależy, niektórzy idą Do Góry, inni Na Dół. Pierwsi, wirując w milczeniu, ulatują w niebo, drudzy z jękiem, czasem krzykiem bądź skowytem zagłębiają się w ziemię. Nie wiem, gdzie mieści się ich dom, ale nikt z nich nie wydaje się zachwycony.

– Czy byłeś obecny przy śmierci mojego ojca?

– Tak, Nesso, byłem. Bardzo długo umierał i okrutnie cierpiał. To nie była przyjemna śmierć, a ponieważ okazałaś się wyrodną córką i uciekłaś, umarł samotnie. Mnie jednak starczyło cierpliwości i zostałem z nim do końca.

– Czy pożyczyłeś jego duszę?

– Nie, nie miałem szansy. Niektóre dusze w ogóle nie są zagubione: nie zwlekają, od razu zmierzają do domu.

– Dokąd udał się mój ojciec?

– Był jednym z Górnych, mała Nesso. Zatem ciesz się. Jego dusza wyprysnęła w niebo bez najlżejszego jęku.

– Dziękuję – powiedziała cicho Nessa, a potem wstała i bez słowa wróciła do jaskini.

Oczywiście skłamałem co do „pożyczania” dusz. Kiedy odbierze im się moc, nie zostaje zbyt wiele. Wypuszczone, kilka chwil wirują powoli, a potem z cichym jękiem rozplývają się i znikają. Nigdy więc nie trafiają do domu. To ich koniec. Może nie najgorszy dla tych, którzy zmierzają Na Dół, lecz inni – ci z Góry – być może tracą wiele. Stary Rowler miał zatem szczęście, że nie zwlekał.

## **ROZDZIAŁ 11**

### **JEGO WIELKA CUCHNĄCA PASZCZA *NESSA***

Wróciłam do jaskini i czekałam, aż oczy przywykną mi do ciemności. W słabym, migotliwym blasku ogniska widziałam

sylwetki obu sióstr. Ich oddechy świadczyły, że tylko Bryony śpi.

W milczeniu położyłam się, opatuliłam kocem i spróbowałam zasnąć. Byłam wstrząśnięta – raz po raz wspominałam to, jak umarł ojciec, nie mogąc przegnać z głowy tej wizji. Tak bardzo się wstydziłam, że uciekłam i zostawiłam go w towarzystwie potwora!

A potem uderzyła mnie inna myśl. Wciąż powracały do mnie słowa Wijca – to, że zbierał krew i dusze. Powoli coś przyszło mi do głowy. Przypomniałam sobie swój sen – powracający koszmar, który nawiedzał mnie w dzieciństwie i dopiero teraz nagle nabrał straszliwego sensu. Raz po raz śniłam o tym, że leżę sparaliżowana w łóżku, nie mogąc wezwać pomocy, a coś potwornego siedzi mi na piersi, tak że nie mogłam oddychać, i wysysa mi krew z szyi.

Z czasem koszmary stawały się rzadsze, a potem w ogóle minęły. Zakładałam, że wywołały je przelotne widoki potwora, gdy zerkałam na niego zza zasłony, kiedy odwiedzał farmę. Teraz w końcu poznałam prawdę. Wszystko to było prawdziwe. To nie przypadek, że moje koszmary zakończyły się wkrótce po tym, jak ojciec zaczął handlować z Wijcem. Musiało to stanowić część zawartej przez nich umowy – że Wijec zostawi nas, dzieci, w spokoju.

Czy obietnica, że jeśli cokolwiek spotka ojca, potwór będzie mógł mnie sobie wziąć w zamian za dostarczenie w bezpieczne miejsce Susan i Bryony także stanowiła część układu? Z trudem godziłam się z myślą, że muszę się poświęcić. Czy ojciec naprawdę mnie kochał?

Szybko odrzuciłam wątpliwości. Oczywiście, że kochał. Czyż nie napisał, że w razie konieczności oddałby za nas życie? Teraz ja muszę zrobić, co w mojej mocy, by ocalić siostry.

– Och, tak się boję, tak bardzo się boję! – zawołała Susan.

– Cii! – uciełam. – Mów ciszej, bo obudzisz Bryony.

– Co my zrobimy? – spytała ciszej Susan. – On wiezie nas na północ, do swoich. Jeden potwór to i tak okropne, ale co będzie, jeśli znajdziemy się wśród setek czy tysięcy? Zabiją nas i pożrą. Widziałas, jak ta bestia na mnie patrzy? Wciąż wpatruje się w

moją szyję. Nie może się doczekać chwili, gdy zatopi w niej kły.

Miała rację, ale jak dotąd Wijec oparł się swoim żądzom.

– Istotnie, to dziki stwór – odparłam – ale umie dotrzymywać słowa. Obiecał naszemu ojcu, że będziecie z Bryony bezpieczne i nie mam powodów sądzić, iż nie dotrzyma przyrzeczenia. Czy nie walczył z własnymi pobratymcami, by nas ocalić? Musimy zachować spokój i wierzyć, że wszystko ułoży się jak najlepiej.

Nie zdradzałam się z własnymi wątpliwościami. Pobyt w wieży okazał się dostatecznie niebezpieczny. Jak sobie poradzimy w Valkarky, gdzie tak wiele bestii może nas zaatakować?

– Jak w ogóle możemy myśleć o szczęściu? Ojciec nie żyje, a my na zawsze opuściliśmy nasz dom. Jest tak zimno, z każdą milą na północ robi się coraz gorzej. Czy kiedykolwiek będzie nam ciepło i bezpiecznie? – zawodziła Susan, jej głos podnosił się z każdym słowem. – Zostawiłyśmy swoje skrzynie w tamtej okropnej wieży, a w środku były moje najlepsze ubrania. Nigdy już nie założę niczego ładnego.

Swym zawroźdzeniem zbudziła Bryony, która zaczęła cicho chlipać. Nagle ogarnął mnie pałący gniew. Susan zawsze była samolubna – bez wątpienia to efekt tego, że ojciec kochał ją najbardziej. Ja byłam najstarsza, ale to Susan kupowała nowe ubrania. Mnie przypadały te, z których wyrosła – musiałam je przedłużać i poluźniać, by pasowały. Nawet sukienka, którą miałam teraz na sobie, należała kiedyś do Susan.

– Zawsze myślisz tylko o sobie i o nikim innym! – warknęłam. – Obudziłaś siostrę i przeraziłaś ją. Powinnaś się wstydzic, Susan!

Susan wybuchnęła płaczem, Bryony także płakała coraz mocniej.

Natychmiast pożałowałam swojego wybuchu. Póki się da, musiałyśmy trzymać się razem. Wiedziałam, że Susan znacznie trudniej przychodzi przystosowanie się do obecnej sytuacji. Ja pomagałam ojcu na farmie – doilałam krowy, pasłam owce, karmiłam kury. Kiedyś wzięłam nawet narzędzia i naprawiłam płot! Głównie pracowałam na dworze, a tymczasem Susan słała

łóżka i zamiatała podłogi. Oczywiście, gotowanie i zmywanie zostawiła mnie, więc w sumie miała całkiem lekko. Bez wątpienia nowe życie z potworem wydawało jej się strasznie ciężkie. Musiałam to uwzględnić.

– Już cicho, cicho! – zawołałam znacznie łagodniejszym tonem.  
– Chodź tu, Bryony. Chodź, usiądź obok mnie, opowiem ci historię.

Przez chwilę czy dwie Bryony nie odpowiadała, potem jednak, wlokąc za sobą koc, podczołgała się i usiadła przy mnie. Objęłam ją ramieniem i uścisnęłam

– Opowiedz mi znów o czarownicach, Nesso – prosiła.

Bryony uwielbiała historie o czarownicach i kiedy siedziałyśmy przy kuchennym piecu w mroczne, zimowe wieczory, z radością je jej powtarzałam. Opowiadałam historie, które usłyszałam od matki. Bryony nigdy jej nie poznała, toteż cieszyłam się, że mogę zająć miejsce mamy i zrobić to, co robiłaby ona, gdyby wciąż żyła, Owe czarownice pochodziły z Pendle, miasta leżącego daleko na południe w obcym kraju za zimnym morzem. Bryony ubóstwiała słuchać o różnych odmianach ich magii – niektóre odcinały kości kciuków swych nieprzyjaciół, by ukraść ich magiczne moce. Były to straszne historie, ale opowiadane w szczęśliwym bezpiecznym domu. W owych czasach Bryony nie miała pojęcia o istnieniu Wijca, a kiedy odwiedzał farmę, by pomówić z ojcem, wciąż pilnowałam, by go nie dostrzegła.

Teraz jednak sprawy miały się inaczej. Trudno było nazwać to miejsce bezpiecznym, pozostawałyśmy też zdane na łaskę stwora, który wydawał się równie groźny, jak czarownice, o których opowiadałam Bryony. Nie sądziłam, by podobne historie dziś ją pocieszyły.

– Dzisiaj mam dla ciebie inną opowieść, Bryony. To miła historia o pięknym księciu.

– O tak, byłoby wspaniale! Opowiedz mi naprawdę miłą historię, Nesso – poprosiła. – Taką, w której wszystko kończy się szczęśliwie.

Ostatnią rzeczą, na jaką miałam ochotę, było opowiadanie

bajek, ale musiałam to zrobić dla siostry.

– Dawno, dawno temu zły ogr porwał księżniczkę i zamknął ją w wieży...

– Jak wyglądał ogr? – przerwała Bryony.

– Był wielki i paskudny – odparłam. – Z jednym, ogromnym, wyłupiastym, przekrwionym okiem pośrodku czoła. Lecz wieści o brance zainteresowały księcia, który osiodłał rumaka i ruszył jej na pomoc...

– Czy książę był urodziwy? – naciskała Bryony. Trudno mi było się skupić, bo słyszałam gramolenie się potwora na dworze. Poza tym kiepska była ze mnie bajarka, ale przynajmniej udało mi się zainteresować siostrę.

– Tak, był wysoki, miał złociste włosy i błękitne oczy, a u pasa w skórzaney pochwie nosił miecz ze srebrną rękojeścią.

– Czy miał ładne zęby i słodki oddech? – dopytywała się Bryony.

– Tak, jego oddech pachniał słodziej niż wiosenne kwiaty.

– Czyli lepiej niż oddech potwora – wtrąciła Susan – bo ten cuchnie zgniłym mięsem i krwią.

– Cii! – syknęłam. – Ma bystre uszy.

– Zęby też ma ostre i długie – dodała Bryony.

Odetchnęłam głęboko i spróbowałam podjąć wątek, lecz Susan znów mi przerwała:

– Tym razem ja opowiem tę historię, Nesso. Twoje są zawsze strasznie nudne i przewidywalne.

Byłam zbyt zmęczona, by protestować, toteż pozwoliłam jej kontynuować.

– Piękny książę podjechał do mrocznej wieży i dopisało mu szczęście, bo groźny ogr o długich, ostrych zębach i oddechu cuchnącym krwią i zgniłym mięsem, właśnie wyszedł. Książę zatem wyważył drzwi, wspiął się na szczyt wieży i skradłszy szybkiego całusa pięknej księżniczce, zniósł ją na dół po schodach i posadził na swego rumaka.

Na wzmiankę o pocałunku Bryony zachichotała, a ja zaczęłam się odprężyć.

– Ale ogr ukrywał się wśród drzew za wieżą. Wypadł stamtąd i rzucił się na księcia, który dobył miecza – ciągnęła Susan.

– Czy przystojny książę odrąbał ogrowi głowę? – spytała Bryony. Dygotała na całym ciele, niemal wstrzymując oddech.

Zapadła cisza. Powinnam była przewidzieć, co będzie dalej, ale tak się nie stało i nie mogłam już interweniować.

– Nie – oznajmiła Susan. – Ogr otworzył wielką, cuchnącą paszczę i odgryzł księciu głowę. Potem pożarł konia, a na deser zjadł księżniczkę!

Bryony krzyknęła i znów zaczęła szlochać.

W tym momencie do jaskini wpadł potwór.

– Cisza! – warknął. – Skończcie z tymi głupstwami. Rankiem będziecie potrzebowały pełni swych sił! Gniew w jego głosie oszołomił nas wszystkie. Leżałam tam bardzo długo, słuchając i czekając, aż oddech sióstr się zmieni i pogrążą się we śnie. Ponad wszystkim słyszałam szorstkie, ciężkie chrapanie bestii. W końcu sama zasnęłam i zaczęłam śnić.

*Szczur wpęła teraz na mnie. Czuję jego małe, ostre pazurki, kłujące skórę przez kołdrę. Siedzi mi na piersi. Jego ogon tłucze o nią, tup, tup, coraz szybciej, idealnie dotrzymując kroku kołaczącemu sercu.*

*I nagle dzieje się coś nowego, jeszcze bardziej przerażającego. Szczur z każdą sekundą staje się coraz cięższy. Jego masa napiera mi na pierś, z trudem oddycham. Jak to możliwe? Jak szczur może być tak wielki i ciężki?*

## **ROZDZIAŁ 12**

### **STRAŻNIK BRAMY**

Następnego dnia jechaliśmy całkiem szybko. W końcu głód zmusił nas do zabicia jednego z koni. Mimo protestów Nessy wybrałam jej wierzchowca, bo oceniałam, że jest najsłabszy z całej trójki. Oczywiście, kiedy zacząłem pić słodką, gorącą krew, purrai się oburzyły. Nie powstrzymało ich to przed zjedzeniem mięsa,

kiedy je dla nich przygotowałem. Tak samo jak ja, robiły to, co trzeba, by przetrwać, czemu zatem odwracały się ode mnie ze wstrętem?

Od tej pory Nessa i Susan musiały jechać razem, ja wiozłem najmłodszą purre. Nessa protestowała i zaproponowała, że to ona pojedzie ze mną, by Bryony mogła zostać ze starszą siostrą, ale odmówiłem. W każdej chwili mogła znów czekać mnie walka, toteż starałem się jak najbardziej oszczędzać konia. Bryony była lekka, szczęśliwie też nie wzdragała się przed jazdą ze mną, choć czułem, że cały czas pozostaje sztywna ze zgrozy.

\*

W końcu, po kolejnym tygodniu jazdy, ujrzeliśmy przed sobą Valkarky. Zbliżało się południe, a choć na tych szerokościach geograficznych słońce nadal wisiało nisko na niebie, dzień był jasny i pogodny, a widoczność doskonała.

– Co to za światła? – spytała Nessa, podjeżdżając do mnie.

Przez moment patrzyła mi prosto w oczy, siostra natomiast przywarła jej do pleców, odwracając twarz, by nie musieć na mnie spoglądać.

Na horyzoncie migotała lśniąca świetlna zasłona, mieniąca się wszystkimi barwami tęczy. Czasami zdawała się rozsuwać, ukazując kryjącą się za nią nieprzeniknioną czern.

– Te światła to blask oczu i paszcz istot, które budują Valkarky – odparłem. – Wkrótce zobaczymy mury miasta. Widok ten zachwyci wasze oczy i przepełni serca szczęściem!

Byłem dumny z naszego miasta, choć sam wybrałem powołanie haizdana i żyłem daleko stąd, by móc się uczyć i rozwijać magię. Tak naprawdę cieszyłem się, że przebywam daleko od zgiełku i intryg, mimo wszystko jednak dobrze było od czasu do czasu wrócić do miejsca narodzin.

Gdy podjechaliśmy bliżej, trzem siostróm coraz trudniej przychodziło patrzenie na miasto – jaśniało zbyt mocno, a one nie potrafiły docenić piękna rojących się na przedmieściach Valkarky szesnastonogich whoskorów, zajętych niekończącą się rozbudową



stolicy. Oczy owych stworzeń kołysały się wdzięcznie na długich, czarnych szypułkach; ich brązowe futro falowało, poruszone wietrzykiem. Wypluwały z pysków miękki kamień, a potem zręcznie formowały go delikatnymi przednimi odnóżami, dodając do nowych fragmentów muru.

Zbliżaliśmy się do miasta od strony południowej. Tu ściany były nierówne, najwyraźniej w różnych stadiach budowy.

– Co za straszne potwory tam pełzają! – wykrzyknęła Nessa, wskazując ręką woskory. Bryony i Susan gapiły się w milczeniu oczami okrągłymi jak spodki, wyraźnie wstrząśnięte. – Są takie wielkie i jest ich tak mnóstwo! Nie możemy tam wejść! Nie możemy! Zabierz nas stąd, proszę.

Ja jednak nie zważałem na jej protesty i zawroźnienie przerażonych sióstr. Podążaliśmy gościńcem wiodącym do głównej bramy, po obu stronach której wznosiły się mury. Im bardziej zagłębialiśmy się w miasto, tym starsze stawały się fortyfikacje. W czasie tej jazdy, trwającej niemal pół dnia, przejechaliśmy przez kilkanaście kolejnych bram tkwiących w wewnętrznych umocnieniach. Wszystkie stały otworem na nasze przybycie, zauważyłem jednak, że tuż za nami zamykały się szybko, uniemożliwiając odwrót.

Z wąskich okien wysoko w górze obserwowały nas oczy, wiedziałem jednak, że nie patrzy na mnie żaden przyjaciel. My, haizdanowie, żyliśmy i pracowaliśmy daleko od skłóconych grup i zmiennych sojuszów mieszkańców stolicy.

W końcu dotarliśmy do głównej bramy. Tu mury pięły się w górę, niknąc pośród chmur. Valkarky, pokryta lodem i śniegiem, przypominała bardziej pionowe górskie zbocze: otwarta brama wyglądała jak wylot cudownie ciemnej jaskini, pełnej niewypowiedzianych rozkoszy.

Po obu stronach olbrzymich odrzwi czekało dwóch konnych zabójców Shaiksa, unoszących w gotowości lance. Nie tylko oni jednak byli zainteresowani schwytaniem mojej osoby: przed bramą ustawiono się pięć tuzinów pieszej milicji, a jej kapitan, jak nakazuje

tradycja, unosił nad głową trzymany w lewej dłoni nakaz mojego aresztowania. Wyraźnie widziałem czerwoną pieczęć ze śliny i zakrzepłej krwi Triumwiratu.

Córki Rowlera jęknęły na ów widok ze zgrozą. Lecz oczywiście żaden z nieprzyjaciół nie mógł mnie tknąć, gdybym zdołał przekonać Triumwirat, by dał mi prawo wjazdu do miasta.

Uważałem, że to możliwe, najpierw jednak musiałem rozprawić się z ich narzędziem, strażnikiem bramy zwanym Kashilowa, obecnie pełznącym ku mnie: jego długie pulsujące ciało pokrywały najeżone szpikulce, a głowę otaczały kłęby parującego oddechu, Z początku zasłaniał go tuman śniegu, wyrzuconego w powietrze ruchami tysiąca odnóży, wkrótce jednak śnieg osiadł powoli i ujrzeliśmy strażnika w pełnej krasie. Samotny Kashilowa i tysiące whoskorów zostały stworzone po to, by służyć potrzebom miasta. Stanowiły część magii wysokich magów.

Najmłodsza z sióstr, wyraźnie przerażona, natychmiast zaczęła krzyczeć, ile sił w płucach. Nessa podjechała do mnie, próbując ją uspokoić. Nim jednak zdążyła cokolwiek zrobić, z kolei Susan zemdląła i Nessa z najwyższym trudem utrzymywała ją w siodle.

Nawet ona, tak odważna, jęknęła ze zgrozy, gdy strażnik śmignął ku nam i dotknął jej czoła koniuszkiem długiego spiralnego języka, który wysunął z wielkiej paszczy. Jedyne kosztował jej skóry, sprawdzając, czy może przekroczyć bramę Valkarky, nie wiem zatem, czemu tak bardzo się wystraszyła. Wszystkie przyjezdne purrai podlegają surowym kontrolom zdrowotnym, by zyskać pewność, że nie sprowadzą do miasta zarazy.

Nasze obie klacze przeszły kobaloskie szkolenie, lecz bliskość strażnika sprawiła, że ich chrapy rozszerzyły się, a źrenice zwężyły; one same dygotały ze strachu. Nic w tym dziwnego: kiedy wielki stwór ziewnął, udając znużenie i rozdziawiając szeroko szczęki, jego paszcza mogła spokojnie pomieścić je w całości.

– Mów! – polecił Kashilowa, kierując jedno ze swych stu oczu w moją stronę.

Jego głos zabrzmiał donośnie niczym grzmot, a samo słowo straciło z występu na murze dziesiątki długich sopli. Jedna z lodowych włóczy przesyła członka milicji, którego krew zabarwiła śnieg na kolor niezwykle atrakcyjnej czerwieni – niemal tak pięknej, jak baranice w moim starym drzewie ghanbala. Jedno spojrzenie wystarczyło, by do ust napłynęła mi ślinka, z trudem skupiłem się na czekającej mnie rozmowie.

Szczęśliwie, poruszenie Kashilowy spłoszyło dziesiątki skrzydlatych pasożytów, kryjących się pośród ostrych szpikulców porastających jego ciało. Sięgnąłem szybko i chwyciłem kilka z nich w powietrzu, nim znów wylądowały, po czym wepchnąłem sobie do ust, Ich krew połączona z krwią nosiciela smakowała wybornie i nieco stępiła mój głód.

Teraz zdołałem pozbierać myśli. Nie chcąc sprawiać wrażenia zastraszonego, zeskoczyłem z wierzchowca i urosłem do największego rozmiaru, tak że moje oczy zrównały się z zębami strażnika. Wzmocniłem także głos, strącając z muru kolejny deszcz sopli. Tym razem nikt nie ucierpiał: milicja zachowała dość rozsądku, by wycofać się na bezpieczny dystans.

Wszyscy znali moje imię i wiedzieli, po co przybywam. Mimo to musiałem ogłosić to oficjalnie.

– Domagam się wstępu do Valkarky! – krzyknąłem. – Spotkała mnie krzywda ze strony wysokiego maga i grupy jego wspólników, w tym zabójcy Shaiksa, którzy spiskowali, by nielegalnie pozabawić mnie trzech purrai i użyć je do swych własnych celów. Żądam przesłuchania przed obliczem Triumwiratu!

– Gdzie jest ów wysoki mag, który ponoć odebrał ci własność? I kim są trzy towarzyszące ci purrai? Czy to o nich mówiłeś? Jeśli tak, nadal należą do ciebie, jak zatem mogło zostać popełnione przestępstwo? – spytał Kashilowa.

– Owszem, to te same purrai. Odebrałem je, tak jak zezwala prawo, korzystając jedynie z minimalnej siły. Niestety w samoobronie musiałem zabić wysokiego maga i zabójcę Shaiksa. Później drogę do Valkarky zastąpił mi wojownik hyb i jego także

zmuszony byłem zabić. Bardzo tego żałuję, ale nie miałem wyboru.

– Twoja historia nie brzmi wiarygodnie. Jak mag haizdan mógł stawić czoło i pokonać zabójcę Shaiksa, wysokiego maga i hyba? Jak brzmi twoje imię?

Znał już moje imię, ale musiał zapytać o nie oficjalnie, a ja musiałem odpowiedzieć: był to rytuał niezbędny do tego, by wkroczyć do miasta.

– Na imię mam Wijec i uczyniłem to, co musiałem uczynić. Być może Czerwone Oko Psiej Gwiazdy spoglądało na mnie łaskawie, co tłumaczy moje zwycięstwo.

– Wijec? A cóż to za imię?

Kashilowa nie traktował mnie już z szacunkiem, na który zasługiwałem. Nie zamierzałem pozwolić, by ze mnie szydził. Odpowiedziałem zatem tonem pełnym jadu. Zasłużył sobie.

– To imię, które przybrałem, gdy osiągnąłem stosowny wiek wczesną wiosną siedemnastego roku życia. Mój ogon wije się w powietrzu, gdy zwisam na nim z wysokiej gałęzi drzewa ghanbala. Wiję się, kiedy się zmniejszam i prześlizguję przez szczelinę w murze bądź podłodze, by dotrzeć do zamkniętego, tajemnego pomieszczenia. A wrogowie czują moje wicie, gdy zakradam się do ich umysłów. Pozwól, że ci pokażę!

Urażony tym, że strażnik śmiał podważać stosowność mojego imienia, splunąłem w najbliższe z jego stu oczu. Szybko zmieszałem ze śliną dwie substancje, powodujące natychmiastowy świąd i pieczenie. Jednocześnie mój umysł wśliznął się do jego głowy.

Reakcja strażnika okazała się dość ekstremalna. Musiał kiepsko znosić ból, bo odskoczył w tył tak szybko, że większość z jego tysiąca nóg poplątała się: stracił równowagę i poturlał się na bok w śniegu, miażdżąc pod sobą kolejnego, pechowego członka milicji.

*Podoba ci się uczucie wicia?* – spytałem, wymawiając słowa wprost w jego głowie.

*Dosyć! Dosyć!* – wykrzyknął, choć ze wszystkich umysłów dokoła tylko ja go słyszałem, jego myśli wibrowały mi w głowie.

*Przyznaj mi moje prawo!* – zażądałem. – *Pozwól na wstęp do Valkarky i przestuchanie*

*przed obliczem Triumwiratu, a ja złagodzę pieczenie twoich oczu i wijąc się, wyśliznę z głowy.*

*Tak! Tak! Przyznaję ci prawo!* – odparł.

Dotrzymując obietnicy, wycofałem się. Kashilowa przekręcił się i stanął na niemal wszystkich nogach, przysuwając głowę tak blisko, że moja klacz zatrzęsała się jeszcze mocniej. Szybko splunąłem w najbliższe oko, tym razem moja ślina kryła w sobie odtrutkę. Minęła jednak długa chwila, nim znów przemówił; przez moment obawiałem się zdrady.

– Muszę poddać cię próbie, by potwierdzić prawdziwość twych słów – zagrzmiał.

Przytaknąłem i teraz to ja poczułem na czole dotyk długiego języka. Strażnik sprawdzał, czy kłamię, czy też nie. W końcu cofnął język do olbrzymiej paszczy.

– Wierzysz, że mówisz prawdę. Ale kłamstwa można czasem zamaskować magią. Mimo to twoje słowa zasługują na dalsze sprawdzenie. Czy poddasz się dogłębnej próbie?

– Z chęcią – oznajmiłem.

– Pod tym warunkiem przyznaję temu haizdanowi prawo wstępu do miasta i przesłuchania! – huknął strażnik, kończąc rytuał.

Pochyliłem się i wyszeptałem Nessie do ucha:

– Nie było tak źle, prawda? Obiecałem waszemu ojcu, że się wami zaopiekuję, i nie zamierzam złamać słowa! I tak zezwolono nam wjechać do Valkarky, nasi wrogowie nie mogli temu zapobiec. Dwie młodsze siostry wpadły w histerię, nawet dzielną Nessę wyraźnie niepokoiła perspektywa odwiedzin naszego pięknego miasta. Chuchnąłem zatem kolejno w twarze sióstr, przywołując moc bosk, dzięki której natychmiast zapadły w głęboki sen.

Póki żyłem, były bezpieczne. Dopóki pozostaną w oddzielnych komnatach w moich pokojach, a ja będę im towarzyszył w miejscach publicznych, jak nakazuje obyczaj, prawo je ochroni.

Przekroczyłem bramę, wysoko unosząc głowę, kobaloscys słudzy, wezwani przez strażnika, wnieśli do środka siostry. My, haizdanowie, rzadko odwiedzamy stolicę, lecz na wszelki wypadek utrzymujemy tu kwatery wraz z niewielką grupką służby. Po niecałej godzinie znalazłem się w bezpiecznym schronieniu, służba krzątała się wokół, a siostry wciąż spały. Jakież z nich szczęściary, że mają tak łaskawego pana! Najpierw spróbowałem obudzić Nessę.

Chuchnąłem jej już w twarz, by zniweczyć wpływ bosku, lecz oczy dziewczyny nadal pozostawały uporczywie zamknięte. Zupełnie nie mogłem jej ocucić i przez moment

przeraziłem się, że w pośpiechu, by ją uciszyć, użyłem zbyt mocnej mikstury chemicznej i uszkodziłem jej mózg. Zdarza się to bardzo rzadko, ale zawsze istnieje takie ryzyko. Nietrudno sobie wyobrazić, że mogłem popełnić błąd. Ostatecznie byłem wówczas zajęty negocjacjami ze strażnikiem bramy i miałem na głowie inne, ważniejsze sprawy.

Wpatrywałem się w jej twarz, nakazując w myślach, by się ocknęła. Z coraz większym niepokojem zacząłem wołać ją po imieniu.

## ROZDZIAŁ 13

### HAGENMIOT *NESSA*

– Obudź się, mała Nesso!

Głos zdawał się dobiegać z bardzo daleka. Spałam smacznie i głęboko i pragnęłam tylko, by zostawił mnie w spokoju. W tym momencie jednak poczułam, jak ktoś potrząsa mocno mym ramieniem.

Gdy tylko uniosłam powieki, przepęłniła mnie dławiąca groza, która pojawia się, gdy koszmar podąża za nami do świata jawy. Natychmiast przypomniałam sobie potworności przed bramą Valkarky i straszliwe uczucie, że się duszę, kiedy Wijec chuchnął mi w twarz. Runęłam w ciemność, sądziłam, że umieram. Ale nie to sprawiło, że serce zatrzepotało mi, a całe ciało zaczęło dygotać. Nie sprawił tego również grymas na twarzy potwora.

Dlaczego zatem cofnęłam się w najdalszy kąt łóżka? Przez stwora, którego ujrzałam za jego plecami.

– Nie ma powodu do strachu – oznajmił Wijec szorstkim głosem. – Chwilowo jesteś zupełnie bezpieczna. To schronienie haizdanów, odwiedzających Valkarky.

Kilka razy odetchnęłam płytko i w końcu zdołałam wskazać nad jego ramieniem na okropieństwo na ścianie. Wijec obejrzał się, po czym wykrzywił wargi w parodii uśmiechu.

Wyglądało to jak gigantyczna ludzka głowa na sześciu cienkich nóżkach o wielu stawach, wyrastających z miejsca, w którym

powinny tkwić uszy. Miała długie włosy, ale brakowało jej oczu i nosa. Nie było na nie miejsca. Większą część twarzy zajmowały wielkie, owalne usta, z których sterczały trzy długie, grube języki, pokryte skierowanymi do wewnątrz haczykami. Stwór zdawał się lizać ściany, towarzyszył temu szorstki, rytmiczny zgrzyt.

– Ponieważ rzadko korzystamy z tych komnat, zarastają je grzyby. To, co widzisz, to tylko nieszkodliwy sklutch, jeden z pomniejszych sług, których zatrudniamy. Wypełnia jedynie swoje zwykłe obowiązki, oczyszczając ściany językiem i wysysając resztki. Nie musisz się go bać, mała Nesso, to tylko pilny sługa, jeśli jednak cię razi, natychmiast go odprawię.

To rzekłszy bardzo mocno klasnął w dłonie. Ohydny stwór natychmiast przerwał czyszczenie i uniósł dwa przednie czułki, które do tej pory kryły się wśród długich włosów. Teraz zakołysały się i obróciły powoli.

Wijec klasnął jeszcze trzykrotnie i potworek bezzwłocznie zbiegł po ścianie i wcisnął się w wąską szczelinę nad podłogą.

– Sklutch z jego miękkimi, brązowymi włosami, cienkimi, czarnymi nóżkami i zręcznymi językami idealnie nadaje się do spełnianej przezeń roli, mała Nesso. Nigdy nie przestaje mnie zdumiewać, że tak krągła istota potrafi bez użycia magii zmieścić się w tak wąskiej szczelinie. A tak w ogóle, jak się czujesz?

Nagle ogarnął mnie wstyd. Strach zagłuszył we mnie wszystko – zupełnie zapomniałam o Bryony i Susan!

– Gdzie moje siostry? – spytałam ostro, unosząc się na kolanach.

– Są bezpieczne, lecz zgodnie z nakazami kobaloskich zwyczajów każda purra musi mieszkać w osobnym pomieszczeniu. Nie mogę zachować się inaczej niż w kuladzie. Poza tym twoje siostry wciąż śpią.

– W tamtej wieży wcale nie były bezpieczne. Dlaczego tu miałyby być inaczej?

– Nie lękaj się, Nesso. To jest Valkarky, miasto rządzone przez prawo, w którym wszyscy wszystkich obserwują. Kuladem władał

zepsuty wysoki mag, niezanujący własności innych. Zapewniam cię, że tu będzie inaczej.

Z niedowierzaniem pokręciłam głową.

– Jak długo spałam?

– Najwyżej kilka godzin. W tym czasie zostałem przesłuchany i poddany głębokiemu badaniu, dodam, iż bardzo bolesnemu. Było jednak warto – szybko podjęli decyzję.

Poczułam nagłą nadzieję.

– To znaczy, że możemy już stąd odejść?

– Chciałbym, by było to takie proste, mała Nesso. Dowiedziono, że mówię prawdę, i Triumwirat już miał mnie uwolnić od wszelkich zarzutów, lecz bractwo Shaiksa złożyło oficjalny protest: przedstawili fałszywe dowody, których nie mogę odeprzeć. Przekazali ostatnie myśli umierającego zabójcy, który zginął z mojej ręki. Oskarżył mnie o kradzież, twierdząc, iż Nunc, wysoki mag, hojnie mi zapłacił za ciebie i twoje dwie pulchne siostry. Nie twierdzę, że zabójca skłamał. Możliwe, że jedynie powtórzył informacje przekazane przez Nunca. Ale ponieważ ten już nie żyje, mamy teraz fałszywe świadectwo nieboszczyka przeciw prawdziwemu słowu żywego. – Wijec na moment zawiesił głos, a ja wstrzymałam oddech, czekając, co zaraz powie. – Muszę stanąć do próby walki. Co roku dochodzi do wielu sporów prawnych – dysputa na temat własności purrai to tylko jedna z odmian konfliktów obywatelskich. Znaczną większość rozstrzyga bezpośrednio Triumwirat, lecz w trudnych przypadkach oskarżony musi zostać poddany próbie. To oburzające, że znalazłem się w takim położeniu – muszę dać ujście gniewowi. Teraz zyskałem sposobność, by uczynić to publicznie.

– Będziesz musiał walczyć z innym magiem? – Serce ścisnął mi strach. Jeśli przegra, co będzie z nami?

– Nie, mała Nesso. Chciałbym, by tak było. Muszę stawić czoło hagenmiotowi.

Nie spodobało mi się brzmienie tego słowa.

– Co to takiego? – spytałam. – Jakiś stwór podobny do tych,



które budują mury tego miasta? One były naprawdę odrażające.

– W pewnym sensie owszem, lecz haggemiot został stworzony magią wysokich magów, by walczyć w rytualnych pojedynkach: tylko po to żyje. Składa się z trzech wojowniczych istot, wyhodowanych z ciała purry. Kieruje nimi wspólny umysł, toteż w istocie to jedna trójdzielna istota.

– Możesz go pokonać?

– Nikomu dotąd się nie udało.

– To nieuczciwe! Skoro nie ma wątpliwości, że przegrasz, jak można to nazwać próbą?

– Tak się sprawy mają. Wciąż pozostaje iskierka nadziei, poza tym to bardziej honorowa śmierć niż egzekucja. I, oczywiście, zwycięstwo nie jest niemożliwe – zawsze kiedyś musi być pierwszy raz. Nie możemy sobie pozwolić na pesymizm, mała Nesso.

– Jeśli zginiesz, czy trafimy w niewolę, czy nas także pozabijają? – zdołałam wykrztusić, choć tak naprawdę nie chciałam znać odpowiedzi. – Czy nie mógłbyś dotrzymać obietnicy złożonej ojcu i przed pojedynkiem odesłać moich sióstr w bezpieczne miejsce?

– Bardzo bym chciał. Ale kto zgodzi się odeskortować je z miasta? To niemożliwe. Beze mnie nie macie tu żadnego statusu, jesteście niewolnicami bądź strawą. Jeżeli zginę, umrzecie ze mną na arenie, zabite przez szpony i zęby haggemiota. Muszę bronić was przed tym stworem albo zginąć w walce. Chodź, pokażę ci go, byś mogła przygotować umysł na to, co cię czeka.

Byłam oburzona i przerażona. Choć Wijec budził moją odrazę, zależało od niego nasze przetrwanie. Potwór na kilka chwil wyszedł z komnaty, pozostawiając mnie samą z ponurymi myślami. Po chwili wrócił, ściskając w dłoni długi łańcuch i kłódkę.

– Podejdź tutaj! – polecił. – Muszę założyć ci to na szyję.

– Po co? – spytałam. – Nie będę próbować ucieczki, dokąd mogłabym pójść? Sam mówiłeś, że bez twojej ochrony od razu by mnie zabili.

– W Valkarky purra może pokazywać się publicznie jedynie w

obecności właściciela, z łańcuchem wokół szyi. Bez łańcucha natychmiast by cię schwytano, a ja nic nie mógłbym na to poradzić. Takie jest prawo.

Skrzywiłam się gniewnie, ale wiedziałam, że nie mam wyboru i muszę się zgodzić. Wijec ostrożnie okręcił mi szyję zimnym metalowym łańcuchem, po czym założył niewielką kłódkę, zamykając krąg. Następnie, dzierżąc w lewej dłoni resztę łańcucha, szarpnął lekko, jakby miał do czynienia ze zwierzęciem i wskazał ręką drzwi.

– A teraz, purro, wyprowadzę cię na arenę! – oświadczył.

Powiódł mnie serią niekończących się, ponurych korytarzy. W większości oświetlały je migoczące pochodnie, lecz w niektórych miejscach z samych murów zdawało się promieniować białe światło. Mijani Kobalosi zazwyczaj nie zwracali na nas uwagi, patrząc wprost przed siebie. Kiedy jednak z rzadka ktoś zerkał na nas ciekawie, Wijec nieodmiennie ciągnął za łańcuch, szarpiąc moją głowę. W pewnym momencie nie zdołałam powstrzymać krzyku, a do oczu napłynęły mi łzy. Później jednak, gdy znów znaleźliśmy się sami w korytarzu, stwór odwrócił się i odezwał do mnie, zniżając głos.

– Byłem łagodny, mała Nesso i nie zapiąłem ciasno łańcucha. Niektórzy właściciele zakładają je tak ciasno, że purra ma stale czerwoną twarz i z trudem chwyta oddech. Bądź dzielna. Na arenie będziesz potrzebowała całej swej odwagi!

Odwrócił się, znów pociągnął łańcuch i podjęliśmy przerwana wędrowkę. Miasto okazało się olbrzymie, lecz tak ciemne, iż miałam wrażenie, jakbyśmy przebywali pod ziemią. Nawet otwarte przestrzenie, na które wychodziło się z korytarzy, przypominały olbrzymie pieczary, tyle że ściany miały idealnie gładkie i wyraźnie sztuczne, nie stworzone przez naturę.

W pewnym momencie przecięliśmy swoisty targ żywności. Kobalosi płacili monetami i otrzymywali metalowe miednice. W niektórych dostrzegłam coś jakby korzenie bądź grzyby, w innych jednak wiły się niewielkie, robakowate istoty, a nabywcy łapczywie

wpychali je sobie do gąb. Na ów widok i zapach ledwie zdołałam powstrzymać zółć podchodzącą do gardła.

Były tam też większe kadzie. Przyjrząwszy się uważnie, ze zgrozą odkryłam, że są pełne parującej krwi. Każdą z nich otaczał tłum przepychających się Kobalosów; zanurzających metalowe kubki i łapczywie chlepczących ciec, która ściekała im po brodach i rozbryzgiwała się na ziemi.

Jakie istoty oddały życie, by wypełnić owe kadzie? Valkarky było strasznym, potwornym, paskudnym miastem. A gdyby kiedykolwiek istotnie pokryło całą ziemię, tak jak chełpił się Wijec, stworzyłoby prawdziwe piekło – wszystkie źdźbła traw, drzewa, kwiaty i istoty z łąki zniknęłyby, zastąpione tym potwornym zlepkiem brzydoty i okrucieństwa.

Po drodze widziałam nie tylko Kobalosów. Były tam też inne stwory, na widok których przebiegał mnie zimny dreszcz i nie czułam się bezpiecznie nawet w obecności Wijca. W większości przypominały owady, tyle że najmniejszy był rozmiarów owczarka, a największy mógłby z łatwością odgryźć mi głowę. Miałam nadzieję, że siostry wciąż bezpiecznie śpią w swoich pokojach.

Jakieś stworzenia przebiegały nam nad głowami na wielu nogach, jak posłańcy pędzący z pilnymi sprawami, inne kręciły się, być może spełniając podobne role jak sprzątacze w komnatach Wijca.

Jedno jednak mnie zdumiało; widziałam Kobalosów i ludzkie niewolnice w łańcuchach, ale dlaczego nie spotkałam żadnej kobaloskiej kobiety? Czyżby nie wolno im było wychodzić z domów? Wszyscy Kobalosi mieli włochate, zwierzęce twarze o wydłużonych szczękach i ostrych zębach. Może kobaloskie niewiasty są tak podobne do swych mężczyzn, że po prostu nie umiem ich odróżnić?

Skrecając tu i tam, wędrowaliśmy przez labirynt, aż w końcu dotarliśmy do szerokich, lśniących, białych stopni. Cztery piętra wyżej ujrzeliśmy w końcu przed sobą wielką bramę, dość dużą, by pomieścić istotę dziesięciokrotnie większą ode mnie.

– Jesteśmy na miejscu, mała Nesso. Tu zginiemy bądź

zatrzymujemy. – Wijec pociągnął mnie naprzód.

Odkryłam, że stoję na trójkątnej platformie, otoczonej rzędami pustych siedzisk, które wznosiły się koncentrycznymi kręgami po obu stronach.

– Całą arenę zbudowano ze skoi. Whoskory wypływają ją na jeden stos, a potem manipulują i kształtują wieloma dziewięciopalczastymi dłońmi.

– Jest taka biała! – wykrzyknęłam. Jej blask mnie oślepił.

– Skoja może mieć różne barwy – wyjaśnił Wijec – ale istnieje powód, dla którego wybrano tu biel, mała Nesso. Na niej łatwiej widać jasną czerwień świeżo rozlanej krwi, a barwa ta bardzo podnieca mój lud.

Miejsce to było doprawdy obrzydliwe, uznałam. Nie odpowiedziałam jednak ani słowem, lecz rozglądałam się dokoła, zerkając na wszystkie strony, zastanawiając się nad rozkładem areny. Przekonałam się, że w każdym wierzchołku trójkąta umieszczono biały słup.

– Do czego one służą? – spytałam.

– To trzy słupki, do których zostaniecie przywiązane. Liczba słupków się zmienia, przed każdą próbą arena przybiera nowy kształt. Zawsze jednak pozostaje biała, by najlepiej podkreślić barwę krwi przegranego. Zostaniecie skrępowane i haggemiot spróbuje wypić waszą krew, a potem was pożreć. Ja dołożę wszelkich starań, by mu to uniemożliwić.

Brzuch ścisnął mi się, gdy uświadomiłam sobie niemożliwość tego zadania. Czym był ów haggemiot? Nie wątpiłam, że zginiemy tu wszystkie.

– Widzisz to? – Wijec wskazał ręką okrągłą kratę w ziemi pośrodku trójkąta.

Ogarnęło mnie nagłe złowieszcze przeczucie. Zadrżałam. Nie chciałam nawet patrzeć na tę kratę, a co dopiero podchodzić bliżej. Ale nie miałam wyboru.

Potwór ruszył, wlokąc mnie za sobą. Natychmiast poczułam paskudny zapach i bałam się podejść bliżej. Gdy się zatrzymałam,

łańcuch szarpnął mnie boleśnie. Zamiast znów ciągnąć, Wijec cofnął się, sprawdzając, w czym rzecz.

– Co ci dolega, mała Nesso?

– Ten koszmary smród! Co to takiego? Czy to coś na dole? – Drżącym palcem wskazałam kraty.

Wijec przekrzywił głowę i powęszył.

– Tak. To, co czujesz, to smród haggenniota. To stąd się wyłoni. Podejdź bliżej i spójrz – polecił, ruszając na środek areny.

Łańcuch napiął się ponownie, gdy stawiałam opór. Lecz tym razem Wijec szarpnął mocno, więc niechętnie, potykając się, podreptałam za nim, aż w końcu dotarliśmy na skraj jamy.

– Popatrz przez kratę, mała Nesso, i powiedz mi, co widzisz.

Pomiędzy szeroko rozstawionymi białymi prętami dostrzegłam ciemnobrązową jamę. Pomalowano ją czymś niezwykle nieprzyjemnym. Z bliska śmierdziała nieznośnie i próbowałam się cofnąć.

– Haggenniota wydziela ten brązowy śluz ze swych trzech ciał, to część jego procesu trawienego. To właśnie on śmierdzi. Nie lękaj się. Podejdź bliżej, byś zobaczyła go jak należy.

Ostrożnie podkrađłam się na skraj dołu i spojrzałam w mrok. Czułam się bardzo krucha i odsłonięta, nogi ugiwały się pod mną. Dlaczego Wijec chciał, bym podeszła tak blisko? Krata wydała się zbyt cienka, by utrzymać mój ciężar. Jego dłoń dotknęła mego ramienia i przez jedną przerażającą chwilę pomyślałam, że zamierza mnie tam wepchnąć.

– Tam się coś rusza! – krzyknęłam, dygocząc ze strachu. W dole, mimo ciemności, widziałam trzy pary obserwujących mnie, płonących czerwonych oczu!

W następnej chwili coś skoczyło w górę i długie, pokryte łuskami palce wielkiej dłoni zacisnęły się na kracie. Stwór ryknął na nas przez pręty; wyraźnie marzył jedynie, by wbić kły w moje ciało. Ujrzałam rozdziawioną paszczę, wściekłe, czerwone oczy i szpiczaste uszy.

Z tym właśnie mieliśmy się zmierzyć. Kolana zaczęły trząść mi

się jeszcze bardziej, serce waliło ze zgrozy. Jakie szanse miał Wijec w starciu z trzema podobnymi bestiami? Wszyscy już nie żyliśmy.

Lecz mój prześladowca nie okazał lęku. Marszcząc czoło, stanął na kracie dokładnie nad wykrzywionym stworem.

– Znaj swoje miejsce! Ja stąпам po ziemi, ty pod nią, w brudzie! – krzyknął mu prosto w zęby i nadepnął mocno butami palce. Z wściekłym warknięciem haggemiot zwolnił uchwyt i runął w głąb jamy.

– Nigdy nie okazuj strachu podobnym istotom, mała Nesso – poradził Wijec. – Zawsze bądź dzielna. Warto im pokazać, z kim dokładnie będą mieli do czynienia na arenie.

– Jest taki szybki i groźny. – Zrozpaczona, pokręciłam głową. – Jak możesz liczyć, że zwyciężysz w walce z trzema podobnymi? Będziesz sam, powinieneś poszukać pomocy.

– Och, Nesso, musisz uważniej słuchać tego, co ci mówię. Jest jeszcze gorzej. Jak już tłumaczyłem, haggemiot to jedna istota. Jeden umysł kontroluje trzy ciała, trzy jaźni, które mogą koordynować swój atak równie łatwo, jak ja poruszam naraz swoimi palcami.

By zademonstrować, opuścił włochatą dłoń i wystukał szybki rytm trzema palcami z boku mojej głowy. Zabolało, toteż krzyknęłam z bólu. Potem szybko zgiął i wyprostował te same palce, tak że jego kostki zatrzeszczały. Zadrżałam.

– Wy będziecie nieruchome, przywiązane do słupów, ja mogę się znaleźć tylko w jednym miejscu naraz. Choć będę próbował, obronienie całej waszej trójki może się okazać niemożliwe. Oczywiście, będę sam, bo takie są zasady. Podczas walki z haggemiotem na arenie mogę się znaleźć tylko ja i moje purrai.

– W takim razie mną się nie przejmuj – oznajmiłam. – Broń moich sióstr.

Przemówiłam bez namysłu, ale wiedziałam, że nie ustąpię. Choć bałam się haggemiota, nie mogłam znieść myśli, co mogłby zrobić z Bryony i Susan.

– To bardzo szlachetne z twojej strony, moja mała Nesso, ale

wszystko zależy od tego, jaką taktykę zastosuje haggemiot.

– Nie mógłbyś przejąć inicjatywy i zaatakować pierwszy?

– Czy znów muszę wszystko tłumaczyć? Są zasady, mała Nesso, które mnie obowiązują. Zmieniają się w zależności od próby, uwzględniając liczbę purrai. Tak jednak wygląda sytuacja i musimy się do niej dostosować. Najpierw usuną kratę i haggemiot wylezie z jamy. Gdy jego trzy części zajmą pozycje, padnie sygnał i rozpocznie się walka. Mogę jedynie reagować na atak, który może skierować się przeciw każdej z was. Mógłby też, nie zważając na nic, skupić się wyłącznie na mnie. Wówczas, kiedy już zginę, haggemiot niespiesznie posiliłby się tobą i twoimi pulchnymi siostrami. Poza tym, jeżeli najpierw zaatakuje was i zabije dwie z trzech, będę musiał złożyć broń i dać mu się zabić. Takie są zasady pojedynku.

Nie mogłam uwierzyć, że rozmawiam o czymś tak brutalnym.

– Jakiej broni wolno ci użyć?

– Tylu kling, ilu zapragnę.

– W takim razie uwolnij mnie i daj mi jedną. Jeśli się poruszę, może odciągnę jego uwagę i zyskasz szansę. Musimy ochronić moje siostry.

I znów, słowa wyrwały mi się z ust bez wcześniejszego namysłu. Lecz po szybkim zastanowieniu pojęłam ze kryje się w nich mądrość. To mogłoby dać szansę przeżycia moim siostram, a poza tym lepiej chyba zginąć z nożem w dłoni niż czekać na niechybną zagładę, przywiązana bezradnie do pala?

Na twarzy potwora ujrzałam zdumienie. Zmarszczył czoło, wyraźnie rozważając moją propozycję.

– Czy to dozwolone? – naciskałam, przerywając ciszę, która zapadła.

– Nic w przepisach nie zabrania mi uwolnienia ciebie – przyznał. – Twoja propozycja jest doprawdy szlachetna. Lecz o ile haggemiot został wytresowany tak, by nigdy nie opuścić areny, ty mogłabyś to zrobić. I w tym właśnie kryje się niebezpieczeństwo. Gdybyś tak uczyniła, próba natychmiast dobiegłaby końca i

wszyscy zapłacilibyśmy głową. Jak bardzo jesteś odważna, mała Nesso? Czy nie ustąpisz pola, gdy zaatakują cię zębiska i szpony?

– Nie – odparłam natychmiast. – Bo to może nam pomóc.

Czy jednak istotnie? Czy naprawdę starczy mi śmiałości, by odwrócić uwagę straszego, potężnego haggemniota?

– Nawet jeśli haggemmiot nie rozszarpie cię na strzępy, z jego gruczołów wydziela się śmiertelna trucizna. Jeśli choćby koniuszek szponu zadraśnie ci skórę, nastąpi kirkhos, którego nazywamy „płową śmiercią”. To okropny widok i jeszcze straszniejszy ból. Nie istnieje żadne lekarstwo. Czy zatem potrafisz zmusić swoje małe ludzkie ciało, aby poddało się twojej woli, Nesso? Przerazenie może sprawić, że cię nie posłucha. A kiedy umkniesz z areny, zginiemy wszyscy. Wystarczy jeden mały krok!

Odetchnęłam głęboko. Tak, zrobię to. Mimo mej głębokiej niechęci do Wijca sytuacja uczyniła z nas sojuszników i będę musiała z nim współpracować, by siostry mogły liczyć na przetrwanie.

– Jestem pewna, że nie ucieknę. Chcę dać siostrom szansę przeżycia.

Wijec wbił we mnie wzrok.

– Uwolnienie branki w czasie próby walki nie ma precedensu. Zaskoczyłoby wszystkich, a najbardziej haggemniota.

A potem bez słowa pociągnął za łańcuch i poprowadził mnie z powrotem przez Valkarky do swych pokojów.

## **ROZDZIAŁ 14**

### **PLOTKI I WIEŚCI**

Sięgnąłem po osełkę i zacząłem systematycznie ostrzyć klingi, które zamierzałem zabrać ze sobą na arenę. Wybrałem dwa sztylety – a także szablę Starego Rowlera, która szybko stawała się moją ulubioną bronią.



Nessa przyglądała mi się bez przerwy. Rozważałem jej zaskakującą propozycję. Bez wątpienia była odważna – znacznie odważniejsza niż jakakolwiek znana mi purra, lecz uwolnienie jej z więzów na arenie nadal wiązało się ze straszliwym ryzykiem. Gdyby uciekła, zapłaciłbym głową. Wyczułem, że zamierza powiedzieć coś bardzo ważnego, i wkrótce okazało się, że się nie pomyliłem.

– Chciałabym prosić cię o przysługę – rzekła w końcu.

– Mów, a ja wysłucham – odparłem, bo choć skupiałem uwagę głównie na pracy, byłem gotów posłuchać, co ma mi do powiedzenia.

– Czy moje siostry można przywiązać do pali, nie budząc ich? Chciałabym im oszczędzić grozy areny.

– To niemożliwe, mała Nesso. Nie zgodzono by się na to – w ten sposób bowiem pozbawilibyśmy widzów przyjemności słuchania ich krzyków. Poza tym znacznie ciekawiej jest patrzeć, jak ktoś świadomy krwi i umiera. Uśpione nie dostarczyłyby żadnej rozrywki. W młodości oglądałem kiedyś podobną próbę – zakończyła się bardzo szybko, lecz mimo wszystko podobało mi się to, jak haggemiot rozprawił się z ofiarami, a także bryzgająca krew, tworząca rozkoszne wzory na białej powierzchni areny. Odkąd jednak przyjąłem swoje powołanie, rzadko odwiedzałem Valkarky i nigdy nie miałem okazji uczestniczenia w kolejnym widowisku.

Teraz doskonale czułem się sam, opiekując się haizdą i trzymając się z dala od zgiełku podobnych igrzysk. Nie odpowiadała mi już bliskość tak wielu członków mojego ludu.

– Rozrywki? Jak możesz tak to nazywać, skoro w grę wchodzi życie moich sióstr? Co z was za potwory?

– Po prostu tak się rzeczy mają, mała Nesso. Bardzo różni się od ludzi. To zwyczaj mojego ludu, mnie zaś krępują tradycje i konwencje Kobalosów. W żaden zatem sposób nie mogę oszczędzić tobie i twoim smakowitym siostrom nieuniknionego strachu i bólu czekającego na arenie.

Nie przestawało mnie zdumiewać, że Nessa jest gotowa poświęcić samą siebie, byle tylko pomóc siostrze. Oczywiście, jeśli stanie naprzeciw nawet jednej części haggemnioty, choćby ściskając nóż w słabej dłoni, wynik może być tylko jeden: zginie, nim pojmie, co ją spotkało. Uznałem jednak, że podobna odwaga zasługuje na nagrodę.

Czego naprawdę by sobie życzyła? Po sekundzie znalazłem odpowiedź. Postanowiłem na krótko przerwać samotne uwięzienie trzech purrai.

– Czy chciałabyś, żebym obudził teraz twoje siostry, abyście mogły mieć trochę czasu dla siebie? To może być wasze ostatnie spotkanie – zaproponowałem, przyznając, bardzo szczerze.

– Tak, proszę, bardzo bym chciała – odparła z powagą Nessa. – Ile czasu zostało do próby?

– Niemal cały dzień, toteż baw się dobrze i jak najlepiej wykorzystaj ów czas. Przeprowadzę tu twoje pulchne siostry, a potem zostawię was same, byście mogły pomówić na osobności.

Dotrzymując obietnicy, sprowadziłem pozostałą dwójkę. Oczywiście, nie zapewniłem im pełnej prywatności, byłem bowiem bardzo ciekaw i chciałem usłyszeć, co mają sobie do powiedzenia. Stałem się zatem malutki i wśliznąłem do pokoju przez dziurę odpływową w podłodze.

– Tak bym chciała mieć czyste ubranie i niebieską wstążkę do włosów – rzekła żałośnie Susan.

– Z pewnością dostaniesz to wszystko, kiedy znajdziesz się bezpiecznie w Pwodente – odparła Nessa. – Cokolwiek się stanie, przeżyjemy. Musicie w to wierzyć.

– Przepraszam. – Susan pokręciła głową, do oczu napłynęły jej łzy. – Postaram się, ale nie jestem tak odważna jak ty, Nesso. Dołożę wszelkich starań, naprawdę.

Uznałem, że nie warto zostawać dłużej – siostry nie mówiły niczego ciekawego. Nessa próbowała zachować spokój, lecz po tym, jak Susan pogratulowała jej odwagi, za każdym razem, gdy zaczynała coś mówić, jej dolna warga drżała, jakby obdarzona

własnym życiem. Gdy w końcu zdołała wydusić z siebie kilka zdań, cała trójka wybuchnęła płaczem i przez resztę czasu szlochały i tuliły się do siebie. Wszystko to wydało mi się zupełnie pozbawione sensu.

Żałowałem, że czeka mnie śmierć. Teraz nigdy nie rozwinię w pełni swoich możliwości. Potrzebowałem jeszcze co najmniej stulecia studiów, by w pełni opanować magię haizdy i doszlifować umiejętności walki, osiągając optymalny poziom. Miło też byłoby odkryć, że zdołałem pokonać zagrożenie skaiium i uniknąć słabości, która ogarnia część naszych braci. Teraz nie dowiem się, jak mogło się to skończyć. Postanowiłem jednak wykorzystać jak najlepiej zapewne ostatni dzień swojego życia na tym świecie, wróciłem zatem do swojej komnaty i pięciokroć pstryknąłem palcami, wzywając Homa, odmianę homunkulusa. Myślę, że to najciekawszy sługa zatrudniony w Valkarky przez magów haizda. Hom gromadzi wieści i plotki, ma wiele różnych postaci przystosowanych idealnie do tego zadania.

Jedna, przypominająca szczura, sprawdza się znakomicie w kanałach, umożliwiając jego szczególnie ukształtowanym uszom podsłuchiwanie rozmów w całym mieście; nawet zanurzony wciąż może skupić słuch na rozmowie, mimo wielu dzielących go od niej podłóg i ścian.

Inna postać dysponuje potężnymi skrzydłami, umożliwiającymi szybowanie wysoko nad miastem, oglądanie dachów i dojrzenie każdego, kto przybywa do Valkarky lub ją opuszcza.

Postać składająca raporty jest bardzo mała, z wyglądu przypomina ludzkiego mężczyznę. Porasta ją długie brązowe futro zapewniające ciepło. Sam Hom zawsze mieszka w naszych kwaterach haizdanów, podczas gdy jego inne postaci krążą daleko. Wysunąwszy się z dziury, wdrapał się na krzesło dokładnie naprzeciw mego.

– Melduj, czym są zajęci inni haizdanowie! – poleciłem.

Podczas swoich pobytów w Valkarky ani razu nie natknąłem się tu na innego haizdana. W istocie minęło wiele lat, odkąd spotkałem

się z jednym z nich, Podróżując skrajem ludzkich terenów daleko na południowym wschodzie. Spędziliśmy razem kilka godzin, głównie wymieniając gładkie słówka – z natury Jesteśmy raczej skryci. Lecz każdy haizdan składa raport Homowi przed wyjazdem z miasta i miałem teraz dostęp do tych informacji.

– Oprócz ciebie w ciągu ostatnich trzydziestu lat miasto odwiedziło i raporty złożyło jedenastu magów haizdan – oznajmił Hom. – Bez wątpienia zainteresuje cię, że osiemnaście miesięcy temu Szorstkogon złożył, jak sam ocenia, ostatnią tu wizytę. Ma już niemal osiemset lat i obawia się, że jego moce zaczynają powoli słabnąć, Gdy zyska pewnośc, zamierza ze sobą skończyć.

Hom miał rację, zakładając, że zainteresują mnie wieści o Szorstkogonie. Ostatecznie to on szkolił mnie w czasie trzydziestoletniego nowicjatu, od którego zaczyna się nasze powołanie. Potem haizdan musi studiować i rozwijać się samotnie. Szorstkogon okazał się surowym, lecz sprawiedliwym mistrzem i zasmuciła mnie wieśc o tym, że jego moce słabną. Zwyczaj haizdanów nakazywał odebrać sobie wtedy życie. Wolimy śmierć niż powolny upadek.

Następnie Hom zaczął opisywać meldunki pozostałych dziesięciu magów. Gdy skończył, miałem już tego po dziurki w nosie i zażądałem informacji na temat Valkarky i jej mieszkańców.

– Co chciałbyś usłyszeć najpierw, panie – wieści czy plotki? – spytał Hom swym piskliwym głósikiem.

Wieści są zwykle dość przewidywalne – kolejne wariacje na temat wydarzeń, które powtarzają się w naszym mieście raz po raz przez stulecia. Na przykład tempo, w jakim rozrasta się Valkarky: bywają lata, gdy dzieje się to wolniej, co zawsze budzi obawy tych, którzy troskają się podobnymi sprawami. Prowadzimy też statystyki egzekucji więźniów – zazwyczaj przestępców. Mnie osobiście okrutnie one nudzą.

Lubię natomiast plotki: od czasu do czasu mają nawet swe korzenie w faktach.

– Powtórz mi najciekawsze plotki – polecilem i zauważyłem, że

Hom wygląda dość nędznie – futro miał matowe, splątane i poszarzałe. Zaczynał się starzeć, wkrótce trzeba go będzie wymienić.

– Najwięcej, panie, mówi się o tym, że niedaleko miasta spadł z nieba duży gwiazdny kamień. Rozgrzewając się podczas lotu w powietrzu, przybrał niezwykle fascynujący odcień szkarłatu, co sugeruje, iż w jego skład wchodzi ruda idealna do wykuwania kling. Wielu wypuściło się na poszukiwania.

Gwiazdne kamienie są bardzo cenne, lecz oceniłem, że szukanie go to robota głupiego. Najpewniej splonął nim dotarł do ziemi. Możliwe też, że mylono się co do jego barwy. Podobne niezwykle widowiskowe ogniste obiekty, często widuje się na niebie, lecz rzadko się je znajduje. Możliwe, że ten sam dostrzegłem na północy, nie zauważyłem w nim jednak ani śladu szkarłatu.

– Coś jeszcze? – spytałem.

– Krążą pogłoski, że w okolicy, w której spadł kamień, pojawiła się samotna purra. Została schwytana, lecz wielkim kosztem dla Oussy. Mówią, że stawiała opór i że co najmniej czterech zginęło.

To brzmiało bardzo ciekawie, ale mało prawdopodobnie. Oussa byli osobistą gwardią Triumwiratu, złożonego z trzech najpotężniejszych wysokich magów w mieście. Zabicie czterech elitarnych strażników przez jedną osobę było jeszcze mniej prawdopodobne niż mój własny wyczyn: pokonanie zabójcy Shaiksa. A przecież jestem haizdanem, nie samotną kobietą.

Nagle ogarnęła mnie ogromna ciekawość.

– Chciałbym obejrzeć jej zwłoki – oznajmiłem. – Czy mówią o tym, gdzie je znaleźć.

– Mówią, że ujęli ją żywcem i że trzymają ją w jednym z najbezpieczniejszych lochów Oussy.

– Żywcem?! – wykrzyknąłem. To brzmiało jeszcze bardziej nieprawdopodobnie. – Zbadaj to dokładniej – poleciłem. – Zamelduj, gdy tylko czegoś się dowiesz. Chcę wiedzieć, gdzie trzymają tę purrę.

Hom pomknął z powrotem do dziury, ja tymczasem zająłem się

przygotowaniami do bitwy z haggemiotem. Zacząłem od myślowych ćwiczeń, w których wyobrażałem sobie kroki wiodące do zwycięstwa. Najpierw umieściłem samego siebie na arenie; następnie oczyma duszy patrzyłem, jak trzy części haggemiota wypełzają kolejno z jamy. W całkowitym skupieniu nie tylko widziałem, ale też czułem smród tego stworu. Stopniowo uspokajałem oddech, wyostając obraz, zdołałem jednak tylko ukończyć wstępną sekwencję, osiągając pierwszy stopień koncentracji, gdy Hom znów się pojawił i ponownie zajął miejsce na krześle naprzeciwko.

– Mów! – rozkazałem. – Co odkryłeś?

– Obecnie mogę przenieść oba raporty z działu plotek do wieści. Oussa znaleźli gwiazdny kamień i sprowadzili go do miasta wraz z purrą. Nie wiadomo, gdzie przechowują go obecnie, purra natomiast została uwięziona w centralnej dzielnicy Yaksa, poziom trzynasty, cela czterdzieści dwa.

Był to jeden z najściślej strzeżonych kompleksów lochów w całym mieście, a celę czterdzieści dwa zazwyczaj przeznaczano dla najniebezpieczniejszych i najbardziej pomysłowych więźniów. Jakim cudem zwykła purra zasłużyła na taki zaszczyt?

Natychmiast poczułem przymus, by obejrzeć ją na własne oczy. Miałem znacznie więcej czasu, niż potrzebowałem na ukończenie przygotowań do bitwy, i mogło się to okazać miłą rozrywką. Odprawivszy szybko Homa, ruszyłem bezzwłocznie do centralnej dzielnicy Yaksa.

Ponieważ honor nakazywał mi stawić się na próbę walki, mogłem swobodnie poruszać się po mieście. Kiedy jednak dotrę do strzeżonej dzielnicy, z pewnością zostanę przesłuchany, może nawet aresztowany, jeśli nie posłucham ostrzeżeń i będę się upierał, by pójść dalej.

Zmalałem zatem do najmniejszych możliwych rozmiarów, a potem za pomocą silnej magii ukryłem się tak, że tylko najpotężniejsi obserwatorzy mogli mnie dostrzec. Jedynie najsilniejsi magowie i zabójcy zdołaliby mnie teraz zobaczyć.

Strażnicy bez wątpienia umieli przenikać zwykłe zaklęcia maskujące miejskich magów, ja jednak byłem haizdanem i na szczęście nie znali naszych metod.

Rozpocząłem schodzenie, poziom za poziomem. Z początku na korytarzach i skrzyżowaniach roilo się od Kobalosów. Wędrowałem przez wielobarwne targowiska, na których bogaci kupcy wystawiali swoje towary, kusząc jeszcze bogatszych klientów, podczas gdy inni mogli jedynie gapić się i marzyć. Trzy poziomy później ustąpiły one miejsca kramom z żywnością, na których naganiacze gotowali na wolnym ogniu krew, kości i wnętrności, wypełniając powietrze ostrym smrodem. Tu moim ulubionym miejscem były kadzie krwi, gdzie za cenę dwóch walkronów można było napić się do syta. Wystawiłem język, póki nie sięgnąłem najgęstszej, najbardziej lepkiej części rozkosznego napoju, a potem, z brzuchem pełnym po wręby, ruszyłem głębiej.

Po jakimś czasie zostawiłem za sobą tłumy Kobalosów; teraz natrafiałem tylko od czasu do czasu na samotnego strażnika i dzięki osłonie z łatwością ich wymijałem. Gdy dotarłem na poziom dwunasty, wokół poruszały się już tylko whoskory i inne podobne im stworzenia. W pewnym momencie dostrzegłem wielkiego stwora podobnego do robaka, który przyglądał mi się z wylotu ciemnego tunelu, jego pojedyncze, gigantyczne, przekrwione oko śledziło każdy mój ruch. Nie miałem pojęcia, co to za istota: był dla mnie czymś nieznanym, bez wątpienia owocem nowej magii stworzonej przez wysokich magów. Na moment zaniepokoił mnie fakt, iż mimo zaklęcia maskującego stworzenie mnie widziało. Potem jednak cofnęło się powoli w głąb tunelu, nie wykazując dalszego zainteresowania moimi działaniami.

Potrzebowałem niemal godziny, by przeniknąć na poziom trzynasty. Niecałe pięć minut później stałem przed celą numer czterdzieści dwa. Na ścianie ociekającego wilgocią korytarza migotały pochodnie. Miejsca tego nie zbudowano ze skoi – lochy zostały wyżłobione w warstwie skał głęboko pod miastem. Zewsząd dobiegały jęki, od czasu do czasu powietrze przecinał czyjś krzyk,

na dźwięk którego do ust napływała mi ślinka. Nagle ktoś zaczął błagać:

– Nie! Nie! – krzyczał żaloszny głos. – Nie rań mnie więcej! Przyznaję się! Zrobiłem wszystko, o co mnie oskarżacie, ale proszę, przestań, chciałbym...

Głos zaczął wrzeszczeć z bólu, co oznaczało, że tortury trwały dalej, bez wątpienia jeszcze okrutniejsze. Podobało mi się to, choć muszę przyznać, że sam nigdy nie mógłbym zostać katem i zajmować się torturowaniem słabszych. Zdecydowanie wolę zadawać ból w walce, sprawdzając swe umiejętności w starciu z odważnym, sprawnym przeciwnikiem.

Owe uroczę dźwięki dobiegały z cel, w których umieszczono wrogów Valkarky. Poddawano ich zasłużonym torturom. Z radością słuchałem krzyków bólu. Lecz z celi numer czterdzieści dwa nie dobiegał żaden dźwięk. Czyżby purra nie żyła? Bez wątpienia była zbyt słaba, by znieść zadawane jej przemyślnie męczarnie.

Prześliznąłem się pod drzwiami i przekonałem, że sprawy mają się zupełnie inaczej, niż przypuszczałem. Natychmiast pojąłem, że więźniarka jest jak najbardziej żywa. I więcej – mimo magii maskującej widziała mnie. Patrzyła na mnie z góry w sposób niepozostawiający cienia wątpliwości. Dostrzegłem także wyraźnie, iż uważała mnie za zwykłego insekta, którego mogłaby zmiażdżyć obcasem.

Oczywiście, nie zdołałaby tego zrobić, bo przybito ją do ściany ćwiekami ze stopu srebra, przesywającymi stopy i przeguby. Dodatkowo jej szyję okręcono srebrnym łańcuchem, mocno naciągniętym i przyczepionym do wielkiego haka tkwiącego w sklepieniu lochu. Nie wspominał nawet o tym, że wargi miała zaszyte srebrną nicią i nie mogła mówić. Wyczułem, że cierpi i zdziwiło mnie, że nawet nie jęknęła.

Nie miała na sobie spódnicy – zwykłego stroju purrai zarówno z miasta, jak i spoza niego. Rozdzieloną suknię przypięła ciasno do opinających uda spodni, wyżej nosiła krótki, brązowy kaftan



przewiązany u pasa. Urosłem tak, by stanąć przed nią twarzą w twarz i postanowiłem, że muszę pomówić z tą purrą. Bez wątpienia nie bez powodu zaszyli jej wargi i usuwając szwy sporo ryzykowałem, ale ciekawość okazała się silniejsza: chciałem wiedzieć więcej. Dobyłem sztyletu i ostrym czubkiem bardzo ostrożnie przeciąłem srebrną nić. Następnie wyrwałem ją szarpnięciem, tak że spuchnięte usta się otwarły.

To, co w nich zobaczyłem, zdumiało mnie: zęby miała spiłowane w szpic.

– Kim jesteś? – spytałem ostro.

I wtedy uśmiechnęła się do mnie. Nie był to uśmiech skrepowanej więźniarki, lecz grymas, który mógłby pojawić się na jej twarzy, gdybyśmy zamienili się rolami.

– Długo czekałam na twoją wizytę – oznajmiła, ignorując pytanie. – Dlaczego to tyle trwało?

– Czekaaś na mnie? – spytałem. – Jak to możliwe?

Jej twarz przybrała surowy, wyniosły wyraz – zupełnie niestosowny dla purry.

– Przywołałam cię do siebie dwie godziny temu, mały magu.

Co to za obłąd? Przez moment zabrakło mi słów.

I wtedy uśmiechnęła się bardzo szeroko, szczerząc szpiczaste zęby.

– Jestem Grimalkin – oznajmiła.

## **ROZDZIAŁ 15**

### **GRIMALKIN**

Patrzyłem na nią ze zdumieniem.

– Wymawiasz to imię, jakbym powinien je znać. Nigdy nie słyzałem o purrze zwanej Grimalkin. Twierdzisz, że mnie „przywołałaś”? Co to za niemądra gadanina?

– To prawda – odparła. – Kiedy odkryłam wszystko, co

musiałam o tobie wiedzieć, przywołałam cię magią za pomocą zaklęcia przymusu. Oto narzędzie twojej zagłady.

Lekkim ruchem brwi wskazała najdalszy koniec celi. Leżało tam jedno ze szcurzych ciał Homa. Oczy miało zamknięte, cienki ogon drgał spazmatycznie, jakby wstrząsały nim konwulsje.

– Nawet z zaszytymi ustami z łatwością przejęłam władzę nad tym niemądrym stworzeniem. Gdy przybyło mnie szukać, wyssałam z jego ciekawskiego umysłu całą potrzebną mi wiedzę. Potem z łatwością ściągnęłam cię tutaj. Wiem o tobie wszystko, magu, wiem, w jakich jesteś tarapatach. I jestem gotowa ci pomóc, ale w zamian będę potrzebowała trzech rzeczy.

– Pomóc? Nikomu nie możesz pomóc! A wkrótce zginiesz. Czterech członków Oussy straciło życie, próbując ująć cię zgodnie z prawem. Podpisano już twój wyrok śmierci. Bez wątpienia opóźnią egzekucję, by przedłużyć twój ból i dowiedzieć się o tobie jak najwięcej.

– Nie schwytali mnie zgodnie z prawem – odparowała purra. – Ukradli mi kawał należącej do mnie rudy, skonfiskowali też inne, ważniejsze rzeczy. By móc otrzymać moją pomoc, musisz je mi zwrócić.

Zatem purra faktycznie znalazła gwiazdny kamień: w takich przypadkach skarb przypadał znalazcy, lecz Oussa nie pogodziłoby się z tym, że samotny człowiek, zwłaszcza purra, która znalazła się tak blisko Valkarky, ma jakiegokolwiek prawa. Gwiazdny kamień to rzadkość, bardzo cenna i wielce poszukiwana. Wykuć z niej broń może jedynie najzręczniejszy z kowali, lecz jeśli uczyni to jak należy, klinga nigdy się nie stępi i nie da się jej złamać. Nawet gdyby jednak kamień nie wchodził w grę, purrę aresztowano by natychmiast i albo zjedzono, albo sprzedano w niewolę. Fakt, iż stawiała opór, oznaczał pewną śmierć.

Powinienem był ją zostawić jej losowi, przepełniała mnie jednak ogromna ciekawość i pragnąłem dowiedzieć się więcej. Zaimponowała mi też jej odwaga i umiejętności walki – zabiła przecież czterech z Oussy.

– Gdybym cię uwolnił, jak mogłabyś mi pomóc? – spytałem.

– Czekaj cię próba walki z istotą, którą nazywasz haggemiot. Nigdy dotąd go nie pokonano, toteż historia sugeruje, że wkrótce przegrasz i zginiesz...

Uniosłem dłoń w proteście, ona jednak mówiła dalej, odrobinę szybciej niż przedtem.

– Nie próbuj zaprzeczać. Wiem o tobie wszystko – informacje pochodzą z umysłu twego małego szpiega. Orientuję się w sytuacji i przemyślałam, co można zrobić. Mogłabym zająć miejsce jednej z trzech dziewcząt przywiązanych do pali na arenie – najbliższa mi wzrostem jest ta, którą zważają Nessa, dzięki twojemu szpiegom mam w głowie jej obraz. Przetnij mi więzy i daj nóż, tak jak zamierzałeś, a będę walczyć u twego boku. Dzięki temu haggemiot zginie, a tobie pozwolą opuścić miasto z całą trójką.

– To głupota – wstrząsnęło mną, jak łatwo wtargnęła do mojej głowy. – Nie wiem, czemu w ogóle tracę czas na rozmowy z tobą. Nawet gdybym zdołał uwolnić cię z tej celi, nie sądzisz, że zauważono by, że zamieniłaś się miejscami z małą Nessą?

Purra uśmiechnęła się, całe jej ciało jakby zamigotało, przez moment zakręciło mi się w głowie. A potem ujrzałem Nessę z rękami i stopami przybitymi srebrnymi kołkami i srebrnym łańcuchem ciasno okręconym wokół szyi.

– Teraz mi wierzysz? – spytała głosem małej Nessy, idealnie naśladując intonację i wszelkie niuanse. Szybko posłużyłem się magią, próbując przełamać złudzenie – bez powodzenia. Obraz Nessy nawet nie drgnął.

– Jak to robisz? – spytałem ostro. – Nie widziałaś przecież Nessy ani nie słyszałaś, jak mówi?

– W głowie kryją się nie tylko słowa – odparowała wiedźma. – Także obrazy i dźwięki – zaczerpnęłam wszystko, czego potrzebuję, z umysłu małego szpiega. Resztę znalazłam w twojej głowie podczas naszej rozmowy.

Rozgniewany, spróbowałem wśliznąć się w jej umysł. Zamierzałem zadać ból – tylko tyle, by krzyknęła. Ale nie mogłem

tego zrobić, natknąłem się na jakąś barierę – blokadę, której nie umiałem pokonać. Była silna.

– Wierzę, że istotnie mogłabyś wkroczyć na arenę w tym przebraniu i oszukać widzów – nawet wysokich magów – przyznałem niechętnie. – Ale czemu sądzisz, że walcząc obok mojego boku, zapewniłabyś mi zwycięstwo?

– Jestem Grimalkin, zabójczyni klanu Malkinów. Jestem wiedźmą, która posługuje się potężną magią, a co więcej przeszłam dogłębne szkolenie w sztukach walki. W razie konieczności sama mogłabym pokonać haggenniota.

Zaśmiałyby się w obliczu takiej arogancji, ale coś mnie powstrzymało. Nigdy nie słyszałem o klanie Malkinów ani o wiedźmie zabójczyni, a z purry promieniowała absolutna pewność siebie. Naprawdę wierzyła, że zdołałaby tego dokonać. I czyż nie zabiła czterech elitarnych strażników?

– Prawdziwym problemem byłoby wydostanie cię stąd i przemycenie do moich komnat przed próbą walki – wyjaśniłem. – Te lochy są bardzo dobrze zabezpieczone, ja sam zdołałem dotrzeć na ten poziom tylko dlatego, bo potrafię się zmniejszać, jak zresztą widziałas. Mogę prześliznąć się przez szczelinę albo szparę pod drzwiami. Czy ty to potrafisz?

Pokręciła głową i jej ciało znów zamigotało. Ponownie widziałem przed sobą purrę o szpiczastych zębach.

– Potrafię stworzyć złudzenie, ale brak mi umiejętności zmiany rozmiaru. Gdybyś jednak poluzował srebrny łańcuch wokół mojej szyi, sama załatwię resztę. W zamian będę potrzebowała od ciebie trzech rzeczy.

– Wymień je – rzuciłem.

– Po pierwsze, chcę odzyskać swoją broń. Mam dziesięć kling i parę specjalnych nożyczek. Potrzebuję też rzemieni i pochew, w których je trzymam. Po drugie potrzebny mi kawał gwiazdnej rudy, którą mi odebrano.

– Odzyskanie i zwrot twojej broni byłyby dostatecznie trudne, lecz zdobycie gwiazdneho kamienia to zadanie niemożliwe. Jest

bardzo cenny, z pewnością dobrze go pilnują.

Niemal na pewno złożyli je w Komnacie Łupów, najbezpieczniejszym skarbcu miasta.

– Chcę ją odzyskać. Należy do mnie!

– Purra nie ma prawa własności. Przestań stawiać niemądre żądania i zadowol się własną bronią.

– Magu – rzuciła drwiąco. – To właśnie kwestia własności sprawiła, że znalazłeś się w obecnym, niezwykle trudnym położeniu. Od twego sługi dowiedziałam się, jak zabiłeś wysokiego maga i zabójcę Shaiksa, by odzyskać należące do ciebie trzy dziewczyny. Wiem, że jesteś wspaniałym wojownikiem, dlatego traktuję cię z szacunkiem, którego odmawiam innym. Pochodzimy jednak z innych ras i kultur. W Pendle, gdzie mieszkam, nie istnieje niewolnictwo, ludzie do nikogo nie należą, a kobieta może dysponować własnym majątkiem. Patrzymy zatem na to samo z odmiennych perspektyw. Pogódź się zatem z moimi prawami, a ja pogodzę się z twoimi. A teraz trzecia rzecz, którą musisz mi dostarczyć. To duży skórzany wór, w którym kryje się coś bardzo niebezpiecznego. Z trzech rzeczy, których zwrotu wymagam, ta jest najważniejsza.

– W takim razie musisz mi powiedzieć, co dokładnie zawiera.

– Lepiej byłoby dla ciebie pozostać w niewiedzy, lecz widzę wnętrze twojej głowy, magu, i wiem, że twoją największą wadą jest ciekawość. To właśnie ją wykorzystałam, rzucając zaklęcie przymusu, wzywające cię tutaj. Nawet gdybym milczała i tak byś sprawdził. W worku tkwi głowa Złego, najpotężniejszej z istot Żyjących w Mroku.

Jej słowa mnie zdumiały. Nigdy nie słyszałem o niczym zwanym „Złym”. Nie rozumiałem też, co ma na myśli mówiąc „Mrok”. Oprócz tego świata istnieją krainy duchów, takie jak Askana, siedziba naszych bogów – lecz na temat kobaloskich i ludzkich dusz oraz tego, dokąd wędrują po śmierci, nic nie wiemy. Odchodziły w górę albo w dół i żadna nie powróciła, by opowiedzieć o swych doświadczeniach – choć większość uznawała, że lepiej

odejść w górę.

– Czym jest ów „Mrok”? – spytałem.

– To kraina demonów i bogów – a także ich sług po śmierci. To miejsce, do którego powracają czarownice.

– Czy w worku tkwi głowa boga?

– Tak, można go opisać jako boga. Istnieje wielu Starych Bogów, a on, kiedy jest w całości, przewyższa potęgą ich wszystkich razem wziętych. Reszta jego ciała spoczywa uwięziona daleko stąd. Głowa musi pozostać osobno – inaczej sługi zdołają wskrzesić Złego. A jego zemsta byłaby straszna.

– Nic nie wiem o waszych bogach – poinformowałem purrę. – My sami mamy wielu. Moim ulubieńcem jest Cougis, bóg o psiej głowie, lecz wielu z mego ludu oddaje cześć Olkiemu, bogu kobalaskich kowali, który ma cztery żelazne ręce i zęby z mosiądzu. Ale najpotężniejszy z naszych bogów to Talkus, które to imię oznacza Boga Który Dopiero Ma Nadejść. Jeszcze się nie urodził i wszyscy niecierpliwie wyczekujemy jego przybycia.

Purra imieniem Grimalkin uśmiechnęła się do mnie, wyszczerzając ostre zęby.

– Wy macie swoje prawdy, my mamy swoje. Nasze wierzenia bardzo się różnią – oznajmiła. – Uszanuję twoją wiarę i w zamian proszę, byś ty uszanował moją. Głowa w worku musi do mnie wrócić. To najważniejsze ze wszystkiego. Przede wszystkim jednak musisz pozostawić ją w worze. Jej wyjęcie byłoby niezwykle niebezpieczne. Jeśli pragniesz przeżyć, będziesz musiał poskromić swoją ciekawość.

– Najpierw muszę ją odnaleźć – rzekłem i wskazałem wstrząsanego konwulsjami szczura. – Uwolnij go od swej magii, bym mógł znaleźć worek i inne potrzebne ci przedmioty.

Purra skinęła głową. Hom nagle przestał dygotać i kiwając wąsikami, stanął na szcurzych łapkach. Szybko udzieliłem mu instrukcji:

– Muszę poznać dokładne miejsce przechowywania przedmiotów odebranych przez Ousę tej oto purre. Najważniejszy z nich jest

duży, skórzany worek. Znajdź też gwiazdny kamień, a także broń, rzemienie i pasujące pochwy. Gdy tylko wypełnisz zadanie, zamelduj mi o tym bezzwłocznie.

Hom odwrócił się i z gniewnym machnięciem ogona wybiegł z lochu.

– Ile to potrwa? – spytała purra.

– Znacznie mniej, niż potrzeba na zdobycie tego czego żądasz. On jednak nie wróci tutaj – choć dysponuje bardzo czułym słuchem i wzrokiem, w tej postaci nie potrafi mówić. Muszę zatem odejść i wrócić do swych komnat, by wysłuchać meldunku od innej jego postaci.

– Przed odejściem wyjaśnijmy sobie warunki umowy – rzuciła purra.

Spojrzałem na nią ze zdumieniem.

– Wiem, z jaką powagą podchodzicie do umów i handlu – podjęła. – Jeśli dołożysz wszelkich starań, by zwrócić mi skradzione przedmioty i umożliwisz uwolnienie się, w zamian pomogę ci zabić haggenniota. Co więcej po odejściu z tego miejsca w żaden sposób nie przeszkodzę ci w twoich dalszych planach. Umowa stoi?

– Potrzebuję czasu, by się zastanowić. Rozważę tę ewentualność.

– Nie mamy dużo czasu! Przed odejściem poluzuj pętlę wokół mojej szyi, zrób to teraz!

Pokręciłem głową.

– Nie, jeszcze nie mogę. Najpierw spróbuję odzyskać odebrane ci przedmioty. Jeśli mi się uda, wrócę i zrobię, o co prosisz.

Na razie nie ufałem purrze. Musiałem dokładnie przeanalizować całą sytuację. A także, tak jak powiedziałem, chciałem sprawdzić, czy uda mi się odzyskać jej własność i wypełnić swoją część umowy.

Czoło purry zmarszczyło się gniewnie, ja jednak bez słowa zmałałem i prześliznąłem się pod drzwiami.

# ROZDZIAŁ 16

## MARTWA WIEDZMA

Możliwie najszybciej wróciłem do swoich komnat i tam czekałem, aż Hom zgłosi się z meldunkiem. Nagle ogarnęło mnie przejmujące zwątpienie. Wcześniej propozycja złożona przez purrę o ostrych zębach brzmiała całkiem rozsądnie, lecz teraz, gdy znalazłem się daleko, poczułem się jak głupiec.

Jak mogłem negocjować ze zwykłą ludzką kobietą? Czy sprawił to skaiium? Czułem to samo, gdy rozmawiałem z Nessą, a ona przycisnęła czoło do mojego. Pozostając pod jej wpływem, nieostrożnie spróbowałem uratować jej najmłodszą siostrę, zabijając wysokiego maga i zabójcę Shaiksa, co doprowadziło mnie do obecnej sytuacji. Teraz to samo działo się z ową dziwną purrą.

A może posłużyła się magią, by zapanować nad moimi myślami i czynami? Ostatecznie nic nie wiedziałem na temat wiedźmy i jej czarów: zwykłe środki obronne w jej przypadku mogły nie zadziałać.

Odetchnąłem zatem głęboko i zacząłem koncentrować się na problemie, odsuwając na bok lęki i próbując logicznie ocenić sytuację. Nie wątpiłem, iż czarownica potrafi stworzyć magiczne złudzenie dość silne, by móc udąć Nessę. Byłem gotów uwolnić dziewczynę, aby na chwilę odwrócić uwagę haggemiota – dlaczego zatem nie zrobić tego samego z tą purrą? Była zabójczynią klanu czarownic, a fakt, iż pokonała czterech z Oussy, dowodził, że mam do czynienia z bardzo groźną wojowniczką.

Wiedziałem też, że zdołam ponownie wtargnąć niepostrzeżenie do lochu i poluzować łańcuch na jej szyi – tylko o to prosiła. Nie rozumiałem, jak chciała uciec i dotrzeć do moich komnat, by towarzyszyć mi na arenę, ale to jej problem. Jeśli jej się nie uda, po prostu wezmę trzy siostry zgodnie z pierwotnym planem.



Homunkulus wynurzył się ze swej dziury i wgramolił na krzesło.

– Złóż raport! – poleciłem.

– Broń i gwiazdny kamień złożono w Komnacie Łupów Triumwiratu – oznajmił Hom.

Komnata Łupów to stosowna nazwa – tak jak się spodziewałem, tam właśnie trafiły przedmioty. W istocie był to skarbiec Triumwiratu, miejsce gdzie przechowywano skonfiskowane towary o szczególnym znaczeniu bądź wartości. Była dobrze strzeżona – zbyt dobrze, praktycznie była niedostępna. Niemożliwe, abym wydostał z niej pierwsze dwa przedmioty, których domagała się czarownica.

– Czy zdołałeś odnaleźć skórzany wór? – spytałem.

– Pozbyto się go – wyrzucono do jednego ze zsypów.

– Jesteś pewien?

Jak coś, do czego szpiczastozęba purra przykładała tak wielką wagę, mogło zostać uznane za bezwartościowe?

– Tak, wór otwarto i stwierdzono, że tkwi w nim obcięta głowa w tak zaawansowanym stanie rozkładu, że szybko się jej pozbyli.

– Podaj mi położenie zsypu! – zażądałem.

Gnijąca głowa to bez wątpienia niezwykle odrażające, cuchnące paskudztwo, lecz purra uważała ją za swą najważniejszą własność. Może kiedy wyjaśnię, że nie da się dotrzeć do pozostałych, głowa jej wystarczy. Jej odzyskanie nie powinno nastęrczać zbyt wielkich problemów.

– Północna dzielnica Boktar, poziom trzynasty, zsypano sto siedemdziesiąt dziewięć – odparł Hom.

– Udam się tam natychmiast. Niech jedno z twoich ciał spotka mnie tam i zaprowadzi wprost do worka.

Nie potrzebowałem dużo czasu, by dotrzeć do zsypano sto siedemdziesiąt dziewięć, działającego z pełną przepustowością. Z góry wyglądał jak wielki zapadnięty półcylinder z owalną dziurą pośrodku. Z wiszących nad nim rur wylatywały najróżniejsze odpadki, trafiając wprost do rozdziawionego wylotu cuchnącego

zsyphu: głównie kości, śluz, flaki i ekskrementy.

Białą skoję pokrywał tu żółtobrazowy nalot z plamami zieleni; cieszyłem się, że nie muszę zsuwać się w głąb samego zsyphu, bo robotnicy z obsługi przygotowali cały system drabin. Oprócz sprawdzania rur i pilnowania, by śmieci płynęły bez przeszkód, często musieli schodzić pod wylot zsyphu i rozrzucać łopatami oraz wywozić taczkami odpadki. W przeciwnym razie rosnący kopiec w końcu zatkałby rurę.

Szybko zsunałem się po serii drabin. Patrząc w dół, widziałem tylko jednego, samotnego Kobalosa, pchającego wyładowany wózek i oddalającego się od zsyphu. Robotnicy z pewnością zameldowaliby o obecności haizdana, wołałem zatem, by mnie nie zauważyli. Przy każdym zsyphie pracowało do tuzina Kobalosów, lecz każdy musiał wywozić śmieci daleko i jeśli mi się poszczęści, nikt mnie nie dostrzeże. Postanowiłem zatem oszczędzać magię i nie użyłem zaklęcia maskującego.

Hom czekał posłusznie u stóp drabiny, machając energicznie cienkim, szcurzym ogonem. Nie czekając na polecenie, natychmiast odbiegł, a ja podążyłem za nim, drepcząc w błocie i brudząc buty. Wkrótce dotarliśmy do celu. Znalezienie go okazało się łatwe – problem w tym, że ktoś trafił tam przed nami. W dali dostrzegłem dwie postaci, jedna z nich trzymała worek. Pogrążone w rozmowie z początku nie dostrzegły, że się zbliżam. Kiedy jednak znalazłem się dwadzieścia kroków od nich, postać z workiem obróciła się ku mnie.

Ku memu zdumieniu odkryłem, że to purra, lecz nie pochodząca z Valkarky – nieznajoma. W odróżnieniu od szpiczastozębej nosiła spódnicę sięgającą kostek i brudną kurtkę z lisiego futra, zapiętą pod szyją. Była boso, między palcami przelewał jej się szlam, twarz wykrzywiał nienawistny grymas.

Zastanawiałem się, czy to nie współniczki Grimalkin – inne ludzkie wiedźmy. Jeśli tak, czy dysponują podobną magią i umiejętnością walki?

– Rzuć worek i odejdz stąd – poleciłem. – Nie macie czego

szukać w naszym mieście, ale pozwolę wam odejść z życiem.

Druga purra stała nieco dalej, nie widziałem jej wyraźnie, lecz usłyszałem, jak na te słowa wybucha chichotem.

Blizsza purra rzuciła na bok worek, dobyła miecza i ruszyła ku mnie ze zdecydowaną miną. Zaczęła mamrotać pod nosem i pojąłem, że to istotnie ludzka wiedźma, która próbuje użyć przeciwko mnie magii. Po paru sekundach jej postać uległa dramatycznej przemianie. Język wysunął się z ust na odległość łokcia, rozdwojony jak u węża. Teraz miała twarz bestii, wielkie kły sterczące spod górnej wargi niemal sięgały podbródka, włosy zamieniły się w stado wijących się węży.

Nie byłem pewien, czemu miała służyć ta przemiana. Może miała odwrócić moją uwagę? W głębi ducha nie wątpiłem, że czarownica stała się nieco brzydsza niż wcześniej, ale w żaden sposób nie wpłynęło to na moją koncentrację.

Cofnąłem się o krok, skupiłem umysł i nim nóż znalazł się w zasięgu mojego ciała, dobyłem szabli i jednym cięciem odrąbałem wiedźmie głowę. Runęła na ziemię, z kikuta między ramionami tryskała krew. Kopniakiem odrzuciłem głowę na bok, szykując się do starcia z drugą wiedźmą.

Ta zbliżyła się powoli, znów chichotała, jakby całe to starcie niezwykle ją rozbawiło.

– Mogę odejść z życiem? – wychrypiała. – A jakież to miałoby być życie?

Przez moment nie zrozumiałem, teraz jednak znalazła się bliżej, niecałe dziesięć kroków ode mnie i poczułem odór ziemi, zgnilizny i martwego ciała. Jej splątane włosy pokrywało zaschnięte błoto, widziałem wijące się w nich larwy i robaki. Potem coś poruszyło się i powoli wysunęło z jej lewego ucha. To była tłusta, szara dżdżownica.

Skupiłem na niej słuch i skoncentrowałem się: wiedźma rzeziła cicho, lecz nie oddychała w żaden naturalny sposób, a jej serce nie biło. Mogło to oznaczać tylko jedno. Rzeczywiście nie miała w sobie życia. Już była martwa.

Zaatakowała, biegnąc wprost ku mnie – wyciągnęła rękę, rozcapierzając szpony, gotowa rozszarpać mi ciało. Jestem szybki, ale martwa wiedźma okazała się szybsza. Jej nagły atak mnie zaskoczył, szpony prawej dłoni jedynie o włos chybiły moje oko.

Lewa ręka natomiast nie chybiła. Zacisnęła się mocno na moim przegubie. Próbowałem się uwolnić, ale jej uścisk jeszcze się wzmógł, nigdy dotąd nie miałem do czynienia z podobną siłą. Wolną ręką rąbnąłem ją w twarz, ale nawet się nie wzdrygnęła. Jej palce przypominały zaciskającą się metalową obręcz przecinającą ciało, by zmiażdżyć kość. Szabla wypadła z mej odrętwiałej dłoni, zanurzając się w błocie.

## **ROZDZIAŁ 17**

### **UMOWA STOI?**

Jako mag przez wiele lat studiowałem okultyzm. Nigdy jednak nie zetknąłem się z istotami kierującymi martwym w gruncie rzeczy ciałem. W tym momencie pojąłem, jak wielki jest świat i jak wiele muszę się jeszcze nauczyć. My, Kobalosi, od wieków walczymy z ludźmi, nadal jednak pozostają znacznie liczniejsi od nas. Szczęśliwie dla nas, są podzieleni na wiele skłóconych ze sobą królestw. Nie mamy szczególnego pojęcia o ludziach którzy w odległych krainach posługują się magią. Nic zatem nie wiedziałem o czarownicach i ich mocach. Jak mogłem zabić coś, co już nie żyje?

Wolną ręką dobyłem sztyletu i wraziłem w szyję wiedźmy. Nic to nie dało, jej szpony znów pomknęły ku mej twarzy. Obróciłem się, wciąż przytrzymywany przez czarownicę, nasze ciała napięły się.

I wtedy przywołałem swoją logikę. Ciałem mocno szybkim łukiem, klinga wbiła się w przegub wiedźmy, odrąbując dłoń od reszty ciała. Czarownica runęła w błądź, pozostawiając za sobą lewą dłoń, wciąż zaciśniętą wokół mojej. Jednak po chwili ręka

zaczęła drżeć i powoli zwolniła uchwyt: wystarczyła chwila, abym oderwał ją od siebie i odrzucił na bok. Martwa wiedźma tymczasem dźwignęła się z ziemi, ja jednak miałem już w lewej dłoni szablę i byłem gotów.

Nie miałem wyboru, musiałem porąbać ją na kawałki. Jak inaczej zdołałbym odparować jej atak? Wkrótce nie miała już rąk ani nóg i nie mogła nawet pełzać. Z ran nie płynęła krew – jedynie odrobina ohydnej, czarnej cieczy. Na wszelki wypadek odciąłem jej też głowę i uniosłem za włosy. Jej oczy patrzyły na mnie z furją, wargi wygięły się, jakby chciała coś powiedzieć. Z odrazą cisnąłem głowę, jak najdalej zdołałem. Potem podniosłem skórzany wór, zabrałem szablę, wytarłem o tors poćwiartowanej czarownicy i ruszyłem w stronę drabiny. Hom dreptał tuż za mną.

\*

Wkrótce znalazłem się bezpiecznie w swoich pokojach. Najpierw sprawdziłem, co u trzech sióstr. Spały, przytulone do siebie.

Następnie zbadałem worek i zważyłem go ostrożnie w dłoniach. Był wyjątkowo duży. Pamiętałem ostrzeżenie wiedźmy o szpiczastych zębach, ale byłem ciekaw widoku owej głowy – należącej do najpotężniejszego z ich bogów. Poza tym, mimo meldunku Homa, głowa wcale nie cuchnęła. Rozwiązałem zatem sznurek i sięgnąłem do środka.

Poczułem pod palcami coś ostrego, coś z kości – dwa spiralne przedmioty. Zajrzałem do środka. To były rogi. Ich bóg miał rogi. Jeden z naszych rogatych bogów nosi imię Unktus, to jednak pomniejsze bóstwo, czczone jedynie przez najnędzniejszych robotników z miasta. Wyciągnąłem głowę z wora, położyłem na krześle naprzeciwko i obejrzałem uważnie.

Nic dziwnego, że wybrali go na przywódcę swych bogów. Wyglądał znacznie bardziej imponująco niż wizerunki Unktusa w grotach wyznawców. Nie dostrzegłem ani śladu rozkładu, a rogi przypominały z wyglądu baranie. Mimo podobieństwa do ludzkich istot, właściciel głowy był kiedyś z pewnością wyniosły i przystojny, został jednak okrutnie okaleczony: brakowało mu jednego oka,

drugie zaszyto, usta wypchano kolczastymi gałązkami i pokrzywą.

Zaspokoiwszy ciekawość, już miałem schować głowę do worka, gdy zaszyte powieki drgnęły. Natychmiast usłyszałem niski jęk; dźwięk nie dochodził z głowy, lecz z podłogi pod krzesłem. To dziwne – czyżby głowa nadal zachowała świadomość? Może też esencja boga nie kryła się jedynie w samej głowie? Niektóre istoty mają rozproszoną świadomość sięgającą daleko poza własne ciało.

Pokrzywy i ciernie sprawiały, że usta nie mogły się zamknąć, zacząłem je zatem wyciągać, upuszczając na podłogę pod krzesłem. Wówczas dostrzegłem kolejne ślady przemocy: zmiażdżone zęby, po których pozostały tylko poźółkłe pieńki. Gdy wyszarpnąłem ostatnie kolczaste gałązki, usłyszałem kolejny jęk. Tym razem dobiegał z ust, nie z posadzki.

Szczęka poruszyła się, wargi zadrżały. Z początku uleciało z nich tylko westchnienie i ochrypy jęk, ale potem głowa przemówiła jasno i wyraźnie:

– Wybaczam ci to, co uczyniłeś moim sługom. To zrozumiałe, były intruzami w twym mieście. Teraz jednak zrób, jak każę, a twoja nagroda przekroczy najśmielsze wyobrażenia. Nie posłuchasz – a zadam ci ból trwający całą wieczność!

Odetchnąłem głęboko, by się uspokoić, i rozważyłem sytuację. Być może wiedźma miała rację i postąpiłem niemądrze, otwierając worek. Z pewnością nie myliła się co do mojej ciekawości. Stanowiła część mojej osoby. Czasami trzeba stawić czoło niebezpieczeństwu, aby zdobyć wiedzę. Wiedziałem, że muszę być dzielny i nie poddać się okaleczonemu bogu.

– Nikogo nie jesteś w stanie nagrodzić – poinformowałem głowę. – Słyszałem, że byłeś kiedyś potężnym bogiem, teraz jednak jesteś bezradny. To musi być trudne dla kogoś tak wyniosłego, upaść tak nisko.

A potem, nim okaleczony bóg mógł rzucić kolejną próżną groźbę, wepchnąłem pokrzywy i gałązki z powrotem w jego usta i ukryłem głowę w worku.

\*

Raz jeszcze odwiedziłem centralną dzielnicę Yaksa, poziom trzynasty, celę czterdzieści dwa.

Skurczyłem się do najmniejszych możliwych rozmiarów i prześliznąłem pod drzwiami lochu. Spojrzałem w górę i ujrzałem wpatrzoną we mnie gniewnie ludzką czarownicę, po czym szybko urosłem tak, byśmy mogli spojrzeć sobie w oczy.

– Czy odzyskałeś moją własność? – spytała chłodno.

– Mam skórzany wór i odciętą głowę twojego boga – oznajmiłem. – Czeka w moich komnatach. Wiem też, gdzie przechowują twoje klingi i gwiazdny kamień, ale będziesz musiała poradzić sobie bez nich. Złożono je w najbezpieczniejszym skarbcu miasta. Te jednak – ułożyłem na posadzce przed nią dwa z moich własnych sztyletów – posłużą ci równie dobrze.

– Umowa stoi? – spytała.

– Tak, umowa stoi. Masz moje słowo.

W ten sposób zawarliśmy układ i ucieszyło mnie to. Walcząc u boku czarownicy, miałem realną szansę zabicia haggenniota. Wcześniej jednak musieliśmy pokonać wiele przeszkód.

– Cóż, magu, dziękuję ci za wypożyczenie sztyletów i za to, że odzyskałeś głowę – to jest najważniejsze. Musisz jeszcze poluzować łańcuch wokół mej szyi.

– Mogę uczynić więcej.

I uwolniłem ją z łańcucha, tak że teraz więziły ją tylko cztery srebrne ćwieki. Uśmiechnęła się, szczerząc szpiczaste zęby.

– Dziękuję – powiedziała. – Teraz wymagam już tylko jednego: przewodnika, który zaprowadzi mnie do reszty moich przedmiotów. Przyślij mi swojego wścibskiego szczura.

– Pozbądź się takich myśli! – rzuciłem gniewnie. – Twoją własność złożono w Komnacie Łupów Triumwiratu, wszelkie próby przeniknięcia do skarbcza zakończą się twoją śmiercią.

– Triumwirat, to brzmi bardzo wspaniale. Cóż to takiego?

– To ciało rządzące Valkarky, złożone z trzech najpotężniejszych wysokich magów w mieście.

– Bez wątplenia gdyby przytrafiło im się coś złego, z łatwością

znajdą się zastępcy. Nie chciałabym, by tak piękne miasto pozostawało bez prawowitej władzy – rzekła tonem ociekającym ironią. – Przyślij mi swojego szczurka. Zrobisz to? Wówczas stanę u twego boku na arenie. A teraz idź! Mądrze będzie znaleźć się z dala od lochu, nim ucieknę.

Rozgniewany jej bezczelnością, zmałałem i opuściłem celę.

\*

Po powrocie do swej kwatery nadal kipiałem gniewem. Cóż za głupia niewiasta! Lecz w miarę zbliżania się pory pojedynku, gniew zastępowała desperacja. Przywołałem zatem Homa i poleciłem, by posłał jedno ze swych szczurzych wcieleń, aby poprowadziło czarownicę.

Z pewnością na nic się to nie zda. Nie wiedziałem nawet, jak mogłaby uwolnić się od srebrnych ćwieków, a co dopiero dostać do Komnaty Łupów.

Urosłem zatem do swych ulubionych rozmiarów do walki, przewyższając o głowę Nessę, i zacząłem się szykować. Najpierw wyszczotkowałem długi, gruby, czarny płaszcz – zadania tego nie powierzyłbym słudze – i wypolerowałem trzynaście kościanych guzików. Szablę wsunąłem za pas, moje dwa ulubione, świeżo naostrzone sztylety tkwiły w pochwach na piersi. Trzeci ukryłem w kieszeni płaszcza.

Po jakiejś półgodzinie homunkulus wyśliznął się z dziury i wdrapał na krzesło naprzeciw mnie. Był nieco zdyszany, jego twarz poczerwieniała z podniecenia.

– Przynoszę wieści! Purra uciekła i przełamała obronę Komnaty Łupów! Jeden z Triumwiratu nie żyje!

Spojrzałem na Homa ze zdumieniem. Jakim cudem udało jej się coś takiego?

– Gdzie jest teraz wiedźma? – spytałem.

– Zniknęła, panie. Morderczyni uciekła z Valkarky i kieruje się na południe. Posłano za nią duży oddział Oussy, mają rozkaz schwytać ją szybko i zabić powoli.

Znów ogarnął mnie gniew. Bez wątpienia od początku



planowała ucieczkę. Wykorzystała mnie, byłem głupcem, że jej zaufałem. Ale dlaczego nie zabrała ze sobą głowy rogatego boga? Twierdziła, że jest dla niej ważna. Najwyraźniej i tutaj skłamała.

Uznałem, że już pora pójść obudzić Nessę i jej siostry. Za niecałą godzinę mieliśmy stawić czoło zębom i szponom haggenniota.

Gdy wyszedłem na korytarz pomiędzy dwoma pokojami, nagle wyczułem zagrożenie i sięgnąłem po szablę.

– Schowaj swą klingę, magu – rzekł znajomy głos. – Zachowaj ją na arenę!

Wiedźma zabójczyni wyłoniła się z cieni i uśmiechnęła szeroko, wyszczerzając komplet szpiczastych zębów. Skórzane rzemienie przecinały jej ciało, w doczepionych do nich pochwach tkwiły klingi.

– Gdzie mój worek? – spytała.

– Jest bezpieczny – odparłem.

– Bezpieczny? Nic w tym mieście nie jest bezpieczne. Otworzyłam z łatwością wasz najlepiej strzeżony skarbiec i zabrałam, co moje. To, co zrobiłam, inni mogą naśladować. Mam ludzkich wrogów – wiedźmy i magów służących Złemu. To tylko kwestia czasu, nim podążą tu za mną.

– Dwie czarownice już tu były. Kiedy się na nie natknąłem, miały ze sobą wór. Zabiłem żywą i posiekałem martwą na sześć kawałków. W tej chwili nie jest jej zbyt wygodnie i nam nie zagraża.

– W takim razie dobrze się spisałeś, magu. Ale zjawiają się inni. Nigdy nie ustaną w wysiłkach. Pokaż mi worek.

Zaprowadziłem ją do mojej komnaty i wręczyłem skórzany wór. Otworzyła go szybko, zajrzała do środka i powęszyła trzy razy. Nie wyciągnęła głowy boga.

– A teraz zostaw mnie samą na parę chwil. Muszę go ukryć przed wścibskimi oczami.

Jej słowa mnie uraziły. Czyż nie dobiliśmy targu? Czyż nie byliśmy teraz sojusznikami? Zapomniałem jednak o urazie – w komnacie stała jedynie sofa, dwa krzesła i stół. Wiedźma w żaden

sposób nie zdołałaby ukryć worka, chyba że za pomocą magii. Zrobiłem, jak prosiła, i wróciłem po pięciu minutach.

– Spróbuj go znaleźć – rzekła miękko.

Spróbowałem szybko, lecz bez powodzenia, posługując się własną magią. Nie oznaczało to, że po dłuższym czasie nie mógłbym użyć więcej i odkryć jego położenia. Potężne czary wiedźmy dobrze go jednak zamaskowały. Zaimponowała mi.

– Niełatwo byłoby go znaleźć – przyznałem. – Nie spodziewałem się, że jeszcze cię zobaczę, sądziłem, że mnie oszukałaś. Dostałem raport, że uciekłaś z miasta i że Oussa cię ściga.

– Zawarliśmy umowę, a podobnie jak ty, zawsze dotrzymuję słowa. Obiecałam ci pomoc na arenie i owszem, stanę do walki u twego boku. Łatwo było zostawić fałszywy ślad. A teraz do rzeczy: kiedy mamy walczyć z haggemiotem?

– Za niecałą godzinę. Musimy uprzedzić najstarszą z sióstr, że ją zastąpisz.

– Tak, chciałabym porozmawiać z całą trójką – jesteśmy ludźmi, obcymi w tym mieście. Pragnę dodać im otuchy i zapewnić, że wszystko będzie dobrze, muszę zatem pomówić z nimi na osobności.

– Jak sobie życzysz. Zwyczaj nakazuje trzymać purrai w osobnych pokojach, lecz zrobiłem wyjątek przez wzgląd na niebezpieczeństwo, któremu wkrótce stawimy razem czoło, i pozwoliłem im zostać razem. Chodź, zaprowadzę cię do nich.

## **ROZDZIAŁ 18**

### **BARDZO CIEKAWY PYTANIE *NESSA***

Staralam się pocieszyć Susan i Bryony, nadal jednak pochlipywały ze strachu. Minęło sporo czasu, nim zdołałam zebrać się na odwagę i wyjaśnić im, co będzie je czekać na arenie. Sama miałam ochotę się rozplakać, ale co by to dało? Zagryzłam zatem

mocno dolną wargę, by powstrzymać jej drzenie, i powiedziałam to, co trzeba było powiedzieć.

– Kiedy się już tam znajdziemy, przywiążą nas do pali – zaczęłam.

Lepiej było uprzedzić je z góry, by mogły się przygotować.

– Co ty mówisz? Przywiążą nas do pali? – Na ślicznej twarzy Susan odbił się nagły niepokój. – A widownia pełna tych bestii będzie się nam przyglądać?

Przytaknęłam.

– Taki tu mają zwyczaj. Lepiej będzie zamknąć oczy, żebyście nie widziały, co się wydarzy. Ale nie potrwa to długo – Wijec szybko zabije swoich wrogów. Widziałyście przecież, jak walczy. Kiedy skończy, odetną was i wkrótce ruszymy w drogę do naszej ciotki i wuja, wszystko będzie dobrze, uznajcie, że to tylko bardzo zły sen.

– Nie będzie dobrze, jeśli nie zostaniesz z nami, Nesso – wtrąciła Bryony głosem drżącym ze wzruszenia.

– Możemy tylko mieć nadzieję, że pewnego dnia odzyskam wolność i będę mogła do was wrócić – odparłam, usilnie starając się przemawiać pewnym sobie głosem. – Znajdę sposób, żebyśmy znów mogli być razem, nie bój się.

Mimo odważnych słów obawiałam się, że wkrótce wszystkie zginiemy. Nawet jeśli jakimś cudem przeżyjemy arenę, w domu ciotki i wuja nie znajdę bezpiecznej przystani. Potwór sprzeda mnie na targu niewolników. Oczywiście, jeśli wcześniej sam mnie nie zabije: widziałam, jak patrzył na naszą trójkę; coraz trudniej przychodziło mu powstrzymać się przed zatopieniem kłów w naszych gardłach.

Usłyszałam kroki i wszystkie obróciłyśmy się ku drzwiom. Do środka wszedł Wijec, nie był jednak sam. Ku memu zdumieniu towarzyszyła mu ludzka kobieta, wysoka i groźna: jej ciało przecinały krzyżujące się rzemienie, na których wisiały pochwy z nożami; rozciętą spódnicę przypięła pasami do ud. Czy to kolejna niebezpieczna niewolnica, taka jak te, które napotkałyśmy w

wieży? I co tu robi? Dlaczego Wijec pozwolił jej do nas przyjść?

Już od progu wyglądała naprawdę okropnie, a potem uśmiechnęła się i ujrzałam okrutne usta, pełne ostrych, szpiczastych zębów. Zaskoczona i wystraszona, cofnęłam się o krok. Susan i Bryony schroniły się za moimi plecami.

– To jest Grimalkin, przyszła nam pomóc – oznajmił Wijec. – To czarownica i jedna z waszego ludu.

Odszedł bez dalszych komentarzy i zostałyśmy same z kobietą, która przez parę chwil jedynie patrzyła mi w oczy. Czy potwór mówił prawdę? Czy ta dziwna nieznajoma naprawdę zamierzała nam pomóc? A jeśli tak, to w jaki sposób?

Wskazała ręką podłogę.

– Usiądźmy i porozmawiajmy – poleciła. – Mamy wiele do omówienia.

Po co tu przyszła? O czym niby miałyśmy rozmawiać z tą groźną kobietą?

W pokoju stało pięć krzeseł, ona jednak usiadła na posadzce krzyżując nogi, po czym spojrzała na nas i skinęła ręką.

– Nie mamy wiele czasu, siadajcie!

Jej ton zabrzmiał rozkazująco – wyglądała na kogoś, kto przywykł do posłuchu. Usiadłyśmy więc na podłodze naprzeciw niej, Susan zaczęła cicho płakać, ale kobieta nie przejęła się tym.

– Opowiedz mi, co się wydarzyło i jak zostałyście własnością Wijca – zażądała, wbijając we mnie wzrok. – A także na co liczycie w przyszłości.

Zrobiłam, jak kazała, poczynając od śmierci mojego ojca i umowy, którą zawarł z Wijcem.

– Masz zostać sprzedana na targu niewolników, ale twoje dwie siostry odejdą wolno? Co o tym myślisz?

– To lepsze, niż gdybyśmy miały wszystkie zginąć – odparłam. – Ale wolałabym dołączyć do nich i zamieszkać w domu ciotki i wuja. Życie niewolnicy jest brutalne, widziałam rany, jakie zadają im bestie.

– Teraz opowiedz mi o podróży tutaj.

Podczas gdy siostry słuchały w milczeniu, ja zrelacjonowałam dokładnie odwiedzin w wieży i to, jak uciekliśmy. Po krótkim opisie walki Wijca z koniostworem, opisałam jej nasze przerażenie po przybyciu do Valkarky.

– Bez wątpienia ów Kobalos zwany Wijcem, to potężny wojownik – oznajmiła czarownica. – Będę walczyć u jego boku na arenie, a potem odejdziecie wolno z miasta.

– Pozwolą na to? – zdumiałam się.

– Tym razem niewiedza z pewnością im zaszkodzi – odrzekła z ponurym uśmiechem. – Nesso, zajmę twoje miejsce na arenie.

Otworzyłam usta, nim jednak zdołałam wypowiedzieć choć słowo, powietrze wokół niej zamigotało i ciało oraz twarz czarownicy rozmazały się dziwnie. A potem, ku memu najgłębszemu zdumieniu, odkryłam, że patrzę na samą siebie. Zupełnie jakbym spoglądała w lustro. Bryony i Susan sapnęły głośno, wodząc wzrokiem pomiędzy mną i odmienioną Grimalkin.

Po sekundzie jej postać znów zamigotała i czarownica wróciła, patrząc na nas ostro.

– Teraz widzicie, jak tego dokonam?

Wszystkie skinęłyśmy głowami. Byłam zbyt oszołomiona, by cokolwiek rzec.

– Wyglądała zupełnie jak ty, Nesso! – wykrzyknęła nagle Bryony, odzyskawszy mowę. – Jak twoja bliźniaczka!

– Ale to magia! – zaprotestowała Susan. – Nie wolno robić takich rzeczy, nic dobrego z tego nie przyjdzie.

– Nie? – spytała wiedźma. – Wolisz zatem zginąć na arenie?

Susan nie odpowiedziała; wbiła wzrok w podłogę i znów zaczęła płakać.

– Dołożę wszelkich starań, by zabić haggemiota i ochronić twoje dwie siostry – podjęła czarownica, patrząc mi prosto w oczy.

– Postaram się też sprawić, abyście wszystkie trzy zostały razem i zamieszkały z waszymi krewnymi. Nie obiecuję, że tak się stanie. Ale spróbuję.

– Dziękuję – zmusiłam się do uśmiechu; po raz pierwszy od

wielu dni poczułam iskierkę nadziei. Z jakichś przyczyn, mimo jej groźnego wyglądu, ufałam tej wiedźmie. – Czy kiedy zajmiesz moje miejsce, ja zostanę tutaj?

– Tak – odparła Grimalkin. – Z tego, co rozumiem, to prywatne komnaty i nikt nie odważy się zajrzeć tu bez pozwolenia maga haizdana. Czemu zresztą mieliby cokolwiek podejrzewać? Będziesz tu bezpieczna. A teraz – dodała – chciałabym zadać ci pytanie. Zniewolone ludzkie kobiety, które nazywają purrai, to w większości córki niewolnic zrodzone tu, w niewoli. Inne, znacząca mniejszość, zostały schwytane. Nie widziałam jednak ani śladu kobiet Kobalosów. Dlaczego je ukrywają?

– My też nie widziałyśmy kobaloskich kobiet – przyznałam. – Jadąc przez miasto, spotykałyśmy tylko Kobalosów mężczyzn i od czasu do czasu purrai ciągnięte jak zwierzęta na smyczy. Przykro mi, nie potrafię odpowiedzieć na twoje pytanie.

Czarownica skinęła głową.

– Nadal jednak to bardzo ciekawe pytanie – zastanawiała się w głos. – Podejrzewam, że kiedy poznamy odpowiedź, znacznie lepiej zrozumiemy te stwory.

## **ROZDZIAŁ 19**

### **WROGIE, GŁODNE OCZY**

Na widok wiedźmy trzy siostry cofnęły się przerażone, jakby ujrzały straszliwego potwora. Nie potrafiłem tego zrozumieć. W końcu wszystkie były ludźmi. Kiedy jednak wróciłem pół godziny później, uspokoiły się nieco i siedziały pogrążone w rozmowie. Zwłaszcza Nessa wydawała się znacznie radośniejsza. Zastanawiałem się, co razem knują. Może wiedźma nie szanowała warunków umowy tak jak ja? Ale w sumie niewielka to różnica; teraz przede wszystkim musieliśmy przeżyć spotkanie z haggemmiotem. Później zajmę się innymi problemami.

Grimalkin wyjaśniła im, co musi zrobić, a Nessa spokojnie i chętnie przyjęła wiadomość, że czarownica zastąpi ją na arenie. Najwyraźniej powierzyła zabójczyni los swoich sióstr. Zastanawiałem się, co powiedziała czarownica, by tak je przekonać.

Trzy siostry uścisnęły się, gdy ruszaliśmy na arenę. Wszystkie płakały, gdy Grimalkin, posłużwszy się swą magią, upodobniła się do Nessy.

Kiedy się rozłączyły, ze zdumieniem odkryłem, iż to Susan jest najspokojniejsza i najmniej poruszona. Otarła łzy, wyprostowała plecy i zmusiła się do uśmiechu, patrząc wprost na Nessę.

– Przepraszam, że byłam takim ciężarem i że stale narzekałam – rzekła. – Jeżeli to przeżyję, postaram się być w przyszłości lepszą siostrą.

– Niedługo wrócisz – przyrzekła Nessa. – Obie przeżyjecie, obiecuję to wam, i wszystkie będziemy bezpieczne.

Zastanawiałem się, czy dziewczyna ma rację. Ale nie mogłem zbyt długo nad tym rozmyślać: nadszedł czas, by stawić czoło haggemiotowi.

\*

Arenę wypełniali już podnieceni widzowie, którzy gdy tylko weszliśmy, zaczęli pokrzykiwać i szydzić, domagać się naszej krwi. Wieści o mojej próbie walki rozeszły się po całej Valkarky i tłum, delikatnie mówiąc, przyjął mnie wrogo. Ze względu na to, że nie zadajemy się z innymi, a nasze życie, powołanie, rosnące moce, kierowanie haizdą i próby zrozumienia wszechświata są dla większości tajemnicze i nieznanne. My, haizdanowie, nigdy nie cieszyliśmy się w mieście popularnością. Co gorsza, zabiłem wysokiego maga, jednego z tych, który pewnego dnia mógł zostać członkiem Triumwiratu. Valkarky to miasto bardzo patriarchalne, w ich umysłach byłem winien śmierci jednego z jego ojców. W czasie pojedynku, gdy histeria widzów jeszcze wzrośnie, będą to traktować jeszcze bardziej osobiście – zupełnie jakby każdy widz wierzył, że zabiłem jego własnego ojca.

Oczywiście, wielu przybyło tylko, by obejrzeć widowisko i napawać się rozlewem czerwonej krwi na arenie; ja sam czyniłem tak za młodu. Widziałem, jak niektórzy już się ślinią.

Doprowadzone na miejsce dziewczyny sprawiały wrażenie przerażonych i szlochały histerycznie. Trudno było uwierzyć, że prawdziwa Nessa została w moich komnatach. Stanowiło to dowód najwyższych zdolności magicznych wiedźmy. Haizdan ma obowiązek gromadzić wiedzę, gdzie tylko zdoła – zarówno od przyjaciół, jak i od wrogów. Jeśli przeżyję to spotkanie, zamierzałem nauczyć się czegoś od wiedźmy zabójczynie.

Purrai przywiązano do słupów – uczynił to ten sam Kobalos, który podczas rozprawy pełnił rolę sędziego. Ja czekałem cierpliwie nieopodal jamy, w której więziono haggemniota. Zerknąłem przez kratę, nic się tam nie poruszało. Stwór leżał w uspieniu; w chwili, gdy krata zostanie zdjęta, zabrzmi pierwsza z trzech trąb i stwór się przebudzi, pragnąc dowiedzieć się czegoś więcej o swoim przeciwniku. Na dźwięk drugiej trąby wypełznie z jamy, głos trzeciej wzbudzi w nim krańcową wściekłość i żądzę krwi, i rozpocznie się walka. Tak go wytresowano. Wszystko było bardzo przewidywalne – aż do tej chwili. Kiedy jednak zacznie się walka, nic już nie będzie pewne.

Podczas wcześniejszych przygotowań zapadłem w trans, przywołując w umyśle opisy poprzednich walk z ostatnich pięćdziesięciu lat. Haggemmiot odniósł zwycięstwo we wszystkich trzystu dwunastu pojedynkach, ani razu nie powtarzając tego samego schematu ataku. Zwykle zwyciężał w niecałą minutę.

Odziany w czarne szaty swego urzędu, sędzia wkroczył na arenę i uniósł obie ręce, uciszając zgromadzonych. Musiał odczekać kilka minut, nim tłum uspokoił się dostatecznie, by można było zacząć.

Donośnym głosem odczytał zarzuty:

– Haizdan, znany jako Wijec, jest oskarżony o zamordowanie wysokiego maga Nunca i kradzież trzech purrai, które widzicie przed sobą.



Odpowiedział mu ogłuszający ryk gniewu widzów, sędzia znów musiał unieść rękę, by ich uciszyć.

– Po drugie, zarzuca mu się bezprawne zabicie zabójcy Shaiksa, który próbował powstrzymać go przed odejściem ze skradzionymi purrai. Po trzecie, jest oskarżony o bezprawne zabicie hyba, posłanego, by dokonał egzekucji za owe zbrodnie.

Widzowie znów ryknęli z wściekłości i sędzia musiał jeszcze dłużej unosić rękę, przywołując ich do porządku. Dopiero gdy zapadła absolutna cisza, znów się odezwał.

– Haizdan odrzuca owe zarzuty, twierdząc, że trzy purrai były i nadal pozostają jego własnością i że zabił zgodnie z prawem, chroniąc ową własność. Zbadano dokładnie jego umysł i pozostaje przekonany, iż mówi prawdę. Zostałby zatem uwolniony, gdyby nie to, iż Bractwo Shaiksa zaprotestowało, powołując się na dowody dostarczone przez umysł umierającego zabójcy, który zginął z rąk obecnego tu haizdana. Zabójca ów twierdził, iż pan Nunc zapłacił Wijcowi za purrai, które stały się jego własnością. Pan Nunc nie żyje, nie można go zatem przesłuchać. W efekcie, ponieważ nie da się rozstrzygnąć tej sprzeczności, musimy zdać się na próbę walki.

To rzekłszy, sędzia wskazał na mnie.

Przez ostatnią część oskarżycielskiej przemowy na widowni panowała cisza. Teraz sędzia wykrzyknął dramatycznie władczym głosem tak donośnie, by jego słowa dotarły do najdalszych zakątków areny:

– Wybieraj! – huknął.

Musiałem wybrać pozycję wyjściową, koniecznie przed jednym z trzech pali. Oczywiście dokonałem wyboru na długo przed wejściem na arenę. Szybko stanąłem przed upodobnioną do Nessy wiedźmą. Miałem przy sobie szablę, której teraz dobyłem, szykując się do walki. Do tego zabrałem trzy sztylety; dodatkowy, w kieszeni, przeznaczyłem dla wiedźmy, choć wiedziałem, że za magiczną fasadą skrywa własne klingi. Należało jednak zachować magiczne złudzenie, tak by widzowie widzieli, jak wręczam jej nóż.

Na arenie nie wolno posługiwać się magią maskującą czy

zmieniającą rozmiar. Miałem nadzieję, że nikt nie dostrzeże czarów wiedzy, w przeciwnym razie z miejsca ogłoszono by moją porażkę i straciłbym życie – zarówno ja, jak i siostry.

Sędzia znów dał sygnał, unosząc rękę. Tym razem pojawiło się trzech Kobalosów. Z ważnymi minami maszerowali przez arenę w stronę ciężkiej kraty i doskonale wyćwiczonym ruchem dźwignęli ją, taszcząc na bok. Czarny wylot jamy stanął otworem.

Sędzia podszedł do każdego boku trójkątnej areny i ostentacyjnie skłonił się widzom. Czwarty ukłon był przeznaczony dla mnie – dla tego, który miał wkrótce zginąć. Wtedy zaczęły się ciche, stopniowo narastające pomruki. Odpowiedziałem ukłonem, po czym znów się wyprostowałem, nie spuszczając z niego wzroku, póki się nie odwrócił.

Zszedł szybko z areny i uniósł rękę wysoko nad głowę. W odpowiedzi na ten gest rozległa się donośna fanfara, a jej dźwięk wypełnił audytorium, odbijając się echem od ścian.

Słyszając trąby, kilkanaście tysięcy widzów zamarło w milczeniu. Z początku moich uszu dobiegało tylko irytujące pochlipywanie najmłodszej z sióstr.

A potem haggemiot przemówił do mnie z ciemności jamy.

Usłyszałem trzask, rytmiczne szczęknięcie i kłapanie, które w jakiś sposób zdawało się pełne znaczeń: brzmiało niemal jak mowa, jakby zaschnięty, stary Kobalos otwierał i zamykał artretyczne szczęki, podczas gdy oszołomiony umysł przeszukiwał puste skarbnice myśli, usiłując znaleźć choćby fragmenty wspomnień. Po chwili dźwięki wyostrzyły się i zamieniły w słowa, słyszalne i zrozumiałe dla wszystkich zebranych.

Haggemiot przemawiał w Loście, języku, którego używają tak Kobalosi, jak i ludzie. Głos składał się z trzech wyraźnie odrębnych składników, które po chwili zlały się ze sobą, tak że nie dało się ich już rozdzielić: wszystkie trzy jaźnie stwora przemawiały do mnie jednocześnie, otwierając troje ust: jeden myślący umysł drażnił mnie, drwił i sprawdzał moją determinację.

– Jesteś haizdanem – powiedział. – Od dawna nie kosztowałem

żadnego z was.

– Nie mów o jedzeniu, spożyłeś już swój ostatni posiłek! – wykrzyknąłem. – Dziś posiekam twoje ciało na kosteczki i nakarmię nimi padlinożerców w kanałach miasta. Potem stopię twoje kości w piecu, by mogły posłużyć jako klej. Nic się nie zmarnuje! Okazesz się użytecznym sługą aż do końca!

W odpowiedzi na me słowa tłum ryknął z aprobatą. Nie dałem się jednak zwieść, nie znaczyło to wcale, że byli teraz po mojej stronie, wręcz przeciwnie – nie mogli się doczekać mojej krwawej klęski. Lecz słowa te dały im nadzieję, iż stoczę porządną walkę, że widowisko nie okaże się tak krótkie, jak to zwykle bywało.

– Odważnie prawisz, ale wkrótce zaczniesz wrzeszczeć, o haizdanie. Odgryzę ci ręce i nogi i polizę kikuty, by powstrzymać krwawienie. Potem zadam ci powolną, bolesną śmierć, by wszyscy mogli napawać się twoimi krzykami. Wreszcie bardzo wolno potnę zębami miękkie ciała twych purrai, napawając się każdym kęsem.

Na te słowa wszystkie trzy branki wpadły w jeszcze większą histerię, na próżno szarpiąc się w więzach, ja jednak nie odpowiedziałem. Dość już rozmawialiśmy. Czyny przemówią znacznie głośniej niż słowa.

Rozległa się druga fanfara. W ciszy, która po niej zapadła, usłyszałem, że haggenmiot się poruszył. Gdy stwór wypełził z jamy, dostrzegłem ostry jak brzytwa dziób i dwie mordercze, szponiaste ręce. Po paru sekundach pierwsza z jaźni znalazła się na górze, patrząc na mnie wrogimi, głodnymi oczami.

Nigdy jeszcze nie znalazłem się tak blisko wolnego haggenmiota i na moment ogarnęła mnie rozpacz. Wyglądał jeszcze groźniej, niż sobie wyobrażałem. Mimo tego, iż każda z jego części dysponowała tylko czterema kończynami i długą, węzową szyją, nieodparcie przywodził na myśl owada. Cały błyszczał, jakby wysmarowany galaretowatą substancją, jego boki i ręce pokrywały kościane płyty, podobne do żebrowanej zbroi, noszonej w bitwie przez kobaloskich wysokich magów. Teraz cuchnął czymś nowym, wyczułem woń głodu i gotowości do walki.

Odetchnąłem głęboko, wyprostowałem grzbiet i zebrałem w sobie odwagę. Byłem haizdanem, niepokonanym wojownikiem. Zwycięzę.

Po chwili jego trzy jaźnie przykucały już na czworakach, gotowe do skoku, nie mogły jednak tego uczynić, nim po raz trzeci nie przemówią trąby.

Przygotowałem się do przecięcia więzów ludzkiej wiedzy i wciśnięcia jej w ręce noża, tak jak prosiła. Sięgałem już po niego, gdy nagle w ostatniej chwili zmieniłem zdanie i zostawiłem go w kieszeni – nie bez powodu.

## **ROZDZIAŁ 20**

### **PŁOWA ŚMIERĆ**

Ze wszystkich poprzednich pojedynków, które przestudiowałem, tylko w dwóch przypadkach haggemiot skupił swe wysiłki na przeciwniku, zwlekając z zaatakowaniem i pożarciem ofiarnych purrai.

W obu przypadkach przeciwnik w jakiś sposób zdołał zadać haggemiotowi pierwszą ranę. Żaden z pojedynków nie trwał zbyt długo, lecz ów atak odmieniał schemat starcia. Gdyby udało mi się zmusić stwora do całkowitego skupienia na mojej osobie, wówczas interwencja wiedzy okazałaby się jeszcze skuteczniejsza.

Gdy dźwięk trzeciej fanfary odbił się echem od ścian areny, haggemiot wyciągnął dwanaście kończyn i każda z trzech jaźni stanęła na dwóch nogach, warcząc w bitewnym szale. A potem zaatakował. Ja byłem celem, nie purrai.

Lecz ułamek sekundy później ja także się poruszyłem – wprost ku niemu. W lewej ręce trzymałem szablę Starego Rowlera, w prawej swój ulubiony sztylet.

Pięć kroków, każdy szybszy niż poprzedni, doprowadziło mnie na skraj jamy i w zasięg ciosu trójdzielnego przeciwnika. Teraz to

ja miałem przewagę zaskoczenia. Nie spodziewał się tak śmiałego ruchu. Kłapnął ku mnie zębami, twarz omiótł mi gorący, cuchnący oddech, szpony chybiły o szczyrzy włos.

A potem nadeszła moja kolej.

Spróbowałem zadać dwa ciosy, jeden tuż po drugim. Potężne cięcie szablą chybiło, bo ciało, na którym się skupiłem, zareagowało zdumiewająco szybko; mój ulubiony sztylet nie.

Jego czubek wbił się w oko. Tłum ryknął. Z trzech gardeł wydobył się równoczesny, rozkoszny krzyk. Każda z jaźni poczuła ból. Dobrze wiedzieć.

Teraz haggemiotowi pozostało już tylko pięciore oczu.

Następnie przeskoczyłem przez jamę, lądując bezpiecznie po drugiej stronie, mój ogon unosił się w gotowości, równoległe do pleców. Potrzebowałem go, by utrzymać równowagę.

Jaźnie pomknęły ku mnie, otwierając szeroko paszcze, ich twarze wykrzywiały grymasy wściekłości. Nie przeskoczyły jednak nad jamą. Trzymały się krawędzi, dwa po mojej lewej, jeden po prawej. Zaczekałem do ostatniej chwili, po czym robiąc salto w tył, wróciłem na drugą stronę, szybko pobiegłem w kierunku słupa, do którego przywiązano wiedźmę pod postacią Nessy, i rozciąłem jej więzy.

Kiedy wręczyłem jej nóż, tłum jęknął ze zdumienia. Nigdy dotąd nic takiego się nie wydarzyło, lecz zasady tego nie zabraniały. Był to zupełnie legalny ruch.

Staliśmy obok siebie, patrząc w stronę jamy. Trzy jaźnie haggemiota okręgały ją powoli, pięciore oczu zdradzało złowieszcze zamiary wroga. Czasami w bitwie działamy instynktownie. Pchnięcie klingi, unik włóczni to odruchy, odbywają się szybciej niż myśl. Podczas walki osiągamy stan podobny do transu, w którym ciało porusza się z własnej woli, znacznie szybciej, niż można zaplanować.

Tak właśnie działało się teraz. I było coś jeszcze: kiedy walczyłem u boku wiedźmy, zachowywaliśmy się, jakbyśmy dzielili wspólną świadomość. Nie wiem, czy sprawiła to za pomocą jakiejś ludzkiej

magii, czy też w ogniu bitwy jakimś cudem wykroczyliśmy poza własne ciała, osiągając bitewną furję, w której naszymi rękami kierował jeden wspólny umysł. Nie mam pojęcia. Odnoszę jednak wrażenie, że sposób, w jaki walczyliśmy, przypominał koordynację ruchów haggenmiota.

Byłem całkowicie skupiony, nie słyszałem już ujadania podnieconego tłumu. Walczyłem razem z Grimalkin w kręgu ciszy.

Jedno muśnięcie haggenmiota wystarczy, by wywołać kirrhos, płową śmierć, lecz kiedy zaatakowaliśmy, przejmując inicjatywę, jego szpon chybił moją twarz o cale. Poczulem na skórze połączony palący oddech, lecz nasze klingi błysnęły i stwór wrzasnął. Zraniliśmy go. Krwawił!

Byłem świadom cięć i pchnięć Grimalkin, jakbym zadawał je sam: bez wątpienia ona także czuła moje ciosy wymierzone we wroga, zupełnie jakbym unosił się tuż ponad swoim ciałem, oglądając toczącą się w dole bitwę. Pamiętam, jak przelotnie zastanowiłem się, jak to wygląda w oczach widzów siedzących w amfiteatrze. Z pewnością postrzegają to inaczej. Skąd bowiem purra, Nessa, mogłaby walczyć z tak wspaniałą zręcznością i odwagą? Wiedźma w jakiś sposób musiała maskować to przed ich wzrokiem, sprawiając, że z pozoru cały ciężar bitwy spoczął na moich barkach. Po prawdzie trudno mi było ocenić, które z nas przyczyniło się bardziej. Jak mówiłem, działaliśmy jak jedna osoba. Moje ręce były jej rękami, jej klingi – moimi. Cóż za przyjemność dzielić się walką z taką wojowniczką!

Po paru chwilach dwie jaźni haggenmiota leżały porąbane na kawałki, rozrzucone po arenie. Niemal już zwyciężyliśmy, lecz wówczas, gdy wygrana była tak blisko, na moment losy się odwróciły.

Ostatni z wrogów oderwał się od nas i pomknął wprost ku Susan, starszej z dwóch skrepowanych siostr. Kompletnie mnie to zaskoczyło: stwór jak dotąd nie przejawiał żadnego zainteresowania brankami, które tkwiły przy palach, ze zgrozy zamykając oczy. Został już pokonany, nie mógł niczego osiągnąć

Podobnym atakiem, chyba że zabiłby obie purrai – na to jednak nie starczyłoby mu czasu. Może kierowała nim czysta złośliwość.

Dogoniłem go i zabiłem jednym pchnięciem, wraziwszy klingę głęboko w lewe oko. Szarpnął się, zadrżał i zaczęły wstrząsać nim ostatnie drgawki. Po sekundzie z ciała umknęło całe życie. Pokonaliśmy haggenmiota, zwyciężyłem!

Moje nieoczekiwane zwycięstwo wywołało poruszenie bliskie niemal rozruchom. Ponad setka portierów wpadła do amfiteatru i natychmiast zaczęła uspokajać niemądrych widzów pałkami i maczugami. Widziałem pękające i krwawiące głowy, gdy portierzy wymachiwali bronią, wyraźnie radując się swym zadaniem. Wkrótce popłynęło więcej krwi niż kiedykolwiek na arenie. Przyjemnie się to oglądało i rozkoszowałem się każdą minutą. Lecz zdecydowanie za szybko portierzy zdołali zmusić szalejących widzów, by wrócili na miejsca.

Gdy przywrócono porządek i uprzątnięto ciała, sędzia wdrapał się na arenę i oficjalnie ogłosił mnie zwycięzcą. Nie wyglądał na zachwyconego tą nieoczekiwaną i nieortodoksyjną wygraną. Widziałem, że z trudem ukrywa wstrząs i oburzenie. Co jednak mógł począć? Musiał potwierdzić, co się stało.

Tym razem nie czytał na głos. Bez wątpienia przygotował tylko jedną mowę – ogłaszającą wyczekiwaną klęskę i śmierć. Przemówił jednak powoli i stanowczo, jakby starannie ważył w myślach każdą frazę, nim wypowiedział ją głośno.

– Stojący przed wami haizdan zwyciężył w walce i bezsprzecznie dowiódł słuszności swoich czynów. Zarówno Bractwo Shaiksa, jak i Triumwirat muszą to uznać i przyjąć do wiadomości. Haizdan może swobodnie opuścić miasto i zabrać ze sobą swoje purrai. Stanowią obecnie jego oficjalną, prawowitą własność. Takie jest prawo, nikt nie stoi ponad nim.

Pozostało mi tylko zabrać swoją własność, wrócić do komnat i wyjechać najszybciej, jak się da. Uwolniłem najmłodszą purrę, Bryony, kiedy jednak podszedłem do pala, do którego przywiązano Susan, nagle pojąłem, co się wydarzyło.

Gdy przechwyciłem trzecie ciało haggemniota, ten niepostrzeżenie musiał zahaczyć czubkiem szponu skórę na przedramieniu dziewczyny. W ten sposób przypieczętował jej los. Jej skóra zbrązowiała i zaschła niczym starożytny pergamin. Twarz wykrzywił potworny grymas, głęboko z gardła dobiegał bulgot. Cierpiała nieznośnie. Gdy do niej dotarłem, odetchnęła po raz ostatni i Wypuściła powietrze w donośnym charkocie. W żaden sposób nie mogłem jej pomóc – nie istnieje żadne antidotum ani lekarstwo na kirrhos.

Najmłodsza z sióstr krzyknęła ze zgrozy i rozpacz, gdy po paru sekundach oczy Susan zapadły się w głąb czaszki, a jej skóra zaczęła złazić i pękać. Pod powłoką skóry ciało roztopiło się niczym żółte, miękkie masło, tkanki zaczęły wypływać rozszerzającymi się szczelinami, ściekając po kościach i tworząc cuchnącą kałużę u jej stóp.

Padła ofiarą płowej śmierci.

## **ROZDZIAŁ 21**

### **SLARINDA *NESSA***

Czekałam w komnacie Wijca, a myśli wirowały mi w głowie, gdy krążyłam bez końca tam i z powrotem po niewielkim pomieszczeniu. Drzwi były zamknięte i takie pozostaną, dopóki tamci nie wrócą.

Wspomniałam arenę i to, jak Wijec opisał barwnie, co może się zdarzyć. Oczyma duszy ujrzałam straszliwego haggemniota, trzymającego kratę w szponiastej dłoni. Wijec tupnął o nią nogą i traktował stwora z pogardą, lecz wiedziałam, że haggemniot nigdy nie został pokonany w poprzednich starciach. Jak poradzi sobie mag, gdy na arenie zaatakują go wszystkie trzy jaźnie równocześnie?

A Grimalkin, wiedźma zabójczyni? Wyglądała bardzo groźnie i



znała mroczną magię. Była też pewna siebie – niezwykle pewna siebie. Jeśli jednak haggemiot zwycięży, obie moje siostry zginą.

Usłyszałam kroki zbliżające się do drzwi i głosy potwora i czarownicy, a potem płacz dziecka. Przypominało to głos biednej Bryony. Wydarzenia na arenie musiały nią wstrząsnąć, lecz mimo wszystko serce wezbrało mi radością. Byli tu, z pewnością oznaczało to zwycięstwo... W przeciwnym razie przecież by zginęli. Wygrali i wkrótce będziemy mogli opuścić to przeklęte miasto!

W tym momencie w zamku zazgrzytał klucz i drzwi pokoju otwarły się szeroko. Wyszłam, przyglądając się im kolejno. Nagle serce ścisnęło mi się boleśnie. Gdzie była Susan?

– Zrobiłem, co mogłem, mała Nesso – oznajmił Wijec i po raz pierwszy nie zdołał mi spojrzeć prosto w oczy. – Ale twoja biedna siostra zginęła porażona straszną płową śmiercią. Jej mózg rozpułnął się w maź, oczy zapadły w głąb czaszki, a ciało ściekło z kości. Okropnie cierpiała, ale teraz odnalazła już spokój. Musimy dziękować choć za to.

– Co takiego? – wykrzyknęłam. – Co ty mówisz? Gdzie jest Susan?

– Nie żyje, jak próbowałem ci wyjaśnić. Jedna śmierć to niewielka cena za podobnie wspaniałe zwycięstwo. Z pewnością zgodzisz się, że to lepsze, niż gdybyśmy mieli zginąć wszyscy.

– Ale przecież obiecałeś! – Niewidzialna ręka ścisnęła mi pierś i gardło, ledwie mogłam oddychać. – Obiecałeś memu ojcu, że ochronisz obie siostry!

– Staralem się, jak mogłem, ale przeciwnik miał dużą przewagę. Nie zdołałem zdziałać nic więcej.

Z oczu popłynęły mi łzy, osunęłam się na kolana obok szlochającej Bryony i przytuliłam ją mocno. Czułam się zdradzona. Poświęciłam się, tak jak żądał ojciec i po co?

– Nie mów nic więcej – rzuciła Grimalkin do Wijca. – Twoje słowa nie pomagają.

Byłam świadoma odgłosu ich oddalających się kroków. Odeszli na drugi koniec wielkiej komnaty, pozostawiając mnie i Bryony

same, spowite w kokon rozpacz.

Znajdowałam się w dwóch miejscach równocześnie: w wyobraźni odtwarzałam koszmarną śmierć nieszczęsnej Susan, druga część mojego umysłu słuchała dobiegającej z naprzeciwka rozmowy Wijca i wiedźmy.

– Obie dziewczyny zasłużyły na to, by zawieźć je na południe i przekazać krewnym, aby mogły żyć u nich spokojnie – oznajmiła Grimalkin.

Była czarownicą, ucieszyłam się jednak, że bierze naszą stronę.

– Dotrzymam słowa co do młodszej purry – odparł Wijec. – Neseę jednak zamierzam sprzedać na targu niewolników. Mam takie prawo, ostatecznie należy do mnie. Jest moją własnością. Muszę być posłuszny prawu Bindos, inaczej zostanę banitą. Istnieją rejestry, a po zwycięstwie na arenie wszyscy będą uważnie mi się przyglądać. Wysocy magowie skorzystają z każdej nadarzającej się okazji, by się mnie pozbyć. Czyżbyś zamierzała mi przeszkodzić?

Uniosłam wzrok i ujrzałam, jak z przekonaniem wiedźma kręci głową.

– Zawarliśmy umowę i nie złamię jej warunków. Zawsze dotrzymuję słowa. Ale gdzie jest ów targ niewolników, o którym mówisz?

– Urządzają go w wielkim kuladzie, zwanym Karpotha, siedemdziesiąt staj na południowy zachód od Valkarky, u podnóża Gór Dendarskich.

– Czy trzymają tam wiele niewolnic?

– To największy z naszych targów purrai, lecz liczba waha się w zależności od pory roku. Koniec zimy zwiastuje nadejście pierwszych licytacji. Za jakiś tydzień odbędzie się wielki wiosenny targ, wówczas setki purrai zmienią właścicieli, a potem trafią w łańcuchach do Valkarky.

Grimalkin milczała niemal minutę, sprawiała wrażenie pogrążonej w myślach. W końcu przemówiła:

– Gdzie mieszkają wasze kobiety? Nie znalazłam ani jednego

ich śladu w całym mieście.

– My, Kobalosi, nie rozmawiamy o podobnych sprawach – odparł wyraźnie oburzony. – Samo to pytanie stanowi rażące naruszenie etykiety.

– Ale ja jestem obca – przypomniała Grimalkin. – Nie znam waszych wierzeń i zwyczajów. Proszę zatem, byś odpowiedział na moje pytanie, abym mogła się czegoś nauczyć.

– Ja także chciałabym usłyszeć tę odpowiedź! – zawołałam gniewnie z drugiej strony komnaty. – Coś ukrywasz, jestem tego pewna.

Wijec zerknął na mnie szybko, lecz swoje słowa skierował do Grimalkin.

– Nasze kobiety nazywaliśmy slarinda. Wyginęły ponad trzy tysiące lat temu.

– Wyginęły? Jak do tego doszło? I jakim cudem wasz gatunek przetrwał bez kobiet? – spytałam.

Wijec odpowiedział najpierw na drugie pytanie.

– Mężczyźni kobaloscycy rodzą się z purrai – ludzkich kobiet więzionych w zagrodach skleech.

Wiedźma pokiwała głową.

– Dlaczego wszystkie slarinda umarły? – nie ustępowała.

– To historia obłędu, czasów, gdy cały nasz lud ogarnęło chwilowe szaleństwo. Wszystkie nasze kobiety zabito na olbrzymiej arenie; po zamknięciu wewnętrznych drzwi można ją było zatopić. Owego dnia obłędu zalano ją krwią.

– Co? Wymordowaliście wszystkie swoje kobiety?! – krzyknęłam, jeszcze mocniej przyciskając do siebie zapłakaną Bryony. – Co z was za ohydne bestie!

Ujrzałam, jak ogon Wijca kołysze się lekko przy plecach – czasem robił tak, gdy się zirytował bądź groziło mu niebezpieczeństwo. Nawet jednak nie spojrzał w moją stronę. Zupełnie jakbym się nie odezwała.

– Kobaloskie niewiasty zawleczono grupami na dół po schodach – powiedział wolno. – Poderżnięto im gardła, a potem uczepiono do

łańcuchów zwisających z wysokiego dachu stadionu, do czasu aż z ich ciał wypłynęła cała krew, tworząc kałuże na lodowej posadzce areny. Nie zamarzła, bo z przewodów po bokach napływało ciepłe powietrze. Dokonano tego szybko i sprawnie. Po wysączeniu ciała zdejmowano je z łańcuchów, a ich miejsce natychmiast zastępowały kolejne. Kobiety nie stawiały oporu, większość przyjmowała śmierć z rezygnacją, pochylając głowy. Kilka krzyknęło ze strachu na widok noża, od czasu do czasu słyhać było przenikliwy wrzask, odbijający się echem od dalekich ścian stadionu. Trwało to siedem dni, aż arena stopniowo wypełniła się krwią, sięgającą niemal ramienia. Od czasu do czasu magowie dolewali do niej drobne porcje innych cieczy, by nie skrzepła. W końcu dzieło szaleństwa się dokonało. Pod koniec siódmego dnia zginęła ostatnia kobieta i nasza rasa składała się wyłącznie z mężczyzn. Przetarto drogę; usunięto słabość, zmyto skazę. Tak przynajmniej wówczas uważano.

– Nie rozumiem – przyznała Grimalkin. – O jakiej słabości mówisz?

– Powszechna opinia głosiła, że kobiety czynią nas słabymi. Że swymi sztuczkami sprawiają, iż mężczyźni miękną i tracą wrodzoną dzikość, niezbędną wojownikom.

– Czy ty też w to wierzysz? – Grimalkin spojrzała prosto w oczy Wijca.

Pokręcił głową.

– Wojownik zawsze musi się strzec złagodnienia własnej natury, ale wywodzi się ono z wielu źródeł. Zabicie naszych kobiet było czynem szaleńców, choć wszystkie społeczności mogą czasami pogrążyć się w obłędzie.

Zrobiło mi się niedobrze i ze zdumieniem usłyszałam, jak Grimalkin mówi:

– Tak, chyba masz rację.

– Oczywiście, trudno przewidzieć podobne wydarzenia, lecz w przypadku mojego ludu jestem pewien, że obłęd powróci. I wiem, co może do niego doprowadzić.

– Widziałeś to? Czy też to powszechna wiedza wśród twego ludu? – chciała wiedzieć Grimalkin.

– To wiara, której Kobalosi trzymają się ślepo. Lecz my, magowie, zbadaliśmy przyszłość i uważamy, iż to bardzo prawdopodobne.

– Kiedy do tego dojdzie?

– Nie wiem „kiedy”, ale wiem „dlaczego” – odparł Wijec. – Kiedy nasz bóg Talkus się narodzi, siły Kobalosów wzrosną trzykrotnie. Wówczas wymaszerujemy z Valkarky, rozpoczynając świętą wojnę, która zetrze ludzi z powierzchni ziemi. W to właśnie wierzy mój lud. Ogarnie go obłęd wojny totalnej.

– Sądzę, że mówisz prawdę – mruknęła Grimalkin. – Historia waszego ludu jest straszna i wyjaśnia, czemu wykradacie ludzkie kobiety i praktykujecie niewolnictwo. Każda część mej istoty sprzeciwia się temu, jednakże dotrzymam słowa co do sprzedaży Nessy. Potajemnie wykradnę się z waszego miasta i wkrótce znów do was dołączę. Najpierw odprowadzę was na południe, gdzie dostarczymy młodszą siostrę pod opiekę ciotki i wuja. Potem pojedę z wami w Góry Dendarskie. Chcę na własne oczy zobaczyć Karpothę, w której sprzedaje się kobiety.

Słyszając jej słowa, nie zdołałam powstrzymać szlochów: przez moment miałam nadzieję, że Grimalkin może sprzeciwić się Wijcowi i zażądać, by zwrócił mi wolność i pozwolił odejść wraz z Bryony. Teraz pojęłam, że czarownica dotrzyma złożonej mu obietnicy – a przecież to potwór! Te zwierzęta wymordowały własne niewiasty, a ja miałam trafić w ich paskudne łapska.

## **ROZDZIAŁ 22**

### **KANGADON**

Opuściliśmy Valkarky, dosiadając silnych wierzchowców podkutych na sposób kobaloski, tak że mogły z łatwością wędrować

w śniegu. W jukach wieźliśmy ziarno dla koni i dodatkowo dość oszeru, by wystarczyło w razie potrzeby. Sami także mieliśmy zapasy na całą drogę.

Nie widziałem ani śladu wiedźmy. Uczyniła tak, jak zapowiedziała, i wyprzedzając nas, w sekrecie wyjechała z Valkarky.

Obie purrai w końcu przestały chlipać, były jednak bardzo blade, jechały ze spuszczoneymi oczami, wyraźnie wciąż pogrążone w rozpacz. Pokręciłem głową w obliczu takiej głupoty. Co się stało, to się nie odstanie, rozważanie przeszłych strat niczego nie daje. Umysły ludzi faktycznie były słabe.

Przy bramie wysoki mag Barkai, najstarszy z Triumwiratu, pożegnał mnie z goryczą. Nie umiał przegrywać, toteż skrzywił się, gdy odjeżdżałem. Wiedziałem, że nie kocha haizdanów: niepokoił go fakt, że pracujemy samotnie z dala od miasta, poza jego wzrokiem i kontrolą.

– Odjeżdżasz stąd jako domniemany zwycięzca – rzekł, pochylając się i szepcząc mi do prawego ucha, tak żeby inni nie słyszeli. – Twoja magia shakamure mogła ci pomóc przetrwać nieco dłużej, ale dni tve są policzone.

– Nie posłużyłem się magią na arenie – odparłem zgodnie z prawdą. – Jednakże nim tu przybyłem, używałem jej zgodnie z zasadami, by odzyskać swoje purrai. Mam takie prawo. To wyraz tego, kim jestem!

– Nie możemy zapomnieć o tym, co uczyniłeś; musimy dać nauczkę wam, haizdanom. To nic osobistego, jedynie pokaz siły potwierdzający naszą władzę. Ruszy za tobą Eblis, najpotężniejszy z Shaiksa, uzbrojony w Kangadon, Lancę Mocy.

– Próba oczyściła mnie i pozwoliła odejść swobodnie z moimi purrai, uznanymi za własność. Wysyłając za mną zabójcę, postąpisz wbrew prawu! – syknąłem wyzywająco.

– Posłuchaj mnie uważnie, głupcze – ciągnął Barkai, nie odrywając ust od mego ucha. – My z Triumwiratu zawsze działamy w naszym najlepszym interesie. Tworzymy, kształtujemy i

łamiemy prawo, kiedy to konieczne. Życzę ci bezpiecznej podróży aż do chwili, gdy zginiesz.

Ukloniłem się i uśmiechnąłem sarkastycznie.

– Dziękuję za miłe pożegnanie, o panie. Kiedy już zabiję Eblisa, powieszę jego paskudną głowę na najwyższej gałęzi mojego drzewa ghanbala. W mojej haiździe nastąpiła już wiosna i wrony mocno zgłodniały. Gałki oczne to dla nich przysmak.

A potem, nie patrząc na niego, dosiadłem wierzchowca i wraz z Nessą oraz Bryony odjechałem z Valkarky. Czułem na karku wzrok wysokiego maga, wwiercający się w moje ciało. Kipiał z wściekłości i moje serce zaśpiewało radośnie.

Prawdę mówiąc, miałem nadzieję wyjechać z miasta żegnany życzliwie i zapomnieć o nieprzyjemnych odwiedzinach. Ale niektórzy ludzie nie potrafią ustąpić i Barkai wydawał się zdecydowany, by jeszcze raz spróbować się mnie pozbyć.

Eblis był przywódcą i najgroźniejszym z zabójców Shaiksa. Nazywano go Tym, Którego Nie Da Się Pokonać. Zakon wzbogacał swą wiedzę z każdą śmiercią w walce jednego z braci, który w ostatnim tchnieniu wysyłał im wieści o tym, jak zginął. Niektórzy z pewnością przestudiowali też uważnie moją walkę na arenie, do tej pory doskonale poznali już mój styl i mogli wykryć jakąś słabość nieznaną nawet mnie, którą zdołają wykorzystać.

Z pomocą potężnej magii stworzyli niebezpieczną broń, Kangadon, znaną także jako Lanca Mocy bądź Lanca, Której Nie Da Się Złamać. Jej inna nazwa to Królobójca, bo to od jej ciosu zginął ostatni król Valkarky – nawet jego ogromna siła i potężna obrona magiczna okazały się niewystarczające w starciu z podobną bronią. Na temat owej klingi krążyło wiele pogłosek, lecz nikt prócz Shaiksa nigdy jej nie oglądał, a co dopiero podziwiał w działaniu.

Ja jednak nie mogłem nic zrobić, pozostawało mi tylko rozprawić się z zagrożeniem, kiedy nadejdzie. Odepchnąłem zatem myśli o tym problemie i powiodłem siostry na południe. Spróbuję dotrzymać słowa i odwieźć młodszą purrę do jej ciotki i wuja. Nie

było sensu uprzedzać dziewcząt o nowym niebezpieczeństwie. Jeśli zginę, nim się rozstaniemy, trafią z powrotem do Valkarky – a tam albo zostaną pożarte, albo też resztę życia spędzą w niewoli.

Wiatr wiał z południa, niosąc ze sobą zapowiedź wiosny. Piątego dnia znaleźliśmy się w lesie wysokich sosen. Wśród nich rosła garstka drzew liściastych, na nagich gałęziach pękały pierwsze pąki.

Zbliżał się wieczór, rozbiliśmy więc obóz i wkrótce rozpalilem ogień i grzałem zupę dla purrai; pachnąca para z kociołka rozchodziła się w chłodnym, rześkim powietrzu. Obie dziewczynki wydawały się przygaszone i zatopione w myślach, zostawiłem zatem Nessie mieszanie zupy pod okiem głodnej Bryony i postanowiłem wyruszyć na łowy. Miałem inne potrzeby niż one. Łaknąłem krwi i surowego mięsa.

Ziemię pokrywała cienka warstwa śniegu, spod której przebijały kępy trawy. Śnieg okazał się jednak dość głęboki, by odbiły się w nim świeże ślady i wkrótce w brzuchu zaburczało mi z głodu, gdy zbliżałem się do ofiary. Zdażyła już ukryć się pod ziemią, lecz płytka nora nie zdołała jej ochronić. Sięgnąłem do środka i chwyciłem – to była anchieta, w pełni dorosła, długości mojej ręki. Krew miała ciepłą i słodką i napiłem się do syta, a potem oskubałem drobne zebra z przepyszego mięsa, w końcu pogryzłem, zmiażdżyłem zębami i połknąłem smakowite kości nóg.

Zaspokoiwszy nieco głód, zawróciłem po własnych śladach. I wtedy dostrzegłem coś wyrytego w pniu pobliskiego drzewa.

Rysunek ów wycięto w korze bardzo niedawno, obejrzałem go z bliska, wodząc palcem wskazującym wzdłuż kolejnych linii. Przypominał uproszczony symbol nożyczek. Po co ktoś miałby rzeźbić tu coś podobnego? Czy był to znak, za którym mieli podążać inni?

I nagle przypomniałem sobie, że wiedźma zabójczyni nosiła w skórzanej pochwie parę nożyczek. Czyżby to ona wycięła ów znak? A jeśli tak, po co?

Grimalkin zapowiedziała, że odprowadzi nas na południe, a



potem dalej, do niewolniczego kuladu, był to jednak pierwszy znak świadczący, że może znajdować się w pobliżu.

I znów zadałem sobie pytanie: czy mogę zaufać czarownicy. Dlaczego się nie pokazała? Zdumiony wróciłem do obozu.

Następnego dnia po tym, jak purrai się posiliły, zdjąłem rakiety z końskich kopyt i ruszyliśmy dalej na południe.

\*

W dwa dni później dotarliśmy do pogodnej doliny. W osłoniętym przed północnym wiatrem miejscu panował odrębny mikroklimat, teraz drzewa liściaste przewyższały liczbą iglaste, ich gałęzie porastały świeże, zielone listki. Śnieg już tu stopniał, ziemia zrobiła się grzaska, w kilku miejscach pod kopytami zamieniła się w miękkie błoto.

Zachodzące słońce świeciło nam prosto w oczy z bezchmurnego nieba. Nad głowami śpiewały ptaki, brzęczały owady, a my jechaliśmy powoli naprzód, szukając miejsca na popas.

Nagle wokół zapadła nienaturalna cisza.

Ptaki przerwały swe wiosenne trele. Nawet owady umilkły. Słyszać było tylko oddechy koni i powolny rytm kopyt uderzających o miękką ziemię.

I wtedy zrozumiałem dlaczego.

Dokładnie przed nami rósł rozłożysty, samotny dąb. Był poskręcany, czarny i sękaty, zimowe mrozy pozbawiły go wszelkiego życia. Pod drzewem czekał Shaiksa. Dosiadał karego ogiera: długą lancę, którą dzierżył w dłoni okrytej czarną, skórzaną rękawicą, uniósł tak, by oparła się wygodnie o ramię. Na sobie miał czarną zbroję najwyższej jakości, płyty zdolne odbić najpotężniejszą klingę. Nosił też hełm ze spuszczonego wizjerem i tylko gardło miał odsłonięte. Barkai dotrzymał słowa: oto zabójca, którego obiecał posłać za mną.

Nie widziałem jego oczu. Zawsze drażni mnie, kiedy nie mogę spojrzeć w oczy wroga. Czuję wówczas, że ma przewagę.

Szyję zabójcy ozdobił potrójny naszyjnik z czaszek; niektóre, choć niewiarygodnie małe, należały do ludzi. Shaiksa z pomocą

magii zmniejszali czaszki pokonanych wrogów, dzięki temu mogli przywdziawać wiele podobnych oznak zwycięstwa, nieograniczających ruchów. Liczba owych ozdób świadczyła, iż w istocie mam do czynienia z Eblisem, najniebezpieczniejszym z całego Bractwa Shaiksa. Lanca, którą dzierżył, to Kangadon, z jej właśnie pomocą zabił dziewięć stuleci wcześniej ostatniego króla Valkarky.

Za plecami usłyszałem odgłos kopyt, to siostry rozsądnie odjechały na bok, by uniknąć spodziewanego ataku.

Przejmując inicjatywę, dobyłem dwóch ostrzy i pomknąłem w stronę Eblisa. Mój wierzchowiec z każdym krokiem nabierał szybkości, pędząc po błotnistej ziemi. Atak był tak nagły, iż zabójcy zabrakło czasu, by właściwie unieść lancę. Dopadłem go, nim zdołał we mnie wycelować.

Moje klingi błysnęły w promieniach słońca, metal zadźwięczał o metal. Sztylet w prawej dłoni natrafił na miejsce, gdzie łączyły się dwie płyty na piersi Eblisa. Pchnąłem nim w górę, w szczelinę, gdzie ugrzązł; w żaden sposób nie mogłem stwierdzić, czy wbił się w ciało. Natomiast klinga w mojej lewej dłoni strzaskała się o zbroję Shaiksy i prysła. Szybko odrzuciłem rękojeść. Zawracając konia, gotów do kolejnego ataku, dobyłem szabli.

Ale tym razem zabrakło mi przewagi zaskoczenia. Eblis był gotów i sam także posłał konia naprzód, ostrym czubkiem Kangadona celując wprost w moje serce. Przekręciłem się w siodle, tak by włócznia chybiła, nie znalazłem jednak okazji, by wymierzyć cios.

Zawróciliśmy swe wierzchowce i z łomotem ruszyliśmy ku sobie. Zabójca ponownie opuścił lancę poziomo, jego koń wyrzucił w górę fontanny błocka.

Ja jednak skupiłem się mocno i stworzyłem magiczną tarczę, taką samą jak ta, która odbiła ostre szpony hyba. Mała i jasna, lśniła w powietrzu, szeroka zaledwie na piędź, lecz ustawiłem ją dokładnie i przytrzymałem mocno, by lanca mimo swych magicznych właściwości odbiła się od niej.

Ale w chwili zetknięcia w końcu pojąłem, jak Eblis dawno temu pokonał króla Valkarky. Król bez wątpienia posłużył się magiczną tarczą jeszcze silniejszą od mojej, lecz w chwili śmierci poznał prawdziwą moc Kangadona: nic nie mogło odbić jego ciosu.

Tak samo stało się teraz. Koniec lancy przebił moją tarczę, wchodząc w nią jak nóż w masło, i pomknął ku sercu. Zaledwie ułamek sekundy dzielił mnie od śmierci. Pozostało mi tylko jedno: nie mogłem odbić Kangadona, więc musiałem go uniknąć.

Obróciłem się w siodle, tak że ostrze minęło mnie o grubość skrzydła motyla, i rzuciłem się na ziemię. Złagodziłem upadek, przyciskając jak najbliżej ciała ręce i nogi i turlając się naprzód. Po wiosennych roztopach grunt był miękki, co dodatkowo złagodziło siłę uderzenia, mimo wszystko jednak powietrze umknęło mi z płuc, szabla wypadła z palców. Leżałem otumaniony w błocie, a tymczasem śmiertcionośny przeciwnik szybko zawrócił rumaka i znów pogalopował ku mnie.

Zdołałem usiąść, byłem jednak oszołomiony, z trudem dochodziłem do siebie po ciężkim upadku. Eblis niemal do mnie dotarł, końcem Kangadona wciąż celując bezbłędnie w moje serce. Sądziłem już, że nadszedł koniec, gdy nagle usłyszałem tętent kopyt. Coś pomknęło w kierunku Eblisa z lewej strony.

To był siwy koń i jeździec. Znaleźli się między mną a zabójcą i to na nich spadła cała furia ataku. Siwek zarżał i runął na bok, wyrzucając jeźdźca w powietrze niczym szmacianą lalkę. Gdy wirował w powietrzu, dostrzegłem jego twarz. Jeździec obrócił się kilka razy i ciężko wylądował na ziemi.

To była mała Nessa. Próbowwała mnie ocalić i zapłaciła za to.

Jej wierzchowiec znów zarżał i przeturlał się, po czym powstał ciężko z ziemi. Zerknąłem ku Nessie. Leżała na brzuchu, nie poruszała się. Umarła szybko i lekko, to znacznie lepsza śmierć niż ta, która spotkałaby ją z rąk Shaiksy po tym, jak się mnie pozbędzie. Miała najwięcej szczęścia z trzech sióstr. Płowa śmierć także była szybka, ale niezwykle bolesna, ofiara czuła palące pęcherze pękające w żołądku i wnętrznościach i ciało rozpływające

się od środka.

Zrozumiałem, że nie dotrzymam jednak słowa danego Staremu Rowlerowi. Kiedy zginę, najmłodsza córka farmera także zostanie zabita, zabójca poderżnie jej gardło. Spotka ją ta sama śmierć, jaką pierwotnie przeznaczono jej w więzy. Jedynie opóźniłem nieuniknione. Perspektywa porażki wzbudziła we mnie gniew i gorycz. Wszystko pójdzie na marne.

Eblis zawrócił konia powolnym łukiem, szykując lancę. W mojej głowie już się przejaśniło, rozejrzałem się dookoła w poszukiwaniu szabli. Nie zdołałem odbić ciosu, ale przynajmniej umrę z bronią w ręku. Lecz moje nogi odmówiły współpracy, mogłem jedynie dźwignąć się na kolana.

Shaiksa uniósł wizjer i uśmiechnął się do mnie. Chciał, żebym ujrzał twarz tego, z którego ręki zginę. Nie marnowałem słów, zachowując obojętną minę, wewnątrz jednak kipiałem wściekłością na myśl, że Barkai wygra. W walce na arenie dowiodłem swej słuszności, wysyłając zabójcę, potraktował mnie niehonorowo. Był zepsuty i pozbawiony skrupułów.

Choć wiedziałem, że tu zginę, chciałem dosięgnąć szabli: dołożę wszelkich starań, by zranić Eblisa, tak by na zawsze zapamiętał nasze spotkanie. Kiedyś trzeba umrzeć, a paść z ręki największego z zabójców Shaiksa – Tego, Którego Nie Da Się Pokonać – to godna śmierć.

Znów zaatakował. Odsunąłem się błyskawicznie, lecz czubek lancy przebił moje prawe ramię, Eblis szarpnął nią gwałtownie w górę, podnosząc mnie z ziemi. Przez moment dyndałem bezradny, czułem straszliwy ból, lecz mój ciężar w połączeniu z długością lancy oznaczał, że nie mogłem tak trzymać dłużej niż parę sekund. Gdy tylko opuścił lancę, zsunąłem się z niej, wylądowałem na ziemi i przeturlałem się na bok. Gdy znów podniosłem się na kolana, po ręce spływała mi krew, kapiąc w błoto. Za chwilę z pewnością zginę, nadal jednak nie poddawałem się, zacząłem pełznąć w błądź w stronę szabli. Zdawało się, iż leży bardzo daleko; w każdej chwili Eblis mógł zaatakować i przyszpilić mnie

lancą – może tym razem w serce.

Czołgając się boleśnie naprzód, nie spuszczałem z niego wzroku. Patrzył na mnie, ale nie poganiał konia. Wokół panował bezruch i cisza. I wtedy pojąłem, że tak naprawdę nie patrzył na mnie. Zaryzykowałem szybkie zerknięcie przez ramię.

Za swoimi plecami, nieco po lewej, ujrzałem kolejnego jeźdźca na rumaku równie czarnym i potężnym jak koń Eblisa. Znałem tego przybysza. To była purra.

Nazywała się Grimalkin, ludzka wiedźma zabójczyni.

## **ROZDZIAŁ 23**

### **TEN, KTÓRY NIGDY NIE UMRZE**

Grimalkin trzymała w dłoni kościany naszyjnik, który nosiła na szyi. Ten zrobiono z kości pokonanych wrogów, nie z pomniejszych czaszek jak u Eblisa. Postukiwała w nie i gładziła w tajemniczy, rytualny sposób. Gdy tak patrzyłem, wypuściła kości i z jednej z pochew dobyła długiego sztyletu. Potem zbliżyła się do mnie, jej koń stapał ostrożnie w miękkim błocie.

– Powstań z kolan, Wijcu – poleciła. – Zabij tym swego wroga, zabij go, nim on zabije ciebie. Nigdy nie ustępuj! Nigdy się nie poddawaj!

Rzuciła mi sztylet; kilka razy obrócił się w powietrzu, ja jednak z krzykiem bólu wyciągnąłem rękę i chwyciłem go za rękojeść.

Broń miała w sobie coś dziwnego. Gdy tylko uniosłem ogon zrozumiałem, że ostrze wykuto ze stopu srebra. A jego wygląd okazał się jeszcze bardziej zdumiewający.

Rękojeść wyrzeźbiono na kształt głowy skelta, w miejscu oczu osadzono dwa rubiny. To był wizerunek naszego nienarodzonego boga, Talkusa. Nagle z rubinowych oczu wypłynęły krwawe łzy, które skapnęły w błoto obok moich stóp, mieszając się z moją własną krwią. Bez wątplenia ostrze miało w sobie moc. Czułem

promieniującą z niego magię.

Grimalkin uśmiechnęła się i wycofała swego rumaka. Przepełniony nową nadzieją i siłą, dźwignąłem się z ziemi. Eblis obserwował czujnie czarownicę, lecz teraz, gdy odjechała, znów skupił uwagę na mnie – swoim celu.

Ruszył wprost ku mnie. Odetchnąłem głęboko i pozostałem w miejscu, całkowicie koncentrując się na najbliższym zadaniu. Gdy koniec lancy znalazł się w moim zasięgu, odstałem na bok, by koń mnie nie stratował, uniosłem klingę i odparowałem cios włóczni.

Ku memu zdumieniu sztylet nie pękł – odbił lancę, ze zgrzytem przesuwając się wzdłuż niej i krzesząc deszcz iskier. Gdy dosięgnął rękawicy Shaiksy i odnalazł jego dłoń, Eblis krzyknął wstrząśnięty. Wypuścił z ręki Kangadon, który, obracając się, wyleciał w górę i wirował w powietrzu.

I wtedy, w chwili whalakai – percepcji, która bardzo rzadko przydarza się haizdanowi – dostrzegłem w jednym rozbłysku każdy niuans sytuacji.

Zrozumiałem, co muszę zrobić! Ciąłem w bok, moja ręka poruszyła się tak szybko, że niemal nie dało się tego dostrzec. Uderzyłem klingą w sam środek wirującej lancy.

Kangadon pękł na dwa kawałki.

I tak Lanca, Której Nie Można Złamać została zniszczona.

Lecz Eblis nie na próżno przeżył ponad dwa tysiące lat jako zabójca. Mimo utraty lancy i odniesionej rany, przywołał całą swą siłę i raz jeszcze zaatakował. Tym razem dobył dwóch długich ostrzy, próbując mnie stratować.

Ponownie uderzyłem skeltowym sztyletem i obróciłem się szybko, by uniknąć końskich kopyt. Jego wierzchowiec pogalopował naprzód, z nozdrzy tryskały kłęby pary. Ale Eblis runął na ziemię, wylądował ciężko i legł bez ruchu.

Podszedłem bliżej i spojrzałem z góry na swojego wroga – lecz ku własnemu zdumieniu nie zadałem ostatniego ciosu. Nie była to świadoma decyzja. Coś wewnątrz mnie wybrało inne rozwiązanie.

Czekałem w milczeniu, ściskając w dłoni klingę. Po wielu minutach Eblis przekręcił się na brzuch i podniósł ciężko. Dłonie miał puste, wypuścił broń w upadku. Mimo to czekałem cierpliwie, aż podniesie ją z błota zrytego końskimi kopytami.

A potem zaczęliśmy walkę na ziemi. Okazała się wyrównana, bardzo długo żaden z nas nie zyskiwał przewagi. Wkrótce zaszło słońce i zaczęło robić się ciemno. Teraz walczyliśmy w ciemności: dzięki magii shakamure wyraźnie widziałem przeciwnika. Przywołałem też magiczne zapasy, podbudowując swoje siły. Bez wątplenia Eblis również posłużył się własną magią, bo jego klingi poruszały się bardzo precyzyjnie i przez jakiś czas z trudem udawało mi się odparować ich ciosy. Walczyliśmy w milczeniu – słychać było tylko sapnięcia, szczęk broni i nasze buty mlaszczące w błocie.

W końcu powoli zacząłem zyskiwać przewagę. Wreszcie powaliłem wroga na kolana i uniosłem sztylet, gotując się do ostatniego pchnięcia.

W tym momencie poczułem, jak czyjaś dłoń wstrzymuje moją rękę.

– Zwyciężyłeś, Wijcu, ale teraz on należy do mnie – wyszeptała mi do ucha Grimalkin. – Oddaj sztylet.

Cóż mogłem zrobić? Musiałem się zgodzić – ostatecznie odniosłem wielkie zwycięstwo i zawdzięczałem je czarownicy. Zwróciłem jej zatem broń i odszedłem w miejsce, gdzie leżała Nessa.

Ukląknęłam obok niej. Wciąż oddychała, lecz oznaki życiowe powoli gasły. Zostało mi jeszcze trochę magii, położyłem zatem dłoń na jej czole i pozwoliłem, by wniknęła w ciało dziewczyny.

Po jakimś czasie pomogłem jej wstać, a ona otworzyła oczy.

– Umierałaś, mała Nesso, ja jednak ożywiłem cię moją mocą. Byłem ci to winny.

Odpłaciłem jej za to, jak wcześniej ocaliła mnie po ukąszeniu węża. Długą chwilę przyglądała mi się, wyraźnie chciała coś powiedzieć, wtedy jednak usłyszałem dobiegający zza pleców

dźwięk, który sprawił, że włosy zjeżyły mi się na karku.

Zabójcy Shaiksa nie krzyczą. A jednak Eblis, najdzielniejszy, najsilniejszy i najbezwzględniejszy z nich wszystkich krzyknął i jego wrzask trwał bardzo długo.

Nessa spojrzała na mnie, jej oczy rozszerzyły się na ów dźwięk. Mnie samemu sprawił przyjemność, lecz jej najwyraźniej nie. Zabójca umierał powoli, a jego ostatnie myśli pomknęły do reszty bractwa. Nawet ginąc, wzbogacał ich wiedzę. Czego jednak się dowiedzieli? W kolejnej chwili whalakai zrozumiałem, co się dzieje: nie tylko oni się uczyli – to była lekcja również dla mnie. Udzieliła im jej Grimalkin. Tak jak wcześniej wyryła na drzewach symbol, symbol swych nożyczek, oznaczając terytorium i ostrzegając nieprzyjaciół, obecnie posyłała wiadomość całemu Bractwu Shaiksa.

Mówiła im, kim jest i co potrafi. Sprawiała, że poznali nowy wymiar bólu i strachu.

A potem głośno wykrzyknęła posłanie pod adresem Bractwa:

– Trzymajcie się ode mnie z daleka – ostrzegła. – Inaczej zrobię wam to, co waszemu bratu! Ci, którzy będą mnie ścigać, zginą tak samo jak on. Jestem Grimalkin.

I tak Lanca, Której Nie Można Złamać została złamana, a Ten, Którego Nie Da Się Pokonać zginął i opuścił ten świat po ponad dwóch tysiącach lat niekończących się zwycięstw w roli zabójcy Shaiksa.

I w tym momencie zrozumiałem, że wiedźma zabójczyni to najgroźniejsza wojowniczką, jaką kiedykolwiek spotkałem. Czekają na mnie zatem wielkie wyzwania. Pewnego dnia będę musiał stanąć do walki i ją pokonać. Byłby to najwspanialszy mój wyczyn jako haizdana.

Gdy później zbadałem ciało Eblisa, sprawdzając, co mu uczyniła, nie dostrzegłem niczego, co mogłoby sprawić, że krzyczał tak melodyjnie. Owszem, wycięła mu na czole symbol swoich nożyczek, ale nie dostrzegłem niczego poza tym. Musiałem przyznać, że mógłbym wiele się nauczyć od tej czarownicy.



## ROZDZIAŁ 24

### CÓRA CIEMNOŚCI

Nessa, choć posiniaczona i poobijana, dzięki mojej pomocy przeżyła upadek; największy ból sprawiała jej obecnie utrata siostry.

Później, po tym, jak obie dziewczynki po długim płaczu zdołały zasnąć, zaczęliśmy rozmawiać z czarownicą przy ognisku.

– Ten wspaniały sztylet, którym pokonałem Eblisa – skąd go wzięłaś? – spytałem.

– Nie należy do mnie – odparła. – Przechowuję go tylko dla kogoś, komu będę musiała go zwrócić.

– Mógłbym jeszcze spojrzeć? – poprosiłem.

Wiedźma uśmiechnęła się ponuro, wyszczerzając szpiczaste zęby. Przez chwilę sądziłem, że mi odmówi. Potem jednak dobytek broń z pochwy i wręczyła mi. Ostrożnie uniosłem sztylet, obracając go raz po raz w palcach i natychmiast wyczułem promieniującą z niego moc.

– Niezwykła klinga. Czyje to dzieło?

– Wykuł ją jeden z naszych bogów, mały magu. Mamy własnego boga kowali, nazywa się Hefajstos.

– Dziwne, że wybrał on na rękojeść głowę skelta – zauważyłem.

– Talkus, nasz Bóg, Który Jeszcze Nie Nadszedł, w chwili narodzin przyjmie taką postać.

– Pamiętam, co mi mówiłeś. – Grimalkin zmarszczyła brwi. – Wasz lud rozpocznie wówczas świętą wojnę i spróbuje zepchnąć nas do morza.

– A potem zawładniemy całym światem – dokończyłem.

– Z pewnością będą to ciekawe czasy! – rzuciła. – Kiedy podejmiecie taką próbę, mój lud stawia gwałtowny opór. I w końcu zburzymy mury Valkarky i uwolnimy świat od Kobalosów. Miejsy

zatem nadzieję, że minie jeszcze wiele lat, nim Talkus przyjdzie na ten świat!

Bez komentarza oddałem jej sztylet, wówczas jednak kilka myśli pojawiło mi się w głowie.

– Czy gwiazdny kamień ma jakąś wartość dla ludzi? – spytałem. – Czy to dlatego wtargnęłaś na nasze tereny i dotarłaś tak blisko Valkarky? Byłoby to dziwne zrządzenie losu, że znalazłaś się w pobliżu, gdy spadł.

– To nie przypadek. Wiedziałam, gdzie i kiedy spadnie – odparła wiedźma.

– Odkryłaś to z pomocą magii?

– My, czarownice, umiemy czasem postrzegać przyszłość, potrafimy też z daleka wywęszyć nadciągające niebezpieczeństwo. Przyznam jednak, iż to niezwykle sen ujawnił mi nadejście kamienia – sen, który zdawał się tak rzeczywisty, że sądziłam, iż się obudziłam. Błysnęło oślepiające światło tak mocne, że lękałam się, iż wypali mi oczy. A potem głos powiedział, gdzie i kiedy spadnie kamień – a gdy znajdzie się w moim posiadaniu, co muszę z nim uczynić.

– Czy głos dobiegający ze światła ostrzegł cię także przed niebezpieczeństwem ze strony mojego ludu?

– Wiedziałam już, że ów kawał rudy runie na ziemię nieopodal waszego miasta – odparła. – Spadł dokładnie tam, gdzie oczekiwałam, lecz gdy czekałam, aż wystygnie, bym mogła zabrać go na południe, wywęszyłam nadejście waszych wojowników. Walczyłam z nimi, ale było ich zbyt wielu.

– Teraz, gdy znów znalazł się w twoich rękach, co z nim zrobisz?

– To klinga z Mroku, nie nadaje się dla tego, kto musi nią walczyć! – wykrzyknęła, unosząc ku mnie rękojęść w kształcie skelta. – Wykuję zatem nową – jeszcze potężniejszą i mocniejszą!

– A dla kogo jest przeznaczony? Czy to król?

– Obecnie jest uczniem stracharza – człeka, który zajmuje się walką z Mrokiem i jego sługami. Tylko on ma moc pozwalającą

zniszczyć Złego na zawsze. Ta mroczna klinga to jedna z trzech rzeczy, których musi użyć, by osiągnąć ów cel. Jeśli jednak przeżyje, może mieć przed sobą kolejne zadania.

– Jakie?

– Postrzegłam przyszłość i wiem, że czekają go dalsze wyzwania – ale nic z nich nie jest pewne. Postrzeganie to sztuka niedoskonała: możliwe, że nawet zginie, próbując zabić Złego. Spojrzałam w lustro, starając się dostrzec jego przyszłość, ale zaćmiewają ją wątpliwości. I tak wykuję dla niego ostrze.

– Masz nadzieję stworzyć lepsze niż dzieło waszego boga kowali? – spytałem, kręcąc głową w obliczu tak wielkiej bezczelności. – Mój lud nazywa podobną przesadną ambicję hybris. Pycha to największy ze wszystkich grzechów – grzech, który często wywołuje gniew wszystkich bogów.

– Mimo to jestem zdecydowana spróbować – odparła, – To właśnie polecił mi głos: muszę wykuć klingę światła. Zostanie nazwana Gwiazdny Mieczem.

– Należysz do tego, co nazywasz „Mrokiem”, a jednak chcesz stworzyć jego antytezę? To naprawdę dziwne, iż córa ciemności miałaby wykuć miecz światła! – zauważyłem.

– Żyjemy w dziwnych czasach – odparła wiedźma. – Dziwne jest też, że ja, czarownica, zawiązałam sojusz z wrogami mojego klanu. Ale do tego właśnie zmusiła nas sytuacja – dodała, unosząc skórzany wór z tkwiącą w nim głową ich mrocznego boga. – Zły musi zostać zniszczony, nic innego się nie liczy.

## **ROZDZIAŁ 25**

### **POŻEGNANIE Z SIOSTRĄ *NESSA***

Jechaliśmy na południe, kierując się do wioski Stoneleigh, na skraju Pwodente. Dzielłam wierzchowca z Bryony. Myśl, że jesteśmy teraz tak blisko, że mogę objąć ją ramionami ostatni raz,

rozdzierała mi serce. Pochyliłam się naprzód, przysuwając usta do jej ucha.

– Staraj się nie tracić w sercu nadziei, Bryony – wyszeptałam. – Pewnego dnia znajdę sposób, by do ciebie powrócić, przysięgam!

– Jestem pewna, że ci się uda, Nesso! – wykrzyknęła. – Jesteś sprytna, na pewno nie potrwa to długo.

Mimo młodzieńczego optymizmu siostry wiedziałam, że nasze kolejne spotkanie jest niezwykle mało prawdopodobne. Przynajmniej jednak Bryony będzie miała szansę na długie i szczęśliwe życie. Wciąż nie mogłam uwierzyć, że straciłyśmy Susan. Czarownica walczyła u boku potwora i w jakiś sposób udało im się zwyciężyć – lecz za jaką cenę! Biedna Susan, tak bardzo musiała się bać – i zginęła tak okropną śmiercią! Poczulałam nieznośny ból w piersi.

Gdybym mogła oddać zamiast niej życie, uczyniłabym to chętnie, byle tylko ją uratować.

– A co, jeśli wujek i ciotka będą traktować mnie okrutnie? – spytała nagle Bryony.

– To przecież rodzina. Będą dla ciebie dobrzy, jestem tego pewna – odparłam miękko.

Prawdę mówiąc jednak, niczego nie byłam już pewna. Nadeszły ciężkie czasy i jeśli nasi wujostwo z trudem wiążą koniec z końcem, mieszkając na skraju terytorium Kobalosów, ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowali, była kolejna gęba do wykarmienia.

Tej nocy przy ognisku rozmawialiśmy o tym, jak najlepiej przekazać Bryony naszym krewnym.

– Jeśli się tam pokażemy, wywołamy panikę – rzekła do potwora Grimalkin. – Bo ty jesteś Kobalosem, a ja bez wątpienia czarownicą. W efekcie zaczną na nas polować, a my będziemy musieli zabić prześladowców. Możliwe, że znajdą się wśród nich nawet krewni dziewczynek.

Istotnie, brzmiało to bardzo prawdopodobnie i pokiwałam głową, zgadzając się z jej zdaniem.

– Proponuję, byśmy się zamaskowali – podjęła Grimalkin.

– To może nie być konieczne. Sprawdźmy ukształtowanie terenu. Możliwe, że będziemy mogli wysłać najmłodszą purre samą i obserwować domostwo z daleka – zaproponował Wijec.

– Tak, ale musimy być pewni, że zostanie serdecznie powitana i przyjęta na łono rodziny – nalegałam. – W końcu nigdy nie poznałyśmy naszych krewnych, mogą nie chcieć obciążać się kolejną osobą. Możliwe nawet, że już nie żyją, a nie ma żadnej gwarancji, iż mała społeczność walcząca o przetrwanie ucieszy się z kolejnej osoby do wykarmienia. Muszę mieć pewność, że siostra będzie bezpieczna.

\*

Następnego ranka zakończyliśmy ostatni etap podróży do siedziby ciotki i wuja.

Trzymając się lewego brzegu, podążaliśmy w dół rzeki, do ostatniego mostu przed Morzem Zachodnim. Widzieliśmy go już w dali, oddzielał nas od niego tylko niewielki lasek. Wszystko idealnie odpowiadało naszym planom.

– Doskonale – rzuciła Grimalkin. – Możemy poczekać ukryci wśród drzew na skraju lasu i patrzeć, jak Bryony przeprowadzi się na drugą stronę.

– Ale jeśli wuj i ciotka cię przyjmą, Bryony, musisz wrócić do mostu i pomachać do nas na znak, że wszystko jest jak trzeba – dodałam. – Obiecuj mi.

– Obiecuję – odparła Bryony głosem zdławionym ze wzruszenia. – Będą mnie pytać o ciebie i Susan – podjęła, a jej oczy lśniły od łez. – Co mam im powiedzieć?

Zastanowiłam się szybko. Z tego, co wiedziałam, ojciec nigdy nie wymieniał listów ze swymi krewnymi w Pwodente, mogli nawet nie wiedzieć o jego córkach ani o tym, że jego żona nie żyje. Lepiej jednak trzymać się jak najbliżej prawdy.

– Musisz być dzielna, Bryony – odparłam. – Powiedz im, że nasz ojciec zmarł, ale że twoje siostry zostały w domu, by spróbować przygotować farmę do sprzedaży. Wyjaśnij, że jest im ciężko i uznały, że nie zdołają właściwie się tobą zaopiekować.

Mają nadzieję, że pewnego dnia dołączą do ciebie albo może po ciebie poślą. Powiedz, że towarzyszyli ci podróżni, którzy zboczyli wiele mil ze swej drogi, by dowieźć cię bezpiecznie do celu i nie mogą sobie pozwolić na dalszą zwłokę, chcą jednak wiedzieć, czy wszystko jest w porządku. Możesz im to powiedzieć?

– Postaram się, Nesso. Spróbuję. – Widać było, że stara się przywołać jak najwięcej odwagi.

Zsiedliśmy zatem z koni i czekaliśmy wśród drzew. My z Bryony odsunęłyśmy się kawałek od Grimalkin i Wijca i pożegnałyśmy z płaczem. Trwało to tak długo, iż potwór zaczął krążyć niecierpliwie tam i z powrotem, unosząc wysoko ogon, wiedziałam, że wkrótce zabraknie mu cierpliwości.

Wreszcie jednak, po ostatnim uścisku Bryony przełknęła ślinę i ruszyła w stronę rzeki. Patrzyłam, jak odchodzi, próbując powstrzymać łzy. Wiedziałam, jak wiele kosztuje ją to rozstanie i byłam dumna z jej odwagi. Postać siostry robiła się coraz mniejsza i mniejsza, w końcu dotarła do brzegu, wstąpiła na niego i zniknęła wśród niewielkiej grupki domków, które uznaliśmy za Stoneleigh.

Czekaliśmy w milczeniu, Wijec okazywał coraz większe zniecierpliwienie. Po jakiejś godzinie do mostu podeszła trójka ludzi, która spojrzała na nas przez łąkę. Zobaczyłam mężczyznę i kobietę, między nimi stała moja siostra Bryony. Uniosła rękę i pomachała trzy razy.

Był to ustalony z góry sygnał, że nic jej nie jest i że znalazła schronienie u wuja i ciotki. Dopiero teraz odetchnęłam z ulgą: mogliśmy skierować się na północny wschód w stronę budzącego grozę targu niewolników. Nowe życie Bryony właśnie się zaczęło, moje dobiegało końca. Nie spodziewałam się pożyć zbyt długo jako niewolnica Kobalosów.

## **ROZDZIAŁ 26**

### **NIEWOLNICZY KULAD**

Jechaliśmy naprzód, a ja radowałem się, bo wiedziałem, że kiedy sprzedam Nesse, będę mógł swobodnie powrócić do swej haizdy. Nie mogłem się już doczekać widoku domu. Nessa jednak zakłócała mój pogodny, optymistyczny nastrój ciągłym płaczem, z jakichś powodów drażnił mnie on, wciąż wisiało nade mną widmo skaiium. Choć dokładałem wszelkich starań, trudno mi było pozbyć się wspomnień niektórych jej czynów.

Oddała mi swą krew, by mnie ożywić po tym, jak ukąsił mnie skulka. Później wjechała między mnie i Eblisa, tym samym dając mi szansę przeżycia. Przypuszczam, że można to wyjaśnić, podobnie jak jej prośbę, bym dał jej nóż, by mogła stanąć do walki z haggemmiotem: usiłowała po prostu zapewnić przetrwanie swoim siostram.

A jednak nie mogłem zapomnieć tego, jak przycisnęła swe czoło do mojego – cóż za śmiały gest ze strony purry! I znów kierowało nią pragnienie przekonania mnie, bym ocalił Bryony. W efekcie zabiłem Nunca, a potem zabójcę Shaiksa. Ale nie mogłem zapomnieć dotyku jej skóry.

Jakaś drobna cząstka mnie pragnęła ujrzeć, jak Nessa odchodzi wolno i żyje szczęśliwie z siostrą, nie mogłem jednak sobie na to pozwolić. Byłem haizdanem. Musiałem walczyć ze wszelką wewnętrzną słabością, poza tym miałem obowiązek sprzedać niewolnicę i wypełnić wymogi prawa Bindos: w przeciwnym razie znów stałbym się wyrzutkiem i banitą.

Jechaliśmy na północ, bez przeszkód przeprawiliśmy się przez uskok Fittzanda, czując jedynie kilka łagodnych wstrząsów i wkrótce znów podróżowaliśmy wśród śniegów. Teraz pokrywały grunt cienką warstewką zwieńczoną skorupką lodu, niebo było bezchmurne, nawet w krainie Kobalosów na krótko panuje lato i już do nas zmierzało.

Zaczęliśmy się wspinać na podnóża Gór Dendarskich, tuż przed zmierzchem drugiego dnia ujrzelśmy w dali Karpothę, największy ze wszystkich niewolniczych kuladów. Była to szeroka, ciemna wieża, wznosząca się ku niebu. Otaczał ją wielki, okolony murem

dziedziniec. To tam mieściły się zagrody purrai.

Chciałem jak najprędzej załatwić kwestię sprzedaży Nessy. Pragnąłem już tylko powrócić do swej haizdy i uzupełnić zapasy magii. Niemal je wyczerpałem – choć sam przed sobą nie chciałem się do tego przyznać, ale to właśnie dlatego odrzuciłem pomysł maskowania i ukrycia się przed rodziną dziewczynki. Nie pozostało mi już wiele magicznych sił, a mogłem jeszcze potrzebować ostatnich zapasów.

Rozbiliśmy obóz pod skalnym występem i uprzedziłem wiedźmę, że wkrótce po świcie zabiorę Nessę do kuladu i tam ją sprzedam.

Grimalkin nie odpowiedziała, długi czas milczała. Atmosfera panująca przy ognisku była mroźniejsza niż północny wiatr, cała nasza trójka posiliła się w milczeniu. W końcu Nessa bez słowa opatulila się kocem i ułożyła pod osłoną skały. Kiedy odeszła, czarownica przemówiła do mnie:

– Skąd wzięłeś ten dziwny płaszcz? – spytała.

– To oznaka urzędu – odparłem. – Kiedy haizdan ukończy nowicjat, dostaje taki płaszcz. Trzyrnaście guzików symbolizuje trzyrnaście prawd.

– Trzyrnaście prawd? A co to?

– Gdybyś wiedziała, także byłabyś magiem haizdanem – rzekłem. – Może pewnego dnia mógłbym cię nauczyć. Ale wymagałoby to co najmniej trzydziestu lat twojego życia. Taka wiedza nieszczególnie nadaje się dla was, ludzi, za krótko żyjecie.

Uśmiechnęła się ponuro.

– W tej chwili nie mam do dyspozycji trzydziestu lat, ale pewnego dnia może znów cię odwiedzę. Może wówczas zdołasz nauczyć mnie nieco twojej sztuki. Moje siostry, czarownice z Pendle, są raczej konserwatywne i trzymają się tradycji, ja jednak lubię poznawać nowe kultury i wzbogacać wiedzę o nowe metody. Pewna kwestia bardzo mi leży na sercu. Raz jeszcze poproszę, byś nie sprzedawał dziewczyny na targu niewolników. Okazała się bardzo odważna i w kilku sytuacjach przeżyła tylko dzięki niej. Gdyby nie niebezpieczeństwo grożące obu dziewczynkom, nie



pożyczyłabym ci sztyletu, którym pokonałeś zabójcę.

– To, co mówisz, jest prawdą – przyznałem – ale muszę odmówić. Czyż nie wyjaśniłem ci już, jak się sprawy mają? Tak szybko zapomniałaś? Nie żebym potrzebował pieniędzy, lecz według kobaloskiego prawa, zwanego Bindos, co czterdzieści lat każdy obywatel musi sprzedać na targu co najmniej jedną purę. Sprzedaż tę zapisuje się w starannie prowadzonych księgach. Jeśli tego nie zrobimy, stracimy obywatelstwo, staniemy się wyrzutkami z Valkarky i nigdy już nas tam nie przyjmą. Jako banitów każdy będzie mógł nas zabić.

– Zatem prawo zmusza cię, byś stał się częścią handlu niewolnikami, leżącego u podstaw waszego społeczeństwa. Bardzo sprytny przepis, zaprojektowany tak, by połączyć was wszystkich wspólnymi wartościami.

– Istotnie – odparłem. – Bez handlu nie zdołalibyśmy mnożyć się i przetrwać. Wymarlibyśmy.

– I nikt nie protestuje?

Pokręciłem głową.

– W mieście działa grupa nazywająca siebie Skapienami. Niektórzy twierdzą, że nie łączy ich jedna nadrzędna organizacja i że działają w małych, niezależnych, odrębnych komórkach. Nikt nie wie jak działają i jaki jest ich cel. Od czasu do czasu ktoś publicznie ogłasza się ich członkiem, po krótkim procesie zostaje stracony jako zdrajca, który zamierza zniszczyć nasze państwo.

– Czy znasz osobiście kogoś, kto został tak skazany?

– Nie – wyjaśniłem. – Bardzo rzadko odwiedzam miasto i oprócz służby haizdanów, takiej jak Hom, który przynosi mi wieści, nie mam tam przyjaciół ani znajomych.

– A inni haizdanowie – porozumiewasz się z nimi?

– Tylko jeśli spotkamy się przypadkiem – poinformowałem wiedźmę.

– W takim razie wiesz bardzo samotne życie.

– Takie właśnie wybrałem. Nie pragnę innego. Teraz ja muszę ci zadać pytanie... Obiecałaś mi nie przeszkadzać. Czy dotrzymasz

słowa?

– Tak, dotrzymam słowa – odparła czarownica. – Możesz jutro odwiedzić kulad i sprzedać niewolnicę, co oznacza, że wypełnisz swój obywatelski obowiązek. Ale potem nasza umowa dobiegnie końca. Wyrażam się jasno?

– Chcesz powiedzieć, że od tej pory zostaniemy nieprzyjaciółmi?

– Może czymś pośrednim pomiędzy sojusznikami i wrogami. Ale tymczasem każde z nas pójdzie swoją drogą.

Wkrótce potem położyliśmy się spać, później jednak obudził mnie pomruk głosów. Czarownica i Nessa szeptały coś do siebie. Spróbowałem nastroić słuch i posłuchać ich rozmowy, natychmiast jednak umilkły. Odniosłem wrażenie, że coś knują – choć nieszczęśliwie się tym przejąłem. Niezależnie od wszystkiego wierzyłem, że wiedźma jest osobą honorową i dotrzymuje raz danego słowa. Jutro bez przeszkód sprzedam Nessę i w ten sposób wypełnię swój obywatelski obowiązek na następne cztery dziesięciolecia.

Przez resztę nocy spałem smacznie. W pewnym momencie jednak zacząłem śnić i był to jeden z najosobliwszych snów, jakie kiedykolwiek mnie nawiedziły. W owym śnie ocaliłem Nessę przed jakimś śmiertelnym zagrożeniem. Wydawał się taki rzeczywisty, potem pamiętałem wszystko oprócz samego zakończenia; był to niezwykle przyjemny sen – a to, co się stało na końcu, szczególnie mnie zachwyciło.

Ocknąłem się o świcie i odkryłem, że wiedźma odeszła już z obozu. Bez wątpienia nie chciała oglądać członkini swojej rasy sprzedawanej w niewolę. Przynajmniej jednak dotrzymała słowa i nie przeszkodziła mi. Nie marnując zatem czasu na śniadanie, w milczeniu dosiedliśmy z Nessą koni i poprowadziłem ją do kuladu.

Podczas jazdy miała smutną minę. Udzieliłem jej kilku krótkich rad – miałem nadzieję, że przydadzą jej się w nowym życiu niewolnicy.

– Kiedy przestaniesz być moją własnością, mała Nesso, zachowuj się potulnie i zawsze okazuj szacunek. Nigdy nie patrz w

oczy swemu nowemu panu. To najważniejsze. A kiedy rozpocznie się licytacja, stań na platformie, wysoko unosząc głowę, lecz wzrok cały czas wbijaj w deski pod stopami. Dziękuj im za każde uderzenie bicia o skórę i każdą ranę zadaną sztyletem. Tego właśnie oczekują. Dzięki temu nie tylko zyskasz wyższą cenę i uradujesz wszystkich widzów, ale też zapewnisz sobie życie tak długie, jak można oczekiwać w przypadku purry.

– A ile właściwie żyją niewolnice? – spytała Nessa.

– Kiedy osiągną dorosłość, niektóre purrai przeżywają nawet dziesięć, dwanaście lat, lecz gdy ich ciało traci młodość, a krew słodycz – giną, a ich starzejące się trupy zostają rzucone whoskorom, wielonogim budowniczym Valkarky.

– W takim razie niewiele już mnie czeka – zauważyła smutno.

– Nie powinno się tak traktować ludzi. Nie odpowiedziałem, ujrzałem bowiem wyrastające przed nami, wzniesione z czarnego kamienia, zewnętrzne mury kuladu. Czas zająć się interesami. Kopyta koni i stopy zakutych w łańcuchy niewolnic, przybywających z północnego wschodu zamieniły drogę wiodącą do fortecy w brudną, błotnistą rzekę. Stałem przed bramą, ogłosiłem swój zamiar i wpuszczono mnie do środka. Wewnątrz nie zwlekałem i pociągnąłem dziewczynę naprzód. Prawdę mówiąc, wciąż czułem się nieco nieprzyjemnie na myśl o pozbyciu się Nessy w taki sposób i pragnąłem jak najszybciej mieć to z głowy.

Mimo wczesnej pory na otwartym dziedzińcu kuladu roiło się od handlarzy. Na trzy drewniane podesty otoczone sporymi grupami kobaloskich kupców prowadzono kolejne purrai w łańcuchach. Co najmniej tuzin zbrojnych gwardzistów z Oussy obserwowało wszystko. Mieli kwaśne miny i wyraźnie uważali, że są ponad odbywającymi się tu targami. Bez wątpienia sądzili, że lepiej by się sprawdzili, ścigając czarownicę – pogłoski głosiły, że uciekła na południe. Z pewnością nadal doskwierał im wstyd z powodu śmierci czterech z ich szeregów z ręki zwykłej purry.

Zauważyłem, że niektórzy posyłają mi pełne szacunku spojrzenia. Bez wątpienia oglądali, jak pokonałem haggemiota.

Zsiadłem z konia, bezceremonialnym szarpnięciem ściągnąłem Nessę z jej wierzchowca i powlokłem ku najbliższemu podestowi. Chciałbym zachować się łagodniej, ale w miejscu publicznym nie miałem wyboru, musiałem potraktować ją tak, jak nakazują nasze zwyczaje. Dobicie targu z kupcem trwało niecałą minutę.

– Proponuję sto walkronów za purrę – oznajmił. Walkron to dzienny zarobek zwykłego kobaloskiego żołnierza i wiedziałem, że gdy wystawi ją na licytację, sam zarobi co najmniej dwa razy więcej. Nie byłem jednak w nastroju, by się targować, chciałem zakończyć transakcję możliwie jak najprędzej. Nie chodziło o pieniądze, musiałem jedynie wypełnić swój prawny obowiązek. Skinąłem zatem głową, przyjmując ofertę, a on odliczył drobne monety do mieszka.

– Ile dasz mi za tego konia? – spytałem, wskazując klacz, której dosiadała Nessa.

– Dwieście dwadzieścia walkronów – oznajmił z uśmiechem i znów zaczął zacierać ręce, w ów irytujący sposób. Wrzucił monety do mieszka, wręczył mi go i zakończyliśmy sprawę.

Dostałem zatem więcej za konia niż za Nessę. To dlatego, że była taka chuda. Podobne purrai nigdy nie zyskują wysokich cen.

Najważniejsze jednak, że transakcję zapisano pod moim imieniem i umieszczono w rejestrach Bindos. Spełniłem swój obowiązek obywatela.

Słudzy kupca zawlekli Nessę przed jego oblicze. Ucieszyłem się, że dokładnie posłuchała mojej porady, z szacunkiem wbijając wzrok w ziemię miast patrzeć mu w oczy. Zawsze drażniło mnie, gdy spoglądała mi w twarz; wyszkolonej purrze tego nie wolno. Musi pogodzić się ze swą nową rolą albo cierpieć.

Kupiec dobył zza pasa noża i szybko wykonał dwa nacięcia na przedramieniu Nessy. Nawet się nie wzdrygnęła. Usłyszałem wyraźnie, jak mówi:

– Dziękuję, panie.

Coś we mnie buntowało się przeciwko temu. Choć Nessa była moją własnością, nigdy jej nie zraniłem. Ale niczego nie mogłem na

to poradzić. Odjechałem, opierając się pragnieniu, by obejrzeć się na nią przez ramię, nim przekroczyłem bramę. Wiedziałem, że każdą cząstką sił muszę zwalczać nadejście skaiium. Było ciężko, ale wytrzymałem i nie ustąpiłem.

## **ROZDZIAŁ 27**

### **KRZYK W ŚRODKU NOCY**

Już za bramą spojrzałem w niebo i zmarszczyłem i brwi. Z północy szybko napływały chmury. Podobne burze rzadko zdarzają się tak wczesną wiosną, ale gdy już nadchodzą, są wyjątkowo groźne.

Mogłem wrócić do kuladu i przeczekać tam burzę, ale coś wewnątrz mnie nie chciało oglądać Nessy w tym położeniu. Wiedziałem jednak, że wkrótce nie da się pojechać dalej, pogoniłem zatem konia pod osłonę urwiska, gdzie spędziliśmy poprzednią noc.

Wiatr wiał coraz mocniej; gdy tylko ukryłem się pod nawisem skalnym, z nieba barwy ołowiu posypały się pierwsze wielkie płatki śniegu. Po kilku minutach z północy nadciągnęła śnieżycą.

Jak to zwykle bywa z wczesnowiosennymi burzami, choć gwałtowna, trwała ona raczej krótko. Po jakichś sześciu godzinach zaczęła słabnąć, o zmierzchu niebo się przejaśniło. Nastanie ciemności sprawiło, że opóźniłem wyjazd aż do brzasku. Mimo że przywykłem do podróżowania po zmroku, wiedziałem, że wśród wzgórz zebrały się głębokie zasy, utrudniające jazdę.

Nakarmiwszy konia, ułożyłem się na spoczynek. Bez żadnych nadciągających kryzysów i w obliczu cudownej perspektywy powrotu do haizdy umysł miałem bardzo spokojny, jasny i bystry. Zacząłem odtwarzać w nim wydarzenia ostatnich tygodni, ponownie oceniając odegraną w nich rolę.

Uznałem, że zachowałem się odważnie i honorowo i w pełni wypełniłem zobowiązania narzucone mi przez Starego Rowlera, nie

moja wina, że Susan zginęła, dołożyłem wszelkich starań, by ją ocalić. Samodzielnie pokonałem wysokiego maga, zabójcę Shaiksa i niebezpiecznego hyba. To prawda, później działałem wspólnie z ludzką wiedźmą, ale okazało się to konieczne ze względu na wielką przewagę przeciwnika. Wraz z Grimalkin pokonałem haggenniota, co stanowiło cudowne osiągnięcie. Potem pożyczonym skeltowym sztyletem powaliłem na kolana potężnego Eblisa. Dlaczego więc obawiałem się ataku skaiium? Teraz ze spokojnym umysłem rozumiałem, że to absurdalny lęk. Jako mag wojownik osiągnąłem niemal doskonałość.

I tak, bezpieczny przed skaiium, mogłem pozwolić sobie na szczodrość. Ponownie pomyślałem o małej Nessie i zrozumiałem, że pomogła mi na każdym etapie tej przygody. Istotnie, uczyniła tak, by zapewnić przetrwanie swoim siostrom, ale jej pomoc była zawsze kluczowa i rozstrzygająca. Nagle zrozumiałem, jak mógłbym jej odpłacić.

Nie mogłem odkupić jej wprost od kupca, któremu ją sprzedałem. Zabrania tego prawo. Nawet gdyby za łapówkę zgodził się na ten układ, pierwotną sprzedaż uznano by za niebyłą i nie wypełniłbym tym samym swego obowiązku. Istniał jednak inny sposób.

Kiedy Nessa zostanie sprzedana, mógłbym odkupić ją od nowego właściciela bez żadnych reperkusji. Owszem, kosztowałoby mnie to co najmniej dwakroć tyle, ile za nią dostałem, ale nigdy nie brakowało mi pieniędzy. Zawsze mogłem dostać to, czego potrzebowałem, z mojej haizdy. Samo zadanie nie było zbyt trudne – ze względu na śnieżycę nowy właściciel Nessy nie opuścił jeszcze Karpothy.

Postanowiłem o świcie udać się do kuladu i odkupić Nessę. Wówczas zabiorę ją na południe, by dołączyła do siostry. Oczywiście, po drodze skosztuję nieco jej krwi. Nie dość, by jej zaszkodzić. Nie będzie przecież protestować, prawda?

Ocknąłem się jakąś godzinę przed świtem z mętным wrażeniem, że słyszałem właśnie krzyk w nocy. To pewnie jakieś

zwierzę. Wyteżyłem zmysły nasłuchując.

Po chwili dźwięk się powtórzył – istotnie, był to wysoki, przenikliwy krzyk. Nie wydało go jednak zwierzę. Pochodził z gardła człowieka bądź Kobalosa. Uniosłem ogon, lecz niestety wiejący z północy wiatr jeszcze nie osłabł i porywał ze sobą wszelkie zapachy.

Wkrótce potem rozległy się kolejne krzyki i wrzaski, ja jednak ziewnąłem, nie przejmując się tym zbyt. Bez wątpienia w kuladzie poddawano karze grupę purrai, pewnie te, które nie zdołały zainteresować nabywcy. Należało im się, bo nie zachowały się, jak należy. Właściciele zazwyczaj chłostali takie purrai bądź odcinali im kawałki ciała ostrymi nożami, w miejscach, które można ukryć pod ubraniem.

O świcie dosiadłem konia i ruszyłem wprost do Karpothy. Musiałem dotrzeć do kuladu przed wyjazdem nowego właściciela Nessy.

Gdy tylko wspiąłem się na wzgórze i spojrzałem w dół, zrozumiałem, że coś jest nie tak. Bramy stały otworem.

Pogoniłem konia, galopując po świeżym śniegu. I wtedy zobaczyłem ślady wielu stóp, wiodące na południe, w zdeptanym śniegu, który stracił swą dziewiczą biel. Wyglądało to, jakby duża grupa niewolnic przemieszczała się w tamtą stronę. Ale po co? To nie miało sensu. Powinny zmierzać albo na wschód, albo na zachód, ku innym targom niewolników, bądź też na północny wschód do Valkarky – wszędzie, tylko nie na południe.

A potem ujrzałem pierwsze ciało. Należało do człowieka niewielkiego oddziałku Oussy, eskortującego handlarzy do Karpothy. Wojownik leżał twarzą ku ziemi, pod jego głową i tułowiem śnieg zamienił się w błoto czerwone od krwi: miał poderżnięte gardło.

Przy bramie znalazłem jeszcze dwóch martwych wojowników z Oussa, a potem ujrzałem krwawe ślady stóp oddalające się od miasta – w większości na północ. Konie także skierowały się w tamtą stronę.

Co się tu stało? Dlaczego uciekli?

Wewnątrz kuladu wszędzie walały się trupy – zarówno kobaloskich kupców, jak i strażników z Oussy. Drewniane podesty lśniły od krwi. Nic nie przeżyło. Nic się nie poruszało.

Nie dostrzegłem jednak ani śladu niewolnic – gdzie się podziewały?

I wtedy po raz pierwszy zauważyłem znak wyryty na bramie

Był to symbol nożyczek, które wiedźma zabójczyni nosiła w skórzanej pochwie. Skąd jednak wziął się tu, na bramie? Czyżby wróciła?

Nie! Nie wróciła. Była tu cały czas.

W przebłysku zrozumienia pojąłem, co się stało. To nie Nessę sprzedałem na targu niewolnic. Sprzedałem Grimalkin!

## **ROZDZIAŁ 28**

### **JESZCZE SIĘ SPOTKAMY**

Jakimż byłem głupcem, że zaufałem ludzkiej wiedźmie! Nessa odjechała z obozu, nim się ocknąłem, a Grimalkin idealnie udając dziewczynę, zajęła jej miejsce, tak jak wcześniej na arenie. Wymordowawszy wielu członków Oussy i kupców, poprowadziła niewolnice na południe, w stronę ludzkich krain i wolności.

Ale wcześniej musi się zmierzyć ze mną.

Złamała obietnicę, że mi nie przeszkodzi, muszę ją zatem ścigać i wyrównać rachunki.

Doścignięcie czarownicy i purrai zabrało mi niecałą godzinę.

Jechała na czele kolumny niewolnic, obok niej dostrzegłem drugiego jeźdźca – bez wątplenia Nessę. Podążająca za nimi setka maszerowała dwójkami, dźwigając worki zapasów. Miały na sobie ciepłe stroje purrai, które chroniły je przed żywiołami.

Puściłem się galopem w stronę czarownicy, mijając kolumnę z lewej strony, gdy nagle ku memu zdumieniu purrai złamały szyki,



stając pomiędzy mną a moją nieprzyjaciółką. Krzycząc i wiwatując, zaczęły ciskać w moją stronę śnieżnymi kulami, tak że koń wierzgnął w panice. Purrai nigdy się tak nie zachowywały i mój wierzchowiec wzmocniony magią, tak by móc znieść nawet atak zabójcy Shaiksa, nie zdołał wytrzymać bombardowania mokrym, zimnym śniegiem.

Musiałem się wycofać, by uspokoić zwierzę. Gdy to uczyniłem, Grimalkin pędziła już ku mnie, unosząc wysoko dwie klingi, w których odbijały się promienie porannego słońca. Ja jednak zdążyłem dobyć szabli i posłać naprzód własnego wierzchowca. Zderzyliśmy się mocno i szybko.

Żadne z nas nie zdołało zadać ran drugiemu, toteż zawróciliśmy pospiesznie i rozpoczęliśmy drugi atak. Wiedźma przejechała bardzo blisko po mej lewicy i pchnęła potężnie sztyletem. Ja jednak, przywołując ostatnie zapasy magii shakamure, stworzyłem magiczną tarczę i umieszczając ją idealnie, odbiłem cios, jednocześnie tnąc w jej głowę.

Odchyliła się, i chybiłem, lecz czubek szabli zahaczył o jej ramię. Popłynęła krew i na ten widok moje serce zaśpiewało z radości. Następnym razem ją wykończę!

Gdy jednak znów ujrzałem przeciwniczkę, przekonałem się, że trzyma teraz tylko jeden nóż. Jej druga klinga nie roztrzaskała się o moją tarczę, czemu ją zatem schowała? Może rana, którą zadałem w lewe ramię, przeszkodziła jej we władaniu bronią? Nie, bo przełożyła nóż właśnie do lewej ręki.

Skupiłem zatem wzrok i przekonałem się, że w prawej dłoni dzierży teraz skeltowy miecz – broń, która złamała Kangadon. To samo uczyni z moją tarczą. W dodatku nie czułem się zbyt pewnie, walcząc z głównią o rękojeści wykutej na podobieństwo Talkusa, który, gdy narodzi się na nasz świat, zostanie najpotężniejszym ze wszystkich kobaloskich bogów.

Złowieszcza perspektywa. Czyżby zwiastowała moją śmierć?

Nie było jednak sensu zastanawiać się nad podobnymi sprawami, zebrałem zatem siły, spałem konia, raz jeszcze ruszając

naprzód. Coraz bardziej zbliżaliśmy się do siebie. Spod kopyt wierzchowca Grimalkin wzbijała się śnieżna mgiełka, po lewym ramieniu czarownicy spływała struga krwi, ona jednak uśmiechała się.

Moja szabla zetnie ten uśmiech z twojej twarzy! – pomyślałem.

I nagle między nami pojawił się inny koń, tak że musiałem skrócić w lewo. To była Nessa. Pogalopowała za mną i zatrzymała się nieco dalej.

Obejrzałem się i przekonałem, że wiedźma ściągnęła wodze i patrzy na nas.

– Ty głupcze! – krzyknęła Nessa. – Przestań natychmiast albo ona cię zabije. Nie musisz tu ginąć! Wróć do swojej haizdy i pozwól nam odejść w spokoju.

Oburzyły mnie jej słowa – nazwała mnie głupcem! Kimże była, by zwracać się do mnie w ten sposób? Nim jednak zdołałem dać ujście gniewowi, Grimalkin podjechała do Nessy.

– Trzymaj się z daleka! – ostrzegła, celując we mnie skeltową klingą. – Nasza umowa dobiegła końca, mały magu, i nie jesteś już bezpieczny.

– Twierdziłaś, że zawsze dotrzymujesz słowa! – odparowałem ze złością.

– I dotrzymałam słowa – upierała się czarownica. – Czyż nie spełniłam obietnicy i nie pomogłam ci zabić haggemiota? A kiedy opuściliśmy wasze przekłete miasto, w żaden sposób nie przeszkodziłam temu, co uważałeś za prawowity interes.

– Igrasz tylko słowami! – wykrzyknąłem. – Powiedziałem ci, że zamierzam sprzedać Nessę na targu zgodnie z moim prawem. Była moją własnością! A ty odparłaś, że mi nie przeszkodzisz.

– Sprzedałeś w Karpocie niewolnicę i w ten sposób wypełniłeś obowiązek, narzucony przez prawo Bindos. To jest najważniejsze. Fakt, iż to ja byłam ową niewolnicą, nie ma znaczenia. Stało się i wypełniwszy warunki umowy, mogłam swobodnie wyzwolić niewolnice z kuladu. Wiedz też i zapamiętaj dobrze: nie mogę pozwolić, abyście nadal niewolili ludzi! – podniosła głos. –

Wypowiadam wojnę Kobalosom! Pojadę wykuć Gwiazdną Klingę, kiedy jednak skończę z tym – dodała, unosząc wysoko worek – powrócę tu wraz z siostrami, a wówczas zburzymy mury Valkarky i zabijemy wszystkich mieszkających tam Kobalosów. Pozostań w swej haiździe, magu! Trzymaj się z dala od tego przeklętego miasta, a może pożyjesz nieco dłużej! Tymczasem jednak, jeśli nie staniemy przedwcześnie do walki na śmierć i życie, zadam ci pytanie: po co wróciłeś do Karpothy, by stać się świadkiem tego, co zrobiłam?

– Wróciłem pod urwisko, szukając osłony przed śnieżycą – odparłem.

– To wyjaśnia zwłokę, ale przecież nie zawróciłeś wówczas do kuladu. Wiem, po co wróciłeś: zamierzałeś kupić Nessie wolność, prawda?

Wstrząsnęły mną jej słowa. Skąd mogła wiedzieć?

Skinąłem głową.

Czarownica uśmiechnęła się.

– Zatem w takim przypadku, co właściwie straciłeś? Nessa odzyskała wolność, którą jej przeznaczyłeś i osiągnąłeś to, nie ponosząc żadnych strat finansowych ani prawnych. Teraz odprowadzę część tych kobiet do ich własnych krajów, inne, zrodzone w niewoli, znajdą sobie domy wśród ludzi. Co do Nessy, odwiozę ją do siostry. Ty tymczasem wrócisz do domu i będziesz żył w dostatku. Bardzo pragniesz ujrzeć znowu swoją haiźdę, czyż nie?

Znów przytaknąłem. W końcu, odzyskawszy głos, uniosłem szablę i skierowałem ją ku wiedźmie.

– Pewnego dnia wyrównamy rachunki, obiecuję ci to.

– A ja odpowiadam podobną obietnicą. Odejdź zatem w pokoju, Wijcu. Z pewnością znów się spotkamy, dziś jednak nie musimy więcej przelewać krwi. Odjadę i zajmę się własnymi sprawami, ty tymczasem przygotuj się na mój powrót, zbierz swoje zapasy, doszlifuj umiejętności walki i wzmocnij magię. Wówczas staniemy do walki na śmierć i życie, by dowieść raz na zawsze, które z nas jest silniejsze. Z wielką radością pokonam tak potężnego

wojownika. Umowa stoi?

– Tak! Umowa stoi! – krzyknąłem, unosząc w salucie szablę.

Jej słowa brzmiały mądrze. Wyczerpałem resztki magii i musiałem uzupełnić ją krwią. Lepiej stawić czoło czarownicy, będąc u szczytu magicznych umiejętności. Nie mogłem się już doczekać.

Uśmiechnęła się, wyszczerzając szpiczaste zęby, po czym zawróciła na czoło kolumny.

Nessa pozostała na miejscu.

– To prawda? Rzeczywiście zamierzałeś mnie odkupić i zwrócić mi wolność? – spytała.

– To prawda, mała Nesso. Grimalkin nie kłamie, choć sędzę, że zbyt swobodnie poczyną sobie z warunkami umowy. Ja bardziej pilnuję litery kontraktu.

Nessa uśmiechnęła się.

– Myślę jednak, że dotrzymała jego ducha. Nie mam racji?

\*

Powrót do haizdy zabrał mi niemal tydzień. Trwał nieco dłużej, bo wieczorem trzeciego dnia nagle ogarnęło mnie przemożne pragnienie. Było tak wielkie i gwałtowne, że musiałem zatopić zęby w szyi własnego konia i zaczerpnąć jego krwi.

Zazwyczaj potrafię się oprzeć podobnym impulsom, lecz długie dni i noce samokontroli – gdy powstrzymywałem się przed skokiem na jedną z pulchnych sióstr Nessy i wyssaniem z niej całej krwi – w końcu zrobiły swoje. Po tak długotrwałej dyscyplinie musi nastąpić chwila odprężenia; to naturalne dla Kobalosów.

\*

Znów nadciąga zima i szykuję się do zwyczajowej hibernacji. Krótkie lato spędziłem w swojej haizdzie, pijąc krew, gromadząc dusze, szlifując umiejętności walki i wzmacniając magię. Teraz czeka mnie ostatni etap przygotowań do snu.

Będę gotów na powrót więdmy. Niezależnie od wyniku niecierpliwie wyglądam pojedynku z Grimalkin. Stanowić on będzie szczyt moich wyczynów maga wojownika. Zagroziła miastu Valkarky. Choć nie darzę miłością niektórych jego mieszkańców,

wciąż mam zobowiązania wobec swego ludu.

Być może to ja położę kres zagrożeniu ze strony wiedźmy.

Wijec

Każdego dnia słońce przecina niebo nieco bliżej horyzontu; wkrótce krótkie lato dobiegnie końca. Teraz wuj poznał prawdziwą historię o tym, jak zginęła Susan, a ja trafiłam w niewolę – rozgniewała go moja opowieść, ale też przeraziła. Twierdzi, że świat staje się coraz chłodniejszy i to go niepokoi. Pamięta opowieści własnych dziadków, złowrogie starożytne historie przekazywane z pokolenia na pokolenie. Kiedy Golgoth, Władca Zimy, przebudził się po raz ostatni, lody ruszyły na południe, a wraz z nimi kobaloskie bestie, zabijając mężczyzn i chłopców, lecz oszczędzając kobiety i ich córki i uwożąc je w niewolę. Mój wuj wierzy, że to się powtórzy, modli się jednak, by już nie za jego życia.

Ciotka i wuj mają dobre serca. Zapewnili schronienie mnie i Bryony, teraz tu jest mój dom. Ciężko pracujemy, ale zawsze pracowałam ciężko na farmie ojca, więc pod tym względem moje życie niewiele się zmieniło.

Tygodnie od śmierci nieszczęsnego ojca były przerażające i dramatyczne, ale otworzyły mi oczy na to, jak wielki jest świat i pokazały, że kryje się w nim mnóstwo niewiadomych, wiele rzeczy, których muszę się nauczyć.

W pewnym sensie obudziły we mnie niepokój i niezadowolenie z codzienności życia. Chciałabym podróżować i zwiedzić więcej świata.

Może zobaczę jeszcze Grimalkin i Wijca. To tylko przeczucie, ale wierzę, że pewnego dnia nasze ścieżki znów się skrzyżują. Taką mam nadzieję.

Nessa

Sen wijca.

Mała Nessa śle mi wezwanie

Bębniąc palcami po kolanie.

Tkwi uwięziona za tymi kratami,  
Więc atakuję je szybko myślami.  
Żelazna krata sięga aż powały,  
Na pół przecina posepny loch cały,  
W górę i w dół, na oba boki,  
A choć chwilowo nie jestem wysoki,  
To mojej magii nie brakuje siły  
– Zwija się, skręca; proch i gęste pyły  
Sypią się wokół, metal drży  
I gnie się jak na wietrze bzy.  
Bo krata żyje, ja to wiem,  
Jak kot wygina i rozciąga się,  
Wreszcie otwiera się z jękiem szeroko  
I wzywam Nessę do swojego boku.  
Kiedy wspinamy się po krętych schodach,  
Wciąż mnie za rękę trzyma Nessa młoda.  
Lecz wokół cienia szybko rosną plamy,  
Jak wąż w trującym oleju skąpany,  
Jak dech pałacy z ust władcy demonów  
Lub potępieniec, co stuka w drzwi domów.  
Ostry mój srebrny brzeszczot, lśniący, długi,  
W powietrzu kreśli dziwne wzory, smugi.  
Giętkie to ostrze, lekko zakrzywione,  
Jak śliski język, krwi wroga spragniony.  
Ktoś słabszy duchem modliłby się snadnie,  
Ja jednak tylko  
Unoszę swą szablę!  
Krzyk shatka, który rozbrzmiewa wśród nocy,  
Może sam jeden całą armię spłoszyć  
Shatków rój bowiem łączy jedna dusza  
I wielość kształtów do współpracy zmusza,  
Razem istotę tworzą, dzinnem zwaną,  
Zrodzoną, aby sieć gęstą, utkaną  
Z mroku snuć wokół słońca zamotaną.

I by przekłuwać ostrą szpilką małą  
Wszelkie rozkosze, obleczone w ciało;  
Zazdrość swą pielęgnował w mroku, i  
Odział nadzieję w płaszcz z kory i krwi,  
Jak w Starym Combestarke mroczny Jibberdee!  
Aż dnia pewnego ujrzał małą Nessę  
i już do siebie zniewoloną niesie,  
Żeby za ciężką kratą ją uwięzić  
I mnie tu zwabić wprost w objęcia śmierci,  
Do ostatecznej walki w cieniu drzewa.  
Bo nad tym lochem wprost wyrasta pień  
Drzewa, co cieniem w noc zamienia dzień.  
Nad norą, w której shatek podły siedzi,  
Z niej tysiąc stopni prosto w górę wiedzie.  
Drzewo to rodzi owoc zgniłolicy,  
Co skazi cnotę najczystszej dziewicy,  
Liście na wietrze dygoczą złowieszczo,  
Wiosną spadają w cuchnącym powietrzu,  
By zatruć dusze i ciała, i ziemię,  
W której nikt zmarły więcej nie zadrzemie.  
Ostry mój srebrny brzeszczot, lśniący, długi,  
W powietrzu kreśli dziwne wzory, smugi.  
Giętkie to ostrze, lekko zakrzywione,  
jak śliski język, krwi wroga spragniony  
Unoszę klingę i moją jest pieśnią!  
Szóstka stóp tupie o kamienne stopnie,  
Pragnie przerazić mnie tak przeokropnie,  
Zręcznością ciała, sprytnymi drwinami  
Chce zapanować nad mymi lękami.  
Ja jednak młyńca klingą swą sprawiłem,  
Bo już tu byłem i już to robiłem;  
Widziałem stopnie piaskiem zasypane,  
Widziałem trupy łańcuchem spętane,  
Władcę demonów „Hoba” i dziewice,

Strącane w przepaść, smukłe, bladolice.  
Znam jamę, w której matkę mu złożono,  
Słyszałem brzęki much, krwią odurzonych,  
Widziałem sępów tan na nieboskłonie.  
Ja znam ten taniec,  
Jego kroki znam,  
Lepiej niż drogę wprost do Piekieł bram!  
Unoszę klingę, wargi oblizuję,  
Sześcioro oczu wciąż mnie obserwuje,  
Szybko więc robię unik, potem drugi,  
Szabla w powietrzu kreśli dziwne smugi.  
Moją jest pierwsza krew, gdy ścinam głowę,  
I rozrąbuję niemal na połowę.  
Potem uderzam, szybko jak błysk oczu,  
I już dwie głowy po schodach się toczą.  
Z mlaskiem, łoskotem spadają w głąb jamy,  
Gdzie żyje shatek, wciąż niepokonany.  
Chełpliwy głupcze, mroku drzewa panie,  
Cóż za niemądre rzucasz mi wyzwanie!  
Jam to rekiny dręczył w mórz głębinach,  
Tak, by zwróciły kolana bogina;  
Rozdarłem w dłoniach orły na ich perci  
I wrywałem kości z ogra piersi;  
Wampiry powalałem na kolana  
I w twarz się śmiałem kapłanom Szatana.  
Chełpliwy głupcze, mroku drzewa panie,  
Nessa przyrzekła mi, i tak się stanie:  
Bo miłość nasza jest jak kwiat na skale,  
I oby słońce runęło w mórz fale,  
Jeśli nie zwrócę jej wolności! Ale  
On wciąż próbuje dosięgnąć mnie mieczem,  
Z grymasem wściekłym klingą ostrą siecze,  
Ja jednak robię unik, potem drugi,  
I z całej siły zadaję cios długi.



Przez hełm i pancerz, przez tarczę i pierś  
Tnie moja szabla, niosąc z sobą śmierć.  
Szybciej niż sokół na ofiarę spada,  
Na pół rozpruwa paskudnego gada.  
Chępliwy głupcze, mroku drzewa panie,  
Cóż za niemądre rzuciłeś wyzwanie!  
Bo nawet w śmierci ja zwyciężyć muszę,  
Pomimo grzechu, co kala mą duszę.  
Odejdę bowiem aż do Kinderquest,  
Świata, gdzie potępiony błogosławion jest,  
Gdzie może spocząć tysiąc lat, kto wie,  
W głębokim, błogim pogrążony śnie.  
Aż w końcu znudzi się bezpiecznym mrokiem,  
Rozłoży skrzydła i pomknie jak sokół  
W niebo, co głębią błękitu się mieni,  
Gdzie się skrywane wypełnią marzenia.  
Wygrałem walkę, bitwa zakończona,  
Lecz czyn wciąż jeden musi się dokonać.  
Bo mała Nessa bezustannie  
Bębni palcami po kolanie!  
W plastry soczyste kroję jej ciało  
I przypraw wonnych sypię niemało,  
Potem gotuję bulion z niej,  
Żeby ukoić uśpiony gniew.  
Bo choć kochałem jej łoża puch,  
Najbardziej lubię mieć pełny brzuch!

## **WYJĄTEK Z NOTATNIKÓW NICHOLASA BROWNE'A, STRACHARZA Z PRADAWNYCH CZASÓW.**

Słownik świata kobalosów.

Anchieta: ssak żyjący w norach, występujący w lasach północy na granicy śniegów. Kobalosi uważają ją za przysmak i zjadają na surowo. Stworzenie nie ma zbyt wiele mięsa, oni jednak szczególnie przepadają za kośćmi jego łap.

Askana: siedziba kobaloskich bogów. Prawdopodobnie inne określenie Mroku.

Baelicki: zwykły, codzienny język Kobalosów, używany jedynie w sytuacjach nieoficjalnych, w rodzinie bądź by okazać przyjaźń. Prawdziwy język Kobalosów to Losta, posługują się nim także ludzie mieszkający na granicy ich terytoriów. Jeśli nieznajomy zwróci się do innego Kobalosa po baelicku, sugeruje to sympatię, czasami stanowi też wstęp do „handlu”.

Balkai: pierwszy i najpotężniejszy z trzech kobaloskich wysokich magów, którzy stworzyli Triumwirat po zabójstwie króla i obecnie władają Valkarky.

Berserkerzy: kobaloscyc wojownicy, którzy poprzysięgli zginąć w walce.

Bosk: to oddech kobaloskiego maga, który potrafi wywoływać utratę świadomości, paraliż bądź grozę u ludzkiej ofiary. Magowie zmieniają właściwości bosku, odmieniając chemiczny skład swojego oddechu. Czasami służy też do zmiany nastroju zwierząt.

Bindos: to kobaloskie prawo wymagające, by każdy obywatel co czterdzieści lat sprzedawał na targu niewolników co najmniej jedną purrę. Niedopełnienie tego prawa czyni go wyrzutkiem, odtrąconym przez współbraci.

Bychon: kobaloska nazwa ducha, zwanego w Hrabstwie boginem.

Chaal: substancja, z pomocą której haizdan panuje nad reakcjami ludzkiej ofiary.

Cougis: bóg o psiej głowie, którego czerwoną gwiazdę widać na niebie.

Cumular, góry: wysokie pasmo górskie, wyznaczające północnozachodnią granicę Półwyspu Południowego.

Dendarskie, góry: wysokie pasmo górskie, leżące jakies

siedemdziesiąt staj na północny zachód od Valkarky. U jego podnóża wzniesiono wielki kulad zwany Karpotha: sprowadza się tam i sprzedaje więcej niewolników niż we wszystkich innych fortecach łącznie. Dexturai: kobaloscycy odmienicy, zrodzeni z ludzkich kobiet. Stwory takie, choć z wyglądu przypominające ludzi, łatwo poddają się woli Kobalosów. Dysponują ogromną siłą i odpornością i często zostają potężnymi wojownikami.

Eblis: to najpotężniejszy z Shaiksa, kobaloskiego bractwa zabójców. Zabił ostatniego króla Valkarky z pomocą magicznej lancy, zwanej Kangadonem: uważa się, że ma ponad dwa tysiące lat i że nigdy nie został pokonany w boju. Bractwo określa go dwoma innymi mianami: Ten, Którego Nie Da Się Pokonać i Ten, Który Nigdy Nie Umrze.

Erestaba: równina Erestaba leży na północ od rzeki Shanna, na terytorium Kobalosów.

Fittzanda, uskok: zwany też Wielkim Uskokiem, to obszar słynący z trzęsień ziemi i niestabilności, wyznaczający południową granicę ziem kobaloskich.

Galena, morze: morze na północny wschód od Combesarke. Leży pomiędzy tym królestwem i Pennade.

Gannar, lodowiec: wielka rzeka lodu, której źródło stanowią góry Cumular.

Ghanbalsam: żywica z drzewa ghanbala, zbierana przez maga haizdana i służąca za podstawę maści takich jak chaal.

Ghanbala: liściaste drzewo z rodziny eukaliptusów, stanowiące ulubioną siedzibę kobaloskich magów haizdanów.

Haggenmiot: wojownicza istota wyhodowana z ciała ludzkiej kobiety. Jej zadanie to udział w rytualnych walkach. Składa się z trzech jaźni połączonych wspólnym umysłem, mimo swej odrębności stanowiących jedno stworzenie.

Haizda: to terytorium maga haizdana, gdzie poluje i pielęgnuje ludzi, którzy do niego należą. Wysysa z nich krew i od czasu do czasu kradnie dusze.

Haizdan: rzadka odmiana kobaloskiego maga, który zajmuje

własne terytorium daleko od Valkarky, gromadząc mądrość z obszaru, jaki uznał za swój własny.

Handel: choć Kobalosi mają własną walutę, walkrony, często preferują bezpośrednią wymianę dóbr bądź usług, zwaną „handlem” bądź „umową”. Dotrzymanie warunków podobnej umowy to kwestia honorowa, nawet gdyby oznaczało śmierć.

Homunkulus: małe stworzenie wyhodowane z purrai w zagrodach skleech. Często mają po kilka ciał, którymi, podobnie jak u haggemiota, kieruje wspólny umysł. Jednakże nie są one identyczne, każda spełnia wyspecjalizowane zadania i tylko jedna z nich włada językiem Losta.

Hybris: grzech pychy wobec bogów. Winni owego grzechu, który powtarzają mimo ostrzeżeń, zazwyczaj ściągają na siebie gniew bogów. Sama decyzja zostania magiem to objaw hybris i niewielu przeżywa okres nowicjatu.

Hybuski: hybuski, powszechnie nazywany hybem, to szczególna odmiana wojownika stworzona i zatrudniana w walce przez Kobalosów. Stanowi hybrydę Kobalosa i konia, dysponuje też innymi atrybutami służącymi do walki. Górne części ciała ma kudłate i muskularne, łączy w sobie niezwykłą siłę i szybkość ruchów, potrafi rozszarpać przeciwnika na strzępy. Dłonie także ma specjalnie przystosowane do walki.

Kangadon: Lanca, Której Nie Można Złamać, znana także jako Królobójca, potężna broń wykuta przez kobaloskich wysokich magów; choć niektórzy wierzą, iż jest dziełem ich boga kowala, Olkiego.

Karpotha: Kulad u podnóża gór Dendarskich, w którym mieści się największy targ niewolników. Większość trafia tu wczesną wiosną.

Kashilowa: odźwierny Valkarky, który zezwala bądź odmawia wstępu do miasta. To wielki stwór o tysiącu odnóży, stworzony magią specjalnie do tego celu.

Kastarand: słowo to oznacza po kobalosku świętą wojnę, którą rozpętają Kobalosi, by pozbyć się z ziemi ludzkich istot, uważanych

za potomków uciekinierów z niewoli. Nie rozpocznie się, póki nie narodzi się Talkus, kobaloski bóg.

Kirrhos: „płowa śmierć”, która spotyka ofiary haggenniota.

Komnata Łupów: skarbiec, w którym Triumwirat przechowuje przedmioty skonfiskowane mocą magii, siłą oręza bądź wyrokiem sądu. To najpilniej strzeżone miejsce w Valkarky.

Kontraruch: ruch w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara albo wędrówki słońca po niebie. Kobalosc magowie stosują go czasem, by narzucić kosmosowi swoją wolę. Pełen hybris wiąże się z ogromnym ryzykiem.

Kulad: wieża obronna wzniesiona przez Kobalosów, strzegąca strategicznych miejsc na granicy ich terenów. Inne, leżące wewnątrz ich ziem, mieszczą w sobie targi niewolników.

Lenklewth: drugi z trzech kobaloskich wysokich magów tworzących Triumwirat.

Losta: to język, którym posługują się wszyscy mieszkańcy Półwyspu Południowego, także Kobalosi, twierdzący, iż ludzie wykradli i zniekształcili ową mowę. Kobalaska wersja Losty dysponuje słownikiem co najmniej o jedną trzecią większym niż ta ludzka, co może potwierdzać ich słowa. Z całą pewnością to anomalia lingwistyczna: dwa odmienne gatunki posługujące się wspólnym językiem.

Magowie: istnieje wiele rodzajów ludzkich magów: to samo dotyczy Kobalosów. Przybyszowi z zewnątrz jednak trudno jest ich opisać i podzielić. Nominalnie najwyższa ranga to wysoki mag: istnieje też odmiana magów zwana haizdanami, niepasująca do hierarchii, są to bowiem samotnicy, żyjący na własnych terytoriach, z dala od Valkarky. Trudno opisać i ocenić ich moce.

Mandragora: korzeń przypominający kształtem ludzką postać, czasami używany przez kobaloskich magów, kiedy chcą skupić moc drzemiącą w umyśle.

Meliann: trzeci z trzech kobaloskich wysokich magów tworzących Triumwirat.

Nowicjat: pierwszy etap studiów podejmowanych przez

haizdana, trwający około trzydziestu lat. Kandydat studiuje pod okiem jednego z najstarszych i najpotężniejszych magów. Jeśli z powodzeniem ukończy nowicjat, musi odejść, by samotnie uczyć się dalej i rozwijać swoje umiejętności.

Oszer: substancja służąca za awaryjny pokarm dla koni, zrobiona z owsa nasączonego specjalnymi chemikaliami, które pozwalają jucznemu zwierzęciu przetrwać długą podróż: niestety w rezultacie dochodzi do znaczącego skrócenia jego życia.

Olkie: bóg kobaloskich kowali. Ma cztery ręce i zęby z mosiądzu. Kobalosi wierzą, że to on wykuł Kangadon, magiczną lancę, której ciosu nie da się odbić.

Oussa: elitarna gwardia, chroniąca Triumwirat i służąca mu. Jej członkowie ochraniają też czasem grupy niewolników, prowadzone z Valkarky do kuladów na sprzedaż.

Północne Królestwa: wspólna nazwa, którą obdarza się czasem małe królestwa, takie jak Pwodente i Wayland, leżące na południe od Wielkiego Uskoku. Częściej określa wszystkie królestwa na północ od Shalloth i Serwentii.

Purra (Imnpurrai): określenie oznaczające jedną z ludzkich niewolnic, hodowanych przez Kobalosów. Można je także stosować do kobiet z haizdy. Salamandra: tulpa ognistego smoka.

Shaiksa: bractwo kobaloskich zawodowych zabójców. Jeśli jeden z nich zginie, honor nakazuje pozostałym ściganie jego pogromcy.

Shakamure: sztuka magiczna haizdanów, czerpiąca moc z krwi ofiar i wypożyczonych dusz.

Shanna, rzeka: Shanna wyznacza dawną granicę między północnymi królestwami ludzi i ziemiemi Kobalosów. Obecnie Kobalosi osiedlają się często na południe od owej linii. Obie strony już dawno odrzuciły traktat, wytyczający granice.

Shatek (zwany także dzinnem): istota, złożona z trzech części, którymi kieruje wspólny umysł. Różni się od haggenniota tym, że stworzono ją do walki w wojnach. Kilkanaście z nich zbuntowało się przeciw władzy Kobalosów. Mieszkają z dala od Valkarky, siejąc śmierć i zniszczenie w okolicy swych nor.

Shudru: kobaloska nazwa surowej zimy, panującej w Północnych Królestwach.

Skaiium: czas, kiedy mag haizdan musi zmierzyć się z niebezpiecznym złagodzeniem swojej drapieżnej natury.

Skapien: mała sekretna grupka Kobalosów w Valkarky, sprzeciwiająca się handlowi purrai.

Skelst: stwór, który żyje nad wodą i zabija ofiary, wbijając im w ciało diugi ryj i wysysając krew. Kobalosi wierzą, że tę właśnie postać przybierze w chwili narodzin ich bóg, Talkus.

Skleech, zagrody: zagrody w Valkarky, w których Kobalosi trzymają ludzkie niewolnice, służące im za pokarm i do hodowli nowych użytecznych hybryd.

Sklutch: odmiana stworzeń, służących Kobalosom. Specjalizują się w oczyszczaniu ścian i sufitów w Valkarky z szybko porastających je grzybów.

Skoja: materiał, powstający w ciałach whoskorów, z którego zbudowano Valkarky.

Skulka: jadowity wąż wodny, którego ukąszenie wywołuje natychmiastowy paraliż. Często wykorzystywany przez kobaloskich zabójców, unieruchamia ofiarę, którą z łatwością można zabić. Jad skulki jest niewykrywalny we krwi ofiary.

Slarinda: kobiety Kobalosów. Wymarły ponad trzy tysiące lat temu. Zostały wymordowane z powodu kultu kobaloskich mężczyzn, nienawidzących kobiet. Teraz Kobalosi rodzą się z purrai, ludzkich kobiet, więzionych w zagrodach skleech.

Staja: odległość, którą galopujący koń pokonuje w pięć minut.

Talkus: bóg Kobalosów, który jeszcze się nie narodził. Po przyjsciu na świat przybierze postać skelta. Imię Talkus oznacza Tego, Który Jeszcze Nie Nadszedł. Czasami określa się go też mianem Nienarodzonego.

Therskold: próg, który oznaczono słowem zakazu bądź bólu. To wyjątkowo niebezpieczny obszar haizdy, nawet ludzki mag bardzo ryzykuje, przekraczając podobny portal.

Triumwirat: ciało rządzące Valkarky, złożone z trzech

najpotężniejszych wysokich magów w mieście. Utworzone po tym, jak ostatni król Valkarky zginął z ręki Eblisa, zabójcy Shaiksa. W gruncie rzeczy to dyktatura, utrzymująca się u władzy przy użyciu bezwzględnych metod. W mieście nigdy nie brak kandydatów, gotowych zastąpić trzech członków Triumwiratu.

Tulpa: istota stworzona w umyśle maga, czasami przybierająca postać w świecie rzeczywistym.

Ulska: bardzo rzadka, śmiertelna kobaloska trucizna, która pali ofiarę od środka. Wydobywa się ją z gruczołów u podstawy szponów haggemiota. Wywołuje kirrhos, zwany „płową śmiercią”.

Unktus: pomniejszy kobalowski bóg, czczony jedynie przez najuboższych nędzarzy z miasta. Przedstawia się go w koronie z dwoma niewielkimi kręconymi rogami.

Valkarky: główne miasto i stolica Kobalosów, leżące tuż za Kołem Polarnym. Jego nazwa oznacza Miasto Skamieniałego Drzewa.

Walkron: mała moneta, często nazywana walk, używana na całym Półwyspie Południowym, zrobiona ze stopu złożonego w dziesiątej części ze srebra. Jeden walkron to dzienna zapłata zwykłego kobaloskiego żołnierza.

Whalakai: inaczej „wizja tego, co będzie”, to chwila percepcji, nawiedzająca zarówno wysokich magów, jak i haizdanów. To objawienie, które ukazuje im w jednym przeblysku całkowity obraz sytuacji, ze wszystkimi złożonymi niuansami, które do niej doprowadziły – Kobalosi wierzą, iż wizje te zsyła Talkus, Bóg, Który Jeszcze Nie Nadszedł, i że mają doprowadzić do jego narodzin.

Whoskor: ogólna nazwa stworzeń, służących Kobalosom do niekończącej się rozbudowy miasta Valkarky. Mają szesnaście odnóży, z których osiem służy do kształtowania skoi, miękkiego kamienia, który wydzielają z pysków.



Alice

Spook's: Alice

Piekło ma wiele nazw.  
Niektórzy nazywają je Światem Podziemi.  
Inni Hadesem albo Otchłanią.  
My, czarownice, zwiemy je po prostu „Mrokiem”.  
To nasz początek i nasz koniec.

## ROZDZIAŁ 1

### MUSISZ ZAPŁACIĆ

Kiedy pierwszy raz spotkałam Toma Warda, ucznia stracharza, uczyłam się na wiedźmę, o tak. Powinniśmy zostać wrogami, lecz po bardzo niepewnym początku w końcu się zaprzyjaźniliśmy. Pomagałam mu i walczyłam z Mrokiem u jego boku. To wtedy poznałam straszliwą prawdę o swoim pochodzeniu – jestem jedną z córek Złego, a Koścista Lizzie to moja prawdziwa matka.

Nadal jednak pomagałam Tomowi i staremu Gregory’emu, stracharzowi. Mimo swojego pochodzenia nie mogłam przejść na stronę Mroku. Razem walczyliśmy ze Złym, pomagała nam też Grimalkin, wiedźma zabójczyni, i w końcu zadaliśmy straszliwy cios: odcięliśmy mu głowę, a ciało przybiliśmy srebrnymi włóczniami, by pozostał uwięziony w martwej skórze.

Wiedząc, że jego słudzy będą bezlitośnie ją ścigają, Grimalkin rzuciła się do ucieczki z głową Złego owiniętą w skórzaną torbę. Walczyła z każdą istotą, która stanęła jej na drodze. Wiedziałam, że to kwestia czasu, nim zostanie schwytana – nawet potężna wiedźma zabójczyni nie zdołałaby pokonać tak wielu mrocznych stworów. Zabiwszy Grimalkin i odzyskawszy głowę, zabiorą ją do Irlandii i połączą z resztą ciała Złego. Wówczas znów będzie mógł swobodnie poruszać się po świecie i rozpocznie się nowa era ciemności i grozy.

Tylko jedno może go powstrzymać – istnieje jeden sposób, by

zniszczyć go na zawsze. W następne święto zmarłych, od którego dzieli nas niecałe cztery miesiące, mój przyjaciel Tom Ward musi o północy odprawić rytuał ofiarny. Rytuał wymaga użycia trzech kling zwanych mieczami bohaterów. Tom ma już dwie z nich, trzecią jednak ukryto w Mroku i to ja muszę ją odzyskać.

Szczegóły rytuału przekazała mu jego własna matka, pierwsza i najpotężniejsza ze wszystkich lamii. Zginęła w Grecji, walcząc z Ordyną, jedną ze starych bogów, lecz jej duch zachował swą siłę i próbowała nam pomóc rozprawić się ze Złym.

Ale Tom ukrył przede mną część rytuału; sama musiałam ją odkryć...

Chodzi o ofiarę. Musi mieć na podorędziu chętną ofiarę. Ktoś musi zginąć.

Tom ma poświęcić osobę, którą kocha najbardziej ze wszystkich.

Czyli mnie.

Ruszyłam zatem w Mrok, by odzyskać sztylet zwany Posępnym – ostrze, które mnie zabije.

Jest tylko jedna rzecz gorsza od Mroku, mam rację? To, co kryje się w jego wnętrzu – stwory nazywające go domem...

\*

Trafiło tam mnóstwo moich wrogów – zwolenników Złego. Zamaskowałam się zatem z użyciem najpotężniejszej znanej mi magii. Nie byłam pewna, czy to wystarczy. Magia wywodzi się właśnie z Mroku, ojczyzny starych bogów. A ja byłam sama.

Już raz odwiedziłam Mrok – porwana przez Złego. Każdy ze starych bogów ma w Mroku swój dom – osobiste królestwo, należące wyłącznie do niego – i jeden z nich mi pomógł. Sprowadził z powrotem na ten świat, o tak. Pan, podobnie jak inni, pragnie, by zostawiono go w spokoju i niechętnie wita intruzów. Gdybym znalazła drogę do jego królestwa, nie czekałby tam na mnie żaden z moich wrogów. Oczywiście, nie miałam gwarancji, że on sam nie zniszczyłby mnie w zemście za wtargnięcie.

Pan ma dwa aspekty, dwie różne postaci. Jedna jest tak

straszna, że większość ludzi popada w obłąd spojrzawszy w jego oblicze; mam nadzieję, że nigdy nie będę musiała jej oglądać. Druga postać to ta, z którą pragnęłam porozmawiać.

Dostanie się do królestwa Pana nie powinno być trudne, dysponowałam bowiem potężną magią. Pan zazwyczaj mieszka w Mroku, ale jest także bogiem natury. Jego dom nigdy nie leży zbyt daleko od naszego świata.

Każdy, kto samotnie przebywał w lesie, wyczuwał jego obecność. Czasami wokół zapada cisza i bezruch, i wszystko, co żyje, zdaje się powstrzymywać oddech. W poszyciu nic nie szeleści, nie wieje najłżejszy wietrzyk, czuje się tylko obecność czegoś gigantycznego i niewidzialnego.

To oznacza, że Pan jest w pobliżu.

Wybrałam zatem lasek na południowy wschód od Chipenden, niedaleko rzeki Ribble. Gdybym faktycznie zdołała wrócić bezpiecznie ze sztyletem, nie musiałabym długo wędrować, by znów odnaleźć Toma Warda.

Znalazłam samotne miejsce, usiadłam w długiej trawie i oparłam się wygodnie plecami o pień drzewa. Bałam się, cała dygotałam ze strachu, zaczęłam zatem oddychać powoli, głęboko, by się uspokoić. Potem czekałam na właściwy moment.

Nadszedł tuż przed zmierzchem.

Wszystko wokół ucichło i znieruchomiało; wiedziałam, że tak będzie. W pobliżu przebywał Pan. Zupełnie jakby stał tuż za zasłoną, tak blisko, że mogłam go dotknąć.

Przywołałam swoją magię i spróbowałam wniknąć do jego krainy. Okazało się to znacznie trudniejsze, niż oczekiwałam – dopiero po bardzo długim czasie znalazłam drogę. Zupełnie jakbym szukała maleńkiego zamka w wielkich drzwiach, mając zasłonięte oczy. Wciąż nie mogłam znaleźć wejścia, opierało się wszelkim moim wysiłkom tak długo, iż sądziłam już, że się nie uda. I wtedy nagle znalazłam się tam i zalała mnie fala uczuć: mieszanina radości z powodu sukcesu, niepokoju po dotarciu do krainy Pana i odrobiny lęku.

Stałam niedaleko jeziora, jarzącego się ostrym zielonym blaskiem. Niebo nade mną było ciemne, wiedziałam więc, że nie jest to odbite światło. Wszystko wokół jaśniało tą samą zielenią – nawet pnie drzew. Zieleń to kolor natury. Kolor Pana.

Na brzegu rzeki rosły wysokie trzciny, za nimi, po drugiej stronie cienkie, młode jesiony, wszystko jednak trwało w bezruchu. Nic się nie poruszało oprócz mojej piersi, wznoszącej się i opadającej gwałtownie. Trzy razy odetchnęłam głęboko, próbując spowolnić szalejące serce.

Musiałam zachować spokój.

Tuż za drzewkami zaczynał się las, wysokie, liściaste drzewa z gatunku, którego nie rozpoznałam. Pokrywające je kwiaty sugerowały wczesną wiosnę – nie były jednak białe ani różowe, ale również zielone.

Zupełnie jakby las żył i słuchał mojego urywanego oddechu i łomotania serca. Słowo „panika” wywodzi się od imienia Pana. Mówią, że jeśli pojawi się w swej strasznej postaci, jego przybycie poprzedza obezwładniająca groza. Niewielu przeżyło, by móc o tym opowiedzieć.

Czy teraz zbliżał się do mnie w tym właśnie swoim aspekcie? Jeśli tak, to nie odczuwałam grozy.

W tym momencie usłyszałam z dali wysoką, piskliwą melodię. Czyżby to Pan w swej dobrotliwej postaci grał na trzcinowej fletni?

Pozostała mi tylko nadzieja.

Okrążyłam zatem zielone jezioro, precisięłam się przez gąszcz młodych drzewek i znalazłam się w lesie. Pospieszyłam w stronę, z której dobiegała muzyka, i wkrótce ujrzałam szeroką polanę, gęsto porośniętą paprociami. Jej środek udeptało wiele stworzeń: zajęce, króliki, szczury, myszy, nornice, parę borsuków i rudy lis z puchatą kitą; gałęzie w górze uginały się od ptaków. Wszystkie milczały i w bezruchu słuchały zafascynowane, wpatrując się w źródło owej cudownej muzyki.

Pan, wyglądający niczym młody, blady chłopiec o jasnych włosach, siedział na pniu, grając na trzcinowym flecie. Wyglądał

dokładnie tak, jak go zapamiętałam. Zdawało się, że ma na sobie strój spleciony z trawy, liści i kory, jego twarz przypominała ludzką, lecz uszy, wystające pomiędzy długich, potarganych włosów, były wydłużone i szpiczaste. Zauważyłam też zielone paznokcie u bosych stóp, tak długie, że spiralami zakrzywiały się ku górze.

Stary bóg spojrział na mnie i przestał grać, tym samym łamiąc czar muzyki. Leśne stworzenia umknęły, ptaki wzbiły się w niebo tak szybko, że gałęzie nad nami zaczęły tańczyć. Po chwili zostaliśmy sami.

Zmierzył mnie gniewnym wzrokiem i jego twarz zaczęła zmieniać się w coś groźnego i zwierzęcego. Poczułam lodowaty dreszcz strachu. Jeszcze kilka sekund i chłopiec zniknie, a ja będę musiała stawić czoło drugiemu złowrogiemu aspektowi boga.

– Proszę! Proszę! – zawołałam. – Jestem Alice, pamiętasz mnie? Raz już mi pomogłeś. Proszę, wysłuchaj mnie. Nie chciałam cię przecież urazić, o nie!

Ku mojej uldze zmiana ustała i powoli odwróciła się tak, że znów patrzyłam na chłopca – choć twarz miał bardzo poważną, bez cienia uśmiechu. Potem wykrzywił ją grymas gniewu.

– Na zbyt wiele sobie pozwalasz – warknął. – Wyjaśnij, dlaczego nie powinienem porazić cię z miejsca?

– Nie mam złych zamiarów – odparłam. – Przepraszam, że wtargnęłam tu bez zezwolenia. Raz już mi pomogłeś, o tak, i jestem ogromnie wdzięczna, a teraz znów potrzebuję twojej pomocy. Muszę przynieść coś z mroku, a to najbezpieczniejsze miejsce, jakie przyszło mi do głowy. Mam tu wielu wrogów, ale wiem, że nie odważą się tu przybyć ze względu na ciebie.

– Ale ty się odważyłaś! I musisz zapłacić za taką bezczelność!

– Zapłacę, co tylko zechcesz, jeśli tylko nie odbierzesz mi życia. Nie boję się śmierci – wszyscy kiedyś musimy umrzeć – ale muszę oddać je komuś innemu. Moje życie ma zostać złożone w ofierze. Pomóż mi, proszę. Muszę znaleźć sztylet, ukryty pod tronem Złego. Wskaż mi tylko granicę jego królestwa i pozwól później znów tędy

uciec... Tylko o to proszę.

Pan wyglądał na zaintrygowanego.

– A czemu tak ci zależy na odzyskaniu tego sztyletu?

Dzięki postrzeganiu dowiedziałam się, że mam zostać złożona w ofierze, lecz później, kiedy Tom Ward leżał nieprzytomny, dochodząc do siebie po walce z Siscoi, wampirzym bogiem, wyjęłam mu list z kieszeni i przeczytałam kilka razy, by dobrze wszystko zapamiętać. Nie widziałam powodu, aby teraz nie powtórzyć tego bogu – ostatecznie wiedział już, jak skrepowaliśmy Złego. To właśnie osłabienie jego mocy pozwoliło Panowi powrócić do świata w górze.

– Potrzebne nam trzy święte przedmioty do rytuału, który na zawsze zniszczy Złego: miecze bohaterów wykute przez starego boga kowala. Tom Ward musi je mieć przy sobie, kiedy go odprawi.

– Wiem o tych klingach – odrzekł Pan. – Zadały ludziom wiele cierpienia i nieszczęść. Który z nich ukryto w ciemności?

– Tom ma już Klingę Przeznaczenia i Rębacza Kości. Ten, po którego mnie tu przysłano, nazywa się Posepny – wyjaśniłam.

– Ach, ale Brzeszczot Smutków to zdecydowanie najgorszy z całej trójki. Dla ludzkości byłoby lepiej, gdyby nie powrócił do waszego świata.

– Lecz dzięki niemu możemy zniszczyć naszego najgorszego wroga!

Pan powoli pokręcił głową i przyjrzał mi się z przejmującą litością.

– Niemądra ludzka istota: nie rozumiesz, co się stanie? Może i zdołacie zniszczyć Złego, ale nie Mrok, bo on zawsze znajdzie sposób, by osiągnąć równowagę ze Światłem. Jeśli zniszczycie obecne zagrożenie, pojawi się nowe. Zabijcie najpotężniejszą istotę z Mroku, a inna zyska w końcu dość mocy, by ją zastąpić.

Nie takie słowa pragnęłam usłyszeć. Czy oznaczało to, że poświęcę życie nadaremnie? Ale on mówił o długofalowych skutkach naszych wysiłków, my natomiast musieliśmy rozwiązać sytuację tu i teraz. To, co wydarzy się w odległej przyszłości, miało

mniejsze znaczenie.

– Jeśli tak będzie, to trudno, nic na to nie poradzę, prawda? Ale zaatakowaliśmy już Złego i mocno go zraniliśmy. Jeśli dojdzie do siebie i odzyska dawne moce, wyrze straszliwą zemstę. Nie mówię tylko o sobie, Tomie i starym Gregorym – ucierpi cały świat. Musimy zatem jakoś go powstrzymać, a rytuał trzeba odprawić w nadchodzące Święto Zmarłych, inaczej będzie za późno.

Pan wpatrywał się we mnie bardzo długo, aż zaczęły mi dygotać kolana pode mną. Dysponowałam potężną magią, przez moment zastanawiałam się nawet, czy jej nie użyć, ale wiedziałam, że nie mam szans w starciu z jednym ze starych bogów w samym sercu jego krainy. Mógłby zabić mnie natychmiast, a wówczas wszystko, co uczyniłam, poszłoby na marne.

Skinął szybko głową.

– Opowiedz mi coś więcej o tym rytuale – polecił.

– Trzeba go odprawić na specjalnym wzgórzu w Hrabstwie, zwanym Kamieniem Strażniczym. Należy zbudować tam kuźnię – wyjaśniłam. – Ofierze nie wolno krzyknąć, nieważne jak bardzo będzie cierpieć. Sztylet zwany Rębaczem Kości nosi właściwe miano – to on odetnie jej kości kciuków. Jeśli krzyknie, gdy będą jej odrąbywać palec z prawej dłoni, ofiara pójdzie na marne. Po wrzuceniu kości w ogień to samo spotka lewą dłoń, następnie sztyletem, po który przybyłam, zostanie wycięte serce ofiary i wciąż bijące zostanie ciśnięte w płomienie.

– Mówisz „ofiara”, „kości kciuków”, „serce ofiary” jakby należały do kogoś innego, ale ten straszliwy los czeka ciebie. Nie wiesz o tym? – spytał Pan.

Skinęłam głową i niezdolna spojrzeć mu w płonące oczy, spuściłam wzrok.

– Oczywiście, że wiem. Tylko odsuwając od siebie myśl o tym, mogę znieść tę wiedzę.

– I sądzisz, że kiedy nadejdzie właściwa chwila, zdołasz znieść ból? Kiedy odetną ci kości dłoni, ciało może nie posłuchać i krzyknąć. Być człowiekiem, to być słabym – dla was pewne rzeczy



są nie do zniesienia.

– Postaram się najlepiej, jak umiem – to wszystko, co można zrobić, czyż nie?

Pan przytaknął i po raz pierwszy wydawał się mniej rozgniewany. Kiedy odpowiedział, jego głos zabrzmiał łagodniej.

– Może jesteś niemądra, ludzka istota, ale też odważna. Przeprowadzę cię przez swoje ziemie i wskażę następny etap twojej podróży.

Wędrowaliśmy w milczeniu, Pan wyprzedzał mnie o pięć kroków, maszerując pośród drzew. Wokół zalegała cisza, miałam wrażenie, że maszerujemy bez końca, w Mroku bowiem trudno ocenia się upływ czasu. I to mnie niepokoiło.

Ze swej ostatniej wizyty wiedziałam, że czas zachowuje się tu inaczej: zdawało mi się, że spędziłam wiele lat w niewoli u Złego, lecz po powrocie na ziemię odkryłam, iż minęły jedynie tygodnie. Wiedziałam, że równie dobrze może wydarzyć się coś odwrotnego. Czas w Hrabstwie mógł płynąć szybciej, a od Święta Zmarłych dzieliły nas zaledwie cztery miesiące. Nawet gdyby udało mi się odzyskać sztylet, mogę wrócić za późno.

Las powoli zaczynał rzednąć, wielkie, pradawne drzewa ustępowały miejsca młodszym oraz zaroślom. Dokładnie przed nami widziałam coś, co przypominało rozległą równinę, którą przecinała ścieżka, zaczynająca się tuż za ostatnim drzewem. Poza zasięgiem zielonego blasku lasu w krainie panowała ciemność – prócz wąskiej ścieżki, ułożonej z małych, białych kamieni.

– Tutaj muszę cię zostawić – oznajmił Pan. – Podążaj białą ścieżką przez otchłań, leżącą pomiędzy królestwami. Zaprowadzi cię do następnego.

– Na terytoria Złego? – spytałam.

Pan pokręcił głową.

– Któż może rzec? Krainy Mroku nieustannie się przesuwają i zmieniają położenie względem siebie. Nic nie zostaje długo takie samo. Jeśli jednak zdołasz jeszcze tu trafić, pomogę ci wrócić do twojego świata. Przybyłaś jednak do mego królestwa bez

zaproszenia, pamiętaj zatem, że nim odejdiesz, zażądam, byś zapłaciła za to zuchwalstwo.

Jeszcze przez moment wpatrywałam się w ścieżkę. Kiedy odwróciłam się, by spytać Pana, jaka będzie cena, już zniknął.

Stałam bez ruchu, ale zielone drzewa oddalały się. Na moich oczach las skurczył się szybko, aż w końcu wydawał się nie większy niż księżyc na ziemi. Chwilę później rozmiarami dorównywał gwiazdzie, a potem zupełnie zniknął. Czy naprawdę zmałał, czy też po prostu odsunął się ode mnie? Nie potrafiłam stwierdzić.

Zostałam sama, a wszędzie wokół niepodzielnie włądała ciemność. Powęszyłam trzy razy, szukając zagrożenia. Uznawszy, że nic mi nie grozi, weszłam na ścieżkę i ruszyłam naprzód. Każdemu ostrożnemu krokowi szpiczastych trzewików towarzyszył głośny chrzęst kamieni. Droga była idealnie prosta, z każdą chwilą coraz mniej wyraźna, aż w końcu w dali stawała się zaledwie cieniutką kreską. Widziałam tylko białe kamienie. Przyspieszyłam kroku, maszerując naprzód.

I znów z trudem oceniałam upływ czasu, nie wiem zatem, jak długo tak szłam, gdy gdzieś po lewej usłyszałam odległe wycie. Brzmiało jak zew myśliwski wilka bądź też innego wielkiego drapieżnika.

Z nagłym niepokojem jeszcze przyspieszyłam kroku, wyęzając słuch. Znów uświadomiłam sobie, z jak głośnym chrzęstem moje stopy uderzają o kamienistą ścieżkę. Jeśli to naprawdę wilk i nadal mnie nie wywęszył, z pewnością zwabi go odgłos kroków? Postanowiłam iść dalej obok ścieżki, nie po niej.

Kiedy jednak spróbowałam z niej zejść, mój lewy but nie natrafił na żaden opór – niczego tam nie było, nawet ziemi.

Pan wspomniał, że między krainami rozciąga się otchłań. A czymże jest otchłań, jeśli nie wielką pustką, bezdenną przepaścią?

Lecąc naprzód w mrok rozpaczliwie przekręciłam się i zdołałam upaść z powrotem na ścieżkę. Potem, cudem uniknąwszy katastrofy, z gwałtownie walącym sercem uklękłam i spojrzałam w

dół. Lewą dłonią sięgnęłam tam i niczego nie poczułam. Cóż mi zatem pozostało? Musiałam iść dalej, trzymając się dróżki.

Serce zwolniło do zwykłego rytmu. Do wtóru chrzęstu i zgrzytania maszerowałam dalej, starając się znaleźć najlepsze wyjaśnienie tego, co zaszło. Albo ziemia zniknęła, albo też cała ścieżka w jakiś sposób wzniosła się w górę – a w takim razie co ją podtrzymuje?

Łowiecki zew zabrzmiał znowu, tym razem znacznie bliżej, ale z dołu. Faktycznie zatem zostawiłam pod sobą grunt. Na razie byłam bezpieczna – chyba że stwór w jakiś sposób zdoła dostać się na ścieżkę.

Wkrótce znów usłyszałam wycie – tym razem bliżej – i natychmiast ogarnął mnie lęk. Czy już natrafił na mój trop? Szłam teraz szybko, zastanawiając się, jakie stworzenie mnie ściga. Czy na mnie poluje? Czy to jakiś demon? Obejrzałam się i w dali dostrzegłam coś pędzącego ku mnie na czterech łapach. Przypominało niewielkiego psa, ale może sprawił to fakt, iż wciąż dzieliła nas spora odległość. Tak naprawdę nie miałam pojęcia o jego rozmiarach. Puściłam się biegiem. Trudno było poruszać się zbyt szybko na tych kamieniach, pośliznęłam się i o mało nie upadłam na twarz.

Zaryzykowałam kolejne spojrzenie i natychmiast tego pożałowałam.

Stwór, który mnie ścigał, wydawał się teraz bardzo duży, bardziej podobny do wilka niżli psa; doganiał mnie z każdą sekundą. Jego pysk miał w sobie coś osobliwego. Owszem, przypominał zwierzęcy pysk wilka, był jednak podstępny, przebiegły, niemal ludzki.

Nagle pojęłam dokładnie, co mnie ściga.

To był krecz, stwór stworzony przez czarownice, by doścignąć i zabić Grimalkin, dźwigającą głowę Złego. Spłodzony przez demona Tanakiego, dysponował ogromną mocą regeneracji i stopniowo nabierał coraz więcej sił, ucząc się z każdego kolejnego starcia z wiedźmą zabójczynią. Jedną z jego broni stanowiła śmiertelna

trucizna – osłabił nią Grimalkin tak bardzo, że tylko z pomocą mojej magii wiedźma zdołała go w końcu zabić.

Teraz na nowo istniał w Mroku.

A ja byłem jego celem. Miałam nadzieję przekraść się przez Mrok niepostrzeżenie, spotykając tylko Pana. Cóż za głupota! Tutejsze stwory zachowywały czujność, a ten już mnie znalazł.

Nie chciałam posłużyć się magią – nie była niewyczerpana, a może się zdarzyć, że będzie mi jeszcze potrzebna i nie tylko... Każde użycie mrocznej magii przybliżało mnie do zostania prawdziwą bezecną wiedźmą o okrutnym, kamiennym sercu. To właśnie martwiło mnie najbardziej.

Ale w tym przypadku nie miałam wyboru. Postanowiłam oszczędzać swą moc i wykorzystać jedynie minimum. Wysiłałam wolę i ścieżkę zasnuła gęsta mgła, tak że nie widziałam już krecza. Dodałam do tego zaklęcie mylące.

Nie wiedziałam, czy w ogóle zadziała na podobnego stwora, lecz po paru sekundach znów zawył – nie tryumfalnie i okrutnie, jak przystało łowcy, lecz żałośnie i ze zdumieniem.

Nie potrafiłam orzec, jak długo pozostanie oszołomiony, znów zatem pobiegłam, aż w końcu mgła i krecz zostały daleko w tyle.

Wkrótce pojawił się nowy powód do niepokoju, gdy pojęłam, iż w dali widzę koniec ścieżki. Biała linia kamieni po prostu się urywała, za nią leżała wyłącznie ciemność.

Co, jeśli pozostanę uwięziona w przestrzeni między krainami? Czy ścieżka zaczynała się i kończyła pustką? W końcu przed sobą ujrzałam mroczne, skalne urwisko i zrozumiałam, że biała ścieżka jednak się nie kończy: po prostu zniknęła w wylocie niewielkiej jaskini.

Czy to była brama do następnego królestwa?

Wewnątrz płonęło żółte światło. Jeśli się nie myliłam, rzucał je migoczący płomyk świecy. Do kogo należała? Ostrożnie zbliżyłam się do wejścia i przystanąłam, zaglądając do środka.

Spojrzała na mnie para lśniących, szafirowych oczu. Ujrzałam dziewczynę mniej więcej w moim wieku. Przycięte krótko czarne

włosy okalały twarz, na której lewym policzku widniał niewielki tatuaż przedstawiający niedźwiedzia. Dziewczyna siedziała na ziemi ze skrzyżowanymi nogami, unosząc ku mnie ręce. Okaleczono je – kapiała z nich krew i natychmiast dostrzegłam dlaczego. W miejscu kciuków widniały dwie paskudne rany.

– Ty musisz być Alice – powiedziała. – Ja nazywam się Thorne.

## ROZDZIAŁ 2

### KRE CZ

Thorne była dziewczyną, którą Grimalkin szkolila na wiedźmę zabójczynię. Nigdy się nie spotkałyśmy; czarownica ukrywała jej istnienie przed większością ludzi, ale wiedziałam o niej wszystko, a zwłaszcza to, jak zginęła. Zamordowali ją słudzy Złego na skraju Wiedźmiego Jaru. Jeszcze za życia odcięli jej kciuki.

Oczy, przyglądające mi się z taką powagą, były zaskakująco łagodne, lecz gibkie ciało opasane licznymi rzemieniami, z których zwisały najróżniejsze klingi, świadczyło o tym, iż mam do czynienia z wojowniczką.

– Wiesz, że coś cię ściga? – spytała.

– Tak. To chyba krecz – odparłam. – Zatrzymałam go magią, ale nie podziała zbyt długo.

Stwór znajdował się już poza zasięgiem śmierci. Jak można go powstrzymać?

Zupełnie jakby usłyszał, że o nim rozmawiamy, z ciemności dobiegło kolejne wycie, ponownie drapieżne i zwycięskie; dochodziło z bardzo bliska.

– Musimy się spieszyć! – Thorne zerwała się z ziemi. – Weź świeczkę i choć za mną.

Spojrzałam za nią i przekonałam się, że jaskinia przechodzi w tunel.

Thorne odwróciła się ku niemu, ja chwyciłam świecę i

pobiegłam śladem dziewczyny.

Czasami sklepienie tunelu zniżało się tak bardzo, że musiałyśmy pochylać głowy, nawet pełznąć na czworakach. W pewien sposób dzięki temu czułam się lepiej – jak bowiem krecz zdołałby się precyzyjnie przemieszczać przez tak ciasne przejście? Potem jednak na moment trafiałyśmy do grot tak olbrzymich, iż blask świecy nie sięgał powały. Wysoko nad nami wznosiły się półki i wyczuwałam patrzące na nas wrogie, złowieszcze oczy.

– Czyje to królestwo? – spytałam wstrząśnięta, gdy mój głos, odbijając się echem, wypełnił podobną przestrzeń.

Słyszając to pytanie, Thorne zatrzymała się nagle i odwróciła, przykładając palec wskazujący do ust na znak, bym zachowała milczenie. Z okrutnie okaleczonych dłoni wciąż kapiała krew.

– Nadal znajdujemy się w miejscu między krainami, ale czasami biała ścieżka ustępuje miejsca tunelom. Jest w nich nieco bezpieczniej – są zbyt ciasne, by pomieścić coś dużego i niebezpiecznego.

– W takim razie jak duży jest krecz? Grimalkin mówiła, że rozmiarami dorównuje niewielkiemu koniowi. Zdoła pójść za nami?

– Zdoła i pójdzie – odparła Thorne. – Tutejsze prawa rządzące rozmiarem, materią i odległością bardzo różnią się od tych obowiązujących na ziemi. Możliwe, że już nas dogania, ale wielkość to nie najgorsza jego cecha. Spłodził go Tanaki, jeden z ukrytych demonów żyjących w otchłani, on także może nas ścigać. Na szczęście jednak krecz jest zbyt duży, by przedostać się do sieci tuneli.

– Czekając na mnie? – spytałam.

Thorne przytaknęła.

– Masz tu nie tylko wrogów, ale i przyjaciół. Dołożę wszelkich starań, by ci pomóc. Ale po co przybyłaś? Żywi nie powinni wkraczać w Mrok.

Przez moment zawahałam się. Czy mogłam zaufać Thorne? Potem jednak przypomniałam sobie, jak bardzo Grimalkin wychwalała swoją uczennicę: nigdy nie słyszałam, by wiedźma

zabójczynie mówiła o kimś tak ciepło. Poza tym byłam sama w Mroku i nie spodziewałam się pomocy. Dzięki wsparciu dzielnej sojuszniczki, takiej jak Thorne, moje szanse powodzenia znacznie wzrosną.

– Muszę odnaleźć królestwo Złego – oznajmiłam. – Pod jego tronem leży sztylet. Można go użyć w specjalnym rytuale, który raz na zawsze zniszczy Złego. Ale co z tobą, Thorne? Skąd wiedziałaś, kiedy przybędę i gdzie mnie znaleźć?

– Później porozmawiamy i opowiem ci część z tego, co wiem o Mroku – obiecała Thorne. – Musisz się wiele nauczyć, najpierw jednak trzeba dotrzeć do następnej krainy. Jeśli się nam poszczęści, będzie należała do Złego – wówczas zrobisz co należy i opuścisz to miejsce.

Wolałabym usłyszeć odpowiedź na swoje pytanie, jednakże, choć spędziłam sporo czasu w Mroku jako więzień, to Thorne tu przeżyła. Na razie zatem uznałam, iż najlepiej będzie przyjąć, że wie więcej ode mnie i pozwolić jej prowadzić.

Wkrótce dotarłyśmy do końca systemu tuneli i przed sobą znów ujrzałyśmy biegnącą w ciemność nad otchłanią białą ścieżkę. Wyglądała identycznie jak ta, którą przybyłyśmy. Kto wie, może w jakiś sposób zatoczyłyśmy pełny krąg i wróciłyśmy w miejsce, z którego zaczęłam wędrówkę po jaskiniach?

Thorne pierwsza wyszła na ścieżkę, zdmuchnęłam zatem świecę i wcisnęłam do kieszeni spódnicy.

– Ile czasu trzeba, byśmy dotarły do następnej krainy? – spytałam.

Wzruszyła ramionami.

– Tu wszystko porusza się i przesuwa. Nie potrafię ci odpowiedzieć. Niezbyt długo przebywam w Mroku. Wiele tutejszych istot znacznie lepiej orientuje się, zwłaszcza demony: mogą dotrzeć z miejsca na miejsce niemal w mgnieniu oka.

Było to niebezpieczne i straszne miejsce. Thorne mnie znalazła; skoro jej się udało, równie dobrze może tego dokonać służący Złemu demon. Uznałam jednak, że nie ma sensu rozważać

podobnych ewentualności: zajmę się zagrożeniami kiedy już się pojawią.

Gdy tak wędrowaliśmy w ciemności, zdawało się, że poza nami dwiema i białą ścieżką nie istnieje nic poza rytmicznym chrzęstem kamyków pod stopami.

Trudno było ocenić upływ czasu, zaczęłam zatem liczyć kroki, by się zorientować. Dotarłam niemal do tysiąca, gdy usłyszałyśmy za plecami złowrogie wycie krecza. Zdołał się przedostać przez wąski tunel!

Thorne przyspieszyła kroku. Gdy dźwięk znów zabrzmiał, pomknęła naprzód, a ja popędziłam za nią bez chwili wahania.

Teraz wycie rozlegało się coraz głośniejsze i częściej. Stwór nas doganiał. Thorne zatrzymała się gwałtownie i odwróciła, spoglądając przez ramię. Uczyniłam to samo: na razie ledwie było go widać, ale pędził ku nam susami, zbliżając się coraz bardziej. Wkrótce dostrzegłam już szczegóły.

Wyglądał tak, jak opisała go Grimalkin – podobny był do gigantycznego wilka – gdy jednak dotarł bliżej, zauważyłam znaczące różnice. Choć biegł, jak się zdawało, na czterech łapach, pierwsze dwie kończyny bardziej przypominały potężne, muskularne ręce, zdolne zgruchotać kości przeciwnika i rozszarpać ciało na krwawe strzępy. Futro miał czarne, ale na potężnym grzbiecie jaśniały srebrzystoszare plamki. W ciele otwierały się sakwy, z których sterczały rękojeści broni, miał jednak także ostre, zatrute szpony. Jedno zadrapanie niemal zabiło Grimalkin; pozostały po nim wciąż nawiedzające ją ataki słabości, podczas których mogła paść ofiarą nieprzyjaciół.

Nie chciałam, by to samo spotkało mnie. Byłam gotowa znów użyć magii, ale Thorne miała inne plany.

– Zostań za mną, Alice! – poleciła, potem wystąpiła naprzód, by stawić czoło Kreczowi.

Ku memu zdumieniu zrzuciła szpiczaste trzewiki i balansując na jednej nodze, sięgnęła lewą stopą do skórzanych pasów przecinających ciało. Chwyciwszy palcami rękojeść, dobyła klingi z



pochwy.

Teraz krecz pędził wprost ku niej, oczy miał pełne złości i nienawiści, zęby gotowe rozszarpać ciało. Thorne kopnęła gwałtownie i klinga wyfrunęła z jej palców u nogi, odbijając się rykoszetem od czoła bestii i o włos omijając oko.

Zmieniła nogi, teraz balansując na lewej. Tym razem to palce prawej stopy wybrały nóż.

Podziwiałam jej spokój. Krecz prawie ją dopadł, gdy druga klinga pomknęła naprzód i wbiła się po rękojeść w lewe oko bestii – dokładnie w sam środek celu. Stwór ryknął z bólu i wspiął się na tylne łapy, próbując wyszarpnąć sztylet z oczodołu. W tym momencie Thorne cisnęła nożem po raz trzeci, trafiając w drugie oko.

Krew płynęła po pysku krecza, lepiąc futro i skapując z brody. Oślepiiony, zamachnął się szaleńczo, dziewczyna jednak uskoczyła. Wyjąc z wściekłości i bólu, stracił równowagę i spadł ze ścieżki. Krzyk cichnął, gdy potwór spadał w otchłań, coraz słabszy i słabszy, aż w końcu przestałyśmy go słyszeć.

Szukałam wzrokiem Thorne, by spytać, czy możemy mieć pewność, że z nim koniec, ona jednak minęła mnie w pędzie i pomknęła naprzód.

– Szybko! To może sprowadzić jego ojca, demona Tanakiego!

Ile sił pędziłyśmy ścieżką, Thorne niosła w okaleczonej lewej dłoni własne buty. Zaimponowało mi to, jak rozprawiła się z kreczem, lecz z tego, co mówiła, teraz groziło nam jeszcze większe niebezpieczeństwo. Tanaki mógł się zjawić w mgnieniu oka: musiałyśmy dotrzeć do następnej sieci tuneli.

Teraz widziałam już przed nami kolejne urwisko, ścieżka ponownie znikła w jaskini. Gdy się zbliżyłyśmy, usłyszałyśmy dźwięk, z każdym kolejnym krokiem coraz bardziej niepokojący i przerażający. Zaczął się jako niski grzmot, szybko jednak począł narastać i wkrótce małe, białe kamienie ścieżki zaczęły dygotać, podskakując.

– Te dźwięki! To Tanaki! – zawołała Thorne. – Jest wielki –

naprawdę wielki – i im bardziej się zbliża, tym będzie głośniej!

Do tej pory wibrowały mi już nawet zęby. A potem sklepienie ciemności nad nami rozdarła nagle błękitnobiała błyskawica, towarzyszył jej ogłuszający huk gromu.

– Biegnij! Szybko! – krzyknęła Thorne, pędząc z całych sił naprzód. – Błyskawica oznacza, że prawie tu jest!

Wciąż nie widziałam Tanakiego, lecz czułam, że zbliża się coraz bardziej. Biegłam zatem tuż za Thorne, przerażona, że w każdej chwili może się zjawić. Wkrótce jednak, ku mej uldze, schroniliśmy się ponownie w wylocie jaskini.

– Na razie jesteśmy bezpieczne. – Thorne osunęła się na kolana.  
– Ale Tanaki nigdy nie rezygnuje. Będzie na nas polował za każdym razem, gdy wkroczymy na ścieżkę między krainami.

## **ROZDZIAŁ 3**

### **JAKIŻ TO STWÓR**

Thorne wyglądała na wyczerpaną, z ran po odciętych kciukach nadal kapała krew. Próbowwała stanąć, ale nogi ugięły się pod nią i musiała usiąść.

– Przepraszam, ale wygląda na to, że potrzebuję chwili odpoczynku. To mnie wiele kosztowało – wyjaśniła.

– Nie ma sprawy, odpocznij, póki nie poczujesz się lepiej. To niesamowita sztuczka tak rzucać nożem stopami! – odparłam.

Przyglądała mi się przez chwilę.

– Musiałam się tego nauczyć. Mogę chwytać sztylety dłońmi, ale nie tak dobrze jak wtedy, gdy miałam kciuki. Poza tym to boli i utrudnia koncentrację. Ale szkolila mnie Grimalkin i nauczyła improwizować oraz nigdy się nie poddawać.

– Musiało być fajnie uczyć się u wiedźmy zabójczynie – rzekłam.  
– Ja wyciągnęłam gorszy los – mnie uczyła Koścista Lizzie i musiałam znosić dwa lata okrucieństwa i znęcania się.

– Nigdy bym z nią nie wytrzymała – oznajmiła Thorne.

– Ja też nie! – wykrzyknęłam z uśmiechem.

– Nie musiałaś przecież pobierać u niej nauk, prawda?

Zwykle nie lubię powracać myślami do czasu, spędzonego z kościaną wiedźmą, a co dopiero o tym mówić, ale słowa Thorne mnie rozdrażniły.

– Łatwo ci mówić! – zawołałam gniewnie. – Ale to nie takie proste. Nie chciałam przecież, żeby mnie szkolila, prawda? Ale Lizzie nie przyjmowała odmowy. Postanowiła nauczyć mnie sztuki i postawiła na swoim. Tak było.

– Nie mogłaś uciec? – spytała Thorne.

– Próbowałam wielokrotnie, lecz za każdym razem znalazła mnie i zawlokła z powrotem. Kiedy to robiłam, przez wiele dni i nocy znosiłam za karę ból, głód i grozę – wyjaśniłam. – Napuszczała na mnie larwiaki; próbowały wgryźć mi się do mózgu.

Larwiaki to nowo narodzone stwory z Mroku, wciąż próbujące zrozumieć, kim są i jakie jest ich miejsce. Mają macki z haczykami i ostre zęby. Mogą wgryźć się człowiekowi w głowę, jeśli nie jest ostrożny, wciskając się do nosa albo do uszu.

– Zwykle zatem robiłam, co kazała – podjęłam. – Jeśli Lizzie mówiła: ucz się, to się uczyłam. Straszyla mnie magią, pamiętałam też, jak kaleczyła mnie ostrym nożem. Czasami okropnie bolało, mam blizny na całym ciele, o tak. Zwykle co najmniej raz w tygodniu spuszczała ze mnie krew, żeby użyć jej do zaklęć.

Zerknęłam na Thorne, która zatkała dłońmi uszy i dygotała, zaciskając powieki.

– Co się stało? – spytałam, gdy w końcu opuściła ręce i otworzyła oczy, patrząc na mnie.

– Kiedy powiedziałaś, że Lizzie raniła cię nożem, przypomniało mi się, jak umarłam – wyjaśniła. – Mam straszne przebliski pamięci. Krecz chwycił mnie w zęby i zaniósł do maga Bowkera, potem czarownice przytrzymały mnie. Szarpałam się ze wszystkich sił, ale było ich zbyt wiele. Kiedy Bowker odcinał mi kciuki, ból był straszny, ale czułam coś jeszcze gorszego.

Wiedziałam, że to koniec mojego życia na ziemi, że nigdy nie zostanę wiedźmą zabójczynią, jak Grimalkin. A tak bardzo chciałam pójść w jej ślady, chciałam być najlepszą, najznakomitszą zabójczynią Malkinów w dziejach. Wszystko to mi odebrali.

– Przykro mi – mruknęłam – nie chciałam przywoływać złych wspomnień.

– To nie twoja wina. Ciągle przypomina mi się, jak umarłam, te wizje wciąż powracają.

Gdzieś z głębi tunelu dobiegł nagły hałas i obie natychmiast zerwałyśmy się na równe nogi. Zastanawiałam się, czy Tanaki nie posłał za nami czegoś mniejszego.

– Musimy ruszać dalej. Im szybciej dotrzemy do następnej krainy, tym lepiej! – rzuciła Thorne. Spodziewałam się znów ujrzeć ścieżkę, ale wyłoniłyśmy się z tunelu wprost w następnym królestwie. Z fioletowego nieba nad naszymi głowami promieniowało dość światła, abyśmy przekonały się, że to straszne miejsce. Przed nami rozciągało się pozbawione drzew i trawy rozległe, suche pustkowia, pełne skał i głazów. Bardzo ciepłe powietrze cuchnęło siarką, ale nie było tak gorące jak grunt pod naszymi stopami. Schyliłam się i dotknęłam go, natychmiast cofając palce. Był bardzo nierówny, z długich szczelin tryskała para.

Co za dziwne, przerażające miejsce! Zastanawiałam się, do kogo należy. Co za bóg mógłby się tu osiedlić? Popatrzyłyśmy po sobie z Thorne i wspięłyśmy się na najbliższe zbocze. Gdy dotarłyśmy na szczyt, wprost przed nami ujrzałam góry.

– Powinnyśmy pójść tam. – Thorne pokazała ręką. – Z wysoka łatwiej zorientuję się, gdzie jesteśmy.

– Co to za miejsce? Kto chciałby tu żyć? – spytałam.

– Dobre pytanie, Alice. Mówiłaś, że widziałaś królestwo Pana. Pasuje do niego, prawda? Musi być zielone, porośnięte bujną roślinnością, bo to bóg natury. Zrozumiałam, do czego zmierza.

– Jaki stwór zatem chętnie żyłby na tym gorącym, jałowym pustkowiu? – zastanawiałam się głośno. – Zapewne bóstwo ognia.

Thorne przytaknęła.

– To całkiem prawdopodobne. Cokolwiek to jest, nie chcemy tego czegoś spotkać. Właściciel wkrótce zorientuje się, że tu jesteśmy, i zacznie nas szukać. Musimy się stąd wydostać najszybciej jak się da, a ze zboczy tamtych gór być może zdołam odnaleźć najlepszą drogę.

Nie zamierzałam się spierać, zatem ruszyłyśmy naprzód najszybciej jak się dało, nie szło nam jednak łatwo. Czasami drogę tarasowały olbrzymie głazy i musiałyśmy je wymijać. Raz o włos uniknęłyśmy strumienia pary, który wytrysnął z ziemi dziesięć kroków od nas. Gdybyśmy znalazły się bliżej, poparzyłby nam twarz. Był tak gorący, że musiałyśmy zawrócić.

Czasami ziemia grzmiała i trzęsła się, choć nie tak gwałtownie jak wówczas, kiedy zbliżył się Tanaki. Według Thorne zagrażał nam głównie między krainami. Cokolwiek sprawiało, że grunt pod nogami dygotał, musiało wiązać się z tym miejscem.

Znów zaczęłam się zastanawiać, jaki bóg wybrałby sobie podobny dom. Nagle, zupełnie jakby odczytała moje myśli, Thorne odezwała się głośno:

– Wiesz co? Myślę, że to nowa kraina, istniejąca całkiem krótko. Grimalkin sporo podróżowała i opowiadała mi o swoich wyprawach. Mówiła, że niedawno odwiedziła krainę pełną wulkanów. Tamtejszy grunt był gorący pod stopami, ze szczelin tryskała rozpalona para, zupełnie jak tutaj. Rybak, którego zmusiła, by ją tam zabrał, twierdził, że trzy lata wcześniej w miejscu tym było jedynie morze, a potem z fal wyłoniła się nowa wyspa, zrodzona z ognia. To wygląda podobnie.

– Ma to sens – przyznałam. – Może to nowy, dopiero co narodzony bóg. Większość bogów jest bardzo stara, ale kiedyś przecież musieli się narodzić, prawda? Thorne pokiwała głową.

– Grimalkin ma co do tego własne zdanie. Podczas swych podróży odkryła wiele rzeczy, które nawet nie śniły się czarownicom z Pendle, zamkniętym we własnym kręgu. Uważa, że demon może czasem wzrosnąć w siłę tak bardzo, że staje się

bogiem. Czasami dzieje się też odwrotnie.

Zawsze wiedziałam, że mogłabym się wiele nauczyć od Grimalkin. Była nie tylko wspaniałą zabójczynią, ale posiadała także bogatą wiedzę.

– To prawda – przytaknęłam. – Stary Gregory uważał, że tak właśnie stało się z demonem, zwanym Morem, uwięzionym za srebrną bramą w labiryncie pod katedrą w Priestown. Kiedyś był bogiem, ale ponieważ nikt nie oddawał mu już czci, stopniowo osłabł.

– Zapewne zależy to od tego, w co wierzą ludzie – podjęła Thorne. – Jeśli dostatecznie duża grupa pragnie, by coś się zdarzyło, tak się dzieje. Całkiem możliwe, że masz rację: może narodził się tu nowy bóg albo dopiero ma się narodzić, bo gdzieś na ziemi tysiące ludzi oddają mu cześć.

Zadrżałam na myśl o kolejnym mrocznym bogu. Czy nie dość ich już mamy?

– Cóż, obyśmy go nie spotkały – mruknęłam. – Musimy znaleźć drogę do królestwa Złego. Potrzebuję tego sztyletu.

Maszerowałyśmy dalej i zaczęłam odczuwać pragnienie – choć zorientowałam się nagle, że w ogóle nie doskwiera mi głód. Owszem, przebywałam w Mroku, ale wciąż nosiłam ludzkie ciało: z pewnością miało ono te same potrzeby jak na ziemi. Zastanawiałam się, jak to wygląda w przypadku umarłych. Czy Thorne musiała jeść?

Próbowałam sobie przypomnieć, jak sobie radziłam w niewoli u Złego wiele miesięcy wcześniej, ale niewiele wspomnień powracało. Gdy tylko tu przybyłam, natychmiast oddał mnie swoim sługom. Z początku trzymali mnie w klatce, pamiętam, jak przepychali między prętami mokrą gąbkę, wsuwając mi ją w dłonie. Ssałam ją łapczywie, złakniona każdej kropli wody. Czasem słudzy Złego nasączali gąbkę nie wodą, ale octem: pamiętałam przeszywający, ostry ból, kiedy dotykał mych spękanych, zaschniętych warg. Raz przytrzymali mnie i wtarli go we wszystkie moje rany. Na to wspomnienie jeszcze bardziej zapragnęłam przyczynić się do

zniszczenia Złego – nieważne, jak wysoką cenę przyszłoby mi zapłacić.

I znów z najwyższym trudem oceniałam wpływ czasu. Podczas przeprawy przez otchłań płynął bardzo powoli, tu pędził naprzód i odniosłam wrażenie, iż zbliżamy się do gór znacznie szybciej niż na ziemi. Widziałam już, że ich górne zbocza jaśnieją bielą.

– Śnieg i lód! – wskazałam ręką.

Thorne kilka chwil przyglądała się poszarpanym graniom.

– Na ziemi im wyżej się wspinasz, tym zimniej się robi. Tak samo może być w tym królestwie.

– Śnieg i lód oznacza wodę! – wykrzyknęłam. – Nie wiem jak ty, ale ja nigdy jeszcze nie czułam podobnego pragnienia. W ustach tak bardzo mi zaschło, że ledwie przełykam. Jeśli jest tam lód, a na dole panuje upał, w którymś miejscu zbocza musi zamieniać się w wodę. Z góry powinny spływać strumienie!

Thorne przytaknęła, nie mówiąc, czy sama też czuje się spragniona, i pospieszyłyśmy dalej. Wkrótce już się wspinałyśmy, ponownie odszukując drogę między głazami a szerokim łukiem i wymijając szczeliny w ziemi. W każdej chwili mógł z nich wypłynąć pióropusz parzącej pary.

Im bardziej zbliżałyśmy się do gór, tym groźniejsze i mniej dostępne się wydawały: wkrótce stały się zbyt strome, by dało się na nie wdrapać. Ale Thorne pokazała w lewo.

– Jest tam szczelina..dolina, chodźmy.

Okazało się, że to wąski wąwóz, liczący najwyżej sto kroków szerokości; po obu stronach wznosiły się pionowe, skalne ściany. W ponurym półmroku nad głowami wysoko w górze widziałyśmy tylko wąski zygzak nieba.

Wkrótce otwarł się przed nami płaskowyż i ujrzałam to, czego pragnęłam. Byłam taka spragniona! Dotarłyśmy na niemal okrągły fragment równiny, ze wszystkich stron otoczony skalnymi ścianami. Pośrodku leżało jezioro... Lecz wystarczyło jedno spojrzenie, bym zamiast radości poczuła zawód. Nie było mowy, bym nawet się zbliżyła, a co dopiero napiła. Powierzchnia bulgotała

i falowała, wzlatywała z niej para, tworząc chmurę nad naszymi głowami. Woda wrzała.

– Nie dam razy się tego napić! – poskarżyłam się, nagle świadoma, że ziemia pod moimi stopami także parzy; czułam ją przez podeszwy szpiczastych trzewików.

– Musi skądś spływać, by napełnić to jezioro, Alice – zauważyła Thorne. – Najpewniej z górskich szczytów. Po zboczach i wyżynach przed nami muszą płynąć strumienie. Może okażą się chłodniejsze.

Podążyłyśmy zatem wzdłuż krzywizny skalnych ścian, otaczających płaskowyż, zmierzając w lewo. Wkrótce natknęłyśmy się na wąski strumień, on jednak także syczał na kamieniach, parszając pianą, gdy zmierzał do wrzącego jeziora.

– Powinnyśmy iść dalej – oznajmiłam. – Może natkniemy się na coś lepszego.

Przeskoczyłyśmy przez strumień, wciąż podążając w tym samym kierunku. Nagle dopisało nam szczęście – z pionowej skały ściekała woda, padając niczym ciężki deszcz pięć czy sześć kroków za nią.

– Nie paruje – zauważyłam. – W ogóle nie wydaje się gorąca. Może spada z bardzo wysoka?

Podeszłam do wodospadu i ostrożnie wysunęłam palce – woda okazała się najwyżej letnia. Chwilę później wraz z Thorne tańczyłyśmy dokoła, pozwalając, by przemoczyła nas do suchej nitki, zaśmiewając się i krzycząc radośnie. Uniosłam głowę, szeroko otworzyłam usta i zmoczyłam popękane wargi i wyschnięty na wiór język. Następnie przysunęłam się bliżej skały, złożyłam dłonie pod wodą i napiłam się do pełna.

Dopiero wtedy zauważyłam coś dziwnego. Choć Thorne chętnie stała pod kaskadą, zawzięcie myjąc twarz, ręce i włosy, w ogóle nie piła.

Czyżby martwi nie potrzebowali wody i strawy? Lecz myśl ta natychmiast odpłynęła, usłyszałam serię stukotów, jakby ktoś stąpał po suchych gałązkach. Rozejrzałam się w poszukiwaniu źródła dźwięku: zdawał się dobiegać ze skalnej ściany cztery czy



pięć kroków za wodospadem.

W kamiennej skale ziała wąska szczelina. Słyszałam coś w jej środku. Czy to szczur?

Byłam ciekawa, ale też zachowałam czujność, w razie potrzeby gotowa użyć magii. A potem coś zalśniło w ciemności, rozległ się przeciągły, gniewny syk i spojrzało na mnie dwoje złowieszczych oczu. Wycofałam się szybko. Oczy były duże – o wiele za duże jak na szczura. Co mogło ukrywać się w podobnej wąskiej szczelinie? Jaki stwór się tam przyczaił?

## **ROZDZIAŁ 4**

### **KRAINA SKELTA**

Patrzyłam przerażona, jak ze skały wysuwa się coś patykowatego, kreśląc w powietrzu osobliwy krąg, jakby je smakowało. Było szare, wielocłonowe i bardzo długie, przypominało nogę gigantycznego owada. Gdy opuściło się ku ziemi, pokazała się druga kończyna, która kreśliła w powietrzu identyczne spirale. A kiedy pojawiła się głowa, natychmiast pojęłam, co to za istota. Dobrze znałam tę wąską czaszkę i długi pysk. Aż za dobrze.

– Thorne! – zawołałam, bo wciąż stała pod wodą. – Skelt!

Nie odrywałam oczu od patykowatego stwora, który powoli wysuwał się ze skały. Dwa segmenty jego ciała były żebrowane i bardzo twarde, jak zbroja. Stanowił jakby krzyżówkę homara i olbrzymiego owada, tyle że chodził nie na sześciu, a na ośmiu nogach. Kiedy na mnie spojrzał, poczułam, jak siła powoli odpływa mi z ciała. W jego oczach kryła się moc, zdolność paraliżowania ofiary, nim się zbliży.

Skelty były niebezpieczne – oglądałam je w akcji, gdy zabijały ofiary podczas rytuału wodnych wiedźm. Jeden zaatakował Toma Warda w wodnym młynie na północ od Caster – tego akurat zabił

Bill Arkwright.

Długi pysk był w istocie kościaną rurą, którą skelt wbijał w gardło bądź pierś ofiary, by wyssać jej krew. Stwór był bezwzględnym zabójcą – większym ode mnie, znacznie silniejszym i bardzo szybkim.

Wiedziałam, że zdołam pokonać go magią, była to jednak ostateczność. Istniało wiele powodów, dla których winnam do minimum ograniczyć używanie magii: bardzo szybko zrozumiałam, że mogę potrzebować całego zapasu sił, by dokonać tego, co zaplanowałam, i uciec z Mroku.

Skelt wędrował powoli w moją stronę, jego stawy trzaskały i skrzypiały, gdy stapał delikatnie po rozgrzanych kamieniach. Czułam jego moc, gdy próbował opanować mi umysł i unieruchomić jak gronostaj królika.

Walczyłam i zaczęłam stawiać opór, wciąż jednak traciłam siły. Kątem oka dostrzegłam Thorne, biegnącą ku mnie: w obu dłoniach trzymała sztylety, jej twarz wykrzywił grymas bólu.

Nim dotarła do stwora, ten ją wyczuł i odwrócił się, gotów odeprzeć atak. Nagle przestał wpływać na mój umysł.

Teraz miałam szansę. Podniosłam kamień – ciężki, zdołałam go dźwignąć tylko oburącz – i zrobiłam to, co Bill Arkwright, kiedy ocalił Toma Warda. Gdy skelt uniósł dwie przednie nogi, gotów odparować atak Thorne, z całych sił rąbnęłam go kamieniem w tył głowy. Usłyszałam trzask, a potem wilgotne mlaśnięcie i zgrzyt – to czaszka skelta rozszczepiła się na dwoje. Nogi ugięły się pod nim, zaczął dygotać i trząść się. Zdychał albo już nie żył.

Ku memu zdumieniu i wstrząsowi Thorne nie odezwała się ani słowem. Schowała tylko noże do pochew, uklękła obok skelta i zaczęła żłopać ciepłą krew i płyny z jego strzaskanej głowy.

Cofnęłam się o krok, przerażona.

Thorne uniosła wzrok i ujrzała wyraz mojej twarzy. Wargi miała umazane krwią, która zaczęła ściekać z kącika ust na brodę.

– Czemu tak na mnie patrzysz?! – krzyknęła. – Tego właśnie potrzebujemy, by nie stracić sił! To muszą robić martwi w Mroku.

Jak inaczej moglibyśmy przetrwać?

Wciąż piła krew łapczywymi, rozpaczliwymi haustami, nie zwracając na mnie uwagi.

Nie mogłam patrzeć, zrobiło mi się niedobrze. Odwróciłam się do niej plecami i odeszłam powoli od skały, zmierzając z powrotem w stronę wrzącego jeziora. Idąc, stopniowo się uspokajałam. Wiele czarownic z Pendle posługiwało się magią krwi, zazwyczaj jednak potrzebowały jej tylko odrobinę. Przez resztę czasu jadły normalną strawę, choćby baraninę, słoninę czy chleb. Faktycznie, Lizzie z apetytem piła szczurzą krew, ale tylko martwe czarownice związane ze swymi kośćmi, tak jak te w dolince na wschód od Pendle, spijały ją równie łapczywie, jak Thorne.

Tu, jak się sama przekonałam, musiały obowiązywać inne zasady. To był Mrok i tutejsi martwi potrzebowali krwi. Jak zatem mogłabym oceniać bądź winić Thorne? Robiła tylko to, co konieczne, by przeżyć.

Choć od jeziora wciąż dzielił mnie kawałek drogi, zorientowałam się, że już czuję ciepło na twarzy. Promieniowało z niego znacznie więcej gorąca, niż tłumaczyłoby to wrząca woda. Może dokładnie pod nim przebudził się wulkan? Co, jeśli eksploduje nagle olbrzymią falą ognia i wrzątku?

Zatrzymałam się. Nagle poczułam lęk przed bulgoczącym, wzburzonym jeziorem. Powęszyłam szybko, próbując odkryć, czym mi zagraża. Zawsze świetnie umiałam węszyć. Niektóre czarownice radzą z tym sobie lepiej niż inne, mnie przychodzi to z łatwością. To jedna z niewielu rzeczy, jakimi imponowałam Kościstej Lizzie, gdy zaczęła mnie szkolić. Tym razem miałam kłopot z zebraniem informacji. Spróbowałam ponownie – trzy szybkie pociągnięcia nosem.

Nadal nie potrafiłam dokładnie stwierdzić, na czym polega groźba ze strony wrzącego jeziora. Czułam, że w każdej chwili coś może się z niego wynurzyć.

I wtedy na moich oczach jakieś małe stworzenie wypełzło z jeziora, kierując się ku mnie. Jak to możliwe? Jak cokolwiek

mogłoby przeżyć w tak gorącej wodzie?

Kolejne stworzenie wyłoniło się z jeziora, po nim następne, Po paru sekundach było ich już co najmniej tuzin i wszystkie szły prosto na mnie.

Wtedy dopiero pojęłam, że wcale nie są małe – jezioro leżało znacznie dalej, niż przypuszczałam. Stwory zdawały się malutkie jedynie z powodu dzielącej nas odległości. Poruszały się jednak szybko i cały czas rosły – co oznaczało, że się zbliżają.

Nagle zorientowałam się, co to. Fakt, iż dzieliła nas spora przestrzeń i że wylazły z wrzącego jeziora, opóźnił to nieco.

To były skelty!

Zawróciłam na pięcie i pobiegłam do Thorne.

– Skelty! Więcej skeltów! – wrzasnęłam.

Spojrzała na mnie z miejsca, gdzie wciąż posilała się z czaszki skelta. Z początku jedynie patrzyła – wiedziałam, że spogląda w stronę jeziora; ona także z pewnością zauważyła stwory.

Powoli dźwignęła się z ziemi, ale została w miejscu. Thorne była dzielna, wiedziałam, że zaczeka, aż się zrównamy, i dopiero wtedy sama zacznie biec. Oto prawdziwa lojalność – Grimalkin tego dopilnowała. Wiedząc, że coś mi zagraża, sama nie ucieknie.

Miałam rację. Gdy dotarłam do niej, Thorne gestem wskazała płaskowyż i pomknęliśmy ku niemu. Pędziłyśmy bardzo szybko i wkrótce oddech świszczał mi w gardle – choć Thorne zdawała się kipieć energią i oddychała z łatwością. Czy sprawiła to krew, którą właśnie wypila?

Obejrzałam się parę razy, lecz choć skelty wciąż zdawały się podążać za nami, już nas nie doganiały. Musiałam złapać oddech, toteż przystanęłam na skraju wąskiego wąwozu, przyciągając do siebie Thorne, i zerknęłam przez ramię.

Skelty najwyraźniej zrezygnowały z pościgu. Zawróciły i powoli wędrowały w kierunku parującego jeziora.

Dlaczego się poddały? Może nie chciały zapuszczać się zbyt daleko od domu?

Obie z Thorne ruszyliśmy, maszerując szybko.

– Wylazły z wrzątku – zastanawiałam się w głos. – Na ziemi skelty nie zdołałyby przeżyć w takich warunkach.

– Tu jest inaczej – przypomniała Thorne. – To skelty, które zginęły na ziemi, obowiązują je inne zasady... Teraz, kiedy się wycofały, znów musimy się wspiąć i poszukać bramy.

Nie wiedziałam, co ma na myśli.

– Chodzi ci o kolejną skalną ścianę i jaskinię, która wyprowadzi nas na ścieżkę między krainami? To masz na myśli, mówiąc brama?

– Nie, wydostanie się z królestwa wygląda inaczej niż wejście do niego. Brama wyjściowa jest tak pełna magii, że zazwyczaj promieniuje z niej snop purpurowego światła. Łatwo je dostrzec w ciemności, ale bardzo trudno, gdy w królestwie jest jasno. Nie wydaje mi się, żeby tu nam to groziło, nie powinniśmy zatem mieć problemów. Przekonamy się jednak, kiedy wdrapiemy się wyżej.

Wkrótce, pokonawszy wietrzną ścieżkę, na której wulkaniczny żużel chrzęścił pod stopami, istotnie zobaczyłyśmy ów promień. Thorne zauważyła go pierwsza i musiała pokazać dwa razy, nim go dostrzegłam. Był to wąski, pionowy słup purpurowego światła.

Starannie zapamiętałyśmy jego położenie i ruszyłyśmy w tamtą stronę w dół zbocza. Obie bardzo się bałyśmy, że właściciel królestwa dopadnie nas, nim zdołamy je opuścić.

– Wywęszyć bramę! – poleciła Thorne. – I powiedz mi, jak pachnie.

Powęszyłam trzy razy i natychmiast odnalazłam promień, niewidoczny z naszego obecnego miejsca. W powietrzu unosił się mocny smród zgniłych jajek.

– Jajka! – zawołałam marszcząc nos. – Śmierdzi jak zgniłe jaja.

– Zgadza się, Alice. Zapamiętaj tę woń – to kolejny sposób odnalezienia bramy. Czasami nie da się zobaczyć światła.

Gdy dotarliśmy do bramy, Thorne poprowadziła mnie w lewo i zbliżyłyśmy się do niej pod kątem. To, co wcześniej było pionową linią, zamieniło się najpierw w półksiężyc, stopniowo przechodząc w owalny kształt. Kiedy stanęłyśmy dokładnie przed nią,

przekonałam się, jak wygląda w istocie.

Bramę tworzyły trzy koncentryczne, obracające się kręgi purpurowego światła, wiszące w powietrzu na wysokości pasa. Przez nie ujrzałam inny kraj – zupełnie różny od wulkanicznej pustyni.

Jej pozycja sprawiała, że niełatwo było podejść do bramy. Zbliżyłam się nerwowo.

– Musisz wskoczyć do środka, nie dotykając boków – poinstruowała mnie Thorne. – Jeśli trącisz je przypadkiem, możesz stracić rękę albo nogę, bo krawędź bramy jest ostrzejsza niż klingi Grimalkin! Idź pierwsza, ja wskoczę za tobą. Kiedy się przedostaniesz, poturlaj się naprzód.

Przygotowałam się zatem do skoku przez bramę – kto wie, dokąd!

## **ROZDZIAŁ 5**

### **ZASEPIENI ZMARLI**

Skoczyłam i przeturlałam się naprzód, tak jak poleciła Thorne, natrafiając na miękki grunt. Ona sama zerwała się z ziemi za moimi plecami, ściskając noże, gotowa na wszystko.

Wokół panowała noc, powietrze jednak było cieplejsze niż w Hrabstwie w letni dzień. Czuło się zapowiedź wilgoci, jakby wkrótce miał lunąć deszcz. Co za ulga po suchym upale ostatniej krainy! Niebo było czarne i bezchmurne, choć nie widziałam gwiazd.

Prosto przed nami wznosiło się trawiaste zbocze; bez słowa rozpoczęliśmy wspinaczkę. Dotarłszy na Szczyt, ujrzałam wiszący nisko nad horyzontem księżyc w pełni.

Miał barwę krwistoczerwoną.

Oglądałam już podobny księżyc w noc, gdy czarownice z Pendle wezwały Zlego przez portal do naszego świata; w tę samą noc,

kiedy klan Malkinów posłał swą wiedźmę zabójczynię, by doścignęła Toma Warda i go zabiła.

Gdzieś z daleka przed nami dobiegały krzyki mew i rybitw. Nim dotarliśmy na szczyt, dołączył do nich kolejny, ostry, rytmiczny dźwięk – szum fal, rozbijających się o kamienisty brzeg.

Na szczycie przystanęliśmy i spojrzaliśmy w dół. Pod nami rozciągało się duże nadmorskie miasto. Wąskie uliczki opadały ze zbocza ku rozległej krzywiźnie zatoki. Rybackie łodzie podskakiwały na uwięzi bądź leżały na plaży, gdzie czerwony przyływ łakomie lizał kamyki.

– Czy to jest królestwo Złego? – spytałam, wpatrując się w straszny, czerwony księżyc. Byłam pewna, że tak i ulżyło mi, iż tak szybko je znalazłam.

Lecz ku mej zgrozie Thorne pokręciła głową. Wydawała się spięta, miałam wrażenie, że w jej oczach dostrzegam strach.

– Nigdy nie byłam w krainie Złego, więc nie wiem, czego się spodziewać – wyjaśniła – ale wiem, gdzie jesteśmy teraz... To jedno z najniebezpieczniejszych królestw, tu właśnie gromadzi się większość ludzkich zmarłych, należących do Mroku. Pełno tu martwych czarownic i nie ludzi, pomiotów, nie mówiąc już o demonach i innych stworach, które na nich żerują. Tu właśnie przybyłam tuż po śmierci i uciekłam najszybciej jak się dało!

– To przez ten krwawy księżyc pomyślałam, że to miejsce należy do Złego. Wygląda jak tamten, który pojawił się owej nocy, kiedy Zły zstąpił na ziemię – wyjaśniłam.

– Tutaj księżyc nigdy nie zachodzi – tkwi w jednym miejscu. Zawsze jest ciemno. To straszne miejsce... – wymamrotała Thorne.

– W takim razie nie ma chyba sensu tam schodzić, prawda? Najlepiej zrobimy, idąc w twoje ślady – rzekłam. – Musimy się stąd wydostać i to natychmiast.

Thorne jednak pokręciła głową.

– Chciałabym, żeby to było takie proste, Alice... Ja wiem, jak się stąd wydostać. W tym królestwie jest tylko jedna brama – właśnie tam, w tym paskudnym, niebezpiecznym mieście. Jeśli

mamy opuścić to królestwo, musimy zejść na ulice.

Nie brzmiało to dobrze. Miasto pełne podobnych stworów oznaczało całą gamę zagrożeń. A jeśli budziło lęk w Thorne – według Grimalkin jednej z najdzielniejszych osób, jakie znała – to i we mnie.

– Możliwe, że mam tam wielu wrogów – mruknęłam. – Czy zorientują się, że tu jestem? Bardzo się starałam zamaskować swoją obecność.

Thorne przytaknęła.

– Nawet przy użyciu najpotężniejszych zaklęć maskujących, nadal istnieją sposoby wykrycia intruza, zwłaszcza jeśli wciąż żyje. Żywe istoty bardzo rzadko się tu zapuszczają, ich obecność powoduje osobliwe fale, rozchodzące się w Mrok. Niektórzy ze zmarłych z łatwością potrafią ich wywęszyć.

– Wolałabym nie spotkać się z Kościstą Lizzie – przyznałam. Lizzie była pierwszą z wrogów, jaka przyszła mi do głowy. Wiedźma na wiele sposobów mogłaby odpłacić mi za to, co zrobiłam. Przypomniałam sobie, jak pomogłam Tomowi uciec z jamy pod Chipenden, w której uwięziła go Lizzie. Przez to właśnie stary Gregory ją schwytał i wrzucił do dołu w ogrodzie. Ale nie tylko jej musiałam się obawiać. – Są też inni, których zabiłam albo pomogłam zabić. Możliwe, że wszyscy tu na mnie czekają – poinformowałam Thorne.

Ta unikała mojego wzroku. Zagryzła dolną wargę i odwróciła się do mnie plecami.

– Co się stało? – spytałam.

Określiła się na pięcie i spojrzała mi prosto w oczy. Przez moment zdawało mi się, iż błyszczą od łez, potem jednak uznałam, że to zapewne tylko odbicie światła. Niesamowity księżyc sprawiał, iż wydawały się przepelnione krwią.

– Na mnie też będzie czekać spora grupa – oznajmiła. – Przez kilka lat pomagałam Grimalkin i moje klingi pozbawiły życia wiele osób. Tym lepszy powód, by działać szybko, bez dalszej zwłoki. Ruszajmy do bramy.



Jej słowa brzmiały sensownie – im dłużej tu czekałyśmy, tym bardziej prawdopodobne, że wrogowie zdołają nas wywęszyć. Ruszyliśmy zatem w dół zbocza, w stronę miasta.

Podczas marszu postanowiłam poruszyć temat zmarłych, pijących krew. Pewne rzeczy musiałam wiedzieć, ale chciałam też, by zrozumiała moją reakcję na jej widok, gdy złapała posokę skelta. Uznałam, że najlepiej będzie otwarcie postawić sprawę i dowiedzieć się, jak wygląda sytuacja.

– Zatem umarli potrzebują krwi. Co się dzieje, jeśli oprzesz się pokusie i nie będziesz jej pić? – spytałam.

– Nie da się jej oprzeć – odparła z pasją Thorne i wiedziałam, że sama musiała walczyć. – Żądza krwi narasta i narasta, aż w końcu musisz się jej poddać.

– W takim razie co ze mną? Czy tych, którzy wkraczają w Mrok żywi, obowiązują inne prawa? – Wcale nie miałam ochoty pić krwi martwego skelta, przeciwnie, myśl o tym budziła we mnie obrzydzenie. – Po prawdzie w ogóle nie jestem głodna, od czasu do czasu chce mi się tylko pić.

– Mam dla ciebie złe wieści, Alice. Tu możesz jedynie pić wodę, nie wolno ci niczego zjeść. Jeśli napijesz się krwi albo zjesz cokolwiek, nie będziesz już mogła nigdy wrócić do świata żywych. Tak tu po prostu jest – to jedna z zasad, których należy przestrzegać. Wątpię, byś kiedykolwiek zrobiła się głodna, ale w istocie twoje ciało żywi się teraz zgromadzoną dotąd energią życiową, to ona cię karmi. Zużywasz własne zapasy. Jeśli zbyt długo pozostaniesz w Mroku, wyczerpiesz je całkowicie. Powrócisz jako zasuszone skorupa i przetrwasz najwyżej kilka tygodni czy nawet dni. Oto kolejny powód, by szybko znaleźć to, czego potrzebujesz, i uciekać stąd.

Zwykle dobrze jest znać prawdę, lecz z każdą nową informacją moja sytuacja zdawała się coraz gorsza. Istniało jednak wiele innych powodów, prócz mego własnego przetrwania, by jak najszybciej wracać do Hrabstwa.

– Masz rację, Thorne – przyznałam. – Muszę wrócić ze

sztyletem na czas, by odprawić rytuał w święto zmarłych. Grimalkin jest potężna, ale nie zdoła wiecznie chronić głowy Złego przed łapami jego wyznawców. Jest ich zbyt wielu i pewnego dnia ją dopadną. Nim do tego dojdzie, muszę wrócić. Czy to właśnie jeden z powodów, dla których mi pomagasz – dla Grimalkin?

Zamiast odpowiedzi Thorne niemal niedostrzegalnie skinęła głową. Zginęła z rąk sług Złego, bez wątplenia pragnęła także zemsty. I wtedy przyszło mi do głowy kolejne pytanie, coś, o czym wolałam nie myśleć, ale musiałam poznać najgorsze.

– Co się dzieje z tymi, którzy giną tu, w Mroku?

– Jeśli zmarli znów umierają, rozsypują się w pył i przestają istnieć. To oznacza całkowitą zagładę. Po jakimś czasie część umarłych przestaje walczyć o przetrwanie: wolą nicosić niż trwanie w wiecznych mękach tu, w Mroku. Tak właśnie będzie ze mną. Ale nie wiem, co by się stało z tobą, Alice. Nie widziałam tu innych żywych ludzi. Może ktoś inny by wiedział...

I tak nie zamierzałam zwłóczyć w Mroku dłużej niż to niezbędne, ale nic z tego, co usłyszałam, mi się nie spodobało.

I wtedy, gdy się zbliżyłyśmy, zauważyłam coś nowego w mieście w dole. Tworzyła je głównie sieć wąskich uliczek i niewielkich domów, opadających ku kamienistej plaży. Dostrzegłam jednak kilka większych budynków, jeden z nich nieco przypominał zamek. Był tam też co najmniej jeden kościół i kilka budowli z wyglądu przypominających magazyny. Na ziemi można by w nich przechowywać zboże.

– Czy to zamek? – Pokazałam ręką największą budowlę, stojącą w najwyższym punkcie miasta.

– Nie. To bazylika – wielki kościół, coś jak katedry na ziemi – wyjaśniła Thorne.

Zmarszczyłam czoło, zaskoczona. Jedyłą znaną mi katedrą była ta w Priestown, najważniejszy kościół w całym Hrabstwie, z wysoką dzwonnicy. Ten budynek nie miał iglicy, lecz kwadratową wieżę, ale imponował rozmiarami. Po co w Mroku taki wielki kościół?

– Czy ludzie w Mroku chodzą do kościoła i się modlą?

– O tak, modlą się – odparła Thorne. – Ale nie jak na ziemi, gdy odmawiają modlitwy do Boga. Jak wiesz, tutejsi zmarli oddają cześć głównie Złemu, choć niektórzy modlą się do innych mrocznych istot, takich jak Morrigan albo Golgoth, władca zimy. W bazylice są ołtarze ich wszystkich.

– Muszą przecież być też tacy, którzy nie kłaniają się żadnemu z bogów, wrogowie Złego. Zastanawiałam się, czy ktoś mógłby nas ochronić podczas podróży przez to królestwo.

– Jest kilka osób, które mogłyby nam pomóc w poważnych tarapatach – wyjaśniła Thorne. – Mamy tu przyjaciół, których mogłybyśmy wezwać, gdyby groziło nam wielkie niebezpieczeństwo. Ale nie liczyłabym na nich, możemy to bowiem uczynić tylko w naprawdę trudnej sytuacji, a wówczas poważnie byśmy ich naraziły.

Pozostawało mi jedynie liczyć, że do tego nie dojdzie, ale wiedziałam, że zrobię wszystko, byle tylko dostarczyć Tomowi sztylet.

– No to gdzie leży wyjście z tej krainy? – spytałam Thorne.

– Brama nigdy nie pozostaje długo w tym samym miejscu, przesuwa się; wiem, że kilka najpotężniejszych istot może manipulować jej położeniem, czasami żądają ceny za jej użycie. Będziemy musiały poszukać. W końcu ją wywęszymy.

– Ale tobie udało już się stąd uciec, Thorne. Czy musiałaś zapłacić?

Thorne skinęła głową.

– Tu monetą jest krew. Zapłaciłam im krwią.

Wolałam nie myśleć o tym, do czego ją zmusili, ale musiałam zapytać. Uznałam, że powinnam poznać wszystkie szczegóły tego, z czym być może przyjdzie mi się zmierzyć. Nim jednak zdążyłam się odezwać, Thorne odwróciła się do mnie plecami i pomaszerowała naprzód szybkim krokiem.

Dotarliśmy do stóp zbocza. Grunt pod stopami się wyrównał. Między nami i pierwszymi budynkami, w których oknach nie

dostrzegłam żadnych świateł; rozciągała się podmokła równina, na której rosło kilka martwych drzew i kępy błotnej trawy. Thorne maszerowała pierwsza, nasze stopy z młaśnięciem odrywały się od ziemi, gdy szpiczaste trzewiki coraz głębiej zapadały się w bagno.

W oddali zauważyłam kilka postaci. Budynki przesłoniły księżyc, z trudem zatem dostrzegałam w ciemności ich zarysy, widziałam jednak, że należą zarówno do mężczyzn, jak i kobiet. Zdawały się wędrować bez celu, jedna krążyła w kółko; usłyszałam ciche mamrotanie, ale nie rozumiałam żadnych słów.

– Nazywają ich „Zagubionymi” – wyjaśniła Thorne. – Nie wiedzą, że umarli i mają tylko mętne wspomnienia z ziemi. To najłatwiejsze ofiary: łatwo odebrać im krew, więc bardzo szybko giną.

W końcu grunt zrobił się twardszy. Gdy jednak opuściłyśmy bagno, nagle poczułam, jakby ktoś mnie obserwował i włosy na karku zjeżyły mi się gwałtownie. Dwakroć obejrzałam się przez ramię, ale nie dostrzegłam nikogo, a potem kątem oka zauważyłam ruch.

– Po naszej lewej coś jest... – nie podnosiłam głosu.

Cienista istota jakby wynurzyła się z bagna, lecz kiedy na nią spojrzałam, natychmiast zniknęła.

– Po prostu idź dalej i nie patrz na nie – poradziła Thorne. – Nie martw się – stwory zamieszkujące te mroczne ziemie i bagna zazwyczaj nie mają dość sił, by przetrwać w mieście. Najpewniej to glipp.

Nigdy wcześniej nie słyszałam tego określenia i Thorne wyjaśniła:

– To żywiołek niskiego rzędu, lubiący błoto i stęchłe kałuże. Demon pożarłby go w mgnieniu oka, nas pewnie też się boi, ale wiem, że czasami robią się bardzo głodne, a wówczas w desperacji mogą zaatakować.

Dotarłyśmy do pierwszego z budynków – dwupiętrowego domu o popękanych oknach i poszarpanych firankach. Wewnątrz było ciemno, zobaczyłam jednak, że jedna z zasłon się porusza, a potem

coś chudego i szarego zniknęło w głębi frontowego pokoju.

– Najpewniej nie ma się czego obawiać – pocieszyła mnie Thorne. – Jak mówiłam, najniebezpieczniejsze istoty skupiają się albo blisko brzegu, albo też w bazylice i dookoła niej.

Pozostawało tylko mieć nadzieję, że się nie myli, była tu przecież moją jedyną przyjaciółką.

Teraz maszerowałyśmy wąską alejką między dwoma kamiennymi budynkami, przed nami jednak widziałam światła i słyszałam pomruk głosów. W chwilę później wyłoniłyśmy się na ruchliwą, brukowaną ulicę, wiodącą w górę. W oknach migotały świece, po ciemnej stronie ulicy, gdzie nie docierał złowieszczy blask krwawego księżyca, płonęły tkwiące w uchwytych pochodnie. Miasto to jednak nie przypominało żadnego miejsca na ziemi.

Po pierwsze, kamienie nie były szare jak zwykle w Hrabstwie, lecz czarne i lśniące niczym bryły węgla. Najbardziej złowieszczy jednak wydał mi się rynsztok, biegnący wzdłuż ulicy, blisko domów po lewej. Spływała nim w naszą stronę ciemna ciecz. Sapnęłam, zrozumiawszy, że wygląda jak stara krew – jak ta, którą zmywa się z posadzki u rzeźnika po zakończeniu codziennego handlu. Czulałam jej smród, mdlącą metaliczną woń w powietrzu.

Byli tam też ludzie – umarli. Wędrowali przed siebie, szurając nogami, wzrok wbijając w bruk. Większość miała na sobie łańchmany i wykoślawione trzewiki. W gardle jednej z kobiet o ciemnych, skołtunionych włosach otwierała się czerwona rana, z której sterczała rękojeść sztyletu; spływała z niej krew, wsiąkając w przemoczony przód sukni.

Zerknęłam z ukosa na Thorne – jej okaleczone dłonie także wciąż krwawiły. Zatem umarli przenosili ze sobą do mrocznej krainy ślady swojej śmierci. Jeśli miałam rację, wkrótce mogłam ujrzeć jeszcze gorsze koszmary.

– Wbij wzrok w ziemię! – syknęła Thorne. – W przeciwnym razie ktoś się tobą zainteresuje.

Zerknęłam ukradkiem na bok i przekonałam się, że dziewczyna idzie ze spuszczoną głową. Zastanawiałam się, jakie to ma

znaczenie.

– Wszyscy i tak patrzą w ziemię, więc jak mogliby zauważyć, co robimy? – odszepnęłam.

– Później nadejdzie czas na pytania, Alice – mruknęła Thorne tak cicho, że ledwie ją usłyszałam. – To nie tych ludzi musimy się bać. Tych nazywamy zasepionymi zmarłymi. To biedne, słabe dusze, wyłącznie ofiary. Jak myślisz, czym żywią się silniejsi? Ci zmarli stanowią dla nich jedynie źródło krwi. To tutejsza waluta!

## **ROZDZIAŁ 6**

### **DRAPIEŻCY I OFIARY**

Skreśliłyśmy za róg i przed sobą ujrzaliśmy kolejną podobną ulicę, nadal wiodącą w górę. Wokół wciąż wędrowali szurający nogami zmarli, dostrzegłam też kolejne świece w oknach, za którymi wyczuwałam obserwujące nas, niewidoczne, wrogie oczy.

Nagle usłyszałam w dali niesamowity wrzask. Zadrzałam, przepełniona grozą. Wiedziałam, że słyszałam już ten dźwięk... Ale gdzie?

Krzyk znów zabrzmiał, tym razem znacznie głośniejszy. Cokolwiek wydawało z siebie ów głos, poruszało się szybko i zmierzało w naszą stronę.

Gdy za trzecim razem krzyk odbił się echem od wąskiej, wybrukowanej ulicy, pojęłam, iż dochodzi z nieba i natychmiast zrozumiałam, co to. To był wrzask trupiarza, czasem zwanego lelkiem, ptaka polującego nocą w Hrabstwie. Sama posługiwałam się owym niesamowitym krzykiem jako tajnym, nocnym sygnałem, gdy chciałam się skontaktować z Agnes Sowerbutts. Jak mogłam zapomnieć? I wtedy po plecach przebiegł mi dreszcz, bo przypomniałam sobie kogoś, kto miał trupiarza za pobratymca. Kogoś, kogo zabiła Grimalkin i posłała w Mrok: Morwenę, najpotężniejszą z wodnych wiedźm, także córkę Złego.

Perspektywa spotkania z Morweną przepełniała mnie grozą, wiedźma dysponowała nie tylko ogromną siłą i szybkością, ale też krwawym okiem, paralizującym w miejscu ofiarę, którą rozszarpywała na strzępy i wypijała krew. Za życia była niebezpieczna, teraz, po śmierci, pewnie jeszcze wzrosła w siłę. Serce zaczęło walić mi niespokojnie.

Nagle ujrzałam ptaka, który opadł nisko nad dachy. W promieniach krwawego księżyca jego pióra płonęły niczym ogień. Ku memu zdumieniu po paru sekundach zniknął i gdy znów usłyszałam jego krzyk, zabrzmiał nieco dalej. Czy nadal nas szukał, tak jak kiedyś Toma Warda na moczarach obok młyna Billa Arkwrighta? Jeśli istotnie nas wypatrzył, wkrótce pojawi się jego przerażająca pani, tego byłam pewna. Grimalkin z pomocą Toma Warda zabiła zarówno Morwenę, jak i jej pobratymca. Ja także odegrałam rolę w wydarzeniach, prowadzących do jej śmierci – ona zaś z pewnością dowiedziała się tego od innych w Mroku. Byłam jej wrogiem i zapragnie się zemścić.

Jedno tylko działało na moją korzyść: coś, co mogło opóźnić atak wiedźmy. Naturalnym środowiskiem Morweny była woda, poza mokrymi bagnami bądź moczarami nie mogła przetrwać zbyt długo. Z dala od wody wkrótce słabła, a miasto składało się wyłącznie z brukowanych ulic. Jak dotąd, jedyną cieczą, jaką widziałam, była krew.

Co jednak, jeśli tu zasady wyglądały inaczej? Ostatecznie należała do zmarłych. Czy i tu potrzebuje wodnego środowiska do ochrony?

I wtedy w dali, od strony bazyliki, dobiegł głos dzwonu, potężny dźwięk wibrujący mi w zębach i szczęce. Zdawało się, że drży nawet czarny bruk pod stopami.

Thorne złapała mnie za rękę, ściągając z ulicy w boczną alejkę, nacisnęła moje ramię wskazując, że powinniśmy kucnąć.

Dzwon umilkł, wybiwszy trzynaście. Niemal natychmiast usłyszałam dobiegający z ulicy krzyk, potem, znacznie bliżej, ktoś zaczął rozpaczliwie zawodzić.

– Co się dzieje? – spytałam, nie podnosząc głosu.

Thorne przyłożyła mi usta do ucha i zaczęła szeptać.

– Ten dzwon odzywa się często, ale nie da się przewidzieć dokładnej pory, nigdy więc nie można czuć się bezpiecznie na ulicach. Zwiastuje coś, co nazywają Wyborem: jeśli zostajesz wybrana, by znów umrzeć, ostatecznie uderzenie dzwonu wzywa cię do siebie – w twoim umyśle odzywa się straszliwy, rozkazujący głos i musisz udać się prosto do bazyliki, gdzie wysączą z ciebie całą krew.

– A jeśli wybrany tam nie pójdzie?

– Większość nie potrafi oprzeć się temu głosowi, lecz tak czy inaczej lepiej posłuchać wezwania. Ci, którzy tak czynią, umierają po raz drugi bezboleśnie. Ci, którzy uciekają, zostają bezlitośnie schwytani i cierpią długo.

– Widziałaś to? – spytałam.

– Tak, raz, niedługo po tym, jak umarłam i znalazłam się tutaj. Patrzyłam, jak grupa czarownic powala na ziemię mężczyznę na rynku za bazyliką i powoli rozdziera go na strzępy. Wszędzie na bruku walały się kawałki jego ciała, ale on wciąż krzyczał.

Skuliłam się na tę myśl, poczułam jednak, że Thorne czegoś mi nie mówi. Miałam rację.

– To niebezpieczna pora także z innego powodu – przyznała. – Natychmiast po dzwonie następuje krótki czas, gdy drapieżcy mogą bezkarnie polować, na kogo tylko zechcą: potem pojedynczy dzwon oznacza koniec owego czasu.

Z ulicy i głębiej, ze skąpanej w ciemności alejki, dobiegały kolejne krzyki. Usłyszałam czyjś jęk – choć nie potrafiłam stwierdzić, czy jest to jęk bólu, czy też strachu. Jakaś część mnie pragnęła to sprawdzić, ofiarować pomoc czy pociechę. Inna za bardzo się bała, by choćby drgnąć. Nawet gdybym zmusiła się do działania, Thorne nadal bardzo mocno wbijała mi palce w ramię i trudno byłoby mi odejść.

Dwukrotnie coś śmignęło nisko nad naszą kryjówką, najpierw z lewej w prawo, potem w przeciwną stronę, jakby za pierwszym



razem nas przeoczyło, ale wyczuwając naszą obecność, wróciło, by znów sprawdzić. Z pewnością nie był to trupiarz – stwór był na to stanowczo za duży.

W chwilę później powrócił, wydając z siebie krzyk, przypominający ochryple krakanie olbrzymiej wrony. Tym razem nie przemknął nad nami, lecz zawisł nam wprost nad głowami i po raz pierwszy zdążyłam mu się przyjrzeć. Nieco przypominał nietoperza, lecz długością dorównywał człowiekowi i był niewiarygodnie chudy. Ujrzałam długie, skórzaste, zakończone kośćmi skrzydła i płonące czerwone oczy. Stwór miał też cztery chude kończyny, niezakończone stopami, lecz szponiastymi dłońmi.

– Wybrał nas sobie na ofiarę! – zawołała Thorne, zrywając się z miejsca, gotowa nas bronić.

Cokolwiek to było, nie wydawało się zbyt silne – choć pozory mogły mylić. Szpony sprawiały wrażenie morderczo ostrych, bez wątpienia potwór poruszał się bardzo szybko i zwinnie.

Niechętnie przygotowałam się do użycia magii, lecz dokładnie w chwili, gdy stwór miał zanurkować i zaatakować, nad dachami miasta rozległ się pojedynczy dzwon. W odpowiedzi stworzenie wrzasnęło, zatrzepotało skórzastymi skrzydłami i odleciało.

Gdy się podniosłyśmy, Thorne wskazała wylot alejki.

– Będziemy bezpieczne do czasu, gdy znów odezwie się dzwon.

– Przynajmniej okres łowów drapieżców jest krótki – zauważyłam, chwilowo najwyraźniej dopisywało nam szczęście.

– To prawda, lecz często drapieżnik wypatrzy sobie ofiarę i podąża za nią niewidoczny. Nigdy nie wiesz, kiedy spadnie cios.

– Zatem ten stwór będzie nas tropił do rozpoczęcia następnych łowów... – podjęłam.

Thorne przytaknęła.

– Istotę, która wisiała nad naszymi głowami, nazywają chajkiem. To odmiana pomniejszych demonów, niebezpieczna, bo często poluje stadami. Już nas zaznaczył i zdoła wywęszyć, możliwe nawet, że przekaże informacje sobie podobnym, by dołączyli do łowów. Im dłużej tu zostaniemy, tym większe

zagrożenie.

– A co z Tanakim? – spytałam. – Skąd mamy pewność, że nie podąży tu za nami?

– Istnieje takie ryzyko – przyznała Thorne – ale zazwyczaj ogranicza się do ścieżki i obszaru pomiędzy krainami. To tam grozi nam największe niebezpieczeństwo z jego strony, tam będzie na nas czekał.

Weszłyśmy z powrotem na ulicę. Tym razem, kiedy Thorne pochyliła głowę, natychmiast zrobiłam to samo, drepcząc tuż za nią. Wkrótce skręciła w lewo, w jeszcze węższą uliczkę, będącą w istocie schodami. Przed nami, ponad dachami domów ujrzałam złowieszczy masyw wieży bazyliki, skąpany w niesamowitej poświacie krwawego księżyca. Wyraźnie zmierzałyśmy dokładnie w tamtą stronę.

Zmarli wciąż dreptali wokół nas. Ci zmierzający w górę szli po lewej stronie ulicy, trzymając się blisko rynsztoka i ściekającej nim krwi. Ci, którzy schodzili, maszerowali po lewej. Wszyscy spuszczaali wzrok.

– Dokąd idą ci ludzie? – spytałam.

– Niektórzy do bazyliki, by odprawić modły, inni może pragną zaspokoić głód. W mieście jest wiele sklepów z krwią, w których z uwięzionych ofiar wysąca się ją powoli. Miarka krwi to nagroda za informacje dotyczące kogoś, kto uciekł po Wyborze. Zdarza się to często. Tu każdy gotów jest przegryźć gardło innym.

– Jaki sens ma spuszczenie głowy i unikanie kontaktu wzrokowego, skoro drapieźnik może spaść z nieba? – Znów pomyślałam o chajku.

– Część z łowców potrafi odmieniać swą postać; mogą iść za nami, udając ludzi, czekając na najlepszy moment. Wielu z nich dysponuje mocą, pozwalającą przygwoździć cię w miejscu jednym spojrzeniem albo zasiać w twojej głowie myśl, która zmusi cię, byś zaczekała gdzieś na uderzenie dzwonu. Toteż patrzenie komuś w oczy jest bardzo ryzykowne.

– Czy mogłybyśmy zostać wybrane? – spytałam, zdjęta grozą na

myśl o rozbrzmiewającym w głowie głosie, wzywającym mnie do bazyliki.

– Nie jesteś martwa, Alice, toteż powinnaś być bezpieczna – przynajmniej przed tym. Ale owszem, ja mogę zostać wybrana, dlatego tak szybko opuściłam tę krainę i dlatego powrót tutaj to tak wielkie ryzyko.

Skinęłam głowę, doceniając, jak olbrzymią odwagą się wykazała, oferując mi swą pomoc. Pod wieloma względami groziło jej większe niebezpieczeństwo niż mnie. Zaczęłam się zastanawiać, czy nie lepiej byłoby jej podziękować, pożegnać się i odtąd samotnie stawiać czoło niebezpieczeństwu.

Mimo napomnień, bym spuszczała wzrok, zaryzykowałam zerknięcie na bazylikę. Było w niej coś budzącego niepokój. W Grecji widziałam cytadelę Ordyny, wyłaniającą się z ognistego wiru – nigdy nie zapomnę trzech spiralnych iglic o długich, wąskich oknach, przez które dostrzegałam poruszające demony i inne istoty. Jako więźniarka trafiłam też na rozprawę w Priestown i przyglądałam się okropnemu gargulcowi nad głównym wejściem katedry – podobiznie straszliwego stwora zwanego Morem. Wędrowałam po labiryncie pod katedrą i w końcu ujrzałam owego demona... Oba te miejsca były straszne, ale bazylika umarłych, oświetlona księżycem barwy krwi, przerażała mnie w inny sposób, choć sama nie wiedziałam dlaczego.

Im wyżej się wdrapywałyśmy, tym węższa stawała się ulica. Krwawy księżyc oświetlał dachy, lecz fronty domów skrywała ciemność, w której rzadko rozbłyskiwały samotne pochodnie.

Tłum martwych dokoła także znacząco się przerzedził. Thorne nadal szła z przodu, zauważyłam jednak, iż stopniowo zwalnia kroku, w końcu zatrzymała się i głośno powęszyła trzy razy. Potem zawróciła, a wyraz jej twarzy mnie przeraził.

– Nie mogło być gorzej – oznajmiła. – Brama jest teraz wewnątrz bazyliki.

– Pewnie to raczej mało prawdopodobne, by sama się tam znalazła? – domyśliłam się. Czyżby jeden z wrogów wiedział, czego

szukam?

– Masz rację, Alice, z całą pewnością nie znalazła się tu przypadkiem – odparła Thorne. – Musieli ją przesunąć potężni słudzy Złego, tak byś koniecznie weszła do środka. Będą na ciebie czekać.

– To pułapka... – odetchnęłam głęboko. – Ale muszę iść dalej, kończy mi się czas. Muszę zdobyć ten sztylet niezależnie od ceny. Nie ma jednak potrzeby, abyś szła ze mną Thorne. Bardzo dziękuję ci za pomoc. Dość już ryzykowałam.

Thorne uniosła głowę i popatrzyła mi prosto w oczy.

– Istnieje inny sposób, Alice. – Jej głos brzmiał miękko. – Znam miejsce, w którym przyjaciele czekają, by ci pomóc, ci, o których wspomniałam wcześniej.

– Przyjaciele? – powtórzyłam. – Kto to taki?

– Część z nich być może znasz, inni to wrogowie Złego, co czyni z nich twoich sprzymierzeńców. Nie zamierzałam przyjąć ich pomocy, nie chciałam ich narażać, ale teraz, gdy bramę przeniesiono do bazyliki, nie mamy wyboru. Potrzebujemy ich. Może znają jakiś sposób, abyśmy dostały się tam niepostrzeżenie.

– Masz na myśli tajemne wejście? – spytałam.

Przypomniałam sobie tunel, wiodący z ruin kaplicy do lochów wieży Malkinów.

– Możliwe. Niektórzy z tych ludzi przebywają tu od bardzo dawna i wiedzą o Mroku niemal wszystko.

Skinęłam głową.

– Chodźmy zatem i spotkajmy ich – zgodziłam się.

Thorne podjęła marsz w stronę bazyliki, aż w końcu potężna sylweta przesłoniła niebo. Wówczas poprowadziła nas do domu większego od innych. Nie stał w szeregu, lecz osobno, odsunięty od wąskiej, brukowanej dróżki, na własnym skrawku ziemi, pełnym wysokich chaszczy i pokrzyw.

Gdy się zbliżyliśmy, stopy zanurzyły się w błotnistą ziemię. Frontowe drzwi były uchylone, Thorne nie zapukała, otworzyła je ostrożnie i przeprowadziła nas przez pusty pokój do stopni

wiodących w dół.

Kiedy nasze szpiczaste trzewiki zastukały o schodki, zwiastując przybycie, zaczęłam coraz bardziej się niepokoić. Nigdy wcześniej nie szłam po podobnych stopniach, ale kojarzyły mi się z czymś z mojej przeszłości, czymś strasznym i przerażającym.

Po chwili znalazłyśmy się w piwnicy, znacznie większej niż stary dom na górze. Połowę z nich zajmował ciemny dół pełen mrocznej wody. Teraz poznałam to miejsce: stanowiło dokładną replikę pewnej piwnicy na ziemi. Zapamiętałam ją aż nadto dokładnie.

Pod ścianą stało samotne krzesło. Było zajęte. Naprzeciw mnie siedziała rosla kobieta o tłustej twarzy i świńskich oczkach. Włosy miała szare i potargane, krzywiła się, patrząc spod krzaczastych brwi, z każdego poru jej ciała promieniowała nienawiść.

To była Betsy Gammon, moja stara nieprzyjaciółka, ktoś, kto miał wiele powodów, by mnie skrzywdzić. Wpadłam w pułapkę! Thorne mnie zdradziła!

## **ROZDZIAŁ 7**

### **JAK TO SIĘ WSZYSTKO ZACZEŁO?**

Aby wyjaśnić swą znajomość z Betsy Gammon, muszę się cofnąć do czasów spędzonych z Lizzie.

Urodziłam się na wschód od Pendle, w cieniu wielkiego, ponurego wzgórza. Miałam wśród krewnych dużo czarownic i w moich żyłach krążyła zła krew. Musiałam zostać wyszkolona na wiedźmę, to było nieuniknione. Przeszłam dwa lata nauki mrocznych sztuk u jednej z najpotężniejszych czarownic wszech czasów – Kościstej Lizzie. To były ciężkie dwa lata. Lizzie nauczyła mnie mnóstwa mrocznych umiejętności, a w czasie, który z nią spędziłam, zdarzyło się wiele rzeczy – rzeczy, o których nigdy nie opowiedziałam mojemu przyjacielowi Tomowi Wardowi. Ponurych,

przeróżających rzeczy, prowadzących do pierwszego zetknięcia z Betsy.

Jednym z najgorszych tygodni, jakie spędziłam u Lizzie był ten, gdy zabrała mnie ze sobą, by spróbować zabić stracharza.

Siedziałam w piwnicy jej ciemnego, wilgotnego domku i uczyłam się. Usłyszałam na zimnych, kamiennych stopniach zbliżający się stukot szpiczastych trzewików. Zdziwiło mnie to, bo do północy została jeszcze godzina, a Lizzie spodziewałam się dopiero o świcie – poszła na spotkanie z resztą kręgu Malkinów.

W chwili, gdy znalazła się w zasięgu światła świecy, oderwałam wzrok od książki. Lizzie nie wyglądała wcale źle – miała ciemne i wielkie oczy, ale często się krzywiła, cały czas mamrotała pod nosem, głównie zaklęcia i przekleństwa, i widziałam, że jest w paskudnym nastroju, bo kąciki jej ust drżały.

– Dosyć już czytania. Ruszamy do Bury – oznajmiła. Był środek nocy i nie ucieszyły mnie te wieści. Konałam ze zmęczenia, marzyłam o tym, żeby się jak najszybciej położyć.

– Gdzie to jest? – spytałam.

– To wioska niedaleko na północ od Ramsbottom.

O Ramsbottom też nigdy nie słyszałam. Całe życie spędziłam w okręgu Pendle i nie znałam dalszych okolic Hrabstwa.

– Czeką nas praca, mroczna praca – syknęła Lizzie – misja od kręgu. Ciągnęłyśmy słomki, cała trzynastka, moja była najkrótsza. Wiedźma zabójczyni jest zajęta czymś innym, toteż ja muszę to zrobić. Zabiję stracharza. Zasłużył sobie na śmierć, o tak. Wcześniej go przekleliśmy, lecz jakoś zdołał przeżyć. Zbyt długo wtrąca się w nasze sprawy i teraz dostanie to, na co zasłużył.

Lizzie musiała dostrzec niechęć na mojej twarzy, bo skrzywiła się wrednie.

– No dobra, dziewczyno! Za dużo już zwłóczyłaś. Wstawaj, już, bo pożałujesz, że cię matka urodziła!

Tupnęła nogą. W najciemniejszych kątach pomieszczenia – miejscach, do których nie dosięgał migotliwy płomyk świecy, natychmiast zaczęły nabierać kształtów paskudne, rozedrgane

stwory o licznych mackach i ostrych zębach.

To były larwiaki z Mroku – nowo narodzone stwory, wciąż próbujące zrozumieć, kim są i jakie jest ich miejsce. Lizzie potrafiła je przywołać i zmusić do posłuszeństwa, i świetnie sobie z nimi radziła: w większej masie mogły przerazić, torturować, a nawet zabić. Zadrżałam. Lizzie uwielbiała napuszczać je na mnie – wiedziała, jak bardzo boję się larwiaków. Gdy zrobiła to po raz pierwszy, opowiedziała mi historię młodej dziewczyny z klanu Malkinów, którą zabiły. Szkoląca ją wiedźma była stara i nieco zapominalska – przywołała larwiaki, by ukarać dziewczynę za przypalenie grzanki, a potem kompletnie o nich zapomniała. Była też głucha, więc nie słyszała krzyków, a kiedy w końcu poszła poszukać dziewczyny, spóźniła się. Larwiaki wyżarły biedaczce cały mózg, do czysta. Z oczu zostały dwa puste otwory, całe ciało znaczyły pokrwawione dziury w miejscach, w które wgryzły się larwiaki, nim w końcu się najadły i wylazły z ciała.

Dlatego tak właśnie bardzo się bałam. Gdybym natychmiast nie wstała, najsilniejsze z nich podeszłyby bliżej i zaczęły drapać i skubać. Musiałabym mocno zamknąć usta i zacisnąć nos, by się w niego nie wcisnęły. Ale wtedy próbowałyby wkręcić mi się do uszu... Brakowało mi rąk, by wszystkie odpędzić, ból byłby coraz gorszy i gorszy, a mnie ogarniałaby coraz większa panika. Paskudne przeżycie, a szczerze wierzyłam, że gdybym dostatecznie rozzłościła Lizzie, któregoś dnia ta mogłaby odejść i zostawić mnie im na pożarcie.

Zamknęłam zatem grimoire, najstarszą należącą do Lizzie księgę zaklęć, wstałam i wsunęłam taboret pod stół. Gdy larwiaki zaczęły znikać, zdmuchnęłam świeczkę i wspięłam się po schodach.

Ruszyliśmy zabić stracharza i wcale mi się to nie podobało. Działo się to na długo przed tym, nim spotkałam Johnna Gregory'ego, mistrza Toma Warda. Wówczas znałam jedynie traktujące o nich bajki czarownic – stracharze to nasi wrogowie, walczący z duchami, widmami, boginami i bezecnymi wiedźmami, jak Lizzie. Wierzyłam, że wpadnięcie w ich ręce to najgorsze z

możliwych nieszczęść. Niektórzy wrzucali nas do jam i zostawiali, abyśmy gniły przez resztę swego żalosego życia. Inni wycinali nam serca i pożerali je, żebyśmy już nigdy nie mogły powrócić z martwych.

Wiedziałam, że niektórzy stracharze radzą sobie w swym fachu lepiej od innych. Jeśli ten wtrącił się w sprawy kręgu Lizzie, najniebezpieczniejszego w Pendle, bez wątpienia był człekiem odważnym i dobrze wiedział, co robi. Może specjalizował się w rozprawach z czarownicami? W takim przypadku na pewno będzie miał srebrny łańcuch i mnóstwo dołów na uwięzienie ofiar.

Nie zachwyciała mnie myśl o spędzeniu reszty życia w dole, o nie! Ale nie miałam wyboru, podążyłam zatem za Lizzie w noc.

Lizzie wyraźnie się spieszyła: wyruszyłyśmy na północ całkiem szybko i z trudem dotrzymywałam jej kroku. Lecz tuż przed świtem zatrzymałyśmy się w lesie, by przeczekać dzień. Byłam zmęczona, toteż ucieszyłam się, że Lizzie pozwoliła mi spać aż do zmierzchu, kiedy to posłała mnie, bym złapała parę królików. Byłam w tym dobra – od dzieciństwa umiałam nastawiać wnyki, potrafiłam też rzucić urok na królika. Jeśli szepnąć do nich dokładnie jak należy, same wchodzą nam w ręce.

Złapałam dwa i wróciwszy, przekonałam się, że rozpałiła już ogień, zabrałam się zatem za przygotowywanie kolacji. Czasami Lizzie wołała surowe mięso – przepadała zwłaszcza za szczurami – lecz teraz chętnie zgodziła się, abym upiekła królika na rożnie.

– Masz szczęście, że zabrałam cię ze sobą, dziewczyno – oblizwała palce. – Niewiele z nas mogło oglądać, jak stracharz dostaje co jego.

– Jak zamierzasz go załatwić, Lizzie? – spytałam. Ciągle wyobrażałam sobie stracharza, który chwyta mnie i grzebie żywcem w jamie, gdzie będę musiała żywić się ślimakami, pomrowami i szczurami, by przetrwać. Lizzie nauczyła mnie zaklęcia przywołującego szczura, ale wiedziałam, że nigdy nie zdołam się zmusić, by zjeść go na surowo.

– Jest wiele sposobów, dziewczyno. – Choć raz Lizzie ucieszyło



moje zainteresowanie. – Mogłybyśmy spróbować go przekląć, ale to sposób powolny, a stracharze, jako siódmi synowie siódmych synów, dysponują pewną odpornością. Musimy zatem się zbliżyć i zrobić to w trudniejszy sposób. Najlepiej, gdyby ktoś inny załatwił to za nas.

– A kto by to zrobił? – spytałam. – Może rzucisz na kogoś zaklęcie?

Istniały czary, zmuszające ludzi do uczynienia czegoś wbrew ich woli, zwłaszcza mężczyzn. Nad mężczyznę znacznie łatwiej zapanować niż nad kobietą, a Lizzie prócz okrucieństwa miała też osobliwe poczucie humoru – zwłaszcza w stosunku do mężczyzn. Na północ od wioski Sabden mieszkał pewien młynarz, potężny człek o ramionach bardziej owłosionych niż głowa. Za każdym razem, gdy tamtędy przechodziłyśmy, kazała mu uganiać się tam i z powrotem na czworakach i szczekać jak pies.

– Po co marnować zaklęcie, skoro mogą nas wyręczyć wrogowie stracharza? – warknęła.

– A znamy jakichś jego wrogów, którzy mieszkają w pobliżu?

Bez wątpienia w Pendle miał ich wielu, ale tu byłyśmy obce.

– Owszem, dziewczyno, choć nie osobiście, jedynie nazwiska. Annie Cradwick i Jessie Stone – słyszałaś o nich kiedyś? – Pokręciłam głową. – Nie dziwota, obie były na tyle głupie, by wyjść za mąż i zmienić nazwiska. Ale pierwotnie pochodzą z Pendle, a po śmierci swoich mężów znów zaczęły praktykować sztukę. Ten stracharz złapał je obie i zabił w ciągu miesiąca, teraz tkwią uwięzione w grobach w jego ogrodzie. Po uwolnieniu dwie martwe więdźmy z radością załatwią za nas sprawę.

Znów ruszyłyśmy na południe i parę godzin przed świtem dotarłyśmy na przedmieścia Bury. Mimo ciemności Lizzie bardzo szybko znalazła dom stracharza – mieszkał milę na wschód od wioski, przy wąskiej polnej drodze. Dowiedziałam się, iż członkinie kręgu szpiegowały go na zmianę, wypatrując słabości, ale dom z całą pewnością do nich nie należał. Jak zauważyła Lizzie, Jego jedyną wadą było to, iż dało się spojrzeć nań z góry z pobliskiego

wzgórza. Tam właśnie usiadłyśmy obie, ukryte w krzakach i długiej trawie na szczycie.

Dom stracharza miał dwa piętra i rozległy ogród, otoczony kamiennym murem z tylko jedną dużą bramą. W ogrodzie rósł niewielki zagajnik; gdzieś pod gałęziami drzew leżały groby obu czarownic.

W oknach nie płonęło żadne światło, czuwałyśmy jednak aż do wschodu słońca, a potem spałyśmy na zmianę, głównie Lizzie. Choć cały dzień gapiłyśmy się na dom z takim napięciem, że aż rozboleły nas oczy, wciąż nie dostrzegłyśmy żadnych oznak życia.

– Musiał wyjechać – oznajmiła Lizzie, gdy słońce zaczęło zachodzić. – Damy mu jeszcze godzinę, a potem zejdziemy i rozejrzemy się.

– Czy mam najpierw złapać nam parę królików? – spytałam. Konałam z głodu.

Lizzie pokręciła głową.

– Najpierw praca, potem posiłek! – warknęła.

– Jak się nazywa ten stracharz?

– Jak się nazywa? A jakie to ma znaczenie, dziewczyno? Wkrótce zginie, a tam, dokąd się uda, nie będzie potrzebował imion.

– Nawet na nagrobku? – zdziwiłam się.

Lizzie parsknęła.

– Kiedy te więdźmy dopadną go w swoje zęby i szpony, nie zostanie z niego nic, co można by pochować. Obie łakną zemsty. Spędziły wiele lat w zimnej, mokrej ziemi.

Godziny płynęły szybko, widziałam jednak, że Lizzie się denerwuje. Czarownice takie jak ona z daleka potrafią wywęszyc nadchodzące niebezpieczeństwo i z łatwością nauczyłam się tej sztuki. Prawdę mówiąc, w skrytości ducha uważałam, że jestem w tym lepsza od Lizzie, ale na stracharzy to nie działa, bo są siódmymi synami siódmych synów. Wiedziałam zatem, iż obawia się, że mógłby wrócić, kiedy zejdziemy do jego ogrodu.

Zapadł zmrok, lecz niebo było bezchmurne, a w górze płonął

rogaty księżyc, rzucając dość srebrnego blasku, abyśmy swobodnie widziały. W końcu Lizzie poprowadziła nas do muru. Bramę zrobiono z żelaza, którego dotyk zadaje wiedźmom ostry ból, więc wiedziałam, że nie zechce się na nią wdrapać. Posłała mi złośliwy uśmiech i skinieniem głowy wskazała kamienne ogrodzenie.

– No przełaź, dziewczyno, szybko. Kiedy sprawdzisz, że jest bezpiecznie, zawołaj!

Wolała nie ryzykować, prawda? To ja musiałam się narazić. Ponieważ jednak nie miałam wyboru, wspierałam się, a potem powoli, ostrożnie opuściłam twarz do muru. Zeskakując kilka stóp, ugięłam kolana, by złagodzić lądowanie i przeturlałam się po trawie. Potem znieruchomiałam, wyęzając słuch. Bardzo się bałam. Wtargnięcie na ziemię stracharza to okropne ryzyko.

Słyszałam lekki wietrzyk, świszczący pośród drzew, w dali raz jeden huknęła sowa. Poza tym jednak panowała cisza.

– Czy jest bezpiecznie? – syknęła Lizzie.

Szybko trzy razy pociągnęłam nosem. Mnie wydawało się bezpiecznie.

Podniosłam się powoli i zawołałam, że wszystko w porządku. Chwilę później, lądując z łoskotem na miękkiej ziemi, czarownica stanęła obok mnie.

– Dobrze cię widzieć w jednym kawałku – rzekła drwiąco. – Nigdy nie wiadomo, jakich pułapek i sideł może użyć stracharz do ochrony swojego domu. Weźmy starego Gregory'ego z Chipenden – to najsilniejszy stracharz w Hrabstwie. Sprawił sobie potężnego bogina, którzy strzeże jego ziemi, a każdego intruza rozrywa na strzępy.

Nie oglądając się za siebie, Lizzie ruszyła w stronę kępy drzew. Podreptałam za nią, kipiąc z wściekłości. Nigdy nie słyszałam o stracharzach, którzy oswajali boginy. Gdyby ten stracharz także zatrudnił jednego z nich do pilnowania ogrodu, już bym nie żyła. Lizzie wykorzystała mnie, by zapewnić sobie bezpieczeństwo.

Wkroczywszy między drzewa, skierowała się prosto w miejsce, gdzie obok siebie leżały dwa ciemne głazy. – Annie i Jessie leżą

pogrzebane pod tymi kamieniami – oznajmiła. – Niektórzy stracharze używają żelaznych prętów, by uwięzić wiedźmę i nie pozwolić jej wykopać się na powierzchnię. Ale Jacob Stone należy do starej szkoły, poza tym to skąpiradło. Głazy nic nie kosztują, trzeba tylko wielu silnych rąk, by umieścić je nad grobem, a robotnicy są bardzo tani.

Zatem stracharz nazywał się Jacob Stone. Niemal zaczynałam go żałować. Bez wątpienia dwie uwięzione czarownice przypominały Lizzie, która, jak podejrzewałam, mordowała dzieci i wypijała ich krew, by wzmocnić swoją magię. Nigdy nie widziałam, jak to robi, ale czasami, kiedy znikwała na całą noc, przynosiła świeże kości kciuków ofiar i wygotowywała je w kipiącym kotle. Niektóre z kości zdawały się zbyt małe, by mogły pochodzić od dorosłych.

– Czy i my wynajmiemy robotników? – spytałam. – Bo nie widzę, jak inaczej mogłybyśmy odsunąć te wielkie kamulce i uwolnić martwe wiedźmy.

Sztydziłam z Lizzie, bo wiedziałam, że to ostatnia rzecz, jaką by zrobiła. Ktoś taki jak ona nigdy za nic nie płacił. Nie zauważyła jednak drwiny, bo mówiłam niewinnym tonem. Domyślałam się, że posłuży się mroczną magią, ale nie miałam pojęcia jaką.

Lizzie prychnęła.

– Trzeba nam tylko jednego, dziewczyno: szczurów. Całe mnóstwo tłustych, soczystych szczurów!

To rzekłszy, usiadła na ziemi, krzyżując nogi i zaczęła mamrotać zaklęcie. Po najwyżej trzydziestu sekundach pierwszy szczur podbiegł ku niej z piskiem. Mnie wydawało się to durne. Jak szczury mogły przesunąć podobnie wielkie kamulce?

Szczur, rosły, szary o długich wąsikach, pomknął wprost do lewej ręki Lizzie, która delikatnie postukała go po łebku palcem, tak że natychmiast legł bez ruchu. Nadal jednak żył – widziałam, jak porusza mu się brzusek. Po paru minutach Lizzie ułożyła w rzędzie trzynaście szczurów, po czym rozprawiła się z każdym w sposób, od którego zrobiło mi się niedobrze...

Odgryzała kolejno głowy szczurów, wypluwała je i odrzucała ciała.

Po pierwszych dwóch musiałam odejść, by nie zwymiotować. Wiedziałam jednak, że wezwie mnie z powrotem i wolałam wrócić na własnych warunkach. Zatem po paru minutach, kiedy żołądek przestał mi się skręcać, zawróciłam i zastałam ją klęczącą przed stosikiem szczurzych łebków. Znów nuciła zaklęcia, tym razem z zamkniętymi oczami. W ogrodzie wszystko ucichło i znieruchomiało, wietrzyk ucichł, słyszałam tylko mamrotanie czarownicy. A potem coś jeszcze – brzęk muchy. Brzmiała jak bardzo duża.

Nienawidzę wszelkiego robactwa, ale najbardziej much i pajaków, nie mogę znieść ich dotyku na skórze, więc odskoczyłam szybko.

Gigantyczna mucha mięsna wylądowała na szklanym lewym oku leżącej na szczycie stosu szczurzej głowy. Brzęczenie stało się głośniejsze, wypełniając powietrze donośniej niż pszczeli rój. Na oderwane szczurze łebki opadła ciemna chmara much. Zwijały się, brzęczały i posilały łapczywie.

Lizzie pochyliła się naprzód, niemal dotykając czołem rojącego się od much stosiku. A potem wypowiedziała słowo w dawnej mowie i muchy oderwawszy się od uczy, wyroiły się na jej głowie i ramionach, kompletnie zasłaniając twarz. Potem jednak pojawiła się dziura, zrozumiałam, że Lizzie szeroko otworzyła usta. Wysunęła język i jego także oblaży muchy.

Odwróciłam się i zatkałam rękami uszy, żeby nie słyszeć tego okropnego dźwięku.

Nim się zorientowałam, coś klepnęło mnie w ramię. Obróciwszy się, zobaczyłam, jak Lizzie śmieje mi się w twarz i oblizuje usta.

Muchy zniknęły; bez wątpienia większość odleciała, lecz znając Lizzie, miałam pewność, że ta połknęła ich całe mnóstwo.

– Jesteś stanowczo zbyt wydelikaccona, dziewczyno! – rzuciła. – Wiedźma musi być twarda. Lubię jeść szczury – uwielbiam smak ich krwi – a parę much też mi nie wadzi, choć nie smakują aż tak

dobrze. Czemu miałyby mi przeszkadzać, skoro w zamian dostaję to, czego chcę? Dały mi dość sił, by poruszyć te głązy!

W jej oczach dostrzegłam niesamowity błysk, coś, czego wcześniej nie widziałam.

– Powinnaś wiedzieć coś jeszcze – podjęła. – Moc ta pochodzi od potężnego demona, zwanego Belzebubem. To jeden z najlepszych sług Złego – zasiada po jego lewicy. Dobrze jest mieć mnóstwo różnych przyjaciół w Mroku, a on należy do moich. Często mi pomaga, o tak, a w zamian nie oczekuje zbyt wiele. Przekonajmy się, co dał mi teraz! – Zadrżałam na te słowa. Lizzie podeszła do najbliższego głązu i pchnęła, odtaczając go, jakby ważył tyle co wór pierza. Otwarcie grobu towarzyszyło głośnie, mokre mlaśnięcie i smród rozmiękłego błota. W chwilę później Lizzie zajęła się drugim głązem.

Zdumiał mnie ten pokaz sił, wiedziałam jednak, że nigdy nie chciałabym użyć tego zaklęcia – nie zniosłabym myśli o odgryzaniu szczyrom głów i łażących po mnie muchach.

– No dobrze. – Lizzie wyciągnęła z kieszeni postrzępionej spódnicy nóż. – Teraz czas uwolnić dwie martwe czarownice. Do tego potrzeba mi więcej krwi, ale szcurza nie wystarczy, musi być ludzka. Podejź więc tutaj – niczego nie poczujesz!

## **ROZDZIAŁ 8**

### **PIERWSZE BLIZNY**

Zamarłam w miejscu. Wcale mi się to nie spodobało.

– Chodź tu, dziewczyno! Potrzebuję twojej krwi, i to już! – warknęła Lizzie.

Czy zamierzała mnie zabić? Czy to jakaś ofiara?, zastanawiałam się. Po to właśnie mnie zabrała?

– Mojej krwi? – Nerwowo przyjrzałam się ostrej klindze.

– Swojej przecież nie użyję, prawda? – syknęła. – Muszę

zachować siły. Nie martw się, dziewczyno, zostawię ci dość, by twoje serce wciąż biło – choć jakiś czas może trochę potrzepotać.

To rzekłszy, złapała mnie za lewą rękę i podciągnęła za rękaw. Poczułam ostre ukłucie, a potem moja krew zaczęła ściekać na grób. Na tym nie koniec – nacięła mi również prawą rękę. Zaciskając zęby i walcząc z bólem, patrzyłam na wielkie krople, wsiąkające w mokrą ziemię. Cała się trzęsłam, żołądek zaciskał mi się z bólu.

Wtedy po raz pierwszy Lizzie użyła mojej krwi do swej magii. W przeszłości czekało mnie wiele podobnych okazji – nadal mam blizny na czele, pamiątki po nich, choć większość kryje się pod ubraniem, toteż ich nie widać.

Lizzie schowała nóż do kieszeni i pokręciła głową.

– Nie jest tak źle, dziewczyno – warknęła. – Przestań się mazać. Potrzebujemy twojej krwi, bo mamy tu problem. Stracharze stosują paskudną sztuczkę, Annie i Jessie najpewniej zakopano głowę w dół, by same nie wiedząc, wkopywały się jeszcze głębiej. Możliwe, że będziemy musiały wyciągnąć je za nogi, ale twoja krew powinna je zachęcić i wskazać właściwy kierunek. Wywęszą ją i dołożą wszelkich starań, by się uwolnić.

Znacznie wcześniej, niż się spodziewałam, usłyszałam dobiegające z ziemi szelesty. Potem z grobu po lewej wyłoniły się trzy palce, kołyszące się w blasku księżyca. W chwilę później zamieniły się w dwie całe ręce i czubek głowy. Z drugiego grobu także zaczęły wyrastać palce.

– Jacob Stone narobił nam kłopotu, ale tu postąpił niedbale. Nie jest już taki jak kiedyś. Pogrzebał je głowami do góry, lada moment wyleżą.

Po pięciu minutach obie wiedźmy wyczołgały się z ziemi. Nie potrzebowały naszej pomocy i bardzo mnie to ucieszyło; spotkałam już wcześniej martwe czarownice, ale na widok tych dwóch zaczęły mi dygotać ręce i kolana. Jessie i Annie za życia też pewnie nie wyglądały zbyt pięknie – ale po śmierci stały się najpaskudniejszymi, najbardziej odrażającymi stworami, jakie

widziałam.

Pokrywała je warstwa cuchnącego błota, splątane, rzadkie włosy lepiły się do twarzy. Jessie, ta wyższa, miała tylko dwa zęby – wielkie i zakrzywione, tkwiące w górnej szczęce niczym kły. Obie miały też szpiczaste brody i wąsko osadzone oczy, błyskające bielą w promieniach księżyca. I obie natychmiast ruszyły ku mnie, wężąc i szurając nogami. Wyciągały ręce, rozcapierzając długie paznokcie i myśląc tylko o jednym.

Dla nich byłam jedynie posiłkiem.

Krew zastygła mi w żyłach, całym ciałem wstrząsnęły niepowstrzymane dreszcze. Martwe czarownice są niewiarygodnie silne. Czasami po prostu chłpczą łapczywie krew aż do śmierci ofiary. Czasem wpadają w krwawy szał i rozdzierają ją na strzępy. Przerażona, schowałam się za plecami Lizzie. Nie wiem, na co liczyłam – ona jedynie zaśmiała się z mojego strachu.

– Skosztowały twojej krwi, dziewczyno i mają ochotę na więcej – zadrwiła, po czym odwróciła się do wiedźm. – Wysłuchajcie mnie dobrze, Annie i Jessie! – krzyknęła. – Krew tej dziewczyny nie jest dla was. Zrobiła wam przysługę, to jej krew was obudziła, a ja odsunęłam kamienie. Dam wam kilka szczurów, o tak – dość, byście odzyskały siły. Ale to zemsty na Jacobie Stonie potrzebujecie! Musicie zabić tego, kto was zamordował, nie tę dziewczynę. Wypijcie jego krew, a odzyskacie wolność i będziecie mogli polować, gdzie tylko zechcecie.

To rzekłszy, Lizzie wymamrotała coś pod nosem i z ciemności wyłoniło się mnóstwo szczurów, pędzących ku nam z piskiem, nieświadomych, że zmierzają wprost w paszcze śmierci. Lizzie nauczyła mnie już tego zaklęcia, znów mało prawdopodobne, bym go kiedyś użyła.

Zaczęła szybko łapać gryzonie i wpychać je w ręce martwych czarownic, które po chwili łapczywie wyssały krew.

– No dobra, dziewczyno, podczas gdy one odzyskują siły, chodźmy rozejrzeć się po domu starego stracharza. Nigdy nie wiadomo, co tam znajdziemy...



Poszła pierwsza, ja maszerowałam tuż za nią. Bardzo mnie ucieszyło, że mogę się oddalić od martwych wiedźm.

Frontowe drzwi zrobiono z solidnego dębu, ale Lizzie bynajmniej nie zużyła jeszcze swych nowych magicznych sił. Chwyciła klamkę i wyrwała drzwi z zawiasów, odrzucając na ścieżkę z głośnym trzaskiem. Potem wyciągnęła z kieszeni długiej spódnicy czarny ogarek i zapaliła go wymamrotanym cicho słowem. W blasku świecy przekroczyliśmy próg domu stracharza. Nie chciałam zostać czarownicą, mordować ludzi i pić ich krwi – musiałam jednak przyznać, że coś w Lizzie wzbudziło zainteresowanie drobnej części mojego umysłu. W Pendle najczęściej bałam się i próbowałam przetrwać, ale Lizzie była tak pewna siebie i potężna... Dobrze byłoby też być taką, panować nad wszystkim i się nie bać. Dobrze byłoby mieć dość sił, by odepchnąć tych, którzy mi zagrażają.

Ale wówczas daleka byłam od podobnych myśli. Bałam się. Stracharz nie zastawił pułapek w ogrodzie, ale co, jeśli w środku coś na nas czekało? Lizzie nie sprawiała jednak wrażenia zaniepokojonej – poprowadziła nas do niewielkiego pokoju pełnego regałów na książki – zakurzonych i pokrytych pajęczynami. Wyglądało na to, że stary Jacob Stone od bardzo dawna żadnej z nich nie czytał.

– Przekonajmy się, co tu mamy. – Lizzie uniosła wyżej świecę, przebiegając wzrokiem po półkach biblioteki stracharza.

Musiał tam przechowywać parę setek książek, o tytułach takich jak: „Jak uwięzić bogina” i „Demony i żywiołaki”. Niemal wszystkie traktowały o różnych aspektach Mroku, lecz rozejrzawszy się szybko, Lizzie chwyciła jedną i zdmuchnąwszy pajęczyny, podsunęła mi ją pod nos. Na grzbiecie oprawnej w brązową skórę książki widniał tytuł: „Praktyki bezecnych wiedźm”.

– Tę zabierzemy – oddała mi ją. – Przyda się nam, dzięki niej dowiemy się dokładnie, w co wierzy stracharz. Umieszczę ją we własnej bibliotece!

Tak naprawdę nie obchodziło mnie, co myślą o nas stracharze.

Chciałam tylko wydostać się z tego domu i ogrodu najszybciej, jak to możliwe.

Lizzie jednak nalegała, abyśmy dokładnie przeszukały dom, nie znalazła jednak zbyt wiele. Dopiero gdy dotarliśmy do ostatniego pomieszczenia, strychu na poddaszu, jej oczy zapłonęły z podniecenia, usłyszałam, jak szybciej oddycha.

– Jest tu coś wyjątkowego! – rzuciła. – Jakiś skarb!

Strych był wielki, zajmował całe najwyższe piętro domu. Wyglądało na to, że służy głównie do przechowywania niepotrzebnych rzeczy. Stało tam mnóstwo otwartych pudeł, pełnych śmieci niezwiązanych z pracą stracharza – zwykłych, porzuconych domowych sprzętów. Wśród nich dostrzegłam nawet obraz: przedstawiał drzewa i odległy dom. Wyglądało to jak scena z Hrabstwa, bo padał deszcz, a z ziemi wstawała mgła.

Lecz to nie te przedmioty zainteresowały Lizzie, nie próbowała przeszukiwać pudeł. Oddawszy mi świecę, opadła na czworaki, obwąchując podłogowe deski, niemal dotykając nosem szorstkiego drewna. Dobrze jej tak! Oby tylko wbiła sobie drzazgę!

Sama także powęszyłam trzy razy, bardzo szybko i cicho, by Lizzie nie usłyszała. Miała rację. Pod podłogą coś było – coś bardzo dziwnego.

– Tutaj! – zawołała, zatrzymując się w końcu.

Mocno pchnęła ręką i jej paznokcie wbiły się w drewno. Jednym konwulsyjnym szarpnięciem oderwała deskę i odrzuciła ją na bok, po niej kolejną. Potem spojrzała w ciemność i zaczęła oburącz przeszukiwać dziurę. W chwilę później uniosła coś do świecy.

Z początku uznałam, że to jakieś jajko: duże jajko, większe niż moja pięść. Potem jednak przekonałam się, że jest sztuczne, zszyte w owalny kształt z kilku kawałków sztywnej, czarnej skóry.

– Podsuń no bliżej świecę, dziewczyno! – rozkazała Lizzie i zrobiłam, co kazała, podchodząc kilka kroków i unosząc ją tuż przy skórzanym jajku, by mogła obejrzeć je uważnie. Wówczas zauważyłam, że pokrywało je pismo, opadające spiralą z jednego końca na drugi.

– Nigdy dotąd nie zetknęłam się z takim językiem, ale na dole widnieje podpis – Nicholas Browne. Ciekawe, kto to? Może to obcy język? Ale nazwisko brzmi jak z Hrabstwa – mamrotała Lizzie. – Może to ostrzeżenie?

Przysunęła dziwny obiekt bliżej twarzy i przyglądała mu się, mrużąc oczy, obracając raz w tę, raz we w tę. Jej usta wykrzywiały się w tiku, powęszyła trzy razy.

– Myślę, że może się tu kryć prawdziwa moc, a także niebezpieczeństwo. Podstępny, stary stracharz ukrył to, by nikt taki jak my nie mógł dopaść tego przedmiotu. Musimy się dowiedzieć, skąd dureń go wziął i co o nim wie. To oznacza, że musimy utrzymać go trochę przy życiu.

Lizzie natychmiast ruszyła na dół, spóźniła się jednak. Właśnie dotarliśmy do drzwi, gdy naszych uszu dobiegł straszliwy krzyk.

Dochodził od strony bramy ogrodu.

Nim tam dotarliśmy, dwie martwe wiedźmy już się posiliły.

Stary stracharz ledwie przeszedł przez bramę, gdy rzuciły się na niego, wywróciły na długą trawę i zatopiły zęby w jego ciele. Teraz Jacob Stone leżał na wznak, pozbawiony krwi, zimny i martwy, niewidzące oczy spoglądały wprost w księżyc. Zrobiło mi się go żal. Był stary – w wieku, w którym już dawno powinien był się wycofać z tak niebezpiecznego fachu.

Nie dostrzegłam ani śladu Annie i Jessie, lecz żelazna brama stała otworem – najwyraźniej ruszyły na łowy, wzmocnione krwią starego stracharza. Z pewnością pragnęły jej więcej – wkrótce jakaś biedna miejscowa rodzina będzie opłakiwać stratę.

– To nie koniec świata. – Lizzie kopnięciem wytrąciła z martwej dłoni stracharza łaskę z jarzębinowego drewna. – Skoro nie można przesłuchać żywego, przepytamy umarłaka!

To rzekłszy, dobyła noża o ostrej klindze i uklękła obok ciała. Odwróciłam się z niesmakiem, zółć podeszła mi do gardła. Nigdy wcześniej nie widziałam, jak Lizzie to robi, ale wiedziałam, że odcina kciuki starca. Z ich pomocą będzie mogła wezwać jego duszę i uzyskać potrzebne odpowiedzi.

## ROZDZIAŁ 9

### NIECHĘTNA DUSZA

Natychmiast ruszyliśmy do Pendle, bo Lizzie nie mogła się już doczekać chwili, gdy wróci do domu i dowie się, czym jest skórzane jajo oraz co robi.

Na miejscu znalazłyśmy się o zmierzchu, lecz mimo niecierpliwości nie mogła zacząć natychmiast. Najpierw musiała skontaktować się z kręgiem i oficjalnie zameldować o powodzeniu misji zabicia stracharza. Miałam przecucie, że nie wspomni im o tajemniczym przedmiocie, znalezionym pod jego podłogą; to coś, co wolała zachować dla siebie. A Lizzie była jedną z najpotężniejszych czarownic w Pendle, doskonale zatem umiała ukryć swoje działania przed okiem nawet najzręczniejszych mistrzyń postrzegania.

Zatem dopiero następnego wieczoru tuż przed zmierzchem Lizzie w końcu wzięła się do roboty. Przyniosła swój największy kocioł, zawsze ustawiony tuż przy tylnych drzwiach domku. Rozkazała mi napełnić go w trzech czwartych wodą i rozpalić pod nim ogień. To oznaczało pół godziny ciężkiej harówki: dźwigania cebra ze studni na końcu ogrodu. Wycofałam się, kiedy woda zawrzała, a Lizzie rozpoczęła rytuał.

Ustawiła drewniany stołek tuż przy kotle i usiadła, wpatrując się w parę, wzlatającą z bulgoczącej powierzchni. Wrzuciła do środka kciuki Jacoba Stone'a, każdy z nich wylądował z pluśnięciem i opadł na samo dno. Patrzyłam z odległości kilku kroków, jak Lizzie mamrocze pod nosem, dodając do kotła rozmaite zioła i inne rośliny.

Podczas rytuału zazwyczaj wyjaśniała mi, co robi i po co dodaje każdy kolejny składnik, tym razem jednak sprawa była zbyt ważna i Lizzie nie zamierzała zawracać sobie głowy naukami. Tak się składa, że znałam już nazwy większości użytych przez nią roślin i

wiedziałam, jak działają. Orientowałam się też, co się wydarzy, kiedy mięso zmięknie i odpadnie od kości: to wtedy Lizzie spróbuje zapanować nad duszą starego stracharza i zmusić go do przekazania informacji. Robiło się już ciemno, ale Lizzie nie zapaliła nawet świecy. Wkrótce pojęłam dlaczego. Zawartość kotła zaczęła jarzyć się słabym blaskiem, narastającym stopniowo, aż w końcu wyraźnie ujrzałam twarz czarownicy: kąci jej warg opadły w dół, oczy otwierały się szeroko, źrenice zniknęły wewnątrz czaszki. Coraz szybciej i szybciej mamrotała zaklęcia, woda wrzała wściekle, aż nagle na powierzchnię wskoczyły dwa białe przedmioty, jasne niczym okorowane gałązki. Kciuki Jacoba wypłynęły.

Chwilę później zniknęły mi z oczu, nie dlatego jednak, że zatonęły. Wielka chmura dymu z kotła rozrosła się w ogromny obłok, który wzleciał aż pod powałę domku. On także świecił i miałam wrażenie, że lada moment ujrzę zygzak błyskawicy. Zamiast tego w chmurze zaczęła tworzyć się twarz, ta sama, którą widziałam, jak spoglądała w księżyc martwymi, niewidzącymi oczami.

To był duch Jacoba Stone'a.

Pierwszą rzeczą, jaka mnie uderzyła, był fakt, że starzec nie sprawiał wrażenia ani odrobinę przestraszonego. Patrzył z góry na Lizzie spokojnie i cierpliwie, nie odzywając się ani słowem.

Wówczas po raz pierwszy widziałam, jak Lizzie przywołuje umarłego. Większość ludzi po śmierci musi odnaleźć drogę przez Limbus, potem albo trafiają w Mrok, albo w Światło, w zależności od tego, kim byli i jak przeżyli swoje życie. Ci zmierzający w Światło odnajdują drogę w najwyżej kilka dni. To dlatego Lizzie nie mogła się doczekać rozpoczęcia rytuału. Jeśli czarownica zdoła wezwać duszę, może zatrzymać ją uwięzioną w Limbusie bez końca i zadać jej dość bólu, by zmusić do wszystkiego.

Jako stracharz Jacob Stone z pewnością doskonale wiedział, co może z nim zrobić czarownica taka jak Lizzie. Powinien być przerażony na myśl o tym, że miałby pozostać w Limbusie, zdany

na jej łaskę. Ale nie był i to mnie zdziwiło.

– Jesteś mój, starcze! Teraz mogę z tobą robić, co zechcę! – wychrypiała Lizzie. – Powiedz mi tylko, co muszę wiedzieć, a cię wypuszczę. To takie łatwe. – Natychmiast przeszła do rzeczy. – Czemu służy skórzane jajo, które znalazłam pod podłogą w twoim domu? Co to takiego? Co może zrobić?

– Nic ci nie powiem – odparł spokojnie duch Jacoba Stone'a. – Całe życie walczyłem z Mrokiem i próbowałem pomagać poczciwym ludziom z Hrabstwa. Dlaczego po śmierci miałyby się to zmienić? W żaden sposób nie pomogę tobie i twoim pobratymcom – ani odrobinę!

– Doprawdy? W takim razie będziesz cierpieł. Zadam ci ból, jakiego nigdy wcześniej nie zaznałeś.

– Cierpiełem już ból i znosiłem go, w razie potrzeby znów mogę to uczynić.

– Czyżby, starcze? Nie pamiętasz już, jak przez ostatnie miesiące zaczęły dolegać ci kolana? Tak bardzo, że już kulałeś? Sprawilo to zbyt wiele lat wędrówek po drogach Hrabstwa w chłodzie i deszczu, stawy zaczęły gnić. Teraz robi się jeszcze gorzej, nie czujesz?

– Jestem duchem! Nie mam ciała, nie mam kolan! – zawołał Jacob Stone. – Niczego nie czuję! Zupełnie niczego!

Lizzie znów zaczęła nucić i wyraz twarzy stracharza zmienił się, zmarszczki na jego czole zrobiły się głębsze, rysy wykrzywił grymas wskazujący, że mimo odważnych słów cierpieł teraz nieznośny ból.

– Nie jesteś już taki pewien, co? – szydziła Lizzie tryumfalnie. – Twoje kości ocierają się o siebie wewnątrz stawów, kolana zaczynają się rozsypywać. To męczarnie, nie zdołasz ich znieść ani chwili dłużej.

Jacob Stone krzyknął, lecz choć jego twarz zniekształcał grymas cierpienia, wciąż nic nie mówił. Lizzie znów zaczęła nucić przez kilka chwil, widziałam jednak, że opór starca nią wstrząsał. Nagle w paroksyzmie furii wskazała palcem jego ducha i trzy razy

tupnęła lewą nogą.

– Wbijam rozżarzoną do czerwoności igłę w twoje prawe oko! – zawołała. – Czujesz, jak się obraca i wnika coraz głębiej, cał za cał. Zmierza wprost do mózgu! Odpowiedz na pytanie, a ból minie, wówczas będziesz mógł odejść.

Duch stracharza krzyknął w agonii i ujrzałam strużkę krwi, ściekającą z jego oka po prawym policzku i brodzie, nadal jednak nie powiedział Lizzie tego, czego żądała.

Było to straszne widowisko – nawet duch mógł czuć ból. Pożałowałam martwego stracharza i zapragnęłam odejść, by nie oglądać jeszcze gorszych scen, nie odważyłam się jednak: w ten sposób zakłóciłabym rytuał, a Lizzie wściekłaby się tak bardzo, że moje spotkanie z larwiakami byłoby pewne.

Jej twarz stężała w wyrazie całkowitego skupienia, lecz z mimowolnych ruchów warg i tego, jak zaciskała i rozluźniała dłonie, widziałam, że nie zdołała złamać stracharza. Czarownica może posługiwać się podobnymi zaklęciami tylko bardzo krótko, potem ogarnia ją znużenie. Lizzie nie mogła kontynuować i zadawać mu bólu przez dłużej niż dziesięć, dwadzieścia sekund, potem musiała przerwać.

Wypuściwszy gniewnie oddech, tak właśnie uczyniła. Zaczęła krążyć tam i z powrotem przed kotłem, zaciskając powieki, jak pogrążona w głębokim namyśle.

Oblicze Jacoba Stone'a rozjaśnił błogi uśmiech. Ból minął, a on spoglądał z góry na wiedźmę, spokojny, dystyngowany.

Nagle Lizzie zatrzymała się i popatrzyła na niego przebiegle.

– Twardy jesteś, starcze – rzekła. – Faktycznie umiesz znosić ból, przyznaję. Ale co się stanie, jeśli zranię kogoś innego? Masz jakąś rodzinę?

– Nigdy się nie ożeniłem – odparł. – Stracharz nie może dać się rozpraszać kobiecie. Całe życie poświęca swemu fachowi – powołaniu. Jego rodziną są mieszkańcy Hrabstwa!

– Ale jesteś przecież siódmym synem siódmego syna. Z pewnością masz braci, może też siostry, a oni bez wątplenia mieli

dzieci. Co, jeśli sprowadzę tu twojego siostrzeńca bądź bratanicę i zranię? Bez wątpienia powiesz mi wszystko, co chcę wiedzieć, byle tylko oszczędzić dziecku bólu.

Duch uśmiechnął się.

– Znów przegrałaś, więdźmo. Urodziłem się jako siódmy i najmłodszy, ale kiedy wciąż byłem dzieckiem, w naszym domu wybuchł pożar. Zginęła cała moja rodzina. Ojciec wyniósł mnie w bezpieczne miejsce i umarł z oparzeń. Nie pozostał nikt, kogo mogłabyś torturować.

– Czy to musi być rodzina, starcze? – zadrwiła Lizzie. – Nada się każde dziecko. Aby ocalić dziecko od męczarni, powiesz mi dokładnie, co muszę wiedzieć.

Duch nie odpowiedział, choć z zatroskanego wyrazu jego twarzy pojęłam, że miała rację. Lizzie zaśmiała się szaleńczo, złowrogo i wymamrotała cicho jedno słowo. Twarz natychmiast zniknęła, chmura nad kotłem rozplęnęła się w nocnym powietrzu.

– Jest uwięziony, póki go nie uwolnię – oznajmiła Lizzie. – Jutro musimy złapać jakiegoś dzieciaka – może więcej niż jednego – i posłużyć się nim, by go złamać. Teraz idź, przyrządź coś na kolację, i to szybko.

Weszłam do środka i zrobiłam, jak kazała, ciesząc się, że nie muszę na nią patrzeć. Nie podobało mi się to, jak się sprawy mają. Wiedziałam, że Lizzie morduje dzieci, aby zdobyć ich kości, ale kiedy powiedziała to głośno, zrobiło mi się niedobrze. Nie wątpiłam, że gdy już posłuży się maluchami, by wyciągnąć ze stracharza informacje, z pewnością je zabije.

Po kolacji Lizzie kazała mi sprzątnąć talerze i porządnie wyszorować stół. Gdy wysechł, obejrzała go uważnie, niemal przytykając nos do blatu.

– Dobrze się spisałaś, dziewczyno – rzekła w końcu. – Ostrożność to podstawa. Jedna drobinka brudu mogłaby wszystko zepsuć.

To rzekłszy, na chwilę zniknęła i przyniosła z kryjówki w swym pokoju skórzane jajo. Postawiła je na samym środku stołu. Potem



usiadła, opierając łokcie o blat i długi czas wpatrywała się w niezwykle przedmiot. Nie poruszała się, nie słyszałam nawet jej oddechu, prócz chwil, gdy parę razy pociągnęła nosem. Dokładała wszelkich starań, by dowiedzieć się czegoś więcej.

Miałam złe przeczucie co do tego jaja. Z pewnością było niebezpieczne. Nie chciałam nawet przebywać z nim w tym samym pokoju.

– Co kryje się w jego wnętrzu – oto, czego musimy się dowiedzieć – wymamrotała Lizzie, bardziej do siebie niż do mnie. – Ale dziś to niedobry moment. – Zadrżała lekko. – Są dobre chwile i złe chwile na zgłębianie tajemnic. Czasami nie powinno się kusić losu. Rozcięcie jaja mogłoby wszystko zniszczyć, lecz istnieją inne sposoby... Zastanowię się i zobaczę, co zdołam wymyślić.

Osobiście uważałam, że nie ma dobrej chwili na majstrowanie przy skórzanym jajku, ale Lizzie i tak robi, co zechce. Co mogłam na to poradzić?

W końcu czarownica przestała mamrotać, przycisnęła do łona jajo i schowała je z powrotem u siebie. Sama nie wiedziałam, czułam ulgę czy zawód. Ja też byłam ciekawa, co kryje się wewnątrz jaja, ale wyczuwałam promieniujące z niego zagrożenie. Najlepiej zostawić je w spokoju – tego byłam pewna.

## **ROZDZIAŁ 10**

### **KRWAWY PLAMY**

Następnego dnia Lizzie znów zaczęła się niecierpliwic. Nie chciała dotykać jaja, lecz kiedy zaszło słońce, postanowiła znów spróbować z duchem Jacoba Stone'a i zmusić go, by powiedział jej to, czego potrzebuje.

Jak zwykle najcięższa praca – czerpanie wody, napełnianie wielkiego kotła i rozpalanie ognia – przypadła mnie.

Tym razem kości kciuków nie pokrywało już ciało stracharza,

lśniły bielą na brudnej lewej dłoni Lizzie. Kiedy wrzuciła je do kotła na moment zatonęły, potem jednak wypłynęły na powierzchnię tak jak zesłym razem. Kocioł znów rozjarzył się blaskiem i wzbiła się z niego chmura pary – tu jednak objawiła się wielka, kluczowa różnica.

Twarz Jacoba Stone'a się nie pojawiła.

Lizzie z narastającą desperacją mamrotała zaklęcia, bez skutku jednak.

– Uwolnił się! – syknęła. – Odszedł w Światło, o tak. Kto by pomyślał, że starzec miał aż tyle siły.

Ja też nie mogłam w to uwierzyć. Stary Jacob Stone to był naprawdę ktoś. Zastanawiałam się, jak udało mu się to zrobić. Wówczas to pojęłam, że jest wiele rzeczy, których nie wiem o Lizzie – z całą pewnością nie była wszechmocna, skoro nawet martwy stracharz zdołał ją pokonać.

Ale to, że nie udało jej się zmusić duszy starego stracharza do zdradzenia sekretów jaja, sprawiło ją w parszywy nastrój.

Tej nocy nie spałam dobrze.

\*

Wstałam wcześniej rano i ruszyłam zająć się porannymi obowiązkami. Najpierw zebrałam jajka, starannie przeszukując żywopłot po wschodniej stronie ogrodu, w którym zazwyczaj niosły się najmłodsze kury. Każde jajko powąchałam dwukrotnie, by mieć pewność i do koszyka włożyłam tylko ulubione Lizzie. Najbardziej lubiła te z plamkami krwi – nigdy nie miała ich dosyć. Kiedy zebrałam pół tuzina, wróciłam do domu. Lizzie zazwyczaj wstawała późno, lecz ku memu zdumieniu czekała już w kuchni, niczym kot złakniony śmietanki.

Wyrwała mi koszyk, postawiła na stole i wybrała jedno z nakrapianych jajek. Przebiwszy czubek paznokciem, odchyliła głowę i wlała sobie do ust surową zawartość. Gdy oblizwała wargi, ujrzałam na jej języku spore skrzepy krwi.

– Smakowite to jajko! – rzuciła. – Może spróbujesz, dziewczyno?

Pokręciłam głową, z niesmakiem marszcząc nos.

– Jesteś głupia, ot co. Jak możesz odmawiać dobrego jedzenia? Możliwe, że do wieczora nie dostaniesz nic innego. Nie ma czasu na przyrządzanie śniadania. Natychmiast ruszamy w drogę.

– Dokąd? – spytałam.

– Wkrótce się dowiesz, ale spędzimy kilka dni na północy, gdzie mieszkają nasze oślizgłe siostry... Miejmy nadzieję, że cię nie zniechęcą!

Nawet nie pytałam, co ma na myśli, mówiąc o „oślizgłych siostrach” – wiedziałam, że dowiem się tego aż nadto szybko.

W czasie, kiedy pobierałam nauki u Lizzie, nie byłam szczęśliwa, ale czasami odczuwałam to szczególnie. Nie wykluczyłam pomysłu ucieczki, nie miałam jednak pewności, że mi się uda – czarownica z pewnością by mnie ścigała i zawlokła z powrotem. Wiedziałam jednak, że gdyby zrobiło się naprawdę źle i pojawiła się szansa, skorzystałabym z niej.

Lizzie szybko wyssała pozostałe jajka, a potem wypychając mnie na zewnątrz i zamykając drzwi, ruszyła naprzód szybkim krokiem, zmierzając na południowy zachód. Maszerowałam tuż za nią, a tymczasem słońce wznosiło się na wschodnim niebie. Na północnym zachodzie leżał ponury masyw wzgórza Pendle. Na długo przed południem okrążyliśmy je i dotarliśmy na brzeg rzeki Ribble.

Lizzie z powątpiewaniem zmierzyła wzrokiem bród.

– Będziesz musiała mnie przenieść, dziewczyno – warknęła, wskakując mi na plecy i obejmując mocno rękami szyję.

Czarownice nie mogą przeprowić się przez płynącą wodę – to dlatego w większości strumieni w Pendle można napotkać wiedźmie tamy. Urządzenia te na jakiś czas powstrzymują bieg wody, by czarownica mogła uniknąć zboczenia z drogi. Jednak w rzece szerokości Ribble nie dało się ich zastosować; potrzeba było wszystkich moich sił i niezłomnej woli Lizzie, by dotaszczyć ją na drugi brzeg.

Ruszyłam najszybciej, jak umiałam: musiałam ją przenieść, nim

zabraknie mi energii. Kamienie wiodące ku rzece były śliskie, a gdy dotarłam do wody, zrobiło się jeszcze gorzej. Nurt sięgał dość wysoko, mocno rwał mi wokół kostek. Lizzie zaczęła wrzeszczeć z bólu, zaciskając mi ręce wokół szyi, tak że ledwie mogłam oddychać.

Zachwiałam się i omal nie upadłam – teraz woda sięgała mi już do kolan. W chwili gdy czułam, że nie dam rady postawić następnego kroku, grunt pod stopami zaczął się podnosić i poziom wody znów opadł. Byłyśmy już niemal na miejscu! Na brzegu padłyśmy na ziemię, ja dygotałam z wyczerpania, Lizzie trzęsła się z bólu i wstrząsu po przeprawie. Zaczęła przeklinać mnie na czym świat stoi, ale wiedziałam, że choć raz nie mówi serio. Naprawdę się bała – niewiele rzeczy tak bardzo przeraża wiedźmę jak płynąca woda. Lizzie wykazała się wielką odwagą, ryzykując przeprawę przez tę szeroką rzekę.

Godzinę odpoczywałyśmy, potem znów ruszyłyśmy na zachód. Wczesnym wieczorem wdrapywałyśmy się już na wysokie wzgórze, które według Lizzie nazywało się Pika Parlicka. W pewnym momencie zatrzymała się i spojrzała w dolinę, mrużąc oczy, jakby czegoś szukała. W dali widziałam Pendle, w pobliżu kolejne wzgórze podobnych kształtów; wyjaśniła, że to Samotna Grań. W dolinie nie poruszało się nic oprócz owiec i bydła. Nagle Lizzie wskazała rozległy las na zachodzie. Obok niego stała grupka domów, dym z ich kominów płynął na wschód, niesiony lekkim wiatrem.

– To jest Chipenden – oznajmiła – a na skraju tego lasu mieszka bardzo niebezpieczny stracharz. W ogrodzie więzi moją krewniaczkę, Mateczkę Malkin, wciąż żywą, lecz zamkniętą w dole. To jedna z najpotężniejszych i najniebezpieczniejszych czarownic, jakie znało Pendle. Pewnego dnia wrócimy tu, by ją uwolnić i skończyć z nim, ale będzie to znacznie trudniejsze niż rozprawa z Jacobem Stone'em. To właśnie John Gregory, o którym ci opowiadałam – najpotężniejszy stracharz, jaki kiedykolwiek stąpał po drogach Hrabstwa.

Dla mnie brzmiało to ryzykownie i miałam nadzieję, że Lizzie zapomni o wszystkim. Starcie z tak niebezpiecznym stracharzem to przecież szaleństwo.

Nie zwłóczyłyśmy w pobliżu Chipenden, lecz nocą nadal maszerowałyśmy na północ, przez kilka kolejnych, błotnistych wzgórz. Potem zeszłyśmy z nich, okrążając miejsce, w którym według Lizzie leżało miasto Caster. Nie przepadali tam za czarownicami, lecz zamiast palić je na stosach po prostu je wieszali.

Pomyślałam, że przynajmniej rodzina mogła zabrać ciało powieszanej i pogrzebać, by dołączyła do innych martwych czarownic w dolince na wschód od Pendle. Ze stosu trafiało się wprost w Mrok, bez nadziei na powrót. Ale tak czy inaczej, Lizzie nie zamierzała dołączać do swych siostr w Wiedźmim Jarze i bardzo obawiała się miasta z wielkim, starożytnym zamkiem.

W końcu ujrzałyśmy przed sobą kanał. Byłam zmęczona, ale Lizzie nalegała, abyśmy szły dalej w ciemności. Niepokojąco szybko maszerowała śliskim brzegiem. Tuż przed świtem zatrzymała się, odwrócona plecami do wody i wskazała przez pola.

– Tam, ukryty za tymi drzewami, stoi młyn wodny, w którym mieszka kolejny wścibski stracharz. Nazywa się William Arkwright, poluje na nasze oślizgłe siostry. Pewnego dnia z nim także skończę – sama zobaczysz!

Uznałam, że już czas zapytać:

– Oślizgłe siostry? Kto to?

– To czarownice, dziewczyno, pod pewnymi względami takie jak my, lecz pod innymi zupełnie odmienne. Mieszkają w wodzie i mule, jedna z nich może się czaić w mętным kanale, czekając na właściwą chwilę. Lada sekunda może wyskoczyć, wbić w ciebie szpony i już nie żyjesz. Wciągnie cię do wody, ale zanim utoniesz, wypije ci krew do ostatniej kropli. W tych okolicach mieszka mnóstwo wodnych wiedźm, o tak.

Nerwowo zerknęłam na kanał. Nagle rozszczękały się psy, brzmiało to, jakby znajdowały się pośród drzew osłaniających dom

stracharza Arkwrighta i przez moment ujrzałam strach w oczach Lizzie. Potem jednak kącki jej ust zdrząły, oczy wypełniła determinacja i moja nauczycielka, utrzymując wściekle tempo, znów ruszyła na północ. Wkrótce zostawiłyśmy za sobą kanał, skręcając lekko na zachód.

Cały dzień przespałyśmy pod żywopłotem, a potem o zmierzchu znów ruszyłyśmy w drogę. Na niebie świecił księżyc, w dali połyskiwało morze. Znów się wspinałyśmy, a im wyżej się wdrapałyśmy, tym więcej wzburzonej wody widziałam; ciągnęła się aż po horyzont. Zastanawiałam się, czy kiedykolwiek wyruszę do innych krajów. Widziałam, że to mało prawdopodobne, jeśli zostanę czarownicą. Morze było pełne soli, a wiedźmy zazwyczaj trzymają się od niej jak najdalej. A przecież takie właśnie było moje przeznaczenie.

Zostać bezecną wiedźmą.

Tyle że wcale tego nie chciałam, prawda? Podobne wiedźmy zabijają nawet małe dzieci tylko po to, by zyskać więcej mocy. To ona je napędza, aż w końcu tracą wszelkie ludzkie uczucia, stają się zimne wewnątrz, zdolne do wszystkiego. Nie, zupełnie tego nie chciałam.

Tak czy inaczej, minęła już północ, gdy przecięłyśmy małą wioskę z wielkim kościołem, potem droga znów wiodła w górę, na trawiaste wrzosowiska. Wspinaczka okazała się ciężka i wkrótce Lizzie zaczęła kląć cicho. Wiedziałam, że nie ma po co pytać, dokąd zmierzamy – była w doprawdy paskudnym nastroju.

W końcu jednak, gdy znalazłyśmy się na skalnym grzbiecie, a w powietrzu poczułam dym, Lizzie zatrzymała się i przyciągnęła mnie do siebie, wbijając mi paznokcie w rękę.

– Tu w dole, w cuchnącej norze mieszka święty głupiec, pustelnik! – syknęła. – On nam powie, co musimy wiedzieć o tym jaju!

– Skąd będzie wiedział, Lizzie? – spytałam.

Nie odpowiedziała, toteż poszłam za nią w milczeniu kamiennymi stopniami, aż dotarłyśmy do wylotu niewielkiej

jaskini. Lizzie wmaszerowała do środka, jakby miejsce to należało do niej. Przed nami, przy ognisku siedział człowiek o długich, splątanych włosach, opadających na ramiona, i siwej brodzie. Lizzie wpatrywała się w niego długą chwilę, on jednak nawet nie uniósł wzroku, cały czas spoglądał w żar.

– Spójrz na mnie! Spójrz na mnie i to już! – poleciła.

Twarz powoli uniosła się i mężczyzna popatrzył jej prosto w oczy. Kimkolwiek był, wyglądał na spokojnego i niewystraszonego. Miałam nadzieję, że Lizzie powiedzie się tu lepiej niż z Jacobem Stone'em – inaczej złościłaby się cały miesiąc, a ja mocno bym ucierpiała.

– Jesteś różdżkarzem, starcze. Najlepszym w Hrabstwie, tak mówią. Chcę, żebyś coś dla mnie zrobił.

– Nikogo dla ciebie nie znajdę, więdźmo! – odparował. – Wracaj, skąd przyszałaś, i zostaw mnie w spokoju. Ty i tobie podobne nie jesteście mile widziane w naszej okolicy.

Odważny człowiek, skoro tak zwrócił się do Lizzie. Czyżby nie wiedział, do czego jest zdolna? Może to dlatego nazwała go świętym głupcem.

– Posłuchaj mnie, Juddzie Atkinsie i to uważnie. Zrób, o co proszę, a zostawię cię w spokoju, byś mógł gnić w swej cuchnącej dziurze. Sprzeciw mi się, a odetnę ci kciuki i wygotuję w swoim kotle. Zrozumiałeś?

Judd Atkins patrzył na nią spokojnie, bez śladu lęku. W chwilę później jednak wszystko się zmieniło. Lizzie wymamrotała pod nosem kilka prostych słów: było to mroczne zaklęcie, którego już mnie nauczyła. Nie działało na inne więdźmy, ale doskonale sprawdzało się na kimś takim jak pustelnik. Nosiło nazwę Groza.

Wiedziałam, że po paru sekundach w jego oczach Lizzie przeistoczy się w coś przerażającego i potwornego, jej włosy staną się kłębowiskiem wijących się czarnych węży, oczy zamienią w dwa płonące ognie, jaśniejsze niż żar jego ogniska.

Judd Atkins w pośpiechu zerwał się z ziemi, jego twarz przepełniał gorączkowy strach. Wrzasnął jak raniona świnia i

zaczął cofać się przed Lizzie. Potem padł na kolana, zasłaniając oczy dłońmi, cały dygotał i jęczał ze zgrozy na widok tego, w co pozornie zamieniła się moja towarzyszka. Groza nie obejmowała prawdziwej przemiany fizycznej: było to wyłącznie złudzenie, połączone z gwałtowną falą strachu wysłaną do ofiary. Ale oczywiście stary pustelnik o tym nie wiedział.

Lizzie powoli odzyskała dawną postać, a kiedy znów się odezwała, jej głos zabrzmiał łagodniej, pocieszająco, zupełnie jakby przemawiała do małego dziecka bądź spłoszonego zwierzęcia.

– Posłuchaj, starcze – rzekła – nie ma potrzeby zaognić sytuacji. Zrób tylko to, o co proszę, a sobie pójdziemy. Co powiesz?

Judd Atkins nie odpowiedział, lecz z jego ust wyrwał się cichy jęk.

– Oderwij ręce od twarzy i spójrz na mnie! – poleciła Lizzie niebezpiecznym tonem.

Pustelnik uczynił, jak kazała, miał przerażone oczy.

– Zrobię wszystko, co mogę, ale proszę, nie krzywdź mnie – błagał. – Kogo mam dla ciebie znaleźć?

– Nikogo!

– Zatem to coś, co zgubiłaś? A może szukasz ukrytego złota? Świetnie sobie radzę ze znajdowaniem skarbów. – Pogrzebał w kieszeni bryczesów i wyciągnął krótki kawałek sznurka, do którego na końcu przywiązano kawałek czystego, bezbarwnego kryształu. – Dysponując właściwą mapą, mogę znaleźć niemal wszystko. Przyniosłaś ze sobą mapę?

Lizzie pokręciła głową i zamiast odpowiedzi sięgnęła do niewielkiej torby na ramieniu, wyciągając niezwykle skórzane jajo.

– Chcę się dowiedzieć, co to jest. Chcę wiedzieć, co może zrobić – zażądała.

– Nie będzie łatwo, to najtrudniejszy rodzaj różdżkarstwa. – Popatrzył na jajo z powątpiewającą miną. – Mogę jedynie zadawać pytania, a za każdym razem odpowiedź musi brzmieć „tak” lub „nie”. To może potrwać bardzo długo, naprawdę długo.

– Zatem im wcześniej zaczniemy, tym lepiej.



# ROZDZIAŁ 11

## CZY TRZEBA CI KRWI?

W kącie nory pustelnika stał niewielki kawał drewna o zaokrąglonych krawędziach, służący mu za stół; zamiast nóg wspierał się na czterech kamieniach. Lizzie uklękła przed nim, grzbietem dłoni zgarnęła talerze i kubki, po czym starannie wytarła blat rąbkiem spódnicy. Następnie powoli, z szacunkiem położyła na drewnianym stole skórzane jajo.

Nie mogłam znieść tego widoku – miałam okropne przeczucie, że Lizzie igra z czymś naprawdę niebezpiecznym. Ale wiedziałam, że mówienie jej tego byłoby stratą czasu – zanim bym się zorientowała, larwiaki już włożyłyby mi do nosa i uszu. Siedziałam zatem cicho i cofnęłam się o krok.

Czarownica wezwała do siebie pustelnika, który z pewnym trudem uklękł naprzeciw niej, oddzielony stołem. Usłyszałam, jak skrzypią mu kolana, twarz wykrzywił grymas bólu. Mężczyzna uniósł dłoń dokładnie nad jajem, tak że kryształ na końcu sznurka zawisł zaledwie parę cali od niego.

– Jestem gotów – oznajmił. – Zadaj pierwsze pytanie. Kryształ obróci się zgodnie z ruchem wskazówek zegara na tak i przeciwnie na nie.

– Czy to jajo należy do Mroku? – spytała Lizzie, nie marnując czasu.

Kryształ szarpnął się i zaczął wirować w prawo, wcale się nie zdziwiłam.

– To znaczy tak – wyjaśnił pustelnik.

– Nie jestem przecież ślepa, co nie? – warknęła Lizzie. – Zamknij jadaczkę, starcze, i daj mi mówić. A teraz drugie pytanie: czy to jajo może obdarzyć właściciela magiczną mocą?

I znów kryształ zawirował w prawo. Po raz pierwszy od wielu

dni Lizzie się uśmiechnęła.

– Jak właściciel może zdobyć tę moc? – spytała, zapominając się.

Oczywiście, na to pytanie nie dało się odpowiedzieć zwykłym tak lub nie, kryształ zatem ani drgnął. Kąciki ust Lizzie zaczęły podrygiwać. Wywróciła oczami w głąb głowy – świadczyło to, że się koncentruje, zastanawia, co zrobić dalej. Wyglądała teraz paskudniej niż kiedykolwiek i dwakroć głupiej od każdego wioskowego durnia. Gdybym tak bardzo nie bała się jaja, wybuchnęłabym śmiechem.

Nagle Lizzie szeroko otworzyła oczy, wymamrotała pod nosem zaklęcie i splunęła w twarz starego pustelnika. Szczęka opadła mu ze zdumienia, poza tym jednak nie zareagował.

– Zbyt wiele już czasu zmarnowałam na te głupie tak lub nie – spojrzała wprost na niego, jemu tymczasem zaszkliły się oczy, jakby niczego już nie widział. – Jesteś teraz jajem... Bądź nim! Stań się nim! Powiedz mi, co muszę wiedzieć!

To było coś nowego – nigdy wcześniej nie widziałam, by Lizzie robiła podobną sztuczkę. Czasami jej moc mnie zdumiewała.

– Jak się nazywa to zaklęcie? – spytałam.

– Cicho, dziewczyno – warknęła na mnie. – Nie widzisz, że próbuję się skupić? – Nadal wbijała wzrok w jajo, nie w pustelnika. – Chcę dostać twoją moc. Czego żądasz w zamian? – spytała. – Czy trzeba ci krwi?

Kryształ zaczął obracać się w prawo na znak potwierdzenia.

– Jak dużo krwi? – Sznurek nawet nie drgnął; zamiast tego pustelnik otworzył usta i przemówił, lecz jego głos brzmiał teraz inaczej, przypominał warkot zwierzęcia, choć słowa łatwo dawały się zrozumieć. Na jego dźwięk po plecach przebiegł mi lodowaty dreszcz.

– Daj mi krew z serc siedmiorga ludzkich dzieci w noc pełni księżyca, daj mi trzynaście czarownic zjednoczonych w tym czynie, a ja obdarzę tę, która trzyma jajo, jej największym pragnieniem. Dam jej więcej mocy, niż kiedykolwiek marzyła. Gdy zaspokoi

moje pragnienie, wystarczy, by tylko coś pomyślała, a spełni się to w ciągu siedmiu dni.

Serce zamarło mi w piersi, a gardło zacisnęło się, walcząc z mdłościami. Lizzie nie zawaha się przed spełnieniem żądań jaja. Siedmioro dzieci miało zostać porwanych z domów rodziców i zarzniętych, by mogła dostać, czego pragnie.

– To da się zrobić z łatwością. – Uśmiechnęła się złośliwie. – A teraz powiedz dokładnie, czym jesteś.

– Nie tobie wiedzieć, czym jestem – warknął głos, dobiegający z gardła pustelnika. – I pamiętaj, że nie możesz dokonać tego sama. To dzieło pełnego kręgu trzynastu złączonych czarownic.

Ujrzałam gniew na twarzy Lizzie – nie chciała dzielić się mocą ze swoimi towarzyszkami, ale wyglądało na to, że nie ma wyboru.

Natychmiast odeszłyśmy i ruszyłyśmy w dół zbocza, Lizzie najwyraźniej zamierzała przed świtem pokonać jak największą odległość. Zdumiałam się, że zostawiła pustelnika przy życiu; przypuszczałam, iż uznała, że może jej się jeszcze kiedyś przydać.

Zbliżał się ranek, a my maszerowałyśmy na wschód, po prawej stronie widziałam morze. Znalazłyśmy schronienie w niewielkim lasku. Lizzie posłała mnie, żebym złapała parę królików. W czasie mojej nieobecności rozpałała ognisko. Ja oczyściłam i wypatroszyłam króliki i upiekłam je na rożnie, ona tymczasem siedziała przed ogniem, krzyżując nogi, oczy miała zamknięte.

Zjadłyśmy w milczeniu, od czasu do czasu jednak Lizzie wstrząsał dreszcz, wywracała wówczas oczami tak, że widziałam tylko białka, spoglądające ślepo w płomienie. Gdy w końcu przemówiła, wyglądało to, jakby myślała na głos.

– Nie wrócę z tym do kręgu Malkinów – mruknęła, wyciągając z torby skórzane jajo i przyciskając je do łona. – Z nikim się tym nie podzielę, cała moc będzie moja i tylko moja. Ale jesteśmy tylko dwie, o tak, ja i dziewczyna, za młoda, by się liczyć. Potrzebuję zatem jeszcze dwunastu czarownic, aby stworzyć nowy krąg, niezbyt bystrych czarownic, nie oczekujących niczego prócz krwi. Z naszymi oślizgłymi siostrami pracuje się niebezpiecznie, ale to

możliwe... Może się udać!

Lizzie nie uznała za stosowne podzielić się ze mną swoim planem. Tego dnia nie spała i ruszyliśmy w drogę na długo przed zmierzchem. Znajdowałyśmy się dość blisko morza, lecz podczas odpływu cofnęło się daleko i z początku widziałam tylko ciągnące się całymi milami płaskie piaski. Potem w dali dostrzegłam grupkę ludzi, zmierzających ku brzegowi; odniosłam wrażenie, że jest tam też powóz i konie.

– To niebezpieczny skrót przez piaski – oznajmiła Lizzie. – Choć pewien przewodnik przeprowadza podróżnych, nawet powozy. My, czarownice, musimy okrążyć zatokę dłuższą drogą, bo czasami trzeba brodzić w słonej wodzie. Lepiej ruszaj dalej, dziewczyno, nim dotrą na brzeg i nas zobaczą.

Lecz gdy tylko podjęłyśmy marsz, od strony grupy przemierzającej piaski usłyszałam szczekanie i Lizzie wciągnęła mnie w kępę krzaków.

– Czy to możliwe? Czy możliwe? – wyszeptała. – Może to tylko rolnicze psy... Ale czy mogło aż tak mi się poszczęścić? Naprawdę? Czasami wszystko układa się jak należy. To może być jeden z takich dni.

Zastanawiałam się, o czym gada. Świetna z niej nauczycielka, nie ma co – jak widać, zawsze dokładała wszelkich starań, by mi wyjaśnić, co się dzieje!

Za powozem maszerował wysoki mężczyzna o ogolonej głowie, z obu jego boków biegły wielkie psy. Skrzyżowałam palce, by nas nie wywęszyły, bo wyglądały jak wielkie wilczarze.

– To William Arkwright, stracharz, o którym ci opowiadałam – rzuciła podniecona Lizzie. – Wyruszył polować na nasze oślizgłe siostry na północy. Może go nie być kilka dni, bo będzie musiał zaczekać na właściwy odpływ, nim znów przeprawi się przez zatokę. Jego dom stoi pusty – nie mogło ułożyć się lepiej!

Dalej niczego mi nie wyjaśniła, lecz kiedy grupka odeszła wchodząc na brzeg co najmniej pół mili dalej na południe, Lizzie poprowadziła mnie naprzód.

– Czy idziemy do jego młyna? – spytałam.

– Istotnie, dziewczyno. Za młynem ciągną się bagniska, które oczyścił z naszych oślizgłych sióstr. Ale to dla nich święte miejsce. Kiedy kota nie ma, myszy harczą, jestem tego pewna. Każda wodna wiedźma w promieniu wielu mil skieruje się na te moczary, a my będziemy tam na nie czekać!

Maszerowałyśmy przez całą noc, aż w końcu znów ujrzałyśmy kanał i skręciłyśmy na południe wzdłuż zachodniego brzegu. Przed wschodem słońca skręciłyśmy ze ścieżki holowniczej, by nie natknąć się na flisaków, którzy mogliby rozpoznać w Lizzie wiedźmę. Nie odpoczęłyśmy jednak; wręcz przeciwnie, Lizzie narzuciła jeszcze szybsze tempo. Tymczasem niebo zasnuły ciemne chmury, nasze twarze zwilżyła lekka mżawka.

W końcu, godzinę przed zmierzchem, dotarłyśmy do młyna, w którym mieszkał stracharz. Osłaniały go drzewa i otaczały wysokie, żelazne pale; granice ogrodu wyznaczał rów.

Nie spodobał mi się jego wygląd – Lizzie znów wciągała mnie w niebezpieczeństwo, choć marzyłam o Powrocie do domu.

– To wygląda jak fosa, która okala wieżę Malkinów! – wykrzyknęłam.

– Owszem, dziewczyno, dokładnie tak, ale to bardzo szczególny rodzaj fosy. Arkwright rozpuszcza w niej worki soli, by nie dopuścić wodnych wiedźm. – Zastanawiałam się, jak my się przedostaniemy, ale Lizzie nie sprawiała wrażenia zmartwionej. – To nas nie powstrzyma. Przeprawa będzie znacznie łatwiejsza niż ta przez wielką rzekę, bez trudu mnie przeniesiesz. Bardzo bym chciała przeszukać ten stary młyn, o tak. Stary Jacob Stone przechowywał skórzane jajo, bez wątplenia Arkwright też coś ukrywa. Tak właśnie postępują stracharze: jeśli znajdą coś użytecznego dla Mroku albo to niszczą, albo ukrywają przed nami!

Lizzie poprowadziła mnie do bramy i długi czas wpatrywała się w zrujnowany stary młyn. Myślałam, że lada moment zażąda, abym przeniosła ją przez fosę, w końcu jednak pokręciła głową i odetchnęłam z ulgą.

– Kusi mnie, ale uznałam, że nie warto się narażać, dziewczyno. Wiesz, jakie jest największe niebezpieczeństwo?

Zastanowiłam się chwilę i nagle odpowiedź zjawiała się sama.

– Psy – oznajmiłam. – Jeśli przejdziemy przez fosę, złapią nasz zapach, a Arkwright poszczuje je, by nas upolować.

Przez chwilę Lizzie sprawiała wrażenie niemal dumnej ze mnie.

– Tak właśnie by zrobił, dziewczyno. Jeśli te wilczarze są w stanie złapać trop naszych oślizgłych stóp z drugiej strony moczarów, to nas znajdą z łatwością. A musimy tu zostać, dopóki nie załatwimy sprawy.

To rzekłszy, odwróciła się plecami do młyna i poprowadziła nas wąską ścieżką przez mokradła. Składały się one głównie z oślizgłego błocka, z którego sterczały kępy sitowia i bagiennych traw, ale od czasu do czasu natrafialiśmy też na ciemne, stęchłe stawy, na oko bardzo głębokie. A że było bardzo ślisko, bałam się, że wpadnę do któregoś. Co, jeśli tuż pod powierzchnią czaiły się wodne wiedźmy? Lizzie mogła sobie mówić, że się z nimi dogada i stworzy tymczasowy krąg, ale one jeszcze o tym nie wiedziały, prawda? Mogły zaatakować wszystko, co wtargnie na ich teren. A ponieważ Arkwright odszedł, mnóstwo z nich już tu zapewne zmierzało! Niektóre może nawet dotarły na miejsce!

Strach wyostrzył mi zmysły: wciąż mi się zdawało, że dostrzegam coś kącikiem oka albo słyszę lekki plusk czy inny szum wody. Najpewniej była to tylko moja wyobraźnia albo nocne owady czy wodne stworzenia. Nie widziałam niczego, lecz wodna wiedźma mogła z łatwością przyczaić się w mętnej, śluzowatej wodzie, toteż w każdej chwili spodziewałam się, że z bagna wyłoni się ręka i złapie mnie za kostkę. Wkrótce jednak stopy przestały mi się ślizgać i zagłębiać w ziemię, znów szliśmy po suchym gruncie. Kiedy wspięliśmy się na niewielkie wzgórze, ujrzałam parę kamiennych murów i fundamenty budynku na jego szczycie.

– Nazywają to miejsce Mnisim Wzgórzem – oznajmiła Lizzie. – Kiedyś stał tu klasztor – póki wiedźmy kolejno nie porwały wszystkich mnichów i nie wyssały z nich krwi. W dawnych czasach

na tych bagniskach żyły dziesiątki wodnych wiedźm, które robiły, co tylko chciały. Potem jednak stracharze w Hrabstwie wzrosli w siłę. Nawet teraz, gdyby nie Arkwright i jego psy, wkrótce by tu wróciły. Nie wątp w to ani przez chwilę, dziewczyno.

Lizzie powiodła mnie na szczyt wzniesienia i przycupnęła, wsparta plecami o mur, spoglądając na bagna. Usiadłam obok, podążając za jej wzrokiem – nic się nie poruszało, ale ogarnął mnie głęboki niepokój. Nie wiał nawet najłżejszy wiatr, z bagnisk podnosiła się mgła, jej węzowate pasma powoli wspinały się na zbocza wzgórza.

Nagle Lizzie powęszyła trzy razy i posłała mi złowrogi uśmiech.

– Wkrótce tu będą, ale wolę poobserwować je chwilę, samej nie będąc widzianą.

Uznałam, że nie ma po co węszyć: Lizzie z pewnością miała rację. Wyczuwałam zbliżające się niebezpieczeństwo.

Zaczęła mamrotać pod nosem i rozpoznałam zakłęcie maskujące.

– To powinno nas ukryć – oznajmiła.

Zdziwiłam się.

– Myślałam, że chcesz stworzyć z nimi krąg?

– Wszystko zależy od tego, które z naszych oślizgłych siostr się tu zjawia – odparła. – Większość wodnych wiedźm jest głupia, nieznacznie tylko przewyższają zwierzęta. W zamian za odrobinę krwi pomogą mi schwytać siedmioro potrzebnych dzieci. Ale jedna z siostr jest bardzo niebezpieczna. Nie chcę mieć z nią nic wspólnego. Z pewnością zapragnęłyby wziąć jajo tylko dla siebie. Nazywa się Morwena, jej ojciec to Zły we własnej osobie. Nie, nie chcemy, żeby nas tu zobaczyła.

Gdy Lizzie wymówiła imię „Morwena” po plecach przebiegła mi fala chłodu. Byłam pewna, że już je słyszałam; zupełnie jakby ktoś przeszedł po moim grobie.

Zdumiałam się, widząc strach także w oczach Lizzie.

– Jak bardzo jest groźna? – spytałam. – Czy włada potężną mroczną magią?

– Istotnie, dziewczyno, jest silniejsza i szybsza od wszystkich swoich sióstr, ma też śmiertcioną broń – wypełnione krwią oko. Wystarczy jedno spojrzenie, a zastygniesz jak sparaliżowana, przymurowana w miejscu niczym bezbronne drzewo przed leśnikiem zbrojnym w wielki, ostry topór. Nic nie poradzisz, gdy wbije ci w gardło ostre kły. Jeżeli zatem zobaczymy ją tu dzisiaj, odejdziemy i gdzie indziej poszukamy niezbędnej pomocy.

\*

Czekałyśmy w milczeniu, aż w końcu zapadła ciemność i nie widziałyśmy dłużej skraju bagien. Niebo jednak się przejaśniało i wkrótce w górze zapłonął księżyc, zalewając całą okolicę srebrzystym blaskiem. Natychmiast dostrzegłam ruch w dole – i tym razem go sobie nie wyobraziłam: zmarszczkę na wodzie, lekkie pluśnięcie, a potem na ziemię u stóp wzgórza wypełzła ciemna postać. To była pierwsza z wodnych czarownic – stała zwrócona do nas plecami, z jej poszarpanej sukni, na oko nie uszytej z materii lecz splecionej z sitowia i szlamu, ściekała woda.

Nagle wiedźma obróciła się w naszą stronę i powęszyła bardzo głośno, jakby nas szukała. Wstrzymałam oddech, ale maskująca magia Lizzie okazała się dość silna. Wiedźma znów wbiła wzrok w wodę, wcześniej jednak dostrzegłam sterczące z otwartych ust długie kły i ostre szpony wyrastające z każdego palca. Zauważyłam też, że miała imponująco wielkie palce wskazujące.

Wkrótce na brzegu dołączyły do niej inne wodne wiedźmy, zaczęły rozmawiać. Mówię „rozmawiać”, ale w istocie trudno to nazwać mową. Rozpoznałam tylko kilka słów, takich jak „głodna” i „krew”, ale głównie słyszałam serię pomruków i beknięć.

Zawsze patrzyłam z góry na większość Malkinów – smród ich domków, w których sterty kości walały się w zlewie albo przy drzwiach, budził mdłości, ale te stwory były znacznie gorsze. Lizzie miała rację: wodne wiedźmy niewiele różniły się od zwierząt. Spytałam samą siebie, czy naprawdę chcemy się z nimi sprzymierzyć?

Wkrótce na skraju bagna znalazło się około tuzina ociekających



wodą czarownic. Kilka z nich wywlokło na suchy ląd coś dziwnego: drewnianą klatkę w kształcie rury, półtora raza dłuższą od rosnącego człowieka, lecz zdecydowanie węższą niż jego tułów. Wewnątrz coś się poruszało.

Najgorsze jednak dopiero miało nastąpić. Kolejne trzy wiedźmy, które wyłoniły się z wody, przyprowadziły więźniów: dwóch mężczyzn i kobietę. Na wpół utopieni, krztusili się i kasłali, widziałam białka ich oczu, od stóp do głów pokrywał ich szlam z bagniska. Czarownice bezceremonialnie rzuciły ich w błoto, przeturlały na plecy, odciągnęły każdego na odległość dziesięciu kroków i ułożyły w rzędzie. Potem nieopodal ich stóp i głów wbiły w grunt krótkie paliki i szybko, sprawnie przywiązały do nich cienkim szpagatem ręce i nogi jeńców. Dwaj mężczyźni prawie już nie oddychali, ale kobieta jęknęła, gdy naprężyła szpagat, rozciągając jej szeroko nogi i ręce.

Czarownice ustawiły się na skraju bagna, patrząc naprzeciw więźniów. Oznaczało to, że spoglądają teraz w stronę Lizzie i moją. Gdy wzięły się za ręce i zaczęły nucić, przestraszyłam się, że ich połączona magiczna moc może przeniknąć czarodziejskie maskowanie, przywołane przez Lizzie. Poważnie mnie to zaniepokoiło.

Ja sama też całkiem nieźle radziłam sobie z maskowaniem, lecz choć bardzo pragnęłam, nie śmiałam dodać własnej magii do jej czarów. Lizzie potraktowałyby to jak obrazę – uznałyby, że w nią wątpię.

Nie potrzebowałam się martwić: jej zaklęcie okazało się dość silne. Wkrótce wodne wiedźmy przestały nucić, jedna z nich odłączyła od reszty. Nie podeszła do więźniów, jak zakładałam, lecz skierowała się wprost do drewnianej klatki. Po sekundzie otworzyła osadzone na zawiasach drzwiczki na końcu i dołączyła do swych oślizgłych towarzyszek.

Zafascynowana, wbiłam wzrok w klatkę. Przez kilka chwil nic się nie poruszyło. A potem coś powoli wyłoniło się z otwartych drzwi. Przypominało wielkiego owada, stąpającego ostrożnie na

długich, cienkich nogach. Na widok jego wydłużonej głowy zaczęłam dygotać ze strachu. Stwór miał długi wąski pysk, wiedziałam, że nazywają go kościaną rurą. Nigdy na własne oczy nie oglądałam podobnego stworzenia, ale natknęłam się na rysunki w jednej z książek z niewielkiej biblioteki Lizzie na temat magii Mroku.

To był skelt.

Przez moment zdawał się spoglądać wprost na mnie. Nagle syknął głośno i odwrócił się w stronę więźniów, zdawało się, że wzruszył ramionami i urósł. A potem na ośmiu wielosegmentowych nogach podbiegł ku najbliższemu mężczyźnie, wbił mu w pierś swój długi ryj, a ofiara krzyknęła z bólu. Zobaczyłam, jak kościana rura natychmiast pociemniała. Gdybym oglądała tę scenę w blasku słońca, nie księżyca, z pewnością widziałabym wypełniającą ją jaskrawą czerwień. Stwór wysysał z ofiary krew w alarmująco szybkim tempie.

Po pierwszym krzyku bólu nieszczęśnik jedynie jęczał cicho, coraz słabiej i słabiej. Kiedy skelt cofnął kostną rurę, mężczyzna sapnął głośno i westchnął. Wiedziałam, że to jego ostatni oddech.

Teraz skelt zainteresował się następnym więźniem. To była kobieta. Zaczęła szarpać się w więzach i krzyczeć ile sił w płucach, na próżno jednak: skelt dopadł ją po sekundzie, tym razem wbijając ostry pysk w szyję. Ponownie rura pociemniała, a krzyki kobiety zamieniły się w zdławiony gulgot – aż wreszcie skelt wyssał całą jej krew, a ona zadygotała i znieruchomiała.

Trzeci mężczyzna nie krzyczał ani nie walczył, zamiast tego zaczął modlić się głośno.

– Wybacz im, ojcze! – zawołał w noc. – Niechaj poznają swoje błędy i odwrócą się od ciemności. Przyjmuję ból swojej śmierci, użyj go, by złagodzić ból innych.

Zastanawiałam się, czy to nie ksiądz, ale nieważne, ksiądz, rolnik, szynkarz czy flisak, drapieźnikowi, który wgramolił się na jego ciało, nie czyniło to żadnej różnicy. Mężczyzna spróbował powiedzieć coś jeszcze, zamiast tego jego ciałem wstrząsnął atak

drgawek, gdy skelt wkłuł mu się w szyję. Wkrótce i on znieruchomiał.

Skelt odsunął się powoli od ciała, a potem zwrócił się ku milczącym, nieruchomym wiedźmom, przyglądającym mu się, jakby na coś czekały.

Przecież chyba ich nie zaatakuję, pomyślałam. Jak wiele krwi potrzebował ten okropny stwór?

Ale to nie skelt zaatakował. To czarownice!

Rzuciły się ku nam z obłędem w oczach.

## **ROZDZIAŁ 12**

### **BETSY GAMMON**

Przez jedną mrozącą krew w żyłach chwilę sądziłam, że to my z Lizzie jesteśmy celem. Myliłam się jednak. Jak na bezdźwięczny, niewidoczny sygnał pomknęły ku skeltowi, szeroko otwierając usta i wyszczerzając ostre kły. Wyciągnęły ręce, długie szpony zalśniły w promieniach księżyca.

Stwór próbował przemknąć się przez gromadę czarownic i dotrzeć do wody, ale było ich zbyt dużo i okazały się za szybkie.

Jak oszalałe rzuciły się na niego i ku mej zgrozie zaczęły rozszarpywać go na strzępy. Odrywały mu od ciała nogi i głowę, na błotnistej ziemi zbierała się kałuża krwi: bez wątplenia jego własnej, jak również krwi trójki ludzi, której się nazłopał. Jak u niektórych insektów, jego ciało dzieliło się na dwa segmenty, szponiaste dłonie rozdarły je szybko. Nawet po wszystkim nogi i segmenty stwora wciąż zdawały się poruszać.

Zrozumiałam, że te wodne wiedźmy dysponują niewiarygodną siłą. Jak Lizzie śmiała wciągnąć je w swoje knowania? Co, jeśli zwrócą się przeciwko nam? Cała jej magia nie poradziłaby sobie z tak wieloma stworami, które niemal nie przypominały ludzi.

Na razie posilały się szczątkami skelta, rozdzierając jego

brzuch, by dobrać się do wnętrzości, rozszarpując nogi, by wydrzeć ze środka mięso.

Przyglądałam im się z obrzydzeniem, nie mogąc oderwać wzroku. To wtedy usłyszałam szczekanie... Czarownice oderwały się od gorączkowej uczyty. Teraz prócz ujadania zbliżających się psów słyszałam też tupot ciężkich butów.

– To Arkwright i jego wilczarze, wrócił szybciej, niż się spodziewałyśmy! – syknęła mi do ucha Lizzie. – Cokolwiek zrobi, dziewczyno, nawet nie drgnij i zachowaj absolutną ciszę. Zakłęcie ochroni nas przed stracharzem, lecz największym zagrożeniem są psy, które mogą nas wywęszyć. Jeśli nam się poszczęści, będą zbyt zajęte szarpaniem naszych oślizgłych sióstr!

Psy wyłoniły się z mgły; ich zęby połyskiwały w blasku księżyca, z otwartych pysków kapą ślina. Większość czarownic pobiegła w stronę wody. Wpadły do niej szybko, niemal bez plusków, zanurzyły się i zniknęły. Z jakiejś przyczyny około pięciu pobiegło inną ścieżką na bagna. Myślałam, że i one próbują uciec, ale ostatnia za długo zwlekała.

Pierwszy ogar chwycił ją za kostkę. Runęła na kolana i natychmiast zaatakowała gwałtownie. Długie szpony rozdarłyby łeb psa, w tym momencie jednak jego towarzysz skoczył na nią i zacisnął szczęki na przegubie, szarpiąc nim niczym szczurem.

Wyglądało na to, że psy potrafią ją wykończyć, zaczęła wrzeszczeć i szarpać się, desperacko próbując dopełznąć na skraj wody. Wówczas jednak z morza mgieł wynurzył się stracharz o ogolonej głowie i klnąc głośno, rąbnął wiedźmę swym długim kijem w tył czaszki. Znieruchomiała, a on bez wahania złapał ją za długie, splątane włosy.

– Grzeczna dziewczynka! Grzeczny chłopiec! – zawołał. – A teraz chodźmy, zabierzmy ją tam, gdzie jej miejsce.

Na te słowa psy posłusznie wypuściły ofiarę. Arkwright zaczął ciągnąć wiedźmę za nogi, jej głowa podskakiwała na błotnistej ścieżce.

Na ten widok Lizzie uśmiechnęła się szeroko, nie mogłam

zrozumieć dlaczego. Ten stracharz był wrogiem czarownic, równie dobrze to nasze głowy mogły podskakiwać na ziemi.

Po chwili stracharz, wodna wiedźma i ogary rozpląnęli się we mgle.

Kiedy odgłos ich kroków ucichł, Lizzie odwróciła się do mnie z twarzą wykrzywioną w złowrogim uśmiechu.

– No, dziewczyno, możliwe, że pójdzie nam lepiej, niż się spodziewałam! – zawołała radośnie.

– Nie rozumiem. Czy to nie zepsuje twojego planu? – spytałam.

– Cierpliwości, później ci wyjaśnię. Na razie siedź cicho i się nie ruszaj.

Ja jednak byłam ciekawa i nie mogłam się powstrzymać przed zadaniem jeszcze jednego pytania.

– Dlaczego czarownice pozwoliły skeltowi najpierw się najeść, tak że przypadła im krew z drugiej ręki? – zapytałam. – Są naprawdę silne, mogłyby rozszarpać tych ludzi na strzępy gołymi rękami!

– Oczywiście, że by mogły, dziewczyno! – warknęła Lizzie. – Ale to część ich rytuału, czyż nie? Wypicie ludzkiej krwi, którą wcześniej wyssał skelt trzykrotnie wzmacnia ich magię.

\*

Po jakiejś półgodzinie, ku swej zgrozie, znów usłyszałam szczekanie psów, z każdą chwilą robiło się coraz głośniejsze.

– Musiały złapać nasz trop! – rzuciłam nerwowo. – Lepiej uciekajmy!

– Siedź na miejscu, dziewczyno. Mają tu mnóstwo tropów, ale nie nasz, nic się nie bój.

Nie pojmowałam, skąd ta pewność. Ponownie psy wybiegły z mgły, tuż za nimi stąpał stracharz o posępnej twarzy. Przez jedną mrozącą krew w żyłach chwilę zdawało mi się, że pomkną prosto ku nam, potem jednak psy zatrzymały się na brzegu nieopodal klatki, obwąchując zlaną krwią ziemię i zataczając coraz szersze kręgi.

Po paru minutach odbiegły ścieżką, którą uciekły czarownice,

Arkwright podążył za nimi, ściskając w dłoni kij z zaciętą, zdeterminowaną miną.

Kiedy w końcu odgłosy pościgu rozplynęły się w dali, odwróciłam się do Lizzie.

– Nie chciałam ich spotkać w ciemną noc – wyszeptałam.

– Szczera to prawda, dziewczyno, trudno znaleźć gorszego stracharza. Rozprawa ze starcem takim jak Jacob Stone to jedno; walka z Arkwrightami tego świata – coś zupełnie innego. Bez względu na to, czy człek i nigdy nie rezygnuje, a te jego psy potrafią wywęszyć ofiary nawet na bagnach; przed świtem bez wątpienia schwyta co najmniej jedną z naszych oślizgłych sióstr. Lecz podczas jego nieobecności my zdążymy uwolnić pierwszą!

To rzekłszy, Lizzie pomaszerowała z powrotem w kierunku, z którego przyszliśmy – w stronę starego wodnego młyna, siedziby stracharza.

Gdy dotarliśmy na skraj szosy, zatrzymała się i wbiła we mnie wzrok.

– Czego chcesz? – spytała w końcu.

– Żeby cię przenieść przez słoną wodę – odparłam.

– Oczywiście, że tak, dziewczyno, więc na co czekasz? Nie powinnam w ogóle prosić, prawda? Wiesz, co należy zrobić! – syknęła.

Przeniosłam zatem Lizzie na plecach przez fosę. Zimna woda sięgała mi tuż nad kolana, ale nie byłam jeszcze czarownicą, więc woda ani sól mi nie wadziły. Po drugiej stronie Lizzie skierowała się wprost do zrujnowanego młyna. Myślałam, że spróbuje dostać się do środka frontowymi drzwiami albo może wybije szybę, zamiast tego jednak okrążyła go i przystanęła przy kole wodnym. Fragmentów brakowało – wyglądało, jakby nie poruszały się od lat, mimo że w dole wciąż płynął strumień.

Obok koła ujrzałam wąskie drzwi, kiedy jednak Lizzie nacisnęła klamkę i pchnęła, odkryła, że są zamknięte na klucz.

– Szybciutko je otworzymy. – Zakłęła i pochyliła się naprzód, tak że jej usta zrównały się z zamkiem. Splunęła do niego i

wymamrotała cicho nieznane mi zaklęcie. Potem przechyliła głowę i przytknęła do drzwi ucho, jakby czegoś nasłuchiwała. Nie wiem, po co musiała tak blisko przysuwać swoje brudne ucho, ja usłyszałam ów dźwięk z odległości trzech kroków – zgrzyt i szcęk otwieranego zamka. Z tryumfalnym uśmiechem Lizzie znów chwyciła klamkę, nacisnęła i otworzyła drzwi.

Wewnątrz cuchnęło gnijącym drewnem i wilgocią, Pod stopami miałyśmy błoto, po lewej, w mroku dostrzegłam niewyraźny zarys krzywizny wodnego koła.

Lizzie mruknęła i wyszarpnęła coś z kieszeni spódnicy. Natychmiast zapłonął ogień, uniosła go i poprowadziła mnie naprzód.

Stąpała powoli i ostrożnie, bez wątpienia w obawie, że stracharz mógł zastawić pułapkę na tych, którzy zdołaliby dostać się do środka. Szurała stopami w prawo i w lewo, jak gdyby czegoś szukała. W końcu znalazła.

Zatrzymałyśmy się na skraju kwadratowej dziury, zamkniętej trzynastoma prętami, Lizzie uniosła wyżej ogarek. Dziurę wypełniała woda, lecz z jednej strony dostrzegłam błotnistą półkę. Tam właśnie na wznak leżała schwyтана wiedźma wodna. Patrzyła na nas, jej oczy lśniły w blasku świecy.

Wcześniej sądziłam, że część czarownic z Pendle jest brzydka, ale teraz widziałam przed sobą naprawdę groteskowe oblicze, zniekształcone długimi, przerażającymi kłami. Zastanawiałam się, czy będziemy bezpieczne, jeśli Lizzie uwolni ją z jamy.

– Posłuchaj, siostró! – zawołała z góry Lizzie. – Przyszłyśmy cię uwolnić, o tak. W zamian mam propozycję dla ciebie i jedenastu twoich krewniaczek. Zaprowadzisz nas do opiekunki, abyśmy mogły omówić warunki?

Zdziwiłam się – co miała na myśli Lizzie, mówiąc o opiekunce? Ona jednak jak zwykle nie zadała sobie trudu wyjaśnienia, co się dzieje.

Wiedźma dźwignęła się na kolana i popatrzyła wprost na nas, potem pokiwała głową.

– No dobra – Lizzie uśmiechnęła się złośliwie. – Umowa stoi, dziewczyno, wkrótce ją stamtąd wyciągnę. Nie ma czasu na szczury i magię much, dobrze zatem, że nie jesteśmy w Chipenden, przy jednej z jam czarownic Johnna Gregory'ego. Tam pręty są solidnie zamocowane i bez magii potrzebowałybyśmy pomocy kowala, by je wyciągnąć. To tutaj to tylko zamknięta kłapa na zawiasach. Wiesz, dlaczego Arkwright tak ułatwia dostęp do tej dziury?

Wzruszyłam ramionami. Nie miałam pojęcia.

– Kiedy John Gregory wsadza czarownicę do jamy, chce, by została tam po kres swoich dni, toteż pręty mocuje na stałe. U Arkwrighta jest inaczej. Jeśli wiedźma zabije dorosłego, spędza w jamie jeden rok, jeśli dziecko – dwa. Jest jak sędzia, wydający wyrok. Pod koniec tego czasu wyciąga z jamy czarownice i zabija je. By mieć pewność, że nie powrócą z martwych, wycina im serca, rozkrawa na pół i rzuca psom na pożarcie.

Bill Arkwright był doprawdy przerażającym stracharzem! Opowieść Lizzie przeraziła mnie. Co, jeśli Arkwright znudzi się pościgiem i wróci do domu? Wcale nie miałam ochoty trafić do jednej z tych błotnistych dziur!

Lizzie napłula do obu zamków, po chwili otworzyły się ze szczękiem. Można było unieść klapę, ale nie było mowy, by Lizzie jej dotknęła.

– Te pręty są z żelaza, dziewczyno, sama będziesz musiała je podnieść. Nie jesteś jeszcze czarownicą, więc niewiele poczujesz. Do roboty!

Co prawda Lizzie szkolila mnie na wiedźmę, ale wciąż czekała mnie długa nauka. Nie myliła się zatem: dotyk owych żelaznych prętów w ogóle nie sprawiał mi bólu, problem natomiast stanowił ciężar. Jakiś czas zmagalam się, nim w końcu zdołałam dźwignąć je dość wysoko, aby Lizzie uklękła na skraju jamy i pochyliła się, podając ręce wodnej wiedźmie.

Całe moje ciało dygotało z wysiłku, wytrzymałam jednak dość długo, aby wiedźma bezpiecznie wypełzła z dziury. Gdy tylko



znalazła się w błocie obok niej, opuściłam klapę, która opadła z donośnym brzękiem.

Natychmiast cofnęłam się bardzo szybko. Wodna wiedźma kuciała z twarzą wykrzywioną w zwierzęcym grymasie, jakby zamierzała się na nas rzucić. Nie sprawiała wcale wrażenia wdzięcznej za ratunek, raczej spragnionej krwi.

Lizzie wyraźnie zupełnie nie poruszyło zachowanie czarownicy.

– Wynośmy się stąd, zanim Arkwright wróci ze swymi bagiennymi psami. Prowadź, siostró – dodała. – Zawieź nas w bezpieczne miejsce.

W odpowiedzi wodna wiedźma jedynie wykrzywiła się tak mocno, iż jej usta się otwarły, ukazując jeszcze wyraźniej ostre, żółte zęby. Pokrywał ją śluz i szlam, cała ociekała wodą, w dodatku śmierdziała – odorem mułu, zgnilizny i stęchłych kałuż. Idąc przed nami, kołysała się lekko i gdybym tak bardzo się nie bała, rozśmieszyłoby mnie to. Wodne wiedźmy wyraźnie nie radziły sobie zbyt dobrze na lądzie.

Opuściliśmy młyn i ku mojemu zdumieniu wiedźma poprowadziła nas na wschód, z dala od bagna. Najbliższym mostem przepравиłyśmy się przez kanał, a potem trzymałyśmy się żywopłotów.

Dokąd zmierzałyśmy? Jak możemy być bezpieczne? Kiedy wilczarze pochwycą nasz trop, z pewnością nas dopadną. Czyż Lizzie nie wspominała, że Arkwright jest nieustępliwy i nigdy się nie poddaje?

\*

W końcu, po niemal dwóch godzinach mozolnej wędrówki przez błotnisty kraj, przewodniczka wskazała nam coś po drugiej stronie wielkiego pola. Z początku zobaczyłam jedynie kolejny odległy żywopłot, ale coś wyczułam: coś niewidocznego.

Wówczas wiedźma wydała z siebie obrzydliwy gardłowy gulgot i pomachała ręką, kreśląc znaki. Powietrze zamigotało. Nagle ujrzałam przed sobą zarys budynku. Skrywała go magia – potężne zaklęcie maskujące, z jakim wcześniej się nie zetknęłam. Gdy się

zbliżyłyśmy, przekonałam się, że kiedyś mieściła się tu farma, teraz sprawiała wrażenie opuszczonej. Na polach nie dostrzegłam żadnych zwierząt, domu nie strzegły psy, wszędzie zalegała nieprzenikniona ciemność.

A potem w blasku księżyca zobaczyłam, że obok domu rozlewa się duży staw. Kolejne, niczym śmietniska, otwierały się nieco dalej, tak by nie przeciekały do piwnicy domu. Ten jednak powiększono – i to w bardzo niezwykły sposób. Głęboka woda podpływała do samych ścian domu, liżąc cegły. I coś jeszcze mnie zdziwiło. Na dawnym podwórzu piętrzył się kopiec ziemi, wysokością niemal dorównujący domowi. Porastała go trawa i pokrzywy, ale nie wyglądał naturalnie. Kto go tam usypał? Do czego służył i skąd wzięła się ziemia?

Nie oglądając się na nas, wiedźma wśliznęła się do ciemnej wody i zniknęła nam z oczu. Nie było jej długo i zastanawiałam się już, czy nie gromadzi grupy sióstr, by wciągnąć nas za sobą. Potem jednak w górnym oknie zamigotało światło.

– Pod wodą musi być wejście – oznajmiła Lizzie. – Bez wątplenia piwnice zalano celowo, ale my tędy nie wejdziemy. Użyjemy drzwi frontowych.

Prowadząc mnie dookoła stawu, okrążyła dom. Okna już dawno potraciły szyby, zabito je jednak deskami, więc nie mogliśmy zajrzeć do środka. Drzwi frontowe sprawiały wrażenie spróchniałych, ale okazały się zamknięte. Miałam wrażenie, że wystarczyłby porządny kopniak szpiczastym trzewikiem, by rozpadły się na mokre kawałki.

Nie musiałyśmy jednak tego robić – usłyszałam dobiegający ze środka brzęk zwalnianych łańcuchów i odsuwanych rygli, a potem drzwi otwarły się powoli, skrzypiąc na zawiasach.

W progu stała tęga kobieta o okrągłej twarzy i świńskich oczkach, w dłoni unosiła świecę, by przyjrzeć się nam uważnie. Siwiejące włosy miała potargane, brwi krzaczaste, sterczały z nich włosy niczym kocie wąsiki. Zdecydowanie nie wyglądała przyjaźnie.

– Czego chcecie? – zapytała bezceremonialnie.

– Uratowałyśmy jedną z waszych z dołu we młynie stracharza – oznajmiła Lizzie, jakby to wystarczyło, aby zapewnić nam wstęp do domu.

Jeśli jednak tak sądziła, myliła się. Nie spodobała mi się ta kobieta, wyczuwałam w niej zagrożenie. Nie była czarownicą, ale stojąc naprzeciw Lizzie, sprawiała wrażenie pewnej siebie, a to niezwykle. Najwyraźniej musiałyśmy mieć do czynienia z „opiekunką” wodnych wiedźm, o której wspominała moja towarzyszka. Nie potrafiłam zrozumieć, czemu chciałyby tu zamieszkać ze stadem czarownic, co z tego miała?

– Owszem, to wiem, ale czego chcecie?

Lizzie zmusiła się do uśmiechu.

– Muszę coś zrobić i potrzebuję stworzyć krąg z tych, którymi się opiekujesz. Tylko raz, do bardzo szczególnego celu. Dostaną za to mnóstwo krwi, a także moc. Co powiesz?

– Jak się nazywasz i skąd pochodzisz?

– Jestem Koścista Lizzie, z Pendle.

– Czarownice z Pendle i te, którymi się opiekuję, raczej za sobą nie przepadają – odparła kobieta. – W przeszłości dochodziło do kłopotów, nawet śmiertelnych ofiar z obu stron.

– Ja i dziewczyna niczym wam nie zagrażamy. – Lizzie skinęła głową w moją stronę. – Co było to było, prawda? Na tym, co proponuję, zyskamy wszystkie. Mogę wejść i pomówić o tym? Jak się nazywasz – powiedz przynajmniej, z kim rozmawiam?

Z początku sądziłam, że kobieta odmówi, w końcu jednak skinęła głową.

– Nazywam się Betsy Gammon i dam wam pięć minut mojego czasu.

To rzekłszy, odstąpiła na bok. Podążyłam za Lizzie do środka. Betsy zaprowadziła nas na tyły domu, do kuchni, brudnego, zaśmieconego pomieszczenia, w którym wszędzie roiło się od much, obrzydliwych, wielkich plujek. Po prawej ujrzałam niewielkie drzwi – otworzyła je i ruszyła w dół wąskimi, kamiennymi

schodkami, płomyk jej świecy posyłał na ściany przerażające cienie. Gdy dotarliśmy do piwnicy, rozejrzałam się ze zdumieniem.

Była wielka – co najmniej trzy-cztery razy większa niż dom nad nią. W jakimś momencie odbyły się tu poważne roboty ziemne – i nagle pojęłam, skąd się wziął kopiec obok domu. Połowę piwnicy zajmowała wielka dziura pełna wody, lecz na obszernym kawałku ziemi ustawiono kilka stołów i ponad dwadzieścia stołków. W najdalszym kącie walały się cztery rurowate klatki na skelty, dwie z nich były pełne: stwory wyglądały na nas głodnymi oczami, ich długie, kościane rury wystawały spomiędzy prętów, drgając wyczekująco.

Betsy klapnęła na stołek, patrząc na nas przebiegle. Nie poprosiła, abyśmy usiadły.

– No? – rzuciła w końcu. – Gadaj, co proponujesz.

Choć nie była czarownicą, miała w sobie coś bardzo niebezpiecznego. Należała do najokropniejszych ludzi, jakich spotkałam – a to mocno powiedziane, kiedy tak jak ja pochodzi się z wioski w Pendle pełnej czarownic.

– Najpierw przywołaj dwanaście siostr – odparła Lizzie. – Wyłożę to im wszystkim, a ty powtórzysz mi, co mówią.

Betsy Gammon pokręciła głową.

– Chyba nie rozumiesz, jak tu się sprawy mają. Większość z nich nie jest zbyt bystra, no nie? Słuchają więc mnie i robią dokładnie to, co im powiem. One mają szpony i zęby, a ja rozum – postukała się po głowie i uśmiechnęła złowrogo. – Nie marnuj zatem więcej mojego czasu i wytłumacz dokładnie, po co tu przyszłaś! Nie warto zadzierać z Betsy!

Lizzie poczerwieniała z gniewu, zaczęła mamrotać coś pod nosem.

– I nie trać na mnie swoich zaklęć z Pendle! – zawołała Betsy. – Sama nie władam magią, ale osłaniają mnie siostry. Twoje zaklęcia nic mi nie zrobią, a wystarczy, żebym zagwizdała, i dwadzieścia bądź więcej z tych, którymi się opiekuję, wyskoczy z tej jamy i rozszarpie ciebie z dziewczyną na strzępy. Mam nawet ochotę i tak

to zrobić. – Dźwignęła się na równe nogi.

Odskokczyłam ze zgrozą, lecz Lizzie przemówiła szybko.

– Nie, wysłuchaj nas... – jej głos brzmiał zaskakująco łagodnie, uspokajając kobietę. – Nie wiedziałam, jak się tu sprawy mają, ale szybko mnie naprostowałaś. Teraz widzę, że to ty tu rządzisz. Zaczekaj, coś ci pokażę...

Wyciągnęła z kieszeni jajo, powoli odwinęła błękitny jedwab i pokazała Betsy.

– Kryje się w tym moc, mnóstwo mocy! – wykrzyknęła, jej oczy lśniły z podniecenia. – Ukradłam je stracharzowi, o tak, a krąg może przejąć tę moc dla siebie. Proponuję, że podzielę się nią z tymi, którymi się opiekujesz. Każda z nas będzie mogła wypowiedzieć życzenie, które po siedmiu dniach się spełni!

Lizzie była przebiegła, o tak. Pamiętałam dokładnie, co powiedziało jajo:

„Daj mi krew z serc siedmiorga ludzkich dzieci w noc pełni księżyca, daj mi trzynaście czarownic zjednoczonych w tym czynie, a ja obdarzę tę, która trzyma jajo, jej największym pragnieniem. Dam jej więcej mocy, niż kiedykolwiek marzyła. Gdy zaspokoi moje pragnienie, wystarczy, by tylko coś pomyślała, a spełni się to w ciągu siedmiu dni.”

To Lizzie będzie je trzymała. Tylko jej życzenie się spełni, pozostałe oszuka. A by to osiągnąć, zamorduje siedmioro dzieci.

## **ROZDZIAŁ 13**

### **OKROPIEŃSTWO**

Wiedziałam, że Lizzie zabijała ludzi, aby zdobyć ich kości. Wiedziałam, że pewnie czasami mordowała dzieci – choć nigdy dotąd nie zrobiła tego na moich oczach. Nic nie mogłam poradzić; gdybym zaczęła protestować, to moje kości by zabrała. Nie musiała mówić tego głośno, wiedziałam, jak się sprawy mają.

Ale tym razem było gorzej niż kiedykolwiek wcześniej.

Siedmioro dzieci miało zginąć, by to złowieszcze skórzane jajo spełniło życzenie Lizzie. A tym razem znajdę się w samym sercu wydarzeń.

Będę równie winna jak ona.

Nigdy nie chciałam zostać czarownicą, ale jaki miałam wybór?

Chciałabym sądzić, że owej okropnej nocy, kiedy Lizzie zjawiła się po mnie, płakałam, ale tego nie pamiętam. Mama i tato od trzech dni leżeli zimni i martwi w wilgotnej ziemi, a ja wciąż nie zdołałam przelać nawet jednej łzy – choć przecież próbowałam. Staralam się zapamiętać szczęśliwe chwile, naprawdę, a było ich parę mimo faktu, iż kłócili się jak kot z psem i tłukli mnie bardziej niż kiedykolwiek siebie nawzajem. Bo przecież człowiek powinien się martwić, prawda? Jego mama i tato właśnie umarli, więc powinien móc wycisnąć z siebie choćby jedną łzę.

Dopiero znacznie później odkryłam, że to nie byli moi prawdziwi rodzice. Co więcej, zamordowała ich Lizzie, rzucając zaklęcie, od którego krew zawrzała im i zaczęła bulgotać w żyłach, tak że później wyglądali, jakby zmarli z gorączki. Zrobiła to, by móc przejąć opiekę nade mną i nauczyć mnie mrocznej magii.

Miałam też ciotkę, Agnes Sowerbutts, dobrze mnie traktowała i przyjęła do siebie, ale Lizzie chciała mnie mieć u siebie i tyle. W noc, kiedy po mnie przyszła, szalała burza, niebo rozdzierały zesłane przez Złego pioruny, a huk grzmotów wstrząsał ścianami domku, garnkami i patelniami.

To jednak drobiazg w porównaniu z tym, co zrobiła Lizzie. Cały dzień się denerwowałam, czekając, aż się zjawi, ale Agnes postrzegła, że dojdzie do tego dopiero po zmroku – o ulubionej porze Lizzie. W końcu usłyszałyśmy walenie do drzwi, mogące obudzić nawet gnijących nieboszczyków, a kiedy Agnes odsunęła rygiel, Koścista Lizzie wmaszerowała do izby. Czarne włosy miała polepione deszczem, woda z peleryny spływała z niej kaskadami na kamienne płyty posadzki. Biedna Agnes bała się, ale nie ustąpiła, śmiało zajmując miejsce między mną i Lizzie.

Mnie jednak brakowało odwagi. Byłam przerażona – tak bardzo, że trzęsły mi się kolana, a szlochanie ścisnęło gardło.

– Zostaw dziewczynę w spokoju – powiedziała Agnes, nie podnosząc głosu. – Teraz tu jest jej dom. Nie obawiaj się, dobrze się nią zajmę.

W odpowiedzi Lizzie najpierw uśmiechnęła się złośliwie. Mówiąc, że łączy nas rodzinne podobieństwo, ale ja nigdy nie zdołałabym tak bardzo wykrzywić twarzy, jak ona owej nocy. Sam widok wystarczył, by mleko skwaśniało, a kot z wrzaskiem uciekł kominem, jakby stary Nick we własnej osobie próbował go złapać za ogon.

Zawsze starałam się nie wchodzić w drogę ciotce Lizzie. Nie widziałam jej od ponad roku i okazała się straszniejsza niż kiedykolwiek. Lecz dzień wcześniej dotarły do nas wieści, że chce, abym z nią zamieszkała. Agnes miała zaprowadzić mnie do jej domku, błagałam jednak, by tego nie robiła, toteż posłała wiadomość, że nie posłucha. Obie wiedziałyśmy, że to nie koniec.

– Dziewczyna należy do mnie, Sowerbutts – oznajmiła Lizzie cichym, lodowatym tonem, ociekającym groźbą. – W naszych żyłach płynie ta sama mroczna krew. Mogę nauczyć ją tego, co musi poznać. To mnie potrzebuje.

Wiedziałam, że Lizzie chce, bym z nią zamieszkała, ale dotąd nie miałam pojęcia, iż pragnie wyszkolić mnie na wiedźmę. Wieść ta wstrząsnęła mną do głębi.

Pamiętam, jak myślałam, że to ostatnia rzecz, jakiej potrzebuję, ale jak mówiłam, okropnie się bałam i trzymałam buzię na kłódkę.

– Alice nie musi zostać czarownicą jak ty! – odparowała Agnes. – Jej mama i tato nie zajmowali się czarami, czemu zatem miałyby pójść twoją mroczną ścieżką? Zostaw ją w spokoju. Zostaw ją u mnie i zajmij się swoimi sprawami.

– Płynie w niej krew czarownicy, to wystarczy – syknęła gniewnie Lizzie. – Ty zaś przybyłaś tu z zewnątrz, nie nadajesz się do wychowania dziewczyny.

To nie była prawda – Agnes faktycznie wywodziła się z rodu Deane'ów, ale poślubiła porządnego, uczciwego człowieka z Whalley, właściciela kramu z towarami żelaznymi. Po jego śmierci wróciła do Roughlee, gdzie miał swą siedzibę klan Deane'ów.

– Jestem jej ciotką, a teraz będę i matką – odpaliła Agnes.

Przemawiała odważnie, lecz twarz miała bladą i widziałam, jak trzęsie jej się pulchna broda, trzepoczą dłonie, a palce drżą ze strachu.

Do tej pory zdążyłam się już wycofać w najdalszy kąt izby; miałam nadzieję, że zdołam umknąć do kuchni, dotrzeć do tylnych drzwi i uciec. Wiedziałam, że kłótnia pomiędzy Lizzie i Agnes nie potrwa długo. Wiedziałam też, kto wygra.

Nagle Lizzie tupnęła lewą nogą. Nie potrzebowała nic więcej. W mgnieniu oka ogień na palenisku zgasł, świece zamigotały i także zgasły, a cała izba pogrążyła się w zimnej, przerażającej ciemności. Usłyszałam, jak Agnes krzyczy ze zgrozy, ja też krzyczałam, rozpaczliwie pragnąc uciec. Przebiegłabym przez zamknięte drzwi, wyskoczyła przez okno, a nawet wdrapała się przez komin – zrobiłabym wszystko, byle tylko uciec.

Ale nie mogłam poruszyć nawet jednym mięśniem: sparaliżował mnie strach.

W końcu się wydostałam, lecz z Lizzie u boku – po prostu złapała mnie za rękę i pociągnęła w noc. Próby oporu nie miały sensu – była za silna i trzymała mnie bardzo mocno, wbijając paznokcie w skórę. Teraz należałam do niej; wiedziałam, że nie ma mowy, by kiedykolwiek mnie wypuściła. Tej właśnie nocy zaczęła uczyć mnie na czarownicę. To był początek wszystkich moich kłopotów.

Tak właśnie zaczęło się moje życie z Lizzie, a nauka okazała się ciężka i nieprzyjemna.

Wiedziałam, że po zamordowaniu siódemki dzieci będzie znacznie, znacznie gorzej.

Oto miałam postawić pierwszy krok na drodze, wiodącej do stania się bezecną wiedźmą. Gdybym pomogła teraz Lizzie, już nie



zdołałabym się wycofać.

Betsy wsunęła do ust dwa palce i zagwizdała ogłuszająco, miałam wrażenie, że zaczną mi krwawić uszy. Coś wyskoczyło z wody i wylądowało na nogach na miękkiej ziemi naprzeciw niej. Wszędzie bryzgała mulista woda, cofnęłam się zatem szybko.

To była wodna wiedźma, odziana w szmaty pokryte zielonobrazowym szlamem. Włosy miała splątane, twarz umazaną błockiem. Już wcześniej widziałam te mordercze szpony, nie zauważyłam natomiast śmiercionośnych stóp. Palce czarownicy łączyła błona, każdy kończył się ostrym pazurem. Odgadywałam, że dzięki nim może szybciej pływać, a także walczyć, ranić i zabijać wszystkimi czterema kończynami.

Betsy Gammon zaczęła mówić w języku wodnych wiedźm; składały się na niego głównie pomruki i inne odgłosy – coś pomiędzy szczekaniem i dźwiękiem, który wydaje z siebie stary kocur wypluwający kłaczek. Rozpoznałam jednak kilka słów: „krew” i „skelt” mnie nie zaskoczyły, spodziewałam się ich bowiem w rozmowie wodnej wiedźmy z jej opiekunką. I faktycznie zabrzmiały kilka razy.

Usłyszałam także nazwisko „Arkwright” – co również mnie nie zdziwiło – miejscowy stracharz musiał stanowić ciągłe zagrożenie. Polował na czarownice z dwoma złowrogimi psami i nie dopuszczał ich do ruin opactwa, ich świętego miejsca. Istniało także realne niebezpieczeństwo, że pewnego dnia odkryje położenie tej farmy i zakończy życie opiekunki, rozpędzając wiedźmy i utrudniając im współdziałanie w kręgu. Potrzebowały potężnej magii, by osłonić budynek i nie pozwolić psom pochwycić zapachu tutejszych czarownic. Ale jak długo mogły podtrzymywać zasłonę? Zużycie magii to bardzo kosztowna sprawa, musiała wymagać mnóstwa krwi.

W odpowiedzi na długi monolog Betsy wodna wiedźma raz jeden mruknęła cicho, a potem odwróciła się i z powrotem zanurkowała w wodę z cichym pluśnięciem. Nawet na nas nie spojrzała. Kiedy zniknęła, opiekunka znów odwróciła się do Lizzie.

– Tak się stanie – oznajmiła. – Ale najpierw potrzebujemy dzieci. Najlepiej zebrać więcej niż siódmkę. Dodatkowe zawsze się przydadzą – skelty uwielbiają młodą, słodką krew. Trzeba je porwać ze wschodu, jak najdalej od terytorium miejscowego stracharza. Dostarczymy dwanaścioro smarkaczy, ty musisz przyprowadzić trzynastego. Wszystkie się w to włączymy. Tak będzie sprawiedliwie, prawda?

Zadrżałam, ale Lizzie uśmiechnęła się.

– O tak, to bardzo sprawiedliwe. Zrobię, co do mnie należy.

– W takim razie wróć tu w noc przed pełnią i przyprowadź ofiarę. Najpierw jednak przyrządzę wam kolację. Najlepiej zjeść razem posiłek, by przypieczętować umowę.

Wcale nie miałam ochoty jeść niczego w tej brudnej kuchni, ale nikt mnie nie pytał o zdanie.

– Nazywam się Gammon i uwielbiam jeść gammon!

Betsy zachichotała, jakby opowiedziała wspaniały żart, a potem zaprosiła, abyśmy usiadły przy brudnym stole i rozstawiła talerze.

Przyrządziła szynkę zwaną w Hrabstwie gammonem, tak że rozpływała się w ustach. Niestety natychmiast dostałam ataku kaszlu – gammon zawsze jest dość słony, ale ten był niemal niestrawny i poczułam, że się dławię.

Lizzie skubnęła odrobinę, próbując ukryć irytację z faktu, iż poczęstowano ją słoną szynką. Dostrzegłam, jak ukradkiem wypluwa ją pod stół, kiedy Betsy nie patrzyła. Czarownice żywią awersję do soli, nawet ta w jedzeniu może im zaszkodzić. Betsy doskonale o tym wiedziała i świetnie się bawiła kosztem Lizzie.

Ona sama nie była czarownicą. Na stole stała niewielka solniczka, Betsy co chwilę zanurzała w niej palce i oblizywała je łakomie.

Po jakimś czasie Lizzie nie wytrzymała.

– Widzę, że lubisz słone potrawy, Betsy – rzekła z przebiegłym, wdzięczącym się uśmiechem.

– W istocie, w istocie – odparła gospodyni. – Dlatego niektórzy nazywają mnie Słoną Betsy!

Obie solidnie się z tego obśmiały, a kiedy się uspokoiły, Betsy spoważniała.

– Bo widzisz, nie dysponuję własną magią, nie mam niczego, co mogłoby je powstrzymać. A oślizgłe siostry czasem bywają dziwne: sprawia to żądza krwi, w mgnieniu oka mogą zwrócić się przeciw tobie. Tyle że sól je zniechęca, więc jem jej mnóstwo. Smaruję sobie nią także włosy. Działa jak złoto!

Wraz z posiłkiem przypieczętowałyśmy umowę, toteż pozostawiwszy Betsy, która wciąż napychała sobie gębę słonym gammonem, podreptałam za Lizzie za drzwi, w mroźną noc.

Lizzie spojrzała na księżyc i słabe gwiazdy, po czym obróciła się powoli, przeczesując wzrokiem dom, pobliskie drzewa i odległy horyzont na zachodzie.

– Po prostu utrwalam to miejsce w głowie, dziewczyno – oznajmiła z uśmiechem. – Wolałabym nie dopuścić do tego, że złapię smarkacza i nie będę mogła go tu dostarczyć.

Przeszłyśmy najwyżej pięćdziesiąt kroków, gdy stary dom, staw i wielki kopiec ziemi zniknęły nam z oczu, znów skryte za zasłoną czarnej magii.

Przed świtem oddaliśmy się jeszcze o tuzin mil, a potem godziny dnia spędziłyśmy w ukryciu w niewielkim zagajniku, niecałe dwie mile od wioski. W oknach paru domów płonęły światła – to farmerzy już wstali i szykowali się do pracy.

– Konam z głodu, dziewczyno. Złap nam parę królików! – warknęła Lizzie.

Ja też nadal byłam głodna, bo zdołałam przełknąć zaledwie parę kęsów słonej szynki. Złapałam zatem, oskórowałam i wypatroszyłam dwa króliki, po czym upiekłam je nad najmniejszym ogniskiem, jakie zdołałam rozpalić. Kiedy skrawek słonecznej tarczy wynurzył się zza horyzontu, z ognia zostały już tylko węgle – nie chciałyśmy, aby dym zdradził naszą kryjówkę.

Z pełnymi brzuchami położyłyśmy się do snu. Wciąż myślałam o wszystkich wydarzeniach ostatnich kilku dni, ale Lizzie bardzo szybko zasnęła na wznak z szeroko otwartymi ustami, chrapiąc

głośno. Od czasu do czasu mamrotała coś we śnie, a jej twarz rozjaśniał uśmiech. Śniła – zapewne o sprytnym planie oszukania wodnych wiedźm i ich opiekunki i o przejęciu całej mocy skórzanego jaja. Ja jednak nie mogłam zasnąć, choć bardzo się starałam.

Nie potrafiłam przestać myśleć o tym, co zamierzamy. Kiedy zapadnie noc, Lizzie wybierze jeden z domów na skraju wioski i porwie z niego dziecko. Potem to dziecko zginie – albo w trakcie rytuału, albo też wysane przez skelta.

Ja także będę morderczynią.

\*

Lizzie spała aż do zachodu słońca. Gdy tylko światło zaczęło gasnąć, usiadła, przeciągnęła się, ziewnęła i splunęła w szary, zimny popiół ogniska.

– No dobra, dziewczyno, bierzmy się do roboty! – Dźwignęła się z ziemi.

Pomaszerowałam za nią, razem opuściłyśmy zagajnik i trzymając się żywopłotu, zbliżyłyśmy się do bliższej z dwóch farm. Lizzie przystanęła i powęszyła trzy razy.

– Nie tutaj! – wykrzyknęła. – Żadnych młodych kości, tylko chudy, stary rolnik i jego tłusta, cuchnąca świnią żona. Mają też wielkie psy!

Gdy tylko to rzekła, wspomniane psy zaczęły ujadać! Lizzie szybko ruszyła dalej, szerokim łukiem okrążając groźną farmę.

Maszerując na północny wschód, pod kątem zbliżyłyśmy się do wioski. Tymczasem zrobiło się już ciemno, księżyc jeszcze nie wzeszedł, lecz w oknach sypialni jednego z domów zapłonęło światło. Wciąż dzielił nas od nich spory kawałek. Lizzie skręciła prosto ku niemu.

Tym razem, powęszywszy szybko, zachichotała radośnie.

– Tylko kobieta i smarkata córka, nie może być lepiej! – zapięła.  
– I nie mają psa!

Poprowadziła mnie do drzwi frontowych; ledwie dostrzegłam sylwetkę kota na stopniu.

Biedny zwierzak popełnił dwa błędy. Po pierwsze syknął na Lizzie, to już dość duża pomyłka. Kiedy jednak próbowała zrzucić go grzbietem dłoni, drapnął i zawisł na jej ręce, wbijając głęboko pazury.

Lizzie podniosła go i szybciej niż atakująca zmija, trzymając oburącz, szarpnęła gwałtownie. Usłyszałam trzask, jakby pękającej gałązki. Czarownica odrzuciła ciało w kępę pokrzyw. Potem uklękła i splunęła w głąb zamka.

W chwilę później szcęknięto i Lizzie powoli otworzyła drzwi, przekroczyła próg, odwracając się ku mnie.

– Zaczekaj na dole schodów. Gdyby ktokolwiek zdołał mi uciec, nie wypuść go z domu, zrozumiano?

Pokiwałam głową, choć serce waliło mi w piersi. Patrzyłam, jak Lizzie wdrapuje się powoli w stronę sypialni. W domu było ciemno – światła już pogasły – a ona zniknęła w mroku na szczycie. Słyszałam jak otwiera drzwi, potem nagle nocne powietrze rozdarły przerażone wrzaski dziecka, które szybko ustąpiły miejsca piskliwym błaganiom.

– Mamciu! Mamciu! Pomóż, proszę! To jakiś straszny stwór! Złapał mnie! Pomocy, mamciu!

Jakaś część mnie żałowała dziewczynki i pragnęła jej pomóc, nie mogłam się powstrzymać przed wyobrażeniem sobie siebie na jej miejscu i poczuciem grozy, gdy czarownica łapie mnie w środku nocy. Ale nic nie mogłam poradzić.

Usłyszałam skrzypienie innych drzwi i ciężkie kroki – to matka zbudziła się i biegła do córki. Ale jaką miała szansę w starciu z wiedźmą tak potężną jak Koścista Lizzie?

Rozległ się kolejny przerażający krzyk – tym razem kobiecy – a po nim głuchy łoskot.

– Zabiłaś mamcię! – zawołała mała. – Och, mamciu, mamciu! Moja biedna mamciu!

Lizzie zamordowała matkę! I to na oczach jej córki! Zrobiło mi się niedobrze.

## ROZDZIAŁ 14

### CO MOŻNA POCZAĆ?

– Jeśli nie zamkniesz tej cuchnącej gęby, ty będziesz następna!  
– zawołała Lizzie i usłyszałam, jak z tupotem maszeruje po schodach.

Przepchnęła się obok mnie, niosąc żałośnie szlochającą małą. Była to drobna, chuda dziewczynka, najwyżej sześćoletnia. Nagle ogarnął mnie gniew – podbiegłam do Lizzie, złapałam ją za rękę i zatrzymałam szarpnięciem. Odwróciła się gwałtownie, w oczach płonął jej gniew.

– Dlaczego musiałaś zabić też matkę? – spytałam ostro. – Czy tamte śmierci ci nie wystarczą?

Lizzie zgromiła mnie wzrokiem; gdyby miała wolne ręce, z pewnością by mi przyłożyła. Cała dygotałam ze strachu na myśl o tym, co właśnie zrobiłam – chwyciłam ją za rękę i nakrzyczałam. Owszem, już wcześniej się kłóciłyśmy, ale nigdy tak otwarcie jej się nie sprzeciwiałam.

– Znaj swoje miejsce, dziewczyno, inaczej pożałujesz! – Jej usta drgnęły niebezpiecznie, pokazując, jak bliska jest zrobienia mi krzywdy. – Użyłam tylko zaklęcia „Śpij teraz”. Jej matka nie zginęła – chyba że skręciła sobie durny kark przy upadku. I dobrze jej tak, bo strasznie się upasła.

To rzekłszy, pomaszerowała na zachód, w mrok, niosąc zapłakane dziecko.

Bardzo chciałam pomóc tej dziewczynce, ale co mogłam poradzić na magię Lizzie? Gdyby zatrzymała się na popas, może zdołałabym czegoś spróbować, ale bardzo bym ryzykowała: gdyby mnie przyłapała, zapłaciłabym straszną cenę. Pewnie w ogóle traciłam na darmo czas, rozmyślając o tym, bo wiedziałam, że się nie zatrzyma, póki nie dotrzemy do kryjówki wodnych wiedźm.

Rano wybuchnie zamieszanie – oczywiście, jeśli matka dojdzie do siebie po zaklęciu Lizzie. Jeżeli skręciła kark, mogą minąć godziny, nawet całe dni, nim sąsiedzi znajdą jej ciało i zrozumieją, że mała zniknęła. Bez wątpienia jednak czarownice w tej chwili łapały inne dzieci i wkrótce rozpoczną się łowy. Każdy sprawny mężczyzna w promieniu wielu mil ruszy do akcji. Mimo odległości od młyna, możliwe, że zawiadomią w końcu stracharza Arkwrighta. Magia maskująca być może oszuka jego oczy i psy, ale ludzie przeszukają cały obszar. Wiedziałam, że Lizzie pragnie dotrzeć do schronienia najszybciej jak się da.

Wróciłyśmy na długo przed świtem i przekonałyśmy się, że farma nadal pozostaje doskonale zamaskowana. Lizzie węszyła i przeklinała, z irytacją spoglądając w gwiazdy i na horyzont, trwało to niemal godzinę. Miałam nadzieję, że odda mi dziewczynkę – mogłabym udać, że się potknęłam, i pozwolić jej uciec. Ale przez całą drogę mocno trzymała zdobycz. W końcu cofnęła się i poprowadziła nas w miejsce, gdzie powietrze zamigotało, ukazując dom.

Betsy czekała w otwartych drzwiach, z szerokim uśmiechem wezwała nas do środka. Gdy podążyłyśmy za nią po schodach do piwnicy, usłyszałam krzyki. Dziewczynka w ramionach Lizzie wciąż szlochała, to jednak było zawodzenie więcej niż jednego dziecka: kakofonia rozpaczy.

Od widoku, który powitał mnie w mrocznej piwnicy, ścisnął mi się żołądek. Teraz stał tu ponad tuzin nowych klatek – dużych, przeznaczonych dla dzieci, nie skeltów. Cztery z nich były zajęte: jedno dziecko spało, troje wypłakiwało ze strachu płuca. Całą czwórkę pokrywał szlam, a jedno, chłopczyk bez dwóch przednich zębów, ociekało wodą.

Ujrzałam też więcej niż ostatnio uwięzionych skeltów: teraz szóstka wyglądała na dzieci spomiędzy prętów, a ich pyski drżały lekko z głodu.

– Daj mi ją! – poleciła Betsy Gammon i Lizzie bez słowa wręczyła jej dziewczynkę. Potężna kobieta uniosła małą,

przyglądając jej się uważnie. – Chuderława smarkula, ale lepsze to niż nic. Musimy ją podtuczyć – oznajmiła, po czym wepchnęła dziewczynkę do klatki i zatrzasnęła zamek.

– Do wymaganej siódemki wciąż brakuje nam dwójki – oznajmiła Lizzie – ale dotrzymałam swojej części umowy.

– Istotnie – zgodziła się Betsy. – Nie martw się, jutro w nocy grupka moich dziewcząt wybierze się w miejsce, gdzie na pewno się obłowią. To sierociniec, prowadzony przez kilka cherlawych, starych zakonnic. Wkrótce będziemy mogły przebierać w bachorach!

\*

Następnych parę dni zamieniło się w koszmar. Lizzie i Betsy dogadywały się teraz jak dwie najlepsze przyjaciółki, chichocząc razem w pokoju na górze i sącąc słonecznikowe wino. Ja tymczasem musiałam zająć się wszystkim, a co najgorsze, opiekować się także porwanymi dziećmi.

Nie chciałam ich oglądać, nie chciałam patrzeć na nieszczęśliwe buzie... Ale ktoś musiał – trzeba je było nakarmić i utrzymać przy życiu aż do pełni, kiedy odbędzie się rytuał. Lizzie wystarczyłoby, gdybym przepchnęła im przez kraty czerstwy chleb i wlała do ust po kubku wody.

Ja jednak nie mogłam zostawić ich siedzących we własnym smrodzie, zajmowałam się zatem każdym kolejno, otwierając klatki i wypuszczając dzieci, aby zjadły i się umyły. Jednej nocy Lizzie przyłapała mnie na tym, jak pytałam którąś z dziewczynek, jak się nazywa. Próbowałam tylko się z nią zaprzyjaźnić, by mała poczuła się trochę lepiej, lecz Lizzie natychmiast mnie zrugowała.

– Głupia jesteś, dziewczyno! – syknęła mi do ucha, posyłając dziecku fałszywy uśmiech. – Czemu marnujesz czas, poznając jej imię, skoro wkrótce umrze? Lepiej poucz się zaklęć.

Ale kiedy odeszła, robiłam wszystko jak wcześniej, dawałam też każdemu dziecku dziesięć minut, by się przeszło i rozprostowało nogi. Większość szlochała, z otwartymi buziami wpatrując się w schwytane skelty, wyraźnie przerażona.



W dniu, kiedy miały zostać złożone w ofierze, kilka godzin przed północą myłam właśnie dziewczynkę, którą porwała Lizzie. Nie przestawała mówić, a jej słowa sprawiały mi ból.

– Mamcia nie żyje! Ona ją zabiła! Wywróciła się i umarła – zawodziła.

– Ona nie umarła – próbowałam przemawiać możliwie najbardziej miękko i kojąco – to tylko zakłęcie, które ją uspiło, do tej pory już się obudziła. Nie martw się, twojej mamci nic nie jest.

– Upadając, uderzyła się w głowę, bardzo głośno! Z ucha popłynęła jej krew! Widziałam!

– Dojdzie do siebie. Twoja mama jest silna, trzeba czegoś więcej niż stuknięcie w głowę, by ją załatwić – upierałam się, ściskając jej dłonie.

Mimo moich pocieszających słów sama zaczęłam się zastanawiać, czy matka dziewczynki nie zginęła. Nie spodobała mi się wzmianka o krwi płynącej z ucha – w Pendle patrzyłam kiedyś, jak chłopiec wspiął się na drzewo, zachęcany wiwatami kolegów. Wdrapał się zbyt wysoko, na cienką gałąź, która nie utrzymała jego ciężaru. Gałąź pękła, a on runął na ziemię i uderzył głową o kamień, zaczął krwawić z obojga uszu i nigdy już się nie ocknął. Zanieśli go do domu i słyszałam, że wkrótce umarł.

– A co, jeśli mama jest ranna i nie może chodzić? Bez pomocy może umrzeć z pragnienia! Może właśnie umiera!

Dziewczynka wyrwała mi rękę i pobiegła do drzwi. Zdołałam ją złapać, nim dotarła na górę schodów. I dobrze, inaczej wybuchłaby straszna awantura. Zniosłam ją do klatki, mimo iż wrzeszczała i kopała, zamknęłam w środku i nakarmiłam przez pręty.

– Jak się nazywasz? – spytałam, gdy w końcu się uspokoiła.

– Emily. Nazywam się Emily Jenks – odparła, pociągając nosem.

– Cóż, Emily, nie ma się co martwić. Twojej mamie nic nie będzie.

– Czy jeszcze ją zobaczę?

– Oczywiście, że tak.

– Może byłoby lepiej, gdyby mamcia umarła – rzekła cicho.  
– Dlaczego tak mówisz?  
– Bo wtedy znów ją zobaczę. Kiedy obie umrzemy, będziemy razem.

– Przestań gadać głupoty! Jesteś dzieckiem, minie wiele lat, zanim umrzesz – skłamałam.

– Nie to mówiła gruba pani. Powiedziała, że dadzą nas tym okropnym stworom! – zawołała Emily, wskazując przez kratę w stronę najbliższej klatki skelta, której mieszkaniac przyglądał nam się z wyraźnym zainteresowaniem. – Powiedziała, że ten potwór wbije w nas swój długi, ostry ryj i wyssie nam krew, tak że nasze serca przestaną bić!

Najbliższe dzieci usłyszały to i zaczęły płakać. Słowa małej mną wstrząsnęły. Dzieci i tak już dostatecznie się bały, po co jeszcze pogarszać sytuację, mówiąc, że zginą w tak koszmarny sposób?

Jakim potworem była Betsy Gammon? Pod pewnymi względami okazała się znacznie gorsza niż więdźmy pod jej opieką. Bez niej zabijałyby rzadziej i bardziej przypadkowo. To ona je zorganizowała, urządzając rzeź niewinnych istot na wielką skalę. Oczywiście, tym razem to Lizzie wszystko zaczęła, łaknąc mocy jaja.

– Posłuchaj, tak się nie stanie – oznajmiłam, mając nadzieję, że jedna z chichoczących jędz na górze nie postanowi nagle złożyć dzieciom wizyty. – Po prostu próbowała was przestraszyć.

– To po co porwałyście mnie od mamci i sprowadziłyście tutaj? I czemu te stwory siedzą w klatkach i cały czas się na nas gapią? Czy są głodne? Chcą naszej krwi?! – krzyczała Emily.

Byłam równie winna, jak Lizzie.

– Nie martw się, nie dostaną twojej krwi.

– Ale gruba pani mówiła, że dostaną.

– To nieprawda. Nie pozwolę na to.

– Jesteś tylko dziewczynką. Co możesz począć? Czarownice są groźne, mają wielkie zęby i szpony, i jest ich całe mnóstwo.

Zastanawiałam się przez chwilę, nim odpowiedziałam. Do tej

pory próbowałam zachować optymizm, dać dzieciom nadzieję. Teraz słowa same popłynęły z moich ust, jakby odpowiedź przyszła skądinąd.

– Jestem Alice i nie pozwolę im was zranić. Mogę je powstrzymać. Mogę i to zrobić.

W moim głosie musiało zadźwięczeć szczere przekonanie, bo dziewczynka szerzej otworzyła oczy. Po raz pierwszy sprawiała wrażenie uspokojonej.

Załatwiwszy sprawy w piwnicy, wróciłam schodami na parter. Na górze Lizzie i Betsy wciąż gawędziły, zaśmiewając się głośno. Nie mogłam znieść ich widoku, wyszłam zatem na podwórko i długi czas wpatrywałam się w staw, rozmyślając o wszystkim.

Jakże byłam głupia, twierdząc, że mogę nie dopuścić do tego, by zraniły dziecko. Co niby mogłabym począć? Nic! Zupełnie nic!

No... To nie do końca prawda. Za kilka godzin wszystkie te dzieci zginą, ale sobie mogłam jeszcze pomóc. Mogłam uciec z tego okropnego miejsca. Kiedy zginą, mnie już tu nie będzie. Wówczas nie będę morderczynią.

I nie tylko – mogłam uciec od Lizzie. W ten sposób nie będę musiała zostać czarownicą.

Nie wiedziałam jednak, jak bardzo zależało jej na moim powrocie. Zeszłym razem wiedziała, że zamieszkałam u Agnes Sowerbutts, i Agnes okazała się zbyt słaba, by ochronić mnie przed potężną bezecną wiedźmą. Tym razem jednak mogłabym uciec daleko od Pendle, Lizzie nie wiedziałyby dokąd. Nawet gdyby zdołała postrzec miejsce mojego pobytu, byłaby zbyt zajęta mocą skórzanego jaja, by zawracać mną sobie głowę.

Po co zatem tracić czas? Lepiej uciec już teraz, w tej chwili!

## **ROZDZIAŁ 15**

### **ELŻBIETA OD KOŚCI!**

Nie oglądając się za siebie, odbiegłam z podwórza i pomaszerowałam na wschód, w stronę kanału. Zamierzałam podążyć wzdłuż niego na południe, ale nie do Pendle. Będę szła dalej, aż znajdę się daleko za granicą Hrabstwa. Ludzie mówili, że na południu jest cieplej i znacznie mniej pada, dobrze będzie częściej poczuć słońce na twarzy. Nie cierpiałam wilgotnego, deszczowego klimatu Hrabstwa.

Zrobiło się ciemniej, słońce musiało wisieć tuż nad horyzontem. Nie żebym mogła je zobaczyć: z zachodu napływały niskie, szare chmur. Wkrótce zaczniesz padać.

Na myśl, że na zawsze porzucam swoje dawne życie, nie czułam żadnej radości ani lekkości ducha. W piersi, w miejscu serca miałam bryłkę zimnego ołowiu, która nie pozwalała mi oddychać. Wciąż widziałam głodne skelty i przerażone dzieci w klatkach. Siódemka z nich zostanie złożona w ofierze, by uwolnić moc jaja, reszta padnie ofiarą krwiożerczych stworów.

Im bardziej się oddalałam, tym gorzej się czułam. Nawet jeśli od miejsca śmierci dzieci będzie mnie dzielić wiele mil, wciąż pozostanę winna, prawda? Stałam na warcie, kiedy Lizzie porwała dziecko i zraniła – może nawet zabiła – matkę. Istnieją różne rodzaje winy: można zrobić coś strasznego, czego później żałujemy. Ale można też czuć się winnym z powodu czegoś, czego się nie zrobiło! Jeśli w jakiś sposób nie pomogę tym dzieciom, wyrzuty sumienia będą mi towarzyszyć do końca życia.

Nagle jak grom uderzyła mnie pewna myśl. Mogłabym pójść powiedzieć o wszystkim Arkwrightowi, stracharzowi, i zaprowadzić go do dzieci. Mogłabym przeprowadzić go przez magiczną osłonę prosto do domu.

Ale to byłoby bardzo ryzykowne. Co, jeśli założy, że jestem wiedźmą, i albo uwięzi mnie w jamie, albo też zabije z miejsca. Istniała jednak szansa, że go przekonam o niebezpieczeństwie grożącym dzieciom. Tylko ja mogłam przeprowadzić go przez magiczną zasłonę, by je ocalić...

Już na miejscu mogłabym uciec, podczas gdy on rozprawiałby

się z wiedźmami i tą świnią, Słoną Betsy. Lizzie bez wątpienia też ucieknie – była przebiegła i miała więcej żywotów niż kot.

Tak, tak właśnie zrobię, postanowiłam, i jeszcze szybciej ruszyłam w stronę kanału. Kiedy do niego dotrę, od młyna będzie mnie dzielić tylko kawałek drogi na północ.

Pozostało mi najwyżej pięć minut marszu do brzegu kanału, kiedy lunął deszcz – z rodzaju tych, które potrafią w parę minut przemoczyć człowieka do suchej nitki. Potem zygzakowata błyskawica rozdarła niebo, w chwilę później, niemal dokładnie nad głową, usłyszałam ogłuszający grzmot. Skojarzyło mi się to z tamtą nocą, gdy Lizzie zabrała mnie z domu Agnes.

Zawsze bałam się trafienia piorunem, przeraża mnie to niemal tak bardzo jak pająki i muchy. Kiedyś paskudna burza złapała krąg Malkinów na Wzgórzu Pendle. Jedna z czarownic zginęła z miejsca, a kiedy zniosły jej trupa do wioski, okazał się spalony i czarny. Zdarzyło się to przed moimi narodzinami, ale słyszałam, że smród palonego mięsa wisiał w powietrzu wiele tygodni.

Gdzie mogłabym się schronić? Nieopodal rosło kilka samotnych drzew, ale wiedziałam, że przebywanie pod nimi byłoby niebezpieczne, a pobliski żywopłot nie uchroni mnie przed deszczem ani piorunami.

Było już prawie ciemno i w dali ujrzałam słabe światełko – zdawało się, że jego źródło leży na południe od kanału. Zapewne oznaczało farmę. Mogłabym schronić się w jednym z zabudowań. Bez wątpienia będą tam psy – wyczują mój zapach i zaczną ujadać tak, że zbudzą nawet umarłego – ale mało prawdopodobne, by farmer w taką paskudną pogodę wyszedł z domu po zmroku.

Przyspieszyłam zatem kroku, przecinając dwa duże pola i wdrapując się na bramę, cały czas zmierzałam prosto w stronę światła.

Przez grubą zasłonę chmur nie przenikał nawet najslabszy promień gwiazd albo księżyca, by oświetlić mi drogę, a poziome strugi deszczu smagały mi twarz, przesłaniając wszystko. Zatem dopiero gdy dotarłam bardzo blisko, pojęłam swój błąd.

Źródłem światła okazało się nie okno na farmie bądź latarnia wisząca na drzwiach stodoły.

To była barka, cumująca na kanale.

Zatrzymałam się na ścieżce cumowniczej, patrząc na nią. Była wielka, czarna, błyszcząca, jakże różna od zwykłych roboczych barek pływających tędy z ładunkiem jedzenia, węgla i innych materiałów pomiędzy Caster i Kendal. Miała płaski pokład i jedną zamkniętą klapę.

A potem ujrzałam źródło światła, które zwabiło mnie przez pola jak niemądrą ćmę mknącą do płomienia, który ją strawi. Na dziobie stało trzynaście wysokich, czarnych świec: płonęły spokojnie, nawet nie migocząc, mimo porywów wiatru, który porywał mi dech prosto z otwartych ust. Wciąż lał deszcz, burząc powierzchnię kanału, lecz ani kropla nie docierała na pokład tej tajemniczej barki.

Świece mnie zaniepokoiły: czarnych zazwyczaj używały czarownice – kojarzyły mi się z Mrokiem. Lecz sama barka była bogata, wspaniała i piękna i widok ten przegnał lęki.

Tkwiałam w miejscu jak przyrośnięta, nie mogąc oderwać wzroku od świec i uciec. A potem kącikiem oka dostrzegłam ruch. W końcu odwróciłam się i przekonałam, że klapa powoli się podnosi.

Zdumiałam się, widząc, co się pod nią kryje. To były stopnie wiodące w dół – zbyt wiele stopni. Kanały nie są aż tak głębokie, toteż barki mają płaskie dna. Te stopnie opadały znacznie niżej. To niemożliwe, a przecież widziałam je na własne oczy.

Każdy z choć krztyną zdrowego rozsądku odwróciłby się i uciekł, ja jednak nie myślałam jasno. Coś zmuszało mnie, abym wkroczyła na pokład barki i zeszła do ładowni. Tak zrobiłam, poruszając się jak we śnie.

We śnie? Kiedy teraz na to patrzę, raczej w koszmarze!

Prócz dziesiątków świec ustawionych w grupkach, w ładowni ujrzałam tylko jeden przedmiot: wielki tron z ciemnego, lśniącego drewna. Pokrywały go rzeźby, przedstawiające złowieszcze stwory

– smoki, węże, najróżniejsze potworności. Ale nikt na nim nie siedział; w ładowni nie było nikogo, a przynajmniej nikogo, kogo bym widziała. Włoski na karku zjeżyły mi się, miałam wrażenie, że ktoś mnie obserwuje. Mimo to podeszłam i zatrzymałam się naprzeciw pustego tronu.

Kto w ogóle mógłby siedzieć na czymś takim?

Nie wymówiłam głośno tych słów, lecz natychmiast uzyskałam odpowiedź.

– Twój bliski przyjaciel zasiadłby na tym tronie, gdyby tylko mógł, Alice. Ja jestem tym przyjacielem. Pewnego dnia z twoją pomocą być może tak się stanie.

Zdziwiłam się – nie miałam żadnych bliskich przyjaciół. Słowa dobiegały z oddali za tronem, głos był młody, należał do chłopca.

– Skąd znasz moje imię? – spytałam.

– Znam twoje imię, a także twe kłopoty, Alice. Wiem, że wbrew własnej woli służysz Elżbiecie od Kości i że obawiasz się, iż wkrótce może skrzywdzić kilkoro biednych, niewinnych dzieci.

Nigdy nie słyszałam, by ktoś ją tak nazywał, ale wiedziałam, że ma na myśli Kościstą Lizzie.

– Kim jesteś? I skąd tak wiele o mnie wiesz? – spytałam nerwowo.

Zauważyłam, że o ile płomyki świec na pokładzie nie poruszały się mimo burzy, tu, w idealnym bezruchu migotały szaleńczo, jakby szarpane wiatrem.

– Jestem niewidzialnym księciem tego świata. To mój obowiązek wiedzieć wszystko o moich poddanych. Mogę ci pomóc, Alice, wystarczy tylko poprosić.

– Gdzie jesteś teraz? Mogłabym cię zobaczyć?

– Jestem daleko, ale na moment możesz ujrzeć mój wizerunek. Popatrz dokładnie nad tron. Ale nie mrugaj – nie pozostanie tam długo!

Zgodnie z poleceniem skupiłam wzrok w miejscu tuż nad lśniącym, hebanowym tronem. Przez chwilę nic się nie działo, potem jednak powietrze zamigotało i przede mną pojawiła się

bezielesna twarz.

To była twarz chłopca, trzynasto– czternastoletniego – niewiele starszego ode mnie. Uśmiechał się szeroko. Głowę porastały mu gęste, złote kędziory, które lśniły w blasku świec. Miło się na niego patrzyło: widziałam wyraźnie, że wyrośnie na bardzo nadobnego młodziana. Co więcej, z jego twarzy promieniowały życzliwość i przyjaźń; miałam wrażenie, jakby naprawdę obchodziło go, co się ze mną stanie, jakby miał zrobić wszystko co w jego mocy, by mi pomóc. Nikomu dotąd na mnie nie zależało – może oprócz Agnes. Mama i tato traktowali mnie okrutnie, a Agnes rzadko widywałam, toteż jego spojrzenie rozgrzało mi serce. Czułam, że jeśli zostanie moim przyjacielem, moje życie ułoży się jak należy.

– Pomożesz mi, proszę? – usłyszałam własne słowa. Opuściły mnie wszelkie lęki i obawy, czułam się szczęśliwa i pewna, że jakoś wszystko się ułoży. – Chcę pomóc tym dzieciom. Szłam do stracharza Arkwrighta, chciałam zaprowadzić go do domu, gdzie więżą dzieci.

– Nie musisz tracić czasu, szukając pomocy u stracharza – odparł, a jego wizerunek zbladł i zniknął. – Wejrzyj wewnątrz siebie. Masz dość sił i mocy, by zrobić, co tylko zechcesz! Nie potrzebujesz nikogo prócz siebie!

Cofnęłam się myślą do Prób w Pendle, czasu, gdy przyszłe, młode czarownice poddaje się próbom, sprawdzając, jaką mają moc i jakim rodzajem magii winny się posługiwać. Moje okazały się przerażającym doświadczeniem i poszły bardzo źle. Ale dowiedziałam się z nich, że pewnego dnia mogę stać się bardzo potężna, a teraz znów to usłyszałam. Czyżbym zaczynała wierzyć?

– Co mogę zrobić w starciu z tak wieloma groźnymi wiedźmami? – spytałam. – Sama Lizzie wystarczy, by rozprawić się ze mną w ciągu paru sekund. Używa więcej zaklęć, niż ja kiedykolwiek poznałam. A ostre kły i szpony pozostałych? Jak mam im dorównać?

– Dorównać? Z łatwością możesz ją przewyższyć. Jak powiedziałem, moc kryje się w tobie. Poszukaj jej! Wejrzyj w



siebie! – kontynuował bezcielesny głos.

– Jak mam to zrobić? – spytałam.

– Zaczynj od zamknięcia oczu... – rzekł miękko.

Posłuchałam z ochotą. Czy nie byłoby cudownie być potężną i nie musieć przez całe życie się bać? Widziałam migoczące światełka, przenikające przez krew moich powiek.

– Odpręż się i odpłyn w dół – polecił głos. – Wejdz w ciemność głęboko w siebie.

Przez chwilę walczyłam z tym poleceniem, bo myśl o zagłębieniu się w ciemność mnie przerażała. Ale już się poruszałam: było za późno.

Z początku opadałam powoli, potem coraz szybciej i szybciej. Zostawiłam za sobą żołądek i runęłam w otchłań niczym kamień kopnięty w przepaść. Spodziewałam się straszliwego wstrząsu, kiedy osiągnę dno, umierałam ze strachu. Byłam kompletnie zagubiona. Zaraz umrę. Po co posłuchałam tego chłopaka?

Ale nie doszło do żadnego uderzenia czy wstrząsu. Zamiast tego odkryłam, że unoszę się w ciemności absolutnie spokojna, i nagle poczułam moc, o której mówił przystojny chłopak. Istotnie tkwiła we mnie, stanowiła część mnie; należała do mnie. To coś, z czym się urodziłam, choć do tej chwili nie miałam pojęcia, że dysponuję taką siłą. Podczas gdy wcześniej czułam się bezbronna, wystawiona na ciosy i ból z rąk innych, teraz nie wątpiłam, że mam dość sił, by odpowiedzieć ciosem.

– Widzisz? Nie potrzebujesz zaklęć, Alice, ale jeśli czujesz się z tym lepiej, możesz je wypowiadać. Wystarczy, byś skupiła umysł i przywołała swą wolę! Możesz zapragnąć, czego tylko chcesz. Powiedz to głośno: „Mam na imię Alice”, a potem bądź Alice. Wówczas nic nie zdoła ci się sprzeciwić. Teraz mi wierzysz?

– Tak! Tak, wierzę! – zawołałam i rzeczywiście, pokładałam absolutną wiarę w to, co obiecał głos. Kiedy przyrzekłam małej Emily, że nie dopuszczę, by spotkała ją krzywda, słowa same popłynęły z moich ust i naprawdę wierzyłam w to, co mówię. Może to dlatego, że gdzieś w głębi jakaś część mnie już wiedziała, że

dysponuję mocą, która to umożliwi?

– W takim razie odejdz w pokoju i zrób to, co musisz, by ocalić nieszczęsne dzieci. Pewnego dnia znów się spotkamy. Wówczas to ty będziesz mogła pomóc mnie.

W jednej sekundzie unosiłam się szczęśliwie w absolutnej ciemności, w następnej stałam na ścieżce holowniczej w deszczu, a niebo nad moją głową rozdzierały pioruny.

Barka zniknęła.

Bez chwili wahania, przepełniona straszliwą pewnością, że zdołam zainterweniować i ocalić dzieci przed czarownicami, ruszyłam na wschód, do domu Słonej Betsy.

Maszerowałam szybko – ale czy dotrę na czas?

## **ROZDZIAŁ 16**

### **TANIEC ŚMIERCI**

Już w połowie drogi cała ociekałam wodą, mokre włosy lepiły mi się do głowy, a szpiczaste trzewiki z mlaśnięciem zagłębiały się w trawie. A z każdym krokiem pewność i determinacja, które poczułam nad kanałem, opuszczały mnie powoli.

Teraz barka i jej niezwykły mieszkaniec zdawały się jedynie snem. Czy to się zdarzyło naprawdę? Jeśli tak, moja wcześniejsza wiara teraz zdawała mi się niemądra. Lizzie była potężną bezecną wiedźmą. Pomyślałam o larwiakach, które mogła przywołać z Mroku, by mnie dręczyć. Zwykle jedynie drapały mnie i skubały, ale zawsze istniała groźba, że zrobią coś gorszego. Raz jeden wcisnął mi się w lewą dziurkę od nosa. Gdybym nie zaczęła krzyczeć i błagać o litość, mógłby wpłynąć mi do mózgu i zacząć się posilać. Czy naprawdę mogłam sprzeciwić się Lizzie?

Nie widziałam gwiazd, nie umiałam zatem dokładnie ocenić czasu, ale musiała się zbliżać północ. Jeszcze przyspieszyłam kroku i w końcu puściłam się biegiem.

Gdzie był dom? Musiał stać blisko i nagle przypomniałam sobie, że nawet Lizzie miała poważne kłopoty z jego odnalezieniem, a przecież przyjrzała się horyzontowi, by zapamiętać jego położenie. Zrobiłam to samo, lecz za dnia: teraz była noc, a nisko wiszące chmury i deszcz przesłaniały wszystko. Co więcej, chroniąca go magia była bardzo silna.

Ogarnęła mnie rozpacz. Do tej pory czarownice mogły już zacząć zabijać dzieci. Gdzie był ten dom? Pokaż się!, pomyślałam rozpaczliwie. Pokaż się!

I nagle w blasku błyskawicy pojawił się dom.

Nie oznaczało to, że przypadkiem mi się poszczęściło i na oślep przeszłam przez osłonę. Deszcz i kiepska widoczność sprawiły, że jak łódeczka walcząca ze sztormem zboczyłam z kursu. Dom stał dwieście kroków po mojej lewej, właśnie miałam go wyminąć.

Czyżbym samą siłą woli w jakiś sposób przebiła się przez potężną magiczną osłonę? Czy zaczerpnęłam magię z głębi siebie, nie używając nawet zaklęcia, tak, jak mówił chłopak z barki?

Odwrociłam się i pobiegłam do domu. Może jednak się nie spóźniłam...? Ale co zrobię, kiedy już tam dotrę? Zabite okna sprawiały, że w domu zdawała się zalegać ciemność, stanowił jedynie zarys na tle chmur. Ale wiedziałam, że w piwnicy migoczące świece i pochodnie oświetlą scenę pełną grozy.

Błyskawica znów zajaśniała niemal dokładnie nad moją głową, ukazując powierzchnię stawu, wzburzoną w strugach deszczu, który bębnił o dach i kaskadami spływał z przepelnionych rynien.

Dotarłam do drzwi frontowych i nacisnęłam klamkę – poruszyła się, ale drzwi stawiały opór. Zamknięto je na klucz. Pochyliłam się, gotowa splunąć w zamek i użyć zaklęcia otwierającego. Lizzie opanowała je znakomicie, ja niezbyt dobrze, bo wcześniej go nie używałam. Potem jednak przypomniałam sobie, co mówił chłopak na barce:

„Widzisz? Nie potrzebujesz zaklęć, Alice, ale jeśli czujesz się z tym lepiej, możesz je wypowiadać. Wystarczy, byś skupiła umysł i przywołała swą wolę! Możesz zapragnąć, czego tylko chcesz.

Powiedz to głośno: „Mam na imię Alice”, a potem bądź Alice. Wówczas nic nie zdoła ci się sprzeciwić. Teraz mi wierzysz?”

Dom okazał się posłuszny moim słowom, wyprostowałam się zatem, spojrzałam i skupiłam wolę.

– Otwórz się! – poleciłam.

Rozległ się szcęk i powolny mojemu życzeniu zamek się otworzył. To mi się spodobało. Poczułam, że panuję nad sytuacją, uwierzyłam, że może mimo wszystko zdołam uratować dzieci.

Powoli uchyliłam drzwi i weszłam do środka, zamykając je cicho za sobą. Wewnątrz było ciemno, ale pamiętałam drogę do piwnicy. Oczekałam chwilę, po czym ruszyłam na dół. Na moment nowa fala zalewającego mnie strachu zwyciężyła w starciu z nagłym poczuciem, że kończy się czas.

Lecz dobiegające z dołu dźwięki popchnęły mnie do szybszego działania. Dzieci zawodziły ze strachu, jedno z nich krzychało, jakby lada moment miało stracić życie.

Dotarłszy do stóp kamiennych stopni, odczekałam sekundę czy dwie, ogarniając wzrokiem scenę przede mną. Wyglądało na to, że wodne wiedźmy postanowiły zacząć od wyssania krwi ze skeltów, by wzmocnić własną siłę. Siedmioro dzieci wciąż tkwiło w klatkach, zapewne wybrano je do odprawienia rytuału nad należącym do Jacoba Stone'a jajem. Sześcioro innych leżało już na ziemi przywiązanych do palików. Na moich oczach czarownica wypuściła z klatki skelta.

Część wodnych wiedźm zgromadziła się wokół przerażonych dzieci. Policzyłam je szybko, zapamiętując położenie każdej: było ich dwanaście, co oznaczało, że Lizzie to trzynasta członkini tymczasowego kręgu. Siedziała na stołku, przyciskając do łona skórzane jajo, jej twarz rozjaśniał pełen samozadowolenia uśmiech. Inne wiedźmy przyglądały się z wody, z wyraźnym upodobaniem. Część wynurzała się jak podniecone foki i znów nurkowała niemal bez rozbryzgu. Nikt nie patrzył w moją stronę.

Ale gdzie się podziewała Słona Betsy? Nie dostrzegłam ani śladu po niej.

Ogarnęłam wszystko szybkim spojrzeniem. Byłam skupiona i pobudzona. Tymczasem skelt ruszył ku jednemu z dzieci, podbiegł naprzód na segmentowatych nogach, poruszając nimi tak szybko, że ich kształt się rozmazał. Uniósł kościaną rurę, gotów wbić ją w szyję pierwszej krzyczącej ofiary.

Musiałam coś zrobić i to szybko...

\*

Przepelnia mnie wściekłość i odraza. Koncentruję się.

Wbijam wzrok w zbliżającego się stwora.

Każę mu odejść od dziecka, odpycham myślami. Odlatuje do tyłu, wysoko w powietrze, jakby pochwycony ręką niewidzialnego olbrzyma. Zawisa niemożliwie blisko sklepienia. Jakiś czas wisi tam, jakby czas się zatrzymał, a potem zostaje gwałtownie ciśnięty o przeciwległą ścianę piwnicy.

Głowa skelta pęka z donośnym trzaskiem, a jego zmiażdżone ciało spływa po ścianie, niczym rozgnieciony robak, pozostawiając oślizgły ślad krwi i mózgu, po czym z głośnym pluskiem wpada do wody i znika mi z oczu.

Na moment zapada cisza.

Dzieci przestają płakać: krzyki cichną.

Wszystkie czarownice obracają się ku mnie, na ich twarzach widzę nienawiść i gniew.

To Lizzie atakuje pierwsza, w prawej ręce ściskając jajo, biegnie ku mnie, wyciągając palce drugiej dłoni, jakby zamierzała wydrapać mi oczy.

Czekam spokojnie, oddychając powoli i głęboko.

Nie boję się.

Na imię mam Alice.

Odstępuję na bok i dłoń Lizzie mija mi twarz. Unoszę stopę. Lizzie potyka się, padając ciężko na błotnistą podłogę piwnicy, skórzane jajo wysuwa jej się z palców i odtacza na bok, na sam skraj wody.

Dzieci milczą.

Teraz to czarownice krzyczą. Wrzeszczą z furii. Patrzą z góry

na Lizzie rozciągniętą w błocie, spogląda na mnie z wściekłością, jej usta wykrzywia grymas. Wciąż mi zagraża i wkrótce będę musiała się z nią rozprawić.

Ale to wodne wiedźmy stanowią największe niebezpieczeństwo – oszalałe z furii pędzą ku mnie, szczerząc kły i rozcapierzając szpony. Dysponują niewiarygodną siłą – mogłyby powyrywać mi ręce i nogi, pożreć ciało, wychłptać krew i przeżuć kości na kawałki. Mogłyby. Ale do tego nie dopuszczę.

Nie mam własnych szponów. Moje zęby są zupełnie zwykłe. Nie zabrałam też żadnej klingi.

Mam tylko magię.

I wiele sposobów, by ją wykorzystać.

Życzę sobie przejąć umiejętności innej osoby – kogoś, kto poradziłby sobie lepiej z podobnym zagrożeniem.

Zsuwam szpiczaste trzewiki i chwytam je w dłonie, ich obcasy będą mi bronią. Potrzebuję tylko umiejętności. Przywołuję zatem magię i budzę ją w sobie. Wysilam wolę. Teraz dysponuję wrodzonym talentem i wyszkolonymi umiejętnościami największej z wojowniczek. Czuję, jak wlewają mi się w ciało.

Na imię mam Alice.

Pierwsza wodna wiedźma dobiega do mnie; odskakuję na bok i walę ją mocno obcasem szpiczastego trzewika. Pada na ziemię. Teraz na czole ma trzecie oko, czerwone, z którego ścieka krew.

Wiruję na palcach w tańcu Grimalkin, tańcu śmierci. Zadaję ciosy w lewo, w prawo, znów w lewo. Każde uderzenie trafia w cel, każdy cios powala wroga i chcę, by czuł przerażenie. Takie jest moje życzenie.

Wkrótce uciekają. Niektóre z pluskiem wskakują do wody i umykają w ten sposób, inne wdrapują się na schody.

Czuję się taka silna. Nie obawiam się nawet samej Morweny. Niech przyjdzie. Z nią także sobie poradzę! Ale Morwena się nie zjawia i czuję niemal zawód. Teraz pozostaje już tylko Lizzie.

Dźwiga się z ziemi, umazana błotem. Nadeszła chwila zapłaty.

Coś wewnątrz mnie chce ją zabić. To morderczyni, zabójczyni

niewinnych dzieci, bez niej świat byłby znacznie lepszy. Zbieram w sobie wolę, ale potem waham się. Nie mogę tego zrobić.

Należy do rodziny. Nie odbiorę jej życia.

I wtedy przypominam sobie, co mi robiła, i się uśmiecham.

Larwiaki! Wezwę je, by zadać jej ból!

Czy mogę to zrobić? Czy posłuchają mojego rozkazu? Czy moja magia jest aż tak silna?

Samą wolą przywołuję je z Mroku, wygłodniałe materializują się w naszym świecie.

Ciskam nimi w Lizzie.

Kiedy odchodzę z dziećmi, jest w poważnych tarapatach.

Krzyczy.

Jeden z larwiaków wciska jej się do ucha, Lizzie walczy rozpaczliwie, ale na próżno. Kolejny wkręca się w lewą dziurkę od nosa, ograniczam je zatem. Daję im pięć minut, potem larwiaki wrócą w Mrok.

Następnie zerkam w miejsce, gdzie jajo balansuje na skraju błotnistej posadzki. Ruszam ku niemu. Lecz wtedy dzieje się coś niezwykłego. Coś wynurza się z wody: coś długiego, wielosegmentowego.

Natychmiast to poznaję.

To przednia noga skelta. Jeden z nich musiał przyczaić się w wodzie. Noga sunie w stronę skórzanego jaja.

Ruszam naprzód, by je chwycić. Trzeba je ukryć w bezpiecznym miejscu, z dala od Lizzie.

Potem jednak zatrzymuję się i odpreżam.

Niech skelt je zabierze. Poza zasięgiem Lizzie będzie bezpieczniejsze.

Nagle przypominam sobie o wodnych wiedźmach, które wciąż mogłyby je odnaleźć i zabrać...

Zbyt długo czekałam.

Noga chwyta skórzane jajo i wciąga je pod powierzchnię niemal bezszelestnie. To dziwne zachowanie, jak na skelta. Po co mu jajo? Odrzucam tę myśl. Teraz muszę zaprowadzić dzieci do domów.

\*

Wychodząc z domu, zobaczyłam, że deszcz wciąż pada, ale dzieci zupełnie się tym nie przejęły. Gdy obejrzałam się na nie, większość gadała z podnieceniem między sobą, ciesząc się, że są wolne od czarownic i przerażających skeltów.

Niektóre trafią do domu do swych rodzin, inne do sierocińca. Zastanawiałam się, czy będą tam szczęśliwe.

A potem zobaczyłam Emily, dziewczynkę, której matkę zaatakowała Lizzie. Nie rozmawiała z nikim, postanowiłam więc wrócić, wziąć ją za rękę i poprosić, by poszła ze mną. Nagle jednak coś przyciągnęło moją uwagę.

Kiedy mijaliśmy staw, z cienia wyłoniła się postać i pobiegła ku mnie. Dzieci rozbiegły się, ja jednak zostałam w miejscu.

To była Betsy Gammon.

– Wszystko popsulaś, dziewczyno – wypluła te słowa z furją, świńskie oczka niemal wylazły jej z orbit. – Nie umiem władać magią i to była jedyna szansa, by zdobyć taką moc: moje dziewczyny chętnie by mi ją oddały. Pozbawiłaś mnie tego!

W prawej ręce trzymała długą, zakrzywioną klingę, nie wątpiłam, że zamierza mnie zabić. Lada moment miałam znaleźć się w zasięgu ciosu, w jej oczach dostrzegłam śmierć, toteż obroniłam się instynktownie. Z pomocą magii odepchnęłam ją od siebie.

Betsy poleciała w tył, w powietrze, koziółkując raz po raz i z donośnym pluskiem wylądowała w stawie.

W chwilę później wynurzyła się, rozpaczliwie chwytając oddech. Zaczęła mlócić rękami, jej twarz przepełniała panika.

Zrozumiałam, że nie umie pływać.

To dziwne, zważywszy, iż opiekowała się wodnymi wiedźmami, a teraz miała zginąć w ich naturalnym środowisku. Czułam się rozdarta. Mogłam znów użyć magii, by ją ocalić. Ale właściwie po co? By mogła znowu zorganizować swoje czarownice? Aby zginęły inne dzieci?

Rozdarta między działaniem i jego brakiem, nic nie zrobiłam.



Patrzyliśmy w milczeniu z brzegu, a tymczasem Betsy szamotała się i w końcu utonęła.

## ROZDZIAŁ 17

### TY GŁUPIA

Po śmierci Betsy Gammon odprowadziłam dzieci do domów.

Gdy zbliżyliśmy się do pierwszej wioski, zobaczyłam mężczyzn maszerujących z pochodniami w dłoniach. Niektórzy mieli też pałki, jeden, zapewne były żołnierz, miał miecz. Bez wątpienia kogoś szukali.

Nie chciałam zanadto się zbliżyć – dzięki szpiczastym trzewikom rozpoznałiby we mnie czarownicę i mogliby uznać, że brałam udział w porwaniach, co, jak przyznałam w duchu z ukłuciem winy, nie odbiegało od prawdy.

– To mój tato i wujek! – zawołał jeden z chłopców, jego twarz rozjaśnił uśmiech.

– Idźcie do nich – poleciłam innym dzieciom. – Zaprowadzą was do domów.

Niektóre z zapalem pobiegły ku odległym postaciom, inne maszerowały ze znacznie mniejszym entuzjazmem. Położyłam dłoń na ramieniu Emily.

– Ty chodź ze mną – dodałam miękko. – Sama odprowadzę cię do domu.

Dziewczynka radośnie posłuchała. Wzięłam ją za rękę i okrążając szerokim łukiem wieś, skierowałyśmy się w stronę wioski, z której porwała ją Lizzie.

Gdy zbliżyłyśmy się do domu Emily, zauważyłam ciemne okna. Nie wyglądało to obiecująco. Oczywiście, jej mama mogła dołączyć do grupy poszukiwawczej albo zatrzymać się u przyjaciół lub rodziny. Potem jednak zrobiło się jeszcze gorzej, bo drzwi frontowe nie były zamknięte na klucz.

Uchyliłam je ostrożnie i powoli wspierałam się na schody; Emily dreptała tuż za mną. Żadna z nas się nie odzywała, lecz dziewczynka rozplakała się cicho. Obie lękałyśmy się najgorszego.

Kiedy stanęłyśmy w drzwiach ciemnej sypialni, usłyszałam czyjś oddech. Dźwięk był ostry, sugerował, że słuchamy kogoś walczącego o to, by rozpaczliwie wciągnąć w płuca powietrze. Sięgnęłam do kieszeni, wyciągnęłam z niej ogarek świeczki, który zawsze nosiłam przy sobie. Wiedziona nawykiem, wymamrotałam zaklęcie, choć już w trakcie, zorientowałam się, że słowa nie są potrzebne. Świeca rozbłysła.

Matka Emily klęczała na czworakach, patrząc na nas, w jej oczach nie dostrzegłam niczego, co świadczyłoby, że rozpoznała własną córkę. Próbowła coś powiedzieć, lecz z jej ust dobył się wyłącznie bełkot.

Potem próbowała wstać i natychmiast z powrotem opadła na ręce i kolana. Emily przykucnęła obok, zarzucając ramiona na szyję matki.

– Och mamciu, mamciu! – zawołała. – Nie poznajesz mnie? To ja, twoja córka Emily. Możesz mówić?

Nieszczęsna jedynie jęknęła i wywróciła oczami. Całkiem możliwe, że umierała. Niektóre czarownice wierzą, że mocny cios w głowę sprawia, iż mózg zaczyna puchnąć, aż w końcu czaszka staje się dla niego za ciasna i wycieka uszami i nosem. Z całą pewnością istniało zaklęcie, które do tego doprowadzało.

Możliwe też, że mimo uszkodzeń mózgu biedaczka przeżyje, nie będąc w stanie ani mówić, ani nawet rozpoznać własnej córki.

Zastanawiałam się, czy zdołałabym jej pomóc, czy moja magia jest dość silna, by ją uleczyć? Nie byłam pewna, czy cokolwiek poradzę. Mroczna magia nadaje się do walki z wrogiem i wymuszania posłuszeństwa innych. Potrafi zabijać, kaleczyć i przerażać, ale niezbyt dobrze sprawdza się w uzdrawianiu. Niektórzy wierzą, iż uzdrowicielki posługują się łagodniejszą, dobroczynną magią.

Moja była zapewne nieodpowiednia, ale musiałam spróbować.

– Odsuń się, Emily – poleciłam cicho. – Zobaczę, czy uda mi się w jakiś sposób pomóc twojej mamci.

Dziewczynka posłuchała, a ja uklękłam obok jej matki, przykładając jej prawą dłoń do głowy. Kobieta jedynie patrzyła na mnie okrągłymi oczami, oszołomiona. Zażyczyłam sobie, by poczuła się lepiej. Z całych sił pchnęłam to życzenie w jej stronę. Przez parę sekund nic się nie działo, potem poczułam niewiarygodne ciepło, spływające mi po ręce do jej głowy.

Wyraz oczu kobiety zmienił się. Spojrzała na mnie gniewnie i odepchnęła moją rękę. Podniosła się z ziemi, szukając wzrokiem córki.

– Emily! – zawołała. – Myślałam, że już nigdy cię nie zobaczę!

Podbiegła do niej i wybuchnęła płaczem. Wkrótce płakały już obie, i najwyraźniej o mnie zapomniały. Wymknęłam się z pokoju, zbiegłam po schodach i odeszłam.

\*

Kiedy maszerowałam w stronę Pendle, powracałam myślami do tego, co właśnie zrobiłam. Uleczyłam matkę Emily, zatem moja magia mogła czynić też dobro... Może istniała dla mnie nadzieja?

Szłam dalej jak we śnie.

Szłam? Niemal frunęłam, mknąc bez wysiłku do Pendle.

Gdy się zbliżałam, krzaki rozstępowały się, wiszące nisko gałęzie unosiły, by zrobić mi miejsce, a za mną trzepotały motyle.

Przeszłam nawet środkiem wioski w blasku dnia, postukując o bruk szpiczastymi trzewikami. Życzyłam sobie, by ludzie mnie nie widzieli i natychmiast stałam się dla nich niewidzialna. Na rynku odbywał się targ, poczęstowałam się owocem na oczach kramarza, niczego nie zauważył, a rumiane jabłko okazało się jednym z najśłodszych i najbardziej soczystych, jakich skosztowałam. Albo może sposób, w jaki je zdobyłam, sprawił, że tak cudownie smakowało!

W pewnym momencie, gdy okrążałam od południa wielkie, wyniosłe wzgórze, rozpadał się deszcz, prawdziwa ulewa, przygniatająca do ziemi pszenicę na polach i sprawiająca, że po

zboczu ściekały strumienie deszczówki. Ale ani kropla mnie nie tknęła. Żadna nie spadła mi na głowę, buty miałam suche, jakby pod nogami wciąż rozciągała się pylista droga.

Moją głowę przepelniała muzyka – chór niewidzialnych gwiazd, śpiewających w harmonii tylko dla mnie – i pochłaniało mnie niewiarygodne, radosne podniecenie. Byłam silniejsza od nich wszystkich. Uwolniłam się od Lizzie. Mogłam robić, co tylko zechcę. Byłam potężna, silna i niezwyciężona. Nikt mnie nie tknie.

Nawet Lizzie. Nawet Grimalkin.

\*

Gdy dotarłam do wsi Roughlee, zapadł już zmrok. Po zadrzewionym zboczu wspierałam się szybko do domku Agnes Sowerbutts. Byłam tam szczęśliwa. I znów będę.

Czy po wszystkim, co przeszłam, nie zasłużyłam sobie na trochę szczęścia?

W oknie na lewo od frontowych drzwi jaśniało światło. Miałyśmy tajny sygnał, używałam go, by dać jej znać, że się zbliżam. To był krzyk ptaka trupiarza, lekko zmieniony, tak by Agnes wiedziała, że to ja, a nie przypadkowy nocny drapieżca.

Ale tym razem go nie użyłam, zażyczyłam sobie po prostu, by Agnes wiedziała, że tu jestem. I zadziałało! Drzwi domku otwarły się szeroko, zobaczyłam ją stojącą w progu.

Podeszłam prosto do niej, uśmiechając się szeroko. Nie odpowiedziała uśmiechem.

Zamiast tego bardzo mocno uderzyła mnie w twarz.

– Ty głupia! – krzyknęła gniewnie.

## **ROZDZIAŁ 18**

### **MRO CZNY KSIĘŻYC**

– O co chodzi, Agnes? Co zrobiłam nie tak? Powinnaś się ucieszyć!

Do oczu napłynęły mi łzy. Nie sprawił tego ból, owszem, uderzenie zabolalo, ale znacznie gorszy był wyraz, z jakim Agnes na mnie patrzyła.

Złapała mnie za ramię i zaciągnęła do środka, zatraskując za nami drzwi.

– Żadna czarownica nie używa tak otwarcie swojej mocy, bo ta ją pochłonie. W dodatku tak wiele mocy! Czuję jej smród, parujący na twojej skórze! Opowiedz mi o wszystkim ze szczegółami! – poleciła gwałtownie. – Coś się stało, coś bardzo ważnego. Opowiadaj! Niczego przede mną nie ukrywaj!

Usiadłam zatem na taborecie w kuchni, naprzeciw Agnes i opowiedziałam jej o wszystkim, co tylko pamiętałam: o skórzanym jaju, spotkaniu z Betsy Gammon, wodnych wiedźmach i porwaniu dzieci przeznaczonych na ofiarę. Potem opowiedziałam jej, jak postanowiłam uciec z domu.

– Bardzo się bałam, ale wiedziałam, że muszę coś zrobić. Byłam tak zrozpaczona, że zdecydowałam się zwrócić o pomoc do miejscowego stracharza. Ale wtedy zaczęło grzmieć i błyskać, rozpadało się i musiałam gdzieś się schronić. Zobaczyłam przed sobą światło, myślałam, że to farma. Kiedy dotarłam bliżej, przekonałam się, że to dziwna, czarna barka na kanale, światło rzucały świece na jej pokładzie. Deszcz powinien był je zgasić, ale wciąż się paliły...

Potem opowiedziałam jej, jak weszłam na pokład barki i pokonawszy zbyt wiele schodów, ujrzałam wielki tron i rozmawiałam z tajemniczym flisakiem.

– Jak on wyglądał? – wtrąciła ostro Agnes. – Opowiedz mi o nim.

– No, z początku był niewidzialny. Mówił, że nie może zjawić się osobiście, ale pewnego dnia z moją pomocą zdoła zasiąść na tym tronie. Na parę sekund pojawił się nad nim, był niewiele starszy ode mnie, miał uśmiechniętą twarz i złote włosy. Ale naprawdę poruszyło mnie to, jak się zachowywał. Traktował mnie życzliwie i przyjaźnie i patrzył, jakby naprawdę mu na mnie zależało,

niewielu ludzi tak na mnie patrzyło. Mówił, że mam w sobie moc i nie potrzebuję stracharza, żeby pomóc tym dzieciom – sama mogę to zrobić.

– Czy powiedział ci, kim jest, Alice? Podał ci imię?

Pokręciłam głową.

– Mówił, że jest jednym z niewidzialnych książąt tego świata.

– Ty głupia! Jeśli się nie mylę, to był Zły we własnej osobie – Agnes pokręciła głową.

Spojrzałam na nią zdumiona.

– Niemożliwe! Zły jest stary i brzydki, ma podstępna twarz i zakrzywione rogi! Wszyscy to wiedzą!

– Nie, dziewczyno, to nie do końca prawda. Zły może stawać się duży bądź mały i kiedy zechce, odmieniać swoją postać. W mgnieniu oka mógł stać się przystojnym, złotowłosym chłopcem i wielu przekonało się o tym, drogo płacąc za to odkrycie.

– Ale po co Zły miałby chcieć, żebym uratowała te dzieci? Pochodzi przecież z Mroku, a pomógł mi walczyć z Mrokiem. Czemu miałby to robić? To nielogiczne.

– Ależ tak, to bardzo logiczne, jeśli się nad tym zastanowisz. Dostrzegł twój żal i wyrzuty sumienia z powodu tego, w czym uczestniczyłaś. Wyczuł pragnienie naprawy wszystkiego i dał ci to, czego potrzebowałaś. Dziecko, on musi bardzo cię potrzebować...

– Co to znaczy potrzebować?

– Chce dostać twoją duszę, dziecko – wyjaśniła Agnes. – Chce, byś się z nim sprzymierzyła, chce, abyś stanęła u jego boku w walce ze Światłem. Niektóre czarownice są względnie słabe, mogą jedynie zakląć brodawkę albo zatruć nieprzyjaciela. Inne mają moc, którą szlifują przez całe życie, należy do nich Lizzie. Ciężko pracuje, aby stać się jeszcze potężniejsza, z każdym rokiem życia jej moc rośnie. Jednak nieliczne czarownice, bardzo rzadko, przychodzą na świat z ogromną wewnętrzną mocą, rodzą się już bardzo silne. To właśnie ty, Alice, zawsze o tym wiedziałam. A Zły chce użyć twojej mocy do swych celów. To dlatego pragnęłam zająć się tobą i cię wychować. Chciałam trzymać cię z daleka od

czarownic, które przebudzą w tobie mroczne zdolności. Lecz Lizzie cię zabrała..i spójrz do czego doszło! Posłuchaj mnie. Nie możesz używać tej mocy, dla nikogo ani niczego, bo cię zniszczy. Pochodzi z samego jądra Mroku i jeśli będziesz po nią sięgać wedle woli, pochwyci cię i odbierze ci duszę. Pokaż mi swoje znamię – poleciła Agnes.

– Jakie znamię? – spytałam.

– Nie próbuj niczego przede mną ukrywać, dziecko. Pokaż mi tajne znamię, które świadczy o twoim potencjale.

Zaczęłam się trząść. Wiedziałam, o co jej chodzi, ale nie chciałam nawet o tym myśleć. W Pendle każda dziewczynka z potencjałem zostania czarownicą ma podobne znamię. To znak tego, czym może się stać.

– Gdzie ono jest, dziecko?

Podciągnęłam spódnicę nad kolano, ukazując ciemną plamę po zewnętrznej stronie lewego uda. Kiedy ostatnio na nią patrzyłam, miała kształt wąskiego półksiężyca.

– Czy urosło? – spytała Agnes.

– Odrobinę – przyznałam; teraz zdecydowanie wydawało się grubsze.

– Za każdym razem, gdy użyjesz magii – oznajmiła Agnes – znamię będzie się powiększać. Magia Mroku wywiera wpływ, a jej skutki pozostają w jej użytkowniku. W końcu sierp zamieni się w cały mroczny księżyc, a wówczas staniesz się własnością Mroku. Twoja dusza stwardnieje, opuści cię wszelkie ludzkie współczucie. Rozumiesz, co do ciebie mówię?

– Ale co mogę zrobić, ciociu? – zawołałam. – Co mam zrobić?

– Przeżyć, Alice, to wszystko, co możesz zrobić. To wszystko, co każdy z nas może. Ale nie wolno ci używać tej mocy – a z pewnością nie tak, jak to właśnie uczyniłaś. Musisz ją ograniczać, a najlepiej w ogóle po nią nie sięgać.

– Ale Lizzie zechce się zemścić za to, co z nią zrobiłam!

– A co zrobiłaś? – spytała Agnes.

Wtedy opowiedziałam jej, jak uratowałam dzieci, jak zabiłam

część wodnych wiedźm, a resztę przepędziłam i jak utopiłam Betsy Gammon.

– A co z Lizzie? Po tym wszystkim nie pozwoliłaby ci ot tak odejść. Co z nią zrobiłaś? – spytała Agnes.

– Odpląciłam za to, co często robiła mnie – odparłam. – Przywołałam tuzin larwiaków i napuściłam je na nią. Wcale jej się to nie spodobało, o nie. Z pewnością zechce się zemścić. Wodne wiedźmy także będą pragnęły zemsty, a bez magii nie zdołam się obronić. Nim upłynie tydzień, niechybnie zginę.

Agnes ukryła twarz w dłoniach, długą chwilę nie odzywała się, potem jednak spojrzała na mnie.

– Owszem, grozi ci ogromne niebezpieczeństwo. Nic na to nie poradzisz – mimo moich obaw będziesz musiała po raz ostatni użyć cząstki swojej mocy. Ale pamiętaj, tylko odrobinę. Zapragnij oszołomić Lizzie i oślizgłe siostry, tak żeby zapomniały o odegranej przez ciebie roli. Niech w ogóle zapomną o istnieniu jaja! To duże ryzyko, bo nie powinnaś w ogóle używać więcej swojej magii, ale nie widzę innego sposobu. Ja nie jestem dość silna, aby cię przed nią ochronić. Wróć zatem do Lizzie i na razie ucz się u niej dalej. Może to nie potrwa wiecznie. Czasami nasze życie zmienia się, kiedy najmniej tego oczekujemy. Może pewnego dnia uwolnisz się od niej.

Zrobiłam, jak radziła Agnes, i jeszcze raz posłużyłam się swoją mocą. Następnego dnia z nieszczęśliwą miną podreptałam do domku Lizzie.

Lizzie sprawiała wrażenie oszołomionej, całymi dniami krążyła wokół jak we śnie, potem wróciła do siebie i znów zaczęła uprzykrzać mi życie. Ale udało się – nigdy więcej nie wspomniała o skórzanym jajku ani wodnych wiedźmach, zupełnie jakby to się nie wydarzyło.

Nadal szkoliła mnie na czarownicę, lecz zawsze ukrywałam przed nią, do czego naprawdę jestem zdolna. Wiedziałam, że Agnes ma rację. To Zły przemówił do mnie owej nocy, budząc uśpione moce. Gdybym wciąż z nich korzystała, w końcu by mnie dostał.



Moje serce stwardniałoby i stałabym się złą istotą, pozbawioną ludzkich uczuć. Nie mogłam pozwolić, by do tego doszło.

Okazało się, że Agnes miała też rację pod innym względem: moje życie z Lizzie dobiegło końca w chwili, gdy najmniej się tego spodziewałam. Zaprowadziła nas do Chipenden, zamierzając uwolnić Mateczkę Malkin z dołu w ogrodzie stracharza, a potem go zabić.

Tyle że rzeczy nie potoczyły się zgodnie z planem. To wtedy po raz pierwszy spotkałam Thomasa Warda, ucznia starego Gregory'ego, i moje życie odmieniło się na zawsze. To jako przyjaciółka ucznia stracharza spędziłam najszcześniejsze chwile.

## **ROZDZIAŁ 19**

### **STARA NIEPRZYJACIÓŁKA**

Wszystko to wydarzyło się kilka lat wcześniej. Teraz jednak w Mroku, gdy patrzyłam na Betsy Gammon, zdawało się, że minął zaledwie dzień.

Uśmiechnęła się złośliwie ze swego fotela, stojącego w mokrej piwnicy. Po prawej miała głęboki, brudny staw, w którym zapewne czaiły się wodne wiedźmy.

– Nie spodziewałaś się znów stanąć ze mną oko w oko, co, dziewczyno?

Odwróciłam się do Thorne, zdrajczynie, pełna gorzkich słów, ale ona już zniknęła. Usłyszałam tupot jej szpiczastych trzewików na schodach.

– To smutne, kiedy ludzie cię zawodzą, prawda? – spytała Betsy, wstając i postępując krok ku mnie. – Ale każdy ma swoją cenę, a Thorne nie stanowi wyjątku.

Wpatrywałam się w nią zraniona. Sądziłam, że Thorne to moja przyjaciółka. Jak dziewczyna walcząca u boku Grimalkin mogła tak bardzo się zmienić? Wiedźma zabójczynie tak ją wychwalała.

– Wiesz, jaka to cena? – spytała Betsy.

Nie odpowiedziałam. Rozwazyłam wszystkie możliwości. Największą szansę dawała ucieczka po schodach, ale bez wątpienia ktoś czy coś już tam czekało, gotowe mnie powstrzymać.

– Czarownica może urodzić się ponownie. Wiedziałaś o tym, dziewczyno?

– Niektórzy w to wierzą, ale nigdy nie spotkałam wiedźmy, która twierdziła, że to jej drugie życie – odparłam.

– Och, to bardzo rzadkie – podjęła Betsy. – Wymaga mnóstwa mocy, o tak. Przynajmniej dwóch starych bogów musi połączyć siły, by to osiągnąć. Potrzeba też specjalnych umiejętności, aby wyczuć położenie żywego człowieka, który wkroczył w Mrok. Najlepiej potrafi to Morwena, najpotężniejsza z wodnych wiedźm. Gdy tylko zorientowała się, że powróciłaś w Mrok, zabrała się do pracy. Przynęła Thorne drugą szansę życia na ziemi w zamian za doprowadzenie cię tutaj. Thorne bardzo pragnęła możliwości udowodnienia, że jest najpotężniejszą z czarownic zabójczyń – większą nawet od jej mistrzyni, Grimalkin. Szansa dokonania tego to jej nagroda. Morwena umieściła ją na twojej drodze i kazała czekać. Poszłaś za nią bez cienia namysłu, a ona przyprowadziła cię do nas jak jagnię na rzeź!

I znów nie skomentowałam. Zamierzałam przecież spytać Thorne, skąd wiedziała, gdzie mnie znaleźć, ale jakoś nigdy do tego nie doszło. Teraz wiedziałam. Agnes miała rację: byłam głupia.

– Dla ciebie to już koniec, dziewczyno, w żaden sposób nie zdołasz się uratować. Władasz potężną magią, ale tym razem to ci nie pomoże. Bo widzisz, mroczna magia nie działa w bazylice i jej okolicach, to strefa zakazana. Poza tym nas jest wiele, a ty tylko jedna!

Betsy wsunęła do ust dwa palce i zagwizdała przeciągle. W odpowiedzi natychmiast z wody wyskoczyło tuzin czarownic; niektóre wczółgały się na zabłoconą ziemię, inne wyprysnęły jak łososie i wylądowały na szponiastych, błoniastych stopach, ociekając wodą. Wszystkie wpatrywały się we mnie zgłodniałymi

oczami.

Wodne wiedźmy zazwyczaj zaczynają od utopienia ofiary. Wciągają ją do wody, a kiedy tonie, wysysają im krew – tak szybko, że serce staje, nim jeszcze nieszczęśnik się utopi.

Mogły też po prostu rozszarpać mnie na strzępy. Tak czy inaczej, spodziewałam się, że pójdzie szybko. Może Betsy skłamała co do magii? Nie chciałam, by moje życie się tu skończyło: musiałam znaleźć sztylet. Musieliśmy zabić Złego.

Wysiliłam zatem wolę. Nic.

Brak odpowiedzi.

Magia naprawdę tu nie działała.

Nie zdołałam zdobyć sztyletu, którego potrzebował Tom. Teraz Zły zatryumfuje, a mój najlepszy przyjaciel także zginie. Całe nasze wysiłki na nic. Przepelniła mnie złość.

Jeśli to ma być mój koniec, przynajmniej jeszcze raz zranię Betsy.

Kopnęłam mocno i czubek mojego trzewika zagłębił się w jej tłusty brzuch. Ze świstem wypuściła z siebie powietrze, zgięła się w pół i padła na kolana.

Wtedy jednak chwyciły mnie liczne szponiaste dłonie i pociągnęły w stronę wody. Szarpałam się, ale wlokły mnie z ogromną siłą i było ich całe mnóstwo. Tuż przy twarzy widziałam ostre kły, cuchnący oddech wypełnił mi nozdrza. A potem woda zamknęła mi się nad głową i poczułam, jak ciągną mnie w dół. Wszystko działo się tak szybko, że nie zdążyłam zaczerpnąć powietrza i gdy tak tonęłam coraz prędzej, woda wpłynęła mi do nosa i otwartych ust, dławiałam się, tonęłam, rozpaczliwie pragnąc powietrza.

Szarpałam się, ale nie mogłam się wyrwać z bezlitosnego uchwytu przeciwniczek. Po jakimś czasie wszystko wokół pociemniało i poczułam, że opuszcza mnie świadomość. Słyszałam tylko głucho bicie własnego serca, coraz wolniejsze i słabsze – może wysysały ze mnie krew? Jeśli tak, nie towarzyszył temu żaden ból prócz tego w piersi – rozpaczliwego pragnienia złapania oddechu.

Potem nastąpiła nicość. Absolutna nicość.

Kiedy się ocknęłam, tkwiłam na czworakach na błotnistym brzegu i wymiotowałam.

– Podobało ci się, dziewczyno? – spytała szyderczo Betsy, znów siedząca w fotelu. Po obu moich bokach wodne wiedźmy ścisnęły mi ramiona szponiastymi dłońmi. – Teraz wiesz, jak to jest utonąć, wiesz, co czułam, kiedy mi to zrobiłaś. Ale to jeszcze nie koniec! Gdy tylko złapiesz oddech, zaczniesz się od nowa. Zaplanowałam dla ciebie bardzo powolną i bolesną śmierć!

Faktycznie dotrzymała słowa: po minucie wiedźmy znów wciągnęły mnie do wody. Teraz były już tylko dwie, ale nawet z jedną bym sobie nie poradziła.

Tym razem zdołałam najpierw odetchnąć głęboko, to jednak tylko opóźniło agonię. Ponownie ciśnienie w płucach wzrosło tak bardzo, że musiałam wypuścić powietrze i wkrótce woda wpłynęła mi do nosa i gardła.

Usłyszałam ryk w uszach, spowiła mnie ciemność, a potem znów znalazłam się na kolanach, rozpaczliwie chwytając powietrze i rzygając wodą.

Straciłam rachubę, więc nie wiem, ile razy powtarzały cały proces. Za każdym razem Betsy szydziła ze mnie i napawała się zemstą ze swego fotela, a ja boleśnie dochodziłam do siebie.

Wszystko jednak musi się kiedyś skończyć.

Po raz kolejny uniosłam głowę, czując, jak z nosa i ust płynie mi woda, i próbując pierwszy raz boleśnie odetchnąć, gdy zorientowałam się, że tym razem zły los spotkał Betsy.

Siedziała bezwładnie w fotelu, w jej gardle tkwił wbity po rękojeść sztylet. Na moich oczach jej ciało zaczęło się rozpadać, głowa odpadła i ześlizgnęła się między kolanami. Jak przez mgłę pamiętam, że zastanawiałam się, czy tak właśnie zwykle się dzieje, kiedy umieramy po raz drugi.

W chwilę później poznałam odpowiedź.

Szponiaste dłonie nie ścisnęły mi już ramion, dwie wodne wiedźmy leżały obok na zabłoconej posadzce piwnicy. U obu między

łopatkami tkwił nóż, ich ciała także zaczynały się rozpadać.

Ktoś chwycił mnie za rękę i postawił szarpnięciem. Stałam naprzeciw Thorne i gniewnie próbowałam ją odepchnąć, byłam jednak za słaba, wciąż walczyłam o oddech.

– Chodź! Szybko! – krzyknęła mi w twarz. – W każdej chwili może zjawić się Morwena!

Powlokła mnie po schodach i wciągnęła na górę, byłam zbyt słaba, by stawić opór.

Przecięłyśmy sień i wyszłyśmy frontowymi drzwiami. Potykając się, chwiejnym krokiem szłam po błocie z Thorne. W końcu przykucnęłyśmy w cieniu kamiennego muru, w miejscu, gdzie nie docierał blask krwawego księżyca.

– Przepraszam – Thorne zniżyła głos do szeptu.

Już miałam jej nagadać, ale żołądek ścisnął mi się gwałtownie, wszystko zaczęło wirować i runęłam na bok, wymiotując w trawę.

W końcu złapałam powietrze i wówczas dałam ujście wściekłości.

– Ty przepraszasz? Przepraszasz? Niby za co – za to, że mnie zdradziłaś i posłałaś na śmierć? Przepraszasz, że nie pozwoliłaś mi zdobyć sztyletu i zniszczyć Złego? A jak myślisz, kogo zaatakuje pierwszego? Ja nie mam wątpliwości! Grimalkin, ze względu na to, co zrobiła. Pięknie odpłacasz komuś, kto cię wyszkolił! Grimalkin nie spodobałoby się to, co zrobiłaś! Za życia byłaś odważna, miała nadzieję, że po śmierci taka pozostaniesz. Tak właśnie powiedziała. Ale ty nie byłaś wcale dzielna: okazałaś się tchórzem, nie mogłaś znieść trwania w Mroku, gotowa zrobić wszystko, by zyskać szansę drugiego życia!

Thorne milczała, jedynie pochyliła głowę, wbijając wzrok w ziemię.

Po jakimś czasie mój gniew zaczął słabnąć.

– Dlaczego wróciłaś? – spytałam.

– Jeszcze nim dotarłam na szczyt schodów – odparła, nie patrząc na mnie – pożałowałam tego, co zrobiłam. Do tej pory wszystko wydawało się nierzeczywiste. A potem usłyszałam, co się

działo w dole. Na ziemi utopiłaś Betsy, lecz jej śmierć to nic w porównaniu z tym, czego miałaś doświadczyć. Po jakimś czasie nie mogłam tego znieść, przyszłam więc cię uratować.

– Co teraz? – spytałam.

– Pomogę ci zdobyć sztylet.

– Lepiej mi będzie samej – odparowałam. – Po tym wszystkim jak mogę ci zaufać? Czy po wyjściu z piwnicy rozmawiałaś jeszcze z kimś? Powiedziałaś im, czemu tu jestem, że muszę dotrzeć do królestwa Złego?

To było najważniejsze. Jeśli wiedzieli, czego chcę i dokąd zmierzam, z pewnością będą tam na mnie czekać.

– Nie, Alice. Nie miałam czasu. Nadal nie wiedzą... Więc zastanów się, proszę. Ze mną masz większe szanse niż sama. Potrzebujemy siebie nawzajem. Po tym, co właśnie zrobiłam, mnie także będą ścigać, bez wątpienia zaplanują dla mnie straszliwą drugą śmierć. Jesteś coraz bliżej miejsca, do którego chcesz dotrzeć. Krainy się przemieszczają, ale ponoć królestwo Złego zawsze pozostaje blisko tej bazyliki, w której oddają mu cześć. Istnieje spora szansa, że brama nas tam zawiedzie. Proszę, zaufaj mi znowu. Pozwól sobie pomóc.

Zastanowiłam się głęboko. W jej słowach dostrzegłam prawdę, rzeczywiście po mnie wróciła.

– Muszę się dostać do bazyliki i uniknąć pułapki, którą zastawili – poinformowałam Thorne. – Muszę dotrzeć do bramy. Pomożesz mi?

– Wewnątrz bazyliki będziemy musiały zaufać własnemu szczęściu. Sama nigdy tam nie byłam, a brama mogła zatrzymać się wszędzie – będziemy musiały jej poszukać. Możliwe jednak, że zdołam przemycić nas niepostrzeżenie do środka. Znam kogoś, kto może pomóc – naprawdę pomóc. Ale będziesz musiała tu poczekać. Sama załatwię to sprawniej i szybciej.

– Ile to potrwa?

– Tyle, ile trzeba. Po prostu zaczekaj.

To rzekłszy, Thorne zniknęła i zostałam sama w cieniu muru,

dygocząc w mokrym ubraniu.

## ROZDZIAŁ 20

### SZEROKO OTWARTA PASZCZA

Trudno mi było ocenić upływ czasu – miałam wrażenie, że kuciałam tak mokra i zmarznięta co najmniej godzinę lub dłużej.

Zaczynałam się już zastanawiać, czy Thorne kiedykolwiek wróci. Może znów zmieniła zdanie i ponownie sprzymierzyła się z nieprzyjacielem? A może ją złapali?

Nie mogłam czekać zbyt długo, bo w żaden sposób nie potrafiłam określić, jak wiele czasu upłynęło na ziemi – możliwe, że zbliżało się już Święto Zmarłych. Wkrótce będę musiała spróbować sama znaleźć drogę do bazyliki.

W końcu jednak Thorne się zjawiała i bez słowa wyjaśnienia pokiwała palcem na znak, że powinnam pójść za nią.

Trzymając się bocznych alejek, podeszliśmy do bazyliki, zataczając powolną spiralę w lewo. Dotarliśmy do niej z boku, między nami i wysokim murem rozciągał się duży brukowany dziedziniec, liczący około stu kroków szerokości. Nie wiedziałam, czy stoi na północ, wschód, zachód czy południe od nas – nie dało się tego stwierdzić w krainie, w której krwawy księżyc pozostawał nieruchomy w tym samym miejscu.

Thorne zatrzymała się i gdy przykucnęliśmy, pokazała ręką.

– Widzisz trzecie drzwi od lewej?

Policzyłam szybko, w sumie drzwi było pięcioro, różnych rozmiarów i kształtów. Trzecie, owalne, okazały się najmniejsze z nich wszystkich. Pokiwałam głową.

– To najlepsza droga do środka. Powiedziano mi, że zazwyczaj nikt jej nie pilnuje – wyjaśniła Thorne.

– Ufasz ludziom, z którymi rozmawiałaś? – zainteresowałam się.

– Tak jak komuś, kto jakiś czas przebywał w Mroku. Im dłużej tu jesteś, tym większa ogarnia cię rozpacz. Rozmawiałam z grupą ludzi, niektórym wierzę bardziej niż innym, ale wszyscy zgodzili się, że to najlepsze drzwi.

Jej słowa nie dodały mi otuchy, ale musiałam zaryzykować. Znów przytaknęłam i Thorne, wskazując drzwi, przycisnęła palec do ust, po czym natychmiast ruszyła naprzód. Podążyłam tuż za nią.

Znajdowałyśmy się niecałe pięćdziesiąt kroków od drzwi, które nam wskazano, gdy usłyszałam dźwięk dzwonu: ten, który przywoływał wybranych na rzeź w bazylice, a potem ogłaszał porę odbierania krwi. Teraz groziło nam natychmiastowe niebezpieczeństwo.

Po trzynastym uderzeniu straszliwego dzwonu coś w górze wrzasnęło. Natychmiast rozpoznałam ten głos – okrutny krzyk chajka. W dodatku nie był sam, inne także mknęły ku nam, co najmniej tuzin nietoperzowatych stworów wyciągających szponiaste ręce, by rozszarpać nasze ciała. Ich oczy żarzyły się czerwonym blaskiem niczym węgle. Ostatnio oceniałam, że stwór jest mniej więcej rozmiarów człowieka, te jednak wydawały się jeszcze większe.

Thorne dobyła noży, ja jednak w ogóle nie miałam broni, a jak niedawno boleśnie odkryłam, w pobliżu bazyliki nie działała magia. I tak postanowiłam spróbować – wycelowałam myślami w najbliższego chajka, używając zaklęcia odpychania. Nie zadziało: stwór wciąż szybował ku mnie, z otwartej paszczy ściekała ślina.

Puściłyśmy się biegiem w stronę schronienia, ciemnego owalu drzwi.

Chajk zaatakował, nurkując ku nam, odskoczyłam i przeturlałam się po ziemi, wcześniej jednak poczułam ostry ból czoła. Kiedy się podniosłam, do oczu płynęła mi krew, ale Thorne wróciła, stała nade mną i mimo bólu, który musiała czuć w dłoniach, dwiema klingami próbowała przepędzić napastnika.

Rozejrzałam się szybko dokoła i ogarnęła mnie prawdziwa



groza. Ze wszystkich stron mknęły ku nam inne chajki – zbyt wiele, by Thorne zdołała pokonać je sama. Zaraz rozszarpią nas na kawałki.

Podniosłam się chwiejnie, unosząc wysoko ręce, by osłonić twarz. Spodziewałam się poczuć ból, ale nie. Zamiast tego szpony celujące w moją twarz zniknęły. Uniosłam głowę i przekonałam się, że chajki uciekają przed inną skrzydlatą istotą. Jeden spóźnił się i wrzeszcząc w panice, dał się doścignąć. Prześladowca błyskawicznie rozdarł go na pół, krwawe strzępy ciała runęły na kamienne płyty.

Na widok zabójcy skręcającego prosto ku nam zacisnął mi się żołądek. Reszta chajków uciekła. Czyżbyśmy miały stać się nową ofiarą? Potem jednak rozpoznałam drapieżnika.

– To Wynde, lamia, która zginęła pod murami Wieży Malkinów – oznajmiła Thorne. – Była naszą przyjaciółką za życia i pozostała po śmierci.

Grimalkin opowiadała, jak patrzyła z umocnień wieży, nie mogąc pomóc, gdy krecz zabijał Wynde. Pożarł jej serce, tym samym odsyłając ją prosto w Mrok. Lecz lamia walczyła dzielnie i inni musieli pomóc kreczowi ją pokonać – wśród nich mroczny mag Bowker i trzy czarownice, które przebiły ją nożami na długich tyczkach. Później Grimalkin zabiła ich wszystkich.

Wynde wylądowała obok nas.

– Po co ty, która wciąż żyjesz i oddychasz, wkroczyłaś w Mrok? – spytała ostro. – Dlaczego tak wiele ryzykujesz?

Jej głos brzmiał gardłowo, z trudem rozumiałam słowa. Czasami, gdy lamia przechodzi proces przemiany w swą dziką postać, tymczasowo w ogóle traci zdolność mowy. W ostatecznej, skrzydlatej postaci zazwyczaj mowa powraca, nadal jednak ciężko jest ją zrozumieć.

– Przybyłam, by zdobyć coś, co pomoże zniszczyć Złego. Gdzieś wewnątrz bazyliki kryje się brama, którą muszę dotrzeć do jego krainy – wyjaśniłam. – Jest tam coś niezbędnego, co muszę odnaleźć.

– Za tymi drzwiami czekają wrogowie – wychrypiała.

Thorne skrzywiła się.

– Znów zostałam zdradzona, Alice, lecz tym razem to nie moja sprawka, przysięgam. Przyjaciele, o których mówiłam, to czarownice; czasami zajmowały się mną po tym, jak pobił mnie mój okrutny ojciec. Miałam nadzieję, że można im zaufać. Przepraszam, znów cię zawiodłam.

– Staralaś się najlepiej, jak umiałaś, Thorne – odparłam.

– Istnieje inne wejście, wysoko na dachu – oznajmiła Wynde. – Zaniosę was tam. Którą najpierw?

– Idź pierwsza! – poleciła Thorne. – Nie masz broni.

Uznałam, że szkoda czasu na spory. Wynde zatrzepotała skrzydłami i zawisa przede mną, jej pokryte łuskami kolana unosiły się naprzeciw mojej twarzy.

– Złap mnie za nogi! – rozkazała.

Ledwie zdołałam uchwycić je jak należy, gdy wzleciała w górę. Ziemia oddalała się przerażająco szybko. W chwilę później Wynde mknęła już w stronę ciemnego masywu bazyliki. Patrzyłam w tył i pierwszym znakiem, że nad nią jesteśmy, była mijana wieża: koniuszek skrzydła lamii niemal musnął kamienne ściany. Potem złożyła skrzydła blisko ciała i runęła w dół niczym kamień. Sapnęłam; miałam wrażenie, że mój żołądek został gdzieś w powietrzu.

Dach pędził nam na spotkanie, lecz w ostatniej chwili Wynde rozłożyła skrzydła i moje stopy dotknęły dachówek. Zwolniłam uchwyt na jej nogach i lamia znów odleciała, zawracając po Thorne.

Rozejrzałam się szybko: stałam zwrócona plecami do olbrzymiej podpory, wspierającej kwadratową wieżę. Przede mną ciągnęła się wąska ścieżka, prowadząca między dwoma ukośnymi dachami do ściany, w której osadzono wąskie drzwi. Czy to właśnie było wejście do bazyliki? Teraz ludzie z ziemi nas nie widzieli, ale ktoś mógł zauważyć nasz lot z lamią. Możliwe, że inni w budynku biegli już nam na spotkanie. Musiałyśmy działać szybko.

Czekałam niecierpliwie, aż lamia przyniesie do mnie Thorne. Czemu to trwało tak długo? Na moment strach powrócił? Co, jeśli tymczasem moją towarzyszkę zaatakowały chajki? Jak długo mogła odpierać równie groźne stado?

A potem usłyszałam trzepot skrzydeł i westchnęłam z ulgi, gdy Wynde posadziła Thorne obok mnie. Wisząc nad nami, skrzydlata lamia wskazała szponiastą dłońią drzwi.

– To jest wejście – potwierdziła. – Możliwe, że wewnątrz znajdują się inni, którzy zechcą wam pomóc, ale nie mam pewności, czy zdołają się do was przebić.

– Dziękujemy ci za pomoc – powiedziałam.

– Podziękujesz mi, znajdując to, czego szukasz. Podziękujesz mi, na zawsze pozbywając się Złego! – zawołała, a potem wyprysnęła w górę, okrążyła wieżę i zniknęła nam z oczu.

Nie tracąc czasu, pospieszyliśmy do drzwi. Nie zauważyłam żadnej klamki.

Co, jeśli są zamknięte? – spytałam w duchu. W tym miejscu zaklęcie otwierające nie zadziała.

Ale nie musiałam się martwić, bo drzwi ustąpiły pod naciskiem mojej dłoni i otwały się do wewnątrz na skrzypiących zawiasach. W środku było ciemno – sięgnęłam po świeczkę z kieszeni, lecz gdy ją wyjęłam, przypomniałam sobie, że bez magii nie zdołam zapalić światła. Thorne wzruszyła ramionami i powoli przekroczyła próg, wyciągając przed sobą rękę. Dotykała muru, wymacując sobie drogę w ciemności.

– To mi wygląda na spiralne schody – oznajmiła niewiele głośniejszym głosem. – Skręcają w lewo, poszukaj poręczy z prawej.

Wsunęłam świeczkę do kieszeni i ostrożnie przeszłam przez otwarte drzwi. Sunąc dłońią po poręczy, pewniejszym krokiem zaczęłam schodzić z kamiennych schodów, podążając po spirali. Z obu stron otoczona zimnymi, kamiennymi ścianami, czułam, jak ciasnota mnie przytłacza. W żaden sposób nie mogłyśmy powstrzymać naszych szpiczastych trzewików od stukania na kamieniach, toteż miałam nadzieję, że na dole nikt na nas nie

czeka: z pewnością odgłos kroków uprzedziłby ich o naszym przybyciu.

Musiałymy pokonać co najmniej paręset stopni, gdy zauważyłam żółte migotliwe światło w dole, pozwalające mi dostrzec sylwetkę Thorne. Od ciągłych skrętów w lewo kręciło mi się w głowie, miałam też wrażenie, że robi się coraz cieplej, co nie pomagało.

W końcu dotarliśmy na wąską półkę. Kiedy spojrzałam poza nią, zawroty głowy jeszcze się pogłębiły i o mało nie upadłam. Przestrzeń, w którą spoglądałam, była olbrzymia, ziemia leżała daleko w dole. Przypominało to gigantyczną pieczarę i pierwsze, co pomyślałam, to to, że od wewnątrz bazylika jest jakimś cudem większa niż z zewnątrz. Potem przypomniałam sobie dom, w którym Betsy Gammon opiekowała się wodnymi wiedźmami i pojęłam, iż efekt ten uzyskano w podobny sposób. Najniższy poziom bazyliki wykopano pod ziemią, jej posadzka leżała znacznie niżej niż poziom gruntu.

W dole nic się nie poruszało, ale widziałam kilka struktur. Czy to ołtarze starych bogów z Mroku?

– No to gdzie jest brama? – spytałam i natychmiast pojęłam, że popełniłam błąd: choć zniżyłam głos, olbrzymia pustka bazyliki wzmocniła go, tak że odbił się echem od ścian.

Czyżbym dodatkowo zaalarmowała czekających nieprzyjaciół?

W odpowiedzi na moje pytanie Thorne ostrzegawczym gestem przyłożyła palec do ust i pokazała w dół. Ale jak miałyśmy się tam dostać? Wąska półka nie opadała, biegła wzdłuż ściany na tej samej wysokości. Jednak Thorne ruszyła naprzód, stawiając powolne, ostrożne kroki. Wbijałam wzrok w jej prawe ramię, to bliższe ściany, nie wążąc spojrzeć w przerażającą otchłań. Za nią dostrzegłam łuk w murze; gdy Thorne pochyliła głowę i skręciła pod niego, zrobiłam to samo. Wąskie stopnie wiodły w dół, w ciemność. Powoli rozszerzały się, a wilgotne ściany napierały z obu stron.

I znów nawiedziła mnie myśl, że ktoś albo coś będzie na nas

czekać na dole. Czy to możliwe, by znali każdy nasz ruch? Ponownie odniosłam wrażenie, że ktoś mnie obserwuje, tym razem było jeszcze silniejsze.

Przed nami widziałam migoczące światło. W dole leżała bazylika, w ściennych lichtarzach płonęły świece.

– Zbliżamy się do bramy – wyszeptała Thorne. – Ale jeśli jest tam, na dole, to nasi wrogowie także. Oni nią kierują.

Wciąż szła naprzód, lecz zwalniała kroku. Nagle zatrzymała się całkowicie.

– Zawracaj! – krzyknęła, obracając się ku mnie i gestykułując szaleńczo. – To zasadzka! Widzę czekających w dole wrogów!

Było już jednak za późno. Za naszymi plecami na schodach załomotały ciężkie buciory. Nie miałam pojęcia kto to, ale wiedziałam, że i butów, i wrogów jest za dużo. Byłyśmy w pułapce.

Thorne dobyła noży i pobiegła schodami do ogromnej sali. Ja pędziłam tuż za nią. Gdy znalazłyśmy się na równym gruncie, stanęłam u jej prawego boku, Wpatrując się w nieprzyjaciół czekających w małym, pozbawionym okien pomieszczeniu, w którym się znalazłyśmy.

Było ich troje.

Dwie kobiety odziane w stroje czarownic z Pendle, obszarpane czarne suknie i szpiczaste trzewiki. Trzecią okazał się pomiot o zbyt wielu zębach, by pomieścić się w ustach.

Stałam naprzeciw trójki dawnych wrogów: Kościstej Lizzie, Mateczki Malkin i Kła.

## **ROZDZIAŁ 21**

### **NOWE NIEBEZPIECZEŃSTWO**

Powinnam była przewidzieć, że co najmniej jeden z przeciwników, których pokonałam na ziemi, będzie czekał w bazylice, by się zemścić.

Kieł, pomiot, zginął z dłoni starego Gregory'ego, stracharza z Chipenden. Wkrótce potem Tom Ward solą i żelazem osłabił Mateczkę Malkin; rozpaczliwie próbując uciec, wpadła do zagrody świń na rodzinnej farmie Wardów. Zgłodniałe świnie pożarły ją całą, łącznie z sercem, na zawsze odsyłając w Mrok.

Była bardzo mała: sól i żelazo Toma Warda sprawiły, że skurczyła się do jednej trzeciej poprzednich rozmiarów. Teraz, po śmierci, została uwięziona w tej postaci, nadal jednak pozostawała niewiarygodnie niebezpieczna.

Kościstą Lizzie John Gregory uwięził w jamie aż do czasu, gdy do Hrabstwa dotarła wojna i czarownice z Pendle ją uwolniły. Do ostatniego starcia między nami doszło na wyspie Monie, gdzie wraz z Tomem ścigaliśmy ją, aż spadła z urwiska do morza. Zabita została przez słoną wodę, a ryby pożarły jej serce. Została uwięziona w Mroku, desperacko pragnąc zemsty.

– Cóż, córko – powiedziała z szyderczym uśmiechem. – W końcu mam okazję odplacić ci pięknym za nadobne. Teraz to ty będziesz cierpieć.

Stara Mateczka Malkin ruszyła ku nam, szurając nogami; widziałam jej długie siwe włosy, polepione brudem. W tym miejscu magia nie działała, ale ta zgarbiona stara wiedźma była kiedyś najpotężniejsza w całym Hrabstwie i w jej pomarszczonym ciele wciąż pozostała straszliwa, nieludzka siła. Choć ledwie sięgała mi do kolan, wyciągała ku mnie szpony, w czerwonych oczach płonęła żądza krwi.

Cofnęłam się o krok; Thorne wystąpiła naprzód.

– Spójrzcie tylko, co przywłókł tu kot! – wykrzyknęła Lizzie. – Morwienie nie spodoba się to, jak złamałaś warunki umowy. Nie będzie zachwycona – tym razem obetnie ci nie tylko kciuki!

Thorne nie traciła sił na odpowiedzi, nawet nie spojrzała na Lizzie. W jej dłoni zalśniła klinga, cięła poziomo Mateczkę Malkin, otwierając w jej pomarszczonym czole szerokie, czerwone usta.

Stara wiedźma wrzasnęła i cofnęła się chwiejnie, krew z ran wpływała jej do oczu, oślepiając. Ja także zaatakowałam,

uderzyłam Lizzie lewą ręką, paznokciami o włos chybiając jej oczu.

Nim jednak zdołałam zrobić cokolwiek więcej, pochwycił mnie Kiel. Złapał mnie od tyłu i uniósł, tak że zawisłam w powietrzu. Kopnęłam go w kolana obcasami szpiczastych trzewików, zaczął jednak mnie ścisnąć tak, że ledwo mogłam oddychać.

Coraz mocniej i mocniej zacieśniał uchwyt, aż w końcu miałam wrażenie, że zaraz pękną mi żebra. Nie mogłam dłużej wciągnąć w płuca powietrza, on mnie zabijał. Liczyłam tylko na to, że Thorne w jakiś sposób zainterweniuje i go powali.

– Puść ją, puść ją! – krzyknęła.

– W takim razie rzuć noże! – wrzasnęła Lizzie.

Świat przed moimi oczami zdążył już pociemnieć, usłyszałam jednak brzęk kling na kamieniach, towarzyszyły mu inne odgłosy, tupot nowych, ciężkich butów na schodach i w pokoju za nami.

To był koniec, teraz już nigdy nie zdobędę sztyletu. Stracimy szansę zniszczenia Złego.

\*

Kiedy znów się ocknęłam, leżałam na brzuchu na zimnej, kamiennej posadzce. Gdzieś za mną przemówił kobiecy głos.

– Obudziła się. Teraz ją nauczę, co znaczy cierpienie. Poczułam nagły ostry ból w żebrach – wiedziałam, że to kopniak wymierzony szpiczastym trzewikiem. Rozpoznałam też głos, kopnęła mnie Koścista Lizzie – moja własna matka.

Zwinęłam się w kłębek, próbując się chronić, ale czyjaś ręka chwyciła mnie za włosy i uniosła brutalnie. Oczy Lizzie spoglądały prosto w moje, sprawiała wrażenie oszalałej z furii.

– Teraz dostaniesz za swoje, dziewczyno! – wrzasnęła, obryzgując mnie śliną.

Omów nie wyrywając mi włosów z korzeniami, obróciła mnie tak, że znów padłam w ramiona Kła. Ten ryknął szeroko, otwierając usta, jego gorący, cuchnący oddech owiał mi twarz, tak że zaczęłam wymiotować. Żółte kły niemal dotykały moich policzków, a w ustach miał ich znacznie więcej – dwa podwójne rzędy.

Przez chwilę myślałam, że odgryzie mi nos albo oderwie kawał ciała od twarzy. Zamiast tego jednak uśmiechnął się złowrogo, postawił mnie na ziemi i obrócił, tak że ujrzałam ciemne drzwi naprzeciw stopni. Gdy obejrzałam się na czarownice odkryłam, że Lizzie w obu dłoniach trzyma klingi, unosząc je ku mnie.

To były te same noże, którymi władała Thorne. Zabójczynię trzymało paru potężnych mężczyzn ścigających nas po schodach. Inni stali za nią – w sumie może tuzin, wydało mi się, że w paru rozpoznaję pachołków służących Lizzie na wyspie Mona, gdzie próbowała zostać królową.

Przez sekundę popatrzyłam w oczy Thorne. Choć się nie odezwała, zrozumiałam, że jeszcze nie wszystko stracone. Oddała swoje klingi i poddała się, by uratować mi życie. W przeciwnym razie zginęłabym – Kieł zmiażdżyłby mi żebra i wycisnął z ciała życie. Rozbroili ją, nie widziałam w pochwach, wiszących na przecinających jej ciało skórzanych pasach, ani jednej rękojeści.

Widziałam jednak, że broń Thorne to idealny duplikat uzbrojenia Grimalkin: tuż pod lewą pachą miała małą pochewkę, a w niej coś jeszcze – nożyczki, którymi odcinała kciuki zabitych czarownic.

Gdyby nie groźba zabicia mnie przez Kłā wciąż by walczyła i wiedziałam, że przy pierwszej nadarzającej się sposobności znów zacznę walczyć.

Thorne mówiła, iż brama może kryć się gdzieś w tym pomieszczeniu. Rozejrzałam się szybko, ale niczego nie zauważyłam. Jak w ogóle wyglądała? Bramy przybierają różne kształty, ci, którzy nad nimi panują, mogą nimi manipulować.

– Tędy! – warknęła Lizzie, popychając mnie w stronę drzwi.

Po chwili znalazłam się w innym pomieszczeniu, to było długie i wąskie, jednocześnie w jednym szeregu mogło w nim iść najwyżej troje ludzi. Posadzkę wyłożono krwistoczerwonym kobiercem. Szłam dokładnie przed Lizzie, Kłem i Mateczką Malkin, starając się nie okazywać strachu.

Wciąż mnie popychali, kłuli nożami, kierując w stronę



pogrążonej w cieniu wnęki na przeciwległym końcu pomieszczenia. Gdy się do niej zbliżyliśmy, najpierw uznałam, że stoi tam tron. Potem jednak ujrzałam zakapturzoną postać, siedzącą na prostym, drewnianym krześle z wysokim oparciem. Nieznajomy, odziany w szatę i kaptur, mógł z łatwością zostać wzięty za stracharza. Po obu jego stronach ustawiono wielkie kubły, nie musiałam nawet zaglądać, by pojąć, co zawierają: świadczył o tym smród.

Był to charakterystyczny, metaliczny zapach. Oba kubły wypełniała krew.

Rozejrzałam się szybko, wiedząc, że wszystkie oczy patrzą teraz na kuszącą krew w wiadrach – walutę Mroku. Lecz moją uwagę przyciągała zakapturzona postać.

Powoli uniosła głowę i ujrzałam złote oczy lśniące w mroku kaptura. Były olbrzymie, co najmniej pięć, sześć razy większe niż zwykłe, ludzkie.

Jaki dokładnie za stwór tam siedział – kolejny pomiot, jak Kieł?

Bardzo powoli istota uniosła lewą rękę do twarzy, palce miała długie i kościste, zdawało się, iż porasta je krótka, czarna szczecina. Odsunęły kaptur, ukazując to, co kryło się w cieniu.

Co za twarz! Co za potworna, straszna twarz! Oczy miała fasetkowe, wybałuszone i olbrzymie, w każdym odbijał się obraz przerażonej dziewczyny. Potrzebowałam paru chwil, by pojąć, że przyglądam się dziesiątkom własnych odbić.

Głowa należała do gigantycznej muchy porośniętej czarnym włosiem, o długim, ruchliwym języku. Zdawało się, iż przybywa wprost z moich najgorszych koszmarów.

Znów przypomniałam sobie dzień, gdy wyruszyliśmy zabić starego stracharza, Jacoba Stone'a. Lizzie odgryzła głowy trzynastu szczurom i zwabiła rój wielkich czarnych much, by zyskać dość magii, aby móc odsunąć dwa wielkie głązy i uwolnić martwe wiedźmy. Lizzie mówiła wtedy, że źródłem jej mocy jest mroczny adiutant zasiadający po lewicy Złego. A teraz, po śmierci, najwyraźniej stała się jego uczennicą i służką Mroku.

Miałam przed sobą demona Belzebuba, czasem zwanego Władcą

Much.

– I co, dziewczyno? – warknęła Lizzie za moimi plecami. – Zawsze bałaś się much, ale nic, co oglądałaś na ziemi, nie może się z tym równać. Dostaniesz dokładnie to, na co zasłużyłaś! Teraz pamiętam, jak pozbawiłaś mnie mocy zamkniętej w skórzanym jaju. Cóż, nadszedł czas, by odpłacić ci za wszystko.

Język demona z szelestem wysuwał się i wsuwał do ust, wydając niezwykle, zgrzytliwy, wibrujący dźwięk. Czyżby Belzebub próbował coś do mnie powiedzieć?

W chwilę później pojęłam, że był to w istocie przekaz – ale nie skierowany do mnie.

To był rozkaz.

Władca Much wezwał do siebie swoich poddanych. Zaczęło się od słabego brzęczenia, które narastało powoli. Nagle wokół głowy zaczęła krążyć mi mucha – wielka, mięsna, rozmiarów trzmiela. Szybko dołączyło do niej parę kolejnych i następne. Dopiero gdy zebrał się ich ponad tuzin, ujrzałam, skąd właściwie pochodzą.

Wylatywały z otwartych ust Belzebuba równym szeregiem, przyspieszając coraz bardziej i bardziej, rojąc się wokół mej głowy. Krzyknęłam ze strachu, pamiętna tego, jak w ogrodzie Jacoba Stone'a obsiadły twarz Lizzie, przesłaniając każdy jej skrawek, lądując nawet na języku. Na myśl, że coś takiego mogłoby spotkać i mnie ogarnęła mnie klaustrofobiczna panika. Lecz muchy szybko odleciały i opadły dwiema chmurami na kubły z krwią po obu stronach demona.

Kolejne wciąż wypadały z owej upiornej paszczy, mijając długi, szorstki język i dołączając do żywej, falującej góry much: ciemnej, pulsującej pokrywy na obu wiadrach krwi.

W chwilę później dwa roje wzleciały i połączyły się w jedną wielką chmurę niecały łokieć od mojej twarzy. Ich brzęk zamienił się w ryk. Spróbowałam się cofnąć i natychmiast poczułam dwie ostre klingi kłujące plecy.

Ciemna chmura powoli zbijała się w nierówny owal, a potem w owym prostym jaju zaczęły tworzyć się bardziej złożone struktury.

Z początku myślałam, że tylko to sobie wyobrażam, często widuję podobne obrazy w chmurach, a nawet w liściach na krzakach i drzewach. Jeśli dostatecznie się skupić, wszędzie widać twarze.

Wiedziałam jednak, że to nie moja wyobraźnia. Rój przybrał kształt olbrzymiego oblicza o haczykowatym nosie, wyłupiastych oczach i wielkich, szerokich ustach ukazujących rzędy ostrych zębów. A potem doszło coś jeszcze strasznego.

Muchy spijały krew w kubłów, niektóre musiały przy tym zanurzyć się pod ciężarem innych, napierających z góry. Teraz te muchy, pokryte krwią, ułożyły się w wargi i zęby wielkiej twarzy.

Nagle poczułam słaby smród gnijących jajek. Gdzieś w pobliżu musiała otwierać się brama. Rozejrzałam się szybko, szukając błysku purpury, niczego jednak nie dostrzegłam.

Usta poruszyły się i brzęk uległ zmianie, stał się głębszy.

Przemawiał do mnie.

– Jesteś córką mojego mistrza! – wykrzyknął brzęczący, ochrypły głos. – Dlaczego go zdradziłaś? Mogłaś mieć tak wiele, czemu zwróciłaś się przeciw niemu? Moc była twoja, wystarczyło tylko poprosić.

Pokręciłam głową.

– Niczego od niego nie chciałam – odparłam. – Lepiej mi się było nie urodzić niż mieć go za ojca, a tę paskudną wiedźmę z tyłu za matkę.

Opowiedział mi kopniak Lizzie, zagryzłam jednak wargę, by nie krzyknąć z bólu. Nie chciałam przecież dać jej satysfakcji, prawda?

– Czemu tu jesteś ? – spytały olbrzymie usta. – Po co wtargnęłaś w Mrok?

Dotąd sądziłam, że mimo swojego okaleczenia Zły w jakiś sposób zdołał odkryć moje zamiary i przekazać je swoim sługom. Możliwe jednak, że mamie Toma udało się ukryć swój plan zarówno przed nim, jak i sługami Mroku. Nie wiedzieli, że zamierzamy go zniszczyć, odprawiając rytuał. Mama Toma raz już go spętała, a on porwał klingę i zabrał ze sobą. Jeśli nawet jednak nie mieli pojęcia, że przybyłam tu po sztylet – trzeci z mieczy

bohaterów, Posepny – możliwe, że wkrótce się domyślą. Ja z całą pewnością nie zamierzałam niczego zdradzać.

Nie chciałam przecież, żeby czekali na mnie w sali tronowej Złego, kiedy już tam dotrę.

Wciąż pozostawała nadzieja. Thorne miała nożyczki – ale czy nadarzy się okazja, by mogła ich użyć? Czy też zabiją nas obie tu i teraz?

Ja też czekałam na okazję. Owszem, nie mogłam tu używać swej magii, ale nie zamierzałam poddać się bez walki.

## **ROZDZIAŁ 22**

### **KOŚCI BELZEBUBA**

– Nie każ mu czekać na odpowiedź! – wrzasnęła mi do ucha Lizzie. – Nie uwierzyłabyś, do czego jest zdolny!

– Dam ci jeszcze jedną okazję do odpowiedzi – oznajmiły usta, otwierając się i zamykając, z much wybrzękujących każde słowo skapywała krew. – Znam twój tajemny strach. Milcz dalej, a zaraz cię spotka!

Mój tajemny strach! Co miał na myśli Belzebub? Wielu rzeczy się bałam: że nie zdołam odnaleźć sztyletu; że wrócę za późno na odprawienie rytuału; że coś złego spotka Toma; że Grimalkin nie uda się ochronić głowy i Zły znów powróci na ziemię; że zabraknie mi odwagi, bym milczała, gdy Tom będzie odcinał mi kości; że pewnego dnia porazi mnie piorun; że...

I nagle zorientowałam się, co miał na myśli demon. W mojej głowie powstało wspomnienie, od którego zadrżałam. Ponownie ujrzałam Lizzie w ogrodzie Jacoba Stone'a i muchy pełzające jej po twarzy.

Tego właśnie bałam się tu i teraz i Belzebub o tym wiedział! Robali. Oprócz pajaków najbardziej przerażały mnie roje much; nie mogłam znieść myśli, że miałyby mi łązić po skórze.

– Nic mu nie mów! – krzyknęła Thorne. Zerknęłam w miejsce, gdzie stała, wciąż przytrzymywana przez dwóch brutalni.

Skinęłam głowę. Miała rację. Nie mogłam im powiedzieć, po co przybyłam w Mrok.

– Niechaj i tak będzie! – oznajmiły usta i zamknęły się natychmiast. Rysy rozplynęły się z powrotem w prosty owal, który je zrodził. A potem rój much wzleciał wysoko i pomknął ku mnie.

Zaczęłam wymachiwać rękami, próbując je odpędzić, okazało się to jednak beznadziejne. Równie dobrze mogłabym oganiać się od gradu igłą do cerowania. Po sekundzie muchy obsiadły mi całą głowę i twarz, zakryły oczy, więc nic nie widziałam. Brzęczały w ustach i w nosie, czułam, jak głowa pochyla mi się pod ich ciężarem. Zatkaly mi nos i nie mogłam oddychać... Wpadłam w panikę. Pozostało już tylko jedno, coś, czego rozpaczliwie pragnęłam uniknąć.

Musiałam otworzyć usta, by wciągnąć w płuca haust cennego powietrza.

Ale jeśli to zrobię, muchy dostaną się do środka. Sięgnęłam do nosa i rozgniotłam tyle, ile zdołałam, czując, jak zamieniają się w ohydny śluz pod moimi zrozpaczonymi palcami. Ścisnęłam nozdrza i kichnięciem wyrzuciłam muchy, ale zyskałam niecałą sekundę ulgi, a potem znów zaczęły wpełzać mi do obu dziurek. Silne dłonie chwyciły mnie za ręce i odciągnęły palce od twarzy, tak że nie mogłam zyskać ani chwili oddechu. Trzymałam się najdłużej, jak mogłam, płuca pękały mi z wysiłku, a ja walczyłam z paniką na myśl o tłustych, wielkich muchach, łażących mi po twarzy i wplątujących się we włosy.

W końcu nie miałam wyboru. Otworzyłam usta i odetchnęłam głęboko.

A wraz z powietrzem do środka wtargnęły muchy. Usiłowałam je wypluć, ale było ich zbyt wiele, roiły mi się na języku, zrobiło mi się niedobrze, gdy wcisnęły mi się do gardła. W chwilę później je także zatkały. Osunęłam się na kolana, dławiąc się, i zwymiotowałam. To dało mi kolejną sekundę ulgi, jeden szybki

haust powietrza, nim znów wypełniły mi usta i gardło.

Obce dłonie wciąż mocno ścisnęły mi przeguby, wykręcając ręce za plecy. Gruba warstwa much pokrywała oczy, nie mogłam oddychać, pogrążałam się w ciemności, powoli umierałam.

I nagle ciężar przygniatający moją głowę zniknął i zobaczyłam migotliwy, żółty blask pochodni. Rój wzbił się w górę i znów zebrał, tworząc gigantyczną twarz. Wyplułam z ust resztki much i uniosłam wzrok.

Kącikiem oka widziałam stojącego za plecami Kła – trzymał mnie za ręce tak mocno, że miałam wrażenie, iż miażdży kości. Lizzie stała teraz po prawej stronie, jej twarz rozjaśnił tryumfalny uśmiech.

– Nigdy nie lubiłaś much, co, dziewczyno? – rzuciła. – Ale one wyraźnie cię lubią: wciąż nie mają dosyć.

Wielkie usta otworzyły się i zabrzmiały słowa:

– Mów. Powiedz mi to, co chcę usłyszeć.

Pokręciłam głową, wyzywająco patrząc na rój.

– Jesteś odważna i potrafisz znieść ciężkie próby – oznajmiły usta. – Ale dostrzegam w tobie inną słabość. Inny lęk. Nie pozwolisz, by coś złego spotkało przyjaciela, jeśli możesz go ocalić. Przeprowadźcie tu drugą dziewczynę!

Lizzie odstąpiła na bok, pozwalając mężczyznom powlec Thorne naprzód.

– Tym razem nie ustąpię, póki nie powiesz mi tego, co chcę wiedzieć. A jeśli odmówisz, ta, która jest twoją przyjaciółką, zginie drugą śmiercią.

Twarz znów zamieniła się w ciemne jajo i uniosła do sklepienia, tworząc gniewny, rozbrzęczany rój gotów opaść na Thorne.

Pokonał mnie; będę musiała powiedzieć demonowi prawdę.

Byłyśmy więźniarkami i niewielką miałyśmy nadzieję, że osiągniemy swój cel. Owa resztką nadziei opierała się wyłącznie na Thorne i na tym, że nadarzy jej się okazja by nas uwolnić, z pomocą jedynej pozostałej broni – nożyczek.

Nie zdołałaby tego zrobić, gdybym pozwoliła, aby muchy ją

zadusiły. Jakie zatem ma znaczenie, że dowiedzą się, iż przybyłam po sztylet?

Otworzyłam oczy, zamierzając wyjawić Belzebubowi to, czego żądał...

Lecz w tej samej sekundzie Thorne wyrwała się prześladowcom. Stało się to bardzo szybko. Wyszarpnęła nożyczki z pochwy, lecz zamiast zaatakować nimi mężczyzn, pomknęła wprost ku krzesłu, na którym siedział Belzebub.

Był demonem, ale mógł manipulować muchami tylko dlatego, że stanowiły część niego, część jego istoty: coś jak dodatkowe członki, cząsteczki ciała, którymi kierował jego umysł. Wszędzie poza bazyliką natychmiast powaliłby Thorne swą potężną magią, cisnął nią na drugi koniec sali albo spopielił w miejscu. Tu jednak nie działała nawet jego demoniczna magia.

Thorne była szybka i kompletnie zaskoczyła Belzebuba. W ostatniej chwili, błyskawicznie wsuwając i wysuwając język, zerwał się z krzesła i usiłował odparować atak lewą dłonią.

To był błąd. Zapewne największy, jaki popełnił w ciągu niezliczonych eonów spędzonych w Mroku.

Nigdy dotąd nie spotkał człowieka tak odważnego, szybkiego i śmiertcionośnie groźnego jak Thorne. Uczyła się u Grimalkin. Myślała jak Grimalkin. Walczyła jak Grimalkin.

I jak Grimalkin pozwalała sobie na rzeczy, których inni nie dopuszczali nawet w wyobraźni!

Nożyczki błysnęły, odbijając światło najbliższej pochodni, ostrza zatrzasnęły się.

I Thorne odcięła kciuk lewej dłoni demona.

Belzebub krzyknął, unosząc rękę, by się osłonić.

Ten kciuk także odcięła.

Złapała je oba w powietrzu, ściskając w lewej dłoni. Tymczasem demon cofnął się chwiejnie, wrzeszcząc jak zarzynana świnia.

W tym momencie ponownie poczułam słaby smród zepsutych jajek. Czy to brama? Szybko pociągnęłam trzy razy nosem i ku memu zdumieniu mój wzrok powędrował ku rojowi much. Traciły

jajowaty kształt, przybierając zupełnie inny.

A potem Thorne zawirowała, by odeprzeć nowe zagrożenie. Kieł, wyższy o głowę, ryknął jak byk i runął ku niej, gotów rozerwać ją na strzępy. Tymczasem Lizzie i Mateczka Malkin stały sparaliżowane wstrząsem, z szeroko rozdziawionymi gębami.

Thorne była gotowa. Wiedziała dokładnie, co zrobi, nim jeszcze zadała cios. Pamiętałam, w jaki sposób John Gregory rozprawił się z Kłem w Hrabstwie. Dźgnął go w czoło klingą ze stopu srebra, ukrytą w stracharskim kiju. Nóż wbił się w mózg i Kieł runął na ziemię, martwy jak głaz.

Teraz Thorne zrobiła to samo, tyle że nożyczkami. Szybko przyskoczyła do Kła, gdy jego ramiona zacisnęły się wokół niej, uderzyła. Przez moment widziałam nożyczki sterczące ze środka czoła pomiotu, nie wydał z siebie żadnego dźwięku, osunął się na kolana, patrząc przed siebie szklistym wzrokiem.

Thorne wyrwała nożyczki, spojrzała wprost na mnie i wskazała rój much.

– Brama! – krzyknęła.

Rój nie przypominał już jaja, nie utworzył też twarzy, pozwalającej Belzebubowi mówić. Zamiast tego zamienił się w trzy wielkie koncentryczne kręgi, których kolor uległ zmianie z czarnego na purpurowy. Muchy fruwały bardzo szybko w lewo, tak że owe obręcze zdawały się wirować, wewnątrz nich ujrzałam coś innego. Kolejne królestwo.

Widziałam kolumny i ciemne łuki... Jakąś budowlę.

– Przejdź przez nią, Alice! Idź pierwsza! – zawołała Thorne.

Na moment się zawahałam. Co, jeśli się przedostanę, a ona zostanie?

Ale musiałam znaleźć ten sztylet, wszystko od tego zależało. Uniosłam głowę i zobaczyłam, jak Mateczka Malkin i Lizzie sięgają ku mnie ostrymi szponami.

Minęłam je w pędzie i przeskoczyłam przez bramę z much.

## **ROZDZIAŁ 23**



## KRWAWE OKO

Siedziałyśmy na drewnianych stołkach przed kotłem, Thorne unosiła nad wrzącą wodą kciuki demona. Pragnęła mocy, którą da jej noszenie tych kości – dzięki temu wzrosłyby nasze szanse powodzenia i przetrwania.

Skoczyła za mną przez bramę i tak jak przewidywała, znalazłyśmy się w krainie Złego. Pamiętałam ją z czasów ostatniej wizyty, toteż nie miałam wątpliwości.

Po pierwsze, panował w niej przenikający wszystko smród – odór siarki zabarwiony spalenizną. Światło także się wyróżniało: miało osobliwy miedziany odcień, jakbyśmy oglądały wszystko przez starożytne, barwne szkło.

Tylko jedno różniło ten pobyt od poprzedniego: tym razem jego sługi, pomniejszych demony, które dręczyły mnie i torturowały, nie pojawiły się. W istocie chwilowo królestwo zdawało się puste.

Siedziałyśmy w wielkiej kuchni o kamiennej posadzce, w olbrzymiej budowli, może zamku albo miejscu oddawania czci, tak jak to, które właśnie opuściłyśmy. Nigdy nie zdołałam zobaczyć go z zewnątrz, choć poprzednio spędziłam sporo czasu w jego lochach, często też wleczono mnie zakutą w kajdany bezkresnymi, wilgotnymi, kamiennymi korytarzami. Wspomnienia powracały niczym rzeka, niosąc ze sobą grozę wcześniejszych odwiedzin.

Wokół roilo się od kotłów, garnków i kuchennych utensyliów. Brakowało natomiast kucharzy, nie znalazłyśmy też niczego do jedzenia. Kiedy Thorne wrzuciła do wrzątku kciuki demona, zaczęły się gotować.

Dopiero wtedy zauważyłam jej ręce: odzyskała swoje kciuki, jakby nigdy jej nie okaleczono.

– Jak do tego doszło? – spytałam zdumiona. – To z pewnością działanie magii – ale sądziłam, że w bazylice to niemożliwe.

Wzruszyła ramionami z uśmiechem.

– Może sprawiły to naturalne prawa rządzące Mrokiem. Przybyłam tu bez kciuków, bo ich odcięcie mnie zabiło. Ale tu, w Mroku, odebrałam kciuki Belzebubowi, potężnemu demonowi. Odzyskałam zatem własne.

– Grimalkin byłaby z ciebie dumna! – oznajmiłam. – Nawet ona nigdy nie obcięła kciuków demonowi.

– Pomogła za to odrąbać głowę Złemu – przypomniała uśmiechnięta Thorne.

– Jak to możliwe, że muchy stały się bramą? – zastanawiałam się głośno, patrząc, jak kciuki tańczą w gotującej się wodzie. – Kiedy stanęłyśmy przed Belzebubem, poczułam woń bramy, ale nigdy bym się nie domyśliła, że to muchy. Sądziłam, że stanowią część niego...

– Bo tak było. Myślę, że przechwycił bramę, aby zwabić nas przed swoje oblicze. By nad nią zapanować, musiał na jakiś czas wchłonąć ją w siebie. Ale kiedy odcięłam mu kciuki, ból sprawił, że się zdekoncentrował, brama się uwolniła i przyjęła swój zwykły kształt, wykorzystując do tego muchy.

– Wiedziałaś, że tak się stanie?

– Nie miałam pewności – odparła Thorne – ale oceniałam, że istnieje taka szansa. Tak czy inaczej, postąpiłam dokładnie według nauk Grimalkin – w obliczu wielu wrogów najpierw trzeba zranić najsilniejszego.

Po jakimś czasie porośnięte szczeciną ciało odpadło od białych kości, które zaczęły tańczyć we wzburzonej wodzie. Thorne wstała z krzesła i pochyliła się nad kotłem, skupiona na czekającym ją zadaniu.

Musiała, nie zważając na ból, wyłowić kości z wrzątku. Należało też złapać je jednocześnie – gdyby upuściła choć jedną, straciłaby całą moc.

Zrobiła to szybko, błyskawicznie zanurzając dłonie, po czym spojrzała na mnie z tryumfalnym uśmiechem. W każdej ręce trzymała kciuk demona.

Potrzebowała jeszcze pół godziny, by wywiercić w kościach małe

dziurki specjalnie przystosowaną do tego klingą: długą, cienką i bardzo twardą na końcu.

Niecierpliwiałam się, bo bardzo już chciałam przeszukać salę tronową – mama Toma twierdziła, że klinga leży ukryta pod tronem Złego. Zagryzłam jednak wargę. Potrzebowałyśmy wszelkiej możliwej pomocy, a kości demona znacząco wzmocnią Thorne.

Kiedy skończyła, dołączyła je do innych w swoim naszyjniku.

– Powinno być w nich więcej mocy niż w kościach najpotężniejszej czarownicy – zauważyłam.

– W takim razie miejmy nadzieję, że nie będziemy jej potrzebować. Coś tu za spokojnie, ale to nie potrwa długo.

– Dlaczego po prostu nie przeszli przez bramę za nami? – spytałam.

– Kiedy skakałam, już się zamykała – odparła Thorne. – Belzebub zanadto cierpiał, by nad nią zapanować, więc odsunęła się od niego. Ale w końcu ją znajdą, a wtedy ruszą za nami.

– Czy będą wiedzieć, że prowadzi do krainy Złego?

– Zapewne to odgadli – choć bramy nie zawsze wiodą do tego samego królestwa. Jeśli przesunie się, nim ją znajdą, nie będą mieć pewności, dokąd się udałyśmy; wówczas trzeba będzie niewiarygodnie silnej magii, by znów nas odnaleźć – a w tym celu będą musieli oddalić się od bazyliki. Wiesz, gdzie leży sala tronowa Złego?

Pokręciłam głową.

– Widziałam mnóstwo lochów, ale nigdy nie odwiedzałam sali tronowej..a przynajmniej nie pamiętam. Prawdę mówiąc było tak strasznie, że mój umysł odmówił zapamiętania większości wydarzeń.

– Zatem musimy znaleźć dwie rzeczy – sztylet i bramę, która nas stąd wyprowadzi. Najpierw poszukajmy sztyletu – zaproponowała Thorne.

Wkrótce jednak zrozumialiśmy, z jak wielkimi trudnościami przyjdzie nam się zmierzyć. Opuściwszy kuchnię, zeszyliśmy trzy

piętra niżej, na dziedziniec i ujrzałyśmy przed sobą trzy przejścia. Wybrałyśmy środkowe i najszerze, o wysoko sklepionym dachu.

Pośpieszyłyśmy naprzód, lecz po jakiejś godzinie wciąż nie dotarłyśmy do końca, nie miałyśmy też pojęcia, dokąd prowadzi korytarz.

– To miejsce jest wielkie – zauważyła Thorne. – Mogłybyśmy szukać go całe lata i wciąż nie znaleźć.

Rzeczywiście, sam rozmiar królestwa Złego praktycznie uniemożliwiał nam wypełnienie misji.

Musiałśmy jednak maszerować dalej. Po kolejnej półgodzinie w końcu dotarłyśmy do końca korytarza i nie spodobało mi się to, co ujrzałam. Znalazłyśmy się w rozległym, okrągłym pomieszczeniu, nad nami wznosiła się kopuła tak wysoka, że równie dobrze mogłyśmy patrzeć w chmury. Przed sobą miałyśmy ciemnoszare jezioro o nieruchomych wodach, jego tafla przypominała szkło. Wyglądało na dość głębokie, by ukryć wszystko, wypełniało niemal całą salę, pozostawiając tylko wąską ścieżkę wiodącą w lewo, pod zakrzywioną kamienną ścianą. Nagle z góry dobiegł nas krzyk – głos trupiarza. Obie jednocześnie uniosłyśmy głowy i ujrzałyśmy ptaka, mknącego ku nam ponad spokojnym jeziorem. Parę sekund szybował, obniżając lot, a potem skręcił gwałtownie, zwracając z powrotem na środek.

– To pewnie pobratymiec Morweny – zauważyłam. – Takie jezioro to dla niej idealna kryjówka.

– Ale przecież słyszałyśmy ten krzyk w ostatnim królestwie – zaprotestowała Thorne. – Jak mogła dotrzeć tutaj? Brama zamknęła się za mną i nie zdążyłaby jej jeszcze odnaleźć.

– Słyszałyśmy ją, gdy tylko dotarłyśmy do miasta – przypomniałam. – Miała mnóstwo czasu, by użyć bramy, nim stanęłyśmy przed obliczem Belzebuba. Nie pokazała się, kiedy zabiłaś Betsy i wodne wiedźmy, pewnie więc zdążyła już odejść.

– Ale skąd by wiedziała, że przybędziemy akurat tutaj?

– Jest potężna i przebiegła, mogła sama wszystko odgadnąć. To wierna córka Złego, zapewne chętniej dzielił się z nią swą wiedzą

niż z resztą wyznawców. Może wie o istnieniu sztyletu, którego wcześniej mama Toma użyła przeciw jej ojcu. Nie zapominaj, to ona pierwsza dowiedziała się, że wkroczyłam w Mrok.

– Nawet jeśli Morwena jest tutaj, razem damy jej radę! – oznajmiła pewnym siebie tonem Thorne i wiedziałam, że czuje wyrzuty sumienia z powodu tego, że dała się skusić Morwennie i Betsy, by mnie oszukać. – Może użyć swego krwawego oka tylko przeciwko jednej osobie naraz. Grimalkin opowiedziała mi, jak z Tomem walczyli z wodnymi wiedźmami. Stanęli oko w oko z Morwena, która sparaliżowała Grimalkin, ale Tom uniknął jej wzroku i skrępował czarownicę srebrnym łańcuchem, powalając ją na kolana. W ten sposób uwolnił Grimalkin, która ją zabiła. Możemy postąpić tak samo: kiedy sparaliżuje jedną z nas, druga ją zabije. W ten sposób umrze na zawsze – to będzie jej koniec.

W ustach Thorne brzmiało to tak łatwo, ale Morwena była bardzo niebezpieczna, nawet dla kogoś tak silnego jak wiedźma zabójczyni. Powieki lewego oka czarownicy spinał kawałek kości. Gdy je otwarła, wystarczyło jedno spojrzenie owego straszliwego, krwawego oka, by unieruchomić nieprzyjaciela. Istotnie jednak, mogła to zrobić z tylko jedną osobą naraz.

Liczyłam zatem, że jeśli staniemy z nią do walki, sparaliżuje mnie, by to Thorne mogła ją zabić. Nie chciałam sięgnąć po magię umożliwiającą jej zniszczenie, chyba że okazałoby się to absolutnie konieczne.

Thorne obróciła się i spojrzała na mnie.

– No to co zrobimy – zawrócimy, czy okrążymy jezioro ścieżką, narażając się na atak? Zdecyduj, Alice, ale pospiesz się, nie możesz zostać zbyt długo w Mroku, nie płacąc ogromnej ceny. A kto wie, ile czasu upłynęło już w twoim świecie.

Miała rację: nie mogłam się wahać, natychmiast podjęłam decyzję. Myśl o wycofaniu się przepełniła mnie rozpaczą.

– Idźmy ścieżką – rzuciłam.

Unosząc w gotowości noże, Thorne pomaszerowała pierwsza. Ścieżka była wąska lecz sucha, bo woda sięgała co najmniej stopy

poniżej.

Przez pierwszych kilka minut szło nam się całkiem szybko, choć nie widziałam niczego sugerującego, że ścieżka mogłaby zawieść nas w istotne miejsce.

To wtedy dostrzegłam mgłę, formującą się pośrodku jeziora, jej pasma rozlewały się po nieruchomej tafli, zmierzając ku nam.

– Szybciej! – zawołała Thorne, która także to zauważyła.

Puściłyśmy się biegiem, ale po paru chwilach znów musiałyśmy zwolnić. Mgła otaczała nas ze wszystkich stron, tak gęsta, że ledwie dostrzegłam zarys sylwetki Thorne, choć dzieliło nas najwyżej kilka kroków.

Co jeszcze gorsze, ścieżka nagle się zwężyła i stała bardzo śliska. Teraz wznosiła się zaledwie odrobinę nad jeziorem, miejscami opadała tak, że nasze szpiczaste trzewiki z pluskiem zanurzały się w płytką wodę.

W każdej chwili spodziewałam się, że Morwena wyskoczy z jeziora i zaatakuje. Lecz po kilku pełnych napięcia chwilach ścieżka znów się rozszerzyła, nagle poczułyśmy pod stopami bruk, a mur, o który niemal ocierałam się ramieniem i ręką, jakby się cofnął. Po naszej lewej otwierała się przestrzeń, ale jak wielka? I jeśli ścieżka odchodziła od jeziora, dokąd wiodła?

W nadal gęstej mgle uniosłam przed siebie lewą rękę, by nie wpaść na ścianę. Ale gdy odsunęłyśmy się od jeziora, strach przed wodnymi wiedźmami powoli ustąpił.

Atak kompletnie nas zaskoczył, nastąpił zupełnie bez ostrzeżenia.

Morwena nie czaiła się w jeziorze. Choć rzadko zapuszczała się daleko od wody, czekała na nas na suchym lądzie.

Pojawiła się we mgle dokładnie przede mną, błoniaste stopy o ostrych szponach ścisnęły kamienie brukowe, skórę i kaftan pokrywało błoto i zielony śluz. W otwartych ustach ujrzałam cztery wielkie, żółte kły, pozbawiony ciała nos był jedynie ostrą, trójkątną kością.

Wszystko to zauważyłam w ułamku sekundy, potem jednak

cała moja uwaga skupiła się na jednym straszliwym aspekcie czarownicy.

Pełne krwi oko patrzyło wprost na mnie, Morwena usunęła spinającą powieki kość.

Moje życzenie się spełniło: stałam się jej celem.

## ROZDZIAŁ 24

### SALA TRONOWA

Stałam jak sparaliżowana, wmurowana w miejscu. Czerwone, przekrwione oko zdawało się rosnać coraz bardziej. Bałam się, ale jakaś część mnie pozostawała oderwana, bo wciąż wierzyłam w Thorne. Tak było lepiej: lepiej, by Morwena skupiła na mnie całą swą uwagę, jeśli chciałam uniknąć używania magii.

Nagle jednak zorientowałam się, że obok niej poruszały się wodne wiedźmy, atakujące Thorne, która cofała się przed naporem kłów i szponów.

Morwena postąpiła krok ku mnie, wyciągając ręce, gotowa oderwać ciało od kości. Moja obojętność zniknęła; byłam przerażona. Obok mnie przebiegały kolejne wodne wiedźmy, atakujące Thorne; nawet jej umiejętności i talent z pewnością nie wystarczą, by pokonać tak wiele dostatecznie szybko, aby zdążyła mnie ocalić.

Czułam na twarzy cuchnący oddech potężnej wiedźmy, widziałam gotowe do uderzenia kły. Nie mogłam skupić myśli, umysł miałam sparaliżowany tak jak ciało, nie zdołałam przywołać woli. Nawet gdybym chciała, było już za późno, by sięgnąć po magię. Dla mnie to koniec. Zamierzałam oddać życie za Toma, by mógł dzięki mojej śmierci zniszczyć na zawsze Złego. Teraz umrę na próżno. Wszystko, co uczyniłam od chwili narodzin, spełniam na niczym.

I wtedy wydarzyło się coś, czego nie potrafiłam zrozumieć...

Coś wyłoniło się z otwartych ust Morweny.

Z początku sądziłam, że to jakby język – może cecha wodnej wiedźmy, o której wcześniej nie słyszałam. Był ostry i karbowany, a także pokryty krwią.

Z ust Morweny tryskała krew, spływając kaskadą po brodzie. Przekonałam się, że krwawe oko już na mnie nie patrzy. Zamknęła oboje oczu, wrzeszcząc w agonii.

Odkrywszy, że mogę się poruszać, cofnęłam się szybko poza jej zasięg. Morwena obróciła się i po sekundzie zrozumiałam, co ją spotkało.

Wielki skelt wspiał się jej na plecy i przyspilił kościaną rurą, wbijając ją w kark, tak że wynurzyła się z ust. Gdy Morwena zachwiała się i runęła na twarz, skelt cofnął pysk i dźgnął ponownie, prosto między łopatki. Przejrzysta rura natychmiast poczerwieniała, gdy zaczął wysysać krew z jej ciała.

Inne czarownice ryknęły z wściekłości i pomknęły jej na pomoc, natychmiast jednak same zaczęły mieć kłopoty. Po ziemi przebiegały kolejne skelty, każdy zmierzał ku jednej z wodnych wiedźm.

Mgła rozplywała się, z każdą sekundą widziałam coraz więcej – czyżby przywołała ją mroczna magia Morweny? Najprawdopodobniej. Kolejny skelt podbiegł w moją stronę, jego cienkie, wielosegmentowe nogi poruszały się tak szybko, że stanowiły rozmazaną plamę. Biegł tak prędko, że ledwie zdążyłam zareagować. Minął mnie w odległości niecałej ręki, ale nawet na mnie nie spojrzał – całą uwagę skupiał na oślizgłych wiedźmach, rozpaczliwie próbujących uciec.

– Alice!

Odwróciwszy się, zobaczyłam, jak Thorne pędzi ku mnie, ściskając w rękach czerwone od krwi noże. Kilka czarownic leżało na ziemi, każdą atakował skelt.

Thorne wskazała kamienną ścianę i ujrzałam niewielkie łukowate przejście, które wcześniej skrywała przed nami mgła. Przebiegłyśmy przez nie i znalazłyśmy się w dużej, owalnej sieni, z



której wychodziły trzy wąskie korytarze.

Ale który prowadził do sali tronowej? Może żaden, lecz każde miejsce wydawało się bezpieczniejsze niż sąsiedztwo wody.

– Spróbuję powęszyć w każdym z nich – poinformowałam Thorne.

Czasami dalekie węszenie może ostrzec przed nadciągającym niebezpieczeństwem – przynajmniej uniknęłabym korytarza, który wiódł w groźne miejsce. Nim jednak zaczęłam, coś weszło do komnaty za nami.

To był skelt.

Thorne uniosła klingi i stanęła między mną a śmiercionośnym stworem. Na moment zatrzymał się, patrząc na nas – może dostatecznie opił się krwi czarownic i nie potrzebował już więcej. Potem jednak nagle pobiegł w stronę korytarza po lewej, tam przystanął, obejrzał się na nas i zniknął nam z oczu.

Czyżby wracał tam, skąd przyszedł? Jeśli tak, inne mogą podążyć za nim w każdej chwili, a część może wciąż okazać się głodna.

Wówczas jednak stało się coś bardzo dziwnego: skelt powoli wycofał się z korytarza, aż w końcu wielkie, czerwone oczy znów spojrzały prosto na nas, a potem wszedł w niego ponownie. Nawet nie drgnęłyśmy. Obserwowałam drzwi za nami na wypadek, gdyby zjawily się kolejne skelty; Thorne nie spuszczała wzroku z korytarza, w którym zniknął.

Wówczas stwór po raz drugi wycofał się do sieni, ponownie przyjrzał się nam czerwonymi oczami – identycznej barwy jak rubiny na rękojeściach mieczy bohaterów.

Dziwne, że ich rękojeście ozdabiały wizerunki skeltów. Zastanawiałam się, czy coś je łączy? Czy sztylet Posepny, klinga, po którą przybyłam, też tak wygląda?

– Chyba chce, żebyśmy poszły za nim... – powiedziałam, próbując zrozumieć niezwykle zachowanie stwora.

– Czemu skelt miałby to robić? – zaprotestowała Thorne. – Gdybyśmy faktycznie tam poszły, inne mogłyby ruszyć za nami, a

wtedy utkwilybyśmy w potrzasku.

– Może chce zaprowadzić nas do sali tronowej?

– Po co miałyby nam pomagać?

– Nie wszystkie stwory z Mroku są przecież po stronie Złego, prawda? Nie zaatakowały nas, zabiły wodne wiedźmy, a nas zostawiły w spokoju.

Thorne nie wydawała się przekonana.

– To prawda, ale skelty w gorącej krainie nie zachowywały się przyjaźnie. Te, które wypełzły z wrzącego jeziora, z pewnością wyssałyby nam krew, gdyby nas dogoniły.

– Może po prostu były wyjątkowo głodne? A może tamtejsze skelty różnią się od tych z krainy Złego? Może są podzielone między sobą, tak jak my, czarownice? Niektóre stoją po stronie Złego, inne po przeciwnej. Czy nie warto zaryzykować? Sama wciąż mi przypominasz, że kończy nam się czas.

Nie czekając na odpowiedź Thorne, pomaszerowałam do lewego korytarza. W chwilę później usłyszałam za sobą tupot jej szpiczastych trzewików. Przez kilkanaście minut szłyśmy w milczeniu. W pewnym momencie w korytarzu zrobiło się bardzo ciemno, więc wyciągnęłam z kieszeni ogarek i zapaliłam go siłą woli. To było drobne zaklęcie – lepsze niż wędrówka na ślepo. Nie słyszałam skelta przed nami, ale musiał gdzieś tam być.

W końcu znalazłyśmy się w gigantycznej, przestronnej sali. Uniosłam świecę, lecz rzucała tylko słaby blask – niczym samotny świetlik, próbujący oświetlić ciemny las o północy. Z początku nie pojmowałam, co widzę. Sala była olbrzymia, dłuższa niż szersza, a kiedy uniosłam głowę, uświadomiłam sobie coś jeszcze.

Z wysklepionych drewnianych belek daleko w górze zdawały się zwisać zasłony.

Zrozumiałam, że wreszcie po długich poszukiwaniach dotarłyśmy do sali tronowej. Bez cienia wątpliwości: cała ta przestrzeń służyła jedynie jako podejście do tronu. Wiodła ku niemu dróżka, lecz zamiast kobierca bądź marmuru pokrywała ją trawa i kwiaty.

Było tam mnóstwo bladożółtych kwiatów, w których rozpoznałam pierwiosniki. Do tego stokrotki, kaczeńce i inne, których nie rozpoznałam, wypełniające powietrze miłym zapachem. Dziwne: bardziej kojarzyło się to z królestwem Pana niż Złego. Zastanawiałam się, czy nieobecność gospodarza zapoczątkowała jakieś zmiany. Potem jednak usłyszałam brzęk owadów i zadrżałam, wspominając Belzebuba. Nasłuchując uważniej, zdecydowałam, że bardziej przypomina to odgłos gzów i komarów w senny, letni wieczór niż napęczniałe od krwi muchy mięsne, wypełniające mi nos i usta.

Bez wątpienia wielu przerażonych więźniów zawleczono w to miejsce, gdzie padli ofiarami okrutnego gniewu Złego. Ale ja z całą pewnością go nie odwiedziłam.

Ruszyłam naprzód trawiastą ścieżką. Miękki grunt uginał mi się pod stopami, sprężynując lekko. Dokładnie przed sobą widziałam tron, częściowo przesłaniały go zwiewne zasłony, opadające niemal do ziemi. Z początku sądziłam, że dzieli mnie od niego najwyżej tuzin kroków, potem jednak pojęłam swój błąd: stał co najmniej dziesięć razy dalej. Przypomniałam sobie, że Zły umiał zmieniać swój rozmiar. Po bitwie starego Gregory'ego z czarownicami na Wzgórzu Pendle Zły próbował zniszczyć Toma, który schronił się na strychu farmy swego brata, w pokoju chronionym magią jego mamy. Zły nie zdołał dostać się do środka. Potem jednak na południowym zboczu Wzgórza Wisielców pojawiła się ciemna szrama, znacząca szlak, którym przybył na farmę. Trawiony furją powalił całe połacie drzew, co dowodziło, jaki był wówczas wielki.

Kiedy ja spotkałam Złego, trzykrotnie przewyższał wzrostem zwykłego człowieka. Ale powalone drzewa i rozmiar jego tronu świadczyły wyraźnie, jak przerażający mógł się stać. Istota, która zasiadała tam w swym złowieszczym majestacie, była dość wielka, by zmieścić człowieka w ustach, znacznie wyższa od nawet najwyższych drzew w Hrabstwie.

Wciąż ostrożnie maszerowałam naprzód, tuż za mną stąpała

Thorne. Powtarzałam sobie, że muszę być dzielna, ostatecznie Zły w żaden sposób nie mógł się tu pojawić. Jego głowa wciąż tkwiła w worku na plecach Grimalkin. Pozostawał uwięziony w martwym ciele.

Kiedy dotarłam do pierwszej zasłony, zatrzymałam się i poczułam, jak drżą mi kolana, bo dopiero teraz przekonałam się, co to było naprawdę.

Pajęczyna.

– Jaki pająk mógł utkać tak wiele ogromnych wiszących sieci? – zastanowiłam się głośno.

To Thorne wymówiła jego imię.

– Raknid.

## ROZDZIAŁ 25

### PRÓBY

Spotkaliśmy się już raz z Raknidern dawno temu i jego imię przywołało kolejny potok straszliwych wspomnień z czasów nauki u Lizzie.

Działo się to na miesiąc przed tym, nim znalazła skórzane jajo i nim spotkałyśmy Betsy Gammon i jej towarzyszkami, wodnymi wiedźmami.

To był czas Prób.

– No cóż, dziewczyno – rzekła pewnego ranka. – Mam coś dla ciebie. Będiesz miała na co czekać. Za tydzień, pierwszego sierpnia, w Noc Święta Plonów, zostaniesz poddana próbom!

Święto Plonów to jeden z czterech głównych sabatów czarownic – wówczas rzuca się najpotężniejsze czary, a klany z Pendle są najniebezpieczniejsze.

Nie spodobał mi się wyraz twarzy Lizzie. Wiedziałam, że każda dziewczyna ucząca się na wiedźmę musi przejść pewien rytuał zwany Próbami, lecz nigdy nie omawiano jego szczegółów, żadna z

czarownic nie przekazywała niczego innym.

– Ale ja nie jestem z Malkinów, tylko z Deane'ów! – zaprotestowałam. – Moja matka pochodziła z Malkinów, ale ojciec to Deane. Jestem Alice Deane i nie muszę przechodzić Prób.

Lizzie obdarzyła mnie dziwnym uśmiechem.

– Mieszkasz u mnie, ja cię szkolę, to sprawia, że jesteś Malkinką i lepiej do tego przywyknij, dziewczyno. Teraz, wiele lat później, wiem, czemu tak osobliwie się uśmiechała. Później okazało się, że to ona była moją matką, a spłodził mnie Zły – diabeł we własnej osobie. Wówczas jednak tego nie wiedziałam, toteż umilkłam. Lizzie często uśmiechała się do mnie dziwnie, mnie jednak martwiły wyłącznie Próby. Jakaś część mnie nie chciała wiedzieć, na czym polegają, ale zawsze lepiej przygotować się na najgorsze.

– O co chodzi w tych Próbach? – spytałam.

– O dwie rzeczy, dziewczyno. Po pierwsze, muszą wykazać, jaki typ magii najlepiej ci odpowiada – magia kości, krwi bądź pobratymców. Po drugie, sprawdzą jak silną wiedźmą masz szansę się stać.

Kompletnie zaschło mi w ustach, ale zmusiłam się do zadania kolejnego pytania.

– Jak to sprawdzają? Co robią?

Lizzie skrzywiła się złośliwie. Pewnie napawała się strachem widocznym na mojej twarzy.

– Najlepiej, jeśli zaczekasz i sama się przekonasz, dowiesz się za tydzień, dziewczyno. Tymczasem jednak musisz zrobić trzy rzeczy, by przygotować się do Prób. Od tej pory nie myj się, twoje ciało musi pokrywać tygodniowa warstwa brudu, wówczas będziesz gotowa.

– Dlaczego muszę być brudna? – zdziwiłam się.

– Brud i mroczna magia idą w parze: sądziłam, że to wiesz. Im brudniejsza skóra, tym mroczniejsza i potężniejsza magia! Po drugie, nie jedz mięsa – nawet sosu ani zupy z choćby odrobiną mięsa. I po trzecie, przemyśl dobrze, z czym chciałabyś pracować

jako czarownica, z krwią, kośćmi czy pobratymcem, bo podczas Prób będziesz musiała dokonać wyboru.

W noc przed Próbami nie spałam. Byłam przerażona, żołądek ścisnął mi się boleśnie. Niektórzy mówią, że kiedy się denerwujemy, czujemy motyle w brzuchu. U mnie bardziej przypominało to wielkie, zębate węże i wijące się robale, kłuszące mi wnętrzności.

Wstałam o świcie, oznaczało to jednak, że muszę przeżyć cały dzień, nim o zmierzchu zaczną się Próby. Bardzo chciałam się umyć, ale Lizzie mi zabroniła i lepiłam się od stóp do głów, włosy miałam posklejane brudem. Wciąż drapałam się po głowie, ale to tylko pogarszało sprawę.

Deane'owie zazwyczaj nie zbliżają się do Wieży Malkinów. Jeśli raz tam trafią, zwykle nie opuszczają jej żywi. Po wsiach krążyły przerażające historie o zakrwawionych komnatach, kryjących się w podziemiach wieży, gdzie Malkinowie torturowali nieprzyjaciół, po czym wtrącali ich do głębokich, wilgotnych kazamatów, by tam umarli z głodu.

Czas płynął i wkrótce maszerowałyśmy przez Wroni Las. Dokładnie przed sobą widziałam złowieszczą, ciemną, kamienną wieżę. Faktycznie wyglądała przerażająco, była co najmniej trzykrotnie wyższa od okalających ją drzew. Wieńczące ją blanki sprawiały, że przypominała zamkową basztę, efekt wzmagały wąskie, szpiczaste okna. Otaczała ją szeroka fosa z mostem zwodzonym, ale wielkie, drewniane wrota wieży były zamknięte. Nabito je zardzewiałymi, żelaznymi ćwiekami, a tego metalu nie mogła dotknąć żadna czarownica.

Lizzie weszła na most, ja niechętnie podążyłam jej śladem. Ktoś pomachał do niej z góry – pewnie jedna z członkiń jej kręgu. W chwilę później usłyszałyśmy zgrzyt odciąganych ciężkich rygli i drzwi otwarły się powoli, skrzypiąc na zawiasach. Wkroczyłyśmy do środka, a wrota zamknęły się za nami. Stałam tam, oczy piekły mnie od dymu wypełniającego wielką, posępną salę, w której mieszkał krąg. Rozpoznałam kilka twarzy, bo mijałam je czasem w

wiosce. Inne jednak były zupełnie obce, zastanawiałam się, czy w ogóle opuszczają wieżę.

Do tej pory znów zaschło mi w ustach, serce tłukło się o żebra, miałam wrażenie, że zaraz pęknie. W tej wieży działy się straszne rzeczy, obawiałam się, że mogą spotkać i mnie.

W kącie pomieszczenia płonęły ognie, nad którymi wisiały garnki i kotły, a obok walały się sterty kości. Niektóre wyglądały na zwierzęce, inne z łatwością mogły należeć do ludzi. Czułam też smród niemytych ciał i zjełczałego tłuszczu. Pod zakrzywioną ścianą piętrzyły się worki i pomięte, brudne prześcieradła, najwyraźniej tu właśnie sypiały czarownice. Pośrodku pokoju płonął kolejny ogień, nad nim wisiał wielki bulgoczący kocioł.

Krąg przyglądał mi się ciekawie. Czarownice miały na sobie długie, ciemne suknie, z wyglądu niezbyt czyste, ich twarze pokrywały smugi brudu i tłuszczu, cuchnęły zjełczalym potem i zwierzęcym łojem. Lizzie miała rację: brud i mroczna magia faktycznie szły ze sobą w parze. Lecz jedna wysoka kobieta różniła się od reszty: była czysta, a jej oczy błyszczały. Na ciele krzyżowały się skórzane pasy, do których zamocowano pochwy z tkwiącą w środku bronią. Jednej z nich nie widziałam, lecz wszyscy o niej wiedzieli: nosiła ją w specjalnej pochwie pod lewą pachą: parę ostrych nożyczek, którymi odcinała kciuki swoich wrogów.

Nigdy dotąd jej nie spotkałam, ale wiedziałam, że nie należy do trzynastoosobowego kręgu. To musiała być Grimalkin, zabójczyni klanu Malkinów. Nasze oczy się zetknęły i uśmiechnęła się: pod pokrytymi czarną farbą wargami ujrzałam spiłowane na ostro zęby.

Lizzie złapała mnie za rękę i powlokła pod przeciwległą ścianę, gdzie czekała na nas potężna kobieta o długich, siwych włosach. Znałam ją z opowieści. To była Maggie Malkin, przywódczyni klanu.

Na mój widok skrzywiła się i chwyciła mnie za lewą rękę tuż nad łokciem, ściskając tak mocno, że krzyknęłam z bólu.

– Strasznie cherlawe z niej chuchro, co? – rzuciła. – Niewiele mięsa na tych patykowatych kościach. Uprzedziłaś ją, co się stanie, jeśli nie przejdzie próby?

Lizzie posłała mi złowrogi uśmiech.

– Uznałam, że zachowam tę przyjemność dla ciebie, Maggie. Nie chciałabym pozbawiać cię zabawy.

Po raz pierwszy widziałam, jak Lizzie komuś się podlizuje. Dopiero wtedy pojęłam, że jako grupa te czarownice dysponowały prawdziwą mocą: obawiała się ich, nieważne, co mówiła na osobności.

Maggie z uznaniem pokiwała głową i pociągnęła mnie w stronę wielkiego kotła pośrodku sali. Obok niego stał drewniany stół, a na nim kilka drobnych kości i trzy drewniane kubki, każdy okryty czerwoną ściereczką. Oprócz tego obok stołu ustawiono coś jakby wielkie pudło, osłonięte czarnym jedwabiem. Może to była komoda? Zastanawiałam się, co się kryje w środku. Próbowałam ukradkiem powęszyć, by się przekonać co to, ale niczego nie wyczułam. Bez wątpienia krąg wspólnymi siłami stworzył potężne zaklęcie chroniące je przed wścibskimi ludźmi.

W sali czekały jeszcze dwie dziewczyny, wyglądały na równie przerażone jak ja. Maggie puściła moją rękę i pchnęła mnie do nich. Znałam je z widzenia, choć nigdy nie rozmawiałyśmy. Ja mieszkałam z mamą i tatą w wiosce Deane'ów, Roughlee, one natomiast były Malkinkami i pochodziły z Goldshaw Booth. Wyższa miała na imię Marsha, niższa Gloria.

Krąg zajął miejsca wokół nas. Czułam stojącą z tyłu Lizzie, jej wzrok wwiercał się w tył mojej głowy.

– Do kogo należą te dziewczyny? Kto naucza je sztuki? – spytała głośno Maggie.

W odpowiedzi poczułam dłoń Lizzie, opadającą na moje lewe ramię. Cały czas patrzyłam prosto przed siebie, ale wiedziałam, że dwie inne czarownice Malkinów robią to samo z Marshą i Głorią.

– Widzę przed sobą trzy dziewczyny! – zawołała Maggie. – Trzy przerażone dziewczyny, o tak, i nie macie się czego wstydzić. Ale



jest gorzej, niż przypuszczacie. Niełatwo mi to powiedzieć, lecz jedna z was umrze dziś w nocy!

Na te słowa wszystkie wiedźmy wydały z siebie wrzask tak złowieszczy i głośny, że sterty kości w kątach sali zaczęły wibrować, rozsypując się po kamiennych płytach.

Po plecach przebiegł mi dreszcz strachu: sytuacja wyglądała jeszcze gorzej, niż się obawiałam. Sądziłam, że sprawdzą, jakimi czarownicami zostaniemy, a nie skazą jedną na śmierć. Jak zdecydują, która z nas zginie?

Maggie powtórzyła nam to, co już usłyszałam od Lizzie:

– Każdą z was poddamy dwóm próbom: najpierw, by sprawdzić, jaki rodzaj magii najbardziej wam odpowiada. Druga próba przepowie, jak silnymi czarownicami możecie się stać. A potem jedna musi zginąć, by pozostałe dwie wchłonęły jej moc. Zawsze tak było... Czy chciałobyście dowiedzieć się czegoś jeszcze, nim rozpoczniemy rytuał? – Każdą z nas przygwoździła gniewnym spojrzeniem.

Uznałam, że nie ma sensu pytać, wszystko i tak się wydarzy i może lepiej nie wiedzieć z góry. Ale ku memu zdumieniu Marsha przemówiła:

– Wiem, co na mnie działa! – zawołała. – To krwi potrzebuję!

Sadziłam, że Maggie wpadnie w gniew i ostrzeże dziewczynę, by milczała; krąg z pewnością sam zadecyduje, co jest dla niej najlepsze. Zamiast tego przywódczyni uśmiechnęła się promiennie, sięgnęła na stół i uniosła jeden z drewnianych kubków.

– To miłe, gdy młoda potencjalna czarownica wie, co dla niej dobre – oznajmiła, zrywając tkaninę i podając kubek pełnej zapachu Marshy.

Kiedy uniosła kubek do ust i zaczęła pić łapczywie, poczułam woń krwi. Była ludzka – czułam to i zastanawiałam się, skąd ją wzięły. Czy kogoś zamordowały, by zdobyć to, czego potrzebują? Może to krew więźnia przetrzymywanego w lochach pod wieżą?

Z obrzydzeniem patrzyłam, jak Marsha chłepcze. Tak bardzo pragnęła opróżnić kubek, że krew ściekała jej z kącików ust i

skapywała z brody. Z zadowolonym uśmiechem oddała kubek Maggie, która odstawiła go na stół, podniosła drugi i podała niższej, Glorii.

Z wyrazu jej warzy widziałam, że nie ma ochoty nawet na łyk zawartości drewnianego kubka. Muszę przyznać, że próbowała. Najpierw ścisnęła nos kciukiem i palcem wskazującym prawej dłoni. Dwa razy uniosła kubek do ust, za każdym razem trzymając go jak najdalej, widziałam, jak wstrząsają nią mdłości. W końcu zdołała pociągnąć łyk, wówczas jednak zbuntował się jej żołądek, z ust trysnęła krew zmieszana z wymiocinami, rozbryzgując się na podłodze między nią i czarownicą.

Maggie się to nie spodobało – zmiażdżyła biedaczkę gniewnym spojrzeniem i wyrwała jej kubek. Potem podała trzeci mnie, ja jednak splotłam ręce na piersi i pokręciłam głową.

– Nie jestem czarownicą krwi – oznajmiłam. – Stąd czuję jej zapach i to nie dla mnie.

– Jeśli wiesz, co dla ciebie najlepsze, dziewczyno, spróbujesz – ostrzegła Maggie. – Jak odmówisz, siłą wlejemy ci ją do gardła.

Wiedziałam, że to zrobią, toteż niechętnie pociągnęłam niewielki łyk. Krew była zimna, słona, miała metaliczny posmak. Nie było mowy, żebym ją przełknęła, toteż wyplułam i znów pokręciłam głową. Przez moment sądziłam, że Maggie spełni groźbę i zmusi mnie do wypicia całej porcji. Ona jednak zmarszczyła tylko brwi, zabrała mi kubek i odstawiła na stół. Potem otworzyła jedno z pudełeczek i coś z niego wyjęła.

– Wyciągnij lewą rękę dziewczyno – znów podeszła do mnie, przekonałam się, że trzyma parę kości kciuków. Położyła mi je na lewej dłoni.

– Ściśnij je mocno i powiedz, do kogo należą i jak zginął ich właściciel?

Często ćwiczyłam to z Lizzie, nauczyłam się dowiadywać wiele z samego dotyku kości.

Zrobiłam, jak chciała, i natychmiast zadrżałam: były zimne jak lód. W mojej głowie pojawiły się obrazy straszliwego morderstwa.

Ksiądz szedł wąską, leśną ścieżką w stronę mostu nad rwącym strumieniem. Było ciemno, ale cienki sierp księżyca rzucał na ziemię roztańczone plamy światła i cieni. Ksiądz obejrzał się za siebie i ujrzałam, jak jego oczy rozszerzają się ze strachu. Ścigały go czarownice.

Puścił się pędem. Gdyby tylko dotarł do strumienia, byłby bezpieczny, bo więdźmy nie mogą przepawić się przez pływającą wodę. Ale był za stary, brakowało mu sił i z łatwością go dogoniły.

Z trzech czarownic rozpoznałam dwie: Maggie i niejaką Lisę Dungale, czarownicę o wiecznie skrzywionej twarzy, niewiedzącą co to uśmiech.

Przytrzymały go, a on zaczął krzyczeć, gdy jeszcze za życia odcinały mu kciuki. W torbie niósł wielki kielich, zebrały do niego krew. Potem wrzuciły trupa do rzeki, prąd porwał go szybko. Ostatnią rzeczą, jaką ujrzałam, były ślepe oczy patrzące w księżyc.

Nagle zrozumiałam, że zabiły go zaledwie poprzedniej nocy. Nie tylko trzymałam jego kciuki, z których niecałą godzinę temu obgotowano ciało, ale zmuszono mnie do napicia się krwi.

– I co, dziewczyno, czego się dowiedziałaś? – spytała ostro Maggie.

– Należały do starego rolnika – odparłam. – Rozpruł go byk. Kiedy umierał, zjawiła się czarownica i odcięła mu kciuki.

Skłamałam, bo w żadnym razie nie zamierałam zostać kościaną więdźmą. Te czarownice zabijały ludzi, by zdobyć kciuki używane do magicznych rytuałów. Wiele z nich musiało pochodzić od dzieci. Nigdy bym tego nie zrobiła.

– Bzdury! – warknęła Maggie.

Odebrała mi kości i oddała Glorii, która, gdy tylko ich dotknęła, gwałtownie wywróciła oczami, jej zęby zadzwoniły o siebie, zaczęła cała dygotać i się trząść.

– To kości martwego księdza! Jego krew mi nie smakowała, ale uwielbiam stare kości! – wykrzyknęła.

Maggie uśmiechnęła się szeroko.

– Są twoje, dziewczyno. Zatrzymaj je. Z pewnością zostaniesz

kościaną wiedźmą. Ale co zrobimy z tobą, Alice Deane? – spytała. – Zostało tylko jedno. Jeśli nie przejdiesz próby, w ogóle nie zostaniesz czarownicą, a w takim razie równie dobrze możesz nie żyć i to właśnie cię spotka!

Przeszła przez salę i zabrała ze stołu kolejne małe pudełeczko. Otworzyła je, potem schyliła się i wytrząsnęła coś na posadzkę u moich stóp.

– To może być twój pierwszy pobratymiec, dziewczyno. Przekonajmy się, czy mu się spodobaś. Spojrzałam w dół, przerażona widokiem stworzenia, które poruszało się na ziemi najwyżej pięć od mojej stopy.

Odkąd pamiętam, bałam się robali. Czasami w dzieciństwie nawiedzały mnie koszmary, że tkwię uwięziona w łóżku, spoglądając w sufit pokryty pajęczynami. Bałam się śmiertelnie, leżąc jak sparaliżowana i czekając, aż pojawi się wielki pająk.

A to był największy, najbardziej włośchaty pająk, jakiego kiedykolwiek widziałam. Ten gatunek pająka nie pochodził z Hrabstwa, musiał przybyć zza morza albo może czarownice stworzyły go za pomocą mrocznej magii. Wyglądał, jakby mógł ugryźć, może nawet był jadowity.

Wiedźma, korzystająca z pobratymców, zawierała pakt ze swym stworzeniem. Karmiła je własną krwią, a ono w zamian stawało się jej oczami i uszami, wykonywało każde polecenie. Pobratymiec był lepszy od magii krwi czy kości, choć jednak poradziłabym sobie z kotem albo może jakimś ptakiem, pająków nie znosiłam i się ich bałam.

Kiedy Lizzie opowiedziała mi o Próbach, bardzo się przeraziłam i w końcu zdecydowałam, że jeśli będę musiała wybrać rodzaj magii, wskażę pobratymców, a na swoje zwierzę wybiorę kota.

– Pająk to nie pobratymiec dla mnie! – zawołałam. – Potrzebuję kota, to on mi odpowiada!

– Zrobisz, co ci każę, dziewczyno! – warknęła Maggie. – Na początek zaczniesz skromnie, będziesz się uczyć z pająkiem, bo one nie żyją długo. Może później dostaniesz kota.

Ze zgrozą wpatrywałam się w pająka. Sama myśl o tym, że miałabym go dotknąć sprawiła, że zadrżałam. Ruszył ku mnie.

Co, jeśli wbiegnie mi po spódnicy...?

Zadziałałam bez zastanowienia. Zrobiłam to, co musiałam...

Uniosłam stopę i rozdeptałam paskudnego pająka czubkiem trzewika, rozmazując go po podłodze.

Gdy się cofnęłam, powietrze wypełniły krzyki oburzenia. Spojrzałam na gniewne twarze czarownic i do dziś pamiętam, że jedna z nich różniła się od reszty. Tylko jednej nie wykrzywił grymas wściekłości.

Grimalkin się uśmiechała.

Maggie ruszyła ku mnie i uderzyła mnie mocno w twarz, tak że do oczu napłynęły mi łzy. Potem zawlokła mnie za włosy do stołu i chwyciła nóż.

– Ta dziewczyna sprofanowała Próby, inna musi ją zastąpić. Czy ta dziewczyna nadaje się na czarownicę z klanu Malkinów? – spytała donośnie.

– Niezdatna, niezdatna, niezdatna! – zanucił chórem krąg, tak że sterty kości znów zaczęły rozsypywać się i wibrować.

– Czy zasłużyła na śmierć? Mam ją teraz zabić? – zawołała Maggie.

Obejrzałam się na Lizzie. Nie potrafiłam rozszyfrować jej miny – nie nuciła też z siostrami, ale lekko pochyliła głowę, jakby poddając się woli kręgu. Z jej strony nie mogłam oczekiwać pomocy.

– Zabij ją! Zabij! Zabij! Zabij! Zabij! – ryknęły członkinie kręgu, kończąc serią przeszywających wrzasków.

Maggie uniosła nóż, szykując się do pchnięcia mnie w pierś. Zamknęłam oczy, walcząc z mdłościami.

Wiedziałam, że zaraz zginę.

## **ROZDZIAŁ 26**

## MY, SILNE

– Stójcie natychmiast! – wykrzyknął samotny głos rozkazującym tonem.

Otworzyłam oczy i ujrzałam, jak Grimalkin występuje z szeregu i podchodzi do Maggie.

– Na zbyt wiele sobie pozwalasz! – syknęła przywódczyni. – Swoim zachowaniem dziewczyna wydała na siebie wyrok śmierci.

Zerknęłam na Lizzie, której oczy rozszerzyły się ze zdumienia.

– To tylko dziecko, musi się jeszcze wiele nauczyć. – Grimalkin poluzowała sztylet tkwiący w pochwie, ostra metalowa klinga załśniła w blasku ognia. – Odbierając jej życie, możecie zmarnować rzadki talent. Jest odważna, zasługuje na poddanie drugiej próbie. Przekonajmy się, jak silna mogłaby się stać.

Maggie mocniej zacisnęła uchwyt na moich włosach.

– Klan zagłosował za jej śmiercią, jako przywódczyni mam obowiązek ją zabić. Próby zostały zbrukane. Zabijemy dziewczynę i znów się spotkamy podczas następnego sabatu, by przeprowadzić nowe Próby.

Grimalkin jeszcze trochę wysunęła sztylet z pochwy i postąpiła krok ku Maggie. Balansowała na palcach, napięta jak sprężyna, gotowa do skoku. Wśród zebranych zapadła śmiertelna, wyczekująca cisza.

– Przywódczyni klanów można zastąpić – syknęła Grimalkin, potem omiotła spojrzeniem szereg czarownic. – Podobnie cały krąg!

Ujrzałam strach w ich oczach, niektóre cofnęły się, jedna zerknęła na drzwi, jakby obliczała szanse ucieczki. Wszystkie wyraźnie bały się Grimalkin – nawet Lizzie. Sądziłam, że krąg panuje nad zabójczynią, która bez słowa sprzeciwu wypełnia jego rozkazy. Najwyraźniej równowaga sił wyglądała zupełnie inaczej.

– Gadasz bzdury, nic nie zostało sprofanowane. Kontynuujcie Próby. Niech Raknid zdecyduje – dodała Grimalkin bardziej ugodowym tonem. – Jeśli wyznaczy ją na śmierć, przyjmę jego

wybór.

Zastanawiałam się, kim jest Raknid – rozejrzałam się szybko, ale nie dostrzegłam w sali żadnych mężczyzn. Krąg miał kilku służących, lecz żaden z nich nie uczestniczył w spotkaniu.

Maggie westchnęła przeciągle, wypuściła moje włosy i odstąpiła od stołu.

– Niemądrze byłoby sprzeczać się o dziecko. Wkrótce, tak czy inaczej, jej los się rozstrzygnie. Przejdziemy do drugiej Próby.

Grimalkin przytaknęła, schowała nóż i dołączyła do koła czarownic. Dostrzegłam spojrzenie Lizzie, która wezwała mnie gestem. Posłuchałam i zajęłam poprzednią pozycję.

Byłam wdzięczna Grimalkin za interwencję – ocaliła mi życie. Ale dlaczego to zrobiła? Nie miałam jednak czasu, by się nad tym zastanowić, bo nadeszła pora drugiej części Prób.

Maggie przyjrzała się nam kolejno.

– Na razie wszystkie trzy wciąż żyjecie, ale śmierć zbliża się z każdą upływającą sekundą. Teraz przywołam Raknida, Poddającego Próbom. Oceni wasze siły i wybierze tę, która umrze.

– Kim jest Raknid? – spytała Marsha. Spodziewałam się, że Maggie nie odpowie, ale wyraźnie faworyzowała Marshę.

– Kiedyś istniał niebezpieczny bogin, ludzie nazywali go Rozpruwaczem z Pendle. Nasz klan posługiwał się nim do ataków na nieprzyjaciół. Był naprawdę potężny, w niecałe czterdzieści lat zabił ich ponad setkę. Potem ludzie założyli, że zginął bądź zasnął, lecz siedemdziesiąt lat temu z pomocą potężnej mrocznej magii wydzwignęliśmy bogina do poziomu demona. Wciąż spełnia nasze rozkazy, lecz większość czasu spędza w Mroku i odwiedza nasz świat, tylko kiedy go wezwiemy. Przedem wszystkim ocenia nowe czarownice i decyduje, która z trójki powinna oddać swą siłę i życie pozostałym.

Pomyślałam z irytacją o Lizzie. Z pewnością mogła mnie ostrzec przed tym, co się dziś stanie. Narazałam własne życie, a przecież weszłam do tej wieży jak jagnię wiedzione na rzeź.

Maggie pomaszerowała w stronę wielkiej skrzyni obok stołu,

szarpnięciem zdjęła czarną tkaninę. Gdy ją składała i ostrożnie położyła na stół, mój wzrok przyciągnął odsłonięty przedmiot. Spodziewałam się ujrzeć drewnianą skrzynię, tę jednak zrobiono z metalu. Stała na czterech żelaznych nogach wyrzeźbionych na kształt łuskowatych stóp zakończonych trzema ostrymi szponami. To była kwadratowa szafka, główny blat zrobiono ze szkła; pośrodku widniała niewielka, okrągła dziura.

Ciekawe, do czego służyła?

Na sygnał Maggie krąg znów zaczął nucić, rozpoznałam zaklęcie przywołania. Wzywały demona. Powietrze bardzo szybko zrobiło się zimne, zaczęłam dygotać. Zdawało mi się, że słyszę odległy huk gromu, potem jednak zrozumiałam, że dźwięk dochodzi gdzieś z dołu. Czyżby coś poruszało się w lochach? Wkrótce podłoga zadrżała, sama wieża zdawała się kołysać. Usłyszałam ryk, przypominający ostrzegawczy krzyk groźnego zwierzęcia i metalową szafką wstrząsnęły wibracje. A potem nagle wszystko ucichło i znieruchomiało.

Czarownice przywołały naprawdę bardzo niebezpieczną mroczną magię, bałam się, co teraz nastąpi. Czy którakolwiek z nas była bezpieczna w obliczu tak potężnej istoty?

– Raknid tu jest – oznajmiła Maggie. – Gotów do rozpoczęcia Próby. Ty pójdziesz pierwsza. Chodź, dziecko!

Wskazała ręką Glorię. Dziewczyna wystąpiła naprzód i stanęła obok przywódczyni klanu, która położyła jej dłoń na ramieniu i poprowadziła wprost do metalowej szafki.

– Włóż do niej rękę dłonią do góry, dziewczyno i zostaw tam. Zanim to jednak zrobisz, spójrz na Raknida. Gloria zerknęła przez szkło, zobaczyłam, jak oczy robią jej się okrągłe ze strachu.

– Nie – wymamrotała. – Nie chcę tego robić.

– Nie masz wyboru, dziewczyno. Każda czarownica z naszego klanu musiała to znieść. Wkładaj rękę do szafki i nie próbuj jej zabierać, póki ci na to nie pozwolę. Cofnij się wcześniej, a resztę życia przeżyjesz bez ręki. Zrozumiano?

Gloria przytaknęła i bardzo powoli i niechętnie przesunęła dłoń



przez okrągłą dziurę. Po sekundzie wrzeszczała jak prosiak, któremu podrzynają gardło.

Na dźwięk tego krzyku cała zadygotałam. Co się kryło w szafce? Wkrótce znajdzie się w niej moja ręka.

Po trzydziestu sekundach Maggie poleciła Glorii zabrać dłoń i wrócić na miejsce. Posłuchała, przyciskając rękę do boku. Ściekała z niej krew – demon wyraźnie ją ukąsił. Przelanie krwi stanowiło bez wątpienia część procesu Próby.

Nadeszła kolej Marshy. Z pewną siebie miną wystąpiła naprzód, gdy jednak zerknęła przez szybę do szafki, ujrzałam, jak jej także strach wykrzywia rysy, kolana ugięły się pod nią. Jaką postać przyjął demon? Musiał być naprawdę straszny.

Jakkolwiek jednak wyglądał i jak wielki zadawał ból, Marsha okazała się znacznie dzielniejsza od Glorii. Krzyknęła tylko raz, a potem umilkła, czekając, aż demon zrobi swoje. Aż za szybko nadeszła moja kolej. Wystąpiłam naprzód.

– Nie mogło być lepiej, Alice Deane – oznajmiła przywódczyni klanu. – Jest w tym pewna sprawiedliwość po tym, co wcześniej zrobiłaś. Spójrz w dół!

Zerknęłam przez szybę i natychmiast zaczęłam trząść się ze strachu. Demon przybrał postać gigantycznego pająka o korpusie rozmiaru ludzkiej głowy; każda z ośmiu nóg była długa jak moje przedramię.

Kiedyś był tylko boginem, potem zyskał większą moc i przemienił się w demona. Włochate boginy zazwyczaj przyjmowały postać psów, kotów, kóz bądź koni. Nigdy nie słyszałam o takim, który wyglądałby jak pająk. Był rzadki i zapewne bardzo niebezpieczny.

– Wsuń lewą rękę do szafki, dziewczyno! – rozkazała Maggie. – Dłonią do góry.

Zaczęłam dygotać, złana potem. Pająki widniały na szczycie listy robali, których się bałam. Co za koszmar. Jak miałam to zrobić?

Ale Maggie o mało mnie nie zabiła. Gdybym teraz odmówiła,

zapłaciłabym życiem. Nawet Grimalkin nie zdołałaby mnie ocalić.

Potrzebowałam całej siły woli, by zmusić ciało do posłuszeństwa. Powoli, nerwowo, czując suchość w ustach, przesunęłam dłoń przez dziurę w stronę wielkiego, przerażającego pająka.

Mimo strachu byłam zdecydowana nie okazać go po sobie, nie krzyknę z bólu. Po co dawać im tę satysfakcję?

Pająk położył jedną z włochatych nóg na moim przegubie. Gdy mnie dotknął, zadrżałam. Noga zdawała się bardzo ciężka, wiedziałam, że przyciska moją rękę abym nie mogła nią ruszyć. Kiedy stwór otworzył paszczę, potrzebowałam całej siły woli, by nie krzyknąć, miał bowiem długie, zakrzywione, jadowite zęby węża.

Wgryzł się szybko w miękki pagórek ciała pod kciukiem. Jęknęłam, ale jakimś cudem zdołałam nie krzyknąć. Ból był bardzo ostry, zupełnie jakby ktoś wbijał mi coraz głębiej w ciało dwie rozżarzone do czerwoności igły. A potem zaczęła płynąć krew, zbierając się w czerwoną kałużę na środku dłoni. Zdawało się, że trwa to wiele minut – znacznie dłużej niż u poprzednich dwóch dziewczyn – w końcu jednak Maggie kazała mi cofnąć rękę.

Nie przycisnęłam jej do sukienki jak pozostała dwójka. Bo niby po co? Potem musiałabym tylko męczyć się ze spieraniem plam – oczywiście, jeśli przeżyję tę noc. Po prostu opuściłam rękę i wróciłam na swoje miejsce obok Lizzie, pozostawiając za sobą ślad krwi na kamiennych płytach.

W szafce zabrzmiał głos, od którego znów zawibrowały stosy kości. Był ostry i zgrzytliwy niczym odgłos pilnika przesuwanego po chropowatym metalu.

– Najsłabsza jest dziewczyna, imieniem Gloria. Jej kościana magia nie będzie godna tego miana, lepiej nadaje się na służącą niżli czarownicę – do gotowania i sprzątanania. Co do Marshy, jest trzykroć silniejsza i stanie się potężną czarownicą krwi. Zdecydowanie najsilniejsza ze wszystkich jest jednak dziewczyna, imieniem Alice, potrzebuje tylko stosownego pobratymca.

Ujrzałam, jak twarz Maggie wykrzywia grymas złości, pozostałe czarownice sapnęły ze zdumienia. Maggie chciała, żebym to ja okazała się najsłabsza, a Marsha najsilniejsza, nie wątpiłam w to ani przez moment. Pożałowałam jednak biednej Glorii – jako najsłabsza to ona zapłaci życiem. Co do jego słów dotyczących mojej osoby, zdumiały mnie. Niechętnie podjęłam naukę i nie sądziłam, że wyróżniam się jakimkolwiek talentem. Wcale nie chciałam być silną czarownicą. Lecz demon jeszcze nie skończył.

– Choć najpotężniejsza, to Alice musi oddać życie. Wyczuwam zagrożenie. Pewnego dnia może stać się nieprzyjaciółką Mroku. Bezpieczeństwo nade wszystko, odbierzcie zatem jej siłę i podzielcie ją między pozostałe!

– To niesprawiedliwe! – krzyknęłam, po raz pierwszy broniąc własnej sprawy. – Przeszłam Próbę i pokonałam pozostałą dwójkę! Jestem najmocniejsza, czemu miałabym umrzeć?

– Zamknij gębę, dziewczyno! Raknid przemówił, a słowo Poddającego Próbie jest prawem. Nawet Grimalkin mu się nie sprzeciwi, czyż nie tak? – Maggie obejrzała się na wiedźmę zabójczynię.

Ja także odwróciłam się w jej stronę, wbrew wszystkiemu licząc, że znów wystąpi w mojej obronie. Ona jednak tylko zacisnęła wargi i niemal niedostrzegalnie skinęła głową.

Zwróciłam się zatem do Lizzie.

– Pomóż mi! – błagałam. – Jak mogą to robić, skoro jestem najsilniejsza?

– Nic nie poradzę, dziewczyno. Prawo jest prawem.

Nikt nie chciał mi pomóc. Wiedziałam, że to koniec. Sądziłam, że oddadzą mnie Raknidowi, lecz ku memu zdumieniu wiedźmy znów zaczęły nucić, metalowa szafka ponownie zadrżała, a w sali robiło się coraz cieplej. Gdy zakłęcie wybrzmiało, zapadł spokój i cisza. Raknid odszedł. Demon powrócił w Mrok.

– Przyrowadź dziewczynę! – poleciła Maggie i Lizzie popchnęła mnie ku niej.

Ku memu zdumieniu twarz przywódczyni klanu wyrażała

smutek.

– Robiłam to już wiele razy, dziewczyno – rzekła – i wiem, że musisz się bać. Chciałabym zatem cię pocieszyć. Po pierwsze, mogę ci przyrzec, że nie będzie bolało. Poczujesz nacisk w głowie, a potem osuniesz się w kojącą ciemność i ból życia przeminie. Chcę też, żebyś wiedziała, że pomożesz swojemu klanowi, więc twoja śmierć nie pójdzie na marne. Dwie pozostałe młode wiedźmy, Marsha i Gloria, przejmą twoją siłę i lepiej będą mogły służyć naszym celom. A masz mnóstwo mocy, pamiętaj o tym. Pozostawisz po sobie dziedzictwo, dziewczyno, ciesz się, bo możesz nam się przysłużyć.

Zerknęłam na Lizzie. Nie żebym oczekiwała z jej strony pomocy, bo oznajmiła wyraźnie, że w żaden sposób nie sprzeciwi się prawu klanu. Myślałam jednak, że może chociaż okaże cięń smutku na myśl o mojej śmierci albo irytację, że zmarnowała na moją naukę tak wiele czasu. Ale jej twarz przypominała maskę – ani śladu emocji – a oczy były niczym dwa czarne węgle.

– To nieuczciwe! – zawołałam. – Co wy mnie obchodzie? Moje życie nie jest dla was warte złamanego grosza! Zaraz umrę!

– Śmierć nie jest taka zła – oznajmiła Maggie. – Zaniesiemy twoje ciało do Wiedźmiego Jaru i pogrzebiemy w płytkim grobie pod gnijącymi liśćmi. Będzie ci wygodnie i przytulnie, a kiedy pierwszy promień księżyca w pełni padnie na twój grób, powrócisz do życia i będziesz mogła zapolować na ofiary. Martwe czarownice uwielbiają smak krwi, a jest jej tak wiele przepysznych odmian – szczury, myszy, króliki, nawet ludzie, jeśli zdołasz jakiegoś złapać.

– Kłamiesz! – wrzasnęłam. – To spotyka tylko martwe czarownice, a ja nie jestem jeszcze czarownicą. Trafię prosto w Mrok, a ty dobrze o tym wiesz!

Maggie nie odpowiedziała. Wiedziała, że to prawda. Odwróciłam się i pobiegłam w stronę wielkich wrót, szybko jednak pojęłam, że w żaden sposób nie zdołam uciec, bo okazały się zaryglowane. Potrzebowałabym kilku minut, by odciągnąć wszystkie rygle, a nawet wtedy zapewne nie starczyłoby mi sił, by

samodzielnie odepchnąć ciężkie skrzydło. Do tego czarownice podniosły zwodzony most. Ale w tym momencie w ogóle nie myślałam, byłam niczym przerażone zwierzę w pułapce, gdy zjawia się leśniczy.

Czarownice złapały mnie z łatwością i z powrotem przyprowadziły do Maggie. Szybko związały mi ręce za plecami i zmusiły, bym przed nią uklękła. Czułam się odrętwiała, nie mogłam uwierzyć, że to mnie spotyka. Umysł wypełniły mi wspomnienia z dzieciństwa: zobaczyłam tatę i mamę tarzających się po podłodze, walczących, on próbował ją udusić, ona wydrapać mu oczy długimi paznokciami. Ale zdarzały się też szczęśliwsze chwile: samotny spacer po lesie do wtóru śpiewu ptaków. Moje życie ledwo się zaczęło, miałam nadzieję, że w jakiś sposób się polepszy, ale właśnie miało dobiec końca tu, w Wieży Malkinów.

Nie mogłam się uratować. Podjęły już decyzję, a mnie brakowało sił, by walczyć z nimi wszystkimi.

Dwie czarownice przytrzymały mnie w miejscu, Gloria i Marsha położyły mi dłonie na lewym ramieniu. Potem Maggie przycisnęła rękę do mojej głowy i zaczęła na nią napierać, intonując śpiewne zaklęcie, które wyssie ze mnie siłę i życie, i przeleje w ciała obu dziewcząt, pozostawiając mnie martwą jak głaz na podłodze.

Z początku jeszcze walczyłam, potem jednak poczułam pierwszy ból: powolny nacisk narastający wewnątrz czaszki, coraz silniejszy, aż w końcu miałam wrażenie, że głowa zaraz mi eksploduje. Ledwie mogłam myśleć, pozostawały tylko uczucia – mieszanina wściekłości i urazy.

Czemu miałam zginąć, choć Marsha i Gloria przeżyją? To niesprawiedliwe!

Musiałam krzyknąć albo może po prostu jęknęłam ze złością. Następne, co pamiętam, to to, że ręce z mojego ciała zniknęły, a Maggie odeszła.

Dźwignęłam się z ziemi. Maggie leżała na wznak, całym jej ciałem wstrząsały konwulsje. Oczy wywróciła w głąb głowy,

wypluwała małe kawałki zęba, bryzgając wokół wymiocinami. Dwie czarownice, które mnie trzymały, klęczały przyciskając ręce do ciał, ich twarze wykrzywiały grymas bólu. Obie dziewczyny płakały.

Rozejrzałam się dokoła i ujrzałam oczy przyglądające mi się ze zgrozą. Co się stało? Tylko Grimalkin się uśmiechała. Wystąpiła naprzód, biorąc mnie za rękę, a potem obróciła się do Lizzie.

– Dziewczyna może odejść – oświadczyła. – Inna straci życie.

Lizzie pokiwała powoli głową i także się uśmiechnęła. Po chwili uwolniły mi ręce, wielkie wrota Wieży Malkinów otwarły się, a most opuścił. Zdumiona wyszłam na świeże powietrze z Grimalkin u boku, Lizzie dreptała tuż za nami. Nie mogłam uwierzyć, że to koniec i że wciąż żyję.

Na moście wiedźma zabójczynie pochyliła się blisko mojego lewego ucha.

– Ja też rozdeptałabym tego pajaka, Alice – wyszeptała. – Tak właśnie postępujemy, my, silne: miażdżymy wszystko, co nam się nie podoba. Wszystko, co nam zagraża, zostaje zniszczone.

Przez całą drogę do domu Koścista Lizzie nie odpowiadała na moje pytania, dopiero w domku w końcu się ugięła.

– Czy nadal będą chciały mnie zabić? – zapytałam. – Czy wciąż muszę umrzeć?

Pokręciła głową.

– Nie, dziewczyno, chwilowo jesteś bezpieczna. Maggie okazała się za słaba, by wyssać z ciebie moc. Zapłaciła zatem cenę. Kiedy dojdzie do siebie, jedna z pozostałych będzie musiała umrzeć zamiast ciebie. To będzie Gloria, bo jest najsłabsza.

– Dlaczego Maggie nie mogła tego zrobić? Czemu nie udało jej się odebrać mi mocy?

– Kto wie? – Lizzie obdarzyła mnie osobliwym uśmiechem. – Ale wiedźma, odbierająca innej moc, musi być silniejsza od swej ofiary, inaczej płaci wysoką cenę.

– Twierdzisz, że w jakiś sposób jestem silniejsza od Maggie? – zdumiałam się.

– Jeszcze nie, dziewczyno, więc nie nabijaj sobie głowy bzdurami. Czekają cię mnóstwo pracy, ale musisz mieć potencjał, w przeciwnym razie Maggie nie powaliłby atak drgawek.

## ROZDZIAŁ 27

### PAJĘCZY DEMON

Wciąż pamiętałam własne Próby, jakby zdarzyły się wczoraj – to, jak rozdeptałam pająka obcasem szpiczastego trzewika; jak wbrew własnej woli wsunęłam dłoń do szafki ze szklanym blatem i pozwoliłam Raknidowi, pajęczemu demonowi, się ugryźć. Potem oznajmił, że jestem najsilniejsza z trzech dziewcząt...

Słowa Raknida okazały się prawdziwe. Rzuciłam wyzwanie Złemu i jego sługom, co oznaczało, że Raknid jest moim wrogiem. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z jego planem, umrę tutaj.

Ale ja także miałam tu coś do powiedzenia! Byłam silna i zrobię to, co konieczne.

– Spójrz! Tam w górze! – Thorne wskazała ręką coś niemal dokładnie nad nami.

To był skelt, który nas tu doprowadził. Miałam wrażenie, że się skręca, machał nogami, obracał się, wirował, wisząc na czymś, co przypominało linę.

Nie, nie linę – stwora krępowały coraz to nowe jedwabne nici, snute przez ciało demona, wciąż pozostające w ukryciu wysoko nad nami. Teraz demon podciągnął skelta w górę. Patrzyłam, jak oddala się coraz wyżej i wyżej, w ciemność sklepienia, gdzie nie sięgało światło mojej świecy. W miejsce, gdzie pajęczy demon czekał na posiłek.

Stwór zapłacił straszliwą cenę za doprowadzenie nas do sali tronowej.

– Może Raknid zajmie się skeltem i nas nie zauważy... – podsunęła Thorne.

Ale w jej głosie brakowało przekonania. Obie znałyśmy prawdę.

– Raknid zorientuje się szybko, że tu jesteśmy, posili się, wysie krew ze skelta, a my będziemy następną pozycją w jego jadłospisie. Aby uciec z sali tronowej, będziemy musiały z nim walczyć.

– Znajdźmy sztylet i wynośmy się stąd – pospieszyłam w stronę gigantycznego tronu.

Lecz im bardziej się zbliżałam, tym mniej podobało mi się to, co widzę. Tron ustawiono na podstawie górującej nad trawiastą ścieżką. Mogłyśmy wejść pod niego i poszukać, nawet się nie schylając. Wszystko wydawało się niemal zbyt łatwe. Czy to pułapka? Czy kryło się tam coś jeszcze prócz pajęczego demona?

Gdy tylko ta myśl pojawiła się w mojej głowie, dostrzegłam coś poruszającego się pod tronem, blask oczu, w którym odbijało się światło świecy.

Weszłam pod tron Złego, wysoko unosząc ogarek, obok mnie stąpała Thorne. I wtedy przekonałam się, że oczu jest wiele, należały do najróżniejszych wielkich owadów. Niektóre były olbrzymie, najbliższy przypominał stonogę, miał długie, pulsujące ciało, grubsze od mojej ręki.

Znowu okropne robale...

A potem blask świecy ukazał kolejny koszmar. Wszystkie te stwory miały ludzkie twarze. Stonoga przemówiła głosem, przypominającym szelest i trzask suchych martwych liści, którymi porusza wiatr. W jakiś sposób jednak wyczułam w nim przemożny smutek.

– Kiedyś wędrowaliśmy po ziemi w ludzkich ciałach – wyjaśniła. – Służyliśmy Złemu na ziemi, potem jednak go rozgniewaliśmy. Oto nasza kara – musimy w tej postaci przez wieczność pełzać pod jego tronem. Inni, podobni do nas, żyją w kryptach pod bazyliką, a także w najgłębszych piwnicach miasta. Nie znosimy, gdy się na nas patrzy. Odejdźcie stąd i pozwólcie nam cierpieć w spokoju.

Stwór spojrział w płomień świecy i z jego zmrużonych oczu popłynęły łzy.



Na twarzy Thorne odbiło się zdumienie i litość, toteż to ja musiałam odpowiedzieć.

– Odejdziemy, gdy tylko będziemy mogły – wyjaśniłam. – Ale najpierw musimy coś znaleźć. Pod tym tronem ukryto sztylet. Pokażcie nam, gdzie jest, a natychmiast stąd znikniemy.

Żadne z żalonych stworzeń nie odpowiedziało. Tak bardzo przywykłe do ciemności, że raził je płomyk mojej świeczki, po prostu odwróciły się i uciekły.

Wraz z Thorne bez słowa zaczęłyśmy przeszukiwać trawę pod tronem. Gdzie się podziewał sztylet? Mógł leżeć ukryty w trawie: ta pod tronem bardzo się różniła od pachnącego, ukwieconego kobierca, który przywiódł nas od drzwi sali aż tutaj. Była mokra, cuchnęła zgnilizną, nasze buty zanurzały się w nią, mlaszcząc. Wszędzie wokół walały się odrażające śmieci – martwa skóra zrzucona przez stworzenia, które już uciekły, a także szorstkie włosy i coś jakby brodawki. Wolałam nie dotykać ich ręką, toteż rozsuwałam wszystko butami.

Jednocześnie skończyłyśmy poszukiwania. Niczego nie znalazłyśmy.

– Może zakopali go w ziemi? – podsunęła Thorne. Czyżbyśmy musiały przekopać cały obszar pod tronem?

– Sztylet może być wszędzie – odparłam. – Co, jeśli już go stąd zabrano? Jeżeli Morwena wiedziała, że po niego przyjdziemy, mogła go wziąć.

I wtedy nagle poczułam mdlący strach w głębi żołądka.

– Jest jeszcze ktoś, kto mógł go ukryć... – wymamrotałam.

Thorne pokiwała głową.

– Masz na myśli Raknida? Owszem, to bardzo prawdopodobne.

Razem wyłoniłyśmy się spod gigantycznego tronu i spojrzałyśmy w górę. Skelt zniknął, między ścianami i kawałkami podłogi rozciągały się pasma pajęczyny, każde grubsze niż mój palec; kilka nawet ucepiono wysoko na tronie.

Uniosłam świecę jak najdalej, oświetlając niższy skraj środkowej części pajęczyny. Była naprawdę wielka, dostrzegłam

też tkwiące w niej istoty, od dawna martwe, wysuszone – ofiary Raknida.

Ale nie były to muchy, które można znaleźć w zwykłej pajęczej sieci.

Te miały ręce i nogi, a także głowy.

To byli ludzie.

– Na miejscu Raknida powiesiłabym klingę wysoko, by każdy, kto jej szuka, musiał się po nią wdrapać – oznajmiła Thorne.

– Ja też bym tak zrobiła – odparłam.

Bałam się, ale nie dotarłam aż tak daleko i nie przeżyłam tak wiele, aby teraz się wycofać.

Thorne wskazała najbliższe pasmo i pokręciła głową.

– Jest lepka, przyczepisz się do niej. Gdy tylko jej dotkniesz, sieć zacznie wibrować, alarmując pajęczego demona. Jego stopy nie przykleją się do pajęczyny, tak jak twoje. Przebiegnie po niej i wstrzyknie ci swój jad, sparaliżuje cię. Potem zawlecze cię w ciemność i zacznie się posilać. Cały czas zachowasz świadomość i będziesz cierpieć katusze. Nie tylko wysysie z ciebie krew, ale też mózg z czaszki. Wysączy każdą kroplę płynu z twojego ciała, pozostawiając suchą, martwą powłokę. Nie rozumiesz? On chce, żebyś się tam wspięła! Nie rób tego, Alice. Musi istnieć inny sposób.

I wtedy, zupełnie jakby słuchał każdego słowa, Raknid przemówił do nas z ciemności w górze. Jego niski, ochryply głos wibrował mi w głowie i w zębach.

– O tak, wdrap się do mnie, mała czarownico. Przekonajmy się, jaka jesteś odważna. Nie słuchaj swojej tchórzliwej, martwej przyjaciółki. Co ona wie? Mam sztylet Posepny, którego szukasz. Czy starczy ci odwagi, by spróbować mi go odebrać?

– Ja się wdrapię i będę z nim walczyć – oświadczyła Thorne z furją. – Przylepię się do pajęczyny, ale kiedy zaatakuje, odkryje, że niełatwa ze mnie zdobycz. Ten nóż wydłubie mu oczy!

– Zaczekaj chwilę, daj mi z nim najpierw pomówić – złapałam Thorne za rękę, by powstrzymać ją przed wspięciem się na

najbliższe pasmo sieci.

Gdzieś wewnątrz mnie przebudził się gniew. W Wieży Malkinów ten demon napił się mojej krwi, a potem skazał mnie na śmierć. Teraz nie tylko odbiorę mu sztylet, odpłacę też Raknidowi za to, co uczynił.

– Uważam, że kłamiesz! – zawołałam w ciemność. – Nie wierzę, że masz sztylet.

– Po co miałbym kłamać? Klinga jest ze mną.

– W takim razie pokaż mi ją! Udowodnij, że ją masz. Chcesz, żebym wdrapała się do ciebie po nic?

– Jak na małą wiedźmę narobiłaś nam wielkich kłopotów; wiedziałem o tym, gdy skosztowałem twojej krwi. Jesteś silna jak na zwykłą dziewczynę i w stosownym czasie mogłabyś stać się najpotężniejsza, ale nie dożyjesz chwili, gdy zdołasz wypełnić swój potencjał. Miałem rację co do niebezpieczeństwa, które w tobie wyczułem. Poważnie zagrażasz memu panu. Pokażę ci jednak klingę, bo wiem, że sprowadzi cię do mnie! A wtedy cię zabiję!

Nagle wielka pajęczyna zadrżała. Raknid zapewne czaił się na gzymsie wysoko w górze. Teraz zsuwał się na nici, która zadygotała pod jego ciężarem. Po kilku sekundach zajął pozycję pośrodku sieci.

Byli wielki – znacznie większy niż w owej metalowej szafce w Wieży Malkinów. Jego zaokrąglony korpus, pokryty długimi, jedwabistymi, brązowordzawymi włosami, dorównywał rozmiarami bykowi, lecz osiem długich, cienkich, czarnych nóg potrajało wielkość demona.

A u jego boku ujrzałam sztylet przylepiony do sieci.

– Widzę klingę! – zawołałam. – Ale skąd mam wiedzieć, czy to Posepny? Nie da się tego stwierdzić z takiej odległości. Przynieś go bliżej, żebym mogła się upewnić.

– Nie, mała wiedźmo, musisz wdrapać się do mnie!

Pochyliłam się, szepcząc do ucha Thorne.

– Kiedy spadnie, bądź gotowa go zabić.

Jej oczy zaokrągliły się ze zdumienia.

Wówczas pobiegłam naprzód i uniosłam płomyk świeczki do najbliższego pasma pajęczyny. Zadymiło odrobinę, ale poza tym pozostało nietknięte; nie zajęło się ogniem.

Świeca zamigotała, jakby za moment miała zgasnąć.

– Ty głupia! – Raknid roześmiał się.

Ale nie byłam głupia, jedynie dostatecznie zdesperowana, by zrobić to, co konieczne. Zbierałam w sobie moc, dlatego właśnie zwlekałam. Nie odezwałam się ani słowem, nie potrzebowałam zaklęć – choć wiedziałam, że później zapewne za to zapłacę.

Przypomniałam sobie, jak kiedyś Agnes Sowerbutts ostrzegła mnie przed użyciem magii.

„Nie możesz używać tej mocy dla nikogo, dla niczego, inaczej cię zniszczy. Pochodzi z samego jądra Mroku i jeśli będziesz jej używać wedle woli, pochwyci cię i odbierze ci duszę.”

Ale musiałam zaryzykować. Zatem zażyczyłam sobie... I stało się. Płomień świecy stał się jaśniejszy, wyższy. Przeskoczył na pajęczynę, po czym pomknął po niej w górę w stronę demona.

Przez sekundę Raknid nie zareagował; może nie mógł uwierzyć własnym oczom...

Cała sieć z sykiem zajęła się ogniem, żółtym i pomarańczowym, tak jasnym, że jego blask ranił mi oczy. Raknid także płonął, palił się i wrzeszczał – tak ostro, iż miałam wrażenie, że wbija mi w uszy szpilki. Czerwone futro poczerniało, zwęglone.

Teraz spadał, leciał jak meteoryt wprost ku ziemi. Ale sztylet spadał szybciej.

Niczym sokół mknący na przegub sokolnika sztylet Posępny śmignął wprost ku mojej wyciągniętej dłoni. Złapałam go za ręką i rzuciłam Thorne. Zawirował w powietrzu raz po raz; złapała go szybko.

– Zabij go! – poleciłam.

Raknid, wciąż wrzeszcząc, uderzył o ziemię w deszczu iskier.

Thorne natychmiast rzuciła się na niego.

Umilkł.

A potem uciekłyśmy.

## ROZDZIAŁ 28

### BIEDNA, DZIELNA THORNE

Podczas pierwszej przerwy na złapanie oddechu obejrzałam uważnie sztylet. Przypominał pozostałe, niezbędne do rytuału. Miecz i sztylety miały różną długość, ale identyczne rękojeści, ozdobione głowami skeltów i rubinowymi oczami. To jednak był Posępny – klinga, która odbierze mi życie.

I wtedy, gdy trzymałam sztylet, zalała mnie fala smutku. Nie przypominała niczego, czego dotąd doświadczyłam. Nie chodziło wyłącznie o to, że wiązał się z moją własną, coraz bliższą śmiercią: zupełnie jakbym nagle poczuła smutek milionów dusz. Zachwiałam się i omal nie upuściłam noża, Thorne musiała mnie przytrzymać.

– Dobrze się czujesz? Nic ci nie jest? – spytała niespokojnie.

Uznałam, że nie ma sensu wyjaśniać, czego właśnie doświadczyłam, toteż jedynie się uśmiechnęłam.

– Jestem zmęczona, to wszystko. Musimy ruszać dalej, muszę stąd odejść.

Podjęłyśmy przerwany marsz. Bardzo długo trwało, nim wywęszyłyśmy bramę, odnalazłyśmy ją po wielu godzinach poszukiwań. Cały czas się bałam, świadoma, iż ścigają nas bardzo potężne istoty.

A wrogowie mieli mnóstwo powodów, aby próbować nas powstrzymać.

Thorne zraniła Belzebuba i zabiła Kła; walczyłyśmy z wodnymi wiedźmami i byłyśmy na miejscu, kiedy zginęła Morwena; zniszczyłyśmy demona Raknida. A teraz uciekałyśmy z Posępnym, jednym z trzech mieczy bohaterów, mogących zniszczyć Złego.

Zrobią wszystko, byle tylko nas złapać.

W końcu jednak znalazłyśmy bramę, przeszłyśmy przez nią bezpiecznie i raz jeszcze znalazłyśmy się na białej ścieżce,

przecinającej czarną otchłań między królestwami.

I wtedy, gdy zbliżyliśmy się do jaskini, znalazł nas demon Tanaki.

W mgnieniu oka zjawił się ojciec Krecza.

Był kolosalny – zdecydowanie za wielki, by pomieścić się w jaskini – ale zmaterializował się pomiędzy nami i schronieniem. Dotarłam tak blisko, teraz jednak widziałam, że nie zdołamy uciec.

Nie potrafiłam stwierdzić, czy Tanaki unosi się w powietrzu, czy też stoi na czymś daleko poniżej ścieżki. Dosiadał jej jednak w rozkroku, jego nogi kończyły się na wysokości naszych głów, natomiast ciało i głowa wznosiły się wysoko nad nami. Wyglądał doprawdy przerażająco i podobnie jak jego syn, Krecz, musiał mieć w sobie bardzo dużo z wilka.

Z włochatych, wydłużonych szczęk sterczały w górę i w dół wielkie, szpiczaste kły, za duże, by pomieściła je paszcza. Otworzył ją i ryknął, a cuchnący oddech omiółł nas, parząc niczym para, tak że musiałam osłonić oczy przedramieniem. Bez trudu zmieściłabym się w tej paszczy; dla takiego potwora byłam najwyżej drobnym kąskiem, który przełknie w jednej chwili.

I znów Thorne stanęła pomiędzy mną i zagrożeniem. Była dzielna i niebezpieczna, ale jakie miała szanse w starciu z podobnym potworem?

Już wysuwała sztylet z pochwy, ale demon okazał się nie tylko wielki, lecz bardzo szybki. Uderzył w nią łuskowatą, szponiastą ręką. Odskoczyła, wykręcając salto w tył, lecz Tanaki zadał jej potężny cios w ramię, tak że obróciła się i runęła na kamienie.

Zacisnął łapy po obu stronach ścieżki i otworzył paszczę, gotów zmiażdżyć Thorne w zębach. Musiałam coś zrobić.

Ale czy odważę się jeszcze raz posłużyć magią?

Z pewnością dotarłam już niemal do granicy, zza której nie zdołam zawrócić...

## **ROZDZIAŁ 29**

## JĄDRO CIEMNOŚCI

Za każdym razem, gdy używałam magicznej mocy, półksiężyc na moim udzie rósł coraz bardziej. Teraz był już bliski pełni.

Słój krwi, z pomocą którego uchroniłam Toma przed Złym, nie zaszkodził mi zbytnio. Ale w Irlandii musiałam przywołać swoje moce, by ocalić Toma przed pewną śmiercią. Wypląnęło ze mnie tyle magicznej energii, że wywołałam trzęsienie ziemi. Uratowałam nas, ale tarcza znamienia wypełniła się do połowy.

Potem, wkrótce po śmierci Thorne, pomogłam Grimalkin odzyskać głowę Złego, wykradzioną przez jego sługi. Mieli właśnie pożeglować do Irlandii, gdzie połączyliby głowę i ciało, przywracając Złemu wcześniejszą postać, w której mógł swobodnie krążyć po świecie. Magiczną mocą przywołałam sztorm i spaliłam ich statek. Dzięki mojemu wsparciu Grimalkin zwyciężyła, ale zapłaciłam straszną cenę. Jeszcze przed spaleniem pajęczego demona Raknida znamię na moim udzie niemal się zaokrągliło. Po starciu nie odważyłam się nawet zerknąć, w obawie przed tym, co mogę ujrzeć. Dalsze korzystanie z magii mogłoby zamienić je w pełny krąg. Wówczas zawsze już będę należeć do Mroku.

Biedna, dzielna Thorne na ziemi zginęła okropną śmiercią: na skraju Wiedźmiego Jaru mroczny mag Bowker odciął jej kciuki. Teraz czekała ją druga śmierć, w zębach demona Tanakiego.

Jak mogłam na to pozwolić, skoro tak bardzo mi pomogła?

Ale wiedziałam przecież, co się stanie, jeśli użyję przeciw niemu magii!

Kolana uginały się pode mną, miałam wrażenie, że serce wyrwie się z piersi. Zmusiłam się jednak, by wystąpić naprzód i stanąć między Thorne a potworną paszczą, pełną złowieszczych, mściwych zębów.

Nie zamierzałam marnować swojej mocy – nie uchroni mnie przed deszczem w czasie ulewy ani nie odsunie gałęzi znad mojej ścieżki, gdy ruszę do Pendle z wizytą do Agnes. Użyję jej, by

walczyć z demonem Tanakim, dla Thorne.

– Odejdź – uniosłam obie pięści. – Zostaw ją!

Na moment olbrzymia głowa zamarła. W głodnych oczach bestii ujrzałam serię trzech nowych uczuć: rozbawienie, gniew i w końcu pogardę.

I to właśnie ona wzbudziła we mnie furję, wzbierającą niczym żółć w gardle.

– Nie wiesz, kim jestem! – krzyknęłam na niego. – Nie wiesz, kim naprawdę jestem!

Otchłań rozdzwięczała się echem szyderczego śmiechu demona. Tanakiego rozbawił mój wybuch.

I wtedy znów przemówiłam – tym razem spokojnie, słowa wydostały się szeptem z moich ust, jakby wypowiedział je ktoś inny.

– Mam na imię Alice – oznajmiłam – a tobie brak sił, by mi się sprzeciwić!

Skoro mogłam spalić Raknida, mogłam to samo zrobić z Tanakim.

Nie miałam wyboru. Niezależnie od ceny musiałam to uczynić.

Mój gniew stał się ogniem. Zadrzałam z rozkoszy, gdy wytrysnął z mego ciała, wypływając ramionami i rękami i strzelając z zaciśniętych pięści. Dwa gejzery białego płomienia jednocześnie trafiły w cel – w oczy demona.

Stałam, chwiejąc się, niemal unosząc nad ścieżką, tak wielką czułam radość. Teraz to demon krzyczał, oczy roztapiały mu się i spływały po policzkach. A potem, niczym wielkie drzewo powalone toporem drwała, powoli przewrócił się na bok i runął w otchłań.

Odwróciłam się i podniosłam Thorne z ziemi. Sprawiała wrażenie oszołomionej, patrzyła na mnie wielkimi oczami. Otworzyła usta, by coś powiedzieć, ale nie zabrzmiało żadne słowo. Chwyciłam ją za rękę, a ona oparła się o mnie, gdy potykając się pomaszerowałyśmy ścieżką pod osłonę jaskini. Już w środku odtrąciła mnie, toteż znów wyciągnęłam z kieszeni świeczkę, zapaliłam wysiłkiem woli i ruszyłam dalej w ciemność.



Trzykrotnie wędrowaliśmy przez jaskinie i odnajdowaliśmy bramy, wiodące w inne miejsca. Raz trafiłyśmy do krainy lodu i śniegu, gdzie zginęłybyśmy niechybnie, gdyby nie to, że brama znalazła się w pobliżu. Raz ponownie ujrzałyśmy gorące królestwo, w którym skelty wybiegły z wrzącego jeziora. Ale byłyśmy tu już wcześniej, a brama pozostała w tym samym miejscu. Opuściłyśmy je szybko, zaczynałam jednak czuć ogromne zmęczenie.

W końcu znalazłyśmy się w krainie, pogrążonej w absolutnej ciemności. Słyszałyśmy ryki wielkich drapieżników i tupot ich gigantycznych stóp, zbliżały się z każdą chwilą.

Było niebezpiecznie, ale znalazłyśmy bramę, nim one odnalazły nas.

Jedna rzecz mnie martwiła: czułam się coraz słabsza i słabsza. Thorne wspomniała, że pobyt w Mroku za życia zużyje moje siły życiowe, że jeśli zostanę tu zbyt długo, zamienię się w suchą skorupę i po powrocie na ziemię przeżyję najwyżej kilka dni.

Wiedziałam, że muszę się stąd wydostać jak najszybciej.

Czy było już dla mnie za późno? Teraz znów wędrowaliśmy białą ścieżką, która wprost przed nami zniknęła w jaskini u podstawy olbrzymiego, czarnego urwiska. Thorne była pewna, że wiedzie do królestwa Pana. Za nim czekał na mnie świat zewnętrzny – kraina żywych.

Niemal dotarłyśmy na miejsce.

Byłam prawie w domu.

Prawie bezpieczna...

Po paru minutach Thorne położyła mi dłoń na ramieniu.

– Odpocznijmy chwilkę. Chcę porozmawiać – rzekła.

Chwiałam się na nogach, toteż chętnie przyjął postój. Usiadłyśmy na ziemi naprzeciw siebie, między nami postawiłam migoczącą świeczkę.

– Co właściwie zrobiłaś z tym demonem? – spytała Thorne.

Odpowiedziałam wzruszeniem ramion.

– I z Raknidem? – ciągnęła. – Spaliłaś mu sieć i powaliłaś na ziemię w płomieniach. A sztylet pofrunął ci do rąk, jakby miał

skrzydła. Mnie pozostało najłatwiejsze, musiałam tylko go wykończyć. Grimalkin wspominała, że dysponujesz potężną magią, ale nie spodziewałam się czegoś takiego. Nigdy nie widziałam podobnej mocy u czarownicy.

– Czy to już koniec Tanakiego? – spróbowałam zmienić temat.

– Trudno przewidzieć – odrzekła Thorne. – Ale wątpię. Jak mówiłam, jeśli coś zrodzonego i zabitego na ziemi ginie tu po raz drugi, przestaje istnieć, jego dusza zostaje unicestwiona. Krecza zatem zapewne spotkała drugą, ostateczną śmierć. Morwena też odeszła na zawsze. Ale Tanaki to co innego. Jak jego syn, dysponuje wielką mocą regeneracji. Jeśli przeżył upadek, w końcu odzyska oczy, a kiedy raz obierze cel, nigdy nie zbacza z drogi, póki nie wypełni zadania. Każda klęska jedynie go wzmacnia, po każdej walce staje się coraz groźniejszy. Nawet Raknid mógł nie zostać naprawdę zniszczony. Ma tysiące lat, podczas których może dojść do siebie. Teraz jednak będą na nas polować inne, mściwe, mroczne istoty...

Nie odpowiedziałam. Nie miałam słów, by pocieszyć Thorne, która naprawdę potrzebowała otuchy. Wkrótce odejdę z Mroku, ale ona będzie musiała tu zostać, a sługi Złego nadal będą na nią polować. Wielu z nich nie różniło się od Tanakiego – nigdy nie rezygnowali.

Wstałyśmy i znów ruszyłyśmy w drogę. Wkrótce znalazłyśmy się w kolejnej jaskini. Potem, pokonawszy serię tuneli i grot, wyłoniłyśmy się na białą ścieżkę. Tym razem na jej końcu nie ujrzałyśmy skalnej ściany, lecz maleńką, zieloną gwiazdę, która rosła bardzo szybko, najpierw zamieniając się w kulę, a potem w końcu w oazę zieleni, szybującą w otchłani.

Dotarłam do krainy Pana.

– Pozdrów ode mnie moją nauczycielkę Grimalkin – poprosiła Thorne. – Powiedz, że przepraszam, iż zbłądziłam i cię zdradziłam, ale niech wie, że wróciłam ci pomóc, że jej słowa dotarły do mnie w Mroku i że ze wszystkich sił próbowałam stać się tym, czego oczekiwała: równie dzielną po śmierci, jak za życia.

– Próbowalaś i udało ci się, nie ma co do tego żadnych wątpliwości – odparłam z uśmiechem. – Opowiem jej o wszystkim, czego dokonałaś. O tym, jak odcięłaś kciuki Belzebubowi i przebiłaś oczy Raknida, a potem odrąbałaś mu nogi. To jej się spodoba. Sama lepiej by się nie spisała.

Przez chwilę patrzyłyśmy na siebie i poczułam, że ściska mnie w gardle. Może nie zostało mi zbyt wiele życia, ale przynajmniej jeszcze raz zobaczę ziemię. Wrócę do domu; Thorne na zawsze pozostanie uwięziona w Mroku – chyba że w końcu padnie ofiarą jednego z drapiezców. A wówczas czeka ją nicość. Jej dusza zostanie unicestwiona.

Pomaszerowałam w stronę zielonej oazy. Tuż przed tym, nim do niej wkroczyłam, obejrzałam się za siebie. Thorne odchodziła w dal. Robiła się coraz mniejsza i mniejsza.

Ogarnął mnie smutek.

## **ROZDZIAŁ 30**

### **DOBRE I ZŁE WIEŚCI**

Gdy tylko znalazłam się w krainie Pana, uniosłam spódnicę i sprawdziłam znanie na udzie.

Na pierwszy rzut oka przeraziłam się: wyglądało jak ciemny księżyc w pełni, przed którym ostrzegła mnie Agnes Sowerbutts. Ale nie czułam się wcale inaczej i po bliższym sprawdzeniu uznałam, że nie osiągnęło jeszcze maksymalnych rozmiarów.

Wciąż pozostawała nadzieja.

Ruszyłam dalej i ujrzałam Pana odzianego w korę i liście; siedział na pniu i grał na trzcinowej fletni, jak wówczas, gdy rozmawialiśmy poprzednim razem.

Zupełnie jakby wszystkie niebezpieczeństwa, jakim przyszło mi stawić czoło w Mroku, były jedynie snem, a on czekał tu, aż otworzę oczy i znów go zobaczę.

Był tym samym ładnym chłopcem o miłej twarzy, tylko długie, szpiczaste uszy i zielone, zakrzywione paznokcie u nóg świadczyły, że to nie człowiek.

Uśmiechnął się do mnie i opuścił fletnię.

Odpowiedziałam uśmiechem.

– Udało ci się! – krzyknął i skinieniem głowy wskazał sztylet, wiszący mi u pasa.

– Mam nadzieję – odparłam. – Znalazłam klingę, po którą tu przybyłam. Ale czy nie jest za późno? Ile czasu upłynęło na ziemi? Święto Zmarłych jeszcze nie minęło?

– Jest trzydziesty wrześnie. Do Święta Zmarłych pozostał miesiąc. Nie spóźniłaś się. Lecz zanim wrócisz do swojego świata, najpierw musisz zapłacić cenę za to, że tak bezczelnie wtargnęłaś nieproszona do mojej krainy.

– W takim razie podaj mi ją, proszę – wstrzymałam oddech w obawie, czego mógłby zażądać.

Pan znów się uśmiechnął.

– Pomogłem ci. W zamian proszę tylko, abyś ty pomogła mnie.

– Pomogła ci w czym?

– Na razie nie musisz wiedzieć. Powiem ci w swoim czasie. Cena jest prosta: bądź gotowa odpowiedzieć na wezwanie i udzielić pomocy, o jaką poproszę. Cokolwiek będziesz robić, gdy usłyszysz mój flet, przyjdź do mnie natychmiast. Zrozumiałaś?

– Zrozumiałam – odparłam.

Tak bardzo zależało mi na tym, by odnaleźć Toma, że zgodziłabym się na wszystko.

– I zrobisz to, o co proszę?

– Tak, kiedy usłyszę flet, przyjdę do ciebie.

Co innego mogłam rzec? Gdybym się nie zgodziła, nigdy nie wypuściłby mnie do domu.

– W takim razie wracaj na razie do swojego świata i zrób to, co musisz! – rozkazał.

Wszystko wokół mnie zawirowało. Zrobiło mi się niedobrze i zamknęłam oczy.

Kiedy znów je otwierałam, siedziałam na trawie, oparta plecami o pień drzewa. Znów znajdowałam się w lesie nad rzeką. Byłam w domu.

Natychmiast ruszyłam do Chipenden. Nie mogłam się doczekać chwili, gdy zobaczę Toma. Pozostało nam jeszcze trochę czasu do rytuału – niecały miesiąc. Będę musiała wykorzystać go jak najlepiej.

\*

Było późne popołudnie, nad głową świeciło ciepłe słońce. Jak na ostatni dzień września w Hrabstwie pogoda dopisywała. Nad drzewami widziałam dym z wioskowych kominów. Skręciłam ścieżką w lewo – wiedziałam, że ominie domy i poprowadzi mnie wprost do siedziby starego Gregory'ego.

Ale na zboczu ktoś czekał na mnie w cieniu drzew. To była Grimalkin.

Od jak dawna tutaj siedziała? Bez wątpienia postrzegła, kiedy zapewne wyłonię się z Mroku. Ulżyło mi na widok skórzanego worka z głową Złego, ale w lewej ręce trzymała coś jeszcze. Wyglądało jak książka – cienki tomik, oprawny w brązową skórę.

– Mam dla ciebie dobre i złe wieści – oznajmiła bez wstępów, a na widok jej ponurej miny serce ścisnęło mi się mocno.

– Czy coś się stało Tomowi? – spytałam głosem łamiącym się z paniki. – Nic mu nie jest, prawda?

– Tom jest bezpieczny, Alice. To, co mam ci do powiedzenia, w ogóle go nie dotyczy. W istocie lepiej, aby o niczym nie wiedział.

– O co zatem chodzi? Co się stało?

– Złe wieści są takie, że nie musiałaś jednak wyprawiać się w Mrok. Sztylet, który przyniosłaś, nie będzie potrzebny, na próżno narażałaś życie i własną duszę. Dobra wieść jest taka że nie będziesz musiała zginąć od kling Toma. Nie musisz zostać złożona w ofierze. Znalazłam inny sposób zniszczenia Złego.

Nie mogłam uwierzyć własnym uszom.

– Spójrz... – Grimalkin uniosła ku mnie książkę. – To wszystko, czego potrzebujemy.

Poczułam dziwną niechęć przed dotknięciem tajemniczego tomu i gdy tylko ujęłam go w dłonie, pojęłam dlaczego. Srebrne litery wytłoczone w brązowej oprawie układały się w tytuł – słowo, widok którego zmroził mi serce.

Doomdryte.

Pod nim, także wytłoczony w srebrze, widniał złowieszczy obraz, który natychmiast rozpoznałam: głowa i przednie nogi skelta.

Te krwiożercze stwory odegrały niedawno ważną rolę w moim życiu. Natknęłam się na nie w Mroku, przedstawiono je na rękojeściach mieczy bohaterów, a teraz na tej okładce. Wyglądało to na coś więcej niż serię przypadków. Co skelty miały wspólnego ze zniszczeniem Złego?

Księga ta była najpotężniejszym grimoirem, jaki kiedykolwiek spisano. Niektórzy wierzyli, że sam Zły, we własnej osobie, podyktował ją starożytnemu magowi Lukraście. Każda czarownica z Pendle znała potencjał Doomdryte, a nieliczne poświęciły całe życie jej poszukiwaniom. W księdze pomieszczono tylko jedno długie zaklęcie; należało je wyrecytować bez najmniejszego błędu, w jednym ciągu, przez wiele godzin. Powiadano, że jeśli ktoś zdoła tego dokonać i odprawi pewne rytuały, zyska moce boga: nietykalność i nieśmiertelność.

Istniał tylko jeden problem: historia dowiodła, że nie da się bezbłędnie odczytać zaklęcia.

Każdy, kto tego próbował, zginął w trakcie – nawet Lukrasta. Wystarczyła sekunda wahania bądź jedno przejęzyczenie i koniec.

– Masz dość sił i umiejętności, by tego dokonać, Alice – oznajmiła Grimalkin. – Posłuż się magią, by wzmocnić koncentrację i dokończ zaklęcie. Potem, czerpiąc z Doomdryte, zdołasz zniszczyć Złego.

Patrzyłam bez słowa na wiedźmę zabójczynię, nie wiedząc, co rzec. Najpewniej się nie myliła – połączenie mocy książki i mojej własnej magicznej siły powinno wystarczyć do uczynienia tego, co konieczne.

Ale jakim kosztem?

Czy nie lepiej byłoby dać się złożyć w ofierze?

Wtedy jednak Grimalkin wspomniała o czymś, co sprawiło, że zapomniałam o swoich obawach.

– Przybywam także z wieściami o nowym, wielkim zagrożeniu – oświadczyła. – Wracam z podróży na daleką północ, gdzie natknęłam się na osobliwe, nieludzkie istoty, zwane Kobalosami. Mają wśród siebie potężnych magów, władających niezwykłą magią, która mogłaby zagrozić Hrabstwu. Potrafią tworzyć potworne istoty i zniewalają ludzkie kobiety, bo nie mają własnych.

– Nie mają kobiet? Jak to możliwe? – zdziwiłam się.

– Wymordowali wszystkie bardzo dawno temu – wyjaśniła Grimalkin. – Lękam się, że wkrótce opuszczą swoje północne królestwo i rozpoczną wojnę ku zgubie ludzkości. Wymordują wszystkich mężczyzn i chłopców, a nasze kobiety pójdą w niewolę. Musimy zatem koniecznie szybko rozprawić się ze Złym i wyeliminować go raz na zawsze. Kiedy już to zrobimy, będziemy mogli się przygotować na przyjęcie następnego zagrożenia. Alice, musimy użyć Doomdryte.

\*

Fakt, że dotarłam tak blisko domu starego Gregory'ego i nie mogłam przywitać się z Tomem, przepełniał mi serce ogromnym smutkiem. Tak bardzo za nim tęskniłam... Kiedy Grimalkin poprowadziła mnie z Chipenden, sądziłam, że serce pęknie mi z bólu.

Ale ma rację. Przekonała mnie, że musimy użyć Doomdryte i nie możemy powiedzieć o tym Tomowi ani jego mistrzowi, bo ze wszystkich sił postarają się do tego nie dopuścić.

Wierzę, że moja magia pozwoli mi skupić się dostatecznie, by znieść recytację długiego zaklęcia i wypowiedzieć je z powodzeniem. Wówczas użyję zdobytej mocy, aby zniszczyć Złego.

Ale wiem, że zapłacę najwyższą cenę.

Znamię na mojej skórze zamieni się w mroczny księżyc w pełni.

Na zawsze związę się z Mrokiem, stracę sumienie, współczucie i ludzkie uczucia.

To znacznie większa ofiara niż śmierć z rąk Toma Warda, jednak taką właśnie drogę wybrałam.

Na razie schroniłyśmy z wiedźmą zabójczynią w zrujnowanym domku nieopodal siedziby stracharza. To właśnie tutaj mieszkałam kiedyś z Lizzie, gdy ta knuła plan zabicia Gregory'ego i uwolnienia Mateczki Malkin z dołu w jego ogrodzie. To z tego domku wyruszyłam kiedyś, by pierwszy raz spotkać Toma.

Teraz to tutaj zwyciężę bądź zginę, próbując. Muszę być dzielna.

Muszę zrobić to, co konieczne.

Na imię mam Alice.

## **TOM 13**

Zemsta stracharza

The Spook's Revenge



# ROZDZIAŁ 1

## INNY SPOSÓB

Ocknąłem się z koszmaru z walącym sercem i usiadłem na łóżku, walcząc z falą mdłości. Przez kilka chwil miałem wrażenie, że zwymiotuję, ale stopniowo żołądek mi się uspokoił.

W moim śnie zabijałem Alice – odcinałem jej kciuki.

W Święto Zmarłych, odległe zaledwie o miesiąc, będę musiał naprawdę odprawić ten straszliwy rytuał. Tego po mnie oczekiwano. Życzyła sobie tego moja mama, był to bowiem jedyny sposób, by na zawsze pozbyć się zagrożenia ze strony Złego.

Ale jak mam to zrobić? Jak mógłbym zabić Alice?

Leżałem w łóżku, bojąc się znów zasnąć, by koszmar nie powrócił; w głowie wciąż wirowały mi bolesne myśli. Nie musiałem zmuszać Alice. Sama była gotowa się poświęcić. Co więcej, odważnie zapuściła się w Mrok, by odzyskać Brzeszczot Smutków, jeden z mieczy bohaterów – trzech świętych kling, mających zniszczyć Złego; broni, która miała ją zabić.

Miecze bohaterów wykuł Stary Bóg, Hefajstos. Pierwszy z nich to Klinga Przeznaczenia, którą podarował mi Cuchulain w Irlandii. Drugi nazywał się Rębacz Kości. A teraz, jeśli misja Alice się powiodła, zdobędę też trzeci.

Chwilowo Zły pozostawał uwięziony w martwym ciele – tułowiu przebitym srebrnymi włóczniami i pozostawionym w Irlandii, oraz głowie, ukrytej w skórzanym worku pod opieką Grimalkin, wiemy zabójczyni. Grimalkin wciąż uciekała, rozpaczliwie odpierając ataki sług Złego. Gdyby odzyskali głowę, połączyliby ją z ciałem i Zły znów stąpałby po ziemi, a rytuał nie mógłby się odbyć.

Alice jednak wciąż nie wracała z Mroku. Może coś się jej stało, pomyślałem, może nigdy nie wróci... Martwiłem się też o swojego brata Jamesa, który zaginął. Zły twierdził, że jego słudzy

poderżnęli mu gardło i wyrzucili trupa do rowu. Miałem rozpaczliwą nadzieję, że kłamał, ale nie potrafiłem zbyt długo odpędzać strasznych myśli.

Spróbowałem zasnąć – bez powodzenia. W końcu, tuż przed świtem, lustro na moim nocnym stoliku nagle rozjarzyło się światłem. Tylko Alice kontaktowała się ze mną w ten sposób. Usiadłem i chwyciłem je, wbijając wzrok w szklaną tafłę. Bałem się liczyć na cokolwiek. Od tygodni czekałem na jakąś wiadomość. Myślałem, że może pewnego dnia ujrzę ją, jak radośnie wchodzi do ogrodu ze sztyletem Posępnym – Brzeszczotem Smutków – w dłoni. Teraz, dzięki lustru, będzie mi mogła natychmiast powiedzieć, czy wszystko poszło jak trzeba.

Z przepelnionym szczęściem sercem ujrzałem ją w szkłe. Na jej wargach tańczył lekki uśmiech, gdy bezgłośnie wymówiła zdanie:

– Jestem na skraju zachodniego ogrodu.

W przeszłości porozumiewałem się z Alice, chuchając na szkło i pisząc, z czasem jednak nauczyłem się odczytywać słowa z ruchu warg. Ona bez problemu rozumiała, co mówię.

– Zaczekaj tam! – odparłem. – Zaraz przyjdę.

Ubrałem się szybko, po czym najciszej, jak mogłem, zszedłem na dół, próbując nie obudzić stracharza. Gdy wykradałem się tylnymi drzwiami, uderzyła mnie nagła myśl: dlaczego Alice nie weszła do ogrodu?

Niebo na wschodzie zaczynało jaśnieć i kiedy mijałem ławkę, na której mistrz często udzielał mi lekcji, dostrzegłem sylwetkę czekającej przy drzewach Alice. Była ubrana tak, jak widziałem ją ostatnio – w ciemną sukienkę, sięgającą tuż za kolana i szpiczaste trzewiki. Ale najbardziej ucieszył mnie uśmiech na jej ślicznej twarzy. Pobiegłem do niej, a ona rozpromieniła się i rozłożyła szeroko ręce. Uścisnęliśmy się mocno, kołysząc w przód i w tył.

– Jesteś bezpieczna! Bezpieczna! – krzyknąłem. – Bałem się, że już nigdy cię nie zobaczę!

W końcu się rozłączyliśmy i przez długą chwilę patrzyliśmy na siebie bez słowa.

– Czasami sądziłam, że nigdy nie zdołam uciec z Mroku – odparła Alice. – Ale udało mi się, Tom. Wydostałam się bezpiecznie i mam tę klingę. Tak się cieszę, że cię widzę.

Wyciągnęła sztylet z kieszeni i podała mi go. Kilka razy obróciłem sztylet w dłoniach, oglądając uważnie każdy szczegół. Wyglądał identycznie jak jego bliźniak, Rębacz Kości: rękojeść ozdobił ten sam skelt o patrzących na mnie rubinowych oczach; skelt to zabójcza istota, która kryje się w szczelinach nieopodal wody, a potem biegnie na ośmiu nogach, by przebić ofiarę kościaną rurą i wyssać z niej krew.

Z trudem oderwałem wzrok od sztyletu i znów spojrzałem na Alice, czując nową falę radości. Tak bardzo za nią tęskniłem. Jak mógłbym kiedykolwiek choćby rozważyć złożenie jej w ofierze? Z pewnością nawet zniszczenie Złego nie byłoby wystarczającym usprawiedliwieniem. W tym momencie zrozumiałem, że nie będę mógł tego zrobić. Do oczu napłynęły mi łzy, gardło ścisnęło się mocno.

– Jesteś dzielna, Alice, nikomu innemu by się to nie udało. Ale tak mi przykro – wszystko na próżno. Nie mogę przeprowadzić rytuału. Nie złożę cię w ofierze, za nic cię nie skrzywdzę. Będziemy musieli znaleźć inny sposób, by pozbyć się Złego.

– Zabawne, Tomie, ale jesteś drugą osobą, która mówi mi, że moja wyprawa w Mrok nie była potrzebna. Grimalkin też tak uważa.

– Rozmawiałaś z Grimalkin? Nie widziałem jej od ponad miesiąca.

– Grimalkin mi pomaga. Znalazła inny sposób zniszczenia Złego – razem nad tym pracujemy. Znów mam nadzieję, Tom. Naprawdę wierzę, że zdołamy tego dokonać bez potrzeby składania ofiary. Bardzo chciałam przyjść, zobaczyć się z tobą i powiedzieć ci o tym, ale teraz muszę wracać, mam mnóstwo do zrobienia.

Nie mogłem uwierzyć, że Alice odchodzi. Od tak dawna się nie widzieliśmy, a teraz zdążyliśmy spędzić razem zaledwie kilka minut. Poczulem ogromny zawód. Chciałem dowiedzieć się więcej

na temat planu Grimalkin. Jak mogła odkryć metodę, o której nie wiedziała mama?

– Proszę, wróć na trochę do domu – błagałem ją. – Opowiedz mi, co się dzieje. Chciałbym też wiedzieć, jak poradziłaś sobie w Mroku – z pewnością stracharz ma do ciebie całe mnóstwo pytań.

Alice stanowczo pokręciła głową.

– To niemożliwe, Tomie. Bo widzisz, plan Grimalkin zakłada wykorzystanie potężnej mrocznej magii; to jedyna rzecz, która może zadziałać. Stary Gregory nie zgodziłby się na to i dobrze o tym wiesz. Z pewnością spyta mnie, co kombinuję, i będę musiała go okłamać, a on świetnie potrafi wyczuć, kiedy ktoś kłamie. Najlepiej już pójść.

– Ale kiedy się znów zobaczymy, Alice?

– Sama nie wiem. Z pewnością wrócimy, razem z Grimalkin... Spotkamy się, gdy się nam uda.

Alice wyglądała dokładnie tak, jaką ją zapamiętałem, ale gdy mówiła, brzmiała inaczej – w jej głosie wyczułem absolutną pewność, że odniesie sukces. Czy aby nie przesadnie wierzyła w swoje siły?

– Czy to niebezpieczne? – spytałem niespokojnie.

– Nie będę cię okłamywać, Tomie: oczywiście, że to niebezpieczne. Ale od chwili naszego pierwszego spotkania zagrażał nam Mrok i zawsze udawało nam się go pokonać. Nie wątpię, że i teraz będzie tak samo.

Nagle podbiegła do mnie, chwyciła w objęcia i pocałowała gwałtownie prosto w usta. Nim zdążyłem zareagować, cofnęła się, wypuściła mnie i odeszła.

Patrzyłem za nią, wstrząśnięty i oszołomiony. Dlaczego mnie pocałowała? Czy to możliwe, by zależało jej na mnie tak bardzo, jak mnie na niej? Nigdy się nie dowiedziałem i teraz rozpaczliwie zapragnąłem znów ją przytulić.

Alice odwróciła się i zawołała przez ramię:

– Uważaj na siebie, Tom! Nie mów staremu Gregory'emu, że tu byłam. Tak będzie najlepiej!

To rzekłszy, zniknęła. O tak wiele rzeczy chciałem ją spytać, ale zabrakło mi czasu. Co napotkała w Mroku? Jak udało jej się przetrwać i odzyskać klingę, którą teraz trzymałem w dłoni?

Ze smutkiem powlokłem się do domu. Bardzo mi ulżyło, że Alice wróciła bezpiecznie, ale teraz miałem na głowie inne zmartwienie. Czego dokładnie zamierzały spróbować z Grimalkin? Bez wątpienia wiązało się z tym ogromne niebezpieczeństwo.

Prosiła, żebym nie wspominał mojemu mistrzowi o naszym spotkaniu i jakaś część mnie zgadzała się z nią: zapewne najlepiej będzie ukryć przed nim jej wizytę, bo tylko zadawałby pytania. Ale w przeszłości zbyt wielu rzeczy mu nie mówiłem. Teraz będę musiał schować sztylet, by go nie zobaczył.

Przez wszystkie te kłamstwa miałem coraz większe wyrzuty sumienia. Każde w danej chwili wydawało się niezbędne, ale stopniowo nawarstwiały się i im więcej ich było, tym gorzej się czułem. Teraz do listy doszło kolejne i wcale mi się to nie podobało.

## **ROZDZIAŁ 2**

### **DZIEDZICTWO STRACHARZA**

Następnego dnia późnym rankiem siedzieliśmy wraz ze stracharzem przy stole w jego nowej bibliotece w Chipenden. Naprzeciw nas zajął miejsce drobny, szczupły mężczyzna odziany w trzyczęściowy garnitur i białą koszulę z szarym krawatem. Był to prawnik, pan Timothy Potts, przyjechał specjalnie z Caster. Mój mistrz mówił, a pan Potts robił notatki.

Stracharz dyktował swój testament, czy też, dokładnie mówiąc, uzupełniał go.

Ja tymczasem rozglądałem się dokoła, słuchając jednym uchem. Dom niedawno spłonął i został odbudowany. Teraz niemal wszystko w środku było nowe, w bibliotece pachniało świeżym drewnem. Półki wciąż ziały pustką, stały na nich niecałe cztery

tuziny książek. Odtworzenie zbiorów potrwa bardzo długo, a znaczna część tego, co spłonęło, została utracona na zawsze – zwłaszcza skarbnica notatek poprzednich stracharzy, ich osobistych relacji z tego, jak praktykowali swój fach. Mieliśmy do czynienia z duchami, widmami, boginami i czarownicami – najróżniejszymi stworami z Mroku. Bardzo zatem polegaliśmy na książkach i notesach. Prowadzenie dokładnych notatek to podstawa: zerkaliśmy w przeszłość, by przygotować się na przyszłość.

– Takie są moje życzenia – zakończył stanowczym tonem stracharz.

Pan Potts poprawił okulary na grzbiecie nosa i odchrząknął, by przeczyścić gardło.

– Odczytam to wszystko, panie Gregory. Proszę mi przerwać, gdyby miał pan coś do dodania albo uznał, że niewłaściwie zapisałem pańskie słowa.

Stracharz przytaknął i pan Potts zaczął czytać, bardzo powoli, z lekkim śladem akcentu z Hrabstwa. Brzmiał wielce elegancko, najwyraźniej był „przyjezdnym”, urodzonym i wyedukowanym na południu.

*„Moje dwa domy, w Chipenden i Anglezarke, pozostawiam mojemu uczniowi Thomasowi Wardowi wraz z całym sprzętem, ruchomościami, książkami i narzędziami fachu. Pozostaną w jego pieczy do końca życia, pod warunkiem, że będzie uprawiał zawód stracharza, dopóki zdoła. We własnym testamencie może pozostawić je wyłącznie innemu stracharzowi i na tych samych warunkach”.*

Ze smutkiem słuchałem jego słów; czułem, że mój czas jako ucznia stracharza dobiega końca. Odetchnąłem jednak głęboko, próbując myśleć pozytywnie. Owszem, nasze wspólne chwile może i się kończyły, ale z pewnością zostało nam jeszcze parę lat – czas, by właściwie zakończyć naukę i może współpracować dalej, gdy zostanę pełnoprawnym stracharzem i będę mógł zdjąć z ramion mojego mistrza część brzemienia.

*„Prawo użytku mojego trzeciego domu, na północ od Caster, który odziedziczyłem po Williamie Arkwrightcie, przyznaję Juddowi Brinscallowi na tak długo, póki będzie pracował w tym miejscu jako stracharz. W razie jego śmierci bądź wcześniejszego odejścia z fachu nieruchomość ta wraz z biblioteką powróci do Thomasa Warda na tych*

*samych warunkach, jakie dotyczą reszty majątku”.*

Bill Arkwright zginął w Grecji, walcząc z Mrokiem. Teraz w starym wodnym młynie Billa zamieszkał Judd Brinscall, wcześniejszy uczeń stracharza, i próbował poradzić tam sobie z plagą wodnych wiedzów.

Pan Potts odkaslnął cicho.

– Czy to się zgadza, panie Gregory?

– Owszem, zgadza się – potwierdził mój mistrz.

– A co z kwestiami finansowymi? Ma pan jakiś dochód?

Stracharz pokręcił głową.

– Nic istotnego, panie Potts. W tym fachu nie zbija się majątku, lecz wszelkie pieniądze pozostałe mi w chwili śmierci przekazuję mojemu uczniowi, mości Wardowi.

– Doskonale. – Potts zapisał coś jeszcze, po czym spakował papiery, odsunął krzesło i wstał. Z kieszonki w kamizelce wyjął zegarek, zerknął na niego i znów schował. – Zapiszę to wszystko jak należy i wrócę w przyszłym tygodniu, by mógł pan podpisać dokument.

Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie, a potem musiałem odprowadzić prawnika przez ogród do granic posiadłości – w przeciwnym razie zagrażałby mu oswojony bogin stracharza, strzegący ogrodu przed intruzami nie tylko ludzkiego pochodzenia.

Odprowadziwszy bezpiecznie pana Potts, wróciłem do biblioteki i zastałem mistrza wciąż siedzącego w tym samym miejscu. Opierał się ciężko na krześle, wbijając wzrok w blat stołu. Przez ostatnie dwa lata bardzo się postarzał: brodę miał teraz całkiem siwą, a twarz wychudzoną. Pewnie czuł, że jego życie dobiega końca, i właśnie dlatego pragnął uporządkować swoje sprawy. Nie wyglądał na szczęśliwego.

Za chwilę miał się poczuć znacznie gorzej.

Alice prosiła, abym zachował w sekrecie jej powrót i współpracę z Grimalkin, ale czułem wyrzuty sumienia: mistrz zamierzał powierzyć mi swój majątek i pracę po śmierci, nieważne kiedy nadejdzie. Musiałem mu wyznać wiele ważnych rzeczy, rzeczy, które go rozgniewają i oburzają. I uznałem, że nadeszła chwila.

– Cóż, chłopcze, jedno mamy z głowy – rzekł, obdarzając mnie znużonym uśmiechem.

– Jest coś, czego panu nie powiedziałem – wypaliłem, nim zdążyłem zmienić zdanie. – Znam już szczegóły rytuału zniszczenia Złego.

Mój mistrz przez chwilę przyglądał mi się bez słowa. – W takim razie okłamałeś mnie, chłopcze, bo oznajmiłeś, że poznasz szczegóły, dopiero kiedy Alice powróci z trzecim sztyletem.

– Przepraszam. Tak, skłamałem, ale miałem dobry powód. Nie chciałem pana

martwić, póki Alice nie wróci i nie dowiemy się, że mamy trzeci miecz. Potrzebowałem też czasu do namysłu, aby znaleźć jakiś sposób uniknięcia tego, co trzeba zrobić... Bo to jest złe. Bardzo złe.

– Okłamywanie mistrza także jest złe. Zawiodłeś mnie, chłopcze. Zostawiłem ci swój dobytek, bo chcę, byś po mej śmierci podążał w moje ślady. A ty czym mi odpłacasz? Tak, rozczarowałaś mnie i zraniłaś. Po latach współpracy i zaufania mówienie sobie prawdy winno być naturalne niczym oddech, a do tego kończy nam się czas. Zbliża się Święto Zmarłych. Czy masz już wieści co do dziewczyny, a może to też przede mną ukryłeś?

– Nie – pokręciłem głową, po raz kolejny kłamiąc.

– No dobrze, chłopcze, czekam. Wyrzuć to z siebie. Pozbądź się tego ciężaru. Opowiedz mi o rytuale i niczego nie opuszczaj.

– Nie odprawię tego rytuału – oznajmiłem. – Nie mogę. Wymaga on ofiary. Aby zadziałał, muszę zabić Alice.

– Dlaczego to musi być ona? – spytał ostro stracharz.

Następne słowa przysły mi bardzo ciężko. Mistrz nigdy nie ufał Alice, bo uczyła się na wiedźmę. Uważał też, że stracharz powinien poświęcić całe życie swojemu fachowi i nie wolno mu się żenić. Według niego tak wielkie zbliżenie z dziewczyną niebezpiecznie odwracało uwagę od naszych obowiązków.

– Aby rytuał się powiódł, muszę poświęcić osobę, którą kocham najbardziej na całym świecie. Tak właśnie powiedziała mi mama. Czyli to musi być Alice.

Stracharz zamknął oczy, a kiedy w końcu przemówił, jego głos zabrzmiał niewiele głośniej od szeptu:

– Czy dziewczyna wie?

Przytaknąłem.

– Ofiara musi być chętna i zgodzić się na to. Alice jest gotowa umrzeć, byle tylko zniszczyć Złego. Ale to zbyt okropne – nie zrobię tego. Proszę! – rzekłem z goryczą, sięgając do kieszeni i wyciągając kartkę papieru, na której widniały szczegóły rytuału. Podałem ją mistrzowi. – Nosiłem to ze sobą, czekając na najlepszą chwilę, aby wszystko wyznać.

Stracharz pokręcił głową.

– Moje oczy są już zmęczone. Każdego dnia czytanie przychodzi mi z coraz większym trudem. Zrób to za mnie, chłopcze. Przeczytaj na głos, powoli.

Uczyniłem, jak kazał, wybierając tylko najważniejsze zdania.

Zniszczenie Złego można osiągnąć w następujący sposób: Po pierwsze, trzeba mieć



przy sobie trzy święte przedmioty. To miecze bohaterów, wykute przez Hefajstosa. Najpotężniejszym z nich jest Klinga Przeznaczenia, drugim sztylet zwany Rębaczem Kości... Trzeci to sztylet Posępny, czasem zwany Brzeszczotem Smutków...

Miejsce także jest ważne: musi szczególnie wzmacniać użycie magii. Co oznacza, iż rytuał należy odprawić na wysokim wzgórzu na wschód od Caster, znanym jako Wardstone, Kamień Strażniczy.

Najpierw należy złożyć ofiarę krwi, dokładnie w następujący sposób: Trzeba rozpalić ogień, zdolny do dania potężnego ciepła. W tym celu należy zbudować kuźnię.

Podczas rytuału wybrana ofiara musi wykazać się ogromną odwagą. Jeśli choć raz krzyknie bądź okaże ból, wszystko na nic – rytuał się nie powiedzie.

Z pomocą Rębacza Kości należy odciąć kciuk z prawej dłoni ofiary i cisnąć w ogień. Tylko jeśli nie krzyknie, możesz dokonać drugiego cięcia i usunąć kości z lewej dłoni. Je także wrzucasz do ognia.

Następnie z pomocą Posępnego trzeba wyciąć ofierze serce i wciąż bijące rzucić w płomienie...

– Stop! – krzyknął stracharz, zrywając się z krzesła tak nagle, że wywróciło się z trzaskiem.

– Ale jest jeszcze więcej – zaprotestowałem. – Muszę...

– Nie chcę słyszeć ani słowa więcej! – wykrzyknął. – Uporządkowałem swoje sprawy, bo wiem, że zbliża się koniec moich dni na tym świecie. Ale jest jeszcze jedno, co chcę zrobić – wykorzystać resztkę sił, aby na zawsze zniszczyć Złego. Musimy mu odpłacić za wszystkie cierpienia i nieszczęścia, jakie spowodował na tym świecie. Lecz masz rację, chłopcze, nie chcąc użyć tego rytuału. I tak już poddaliśmy się Mrokowi, by zejść tak daleko. Ty i dziewczyna użyliście słoja krwi, by nie dopuścić do siebie Złego, od dawna też współpracujemy z Grimalkin, wiedźmą zabójczynią. Już samo to jest dostatecznie złe, lecz ten rytuał to coś znacznie gorszego. Więcej niż morderstwo z zimną krwią. To barbarzyństwo. Jeśli go odprawisz, nie będziesz zasługiwał na miano człowieka. To niedopuszczalne.

Stracharz podniósł krzesło i znów usiadł, patrząc na mnie gniewnie ponad stołem.

– A teraz zadam ci parę pytań. Dowiedziałeś się o rytuale od mamy, gdy odwiedziłaś Wieżę Malkinów?

– Tak.

– Pojawiła ci się?

Przytaknąłem. Mama zginęła w Grecji, walcząc ze swą śmiertelną nieprzyjaciółką,

Ordyną. Lecz jej dusza przetrwała, nadal była silna i próbowała nam pomóc zniszczyć Złego.

– Jaką postać przyjęła?

– Z początku wyglądała jak groźny anioł ze szponami, tak jak wtedy, w Grecji. Potem zmieniła się w mamę, którą pamiętałem – kobietę, z którą rozmawiał pan na farmie wkrótce po tym, gdy przyjął mnie pan do terminu.

Stracharz pokiwał głową, sprawiał wrażenie zamysłonego.

– Skąd wzięła się ta kartka? – spytał, odbierając mi ją.

– Mama pojawiła się Slake i podyktowała instrukcje. Slake je zapisała.

Slake była lamią – jedną z „siostr” mamy. Nadal rządziła Wieżą Malkinów, nie dopuszczając do niej miejscowych czarownic.

– Cóż, chłopcze, musimy poważnie się zastanowić. Jakie jest dzisiejsze zadanie? Słyszałem dziś rano dźwięk dzwonu, musi być ważne, jeśli ktoś wędrował w nocy, by do nas dotrzeć.

Dzwon wisiał wśród wierzb na rozstajach nieopodal domu. Kiedy ktoś chciał pomocy stracharza, szedł tam, uderzał w dzwon i czekał.

Zdziwiło mnie, że stracharz tak bardzo zainteresował się naszą pracą. Od tygodni przesiadywał w ogrodzie bądź w bibliotece, śniąc na jawie. Najwyraźniej stracił serce do swego fachu. Zwykle pozostawiał wszystko mnie, nie pytając nawet, kto przyszedł po pomoc ani z czym.

Ciężko było samotnie walczyć z Mrokiem – w ostatnich tygodniach miałem więcej wezwań niż zazwyczaj przez miesiąc; najwyraźniej Mrok stawał się coraz aktywniejszy. Może miało to coś wspólnego ze zbliżającym się Świętem Zmarłych i rytuałem?

– Nie, nikt nie podróżował nocą – odparłem. – Ten człowiek mieszka w okolicy – na północ od wioski. To najwyżej pół godziny drogi stąd. Oskarżył kogoś o posługiwanie się mroczną magią przeciw niemu. Twierdzi, że to czarownica.

– Kto się skarży?

– Niejaki Briggs. Mieszka pod numerem trzecim przy Norcotts Lane.

– Pójdę z tobą, chłopcze – stracharz pokiwał głową. – Dzięki temu będziemy mogli spokojnie wszystko przedyskutować.

Uśmiechnąłem się do niego. Dobrze było widzieć, jak znów angażuje się w naszą pracę.

Po niecałej godzinie zostawiliśmy za sobą dom i ogród i maszerowaliśmy przez pola. Niosłem obie torby. Zupełnie jak za dawnych czasów!

## ROZDZIAŁ 3

### PIERWSZA LAMIA

Świeciło słońce, po niebie przepływały samotne obłoczki. Jak na późną jesień było też dość ciepło, ale wiedziałem, że taka pogoda nie potrwa długo. W Hrabstwie najczęściej nawiedzają nas deszcz i wiatry z zachodu, a w listopadzie robi się już naprawdę mokro.

Z początku stracharz wydawał się cieszyć przechadzką, lecz po jakichś dziesięciu minutach wyraźnie sposepniał. Zastanawiałem się, czy aby nie dolegają mu kolana – ostatnio często się na nie uskarżał, twierdząc, że zbyt wiele mroźnych i wilgotnych zim w Hrabstwie zniszczyło mu stawy. Ale dzisiejsza, suchsza i cieplejsza pogoda nie powinna mu chyba zaszkodzić?

– Dobrze się pan czuje? – spytałem. – Chce pan, żebyśmy trochę zwolnili?

– Nie, chłopcze, to dobre tempo. Po prostu myślę o tym wszystkim.

A zatem to myśli w głowie sprawiły, że jego twarz spochmurniała. Ciekawe, co go gryzie.

Maszerowaliśmy dalej w milczeniu, aż w końcu dotarliśmy do rzędu trzech niewielkich szeregowców na skraju dużej trawiastej łąki, ogrodzonej niskim głogowym żywopłotem. Zbudowano je wiele lat temu dla robotników rolnych i ich rodzin, lecz teraz chyliły się ku upadkowi. Okna środkowego zabito deskami, niewielkie frontowe ogródki wszystkich trzech zarastały bujne chaszczce.

Tylko najbliższy dom miał numer – krzywą trójkę wrytą wysoko w lewym górnym rogu frontowych drzwi.

– No dobrze, chłopcze, idź i porozmawiaj z panem Briggsem, a ja trochę się przespaceruję. Do zobaczenia za pięć minut.

Ku memu zdumieniu stracharz skierował się wzdłuż rzędu domów i zniknął za rogiem ostatniego. Zachowywał się niemal

lekceważąco, to zupełnie do niego niepodobne. Ogarnął mnie zawód – dawniej mój mistrz nie mógłby się doczekać rozwiązania problemu, ostatecznie to właśnie zadanie stracharza – i sądziłem, że dlatego postanowił do mnie dołączyć.

Podszedłem do drzwi frontowych i zastukałem trzy razy. Po chwili usłyszałem zbliżające się kroki i ktoś uchylił drzwi. Ze szczeliny wyjrzała na mnie wykrzywiona twarz; po sekundzie otwały się szerzej, ukazując starego mężczyznę, z którym rozmawiałem wcześniej na rozstajach. Miał łysinę, wielki, czerwony, bułowaty nos i groźną, gniewną minę.

– Dzień dobry, panie Briggs – pozdrowiłem go.

– Gdzie Gregory? – spytał. – Kiedy rozmawiałem z tobą wcześniej, mówiłem wyraźnie, że chcę, by twój mistrz zajął się tą sprawą, nie szczeniak wciąż mokry za uszami.

– A on przysłał mnie – odparłem uprzejmie. – Od tygodni pracuję sam i z powodzeniem wykonuję każde zadanie. Wiem dokładnie, co robię, i potrafię rozwiązać pański problem, ale najpierw musi mi pan opowiedzieć o nim nieco więcej.

– Nie ma nic więcej do dodania! – ryknął i jego twarz wykrzywił wściekły grymas. – Stara wiedźma rzuciła zaklęcie i kury przestały mi się nieść. Kiedy poszedłem się poskarżyć, zaśmiała mi się w twarz. Następnego dnia na moich oczach padła mi suka.

Nie mogłem przyjąć na wiarę samych jego słów, nie przyjrzawszy się uważnie sprawie. Musiałem mieć pewność, że naprawdę padł ofiarą czarów. Stracharz nauczył mnie, że istnieją cztery odmiany czarownic: zacne, bezecne, fałszywie oskarżone i nieświadome. Pierwsze to zwykle uzdrowicielki. Druga kategoria jest najobszerniejsza – obejmuje wszystkie posługujące się mroczną magią, by uzyskać większą moc i ranić ludzi. Czwarte występują niezwykle rzadko – to te, które używają magii, nie wiedząc, co czynią. Ale to trzecią kategorię musiałem tu rozważyć. Każdy może oskarżyć kogoś o czary. Niewinni nie mogą cierpieć tylko dlatego, że ktoś się pomylił. Musiałem się upewnić.

– Czy to się zdarzyło niedawno?

- Tak, w tym tygodniu.
- A kiedy zdechła pańska suka?
- Ogłuchłeś czy co? W tym tygodniu, już mówiłem.
- Ale którego dnia?
- Wczoraj wieczorem. Zgłosiłem się do was o świcie.
- Mogę zobaczyć tę sukę? – poprosiłem.

Była to rozsądna prośba, ale pan Briggs nie sprawiał wrażenia rozsądnego człowieka.

– Nie bądź durniem! Zakopałem ją przecież, nie? – wykrzyknął.

– Mimo to może będziemy ją musieli odkopać – uprzedziłem. – Ile miała lat?

Nie miałem zamiaru wykopywać zdechłego psa, ale musiałem zdobyć więcej informacji.

– To czary! Nie słuchałeś tego, co mówiłem?

Zachowywałem się uprzejmie, ale on nie i zaczął mnie irytować.

– Ile lat miał pański pies? – naciskałem.

– Szesnaście, ale była zdrowa i sprawna.

– To dużo jak na psa, mogła paść z przyczyn naturalnych... Gdzie mieszka kobieta, którą pan oskarża? – Oddychałem powoli, głęboko, by się uspokoić.

– Tam! – huknął, wskazując drugi zamieszekany dom. – Tam właśnie ją znajdziesz. Każę nazywać się Beth, lecz bez wątpienia po zmroku używa innego imienia.

A potem z twarzą poczerwieniałą od gniewu wrócił do środka i zatrzaskał mi drzwi przed nosem.

To, co mówił, było bzdurą: niektórzy ludzie wierzą, że czarownice z kręgu nazywają się specjalnymi tajnymi imionami, ale to tylko przesady.

Ruszyłem wzdłuż żywopłotu, oddzielającego małe frontowe ogródki od traktu i skręciłem w ścieżkę wiodącą do pierwszego domu, by porozmawiać z ową „Beth”. Miałem właśnie zastukać do drzwi, gdy usłyszałem głosy – jeden z nich przypominał mojego mistrza.

Okrążyłem zatem dom. Najpierw zdumiałem się, odkrywając na tyłach duży, świetnie utrzymany ogród, trawnik otoczony rabatami kwiatów, a dalej kilkanaście grządek warzyw i ziół. Na ławce siedziało dwoje ludzi, popijając herbatę z niewielkich kubków. Jednym faktycznie okazał się stracharz, drugim była krucha, siwowłosa kobieta, która natychmiast mi się spodobała. Choć stara, miała w sobie coś niezwykle młodzieńczego, sprawiał to radosny wyraz jej roześmianych zielonych oczu.

Dobrze było widzieć stracharza swobodnego i odprężonego; ostatnio rzadko się to zdarzało.

– No, chłopcze, zdecydowanie ci się nie śpieszyło! – wykrzyknął.  
– Podejź tu i poznaj Beth.

– Witaj, chłopcze – rzekła staruszka. – Mnóstwo o tobie słyszałam. Twój mistrz mówi, że jesteś dobrym uczniem, ale pozwól, że sama osądzę. Podejź bliżej i powiedz mi, co myślisz. Jestem czarownicą czy nie?

Zbliżyłem się, a ona uśmiechnęła się do mnie promiennie z ławki. Nie czułem żadnego chłodu ostrzegającego, że mam do czynienia z kimś bądź czymś z Mroku. A choć nie zawsze się pojawiał, byłem niemal pewny, że to nie wiedźma.

– No, chłopcze, gadaj! – polecił mi mistrz. – Nie bój się mówić przy Beth. Jest czy nie jest?

– Beth nie jest bezecną wiedźmą – odparłem.

– Na czym opierasz tę ocenę? – naciskał.

– Nie wyczuwam ostrzegawczego chłodu, ale przede wszystkim ufam swojemu instynktowi, a ten podpowiada, że Beth nie służy Mrokowi. Poza tym pan Briggs nie przedstawił żadnych dowodów. Każdy może z dowolnych pobudek oskarżyć kogoś o czary; robią to nawet niektórzy łowcy czarownic. Palą ofiarę na stosie, by móc skonfiskować jej dobytek.

– Istotnie, chłopcze.

– Co niby takiego zrobiłam? – wtrąciła Beth, wciąż z uśmiechem.

– Kury pana Briggsa się nie niosą. Mówi też, że po tym, jak się

pani poskarżył, zdechł mu pies.

– To była bardzo stara suka i bynajmniej nie zdrowa – odparła.

– Istnieje też wiele powodów, dla których kury mogły przestać znosić jajka.

– Całkowicie się zgadzam. Dziękuję za herbatę, Beth Briggs, parzysz najlepszą w Hrabstwie!

Zerknąłem na nich ze zdumieniem. Nosiła to samo nazwisko co jej oskarżyciel... Co tu się działo? Czyżby mistrz poddawał mnie próbie – chciał się przekonać, jak szybko zdołam dotrzeć do sedna sprawy, którą sam już znał?

Stracharz wyprowadził mnie z ogrodu i z powrotem wzdłuż żywopłotu do domu pana Briggsa. Zastukał do frontowych drzwi.

Mężczyzna otworzył i skrzywił się groźnie.

– Beth nie jest czarownicą – oznajmił mój mistrz. – I dobrze o tym wiesz! To nie pierwszy raz fałszywie ją oskarżasz. Daj już spokój i skończ z tym, nie marnuj więcej czasu mojego ani mojego ucznia. Zrozumiałeś?

– Wystarczy poskrobać każdą babę, a pod spodem znajdziesz wiedźmę! – rzucił skrzywiony Briggs.

Stracharz pokręcił głową.

– Sam najlepiej powinienes o tym wiedzieć, stary głupcze! Ostatecznie przez trzydzieści osiem lat byłeś mężem Beth. Musiała zatem użyć potężnej magii, by tak długo znosić takiego parszywego durnia. Chodź, chłopcze – dodał, obracając się do mnie – mamy na głowie ważniejsze sprawy.

\*

Wkrótce maszerowaliśmy już przez pola w stronę Chipenden. Mistrz narzucił całkiem niezłe tempo, wyraźnie stawy mniej mu dziś doskwierały.

– Byli małżeństwem? O co w tym wszystkim chodzi? – spytałem.

– Beth w końcu miała go dosyć i kiedy zmarła jej matka, pozostawiając w spadku drugi domek, odeszła. Bez wątpienia wolałaby zamieszkać dwadzieścia mil dalej, ale i to lepsze niż życie

pod wspólnym dachem. Od rozstania już trzeci raz oskarża ją o czary i trzeci raz ich odwiedzam. Pomyślałem, że pójdę i zobaczę, jak ty sobie poradzisz. Stracharz w swojej pracy nie zawsze zajmuje się Mrokiem. Ale dobrze się spisałeś, chłopcze – ciągnął. – Był też inny powód, dla którego zabrałem się z tobą. Chciałem rozprostować nogi i wciągnąć w płuca czyste powietrze z Hrabstwa, by przejaśniło mi w głowie. Ostatnio zbyt wiele czasu spędziłem na ponurych rozmyśleniach, zamartwiając się bez przerwy. Teraz usiądź i posłuchaj tego, co mam ci do powiedzenia – rzekł, wskazując pobliski przełaz.

Postawiłem torby obok żywopłotu, usiadłem i patrzyłem, jak stracharz krąży przede mną tam i z powrotem, tratując długą trawę. Nagle przypomniały mi się nasze lekcje w uroczym zachodnim ogrodzie za jego domem, gdzie nie więził czarownic ani boginów. Od bardzo dawna ich nie odbywaliśmy i brakowało mi tego. Obecnie uczył mnie głównie w nowej bibliotece albo przy kuchennym stole.

– Zgodziliśmy się już, że nie możemy wykorzystać rytuału, bo to barbarzyństwo. Ale musimy zadać sobie kilka poważnych pytań. – Stracharz zatrzymał się i spojrzał mi prosto w oczy. – Spytałem, jak wyglądała twoja mama, gdy ukazała ci się w Wieży Malkinów. Odparłeś, że przypominała groźnego anioła, ale potem zmieniła się w kobietę, z którą rozmawiałem na waszej farmie – kobietę, która towarzyszyła nam do Grecji, by walczyć z Ordyną. Dobrze ją pamiętam. Miała uczciwą, szczerą, otwartą twarz. Czuję w niej ogromną siłę i nade wszystko dobroć. Ta kobieta nigdy nie żądałaby, abyś złożył w ofierze Alice, a co dopiero zabijał ją w tak okrutny, nieludzki sposób. Doszedłem zatem do następującego wniosku, chłopcze: zostałeś oszukany, to nie była twoja mama. Ktoś lub coś tylko ją udawał.

Doskonale rozumiałem, dlaczego stracharz to powiedział, ale tym razem instynkt go zawiódł. Wciąż wiedziałem rzeczy, których mu nie zdradziłem. Teraz nadszedł czas ujawnić więcej.

– Tuż przed odejściem mama z powrotem zamieniła się w



okrutną anielicę. Jest bardzo stara i tylko drobną cząstkę swego trwania spędziła w ludzkiej postaci. Stała się mamą z dwóch powodów. Po pierwsze dlatego, że pokochała mojego tatę i chciała mu się odwdzięczyć za to, że ją ocalił, gdy przykuto ją do skały i miała zginąć w śmiertelnych promieniach słońca. Po drugie, żeby urodzić mnie – siódmego syna siódmego syna. Chciała, bym był nie tylko jej synem, ale i synem mojego ojca, odziedziczył część jej darów, na przykład umiejętność spowalniania czasu, który to talent pomógł nam kilka razy w tarapatkach i dzięki któremu skrepowaliśmy Złego. Urodziła mnie, abym posłużył za broń przeciw Złemu. To dlatego przyszedłem na świat. Zrobiłaby wszystko, byle tylko go zniszczyć. I jeśli oznaczałoby to zabicie Alice, do tego także byłaby zdolna.

– Wciąż nie jestem przekonany, chłopcze.

Nie miałem wyjścia. Musiałem ujawnić mu całą prawdę, choć miałem nadzieję, że nigdy nie okaże się to konieczne.

– Mama była pierwszą lamią – wyjaśniłem. – Matką ich wszystkich.

## **ROZDZIAŁ 4**

### **NIEWYJAŚNIONE**

Stracharz długą chwilę wpatrywał się we mnie bez słowa, potem odwrócił się, pochylił głowę i powoli ruszył przed siebie. Dotarł już niemal do furtki na końcu pola, nim zatrzymał się i zawrócił w moją stronę.

– Najwyraźniej nadszedł dzień prawdy – rzekł cicho. – Przenieśmy się do biblioteki.

Wstałem, pozwalając, by mistrz pierwszy pokonał przełaz. Potem zebrałem torby i z nieszczęśliwą miną podreptałem za nim do domu w Chipenden.

Na miejscu poprowadził mnie na górę i wskazał zwykle krzesło

przy stole. Usiadłem, a on podszedł do niemal pustej półki i sięgnął po książkę. Wiedziałem, o którą mu chodzi.

Bestiariusz.

Tylko ta książka ocalała z pożaru. Był tam wpis, sporządzony przez niego samego. Znałem go niemal na pamięć, bo miał dla mnie osobiste, bolesne znaczenie. Mistrz położył przede mną książkę i tak jak przypuszczałem, otworzył na wybranej stronie. Nagłówek brzmiał.

*Lamie.*

– Przeczytaj cały wpis – nie na głos, bo pamiętam co napisałem. Po prostu chcę mieć pewność, że wiesz, co mówisz o swojej mamie.

Z coraz gorszym przecuciem w milczeniu odczytałem zapis.

*Pierwsza Lamia była potężną czarodziejką wielkiej urody. Kochała Zeusa, przywódcę Starych Bogów, żonatego z boginią Herą. Nierozważna lamia urodziła Zeusowi dzieci. Odkrywszy to, zazdrosna Hera zabiła wszystkie, prócz jednego. Obląkana z rozpacz Lamia zaczęła mordować każde dziecko, które napotkała, tak że rzeki i strumienie spływały krwią, a powietrze drżało od płaczów zrozpaczonych rodziców. W końcu bogowie ukarali nieszczęsną, odmieniając jej postać. Dolna część ciała wydłużyła się i porosta łuskami jak u węża.*

*Tak odmieniona, skupiła teraz uwagę na młodych mężczyznach. Nawoływała ich z leśnych polan, ukazując sponad trawy jedynie piękną głowę i ramiona. Kiedy któregoś zwabiła blisko, oplatała ciasno ofiarę dolną częścią ciała, wyciskając oddech z nieszczęśnika, a jednocześnie wgryzała się w jego szyję, wysączając całą krew.*

*Później Lamia znalazła sobie kochanka, Chaemoga, pająkowatego stwora kryjącego się w najgłębszych jaskiniach ziemi. Urodziła mu trojaczki, same dziewczynki – to były pierwsze wiedźmy lamie. W dniu swych trzynastych urodzin posprzeczały się z matką i po straszliwej kłótni oderwały jej ręce i nogi i rozszarpały ciało na strzępy. Potem rzuciły szczątki, łącznie z sercem, na pożarcie stada dzików.*

*Gdy dorosły, trzy lamie stały się postrachem całej krainy. Żyły bardzo długo i poprzez proces partenogenezy (rozmnażania bez ojca) każda z nich urodziła kilkanaścioro dzieci. Z upływem wieków rasa lamii zaczęła ewoluować i zwyczaje godowe uległy zmianie.*

– Skończyłeś już trzeci akapit? – przerwał mi stracharz.

Pokiwałem głową.

– W takim razie wystarczy – rzekł. – To straszliwa opowieść, ale według niej Lamie

zabiły jej własne dzieci. – Ta informacja jest błędna. Owszem, posprzeczała się z dziećmi, ale nie uczyniły jej fizycznej krzywdy. Sam pan mówił, że nie wszystko w pana „Bestiariuszu” da się potwierdzić i że część informacji jest z pewnością błędna. A kiedy odkrywamy coś nowego, sami czynimy zapisy i wprowadzamy poprawki. Czyż nie?

– Zgadza się – stracharz pokiwał głową. – Jak się tego dowiedziałeś, chłopcze?

– Mama opowiedziała mi o tym, kiedy byliśmy w Grecji. To prawda. Po strasznych rzeczach, jakie uczyniła, pragnęła odpokutować i zaczęła walczyć z Mrokiem. Jej największym życzeniem jest zniszczenie Złego. Musi pan jednak zrozumieć, że to nie tylko kobieta, którą poznał pan na farmie. Większość długiego życia przeżyła jako lamia, a w tej postaci nie zna litości. Poświęciła samą siebie, aby zniszczyć Ordynę. Kocha mnie – ale w razie konieczności zażądałaby, bym poświęcił i siebie. Jest też gotowa złożyć w ofierze Alice. Zrobi wszystko, byle zniszczyć Złego. Naprawdę chce, żebym odprawił ten potworny rytuał.

Mówiąc to, zastanawiałem się, czy starczyłoby mi odwagi, by się poświęcić, gdyby mama tego zażądała.

– Mimo wszystkich twoich słów, wciąż trudno mi w to uwierzyć – oznajmił stracharz.

– Ufam swojemu instynktowi. Kobieta, którą poznałem, nie żądałaby tego.

– Uczyniłaby wszystko, byle zabić Złego. Chce, żebym poświęcił Alice. Nie jest już kobietą, którą pan znał. To takie proste.

– Cóż, musimy pogodzić się z tym, że mamy w tej materii odmienne zdania, chłopcze. Nie możesz odprawić rytuału. Potrzebujemy zatem innego planu. Ruszmy więc obaj głową i postarajmy się wymyślić inną metodę.

Przytaknąłem i postanowiłem spróbować – choć nie żywiłem zbytniego optymizmu. Jak mógłbym spisać się lepiej niż mama, która żyła tak długo i wiedziała tak wiele o Złym?

Następnego ranka tuż przed świtem ruszyłem do zachodniego ogrodu, w miejsce, gdzie zwykle ćwiczyliśmy. Stało tam martwe drzewo, idealnie nadające się do trenowania walki kijem oraz słupek, na który zarzucałem srebrny łańcuch. Przypomniałem sobie, jak po raz pierwszy udało mi się tego dokonać sto razy pod rząd. Mistrz ostrzegł mnie przed nadmierną pewnością siebie, przypominając, że czarownica nie zrobi mi tej grzeczności i nie będzie stać bez ruchu. Potem musiałem zacząć rzucać w biegu i pod różnymi kątami. Teraz dobrze sobie radziłem zarówno z łańcuchem, jak i z kijem, nadal jednak trenowałem trzy razy w tygodniu, by nie stracić biegłości. Jeszcze kilka miesięcy temu stracharz postępował tak samo.

Teraz zdziwiłem się, widząc, jak okłada kijem pień suchego drzewa. Raz po raz niemal z wściekłością wbijał w drewno ukrytą klingę. Po czole ściekały mu strugi potu, dyszał ciężko.

W istocie był tak bardzo skupiony, że obserwowałem go przez kilka minut, nim cofnął się i obejrzał, jakby dopiero wówczas dostrzegł moją obecność.

– No, chłopcze, wystarczy na jeden dzień – przynajmniej jeśli idzie o mnie. Teraz twoja kolej trochę się spociec. Ja wracam do domu. Zobaczymy się przy śniadaniu. Znow musimy porozmawiać.

To rzekłszy, wciąż dysząc po wysiłku, oddalił się szybkim krokiem. Odpracowałem codzienne ćwiczenia i po jakiejś godzinie podążyłem jego śladem, zastanawiając się, co chce mi powiedzieć.

Śniadanie było pyszne. Bogin świetnie się spisał. Podał chrupiącą, brązową grzanekę i całe sterty boczku, jajek i grzybów.

Stracharz skinął głową, ja odpowiedziałem tym samym, i bez dłuższych wstępów zaczęliśmy zajadać, nie odzywając się, póki nie przełknęliśmy ostatniego kęsa. Dopiero wtedy mój mistrz odsunął krzesło od stołu i wbił we mnie stanowczy wzrok.

– Przepraszam, chłopcze – rzekł. – Zaniedbałem swoje obowiązki, pozwalając, byś odwalał całą pracę. Co gorsza, nie uczyłem cię.

– To było kilka bardzo ciężkich lat – odparłem. – Mnóstwo podróżowaliśmy, stawiliśmy czoło wielkim niebezpieczeństwom. Obaj mamy szczęście, że przeżyliśmy. A niedawno potrzebował pan czasu, żeby dojść do siebie i odzyskać siły, wiem o tym. Nie ma za co przepraszać. Jest pan dobrym mistrzem – gdyby nie pana pomoc i szkolenie już bym nie żył.

– Miło, że tak mówisz, chłopcze. Spróbuję jednak wynagrodzić ci ostatnie tygodnie. Pamiętasz, czego miałeś się uczyć w czwartym roku szkolenia?

– Tak, czegoś co nazwał pan niewyjaśnionym. Kazał pan mi sprawdzić w „Bestiariuszu”.

– I zrobiłeś to?

Przytaknąłem, nie wspominając o fakcie, że mój mistrz już dawno odszedł od zapowiadanego planu lekcji.

Na końcu książki stracharza zamieszczono krótki rozdział zatytułowany „Przypadki tajemniczych zgonów w Hrabstwie”. Jedna z relacji opowiadała o kobiecie, Emily Jane Hudson, która zmarła w bardzo osobliwych okolicznościach. Na szyi miała ślady nakłuć, ale nie wysączono z niej krwi. Zamiast tego wpompowano ją siłą między ciało a skórę,

jakby chciano ją tam przechować. Incydent ten pozostał tajemnicą.

– Orientujesz się zatem, czego będziesz się uczył. Zaprowadzę nas aż do granic naszego poznania. To wyższy poziom nauki: zamiast przekazywać ci doświadczenia, zgromadzone przez poprzedników, będziemy razem prowadzić badania. Jeśli się nam powiedzie, powiększymy zasób wiedzy i dokładnie wszystko opiszemy. Część z tego pozostanie domysłami, ale sprawdzimy też wszystkie prawdopodobne przyczyny. Zaczniemy dziś od wycieczki w miejsce wymienione w owym straszliwym rytuale – miejsce, gdzie miałeś go przeprowadzić. Przeprowimy się przez wzgórza na północny wschód. Czas, żebym pokazał ci Kamień Strażniczy, znany też pod swą dawną nazwą: Wardstone.

– To tylko wielki głaz czy całe wzgórze? Pamiętam, że kiedyś widziałem tę nazwę na jednej z pańskich map, ale nie do końca zrozumiałem.

– To wielkie wzgórze i wielki głaz, chłopcze – jeden z największych w Hrabstwie.

– A kiedy już tam dotrzemy, co zobaczymy – czy będzie to część naszych badań nad niewyjaśnionym? – spytałem.

– Owszem – odparł stracharz – z całą pewnością. I powiem ci coś jeszcze. Jesteś pierwszym uczniem, któremu pokazuję Kamień Strażniczy. Mimo kilku kłamstw – czy może raczej naruszeń wzajemnego zaufania – naprawdę stałeś się najlepszym z uczniów, jakich kiedykolwiek szkoliłem.

## **ROZDZIAŁ 5**

### **KAMIEŃ STRAŻNICZY**

Po godzinie wyruszyliśmy z Chipenden, zmierzając na północ przez wzgórza. Dźwigałem nie tylko swój kij, ale też obie torby oraz dodatkowe brzemie – wiązkę chrustu na grzbiecie. Tam, w górze, nie rosły drzewa, a zamierzaliśmy przyrzędzić sobie kolację.

Miałem mieszane uczucia. Z jednej strony dobrze było znów podróżować z moim mistrzem, nagle ożywionym i pełnym entuzjazmu. Intrygował mnie także sam Kamień Strażniczy. Czy było tylko zbiegiem okoliczności, że jego dawna nazwa brzmiała jak moje nazwisko? Pamiętam, że zastanawiałem się nad tym już

wtedy, gdy po raz pierwszy znalazłem to miejsce na mapie stracharza.

Jednakże jakaś część mnie wolałaby zostać blisko Chipenden. Przecież tam uda się Alice, jeśli zdoła pokonać magię Złego. Rozpaczliwie łaknąłem wieści, rozpaczliwie też chciałem znów ją zobaczyć. Spróbowałem nawet użyć lustra, by się z nią skontaktować, choć z pewnością takie postępowanie rozwścieczyłoby mojego mistrza. Choć jednak raz po raz powtarzałem jej imię, nie odpowiedziała. Dlaczego nie mogłem jej dotrzeć? Przez to niepowodzenie martwiłem się jeszcze bardziej. Ale nie miałem wyboru, musiałem pójść ze stracharzem.

Pogoda świetnie nadawała się do marszu. Na szczytach wzgórz było chłodniej, ale wciąż świeciło słońce i wiał lekki wietrzyk. Kuliki opadały z nieba, śmigając tuż nad kępami trawy, a świeże królicze bobki wskazywały, że nietrudno będzie o kolację. Na północnym zachodzie widniały jasnoblękitne wody zatoki Morecambe, połyskujące w promieniach słońca. Wielokrotnie wędrowaliśmy tędy razem; często szerokim łukiem od wschodu omijaliśmy Caster i jego starożytny zamek. Jeśli w Hrabstwie działał akurat łowca czarownic, to zazwyczaj właśnie tam. A większość z nich chwytala też stracharzy. Ostatecznie zajmowaliśmy się Mrokiem i to wystarczyło im za pretekst, by nas powiesić. Tym razem jednak zamiast okrążyć miasto, skręciliśmy wprost na wschód, zagłębiając się między wzgórza dalej niż kiedykolwiek wcześniej. Stracharz wciąż narzucał zwawe tempo, wyraźnie dokładnie wiedział, dokąd zmierza. Tymczasem wietrzyk zamienił się w zimny wiatr dmuchający z zachodu, po niebie pędziły chmury, w powietrzu czułem zapach deszczu.

– Odwiedzał pan już wcześniej Kamień Strażniczy? – spytałem.

– Owszem, chłopcze, jak najbardziej – dokładniej rzecz biorąc, dwukrotnie. Za pierwszym razem przybyłem tam jako młody stracharz, wkrótce po śmierci mojego mistrza. Opowiedział mi o nim co nieco i byłem dostatecznie ciekaw, by chcieć ujrzeć go na własne oczy. Po raz drugi poszedłem tam wkrótce po tym, jak

twoja mama napisała do mnie list. Pamiętasz, o jakim liście mówię?

– Ten po grecku, tuż po moich narodzinach?

– Właśnie ten, chłopcze. Utkwił mi w pamięci: wciąż mogę wyrecytować każde słowo. *Właśnie urodziłam chłopca, napisała. To siódmy syn siódmego syna, nazywa się Thomas J. Ward i jest moim darem dla Hrabstwa. Gdy będzie dość duży, pošlemy ci wiadomość. Wyszukaj go dobrze, bo będzie najlepszym uczniem, jakiego miałeś, i twoim ostatnim.*

To ostatnie zdanie zasmuciło mnie, ale wiedziałem przecież, że o ile nie spotka mnie coś złego, zapewne faktycznie pozostanę ostatnim uczniem mojego mistrza. Ponownie poczułem, jakby coś się kończyło, otrząsałem się jednak, próbując myśleć pozytywnie. Wraz z mistrzem czeka nas jeszcze wiele lat wspólnej pracy.

– Pamiętam, jak opowiedział mi pan o nim tuż po wizycie w nawiedzonym domu w Horshaw, kiedy sprawdził pan, czy mam dość odwagi, by zostać pana uczniem. Zdawało mi się, że ten list pana rozzłościł.

– Przyznaję, zirytował mnie, bo brzmiał bardzo arogancko – wyjaśnił stracharz. – Wówczas nie znałem jeszcze twojej mamy i zastanawiałem się, za kogo ona się uważa, skoro chce decydować, kto zostanie moim uczniem. I co więcej: list ten miał w sobie element proroctwa – a jak wiesz, wierzę w wolną wolę, w to, że dokonując codziennych wyborów, sami kształtujemy swoją przyszłość.

– Ale to przez list zapragnął pan jeszcze raz odwiedzić Kamień Strażniczy, zgadza się? Czy miało to coś wspólnego z faktem, że nazywam się tak samo jak wzgórze?

– Opanuj ciekawość i potrenuj cierpliwość. To bardzo użyteczna cecha podczas badań nad niewyjaśnionym. Dowiesz się, chłopcze, kiedy dotrzemy na miejsce – odparował mój mistrz. – Za parę godzin zajdzie słońce, więc myślę, że dość już jak na jeden dzień. Może złapiesz na kolację parę królików?

Byłem głodny i bardzo ucieszyły mnie jego słowa, przytaknąłem zatem radośnie. Stracharz znalazł osłoniętą przed wiatrem dolinkę, ja chętnie odstawiłem torby i kij i zdjąłem z pleców wiązkę chrustu. Kiedy ruszałem na polowanie, mistrz rozpałał już ognisko.

W parę godzin później jedliśmy króliki, które złapałem i upiekłem. Niewiele rozmawialiśmy, ale czuliśmy się świetnie. Zupełnie jak wtedy, gdy dopiero wstąpiłem do terminu; wówczas często chodziliśmy po wzgórzach. Praca niepokoiła mnie, czasem wręcz przerażała, ale miałem wrażenie, że moje prawdziwe życie dopiero się zaczyna.

Teraz pojąłem, że wówczas wszystko było proste, obecnie sprawy bardzo się skomplikowały. Czasami dobrze jest po prostu cieszyć się życiem i nie martwić trudniejszymi sprawami. Choć pyszne, króliki skojarzyły mi się z Alice. Kiedy podróżowaliśmy, zwykle to ona polowała i gotowała, i myśl ta nieco mnie zasmuciła.

Tuż przed świtem obudził nas deszcz. Tymczasem wiatr przerodził się w wichurę, unosząc krople niemal poziomo, tak że w dolince było niemal sucho. Słyszeliśmy jednak, jak bębni o ziemię w górze i pojąłem, że drugi etap wyprawy do Kamienia Strażniczego nieco się opóźni.

– Pośpimy dłużej, chłopcze – oznajmił stracharz. – Na wzgórzach i tak będzie mokro, nie ma sensu, żebyśmy już przed drogą przemokli jak szczury.

Dopiero tuż przed południem deszcz w końcu ustał i mogliśmy podjąć wędrówkę na wschód. Wiatr ucichł niemal całkowicie, lecz widoczność stale się pogarszała.

– Wezmę własną torbę – oznajmił stracharz. – Wkrótce droga zrobi się cięższa i będziesz musiał podeprzeć się laską.

Doceniłem słuszność jego słów, gdy tylko zeszliśmy z Piaszczystego Wzgórza, podążając krętą, błotnistą ścieżką między kępami rdzawej trawy.

– Trzymaj się dróżki, chłopcze – ostrzegł mistrz. – Ziemia po obu stronach jest nie tylko mokra, ciągną się tam głębokie stawy stęchłej wody, bez wątplenia jeszcze pełniejsze po ulewie. Najgorszej jest w miejscach, gdzie trawa rośnie najwyżej.

Gdyby stracharz mnie nie uprzedził, pewnie wpakowałbym się prosto na mokradła. Znał Hrabstwo jak własną kieszeń i nadal mógł wiele mnie o nim nauczyć, zwłaszcza o odległych miejscach, takich jak to.

W końcu dotarliśmy na szczyt Kamienia Strażniczego. Spowijała go niska chmura, toteż nie widzieliśmy, że maszerujemy przez jedno z najwyższych wzniesień w Hrabstwie.

– To tutaj! – Stracharz pokazał ręką i przez mgłę dostrzegłem gigantyczny głaz, także noszący miano Kamienia Strażniczego. Wokół wałały się mniejsze kamienie, na wpół zagrzebane w ziemi.

Mój mistrz podszedł wprost do niego i przyłożył lewą dłoń do kamiennej ściany wznoszącej się przed nim w niebo.

– Ty też połóż na nim rękę – polecił.

Posłuchałem.

– Powiedz, co czujesz?

– Jest ciepły w dotyku.

Dziwne, ale to prawda – nie miałem wątpliwości: mimo chłodu i wilgoci w powietrzu



głaz zdawał się promieniować ciepłem.

– I co jeszcze, chłopcze? Jest w nim coś jeszcze, potrafisz to stwierdzić?

Z początku nie miałem pojęcia, o czym mówi, ale potem stopniowo uświadomiłem sobie, że wszystko wydaje się bardzo ciche. Oddychałem niezwykle powoli – nienaturalnie powoli. Czułem także pulsowanie krwi krążącej w ciele – było tak wolne, że przez moment obawiałem się, że stanęło mi serce.

Oderwałem dłoń od głazu i natychmiast oddech i tętno powróciły do normy. Kiedy ponownie wsparłem dłoń o kamień, wszystko znów spowolniło. Stracharz polecił gestem, abym oddalił się od Kamienia Strażniczego, toteż odszedłem za nim około dwudziestu kroków.

– Czułeś to? – spytał, zatrzymując się.

– On spowalnia czas. Kamień Strażniczy spowalnia czas! – wykrzyknąłem z podnieceniem.

– I ty też to potrafisz, prawda chłopcze? Ale jaka jest różnica?

Umiejętność spowalniania czasu stanowiła dar, który wiele razy ocalił mi życie podczas walki z Mrokiem – przede wszystkim ze Złym, dysponującym tą samą mocą. Powstrzymałem go przed poruszaniem się wystarczająco długo, byśmy mogli przypuścić atak.

Ale czym różnił się mój talent od tego tutaj? Zastanowiłem się dokładnie.

– Kiedy używam swego daru, to ja go kontroluję. Wszystko wokół zwalnia, ale ja mogę się poruszać. Tutaj to kamień spowalnia czas, wpływając na wszystko dookoła, ale oczywiście sam jako głaz nie może się poruszać.

– Naprawdę, chłopcze? Jesteś pewien?

– Jak kamień mógłby się ruszyć?

– Może porusza się w czasie? Tylko zgaduję, ale istnieje taka możliwość. Powiem ci, czemu tak sądzę. Znam relacje naocznych świadków, którzy wspięli się na szczyt tego wielkiego wzgórza i ku swemu zdumieniu odkryli, że głazu nie ma. Po prostu zniknął. Gdzie zatem mógłby się podziać, chłopcze, jeśli nie przenieść w inny czas?

– Czy to byli wiarygodni świadkowie?

– Część bez wątplenia można uznać za głupców – odparł stracharz z uśmiechem. – Ale inni to rozsądni ludzie, nieskłonni do fantazjowania. Pomyśl jednak, cóż za zbieg okoliczności: kamień nazwany twoim nazwiskiem potrafi wpływać na bieg czasu, tak jak ty. Czy to nie dziwne, że właśnie w tym miejscu miał odbyć się rytuał? Wiele jeszcze musimy wyjaśnić... Teraz pokażę ci coś równie dziwnego.

Mój mistrz poprowadził mnie dookoła głazu. Nagle zatrzymał się, wbijając wzrok w jego powierzchnię i podszedł bliżej. Przez chwilę sądziłem, że znów oprze na nim dłoń, zamiast tego jednak pokazał palcem wskazującym.

– Przeczytaj to – polecił.

Zbliżyłem się i odkryłem, że w kamiennej powierzchni wyłobiono słowa. Przypominało to nieco wiersz, bo był ułożony we wzór i nie wszystkie linie miały równą długość. Inskrypcję częściowo porastał mech, tak że ciężko ją było odczytać, potrzebowałem zatem kilku chwil, by odszyfrować napis. Mój mistrz czekał cierpliwie.

NAJWYŻSZY PUNKT HRABSTWA

KRYJE W SOBIE TAJEMNICĘ.

POWIADAJĄ, ŻE ZGINĄŁ TAM CZŁOWIEK, GDY PODCZAS SROGIEJ BURZY PRÓBOWAŁ UJARZMIĆ ZŁO, ZAGRAŻAJĄCE CAŁEMU ŚWIATU. POTEM POWRÓCIŁY LODY, A KIEDY SIĘ COFNĘŁY, NAWET KSZTAŁT WZGÓRZ I NAZWY MIAST W DOLINACH ULEGŁY ZMIANIE.

DZIŚ W OWYM MIEJSCU NA NAJWYŻSZYM ZE WZGÓRZ NIE POZOSTAŁ ŻADEN ŚLAD PO TYM, CO ZASZŁO DAWNO, DAWNO TEMU.

LE CZ JE GO NA ZWA PRZETRWAŁA.

NAZYWAJĄ JE...

KAMIENIEM STRAŻNICZYM

– No, chłopcze, przeczytałeś. Co masz mi do powiedzenia?

– Może to ktoś, kto nazywał się tak samo jak ja, skrępował tu owo tajemnicze zło – podsunąłem.

– To niewątpliwie możliwe. Ale słowo Ward oznacza też coś jeszcze. To archaiczna nazwa okręgu. Kamień może po prostu wyznaczać narożnik posiadłości, której właściciel dawno odszedł w zapomnienie. Może nie mieć nic wspólnego z twoją rodziną. Czy coś jeszcze przychodzi ci do głowy? – naciskał mistrz.

– Cokolwiek to było, działo się wiele lat temu. Jak dawno skończyła się ostatnia epoka lodowcowa?

– Tysiące lat temu, chłopcze. Oceniam, że było to wiele tysięcy lat temu.

– To bardzo długi czas, by mieć przodka nazwiskiem Ward. A język przecież się zmienia, prawda? Wspominał mi pan kiedyś, że podczas epoki lodowcowej, gdy trudno było przetrwać, ludzie zapomnieli o dawnej wiedzy, żyli w jaskiniach i polowali, całkowicie skupiając się na przetrwaniu. Jak stary jest ten napis? Możliwe, że wcale nie tak stary – po prostu ktoś upamiętnił legendę.

– Trudno ocenić jego wiek, ale ma co najmniej sto lat, bo mój własny mistrz, Henry Horrocks, widział go, gdy odwiedził to miejsce jako młody uczeń w towarzystwie swojego mistrza. Prawda jest taka, że pewnie nigdy nie dowiemy się, kiedy wyryto w głazie te litery. To jedna z wielkich tajemnic – kolejny przykład niewyjaśnionego. Chciałem jednak podsunąć ci inny pomysł, chłopcze. Co, jeśli ten wielki głaz naprawdę może przesuwac się w czasie? Bo jeśli tak, pojawiają się dwie możliwości. Inskrypcja może stanowić zapis czegoś, co wydarzyło się dawno temu w przeszłości. A druga?

Nie musiałem się zastanawiać – zupełnie jakby jakaś głębsza część mojego umysłu zawsze to wiedziała i teraz przekazała tę wiedzę mojej świadomości. Gdy otworzyłem usta, słowa po prostu popłynęły, jakby już dawno szykowały się do ucieczki.

– Mógłby wskazywać coś, co wydarzy się w przyszłości. Mógł zostać zapisany w odległej przyszłości i wspominać zdarzenia, do których w naszych czasach jeszcze nie doszło. To może być proroctwo.

Stracharz wyglądał na głęboko zamyślonego. Nie wierzył w postrzeganie – według niego przyszłość zawsze pozostaje zmienna. Lecz przez lata nauki widziałem, jak raz po raz wydarzenia rzucają wyzwanie owemu przekonaniu mistrza.

– Z drugiej strony Kamień Strażniczy może przenosić się gdzieś indziej, pozostając w naszym własnym czasie – podsunął.

– Co to znaczy? Gdzie indziej mógłby się przenieść? – Niektórzy wierzą, że istnieją inne światy, niewidoczne, ale bardzo bliskie naszego. Sam powinieneś to wiedzieć, chłopcze: jeden z nich odwiedziłeś – przykład takiego świata stanowią Wydrażone Wzgórza, na których otrzymałeś swój miecz. Oczywiście mogły też one stanowić tylko przedłużenie Mroku.

– Czy Kamień Strażniczy mógłby przenosić się w Mrok?

– Kto wie? To część niewyjaśnionego i kolejna tajemnica czekająca na rozwiązanie.

A potem bez słowa mistrz poprowadził mnie w dół zbocza i zawróciliśmy do Chipenden.

## **ROZDZIAŁ 6**

### **DOOMDRYTE**

Po kolejnej nocy na dworze, wczesnym popołudniem dotarliśmy

do domu stracharza. Byłem zmęczony, lecz mistrz sprawiał wrażenie pogodnego i tryskał energią.

– Tego właśnie potrzebowałem, chłopcze. Mimo kiepskiej pogody ból w stawach minął bez śladu. Ta przechadzka bardzo mi posłużyła.

Uśmiechnąłem się i przytaknąłem. Z ulgą widziałem, jak bardzo poprawiło się zdrowie i nastawienie stracharza, sam jednak czułem narastające przygnębienie. Miałem nadzieję, że w domu w Chipenden zastanę Alice, ale jej tam nie było. Co więcej, sugestia stracharza, że inskrypcja na kamieniu może stanowić prorocstwo, nie dawała mi spokoju.

Napisano, że „zginął tam człowiek”. Kto to mógł być..stracharz? Ale skończyłem już przecież szesnaście lat, więc pewnie też uznawano mnie za dorosłego – czy to zwiastowało mój koniec? Może jednak nie będę ostatnim uczniem stracharza...

– Uśmiechnij się, chłopcze! – rzucił mój mistrz. – Wydarzenia zwykle same znajdują rozwiązanie.

Zmusiłem się do uśmiechu. Miał dobre zamiary.

Tej nocy kiepsko spałem. Gdy tylko głową dotknąłem poduszki, pograżyłem się w koszmarze. W śnie tym odtwarzałem na nowo jedno z najgorszych przeżyć z czasów terminu u stracharza.

Byłem z powrotem w dworze Read na południe od wzgórza Pendle, przeżywając raz jeszcze ową noc lata temu, gdy nawiedzał mnie paskudny stwór, niejaki Tibb. Klan Malkinów stworzył go z ciała maciory po to, by móc ujrzeć przyszłość. Potrzebowali potężnego widzącego, bo rzuciła im wyzwanie młoda Maud Mouldheel, dysponująca ogromną proroczą mocą.

Leżałem w łóżku, sparalizowany mrocznym zaklęciem. Tibb był nade mną, słyszałem, jak wbija szpony w drewno, uczepiony sufitu. Przypominał gigantycznego pająka, ale miał cztery kończyny, a głowa zwisała w tył na długiej szyi. W otwartych szeroko ustach błyskały ostre zęby. We śnie czułem równie wielkie przerażenie jak wtedy. Coś wypadło mu z otwartych ust na moją koszulę. Było lekkie i ciepłe. Wówczas nie zorientowałem się co to, ale teraz

mimo grozy koszmaru wiedziałem, że to ludzka krew – Tibb wcześniej odwiedził sąsiedni pokój i pożywił się ojcem Stocksem. Słyszałem, jak nieszczęsny ksiądz krzyczy w mękach.

I wtedy Tibb przemówił, wypowiadając straszliwe słowa proroctwa:

*Widzę dziewczynę, która wkrótce stanie się kobietą. Dziewczynę, z którą dzielić będziesz życie. Będzie cię kochać, zdradzi cię i w końcu umrze dla ciebie.*

Obudziłem się zlany potem, z walącym sercem. Może właśnie w tej chwili Alice używała bardzo niebezpiecznej magii.

Czy Tibb przepowiedział jej śmierć?

Wczesnym popołudniem poszedłem odebrać z Chipenden cotygodniowe zapasy: miałem odwiedzić rzeźnika, kram z żywnością, a potem piekarza, jak zwykle. Podczas niedawnej wojny patrol żołnierzy wroga zaatakował wioskę, zabijając część mieszkańców i podpalając kilka domów. Ucieszyło mnie, że teraz wieś wygląda niemal tak samo jak wcześniej.

Podobnie jak dom stracharza, większość uszkodzonych budynków została odbudowana, a na głównej brukowanej ulicy wiodącej między kramami roiło się od gospodyń, ściskających w dłoniach kosze zakupów. Ludzie przybywali do Chipenden z odległych farm i osad, tu bowiem można było kupić najlepszy ser w całym Hrabstwie, a także doskonałą baraninę i wołowinę.

Zarzuciłem na ramię worek z zapasami i pomaszerowałem w stronę domu mistrza. Zmierzałem właśnie dróżką wiodącą do furtki, gdy zorientowałem się, że ktoś mnie obserwuje.

Po mojej lewej, nieopodal miejsca, gdzie po raz pierwszy spotkałem Alice, pod dużym, rozłożystym dębem stały trzy osoby. Znałem je od dawna, toteż odruchowo odstawiłem worek i uniosłem przed sobą kij w ukośnej pozycji obronnej – rozpoznałem w nich bowiem czarownice.

Były to Mab, Beth i Jennet Mouldheel.

Ruszyły ku mnie, przystając po pięciu krokach. Nie opuszczałem laski.

Mab miała jakieś siedemnaście lat; mimo młodego wieku była groźną bezecną wiedźmą i przywódczynią klanu czarownic Mouldheelów. Podczas pierwszej wizyty w Pendle przekonałem się, do czego jest zdolna; wyruszyłem tam ze stracharzem, by uratować mojego brata Jacka, porwanego z domu z rodziną. Mab miała silny charakter, władała potężną magią i bez wątplenia była najlepszą widzącą w Hrabstwie. Nie

brakowało jej też urody – miała duże, jasne, zielone oczy i złote włosy. Jak reszta jej klanu chodziła na bosaka, stopy, łydki i postrzępioną spódnicę pokrywały plamy błota. Jej dwie młodsze siostry, Jennet i Beth, były bliźniaczkami i rozróżniałem je z trudem. Natura poskąpiła im urody starszej siostry, miały chude, zacięte twarze i haczykowane nosy.

Wszystkie trzy były nieco starsze niż wtedy, gdy widziałem je po raz ostatni, a także wyższe – miały teraz twarze i ciała młodych kobiet.

– Nie spieszyło ci się! Czekamy tu już prawie godzinę i wyraźnie nie ucieszył cię mój widok, Tomie – Mab uśmiechnęła się. – A powinien, bo przychodzę, by znów ci pomóc.

Nie ufałem jej ani odrobinę. Przed bitwą na Wzgórzu Pendle próbowała mnie zmusić do otwarcia jednej ze skrzyń mamy – skrzyń, które Malkinowie ukradli po napaści na farmę i porwaniu mojej rodziny. Gdy odmówiłem, zagroziła, że zamorduje Mary, moją młodą bratanicę. Natychmiast zrozumiałem, że nie są to próżne groźby. Mab była wiedźmą krwi, zabijała, by zdobyć to, czego potrzebuje do praktykowania swej mrocznej magii.

Jednak później nawiązała z nami niepewny sojusz i towarzyszyła nam do Grecji, by walczyć ze śmiertelną nieprzyjaciółką mamy, Ordyną.

– Pomóc w czym? – spytałem ostro.

– Oczywiście pomóc wykończyć Złego, zniszczyć go nieopodal tej wielkiej skały. Pewnie czujesz się bardzo ważny, wiedząc, że skałę i wzgórze nazwano twoim nazwiskiem!

Poczułem wewnątrz chłód. Sądziłem, że wie o tym tylko kilka osób – ja sam, stracharz, Grimalkin, Alice i lamia Slake.

Mab obdarzyła mnie złośliwym uśmiechem.

– Pewnie sądziłeś, że to sekret. Ale pamiętaj, że przede mną nie da się niczego zbyt długo ukryć. Z wielką łatwością postrzegłam, co kombinujesz. Wiem, że inni też się dowiedzą i w Święto Zmarłych wszyscy ruszą na to wzgórze, na którym masz zabić Alice! Będzie tam sporo sług Złego: musisz mieć pomoc w walce z nimi, więc nie krzyw się tak. Sądziłam, że kiedyś mnie lubiłeś...

– Trochę się w tobie durzył, bez dwóch zdań – wtrąciła Jannet. – Kiedy Alice umrze, Tom na pewno znów to poczuje.

Oczywiście, to nie była prawda. Mab zmusiła mnie mroczną magią bym ją pocałował, w nadziei, że osłabi moją wolę i zapanuje nade mną. Ale jej próba od początku była skazana na niepowodzenie: kiedy pierwszy raz się spotkaliśmy, Alice chwyciła mnie za

przedramię tak mocno, że przebiła paznokciami skórę, pozostawiając blizny. Wyjaśniła mi, że to jej piętno. Oznaczało, że żadna wiedźma nie mogła zapanować nade mną w ten sposób, toteż Mab się nie udało. Nigdy nie czułem do niej niczego prócz złości i odrazy.

– Czy mam mu powiedzieć o Alice? – spytała, uśmiechając się przebiegle po kolei do obu sióstr.

– Tak! Powiedz mu teraz, chcę zobaczyć jego minę! – zawołała szyderczo Beth.

Sądziłem, że wiem, co chce rzec: bez wątpienia zamierzała stwierdzić, że znów postrzegła śmierć Alice. Czy widziała, jak zabijam ją w trakcie rytuału? Jeśli tak, myliła się: nie zamierzałem tego zrobić, a mimo całej swej mocy Mab już wcześniej myliła się co do Alice.

Postrzeganie bywało niepewne. W Grecji Mab przepowiedziała śmierć Alice, ale gdy lamia pochwyliła ją i zawlokła do swego gniazda, ocaliłem moją przyjaciółkę zaklęciem – mrocznym życzeniem, podarowanym przez Grimalkin.

Jednakże słowa Mab całkowicie mnie zaskoczyły.

– Widziałeś Alice, prawda? – rzekła. – A wiesz, że wróciła tydzień wcześniej, nim w końcu raczyła się z tobą skontaktować? Raczej jej na tobie nie zależy, inaczej nie pozwalałaby, żebyś się tak martwił.

Wpatrywałem się w nią, nie wiedząc, czy po prostu nie kłamie, by mnie zranić.

– Powiedz mu resztę, Mab! – rzuciła Jennet. – Chcę, żeby usłyszał wszystko!

– Alice znalazła inny sposób zniszczenia Złego. Grimalkin jej pomaga! – zawołała tryumfalnie Mab.

– Już to wiem – warknąłem gniewnie. – Uprzedziła mnie, co robi.

– Doprawdy? Ale założę się, że nie powiedziała wszystkiego. Alice zamierza użyć „Doomdryte” – zapiała Mab. To słowo, „Doomdryte”, było niczym cios. Nie mogłem ukryć swoich uczuć i wszystkie trzy wyszczerzyły zęby, widząc wstrząs na mojej twarzy.

Grimoiry to księgi pełne zaklęć mrocznej magii, a najsłynniejszym i najniebezpieczniejszym z nich wszystkich jest książka, o której właśnie wspomniała Mab – „Doomdryte”. Mieści się w niej tylko jedno, bardzo długie zaklęcie. Należy wyrecytować je idealnie, bez nawet najmniejszej przerwy na odpoczynek, bez jednego zająknięcia. Jak dotąd nikomu się to nie udało, każdy mag bądź czarownica, którzy próbowali owego czaru, ponieśli klęskę.

A za klęskę płaciło się życiem.

Nie wiedziałem, co rzec. Znaleźliśmy z mistrzem ów grimoire w prywatnej bibliotece w Todmorden, gdy walczyliśmy z czarownicami i demonami z Rumunii. Byłem

nieprzytomny przez trzy dni i trzy noce, a potem ponad dwa tygodnie przykuty do łóżka po tym, jak omal nie zginąłem z rąk Siscoi, wampirzego boga. Podczas gdy leżałem bezradny, Grimalkin zabiła bądź przepędziła pozostałe demoniczne stwory. Twierdziła, że szukała „Doomdryte”, ale bez powodzenia. Jeśli jednak Mab Mouldheel mówiła prawdę, wiedziałem dokładnie, co zaszło.

Grimalkin musiała znaleźć ową śmiercionośną księgę w jakiejś kryjówce i zabrać ją do Alice, gdy ta opuściła Mrok. Nic dziwnego, że Alice nie od razu przyszła spotkać się ze mną w Chipenden! Czekala cały tydzień, a potem odwiedziła mnie na skraju ogrodu w sekrecie przed mistrzem. I ujawniła mi tylko część historii. Co do tego zgodzaliśmy się obaj ze stracharzem: nawet próba rzucenia owego zaklęcia to szaleństwo. Fakt, że Alice nie wyznała mi prawdy, zranił mnie i to bardzo głęboko.

Mój mistrz uważał „Doomdryte” za dzieło absolutnie złe. Pragnął spalić księgę. Alice z pewnością zginie, podejmując się tak nieprawdopodobnego zadania. A nawet jeśli jej się uda, to z jakim skutkiem? Czy pomoże jej to zniszczyć Złego? Obawiałem się, że wykorzystując ów złowieszczy grimoire, w końcu przemieni się w prawdziwą bezecną wiedźmę.

Alice dołączy do Mroku.

– Wiesz, gdzie jest teraz? – spytałem Mab. – Czy możesz mnie do niej zaprowadzić?

Wymawiając te słowa, przypomniałem sobie, kiedy ostatnio Mab to zrobiła. Zastawiła pułapkę: Alice była już więźniem Mouldheelów.

– Jest zbyt dobrze ukryta – odparła teraz. – Skoro zdołała skryć się przede mną, musiała użyć niewiarygodnie potężnego zaklęcia maskującego.

– Czyli jest zbyt silna i nie możesz postrzec jej miejsca pobytu?

Fakt, iż nawet Mab nie potrafiła jej znaleźć, stanowił dowód niewiarygodnej mocy Alice.

– Zresztą i tak bym nie szukała! – warknęła Mab. – Nigdy nie zgodzaliśmy się ze sobą i nie podziękowałyby mi za to, że wtykam nos w jej sprawy.

– Czyli mi nie pomożesz?

– Nie mogę, a nawet gdybym mogła, nie zrobiłabym tego. Musisz też pamiętać o Grimalkin! Nie warto się jej narażać. W każdym razie miło było z tobą pomówić, Tomie. Teraz idziemy odwiedzić Kamień Strażniczy. Muszę poznać tę okolicę, by wiedzieć, co i jak zrobić w Święto Zmarłych.

– Marnujesz czas, Mab. Podjąłem już decyzję, nie odprawię rytuału. A teraz, skoro Alice chce użyć „Doomdryte”, nawet mnie tam nie będzie w Święto Zmarłych.



– Nie bądź tego taki pewien, Tomie. Postrzeżenie to trudna sprawa – czasem przyszłość zmienia się z minuty na minutę – ale wiem jedno: w to Święto Zmarłych w pobliżu Kamienia Strażniczego wydarzy się coś naprawdę wielkiego i groźnego. Miejsce to przyciągnie do siebie stwory z Mroku – niektóre przybędą, by walczyć u boku Złego, inne, by się mu przeciwstawić. Będą tam wiedźmy wszelkich rodzajów, pomioty i inne mroczne stwory. Wynik tego starcia odmieni świat. I wiesz co! Ty też tam będziesz – tego jednego jestem pewna.

To rzekłszy, Mab pomachała mi na pożegnanie, zawróciła na pięcie i poprowadziła swe wyszczerzone szeroko w uśmiechu siostry między drzewa.

Dłuższą chwilę stałem bez ruchu, głęboko zamyślony. Instynkt podpowiadał mi, że Mab miała rację przynajmniej co do jednego. Nawet bez rytuału coś ważnego wydarzy się w Święto Zmarłych i byłem pewien, że odegra w tym rolę Kamień Strażniczy.

Znów wróciłem pamięcią do proroctwa Tibba, do części tuż przed: *i w końcu umrze dla ciebie.*

Pamiętałem, co mówił wcześniej. Tibb twierdził, że Alice mnie zdradzi.

Czy nie to właśnie uczyniła? Wróciła z Mroku niemal tydzień wcześniej, nim w końcu zechciała powiadomić mnie, że jest bezpieczna, że przeżyła. A wiedziała, że rozpaczliwie wyczekuję wieści. Co więcej, odeszła, by użyć „Doomdryte”, wiedząc, że sprzeciwia się to wszystkiemu, w co wierzymy z mistrzem.

Czyż to nie zdrada?

## ROZDZIAŁ 7

### STRASZNA SCENA

Następnej nocy nie miałem snów. Ucieszyłem się, bo dręczyło mnie dość zmartwień i lęków, by stworzyć z tuzin koszmarów. Uznałem to za cud.

Ale to nie koszmar mnie obudził. Stało się coś znacznie gorszego.

Dobrze przed świtem obudziłem się nagle zlany potem, pewien, że coś jest okropnie nie tak. Wstałem z łóżka cały rozdygotany, przepełniony grozą i straszliwym poczuciem straty. Byłem pewien,

że ktoś bliski mi umarł – albo przynajmniej został ciężko ranny.

Mój mistrz!

Zbiegłem na dół. Stracharza zastałem w kuchni. Nie każdą noc spędzał w łóżku, czasami sztywniały mu i bolały plecy, wówczas drzemał na siedząco. Teraz siedział w fotelu blisko dogasającego paleniska. Nie ruszał się. Czy oddychał?

Bardzo powoli ruszyłem po kamiennych płytach posadzki w jego stronę, spodziewałem się najgorszego, nagle jednak otworzył oczy, spojrzał na mnie i podrapał się po brodzie.

– Co się stało, chłopcze? Jesteś biały jak prześcieradło.

– Coś jest nie tak. Jestem pewien, że coś się z kimś stało – coś straszного.

– Może to nic, chłopcze. – Mój mistrz przetarł zaspane oczy. – Może po prostu ocknąłeś się ze złego snu i zabrałeś ze sobą niepokój. Czasami tak bywa.

– Nie śniłem.

– Czasami w chwili przebudzenia zapominamy swoje sny. Nie masz pewności – zauważył stracharz.

Pokręciłem głową.

– Muszę wyjść na dwór – oznajmiłem.

Pełen obaw ruszyłem do ogrodu. Ciemne niebo zasnuły szare chmury: zaczynało mżyć. Zadrzałem. Wrażenie grozy i straty jeszcze się wzmogło.

Nagle coś jakby błysnęło mi wewnątrz czaszki, poczułem ból pośrodku czoła. Teraz owo coś złego miało kierunek, jego źródło leżało nieco dalej – na południowym wschodzie.

Usłyszałem, jak stracharz zbliża się i staje u mego boku.

– Cokolwiek się stało, to tam... – pokazałem drzewa.

– To może być mroczna magia – rzekł mistrz – która chce zwabić cię w pułapkę. Słudzy Złego nigdy się nie poddają. Musimy zachować ostrożność.

– Dziwne, nigdy wcześniej nie czułem niczego takiego. Boję się... Ale możliwe, że ma pan rację: to może być pułapka.

Zacząłem krążyć tam i z powrotem, żołądek ścisnął mi się

nerwowo, a tymczasem stracharz patrzył na mnie z wyraźną troską i niepokojem.

– Oddychaj głęboko, chłopcze. Postaraj się uspokoić. Za chwilę to minie.

– A jeśli nie? – spytałem, zatrzymując się gwałtownie i patrząc mu prosto w oczy.

I natychmiast ogarnęło mnie przemożne pragnienie, by pójść i to sprawdzić.

– Muszę iść! – zawołałem. – Muszę przekonać się na własne oczy, co się stało, inaczej nigdy nie spocznę.

Stracharz ponad minutę spoglądał między drzewa, potem jedynie skinął głową.

W pięć minut później opuściliśmy ogród, maszerując na południowy wschód. Jak zwykle dźwigałem obie torby, a także własny kij. Oprócz laski stracharz zabrał też lampę, bo od świtu dzieliło nas jeszcze sporo czasu. Nie wiedziałem, jak daleko będziemy musieli iść.

Źródło mojego niepokoju okazało się znacznie bliższe, niż przypuszczałem.

Kilka lat wcześniej, kiedy pierwszy raz spotkałem Alice, mieszkała w okolicy z Kościstą Lizzie i pomiotem imieniem Kiel. Lizzie zamierzała uwolnić Mateczkę Malkin z dołu w naszym ogrodzie, a także zabić mojego mistrza, Johna Gregory'ego. Cała trójka mieszkała w opuszczonym domku na północny wschód od domu stracharza. Oczywiście, nie powiodło im się, a miejscowi, oburzeni bliskością niebezpiecznej czarownicy, spalili chatę.

Teraz widziałem ją pośród drzew. Im bardziej się zbliżaliśmy, tym większą miałem pewność, że to właśnie źródło mojego strachu.

Blask lampy ukazał nam pierwsze z martwych ciał: mężczyznę leżącego na plecach. Oczy miał szeroko otwarte, deszcz ściekał mu po twarzy niczym łzy. W obu martwych dłoniach nadal ścisnął sztylety, na nic mu się jednak nie zdały. Gardło miał poderżnięte od ucha do ucha.

Bliżej poczerniałych ścian chaty znaleźliśmy kolejne trupy – w

sumie może ze dwadzieścia. Większość należała do kobiet, niemal na pewno czarownic, miały ze sobą noże, niektóre przywiązane do długich tyczek, jak to mają w zwyczaju w Pendle. Wszystkie zginęły gwałtowną śmiercią, rany miały świeże, trawa lepiała się od ich krwi.

Wokół zalegała cisza, mnie jednak przyciągała chata. Pierwszy wszedłem do środka, dygocząc na myśl, co mogę zastać. Drzwi i okna spłonęły lata temu, nigdy ich nie wymieniono. W mroku natychmiast zobaczyłem kogoś wspartego o przeciwległą ścianę. Z początku sądziłem, że to kolejny trup. Czyżby Alice? Na tę myśl zadrżałem z rozpaczy.

Moje oczy powoli przywykały do ciemności, kiedy jednak pojawił się mistrz, lampa oświetliła straszną scenę. Przekonałem się, że to wiedźma zabójczyni, siedząca w kałuży własnej krwi. Oddychała chrapliwie, oczy miała półprzymknięte. Trudno było stwierdzić, czy jest przytomna, czy też nie. Jej ciało pokrywały głębokie rany, przypominające otwarte usta.

W lewej dłoni wciąż ścisnęła sztylet ze skeltem – był to Rębacz Kości, klinga, którą wypożyczyłem jej do pomocy w nieustającej walce ze zwolennikami Złego. Do tego miała złamaną lewą nogę tuż pod kolanem, widziałem sterczący z ciała kawałek kości.

Po worku z głową Złego nie było nawet śladu. Przez chwilę wpatrywałem się bezradnie w Grimalkin, a w mojej głowie kłębiły się emocje, dziesiątki złowieszczych możliwości.

Nigdy nie wyobrażałem sobie, że mogłaby zostać pokonana w walce. Jakim cudem do tego doszło? Słudzy Złego od dawna na nią polowali, byli liczni i niestrudzeni – a niektórzy bardzo potężni – może zatem ich ostateczne powodzenie stanowiło tylko kwestię czasu. Nie poddała się łatwo – świadczyły o tym walające się wokół domku trupy.

Serce ścisnęło mi się jeszcze mocniej, bo nagle przypomniałem sobie, że Grimalkin i Alice planowały posłużyć się „Doomdryte”. Czy dlatego właśnie ukryły się? Czy szykowały się do rytuału?

Jeśli tak, gdzie teraz była Alice?

Myśli wciąż wirowały mi w głowie, nie mogłem się poruszyć. Oszołomiony, patrzyłem, jak stracharz klęka obok widzmy zabójczyni.

– Zrobię jej łubki na nogę – rzekł i znów wstał. – Ale z ranami sobie nie poradzę; straciła mnóstwo krwi. Jesteśmy niedaleko zachodniej granicy farmy Clegga. On ma wóz. Pobiegnij tam, wypożycz go i przyprowadź tutaj. Musimy ją zawieźć do Chipenden, do medyka. Wciąż jeszcze możemy ją uratować. Przestań się gapić, chłopcze! Biegiem!

## **ROZDZIAŁ 8**

### **TYLKO TY MOŻESZ TO ZROBIĆ**

Pobieglem zatem, ale nic nie poszło łatwo. Clegg spał bardzo twardo i najwyraźniej mieszkał sam. Udało mi się pobudzić psy, ale minął dobry kwadrans, nim poirytowany farmer podszedł do drzwi, spojrzał na mnie przekrwionymi oczami i machnął kijem.

– O jakiejś to porze walisz mi do drzwi tak głośno, że przebudziłbyś umarlaka? Lepiej stąd znikaj, nim cię tym poczęstuję!

– Przysyła mnie mój mistrz, John Gregory. Czy mógłbym wypożyczyć pański wóz i konia? Pod spaloną chatą mamy rannego, musimy dostarczyć go do medyka.

– Co? Chcesz wziąć mój wóz? Kto jest ranny? W tej chacie nikt nie mieszka, to ruina.

– Proszę posłuchać, doszło do walki. Zginęło wiele osób. Ale jedna wciąż żyje i możemy ją ocalić. Potrzebny nam wóz. Proszę się nie martwić, mój mistrz hojnie zapłaci!

Usłyszawszy o pieniądzach, Clegg poprowadził mnie do zabudowań. Okazały się zamknięte i musiał wrócić do domu po klucz. W końcu wyciągnęliśmy wóz i zaprzęgliśmy konia.

Nim dotarłem z powrotem do chaty, upłynęła niemal godzina.

Spodziewałem się, że stracharz będzie narzekał, ale się nie odezwał. Zdążył w tym czasie rozpać ogień i zagotować wodę w niewielkim garnku, który znalazł w kuchni.

Przemywszy jak najlepiej rany Grimalkin, wepchnął kość na miejsce i przyłożył do nogi dwie gałązki służące za zaimprovizowane łubki. Właśnie przywiązywał je we właściwych miejscach, kiedy się zjawiłem. Grimalkin wciąż była nieprzytomna, oddychała ciężko przez usta, na czole perliły jej się krople potu, a górna część ciała dygotała w gorączce.

Sztylet leżał na ziemi obok niej. Podniosłem go i wsunąłem za pasek.

Ostrożnie dźwignęliśmy wiedźmę na wóz i ruszyliśmy do domu stracharza. Dotarłszy na miejsce, zanieśliśmy ją na górę i położyliśmy w moim łóżku. Potem mistrz posłał mnie po miejscowego medyka. Na szczęście zastałem go w domu; po półgodzinie zajął się już pacjentką.

Kiedy się pożegnał, odprowadziliśmy go przez ogród aż do granicy, by ochronić przed boginem. Tam zatrzymał się i pokręcił głową.

– Wedle wszelkich zasad powinna już nie żyć – rzekł.

– Jak pan widział, nie jest to zwyczajna kobieta – odparł stracharz.

– Znam pana od bardzo dawna, panie Gregory – oznajmił doktor. – Miejscowi ludzie wiele panu zawdzięczają, od lat chroni pan tę wioskę. Całe Hrabstwo ma u pana dług, nie będę zatem pytał, czemu przechowuje pan u siebie czarownicę.

– Mam dobre powody. Nie zrobiłbym tego, gdyby nie było to absolutnie konieczne dla dobra nas wszystkich. A teraz chciałbym usłyszeć pańską opinię. Jak pan myśli, czy ona przeżyje?

– Jeżeli przetrwa noc, to ma szansę, ale nawet wtedy niebezpieczeństwo nie minie, bo pozostaje ryzyko zakażenia. A jeśli przeżyje, jej życie bardzo się zmieni. To paskudne złamanie, już zawsze będzie kulą. Zresztą wrócę jutro i zobaczę, jak się miewa.

Biedna Grimalkin, pomyślałem. Jej sztuka walki w znacznej

mierze opierała się na szybkości – pełnym piruetów tańcu śmierci, który czynił z niej jakże groźną przeciwniczkę. Teraz nie będzie już tak niebezpieczna.

– Proszę wrócić w południe – polecił stracharz. – Spotkamy się na skraju zachodniego ogrodu.

Doktor skinął głową i odszedł w dół wzgórza. Uznaliśmy, że będziemy na zmianę czuwać przy Grimalkin na wypadek, gdyby jej się pogorszyło. Stracharz spędził przy niej resztę dnia, ja zmieniłem go o zachodzie słońca.

Usiadłem przy łóżku, wpatrując się w nią niespokojnie i zastanawiając, co spotkało Alice. Grimalkin mamrotała we śnie, czasami jęczała cicho, ale poza tym nie zdradzała żadnych oznak powrotu do świadomości. Czułem się bezradny, robiłem jednak, co mogłem, od czasu do czasu ścierając pot z jej czoła, albo unosząc głowę i przykładając do ust kubek wody – choć za każdym razem kończyło się to atakiem kaszlu.

Oddech miała chrapliwy i nieregularny, czasami zdawało się, że niemal na minutę ustaje. Za każdym razem myślałem już, że umarła. Potem, jakieś pół godziny po północy coś się zmieniło – oddech Grimalkin wyrównał się, aż wreszcie uniosła powieki i spojrzała na mnie.

Próbowała coś powiedzieć, otwierając i zamykając usta, ale nie wydostał się z nich żaden dźwięk. A potem wykrzywiła twarz z bólu, usiłując usiąść, podłożyłem jej zatem pod plecy więcej poduszek i pomogłem. Przytknąłem do ust kubek i tym razem zdołała przełknąć, nie krztusząc się przy tym.

Długi czas patrzyła na mnie w milczeniu. W końcu nie mogłem dłużej wytrzymać.

– Alice?

Grimalkin spuściła wzrok, jakby nie chciała spojrzeć mi w oczy, a potem odparła jednym słowem.

– Lukrasta!

Znałem to imię. Lukrasta pojawiał się w bestiariuszu stracharza w rozdziale traktującym o magach. Był to mroczny

mag, który napisał ów grimoire, podyktowany przez samego Złego! Mimo to zginął, próbując odprawić pełen rytuał z „Doomdryte”. Ponoć pomylił się i został zniszczony.

– Chodzi ci o maga, który zginął?

– Nie! Nie! Nie zginął – zaprotestowała Grimalkin: głos miała bardzo słaby, musiałem pochylić się nad łóżkiem i niemal przytknąć ucho do jej ust. – Kiedy Alice otworzyła grimoire, by rozpocząć rytuał, pojawił się przed nami wprost z powietrza. Kompletnie nas zaskoczył i poraził swą mocą. Później zaatakowali słudzy Złego.

– Gdzie jest Alice?

Grimalkin wzruszyła ramionami.

– Byłam ogłuszona. Oszołomiona. Znacznie słabsza niż zwykle... Atakowało zbyt wielu... Nie widziałam, co się stało z Alice. Chyba Lukrasta ją porwał.

Alice była więźniem Lukrasty! Co dokładnie się wydarzyło? Musiałem to wiedzieć.

Grimalkin zaczęła kaszleć i znów przytknąłem jej kubek do warg. Tym razem zaczęła pić łapczywie, do ostatniej kropli.

– Mają głowę Złego – podjęła. – Spróbują odwieźć ją do Irlandii..połączyć z ciałem... Musisz ruszyć za nimi. Odzyskać ją!

– W którą stronę odeszli? Czy na zachód?

– Nie widziałam, ale tak, przypuszczam, że skierowali się na zachód, w stronę wybrzeża. Bez wątpienia podążą wzdłuż rzeki. Teraz wszystko zależy od ciebie.

Z pomocą krecza, stwora spłodzonego przez demona, słudzy Złego raz już odebrali Grimalkin worek. Następnie wynajęli statek na północ od Liverpoolu, ale Alice im przeszkodziła, a Grimalkin przechwyciła głowę Złego. Czy teraz skierują się w to samo miejsce? A może ruszą na północ do głównego portu w Hrabstwie, Sunderland Point?

– Jak wielu ich zostało? – spytałem.

– Dobrze ponad tuzin – z całą pewnością dosyć, by mnie zabić, gdyby nie zaprzestali ataków. Inni z pewnością dołączą do nich



później.

Zastanawiałem się, co właściwie zdołam działać sam – do tej pory mogli już dotrzeć do ujścia rzeki i skręcić na południe. Albo może przeprowić się mostem w Priestown na północ.

– Chyba za bardzo mnie już wyprzedzili – rzekłem. – Nim dotrę do wybrzeża, wypłyną.

Grimalkin chwyciła mnie gwałtownie za kołnierz i przyciągnęła tak blisko, że nasze nosy niemal się zetknęły. Choć była ranna, czułem siłę jej uchwytu. Wbiła we mnie spojrzenie płonących oczu.

– Tylko ty możesz to zrobić! – syknęła. – Jeśli przeprowią się przez morze do Irlandii, musisz uczynić to samo. Podążaj za nimi tak daleko jak trzeba! Nie jesteś już chłopcem, tylko mężczyzną. Masz miecz. Czy wciąż trzymałam w ręce Rębacza Kości?

– Tak, jest bezpieczny.

– Wiem, że Alice dała ci drugi sztylet, Posepnego. Masz już wszystkie trzy miecze i dary od matki, co więcej, jesteś siódmym synem siódmego syna. Idź zatem i zrób to, co konieczne. Zabij każdego, kto stanie ci na drodze, ale sprowadź tu głowę Złego!

## **ROZDZIAŁ 9**

### **ZASADZKA**

Grimalkin opadła ciężko na poduszki, z trudem chwytając oddech. Jej powieki opadły, wysiłek wyraźnie ją wyczerpał. Szybko wybiegłem z pokoju i poszukałem stracharza. Tak jak podejrzewałem, spał w fotelu w kuchni, blisko dogasającego ognia.

– Teraz moja kolej, chłopcze? – spytał, otwierając oczy na dźwięk moich butów uderzających o posadzkę. Sądził, że przyszedłem obudzić go, aby zmienił mnie przy Grimalkin.

Pojąłem, że muszę podjąć decyzję, jak wiele mu ujawnić. Postanowiłem opuścić wszelkie wzmianki o tym, że Alice i Grimalkin chciały użyć „Doomdryte”, bo uznały to za

niewybaczalne, największą możliwą głupotę. Skupię się zatem na potrzebie odzyskania worka i jego zawartości.

Pokręciłem głową.

– Grimalkin powiedziała, że muszę ruszać za tymi czarownicami i spróbować odzyskać głowę Złego.

– Nie masz zbyt wielkich szans, chłopcze. Możliwe, że pójdziesz na śmierć.

– Jeśli więdmy połączą głowę z ciałem, nas wszystkich spotka śmierć i coś jeszcze gorszego.

Sądziłem, że mistrz będzie protestował, ale jedynie mnie przeprosił.

– Poszedłbym z tobą, gdybym mógł – rzekł ze smutkiem. – Brak mi jednak szybkości do podobnego pościgu. Jeśli będę włókł się z tobą, nigdy ich nie dogonisz.

Najszybciej, jak się dało, przygotowałem się do drogi. Nie zabrałem torby, bo tylko by mi przeszkadzała. Nie potrzebowałem srebrnego łańcucha – nie zamierzałem brać więźniów, aby zamknąć ich w jamach; sól i żelazo też stanowiłyby niepotrzebne obciążenie. Wziąłem zatem miecz i dwa sztylety w pochwach. Ściskając w ręku kij, byłem gotów do wymarszu w noc.

Stracharz czekał przy drzwiach. Przygotował dla mnie niewielki pakunek z serem. Wcisnąłem go głęboko do kieszeni płaszcza.

– Boję się o ciebie, chłopcze. – Poklepał mnie po ramieniu. – Gdyby ktokolwiek inny ruszał za nimi samotnie, uznałbym, że to beznadziejna sprawa. Ale widziałem, co potrafisz.

A potem zrobił coś dziwnego: uścisnął mi dłoń. Zdarzało się to bardzo rzadko, bo nikt nie chce dotykać stracharza. Nawet kiedy mój tato i John Gregory ustalili warunki terminu, nie ścisnęli sobie rąk, a już na pewno mistrz nigdy nie robił tego ze mną.

Poczułem się dziwnie, z jednej strony jakby traktował mnie jak równego sobie – drugiego stracharza, nie tylko ucznia, którego szkoli. A przecież w głębi serca poczułem chłód. Miałem wrażenie, że kończy się coś ważnego.

Szybko pomaszerowałem na zachód. Kiedy dotarłem do rzeki Ribble, musiałem zdecydować: którym brzegiem podążać ku morzu? Czy czarownice skierują się na północ, czy na południe? Wkrótce rzeka stanie się zbyt szeroka i głęboka, by się przez nią przeprawić. Jeśli zatem się pomylę, będę musiał odwiedzić Priestown, miasto, w którym niechętnie witano stracharzy, i skorzystać z tamtejszego mostu. To oznaczało kilka godzin zwłoki.

Nie znalazłem żadnych śladów na północy, toteż zaryzykowałem i przeprawiłem się następnym brodem, wybierając północny brzeg Ribble. Następnie przyspieszyłem kroku i zacząłem biec. Ci, których ścigałem, wyprzedzali mnie o niemal cały dzień. Czy rozbili na noc obóz? To moja jedyna szansa dogonienia ich.

Według Grimalkin sług Złego było dobrze ponad tuzin, możliwe też, że po drodze dołączyli inni. Lecz tak duża grupa z pewnością przyciągałaby uwagę, zwłaszcza jeśli znaczną jej część tworzyły czarownice. Czy zatem podzielą się na mniejsze grupki? Ostatecznie chodzi im głównie o to, by dostarczyć głowę Złego do jamy, w której uwięziliśmy ciało – w Kerry w południowozachodniej Irlandii. Bez trudu dokona tego nawet jedna osoba, reszta mogła przybyć później.

Wkrótce po świcie po raz pierwszy dopisało mi szczęście. Obok ścieżki ujrzałem staw: ziemię wokół stratowało bydło, pozostawiając gęste błoto – i odbiło się w nim kilkanaście świeżych śladów, głównie odciski szpiczastych trzewików.

Nie znalazłem natomiast śladu męskich butów. Dotąd sądziłem, że Lukrasta towarzyszy czarownicom wraz z uwięzioną Alice. Ale przecież doskonale znałem jej tropy i niestety nie zauważyłem odbić jej podeszew. Serce ścisnęło mi się boleśnie – miałem nadzieję, że ścigając czarownice, odnajdę także Alice.

W pół godziny później stawiałem czoło pierwszemu niebezpieczeństwu. Ale nie były to wcale czarownice. Kiedy mijałem farmę, rosły farmer wyskoczył nagle zza stodoły, zagradzając mi drogę. Miał szerokie bary i muskularne ręce, ale nad paską zwisał mu wielki brzuch.

– Jesteś stracharzem? – spytał gniewnym tonem.

Przytaknąłem.

– A gdzie byłeś zeszłej nocy, kiedy cię potrzebowałem?

Widziałem, że wściekłość zaćmiła mu rozsądek, toteż spróbowałem go ugłaskać.

– W drodze tutaj – odparłem spokojnie.

– Przybywasz za późno, by mi się przydać. W nocy były tu wiedźmy – dziesiątki wiedźm. Poczęstowały się trzema świniami i większością moich kur. Co zamierzasz z tym zrobić? Jesteś mi winien zapłatę. To twoje zadanie, nie dopuścić do czegoś takiego.

Większość ludzi okazuje niepokój w obecności stracharza. Myślą, że zostaną skażeni Mrokiem. Od czasu do czasu jednak zdarzają się gniewne reakcje podobne do tej. Dobytek owego farmera ucierpiał i jego właściciel pragnął się na kimś wyżyć. Ja wyglądałem młodo i byłem niższy, więc świetnie się nadawałem.

Z głośnym warknięciem ruszył ku mnie, wyciągając ręce: wyraźnie zamierzał chwycić mnie za koszulę. Uskoczyłem na bok i pobiegłem w stronę furtki, wiodącej na sąsiednie pole. Słyszałem za sobą ciężki tupot jego butów lądujących w trawie. Jak na kogoś tak masywnego był szybki – złapie mnie, gdy będę przełaził przez furtkę.

Nie chciałem go zranić, ale musiałem coś zrobić. Obróciłem się szybko i dwa razy stuknąłem go podstawą kija: raz w lewą łydkę, raz w prawe przedramię. Z jękiem runął na kolana. To dało mi szansę wdrapania się na furtkę. Pobiegłem dalej, a gdy się obejrzałem, wciąż był po drugiej stronie i wygrażał mi pięścią.

Wkrótce zaczęło padać. Zimny zachodni wiatr, wiejący prosto w twarz, o dziwo, jeszcze dodał mi sił. Biegłem cały ranek, rzadko przystając, żeby złapać oddech. Dwukrotnie znalazłem ślady czarownic – wciąż były razem, a do grupy dołączyły trzy czy cztery nowe wiedźmy.

Za trzecim razem ujrzałem ich ślady na rozstajach. Zmierzały na południe. Liverpool wydawał się najbardziej prawdopodobnym portem, z którego mogły wyruszyć do Irlandii. Czyżby opłaciły już

przejazd? Od wielu miesięcy ściagały Grimalkin, możliwe, że zaplanowały już dokładnie swój powrót z głową Złego do Kerry.

W południe byłem wykończony, rozpaczliwie pragnąłem odpocząć. Usiadłem zatem na brzegu rowu, osłonięty od wiatru i deszczu, i zacząłem skubać ser od mistrza. Pozostałem tam najwyżej pięć minut. Zaspokoiwszy pragnienie lodowatą wodą z pobliskiego strumienia, pobiegłem dalej.

Przez cały ranek w głowie wirowały mi rozpaczliwe myśli – głównie obawy o Alice. Może się pomyliłem i reszta wieżm po prostu zdeptała ślady jej szpiczastych trzewików? Na tę wizję jeszcze przyśpieszyłem kroku.

Zastanawiałem się także nad Kamieniem Strażniczym i tym, co może się wydarzyć w Święto Zmarłych. Co takiego mówiła Mab o czymś, co odmieni świat?

W końcu późne popołudnie ustąpiło miejsca wieczorowi. Biegłem dalej, bezmyślnie, odrętwiały i znużony, całkowicie skupiając się na pościgu za wrogiem. Odepchnąłem od siebie w głąb umysłu strach, że kiedy ich doścignę, nie zdołam niczego osiągnąć. Grimalkin łatwo było posyłać mnie za nimi i mówić, że tylko ja mogę odzyskać głowę Złego. Ale czarownice dysponowały ogromną przewagą liczebną. Jak miałbym je pokonać? Jak mogłem liczyć na to, że zdołam uratować Alice? Zaczynałem się zastanawiać, czy wiedzą, że je ścigam. Wiedźmy potrafią z daleka wywęszyć zbliżające się niebezpieczeństwo. Nie mogą jednak wyczuć siódmych synów siódmych synów, toteż chwilowo byłem bezpieczny, lecz oczywiście mogły mieć ze sobą widzącą. Ktoś obdarzony choćby połową mocy Mab Mouldheel z pewnością odkryłby, że podążam za nimi. Z drugiej strony, istniało wiele niemagicznych sposobów ochrony przed pościgiem.

Kiedy zorientują się, że ruszyłem w pogoń, będą mogły zastawić pułapkę. Wystarczy, żeby dwie z nich odłączyły się od grupy i zawróciły ku mnie. Nie zorientowałbym się, że to zrobiły, póki nie byłoby za późno.

I tak się właśnie stało.

Tyle że było ich więcej niż dwie.

Czekało na mnie pięć czarownic.

Deszcz przestał padać, po niebie płynęły strzępy chmur. Słońce zniknęło za horyzontem, wkrótce zrobi się ciemno.

Poruszałem się teraz powolnym truchtem. Wiedziałem, że niedługo będę musiał się zatrzymać i przespać kilka godzin. Kiedy wbiegłem do lasu, natychmiast wyczułem, że coś jest nie tak. Było zbyt cicho. Ptaki nie powinny jeszcze spać. Kilka sekund wcześniej całą okolicę wypełniały ich trele, teraz, w gęstniejącym mroku pod gałęziami zalegała cisza.

Kątem oka dostrzegłem, jak ktoś biegnie ku mnie z tyłu i po lewej. Nie zwalniając, zamachnąłem się mocno z boku tylną częścią kija. Rozległ się głuchy łomot i z satysfakcją poczułem, jak trafiam w czaszkę. Napastniczka runęła na ziemię, a ja biegłem dalej.

Popełniłem jednak błąd i wiedziałem o tym. Usłyszałem w głowie głos Grimalkin, gorący wyrzut przepełniony wzdargą. Głupcze! Głupcze! – zawołał wyimaginowany głos. Ta wiedźma wstanie i znów zaatakuje! Mają wielką przewagę. Zabijaj albo zginiesz!

To właśnie by mi powiedziała. Teraz miałem za sobą jednego wroga, a także wielu przed sobą. Nacisnąłem zatem przycisk i z kija wyskoczyła klinga. Następnym razem nie okażę litości.

Nagle z kępy pobliskich młodych drzewek wypadła długowłosa czarownica. Zaatakowała, wrzeszcząc jak upiór i roztrącając szpiczastymi trzewikami stertę suchych liści. W rękach trzymała tyczkę z nożem na końcu. Zauważyłem, że wargi ma poplamione pianą; wyglądała jak obłąkana, oszalała z nienawiści i wściekłości. Ledwie zdążyłem unieść laskę. Jakoś jednak odparowałem cios, a potem uderzyłem w górę, wytrącając jej broń, która odleciała na bok.

Czarownica pobiegła, by ją odzyskać, ja jednak zatoczyłem łuk i zaatakowałem szybko, wbijając klingę na końcu laski pod jej zebra, prosto w serce. Krzyknęła i upadła, a ja biegłem dalej. Musiałem wydostać się spomiędzy drzew, by wcześniej widzieć napastników.

Kiedy wyłoniłem się z lasu, czekały na mnie trzy kolejne wiedźmy. Pochodziły z Pendle, ich brązowe stroje, długie spódnice i skórzane kaftany świadczyły, że są z rodu Deane'ów. Stały w szeregu, patrząc czujnie, pewnym siebie gestem unosiły długie klingi. Wyglądały znacznie groźniej niż poprzednia dwójka.

– To głupota biec za nami, chłopcze! – zadrwiła najwyższa.

Wszystkie trzy zaczęły chichotać.

– Ja wypiję jego krew! – zawołała jedna.

– Ja odetnę mu kciuki! – wrzasnęła druga.

Trzecia przesunęła palcem po gardle.

– Ja odrąbię głowę – powiedziała cicho, niewiele głośniej od szeptu. – To ucieszy naszego pana!

Wbiłem laskę z klingą głęboko w miękką ziemię i dobyłem miecza oraz sztyletu – Rębacza Kości. Uznałem, że to bardziej wszechstronna broń.

Rubinowe oczy skelta na rękojeści zdawały się płonąć w mroku pod drzewami, a potem ujrzałem, jak kapie z nich krew. Sztylet był głodny.

W sekundę później miecz także zaczął krwawić.

Skupiłem się, czekając, aż wykonają pierwszy ruch.

Niech przyjdą do mnie...

I tak właśnie zrobiły. Wszystkie trzy zaatakowały jednocześnie.

## ROZDZIAŁ 10

### POŚCIG

Bitwa była szybka i gwałtowna. Nie miałem czasu do namysłu, mogłem jedynie reagować, gdy natarły na mnie. Bardziej dzięki szczęściu niż umiejętnościom zdołałem zabić dwie z nich, cięciem miecza po gardle i pchnięciem sztyletu w górę. To był koniec.

Trzecia czarownica uciekła do lasu.

Podążyłem za nią. Była szybka i gdy znów wyłoniliśmy się

spomiędzy drzew, nie zdołałem zmniejszyć dzielącej nas odległości. Odrzuciła broń, by jej nie spowalniała, kierując się w stronę, w którą podróżowaliśmy. A potem zobaczyłem wiedźmę, którą wcześniej ogłuszyłem – biegła dwieście jardów dalej i także uciekała.

Bały się.

Zatrzymałem się, wsuwając do pochwy miecz i sztylet. Oczekałem minutę, by odzyskać oddech i opanować podniecenie bitewne. Potem zawróciłem między drzewa i zabrałem kij. Cały dygotałem w reakcji na gwałtowną walkę i na to, że odebrałem życie trzem istotom. Czułem coraz większe mdłości; w końcu zatrzymałem się i zwymiotowałem gwałtownie.

Robiło się już ciemno, postanowiłem zatem odpocząć kilka godzin. Znalazłem zagajnik na wzgórzu – niewielkim pagórku, z którego roztaczał się widok na otaczające ziemie. Po jakimś czasie zza wschodniego horyzontu wyłonił się półksiężyc i w jego jasnym blasku poszukałem wzrokiem nieprzyjaciół. Nic się nie poruszało. Byłem wykończony, usiadłem zatem z laską na kolanach, wsparty plecami o pień drzewa.

Po jakimś czasie przysnąłem, a potem obudziłem się nagle przerażony, że ktoś mnie atakuje. Nadal jednak nie widziałem zagrożenia. Księżyc wisiał znacznie wyżej. Za każdym razem, gdy zasypiałem, zapadałem w coraz głębszy sen, aż w końcu nawiedziła mnie niezwykła wizja.

Przypominało to jeden z tych snów, gdy wiemy, że śnimy. Byłem z powrotem na farmie, mama siedziała naprzeciwko mnie po drugiej stronie kominka. Uśmiechała się z ulubionego bujanego fotela. Wyglądała dokładnie tak, jak w ową noc, nim opuściłem farmę, by rozpocząć termin u stracharza. Skórę miała bladą, ale oczy jasne, prócz paru siwych pasemek w czarnych włosach wydawała się stanowczo za młoda, by mieć dorosłych, żonatych synów.

– Jestem z ciebie dumna – rzekła do mnie. – Cokolwiek się stanie, chcę, żebyś to wiedział.



– Przepraszam, mamó, jeśli cię zawiodłem, ale nigdy nie mógłbym odprawić tego rytuału. Nie mógłbym poświęcić Alice.

– Nie musisz przepraszać, Tomie. To twoja decyzja. Co się stało, to się nie odstanie. Może zdołacie zniszczyć Złego w inny sposób. Nic nie jest pewne. W tej chwili wszystko wisi na włosku. Musisz czerpać z własnych sił: część z nich odziedzyczyłeś po tacie, bo jesteś siódmym synem siódmego syna. Inne po mnie, bo w twoich żyłach płynie krew lamii. Poznałeś już część owych darów, ale w miarę jak będziesz dorastał, dostrzeżesz kolejne. Lecz jednego potrzebujesz teraz. W zwykłych okolicznościach objawiłyby się za wiele lat. Wyciągnęłam jednak rękę, by pobłogosławić cię nim wcześniej. To dar potrzebny łowcy – zdolność wyczuwania położenia ofiary!

Uśmiechnięta mama zaczęła się kołysać. Odpowiedziałem uśmiechem, marząc, by ta chwila nigdy się nie skończyła. Jednakże sen zaczął blaknąć – nadal widziałem jej uśmiech, pragnąłem ją uściskać, lecz wtedy zniknęła... Obudziło mnie odległe pianie koguta, niebo na wschodzie różowiało na powitanie słońca. Sen pozostawał wyraźny i żywy w moim umyśle. Zastanawiałem się, czy było to coś więcej? Czy mama naprawdę ze mną rozmawiała?

Jeśli tak, najwyraźniej wybaczyła mi to, że postanowiłem nie odprawić zalecanego przez nią rytuału. Użyła też słowa „łowca” – otrzymam dar potrzebny łowcy. W pierwszym roku terminu powiedziała mi, że pewnego dnia stanę się łowcą i że to Mrok będzie się mnie bał. Mama przekazała mi ważną informację – powiedziała, że sięgnęła ku mnie i odblokowała ów dar. Nagle wszystko nabrało sensu. To dlatego, leżąc w łóżku w domu stracharza, poczułem, że coś jest nie tak. I owszem, wiedziałem dokładnie, w którą stronę pójść. Mój nowy dar doprowadził mnie do chaty, gdzie czekała ciężko ranna Grimalkin. Cudownie było myśleć, że naprawdę rozmawiałem z mamą i na jakiś czas wypełniła mnie nadzieja. Lecz gdy sekundy zamieniały się w minuty, sen zdawał się mniej wyraźny i wkrótce uznałem, że to

tylko pobożne życzenia. Czemu w ogóle oszukuję samego siebie i tracę czas? Usiadłem, przeklinając się za to, że przespałem całą noc, pozwalając, by czarownice oddaliły się jeszcze bardziej. Nie chciałem marnować już ani chwili, zjadłem połowę pozostałego sera i znów ruszyłem na zachód. Tym razem nie biegłem: oszczędzę siły na później. Nogi miałem sztywne, zadowolilem się szybkim marszem, by je rozruszać.

Znów pomyślałem o Lukraście. Porwał Alice – Grimalkin w żaden sposób nie zdołała go powstrzymać. Co się stało, gdy spróbował odprawić rytuał z „Doomdryte”? I co ważniejsze, jak musiała teraz cierpieć Alice? Czułem się bezradny. Mógł być wszędzie, a nawet gdybym go znalazł, jak mogłem liczyć, że pokonam podobnego maga?

Późnym rankiem zacząłem poważnie się martwić. Nie znalazłem więcej śladów czarownic. Przecinałem teraz łąki i nierówne pastwiska, nie podążając ścieżkami i drogami. To oznaczało, że mogły już skręcić w stronę wybrzeża. Oceniałem, że obecnie dzielą mnie od morza jakieś cztery mile, zmierzałem na południe, gdzieś pomiędzy Formby i Liverpooliem.

Zatrzymałem się, dręczony niepewnością. I wtedy nagle za oczami błysnęło mi światło, poczułem nacisk na czoło – i wiedziałem już dokładnie, dokąd poszły. Bardzo przypominało to uczucie, jakie nawiedziło mnie w mojej sypialni w Chipenden – przekonanie, że coś jest okropnie nie tak. Wiedziałem, gdzie są czarownice – w którą stronę uciekają z głową Złego. To z pewnością był dar, o którym mama wspominała we śnie – dar niezbędny łowcy: umiejętność tropienia ofiary bez żadnych śladów, wyczuwania jej położenia.

Nie skręciły na zachód w stronę morza, wciąż maszerowały na południe, mijając Liverpool od wschodu. Dokąd się kierowały? Próbowałem w myślach przywołać obraz map oglądanych w bibliotece stracharza, bez wyjątku zniszczonych w pożarze. Za Liverpooliem leżała granica Hrabstwa, a dalej inne, kolejne – ponad dwieście mil do południowego wybrzeża.

To kompletnie nie miało sensu. Potrzebowały przecież portu na zachodnim brzegu, by wynająć łódź płynącą do Irlandii!

Znów puściłem się biegiem. Dokądkolwiek zmierzają, wkrótce się dowiem, bo nadal czułem w głowie ich położenie. Przez jakiś zdawało mi się, że skręciły na wschód, ale po paru godzinach znów zawróciły ku wybrzeżu, podążając na południe.

Dotarłem do szerokiej rzeki – odgadłem, że to Mersey – i brodząc w niej, zastanawiałem się, jak wiedźmom udało się przeprowadzić. Istniała możliwość, że zbudowały tu wiedźmie tamy: w Pendle służą do tego, by na krótko zatrzymać płynącą wodę. Oznaczałoby to jednak przymusowe odbicie na wschód, tam, gdzie rzeka jest najwęższa. To tłumaczyło wcześniejszą zmianę kierunku. Opóźnienie oznaczało, że mogę zmniejszyć ich przewagę.

Po jakimś czasie ujrzałem w dali otoczone murami miasto z zamkiem i wieżą katedry. Znajdowaliśmy się już poza granicami Hrabstwa. Znów czerpiąc z pamięci i ze wspomnień map stracharza, domyśliłem się, że to miasto to Chester – choć sam nigdy nie zapuszczałem się tak daleko na południe lądem. Jeśli miałem rację, płynęła tam także rzeka Dee.

I rzeczywiście, wyczułem, że nieprzyjaciel znów skręca na wschód, bez wątpienia szukając kolejnej wiedźmiej tamy. Ja po prostu przeprowiłem się przez rzekę, co oznaczało, że zbliżyłem się do ściganych. Za miastem czarownice skręciły wprost na zachód.

Niedługo potem ujrzałem przed sobą góry i w dali na północy dostrzegłem morze – najwyraźniej podążaliśmy nabrzeżną równiną, szerokim pasem ziemi oddzielającym góry i wodę. Teraz poruszałem się traktem, który w końcu ustąpił miejsca szerokiemu gościńcowi. Był błotnisty, zwolniłem zatem, maszerując trawiastym skrajem. Od czasu do czasu mijały mnie wozy, których koła pogłębiały jeszcze koleiny, ale nikt nawet na mnie nie spojrział.

W końcu dotarłem do dużego znaku przybitego do dwóch słupków. Napis na nim głosił:

CYMRU

Pamiętałem to słowo z map mojego mistrza: obcojęzyczną nazwę kraju, który my nazywamy Walią. Miałem przekroczyć granicę obcego kraju z własnymi zwyczajami, językiem i bez wątpienia zagrożeniami.

Wyczułem, że czarownice już się nie poruszają: rozbiły obóz na noc. Teraz musiałem wybrać: dogonić je od razu i zaatakować pod osłoną ciemności albo odczekać jeszcze noc, odpocząć i zebrać siły. Zdecydowałem się na kompromis.

Odpocznę trochę, a potem znów ruszę naprzód. Oddaliłem się nieco od drogi i ułożyłem najwygodniej, jak się dało. Nie miałem czasu zastawiać pułapek na króliki, dokończyłem zatem ser, popijając zimną wodą ze strumienia. Zamierzałem przespać jakieś trzy godziny, a potem znów ruszyć na zachód.

Ocknąłem się nagle po zaledwie godzinie, natychmiast w pełni czujny. Choć fizyczne zmysły niczego nie sygnalizowały, wewnątrz głowy przeszył nagły błysk światła i poczułem ból nad nosem.

Coś się działo. Usiadłem szybko, spoglądając w ciemność. Chmury przesłaniały księżyc: niczego nie widziałem ani nie czułem. Ale w pobliżu kryło się niebezpieczeństwo i skradało się ku mnie.

Podniosłem się na kolana, sięgając po miecz, który przed snem położyłem na trawie obok. Mój dar mówił mi, gdzie dokładnie przebywa wróg.

Czarownica pełzła powoli w moją stronę. W tej chwili dzieliło nas niecałe dziesięć stóp.

Nie, nie czas na Klingę Przeznaczenia, uznałem; główna broń stracharza lepiej się nadawała do odparcia tego zagrożenia. Pozostawiając zatem w spokoju miecz bohatera, chwyciłem laskę, wypuściłem ostrze z jej czubka, pobiegłem wprost ku czarownicy i dźgnąłem z góry, przebijając plecy dokładnie nad sercem i przyszpilając ją do ziemi. Nie miała czasu krzyknąć, ale poczułem, jak jej ciałem wstrząsają drgawki. Jęknęła cicho.

Natychmiast pojąłem, że nie żyje: instynktowna świadomość tego, gdzie była, nagle zgasła, zupełnie jak płomyk zdmuchniętej

świacy. Zastanawiałem się, czy to, co wykrywam, to dusza, czy może siły życiowe. Cokolwiek to było, wiedziałem, że odeszło.

Pomajstrowałem przy hubce i zapaliłem ogarek, który zawsze noszę przy sobie. Przyjrzałem się martwej wiedźmie, przysuwając światło tuż do jej twarzy. Byłem niemal pewien, że to jedna z dwóch, które uciekły po ataku poprzedniego dnia. Spiałem się – może druga także wróciła?

Wyteżyłem słuch, ale słyszałem tylko westchnienia wiatru. Nowa zdolność wyczuwania wrogów z daleka nie ostrzegała przed żadnym bliskim zagrożeniem. Ci, których ścigałem, przebywali spory kawałek dalej. Wiedziałem, że jeszcze nie zwinęli obozu, wołałem jednak nie ryzykować. Zdmuchnąłem zatem świeczkę, zebrałem rzeczy i ruszyłem na zachód.

Tuż przed świtem poczułem, że czarownice znów się przesuwają, ale wiedziałem, że dzieli nas najwyżej kilka mil. Nadal ich nie widziałem, lecz na razie zamierzałem zbliżyć się niepostrzeżenie, a potem, gdy zapadnie noc, szybko zaatakować. Nowy talent w miarę użytkowania stawał się coraz mocniejszy i dokładniejszy, nie wątpiłem, że nawet w ciemności zdołam dotrzeć prosto do skórzanego worka z głową Złego, odzyskać go szybko – walcząc tylko w razie konieczności – a potem uciec.

Obawiałem się tylko morza na północy, obecnie bardzo bliskiego. Czasami dostrzegałem wielkie statki o wydętych wiatrem żaglach. Co, jeśli nim zdążę podjąć działania, wiedźmy wsiądą na jeden z nich?

One jednak skrzyły na południe, nie na północ, zmierzając w głąb lądu ku wzgórzom i kompletnie mnie zaskakując.

W niecałą godzinę później, w miejscu, gdzie zeszły z drogi, znalazłem ich ślady. Zdumiony, podążyłem za nimi. Nie biegłem już, bo bardzo się zmęczyłem.

Jak zamierzały dotrzeć do Irlandii, oddalając się od morza? To nie miało sensu.

Maszerowałem wąską drogą, równie zrytą koleinami jak główny gościniec zachodni. I znów wołałem trawiaste pobocze.

Grunt zaczynał się unosić, widziałem przed sobą zadrzewione wzgórza, a dalej wysokie góry. Choć była dopiero jesień, na najwyższych szczytach leżał śnieg.

Po jakimś czasie znalazłem się w gęstym lesie, większość drzew zrzuciła już liście. Bojąc się kolejnej zasadzki, oddaliłem się od drogi. Na wszelki wypadek – nie wątpiłem, że nowy talent ostrzeże mnie w razie zagrożenia, zupełnie jakbym, podobnie jak czarownice, umiał teraz wywęszyć niebezpieczeństwo z daleka.

Drzewa stopniowo zaczęły się zmieniać i w końcu otoczył mnie las wysokich iglaków. Dotarłem na wierzchołek wzgórza i zobaczyłem, jak teren opada przed kolejnym wzniesieniem.

I wtedy dostrzegłem coś w dali. Stało na szczycie sąsiedniego wzgórza, wyrastając wysoko ponad drzewa na końcu błotnistej drogi.

To była mroczna wieża. Na jej widok ogarnął mnie niepokój.

## **ROZDZIAŁ 11**

### **MROCZNA WIEŻA**

Moi wrogowie zniknęli już wewnątrz, zabierając ze sobą głowę Złego.

Obejrzałem uważnie wieżę. Wzniesiona z wielkich bloków szarego kamienia wyglądała imponująco, na oko była dwakroć wyższa i co najmniej trzy razy szersza od Wieży Malkinów, tyle że kwadratowa, z płaskim szczytem, nie zwieńczonym blankami. Co dziwne, wysoko na ścianie wieży ujrzałem szeroki balkon i zakończone szpiczaste drzwi.

Nie miała fosy, ale gdyby ktoś ją zaatakował, mógłby dostać się do środka tylko jedną drogą: wąskimi kamiennymi stopniami – co najmniej dwiema setkami – wiodącymi stromo do ciężkich metalowych drzwi. W wysokich ścianach oprócz okien widniały szczeliny łucznicze – wspinaczka na te stopnie równała się

samobójstwu.

Ukryty wśród drzew powoli okrążyłem budynek, utrzymując bezpieczną odległość, i zdołałem potwierdzić, że ma tylko jedne drzwi. Potem, zastawiwszy wnyki na króliki, usadowiłem się tak wygodnie, jak tylko zdołałem, na wzgórzu naprzeciw stopni i czekałem.

Późnym popołudniem wielkie odrzwia otwarły się ze zgrzytem, który odbił się echem po okolicy. Ze środka wymaszerowała grupa ośmiu czarownic. Coś w ich zachowaniu i strojach sugerowało, że nie pochodzą z Pendle. Spódnice miały krótkie, ledwo okrywające kolana, włosy zaczesane do tyłu, związane w kucyk i splecione w warkocz. To pewnie jakiś nieznany klan spoza Hrabstwa.

Drzwi zamknęły się za nimi i usłyszałem szcęk ciężkich, opadających rygli.

Przez moment ogarnął mnie lęk. Czyżby w jakiś sposób wyczuły moją obecność? Czy szły po mnie? Jednego natomiast byłem pewien: nie miały ze sobą głowy. Minęły miejsce, w którym się ukrywałem w odległości pół mili, maszerując na północ. Ile z nich wciąż pozostało w wieży? Czułem sporą grupę, ale nie potrafiłem stwierdzić dokładnie jak liczną.

Zastawiłem cztery łapki, lecz ku swemu zawodowi odkryłem, że tylko w jednej tkwi królik – i to bardzo mały. Byłem głodny, a więc musiał wystarczyć. Po zmroku zszedłem z północnego zbocza, by nie dało się mnie dostrzec z wieży. Rozpaliłem niewielkie ognisko i upiekłem królika, słuchając, jak kapiące z niego soki skwierczą pośród drzew.

Smakował wyśmienicie i dzięki niemu poczułem się lepiej. Po posiłku wspiałem się szybko na dawne miejsce. Zamierzałem spędzić tam najwyżej parę godzin, a potem trochę się zdrzemnąć.

Gdy tak wpatrywałem się w wieżę, zastanawiałem się, co dalej pocznę. Przede wszystkim, nie wolno mi dopuścić do połączenia głowy Złego z ciałem. Teraz, kiedy znajdowała się w wieży, nie na statku, zagrożenie stało się mniej naglące. Nadal jednak musiałem ją odzyskać i zabrać do względnie bezpiecznego Chipenden. Cóż,

łatwiej powiedzieć, niż zrobić.

Po pierwsze, byłem sam. A nawet gdybym w jakiś sposób wspiał się niepostrzeżenie na schody i dotarł do metalowych drzwi, były przecież zamknięte na klucz i zaryglowane. Ale może to tylko tymczasowe schronienie, pomyślałem. Może czarownice czekają tu, aż któraś z nich zorganizuje przeprawę do Irlandii? Na pewno wkrótce zabiorą głowę i ruszą na wybrzeże.

Akurat miałem się położyć i spróbować zasnąć, gdy księżyc wyszedł zza chmury i zalał wieżę swoim srebrnym blaskiem. Niemal natychmiast usłyszałem szcęk otwieranych drzwi. Nie był to znajomy szorstki zgrzyt metalu, lecz zwykłe skrzypienie tych wiodących na szeroki balkon. Ktoś ze środka podszedł do balustrady, oparł na niej dłonie i spojrzał ponad lasem.

Przez chwilę byłem zbyt zdumiony, by zrozumieć co widzę, ale nie miałem wątpliwości.

To była Alice.

Wpatrywałem się w nią zaskoczony. Mimo braku śladów spodziewałem się, że została uwieczona w wieży – że sprowadziły tam ją bądź czarownice, bądź też Lukrasta (inną drogą). Lecz jej wygląd mnie zdumiał.

W blasku księżycy wyglądała promiennie, jak odmieniona – niemal szczęśliwa. Zawsze miała piękną twarz i szczupłe, gibkie ciało: pamiętałem, jak ujrzałem ją po raz pierwszy pod lasem nieopodal wioski, odzianą w czarną postrzępioną sukienkę, przewiazaną w pasie kawałkiem sznurka.

Teraz miała na sobie długą suknię, która opływała jej ciało niczym woda. W srebrnym blasku księżycy nie mogłem ustalić jej koloru, ale wydało mi się, że uszyto ją z czarnego bądź ciemnofioletowego jedwabiu. Włosy też nosiła inaczej: wcześniej opadały poniżej ramion, teraz zaczesane do góry za czołem i uszami, układały się w kok spięty wysadzaną klejnotami spinką, która połyskiwała w słabym świetle. Jej szyję okalał naszyjnik z medalionem spoczywającym tuż nad sercem.

Wydawało mi się, że patrzy w moją stronę. Miałem ochotę jej



pomachać, lecz powstrzymał mnie nagły niepokój. Była więźniem, nie mogła uciec z tak wysokiego balkonu. Może za drzwiami czuwały inne wiedźmy, strażniczki, które pozwoliły jej odetchnąć świeżym nocnym powietrzem?

A potem, gdy tak patrzyłem, zadziwiony i pełen obaw, z otwartych drzwi wyłoniła się druga postać i stanęła obok Alice na balkonie. Był to wysoki mężczyzna z długimi wąsami, zwisającymi poza podbródek i zakręconymi na końcach niczym rogi. Ubrany był w ciemny płaszcz, a długie włosy, splecione w dwa warkoczyki, opadały mu na pierś.

Gdy stanął obok Alice, objął ją lewym ramieniem; gest ten miał w sobie coś opiekuńczego i ojcowskiego.

Ale ona zwróciła ku niemu twarz i w sekundę później cały mój świat runął w gruzy, strzaskany niczym sopel spadający na granitową płytę.

Pocałowali się.

## **ROZDZIAŁ 12**

### **TRUMNA**

Nie był to ojcowski pocałunek. Trwali tak bardzo długo w bliskości złączonych ciał.

Potem mężczyzna uniósł Alice, trzymając ją pod pachami i kolanami, i zaniósł z powrotem do środka, w chwilę później drzwi zamknęły się i usłyszałem odległy szcęk zamka bądź rygla.

Miałem wrażenie, jakbym dostał pięścią prosto w serce; cały oddech uleciał mi z płuc i nie byłem w stanie go zaczerpnąć. Pod koniec naszego ostatniego spotkania Alice mnie pocałowała. Sądziłem wówczas, że to coś znaczyło. A teraz, pomyślałem z goryczą, choć minęło tak niewiele czasu, całowała kogoś innego.

Nie wątpiłem ani przez moment w to, że kocham Alice; wierzyłem, że czuje do mnie to samo, ale tak naprawdę nigdy nie

myślałem o naszej wspólnej przyszłości. Stracharze się nie żenią, są jak księża, którzy całe życie poświęcają Bogu, przedkładając nad swoje szczęście, szczęście parafian. Stracharz tak samo służy mieszkańcom Hrabstwa – ma obowiązek bronić ich przed Mrokiem. Tego właśnie nauczył mnie mistrz.

Jednakże w jakiś mętny sposób czułem, że zdołamy to obejść. Może kiedy zostanę stracharzem z Chipenden, weźmiemy ślub... Do tej pory nigdy nie zastanawiałem się nad przyszłością.

Do teraz, gdy znalazła kogoś innego...

Powoli mój wstrząs i oszołomienie ustąpiły miejsca wścieklej zazdrości. Nie mogłem znieść myśli o Alice w ramionach innego mężczyzny. Potrzebowałem całej siły woli, by powstrzymać się przed pójściem wprost do wieży i wyzwaniem go do walki.

Ostatecznie co by to dało? Nie miałbym szans, by pokonać nieznanego i uwolnić Alice. Najpewniej straciłbym życie już na schodach – albo został uwięziony.

Zacząłem krążyć tam i z powrotem. Po jakimś czasie mój gniew osłabł i mogłem zastanowić się jaśniej nad całą sytuacją i jej znaczeniem.

Czy wysoki nieznanomy to był Lukrasta? Nie mogłem tego stwierdzić, bo nigdy go nie widziałem, ale objął ramieniem Alice i najwyraźniej nad nią panował. Był wysoki, potężny, wyniosły, jego twarz miała arogancki wyraz. Nie wątpiłem, że to on.

Zacząłem odtwarzać w głowie po kolei wszystko, co się dotąd stało. Najwyraźniej z pomocą Grimalkin Alice szykowała się do użycia „Doomdryte”.

Lukrasta podobno zginął, gdy nie udało mu się z powodzeniem ukończyć rytuału. W jakiś sposób jednak znalazł się tutaj i zczarował Grimalkin tak, że nie zdołała odeprzeć skoordynowanych ataków hordy czarownic. Po wszystkim nie była w stanie spójnie opisać przebiegu wydarzeń, ja jednak uznałem, że teraz mogę spróbować połączyć je w jedną całość.

Może Lukrasta posłużył się magią Mroku, by zapanować nad Alice i wprowadzić ją do tej wieży? Skoro zdołał pokonać

Grimalkin, z łatwością mógł to samo zrobić z Alice. Z pewnością Alice nie myśli jasno, nie dysponuje już wolną wolą. Tak właśnie sobie powtarzałem. Może nie miała wyboru, musiała go pocałować...

Na tę myśl poczułem się lepiej, nadal jednak nie wiedziałem, co począć w tej sytuacji.

Spróbowałem zasnąć, ale w moim sercu wciąż szalała furia i do wschodu słońca nie zmrużyłem oka.

\*

Czułem się chory. Zapomniałem o głodzie, ale i tak rozstawiłem wnyki. Nagle przypomniałem sobie o tym, co zawsze powtarzał mistrz – że przed starciem z Mrokiem należy pościć. Niewątpliwie czekało mnie jak dotąd najtrudniejsze starcie, nie mogę sobie pozwolić na utratę sił, ale przegryzę choć trochę sera.

Znów zacząłem się zastanawiać, jak dostać się do wieży. Nie zdołałbym zaatakować frontowego wejścia, ale może udałoby mi się wdrapać na balkon i przedostać przez mniejsze drzwi?

Gdybym jakimś cudem przedarł się do środka, co musiałbym zrobić przede wszystkim? Oczywiście odzyskać głowę Złego. Ale co z Alice? Jak mogłem ją tam zostawić we władzy potwora?

Ostrożnie poruszając się wśród drzew, podszedłem bliżej wieży i wspiąłem się odrobinę wyżej na jej wzgórzu. Przyjrzałem się z bliska. Szczeliny między kamieniami mogły zapewnić uchwyt dłoniom i stopom, ale będzie to trudne i bardzo niebezpieczne. Podstawę otaczały głazy i rumowisko, upadek z wyższej części muru oznaczał śmierć bądź poważne obrażenia.

Wycofałem się szybko niczym skarcony uczeń i wróciłem na wcześniejsze miejsce. Tam znów zacząłem rozmyślać o nieznanym, przypominać sobie, jak obejmował Alice, jak się całowali... Choć bardzo się starałem, nie potrafiłem przegnać z głowy tej wizji. Jeśli to faktycznie Lukrasta, był potężnym, niebezpiecznym magiem. Bestiariusz stracharza twierdził, że Lukrasta zginął, próbując odprawić rytuał, ale najwyraźniej jednak mu się udało.

To dlatego zdołał pojawić się przed Alice i Grimalkin, kompletnie je zaskakując. Dysponował niewyobrażalną i straszną potęgą. Był nieśmiertelny, nietykalny, obdarzony boską mocą.

\*

Ledwie minęło południe, gdy ujrzałem grupkę czarownic wspinających się ścieżką ku wieży. Maszerowały pieszo, było ich ponad tuzin, i prowadziły ze sobą wóz. Posuwały się wolno – koła wozu nieustannie zapadały się w błocie i za każdym razem musiały go wyciągać.

Im bardziej się zbliżały, tym większe czułem zdziwienie. Wóz zaprzężono w szóstkę ciężkich, pociągowych koni. To przecież bardzo dużo, zwykle wystarczyła czwórka, by przewieźć ciężki ładunek węgla, kamieni bądź beczek piwa. Miejscami droga była stroma, a trakt błotnisty i zryty koleinami – może to tłumaczyło, że wzięły dodatkowe konie?

Potem przyjrzałem się uważniej wozowi. Był długi, miał cztery koła z każdej strony, wyglądał, jakby zrobiono go na zamówienie. Może połączono dwa zwykłe wozy...

Dopiero gdy się zbliżył, zauważyłem ładunek: długą drewnianą skrzynię. Zrobiono ją z najlepszych materiałów, miała mosiężne uchwyty, po sześć z każdej strony, pozwalające łatwiej ją przenosić.

To była trumna.

Gdy to pojąłem, serce zaczęło walić mi w piersi. Trumna ta znacznie przewyższała rozmiarami zwykle ludzkie szczątki, była co najmniej trzy razy dłuższa od wysokiego mężczyzny i dwakroć szersza.

Wiedziałem, co to znaczy, ale z początku mój umysł po prostu nie chciał tego przyjąć.

Zawsze uważaliśmy, że jeśli wrogowie odbiorą nam głowę Złego, będą musieli przewieźć ją przez morze do Irlandii.

Ale postąpili odwrotnie.

Bo w tej trumnie spoczywało jego ciało.

## ROZDZIAŁ 13

### WIELKA MROCZNA FALA

Patrzyłem, mocno oszołomiony, jak wóz wiezie trumnę w stronę wyniosłej wieży, gdzie czekała odrąbana głowa.

Czarownice w mrocznym rytuale złączą ją z ciałem i Zły powróci do naszego świata, zdolny do najgorszego. Bez wątpienia najpierw rozprawi się ze stracharzem, z Grimalkin i ze mną – ostatecznie to my tak ciężko go zraniliśmy, odcinając mu głowę i przebijając korpus srebrnymi włócznieami. Albo może główny cel stanowi Alice – córka, która go zdradziła? Przecież więzili ją w tej samej wieży, pod ręką.

Miałem ochotę zbiec ze zbocza i zaatakować eskortujące wóz czarownice. Wiedziałem, że nie przeżyłbym długo – było ich stanowczo zbyt wiele dla jednej osoby. Ale przynajmniej zginąłbym w walce, a potem odnalazł drogę przez Limbus do Światła, nim zdążyliby dotrzeć do mnie agenci Mroku. Kościane wiedźmy potrafią czasem przechwycić duszę po śmierci, podczas wędrówki przez Limbus, przetrzymywać ją tam i torturować.

Czy nie lepiej zginąć teraz, nim Zły odzyska pełnię mocy? W Grecji przyrzekłem mu duszę w zamian za szansę odwrócenia przyszłości, prowadzącej do zniszczenia Hrabstwa. Kiedy znów powstanie, odbierze mi ją po śmierci i podda wiekuistym męczarniom.

Groziło mi niebezpieczeństwo, zarówno ciała, jak i duszy. Naprawdę się bałem.

Nagle jednak zalała mnie fala złości – złości na samego siebie. Przypomniałem sobie, co zawsze powtarza mi mistrz: najważniejszy jest obowiązek.

Przestań myśleć tylko o sobie! – upomniałem się w duchu. Myśl o mieszkańcach Hrabstwa i całego świata. Przede wszystkim miej

na względzie bezpieczeństwo tych, których przyszło ci chronić.

Tak. Musiałem zapomnieć o obawach o własny los i los Alice. Przypomniał mi o tym wstrząs towarzyszący widokowi ciała Złego, sprowadzonego w to miejsce. A świadomość, jak bliski jest odzyskania mocy, sprawiła, że zacząłem myśleć jasno. Musiałem się skupić. Musiałem postąpić jak należy.

Tymczasem czarownice dotarły już do stóp kamiennych schodów. Patrzyłem, jak zbierają się wokół wozu i z trudem unoszą wielką trumnę.

Musiałem zachować spokój i myśleć logicznie, nie dając się ponieść emocjom. Z najwyższym wysiłkiem przegnałem z głowy obraz Alice i Lukrasty.

Wiedźmy wnosiły trumnę po schodach. Wielkie drzwi otwierały się powoli, by ją przyjąć, wypełniając powietrze upiornym zgrzytem metalu o kamień.

Postąpiłem krok naprzód, kładąc lewą dłoń na rękojeści miecza. Mógłbym zaatakować i spróbować zatrzymać czas. Gdyby tylko miały przy sobie głowę, przechwyciłbym ją i uciekł. Ale co począłbym z gigantycznym ciałem? Mogłem porąbać je na kawałki, ale czy to sprawi jakąkolwiek różnicę? Zawsze uważaliśmy zniszczenie głowy za zbyt niebezpieczne. Zły pozostawał spętany, bo obie części jego ciała były całe i rozłączone. Według stracharza zniszczenie głowy, ciała albo jednego i drugiego mogłoby uwolnić Złego, pozwalając mu na powrót do Mroku, gdzie szybko zebrałyby siły i z pomocą zwolenników powrócił do naszego świata, jeszcze niebezpieczniejszy i potężniejszy niż zwykle.

W ramach ostrzeżenia dla owych sług Grimalkin wydułabała jedno z oczu Złego. Zrobiła tak pod wpływem chwili, ale spoglądając wstecz pojąłem, jak bardzo ryzykowała. Mogła doprowadzić dokładnie do tego, czego obawiał się stracharz.

Patrzyłem, jak wiedźmy przenoszą trumnę przez wielkie odrzwia, które z kolejnym zgrzytem zatrzasnęły się za nimi.

Niczego nie zrobiłem.

To koniec.

Zły zwyciężył.

Oszołomiony, ruszyłem między drzewa, byle dalej od wieży, wspinając się na wzgórze i potykając w kotlinach. Umysł jakby mi odrętwiał, nie mogłem myśleć, nie miałem żadnego planu ani pojęcia, dokąd zmierzam.

Nie wiem dokładnie, ile czasu minęło, w końcu jednak przechodząc przez ruiny budynku, znalazłem coś na szczycie nagiego, kamienistego wzgórza. Z początku sądziłem, że to farma, potem jednak zauważyłem kamienny ołtarz i łukowate okno o wybitej szybie. Pojąłem, że kiedyś mieściła się tu kaplica. Obejrzałem się przez ramię i ujrzałem podobne okno w przeciwległej ścianie, obok miejsca, gdzie kiedyś były drzwi.

Znów zerknąłem na ołtarz, wyglądając na zewnątrz. Nigdy jeszcze nie czułem się tak źle. Podczas mojego terminu u stracharza wydarzyło się wiele okropnych rzeczy: śmierć przyjaciół, takich jak Bill Arkwright; niebezpieczeństwa zagrażające mojemu życiu i co gorsza duszy; chwile absolutnej grozy. Ale w jakiś sposób teraz było gorzej.

Oto ostateczna klęska – koniec wszystkiego.

Czarownice dysponowały obiema częściami ciała Złego. Ile potrzebują czasu, by je połączyć?

Co powiedziała Mab o Kamieniu Strażniczym?

*Miejsce to przyciągnie do siebie stwory z Mroku – niektóre przybędą, by walczyć u boku Złego, inne, by mu się przeciwstawić. Będą tam więdźmy wszelkich rodzajów, pomioty i inne mroczne stwory. Wynik tego starcia odmieni świat.*

Lecz mimo wielkiego talentu zdarzało jej się mylić i znów się pomyli. Mogło do tego dojść tu i teraz, w Walii, daleko od Kamienia.

Bez wątpienia potrzebny będzie magiczny rytuał. To może zająć kilka dni, godzin, może nawet dobiegać już końca. Zły może zaatakować lada moment. Możliwe, że nigdy już nie opuścę ruin tego kościoła.

Rozejrzałem się dokoła.

Niektórzy nazywali to miejsce domem bożym. Czy Bóg naprawdę istnieje? Najwyższy stwórca? Wydawało mi się to wielce nieprawdopodobne. Co takiego mówił mój mistrz? Że czasem w pracy stracharza zdarzały się chwile, gdy myślał, że to już koniec, że

nadszedł kres jego dni. Ale w takich chwilach wyczuwał coś niewidzialnego, stojącego u boku, uczyszającego mu sił. I było to jedyne wyznanie wiary, jakie od niego usłyszałem.

Ja jednak niczego nie czułem – stałem tu sam, nikt nie mógł mi pomóc ani doradzić.

I nagle w mojej głowie pojawiło się wspomnienie: tato stojący na farmie, tupiący nogą, ochlapujący moje portki łajnem i błotem, rozmawiający ze stracharzem z odwagą i zniecierpliwieniem – tym drugim, bo bardzo chciał powrócić do dojenia krów, tym pierwszym, bo większość ludzi bała się stracharzy. To było nasze pierwsze spotkanie z moim mistrzem, uzgodnili wówczas warunki i John Gregory przyjął mnie na próbny miesiąc do terminu. Żaden z nas nie wiedział wówczas, że tak to się skończy.

Co dokładnie powiedział wówczas tato?

*Niebo pomaga tym, którzy sami pomagają sobie.*

Cóż, starałem się, jak mogłem. Próbowałem sam sobie pomóc. Ale nie doczekałem się wsparcia, nikt mną nie kierował, nikt nawet nie doradzał. Stwory z Mroku zbierały się razem, czasem bardzo liczne. A co miało Światło? Tylko kilku rozproszonych stracharzy, bezradnych w obliczu wielkiej, mrocznej fali, która wkrótce zmiecie wszelkie dobro.

Wciąż wyglądałem przez okno. Zapadał zmierzch i robiło się ciemno, ale w dali widziałem wioskę. Spomiędzy drzew wyrastała kościelna dzwonnica; kolejny kościół – albo pusta skorupa jak ten, albo też miejsce, w którym łatwowierni głupcy gromadzą się na bezużyteczne modły, na które nikt nigdy nie odpowiada.

Nagle ogarnął mnie gorzki gniew. Wycofałem się z ruin na skaliste wzgórze. Przeszedłem parę kroków, by dostrzec szare łupkowe dachy pod dzwonnica i zauważyłem coś jeszcze. To musi być duża wioska, pomyślałem, może nawet małe miasteczko. Teraz bowiem widziałem kolejną wieżę, tuż za pierwszą, po prawej.

Przeszedłem jeszcze kilka kroków i serce zabiło mi mocniej, gdy w głowie pojawił się błysk zrozumienia. Cofnąłem się powoli, wróciłem do kaplicy i wyjrzałem przez okno.

Znów widziałem tylko jedną dzwonicę.

To dlatego, że druga, odleglejsza, kryła się dokładnie za nią.

Wzniesiono je w idealnym rzędzie.

Obróciłem się o sto osiemdziesiąt stopni i popatrzyłem w przeciwległą stronę przez okno na tyłach kaplicy. Teraz widziałem wieżę, ciemną na tle czerwonego nieba zabarwionego blaskiem zachodzącego słońca.

Serce biło mi jeszcze szybciej. Ponownie popatrzyłem na kościoły, ku wschodowi, gdzie jutro wszędzie słońce, wypełniając świat swym blaskiem.

Cztery budynki w jednej linii: wieża, ruiny kaplicy i dwa kościoły. Wiedziałem, co to



oznacza. Kościoły i starożytne budowle często wznoszono w ten sposób.

To były pradawne drogi, linie energii. Niektórzy nazywają je liniami mocy.

Stałem na jednej z nich, przechodzącej wprost przez mroczną wieżę.

A jednak dostałem pomoc, pokazano mi, co mogę zrobić.

Sądziłem, że jestem sam, bez wsparcia. Ale ta linia wszystko zmieniała. Miałem potężnego sojusznika, a linia mocy pozwoli mu dotrzeć do mnie na czas.

Mogłem wezwać bogina stracharza.

## ROZDZIAŁ 14

### BOGIN STRACHARZA

Boginy używają linii mocy, by przemieszczać się z miejsca na miejsce – choć nie mogą oddalać się zanadto od owych pradawnych szlaków przecinających Hrabstwo.

Ale ta wieża stała na linii.

Podobnie jak dom stracharza w Chipenden.

Bogin odszedł z domu po pożarze, bo jego umowa z moim mistrzem dobiegła końca. Stracharz posłał mnie, abym go odnalazł i uzgodnił nowy kontrakt. Zrobiłem tak i od tej pory z powodzeniem bronił domu i ogrodu przed atakiem rumuńskich czarownic.

Nie ujawniłem jednak mistrzowi, że nowy pakt zawarł ze mną, nie z nim i że musiałem ofiarować boginowi coś więcej w zamian za jego usługi.

Bogin nabazgrał swe żądania na kawałku drewna.

*Tym razem moja cena jest wyższa. Musisz dać mi więcej.*

Musiałem myśleć szybko, potem jednak poczułem natchnienie.

Oprócz zabijania stworów z Mroku, które próbują dostać się do ogrodu – oznajmiłem – mam dla ciebie jeszcze jedno zadanie. Czasami, gdy poluję na podobne istoty, grozi mi śmiertelne niebezpieczeństwo; wówczas wezwę cię, byś walczył u mego boku. Będiesz mógł zabijać moich wrogów i wypijać ich krew! Jak masz na imię? Muszę je znać, by móc cię wezwać!

Bogin zastanawiał się bardzo długo, nim udzielił odpowiedzi, i pomyślałem, że nie ma

ochoty ujawniać nikomu swojego imienia. W końcu jednak wydrapał je w drewnie.

*Kratch.*

„Kiedy znajdę się w niebezpieczeństwie, trzy razy zawołam twoje imię!” – oznajmiłem i tak zawarliśmy pakt. Nigdy dotąd nie korzystałem z jego pomocy, bo nie chciałem pozostawiać dobytku mistrza bez ochrony. Teraz jednak znalazłem się w ekstremalnej sytuacji. Byłem pewien, że stracharz zgodziłby się z moją decyzją wezwania bogina.

I właśnie wtedy, stojąc między wzniesionymi w rzędzie kościołami, rozważyłem ponownie swoje obawy przed natychmiastowym atakiem Złego. Zacząłem wszystko starannie analizować, krok za krokiem, wykorzystując dany mi rozum.

W Pendle czarownice przywołały Złego, ale zdołały tego dokonać jedynie w bardzo szczególnej chwili – gdy mroczna magia miała wyjątkową moc: musiały zaczekać do Święta Plonów, jednego z czterech głównych sabatów. Tak samo teraz, nie mogły po prostu połączyć głowy z ciałem i go ożywić.

Pierwotny plan rytuału z udziałem Alice miał się odbyć w wybranej porze roku. One także będą musiały poczekać ze swoją ceremonią.

Mab jednak miała rację.

Musiały poczekać do Święta Zmarłych!

Okrążyłem wieżę, wracając na dawne miejsce. Teraz mogłem swobodnie wybrać chwilę ataku.

Byłem głodny. Sprawdziłem łapki. Nastawiłem cztery, w każdej tkwił królik. Wycofałem się w poprzednie miejsce, niewidoczne z wieży, i rozpałem ognisko. Zlekceważyłem radę mistrza, który kazał przed walką posilać się wyłącznie serem. Mój plan wymagał energii i sił fizycznych, upiekłem zatem i zjadłem jednego królika.

Księżyc zaczynał już jaśnieć na wschodzie, między drzewami widziałem promienie srebrzystego blasku. Nadszedł właściwy moment. Przywołałem bogina.

Najpierw jedynie wyszeptalem jego imię:

– Kratch!

Powietrze było nieruchome, ale gdy przemówiłem, usłyszałem szmer: wietrzyk poruszał suchymi liśćmi. Powtórzyłem imię, lecz tym razem znacznie głośniej:

– Kratch!

Teraz wiatr smagał gałęziami, nabierając sił. Ostatnie jesienne liście spadały, dołączając do gnijących brązowych stert pod drzewami.

Za trzecim razem wykrzyknąłem z całą mocą imię bogina, niczym ksiądz wzywający wiernych. Nie przejmowałem się, że w wieży mogą mnie usłyszeć; teraz to moi wrogowie

poczują strach. Mój głos wibrował w powietrzu, dźwięcząc niczym wielki dzwon.

– KRATCH!

W odpowiedzi z zachodu powiał huragan, skowycząc jak upiór i omal nie zbijając mnie z nóg. Dźwignąłem się z trudem i osłoniłem przedramieniem oczy, chroniąc twarz przed wirującymi w powietrzu odłamkami drewna i kamieni.

A potem wichura ucichła i zapadła cisza, absolutna i przejmująca.

Czy bogin odpowiedział? Czy tu był?

Cisza trwała dalej. Wstrzymałem oddech, wytężając słuch.

Wciąż nic.

Serce ścisnęło mi się boleśnie. Czyżby przywołanie zawiodło?

Ale potem to usłyszałem: leciusieńkie stąpanie. Coś nadchodziło z zachodu, zmierzając cicho ku mnie. Podniosłem jednego z królików i wyrzuciłem wysoko w powietrze w stronę, z której dobiegał dźwięk. Usłyszałem cichy łoskot, gdy truchło wylądowało na ziemi, potem wilgotny odgłos darcia, jakby coś rozszarpało mu ciało, i zgrzyt kości miażdżonych w potężnych szczękach.

Teraz znów słyszałem zbliżające się kroki – tym razem głośniejsze.

Tup! Tup! Tup!

A potem świst wielkiego ogona.

Rzuciłem drugiego martwego królika. Został pożarty jeszcze szybciej.

I znów ciężki tupot stóp zmierzający w miejsce, w którym czekałem: odgłosy pewnego siebie, śmiertelnie groźnego stwora, który nie musi zachowywać ostrożności. Został już tylko jeden królik, cisnąłem też jego.

Dlaczego dałem boginowi króliki?

Jego nagrodą za odpowiedź na wezwanie miała być krew moich wrogów, ale króliki stanowiły pierwszą ofiarę podczas pierwszego spotkania na warunkach nowego kontraktu. Kierował mną też strach. Bałem się, że bogin może się zwrócić przeciw mnie. Całkiem możliwe, że słyszałem właśnie ostatnie kroki drapieżnika zmierzającego ku ofierze, tuż przed tym, nim rzuci się na nią. Może stanowiłem następny punkt w jadłospisie.

Bałem się, kolana dygotały mi gwałtownie, bo nie przebywaliśmy już w domu ani ogrodzie stracharza: stary kontrakt przetrwał wiele lat, utrwalony poprzez nawyk i zwyczaje. Teraz znaleźliśmy się w głuszy; to nowy, niebezpieczny początek.

Naprawdę się bałem.

Nagle usłyszałem niskie mruczenie i poczułem włochate zwierzę, ocierające mi się o

nogi. W tym momencie bogin sprawiał wrażenie nie większego od zwykłego kota – taki właśnie kształt przyjmował, gdy zajmował się obowiązkami domowymi. Może to dlatego ogarnęła mnie nagle odwaga...

Pewnie powinienem był zwrócić się do bogina, wyjawić mu, co zamierzam. Zamiast tego bez namysłu zrobiłem coś bardzo niebezpiecznego – coś, co zszokowałoby Johna Gregory'ego.

On zawsze zachowywał dystans wobec tego stwora.

Ja jednak dałem się ponieść instynktowi.

Ukląknąłem obok kociego bogina i delikatnie położyłem mu dłoń na głowie. Czułem jego futro, lecz ciało nie promieniowało ciepłem jak u zwierzęcia. Było zimne jak lód.

A potem, bardzo powoli, pogłaskałem go od głowy aż po czubek długiego ogona.

W odpowiedzi bogin przestał mruczeć i znieruchomiał.

Nie mogąc się powstrzymać, w głębi ducha zdumiony tym, na co się narażam, powtórzyłem ów gest i ponownie pogłaskałem go od głowy aż po ogon.

Tym razem bogin zasyczał. Kiedy głaskałem go po raz trzeci, pojąłem, że futro zjeżyło mu się, a grzbiet wygiął w łuk.

Jakimż byłem głupcem! Co we mnie wstąpiło? Jaki obłąd kazał mi zrobić coś takiego? Przypomniałem sobie, jak drażliwy potrafi być bogin. Pierwszego ranka w domu stracharza za wcześnie zszedłem na śniadanie i zarobiłem sójkę w tył głowy. Mistrz ostrzegł mnie, że mogło być gorzej.

Co będzie teraz? Potrzebowałem jego pomocy.

Stopniowo bogin zaczął świecić w ciemnościach i w końcu ujrzałem go wyraźnie. Przez lewe oko biegła głęboka blizna: został oślepiony, broniąc nas przed demoniczną istotą zwaną Morem. Drugie oko przypominało wir pomarańczowego ognia.

Teraz wydało mi się, że rośnie, czułem coraz większe zagrożenie. Sól i żelazo działają na takie stwory, ja jednak nie miałem go w kieszeniach. Zostawiłem wszystko w torbie w Chipenden, bo ściagałem przecież czarownice, ograniczyłem się więc do laski, miecza i sztyletu.

Nagle bogin zadał mi potężny cios i poleciałem na plecy. Byłem ogłuszony, ledwie przytomny, czułem ból. Zupełnie jakby odrzuciła mnie potężna fala huraganu.

Leżałem na prawym boku z wyciągniętą przed siebie lewą ręką i czułem nad sobą bogina. Teraz wydawał się znacznie większy ode mnie.

Nagle uderzył w moją lewą rękę. Poczulem rozdzierające skórę szpony, błyskawica palącego bólu przebiegła wzdłuż ramienia aż do piersi; bałem się, że stanie mi serce.

Zesztywniałem w niewiarygodnych męczarniach. Nie wątpiłem, że pozbawił mnie ręki, rozszarpał ciało, zmiażdżył kości. Ale w świetle księżyca przekonałem się, że jest nietknięta prócz jednego zadrapania, biegnącego od małego palca do podstawy kciuka. Na moich oczach w ranie wezbrała ciemna krew i zaczęła ściekać ku przegubowi.

Dlaczego bogin zwrócił się przeciw mnie? Jak mogłem liczyć na to, że kiedykolwiek zrozumie motywy, kierujące tak obcą istotą? Zapewne zareagował na moją bezczelność, na to, że go pogłaskałem – choć jego reakcja mogła być znacznie gorsza: wciąż dysponowałem całą i zdrową ręką. Może nasz pakt jednak przetrwał ten nieostrożny wybryk?

Nagle poczułem szorstki język bogina. Zlizywał krew z mojej dłoni i gdy to robił, ból z ciała ustępował; zamknąłem oczy i runąłem w ciemność.

Do świadomości siłą przywołał mnie niski pomruk i wibracje, zdające się wstrząsać ziemią pode mną. Leżałem na wznak, nogi przygniatał mi zimny ciężar.

Usiadłem powoli i w jasnych promieniach księżyca przekonałem się, że bogin złożył na mnie swój wielki łeb i łapy. Wibrowanie okazało się mruczeniem – dźwiękiem, który u zwykłego kota oznacza zadowolenie. Przez długi czas nie śmiałem poruszyć nogami, choć kompletnie mi zdrętwiały: każdy ruch, który przeszkodziłby boginowi, mógł spowodować kolejną gwałtowną reakcję.

W końcu nie byłem w stanie dłużej wytrzymać i odrobinę poruszyłem stopami. Ciężar natychmiast zniknął, a wraz z nim bogin.

Wstałem z ziemi i odetchnąłem głęboko. Czyżby wrócił do Chipenden? Czy mnie porzucił?

Ale wtedy usłyszałem dźwięczący w głowie głos, ochrypli i syczący.

– *Czuję pragnienie!* – syknął z napięciem. – *Króliki to miłe powitanie, dziękuję, ale to tylko drobne kęsy. Teraz muszę zaspokoić pragnienie ludzką krwią. Dotrzymałem umowy, odpowiedziałem na wezwanie. Teraz ty daj mi to, czego potrzebuję!*

Wcześniejsze próby porozumienia z boginem wyglądały zupełnie inaczej: ja mówiłem, a on rozumiał, lecz odpowiedzi wydrapywał w drewnie. Dlaczego teraz się to zmieniło? Czy to kolejny dar odziedziczony po mamie?

Uznałem, że może to mieć coś wspólnego z faktem, że wypił moją krew.

– *Na co czekamy?* – naciskał głos bogina. – *Żaden człowiek nigdy jeszcze nie odważył się mnie dotknąć. Jesteś dzielny! Godny tego, by ze mną pójść. Zabijajmy razem!*

Najwyraźniej jednak go nie uraziłem. Dlatego właśnie mruczał.

– Tak, pójdziemy razem do wieży na wzgórzu, gdzie kryją się moi wrogowie! –

odparłem. – Pomóż mi ich pokonać, a dostaniesz ich krew.

To rzekłszy, zabrałem laskę i ruszyłem naprzód. Bogin wciąż pozostawał niewidzialny, ale słyszałem, jak stąpa u mego boku, gdy wspinaliśmy się na ostatnie wzgórze. Zatrzymałem się niedaleko wąskich kamiennych stopni i wbiłem laskę w ziemię.

– Dotrę do drzwi wieży, walcząc z tymi, którzy z niej wyjdą – oznajmiłem. – Potem wycofam się powoli, wabiąc ich za sobą. Póki żyję, nie wychodź poza ten kij! Jeśli umrę albo padnę, możesz zaatakować, kiedy zechcesz. Ale gdy wycofując się, znajdę się niżej laski, i wywabię z wieży jak najwięcej wrogów, wówczas chcę, żebyś przypuścił atak. W tym momencie możesz zabić wszystkich, zarówno wewnątrz, jak i poza wieżą – z wyjątkiem jednej osoby. Dziewczyna Alice, znasz ją, nie może ucierpieć. Rozumiesz i przyjmujesz te warunki?

Wiedziałem, że bogin mogłyby dostać się do środka przez okienka strzelnicze i zabić czarownice. Lecz w ciasnym zamknięciu mogłyby połączyć swe moce i go pokonać. To dlatego musiałem je zaskoczyć na otwartej przestrzeni.

– Tak! – syknął bogin. – To dobry plan. Łatwo je będzie upolować i zabić na dworze. Szybciej zaspokoję pragnienie!

Spojrzałem na wznoszącą się nad nami mroczną wieżę i wąskie stopnie wiodące do drzwi. Prawą dłonią dobyłem miecza, lewą sztyletu zwanego Rębaczem Kości.

Zacząłem się wspinać.

## **ROZDZIAŁ 15**

### **BITWA NA STOPNIACH**

Strome kamienne schody były ledwie dość szerokie, by pomieścić dwie osoby idące obok siebie. W tym przypadku działało to na moją korzyść – po obu stronach nic nie mogło powstrzymać upadku na kamienie w dół, trudno zatem przyjdzie wrogom mnie otoczyć i podejść od tyłu. Ich przewaga liczebna w tym przypadku nie zda się na nic.

Wdrapywałem się miarowym krokiem, zastanawiając się, czy ktoś mnie widzi. Czy za okienkami kryły się oczy? Nie

oczekiwałem ostrzału – wiedźmy same nie używają łuków, choć czasem zatrudniają służbę, choćby do gotowania..i otwierania żelaznych wrót, do których się zbliżałem (bezpośredni kontakt z żelazem sprawia ból czarownicom). Możliwe też, że miały ludzi, którzy za nie walczą – musiałem po prostu brać pod uwagę to, że nie brak wśród nich łuczników.

W połowie stopni zacząłem się zastanawiać, czy Alice nadal przebywa w komnacie z balkonem. Na myśl, że jest tam sama z wąsatym nieznanym, wezbrał we mnie gniew. Próbowałem przegnać ją z głowy. Jeśli ma mi się powieść to, co zamierzam, muszę zachować trzeźwy umysł.

Dotarłem do drzwi i przystanąłem na moment, oddychając głęboko, by się uspokoić.

A potem rąbnąłem w nie mocno, trzy razy, rękojęścią miecza.

Odgłos każdego uderzenia brzmiał dość głośno, by przebudzić umarłych, odbijając się echem od doliny przez wzgórza. Nikt jednak nie odpowiedział, w mrocznej wieży nic się nie poruszyło.

Uderzyłem ponownie, trzy razy – jeszcze mocniej. Odpowiedziała mi cisza i bezruch. Co robią wiedźmy? Czy gromadzą się za drzwiami gotowe do ataku? Jeśli tak, nie zaskoczą mnie, drzwi bowiem były ciężkie i otwierały się powoli.

Po raz trzeci wałnąłem w nie mieczem, tym razem wykrzyknąłem też wyzwanie.

– Wychodźcie i walczcie, tchórze! Wychodźcie i gińcie! Na co czekacie?

Może obserwowały mnie przez okienka strzelnicze – z pewnością sądząc, że kieruje mną obłąd albo że osiągnąłem taką otchłań rozpacz, iż sam pragnę śmierci. Co bowiem mógł zdziałać jeden człowiek w walce z tyloma wrogami? Ale nie wiedziały o boginie.

Bogin już od wielu lat bronił ogrodu stracharza. Na początku mojego terminu ścigała mnie wiedźma Koścista Lizzie i jej syn Kieł – ja jednak w ostatniej chwili dotarłem do schronienia ogrodu i bogin ich przepędził. Nawet potężna czarownica, taka jak Lizzie,

uciekła przed nim przerażona. Odparł też atak demona Mora, a niedawno również rumuńskich wiedźm. Nie należało go lekceważyć.

Miałem nadzieję, że jego obecność kompletnie zaskoczy czarownice. Mało prawdopodobne, by odkryły to szczególne niebezpieczeństwo – choć część z nich bez wątpienia wywęszyła przyszłość i wyczuła zagrożenie śmiercią. W takim przypadku mogą zignorować moje wyzwanie i zostać wewnątrz wieży. Wówczas będę musiał rozkazać boginowi, by się tam dostał. Może zabije wiele z nich, nim zdołają odeprzeć go magią, ale to nie otworzy przede mną drzwi. Głowa Złego pozostanie poza moim zasięgiem.

Nagle usłyszałem ostry dźwięk – zgrzyt metalu o kamień – i drzwi powoli zaczęły się poruszać, bez wątpienia ciągnięte przez służbę. Czekałem, unosząc w gotowości klingi. Gdy drzwi uchyliły się na trochę ponad ćwierć szerokości, zamarły, a ja spojrzałem w ciemność, której nie zdołał rozjaśnić blask księżyca. W mroku jaśniały oczy: niezwykle okrągłe oczy patrzących na mnie czarownic.

Nagle opuściła mnie cała pewność siebie. Poczułem strach, wzbudzający te same wątpiwości, które wcześniej od siebie odepchnąłem. Co, jeśli nie zdołam wykonać planu? Mogą się tam kryć wyszkoleni wojownicy – może nawet wiedźma zabójczyni, ktoś, kto z łatwością potrafi odbić moje ciosy i zabić mnie tu, na schodach.

Kiedy tak stałem, drzwi znów zaczęły się poruszać, ciągnięte niewidocznymi dłońmi. Odsłoniły już niemal połowę swojej szerokości, gdy pierwsza czarownica zaatakowała. Włosy miała długie, opadające na twarz, między nimi dostrzegłem jedno wściekłe oko, haczykowany nos i szczelinę wykrzywionych w grymasie ust. Pomknęła wprost ku mnie, w lewej dłoni trzymała długą cieką klingę.

Wykonałem dwa szybkie kroki, pierwszy w tył i w dół, drugi w prawo.



Potężny cios minął moją głowę o kilka cali, a potem odpowiedziałem. Nie użyłem broni, po prostu rąbnąłem lewym łokciem w bok jej głowy. W połączeniu z siłą własnego rozpędu cios sprawił, że spadła z boku schodów; słyszałem jej krzyk, a potem upiorny łoskot, gdy ciało uderzyło o głązy. Zerknąłem w dół i dostrzegłem rozbryzganą na kamieniach krew, mokrą i czarną w promieniach księżyca.

Dręczący mnie strach nagle zniknął. Miałem jasny cel: odzyskać głowę Złego, a by tego dokonać, najpierw musiałem pozbyć się czarownic ze schodów. Grimalkin wspomniała mi kiedyś, że zawsze walczy w danej chwili, żyje nią, nie myśląc o przyszłości. Teraz musiałem zrobić to samo. Skupiłem się zatem i przeniosłem myślami na inny poziom, gdzie liczyło się tylko odpieranie kolejnych ataków.

Natychmiast pojawiły się dwie następne wiedźmy – wrzeszcząc i przeklinając, wypadły zza drzwi. Tym razem szybko cofnąłem się o kilka stopni – choć były dwie, nie skoordynowały ataku i szczególnie mi zagrażały. Z łatwością odparowałem cięcia ich noży i szybko pchnąłem w odpowiedzi. Jedna runęła w przepaść po prawej, druga wywróciła się w tył na schody, zmuszając kolejne napastniczki, by przeskakiwały nad jej ciałem.

Wciąż schodziłem, walcząc z wrogami atakującymi pojedynczo lub parami i odbijając ich ciosy. W końcu jednak ruszyły większą gromadą – zza żelaznych drzwi wybiegło równocześnie osiem czy dziewięć czarownic. Widząc to, zawróciłem i pobiegłem – choć w połowie schodów zatrzymałem się, nagle zawirowałem i uniosłem broń. Było ich wiele, ja sam, lecz naraz atakować mogły zaledwie dwie, pozostałe musiały czekać za nimi, gdy rozprawiałem się z ich towarzyszkami.

Nie były jednak bezradne. Podczas gdy walczyłem z najbliższymi czarownicami, pozostałe połączyły siły i zaczęły używać magii. Ich twarze wykrzywiły się, nabrały demonicznych rysów, włosy zamieniły się w kłębowisko węży, z których rozdwojonych języków skapywał jad. Wiedziałem, że to złudzenie –

element ulubionego zaklęcia zwanego Grozą.

Siódmy syn siódmego syna dysponuje pewną odpornością na mroczną magię czarownic, ale nie całkowitą. Złudzenie wkrótce zniknęło, lecz moc ich magii przepełniła mnie strachem, który trudniej było przegonić. W dodatku czar odrzucił mnie, cofnąłem się jak odepchnięty potężnym wiatrem i z trudem ustałem na nogach.

Zacisnąłem zęby, walcząc z wrogą magią, i gdy zebrałem siły, z rubinowych oczu miecza i sztyletu zaczęła kapać krew, znacznie czerwiejsza niż ta, która plamiła ostrza. Zapanowałem nad sobą – teraz znów wycofywałem się powoli, miarowo, zgodnie z planem, choć z góry zbiegało coraz więcej czarownic.

Od ziemi dzieliło mnie już ledwie dwadzieścia stopni. Wkrótce znajdę się za laską, a wtedy bogin zaatakuje. Wówczas jednak usłyszałem dobiegający z góry hałas, szcęk, który pamiętałem z poprzedniej nocy. Na balkonie pojawiła się Alice oraz wysoki wąsaty nieznajomy, którego miałem za Lukrastę, mrocznego maga od „Doomdryte”.

W tym momencie czarownica po lewej pchnęła mnie nożem w ramię tak szybko, że nie zdołałem całkowicie uniknąć ciosu. O mało drogo nie zapłaciłem za dekoncentrację, lecz w ostatniej chwili obróciłem się i zarobiłem tylko bolesną, płytką ranę. Zamachnąłem się mieczem, zrzucając wiedźmę ze schodów.

Potem nie śmiałem już patrzeć w górę, lecz czułem na sobie wzrok Alice i maga. Nadal się cofałem, z każdym stopniem coraz bardziej zmęczony – ciążyły mi ręce, płytki oddech wrywał się z ust, gdy walczyłem z naporem czarownic. Czułem inne skaleczenia, dwa na przedramionach, jedno na lewym ramieniu. Wiedziałem, że jeśli potknę się i upadnę, to będzie mój koniec: choć przynajmniej pozostanie mi drobna satysfakcja ze świadomości, że bogin zaatakuje natychmiast. Na dwór wyszło już dość czarownic, by jego atak okazał się morderczy w skutkach. Mimo to jednak zawiódłbym. Mój kontrakt z boginem dobiegłby końca, dom stracharza w Chipenden znów pozostałby bez ochrony... A w

Święto Zmarłych służy Mroku zebraliby się ze wszystkich stron, by połączyć głowę Złego z ciałem i przywrócić mu moc.

Nagle dosięgnął mnie potężny cios i na sekundę oślepełem. Zakołysałem się, ale nie upadłem. Ataku nie wyprawdziła żadna z czarownic – w nagłym przeblasku strachu pojąłem, że pochodził z balkonu w górze. Przeciw mnie działała magiczna siła. To musiał być mag – z pewnością nie Alice... Ona nie próbowałaby mnie zranić, ale może nie myślała jasno – a w takim przypadku groziło mi niebezpieczeństwo.

Mimo ryzyka zerknąłem w górę i ujrzałem pędzącą ku mnie z balkonu kulę pomarańczowego ognia.

Uskoczyłem – w ostatniej chwili! Gdybym tego nie zrobił, pozabawiłaby mnie głowy.

W obliczu tego nowego zagrożenia postanowiłem zawrócić i zbiec po ostatnich schodach. Kiedy mijałem łaskę, obejrzałem się za siebie, natychmiast usłyszałem ciche mruczenie i poczułem, jak niewidzialny bogin ociera mi się o lewą kostkę. A potem przemówił do mnie wewnątrz głowy, jak wcześniej.

*– Dobrze walczyłeś i przeprowadziłeś doskonały plan. Większość z nich wyszła z wieży. Dziękuję ci za tę ucztę krwi!*

## **ROZDZIAŁ 16**

### **FALA KRWI**

Nagle bogin stał się widzialny.

Nie wyglądał już jak istota, która czasami pokazywała nam się w Chipenden – mały, domowy rudy kocur, stwór, który przed chwilą otarł mi się o nogę. Wcześniej, kiedy czułem na nogach jego wielkie ciało, myślałem, że jest straszny, ale teraz był naprawdę przerażający.

Okazał się olbrzymi – nawet gdy stał na czterech łapach, muskularne ramiona wznosiły się co najmniej dwie stopy ponad

moją głowę. Z kształtu wciąż przypominał kota, ale teraz miał oblicze demona i kły sterczące z górnej i dolnej szczęki. Pasiaste rude futro sterczało niczym kolce jeża, a prawe oko płonęło ogniem.

Natychmiast wrzasnął upiornie i dźwięk ów sprawił, że czarownice zamarły wpół kroku. W głowie ani poza nią nie usłyszałem żadnych słów, ale znaczenie owego dźwięku było jasne.

– Nadeszła chwila waszej śmierci – zdawał się mówić. – Zmiażdżę wam kości i wypiję krew, a wy w żaden sposób nie zdołacie mnie powstrzymać!

I wtedy bogin zaatakował. Gdy skoczył na schody, wiedźmy rzuciły się do ucieczki, wrzeszcząc ze zgrozy. Ich gorączkowy odwrót odbywał się chaotycznie, te stojące najbliżej otwartych drzwi nie zawróciły dość szybko. Czarownica zderzała się z czarownicą, niektóre poleciały na głazy w dół.

Ujrzałem, jak bogin zamachnął się łapą i odgryzł jednej z nich głowę. Tracił już jednak kształty, potworny kot zmienił się w wir pomarańczowej energii, która pomknęła w górę, w kłębowisko czarownic, wypełniając powietrze mgiełką krwi i maleńkich odłamków kości.

W niecałe trzy sekundy bogin zabił wszystkie wiedźmy na schodach i wtargnął otwartymi drzwiami do wieży. Zapadła niesamowita cisza – nie było już bowiem nikogo, kto mógłby krzyczeć. Nie widziałem też żadnych ciał. Po schodach spływała fala czerwieni, niosąc ze sobą dziesiątki par szpiczastych trzewików.

Pobiegłem do drzwi, dwa razy o mało nie wywracając się na śliskiej krwi. Na szczycie przystanąłem, a potem bardzo ostrożnie przekroczyłem próg, bo teraz słyszałem dobiegające z wewnątrz krzyki i jęki.

W drugim, wewnętrznym wejściu leżała oderwana głowa, dwa razy większa od ludzkiej. Należała do pomiota – ujrzałem rogi wyrastające z czoła, otwarte usta pełne zębów. Oczy też miał otwarte, patrzyły zaskoczone, jakby stwór zastanawiał się, co się stało z jego ciałem.

Przeszedłem nad nim i dalej, za drzwi. Obszerna sień była wyłożona kamiennymi płytami i pozbawiona mebli, oprócz dwóch przedmiotów. Pierwszy, wielką trumnę, umieszczono na posadzce pod dużym oknem o wielu szybkach. Była pusta.

Drugim okazał się długi drewniany stół, na którym złożono ogromne ciało Złego. Przez moment sądziłem, że głowa już do niego przyrosła i zaniepokojony podbiegłem naprzód, unosząc miecz. Ale wkrótce przekonałem się, że tak nie jest.

Ułożono je dokładnie, dwa elementy idealnie dopasowano w całość. Dostrzegłem też ślady nowego życia: wąskie pędy cielistych wypustek sięgały ku głowie, jakby chciały połączyć ją z korpusem w jedną całość. Wiedziałem, że to powolny początek procesu, który zakończy się w Święto Zmarłych.

Jedno z oczu Złego przedstawiało załosny widok, sprawił to nóż Grimalkin. Drugie pozostało nietknięte. Powieka powoli uniosła się i głowa spojrzała na mnie. A potem usta otworzyły się, ukazując żółte piénki połamanych zębów – kolejną pamiątkę od Grimalkin.

– Nie zdołasz wygrać! – Głos Złego brzmiał niewiele głośniej od ochryplego szeptu. – Moi słudzy są zbyt liczni. Nawet to drobne zwycięstwo okaże się krótkotrwałe. Uciekaj, póki możesz!

Nie było sensu odpowiadać, toteż nie tracąc czasu, chwyciłem głowę i spróbowałem oderwać od ciała. Szarpnąłem mocno, ale coś ją przytrzymało. Zauważyłem, że część włókien za uszami wyprzedziła resztę, tworząc więź łączącą głowę z szyją. Będę musiał je odciąć. Dobyłem zatem sztyletu zwanego Łamaczem Kości i przygotowałem się.

– Straciłeś Alice, przeszła na stronę Mroku – podjął Zły.

Wiedziałem, że próbuje mnie zdekoncentrować, chcąc zyskać nieco czasu, by ktoś zdążył zainterweniować – na przykład Lukrasta? – i rozumiałem też, że powinienem nie zważać na szyderstwa, ale odpowiedź padła sama, nim zdążyłem się powstrzymać.

– Zakończę życie tego maga, a wraz z nim zaklęcie, które daje mu nad nią władzę – warknąłem gniewnie.

– Nie użył żadnego zaklęcia! – krzyknął Zły głosem przepełnionym tryumfem i coraz silniejszym. – Alice sama go wybrała. A on wybrał ją. To mroczny mag i bezecna wiedźma, stanowią idealną parę i rozkoszują się własnym towarzystwem. Po raz pierwszy spotkała go, gdy spróbowała odprawić rytuał. Od chwili, gdy spojrzeli sobie w oczy, zostali związani ze sobą po kres czasu.

Przepełniały mnie strach i rozpacz. Złego nazywano czasem Ojcem Kłamstw, wiedziałem o tym, ale nie mogłem zapomnieć o jego słowach. Co, jeśli choć raz mówił prawdę? Co, jeśli wyprawa Alice w Mrok, a następnie gotowość wypróbowania rytuału z „Doomdryte” w końcu zamieniły ją w bezecną czarownicę? Gwałtownie rozciąłem cielesne włókna łączące głowę z ciałem i uniosłem ją wysoko. Potem, trzymając zdobycz za włosy, podbiegłem do kolejnych drzwi i ujrzałem przed sobą spiralne schody. Wspinając się, mijałem szereg drzwi, wszystkie otwarte.

Od razu mogłem poznać, za którymi wcześniej ktoś mieszkał, bo kamienne podłogi lśniły od posoki. W końcu dotarłem do komnaty, gdzie przebywali Alice i Lukrasta: wewnętrzne drzwi stały otworem, ukazując balkon. Na posadzce nie dostrzegłem ani śladu krwi. Czyżby Kratch nie zdołał dokończyć tu dzieła – został pokonany, nawet zniszczony magią czarnoksiężnika? Ostrożnie wszedłem do środka, serce biło mi szybko. Pokój był pusty, ale zauważyłem ślady wcześniejszego zamieszkania: na toaletce leżało lustro, grzebień i szczotka do włosów. W samym środku pokoju ustawiono wielkie podwójne łóżce, widziałem wyraźnie, że ktoś w nim sypiał. A potem wypatrzyłem coś na jednej z poduszek: złożoną kartkę papieru. Położyłem głowę Złego na toaletce i podszedłem do łóżka.

Natychmiast rozpoznałem pismo Alice, chwyciłem kartkę i zacząłem czytać. To był list do mnie.

*Drogi Tomie,*

*należymy teraz do dwóch różnych światów. Kiedyś byliśmy przyjaciółmi, ale nasza przyjaźń musi się zakończyć: nigdy więcej nie możemy się spotkać. Nie żywię wobec ciebie*

*złych uczuć, ale nie mogę już ci pomagać, bo teraz należę do Mroku.*

*Alice*

Gdy powtórnie odczytałem list, zaczęły trząść mi się ręce. Nie mogłem uwierzyć w to, co widzę. Może to fałszerstwo? Owszem, wyglądało jak pismo Alice, ale ona nigdy nie napisałaby podobnego listu.

Prawda patrzyła mi prosto w twarz: Alice, którą znałem, już nie istniała.

Stało się coś, czego zawsze się obawiałem, a teraz w końcu się wydarzyło. Poczułem żółć wzbierającą w gardle, wnętrzności ścisnęły mi się nagle.

Alice przeszła na stronę Mroku.

Wepchnąłem list do kieszeni portek, podniosłem głowę Złego i biegiem pokonałem resztę schodów. Nie znalazłem ani śladu Lukrasty czy Alice, ale jeszcze w dwóch pomieszczeniach dostrzegłem ślady krwi. Bogin mógł zabić maga, ale zawsze dotrzymywał słowa. Obowiązywały go warunki umowy, toteż nie wątpiłem, że oszczędziłby dziewczynę.

Nie widziałem, by opuszczała wieżę, co zatem się stało? Czy przebywała gdzieś w pobliżu i przyglądała mi się, ukryta mroczną magią?

Powoli zawróciłem i zacząłem schodzić do wyjścia. Wokół panowała cisza. Nic się nie poruszało. Nie dostrzegłem ani śladu bogina: bez wątpienia po smakowitej uczcie powrócił do Chipenden. Zawdzięczałem mu życie.

I nagle przypomniałem sobie słowa Złego – że setki jego sług zmierzają w to miejsce. Wiedziałem, że to nader prawdopodobne, wypadłem zatem głównymi drzwiami. Omiotłem wzrokiem horyzont, ale nikogo nie zauważyłem. Zbiegłem po schodach, chwyciłem laskę i pomknąłem na wschód, ściskając wielką głowę.

Odzyskałem ją, ale to tylko połowa mojego zadania: teraz muszę dostarczyć zdobycz do Chipenden.

## **ROZDZIAŁ 17**

### **MRO CZNY JEŹDZIEC**

Zatrzymałem się na krótko przy napotkanym strumieniu, nabierając wody dłońmi wprost do ust by zaspokoić pragnienie. Cały czas rozglądałem się w nieustannej obawie, że ktoś zaatakuje

mnie od tyłu. Podróżowałem już od ponad dwóch dni i ledwie spałem, czy jadłem. Choć w walce odniosłem tylko lekkie rany i straciłem niewiele krwi, wszystko mnie bolało i byłem bliski kompletnego wyczerpania.

Wrogowie podążali za mną. Kiedy się zatrzymałem, natychmiast usłyszałem szelest ich stóp i trzaski łamanych gałązek.

Nie próbowali nawet ukryć swojej obecności – najwyraźniej byli pewni ostatecznego zwycięstwa. W każdej chwili mogli rzucić się do ataku, ale być może uznali, że nie muszą tego robić. Od względnego bezpieczeństwa Chipenden wciąż dzieliło mnie wiele mil. Wkrótce osłabnę tak bardzo, że nie będę już mógł postąpić nawet kroku dalej.

Głowa Złego, którą trzymałem za włosy, z każdą minutą zdawała się coraz cięższa. Wyszedłem spomiędzy drzew na rozległą, monotonną, trawiastą równinę, i w blasku księżyca ujrzałem przed sobą w dali około setki sług Złego. Czekali w grupkach po pięć i sześć osób, i na mój widok ruszyli naprzód. Szli powoli. Wciąż im się nie śpieszyło, ale bez wątpienia postanowili zakończyć pościg.

Trzon armii moich przeciwników tworzyły wiedźmy w długich, postrzępionych sukniach, ale wśród nich dostrzegłem też roślejsze, masywniejsze stwory. Z daleka nie miałem pewności, zakładałem jednak, że to pomioty, istoty zrodzone z czarownic i spółdzone przez Złego. Wyglądały groźnie; nagle przypomniałem sobie pierwsze spotkanie z podobnym potworem. Na imię miał Kieł, w końcu zginął z ręki mojego mistrza.

Jakże bym chciał, by mistrz stał teraz u mego boku: nie starzec o słabym zdrowiu, którego zostawiłem w Chipenden, lecz silny, groźny stracharz, który zabrał mnie z rodzinnej farmy, aby wyszkolić na ucznia. Czułem się absolutnie sam. Dotarłem tak daleko tylko po to, by ponieść porażkę.

A potem pomyślałem o Alice i w mojej głowie pojawił się nieproszony obraz jej pocałunku z magiem. Zaćmiewał wszystkie



wcześniejsze wspomnienia Alice – niebezpieczeństw, którym razem stawialiśmy czoło, wspólnych przygód, rozmów, uczuć ciepła i przyjaźni. Poczułem gorycz i złość.

Teraz słyszałem kroki zbliżające się zza pleców; kolejne postaci wyłoniły się spomiędzy drzew po obu stronach. Byłem otoczony.

Zrozumiałem, że pewnie tu umrę, ale postanowiłem przynajmniej zabrać ze sobą jak najwięcej wrogów. Alice nie tylko mnie zdradziła – jej przejście na stronę Mroku sprawiło, że po wszystkich latach nauki na stracharza teraz nigdy nim nie zostanę. To takie niesprawiedliwe.

Odetchnąłem jednak głęboko i przegnałem z głowy myśli o niesprawiedliwości, zdradzie i rozpacz, groziły bowiem, że mnie obezwładnią. Byłem uczniem stracharza i tu, przed moją ostatnią bitwą, pozostawię miecz i sztylet w pochwach i chwycę w dłoń laskę, tak jak uczył mnie John Gregory.

Gdy rozglądałem się dookoła, próbując ocenić, kto z mieszkańców Mroku dotrze do mnie pierwszy, kątem oka dostrzegłem zbliżającą się galopem postać na koniu: mrocznego jeźdźca w ubraniu czarnym jak końska maść.

Zwróciłem się ku pierwszemu przeciwnikowi, ciekaw, kto to tak jedzie. Czarownice zwykle nie dosiadają koni. Potem jednak przypomniałem sobie, jak Wurmalde poprowadziła hordeę wiedźm z Pendle, aby złupiły farmę, schwytały mojego brata z rodziną i ukradły skrzynię mamy. Przybyła wówczas konno. Choć zatem mało prawdopodobne, wciąż było to możliwe.

Może to mag Lukrasta? Może jednak nadarzy mi się szansa uwolnienia Alice spod jego władzy? Gdybym zdołał go zabić, nim dotrą tu inni, może w jakiś sposób zdołałbym wyzwolić ją z Mroku.

I wtedy zauważyłem coś dziwnego: postać siedziała bardzo prosto, obejmując nogami grzbiet konia. Nie miał on siodła: jeźdźca przywiązano do wierzchowca kilkoma skórzanymi pasami przechodzącymi pod brzuchem.

W tym momencie pojąłem kto to.

Grimalkin!

Zatrzymała konia u mego boku i uśmiechnęła się do mnie, nie pokazując zębów. Serce wezbrało mi radością i nagłą nadzieją. Może jednak zdołam uciec!

– Doskonale się spisałeś! – krzyknęła, wskazując głowę Złego.

Chwyciła ją za włosy i przytoczyła do skórzanych pasów, a potem poleciała mi wsiąść na konia. Podałem jej laskę, z trudem wspinając się na grzbiet zwierzęcia. Z tyłu dobiegły mnie okrzyki gniewu i obejrzawszy się, odkryłem, że część czarownic biegnie ku nam.

Gdy tylko dosiadłem konia, Grimalkin oddała mi kij i dobyła dwóch noży. Potem bez dalszej zwłoki skierowała się wprost na biegnących wrogów.

I kiedy tak galopowaliśmy między nimi, jej klingi błyskały w promieniach księżyca, a nocne niebo wypełniło wycie wściekłości i bólu. Dotąd miałem do czynienia tylko z ciężkimi końmi pociągowymi używanymi do orki, toteż jedną ręką kurczowo trzymałem się Grimalkin w obawie, że spadnę. Mimo to drugą zdołałem dźgać laską w dół, pomagając jej odpędzić czarownice.

Wkrótce przedarliśmy się i pędziliśmy na północ w stronę Chipenden. Podczas jazdy nozdrza wypełnił mi silny smród moczu. Nie zdziwiłem się – Grimalkin bez wątpienia jechała ponad dzień, by do mnie dotrzeć, a nie mogła przecież zsiąść z konia. Pomyślałem o jej złamanej nodze i przypomniałem sobie paskudny widok kości sterczącej z rany. Musiała okropnie cierpieć.

O świcie zatrzymaliśmy się na skraju gęstego lasu, młode drzewka walczyły o miejsce i światło pośród grubszych pni. W pobliżu słychać było ryk wody.

Zsiadłem z wierzchowca i sztyletami wyciąłem nam ścieżkę do rwącego strumienia. Długo to trwało, bo byłem bardzo słaby: miałem ochotę wyłącznie spać. Z brzegu spojrzałem w górę i ujrzałem wysoko nad sobą wodospad, a obok skalistą półkę, na której zdołało zakorzenieć się kilka drzewek. Postanowiłem, że tam właśnie rozbijemy obóz.

Najpierw Grimalkin za pomocą swej magii zamaskowała naszą

kryjówkę, potem rozwiązałem jej nogi i pomogłem zsunąć się z konia. Ku memu zdumieniu zdołała ustać, ale poruszała się, kulejąc. Głowa Złego wciąż tkwiła przywiązana do konia, wraz z workiem owsa, którym moja towarzyszka nakarmiła zwierzę. Ja tymczasem ruszyłem poszukać czegoś do jedzenia; wiedziałem, że znów muszą to być króliki.

Zmęczony, walcząc z sennością, zastawiłem wnyki na skraju zagajnika. Po godzinie złapały się w nie dwa tłuste króliki. Kiedy zaniósłem je do kryjówki, zatrzymałem się, zaskoczony i oszołomiony. Grimalkin stała nago pod wodospadem, szorując brudne ciało.

– Przepraszam – wymamrotałem i odwróciłem głowę. Usłyszałem, jak wychodzi spod spadającej wody i postępuje dwa kroki ku mnie, wykręcając mokre włosy. Potem dobiegł mnie szelest i zrozumiałem, że zakłada suknię.

– Nagość to nic złego – odparła miękko. – Ale ciało zostało poważnie uszkodzone. Trzeba je uzdrowić, jeśli mam jeszcze kiedyś walczyć jak wcześniej. Odwróć się i spójrz na moją nogę.

Zrobiłem, jak kazała, i odkryłem, że noga jest wykręcona i zasuszona, pozbawiona mięśni. To dlatego Grimalkin kulą!.

– Uleczyłam magią ciało i kość, by móc ruszyć ci z pomocą. Twój mistrz starał się nastawić ją jak najlepiej, ale nie jest chirurgiem. Trzeba będzie ponownie złamać nogę i powtórzyć cały proces. Czy po powrocie do Chipenden pomożesz mi to zrobić?

– Oczywiście, że tak – obiecałem, zastanawiając się, jaką mam odegrać rolę. Zadrżałem na myśl o tym, że miałbym znów złamać nogę Grimalkin, ale jak mogłem odmówić?

– To dobrze. A teraz zmyj z siebie brud. Nie musisz się wstydzić; ja zajmę się przyrządzaniem śniadania.

Brodząc w strumieniu, wszedłem pod kaskadę. Zimna woda sprawiła, że opuściła mnie senność. Potem usiedliśmy razem przed dogasającym ogniskiem i zjedliśmy soczyste króliki. Po ostatnich wydarzeniach apetyt niezbyt mi dopisywał, ale zmusiłem się do przełknięcia mięsa. Nie mogłem tracić sił: od Chipenden wciąż

dzieliło nas wiele mil i nie wiedziałem, kiedy nadarzy się okazja do następnego posiłku. Opowiedziałem Grimalkin o wieży.

– Tam właśnie znalazłem głowę. Alice też tam była, razem z Lukrastą.

– Dzięki magii odkryłam, co się stało, ale chciałabym poznać szczegóły i to z twoich ust. Potem opowiem ci, co wiem.

Skinąłem potakująco głową i rozpocząłem opowieść, zaczynając od pościgu za czarownicami. Kiedy wspomniałem o zaprzęgu, ciągnącym długą trumnę z ciałem Złego, jej oczy rozszerzyły się ze zdumienia.

– Tego nie wiedziałam! – wykrzyknęła. – Powinnam była wyczuć zagrożenie w chwili, gdy wyciągnęli z ciała srebrne włócznie. Rzuciłam na nie zakłęcie: powinnam się była zorientować, gdy tylko ich dotknęli. Ktoś użył tu potężnej magii. To musiał być Lukrasta.

Podjąłem przerwana opowieść, opisując jak wezwałem bogina, by mi pomógł. Jak cofałem się po kamiennych schodach i jak Kratch zaatakował wszystkich, na dworze i w środku. Nie wyjawiałem jednak Grimalkin imienia bogina, zachowałem je dla siebie, bo uznałem, że nikomu nie powinienem zdradzać tej wiedzy.

W końcu opisałem, jak zobaczyłem Alice na balkonie z Lukrastą, ale pokój zastałem pusty.

– Spali w jednym łóżu – z goryczą usłyszałem, jak łamie mi się głos. – Ona chce z nim być... – Wypowiedzenie tych słów sprawiało ból, ale w dziwny sposób także go łagodziło.

Podąłem Grimalkin list od Alice. Przeczytała go szybko i wręczyła mi z powrotem.

– Myślisz, że była przy zdrowych zmysłach? – spytałem. – Czy Lukrasta zawładnął nią za pomocą mrocznej magii?

Grimalkin odpowiedziała dopiero po długiej chwili, ze smutkiem kręcąc głową.

– Przykro mi, Tomie. To wyłącznie moja wina. Popełniłam błąd, drugi najpoważniejszy błąd w życiu.

Jej największym błędem było bez wątpienia dopuszczenie do

siebie Złego wraz ze wszystkimi konsekwencjami. Zamordował jej nowo narodzone dziecko, roztrzaskując mu główkę o kamień.

– Zamiary miałam dobre – podjęła. – Chciałam uniknąć rytuału wymagającego złożenia ofiary z Alice, którą zawsze lubiłam i szanowałam. To dzielna dziewczyna, ma wielki potencjał, próbowałam zatem znaleźć inny sposób. Potem, gdy w Todmorden pozbywałam się ostatnich wampirów, znalazłam przypadkiem „Doomdryte”. Obiecałam ci, że postąpię zgodnie z życzeniem Johna Gregory’ego i zniszczę tę księgę, ale kiedy trafiła w moje ręce, skłamałam i oznajmiłam, że jej nie znalazłam. Bo widzisz, wierzyłam, iż Alice ma dość sił, by z pomocą grimoire’a dokończyć rytuał. Moc, jaką by wówczas zyskała, w połączeniu z jej wrodzonymi zdolnościami wystarczyłaby do zniszczenia Złego. Zaczekałam, aż wróci z Mroku, a potem ukryłyśmy się w chacie nieopodal Chipenden, szykując się do tego, co konieczne. Jednak, jak mówiłam, popełniłam wielki błąd. Lukrasta miał ponoć zginąć w nieudanej próbie odprawienia rytuału. To kłamstwo, które sam rozpuścił, by inni nie próbowali tego samego i nie zyskali mocy równej jego własnej. Gdy tylko Alice otworzyła księgę, Lukrasta pojawił się w izbie obok nas. Chyba musiał zakląć „Doomdryte”, by ostrzegła go przed każdą podobną próbą.

– Czy inne czarownice zaatakowały w tej samej chwili?

– Tak, po paru minutach od jego przybycia. Kiedy Lukrasta zmaterializował się w chacie, próbowałam użyć noży, ale jego magia okazała się zbyt potężna, nie mogłam nawet drgnąć. Mówiłam ci wcześniej, że nie wiedziałam, co się stało z Alice... Wybacz mi, skłamałam z życzliwości, by oszczędzić twoje uczucia. Teraz muszę wyznać prawdę. Sądziłam, że Alice obroni nas swoją magią, ale jedynie wpatrywała się w niego z zachwytem na twarzy. Potem uśmiechnęli się do siebie i objęli.

Serce zaciążyło mi w piersi, emocje mocno ścisnęły gardło.

Grimalkin patrzyła na mnie, kręcąc głową.

– Przykro mi, ale musisz wiedzieć. Wyglądało to zupełnie, jakby Alice i Lukrasta odnaleźli się nawzajem po długich

poszukiwaniach. Jakby byli bratnimi duszami, które rozpoznały się w mgnieniu oka i zawsze przeznaczone im było się spotkać. Posłuchaj mojej rady, Tomie, i zapomnij o Alice.

Nie mogłem mówić, do oczu napłynęły mi łzy. Jeśli Grimalkin to zauważyła, nie dała po sobie poznać, po prostu podjęła opowieść.

– Stałam jak sparaliżowana, w transie, całkowicie pod władzą maga. Lukrasta chciał mnie zabić – nie pamiętam, jakie słowa padły, bo umysł miałam oszołomiony, ale zdaje się, że Alice błagała, by darował mi życie. Chciał też zabrać ze sobą głowę Złego, ale znów Alice mu się sprzeciwiła. Powiedziała, że lepiej będzie, jeśli wezmą ją inne czarownice: zmierzało ich tu całe mnóstwo, a ja nie zdołam pokonać wszystkich. Nie mogła się doczekać odejścia, a on wyraźnie czuł to samo. A potem oboje po prostu zniknęli, rozplynęli się w powietrzu. W końcu znalazłam w sobie dość sił, żeby wstać, ale nim zdołałam uciec z chaty, pojawili się słudzy Złego. Trzy razy ich odpierałam, omal nie przebiłam się przez nich i nie uciekłam. Nadal jednak nie otrząsnęłam się do końca z zaklęcia Lukrasty i nie walczyłam pełnią sił. Zmusili mnie, bym wycofała się do chaty. Pomiot uzbrojony w ciężką pałkę wymierzył mi miażdżący cios, łamiąc nogę. Walczyłam dalej na kolanach, ale potem zdołali wyrwać mi skórzany worek i to był koniec. Dostali, co chcieli – głowę Złego – i sądzili, że i tak umieram. Zostawili mnie zatem klęczącą w kałuży własnej krwi i uciekli. Myślałam, że mój czas na tej Ziemi w końcu dobiegł końca, ale potem znaleźliście mnie z mistrzem. Przeżyłam zatem, by znów walczyć. Dobrze się spisałeś, odzyskując głowę.

– Ale jakie mam szanse w starciu z Lukrastą? Jaka moc daje mu tyle sił?

– Moc zdobyta przez kogoś, kto z powodzeniem ukończył rytuał, jest bez wątpienia wielka. Nie wierzę jednak, by czyniła z człowieka boga. Kiedy Lukrasta zaatakował, nic nie mogłam poradzić, ale częściowo dlatego, że kompletnie mnie zaskoczył. Następnym razem będę gotowa i znam już jeden sposób, w który być może zdołam zneutralizować jego magię. Potrzebuję czasu, by

wszystko przemyśleć i przygotować się, byśmy mogli jednak zwyciężyć.

– Zwyciężymy! – wykrzyknąłem. – Musimy zwyciężyć!

Tak, dodałem w duchu, może faktycznie uda nam się wygrać ze Złym i jego sługami. Może zwyciężymy.

Ale straciłem Alice.

## ROZDZIAŁ 18

### OSTATNI UCZEŃ

Gdy znów ruszyliśmy do Chipenden, nie musiałem już przywiązywać Grimalkin do konia. Choć jednak nie odezwała się ani słowem, widziałem, że cierpi. Przez resztę drogi nie walczyliśmy już z nikim. Raz, w dali, ujrzelśmy dużą grupę czarownic, zmierzającą w tę samą stronę, ale szybko zostawiliśmy je w tyle.

W końcu ujrzelśmy szare dachy Chipenden, a wkrótce potem dotarliśmy do granicy ogrodu stracharza. Usłyszałem niski pomruk, dochodzący z krzaków graniczących z pierwszymi drzewami. Kratch wrócił bezpiecznie i rzucał wyzwanie Grimalkin.

Uprzedziłem bogina, że prowadzę ją ze sobą i podjechaliśmy do drzwi frontowych. Mój mistrz wyszedł nas powitać, na jego twarzy dostrzegłem ulgę. Widząc łeb Złego ponownie pod pieczę Grimalkin, z satysfakcją pokiwał głową.

– Oboje świetnie się spisaliście! – wykrzyknął. – Nie śmiałem liczyć na to, że się wam powiedzie.

– To zasługa twojego ucznia – odparła Grimalkin. – Tom Ward mimo ogromnej przewagi wroga odzyskał głowę, ja jedynie odwiozłam go z powrotem. Jednakże wrogowie zebrali się licznie i zmierzają w tę stronę.

– Cieszę się, widząc cię bezpiecznie w domu, chłopcze – stracharz odwrócił się do mnie. – Muszę przyznać, że się

martwiłem, ale ja też nie próżnowałem. Wezwano mnie, żebym rozprawił się z boginem na południe od Scorton. Zdołałem go przekonać, by opuścił dom, który nękał.

Uśmiechnąłem się do mojego mistrza. Dobrze było widzieć, że znów zajmuje się stracharską robotą. Kiedy zsiadłem z konia, Grimalkin także zsunęła się z grzbietu i zaczęła przechadzać się tam i z powrotem, wyraźnie kulejąc.

– Szybko wyzdrowiałaś – zauważył stracharz. – Minęło parę dni, odkąd przywiązałem cię do tego konia.

– Szybkie ozdrowienie było konieczne, ale teraz nogę trzeba ponownie złamać i nastawić. Chciałabym zbudować w ogrodzie niewielką kuźnię – oznajmiła wiedźma zabójczynie.

– Oczywiście, rób to, co uważasz za niezbędne: Czy będziesz wykucywać nową broń? – spytał.

– To także, ale pilniej potrzebuję czegoś innego. Muszę naprawić nogę i przywrócić jej pełną sprawność.

Stracharz zerknął na mnie z pytającą miną. Żaden z nas nie wiedział, co łączy kuźnię i uzdrowienie nogi, ale że Grimalkin nie przedstawiła dalszych wyjaśnień, nie naciskaliśmy. Gdy odeszła, prowadząc konia, by posilił się bujną trawą w zachodnim ogrodzie, mój mistrz objął mnie ojcowskim gestem i uśmiechnął się.

– Musimy pomówić, chłopcze. Chodźmy na górę, do biblioteki.

\*

Półki wciąż były niemal całkiem puste, ale dostrzegłem kilka nowych nabytków. Obejrzałem jedną, losowo wybraną książkę, nosiła tytuł „Flora i fauna północnego Hrabstwa”.

– To jedna z książek Billa Arkwrighta, prawda? – spytałem, pukając palcem w grzbiet. Pamiętam, że widziałem ją w jego bibliotece, gdzie spędziłem sześć miesięcy na szkoleniu. Bill zginął w Grecji, obszarem na północ od Caster opiekował się teraz Judd Brinscall.

– Owszem, chłopcze, zgadza się, mam też wszystkie jego notatniki – oprócz paru traktujących wyłącznie o wodnych wiedźmach potrzebnych we młynie. Judd mi je przyniósł, uznał, że



u niego ucierpią z powodu wilgoci i pleśni i tu będzie im lepiej.

– Cóż, musimy pomówić o jeszcze jednej książce... – zacząłem ze ściśniętym sercem.

– „Doomdryte”. Owszem, Grimalkin wyznała mi, co zrobiła. Powinna była spalić tę księgę. Teraz może ona wyrządzić niewyobrażalne szkody. Wspomniała też o Lukraście, i wygląda na to, że dziewczyna w końcu przeszła na stronę Mroku.

Przytaknąłem, próbując zapanować nad emocjami. Nie wiedziałem, co rzec.

– Usiądź sobie, chłopcze. – Mój mistrz wskazał krzesło. – Opowiedz, jak zdołałeś odebrać czarownicy głowę Złego, to doprawdy niezła sztuka. Zaczynij od początku i niczego nie opuszczaj.

Zasiadłem zatem naprzeciw niego i po raz drugi opowiedziałem swoją historię, opisując sen, który mnie nawiedził i najnowszy z darów odziedziczonych po mamie. Kiedy dotarłem do fragmentu z wezwaniem Kratcha, mój mistrz ze zdumieniem uniósł wzrok. Wiedziałem, że nie będę mógł dłużej ukrywać warunków umowy z boginem. Miałem po dziurki w nosie wszystkich kłamstw i oszustw. Naprawdę żałowałem, że od początku nie mogłem szczerze wyznać wszystkiego mistrzowi. Choć to bolało, z ulgą zrzuciłem z siebie to brzemie.

– Nawet się nie zorientowałem, że odszedł – rzekł. – Wcześniej nie pytałem cię o szczegóły nowego kontraktu, chłopcze. Wiesz dlaczego?

Pokręciłem głową.

– Bo podejrzewałem, że bogin wolał uzgodnić wszystko z tobą, a nie ze mną. Ty masz przed sobą przyszłość i długie lata wspólnej pracy, moje życie niemal dobiegło końca. Nie byłem gotów stawić temu czoła, nie chciałem usłyszeć słów potwierdzających moje przypuszczenia, toteż milczałem. Teraz jednak oswoiłem się z tą myślą i jestem gotów poddać się nieuniknionemu. Dalej zatem, chłopcze, wyduś to z siebie, podaj mi szczegóły.

Wyjaśniłem więc, jak Kratch zgodził się przyjść mi z pomocą na

wezwanie, a w nagrodę mógł pić krew moich wrogów. Potem opisałem, jak pozabijał czarownice pod wieżą, wspomniałem o strumieniu krwi ściekającym ze schodów i niosącym ze sobą dziesiątki szpiczastych trzewików.

Opuściłem jednak parę rzeczy. Nie chciałem wspominać, że pogłaskałem tego stwora, ani że poczęstowałem go własną krwią. Wiedziałem, że tego by nie aprobował, toteż mimo nowego postanowienia wciąż nie mogłem ujawnić mistrzowi wszystkiego.

Następnie opisałem Alice i Lukrastę, i w tym momencie podałem mu list od Alice. Zaczekałem, aż przeczytał. Oddał mi go bez słowa, a ja podjąłem przerwana historię, kończąc na tym, jak Grimalkin przyszła mi z pomocą.

– Jak myślisz, co się teraz wydarzy? – spytał stracharz, wstając z miejsca i krążąc po bibliotece.

– Nigdy nie zobaczę Alice – odparłem. – A jeśli zobaczę, będzie dla mnie kimś obcym, może nawet wrogiem.

– Zapomnij o dziewczynie! – warknął z gniewem. – Chodzi mi o większe, ważniejsze sprawy. Co teraz zrobią czarownice?

Wzruszyłem ramionami.

– Mogą spróbować wdrzeć się do ogrodu i znów przechwycić głowę swego pana. Ostatnio je zaskoczyliśmy, ale teraz widziały już, co potrafi bogin, więc bez wątpienia połączą siły i wspólnie posłużą się magią. To może stać się poważnym zagrożeniem, bogin nie dysponuje nieograniczoną mocą.

– Owszem, masz rację chłopcze, widzieliśmy to na własne oczy, kiedy walczył z Morem. Co więcej, sam Lukrasta może się tu zjawić, a kto wie, do czego jest zdolny! Powiadają, że ukończenie rytuału z tego grimoire'a obdarza nieskończoną mocą. Trudno mi w to uwierzyć, jeśli jednak osiągnął nawet ułamek tego, nie będzie nam wcale łatwiej. Wiemy, jak groźna jest Grimalkin, a nawet ona w starciu z nim okazała się bezradna.

I w tym momencie przypomniałem sobie fragment walki z czarownicami, na schodach wieży.

– Kiedy próbowałem wywabić na dwór jak najwięcej wiedźm,

Lukrasta wyszedł na balkon z Alice i spojrział na mnie. Potem cisnął we mnie jakąś magiczną energią. Poczułem cios, zabołał. Ale skoro jest tak potężny, dlaczego nie zginąłem na miejscu? Zastanawiałem się nad tym w drodze do domu. Czy to dlatego, że byłem siódmym synem siódmego syna i w moich żyłach płynęła krew lamii? Potem przyszło mi na myśl, że może to nie Lukrasta lecz Alice zaatakowała. Nie chciałem o tym nawet myśleć i odrzuciłem tę ewentualność.

Stracharz podrapał się po brodzie – na szatę opadło parę białych płatków łupieżu.

– Zgaduję, że ważne jest to, kim jesteś. Możliwe, że dysponujesz pewną odpornością na jego rodzaj mrocznych czarów.

Zgadzałem się z mistrzem – owszem, istniała taka możliwość. Odziedziczyłem po mamie wiele rzeczy: umiejętność spowalniania i zatrzymywania czasu, wiedzę, że ktoś jest bliski śmierci i ostatecznie umiejętność odnalezienia zagrożenia z daleka, która pozwoliła mi ścigać czarownice i odnaleźć głowę Zlego.

– Czarownice mogłyby zrobić coś jeszcze – dodałem po chwili namysłu. – Zmierzają w tę stronę, głowa je przyciąga. Myślę, że zabiorą też jego ciało, by znalazło się pod ręką w Święto Zmarłych: o północy w ów sabat, najpotężniejsze święto stworów Mroku, mają nadzieję połączyć głowę z korpusem i przywrócić mu moc.

– Owszem, chłopcze, co do tego masz rację. To właśnie o północy w sabat Święta Plonów wysoko na wzgórzu Pendle przywołały go do naszego świata. Najpewniej zatem wykorzystają Święto Zmarłych, najbardziej sprzyjające im święto, by naprawić wyrządzone przez nas szkody i spróbować zapewnić mu zwycięstwo nad Światłem. Zachód słońca to kolejny moment, gdy mroczne zaklęcia zyskują na mocy – chwila, gdy światło ustępuje miejsca ciemności.

Po zmroku zaniósłem świecę do swojego dawnego pokoju. Grimalkin wołała zanoć w ogrodzie, obok budowanej przez siebie kuźni.

Wszystko w pokoju zostało wymienione: podłoga, łóżko, stolik i

zasłony. Zostało tylko jedno, coś, co po raz pierwszy obejrzałem swej pierwszej nocy spędzonej w domu stracharza.

Trzy ściany pokryto nowym tynkiem, ale czwartej nie, mimo faktu, że lekko poczerniała od dymu. Mój mistrz zostawił ją nietkniętą, bo na tej ścianie widniało trzydzieści nazwisk, łącznie z moim. Wszystkie należały do uczniów, których szkolił albo w większości przypadków zaczął szkolić. Ponad trzecia część z nich, w tym mój poprzednik, Bill Bradley, zginęła gwałtowną śmiercią w czasie nauki fachu. Co najmniej jeden przeszedł na stronę Mroku, wielu innych po prostu nie ukończyło terminu. Spotkałem trzech, którzy go skończyli. Ojca Stocksa, Billa Arkwrighta i niedawno Judda Brinscalla.

Obejrzałem własne imię i nazwisko i przypomniałem sobie, jak owej pierwszej nocy jego zapisanie na ścianie wydało mi się zbyt arogancją. Dopiero później zebrałem dość odwagi, by to uczynić. Poszukałem wolnego miejsca, a potem dodałem swoje nazwisko do poprzedników. Wydawało mi się, że działo się to tak dawno temu, tak wiele wydarzyło się od tego czasu.

Gdy znów pomyślałem o mistrzu, wyczułem, że naprawdę dawne życie się kończy. Odkąd złożył testament u prawnika, pana Potts'a, coraz wyraźniej widziałem, że będę jego ostatnim uczniem.

Ostatecznie, jak przypomniał mi niedawno mistrz, mama przepowiedziała to w liście wkrótce po moich narodzinach.

Myśl o mamie znów przywołała wspomnienie Alice. Mama ogromnie ją ceniła, ale nawet ona nie miała pewności, co się z nią stanie. Na zawsze zapamiętałem jej słowa.

*Ta dziewczyna może stać się utrapieniem twojego życia, klątwą, trucizną niszczącą, wszystko, co zrobisz. Albo też może okazać się najlepszym, najsilniejszym przyjacielem, jakiego kiedykolwiek poznasz. Kimś, kto pomoże ci jak nikt inny. Nie wiem, jak się sprawy potoczą. Nie widzę, choć bardzo się staram.*

Cóż, teraz wiedziałem, jak się potoczyły sprawy, i opuściły mnie złudne nadzieje, Alice rzeczywiście przeszła na stronę Mroku.

Odstawiłem świecę na stolik a potem zacząłem się rozbierać, począwszy od koszuli. Nagle moje spojrzenie padło na lewe przedramię. Ślad paznokci Alice zniknął. Wiele lat

temu, w noc, gdy Mateczka Malkin została zniszczona, wbiła mi je w skórę aż do krwi. Nazwała to swym „piętnem”. Dobrze mi posłużyło, gdy Mab Mouldheel próbowała rzucić na mnie czar.

Alice wspomniała, że nigdy nie zniknie... Ale teraz nagle go nie było!

Czy oznaczało to, że więź łącząca mnie z Alice w końcu została zerwana?

Podczas jednej z naszych pierwszych rozmów stracharz powiedział mi coś, co wówczas uznałem za równie irytujące, jak obraźliwe.

– Nigdy nie ufaj kobiecie!

Później dowiedziałem się, dlaczego udzielił mi owej osobliwej rady. Miłością jego życia była Meg, czarownica, lamia, która sprawiła mu mnóstwo problemów. A teraz historia się powtórzyła.

Kiedy pierwszy raz spotkałem Alice, ta uczyła się już na wiedźmę u Kościstej Lizzie. Owszem, to prawda, używała swej magii, by ochronić nas oboje przed Złym, I od początku wbiła klin pomiędzy mnie i mojego mistrza. Odtąd często zdarzało się, że ukrywałem przed nim informacje.

Tak, stracharz od początku miał rację. Szkoda, że nie posłuchałem jego rady.

Nigdy nie powinienem był zaufać Alice Deane.

## ROZDZIAŁ 19

### ZAPŁACIĆ CENĘ

Zdmuchnąłem świeczkę i wcisnąłem się do łóżka, nieszczęśliwy i samotny. Sen okazał się niemożliwy i parę godzin przed świtem wstałem, przeciągnąłem się, ziewnąłem, a potem zacząłem niespokojnie krążyć po mojej małej izbie.

Po jakimś czasie usłyszałem dobiegający z zewnątrz dźwięk i wyrząłem przez okno. Osiem grubych szyb oddzielało mnie od ciemności, uniosłem zatem dolną połowę okiennicy. Przesunęła się łatwo: cieśla spisał się znakomicie. Natychmiast do środka wpadł zimny październikowy wiatr i zadrzałem. Wciąż niewiele widziałem, ale z całą pewnością coś słyszałem. Rozpoznałem ów dźwięk – brzęk młota o metal.

To musiała być Grimalkin. Na próżno szukałem jej wzrokiem, toteż postanowiłem wyjść i z nią pomówić, dowiedzieć się czegoś więcej o tym, jak zamierza naprawić nogę. Ubrałem się i zszedłem na dół.

Wyśliznąłem się tylnymi drzwiami, zmierzając w stronę, z której dobiegał hałas, do wschodniego ogrodu, gdzie leżały pogrzebane martwe wiedźmy. Nie było to miejsce, które należało odwiedzać po zmroku i każdy inny człowiek wybrałby inne, bliższe domu bądź zdecydował się na gościnny zachodni ogród, gdzie czasami odbywaliśmy lekcje. I oczywiście pracowałyby za dnia. Wątpiłem jednak, czy parę martwych czarownic przeszkadza potężnej wiedźmie takiej jak Grimalkin. Choć na niebie świecił ciężarny księżyc, oświetlając ogród swym srebrnym blaskiem, pod drzewami zalegał gęsty cień i ostrożnie stąpałem naprzód. Minąłem wielki kamień – przygniatał spłachetek ziemi otoczony kamiennymi krawędziami, połączonymi trzynastoma żelaznymi prętami. Był to grób martwej czarownicy – pręty nie pozwalały jej z niego wypełznąć.

Dostrzegłem przed sobą światło i zrozumiałem, że dochodzi z niewielkiej kuźni: na kamieniach stało kowadło, a o nie wspierało się kilka kowalskich młotów. Samą kuźnię także wzniesiono z kamienia. Wiedźma zabójczyni przykucnęła przed nią, trzymając szczypcami rękojeść sztyletu.

Obok niej stał jutowy worek, do połowy zaplamiony krwią; bez wątpienia w środku tkwiła głowa Złego. Patrzyłem, jak Grimalkin szybko wysuwa klingę, a potem z powrotem wpycha ją w ogień, posyłając z wylotu kuźni snop iskier. Wiedziałem, że kuła najróżniejszą broń, krótkie ostrza służące do rzucania, inne do walki z bliska. Ale nigdy nie widziałem aż tak długiego – bardziej przypominało miecz!

Nagle odwróciła się gwałtownie i wstała, maszerując w moją stronę. Nie sprawiała wrażenia zaskoczonej moim widokiem. Pojąłem, że od początku wiedziała, że tam jestem i przyglądam się jej przy pracy. Poczulem niepokój – póki się nie uśmiechnęła,

odsłaniając zaostrome zęby.

– Zostawię na chwilę klingę w ogniu, żeby się rozgrzała – oznajmiła. – Przejdźmy się, mam ci do powiedzenia kilka rzeczy.

Chwyliła worek i wyszła spomiędzy drzew, oddalając się od martwych czarownic. Podążyłem za nią środkowym trawnikiem w stronę zachodniego ogrodu. Tu przystanęła przy ławce, patrząc na mnie oczami połyskującymi w promieniach księżyca. Zamierzałem właśnie spytać ją o nogę, ale mnie uprzedziła.

– Jutro w nocy chciałabym, żebyś mi pomógł. Zamierzam złamać nogę i nastawić na nowo. Następnie wywiercę dwa otwory w kości i połączę fragmenty srebrnym trzpieniem.

– Chcesz użyć srebra? – wykrzyknąłem ze zdumieniem. Srebrem można uwięzić czarownice, to najpotężniejsza broń przeciw nim, sprawia im niewyobrażalny ból.

– Stanowi niezbędny element magii – wyjaśniła wiedźma zabójczyni. – Dzięki potężnemu zaklęciu uzdrawiającemu srebro połączy kość i przyspieszy rozrost ciała i mięśnia. Dzięki temu noga odzyska dawną sprawność. Ale zawsze istnieje cena do zapłaty: czasami rachunek otrzymujemy dopiero po latach, w tym przypadku przybędzie natychmiast. Srebrny trzpień w nodze zada mi męczarnie.

– Czy z czasem ból przeminie? Jak długo będziesz musiała go znosić? – spytałem.

– Będzie trwał do kresu moich dni – wymamrotała Grimalkin.

– Ale w takim razie jak zamierzasz funkcjonować? – zdumiałem się.

– Od dawna ćwiczę się w dyscyplinie umysłu. Na przykład dzięki samej sile woli jestem w stanie przepłynąć przez płynącą wodę, co dla większości czarownic jest niewykonalne. Wciąż będę czuła ból, ale zdołam zepchnąć go w głąb. W końcu nauczę się radzić sobie ze srebrnym trzpieniem.

– Nie potrafię sobie wyobrazić czegoś podobnego – przyznałem.

– To trudne, ale niezbędne, jeśli chcę pozostać wiedźmą zabójczynią. Przyjdź jutro wieczorem do południowego ogrodu,

godzinę po zachodzie słońca. Przygotuję już wszystko – ale nie zdołam sama wsunąć trzpienia we własną nogę. To właśnie przy tym ostatnim etapie zadania będę potrzebowała pomocy.

Zgodziłem się zrobić, o co prosi, ale zastanawiałem się, czemu wybrała południowy ogród, w którym stracharz uwięził kilka boginów.

Następnego dnia nie wydarzyło się nic ciekawego. Po południu okrążyłem wioskę i dotarłem na wzgórze. Chciałem sprawdzić, czy do domu stracharza nie zbliżają się aby jakieś czarownice. Woleliśmy nie dać się zaskoczyć i nie obudzić pewnego ranka tylko po to, by ujrzeć otoczony ogród. Pragnąłem także spokojnie pomyśleć i przewietrzyć umysł. Bardzo trudno przychodziło mi wyrzucić z niego Alice. Do Święta Zmarłych pozostały niecałe dwa tygodnie i wiedziałem, że nie możemy po prostu dać się ponieść biegowi wydarzeń i reagować z opóźnieniem. Potrzebujemy planu działania. Będę musiał opracować go ze stracharzem.

Nie widziałem żadnego zagrożenia dla domu, lecz daleko na pierwszych zboczach wypatrzyłem grupkę kobiet zmierzających na północ. Odziane w czerń wędrowały gęsiego – niemal na pewno były to czarownice. Czyżby zmierzały do Kamienia Strażniczego, gotowe na Święto Zmarłych? Uznałem, że to bardzo prawdopodobne. Zastanawiałem się, jak wiele z nich wędrowało lub podąży tym samym szlakiem? Mistrz powiedział, że byłem pierwszym jego uczniem, którego zaprowadził do Kamienia, zatem stanowił coś jakby sekret. Mab Mouldheel wiedziała o nim, ale to dlatego, że była najpotężniejszą widzącą w Pendle. Poinformowała też o nim swoje siostry. Jednakże wyglądało na to, że teraz połowa mieszkańców Mroku usłyszała o Kamieniu Strażniczym i podróżuje do niego. Może wezwał ich Zły? Choć miał odrąbaną głowę i duszę uwięzioną zarówno w niej jak i w ciele, wciąż zdarzało się, że potrafił porozumiewać się ze swymi wyznawcami.

W godzinę po zachodzie słońca, myśląc z przerażeniem o czekającym mnie zadaniu, ruszyłem do południowego ogrodu. Na niebie znów świecił jasny księżyc.



Wiedźma zabójczyni czekała już na mnie. Leżała na lewym boku, nogę wyciągnęła na płaskiej kamiennej płycie, ułożonej nad dołem z uwięzionym boginem. Teraz zrozumiałem, czemu Grimalkin wybrała akurat to miejsce: kamień mógł posłużyć za solidne wsparcie dla nogi w czasie, gdy będę wbijał trzpień. Rozkroiła i uniosła ciało, przytrzymując je szwami, ukryta pod nim kość połyskiwała w promieniach księżyca. Nie dostrzegłem wiele krwi – bez wątpienia powstrzymała jej upływ za pomocą magii – widziałem też otwór, który wywierciła już w kości. Srebrny trzpień leżał na kamieniu, a przy nim mały, lekki młoteczek.

Kiedy wpatrywałem się w nogę, zaschło mi w ustach i zadrzałem. Nie będzie łatwo, ale nie mogłem sobie pozwolić na przesadną wrażliwość. Skoro Grimalkin może to znieść, muszę się zmusić, by jej pomóc.

– Trzpień lekko zwęża się z jednej strony – wyjaśniła czarownica. – Wsuń węższy koniec, a potem wbij go młotkiem. Trzy lekkie uderzenia powinny wystarczyć. Resztę zostaw mnie.

Zauważyłem, że pękaty, ociekający krwią jutowy worek wciąż stoi obok. Nawet teraz, w obliczu potwornego bólu, zachowała czujność.

Lewą ręką chwyciłem trzpień, prawą młotek, potem odwróciłem się, podszedłem do Grimalkin i ukląknę. Sprawdziwszy obie strony, przytrzymałem trzpień węższą do dołu nad ciemną dziurą w kości. Zerknąwszy na wiedźmę, dostrzegłem połyskującą warstewkę potu na jej czole i górnej wardze.

Zniosła już wielki ból, by dotrzeć do tej chwili, a teraz znacznie się on pogorszy – i nigdy już nie minie.

– Nie wahaj się! Zrób to teraz! – rozkazała. – Czekanie jest gorsze niż sam czyn.

Nie tracąc więcej czasu, starannie ustawiłem trzpień i stuknąłem w niego lekko raz, potem drugi. Niemal tkwił już na miejscu, ale poczułem lekki opór. Wsunął się ciaśniej, łącząc razem strzaskane kawałki nogi.

Wówczas stuknąłem po raz trzeci, mocniej i koniec trzpienia

zrównał się z powierzchnią kości.

Nigdy wcześniej nie widziałem, by Grimalkin reagowała na ból, oprócz potu występującego na czoło. Z całą pewnością nigdy nie słyszałem, jak krzyczy.

Teraz jednak, gdy trzpień utkwiał na miejscu, wydała z siebie bolesny krzyk, całe jej ciało zadrżało wstrząsane konwulsjami.

A potem przestała oddychać.

## **ROZDZIAŁ 20**

### **PASMA ZIELONEJ MGŁY**

Czy ona umarła? – zastanawiałem się przerażony. Czy wstrząs po wbiciu srebrnego trzpienia ją zabił? Ostatecznie, co może być gorsze dla czarownicy, niż wprowadzenie do jej własnego ciała kawałka srebra, najbardziej śmiertelnościowego metalu?

Grimalkin leżała bez ruchu, zupełnie jakby jej dusza umknęła. Dotknąłem czoła wiedźmy zabójczynie i odkryłem, że jest lodowato zimne. Nic nie mogłem zrobić, żaden medyk nie zdołałby jej pomóc.

A gdybym wyjął trzpień? Najpierw musiałbym przekręcić ją na drugi bok. Z pewnością w kuźni Grimalkin znajdę różne narzędzia, może będzie wśród nich zastrzony kawałek metalu. Gdybym uderzył w trzpień z drugiej strony, może bym go wybił.

Gdy jednak podniosłem się z ziemi, pokręciłem głową. Nie żeby nie dało się tego zrobić – nie powinno się tego robić. Nawet gdyby Grimalkin znów zaczęła oddychać i w końcu odzyskała siły, noga nigdy nie zrosłaby się właściwie bez srebrnego trzpienia. Grimalkin nigdy nie byłaby już dawną śmiertelnością wiedźmą zabójczynią, nie zdołałaby odtańczyć tańca śmierci. I byłem pewien, że wolałaby umrzeć.

Zawróciłem do domu, zamierzając opowiedzieć stracharzowi, co się stało, w tym momencie jednak Grimalkin głośno wciągnęła powietrze. Kiedy się odwróciłem, odkryłem, że oczy ma otwarte, a

twarz wykrzywioną z bólu.

– Teraz mnie zostaw! – szepnęła słabo. – Resztę zrobię sama. –  
A potem sięgnęła po worek i przycisnęła do siebie.

Wróciłem zatem do domu i wspiałem się na górę do swojego pokoju. Długo trwało, nim zdołałem zasnąć: cały czas myślałem o tym, co zrobiłem, i o mękach, jakie musi znosić Grimalkin. Była gotowa cierpieć, byle tylko móc pozostać wiedźmą zabójczynią.

Następny dzień był jasny i ciepły jak na październik. Przy śniadaniu opowiedziałem stracharzowi, w jaki sposób pomogłem Grimalkin.

– Musi naprawdę cierpieć katusze. – Ze smutkiem pokręcił głową. Potem umilkł, wyraźnie zamyślony.

Po śniadaniu ruszyłem do ogrodu sprawdzić, jak się ma czarownica. Leżała na wznak na jednym z kamieni boginów, oczy znów miała zamknięte. W lewej dłoni nadal ścisnęła górę worka. Sądziłem, że śpi.

Myliłem się.

Nie otwierając oczu, przemówiła do mnie.

– Odejdź! Zostaw mnie! Zostaw mnie samą – syknęła.

Bez słowa zawróciłem na pięcie i zrobiłem, jak kazała. Czy nauczy się żyć z tym bólem? Czy kiedykolwiek odzyska dawną siłę?

Później mistrz posłał mnie do wioski po cotygodniowe zakupy.

W jednym z kramów czekała na mnie niespodzianka – list od najstarszego brata, Jacka. Wyszedłem na ulicę i oparty o ścianę otworzyłem go.

*Drogi Tomie,*

*w końcu mam dobre wieści. Nasz brat James bezpiecznie wrócił do domu. Zaatakowali go rabusie, pobili i więzili przez wiele tygodni – bez wątplenia zamierzali zażądać okupu. W końcu zdołał uciec, gołymi rękami zabijając dwóch prześladowców.*

*Mam nadzieję, że jesteś silny i zdrowy. Jeśli kiedykolwiek będziesz w pobliżu farmy, koniecznie nas odwiedź. Z radością znów cię zobaczymy. Ale proszę, nie przychodź po zmroku, bo muszę myśleć o żonie i dziecku.*

*Ellie i mała Mary posyłają całusy.*

*Pozdrawiam serdecznie*

*Jack*

Dobrze było wiedzieć, że James przeżył, choć poważnie wątpiłem, by po prostu schwytali go zwykli bandyci. Podczas ostatniej wyprawy do Todmorten Grimalkin uprzedziła mnie, że Zły chce ze mną rozmawiać: otworzyła worek i pozwoliła mi z nim pomówić. Wykorzystał tę sposobność, by oznajmić, że mój brat ma zostać zabity. Wiedziałem już, że został schwytany przez służki Mroku i że jego życiu grozi niebezpieczeństwo, toteż bardzo się ucieszyłem na wieść, że bezpiecznie wrócił na farmę.

Podjeżdżałem, że chcieli się nim posłużyć, by wyrzucić na mnie nacisk. Albo może, znając Złego, dostałbym po prostu w worku głowę mojego brata. Szczęśliwie uniknęliśmy tego wszystkiego dzięki sile i determinacji Jamesa – kowal bywa niebezpiecznym przeciwnikiem. Póki jednak Zły wciąż żył, mojej rodzinie groziło wielkie niebezpieczeństwo. Przepowiedział, że będę ostatnim z synów mojej mamy, że wszyscy zginą przede mną gwałtowną śmiercią.

Zasmuciły mnie ostatnie zdania listu Jacka. Nie chcieli, żebym nocował na farmie, bo bali się, że mogę przyciągnąć coś z Mroku. Ellie obawiała się o swoją córeczkę, Mary. Nie mogłem jej winić, ostatecznie kilka lat wcześniej potężna bezecna wiedźma, Mateczka Malkin, rzeczywiście ścigała mnie aż na farmę i zagroziła im.

Teraz rozumiałem, czemu stracharze nie mogą się żenić. Muszę zachować dystans od jakiegokolwiek nadal żyjącej rodziny. Jak mogłem przypuszczać, że będziemy kiedyś z Alice razem? Moja praca narażałaby ją na nieustanne niebezpieczeństwo!

Zaśmiałem się ponuro do swych niemądrych myśli. Alice sama dysponowała ogromną mocą, umiała doskonale zadbać o siebie, a teraz znalazła kogoś innego, z kim dzieliła życie.

Pozbierałem resztę zapasów i zaniósłem do domu stracharza. Zastałem go w bibliotece i pokazałem list Jacka. Ucieszył się, słysząc, że James jest cały i zdrowy.

– Kiedy to wszystko się skończy, powinieneś odwiedzić rodzinę. Od dawna ich nie widziałeś.

– Będę musiał pamiętać, by tam dotrzeć, nim słońce zajdzie – skrzywiłem się. – Nie wolno mi odwiedzać domu po zmroku!

– Przykro mi, chłopcze, ale trudno winić twoich krewnych, że boją się tego, z czym walczymy. Przez całe życie budziłem w ludziach lęk, a czasem przerażałem śmiertelnie. To część naszej pracy, musimy się z tym pogodzić.

Tej nocy bardzo źle spałem, co i rusz budziłem się bez powodu. A potem nad ranem poczułem, że coś jest nie tak. Zdarzyło się coś złego.

Byłem zaspany i ociężały, z trudem zbierałem myśli. Wywlokłem się z łóżka z sercem walącym z wysiłku i z trudem otworzyłem okno. Wcześniej podnosiłem je lekko, teraz wydawało się sztywne i ciężły mi ręce. W końcu zdołałem wyrzeć do ogrodu. Niebo znów było czyste, pozbawione chmur i w blasku księżyca ujrzałem mgłę, wypływającą spomiędzy drzew i zasnuwającą trawnik.

Nie spodobały mi się w niej dwie rzeczy.

Po pierwsze poruszała się w nienaturalny sposób, wypuszczając z siebie pasma, niczym długie, smukłe palce wymacujące drogę do domu. Blask księżyca wymazuje bądź zmienia kolory, ale pojąłem, że mgła ma w sobie coś dziwnego: zamiast szarości czy bieli wydawała się zabarwiona osobliwą zielenią. Byłem pewien, że działa tu mroczna magia.

Plecy stracharza ostatnio mniej mu dolegały, toteż zamiast spać w kuchennym fotelu kładł się do łóżka. Ubrałem się szybko, ruszyłem do jego sypialni i zastukałem głośno do drzwi. Nie odpowiedział, zapukałem ponownie. W końcu uchyliłem je i wszedłem do środka – musiałem uprzedzić stracharza, że ktoś atakuje nas magią. Mistrz leżał na wznak z lekko otwartymi ustami, wydawał się pogrążony w głębokim śnie. I wtedy w promieniu księżyca wpadającym przez okno ujrzałem pasmo zielonej mgły na podłodze. Całkowicie okrążyło jego łóżko.

Delikatnie potrząsnąłem ramieniem stracharza, ale on tylko jęknął. Zawołałem go po imieniu i znów potrząsnąłem. Wciąż jednak się nie obudził.

Nagle pojąłem, że w ogrodzie mogą być czarownice. Wróciłem biegiem do siebie, chwyciłem srebrny łańcuch z torby i wcisnąłem do kieszeni portek. Potem zbiegłem po schodach, przeskakując po trzy stopnie naraz, nie zwalniając, wyciągnąłem rękę po stojącą przy tylnych drzwiach laskę i wypadłem na zewnątrz. Tu mgła była gęstsza, zamiast węzowych pasm przypominała falę sięgającą mi do pasa. Wyglądała, jakby zamierzała zatopić dom i drzewa.

Jak dotąd czułem się otępiały, jakbym poruszał się we śnie, nagle jednak w mojej głowie rozdzwoniły się dzwonki alarmowe. Wyczuwałem niebezpieczeństwo. Grimalkin!

Głowa Złego!

Pobiegłem do południowego ogrodu, do boginowego kamienia, na którym ostatnio widziałem wiedźmę zabójczynię. Wciąż tam była – spała głęboko, otoczona zieloną mgłą, która zwijała się i falowała niczym żywy wąż, zaciskający pętlę wokół bezbronnej ofiary. Ale worek zniknął.

Ktoś wtargnął do ogrodu, posługując się magią i sprawiając, że wszyscy mocno zasnęliśmy. Nawet bogin poddał się czarowi.

Ja jednak obudziłem się mimo mrocznej magii, w jakiś sposób zdołałem się jej oprzeć. A teraz przyszedł mi z pomocą jeden z darów odziedziczonych po mamie.

W mojej głowie rozbłysło światło, poczułem ból nad oczami. I nagle wiedziałem już, gdzie dokładnie znajdę głowę Złego.

Ktoś niósł ją w stronę zachodniego ogrodu.

Nie próbowałem budzić wiedźmy zabójczyni: zapewne i tak nie byłaby jeszcze w stanie mi pomóc. Wysunąłem klingę z końca laski i pobiegłem między drzewa, ścigając nieznanego złodzieja.

W samą porę! Przed sobą ujrzałem postać dźwigającą worek. To była kobieta, na nogach miała szpiczaste trzewiki. Uniosłem kij jak włócznię. Nie czas na litość... Wkrótce ta wiedźma, kimkolwiek jest, przekroczy granicę, gdzie z pewnością czekają inne, gotowe jej pomóc. Musiałem uderzyć natychmiast, popędziłem więc ku niej ile sił w nogach, celując klingą w sam środek pleców i w serce, lecz w ostatniej chwili obróciła się gwałtownie i spojrzała na mnie.

To była Alice.

## ROZDZIAŁ 21

### CHERLAWY CHŁOPAK

– Mogłam zgadnąć, że pójdziesz za mną – powiedziała. – Obawiałam się tego, wiedziałam, że tylko ty masz dość sił, by się oprzeć mojej magii.

W lewej dłoni trzymała jutowy worek, kapał z niego ciemny płyn, plamiąc trawę. Kikut szyi Złego ani na chwilę nie przestawał krwawić.

Alice wysoko uniosła głowę, patrząc mi w oczy; w jej zachowaniu nie dostrzegłem ani śladu wstydu czy wyrzutów sumienia, nawet najłżejszego zrozumienia, jak boleśnie mnie zdradziła. Nie mogłem nie zauważyć, że Wygląda pięknie. Jej twarz promieniała, włosy spięła wysoko drewnianą spinką, suknia z ciemnego jedwabiu opływała ciało.

Teraz niezwykle przypominała Kościstą Lizzie – choć brakowało

jej gniewnie wykrzywionych ust i podstępnych oczu martwej matki, odziedziczyła po niej tylko mroczną urodę. Czy reszta także pojawi się z czasem?

– Dlaczego, Alice?! – zawołałem, opuszczając laskę. – Czemu to robisz? Myślałem, że Zły jest twoim wrogiem? Sądziłem, że zrobisz wszystko, byle tylko go zniszczyć!

– Nie warto nawet próbować ci tego wyjaśnić, Tomie, nigdy nie zrozumiesz. Więc nie będę zdzierać gardła nadaremnie.

Odwróciła się i znów ruszyła naprzód, ja jednak podbiegłem, chwyciłem ją za ramię i obróciłem siłą ku sobie.

– Nie! – krzyknąłem. – Zasługuję na to, by się dowiedzieć, czemu to robisz, i ty mi to powiesz!

– Nie spodoba ci się moja odpowiedź – odparła Alice. – To proste, Tomie. Zaszłam za daleko. Zbyt wiele razy używałam mrocznej magii, tak jak wiele lat temu ostrzegła mnie Agnes Sowerbutts. A teraz się zmieniłam: jestem bezecną wiedźmą. Ale to nie ma znaczenia, bo od początku było mi to przeznaczone, nie miałam szansy na zmianę losu. Urodziłam się zła – zła w środku. Nie próbuj nawet mnie żałować.

– Ani odrobinę cię nie żałuję – rzuciłem z goryczą. – Chcę tylko wiedzieć, czemu próbujesz pomóc Złemu i przywrócić mu moc?

– Są rzeczy, których nie wiesz, Tomie. Spytaj Grimalkin – podróżowała daleko na północ i odkryła kryjące się tam niebezpieczeństwo dla nas, ludzi, znacznie większe niż to ze strony Złego. Jeśli teraz go zniszczymy, zapoczątkujemy coś, co zabije nas wszystkich, w taki czy inny sposób. Lepiej, by to on rządził, bo wierz mi, alternatywa jest znacznie, znacznie gorsza.

Zastanawiałem się, czemu Grimalkin mnie nie uprzedziła. Postanowiłem spytać ją o to, kiedy poczuje się lepiej.

– Co może być gorsze niż nowa era ciemności, Alice? Po świecie będą krążyć demony, stary bóg Golgoth wezwie wieczną zimę, ludzie zamarną na śmierć – i będą głodować, bo na mrozie nie zdołają wyhodować plonów. Nie mówimy tylko o mężczyznach i kobietach, umrą też dzieci – nie obchodzi cię ich los?

– Ludzie mogą znieść erę ciemności – zdarzyła się już wcześniej. Ale nie przeżyją nowego mrocznego boga, który zastąpi Złego. Oddają mu cześć stwory zwane Kobalosami. To nie są ludzie. Ów bóg i jego słudzy zamierzają zetrzeć z powierzchni ziemi połowę ludzkiej rasy – wszystkich mężczyzn. Nie okażą litości nawet dzieciom płci męskiej. Tylko kobiety będą żyły w niewoli. Lepiej, by i one umarły, lepiej już znieść Złego!

– Twierdzisz, że to Grimalkin dowiedziała się o owym zagrożeniu z północy. Skoro tak, czemu wciąż walczy ze Złym? Obie dysponujecie tymi samymi informacjami. Dlaczego zatem ona zachowuje się inaczej?

– Sam możesz odgadnąć odpowiedź, Tomie. Nie trzeba myśleć zbyt długo, prawda? Grimalkin kieruje się własnym prawem, robi, co chce, nieważne, czy ma to sens, czy też nie. Zły zamordował jej dziecko i przez większość życia pragnienie zemsty dodawało jej sił. Nie obchodzi jej, jaki koszmar go zastąpi, nie obchodzi, jaka groza czeka ludzką rasę. Dla niej liczy się tylko zniszczenie Złego i zapłata za to, co uczynił. Nic poza tym.

Słowa Alice nie dawały mi spokoju. Nagle przypomniałem sobie, że słyszałem wcześniej o Kobalosach – czytałem o nich w bestiariuszu stracharza. Jednak nawet jeśli mówiła prawdę, w żaden sposób nie usprawiedliwiało to jej postępów.

– Robisz to tylko dla Lukrasty, prawda, Alice? – zadrwiłem. – Już nie myślisz samodzielnie, owładnął cię swą mocą! Błagam, opuść go, dopóki jeszcze nie jest za późno!

– Nikt mną nie zawładnął. Jesteśmy z Lukrastą współnikami, równymi sobie. Opiekujemy się sobą nawzajem.

– Jak możesz tak mówić? Dopiero co go spotkałaś. Znamy się od lat, tak wiele razem przeżyliśmy. Czy nasza więź nie jest silniejsza?

– Przykro mi to mówić, Tomie, ale w chwili gdy ujrzałam Lukrastę, coś we mnie się zmieniło. Zbierałam moc, szykując się do próby odprawienia rytuału z „Doomdryte” i to w końcu przechyliło szalę. Przeszłam na stronę Mroku. A gdy otworzyłam ową księgę,



ujrzałam go – moją drugą połówkę, maga, z którym od zawsze było mi przeznaczone się złączyć. Wydarzyło się to w mgnieniu oka i teraz nie ma już odwrotu! Spójrz na to! – zawołała Alice.

Wolną ręką uniosła sukienkę, pokazując kolisty znak na zewnętrznej części lewego uda.

– Wiesz, co to jest, Tomie?

Pokręciłem głową, patrząc na nią ze zgrozą i wiedząc, że zaraz powie mi coś okropnego.

– Kiedy byłam mała, ten znak wyglądał jak wąski sierp, lecz za każdym razem, gdy używałam mrocznej magii, rósł. Najpierw zamienił się w półksiężyc, potem był bliski pełni. W chwili, gdy spotkałam Lukrastę, stał się księżycem w pełni. Oto znak, że należę do Mroku. Obejrzyj go dobrze, bo mówi o mnie prawdę.

– Zostaw maga, Alice! – błagałem, po policzkach płynęły mi łzy.

– Zawsze byliśmy bliskimi przyjaciółmi. Wróć do mnie!

Twarz Alice wykrzywiła furia. Wypuściła z dłoni spódnicę, która opadła jej za kolana. Teraz naprawdę miałem wrażenie, jakby z jej oczu wyglądała na mnie Koścista Lizzie.

– Chcesz, żebym porzuciła Lukrastę dla ciebie? Czemu miałabym opuścić silnego mężczyznę dla cherlawego chłopca? – krzyknęła.

– Przeznaczone nam jest być razem, Alice – oznajmiłem z gardłem ściśniętym emocjami tak, że głos mi się łamał. Dlaczego musiała tak bardzo mnie ranić?

Ale nie wierzyłem już we własne słowa. Usłyszałem w swoim głosie błagalną nutę i nie spodobała mi się, Ale kiedy Alice odpowiedziała, zaczął przepełniać mnie gniew.

– Ty i ja, razem? To niemożliwe – zadrwiła. – Nie rozśmieszaj mnie! Jaka trzeźwo myśląca kobieta chciałaby spędzić życie u boku stracharza? Przestań błagać, Tomie, to do ciebie nie pasuje. Teraz jednak ja poproszę cię o coś. Spędziliśmy razem wiele czasu. Nie jesteś moim wrogiem, Tomie, i nigdy nie będziesz, więc proszę, pogódź się z tym.

– Uczynię, co w mojej mocy, by cię powstrzymać! – ryknąłem. –

A gdy tylko ujrzę maga, będzie trupem!

– Jesteś ledwie niedorostkiem, dzieckiem o prostych dziecięcych myślach i pragnieniach. Trzymaj się z dala od Lukrasty albo to ty zginiesz – czy też spotka cię los jeszcze gorszy. Nie warto mu się narażać, nie zna znaczenia słowa „litość”. Dlatego właśnie to ja, a nie on, przyszedłam po głowę Złego. Nie chciałam, by ktokolwiek z was ucierpiał. Lukrasta by się tym nie przejął.

– Oddaj mi worek, Alice. Postaw go na trawie, a pozwolę ci odejść.

Alice odpowiedziała długim, paskudnym śmiechem, który odbił się echem wśród drzew.

– Nie możesz mnie zranić. Wystarczy żebym pstryknęła, a spłoniesz na miejscu, nie zostanie z ciebie nic prócz popiołu. Nie, nie muszę nawet pstrykać, nie muszę też głośno wymawiać zaklęć, wystarczy, żebym je pomyślała. Jeśli zechcę, zginiesz na miejscu.

– Naprawdę myślisz, że to będzie takie łatwe, Alice? – Mój głos opadł i rozbrzmiewał niewiele głośniej od szeptu. – Lukrasta próbował mnie zabić na schodach, czyż nie? Próbował bez powodzenia. Mam w sobie moc mojej mamy. Nie umrę tak łatwo i dobrze o tym wiesz. A teraz twoja kolej...

To rzekłszy wbiłem w ziemię u boku laskę i błyskawicznie sięgnąłem do kieszeni portek, chwytając srebrny łańcuch. Po sekundzie okręciłem go wokół lewej dłoni, gotów do rzutu.

Posłuszny wskazówkom stracharza, spędziłem wiele godzin, ćwicząc z łańcuchem. Zarzucałem go na słupek w ogrodzie, aż w końcu umiałem już raz po raz opleść go dokładnie nie chybiając. Następnie zacząłem rzucać w biegu, a potem na innych ściganych ludzi. Głównie mój cel stanowił John Gregory, ale ćwiczyłem także z Alice.

Teraz odetchnąłem głęboko, wstrzymałem oddech i rzuciłem łańcuch. Alice nie poruszała się, poszło bardzo łatwo. Srebrny łańcuch zawirował w powietrzu, a potem opadł lśniąca spirala, połyskując w promieniach księżyca.

Poszło mi doskonale – łańcuch trafił wprost w cel, idealnie

owijając się wokół Alice. Niższa część przyszpiliła jej ręce do boków, wyższa zacisnęła się na zębach, nie pozwalając wymawiać zaklęć magii Mroku.

Nim łańcuch ją uciszył, Alice wydała z siebie cichy krzyk i padła na kolana, patrząc na mnie okrągłymi oczami.

Z moich własnych wciąż płynęły łzy, ściekające po policzkach. Zaszlochałem głośno. Jak mogło do tego dojść? Nigdy w najgorszych, najmroczniejszych koszmarach nie wyobrażałem sobie, że musiałbym skrępować Alice. Owszem, ćwiczyłem, ale teraz wszystko działo się naprawdę.

I co teraz? Czy mam ją uwięzić w dole? Czy muszę uczynić to, od czego tak często odwodziłem mojego mistrza?

Patrzyłem z góry na Alice, świat rozmazywał mi się przed oczami. I nagle zauważyłem, że mimo łańcucha w lewej dłoni wciąż ściska jutowy worek. Sięgnąłem, by jej go wyrwać..i wtedy to się stało. Alice zniknęła.

## **ROZDZIAŁ 22**

### **WOJOWNICZA, NIEBEZPIECZNA RASA**

Srebrny łańcuch z brzękiem wylądował na trawie. Alice zniknęła, zabierając ze sobą głowę Złego. Przez chwilę wpatrywałem się w miejsce, w którym klęczała, ewidentnie pokonana. Jak jej się to udało? Po skrępowaniu srebrnym łańcuchem czarownica jest bezradna, tego właśnie uczył mnie mistrz.

Fakt, że Alice udało się uciec w ten sposób – zniknąć – stanowił namacalny dowód potęgi jej mrocznej magii. Przez moment zastanawiałem się, czy nie jest to zwykłe zaklęcie ułudy, ale kiedy podniosłem łańcuch, musiałem pogodzić się z tym, co zaszło.

Wykonując rzut, należało idealnie wycelować, by łańcuch wcisnął się w usta wiedźmy, nie pozwalając jej rzucić zaklęcia na

przeciwnika. Tak właśnie uczyniłem, ale okazało się to bezużyteczne w starciu z równie potężną czarownicą. Teraz przypomniałem sobie, co mówiła Alice: że nie musi nawet wypowiadać na głos zaklęć.

Może jednak to wciąż nie koniec? Mogłem posłużyć się najnowszym darem od mamy: zdolnością odnajdywania ludzi i przedmiotów. Czy zdołam znaleźć Alice? Jeśli tak, mógłbym pójść za głową Złego.

Podczas wyprawy do Cymru w każdej chwili dokładnie wiedziałem, gdzie ją znajdę. Kiedy jednak spróbowałem teraz, skupiając się na obrazie zakrwawionej głowy w jutowym worku, nic się nie stało. Zupełnie jej nie wyczuwałem. Albo dar akurat nie zadziałał, albo też Alice posłużyła się mocnym zaklęciem maskującym. Podejrzywałem to drugie.

Zwyciężyła, a ja przegrałem. Głowa Złego ponownie znalazła się w rękach jego sług.

Schowałem łańcuch do kieszeni portek i ruszyłem do południowego ogrodu. Zielona mgła zniknęła, magia rozproszyła się wraz z nią – może teraz zdołam obudzić Grimalkin. Gdy zbliżyłem się do boginowego kamienia, na którym ją zostawiłem, odkryłem, że już wstała i kuśtykała ku mnie. Zdumiałem się widząc, że tak wcześnie jest w stanie wesprzeć swój ciężar na chorej nodze. A na jej twarzy dostrzegłem niepokój, nie ból.

– To była Alice – oznajmiłem. – Ma teraz głowę Złego. Posłużyła się magią, by pogrążyć was w głębokim śnie.

– Ale nie ciebie? – spytała Grimalkin. – Jej magia na ciebie nie zadziałała?

– Oszłomiła mnie, ale doszedłem do siebie i ruszyłem za nią. Dogoniłem ją na skraju ogrodu. Nie żeby cokolwiek to dało: skrepowałem ją srebrnym łańcuchem, ale ona po prostu zniknęła. Zabrała głowę i nie mam pojęcia, dokąd poszła.

– Jest potężna. W osobach Lukrasty i Alice mamy do czynienia z dwójką najniebezpieczniejszych i najmocniejszych dotąd wrogów – zauważyła Grimalkin.

– Nim rzuciłem łańcuchem, chwilę rozmawialiśmy. Twierdzi, że kierują nią szlachetne pobudki: postanowiła pomóc Złemu, bo gdyby został zniszczony, pojawiłoby się coś gorszego. Twierdziła, że wyprawiłaś się na północ i odkryłaś straszliwe zagrożenie. Czemu mi o tym nie wspomniałaś?

Grimalkin pokiwała głową.

– Zamierzałam, ale pojawiały się inne, bardziej naglące sprawy, które miały pierwszeństwo. Niemniej mówiła prawdę. Powinniśmy pójść porozmawiać ze starym Gregorym, a potem zdecydować, co teraz zrobimy.

Ruszyłem za nią między drzewami w stronę domu. Bardzo mocno kulała.

– Jak tam ból? – spytałem. – Radzisz z nim sobie?

– Trzpień boli. Jest jak ognista igła wbijająca mi się w ciało, ale potrafię go znieść, a noga goi się szybko. Wkrótce będzie sprawna jak wcześniej. Wówczas nadejdzie czas, by to nasi wrogowie zapłacili.

Nie odpowiedziałem; teraz musieliśmy zaliczać do ich grona również Alice. Wolałem nie myśleć o Alice i Grimalkin walczących na śmierć i życie, ale do tego właśnie doszło.

Kiedy znaleźliśmy się w kuchni, stracharz już tam był. Usiedliśmy przy stole, rozmawiając w blasku dwóch świec, które rysowały w kątach nasze rozedrgane cienie.

Wyjaśniłem mistrzowi co się wydarzyło, niczego nie opuszczałem, bo interesował go każdy szczegół. W końcu streściłem krótko to, co mówiła Alice, wszystko, co zapamiętałem.

– Czy poważnie traktujesz to zagrożenie z północy? – stracharz skierował to pytanie do Grimalkin.

– Alice ma rację, część z tego usłyszała z mych własnych ust. Istotnie, na lodowych pustyniach żyje wojownicza rasa istot, które wzniosły tam ogromne miasto – zaczęła Grimalkin. – W pradawnych czasach wyprawiły się na południe, tocząc wojny z ludźmi, niewoliły kobiety i zabijały wszystkich mężczyzn. To barbarzyńcy, już dawno temu wymordowali własne niewiasty. Ta

część historii jest całkowicie prawdziwa.

– Zabili wszystkie swoje niewiasty? – wykrzyknął stracharz. – To także prawda? Przecież to obłąd! W jaki sposób ich rasa przetrwała?

– Niewolą ludzkie kobiety, parzą się z nimi i piją ich krew. Władają też potężną magią.

– Nazywają ich Kobalosami – wtrąciłem. – Wspomniano o nich w pańskim „Bestiariuszu”.

– Owszem, chłopcze, rzeczywiście. Kiedyś śmiałem się z tego, ale okazuje się, że się myliłem. Idź, przynieś go z biblioteki.

Pobiegłem na górę po bestiariusz, po czym wróciłem i oddałem go mistrzowi. Szybko odszukał właściwą stronicę i zaczął czytać w milczeniu. Po paru chwilach uniósł wzrok.

– Informacje te zaczerpnąłem z kilku notesów, które kiedyś trafiły mi w ręce. Ponoć należały do starożytnego stracharza, niejakiego Nicholasa Browne'a. Brzmiały niewiarygodnie, nie byłem przekonany co do ich autentyczności, ale na wszelki wypadek, gdyby kryło się w tym ziarno prawdy, wpisałem je do bestiariusza z dopiskiem, że nie da się niczego potwierdzić. W świetle tego, co usłyszałem, chciałbym raz jeszcze przeczytać dokładniej owe notesy, ale niestety, spłonęły w pożarze. Proszę, chłopcze – wręczył mi książkę. – Odczytaj na głos ostatni fragment.

Uczyniłem, jak kazał:

*Kobalosi to wojownicza, niebezpieczna rasa. Wszyscy oprócz magów zamieszkują Valkarky, miasto leżące daleko poza granicą kręgu arktycznego.*

*Nazwa Valkarky oznacza Miasto Skamieniałego Drzewa. Wypełniają je najróżniejsze okropieństwa, stworzone z pomocą magii Mroku. Jego mury zbudowały istoty, które nigdy nie zasypiają, istoty wypluwające ze swych ust zmięczony kamień. Kobalosi wierzą, że ich miasto nie przestanie rosnąć, póki nie pokryje całego świata.*

– Pamiętajcie, co jeszcze powiedziała Alice – przypomniła nam Grimalkin. – Kobalosi oddają cześć bogu zwanemu Talkus, którego jeszcze nie ma. Z tego powodu od czasu do czasu nazywają go Bogiem, Który Ma Się Narodzić. Kobalosi są przekonani, że to wszechpotężne bóstwo, które poprowadzi ich na wojnę z ludzkością i walka ta się nie

skończy, póki nie wybiją wszystkich naszych mężczyzn i nie wezmą w niewolę kobiet.

– Czy przepowiadają, kiedy do tego dojdzie? – spytał stracharz.

– Wierzą, że bardzo niedługo – odparła.

– Alice uważa, że postępuje słusznie, ratując Złego. Sądzi, że niszcząc go, zrobimy miejsce dla boga Kobalosów. Czy to cię nie niepokoi? – spytałem Grimalkin. – Twierdzi, że jedynie twoja nienawiść wobec Złego i żądza zemsty nie pozwala ci do niej dołączyć.

Grimalkin pokręciła głową.

– Nie uważam, by zniszczenie Złego konieczne doprowadziło do narodzin Talkusa. Na rozumowanie Alice wpływa mag Lukrasta, który z całą pewnością pragnie ochronić swego pana. Uważam, że najpierw musimy rozprawić się ze Złym, a potem skupić uwagę na zagrożeniu ze strony Kobalosów.

Stracharz przytaknął.

– Oczywiście, to pierwsze łatwiej powiedzieć niż zrobić. Znów odzyskali głowę.

Ja tymczasem prawie go nie słuchałem, uczepiłem się bowiem słów wiedzmy zabójczynie jak tonący dłoni, która wyciąga go z rwącej rzeki.

– Myślisz, że Lukrasta naprawdę zawładnął Alice? – spytałem.

– W pewnym sensie owszem – odparła.

Gdy to usłyszałem, poczułem nową nadzieję. Ale Grimalkin jeszcze nie skończyła i wyraziła się jasno.

– Sądzę, że Alice także się zmieniała. Byłam tam, widziałam, jak się spotkali. Zupełnie jakby z ich oczu wytrysnęły sprężyny wzajemnego przyciągania, które splotły się i połączyły ich na zawsze. Zdarza się to rzadko, ale czasem tak bywa wśród myślących istot. Owszem, Alice pozostaje pod wpływem Lukrasty, ale jeśli nią zawładnął, to ona także zawładnęła nim. Alice to bezpieczna wiedźma. Znalazła miejsce, w którym czuje się w domu – u boku mrocznego maga. W dzieciństwie łączyła was więź, teraz jednak oboje dorośliście. Czy muszę powtarzać to, co już mówiłam? Powtórzę zatem: zapomnij o Alice, Tomie, bo ona nie jest dla ciebie.

Sądziłem, że mój mistrz podchwyci słowa Grimalkin, potwierdzając to, w co zawsze wierzył. On jednak miał smutną minę, a kiedy spojrzał na mnie, w jego oczach dostrzegłem litość. Byłem pewien, że zaraz coś powie, lecz tylko poklepał mnie po ramieniu, niczym ojciec udzielający niemego wsparcia.

Przemówił później, wkrótce po tym, jak Grimalkin wyszła na dwór.

– Przywiązanie do kogoś takiego jak Alice bywa dla nas ciężarem, chłopcze – rzekł. – Sam dobrze o tym wiem, bo kochałem Meg; i po prawdzie wciąż za nią tęsknię. Ale

rozstanie jest najlepsze dla was obojga – w życiu stracharza nie ma miejsca dla czarownicy.

Stracharz spędził wiele zim z lamią Meg w domu na moczarach w Anglezarke. Teraz jednak wróciła do Grecji i to rozstanie było dla niego bardzo trudne.

Pokiwałem głową – próbowałem mi pomóc, ale nie złagodził trawiącego mnie bólu.

\*

Następnego ranka nie czekało na nas śniadanie. Stracharz siedział samotnie, wpatrując się w pusty stół.

– Nie wygląda to dobrze. Chyba coś złego spotkało bogina – rzekł.

– Alice by go nie skrzywdziła – odparłem gorąco. – Tylko uspiła pana i Grimalkin, mogła zrobić to samo z boginem, na pewno.

Po tym jak wezwałem bogina na pomoc i zawarłem z nim przymierze, miałem nadzieję, że nic mu się nie stało.

– Nie broń jej tak szybko, chłopcze – odparł mój mistrz. – Przeszła na stronę Mroku: kto wie, do czego może być zdolna? Ale nie oskarżam Alice. Myślę, że najprawdopodobniej Lukrasta zrobił to z zemsty – nie wszedł do ogrodu, ale mógł kryć się w pobliżu. Nie zapominaj, że bogin zabił mnóstwo czarownic. Lukrasta przebywał w tej wieży i nie mógł cię powstrzymać, gdy uciekłeś z głową Złego. Słyszałem, że kieruje nim straszliwa дума. Bez bogina byś tego nie osiągnął. I teraz mag się zemścił.

– Sądzi pan, że go zniszczył?

– Lękam się najgorszego. Owszem, lękam się najgorszego. A teraz dom i ogród pozostają niestrzeżone.

Długą chwilę siedzieliśmy w milczeniu, potem stracharz nagle jakby poweselał, oko mu błysnęło.

– No, chłopcze, lepiej przypał trochę boczku, jak zwykle.

I mimo gorących starań faktycznie go przypaliłem. Zjedliśmy jednak nawet zwęglone kawałki – a miękki świeży chleb posmarowany masłem pomógł w przełknięciu reszty.

Po śniadaniu poszedłem do ogrodu pomówić z Grimalkin i wspomnieć jej o zaginionym boginie.

– Lukrasta faktycznie mógł spróbować go zniszczyć, ale boginy są bardzo odporne – zauważyła. – Możliwe, że w końcu dojdzie do siebie, choć być może za późno, by znów nam pomóc.

Grimalkin opierała się o drzewo, głęboko zamyślona. Zauważyłem w niej drobną zmianę – choć wciąż nosiła opasujące ciało rzemienie obwieszane sztyletami i



nożyczkami, do pasa przypięła nową pochwę z niezwykle długą klingą.

– To coś nowego – wskazałem ręką miecz. – Czy to jego właśnie wykuwałaś tamtej nocy?

– W istocie – odparła. – Jak wiesz, lubię wypróbowywać nowe sposoby walki. Wiedźma zabójczyni stale musi szukać nowych sztuczek.

Sądziłem, że dobędzie miecza i pokaże mi go, ale tego nie zrobiła, a ja nie chciałem prosić – może wolała, by nikt inny go nie dotykał? Zamiast tego zatem zapytałem o jej nogę.

– Teraz mam pewność, że w pełni się zagoi, ale jeszcze parę dni musi poodpoczywać. Jedno z nas powinno poszukać nieprzyjaciół. Chciałabym wiedzieć, kiedy sprowadzą na północ ciało Złego.

## ROZDZIAŁ 23

### POMIOTY

W Hrabstwie jest pewne miejsce zwane powszechnie Wzgórzem Sygnałowym, bo wiele pokoleń temu podczas wojny domowej tam właśnie rozpalano wici, ogniska płonące na szczytach wzgórz od horyzontu po horyzont, ostrzegające przed zbliżającym się wojskiem nieprzyjaciela.

Porastał je gęsty las, ale jeden fragment nieopodal wierzchołka oczyszczono i stanowił wyśmienity punkt obserwacyjny. Widziałem stamtąd tereny na zachodzie i południu – dwóch kierunkach, z których spodziewałem się przybycia sług Złego z jego ciałem.

Rozsiadłem się zatem wygodnie i rozpocząłem czuwanie. Przypuszczałem, że spędzę tam co najmniej parę dni; jak zwykle rozstawiłem wnyki na króliki, by dodać coś do kurzego udka i pasków solonej szynki, które zabrałem ze sobą. I oczywiście miałem też zapas sera. Czekanie było dość nudne, więc czasami przeglądałem swój najnowszy notes, dodając do niego różne obserwacje i w razie potrzeby wprowadzając poprawki.

Do głowy napłynęły mi wspomnienia o tacie. Jak na kogoś, kto

nie chodził do szkół i jako chłopak wypłynął w morze, był bardzo mądrym człowiekiem. Później został rolnikiem – co wymagało ciężkiej fizycznej pracy od świtu do zmroku. Ale tato znał litery, dobrze umiał czytać i pisać. Kiedyś powiedział mi, że najlepszym sposobem rozwiązania problemu jest zanotowanie na papierze wszystkich możliwych rozwiązań, wszystkiego, co tylko wpadnie nam do głowy, nieważne jak szalone się wydaje. Później można to odczytać, skreślając najgłupsze pomysły i skupiając się na tych, które wydają się najbardziej prawdopodobne – choć dodał też, że czasem coś, co na pierwszy rzut oka wydawało się głupie, okazuje się najbardziej obiecujące.

A właśnie zmagalem się z bardzo poważnym problemem. Przerzuciłem zatem stronicę i wiedziony nagłym impulsem zapisałem nagłówek:

*Inne sposoby rozprawienia się ze Złym.*

Raczej mało prawdopodobne, bym tak po prostu wymyślił odpowiedź i znalazł inne wyjście, ale co mi szkodzi spróbować. No i przynajmniej odpędzę nudę. Zacząłem zatem notować wszystkie możliwe pomysły.

1) *Spalić głowę Złego.*

2) *Spalić ciało Złego.*

3) *Spalić jedno i drugie.*

Wszystkie te rozwiązania były bardzo niebezpieczne. Mistrz sądził, że zniszczenie ziemskiego ciała Złego uwolni go i pozwoli wrócić w Mrok, gdzie będzie mógł ponownie zebrać siły. Trzecie zatem nie wchodziło w grę, ale co z pierwszymi dwoma? Bez wątplenia wciąż ryzykowne, ale jeśli spali się głowę albo ciało, w żaden sposób nie da się ich połączyć; jego dusza nadal mogła pozostać uwięziona w drugiej części. Przypomniało mi to stary dziecięcy wierszyk.

*I nie sprawią wszystkie Króla konie ni żołnierze,*

*Że w jedną Humpty Dumpty całość znów się zbierze!*

To z kolei podsunęło mi trzeci pomysł.

4) *Porząbać Złego na wiele małych kawałków – zbyt wiele, by dało się znaleźć je wszystkie.*

To wyglądało całkiem obiecująco. Obecnie jego ciało było w dwóch częściach, ale gdyby jak Humpty'ego Dumpty'ego podzielić go na wiele ukrytych w różnych miejscach,

odnalezienie i połączenie ich wszystkich byłoby praktycznie niewykonalne.

Pisałem dalej, notując kolejne pomysły – jedne głupsze od innych. Pod koniec dysponowałem całkiem długą listą. Postanowiłem pokazać ją mistrzowi, kiedy wrócę do Chipenden.

Tuż przed południem drugiego dnia warty pogoda, dotąd przez cały tydzień chłodna lecz ładna, zaczęła się psuć. Miałem całkiem dobry widok na odległe Morze Irlandzkie, połyskujące w październikowym słońcu, ale teraz wody powoli pociemniały, a nad ląd zaczęły napływać nisko wiszące chmury.

Wiał słaby wietrzyk, ale już po godzinie pierwsza chmura przepłynęła mi nad głową, a potem zaczęło mżyć. Było znacznie cieplej niż wcześniej, lecz mżawka zamieniła się w deszcz i wkrótce przemokłem do suchej nitki. Widoczność stale się pogarszała, z zachodu napłynęła mgła. Już miałem wrócić do Chipenden, gdy w dali usłyszałem śpiewy, coraz głośniejsze, w miarę jak zbliżały się do wzgórza. Spodziewałem się czarownic, ale te głosy należały do mężczyzn i brzmiały bardzo nisko.

Z początku nie rozróżniałem słów, stopniowo jednak zaczęły rozbrzmiewać bliżej i zrozumiałem:

– Kołem kręć! Wóz pchnij! W górę żerdź! Ze wszystkich sił! – grzmiały głosy.

I wtedy z mgły na trawiastym wzniesieniu wyłoniło się coś zdumiewającego. To był długi ośmiokołowy wóz wiozący trumnę z mosiężnymi uchwytami z zamkniętym w niej ciałem Złego. Ale sześć rosłych koni pociągowych zastąpiły cztery niewiarygodnie potężne pomioty.

– Kołem kręć! Wóz pchnij! W górę żerdź! Ze wszystkich sił!

Na widok tych onieśmiałających stworów serce przepelniła mi rozpacz. Jak moglibyśmy walczyć z czymś takim?

Dwa ciągnęły trumnę, założywszy na ramiona uprząż z grubych sznurów. Dwa kolejne pchały ją z tyłu. Muskularne ciała całej czwórki, nagie do pasa, połyskiwały od deszczu. Spodnie miały nasiąknięte wodą i zbryzgane błotem, stopy bosc. Najbardziej jednak charakterystyczną cechą ich wyglądu stanowiły podobne do baranich rogi, wyrastające z głów. Były wielkie – znacznie rośniejsze od Kła: każdy musiał mieć co najmniej dziewięć stóp wzrostu.

Mógłbym ich zaatakować sam jeden, ale raczej nie zdołałbym pokonać równie potwornych siłaczy. Gdy tylko odrzuciłem pomysł podjęcia samotnej próby opóźnienia ich marszu, z mgły wyłoniły się inne postacie, podążające za wielkim wozem.

Na ich czele dostrzegłem wysoką, groźną kobietę. Odziana była podobnie do

Grimalkin. Przepasała się skórzanymi rzemieniami, na których wisały pochwy z licznymi sterzącymi rękojeściami. Przekonałem się też, że z każdego ucha zwisały jej żółte kule. Czyżby przewodziła tej zgrai? Czy była wiedźmą zabójczynią?

A w istocie widziałem w dole całą bandę, kolejne postaci materializowały się z mgły, wszystkie uzbrojone po zęby. Większość stanowiły czarownice w czarnych sukniach, z potarganymi włosami i szpiczastymi trzewikami na nogach. Wśród nich wędrowało jeszcze kilka pomiotów, choć żaden nie dorównywał rozmiarem czterem potworom przy wozie. Widziałem inne wiedźmy, uzbrojone jak Grimalkin. Zastanawiałem się, czy to zabójczynie z klanów mieszkających daleko poza granicami Hrabstwa. Niektóre czarownice dźwigały długie tyczki z przywiązanymi do końców nożami. Ale to nie ich broń przepełniła mi serce grozą, lecz liczba zwolenników Złego: minęło dziesięć minut, a kolejne szeregi wciąż wyłaniały się z mgły. To cała armia! Jaką mogliśmy mieć nadzieję w starciu z tyloma wrogami?

Nagle pojąłem, że zamiast podążać jedną z możliwych dróg do Kamienia Strażniczego albo do Chipenden, tamci kierowali się na północny wschód. Może zamierzali spotkać się ze swoimi krewniakami w Pendle?

Pospiesznie opuściłem Wzgórze Sygnałowe i pobiegłem do domu stracharza.

\*

Rozmawialiśmy w kuchni przy kolacji, deszcz bębnił o szyby.

Mój mistrz przygotował posiłek i to przepyszny, sam jednak w ponurym nastroju grzebał tylko w szynce i kartoflach. Grimalkin natomiast szybko opróżniła talerz i wzięła solidną dokładkę.

– Jak myślisz, ilu ich było? – spytała.

– Ponad tysiąc, a kiedy odchodziłem, wciąż pojawiali się nowi. Skąd wzięło się aż tyle czarownic i pomiotów? – spytałem. – Czy kobieta maszerująca na przedzie to zabójczyni jak ty? Miała żółte kolczyki w kształcie kul.

Grimalkin natychmiast zorientowała się, o kim mówię.

– Na imię ma Katrina; to wiedźma zabójczyni klanu Peverelów, mieszkającego daleko na południowym wschodzie w hrabstwie zwanym Essex. Te kule to zmniejszone ludzkie czaszki, przechowuje w nich moc. Jak wiesz, ja sama wolę używać do tego kości kciuków, należących do martwych wrogów; sama liczba kości daje mi dostęp do bardziej zróżnicowanej magii – ale każdemu wedle upodobań. Twierdzą, że to niezwykle groźna wojowniczką. Nigdy się nie spotkałyśmy, ale bez wątpienia wkrótce skrzyżujemy noże. Zwolennicy Złego przybędą z całego kraju, z klanów żyjących daleko poza Hrabstwem i

połączą się, by wspomóc swego pana w godzinie próby.

– Owszem, a nas jest tak mało! – wykrzyknął mój mistrz.

– Istotnie, będą mieli przewagę, ale jest nas więcej, niż mógłbyś przypuszczać – nie zgodziła się Grimalkin. – Jak wiecie, Pendle pozostaje podzielone i w pewnym sensie dotyczy to też klanów: wiele czarownic sprzeciwia się Złemu. Jutro posłużę się lustrem i wezwę te mieszkające w odleglejszych zakątkach. Ale pojedę też do Pendle, by zgromadzić miejscowych sojuszników.

Na wzmiankę o lustrze stracharz skrzywił się i wbił wzrok w blat stołu. Choć zrozumiał, że trzeba nawiązywać podobne sojusze, wciąż nie mógł się pogodzić z używaniem jakiegokolwiek odmiany mrocznej magii.

– Mab Mouldheel i jej siostry odwiedziły już Kamień Strażniczy. Rozmawiałem z nią, kiedy przechodziły przez Chipenden ponad dwa tygodnie temu. Obiecały pomóc nam w Świąto Zmarłych – poinformowałem Grimalkin. – Ale osobiście nie ufam jej za grosz – dodałem.

– Nie raczyłeś mi nawet o tym wspomnieć, chłopcze – poskarżył się stracharz. – Dobry z ciebie uczeń, dzielny i pilny, nigdy nie miałem lepszego. Ale czegoś ci brakuje. Masz zbyt wiele tajemnic przed swym mistrzem i za to powinieneś się wstydzić!

– Przepraszam za wszystko, co wydarzyło się w przeszłości – odparłem. – Ale to co innego, po prostu wyleciało mi z głowy.

– Wyleciało z głowy! – powtórzył gniewnie. – Spotykasz czarownicę przewodzącą klanowi Mouldheelów i nie uważasz, że warto mi o tym wspomnieć? Nie mówiąc już o wszystkich rzeczach, które przede mną ukryłeś?

– Przysięgam, zamierzałem panu powiedzieć, ale następnego dnia znaleźliśmy zranioną Grimalkin, a potem musiałem ścigać czarownice. Po prostu działo się mnóstwo rzeczy.

Stracharz pokiwał głową, ale unikał mojego wzroku. Najwyraźniej w umyśle ponownie analizował wszystko, co przed nim ukryłem. Zraniłem go i to bardzo.

– Zgadzam się, że Mab Mouldheel nie należy ufać – dodała Grimalkin po długiej chwili krępującej ciszy. – Ale pomogła nam w Grecji i wiem, że sprzeciwia się Złemu; bardzo nieliczni członkowie jej klanu go popierają. Powinni przybyć do nas całą gromadą – i dobrze, bo potrzebujemy wszystkich, jeśli mamy walczyć z tak wielką armią.

\*

Ostatnie wydarzenia wyczerpały mnie i tej nocy, gdy tylko dotknąłem głową poduszki, zapadłem w głęboki, pozbawiony marzeń sen.

Obudziłem się nad ranem, w pokoju panowała nieprzenikniona ciemność. Odkryłem, że z trudem oddycham.

Jakiś ciężar przygniatał mi pierś.

Na moment poczułem grozę, bo ciężar ów się poruszył.

Czy to był koszmar? Czyżbym wciąż spał?

Chwilę później zrozumiałem, że dzieje się to na jawie, bo w głowie usłyszałem szept.

– Pomóż mi. Jestem w rozpaczliwym stanie. Daj trochę krwi, inaczej umrę.

To był bogin, Kratch! Jego głos brzmiał słabo i załamywał się niepewnie.

Bez wahania przemówiłem w ciemność.

– Gdzie się podziewałeś? Bałem się, że cię zniszczyli!

– Runąłem z tego świata w Mrok i brakowało mi sił, by powrócić. Migotałem jak świeca podczas burzy, na granicy zagłady. Walczyłem długo i ciężko, teraz w końcu tu dotarłem, ale boję się, że znów odleczę. Zupełnie jakbym balansował na skraju ciemnej przepaści. Pomóż mi, inaczej w nią wpadnę i nigdy już nie powstanę!

Bałem się znów oddawać mu krew, bo mogłem przy tym umrzeć; lękałem się też konsekwencji. Ale jeśli chciałem mieć w nim sojusznika, jak mogłem odmówić?

– Możesz wypić trochę mojej krwi. Weź ją! – poleciłem.

Coś leciutko dotknęło grzbietu mojej lewej dłoni: to szpon bogina zadrapał mi skórę. Nie bolało. Potem jednak poczułem liżący mnie mały szorstki języczek.

Miałem wrażenie, że trwa to bardzo długo. Po jakimś czasie serce zaczęło dudnić mi w uszach, uderzało powoli, ciężko, z wyraźnym wysiłkiem.

– Dosyć! Dosyć! – krzyknąłem. – Jeśli wypijesz zbyt wiele, stanie mi serce i umrę!

Język zniknął i usłyszałem nowy dźwięk, niskie, ciche mruczenie kota, a potem zapadła cisza, którą zakłócał tylko łomot w mojej głowie. Kratch zniknął.

Usiadłem, szukając na oślepie w ciemności hubki i krzesiwa i zapaliłem świecę. Jakiś czas siedziałem tak, słaby, nękany mdłościami, a pokój wirował wokół mnie.

Gdy poczułem się dość silny, by wstać, niepewnie zszedłem na dół do kuchni, by napić się wody. Usiadłem ciężko przy stole i zacząłem ją saczyć, napawając się chłodem spływającym w głąb gardła i odtwarzając w myślach ostatnie wydarzenia.

Oczywiście, nie miałem pewności, że boginowi uda się odzyskać siły i pomóc nam w zbliżającej się bitwie. Ale nie został zniszczony, a to dobre wieści. Jednakże myśl o tym, co zrobiłem, wciąż budziła mój niepokój.

Gdy bogin po raz pierwszy wypił moją krew, nie miałem wyboru; tym razem oddałem mu ją z własnej woli. Czy powinienem był postąpić inaczej? Odmowa mogła okazać się dla

niego śmiertelna w skutkach, a teraz bardziej niż kiedykolwiek potrzebowaliśmy jego pomocy.

Lecz sam proces przypominał mi zwyczajnie niektórych czarownic z Pendle – znajdowały sobie pobratymców i karmiły ich swą krwią. W zamian owe stwory stawały się niemal częścią ich samych, jakby dodatkową parą rąk bądź oczu, nawet z daleka wypełniającą polecenia. Podczas pierwszego roku terminu Alice uczyniła coś podobnego, częstując swoją krwią demonicznego stwora zwanego Morem. Lecz Mór nie przypominał szczura, ropuchy czy też ptaka – małych stworzeń, pobratymców większości czarownic; ledwie uniknęła tego, by nad nią zapanował.

To mogło spotkać i mnie – Kratch bowiem był potężny jak na bogina.

Co, jeśli znów się do mnie zgłosi, prosząc o krew?

Co powinienem zrobić?

## ROZDZIAŁ 24

### PLAGA SKELTÓW

Następnego ranka obudziłem się późno i ostatni zszedłem na śniadanie.

Mój mistrz i Grimalkin siedzieli już przy stole. Pograżeni w rozmowie, zajadali boczek i jajka.

– Mam dobre wieści, chłopcze! – powitał mnie radośnie stracharz. – Bogin wrócił i przygotował nam doskonałe śniadanie. Gratulacje dla kucharza! – Zerknął w stronę kominka, na którym płonął ogień.

Niewidzialny bogin w odpowiedzi zamruczał cicho. Zająłem miejsce przy stole, witając ich niemal niedostrzegalnym skinieniem głowy. Potem zgarnąłem na talerz jajecznicę z boczkiem, ukroiłem sobie grubą pajdę chleba i posmarowałem masłem. Jadłem w milczeniu, ledwie słuchając rozmowy wiedźmy zabójczyni z moim mistrzem. Jedzenie smakowało idealnie, choć nie było aż tak gorące, jak lubiłem; żałowałem, że nie zszedłem wcześniej.

– Zgadzasz się zatem, chłopcze? – spytał stracharz.

Uniosłem pytający wzrok. Dotąd całkowicie skupiałem się na jedzeniu.

– Zgadzasz się z czym?

– Nie słuchałeś? Powinieneś bardziej uważać! – upomniał mnie ostro. – Wyglądasz trochę blado, źle spałeś?

Przytaknąłem.

– Pół nocy nie mogłem zasnąć.

– Sen jest ważny, chłopcze, a najlepszym lekarstwem na bezsenność jest fizyczne zmęczenie, gdy kładziesz się do łóżka. W każdym razie chcę, żebyś wybrał się do młyna na północ od Caster i poprosił Judda Brinscalla o dołączenie do nas. Nieźle włada kijem, chętnie też przyjmujemy jego trzy wielkie psy. A co z twoim bratem kowalem, Jamesem? Mówiłeś, że zdrowo i cało wrócił do domu. To silny młodzian, świetnie się spisał na Wzgórzu Pendle, gdy walczyliśmy z czarownicami. Może potem powinieneś odwiedzić farmę i poprosić go o pomoc?

Pokręciłem głową.

– Mojej rodzinie już i tak grozi wielkie niebezpieczeństwo. Pamiętaj pan, jak Zły mówił o Jamesie? Bez wątpienia zaatakowały go stwory z Mroku, nie rabusie, jak sądził. Wolę nie narażać go jeszcze bardziej.

– Decyzję zostawię tobie, chłopcze. Ale pamiętaj, że i tak mamy mizerne szanse. Potrzebujemy każdego poczciwego człowieka. Jeśli przegramy w tej bitwie i Zły odzyska siły, niebezpieczeństwo zagrozi wszystkim rodzinom w Hrabstwie. Tak czy inaczej, najpierw odwiedź Judda. Spodziewam się, że jutro wrócisz. Nie zapominaj, że mamy mało czasu – do Święta Zmarłych zostało tylko sześć dni.

Aby spełnić życzenie mistrza, musiałbym przebiec część drogi – młyn leżał co najmniej dzień marszu od nas. Ale stracharz miał rację, kończył nam się czas.

– Zjem tylko i zaraz ruszam w drogę – oznajmiłem.

– Dobry chłopak; pod twoją nieobecność Grimalkin odwiedzi Pendle i sprawdzi, ilu zdoła zebrać tam sprzymierzeńców.



\*

Przygotowałem się do marszu. Nie brałem torby, bo wiedziałem, że muszę podróżować szybko. Okręciłem się jednak w pasie pod koszulą srebrnym łańcuchem, zabrałem też kij i dwa sztylety, Klingę Przeznaczenia natomiast zostawiłem w domu.

Grimalkin opierała się o konia, szepcząc mu coś do lewego ucha. Jak zwykle z rzemieni opasujących jej ciało sterczały niezliczone rękojeści broni ukrytej w skórzanych pochwach. Wargi pomalowała na czarno. Wyglądała złowieszczo, gotowa do walki.

– Zamierzasz jechać konno? – zawołałem do niej.

Przytaknęła i podprowadziła wierzchowca.

– Moja noga z każdym dniem odzyskuje siły, ale wciąż nie jest gotowa do marszu do Pendle i z powrotem... Nakarmiłeś wczoraj bogina, prawda? – spytała.

– Tak – przyznałem. – Przyszedł i poprosił mnie o krew. Zgodziłem się, bo inaczej by umarł. Tak właśnie mi powiedział.

– Najpewniej uratowałeś mu życie, ale dziś rano byłeś taki blady, że aż dziw, że twój mistrz niczego nie podejrzewał.

– Nie wspomniałem mu o poprzednim razie, więc coś takiego nawet nie przyszło mu do głowy. Był zbyt zajęty śniadaniem, by cokolwiek dostrzec.

– Pilnuj się, Tomie, to niebezpieczne. Podobna istota może wypić zbyt wiele i cię zabić.

– To właśnie mnie martwi – wyznałem Grimalkin. – I jest coś jeszcze... Co, jeśli zacznie nade mną panować i zawładnie tak jak Mór Alice? Już drugi raz pił moją krew.

– Owszem, istnieje takie niebezpieczeństwo – zgodziła się. – Ale jeśli wszystko ułoży się jak trzeba, nawiążesz z nim doskonałą współpracę. Pamiętasz, co się stało z Alice?

Wróciłem pamięcią do owych mrocznych dni w Priestown, kiedy Alice uwolniła Mora z więzienia w labiryncie za srebrną furtką.

– Trzy razy oddała mu swą krew... To był kluczowy moment, wówczas całkiem nad nią zapanował.

– Owszem – przytaknęła Grimalkin. – I dla ciebie to także

najryzykowniejsza chwila. Lecz Mór był mrocznym, demonicznym stworem, znacznie potężniejszym niż ten bogin, a Alice zawsze przechylała się na stronę Mroku. Ty jesteś silny: jeśli zachowasz ostrożność, będziecie współnikami w równych proporcjach.

Uznałem, że to bardzo ciekawa możliwość.

Grimalkin pogalopowała na południowy wschód, do Pendle. Ja tymczasem skierowałem się w przeciwną stronę, szlakiem przez wzgórze. Podczas marszu rozmyślałem o boginie – zarówno o zagrożeniu z jego strony, jak i możliwości złączenia naszych sił i przypomniałem sobie, co do mnie rzekł:

*Jesteś dzielny! Godny tego, by ze mną pójść.*

Słowa te sugerowały, że istotnie proponował mi równorzędne partnerstwo i nie chciał nade mną zapanować. Ale czy można zaufać stworowi z Mroku? Niewiele miał w sobie człowieczeństwa.

Wspinałem się na Pikę Parlicka. W połowie drogi natknąłem się na wąską owczą ścieżkę pośród ostrych traw i skręciłem w nią: doprowadziła mnie na zachodnią stronę łańcucha wzgórz, po lewej ręce widziałem morze.

Był kolejny jasny, słoneczny dzień, po niebie wędrowało tylko kilka chmur. Nie mogłem powstrzymać obaw, że niedługo za to zapłacimy: oprócz ulewy na Wzgórzu Sygnałowym ostatnimi czasy bardzo rzadko padało. Pogoda w Hrabstwie zwykle bywa deszczowa i wietrzna i natura z pewnością przywróci równowagę, zsyłając długie, obfite opady.

Narzuciłem sobie szybkie tempo, wkrótce jednak zdyszałem się i musiałem odпочać. Łatwo stracharzowi mówić, że najlepiej bym szybko dotarł do celu i się przespał. Ale utrata krwi wypitej przez bogina osłabiła mnie i mało prawdopodobne, bym przed zmierzchem ujrzał młyn.

Pogryzając ser, uświadomiłem sobie, że nie rozmawiałem jeszcze ze stracharzem na temat pomysłów zapisanych w notesie.

Ponownie powtórzyłem w głowie całą listę, zastanawiając się, jak przebiegnie czekająca nas bitwa. Wróg będzie miał przewagę liczebną, ale nie chodziło nam o to, by pokonać wszystkich, lecz w jakiś sposób dopilnować, by głowa i ciało Złego nie połączyły się w jedną całość. Musieliśmy tego dokonać albo przed zachodem słońca, albo o północy w Święto Zmarłych, bo wtedy mroczna magia mogła przywrócić mu moc.

Z map mojego mistrza – obecnie straconych na zawsze w pożarze – wiedziałem, że

przez Kamień Strażniczy biegnie kilka linii mocy. Gdybym znalazł się we właściwej pozycji, mógłbym znów przywołać bogina. Oczywiście tym razem nasi wrogowie zdawaliby sobie sprawę z potencjalnego zagrożenia. Lukrasta bez wątpienia spróbowałby zniszczyć Kratcha. A możliwe, że Alice stanie u jego boku, łącząc z nim siły.

Odepchnąłem od siebie tę bolesną myśl, maszerując naprzód na wschód od Caster. Słońce powoli zniknęło za horyzontem. Przekroczyłem linię mocy, biegnącą na wschód w stronę Kamienia Strażniczego: owa niewidzialna linia stanowiła też jeden ze starych szlaków z wybrzeża na owo wzgórze. Nie dostrzegłem jednak żadnych czarownic, nic też nie wskazywało, by przebywały w okolicy.

Gdy znalazłem się na zachodnim brzegu kanału, słońce już zaszło. Z miejscem tym wiązało się mnóstwo wspomnień. Tutaj Bill Arkwright wepchnął mnie do zimnej, mulistej wody i nauczył pływać w ten trudniejszy sposób. Surowy był z niego mistrz, ale w końcu go polubiłem. Teraz wspominałem ze smutkiem, jak zginął w Grecji, odpierając atak żywiołaków ognia i pozwalając uciec stracharzowi, Alice i mnie.

Moje najstraszniejsze wspomnienie z owych czasów dotyczyło właśnie brzegu kanału. Zszedłem do ładowni czarnej barki i stanąłem twarzą w twarz ze Złym we własnej osobie, siedzącym na wielkim tronie i otoczonym czarnymi świecami. To z jego ust po raz pierwszy dowiedziałem się, że Alice jest jego córką, a jej prawdziwą matką była Koścista Lizzie...

Młyn przesłaniał rząd drzew, księżyc skrył się za chmurami, toteż z trudem odnalazłem miejsce, w którym musiałem skręcić znad kanału. W końcu jednak dotarłem do mostu i usłyszałem szum strumienia w dole. Zsunąłem się zatem z brzegu, podążając na zachód. Wkrótce pochylałem już głowę pod gałęziami płaczących wierzb, by dotrzeć do sześciostopowego żelaznego ogrodzenia, otaczającego ogród przy młynie.

To wtedy usłyszałem hałas dobiegający z ciemności gdzieś po lewej. Odwróciłem się w chwili, gdy chmura odsłoniła księżyc, który oświetlił groźnego, owadopodobnego stwora o płaskim łbie i długim pysku. Natychmiast go rozpoznałem – owa długa kościana rura nie pozostawiała cienia wątpliwości. Uniosłem laskę, on jednak umknął na bok i straciłem go z oczu, a potem księżyc znów zniknął.

To był skelt! Występowały bardzo rzadko i zaniepokoiła mnie obecność jednego z nich tak blisko młyna. Co on tu robił?

Potem szedłem już bardziej ostrożnie wzdłuż ogrodzenia po błotnistym gruncie, szukając wąskiej szczeliny stanowiącej jedyne wejście do młyna. Przeszedłem dalej, brodząc w fosie ze słoną wodą, do wewnętrznego ogrodu. Wszystko to – płot i fosa –

stanowiło część obrony przed wodnymi wiedźmami, od których roilo się w tych okolicach. Lecz jeszcze jedno nie dopuszczało ich bliżej – psy!

Kiedy zbliżyłem się do młyna, zaczęły ujadać; usłyszałem skrzyp otwieranych drzwi, a potem trzy wielkie wilczarze pomknęły ku mnie w ciemności. Na moment żołądek ścisnął mi się ze strachu. Szpon i jej dwa dorosłe szczeniaki, Krew i Gnat, przywykły do łowów na wodne wiedźmy. Dobrze je znałem, były bezlitosne. Powinny rozpoznać mój zapach, ale biegly ku mnie i mimo wszystko się niepokoiłem.

W ostatniej chwili gorączkowe ujadanie ucichło, a potem klęczałem już, głaszcząc całą trójkę, która lizała mnie w odpowiedzi.

– To ja, Tom Ward! – zawołałem, zanim ruszyłem dalej. Psy uganiały się wokół mnie.

Wolałbym, by to Bill Arkwright wyszedł mi na spotkanie, ale pewne rzeczy się zmieniają i trzeba z tym żyć. Judd Briscall uściskał mi dłoń i powitał ciepłym uśmiechem, prowadząc do środka.

Wkrótce siedziałem już przy jego stole, zjadając solidną porcję owczej wątróbki i cebuli; sądząc po niej, Judd był świetnym kucharzem. Konałem z głodu, toteż oprócz pierwszego krótkiego powitania nie wyjaśniłem mu jeszcze przyczyn swej wizyty.

Czekał cierpliwie, patrząc jak jem, i nagle przypomniałem sobie, jak zdradził stracharza w Todmorden. Pomógł zwabić mojego mistrza w zasadzkę, która omal nie kosztowała go życia. Oczywiście mroczne moce zagrażały wówczas rodzinie Judda i działał pod przymusem. Wówczas z trudem zdołałem wybaczyć mu tę zdradę, teraz jednak pojąłem, że muszę zapomnieć o przeszłości.

– Jak się sprawy mają, Judd? – spytałem, przełykając ostatni smakowity kęs. – Wiesz, że tuż za ogrodzeniem widziałem skelta?

Sądziłem, że go zaskoczę, ale jedynie pokiwał głową.

– W końcu opanowałem wodne wiedźmy. Musiałem ich zabić z tuzin, kolejne trzy uwięziłem w dołach. Teraz jednak mam na głowie kolejną plagę, tym razem skeltów.

Słowa te zmroziły mi krew w żyłach. Pamiętałem, co mówiły Grimalkin i Alice o Kobaloszach z północy: oczekiwali narodzin swego boga pod postacią skelta. Skelty widniały także na rękojeściach mieczy bohaterów. Dlaczego nagle wyroiły się wszędzie – zwłaszcza w krytycznym czasie, tuż przed Świętem Zmarłych?

– Ale przecież są rzadkie – zaprotestowałem. – Bill Arkwright mówił mi, że przez całe lata ich nie widywał.

– Istotnie – zgodził się Judd. – Mnie mówił dokładnie to samo, ale teraz trudno nazwać je rzadkimi. Zabijają mnóstwo owiec, co rano nad kanałem ludzie znajdują co

najmniej tuzin martwych zwierząt, pozbawionych krwi. Farmerzy nie wyganiają już bydła na pola w pobliżu wody bądź bagien. Przydałaby mi się pomoc. Nie sądzę, by twój mistrz zechciał wypożyczyć cię na parę miesięcy?

– W innych okolicznościach, Juddzie, z pewnością chętnie by ci pomógł. Lękam się jednak, że zbliża się kryzys i to my potrzebujemy twojej pomocy. Dlatego właśnie tu jestem. Pan Gregory prosił, bym przyprowadził cię do Chipenden – a także twoje psy, jeśli nie masz nic przeciw temu.

Stracharz napisał do Judda, informując go o tym., co się wydarzyło. Teraz jednak opisałem szczegóły. Judd słuchał z milczeniem z poważną miną.

– Wygląda na to, że mamy małe szanse – rzekł w końcu posępnym tonem.

– Zapewne nie pójdzie nam łatwo – zgodziłem się. – Nie wszyscy przeżyjemy, by móc o tym opowiedzieć.

Przez chwilę sądziłem, że odmówi pomocy, potem jednak pochylił się naprzód i poklepał mnie po ramieniu.

– Cóż, prześpij się porządnie, Tomie. O brzasku ruszamy do Chipenden.

\*

Było późno, gdy dotarliśmy do domu stracharza. Po kolacji i omówieniu sytuacji z mistrzem Judd położył się spać w zapasowym pokoju, niegdyś należącym do Alice. Ja jakiś czas siedziałem ze stracharzem, wpatrując się w trzaskający na kominku ogień. Noce zaczynały robić się chłodne, zbliżała się zima.

– No, chłopcze, dzięki, że sprowadziłeś nam z pomocą Judda i psy. Jutro rano możesz ruszyć na farmę po swojego starszego brata, kowala. Bez wątpienia chętnie spotkasz się znów z rodziną.

Ogarnęła mnie irytacja – mówiłem już, że nie chcę znów angażować Jamesa. Czyżby w ogóle mnie nie słuchał? Mój mistrz był uparty, ale zamiary miał dobre, toteż postarałem się nie okazać po sobie gniewu.

– Nie – odparłem stanowczo. – Jak mówiłem, sprawiłem dość kłopotów swojej rodzinie. Jack, Ellie i Mary mogli zginąć, kiedy uwięziły ich czarownice. Zawsze będzie im coś grozić z powodu mojej pracy, ale nie tym razem. Przykro mi, ale nie mogę. Nie przy tak wielkim ryzyku.

Wróciłem pamięcią do owych mrocznych dni, kiedy pomogłem ocalić moją rodzinę z celi w Wieży Malkinów. Jack niemal wówczas zginął i owe wydarzenia pchnęły go na skraj obłądu. A potem James naraził życie na Wzgórzu Pendle.

– Rozumiem, chłopcze. – Stracharz miał poważną minę. – Ale mimo wszystko

chciałbym, abyś jeszcze to przemyślał. Prześpij się z tym. Gdybyś zmienił zdanie, daj mi znać rano. Potem więcej o tym nie wspomnę, chyba że sam to zrobisz. A teraz musimy pomówić o czymś jeszcze. Co z boginem? Wiesz, że przez Kamień Strażniczy wie dzie kilka linii mocy... Mógłbyś znów go wezwać, ale czy powinniśmy się nim posłużyć w nadchodzącej bitwie?

– Po tym, co się stało, będzie słabszy – odparłem. – Nawet z pełną mocą nie mógłby się równać z Lukrastą i wszystkimi czarownicami, gdyby przygotowali się na jego przybycie. Tym razem będą gotowi.

– Może i tak, ale zniszczyłyby część z nich i pomógł nam osiągnąć cel. Nie chcesz narażać życia Jamesa, doskonale to rozumiem. Wybacz! – Stracharz uniósł rękę. – Obiecałem, że więcej o tym nie wspomnę, ale tym razem mowa o boginie – groźnym stworze z Mroku, który chętnie odebrałby życie tobie i mnie, gdyby nie zawarty z nim kontrakt. Z pewnością to dostrzegasz?

Przytaknąłem.

– Nie będę narażał na darmo jego życia, ale wezwę go w razie potrzeby w obliczu klęski...

Stracharz przytaknął.

– Dobrze to słyszeć, chłopcze. A teraz najważniejsze: jak mamy rozprawić się ze Złym? Ostatnio wiele o tym rozmyślałem. Rytuał nie wchodzi w grę, co do tego się zgadzamy. A niemądre eksperymenty dziewczyny z „Doomdryte” spełzły na niczym. Czy istnieje inny sposób?

– Też o tym myślałem – przyznałem. – Zapisałem w notesie kilka pomysłów.

– Zatem odczytaj mi je, chłopcze.

Tak też uczyniłem, podejrzewałem jednak, że sam wpadł na podobne.

Miałem dziewięć propozycji. Niektóre brzmiały teraz bardzo głupio, ale i tak je przeczytałem.

– Czwarty wydaje się najbardziej obiecujący – zauważył stracharz. – Porąbanie Złego na drobne kawałki to wizja dość makabryczna, ale może zadziałać. Ukrywszy je, co prawda nie pozbylibyśmy się Złego na zawsze, ale z pewnością utrudnilibyśmy jego zwolennikom odnalezienie i złożenie wszystkich części w całość. W Irlandii powinniśmy byli zastanowić się dłużej, a nie po prostu odrąbać mu głowę od ciała.

– Sądzi pan zatem, że to dobry pomysł? – spytałem.

– Równie dobry jak wszystko, co mnie przyszło do głowy, chłopcze. Trudno będzie wcielić go w życie, ale możemy to zrobić... – Westchnął, a potem dodał: – Przeciwnik

będzie miał wielką przewagę liczebną. Musimy być gotowi walczyć aż do końca i musimy wierzyć, że nam się uda. Może kilkoro z nas dotrze do Złego; w takim razie każdy powinien zabrać kawałek i ukryć... Masz te trzy klingi – miecze bohaterów, za pomocą których miałeś złożyć w ofierze Alice. Co, gdybyśmy w podobny sposób użyli ich przeciw Złemu?

– To znaczy odcięli mu kciuki?

– Owszem, chłopcze, czemuż by nie? Dla czarownic mają wielkie znaczenie, stanowią źródło magicznej mocy. To dlatego Grimalkin nosi je na szyi. Jeśli wiedźma straci je w walce z drugą, okrywa się hańbą. Niektórzy wierzą, iż oznacza to, że po śmierci na zawsze pozostanie uwięziona w Mroku, nie mogąc powrócić na ten świat. Radzę zatem, abys jeśli zdołasz, odrąbał mu kciuki i zabrał ze sobą. Potraktuj go tak, jak miałeś potraktować Alice!

– Wyciąć mu serce?

– Wątpię, by nadarzyła się sposobność, ale odetnij mu głowę, jeśli już połączyła się z ciałem, potem odrąb kciuki i uciekaj. W ten sposób może zyskamy nieco czasu. Jeśli więcej z nas się przebije, każdy zabierze ze sobą kolejny fragment ciała.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu, rozmyślając o czekającym nas ogromnym wyzwaniu. Teraz, gdy mieliśmy plan, poczułem się lepiej.

W końcu stracharz poruszył się.

– A teraz chodźmy do łóżka, chłopcze. Musisz być zmęczony po podróży. Grimalkin zgadza się ze mną, że zapewne spróbują przywrócić Złego o zachodzie słońca. Zbierz zatem siły – do Święta Zmarłych zostały zaledwie cztery dni.

Wróciłem do siebie i wcisnąłem się do łóżka. Wędrówka do młyna i z powrotem faktycznie mnie wyczerpała. Byłem zmęczony, oczy zamknęły mi się w chwili, gdy dotknąłem głową poduszki.

Obudziłem się równie szybko.

Bogin znów leżał mi na nogach, słyszałem jak głośno mruczy.

– *Potrzebuję więcej twojej krwi, daj mi ją teraz!* – zażądał Kratch ochryłym tonem.

– Po co tak bardzo potrzebujesz mojej krwi? – spytałem. – Czy bez niej nie odzyskasz sił? Czy nie wypileś już dosyć?

– *Potrzebuję więcej do nadciągającej bitwy!* – zawołał bogin.

– Dlaczego to musi być moja krew? Nie zadowolili cię krew zwierzęcia? Mógłbym też poprowadzić cię wzdłuż linii mocy, póki nie natkniemy się na jednego z wielu wrogów pragnących odebrać nam życie. Czemu nie krew czarownicy?

– *Twoja krew jest dla mnie wyjątkowa. To krew brata.*

– Jesteśmy braćmi?

– *Tak, jesteśmy braćmi duchowymi, beze mnie zostaniesz pokonany.*

– Jeśli jednak staniesz do walki u naszego boku, możesz zostać zniszczony – przypomniałem.

– *Nic nie trwa wiecznie. I tak już zbyt długo żyję na tym świecie.*

Bogin był gotów poświęcić się dla nas. Czy naprawdę znużyło go istnienie? Jednak jego słowa niczego nie zmieniały – nadal zamierzałem zachować ostrożność i jeśli się da, uniknąć przywołania go.

– Nie wezwę cię na pewne zniszczenie, chyba że w obliczu klęski.

– *Zatem daj mi krwi, a zaczekam na twoje wezwanie.*

– Boję się dać ci jej więcej – przyznałem. – Możesz wypić za dużo i zatrzymać mi serce.

– *Dobrze, że to mówisz. Tylko ktoś naprawdę dzielny potrafi przyznać się do strachu.*

*Nie mogę się już doczekać ponownej walki u twego boku. Nie lękaj się – nie umrzesz w tym łóżku. Wezmę tylko tyle, ile mi trzeba – ani kropli więcej. Zaufaj mi, pozostawię cię przy życiu i po jednym dniu całkowicie odzyskasz siły.*

Ja jednak pamiętałem Alice i Mora, to trzeci raz był najniebezpieczniejszy. Kto wie, jakie mogą być skutki? Musiałem też rozważyć poradę Grimalkin: dostrzegła zagrożenie, ale twierdziła, że bogin nie dorównuje mocą Morowi. Ponieważ sam jestem silny, pewnego dnia mogę zyskać w nim bardzo użytecznego partnera, ale potem przyszło mi do głowy jeszcze jedno...

– Lecz czy fakt, że oddam ci więcej krwi, mnie nie zmieni? Trzeci dar krwi ma ogromne znaczenie.

– *Owszem, zmieni cię. Wszystkie wymiany pomiędzy świadomymi istotami powodują zmiany. Ja stanę się bardziej ludzki, a ty bardziej jak bogin. Czy to nie uczciwe?*

Nie wiedziałem, co by to dla mnie znaczyło, lecz instynkt kazał mi się zgodzić. Mistrz zawsze powtarzał, abym słuchał przeczuć i okazało się to dobrą radą: ów wewnętrzny zmysł tego, co właściwe, rzadko mnie zawodził.

– W takim razie weź moją krew – powiedziałem.

Poczułem drapnięcie na grzbiecie lewej dłoni, a potem szorstki język kotabogina zaczął chleptać. Nozdrza wypełnił mi metaliczny zapach. Zdawało się, że trwa to bardzo długo. W końcu serce zaczęło uderzać z trudem, a pulsowanie w skroniach zamieniło się w ostry ból głowy.

Ogarnął mnie głęboki, pozbawiony marzeń sen. Zасыpiając, wiedziałem, że bogin



wciąż pije.

Czy kiedykolwiek się obudzę? Byłem zbyt słaby i zmęczony, by się bać. W tym momencie nie dbałem o to, co się ze mną stanie.

Następną rzeczą, jaką pamiętam, było poranne światło wlewające się przez okno. Czułem bogina leżącego mi na nogach, tym razem jednak pozostawał niewidzialny.

– Słyszysz to? – spytał.

– Co? – odparłem. – Co masz na myśli?

– *Słyszę śpiew ptaków!*

– Ptaki śpiewają codziennie – zauważyłem.

– *Aż do tej chwili nie zwracałem na nie uwagi. Nie interesowały mnie, zupełnie jak owady brzęczące wokół stęchłej kałuży. Ale teraz ich śpiew jest jak muzyka! Wolę ich słuchać niż je pożreć.*

Ciężar bogina zniknął mi z kolan. Kiedy wstałem z łóżka, czułem się słabo, kręciło mi się w głowie. Miałem nadzieję, że szybko dojdę do siebie. Wiedziałem, że w nadchodzącej bitwie będę potrzebował wszystkich sił.

Po śniadaniu stracharz poszedł do biblioteki. Ja wybrałem się na spacer po ogrodzie. Grimalkin wypuszczała właśnie konia na trawę, najwyraźniej dopiero co wróciła.

– Pojechałam na zwiad zbadać posunięcia wroga – zameldowała. – Rozbili duży obóz na niższym zboczu Wzgórza Sygnałowego, szykują się do wymarszu na północ.

– Czy zdołałaś zebrać więcej sojuszników?

– Tak, ale część z tych, na których liczyłam, boi się do nas dołączyć. Mimo to będzie nas dosyć, abyśmy mogli stanąć do walki z wrogiem.

Wskazała ręką wschodni ogród i obdarzyła mnie dziwnym uśmiechem. Znowu nosiła swoje liczne klingi, zauważyłem jednak, że nie ma u pasa długiego miecza, który niedawno wykuła.

– Przejdź się ze mną – poleciła.

Ruszyłem zatem za nią między drzewami, kierując się do kuźni. Całkiem już wystygła, wypełniał ją popiół. Miecz leżał na trawie obok, Grimalkin zabrała go i uniosła ku mnie ręką naprzód.

– Wykułam go dla ciebie – oznajmiła. – To prezent. Weź go!

Zdumiony spojrzałem na miecz. Pierwszym, co mnie uderzyło, była jego brzydota – zupełnie nie przypominał zdobnych, starannie wykutych mieczy bohaterów, ponoć dzieła samego Starego Boga Hefajstosa. Ten wydawał się niedokończony, brakowało mu jakichkolwiek ozdób. Miast połyskiwać w słońcu klinga wydawała się matowa i

zardzewiała.

Grimalkin uśmiechnęła się, jakby czytała mi w myślach.

– Darowanemu koniowi nie zagląda się w zęby, chłopcze – uprzedziła. – Może i miecz nie wygląda ładnie, ale w walce nie o to chodzi. Zdobienia to często dodatek, który raduje twórcę. Ja wolę funkcjonalność. Ten miecz ma służyć jako potężna broń, zaprojektowałam go tak, by wygrywał. Powstał, by zabijać wroga. Weź go!

Przyjąłem zatem miecz. Gdy tylko wzięłem go w prawą dłoń – tę, którą posługiwałem się Klingą Przeznaczenia – pojąłem, że jest idealnie zrównoważony. Miecza ze skeltem nie zrobiono dla mnie i dopiero powoli przywykłem do jego ciężaru i kształtu. Ten był znacznie lżejszy i od razu idealnie leżał mi w dłoni. Walka podobnym mieczem będzie znacznie łatwiejsza.

– Wykułam go z meteorytu, który spadł na ziemię na dalekiej północy – wyjaśniła Grimalkin. – To bardzo rzadka ruda. Ta Gwiazdna Klinga zawsze pozostanie ostra, nigdy nie stępieje i nigdy się nie złamie – jest niezwykle silna. Ma też dodatkową cechę – dodała. – Z łatwością wchłania magię osoby, która ją wykuła. Potem nie przyjmuje już żadnych innych zmian. Wbudowałam w nią zatem potężną tarczę przeciw mrocznej magii, która mogłaby cię skrzywdzić. Dopóki będziesz trzymał go w dłoni albo nosił przy sobie, pozostaniesz odporny na te ataki. Z tym mieczem w dłoni możesz stanąć do walki z najsilniejszą wiedźmą lub magiem, nie obawiając się ich. Nie uczyni cię jednak niezwyciężonym. Gdybym skierowała na ciebie całą swą magię, miecz by ją odbił, ale to by mnie nie pokonało. Użyłabym własnej broni i tak cię zabiła. Strzeż się zatem, bo ktoś inny też może tak zrobić. Wielu magów to również wojownicy.

Pokiwałem głową i przypomniałem sobie niedawną rozmowę z mistrzem.

– Rozmawiałem ze stracharzem o tym, jak najlepiej rozprawić się ze Złym. Uważamy, że najpierw powinniśmy znów odciąć mu głowę, a potem odrąbać kciuki. Potem możemy odciąć jak najwięcej kawałków ciała i rozrzucić na cztery wiatry. Sądzę, że główne rany powinienem zadać mieczami bohaterów, ostatecznie miały stanowić część rytuału poświęcenia Alice. Jak uważasz?

– Zgadzam się. Przynajmniej w ten sposób utrudnimy zadanie jego sługom, kiedy następnym razem spróbują przywrócić go do życia – odparła. – Ale wątpię, by to samo wystarczyło, aby zniszczyć go raz na zawsze. – Zmarszczyła brwi, wbijając wzrok w ziemię.

– Dziękuję ci za miecz – uśmiechnąłem się do wiedźmy zabójczyni. – Ale dlaczego dajesz mi go teraz? Czy postrzegłaś, że będzie mi potrzebny?

– Użyj mieczy bohaterów przeciw Złemu, ale weź też ze sobą Gwiazdą Klingę. Wcześniej czy później będzie ci potrzebna...

Postanowiłem posłuchać jej rady. Wróg użyje przeciw nam magii i miecz przyda się, by mnie przed nią uchronić.

## ROZDZIAŁ 25

### FARMA PIWNA

Późnym rankiem siedziałem w bibliotece z mistrzem. Opisywałem właśnie w notesie mój nowy miecz, on uaktualniał „Bestiariusz”.

Opowiedziałem mu o prezencie od Grimalkin, nie skomentował go jednak. Wiedziałem dlaczego. Miecz mógł odpierać mroczną magię, ale magia posłużyła też do jego wykucia. Mistrz nigdy by się z tym nie pogodził.

Dostrzegł moje spojrzenie i uśmiechnął się ze smutkiem. I w tym momencie zmieniłem zdanie.

Czasami nie podejmujemy decyzji po długim namyśle i procesie logicznej analizy. Zupełnie jakby coś w głębi umysłu rozważyło problem i samo wybrało rozwiązanie, które przyjmujemy.

Mówiłem, że nie narażę mojego brata Jamesa, nagle jednak zrozumiałem, że stawką w tej grze jest coś znacznie większego niż poszczególne osoby. Byłem gotów poświęcić własne życie. Czy nie powinienem przynajmniej pójść i dać Jamesowi tę samą możliwość? W końcu okazał się świetnym wojownikiem, dowodząc atakiem na czarownicę podczas bitwy na wzgórzu Pendle.

– Odwiedzę farmę i spytam Jamesa, czy do nas dołączy – oznajmiłem.

– Dziękuję, chłopcze – odparł stracharz. – Wiem, że trudno ci angażować w to rodzinę, ale wierzę, że dokonałeś słusznego wyboru. Ja mógłbym posłać wiadomość mojemu jedyemu pozostałemu przy życiu bratu, ślusarzowi Andrew, ale to nie

wojownik. James natomiast bardzo nam się przyda.

– Jeśli zginie w tej bitwie, będzie to znaczyć, że źle zdecydowałem – mruknąłem.

– Szanse mamy niewielkie, wszyscy możemy zginąć – odparł stracharz głosem pełnym znużenia i rezygnacji. – Wielu z nas z pewnością polegnie, ale jeśli nam się uda, warto będzie złożyć tę ofiarę. Nie jestem człowiekiem mściwym, lecz widziałem w swym życiu wiele zła. Widziałem rodziny powalone na kolana przez wojnę, patrzyłem, jak brat walczy z bratem, a syn zwraca się przeciw ojcu – i wszystko to stanowiło efekt wpływów Złego na nasz świat. Nie mówię nawet o otwartych atakach sług Mroku, z którymi starałem się walczyć całe życie. O tak, jak powiedziałem, nie jestem człowiekiem, który w zwykłych okolicznościach łaknie zemsty, ale czas już im odpłacić za całe wyrządzone zło, nie tylko w Hrabstwie, lecz na szerokim świecie.

Pokiwałem głową. Wiedziałem, że ma rację.

Po niecałej godzinie ruszyłem na farmę, niegdyś będącą moim domem, gdzie wychowałem się obok sześciu braci, z których czterech obecnie rozproszyło się po Hrabstwie z własnymi rodzinami. Jack nadal prowadził farmę, teraz jednak pomagał mu James, pracujący także jako kowal. Z całą pewnością nie zamierzałem prosić Jacka o pomoc w nadchodzącej bitwie – miał własną rodzinę, podobnie jak inni bracia.

Z mieszanymi uczuciami wracałem do domu: tak wiele się zmieniło. Nie było już tam mamy, oboje z tatą nie żyli. Pamiętałem, że w dzieciństwie byłem tam szczęśliwy, ale teraz nie mógłbym już wrócić. Nic nie było takie same.

Zatrzymałem się i przenocowałem na dworze. Od farmy dzieliło mnie jeszcze kilkanaście mil, które lepiej przebyć za dnia, tak jak prosił Jack.

Wcześniej następnym rankiem przeciąłem las na Wzgórzu Wisielca, stąpając z chrzęstem wśród suchych liści. Tu w mroźną zimową noc nieliczni ludzie wciąż bez wątpienia mogli usłyszeć widma martwych żołnierzy, straconych podczas wojny domowej i

kołyszących się na sznurach. Teraz jednak cały las dźwięczał porannymi śpiewami ptaków. Słońce świeciło w mroźnym powietrzu, rzucając na trawę cienie gałązek.

Nie dostrzegłem ani śladu widm, lecz z boku zauważyłem połąć drzew, powalonych przez Złego, gdy przybył tu po mnie. Schroniłem się wówczas w specjalnym pokoju, w którym mama przechowywała swoje skrzynie. Zły nie zdołał przełamać magii, która go chroniła.

W końcu ujrzałem znajomy kształt Farmy Pivnej – miejscowi nazywali ją tak, bo kiedyś stanowiła jedynie źródło piwa warzonego w okolicy. Tato jednak nie zwracał sobie głowy piwowarstwem i sami nazywaliśmy ją po prostu „farmą” albo „domem”.

Psy uprzedziły o moim przybyciu i Jack wyłonił się ze stodoły, zmierzając ku mnie. Był roslym mężczyzną, często marszczącym krzaczaste brwi, dziś jednak się uśmiechał.

– Tom! Tom! Cóż za niespodzianka! Dobrze cię widzieć! – zawołał.

Chwycił mnie w niedźwiedzi uścisk, lecz nie próbował jak zwykle zmiążdżyć mi żeber. Gdy się rozłączyliśmy, odkryłem, że nie góruje nade mną jak wcześniej. Nigdy nie dorównam mu wzrostem, ale za parę lat mogę się zbliżyć.

– Jak się miewa rodzina, Ellie i mała Mary? – spytałem.

– Och, znakomicie. Nie poznasz Mary: jest słodka jak cukierek, ale prawdziwa z niej chłopczyca, wciąż tylko psoci, ciągle na coś się wspina i wpada w kłopoty.

– A James?

– Nigdy nie przyzna się do tego, ale mocno wstrząsnęło nim schwytnie przez tych bandziorów. Doszedł już jednak do siebie. Jego kuźnia zarabia teraz więcej niż farma – jest bardzo szczodry i płaci aż nadto za swe utrzymanie. Dobry z niego brat.

Sytuacja wyglądała jeszcze gorzej, niż sądziłem. Jeśli James pójdzie ze mną, pozbawię drugiego brata jego pomocy i wsparcia finansowego.

– Co zatem cię tu sprowadza, Tomie? – podjął Jack. – Bez wątpienia przychodzisz rozwiązać parę problemów, które nękają okolicę?

– Jakich problemów? – spytałem.

– W pobliżu farmy nic się nie działo, oprócz zwykłych rzeczy. – Jack wskazał gestem Wzgórze Wisielca. – Ale po drugiej stronie wioski Topley rozpętało się piekło. Trwa od tygodni: duchy, boginy, czarownice, wszystko i jeszcze więcej. Przy cmentarzu widywano duchy, w chacie Becków zamieszkał bogin. Właściciele wytrzymali niecały tydzień, odkąd się pojawił. Teraz robi się niebezpieczny – rzuca kamieniami w przechodniów. Widzieliśmy też mnóstwo czarownic: nieliczne grupki przechodziły tędy, zmierzając na północ, kradnąc strawę i grożąc miejscowym.

Niewątpliwie wiedźmy kierowały się do Kamienia Strażniczego, by dołączyć do innych zwolenników Złego. Ale wzrost aktywności Mroku mnie zaskoczył. Czyżby wywołał go nadciągający kryzys w Święto Zmarłych? Czy moce Mroku zbierają się wszędzie?

– Tak naprawdę przyszedłem prosić Jamesa o pomoc z wielkim problemem, jaki mamy na północy – rzekłem. – Ale oczywiście znajdę dość czasu, by przed odejściem rozprawić się z boginem. – Uznałem, że mogę sobie pozwolić, by poświęcić godzinę czy dwie, nim wrócę do Chipenden.

– Powiedziałaś „mamy”. Chcesz zabrać Jamesa ze sobą?

Pokiwałem głową.

– Oczywiście, jeśli zgodzi się pomóc.

– Czy coś będzie mu groziło? Oczekujesz, by w jakiś sposób walczył z Mrokiem? – Uśmiech zniknął z twarzy Jacka, zastąpił go rosnący gniew. – Nie sądzisz, że dość już wycierpiał?

– Owszem, wycierpiał, wszyscy cierpieliśmy w taki czy inny sposób. Ale całe Hrabstwo i nie tylko je, czeka coś znacznie gorszego. I nie myśl, że będziesz tu bezpieczny, Jack – ostrzegłem. – Coś się wydarzy. Musimy stawić temu czoło, nawet gdybyśmy obaj z Jamesem mieli poświęcić życie.

Gniew zniknął z twarzy Jacka, zamiast tego dostrzegłem na

niej strach i smutek. Wbił wzrok w ziemię.

– Ellie spodziewa się drugiego dziecka – powiedział w końcu. – Po tym, co się zdarzyło w Pendle, sądziłem, że już nigdy nie powiększymy rodziny. Ale denerwuje się, Tomie, więc proszę, nie wspominaj przy niej o tym zagrożeniu.

Ellie była w ciąży, gdy wraz z Jackiem i Mary porwały ich czarownice. Dramatyczne przeżycia sprawiły, że straciła dziecko.

– Oczywiście, Jack. I moje gratulacje!

Uśmiechnął się szeroko i klepnął mnie w ramię, a potem poprowadził do domu. Kuźnia leżała tuż za stodołą, ale nie widziałem pracującego Jamesa.

– Naprawia maszyny rolnicze po drugiej stronie Topley – wyjaśnił Jack, jakby czytał mi w myślach. – Wróci przed zmierzchem – akurat na wieczerzę. Byłbym wdzięczny, gdybyś nie mówił mu o niczym podczas posiłku – tylko zdenerwowałaś Ellie. Męczy się i zazwyczaj szybko chodzi spać, i wtedy będziesz miał okazję pomówić z nim spokojnie. Sam delikatnie przekażę jej wiadomość, kiedy się położę. Możesz przenocować na kanapie na dole?

– Oczywiście, że tak. Ale czy jesteś pewien? Czy Ellie nie będzie zła? Wiem, że obecność ucznia stracharza budzi w was niepokój. Zamierzałem odejść przed zmierzchem.

– Ellie się zgodzi, ja też, Tomie. Tym razem sobie poradzimy. Poza tym James bardziej będzie nadawał się do łóżka niż do długiej podróży. Przetrwamy do rana, nie martw się.

Zastanawiałem się, czemu Jack zmienił zdanie co do mojego pobytu na farmie po zmroku. Czy to z powodu grożącego nam niebezpieczeństwa? Może dlatego, iż sądził, że nie zobaczy więcej mnie ani Jamesa i nie chciał wyganiać mnie podczas ostatniego spotkania?

Odwróciłem się i odkryłem, że Ellie wyszła mnie powitać. Zauważyłem, że jej złociste włosy są jaśniejsze; ostatnie lata pozbawiły je części blasku, w kącikach oczu i ust pojawiły się także pierwsze słabe zmarszczki. Ale gdy się uśmiechnęła, pojąłem, jakie

szczęście miał Jack, że zdobył podobną żonę. Nagle ścisnęło mnie w gardle na myśl o utracie Alice, lecz ze złością odepchnąłem od siebie tę myśl.

– Och, Tomie! Tak się cieszę, że cię widzę! – Ellie uścisnęła mnie ciepło. – Mary! Mary! Przyszedł Tom! Chodź, przywitaj stryja! – zawołała.

Z drzwi wypadła drobna dziewczuszka i spojrzała na mnie wielkimi, okrągłymi oczami. Zupełnie nie przypominała brudnego, przerażonego dziecka, które dwa lata wcześniej czepiało się matki w Wieży Malkinów.

– Witaj, Mary – rzekłem z uśmiechem.

– Witaj, stryju Tomie. Czy przyszedłeś zabić bogga?

– Ma na myśli bogina, który rzuca kamieniami – wyjaśniła Ellie. – Wciąż o tym gada.

– Miejmy nadzieję, że nie będę musiał go zabijać – odparłem. – Czasem można namówić bogina, żeby się wyniósł.

– Mogłabym pójść popatrzeć? Chcę usłyszeć, jak mówi.

– Nie wolno mi zabierać ze sobą innych ludzi, kiedy rozprawiam się z boginami – rzekłem. – Większość nie mówi, ale jeśli ten się odezwie, zapamiętam każde słowo i powtórzę ci je. Zgoda?

Mary uśmiechnęła się i przytaknęła. Odpowiedziałem uśmiechem, po czym zerknąłem szybko na brata i jego żonę. Tworzyli szczęśliwą rodzinę, prawie zapomniałem, jak miło spędzać czas w ich towarzystwie. Nagle zalała mnie fala smutku. Mogę zginąć w nadciągającej bitwie. Być może nigdy ich już nie zobaczę.

\*

James wrócił akurat na kolację, tak jak przepowiadał Jack, i serdecznie uścisnął mi dłoń. Wyglądał na silnego i zdrowego – bez wątpienia dzięki ciężkiej pracy. Wzrostem dorównywał Jackowi, lecz był znacznie bardziej muskularny. Kiedyś złamał nos, nie nastawiono go jak należy, toteż pozostał skrzywiony, rozplaszczony na twarzy. Lecz mimo to wciąż był przystojny w łobuzerski sposób, a jego oblicze często rozjaśniał uśmiech.



Posłuchałem prośby Jacka i nie wspomniałem o prawdziwym powodzie odwiedzin, nawet kiedy James spytał prosto z mostu:

– Co cię sprowadza do domu, Tomie? Coś szczególnego, czy po prostu tędy przechodziłeś? Przełknąłem łyk gulaszu, by móc się zastanowić. – Słyszałem, że macie tu problemy z Mrokiem – odparłem. – Jutro spróbuję rozprawić się z boginem po drugiej stronie Topley.

Jack posłał mi pełny wdzięczności uśmiech.

– Tom chce z nim porozmawiać! – oznajmiła Mary.

– Oczywiście, że tak, skarbie – rzekła Ellie z ciepłym uśmiechem. – Większość problemów na tym świecie można rozwiązać rozmową. Wymaga to tylko odrobiny cierpliwości, to wszystko; czegoś, czego zwykle brakuje mężczyznom.

Uśmiechnąłem się do Ellie, żałując, że to nieprawda. Czy moglibyśmy rozmową przekonać sługi Złego, by nie wspierali swego pana w Święto Zmarłych? Łatwiej byłoby powstrzymać przyływ.

## **ROZDZIAŁ 26**

### **NIKT NIE BĘDZIE BEZPIECZNY**

Kiedy Jack i Ellie poszli na górę, James wstał od stołu.

– Chodź, obejrzyj kuźnię, Tomie – zaproponował. – Trochę się zmieniła od czasu twojej ostatniej wizyty.

Uznałem to za świetną sposobność, by pomówić z nim sam na sam. Poprowadził mnie przez podwórze, a potem z dumą zaprezentował nowy sprzęt: dwa wielkie imadła, kowadło oraz całe rzędy specjalistycznych narzędzi zawieszonych na hakach wbitych w ścianę.

– Kocham tę pracę – rzekł. – Świadomość, że mogę dobrze wykonać robotę i pomóc ludziom za rozsądną cenę, sprawia mi wielką radość. A ludzie to doceniają. Drugi lokalny kowal przeszedł

już na emeryturę i mam niemal więcej zleceń, niż mogę wykonać.

Pokiwałem głową.

– Świetnie ci się wiedzie, James. Ale nie powiedziałem ci wszystkiego, bo Jack nie chciał martwić Ellie. Przychodzę prosić o przysługę. Pamiętasz, jak poprowadziłeś atak na czarownice na Wzgórzu Pendle? Teraz szykuje się coś podobnego i znów potrzebujemy twojej pomocy.

Wyjaśniłem, co się dzieje i że w Święto Zmarłych dojdzie do brutalnego starcia między nami a siłami Mroku.

James słuchał z ponurą miną, dwa razy pokręcił głową.

– To brzmi źle, Tomie, ale sam nie wiem, czy zdołam pomóc. Ostatnim razem zrobiłem to, bo mojej rodzinie groziło niebezpieczeństwo, teraz jednak sprawy wyglądają inaczej. Przez ostatnich kilka lat zbiory nie były najlepsze i zarobek niewielki, a niedawno trzeba było wybić część bydła z powodu choroby racic. Nie jest łatwo. Jack i Ellie potrzebują mnie, by nie dopuścić biedy do drzwi. Nie możecie wciągnąć w to wojska?

Pokręciłem głową.

– Żołnierze nie przepadają za stracharzami. Wątpię, by pomogli, a z całą pewnością nie byliby gotowi do walki u boku naszych sojuszniczek czarownic. Pewnie uznałyby obie strony za wrogów. Wcześniej w tym roku duży patrol zginął z rąk sług Złego nieopodal Todmorden. Żołnierze nie nadają się do takich bitew. – Omówiłem już wcześniej ten pomysł ze stracharzem i obaj zdecydowaliśmy, że nie należy angażować armii. – To, czy nam pomożesz, czy nie, zależy wyłącznie od ciebie.

– Po prostu sam nie wiem, Tomie...

– Powinieneś wszakże rozważyć jedno. Bandyci, którzy cię porwali, nie byli zwykłymi rabusiami. Wykonywali rozkazy Mroku, najpewniej samego Złego. Chodziło o to, by raniąc cię, wywrzeć nacisk na mnie. Wybacz mi, James – dodałem z poczuciem winy – ale coś takiego może się powtórzyć i spotkać nie tylko ciebie, ale też Jacka, Ellie i małą Mary. Jeśli nie zwyciężymy w Święto Zmarłych, nikt nie będzie bezpieczny. Przynależem mojemu

mistrzowi, że cię poproszę i już to zrobiłem. Muszę wyznać, że z początku nie chciałem cię angażować, nie chciałem znów narażać twojego życia. Ale sytuacja jest rozpaczliwa. Niemniej, jak mówiłem, decyzja należy do ciebie, Jamesie, a ja ją uszanuję.

– Kiedy wracasz?

– Jutro rano. Teraz pójdę rozprawić się z tym boginem – łatwiej załatwić to po ciemku.

Mimo zbliżającej się bitwy nadal musiałem wykonywać rutynowe zadania stracharza. Jeśli nie pozbędę się bogina, w końcu kogoś zabije. Miałem obowiązek się tym zająć.

– Dobrze, Tomie – powiedział z westchnieniem James. – Pozwól, że to przemyślę i jutro przekażę ci moją decyzję.

\*

Bogin nie okazał się skłonny do współpracy. Rozmowa nic nie dała. Czasami udaje się przekonać podobną istotę, by opuściła okolicę, ale ten był uparty. Jak większość odmian boginów, rzucacze zazwyczaj pozostają niewidzialne – i dobrze, bo są bardzo brzydkie i mają sześć rąk. W pierwszym roku mojego terminu mojego mistrza omal nie zabił jeden z nich, który zamieszkał na farmie pod Adlington.

Mogłem spróbować go zastraszyć, usypując wokół farmy linie soli i żelaza, ale to nie zawsze działa, a poza tym brakowało mi czasu. Choć więc to niebezpieczne, stanąłem do walki: on uzbrojony w kamienie, ja z solą w lewej dłoni i opiłkami żelaza w prawej. Dobrze wycelowałem – dwa obłoki soli i żelaza złączyły się doskonale, zabijając bogina; została z niego tylko cuchnąca kałuża śluzu na podłodze. Ja zarobiłem guza wielkości jajka na czole, ale przynajmniej zostałem przy życiu.

Wkrótce po północy ułożyłem się na kanapie i mimo tępego bólu głowy w końcu zasnąłem.

Wczesnym rankiem obudził mnie Jack, ruszający do pracy, i Ellie gotująca śniadanie. Siadłem nad wielkim talerzem grzanek i jajecznicy, Mary zajęła już miejsce przy stole, zajadając łyżką owsiankę.

- Co powiedział bogg? – spytała.
- Ani słowa – uśmiechnąłem się do niej. – Walczyliśmy i wygrałem, bogga już nie ma.
- Stryjek Tom wygrał! – zawołała Mary do matki.
- Oczywiście, że wygrał, skarbie, nigdy w to nie wątpiłam. To jego praca i jest w niej dobry.

Ellie uśmiechała się, lecz kiedy James wszedł do kuchni, natychmiast posmutniała. Wystarczyło spojrzeć, by zrozumieć, że podjął decyzję. W jednej ręce trzymał wielki kowalski młot, w drugiej torbę podrózną.

- Idę z tobą, Tomie – oznajmił, potwierdzając to, co już odgadliśmy.

Po niecałej godzinie zegnaliśmy się z rodziną. Jack uścisnął mi dłoń i poklepał po plecach.

- Uważaj na siebie, Tom. Uważaj. Wróćcie obaj bezpiecznie.

Ellie mocno uścisnęła Jamesa, a gdy się rozłączyli, po jej twarzy spływały łzy.

Gdy wyruszyliśmy w drogę, pozostawiając za sobą farmę, zastanawiałem się, czy jeszcze kiedyś ją zobaczę. Zastanawiałem się, czy prowadzę brata na śmierć.

\*

Dwa dni przed Świętem Zmarłych spotkaliśmy się o zmroku w kuchni domu stracharza; przeprowadziłem przez ogród członków naszej niewielkiej grupy, by bogin nie rozszarpał ich na strzępy.

Podejrzewam, że nawet w najbardziej szalonych snach mój mistrz nie przewidział sytuacji, w której wokół jego stołu zasiądzie tak mieszane towarzystwo. Oczy zebranych połyskiwały w blasku świec.

Przywykliśmy już ze stracharzem do obecności Grimalkin, a Judd i James nie stanowili problemu. To Mab, młoda przywódczyni Mouldheelów oraz nadąsana wiedźma o brudnych paznokciach, zwana Fancy, najbardziej wystawiała na próbę cierpliwość mojego mistrza.

- Najpierw musimy zdecydować, gdzie zbierzemy nasze siły –

rzekł stracharz.

– Czy w ogóle musimy je zbierać? – spytała Fancy. – Lepiej zaatakować jednocześnie z wielu różnych stron!

Mimo że dzieliła nas cała długość wielkiego stołu, nadal czułem jej cuchnący oddech; zacząłem podejrzewać, że pod paznokciami ma nie brud, lecz krew. Przewodziła jednak dużej grupie z klanu Deane'ów i musieliśmy znieść jej obecność: potrzebowaliśmy wszystkich możliwych sojuszników.

– Nie! – odparła z emfazą Grimalkin. – Musimy połączyć siły i skoncentrować je w jednym miejscu. Powinniśmy być jak grot włóczy, przebić się w miejsce, gdzie wrogowie przechowują ciało Złego. John Gregory i Tom Ward przedstawili mi pomysł, który uznałam za całkiem sensowny. Potniemy Złego na możliwie najwięcej kawałków i rozproszymy się, każdy z nas zabierze jeden ze sobą. Możemy je ukryć, albo jeszcze lepiej robić jak ja: trzymać je przy sobie i bronić aż do śmierci. Jeśli to go nie zabije, to przynajmniej opóźni jakąkolwiek próbę przywrócenia mu niegdysiejszej mocy. Próbowałaś postrzec wynik walki? – zwróciła spojrzenie ku Mab Mouldheel, siedzącej po jej lewej stronie.

Mab ogromnie cieszyła się z opinii najlepszej widzącej w całym Pendle i gdy Grimalkin pośrednio uznała jej status, ładniutką twarz czarownicy rozjaśnił szeroki uśmiech. Wiedźma zabójczyni sama także całkiem nieźle radziła sobie z postrzeganiem. Jedynym minusem obecności Mab wśród nas był smród jej niemytych bosych stóp, jeszcze gorszy niż cuchnący oddech Fancy.

– Owszem – odparła z uśmiechem. – Ale nie wygląda to jasno. Wiem, że po obu stronach zginie wiele osób: bardzo prawdopodobne, że co najmniej jedno z nas, siedzących przy tym stole, zostanie zabite. Czy chcielibyście poznać ich imiona, by móc się przygotować?

– Zachowaj swoje mroczne wizje dla siebie! – warknął gniewnie stracharz. – Dopóki przebywasz pod moim dachem, nie wspominaj o takich sprawach.

Mab uśmiechnęła się do niego ze słodyczą.

– Jak sobie życzysz, Johnie Gregory, ale dodam jeszcze jedno – decyzje, które podejmiemy przy tym stole, ukształtują wynik bitwy. Kiedy już zatem zapadną, znów spróbuję go postrzec, i wówczas ujawnię wszystkim prawdopodobny koniec bitwy. Jeśli ktokolwiek z siedzących tu chce się dowiedzieć, czy znajdzie się w gronie zabitych, czy też nie, niechaj przyjdzie do mnie na osobności, a ja mu powiem.

– A zatem ustalone – podjął mój mistrz. – Zbierzemy się w jednym miejscu, skupimy nasze siły i uderzymy na wroga od flanki, niczym ostra włócznia zmierzająca ku sercu, którym jest Zły.

Fancy na moment otworzyła usta, jakby zamierzała zaprotestować, lecz Grimalkin posłała jej tak wściekłe spojrzenie, że natychmiast je zamknęła. Wszyscy przy stole, łącznie z Fancy, przytaknęli.

– Gdzie najlepiej będzie się zgromadzić? – spytałem.

Obawiałem się, że cokolwiek wybierzemy, nieprzyjaciele albo nas wykryją, albo z łatwością odnajdą za pomocą mrocznej magii.

– Na północ od Piki Clougha? – zaproponował stracharz.

– Miejsce równie dobre jak każde inne – odparła Grimalkin. – Gdziekolwiek się spotkamy, możemy być pewni, że wrogowie odkryją nas i zastawią zasadzki. Wezmę zatem ze sobą niewielki oddział Malkinów, by oczyścić drogę.

– Chciałbym coś powiedzieć na temat zgrania w czasie – niski głos Jamesa po raz pierwszy zagrzemiał nad stołem. – Wcześniej, na Wzgórzu Pendle, nie zdołaliśmy powstrzymać przywołania Złego na ten świat, bo przybyliśmy za późno. Raz już tak się stało. Tym razem musimy dobrze wszystko wyliczyć.

Miał niewątpliwą rację. Z pomocą sióstr mamy, latających lamii, w końcu zwyciężyliśmy w bitwie i rozbiliśmy zgromadzenie klanów z Pendle. Ale zjawiliśmy się za późno.

– Spróbuję to postrzec – wymamrotała Mab.

– Nie brzmisz zbyt pewnie. – Grimalkin uniosła brwi.

– Jeśli Alice i Lukrasta będą ukrywać te informacje,

postrzeżenie może okazać się trudne – wyjaśniła.

– Tylko ty możesz tego dokonać i wierzę, że ci się powiedzie!

Mab dosłownie rozbłysła, słysząc kolejne pochwały z ust wiedźmy zabójczyni i pojąłem, co osiągnęła Grimalkin – dała Mab cel. Wiedziałem, że czarownica wyteży teraz wszystkie siły, byle tylko zdobyć tę kluczową informację.

Wkrótce potem wiedźmy odeszły. Odprowadziłem je na skraj ogrodu, a tymczasem Grimalkin wróciła na swe zwykłe miejsce obok kamieni boginów.

– Bądź bardzo ostrożny w czasie bitwy, Tomie – ostrzegła Mab.  
– U ciebie życie i śmierć balansują na ostrzu noża, a jeśli zdołasz przetrwać, czekają cię jeszcze większe niebezpieczeństwa. Trzy razy możesz zginąć: podczas bitwy; natychmiast po niej i wreszcie w starciu z potężnym przeciwnikiem.

– Dzięki za te radosne wizje, Mab – odparłem z sarkazmem. Jej słowa nieszczęśliwie dodały mi otuchy, toteż szybko postarałem się o nich zapomnieć.

– Bez urazy, Tomie, wiesz, że cię lubię. Nie chciałabym chyba, żeby spotkało cię coś złego, prawda? I na twoim miejscu nie polegałabym zbyt na tym zardzewiałym mieczu, który dała ci Grimalkin.

Stałem, odprowadzając wzrokiem dwie czarownice oddalające się od Chipenden. W duchu kipiałem wściekłością. Wiedziałem, że Grimalkin nie wspomniałaby Mab o mieczu – sama go postrzegła. Czy niczego nie da się przed nią ukryć? Wiedziałem jednak, że Alice i Lukrasta są w stanie ją pokonać i to mogło stanowić problem. Musieliśmy poznać dokładny czas rytuału.

Co do ostrzeżeń przed śmiercią, doskonale zdawałem sobie sprawę z tego, że wróg ma wielokrotną przewagę liczebną. Nic nie gwarantowało naszego zwycięstwa, toteż uznałem, że nie ma sensu się przejmować.

Będzie, co będzie...

Kiedy wróciłem do kuchni, mój mistrz, James i Judd nadal siedzieli przy stole. Natychmiast wyczułem zmianę atmosfery.

– Siadaj, chłopcze – warknął stracharz z irytacją w głosie.

– Co się stało? – spytałem.

– Sprzymierzenie się z czarownicami sprzeciwia się wszystkiemu, w co wierzę. Grimalkin darzę szacunkiem mimo tego, czym jest, ale te pozostałe – zwłaszcza podstępna niewiasta z krwią pod paznokciami i cuchnącym oddechem – nigdy nie sądziłem, że do tego dojdzie!

– Nie mamy wyboru – odparłem, próbując go uspokoić. – Potrzebujemy ich i tych, którym przewodzą. Tylko z ich pomocą możemy liczyć na powodzenie.

– Owszem, przewodzą, to kolejna rzecz, która mnie drażni – znów podniósł gniewnie głos. – James się odezwał, ale ty milczałeś, chłopcze – a ty Judd nie wymówiłeś nawet jednego słowa. Jeśli im pozwolimy, same podejmą wszystkie decyzje.

– Wybacz mi, Johnie – odparł Judd. – Kiepsko sobie radzę z mówieniem w towarzystwie. Dopiero co przybyłem i wciąż dowiaduję się, jak się sprawy mają. Uznałem, że najlepiej będzie siedzieć i słuchać.

Stracharz spojrział na niego i ze znużeniem pokiwał głową.

– Wiem, że się to panu nie spodoba – spojrzałem mistrzowi prosto w oczy – ale muszę to powiedzieć. Czeka nas wielka bitwa. Nie chodzi tu o starcie jednego czy dwóch z nas z jakimś groźnym stworem z Mroku. Potrzebujemy zatem przywódcy, potężnego wojownika, kogoś, kto zdoła nas zjednoczyć. To nie może być James – nasi sojusznicy niemal go nie znają. Ani też stracharz, ani uczeń, bo czarownice ledwie nam ufają. Zatem to musi być Grimalkin. Za nią pójdą wszystkie – z szacunku albo ze strachu. Wie, co robić w takiej sytuacji. Musimy się z tym pogodzić i nauczyć z tym żyć.

– Żyć z tym albo ginąć! – warknął stracharz. – Owszem, może będzie warto, jeśli zdołamy rozprawić się ze Złym – przynajmniej odpłacimy mu za wszystkie spowodowane przez niego cierpienia. No dobrze, idę do łóżka. Jutro ruszamy w drogę i będziemy nocować na twardej ziemi. Cieszcie się zatem wygodami, póki



możecie.

Przytaknąłem z uśmiechem, lecz jego słowa poruszyły czułą strunę. Któryś z nas być może ostatni raz będzie spał w łóżku.

## **ROZDZIAŁ 27**

### **STARCIE WIEDŹM ZABÓJCZYŃ**

Mab powróciła w południe następnego dnia z wynikami ostatniego postrzegania. Cała promieniała. Dowiedziała się, że rytuał odbędzie się o zachodzie słońca, a nie tuż przed północą, co wydawało się bardziej prawdopodobne.

Wkrótce potem Grimalkin uznała, że nadszedł czas rozstania i pożegnała się z nami.

– Spotkamy się na południe od Piki Clougha, zgodnie z ustaleniami – oznajmiła. – Teraz ruszam oczyścić nam drogę. Potem nadejdzie czas bitwy, która wszystko rozstrzygnie.

Zabierała ze sobą kilka czarownic. Razem miały odnaleźć i zabić przyczajonych w zasadzkach wrogów.

– Owszem – zgodził się stracharz. – Czas bitwy się zbliża i to bardzo szybko.

Grimalkin oddaliła się od nas bez nawet śladu kulenia. Bez wątplenia nadal czuła ból sprawiany przez srebrny trzpień, ale świetnie go ukrywała. Nagle odwróciła się i spojrzała na mnie.

– Pamiętaj, żeby zabrać oba miecze – rzuciła.

Po niecałej godzinie wyruszyliśmy w wyznaczone miejsce. Stracharz, James, Judd i ja podróżowaliśmy razem wraz z trzema psami, Szponem, Krwią i Gnatem. Horda czarownic wędrowała osobno, miały się z nami spotkać jutro w południe. W drodze niewiele rozmawialiśmy, nawet gdy rozbiliśmy obóz na zachód od Kamienia Strażniczego. Siedzieliśmy przy ognisku pogrążeni w myślach, wpatrując się w żar.

Później James zabawiał mnie historyjkami o życiu na farmie w

ciągu ostatniego roku. Mała Mary najwyraźniej uwielbiała płatać psoty i psikusy, ale ja nie miałem mu zbyt wiele do powiedzenia. Większość moich przeżyć wiązało się z walką z Mrokiem, a to zawsze niepokoi ludzi. Nie wspominałem też o Alice – nie mogłem znieść jakichkolwiek rozmów na jej temat.

\*

Święto Zmarłych zaczęło się deszczem; zmarznięci i dygoczący, zjedliśmy późne śniadanie, złożone z zimnego kurczaka, w częściowym schronieniu, jakie zapewniał las. Z gałęzi na głowy ściekały nam wielkie krople.

Jako ostatni zjawiliśmy się pod Piką Clougha i serce opadło mi w pięty, gdy rozejrzałem się dokoła. W ostatecznym rozrachunku jakże niewielu udało nam się zgromadzić, by walczyli w naszej sprawie: byli tam stracharz, mój brat James, Judd Brinscall z trzema ogarami, Grimalkin i może sto pięćdziesiąt czarownic z Pendle, w większości z klanu Mouldheelów, pod przywództwem Mab i jej dwóch sióstr. Do tego około tuzina wiedźm, które Grimalkin wezwała z dalekiej północy: przepawiły się przez morze, by walczyć u naszego boku. Wszyscy milczeliśmy, zmuszeni do rozważań nad czekającym nas zadaniem, podczas którego większość z nas z pewnością straci życie.

Wiatr świszczwał na szczytach wzgórz, gdzieś w dali usłyszałem nawoływanie czajki, ale psy milczały, tak samo jak my. Zwierzęta są wrażliwe – może przeczuwały, co nas czeka.

A potem, właśnie gdy szykowaliśmy się do wymarszu do Kamienia Strażniczego, pojawiło się dodatkowe, niespodziewane uzupełnienie naszej grupy. Niebo przejaśniało i gdy słońce opadało w stronę horyzontu, dostrzegłem na jego tarczy coś ciemnego. W chwilę później mknęła ku nam skrzydlata postać.

Kiedy raz się ją zobaczyło, nigdy nie dało się zapomnieć. To była Slake, wengira, lamia, siostra mamy, którą ostatnio widziałem w Wieży Malkinów. Oznajmiła wówczas, że pozostanie tam, póki Zły nie zostanie zniszczony, i tylko wtedy będzie mogła odlecieć.

Czarownice rozbiegły się, wrzeszcząc z obawy, gdy opadła ku

miejscu, gdzie staliśmy ze stracharzem. Część obecnych sojuszniczek z pewnością walczyła z nami na Wzgórzu Pendle dwa lata wcześniej i miały powody, by lękać się skrzydlatej lamii, która wraz z siostrą odegrała decydującą rolę w owej bitwie.

Slake wylądowała przede mną i moim mistrzem. Przyjrzałem jej się z podziwem. Czarnopióre skrzydła złożyła na plecach, osłaniając delikatniejsze, wewnętrzne. Potężną dolną część ciała pokrywały łuski, nogi i ręce kończyły się ostrymi jak brzytwy szponami. Nie czułem się pewnie, stojąc tak blisko i spoglądając w jej okrutne, nieruchome oczy.

– Nie wypełniacie planu Zenobii! – syknęła oskarżycielsko. – Postrzegłam wasze nieposłuszeństwo i przybyłam, by przekonać się na własne oczy.

W czasach, gdy mama była jeszcze lamią, nosiła imię Zenobia. Zażądała ode mnie, abym złożył w ofierze Alice i tego właśnie oczekiwała Slake. Nie przybyła do nas dołączyć, lecz rzucić mi wyzwanie.

– Ofiara nie jest już chętna i gotowa – odparłem. – Sprzymierzyła się z magiem Lukrastą, sądzi, że lepiej będzie, by Zły przetrwał, inaczej inny bóg zajmie jego miejsce i poprowadzi swój lud na wojnę, aby wytępić ludzkość. Ofiara i tak na nic by się zdała.

– Zły tkwi już przywiązany do Kamienia Strażniczego, czekając na rytuał – oznajmiła lamia. – Przeleciałam nad nim, żeby sprawdzić, co się dzieje. Głowa i tułów już się połączyły, zostało niewiele czasu. Czy macie lepszy plan? Co zamierzacie zrobić?

– Zrobimy, co możemy – odpowiedział za mnie stracharz. – Zebraliśmy tu tyle osób, ile tylko zdołaliśmy. Zakłócimy rytuał, a potem spróbujemy ponownie odciąć głowę od ciała i wykraść ją. Tym razem, nim się rozproszymy, porąbamy go i każdy z nas zabierze mały kawałek, dokładając wszelkich starań, by ochronić go przed sługami Mroku.

– Jest was niewielu, a ich mnóstwo – może nawet pięciu na każde z was. Mają też po swej stronie Lukrastę i dziewczynę Alice.

Sytuacja wygląda ponuro.

Powróciłem myślami do bitwy na Wzgórzu Pendle. Z pomocą Slake i jej siostry lamii zwyciężyliśmy – choć nie osiągnęliśmy głównego celu, nie udało nam się powstrzymać czarownic przed przywołaniem Złego. Slake miała rację, sytuacja wyglądała ponuro – całkiem możliwe, że znów poniesiemy klęskę.

– Możemy tylko próbować – rzekłem.

– Owszem, lepiej zginąć w walce, niż czekać bezczynnie z boku – potwierdził stracharz.

– Zgadzam się z tym całym sercem. – Grimalkin stanęła naprzeciw skrzydlatej lamii. – Przed nami wielka walka, mamy mizerne szanse, a jeśli przegramy, zapłacimy straszną cenę. Całe moje życie wiodło do tej chwili. Czy może być coś lepszego, niż polec w podobnej bitwie? Powiem ci jedno – jestem Grimalkin i jeśli zginę, zabiorę ze sobą wielu wrogów. Czy zatem dołączysz do nas, siostrzo?

Do tej pory inne wiedźmy zbliżyły się i słuchały z zainteresowaniem, spijając każde słowo z ust zabójczyni. Slake przyglądała jej się długą chwilę, potem powoli pokiwała groźną głową.

– Tak, złączę z wami siły. Pamiętajcie, że każde z nas tu zebranych musi odebrać życie co najmniej pięciu przeciwnikom. Zróbcie to, a może wygramy mimo ich przewagi.

W chwilę później maszerowaliśmy już w stronę Kamienia Strażniczego, Grimalkin stąpała na przedzie. Posuwaliśmy się powoli, ziemia pod stopami nasiąkła wodą, wokół rozlewały się głębokie, cuchnące kałuże, pułapki na nieostrożnych wędrowców. Wiatr wiał coraz mocniej, ale już nie z zachodu, zamiast tego smagał nam twarze. Niebo wciąż pozostawało czyste, zachodzące słońce wyraźnie oświetlało całą krainę. Jak dotąd nie wyczuliśmy deszczu.

I wtedy nagle ujrzałem błysk na horyzoncie dokładnie przed nami. Czy był to piorun? Nie usłyszałem towarzyszącego mu grzmotu. Wkrótce potem oślepił mnie kolejny rozbłysk błękitnego

światła.

– Używają magii – oznajmiła Grimalkin. – Czuć ją w powietrzu! Istotnie, wiatr niósł ku nam słabą woń siarki i wiedziałem, że zabójczyni ma rację.

Gdy zbliżyliśmy się do celu, ciemny masyw Kamienia Strażniczego powoli wyrósł przed nami niczym złowieszcza bestia gotowa do skoku. W promieniach zachodzącego słońca wyglądał jak pomalowany krwią. I wtedy wypatrzyliśmy nieprzyjaciół, okrążających głaz: gdy się zbliżyliśmy, obrócili się ku nam, unosząc broń. Wyglądali onieśmielająco: świadomość ich przewagi liczebnej to jedno, ale ujrzeć na własne oczy zmasowane szeregi – coś zupełnie innego. Jak mieliśmy przebić się do Kamienia Strażniczego przez tak wielką armię?

Poszukałem wzrokiem Alice i Lukrasty, ale nie dostrzegłem ani śladu obojga i ulżyło mi. Chyba bym zwymiotował, gdybym zobaczył ją w szeregach wroga.

Za nimi widziałem potężną sylwetkę Złego, przywiązanego do Kamienia Strażniczego. Jego ciało spowijały sznury, te z kolei przymocowano do kołków wbitych w skałę. Najwyraźniej musiał pozostawać w kontakcie z kamieniem, by mroczna magia zadziałała. Po cóż innego tak by go krępowali? Bez lin mógłby ześliznąć się na płaską, błotnistą ziemię w dole.

Nigdy dotąd nie wyglądał równie przerażająco; obawiałem się, że lada chwila może otworzyć oczy, zobaczyć mnie i oderwać się od głazu, by mnie dopaść. Wiedziałem, że rytuał jeszcze trwa, ale groza mnie nie opuściła.

W miarę, jak się zbliżaliśmy, ziemia stała się nieco twardsza i przyspieszyliśmy kroku. Teraz już się nie zatrzymamy. W każdej chwili spodziewałem się dzikiej szarży. Stracharz zaakceptował, że dowodzi nami Grimalkin; wiedziałem, że się zgodzi – to ona miała podejmować decyzje co do nadchodzącej bitwy i wydać najważniejszy rozkaz: do ataku.

Szła przodem, całkowicie panując nad naszą niewielką armią. Kto mógłby rzucić jej wyzwanie? Nie ma wątpliwości: w tym

rodzaju walki stanowiła najlepszy wybór.

Uniosłem wzrok, gdy błyskawica uderzyła w Kamień Strażniczy. Tym razem nie była to płachta światła, ale błękitny zygzak z bezchmurnego nieba. Trafiła wprost w masywne cielsko Złego, który zaczął się zwijać i kręcić głową z boku na bok. Rytuał się rozpoczął, znów przepełniła mnie groza.

Wróciłem myślami do wieży i przypomniałem sobie włókna, które wyrosły z kikuta szyi, by połączyć się z tymi z głowy. Tu proces wyglądał na dużo bardziej zaawansowany. Zastanawiałem się z lękiem, czy głowa zdołała już połączyć się z ciałem, tak jak sugerowała Slake?

Nagle poczułem nacisk na twarz i tułów. Nie był to jedynie porywisty wiatr, wiejący na nas wprost od Kamienia Strażniczego, lecz obca, lodowata moc, która natychmiast zmroziła mnie do szpiku kości, tak że zacząłem niepowstrzymanie dygotać. Zerknąłem w lewo i w prawo i przekonałem się, że inni też coś czują. Jedna z czarownic zaczęła wrzeszczeć i wyrywać sobie garściami włosy, inna padła na kolana, tłukąc czołem o ziemię.

Reszta nadal maszerowała naprzód, tyle że znacznie wolniej. Nawet Grimalkin i mój mistrz najwyraźniej zmagali się z czymś. Ja sam walczyłem zaciekle – nawet podniesienie stopy wymagało ogromnego wysiłku. Ktoś używał potężnej mrocznej magii, by nas zatrzymać – bez wątpienia sprawiła to połączona wola hordy czarownic, być może przy wsparciu Lukrasty i Alice.

Siódmu synowi siódmym synów zazwyczaj są w stanie stawić czoło zaklęciu zwanemu grozą, które wywołuje u ofiar nieopanowany strach. Jednakże tym razem obaj ze stracharzem zatrzymaliśmy się w miejscu. Czułem się przygwożdżony do ziemi, oszołomiony, traciłem wszelką wolę walki.

Co z Gwiazdną Klingą? – pomyślałem. Czy nie powinna ochronić mnie przed każdym atakiem z użyciem mrocznej magii? A może moc przeciwników okazała się zbyt wielka dla tego, co wykuła Grimalkin? Może Lukrasta jest po prostu za potężny?

Wiedźmy zebrane wokół Kamienia zaczęły z nas szydzić,

pokazywać rękami i zanosić się szaleńczym śmiechem. A potem wysoka zabójczyni, Katrina, wystąpiła naprzód i poczęła drwić z Grimalkin, nawołując ją donośnie. Gdy tak krzyczała, skurczone czaszki, w których przechowywała swą magię, wirowały i tańczyły.

– Widzę, że drżysz i dygoczesz ze strachu, Grimalkin! Trzęsą ci się kolana, ze zgrozy nawet cuchnąca ślina w twych ohydnych ustach już wyschła! Głupcy szeptali twoje imię w mroku i rozpuszczali kłamstwa co do twojej świętej reputacji. Ale to wszystko fałsz! Jestem Katrina, największa ze wszystkich wiedźm zabójczyń – najgroźniejsza, jaka kiedykolwiek krążyła po ziemi! Wobec mojej siły ty jesteś słaba, ja jestem dzielna, a ty tchórzliwa. Słyszę, jak twoje kolana uderzają o siebie, nie śmiesz wystąpić naprzód, by walczyć!

Spodziewałem się, że Grimalkin odpowie, zachowała jednak milczenie i ku mej zgrozie przekonałem się, że całe jej ciało drży. Z pewnością jednak nie sprawił tego strach; to musiała być magia wroga.

– Tej nocy zginiesz, Grimalkin! – ciągnęła Katrina. – Staneś naprzeciw silniejszej zabójczyni niż jakakolwiek, którą dotąd spotkałaś. Kiedy nastanie świt, nasz pan będzie władcą ziemi, a ja ozdobię swe ciało twoją czaszką na pamiątkę zwycięstwa!

Grimalkin nadal nie odpowiadała, widziałem jednak, że sunie naprzód, zmuszając się do stawienia kolejnych powolnych, bolesnych kroków. Zmierzała w miejsce, gdzie czekała uśmiechnięta Katrina, unosząca w gotowości ostre noże.

Czyżby Grimalkin zawiodła jej magia? Gdzie się podziała jej zwykła gracia i siła? I jakie miała szanse w starciu z podobną przeciwniczką, wspieraną potężną mocą Lukrasty?

I wtedy nagle jednym płynnym ruchem Grimalkin całkowicie przełamała zaklęcie, dobyła dwóch kling i pomknęła wprost ku nieprzyjaciółce, przyspieszając z każdym krokiem. Zupełnie jakby własnymi czarami odrzuciła powstrzymujące ją zaklęcie. A może po prostu zadziałała jej żelazna wola – determinacja i wiara w samą siebie, która tak dobrze służyła jej w przeszłości?

Nie widziałem nawet śladu rany, przez którą wcześniej tak mocno utykała. Jeśli czuła ból, a na pewno go czuła, w żadnym stopniu jej nie przeszkadzał.

Gdy dotarła do przeciwniczki, nie zaczęły krążyć wokół siebie ani ostrożnie wymieniać ciosów. Obie zapomniały o ostrożności. Grimalkin rozpoczęła swój zwykły taniec śmierci, wirując i skacząc, w ostrzach jej noży odbijała się czerwień zachodzącego słońca. Lecz Katrina dotrzymywała jej kroku, odbijała każde cięcie i pchnięcie własnymi nożami.

Przez moment ogarnęły mnie wątpliwości i lęk o Grimalkin. Zawsze była tak groźna, tak opanowana w walce. Co, jeśli nie odzyskała pełnej sprawności w nodze i w końcu napotkała równą sobie przeciwniczkę?

Gdybyśmy teraz stracili Grimalkin, stanowiłoby to ogromny cios dla nas wszystkich – ale zwłaszcza dla czarownic. Gdyby bowiem okazało się, że nasi nieprzyjaciele prócz przewagi liczebnej dysponują także bardziej śmiercionośną zabójczynią, moglibyśmy przegrać bitwę, zanim jeszcze się zaczęła.

Przy tak mizernych szansach podjęcie walki wymagało aktu wiary: trzeba było wierzyć, że się zwycięży. Klęska Grimalkin mogłaby strzaskać tę wiarę.

Przeciwna strona zaczęła krzyczeć, zachęcając własną czempionkę i obrzucając wyzwiskami jej przeciwniczkę, nie trwało to jednak długo. Stopniowo umilkli, całą uwagę skupiając na widowisku: dwóch wiedźmach zabójczyniach, idealnie wyszkolonych, obu w szczycie mocy i umiejętności.

W pewnym momencie zderzyły się gwałtownie, klinga o klingę. Z napiętymi mięśniami napierały na siebie, usiłując zdobyć przewagę. Z początku szala przechyliła się na stronę Grimalkin, potem jednak Katrina odepchnęła ją z powrotem. Wciąż się zmagaly w przód i w tył. Nie mogłem znieść tego widoku, ciągle myślałem o strzaskanej kości, połączonej jedynie srebrnym trzpieniem. Z pewnością noga Grimalkin nie wytrzyma.

Nagle jednak, ku mojej uldze, znów się rozłączyły. Szybkość i



wyczucie znów znaczyły więcej niż brutalna siła.

Przez jakiś czas zdawało się, że żadna nie ma przewagi, potem jednak losy bitwy jakby się odwróciły. Grimalkin zaczęła słabnąć, Katrina napierała na nią niczym niepowstrzymana fala. Bryznięła krew i nasza strona jęknęła chórem, gdy Katrina zadała pierwszą ranę.

Grimalkin, skaleczona głęboko nad lewym okiem, cofnęła się chwiejnie, na moment oszołomiona gwałtownym naporem przeciwniczki. Sprawy zaczynały iść bardzo źle. Krew płynęła z rany, częściowo przesłaniając jej wzrok. Wydawała się teraz mniej zręczna, ledwie broniła się przed każdym pchnięciem bądź ciosem noża.

A potem, ku mojej zgrozie, odwróciła się plecami i pobiegła ku nam. Serce ścisnęło mi się w piersi, nigdy nie sądziłem, że dożyję tego dnia.

– Widzicie? Ona ucieka! Ucieka! – krzyknęła w ekstazie Katrina, a zebrane za nią czarownice zaczęły radośnie wiwatować.

W tym momencie Grimalkin zatrzymała się w biegu i ponownie zwróciła ku przeciwniczce. Otarła grzbietem dłoni czoło, by powstrzymać krwotok i wymamrotała coś pod nosem. Dyszała ciężko, ale nie odpowiedziała.

Zauważyłem, że krew nie płynie już z rany, Grimalkin zatamowała ją magią.

Teraz znów puściła się biegiem w stronę Katriny, przyspieszając z każdym krokiem.

Trzy rzeczy wydarzyły się niemal jednocześnie. Ponad miejsce, w którym się spotkały, trysnął czerwony pióropusz krwi – lecz tym razem nie należała ona do Grimalkin.

Katrina runęła na ziemię.

Zwycięska wiedźma zabójczyni biegła dalej, nie zwalniając kroku.

Pędziła wprost na czekających nieprzyjaciół.

## **ROZDZIAŁ 28**

## BITWA O KAMIEŃ STRAŻNICZY

Grimalkin zabiła Katrinę niemal od niechcienia, niczym ambitnego pionka, którego czarna królowa zrzuciła z szachownicy. Istotnie wyglądała niczym królowa. Choć sprzymierzyła się ze Światłem w tej walce ze Złym i jego sługami, była Grimalkin, najmroczniejszą i najniebezpieczniejszą z wiedźm zabójczyń; Grimalkin, która kochała walczyć; Grimalkin, która zrobi wszystko, by zwyciężyć – i w razie potrzeby gotowa jest zapłacić za to życiem.

Tak naprawdę wszyscy już wcześniej stawialiśmy czoło śmierci. Ze swej strony podchodziłem do tego dość fatalistycznie: jeśli się stanie, niechaj i tak będzie. Ale wolałem przeżyć, przyszłość – nawet ta bez Alice – wabiła mnie i nie chciałem jej utracić.

Przed sobą widzieliśmy czekające na nas szeregi sług Złego, unoszących w gotowości broń. Nie wiwatowali już, nie ujadali niczym żądne krwi psy. Dostali krew, czerwoną i śliską na trawie wokół martwego ciała ich czempionki, Katriny. Teraz patrzyli w milczącym zdumieniu na pędzącą Grimalkin.

Niczego się nie bała, zupełnie jakby szczerze wierzyła, że może samotnie pokonać ten tłum. Jej noże błyskały raz po raz, odbijając bursztynowe światło zachodzącego słońca. Wirowała w śmiertelnym tańcu – ale potem horda wrogich czarownic i pomiotów zaczęła ją otaczać, napierając ze wszystkich stron.

Nikt z nas się nie poruszył, wciąż staliśmy sparaliżowani mocą mrocznej magii. Walczyłem, by przełamać zaklęcie, lecz z trudem chwytałem oddech, nogi i ręce miałem ciężkie i nie mogłem zmusić lewej stopy, by postawiła pierwszy krok.

Potem jednak ktoś jeszcze wyrwał się z magicznych więzów i popędził naprzód. To był John Gregory, mój mistrz – który przełamał potężny czar jak prawdziwy siódmy syn siódmego syna.

Pobiegł ku Grimalkin – i zdawało się, że nie tylko uwolnił się

spod wiążącego go zaklęcia, ale też odrzucił ciężące mu lata. Przypomniałem sobie, jak dawno temu, na początku mojego terminu, pomknął mi z pomocą, zabijając Kła i krępując Kościstą Lizzie. Wówczas, jak teraz, kaptur spadł mu z głowy, a oświetlone zachodzącym słońcem włosy wysypały się spod niego niczym jęzory bursztynowego ognia.

Ostrze ze stopu srebra na końcu laski także przypominało płomień; dźgał nim naprzód, zaskakując przeciwników, stali bowiem zwrócenii plecami, rozpaczliwie próbując pokonać wiedźmę zabójczynię czystą przewagą liczebną.

Wkrótce jednak dostrzegli nowe zagrożenie i obrócili się ku niemu. Nie czyniło to żadnej różnicy – mój mistrz wbił się w nich jak rozgrzane ostrze w miękkie masło i niemal natychmiast stanął u boku zabójczyni.

Według klątwy Malkinów miał zginąć „w mrocznym miejscu, głęboko pod ziemią, bez przyjaciela u boku”. Co do pierwszego pomylili się – walczył na najwyższym wzgórzu Hrabstwa, słońce jeszcze nie zaszło, a światło wypełniało niebiosy.

Co do drugiego, też się nie zgadzało – przynajmniej wolę tak myśleć. Bo choć oboje nie zdawali sobie z tego sprawy, wraz z wiedźmą zabójczynią istotnie zostali przyjaciółmi albo przynajmniej towarzyszami broni. Stracharz zawsze wierzył, że przyszłość nie jest ustalona, że kształtujemy ją każdym swoim czynem, każdą podjętą decyzją, każdym kolejnym dniem. A teraz wyglądało na to, że jednak miał rację. Jaka wizja, jakie proroctwo mogło przewidzieć ten najmniej prawdopodobny z sojuszy?

Gdy tak patrzyłem na niego, wciąż próbowałem uwolnić się spod zaklęcia. Widok mistrza walczącego plecy w plecy z Grimalkin przeciw wspólnemu wrogowi sprawił, że ścisnęło mnie w gardle. Ów obraz na zawsze wypalił mi się w pamięci i pozostanie tam po kres mych dni.

Później nie zobaczyłem go już podczas bitwy. I nigdy więcej nie widziałem żywego.

Teraz, w końcu pobudzona do działania, otrząsnąwszy się ze

słabnącej mocy wroga, nasza niewielka armia jednocześnie rzuciła się ku nieprzyjaciołom i miejscu, gdzie stracharz i Grimalkin nadal walczyli z przeważającymi siłami przeciwnika.

\*

Była to bitwa pomiędzy sługami Złego a tymi, którzy się mu sprzeciwiają. Po obu stronach walczyły czarownice z Pendle, lecz większość naszych wrogów pochodziła spoza granic Hrabstwa – w tym czwórka potwornych pomiotów, które przyciągnęły tu wóz z ciałem Złego.

Zjawily się klany czarownic z Essex i Suffolk, z Cymru, a także ze Szkocji. Przybyły z za morza, aby tu walczyć, walczyć i zginąć. Później dowiedziałem się, że czarownice z Rumunii stały u boku niewielkiego oddziału celtyckich wiedźm z Irlandii.

Przymierze owo dysponowało doprawdy przerażającą siłą, ale może nasza wola zwycięstwa okazała się większa. Sił dodawała nam myśl o tym, co się stanie, jeśli przegramy. I nie musieliśmy przecież pokonać ich wszystkich – chodziło tylko o to, by przeszkodzić w próbach przywrócenia mocy Złemu, przedrzeć się w miejsce, gdzie tkwiło jego przywiązane do głazu ciało i ponownie je rozczłonkować. Staliśmy się włócznią, którą wyobraziła sobie Grimalkin.

Historycy często relacjonują uczenie wielkie bitwy z przeszłości, które zdecydowały o losach narodów i ukształtowały nasz świat. Stracharz przechowywał wiele podobnych szczegółowych relacji w swej bibliotece, nim zniszczył ją pożar. Opisywały manewry i rozstawienia sił przed starciem, zajęte pozycje, kolejność ataków. Przedstawiały owe bitwy z punktu widzenia „bogów”, spoglądających z wysoka na podobnych mrówkom żołnierzy maszerujących w dole.

W relacjach tych występowali również generałowie: zręczni strategowie i taktycy, siedzący z dumą wysoko na swych wierzchołkach na tyłach, gdy rozpoczęła się bitwa. Obserwowali przyływy i odpływy sił i zgodnie z nimi wydawali rozkazy swym oddziałom.

Gdybyśmy jednak nawet uznali Grimalkin za naszego generała, to była zbyt zajęta w sercu bitwy, by zawracać sobie głowę jej ogólnym przebiegiem. Nasz cel pozostawał prosty – dotrzeć do Kamienia Strażniczego i rozprawić się ze Złym, nim będzie za późno.

Czy wrogowie także mieli dowódcę? A może tę rolę pełniła Katrina? Jeśli ktokolwiek naprawdę kierował posunięciami przeciwnika, to chyba Lukrasta?

Zerknąłem w górę na głaz, zastanawiając się, gdzie na nas czeka i czy Alice stoi u jego boku. Ujrzałem jednak tylko wielkie cielsko Złego.

Uważam, że bitwy tak naprawdę zupełnie nie przypominają znanych mi opisów historyków – przynajmniej nie z punktu widzenia poszczególnych żołnierzy. Bitwa to strach, gniew i poczucie, że siły znacznie większe od nas trzymają nas mocno i rozstrzygają, czy przeżyjemy, czy zginiemy. To także smród krwi i ekskrementów, wrzaski rannych i konających.

Tak właśnie wyglądało to dla mnie od chwili, gdy zderzyliśmy się z wrogiem. Nie biegłem na czele. Inni wyprzedzili mnie i z początku po prostu podążałem ich śladem, a przeciwnicy padali przed nami. Stopniowo jednak nasze tempo malało.

Widziałem, jak mój brat James oczyszcza nam drogę, wymachując ciężkim kowalskim młotem – i bałem się o niego. Judd także walczył gdzieś po lewej; zastanawiałem się, jak wielu przyjaciół stracę tego dnia.

Z początku używałem kija, sięgając ponad ramionami tych przede mną, by dźgać przeciwników. Powoli odległość się zmniejszyła, bo pierwsze szeregi sojuszników ginęły i wykruszały się, a ja, potykając się, przechodziłem po ich ciałach.

Przez moment poczułem przeszywającą rozpacz – dobrze bowiem znałem jedno z owych ciał. Z ziemi niewidzącymi, szeroko otwartymi oczami patrzyła na mnie martwa twarz mojego mistrza.

Lecz prąd bitewny niósł mnie dalej, toteż zmusiłem się, by odepchnąć od siebie palący żal. W tej chwili liczyło się tylko

przetrwanie. I dotarcie do Kamienia Strażniczego.

W pewnym momencie ktoś wyrwał mi z ręki kij. Brakowało miejsca, aby posłużyć się mieczem, toteż walcząc z naporem czarownic użyłem sztyletów.

Dwa krótkie miecze bohaterów, Posępny i Rębacz Kości, nie ciążyły mi w dłoniach i łatwo odnajdowały ciała wrogów. Klingi miały umazane krwią – i krew sączyła się z oczu skeltów na rękojeściach.

Nie potrafię ocenić, jak długo trwała owa krwawa bitwa – mój oszołomiony umysł nie rejestrował upływu czasu. Pamiętam szpony i klingi, celujące w moją twarz, ramiona, ręce i pierś. W pewnym momencie krew popłynęła mi do oczu i na moment przestałem widzieć. Walczyłem jednak dalej – aż w końcu coś ustąpiło. Wbrew wszystkiemu przebiliśmy się i nagle pędziliśmy w stronę Kamienia Strażniczego, atakowani z obu stron, podczas gdy mniejsze grupki czarownic czekały przed nami – ostatni szereg obrony, tylna straż ich armii. Wśród nich ujrzałem czwórkę potwornych pomiotów uzbrojonych w pałki. Na moich oczach jeden strzaskał czaszkę groźnej czarownicy z klanu Deane'ów, niemogącej się równać z rosnącym przeciwnikiem.

W jakiś sposób musiałem przedrzeć się do Złego, lecz jak zdołam wyminąć te stwory? I wtedy nagle Slake opadła z góry, skrzecząc nienawistnie, wyciągając szpony, wymachując skrzydłami tak szybko, że przypominały rozmazane plamy i pierwszy z potworów runął na ziemię oślepiiony. Ze zniszczonej twarzy zwisały strzępy skóry.

Znów zobaczyłem Grimalkin: rzutem noża załatwiła drugiego pomiota. Jej klingi śmignęły, gdy przecięła trzeciemu ścięgna, powalając na kolana, a następnie wyeliminowała pchnięciem długiego ostrza w lewe oko.

Potem ujrzałem rosnącego mężczyznę z młotem, pędzącego wprost na czwartego. Pojąłem, że to James – i na moment ogarnął mnie strach. Nigdy nie zobaczyłem, kto zwyciężył, bo po sekundzie dopadłem już głazu, gdzie ciało Złego otaczał krąg trzynastu

nucących czarownic.

Tuż za plecami usłyszałem krzyk, wiedziałem, że padł ktoś z moich sojuszników. Inni biegli ze mną, ale w jakiś sposób wyrwałem się na czoło.

Zawsze świetnie wyczuwałem czas, budząc się z nocnego snu dokładnie wtedy, kiedy zamierzałem. Teraz czułem, że nadszedł moment przywrócenia mocy Złemu; przyspieszyłem kroku.

Olbrzymie ciało drgnęło, wielkie oczy otwały się, patrząc na mnie z góry. Oczy pełne zwycięskiego, wyczekującego blasku. Oczy zapowiadające niewyobrażalne, wiekuiste męki.

Kiedyś w Pendle nie udało nam się, teraz także ponieśliśmy klęskę.

Spóźniliśmy się.

Zły powrócił do swego ciała.

A jego zemsta będzie straszna.

## **ROZDZIAŁ 29**

### **KWESTIA CZASU**

Bez zastanowienia wskoczyłem na skałę i zacząłem się wspinać ku Złemu.

Zerknąłem przez ramię: nikt inny nie poszedł w moje ślady. Może nie pozwolili im słudzy Złego?

Byłem sam. Tego nie oczekiwałem i serce zaciążyło mi jak kamień. Zawsze sądziłem, że będą ze mną Grimalkin i stracharz – i może z tuzin innych – by razem wykonać ostatnie zadanie.

Oznaczało to, że nie będę już mógł porąbać Złego na kawałki i uciec, nadal jednak mogłem wypełnić swoją część planu. Wielu oddało życie, by doprowadzić mnie w to miejsce, teraz to we mnie przelali swoje nadzieje. Niezależnie od ceny, nie mogłem ich zawieść. Otaczające Złego czarownice dokończyły rytuał i trzynastce par złowieszczych, lśniących oczu skupiło swój wzrok na

mnie. Gdy znów zaczęły nucić, powietrze zatrzeszczało, iskrząc wokół mnie, jakby zaraz miało stanąć w ogniu.

Balem się. Gwiezdna Klinga nie ochroniła mnie przed wcześniejszym zaklęciem, które zatrzymało nas w miejscu. Czy pomoże teraz?

Ku mej uldze okazało się, że Grimalkin nie myliła się co do swego daru: odkryłem, że magia w ogóle na mnie nie działa. Słyszałem krzyki i brzęk broni: bitwa wokół Kamienia Strażniczego trwała nadal, lecz postaci w dole zdawały się dziwnie odległe, powoli przesłaniała je zielonkawa mgła, zabarwiona żyłkami błękitu. Mgłę, która wypełniła ogród stracharza, usypiając zarówno jego, jak i Grimalkin, sprowadziła czarami Alice. Czy przywołała także tę? Czy to kolejna mroczna magia? Nie mająca mnie zranić, lecz wciąż skuteczna, bo nie pozwalała sojusznikom dołączyć do mnie przy głazie?

– Nie zabijajcie go! – zabrzmiał niski głos Złego. – Jego dusza jest moja na wieki wieków, ale nim umrze, pragnę wystawić na męki także ciało.

Wiedźmy ruszyły ku mnie; bez wątpienia zamierzały mnie pochwycić i oddać swemu panu. Próbowałem zachować spokój i zapanować nad strachem. Teraz wszystko zależało ode mnie. Nawet jeśli zawiodę, dołożę wszelkich starań, będę walczyć, póki nie pozostanie we mnie ostatnia iskra życia.

Olbrzymia postać Złego górowała nade mną, twarz groteskowego gargulca wykrzywił szydarczy, okrutny uśmiech, ukazujący pieńki połamanych żółtych zębów. Zauważyłem, że wciąż brak mu oka. Choć głowa tkwiła pewnie na ramionach, wbrew oczekiwaniom nie powrócił do pierwotnej postaci. Czyżby coś poszło nie tak z rytuałem?

Nagle odwrócił się i pochylił ku mnie, zrywając część lin przytrzymujących lewe ramię oraz rękę i wyrywając ze skały deszcz gwoździ. W odpowiedzi skupiłem umysł, przyzywając jeden z darów mamy do walki.

Skup się! Ściśnij czas! Niech się zatrzyma!



Wiele razy z powodzeniem korzystałem z tego talentu i stopniowo radziłem z nim sobie coraz lepiej – to on pozwolił nam pokonać Złego w Irlandii.

Tym razem jednak najwyraźniej nie działał. Czy Zły opierał mi się, korzystając z własnej umiejętności władania czasem?

Spróbowałem ponownie. Skup się! Ściśnij czas! Niech się zatrzyma!

Czas płynął jak zwykle, niosąc mnie ku zniszczeniu. Jedyna moc, która mogła dać mi szansę w starciu z tak groźnym przeciwnikiem, okazała się nieskuteczna. Może sprawił to Kamień Strażniczy? On sam także wpływał na bieg czasu.

Przerażony w chwili paniki wykrzyknąłem imię:

– Kratch!

Uczyliłem to bez namysłu. Obiecałem, że wezwę bogina tylko w największej potrzebie – w obliczu ostatecznej klęski. Czy nie tak wyglądała teraz sytuacja?

Obejrzałem się na Złego, oczekując, że powstaje już na równe nogi, lecz olbrzymia głowa obracała się z boku na bok. Wolną rękę unióś do twarzy, pocierając czoło.

Czyżby cierpiał? Z całą pewnością wydawał się oszołomiony.

– Kratch! – krzyknąłem po raz drugi.

Czarownice niemal do mnie dotarły i na moment zwątpiłem. Wzywałem stwora na pewną zgubę – i po co? Mógł tylko opóźnić mój los. Ten potężny krąg z pewnością się przygotował, miał na podorędziu zakłęcie, którym potraktuje bogina, gdy tylko ten się zjawi. Nawet gdyby zwyciężył w walce z wiedźmami, nie miałby szans w pojedynku ze Złym.

Mój mistrz wierzył, że to jedynie stwór z Mroku, istota, która, gdyby nie kontrakt między nami, uważałaby mnie za swoją ofiarę. A jednak już mi pomógł, z nawiązką wypełniając swoją część umowy. Był gotów w razie konieczności umrzeć, nazwał mnie też bratem i chciał walczyć u mego boku. Sam nie miałem najmniejszych szans.

Znów popatrzyłem w dół. Zielona mgła gęstniała, rozlewając się

pod Kamieniem Strażniczym. Odwróciłem się plecami do czarownic i po raz trzeci wykrzyknąłem imię bogina:

– Kratch!

Nagle usłyszałem niski pomruk w głowie, bogin wypowiedziały słowa, które usłyszałem tylko ja:

*Jestem tu, bracie! Teraz walczmy, na śmierć! Dziękuję, że sprowadziłeś mnie w miejsce, gdzie znajdę tak wiele mrocznej krwi! Najpierw wypiję nektar z czarownic, choć ten wielki, stary okaleczony bóg jest również gotów, by go zabić. Daję ci go, ale zostaw dla mnie choć część jego mocnej, potężnej krwi.*

I wtedy bogin zaatakował krąg. Zaczęło się tak jak ostatnio. Przez moment Kratch ukazał się pod postacią olbrzymiej kociej bestii – potwornej wersji rudego kocura, którego widywaliśmy czasami w kuchni w Chipenden. Potem przekształcił się w spiralę pomarańczowego ognia i wirując runął na najbliższą czarownicę. Natychmiast rozpadła się w eksplozji ciała i krwi, małe odłamki kości sypały się na ziemię niczym grad, lecz zamiast topić się w zetknięciu ze skałą, syczały niczym rozpalone węgle wpadające do wody.

Teraz pozostało ich tylko dwanaście, nie trzynaście niezbędnych w prawdziwym kręgu. Ich moc musiała ucierpieć.

Znów ruszyłem naprzód, gotów zaatakować Złego, który wciąż kręcił głową, jakby cierpiał nieznośny ból i nie zważał na walkę dokoła. Zielona mgła całkowicie spowiła wzgórze, nie widziałem już ani nie słyszałem bitwy.

Wówczas jednak pozostałe wiedźmy pozbierały się i złączyły razem w nowym zaśpiewie. Usłyszałem krzyk Kratcha, przepełniony bólem, ale też wściekłością. Ja mogłem zrobić tylko jedno: posłuchać rady bogina.

Zacząłem gramolić się na skałę, lewą ręką dobywając jednego z mieczy bohaterów, wykutych przez Starego Boga Hefajstosa – sztyletu zwanego Rębaczem Kości. Na szczycie znalazłem się obok lewej nogi Złego i wspinałem wyżej, ku jego wielkiej jak beczka piersi. Wciąż wydawał się oszołomiony i nie zauważył zagrożenia ze strony mojej osoby. A potem – nie wiem, czy zdziałał to los, czy też szczęście, sami zdecydujcie – dostałem szansę.

Zły przestał pocierać czoło lewą ręką i na moment opuścił ją z boku, dłonią naprzód. Z całych sił dźgnąłem sztyletem i przeszyłem ją na wylot. Spodziewałem się, że klinga się zatrzyma, ona jednak wraziła się głęboko w skałę i utkwiała mocno.

Zły ryknął z wściekłości i próbował szarpnięciem oderwać dłoń, lecz Rębacz Kości

tkwił wbity po rękojeść w krwawiącą dłoń.

Wgramoliłem się na jego pierś i zaskoczyłem z prawej strony. Prawy przegub miał nadal przywiązany do kamienia, tym razem zatem poszło łatwiej. Wyciągnąłem Brzeszczot Smutków i wbilem mu w prawą dłoń. Teraz, kiedy go unieruchomiłem, dobyłem trzeciego, największego miecza bohaterów – Klingi Przeznaczenia. Zastanawiałem się teraz, czy od początku jej prawdziwym przeznaczeniem było odebrać moc Złemu. Czy to po to wykuto ją tak dawno temu? Czy do tego właśnie ostatecznie służyła?

W tym momencie instynktownie pojąłem, co muszę uczynić: użyłem ostrza, by odciąć kciuki, najpierw lewej, potem prawej dłoni.

Następnie skupiłem uwagę na wielkiej głowie i ściskając oburącz rękojeść, zamachnąłem się z całych sił, celując w szyję. Zły szarpał się z boku na bok, wrzeszczał i wył, utrudniając mi zadanie. A potem w agonii zaczął wykrzykiwać groźby.

– Zrób to, a wszyscy mężczyźni zginą! – ryknął. – Zrób to, a wszystkie kobiety będą przeklinać twoje imię!

Nie zważałem na jego słowa, wciąż uderzając mieczem. Trzeba było trzech ciosów, by odrąbać głowę od ciała. Poturlała się po zboczach i utkwiała w szczelinie. Nie próbowałem wyciąć Złemu serca, decydując się na najlepsze możliwe wyjście: ponownie uniosłem oburącz miecz i wraziłem głęboko w pierś. Klinga przeszła go na wylot i wbiła się głęboko w Kamień Strażniczy.

Potężny ryk agonii zdawał się dobiegać z głębi ziemi, nie z ust Złego. Grunt zaczął dygotać, cała skała nagle szarpnęła się w górę, zbijając mnie z nóg i zdyszanego powalając na ziemię.

Uczyniłem wszystko, co mogłem – czy jednak to wystarczy, aby zniszczyć Złego?

Podnosząc się na kolana, ujrzałem parę wznoszącą się ze wszystkich trzech mieczy. W powietrzu rozszedł się nagły mdlący smród palonego ciała. Z trzęsącej się, rozkołysanej ziemi dobiegł kolejny krzyk, a potem podniosłem się i patrzyłem ze zdumieniem, jak rozżarzone do czerwoności rękojeści zaczynają się topić.

Metal Klingi Przeznaczenia kapał na pierś Złego, rubinowe oczy skelta wbiły się w ciało. Posępny i Rębacz Kości zrobiły to samo, bulgocząc i kapiąc, a rubiny utworzyły dwoje nienaturalnych oczu w każdej z otwartych, rozedrganych dłoni.

Odwróciłem się z obrzydzeniem, od wstrętnego zapachu do gardła podeszła mi żółć. Lecz jakaś część mnie czuła tryumfalną radość na myśl o tym, czego dokonałem. Żałowałem, że Lukrasta i Alice tego nie widzieli. Alice zlekceważyła mnie i uznała za

dziecko – powinna zobaczyć, co osiągnął ów „cherlawy chłopiec”.

Nie było nikogo, kto mógłby mi pomóc – wciąż nie widziałem, co się dzieje w dole. Teraz musiałem zabrać głowę oraz kciuki i uciec. Nim jednak zdążyłem to uczynić, Kamień znów się poruszył, powalając mnie na kolana. Uderzyłem o coś głową i poczułem w ustach smak krwi – a potem runąłem w ciemność.

Kiedy odzyskałem przytomność, uniosłem wzrok i przekonałem się, że bezgłowe ciało Złego wciąż spoczywa na Kamieniu Strażniczym. Powietrze było bardzo ciepłe, zdecydowanie za gorące jak na koniec października w wilgotnym, mroźnym Hrabstwie.

Rozejrzałem się dokoła – wokół głazu walały się strzępy ciał martwych czarownic, choć nie widziałem ani śladu Kratcha. Pokonał wiedźmy i bez wątpienia wyszał z nich krew. Ale czy sam też został zniszczony?

Nie słyszałem też odgłosów bitwy. Czyżby obie strony przerwały walkę i rozbiegły się? Zielona mgła w końcu zniknęła, ale kiedy spojrzałem w dół zbocza, przeżyłem wstrząs. Otaczający mnie krajobraz wyglądał zupełnie inaczej – rozległa, płaska równina otoczona była pionową skalną ścianą. W dali zobaczyłem góry, niektóre o ośnieżonych wierzchołkach, inne dymiące. Czy to były wulkany? Odwiedziłem Grecję, ale nigdy dotąd nie widziałem ognistej góry – choć mistrz opowiadał mi o nich. W dali rozciągało się coś jakby jezioro: wrzało i bulgotało, nad powierzchnią kłębiła się para.

Niebo było czyste, ale nie dostrzegłem słońca, gwiazd ani chmur. Skąd zatem światło, w którym to oglądałem? Otoczenie zupełnie nie przypominało znanego mi świata. Gdzie się znalazłem?

Czyżby Kamień Strażniczy przeskoczył w czasie, porywając mnie ze sobą? Stracharz sugerował, że to możliwe. Jeśli tak, musiał przenieść mnie na sam początek dziejów ziemi. Według mojego mistrza starożytni wierzyli, że rozpoczęła swe życie jako kula stopionej lawy i bardzo powoli stygła.

A potem przypomniałem sobie, co według Alice miało spotkać nasz świat po odejściu Złego. Czy to była przyszłość... Ziemia ukształtowana przez nowego mrocznego boga?

Miejsce to z całą pewnością nie nadawało się dla potrzeb jakiegokolwiek życia – choć gdy tylko myśl ta przyszła mi do głowy, dostrzegłem, jak coś się porusza na brzegu wrzącego jeziora. Próbowałem zrozumieć, co widzę. Co mogło tu żyć? I wtedy odkryłem, że nie jest to jedna istota, ale wiele, a wszystkie zdawały się kierować w moją stronę.

Przypominały drobne owady, choć wkrótce przekonałem się, że sprawiła to jedynie odległość. Kiedy pojąłem, czym są w istocie, ogarnął mnie strach. To były skelty – stado skeltów, i wszystkie kierowały się wprost do Kamienia Strażniczego.

Jakaś część mnie pragnęła uciec. Gdybym jednak opuścił kamień, ten mógłby znów przeskoczyć w czasie i pozostawić mnie na śmierć w tym niegościnnym miejscu.

Skelty były coraz bliżej – zbyt wiele, by dało się je policzyć. Widziałem ich segmentowate nogi i długie kościane rury, które wbijały w ofiary, by wyssać z nich krew.

W końcu, w obliczu nadciągającej hordy, strach zwyciężył i przygotowałem się do ucieczki. Obejrzałem się, szukając możliwej drogi i odkryłem, że skelty nadciągają ze wszystkich stron. Za chwilę całkiem mnie otoczą.

## ROZDZIAŁ 30

### STRASZLIWY GŁÓD

Położyłem dłoń na rękojeści miecza od Grimalkin. Oprócz srebrnego łańcucha, który nosiłem wokół pasa, był jedyną bronią, jaka mi pozostała – trzy miecze bohaterów, spełniwszy swe zadanie, nadal tkwiły w ciele Złego

Pierwszy ze skeltów dotarł do podstawy skały, wsparł o nią cienkie nogi i zaczął wspinać się ku mnie. Obserwowałem go czujnie, ale nie dobyłem miecza. Byłem zmęczony, osłabiony gorącym i długą walką. Skelt przystanął niecały jard ode mnie, spojrzał na mnie czerwonymi oczami i lekko poruszył głową, tak że jego długi pysk zakołysał się. A potem ruszył dalej, wprost ku Złemu.

Wdrapał mu się na pierś, usadowił obok rany zadanej mieczem i wbił kościaną rurę. Ta natychmiast poczerwieniała: skelt pił krew Złego. Wkrótce dołączyły do niego kolejne, gnane straszliwym głodem. Lecz każdy, który przechodził obok, przystawał i tak samo poruszał głową.

Co to oznaczało? Nie wiedziałem, czemu tak się zachowują, ale byłem wdzięczny, że mnie nie atakują. Po paru minutach ciało zniknęło pod skłębioną masą zwijających się, wygłodniałych skeltów. Zastanawiałem się, czy Zły naprawdę czuje ból? Czy wciąż jest przytomny, a jego dusza tkwi uwięziona w gigantycznym

ciele?

Trudno było ocenić upływ czasu, w końcu jednak szaleńcza uczta dobiegła końca. Skelty kolejno zeskakiwały z ciała Złego, mijając mnie, jakbym w ogóle nie istniał. Ja zaś przyglądałem im się, zdumiony i zafascynowany.

Każdy z nich dźwigał w pysku drobny kawałek Złego. Do tej chwili nigdy nie pomyślałem, że skelty mogłyby mieć zęby, bo zasłaniały je upiorne kościane rury. Teraz jednak pod nimi ujrzałem pyski pełne małych, ostrych jak igła ząbków. Za ich pomocą, a także za pomocą rur oderwały wszystko, czego pragnęły.

Nagle pojąłem, że stwory te wypełniły nasz plan. Każdy zabrał ze sobą strzęp ciała albo odłamek kości. Okaleczyłem i unieruchomiłem Złego, dzięki czemu mogły dokończyć to, co zacząłem. Dziwnie było myśleć, że stały się moimi współnikami w ostatecznym zniszczeniu Złego.

Odeszły w stronę jeziora, niosąc ze sobą zdobycze. Patrzyłem za nimi, dopóki nie zmały. A potem kolejno zniknęły we wrzącej wodzie, zabierając ze sobą szczątki Złego.

Zostałem sam, spoglądając na miejsce, w którym wcześniej wisiał Zły przywiązany do głazu. Teraz pozostało tam tylko kilka plam i ślady wilgoci. Czy to już naprawdę koniec? Czy połączenie mieczy bohaterów i skeltów rzeczywiście go zniszczyło?

Uznałem, że to bardzo prawdopodobne. Ostatecznie słudzy Złego nie mogliby już przywrócić mu mocy, skoro skelty ukryły wszystkie fragmenty ciała.

I nagle przypomniałem sobie o stracharzu. Mój mistrz zginął, by to umożliwić. Ogarnął mnie przejmujący smutek, wiedziałem jednak, że John Gregory odegrał ważną rolę w tej misji. Zwyciężyliśmy.

Miałem wrażenie, że całe wieki siedzę na Kamieniu, byłem głodny, a jeszcze bardziej spragniony. Powietrze robiło się coraz cieplejsze i zaschło mi w ustach.

W dali dostrzegłem coś jakby wodospad, ściekający po skalnym zboczu. Płynął stamtąd strumień przecinający dolinę i wpadający

do jeziora. Wiedziałem, że w końcu pragnienie zmusi mnie do opuszczenia Kamienia Strażniczego.

Ale co się stanie, jeśli głaz przeskoczy w czasie, gdy mnie tu nie będzie? – pomyślałem ze zgrozą. Mógłbym pozostać tu uwięziony aż do śmierci. Staralem się zatem zapomnieć o pragnieniu i zamiast tego rozmyślałem o tutejszym upływie czasu. Bez wątpienia Kamień Strażniczy z perspektywy Hrabstwa nie zniknął ze swego miejsca na zbyt długo. Tu jednak czas mógł płynąć inaczej. Trudno stwierdzić, jak długo będę tkwił uwięziony w tym przerażającym, niegościnnym miejscu.

W końcu ujrzałem zieloną mgłę przesłaniającą okolice; najpierw zniknęło jezioro i urwiska, potem Kamień szarpnął się i poleciałem na twarz. Zakręciło mi się w głowie, czułem mdłości. Znów straciłem przytomność.

\*

Ocknąłem się z bólem głowy, leżąc twarzą do ziemi. Pierwszą rzeczą, jaką dostrzegłem, była zmiana temperatury: wokół znów panował chłód i uniosłem głowę w nadziei, że ujrzę Hrabstwo, bo skałę pode mną pokrywał biały szron.

Lecz mimo mroźnego powietrza i zawodzącego wiatru byłem pewien, że nie wróciłem do domu. Słońce tkwiło na horyzoncie, pięć czy sześć razy większe niż kiedykolwiek przedtem, barwy mętnego oranżu. Mimo braku chmur wydawało się znacznie słabsze niż zazwyczaj. Odkryłem, że mogę patrzeć prosto w nie – w Hrabstwie nigdy mi się to nie udało, gdy słońce bardzo rzadko wyłaniało się spomiędzy deszczowych chmur.

Jeszcze bardziej doskwierało mi pragnienie, ale zmusiłem się, by zostać na miejscu i rozejrzeć dokoła. Ziemia pode mną była płaska i porośnięta trawą, pokrywała ją jednak gruba warstwa szronu. W oddali dostrzegłem wzgórze, a na nim mroczną wieżę, bardzo podobną do tej w Cymru, gdzie znalazłem głowę Złego.

A potem ujrzałem ciemną postać, nadchodzącą od strony wieży. Na długo przed tym, nim się zbliżyła, pojąłem, że to Alice.

W końcu zeskoczyłem ze skały naprzeciw niej, moje kroki

chrzęściły na zmarzniętej trawie. Twarz Alice nie zdradzała żadnych uczuć, nie mogłem stwierdzić czy jest zła, czy cieszy ją mój widok – choć to drugie uznałem za mało prawdopodobne. Oboje zatrzymaliśmy się kilka kroków od siebie.

Miała na sobie długi czarny płaszcz oblamowany futrem i spięty szerokim skórzanym pasem. Wyglądał na kosztowny – coś, co mogłaby przywdziać utytułowana dama. Tak bardzo różniła się od dziewczyny, którą kiedyś znałem, ubranej w skromną obszarpaną sukienczynę przewiązaną w pasie kawałkiem sznurka.

Ale jedno się nie zmieniło: na nogach wciąż nosiła szpiczaste trzewiki.

– Mam nadzieję, że jesteś zadowolony – rzekła głosem zimniejszym od mroźnego powietrza.

– Chodzi ci o to, jak potraktowałem Złego? Nie żałuję tego ani trochę.

– Czyżby? To dlatego, że nie wiesz, co zrobiłeś. Widzieliśmy wszystko w lustrze. Przebiłeś go mieczami – mieczami z głowami skeltów. Nie zapominaj o skeltach! A potem głaz nazwany twoim nazwiskiem przeniósł cię w Mrok...

– W Mrok? – przerwałem zdumiony.

– Nie ma co do tego wątpliwości. Sama odwiedziłam tę część Mroku, to jedno z jego królestw. Jest tam ich mnóstwo, większością władają przeróżni Starzy Bogowie. Nie zastanawiałeś się, co się zdarzyło po tym, jak go przybiłeś? To cię nie martwi?

– Chodzi ci o skelty? To, jak porwały ciało Złego na kawałki?

– Tak, Tomie, a o cóż by innego? To, jak porwały go na kawałki i zaniósły w głąb wrzącego jeziora. Wiesz, czemu to zrobili?

Nie odpowiedziałem. Przypomniałem sobie jej słowa o bogu o postaci skelta.

– Nakarmiły nimi swojego boga, Talkusa: krwiożercze bóstwo, które właśnie się narodziło. Noworodki są głodne, Tomie, każda kobieta to wie. Talkus pragnie mocy i tak jak Grimalkin zabiera kości zabitych czarownic i nosi je na szyi, by odebrać im moc, bóg Kobalosów zakosztował mocy Złego i przelał ją we własne ciało! A



teraz Talkus poprowadzi swój lud na wojnę, by wymordować wszystkich mężczyzn i zniewolić wszystkie niewiasty. Zaczynasz pojmować, co uczyniłeś? Jedynie Zły, choć niewątpliwie okrutny, stał między nami a tym zagrożeniem. Choć lubił nas ranić, nie pozwoliłby, by Talkus zrealizował plan i podbił cały świat dla swego ludu. Teraz odszedł, nie mamy już ochrony, tylko Lukrasta stoi między nami a bogiem skeltem. To jedyny mag, który może cokolwiek działać. Kobalosi mają mnóstwo magów, teraz, kiedy ich bóg się narodził, moc owych magów wzrośnie dziesięciokrotnie. Nawet Lukraście może nie starczyć sił, by z nimi walczyć.

– A co z tobą, Alice? Ty też masz moc.

Pokręciła głową.

– To, co mam, należy do Lukrasty. Jeśli mamy stanąć do walki z Talkusem i Kobalosami, będzie potrzebował większości moich sił, zatem oddałam mu je, bo wie najlepiej, jak ich użyć.

Ogarnął mnie gniew, gdy ujrzałem, jak bardzo Alice poddała się Lukraście. Wolałem podejść Grimalkin do Talkusa. Usunęliśmy Złego – to było najważniejsze zadanie, teraz znajdziemy jakiś sposób, by rozprawić się z Talkusem i Kobalosami. A co do Lukrasty – po co nam on? Sam zajmę się magiem, wówczas Alice wspomże nas swoją mocą.

– Gdzie jest teraz Lukrasta? – spytałem ostro.

– W wieży – wskazała ją gestem. – Czeka, by z tobą pomówić. Po zniszczeniu Złego sprowadził tu głaz, abyście mogli się spotkać. Ale rozzłościłeś go, Tomie, bardzo łatwo wpada w gniew, a kiedy się złości jest niebezpieczny. Nie idź tam, wdrap się z powrotem na tę skałę, a ja odeślę cię do Hrabstwa.

– Zrobię to, Alice, jeżeli pójdziesz ze mną.

Przez chwilę patrzyła na mnie i dostrzegłem błysk w jej oczach. Oto ostatnia szansa, by wydobyć ją z Mroku. Wstrzymałem oddech. Ale potem wyraz jej twarzy się zmienił i zrozumiałem, że przegrałem.

– Nie wrócę z tobą, Tomie. Ani teraz, ani nigdy. Moje miejsce jest tu, z Lukrastą. On potrzebuje mojej mocy, a w Hrabstwie nie

mam już niczego. Czuję się inna. Zimna. I nie obchodzą mnie ludzie – nawet ty.

– Nie wierzę w to, Alice.

Słuchałem słów wyrrywających mi się z ust, ale tak naprawdę sam w nie nie uwierzyłem; czułem tylko ból i rozpaczliwie chwyciłem się ostatniej deski ratunku.

– Myśl sobie, co chcesz. Nie jesteś mną. Skąd możesz wiedzieć, co czuję?

– Nawet jeśli to prawda, wciąż możesz się zmienić. Wszyscy się zmieniamy, cały czas. Nie pamiętasz? Sama mi to mówiłaś! Z pomocą innych możesz powrócić do dawnej siebie, to przecież możliwe. Mogę ci w tym pomóc, Alice. Proszę, pozwól sobie pomóc.

– Nie, Tomie. Wdrap się na głaz, a ja cię odeślę.

Pokręciłem głową i ruszyłem w stronę wieży. Alice zagroziła mi drogę, usiłując mnie powstrzymać. Zderzyliśmy się ramionami i poleciała na kolana.

– Nie, Tomie! Nie! Wracaj! Wracaj! – wołała.

Ja jednak maszerowałem dalej.

A zatem Lukrasta chce ze mną pomówić? I łatwo go rozniewać? W takim razie rozzłoszczę go i to bardzo, a potem go zabiję.

Znudziło mnie bycie czyimś pionkiem. Zamierzałem mu odpłacić za to, co zrobił. Pragnąłem zemsty i byłem zdecydowany jej dokonać.

Tylko jeden z nas wyjdzie z tej wieży.

## **ROZDZIAŁ 31**

### **WIEŻA CZASU**

Im bardziej się zbliżałem, tym bardziej byłem pewien, że wieża jest identyczna z tą w Cymru, gdzie bogin zabił czarownice. Wznosiła się wysoko, kwadratowa, zbudowana z szarych

kamiennych bloków.

Te same długie, wąskie stopnie wiodły do wielkich żelaznych drzwi. Te same wąskie okienka otwierały się w ścianie, w górze sterczał ten sam balkon, na którym Lukrasta stał z Alice, obejmując ją ramieniem. Cisnął czymś stamtąd we mnie, jakąś odmianą mrocznej magii. Czy znów tak zrobi? Tym razem nie miałem przy sobie bogina; zastanawiałem się, czy przetrwał bitwę na Kamieniu Strażniczym i wrócił do Chipenden.

Ale miałem do pomocy coś innego – nosiłem u pasa Gwiazdną Klingę; liczyłem na to, że nie będę już podatny na jego czary.

Domyślałem się jednak, że Lukrasta nie zechce zaatakować z daleka. Z pewnością woli spojrzeć mi prosto w oczy, kiedy mnie zabije. Może pragnął, bym konał w męczarniach. Jaki to człowiek? Władza zmienia ludzi: z czasem niszczy nawet tych, którzy zaczęli z najlepszymi zamiarami. Jak mogła wpłynąć na ambitnego maga, który z powodzeniem odprawił rytuał z „Doomdryte”?

Do tej pory był już pewnie bardziej bogiem niż człowiekiem: amoralną istotą, której nie obchodzą prawa i pragnienia ludzi. Lukrasta przeżył bardzo długie życie – co najmniej tysiąc lat, może więcej... Mógł wyewoluować w coś okropnego.

Szybko zbliżałem się do wieży i rozpocząłem już długą wspinaczkę na szczyt schodów. Kamienne stopnie były śliskie od lodu i musiałem bardzo uważać. W pewnym momencie przystanąłem, oglądając się na otaczające mnie ziemie. Niemal zupełnie płaski kraj zupełnie nie przypominał górzystych okolic Cymru, ale najbardziej obco wyglądało słońce. Wciąż tkwiło na horyzoncie, wielkie, pomarańczowe, rozdęte, jak się zdawało cały czas w tej samej pozycji jak wtedy, kiedy przybyłem. Czy był wczesny ranek, czy późny wieczór? Nie poruszyło się ani w górę, ani w dół. Może jednak odrobinę przesunęło wzdłuż? Czyżbym znalazł się w kolejnym z królestw Mroku? A może tym razem Kamień Strażniczy przeniósł mnie w czasie?

Podjąłem ostrożną wspinaczkę do żelaznych drzwi. Ostatnio

waliłem w nie rękojeścią miecza, póki czarownice nie otworzyły. Teraz przekonałem się, że ich skrzydło jest uchylone, powoli zaczęło się poruszać zgrzytając o kamień, otwierając się szerzej, jakby ciągnięte niewidzialną ręką. Oczywiście: Lukrasta pragnął uwięzić mnie w swej wieży, by móc bez pośpiechu się mnie pozbyć.

Przekroczyłem próg i odrzwia natychmiast zatrzasnęły się za mną. Nawet nie sprawdzałem – wiedziałem, że będą zamknięte na klucz.

Nim postawiłem kolejny krok, rozejrzałem się dokoła. Choć od zewnątrz wieża przypominała tę w Cymru, wewnątrz bardzo się różniło.

Znajdowałem się w niewielkim kolistym pomieszczeniu z pojedynczymi, drewnianymi drzwiami. Miały srebrną klamkę i na wysokości głowy ozdabiał je dziwny symbol, także wykuty ze srebra, z kształtu nieco przypominający podkowę. Rozpoznałem go.

To była omega, litera z greckiego alfabetu.

Ů

Mama nauczyła mnie łaciny i greki, które bardzo mi się przydały w nauce fachu stracharza. Po uwięzieniu bogina wycinaliśmy w kamieniu grecką literę beta, ale tej na drzwiach nigdy nie używaliśmy. Omega to ostatnia litera greckiego alfabetu.

Zastanawiałem się, dlaczego ją tu wyryto. Czy mogła oznaczać..koniec wszystkiego?

Obawiałem się, co znajdę po drugiej stronie owych tajemniczych drzwi z omegą. Aby jednak odszukać Lukrastę, musiałem tam pójść. Obejrzawszy się, pojąłem, że nawet gdybym chciał, nie mogę się już wycofać. Metalowe drzwi za mną zniknęły.

Nie miałem wyboru, musiałem zagłębić się w wieżę. Oto pierwsza demonstracja potężnej magii Mroku, jaką dysponował Lukrasta. To on decydował o moich ruchach i kontrolował je.

Mocno chwyciłem gałkę, przekręciłem i pchnąłem. Drzwi otwarły się, nie stawiając oporu, za nimi rozpościerała się jedynie ciemność. Niczego nie widziałem. Oprócz miecza od Grimalkin i srebrnego łańcucha nie miałem broni; kij straciłem na polu bitwy. Miałem natomiast dwie rzeczy, które mogły mi pomóc – niewielką hubkę i krzesiwo od ojca oraz ogarek, który zawsze nosiłem w kieszeni portek.

Zapalenie świeczki zabrało mi ledwie chwilkę. Unosząc ją wysoko w prawej dłoni, z lewą na rękojeści miecza, rozjaśniłem mroczne miejsce złotym światłem.

Ku swemu zdumieniu odkryłem, że stoję w pomieszczeniu, wyglądającym jak kuchnia w domu stracharza w Chipenden. Bardzo się jednak zmieniła – wszędzie wisiały pajęczyny, podłogę, stół i krzesła pokrywała gruba warstwa kurzu i brudu. Spłoszony migoczącym światłem świecy i moimi cichymi krokami, szczur umknął w ciemny kąt.

Rozejrzałem się dokoła. Na palenisku od dawna nie płonął ogień, szyba w jednym z okien pękła. Dom wyglądał na opuszczony od wielu lat, zupełnie jakby nie było już stracharzy kontynuujących walkę z Mrokiem.

Kamień Strażniczy potrafił podróżować w czasie... Ale czy wróciliśmy w przeszłość, czy też w przyszłość? Może miałem rację co do znaczenia omegi. Czy pokazano mi kres wszystkiego? Uznałem, że w siedzibie potężnego maga nie mogę w pełni ufać własnym oczom. Mroczna magia potrafiła tworzyć potężne iluzje, nie tylko zakłęcie grozy; przypomniałem sobie, jak demoniczny dom w Todmorden zmieniał się po zmroku z ciepłej wygodnej siedziby w ruinę.

Niczemu tu nie mogłem ufać. Oczywiście tak naprawdę nie znalazłem się w domu stracharza. Choć wydawał się rzeczywisty, stanowił złudzenie stworzone magią Lukrasty. Obróciłem się do wyjścia, ale znów drzwi, którymi wszedłem, zniknęły. Nagle ogarnął mnie gniew. Lukrasta igrał ze mną, podsuwał mi nieprawdę. Tkwiałem uwięziony w świecie jego złudzeń.

Zastanawiałem się nad Gwiazdną Klingą: Grimalkin twierdziła, że ochroni mnie przed mroczną magią, która ma mnie skrzywdzić. Lecz w tej chwili nic mi nie groziło – widziałem tylko to, co pragnął pokazać mi mag.

Co teraz? Jak długo będę musiał krążyć po tym labiryncie, nim Lukrasta w końcu stawi mi czoło? Nagle ogarnęło mnie przecucie, że powinienem wejść na górę. Czy to instynkt podpowiadał mi, co mam robić? A może ostatni dar mamy wskazywał, gdzie znajdę Lukrastę? Jeśli tak było w istocie, nie potwierdził tego błysk światła w głowie.

Oczywiście mógł to sprawić kolejny czar Lukrasty. Tak czy inaczej wspiąłem się po schodach.

Gdy skręciłem w stronę drzwi mego pokoju, świeca zaczęła migotać gwałtownie w przeciągu z pękniętego okna i omal nie zgasła. Osłoniłem ją dłonią. W pokoju panowała wilgoć, koce zarosły pleśnią. Od bardzo dawna nikt nie spał w łóżku.

Tylko jedna rzecz w tym pokoju przetrwała pożar – ściana, na której każdy z uczniów stracharza wyskrobał swoje imię. Przyjrzałem jej się: coś było nie tak. Widziałem własne imię zagubione pośród innych, lecz do oryginalnej trzydziestki doszło jeszcze jedno:

Jenny.

Ale Jenny to przecież imię dziewczyny. Jak dziewczyna mogła zostać uczniem stracharza? Co to za obłąd? W jaką grę grał Lukrasta? Gniewnie odwróciłem się do wyjścia i zszedłem po schodach. Znów przeciąłem kuchnię i otworzyłem tylne drzwi, ale znowu się zawiodłem: zamiast ogrodu stracharza znalazłem się w lesie. Ciemność nagle zastąpiło światło dnia. Nie żeby zbyt wiele go zostało – blask szybko znikał z nieba.

Lukrasta mną kierował.

Pokazywał to, co chciał pokazać.

Postanowiłem, że wkrótce się z nim policzę.

## ROZDZIAŁ 32

### DOBĄDŹ MIECZA

Wciąż pozostało dość światła, abym dostrzegł kształty budynków za drzewami. Lekki wietrzyk wiał ku mnie, niosąc ze sobą nieprzyjemną woń – woń czegoś cuchnącego, nieczystego.

Wyłoniłem się z lasu i stanąłem na skraju zrujnowanej wioski. Dachy się zapadły, z części domów zostało tylko rumowisko. Wszędzie walały się zwęglone belki.

Widok ten przypomniiał mi skutki wojny w Hrabstwie. Ten sam patrol wroga, który spalił dom stracharza, zaatakował też wioskę. Zabijali, palili, plądrowali. Ale tutejsze zniszczenia wyglądały znacznie gorzej.

I wtedy natknąłem się na pierwsze zwłoki. Należały do mężczyzny. Wyraźnie nie żył od wielu dni i rozkład zaszedł już daleko. Wkrótce dostrzegłem innych, także dzieci, wyłącznie płci męskiej. Czyżby kobiety uciekły?

Następna osoba, którą znalazłem wśród gruzów, nadal żyła, choć odniosła ciężkie rany. Człowiek ów leżał na wznak, lewą nogę przygniatało mu ciężkie, kamienne nadproże, spodnie nasiąkły krwią, kość była zmiażdżona. Tylko amputacja mogła dać mu nadzieję przeżycia, ale teraz było już na to za późno. W ranę wdała się gangrena – czułem jej smród z odległości dziesięciu kroków.

Trucizna rozeszła się po całym ciele.

Jęknął, otworzył oczy i spojrzał na mnie. Nagle go poznałem: to był wiejski kowal. Wstrząśnięty pojąłem, że zrujnowana wioska to faktycznie Chipenden.

Ale to nie mogła być prawda, to przecież tylko magiczne złudzenie?

Człowiek ten stanowił główny kontakt stracharza w wiosce: to on wykuł klingi wyskakujące z naszych lasek, on informował go o nowinach i plotkach – niezbędnych informacjach dla stracharza, który ze względu na naturę swojej pracy i walkę z Mrokiem żył w izolacji od reszty społeczności.

Teraz kowal wyraźnie umierał, ale zauważyłem coś jeszcze. Wyglądał starzej – sprawiała to nie tylko wychudzona twarz, być może będąca efektem kilku dni cierpień bez strawy, wody ani schronienia. Włosy posiwiały mu na skroniach.

– Mości Ward? – wychrypiał ledwie słyszalnym głosem. – To naprawdę pan? Jak to możliwe?

Nieważne, czy było to złudzenie, czy też nie, przemówił do mnie, toteż odparłem odruchowo:

– Tak, to ja – podszedłem i ukląknęłam obok niego.

– Ale przecież pan nie żyje! – wykrzyknął. – To niemożliwe!

Pokręciłem głową.

– Myli się pan, ja żyję. Kto to zrobił?

– Po co pan pyta, przecież pan wie. Któż inny, jeśli nie wojownicze bestie i ich magowie...?

Musiał mieć na myśli Kobalosów... Nagle do głowy przyszła mi straszliwa myśl, że kiedy przebywałem na Kamieniu Strażniczym, na świecie upłynęło wiele lat. Co, jeśli przechodząc przez drugie drzwi, zostałem przeniesiony magią Lukrasty do Chipenden w odległej przyszłości, gdy Kobalosi najechali Hrabstwo?

Kowal zaczął krztusić się i kaszleć.

– Wody, proszę – błagał. – Mam zaschnięte wargi. Daj mi wody.

Czułem się rozdarty. Z pewnością to tylko ułuda, którą zwodził mnie Lukrasta, kolejna iluzja. A przynajmniej chciałem w to

wierzyć. Jednakże cierpienia nieszczęsnego kowala wydawały się aż nadto rzeczywiste. Jak miałbym mu odmówić?

Uniósł drżącą dłoń i pokazał w stronę drzew.

– Strumień.

U stóp zbocza płynął płytki strumień bulgoczący na kamieniach. Woda była lodowato zimna i przepyszna, sam pijałem ją wiele razy. Najpierw jednak potrzebowałem czegoś, w co mógłbym jej nabrać.

– Zaraz wrócę – obiecałem kowalowi i zacząłem szukać w ruinach domów. W wypalonej kuchni znalazłem to, o co mi chodziło – w rumowisku leżały rozrzucone garnki, rondle i inne utensylia. Wybrałem duży rondel i zaniósłem do drzew.

Ukląknę na brzegu strumienia, podstawiając rondel pod rwącą wodę. Zaczął się napełniać.

– Nie zawracałbym tym sobie głowy – rzekł zza moich pleców niski głos. – Tylko marnujesz czas. Ten człowiek zmarł kilka minut po tym, jak go zostawiłeś.

Upuściłem rondel do strumienia i zerwałem z ziemi, obracając gwałtownie.

To był mój wróg, mag Lukrasta.

Pierwszy raz znalazłem się tak blisko niego i okazał się jeszcze groźniejszy niż oglądany z daleka. Przyjrzałem się długim wąsom, drapieżnym ustom o ostrych białych zębach i wargom, niezwykle różowym, jakby zabarwionym krwią. Ale po bliższym przyjrzeniu się najbardziej uderzającą cechą maga stanowiły jego oczy, wąsko osadzone, płonące gwałtownym napięciem. To były aroganckie oczy, lustro duszy wypełnionej wiedzą i pewnością własnej mocy. Przewyższał mnie niemal o głowę, ciało miał muskularne jak martwy kowal w szczycie sił.

W pochwie na biodrze nosił miecz. To mnie ucieszyło, chciałem, żeby się bronił.

– Co pragnąłeś osiągnąć dzięki tym złudzeniom? – spytałem. – Usiłujesz igrać z moim umysłem, żeby zyskać przewagę?

– To nie były złudzenia – odparł Lukrasta. – Wieża jest prawdziwa, a wszystko wewnątrz też ma szansę stać się



prawdziwe. To mój dom – ta sama wieża, na którą natknąłeś się w Cymru.

– Niemożliwe – spojrzałem mu w oczy. – Tu stoi na równinie. Jeśli to Cymru, gdzie się podziały góry?

– W ciągu eonów góry rozsypują się, morza parują, a krajobraz zmienia się nie do poznania. To nadal Cymru: miejsce jest to samo, ale czas różny. Nie zauważyłeś słońca?

– To nie nasze słońce – pokręciłem głową. – Uważam, że kłamiesz. Kamień Strażniczy przeniósł mnie w Mrok i zapewne wciąż tam jesteśmy, tyle że w innym królestwie.

Lukrasta obdarzył mnie sardonicznym uśmiechem.

– Nie – rzekł. – Wciąż przebywamy w Cymru, jak mówiłem. Ale przenieśliśmy się blisko końca świata. Życie na Ziemi niemal zanikło, a ona sama stygnie wraz z umierającym słońcem. Kamień Strażniczy potrafi wędrować w czasie i przestrzeni, a także odwiedzać Mrok. Dzięki temu ściągnąłem cię tutaj. Ale mój dom, Wieża Czasu, podróżuje w tym wymiarze, lecz nie w przestrzeni. Stale pozostaje w tym samym miejscu.

Lukrasta miał w sobie szczerłość aż nadto przekonującą. To dlatego czarownice zabrały ciało Złego do jego wieży. Chciały, aby ochronił je swoją potężną magią, ale z pomocą bogina szybko z tym skończyłem.

– Co zatem z tym, co widziałem w tamtym pokoju? – spytałem.  
– Twierdzisz, że wszystko w tej wieży potencjalnie jest prawdziwe. Co chcesz przez to powiedzieć?

– Tak, wszystko, co widziałeś, pochodzi z jakiegoś czasu i miejsca na Ziemi i przywołała je magia. Pokazałem ci, co mogłoby się wydarzyć, gdyby nic się nie zmieniło. To podobne do postrzegania czarownic. To, co widzą, może się spełnić, ale nic nie jest ustalone i decyzje oraz czyny innych potrafią inaczej ukształtować przyszłość. Kiedy czarownica postrzega tę samą rzecz dzień później, ta często się zmienia, a wiedźma widzi coś innego. Zawsze tak było. Przyszłość nigdy nie tkwi w miejscu. Ty możesz pomóc ją zmienić.

Jego słowa bardzo przypominały nauki, w które zawsze wierzył mój mistrz – że każdy z naszych czynów kształtuje przyszłość, która nie jest ustalona. Cóż, właśnie zamierzałem zmienić ją po raz kolejny.

– Tak, chyba dokładnie tak zrobię! – odparłem z goryczą, w głowie migotały mi wizje Lukrasty i Alice razem. – A zacznę od załatwienia ciebie. Dobądź miecza!

– Nie słuchałeś ani jednego słowa z tego, co mówiłem? – spytał niecierpliwie Lukrasta, w jego głosie usłyszałem gniewny ton. – Popełniłeś ogromny błąd, zabijając Złego. Teraz kobaloski bóg mógł się narodzić, będzie stale rósł w siłę, aż w końcu żaden ze Starych Bogów nie zdoła sprzeciwić się jego woli. Dzięki jego narodzinom moc kobaloskich magów wzrosła już trzykrotnie i nadal będzie rosła. Hodują nowe stwory, by walczyły w wojnie, dokonując podboju Ziemi i eksterminując ludzkość. Ty także odegrasz rolę w naszej obronie. Musisz to zrobić! Tak przynajmniej zdołasz odpokutować za swoją głupotę.

– Zamierzam wrócić do Chipenden i najlepiej jak umiem kontynuować walkę ze złem, jako uczeń stracharza.

– W takim razie potrzebny ci nowy mistrz. John Gregory zginął w bitwie.

Ogarnął mnie żal i gniew, wiedziałem jednak, że to prawda, bo dostrzegłem martwą twarz stracharza – choć nie mogłem znieść owych słów w ustach Lukrasty. Dałem zatem upust emocjom w jedyny znany mi sposób.

– Dobądź miecza! – poleciłem. – Nie dam ci kolejnej szansy.

– Cóż za głupiec z ciebie. Ty rzucasz mi wyzwanie? Co chciałbyś osiągnąć? Za kogo ty się uważasz? – spytał ostro Lukrasta.

– Uważam się za siódmego syna siódmego syna – odparłem. Prawą dłonią dobyłem Gwiazdnej Klingi, płatki rdzy posypały się na trawę u mych stóp. – Jestem synem dobrego człowieka, farmera, który nauczył mnie odróżniać to, co słuszne od tego, co złe. Nauczył mnie manier i tego, czym jest dobroć. Ale jestem też synem pierwszej lamii, która choć kochająca i matczyna, potrafiła

być groźna i okrutna w stopniu dla ciebie niewyobrażalnym. Jestem dzieckiem ich obojga. I pobierałem nauki u Johna Gregory'ego, być może największego stracharza, jakiego znało Hrabstwo. Jestem Thomas Ward, twój największy koszmar. Żyłeś zbyt długo, Lukrasto i nadszedł czas twojej śmierci. A teraz powtórzę po raz trzeci: dobądź miecza!

Lukrasta wymamrotał coś pod nosem i uczynił znak w powietrzu.

Spiąłem się cały. Oto chwila prawdy. Czy Gwiezdna Klinga okaże się dość mocna, by ochronić mnie przed jego magią?

Z palców czarodzieja trysnęły iskry, błękitne światło pomknęło ku mnie. Ja jednak uniosłem miecz pionowo przed twarzą i światło zatańczyło wokół ostrego koniuszka, a potem zmieniło barwę na pomarańczową i zgasło.

Wówczas uśmiechnąłem się, odsłaniając zęby. Grimalkin podarowała mi potężną broń. Mag nie zdoła mnie zranić swą magią. Zaraz się zemszczę. Zapłacę mu za to, że odebrał mi Alice.

– Skąd wzięłeś tę broń? – spytał zimnym, wyniosłym tonem.

– Wykuła ją dla mnie wiedźma zabójczyni Grimalkin – odparłem. – Nazwała ją Gwiezdną Klingą ze względu na metal, z którego ją zrobiła. Dopóki ją mam, twoja magia na mnie nie działa. Przekonajmy się zatem, jak dobrze umiesz walczyć. Zobaczmy, jak dobrze potrafisz umrzeć.

Lukrasta wyprostował plecy, uniósł wysoko głowę i spojrzał na mnie z góry.

– Miałem cię za różne rzeczy, ale nigdy za głupca! – warknął. – Najwyraźniej się pomyliłem.

I wtedy w końcu wyciągnął miecz.

## **ROZDZIAŁ 33**

### **KREW LAMII**

Lukrasta dobył miecza, ale nie zaatakował. Czekał, unosząc go pionowo, podobnie jak ja. Wyraz twarzy miał nieprzenikniony, lecz wzrok wbijał w moją klingę.

Zrozumiałem, że będę musiał rozpocząć walkę. Postąpiłem niewielki krok naprzód i pchnąłem czubkiem miecza w pierś maga. Nie spróbował odparować ciosu, jedynie cofnął się szybko dwa kroki od strumienia.

Ponownie dźgnąłem, a on znów się wycofał. Za jego plecami rosło drzewo, wiedziałem, że wkrótce oprze się o pień. Uznawszy zatem, że zmuszę go do odwrotu, pobiegłem naprzód, zamachując się i celując w głowę maga. Ten po raz pierwszy użył własnego miecza – nasze klingi zderzyły się w powietrzu i las wypełnił brzęk metalu i łopot skrzydeł, gdy spłoszone stadko ptaków wystartowało gwałtownie.

Naciskałem na niego, coraz lepiej wyczuwając przeciwnika i wypatrując luki w jego obronie. On jednak także zaczął się poruszać, stąpając na palcach, blokując każdy sztych i cios z mojej strony. Lukrasta niewątpliwie świetnie władał mieczem, wyczuwałem jednak, że nie wykorzystuje wszystkich swych umiejętności i to mnie rozwścieczyło. Przesuwał się łukiem na bok, nie do tyłu i teraz to ja znalazłem się plecami do drzew. Choć cały czas był w defensywie, zdołał mną manipulować, wybrać odpowiednią pozycję i wymanewrować tam, gdzie chciał.

Przyspieszyłem zatem, by zapędzić go w stronę strumienia.

Naprawdę wszedłem w rytm, wykorzystując wszystkie sztuczki, jakich nauczyła mnie Grimalkin. Miecz był lekki, doskonale leżał w dłoni – idealna broń, specjalnie dla mnie. Czulem, jak wracają mi siły, stopniowo odzyskiwałem szybkość, zupełnie jakbym mógł przewidzieć z wyprzedzeniem każde posunięcie Lukrasty. W sumie jednak było to względnie łatwe, bo jedynie reagował na to, co robiłem, i wciąż walczył defensywnie.

Odparłem go aż na skraj wody i dostrzegłem szansę. Wyraźnie zawahał się i zerknął za siebie na strumień.

Czyżby podobnie jak czarownice nie mógł przekroczyć płynącej

wody? Widząc jego wahanie i chwilową dekoncentrację, wykorzystałem nadarzącą się sposobność. Zamaszyste cięcie mojego miecza powinno było odrąbać mu głowę od ciała. On jednak nagle cofnął się do wody ze znacznie większą gracją, niż dotąd okazywał.

Mój cios chybił.

Ale jego nie.

Mijając o włos moje lewe oko, czubek miecza rozplątał mi policzek aż do kości.

Odskoczyłem chwiejnie. Twarz mnie paliła, krew ściekała na szyję. Lukrasta uśmiechnął się arogancko, stojąc po kolana w rwącym strumieniu. To był podstęp. Czekał, aż zanadto uwierzę w swoje możliwości.

– Teraz tylko jedna połowa twojej twarzy będzie śliczniutka – zadrwił. – Ale nie lękaj się, z pewnością gdzieś znajdzie się kobieta, która ulituje się nad tobą!

Trudno o bardziej bolesną drwinę. Lukrasta odebrał mi Alice, zamordował marzenie o tym, że kiedyś mógłbym z nią być. Zniszczył naszą przyjaźń równie lekko jak pijak roztrzaskujący o ścianę pustą szklanicę.

Walczyłem dalej z narastającą furją, złakniony zemsty – choć w żaden sposób nie wpłynęło to na moje zdolności. Stałem się jednością z mieczem, coraz mocniej napierając na przeciwnika. On jednak spokojnie odparowywał każde cięcie, każdy sztych.

Wszystkie, prócz ostatniego.

Bez namysłu rozpocząłem kolejną sekwencję, powtarzając podstęp, jakim posłużyłem się w walce z Grimalkin, gdy polowała na mnie po bitwie na Wzgórzu Pendle. Wówczas przerzuciłem kij z prawej ręki do lewej i przebiłem klingą jej lewe ramię, przyszpilając wiedźmę zabójczynię do drzewa. Nigdy nie sądziłem, że później zostaniemy sojusznikami.

Grimalkin nauczyła mnie walczyć mieczem, ale John Gregory uczył władać kijem i to nauki mistrza przyszły mi z pomocą.

Przerzuciłem miecz, złapałem go lewą dłonią i przeszyłem

ramię Lukrasty. Jego oczy rozszerzyły się ze zdumienia, upuścił własną broń do wody. Gdy wyszarpnąłem klingę z ciała, jęknął głośno i padł na kolana. Teraz woda sięgała mu do pasa, unosząc ze sobą ściekającą z ramienia posokę. To nic: wkrótce straci jej znacznie więcej. Chwyciłem oburącz rękojeść i uniosłem miecz wysoko nad głowę. Lukrasta spojrzał na mnie, oszołomiony, nie mógł uwierzyć w to, co go czeka.

Zebrałem siły, gotów odciąć mu głowę. Jeszcze sekunda i zrobiłbym to. Mój wróg by zginął.

Ale wtedy zza pleców usłyszałem głos.

– Nie, Tomie! – krzyknął. – Proszę, Tomie, proszę, nie zabijaj go!

To była Alice.

Przesunąłem się lekko, tak by widzieć ich oboje; obserwowałem ją kątem oka, cały czas jednak uważałem na Lukrastę.

– Po co błagasz, Alice? Czemu go nie ocalisz? Wystarczy tylko, abyś poraziła mnie swą magią, to powinno być łatwe dla czarownicy – zadrwiłem.

– Nie szydź ze mnie, Tomie, to do ciebie nie pasuje. Nigdy bym cię nie skrzywdziła, sam powinienesz to wiedzieć. Ale nawet gdybym chciała, nie mogłabym, prawda? To przecież niemożliwe. Póki trzymasz ten miecz, magia cię nie zrani.

– Wiesz o mieczu? – spytałem zaskoczony.

Alice kiwnęła głową.

– Grimalkin powiedziała mi, że zamierza wykuć dla ciebie specjalną klingę. Mówiła, że nie da się jej złamać i potrafi odeprzeć mroczną magię. Pewnie to właśnie nią walczyłeś, inaczej Lukrasta by cię pokonał.

– Zwyciężyłem uczciwie, Alice! – warknąłem gniewnie. – Miecz nie dał mi żadnej przewagi.

– Nie o to mi chodziło! On nie chciał cię skrzywdzić, Tomie. Nie chciał z tobą walczyć. Ogłuszyłby cię magią, nic więcej, a potem odesłał do Hrabstwa.

– Nie to mówiłaś wcześniej! – warknąłem.

– Nie chciałam, aby którykolwiek z was ucierpiał. Wiedziałam, że się pokłócicie i stało się dokładnie tak, jak się obawiałam.

– Musisz mnie mieć za głupca, bo byłbym nim, gdybym w to uwierzył. Ja cię nie obchodzę – to Lukrastę chciałaś chronić. Twój przyjaciel Lukrasta uznał mnie za głupca, bo stanąłem z nim do walki. Spójrz teraz, jak klęczy przede mną. I kto tu jest głupcem?

Po policzkach Alice popłynęły łzy. Poczułem ukłucie zazdrości i w gniewie nieco wyżej uniosłem miecz, gotów uderzyć.

– Proszę! Proszę! Wysłuchaj mnie! Obaj jesteście po tej samej stronie! Nie rób tego, błagam – jęknęła, podchodząc na brzeg i brodząc w strumieniu, aby stanąć między mną a Lukrastą.

Po raz pierwszy spojrzałem wprost na nią, wciąż nie odrywając wzroku od maga. Gdy tak płakała, miała w sobie coś żalosego: najwyraźniej głęboo jej na nim zależało.

Nagle poczułem się rozdarty. Wciąż łaknąłem zemsty i nadal pragnąłem zabić Lukrastę. Niewątpliwie sprawiała to krążąca w moich żyłach krew lamii. Ale tak jak mówiłem magowi, byłem również siódmym synem siódmego syna; w moich żyłach płynęła także krew ojca. A ojciec nauczył mnie rozpoznawać to co słuszne.

Wiele lat temu tato brał udział w sporze z sąsiednim farmerem. Tamten co najmniej od dziesięciu lat wypasał swoje bydło na ziemi taty, nie zważając na jego protesty i twierdząc, że pole należy do niego. W końcu, zmęczony i poirytowany sytuacją, tato poskarżył się miejscowemu sędziemu i po długich rozważaniach i zbadaniu ksiąg parafii wygrał. Sędzia rozkazał sąsiadowi, by ten przestał wypasać swoje bydło i w ramach rekompensaty oddał tacie tuzin sztuk.

Tato jednak odmówił przyjęcia zwierząt, twierdząc, że wystarczy mu oficjalne przyznanie, że pole należy do niego. Później spytałem, dlaczego to zrobił. Czy nie zasłużył sobie na te krowy w zamian za trawę, którą zjadły przez tyle lat?

Tato uśmiechnął się.

– Posłuchaj, synu – rzekł. – Nigdy nie kop leżącego. Na dłuższą metę to ci się opłaci.

Ostatecznie farmer okazał się dobrym sąsiadem: to właśnie pan Wilkinson pomógł mojej rodzinie po tym, jak na farmę najechały czarownice. Zobaczył płonąca stodołę i pospieszył na ratunek tylko po to, by oberwać w głowę. Miał szczęście, że wiedźmy go nie zabiły. Później opiekował się bydłem i psami aż do powrotu Jacka i Ellie. W ostatecznym rozrachunku zatem okazało się, że tato miał rację. Kopniak, który mógł wymierzyć, wyrządziłby więcej trwałych szkód, niż tylko te bezpośrednie. Znów zatem posłuchałem dźwięczącego w głowie głosu taty.

Opuściłem miecz, patrząc na wroga. Było już niemal zupełnie ciemno. Twarz Lukrasty skrywał cień. – Żyćcie sobie razem – powiedziałem głosem, w którym wciąż dźwięczała gorycz. – Ja pragnę tylko wrócić do domu.

Alice przytaknęła i bez słowa zawróciła na pięcie. Ruszyłem za nią w górę błotnistej brzozy, pozostawiając Lukrastę wciąż klęczącego w strumieniu. Poprowadziła mnie przez ruiny wioski do muru z drzwiami.

– Przejdź przez nie – poleciała – a znajdziesz się na schodach przed wieżą. Będziesz w Cymru, w naszych czasach. Przykro mi, ale stamtąd musisz wrócić do Hrabstwa pieszo.

Nagle zza chmury wyjrzał blady księżyc, rzucając mój cień na mur. Był olbrzymi, niewiarygodny – może trzy razy większy, niż powinien. Pokazałem jej go.

– Pamiętasz, co mi powiedziałaś wkrótce po naszym pierwszym spotkaniu? – spytałem Alice.

– Tak. Księżyc rzucił twój cień na ścianę stodoły i powiedziałam, że ukazuje prawdziwe oblicze rzeczy.

– I nigdy prawdziwsze słowa nie padły z twoich ust. To właśnie ja, Alice – wskazałem palcem cień. – Cherlawy chłopak to tylko pozór. Naprawdę jestem myśliwym, łowcą Mroku, nie zmuszaj mnie zatem, bym zapolował na ciebie! Nigdy więcej nie chcę cię widzieć. Trzymaj się z daleka od Chipenden – ostrzegłem, celując w nią mieczem. – To ochroni mnie przed twoją magią, bo gdy cię tylko zobaczę, trafisz do dołu. Lepiej mi uwierz.



– Jest wiele rzeczy, których nie wiesz, Tomie, i nie będę marnować czasu, próbując ci je wyjaśniać, bo zaślepią cię wściekłość i gorycz. Ale powiem ci jedno. Spotkamy się jeszcze i nie uwięzisz mnie w dole. Dziękuję, że darowałeś Lukraście życie; nie wiesz nawet, jakie to ważne.

Nie raczyłem odpowiedzieć. Otworzyłem drzwi i wyjrzałem na Cymru w naszych czasach. Nie oglądając się na Alice, zatrzasnąłem je za sobą i pospieszyłem w dół schodów. Lód zniknął, słońce wyglądało jak zawsze i miało właśnie schować się za chmurą, zwiastującą rychły deszcz. Był wczesny ranek – ranek po bitwie – musiałem zatem jak najlepiej wykorzystać cały dzień.

Czekała mnie długa podróż do domu, a policzek bolał coraz mocniej z każdym postawionym krokiem.

## **ROZDZIAŁ 34**

### **O**STATNIA LEKCJA

Powrót do Chipenden zabrał mi niemal trzy dni. Dotarłem tam o zmierzchu. Zamierzałem przenocować, odpocząć, a potem wrócić na Kamień Strażniczy, aby zabrać ciało mistrza, przynieść do domu i pogrzebać. Gdy jednak przekroczyłem granicę ogrodu, zastałem Grimalkin czekającą na mnie pod drzewem, obok koń skubał bujną trawę.

Miałem do niej mnóstwo pytań. Kto zginął? Kto przeżył? Martwiłem się zwłaszcza o Jamesa. Ale widok, który ujrzałem, uciszył mnie.

Obok niej leżało owinięte w koc ciało.

Przywiozła stracharza do domu.

Usiedliśmy przy palenisku w kuchni, ułożywszy na stole zwłoki mojego mistrza. Jakiś czas wpatrywałem się w znajomą twarz, myśląc o wspólnie spędzonych czasach, póki do oczu nie napłynęły mi łzy. Kiedy odwróciłem głowę, Grimalkin po raz ostatni okryła

go kocem.

– Czy Jamesowi nic się nie stało? – spytałem.

Przytaknęła.

– Nie, wrócił już na farmę.

– A Judd?

– Stracił parę palców, ale najbardziej zmartwiła go śmierć jednego z psów, suki, którą nazywał Szpon. Powiedział, że nigdy nie powinien był zabierać ich z sobą na bitwę. Zginęło też wielu innych – Deane'owie mocno ucierpieli, Mouldheelowie także. Poległa jedna z sióstr Mab – bliźniaczka imieniem Jennet. Lecz lamia Slake przeżyła i zamierza wrócić do Grecji. Mimo przewagi liczebnej wróg poniósł znacznie większe straty niż my. Walczące po ich stronie rumuńskie i celtyckie czarownice zginęły co do jednej. Prawie połowa wiedźm z Essex uciekła z Hrabstwa.

Przytaknąłem, a potem opisałem jej wszystko, co mnie spotkało po bitwie. Pod koniec relacji spytałem o miecz.

– Walczyłem z Lukrastą i pokonałem go. Próbowałem użyć przeciw mnie magii, ale nie zadziałała. Gwiazdna Klinga mnie ochroniła. Czemu zatem nie zwalczyła mrocznej magii w czasie bitwy? – spytałem. – Stałem sparalizowany jak wszyscy.

– Wrogowie razem rzucili to zaklęcie, łącząc siły – wyjaśniła Grimalkin. – Wspomógł ich także Lukrasta i zapewne również Alice. Gwiazdna Klinga ma swoje ograniczenia; starałam się, jak mogłam, ale nic nie jest doskonałe.

– To musiała być Alice! – wykrzyknąłem gniewnie. – Miecz ochronił mnie przed Lukrastą w czasie walki, bo wówczas nie używała magii.

– Taka gorycz ci nie przystoi – upomniała Grimalkin. – Tylko cię niszczy. Otrząśnij się z niej.

Jakiś czas milczałem, potem, uspokajając się stopniowo, podjąłem opowieść, kończąc na decyzji, by nie zabijać Lukrasty.

– Alice podziękowała mi za darowanie mu życia. Płakała. Chyba bardzo go kocha.

– Może kocha, a może i nie – odparła wiedźma zabójczyni. – Ale

chwilowo ich losy są ze sobą splecione. Postąpiłeś słusznie, tego jestem pewna. Teraz musimy rozprawić się z Kobalosami albo przynajmniej rozpocząć cały proces. Mimo rozpaczy po utracie siostry Mab postrzegła dla mnie, sprawdzając, czego zdoła się dowiedzieć o naszych nowych przeciwnikach. Ich bóg Talkus już się narodził, ale potrzebuje czasu, by osiągnąć pełnię sił i zyskać władzę nad innymi bogami, demonami i mieszkańcami Mroku. Kobalosi szykują się do wojny, ale to także potrwa. Musimy wykorzystać ten czas, by się przygotować. A Lukrasta będzie potrzebny do walki z ich magami. Zamierzam zacząć od dowiedzenia się czegoś więcej na temat ich silnych i słabych stron. Dołączysz do mnie? Jutro wyruszam na północ.

Pokręciłem głową.

– Nie, mam dosyć zabijania. Zamierzam pójść w ślady mojego mistrza i zostać stracharzem z Chipenden, chronić mieszkańców Hrabstwa przed Mrokiem. Do tego właśnie szykował mnie John Gregory, tego właśnie pragnął.

– Tylko od ciebie zależy, czy pomożesz mi teraz, czy później – powiedziała Grimalkin. – W końcu jednak będziesz musiał, bo Kobalosi tu przyjdą. A wówczas zabiją wszystkich, których pragniesz chronić, oprócz kobiet. Kobiety i dziewczęta bowiem czeka inny los.

– Jeśli do tego dojdzie, będę musiał pomóc. Ale kraina Kobalosów leży daleko stąd, dzieli nas od niej wiele królestw. Jeśli państwa ludzi się zjednoczą, Kobalosi mogą przegrać. Może nie zapuszczą się tak daleko. Proszę – dobyłem Gwiazdnej Klingi i podałem jej rękojeścią naprzód. – Dziękuję za wypożyczenie miecza, ale nie będę już go potrzebował. Od tej pory będę używał tradycyjnych narzędzi mego fachu.

Grimalkin pokręciła głową.

– To dar, nie pożyczka. Wykułam go dla ciebie i nikogo innego. Nie wezmę go.

– W takim razie ukryję go tak, by nigdy nie skusił mnie ponownie – oznajmiłem. – Zbyt wiele śmierci oglądałem, zabijałem

raz po raz i myśl ta budzi we mnie mdłości. Miecze nie są dla mnie, wolę swój kij, wolę srebrny łańcuch, sól i żelazo. Będę walczył z Mrokiem tradycyjnymi metodami. Przykro mi, ale w drodze z Cymru wszystko przemyślałem. Tego właśnie chcę.

– To twoja decyzja – odrzekła. – Pomówmy więc o czymś innym. Mogę uleczyć ci twarz i poprawić jej wygląd. Nie pozbędę się całej blizny, ale znacząco ją zmniejszę. Chciałbyś, żebym spróbowała?

Przytaknąłem.

– Będzie bolało – ostrzegła. – Tego typu magia zawsze ma swoją cenę. Lecz w odróżnieniu od bólu, jaki zadaje mi srebrny trzpień w nodze, ten potrwa krótko.

Tak, zdawałem sobie sprawę, że warto spróbować, widziałem już, jak ludzie na mnie patrzą. Bycie stracharzem dostatecznie ich zniechęca, blizny jeszcze dodatkowo by to spotęgowały.

\*

Po rozmowie zaszedłem do wioski i u miejscowego stolarza kupiłem trumnę.

– Przykro mi słyszeć o śmierci twojego mistrza. – Mężczyzna ze smutkiem pokręcił głową. – Dobry był z niego człowiek.

Mistrz nie zaliczał się do ułomków, toteż zdziwiło mnie, że stolarz miał gotową trumnę dość dużą, by go pomieścić. Inaczej musiałbym czekać z pogrzebem jeszcze jeden dzień.

– Pan Gregory zamówił ją i opłacił w zeszłym miesiącu – wyjaśnił stolarz.

Zrozumiałem, że stracharz wyczuł zbliżającą się nieuchronnie śmierć.

Grimalkin pomogła mi wykopać grób. Gdy szykowaliśmy się, by wsunąć ciało do ciemnej dziury w mokrej ziemi, skinieniem głowy wskazałem miecz, który położyłem z boku na trawie.

– Zamierzam umieścić go pod trumną – oznajmiłem. – Nie chcesz go wziąć, a w ten sposób zmniejszam szansę, by ktokolwiek inny dostał go w swoje ręce.

– Co jednak, jeśli zmienisz zdanie? Będziesz musiał naruszyć

grób mistrza, by go odzyskać.

– Nigdy nie rozkopię grobu mistrza, oby jego ciało spoczywało w pokoju – odparłem.

Grimalkin nie odpowiedziała, przez chwilę jednak patrzyła na mnie i w końcu pokręciła głową. Zadrzałem, widząc wyraz jej oczu. Była nie tylko potężną czarownicą, ale też doskonałą widzącą i trudno orzec, co dostrzegła w przyszłości. Tak czy inaczej nie powiedziała mi, a nawet gdyby, zlekceważyłbym jej słowa, bo przyszłość nie jest ustalona.

Wrzuciłem zatem Gwiazdną Klingę do grobu, a potem opuściliśmy na niego trumnę. Następnie staliśmy tam w milczeniu kilka chwil. Nie wiem, o czym myślała Grimalkin, ale wbiła wzrok w ziemię.

Nie mam w zwyczaju się modlić, ale przypomniałem sobie, co powiedziałem przy grobie taty i teraz w duchu powtórzyłem te słowa.

Proszę, Boże, obdarz go spokojem. Zasłużył na to. Był dobrym, ciężko pracującym człowiekiem, a ja go kochałem.

Po prawdzie bowiem był dla mnie nauczycielem, przyjacielem, ale też ojcem.

Następnie wspólnie, bez słowa, zasypaliśmy z Grimalkin grób. Ciszę zakłócał tylko zgrzyt naszych łopat i łoskot ziemi spadającej na drewnianą trumnę. Powietrze trwało bez ruchu, nawet ptaki umilkły.

Natychmiast potem Grimalkin zajęła się blizną na mojej twarzy. Z przyczyn znanych tylko sobie musiała to zrobić w ciemności. Usiadłem na krześle w składziku sąsiadującym z domem.

– Nie ruszaj się! – syknęła. – Nieważne jak będzie bolało, nie wolno ci nawet drgnąć!

Czułem, jak dotyka mi palcem twarzy, przesuwając go wzdłuż linii blizny zaczynającej się tuż pod okiem. Wymamrotała pod nosem trzy słowa, a potem poczułem w lewym policzku coś dziwnego. Z początku przypominało lód, potem ogień. Nie wiem,

czy rozcięła ciało nożem, czy jakimś innym narzędziem, ale ból był okropny, krew ściekała mi po twarzy.

Choć wymagało to ogromnego wysiłku, nie poruszyłem się, mimo iż wewnątrz krzyczałem z bólu. Później obejrzałem swoje odbicie w lustrze. Grimalkin ponownie otworzyła ranę – według mnie wyglądałem gorzej niż wcześniej, ale i tak jej podziękowałem. Nie obchodziło mnie już, jak wyglądam, niczego nie czułem, byłem chłodny, obojętny.

O świcie pożegnaliśmy się krótko. Grimalkin pozdrowiła mnie skinieniem głowy i ruszyła w miejsce, gdzie zostawiła konia. Nie powiedziała mi, ani dokąd się wybiera, ani kiedy wróci. Odmówiłem jej pomocy w walce z nowym zagrożeniem, więc zapewne nasz tymczasowy sojusz dobiegł końca. Zajmie się teraz zwykłymi zadaniami więdźmy zabójczyni.

Zastanawiałem się, czy jeszcze kiedyś ją zobaczę.

\*

Tej nocy śniłem o Alice...

Alice wyglądała na przerażoną. Patrzyła na mnie, widziałem, jak cała dygocze.

Ja też się trząsałem, walcząc z mdłościami.

Leżała przywiązana do wielkiego, płaskiego głazu na specjalnej platformie. W pobliżu wznosiła się wysoka sterta kamieni, nie był to jednak kopiec, jak te, które często znajdujemy na szczytach wysokich wzgórz. W pustym środku płonął wielki ogień. To był piec, wzniesiony w jednym złowrogim celu.

Nadeszło Święto Zmarłych i miałem właśnie rozpocząć rytuał, który zniszczy Złego.

Po drugiej stronie Alice, dokładnie naprzeciw mnie Grimalkin balansowała ułożonymi na dłoni Rębaczem Kości i Brzeszczotem Smutków. Pierwszy miał odciąć kciuki z dłoni Alice, drugi wyrwać z piersi jeszcze bijące serce.

Gdyby Alice krzyknęła, gdy będę odcinał jej kości, rytuał się nie powiedzie. Jej milczenie i odwaga były kluczem do sukcesu.

– Jestem gotowa, Tomie – rzekła miękko.

– Czas zaczynać – dodała Grimalkin.

Kochałem Alice.

A Alice kochała mnie.

Teraz jednak miałem ją zabić.

– Żegnaj, Tomie – rzekła. – Byłeś najlepszą rzeczą, jaka mnie kiedykolwiek spotkała. Niczego nie żałuję.

Próbowałem odpowiedzieć, ale zacisnęło mi się gardło i nie zdołałem wydobyć z siebie ani słowa. Do oczu napłynęły mi łzy.

– Zrób to teraz! Szybko! – poleciła Grimalkin.

Zamrugalem, przeganiając łzy i bardzo delikatnie ująłem lewą dłoń Alice. Następnie przycisnąłem ją mocno do głazu. Teraz musiałem przyłożyć sztylet.

Wziąłem go od Grimalkin i przygotowałem się na to, co muszę uczynić. Było trudno, bo ręka trzęsała mi się gwałtownie, a dłonie pociły, tak że rękojeść ślizgała się niepewnie.

Odetchnąłem głęboko i napałem na ostrze, tak że wbiło się w podstawę kciuka Alice. Robiąc to, krzychałem, ale Alice była dzielna, ani jeden krzyk nie wyrwał jej się z ust.

Obudziłem się nagle z walącym sercem. To był koszmar przedstawiający to, co mogło się wydarzyć. Straszliwy sen sprawiał wrażenie rzeczywistego, ja jednak wybrałem inną ścieżkę i przyszłość się zmieniła.

I wtedy poczułem przygniatający mi nogi ciężar i usłyszałem mruczenie.

A zatem bogin przeżył.

Nie przemówił do mnie, nie zażądał mojej krwi. Wiedziałem, że gdyby to zrobił, chętnie bym mu ją dał. John Gregory rozpoczął proces, zawierając z boginem umowę, by ten strzegł domu i ogrodu. Moja własna współpraca zaszła znacznie dalej i nie wiedziałem, dokąd mnie doprowadzi. Owszem, to bardzo niezwykle, lecz Mrok także się zmieniał i być może dalsze bitwy będą wymagały odmiennej taktyki.

Przechowujemy notesy, by móc czerpać nauki z przeszłości. Wiem jednak, że stracharz musi patrzeć w przyszłość,

dostosowywać się i zmieniać. Mądry człowiek uczy się aż po kres swych dni. John Gregory był mądry i zrozumiał, że czasem niezbędny bywa kompromis z Mrokiem. Być może to ostatnia lekcja, jakiej mi udzielił.

## **ROZDZIAŁ 35**

### **STRACHARZ Z CHIPENDEN**

Późnym popołudniem dzień po tym, jak złożyliśmy stracharza na ostatni spoczynek, odezwał się dzwon wśród wierzb.

Na rozstajach zastałem farmera w zabłoconych buciorach. Twarz miał bardzo czerwoną. Wyglądał na niespokojnego i przerażonego, wyraźnie potrzebował pomocy.

– Nazywam się Morris – Brian Morris z farmy Ruff Lane na południe od Grimsargh. W mojej stodole zagnieździł się bogin – oznajmił. – Rzuca w dom wielkimi kamieniami, jeden przeleciał przez okno w kuchni. Na szczęście żona akurat odsunęła się od kuchni, żeby przykryć dziecko; gdyby wciąż tam stała, z pewnością by zginęła.

Była to rutynowa stracharska robota, przytaknąłem zatem.

– Wygląda na to, że zaatakował was rzucacz – rzekłem tonem, który w założeniu miał dodać mu otuchy. – Proszę jak najszybciej wrócić do domu. Wraz z rodziną powinniście go opuścić, zatrzymajcie się u sąsiada. Przyjdę, gdy tylko zbiorę swoje rzeczy, i jeśli dopisze nam szczęście, załatwię to jeszcze dziś w nocy. W przeciwnym razie pozbędziemy się go dopiero jutro.

– Bez urazy, chłopcze, ale wolałbym, gdyby to twój mistrz zajął się moim problemem.

– To nie będzie możliwe – odparłem stanowczo. – Niestety, John Gregory nie żyje. Nazywam się mości Ward, teraz ja jestem stracharzem z Chipenden. Oferuję swoją pomoc. – Wpatrywałem się w niego, póki nie spuścił wzroku.



– Nie będę mógł zapłacić od razu – ostrzegł – czasy są ciężkie.  
– Wystarczy po następnych żniwach – uciałem. – A teraz proszę już ruszać. Niech pan zabierze rodzinę i resztę zostawi mnie. Załatwię to, proszę się nie martwić.

Odwrócił się i ledwie dostrzegalnie kiwając głową, odmaszerował w dal.

Wróciłem do domu, żeby zabrać torbę – nie zapominając o niewielkim kawałku sera na drogę.

I tak zaczęło się moje życie stracharza w Chipenden.

\*

I znów, większość wydarzeń opisałem z pamięci, tylko w razie konieczności sięgając do notatnika. Nie jestem już uczniem Johna Gregory'ego, teraz to ja zostałem stracharzem z Chipenden i muszę dołożyć wszelkich starań, by ochronić Hrabstwo przed duchami, widmami, boginami, czarownicami i najróżniejszymi stworami z Mroku – być może też nieznanymi. Jak bowiem nauczył mnie mistrz, życie stracharza to długi proces uczenia się.

Tu, w Hrabstwie, nie zdołaliśmy wciąż wyjaśnić wielu incydentów. Możemy czerpać nauki z przeszłości, wykorzystując dziedzictwo wiedzy pozostawione nam przez poprzednich stracharzy. Lecz Mrok zawsze rzuca nam nowe wyzwania i niespodzianki, a my musimy przystosować się i nauczyć sobie radzić z każdym nowym zagrożeniem.

Choć nie jestem już uczniem, pewien miejscowy stracharz wciąż będzie mógł pomóc mi w dalszej nauce. Judd Brinscall zaoferował mi wsparcie, gdybym potrzebował. Regularnie szlifuję umiejętności, ćwicząc walkę kijem i łańcuchem, podstawową bronią stracharza. Co do blizny na twarzy, bardzo się poprawiła – teraz pozostała z niej tylko cienka biała, ukośna kreska, biegnąca w dół spod oka. Magia Grimalkin zadziałała.

Oto, co różni mnie od poprzednich pokoleń stracharzy: jestem gotów zaakceptować magię, ale tylko jeśli usprawiedliwia to cel i nie ucierpią inni. Bez wątpienia sprawia to krążąca w moich żyłach krew lamii. W razie potrzeby mam także jeszcze jednego potężnego

sojusznika – bogina.

Kiedyś był boginem Stracharza, teraz jest moim. Miecz jednak pozostanie pod trumną mojego mistrza. Mam dość zabijania. Teraz skupię się na walce z Mrokiem w Hrabstwie.

Co do mojego mistrza, Johna Gregory'ego, nigdy nie zapomnę, co dla mnie zrobił. W oczach większości księży stracharze nie są lepsi od czarownic i nie wolno ich grzebać w poświęcanej ziemi. Niektórzy spoczywają możliwie najbliżej granicy cmentarza, nie chciałem tego jednak dla mojego mistrza.

Pochowaliśmy stracharza w jednym z jego ulubionych miejsc, obok ławeczki w zachodnim ogrodzie, gdzie często siadywaliśmy, gdy udzielał mi lekcji. To miejsce pełne radosnych wspomnień, roztacza się z niego widok na odległe wzgórza, a powietrze wypełniają ptasie trele. Byłem trzydziestym i ostatnim z jego uczniów. Musiał tu spędzić wiele przyjemnych chwil, ucząc kolejnych chłopców, jak walczyć z Mrokiem.

Może pewnego dnia ja także będę miał ucznia. Może i ja również spocznę kiedyś w tym miejscu. Poprosiłem miejscowego kamieniarza, by wykuł mu nagrobek i wyrył na nim następujące słowa:

TU SPOCZYWA

JOHN GREGORY Z CHIPENDEN

NAJWIEKSZY ZE STRACHARZY HRABSTWA

To stosowne epitafium i bardzo prawdziwe, bez cienia przesady. Przez ponad sześćdziesiąt lat mistrz mój walczył z Mrokiem i ochraniał Hrabstwo. Zawsze wypełniał swój obowiązek i robił to znakomicie, demonstrując wielkie zdolności i odwagę. W końcu poświęcił życie, by doprowadzić do zniszczenia Złego.

Ale życie płynie dalej. W zeszłym tygodniu dotarły do mnie dobre wieści od Jacka. Ellie urodziła zdrowego chłopczyka, nazwali go Matthew. Teraz Jack ma syna, który na starość pomoże mu na farmie.

Ja muszę strzec Hrabstwo przed Mrokiem.

Jeśli osiągnę choć połowę tego, co mój mistrz, będę rad.

Thomas J. Ward